MAG. 178282

Fr. 41.
P. 4.
VF 3.

ŻYCIE ŚWIĘTYCH

TYGODNIK OBRAZKOWY

POD REDAKCJĄ

Ks. D-ra Zygmunta Skarżyńskiego.

SERJA TRZECIA.

Rok 1909.

BIBLIOTEKA SEMINARYJNA

WARSZAWA
W DRUKARNI SYNÓW ST. NIEMIRY, PLAC WARECKI 4.

SPIS

ZAWARTOŚCI TOMU III-go

ŻYCIA ŚWIĘTYCH

w roku 1909.

235.3/929

Styczeń.

Data — str.

6 Trzej królowie: Kasper, Melchior i Baltazar . . . 1
12 Św. Benedykt 9
17 Św. Antoni patryarcha zakonników . . . 19
21 Błog. Jan z Fiesole (*Fra Angelico*) . . . 27

Luty.

2 Błog. Teofan Venard 43
3 Św. Weronika 57
17 Św. Aleksy Falconeri 62
28 Św. Roman 68

Marzec.

2 Św. Helena cesarzowa 73
3 Św. Pafnucy i św. Tais 77
13 Św. Heldrad 82
15 Św. Klemens Hofbauer (Dworzak) . . . 86

Kwiecień.

6 Św. Celestyn papież 113
9 Św. Kasylda z Burgos 117
19 Św. Ekspedyt 121
26 Błog. Antoni Nayrot 131
29 Św. Robert z Molesmy 135
30 ŚŚ. Jakób, Marjan, Agapiusz, Emiljan męczennicy 141

Maj.

1 Jeremiasz prorok 145
4 Św. Monika 151
18 Błog. Wilhelm z Tuluzy 169
31 Błog. Feliks z Nikozji 173

Czerwiec.

3 Św. Klotylda 178
10 Błog. Bogumił 184
24 Św. Jan Chrzciciel 193
27 Św. Władysław król węgierski. 209

Lipiec.

2 Św. Otton, biskup bamberski, apostoł Pomorza 212
9 Dziewiętnastu męczenników z Gorkum . 218
10 Św. Felicyta 223
12 Błog. Ignacy Delgado i Dominik Henares. 235
13 Św. Stefan 239
25 Św. Kunegunda 244

Data — str

27 ŚŚ. Grzegorz, Aureli, Natalja, Feliks, Liliosa 252
28 Błog. ks. Jan Marja Vianney 257

Sierpień.

8 Św. Cyrjak, diakon 259

Wrzesień.

14 Błog. Gabrjel Taurin Dufresse wik. apost. w Chinach 351

Październik.

4 Św. Franciszek z Assyżu 308

Listopad.

15 Św. Gertruda 356

Bez daty.

str.

Czcig. Joanna Marja od Krzyża 13
Wielebny O. Hieronim Cyrus 34
Czcig. Wincenty Strambi 36
Błog. Magdalena Zofja Barat 48
Wielebny K. Przemysław Rudnicki Tow. Jez. 56
Czcig. Paulina Franssinetti 108
Błog. trzydziestu czterech misjonarzy . . 188
Świątobliwy Jan Czapla 211
Błog. Jan Endes 228
Błog. Joanna d'Arc 283
Świątobliwy Adam Mańkowski 300
Świątobliwa Katarzyna Saporowska . . . 302

Historja cudownych obrazów Najświętszej Panny Marji w Polsce,

(według książki ks. Aloizego Fridricha).

Hist. cud. obr. Najśw. Panny w Pajęcznie. 72
Hist. cud. obr. N. M. P. w Czerwińsku . . 81
Hist. cud. obr. N. M. P. w Poniatowie . . 107
Hist. cud. obr. N. M. P. w Sierpcu . . . 111
Hist. cud. obr. N. M. P. w Żurawinie . . 150
Hist. cud. obr. N. M. P. w Żurominie . . 168
Hist. cud. obr. N. M. P. w Błonnej . . . 304

Proces rzymski w sprawie beatyfikacji i kanonizacji Piusa IX 361

Miejska Biblioteka Publiczna w Tarnowie
Dział Starych Druków i Książki XIX-w.
im. J. Słowackiego
SDh-1513
P/0550/2018
Mag. 178282
TARNÓW

BIBLIOTEKA SANGUSZKI

Dnia 6 Stycznia.

Trzej Królowie: KASPER, MELCHIOR I BALTAZAR.

† 54 po Chr.

Gdy się narodził Jezus w Betleem Juda, za dni Heroda króla, oto mędrcy ze wschodu słońca przybyli do Jerozolimy mówiąc. gdzie jest, który się narodził król żydowski? Widzieliśmy bowiem gwiazdę Jego na wschód słońca i przyjechaliśmy pokłonić się Jemu.
Mat. 2.

Dzień Trzech Króli zwany jest w Kościele Epifanją, z greckiego Zjawienie, objawienie się Chrystusa Pana za pośrednictwem gwiazdy na Wschodzie, która się ukazała Mędrcom, Trzem Królom, a przez nich poganom. W dniu tym przypada także pamiątka chrztu Zbawiciela w Jordanie i ta jest szczególniej obchodzona solennie w kościele grecko-katolickim, natomiast Kościół rzymsko-katolicki daje pierwszeństwo *Zjawieniu Pańskiemu*, świętu *Trzech Króli*, czyli *Powołaniu Pogan*.

Przez kilka pierwszych wieków obchodzono w dniu tym Boże Narodzenie to jest Objawienie się, zejście Zbawiciela na ziemię. Około 376 r., Stolica Apostolska orzekła, że uroczystość ta ma być przeniesioną na dzień 25 grudnia. Mimo to 6 stycznia pozostał w dalszym ciągu dniem chwały Jezusa i do świąt pierwszorzędnej wagi się zalicza, oto bowiem „Słowo, które Ciałem się stało i mieszkało między nami“ ukazuje się nietylko pasterzom, powołanym przez aniołów do oddania czci Boskiemu Dzieciątku ale całemu światu objawionem jest za pomocą gwiazdy wspaniałej, wiodącej Mędrców wschodu do skromnej betleemskiej stajenki.

Pamiątka pierwszego cudu Jezusa w Kanie Galilejskiej uczynionego, również w tym dniu uroczystym przez Kościół św. jest obchodzona.

Przepowiednie proroków o przyjściu Zbawiciela.

Dziwnem wydawać się może z pozoru w jaki sposób Trzej Królowie, Mędrcami przez Pismo Święte zwani, przybyć mogli z dalekiego wschodu nie mając przedtem żadnego objawienia, przeczuciem i natchnieniem dobrem wiedzeni, albowiem wszystkie proroctwa dotyczące przyjścia Mesjasza były tylko narodowi żydowskiemu znane. Ale ci trzej Mędrcy należeli do kasty uprzywilejowanej, w której ręku spoczywała wówczas wiedza. Umysły wyższe, szlachetne i podniosłe, zagłębiały się chętnie w dociekaniu tajemnic bytu, pragnąc rozwiązać zagadkę życia ludzkiego, odnaleźć przyczyny dobra i zła na świecie. Niewątpliwie owym mędrcom znane już były proroctwa tylokrotnie w Starym Testamencie powtarzane:

„Jako człowiek narodzi się z rodu Dawida, tak mówił Izajasz (XI. 1.) wynijdzie różczka z korzenia Jessego, a kwiat z korzenia jego wyrośnie i odpocznie na nim Duch Pański, duch mądrości i rozumu“.

Ten sam prorok mówił:

„Narodzi się z dziewicy i oto panna pocznie, porodzi syna i nazwą imię jego Emanuel“ (VII. 14).

Znanem jest proroctwo Balaama, który przybywszy ze wschodu, aby złorzeczyć Izraelowi, zamiast przekleństwa rzucił przepowiednię błogosławioną na tysiąc pięćset lat przed Narodzeniem Chrystusa;

„Ujrzę Go, ale nie teraz; oglądam Go, ale nie zblizka. Zrodzi się gwiazda z Jakóba i wnijdzie berło z Izraela. O! kto żyć będzie wtedy, gdy te rzeczy Bóg spełni“ [1]).

[1]) Num. XXIV, 17.

Kiedy Żydzi z dopuszczenia Bożego byli zagnani w niewolę, między wszystkie ludy roznosili prawdy i proroctwa Boże i o zapowiedzianem przyjściu Mesjasza rozchodziła się wieść szeroko.

Nie dziw więc, że ci zwłaszcza, którzy nad zawiłemi zagadnieniami zastanawiali się nieustannie, mędrcy, magami też nieraz zwani, badający umiejętności wszelakie, pilnie śledzi proroctwa izraelskiemu ludowi objawione. Na dworze perskim największem poważaniem cieszył się niegdyś prorok Daniel, a wpływ jego nie mógł pozostać bez skutków na wierzenia religijne, on to bowiem zapowiedział wyraźnie przyjście Zbawiciela, określając nawet czas, kiedy to nastąpi. Mesjasz przyjść miał „w siedemdziesiąt tygodni lat", to jest 499 od Daniela:

„Siedemdziesiąt tygodni ukrócone są na lud twój i na miasto święte twoje, aby się dokonało przestępstwo, a grzech, aby wziął koniec; aby nieprawość była zgładzona, a przywiedziona sprawiedliwość wieczna i aby się spełniło widzenie i proroctwo, a był pomazany Święty Świętych. A tak wiedz i obacz: od wyjścia mowy, aby zaś było zbudowane Jeruzalem aż do Chrystusa wodza tygodnia. Siedm i tygodni sześćdziesiąt i dwa będą, a znowu będzie zbudowana ulica i mury w ciasności czasów. A po tygodniach sześćdziesięciu i dwóch będzie zabity Chrystus, a nie będzie ludem Jego, który się Go zaprze. A miasto i świątynię skazi lud z wodzem, który przyjdzie, a koniec jego spustoszenie; a po skończeniu wojny postanowione spustoszenie" [1]).

Wszystkie te przepowiednie musiały silnie oddziaływać na umysły mędrców szukających pilnie prawdy i pragnących nadprzyrodzone zbadać zjawiska.

Wtajemniczonym w księgi objawień proroków, nawet miejsce Narodzenia Zbawiciela świata zapowiedzianem było oddawna. I tak np. Micheasz głosił:

„A ty Betleem Efrata, malutkiś jest między tysiącami ludzkimi; z ciebie mi wynijdzie, który będzie panującym w Izraelu, a wyjście Jego od początku, ode dni wieczności" [2]).

Trzej Królowie przybywają do Jerozolimy.

Przybycie królów było też wyraźnie w natchnionych słowach objawione zawczasu:

„Królowie Tarsis i wyspy przyniosą dary i królowie arabscy i Saba przywiozą upominki i będą Mu się kłaniać wszyscy królowie ziemscy, wszystkie narody będą Mu służyć. (Psalm LXXI, 10).

Na czterdzieści lat przed Narodzeniem Chrystusa, król Partów wkroczył do Jerozolimy mając zamiar przywrócić tron Machabeuszom i godność arcykapłańską Antygona, syna Arystobala, ostatniego panującego księcia z tej znakomitej rodziny. Ta okoliczność musiała wpłynąć niewątpliwie na ożywienie nadziei blizkiego wypełnienia się proroctw.

W Persyi i Chaldei mędrcy oddawali się z zamiłowaniem badaniu gwiazd, dostrzegłszy więc naówczas nową, niezwykłej piękności gwiazdę, a mając przepowiednię Balaama mnsieli ją badać pilnie, a w sercach ich zapaliła się gorąca chęć oglądania co rychlej tak długo oczekiwanego Króla i Pana, o którym powiedziano, że: „nie będzie przyrównany inny do Niego, że na ziemi będzie widziany i z ludźmi obcować będzie" [1]). „Przedziwny, radny, Bóg mocny, Ojciec przyszłego wieku, Książe pokoju" [2]).

Tyle przedziwnych obietnic wzruszyło serca Mędrców wschodu, nie wątpili ani na chwilę, że wybiła godzina cudu, jakże wyraźnie występuje głęboka wiara ŚŚ. Królów: Kaspra, Melchiora i Baltazara, gdy wypowiadają te znamienne słowa:

„Gdzie jest, który się narodził król żydowski. Albowiem widzieliśmy gwiazdę Jego na wschód słońca i przyjechaliśmy pokłonić się Jemu".

Przybyli Trzej Królowie do Jerozolimy, aby w stolicy izraelskiej zasięgnąć wiadomości o Tym, który przyszedł świat zbawić.

Król Herod zasiadał wówczas na tronie, straszny lęk go ogarnął na myśl, że nie długiem być może jego panowanie, w obec widomych zewnętrznych oznak, narodzenia się Króla i Pana. Wierzył w mądrość Magów przybyłych ze wschodu, więc zatrwożył się wielce i cała Jerozolima z nim również podzielać się zdawała obawy, zamiast radować się, że nadeszła od tak dawna oczekiwana chwila.

Zebrał Herod starszyznę i kapłanów, snać sam nie był biegły w Piśmie Św, gdyż począł wypytywać, co piszą w księgach o Mesjaszu, gdzie według proroków miał narodzić się Chrystus?

Kapłani odrzekli: Powiedzianem jest, że w Betleem Judzkiem i ztamtąd wyjść ma Ten, który rządzić będzie izraelskim ludem.

Herod przerażony, tem co usłyszał, począł badać Trzech Królów przybyłych ze Wschodu, którzy nie pytali wcale, czy się narodził król żydowski? ale tylko prosili o wskazanie miejsca, gdzie przebywa? Drażniło to niezmiernie dumę Heroda, albowiem zupełnie samowolnie zagarnął władzę Machabeuszom należną i w ciągłej był trwodze, że berło z rąk mu się wyślizgnąć może. Był to król okrutny i chciwy; ur. w Askalonie (około 70 r. przed Chrystusem)

[1]) Daniel IX, 24.
[2]) Micheasz V, 2.

[1]) Baruch III, 36.
[2]) Izajasz IX, 6.

zwany był Askalończykiem, dawano mu też miano Wielkiego, choć znienawidzony był przez Izraelitów, jako cudzoziemiec przemocą przez cesarza rzymskiego Antoniusza narzucony. Podejrzliwość Heroda i okrucieństwo nie miały granic, nieustannie drżąc o własne życie niecofał się przed najpotworniejszą zbrodnią. Zamordować kazał własną żonę Mariam, pochodzącą z królów judejskich rodu; nie zawahał

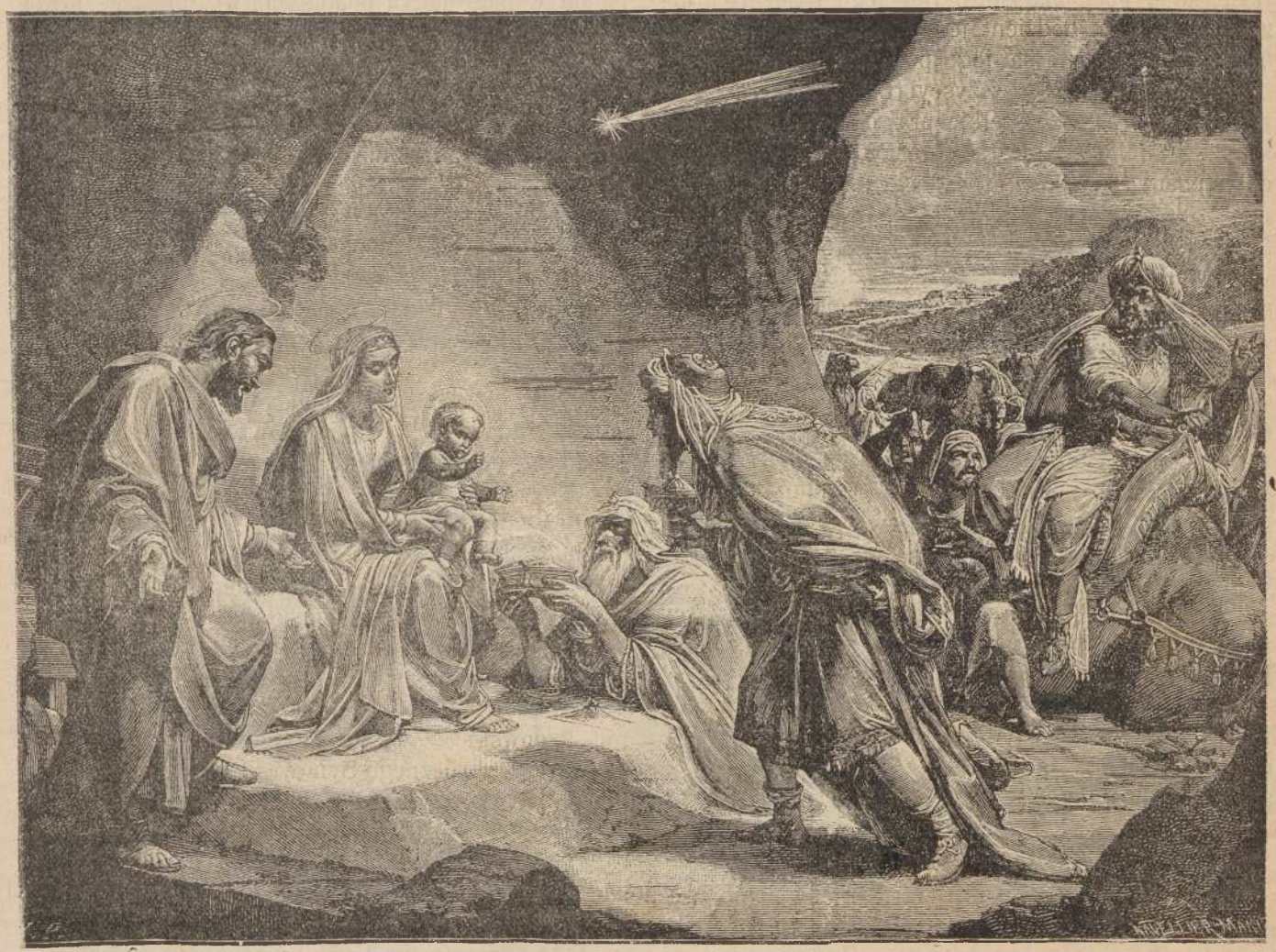

Gwiazda prowadzi Trzech Króli do Betleem. z obrazu Gagliardiego.

się nawet trzech synów swych: Aleksandra, Arystobula i Antipatra na śmierć skazać, a prócz tego niezliczoną ilość ofiar niewinnych zgładził, upatrując wszędzie spiski i chęć odebrania mu władzy.

Można więc sobie wyobrazić jaką zawziętością zapałał ten potwór usłyszawszy o Narodzeniu Jezusa. Przed gośćmi z dalekich krain udawał, że wielce się tą wieścią zainteresował — gdyż pragnął by sam pokłonić się w Betleem, temu Dzieciątku. Prosił ich, aby wywiedziawszy się na miejscu o wszystkiem, powrócili koniecznie do Jerozolimy zdali mu sprawę z tego, co zobaczą. Postanowił zużytkować te wiadomości, ażeby wydać niezwłocznie rozkaz zamordowania niezwykłego Dzieciątka. o którego narodzeniu głosiła gwiazda, któremu spieszyli oddać pokłon Królowie.

Zkąd przybyli Trzej Królowie?

Ewangelja nazywa Trzech Króli Mędrcami lub Magami, co nie znaczy wcale, że trudnili się czarodziejstwem, później bowiem *magami* poczęto zwać różnych czarnoksiężników i kuglarzy, a w dawnych czasach przed nar. Chr. Magami nazywali się w Persji i Medji członkowie kasty kapłańskiej, którzy tak samo jak Lewici u Izraelitów należeli do osobnego pokolenia. Posiadanie wyższej nauki było obowiązującem dla spełniania obrządków religijnych. U Chaldejczyków był także *Zakon Magów*, którego członkowie wróżyli z gwiazd. Tytuł Magów nadawano na wschodzie ludziom uczonym; Kościół św. nazywa Mędrców przybyłych do Betleem Królami na mocy wyżej przytoczonej przepowiedni Izajasza

proroka. Najdawniejsze wizerunki świętych Kaspra, Melchiora i Baltazara przedstawiają nam ich w koronach, z oznakami królewskiej godności, albowiem od pierwszych lat ery chrześcijańskiej zawsze owych Mędrców Królami mianowano. Tak też zowią ich Ojcowie Kościoła, Tertulian, ŚŚ. Cyprjan, Hilary, Bazyli, Jan Chryzostom, Izydor i wielu innych, a jeśli św. Mateusz nie nazywa ich w Ewangelji Królami, to tylko dlatego, aby dobitniej wyrazić, że w obec majestatu Boskiego Dzieciątka Jezus, nikt nie godzien jest nosić nazwy króla, a wszyscy zarówno są Jego poddanymi.

Prawdopodobnie wszyscy trzej przybysze z odległej krainy mieli wszelkie prawo nosić tytuł królewski i kapłański zarazem, ponieważ Najwyższe dostojeństwa duchowne i świeckie na wschodzie miały w jednych osobach swych przedstawicieli. U żłobka betleemskiego Trzej Królowie wyobrażali w swych osobach trzy gałęzie ludzkiego rodu: Melchior potomków Sema; Kasper Chama; a Baltazar Jafeta. Według zdania dawnych pisarzy możebnem jest, że pochodzili z Arabji zwanej szczęśliwą krainą, żaden bowiem ze zdobywców Wschodu nie zdołał ujarzmić Arabów. (Według podań krajowych pierwotni mieszkańcy pochodzą częścią od Kahtana, potomka Sema, częścią od Izmaela, syna Abrahama). W Starym Testamencie spotykamy imiona Madiana i Efa wnuków Abrahamowych (od synów z drugiej żony Cetary) a Izajasz prorok przepowiadał:

„Wielbłądowie prędcy, Madian i Efa, wszyscy z Saby przyjdą złoto i kadzidło przynosząc i chwałę Panu opowiadając“ [1]).

Podarki przywiezione przez Trzech Króli złoto, myrra i kadzidło utwierdzają też w mniemaniu, że ojczyzną Mędrców przybyłych, aby pokłonić się Jezusowi, była Arabja.

Pokłon Trzech Króli.

Jak długo wędrowali Trzej Królowie nie wiadomo, ale tradycja Kościoła nas uczy, że przybyli oni do Jerozolimy 6 stycznia. Otrzymawszy tu wskazówkę, gdzie szukać mają Narodzonego Króla, skierowali swe kroki ku Betleem. Blizkim był czas, kiedy Bóg po tylu przebytych trudach miał wytrwałość ich wynagrodzić.

Gdy wyszli z Jerozolimy cudowna gwiazda widziana na wschód słońca znowu im się ukazała, wiodła ich wprost ku stajence i stanęła nad miejscem, gdzie na sianie w żłobku złożone leżało Boskie Dzieciątko.

„A ujrzawszy gwiazdę, pisze św. Mateusz Ewangelista, uradowali się radością bardzo wielką i wszedłszy w dom, znaleźli Dziecię i Marję matkę Jego, i upadłszy pokłonili się Jemu, a otworzywszy skarby swe ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę“.

Ten pokłon oddany Zbawicielowi świata, te dary złożone przed Dzieciątkiem Jezus, były uroczystem wyznaniem wiary w świętą Tajemnicę Wcielenia, w wykonanie się proroctw, w spełnienie obietnicy Bożej, że nam zeszle Odkupiciela. O jakże wspaniały przykład dali światu ci Trzej Królowie, jak wielką była łaska, która ich oświeciła i dała w nagrodę za posłuszeństwo tej łasce szczęście oglądania własnemi oczyma zbawienie świata! Szli z daleka, opuściwszy rodzinne strony, aby podziwiać majestat Słowa Wcielonego. Przywykli na wschodnich dworach królewskich do przepychu i bogactwa jakże dziwne znaleźli tu otoczenie. W podobnych warunkach zaliż narodził się jakikolwiek z mocarzy tego świata? Stajenka — siano — prostaczkowie pasterze, ubóstwo, opuszczenie, wszystko, co u ludzi w najwyższem jest wzgardzeniu, a jednak nie widzimy ani chwili wahania, żaden z nich nie przypuszcza, że to pomyłka jakaś zajść musiała, że Król i Pan nie może tu spoczywać. Oni wierzą w gwiazdę cudowną, która ich przywiodła, radują się, że nad stajenką betleemską nie zwykłym blaskiem płonie i spieszą wnet cześć oddać Nowonarodzonemu, Nie ulega wątpliwości, że nie oni jedni widzieli tę gwiazdę na niebie, że była ona powodem podziwu dla wielu, a jednak czemuż inni nie poszli za ich przykładem, czemu nie pośpieszyli do żłobka betleemskiego?...

Ale z Woli Bożej Niebieskie Dzieciątko, co przyniosło ludziom pokój i zbawienie, nie miało być odrazu poznane i uwielbione przez świat cały. Naród żydowski z okrutnym Herodem na czele nie oddał hołdu należnego Synowi Bożemu, jak to uczynili Trzej Królowie i nie uwierzył, iż przyszedł czas chwały dla ubożuchnej judejskiej mieściny, zkąd: *wynijdzie wódz, który ma rządzić ludem izraelskim.* Ale kapłani izraelskiego ludu, pomimo, że wszystkie proroctwa powinne im były dokładniej, niż innym być znane, zaślepieni pychą nie szukali prawdą, jak to czynili owi Mędrcy wschodu trzymający w swem ręku klucz umiejętności wszelakich. Bóg błogosławił ich usiłowaniom i zaprowadził do najczystszego źródła prawdy, do poznania światłości wiekuistej.

Któż zdoła wyrazić słowami tę radość napełniającą serca Trzech Króli, kiedy po długich poszukiwaniach ujrzeli własnemi oczami cud nad cudy Bóstwo Wcielone. Jakże drogą była dla nich każda chwila spędzona u stóp Boskiego Dzieciątka i Najśw. Panny Marji. Ubogie otoczenie nie raziło ich oczu, gdyż zrozumieli jakie skarby niezrównane spłynąć odtąd miały na świat cały. Dusze ich oglądały Majestat Boży i ogarniały tę nieskończoną miłość Syna Bożego, która Go skłoniła do oddania się na

[1]) Izajasz LX, 7.

ofiarę, aby zbawić ludzi. Tam, gdzie inni widzieli lichy żłobek, oni dostrzegali tron Boży; w tem kilkanaście dni zaledwie liczącem Dziecięciu uznawali Pana i Władcę świata.

Powrót do rodzinnego kraju i świątobliwe życie,

Kiedy już święci Królowie nacieszyli się radośnym widokiem Słowa Wcielonego odeszli, aby we śnie jeszcze przeżywać doświadczone wrażenia i pokrzepić się po trudach podróży. Ale we śnie Bóg im wyraźnie oznajmił, że powinni strzedz się przewrotnego Heroda i nie powracać do Jerozolimy obierając inną drogę ku granicy. Herod nie doczekawszy się powrotu Mędrców, rozgniewał się bardzo i wydał rozkaz wymordowania wszystkich dzieci w Betleem i okolicy liczących do dwóch lat wieku. Można jednak wyobrazić tę straszną boleść i oburzenie, jakie okrutny i bezlitośny ten rozkaz wywołał Przepowiedział to Jeremiasz prorok wołając:

„Głos na wysokości słyszany jest, narzekania, płaczu i żałości: Rachel płacząca synów swoich, a nie chcącej przyjąć pocieszenia nad nimi, że ich nie masz“ [1]).

Ale nieludzkie okrucieństwo Heroda, które okryło żałobą serca tylu nieszczęsnych matek, nie dopięło celu, albowiem jak nam opowiada Ewangelja, Anioi Pański ukazał się we śnie św. Józefowi i przestrzegł go każąc uchodzić do Egiptu z Boskiem Dzieciątkiem i Jego Matką Najświętszą.

Zanim nastąpiła owa Ucieczka do Egiptu i rzeź niewiniątek, Trzej Królowie posłuszni Boskiemu rozkazowi oddalili się z Betleem omijając nietylko Jeruzalem, ale jak zapewnia Cyryl w Życiu świętego Teodozjusza, unikając dróg uczęszczanych, nocamą chroniąc się w jaskiniach, aby opuścić Judeę niepostrzeżenie. Tak więc, pomimo, że Betleem znajduje się bardzo blizko Jerozolimy zdołali z Bożą pomocą ujść szczęśliwie, unikając natrętnych pytań Heroda.

Powróciwszy zaś do swoich głosili tam chwałę Boskiego Dzieciątka, a wyrzekłszy się wszelkich skarbów doczesnych wiedli świątobliwe życie w ubóstwie i pokorze, zachęcając innych swym budującym przykładem.

Przejście Trzech Króli na łono Kościoła św.

Kiedy Apostoł Tomasz po Zmartwychwstaniu i Wniebowstąpieniu Zbawiciela przybył do krajów przez nich zamieszkiwanych, opowiedział im wszystko, co zaszło od chwili, gdy opuścili Betleem, oświecił ich umysły wzniosłą nauką Chrystusową, udzielił im chrztu św. a kiedy już dokładnie z tajemnicami religji chrześcijańskiej byli oznajomienieni, otrzymali z rąk Apostoła kapłańskie święcenia, a następnie sakra biskupia dała im możność głoszenia szeroko prawd wiary i apostołowania wśród pogan.

Są oni pierwszymi przedstawicielami narodów pogańskich, które uznały Słowo Wcielone, przyjęły Boską naukę, aby wespół z nawróconymi Izraelitami stanowić jeden lud chrześcijański, jeden święty i powszechny Kościół.

Pokłon Trzech Króli.
Luini (Bernardino), muzeum Luwr w Paryżu.

Tradycje Kościoła przekazały nam o ŚS. Kasprze, Melchiorze i Baltazarze następujące szczegóły z późniejszych lat życia. Oto wszyscy trzej po licznych swych pracach celem szerzenia słowa Bożego znaleźli się w r. 54 po Chr. w mieście Serwanie i tam obchodzili wspólnie święto Bożego Narodzenia. Melchior miał już podówczas sto szesnaście lat i zmarł d. 1 stycznia tegoż roku. Baltazar o sześć dni go tylko przeżył mając lat sto dwanaście, a wnet po nim zasnął w Bogu Kasper w sto dziewiątym roku życia. Wszyscy trzej zostali złożeni w jednym grobie. Są to tradycyjne legendy, które się w Kolonji, przechowały. Według Greków wszyscy Trzej

[1]) Jeremiasz XXXI, 15.

Królowie śmierć męczeńską ponieśli, życie swe chętnie Jezusowi niosąc w ofierze, jak niegdyś złożyli mu w darze mirrę, kadzidło i złoto.

Relikwie ŚŚ. Kaspra, Melchiora i Baltazara.

Do więcej pewnych wiadomości zaliczyć możemy przewiezienie świętych szczątek z Persyi do Konstantynopola za staraniem św. Heleny cesarzowej, która kazała uroczyście złożyć je we wspaniałej bazylice św. Zofji. Następnie za panowania cesarza Emanuela relikwie te zostały przeniesione do do Medjolanu, przez biskupa Eustorgjusza i tam (według Piotra Galeziniusza) pozostawały przez lat 670 w Kościele zwanym Estorgiuszowym, gdzie wielce uroczyście obchodzono zwykle święto Trzech Króli czyli Objawienie Pańskie; nabożeństwo odbywało się w nocnej porze tak samo, jak Boże Narodzenie.

Wreszcie, gdy w 1162 r. cesarz niemiecki Fryderyk Rudobrodym zwany, zacięty wróg papieża i z Włochami prowadzący boje, zdobył Medjolan i miasto całe zniszczył w sposób barbarzyński, przywłaszczył też relikwie ŚŚ. Kaspra, Melchiora i Baltazara i kazał przenieść je do Kolonji znajdującej się podówczas w obrębie jego państwa.

Arcybiskup koloński przewodniczył uroczystemu przeniesieniu relikwji, a przez całą Szwajcarję, Alzację i Lotaryngję liczny orszak procesjonalnie mu towarzyszył ściągając tłumy wiernych.

Drogocenny ten skarb został umieszczony w Kolonji w r. 1164, gdzie do dziś dnia spoczywa.

W następnym wieku przedsięwzięto budowę słynnej na cały świat katedry kolońskiej; najpiękniejsze to dzieło z najświetniejszej epoki budownictwa niemieckiego. Rozpoczęta została w roku 1248 (przez architekta Sunere, za arcyb. Konrada Hohstaden). Wspaniała to świątynia w czysto gotyckim stylu. Roboty przy niej posuwały się bardzo powoli; dopiero w 1437 r. wzniesiono wieżę na 170 stóp wysoką. Do końca XV w. coraz więcej przyozdabiano tę świątynię Pańską, następnie przez dłuższy czas roboty przy niej były zawieszone. Dopiero w 1814 r. zaczęto myśleć o jej wykończeniu, a przywrócenie arcybiskupstwa w 1824 r. sprowadziło większą jeszcze o nią troskliwość i zupełne odnowienie tego, co już istniało. Popłynęły obfite składki i wspaniała katedra budzi dziś ogólne zachwyty.

Zobaczmy teraz jakie w tym czasie koleje przechodził cenny relikwiarz ukrywający relikwie ŚŚ. Trzech Króli. W r. 1794 kiedy wojska francuzkie podchodziły do Kolonji, kapituła była zmuszoną emigrować i relikwiarz został umieszczony w Ansbergu (w Westfalji). Następnie przeniesiono go do Frankfurtu nad Menem, gdzie trudne okoliczności i zupełny brak środków omal nie zmusiły wygnańców do sprzedania cennego relikwiarza ale zapobiegł temu w porę jeden z obywateli Frankfurtu nazwiskiem Molinari i postarał się o powrotne odtransportowanie drogocennego zabytku do Kolonji w r. 1804. Kilka lat pracy trzeba było zużyć, ażeby doprowadzić znów relikwiarz do pierwotnego stanu, gdyż wiele figur rzeźbionych zniszczyło się mocno przy ustawicznych przewożeniach go z miejsca na miejsce.

Obecnie spoczywają relikwie w marmurowej kaplicy katedry kolońskiej w tymże starożytnym relikwiarzu, którego wizerunek tu podajemy. W roku 1810 jakiś złoczyńca zakradłszy się nocą do katedry, poodrywał kilka cennych ozdób ze srebra i złota oraz drogie kamienie. Udało się jednak wpaść na trop świętokradzcy i większą część łupu odebrano.

Trumna z relikwiami ma pięć i pół stóp długości a trzy szerokości, wysokość jej pięciu stóp dochodzi.

Płaskorzeźby przedstawiają Najśw. Pannę z Dzieciątkiem Jezus, na lewo Trzej Królowie składający dary, a obok nich cesarz niemiecki Otton IV, który chciał się uwiecznić wraz z pierwszymi monarchami oddającymi hołd Jezusowi. Na prawo chrzest Zbawiciela w Jordanie. Wieko przybrane drogiemi kamieniami, wewnątrz trzy złote korony, które były niegdyś na głowach ŚŚ. Króli a rubinami wysadzane są ich imiona. Po bokach figury ŚŚ. Feliksa i Nabora, których relikwie również spoczywają w Kolonji. Dokoła trumny są figury srebrne pozłacane wyobrażające postacie ze Starego Testamentu.

Królewskie dary.

Dary ofiarowane Boskiemu Dzieciątku Jezus przez Trzech Króli mają swoje głębokie znaczenie i Ojcowie Kościoła tak je tłumaczą:

Ofiarowali Mu kadzidło, tym darem uznając Jego Bóstwo, ponieważ już u Żydów kapłani palili na cześć Boga kadzidło na przysposobionym ku temu ołtarzu.

Mirrę otrzymał w darze Zbawiciel, jako oznakę swego Wcielenia, czasowego człowieczeństwa, ponieważ mirry to jest pachnącej żywicy używano w owym czasie do namaszczania i balsamowania ciał zmarłych.

Wreszcie złoto pobożni Królowie złożyli u stóp Dzieciątka Jezus, jako Władcy, założycielowi Kościoła św. i Królestwa na tym świecie, ale nie z tego świata, ponieważ ono początek ma z nieba i prowadzi ludzi do nieba.

Upominki Trzech Króli mogą nam służyć wzorem ofiar wewnętrznych jakie obowiązani jesteśmy składać Jezusowi. Złoto jest w tym razie godłem miłości, jaką serca nasze powinny pałać ku Zbawi-

cielowi. Kadzidło przedstawia modlitwę wznoszącą się ku niebu niby dym kadzidła, modlitwą bowiem, my, nędzne stworzenia, dosięgamy tronu Bożego Mirra jest godłem umartwienia, przypomnieniem znikomości życia cielesnego; człowiek praktykujący umartwienia niejako umiera dla świata, a żyje tylko dla Boga.

Tradycyjne zwyczaje w połączeniu z religijnemi pamiątkami.

Nazywamy też dzień Trzech Króli Powołaniem Pogan, albowiem owi Mędrcy z obcych, dalekich krain przybyli, są zarazem pierwszymi poganami, którzy uwierzyli w Boskość Zbawiciela. Są oni w przenośni nazywani drzwiami, przez które światło wiary przenikło do ludów. Ztąd też powstał bardzo odległych czasów sięgający zwyczaj pisania na drzwiach domów początkowych liter świętych Trzech Króli, poprzedzielanych krzyżami.

W średnich wiekach było we zwyczaju w dniu Trzech Króli przynosić do poświęcenia w kościołach złoto, kadzidło i mirrę, a następnie przechowywano je w cześć Trzech Króli, jako błogosławieństwo dla domu.

Mało też osób zapewne wie dzisiaj zkąd pochodzi tradycyjny obyczaj, który z pobożnej pamiątki zamienił się w towarzyską zabawę zwłaszcza wśród dzieci dobrze znaną, a praktykowaną wyłącznie d. 6 stycznia, zowią to u nas „królem migdałowym“, kto bowiem migdał w cieście ukryty dostanie, zostaje obwołany królem wieczoru.

Za dawnych czasów w cześć Trzech Króli przybyłych ze wschodu obierano w każdej rodzinie za pomocą losowania, tego, kto ma w dniu tym innym przewodniczyć. Radosna uczta zwykle bywała w domach chrześcijańskich urządzana w dniu tym na pamiątkę godów w Kanie Galilejskiej; łamano ciasto. w którem ukryty znak jakiś, (jak np. migdał u nas), decydował o wyborze króla uroczystości. Dwa kawałki ciasta były obowiązkowo ofiarowywane w Imieniu Jezusa i Marji jakiemuś ubogiemu, aby w ten sposób zaznaczyć wspólną wszystkim radość z Objawienia się Zbawiciela. Tak więc starano się łączyć z każdą niewinną uciechą, wzniosłą myśl religijną. W naszych kolendach spotykamy też w prostych słowach cześć dla Trzech Króli wyrażoną.

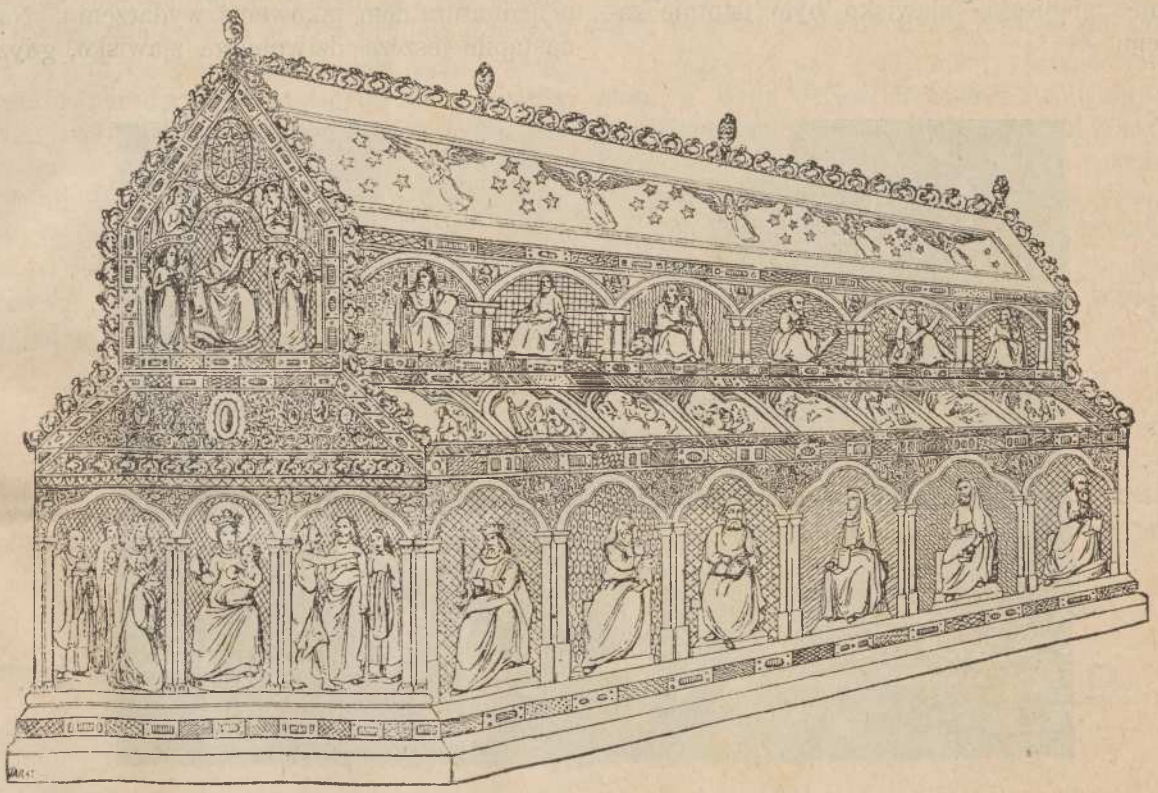

Relikwiarz, w którym przechowują się święte szczątki Królów Magów: ŚŚ. Kaspra Melchiora i Baltazara w katedrze kolońskiej.

Różne zdania uczonych i astronomów o gwieździe betleemskiej.

W cennem dziele „Życia Świętych“ zebrane przez Bolandystów znajdujemy ciekawe zestawienie opinji uczonych o gwieździe, która przywiodła niegdyś Mędrców wschodu do ubogiej Judejskiej mieściny.

Dr. Sepp, np. który w swych pracach naukowych dalekim jest od odłączania wiedzy od religji, jak to wielu dzisiejszych uczonych błędnie czyni, stara się właśnie wykazać związek istniejący pomiędzy zjawiskami przyrody i tem, czego nas Pismo Św. uczy.

Otóż opowiada on opierając się na badaniach znakomitych astronomów, że w r. 1604 zauważono gwiazdę niezwykłej piękności pomiędzy planetami Marsem, Saturnem i Jupiterem, tam gdzie dawniej jej nie widziano. Rzucała ona blask odrębny, a przytem z powodu zbliżenia się z sobą wyżej wspomnianych planet niebieskie zjawisko było istotnie zadziwiajacem.

herezyi lutra). Siódmy okres w którym my żyjemy, ma się skończyć w 2400 r. Każdemu więc spotkaniu planet towarzyszyły na ziemi ważne przewroty dziejowe. Ta okoliczność pozwala przypuszczać, że Mędrcy Wschodu, wielce biegli w nauce czytania z gwiazd, mieli wyraźne wskazówki co do znaczenia gwiazdy, która ich do Betleem przywiodła, gdyż takowa oznaczała dla nich zapowiedziane przyjście Mesjasza. Przed Bożem Narodzeniem właściwie trzykrotne spotkanie planet było widoczne na ziemi, wszystkie zaś pod znakiem *Ryby*. Astrologowie czyli wróżący z gwiazd wyprowadzali ztąd wniosek o nadnaturalnem jakowemś wydarzeniu. Następnie nastąpiło jeszcze dziwniejsze zjawisko, gdyż siedm

Pokłon Trzech Króli. obraz Franciszka Francia.

Spotkania z sobą planet następują mniej więcej co lat 800. Takich okresów od stworzenia pierwszego człowieka liczą siedm. Pierwszy od Adama do Enocha (3200 lat przed nar. Chr.).

Drugi od Enocha do potopu (na 2400 lat przed nar. Chr.). Istotnie najstarożytniejsze obserwacje astronomiczne Chińczyków notują w tym właśnie czasie spotkanie się planet.

Trzeci od potopu do Mojżesza (1600 lat przed Chr.). Czwarty od Mojżesza do Izajasza (800 lat przed Chr.).

Wreszcie Zbawiciel objawia się światu na początku szóstego okresu, jak praojciec nasz Adam szóstego dnia stworzenia.

Piąty okres rozciąga się od Narodzenia Chrystusa do czasów Karola Wielkiego (808 lat po nar. Chr.). Szósty do 1600 r. (do czasów nieszczęsnej

planet utworzyły jakgdyby wspaniałą koronę. Ten gwiezdny orszak obwieszczający Narodzenie Zbawiciela świata przywodzi na pamięć ową tajemnicę siedmiu gwiazd trzymanych przez Syna Bożego w prawym ręku, o których św. Jan dwukrotnie wspomina. (Apokalipsa I, 16. II, 1).

W starożytności wielką przywiązywano wagę do tego, pod jaką planetą kto był urodzony. Zodjak, zwierzyniec jest pospolitą nazwą ogółu gwiazdozbiorów, przez które słońce w ciągu roku przechodzi. Dwanaście jest takich znaków zodjakowych, które przeszły do kalendarza; z nich dwunasty Ryby, pod którym narodził się Zbawiciel i Mesjasz był prorokowany. Jak w Starym Testamencie Judę nazywają Lwem, znak pod którym był urodzony, tak Ojcowie Kościoła i pierwsi chrześcijanie pod symbolem Ryby rozumieli Chrystusa i dla tego w ka-

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

takumbach tak często spotyka się te znaki mające wyobrażać Jezusa jako Mesjasza zarazem, ponieważ w hebrajskich księgach Talmudu również Go tak mianują.

Wizerunki Trzech Króli.

Zwykle przedstawiają razem ŚŚ. Kaspra, Melchiora i Baltazara; najczęściej spotykamy na obrazach pokłon Trzech Króli i gwiazdę przewodnią na niebie wiodącą ich do Betleem. Na głowie mają korony lub zawoje wschodnie; czasem jednego z nich malarze wyobrażają o cerze mocno brunatnej przedstawiając w nim rasę murzyńską, dla zaznaczenia, że wszystkie narody były powołane do poznania prawd wiary św. Otacza ich orszak dworzan towarzyszący im w podróży, wielbłądy przypominają przepowiednie proroków, w których jak to powiedzieliśmy wyżej jest o nich mowa. Najśw. Panna trzymająca Dzieciątko Jezus, obok św. Józef zawsze są jednocześnie przedstawieni, gdy Królowie u stóp Jezusa składają dary. Niektórzy artyści w wiekach średnich mieli zwyczaj ubierać postacie na obrazach w szaty, jakie noszone były za ich czasów; i tak np. na obrazie Francia „Pokłon Trzech Króli“ widzimy orszak cały w strojach włoskich, pomimo, że w ten sposób odstępowali najzupełniej od prawdy historycznej. Była w tem jednak zawsze głęboka myśl religijna, chęć wyrażenia czci współczesnych, którzy niejako łączą się z tymi pierwszymi czcicielami Jezusa jednakiem uczuciem wiary w Boskość Jego na wieki zjednoczeni.

Orędownictwa Trzech Króli przyzywają wierni w razach epilepsji. Na całym świecie fabrykanci kart do grania, obrali ich za swoich patronów.

Wszyscy zaś powinniśmy prosić wstawiennictwa u Boga Świętych Trzech Króli, aby gwiazda prawdy przywiodła jak najrychlej zbłąkanych i bezbożnych do żłobka betleemskiego, do poznania Boga i pokłonienia się przed Jego Majestatem, jak to uczynili Mędrcy wschodu szukający w dociekaniach swych źródła wszechrzeczy, a umysł ich łaską Bożą oświecony znalazł drogę najprostszą drogę wiodącą przez wiarę do nieba.

Dnia 12 Stycznia.

ŚWIĘTY BENEDYKT, BISCOP.

Za rządów papieży Honorjusza I, św Witaljana, Sergjusza I.

Życie światowe ma urok,
ale ten urok jest zawodny.
Św. Honorat.

Rozwój Kościoła w Anglji.

Wiek siódmy w dziejach Anglji przedstawia nam okres bardzo szczęśliwy, ponieważ zapanował spokój po poprzedzających go najściach barbarzyńców i następnych wojnach Karlowingów, (członków dynastji Karola Wielkiego.)

Anglosaksoński Kościół powstał, gdy papież Grzegorz Wielki posłał w 596 r. czterdziestu Benedyktynów, do Anglji. Na ich czele był św. Augustyn późniejszy biskup kanterburski, który króla Kentu Etelberga i znaczną liczbę jego poddanych nawrócił. Powstało wtedy dwanaście biskupstw.

W r. 664 zjednoczone zostały wszystkie Kośw Wielkiej Brytanji czyli Anglji i oddane pod zarząd św. Teodora arcybiskupa kanterburskiego. Bardzo wiele imion świętych mężów liczyła Anglja w tych czasach: powstawały liczne klasztory będące ogniskami nauki i cnoty. Św. Benedykt zajmuje miejsce wybitne w tym szeregu zasłużonych Kościołowi, wyjątkową cnotą odznaczających się postaci, okrywających kraj rodzinny wielką chwałą.

Wychowanie i młodzieńcze lata św. Benedykta. Pielgrzymka do Rzymu.

Św. Benedykt Biscop Baducing urodził się w królestwie Nortumberland; pochodził z rodziny możnej i zaszczytnie w kraju znanej. Rodzice wychowywali go starannie, zawczasu do rycerskiego sposobiąc rzemiosła. Benedykt był młodzieńcem zdolnym, mężnym i wytrwałym, co mu zjednało życzliwość Oswy, króla Nortumberlandu i kilka lat spędził na królewskim dworze.

Ale Bóg do innej powoływał go pracy; w duszy Benedykta nastąpił nagły przewrót, postanowił opuścić nie tylko dwór okazały ale nawet kraj rodzinny, aby udać się do Rzymu.

Tam zwiedził wszystkie miejsca krwią męczenników uświęcone, modlił się gorąco u grobu św. Apostołów Piotra i Pawła starał się zgłębić prawdy wiary i doskonałości chrześciańskiej, dopełniając w ten sposób swe wykształcenie, które pod względem religijnym było dotąd nie zadawalniającem dla jego umysłu i serca. Ta pielgrzymka do Rzymu silne na nim wywarła wrażenie i po powrocie do kraju oddał się całkowicie zgłębianiu ksiąg świętych i praktykom religijnym.

Rasa Anglo Saksońska niedawno nawrócona odznaczała się w tej epoce wielkiem posłuszeństwem i przywiązaniem do Apostolskiej Stolicy, książęta, biskupi, bogaci i ubodzy, kobiety nawet zarówno jak i mężczyźni, wszyscy chętnie wielce przedsiębrali pielgrzymki do Wiecznego Miasta, (jak Rzym zwykle nazywano) aby w wierze się umocnić i serca pokrzepić.

Powtórna pielgrzymka do Rzymu. Zakonne śluby.

W pięć czy też sześć lat po powrocie Benedykta do Anglji syn króla Oswy, Alkfryd zamierzył udać się w podróż do Rzymu i prosił, aby mu Benedykt towarzyszył, ale ojciec nie pozwolił młodemu księciu wyjechać z kraju. Wówczas św. Benedykt sam powtórnie wyruszył do Rzymu w celu doskonalenia się w naukach świętych i zwiedzenia włoskich klasztorów. Miał już zapewne wtedy zamiar rozpoczęcia życia zakonnego i chciał poznać różne reguły zakonne gotując się do nowego powołania.

W powrotnej drodze zatrzymał się na wyspie około południowej Francji w słynnem opactwie Lewinu, założonem przez św. Honorata, gdzie przywdział habit. Po dwuletnim tam pobycie powrócił do Rzymu w 668 r. albowiem dusza jego spragniona była surowszej jeszcze reguły, oddawał się praktykom pokutniczym i ustawicznej modlitwie, miał zamiar pozostać na stałe w tem mieście, gdzie święte pamiątki podniecały jeszcze jego gorliwość, ale papież św. Witalian zwrócił uwagę na pobożność i cnoty Benedykta i życzył sobie, aby towarzyszył biskupowi Teodorowi, którego Ojciec św. wysyłał do Anglji mianując go arcybiskupem kanterburskim. Św. Teodor był mnichem greckiego pochodzenia, odznaczał się wielką mądrością i papież powierzył mu wprowadzenie ściślejszej karności, oraz ukrócenie nadużyć, o jakich doszły go wieści. Jednocześnie miał jechać do Anglji inny mnich z Afryki rodem, imieniem Adrjan. Św. Benedykt zastosował się do woli papieża stając się przewodnikiem w podróży i tłumaczem swych towarzyszy.

Powrót do Anglji.

Podróże w one czasy były wielce uciążliwe i trwały zwykle długo. Trzej świątobliwi wędrowcy wyruszywszy w maju do Marsylji zatrzymać się musieli czas pewien u arcybiskupa w Arles, zanim minister francuzki Ebroin dał im pozwolenie na dalszą drogę przez francuzkie ziemie. Zimę przebyli w Paryżu, poczem król Kentu wysłał dostojników na spotkanie oczekiwanego z upragnieniem arcybiskupa. Św. Teodor i Benedykt szczęśliwie przybyli do Kanterbury, Adrjana zaś zatrzymał Ebroin podejrzywając, że ma sobie powierzoną jakąś misję polityczną sprzeciwiającą się interesom Francji, a właściwie jego własnym widokom i o dwa lata musiał Adrjan opóźnić swój przyjazd do Anglji z tego powodu.

Nieopodal Kanterbury znajdowało się opactwo pod wezwaniem św. Piotra i Pawła które nowy arcybiskup Teodor Benedyktowi powierzył. Pobożny opat wprowadził tam ład wzorowy, ale jak tylko Adrjan zdołał się wyswobodzić, Benedykt w jego ręce rządy, złożył a sam do Rzymu pośpieszył. Chodziło mu o wyświetlenie pewnych wątpliwości dotyczących karności i ustanowień klasztornych, co go zniewoliło do odwiedzenia kilku włoskich klasztorów. Nosił się z myślą ufundowania nowych zgromadzeń w rodzinnym kraju. chciał więc dokładnie zbadać wszystkie urządzenia, aby następnie przystosować je mądrze na chwałę Bożą i ludzki pożytek. Jakoż następnie, jak to zobaczymy w dalszym ciągu, bardzo wiele zmian pożądanych wprowadził, a imie jego w historji zakonów w Anglji bardzo zaszczytnie jest znane.

Założenie dwóch klasztorów. Św. Benedykt uczy Anglików budowania świątyń Pańskich z kamienia i fabrykacji szkła.

Po królu Oswie objął tron Alkfryd, który wielce O. Benedykta cenił, ofiarował mu grunta według dawnego wyrażenia „na 70 wozów“, to jest mogące wyżywić siedmdziesiąt rodzin. Tam około r. 674 Benedykt wybudował klasztor pod wezwaniem św. Piotra nazwany Weremouth (czytaj Ueurmuz) drugi zaś pod wezwaniem św. Pawła powstał za staraniem św. Benedykta w lat trzy potem nad rzeką Tyn, zwany Jarrow. Ponieważ nie wielka odległość dzieliła te dwa klasztory, św. Benedykt jednocześnie w obydwóch był przełożonym. Starał się zgromadzić ludzi wyjątkowo świątobliwych, pomiędzy nimi znaleźli się nawet tacy, którzy w poczet świętych zostali następnie zaliczeni, jak n. p. Esterwin i Ceolfryd. Ci byli wielce pożytecznymi pomocnikami św. Benedykta i zastępowali go w tym czasie, gdy musiał się na czas dłuższy oddalać.

Dawniej Anglosaksoni nie mieli pojęcia o sztuce budowniczej z kamienia i wszystkie domy i świątynie były drewniane, nawet kościół przy słynnym klasztorze Lindisfarn był tak samo z kloców i desek wystawiony.

Św. Benedykt sprowadził murarzy z Francji i on to pierwszy nauczył swych rodaków jak wznosić trwałe budowy, również jemu zawdzięczają Anglicy fabrykację szkła, pierwsze okna w kościele i klasztorze uczyniły wielkie wrażenie; przytem obeznawszy się we Włoszech z malarstwem kościelnem przyozdobił kościoły obrazami, co było też nowością w tym niedawno dopiero nawróconym wierzonymi opiece świątobliwego opata był Beda, który od siódmego roku życia znajdował się pod dobroczynnym wpływem św. Benedykta. (Czcigodny Beda ur. w 672 r. w dyecezji Durham w Anglji um. w 735 r. Jest to wielce ceniony autor kościelny, wsławiony nadewszystko napisaniem „Historji kościelnej Anglików“ i „Komentarzy nad Pismem Św.“).

Św. Benedykt Biscop przeor Benedyktynów nie mogąc uczęstniczyć w nabożeństwie słucha śpiewu zakonników.

kraju. Książki z trudem naówczas dostawano, św. Benedykt ze swych licznych pielgrzymek przywiózł owe cenne skarby wiedzy duchownej tak dla zakonników pożądane. Wykładał sam Braciom pobożne praktyki, na jakie napatrzył się w różnych klasztorach, pragnąc usilnie, ażeby życie zakonne rozwinęło się w Anglji na wzór Włoch i Francji. W opactwie swem urządził kolegium, gdzie sześciuset zakonników słuchało jego wykładów, ćwicząc się w naukach i cnocie. Pomiędzy wychowańcami po-

Działalność i cnoty św. Benedykta.

Działalność św. Benedykta Biscop pod każdym względem przedstawia się wspaniale, podniósł on poziom religijny, kształcił umysły, uczył budownictwa, klasztory przyozdobił, a w doborze obrazów okazał wielką umiejętność, w Jarrow przedstawione były sceny ze Starego Testamentu odpowiadające wizerunkom poczerpniętym z życia Chrystusa. I tak n. p. Pan Jezus uginający się pod ciężarem krzyża,

jako bolesne przypomnienie ofiary Zbawiciela, a z drugiej strony Izaak układający stos, na którym miał być Bogu oddany na ofiarę. Były tam również wyobrażone postacie Apostołów, Matka Boska i Objawienia św. Jana. Wszystko to przyczyniało się wielce do podniesienia czci Bożej, sztuka malarska mało znana jeszcze na północy oddziaływała korzystnie na wyobraźnię. Papieże oceniali pracę św. Benedykta i jego gorliwość nagrodzili sowicie udzielając mu drogocenne relikwje św., które stały się celem pielgrzymek do założonych świeżo klasztorów.

Z każdej swej wycieczki do Rzymu przywoził troskliwy przełożony jakieś nowe skarby dla umiłowanego zgromadzenia, ci zaś wierni niedawno nawróceni, którzy sami czytać z książek nie umieli znajdowali niewysłowioną radość z oglądania wspaniałych obrazów włoskiej szkoły, dających im żywe pojęcie o życiu Zbawiciela, Jego Matki Najśw. i Świętych Pańskich oraz słuchając natchnionych słów i mądrych nauk św. Benedykta.

Wprowadzenie śpiewu gregorjańskiego w Anglji.

Św. Agaton papież nadał zakonnikom angielskim liczne przywileje. Pozwolił też, aby św. Benedyktowi towarzyszył do Anglji ks. Jan, doskonały znawca muzyki kościelnej, który prowadził chóry w bazylice św. Piotra w Rzymie. Miał on wyuczyć mnichów angielskich gregorjańskiego śpiewu i ceremonjału rzymskiego.

Podniosłe śpiewy religijne przyczyniały się wielce do uroczystego obchodzenia wszystkich świąt i celebrowania mszy śpiewanej. Benedykt sam tak dalece zapoznał się z teorją muzyki kościelnej przy pomocy ks. Jana, że ułożył książkę o obchodzie świąt, ażeby wszystkie wskazówki udzielone przez nauczyciela pozostały zebrane w jedną całość.

Wieleb. Beda który opisał następnie życie swego zacnego opiekuna i opata nie znajduje dość słów pochwały dla jego wielkiej pieczołowitości o dobro Kościoła i opowiada o jego wytrwałości i niezmordowanej pracy.

Św. Wilfrid i św. Adrjan ze swej strony w innych klasztorach kształcili wielu uczni zwracając również uwagę na muzykalne zdolności oraz rozwój wszystkich nauk. W ten sposób zakonnicy przyczyniali się do szerzenia światła, a zarazem dawali z siebie przykład surowej cnoty.

Ostatnie lata. Śmierć św. Benedykta. Cześć mu oddawana.

W ostatnich latach życia św. Benedykt był wielce pracą wyczerpany i schorzały, ale niezrównana jego cierpliwość w znoszeniu ustawicznych dolegliwości budziła ogólny podziw. Dziękował wciąż Bogu, że mu dozwolił doprowadzić do końca swe zamiary i cieszyć się widokiem tak wzorowego zgromadzenia. Z wielką przyjemnością opowiadał Braciom o swych pielgrzymkach do miejsc świętych, przypominał dokładnie wszystkie szczegóły, a przykuty niemocą, w końcu prawie całkowicie sparaliżowany, myślą wyrywał się ku tym grobom św. Apostołów, dla których cześć nadzwyczajną zawsze żywił. Oczy jego rozpłomieniały się świętym ogniem, kiedy mówił o miłości dla Boga, o wielkiem posłannictwie sług Jego, z niezmierną radością dowiadywał się z ust przybyłych, aby go pocieszać w chorobie, o rozwoju zakonów, które tylokrotnie zwiedzał w swych pielgrzymkach po Włoszech i Galji.

Nie mogąc już powstać z łóżka, aby słuchać mszy św. w kościele, czuł się wielce szczęśliwy, gdy zakonnicy przychodzili do jego celi i śpiewali chórem psalmy, śledził pilnie każde słowo, a nawet gdy czuł się nieco rzeźwiejszym dopomagał im gasnącym już głosem.

Czując się blizkim zgonu dawał jeszcze uczniom swym rady i przestrogi, jak powinni wiernie zachowywać regułę i strzedz się najlżejszego zaniedbania.

— Nie sądźcie, mówił im, aby wszystkie przepisy, które tu ustanowiłem były moim wymysłem, zbadałem gruntownie siedmnaście różnych klasztorów, przypatrzyłem się z bliska zachowywanej tam dyscyplinie, ze wszystkich tych moich spostrzeżeń utworzyłem sobie jasne pojęcie o tem, co jest z największym dla was pożytkiem i oto wam doświadczeniem i praktyką zdobyte przepisy karności pozostawiam.

Św. Benedykt oddał Bogu ducha d. 12 stycznia 690 r. otoczony całą swą duchowną rodziną która traciła w nim prawdziwego ojca. Za życia jeszcze mówiono o nim ze czcią, jak o świętym, a po śmierci czczono go, jak patrona zgromadzenia za nim jeszcze Kościół w poczet błogosławionych go zaliczył.

Wiel. Beda opisał jego cnotliwe życie i w jednym ze swych wspaniałych kazań podnosi wielkie zasługi zmarłego. Z tego cennego źródła czerpali następnie wszyscy dziejopisarze wszelkie szczegóły dotyczące tego świętego.

Przeniesiono jego relikwje do opactwa Thorney w 970 r. Wszyscy Benedyktyni angielscy uważają św. Benedykta Biscop za jednego ze swych patronów.

Dalsze losy opactw przez św. Benedykta założonych.

Opactwa z takim nakładem pracy doprowadzone do kwitnącego stanu przez świętego ich za-

łożyciela zostały zniszczone przez Duńczyków w X w. i najazd Normandów w XI w. Od tego czasu nie podniosły się już nigdy i do dawnej świetności nie wróciły; były to już tylko przeorstwa podległe opactwu Durham. Za panowania króla Henryka VIII rzekome reformy wpłynęły na zupełne ich skasowanie (1546 r.). Jedna część starożytnego kościoła w Jarrow zachowała się aż do dni naszych, ale jest obecnie parafialnym kościołkiem protestanckim, gdzie przechowują w zakrystji krzesło wiel. Beda, jako pamiątkowy zabytek odległej przeszłości.

Przykro pomyśleć, że ta ziemia, która wydała tylu mężów niezwykłej zasługi i cnoty, tak gorąco do katolickiej wiary i do Stolicy Apostolskiej przywiązanych, którą wyspą świętych przez pewien czas nazywano, poddała się błędom odszczepieństwa. Cała praca takich dusz wybranych, jakiemi byli śś. Augustyn, Tomasz, Edward, Anselm, Benedykt i tylu innych została przez licznych sekciarzy zniweczoną. Zniesiono obrazy świętych oraz msze, spowiedź katolicką, kapłaństwo, śluby zakonne, obrzędy, organy, gromnice, ornaty, święta, jednem słowem nie tylko nie uznawano Namiestnika Chrystusowego ale i nauki Boskie starano się przeinaczyć odrzucając Komunję św. najwznioślejszą tajemnicę zjednoczenia się z Bogiem.

Obyż święci patroni sprawili, aby kiedyś narody należące dziś do protestanckiego i ewangielickiego Kościoła powróciły do katolicyzmu; Niemcy, Anglja, a zwłaszcza Ameryka przedstawiają w obecnej chwili niezliczoną ilość sekt przeróżnych, powstałych z chęci ciągłego poprawiania Kościoła chrześciańskiego, a właśnie ta ogromna liczba różnych odcieni, obrządków i urządzeń jest jawnym dowodem błędnej drogi obranej przez mniemanych reformatorów, którzy nie pomni na słowa Zbawiciela powiedziane św. Piotrowi: „Oto jest opoka, na której zbuduję Kościół mój“ nie chcieli uznawać Głowy Kościoła i poddawać się rozkazom papieży, w których każdy dobry katolik uznawać będzie zawsze widomego Zastępcę Chrystusa na ziemi.

CZCIGODNA JOANNA MARJA OD KRZYŻA

1603 — 1673.

Za rządów papieży: Pawła V — Innocentego X.

Świat przemija i pożądliwości jego lecz kto czyni Wolę Bożą trwa na wieki.
Św. Jan

Pierwsze lata.

Kiedy protestantyzm powstał z całą siłą wypowiedziawszy wojnę Kościołowi rzymskiemu, Bóg obudził jednocześnie ducha pobożności w wiernych, walczono mężnie z odszczepieństwem, każdy niemal kraj miał swoich apostołów, swoich świętych i święte.

Słynny Sobór Trydencki wywarł ogromny wpływ na podniecenie gorliwości i rozkwit cnót chrześciańskich. Postanowienia soboru potępiły bezwzględnie owe rzekome reformy, dążące niby do poprawy Kościoła, a wprowadzające najboleśniejsze rozdwojenie i bratobójcze walki.

W tych stronach właśnie, gdzie się odbywały te doniosłe obrady duchowieństwa całego chrześciańskiego świata, ujrzała światło dzienne czcig. Joanna Marja od Krzyża.

Ur. d. 8 września 1603 r. w Roveredo, w dolinie Lagarina, (we włoskim Tyrolu) odziedziczyła po ojcu swym, oddającemu się malarstwu, nadzwyczajną wrażliwość i zamiłowanie piękna. Prawdziwe jej nazwisko było Bernarda Floriani.

Od dzieciństwa lubiła ogromnie przeglądać obrazki z Pisma św. żadne inne książki nie czyniły na niej tak silnego wrażenia; prosiła, aby jej opowiadano Życie Zbawiciela, wzruszały ją niezmiernie te opowieści i następnie sama objaśniała braciom i siostrom ryciny z przejęciem się i zrozumieniem zdradzającem usposobienie poetyczne i tkliwe.

W piątym roku życia poczęła uczęszczać do szkoły, gdzie zadziwiała swą przykładną pilnością w nauce. Zwlaszcza z niezmiernem zajęciem słuchała, gdy jej objaśniano zasady katechizmu, wymawiała imie Boga ze szczególnym wyrazem czci i uwielbienia. Wcześnie rozwinęła się w niej mi-

łość bliźniego, litość dla nieszczęśliwych i chęć poświęcenia swej przyjemności dla rozradowania innych. Nieraz zauważono, że oddawała smaczniejsze kąski rodzeństwu ciesząc się, że im one smakują.

Ale otaczające ją życie światowe wywarło chwilowo wpływ niekorzystny na dziewcze mające tak dobre skłonności od młodu. Oddawane jej pochwały obudziły pychę i chęć przypodobania się wykwintnym strojem; charakter stał się mniej równym i słodkim. Mało brakło, aby wir uciech zabił w niej wszystkie skarby uczucia i pobożne zamiłowania rozproszył.

Taki stan rzeczy trwał mniej więcej trzy lata. Bóg jednak ciężko ją doświadczając, w ten sposób właśnie uratował młodocianą duszyczkę od zguby. Śmierć ojca i brata, choroba matki, ciężkie warunki bytu, które spadły na nich niespodzianie, dały poznać Bernardzie marność i nietrwałość rzeczy doczesnych; dzieweczka zmieniła się nie dopoznania i poczęła marzyć o poświęceniu się Bogu.

Brat Tomasz, kapucyn, wielce światły i świątobliwy w pouczających rozmowach dał poznać Bernardzie, że najpiękniejszem powołaniem jest życie kontemplacyjne dla Boga i w Bogu i piętnastoletnia naówczas dzieweczka postanowiła wyrzec się świata i za nim jeszcze wstąpi do klasztoru rozpocząć nowe życie.

Przewodniczka młodzieży i pocieszycielka ubogich.

Mała izdebka na ustroniu, przystrojona pieczołowitą, ręką Bernardy obrazami świętych Pańskich i krucifiksem, służyła jej za miejsce modlitwy i pokuty w dzień i w nocy, gdyż sen często przerywała pobożnemi praktykami i biczowaniem się do krwi.

Bóg wynagrodził szlachetność, z jaką oddała Mu się całkowicie, użyczając jej łask, któremi zwykle obdarza dusze wybrane. W długich modlitwach i rozmyślaniach odnalazła źródło nadziemskich rozkoszy i nie mogąc niekiedy powstrzymać się od podzielenia się z otoczeniem wzniosłemi wrażeniami, głośno objawiała swe zachwyty nad nieskończonem miłosierdziem Bożem.

Matka nie umiała wniknąć w serce pobożnej dziewczyny, niecierpliwiły ją nieustanne jej rozmowy o sprawach Bożych, poczęła nawet prześladować córkę i wymówki jej czynić, że zaniedbuje najpierwsze obowiązki dla rodziny, że zanadto czasu spędza na modlitwie. Na wszystkie niesprawiedliwe wyrzuty Bernarda odpowiadała z przedziwną pokorą:

— Boże! Składam Ci dzięki za wszystko, co mi zsyłasz.

Od tego czasu owładnęło nią pragnienie apostolstwa, nawracania bezbożnych, młode serce rwało się do wzniosłej; misyjnej pracy.

— O, gdybym była mężczyzną, wołała nieraz pojechałabym z radością w dalekie kraje, aby wśród dzikich przelać krew moją za wiarę św.!

Ubolewała, że zbyt krótkiem jest życie ludzkie dla zgłębienia cudownych tajemnic i prawd wiary. Poczęła oddawać się z zapałem dobrym uczynkom, pielęgnowaniu chorych, nauczaniu młodych dziewcząt, ażeby przeciwdziałać zgubnym skutkom szerzącego się protestantyzmu i miała dość liczny poczet uczennic. Ogromny wpływ wywierała jej cnotliwość, na młodociane umysły, którym wykładała Ewangelję i katechizm. Miała wówczas wyraz prawdziwego natchnienia, oczy jej błyszczały nie ziemskim blaskiem, a jej głęboka wiara udzielała się innym i budziła w duszach zapał niewysłowiony.

W chwilach swobodnych od zajęć w swej szkole, odwiedzała chętnie mieszkania nędzarzy, pocieszając i nawracając największych grzeszników i budząc w nich szczerą skruchę.

Ubodzy byli jej najlepszymi przyjaciółmi. Wyrzekała się wszystkiego, aby tylko znaleźć środki do pomagania potrzebującym.

Matka wyrzucała jej rozrzutność, niechętnem okiem patrzała na jej miłosierne czyny. Wówczas postanowiła pracować w nocy, zarabiała szyciem na chleb i ubrania dla biednych.

Młoda dziewczyna chodziła do najuboższych kryjówek, naprawiała łachmany biedaków, nawracała jednocześnie najzatwardzialszych grzeszników swoją dobrocią niewyczerpaną.

W zimie zbierała ubogich w swojej izdebce, dawała im zajęcie i opowiadała, o rzeczach świętych, z ewangeliczną prostotą.

Zgromadzenie pań miłosiernych.

Kilka pobożnych pań z Roweredo urządziło za namową Bernardy miłosierne zgromadzenie, na zasadach III Zakonu oparte. Bernarda była duszą tych zebrań.

Pod jej wpływem panie postanowiły wyrzec się zbytkownych strojów, przestały uczęszczać na bale, przekładając nad wszystkie światowe uciechy cichą i owocną pracę wśród najbiedniejszej ludności.

Tak więc jedno młode dziewcze sprawiło siłą woli zbawienny przewrót nie tylko w rodzinnem mieście, ale również w całej okolicy. Bernarda wprowadziła zwyczaj pobożny wspólnej modlitwy poobiedniej w kościele w Niedziele i dni świąteczne. Odmawiano 33 razy *Chwała Ojcu i Zdrowaś Marja* oraz dodawano do tego krótkie medytacje o życiu i śmierci Zbawiciela.

Naturalnie, że jak to zawsze bywa na świecie, znaleźli się ludzie wyszydzający Bernardę i starający się ją odwieść od chwalebnych jej działań. Mówiono, że nieprzystoi młodej osobie występować

w roli apostołki, że zwraca na siebie uwagę odrębnem od innych postępowaniem, ale Bernarda wzruszała ramionami na podobnie płytkie zapatrywania i odpowiadała z godnością:

— Nie obrażam w niczem przepisów obyczajności, cześć kobiecą wysoko cenię ale niczem nie możecie mnie odwieść od czynów chrześciańskiego miłosierdzia, w których kobiety zawsze przodować mają prawo.

niemal potrzeby życia w miejscach, gdzie brak dobrej wody uczuwać się daje.

Bernarda uczyniła znak krzyża św. nad winem, i w tej że chwili nie tylko smak pierwotny został mu wrócony, ale nadto i zapach przedziwny. Dano jej kawałek drzewa z trumny św. Teresy. Spowiednik zaproponował jej, aby się tem posługiwała do błogosławienia dzbanów pełnych wody. Tę wodę święconą nazywano, wodą św. Teresy

Czcigodna Joanna Marja od Krzyża nauczająca młode dziewczęta w Roweredo.

Dusza jej coraz się więcej doskonaląc poczęła doświadczać wyraźnych objawów łaski Bożej nad sobą.

Pewnego dnia powróciwszy z kościoła po Komunji św. przeniknięta była do głębi nadziemską radością. W domu zastała matkę wielce strapioną nie przyjemną przygodą. Oto w skutek wielkiego upału beczka wina będąca całym ich bogactwem skwaśniała. Na południu piją wino zamiast wody, nawet najubożsi nie mogą wyrzec się tej koniecznej i używano jej do cudownego leczenia rozmaitych chorób.

Pierwsza próba klasztornego życia.

Czynne wielce i miłosierne życie, dobro które w okół siebie roztaczała, nie przeszkadzało Bernardzie marzyć wciąż o spełnieniu tego, co było pragniem najgorętszem jej życia, to jest o założeniu klasztornego zgromadzenia. Wkrótce nadarzyła się ku temu sposobność.

Zacna jedna wdowa hr. Sybila de Lodron pokochała bardzo Bernardę Floriani i zachwycona jej pobożnością powzięła zamiar dopomódz jej w umiłowanem przedsięwzięciu. Zdecydowano pobudować skromny klasztorek i tam wspólnie zamieszkać, aby w dalszym ciągu wywierać wpływ zbawienny na całą okolicę. Zakupiono dom i powstała kaplica około r. 1630.

Początkowo Bernarda niewiele miała towarzyszek i różne niepowodzenia spotkały ją u wstępu do nowego życia. Przedewszystkiem zabrakło środków do utrzymania gdyż przyobiecana przez hr. Lodron pomoc pieniężna nie mogła być wypłaconą z powodu zawikłań majątkowych. Nieraz więc pobożne te niewiasty miały ciężkie chwile do przebycia. Ale Bernarda nie traciła odwagi, silna wiara dodawała jej męztwa.

— Zostawmy wszystko Bogu, zdajmy się na Jego Wolę, mówiła pocieszając strapione towarzyszki.

Istotnie Bóg widocznie im błogosławił, widzimy bowiem, że cuda rozkwitają wraz z cnotami w tej wiośnie klasztornego istnienia. Często mnożył się chleb, gdy myślano, że wszystkie zapasy są już wyczerpane.

Bernarda gorąco przyjmująca do serca sprawę obrony wiary pragnęła, aby całe duchowieństwo współdziałało energicznie w tym kierunku i martwiła się widząc opieszałość nie których księży za mało przejętych doniosłością swych obowiązków.

Nie wahała się głośno i otwarcie wypowiadać swego zdania, zagrzewając do większej gorliwości, co wielu bardzo się niepodobało.

Ciężkie próby.

Bóg dozwala niekiedy, dla wypróbowania stałości wiernych, ażeby przeciwności pochodziły właśnie z tego źródła, z którego najwięcej oczekiwało się zachęty i pomocy. Taki właśnie los spotkał Bernardę. Wikarjusz generalny biskupa trydenckiego, Łukasz Maccani, uzyskał przeciw Bernardzie oficjalną naganę za śmiałość wypowiadania uwag skierowanych do miejscowego kleru.

Rozkaz pasterski wyraźnie zabraniał księżom spełniać posługi duchowne udawać się do zgromadzonych dla spowiadania osób będących pod opieką Bernardyny Floriani.

Można sobie wystawić, jak bolesnem dla powstającego zgromadzenia było podobnie surowe rozporządzenie wyższej władzy duchownej. Bernarda nie czuła się winną, cierpiała bowiem nad tem, że w obec groźnego niebezpieczeństwa ze strony reformatorów religji księża katoliccy nie podwajają gorliwości. Dusza jej łaknęła jak najszerszej apostolskiej pracy więc zachęcała do niej wszystkich słowem i czynem.

Z największą pokorą przyjęła bezwzględny wyrok i tak ciężką próbę zesłaną jej przez Opatrzność u wstępu do nowego życia.

— Zastosujemy się do woli naszego pasterza, rzekła do towarzyszek, albowiem on jest przedstawicielem władzy Boskiej na ziemi. Będziemy odtąd chodziły do kościoła św. Rocha, jak inni wierni ponieważ nie pozwolono nam mieć nabożeństwa u siebie i tak samo będziemy się udawały do spowiedzi pomimo uciążliwej przeprawy z klasztorku do miasta.

Wśród srogiej zimy widywano Siostry Tercjarki w czarnych welonach dążące ku miastu, nie zwracające uwagi na obelżywe żarciki, jakich im nie szczędzono. Bywały o ile można najczęściej w kościele i musiały czekać długo nieraz na spowiedź, której im we własnym ustronnym domu odmawiano.

Tyle przeciwności odbiło się niekorzystnie na zdrowiu Bernardy i ciężko się rozchorowała. Nie miała środków na prowadzenie kuracji i pozbawioną była religijnej pociechy, ponieważ spowiednik nie mógł przyjść do niej. Przechodziła ogromnie smutne chwile.

Z duszy zbolałej wyrywały się nieraz głośne westchnienia:

— Zaliż mnie opuściłeś zupełnie, o Boże! Czyż nie widzisz jak cierpię kochając Cię nad życie! Ale każdy wybuch żalu i skargi kończyła pokornem zgodzeniem się z wyrokiem Opatrzności szepcąc:

— Niech się dzieje Twoja święta Wola.

Cierpliwość i wytrwałość Bernardy została koniec końców wynagrodzoną. Władza duchowna zarządziła bardzo szczegółowe badania dotyczące zawiązanego przez Bernardę zgromadzenia, a wszystkie zebrane wiadomości były na korzyść obwinionej, wszyscy świadczyli jednogłośnie o jej zacności i cnocie, o prawdziwie pobożnych intencjach jej czynów. Cofniętym więc został zakaz udzielania Komunji św. temu zgromadzeniu i oddano sprawiedliwość szlachetnej działalności Bernardy Floriani.

Nowicjat i zakonne śluby.

Nie był to jednak koniec utrapień Bernardy. Religja uczy nas, że cierpienie oczyszcza duszę i prowadzi do nieba, to też życie świątobliwych ludzi najeżone bywa przeciwnościami, wytrwałość wystawioną zostaje na dotkliwe próby, aby koniec końców tem chwalebniejszą uczynić doczesną wędrówkę i wieczną otrzymać nagrodę.

Bernarda była istotnie jedną z tych ofiar wynagradzających lekkomyślność i obojętność ludzi

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

myślących jedynie o użyciu, dla których sprawy religijne są najzupełnie mało znaczące. Otóż po pierwszych niepowodzeniach nastąpiły znów nowe.

Władza duchowna wyznaczyła dwie Siostry Klaryski niemieckiego pochodzenia dla przysposobienia nowicjuszek do zakonnego życia. Objęły one rządy, ale władając tylko niemieckim językiem z trudem mogły się porozumiewać ze swemi uczennicami, które tylko włoski język znały. W ten sposób nowo przybyłe popełniały mimowoli wiele błędów i do cichego ustronia wkradł się chłód i przymus. Nie poznały się też na wzniosłości duszy Bernardy, jej zachwycenia uważano za stan chorobliwy, szpiegowano ją na każdym kroku, wreszcie spowiednik zabronił jej przystępować do Komunji św. co było najstraszniejszą dla niej karą.

Ostatecznie jednak nastąpiła ceremonja obłóczyn d. 8 maja 1650 r. Bernarda wraz z towarzyszkami wykonała pierwsze zakonne śluby i przybrała imie Joanny Marji od Krzyża. Postępowała wciąż drogą doskonałości, a mimo to nieraz strofowano ją i poniżano.

Niezwykłe łaski. Cudowne widzenia.

Były chwile, w których zamyślała już opuścić zgromadzenie, przypuszczając, że nie jest godną tego wzniosłego powołania i że jest najgorszą z najgorszych. Smutek i zwątpienie ogarniające ją z coraz większą mocą były istotnie tylko szatańską jakąś pokusą oderwania czcig. Joanny od życia zakonnego. Tej że nocy, kiedy zamierzała opuścić klasztor była jakby w gorączce, straszne widziadła przesuwały się przed jej oczyma. Zdawało się jej, że cała zgrają szatanów opadła ją i gna precz. Poczęła głośno przyzywać Chrystusa na pomoc przeciw piekielnej mocy. Nagle mary pierzchnęły, a natomiast ubogą celę napełniła światłość wielka, ukazał się jej Jezus i Jego Matka Najśw. w otoczeniu aniołów.

Ta wizja niebiańska sprawiła jej rozkosz niezmierną, wszystkie zwątpienia i smutki opuściły ją na zawsze, czuła bowiem że Bóg chce, aby pozostała nadal, wzmocniona i pokrzepiona na duchu miała teraz wyraz takiej świętości w twarzy, że wszyscy przed nią mimowoli skłaniali głowy.

Od tego czasu jakoś wszystko zmieniło się na lepsze, otaczano ją szacunkiem, przestano prześladować; wkrótce po wykonaniu ostatnich ślubów obraną została przełożoną klasztoru, a niemieckie zakonnice powróciły do swego kraju.

Czcig. Matka przełożona. Cudowne widzenia.

Miłość ku Bogu wzrastała w czcig. Joannie z dniem każdym, przemawiała do Niego w słowach pełnych słodkiego zachwytu, jak to czyniła święta Teresa.

„Pragnęłabym, mówiła, aby moje serce było podobne drogocennej kadzielnicy ozdobionej drogiemi kamieniami, gorejące miłością ustawiczną, aby wszystkie myśli me i wrażenia wznosiły się ku Tobie, jako wonne kadzidło ku Twej chwale".

Zdawało się istotnie, że Joanna Marja nie należy już do świata, życie jej było jednym ciągiem nieustannego zachwytu. Można ją było do łez doprowadzić namawiając, aby przyjęła nieco więcej posiłku, gdyż jadała bardzo mało. Nie znosiła też żadnych ozdób, lubiła przedewszystkiem prostotę. Pielęgnowała chorych z nadzwyczajnem oddaniem się i poświęceniem. Lekarz odwiedzający klasztor mawiał z życzliwym uśmiechem, że król żaden nie może być lepiej doglądany w chorobie, jak osoby znajdujące się pod opieką czcig. Joanny Marji.

Opatrzność doświadczała ją ciężkiemi chorobami, kurcze straszliwe, zapalenie uszów, ból zębów dręczyły ją ustawicznie ale znosiła każdy ból nie tylko z poddaniem się Woli Bożej ale z radością, uważając za łaskę wszelkie doczesne próby. Miała też szczęście upragnione odczuwania w częstych swych zachwyceniach cierpień Jezusa Ukrzyżowanego i nawet widoczne oczom wszystkich były stygmaty na jej dłoniach, jakby znaki od ran krwawych, które wszelako znikały później bez śladu.

W jednem z cudownych widzeń oglądała Boskiego Oblubieńca kładącego na jej palec pierścień złoty pięciu brylantami ozdobiony w kształt krzyża.

Wiele cudów działo się w ubogim klasztorku Sióstr Franciszkanek, mnożyła się w sposób niepojęty oliwa do lamp używana, a działo się to pod wpływem łask spływających na świątobliwą przewodniczkę. Sława jej cnót i pobożności rozchodziła się szeroko; w Austrji, we Włoszech i w Niemczech jej wpływ dobroczynny był znany i tak wierzono w moc cudowną przedmiotów, których dotknęły ręce tej błogosławionej i przez Boga umiłowanej zakonnicy, że proszono ją jak o największą łaskę o różańce i świece, które przynosiły ulgę chorym, dopomagały do ustrzeżenia się od pożaru, jednem słowem już za życia czczono Joannę Marję jak świętą. Raz posłała swej znajomej proszek z liści oliwnych wraz z ubłaganym u Boga błogosławieństwem i ten prosty środek bardzo wiele osób od trapiącej ich febry uporczywej odrazu uwolnił.

Wpływ dobroczynny.

Miała przytem Matka Joanna ogromną przenikliwość w czytaniu myśli ludzkich, zdarzało się nieraz, że odpowiadała na pytanie, które jej dopiero zadać miano. Mnóstwo osób udawało się do

niej o porady i wszyscy zawsze oddawali sprawiedliwość wielkiej mądrości i bystrości sądów czcig. Joanny i z wdzięcznością wyrażali zachwyty nad skutecznością jej modlitwy w wielu poruczanych sprawach.

Pisała też dzieła treści religijnej o Męce Pańskiej, o powołaniu do życia zakonnego, a w tych pracach widocznem było prawdziwe natchnienie Ducha św. gdyż wszechstronną wykazywała w nich wiedzę.

Wiele osób koronowanych, możnych i dostojnych udawało się do skromnego klasztoru dla odwiedzenia świątobliwej przełożonej.

Pomiędzy nimi byli n. p. cesarz Leopold I żona jego Małgorzata hiszpańska, arcybiskup paryski i wielu innych. Nawet w sprawach dotyczących polityki udawano się do niej o radę i w wojnie trzydziestoletniej okazało się, że czcig. Joanna ostrzegła w porę o zdradzie ambitnego wodza Wallensteina, który z protestantami raz w otwartej był walce, to znów tajne prowadził układy dla zdobycia czeskiej korony.

W ten sposób klasztor w Roveredo odegrywał doniosłą rolę, a przedewszystkiem wywierał wpływ dobroczynny na całą okolicę, niwecząc wysiłki protestantów, chcących jak najwięcej dusz odebrać Kościołowi.

Dużo też przyczyniła się czcig. Joanna Marja do obudzenia gorliwości w duchowieństwie, utrzymywała korespondencję z misjonarzami, nie traciła żadnej sposobności do podniesienia ducha i ożywienia działalności katolickiej.

Jej nawoływaniom nieustannym można przypisać, że wielu OO. Franciszkanów udało się na misje do Niemiec w celu powstrzymania szerzącego się protestantyzmu, inni zaś księża i zakonnicy gorąco zagrzewali wiernych w Tyrolu do opierania się zgubnym wpływom odszczepieńców. Wszyscy podziwiali wielką energję czcig. Joanny Marji, która umiała w wymownych słowach zachęcać świeckich i duchownych do owocnej pracy w celu obrony katolicyzmu. Klasztor, którym czcig. Matka Joanna rządziła bardzo umiejętnie był pod wezwaniem świętego Karola.

Nowe zgromadzenia. Ostatnie chwile życia czcig. Joanny Marji.

Nie poprzestając na ufundowaniu jednego zgromadzenia Joanna Marja nosiła się z myślą utworzenia kilku podobnych, a mianowicie w Botzen, Wenecji, Mori i Borgo. Owe cztery zgromadzenia Sióstr Klarysek miały również dobroczynnie oddziaływać na ludność miejscową utrzymując pomiędzy sobą ścisły związek i stojąc wciąż na straży interesów katolickiego Kościoła.

Właśnie już klasztor w Borgo został uroczyście poświęcony i Matka Joanna przyrzekła sama czas jakiś przebyć w nowem zgromadzeniu dla zaprowadzenia w nim ładu i dyscypliny, ale mieszkańcy Roveredo lękając się, aby świątobliwa przełożona nie opuściła rodzinnego miasta postawili warty dla powstrzymania jej od tego zamiaru.

Istotnie stan zdrowia Matki Joanny budził poważne obawy, a każdy nowy wysiłek mógł ostatecznie wyczerpać nadwątlony organizm.

Dowiedziawszy się, że tak wielce dbają życzliwi o jej zdrowie rzekła ze słodkim wyrazem:

— Czyż warto się troszczyć o ciało śmiertelne i znikome?..

Pomimo wielkiego wyczerpania była gotową udać się w podróż, ale zaledwie kilka dni upłynęło, gdy rozniosła się wieść żałobna, że czcig. Matka Joanna beznadziejnie zaniemogła.

Ostatnie jej chwile były podniosłym wzorem cierpliwości i poddania się Woli Bożej: opatrzona św. Sakramentami zasnęła w Bogu wypowiadając wyznanie wiary katolickiej, której była przez całe życie gorliwą obrońcielką.

Starania o beatyfikację czcig. Joanny Marji.

Kiedy się rozniosła wieść o zgonie czcig. Matki Joanny tłumy wiernych pośpieszyły wnet oddać hołd należny jej wielkim cnotom, opowiadano głośno o sprawionych za jej pośrednictwem cudach i o świętem życiu. Proszono usilnie o publiczne wystawienie zwłok zmarłej i przez sześć dni nieustannie tłumy ludu otaczały błogosławione jej szczątki.

Następnie pochowano czcig. Matkę Joannę w podwójnej trumnie i złożono w grobowcu pod kaplicą Najśw. Panny Loretańskiej. Wiele osób doświadczyło łask szczególnych u grobu tak ogólnie czczonej Matki Joanny Marji od Krzyża.

Poczęto niezwłocznie czynić starania beatyfikacji czcigodnej zmarłej. Papież Innocenty XI na liczne prośby dozwolił na rozpoczęcie procesu lecz niestety kiedy już sprawa kilkakrotnie rozpatrywana miała być ukończoną, nadeszły czasy burzliwe, w których klasztory w Roveredo i Burgo zostały zniesione, albowiem cesarz Józef II wydał rozkaz w r. 1782 zamknięcia wszystkich klasztorów Klarysek. Dobra klasztorne zostały sprzedane, a zakonnicom po całym kraju rozproszonym wyznaczono skromną bardzo pensję dożywotnią.

Pamiątki po czcig. Joannie Marji od Krzyża i jej dzieła.

Wszystkie pamiątki pozostałe po czcig. Joannie Marji zostały przeniesione do parafjalnego koś-

cioła św. Marka w Roveredo. Tam więc spoczęły jej szczątki, jej cenne prace i dzieła religijne oraz wszystkie dokumenta dotyczące beatyfikacji.

Przechowało się też bardzo wiele listów pisanych do Matki Joanny i do przełożonych, które po niej nastąpiły; jej ubiory, krzyż, przed którym modliła się nieraz w zachwyceniu, wizerunki i wiele drobnych a cennych wielce pamiątek.

Pisma Matki Joanny składają się przeważnie z głębokich rozmyślań o miłości Bożej oraz ze szczegółowych opowiadań cudownych wizji. Miały one stanowić całość składającą się z trzech części, każda z pięciu tomów złożona (w cześć Trójcy św.). Ale praca ta nie jest według planu ukończoną.

Rękopis przechowuje się w Roveredo, kopja zaś w Trydencie, pamięć zaś o tej świątobliwej Matce przełożonej zawsze jest otaczana czcią, gdyż ma ona wielce chwalebną kartę w dziejach walki Kościoła rzymskiego z szerzącym się odszczepieństwem.

Źródła.

Bede Weber. *Czcig. Joanna Marja od Krzyża z zakonu św. Franciszka i rzut oka na epokę, w której żyła.*

Dnia 17 Stycznia.

ŚWIĘTY ANTONI WIELKI

Patryarcha zakonników.

251 † 356

Za rządów papieży: św. Korneljusza, św. Liberjusza. Cesarza Konstancjusza II.

Nikt nie może się pochwalić, iż wszedł do królestwa niebieskiego nie przeszedłszy przez pokusy. Św. Antoni.

Dziecinne lata.

Św. Antoni ur. około 251 roku w Egipcie we wiosce Koman niedaleko Heraklei. Rodzice jego byli ludzie majętni i bardzo bogobojni, ogromnie troszczyli się o dobre wychowanie syna i nie dozwolili mu uczęszczać do szkół pogańskich, aby umysł jego i serce w czystości chrześciańskiej zachować. Tak więc Antoni nie opuszczał prawie rodzicielskiego domu żyjąc tylko w otoczeniu ludzi zacnych i pobożnych, uczęszczając na zebrania wiernych, a zamiłowanie jego do życia pustelniczego objawiało się już od wczesnego wieku.

Żywe słowo Kościoła, rozmyślanie nad przyrodą i nieskończonem miłosierdziem Bożem, czystość obyczajów, skupienie się wewnętrzne oto byli mistrze i przewodnicy Antoniego, którzy dali mu stokroć więcej, niż by mógł nabyć w szkołach słuchając wykładów, choćby największych mędrców pogańskich.

Św. Antoni wyrzeka się wszystkich uciech ziemi, aby się oddać Bogu.

Nie mając jeszcze lat dwudziestu utracił Antoni rodziców i został właścicielem znacznego majątku, miał bowiem tylko jedną siostrę młodszą od siebie.

Pobożny młodzieniec nauczony przez rodziców niedbać o dobra doczesne nie pragnął wcale korzystać ze swobody, młodości i bogactwa, ażeby jak inni jego rówieśnicy oddawać się uciechom i zabawom; dla niego kościół i modlitwa były najmilszemi radościami życia, a pragnienie doskonalenia się w cnotach chrześciańskich jedyną ambicją wzniosłego serca.

Pewnego dnia wszedłszy do kościoła usłyszał słowa Zbawiciela przytoczone przez kaznodzieję:

„Jeśli chcesz być doskonałym, idź, przedaj co masz i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, a przyjdź, pójdź za mną“. (Mat. 19—21.).

Antoni uważał to za głos natchnienia, zdawało mu się, że Bóg sam mu wskazuje jaką obrać ma drogę i co mu teraz uczynić należy.

Powróciwszy do domu uczynił niezwłocznie rozporządzenie, co do rozdziału dóbr swoich pomiędzy ludzi potrzebujących pomocy, zachował tylko pewną sumę na uposażenie siostry, którą powierzył opiece pobożnych niewiast, żyjących w odosobnieniu. Był to według mniemania niektórych dziejopisarzy rodzaj pierwszego zgromadzenia zakonnego dziewic chrześciańskich, o jakiem historja Kościoła wspomina.

Przygotowanie do pustelniczego życia.

Egipt nie posiadał w owych czasach licznych klasztorów, które w następnych wiekach tam powstały, życie w oderwaniu zupełnem od świata nie było jeszcze tam rozpowszechnione, chociaż już apostoł św. Marek i św. Juljan dali byli początek zakonnym zgromadzeniom. Następnie jednak straszliwe prześladowania Diokleciana niedozwoliły rozwijać się w dalszym ciągu tym pobożnym zgroma-

dzeniom, ci zaś którzy pragnęli żyć w odosobnieniu wiedli każdy na swój sposób żywot pustelniczy po za obrębem miast i wiosek, nie zapuszczając się jednak zbyt daleko w puszcze nieznane.

Z jednym z takich pustelników św. Antoni zawarł bliższą znajomość, udawał się do świątobliwego starca dla zasięgnięcia rad jego, starał się naśladować surowy żywot, oddawał się pilnemu czytaniu Pisma św. a nauczywszy się zarabiać ręczną pracą znajdował możność z własnego zarobku udzielać biednym pomocy.

Praktykował też jednocześnie umartwienia cielesne i w tej twardej szkole gotował się do pustelniczego życia, jakie wieść odtąd postanowił.

Oprócz tego swego ulubionego mistrza, odwiedzał również innych samotników przebywających w tej samej okolicy, starał się od każdego coś skorzystać, jako pszczoła zbierająca skrzętnie z kwiatów miody, wkrótce zaś tak dalece postąpił w doskonaleniu duszy, że dla tych właśnie od których zasięgał rady stał się prawdziwym wzorem. Nazywali go oni *Deicole* co znaczy: ten który czci i kocha Boga.

Szatańskie pokusy.

A jednak jak to mówią: diabeł nie śpi i wciąż czuwa, zawistnem okiem patrząc na ludzi, którzy mężnie stawią mu czoło i Boskim przykazaniom pragną być stale wierni. Nic bowiem więcej nie może wpływać na otoczenie, jak przykład prawdziwie bogobojnego człowieka, można by rzec, że dusza taka promieniuje i swym blaskiem innych rozgrzewa.

Wielu ludziom się zdaje, że święci Pańscy, dusze wybrane dostępują zasług bez trudu, a właśnie bardzo korzystnem jest rozważać szczegółowo i wnikać w ich życie, aby się przekonać, jak ciężkie musieli oni zwalczać pokusy, jak przechodzili te same, co i każdy zwykły śmiertelnik niepokoje, zwątpienia, męki duszy, jaką walkę staczali z sobą za nim owładnąć zdołali ciałem, by pokonać osobiste pragnienia, przełamać się i w nowych przeistoczyć ludzi.

Św. Antoni jest właśnie żywym wiecznie przykładem nadzwyczajnego hartu woli, którą wytężać musiał nieustannie, aby oprzeć się ogarniającym go pokusom. Gorąca krew wschodu płynęła w jego żyłach, bogata wyobraźnia rozpłomieniała młodzieńczą duszę, bywały chwile, w których odczuwał żal głęboki za tem wszystkiem, czego się dobrowolnie wyrzekł w szlachetnym porywie. Wszak miał w ręku bogactwo, mógł zapewnić sobie najświetniejszą przyszłość, zdobyć stanowisko, znaczenie, posiąść miłość wzajemną ukochanej kobiety, a jednak wszystko to odrzucił widząc w ziemskiem szczęściu tylko marną znikomość.

Szatan, który odważył się nawet na kuszenie Zbawiciela próbował obudzić w duszy Antoniego tęsknotę za światem, przedstawiając mu w barwach ponętnych i jaskrawych to wszystko, co utracił. Starał się go zrazić do życia odosobnionego, które tak młodzian umiłował, spostrzegłszy że modlitwą gorącą rozprasza natrętne myśli rozpoczął nowy atak.

Tym razem widząc że złoto, przepych i wszelkie skarby ziemi nie przedstawiają dla Antoniego dość silnej ponęty, umyślił dręczyć jego ciało żądzą nienasyconą, ukazywał mu się w postaci lubieżnej kobiety, chcąc za wszelką cenę duszę młodzieńca z obranej zwrócić drogi. Ale i to wszystko zdołał przemódz św. Antoni, ciało swe umartwiając okrutnie, poszcząc ustawicznie, odtrącając ze wstrętem dręczące go mary.

Wreszcie djabeł innych jeszcze użył forteli. Przybrał postać małego murzynka, który rzuciwszy się do nóg świętego jął go zapewniać, że nie widział jeszcze człowieka tak niezwykłych przymiotów duszy i serca, że wszyscy inni niczem są w obec zasług Antoniego. W ten sposób starał się obudzić pychę, ten grzech będący najmocniejszym orężem w ręku szatana.

Św. Antoni umiał przemódz i te nagabania jak i poprzednie, przekonał się, że była to nasłana mu pokusa, zmusił murzyna do wyznania kim był w istocie i słowami modlitwy wygnał czarta, który się już nie kusił powracać pod przybraną postacią widząc jak silny za każdym razem stawią mu opór.

Szatan stacza jawną walkę ze świętym.

Św. Antoni odniósłszy te pierwsze tryumfy nad odwiecznym nieprzyjacielem, nieprzestawał czuwać ustawicznie nad sobą, podwoił jeszcze gorliwości, modlił się, pokutował, jadł zaledwie mały kęs chleba i to dopiero po zachodzie słońca, odmawiał sobie nawet wody do picia częstokroć dnie całe upalne spędzając bez orzeźwienia. Sypiał na gołej ziemi lub włosiennicy. Myślał wciąż o tem, co ma jeszcze uczynić, aby przypodobać się Bogu i na łaskę Jego zasłużyć.

Ukrywszy się w grobowcu przebywał tam pewien czas w samotności; jeden tylko z przyjaciół wiedział o jego kryjówce i codziennie przynosił mu pożywienie; ale i tam szatan dręczył go niemiłosiernie, tym razem otwartą walkę mu wypowiadając. Kiedy przyjaciel przyszedł o zwykłej porze, aby Antoniemu dać posiłek, zastał go zupełnie nieprzytomnym i zemdlonego zaniósł do pobliskiej wioski.

Całe ciało Antoniego było poranione, widać było, że musiał stoczyć bój krwawy, a pomimo to zaledwie oprzytomniawszy prosił gorąco, aby go

znów na poprzedniem miejscu złożono. Nie chciał na żaden sposób zgodzić się na pozostanie dłużej pod ludzką opieką, albowiem szatan mógłby sądzić że odniósł zwycięztwo i zmógł go strachem swej potężnej siły.

Powróciwszy do swej ciemnicy przemawiał śmiało do czarta temi słowy:

— Oto ja, Antoni tu jestem, nie uciekam i nie lękam się ciebie, żadną siłą nie możesz oderwać mnie od Jezusa.

Tym razem cały zastęp piekielnych widziadeł otoczył go z hałasem, jakieś straszne poczwary podobne do lwów, byków, wilków, niedźwiedzi, lampartów i tygrysów poczęły go straszyć ogłuszającym rykiem i rzucały się na niego chcąc go pożreć. Antoni urągał im mówiąc:

— Snać siły i mocy nie macie, boć jeden z was mógłby mnie pokonać, a tymczasem przybywacie gromadnie. Nie ustąpię wam, ani się ulęknę, nic mi bez woli Pana mojego uczynić nie możecie. Znakiem krzyża św. was precz wszystkich odegnam!

Nagle rozbłysła światłość wielka i potwory znikły bez śladu. Wierny sługa Boży poznał, że Zbawiciel obronił go od napastników i zawołał z głębi serca:

— Gdzieżeś był Jezu miły? Gdzieżeś był? Dlaczegóż nie przybyłeś, aby z ran moich mnie uleczyć?

Głos Boży odpowiedział:

— Byłem tu, patrzałem na twe męztwo i stoczoną przez ciebie walkę. Nie obawiaj się niczego, gdyż będę zawsze z tobą, pomagać ci będę i po całej ziemi rozsławię twe imie.

Wówczas uczuł Antoni, że mu sił przybywa, był zupełnie uzdrowionym i odważniejszym jeszcze niż dawniej. Łaską Bożą umocniony postanowił jeszcze dalej odsunąć się od ludzi, aby wyłącznie żyć tylko myślą o Stwórcy, wielbiąc Go nieustannie. Pożegnał więc przyjaciela swego, starca samotnika, który go radą zbawienną wspomagał i udał się na pustynię.

Św. Antoni udaje się na pustynię.

Antoni miał naówczas lat trzydzieści i pięć. Dotąd przebywał w stronach rodzinnnych około Komanu, teraz skierował swe kroki aż nad brzegi Nilu, a po za tą rzeką na samotnej górze było opuszczone zamczysko czy też forteca w ruinie, pełna gadów, które ustąpiły wnet przed nowo przybyłym. W drodze tej znowu miał święty dowód widomy, że szatan nie przestaje go prześladować i czyha wciąż na ofiarę, znalazł bowiem bogatą misę srebrną ni ztąd ni z owąd leżącą na odludnym gościńcu.

Antoni uczynił znak krzyża św. mówiąc:

— Nie zwiedziesz mnie szatanie, weź swoje srebro i zgiń z niem razem! Wnet misa owa zniknęła bez śladu.

Dalej znów ujrzał rozsypane złoto, ale nie pochylił się nawet by je zbierać, wiedząc, że są to wszystko zasadzki szatana. Dotarłszy do osamotnionej siedziby zatarasował wejście kamieniami, zrobiwszy wprzód zapasy wody i chleba, które miały mu wystarczyć na pół roku. Odtąd przez całych lat dwadzieścia święty nie opuszczał tej

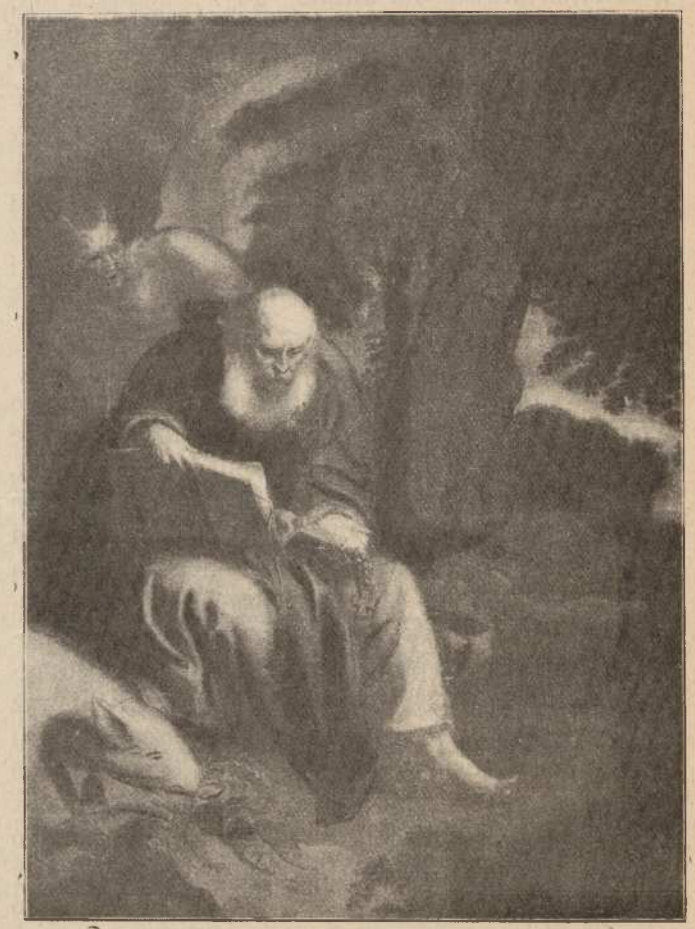

Szatan kusi świętego Antoniego,
Thys, muzeum w Gandawie.

pustelni, a tylko dwa razy do roku dostarczała mu ręka przyjazna świeże zapasy skromnego pożywienia. Nikt nie wchodził jednak do wnętrza i nie śmiał zakłócać spokoju Antoniego, nie widziały oczy jego nikogo z ludzi, gdyż przez otwór zrobiony w dachu spuszczano mu jedzenie.

Za nim jeszcze powstały zakonne zgromadzenia byli już w pierwszych wiekach chrześciaństwa *asceci* to jest z greckiego *ćwiczący się* w cnotach, modlitwie i umartwieniu.

Nawet pomiędzy sektą żydowską Nazarejczyków owo oddanie się Bogu w zupełnem odosobnieniu było już praktykowane. Origenes, oraz inni

pisarze dziejów Kościoła często o tych pierwszych ascetach wspominają; któż nie wie o życiu pustelniczym św. Jana Chrzciciela oraz uczniów św. Marka w Aleksandji, śś. Serapiona, Lucjana, Pamfiliusza, Justyna, Cyryla, Bazylego i Grzegorza z Naziansu oraz wielu innych. Zwano ich pustelnikami, lub wyznawcami, to jest wyznającymi nieustannie wiarę św.

Św. Ambroży opisuje nam strój odrębny ascetów, zwykle ciemny i wielce skromny licujący jz surowym sposobem życia tych ludzi nie istniejących już prawie dla świata, gdyż oddanych wyłącznie kontemplacji. Zajmują oni miejsce wybitne w dziejach Kościoła, gdyż przykład ich nadzwyczajnej wytrwałości, duch pokuty i łaski doznawane budziły cześć wielką, a zarazem otaczający ich urok tajemniczości działał na wyobraźnię ludu.

Pewnego dnia św. Antoni ujrzał przed sobą całą ziemię pokrytą sidłami zastawionemi przez czarta. A gdy zadał sobie w myśli pytanie w jaki sposób można by się od nich uchronić, głos jakiś rzekł mu:

— Za pomocą pokory.

Św. Antoni przez cały ten czas ascetycznego życia był wciąż kuszony przez szatana; we dnie i w nocy dręczyły go straszne mary; pielgrzymi, którzy przybywali naumyślnie, aby ujrzeć siedzibę świętego pustelnika słyszeli nieraz, jak je gnał od siebie. Sława pobożności św. Antoniego rozchodziła się szeroko, poczęto go nawiedzać tłumnie dopominając się, aby opuścił swe dotychczasowe schronienie i chciał być przewodnikiem dla innych spragnionych również życia odosobnionego. Ponieważ nie słyszano od pewnego czasu najlżejszego szmeru w pustelni obawiano się, że święty zmarł może i wielu wiernych zebrało się, aby go pogrzebać. Ale nagle rozbrzmiały słowa psalmu śpiewanego przez pustelnika, uspokojono się więc, że święty ten mąż nie rozstał się jeszcze z życiem, mimo to tak natarczywie domagano się otworzenia zatarasowanego wejścia i starano się przeniknąć w głąb cichego ustronia, że koniec końców zdołano uprosić, aby się ukazał i przemówił. Zdumieni byli wierni widząc nagle przed sobą twarz czerstwą i zdrową człowieka, który przeżył lat dwadzieścia w poście i modlitwie w najzupełniejszem odosobnieniu.

Udawano się do niego o porady, o uzdrowienie zarówno duszy jak ciała i bardzo wielu pobożnych samotników mistrzem go swoim mieć chciało.

Patryarcha zakonników.

Pierwsze zgromadzenie pustelników założono pod przewodnictwem św. Antoniego w Fajum. Było tam kilka domków zaledwie, ale wkrótce powstały inne pustelnie, a święty uczniom swym zalecał pokorę, wyrzeczenie się wszelkich pragnień osobistych, umartwienia i rozmyślania o przyszłem życiu wiodąc ich w ten sposób do zbawienia. Opowiadał im chętnie o walkach swych z szatanem, o przyzwyciężaniu pokus, zaznaczając, że najwięcej właśnie mnichów i mniszki stara się djabeł w sidła swe uwikłać, trzeba więc ustawicznie mieć się na baczności, aby mu przystępu do siebie bronić.

Mężtwem swem i wytrwałością tak podnosił ducha, że wszyscy jego uczniowie starali się naśladować cnoty wielkiego patryarchy zakonników i prześcigali się w cielesnych umartwieniach dla osiągnięcia coraz większej doskonałości.

Opowiadał uczniom, że usłyszał pewnego razu gwałtowne pukanie do swej celi. Kiedy drzwi otworzył ukazała mu się postać tak olbrzymia, że nie mógł zrazu pojąć co to za zjawisko.

— Kim jesteś? zapytał święty dziwnego przybysza.

— Jestem szatanem, odrzekł, przychodzę dowiedzieć się od ciebie dla czego nie tylko duchowni ale i świeccy tak bardzo mnie nienawidzą? Dlaczego wszyscy przeklinają mnie, powiedz mi coś o tem?

Św. Antoni odpowiedział na to, że słusznie tak czynią chrześcianie, ponieważ szatan wciąż do złego ludzi kusi.

Chytry djabeł starał się tłumaczyć, że zupełnie w tem niema jego winy, a ludzie sami przez się są pochopni do złego, a tylko odpowiedzialność z siebie na niego chcą zrzucić. Wreszcie uskarżał się, że od czasu gdy Bóg przyjąwszy postać ludzką zeszedł na ziemię, władza złego ducha znacznie się zmniejszyła, wygnano go z miast i wiosek, obecnie zaś nawet na pustyni powstają domy modlitwy, krzyżem św. gonią go zewsząd i nie może zrozumieć dla czego tyle ma wrogów na każdym kroku.

Św. Antoni z nie małą radością słuchał tych wyznań, ponieważ djabeł widocznie był upokorzonym w swej szalonej pysze, kiedy zaś pustelnik wymówił imie Jezus zjawisko piekielne wnet znikło bez śladu.

— Nie starajcie się zbytnio zgłębiać tajemnic przyszłości, radził św. Antoni posłusznym uczniom swoim, ponieważ wielu z nich przepowiadać chciało, starajcie się żyć przykładnie w miłości Bożej i pokorze, a nie kuście się czynić cuda, ani też miejcie w pogardzie tych, którzy takowych objawów łaski nie zasłużyli. Pogoda duszy czystej najmilszą jest Bogu, i najlepszą obroną przeciw zasadzkom szatana.

Pewnego razu podczas zebrania pustelnicy rozpoczęli rozmowę o tem jaka cnota jest najdonioślejszą w zakonnem życiu. Nie którzy utrzymywali że najpierwsze miejsce zajmuje pokuta, inni że milczenie, usunięcie się od świata i unikanie pokus do grzechu. Byli tacy, którzy miłosier-

dzie wysławiali, jako cnotę przez Jezusa Chrystusa zalecaną. Św. Antoni dowodził, że wstrzemięźliwość jest cnotą nad cnotami, ona bowiem jest drogą prowadzącą do wszelkich innych duchowych zdobyczy. Nikt też lepszym od niego nie mógł być wzorem wstrzemięźliwości, hartu woli, zupełnego opanowania ciała i pogardy rzeczy doczesnych.

Pokusy świętego Antoniego.
Dawid Teniers muz. Luvru.

Mówił nieraz, że nie lęka się Boga lecz Go bezmiernie miłuje, albowiem miłość doskonała strach wyklucza. Tak więc św. Antoni był mistrzem pierwszych zakonników, umacniał ich i dusze ludzkie wiódł do nieba.

Pragnienie męczeństwa. Pobyt w Aleksandji. Uczniowie św. Antoniego.

Św. Antoniemu dał Bóg moc czynienia cudów, bardzo wielu chorych uzdrowił, zwłaszcza opętanym przynosił ulgę i znakiem krzyża św. wyganiał złe moce. Najdoskonalszym był kierownikiem w sprawach sumienia, mając dar budzenia prawdziwej skruchy. Ale pomimo, że cały żywot św. Antoniego był anielski, pomimo iż tylu ludziom wskazał drogę do nieba, zdawało mu się, że nie uczynił nic dla zapewnienia zbawienia i dla okazania Jezusowi jak bardzo Go miłuje. Ogarnęło świętego pragnienie męczeństwa dla Chrystusa. Właśnie za panowania cesarza rzymskiego Maksymiana w r. 311 rozpoczęły się nowe prześladowania.

Kilku chrześcian porwano, katowano i uprowadzono do Aleksandji, aby tam ich umęczyć. Św. Antoni chciał koniecznie podzielić ten los z nimi. Nie odstępował nieszczęsnych więźniów, towarzyszył im przed sądem, zachęcał i dodawał odwagi, a następnie był świadkiem wykonania okrutnego wyroku.

Wpływ jego był istotnie błogosławiony tak dalece, że sędziowie nie mając rozkazu uwięzienia św. pustelnika wydali rozporządzenie, aby wszyscy zakonnicy opuścili niezwłocznie miasto.

Nie którzy zastosowali się do woli władzy, ale św. Antoni przywdziawszy białe szaty, aby być łatwiej dostrzeżonym, poszedł na placu publicznym nauczać i gromadzono się tłumnie około niego.

Bóg jednak nie dozwolił, ażeby wielki patryarcha zakonników śmierć przedwczesną poniósł, albowiem miał Antoni wielkie posłannictwo umacniania dusz w zakonnem życiu.

Po powrocie na pustynię św. Antoni z większą jeszcze gorliwością począł oddawać się postom i modlitwom, czuwał wciąż nocami przemagając sen, gdyż postanowił sobie udręczeniami codziennemi zastąpić chwałę męczeństwa dla Chrystusa. Zamknąwszy się w swej celi unikał o ile mógł styczności z ludźmi, którzy nie przestawali jednak uciekać się pod jego opiekę prosząc o błogosławione orędownictwo w niebie, gdyż otaczano czcią niezmierną wielkiego pustelnika. Ale to właśnie boleśnie raniło skromność i pokorę świętego i dla tego umyślił opuścić zupełnie te strony, w których imie jego zbyt rozgłośnem się już stało; udał się więc do Tebaidy, prowincji Egiptu będącej naówczas zamieszkałą przez ludzi w pół dzikich i nieokrzesanych. Opuścił założone przez siebie zgromadzenie pozostawiając je w prawdziwym rozkwicie, gdyż na niezaludnionej przed tem pustyni liczono już około dziesięciu tysięcy pobożnych anachoretów wiodących anielski iście żywot. Św. Atanazy wyraża się o nich z nadzwyczajnym zachwytem. Żyli oni na ziemi zupełnie nie ziemskiem życiem, w ewangelicznej prostocie, braterstwie, surowości obyczajów, oderwani od wszelkich trosk doczesnych, zadawalający się najnędzniejszem pożywieniem, myślący tylko o chwale Bożej i dusznem zbawieniu.

Św. Antoni oddala się na pustynię. Widzenia.

Św. Antoni znalazłszy się nad brzegami Nilu i oczekując na łódź mającą go przewieść, usłyszał nagle głos, który mu rzekł:

— Gdzie idziesz? Co czynić zamierzasz?

Odpowiedział więc:

— Dążę do Tebaidy, ponieważ nie mogę tu zaznać spokoju, żądają odemnie rzeczy przechodzących moje siły.

Ten sam głos rozkazał mu inną obrać drogę i zwrócić się na pustynię.

Szedł więc Antoni trzy dni i trzy noce w stronę wschodu ku morzu Czerwonemu zamiast udać się na południe, jak zamierzał. Doszedłszy do góry Kolzim, (następnie górą św. Antoniego zwanej), zatrzymał się nad strumieniem otoczonym gajem palmowym, po nad którym piętrzyła się stroma wielce, skalista góra wydająca się prawie niedostępną.

Św. Antoni wynalazł sobie upragnione schronienie u stóp tej góry, a była to celka tak szczupła, że zaledwie poruszać się w niej można było. Jeszcze dwa inne podobneż wydrążenia w skale znajdowały się na samym szczycie i tam często święty przebywał, zwłaszcza, gdy troskliwi uczniowie wynaleźli kryjówkę ukochanego mistrza, przychodzono tłumnie przynosząc pustelnikowi pożywienie. Chociaż więc nie podobna mu było raz na zawsze zejść ludziom z oczu, w każdym razie na górze Kolzim czuł się więcej niż gdziekolwiek odosobnionym. Nie chcąc zaś dostarczaniem żywności uczniów trudzić, prosił aby mu przyniesiono trochę zboża, które sam sobie zasiewał i miał odtąd dostatecznie na swe skromne potrzeby. Sędziwy pustelnik zajmował się też pleceniem mat z liści palmowych, a jednocześnie przy pracy śpiewał psalmy i duszę swą czystą wznosił do Boga.

I tu jeszcze miał św. Antoni straszne widzenia, gdyż szatan nasłał nań dzikie bestje, które otoczyły świętego, jak gdyby rozszarpać go wnet chciały.

Nie uląkł się jednak Antoni i przemówił do drapieżnych zwierząt w te słowa:

— Jeśli Bóg wam dał władzę pożarcia mnie jestem na wasze usługi, lecz jeżeli to jest djabelska sprawa wynijdźcie ztąd, albowiem jestem sługą Jezusa Chrystusa.

Pokusy świętego Antoniego.

D, Teniers, muzeum w Madrycie.

Nagle wszystko znikło, a święty przekonał się że szatan ustawicznie jeszcze stara się go niepokoić i trwogę w sercu rozniecić usiłuje.

Innym razem widział św. Antoni olbrzymi cień sięgający głową nieba i wyciągający ku górze ramiona, aby chwytać dusze w odlocie; jedne z nich spadały znów ku ziemi, inne zaś dosięgały nieba pomimo usiłowań olbrzyma zagrodzenia im drogi.

Wszystkie wizje św. Antoniego świadczą jak dalece umysł jego był zajęty myślą, że człowiek w ustawicznej jest walce ze złemi skłonnościami to jest z podszeptami szatana, powinien zaś ciągle czuwać nad sobą, aby Bogu czyste serce zachować. Miewał też widzenia prorocze, w których przewidział dalsze losy Kościoła i klęski, jakie mu zadać miał arjanizm.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Duch Boży przemawia przez świętego. Jego wpływ i cnoty.

Wzniosła prostota św. Antoniego zmuszała do milczenia pogańskich filozofów, którzy sławą jego cnót zaciekawieni przybywali dla prowadzenia z nim uczonych rozpraw. Przeciw zarzutom tych przeróżnych mędrców szukających naukowego objaśnienia zagadnień bytu, św. pustelnik stawiał naukę prostą i silną opartą na prawdziwym stosunku rozumu z wiarą, duszy z Bogiem.

Pojmował on jedynie życie przez Chrystusa i w Chrystusie i potrafił zbijać wszelkie mgliste dowodzenia filozofów szukających niby, jak to i dziś widzimy, prawdy a omijających tę właśnie, która jest przedwieczną i jedyną.

Serce miał tak czułe i pełne współczucia, że zawsze stawał w obronie uciśnionych i przejmował się ich nieszczęściem, jak gdyby to było jego własne. Był z natury nadzwyczaj łagodnym, twarz miał tak pogodną i rozpromienioną, że obecność jego wszystkim jasność wlewała w duszę.

Trzech mnichów miało zwyczaj odwiedzać go raz do roku. Dwóch zwracało się do niego z różnymi pytaniami, trzeci zaś nigdy się nie odzywał.

Św. Antoni zapytał go o powód milczenia, obawiając się, że czyni to przez zbytnią nieśmiałość. Ale mnich ten odpowiedział z prostotą:

— Dość mi jest spojrzeć w twe oblicze, aby otrzymać duszne pokrzepienie.

Odpowiedź ta doskonale maluje wrażenie, jakie wielki ten święty wywierał.

Ogromne miał św. Antoni poszanowanie dla duchowieństwa, na klęczkach prosił o błogosławieństwo księży i biskupów, unikał rozmowy z ludźmi nie będącymi z Kościołem w zgodzie i pouczał, że prawy katolik powinien uciekać przed nimi, jak przed szkodliwym i jadowitym gadem.

Pewien sędzia arjanin, nazwiskiem Balacjusz, ogromnie dla katolików surowy, a zwłaszcza niemiłosiernie gnębiący mnichów i mniszki, otrzymał od św. Antoniego list z napomnieniem, aby się miarkował, albowiem słuszny gniew Boży ściągnie na siebie. Niepoprawny odstępca drwinami przyjął tę przestrogę, list cisnął o ziemię, plwając nań i depcząc nogami. Jednak sprawiedliwość Boża wnet pomściła krzywdy wyrządzone, w parę dni potem podczas konnej przejażdżki został niegodziwiec przez rozhukane zwierze zrzucony na ziemię, pokąsany i stratowany.

W jednem ze swych widzeń św. Antoni ujrzał wyraźnie straszne spustoszenie przez arjanów w Aleksandrji sprawione, a upadłszy na ziemię począł płakać gorzko, błagając Stwórcę, aby nie dopuścił, iżby się tak wielkie działy klęski. Bóg pocieszył go ukazując następnie tryumf Kościoła i wielką jego chwałę.

Pobyt w Aleksandrji podczas zaburzeń arjańskich.

Podczas tych wybuchów nienawiści i niegodziwości odstępców, którzy w Aleksandrji okropnie wrogo występowali przeciw katolicyzmowi, św. Atanazy wezwał świętego pustelnika, aby swem słowem ukoił smutek prześladowanych.

Obecność jego istotnie wpływ zbawienny wywarła, garnęli się do niego wszyscy wierni radując się, iż potępia głośno i śmiało odstępców. Nawet pogańscy uczeni przybyli złożyć hołd mężnemu wyznawcy Chrystusowemu i chętnie z nim rozmawiali.

W tym czasie kilka cudów rozsławiło imię świętego szeroko, a św, Atanazy wspomina, że w krótkim czasie pobytu Antoniego w Aleksandrji kilku niewiernych nawrócił.

Dziwili się wszyscy niepomiernie, że człowiek który żadnych ksiąg filozoficznych nie znał, a tylko z Pismem Św. doskonale był obeznany, miał umysł tak wielce wykształcony i doskonale umiał bronić prawd wiary św. w dysputach z mędrcami. Poganie nawet przyznawali, że jest snać obdarzony duchem Bożym i budził w nich głębokie poważanie.

Jeden z filozofów zapytał św. Antoniego w jaki sposób obchodzi się bez książek w swej pustelni?

— Przyroda — odrzekł na to — jest mi najdoskonalszą księgą, w której czytam nieustannie.

Pewien ślepy, Dydymem zwany, mąż zacny i uczony wielce cierpiał nad swem kalectwem. Św. Antoni w słowach prostych, a wzniosłych przekonał go, że niepowinien ubolewać nad utratą wzroku, gdyż tembardziej może oceniać światłość duszy i rozwijać ją w sobie. Rozmowa z natchnionym starcem nadzwyczaj pocieszająco wpłynęła na dotkniętego kalectwem i przywróciła mu spokój ducha.

Po kilkodniowym pobycie w Aleksandrji św. Antoni począł tęsknić do swej samotni i pomimo iż go błagano usilnie, aby pozostał dłużej, spieszno mu było na pustynię.

Sam wielkorządca Egiptu namawiał go do pozostania czas dłuższy, przedstawiając jak dużo dobrego obecnością swą dokonać może. Ale święty odpowiedział mu na to ze swym dobrotliwym uśmiechem:

— Z mnichem to jest tak jak z rybą: wyciągnięta z wody ginie, mnich zaś bez samotności i ciszy czuje się tak właśnie, jak ryba bez wody.

Św. Atanazy odprowadził sam Antoniego do bramy miasta i tam był świadkiem naocznym uczynionego przez niego cudu, gdy uzdrowił młodą dziewczynę opętaną przez szatana.

Listy św. Antoniego.

W roku 337 cesarz Konstantyn Wielki i jego synowie Konstancjusz i Konstans pisali do św. Antoniego z prośbą o modlitwy i jego błogosławieństwo co jednak nie wbiło go w pychę. Był zawsze dla wszystkich jednakowo dobrym, serdecznym, Bogu i ludziom miłym.

Odpowiedź św. Antoniego na cesarskie listy jest pełna godności i prostoty. Zachęca ich do wierności Bogu i łaskawości dla poddanych.

Św. Hieronim przytacza siedm innych jeszcze listów św. Antoniego do różnych zgromadzeń w apostolskim duchu pisanych. Ten święty opowiada, że Antoni w dziewięćdziesiątym roku życia, pobudzony duchem Bożym poszedł do św. Pawła pustelnika żyjącego przez wiek niespełna na pustyni i ostatnią mu oddał posługę. Kościół św. tak wysoce ceni zasługi św. Antoniego, że ten właśnie czyn jego stał się poniekąd powodem zaliczenia św. Pawła w poczet Świętych Pańskich, ponieważ świadectwo wielkiego patryarchy zakonników było już dostateczną rękojmią świątobliwego żywota Pawła, pierwszego pustelnika.

Tak więc myślą słowem i uczynkiem wielbił święty Antoni Stwórcę, przyczyniając Kościołowi chwały i rozwijając życie zakonne, które miało następnie szerokie przyjąć rozmiary, pierwotnie zaś skupiało się na odludnem pustkowiu, gdzie rozkwitały najczystsze chrześciańskie cnoty. Nauczał ten dobry ojciec synów swoich, że prawdziwem bogactwem nie jest to, które okiem cielesnem oglądamy, ale to które nam daje wiara. Bogactwem tem jest sam Bóg oddający się nam na własność, On źródłem wszelkiego szczęścia, w Nim życie, mądrość niezmierzona i nieskończoność czystych rozkoszy. Ci, którzy pożądania swe ku dobrom doczesnym zwracają nigdy nie mogą osiągnąć zupełnego zadowolenia, gdyż pragnienia ludzkie są nienasycone, kto zaś zdołał zrozumieć, że wyrzeczenie się i umartwienie jest stokroć wyższym celem życia, ten osiągnął prawdziwe, bo wiodące do wiecznego, szczęście.

Ostatnie lata, życie i śmierć św. Antoniego.

Jak to już wspomnieliśmy wyżej, uczniowie i przyjaciele św. Antoniego wynaleźli jego kryjówkę, ala nie mogli otrzymać zezwolenia pustelnika na zamieszkanie z nim na górze Kolzin, pobudowali więc siedziby o dwanaście mil niżej nad brzegami Nilu w Tebaidzie,

Miejscowość przez Mnichów obrana zwała się Pispir. Czuwał nad tem zgromadzeniem św. Antoni aż do ostatnich lat życia, a po jego zgonie objął rządy św. Makary. Św. Antoni często odwiedzał braci i tam przyjmował gości przybyłych zdaleka w odwiedziny dla zasięgnięcia jego rady, niełatwym bowiem był dostęp do umiłowanej pustelni świętego, gdzie chciał już zaznawać zupełnego spokoju.

Trudniej było sędziwemu pustelnikowi wizytować odległe zgromadzenia, jednak kiedy miał już sobie od Boga objawionem, że rychło rozstanie się z życiem wybrał się w tę uciążliwą podróż, aby po raz ostatni wspomódz światłemi radami zakonników.

Prosił bardzo najbliższych, zwłaszcza Makarego i Amatosa, ażeby po śmierci złożono jego ciało w ziemi, w miejscu nieznanem, nie chcąc ażeby według przyjętego w Egipcie obyczaju ciało jego balsamowano. Pragnieniem św. Antoniego było, aby nikt z obcych nie wiedział gdzie będzie pochowany.

Odwiedziwszy wszystkich pustelników powrócił do swej samotnej celi i wkrótce potem ciężko zaniemógł. Św. Makary i Amatos byli przy nim, umierał bardzo przytomnie, rozporządził swym skromnym dobytkiem, płaszcz swój kazał oddać świętemu Atanazemu, tiunikę biskupowi Serapionowi, a niedostępnym w ostatnich chwilach towarzyszom Makaremu i Amatosowi oddał swą włosiennicę.

— Bądźcie zdrowe dzieci moje — rzekł żegnając się z towarzyszami — Antoni odchodzi i już odtąd do was nie należy. Złożywszy pocałunek pokoju na ich czołach położył się oczekując chwili zgonu, a twarz jego była tak pogodna i błogo uśmiechnięta, jakgdyby oczy jego w dal utkwione oglądały najpiękniejsze obrazy lub chóry anielskie schodzące z nieba, aby unieść duszę jego z sobą. Zmarł dnia 17 stycznia 356 r. mając lat sto pięć.

Podziwu godnem jest, że pomimo tak późnego wieku nie utracił ani jednego zęba, wzrok doskonale mu służył, chodzić mógł wiele, i ciało miał zdrowe chociaż przez całe życie umartwiał je ustawicznie.

Relikwie i cześć oddawana św. Antoniemu.

Wierni uczniowie spełnili najściślej wolę zmarłego i nikomu nie powiedzieli gdzie spoczęły jego szczątki. Jednakże w r. 561 cudownie objawionem było miejsce jego wiecznego spoczynku i przewieziono relikwie z Tebaidy do Aleksandrji. W 635 r. kiedy Saraceni zawładnęli Egiptem sprowadzone relikwie do Konstantynopola, a w końcu X wieku do dyecezji wienneńskiej we Francji i umieszczono je w kościele przeorstwa Motte — St. Didier, gdzie później zakon św. Antoniego główną miał siedzibę. O początku tego zakonu tak niesie podanie:

W r. 1090 szerzyła się we Francyi straszna zaraza; ogniem św. Antoniego zwana, gdy żadne środki zaradcze nie pomagały, wielu pobożnych doświadczyło cudownego uzdrowienia przy relikwiach św. Antoniego i tłumnie poczęto cisnąć się do kościoła, gdzie spoczywały jego zwłoki.

Pewien rycerz imieniem Gaston zawdzięczający orędownictwu św. Antoniego ocalenie syna zebrał grono pobożnych i ofiarnych ludzi w celu niesienia pomocy chorym, których wszyscy unikali lękając się nabawić owej niebezpiecznej i zaraźliwej gorączki szerzącej wśród ludności miejscowej spustoszenie. Za ich staraniem powstał szpital około kościoła św. Antoniego, a miłosierne to zgromadzenie zaaprobowane przez papieża Urbana II przybrało nazwę Antoninów. Nadano im następnie regułę św. Augustyna i zwano anonikami regularnymi od św. Antoniego. Istnieli oni aż do czasów rewolucji francuzkiej, poczem rozproszyli się lub zostali z granic kraju wygnani.

Relikwie św. Antoniego pozostały w tym samym kościele, a w r. 1844 otwierano relikwiarz zawierający swięte szczątki dla sprawdzenia, że istotnie tam są przechowane. Część relikwji posiada kościół św. Juljana w Arle.

Bardzo wiele stowarzyszeń obrało sobie tego wielkiego świętego za patrona i niezliczona ilość kościołów zostaje pod jego wezwaniem.

Opisy życia.—Zdanie Ojców Kościoła o świętym Antonim. — Wizerunki.

Życie św. Antoniego opisał najpierwszy święty Atanazy, patryarcha aleksandryjski w greckim języku. Pracę tę wielce cenioną poświęcił on pustelnikom, stawiąc im za wzór żywot tego prawdziwego ojca zakonników.

Św. Augustyn w swych „Wyznaniach“ opisuje o nawróceniu się dwóch wojskowych znajdujących się w Trewirze. Przypadkiem wpadła im do ręki książka zawierająca opis życia świętego Antoniego i tak silne sprawiło na nich wrażenie, że postanowili wyrzec się świata i wstąpić niezwłocznie do klasztoru. Św. Augustyn dodaje, że na niego również bardzo silnie oddziałało czytanie opisu cnót wielkiego świętego. Św. Grzegorz z Naziansu, mówiąc o świętym pustelniku nie nazywa go inaczej jak boskim Antonim. Św. Jan Złotousty zachęcał wielce do czytania jego żywotu, dla osiągnięcia prawdziwej mądrości. Powiada też, że św. Antoni dorównał prawie ŚŚ. Apostołom swemi niezmiernemi zasługami dla Kościoła, gdyż przykładem dowodził do jakiej wysokiej doskonałości duch ludzki wznieść się może wiernie zachowując zasady Chrystusowe.

Wszyscy dziejopisowie Kościoła św. nazywają go św. Antonim Wielkim.

Przedstawiają go najczęściej modlącym się w grocie; kuszonym przez szatana, uniesionym w niebo przez aniołów, depczącym czarta w postaci węża.

Dnia 21 Stycznia.

BŁOGOSŁAWIONY JAN Z FIESOLE (Fra Angelico)

1387 † 1455

Za rządów Papieży: Urbana VI — Mikołaja V.

Którzykolwiek Duchem Bożym rządzeni, ci są Synami Bożymi. Rzym. 8. 14.

Dziecinne lata. Pierwsze wrażenia.

Błogosławiony Jan, znany jest powszechnie pod nazwą Fra Angelico (czytaj Andżeliko), czyli Brat anielski, gdyż odznaczał się wielką pobożnością i niezrównaną słodyczą. Zakonnik ten miał ogromne zdolności malarskie. Jego obrazy zaliczone są do największych arcydzieł sztuki, noszą one cechę odrębną, gdyż przeniknięte są głębokiem uczuciem i nadziemskiem natchnieniem i są wzorem kościelnego malarstwa w najwznioślejszym stylu.

Błog. Jan ur. w 1387 r. w okolicach Florencyi w zamku obronnym Vichio. Na chrzcie św. otrzymał imię Gwidolino. Wykołysany na opowieściach rycerskich słynnej w dziejach włoskich walki Gwelfów i Gibelinów, miał usposobienie wrażliwe i bogato wyposażoną wyobraźnię.

(Według podań włoskich nazwa Gwelfów i Gibelinów pochodzi od dwóch braci z rodu niemieckiego, Guelfa i Gibela, zamieszkałych w Pistoi, z których jeden należał do stronnictwa cesarskiego, a drugi do papieskiego. Krwawe zapasy obu stronnictw ciągnęły sie we Włoszech przez całe wieki średnie, pomimo, że w Niemczech dawno już o nich zapomniano. Godłem Gibelinów była biała róża, Gwelfów – orzeł, rozdzierający szponami smoka. Walka pomiędzy dwoma wrogiemi partajami miała doniosłe znaczenie, ponieważ jedna pragnęła wyzwolenia z pod władzy Niemiec, druga była po stronie tych ostatnich.)

W dziecinnych latach mały Gwidolino przyglądał się z wielkiem przejęciem pielgrzymom, zwanym *Białymi pokutnikami*; mieli oni na sobie białe wełniane szaty z kapturem, zasłaniającym prawie twarz całą; przybywali z poza Alp, po większej części z Germanii i mieli na celu zachęcać do jedności i zgody. Pielgrzymi owi wołali nieustannie: *Miło-*

sierdzie! Pokój! i śpiewali pobożne pieśni. Mieszkańcy miast i miasteczek przyjmowali ich z czcią głęboką i gdzie panowały niesnaski, starano się je ułagodzić; bardzo wielu ludzi przyłączało się do tego pokojowego zgromadzenia, a dziejopisarze zaznaczają, że samych Florentczyków przyłączyło się czterdzieści tysięcy.

Można sebie wystawić, jak silne wrażenie na młodocianym umyśle Gwidolina wywarł ten wspaniały pochód; chłopak uczuciowy z natury był przejęty do głębi powagą i pobożną misyą tego zgromadzenia.

dla Zbawiciela, którego miłował również całą swą młodzieńczą czystą duszą.

We Ficsolskim klasztorze spędził Brat Jan najpiękniejsze dni swego życia. Był on zakonnikiem wzorowym, miłosiernym dla ubogich, unikającym wszelkich intryg, zawiści, wtrącania się do spraw prywatnej natury, budził podziw nigdy nie zamąconą łagodnością, a kiedy zmuszony był zrobić komuś uwagę, czynił to w sposób tak ujmujący i prosty zarazem, że słuchano go chętnie i ogólną cieszył się miłością i poważaniem. Posłuszeństwo i pokora Brata Jana jednały mu życzliwość przełożonych, nigdy nie uczynił nic bez zasięgnięcia ich porady, a tych, którzy się do niego zwracali, odsyłał zawsze do starszych, mówiąc, że sam nic na swoją rękę postanowić nie może. Słodycz jego spojrzenia miała istotnie w sobie coś anielskiego i dla tego ogólnie go *Bratem anielskim* nazywano.

Błogosławiony Jan z Fiesole, malujący kaplicę w Watykanie.

Wiek młodzieńczy. Gwidolino wstępuje do klasztoru.

Świat cały uśmiechał się utalentowanemu i zamożnemu młodzieńcowi. Mógł dojść łatwo do sławy i zaszczytów, ale pociągała go cisza klasztorna i Gwidolino wraz z bratem swym Benedyktem wstąpił do O.O. Dominikanów.

Mógł mieć niespełna lat dwadzieścia, kiedy się przedstawił przeorowi klasztoru Dominikańskiego w Fiesole w Toskanji.

Słynny Jan Dominici przyjął go dobrotliwie, a wkładając nań habit, dał mu imię Brata Jana. Przyjmując imię najukochańszego ucznia Chrystusowego, był przejęty do głębi duszy myślą dorównania św. apostołowi, patronowi swemu w miłości

Zakonnicy na wygnaniu.

Jednakże nie długo Brat Jan zażywał upragnionego spokoju. Czasy były nazbyt burzliwe, a wielkie odszczepieństwo zachodu (1378—1417) pogrążyło w smutku katolickie społeczeństwo. Ciężka to była dla matki naszej Kościoła próba. Dla młodego zakonnika artysty przyszedł też czas, w któ

rym musiał uledz ogólnemu losowi, cierpieć prześladowanie za należenie do stronnictwa, pomimo, że głównie oddany życiu kontemplacyjnemu, radby zapomnieć o wszelkich ziemskich sprawach i niesnaskach. Trzymali Dominikanie z Fiscole stronę papieża Grzegorza XII. Podczas jego rządów istniał jeszcze antypapież, Benedykt XIII. Sprawy pomiędzy nimi spowodowały zebranie soboru w Pizie, na który ani Grzegorz XII ani Benedykt stawić się nie chcieli. Sobór, sprawdziwszy wniesione przeciw nim oskarżenie, tak jednego jak drugiego pozbawił władzy. Wybrano natomiast Aleksandra V (którego nasz król, Władysław Jagiełło znał osobiście). Tak więc jednocześnie było trzech papieży, z jakich pewne kraje uznawały jednego, a nieuznawały natomiast innych. (Szczególnym wrogiem Aleksandra V był Władysław, król Neapolitański, który zbrojnie wtargnął do Państwa Kościelnego). Gdy umarł papież Aleksander (1410 r.), kardynałowie obrali Jana XXIII. (Do tego papieża Władysław Jagiełło po bitwie pod Grünwaldem wysłał poselstwo z przyrzeczeniem posłuszeństwa).

Ponieważ, jak to powiedzieliśmy wyżej, Dominikanie z Fiesoli byli stronnikami papieża Grzegorza XII, poczęli ich prześladować gorliwi zwolennicy Aleksandra V, a zawziętość ich zmusiła Fiesolskich zakonników do opuszczenia klasztoru i schronienia się do Umbrji. Osiedlili się czasowo w Foligno, gdzie biskup miejscowy Fryd. Frezzi przyjął ich z ojcowską troskliwością, okazując im serdeczne współczucie. Był on przyjacielem Jana Dominiciego i podzielał jego zapatrywania.

Aczkolwiek gorzkiem być musiało owo wygnanie dla wrażliwego serca Fra Angelico, wywarło jednak wpływ korzystny na rozwój jego taientu malarskiego. Tak samo w Foligno jak i we Fiesole Brat Jan oddawał się nauce z wielkiem zamiłowaniem. Zanim jeszcze wstąpił do klasztoru Dominikanów, miał już gruntowne przygotowanie, gdyż Ojcowie przyjmowali zwykle tylko młodzieńców zdolnych i posiadających już pewien zasób zdobytej wiedzy. Wszystkie zresztą prace malarskie Fra Angelico świadczą wymownie, że był biegłym teologiem, a jeden z autorów, opisując dzieje sztuki kościelnej, pisze o freskach, czyli malowidłach ściennych Brata Jana: „Gdyby możebnem było zebrać je wszystkie do jednego muzeum, stanowiłyby całość, którą możnaby nazwać *Sumą teologiczną*, tak jasno wyobrażają niebiański nastrój i zdają się opiewać Boską chwałę.“

Nawet protestanci, dla których obcem jest malarstwo kościelne, wpadali nieraz w tak wielki zachwyt nad dziełami Fra Angelico, że powracali na łono katolickiego Kościoła, mówiąc, że najwznioślejszą jest religia mogąca natchnąć do stworzenia takich arcydzieł sztuki.

Można śmiało twierdzić, że teologia była źródłem geniuszu tego wielkiego artysty; osiągnął sławę na ziemi, pomimo, że nigdy jej nie pożądał, gdyż chodziło mu tylko o przedstawienie jak najdokładniej tych przecudnych wizyi, jakie w swej własnej nosił duszy.

Kilka lat z rzędu spędził na przyozdobianiu ścian kościoła św. Marka we Florencji. Nie dopuszczano tam ciekawych, pragnących przypatrzeć się natchnionym pracom anielskiego braciszka. Malował wyłącznie dla zakonników, w każdej skromnej, słabo oświetlonej celi znajdował się jakiś obraz, ręką Brata Jana nakreślony, a pełne świętości twarze aniołów, przyczyniały się do podniesienia ducha przy modlitwie.

Błog. Jan tworzący swe arcydzieła.

Fra Angelico uczył się początkowo malarstwa we Florencji nie wiadomo u jakiego mistrza, gdyż widzimy go już od pierwszych lat klasztornego życia, wykonywującego przecudowne obrazy. Na szczęście przełożony Jan Dominici ogromnie zachęcał zakonników do uprawiania sztuk pięknych, mówiąc, że jest to prawdziwą podnietą do myśli czystych i do uświęcania duszy.

Pobyt w Foligno nie był też dla zakonnika artysty bez znaczenia. Tam zapoznał się z freskami, robionemi przez znakomitego malarza Giotto, podziwiał zachwycające postacie, wyszłe z pod pędzla Cimabuego, miał przed oczami najdoskonalsze wzory malarstwa chrześcijańskiego, a do tych mistrzów w przedstawianiu twarzy świętych, Fra Angelico dodał jeszcze bogactwo krajobrazów, do których miał obfite wzory w pięknej okolicy. Na wszystkich obrazach jego z tej epoki spotykamy pejzaże, pełne świeżości i wdzięku, w każdym kwiatku odczuwał błog. Jan cały majestat Stwórcy i malował z natury pełen zachwytu dla Tego, kto ten piękny świat stworzył. Zabierając się do nowej pracy, szukał zwykle natchnienia w długiej i gorącej modlitwie, to też tak potężny artysta, jak Michał Anioł zawołał, patrząc pewnego razu na freski Br. Jana z Fiesole:

„Człowiek ten nie mógł mieć podobnych wzorów na ziemi i musiał je chyba czerpać z nieba!“ Obrazy Fra Angelico są upostaciowaniem aktów wiary, nadziei i miłości i nawet nie znawcy doświadczają błogiego podniesienia ducha, patrząc na te nadziemskie oblicza, malowane z taką szczerością, jakgdyby istotnie błogosławiony artysta oglądał je własnemi oczyma.

Kiedy miał przedstawić P. Jezusa lub Najśw. Pannę, malował na klęczkach, dusza jego unosiła się do nieba, dosięgając tych wyżyn, których zwykle zmysłami ludzkimi objąć nie podobna.

Opowiadają, że malując Ukrzyżowanie Zbawiciela, gorzkiemi zalewał się łzami. Zamiast podpisu swego nazwiska, kładł niekiedy te pełne miłości słowa:

„Bądź pozdrowiony Zbawicielu świata, bądź pozdrowiony o Jezu! Chcialbym być przybitym do Twego krzyża!“

Dla Najśw. Panny żywił też zawsze prawdziwie synowskie uczucie, będąc i w tym również szczerym naśladowcą cnót św. Dominika. Wszyscy O.O. Dominikanie otaczają czcią najwyższą Matkę Zbawiciela, która im niejednokrotnie wielkich łask użyczyła; do Jej orędownictwa, uciekali się zawsze ci światli i pełni ducha pobożności zakonnicy.

Fra Angelico potrafił przelać w twarze malowanych przez siebie wizerunków Najśw. Panny całą gorącą wiarę i czystość swych uczuć. Obrazy te oddziaływały w sposób podniosły na modlących się: trudno im było oderwać wzrok od tej przeczystej i świętej postaci, a imię *Marja*, nakreślone u dołu Zwiastowania, zostało starte gorącemi pocałunkami wiernych, pełnych zachwytu dla Madonny.

Fra Angelico był tak skromny i mało przywiązujący wartość do rozgłosu swego imienia, że bardzo wiele prac jego są nie podpisane, pomimo to trudno się omylić i odróżnić je można zawsze wśród innych tysiąca, tak odrębne są i niezwykle piękne w wyrazie.

Brat jego, Benedykt również uprawiał sztukę ale w zakresie zdobnictwa ksiąg świętych, jak to było naówczas we zwyczaju.

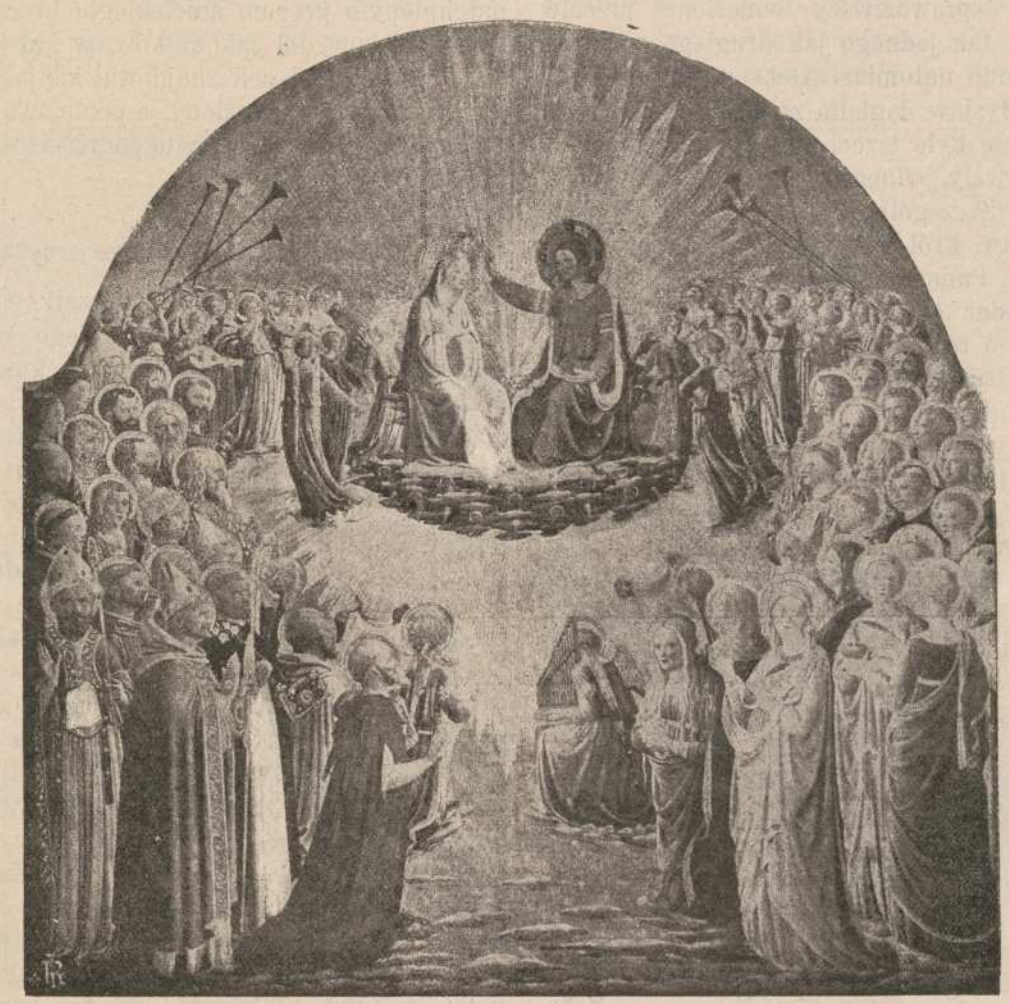

Koronowanie Matki Boskiej z obrazu Fra-Angelico.

W klasztorze św. Marka we Francji.

Największą część swego życia spędził błog. Jan w klasztorze św. Marka we Florencji. Tam też Brat Benedykt pozostawił bogaty plon swej zmudnej pracy ilustrując miniaturami księgi w klasztorze zbudowanym przez Medeceuszów. Cały kościół św. Marka jest przyozdobiony freskami Fra Angelico, prócz tego sala i wszystkie cele udekorowane malowidłami tego artysty wzbudzają do dziś dnia ogólny podziw.

Nie będziemy tu zastanawiać się szczegółowo nad każdym z dzieł genialnego malarza, ponieważ

obchodzi on nas więcej jeszcze jako mąż błogosławiony.

We Florencji poznał Br. Jan papieża Eugeniusza IV który musiał szukać przytułku w rzeczypospolitej. Przeciwko niemu zbłąkani odszczepieństwem biskupi wystawili w roku 1439 antypapieża Amadeusza księcia Sabaudji pod imieniem Feliksa V. Był to ostatni antypapież wichrzący w Kościele do 1449 r. Eugeniusz IV w r. 1443 wysłał do panujących w Europie listy wzywające do walki z Turkami. Tę wojnę rozpoczął nasz król Władysław Warneńczyk, lecz ona pomimo znacznych posiłków najemnego wojska z Dalmacji, Neapolu i Flandrji, zakończyła się straszną klęską pod Warną (10 list. 1444 r.) bo zginął w niej król polski i legat papieski Juljan Cesarini. Eugenjusz IV należał do największych ale zarazem do najnieszczęśliwszych papieży, z powodu niepokojów i napaści ustawicznych na państwo Kościelne. Choć sam niezbyt uczony, był jednak miłośnikiem ludzi nauki i wielkim dobroczyńcą nieszczęśliwych.

Znajdował się też Brat Jan we Florencji pod-

Chóry anielskie z obrazu Fra-Angelico: Koronowanie Matki Boskiej

czas soboru, (1438—1445) który miał na celu zjednoczenie Kościoła greckiego z katolickim. Nigdy jeszcze Florencja nie przedstawiała się tak wspaniale, jak podczas tego pamiętnego zjazdu najdostojniejszych osób ze świeckiego i duchownego stanu. Na ulicach przesuwały się barwne orszaki w malowniczych strojach; był tam podówczas cesarz grecki Jan Paleolog, Józef patryarcha konstan-

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Słowackiego TARNÓW
Miejska Biblioteka Publiczna w Tarnowie Dział Starych Druków i Książki XIX-w. im. J. Słowackiego

tynopolitański, Besarion arcybiskup nicejski i niezliczona ilość innych dygnitarzy.

Na artystycznej duszy Fra Angelico musiały te oryginalne stroje Grecji Etiopji i Syrji uczynić nie wątpliwie silne wrażenie, gdyż w jego ówczesnych malowidłach odnajdujemy ślady tego bogactwa barw na obrazach, zwłaszcza szaty odtwarzanych postaci lśnią się jasnym kolorytem wschodu.

Anioł według obrazu Fra-Angelico.

Wkrótce potem Eugeniusz IV powrócił do Rzymu po dziesięcioletniej tułaczce. Oceniając wielki talent błog. Jana zabrał go z sobą polecając mu przyozdobienie malowidłami Watykanu.

Pobyt błog. Jana w Rzymie.

W czasie pobytu w Rzymie Fra Angelico cieszył się wielką przyjaźnią papieża, który ogromną miał życzliwość dla zakonników i sam wiódł życie niemal zakonne. Powiadają, że zachwycony wielką czystością duszy Br. Jana pragnął obdarzyć go arcybiskupiem dostojeństwem we Florencji ale skromny zakonnik dowiedziawszy się o tem błagał usilnie, aby mu nie powierzano tak odpowiedzialnego obowiązku, gdyż nie czuje się na siłach kierować ludźmi, natomiast polecał gorąco oddanie rządów pasterskich w ręce Antoniego z zakonu Braci Kaznodziei, którego pobożność, miłosierdzie i cnoty były mu dobrze znane. Eugeniusz IV ufał bardzo Bratu Janowi i rada jego została usłuchaną. W ten sposób, Brat Antoni wielce światły i cnotliwy, został mianowany arcybiskupem florenckim, a swem świętem życiem zasłużył sobie tak wielką cześć po śmierci, że papież Adrjan VI w poczet świętych go zaliczył.

Błog. Jan z Fiesole pracował nad przyozdobieniem dwóch kaplic Watykanu. Kaplica Najśw. Sakramentu została zniszczona za rządów Pawła III przez gorących miłośników szkoły malarstwa zwanej w historji sztuki *Odrodzeniem*, druga zaś poświęcona dziś św. Stefanowi i św. Wawrzyńcowi była pierwotnie gabinetem Mikołaja V ponieważ wspaniałe freski Fra Angelico dawały mu natchnienie przy pracy.

W XVI w. został ten pokój zamurowany i nikt nie wiedział, że są tam prawdziwe skarby sztuki, dopiero w XVIII wieku odnalezione zostały dzięki wskazówkom historyka Vasari'ego. Przedostać się do wnętrza nie można było inaczej, jak przez okno po przystawionej do muru drabinie.

Ponieważ Mikołaj V następca Eugeniusza IV był również jak i jego poprzednik wielkim protektorem sztuk i nauk, często odwiedzał Fra Angelico podczas, gdy ten malował i chętnie z nim długie prowadził rozmowy, ponieważ skromny Brat Jan miał niewyczerpany zapas dobrego humoru wiele wrodzonego dowcipu i nadzwyczaj trafny sąd zwykle wydawał.

Do jakiego stopnia zachowywał błog. Jan ścisłe posłuszeństwo swym przełożonym i przestrzegał reguły może służyć fakt opowiedziany w jego życiorysie skreślonym przez Vasari'ego.

Pewnego dnia papież Mikołaj V zaprosił Brata Jana na obiad do siebie; Fra Angelico dowiedziawszy się, że obiad będzie mięsny odmówił, tłumacząc się iż niema pozwolenia przeora. Skrupuł ten był oczywiście zbyteczny w obec tego, że papież miał przecież prawo zwolnić go w każdej chwili z postu. Ale odpowiedź błog. Jana musiała mu się podobać i podnieść jeszcze bardziej w oczach Jego Świątobliwości umiłowanego artystę zakonnika.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Roboty malarskie w Orwieto. Śmierć brata.

W tym czasie Kapituła w Orwieto poleciła Br. Janowi wykonać roboty w katedrze miejscowej. Skorzystał więc z wakacyjnych miesięcy ponieważ podczas lata upały w Rzymie bywają nie do zniesienia i wymalował część sklepienia przedstawiając Chrystusa sądzącego żywych i umarłych, otoczonego chórem aniołów. W następnym roku nie przybył do Orwieto niewiadomo z jakiego powodu, być może musiał udać się do Fiesole, ażeby pożegnać się z bratem swym Benedyktem, było to bowiem w r. 1445 kiedy właśnie brat jego ze krwi i brat w Chrystusie, towarzysz nieodstępny całego życia, rozchorował się ciężko i zmarł w fiesolskim klasztorze.

Był to cios bolesny dla błog. Jana, gdyż bardzo był do brata przywiązany.

Śmierć błog. Jana. Nagrobek. Beatyfikacja.

Błogosławiony Jan nie o wiele przeżył Benedykta, gasł powoli i zmarł w 1455 r. Pielgrzymi zwiedzający drogie pamiątki zebrane w Rzymie modlą się zazwyczaj w kościele wzniesionym na ruinach dawnej świątyni Minerwy, gdzie pomiędzy licznymi nagrobkami znajduje się obok zakrystji skromny kamień grobowy, na którym wyrzeźbiony jest zakonnik w leżącej postawie. Napis brzmi: Tu leży czcig. Jan florentczyk z zakonu Braci Kaznodziei.

Do tego papież Mikołaj V dodał następujące słowa:

„Niech nie czczą mnie jako równego Apellesowi [1]) artystę ale dla tego, o Jezu, żem oddawał biednym wszystko com zarobił, są bowiem dzieła, które żyją na ziemi, a są inne które żyją w niebie".

[1]) malarz grecki.

Fra Angelico pozostanie zawsze jednym z najgłośniejszych przedstawicieli odrodzonego malarstwa we Włoszech, w utworach jego objawia się głęboki umysł religijny i zupełne oderwanie się od rzeczy ziemskich. Najlepsze jego obrazy posiada Florencja i Rzym. Koronacja Najśw. Panny, którą tu podajemy przedstawiona jest w sposób niezwykle piękny. P. Jezus wkłada Matce Najśw. na głowę koronę, chóry aniołów patrzą na nią w zachwycie; na pierwszym planie święci ze wzrokiem utkwionym w postać Bogarodzicy, na prawo grupa świętych dziewic; światło niebiańskie oświeca cały obraz. Z boku przedstawiona jest łąka pełna kwiatów mająca wyobrażać wejście do nieba, zkąd schodzą aniołowie dla uniesienia z ziemi duszy błogosławionej.

Do arcydzieł również zalicza się obraz przedstawiający zaślubiny Najśw. Panny. Kapłan łączy dłonie Matki Boskiej i św. Józefa. Całość nosi charakter wielkiej powagi i skupienia.

Fra Angelico zwany był powszechnie błogosławionym za nim jeszcze papież Urban VIII dekret w 1634 r. podpisał. We fiesolskim klasztorze znajduje się wizerunek Brata Jana malowany w 1590 r., na którym artysta wyobraził go otoczonego aureolą, będącą wyrazem czci jemu oddawanej.

W rękopisie O. Cerva z osiemnastego wieku w opisie świętych dominikańskiego zakonu Fra Angelico jest zwany błogosławionym. W r. 1904 Kapituła generalna OO. Dominikanów zrobiła podanie zanosząc prośbę do Stolicy Apostolskiej o potwierdzenie prawa wyniesienia błog. Jana na ołtarze.

Źródła.

Henryk Cochin. *Błog. Fra-Giovanni Angelico de Fiesole.* 1906. Paryż.

Vasari. *Historja znakomitych malarzy.*

Wielebny O. HIERONIM CYRUS

Karmelita bosy.

1603 † 1647.

Za rządów papieży: Klemensa VIII, Pawła V, Urbana VIII, królów polskich: Zygmunta III, Władysława IV.

Cześć i chwała w mowie roztropnego.
Estyk. 5, 15.

Dziecinne lata. Powołanie.

O. Hieronim urodził się w Krakowie r. 1603. Ojciec jego Samuel i matka Dorota chowali go starannie zaszczepiając w duszę syna od młodu chrześciańskie cnoty. Dzieckiem będąc zapowiadał już Hieronim zdolności kaznodziejskie, w których później celował. Urządzał sobie rodzaj ambony i ze zdumieniem, widziano jak pięknie słuchającym go domownikom opowiadał Słowo Boże. Sam sobie przeróżne obmyślał umartwienia, sypiał na gołej ziemi, posty nietylko przez Kościół nakazane zachowywał, ale też inne jeszcze dobrowolnie sobie wyznaczał. Często w zimie podczas śnieżnej zamieci wychodził na wiatr i mróz, żeby ciało hartować.

Kiedy ojciec do akademji krakowskiej oddał go na naukę, okazał wkrótce zdolności niepospolite. Później na dopełnienie studjów udał się do Wrocławia, dla słuchania filozofji i nauczenia się niemieckiego języka. Znalazłszy się pomiędzy protestantami ani na chwilę nie odstąpił od nabytych od lat młodych dobrych przyzwyczajeń, zachowywał possy tak samo skrupulatnie i żadne namowy nie mogły go skłonić do jadania mięsa w dni zakazane. Po powrocie z Wrocławia oznajmił ojcu, że pragnie wstąpić do klasztoru OO Karmelitów bosych. Nie bardzo chętnym okiem patrzał na to pan Samuel Cyrus, który o innej karjerze marzył dla syna. Jednak wszelkie perswazje nie odniosły skutku, Hieronim odpowiadał z pokorą ale stanowczo, że przedewszystkiem godzi mu się być woli Ojca Niebieskiego posłusznym.

Pomimo łez ojcowskich i namów rodziny, aby powstrzymał się jeszcze od stanowczego kroku, Hieronim przywdział habit i odtąd według obyczaju zakonu zwano go Hieronimem od św. Jacka.

Nowicjat. — Święcenia kapłańskie. — Królewski kaznodzieja.

Odprawiwszy przykładnie nowicjat został przypuszczony Hieronim do profesji ćwicząc się nieustannie w chrześciańskiej doskonałości. Chociaż słabego był zdrowia, jednakże umartwiał wciąż ciało. Po wysłuchaniu teologji otrzymał kapłańskie święcenia i odtąd budujący jego przykład najlepszy na otaczających wpływ wywieral.

Postarał się o przedrukowanie w Krakowie książki ks. Antoniego Maliny, Kartuziana, bardzo dla kapłanów pożytecznej.

Oceniono wkrótce wielkie zasługi pobożnego ks. Hieronima Cyrusa, a ponieważ przełożeni widzieli jego żarliwość w zachowaniu ustaw zakonnych, przeorem go obrano. Był on na tem nowem stanowisku nadzwyczaj pożytecznym dusz kierownikiem. Mawiał zwykle:

„Jeden zakonnik regułę ściśle zachowujący więcej ozdoby i pożytku zakonowi przynosi, niż wielu kaznodziejów i tych którzy księgi wydają, bo oni tylko mówią i piszą wielkie rzeczy, ten zaś wielkie rzeczy czyni, co jest najważniejszem w obliczu Pana".

W ogóle O. Hieronim do spraw ziemskich mało przywiązywał wartości, przedewszystkiem zaś o duszne zbawienie był dbały. Pomimo jednak wrodzonej mu pokory, rozgłośnem stało się imię pobożnego przeora, zarówno wśród ludu jak i wśród najmożniejszych, a nawet na królewskim dworze.

W r. 1636 miał w katedrze krakowskiej kazanie, następnie łacińską mową królowę polską Cecylję Renatę (córkę cesarza Ferdynanda) witał.

Król Władysław IV wielce go poważał, O. Hieronim był kaznodzieją dworskim, i tak pilnie zwykle bywał słuchany, że nawet pewnego razu kiedy królowa zapytała o coś małżonka podczas kazania nie chciał jej odpowiedzieć, ażeby nie odrywać ani na chwilę uwagi od mądrych nauk światłego mówcy, O. Hieronim miał wielki dar słowa, piszą o nim, że był to duch ognisty przenikający ludzkie serca. Zdarzało się, że mając ekzorty duchowne dla zakonników lub zakonnic tak ich dusze potrafił wznieść do nieba, że wpadali w długie zachwycenie.

W r. 1646 podczas wspaniałego wjazdu przybyłej z Francji Marji Ludwiki, żony Władysława IV, również O. Hieronimowi powierzono mowę na uroczystość królewskich Zaślubin.

Zjazd duchowieństwa w Toruniu. — Dyskusya O. Hieronima z Husselmanem.

Król Władysław IV pragnąc rozkrzewić w chrześciaństwie jedność Kościoła zwołał do Torunia różnowierców, Lutrów i Kalwinów. Tam odbył się

synod duchowieństwa katolickiego. Przewodniczącym ze strony katolików był Jerzy Tyszkiewicz biskup żmudzki, zastępcą królewskim kanclerz Ossoliński. Po trzydziestu sześciu posiedzeniach publicznych, po wzajemnych pomiędzy stronami protestacjach rozjechano się w niechęci a tytuł nadany zjazdowi: *rozmowy w miłości chrześciańskiej* zawiódł oczekiwania, albowiem w dalszym ciągu heretycy wykazali nienawiść i opór zacięty. Przybył też naówczas do Torunia arcybiskup gnieźnieński i bardzo wielu teologów katolickich, głową zaś dysydentów był Husselmann predykant wirtemberski. Z nim sam na sam wiódł wielebny O. Hieronim wielce ożywioną dyskusję i tak umiejętnie zbijał na każdym kroku jego dowodzenia, że Niemiec został zawstydzony, gdyż nie mógł dostatecznie przekonywająco bronić swej sprawy, wreszcie zawołał ze wściekłością:

— Wolałbym raczej z szatanem dysputować, jak z tym mnichem!

Była to prawdziwa porażka, którą chciał pokryć żartem, ale czuć było w tym wybuchu przyznanie się do pewnego nieuctwa w dogmatach wiary; nie chciał dalej prowadzić rozmowy ze śmiałym przeorem, gdyż mu widocznie zbrakło już argumentów do walki.

Dzieła religijne wielebnego O. Hieronima.

Wielebny Hieronim nietylko żywem słowem lecz i pismem postarał się publicznie pognębić przeciwnika. Wydał wkrótce potem książkę, w której mądrze i zręcznie błędy jego zbija.

Oprócz tej pracy pozostawił jeszcze wiele innych ku pożytkowi wiernych.

Przytaczamy tu ich tytuły:

„Fundament życia duchownego". „Sposób dobrego życia". „Sekreta życia duchownego". „O przystojności zakonnej". „Nauka życia pustelniczego". „Instrukcje dla umierających". „O prawdziwej i fałszywej miłości". „Ćwiczenia na adwent". „Instrukcje biskupa". „Instrukcje dla spowiedników zakonnic". „Nauka życia duchownego dla świeckich". „Ekskorty na regułę swego zakonu": „Kazania na Niedziele i Święta całego roku". „Wzór doskonałości ewangelicznej" i wiele innych.

Pomimo tak poważnej pracy znajdował możność zadośćuczynienia wszystkim swym tak licznym obowiązkom; poważany i kochany powszechnie każdą chwilę życia na korzyść bliźnich i Boską chwałę zużytkować potrafił.

Choroba i śmierć wielebnego O. Hieronima.

Gdy według przyjętego w klasztorach zwyczaju; w pustelniczej celi odbywał rekolekcje, ciężko zaniemógł, a po czterdziestu dniach silnej gorączki lekarz w możność wyleczenia chorego zupełnie zwątpił.

Widząc po zafrasowaniu obecnych, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo, wiel. O. Hieronim rzekł:

— O gdybyż teraz który z przyjaciół mógł mię zapewnić, że wkrótce już zakończę życie!

Jeden z Braci rzekł na to:

— Zdaj się Ojcze wielebny na Wolę Bożą i bądź w każdej chwili gotów, czy tak, czy inaczej Bóg postanowi.

Wielebny Hieronim odpowiedział z głębokiem przekonaniem:

— Gotów jestem stanąć przed Panem w każdej chwili i wesoło w zakonie św. umieram dziękując Bogu, że mi w zakonie Najśw. Panny z góry Karmelu żyć i umierać dozwolił.

Choroba przedłużała się wciąż, a chory nadzwyczaj przykładnie ją znosił: w dzień Bożego Narodzenia spowiedź z całego życia uczynił i Najśw. Sakrament przyjąwszy, rzewnie płakał u stóp Ukrzyżowanego Zbawiciela.

Widział smutek ogarniający zakonników na myśl o utracie drogiego przewodnika, a ponieważ nieustannie modlono się o jego powrót do zdrowia, rzekł, wielką pogodą ducha wzruszając obecnych:

— Nie uprzykrzajcie się proszę was, Panu Bogu, ciągłem błaganiem o moje zdrowie, już Majestat Boski przeznaczył pożyteczniejszych odemnie zakonowi św. A cóż to ja jestem? Ciało zlepek marny, wyrzucić go raczej na podeptanie.

Proszony o udzielenie mądrych wskazówek Ojcom odpowiedział skromnie:

— Nie jest rzeczą właściwą, abym ja będąc najmniejszym synem, Ojcom moim dawał naukę.

Widząc go coraz bardziej słabnącym na siłach jeden z zakonników pocieszał go:

— Bądź Ojcze serca odważnego i nie trać nadziei.

O. Hieronim głosem słabym lecz stanowczym odpowiedział.

— Wiem, że Bóg jest niezmiernej dobroci i miłosierdzia, więc ufność w Boskiej łaskawości pokładam; i nawet jeszcze w ostatnich chwilach życia po przyjęciu Wiatyku oraz Olejów śś., pieśń o Najśw. Sakramencie począł śpiewać:

— „Czczę Cię Bóstwo utajone..."

Podchwycili melodję otaczający jego łoże zakonnicy i popłynęła pieśń ku niebu, a wraz z jej dźwiękami odleciała z tej ziemi dusza wielebnego O. Hieronima, liczącego lat 45 a profesji zakonnej 28.

Śmierć jego wszystkich wielkim napełniła żalem i mówiono o nim:

„Wielka w kościele Bożym upadła kolumna". Biskup krakowski Piotr Gębicki powiedział:

— Straciliśmy w zmarłym bardzo wiele, gdyż nie rychło będziemy mieli takiego Hieronima. Co dziwniejsze, że nawet heretycy wyrażali się o nim pochlebnie i jeden z nich z Gdańska rodem, nazwał O. Hieronima „światłem“ Polski i ofiarował potrzebną sumę na wydanie cennych pism zmarłego.

Świątobliwość wielebnego Hieronima stwierdzona już za życia pozyskała mu i po śmierci cześć głęboką wśród rodaków.

W pięć lat po jego zgonie w lubelskim klasztorze jedna z siostr tegoż zakonu cierpiąca przez czas dłuższy na uporczywe bóle głowy niedające się żadnemi lekami usunąć, miała sen w dzień św. Anioła; ukazał się jej O. Hieronim i momentalnie ją uzdrowił, a podawszy jej sposób, jak miała pożytecznie komunikować, kazał jej niezwłocznie przystąpić do Komunji św. wraz z innemi siostrami, poczem zupełnie odzyskawszy zdrowie, długie lata bogobojny i pracowity żywot wiodła w klasztorze.

Czcigodny WINCENTY MARJAN STRAMBI

biskup Macceraty i Tolentino.

1749—1824.

Za rządów papieży: Klemensa XIII i XIV, Piusa VI i VII i Leona XII.

Bądź przykładem wiernym w mowie, w obcowaniu, w miłości w wierze, w czystości.
I. Tym. VI. 12.

Dziecinne lata. Miłosierdzie. Kapłańskie święcenie.

Czcig. Wincenty urodził się w Civita Vecchia d. 1 stycznia 1745 r. Rodzice jego byli zamożni i odznaczali się wielką bogobojnością. W domu rodzicielskim dziecię otoczone było staranną opieką i najlepszymi przykładami. Wincenty od lat najmłodszych wyróżniał się wśród towarzyszy wielką słodyczą charakteru, dobrocią wrodzoną, współczuciem dla niedoli, którą posuwał do tego stopnia, że nieraz zdarzało się, iż powracał do domu bez butów lub zwierzchniego odzienia, jeżeli bowiem spotkał na swej drodze dzieci nędzarzy nie mógł odmówić sobie prawdziwie chrześciańskiej rozkoszy podzielenia się z potrzebującymi.

Wcześnie też objawiło się w nim powołanie do życia duchownego. Mając lat dwanaście oznajmił ojcu, że pragnie zostać księdzem, a otrzymawszy pozwolenie rodzicielskie marzył wciąż o tem, aby jak najprędzej wstąpić do seminarjum. Następnie chlubnie ukończywszy tam nauki, w dziewietnastym roku życia udał się do Rzymu dla dopełnienia studjów teologicznych.

W 1766 r. widzimy go już diakonem i prefektem w Montefiascone; święcenie kapłańskie otrzymał w grudniu tegoż roku, poczem mianowany został rektorem seminarjum.

Ale młody kapłan czuł w sobie powołanie do dusznego doskonalenia się za pomocą zakonnego życia i postanowił przyłączyć się do zgromadzenia kleryków bosych od św. Krzyża i Pasji, czyli Męki Zbawiciela, tak zwanych Pasjonistów.

Zgromadzenie to założył Paweł od Krzyża Owada, ma ono na celu zachęcanie do pokuty, tak słowami, jak przykładem.

Nie zwlekając dłużej ks. Wincenty opuścił świat wstępując do nowicjatu w Mont-Argeataro w Toskanji. Przywdziawszy habit w 1768 r. stał się najprzykładniejszym zakonnikiem, a wszyscy przełożeni świadectwo wydali jednogłośne, że nigdy nie zasłużył na najlżejsze napomnienie.

Kiedy się skończył czas próby błog. Paweł od Krzyża powołał O. Strambi do cichego ustronia św. Anioła, aby tam w skupieniu ducha przez dwa lata przygotowywać się do pracy apostolskiej. Czcig. Wincenty czuł się niewymownie szczęśliwym znajdując się pod szczególną opieką błogosławionego sługi Bożego, którego cnoty i życie świątobliwe budziły ogólny podziw.

Misjonarz kaznodzieja.

Dyecezja Todi była pierwszem polem działalności apostolskiej O. Wincentego. Wielki ten kaznodzieja rozpoczął swe misje we wrześniu 1771 r. Wnet inne dyecezje poczęły prosić usilnie, ażeby również podnosił ducha mieszkańców swem gorącem słowem.

W r. 1772 słynną na całą okolicę była misja O. Wincentego w Civita Vecchia, którą miał dla więźniów galerników, to jest skazanych na ciężkie roboty. Pomiędzy nimi znajdowało się kilku muzułmanów, którzy pod dobroczynnym wpływem O. Wincentego wyrzekli się mahometańskiej wiary i przyjęli chrzest św.

Kazania tego niezwykłego mistrza słowa budowały ludność miasta Spello; następnie w Rzymie kilkakrotnie występował publicznie budząc wszędzie nadzwyczajne wrażenie. Ludzie najrozmaitszych

klas społecznych śpieszyli gromadnie, aby słuchać wymownego kaznodziei, wychwalając go potem jako apostoła, uczonego i świętego zarazem.

Istotnie słysząc go mówiącego doświadczano wrażenia, że mówi przez niego głos Boży. Jeden z naocznych świadków zapewnia, że pewnego razu w kościele św. Jana w Rzymie widział O. Wincentego pogrążonego w głębokiem rozmyślaniu przygotowując się do kazania. Modlił się długo przed Najśw. Sakramentem, oczy jego utkwione w przybytku miały wyraz nadziemskiego uniesienia. Kiedy stanął na ambonie twarz cała pałała ogniem zapału, biła wprost od niego łuna jakiegoś świętego natchnienia oddziałująca w sposób tajemniczy no wszystkich zebranych. To też misje O. Wincentego odnosiły ten skutek błogosławiony, jakim bywa uwieńczoną praca ludzi prawdziwie świątobliwych, łaską Bożą natchnionych, porywających swą wymową, czarujących doborem najwspanialszych porównań i przenośni, a trafiających z duszy wprost do duszy.

Najobszerniejsze kościoły nie były w stanie pomieścić masy wiernych cisnących się, aby usłyszeć żywe słowa genialnego mówcy, a nawrócenia i skrucha, jaką umiał obudzić nawet w najwięcej zobojętniałych zachęcała coraz nowe rzesze do uczęszczania na owe wyjątkowo owocne kazania O. Wincentego Strambi.

Profesor teologji. U łoża śmierci św. Pawła od Krzyża.

W roku 1773 O. Strambi wykładał teologję w klasztorze Mont-Coelius. Tam też we dwa lata później miał zaszczyt być nieodstępnym towarzyszem ostatnich chwil życia św. Pawła od Krzyża, który zmarł w październiku 1775 roku. Następnie skreślił on żywot tego świętego założyciela zakonu popierał gorąco sprawę jego beatyfikacji i miał szczęście doczekać, że Pius VII heroiczne cnoty Pawła od Krzyża dekretem swym potwierdzić raczył.

Kiedy O. Wincenty został z kolei rektorem klasztoru rzymskiego (w 1780 r.) następnie O. prowincjałem (1781 r.) powtarzał zawsze i niezmiennie: „Bądź wola Twoja“.

We trzy lata później na żądanie O. Wincentego Kapituła zgodziła się na uwolnienie go z zajmowanego stanowiska, mianując go konsultatorem. Odtąd mógł już swobodnie oddać się w zupełności apostolskiej wyłącznie pracy, będącej najwidoczniej jego prawdziwem powołaniem. Misje i rekolekcje wypełniały mu czas po brzegi, wydając jak najzbawienniejsze owoce.

Cudowne zjawisko w Ankonie.

Musimy tu przytoczyć jeden fakt znamienny, który miał miejsce w Ankonie w r. 1788. Pewnego dnia podczas kazania twarz O. Wincentego rozbłysła niezwykłym wyrazem, a głos jego dzwięczał w sposób zdradzający wielkie wzruszenie. Nagle zebrani wpatrzeni w postać kaznodziei dostrzegli wyraźnie blask niezwykły spływający wprost z obrazu Najśw. Panny i przenikające jakby wprost do serca natchnionego mówcy promienie.

Opowiadano sobie o tem powszechnie i wszyscy znajdowali się pod tajemniczym czarem tego cudownego zjawiska. Kiedy jednak pytano w klasz-

Czcigodny Wincenty Marjan Strambi

orze Coelium O. Strambi czego doświadczył w owej błogosławionej chwili, miał wyraz dziwnego zakłopotania, jakgdyby nie rad przyznawać się głośno do szczęścia doświadczonej publicznie łaski. W końcu wyznał, że podczas mszy św. którą miał tegoż dnia przed ołtarzem Matki Boskiej, widział najwyraźniej, że oczy Bogarodzicy poruszały się jak żywe.

Odtąd świątobliwy ten sługa Boży doświadczał wielu szczególnych łask będących tylko świętych udziałem na ziemi.

Przedewszystkiem obdarzony był nadzwyczajnym darem przepowiadania przyszłości. Używał tego daru Bożego w sposób umiarkowany, tylko w wyjątkowych okolicznościach dla podtrzymania ducha i dobrego wpływu na otoczenie.

Przepowiednia spełniona.

Pewien młody kapłan z zakonu Pasjonistów rozchorował się ciężko w klasztorze św. Anioła.

Częste i obfite krwotoki zdawały się potwierdzać dowodnie orzeczenie lekarzy, że zakonnik ten jest w ostatnim stopniu suchot i że żadne środki nie mogą go już utrzymać przy życiu. Chory zapadł w stan wielkiego przygnębienia, żal mu było rozstawać się z doczesnem życiem nie dokonawszy jeszcze nic zgoła, chociaż pałał chęcią gorącą owocnej pracy, zachęcony przykładami tak wielkich sług Bożych, jakich zakon jego wydał w tym czasie.

Właśnie nadjechał O. Strambi do klasztoru i zaszedł wnet odwiedzić chorego.

— Jakże się miewamy? zawołał przybyły ze zwykłym sobie ujmującym niezmiernie wyrazem, trzeba prędko powracać do zdrowia, kochany Ludwiku, gdyż bardzo wiele pięknych rzeczy dokonać ci jest przeznaczono.

— Niestety, ojcze wielebny, odparł chory z westchnieniem, Bóg snać nie życzy sobie zachować mnie przy życiu.

— Mylisz się, mój drogi, rzekł O. Wincenty, mogę cię zapewnić że napewno wyzdrowiejesz i żyć będziesz jeszcze długie lata.

Głębokie i stanowcze spojrzenie czcig. Ojca przeniknęło do serca chorego i napełniło je dziwną otuchą. Przepowiednia spełniła się istotnie wbrew oczekiwaniom lekarzy, a zakonnik począł przychodzić do zdrowia i żył jeszcze lat trzydzieści pracując bardzo pożytecznie dla zakonu.

Podczas zagarnięcia Rzymu przez Francuzów.

Rewolucja francuzka wstrząsnęła naówczas nie tylko własną ojczyzną ale i w sąsiednich mocarstwach odbiła się niekorzystnie, zwłaszcza Włochy doznały ciężkich krzywd z tego powodu. W r. 1796 francuzka armja wtargnęła do państwa kościelnego. Było to za rządów Piusa III, który nie był w stanie zapobiedz zatargom z rzeczpospolitą francuzką i zmuszony został następnie podpisać traktat wielce uciążliwy, oddać najcenniejsze rękopisy, obrazy i miljony gotówki.

Ucieczono się wreszcie do różnych krętackich pozorów i prowokacji, w następstwie których Napoleon Bonaparte kazał jenerałowi Berthierowi zająć Rzym i ogłosić go rzeczypospolitą. Uwięzionego papieża trzymano trzy miesiące w Siennie, następnie uwieziono za Alpy i wreszcie przywieziono do Walencji, gdzie umarł jako wygnaniec.

Podczas tych krwawych zamieszek urządzone były misje w Rzymie, O. Wincenty przemawiał na placu Colonna, a cały ten plac olbrzymi był zapełniony po brzegi, tak się tłoczono, aby usłyszeć znakomitego kaznodzieję.

Pewnego dnia mówił z takiem przejęciem, że nagle tchu mu zbrakło, wzniósł więc krzyż do góry i rzekł do wzruszonych słuchaczy:

— Najmilsi moi, mówić już więcej nie mogę, ale Jezus ukrzyżowany niech za mnie do was przemówi!

I Chrystus dokonał cudu nawrócenia wielu bardzo grzeszników w owej chwili.

Po odjeździe Piusa VI z Rzymu przezorni przełożeni znaleźli, że konieczne jest usunięcie na pewien czas żarliwego misjonarza z Wiecznego Miasta, gdyż obawiano się, że podniecenie ludu może wywołać gwałtowne sceny. Wysłano więc O. Wincentego do dalszych prowincji, gdzie również wywoływał gorący zapał.

Czcig. Wincenty Strambi zostaje biskupem Maceraty i Toledino.

Po śmierci Piusa VI w r. 1799 okoliczności, zmieniły się tak szczęśliwie, że można było obrać papieża, był to Benedykt z Caseny wybrany przez kardynałów w Wenecji, Rzym bowiem znajdował się jeszcze w stanie zamętu i chaosu. Pius VII zawarł w r. 1801 z ówczesnym konsulem Bonapartym przymierze przywracając tym sposobem religję katolicką we Francji. Na żądanie Napoleona przybył papież do Paryża na uroczystą koronację cesarza w 1804 r. Dumny ten mocarz chciał gwałtownie skłonić Piusa VII do przeniesienia Stolicy Apostolskiej do Awignonu i w tym celu zatrzymywał go w Paryżu pod różnymi pozorami, a widząc opór papieża dawał mu do zrozumienia, że w razie nie zgodzenia się pozostanie więźniem Francji. Te wszystkie namowy i pogróżki nieodniosły skutku, papież bowiem przewidując przy wyjeździe z Rzymu podobne następstwa pozostawił formalny akt zrzeczenia się papiestwa na wypadek zatrzymania go we Francji. Miałby więc Napoleon w swych rękach nie Namiestnika Chrystusowego rządzącego całym katolickim światem, ale tylko Benedyktyna O. Barnabę Ciaramonti, bo takie było prawdziwe nazwisko Piusa VII. W obec tego cesarz dozwolił na wyjazd papieża z granic Francji i powrót do Rzymu.

Zaraz po wstąpieniu na Stolicę Apostolską Pius VII ceniąc wielce zasługi O. Strambi wyniósł go do godności biskupiej oddając mu dyecezje Macerata i Tolentino.

O. Wincenty nieoczekiwał zgoła tak zaszczytnej nominacji i przeraził się odpowiedzialności duszpasterstwa. Udał się więc niezwłocznie do papieża błagając na klęczkach, aby nieobciążał go tak doniosłemi obowiązkami, gdyż nie czuje się na siłach im podołać.

— Wybór mój jest za natchnieniem Bożem zrobiony, odrzekł mu na to Pius VII, nikt mi nie wskazał cię, mimo to jednak jestem przekonany,

że nikt lepiej nie potrafi sprostać temu zadaniu; życzę sobie, abyś nominację mą przyjął.

W obec tak wyraźnego rozkazu nie mógł się O. Strambi opierać dłużej, ale z pewną obawą przystępował do nowego życia, jakie się przed nim otwierało.

Przedewszystkiem unikając wszelakich powinszowań z powodu spadłego nań dostojeństwa ukrył się w samotności w zacisznem Monte-Cavi aż do dnia kiedy miał sakrę otrzymać (26 lipca 1801 r.). Udzielił mu takowej kardynał Antoneli, był przytem niezmiernie wzruszony widząc promienny nieziemskim blaskiem wyraz oczu czcig. O. Wincentego, a wszyscy obecni doświadczyli również podniosłego wrażenia przy tej radośnej uroczystości.

Przykładny duszpasterz.

Jak tylko biskup Strambi objął biskupstwo miał wnet misję, którą olbrzymi wpływ wywarł na ludność miejscową. Według zapewnienia historyka opisującego życie czcigodnego Wincentego pod koniec misji dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców Maceratu przystąpiło do Stołu Pańskiego.

Świątobliwy pasterz wiedział dobrze, że dom biskupa winien być zarazem wzorową szkołą dla całej dyecezji i że przykładnem życiem zachęca się najpewniej do dobrego. To też w pałacu jego panowała wielka skromność i prostota, jak gdyby w zakonnej celi. Zatrzymał przy sobie jednego z Braci Pasjonistów, urządził zgromadzenie zakonne w swym pałacu i tam najściślej zachowywał regułę o ile tylko pozwalały na to nowe obowiązki.

Podczas nocy nakładał habit i długie chwile spędzał na modlitwie śpiąc zaledwie cztery godziny na twardym swym łożu.

Z największą radością usuwał się od świata, ażeby wśród ukochanych swych Braci Pasjonistów zażywać upragnionego spokoju i przygotowywać się w klasztornej ciszy do nowej pracy.

— Nasz biskup, mawiali dyecezjanie, nic nigdy ważnego nie postanowi, za nim mszy św. nie odprawi.

Był to biskup apostoł w całem słowa tego znaczeniu. Czuwał nad duchowieństwem, seminarjami, nad wychowaniem młodzieży, wszystkie zgromadzenia religijne znajdowały w nim pieczołowitego ojca i doskonałego kierownika. Nieraz sam papież zwracał się do niego w doniosłych sprawach.

Kiedy panowała silna epidemja wśród dzieci i bardzo wiele z nich umierało, czcigodny pasterz z narażeniem życia sam udawał się do chorych dla udzielenia im pierwszej Komunji św.

Pewnego wieczoru doniesiono mu o jednem dziecku wiejskiem śmiertelnie chorem; pomimo więc ulewnego deszczu zacny biskup Strambi postanowił udać się tam niezwłocznie. Nigdzie na podorędziu nie można było dostać powozu i biskup nie chcąc tracić ani chwili poszedł pieszo z księdzem, którego wziął za towarzysza. Deszcz zmoczył wędrowców do nitki, wówczas czcig. Wincenty rzekł patrząc z uśmiechem na strugi wody spływające obficie z płaszcza młodego kapłana:

— Oto prawdziwy żołnierz Chrystusowy!

Swoje własne zasługi starał się ukrywać, chętnie zawsze wychwalając innych. Skromność to była najzupełniej szczera, gdyż wymagającym był niezmiernie od siebie, a wszystko co czynił wydawało mu się zupełnie zwykłem i nie zasługującem na pochwałę.

Miłosierdzie czcigodnego Wincentego.

Biskup Strambi znany był powszechnie ze swej wielkiej szczodrobliwości. Z pozostałych dokumentów okazuje się, że nie zawahał się pewnego razu spieniężyć pierścień własny dla przyjścia z pomocą ubożuchnemu kościołowi. Otrzymawszy za ten klejnot sumę stu trzydziestu lirów, rzekł ze zwykłą słodyczą:

— Najświętsza Panna nas wspomogła, weźcie więc sto dwadzieścia lirów na budowę Jej kościoła, dziesięć zaś zachowuję dla moich ubogich.

Niekiedy ochmistrz przerażony, że wszystkie zasoby wyczerpują się ze zdumiewającym pośpiechem uskarżał się na zbytnią hojność biskupa.

— Bądź spokojny, odpowiadał czcig. Wincenty, skarby Opatrzności są niewyczerpane, co dajemy w imie Ojca Niebieskiego sowicie nam będzie oddane.

— Bóg nie jest ubogim, powtarzał nieraz, kiedy mu czyniono uwagi, że mogą wyczerpać się fundusze potrzebne na jakieś pożyteczne przedsięwzięcie. Bóg mi ten pomysł zesłał i nie wątpię, iż mi dopomoże uskutecznić go według powziętego planu.

I nigdy ta ufność wielka w pomoc Bożą nie zawiodła czcig. biskupa, pomimo ogromnych wydatków na cele dobroczynne zawsze w porę przyszła pomoc niespodziana, i nikt nie wątpił w to, że niebo stale wszystkim dobrym intencjom wiernego sługi Bożego sprzyja.

Wygnanie.

Ażeby swą pasterską działalność jeszcze szerzej rozwinąć umyślił biskup Strambi zwołać synod dyecezjalny, ale w tym właśnie czasie nastąpiły dotkliwe wypadki, które wszystkie dalsze pokrzyżowały plany.

W r. 1808 Napoleon zajął Rzym i zabrał państwo Kościelne wcielając je do posiadłości fran-

cuzkich. Rzym z rozkazu cesarza został miastem wolnem ogłoszony i miał odtąd niepodlegać władzy papieża. W następnym roku, gdy Pius VII ekskomunikował Napoleona, ten kazał go porwać gwałtem wraz z kardynałem Pacca i osadzić w więzieniu. Zuchwalstwo ambitnego Korsykanina, który potrafił ujarzmić tyle ludów i trząsł polityką całej Europy, doszło do tego stopnia, że zamierzał odtąd sam mianować papieży.

Ponieważ miasto Maserata leżało w obrębie państwa Kościelnego biskupowi Strambiemu zagrożono wygnaniem, o ile nie zgodzi się na dobrowolne przyznanie nowej władzy i wykonanie żądanej od duchowieństwa przysięgi.

Papież ze swej strony zabronił wykonania tej przysięgi, w obec czego czcig. Wincenty zawołał z zapałem:

— Sam św. Piotr przemówił przez usta Piusa! Naturalnie mowy nie było o tem, żeby mąż tak niezłomnych przekonań, jak biskup Strambi mógł pod wpływem strachu przed groźnym tyranem uchylić czoła. Wnet Francuzi zagarnęli dobra biskupie i poczęli gospodarować, jak szare gęsi na cudzym łanie.

— Niech grabią, niech wszystko nam zabiorą, mówił czcig. Wincenty, w każdym razie Boga nam odebrać nie są w stanie! Rozpoczęło się napastowanie zbrojne. Dwa tysiące żołnierzy otoczyło mieszkanie ukochanego przez wszystkich pasterza. Wytoczono działa zwracając je w stronę tłumnie przybyłego ludu mającego zamiar bronić biskupa, któremu odczytał prefekt rozkaz cesarski opuszczenia miasta.

— A więc idziemy, odrzekł M-gr Strambi bez najmniejszego wahania

— Trzeba wydać rozporządzenie, aby konie waszej ekcelencji były w pogotowiu, rzekł nowy prefekt, Francuz nie znający skromnego życia zacnego duszpasterza.

— Nie posiadam ani koni ani powozu, odparł biskup, wszystko to już poszło na ubogich, idźmy więc nie zwlekając dłużej. A wskazując krzyż trzymany w dłoni dodał:

— Oto jedno co posiadam i to mi najzupełniej wystarcza.

Obawiając się jednak wielkich manifestacji wśród ludu, sprowadzono karetę, w której obok biskupa zajął miejsce nieodstępny jego towarzysz Br. Kamil Pasjonista, oraz oficer francuzki mający eskortować ich, aż do miejsca wygnania.

Przybywszy do Nowary zostali więźniowie stanu oddani w ręce policji, która wskazała przygotowane dla biskupa mieszkanie w kolegium Barnabitów. Ojcowie mieli sobie polecone strzeżenie dostojnego więźnia, nie dozwalanie mu wydalać się samemu, gdyż w razie ucieczki wielka na nich spaść miała odpowiedzialność.

Pobyt w Medjolanie.

Wszystkie doznane wstrząśnienia, bolesna wieść o uwięzieniu papieża, wreszcie zmiana klimatu wpłynęły na podkopanie zdrowia czcig. Wincentego. Dowiedziawszy się o tem krewny biskupa znakomity doktór Strambi począł czynić starania o przeniesienie go do Medjolanu. Znalazłszy się w tem mieście biskup cieszył się tam względną swobodą, zajmował dwa małe pokoiki, w których mieścił się z Br. Kamilem. Codziennie o północy zrywał się na modlitwę stosownie do wymagań reguły Pasjonistów i biczował się ostrą dyscypliną. Pomimo że czcigodny biskup słusznie mógł mieć żal do cesarza Napoleona za tyle krzyw Kościołowi wyrządzonych, jednakże wierny zasadzie nie mówienia źle o nikim, ani jednem słowem nie okazał nigdy oburzenia. Przeciwnie nawet, napominał towarzyszy wygnania, gdy ci zbyt ostro wyrażali się o swych prześladowcach.

Jeden z wygnańców rzekł pewnego razu:

— Dlaczego właściwie mamy krępować się nieustannie i nie nazywać tych łotrów takiem mianem, na jakie zasługują? Jestem pewien, że Wasza Ekcelencja najzupełniej podziela nasze przekonania i to co wypowiadamy głośno potwierdza swem milczeniem. Mogę to udowodnić: Oto Wasza Ekcelencja mówi zawsze dobrze o wszystkich bez wyjątku, a przenigdy źle o nikim, jeśli więc o Napoleonie nie mówi nic złego, to również nic też na jego korzyść przytoczyć nie potrafi, pomimo że dla najgorszego zbrodniarza umie zawsze znaleść słowo pobłażania.

Biskup z łagodnym uśmiechem wysłuchał tego dowodzenia i wnet w zręczny sposób zmienił przedmiot rozmowy, gdyż z ewangeliczną iście słodyczą umiał przebaczać winowajcom i nigdy do nikogo nie żywił urazy.

W całym Medjolanie głoszono ustawicznie wielkie cnoty świątobliwego biskupa i cześć dla niego wciąż wzrastała. W ogóle wszyscy wygnańcy cieszyli się wielką sympatją i współczuciem. Te dowody uznania ogromnie gniewały Francuzów i rząd nowy rozkazał przenieść zesłańców z Medjolanu do Mantui. Ale ludność medjolańska tak energicznie zaprotestowała przeciw wywiezieniu biskupa Strambi, że vice-król zmuszony był dla niego jednego uczynić wyjątek i pozostawić go na miejscu.

Wolność odzyskana. Powrót do Maceraty i działalność apostolska czcig. Wincentego.

Gdy straszliwy pogrom wojenny spotkał Napoleona pod Lipskiem, w styczniu 1814 r. przywrócił wolność uwięzionemu papieżowi. W tym samym pałacu Fontainebleau (Fonteneblo) w którym

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

ambitny despota trzymał Głowę Kościoła pod silną strażą w kilka miesięcy potem ów wichrzyciel, zaborca nieznający miary w swem samolubstwie i pysze musiał podpisać akt zrzeczenia się tronu.

Po upadku Napoleona Stolica Apostolska znowu odzyskała swe zagrabione przez cesarza dobra, a wygnańcy odzyskali wolność. W Ankonie nastąpiło spotkanie biskupa Strambi z Piusem VII i długą o sprawach ogólnych oraz dotyczących Kościoła św. wiedli rozmowę.

Tryumfalnym prawdziwie był powrót czcig. Wincentego do Maceraty, gdzie witano go jak ojca najukochańszego po długiem niewidzeniu.

W parę dni po przyjeździe biskupa przybył do niego papież w gościnę, a powróciwszy do stolicy wnet zawezwał czcig. Wincentego do Rzymu dla ćwiczeń duchownych wśród młodszego kleru zebranego tam po dziejowej burzy.

W latach 1816 i 1817 zapanowały groźne gorączki tyfoidalne a następnie szerzący się głód sprawił prawdziwe w całym kraju spustoszenie.

Wówczas czcigodny Wincenty okazał niezmierne męztwo i poświęcenie, Był cały oddany miłosierdziu, a przytem miał wiele do uporządkowania w swej zrujnowanej i zdemoralizowanej rządami francuzkiemi dyecezji.

Pomimo swych cnót i nieprzebranej dobroci, czcigodny ten duszpasterz miał zawziętych wrogów.

Jeden z zagorzałych rewolucjonistów z Maseraty zaprzysiągł, że go zamorduje. Snać jednak Bóg miłosierny miał w szczególnej opiece wiernego sługę swego, albowiem zaledwie ów nędznik wyraził swe okrutne postanowienie zaskoczony został śmiertelną chorobą, podczas której opanowała go szczera skrucha i gwałtowna chęć naprawienia swych błędów, przedewszystkiem zaś pragnął z ust czcig. Wincentego usłyszeć słowa przebaczenia. Posłał więc z prośbą gorącą do biskupa, aby przybył dla pojednania go z Bogiem. Naturalnie że zacny duszpasterz nieomieszkał pośpieszyć na wezwanie zaciętego swego niegdyś wroga, ale gdy był już w pół drogi, spotkał drugiego gońca oznajmiającego, że już jest po wszystkiem, chory bowiem padł nagle, jakby rażony piorunem. Wszyscy mieszkańcy miasta widzieli w tem prawdziwy palec Boży i karę za żywienie zbrodniczych zamiarów względem czcigodnego duszpasterza.

Czcig. Strambi zrzeka się biskupstwa i powołany zostaje do Rzymu.

Dnia 20 sierpnia 1823 r. zmarł sędziwy papież Pius VII. W tym czasie biskup Strambi znajdował się w klasztorze Pasjonistów w Morovale i tam modlił się gorąco o szczęśliwy wybór Głowy Kościoła. Podczas swych długich godzin kontemplacji miał wyraźne objawienie w chwili właśnie, gdy obiór nowego papieża odbywał się w Rzymie.

Leon XII był wielce cenionym przez swego poprzednika, jeszcze przed tem zanim został kardynałem sprawował różne ważne poselstwa, nawet w 1808 r. był wysłany do Napoleona, który przyjął go grubiańsko i brutalnie. Mimo bardzo wątłego zdrowia w krótkich latach swego pontyfikatu zrobił bardzo wiele, poprawił bowiem stan opłakany państwa Kościelnego, wydał nowy kodeks prawa, zmniejszył podatki, zajął się reformą szkół, usunął wiele nadużyć, powiększył bibliotekę Watykańską tysiącami dzieł wielce cennych, oraz wydał bullę potępiającą stowarzyszenie masonów czyli wolnomularzy.

Czcigodny O. Strambi zaraz po obiorze papieża ponowił swą prośbę o zwolnienie go od ciężkich obowiązków duszpasterza, a ponieważ Leon XII wielką dla niego żywił życzliwość i poważanie zgodził się na życzenia Wincentego, powołując go natomiast do papieskiego dworu.

Po przybyciu do Rzymu w listopadzie 1823 r. zastał już biskup Strambi przygotowany dla siebie apartament w Kwirynale, papieskim pałacu. Wolałby co prawda świątobliwy ten kapłan mieć w klasztorze Pasjonistów ciche schronienie ale musiał zastosować się posłusznie do woli Ojca św., który go swym sekretarzem mianował.

Codziennie więc z urzędu swego czcig. Wincenty miał audjencję u papieża i był mu wielce pożytecznym doradcą.

Życie za życie. Śmierć błogosławiona.

Kiedy jeden z kanoników przybyły z Maseraty począł wyrażać czcig. Wincentemu szczery żal w imieniu całego miasta z powodu, iż je opuścił bezpowrotnie, Monsinior Strambi odpowiedział:

— Pocieszcie się, moi najmilsi, św. Sylwester już za pasem, on wam dobre nowiny o mnie przyniesie.

Rzeczywiście w tym, że roku w wigilję św. Sylwestra błogosławionego żywota dokonał. We trzy miesiące po obiorze Leona XII rozniosła się wieść o groźnej chorobie papieża. Dnia 23 grudnia około północy uczuł się tak źle, że obecni byli wielce przerażeni i sądzili, że już umiera. Przywołano wnet O. Wincentego, papież uścisnął mu dłoń ze wzruszeniem i rzekł gasnącym głosem:

— Sądziłem Ojcze Wincenty, że ja cię w poczet świętych zaliczę, lecz inny to po mnie uczyni.

Monsignor Strambi zaledwie mógł pohamować ogarniającą go boleść na widok śmiertelnie bladej twarzy Ojca św. i zapytał go, czy pragnie przyjąć Wiatyk?

— O tak! tak, zdołał zaledwie wyszeptać chory.

Po otrzymaniu Komunji św. papież dał znak

O. Wincentemu, aby pozostał przy nim. Nagle czcig. Strambi miał natchnienie wyraźne i błyskawicznie zrodziło się w duszy postanowienie ofiarowania własnego życia w zamian za uzdrowienie papieża Leona.

W nocnej ciszy u łoża umierającego czcig. Wincenty w głębokiem ducha skupieniu obmyślał ten dar serca uczyniony niebu dla uratowania tak potrzebnego w danej chwili katolickiemu światu światłego i szlachetnego przewodnika.

Była już godzina pierwsza po północy, gdy O. Wincenty poprosił chorego o pozwolenie oddalenia się dla odprawienia mszy św. na intencję jego uzdrowienia.

Wychodząc rzekł:

— Odwagi Ojcze św. Jest pewien człowiek, który chce ofiarować Bogu własne życie wzamian za Twoje Ojcze św.

Podczas wotywy *pro infirmo* (za chorych) O. Wincenty zdawał się być całą duszą zatopiony w niebiosach, myśl jego dosięgła snać Boskiego tronu, cała siła woli skupioną była na wyrażeniu swej intencji, udawał się do Stwórcy z synowską miłością i pokorą.

Dziwna to była chwila łaski! Twarz błogosławionego sługi Bożego promieniała anielsko jednocząc się ze Zbawicielem świata w pragnieniu samoofiary.

Kiedy odchodził od ołtarza Monsenior Soglia przybiegł obwieścić mu pomyślną nowinę, że papież wydaje się być znacznie zdrowszym, jakgdyby nagle powróciły mu gasnące siły. O. Wincenty nie posiadał się z radości, czuł bowiem, że jego ofiara spodobała się Bogu.

— Dzięki niech będą Najwyższemu i Najśw. Panie Marji, zawołał, wysłuchane są prośby nasze i pośpieszył wnet do łoża chorego, gdzie przekonał się naocznie, że polepszenie widoczne zaszło podczas jego nieobecności, a więc właśnie w chwili, gdy świętą sprawował ofiarę.

Rano gdy przybyli kardynałowie wypytując o stan zdrowia Jego Świątobliwości, czcig. Strambi zapewnił ich z głębokiem przekonaniem, że Ojciec św. żyć będzie, gdyż Bóg przyjął ofiarę osoby oddającej w zamian swe życie. Zataił na razie jej imie nie chcąc przez skromność wymienić siebie. Od dnia tego polepszenie było najzupełniej zdecydowanem i beznadziejnie chory powrócił do zdrowia, natomiast O. Wincenty rażony apopleksją zgasł dla ziemi, aby cieszyć się niebiańskiem szczęściem w nagrodę swych zasług i cnoty.

Godnem jeszcze zaznaczenia jest to, że O. Wincenty nie tylko przepowiedział Ojcu św. wyzdrowienie ze śmiertelnej choroby ale również zapewniał że rządy pontyfikalne sprawować będzie pięć lat pięć miesięcy i dni kilka, co się spełniło w zupełności.

Wszyscy naoczni świadkowie potwierdzili w procesie beatyfikacyjnym, że czcig. O. Strambi miał od chwili uczynienia ofiary z własnego życia wyraz takiego uduchowienia, jak gdyby już nie należał do liczby żyjących, a raczej był jakiemś zaświatowem zjawiskiem.

Śmierć nie zaskoczyła go nie przygotowanym, albowiem oczekiwał jej lada chwila i powitał radośnie; tak samo jak św. Franciszek Salezy zmarł nie chorując długo, odbył ostatnią spowiedź i przyjął Komunję św. poczem wnet stracił mowę.

Konając przyciskał do ust krucyfiks, a członki jego po śmierci nie zesztywniały wcale i kilka dni jeszcze czynił wrażenie śpiącego snem spokojnym człowieka.

Ciało jego złożono w grobach bazyliki śś. Jana i Pawła tuż obok św. Pawła od Krzyża.

W r. 1843 sprawa beatyfikacji czcig. Wincentego była przez Kongregację Obrządków rozpatrywaną.

Źródła.

O. Tureniusz. *Życie Monsiniora Strambi.* Paryż 1863 r.

O. Ludwik Th. *Żywot czcig. Wincentego Marjana Strambi.* 1893.

Dnia 2 Lutego.

BŁOGOSŁAWIONY TEOFAN WENARD

beatyfikowany w roku 1909. Misjonarz-męczennik.

1829—1861.

Za rządów papieży: Piusa VII, Leona XII, Piusa VIII, Grzegorza XVI, Piusa IX.

Bądźcie w pilności nie leniwi, duchem pałający.
Rzym. XII. 2.

Dziecinne lata.

Błog. Teofan Wenard przyszedł na świat we Francji w dyecezji Poitiers d. 21 listopada 1829 r. Ojciec jego był początkowo nauczycielem, następnie zaś pisarzem w sądzie pokoju. Zarówno on, jak i żona jego Marja wychowywali dzieci bogobojnie; mieli ich czworo: Melanję, Teofana, Henryka i Eużebjusza, żadne z nich nie przyczyniało rodzicom zmartwienia, a rodzinne życie w tym chrześciańskim prawdziwie domu było wzorowe.

Teofan bardzo wcześnie rwał się już do książki i nauczył się czytać i pisać. W letniej porze lubił bardzo wyprowadzać swoją krówkę i kozę na poblizkie od domu pastwisko, zabierał z sobą książkę, namawiał siostrę i jej przyjaciółkę, aby mu towarzyszyły i tam w dali od gwaru czytywał im głośno pobożne rozmyślania lub życia świętych.

Pewnego dnia wpadł mu w ręce życiorys Karola Cornay, misjonarza, którego właśnie w Tonkinie umęczono. Opis jego bohaterskiej śmierci silne na młodocianym umyśle Teofana uczynił wrażenie.

— O jakże bym chciał taką również śmierć ponieść, zawołał chłopczyna z zapałem. Kiedy dorosnę, pojadę z Ojcami na misje!

Miał podówczas lat dziesięć zaledwie, a już myśli podobne budziły się w gorącej jego duszy.

W kilka dni potem idąc z ojcem na przechadzkę, zapytał go nagle:

— Powiedz mi tatusiu kochany, czy dużo pieniędzy możnaby otrzymać za tę naszą łąkę?

— Trudno jest określić ile jest warta, nie mam zamiaru jej sprzedawać, ale dlaczego pytasz o to? odrzekł ojciec.

— Gdyby była moją, zawołał Teofan, zarazbym ją spieniężył i miał bym środki potrzebne na naukę.

Ojciec cieszył się wielce tem usposobieniem syna, który marzył o kształceniu się, jak inni o zabawach i przyjemnościach. Był to chłopak zdolny, a przytem widocznem było od dzieciństwa, że ma skłonność do życia duchownego. Ogromnie go zajmowały zawsze wszelkie ceremonje religijne, słuchał mszy św. z wielkiem skupieniem i uwagą, lubił czytywać tylko pobożne książki, to też ojciec postarał się o przeprowadzenie go przez kolegium w Doué, a następnie nic nie miał przeciwko temu, aby Teofan wstąpił do seminarjum w Montmorillon. Tak więc obeszło się bez sprzedaży łąki i życzeniu młodzieńca stało się zadość.

Listy jego pisane w tym czasie do rodziców i siostry i wypracowania wierszem i prozą, które zachowały się dotąd, świadczą wymownie, jak poważnie pracował nad sobą i jak niezwykle głębokim był jego umysł.

Od czasu pierwszej komunji postanowił sobie odmawiać codziennie koronkę do Najśw. Panny, której zwłaszcza po śmierci matki oddał się całkowicie w opiekę. Nawiedzenia Najśw. Sakramentu i częste komunje sprawiały mu rozkosz prawdziwą.

W kolegium, a następnie w seminarjum odznaczał się zawsze wielką pobożnością, był przytem niezmiernie miłym w obejściu wesołym i towarzyskim, co mu jednało przyjaciół. W wielkim seminarjum w Poitiers tak samo ogólną życzliwością się cieszył.

Podczas Świąt Bożego Narodzenia w 1849 r. otrzymał tonsurę, a w 1850 został sub diakonem.

Pożegnanie z rodzinnym domem.

Na początku 1851 r. Jan Wenard otrzymał list od syna z gorącą prośbą, aby dozwolił mu zapisać się do Misji zagranicznych w Paryżu.

Aczkolwiek serce ojcowskie ścisnęło się boleśnie na myśl o niebezpieczeństwach grożących misjonarzom, nie sprzeciwił się żądaniu syna i błogosławieństwa mu swego udzielił. Bardzo pięknym i wzniosłym listem odpowiedział przyjacielowi swemu, który wyrażał zadziwienie, że tak łatwo przyzwolił synowi iść za głosem powołania i podejrzywał przełożonych seminarjum o namawianie i zachęcanie młodzieży do obrania ciernistej, misyjnej drogi.

— Jakże by inaczej wypełnić się miały słowa Ewangelji św., pisał Jan Wenard, przecież powiedzianem jest, że Słowo Boże głoszonem będzie po całej ziemi. Czyż w obec tego nie należy raczej dopomagać niż sprzeciwiać się rozszerzaniu się jak największemu misyjnej pracy?

Teofan spędził jeszcze dwa tygodnie w rodzicielskim domu przed ostatecznym wyjazdem do Paryża.

Dnia 26 lutego po wspólnie spożytej wieczerzy przyklęknął u stóp ojca, prosząc go o błogosławieństwo na nowe życie. Cała rodzina ze wzruszeniem patrzała na promieniejącą radością twarz młodego kleryka. Po serdecznem i czułem pożegnaniu rozstał się przyszły misjonarz z najbliższymi sercu, a wsiadając do powozu zawołał jeszcze:

— Dowidzenia drodzy moi, dowidzenia w niebie!..

W seminarjum Misji zagranicznych.

Wjeżdżając po raz pierwszy w życiu do stolicy, błog. Teofan nie czuł wcale ciekawości i chęci przypatrzenia się zbliska olbrzymiemu miastu po-

Błog. Teofan Wenard
misjonarz umęczony w 1861 r.

siadającemu dla przybyszy z całego świata tyle powabu. Udał się natychmiast do seminarjum Misji zagranicznych, a tam pozyskał sobie wkrótce serca wszystkich zarówno towarzyszy, jak i przełożonych. Pisywał często do rodziny listy pełne zapału i radośnego zachwytu dla cichego ustronia przy ulicy Bac, czasem przysyłał rodzeństwu podniosłe rady, w których przebijało się jego gorąco miłujące Boga i bliźnich serce.

Miał lat dwadzieścia dwa, gdy otrzymał kapłańskie święcenia w 1852 r.

Dnia 2 sierpnia ks. Wenard odprawił pierwszą mszę św. na intencję brata swego Euzebjusza, który w dniu tym cudownie został od śmierci ocalony. Nikt nie wątpił, że zawdzięczał to gorącym modłom świątobliwego brata kapłana.

Młody misjonarz odpłynął w tym że roku d. 23 września na amerykańskim żaglowcu do Singapur, a przybył tam na początku 1853 r. Po trzytygodniowym pobycie udał się w raz z innymi towarzyszami pracy do Hong Kong, gdzie dziesięć miesięcy musiał wyczekiwać listu z oznaczeniem przyszłego miejsca pobytu.

W ciągu tego czasu nauczył się języka chińskiego, który jest niezmiernie trudny i ks. Teofan utrzymywał, że już na sam widok tych dziwacznie pokrzywionych liter słabo mu się robiło, tyle miał zmudnej roboty z przyswojeniem sobie właściwości chińskiego pisma.

— „Doprawdy, pisał on w jednym z listów, wydaje mi się, że chyba sam diabeł wymyślił ten język, ażeby utrudnić nasze misjonarskie zadanie“.

Oznajomił się tymczasem potroszę z miejscowemi obyczajami, wykładał filozofję w kolegium św. Franciszka Ksawerego i wkrótce na obczyźnie, tak samo jak i w rodzinnym kraju, pozyskał wielką życzliwość i uznanie.

Pierwsze trudności i przeszkody. Choroba.

W lutym 1854 r. ks. Teofan oznajmił listownie bratu swemu Euzebjuszowi, iż nakoniec dostał już wiadomość, gdzie mu wyznaczono pole pracy; była to chińska prowincja zwana Tonkinem zachodnim, tam to właśnie czcig. Karol Cornay został umęczony, tam również ks. Schoeffer i Bonard otrzymali palmę męczeńską na parę lat przed przybyciem ks. Wenarda.

Męczennicy są patronami misjonarzy, w niebie. Ich krew przelana, wspomnienie męztwa i niezachwianej ufności w pomoc Bożą celem rozszerzenia królestwa Jego na ziemi, tymbardziej jeszcze pobudzały gorące pragnienie ks. Teofana oddania życia dla Chrystusa.

„Cóż by to za wielkie szczęście było, o bracie miły, pisał on do Euzebjusza, gdybym dostąpił łaski zostania męczennikiem za wiarę!“

Dnia 13 czerwca 1854 r. ks. Wenard przybył do miasteczka Win-Tri, gdzie znajdował się biskup Retord, wikarjusz apostolski; pięciu innych misjonarzy z Europy również tam przebywało w tej chwili; ztąd wielka była radość dla zebranych na obczyźnie, mogli bowiem pomówić swobodnie, podzielić się wrażeniami, śpiewać wspólnie, a ks. Teofan ułożył na prędce bardzo ładną pieśń okolicznościową o misjonarzu przybyłym do Tonkinu.

Zaledwie błog. Wenard rozpoczął swą misję apostolską, zaledwie zdołał wreszcie owładnąć językiem miejscowym, nagle rozchorował się ciężko i musiał czas jakiś przeleżeć. Nie zupełnie jeszcze zdrowym się czując już musiał chronić się ucieczkę w obec groźnego zarządzenia chińskiego władcy.

Za pomocą znacznych ofiar pieniężnych, na ręce mandarynów złożonych, udało się jakoś zabezpieczyć misjonarzom względną swobodę, ale jednocześnie prawie znowu ks. Wenard zachorował. Klimat miejscowy snać mu bardzo nie służył, być może gorączka źle była wyleczona, jednem słowem stan zdrowia przedstawiał poważne niebezpieczeństwo. Zdawało się, że rozwinęły się suchoty i astma zarazem, cierpiał ogromnie, kaszlem nieustannym dręczony.

Biskup Retord namawiał ks. Teofana, ażeby się poddał operacji, za pomocą której lekarze chińscy w ważnych razach prawie beznadziejnie chorych ratują.

Leczenie to polega na paleniu niemniej 500 gałek z jakiegoś ziela w rodzaju piołunu na ciele pacjenta. Ks. Wenard zgodził się na tę dotkliwą próbę nie bardzo dowierzając w pomyślny skutek; jednak ku wielkiemu zdziwieniu uczuł się prawie odrazu wyleczonym.

Prześladowanie misjonarzy. Działalność apostolska błog. ks. Wenarda.

Wkrótce nowe czekały go próby. Osaczeni i ze wszystkich stron napastowani misjonarze byli zmuszeni użyć najrozmaitszych forteli, ażeby się od prześladowców uchronić. Znaleźli się w ciemnem podziemiu, podczas gdy na powierzchni ziemi nad ich głowami okrutni mandaryni od spraw kryminalnych czynili poszukiwania dla odkrycia ich kryjówki, a nie mogąc trafić na ślad, pustoszyli i grabili ich skromne mieszkania mszcząc się w ten sposób na zbiegłych misjonarzach.

Ks. Teofan zmuszony był szukać przytułku w Hoang-Nuen u ks. Kasteksa prowikarjusza Misji, który na ręku ks. Wenarda oddał Bogu ducha.

Biskup powierzył następnie prowincję zostającą pod zarządem zmarłego, błog. ks. Teofanowi.

„Mam obecnie, pisał on do siostry, liczną bardzo rodzinę z chrześcian i z pogan złożoną. Chrześcian jest dwanaście tysięcy w czterech parafiach, na tę liczbę siedmiu księży tubylców. Obowiązkiem mym jest odwiedzać kolejno wszystkie parafje i chrześciańskie zgromadzenia, czuwać nad wszystkiem, zapobiegać złemu, godzić zwaśnionych, bierzmować w zastępstwie wikarjusza apostolskiego, nie mogącego odwiedzać wszystkich parafji wikarjatu, urządzać rekolekcje i misje w celu przysporzenia nowych owieczek do owczarni, jednem słowem czynić wszystko, co tylko jest w mojej mocy dla ugruntowania wiary w sercach tego ludu oraz wzbudzenia w nich miłości dla Boga".

W tych słowach listu mieści się szeroki istotnie program działalności gorliwego misjonarza. Błog. ks. Wenard najskrupulatniej wypełniał przyjęte na siebie obowiązki i nie zaniedbywał niczego, co mogło podnieść chwałę Bożą. Działo się to w czasie, kiedy trwały ustawiczne i krwawe prześladowania w latach 1858, 1859, 1860.

Dalszy ciąg prześladowań. Zdrada. Uwięzienie.

Prześladowania w dalszym ciągu nie tylko nie ustawały ale wzmagały się z dniem każdym. Okrutny władca chiński Tu-Duk wydawał raz po raz rozporządzenia mające na celu gnębienie chrześcian, a mandaryni skwapliwie wypełniali rozkazy pastwiąc się nad niewinnymi.

Udało się policyi chińskiej przełapać listy wysłane przez misjonarzy i cała prowincja Ha-Noi zapłonęła nienawiścią dla europejskich przybyszy.

Znalazł się niestety nowy Judasz pomiędzy miejscowymi chrześcianami, którego mandaryni zdołali przekupić i ten odsłonił im wszystkie tajemnicze drogi, za pomocą których misjonarze porozumiewali się z sobą i unikali zasadzek swych nieprzyjaciół. Od tej chwili aresztować poczęto codziennie nowe ofiary, a wyrokom śmierci nie było końca.

Rano w dzień św. Barnaby duży oddział wojska chińskiego w połączeniu z ludnością pogańską otoczył wioski przez chrześcian zamieszkałe, w których skrywali się misjonarze. Szczęśliwym trafem udało sie jeszcze tym razem księżom umknąć niepostrzeżenie, ale za to bardzo wielu chrześcian dostało się w ręce nieprzyjaciół wiary i w najokropniejszych męczarniach zakończyło życie. Pustoszono wszystko ogniem i mieczem. Biskup Retord schronił się w góry i tam śmierć go dosięgła. Biskup Theurel i ks. Wenard tułać się musieli po różnych kryjówkach unikając pogoni.

„Jeden z misjonarzy pisał do mnie, opowiada ks. Wenard, że już od ośmnastu miesięcy nie widział światła dziennego, a listy swe wysyła z podziemi na dziesięć stóp głębokich, gdzie niby krety w norze muszą przebywać księża katoliccy w obawie narażenia życia poczciwych chrześcian tubylców czuwających nad ich bezpieczeństwem".

Ks. Teofan również wiele długich miesięcy spędzić pod ziemią był zmuszony. Można sobie wyobrazić jakie straszne są chwile takiego życia, jakby żywcem w grobie, w ciągłej obawie, że oprawcy wpadną na ślad i pastwić się będą nad nowemi ofiarami.

Ale widzimy z listów błog. Teofana, że był niezmiernie pogodny i wcale się nie troszczył o cielesne niewygody i udręki. Przeciwnie nawet zdaje się być zachwycony możnością przedłużania cierpienia.

„Co za los godny zazdrości, pisał on jeszcze 10 maja 1860 r., trzech nas misjonarzy, z których jeden jest biskupem, leżymy jeden obok drugiego w naszej norze mając zamiast okienka, trzy malutkie otwory nad głowami, przez które nawet ręki przeciągnąć niemożna, a poczciwa nasza stara czuwająca nad naszem bezpieczeństwem zakrywa nam jeszcze starannie te jedyne lufty wiązką słomy rzuconej niby od niechcenia! Jeśli któremu wypadnie wysunąć się cichaczem na świat Boży dla spowiadania wiernych, doświadcza wrażenia, jak gdyby zszedł z okrętu, utrzymać mu się trudno na nogach, bo zupełnie zatraca się przyzwyczajenie do chodzenia będąc zmuszonym pozostawać wciąż w leżącem położeniu".

Ileż to hartu i mocy mieć trzeba, ażeby się dobrowolnie narażać na tyle niebezpieczeństw i trudów, jak głęboka wiara podtrzymuje siły tych błogosławionych pracowników, niezmordowanych apostołów Słowa Bożego! Są to przykłady wymowne, że dusza ludzka pod wpływem łaski, może wznieść się do szczytów bohaterstwa i osiągnąć moc nadludzką wytrzymania wszystkich przeciwności w Bogu i dla Boga.

Zdrajcy i szpiegi czyhali ustawicznie na księży katolickich i pomimo zachowania wszelkich ostrożności ks. Neron wydany przez zdrajcę został pojmany i umęczony d. 3 listopada 1860 r. W kilka tygodni potem 30 listopada ks. Teofan wpadł w ręce chińskiej władzy również przez zdradę pewnego niegodziwca. Mandaryn chiński sprawujący urząd sędziego dość względnie obszedł się z więźniem w pierwszej chwili. Udawał nawet, że mu bardzo jest przykra ta cała sprawa; rozkazał natychmiast ażeby włożono mu jak najlżejsze kajdany, których błog. ks. Teofan już do końca życia nie zdejmował.

Badania. — Wyznanie wiary.

W końcu grudnia ks. Wenard pod strażą ośmiu chińskich żołnierzy został odprowadzony do miasta Ha-Noi.

— Jakże ujmującej powierzchowności jest ten młody Europejczyk — wołano zewsząd, gdy tłum ciekawych cisnął się, ażeby się przypatrzyć więźniowi. — Patrzcie, patrzcie! Ma tak pogodny i rozpromieniony wyraz twarzy, jakgdyby szedł na gody! Wcale nie wygląda na zatrwożonego! Ten człowiek chyba w niczem nie zawinił. Przybył do Annamu, aby dobrze czynić, a jednak ma być podobno stracony.

Takie głosy dawały się słyszeć wśród ludu; młodzieńcza, łagodna twarz misjonarza jednała mu życzliwość i rozbrajała wrogów.

Przed sądem zadawano ks. Wenardowi pytania, które przytacza w liście swym do rodziny (2 stycznia 1861).

— W jakim celu przybyłeś tutaj? — pytał starszy mandaryn.

— Przybyłem jedynie w celu wykładania zasad wiary katolickiej tym, którzy jej dotąd nie znają.

— Ile lat sobie liczysz?

— Trzydzieści.

— Kto cię tu przysłał?

— Nie wysłał mnie żaden europejski władca ale nasz przełożony wyznaczył mi krainę Anamitów dla niesienia im światła wiary.

Nadszedł tymczasem inny mandaryn i zaledwie usiadłszy na swem wzniesieniu zawołał:

— Słuchajno, naczelniku religji chrześciańskiej, wyglądasz na człowieka mądrego, powinieneś wiedzieć, że prawa anamickie zabraniają Europejczykom wkraczać w nasze granice. Po co więc narażacie się dobrowolnie na śmierć pewną? Wasze to podburzania sprawiły, że okręta europejskie przybyły wojować z nami. Nic nie pomoże zapierać się. Trzeba wyznać całą prawdą, inaczej wezmą cię wnet na tortury i wszystko nam wyśpiewasz!

— Wielki mandarynie — odrzekł błog. Teofan niezmieszany wcale groźbami chińskiego dostojnika — zapytujesz mnie o dwie rzeczy; na pierwszą odpowiadam: nie obowiązują mnie w tym razie żadne ziemskie prawa, gdyż jestem wysłańcem nieba dla głoszenia wiary świętej tym, którzy jej nie mieli sposobności poznać dotąd. Szanujemy wielce władzę królów ziemi, ale nadewszystko ważną dla nas jest Wola Stwórcy i Władcy całego świata. Co się tyczy podburzania do walki mogę zapewnić, że nigdy nie miałem najmniejszych intencji przyczyniania się do wojny Europejczyków z Anamitami.

— W takim razie idź powiedz to im sam, niech ztąd odpłyną, a jeśli się pokaże, że nie przyjmowałeś w tych intrygach politycznych żadnego udziału, zostaniesz uwolniony.

— Nie mam żadnego prawa wtrącania się do spraw tego rodzaju — odrzekł ks. Wenard — jeżeli jednak żądacie, mogę udać się do wojowników europejskich i prosić w waszym imieniu, aby nie prowadzili wojny z wami; jeżeli mi się to poselstwo nie powiedzie powrócę, aby tu śmierć ponieść.

— Czy nie obawiasz się śmierci?

— Nie, wielki mandarynie, śmierć mię nie zastrasza, nie czuję się winnym, żadnej zbrodni nie mam na sumieniu.

— Czy czujesz żal do nas? — dopytywał dalej ciekawy sędzia.

— Bynajmniej. Religja chrześciańska uczy nas

kochać wszystkich ludzi nie wyłączając nawet wrogów, którzy nas nienawidzą.

— Rzuć krzyż i podepcz go w naszej obecności, a natychmiast wolność otrzymasz.

— Jakto? Ja, który głosiłem Słowo Boże, mam wyrzec się krzyża? — zawołał misjonarz z oburzeniem. — Zapewniam was, że nic mi nie jest droższem na świecie nad ten krzyż Chrystusowy, nikt mię do odstępstwa nigdy w życiu skłonić nie potrafi. Jeśli Bóg chciał, abym został uwięziony, ufam, że da mi siły potrzebne do zniesienia wszelkich męczarni i wytrwania aż do końca.

Mandaryni spoglądali na siebie w zdumieniu. Śmiałe wyznanie wiary młodego misjonarza było niejako wyrokiem, który sam na siebie wydał w tej chwili, lecz ks. Wenard stał przed sędziami swymi spokojny, że spełnił swój święty obowiązek nie dbając o to co go dalej spotkać może. Miało się już wkrótce dokonać to, czego pragnął niegdyś pełen gorącego zapału chłopczyna czytający głośno siostrzyczce o dalekiej pogańskiej krainie, gdzie giną świętym ogniem zagrzani wyznawcy Chrystusowi, a po nich znów nowe zastępy dążą wciąż, aby zwalczać ciemnotę i światłem prawd chrześciańskich rozjaśniać dusze.

Ks. Wenard mężnie znosi niewolę i ubolewa, że zbyt mało cierpieć mu dano.

Po skończonych badaniach odprowadzono błog. Teofana do miejsca, gdzie stała przygotowana dla niego klatka gdyż, jak to jest w tym dzikim kraju we zwyczaju, więźniów trzymają na odkrytem powietrzu ale za kratą, jak dzikie zwierzęta.

Bardzo wielu ciekawych przyglądało się młodemu więźniowi i rozmawiano z nim ustawicznie, co dało mu możność nauczania tych ciemnych ludzi, jakie są zasady naszej wiary.

Pewnego dnia zauważył pomiędzy cisnącymi się około klatki twarz dobrze sobie znaną.

Był to jeden z najzawziętszych wrogów katolicyzmu, mandaryn, który przyczynił wiele złego OO. Misjonarzom.

Ks. Wenard utkwił w przybysza swe przenikliwe spojrzenie i zawołał:

— Jezus silniejszy jest od ciebie, napróżno występujesz z Nim do walki. Potrafi On cię zgnębić i ukarany będziesz, jak wszyscy ci, którzy wypowiadają wojnę prawdzie.

Inny znów mandaryn, który za pojmanie czterech księży w 1859 r. otrzymał tytuł i nagrodę, również przyszedł oglądać więźnia i zapytał go z nienawistnym, tryumfującym uśmiechem:

— Jakże się miewa wasz biskup Theurel?...

— Zamiast zajmować się biskupem katolickim — odrzekł ks. Wenard — radziłbym ci pomyśleć o zbawieniu własnej duszy. Źle postępujesz mandarynie Tu, twój dyplom na dostojnika dziewiątej klasy okupiony krwią czterech niewinnych ofiar nie przyniesie ci szczęścia. Zwiędniesz jako kwiat kosą ścięty.

Pomimo, że młody misjonarz występował tak śmiało i nic sobie z dostojnych mandarynów nie robił, budził żywe zainteresowanie, dostarczano mu żywność, strażnicy obchodzili się z nim lepiej, niż z innymi więźniami, budził w nich życzliwość i poważanie.

— „Nie cierpię wcale w porównaniu, z tem co towarzysze moi znosili! — pisał mężny ks. Wenard do biskupa. — Wypadnie mi tylko położyć pod topór głowę i już będzie po wszystkiem, dusza ma stanie przed Panem mówiąc: Oto jestem! Palmę męczeńską oddam w ręcę Najśw. Panny i powiem Jej: O Marjo! Matko nasza! Pani! Królowo! Bądź pozdrowiona! I stanę potem tam, gdzie wyznaczone jest miejsce dla wyznawców Jezusa, którzy krew za Niego przeleli i śpiewać będę Hosanna! Na wieki wieków. Amen. A więc nie płaczcie za mną bracia, przyjaciele moi na ziemi, przyszła godzina rozstania; nie płaczcie na moim grobie, a raczej cieszcie się bracia wraz ze mną..-“

Biskup Theurel i Jeantet, do którego właśnie ten list był wysłany, znaleźli możność przesłania błog. Teofanowi zapasy żywności i pieniądze, a nawet udało się im udzielić mu trzykrotnie Komunji świętej.

Dnia 15 stycznia ksiądz Anamita dał mu rozgrzeszenie.

Ks. Wenard wiedział o tem, że wyrok śmierci jest nieunikniony, był jednak wesół, jakgdyby ta ciasna klatka, w której go wciąż trzymano, stanowiła już przedsionek raju. Rozmawiał ze swymi strażnikami, zamieniał nieraz uścisk dłoni z przyjaciołmi przychodzącymi odwiedzać skazańca, śpiewał pieśni nabożne, ani na chwilę nie tracąc ducha, nie poddając się rozpaczy, nie żałując młodego życia i świata, może tylko w duszy żal mu było, że nie mógł dokonać tego wszystkiego, co zamierzał ale zdał się zupełnie na Wolę Bożą i uważał nawet za niezasłużoną dla siebie nagrodę tak rychłą, a chwalebną śmierć dla Chrystusa.

Wyrok. — Męczeństwo. — Beatyfikacja.

Dnia pierwszego lutego naszedł wyrok oczekiwany. Wnet zabrano się do przygotowań i nazajutrz o siódmej z rana przeczytano więźniowi dekret skazujący go na ścięcie.

Błog. Teofan przywdział natychmiast ubranie, które był już sobie zawczasu przygotował na ten dzień najradośniejszy, jak powiadał, w życiu.

Kiedy skończono odczytanie wyroku, ks. Wenard ze swej strony wypowiedział piękną przemowę,

w której raz jeszcze zapewnił, że przybył tu wyłącznie dla rozkrzewienia wiary św., dla której żył i chętnie śmierć poniesie.

— Zobaczymy się kiedyś na sądzie Bożym — rzekł w końcu do mandarynów.

Pod strażą żołnierzy zaprowadzono go na miejsce kaźni.

Chciwość żółtej rasy jest niesłychana, czego dowodem były następujące pytanie kata zwracającego się do ofiary:

— Co mi dasz za to, jeśli przyrzeknę prędko i zręcznie się uwinąć? Mogę przecież męczyć cię dość długo, jeżeli mi się podoba.

— Im dłużej potrwa męka moja, tem lepiej — odrzekł ks. Wenard z niezachwianym spokojem.

Przytwierdzono mu głowę do pnia, na którym miał być stracony.

Pierwsze uderzenie toporu chybiło i przecięło tylko skórę do kości. Drugie było silniej wymierzone, ale głowa męczennika trzymała się jeszcze na poszarpanej szyi, Kat kazał podać sobie szablę i jeszcze trzykrotnie uderzył za nim głowa stoczyła się na ziemię. Wówczas porwał ją oprawca za ucho i wzniósł do góry ukazując zebranym.

Ciało błog. Teofana pogrzebano nad brzegiem rzeki, ale chrześcianie odkopali je w nocy i ukryli starannie, aż do czasu, gdy można je było wysłać do Francji. Głowę wrzucono do rzeki, udało się ją również odnaleźć, a biskup Theurel pochował ją w domu chrześciańskim nieopodal swej siedziby.

Za rządów Leona XIII rozpoczętym został proces beatyfikacji ks. Wenarda i już od 13 lipca 1879, zwano go czcigodnym, obecnie zaś w roku jubileuszu Piusa X, zaliczonym został w poczet błogosławionych.

Źródła.

Ks. Euzebjusz Wenard. *Życie i korespondencje Teofana Wenarda.*.

J. M. Bouillat. *Współcześni*

Błogosławiona MAGDALENA ZOFJA BARAT

beatyfikowana w roku 1909.

1779 † 1865.

Za rządów papieży: Piusa VI i VII, Leona XII, Piusa VIII, Grzegorza XVI, Piusa IX.

> Wtedy prawdziwie miłujesz, jeżeli czynisz co tylko możesz dla Jego miłości. Jeżeli bowiem miłość ogarnia serce twoje, pobudzać cię musi do czynienia wielu i wielkich rzeczy, a jeżeli tak nie jest, wtedy nie masz miłości.
>
> Św. Bernard.

Dusza wybrana.

Magdalena Zofja Barat to istotnie dusza wybrana, o której wszyscy znający ją bliżej wyrażali się jako o świętej. Nieraz się słyszy zdania, że tylko w pierwszych wiekach chrześciaństwa można było osiągnąć ten wysoki stopień doskonałości duchowej, jakiego mamy przykłady w żywotach świętych i błogosławionych: tymczasem widzimy dowodnie, że nawet czasy obecne wydają wciąż nowe postacie pełne najwyższych cnót, godne czci oddawanej błogosławionym, anielskim prawdziwie istotom dającym nam przedsmak nieba na ziemi.

— „Pani Barat to jest istotnie święta kobieta! Pragnę gorąco być w raju jeśli tam wszyscy są jej podobni.“

Tak się wyraził o tej świątobliwej niewieście pewien włoski woźnica, który wiózł ją z Rzymu do Loreto. Sposób jej zachowania się, wielka pieczołowitość okazywana zarówno ludziom, jak zwierzętom, dobroć niezwykła rozlana w twarzy jednała Matce Barat cześć i uznanie. Każdy który się do niej zbliżał doświadczał tego uczucia zachwytu, zdawało się, że jej czysta dusza promieniała nadziemskiem światłem i że to światło przenikało do serca ludzi.

Nie mniej głębokie czyni wrażenie książka bisk. Baunarda poświęcona pamięci błog. Magdaleny Zofji, gdyż odsłania nam ona postać równającą się niemal św. Teresie, tyle maluje się tam czystości duchowej, taka głębia miłości Bożej, że z podziwieniem rozpamiętujemy każde słowo, radując się że wiek XIX może się pochlubić tak wielką cnotą.

Dziecinne lata.

Błog. Magdalena Barat przyszła na świat w Joigny mieście burgundzkiem we Francji 1779 roku. Ojciec jej Jakób Barat był bardzo zacnym i poważanym właścicielem winnicy, żona jego Magdalena odznaczała się inteligencją wyjątkową, była przytem bardzo pobożną, nie dziw więc że i córkę miała wzorową, mającą dla rodziców tak głębokie przywiązanie przez całe życie, że wszyscy za przykład ją stawili.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Będąc już Matką przełożoną błog. Magdalena otaczała ich swą pieczą, szczyciła się swym ojcem noszącym skromny strój robotniczy, posyłała im kwiaty ofiarowane jej przez życzliwych na imieniny, starając się w ten sposób wynagrodzić im swą nieobecność i dać dowód, że nieustannie myślą jest z nimi.

Od lat dziecinnych Magdalena wyróżniała się wielką słodyczą charakteru, posłuszeństwem i wielką prawdomównością. Brzydziła się kłamstwem, kochała Boga z całej duszy i pragnęła tylko iść zawsze drogą przez Jezusa wskazaną.

Pewnego razu ksiądz Katecheta miał do dzieci przemowę zachęcając do dobrego przygotowania się do wielkanocnej spowiedzi. Nagle mała dziewczynka wstaje z ławki i poczyna głośno spowiadać swe grzechy. Była to Magdalena Barat. Jej naiwność i szczerość wzbudziły śmiech wśród towarzyszek, ksiądz powstrzymał zapał młodziutkiej swej penitentki, nie mniej jednak ocenił w niej duszę nie zwykle czystą, chcącą bądź co bądź iść ślepo za radami duchownego swego kierownika i nie mającą jeszcze na sumieniu żadnych grzechów, których by się wyznać publicznie nie ośmieliła.

W kilka lat potem miła i bardzo rozwinięta panna Barat, zwracała ogólną uwagę swem poważnem zachowaniem, trafnemi spostrzeżeniami zdradzającemi wiedzę głęboką.

Ks. Ludwik Barat, brat jej i ojciec chrzestny zarazem, zajmował się kształceniem jej umysłu i serca, dostarczając książek wyborowych, matka zaś cieszyła się niezmiernie, widząc jak jest bogobojną i skromną, a dobrocią swą i słodyczą wszystkich sobie zniewala. W końcu ośmnastego stulecia spadły na Francję okropne klęski teroru; wrzenie rewolucyjne objęło kraj cały płomieniem buntu i nienawiści. Zwłaszcza duchowieństwo było zagrożone podczas tych walk bratobójczych. Ludwik Barat omal nie dostał się pod gilotynę (maszynę do ścinania głów) trzymano go dość długo w więzieniu, udało mu się umknąć cudem prawie.

Tego rodzaju wstrząśnienia i niepokoje wpłynęły wielce na rozwinięcie w młodem umyśle Magdaleny poglądów nad wiek poważnych, serce jej podszepnęło myśl poświęcenia się Bogu dla wynagrodzenia tylu krzywd Mu wyrządzanych i nieraz z bratem mówiła o tej wymarzonej przyszłości.

Magdalena zapoznaje się z O. Warin.

Po uspokojeniu się strasznych zamieszek, dał się uczuć we Francji wielki brak szkół chrześciańskich, w których młodzież mogła by otrzymywać dobre zasady tak wielce podczas rewolucyjnej gorączki nadwyrężone.

Pewien eks-oficer, a następnie zakonnik, O. Warin, członek stowarzyszenia mającego na celu rozszerzanie czci Najśw. Sakramentu i przywrócenie dawniejszego zgromadzenia OO. Jezuitów postanowił zająć się tą sprawą wychowania i szukał zdolnych pomocników do przeprowadzenia przedsięwziętego dzieła. Poznał się on w tym czasie z ks. Ludwikiem Baratem, wspomnianym wyżej bratem Magdaleny; wysoka inteligencja tego kapłana odrazu zwróciła uwagę O. Warina i zwierzył się mu ze swych planów.

Błogosławiona Magdalena Zofja Barat.

Raz w rozmowie zapytał ks. Ludwika czy jest coś, co go przywiązuje do świata?

— Mam siostrę ukochaną, odrzekł zagadniony. Począł opowiadać o niej z wielkiem ożywieniem, wychwalając łatwość, z jaką przyswoiła sobie obce języki jako to: włoski, hiszpański, grecki i łacinę. Tłumaczyła nawet dość biegle Homera i Wirgiliusza, pisarzy starożytnych; mówił też o jej skłonności do życia zakonnego, i o tem, że wkrótce już wstąpi prawdopodobnie do Karmelitanek.

O. Warin słuchał z wielką uwagą i wnet zrodziło mu się w myśli postanowienie zużytkowania zdolności Magdaleny dla przeprowadzenia swoich zamiarów wychowawczych. Wydało mu się, że

nikt lepiej od niej nie będzie mógł odpowiedzieć zadaniu i prosił ks. Ludwika, aby zechciał go z siostrą swą zaznajomić.

Poznawszy tę cichą i słodką dziewczynę, która zarazem posiadała naukę i cnotę, O. Warin nie wątpił, że Bóg sam widocznie błogosławi jego pragnieniom dozwalając mu spotkać na swej drodze taką pomocnicę. Idąc za jego radą panna Barat wyrzekła się myśli wstąpienia do Karmelitanek i d. 21 listopada 1800 r. wraz z trzema towarzyszkami oddała się na usługi Serca Jezusowego.

Pierwszem schronieniem tego skromnego zgromadzenia w Paryżu było mieszkanie pewnej zacnej staruszki, u której gościł też czasowo ks. Barat. O. Warin nakreślił ustawę, według której miała się rozwijać przyszła uczelnia katolicka dla kobiet.

Zgromadzenie Serca Jezusowego rozpoczyna swą działalność.

W pół roku później O. Warin miał nauki rekolekcyjne w mieście Amiens, a ponieważ nieustannie myślał o projektowanej szkole, opatrznościowo znalazł tam to właśnie, czego szukał, mianowicie istniała w Amiens pensja żeńska rozwijająca się niegdyś bardzo pomyślnie, ale obecnie w zupełnym upadku. Przełożona pensji pomimo wszelakich starań i wysiłków ze swej strony nie mogła utrzymać szkoły dla braku środków materjalnych.

O. Warin postanowił skorzystać z tak dobrej okazji i nabyć całe gotowe już urządzenie dla umieszczenia tam przyszłych Sercanek. Zakrzątnął się tak energicznie około tej sprawy, że już 15 października 1801 r. stanęła umowa z właścicielką pensji i p. Barat z towarzyszkami przeniosła się natychmiast do Amiens.

Jak zwykle początki były bardzo trudne, brak funduszów dawał się uczuć, mimo to wszystkie trzy kobiety nie traciły otuchy, modliły się żarliwie, postami, umartwieniami i zupełnem wyrzeczeniem się osobistych pragnień starały się pozyskać łaskę i błogosławieństwo Boże.

W r. 1802 otworzoną została klasa nauki bezpłatnej dla ubogich dzieci. Napływ uczniów był wielki, a dobroczynność zacnych kobiet zwróciła na nie uwagę i ściągnęła ogólną życzliwość.

Z początku zarządzała szkołą panna Loquet (Loke) osoba bardzo gorliwa ale niezbyt oznajmiona z potrzebami duchownemi i nie mogąca wydołać przyjętym obowiązkom. O. Warin ogromnie sobie życzył, ażeby p. Barat wzięła ster domu w swoje ręce. Wszystkie nauczycielki były tego samego zdania. Zaledwie zdołano uprosić skromną i chętnie usuwającą się na stronę pannę Barat, aby zechciała być przełożoną. Ale trzeba było stoczyć z nią formalną walkę, za nim zgodziła się na przyjęcie zaszczytnego wyróżnienia. Była istotnie najmłodszą ze zgromadzenia, zaledwie dwadzieścia trzy lata licząc miała rządzić innemi, do niej powinne były odwoływać się Siostry w najdrobniejszej sprawie, obawiała się odpowiedzialności, starała się przedstawić O. Warin, że najmniej ze wszystkich godną jest przewodniczyć tak pożytecznej instytucji, jednak na wyraźne życzenie O. Warin i za poradą brata zgodziła się i do końca życia pozostała na tym stanowisku, mówiąc nieraz, że uważa to jako zadośćuczynienie za swe grzechy, lub próbę pokory zesłaną jej przez Boga.

Trudne początki.

Do różnych trosk i kłopotów, które spadły na głowę błog. Barat przyłączyła się jeszcze ciężka choroba. W r. 1804 tak niebezpiecznie zaniemogła, że musiano ją przewieść do Paryża i oddać pod dozór Sióstr Miłosierdzia. Pieczołowite starania zdołały ją utrzymać przy życiu.

Powróciwszy do zdrowia wnet zabrała się do przerwanej pracy, szkołę przeniosła do innego, obszerniejszego domu i cieszyła się wielce, że coraz więcej chętnych osób poczęło się przyłączać do wspólnej pracy wychowawczej. W krótkim stosunkowo czasie uformował się nowy oddział najlepszemi chęciami powodowanych osób, które założyły takież same zgromadzenie w Grenoble. Następnie O. Warin rozszerzył działalność Sercanek w innych miastach Francji, głównie zaś w Poitiers, gdzie powstał nowicjat rozpoczynający się bardzo starannie przeprowadzonemi rekolekcjami.

Siostry były tak szczerze oddane sprawom religijnym, że zupełnie zdawały się zapominać o wszystkiem innem, niekiedy nawet półmiski nie tknięte prawie schodziły ze stołu, ku wielkiemu strapieniu kucharki. Zacna ta kobiecina wołała nieraz z rozpaczliwym wyrazem:

— Kochane nasze mateczki są świątobliwości niezrównanej, ale w głowie mi się pomieścić nie może, jak one bez pożywienia żyć mogą! Natomiast wszystkie zajęte były pracą i modlitwą od wczesnego ranka do późnej nocy.

„Nasza Matka przełożona, pisała jedna z Sióstr, jest dla nas prawdziwym wzorem, gdyż stoi zawsze na czele każdego powierzonego nam zajęcia i sama czynny udział przyjmuje, starając się nawet wziąść na swe barki wszystko, co jest najcięższe i najtrudniejsze do zrobienia. Mimo to nigdy na tem nie cierpi jej powaga, tak harmonijnie łącząca się w niej z niezmierną dobrocią.“

Matka Barat czuwała jednocześnie nad kilku zgromadzeniami. W Niort naprzykład miała dużo bardzo pracy, gdyż dom przeznaczony na zakład naukowy był w okropnej ruinie, a trudno zdoby-

wano na razie środki dla zapewnienia utrzymania. Siostry zadawalniać się musiały odrobiną chleba i kartofli, głód panował w tym roku właśnie w całej okolicy, więc prowianty były niesłychanie drogie. Z opałem też było krucho. Wielkie domisko ogrzać nie łatwem było zadaniem. Brak oleju do lampy przed ołtarzem dotkliwie pobożnym Siostrom uczuć się dawał.

Dzielna przełożona umiała zagrzewać innych do męztwa i wytrwania.

— Winszuję wam z całego serca, pisała do jednej z Sióstr w Niort, winszuję waszej biedy, jak inni zwykli cieszyć się dobrobytem".

Wiedziała dobrze błog. Barat, że powodzenie, wszelkie ułatwienia, usuwanie przeszkód w życiu nie oddziaływają zbawiennie, a właśnie wśród przeciwności losu urabiają się silne charaktery, godne podźwignąć następnie najtrudniejsze zadania.

Przeciwności i strapienia.

Zdrowie Matki Barat niejednokrotnie było zachwiane, nieraz już drżano o jej życie. W Gand w 1811 r. tak ciężko chorowała na piersi, że przypuszczano galopujące suchoty, tymbardziej, że wciąż krwią pluła. Jednakże wyszła obronną ręką z niebezpieczeństwa. W kilka lat potem znowu zaniemogła, dwóch najlepszych lekarzy znalazło, że stan jej jest beznadziejnym, wówczas jedna z siostrzenic Matki Barat, zakonnica z Amiens uprosiła u Boga życie czcigodnej przełożonej, ofiarując wzamian swoje.

Raz Matka Barat zajęta urządzaniem dla Sióstr mieszkania spadła ze stołu tak nieszczęśliwie, że złamała nogę i obawiano się nawet iż amputacja (odcięcie nogi) będzie konieczną. Kilka miesięcy przykutą będąc do łoża, Matka przełożona zadziwiała wszystkich swą cierpliwością i spokojem, z jakim znosiła cierpienie.

Klasztor zgromadzenia pod wezwaniem Serca Jezusowego, tak zwane w skróceniu Sercanki, przechodził ciężkie koleje w r. 1830, właśnie podczas choroby Matki Barat w Paryżu. Burzliwe to były dnie lipcowe, rewolucjoniści nienawistnym okiem patrzyli na rozkwit życia zakonnego, zagrzmiały działa tuż prawie przy murach klasztornych. Pierwszą myślą troskliwych zakonnic było przewiezienie chorej w bezpieczne miejsce. Jakoż zdołano ją skłonić do opuszczenia stolicy, ale serce jej nie miało ani chwili spokoju w ciągłej trwodze o swe ukochane zgromadzenie.

Nie mogąc wytrzymać długo tej niepewności powróciła Matka Barat do Paryża i zmuszoną była wszystkie nowicjuszki pożegnać i ulokować je w różnych miejscach, za nim jakieś wspólne, bezpieczne znajdzie się schronienie. Pomimo swego kalectwa Matka Przełożona udała się sama do Szwajcarji, aby tam przenieść zgromadzenie.

Nazwa Sióstr od Serca Jezusowego budziła nienawiść wśród bezbożnych i Matka Barat narażoną była na wiele przykrych zajść; zwano zakonnice Jezuitkami i ustawiczne wyrządzano im różne psoty i prześladowano nielitościwie.

W r. 1848 zgromadzenie zostało formalnie wypędzone z Francji a jednocześnie we Włoszech kilka doskonale już prosperujących klasztorów wychowawczych zamknięto.

Matka Barat otrzymywała codziennie wielce przykre nowiny dotyczące ukochanej duchowej rodziny lecz znosiła mężnie te próby, nie tracąc ufności w Bogu i zagrzewając Siostry do wytrwania.

Z jakąż radością powitały się one po czasowej rozłące, z jaką miłością błog. Matka Przełożona przytuliła je do macierzyńskiego serca, gdy ujrzała je obok siebie na obczyźnie.

Intrygi. Tryumf prawdy.

Ciosy zewnętrzne nie były może tak boleśne dla rozwijającego się zgromadzenia, jak niespodziewane zamieszanie wywołane w jego własnem łonie z powodu pewnego samozwańczego opiekuna, niejakiego Saint Estéve, który przedstawiał się wszędzie jako założyciel tego pożytecznego dzieła, pisał ustawy, które przyjęte zostały ochotnie z pominięciem zupełnem głównych fundatorów: O. Warin i Matki Barat. Ów Saint Estéve udał się do Rzymu, przedstawił się w Watykanie jako gorliwy działacz chrześciański, zaproponował ażeby zgromadzenie Sióstr przyjęło nazwę Apostołek zamiast Sercanek, jednem słowem chciał najzupełnie odmienne im narzucić cele, aniżeli tego pragnęli pierwsi założyciele.

Nagle z Rzymu nadszedł list wystosowany do zakonnic francuzkich z wyraźnym rozkazem papieża przyjęcia ustawy przez Saint Estéve'a ułożonej. Szczęściem jednak zdołano w porę się spostrzedz, że list ten był sfałszowany i nie pochodził wcale od Głowy Kościoła, ale przez Saint Estéve'a został napisany.

W obec tak jawnego oszustwa wszelkie wichrzenia zostały należycie ocenione i nikt już nie wątpił, że własny interes kierował krokami ambitnego intryganta.

Matka Barat, która znosiła wszystko w pokornem milczeniu, nie tracąc nadziei, że Bóg miłosierny wcześniej czy później zapewni tryumf prawdzie, miała moralne zadowolenie doczekać tej chwili i odtąd znowu wszystkie zakonnice garnęły się z zaufaniem do kochanej przełożonej przekonawszy się dowodnie jak wielkie i bezinteresowne są jej zasługi w sprawie wychowania położone. Całe spo-

łeczeństwo poczęło też rozumieć dokładnie, jak wielkiem dobrodziejstwem jest owo zgromadzenie i jak staranne swym uczennicom daje wychowanie. Coraz więcej próśb napływało i fundacje mnożyły się nieustannie.

Sercanki w Ameryce.

Matka Barat została obraną generalną przełożoną. Jedna z gorliwych jej pomocnic Filipina Duchesne z Grenoble marzyła nieustannie o rozszerzeniu działalności zgromadzenia i zainteresowanie tą sprawą Ameryki. Nieraz z niestrudzoną Matką Przełożoną układały szerokie plany na przyszłość, wyczekując sposobnej chwili rozpoczęcia pracy na drugiej półkuli.

Pewnego dnia przybył do błog. Barat w odwiedziny biskup Dubourg z Nowego Orleanu oznajmiając o swej misji w Luizianie (w Ameryce), i wyrażając życzenie, aby kilka z Sióstr udało się za ocean dla szerzenia tam pożytecznej swej pracy.

Matka Barat przedstawiła wnet biskupowi panią Duchesne, jako osobę pełną poświęcenia i pragnącą od dawna tę właśnie myśl w czyn wprowadzić.

W kilka miesięcy potem odpłynęły do Ameryki gorliwe Sercanki pod opiekę Filipiny Duchesne i rozpoczęły tam swą owocną działalność.

Osiedliły się naprzód w Nowym Orleanie, założyły następnie zakłady wychowawcze w Nowym Yorku. Matka Barat z radością niewymowną dowiadywała się o coraz dalej rozszerzającym się wpływie gorliwych zakonnic, sama zaś na wyraźne żądanie papieża pośpieszyła do Rzymu, gdzie oddano jej klasztor pod wezwaniem Trójcy św. do rozporządzenia.

W Anglji, Irlandji, Niemczech, Holandji, Belgji, Tyrolu, Hiszpanji i u nas w Galicji powstawać poczęły z kolei żeńskie klasztory Serca Jezusowego mające na celu staranne kształcenie panien.

Matka Barat była jedną z tych opatrznościowych postaci, których wpływ dobroczynny jest wprost nieobliczalny, gdyż dzięki jej długoletniej, niezmordowanej pracy, tysiące dziewcząt otrzymało gruntowne, chrześciańskie wychowanie, ale skromność jej nie pozwalała nigdy na podnoszenie tych zasług, a kiedy wychwalano ją, jako założycielkę tylu pożytecznych instytucji, broniła się gorąco mówiąc:

— Nasze zgromadzenie nie miało właściwie fundatora ani fundatorki na ziemi, gdyż jedynie Sercu Jezusowemu przypisać to należy.

Cnoty błog. M. Barat. Zasłużona przewodniczka młodocianych dusz.

Całe życie błog. Matki Barat jest szeregiem dobrych uczynków, poświęceń, wyrzeczeń, jednem słowem wyjątkowa ta niewiasta stanęła na równi z wielkimi założycielami zakonów, wywierając wpływ dobroczynny światłym umysłem i szczodrością gorąco miłującego serca.

Dzieci kochały ją jak matkę najtkliwszą, Siostry z całem zaufaniem udawały się zawsze do niej w każdej potrzebie, ubodzy błogosławili tę pocieszycielkę smutnych i strapionych.

„Jakąż wielką pociechą jest dla mnie możność zaszczepiania w młodzieńczych duszach miłości dla Zbawiciela, pisała błog. Magdalena Zofja w swym dzienniku; widząc zaś Siostry oddające chwałę Najsłodszemu Sercu Jezusowemu czuję się sowicie nagrodzoną za moją pracę“.

Pewnego razu jedna z nowicjuszek wszedłszy do pokoju przełożonej i widząc ją zajętą, zatrzymała się zmieszana nieco u progu, nie śmiejąc wejść dalej. Matka Barat spostrzegłszy to zachęciła ją życzliwem spojrzeniem.

— Zbliż się dziecko drogie, rzekła, drzwi mego pokoju są zawsze dla was otwarte, tak samo jak i moje serce.

W obec tak prawdziwie macierzyńskiego sposobu traktowania całego otoczenia, nie dziw, że zgromadzenie nosiło charakter zgodnej i kochającej się rodziny. W listach wychowanek klasztoru widać jak serdecznie uwielbiano świątobliwą przełożonę.

„Czyni ona zupełnie wrażenie matki otoczonej gronem córek, pisala jedna z uczennic; kiedy ujrzymy ją idącą aleją w klasztornym ogrodzie, wnet otaczamy ją zwartem kołem. Każda z nas wie, że Mateczka przenikliwem spojrzeniem umie czytać w sercach naszych, więc rade jesteśmy, że musi odczuwać, jak bardzo ją kochamy. Lubi patrzeć na nasze zabawy, wyznacza nieraz nagrody. Niekiedy opowiada nam piękne historje, a wtedy słuchamy z natężoną uwagą, aby nie stracić ani jednego słowa. Z jaką niewyczerpaną dobrocią wypytuje nas zawsze o rodzinę, o wszystko co nas interesuje!..“

Matka Barat nazywała zwykle nowicjuszki swą „białą trzódką“ i otaczała je pieczołowitą opieką. Lubiła przebywać z niemi w sali podczas godzin na ręczne roboty przeznaczonych.

— Jakże miło mi jest widzieć was pracujące tak gorliwie, moje dziewczątka kochane, mówiła ujmującym tonem, ale czy nie jesteście znużone? Odpocznijcie trochę. Natychmiast chowały się pośpiesznie robótki do koszyczków, a cała biała gromadka otaczała Mateczkę przełożoną słuchając różnych budujących opowieści.

Błog. Barat trzymała się zasady, że przedewszystkiem trzeba unikać znudzenia i umiała istotnie tak mądrze układać plan zajęć dla wychowanek, że dzień upływał im niepostrzeżenie a wszystkie

miały wyraz pogody i zadowolenia. Ten sposób postępowania okazał się nadzwyczaj praktyczny i dawał jak najlepsze wyniki.

Kiedy w jednym z najpierwej powstałych klasztorów zebrało się kilkadziesiąt Sióstr z różnych okolic Francji przybyłych, Matka przełożona zaprooznaczający czas wyznaczony, spilka bowiem wypadała, gdy knot dopalił się do owego znaku.

Wszystkie te drobne szczegóły malują nam miłe i pogodne usposobienie błog. Magdaleny i dają poznać ją nie tylko jako niestrudzoną i światłą kierowniczkę kilkunastu klasztorów ale zarazem

Błogosławiona Magdalena Zofja Barat, nauczająca dzieci.

ponowała, ażeby podczas rekreacji każda z kolei opowiedziała swe dzieje oraz jak powstało w niej powołanie do życia klasztornego. Te poufne i szczere zwierzenia urozmaiciły ogromnie wspólne pożycie i zbliżyły z sobą towarzyszki pracy. Najczęściej głos dzwonka oznajmiający, że godzina rekreacji się skończyła, przerywał właśnie opowiadanie w tak interesującem miejscu, że wszystkie Siostry jednogłośnie prosiły o przedłużenie jeszcze wspólnego posiedzenia.

Matka Barat widząc, że niektóre nazbyt unosząc się własną wymową opowiadanie rozwlekłem czynią, odmierzała na świecy każdej z kolei miejsce, znacząc je szpilką. Był to swego rodzaju zegar jako przyjaciółkę tych młodych serc oddanych jej opiece.

Pokora błog. M. Barat.

Trudno jest nie podziwiać wielkiego taktu, daru orjentowania się w najzawilszych okolicznościach i tego wielkiego zaufania w pomoc Zbawiciela, które cechowały zawsze błog. Matkę Barat w ciągu jej długiego i tak owocnego żywota. Przytem wielka pokora wrodzona dodawała wszystkim jej czynom szczególnego uroku.

„Dziwię się zawsze, pisze w swym dzienniku, widząc tyle poddania się i bezwzględnego posłuszeństwa wśród moich córek. Doświadczam wra

żenia, że nie ja właściwie lecz ręka Boska je prowadzi. Nigdy żadnych oznak niechęci, nigdy zapytania: Po co? Dla czego? Ślepe posłuszeństwo, uległość zupełna mej woli".

Było tak w istocie, ale dodać należy, że wszystkie rozkazy Matki Przełożonej były zawsze obmyślane dokładnie, nie przekraczające sił i uzdolnienia danych osób, a przytem zakonnice wierzyły, że błog. Magdalena Zofja czerpała natchnienie w długich sam na sam z Bogiem i że Najsłodszy Zbawiciel zamiarom jej sprzyjał.

W niektórych razach Matka Barat okazywała bardzo silną wolę i żadne namowy nie mogły ją skłonić do zmiany postanowienia. I tak n. p. podczas jej nieobecności rozpoczęto budowę przy klasztorze w pięknym gotyckim stylu. Przełożona potępiała wszystko, co było zbytkownem i nie zgodnem z prostotą, którą ślubowała wraz z Siostrami, a więc natychmiast kazała powstrzymać rozpoczęte roboty i zmienić plan budowy.

Jako przykład pogardy błog. Barat dla przedmiotów zbytkownych i nieużytecznych może służyć fakt następujący:

Zakonnice ofiarowały przełożonej wspaniale haftowany dywan własnoręcznej roboty, który wyszywały nocami lub zaniedbując prace swe i obowiązki religijne, gdyż plan dnia był tak ułożony, że nie pozostawiał ani jednej wolnej chwili.

Bogaty dar nie ucieszył wcale Matki Barat, a raczej przykrość wielką jej sprawił; poczęła mówić Siostrom o świętem ubóstwie Chrystusowem, o pogardzie zbytku, o dobrem użyciu czasu, wreszcie kazała sobie podać nożyczki mówiąc:

— Ostatecznie z tego wynika, że albo trzeba zniszczyć nasze ustawy zalecające na pierwszem miejscu skromność i prostotę, albo też dywan ten musi pójść w zapomnienie. Wyhaftowałyście moje litery więc nie można go przeznaczyć do kościoła, a zbytków dla siebie nie potrzebuję.

W jednej chwili Matka Przełożona pocięła w drobne kawałki zmudną robotę.

— Niech tak samo zginie wszystko, co czysty duch naszego zgromadzenia znieprawić może! zawołała błog. Matka Barat a gorzka ta nauczka nie poszła na marne, nikt nie miał za złe energicznego postępku generalnej przełożonej, gdyż zrozumiano szlachetne pobudki, które ją do tego skłoniły.

Pewnego razu dwie Siostry zasłużyły na naganę, ponieważ popełniły wykroczenie przeciw przepisom reguły.

Matka Barat wezwała je do siebie i rzekła z wielkim smutkiem w głosie, wyglądając przytem nie jako obwiniająca ale raczej jakby współwinna:

— Zaniedbaniem waszem zasłużyłyście na karę i pokutę, przyjmuję ją na siebie, ponieważ jako wasza przełożona odpowiedzialną jestem poniekąd za wasze czyny. Usiądźcie tu, oto pochylam się do stóp waszych i nogi wasze całuję.

Żadna pokuta nie mogła by tak silnego na winowajczynie wywrzeć wrażenia, jak szczera i podniosła pokora błog. Magdaleny Zofji.

Kilka szczegółów z opowiadań naocznych świadków życia błog. Matki Barat.

Miłość Matki Barat dla Jezusa Utajonego w Najśw. Sakramencie była prawdziwie rozczulającą, umiała też ją przelać na całe otoczenie.

Pomimo rozlicznych swych zajęć znajdowała możność spędzania codziennie od sześciu do siedmiu godzin na modlitwie. W Amiens istnieje mała kapliczka z wyobrażeniem Chrystusa Ukrzyżowanego, tam błog. M. Barat oddawała się modlitwie i rozmyślaniom, zwłaszcza kiedy jaki smutek gnębił jej serce znajdowała tu pociechę i ukojenie.

Pewnego dnia do chorej Matki Barat przybył sławny doktór Recamier, który żywił wielką cześć dla czcigodnej swej pacjentki ale zawsze gderał po przyjacielsku, że się nie szanuje, i nadwątlone zdrowie wciąż naraża. Działo się to podczas srogiej zimy, kiedy sędziwa przełożona nie zważając na żadne przestrogi wymykała się cichaczem do ulubionego swego kącika w kaplicy i tam modlitwy swe odmawiała w skupieniu.

Doktór wszedłszy do celi Matki Barat i niei widząc jej na zwykłem miejscu gniewnie brwi ściągnął i zwracając się do jednej z Sióstr zapytał dość opryskliwie:

— Gdzież Matka Przełożona? Jak widzę wcale do moich rad stosować się nie ma zamiaru?

Siostra skierowała się w stronę kaplicy.

— A więc tam musi być niewątpliwie, zawołał lekarz, sam zaraz idę po nią. I pośpiesznym krokiem wszedł do kaplicy, a stanąwszą przed Matką Barat rzekł stanowczym tonem:

— Proszę wracać natychmiast do swej celi, nie wolno być tak upartą i nieposłuszną! To mówiąc ujął pod rękę pacjentkę i zaprowadził do pokoju z miną surowego opiekuna, który niesforną dziewczynkę za samowolę ukarać pragnie. Zacny ten przyjaciel pojmował jednak doskonale, że Matka Barat czuje się wielce strapioną nie mogąc codziennie bywać w kaplicy, tegoż więc wieczora przysłał piecyk z zapasem paliwa, aby kącik tak ulubiony przez czcigodnę pacjentkę, był dobrze od chłodu zabezpieczony.

Trudno jest wyliczyć tu wszystkie dobre uczynki błog. Magdaleny Zofji i niezliczone dowody szlachetności jej serca. Nie dziw, że cieszyła się ogólną miłością i poważaniem, gdyż była prawdziwą matką ubogich, strapionych i uciśnionych. Umiała też niezrównaną słodyczą pozyskiwać sobie zaufanie

dzieci, z którymi lubiła prowadzić rozmowy, nauczać ich w sposób prosty, dostępny i zajmujący. Litościwe jej serce nie znosiło złego obchodzenia się ze zwierzętami, powtarzała nieraz z tego powodu:

— Wszystko to są Boskie stworzenia, my stokroć szczęśliwsi jesteśmy mając nadzieję przyszłego życia, więc powinniśmy starać się tym niebożątkom osłodzić dolę podczas krótkiego ich istnienia na ziemi.

Pokora Matki Barat była wprost przysłowiową w całej okolicy. Nie znosiła, gdy ją fundatorką zwano, nawet tytuł generalnej Matki przełożonej uważała za zbyt zaszczytny dla siebie. Opowiadają, że listonosz, który nie dawno postąpił na służbę oddając listy dla zakonnic rzekł:

— Proszę to wręczyć siostrze Barat. Co słysząc przełożona uśmiechnęła się z widocznem zadowoleniem prosząc Sióstr, aby nie wyprowadzały go z błędu.

— Tak właściwie wszyscy zwaćby mię powinni, dodała, a potem życzliwie wypytywała się o rodzinę, o warunki bytu nowego listonosza, zajęła się zaniedbanemi jego dziećmi i zachęciła go do częstszego przystępowania do Komunji św.

Nieraz widziano Matkę przełożoną zajętą wielce trzepaniem, okurzaniem, zamiataniem, jednem słowem uczyła przykładem, że od żadnej pracy uchylać się nie należy. Nie była też ani trochę zakłopotaną, gdy książe de Montmorency zastał ją raz ze szczotką do zamiatania w ręku, sprzątającą w zastępstwie chorej Siostry.

— I to nawet wielebna nasza Mateczka potrafi? rzekł książe z zadziwieniem.

— Dziwnem byłoby, gdybym nie umiała wykonać tak prostej rzeczy, odpowiedziała wesoło, poczem ze zwykłą sobie uprzejmością wprowadziła dostojnego gościa do pokoju, rozmawiając z wytwornością i ujmującą prostotą, którą tak wszystkich zniewalać sobie potrafiła.

Ponieważ M. Barat brzydziła się próżniactwem starała się wyzyskać każdą chwilę. Miała więc zawsze rozpoczętą robótkę w pogotowiu, ale że wciąż ją do spraw ważniejszych odwoływano, ubolewała pewnego razu nad swem niesłychanem próżniactwem, gdyż nie mogła w ciągu roku więcej niż trzy, a co najwyżej cztery pary pończoch na drutach zrobić.

— Widzicie moje drogie jaki darmozjad ze mnie! mówiła z żalem i doprawdy czuła się jakby winną, że w ręcznej pracy innym nie dorównała.

Z okazji pięćdziesięcioletniego jubileuszu zgromadzenia O. generał Tow. Jezusowego wyrażając swe wysokie uznanie dla owocnej pracy błog. M. Magdaleny zaznaczył zarazem, że jest to pierwszy bodaj tak szczęśliwy wypadek w dziejach Kościoła, gdy fundatorka doczekała tej miłej dla serca uroczystości i zgromadzenie cieszyć się powinno niewymownie widząc dotąd w czerstwem zdrowiu swą pierwszą Matkę przełożoną.

— Nie ma z czego się cieszyć, odrzekła M. Barat z westchnieniem, albowiem widocznem jest, że żaden z czcigodnych założycieli nie troszczył się tak wielce o siebie, jak ja nędzna służebnica.

Śmierć błog. M. Magdaleny Barat.

W ostatnich latach M. Barat była już wielce osłabioną, gasła powoli ta dusza czysta i pełna poświęcenia.

Siostry z głębokim żalem patrzyły na zanik życia ukochanej swej opiekunki i nieraz prosiły usilnie, aby zechciała im wypowiedzieć swą wolę, dać jeszcze budujące rady i wskazówki na przyszłość, ale błog. Magdalena słysząc właśnie opowiadanie o pewnej Matce przełożonej dającej córkom swym ostatnie napomnienia, rzekła na to:

— A ja, jeśli Bóg łaskawie próśb mych wysłucha, nic wam w ostatniej chwili życia nie powiem, wszak wiecie same czego od was żądałam zawsze i żądam, po co mają sobie z ust do ust powtarzać moje przedśmiertne słowa?

I tym razem powodowała błog. Magdaleną niezmierna pokora, a Bóg istotnie pozwolił, ażeby jej życzeniu stało się zadość, na trzy dni bowiem przed zgonem straciła mowę i nie odzyskała jej już do końca, chociaż przytomność ją nie opuszczała. Tak więc ostatnie godziny ziemskiej pielgrzymki spędziła M. Barat na łożu boleści w milczeniu głębokiem, a dusza jej odleciała do nieba d. 25 maja 1865 r. pozostawiając żal wielki i niewygasły po sobie. Zajęto się wnet zebraniem dokumentów świadczących o wysokich zasługach i cnotach zmarłej, a beatyfikacja jej w roku zeszłym została postanowioną i dekret w obecności Ojca św. Piusa X został odczytany na uroczystem posiedzeniu Kongregacji obrządków w grudniu 1908 r.

Źródła.

Ks. Baunard. *Historja czcig. Matki Magdaleny Zofji Barat.*

WIELEBNY Ks. PRZEMYSŁAW RUDNICKI, Tow. Jez.

† 1660 r.

Za rządów papieży Innocentego X, Aleksandra VII, króla polskiego, Zygmunta III, Władysława IV, Jana Kazimierza.

Spokój duszy jest owocem pokory. Kiedy się człowiek mniej ceni od drugich i nikogo źle nie sądzi, trudno ażeby z kim żył w niezgodzie. Dusze pokorne zwykle bywają swobodne i spokojne i to się na ich twarzy maluje.
Św. Wincenty à Paulo.

Pochodzenie i wychowanie.

Słynął niegdyś w Sieradzkiem województwie dom Rudnickich z Bechczyc i wielu godnych mężów tak świeckiego, jak duchownego stanu liczono w tym rodzie.

Przemysław Rudnicki od dzieciństwa okazywał wielkie zdolności, miał pamięć doskonałą, przy tem jego dar wymowy i dowcip wrodzony, ogólnie się podobały, to też wróżono mu świetną przyszłość

Ojciec wysłał go na naukę do szkół w Niemczech, gdzie zaledwie piętnastoletnim będąc młodzieniaszkiem, tak zręcznie łacińskie układał rymy, że go wyróżniono zaszczytnie, nadając mu tytuł *laureatus*, czyli uwieńczony.

Pomimo to, pobożnie w domu wychowany Przemysław, nie wbił się w dumę, ale przeciwnie myśl jego coraz częściej poczęła się zwracać ku rzeczom wzniosłym, pragnął uczynić Bogu ofiarę z talentów, jakiemi go obdarzył, a podróż do Rzymu tembardziej go jeszcze w tych zamiarach utrwaliła.

Udał się tam niezwłocznie do OO. Jezuitów i prosił ks. Klaudjusza Akwawiwę, jenerała, o przyjęcie do zakonu.

Szczytne pragnienia.

Ujmująca powierzchowność młodzieńca i wyraz inteligencji, malujący się w oczach, bardzo podobały się O. Jenerałowi; przedewszystkiem spytał przybyłego, jak mu na imię?

— Przemysław—odrzekł młodzian.

— Co prawda—rzekł Jenerał—o żadnym jeszcze świętym Przemysławie nigdy nie słyszałem,

Na to Rudnicki odpowiedział:

— Dla tego właśnie proszę o przyjęcie mnie do zakonu Tow. Jezusowego, żebym w nim mógł być pierwszym świętym tego imienia.

Gorący zapał tryskał ze słów młodzieńca, widać było, że pragnął usilnie doskonalenia swej duszy i wznoszenia jej po szczeblach, wiodących do nieba.

O. Jenerałowi bardzo ta odpowiedź do serca przypadła, przyjął Rudnickiego do nowicjatu i nie zawiódł się na nim.

Nowicjat i pobyt w Rzymie.

Przemysław zasłynął w nowicjacie, jako wzór przykładnego zachowywania wszelkich wymagań reguły i posłuszeństwa dla przełożonych; umartwiał swe ciało zapamiętale, ćwiczył się w cnocie i do nauk się przykładał. Miłość do Ukrzyżowanego Jezusa posuwał do najwyższych granic, rozmyślania ustawiczne o męce Zbawiciela budziły w nim chęć gwałtowną cierpienia, aby chociaż bezkrwawą ofiarą miłym stać się Bogu.

Wszelkie dolegliwości znosił z największą cierpliwością, uciekając się zawsze w strapieniach do Bożej Rodzicielki, do której miał synowskie przywiązanie.

Ponieważ, jak to już wspomnieliśmy wyżej, Przemysław Rudnicki miał wyborną pamięć i każdą naukę łatwo sobie przyswajał, posiadł wiedzę głęboką, był biegłym wielce w filozoji i teologji, a także miał dar administracyjny i dobrze innymi rządzić potrafił. To też ks. Rudnicki był następnie rektorem w różnych pierwszorzędnych kolegiach, a naostatek całą prowincją polską chwalebnie rządził.

Na królewskim dworze.

Wysoki rozum, takt i dar nauczania zwróciły na wielebnego ks. Przemysława uwagę króla polskiego Zygmunta III i dał mu dowód wielkiego zaufania, powierzając jego pieczy wychowanie królewiczów, zwłaszcza Jana Kazimierza.

Późniejszy ten król nasz, aczkolwiek wielce był w życiu nieszczęśliwy, zawsze odznaczał się pobożnością i postępował cnotliwie, w czem wpływ nauczyciela i kierownika odbił się wyraźnie.

Oceniając zasługi ks. Rudnickiego, król Zygmunt kilkakrotnie zamierzał go dostojeństwami nagrodzić, ale niezachwiana pokora zakonnika sprzeciwiała się temu; infuły przyjąć nie chciał i zawsze wolał trzymać się na stronie w obawie, aby tytuły nie zwróciły ambicyi jego ku rzeczom ziemskim i nie dowierzając sobie, czy podniosłym obowiązkom

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

i położonemu weń zaufaniu, godnie odpowiedzieć potrafi.

Na królewskim dworze mógł napatrzeć się na różne intrygi, dobijanie się o zaszczyty, walki tajemne i odkryte, zawsze jednak zachowywał się nadzwyczaj wstrzemięźliwie, umiał też znosić cierpliwie różne przykrości i wspaniałomyślnie wybaczać wrogom szarpiącym jego dobrą sławę. Zawsze głównie dobro dusz mając na celu miał tę pociechę, że kilku możnych panów zdołał wymową swą skłonić do porzucenia herezji i do Kościoła katolickiego ich powrócił. Pomiędzy innymi Karol Denhoff, wojewoda sieradzki, został przez ks. Przemysława Rudnickiego nawrócony.

Śmierć wiel. ks. Przemysława Rudnickiego.

Wielebny ks. Przemysław doczekał późnej starości i dla zakończenia godnie cnotliwego żywota, gotował się nabożnie do spoczynku wiecznego.

Umarł w Przemyślu, roku Pańskiego 1660, pozostawiając po sobie jak najlepsze wspomnienie i chociaż nie ziściły się młodzieńcze marzenia, aby imię jego, jako pierwszego świętego Przemysława wyniesionem zostało na ołtarze, jednakże wielkiemi cnotami czcigodny ten kapłan zasłynął w Polsce i osiągnął wysoki stopień doskonałości chrześciańskiej, który daje mu prawo zajęcia poczesnego miejsca wśród świątobliwych i błogosławionych z duchownej rodziny Tow, Jezusowego.

Dnia 3 Lutego.

ŚWIĘTA WERONIKA (BERENICE)

70.

Pójdźcie błogosławieni Ojca mego otrzymacie królestwo wam zgotowane od założenia świata, albowiem łaknąłem a daliście mi jeść, pragnąłem a napoiliście mnie, byłem gościem a przyjęliście mnie, byłem w więzieniu a przyszliście do mnie.
(Mat. 25).

Dzieje św. Weroniki przed męką Zbawiciela.

Niektórzy badacze historji kościelnej utrzymują, że św. Weronika była pochodzenia syryjsko-fenickiego, a rodzinnem jej miastem była Cezarea galilejska. Poślubiła ona Zacheusza, człowieka zamożnego, o którym pisze św. Łukasz: był małego wzrostu pragnąc zaś wielce ujrzeć Pana Jezusa podczas Jego pobytu w Jerycho wszedł na figowe drzewo. Jezus ujrzawszy go rzekł: Zacheuszu, zstąp prędko, albowiem dziś potrzeba mi mieszkać w domu twoim.

Według cudownych wizji Katarzyny Emmerich spisanych w jej księdze pod tytułem *Boleśna Męka*, św. Weronika była krewną św. Jana Chrzciciela, gdyż ojciec jej i Zacharjasz byli synami dwóch rodzonych braci. Dlatego zapewne dozwolono jej wejść do więzienia, gdzie ścięto głowę świętemu Janowi. Zebrała ona własnoręcznie krew męczennika, drogocenną relikwję, którą szczyciło się następnie miasto Baras we Francji.

Właściwie tej św. niewieście na imie było Serafia, później dopiero przydano jej zaszczytną nazwę *Verenice* z greckiego *Berenice* co znaczy: odnoszę zwycięztwo, stanowiącą niejako nagrodę za jej męztwo i współczucie okazane Zbawicielowi podczas krwawej drogi na Kalwarję.

Według Nikodema oraz niektórych pisarzy w chwili gdy Żydzi dopominali się, aby Piłat Jezusa na śmierć wydał, Piłat chcąc Go ratować kazał przywołać świadków cudownych uzdrowień Zbawiciela, a wówczas Serafia odezwała się pierwsza:

— Cierpiałam na krwotoki nie dające się niczem powstrzymać, a za dotknięciem szaty Jezusowej zostałam uzdrowioną.

O tym fakcie wspomina św. Łukasz przytaczając odpowiedź Zbawiciela daną cudownie uzdrowionej niewieście:

— „Wiara twoja cię uzdrowiła“. Chociaż nie wymienia jej imienia, możebnem jest, że była to właśnie Serafia, żona Zacheusza.

Dawna tradycja głosi, że znała św. Weronika Pana Jezusa od młodu i opiekowała się Nim w Jeruzalem, kiedy w dwunastym roku życia przez trzy dni pozostawał w świątyni między doktorami. Są to legendy i różne wersje, które za innemi autorami dla ścisłości podajemy.

Droga Krzyżowa.

— Kiedy Zbawiciel mając włożoną sobie na głowę cierniową koronę, upadający pod ciężarem krzyża, znieważony i lżony szedł drogą wiodącą na Kalwarję, przecisnęła się przez tłum niewiasta wysokiego wzrostu, o twarzy imponującej, zasłonę białą miała przewieszoną na ramieniu. Naprożno starano się ją odepchnąć, miłością i współczuciem wiedziona niezważała na brutalność żołnierzy, zastąpiła drogę Jezusowi, a padłszy na kolana rozwinęła chustę i błagalnym przemówiła głosem:

— Pozwólcie mi Pana mojego twarz obetrzeć!

Pan Jezus wziął z jej rąk chustę, przycisnął

ją do skrwawionej swej twarzy, a złożywszy oddał Weronice. Chciała jeszcze pokrzepić Boskiego Mistrza doskonałem winem zaprawnem korzeniami, jak to w Judei było we zwyczaju, ale żołnierze odsunęli ją nie dopuszczając już więcej nikogo do środka smutnego orszaku. Faryzeusze z oburzeniem patrzyli na ten hołd publicznie oddany Chrystusowi Weronika zaś bólem złamana powróciła do domu swego, a zaledwie zdoławszy rozłożyć chustę skrwawioną na stole, padła zemdlona.

Święta Weronika.

(Bruges. Szpital Św. Jana).

Mała dziewczynka, którą wychowywała święta klęczała nad nią szlochając rzewnie. W tej chwili nadszedł życzliwy przyjaciel i z zadziwieniem ujrzał Weronikę leżącą na ziemi, na stole zaś zauważył odrazu wyraźne, krwawe odbicie na chuście rozpostartej. Kiedy udało mu się otrzeźwić zemdloną wskazał jej twarz Jezusa odbitą na białem płótnie: Weronika padła na kolana zalewając się łzami i wołając:

— Teraz wszystkiego wyrzec się pragnę, gdyż Pan mój pamiątkę drogą po sobie mi zostawił!

Dotąd jeszcze istnieje w Jerozolimie kaplica wystawiona w miejscu, gdzie stał dom św. Weroniki. (Kaplica ta należy obecnie do Greków katolików, którzy kupili ją za sześćdziesiąt tysięcy franków).

Z jasnowidzeń Katarzyny Emmerich.

Niewiasty dążące na Kalwarję i bolejące niezmiernie nad oczekiwaną męką Jezusa, schroniły się do mieszkania Weroniki, ponieważ tą samą ulicą wracał właśnie Piłat z oddziałem wojska rzymskiego.

Niewiast tych było siedmnaście, wszystkie z płaczem przyglądały się krwawemu wizerunkowi i podziwiały łaskę okazaną Weronice, wzięły następnie naczynie napełnione winem, które przeznaczonem było dla Zbawiciela i udały się razem z Weroniką w stronę Golgoty. Wstępowały na górę Kalwarję od zachodu, gdzie mniej stromem i trudnem było wejście.

Matka Chrystusowa, siostrzenica Jej Marja, córka Kleofasa, Salomea, Jan apostoł, weszli na szczyt Kalwarji; Marta, Marja, Helja, Weronika, Joanna, Zuzanna i Marja, matka Marka apostoła zatrzymały się około rozpaczającej Magdaleny. Nieco dalej stało kilka innych jeszcze niewiast również bolejących głęboko. Weronika wraz z innemi złożyła pewną sumę mając nadzieję przekupienia straży i chcąc koniecznie, aby Jezusowi, którego właśnie z szat odarto, dać owego wina dla ulżenia męce i ugaszenia pragnienia. Ale i tym razem spotkała ją stanowcza odmowa.

I była potem świadkiem okrutnego przebicia boku Zbawiciela, szła następnie wraz z Nikodemem, Józefem oraz innymi niosącymi w żałośnem milczeniu do grobu Boskie ciało.

Znajdowała się też niewątpliwie nieopodal, gdy Marja Magdalena wśród ciemnej nocy stała u grobu płacząc, a zajrzawszy do wnętrzna ujrzała aniołów w bieli siedzących jednego u głowy, a drugiego, u nóg tam, gdzie położonem było ciało Jezusa.

I radowała się wieścią przyniesioną przez Marję Magdalenę, że widziała Pana, którego wzięła w pierwszej chwili za ogrodnika i pytała niespokojnie: Jeśliś ty Go wziął, powiedz mi gdzieś go położył a ja Go wezmę [1]).

A Jezus nazwawszy ją po imieniu rozkazał iść do uczniów swoich i oznajmić, że wstępuje do Ojca Swojego.

Św. Weronika chociaż nie jest w Ewangeliach Apostołów wymienioną, jest niewątpliwie jedną z tych wybranych niewiast oddanych całą duszą Boskiemu Mistrzowi i Jego Najśw. Matce, a cu-

[1]) Ew. św. Jana XX. 15.

downy dar Jezusa, jej uczyniony świadczy już wymownie o jej cnotach i zasługach tak szczodrze przez Zbawiciela nagrodzonych.

Drogocenny wizerunek zostaje przewieziony do Rzymu. Uzdrowienie Tyberjusza.

Nieustannie odwiedzano Weronikę dla oglądania drogocennej pamiątki, owej chusty krwią Zbawiciela uświęconej.

Cudowny ten dar nie mógł jednakże pozostać własnością prywatną, była to Boska relikwja Kościołowi św. należna, to też Weronika zawiozła ją do Rzymu, a stało się to w sposób następujący:

W trzecim roku po Wniebowstąpieniu Chrystusa, cesarz rzymski Tyberjusz ciężko zachorował. Najznakomitsi ówczesni lekarze zwątpili w możliwość uzdrowienia monarchy.

Jeden z zaufanych Tyberjusza, imieniem Wolusian, począł mu opowiadać o Jezusie Nazareńskim, o wielkich Jego cudach, dokonanych w Judei, poddając myśl sprowadzenia tego niezwykłej sławy Galilejczyka do Rzymu.

Tyberjuszowi myśl ta wielce trafiła do przekonania i wysłał wnet gońca dla zasięgnięcia wiadomości od Piłata, który przedstawił cesarzowi raport o tem, co zaszło, tłumacząc się: że pod naciskiem starszyzny żydowskiej, Jezus został ukrzyżowany w Jerozolimie, pomimo, że on sam właściwie żadnej w nim nie znajdował winy.

Wówczas Wolusian ofiarował się pojechać do Judei dla zasięgnięcia bliższych wiadomości, albowiem doszły go już wieści o cudownym wizerunku Chrystusowem, znajdującym się w ręku jednej z niewiast jerozolimskich.

Wolusian, przybywszy do Jerozolimy, zbiera skrzętnie wszystkie szczegóły, dotyczące męki Jezusa, snać łaską Boską oświecony czuł potrzebę poznania nowej wiary, głoszonej przez Chrystusa, a zarazem głęboko do monarchy swego przywiązany, wierzył, że relikwja Boskiego męczennika, znajdująca się w ręku Weroniki, może Tyberjusza uleczyć. Zabrał więc z sobą do Rzymu Nikodema, Serafję, czyli Weronikę, Zacheusza i ucznia Jezusowego Epafrosta, który pozostając w służbie przy świątyni, widział Jezusa w wieczerniku, oraz po Jego Zmartwychwstaniu.

Weronika wiozła z sobą skarb niezrównany, chustę z odbiciem Twarzy Zbawiciela, oraz prześcieradło, w którem owinięte było Boskie ciało.

Tyberjusz oczekiwał z niepokojem owych przybyszy z judejskiej krainy, a kiedy wierny Wolusian wprowadził Weronikę do jego komnaty, kiedy wzrok chorego padł, na rozpostartą przed nim chustę z krwawym odbiciem Boskiej Twarzy, nagle stał się cud, gdyż choroba znikła bez śladu, jakby nowe wstąpiły weń siły.

To nadzwyczajne zdarzenie, wyjaśnia do pewnego stopnia zachowanie się Tyberjusza, o którem wspomina Euzebjusz, Paweł Oros oraz kilku innych wiarogodnych pisarzy, a mianowicie, że cesarz ten ogromnie religją Chrystusową zainteresowany, kazał sobie opowiadać wciąż szczegóły życia i śmierci Zbawiciela i życzył sobie, aby go rzymscy kapłani za jednego ze swych bogów uznać chcieli.

Senatorowie oburzyli się, że wniosek ten nie był im przedtem przedstawiony, a samowolnie przez Cezara narzucony i z tego powodu odrzucili go, wydając natomiast rozporządzenie usunięcie chrześcian z Rzymu.

Tyberjusz w ciągłej był z senatorami niezgodzie, a podobne lekceważenie swej woli pomścił srogim wyrokiem, skazującym na męki każdego, ktoby się ważył denuncjować chrześcianina. Wielu senatorów skazał na wygnanie, a niektórym śmierć zgotował. W pałacu swym kazał Tyberjusz postawić wspaniały posąg Chrystusa.

Cześć oddawana wizerunkowi Najśw. Oblicza Zbawiciela.

Św. Weronika pozostała na czas dłuższy w Rzymie. Była tam jeszcze kiedy przybył św. Piotr, aby w stolicy cezarów tron wiecznej prawdzie zgotować i Kościół św. ufundować.

Odtąd już drogocenne relikwje z rąk Weroniki przeszły do Namiestników Chrystusowych św. Piotra i jego następców.

Papieże ustanowili na cześć tej relikwji obchody święte i procesje. Wszystkie kościelne ceremonje i bulle papieskie, począwszy od Celestyna II do Klemensa III, VII, VIII i Grzegorza XIII, stwierdzają ten kult ustawiczny dla św. relikwji.

Jak tylko się prześladowania chrześcian skończyły, drogocenny wizerunek Chrystusa został umieszczony w bazylice św. Piotra w Watykanie, gdzie dotąd się znajduje.

W innych kościołach rzymskich przechowywano je tylko czasowo. W kościele Najśw. Panny Marji od św. Męczenników ukrywano go w przeciągu całego wieku; zamknięty był wtedy w relikwiarzu o dziesięciu zamkach od którego klucze oddane były duchownym w różnych częściach miasta zamieszkałym, a w ten sposób czuwano ustawicznie nad jego bezpieczeństwem.

W r. 707 papież Jan VII znowu go do bazyliki przenieść rozkazał. Tam spoczywał w kaplicy, zwanej kaplicą Matki Boskiej od św. Weroniki. Za rządów Celestyna III utworzono straż honorową, składającą się z sześciu oddziałów, po dwudziestu obywateli rzymskich liczącą, dla uczestniczenia w ce

remonji podczas wydobywania cennej relikwji dla ukazania jej wiernym.

We Flandrji założono kilka bractw na cześć wizerunku Najśw. Oblicza Zbawiciela.

Obecnie pod jednym z olbrzymich filarów, podtrzymujących wspaniały kościół św. Piotra w Rzy-

Chusta świętej Weroniki

(z obrazu Filipa Champaigne, muzeum w Caen).

mie, znajduje się posąg marmurowy św. Weroniki, wysokości piętnastu stóp, artystycznie wykonany przez rzeźbiarza Mochi.

Nad nim jest rodzaj niszy, w której przechowuje się kawałek drzewa z krzyża Zbawiciela, ostrze włóczni, którą bok Jego przebito, oraz chusta św. Weroniki.

Relikwje te bywają wystawiane na widok publiczny podczas niektórych uroczystości, zwłaszcza zaś podczas Wielkoczwartkowego i Wielkopiątkowego nabożeństwa.

Chusta z Najśw. Obliczem Zbawiciela, niegdyś śnieżnej białości, przybrała z biegiem czasu barwę szarawą, a ślady Boskiej Krwi zaledwie są widoczne.

Jednak podczas wygnania, Piusa IX, kiedy drogocenną relikwję w dniu Trzech Króli w 1856 r. wystawiono na widok publiczny zauważono, że rysy Chrystusa wystąpiły nadzwyczaj wyraźnie. Kiedy kanonik, niosący święty wizerunek, ukazał go po raz ostatni tłumnie zebranym wiernym, O. Hubert, Franciszkanin, widział najwyraźniej oczy, brwi, usta, całą twarz Boską Jezusa, tak jak zwykle widzimy przedstawioną na obrazach. Inny znów świadek tego cudu, M-gr Lucidi, który w przeciągu lat dwudziestu miał niejednokrotnie sposobność oglądania chusty św. Weroniki, doświadczył naówczas tak silnego wstrząśnienia i tak niezmiernie był wzruszony, że drżał na całem ciele, co wszyscy zauważyli.

We Francji wychodzi specjalne pismo religijne ku czci Najśw. Oblicza Zbawiciela poświęcone, w którem ogłaszane bywają wszystkie cudowne uzdrowienia, nawrócenia oraz inne łaski przez nabożeństwo do owego Boskiego wizerunku otrzymane.

Różne zdania historyków co do miejsca zgonu św. Weroniki. — Ustalone przekonanie, że zmarła w Galji. — Zacheusz czczony jako św. Amadur.

Według historyka Ferrari św. Weronika zmarła w Rzymie, lecz jest to zupełnie mylne twierdzenie, ponieważ w takim razie pierwsi chrześcianie byliby niewątpliwie przechowali jej relikwje i grób jej byłby czczony tam, jak tyle innych świętych pamiątek.

Katarzyna Emmerich tak opisuje dalsze jej dzieje:

— Tyberjusz, odwdzięczając się za uzdrowienie, chciał koniecznie zatrzymać Weronikę w Rzymie, ofiarował jej dom i niewolników, lecz ona prosiła o pozwolenie powrotu do Jerozolimy, aby umrzeć tam, gdzie Zbawiciel został umęczony. Powróciwszy zaś mieszkała w domu Łazarza i sióstr jego i wraz z nimi dla wiary św. cierpiała.

W wielu życiorysach św. Weroniki powtórzono tę opowieść, oraz, że pochwycono ją i więziono w ciemnicy, gdzie poniosła śmierć głodową dla Chrystusa, którego nieraz żywiła za życia.

Gdyby opowieść ta była opartą na wiarogodnych świadectwach, wówczas trudno by sobie wytłumaczyć, dlaczego Jerozolima, przechowująca dotąd pamięć dokładną domu, gdzie mieszkała Weronika, nie miała by również zachować śladów późniejszego jej pobytu i grób świętej byłby tam niewątpliwie wyróżniony.

Według najnowszych badań stwierdzono, że św. Weronika ostatnie lata życia spędziła w Galji, o czem wspomina poważny historyk, Bernard de Guionie, Dominikanin, biskup Lodewy. Opisując o misji św. Marciala w r. 47 dodaje:

„Z kilku starożytnych kronik dowiadujemy się, że św. Marcial przybył do Akwitanji w towarzystwie męża Bożego (Zacheusza), zwanego powszechnie *Rupis Amator* i jego małżonki Weroniki, będącej w stosunku blizkiej zażyłości z rodziną Matki

Zbawiciela. Oni to przywieźli z sobą do Galji promień włosów i obuwie Najśw. Panny, św. Marcial zaś drogocenną krew pierwszego męczennika św. Szczepana i na cześć jego założył kościół w Bordeaux.

Śś. Łazarz, Marta i Magdalena głosili również Słowo Boże w Galji, a Weronika wiernie wszędzie idąc śladami św. Marciala w późnym już bardzo będąc wieku osiadła w Noviomagus (Soulac) w Medoku nad brzegami oceanu. Tam wzniosła kapliczkę na cześć Bogarodzicy i świątobliwego życia dokonała.

Zacheusz upodobał życie pustelnicze i schronił się w skaliste ustronie w Quercy, gdzie pędził czas na ustawicznej kontemplacji i modlitwie. Nazwano go z tego powodu *miłośnikiem skał* po łacinie: *rupis amator*. Miejscowość, którą wskazują, jako pustelnię Zacheusza, zwie się Roc-Amadour i tam św. Marcial poświęcił dom Boży na cześć Najśw. Panny gdzie spoczęły zwłoki jednego z pierwszych wyznawców Chrystusowych.

Według tych słów Bernarda de Guionie ustaliło się powszechne mniemanie, co do miejsca zgonu św. Weroniki i jej św. małżonka. W r. 1525 papież Marcin V bullą swą stwierdził, że kościół w Roc-Amadour pochodzi z pierwszych lat chrześciaństwa i że św. Amadur czy Amator jest właściwie Zacheuszem, uczniem Chrystusowym i mężem św. Weroniki.

Dzień św. Amadura, pustelnika z Quercy, Kościół św. obchodzi 26 sierpnia. Figura Najśw. Panny, przez niego własnoręcznie wyrzeźbiona, wielu cudownych nawróceń i uzdrowień stała się przyczyną; pielgrzymki do Roc Amadour są jedne z najliczniejszych we Francji południowej. W r. 1166 znaleziono ciało świętego pustelnika, zachowane tak doskonale, że dało to powód do utworzenia narodowego francuzkiego przysłowia: *Zdrów jest, cały, jak ciało św. Amadura.*

W 1562 r. Hugonoci zniszczyli kaplicę i chcieli spalić relikwje, ale ogień je uszanował i nie spłonęły, udało się ich część przynajmniej uratować i kościół w Dawenescourt szczyci się ich posiadaniem.

Relikwje św. Weroniki w Bordeaux.

Św. Weronika udawała się jeszcze kilka razy z Noviomagus do Bordeaux i Baras, aby ewangelizować pogan.

Noviomagus był to port morski, który znikł z czasem, pozostała zaś jedynie skromna kapliczka przez św. Weronikę wzniesiona i zamieniona później na piękny kościół, przy którym założono klasztor Benedyktynów, będący przez długie wieki celem pielgrzymek wiernych, gdyż cudowny obraz Matki Boskiej z Soulac, zawsze tłumy pobożnych gromadził.

Kiedy stary kościół, podmyty przez morze, rozpadł się w gruzy, zbudowano w zeszłym wieku nowy i znowu Benedyktyni mieli go w swej opiece.

W IX wieku przeniesione zostały relikwje św. Weroniki do Bordeaux, gdzie dotąd spoczywają.

Przeprowadzone niedawno staranne badania potwierdziły, że są to kości osoby zmarłej w bardzo późnym wieku, jak to orzekli lekarze, umiejący roz-

Wizerunek Zbawiciela na chuście św. Weroniki.

Carrache, muzeum w Reims.

poznać ze składów czaszki szczegóły, mogące dać ważne wskazówki w razach wątpliwości, Jeśli zatem weźmiemy na uwagę, że św. Weronika, jak to utrzymuje Katarzyna Emmerich, była starszą o lat pięć od Matki Zbawiciela, jeśli miała lat pięćdziesiąt z górą, podczas Męki Chrystusa Pana i w kilka a nawet kilkanaście lat później przedsięwzięła podróż uciążliwą do Galji, musiała mieć lat co najmniej ośmdziesiąt siedm, ponieważ zmarła w r. 70.

Kościół w Bordeaux, gdzie spoczywają jej

szczątki, jest ozdobiony wspaniałymi witrażami, przedstawiającymi dzieje tej świętej. Na jednym z medaljonów wyobrażoną jest św. Weronika na progu jerozolimskiej świątyni witająca Najśw. Marję Pannę w dziecinnym wieku. Na drugim widzidzimy ją zbierającą krew św. Jana Chrzciciela. Na trzecim Zacheusz i Weronika przed Piłatem świadczą za Jezusem. Na czwartym Weronika podaje zasłonę swą Zbawicielowi. Piąty medaljon przedstawia złożenie Chrystusa do grobu; szósty drogę krzyżową, ktorą przebywa Matka Boska, a za Nią śś. Marcial. Zacheusz i Weronika. Widzimy tam również wymalowaną apoteozę (wywyższenie) św. Weroniki, aniołowie podtrzymują chustę z wizerunkiem Zbawiciela rozpostartą przez świętą. Na innym obrazie św. Weronika przybija na łódce bez steru do portu Soulac, poczem przedstawionem jest złożenie przez nią w Bazas naczynia z krwią męczeńską św. Jana Chrzciciela, a w końcu śmierć św. Weroniki i przeniesienie jej zwłok do kościoła w Bordeaux.

W Rouen i Walenciennes, w północnych miastach Francji i Belgji, wielce rozpowszechnionem jest nabożeństwo do św. Weroniki, a głównie kobiety wzywają jej orędownictwa w chorobie.

W Liège i Paryżu hafciarki i szwaczki, szyjące bieliznę, obrały ją za swą patronkę.

Wszystkie dobre chrześcianki powinny starać się, idąc w ślady miłosiernej Weroniki, litować się nad cierpiącymi, wspomagać radą i jałmużną, ocierać łzy bliźnich, aby stać się uczestniczkami jej zasług wobec P. Jezusa, On bowiem powiedział:

Coście jednemu z tych braci moich najmniejszych uczynili, mnieście uczynili.

Źródła.

M-gr Cîrot de la Ville, prof. teol. *Początki chrześciaństwa w Bordeaux.*

Collin de Plancy. *Św. Weronika apostołująca Akwitanję.*

Ks. kan. Damourette. *Apostolstwo Zacheusza w Galji.*

Ks. Caillau. *Historja kościoła Najśw. Panny w Roc-Amadour.*

Dnia 17 Lutego.

ŚWIĘTY ALEKSY FALCONERI

jeden z siedmiu założycieli zakonu Serwitów.

1200 † 1310.

Za rządów papieży: od Grzegorza IX do Bonifacego VIII.

> Żołnierze muszą być zawsze w pogotowiu, aby pójść tam, gdzie ich wyższa władza wysyła; tym więcej żołnierze Chrystusowi powinni być zawsze gotowi na zawołanie Boskiego wodza — Chrystusa,
>
> Św. Augustyn.

Czciciele Marji.

W piewszej połowie XIII wieku, podczas kiedy Francja rozkwitała pod berłem króla Ludwika, który na miano świętego zasłużył, inne zaś państwa chrześciańskie były też przez bogobojnych władców rządzone, jedne tylko Włochy były ustawicznie niepokojone przez ambitne zamiary Niemców chcących je koniecznie zagarnąć pod swe panowanie. Partja Gwelfów i Gibelinów, jedni trzymający z papieżem, drudzy z Niemcami, budziły ciągłe niesnaski i bratobójcze walki. Mimo to głęboka wiara, którą potrafił podniecić wzniosły zapał św. Franciszka z Assyżu dokonywała cudów. We Florencji powstało zgromadzenie pełne żarliwości i naljepszemi chęciami powodowane, do którego przyłączyli się najlepsi obywatele miasta. Celem ich było służenie Najśw. Pannie, opiewanie Jej chwały i rozkrzewianie czci Matki Zbawiciela. Zwano ich pierwotnie bractwem chwalby *Laudesi.*

Powołanie.

Zgromadzeni zbierali się często dla odmawiania wspólnych modłów i śpiewania hymnów pochwalnych w cześć Bogarodzicy.

D. 15 sierpnia 1233 r. znajdowali się wszyscy razem w kaplicy, z powodu święta Wniebowzięcia N. M. P. Serca ich zjednoczyły się podczas uroczystego nabożeństwa, kiedy nagle jasność wielka olśniła ich oczy, a cudna postać Najśw. Panny ukazała się w całym swym majestacie. Patrzyła na wiernych swych adoratorów wzrokiem pełnym niewysłowionej dobroci i głosem dźwięcznym objawiła im swoje życzenie, ażeby wyrzekli się świata i jego krótkich uciech, a poświęcili się w zupełności Bogu, oddając się Jej macierzyńskiej opiece. Nie wszyscy obecni widzieli cudowną postać Bogarodzicy, bo widocznie nie wszystkie serca były godne dostąpić tej łaski.

Pomiędzy szczęśliwymi wybrańcami, którym się Najśw. Panna w dniu tym objawiła, był Bonfiglio Monaldi, jeden z głównych członków zgromadzenia. Upojony radośnem wzruszeniem sam nie wiedział co mu czynić wypada, ażeby zastosować się jak najrychlej do niebiańskiego rozkazu.

Po skończonem nabożeństwie rozeszli się zgromadzeni i pozostał tylko Bonfiglio z sześciu najżarliwszymi swymi towarzyszami. Oddawna już łączyła ich serdeczna przyjaźń, podtrzymywali się wspólnie i umacniali w postanowieniu, jak najlepszego służenia Najśw. Marji Pannie.

Kiedy poczęli sobie wspólnie opowiadać o uderzającem zjawisku widzianem podczas mszy św. okazało się, że wszyscy siedmiu najzupełniej to samo odczuwali, oglądali postać Matki Boskiej i słyszeli Jej słowa.

Nie było to więc złudzenie ale istotne powołanie do służby Bożej za pomocą nadprzyrodzonego objawienia. Obrano za starszego Bonfigla Monaldiego i oznaczono dzień Narodzenia Najśw. Panny na rozpoczęcie nowego życia.

Siedmiu założycieli zakonu Serwitów.

Sześciu najgorliwszych czcicieli Najśw. Panny, prócz wspomnianego już wyżej Monaldiego, nazywali się: Jan Manetti, Rikower Lippi, Benedykt Antella, Gerard Sostegni, Bartłomiej Amidei i Aleksy Falconieri. Wszyscy należeli do najznakomitszych rodzin florenckich.

Bonfiglio Monaldi pochodził z dawnej szlachty równającej się książęcym rodom. Rodzice Bonfiglia wychowali go starannie w bojaźni Bożej, obudzili w nim zamiłowanie do życia pracowitego i wstrzemięźliwego a jego od dzieciństwa objawiające się wielkie nabożeństwo do Najśw. Panny zjednało mu zaszczyt należenia do bractwa *Laudesi*, które urabiało gorących czcicieli Marji. Kiedy sześciu towarzyszy obrało go swym przełożonym i prosiło o obmyślenie planu dalszej działalności, zwrócił się z tem młody Monaldi do godnego wielce kapłana Jakóba Poggi Bonzi który przez pewien czas był kapelanem w ich zgromadzeniu.

Prosił go Monaldi o pozostanie nadal duchowuym kierownikiem siedmiu braci związanych teraz z sobą wspólnym celem. Następnie udali się wszyscy razem do biskupa florenckiego Aringo, prosząc go o radę i błogosławieństwo. Biskup chętnie zgodził się na udzielenie swego pozwolenia, radując się pobożnym intencjom młodzieńców.

Jan Manetti, Lippi i Sostegni byli to synowie ludzi znanych zaszczytnie w przemyśle, handlu, dyplomacji lub na urzędowaniu, a każdy z nich był wzorowym katolikiem.

Rodzina Antello, z której pochodził Benedykt, zwany potem bratem Manetto, położyła wielkie zasługi dla rzeczypospolitej fiorenckiej.

Benedykt wyróżniał się niepospolitą inteligencją, uczył się doskonale, przochodząc zawsze z odznaczeniem, a nawet w nauce teologji otrzymał pierwszeństwo podczas publicznej dyskusji. Rodzina marzyła o połączeniu przez związek małżeński z najbogatszą dziedziczką w rzeczypospolitej, ale młodzieniec, czując głos powołania, nie dał się namówić na rozkosze domowego ogniska, nie nęciło go bogactwo, opuścił też wkrótce dom rodzinny, wyrzekając się własnego majątku, dla oddania się w zupełności Bogn i Najśw. Pannie.

Bartłomiej Amidei był wychowany przez bardzo bogobojną matkę, która wykołysała go, śpiewając mu kantyczki i różne pobożne pieśni. Imię Jezusa i Marji były to pierwsze słowa, które go mówić nauczono. Starannie chroniony od złych wpływów, świątobliwy ten młodzian był prawdziwie anielskiego usposobienia i wzorowej bnoty.

Aleksy Falconicri należał do znakomitej rodziny, która nie wygasła dotąd we Włoszech, a książęta Falconicri mieli zaszczyt uczestniczenia w uroczystości kanonizacji św. Aleksego (w styczniu 1888 r.).

Za życia Aleksego, dawny ten ród liczył już sześć wieków za sobą, a szczęśliwie przeprowadzone operacje finansowe, zapewniały olbrzymie dochody. Aleksy ur. w r. 1200. Cnoty jego i zasługi przyozdobiły i wsławiły daleko więcej tę starożytną rodzinę, niż całe szeregi dostojnych przodków.

Pierwsze schronienie siedmiu Serwitów.

D. 8 grudnia zebrało się siedmiu przyjaciół, jak to było ułożono, każdy z nich postarał się przez ten czas uregulować interesa, ażeby zupełnie być swobodnym i żadnemi sprawami ze światem nie być związanym, poczeum udali się do biskupa i otrzymawszy błogosławieństwo, opuścili rodzinne miasto.

Wybrali sobie na początek skromne schronienie, nie bardzo daleko od Florencji położone, zakątek ten zwał się w skróceniu *Camarzia*, czyli pole marsowe. Był tam nędzny domek, w którym razem zamieszkali, wyrzekając się bogatych strojów, jakiemi wyróżniali się obywatele rzeczypospolitej, a natomiast przywdziewając szare habity, włosiennice, oraz łańcuchy raniące im ciało do krwi, a przytem biczując się nieustannie dla opierania się szatańskim pokusom.

O. Jakób, kapelan, odprawiał codziennie mszę św., gdyż biskup pozwalał zgromadzonym mieć ołtarz i rodzaj domowej kaplicy, oraz nic nie miał przeciw temu, aby pobożni młodzieńcy, którzy roz-

dali cały swój dobytek ubogim, żyli odtąd z jałmużny.

Bardzo było ubogo aie niezmiernie słodko i radośnie w cichym domku Camarcia, gdyż znajdowano prawdziwe szczęście w zupełnem wyrzeczeniu się wszystkiego dla przypodobania się Bogu i Najśw. Pannie. Całe dnie spedzano na modlitwach i pokucie. Nikt tam nie tęsknił, nie uskarżał się, nie żalił, panowała wzorowa zgoda, jedność myśli, bogobojność i pokora.

Po kilku tygodniach nowego życia, Bonfiglio wezwał braci do wspólnego odwiedzenia biskupa Aringo dla zdania mu sprawy ze swych czynności i zasięgnięcia dalszych wskazówek.

Pojawienie się we Florencji siedmiu czcicieli Marji, ubranych w strój zakonny, idących z kornie schylonemi głowami po ulicach miasta, pamiętającego ich niedawno w pysznych pojazdach, aksamitach i atłasach jak to naówczas było we zwyczaju, zwróciło ogólną uwagę. Śpieszono oglądać niezwykłe widowisko, nie mogąc oswoić się z myślą, że można dobrowolnie wyrzec się wszystkiego, przekładając życie o żebranym chlebie nad zbytki i rozkosze. Zatrzymywano się tłumnie dokoła przybyłych, tamując im przejście. Wśród gromadek ludu były kobiety z małemi dziećmi na ręku.

Nagle usłyszano dziecięce głosy, wołające chórem:

— Idą słudzy Marji!... Idą słudzy Marji!...

Był to nowy cud Najśw. Panny, gdyż przemówiły niemowlęta, które dotąd jeszcze nie umiały powiedzieć ani jednego słowa. Przez usta niewiniątek objawiła Najśw. Panna jak pragnie aby Jej czcicieli nazywano.

Biskup Aringo, dowiedziawszy się o tem, radził młodym pustelnikom, ażeby przyjęli tę nazwę, wyraźnie z nieba im zesłaną.

Mieszkańcy Florencji obdarzyli sługi Marji hojną jałmużną, biskup przyjął po ojcowsku i pobłogosławił, poczem powrócili znowu do swej samotni, gdzie rok cały przebyli.

Natrętni goście. Najśw. Panna życzy sobie widzieć sług swych na górze Senario.

Od czasu, gdy cała okolica dowiedziała się o istnieniu pustelni nie było dnia, żeby nie odwiedzano małego zgromadzenia. Jedni przybywali przez prostą ciekawość, inni znów wiedzeni szczerą życzliwością dla pobożnych braciszków, ale wszystkie te wizyty zabierały czas niepotrzebnie i odrywały od ułożonego już planu życia zakonnego. Wobec tego nie było innej rady, jak poszukać nowego schronienia. Słudzy Marji modlili się gorąco do swej niebiańskiej Królowej o dobre natchnienie i prośby ich zostały wysłuchane.

Pewnej nocy, kiedy każdy z osobna modlił się gorąco do Madonny, ukazała się im w całym blasku i wyciągnąwszy rękę w stronę góry Senario wyraźnie wskazywała, gdzie udać się mają.

Góra ta o dziewięć mil od Florencji oddalona nazwała została Senario z powodu doskonałych warunków klimatycznych: *Mons sani aeris* znaczy góra zdrowego powietrza. Tembardziej jeszcze zasłużyła na to miano od chwili, gdy pobożni Serwici obrali ją sobie za siedzibę, stosując się do niebiańskiego rozkazu i prawdziwie anielskie wiedli tam życie.

Wierzchołek góry Senario należał do dóbr kościelnych, więc pustelnicy udali się do biskupa zapytując jak postąpić mają? Biskup florencki dał im wnet piśmienne zabezpieczenie podpisane dnia 31 maja 1324 r. oddając grunt do ich rozporządzenia.

— Zaliż nie jest w tem widoczna łaska Boża?.. zawołał Monaldi uszczęśliwiony tak pomyślnym obrotem sprawy.

Z początku miał zamiar czcigodny przełożony zgromadzenia zrzec się zaszczytnego starszeństwa nad towarzyszami ale uproszono go, aby i nadal pozostał na czele, gdyż wszyscy radzi go słuchali.

Pustelnicy z góry Senario. Kamień węgielny kaplicy pod wezwaniem Najśw. Panny.

Pełne poetycznego uroku było pierwsze wstąpienie pobożnych pustelników na górę Senario. Nieśli z sobą obraz Bogarodzicy i wszystkie kościelne przybory posuwając się zwolna po stromej wyniosłości i śpiewając psalmy, a kiedy dotarli do szczytu padli na kolana i całując ziemię wołali:

— O Najśw. Marjo! Matko nasza! Oto rzuciliśmy wszystko, aby iść za Tobą.

Natychmiast zrobiono ołtarz na prędce z kawałków drzewa i O. Jakób Poggi Bonzi miał pierwszą mszę św. na tej wspaniałej wyżynie.

Ponieważ nie było tam dotąd jeszcze żadnej ludzkiej siedziby pustelnicy urządzili sobie cele w skalnych grotach. Benedykt z Antelli wynalazł głębokie wgłębienie w zachodniej części góry, które stanowiło jak gdyby dwie małe izdebki. Tam ukrywał się przez lat jedenaście z górą nie chcąc w żaden sposób zgodzić się na opuszczenie swej kryjówki, podobniejszej do grobu niż do zakonnej celi.

Pokutnicze życie wiedli tam świątobliwi pustelnicy, każdy usiłował prześcignąć innych w umartwieniach własnego ciała.

Żywili się wodą zdrojową i nędznemi korzonkami. Zbierali się w oznaczonych godzinach na wspólną modlitwę i śpiewanie pieśni pobożnych w cześć Najśw Panny. Każda chwila dnia była tak zajętą, że upływały miesiące całe niepostrzeżenie.

Po pewnym czasie poczęto myśleć o wybudowaniu kaplicy i Bonfiglio prosił biskupa, aby zech-

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

ciał poświęcić kamień węgielny i przysłać go do pustelni. Biskup Aringo gorąco sprzyjający zgromadzeniu zapowiedział, że sam chce odwiedzić swych synów duchowych i kaplicę ich konsekrować. Na kamieniu węgielnym kazał wyryć te słowa: „Będzie to dom Boży i wrota do nieba, a dla was bracia Serwici miejsce to nazywać się będzie Sercem Marji".

dziła się daleko. Kardynał Geoffroy de Chatillon, legat papieski, nie chciał zrazu dać wiary opowiadaniom o surowym sposobie życia tych siedmiu Florentczyków i zapragnął naocznie się o tem przekonać. Przybywszy na górę Senario był oczywistym świadkiem najokrutniejszych mąk cielesnych i umartwień zadawanych sobie przez pustelników i tak wzruszyły go te dobrowolnie przyjęte praktyki po-

Matka Boska ukazuje się siedmiu założycielom zakonu Serwitów i objawia im, jaką regułę przyjąć mają.

Biskup był zbudowany przykładnem życiem tych siedmiu pustelników, którzy stawali się z dniem każdym coraz żarliwszymi czcicielami Najśw. Marji. Kiedy ukończono budowę kaplicy zabrano się do wzniesienia osobnych cel dla każdego z pustelników, otoczono je szeregiem drzewek, pomiędzy któremi zasadzono kolczaste krzewy dla ochrony od drapieżnych zwierząt.

W ten sposób klasztor na górze Senario został ufundowany.

Praktyki pokutnicze. Kwestarze. Filip Benizi.

Sława pobożności sług Marji i nadzwyczajnych umartwień tych prawdziwych ascetów rozchokutnicze, że prosił biskupa florenckiego o zapobieżenie tym udręczeniom. Nawet stojący wciąż na czele zgromadzenia Bonfiglio Monaldi zauważył, że należałoby kres położyć zbytecznym postom pokutników, zresztą zbliżała się zima, która pozbawić ich miała jedynych środków pożywienia, czerpanych z nędznej roślinności. Potrzeba było kwestować inaczej bowiem czekała ich śmierć głodowa. Wybrano więc brata Monetti i Aleksego Falconieri dla zebrania nieco zapasów na zimę.

Jakaż to była próba pokory dla możnych niedawno jeszcze i mających najświetniejsze stosunki rodzinne młodzieńców! Czyż dawni znajomi nie odwrócą się od nich z pogardliwem spojrzeniem, uważając za dziwactwo i szaleństwo owe chodzenie od

progu do progu i proszenie o jałmużnę, kiedy przecież rok jeszcze temu posiadali obaj obszerne dobra i mogli sami szczodre udzielać dary. Ale dwaj mężni słudzy Marji nie cofnęli się przed ciężką próbą, oni radzi szli ewangeliczną drogą wyrzeczenia się i pokory i weszli do Florencji w szarych, ubogich swych szatach pukać do drzwi mieszkańców o miłosierdzie w imie Jezusa i Marji.

I tym razem niemowlęta wołały na ich widok: Oto idą słudzy Marji! A mały, zaledwie kilkomiesięczny naówczas Filip Benizi szepnął do matki:

— Mamo, oto są słudzy Marji, którym powinnaś dać jałmużnę.

Ten sam Filip Benizi wstąpił następnie do zgromadzenia Serwitów, był jednym z najgorliwszych propagatorów zakonu i stał się wielkim świętym, a przez rok cały musiał kryć się starannie przed okiem ludzkiem, gdyż chciano go koniecznie wynieść na tron Piotrowy i papieżem obwołać.

Najśw. Panna ukazuje się siedmiu fundatorom i wskazuje im jaką mają przyjąć regułę.

Pustelnicy z góry Senario schodzili od czasu do czasu do Florencji dla zbierania kwesty, zresztą cały swój czas poświęcali duchownemu doskonaleniu się; pomimo że kilkakrotnie proszono ich o przyjęcie nowych członków do zgromadzenia odmawiali stanowczo, ponieważ nie stanowili jeszcze zakonnego zgromadzenia zatwierdzonego przez Stolicę Apostolską.

W lutym 1239 r. zasadzili sobie winnicę na górskim stoku, a nazajutrz już w nocy z 26 na 27 lutego wszystkie latorośle pokryły się zielenią ku wielkiemu zdziwieniu pustelników. Wnet posłali do biskupa z zapytaniem, co by to znaczyć miało? Biskup miał tej samej nocy objawienie i wytłumaczył sługom Marji, że rozwijająca się z tak niebywałą szybkością zieloność jest obrazem Kościoła św. i jego rozkwitu, a zarazem oznajmił, iż Najśw. Panna pragnie aby ślubowali i przyjęli święcenia stosownie do Jej Woli.

Pustelnicy poczęli jeszcze żarliwiej wzywać swej niebiańskiej Orędowniczki. Dnia 25 marca przypadał w tym roku Wielki Piątek, rozpamiętywano więc Mękę Zbawiciela, a siedmiu czcicieli Marji zebrało się w kaplicy dla odmawiania modlitw o siedmiu boleściach Matki Boskiej.

Jakaż była ich radość i wzruszenie, gdy znowu ukazała się im Najśw. Panna w jasności wielkiej, wśród obłoków, niezliczone chóry anielskie otaczały Ją dokoła trzymając w ręku różne narzędzia męki Zbawiciela, a także czarne habity podobne temu, który Ona sama trzymała w ręku, wraz z otwartą księgą, na której było wyryte złotemi literami: *Serwici Marji.*

Pobożni pustelnicy klęczeli w niemym zachwycie a Najśw. Panna przemówiła do nich w te słowa:

— Oto jestem pomiędzy wami synowie moi najmilsi, ja Matka Syna Bożego, którą na pomoc tak często przyzywacie. Wybrałam was wśród wielu, abyście uprawiali winnicę Syna mojego. Oto habity czarne, które życzę sobie abyście nosili na pamiątkę boleści mojej na widok Syna Ukrzyżowanego. Wyrzekliście się już dla mojej miłości bogatych i barwnych strojów, nie będzie więc wam trudno przywdziać na przyszłość te żałobne szaty, które przypominać wam będą okrutne męki, jakie serce moje przechodziło niegdyś na ziemi. Otrzymajcie tę oto regułę św. Augustyna, stosujcie ją w ciągu całego życia, aby stać się godnymi nazwy *Serwitów*, sług moich, poczem otrzymacie palmę wiekuistego szczęścia".

Po tych słowach znikło Boskie widzenie, a pustelnicy długi czas klęczeli pogrążeni w radośnem uniesieniu. Biskup florencki miał jednocześnie objawienie i zaraz po Wielkiejnocy przybył do ulubionej swej pustelni na górze Senario, którą nazywał najmilszym zakątkiem na ziemi. Uroczyście przywdziano szaty zakonne przez Najśw. Pannę wskazane i rozpoczął się nowicjat reguły św. Augustyna, po roku zaś przygotowania przybył sędziwy dusz pasterz dla otrzymania ich profesji zakonnej. W ten sposób powstał nowy zakon sług Marji od słowa *serwitore* Serwitami ogólnie zwanych.

Rozwój zakonu Serwitów. Obraz cudowny Matki Boskiej.

Od tego czasu poczęła szybko wzrastać duchowna rodzina sług Marji. O. Bonfiglio był generalnym superiorem. Niedługo potem wszyscy założyciele otrzymali z rąk biskupa kapłańskie święcenia, za wyjątkiem jednego tylko św. Aleksego, któremu wysoka pokora nie dozwoliła przyjąć zaszczytnego miana Bożego sługi mimo to z Woli nieba dostąpił po śmierci najwyższego zaszczytu wyniesienia na ołtarze.

Zakon Serwitów miał we Włoszech bardzo licznych zwolenników, coraz nowe powstawały klasztory; jednemi z pierwszych były w Siennie i Tyfernum.

OO. Serwici z góry Senario otrzymali w darze od pewnego bogatego obywatela Florencji kawał ziemi w pobliżu tego miasta. Wkrótce więc w miejscowości zwanej Cafaggia wybudowano schronienie dla kwestujących zakonników, a z czasem powstał tam obszerny klasztor i kościół Zwiastowania Najśw. Panny.

W kościele tym znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej, o którym jest następujące podanie:

Serwici uprosili pewnego malarza imieniem

Bartolomeo, aby wymalował piękny wizerunek Bogarodzicy, który miał być w dzień Zwiastowania w wielkim ołtarzu umieszczony.

Artysta ukończył już wszystkie szczegóły obrazu przed oznaczonym terminem, ale nie był jeszcze z wyrazu twarzy Madonny zadowolony, starł poprzednio naszkicowaną głowę i martwił się, że nie będzie w możności oddać obrazu, którego z taką niecierpliwością oczekiwano. Biedząc się nad znalezieniem odpowiedniego wyrazu dla Najśw. Dziewicy usnął w pracowni trzymając pędzle i paletę w dłoni.

Jakież było jego zdumienie, gdy po przebudzeniu ujrzał robotę swą w cudowny sposób ukończoną. Boski wyraz twarzy Najśw. Panny był tak nie ziemski, że chyba tylko anioł z nieba mógł stworzyć obraz tak doskonały.

Na radośny okrzyk Bartolomea zbiegli się wszyscy zakonnicy, podziwiając cud widomy. Wieść o tem szybko rozniosła się po okolicy, wielka liczba pielgrzymów przybywała codziennie dla oddania czci Marji. Obraz ten zwany Najśw. Panny Łaskawej był zawsze we Włoszech w wielkiem poważaniu.

Święci przewodnicy zakonu. Juljanna Falconieri. Śmierć św. Aleksego.

Zakon Serwitów został przez Stolicę Apostolską zatwierdzony początkowo jako zakon Augustjanów, a następnie dopiero jako odrębne zgromadzenie. Po O. Monaldim objął rządy klasztoru Jan Manetti, następnie zaś Benedykt Antella znany jako św. Manetto z Anteli. Po nim zaś był przełożonym św. Amadeusz i św. Filip Benizi.

Św. Aleksy Falconieri przeżył wszystkich towarzyszy świątobliwego żywota. Zmarł w bardzo podeszłym wieku pomimo nieustannych umartwień ciała. Przez siedmdziesiąt i siedm lat był świadkiem rozwoju zakonu, który światłemi radami umacniał i był zawsze wzorem najwznioślejszej cnoty. Pokora jego i miłosierdzie stały się wprost przysłowiowemi wśród całej okolicy. Ostatnie lata spędził w klasztorze Cafagia.

Święty ten zakonnik wywarł wpływ dobroczynny na swą siostrzenicę Juljannę Falconieri, która pod jego kierunkiem stała się wielką świętą i założyła zakon Tercjarek regularnych Serwitek.

Św. Aleksy mając już przeszło sto lat stosował się jeszcze wiernie do reguły św. Augustyna i nigdy na najlżejsze ustępstwo sobie niepozwalał.

Przepowiedział dzień swego zgonu, a przyjąwszy Ostatnie Sakramenta w otoczeniu Braci, począł odmawiać Pozdrowienie Anielskie, które miał zwyczaj mówić sto razy dziennie.

Nagle przerwał, a twarz jego przybrała wyraz nadzwyczajnego zachwycenia.

— Ach bracia moi, zawołał wzruszony, oto aniołowie unoszą się nademną w postaci białych gołębi!.. Oto Dzieciątko Jezus kładzie mi na czoło koronę!..

Kilku zakonników dostrzegło również w tej chwili pomiędzy gromadką białych ptaków Dzieciątko cudownej piękności i jednocześnie dusza świętego uleciała w niebiosa.

Było to d. 17 lutego 1310 r.

Zakon Tercjarzy Serwitów ufundowany przez św. Juljannę Falconieri, św. Aleksego i św. Filipa Benizi posiada kilka domów swych we Francji. Córki św. Juljanny prowadziły do ostatnich czasów pensjonat dla dziewcząt w Livry w dyecezji Wersalskiej, który rozwijał się bardzo pomyślnie ale w obec niegodziwych rozporządzeń rządu francuzkiego z obecnej doby został zamknięty z wielkim żalem serc chrześciańskich.

Beatyfikacja i kanonizacja św. Aleksego.

Cześć dla błogosławionych założycieli Serwitów ustaliła się oddawna, beatyfikacja św. Aleksego nastąpiła w r. 1717, za rządów papieża Klemensa XI a jego sześciu towarzyszy w 1752 r. W styczniu zaś 1888 r. Aleksy Falconieri został w poczet świętych zaliczony przez Leona XIII.

Przedstawiają zwykle siedmiu fundatorów zakonu w klęczącej postawie przed obrazem Najśw. Panny Bolesnej. Cyfra będąca oznaką Serwitów jest litera M utworzona z lilji o trzech gałązkach.

Źródła.

O. Helyot. *O początkach zakonu Serwitów. Historja zakonu Serwitów, (sług Marji) napisana przez przyjaciela Serwitów.* Paryż 1886.

Dnia 28 Lutego.

ŚWIĘTY ROMAN, OPAT Z CONDAT.

Fundator klasztoru w Mont-Jura.

390—460.

Za rządów papieża Leona Wielkiego, króla burgundzkiego Gundioka.

Wszystko się obraca ku pożytkowi tych, którzy w miłości Bożej trwają.
Rzym, VIII, 29.

Dzieciństwo i młodość świętych braci.

Św. Romanowi przeznaczonem było z Woli Opatrzności rozniecić we wschodniej Galji nowe ognisko zakonnego życia, był on bowiem założycielem i pierwszym opatem słynnego opactwa w Condat, które przez trzynaście wieków świeciło przykładem i budziło uczucia religijne w całej okolicy.

Św. Roman przyszedł na świat około r. 390, pochodził z godnej rodziny, zamieszkującej tę część francuzkiej ziemi, ktorą zowią obecnie departamentem Ain. Niektórzy dziejopisarze utrzymują, że miasto Izernora było miejscem jego urodzenia. Dzieciństwo Romana upłynęło w ciszy rodzinnego życia; miał on brata Lupicyna również bogobojnego i odznaczającego się chrześciańskiem prawdziwie miłosierdziem. Obaj ćwiczyli się w surowych praktykach pokutniczych, a rodzice, nie mogąc dać im wysokiego wykształcenia, zaszczepili natomiast cenniejsze stokroć przymioty, które następnie rozwinęły się tak dalece, że dwaj bracia zostali, po chwalebnem swem życiu, w poczet Świętych Pańskich zaliczeni.

Roman wyprzedził Lupicyna w ewangelicznej doskonałości. Od lat najmłodszych łaska Boska ustrzegła go od złego, miał wstręt wrodzony do życia pełnego uciech i rozrywek, a natomiast umiał pozyskać sobie poważanie i życzliwość swem wzorowem zachowaniem, uprzejmością i skłonnością do poświęceń.

Powołanie. Pustelnia w Condat.

Roman czuł w sobie powołanie do życia zakonnego i modlił się gorąco o dobre natchnienie, aby spełnić jak najrychlej swe zamiary. Napróżno troskliwi rodzice starali się go skłonić do wczesnego ożenku, stanowczo oparł się temu, gdyż postanowił poświęcić życie Bogu i marzył o udaniu się na puszczę, aby tam w dali od świata wieść żywot pustelniczy.

Przedewszystkiem jednak zamierzył poznać dokładnie klasztorne reguły i w tym celu udał się do Lionu, by pod światłym kierunkiem czcigodnego opata Sabina z Ainay ćwiczyć się w cnotach.

Z największą rozkoszą rozczytywał się Roman w żywotach śś. pustelników Pawła, Antoniego, Hilariona. Nęciły go pustkowia, gdzie w samotności wśród dzikiej natury mógłby oddawać się rozmyślaniom o Stwórcy wszechrzeczy i przyszłem życiu.

Mając już lat trzydzieści pięć, wyruszył w lasy, pokrywające górę Jura i osiedlił się około 425 r., w miejscowości zwanej Condat, gdzie pomiędzy trzema górami znajdował się kawał gruntu, nadającego się do uprawy. Były tam strumienie, z których mógł czerpać ochłodę, oraz drzewa owocowe, rosnące w dzikim stanie, lecz mogące dać pożywienie. W odludnem tem miejscu Roman miał nadzieję ukryć się przed okiem ciekawych; obrał sobie olbrzymią sosnę, której spuszczające się w dół gałęzie tworzyły jakgdyby naturalny szałas. Przypominało mu to schronienie pod palmą św. Pawła pustelnika i cieszył się, że może wstępować w ślady wielkich świętych, dzieląc swój czas pomiędzy modlitwą, czytaniem i ręczną robotą. Kilka lat przebył w swej samotni, umartwiając ustawicznie swe ciało, zadawalając się najnędzniejszem pożywieniem, narażony na napaście dzikich zwierząt, znosząc jednem słowem najrozmaitsze próby, a mimo to, czując się najzupełniej szczęśliwym i zadowolonym, ufał bowiem, że ćwicząc się w cnocie, coraz milszym staje się Bogu.

Lupicyn odnajduje brata. Grad kamieni. Porażka i zwycięztwo.

Przez ten czas Lupicyn pozostając w rodzinie, uległ namowom ojca i wstąpił w związki małżeńskie. Niedługo jednak po tem zmarła mu żona, a następnie ojciec rozstał się ze światem. Odtąd ogarnęła go wielka za bratem tęsknota, pragnął podzielić z nim żywot pustelniczy, tembardziej, że ujrzał go raz we śnie przyzywającym wyraźnie ku sobie. Nie wahając się dłużej, udał się w góry i odnalazłszy pustelnię Romana, rzucił mu się do nóg, błagając, aby pozwolił pozostać i był kierownikiem na nowej drodze życia. Roman zgodził się na to, obaj bracia śpiewali wspólnie psalmy, współzawodniczyli w gorliwości umartwień i pędzili życie w ciszy i spokoju.

Aliści pewnego dnia podczas modlitwy spadł na nich grad kamieni niewiadomo zkąd. Pustelnicy, nie przerywając pobożnych pieśni, starali się w ten sposób zabezpieczyć od ataków nieprzyjacielskich, domyślali się bowiem, że to są sprawki szatana. Za każdym razem, gdy klękali do modlitwy, powtarzały się owe napady; trwało to dni kilka, napróżno wzywali Boskiej pomocy, aż wreszcie poczęli przypuszczać, że sam Bóg żąda, aby opuścili to miejsce i dlatego dozwala na prześladowania.

Nie było innej rady, jak szukać innego schronienia. Udali się na poszukiwania i zatrzymali się pewnego wieczoru u progu ubogiej chatki, gdzie pobożna staruszka ofiarowała im gościnę, sądząc, że ma przed sobą pielgrzymów, którzy długą odbyli drogę, gdyż twarze ich były wybladłe, a ubrania tak zniszczone, że trzymały się cudem prawie.

— Zkąd przybywacie? — zapytała kobieta, — co przywiodło was w te strony?

Bracia opowiedzieli co się im przytrafiło, nie tając, że podejrzewają w tak dziwnem zdarzeniu djabelską robotę.

— Jakto! zawołała staruszka z wielkiem zdumieniem, zaliż to jest dostateczny powód do opuszczenia waszej pustelni? Czyż ja, biedna kobieta, mam was uczyć, jak postąpić należało? Jeśli szatan, widząc waszą gorliwość, usiłował oderwać was od świątobliwego życia i chce gnać was precz z pustelni, nie powinniście poddawać się, a raczej co prędzej tam powrócić, śmiało wrogowi stawiąc czoło.

Te słowa prostej kobiety silne na obu braciach uczyniły wrażenie. Usłuchali jej rady i natychmiast powrócili do Condat. Tu znowu spotkał ich niewidzialny nieprzyjaciel gradem kamieni; krwią oblani nie przestawali jednak modlić się, znakiem krzyża św. odganiając złe moce.

Ostatecznie wytrwałość ich zwyciężyła i zostali uwolnieni od strasznej próby.

Opactwo Condat i Laukona. Rozwój zgromadzenia.

Pomimo, że pustelnicy nasi starannie unikali wszelkiej styczności ze światem, znalazło się kilku ludzi, zachęconych ich przykładem, którzy postanowili pójść w ich ślady i prosili o kierownictwo na drodze duchowego udoskonalenia.

Pierwszymi towarzyszami śś. braci było dwóch duchownych burgundzkich, następnie przybywali wciąż nowi, co widząc świątobliwi pustelnicy zabrali się do wybudowania klasztoru, mając zamiar rozpocząć życie wspólne, według reguły zakonnej. W ten sposób powstało opactwo Condat, które z czasem wielkiej zaczęło używać sławy, gdyż surowy sposób życia i cnoty zgromadzonych pozyskiwały im życzliwość i uznanie w bliższej i dalszej okolicy.

Przyprowadzano do ustronnej pustelni chorych, opętanych, przywożono paralityków i bardzo wiele cudownych uzdrowień zostało dokonane za przyczyną modlów świątobliwych braci. Często się też zdarzało, że wyleczeni w Condat nie chcieli już powracać do swych stron rodzinnych, a błagali o pozwolenie pozostania do końca życia pod błogosławionym kierownictwem świętych pustelników.

Liczba nowicjuszów tak się wzmagała, że św. Roman musiał pomyśleć o nowem dla nich schronieniu. O milę od Condat, gdzie jest obecnie wioska, zwana św. Lupicyna, dawniej zaś Laukona, powstał drugi klasztor, a wkrótce wybudowano trzeci, jeszcze obszerniejszy.

Św. Roman cieszył się wielce, widząc gorliwość, posłuszeństwo i prawdziwą pobożność zgromadzenia, czuł bowiem, że Bóg widocznie sprzyja rozwojowi zakonnego życia w tem ustroniu, które on pierwszy wynalazł i w niem sobie upodobał.

Obaj bracia rządzili wspólnie zgromadzeniem i każdy na swój sposób oddziaływali zbawiennie na otoczenie. Roman był nadzwyczaj łagodny i wyrozumiały, chętnie przyjmował każdego, który się do opactwa zgłaszał, Lupicyn zas był daleko więcej wymagający i surowy, rad trzymać w karbach, niedopuszczając najlżejszego odstępstwa od praktyk pokutniczych, jakie sobie wyznaczono.

Obaj bracia pomagają sobie wspólnie w rządach klasztornych.

Św. Roman, aczkolwiek starszy wiekiem, często ustępował bratu i tylko w razach stanowczych wyrażał swą niezłomną wolę. Najczęściej zdarzało się to w chęci dopomożenia któremuś z mnichów strofowanych zbyt surowo przez Lupicyna lub wygnanych za jakieś przewinienie. I tak, np. zdarzyło się pewnego razu, że św. Lupicyn, przybywszy do jednego z klasztorów, niespodzianie wszedł do kuchni i zobaczył tam oprawione już ryby, smacznie przyrządzone sosy i polewki, jarzyny, mające być oddzielnie na stół podawane, jednem słowem wszystko przygotowane w sposób dość wykwintny i obfity.

Oburzył się tem niezmiernie i zawołał ze smutkiem:

— Takaż to wstrzemięźliwość w naszem zgromadzeniu! Żyjecie tu sobie jak wielcy panowie, nie myśląc wcale o umartwianiu ciała. Zaliż przystoi sługom Bożym troszczyć sie tak o smaczny posiłek, mogęż wierzyć, że pragniecie doskonalić się w cnocie, kiedy myśl waszą zaprzątacie obmyślaniem wyszukanych potraw? Wstrętnem mi jest podobne obżarstwo, za karę musicie zjeść wszystko zmieszane razem! I to mówiąc powrzucał do kotła przygotowane zapasy i dziwną tę mieszaninę kazał podać mnichom.

Niektórzy z nich poddali się woli przełożonego

bez szemrania, ale dwunastu oparło się stanowczo, przekładając nawet opuszczenie zgromadzenia nad wypełnienie rozkazu

Chociaż św. Roman nie był przy tem zajściu obecny, jednak przeczuciem wiedziony, wiedział o wszystkiem i zaraz po powrocie brata do Laukony, począł mu wymawiać, że postąpił nie właściwie, narażając tyle dusz na niebezpieczeństwo powrotu do światowego życia. Lupicyn, pod wpływem łagodnych napomnień Romana, uczuł się też zatrwożonym o los dwunastu zbuntowanych; poczęli obaj modlić się usilnie, aby Bóg zechciał w nich obudzić skruchę; jakoż wszyscy powrócili w krótkim czasie, prosząc o przebaczenie.

Niejednokrotnie się zdarzały podobne wypadki opuszczania klasztoru przez ludzi nie czujących w sobie dość siły do wytrwania i zawsze św. Roman z największą radością przyjmował znowu zbłąkanych pod swą pieczę. Zarzucano mu nawet nieraz zbyteczną pobłażliwość, mówiąc, że trzeba być uważniejszym w doborze ludzi, aby złym przykładem nie zachęcali innych do zaniedbań i wykroczeń. Ale święty fundator odpowiadał z niezmierną słodyczą:

Święty Roman w podróży znajduje gościnę u trędowatych, których uzdrawia.

— Nie odtrącajmy tych owieczek, które nam Dobry Pasterz przysyła; starajmy się raczej całą siłą bronić je przed szatańskiemi pokusami, niech żarliwość nasza zawiedzie je do wrót raju.

Ten sposób postępowania wydał jak najlepsze wyniki. Wielu z tych, którzy na razie okazywali się krnąbrni, stali się z czasem prawdziwą chlubą zgromadzenia i sami później zakładali nowe klasztory, w których byli wzorowymi przeorami.

Pokuty i umartwienia.

Do jakiego stopnia posuwali obaj święci bracia swe umartwienia, mogą poświadczyć fakta następujące: Jadali tylko raz na trzy dni, nigdy nie pijali wina, a nawet Lupicyn powstrzymywał się od wody przez ośm ostatnich lat życia, a kiedy paliło go pragnienie, zanurzał tylko ręce w zimnej wodzie dla ochłody. Mleko nawet uważali za zbyt posilne pożywienie, ubiór ze skór niewyprawnych sporządzony drażnił ciało nie mniej od włosiennicy. Podczas najostrzejszego zimna nosili tylko sandały, obywali się bez łóżek, pomimo, że inni zakonnicy spali na posłaniach, sen zaś przerywali dla modlitwy, spędzając w kaplicy długie godziny. W obec takich przykładów trudno się dziwić, że całe zgromadzenie starało się stosować również najsurowsze praktyki, ażeby iść w ślady swych kierowników i umartwiając zmysły, coraz więcej doskonalić dusze.

Uzdrowienie trędowatych.

Św. Roman udał się pewnego razu do klasztoru, założonego w okolicach Genewy nad Lemańskiem jeziorem, a że była spóźniona pora, znalazł się zaskoczonym w obcem sobie miejscu wśród ciemnej nocy. Nigdzie dokoła nie widać było żadnej ludzkiej siedziby, wreszcie, idąc na oślep, trafił do ustronnego domu, przeznaczonego dla trędowatych. Zastał tam dziewięciu nieszczęśliwych, od których stronili ludzie w obawie zarażenia się straszną chorobą. Ale św. Roman nie cofnął się przed widokiem, sprawiającym innym wstręt i obrzydzenie, przeciwnie, rad był niewymownie, że może okazać współczucie i pocieszyć tych biedaków. Nie wzdragał sią też jeść razem z nimi, a po długiej i serdecznej z chorymi rozmowie nie wahał się z nimi do snu ułożyć.

Kiedy wszyscy już usnęli, wstał z posłania, począł odmawiać zwykłe modlitwy i śpiewać hymny, proszą Boga o moc uczynienia cudu dla nieszczęśliwych. Następnie przybliżał się kolejno do każdego z nich, kładąc ręce na ich rany.

Do dnia opuścił przytułek, udając się w dalszą drogę. Jakże niewymowną była radość trędowatych. którzy obudzili się zupełnie zrowymi. Poczęli błogosławić świętego cudotwórcę i wychwalać Boskie miłosierdzie. Św. Roman zwrócił się w stronę Agony, gdzie pragnął pomodlić się u grobu św. Maurycego.

W powrotnej drodze, gdy znów się znalazł w pobliżu Genewy, przyjęty był ze czcią wielką przez zgromadzone na jego spotkanie duchowieństwo, radnych miasta i niezliczone tłumy ludu, cud bowiem stał się głośnym w całej okolicy i wszyscy pragnęli na własne oczy oglądać świętego męża.

On jednak był niezmiernie przerażony tak uroczystem powitaniem i co prędzej powrócił do swego ulubionego Condatu, gdzie zdala od gwaru i świata czuł się zupełnie szczęśliwym.

Klasztorna reguła. Kapłańskie święcenia. Klasztor żeński w Baume.

Sława cnót i doskonałości chrześciańskiej obu braci sprawiała, że coraz więcej uczniów przybywało i nowe trzeba było zakładać klasztory.

W górach wogezkich, w Niemczech, w okolicach Lozanny powstały nowe zgromadzenia. Św. Roman ułożył regułę, według przepisów Obserwancyi Lerynów, oraz poczęści wzorując się na regułach wschodnich klasztorów, zwłaszcza św. Bazylego.

Wszystkie inne klasztory uznawały obu braci za swych generalnych przełożonych, a Condat był zawsze uważany za główne źródło, zkąd spływały zbawienne wskazówki postępowania. To też tam najdłużej zachowała się reguła, opracowana przez pierwszego fundatora i najświętobliwsi zakonnicy wyszli z tej twardej szkoły.

Pokora św. Romana była tak wielką, że odmawiał stale zaszczytu święceń kapłańskich, ale Bóg chciał go mianem sługi ołtarza przyozdobić.

Św. Hilary, biskup z Arles, przejeżdżając przez Besançon, słyszał wielkie pochwały, oddawane świętemu pustelnikowi i chciał go poznać bliżej. Po długiej rozmowie zdołał go namówić do przyjęcia Sakramentu kapłaństwa. Było to w 444 r. i Roman miał już wówczas lat pięćdziesiąt kilka.

Zachowanie się świętego było do końca równie proste, łagodne, pełne miłości i poświęcenia.

SS. Roman i Lupicyn mieli jedną siostrę, która pozostawała przy matce czas długi, a następnie zapragnęła naśladować cnotliwy żywot swych braci. Wybudowano więc klasztor w Baume, niedaleko Laokony, gdzie wkrótce utworzyło się bardzo liczne żeńskie zgromadzenie.

Jeszcze za życia św. Romana sto pięć zakonnic wiodło tam życie odosobnione, tak ściśle zachowując regułę, że nigdy nikt ich poza murami klasztornemi nie oglądał, a chociaż wiele z nich miało braci lub synów w laokońskim opactwie, jednak nie widywano się z sobą, uważając się już jakby za życia pogrzebionymi.

Śmierć św. Romana. Relikwje śś. braci.

Św. Roman miał objawienie o swoim rychłym zgonie, wkrótce potem zapadł ciężko na zdrowiu i boleśne cierpienia chwil ostatnich ziemskiej wędrówki miały przyczynić się do ostatecznego uświęcenia tej wzniosłej duszy.

Czując się już bardzo osłabionym, posłał zawiadomić siostrę swą, Matkę przełożoną z Baume,

aby przybyła pożegnać go na wieki. Następnie zebrali się dokoła łoża umierającego wszyscy zakonnicy, każdego z nich żegnał serdecznie i bratu swemu Lupicynowi zalecał, aby rządził duchowną rodziną z ojcowskiem przywiązaniem.

Tak zakończył życie ten „bohater Chrystusowy“, jak się o nim kronikarz ówczesny wyraża. Zmarł 28 lutego 460 r. Ciało jego złożone w klasztorze de la Baume, o co gorąco prosiła siostra.

Wioska, która powstała około tego klasztoru, nosi nazwę św. Romana de Roche, a z czasem powstał tam piękny kościół, w którym relikwje świętego przechowywano do 1522. Tam również złożonemi zostały szczątki św. Lupicyna, lecz groźny pożar zniszczył te drogie pamiątki, tak że zaledwie część relikwji ocalić zdołano.

Wiele cudów okryło jeszcze chwałą imię wiernych sług Bożych po śmierci, gdyż dużo uzdrowionych i nawróconych tam zostało.

Relikwje św. Romana znajdują się w starożytnym kościele z XVI w., zbudowanym na stromej skale i corocznie odbywają się pielgrzymki do tej ustromej, nad brzegiem przepaści wzniesionej świątyni Pańskiej w St. Romain de Roche.

Wizerunki śś. Romana i Lupicyna.

Przedstawiają najczęściej tych świętych braci zatopionych w modlitwie podczas, gdy szatan osypuje ich gradem kamieni. Św. Romana malują też w stroju opata, trzymającego kościołek na dłoni; często zaś dla przypomnienia jego wielkiej pokory, rysują go pochylonego u stóp pielgrzymów lub chorych myjącego im nogi, lub też w chwili dokonania cudu nad trędowatymi.

Źródła.

Św. Grzegorz z Tours. *Żywot śś. braci Romana i Lupicyna.*

Longueval. *Historja galicyjskiego Kościoła.*

Butteau. *Historja św. Benedykta i zakonów na Zachodzie.*

Historja cudownego obrazu Matki Boskiej w Pajęcznie.

(Z „Historji cudownych obrazów Najśw. Marji Panny w Polsce“ Ks. Alojzego Fridricha T. J.)

Wieś, niegdyś miasteczko królewskie w obwodzie radomskim, oddalone o pięć mil na północ od Częstochowy. W dwunastym wieku wybudował tu Piotr Dunin: pierwszy kościół z kamienia ciosowego. Na jego miejscu stanął w roku 1753 obecny kościół z funduszów ówczesnego proboszcza ks. Franciszka Dziurkiewicza przy pomocy parafian.

We wielkim ołtarzu mieści się starożytny obraz Matki Najśw., od niepamiętnych czasów za cudowny uważany. Ks. Stanisław z Łowicza, mistrz teologji na Jagiellońskiej Akademji, będąc proboszczem Pajęczna między rokiem 1583 a 1563, odnowił ten obraz i jako naoczny świadek wielu łask na tem miejscu doznawanych, spisywał je w osobnej księdze. Czytamy między innemi łaskami, iż w roku 1533, dnia 25 marca chłopiec uduszony w pobliskiej wiosce Gawłowie, powrócił do życia, gdy go rodzice opiece Matki Najśw. w Pajęcznie oddali. Tegoż roku Anna Filipowska wyprosiła rychłe wyzdrowienie dla syna swego, dotkniętego zaraźliwą chorobą. Szlachetny Jan Koniecpolski zeznał wobec świadków, że gdy się w bitwie do niewoli pogańskiej dostał, oddawszy się opiece Matki Najśw. w kościele Pajęcznowskim łaskami słynącej, w cudowny prawie sposób wolność odzyskał.

Opisawszy wiele innych cudów, kończy tenże ks. Stanisław: „W tym roku 1539 po odnowieniu obrazu Najśw. Marji P. prawie każdej niedzieli przy tym obrazie znakomite działy się cuda, za sprawą Matki Najśw. nad wszystkimi chorymi, cierpiącymi, umierającymi, umarłymi, ślepymi, zdesperowanymi, pozbawionymi mowy, którzy ze wszystkich stron napływali: składając swe śluby i ofiary Bogu Wszechmogącemu i Najśw. Marji Pannie, za tak wielkie dobrodziejstwa, ogłaszane z ambony. Bo nie starczyło czasu na spisanie tylu i tak wielkich dobrodziejstw, których wierni Chrystusowi w Pajęcznie doznawali. Podobnych łask doznają wierni aż dotąd przed tym obrazem od Wszechmocnego Boga za wstawiennictwem Najśw. Marji Panny“.

Nie ma jednak w miejscowych aktach wzmianki, czy te licznie doznawane łaski były kiedy przez władzę duchowną zbadane i zatwierdzone. Mimo to lud miejscowy i okoliczny przechowuje po nasze czasy w pamięci to przekonanie, że Matka Najśw. w Pajęcznie nie szczędzi łask swym czcicielom i chętnie tu spieszy, by macierzyńskiemu Jej sercu przedstawić swe gorycze, cierpienia i bóle.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Dnia 2 Marca.

ŚWIĘTA HELENA CESARZOWA

328.

Za rządów papieża Sylwestra I Cesarza wschodniego Konstantyna.

Tej chrześciańskiej cesarzowej, korona Chrystusowa za diadem służy; gwoździe z krzyża są jej berłem — krzyż tronem.

Durand. Charak. Świętych.

Pochodzenie św. Heleny.

Wiele było sporów o to, jakiem jest właściwie pochodzenie św. Heleny, matki pierwszego chrześciańskiego cesarza. Według św. Ambrożego, Helena była skromną służebnicą w Drepanie (Bisynja). Miasto to następnie nazwanem zostało przez Konstantyna Helenopolis. Inni utrzymują. że była córką Koilusa, brytańskiego wodza, poślubił ją Konstancjusz, będąc jeszcze na czele rzymskiej armji.

Nie mamy też pewnych wiadomości kiedy przyjęła ona wiarę chrześciańską, ale całe jej życie dowiodło, że była gorliwą wielce i bogobojną, a syn jej raz na zawsze kres położył prześladowaniom wiary. Ojciec Konstantyna, Konstancjusz Chloras, chociaż był poganinem, dozwalał duchownym chrześciańskim bywać u dworu i pod wpływem Heleny odczuwał zbawienną działalność chrześcianizmu.

Pod tym znakiem zwyciężysz. *In hoc signo vinces.*

W r. 293 Konstancjusz Chloras mianowany został cesarzem przez Maksymiana i z tego powodu musiał rozstać się z Heleną, aby poślubić Teodorę, krewną Maksymiana, pod tym bowiem warunkiem mógł tylko zostać na tron wyniesiony.

Helena musiała rozstać się również z synem, którego wysłano do Nikomedei, gdzie trzymano go jako zakładnika dla pewności, że ojciec zobowiązań wierności rzymskiemu władzcy dochowa.

Po śmierci Konstancjusza, Konstantyn wyćwiczony doskonale w sztuce wojennej, został przez żołnierzy cesarzem obwołany. Wziął on w zarząd Brytanję, Hiszpanję i Galję, skąd wypędził Franków.

W Rzymie tymczasem toczyła się walka, gdyż lud jęczał pod tyrańskim rządem Maksencjusza i Maksymiana, a wszyscy pokładali zaufanie w Konstantynie, który obu współzawodników zwyciężył.

Kiedy armia z Konstantynem na czele była już blizko Rzymu, pewnego wieczoru w promieniach zachodu ukazał się Konstantynowi krzyż olbrzymi, na którym napisano było wyraźnie:

In hoc signo vinces, co znaczy po łacinie: pod tym znakiem zwyciężysz.

Całe wojsko było świadkiem tego cudownego zjawiska.

Następnej nocy Chrystus ukazał Konstantynowi ten sam znak, który poprzednio był widziany, i rozkazał przyozdobić nim sztandary.

Konstantyn zastosował się do tego objawienia i kazał chorągiew wojenną *labarum* i tarcze żołnierzy naznaczyć krzyżem. Wszystkie legjony dostały podobny rozkaz, gdyż Konstantyn nie wątpił już teraz ani na chwilę, że odniesie zwycięztwo, kiedy Bóg chrześciański zamiarom jego sprzyja.

Jakoż w bitwie stoczonej d. 27 paźdz. 318 r. Maksenciusz zwyciężony w falach Tybru śmierć poniósł, a Maksymian został zabity.

Helena dowiedziawszy się o tryumfie ukochanego syna, czuła się niewymownie szczęśliwą i Bogu składała dzięki.

Senat rzymski z zapałem przyjmował bohatera zwycięzcę, który pokonał znienawidzonych cezarów, nadużywających swej władzy.

Wystawiono w Rzymie łuk tryumfalny, a na nim Konstantyn wyryć kazał wiekopomne słowa: „*In hoc signo vinces.* Pod znakiem krzyża uwolniłem miasto wasze z pod jarzma tyranji i przywróciłem senatowi i ludowi rzymskiemu jego dawną chwałę".

Cnoty św. Heleny.

W całym obszarze państwa rzymskiego święcono tryumf Konstantyna i uroczystościom radośnym nie było końca. Nowy władca żywił wielką cześć dla matki i synowskie swe przywiązanie chcąc publicznie okazać, kazał obwołać ją cesarzową *Augustą*, czyli dostojną, oraz wykonać medale pamiątkowe z tego powodu, na których były wyryte jej imiona: *Flawja—Julja—Helena.*

Ale cnotliwa matka wielkiego monarchy nie chciała korzystać z przepychu i należnych jej odtąd przywilejów; najmilszemi dla niej były czyny miłosierne, którym oddawała się z zapałem. Żywienie ubogich, rozdawanie jałmużny, budowanie przytułków było jej udziałem. Miała ogromną litość dla więźniów i wygnańców i starała się osładzać ich dolę.

Rufin opisuje, że cnoty jej były niezrównane, a św. Grzegorz zapewnia, iż skromność jej wprawiała w zachwyt Rzymian, przywykłych widzieć na cesarskim dworze tylko zbytek i szaleństwa, zamiast

dobroci i współczucia dla nędzarzy. Wzruszał ich widok cesarzowej, ukazującej się publicznie w strojach prostych, pozbawionych wszelkich ozdób kosztownych i błyskotliwych, a szlachetna postać Heleny pociągała niewysłowionym czarem szlachetności, dobroci i prostoty. Zrozumiano, że tylko chrześciańska cnota jest w stanie tyle uczuć wzniosłych zaszczepić w duszy.

Wyzwolenie się Kościoła św. i uprawnienie wiary chrześciańskiej.

Za rządów papieża Sylwestra I odbył się ważny wielce w dziejach Kościoła sobór Nicejski, a św. Helena i Konstantyn podpisali doniosły dekret, podnoszący chrześciaństwo do stopnia religji panującej. Było to prawdziwe wyzwolenie Kościoła św., gdyż najwyraźniej postanowionem zostało, że Stolica Apostolska nie podlega odtąd władzy ani cesarzów, ani duchowieństwa, ani ludu, ale jest wyższą po nad wszystkie trony i ludzkie prawa.

Wielkim i zbawiennym był wpływ bogobojnej cesarzowej na rządy państwem, Konstantyn bowiem stosował się do rad matki i chociaż niektóre jego czyny noszą cechy pogańskiej iście surowości, stawał jednak gorąco w obronie chrześciaństwa i panowanie jego stanowi punkt zwrotowy w historji państwa rzymskiego. On to następnie przeniósł stolicę z Rzymu do Bizancjum, zwanem odtąd Konstantynopolem i zaprowadził nowe reformy w całem państwie.

Pielgrzymka św. Heleny do Jerozolimy. Odnalezienie Krzyża św.

Od kiedy Helena poznała światło wiary, miłość jej dla Jezusa Ukrzyżowanego wzmagała się z dniem każdym, a myśl dążyła wciąż ku tej ziemi, gdzie żył Zbawiciel świata.

Około roku 326 przedsięwzięła pielgrzymkę do Ziemi Świętej, aby zwiedzić każdy zakątek, stopą Boskiego Mistrza uświęcony.

Podróż jej była szeregiem owacyjnych manifestacji ludu. Wszędzie okrzykami witano cesarzowę, której sława w najdalsze dosięgła strony. Helena przyjmowała z godnością zgotowane jej tryumfalne powitania, życzliwie rozmawiała z poddanymi, wnikając w ich potrzeby i hojnie obdarzała tych, którzy potrzebowali pomocy.

Po przybyciu do Jerozolimy, pośpieszyła niezwłocznie na Kalwarję, gdzie się przed laty święta spełniła ofiara.

W jakże opłakanym stanie znajdowały się niestety te miejsca najdroższych chrześciańskiemu sercu pamiątek!

Na górze Kalwarji stała pogańska świątynia bogini Wenery. Życzeniem Heleny i Konstantyna było, aby tam stanął kościół wspaniały. Przystąpiono więc niezwłocznie do zburzenia świątyni i zniszczenia posągu bogini.

Marzeniem życia bogobojnej cesarzowej było odszukanie śladów krzyża św., na którym Zbawiciei był umęczony.

Miała podobno objawienia, że danem jej będzie dokazać tego dzieła, to też rozpoczęły się poszukiwania pod gruzami pogańskiej świątyni, uwieńczone szczęśliwym wynikiem.

Z niewymownem wzruszeniem przyglądała się sędziwa cesarzowa rozkopywaniu ziemi, kryjącej w swym łonie te najświętsze relikwje.

Wydobyto krzyż jeden, następnie drugi i trzeci, a nieopodal znaleziono tabliczkę, na której Piłat napisać kazał po grecku, hebrajsku i po łacinie: Jezus Nazareński Król Żydowski.

Chwila to była uroczysta, kiedy podnoszono te narzędzia męki, które Opatrzność w cudowny sposób zachowała przez trzy wieki, nie dopuszczając, aby spalone lub sponiewierane zostały przez pogan i żydów. W tem że miejscu znaleziono również gwoździe, któremi przybite było do krzyża Ciało Zbawiciela.

Prawdziwy Krzyż Syna Bożego.

Św. Makary, będący naówczas patryarchą Jerozolimy, towarzyszył św. Helenie w jej chwalebnych poszukiwaniach i radował się z całej duszy, kiedy tak szczęśliwe zrobiono odkrycie.

Zbudziły się jednak wątpliwości, który właściwie jest krzyż Chrystusowy, wszystkie trzy bowiem były sobie podobne, a tabliczka oderwana nie mogła dopomódz w wyjaśnieniu tego trudnego pytania, była tylko niezbitym dowodem, że znalezione krzyże są te same właśnie, a nie pochodzą z późniejszych czasów.

Św. Makary nakazał wiernym publiczne modły dla uproszenia cudownego objawienia się prawdy.

Bóg wysłuchał pobożnych próśb i dał świętemu patryarsze dobre natchnienie.

Była w Jerozolimie pewna zacna niewiasta złożona ciężką niemocą, wszyscy zwątpili oddawna w możność jej wyleczenia. Św. Makary rozkazał po trzydniowym poście i modlitwach wiernych zanieść do mieszkania chorej trzy znalezione krzyże. Cesarzowa towarzyszyła temu pochodowi, a za nią tłum cały wyczekujący z niepokojem co się stanie.

Kiedy chora dotknęła, pierwszego krzyża nie uczuła żadnej zmiany. Podano drugi, również bez skutecznie. Wreszcie kiedy trzeci krzyż wnoszono do izby chorej, dokoła szeptano:

— Cóż będzie jeśli i ten krzyż nie sprawi cudu? W jaki sposób można będzie odróżnić Krzyż Zbawiciela?...

Ale zaledwie krzyż do chorej zbliżono, poczęła wołać wielkim głosem:

— Jestem uzdrowioną! Jestem uzdrowioną!...

Na te słowa podniósł się gwar niesłychany, tłoczono się, aby zobaczyć uzdrowioną cudownie niewiastę, śpiewano głośno hymny dziękczynne za tak wielką łaskę.

Św. Helena podzielała ogólną radość i wnet przywołała złotników rozkazując wykonać wspaniały relikwiarz wysadzany drogiemi kamieniami. Jednocześnie wysłała do syna gońców wiozących mu gwoździe krwią Jezusa uświęcone.

— Noś je przy sobie — pisała troskliwa matka — tak uzbrojony będziesz mógł wszystkim swym wrogom stawić czoło bez trwogi, gdyż Bóg miłosierny, który zwalczył księcia tego świata (szatana) rozproszy również zastępy tych, którzyby jeszcze w obronie jego stawać chcieli.

W tym samym dniu kiedy tak cudownie prawdziwy krzyż Chrystusowy został wyróżniony, św. Makary spotkał pogrzeb, zatrzymał pochód żałobny i za pomocą Krzyża św. wskrzesił umarłego.

Podział relikwji. — Zniesienie kary krzyżowej św. Jan Złotousty o Krzyżu.

Święta Helena dziękowała z całej duszy Bogu Najwyższemu za okazane łaski i kazała rozpocząć budowę kościoła na miejscu, w którem krzyż został odnaleziony. Pozostawiła znaczną część Krzyża św. w Jerozolimie, część ofiarowała do bazyliki w Konstantynopolu a resztę odwiozła do Rzymu do kościoła ufundowanego pod wezwaniem Św. Krzyża.

Cesarz Konstantyn chcąc okazać cześć swą dla narzędzia męki Zbawcy świata wydał rozkaz zabraniający krzyżowanie złoczyńców, jak to było jeszcze we zwyczaju.

Tak więc krzyż, będący przedtem u Rzymian prostem przypomnieniem zbrodniczych czynów i poniesionej kary, stał się wyłącznie symbolem najwznioślejszej ofiary Syna Bożego, czczonym przez świat cały.

Znalezienie krzyża świętego przez św. Helenę.

Jakże wymowne są słowa Jana Złotoustego, który w jednym ze swych płomiennych kazań tak mówi o krzyżu:

— Krzyż jest nadzieją chrześcian, zmartwychwstaniem umarłych, podporą ślepych, pocieszeniem ubogich, hamulcem bogaczów, wyrzutem pysznych, udręczeniem winowajców, bronią przeciw piekielnej mocy, nauką, sterem, portem, oporą, murem ochronnym. Jest matką dla sieroty, obroną dla wdowy, radą sprawiedliwych, ukojeniem dla zgnębionych, opieką dla maluczkich, światłem dla tych, którzy w ciemności pogrążeni, wspaniałością monarchów, ratunkiem nieszczęśliwych, mądrością pokornych i cichych, wyzwoleniem dla niewolników. Krzyż to przepowiednie proroków, nauki apostołów, chwała

męczenników, wstrzemięźliwość zakonników, czystość dziewic, radość kapłanów. To fundament Kościoła, zburzenie pogańskich bałwanów, rozpacz i oburzenie dla Żydów, postrach bezbożników, siła słabych, balsam chorych, chleb głodnych, źródło spragnionych, ucieczka wydziedziczonych".

Pierwsi chrześcianie każdą czynność zaczynali znakiem krzyża. Wchodząc, wychodząc, zapalając światło, rozpoczynając i kończąc posiłek, żegnali się przypominając nieustannie świętą Ofiarę Jezusa na ziemi. Piękny to był i wzniosły obyczaj, który niestety z czasem został zaniechany.

Śmierć świętej Heleny.

Znalezienie Świętego Krzyża nastąpiło według św. Euzebjusza w 328 r. według innych pisarzy w 326 r. Wszystkich cudów sprawionych za przyczyną tej Najśw. relikwji trudno jest przytoczyć, ponieważ ilość ich olbrzymia i cały świat chrześciański z wieczną wdzięcznością imię św. Heleny wspomina, ponieważ z jej natchnienia skarb ów został odnaleziony.

Wkrótce po powrocie świętej cesarzowej do Rzymu sędziwa matka Konstantyna, czuła, że gaśnie już w niej życie. Ze spokojem oczekiwała zgonu, czując, że spełniła swe święte posłannictwo na ziemi. Przywiązany syn czuwał przy niej do ostatniej chwili. Dawała mu jeszcze światłe rady, zalecała chrześciańskie cnoty, a Konstantyn trzymając rękę matki w swej dłoni zalewał się gorzkiemi łzami na myśl, że ją wkrótce utraci.

Święta Helena miała jeszcze tę wielką pociechę, że widziała syna przyjmującego Chrzest św. co uczynił w dojrzałym już będąc wieku.

Śmierć świętej była cichą i pogodną, jak jej życie. Syn uczcił pamięć matki pogrzebem wspaniałym. Szczątki jej spoczęły w grobowcu z porfiru.

Relikwie i wizerunki św. Heleny.

W r. 849 część relikwji św. Heleny przywieziono do Francji do opactwa Hautvillier, gdzie wielu cudownych uzdrowień stały się przyczyną, a zakonnik Alman opisuje, że niektórych z nich naocznym był świadkiem.

Reszta relikwji w urnie porfirowej znajdowała się w 1627 r. w kościele św. Jana z Lateranu, następnie kapituła ofiarowała je papieżowi Piusowi VI, który umieścił urnę drogocenną w Watykanie. Obecnie znajduje się ona w kościele *Ave Coeli* a także posiadają relikwije św. Heleny kościoły w Reims i w Paryżu.

W procesie kanonizacyjnym przedstawiono wiele stwierdzonych faktów cudownych uzdrowień, a zwłaszcza na opętanych nadzwyczaj zbawiennie wpływały modlitwy wiernych do św. Heleny. Wielce rozpowszechnionym jest w niektórych krajach zwyczaj udawania się o orędownictwo tej świętej w razie jakiejś zguby, na pamiątkę łaski znalezienia Krzyża św. za jej przyczyną.

Przedstawiają zwykle św. Helenę z krzyżem w ręku, lub klęczącą pokornie u stóp krzyża.

Dnia 3 Marca.

ŚWIĘTY PAFNUCY I ŚWIĘTA TAIS, POKUTNICA.

w. IV.

Prostota serc ludzkich ma wielką wartość w obliczu Wszechmocnego Boga.

Św. Grzegorz Wielki.

Na drodze doskonałości.

W czwartym wieku w klasztorze Niższej Tebaidy przebywał pewien mnich, wielce bogobojny, imieniem Pafnucy. Cnoty jego pociągnęły ku niemu kilku pustelników, którzy zapragnęli mieć go swym kierownikiem i doradcą w sprawach duchowego doskonalenia się, za życia bowiem zasłynął już Pafnucy jako święty.

Raz rozmyślał on nad tem, czego mu jeszcze braknie do zupełnej doskonałości? Istotnie, czynił wszystko, co było w jego mocy, aby przypodobać się Bogu i naśladować surowy sposób życia najżarliwszych wyznawców Chrystusowych. Być może jednak, że w tem pytaniu: „Cóż jeszcze mógłbym uczynić?“ była odrobina pychy, zasługująca na nauczkę. Jakiś głos anielski rzekł mu na to:

— Mógłbyś porównać siebie z tym wędrownym grajkiem, który chodzi o żebranym chlebie w sąsiedniej mieścinie.

Pafnucy niezmiernie był zdziwiony i zaciekawiony, śpieszno mu było zapoznać się bliżej z tym muzykantem, którego mu za przykład stawiano.

Upokorzył się wnet przed Stwórcą, obwiniając się, że zgrzeszył bardzo, sądząc się już blizkim zupełnej doskonałości.

Jakież było zdumienie Pafnucego, kiedy odszukawszy grajka, dowiedział się od niego, że był on niegdyś wielkim grzesznikiem, dopuszczał się kradzieży i należał nawet przez pewien czas do zbójeckiej bandy.

Pafnucy zamyślił się głęboko, nie mogąc w żaden sposób dociec, co by to wszystko znaczyć miało?

— Być może, spełniłeś mimo to jakiś dobry uczynek? wypytywał Pafnucy.

— Dwa razy jakoś mi się to przytrafiło, odrzekł grajek, a było tak: Podczas jednej z naszych wypraw, w celach grabieży, wpadło nam w ręce młode dziewczę piękne i niewinne. Towarzysze moi patrzyli na nią pożądliwem okiem, ja zaś uczułem w sercu wielką dla niej litość, wyrwałem ją z rąk ich przemocą i odprowadziłem pośród ciemności nocy aż do poblizkiej wioski, gdzie mogła znaleźć bezpieczne schronienie. Innym znów razem spotkałem w odludnem miejscu jakąś kobietę zrozpaczoną, wycieńczoną z głodu i znużenia. Opowiedziała mi, że wróg, chcąc zrujnować jej męża, podał na niego skargę do sądu i że mąż ów wraz z dziećmi został wtrącony do więzienia, a ją też to samo czeka, jeśli dług zaciągnięty nie zostanie niezwłocznie zapłacony. Zawiodłem zrozpaczoną kobiebietę do mej kryjówki, nakarmiłem ją, gdyż od czterech dni nic w ustach nie miała i wreszcie oddałem jej sakwę ze złotem, zawierającą potrzebną jej sumę.

— Istotnie, rzekł Pankracy wzruszony, żadnego takiego miłosiernego uczynku nie spełniłem w życiu, a jednak znają mnie i poważają w całej okolicy, ponieważ pragnę usilnie iść drogą, wiodącą do zbawienia i naśladować cnoty świętych pustelników. Aliści anioł Boży objawił mi, że twoje dobre uczynki nie mniej miłemi są Bogu, jak moje umartwienia. Ponieważ wiesz teraz o tem, byłoby nie darowanem, gdybyś nie starał się zapewnić sobie dusznego zbawienia przez zupełne wyrzeczenie się grzechów i szczerą skruchę.

Grajek usłuchał Pankracego i pod wpływem prawdziwej łaski, wyrzekł się lekkomyślnego i grzesznego życia, udał się do klasztoru wraz z Pafnucym i najzupełniej innym stał się odtąd człowiekiem. Trzy lata przebył pod dobroczynnym wpływem zakonników, najprzykładniej się zachowując, praktykując najściślejsze umartwienia, żałując za grzechy, jednem słowem, widocznie poprawa jego była zupełna i skrucha szczera, gdyż w chwili jego zgonu słyszano wyraźnie u łoża zmarłego jakieś cudne anielskie pienia, snać duszę jego, z win wszelkich oczyszczoną, zanieśli aniołowie do nieba.

Przykładne życie ku wzajemnemu zbudowaniu.

Śmierć skruszonego grzesznika uczyniła na Pafnucym silne wrażenie; tem więcej jeszcze pragnął naśladować wszystko to, co za doskonałe uważał i prosił Boga o wskazanie mu budującego przykładu.

— Najzacniejszy mieszkaniec tej a tej wioski, rzekł mu głos tajemniczy.

Udał się natychmiast Pafnucy na poszukiwania i nie długo potem spotkał człowieka, którego szukał, gdyż ten wyszedł ku niemu, uprzejmie zapraszając do siebie. Znano go z niezrównanej gościnności i dobroci. Według wschodniego obyczaju, umył nogi gościowi i podał mu smaczne jadło, a następnie jął wypytywać go Pafnucy, w jaki sposób postępuje, aby stać się miłym Bogu?

Ale Egipcjanin skromnie ukrywając swe cnoty, mówił natomiast szeroko o swych przewinieniach. Wówczas zakonnik uważał sobie za obowiązek opowiedzieć mu o Boskiem objawieniu i jako tu przybył właśnie w celu zapoznania się i ku wzajemnemu zbudowaniu.

— Nie pojmuję doprawdy, czem sobie potrafiłem zaskarbić łaskę Bożą, odrzekł Egipcjanin z wielką prostotą, ale jeśli ci tak chodzi o szczere z mej strony wyznanie, to opowiem wszystko, co uważam za pożyteczne dla dusznego mego zbawienia: Nigdy nikomu nie odmówiłem gościny, a jeśli obcy przybywa, wychodzę sam na jego spotkanie. Gdy gość mój się oddala, staram się go zaopatrzyć na drogę. Nie zdarzyło mi się okazać pogardę biednemu i staram się zawsze, w miarę możności, każdego wspomagać.

Jeśli chodzi o sprawiedliwe osądzenie sprawy nawet rodzonego syna bym nie oszczędził — gdyż nadewszystko prawdę miłuję. Jeżeli się dowiem, że ktoś jest w potrzebie z pomocą mu spieszę. Zawsze usiłuję godzić zwaśnionych; od lat trzydziestu żyję z żoną jak brat z siostrą; staram się nikogo nie skrzywdzić i nie zrobić przykrości i to samo dzieciom moim zalecam. Oto są zasady, któremi rządzę się w życiu i rad jestem niewymownie, że moje postępowanie Bogu miłosiernemu się podoba.

Pafnucy rzucił się w objęcia swego gospodarza i rzekł:

— Nie dziw, że miłym jesteś Bogu, ponieważ ściśle zachowujesz Jego przykazania i kochasz bliźniego, jak siebie samego. Ale dla ostatecznego uświęcenia swej duszy w ziemskiej pielgrzymce powinieneś teraz tych kilka ostatnich lat życia spędzić w zupełnem oderwaniu się od świata, poświęciwszy się Bogu dla pozyskania sobie wiecznej szczęśliwości.

Słowa te trafiły do przekonania bogobojnego starca, poszedł z Pafnucym na pustynię i zamieszkał w tej samej celi, którą dawniej zajmował grajek nawrócony. I ten pustelnik również przyniósł prawdziwy zaszczyt swemu mistrzowi, gdyż Pafnucy udzielał mu wskazówek, modlili się i rozmyślali wspólnie, a po śmierci tego sprawiedliwego Bóg raczył objawić wiernemu słudze Pafnucemu, że dusza ta wielką w niebie cieszy się chwałą.

Dobroczynny kupiec.

Pafnucy doszedł teraz do przekonania, że nie tylko zamieszkując w odludnej pustyni, unikając dobrowolnie wszelakich pokus można być cnotliwym, ale wśród gwaru świata nie mniej świątobliwym żywotem można zasłużyć sobie nagrodę wieczną. Zaczęło go zajmować mocno to szlachetne współzawodnictwo i prosił Boga o wskazanie mu kogoś, z którym mógłby po drodze do doskonałości iść w zawody.

I znowu głos z nieba podszepnął mu, że powinien zwrócić uwagę na kupca, który w tej chwili właśnie jest w drodze do pustelni i wkrótce do niego zawita. Zaciekawiony Pafnucy zeszedł z góry na spotkanie niezwykłego gościa. Był to kupiec powracający z dalekiej podróży i wiozący dużo towarów z których większą część rozdawał ubogim, a teraz właśnie zapas jarzyn wiózł do ustronnej pustelni O. Pafnucego na pożytek Braci.

— O duszo zacna, którą Bóg umiłował — zawołał, witając go Pafnucy — chwalebne zaiste są twe czyny, ale do innych jeszcze powołuje cię nasz Zbawiciel. Czas już wielki, abyś zaprzestawszy iść w ślady Marty poszedł za przykładem Marji, która lepszą sobie cząstkę obrała. Niech serce twe odtąd niepodzielnie do Pana naszego należy i o dobro ziemskie się nie troszczy.

Pobożny kupiec zrozumiał, że przez usta wiernego sługi Sam Bóg do niego mówi. Rozdał całe mienie a sam pozostał do końca życia w pustelni pod kierunkiem O. Pafnucego. Tak więc święty pokutnik został obrany przez Opatrzność za narzędzie łaski dla wpływania na dusze ludzkie ku ściślejszemu połączeniu ich z Bogiem.

Tais jawnogrzesznica.

Wielką sławą okryło się imię świątobliwego pustelnika z powodu nawrócenia przez niego znanej jawnogrzesznicy. Tais słynęła w Egipcie zarówno z niezwykłej piękności, jak wielce rozpustnego życia. Matka jej również była wielce płocha za młodu, a następnie chęcią zysków wiedziona sama swą córkę na złą popchnęła drogę. Opowiadano szeroko o szalonych ucztach wyprawianych przez wielbicieli powabnej Tais, wyliczano jej klejnoty, bogactwa, przepyszne stroje; w wonnych olejkach kąpała swe grzeszne ciało, a uroda jej nie miała sobie równej w całej Tebaidzie. Snać wielce głośnem stało się jej imię, kiedy dosięgło nawet do cichej pustelni, gdzie gromadka wybranych życie swe poświęciła wysławianiu chwały Bożej, a gorliwy kierownik tej duchownej rodziny czuwał nieustannie nad nimi, nieprzestając zarazem coraz nowe dusze pozyskiwać, by w cnoty chrześciańskie je przyozdobić.

Ogarnęło go pragnienie nawrócenia zbłąkanej chodziło tylko o to, jak śmiałe przedsiewzięcie w czyn wprowadzić?

Pafnucy modlił się gorąco o dobre natchnienie i wreszcie uczynił krok niezwykły, świadczący wymownie jak dalece w miłosierdziu Bożem pokładał zaufanie i nie oglądając się na ludzkie sądy gotów był iść nawet w wilcze stado dla wyrwania owieczki i powrócenia jej do owczarni Jezusowej.

Niczem też jest dziki zwierz w porównaniu ze złym i zepsutym człowiekiem. Nie jeden bogobojny wzruszywszy pogardliwie ramionami odwróciłby się ze wstrętem od jawnogrzesznicy. Pafnucy jednak miał dobre przeczucie, że nie do gruntu jeszcze zepsute jest to młode serce i zamierzył obudzić w niem skruchę. Wiedział, że Tais jest chrześcianką, wierzącą w Boga, w przyszłe życie, w czekającą nas tam nagrodę i karę. Ale wśród odmętu zabaw

— Więc nie zapomiałaś o tem--szepnął O. Pafnucy uradowany, a jednak dodał z wyrzutem — w Jego obecności dopuszczasz się czynów karygognych, obrażasz Boga Wszechmogącego, któremu nic nie jest tajnem, On wszystko wie, wszystko widzi i sądzić cię będzie wedle postępków twoich. Cóż uczynisz nieszczęsna, kiedy na sądzie ostatecznym cię zapyta dlaczegoś duszę własną zgubiła i tyle innych w otchłań grzechu i potępienia wtrąciła?

Św. Pafnucy objawia pokutującej Tais, w imieniu św. Antoniego, że Bóg przebaczył jej winy.

i rozkoszy nie miała czasu zastanowić się nad sobą, nie nauczono ją szatańskim opierać się pokusom, więc brnęła w grzechu, pociągając innych do złego.

Pewnego dnia do wspaniałego jej mieszkania przybył gość nieznany, ubrany w strój wytworny mający wygląd zamożnego człowieka.

Któżby mógł domyślić się, że to był sam święty Pafnucy, który nie zawahał się użyć tego środka dla przeprowadzenia swego planu nawrócenia grzesznicy. Tais przyjęła go bardzo uprzejmie sądząc, że pozyska w nim nowego wielbiciela, który hojnemi zasypie ją darami. Pafnucy prosił na wstępie, żeby go Tais zawiodła do ustronnej komnaty, gdzie by nietylko ludzkie lecz Boże oko nie dosięgło.

— Żądasz rzeczy niemożebnej — zawołała piękna Tais — wiesz chyba o tem, że Bóg jest wszędzie i na każdem miejscu.

Głos Pafnucego brzmiał smutkiem niezmiernym; Tais patrzyła na na niego wzrokiem zdumionym i lęk wielki ogarnął jej serce. Nikt jeszcze nie mówił do niej w ten sposób, była tak wzruszoną, że nie mogła przemówić słowa. Te oczy natchnione pustelnika, płonące czystym ogniem miłości Bożej, ten głos łagodny a pełen niezwykłej siły, uczyniły na niej piorunujące wrażenie. Poznała teraz, że był to ów święty, o którego nadzwyczajnych cnotach słyszała od lat dziecięcych, rzuciła mu się do nóg zapłakana i drżąca i zawołała:

— Wyznacz mi ojcze czcigodny jaką chcesz pokutę, pokładam ufność w miłosierdziu Bożem, że za twoją przyczyną ulituje się nademną, módl się za mnie! Proszę cię tylko o trzy godziny czasu, poczem uczynię wszystko co każesz.

Tais pokutnica.

Skrucha serdeczna Tais objawiła się niezwłocznie w czynie. Wydała rozkaz zgromadzenia wszystkich swych kosztownych sprzętów i szat wspaniałych i na placu publicznym ułożyć je w stos jeden, powłasnoręcznie roznieciła ogień mający pochłonąć wszystkie źle nabyte bogactwa.

Z podziwem patrzano na nowy kaprys znanej z dziwacznych wybryków Tais, ale ona ze wzrokiem w niebo utkwionym z niewidzianym nigdy u niej przedtem wyrazem twarzy, poczęła błagać o przebaczenie za wszystkie popełnione winy i nawoływać, aby ci którzy naśladowali jej szaleństwa i zdrożności poszli teraz również w jej ślady starając się życiem pokutnem okupić swe grzechy.

Uczyniwszy tę pierwszą ofiarę, udała się wraz ze św. Pafnucym do żeńskiego klasztoru. Tam wyznaczono jej celkę zupełnie odosobnioną, której drzwi zostały szczelnie zamknięte i zalane ołowiem, aby tam nikt nie mógł przedostać się do wnętrza. Pokuta to była sroga, jednak Tais poddała się jej bez szemrania wierząc święcie, że O. Pafnucy jedynie jej dobro ma na celu.

Przez małe okienko polecił święty pustelnik podawać codziennie młodej pokutnicy chleb i wodę.

Tais znalazła się jakby za życia zamknięta w zimnym grobie, sama jednak błagała świętego o jak najsroższą pokutę, o oderwanie jej od występku i od pokus świata.

W więzieniu swem opłakiwać miała swe grzechy, modląc się nieustannie dla uratowania duszy od wiecznego potępienia.

W chwili gdy św. Pafnucy miał oddalić się Tais zapytała go lękliwie:

— W jaki sposób mam się modlić, mój ojcze?

— Nie jesteś godną wymawiać imienia Boga Przedwiecznego — rzekł święty — ani ku niebu wyciągać grzesznych rąk twoich. Możesz tylko zwróciwszy się w stronę Wschodu powtarzać często te słowa:

— Ty, któryś mnie stworzył miej litość nademną!

Odszedł mąż Boży a Tais poddawszy się kornie jego woli postanowiła wytrwać mężnie tę ciężką próbę.

Widzenie się św. Pafnucego ze św. Antonim, patryarchą pustelników.

Trzy lata upłynęło od tej chwili, trzy lata zupełnej samotności i ciszy. Zakonnice podawały pokutującej skromne pożywienie, zawsze tylko chleb i wodę, ona zaś rozpamiętywała swe grzechy i wstrętem przejmowała ją myśl powrotu do dawnego życia. Uboga, ponura cela była jej dziś stokroć milsza, niż wspaniałe pałace, czuła bowiem coraz bardziej znikomość wszystkich ziemskich rozkoszy, a myśl jej rwała się ku niebu. Słowa O. Pafnucego brzmiały jej wciąż w duszy, rada byłaby odpokutować winy własne i wszystkich wciągniętych przez siebie do zguby.

Święty pustelnik ze współczuciem myślał o bohaterskiej pokutnicy, ale dręczyła go obawa, że być może nie jest ona jeszcze godną łaski przebaczenia, więc udał się do św. Antoniego na puszczę, aby się dowiedzieć od niego, jak postąpić należy.

Św. Antoni był w wielkiem u wszystkich poważaniu i uważano go powszechnie za patryarchę zakonnych zgromadzeń w Egipcie. Pafnucy nie wyznał mu jednak w jakiej sprawie przybywa, gdyż był pewnym, że Bóg łaskawie słudze swemu sam to obwieści.

Św. patryarcha nie pytał o nic przybyłego, ale Braciom wszystkim nakazał noc całą spędzić na modlitwie; każdy miał znajdować się osobno, poczem opowiedzieć mieli, co im Boskie przyniesie natchnienie.

Pomiędzy uczniami św. Antoniego był jeden, imieniem Paweł, odznaczający się wytrwałością, posłuszeństwem i bogobojnością wielką. Temu właśnie Bóg ukazał tejże nocy wspaniałe widzenie. Ujrzał on otwarte niebo, a w niem łoże, strzeżone przez trzy anielskie postacie. Paweł, *prostym* zwany, rozmyślał nad tem, dla kogo może być przeznaczony ten tron wiekuistego odpocznienia? Głos Boży dał mu do poznania, że jest ono przeznaczone dla Tais, pokutnicy.

Nazajutrz Paweł opowiedział św. Antoniemu swą cudną wizję, a patryarcha powtórzył to Pafnucemu. Pojął on, że widzenie oznacza koniec pokuty skruszonej grzesznicy. Zaraz więc pośpieszył do klasztoru, aby jej otworzyć drzwi dobrowolnego więzienia.

Na obrazku naszym przedstawioną jest właśnie ta chwila, kiedy św. Pafnucy drzwi szczupłej celi otwiera, ażeby objawić Taisie, że ma odtąd prawo przebywać wspólnie z innemi Siostrami.

— Ojcze mój, odrzekła Tais, nie tęsknię wcale do nowego życia, przeciwnie, pragnęłabym tu zakończyć życie moje.

— Bóg ci odpuszcza grzechy, rzekł Pafnucy, możesz więc wyjść i połączyć się z Siostrami.

Tais opowiedziała swemu duchownemu kierownikowi, że przez cały ten czas opłakiwała swe grzechy, ufając w Boskie miłosierdzie i błagając Go o przebaczenie.

— Ten żal twój głęboki i szczera skrucha, rzekł Pafnucy, milszemi jeszcze są Bogu, niż umartwienia i pokuta.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Śmierć św. Tais i św. Pafnucego.

Św. Tais niedługo po tem, gdyż we dwa tygodnie niespełna oddała ducha Bogu. Według kronikarzy, było to około 350 r.

Jak długo żył św. Pafnucy historja milczy o tem, ale Rufin zapewnia, że do ostatniej chwili nie szczędził sobie umartwień cielesnych i budującym przykładem zachęcał do cnoty.

Przed zgonem swym ujrzał anioła, przysłanego z nieba, dla zabrania jego uświęconej duszy, a prorocy i apostołowie oczekiwali na jej przybycie.

Nazajutrz po tem widzeniu zmarł św. Pafnucy, opłakiwany przez uczniów swych i wszystkich podziwiających świątobliwy żywot Bożego sługi.

Wizerunki św. Pafnucego.

Często przedstawiają św. Pafnucego w chwili, gdy anioł ukazuje mu wędrownego grajka; Tais zaś z napisem: *Ty, Któryś mnie stworzył, miej litość nademną*, dla przypomnienia owych słów, które przez lat trzy ustawicznie powtarzała. U stóp jej malują zwierciadło i wiele kosztowności dla przypomnienia, że grzeszną swą przeszłość okupiła wyrzeczeniem się bogactw ziemskich i głęboką skruchą.

Źródła.

O. Michał Anioł Marin. *Zywoty Ojców pustyni na Wschodzie.*

Historja cudownego obrazu Najśw. Maryi Panny w Czerwińsku.

(Z „Historji cudownych obrazów Najśw. Marji Panny w Polsce" Ks. Alojzego Fridricha T. J.)

Jedno z najstarszych miast dawnej Polski, położone nad Wisłą, dziś osada oddalona od Warszawy o 55 wiorst na północny zachód. Jeden z pierwszych biskupów płockich sprowadził tu już w roku 1060 Augustjanów, zwanych kanonikami laterańskimi, zbudowawszy dla nich drewniany kościołek i klasztor. Na tem samem miejscu wystawił im w roku 1167 Piotr Dunin ze Skrzywna okazały kościół z ciosu i opactwo, które bogato uposarzył. Zakonnicy ci spełniali w Czerwińsku przez siedem wieków obowiązki duszpasterskie, aż ich rozegnał roku 1819 dekret rządu polskiego; kościół oddano kapłanom świeckim, gmachy opactwa pannom Norbertankom z Płocka, które tu otworzyły zakład wychowawczy dla panienek. Wreszcie i te przeniesione zostały w roku 1902 do Imbramowic.

We wielkim ołtarzu tej świątyni mieści się cudami wsławiony obraz Najśw. Panny, malowany w szesnastym wieku przez polskiego malarza Łukasza z Łowicza. Przedstawia Najśw. Bogarodzicę w postaci stojącej z P. Jezusem na ręku ozdobiony srebrnemi koronami, srebrną suknią i licznemi wotami.

Królowie polscy szczególniejszą czcią otaczali ten obraz. Król Zygmunt III, udając się do Szwecji Wisłą roku 1593, modlił się tutaj. Jan Kazimierz kilkakrotnie nawiedzał to miejsce, oddając siebie i zagrożone królestwo opiece Najśw. Bogarodzicy, po koronacji swojej dziękczynne wota tu składał; a po stłumieniu buntu Kozaków, zdobyte na nich chorągwie tu złożył w hołdzie dla Królowej Polski dnia 17 czerwca 1649 roku.

Za przykładem królów garnął się do Czerwińska i lud wierny w osobistych i publicznych potrzebach, doznając tu łask nadzwyczajnych i cudów. Dla ich sprawdzenia wysłała władza duchowna komisję, złożoną z ks. biskupa Wojciecha Tolibowskiego, sufragana płockiego, ks. Mateusza Jagodowicza, kanonika pułtuskiego i warszawskiego, tudzież ks. Ryszczewskiego. Komisarze przybywszy do Czerwińska 1 lutego roku 1648 i przesłuchawszy

Cudami wsławiony obraz Najśw. Marji Panny w Czerwińsku.

wiarogodnych świadków, którzy albo sami na tem miejscu od Matki Najśw. oczywistych cudów doznali, albo byli ich naocznymi świadkami, wydali dekret orzekający o cudowności obrazu, który ówczesny biskup płocki książe Karol Ferdynand, powagą swą

zatwierdził, polecając obraz ten publicznie „cudownym“ nazywać.

Odtąd wzmogła się jeszcze cześć Najśw. Matki w Czerwińsku. W dnie odpustowe, których jedenaście bywa w roku, zbierają się dotąd liczne rzesze pobożnych. Oprócz innych ofiar i darów z wdzięczności za otrzymane łaski złożonych, przechowało się dotąd sto kilkadziesiąt wotów od miast: Zakroczymia (1676), Wyszogradu (1650—1664), Błonia; od króla Władysława IV, biskupa Załuskiego (1672), Macieja Łubieńskiego i wielu innych świeckich i duchownych dostojników. Srebrna tablica, ofiarowana przez ks. Macieja Łubieńskiego, przedstawia tego Arcybiskupa klęczącego przed obrazem Matki Najśw. z następującym napisem: *Najśw. Bogarodzicy Czerwińskiej, cudami słynącej, z powodu uśmierzonego pożaru, ktory w Skierniewicach, zimowej rezydencji arcybiskupiej, nadziemską siłą dnia 6 marca 1650 r. z wielkiego niebezpieczeństwa uśmierzony został: Maciej Łubieński, arcybiskup gnieźnieński, urodzony legat, tegoż królestwa prymas i pierwszy Książę Kościelny, jako dowód swej wdzięczności i pobożności... wotum to zawiesił dnia 7 maja tegoż roku.*

Dnia 13 Marca.

ŚWIĘTY HELDRAD, Opat z Nowalezy.

781 † 875.

Za rządów papieży: od św. Leona III do Jana VIII.

Pójdźcie błogosławieni Ojca mego, otrzymujcie królestwo wam zgotowane od założenia świata. Albowiem łaknąłem, a daliście mi jeść, pragnąłem, a napoiliście mnie; byłem gościem, a przyjęliście mnie. Ew. Mat. XXV 35.

Pochodzenie i młodzieńcze lata św. Heldrada.

Miasto Lambesc, wśród gór Alpejskich położone, zostało jeszcze w VI wieku przez Greków ufundowane i stanowiło ożywiony niegdyś punkt handlowy.

Miastem tem i okolicznemi wioskami rządził na początku dziewiątego stulecia ojciec św. Heldrada, którego imię okryło się wielką sławą z powodu wysokiej doskonałości chrześciańskiej, ona mu zgotowała sławę świętości na ziemi i wieczną chwałę w niebie.

W dzieciństwie chowany starannie przez zacnych rodziców, w bardzo młodym wieku Heldrad został sierotą, a po śmierci ojca i matki spadł na niego znaczny majątek oraz władza nad licznymi poddanymi. Okazał wówczas wiele stanowczości, a zarazem dobrocią wszystkich serca sobie umiał pozyskać.

W młodzieńczem sercu szlachetnego Heldrada obudziła się wcześnie pogarda dla rzeczy ziemskich; nie radowała go swoboda, możność użycia, z dniem każdym skromniejszemi były jego wydatki, ograniczał je do koniecznych potrzeb, brzydząc się zbytkiem i marnotrawstwem.

Natomiast znajdował prawdziwą rozkosz w przynoszeniu pociechy strapionym, w kojeniu łez wdów i sierot, rozdawaniu szczodrej jałmużny ubogim. Nie tylko jednak z materjalną pośpieszał pomocą, był też nie mniej dbałym o dobro duchowe, nauczał, wiódł budujące rozmowy, przytaczał ewangeliczne przykłady, napominał, aby każdy swe obowiązki spełniał wiernie. To też błogosławiono młodego dziedzica i wszyscy z głębokiem poważaniem odzywali się o tak obiecującym młodzianie.

Heldrad szczodry był wobec potrzeb Kościoła: zbudował własnym kosztem dom Boży, pod wezwaniem św. Piotra, w miejscowości bardzo licznie uczęszczanej, ażeby przejezdni mogli się tam pomodlić, a tuż obok wznieść kazał przytułek bezpłatny dla chorych i pielgrzymów.

W tym miejscu obecnie jest wioska Ambel, gdzie pamięć św. Heldrada wielce jest zawsze czczoną.

Poszukiwania.

Młody dziedzic wielkiej fortuny wciąż był miłosiernym czynom oddany, a jednocześnie coraz więcej zajmowała go myśl oderwania się od świata i szukania ukojenia w klasztornej ciszy. Dotąd jednak nie powziął stałego postanowienia, do jakiego ma się przyłączyć Zgromadzenia.

Przedewszystkiem rozdzielił cały majątek pomiędzy okoliczne kościoły i klasztory, uczynił znaczny zapis na utrzymywanie przytułków, przez siebie założonych, a następnie w skromnym, pielgrzymim stroju udał się na poszukiwania klasztoru, któryby odpowiadał jego wymaganiom.

Przeszedł Pireneje, zwiedził całą Hiszpanję, pomimo to nigdzie jakoś nie trafił na upragnione przez siebie warunki wspólnego duchownego życia. Powrócił do rodzinnego miasta, lecz nie nadługo, znowu go gnała precz nieukojona tęsknota. Tym razem zwrócił się w stronę Rzymu, tam przyglądał

się życiu zakonnemu, zwiedzał miejsca, krwią męczenników uświęcone, ale jeszcze i tym razem nie natrafił na swoją drogę i postanowił zwiedzić francuskie Zgromadzenia.

W podróży tej zbliżył się z pewnym pielgrzymem, który ogromnie zachwalał pobożność i surowy sposób życia zakonników w opactwie Nowalezy, to zaciekawiło i pociągnęło Heldrada do tego ustronia.

Opactwo Nowaleskie.

Nowaleza położona jest u stóp Alp w Piemoncie. Opactwo Nowaleskie słynęło swą gościnnością i miłosierdziem dla pielgrzymów, których było bardzo wielu w owe czasy, a trudne przejście przez Alpy było powodem częstych i groźnych wypadków.

Zakonnicy nieraz z narażeniem życia śpieszyli zabłąkanym wędrowcom z pomocą, a na górze Cenis mieli schronienie dla przygodnych gości i zawsze przyjmowano chętnie strudzonych i zziębniętych pielgrzymów, będąc dla nich prawdziwą Opatrznością w ciężkich chwilach.

OO. Benedyktyni bardzo ściśle wypełniali przepisy reguły, życie ich upływało na modlitwie, pracy i miłosiernych uczynkach.

Trudno by zliczyć ilu ludzi zawdzięczało życie staraniom tych zacnych Ojców, których nie zastraszały groźne zaspy śnieżne, wichry halne, mróz przejmujący do szpiku kości, ale szli mężnie na ratunek, ciesząc się niewymownie, gdy mieli możność oddać przysługę, a ratując ciało skostniałych wędrowców, myśleli zarazem o ich duchowych potrzebach i nieraz udało się im bezbożników swą dobrocią i poświęceniem zachęcić do innego życia oraz pojednać ich z Bogiem.

Św. Heldrad przybywa jako pielgrzym do opactwa w Nowalezie.

Opatem w Nowalezie był naówczas świątobliwy Ambulf, który pochodził również z tej samej co i Heldrad okolicy, ale nigdy by nie domyślił się w skromnym pielgrzymie syna znakomitego rodu, gdyby nie głos jakiś z nieba, który mu objawił z kim ma do czynienia.

Opat podszedł do przybysza i wyciągnął ku niemu ramiona, witając jak brata. To serdeczne przyjęcie ujęło niezmiernie Heldrada, a miłość bliźniego, praktykowana tak szeroko wśród zacnych zakonników, ogromnie przypadła do serca tkliwego wielce na ludzką niedolę młodziana.

Działo się to około 814 r.

Heldrad opowiedział opatowi swe wahania i niepokoje, zwierzył się, że długo włóczy się już po świecie, nie mogąc znaleźć takiego wymarzonego zgromadzenia, któreby zupełnie odpowiadało jego pragnieniom. Opat, jako człowiek światły i umiejący czytać w duszach ludzkich, nie nalegał, ażeby Heldrad wstąpił natychmiast do nowicjatu, ale pozwolił mu przebyć czas jakiś w opactwie, dla przyjrzenia się dokładnie pracowitemu i budującemu życiu OO. Benedyktynów.

Heldrad nosił więc czas jakiś świeckie ubranie, pomagał w uprawie winnicy, przyjmował udział we wspólnych modlitwach, czytał z upodobaniem rozmyślania św. Benedykta i coraz więcej zachwycony był zarówno mądremi zaleceniami świętego założyciela zakonu, jak też i nadzwyczajnemi cnotami jego naśladowców, wypełniających skrupulatnie regułę. W 53 paragrafie zamieścił św. Benedykt te życzenia:

Oby wszyscy goście wstępujący pod dach nasz przyjęci byli radośnie, jak gdyby sam Pan nasz Jezus Chrystus do nas przybywał, albowiem być może rzeknie nam kiedyś: *Łaknąłem, a daliście mi jeść, pragnąłem, a napoiliście mnie; byłem gościem, a przyjęliście mnie...*

Czas próby. — Święcenia.

Podczas swego pobytu jako gość w Nowalezie, Heldrad zachowaniem swem wzorowem zdołał pozyskać szacunek i uznanie całego zgromadzenia. Z poświęceniem śpieszył na pomoc zbłąkanym podróżnym, łagodnością i wielkiemi przymiotami umysłu i serca ogromnie wszystkich zachwycał. Nie długo też potem przywdział habit i śluby wykonał, ciesząc się, że wreszcie znalazł to, czego szukał napróżno przez długie lata, albowiem owocna praca Benedyktynów z Nowalezy najzupełniej odpowiadała potrzebom jego szlachetnej duszy.

Opat Ambulf cieszył się również z pozyskania tak pożytecznego dla zakonu braciszka, a kiedy Heldrad otrzymał święcenia, wówczas jeszcze większym blaskiem zajaśniały jego chrześciańskie cnoty.

Wysłano go na stały pobyt na górze Cenis, gdzie w schronisku, znajdującem się na samym niemal szczycie, miał możność oddawać się z całym zapałem niesieniu bliźnim pomocy. Podróżni, zostający czas jakiś pod jego pieczą, nie mogli słów znaleźć na pochwały tego istnego anioła, czuwającego nad nieszczęśliwymi.

Uczony mistrz i kierownik zakonników przyjmuje udział w sprawach państwowych.

Opat Ambulf, oceniając gruntowną wiedzę i zdolności Heldrada, zawezwał go z powrotem do Nowalezy, powierzając mu nauczanie mniej wykształconych Braci. Wykłady te wymagały ustawicznej pracy nad sobą, Heldrad po kilka godzin dziennie spędzał w klasztornej bibliotece, aby godnie odpowiedzieć powierzonemu sobie zadaniu.

Sława wysokiej mądrości O. Heldrada doszła do wielu uczonych z owej epoki i nawet, u fran-

cuskiego dworu cenionem wielce było jego zdanie. Utrzymywał on listowne stosunku z diakonem Florusem z Lionu i w zamienionych przez nich listach widocznem jest, jak szeroko omawianemi były przez nich najdonioślejsze sprawy Kościoła św.

W r. 925 O. Heldrad znajdował się w Cluny, należąc do orszaku króla Ludwika Pobożnego i przyjmował udział w naradach nad sprawami państwa.

Ale O. Heldrad niechętnie opuszczał swoją celę i tylko czynił to z musu, gdy koniecznie domagano się jego współudziału w publicznem życiu. Najlepiej zaś czuł się otoczony stosami ksiąg uczonych i swymi uczniami, których miał sporą gromadkę, wszystkich bowiem zakonników liczono naówczas pięciuset w Nowalezie.

Św. Heldrad obrany opatem.

Smierć czcigodnego opata Ambulfa w 837 r. stała się powodem zmiany w dotychczasowem życiu O. Heldrada. Opatem obrano Hugona, brata Ludwika Pobożnego, który był jednocześnie przełożonym wielu innych klasztorów, co mu nie pozwalało zająć się wyłącznie opactwem Nowaleskiem. Podczas nieobecności swej powierzał on rządy O. Heldradowi, a zastępca tak sumiennie pełnił swe obowiązki ku ogólnemu zadowoleniu, że po śmierci Hugona jednogłośnie obwołano go opatem w r. 844.

Napróżno starał się uchylić się od włożonego na siebie zaszczytu, tłumacząc się, że nie czuje się na siłach odpowiedzieć godnie położonemu w nim zaufaniu. Wiek podeszły nie przeszkadzał mu jednak do sprawowania rządów, a przykład jego długoletniego poświęcenia i surowej cnoty nadzwyczaj zbawienny wpływ wywierał na całe zgromadzenie.

Zwłaszcza miłosierdzie świętego opata zasłynęło szeroko.

Św. Franciszek Salezy cnotę gościnności wysoce cenił i zawsze ją wiernym zalecał, do dobrych uczynków ją zaliczając. Przytaczał on przykład Abrahama, wychodzącego na spotkanie gości: „Ale jeszcze pożądańszem jest, powiada on, przyjście z pomocą tym, którzy trudną do przebycia mają drogę, wspomaganie ich, służenie im, to już jest więcej nawet, niż od ludzkiego serca żądać można“...

A jednak Nowaleskie zgromadzenie praktykowało te cnoty, a święty przełożony świecił przykładem najwznioślejszego poświęcenia.

Ażeby zagrzewać innych do miłosiernych czynów, mawiał nieraz św. Heldrad:

— Zapewniam was, że w przyszłem życiu otrzymamy wszyscy nagrodę według tego, ile każdy z nas dobrego bliźnim swym uczynił, dla przypodobania się Bogu.

Nie dziw, że opactwo Nowaleskie coraz większą cieszyło się sławą, a hojne dary spływały obficie zarówno z królewskiej szkatuły, jak też od wielu wdzięcznych za uratowanie życia pielgrzymów, co dało możność powiększenia opactwa i tak niezmiernie pożytecznego schronienia dla podróżnych na górze Cenis.

Schronisko dla podróżnych w Lotarecie. Św. Heldrad wygania węże.

Nie poprzestając na tej jednej stacji ratunkowej, św. Heldrad zawsze o dobro bliźnich dbały, założył drugą w Lotarecie. Wysłał tam kilkunastu zakonników dla wzniesienia budynków, roboty postępowały szybko, ale naraz wysłani do Lotaretu Bernardyni powrócili do opactwa wielce strapieni, opowiadając, że niepodobieństwem jest pracować dłużej, ponieważ obrana na schronisko miejscowość obfituje w węże jadowite, których jest taka ilość, że niepodobna opędzić się od tych wstrętnych gadów.

Zafrasował się wielce sędziwy opat tak niepomyślną wieścią, ale dodał otuchy zniechęconym Braciom, zapewniając, że sam wkrótce nową nawiedzi siedzibę i pokłada ufność w Bogu, że mu dopomoże wygnać tych nieproszonych gości. Jakoż wkrótce udał się w podróż, a przybywszy na miejsce i przekonawszy się naocznie o klęsce trapiącej okolicę, stanął mężnie wśród skał, gdzie syczały węże ohydne i rozkazał im skryć się w szczeliny, by nigdy się już więcej nie ukazać.

Węże otoczyły świętego i wznosiły głowy, jakgdyby rozumiejąc ludzką mowę. Zadziwiający był to widok, kiedy jeden za drugim znikały powoli i wkrótce nie tylko przestrzeń zajęta pod klasztorne zabudowania, ale cała okolica została raz na zawsze uwolniona od tej plagi. Czasami w lecie pojawiały się gdzieniegdzie, ale nigdy już nie słyszano o szkodliwych ukąszeniach, zdawało się, że węże pod wpływem świętego zupełnie zmieniły swą naturę.

Schronienie zostało wkrótce ukończone i powstała dokoła osada, zwana dziś Monetier de Briançon.

Cuda św. Heldrada.

Oprócz owego cudownego wygnania węży w Lotarecie, opowiadają kronikarze o wielu innych cudach św. Heldrada i zażegnaniu klęsk rozmaitych, jak np. niebezpiecznej epidemji, czyli choroby zakaźnej.

Uzdrowił też niemego od urodzenia, oraz trędowatego z ran uleczył. Przechodząc przez miasto Asti, przywrócił zdrowie pewnej kobiecie, którą już odstąpili lekarze, a nawet wszyscy znajomi obawiali się do niej zbliżyć i nieszczęśliwa pozostawała w zupełnem opuszczeniu. Wzruszony jej niedolą święty opat udał się do jej mieszkania i gorącą modlitwą uprosił u Boga jej uzdrowienie.

Umiał też św. Heldrad czytać w sercach ludzkich, nikt nie potrafił ukryć przed nim swej winy, gdyż natychmiast łagodnem słowem przypominał mu święty umyślne lub bezwiedne zapomnienia.

Kiedy czuł, że go już opuszczają siły, począ modlić się gorąco, przyjął Ostatnie Sakramenta i wnet potem wpadł w zachwycenie, ręce wzniósłszy ku niebu, skonał z uśmiechem błogości na ustach, jak-

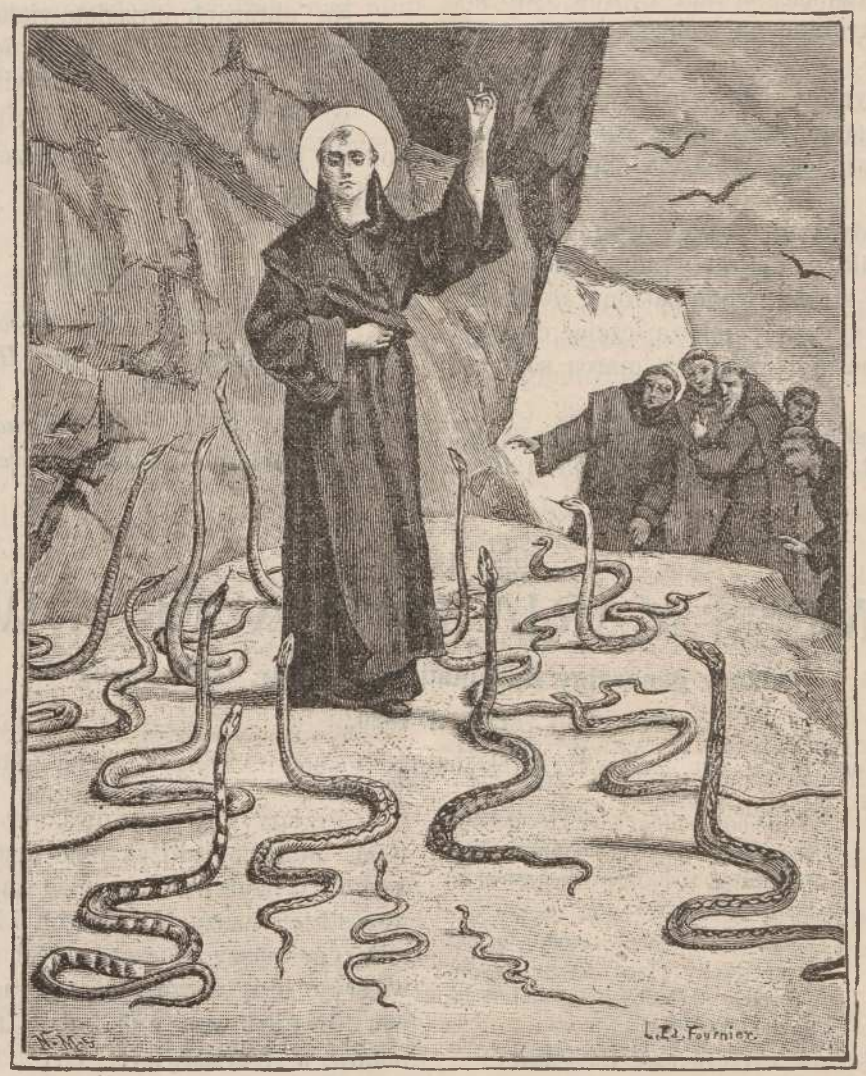

Święty Heldrad rozkazuje wężom opuścić na zawsze trapioną przez nich okolicę.

Ten dar Ducha św. był niezmiernie pomocnym w kierowaniu duszami penitentów, którzy garnęli się z synowską miłością do opata z Nowalezy.

Śmierć św. Heldrada.

Na cztery dni przed zgonem miał święty objawienie, że przyszedł już czas zakończenia ziemskiej wędrówki i otrzymania niebiańskiej nagrody.

Ostatnią myślą zacnego opata była troska o swych osieroconych synów; pragnął widzieć wszystkich zakonników zgromadzonych dokoła siebie i zaklinał ich, aby żyli w zgodzie i jedności, wybaczali sobie wzajemnie urazy, miłosiernymi byli dla ubogich i ściśle zachowywali regułę św. Benedykta, dając budujący przykład wytrwałości i cnoty.

gdyby mając przed sobą najcudniejsze widzenie. Było to d. 13 marca 875 r. Św. Heldrad miał już podówczas lat 94.

Relikwje i cześć oddawana św. Heldradowi.

Ciało św. opata złożono w kaplicy św. Mikołaja, położonej na najwyższym szczycie opactwa w Nowalezie. Z tej wyżyny zdawało się, że ten ojciec tkliwy czuwa nad całem zgromadzeniem, jak to przez lat tyle czynił, a kiedy przeprowadzoną została beatyfikacja św. Heldrada, kaplica ta została odtąd pod jego wezwaniem.

Najazd Saracenów w 909 r. zmusił zakonników do ukrycia relikwji św. opata w bezpiecznem miej-

scu, ale całe zgromadzenie zostało rozproszone i opactwo zupełnie zniszczono.

Zdawało się już wszystkim, że wszelki ślad relikwji św. Heldrada zaginął, tymczasem wypadkiem odnalazł je pewien pasterz w skalnej jaskini, skąd przeniesiono je uroczyście w 1021 r., a w 1040 zamieniono skromną trumnę na srebrną, bogato rzeźbioną.

Wielu pielgrzymów śpieszyło odwiedzać grób świętego, doświadczając szczodrych łask za orędownictwem błogosławionego opiekuna chorych i strapionych.

Obecnie Benedyktyni zostali wygnani przez srogi i niesprawiedliwy dekret rządu i nie mogą jak dawniej być na straży swego patrona, ale mieszkańcy uroczej doliny z największą czcią czuwają nad kaplicą i corocznie dzień 13 marca solennie obchodzą.

Na prośby biskupa Henri z Grenoble, papież Pius ,X potwierdził dekretem z 1 grudnia 1903 r. cześć oddawaną od wieków najczcigodniejszemu opatowi z Nowalezy, dozwalając wynieść go na ołtarze.

Bardzo piękny kościołek w Lambese jest poświęcony pamięci tego świętego.

Na obrazach przedstawiają św. Heldrada pomiędzy wężami; otoczonego nieszczęśliwymi, wzywającymi jego pomocy; uzdrawiającego chorych.

W Prowancji i Piemoncie bardzo rozpowszechnionem jest dawanie na chrzcie św. imienia tego ulubionego patrona górali.

Źródła.

Ks. Guillaume. *Alpy Nowaleskie.*

Dom. Rocher. *Żywot św. Heldrada*, czyli chwała opactwa w Nowalezie.

Dom. Carretto. *Życie i cuda św. Heldrada.*

M. Reinaud. *Najazdy Saracenów.*

Dnia 15 Marca.

ŚW. KLEMENS MARJA HOFBAUER (DWORZAK)

Wikary generalny Zgromadzenia Najśw. Odkupiciela.

1751 † 1820.

Za rządów Piusa VI, Piusa VII, cesarza austryjackiego Józefa II, króla polskiego Stanisława Augusta.

Bodajby błog. Klemens nauczył nas jak mamy naśladować Najświętszego Odkupiciela i stać się jak on świętymi.

Błog. Klemens woła do nas wszystkich przez swoje życie: „Bądźcie naśladowcami moimi jako ja Chrystusów".

O. Bernard Łubieński

Nasz święty patron najbliższy naszych czasów.

Od d. 29 stycznia 1888 r., kiedy papież Leon XIII ogłosił Klemensa Marję Hofbauera błogosławionym, biskupi nasi z Królestwa, Galicji i ks. Poznańskiego uprosili Stolicę Apostolska o pozwolenie włączenia błog. Klemensa do liturgicznego kalendarza świętych polskich, chociaż bowiem był Morawianinem z urodzenia, lecz większą część życia swego w Polsce spędził, ziemię naszą szczerze ukochał i pracę swą długoletnią i owocną Polakom poświęcił. Przed stu laty był gorliwym Apostołem Warszawy, teraz stał się Orędownikiem naszym w niebie i możemy otrzymywać wiele łask za pośrednictwem tego patrona, który wyniesiony został na ołtarze, a dziś aureolą świętości przyozdobiony przez Piusa X w b. r. (d. 18 maja 1909 r.)

Przyjrzyjmy się uważnie tej niepospolitej postaci, mogącej służyć nam wzorem wiary, miłości, gorliwej i wytrwałej pracy i zaparcia się siebie. Ze wszystkich naszych świętych i błogosławionych najbliższym naszych czasów jest św. Klemens, to też więcej o nim szczegółów zebrać można było, a nawet do niedawna żyli ludzie, pamiętający OO. Benonów w Warszawie.

Podczas badania świadków przez komisję, zajmującą się sprawą beatyfikacji czcig. O. Hofbauera, znalazło się trzydzieści osób, które pod przysięgą zeznania swe ustne składały. Z tych naocznych świadków jeden tylko starzec lat 84 doczekał dnia beatyfikacji św. Klemensa; znał go bliżej w Wiedniu i widywał w ostatnich latach życia, a za młodu do mszy mu nieraz służył. Wzruszający był widok tego staruszka, modlącego się u grobowca O. Hofbauera w kościele Marja Stiegen i polecającego się opiece dawnego swego spowiednika, a następnie opiekuna w niebie.

Pierwsze lata. Dobre skłonności.

Św. Klemens urodził się 26 grudnia 1751 r. w miasteczku Tasowice (w djecezji Brünn) na Morawie. Ojciec jego Paweł, Hofbauerem przezwany, nazywał się właściwie Dworzak, ale tak się jako

z czasem zniemczałe nazwisko utarło, że prawdziwe poszło w niepamięć.

Dworzak miał rzeźnię w Tasowicach, a także kawał gruntu, lubił rolnictwo i dzieci do pracy na roli zachęcał.

Dziatek tych było pięcioro, czuwała nad nimi troskliwa matka (z domu Steer), kobieta wielkich zalet, bardzo zacna i bogobojna.

Jan Klemens był najmłodszym z rodzeństwa, miał lat sześć, gdy zmarł ojciec, wychowanie więc swe wyłącznie matce zawdzięczał.

Marja Hofbauerowa miała niezachwianą wiarę którą potrafiła w duszę syna przelać.

Do końca życia wspominał św. Klemens ze wzruszeniem niezapomnianą chwilę z lat dziecinnych, kiedy w dzień śmierci ojca, matka postawiła go przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, mówiąc:

— Odtąd ten będzie twoim Ojcem, tak się zachowuj, aby Mu się we wszystkiem przypodobać.

Te słowa były niby zdrowe ziarno na dobry grunt rzucone, Klemens zapamiętał je sobie i przez całe życie postępował istotnie w ten sposób, aby się Bogu przypodobać i bliźnim jaknajwięcej pożytku przynieść.

Kiedy małym będąc szedł raz Klemens z matką, zobaczyli gromadkę ludzi, stojących bezczynnie Zauważywszy znajomych, zapytała ich Hofbauerowa co tu robią?

— Ot, tak sobie czas gawędką zabijamy, odpowiedzieli.

Mały Klemens rzekł potem do matki:

— Jeżeli mają tak dużo wolnego czasu, to czemu lepiej się nie modlą?

To proste, dziecinne pytanie doskonale maluje usposobienie chłopczyny, który wcześnie nauczył się zastanawiać poważnie, znajdował prawdziwą rozkosz w modlitwie, a następnie miał stać się jednym z najgodniejszych synów duchownych św. Alfonsa Liguorego, który ślubował nigdy ani jednej chwili życia nie zmarnować i nieustanną modlitwę wiernym zalecał.

Klemens miał wielkie do Matki Boskiej nabożeństwo, codziennie odmawiał różaniec, pozwolenie suszenia przed każdem większem świętem uważał sobie za nagrodę, a rozsądna matka cieszyła się, że synek znajduje przyjemność w ujmowaniu sobie pokarmu dla oddawania go ubogim.

Szczęśliwym był niesłychanie, gdy mu pozwolono służyć do mszy św. Lubiono go na probostwie, tam otrzymał początki nauki i z łaciną się oznajomił.

Czeladnik piekarski. Pobyt w klasztorze OO. Norbertanów. Pustelnia.

W rodzinie Hofbauerów zaszły duże zmiany; siostra starsza wyszła zamąż, bracia już dorośli zabrali się do uprawianego przez ojca zawodu i opuścili Tasowice, Klemens jeden tylko pozostał w domu i coraz więcej rozwijał się w jego duszy zamiar poświęcenia się służbie Bożej. Miał już lat szesnaście, wielki czas był pomyśleć o obraniu sobie drogi na przyszłość. Ale matka nie miała środków na kształcenie synów i Klemens musiał zaniechać czasowo swych marzeń i w poblizkiem miasteczku Znojmie wstąpił na naukę do piekarza Dobsza.

W rodzinie tej przebył trzy lata, pozyskał sobie życzliwość prawością charakteru i szlachetnością uczuć, zostawszy zaś czeladnikiem, zgodził się na piekarza w klasztorze OO. Norbertanów. Tam miał sposobność zastosowania w praktyce szczerej miłości bliźniego, przepełniającej jego serce, panował bowiem naówczas głód w całym kraju (1771 r.), tłumy głodnych błagały zakonników o litość, a miłosierny Klemens pracował ze zdwojonym zapałem, wypiekając ogromną ilość chlebów i sam nieraz własną porcję biedakom oddawał.

Opatem klasztoru luckiego był ks. Grzegorz Lambeck; zwrócił on uwagę na młodego piekarza, ocenił jego pilność, a dowiedziawszy się o skrytem pragnieniu młodzieńca zostania księdzem, pozwolił mu uczęszczać do klasztornej szkoły.

Trzy lata spędził Klemens pod kierunkiem zacnego opata, ale śmierć jego sprowadziła nader doniosłe zmiany. W r. 1775 Klemens opuścił klasztor, ogarnęło go pragnienie pustelniczego życia, więc natchnieniem Bożem wiedziony, udał się w ustronny zakątek Mührfrauen, gdzie była kapliczka z cudownym wizerunkiem Pana Jezusa; tam na wzór pustelników własnoręcznie chatkę sobie wybudował, żył samotnie, umartwiając ciało, a duszę wznosząc ku niebu.

Zaledwie rok jeden przebył w swej celi, kiedy wyszedł rozkaz cesarza austrjackiego Józefa II, znoszący wszystkie pustelnie, musiał więc i Klemens uledz temu niesprawiedliwemu prawu i przeniósł się do Radziejowic, a następnie wyruszył do Wiednia, aby znowu do swego rzemiosła powrócić.

Życie w Wiedniu. Pielgrzymka do Rzymu.

W Wiedniu dostał się Klemens, jako czeladnik do piekarni pod „Żelazną Gruszką“. Były to straszne czasy prześladowania katolicyzmu w całem państwie. Cesarz Józef II przejął się fałszywemi zasadami, dążył do bezbożnych reform antireligijnych. Nadaremnie Pius VI starał się odwieść go od tych zamiarów. Zaraza szerząca się u dworu zaczęła ogarniać kraj cały. Wiedeń zaś głównie padł ofiarą strasznego zamętu pojęć.

Klemens czuł się przygnębiony tą obojętnością religijną, którą dostrzegał dokoła. Znalazł przyjaciela, podzielającego jego szlachetne oburzenie i we

dwóch umyślili udać się na pielgrzymkę do Rzymu, ku pokrzepieniu serc.

Przyjaciel ów był również czeladnikiem w piekarni pod „Żelazną Gruszką“. Razem zwiedzili święte miejsca i groby Apostołów; Klemens czuł się wzmocnionym na duchu, choć jeszcze nie był pewnym przyszłego powołania, ale po powrocie dusza jego przepełniona była gorliwością, zapałem do walki ze złemi zasadami, radość ogarnęła go, gdy sam papież raczył do Wiednia zawitać, gdzie miesiąc spędził w nadziei nawrócenia cesarza. Kiedy dowiedział się, że Józef II jest niezłomny w swych zgubnych dla Kościoła św. postanowieniach, powziął zamiar udania się do Rzymu w ślad za Namiestnikiem Chrystusowym. Znowu więc w 1782 odbyli pobożni pątnicy powtórną pielgrzymkę do Rzymu, gdyż Piotr Kuntzmann, piekarz, podzielał szlachetny zapał współtowarzysza pracy. Serca ich przepełnione były miłością dla Jezusa, pałali chęcią samoofiary, a dowiedziawszy się o świątobliwym Benedyktynie Barnabie Chiaramonte, biskupie w Tiwoli (który następnie zasiadł na Piotrowej Stolicy, pod imieniem Piusa VII), prosili o wskazówki do pokutniczego życia. Naznaczył on im pustelnię, gdzie mieli przebywać, szaty pokutne na nich włożył, oraz dawniejsze imię Jana, Hofbauerowi na imię Klemensa zamienił.

Pod opieką Matki Boskiej z Kwintyljonu. Pragnienie misyjnej pracy.

Pustelnia, wyznaczona dwom pielgrzymom na mieszkanie znajdowała się w okolicy Rzymu, pod wezwaniem Matki Boskiej z Kwintyljonu, gdyż na gruzach dawnego pałacu Kwintyljusza, wodza rzymskiego, wzniesioną była kaplica Matki Zbawiciela.

Tu Klemens ćwiczył się w cnotach, stoczał walki z pokusami szatana i coraz więcej doskonalił duszę zawsze gorąco Boga spragnioną.

Zawsze wspominał tę swoją pustelnię w Tiwoli jako najmilszy kąt na ziemi. Wspaniała roślinność, widok na Rzym i całą okolicę, działały ogromnie silnie na jego wyobraźnię.

— Tam się dobrze modlić!.. mówił nieraz potem, wspominając przebyte w pustelni chwile. Tam dusza od świata oderwana zupełnie z Bogiem się jednoczy!...

Ogarnęło go pragnienie owocnej, misyjnej pracy, chociaż jeszcze dokładnie nie zdawał sobie sprawy gdzie i jak to uskutecznić potrafi. Czuł jednak wyraźnie, że musi wystąpić do walki z nieprzyjaciołmi Kościoła, że Bóg go powołuje do wielkich czynów.

Postanowił powrócić do Wiednia, tam bowiem miało się dla niego rozpocząć nowe życie. Chciał przedewszystkiem dokończyć nauk teologicznych, nad któremi pracował jeszcze nie dostatecznie; nie wstąpił już do swej piekarni pod „Żelazną Gruszką“, ale w innej rozpoczął zatrudnienia, modląc się i ucząc naprzemian.

Opatrznościowa pomoc. Szkoła. Trzecia pielgrzymka do Rzymu.

Nieraz się zdarza, że Opatrzność szczęśliwy przypadek zsyła dla dopomożenia w uskutecznieniu chwalebnych zamiarów; tak właśnie stało się z ubogim piekarczykiem, przyszłą sławą zakonu OO. Benedyktynów.

Pewnego dnia udał się jak zwykle do kościoła św. Szczepana, aby wysłuchać nabożeństwa i służyć do mszy św.

Wychodząc z katedry, ujrzał trzy siostry Maul, osoby zamożne i wielce bogobojne, które znalazły się w kłopocie, gdyż deszcz padał ulewny, one zaś nie miały powozu. Klemens ofiarował im uprzejmie swe usługi, odwiózł do domu, zgadało się jakoś, że pragnie być księdzem, lecz środków nie ma na przeprowadzenie swych zamiarów, a panny Maul, widząc w nim szczerą pobożność, obiecały dopomódz w opłacie nauki.

Bóg nagrodził dobroć i uczynność tych pań, dozwalając im następnie mieć prawdziwą pociechę słuchania wspaniałych kazań ks. Klemensa w kościele Urszulanek i widzieć jego pracę apostolską po powrocie z Polski.

Ponieważ jednak nauki Lutra i Kalwina coraz więcej szerzyły się wśród mieszkańców Wiednia, a nawet w naukach profesorów ów fałsz nieraz odczuć można było.

Klemens bardzo cierpiał nad tem i nie mógł się powstrzymać od głośnych uwag na ten temat. Pewnego razu zwrócił uwagę profesora, że zupełnie błędnie jakiś dogmat wiary tłumaczy.

— To co pan profesor naucza nie zgadza się wcale z nauką katolicką! — zawołał na głos i wyszedł z sali, nie zważając, że zagraża mu to wydaleniem. Jednak odwaga jego bardzo dobry wpływ wywarła na wszystkich słuchaczy, a nawet ten sam profesor spotkawszy się po wielu latach z czcig. O. Hofbauerem, dziękował mu za otrzymaną nauczkę, która skłoniła go do uważniejszych badań i dociekań i dała poznać, że był w błędzie.

Po całorocznych studjach czuł się Klemens nie zadowolonym z wykładów i znowu całem sercem rwał się ku Rzymowi, mając nadzieję obrać nakoniec upragnione powołanie.

W szczególny sposób zapoznał się z młodzieńcem, wielce zacnem i pobożnym, z którym do końca życia łączyła go szczera przyjaźń.

Tadeusz Hübl z Czermny był synem leśniczego, nie miał środków kształcenia się, chociaż pałał wielką żądzą nauki.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Szukając sposobu do życia, dał ogłoszenie, że radby przyjął przepisywanie, Klemens odszukał go, opowiedział swym protektorkom, zacnym pp. Maul o niedoli Tadeusza, a uczynne te osoby dopomogły mu do zapewnienia bytu. Z tym to przyjacielem udał się Klemens po raz trzeci do Rzymu.

Zakon OO. Redemptorystów. Nowicjat. Kapłaństwo.

Przybywszy do Rzymu, zatrzymali się pielgrzymi w ubożuchnej gospodzie, nieopodal kościoła Matki Boskiej. Postanowili pójść z rana do tego kościoła, z którego ich najpierw głos dzwonka obudzi. Traf zdarzył, że był to właśnie kościołek św. Juljana, w którym OO. Redemptoryści odprawiali wspólnie ranne modlitwy i rozmyślania.

Klemens nie znał jeszcze wcale tego zgromadzenia, ponieważ od roku dopiero Ojcowie, pod przewodnictwem O. Franciszka di Paolo, objęli kościół św. Juljana i przy nim istniejący klasztor. Działo się to w 1783 r., jeszcze za życia założyciela zakonu św. Alfonsa Liguorego, który naówczas w Nocera, w królestwie neapolitańskiem przebywał.

Klemens i Tadeusz z prawdziwą radością przyglądali się pobożnie skupionym twarzom zakonników, uderzała w nich niezmierna skromność i prostota. Strój ich czarny z białymi kołnierzami i różańcem u pasa, zaciekawił przybyłych.

— Jaki to zakon? — zapytał Klemens malca stojącego u drzwi kościoła.

— To są OO. Redemptoryści, — odrzekło dziecię i nagle, jakby duchem proroczym natchnione dodało:

— I ty do nich wstąpisz!

Klemens tegoż dnia udał się do przełożonego i po serdecznej z nim rozmowie, został przyjęty do nowicjatu. Z niezmierną radością pośpieszył do przyjaciela, dzieląc się z nim tak ważną nowiną i zachęcając do naśladowania; Tadeusz jednak opierał się i zdawało się, że żadne namowy skłonić go nie potrafią, aliści gorące modlitwy Klemensa do Najśw. Panny sprawiły w nim nagłą zmianę i łaska Boska spłynęła na towarzysza ku największemu uradowaniu pobożnego młodziana.

Dn. 24 października 1784 r. przyoblekli obaj suknie zakonne, a O. Laudi, jeden z pierwszych synów św. Alfonsa Liguorego był ich mistrzem.

Zakon OO. Redemptorystów, czyli zgromadzenie Najśw. Odkupiciela jest apostolskim i kontemplacyjnym zarazem. Za pomocą misji i rekolekcji szerzy łaski zbawienia na ziemi, w szczególności pracując nad ubogim, nieuczonym i zaniedbanym ludem.

Św. Alfons powiadał, że: „Redemptorysta powinien być Apostołem na zewnątrz, a Kartuzem wewnątrz klasztoru“ i postanowił, aby zakonnicy mieli sześć miesięcy, na misje wyznaczone, a drugich sześć spędzali w odosobnieniu. Prostota, posłuszeństwo i ubóstwo są obowiązującymi, a do tego dołączył św. założyciel ślub wytrwałości aż do śmierci w zgromadzeniu.

Nowicjat trwa rok jeden, poczem składane są cztery śluby. Potem przychodzą nauki wstępne i sześć lat nauk teologicznych, dalej jeszcze półroczny nowicjat i przygotowanie do prac misyjnych. Tak więc św. Alfons pragnął, aby kształcenie odbywało się powoli, lecz zato gruntownie i starannie.

Zakon ten posiada wielki skarb, a mianowicie obraz cudowny Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Pod Jej wezwaniem powinni Bracia pracować, wielbiąc i czcząc Najśw. Matkę Odkupiciela.

Pius VI jeszcze za życia św. Alfonsa odstąpił OO. Redemptorystom kościół i klasztor św. Juljana na Eskwilinie w Rzymie; po najeździe zaś Napoleona I aż do r. 1848 klasztor ten był opustoszały, Pius IX oddał go następnie zakonnicom, a kościół św. Juljana zburzono z woli rządu włoskiego dla urządzenia natomiast pałacu króla Wiktora Emanuela. W r. 1853 OO. Redemtoryści nabyli dom w pobliżu i na ulicy Merulana dobudowali kościołek na cześć św. Alfonsa. Tam właśnie znajduje się obecnie obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, a obok kościoła jest siedziba O. Generała.

O. Tanoja w życiorysie św. Alfonsa opisuje, że natchniony Fundator zakonu, jakby przewidując przyszłość, orzekł pewnego dnia o dwóch cudzoziemcach, Klemensie i Tadeuszu, że „Bóg za ich pomocą rozpowszechni na północy swą chwałę. Wśród Lutrów i Kalwinów. mówił on, katechizacji więcej potrzeba, niż kazań. Kiedy ci młodzieńcy zostaną kapłanami, będą mogli bardzo wiele zdziałać, ale trzeba im dużo nauki“.

Tak więc z Woli Opatrzności dwaj skromni pielgrzymi powołani zostali do wielkich celów i odpowiedzieli godnie położonemu w nich zaufaniu św. Założyciela zakonu oraz gorliwego jego pomocnika czcig. O. Landiego.

Nowicjusze okazali się tak wyćwiczonymi w cnotach zakonnych, że w niespełna rok przypuszczonymi zostali do profesji. D. 19 marca 1705 r. w ręce przełożonego O. Franciszka Paolo cztery śluby złożyli, a w kilka dni później (29 marca) obaj byli wyświęceni przez biskupa z Veroli i zostali w klasztorze Frosinone, na południu od Rzymu położonym, gdzie pod przewodnictwem sławnego misjonarza O. Altarego doskonalili się w teologji i gotowali się do dawania misji.

Podróż do Wiednia w celach misyjnych. Niepowodzenia. Przybycie do Warszawy.

O. Klemens miał już lat trzydzieści i pięć, był w sile wieku, rwał się do pracy, stosując się do za

sad św. Alfonsa, radby nie zmarnować ani jednej chwili i zdziałać jaknajwięcej dobrego. Począł więc prosić gorąco, aby mu dozwolono przenieść zakon misjonarski poza Alpy, gdyż jako austryjacki poddany, zamierzał szerzyć zbawienne nauki wśród swoich współrodaków.

Dotąd nie było jeszcze ani jednego klasztoru OO. Redemptorystów poza granicami Włoch i niektórzy Ojcowie wątpili w możność rozszerzenia zakonu za pomocą tych dwóch cudzoziemców, ale to, co o nich wyrzekł św. Alfons, było dostateczną wskazówką na przyszłość.

Przełożeni dozwolili OO. Hofbauerowi i Hüblowi udać się do Wiednia.

Przebyli tę drogę pieszo, idąc przez Tyrol, ale niestety, trafiali na opór niezwalczony, nie dopuszczono ich do apostolskiej pracy w stolicy, nieznane w austryjackiem państwie habity wywoływały zadziwienie i niechętnem okiem patrzano na przybyłych. Nie podobna było myśleć na razie o żadnej fundacji nowego zgromadzenia; w innych krajach wrzała też nienawiść do zakonów; Francja pod wpływem rewolucji zupełnie zdziczała i po krwawych rzeziach znęcała się nad duchowieństwem, Anglja, protestantyzmem przejęta, nie nadawała się do przyjęcia katolickich misji. Polska tylko chociaż już zmniejszona w swych granicach, zawsze wolność religijną przyznawała, zakony zajmowały się wychowaniem młodzieży, a duchowieństwo było w wielkiem poważaniu.

O. Klemens napisał z Wiednia do przełożonego w Rzymie, przedstawiając smutny stan rzeczy w Wiedniu i prosząc o wskazanie pola do misyjnej pracy. Skierowano go do Stralsundu na Pomorzu, wypadło zaś przedewszystkiem udać się do Warszawy.

W tej podróży towarzyszył również św. Klemensowi O. Hübl, a w drodze spotkał niespodzianie dawnego przyjaciela, z którym pielgrzymkę do Rzymu odbywał. Był to Emanuel Kuntzman, niegdyś piekarski czeladnik z pod „Żelaznej Gruszki“, powracający z Kolonji, gdzie groby śś. męczenników odwiedzał. O. Hofbauer namówił go, aby szedł z nim do Polski i był to pierwszy braciszek przyjęty przez niego do nowego zgromadzenia.

Odwiedzili razem rodzinne strony św. Klemensa, w Tasowicach z radością powitała brata Barbara, matka była już w grobie, więc tylko mógł św. kapłan pomodlić się na jej mogile.

Wreszcie w lutym 1786 r. stanęli podróżni nasi w Warszawie. Tu mieli sobie nakazane stawić się przed nuncjuszem papieskim, jako przełożonym misji północnych.

Nuncjuszem był naówczas ks. Taluzzo, znający dobrze św. Alfonsa i jego zakon, a rozpatrzywszy się w stosunkach polskich, zrozumiał odrazu, że daleko owocniejszą może być praca OO. Redemptorystów w samej Warszawie, niż na dalekiem Pomorzu. Chodziło tylko o zawiadomienie O. Generała, który zezwolenie swe nadesłał, tymczasowo zaś nuncjusz zatrzymał misjonarzy w polskiej stolicy.

Istniało już w Warszawie od czasów Zygmunta III bractwo zawiązane, pod wezwaniem św. Benona, które, dowiedziawszy się o przybyciu misjonarzy, prosiło, aby pozostali dla pomocy w nauczaniu ubogiej dziatwy, gdyż brak kapłanów, znających język niemiecki, uczuć się dawał. Ojcowie zamieszkali odtąd przy kościele św. Benona na Nowem Mieście.

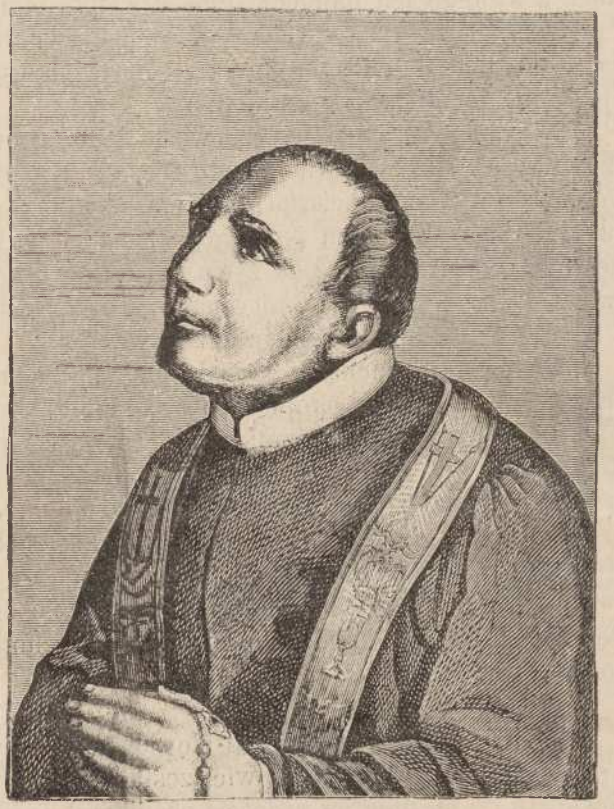

Święty Klemens Marja Hofbauer
Wikarjusz generalny zgromadzenia Redemptorystów

Król Stanisław August, jako monarcha światły, niezmiernie rad był z przybycia zakonników, ofiarował im pomoc i opiekę, pozwolił przyjmować nowych towarzyszów, stosownie do potrzeby, a z funduszów Komisji Edukacyjnej wyznaczył 1200 złp. rocznie, przyrzekając dopełniać tę kwotę z własnej szkatuły w sumie 5,184 złp.

Nuncjusz papieski życzył gorąco, aby się pożyteczny zakon w Polsce rozwinął i uzyskał w 1793 r. prawne potwierdzenie, że król i wszystkie stany uznają OO. Redemptorystów jako polskie zakonne zgromadzenie.

Tak więc początek był nadspodziewanie szczęśliwy, zdawało się, że wszystko pożytecznemu dziełu sprzyja, niestety jednak kraj nasz był w owym cza-

sie szarpany wewnętrznemi niesnaskami, partja nieprzychylna królowi upatrywała złe strony w każdym jego czynie, niechętnym okiem widziano cudzoziemców, a wieść o niemieckich kazaniach w kościele św. Benona budziła pewną nieufność do przybyłych zakonników.

Prześladowania były tak wyraźne, że O. Klemens miał już zamiar usunąć się z Warszawy, ale nuncjusz zachęcał go do wytrwania.

Przeciwności i niedostatek. Bóg czuwa nad wiernymi sługami swymi.

Król Stanisław August łatwiej dawał przyrzeczenia, niż je wykonywał. Tak też stało się z obiecaną OO. Redemtorystom pomocą i pensja z królewskiej szkatuły nie była im wypłaconą.

Mieszkanie zakonników było w wielce opłakanym stanie. Nie mieli żadnych najpotrzebniejszych sprzętów, ściany opuszczonego klasztoru przesiąknięte były wilgocią, Br. Emanuel gotował skromny posiłek, a często i O. Klemens musiał mu w tem dopomagać.

Pomimo niedostatku Ojcowie pracowali ochotnie i nie wahali się przyjmować towarzyszy, pokładając ufność w Boga, że z czasem będzie lepiej.

Bywały tak ciężkie chwile, że nie miano co do ust włożyć. Razu pewnego, w tak wielkiej będąc potrzebie, O. Hofbauer poszedł do kościoła i z synowskiem uczuciem jął błagać Jezusa w Najśw. Sakramencie utajonego:

— Panie Jezu Chryste! Ratuj swoje dzieci!...

W tejże chwili zadzwoniono u furty i ktoś nieznajomy wręczył dość znaczną sumę na potrzeby klasztoru.

W listopadzie 1794 r. Rosjanie weszli do Warszawy. Nastały potem coraz nowe zmiany, kraj cały był w stanie największego niepokoju. Podczas powstania pod wodzą Kościuszki lała się krew obficie, budziły się nadzieje, sypano szczodre ofiary. O. Hofbauer cierpiał z cierpiącymi, pocieszał, krzepił, nauczał.

Kiedy wojska rosyjskie oblegały Warszawę, św. Klemens patrzał z boleścią w sercu z wyniosłego wzgórza klasztoru na padające granaty, z których trzy w kościół św. Benona trafiły. Padł na kolana, modląc się z całej duszy o łaskę nad polskim ludem. Uczynił jednocześnie ślub odbycia pielgrzymki do Pragi na cześć czeskiego patrona św. Jana Nepomucena.

Warszawa tymczasem ocalała, co można śmiało modłom świętego przypisać, ale Praga cała stała w ogniu, a po strasznej pożodze św. Klemens ratował sam pozostałe bez dachu sieroty i całą ich gromadkę do klasztoru przyprowadził, a potem sam jałmużnę dla nich zbierał, aby wyżywić zgłodniałych.

Podczas tej kwesty spotykał się nieraz z jawną niechęcią lub obojętnością ludzką. W pewnej kawiarni, gdy prosił o zasiłek na chleb dla sierot, jakiś niegodziwiec w twarz mu plunął z pogardą. Ale nie zrażony brutalnością O. Klemens odrzekł z pokorą:

— To dla mnie, a co dla sierot?...

Zawstydzony swym postępkiem, winowajca szczodrą ofiarował jałmużnę.

Fakt podobny opowiadają o ks. Boduenie, misjonarzu św. Wincentego à Paulo, który szpital Dzieciątka Jezus założył w Warszawie. Wedlug wiarogodnych świadectw, oba te wypadki są prawdziwe.

Rozwój zakonu OO. Redemptorystów (Benonów) w Polsce.

Miłosierdzie św. Klemensa i bezgraniczne poświęcenia zdołały w końcu przemódz niechęć do cudzoziemskiego kapłana, tymbardziej, że pochodził on z pobratymczego plemienia i zupełnie fałszywie go początkowo brano za Niemca.

Ale opłakany stan dusz w tych czasach ogólnej niedoli wielce niepokoił szlachetnego kapłana. Zgnilizna niewiary szerzyła się, z Francji biorąc początek. Wolnomularstwo rozwijało się swobodnie. O. Hofbauer ubolewał w każdym liście do Generała zakonu nad rozpaczliwym stanem Warszawy, gdyż na zbawienne nauki misjonarzy odpowiadano nieraz szyderstwem. Jednak wielkie cnoty nowego apostoła poczęły przyciągać wiernych do kościoła św. Benona.

Zakon Jezuitów był już naówczas w Polsce zniesiony, więc żarliwość religijna światłych i pełnych zapału OO. Redemptorystów przynosiła dobro duchowne i w kilka lat po osiedleniu się w Warszawie, jak to św. Klemens sam wyznaje w swych sprawozdaniach wysyłanych do Rzymu ogromnie dużo dobrego zrobić się już udało.

Pomiędzy protektorkami klasztoru św. Benona były panie zacne i możne, które spieszyły z pomocą Ojcom i łożyły na cele miłosierdzia. Warte są zaznaczenia imiona ks. Kazimierzowej i Michałowej Lubomirskich, pp. Kurdłanowskiej, Raczyńskiej, Chrapowickiej. Rodziny Rostworowskich, Lasockich, Czapskich, sprzyjały wielce działalności misjonarzy.

Żona ówczesnego prezydenta Warszawy Dekerta przyprowadzała sama synka na naukę do O. Hübla, a syn jej następnie był wielce czcigodnym biskupem, i wspominał zawsze ze czcią swych zacnych przewodników.

OO. Redemptorystów zwano powszechnie w Warszawie Benonami, od nazwy należącego do nich kościoła. Powoli zaczęły się garnąć do nich wszystkie dusze prawdziwie chrześciańskie, dużo tam było

ludzi ubogich, służących, rzemieślników, bo szczera pobożność zachowała się wśród nich i ugruntowaną była mocniej niż wśród magnatów, a dobroć i wymowa Ojców pociągały ku sobie wszystkich bez różnicy.

Drobne ofiary, owe grosze wdowie, które tak wiele zdziałać nieraz mogą, przyczyniły się w znacznej części do zupełnego odnowienia opuszczonego dawniej kościoła św. Benona, który stał się jednym z najpiękniejszych przybytków chwały Bożej.

Dziś niestety kościół ten został zamieniony na dom mieszkalny, i fabrykę noży (Bieńkowskiego) a kto nie zna dobrze dziejów dawnej Warszawy może nie domyśleć się nawet że na Nowem Mieście przy końcu ulicy Pieszej znajduje się tak cenny dla nas historyczny zabytek przeszłości.

Z zabudowań klasztornych i mieszkania OO. Redemptorystów niepozostało dziś śladu, a jednak był tu prócz tego nowicjat i szkoła staraniem św. Klemensa wzniesiona. Oddzielny budynek stanowił szkołę dla żydów i ewangelików przeznaczoną. Tam przez dwadzieścia lat z górą apostołowali OO. Redemptoryści zachęcając przykładem i słowem i oddając polskiemu społeczeństwu niezrównane zasługi.

Św. Klemens umiał oddziaływać uświęcająco na swoje otoczenie. Najlepszym przyjacielem i towarzyszem pracy był O. Tadeusz Hübl. On był też pierwszym rektorem i zastępcą w zgromadzeniu, w czasie nieobecności O. Hofbauera.

W r. 1790 sześciu już czynnych kapłanów liczono przy kościele św. Benona. O. Karol Jestersheim, Saksończyk, odznaczał się wielkim rozumem, w kościele prowadził śpiewy, gdyż był bardzo muzykalny. Z Francji wygnani księża i zakonnicy chętnie udawali się do Polski.

Czcig. Józef Passerat, z którego żywotem czytelnicy nasi w „Życiu Świętych“ (z 1907 r.) się zapoznali, przybył również w tym czasie do Warszawy i nowicjat tu odbywał. Ks. Mikołaj Lenoir prof. języków wschodnich z seminarjum w Reims także wstąpił do zakonu w Warszawie i jako żarliwy misjonarz bardzo wielu żydów nawrócił. Był jeszcze O. Mercier i O. Vanelet z Francji, a także kilku Czechów i Szlązaków przybyło do zgromadzenia.

Pierwszym Polakiem Redemptorystą był Jan Podgórski, który razem z Passeratem nowicjat odbywał i śluby zakonne złożył. Zasłynął on jako znakomity kaznodzieja. Z Polaków był jeszcze Majewski, Kamiński, Sowiński, Szalski i Sadowski, tak więc coraz więcej polskiego żywiołu przybywało, wszyscy jednak księża, nawet i cudzoziemcy spowiadali po polsku, a św. Klemens biegle też polskim językiem władał.

We 12-cie lat po przybyciu jego do Warszawy to jest 1799 r. zgromadzenie Redemptorystów liczyło 9 kapłanów, 2 djakonów, 2 subdjakonów, 3 kleryków, 2 nowicjuszów, 7 braciszków do posługi.

Wszystkich łączyła miłość braterska, wielka gorliwość religijna i wspólne misyjne cele ku chwale Bożej i dusz zbawieniu.

Anioł pocieszyciel. Owocna praca nad zbawieniem dusz.

Św. Klemens zżył się z naszą ojczyzną i szczerze ją pokochał. Niedola narodu tem bliższym go szlachetnemu sercu czyniła. Lud warszawski począł zwać O. Hofbauera aniołem pocieszycielem zesłanym w tej ciężkiej chwili z nieba. Liczba Komunji św. z rokiem każdym wzrastała, a w r. 1807 u św. Benona rozdano 104,000 komunikantów, o czem donosząc Generałowi św. Klemens czyni uwagę, że byłoby jeszcze znacznie więcej, gdyby liczba Ojców się zwiększyła i kościół był obszerniejszy.

Od piątej z rana już zasiadali Ojcowie do konfesjonałów a jeden z najmłodszych katechizował. Cały dzień był zajęty po mszy św. kazaniami i naukami; codziennie jeden z kleryków obchodził Drogę Krzyżową w około kościoła, przy każdej stacji stosowną wygłaszając naukę. Na to nabożeństwo spieszyli ochotnie ludzie zajęci całodzienną pracą i odnosili korzyść nie małą, jak to św. Klemens w jednym z listów zaznacza.

Kończyły się dzienne zajęcia rachunkiem sumienia, odmówieniem aktów wiary, nadziei i miłości oraz pieśnią nabożną.

Ojcowie mieli dar rozbudzania nieustannego zapału wśród ludu; niepodobna zliczyć wszystkich nawróconych grzeszników, gdyż w przeciągu lat wielu trwała jakby ustawiczna misja.

Św. Klemens radował się niezmiernie widząc błogosławione owoce tej ciągłej pracy i nie zwracał uwagi, że nie którzy ludzie świeccy a niestety i duchowni ganili zbyteczną według nich gorliwość i zwali OO. Redemptorystów fanatykami.

Tymczasem w praktyce okazało się jak dalece potrzebnemi były te podniosłe misje, gdyż nie tylko całe miasto ale i dalsze okolice korzystały z nauk niestrudzonych misjonarzy.

Św. Klemens pisał w 1801 r.

„Owoce zebrane z naszych nabożeństw są niesłychane. Przychodzą do nas dla słuchania słowa Bożego nawet z oddalonych prowincji, pozostając trzy, pięć, lub ośm dni, przystępują do ŚŚ. Sakramentów i wracają do domu pokrzepieni na duchu łaską Bożą“. W innych kościołach tylko raz w tydzień bywały kazania ale za przykładem OO. Redemptorystów poszło kilka innych zgromadzeń.

Nie posiadamy wszystkich szczegółowych świadectw o działalności pierwotnej czcig. Ojców w na-

szym kraju lecz dostatecznem jest przeczytać list arcyb. Litta (ostatniego nuncjusza stolicy apostolskiej przy polskim dworze) aby mieć pojęcie o zbawiennej ich pracy.

„O. Klemens, pisze on, jest zaprawdę mężem apostolskim, pełnym zapału dla chwały Bożej i zbawienia dusz. W swej gorliwości i czujnej miłości bliźniego, za pomocą łaski Bożej dokonuje prawie cudów. Przy kościele św. Benona są wciąż tłumy ludu od świtu do nocy; od rana do zmroku zakonnicy nic innego nie robią, tylko spowiadają, każą i dają błogosławieństwo Przenajśw. Sakramentem. Cztery kazania dziennie, dwa z rana a dwa po południu; co rano jedno po polsku, a jedno po niemiecku, tak samo po południu. Napływ ludu jest wielki, a można też widzieć i owoce tej pracy w zmianie życia tych, którzy uczęszczają na nabożestwa do św. Benona. Możeby się zdawało, że czynią za wiele. Nie, nie jest to za wiele w stosunku do wielkiej potrzeby, w której się znajdują mieszkańcy kraju, gdzie inni mało się starają o pracę w winnicy Pańskiej. To też nie mogłem się odważyć radzić tym Ojcom, żeby porzucili nie które ze swych prac, widząc, że każda przynosi tak obfite owoce, a nawet obawiałbym się przez to sprzeciwiać woli Bożej i psuć Jego dzieło".

Czyż może być chlubniejsze świadectwo i to przez naocznego świadka wydane.

Szkoły i zakłady dobroczynne OO. Benonów. Nieustanna misja. Nowe fundacje.

Św. Klemens ogromnie dbał o dobry duch wśród młodzieży wstępującej do zakonu, sam był mistrzem nowicjuszów i razem z O. Hüblem uczył kleryków teologji. Dobierał zawsze najzdolniejszych pomocników, takimi byli O. Passerat i O. Podgórski.

Papież Pius VI dowiedziawszy się o ubóstwie OO. Redemptorystów wyznaczył im sto skudów od św. Kongregacji Propagandy, przyczem wyraził o św. Klemensie i jego towarzyszach, że widoczną jest w nich gorliwość ich fundatora. Pozwolił Ojcom założyć szkołę, która cieszyła się takiem uznaniem, że w r. 1793 liczono uczniów obojej płci 350.

Wielu bardzo godnych kapłanów wyszło z tej wzorowej uczelni OO. Benonów. Ufundowane przez św. Klemensa zgromadzenie pod wezwaniem św. Józefa miało na celu opiekę nad sierotami. Miały one troskliwą opiekę, naukę religji i rzemiosł dla zapewnienia bytu w przyszłości.

Przy pomocy O. Bresslera, czecha, oraz kilku osób poważnych, o moralność wielce dbałych założył św. Klemens pierwszy dom poprawy dla kobiet złego życia, o czem świadczą dokumenta w archiwum arcybiskupstwa warszawskiego przechowane.

Był też św. Klemens kierownikiem duchownym PP. Sakramentek, których klasztor sąsiadował z kościołem św. Benona. Pomagał zgromadzeniu dobrą radą i kilka młodych osób nakłonił do wstąpienia do tego zakonu. Było to właściwie zgromadzenie Benedyktynek, zwano zaś je u nas Sakramentkami, ponieważ wprowadzoną tam została nieustająca adoracja Najśw. Sakramentu. W kościołach PP. Karmelitanek i Wizytek również miewali nieraz kazania OO. Redemptoryści.

Imie św. Klemensa wraz z 15 księżmi i dwoma klerykami ze zgromadzenia Najśw. Odkupiciela, zapisane jest w księdze archikonfraterni literackiej zostającej pod szczególną opieką Najśw. P. Marji Niepokalanej i św. Andrzeja. Bractwa te zawiązane były na pamiątkę iż Najśw. Panna wysłała list do Rzymian przez św. Pawła nawróconych w Mesynie i miały zawsze na celu odbywanie nabożeństw w cześć Matki Boskiej, wykonywanie uczynków miłosiernych i wzajemne wspomaganie się członków bractwa w razach nieszczęść i klęski. Warszawskie arcybractwo literackie istnieje od 1507 r. i dotąd rozwija się pomyślnie przy katedrze św. Jana.

Wszędzie więc znajdujemy ślady pracy i gorliwości dla dobra religji katolickiej, której św. apostoł naszej Warszawy tak nadzwyczajne oddawał usługi.

Sława pobożności i przekonywającej wymowy OO. Redemptorystów rozchodziła się szeroko po całym kraju i dopominano się o wysłanie misjonarzy na prowincję. Zgodne to było z pragnieniem czcig. przełożonego zakonu ale trudno było rozdrabiać nie zbyt liczne zgromadzenie, mające w Warszawie dostateczne pole działania. Zwłaszcza biskup kurlandzki usilnie nastawał na przysłanie misji w celu nawracania protestantów, gdyż w Mitawie wielki brak księży uczuć się dawał.

Na przedstawienie św. Klemensa O. Generał odpowiedział twierdząco i zaaprobował fundację w Kurlandji. Niezwłocznie (w 1795) wysłał św. O. Hofbauer dwóch żarliwych misjonarzy, O. Jana Rudolpha i O. Józefa Wicherta oraz kleryka Kamińskiego do Mitawy. Pozyskali oni wkrótce ufność ludu i wielu protestantów przybywało nawet ze stron dalszych, aby słuchać ich nauk, a szkoła katolicka przez OO. Redemptorystów założona bardzo zbawienny wpływ wywarła i dużo ludzi nawróciło się na łono prawdziwego Kościoła.

Nawet Niemcy uznawali wielkie zasługi św. Klemensa, czego dowodem jest życzenie barona Augusta Hoyola, prusaka i protestanta, który chciał koniecznie w dobrach swych (Lutkówka w pow. błońskim) parafję OO. Redemptorystom powierzyć. Ponieważ jednak reguła zakonu zabrania obsługi

wania parafj, św. Klemens nie mógł się zdecydować na to bez odwołania się do Rzymu. Z aktów parafjalnych widzimy, że w Lutkówce O. Schöter, O. Michał Sadowski i O. Karol Monet z Warszawy przebywali lat kilka do 1808 r. owocnie pracując nad ludem nie będąc jednak odpowiedzialnymi za parafję, gdyż był jednocześnie proboszczem ks S. Piekarski.

W tym czasie utworzył również św. O. Hofbauer fundację w Radzyminie, gdzie czcig. kapłan, O. Kownacki pozyskał sobie serca ludności miejscowej i pracował gorliwie nad poprawą obyczajów zachęcając do ćwiczeń duchownych wzorem nie strudzonego kierownika.

Misja w Brochowie i Iłowie.

Podczas rządów pruskich misje OO. Redemptorystów spotykały się z wielkimi trudnościami, trzeba było bowiem odwoływać się do Berlina. Podczas misji w Brochowie i w Iłowie w 1801 r. zjechała policja niby dla pilnowania porządku, nieraz i proboszczowie niechętnym okiem patrzyli na gorliwych misjonarzy.

O, takim fakcie wspomina św. Klemens w sprawozdaniu listownem do Generała:

„Zaledwie misja się rozpoczęła, pisze on, doznaliśmy potężnej opieki Najśw. Panny Marji, która odmieniła w sposób zupełnie nadzwyczajny serca naszych przeciwników, a przedewszystkiem najzaciętszego z nich, samego ks. proboszcza, który po pierwszem wieczornem kazaniu przybył do mieszkania misjonarzy, padł przełożonemu do nóg i tak rzewnie płakał że przez kwadrans nie mógł wymówić ani słowa. Gdy się wreszcie uspokoił, wyznał swą winę i błagał o przebaczenie. Ojcowie przyjęli go jak najżyczliwiej i pocieszonego pożegnali. Od tej chwili zmieniły się serca wszystkich, misja odbyła się bez żadnego zamieszania, z jak największym pożytkiem dla dusz“.

Starano się obudzić kilkakrotnie popłoch wśród ciżby, wołaniem: Gore! to znów sprawiano zamieszanie krzycząc, że ktoś się zadusił w tłumie, były to szatańskie psoty, ku oderwaniu uwagi skupionego pobożnie ludu, jednak na szczęście żadna zła przygoda nie zamąciła dobrego nastroju, a misja wydała jak najlepsze plony. Wielu wiernych doznało pociechy oglądania cudu, gdyż na ołtarzu św. Józefa ukazała się wyraźnie w obłoku postać Bogarodzicy, a widzenie to dość długo trwało.

Aż do końca swego pobytu w Polsce św. Klemens wysyłał ustawicznie misjonarzy w różne strony, aż dopóki nie zmusiły go nieprzyjazne okoliczności do opuszczenia kraju naszego na zawsze.

Cnoty apostoła Warszawy.

Św. Klemens przedstawia wzór zupełnego zaparcia się siebie i umiłowania Boga nadewszystko.

Po wytężonej całodziennej pracy spędzał zwykle w nocy długie godziny na modlitwie lub rozmyślaniu z oczami utkwionemi w wizerunek Jezusa Ukrzyżowanego. Mówiąc o Najśw. Sakramencie zapalał się ogniem miłości, twarz jego miała wyraz natchniony. Wierny zasadom św. Alfonsa Liguorego nazywał ubóstwo błogosławieństwem.

Kiedy ktoś opowiadał z zachwytem o cennym klejnocie, który na własne oczy oglądał, św. Klemens rzekł na to:

— Trzymałem dziś w ręku skarb stokroć większy, a tym jest Pan Jezus w Najśw. Sakramencie. Czyż warto chełpić się z oglądania i dotykania prochu i popiołu?

Ktoś ze współczesnych wyraził się o O. Hofbaurze, że „cała jego postać jaśnieje niebiańską czystością i sam jego widok nasuwa myśli czyste“. Sam będąc wzorem tej umiłowanej przez swiętych cnoty starał się ją wszczepiać w młodzież i kapłanów; posłuszeństwo również gorąco zalecał uważając je za kamień węgielny życia zakonnego.

Do jakiego stopnia był obowiązkowy w pełnieniu założonych zadań poświadczają wszystkie jego czyny. Zawsze przychodził pierwszy na codzienne ćwiczenia i nigdy się nie spóźnił na rozmyślania poranne.

Postami i suszeniem ciało swe trzymał w karności, biczował się dyscypliną, nosił ostry pasek na ciele, a przytem szczególny nacisk kładł na wewnętrzne umartwienia, tak pożyteczne w wyrabianiu hartu i doskonaleniu się w cnotach. Będąc dość popędliwym z natury tak potrafił okiełznać swe porywy, że umiał znosić nawet obelgi w pokornem milczeniu. Kiedy zaś czuł że ogarnia go gniew, dość mu było wznieść oczy ku niebu, aby opanować siebie w zupełności.

Podziwiano ogólnie roztropność, z jaką rządził zgromadzeniem, wywiązując się zawsze w sposób wzorowy z trudnego zadania. Zauważywszy w podwładnych jakie ułomności oduczał powoli, lecz stanowczo, karcąc zwłaszcza za próżność i pychę. Umiał też wzbudzać w nich głębokie przywiązanie do Kongregacji, jakby do wspólnej matki i przyczynił się hojnemi ofiarami do wywyższenia sw. fundatora na ołtarze.

W czasie beatyfikacji św. Alfonsa Liguorego w 1816 r. nie był już w Warszawie.

Ks. Prusinowski opisując św. apostoła Warszawy tak o nim pisze:

„Gdy O. Klemens szedł przez ulice Warszawy wszyscy zwracali nań oczy, jako na męża nadzwyczajnej świętości. Jeżeli się zjawił w towarzystwie

witano go jak świętego, pragniono dotknąć się kraju jego sukni, a nie którzy z szacunkiem ją całowali. Którędy przechodził matki rzucały mu się do nóg, trzymając na rękach dziatki i prosząc o błogosławieństwo dla nich. On zaś z postacią pełną godności, z twarzą zawsze rozpromienioną i z okiem przenikającem, każdemu okazywał oznaki dobroci i życzliwości".

z obcym rządem iść ręka w rękę; chcieli Prusacy narzucić tych właśnie ludzi na nauczycieli w szkole OO. Redemptorystów. Św. Klemens odmówił i odtąd rozpoczęły się rozmaite prześladowania. Zniesiono łacinę, tak konieczną dla przyszłych kapłanów, do nowicjatu nie wolno było przyjmować przed 24-ym rokiem życia; nowicjuszom zabroniono nosić suknie zakonne, a po roku próby kazano zdawać

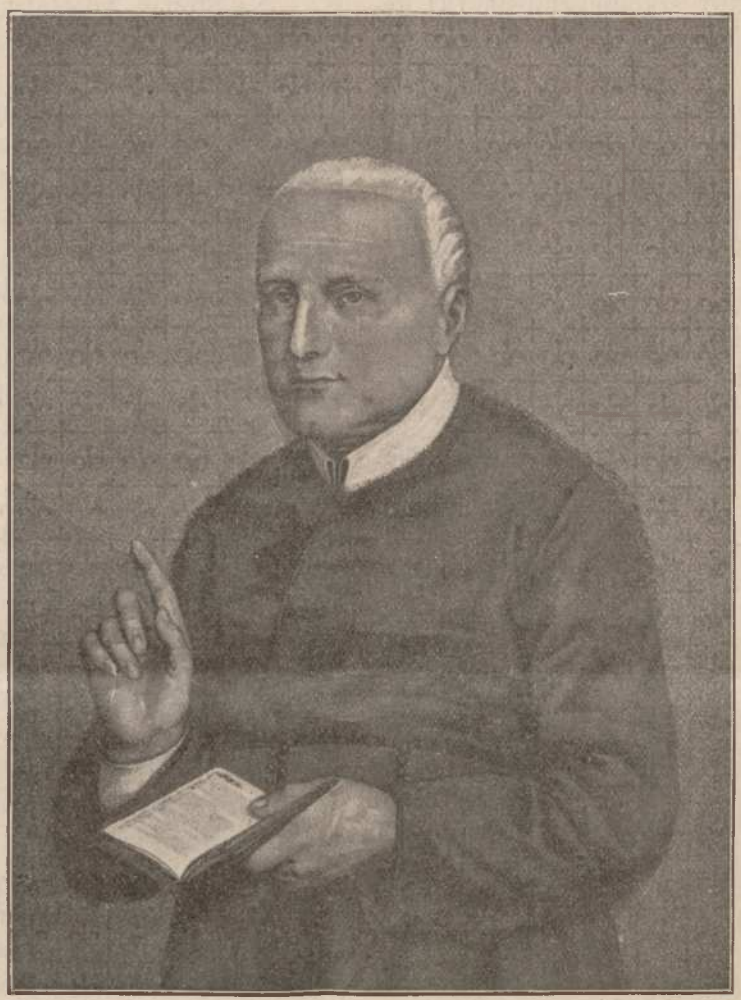

Święty Klemens Marja Hofbauer kanonizowany w 1909).
Apostoł Warszawy.

Pruskie czasy. Masońskie knowania. Podróże w celach zdobycia nowych placówek dla zakonu.

Smutne były dla kraju naszego tak zwane „czasy pruskie". Król pruski należał do loży masońskiej, szerzyło się więc niedowiarstwo i niemoralność.

Z wielką chytrością starano się zniemczyć naród polski, a sądząc, że niemieckie nazwisko O. Hofbauera jest rękojmią jego wspólnictwa w tem dziele zagłady narodowościowej, starano się go przeciągnąć na swoją stronę. Z początku nie mieli profesorów zupełnie sobie oddanych, po kilku latach znaleźli się odstępcy od wiary, żonaci księża, gotowi egzamin przed komisją rządową, złożoną z niedowiarków lub wrogów katolicyzmu. Wszystkie te obostrzenia miały na celu odebranie zakonowi jego dotychczasowego znaczenia. Na podane warunki św. O. Hofbauer odpowiedział, że ani on, ani nikt ze zgromadzenia nie poda ręki zgody i do wymagań rządu pruskiego zastosować się nie może.

Pisał tymczasem do O. Tannoji z gorącą prośbą o modlitwy Ojców we Włoszech, gdyż wielki ucisk zapanował w Polsce. „Niedowiarstwo, pisze on, ogarnęło rząd, pod którym żyjemy, napastują obecnie duchowieństwo, religja katolicka nie jest wprawdzie bezwzględnie wzbronioną, wszystkie jednak przygotowania poczyniono, aby zaginęła".

Duchowieństwu nie dozwolono odnosić się do przełożonych zagranicznych, a natomiast kazano wyłącznie poddawać się miejscowej władzy. List św. Klemensa datowany 3 stycznia 1800 r. coraz smutniejsze głosi wieści. Ubolewał święty mąż nad zgubnemi skutkami rządu w sprawach dyscypliny kościelnej. Zakonnicy zrzucali habity, opuszczali klasztory, wszystko było w zupełnem rozprzężeniu.

Nie przyjęcie reformy szkolnej zmusiło OO. Redemptorystów do wyrzeczenia się swej działalności wychowawczej. Zaczęto rozpędzać lud, zbierający się w godzinach wieczornych w kościele św. Benona. Na każdym kroku dawał się uczuć wielki ucisk, a masoni rzucali wciąż oszczerstwa na zacnych Ojców, chcąc do nich lud zrazić. Przyszło zapytanie od władzy, na jakiej zasadzie O. Hofbauer przez tyle lat jest przełożonym w Warszawie,na co św. Klemens przesłał kopję swego dyplomu na dożywotniego zastępcę generała poza Włochami.

Już oddawna O. Hofbauer marzył o rozszerzeniu zakonu, czując, że w nieszczęśliwej Polsce coraz trudniej utrzymać się na stanowisku, więc chciał mieć zabezpieczone inne pola pracy. Pragnął w Niemczech upatrzyć miejsce dla przygotowania misjonarzy do Szwecji, te plany jednak zawiodły.

Wspominaliśmy już, że podczas oblężenia Warszawy przez Suworowa, św. Klemens uczynił ślub odwiedzenia grobu św. Jana Nepomucena w Pradze, co uczynił niezwłocznie (w 1795 r.) i zwiedził naówczas Szwajcarję, czyniąc starania o fundację zakonu w tym kraju. W drugiej podróży zagranicę, przedsięwziętej w tymże celu w 1797 r. miał przykre zajście z austryjackiemi władzami, odwiedziwszy bowiem rodzinne strony, kilku młodzieńców nakłonił do poświęcenia się służbie Bożej. Za to ścigał go rząd i czas jakiś uwięziony był O. Hofbauer w krakowskim klasztorze OO. Dominikanów, zamienionym na więzienie przez Austryjaków.

Fundacja w Taborze.

Wszystkie przeciwności nie zrażały gorliwego Ojca Klemensa, a raczej były mu nową podnietą do dalszej pracy.

W 1802 r. znowu zajaśniała nadzieja, że można będzie w dzisiejszem ks. Badeńskiem rozpocząć nową fundację: Książę Jan Szwarcenberg ofiarował na ten cel swój zamek Tabor w okolicach Szafuzy na alpejskiej górze wzniesiony.

Późną jesienią św. Klemens z O. Hüblem i bratankiem swym Franciszkiem, którego podczas odwiedzin w Tasowicach do zakonnego życia powołał, oraz młodym klerykiem Janem Sabellim wyruszyli do Taboru. Początki były trudne, zamek niemal w zupełnej ruinie, ale cieszyli się Ojcowie z nowego gniazda i wnet rozpoczęli prace nad okolicznym ludem. Urządziwszy jako tako nowy klasztor, powierzył św, Klemens rządy O. Passeratowi, mianując go przełożonym, sam zaś z O. Hüblem udał się do Rzymu. Było to już w lecie w r. 1803.

OO Redemptoryści w Trybergu i Babenhausen. Miłosierdzie O. Hofbauera.

Na Stolicy Apostolskiej zasiadał natenczas dawny opiekun O. Hofbauera, biskup Tivoli, Grzegorz Chiaramonti, który nadał mu imię Klemensa, a sam jako papież sprawował rządy Kościoła pod imieniem Piusa VII. Musiał on prowadzić ustawicznie układy z Napoleonem I, który właśnie miał koronować się w Paryżu i zmusił papieża do przybycia na tę uroczystość.

Pius VII wielce zakon św. Alfonsa poważał i z ogromną radością powitał O. Hofbauera, obdarzając łaskami i przywilejami dla łatwiejszego apostołowania w całej Europie. W powrotnej drodze do Warszawy św. Klemens wstąpił jeszcze do Taboru, aby Braci pokrzepić i w 1804 r. do Polski powrócił.

Teraz miał podwójne strapienia, gdyż Prusacy coraz więcej gnębili Ojców; z Taboru zaś przychodziły smutne wieści o głodzie i chłodzie, dających się dzielnym misjonarzom we znaki. Obecność O. Hofbauera okazała się koniecznie potrzebną, zabrał więc z sobą kleryka Ludwika Czecha, (który został następnie bardzo gorliwym misjonarzem i założycielem klasztorów we Francji) i razem udali się pieszo do Taboru. O. Ludwik następnie bardzo szczegółowo tę podróż opisał.

Z miasteczka Trybergu przysłano z prośbą do OO. Redemptorystów z Taboru, aby zechcieli podjąć się obsługiwania kościoła, gdzie był cudowny obraz Matki Boskiej. Rozpoczęły się więc nowe prace ku pożytkowi bliźnich, ale zaczęto intrygować i protestanckie władze postarały się o wydalenie Ojców z Tryberga.

Wypadło przenieść się do Babenhausen, gdzie przy pomocy wikarjusza generalnego udało się otrzymać przytułek dla zgromadzenia. Tu znowu widzimy św. Klemensa rozwijającego zbawienną działalność, natłok ludzi przy każdem nabożeństwie, wzniosłe nauki Ojców i liczne nawrócenia na łono Kościoła.

Jak dalece kochanym był O. Hofbauer i czczonym jeszcze za życia wśród wdzięcznego mu ludu, świadczy zdziwienie pewnego wieśniaka z okolic Babenhausenu, kiedy się dowiedział, że rozpoczętą jest sprawa kanonizacji błog. Klemensa.

— Jakto? zawołał ze zdumieniem, chcą go dopiero teraz świętym zrobić, a przecież on był już świętym, gdy tu wśród nas przebywał!

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Kiedy Prusacy uniemożliwili wychowanie nowicjuszów w Warszawie, O. Hofbauer sprowadził młodzież tę do Babenhausen, ale i tu z powodu zmian politycznych stanowisko misjonarzy zostało wkrótce zachwiane. W tym czasie spotykamy nazwiska Polaków pomiędzy OO. Redemptorystami, jak n. p. Biedrzycki, Szulski, Nosalewski, którzy zawezwani przez O. Klemensa zagranicę już więcej do kraju nie powrócili, a za to w Szwajcarji i Francji dopomagali do rozwoju zakonu.

Opowiadają współcześni O. Hofbauerowi wiele budujących przykładów wpływania na grzeszników. Nie tracił bowiem nigdy sposobnej chwili i w częstych swych wędrówkach wielce pożytecznych czynów dokonał.

Raz jadąc dyliżansem miał za przygodnego towarzysza podróży jakiegoś zuchwałego młodzieniaszka, który widząc księdza przed sobą, począł bluźnić i lżyć misjonarzy. Św. Klemens słuchał w milczeniu, znosząc cierpliwie urągania. Zdarzyło się, że dojeżdżając do następnej stacji, młodzik ten nagle się rozchorował. Święty mąż niepomny uraz, wyniósł go na własnych rękach z karetki, czuwał nad nim z ojcowską troskliwością i tak swą niezrównaną łagodnością serce skruszonego winowajcy pozyskał, że ten zawołał wzruszony:

— Gdybym wcześniej spotkał w życiu tak cnotliwego kapłana, nie byłbym doszedł do smutnego duchowego stanu, w jakim się dziś znajduję!

Księstwo Warszawskie. Prześladowania. Śmierć O. Tadeusza Hübla.

W całej Europie mówiono wciąż o zwycięztwach Napoleona I. Polacy pokładali też w cesarzu francuskim nadzieje i owacyjnie przyjmowała go Warszawa w 1806 r. Pomimo, że skończyły się rządy pruskie, dla religji katolickiej nie nastały lepsze czasy. Duch niedowiarstwa opanował wiele umysłów, Francuzi podsycali niechęć do duchowieństwa, dochodziło nawet do ulicznych napaści na OO. Redemptorystów. Sam św. Klemens wyrażał się o tych prześladowaniach po wygnaniu z naszego kraju:

— Nikt sobie wystawić nie może, cośmy mieli do zniesienia, dopiero na sądzie ostatecznym wszystko to jawnem się stanie.

Umiał jednak ten mąż Boży krzepić się i w drugich budzić nadzieję lepszej doli. Ale Bóg zesłał nań ciężką próbę, odbierając mu ukochanego pomocnika i towarzysza lat młodych, czcig. O. Hübla. Był to kaznodzieja wymowny, władający biegle sześcioma językami, spowiednik doskonały, poszukiwany zarówno przez magnatów, jak i najuboższych i zawsze gotów na bliźnich usługi, Niestety, kilku łotrów porwało go podstępnie za to, że starał się odciągnąć od przechodzenia na wiarę luterską lub kalwińską niewiasty polskie, inowiercom poślubione.

Spętanego Bożego sługę lżono i bito, znęcając się nad nim w sposób tak okrutny, że zaledwie żywego odstawiono do klasztoru. Pomimo ciężkich obrażeń ciała O. Hübl w parę dni potem zwlókł się z łoża boleści, aby spowiadać umierających w szpitalu włoskich żołnierzy.

Chociaż jednak duch miał silny stan zdrowia nie mógł znieść tak wielkiego wysiłku, a przytem od chorych zaraził się tyfusem i umarł świątobliwy ten kapłan d. 4 lipca 1807 r. osierocając zakon, gorąco przez Braci żałowany, zwłaszcza zaś św. Klemens odczuł boleśnie ciężką stratę. Czuwał przy swym drogim przyjacielu do ostatniego tchnienia, a w listach jego pisanych po zgonie O. Hübla widać wielką, serdeczną żałość. Przeczucie mówiło mu, że nastąpią jeszcze nowe ciosy i klęski.

Pogrzeb O. Tadeusza był tak wspaniały, jak gdyby conajmniej jakiś panujący zeszedł ze świata, a był to szczery objaw uczucia wdzięcznego ludu, chcącego uczcić umiłowanego kapłana, który po 20 latach pracy w naszym kraju zmarł jak męczennik prawdziwy, padłszy ofiarą okrucieństwa i złości bezbożników, a także jak dzielny żołnierz na stanowisku, pełniąc do ostatniej chwili dzieło miłości bliźniego.

Ten objaw ogólnego żalu był tryumfem dla zakonu i niemałą pociechą dla strapionego serca św. Klemensa. Jakby w nagrodę obojętności religijnej niektórych nawet wyższych umysłów, nauką francuskich filozofów obałamuconych, wielu zamanifestowało swe przywiązanie do wiary przodków i w żadnym roku nie liczono tylu ludzi, przystępujących do Komunji św. w kościele św. Benona, jak w r. 1807, liczba ich bowiem do stu tysięcy dosięgła. Protestanci nawracali się ochotnie i zdawało się że nastają istotnie lepsze czasy, ale trwało to niedługo, jak jasny promień słoneczny przed straszną nawałnicą. Zanadto zwolennikom wolnomularstwa solą w oku byli pobożni Ojcowie, używano więc wszelakiej broni, ażeby się ich co rychlej pozbyć z Warszawy.

Zajście w kościele podczas rezurekcji. Dekret, skazujący OO. Redemptorystów na wygnanie.

Najulubieńszym orężem łotrów jest oszczerstwo; poczęto więc walczyć tą bronią z czcigodnymi Ojcami, rozpuszczając pogłoski, że knują spiski przeciw rządom Napoleona i prowadzą korespondencje z rządami nieprzyjaznemi Polsce i Francji. Zarzut to był fałszywy i bezpodstawny, chodziło jedynie o to, aby przerwać i zniweczyć wpływ zbawienny apostołów wiary i dobrych obyczajów.

D. 16 kwietnia w 1808 r. w Wielką Sobotę podczas rezurekcji w kościele św. Benona kilku pijanych francuskich oficerów wywołało umyślnie wiel-

kie zamieszanie; powstał popłoch, bójka, wiele osób, a pomiędzy innemi jeden z księży, został srodze poturbowany, koniec końców, ludzie złej woli potrafili tak ministrowi wyznań sprawę przedstawić, że jakoby sam ks. rektor francuskiego, Bogu ducha winnego oficera w twarz uderzył. W ten sposób rozpoczęła się akcja zaczepna, mająca mieć w dalszym ciągu tak smutne skutki. Udowodnić winy ks. rektora nikt nawet się nie silił, ponieważ rzecz to była naprzód ukartowana i nie chodziło o dochodzenie prawdy, ale bądź co bądź chciano gwałtem uzyskać dekret zniesienia zakonu św. Alfonsa w Polsce.

Król Saksoński Fryderyk August, będący niby naczelną władzą w naszym kraju, bawił wówczas w Dreznie, ale ponieważ znał i wysoce cenił św. Klemensa, nie chciał przyłożyć ręki do dzieła zagłady zakonu i kazał sobie przedstawić prawne dowody rzekomej winy OO. Benonów. Nieprzyjaciele księży zwrócili się wprost do Napoleona I, przedstawiając zakonników jako burzycieli ludu, trzymających z nienawistnymi cesarzowi Burbonami, a tego było dość, ażeby Napoleona jak najgorzej dla niewinnych zakonników usposobić. Wysłał więc niezwłocznie gońca do Drezna, zmuszając króla saskiego do potępienia działalności OO. Redemptorystów w Warszawie.

Żeby mieć pojęcie o samowoli niecnego tyrana, dość jest przytoczyć list jego, pisany do marszałka Davousta, dowódzcy pierwszej komendy Wielkiej Armji w Warszawie, w odpowiedzi na zażalenie przeciw OO. Redemptorystom wniesione:

— „Przeczytałem z jak największą rozwagą twoje sprawozdanie o zakonnikach w Warszawie zamieszkałych. Zdaje się, że należą do tej samej kategorji co i ci, których z Włoch i Francji wygnać kazałem. Wydaję więc naglące zlecenie do dworów niemieckich, ażeby ich wypędzono. Tych mnichów *wymyślono* istotnie przed kilku laty i usiłowano nimi zalać Francję; skasowałem ich zgromadzenia, nakazałem zamknąć ich domy i odesłać każdego do miejsca pochodzenia. Nie wątpię, że król saski wyda rozkazy wypędzenia tych mnichów z państwa polskiego. Zdasz mi sprawę w przeciągu miesiąca z tego, co uczyniono".

Król saski, aczkolwiek z żalem zastosował się do woli potężnego Napoleona, niby na tej zasadzie, że synowie św. Alfonsa są dla Księstwa Warszawskiego niebezpieczni, gdyż zajmują się sprawami politycznemi. Mają więc niezwłocznie być wydaleni, pozostawia się im wolność zabrania osobistej własności, rozkazuje się wydać zapomogę na podróż, dokonaną ma być rewizja wszystkich papierów i dokumentów, kościół zamknięty do dalszych rozkazów.

Taki wyrok podpisał Fryderyk August d. 9 czerwca 1808 r. I oto dzieło długoletniej, wytrwałej pracy zacnych Ojców zostało naraz zdruzgotane, jak gdyby uderzeniem gromu. Wrogowie Kościoła tryumfowali, a świątobliwi pracownicy w winnicy Pańskiej z poddaniem się Woli Bożej znieśli ten cios, złością ludzką wymierzony, pocieszając się ewangelicznemi słowami:

Błogosławieni prześladowani...

Istotnie położenie było rozpaczliwe i tylko głęboka ufność w miłosierdzie Boże mogła dodawać siły do zniesienia tak wielkich przeciwności.

Ostatnie chwile przed zniesieniem zakonu Redemptorystów w Polsce. Wygnanie.

W Oktawę Zielonych Świątek d. 5 czerwca 1808 r., gdy św. Klemens modlił się przed Najśw. Sakramentem doznał nagłego wstrząśnienia, którego sobie nie mógł wytłumaczyć inaczej, jak objawieniem, że coś doniosłego wielce stać się ma w onej chwili. Niedługo potem urzędnik policyjny przebrany po cywilnemu oznajmił mu, że otrzymano dekret znoszący zgromadzenie i radził od siebie zniszczyć wszystkie papiery przed rewizją. Z własnych ust św. Klemensa dowiedzieli się natychmiast wszyscy zakonnicy i klerycy o tem co ich czeka; przełożony pocieszał w sposób wzniosły zgromadzonych, nastąpił podział drogocennych relikwji i czyniono pośpiesznie przygotowania do wyjazdu, zachowując przed obcymi najściślejszą tajemnicę. Oczekiwana wiadomość nie nadchodziła, a właściwie ociągano się z wypełnieniem wyroku w obawie wywołania rozruchów w całem mieście. W dzień Bożego Ciała po raz ostatni obchodzili Ojcowie jak zwykle ołtarze błogosławiąc umiłowanemu ludowi. Następnego dnia 17 czerwca przybył oddział wojska, otoczono kościół i klasztor, podczas gdy każdy z Ojców pełnił swoją powinność. Kazano im niezwłocznie opuścić konfesjonały, drzwi kościoła opieczętowano, wiernych wyprawiono, nie mówiąc o co chodzi. Sporządzono spis członków zakonu, (było obecnych w Warszawie 17 księży 11 kleryków i 10 braciszków) poczem przetrząsano cele szukając skarbów ukrytych lub śladów mniemanego spisku. Oznajmiono wreszcie, że członkowie zgromadzenia są więźniami we własnym domu i nie wolno im mieć żadnych z miastem stosunków. Na drugi dzień rozpoczęły się badania i odczytanym został wyrok skazujący na wygnanie.

Zapytywano kolejno do jakiej granicy pragną być odstawionymi? Wszyscy jednozgodnie życzyli sobie udać się do Galicji. Namawiano kleryków do zrzucenia sukni duchownej, co im da możność pozostania w kraju. Jeden niestety znalazł się odstępca w tej ciężkiej chwili, był nim kleryk Raczkowski, inni jednak z oburzeniem odrzucili wszelkie namowy, nie chcąc sprzeniewierzyć się ślubom złożonym Bogu wytrwania w zakonie aż do śmierci.

Wzruszający był widok stałości młodego djakona Filipa Grenbera, którego ojciec był szambelanem dworu i wpadł z gniewem lżąc zakonników, że mu syna odebrali, do zakonnego życia zachęcili. Napróżno gromił i namawiał Filipa do wystąpienia z zakonu, groził mu nawet oddaniem do domu obłąkanych, jednak takiemu okrucieństwu sama komisja oparła się, biorąc stronę młodziana.

O. Blumenau, wymowny kaznodzieja, podjął się bronić zakonu przed komisją. Na nic się to nie przydało, marszałek Davoust nalegał na pośpieszne wywiezienie zgromadzenia chcąc klasztor oddać do rozporządzenia oddziału artylerji.

Lud począł burzyć się i wyrzekać, że im Ojców zabierają. Pewien malarz przedostał się przez kordon wojska otaczającego wciąż klasztor i chciał Ojców sportretować, ale go policja schwytała.

20 czerwca do dnia wsadzono po pięciu zakonników na wozy i otoczonych strażą dostawiono do granicy. Po drodze spotykały ich oznaki szczerego współczucia, żegnano wygnańców ze łzami i obdarzano żywnością na drogę, szląc tysiące błogosławieństw.

Osadzono Ojców w kistrzyńskiej fortecy położonej przy ujściu Warty do Odry w Prusach Przywiódł ich tam oddział kawalerji polskiej pod dowództwem generała Szymanowskiego. Obchodzono się z więźniami dość łaskawie, każdy dostał oddzielną celę i mogli spokojnie odprawiać nabożeństwo we wspólnej na prędce urządzonej kaplicy.

Św. Klemens nie przestawał ani na chwilę rządzić zgromadzeniem, zaprowadził porządek dzienny i ćwiczenia zakonne na wzór warszawskiego klasztoru. Śpiewano pieśni pobożne, do czego sam przełożony zachęcał i udział przyjmował. Czynił on starania, aby król saski dał zakonowi przytułek w Saksonji, lub rząd francuzki w Alzacji, były to jednak daremne trudy.

Po miesięcznem uwięzieniu w Kistrzyniu nadeszło rozporządzenie wypuszczenia Ojców na wolność z tem, aby każdy do swej ojczyzny powrócił. Okazało sie że pastorowie luterscy w Prusach czynili zabiegi o wydalenie Redemptorystów, gdyż ludność miejscowa gorąco więźniom współczuła, co budziło w duchowieństwie pruskim obawy o powrót wielu dusz do katolicyzmu.

Rozpacz ludu po wywiezieniu OO. Redemptorystów z Warszawy.

W Warszawie tymczasem lud rozpaczał wielce po gwałtownem wywiezieniu zakonników, ciśnięto się do zamkniętych drzwi kościoła św. Benona, opłakując niepowetowaną stratę.

Ks. Polkowski, skrzętny zbieracz zabytków przeszłości, przytacza pieśń, którą ułożył jakiś autor nieznany z powodu wygnania Benonów z kraju:

Widzisz, o Boże, co się z nami dzieje?
Nie mamy księży w Benońskim kościele,
Nie mamy ofiar, któreśmy miewali,
Boć kazaniami piersi pozrywali...

Pieśń ta jest wymownym dowodem przywiązania i wdzięczności polskiego ludu dla Ojców. Jakże boleśnym był widok, gdy lud pobożnie około klasztoru skupiony rozpędzano brutalnie, a wreszcie kilka armat postawiono na ulicy Pieszej zagrażając zupełnem zburzeniem kościoła, jeżeli nie rozejdą się tłumy. Kiedy klasztor zamieniono na koszary lud zrozumiał, że już niema nadziei powrotu OO. Benonów.

Kościół uznano jako zupełnie zbyteczny i w lecie 1811 r. przeniesiono figury oraz wszystkie cenne ozdoby do kościoła Najśw. Panny Marji, najdawniejszej warszawskiej świątyni Pańskiej, znajdującej się w sąsiedztwie św. Benona na Nowem Mieście.

Kiedy OO Redemptoryści otrzymali rozkaz udania się każdy w swoją stronę zapanował wielki smutek i żałość, zjednoczyły ich bowiem wspólne cele, myśl jedna, stanowili prawdziwą duchowną rodzinę, jakże ciężko w takich warunkach rozstawać się z sobą i do końca życia pozostawać w osamotnieniu.

Tkliwem było pożegnanie św. Klemensa z ukochanymi synami skazanymi na tułaczkę!

Wszyscy potem pracowali oddzielnie, po większej części już jako świeccy kapłani, zajmowali stanowiska proboszczów lub wikarych wciąż oczekując, aby nastały pomyślniejsze czasy i aby na wezwanie przełożonych zebrać się znowu w Warszawskim klasztorze. Niestety nie danem im było doczekać tej błogiej chwili.

Ostatnie lata życia św. Klemensa.

Św. Klemens udał się do Wiednia wraz z klerykiem Marcinem Starkiem. Podróż tę odbyli pieszo, chociaż O. Hofbauer liczył już lat 58 kiedy więzienie kistrzyńskie opuszczał. Na Szlązku zatrzymany przez francuzkie patrole już o mało co nie został jako szpieg rozstrzelany, lada bowiem podejrzenie było wówczas dostatecznym powodem do mordu, szczęściem jednak znalazł się oficer polski znający św. Klemensa z Warszawy i ten życie mu ocalił.

Nie posiadając pasportu austryjackiego zmuszony był nieszczęśliwy wygnaniec odsiadywać areszt, z którego protekcja pewnej polskiej damy w Wiedniu go uwolniła.

Praca apostolska w austryjackiej stolicy przedstawiała wielkie trudności; dwanaście lat przebył tu błogosławiony mąż Boży, ale nie mógł w tym czasie ani jednego klasztoru otworzyć. Mimo to nie

ustawał w zarliwości, nawracał, uczył; jednego pobożnego młodzieńca przyoblekł w suknię zakonną, chociaż musiał uczynić to potajemnie. Dopiero po zgonie św. Klemensa okazało się jak jego świętość oddziaływała zbawiennie, ilu ludzi od zguby uratował.

Zamieszkał u swego przyjaciela ks. Virginio Jezuity, przy kościele włoskim w Wiedniu. Co piątek i co sobota odwiedzał dawnego majstra piekarskiego pod „żelazną gruszką“ korzystając ze sposobności dawania budujących nauk czeladnikom.

Zacny ks. Virginio zmarł niespodzianie poświęcając się nieustannie przy spowiadaniu chorych żołnierzy. Skromną jego posadę powierzono O. Hofbauerowi, co mu dało możność rozszerzenia nieco działalności.

Odtąd kościół włoski począł przyciągać liczne rzesze, O. Klemens zasłynął wkrótce jako spowiednik niepospolity i miał wpływ ogromny na młodzież; zamożni i ubodzy spieszyli szukać pociechy i światłej rady niestrudzonego kapłana.

Na tem miejscu św. Klemens przebył lat cztery, poczem zaofiarowano mu posadę spowiednika zakonnic Urszulanek.

Widząc, że może być wielce pożytecznym przy zaniedbanym nieco kościele, przyjął wzdzięcznie z rąk arcypasterza ofiarowaną pracę. Od 1813 r. przez lat siedm ostatnich życia pozostał na tem stanowisku. Skromne wielce miał mieszkanie, codziennie już o 3-ciej rano wstawał, odprawiał rozmyślania, poczem spieszył do konfesjonału i spowiadał do 10-tej. Wychodził następnie ze mszą św., a powróciwszy do siebie załatwiał korespondencję w sprawach zakonu, pokrzepiał listownie rozproszonych współbraci, starając się wciąż utrzymywać duchowy łącznik wiążący ich z sobą. W popołudniowych godzinach odwiedzał chorych i ubogich, sam nic prawie nie posiadając rozdawał jednak jałmużny potrzebującym wsparcia, poczem szedł na czterdziestogodzinne nabożeństwo lub jeszcze spowiadał w kościele i u siebie w domu. Wieczorem zbierał młodzież, czytano razem ustępy z Pisma św. Dzieje Apostolskie i rozmawiano o rzeczach duchownych, urozmaicając pogadanki wspólnym śpiewem. Bywały dnie, w których św. Klemens odrywał się od zajęć codziennych, aby czas wyłącznie spędzać na modlitwie.

Wiara niezachwiana św. Klemensa. Rozszerzanie czci Najśw. Sakramentu i zachęcanie do częstej Komunji św.

Serce płomienne św. Klemensa było jakby wiecznie pałającą pochodnią przyświecającą wiernym, rozpraszającą mroki. Żył on w czasach wielkiego zobojętnienia dla wiary św. więc tem donioślejsze miał do spełnienia zadanie.

Kiedy mówił o Bogu; o rzeczach nadprzyrodzonych czuło się, że gotów życie położyć za prawdę tego, w co wierzył.

Mawiał nieraz: „Człowiek bez wiary jest jak ryba bez wody“.

W głębokiej pokorze ducha tak się o sobie wyrażał:

— Jestem pysznym i próżnym, jestem grzesznikiem i niczegom się nie nauczył ale muszę przyznać sobie, że za pomocą łaski Bożej jedną rzecz posiadam, a mianowicie, jestem katolikiem. Na wiarę moją nie zamieniłbym się z nikim, z niczego nie potrafiłbym się chełpić, jedynie z tego, że jestem katolikiem.

A miałby jednak z czego chełpić się ten mąż tak światły i szlachetny! Cnoty jego i zalety świeciły przykładem. Rozwiązywał trafnie najzawilsze wątpliwości. Mówiąc o filozofach niemieckich rzekł kiedyś:

„Niemcy chcą koniecznie zdaleka prawdy poszukiwać, a tymczasem Bóg dał ją ludziom zbliska. Najważniejsze dowody czerpiemy z historji, bo sam Bóg objawia się nam w historji, a samo istnienie Kościoła katolickiego jest najszczytniejszym faktem historji“.

Wielką miłością ku Panu Jezusowi pobudzony rozdawał bardzo szczodrze obrazki Dzieciątka Jezus lub Serca Jezusowego. W Wiedniu była to nowość nieznana, a św. Klemens umiał rozbudzać ducha pobożności, zwłaszcza cześć dla Najśw. Sakramentu gorliwie szerzył. Kiedy przybył do austryjackiej stolicy można śmiało powiedzieć, że nie było tam wcale ludzi świeckich, którzy by częściej jak raz do roku przystępowali do Stołu Pańskiego.

O. Hofbauer przywiódł wielu do zrozumienia błogosławionych skutków częstej Komunji św. Przy ołtarzu modlił się zawsze tak żarliwie, że jak to pewna zakonnica słusznie zauważyła, wyglądał jakgdyby chciał za cały świat i za wszystkich grzeszników odpokutować. Okazałością w uroczystościach kościelnych u PP. Urszulanek pobudzał do pobożności i sprawił, że zaniedbany dawniej kościołek stał się przez Wiedeńczyków najwięcej uczęszczanym.

O różańcu swym wyrażał się: „To jest cała moja biblioteka“, z niego bowiem czerpał natchnienie do kazań, rozmyślań i rekolekcji. Odmówiwszy koronkę za grzeszników otrzymywał nawrócenie i nieraz tacy nawet, którzy po lat 30-ci nie spowiadali się przystępowali następnie do konfesjonału. Rozdawał O. Hofbauer różańce z drobnych paciorek młodym ludziom zachęcając, aby trzymali je w ręku idąc wieczorem po ulicy, jako broń przeciw mogącym nastręczyć się pokusom i nie jednego w ten sposób ochronił od grzechu.

Miał św. Klemens wielkie nabożeństwo do Matki Boskiej i pobudzał wiernych do oddawania się Jej

w opiekę we wszystkich trudnych okolicznościach. Pokładał też ufność niezachwianą w rędownictwie św. Józefa. „Uciekajcie się do niego, powiadał nieraz, on jest ojcem ubogich i sierot, pocieszycielem w strapieniu, a przedewszystkiem proście go o śmierć szczęśliwą“. Czcił również św. Piotra, księcia apostołów, Michała archanioła, oraz miał wielkie nabożeństwo do św. Katarzyny Seneńskiej, dla jej przywiązania do Stolicy Piotrowej. Całem sercem oddany był św. założycielowi zakonu, radując się z jego beatyfikacji, która ogłoszoną została w 1816 r.

Kazania św. Klemensa. Przyjaciel młodzieży.

Sposób mówienia św. Klemensa był zupełnie prosty, unikał krasomówczych zwrotów, wykładał jędrnie myśl swoją. Sam o sobie powiadał:

„Będę mówił wam tak jasno, że wszyscy, nawet dzieci będą mogły mnie zrozumieć, choćby byli tu idjoci, muszą zrozumieć, a to dla tego, ażeby nikt nie mógł oskarżyć mnie przed sądem Bożym wymawiając że nie mógł mnie zrozumieć“.

Jednak natchnione jego słowa wzruszały do głębi zarówno prostaczków, jak i wykształconych ludzi, czuł bowiem każdy, że to co mówi pochodzi z serca i z niezachwianej wiary, którą radby przelać w swych słuchaczy.

Wiedeń był wówczas tak niechętnie dla katolicyzmu usposobiony, że trzeba było odwagi, aby śmiało z ambony przemawiać w jego obronie, jak to czynił św. Klemens w kościele PP. Urszulanek. Na każde jego kazanie przysyłano urzędnika policyjnego, a wreszcie wręczono urzędowy zakaz miewania kazań. Na szczęście jednak zakaz ów wkrótce odwołano.

Wielką chwałę przyniósł błogosławionemu mistrzowi uczeń, którego mu Bóg zesłał w osobie ks. Wernera, protestanta, ten za młodu wystąpił jako poeta i autor wrogo dla Kościoła katolickiego usposobiony. Był następnie urzędnikiem pruskim w Warszawie i OO. Redemptorystom wielce dał się we znaki. Napisał dramat p. t. „Luter“ grany w teatrach niemieckich z powodzeniem.

I oto nagle promień łaski Bożej go oświecił, wyjechał do Rzymu gdzie dwa lata przebył, poczem w r. 1810 na łono Kościoła katolickiego powrócił i stał się gorliwym jego obrońcą. Otrzymawszy kapłańskie święcenia przybył do Wiednia i tu oddał się w zupełności pod kierownictwo św. Klemensa.

Wysokie wykształcenie, dar wymowy oraz przeszłość dość burzliwa, ogólnie wszystkim znana, sprawiły, że na kazania ks. Wernera uczęszczano tłumnie, zwłaszcza wyższe towarzystwo wiedeńskie wiedzione ciekawością spieszyło ochotnie, gdyż mówił z wielkiem przejęciem, nieraz błędy dawniejszego życia opłakiwał głośno na ambonie, wyznając je przed ludźmi i Bogiem. Zawsze z największą czcią wskazywał on O. Hofbauera, jako ukochanego mistrza, któremu niegodzien jest rozwiązać rzemyka u obuwia.

Jeden ze świadków (prezes Josch) pytany podczas procesu kanonizacyjnego zali wie o jakim cudzie błog. Klemensa Hofbauera odpowiedział:

— Według mnie całe jego życie było cudownem, bo jakże można sobie wyobrazić bez cudu, żeby jeden człowiek mógł sprawić tyle nawróceń i przywieść tak wielu na prawą drogę! Inni również to samo potwierdzili.

Około konfesjonału O. Hofbauera cisnęli się zwykle ludzie najrozmaitszych kondycji począwszy od wyrobników i przekupek aż do magnatów i uczonych.

Niesłyszano też nigdy aby kto odszedł od niego rozdrażniony i niezadowolony.

W kilku słowach pełnych serdeczności i prostoty umiał zbadać stan duszy, poradzić i do skruchy pobudzić. Od tych, którzy okazywali życzenie obrania drogi duchownej żądał spokojnej rozwagi, nie zachęcając do skwapliwości i powstrzymując gwałtowny zapał młodzieńczy, objawiający się zwykle w pierwszych chwilach, a nieraz następnie zmieniający się w chłód i zniechęcenie.

Z cierpliwością rozpraszał skrupuły nawiedzionych zbytnią drażliwością sumienia, a tak mu czasem dawali się we znaki owi skrupulanci, że o pewnym kupcu wiedeńskim tak się wyraził: „Jeden Kraus to jeszcze ujdzie, ale dwóch takich, już bym umarł!“ Dopomógł mu jednak w zamiarach zostania księdzem.

Tak samo jak w Warszawie pracował św. Klemens nad poprawą obyczajów zwłaszcza wśród młodzieży, a był z młodymi przyjaciółmi swymi w stosunkach nadzwyczaj uprzejmym, nigdy wyższością swą nie starając się przygnębiać. Kiedy u siebie w mieszkaniu zastawał wieczorem całe grono młodzieńców, oczekujących na przybycie drogiego mistrza, witał ich wesoło, wołając:

— Co za najazd? Co za rozbój?... a wiedziano że rad ich widzi u siebie i każdemu pragnie być użytecznym. A jak umiał poskramiać zręcznie niewczesną ambicję i próżność młodzieńczą! Wielu ubogim studentom dawał obiad u siebie i w ten sposób miał sposobność pożyteczną gawędką wpływać jednocześnie na umysły spaczone. Lubił, gdy zwracano się do niego z wątpliwościami, które rozpraszał umiejętnie. Schadzki młodzieży w skromnem mieszkaniu ks. Hofbauera nie uszły uwagi władz policyjnych i nasyłano mu szpiegów, ale nie udało się im podejść Bożego Sługi, zauważywszy bowiem podejrzanego przybysza św. Klemens mówił o rzeczach obojętnych. W lecie odbywał prze

chadzki za miasto w otoczeniu młodzieży, a budujące rozmowy nie jednego obroniły od złego na całe życie.

Kongres wiedeński.

Dnia 1 listopada 1814 roku rozpoczął się we Wiedniu słynny Kongres mający stanowić o losach narodów, oraz zająć się uśmierzeniem wzburzonych krajów. Zebrali się tam przedstawiciele wszystkich mocarstw. Kardynał Consalvi legat papieski na kongresie, często zasięgał światłej rady św. Klemensa i z nim omawiał sposoby wpływania na mocarstwa, aby uwzględniły prawa Ojca św. do państwa Kościelnego, albowiem w owych czasach Napoleon I ogłosił był wcielenie państwa kościelnego do cesarstwa francuzkiego i Piusa VII we Francji więził. Oczekiwano, że kongres ułoży sprawy kościelne w Niemczech. Wichrzył ogromnie baron Wessenberg należący do masonerji i dążący do utworzenia narodowego kościoła niemieckiego nie zależnego od papieża.

U św. Klemensa natomiast zbierali się wszyscy gorliwi katolicy walczący pismem i słowem przeciw knowaniom dążacym do szkodliwych dla religji naszej reform.

Następca tronu bawarskiego ks. Ludwik często odwiedzał O. Hofbauera i nawet całą jedną noc spędził na naradzie z czcigodnym kapłanem. Zapewne pod wpływem jego światłej rady podpisał król bawarski ugodę ze Stolicą Apostolską w 1817 r. i rozstał się ze swym ministrem Montgelasem, który wielce katolikom dał się we znaki. Z listów św. Klemensa pisanych do osób wysoko położonych przekonać się możemy, jak bardzo zajmowały go ogólne sprawy i jak starał się zawsze dobrze oddziaływać nie szczędząc trudów i zabiegów, jeśli tylko można było coś pożytecznego dla Kościoła św. uczynić.

Niezapominał też nigdy o Polsce, którą serdecznie ukochał; w Wiedniu utrzymywał stale stosunki z Polakami, a stolica austryjacka gościła naówczas w swych murach bardzo wiele rodzin magnackich, jak Zamoyskich, Czartoryjskich, Tyszkiewiczów, Ossolińskich, Rzewuskich, Jabłonowskich i t. d.

Hr. Baworowski pisze o sobie, że dwudziestoletnim będąc młodzieńcem oddawał się w Wiedniu światowym zabawom, a gdy przybył do O. Hofbauera ten „wiele dobrych wskazówek dla duszy mej podał, nie umiałem jednak z nich skorzystać“ wyznaje z pokorą, ale z późniejszego jego życia widzimy, że nie poszły te rady na marne, gdyż Mikołaj Baworowski wstąpił następnie do zakonu Tow. Jezusowego, gdzie był mianowany z czasem prowincjałem i wiele zasług położył.

Św. Klemens ogromnie lubił polskie pieśni pobożne znajdując, że są piękniejsze, niż wszystkie inne.

— Dajcie mi proste pieśni polskie, mówił słysząc wspaniałe śpiewy w wiedeńskich kościołach, tamte są daleko piękniejsze od tutejszych.

Matka Cecylja Chołoniewska, która należała do zgromadzenia Sióstr Wizytek w Wilnie, znała osobiście O. Hofbauera, gdyż bywał on u Chołoniewskich w Wiedniu, opowiadała więc z zachwytem jak znakomitym był spowiednikiem, jak zachęcał do nabożeństwa do Najśw. Sakramentu, a gdy słyszał o jakim grzeszniku wnet mówił: „Przyszlijcie go do mnie“, gdyż nie wątpił, że potrafi go Bogu pozyskać. Bardzo zawsze zalecał dobre czytanie i odrzucał ze wstrętem książki złych pisarzy, ganiąc jeśli kto je miał u siebie choćby przez prostą ciekawość.

Ze szczególnem zamiłowaniem wyszukiwał św. Klemens ubogich Polaków i miał dar przyciągania ich do siebie. Lubił słuchać spowiedzi naszych rodaków i dokładał wszelkich starań, ażeby zgromadzenie Redemptorystów znów do Polski wprowadzić. W Austrji niestety nie udało mu się klasztoru otworzyć; w Szwajcarji tylko istniała garstka Braci, byli pomiędzy nimi i Polacy, ale lada chwila grożono wydaleniem zakonników.

O. Passerat dzielnie tam sędziwego O. Hofbauera zastępował i często odwiedzał go zasięgając jego rady. Pragnieniem tych zacnych Ojców było przeniesienie działalności aż po za ocean, do Ameryki, aby w wolnym kraju swobodnie pracować dla dusz zbawienia Ale trzeba było na to środków, a funduszów żadnych OO. Redemptoryści nie posiadali.

Starania o wznowienie zakonu OO. Redemptorystów w Polsce.

Do końca życia nie tracił św. Klemens nadziei, że uda mu się rozproszonych Braci zgromadzić i znowu z nimi pracować na polskiej ziemi. Zwłaszcza wstąpienie na tron Aleksandra I cesarza rosyjskiego, wlało weń nową otuchę. Wszystkie zabiegi gorliwego apostoła Warszawy nie odniosły niestety pożądanego skutku.

W listach jego pisanych w owym czasie spotykamy ciągłe wzmianki o powrocie do Polski. Jakiś czas istniał projekt utworzenia zgromadzenia na Podlasiu, potem znów na Podolu; przyrzekał wystarać się o pozwolenie miecznik hr. Chołoniewski, (ojciec Matki Cecylji).

W tym celu jeździł O. Hofbauer do Janowa i z biskupem kamienieckim Mackiewiczem naradzał się w tej sprawie.

Jednocześnie otwierało się nowe pole pracy misyjnej na wschodzie. O. Fortunat Ereolani, Pasjonista przybył do Wiednia w 1815 r., aby być konsekrowanym na wikarjusza apostolskiego dla Wołoszczyzny. Ponieważ i tam wielu wychodźców polskich i niemców również przebywało, prosił O. Fortunat św. Klemensa, aby mu kilku dał misjonarzy. Mimo to wciąż jeszcze trwał zamiar osiedlenia się Ojców w Janowie na Podolu, ale ani miecznik Chołoniewski, ani zięć jego hr. Grocholski nie mogli wyrobić pozwolenia powrotu Redemptorystów do Polski.

Sędziwy O. Hofbauer zapadać począł na zdrowiu a ciężka choroba z początkiem 1820 r. a potem śmierć, która nastąpiła d. 20 marca tegoż roku nie dały świętemu doprowadzić zamiarów do końca.

Dopiero po śmierci można ocenić wielkie zasługi i całą działalność objąć dokładnie, to też niezliczone świadectwa o cnotach O. Hofbauera pozyskały mu najwyższe uznanie na ziemi i chwałę wieczną w niebie. Proces kanonizacji św. Klemensa obfituje w najwspanialsze karty i w żywych barwach przedstawia nam tego męża Bożego tem droższego nam jeszcze, że na polskiej pracował ziemi, że w tak niedawnej stosunkowo przeszłości żył i umacniał lud nasz i świętością swą oddziaływał zbawiennie na umysły i serca naszych pradziadów.

Dar jasnowidzenia i cuda św. Klemensa.

Św. Klemens miał dar czytania w duszach najskrytszych zamiarów, jak to już wspominaliśmy. Oto jeszcze kilka przykładów z jego życia, świadczących o błogosławionych skutkach tego daru. Podczas pobytu w Warszawie ujrzał raz w kościele klęczącego ubogiego czeladnika Macieja Widhalma, przybyłego z Wiednia w celu wstąpienia do zakonu.

Nie znał go jeszcze O. Hofbauer ale spojrzawszy nań wyczytał w twarzy nagłe wahanie, chęć odstąpienia od powziętego zamiaru.

— Idź za mną! rzekł mu św. Klemens swym słodkim głosem i naraz chłopak odczuł, że jakieś światło niebiańskie rozjaśnia mu duszę, już znikły wątpliwości i wahania, poszedł za przełożonym i został bardzo wzorowym zakonnikiem aż do zgonu.

W Wiedniu raz podczas przechadzki zamiejskiej z uczniami zauważył O. Hofbauer jakiegoś nieznanego człowieka krążącego nad rzeką. Podszedł doń, rozpoczął rozmowę, mówiąc, że nie należy nigdy poddawać się rozpaczy, a myśl o samobójstwie jest wielce grzeszną.

Istotnie był to jakiś desperat chcący pozbawić się życia, a pod wpływem św. Klemensa przystąpił do spowiedzi i został ocalony. Tak samo postąpił mąż Boży z kobietą mającą również samobójcze zamiary. Spotkał ją nad Dunajem w chwili, gdy chciała rzucić się w nurty, a po rozmowie z O. Hofbauerem wstąpiła do Urszulanek i aż do śmierci pokutne wiodła życie.

Bardzo wiele przytaczają przykładów jasnowidzenia św. Klemensa i nieraz objawiając ludziom ich przyszłe losy zdołał powstrzymać ich od różnych dręczących niepokojów. Czynił też prawdziwe cuda uzdrawiając osoby beznadziejnie chore.

W Wiedniu przełożona Urszulanek ciężko zaniemogła, Siostry przekonane były, że już wybiła ostatnia jej godzina, ale O. Hofbauer pobłogosławił ją, uspokoił zatrwożone zakonnice polecając ofiarować za chorą Komunje św. mszę na jej intencję odprawił i zapewnił, że Matka przełożona wyzdrowieje, co nastąpiło istotnie zupełnie niespodziewanie.

Małego Alfonsa Klinkowström dotknięciem ręki i modlitwą ze śmiertelnej choroby ocalił.

Kiedy pytano O. Hofbauera czy ma nadzieję założenia klasztoru Redemptorystów w Wiedniu odpowiedział proroczo:

— Będzie tu istniał klasztor ale dopiero po mojej śmierci.

Jednej z Sióstr Urszulanek powiedział:

— Muszę wprzód umrzeć, a potem dopiero Kongregacja nasza się rozszerzy; wtedy będę mógł daleko więcej dla Braci uczynić przed Bogiem, niźli teraz czynię".

Tak samo uczniom swym przyrzekał wstąpienie do zgromadzenia dopiero po swym zgonie, co się sprawdziło, jak świadczą OO. Redemptoryści Madlener i Veith.

Temu ostatniemu rzekł:

— Będziesz miał wielkie powodzenie na ambonie, ale obawiam się twej pychy. Miał słuszność, gdyż O. Veith był następnie wymownym kaznodzieją lecz z powodu zbytecznej pychy zakon opuścił.

Jeden z penitentów oczekujący na św. Klemensa przy konfesjonale świadczył, że widział na własne oczy jak grono anielskich dziewic z kwiatami na głowie otoczyło świętego przyzywając ku sobie. Gdy przy spowiedzi wyznał O. Hofbauerowi swe widzenie ten rzekł:

— Bądź cicho i nikomu o tem nie mów.

Gdy wkrótce potem umarł O. Hofbauer, ów człowiek zrozumiał, że było to widzenie oznajmiające przyszłą chwałę jego w niebie.

Nieraz widziano jak chleb w cudowny sposób w ręku błogosławionego przełożonego rozmnażał się, kiedy właśnie ostatnie zapasy już były wyczerpane. Największą jednak zasługą O. Klemensa były liczne nawrócenia dokonane w ciągu długiego życia, nikt też nie potrafił tak wyzyskać każdą chwilę ku do-

bru bliźnich, jak ten sercu naszemu blizki apostoł Warszawy.

Prześladowania. Pomyślny zwrót w sprawie OO. Redemptorystów.

W Wiedniu niebrakło nieprzyjaciół Kościoła którzy nie tylko nie dopuszczali otworzenia klasztoru OO. Redemptorystów, ale nawet intrygowali aby usunąć błog. O. Hofbauera z kraju i podawano na niego skargi do cesarza. Nawet wśród duchowieństwa austryjackiego znaleźli się tacy, którzy występowali jawnie przeciw św. Klemensowi.

Wezwano go w 1816 r. do konsystorza i zadawano szereg pytań, pomiędzy innymi, czy jest katolikiem?

Na podobne słowa trudno istotnie odpowiedzieć, gdyż obelgą były one dla tak gorliwego Sługi Bożego, jakim był O. Hofbauer. Spojrzał tylko z wyrzutem na zebranych. „Nie dobrze jest nam być tutaj", rzekł i wyszedł z sali. Arcybiskup Hohenwart, który cenił wielce zasługi O. Klemensa powiedział:

— Nie inaczej postąpił by każdy z apostołów, otrząsnął by proch z nóg na świadectwo wam".

Jedyną winą O Hofbauera w oczach rządu austryjackiego było to, że należał do zgromadzenia mającego przełożonego zagranicą.

Dnia 29 stycznia 1819 roku zrobiono rewizję w jego mieszkaniu, przetrząsano wszystkie kąty ale nic niebezpiecznego dla rządu nie znaleziono. Zapytano go, gdzie by chciał wyjechać?

— Do Ameryki odpowiedział, byleby doczekać wiosny i nie jechać podczas obecnych mrozów.

Skorzystali z tego urzędnicy policyjni i kazali mu podpisać prośbę do cesarza z żądaniem udania się do Ameryki.

— Teraz wszystko skończone, rzekł jeden z komisarzy.

— Bynajmniej, zaprzeczył O. Klemens, wszystko jeszcze nie skończone.

— Jak to? zapytał komisarz Braig, eks-zakonnik.

O. Klemens wzniósł rękę ku niebu i rzekł uroczyście:

— Sąd ostateczny!...

Zapewne nie bardzo miłem było owemu ekszakonnikowi to przypomnienie o sprawiedliwości Bożej, która karać będzie winnych.

Cesarz uległ prośbom osób wpływowych a O. Hofbauerowi życzliwych i dozwolił mu pozostać w Austrji.

Podczas bytności cesarza Franciszka I w Rzymie, papież Pius VII winszował mu, że ma w swem państwie tak niepospolitego, jak O. Hofbauer, kapłana. Spowiednik cesarza sprzyjał też wygnańcowi i przy sposobności napomknął o gorącem pragnieniu św. Klemensa uprawnienia zgromadzenia OO. Redemptorystów w Austrji, w obec czego cesarz kazał sobie przedstawić regułę tego zakonu.

Można sobie wyobrazić z jaką radością zabrał się O. Hofbauer do przetłumaczenia na język niemiecki całej reguły, dodając prośbę, aby odstąpiono zakonowi stary kościół Marji Stiegen, skasowany za rządów cesarza Józefa II. Wszystko już było na dobrej drodze i gdyby śmierć nie zaskoczyła sędziwego apostoła byłby miał szczęście doczekać w tym że roku ziszczenia swych pragnień i długich usiłowań, ale stało się inaczej, dopiero po zgonie O. Hofbauera zgodnie z jego przepowiednią zakon św. Alfonsa został w Austrji uprawniony.

„Tylko grzech jest klęską." Ostatnia msza św. Klemensa.

W ostatnich jeszcze chwilach życia św. Klemens miłosiernym czynem zaznaczył swą bytność na ziemi. Trawiony silną gorączką w styczniu 1820 r., zwlókł się z łóżka dla pilnowania towarzysza swego O. Marka, do którego bardzo był przywiązany.

Jedna z Sióstr Urszulanek ofiarowała się odprawić nowennę do Matki Boskiej na intencyę wyzdrowienia O. Marka i O. Hofbauera, ten odpowiedział:

– Marek wyzdrowieje, ja zaś umrę wkrótce.

Siostra Tadea poczęła ubolewać wielce, mówiąc, że śmierć jego byłaby dla Sióstr klęską.

— Tylko grzech jest klęską, — odrzekł święty starzec, poczem nie zwracając uwagi na stan zdrowia pracował jak zwykle w domu i w kościele. Ostatnie miał kazanie 5 Marca; mówił z przejęciem o strasznym sądzie, a 8 Marca mszę św. odprawił. Spowiadał jeszcze dnia tego, ale cierpienie tak go zmogło, że nie mógł już więcej niż półtora godziny wytrwać w konfesjonale. Nazajutrz ostatni raz stanął przed ołtarzem ofiarując mszę żałobną za spokój duszy ks. Tekli Jabłonowskiej zmarłej w Rzymie, której był spowiednikiem i wiele miał przyjaźni dla tej zacnej dobrodziejki swego zakonu. Zaledwie jednak mógł ustać na nogach, tak wielce był już dnia tego osłabionym, a zaraz po nabożeństwie musiał się do łóżka położyć.

Śmierć św. Klemensa.

Podczas ostatnich sześciu dni, które przebył jeszcze na ziemi otaczali go nieustannie uczniowie, bardzo do czcigodnego Ojca przywiązani, przywołano lekarzy ale na nic się już ich pomoc nie zdała.

Kiedy służąca SS. Urszulanek płakała rzewnie nad umierającym, rzekł do niej:

— Nie płacz Marjanno, niezadługo będziesz ze

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

zemną.—Była naówczas zupełnie zdrowa, a jednak tydzień potem spełniła się przepowiednia św. Klemensa. Marjanna zaniemogła i już z tej choroby nie wstała D. 13 marca wieczorem lekarz znalazł stan O. Hofbauera wielce groźnym, rzuciła się gangrena, przybył ks. Franciszek Schmidt z Wiatykiem, był on stałym spowiednikiem O. Klemensa.

Nazajutrz w południe poczęło się konanie i trwało całą dobę. 15 marca o 12-stej rzekł umierający do otaczających go uczniów:

— Odmówcie Anioł Pański.

Za nim skończyli, już O. Klemens nie żył.

Była to środa, a tak samo zupełnie skonał św. Alfons Liguori kiedy dzwoniono na Anioł Pański o dwunastej w południe we środę. Obaj byli gorącymi adoratorami Najśw. Panny i jak gdyby jej głosem wezwane odeszły te czyste dusze do nieba.

Oddanie ostatniej posługi.

Kiedy rozniosła się wieść o śmierci tak ogólnie ukochanego i poważanego kapłana, śpieszono tłumnie do klasztoru Urszulanek, aby raz jeszcze spojrzeć na to święte oblicze, całowano ręce i nogi, upominano się o cząstkę habitu, ucinano włosy, starając się koniecznie zdobyć jako relikwje pamiątki po O. Klemensie.

Późnym wieczorem O. Rinn, jeden z najgorliwszych uczniów O. Hofbauera odrysował jego portret pośmiertny, z którego potem liczne odbitki krążyły po Austryi i Włoszech.

Pogrzeb odbył się nazajutrz po południu, wspaniały orszak towarzyszył skromnej trumnie, którą nieśli na barkach uczniowie. Zebrało się duchowieństwo, magnaci i całe rzesze ludu. Kiedy orszak doszedł do kościoła św. Szczepana zdumieli się wszyscy widząc otwarte główne drzwi katedry, ponieważ dotąd tylko dla cesarzy były otwierane. W katedrze zwłoki spoczywały do dnia następnego, poczem wyprowadzono je na cmentarz o trzy mile od Wiednia odległy na miejsce cudownej Matki Boskiej, Marja Entzerndorf zwane, gdzie baron Penkler przygotował grób obok swych rodzinnych grobów. Ks. Werner odprawił nabożeństwo w kościele miejscowym OO. Franciszkanów i złożono trumnę do ziemi. Z czasem stanął tam krzyż marmurowy z datą urodzenia i śmierci O. Hofbauera. Uczeni i prostaczkowie opłakiwali stratę Ojca i przewodnika, śpieszono zewsząd pomodlić się na grobie błogosławionego sługi Bożego. Uczeń jego ks. Zacharjasz Werner miał widzenie wkrótce, po zgonie O. Hofbauera; przedstawił się mu z lilją i różczką oliwną w ręku i przyzywał ku sobie. Zrozumiał ks. Werner, że to objawienie się mistrza oznacza, iż umrzeć ma niezadługo, jakoż w kilka tygodni potem ks. Werner zmarł i pogrzebano go na tym samym cmentarzu obok św. Klemensa.

Sprawdzają się przepowiednie św. Klemensa dotyczące jego zakonu.

D. 30 kwietnia 1820 r., wyszedł dekret cesarski zezwalający na osiedlenie się OO. Redemptorystów we Wiedniu. Wszyscy wierni, a również Arcybiskup Hohenwart przypisywali to błogosławionemu orędownictwu O. Klemensa w niebie. O. Stark zebrał siedmiu najwybitniejszych uczniów zmarłego przełożonego i dał im habity w wilją Zielonych Świątek 19 Maja.

Następnie przyłączyli się inni do zgromadzenia. O. Passarat przybył ze Szwajcaryi, aby prowadzić nowicjat, który składał się z trzydziestu uczniów. Stosownie do życzenia św. Klemensa, cesarz pozwolił Redemptorystom osiedlić się w domu przy kościele Marja Stiegen, który dotąd obsługują. Przybył tam O. Podgórski i kilku innych członków zgromadzenia warszawskiego; Polacy w Wiedniu zamieszkali cieszyli się mając tu kapłanów rodaków, chętnie więc do tego kościoła przy ulicy Salvator uczęszczali.

Już w następnym roku (1821) otworzono pod Wiedniem drugi dom OO. Redemptorystów, a wkrótce zgromadzenie to poczęło coraz wspanialej rozkwitać w innych krajach. Austryjacka i francuzka prowincje zakonu są najstarsze, z Fryburga w Szwajcarji przyszli Ojcowie Redemptoryści do Alzacji i Lotaryngji a potem w całej Francji rozwinęły się fundacje.

Z powodu prześladowań obecnego rządu, kiedy pozamykano klasztory we Francji, Ojcowie zdjąwszy strój zakonny dają misje. Z Francji zakon św. Alfonsa rozgałęził się w Hiszpanji, w Ekwatorze, Kolumbji i Chili. W Austrji istnieje obecnie 15 domów Redemptorystów, z tych 7 w Czechach i na Morawie. Kiedy Belgja wybiła się z pod władzy protestanckiej Holandji utworzyła się prowincja belgijska i Ojcowie rozpoczęli tam misje przynoszące zawsze zbawienne owoce.

Redemptoryści mają zwyczaj powracać po kilku miesiącach na miejsce, gdzie odbyli misję, a te kilkodniowe ćwiczenia zwą się *renowacją* czyli odnowieniem misji dla lepszego utwierdzenia w dobrych postanowieniach. W Belgji zwłaszcza takie odnowienia są wszędzie praktykowane.

OO. Redemptoryści pracują także za Atlantykiem, na wyspaeh Antylskich, w Kanadzie; nie jeden tam z misjonarzy padł ofiarą żółtej febry trwając do końca na stanowisku, jak prawdziwym żołnierzom Chrystusowym przystoi.

Bractwo „uświęcenia rodzin". Arcybractwo Św. Rodziny. Rozwój zakonu Najśw. Odkupiciela.

Św. Alfons zachęcał bardzo swych synów do zakładania bractw i pobożnych stowarzyszeń albo

do odnawiania już istniejących. We Francji OO. Redemptoryści zapoczątkowali bractwo „Uświęcenia rodzin“ mające na celu urządzanie w każdym domu katolickim wspólnej modlitwy rodzinnej.

Całe setki rodzin wpisują się do tego bractwa i można mieć nadzieję, że przyczyni się ono z czasem do odrodzenia moralnego całego kraju. Również OO. Redemptorystom zawdzięczają katolickie kraje „Arcybractwo Św. Rodziny“, mające za zadanie wspólne wspieranie się członków w walce przeciw pokusom świata i utrzymanie dusz chrześciańskich na dobrej drodze.

Nawet wśród protestanckiego społeczeństwa, jak w Anglji, Ameryce, Holandji Kongregacja Najśw. Odkupiciela nader pomyślnie się rozwija i wielką radością i chwałą misjonarzy są liczne nawrócenia na łono katolickiego Kościoła.

Mniej więcej około 500 osób rok rocznie się nawraca w Anglji i Szkocji. W Irlandji misje przynoszą zbawienne owoce, bo lud katolicki przechowuje cześć wielką dla kapłanów i pobożność Irlandczyków ogólnie jest znaną. Z Angji niestrudzeni OO. Redemptoryści wysłali kilku misjonarzy do Australji i tam dużo dobrego dokonali. Apostolska ich praca w Stanach Zjednoczonych Ameryki jest nadzwyczaj pożyteczna, Ojcowie znają wiele obcych języków przytrzymując się zdania, że ile kto zna języków, tylekroć razy jest misjonarzem, Ameryka zaś gromadząc wychodźców ze wszystkich stron świata daje szerokie pole do pracy nad uświęceniem dusz.

Zakon św. Alfonsa liczy obecnie trzy domy pod Rzymem a dwa w samym Rzymie, tam też jest stała siedziba O. Generała zakonu.

W ogólnej sumie liczono w marcu 1905 roku w zgromadzeniu Redemptorystów: Prowincji 16, wice-prowincji 12, w których domów 592, a członków 3,580 nie rachując nowicjuszów ani też młodzieży wychowującej się w klasztorach na misjonarzy. Tak więc wielkie dzieło rozpoczęte przez św. Alfonsa, prowadzone z takiem poświęceniem przez św. Klemensa rozwija się pomyślnie ku pożytkowi bliźnich.

Na początku przeszłego wieku OO. Redemptoryści zostali z Polski wygnani, od r. 1883 poczęli znów pracować wśród polskiej ludności w Podgórzu pod Krakowem, w Tuchowie pod Tarnowem, w Mościskach za Przemyślem i w Maksymówce pod Wełdzinem w Beskidach. W roku 1905 otrzymali Ojcowie pozwolenie rozpoczęcia misji w Królestwie Polskiem, pierwsza z nich odbyła się na Woli pod Warszawą, druga przy kościele Najśw. Panny Marji na Starem Mieście gromadząc liczne rzesze wiernych i budząc gorący zapał.

Pośmiertne cuda. Beatyfikacja. Kanonizacja św. Klemensa.

OO. Redemptoryści czynili starania o przeniesienie zwłok czcig. O. Hofbauera do Wiednia; uroczystość ta odbyła się dnia 3 listopada 1862 roku i szczątki złożone zostały w marmurowym sarkofagu przy wielkim ołtarzu w kościele Maria Stiegen.

Tegoż dnia uleczoną była chora przy grobie bł. Klemensa, a po tym pierwszym cudzie nastąpiło wiele innych:

Magdalena Kuntz, żona krawca, zawdzięczała nowennie odprawionej do błog. Klemensa swe uzdrowienie, (cierpiała przed tem bardzo z powodu pęknięcia żyły w nodze).

Tak samo po odprawieniu nowenny wyzdrowiała z niebezpiecznej choroby zwanej misererą praczka Marja Hoffman oraz Anna Berger paralityczka. Niepodobna wyliczyć kolejno tych wszystkich łask, jakiemi Bóg obdarzył wiernych, którzy z głęboką wiarą udawali się do Niego przywołując na pomoc błog. Klemensa. Wielu naszych rodaków i rodaczek doświadczyło również pociechy za przyczyną nowego naszego patrona w niebie.

Grób O. Hofbauera był nieustannie zawieszony wieńcami i zawsze pobożne osoby modlące się tam widzieć można było, gdyż zwano go świętym chociaż nie był jeszcze nawet w poczet błogosławionych zaliczony. Kiedy jednak w Austrji podniosło się nieco życie duchowne, gorliwi pasterze widząc jak się zgromadzenie OO. Redemptorystów rozwija rozpoczęli starania w sprawie beatyfikacji O. Hofbauera.

Zebrano liczne świadectwa z Austrji i z Polski i w 1865 r. akta procesu zawieziono do Rzymu. Ze wszystkich stron nadchodziły prośby błagające do Ojca św. Cesarz austryjacki Franciszek Józef i wielu znakomitych dostojników popierało gorąco sprawę; z Poznańskiego biskup Stefanowicz i wielu duchownych podpisało prośbę, do papieża; grono pań Tow. św. Wincentego również wysłało prośbę zbiorową o kanonizację O. Klemensa. W 1876 r. dekret Stolicy Apostolskiej orzekł, że po szczegółowych badaniach przekonano się o heroicznych cnotach Jana Klemensa Marji Hofbauera, oraz sprawdzono prawdziwość dwóch cudów za jego wstawieniem się otrzymanych. Ale dopiero podczas jubileuszu Leona XIII 29 stycznia 1888 r. odczytanym został publicznie, według przyjętego zwyczaju, list Ojca św. ogłaszający czcig. Klemensa błogosławionym, dozwalający czcić jego relikwje i odprawiać na jego cześć mszę św. i pacierze kapłańskie. Po odczytaniu dekretu i odśpiewaniu *Te Deum* spadła zasłona nad ołtarzem i ukazał się obraz przedstawiający błog. Klemensa w obłokach unoszonego przez aniołów, z których jeden trzymał stułę, drugi krzyż

misjonarski, jako znak prac apostolskich błogosławionego.

Radośna to jest wielce uroczystość ukoronowanie cnoty przez Kościół św. niebiańską aureolą. Podczas beatyfikacji O. Hofbauera kościół przepełniony był Słowianami, a Ojciec św. po południu przyjmował wielu Polaków, którzy dziękowali mu za wyniesienie na ołtarze tak blizkiego naszemu sercu Klemensa (Dworzaka) który dla Polski niezrównane położył zasługi.

Piękną jest modlitwa kościelna przez Kongregację Obrzędów wydana na cześć naszego patrona:

— Boże, któryś błog. Klemensa Marję dziwną wiary mocą i niezwyciężonej stałości cnotą przyozdobił, uczyń nas prosimy, przez zasługi i przykłady jego tak silnymi w wierze i tak gorącymi w miłości, abyśmy nagrodę wiekuistą otrzymali. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

W r. b. 20 maja błog. Klemens zostaje w poczet świętych zaliczony, a tem samem Opatrzność otwiera nam wśród naszej niedoli szczególne źródło łask i pociechy, ufajmy więc że ten orędownik nasz i patron w niebie czuwa nad polskim ludem, który tak bardzo umiłował i módlmy się wzywając jego pomocy w potrzebach naszych.

Historja obrazu Najśw. Maryi Panny w Poniatowie.

(Z „Historji cudownych obrazów Najśw. Marji Panny w Polsce" Ks. Alojzego Fridricha T. J.)

Wieś w sierpeckim powiecie, należy do parafii Chamsk. Ponieważ jednak parafialny kościół w Chamsku uległ ruinie, odbywa się nabożeństwo parafialne w poniatowskim kościele, przy którym także mieszka ks. pleban.

Obraz Matki Boskiej Bolesnej w Poniatowie.

Poniatowo było niegdyś własnością rodziny Poniatowskich, z której król Stanisław August pochodził. Pierwszy drewniany kościół postawiony w roku 1643. Na jego miejsce wybudował r. 1805 Adam Zalewski obecny również drewniany kościół, konsekrowany przez biskupa Liberadzkiego, sufragana płockiego w roku 1807.

We wielkim ołtarzu znajduje się tu obraz Najśw. Matki Bolesnej, ozdobiony srebrną sukienką i takiemiż koronami, srebrnemi promieniami i koralami; po bokach między filarami rozwieszonych jest 64 wotów. Szematyzm dyecezyalny wspomina o tym obrazie, że zasłynął łaskami przy końcu osiemnastego wieku; akta parafialne nie przechowują jednak jego historyi. Jest tu tylko księga, w której spisanych jest 40 uzdrowień doznanych w Poniatowie między rokiem 1797 a 1808.

Lud okoliczny po nasze czasy uważa ten obraz za cudowny i gromadzi się tu licznie na odpusty w uroczystości Najśw. Panny Bolesnej i Szkaplerznej (w niedzielę po 16 lipca).

CZCIGODNA PAULINA FRASSINETTI

Założycielka Sióstr św. Doroty.

1809—1882.

Za rządów papieży: Leona XII, Grzegorza XVI, Piusa IX, Leona XIII.

Radujcie się i weselcie, albowiem zapłata wasza obfita jest w niebiesiech.
Ew. św. Mateusza V. 12. 13.

Pierwsze lata. Powołanie. Pierwsze próby zgromadzenia.

W 1809 r. dawna rzeczpospolita genueńska stanowiła część Francji. Chociaż po rewolucji francuzkiej bezbożność opanowała prawie całą Europę, w wielu rodzinach chrześciańskich przechowała się jeszcze czysta i głęboka wiara. Do tej liczby należeli małżonkowie Frassinetti, ludzie ubodzy, lecz bardzo pobożni.

Jan Babtysta i Aniela Frassinetti ofiarowali Bogu wszystkie swe dzieci: 4 synów obrało stan duchowny, córka zaś Paulina stała się matką nowej zakonnej rodziny. Paulina przyszła na świat 3 marca 1809 r. i tegoż dnia została ochrzczoną, według pobożnego włoskiego zwyczaju oddano ją pod opiekę Matki Boskiej. Będąc dobrą chrześcianką, Aniela starała się wychowywać córkę cnotliwie, dając dobry przykład, przyuczała ją do modlitwy i pracy, zachęcając do rozmaitych robót domowych. Będąc z natury łagodną, posłuszną, uprzejmą, Paulina nie zawiodła nadziei matki; ojciec zaś w obawie złych wpływów nie chciał posyłać do szkoły, sam nauczył ją pisać i czytać, a te pierwsze początki były jej podnietą do dalszego kształcenia się i pracy nad sobą.

W 1818 r. Aniela Frassinetti umarła, a po jej śmierci Paulina musiała spełniać w osieroconej rodzinie obowiązki matki, a czyniła to z wielkiem poświęceniem i zaparciem się siebie. Wstając rano biegła do kościoła, wysłuchiwała mszy św. modląc się gorąco starała się jak najczęściej przystępować do Komunii św., powróciwszy zaś do domu spełniała sumiennie obowiązki rodzinne. Tak doszła do lat 19-tu zawsze cicha i pogodna zwracając się szczerze i z wielkiem zaufaniem do Boga czekała jakiejś widoczniejszej oznaki łaski boskiej dla obrania powołania.

W tym czasie z powodu ciągłych umartwień ciała, zaczęła silnie zapadać na zdrowiu. Brat jej Józef, który właśnie otrzymał probostwo niedaleko Genui w górzystej miejscowości, prosił aby na jakiś czas przeniosła się do niego. Pobyt w górach bardzo dobrze wpłynął na Paulinę i znacznie pokrzepił jej siły.

Wiedząc o szlachetnych dążnościach siostry ks. Józef założył szkółkę dla wiejskich dzieci i zarząd nią Paulinie powierzył. Uszczęśliwiona tak miłem dla siebie zadaniem zajmowała się z całą gorliwością, ucząc dziewczęta rozmaitych robótek, czytania, pisania a przedewszystkiem katechizmu, uważała go słusznie za główną podstawę chrześciańskiego wychowania.

Pewna pobożna panienka z okolicy nazwiskiem Marja Anna Danero, zachwycona opowiadaniami o cnotach Pauliny starała się z nią zbliżyć i odtąd prowadziły z sobą długie rozmowy szczególnie w Niedziele i święta odbywały przechadzki po sąsiednim lasku i zwierzały sobie zamiary na przyszłość chcąc koniecznie dokonać jakichś dobrych czynów.

Wkrótce kilka innych młodych osób przyłączyło się do nich i prowadzono budujące rozmowy udoskonalając się w cnotach.

Paulina czuła coraz więcej rozwijające się w niej powołanie i pociąg do życia zakonnego, nie znając zaś dobrze żadnej klasztornej reguły, starała się połączyć życie pełne pracy i poświęcenia z wymaganiami klauzury. Towarzyszki Pauliny oddawały się wspólnie ćwiczeniom religijnym, a małe to zgromadzenie pełne było dobrych chęci i szczerego zapału.

Zgodnie z życzeniem brata Paulina wybrała dwanaście towarzyszek pragnących poświęcić się Bogu i namówiła ich do rozpoczęcia roku próby pozostając mimo to w rodzinie. W pewne dnie zbierały się dla słuchania nauk ks. Józefa, a co tygodnia pełniły kolejno obowiązki przełożonej; ćwiczyły się przytem w posłuszeństwie.

Siostry św. Doroty.

Po pewnym czasie ich gorliwość ostygła z powodu przewidywanych trudności i wszystkie cofnęły swe postanowienia; postępek ten sprawił ogromną boleść Paulinie Frassinetti, brat zaś jej zniechęcony niefortunnym początkiem nie chciał nawet słyszeć o przyszłem zgromadzeniu. Paulina czerpiąc siły w modlitwie oświadczyła, że nie wyrzeknie się za nic w świecie swego zamiaru.

Wkrótce pięć młodych panien żałując swego postępku prosiły, aby je napowrót przyjęto, co ułagodziło ks. Józefa. Wynajął mały domek i 12 sierpnia 1834 r. zgromadzenie rozpoczęło swoją działalność. Młode nowicjuszki utrzymywały się z pracy rąk własnych; po mszy św. i pobożnych ćwiczeniach tkały płótna do późnej nocy i bardzo starannie uczyły biedne dzieci.

niając pożyteczną ich pracę zaofiarowała im domek w Genui, lecz ojciec Pauliny pomimo wrodzonej dobroci, widząc grożące córce na każdym kroku niebezpieczeństwo, kazał jej wrócić niezwłocznie pod dach rodzinny. Paulina ze smutkiem zastosowała się do jego woli, a towarzyszki poszły za jej przykładem.

Po niejakim czasie stary Frassinetti widząc

Czcig. Paulina Frasinetti, fundatorka Sióstr Św. Doroty.

W tym czasie ks. Łukasz Passi z Bergamu rozwinął dzieło apostolskie mające na celu katechizację wiejskich dzieci, pod przewodnictwem księży i pań opiekunek, zgromadzenie to było pod wezwaniem św. Doroty panny i męczenniczki, która swoje dwie siostry nawróciła na wiarę chrześciańską. W Genui czcigodny pasterz poznał się z Pauliną Frassinetti. Dwie pokrewne dusze zrozumiały się prędko, i ks. Łukasz zaproponował połączyć zgromadzenia. Myśl ta przyjętą była z radością przez młodą założycielkę i odtąd wraz z towarzyszkami poczęły zwać się „Siostrami św. Doroty". Cholera panująca w 1835 r. we Włoszech dała im szerokie pole do okazania swego poświęcenia.

Siostry pielęgnowały chorych z narażeniem własnego życia. Ludność miejscowa oce-

w córce prawdziwe powołanie do życia zakonnego oraz jej zamiłowanie do miłosiernych czynów pozwolił jej powrócić do przerwanych zajęć, towarzyszki chętnie znów pospieszyły do swej przewodniczki i małe zgromadzenie zawiązanem zostało na nowo.

Zakonne śluby. Siostry św. Doroty w Rzymie.

W Genui, gdzie się osiedliło nowe zgromadzenie, znalazło grunt odpowiedni i w prędkim czasie tak się rozszerzyło, że mieszkanie zajmowane poprzednio, okazało się za małe i musiano je powiększyć. W 1838 r. Paulina z jedenastu siostrami włożyły suknie zakonne i otrzymały błogosławieństwo arcybiskupa.

W następnym roku przełożona ze swemi trzema pierwszemi towarzyszkami wykonała śluby posłu-

szeństwa, ubóstwa i czystości dodając jeszcze czwarty szerzenie zakonu św. Doroty, lecz Bóg chciał jej dać obszerniejsze pole działania. Stosując się do rad niektórych duchownych. Matka Frassinetti z dwoma siostrami udała się do Rzymu w 1841 r., gdzie przyjaciele wynajęli dla nich 4 skromne pokoje około bazyliki św. Piotra; zakonnice osiedliły się tam i wnet otworzyły szkółkę św. Doroty, zasługi sióstr zostały wkrótce ocenione powierzono im zarząd kilku szkółek parafjalnych w Rzymie ofiarując obszerny dom około kościoła Najświętszej Marji Panny. Matka przełożona urządziła tam bezpłatną szkołę dla ubogich i pensję dla bogatych dziewcząt. Księża, prałaci, kardynałowie, darzyli ją wielkiem poważaniem, szczególnie zaś kardynał Patrizi, który w częstych rozmowach z Matką Pauliną mógł ocenić jej dobroć, pobożność oraz inne cnoty i często opowiadał o niej Grzegorzowi XVI. Ojciec św. słysząc oddawane jej pochwały powierzył czcig. Paulinie zreformowanie schronienia św. Onufrego, co wykonała sumiennie, z wielką energją i zupełnem oddaniem się tej sprawie. W schronieniu założono internat, czyli pobyt stały, dla młodych panien. Matka Frassinetti była szczerze kochaną przez wszystkie dzieci, gdyż macierzyńskiem darzyła je sercem i była zawsze ogromnie sprawiedliwą. I tak np. między nowo przybyłemi pensjonarkami jedna była bardzo piękna, druga zaś wątła i brzydka. Podczas rekreacji Siostry zachwycały się urodą pierwszej, na co odpowiedziała przełożona: „Co do mnie wolę tę drugą, ponieważ brzydkie są zwykle mniej lubione przez wszystkich, więc okazując im życzliwość wydaje mi się, że Bogu miłosiernemu sprawiam przyjemność.

Pius IX. Wrogowie Państwa kościelnego. Siostry św. Doroty w Brazylji.

Grzegorz XII umarł w 1846 r., po nim obrany został papieżem Pius IX, który wprowadził doniosłe zmiany. Od pierwszej chwili swego pontyfikatu postanowił uwolnić przystępców politycznych i wygnańcom pozwolił powrócić do ojczyzny. To ułaskawienie wywołało w całych Włoszech zapał niewypowiedziany. Mimo to w Rzymie rewolucjoniści wichrzyli, zamordowano ministra papieskiego Rossiego. Pius IX zmuszony był uciekać do Neapolu i oddać się pod opiekę króla Ferdynanda. W lutym 1849 r., rozeszła się pogłoska, że stowarzyszenie św. Onufrego zostanie zniesione. Matka Frassinetti zwróciła się przez znajomych do Mazziniego, stojącego na czele politycznej partji narodowej, a ten odpowiedział, aby się nie obawiały niczego i modliły się za ludzi dobrej woli; lecz prócz Mazziniego byli inni przewodnicy rewolucji i ci nasłali zakonnicom delegatów zadających im ohydne pytania i grożących rozwiązaniem zgromadzenia. Poczem 40 kobiet występnych, skazanych za złodziejstwa, zabójstwo i rozpustę przysłano do zakładu św. Onufrego oddając je pod dozór zakonnic. Czcig. Paulina nie oburzyła się tem zuchwalstwem, ale przyjęła nieproszonych gości ze słodyczą ustępując im całe piętro i obchodząc się z nimi po macierzyńsku. Przyjęciem podobnem tak je zjednała, iż czuły się tu bardzo szczęśliwe i obudziła się w niejednej skrucha. W 1849 r., Francja przysłała wojsko na pomoc dla uśmierzenia powstania. D. 2 Lipca spokój znów zapanował w Rzymie i Matkę Frassinetti uwolniono od przemocą jej narzuconego towarzystwa. Na nowo rozpoczął się żywot pracy wychowawczej. Papież IX cenił wielce Siostry św. Onufrego zachwycając się ich pobożnością, dobrocią i cierpliwością odwiedzał je bardzo często prowadząc z przełożoną długie rozmowy. Nowo mianowany w Rzymie arcybiskup brazylijski zaproponował matce Frassinetti, aby osiedliła się z całem swojem zgromadzeniem w jego dyecezji, gdzie wychowanie katolickie pozostawiało wiele do życzenia. Ulegając woli Ojca św. czcig. Paulina przyjęła na siebie ten ciężki, trudny i odpowiedzialny obowiązek. Zakonnice pod jej kierunkiem wyszkolone, były również jak i ona pełne zaparcia się siebie i poświęcenia, zgodziły się więc chętnie na wyjazd do dalekich krajów i zajęły się z taką gorliwością katechizowaniem i kształceniem młodych umysłów, że sława ich rozeszła się po całej Brazylii. Portugalja również przyjęła je życzliwie, lecz Siostry św. Doroty nie chcąc zrażać niedowiarków i nie narażać się na przykrości nie nosiły szat zakonnych. W 1867 r. zgromadzenie posiadało już 12 domów, w których kształciły się dzieci w wierze katolickiej i ćwiczyły się w cnotach. Zakonnice miały tak wiele zajęcia, że jak słusznie jedna z nich zauważyła każda musiała pracować za dziesięć, aby wydołać przyjętym na siebie obowiązkom.

Wkroczenie wojsk do państwa Kościelnego. Zabór Rzymu w 1870 r. ogłoszenie go stolicą Włoch Zjednoczonych. Ostatnie lata życia czcig. Pauliny.

Rozdzielone na różne państewka Włochy zamierzały się połączyć, ztąd i Kościelnemu państwu groziła zagłada.

We wrześniu 1870 r. włoska armja będąca na usługach rewolucjonistów napadła na wojsko papieskie, odebrała stolicę, pałac watykański zamieniając mu na więzienie, gdyż nie mógł odtąd papież ukazywać się na ulicach miasta.

Wszystkie zakonnice, na czele zaś ich Matka Frassinetti, wznosiły modły prosząc Boga o przebaczenie za wyrządzone Kościołowi św. zniewagi. Po odbierano wszystkie klasztory mieszcząc w nich

instytucje rządowe, kilkakrotnie był już wydany rozkaz wygnania z klasztoru Sióstr św. Doroty, lecz to się widocznie nie zgadzało z wolą boską, bo jakoś cudem ocalał. Podczas wszystkich tych bolesnych przejść czcig. Paulina nie zmieniła swego usposobienia, zawsze pełna niezachwianej słodyczy i zgadzająca się we wszystkiem z wolą Opatrzności nie raz powiadała:

— Niech będzie Wola Boska błogosławiona, ona jest mi rajem na ziemi!“ Ponieważ nadwątlone zdrowie i wiek podeszły nie pozwalały jej odwiedzać osobiście zakładów wychowawczych w Brazylji, jeździła za to do Portugalji, aby zakonnice swoim przykładem i naukami umacniać i udoskonalać. Jak wszystkie wzniosłe i szlachetne dusze, miała o sobie najgorsze mniemanie, a nie czując się na siłach być przewodniczką tak licznego zgromadzenia, prosiła, aby ją od tej godności uwolniono, lecz zakonnice ubłagały ją i nadal pozostała pełniąc do końca życia swój zaszczytny obowiązek.

Choroby. Cudowne uzdrowienie. Śmierć czcig. Matki Frassinetti.

Zdrowie Matki Frassinetti słabło coraz bardziej, lecz przyjmowała to z poddaniem się, dziękując Stwórcy za wszystko cokolwiek jej zsyła. Nie zważając na dolegliwości i cierpienia, do końca sama Siostry nowicjuszki uczyła religji, rozwijając w nich miłosierdzie, które zawsze w tak wysokiem stopniu posiadała. Gdy pewnego razu jedna z Sióstr odpowiedziała proszącemu, że może mu tylko zaofiarować kawałek suchego chleba, rzekła jej przełożona:

— Mając sama mało, dawałam zwykle dużo biednym i tego nigdy nie żałowałam!“ Wkrótce znów została nawiedzona bardzo ciężką chorobą okazało się, że palec u ręki miała zgangrenowany. Doktorzy ogólnie zadecydowali, że chcąc chorą uratować od śmierci, trzeba niezwłocznie amputować całą rękę ponieważ jednak chora była zbyt osłabioną, postanowiono wstrzymać się z operacją. „Boże daj mi siły do zniesienia bólu, powtarzała czcig. Paulina, zresztą niech się dzieje Twoja Święta Wola“. Siostry ufając więcej w pomoc boską, niż w ludzką gorącemi modłami uprosiły u Boga cud prawdziwy, obeszło się bowiem bez amputacji, palec zagoił się zupełnie. Ale wkrótce nową Bóg zesłał próbę. Częściowy paraliż dotknął Matkę Przełożoną.

W tym czasie odwiedził ją ks. Bosco, kapłan nadzwyczaj zacny, miłosierny i świątobliwy. Odwiedziny te sprawiły chorej ogromną radość. Zakonnice zwróciły się do don Bosco oczekując od świętego męża pomocy:

— Moje dzieci, rzekł on na to, wieniec zasług waszej przełożonej już jest ukończony“.

Matka Frassinetti ofiarowywała Jezusowi cierpiącemu na krzyżu wszystkie swe ciężkie próby, a Komunja św. codzienna przynosiła jej największą ulgę i rozkosz prawdziwą. Czując już, że się zbliża ostatnia chwila pobłogosławiła córki, przyjęła Ostatnie namaszczenie i 11 czerwca 1882 roku spokojnie zasnęła w Bogu mając lat 74.

W 1906 r. rozpoczęty został w Rzymie proces beatyfikacyjny dający już prawo nazywania ją czcigodną, za nim w poczet błogosławionych zaliczoną zostanie.

Historja Obrazu Najśw. Maryi Panny w Sierpcu.

(Z „Historji cudownych obrazów Najśw. Marji Panny w Polsce“ Ks. Alojzego Fridricha T. J.)

Jedno z najstarszych miast dawnej Polski, nad rzeką Sierpienicą, oddalone oddalone o 5 mil od Płocka na północ. Jak świadczą miejscowe archiwa, parafialny kościół wzniesiony tu został już w roku 1003, prawdopodobnie na miejscu dawnej pogańskiej świątyni.

Bogate niegdyś, ludne i handlowe to miasto, zeszło obecnie do rzędu małych miasteczek; jedynie świątynie Pańskie świadczą jeszcze o dawnej jego wielkości: dwie w mieście, trzecia za rzeką na górze, zwanej Loretem, gdzie od sześciu niemal wieków licznemi łaskami zasłynęła Najświętsza Matka Zbawiciela.

Akta miejscowe przechowały nam następującą historję: Roku 1484, gdy jeszcze tę górę nieprzebyte lasy pokrywały, grasowała na Mazowszu choroba zaraźliwa. Zapadł na nią w Płocku kleryk imieniem Andrzej, a mając rodziców w Sierpcu, przybył do tego miasta na kurację. Razu jednego wybrał się na górę, rozmyślając o smutnym stanie swoim i o wielkiem nieszczęściu, jakie grasująca choroba wśród ludzi czyniła, a że miał wielkie nabożeństwo do Matki Najśw., polecał się Jej opiece, prosząc, by mógł przyjść do zdrowia i zostać kapłanem. Właśnie zbliżał się zachód słonca i Andrzej podniesiony modlitwą na duchu, wracał do domu, gdy nagle ujrzy przed sobą wspaniałą niewiastę z dzieciątkiem na ręku. Zdziwiony pyta: *Co Pani tu robi tak późno? Jestem*, odpowiedziała Pani, *Najświętsza Marja Panna, zesłana z nie-*

ba na waszą pociechę, na znak tego oto trzymam P. Jezusa Zbawiciela naszego. Wystawcie mi kościół na tem miejscu, a choroba ustanie. Słysząc to młodzian, upadł na kolana i chciał prośbę swą Matce Najśw. przedstawić, ale w tej samej chwili widzenie znikło. Długo klęczał, zalewając się łzami radości, że mógł

Koronowana figura Najśw. Maryi Panny w Sierpcu.

ujrzeć własnemi oczyma Matkę Najśw., a skoro powstał, uczuł się zupełnie zdrowym. Do domu wróciwszy, opowiedział o cudownem widzeniu, a na drugi dzień całe miasto wiedziało już o niem. Nie wszyscy chcieli w cudowne zjawienie wierzyć; nagłe uzdrowienie kleryka przypisywali jego wybujałej wyobraźni — mimo to, jakby na próbę wystawiono na górze kaplicę drewnianą na cześć Najświętszej Panny, i niebawem grasująca choroba ustała.

Odtąd nietylko chorzy, kalecy, ale i rozmaitemi nieszczęściami doświadczeni zbierali się licznie w kapliczce na górze, doznając zdrowia, pociechy i pomocy od Matki Najświętszej. Miejsce to nabrało rozgłosu na całem Mazowszu, co uważając dziedzic Sierpca wybudował tu roku 1513 duży murowany kościół, pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marji Panny, i sprowadził doń dla wygody pobożnych: sześciu kapłanów, którym na utrzymanie dwie wsie na wieczne czasy zapisał.

W późniejszych latach miasto Sierpc przeszło do rodziny Potulickich. Zofia ze Zbąszyna Potulicka, podkomorzyna poznańska, zostawszy dziedziczką połowy Sierpca, część swoją ofiarowała na fundację klasztoru Panien Benedyktynek, i w r. 1620 sprowadziła te zakonnice z Chełmna do Sierpca, a między niemi dwie swoje córki. Gdy klasztor z drzewa zbudowany zniszczał pożarem, biskup płocki Załuski wyjednał 30.000 złp. u księżnej Radziwiłłowe i dołożywszy własnych funduszów, wybudował dla Panien Benedyktynek murowany klasztor. Podobnie i kościół niejednokrotnie pożarem i zębem czasu nadwyrężony, bywał w różnych czasach przerabiany.

Ostatni raz odnowiono go w r. 1902.

Dnia 4 października biskup płocki Jerzy Szembek dokonał jego konsekracji. Starożytną, licznemi łaskami wsławioną figurę Najśw. Panny, przeniesiono wówczas w uroczystej procesji z kaplicy poklasztornej do kościoła i umieszczono we wielkim ołtarzu. Rzeźbiona w drzewie, wysokosci półtora łokcia, przedstawia Najświętszą Pannę z Boskiem Dzieciątkiem na prawem ramieniu — okryta suknią ze srebrnej blachy i płaszczem, złotem haftowanym. Głowę Najśw. Panny i Pana Jezusa zdobią szczerozłote korony, u stóp duży srebrny księżyc, lśniący drogiemi kamieniami. Po bokach nad głowami cztery srebrne figury Aniołów i srebrna korona z 12 gwiazd. Wreszcie sznury korali i pereł, kilkanaście większych i mniejszych tablic wotywnych ze złota i srebra, dopełniają ozdoby tego pięknego wizerunku Najśw. Bogarodzicy. Niegdyś liczono około 500 rozmaitych wotów, ale te po większej części zostały obrócone w różnych czasach na restaurację kościoła.

I za dni naszych liczne rzesze ludu zbierają się tutaj na większe uroczystości Matki Najśw., i nowe wota składają z wdzięczności za otrzymane łaski. Tak w roku 1899 dnia 23 października ks. Ludwik Bobiński uroczyście zawiesił złote serce przy świętej figurze, ofiarowane od B. M. na podziękowanie Najśw. Pannie za uwolnienie od ciągłych konwulsji.

Panien Benedyktynek niema już dawno w Sierpcu; tylko jeden kapłan obsługuje kościół, odprawia nabożeństwa i spełnia posługi duchowne, garnącym się na to miejsce.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Dnia 6 Kwietnia.

ŚWIĘTY CELESTYN I, PAPIEŻ.

Rządził od 422 do 432.

Za rządów cesarza wschodniego Walentyniana III.

Ziemia nie jest miejscem wypoczynku dla nas; tylko w życiu przyszłem znajdziemy upragniony spokój.
Św. Paweł.

„Święta Marjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej".

Mało kto z was wie drodzy czytelnicy, że owe słowa powtarzane przez nas codziennie w Pozdrowieniu anielskiem dodane są przez świętego Namiestnika Chrystusowego, Celestyna I. Papież ten ukochał Najśw. Pannę z całem synowskiem przywiązaniem i walczył w Jej obronie, gdyż za jego rządów wystąpił patryarcha konstantynopolitański Nestorjusz przeciw dogmatowi Kościoła katolickiego ośmielając się dowodzić, że Najśw. Marji Panny nie należy zwać Bogarodzicą, oddzielał bowiem w Chrystusie dwie natury: boską i ludzką. Z tego powodu na soborze efezkim w 431 r. został za kacerstwo potępiony i zmarł na wygnaniu przez swych zwolenników opuszczony.

Dla upamiętnienia tego tryumfu prawdy wiekuistej, św. Celestyn dodał do Pozdrowienia anielskiego owe pobożne wezwanie do Matki Boskiej, dla zaznaczenia właśnie, że wszyscy wierni winni czcić w Najśw. Pannie Matkę Syna Bożego.

Przyjaźń św. Celestyna ze św. Augustynem i walka z herezją.

Św. Celestyn urodził się w Kampanji, był synem Pryskusa blizkiego krewnego cesarza Walentyniana III. Celestyn otrzymał wyższe wykształcenie w Rzymie; w tym czasie właśnie św. Augustyn przybył z Kartaginy dla wykładania retoryki, czyli krasomówstwa. W młodym wieku został św. Celestyn diakonem w Rzymie i za rządów papieża Innocentego I, św. Zozyma i św. Bonifacego piastował już wysokie dostojeństwa duchowne. Po śmierci tego ostatniego w 422 r. był obwołany jednogłośnie papieżem.

Św. Augustyn będący wówczas u szczytu swej sławy napisał do św. Celestyna list, w którym składa mu gorące powinszowanie z powodu tego obioru ciesząc się, że Bóg raczył powołać tak czcigodnego i zasłużonego sługę swego na Piotrową stolicę.

Pomiędzy tymi dwoma znakomitymi mężami Bożymi zawiązał się stosunek szczerej przyjaźni.

Św. Augustyn był biskupem Hipony i często pisał do papieża w różnych sprawach, a Ojciec św. zawsze chętnie stosował się do jego życzeń. Obaj walczyli energicznie przeciw herezji Nestorjusza i Pelagjusza, (ten ostatni dowodził, że człowiek może otrzymać zbawienie za pomocą wolnej woli bez wpływu łaski Boskiej). Św. Augustyn pisał wiele i przemawiał w obronie dogmatów wiary, a św. Celestyn zalecał wielce biskupom rozprzestrzenianie pism św. Augustyna, zowiąc go: „chwałą Kościoła św. i świata całego".

Papież z troskliwością najlepszego ojca dbał, ażeby wszędzie gdziekolwiek krzewiła się herezja wypleniać ją niezwłocznie, jak złe zielsko.

W Galji również jak w Afryce byli sekciarze starający się gwałtem przeciągać ludzi na swoją stronę. Pelagjanie, a po nich Semipelagjanie utrzymywali, że grzech nie zmienił pierwszych rodziców naszych ani na ciele ani na duszy, nie spłynął także na ich potomstwo; nowonarodzeni zostają więc w tem samem położeniu, jak Adam po stworzeniu i nie potrzebują chrztu jak dojrzali, ażeby dostąpić odpuszczenia grzechów.

„Nie możemy dozwolić, pisał św. Celestyn do biskupów galijskich, na rozsiewanie innego ziarna, jak te, które Boski Siewca nam powierzył. Bądźcie więc jako sternicy przewidujący i uprzedzający przed nieszczęściem".

Święty ten papież rządził Kościołem gorliwie i mądrze, to też przyczynił się wielce do utrzymania jedności wiary św. nie dozwalając na żadne nie właściwe i zdrożne zmienianie uświęconych prawd religji katolickiej.

Św. Celestyn wysyła misjonarzy do Anglji i Irlandji.

Św. Celestyn musiał energicznie działać na duchowieństwo w Galji, ponieważ tam szerzyły się heretyckie nauki, ale nie mniej miał czujne oko i na dalsze kraje. Od czasów pierwszych apostołów Ewangelja św. była głoszona w Wielkiej Brytanji, to jest w Anglji. Znajdowała się już tam wielka ilość wiernych, ale było jeszcze dużo dzikich plemion nie będących nigdy pod władzą Rzymian. Irlandja i Szkocja były jeszcze naówczas w ciemności pogaństwa. Św. Celestyn wysłał tam św. Pelagiusza w 428 r. i św. Patryka w 432. Pod wpływem dobroczynnym tak żarliwych krzewicieli wiary

św. coraz więcej owieczek przybywało do owczarni Chrystusowej. Ale heretycy postarali się wnet głosić tam swoje zasady; pomiędzy tymi nieprzyjaciółmi Kościoła był Agrykola, jeden z najzaciętszych zwolenników Pelagiusza i on wiele złego w Wielkiej Brytanji uczynił. Dowiedziawszy się o tem papież Celestyn wysłał legatów apostolskich, świętych sług Bożych, którzy przyczynili się do zachowania czystości nauki Chrystusowej, powstając surowo na tych, którzy tę czystość skazić usiłowali.

Św. Cyryl występuje przeciw Nestorjuszowi.

Podczas gdy św. Celestyn wysłał dzielnych obrońców wiary św. na Zachód, herezja Nestorjusza stała się nową klęską na Wschodzie. Heretycy nie przebierali w środkach, jednając sobie stronników podstępem, grozą, a nawet siłą oręża.

Przeciw fałszywej nauce Nestorjusza o dwóch osobach w Panu Jezusie powstał odważnie św. Cyryl, patryarcha aleksandryjski. Wystosował do niego list, w którym w sposób łagodny ale stanowczy zarazem, prosi, aby zaprzestał szerzyć błędne nauki, ubliżające Bóstwu Chrystusa Pana. Dumny odszczepieniec nie przyjął rozsądnej rady i z większym jeszcze zapamiętaniem obałamucał ludzi nieoświeconych, a zręcznymi wybiegami i dowodzeniami pociągał ku sobie ludzi uczonych ale słabej wiary. Biskupi, kapłani i zakonnicy zerwali wszelkie stosunki z Nestorjuszem konstantynopolitańskim, a Euzebjusz, biskup Dorylejski, ostrzegał wszystkich przed grożącem niebezpieczeństwem.

Św. Cyryl troskliwy o czystość wiary katolickiej doniósł do Rzymu o tem, co zaszło w Konstantynopolu, chcąc, aby Głowa Kościoła swój sąd o tem wydał.

Papież Celestyn zgromadził w Rzymie biskupów z którymi razem uznał naukę Nestorjusza za fałszywą, potępił takową, a św. Cyrylowi powierzył wykonanie swego wyroku, upoważniając, aby wymógł na Nestorjuszu odwołanie herezji, jeżeli pragnie być przyjętym do jedności Kościoła.

„Wykonasz ten wyrok naszą powagą, w naszem imieniu i na mocy naszej władzy, tak, że jeżeli w dziesięć dni od mającego się udzielić napomnienia Nestorjusz nie wyrzeknie się swej bezbożnej nauki, ogłosisz go za wyłączonego z naszej jedności, a następnie zaradzisz bezpośrednio potrzebom konstantynopolitańskiego Kościoła. *(Epla Celest ad Cyryl).*

Spełniając rozkaz głowy Kościoła napisał św. Cyryl nowy list pełen miłości i rozsądku, zamieszczając w nim katolicką naukę, co do Bóstwa i człowieczeństwa Pana Jezusa, wykładając również dowodnie, że Najśw. Marja Panna słusznie nazywa się Matką Boską. Naukę tę zawarł w dwunastu artykułach i żądał, żeby je Nestorjusz podpisał.

Ale ambitny herezjarcha nie tylko nie uznał swej winy, ale począł wichrzyć i buntować skarżąc się na surowość Cyryla. Udało mu się pozyskać łaskę cesarza Teodozjusza oraz jego ministrów, z tego wynikły coraz groźniejsze zatargi wśród duchowieństwa i wzburzenie umysłów wciąż wzrastało.

Sobór Efezki w 431 r.

Żeby uratować prawdziwą wiarę na Wschodzie zarządził papież Celestyn naradę czyli konsylium powszechne w Efezie, wyznaczając na przewodniczącego św. Cyryla.

Zjechało się z różnych stron świata przeszło dwustu biskupów, a z Rzymu przybyli wysłani przez papieża Arkadjusz i Projektus oraz kapłan Filip. Cesarz Teodozjusz wysłał ze swej strony zaufanych dla pilnowania porządku. Zgromadzenie zasiadło na radę w przedmiocie wiary w kościele Najśw. Panny Marji. Św. Cyryl przewodniczący w imieniu papieża przemówił pierwszy w te słowa:

„Bądź pozdrowiona Przenajśw. Trójco, któraś nas zgromadziła w tym kościele poświęconym Marji Matce Boskiej. Bądź pozdrowiona Bogarodzico, bądź pozdrowiona Marjo, skarbie czcigodny świata całego, światło nigdy nie gasnące, berło nauki dobrej, kościele wiecznie trwały; Ty Matko Dziewico zarazem, któraś w Swem łonie zamknęła Tego, którego żadna przestrzeń ogarnąć nie zdoła; Ty przez którą Trójca Przenajśw. jest wysławiona i uwielbiona, przez którą krzyż najdostojniejszy Zbawiciela podniesion jest na ziemi; przez którą niebiosa tryumfują aniołowie i archaniołowie weselą się; przez którą złe duchy w rozsypkę poszły, a kusiciel jest zwyciężony, przez którą człowiek upadły niebo odzyskuje; przez którą znajomość prawdy wzniesiona została na zwaliskach bałwochwalstwa, przez którą wszystkie kościoły świata wzięły początek, a narody do pokuty przywiedzione. Ty naostatek, przez którą jedyny Syn Boga, światłość świata, oświecił tych, którzy w ciemnościach śmierci byli pogrążeni".

Po tak wspaniałem przemówieniu, będącem prawdziwym hołdem złożonym Najśw. Marji, przystąpiono do rozbierania nauki katolickiej o Wcieleniu Chrystusa Pana, poczem uznano jednozgodnie, że w Panu Jezusie jedna jest tylko osoba Boska a tem samem Najśw. Pannę słusznie nazywamy Matką Boską.

Nestorjusz nie chciał ukazać się na zgromadzeniu, chociaż był w Efezie.

Podczas narad duchowieństwa, które przeciągnęły się do późna w nocy, tłumy ludu oblegały kościół, wyczekując na ostateczne wyniki.

Nakoniec otworzyły się drzwi kościoła i bis-

kup wysłany dla zawiadomienia wiernych o uchwałach soboru tak przemówił:

„Słuchajcie wierni! Bezbożnik potępiony, błąd zniszczony, Najśw. Marja Panna jest zaprawdę Bogarodzicą".

W odpowiedzi na te słowa wzniósł się okrzyk niewymownej radości:

Św. Celestyn po raz pierwszy odmawiający z natchnienia Ducha Świętego modlitwę, dodaną następnie przez niego do Pozdrowienia Anielskiego: *Święta Marjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.*

„Niech będą błogosławieni święci biskupi, którzy nam Najśw. Matkę powracają! wołano dokoła, zaprawdę Marja jest Bogarodzicą!"

Rozpalono ognie w mieście i okolicy, a wracających biskupów na ręku odniesiono do ich mieszkań, wydając wciąż okrzyki na cześć Matki Boskiej.

Papież zatwierdził uchwałę soboru, a św. Cyryl z chwałą, jako obrońca wiary powrócił do Aleksandrji.

Przed zamknięciem soboru legaci apostolscy odczytali listy papieskie, a dostojne zgromadzenie przed rozejściem się wychwalało zasługi Namiestnika Chrystusowego, obrońcę Najśw. Marji i wznosiło okrzyki na cześć św. Celestyna, przyrównując go do Pawła apostoła. Cesarz Teodozjusz podpisa wyrok wygnania na potępionego Nestorjusza.

Radość świata katolickiego z powodu potępienia herezji Nestorjusza. Upamiętnienie soboru.

W całym świecie katolickim przyjęto radośnie wieść o potępieniu Nestorjusza. W Konstantynopolu, ludność cała okazywała wielką radość z powodu

przywrócenia czci Matce Boskiej i wszyscy powtarzali słowa modlitwy dodane przez papieża Celestyna do Pozdrowienia Anielskiego: „Święta Marjo, Matko Boża módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej".

Św. Celestyn dla upamiętnienia soboru efezkiego kazał wymalować w katakumbach Pryscylli obraz przedstawiający całe zgromadzenie biskupów ze św. Cyrylem na czele. W rzymskich kościołach zachowały się cenne zabytki z tych czasów; mozajki i obrazy przedstawiające różne sceny z życia Najśw. Panny Marji. Wszystko to zrobione za staraniem św. Celestyna, który wszelkiemi sposobami pragnął podnieść chwałę Matki Boskiej i obudzić w sercach wiernych miłość dla tej Orędowniczki naszej w niebie. I rzeczywiście dla tego właśnie, że heretycy nie chcieli czcić Bogarodzicy, dobrzy chrześcianie tym więcej starali się okazać Jej swe przywiązanie wynagradzając zniewagi przez odszczepieńców uczynione. Cieszono się, gdy rozeszła się wieść, że Nestorjusza spotkała kara nieba, albowiem straszna dotknęła go choroba i język bluźniący Matce Zbawiciela stoczony został przez robaki, poczem zmarł ów herezjatra w pustyni górnego Egiptu przez wszystkich znienawidzony.

Zasługi św. Celestyna dla Kościoła św.

Św. Celestyn obrońca gorliwy wiary katolickiej dbał też o zachowanie jedności modlitw liturgicznych. „Oprócz dekretów Stolicy Apostolskiej, które uczą nas prawd niezłomnych, pisał on do galijskich biskupów, powinniśmy dawać baczenie na tajemnice zawarte w formułach modlitw kapłańskich przez Apostołów ustanowionych a powtarzarzanych zgodnie przez cały Kościół katolicki".

On też ustanowił zwyczaj odmawiania na początku mszy św. wyjątku z psalmów Dawida, zwane *Introit*, co oznacza po łacinie wstęp, wnijście, jako przypomnienie gorących próśb proroków z najwyższą niecierpliwością oczekujących przyjścia Mesjasza i podnoszących głosy do nieba: „Proszę Panie, poszlij, kogo masz posłać". Przedtem mszę św. zaczynano czytaniem wyjątków z listów świętego Pawła.

Zaraz na początku swych rządów miał zatargi z Eulaljuszem archidiakonem, bezprawnie powołanym po śmierci św. Zozyma (jednocześnie z Bonifacym I) na tron Piotrowy. Takie gwałtowne przywłaszczenie sobie władzy najwyższej przez antypapieża spowodowało wielkie niepokoje. Trzeba było nadzwyczajnego taktu i umiejętności postępowania, jakiemi odznaczał się św. Celestyn, aby te zatargi w łonie duchowieństwa powstałe załagodzić. Musiał też święty Namiestnik Chrystusowy załatwić spory z biskupami afrykańskimi w sprawie odnoszenia się we wszystkiem do Rzymu.

Św. Celestyn odnowił i wspaniałymi darami wzbogacił bazylikę, która podczas najazdu Gotów na Rzym została spalona, a także do bazyliki św. Piotra 20 cennych kandelabrów ofiarował.

Wiele doniosłych dekretów wydał ten gorliwy i mądry papież dbający zawsze o dobro Kościoła św. pomiędzy innymi rozkazał nie odmawiać nigdy rozgrzeszenia grzesznikom odbywającym publiczną pokutę przed śmiercią.

Śmierć św. Celestyna. Jego relikwje.

Dziesięć lat ustawicznej walki i wytężonej pracy podkopały ogromnie zdrowie św. Celestyna. Tymczasem napływały nowe niebezpieczeństwa. Atylla, wódz dziki, zbliżał się do Rzymu na czele olbrzymich hufców budząc trwogę, szerząc wszędzie okrutne spustoszenie. Ale Najśw. Panna ulitowała się snać nad wiernym swym obrońcą i wyprosiła mu u Boga śmierć szczęśliwą, za nim najeźdcy wkroczyli w granice państwa. Św. Celestyn umarł dnia 6 kwietnia 432 r.

Życzył sobie być pochowanym w katakumbach Pryscylji, na drodze Salaryjskiej, u stóp figury Matki Boskiej z pierwszych czasów chrześciaństwa. Na jego grobie pobożna ręka wyryła następujący napis:

„Tu spoczywają kości i prochy Celestyna, oczekujące chwili zmartwychwstania. Ziemia pokrywa jego szczątki; a dusza uwolniona z więzów cieszy się widokiem Jezusa Chrystusa".

W tym grobie pozostawał on do 817 r. poczem przeniesiono relikwje do kościoła św. Praksedy, i tam dotychczas wierni modlą się u jego grobu przyzywając ufnie pomocy i prosząc o wzbudzenie w ich sercach gorętszej miłości dla Matki Zbawiciela.

W późniejszych czasach część relikwji św. Celestyna otrzymał kościół w Mantui i na tę pamiątkę corocznie obchodzą tam jego święto bardzo uroczyście.

Święta Celestyna.

Tegoż samego dnia (6 kwietnia) martyrologja Kościoła Utrechtskiego wspomina o świętej Celestynie i ośmiuset jej towarzyszkach. Niestety historja nie przechowała nam żadnych szczegółów bliższych z jej życia i cnót, któremi na miano świętej zasłużyła, ale Bóg czytający w sercach ludzkich i prawdziwe zasługi wynagradzający sowicie, w niebie koroną męczeńską czoła tych świętych dziewic przyozdobił.

Dnia 9 Kwietnia.

ŚWIĘTA KASYLDA Z BURGOS.

† 1007.

Za rządów papieży: Św. Grzegorza VI, Sylwestra II, Jana XVIII.

Chrystus jest mojem życiem, a śmierć moim zyskiem.
Św. Paweł.

Maurytańska królewna.

W połowie X wieku, kiedy książęta katoliccy z Kastylji i Nawary gotowali się do stoczenia walki, mającej oswobodzić Hiszpanję chrześciańską od pogan, mieszkał w Toledo król Maurów imieniem Aldemor, który pałał nienawiścią do chrześcian i prześladował wyznawców Chrystusowych z całą zaciętością w pół dzikiego muzułmanina. Był to nieustraszony wojownik i samo imie jego budziło trwogę, gdyż jeńców swych torturował w najokropniejszy sposób, więził i w końcu zwykle mordował bez litości.

Miasto Toledo, dawna stolica Wizygotów, przedstawiała w tym czasie przykry widok, gdyż obok wspaniałych pałaców i niesłychanego przepychu na zewnątrz, były tam ponure lochy podziemne, w których jęczały setki nieszczęsnych ofiar, morzonych głodem, jęczących w okowach bez nadziei oswobodzenia.

Opatrzność jednak w niezbadanych swych wyrokach gotowała wielki tryumf dla wiary św. ponieważ właśnie wśród najzaciętszych wrogów chrześciaństwa wyrosła lilijka biała, dziewcze maurytańskie, które stało się godnem najwyższego zaszczytu na ziemi, albowiem w poczet świętych Kościół ją zalicza.

Dziewcze to niezwykle piękne, słodkie i niewinne zwano Kasyldą, a była ona córką owego okrutnego Aldemora, króla Maurów. Królewna w pogańskiem chowana otoczeniu miała jednak wysokie poczucie sprawiedliwości, bolało ją wielce, że tylu nieszczęśliwych jeńców cierpi z powodu jej ojca niewysłowione męki i starała się o ile tylko mogła osładzać ich gorzką dolę.

Widocznie pod wpływem natchnienia Ducha św. serce jej szukało prawdy, wzgardzając naukami Koranu, któremi młody jej umysł karmiono. Czuła pociąg do tej wiary św. jeszcze dokładnie sobie nieznanej, za którą tylu ludzi krew przelewało, znosiło tortury i umierało z imieniem Chrystusa na ustach.

Pomimo wielu trudności i przeszkód udawało się jej odwiedzać więźniów, przynosić im pomoc i pociechę, być ich aniołem opiekuńczym. Wrodzona szlachetność i wielkie miłosierdzie czyniły ją już zawczasu przygotowaną do przyjęcia świętych zasad religji katolickiej, chociaż słyszała zawsze na królewskim dworze tylko groźby i nienawistne okrzyki przeciw *giaurom*, czyli chrześcianom, skierowane.

Miłosierna poganka. Cud róż. Choroba królewny.

Pomimo, że Kasylda starała się zachowywać wszelkie ostrożności i ukrywała starannie przed ojcem swe tajemnicze wycieczki do więzień podziemnych, jednak znaleźli się chytrzy zausznicy, którzy szpiegowali królewnę i donieśli jej ojcu o porozumiewaniu się córki z chrześciańskimi jeńcami.

Pewnego dnia, gdy według zwyczaju wykradła się cichaczem z pałacu niosąc pożywienie więźniom skazanym na śmierć głodową, schwytał ją Aldemor na gorącym uczynku, dostrzegł bowiem że ukrywa coś pod swym płaszczem, a uprzedzono go, że córka jego nosi sama zapasy żywności do ciemnicy

Groźne spojrzenie ojca przeraziło Kasyldę, stała przed nim na pozór spokojna, choć serce jej biło trwożnie.

— Cóż tam tak starannie ukrywasz przedemną? zapytał Aldemor, zagradzając jej drogę.

— Niosę róże, odrzekła Kasylda, jakgdyby czując, że w tej chwili jakiś cud stać się musi i Bóg chrześciański to sprawi, że z niebezpieczeństwa wyjdzie zwycięzko.

Król z niedowierzaniem spojrzał na córkę, wzrok jego płonął gniewem, zdawało się, że lada chwila padną piorunujące słowa. Gwałtownym ruchem targnął poły płaszcza, okrywającego ramiona Kasyldy, aż tu nagle u stóp jego rozsypały się wonne róże w ogromnej ilości.

Aldemor patrzał zdumiony i w tej że chwili gniew jego zastąpiła serdeczna dla córki tkliwość. Oburzyło go natomiast fałszywe oskarżenie i przestał odtąd dawać wiarę swym zaufanym, ponieważ naocznie się przekonał, że Kasylda istotnie niosła tylko kwiaty.

Tymczasem królewna oswobodzona pobiegła dalej i bez przeszkody spuściła się do podziemia, tuląc do piersi cudowne róże. Ale tu stał się znów cud niesłychany, kwiaty bowiem zmieniły się w żywność chciwie przez zgłodniałych rozchwytaną i tylko zapach róż roznosił się dokoła, odświeżając

zatęchłe i wilgotne powietrze. Kasylda opowiedziała więźniom cudowne zdarzenie przypisując je opiece Boskiej nad nimi i wszyscy razem składali dzięki niebu za tak wielką łaskę.

Częste przebywanie z chrześciańskimi jeńcami nie mogło pozostać bez wpływu na religijne przekonania królewny. Musiała od więźniów tych czerpać nauki, zapoznać się z doskonałością zasad Chrystusa Pana, gdyż najgorętszem jej pragnieniem było przejść na łono katolickiego Kościoła. Ale jakże mogła marzyć o przyjęciu chrztu św. zmuszona przebywać w pogańskiem otoczeniu? Ta myśl trapiła Kasyldę, coraz cięższe stawało się jej życie, coraz więcej obcą się czuła w ojcowskim pałacu, wreszcie zapadła na zdrowiu, wywiązała się niebezpieczna choroba, królewna zaczęła krew wyrzucać i wszystkie środki przepisane przez lekarzy nieprzynosiły ulgi w jej cierpieniu.

Aldemor bardzo kochał córkę i niezmiernie strapiony był jej chorobą. Gotów był ponieść największe ofiary, byleby tylko zatrzymać ją przy życiu. Ale szczodre obietnice czynione najbieglejszym lekarzom nie na wiele się przydały. Kasylda nikła w oczach i Aldemor rozpaczał strasznie patrząc na jej śmiertelnie blade lica.

Tę właśnie chwilę wybrała Opatrzność, ażeby dokonać doniosłego dzieła.

Kasylda miała w tym czasie sen proroczy; było jej objawionem, że będzie uzdrowioną za pomocą kąpieli w jeziorze św. Wincentego z Burgos, położonem w Kastylji, którą władał naówczas pobożny Ferdynand I. Królewna powiedziała zaraz ojcu o tym śnie dziwnym. Zasępił się Aldemor, albowiem wysłanie córki królewskiej do chrześciańskiej krainy mogło się zawziętym Maurom wielce niepodobać. Wezwał więc dostojników państwowych na naradę, ci zaś jednogłośnie zgodzili się na to, że trzeba chwytać się wszelkich środków w obec beznadziejnego stanu chorej.

Podróż więc królewny, przez ogólną radę uchwalona, miała nastąpić w jak najprędszym czasie. Aldemor wysłał przedtem gońców do księcia Ferdynanda prosząc o dobre przyjęcie dla królewny i jej orszaku. Orszak ten był bardzo liczny i wspaniały. Aldemor chcąc pozyskać sobie życzliwość kastylskiego dworu przyrzekł nawet uwolnić wszystkich chrześciańskich jeńców.

Anioł i szatan.

Kiedy nakoniec wyruszono w drogę, w serce Kasyldy wstąpiło nowe życie. Królewna jechała konno, a za nią posuwał się barwny orszak z Maurów złożony. Nagle na moście, na który właśnie koń królewny wstępował, ukazał się potwór do smoka podobny i wyraźnie chciał konia Kasyldy spłoszyć, ażeby ją zrzucić do wody.

W chwili niebezpieczeństwa ukazał się nagle nad królewną anioł stróż z rozpostartymi skrzydłami i wnet szatan w postaci obrzydłego smoka zniknął bez śladu i więcej się już nie ukazał.

Na załączonej rycinie widzimy właśnie kopję z obrazu, na którym artysta przedstawił tę piękną legendę przechowaną w ustach hiszpańskiego ludu, czczącego wielce św. Kasyldę i otaczającego jej pamięć szczególnem uwielbieniem.

Przybycie do kastylskiej stolicy. Cudowne uzdrowienie. Chrzest św. Kasyldy.

Kasyldę przyjęto w Burgos bardzo życzliwie. Książe Ferdynand okazał się wielce gościnnym dla córki dawniejszego wroga, szczególniej, gdy dowiedziano się jak miłosierną była dla chrześciańskich jeńców.

Po kąpieli w jeziorze, które widziała we śnie, Kasylda uczuła się zupełnie uzdrowioną. Odtąd miała tylko jedno pragnienie, aby wyleczywszy ciało w tej uroczej Kastylskiej krainie, stać się co rychlej córką Kościoła katolickiego i wiernie służyć Jezusowi. Nie mogła myśleć o życiu w pogańskiem otoczeniu od czasu, gdy zbliżyła się z chrześcianami i całą duszą przylgnęła do nich, przygotowując się teraz otwarcie do przyjęcia chrztu św.

Radośna to była wielce chwila, gdy wraz ze swą ukochaną królewną cały jej orszak został nawrócony i chrzest otrzymał.

Nieopodal Burgos, stołecznego miasta Kastylji, na stromej skale wznosił się kościół pod wezwaniem św. Wincentego, męczennika z IV wieku, którego relikwje były tam przywiezione przez zakonników uciekających przed Saracenami.

W tym kościele odbył się chrzest maurytańskiej królewny, i tam wśród dzikich skał w dali od ludzi znalazła ciche schronienie, gdzie do końca życia przebyła.

Pustelnia nad jeziorem św. Wincentego. Śmierć św. Kasyldy.

W życiorysach św. Kasyldy, ukochanej kastylskiej patronki, spotykamy wiele pięknych legend i opowieści, które się przechowały w ustach ludu. I tak n. p. jeden z hiszpańskich dziejopisów wspomina, że po usunięciu się od świata, Kasylda zatrzymała przy sobie tylko dwie towarzyszki ze swego orszaku i kilku wiernych ludzi, którym kazała wybudować pustelnię dla siebie i kaplicę nad jeziorem, gdzie w cudowny sposób została uzdrowioną. Ale zbudowane nad brzegiem jeziora budowle zostały w sposób nadprzyrodzony przeniesione

w nocy na sam szczyt stromej skały, nieopodal kościoła św. Wincentego.

Św. Kasylda po kilkakrotnej próbie zaniechała zamiaru wystawienia kaplicy nad jeziorem, widząc w tem wyraźną Wolę nieba, aby ten dom Boży stanął na wysokiem wzniesieniu, zkąd rozciągał się wspaniały widok na jeziora i doliny. Widocznie Bóg umiłował tę czystą duszę, gdyż wielu łaskami ją darzył i przed śmiercią miała św. Kasylda prorocze widzenie, w którem anioł oznajmił, że już koniec jej życia się zbliża.

Królewna przyjęła tę wieść radośnie, a za nim dusza jej uleciała do nieba, błagała Boga, aby zechciał łaskawie wysłuchać próśb tych wszystkich, którzy kiedykolwiek za jej pośrednictwem w dolegliwościach swych udawać się będą do Niego. Zwłaszcza prosiła o miłosierdzie nad dotkniętymi cierpieniem, które ją niegdyś przed cudownem uzdrowieniem dręczyło.

Kiedy św. Kasylda skonała, dzwony przy kościołku św. Wincentego nagle rozbrzmiały donośnie, chociaż nikt jeszcze nie wiedział o jej zgonie.

W całej okolicy mówiono, że to aniołowie sami dzwonili, aby obwieścić chwalebne przejście świętej duszy do niebiańskiego żywota.

Śmierć św. Kasyldy oznacza Kościół św. na d. 9 kwietnia 1907 r. i w dniu tym liczni pielgrzymi odwiedzają zwykle jej relikwje.

Anioł Stróż ratuje św. Kasyldę od napaści szatana.

Cuda św. Kasyldy.

Alanzo Diez de Lerme, protonotarjusz apostolski, kanonik z Burgos i rektor kościoła pod wezwaniem św. Kasyldy, wydał w 1553 r. duży tom poświęcony pochwałom tej świętej i zebranym starannie opisom cudów za jej przyczyną doznanych.

Oto kilka z nich:

W małem miasteczku Briviesca, nad jeziorem św. Wincentego położonem, żył niegdyś pan bogaty

lecz wielce okrutny. Dręczył on nielitościwie swych poddanych, głównie zaś skąpiec ten chciwy grosza wymuszał daniny, a jeśli który z biedaków nie był w możności jej zapłacić, kazał mu boso chodzić po ostrych cierniach i różne tym podobne wymyślał udręczenia.

Oburzone tym nieludzkiem postępowaniem kobiety z Briviesca udały się pewnej nocy do kaplicy św. Kasyldy błagając, ażeby ulitowała się ich niedoli. Tej że nocy okrutny ów skąpiec zmarł nagle ku niezmiernej radości swoich poddanych, którzy odetchnęli wreszcie swobodnie po długich latach męki.

Pewien rycerz z miasta Poze został śmiertelnie raniony w boju, głęboka rana na szyi nie pozostawiała na pozór żadnej nadziei ratunku, ale pobożny rycerz polecił się opiece św. Kasyldy z Burgos, przyrzekł odmówić nowennę na intencje swego ocalenia, oraz bogate votum do kościoła.

W tej że chwili, gdy zrobił to postanowienie uczuł ulgę wielką, lekarze przyznali, że niebezpieczeństwo w niepojęty dla nich sposób minęło i jest nadzieja utrzymania chorego przy życiu. Po odmówieniu nowenny, to jest na dziewiąty dzień nie zostało żadnego śladu zadanej rany. Rycerz ofiarował piękny kielich srebrny do kościoła św. Kasyldy, jako dar dziękczynny.

Bardzo wielu chorych na utratę krwi i zupełnie już opuszczonych przez lekarzy zostało uzdrowionych po odbyciu pielgrzymki do grobu tej świętej patronki.

Dziecko jednej z kobiet okolicznych spadło przypadkiem w głęboką przepaść z tak wielkiej wysokości, że nie podobna było przypuszczać ani na chwilę, ażeby nie zabiło się na miejscu. Zrozpaczona matka poczęła głośno przyzywać na pomoc św. Kasyldę, było to bowiem właśnie nieopodal jej pustelni i matka owego dziecięcia wraz z innymi pielgrzymami dla odwiedzenia tego świętego miejsca przybyła.

Ksiądz kapelan i kilka robotników wzruszonych do głębi boleścią nieszczęśliwej kobiety udało się wnet na poszukiwania dzieciny, przypuszczając że znajdą tylko pokrwawione szczątki, ale jakież było ich zdziwienie, gdy znaleźli dziecię w głębi przepaści zupełnie zdrowe i całe.

Pomiędzy dostojnymi osobami, które doznały łask za przyczyną św. Kasyldy, przytaczają cesarzowę Izabellę, żonę Karola V, która w ciężkiej chorobie doznała nagłego polepszenia. Odesłała następnie w znak wdzięczności złotolitą swą suknię oraz pięćset dukatów do kościoła św. Kasyldy.

Bardzo wielu jeńców chrześciańskich jęczących w niewoli u pogan doświadczyło cudów za przyczyną świętej tej patronki. Niejednokrotnie pękały żelazne okowy i powracaną im była upragniona swoboda.

Z sąsiednich krajów przybywały pielgrzymki do grobu św. Kasyldy, błagając o różne łaski, i tak n. p. podczas posuchy wyproszono u Boga deszcz pożądany, oddalenie groźnej epidemji i w wielu podobnie doniosłych sprawach do niej się udawano.

Wszyscy podróżni narażeni na niebezpieczeństwa w górach zwykle wzywaja pomocy św. Kasyldy i w całej Hiszpanji, a zwłaszcza w Kastylji jest ta święta ukochaną wielce patronką.

W kościele metropolitalnym w Burgos przechowuje się część relikwji św. Kasyldy i obchodzą tam solennie dzień jej święta. W Toledo również ze szczególnem nabożeństwem dzień ten jest obchodzony.

Życie tej świętej przedstawia nam jawny dowód, jak Bóg miłuje i nagradza cnotę miłosierdzia, którą odznaczała się zawsze świątobliwa królewna. Litość dla więźniów, nieszczęśliwych, ubogich i strapionych jest najmilszą boskiemu Sercu Zbawiciela, który Sam dał nam przykład największej ofiarności i miłości dla ludzi i tak bardzo pragnął szczerą miłość dla bliźnich w sercach ludzkich obudzić.

Modlitwa do św. Kasyldy.

(z brewiarza w Burgos).

Błagamy Cię, o Boże, przez zasługi św. Kasyldy o umocnienie nas w cnotach, bronienie od nieprzyjaciół naszych i ratowanie w nieszczęśliwych przypadkach. Amen.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Dnia 19 Kwietnia.

ŚWIĘTY EKSPEDYT, MĘCZENNIK.

Patron wzywany w wypadkach nagłych i sprawach rozpaczliwych.

† około 320.

Za rządów papieża św. Marcelego, cesarza rzymskiego Dyoklecyana.

Nie przenośmy życia nad śmierć; wszystko jedno, bylebyśmy żyli i umarli dla Boga.

Nieznani męczennicy.

Okropne prześladowania pierwszych chrześcian trwały lat trzysta z górą, z niewielkimi przerwami. Dziesięć razy powtórzyły się one z nową siłą w obrębie państwa rzymskiego, za którem świat starożytny nie przypuszczał nawet istnienia innych krajów, a przynajmniej uważał resztę kuli ziemskiej za zupełnie barbarzyńską. Bo też było to państwo tak obszerne i gromadziło w sobie tyle zawojowanych narodów, że trudno nam dziś wyobrazić sobie ten różnorodny zbiór ludów pod jednem panowaniem. Historja Kościoła św. przekazała nam imiona tysięcy męczenników z rozmaitych krańców państwa rzymskiego, ale czy podobna zliczyć wszystkie ofiary gwałtu i tyranji pogańskich mocarzy? O iluż męczennikach za wiarę św. martyrologje wspominają tylko ogólnikowo, że w takim a takiem mieście zamordowano tylu to chrześcian, albo też na grobowcach pozostały zapisane imiona dzielnych żołnierzy Chrystusowych, o których nie mamy żadnych bliższych wiadomości, gdzie i jaką śmierć ponieśli.

Pierwsi chrześcianie zmuszeni byli ukrywać się w podziemiach, unikać starannie wyjawiania nazwisk, uciekać się do pewnych umówionych znaków, ażeby wyrazić myśl ukrytą. Na grobowych płytach spotykamy niekiedy tylko wyrytą gałązkę oliwną, symbolicznego ptaka (feniks) narzędzia tortur i t. p. znaki świadczące o tem, że pogrzebieni tam wyznawcy Chrystusowi chwalebną śmiercią pozyskali męczeńską koronę.

Byli wśród nich niewątpliwie wielcy święci, którzy cierpieli straszne katusze, a przykładem swego męztwa zagrzewali innych do wytrwania. Wszyscy oni, chociaż dziś światu nie znani, jeśli nawet nie wyniesieni są na ołtarze, cieszą się nagrodą w niebie, bo bez wiedzy Boskiej nikomu włos nie spadnie z głowy, bo On patrzy w serca, ocenia je i według zasług wynagradza.

Niekiedy przypadkiem dowiadują się dopiero późniejsze pokolenia o jakimś świętym lub świętej, których imie dawniej zupełnie prawie było nie znane. I tak n. p. o św. Filomenie przez długie wieki nie wspominano wcale. W katakumbach Pryscylli w Rzymie odnaleziono kamień grobowy ze skromnym napisem: „Tu Filomena spoczywa w spokoju“. Obok tych słów różne oznaki męczeństwa widać było. Po odkryciu tego grobu, wiele pobożnych osób ze szczególnem nabożeństwem zwracało się do tej nieznanej męczenniczki, już sam dźwięk jej imienia jakoś bardzo przypadł do serca wiernych w Rzymie. Wkrótce liczne cuda doznane u grobu świętej, utwierdziły jeszcze bardziej ufność i cześć

Święty Ekspedyt, męczennik,
Patron w wypadkach nagłych i ważnych.

dla niej. Pomiędzy czcigodnymi propagatorami czci św. Filomeny na pierwszem miejscu, należało by postawić ks. d'Ars (Jana Baptystę Vianney) który nazywał ją *swą ukochaną małą świętą*, i przyzywał często jej pomocy w różnych okolicznościach, zachęcając zarazem innych do uciekania się pod jej opiekę.

Obecnie dzień św. Filomeny w wielu dyecezjach obchodzą i cześć jej wielce jest rozprzestrzeniona.

Św. Ekspedyt należy również do liczby tych św. męczenników, o których z biegiem czasu wszelki ślad zaginął i potrzeba było wielu trudów, ażeby odtworzyć dzieje tego wielkiego i świętego wodza sławnego legionu rzymskiego zwanego: *Fulminante* czyli Piorunujący. Znamy jego imie, zawód, nazwiska umęczonych jednocześnie z nim towarzyszy, ale nie posiadamy nawet pewności, jaką śmierć poniósł, ani też kiedy został umęczony.

Pomimo to św. Ekspedyt we wszystkich krajach katolickich coraz więcej jest czczony. W Niemczech, w Hiszpanji, Francji i we Włoszech z ogromnem zaufaniem udają się do jego orędownictwa, zwłaszcza w wypadkach nagłych, w sprawach rozpaczliwych i w ogóle w ciężkich chwilach życia.

W jednym z kościołów w Marsylji znajduje się ołtarz i statua św. Ekspedyta, otoczona setkami votum. W Rzymie u św. Witala, u OO. Dominikanów della Minerwa, u św. Katarzyny, Najśw. Panny Dobrej Rady i wielu innych św. Ekspedyt szczególniej jest czczony. U nas również wiele pobożnych osób stara się wsławić jego imie w dowód wdzięczności za doznane łaski.

Dlaczego św. Ekspedyt jest patronem od spraw nagłych? Dziś i jutro.

Imie *Expeditus* oznacza po łacinie: wysłany, ukończony, załatwiony. Być może brzmienie tego imienia przyczyniło się po części do obrania go za patrona i protektora w sprawach grożących zbyt przewlekłym biegiem. Z tego powodu wielu artystów przedstawia na obrazach św. Ekspedyta depcącego kruka; z dzioba ptaka wychodzi napis *cras* (jutro) w ręku zaś święty trzyma krzyż z napisem *Hodie* (dzisiaj) albowiem Ojcowie Kościoła uważali kruka za symbol opieszałości, odkładania na potem, a to dla tego, że krakanie przypomina łacińskie słowo *cras*, (wymawia się kras).

Św. Augustyn woła z powodu niedbalstwa ludzi o duszne zbawienie:

— *Jutro!..* to krzyk kruka; (cras) *dziś* to głos gołębi; (hodie) dusza wiernego poddaje się łacno natchnieniu Ducha św. serce zaś wahające się i niepewne odkłada z dnia na dzień dobre zamysły. Otóż św. Ekspedyt, (zwłaszcza w południowych Niemczech) jest wzywany i błagany o wstawiennictwo we wszelkich nagłych sprawach. Polecanie się św. Ekspedytowi przypomina nam, że nie powinniśmy nigdy wątpić o wszechmocności i miłosierdziu Bożem, ani czekać jutra, ażeby udawać się do Niego z ufnością i synowskiem przywiązaniem. Tak samo, jak pierwsi wyznawcy Chrystusowi nie zwątpili ani na chwilę o miłości płynącej z Boskiego serca i my również starajmy się wciąż podsycać w sobie święty ogień gorącej wiary, gdyż wielką jest przychylność i niewypowiedziana dobroć Tego, który rzekł:

Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę.

Legion piorunujący.

W rzymskiej martyrologji pod dniem 19 kwietnia czytamy że w mieście Militenie w Armenji śś. Hermogenes, Kajas, Ekspedyt, Arystonikus, Rafos i Galatus jednego dnia odebrali męczeńską koronę. Bollandyści Tow. Jez. (tak zwani od Bolandusa, który pierwszy rozpoczął wydawać wielki zbiór Żywotów Swiętych) zaliczają jeszcze dziewięciu innych męczenników ale nie przytaczają żadnych szczegółów ich śmierci, wiadomo tylko, że służyli oni w wojsku rzymskiem i polegli za wiarę św.

W Melitenie gromadziły się liczne zastępy rzymskich wojowników. Za czasów Dyoklecjana umęczono 40 żołnierzy w Armenji, wszyscy oni należeli do Legjonu Piorunującego; o tej armji czytamy, że w 174 r. cesarz rzymski Marek Aureljusz bił się na jej czele z Markomanami (w dzisiejszych Czechach) i że tam ów legion otoczony został zewsząd przez barbarzyńców.

Niebezpieczeństwo było groźne, a przytem panowała wielka posucha i zupełny brak wody dawał się wszystkim we znaki. Cesarz zachęcał żołnierzy do składania ofiary bogom dla odwrócenia klęski. Okazało się że cały trzynasty legion składał się z armeńskich chrześcian, ci więc uklękli pobożnie i modlili się o miłosierdzie Boże. Naraz gęste chmury zapowiadały ulewę. Spadł wnet deszcz rzęsisty, orzeźwiając znużonych i spragnionych żołnierzy, a straszna burza z piorunami tak przeraziła nieprzyjaciół, że cofnęli się w popłochu.

Według Tertuliana sam cesarz przyznał, że porażkę przeciwników zawdzięcza wyłącznie modlitwom chrześcian i następnie wydał edykt nadający legionowi z Militeny nazwę *piorunującego*, grożąc śmiercią wszystkim, którzy by chrześcian prześladować chcieli.

Prawdopodobnie ów legion wysłany przedtem do strzeżenia granic państwa, stanowił czas jakiś załogę w Jerozolimie i tam żołnierze zostali na wiarę chrześciańską nawróceni, jak o tem Euzebjusz z Cezarei w swej Historji Kościelnej wspomina.

Św. Ekspedyt ponosi śmierć za wiarę św.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa meliteńscy męczennicy, o których jest wzmianka w martyrologji pod datą 19 kwietnia zostali umęczeni podczas ostatniego prześladowania chrześcian za Dyoklecjana około 320 r. Były to najcięższe czasy dla Kościoła św. i wiernych; dostateczną przy-

czyną do podpisania wyroku śmierci stawało się nieraz najlżejsze podejrzenie; donosiciele korzystali z okazji, aby oskarżać każdego, kto miał jakąkolwiek styczność z chrześcianami; otrzymanie chrztu św. należenie do katechumenów, poczytywano za zbrodnię stanu.

Biczowanie św. Ekspedyta.

Św. Ekspedyt musiał być odważnym wyznawcą Chrystusowym, gotowym raczej umrzeć, niż wyrzec się wiary św. Nie wątpliwie skazano go wraz z towarzyszami na ścięcie, ponieważ był to rodzaj zaszczytnej kary do ludzi rycerskiego rzemiosła w państwie rzymskiem stosowany. Ale za nim głowy niewinnych ofiar spadły pod katowskim mieczem, zadawano więźniom najcięższe tortury, chcąc ich zmusić do oddawania czci pogańskim bałwanom. Przedewszystkiem biczowano niemiłosiernie obwinionych; nie jeden z nich umierał pod okrutnemi razami, używano bowiem ostrych rózeg lub batów zakończonych ołowianemi kulkami. Nieraz ciało ofiary wyglądało jak jedna wielka rana; a mimo to chrześcianie zadziwiali pogan swą wytrwałością niezachwianą, szli na śmierć i męki pogodni i weseli, co wprawiało w podziw bałwochwalców i coraz nowych wyznawców jednało Chrystusowi.

Św. Ekspedyt poddany był zapewne wraz z innymi ostrej chłoście, zerwano mu brutalnie oznaki służby państwowej, obnażono ciało i kazano dawniejszym współtowarzyszom, szeregowcom z legjonów, odegrywać rolę katów względem chrześcian potępionych przez tyrana.

Św. Ekspedyt musiał być mężnym i walecznym i pochodził być może ze znakomitej rodziny, ponieważ historja wspomina, że był na czele legionu *fulminante;* ale ileż największych wodzów, a nawet władzców tego świata głośnych za życia, z biegiem czasu zupełnie zostają zapomniani, kiedy tymczasem imiona uświęcone śmiercią chwalebną dla Chrystusa przyświecają nieustannie światu przez całe lat szeregi, a nie tylko św. męczennicy otrzymują wieczną chwałę na ziemi i w niebie, ale udzielają jeszcze łask wszystkim proszącym o nie Boga za ich przyczyną.

Kiedy św. Gordjuszowi, również służącemu w armji rzymskiej grożono kleszczami, roztopionym ołowiem, rzuceniem dzikim zwierzętom na pożarcie, odpowiedział mężnie: „Dzięki wam za cenne obietnice, bo pragnę przez te męki zasłużyć zbawienie. Będą one dla mnie nasieniem chwały posianem na mojem nędznem ciele, nasieniem które duszę moją w błogosławionej wieczności wzbogaci".

Nie możemy wątpić ani na chwilę, że święty Ekspedyt nie mniej odważnie szedł na męki, że stał niestraszony na widok narzędzi tortur i że idąc na ścięcie powtarzał sobie w duszy tyle nadziei budzące słowa Chrystusowe: „Zbawionym będzie, kto wytrwa do końca".

Śmierć św. Ekspedyta.

Tak więc chociaż zbyt skąpe mamy niestety wiadomości o życiu i chwalebnych czynach św. Ekspedyta, możemy w tym razie śmiało zastosować

piękne i trafne powiedzenie św. Ambrożego, dotyczące św. Agnieszki:

„Oddając jej cześć jako męczenniczce, dostatecznie już głoszę jej chwałę“ [1]).

Niech troskliwe matki uczą swe dzieci wzywać pomocy św. Ekspedyta.

Oddawna powiedzianem jest:

„Cała nadzieja obfitego plonu w dobrem nasieniu spoczywa“.

Jeśli w młodym wieku człowiek jest obojętnym na wszystko, co zacne szlachetne i święte, trudno oczekiwać od niego dobrych czynów w latach dojrzałych.

Zapewne, że mamy wzniosłe przykłady późnych nawróceń nawet wśród najznakomitszych świętych Pańskich, przypomnijmy tylko św. Augustyna, św. Ignacego, św. Jana Bożego, którzy dopiero w drugiej niejako połowie swego życia rozpoczęli duchową pracę nad poskromieniem swych ułomności i własnem udoskonaleniem.

Ale są to wyjątkowe umysły, ludzie obdarzeni nadzwyczajną mocą charakteru, którzy zdołali sami siebie przezwyciężyć.

Lecz najprostszą i najłatwiejszą drogą jest czuwanie od lat najmłodszych nad sobą, wdrażanie się przez przyzwyczajenie do dobrego i przełamywanie złych skłonności.

Zadaniem matek chrześciańskich jest troskliwe pielęgnowanie nie tylko ciała, ale duszy dziecka. Niechże w tem wielkiem i ważnem zadaniu uciekają się one do niebiańskiego pośrednika św. Ekspedyta. Niech nie odkładają na „jutro“ tego, co „dziś“ uczynić należy, albowiem niedbalstwo i opieszałość w sprawach początkowego wychowania może najzgubniejsze wydać owoce.

Jakże pożytecznem jest również dla uczącej się młodzieży przyzywanie na pomoc św. męczennika, którego godłem jest: „*Nie jutro, lecz dzisiaj*“. Niechże uczniowie przygotowujący się do egzaminów, chłopcy i dziewczęta, odrabiając swe zadania, wzniosą pobożnie myśl ku niebu i oddadzą się ufnie w opiekę św. Patrona od spraw nagłych i ważnych, który będzie ich najlepszym pośrednikiem do Najśw. Panny i Jej uwielbionego Syna.

Młodzieńcy — Żołnierze.

Dziecię, stawszy się młodzieńcem, ukończywszy szkoły, opuszcza zwykle dom rodzicielski i nie posiadając jeszcze dostatecznego doświadczenia, idzie w świat szeroki, pomiędzy ludzi, gdzie go czekają przeróżne zasadzki i pokusy.

„W kwiecie wieku, powiada św. Anzelm, największe są niebezpieczeństwa dla duszy“.

Obyż św. Ekspedyt czuwał skutecznie nad naszymi młodzieńcami, a zwłaszcza, aby nas strzegł od fatalnej pomyłki, którą popełniamy, mówiąc: „Niech młodzież się wyszumi!“ A więc znowu ta sama wymówka: „Dziś jeszcze nie, zostawmy do jutra“.

Do jutra!.. A któż zaręczy, że nie będzie za późno?

Iluż ludzi przedwcześnie lub nagłą śmiercią umiera?

Św. Ekspedyt przedstawia się nam jeszcze, jako Patron przez Opatrzność wskazany dla tych, którzy są do wojska powołani, albowiem św. Ekspedyt był dzielnym wojownikiem w legionie, a zarazem nieustraszonym obrońcą wiary św.

Jakże godni pożałowania są młodzieńcy, oderwani od rodziny i zabrani do wojska, rzuceni często bardzo daleko od swoich. Wówczas powinni gorąco przyzywać Boskiej pomocy, polecając się orędownictwu św. Ekspedyta, swego patrona w niebie, albowiem czuwa nad nimi ten, który tarczą wiary bronił się od napaści szatana i przypomina nam obowiązek święty każdego chrześcianina, nie czekania jutra, a walczenia w każdej chwili mężnie i śmiało w obronie religji i Kościoła św., czerpania odwagi we wzniosłych przykładach męczenników, aby wytrwać do końca i nie poddawać się podszeptom złego.

W pierwszych początkach rozkrzewiania się chrześcianizmu w Rzymie, wielu żołnierzy przyjmowało chrzest św. z rąk kapłanów i potem szli mężnie na męki i śmierć za Chrystusa. Obyż i nasi żołnierze katoliccy, w jakich by się nie znaleźli warunkach, opierali się zawsze wszelkim złym namowom, a głównie strzegli się okropnych skutków bezbożności i religijnego zobojętnienia. Polecamy więc im gorąco ufne zwracanie się do św. Ekspedyta męczennika.

Św. Ekspedyt opiekun podróżnych.

Kościół św. zawsze troszczył się o podróżnych, narażonych na niebezpieczeństwa, zwłaszcza w dawnych czasach, kiedy wędrówki wszystkie były ogromnie utrudnione. To też przed udaniem się w daleką drogę miano zwyczaj uregulowania swych spraw, jak gdyby przed śmiercią; odprawiano zazwyczaj mszę św. na intencję pomyślnej podróży, a nawet w mszale są odrębne modlitwy za pielgrzymów i podróżnych, polecające ich opiece Najśw. Panny i Świętych Pańskich, a w Niemczech zwłaszcza rozpowszechnił się zwyczaj wzywania pomocy św. Ekspedyta, błagając o rychłe i szczęśliwe dostanie się do celu podróży.

---

[1]) Appelabo martyrem, praedicavi satis.

W naszych czasach daleko szybciej i łatwiej jest przenosić się z miejsca na miejsce, mamy bowiem koleje, statki parowe, wiele ułatwień, których nie znały przeszłe wieki. Mimo to jednak nikt nie

Św. Ekspedyt opiekuje się podróżnymi.

wie dnia ani godziny, kiedy go spotkać może zupełnie nieoczekiwana przygoda. Tysiące wypadków wciąż nam o tem przypominają, to też ogromnie chwalebnym jest zwyczaj polecania się Bogu za przyczyną Świętych Orędowników w niebie i nieraz w groźnych niebezpieczeństwach gorące westchnienie serc wiernych do św. Ekspedyta uchroniło nie jednego podróżnego od niechybnej zguby.

Św. Ekspedyt pośrednik w sprawach trudnych i zawiłych.

Wiadomem jest każdemu, ile zmartwień i trosk przyczyniają sprawy sądowe, ciągnące się nieraz latami, zawiłe procesa lub niesnaski rodzinne.

We wszystkich tych utrapieniach bardzo zbawienną jest pomoc św. Ekspedyta, który uważany jest za patrona w sprawach ciężkich i trudnych, a wymagających szybkiego załatwienia.

Udawajmy się więc do tego św. męczennika z całem zaufaniem, prośmy Boga za jego pośrednictwem o wejrzenie okiem miłosiernem na te smutki nasze, o oświecenie umysłów i otrzymanie sprawiedliwości. Ale głównie dbać powinniśmy o królestwo Boże, aby wszystko inne było nam przydanem. Modlitwy nasze, dotyczące wyłącznie spraw doczesnych, nie mogą być dobrze przyjęte u tronu Najwyższego, albowiem powinniśmy zawsze pomnić o znikomości wszystkiego, co jest wyłącznie ziemskiem.

Pięknie mówi św. Franciszek Salezy:

„Sprawy tego świata są dziecińśtwem; u schyłku życia wzgardzimy rzeczami ziemskiemi, zarówno jak teraz to czynimy na wspomnienie domków z błota i drzewa, które kosztowały nas tyle trudu w pierwszych latach, gdyśmy je stawiali, a tyle łez, gdy się rujnowały. Od wszystkiego będziemy zachowani w domu Ojca niebieskiego“.

Jednakże Bóg, będąc sam sprawiedliwością i miłosierdziem, chętnie wysłuchuje próśb, zanoszonych o wyjaśnienie prawdy i wymierzenie sprawiedliwości. Niech że nasz św. pośrednik w sprawach trudnych i zawiłych wyprosi u Stwórcy łaski pożądane dla tych wszystkich, którzy z ufnością i wiarą polecają się jego opiece, gdyż św. Ekspedyt już niejednokrotnie był pomocnym wielce orędownikiem w szybkiem, rzec można, wyekspedjowaniu spraw różnych długich i zawiłych; wzywajmy go więc w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, którego był wiernym wyznawcą na ziemi.

Św. Ekspedyt pośrednik w ważnych sprawach.

Grzesznicy opóźniający swe nawrócenie.

Za grzeszników opieszałych w sprawach dusznego zbawienia, powinniśmy przedewszystkie zanosić prośby za pośrednictwem św. męczennika Ekspedyta.

Taka modlitwa jest niewątpliwie miłą Bogu, a chociażby zatwardziałość serc i brak dobrej woli ze strony zobojętniałych ludzi stanowiły przeszkodę w rychłem spełnieniu naszych dobrych chęci, nie mniej przeto będą one miały swą wartość i zostaną nam za zasługę poczytane.

Ów kruk, którego św. Ekspedyt depcze nogą, zaliż nie jest symbolem zatwardziałego grzesznika? Czarność jego skrzydeł, szukanie żeru w padlinie dostatecznie to podobieństwo cechują. Ów kruk wypuszczony z arki Noego, który nie powrócił już do niej, przypomina wyraźnie, jak rzadko grzesznik zatwardziały na prawą powraca drogę. A jednak Bóg dobry i litościwy oczekuje jego nawrócenia i przywołuje go ku sobie. Ale grzesznik odkłada poprawę: *Jutro! Jutro!* powiada, „*Cras! Cras!*“

„Kruk wciąż powtarza również owo kras! kras!“ mówi św. Augustyn, ale zaliż te jutro trwać będzie wiecznie?... Bóg, przyrzeka zbawienie duszy pokutującego grzesznika lecz zwłoka i opieszałość w tym razie obrażają ciężko majestat Boży. Smutna przyszłość czeka owych „dojutrków“ gdyż zaskoczyć ich może ostatnia godzina, w której już zapóźno będzie powiedzieć sobie: „jutro, a nie dzisiaj“. Piekło wykraczą sobie owe kruki, żywiące się padliną, to jest dusze grzeszne opornie trwające w złem lub odkładające poprawę na koniec żywota.

„O wy, którzyście żyli dotąd w grzechu, woła św. Augustyn, nie krukom lecz gołąbce powrającej do arki, starajcie się być podobni!“ Św. Ekspedyt wskazuje nam tę drogę: trzyma w ręku krzyż, na którym wypisanem jest słowo: *Hodie!* (Dziś), jakby wskazywał: „Oto przez krzyż i dobrowolne cierpienie, przez próby cierpliwie znoszone dochodzi się do Boga, zwłaszcza zaś przez wiarę w cudowne skutki Boskiej ofiary powtarzającej się na ołtarzach, przez ufność w ten krzyż Jezusa Chrystusa, który według słów Kościoła jest arką zbawienia dla świata ginącego w powodzi grzechów. *Arca mundo naufrago!*“

Chorzy — Strapieni. — Konający.

Chorzy, strapieni, ludzie czujący, że ich koniec się zbliża, najgoręcej wzywają św. patrona, gdyż ból każdy czy to fizyczny, czy moralny, najtrudniejszym jest do zniesienia i każda chwila wiekiem się nam wydaje.

Św. Ekspedyt, do którego się tak chętnie wierni w swych troskach zwracają, sprawiał już tylokrotnie w podobnych wypadkach cnda, a jeśli podoba się Bogu, dotykać ciało boleśną chorobą, lub duszę uświęcać cierpieniem dla przyszłego jej dobra, wówczas za przyczyną św. Ekspedyta otrzymać możemy cierpliwość i zgadzenie się z Wolą Opatrzności tak potrzebnemi nam w znoszeniu prób nam zsyłanych. On błogosławionym swym wpływem osłodzi gorycz cierpienia, będzie niewidzialnie obecnym przy łożu umierającego, balsam ukojenia wleje w zbolałe serca. On bronić będzie duszę od szatańskich napaści w ostatniej życia godzinie i zasłoni swą tarczą od złego.

To słowo: *Dziś!..* które powtarza nam ustawicznie jeszcze raz stanie przed nami w całem swem rozległem znaczeniu: Dziś, powie nam, nie czas już na walkę lecz nadszedł dzień odpoczynku, dziś dzień chwały, owo dziś, to wieczność cała, z udziałem niebiańskiej radości dla tych, którzy wytrwali w dobrem do końca. Takie słowa wiernym św. męczennik w ostatniej przyniesie godzinie.

Jeżeli wahacie się jeszcze, przypomni wam owych robotników w winnicy, przyjętych w ostatniej chwili przez miłosiernego Pana, którzy równą z innymi otrzymali zapłatę; On będzie nalegał, abyście pośpieszyli z ratowaniem własnej duszy od zatraty, bez odkładania, nie tracąc ani chwili drogiego czasu, dziś... dziś jeszcze tylko, a jutro już będzie zapóźno. Obyście nigdy nie opierali się tym zbawiennym natchnieniom św. swego doradcy, oby serca wasze gotowe były na przyjęcie łaski, ostatniej być może, której Bóg udzielić wam raczy na tej ziemi.

Nowenna do świętego Ekspedyta.

DZIEŃ PIERWSZY.

Hymn z oficium śś. męczenników

O Boże Przedwieczny, korono i nagrodo Twych wiernych żołnierzy, racz oswobodzić z pęt grzechu tych wszystkich, którzy u stóp Twoich opiewają chwałę św. męczennika Ekspedyta.

Tego, który odrzucił zatrute radości tego świata i jego obietnice zawodne, a natomiast zdobył sobie niebiańską chwałę.

Tego, który szedł mężnie na męki i chwalebną śmierć poniósł przelewając krew swoją.

I dlatego błagamy Cię Boże miłosierny, ażebyś próśb naszych wysłuchać raczył i przez tryumf ś-go męczennika grzechy nasze łaskawie przebaczył.

Modlitwa.

O Boże! miej litość nad ułomnościami naszymi; przygnieceni ciężarem własnych grzechów błagamy Cię, abyś przez chwalebne wstawiennictwo świętego Ekspedyta męczennika, zechciał łaskawie wysłuchać prośb, które do Ciebie zanosimy.

O! św. Ekspedycie, męczenniku, wyznawco Chrystusa, niezłomną była twoja *wiara* którą wyrażałeś słowem i czynem, wiara tryumfująca nad światem i podnosząca chwałę Bożą. Wyproś dla nas,

o św. Ekspedycie, takąż nieugiętą moc ducha, opieranie się pokusom, spraw ażeby wzrosła w nas głęboka wiara i ufność, a bezbożność nie miała przystępu do serc naszych. Błagamy cię jeszcze o uproszenie łaski (*tu wymienić należy o co prosimy*) o którą za twem pośrednictwem udajemy się do Stwórcy Wszechmocnego.

DZIEŃ DRUGI.

Responsorja z oficium śś. męczenników.

℟. Święty ten w obronie praw Boskich walczył aż do zgonu i nie drżał przed pogróżkami bezbożników. Albowiem opierał się na trwałej opoce.

℣. Oto jest ten, który wzgardził życiem tego świata i otrzymał za to królestwo niebieskie, albowiem opierał się na trwałej opoce.

Modlitwa.

Spraw, o Panie, błagamy Cię, abyśmy cieszyli się kiedyś obcowaniem ze Świętymi, których pamięć błogosławioną czcimy na ziemi.

O chwalebny męczenniku Ekspedycie, wzorze chrześciańskiej *nadziei*, tyś wzgardził światem pragnąc tylko zaskarbić sobie dobro wiekuiste, jakiego oko nasze nie widziało, ucho nasze nie słyszało, ani serce nie zaznało.

Ulituj się nad nami, gdyż pychą są zaślepione oczy nasze i wszystkie zmysły nasze. Nie dopuść, abyśmy stracili z oczu drogę do zbawienia; umacniaj nas coraz bardziej w pragnieniu zdobycia sobie łaski Bożej i wiecznego żywota i pomnij również na pokorne prośby nasze (*tu wymienić prośbę*) które za twojem pośrednictwem do tronu Bożego zanosimy.

DZIEŃ TRZECI.

Hymn z oficium śś. męczenników.

O Jezu, Królu św. męczenników, korono wyznawców, Ty prowadzisz do nieba tych, którzy doczesną radością wzgardzili.

Wysłuchaj łaskawie wołania naszego, wychwalając Twe święte zwycięztwa błagamy: grzechy nasze odpuść nam Panie.

Przez śś. męczenników odnosiłeś zwycięztwa i przez wyznawców Twoich; bądźże miłosiernym zwycięzcą nad grzechami naszymi przebaczając nam nasze winy.

Modlitwa.

Spraw o Boże Wszechmogący przez zasługi św. Ekspedyta męczennika, abyśmy w miłości ku Tobie byli umocnieni. Tyś był zawsze, o św. Ekspedycie, wzorem *miłosierdzia i poświęcenia*, tyś poświęcił Bogu nietylko to wszystko co posiadałeś, ale nie zawahałeś się oddać siebie samego. Aby miłości swej dać świadectwo, chętnie życie własne przyniosłeś w ofierze. Obudź w sercach naszych takąż gorącą miłość, abyśmy twoim chwalebnym przykładem zagrzani, chętniej śmierć ponieśli niż grzech śmiertelny popełnili. A ponieważ przez miłość Bożą winniśmy też i bliźnich naszych miłować, spraw abyśmy dla braci naszych byli miłosierni i litościwi. Zechciej również pomnić na pokorne nasze prośby (*tu wymienić prośbę*) i przyczyń się u Boga za nami.

DZIEŃ CZWARTY.

Resp. z oficium śś. męczenników.

℟. Sprawiedliwy Ekspedyt wyrósł jako lilja biała. I kwitnąć będzie nie więdnąc nigdy przed Panem.

℣. W królestwie Bożem przebywa, w domu Ojca niebieskiego. I kwitnąć będzie, nie więdnąc nigdy przed Panem.

Modlitwa.

Spraw, o Boże wszechmocny, błagam cię przez zasługi św. Ekspedyta męczennika, abyśmy uwolnieni zostali od pokus i oczyszczonemi były dusze nasze od myśli nieczystych.

O chwalebny męczenniku Ekspedycie! Tyś był wyrwany ze świata tego w pełni sił młodych i bezwątpienia cnotą czystości przyozdobiłeś jeszcze wspaniałą męczeństwa koronę. Czystem było twe serce, albowiem inaczej nie tak miłą była by twa ofiara Bogu, który czystych umiłował.

O św. męczenniku, spraw aby Duch św. ogniem miłości Bożej przeniknął serca nasze, aby dusze nasze i ciała były nieskalane, a złe myśli przystępu do nas nie miały.

Pomnij o św. Ekspedycie i na pokorne prośby nasze, (*tu wymienić prośbę*) o co gorąco za twą przyczyną Boga błagamy.

DZIEŃ PIĄTY.

Hymn z oficium śś. męczenników.

Śpiewajmy ożywieni radością świętą, cześć i chwałę krwi wylanej dla Chrystusa, zwycięztwa męczenników i wieczną ich szczęśliwość w niebie.

Przezwyciężywszy wszelką trwogę, nie bacząc na cielesne męki, ceną śmierci męczeńskiej, zdobyli życie błogosławione.

Niech rzucą męczenników w płomienie; dzikim zwierzętom lub katom, co z narzędziem tortury w ręku rwą święte ciała na strzępy.

Niech im rozprują wnętrzności, niech krew ich płynie strumieniem, nic nie zachwieje ich męztwa, bo wiara w sercach ich płonie.

A więc błagamy Cię Panie, Odkupicielu nasz, Boże, daj wieczną cieszyć się chwałą, z świętymi obcować w niebie.

Modlitwa.

Spraw, błagamy Cię, Panie, abyśmy, wiedząc jak silnymi byli w walkach śś. męczennicy, odczuwali za ich przyczyną wpływ Twej świętej łaski.

O chwalebny męczenniku św. Ekspedycie, żołnierzu i atleto Chrystusowy! Nieustraszony byłeś w walce i żadne udręczenia nie mogły cię skłonić do wyrzeczenia się wiary św. A kiedy przyszedł czaś męki, nie stawiłeś oporu i poddałeś się biczowaniu, następnie zaś głowę swą złożyłeś pod miecz katowski.

O bohaterze chrześciańskiej cnoty, przybądź na ratunek dusz naszych tak słabych i łatwo pod dających się rozpaczy i zniechęceniu.

Czemże są troski i dolegliwości nasze w obec tego, coś ty wycierpiał! O, raczże nam uprosić u Tego, który ci dał siły do zniesienia cierpienia, łaskę zgadzania się z Wolą Bożą, przyjmowania prób nam zsyłanych z cierpliwością niezachwianą. Błagamy również o tę łaskę (*tu wymienić swą prośbę*) za twem orędownictwem w niebie.

DZIEŃ SZÓSTY.

Resp. z oficium śś. męczenników.

℟. Bóg strzegł św. Ekspedyta od nieprzyjaciół i obronił od kusicieli, wieczną gotując mu chwałę.

℣. Nie opuścił go Pan wtrąconego do ciemnicy i zakutego w okowy, albowiem wieczną gotował mu chwałę.

Modlitwa.

Spraw, o Boże wszechmocny, przez zasługi św. Ekspedyta, abyśmy od czekających nas męczarni byli uwolnieni.

O święty Ekspedycie, którego Bóg szczególną otaczał łaską, weź nas w swoją opiekę i strzeż jako źrenicy oka twego. Miłą snać była Bogu dusza twa, św. męczenniku, ponieważ Pan powołał cię rychło ku sobie, a tyś szedł za Jego głosem i opuszczałeś bez żalu ten świat nędzy i grzechu. Uproś nam łaskę ustrzeżenia się od złego, niech pokornemi będą serca nasze; nie dopuść, abyśmy dobrowolnie narażali się na niebezpieczeństwa i pokusy, niech aniołowie stróże nas strzegą w każdej przygodzie. Błagamy cię jeszcze o łaskę, (*tu wymienić prośbę*) św. Ekspedycie, przyczyń się za nami!

DZIEŃ SIÓDMY.

Hymn z oficium śś. męczenników.

O niezwyciężony męczenniku, idący śladami Boskiego Mistrza, tyś tryumf odniósł nad nieprzyjaciołmi swymi i cieszysz się wieczną chwałą. Ulituj się nad nami, dopomóż zmazać grzech z dusz naszych, oddalaj od nas złe wpływy i pokusy i przyczyń się, aby lżejszym nam był ciężar życia. Męczeństwo uświęcając twą duszę oswobodziło ją z więzów ziemi, my zaś niewolnicy, grzechami spętani, racz więc uprosić nam u Boga Wszechmocnego łaski potrzebne nam do zbawienia.

Modlitwa.

Spraw Boże miłosierny, żeby przykłady Świętych zachęcały nas do poprawy życia, i wstępowania w slady tych, których pamięć czcimy. O święty Ekspedycie, któryś walczył w obronie wiary św. jako wierny żołnierz Chrystusowy. Od lat Twych zarania ukochałeś Boskiego Mistrza, który był ci świętym wzorem poświęcenia i dlatego ani na chwilę nie przestałeś służyć Bogu jedynemu. Zaliż nie polewałeś krwią swą męczeńską winnicy Pańskiej? Ulituj się nad nami, przybądź na pomoc duszom naszym nędznym i opieszałym, gotowym wciąż powtarzać owe: *Jutro! Jutro!* jak kruk którego depce twa święta stopa, kracze ustawicznie *Cras! Cras!* Obudź w nas zapał gorący do rychłej poprawy, wywiedź z ospałości haniebnej dusze nasze, zachęcając je do czynu. Obyśmy mogli powiedzieć kiedyś: „Krótką była nasza praca, lecz odpoczynek nasz będzie wieczny“.

Błagamy cię św. Ekspedycie pomnij na prośby nasze i przyczyń się u Boga o ich spełnienie (*tu wymienić swą prośbę*).

DZIEŃ ÓSMY.

Resp. z oficium śś. męczenników.

℣. Oto prawdziwy męczennik, który krew swą przelał dla Chrystusa, — którego nie przeraziły pogróżki okrutnych sędziów, ani też skusiły ziemskie zaszczyty, lecz który otrzymał natomiast królestwo niebieskie.

℟. Pan wiódł prostemi drogami sprawiedliwego Ekspedyta, ukazał królestwo Boże temu, który stał nieulękniony przed sędziami swoimi, którego nie skusiły ziemskie zaszczyty, lecz który otrzymał natomiast królestwo niebieskie.

Modlitwa.

O Boże miłosierny, wspomagający tych wszystkich, którzy w Tobie nadzieję pokładają, niech łaska Twa na nas spłynie, ażebyśmy za przyczyną św. Ekspedyta, męczennika, przeszli przez te życie wciąż zapatrzeni w dobro wiekuiste.

O chwalebny męczenniku, któryś szedł mężnie z oczami utkwionemi w niebiosa, o szczęście wiekuiste dbając jedynie, pomimo żeś służył w wojsku rzymskiem, dałeś nam wzór życia chrześciańskiego.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Spraw, abyśmy używali tego świata, jakbyśmy go wcale nie znali. Dopomóż nam iść za twym świętym przykładem; nie dozwól, abyśmy zaniedbywali nasze obowiązki rodzinne, ani też względem bliźnich swoich; niech postępowanie nasze stwierdzi raz jeszcze tę wielką prawdę, że dobrzy chrześcianie są zarazem najlepszymi obywatelami kraju. Spraw jeszcze, prosimy cię, św. Ekspedycie, abyśmy spełniając sumiennie swoją powinność, nie tracili nigdy z oczu naszej niebiańskiej Ojczyzny.

Pomnij również na pokorne prośby nasze, (*tu wymienia się prośbę*) które za twojem pośrednictwem do tronu Bożego zanosimy.

DZIEŃ DZIEWIĄTY.

Pochwały śś. męczenników.

Według Pisma Św.

Dusze sprawiedliwych są w ręku Boga i cierpienia śmierci nie przerażają ich.

Szaleńcom tylko wydawało się, że umarli oni i zgon ich świat opłakiwał.

To, co jest tylko przejściem do wieczności, uważanem było za znicestwienie, ale święci zażywają spokoju.

Niczem są męczarnie w obec czekającej ich nagrody; Bóg wypróbował ich i uznał godnymi siebie.

Wypróbował ich, jako złoto w ogniu, i łaskawie przyjął ich ofiarę.

Modlitwa.

O Boże, któryś dozwolił św. Ekspedytowi osiągnąć tak wysoki stopień doskonałości chrześciańskiej i męztwo jego wieczną nagrodził chwałą, racz nam grzesznym odpuścić nasze winy przez zasługi Twych śś. męczenników.

O najchwalebniejszy św. Ekspedycie, któryś męczeńską otrzymał koronę, błagamy cię o uproszenie dla nas tej ostatniej i najważniejszej łaski, a mianowicie prosimy o śmierć szczęśliwą. W chwili onej, gdy szatan przyjdzie napastować nas, broń nas od złego, dopomóż stoczyć bój zwycięzki. A następnie wyjdź na spotkanie duszy kończącej swą ziemską wędrówkę i wiedź ją przed tron Zbawiciela, który jest Królem męczenników. Uproś nam od Boga łaskę i miłosierdzie, wstaw się za nami przed tronem Najwyższej Sprawiedliwości, gdzie sądzić będą żywych i umarłych i spraw, abyśmy wraz z tobą radowali się i chwalili Boga w niebie. A zarazem, polecając siebie Twej świętej opiece, błagamy całem sercem o uproszenie upragnionej łaski (*tu wymienić prośbę*).

Antyfona.

Pomoc i łaska Ducha św. sprzeciwia się opieszałości i zwłoce.

O Duchu św.! niechaj ku Twoim darom zwracają się serca i umysły nasze i przez wstawienie się św. Ekspedyta niechaj czyny nasze będą spełnione w należnym czasie, mężnie, z wiernością i szybkością, a szczęśliwym skutkiem.

Wysłuchaj pokornej modlitwy naszej i użycz przez zasługi św. Ekspedyta, abyśmy, odrywając się od dóbr ziemskich, wśród których kroczymy, wiekuisty żywot w niebie osiągnąć mogli. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Modlitwa o upragnioną łaskę.

O Boże, który słuchać raczysz łaskawie udających się do Ciebie z ufnością i pokorą, spraw, błagam Cię za przyczyną św. Ekspedyta męczennika, abym otrzymał upragnioną łaskę w naglącej potrzebie, w której się dziś zwracam do Ciebie. Spojrzyj też okiem miłosierdzia na grzeszników w chwili ich zgonu i spraw, aby młodzież katolicka spełniała zawsze wiernie Twe święte przykazania. Amen.

Modlitwa do św. Ekspedyta.

Św. Ekspedycie, któremu Bóg udzielił łaski wspomagania nas w potrzebach i uciskach naszych, do Ciebie uciekam się w smutku, dręczącym serce moje; przyczyń się za mną, o św. Ekspedycie, dopomóż, ażeby spokój i radość zagościły w duszy mojej. Amen.

Modlitwa do św. Ekspedyta

za żołnierzy.

O św. Ekspedycie, któryś szczodrze przelał krew swą dla Chrystusa, a służąc w szeregach armji piorunującej był zarazem wzorem chrześciańskiego żołnierza, już tym samym stałeś się patronem młodzieży, powołanej do wojskowej powinności. Racz więc, o św. męczenniku, uprosić im siły i męztwo, a zarazem błagamy cię usilnie, abyś ustrzegł ich od złego i dopomógł do końca być wiernymi Bogu i Kościołowi św. Amen.

Modlitwa do św. Ekspedyta

o szczęśliwą śmierć.

Przyczyń się za nami św. Ekspedycie, aby w godzinie śmierci Odkupiciel wyrzekł do nas te słowa, które wypłynęły z Jego Boskiego Serca, z tego Serca tak litościwego dla skruszonych grzeszników: *Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.* Amen.

Wstawienie się św. Ekspedyta dla wielu osób, okazało się nadzwyczaj skuteczne w razach spóźnionych, tak dalece, że go przezwano „świętym jedenastej godziny“, to jest w sensie biblijnym ostatniej godziny. Pomocy jego doznawali wszyscy ci, którzy go wzywali w sprawach ważnych i naglących; w procesach, ciężkich i trudnych przedsiewzięciach, podczas wypadków na kolei, wśród morskiej nawałnicy, w klęskach pożaru lub powodzi; w nawracaniu grzeszników; pojednaniu się z Bogiem i z bliźnimi, w odnalezieniu zguby, nieporozumieniach rodzinnych i t. p., za co niech będzie cześć i chwała Bogu miłosiernemu i łaskawemu opiekunowi naszemu św. Ekspedytowi.

Litanja do świętego Ekspedyta.

Serce najsłodsze Jezusowe, zmiłuj się nad nami.
Serce niepokalane Marji, módl się za nami.
Panie zmiłuj się nad nami.
Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami.
Ojcze z nieba Boże, zmiłuj się nad nami.
Synu Odkupicielu świata Boże, zmiłuj się nad nami.
Duchu Swięty Boże, zmiłuj się nad nami.
Święta Trójco jedyny Boże, zmiłuj się nad nami.
Święta Marjo, Królowo męczenników, módl się za nami.
Święty Ekspedycie, zniezłomny atleto wiary, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, wierny aż do śmierci, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, który straciłeś wszystko dla pozyskania Jezusa, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, który chłostany byłeś rózgami, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, który zginąłeś chwalebnie od miecza, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, który otrzymałeś od Boga koronę sprawiedliwości, obiecaną tym, którzy go kochają, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, patronie młodzieży, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, pomocy uczących się, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, wzorze żołnierzy, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, opiekunie podróżnych, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, rzeczniku grzeszników, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, zdrowie chorych, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, pocieszycielu strapionych, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, pośredniku zwaśnionych, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, pomocniku nasz w naglących sprawach, módl się nami.
Św. Ekspedycie, który nas uczysz, abyśmy jutra nie czekali, aby modlić się z zapałem i ufnością, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, oparcie najsilniejsze i najwierniejsze tych, którzy Tobie ufają, módl się za nami.
Św. Ekspedycie, którego opieka w godzinę śmierci jest zadatkiem zbawienia, módl się za nami.
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, przepuść nam Panie.
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, wysłuchaj nas Panie.
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami.
Módl się za nami św. Ekspedycie.
Abyśmy się stali godnymi obietnic Chrystusowych.

Modlitwa dziękczynna.

Bądź nieskończenie pochwalony Boże mój, że przez zasługi Pana naszego Jezusa Chrystusa i przez wstawienie się św. Ekspedyta, raczyłeś przyjąć niegodne moje modlitwy i użyczyłeś mi łaski, o którą błagałem u Tronu miłosierdzia Twojego.

Bądź pochwalon miljon razy, o św. męczenniku, szczególny mój patronie i opiekunie. Popieraj i nadal przed Bogiem sprawę życia doczesnego i wiecznego zbawienia mego: przybywaj mi każdego dnia z pomocą, użycz mi siły do walecznej walki przeciw nieprzyjaciołom mym jawnym i ukrytym, którymi są ludzie i szatan, oddal od serca mego obrazę, choćby najlżejszą mojego Boga, zapal serce moje świętą miłością, a w godzinę śmierci mojej uzbrój mnie w świętą odwagę oraz uczyń mi zejście łatwe i prędkie do osiągnięcia wiecznej szczęśliwości. Broń także z nieba Kościół Chrystusowy i Głowę jego, biskupów i kapłanów; wstawiaj się o drogi święty, za nas, nędznych grzeszników i stań się pośrednikiem u Boga wszystkich cierpiących dusz czyścowych. Amen.

Ojcze nasz. Zdrowaś Marja i Chwała Ojcu.

Dnia 26 Kwietnia.

Błogosławiony ANTONI NAYROT Z RIVOLI

(umęczony w Tunisie)

1423 † 1460.

Za rządów papieży: Eugeniusza IV, Mikołaja II, Kaliksta III, Piusa II.

Nic Chrystusowi nie ofiarowałeś, jeśli nie oddałeś Mu całego serca. Św. Józef.

Niezwykłe dzieje.

Życie błogosławionego Antoniego z Rivoli jest bardzo pouczające tem właśnie, że nie przedstawia się nam jako pasmo nieprzerwane bohaterstwa i doskonałości chrześciańskiej, ale przeciwnie wykazuje dowodnie, jak grzesznik pokutujący i żałujący szczerze nie powinien wątpić o miłosierdziu Bożem i jak zdobyć może nawet pomimo błędów życia cześć na ziemi i chwałę wieczną w niebie.

Tak więc życie błog. Antoniego można rozdzielić na trzy okresy: początkowo przedstawia się on nam jako zakonnik nie wyróżniający się niczem od wielu innych Braci; następnie staje się odstępcą, wreszcie okupuje wszystkie winy chwalebną śmiercią poniesioną w obronie wiary św.

Posiadamy dokładne sprawozdanie z tego ostatniego okresu spisane przez Br. Konstansa, który jednocześnie z błog. Antonim dostał się w Tunisie do niewoli, a więc był naocznym świadkiem upadku a potem krwawego zmazania winy przez śmierć męczeńską. Zachował się również list O. Piotra Ranzano, Dominikanina, pisany do papieża Piusa II. O. Piotr był w Sycylji przełożonym Antoniego i przytacza ciekawe szczegóły o życiu zakonnem tego odstępcy-męczennika.

Życie zakonne błog. Antoniego.

Antoni Nayrot pochodził z Rivoli (z dyecezji Turynu we Włoszech). Urodził się około 1423 r. Prawdopodobnie w bardzo młodym wieku wstąpił do klasztoru OO. Dominikanów we Florencji. Przeorem klasztoru św. Marka był naówczas św. Antonin, późniejszy arcybiskup florencki. Był to mąż wysokiej cnoty, który wielkie dla zakonu swego położył zasługi, budząc żarliwość religijną i umacniając w surowem pełnieniu przepisów reguły.

Ale Antoni Nayrot nie przedstawia się nam w tym okresie, jako godny syn takiego ojca. Będąc w nowicjacie odznaczał się nawet wielką nierównością charakteru. Ale jako zakonnik był dość uległy i pobożny, a w każdym razie nie zasługiwał na naganę przełożonych. Ponieważ często zmieniał miejsce pobytu można wnosić, że był obdarzony darem wymowy i dla tego wysyłano go do różnych miast w celach misyjnych.

O. Piotr Ranzano przedstawia go, jako umysł żywy, chciwy wrażeń i ustawicznie dręczony niepokojem. Widzimy to zresztą w następującym fakcie: Będąc już czas dłuższy w jednem miejscu zapragnął Antoni zmiany, zwrócił się więc do przeora z prośbą o pozwolenie udania się do Sycylji.

Przeor starał się go odwieść od tego zamiaru ale napróżno. Wówczas św. Antonin przepowiedział mu, że czeka go okropne niebezpieczeństwo dla ciała i duszy jeśli nie wyrzekńie się tej podróży. Antoni żywił wielką cześć dla świątobliwego przełożonego, ale gnała go wciąż w świat niczem nieposkromiona tęsknota, a więc nawet światłe i stanowcze rady nie potrafiły go skłonić do pozostania. W r. 1457 odpłynął do Sycylji.

Pobyt w Sycylji.

O. Piotr Ranzano był już od lat czterech prowincjałem w Sycylji, kiedy błog. Antoni Nayrot przybył do Palermo. Przyjął on młodego kaznodzieję bardzo przychylnie, słuchał jego zwierzeń z ojcowską wyrozumiałością, uspokajał, pocieszał, wreszcie po trzydniowem pobycie pozwolił Antoniemu wybrać sobie klasztor, który za najodpowiedniejszy dla siebie uważa. Uszczęśliwiony Br. Antoni przez cały rok wiódł tam wielce przykładny żywot. Ale stałość nie była w nim jeszcze dostatecznie ugruntowaną. Zmieniał wciąż miejsce pobytu, czasowo w różnych miastach i różnych klasztorach przebywał, poczem powrócił znów do Palermo, trawiony jakąś wewnętrzną nudą, będącą prawdziwą klęską bogaczy, a nieraz udręczeniem zakonników, w których niema pokornego poddania się Woli Opatrzności i zamało jest pragnienia wyrzeczeń się i pokuty.

Umysł Antoniego szarpany był ciągłemi walkami z samym sobą, serce znużone miał i smutne. Ustawiczne wędrówki, w których dotąd czas spędzał sprzykrzyły mu się i tym razem zwrócił się do O. Prowincjała z prośbą o pozwolenie udania się do Neapolu i Rzymu, aby tam wyznaczono mu

miejsce, gdzie ma resztę swych dni przepędzić w ciszy i spokoju.

Błogosławiony Antoni był wówczas w kwiecie lat i w pełni sił młodych, kiedy domagał się o cichy zakątek dla dokonania reszty żywota, czując się zmęczony życiem i pragnąc rychłej śmierci. Nie przewidywał naówczas jak odmienne Bóg gotował mu koleje.

lowi Tunisu i dzielić się z nim zagrabionym łupem. Walka z licznymi napastnikami nie długo trwała. Wszyscy podróżni i cała załoga dostała się do pogańskiej niewoli.

Odesłano jeńców do Tunisu, gdzie przybyli d. 9 sierpnia; pomiędzy nimi był również Antoni Nayrot. Stawiono ich przed władcą Abu - Omar Otmanem, a następnie wiedziono przez najludniejsze

Błog. Antoni Nayrot w obozie muzułmańskiego króla Tunisu wyznaje, że żałuje gorzko odstępstwa od prawdziwej wiary i gotów jest ponieść najstraszniejsze męki dla Jezusa.

Przepowiednia św. Antonina spełniać się poczyna.

Dnia 31 lipca Br. Antoni wsiadł na okręt mający go odwieść do Neapolu. Dwa pierwsze dnie morskiej podróży upłynęły szczęśliwie. Dnia 2-go sierpnia, kiedy oczekiwano już rychłego wylądowania dano sygnał, że saraceńscy korsarze są w pobliżu. Statek rozbójników morskich znajdował się pod dowództwem Nardusa Anekinusa, chrześcianina odstępcy, który przystał do pogan, aby służyć królu Tunisu i dzielić się z nim zagrabionym łupem. Walka z licznymi napastnikami nie długo trwała. Wszyscy podróżni i cała załoga dostała się do pogańskiej niewoli.

Odesłano jeńców do Tunisu, gdzie przybyli d. 9 sierpnia; pomiędzy nimi był również Antoni Nayrot. Stawiono ich przed władcą Abu - Omar Otmanem, a następnie wiedziono przez najludniejsze dzielnice miasta z rękami związanemi na plecach, dla wystawienia ich na szyderstwa tłumu, poczem odprowadzono wszystkich do więzienia.

Br. Antoni nie był wcale przygotowanym do roli żarliwego wyznawcy wiary św. wśród pogan, jak dotąd bowiem tworzył sobie raczej urojone smutki, aniżeli szukał prawdziwych sposobności wykazania hartu i męztwa.

Najniespodziewaniej w świecie znalazł w tem pogańskiem mieście przyjazne i szlachetne serce.

Zaledwie Antoni wtrąconym został do więzienia, kiedy odwiedził go Br. Konstans, będący dawniej w niewoli króla Tunisu. Budująca rozmowa z tym świątobliwym zakonnikiem bardzo pokrzepiła Antoniego. Przez cały czas swego uwięzienia przyjaźń Br. Konstansa była dlań nieocenioną pociechą. Mimo to jednak buntowniczy i niespokojny duch Antoniego nie miał w sobie dość odporności i nie umiał znosić cierpliwie prób zesłanych mu przez Boga dla udoskonalenia jego hardego charakteru.

Po pewnym czasie niezadowolenie więźnia i pragnienie swobody ogarnęło go do tego stopnia, że gwałtownie dopominał się u genueńskiego konsula o wstawienie się za nim do króla Tunisu. List Antoniego był napisany w sposób gwałtowny, szorstki niemal i rozgniewał konsula. Dopiero na usilne prośby Br. Jana, Dominikanina, swego kapelana, konsul ulitował się nad losem uwięzionego i przyczynił się do jego oswobodzenia.

Błog. Antoni Nayrot odzyskał wolność w jesieni 1458 r.

Odstępca.

Po oswobodzeniu bł. Antoni pełnił obowiązki kapłańskie w przeciągu pięciu miesięcy w kościele św. Wawrzyńca stanowiącym parafię zamieszkałych w Tunisie Genueńczyków. Celebrował, spowiadał i głosił tam słowo Boże, ale jak zapewnia Br. Konstans, w sprawozdaniu przesłanem OO. Dominikanom, nie umiał Antoni znosić drobnych przykrości i niewygód, jakich w tych nowych dla siebie warunkach musiał doznawać. Wszystko drażniło go i niecierpliwiło, a ten stan duszy był niestety początkiem okropnego moralnego upadku, który mu św. Antonin w swem jasnowidzeniu przepowiedział.

W tym właśnie czasie w Japonji, gdzie tyle krwi chrześciańskiej spłynęło, jeden z Ojców Tow. Jezusowego, Krzysztof Ferreira torturowany w najokropniejszy sposób wyrzekł się wiary św. Widocznie umysł jego długoletnią, wytężoną pracą apostolską wyczerpany, zamącił się w tej chwili.

Ale gorszym stokroć był czyn Antoniego z Rivoli, który nie miał nawet na swe usprawiedliwienie zadawanych męczarni. W następstwie gorzko żałując swej winy odpokutował ją na ziemi, szukając dobrowolnie chwalebnej śmierci i okupując nią swe zbawienie; tak samo również ów O. Krzysztof Ferraira mając już lat ośmdziesiąt wytrwale zniósł straszne katusze zakopania żywcem w ziemi i trzy dnie cierpiał te same męki, których za pierwszym razem przez pięć godzin wytrzymać nie potrafił.

Nie zupełnie pewne są wiadomości dotyczące pobudek Antoniego do popełnienia haniebnej zdrady i przyjęcia mahometańskiej wiary. Brat Konstans przypisuje to podszeptom szatana; O. Ranzano, widzi w tem również piekielną robotę, a stało się to według niego za przyczyną niegodziwych oszczerstw i plotek, któremi starano się Antoniego zniesławić, on zaś wpadł w najokropniejszą rozpacz, zwątpił nawet w miłosierdzie i sprawiedliwość Bożą i poddał się niecnym pokusom.

Jednem słowem faktem jest, że ten nieszczęśliwy, opętany przez złe moce, zakrwawił serca swych braci w Chrystusie przez jawne odstępstwo od wiary.

Dnia 6 kwietnia 1459 roku chrześcianie w Tunisie zamieszkali byli świadkami przerażającego widowiska; W obecności muzułmańskiego władcy, sługa Boży wyrzekł się Chrystusa Pana i przyrzekał być odtąd wiernym wyznawcą Mahometa. Był to dzień wielkiego tryumfu dla Saracenów, a boleśny niezmiernie cios dla prawych katolików.

Cztery miesiące Antoni przebywał wśród muzułmanów, zupełnie im oddany, otaczany przez nich wielkiem poważaniem, gdyż mądrość jego była wszystkim znana, znał doskonale języki, a przytem zapisał się do szkoły znakomitego profesora dla dokładnego zbadania Koranu i napisania pochwały dla proroka.

Według pojęć mahometan Koran jest jedną kartą wyjętą z wielkiej księgi znajdującej się w niebie. Allach, czyli Bóg, miał ją zesłać na ziemię przez archanioła Gabrjela, aby Mahomet dał ludziom wskazówki, jak żyć należy. Antoni zabrał się do przetłumaczenia księgi Koranu (pisanej w oryginale po arabsku) na włoski i łaciński język.

Skrucha i nawrócenie.

A jednak pomimo tak ohydnego odstępstwa Bóg miłosierny nie opuścił Antoniego. W trawionej ciągłym niepokojem duszy eks-zakonnika poczęły się budzić coraz wyraźniej wątpliwości, co do prawd mniemanych Koranu. Co krok napotykane sprzeczności raziły światły umysł tłumacza, widział teraz jasno, że jest to zbiór mętnych pojęć poczerpnięty z różnych religji, nie odpowiadających ani trochę potrzebom duszy.

Od r. 1446 św. Antonin, dawniejszy przeor i świątobliwy kierownik Antoniego z Rivoli był arcybiskupem Florencji. Jego przepowiednia dotycząca młodego zakonnika, gdy ten nieopatrznie przedsięwziął podróż wbrew napomnieniom swego mistrza, spełniła się teraz w zupełności. Dnia 2-go maja 1459 r. zmarł św. Antonin a ostatnie jego słowa były: „Służyć Bogu to królować na ziemi“. Pochowano go w Dominikańskim kościele św. Marka, jak to było jego życzeniem. Przy grobie tego wiernego sługi Bożego wiele bardzo cudów podniosło jeszcze jego chwałę.

Kupcy włoscy z Florencji do Tunisu przybyli

opowiedzieli Antoniemu o świątobliwym zgonie arcybiskupa i o wielu cudach dokonanych za jego przyczyną. Te wieści z rodzinnego kraju, żywe wspomnienie cnót św. Antonina ogromnie silne na odstępcy uczyniły wrażenie. Ogarnął go straszny żal za przeszłością, za zmarnowanem życiem, odczuwał boleśne wyrzuty sumienia i obudziła się w nim skrucha głęboka.

Niewątpliwie stało się to pod wpływem łaski przez św. Antonina dla dawnego ucznia u Boga uproszonej, gdyż nieszczęsny odstępca nie miał odtąd ani chwili spokoju, serce jego łaknęło owego błogiego, nadziemskiego szczęścia, którem święty mistrz jego cieszył się w niebie. Rozpaczał więc odstępca, znienawidził ów raj zmysłowy obiecywany swym wyznawcom przez proroka, ale wiedział doskonale, że powróceniem do wiary chrześciańskiej śmierć sobie niechybną zgotuje. Bł. Antoni nie wahał się ponieść najcięższej kary, byle tylko odpokutować na ziemi swe ciężkie grzechy i zgorszenie, którego swem odstępstwem stał się powodem.

We śnie ukazał mu się św. Antonin, a to widzenie tem więcej utwierdziło odstępcę w chęci powrócenia na łono Kościoła. Przyszły żołnierz Chrystusowy począł gotować się mężnie do ostatniego boju. Udał się do Br. Jana z zakonu Braci Mniejszych i przed nim uczynił pełną skruchy spowiedź z całego życia. Otrzymawszy rozgrzeszenie i Komunję rozpoczął życie zakonne oddając się gorliwie praktykom pokutnym i rozdawszy ubogim całe swe mienie.

W tym czasie właśnie król był nieobecny w Tunisie, więc błog. Antoni musiał oczekiwać jego przybycia, aby uczynić publiczne wyznanie, że powraca na łono Kościoła św. Antoni użył tych kilku miesięcy na przygotowanie się godne do męczeństwa. Dnie i noce spędzał we łzach żałując za grzechy, biczując się i przeróżnemi umartwieniami dręcząc swe ciało.

Męczeństwo i śmierć błog. Antoniego.

Dnia 6 kwienia 1460 r. w niedzielę palmową przypadała smutna rocznica odstępstwa Antoniego. Właśnie wiljq dnia tego król powrócił do Tunisu. Br. Konstans miał kazanie w tym samym kościele, gdzie czas jakiś Antoni Nayrot głosił Genueńczykom słowo Boże. Wszyscy chrześcianie zgromadzili się tłumnie. W tem ukazał się błog. Antoni. W kilku słowach prostych, szczerych a gorących wyznał, że odrzeka się religji mahometańskiej i zachęcał wszystkich wiernych katolików do wytrwania, ponieważ sam na sobie doświadczył, jak okropne wyrzutu sumienia dręczyły go po haniebnym czynie.

Przemówienie nawróconego odstępcy było zarazem ostatniem jego pożegnaniem, on bowiem i wszyscy obecni rozumieli doskonale, że muzułmanie mścić się będą srogo za znieważenie Mahometa.

Brat Jan zakonny włożył habit Antoniemu a twarz przyszłego męczennika promieniała nadziemską radością, kiedy szedł śmiałym krokiem do królewskiego obozu. Tam przed całym zebranym dworem oczekiwał go Abu Omar Otman, dostojnie rozparty w swym bogatym namiocie.

Antoni głosem pewnym i podniesionym, aby go wszyscy słyszeli, oświadczył królowi, że jest znowu chrześcianinem, że nauki Mahemeta odrzuca i gotów jest ponieść śmierć za Jezusa. Król wyraził głębokie zdumienie, następnie w sposób przyjacielski zachęcał Antoniego do cofnięcia swego postanowienia, przyrzekając mu bogate dary i zaszczyty.

Ale teraz Antoni był już niezłomny i żadne namowy nie zdołały zachwiać jego wiary.

„Nic nie potrzebuję dla siebie, rzekł błogosławiony, nie dbam o doczesne skarby, gdyż tylko wieczny żywot ma wartość prawdziwą".

I ze swej strony jął nakłaniać króla i obecnych muzułmanów do przejścia na łono katolickiego Kościoła. Zerwał się król w najwyższem oburzeniu powstrzymując groźnym giestem potok wymowy nawróconego zakonnika i natychmiast rozkazał wtrącić go do więzienia.

Trudno jest opowiedzieć ile szyderstw i zniewag musiał znieść błog. Antoni od okrutnych strażników więziennych; policzkowano go, bito, plwano lecz wyznawca Chrystusowy z godnością a nawet wewnętrzną radością znosił te upokorzenia, pragnął bowiem cierpieniem i męką uświęcić swą duszę odstępstwem skalaną.

Nazajutrz stawiony przed sądem znowu poddany jest badaniom, namowom, kuszony obietnicami bogactw, ale wszystko to wywołuje tylko uśmiech pogardy na usta męczennika.

Dano mu trzy dni do namysłu, poczem widząc niezachwiany opór podpisano wyrok skazujący błog. Antoniego z Rivoli na ukamienowanie.

Pochwycono wnet więźnia i potrącając go, bijąc, pastwiąc się nad nim wydano w ręce katów. Dwóch z nich władało biegle włoskim językiem, więc dano im polecenie namawiania jeszcze skazanego przez czas wiedzenia go na plac egzekucji, do wyrzeczenia się Chrystusa. Podczas wykonania wyroku mieli również pilnie śledzić ruch każdy nieszczęśliwej ofiary i w razie cofnięcia jego postanowienia darować mu życie.

Ale błog. Antoni potrafił wytrwać do końca; im okrutniejszego doświadczał bólu, tem goręcej się modlił głośno, błogosławiąc Boga za zesłaną mu łaskę męczeńskiej śmierci za wiarę.

Kiedy zdjęto zeń biały, dominikański habit, prosił oprawców, aby wręczono go chrześcianom,

za co sowitą otrzymają nagrodę, jakoż spełniono jego życzenie, wkrótce po zgonie męczennika.

Przed rozpoczęciem egzekucji prosił Antoni o chwilę spokoju dla polecenia duszy Bogu. Ukląkł i z rękoma wzniesionemi ku niebu pogrążył się w głębokiem rozmyślaniu. Zdawał się być w tak nie ziemskiem zachwyceniu, jak gdyby już dusza jego niebiańską cieszyła się błogością.

Nagle dziki wrzask, niecierpliwego widowiska tłumu, przerwał ciszę. Kaci, oraz spragnieni przelewu krwi chrześciańskiej muzułmanie rzucili się uzbrojeni w ostre kamienie, aby niemi rozszarpać ciało ofiary.

Błogosławiony nie wydał z piersi ani jednego jęku. Stał wyprostowany, jakby wrosły w ziemię. Potoki krwi spływają z jego obnażonego ciała, aż powoli słabnie, słania się i pada martwy na ziemię zasypany gradem kamieni, jak niegdyś pierwszy męczennik za wiarę św. Szczepan umierał mężnie dla Chrystusa.

Relikwje. Cuda. Cześć błogosławionego Antoniego.

Kiedy przekonano się, że skazaniec już nie oddycha, co prędzej ułożono stos, aby spalić jego szczątki i prochy rozwiać na cztery wiatry. Rzucono skrwawione i poszarpane ciało w płomienie, ale tu w oczach wszystkich Bóg okazał cud prawdziwy: ciało pozostało nie naruszone, ani jeden włos nawet nie spalił się, pomimo że ogień płonął dokoła i długi czas trup znajdował się na stosie.

Muzułmanie i chrześcianie podziwiali ten cud w najwyższem zdumieniu. Brat Konstans był również naocznym świadkiem i sam o tem w sprawozdaniu swem opowiada.

Ale zawzięci oprawcy nie nasyceni w swej złości, wyciągnęli ciało męczennika z dogasającego ogniska i wrzucili je do gnojnej jamy.

Dopiero w kilka dni później kupcom genueńskim udało się wykupić je od saracenów za wysoką cenę. Relikwje w ten sposób zdobyte stały się następnie przyczyną wielu cudów w kościele genuńskim w Tunisie dokonanych.

W r. 1469 Amadeusz, książe sabaudzki, zajął się sprowadzeniem relikwji błogosławionego do Rivoli. Papież Klemens XIII dozwolił oddawać cześć męczennikowi, zaliczając go w poczet błogosławionych dnia 22 lutego 1767 roku.

Źródła.

Jan Lopez. *Historja Braci Kaznodziei.*

Dnia 29 Kwietnia.

ŚWIĘTY ROBERT Z MOLESMY

Założyciel opactwa w Molesmie i Citeaux (Cisternum)

1017 † 1110.

Za rządów papieży od Benedykta VIII do Paschalisa II, króla francuskiego Ludwika VI grubego.

> Kto się trzyma sprawiedliwości dostanie jej i nakarmi go chlebem żywota i rozumienia, wesele i radość będzie skarbiła dlań, imienia wiecznego dziedzicem go uczyni.
> Estyk. 15. 1—8.

Pochodzenie. Dziecinne lata.

Święty założyciel klasztorów Molesmy i Citeaux urodził się w Szampanji w starożytnym zamku rodziców swoich: znakomitego rycerza Teodoryka i pobożnej Ermegardy.

Przed narodzeniem się upragnionego syna Ermegarda miała sen, w którym objawiła się jej Matka Boska w otoczeniu chórów anielskich i podała cudnej piękności pierścień mówiąc:

„Nie trwóż się Ermegardo, czas jest blizki, gdy wydasz na świat świętego, który wiernym mi będzie sługą".

Tak więc przejęta wielce tem nadziemskiem widzeniem rodzina, powitała odrazu nowonarodzonego, jako przeznaczonego do duchownego stanu.

Na chrzcie św. dano mu imie Robert.

Oboje rodzice wychowywali go starannie, zwłaszcza pobożna matka starała się uczynić go zawczasu godnym nazwy: sługi Marji. Nigdy mały Robert nie opuścił rannej i wieczornej modlitwy, a w młodocianym umyśle obudziło się wcześnie pragnienie poświęcenia się Bogu całkowicie.

Na zamku możnego rycerza zbierali się liczni biesiadnicy; były to czasy kiedy dużo spotykało się wędrownych grajków i poetów zarazem, zwanych trubadurami. Otóż pewnego wieczoru jeden z nich popisywał się swym śpiewem, a następnie czyniąc zadość wymaganiom ówczesnej uprzejmości obszedł zebranych zapytując, co każdy z nich życzy sobie usłyszeć? Wypowiadano swe życzenia, przypominając melodje ulubione, po większej części dopominano się o pieśni bojowe lub wesołe piosenki,

kiedy przyszła kolej na Roberta, chłopak poważnie zamyślony rzekł:

„Zaśpiewaj nam pieśni o Matce Boskiej!..“

Śpiewak był wielce zmieszany, bo nie umiał pobożnych pieśni, a całe zebranie przyklasnęło małemu Robertowi, który swem odezwaniem się w kłopot śpiewaka wprowadził.

Robert miał wówczas lat ośm.

Nowicjat. Św. Robert zostaje przeorem w Montier - la - Celle.

Ulubionem miejscem modlitwy Roberta była mała, ustronna kapliczka nie opodal zamku położona i ku czci Najśw. Marji Panny przez wiernych wzniesiona.

Tam spędzał Robert długie godziny, a pewnego razu ukazała mu się Matka Boska.

„Co mam uczynić, aby być Twym wiernym obrońcą?“ zapytał Robert.

„Idź do klasztoru“, szepnęła Bogarodzica.

Posłuszny temu wezwaniu piętnastoletni Robert wstąpił do Benedyktynów w Montier-la-Celle, gdzie stał się doskonałym wzorem dla wszystkich nowicjuszy. Poddawał się z głęboką pokorą wszystkim praktykom wymaganym przez surową regułę, a przytem tysiące innych umartwień wynajdywał dla ciała i duszy. Był tak gorliwym w tym względzie, że nawet świątobliwy starzec, przeor klasztoru, radził mu trochę więcej oszczędzać swe zdrowie i wątłego ciała nie udręczać zbytecznie. Ale Robert odpowiedział ze słodkim uśmiechem:

„Jezus młodszym był odemnie, gdy już drzewo krzyżowe ciosał w Nazarecie“.

Wszyscy zakonnicy zachwyceni byli nadzwyczajnemi cnotami młodzieńca, to też zaledwie ukończył nowicjat już w dwudziestym pierwszym roku życia został obrany przeorem na miejscu bogobojnego starca, swego poprzednika, który z powodu podeszłego wieku nie mógł już sprawować rządów klasztorem i sam Roberta jako następcę swego wskazał.

Odtąd Robert z podwojoną gorliwością oddawał się sprawom Bożym, pełnił wzorowo swe obowiązki i poddawał się wpływowi łaski, oddziaływając zbawiennie na całe zgromadzenie.

Klasztor św. Piotra w Montier, był przed przybyciem Roberta, jakby martwym i skazanym na zagładę, ale zakwitło wnet nowe życie, od kiedy św. Robert rozpoczął tam pracę nad własnem oraz innych uświęceniem.

Młody przeor swą chwalebną działalnością pozyskał rozgłos w całej okolicy i zakonnicy z St. Michel de Tonnerre udali się do niego z prośbą, aby zechciał ład u nich wprowadzić, albowiem dawniejszy przeor zbyt niedołężny i o chwałę Bożą niedbały dopuścił do zupełnego rozprzężenia, co budziło głośne sarkania wśród świeckich i psuło opinję klasztoru.

Pobyt św. Roberta w St. Michel. Siedmiu pustelników. Bracia pojednani.

Z żalem wielkim żegnali OO. Benedyktyni swego zacnego przeora, ale św. Robert nie mógł oprzeć się naleganiom zakonników z St. Michel, ponieważ rozumiał, że obowiązkiem jego jest zaradzić złemu. Niestety jednak okazało się, że wezwanie świątobliwego przełożonego było tylko prostą formą, uczyniono to jedynie przez wgląd na wielkie poważanie, jakiem się św. Robert cieszył w okolicy, na prawdę Bracia nie mieli zamiaru gruntownie zmienić swego postępowania. Napróżno nawoływał ich święty do poprawy, wyrzeczenia się opieszałości i lenistwa, zakonnicy nie poddawal się dobrym wpływom, co stało się źródłem wielu utrapień dla świątobliwego przeora, a serce jego nieraz przepełnione było goryczą, czuł bowiem, że wszystkie jego usiłowania idą na marne.

Podczas kiedy wierny sługa Boży rzucał siew dobry na grunt niewdzięczny, siedmiu bogobojnych pustelników obrało sobie w pobliskim lesie Kolan siedlisko i wiodło żywot anielski zdala od świata i ludzi.

Pustelnicy ci dowiedziawszy się o cnotliwej gorliwości O. Roberta pośpieszyli do niego i padłszy mu do nóg błagali, aby zachciał stać się ich przewodnikiem na drodze cnoty.

Było dwóch pomiędzy nimi, którzy opowiedzieli szczerze świętemu, w jaki sposób łaska Boska ich dosięgła i oświeciła umysły kierując ich na drogę pokuty. Byli to dwaj rodzeni bracia z możnej bardzo pochodzący rodziny.

Pokłóciwszy się z sobą zamierzali stoczyć bój śmiertelny i pojedynkiem roztrzygnąć spór o rodzinne dobra.

Udając się na miejce do walki oznaczone znaleźli się nagle nieopodal pustelni, gdzie pobożni Cenobici zgodnie i przykładnie zajęci byli pracą. Widok tych świątobliwych pustelników podziałał kojąco na zagniewanych; zrozumieli jak marnem jest zbytnie troszczenie się o byt doczesny, cisza, spokój, bezgraniczna ufność w miłosierdzie Boże tych ludzi obudziły w sercach obu braci pragnienie przyłączenia się do pustelników.

Obaj jedną myśl wiedzeni padli sobie w ramiona, pogodzili się zupełnie, wybaczając sobie wzajemnie urazy i zbudowali dwa skromne schronienia tuż obok pustelni Cenobitów, wiodąc tam przykładne życie.

Św. Robert ujęty wielce opowieścią i prośbami przybyłych, chciał natychmiast udać się wraz z ni-

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

mi, ale zakonnicy nie chcieli go puścić od siebie i zatrzymali go niemal przemocą.

W ośm miesięcy potem św. Robert został mianowany przeorem opactwa St. Ayoul, co mu dało możność powrócenia znów do klasztoru Montier-le-Celle, od którego opactwo było zawisłe.

Zwycięztwo siedmiu pustelników.

W dawnej swej cichej celi myślał św. Robert spędzić życie całe oddany zupełnie Bogu, rozkoszując się błogiem rozmyślaniem o nadziemskich radościach będących udziałem dusz sprawiedliwych. Ale siedmiu pustelników z Kolańskich lasów nie dało za wygranę i gdy się im nie udało za pierwszym razem pozyskać w Robercie świętego przewodnika, zwócili się z prośbą wprost do papieża Aleksandra II, który dał im brewe nakazujące przeorowi z St. Ayoul objąć ster nad pustelnią kolańską. Kiedy więc przybyli do klasztoru i ponowili swe prośby, a św. Robert ociągał się ze spełnieniem ich gorącego życzenia, przedstawili mu wolę Głowy Kościoła. Wówczas nastąpił nowy okres w życiu św. przeora, udał się z pustelnikami do lasów Molesmy i tam poczęło się rozwijać zgromadzenie prawdziwie oddane Bogu i Najśw. Marji Pannie.

Zbudowano skromne szałasy, a przedewszystkiem stanął wspólnemi siłami wzniesiony przybytek ku czci Bogarodzicy, konsekrowany w 1075 r. Pustelnicy chodzili boso, pościli prawie rok cały, żywiąc się przeważnie chlebem i jarzynami. Na modlitwie i pracy upływały im dnie w ciszy i spokoju. Św. Robert przyjmował czynny udział w robotach Braci, widziano go nieraz rąbiącym drzewo, kopiącym ziemię i wszyscy podziwiali jego niespożytą energję przy tylu innych wysokich cnotach.

Św. Robert wysłał Brata po zakupy do miasta, ten zaś spotyka w drodze możnego pana, który zaopatruje zakonników w pieniądze na potrzebne prowianty.

Biskup Troyes słysząc wielkie pochwały oddawane Robertowi przybył sam do pustelni dla przyjrzenia się życiu tych pobożnych samotników. Cały dzień biskup spędził na rozmowie z Robertem, a wieczorem rzekł do swych towarzyszy:

„Dziękujcie Bogu wraz ze mną bracia mili, dziś bowiem dano nam było oglądać świętego na ziemi".

Św. Robert ustanowił, że zgromadzeni winni zachowywać regułę św. Benedykta, a wszyscy Bracia z wielką żarliwością wypełniali rozkazy swego przełożonego, starając się prześcigać wzajemnie

w doskonałem pełnieniu obowiązków i praktykowaniu cnót chrześciańskich.

Pustelnia w Molesmie. Cudowna pomoc.

Ogromnie ubożuchne było to pustelnicze zgromadzenie, albowiem posiadało tylko to, co się własną pracą około roli zdobyło, zasobów zaś żadnych ani pomocy od okolicznych mieszkańców oczekiwać nie można było. Zwłaszcza zima stała się ciężką do zniesienia.

Pewnego dnia, gdy już wszystkie zapasy były wyczerpane i zaledwie jeden czerstwy bochen chleba znajdował się w śpiżarni, św. Robert ufny w miłosierdzie Boże poszedł do kaplicy i tam modlił się długo, poczem wezwał jednego z Braci i rzekł mu:

— Gilbercie, synu mój, weź osła i ruszaj do miasta po prowizje.

Br. Gilbert szeroko otworzył oczy.

— A czy będę miał czem zapłacić? odrzekł zdumiony, wiedział bowiem doskonale, że nikt ani szeląga nie posiada.

— Bóg dopomoże, rzekł święty z tak głębokiem przekonaniem, że pokorny Br. Gilbert nie śmiał stawić oporu, odchodząc jednak szepnął:

— Obawiam się mocno, że tak jak idę z próżnemi rękami, tak samo też powrócę.

— Nie lękaj się synu mój, i spełnij co ci poleciłem, rzucił mu przełożony i odszedł do swych zajęć.

Br. Gilbert dosiadł osiołka i z uśmiechem niedowierzania podążał w stronę miasta.

Zaledwie jednak znalazł się na krańcu gęstego lasu, gdy spotkał jakiegoś rycerza jadącego konno ze swym orszakiem.

Dobry rycerz widząc bladą i nędzną twarz Br. Gilberta zatrzymał go i jął wypytywać zkąd i dokąd podąża? Pustelnik opowiedział z prostotą o kłopotach ubogiego zgromadzenia i o rozkazie świętego.

— Masz oto garść pieniędzy na zakupy, zawołał rycerz i sypnął szczodrze złotem.

Brat Gilbert ani marzył o tak hojnym darze, więc uradowany przywiózł tegoż dnia wszystko, czego brakło w pustelni, a św. Robert rzekł doń z uśmiechem:

— Widzisz synu mój, żem miał słuszność wysyłając cię z próżnemi rękami do miasta. Bóg jest najlepszym skarbnikiem tych wszystkich, którzy w Nim ufność pokładają.

Obfitość i dobrobyt ujemnie wpływają na zgromadzenie.

Wiadomość o niespodziewanej pomocy udzielonej przez nieznanego rycerza doszła do uszów biskupa z Troyes i wnet rozkazał wysłać do Molesmy ładowne wory z zapasami żywności dla Braci.

W parę tygodni potem dwóch młodzieńców z bogatych rodów przybyło do pustelni prosząc o przyjęcie ich do zgromadzenia, przyczem ofiarowali dochody ze swych dóbr na rzecz powstającego opactwa. Przy tem starannie uprawna ziemia poczęła dobrze rodzić i obfite zbierano plony. Tak więc niespodzianie poprawił się stan materjalny zakonników, ale niestety wpłynęło to ujemnie na Braci, zwłaszcza kilku nowo przybyłych zamało okazywało gorliwości, co trapiło wielce bogobojnego Roberta.

Tak samo jak w St. Michel wszystkie dobre rady przeora padać poczęły na niewdzięczne serca i trzeba było toczyć walkę nieustanną dla utrzymania posłuszeństwa.

Św. Robert nie mogąc znieść już dłużej oburzającej samowoli mnichów, którzy sami mu się w opiekę oddali, a teraz zupełnie odmawali posłuszeństwa, uważał za stosowne wycofać się, za przykładem patryarchy św. Benedykta. Zwrócił wówczas oczy na pobożne zgromadzenie cenobitów w miejscowości zwanej Or, wśród gór stromych położonej. Dwa lata przebył tam wziąwszy tylko czterech najwierniejszych towarzyszy, pomiędzy którymi było owych dwóch braci pojednanych.

W tym samotnem ustroniu przebył by chętnie świątobliwy Robert resztę żywota, gdyby pod wpływem Boskiego natchnienia nie dowiedział się był, iż ma jeszcze ważną misję do spełnienia.

Ogarnęło go podówczas gorące pragnienie ufundowania nowego zakonu. Jednocześnie skrucha głęboka obudziła się w osieroconem po oddaleniu się św. przełożonego zgromadzeniu.

W molesmskiej puszczy zapanował nieład, najbogobojniejsi jak Alberyk i Stefan opuścili niesfornych Braci; wierni nie chcieli już wspomagać jałmużną mnichów, którzy ośmielili się obrazić najzacniejszego przewodnika.

Obawiano się udać wprost do św. Roberta z prośbą o objęcie znów rządów nad nimi, więc Bracia zwrócili się do Rzymu i przedstawili papieżowi konieczność powrotu św. Roberta do Molesmy. Musiał więc nasz święty zastosować się do rozkazu i objął na nowo ster nad zbuntowanymi poprzednio, obecnie zaś kornymi mnichami.

Alberyk również poszedł za jego przykładem i do Molesmy powrócił. Ale niedługo cieszono się tam upragnioną jednością i spokojem, zapanował znów rozłam i św. Robert stanowczo postanowił w osobnym zamieszkać klasztorze.

Fundacja zakonu Cystersów.

Kiedy św. Robert oznajmił towarzyszom, że zamierza ufundować nowy zakon, będący odmianą Benedyktynów ściślejszej reguły, wszyscy objawili

chęć udania się za nim i nie opuszczania go aż do zgonu. Jednakże św. opat przyszłego zgromadzenia był bardzo oględnym w wyborze i wziął tylko z sobą sześciu mnichów: Alberyka, Stefana, Jana, Letalda, Odona i Piotra.

Na początku 1097 r. Robert z sześciu Braćmi wybranymi udał się do Hugona arcybiskupa Lionu i legata papieskiego we Francji i otrzymał od niego upoważnienie na ufundowanie nowego zgromadzenia.

Powróciwszy do Molesmy pożegnał zakonników rozwiązując ich z danego sobie zobowiązania do bezwzględnego posłuszeństwa, jako przełożonemu. Wziął z sobą tylko mszał dla przekopiowania go i trochę naczyń i przyborów kościelnych niezbędnych do sprawowania świętej ofiary.

Dwudziestu i jeden zakonników prosiło, jako o największą łaskę, aby wolno było im przyłączyć się do nowego zgromadzenia. Obrano na ten cel miejscowość wśród lasów i skał Burgundji położoną zwaną *Cisternum* jakoby od słów łacińskich *Siste hic* (zatrzymaj się tu) które św. Robert z nieba usłyszał, po francuzku zowią opactwo Citeaux, a zakon Cystersów przez św. Roberta ufundowany zakwitł i rozwinął się szeroko po całym świecie.

Głównemi zasadami tej reguły są: surowa wstrzemięźliwość, wyrzeczenie się wszelkiego przepychu kościelnego, uległość biskupom, a zresztą rozwijanie wszystkich cnót wiodących do doskonałości chrześciańskiej. Ubiorem zakonników był biały habit z czarnym szkaplerzem.

Wice-hrabia de Baume, właściciel posiadłości Citeaux ofiarował część nieużytków na rzecz zgromadzenia i rozpoczęło się tu życie prawdziwie anielskie pod kierunkiem świętego opata, który czynił wszystko, aby dusze zakonników uświęcić i dla nieba sposobić.

Wiele okolicznych klasztorów bardzo nie życzliwie przyjęły usiłowania św. Roberta przywrócenia pierwotnej surowości życia zakonnego. Uważano, że jest to zbyteczna przesada i czyniono mu z tego powodu wymówki, ale opat trwał niezłomnie w swych postanowieniach i w modlitwie czerpiąc siły, po ostatecznym namyśle zdecydował, że ani jednego słowa w napisanej regule nie odmieni.

Powrót św. Roberta do Molesmy.

Często się przytrafiało, że jakby z jednego pnia wyrosłe zgromadzenia nie zachowywały następnie przykładnej jedności i starały się pozyskać zupełną niezależność. Św. Robert chcąc zabezpieczyć zakon Cystersów od podobnych rozdziałów przewidział to w regule i od gorszących niesnasek uchronił.

Dnia 21 marca 1098 r. nowe opactwo i kościół w Citeaux zostały poświęcone i oddane w opiekę Najśw. Marji Panny. Tegoż dnia nastąpił obiór Roberta opatem, a wszyscy zakonnicy ponowili ślub posłuszeństwa.

Odtąd Citeaux zwano „zamkniętym ogrodem“, „siedliskiem spokoju“ i „grodem świętych“.

Starano się jednak wszelkiemi siłami zakłócić ten błogi spokój. Zakonnicy z Molesmy dopominali się o powrót św. opata i Urban II polecił Hugonowi, arcyb. lińskiemu, nakłonić św. Roberta do ponownego powrotu.

Była to ciężka próba posłuszeństwa dla św. Bożego sługi, ukochał bowiem nowe schronienie i niedowierzał w rzetelną poprawę Braci z Molesmy, ale musiał to uczynić i wziąwszy z sobą dwóch Cystersów stanął znów pomiędzy Benedyktynami, którzy tym razem istotnie już godni byli tej ofiary. Z listów pisanych przez św. Roberta do swych ukochanych synów w Citeaux widzimy, jak gorąco ich cenił i miłował. Krwią i łzami zdają się być pisane jego słowa.

„Niech Molesma posiada me ciało, pisze on w jednym z listów, ponieważ tego wymaga posłuszeństwo, ale dusza moja jest z wami nierozłącznie“.

Wielkiem pocieszeniem stało się jednakże ukorzenie się zakonników z Molesmy i przyjęcie reguły ścisłej obserwancji o którą tak wielce chodziło świętemu ich przełożonemu.

Według zdania jednego z historyków „Citeaux przeniosło się do Molesmy“ a właściwie klasztor w Molesmie stał się równym w cnotach opactwu Cystersów.

Chleb rzucony do rzeki. Świątobliwość Cystersów.

Do jakiego stopnia miłosiernym był św. Robert świadczy fakt następujący:

Zapukało pewnego razu dwóch żebraków do furty klasztornej. Były to dzieci prawie, głodne i wynędzniałe. Serce krajało się patrząc na tę nędzę. Św. Robert litością zdjęty przywołał szafarza i kazał dać im pożywienie.

„Ależ nic a nic nie mamy do oddania, zauważył Brat szafarz ze smutkiem“.

— Cóż więc podasz nam na czas obiadu? zapytał opat.

Szafarz wzruszył ramionami, a zakłopotany opat z żalem patrzył na oddalających się żebraków.

Podczas obiadu zebrano się przy wspólnym stole i święty ze zdziwieniem ujrzał dwa chleby przygotowane.

— Zkąd je wziąłeś? zapytał szafarza.

Schowałem dla zakonników, odrzekł zmieszany.

Św. Robert przypomniawszy sobie wynędzniałe postacie zagłodzonych dzieci, bardzo się oburzył postępkiem Brata i kazawszy sobie podać oba bochenki własnoręcznie cisnął je do rzeki.

Tegoż dnia, jakgdyby w nagrodę za szlachetne oburzenie miłosiernego opata, Bóg zesłał pomoc niespodzianą, albowiem przybył jakiś możny pan przywożąc zapasy żywności dla klasztoru.

Po wyjeździe z Citeaux św. Robert powierzył zgromadzenie Cystersów pieczy Alberyka, który bardzo chlubnie wywiązał się z zadania, a po jego śmierci wybór padł na Stefana, ten również był godnym następcą św. Roberta i sam założyciel zakonu wybór ten potwierdził.

Sam zaś już nigdy do Citeaux nie powrócił, ale dobry siew przez niego rzucony wydał plon obfity. Zakon Cystersów do tego stopnia ze świątobliwości swej był znany, że w parę wieków potem Kapituła generalna zakonu zawyrokowała, iż nie powinno się czynić starań o przeprowadzenie kanonizacji żadnego z Braci Cystersów, ponieważ „zbyt wielka liczba świętych z tego zakonu może zmniejszyć cześć dla nich“ [1]).

Dziwnem nam się może wydawać takie zapatrywanie, wimo to świadczy wymownie jak wielu świętych i błogosławionych liczył zakon przez św. Roberta założony, tak że niemal każdy z pierwszych Cystersów godzien był być wyniesionym na ołtarze.

Jutrznia ptasząt.

W piękny wiosenny poranek kiedy zakonnicy przygotowywali się do medytacji, tysiące ptasząt leśnych śpiewało tak donośnie, że mimowoli wielu z Braci podniosło głowy i słuchało z rozkoszą harmonijnego ich szczebiotu.

Sędziwy opat stanął w tej chwili wśród zgromadzonych, a widząc powód ich roztargnienia zwrócił się nagle do ptasząt Bożych, mówiąc z łagodnem upomnieniem:

— Jużeście odśpiewały jutrznię, moje miłe ptaszyny, możecie teraz trochę się uciszyć i pozwolić nam chwalić Boga.

I jakby ptaki zrozumiały głos ludzki uciszyły się naraz wszystkie i stała się taka cisza dokoła, że zakonnicy tem więcej jeszcze odczuli potrzebę wewnętrznego skupienia wielbiąc Pana stworzenia.

[1]) Ne multitudine sancti vilescerent in Ordine.

Śmierć św. Roberta.

Św. Robert miał już lat ośmdziesiąt i zbliżał się do kresu swej ziemskiej wędrówki, kiedy pewnej nocy ujrzał nadziemską światłość w swej celi i nagle obudził go ze snu głos niebiański:

— „Robercie, sługo mój wierny, niedługo będziesz już przebywał ze mną i Synem moim“.

To Najśw. Panna oznajmiła świętemu jego zgon rychły. Tegoż dnia zachorował, a gdy chciano dać mu lekarstwa odmówił i wyszeptał radośnie:

„Śmierć właśnie da mi życie“.

Ale zdawałoby się, że śmierć starała się zwlekać z wyswobodzeniem tej świętej duszy, tak potrzebnej na ziemi, albowiem jeszcze ośm miesięcy żył św. opat i cieszył się, że cierpienia mu Bóg zsyła dla wypróbowania cierpliwości i pokory. Wreszcie d. 21 marca 1110 r. zgasł święty starzec a w noc tę widziano dziwne zjawisko: oto dwie cudne tęcze skrzyżowały się na niebie tworząc świetlany krzyż po środku. Widziano w tym znaku niebieskim świadectwo świętości Roberta i wielką chwałę przyszłą zakonu.

Relikwje. Kanonizacja. Wizerunki.

Złożono ciało św. Roberta w kamiennym grobowcu kościoła Molesme. Papież Honoriusz III zaliczył go w poczet błogosławionych w 1222 r. a Innocenty IV kanonizował w 1243 r.

W tym że roku szczątki świętego złożono w trumnę. Relikwje św. Roberta znajdowały się w wielkiem niebezpieczeństwie podczas napadów protestantów, a następnie w czasie rewolucji francuzkiej, ale szczęśliwie zostały ukryte i znowu w r. 1826 do Molesmy powrócone.

Najczęściej przedstawiają go na wizerunkach obok małego kościołka na znak ufundowania zakonu, lub też otrzymującego pierścień z rąk Matki Boskiej, na pamiątkę snu proroczego Ermegardy przed urodzeniem św. Roberta.

Źródła.

O. Guy de Molesmes. *Żywot św. Roberta.*
Ks. Duplus. *Święci z Dijon.*
Defer. *Święci z Troyes.*

Dnia 30 Kwietnia.

ŚWIĘCI: JAKÓB, MARJAN, AGAPIUSZ I EMILJAN

umęczeni w Numidji.

† 260.

Za rządów papieża św. Dyonizego, cesarza rzymskiego Walerjana.

> Dusze sprawiedliwych są w ręku Bożem, nie tknie ich męka śmierci. Zdało się oczom ludzkim, że pomarli, poczytane jest utrapieniem dokończenie ich, lecz oni są w pokoju i choć przed ludźmi męki cierpieli, nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności. Bóg doświadczał ich i znalazł godnymi siebie. Jako złota w ogniu próbował ich i jako ofiarę całopalenia przyjął je.
>
> Mędr. 3, 1—7.

Prześladowcy i prześladowani.

Święci Marjan i Jakób jak również Agapiusz i Emiljan ponieśli śmierć męczeńską za wiarę św. w Numidji (obecnym Algierze) w Afryce. Jeden z przyjaciół Marjana i Jakóba, naoczny świadek ich męki, pozostawił szczegółowy opis ostatnich chwil ich życia i dzięki temu możemy sobie odtworzyć dokładnie postacie tych mężnych żołnierzy Chrystusowych.

Marjan i Jakób byli krewnymi, a zarazem związanymi z sobą węzłami szczerej przyjaźni. Obaj byli gorąco przywiązani do religji tak srodze prześladowanej przez pogańskich cesarzy. — Jakób diakon, omal już raz nie padł ofiarą rozszalałej tłuszczy za panowania cesarza Decezjusza, był bowiem pojmany z innymi chrześcianami, których utwierdzał w wierze i poddawany najokropniejszym torturom, ale ocalał jedynie dlatego, że sądzono go już nieżywym i porzucono wśród stosu innych trupów.

Marjan lektor również ciężkie już przeszedł próby, ale tym więcej mieli obaj zachowanie wśród braci i zbawienny wpływ wywierali.

Na wiosnę roku 259 przybyli do osady Mugas w pobliżu Syrty w Numidji. Panował wówczas cesarz Walerjan, który na początku swoich rządów zdawał się sprzyjać chrześcianom, a przynajmniej wyroków śmierci unikał. Ale wkrótce źli doradcy potrafili tak pokierować, że Walerjan zaczął naśladować owych okrutnych poprzedników i prześladował chrześcian zawzięcie.

Miecz katowski raz po raz spadał na niewinne głowy, pomiędzy ofiarami z tych czasów zalicza się św. Cyprjan, znakomity w dziejach Kościoła biskup Kartaginy, umęczony w 258.

Nienawiść pogan usiłowała stłumić rozwój wiary św. ale im więcej wzmagały się prześladowania, tem więcej siew Chrystusowy wydawał bohaterów.

Kiedy Marjan z Jakóbem przybyli w te strony, Syrta wrzała oburzeniem, poganie na każdym kroku okazywali chrześcianom pogardę, wygrażali im i głośno dopominali się o karanie śmiercią tych, którzy ośmielają się głosić Słowo Boże. Ale mężni wyznawcy Chrystusowi nie cofnęli się przed grożącem im niebezpieczeństwem i pozostali tam właśnie gdzie uważali za potrzebne podnosić ducha wśród słabnących i przykładem męztwa zagrzewać do boju.

Męczeństwo biskupów w Syrcie.

Prefekt Syrty ze szczególną zawziętością ścigał chrześciańskich kapłanów, uważając, że odebrawszy ludowi ich kierowników potrafi łatwiej zachwiać opór. Wówczas właśnie dwóch świątobliwych starców powróconych świeżo z wygnania, Agapiusz i Sekundynus, obaj piastujący godność biskupią, zostali umęczeni.

Ten właśnie bezimienny świadek opisujący ostatnie chwile lektora Marjana i diakona Jakóba opowiada, że uważali sobie za wielki zaszczyt gościć czas jakiś u siebie tych biskupów, którzy pragnęli, aby każdy z wiernych gotów był każdej chwili położyć życie z radością w imie Boga jedynego. „Słowa ich jako rosa ożywcza padała na nasze serca, a w ciągu krótkiego czasu, który z nami przebyli, czerpaliśmy szczodrze z ich mądrych nauk ufność i męztwo czując, iż łaską Bożą, są oświeceni".

Pomimo, że nawracanie pogan rzymskie władze za największą zbrodnię poczytywały, biskupi nie tracili żadnej sposobności, aby nowe pozyskać owieczki do owczarni.

Ich przykład podziałał ogromnie na szlachetne serca Marjana i Jakóba. Z upragnieniem myśleli o chwalebnej śmierci, któraby im męczeńską pozwoliła cieszyć się koroną.

W ciemnicy pierwsze męki.

Niedługo wypadło im czekać na sposobność wykazania chrześciańskiego męztwa.

Cały oddział żołdaków wtargnął nagle do domu, w którym Marjan i Jakób czasowo znaleźli schronienie. Doniesiono prefektowi Syrty, że zbie-

rają chrześcian u siebie, a to było już dostatecznym powodem do stawienia ich przed sądem. Po krótkiem badaniu, widząc, że otwarcie mienią się być wyznawcami Chrystusowymi wtrącono obydwóch do więzienia.

Była to okropna ciemnica, do której nigdy ani jeden promień światła nie przenikał. Ohydne płazy i szczury lęgły się tam swobodnie, a współdzicy strażnicy nie mniej byli wstrętni od tych stworzeń budzących lęk i odrazę. Zaraz poddano niewinne ofiary okropnym mękom.

Marjana zawieszono, chcąc rozedrzeć jego ciało. Uwiązano go do belki za końce palców, ażeby zwisłszy całym ciężarem ciała doświadczał sroższych katuszy. U nóg uwiązano ciężkie kamienie. Z szatańskiem iście okrucieństwem naigrawano się jego męce, ale Marjan znosił wszystko z niesłychaną cierpliwością i spokojem.

Jakóbowi znów zgotowano inne tortury. Rozciągniętego na stołkach szarpano ostrem żelaznem zgrzebłem, wyrywającem ciało, a potoki krwi spływały dokoła, radując podłych zbirów. Podczas tych strasznych męczarni starano się zachwiać niezłomną wolę żołnierzy Chrystusowych chcąc ich skłonić do wyrzeczenia się wiary. Ale Jakób wołał:

— Jestem diakonem Kościoła rzymskiego!..

A Marjan wyznawał głośno, że jest lektorem, co było również stopniem duchownym.

Widząc, że obaj męczennicy trwają niezłomnie w swym oporze, znużeni kaci wtrącili ich znowu do ciemnicy.

Ze zdumieniem słuchali więźniowie, jak torturowani przed chwilą chrześcianie śpiewali podniosły hymn łącząc swe głosy z innymi, albowiem razem z nimi zabrano wielu braci w Chrystusie dla których przykładne męztwo Marjana i Jakóba stało się nowym bodźcem do wytrwania.

Resztę tego dnia pamiętnego spędzili obaj męczennicy na modlitwie, aż znużeni snem znaleźli w nim błogie pokrzepienie dla udręczonego ciała i rozkosz dla wzniosłej duszy. Rozkosz tę dały im sny niebiańskie dające przedsmak przyszłej szczęśliwości.

Sen św. Marjana w ciemnicy.

„Bracia moi“, zawołał Marjan po przebudzeniu, oto widziałem przed sobą trybunał wspaniałości niezrównanej. Zasiadał tam Sędzia wszechmocny; dokoła wzniesienia były stopnie, po których wstępowali wyznawcy a przystąpiwszy do Sędziego na klęczkach otrzymywali wyroki śmierci. Nagle usłyszałem głos wielki mówiący: „Niech tu przywiodą Marjana!“ Głos ten donośny brzmi dotąd w mej duszy. Podszedłszy bliżej ujrzałem po prawej stronie Sędziego, Cyprjana, biskupa Kartaginy, którego dotąd nie dostrzegłem. Podał mi rękę i rzekł: „Usiądź tu przy mnie“. Patrzyłem w dalszym ciągu jak przybywali wciąż nowi. A kiedy sąd się ukończył odprowadziliśmy wszyscy Sędziego idąc za Nim po ukwieconej łące. Wspaniałe cyprysy wznosiły olbrzymie szczyty aż do nieba. Widziałem szumiące strumienie, których wody napełniały kryształowe podstawy wodotrysków, wszystko tam tchnęło błogością o jakiej ziemia nawet pojęcia dać nie może. Sędzia zniknął nam nagle z oczu, a wówczas Cyprjan napełnił wodą kubek, znajdujący się przy wodotrysku, pił z niego, następnie napełniwszy, mnie go podał. Piłem więc przepełniony szczęściem niewysłowionem. A kiedym chciał głośno Bogu złożyć dziękczynienia nagle się przebudziłem“.

Widzenie Jakóba. Nawrócenie.

Teraz Jakób ze swej strony jął opowiadać swoje widzenie:

„Oto widziałem Bracia moi siebie wraz z wami wiezionych na wozie. Nagle stanął przedemną młodzian niezwykłej urody. Miał białą szatę tak olśniewającej białości, że oczy moje nie mogły znieść jej wielkiego blasku. Zdawało się, że zaledwie stopami dotyka ziemi. Rzucił mnie i Marjanowi dwie purpurowe przepaski mówiąc:

— Idzcie spiesznie ze mną.

Jednocześnie z Jakóbem i Marjanem więziono pewnego nawróconego poganina Emiljana. On też miał sen proroczy oznajmiający mu rychły tryumf.

W ten sposób mężni i wytrwali chrześcianie pokrzepienie otrzymywali z nieba, a myśl ich oderwana była zupełnie od ziemi.

Przebyli jeszcze czas jakiś w ciemnicy; codziennie jednak otwierano drzwi więzienia, ażeby kogoś wywieść na męki lub wyrok śmierci mu przeczytać.

Marjana i Jakóba poddawano jeszcze kilka razy torturom w obecności licznie zebranego tłumu, ale zamiast budzenia postrachu wśród zebranych, męki znoszone przez duchownych tem więcej utwierdzały wiernych i zachęcały do pójścia za ich przykładem.

Pewnego dnia w oczach wszystkich nawrócił się jeden z obecnych przy męczarniach poganin. Nagle zauważono, że twarz jego przybrała niezwykły wyraz, było to jakby przebudzenie się duszy, jawny objaw łaski Bożej; zdawało się że promienna jasność bije z tej postaci. Poczęto nań wskazywać palcami.

— Co to? Co to? pytano.

On zaś rzekł głosem donośnym:

— Chcę przyjąć wiarę tych oto męczenników, chcę umierać, jak oni!

Niezwłocznie pojmali go oprawcy i głowa młodzieńca spadła pod katowskim mieczem, ale chociaż nie dano mu było zostać chrześcianinem, nie mniej godzien on był również podzielać chwałę nieustraszonych wyznawców Chrystusowych.

Sen proroczy.

W czasie długiego oczekiwania Marjana i Jakóba na wieniec chwały nowe widzenie rozradowało po raz drugi te wzniosłe serca.

Przebudziwszy się opowiadał, że widział Agapiusza w otoczeniu wielu wyznawców, którzy razem z nimi podzielali więzienie i męki, wszyscy siedzieli u wspólnego stołu, a Marjan i Jakób również tam się znajdowali. Była to biesiada duchowna w pierwszych czasach chrześciaństwa *agapą* zwana. Ujrzał Jakób jedno z dwojga bliźniąt zamordowanych na ręku matki chrześcianki a te rzekło:

— Cieszcie się, drzyjcie z radości, jutro będziecie podzielali z nami ucztę w niebie.

Św. Marjan i św. Jakób.—Ich widzenia w ciemnicy.—Matka św. Marjana raduje się chwałą syna.

Tym razem Jakób widział wyraźnie św. Agapiusza, który poprzedził ich w osiągnięciu palmy męczeńskiej. Radośne wzruszenie ogarnęło Jakóba na ten pocieszający widok.

— O! jakżem szczęśliwy! — zawołał we śnie — mam podążyć za biskupem Agapiuszem, będę z nim zasiadał razem w niebie!

W syrtejskiej dolinie.

I oto nastał dzień oddawna oczekiwany.

Otwarły się więzienne wrota. Marjan i Jakób w otoczeniu chrześcian prowadzeni są na śmierć. Wiodą ich do uroczej doliny przeciętej rzeką, otoczoną pagórkami, tworzącymi jakby naturalny amfiteatr.

Przywiedziono na miejsce kaźni ogromnie liczny zastęp skazanych, egzekucja dokonywana w zwykły sposób, przez kładzenie głowy na pieńku, byłaby zajęła zbyt wiele czasu; kaci mieli obmyśleć jakiś sposób prędszego rozprawienia się ze swemi ofiarami. Ustawiono więc szeregi, zawiązano każdemu ze skazanych oczy i następnie ścinano głowy, jakby zboże w polu, w ręku katów błyskały topory, a krew spływała potokami. Był to widok przerażający, od którego krew ścinała się w żyłach, ale chrześciańscy męczennicy, głośno wielbili Boga, umierali, jak prawdziwi bohaterzy, a w ostatnich chwilach życia cudowne wizje przyszłej szczęśliwości rozjaśniały święte ich oblicza.

Kiedy przyszła kolej na Marjana, wówczas duchem proroczym natchniony począł wołać:

— Biada wam poganie, którzy śmierć nam niesiecie, godzina pomsty blizka. Spadną na państwo wasze straszliwe klęski: głód, zaraza, trzęsienie ziemi, wszystko to będzie oznaką sprawiedliwego boskiego gniewu.

Spadła głowa mężnego wyznawcy Jezusa, dreszcz przerażenia przeszedł tych, którzy słyszeli jego ostatnie słowa.

Matka męczennika.

Matka Marjana była obecną na polu chwały. Jak niegdyś matka Machabeuszów, tak samo ta dzielna chrześcianka radowała się widząc męztwo i wytrwałość syna ukochanego. Przypadła do trupa, usta przycisnęła do krwawej rany i tuliła martwego w objęciu, jak niegdyś kiedy w dzieciństwie usypiała go na ręku.

Ale nawet boleści matki nie umiano uszanować w takiej chwili. Kat wyrwał z jej rąk ciało syna rzucając je wraz z innemi na stosie. Działo się to ostatniego dnia kwietnia w 260 r.

Miasto Konstantyna.

Dawniejsza Syrta została nazwana Konstantyną i jest obecnie warownem miastem stołecznem francuzkiej prowincji tegoż nazwiska w Algierze. Znajduje się tam dotąd wiele zabytków budownictwa rzymskiego. Niedawno właśnie miejscowe towarzystwo archeologiczne (badań starożytności) odnalazło łaciński napis wyryty na skale, z którego dowiadujemy się o dacie męczeństwa nad rzeką Mummel w „syrtejskiej dolinie śś.: Marjana, Jakóba, Datywusa, Apera, Rustykusa, Kryspinusa, Donata, Relitona, Pastora, Sylwana, Egipcjusza i tych wszystkich których Bogu tylko wiadome są imiona".

Przepowiednie św. Marjana spełniły się bardzo prędko, bo w niespełna rok po męczeństwie cesarz Walerjan dostał się do Persów w niewolę w 260 r. Straszna zaraza sprawiła też wielkie w państwie rzymskiem spustoszenia.

W *lekcji* znajdującej się we *Wspomnicniach kościoła afrykańskiego* przez O. Cahier jest wzmianka następująca:

„Wigilją pierwszego maja obchodzi się pamiętna rocznica męczeństwa ośmdziesięciu chrześcian, z nich: Marjan i Jakób diakoni; Agapiusz biskup; Rustyk, Kryspin, Emiljan, Zenon; Sylwan biskup". I wy, o święci Pańscy, których imiona są Bogu tylko znane, módlcie się za nami.

Relikwie śś. Marjana i Jakóba.

Swięci Marjan i Jakób są patronami miasta Gubbio w Umbrji i tam w katedralnym kościele przechowują się ich relikwje. W całym Algierze czczą wielce pamięć tych śś. męczenników.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Dnia 1 Maja.

JEREMIASZ PROROK

Za rządów króla judzkiego Jozjasza.

Trzodą straconą stał się lud mój, pasterze ich zwiedli je, uczynili, że się błąkali po górach, z góry na pagórek przeszli, zapomnieli legowiska swego.
Jerem. 50—6.

Na wszystko na co cię poszlę pójdziesz i wszystko cokolwiek ci rozkażę mówić będziesz. Jerem. 1—7.

W trzynastym roku rządów króla judejskiego Jozjasza, a więc około 629 r. przed Chrystusem, powołany został Jeremjasz przez głos Boży do prorokowania ludowi swemu i karcenia go w czasie największego upadku królestwa judzkiego.

„*W łonie matki twej cię uświęciłem i wybrałem ciebie, abyś był moim prorokiem*“, rzekł Pan młodzieńcowi temu. A on zląkł się głosu Bożego i mówił, że pacholęciem jest prawie i nie potrafi podołać zadaniu. Ale Bóg mu rzekł:

„*Jam jest z tobą, na wszystko, na co cię poszlę pójdziesz i wszystko cokolwiek ci rozkażę mówić będziesz*“.

Jeremiasz miał naówczas lat piętnaście, kiedy Bóg powierzył mu tę wielką misję. Słowa jego miały zabrzmieć, jak grom złowieszczy nad zbłąkanym ludem, budzić miłość ojczyzny, złorzeczyć Babilonowi, umacniać i podnosić zepsute ówczesne pokolenie, prorokować zburzenie Jerozolimy. Pół wieku prawie grzmiał ten głos Boży przez usta proroka i pomimo najsroższych ucisków i prześladowań szedł on śmiało naprzód po ciernistej drodze aż na męki, bo Pan rzekł:

„*Otom cię postanowił nad narodami i nad królestwy, abyś wyrywał i kaził i wytracał i rozwalał i budował i sadził*“. (Jerem. 1—10).

Pochodzenie Jeremjasza.

Jeremjasz był rodem „z ziemi Benjamina“ z miasta kapłańskiego Anathoth, leżącego o kilka mil od Jerozolimy. (Dziś zowią je Anata).

Ojcem Jeremjasza był Helcjasz kapłan z linji Ithamara mający w Anathoth swe posiadłości. Jeremiasz, aczkolwiek bardzo młody rozpoczął swoje posłannictwo i spełniał je aż do zdobycia Jerozolimy przez Chaldejczyków, a później jeszcze po upadku Jerozolimy prorokował w Egipcie.

Po większej części przebywał w Jerozolimie, gdyż przy świątyni miał najlepszą sposobność przemawiać do zgromadzonego ludu. Niekiedy jednak wychodził po za obręb stolicy do swego rodzinnego miasta lub w inne udając się strony.

Jeremiasz wołał wielkim głosem wzywając do pokuty dla przebłagania Bożego gniewu. Pewnego dnia, mówił on, Pan rozkazał mi kupić lnianą przepaskę, którą opasałem biodra moje. Następnie kazał mi ją zanieść nad brzeg Eufratu do Babilońskiej krainy i ukryć tę przepaskę pod kamieniem. Po pewnym czasie rozkazał mi ją wyjąć. Była zupełnie zgniłą i do użytku nie zdatną.

Tak samo stanie się z judejskim i izraelskim ludem, rzekł mi Pan; jeśli chwałą jest dla przepaski opasywać biodra człowiecze, chwałą Izraela i Judy było ściśle być połączonym z Bogiem, który ich sobie obrał. Nie chcieli być mi posłuszni, a więc oddam ich na zniszczenie!

Raz znowu widziałem jak garncarz wyrabiał naczynie gliniane i nagle pękło mu ono w ręku. Wziął więc inną bryłę gliny i rozpoczął pracę na nowo.

„O Izraelu, rzekł Pan, gdybym mógł uczynić jako ów garncarz, skruszyć cię, aby nową nadać ci formę. Albowiem jeśli nie przestaniecie grzeszyć w moim obliczu, żałować będę wszystkiego, com dla was uczynił“.

Jeruzalem jednak nie usłuchało napomnień i gróźb Boskiego proroka i trwało dalej w grzechu.

Król Jozjasz.

Król Jozjasz był szesnastym z rzędu władcą Judei, synem Amona. Starał się on usilnie o przywrócenie zaniedbanej czci Boga, nie zdołał jednak odwrócić zbliżającego się upadku państwa.

Było wielu naówczas kłaniających się fałszywym bogom oddających cześć Molochowi i bogini Astarte więc król kazał niszczyć i burzyć pogańskie ołtarze.

Na początku rządów Jozjasza, kiedy właśnie Jeremiasz prorok począł występować publicznie i rzucać natchnione słowa potępienia na okropny stan moralny Judei, głosząc rychłe spełnienie wyroków sprawiedliwości Bożej i wzywając do pokuty, ten lud wybrany i tak przez Boga umiłowany grzązł w grzechu i nawet szlachetny zapał ożywiający króla Jozjasza nie zdołał przeniknąć w szerokie masy.

Napróżno Jeremjasz rzucał słowa pełne miłości Bożej Jerozolimie, gdzie stała wspaniała świątynia Salomona, miastu Dawidowemu pełnemu chwały, a wyrzekającemu się Boga jedynego.

Obłudni kapłani i fałszywi prorocy obałamucali lud, więc pobożny Jozjasz kazał wymordować tych oszustów i spalić ich ciała w tem miejscu, gdzie bałwanom składali ofiary.

Uroczyście obchodzono w Jerozolimie odnowienie wiary przodków podczas świąt Paschy w ośmnastym roku panowania Jozjasza. Kapłani judzcy zanosili modły do Boga według przyjętego rytuału, przypominały się wspaniałe czasy Samuela i Dawida ale brakło tym pokoleniom dawnej wiary Izraela, trzy wieki zepsucia wtrąciły ich w otchłań hańby i nieprawości. Chociaż poddawano się pozornie rozkazom pobożnego króla, jednak w gruncie rzeczy serce tych ludzi dalekiemi były od ukochania i słuchania przykazań Jehowy. (Co znaczy po hebrajsku *który jest*, to jest Bóg).

Po śmierci Jozjasza panował syn jego Joachaz, który został przez nieprzyjaciół uprowadzony do Egiptu, następnie zaś Joakim, chciwy okrutny i na wszystkie występki gotowy. Prześladował on prawdziwych proroków a popierał fałszywych, którzy pochlebnemi obietnicami podtrzymywali niby ducha w narodzie w walce przeciw chaldejczykom.

Królestwa judzkiego już nic wtedy uratować nie mogło. Kapłani działali w myśl Joakima, to też Jeremiasz, którego Bóg posłał na głoszenie wszelkiego rodzaju klęsk ze strony Chaldejczyków, przez cały czas panowania Joakima był wciąż srodze prześladowany.

Prześladowania.

Zaraz w początku rządów Joakima wystąpił Jeremjasz w przysionku świątyni z ostrzeżeniem do mieszkańców królestwa Judzkiego, że jeśli się nie poprawią uczyni Pan ze świątynią, jako uczynił kiedyś z arką za dni Helego, a miasto odda na przekleństwo wszystkim narodom ziemskim (26-1-6).

W tym czasie groziła Judei z jednej strony potęga Babilonji, z drugiej Egiptu. Ale nieopatrzny naród głuchy był na głos proroczy. Zaledwie Jeremjasz skończył słowa groźby Pańskiej, rzucili się nań słuchacze wołając:

„Śmierć mu! Niech umrze i byliby go na śmierć skazali, gdyby nie nadbiegli inni z pomocą. Oddano Jeremjasza pod sąd królewski, ponieważ znano usposobienie Joakima i byli pewni, że potępi proroka grożącego zgubą całemu narodowi.

Joakim nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności kazał przywieść Jeremjasza przed sąd książąt żydowskich. Ci zaś uznali, że obwiniony nie popełnił nic złego przemawiając w imieniu Bożem do serc ludu i na śmierć sromotną nie zasłużył. W ten sposób Jeremjasz odzyskał swobodę, mimo to jednak patrzano nań wrogo albowiem ludzie zawsze wolą pochlebstwo od prawdy chociażby ta była gorzkiem ale zbawiennem lekarstwem.

Nie mogąc żywem słowem upominać przyzwał do siebie Barucha, przyjaciela i wiernego towarzysza i podyktował mu wszystkie proroctwa, jakie od Boga otrzymał i kazał je odczytać w świątyni podczas nadzwyczajnego postu, nakazanego dla odwrócenia grożącego Judei klęsk.

Lud się zebrał licznie w grudniu w piątym roku rządów Joakima (606 - 604) i wysłuchał czytania Boruchowego.

Król sobie kazał podać księgę przez Barucha spisaną, lecz po przeczytaniu kilku stronnic oburzył się wielce i pomimo oporu książąt rzucił księgę w ogień a Jeremjasza i Barucha pojmać kazał. Zdołali się oni ukryć w porę i nie udało się ich uwięzić.

Jeremiasz powrórnie podyktował Baruchowi wszystkie proroctwa dodawszy do nich jeszcze przepowiednie o samym Joakimie, że trup jego będzie nie pogrzebiony i że żaden z jego potomków nie osiągnie tronu Dawidowego.

Jakoż syn jego, Jechonjasz po stu dniowem panowaniu w niewolę Babilońską został zagnany a tron judzki dostał się Sedecjaszowi.

Podczas panowania króla judejskiego Sedecjasza.

Jeremiasz odzyskał wtedy swobodę, zdawało się nawet, że nowy król będzie słuchał rad proroka, przynajmniej zaraz na wstępie prosił go o modlitwę i pytał jaki będzie koniec bitwy z Nabuchodonozorem? Jeremjasz wciąż to samo smutne proroctwo powtarzał, że Jerozolima dostanie się w ręce Chaldejczyków, mieszkańcy zaś zginą częścią od miecza, częścią od zarazy, reszta zaś uprowadzona będzie w niewolę. Po czem przyrzeka powrót z niewoli babilońskiej po 70 latach i pomyślniejsze czasy, oraz prorokuje przyjście Mesjasza.

Księga proroctw zawiera jeszcze przepowiednie dotyczące innych narodów i miast starożytnych, a mianowicie mowa tam jest o Egipcie, Filistei, Tyrze, Sydonie, Damaszku i t. d.

Posłom ościennych państw, którzy przybyli powinszować wstąpienia na tron Sedecjaszowi, postał Jeremiasz okowy, na znak, że i oni również nie unikną niewoli, jaka będzie żydów udziałem, sam też chodził w drewnianych okowach na szyi, aby tem przypominać nieustannie grożące niebezpieczeństwo.

Niejaki Hananiasz, udający proroka zdjął te ukowy z szyi Jeremjasza i potłukł je, mówiąc, że tak samo Bóg skruszy jarzmo babilońskie, ale Jeremjasz odrzekł:

— Łańcuchy drewniane skruszyłeś, uczynisz za nie łańcuchy żelazne. (28—13).

Ufni jednak w przymierze z Egiptem i z sąsiedniemi plemionami żydzi nie słuchali proroka.

Z rozkazu Fassura, przełożonego nad świątynią, Jeremjasz za smutne swe proroctwa został bity, lżony i wtrącony do więzienia.

Wypuszczony z ciemnicy nie tylko nie poprawił się, (według żądania rzekomych patrjotów żydowskich, rozumiejących, że patrjotyzm polega na łudzeniu ludu, zamiast odsłaniania całej grozy położenia), ale natychmiastw swoje proroctwa o upadku Judei i Jerozolimy powtórzył, dodawszy nową dla swego prześladowcy groźbę. (19, 15. 20, 6).

Wszystkie te proroctwa Jeremjasza miały się spełnić dosłownie i oto przerażony naród dowiedział się że Nabuchodonozor, król babiloński zwyciężywszy królów Syrji i Mezopotamji kroczy na czele olbrzymiej armji a niezliczone szeregi nieprzyjaciół znajdują się na granicy i dążą wprost ku Jerozolimie, jakoż rozpoczęło się oblężenie.

Oblężenie i zburzenie Jerozolimy przez Chaldejczyków.

Proroctwa Jeremjasza zdawały się już być blizkiemi urzeczywistnienia, ale chwilowo niebezpieczeństwo zostało oddalone, gdyż Nabuchodonozor zwrócił swe kroki na pobicie jednego z królów Egiptu, a przybycie wojska egipskiego na pomoc sprzymierzonym mieszkańcom Judei zażegnało wiszącą już nad krajem burzę. To wszystko sprawiło, że żydzi znów podnieśli głowę, a nieprzyjaciele proroka Jeremjasza tryumfowali.

Korzystając z czasowego spokoju chciał Jeremjasz rozporządzić swoją własnością w rodzinnem mieście Anathoth, i w tym celu opuścić miał Jerozolimę, ale go schwytano w bramie stolicy, pod pozorem, że chce przejść do Chaldejczyków i znów wtrącono do więzienia.

Nie przestał i ztamtąd głosić:

— Ktokolwiek zostanie w tem mieście, umrze od miecza i od głodu i od moru, ale kto uciecze do Chaldejczyków żyć będzie i będzie dusza jego zdrowa i żywa.

Oburzeni tem książęta żydowscy rzekli do króla:

— Prosimy, aby był zabity ten człowiek, bo umyślnie osłabia ręce mężów rycerskich, którzy się zostali w tem mieście i ręce wszystkiego ludu; człowiek ten nie pragnie spokoju dla ludu swego, ale złego. (38—1—4).

Król kazał wydać Jeremjasza i spuszczono go na sznurze do cysterny obok więzienia. Była to błotnista, cuchnąca jama, gdzie zginąłby wielki prorok niechybnie śmiercią męczeńską, gdyby nie wpływ ulubieńca królewskiego Etjopa Abimelecha, który uprosił ułaskawienie, a przynajmniej zmianę kary Jeremjasza. Osadzono go w pałacowem więzieniu i tam przebył prorok aż do wzięcia Jerozolimy przez Nabuchodonozora. Działo się to w jedenastym roku rządów Sedecjasza, to jest w 588—586 przed Chrystusem.

Spraszne czasy nastały dla Jerozolimy podczas tego długo trwałego oblężenia stolicy. Głód przyprowadzał mieszkańców do rozpaczy. Matki zabijały swe niemowlęta, rzucano się na trupy, aby żywić się ludzkiem mięsem w obec zupełnego braku wszelkiego pożywienia. Jęk był i lament nie ustanny, ludzie podobniejsi byli do szkieletów, niż do żywych istot. Ośmnaście miesięcy trwały te męki, miasto nie poddawało się, zdawało się że nikt tu żyw nie zostanie.

Przerażony Sedecjusz wezwał tajemnie do siebie Jeremjasza i zapytywał go jak postąpić należy.

Jeremjasz widział jasno, że opór dalszy jest niemożliwy, wszystkie poprzednie objawienia, jakie miał od Boga najwyraźniej zapowiadały zdobycie Jerozolimy przez nieprzyjaciół i zupełną porażkę Sedecjasza. Doradził poddać się dla uratowania miasta od płomieni i zagłady wszystkich mieszkańców oraz królewskiego rodu. Ale Sedecjasz obawiał się gniewu książąt żydowskich i okrycia hańbą swego imienia. Wybrał więc środek inny, który mu podsunęli jego przyjaciele i podziemnem przejściem uciekł z synami i zaufanymi swymi z Jerozolimy.

Dognali go jednak Chaldejczycy w Jerycho, a ztamtąd zawiedli do Reblaty, gdzie się podówczas Nabuchodonozor znajdował. Zwycięzki król babiloński nie miał litości nad jeńcami i kazał wszystkich ściąć niezwłocznie, synów Sedecjasza uduszono, jego zaś zakutego w kajdany z wyłupionemi oczyma zaprowadzono do Babilonu.

Przekonał się naówczas nieszczęsny, że Jeremiasz miał słuszność i przepowiednie jego były istotnie głosem Bożym. Tak samo groźne były słowa Ezechjela proroka, więzionego wraz z Jeremjaszem przez starszyznę żydowską za gorzkie prawdy rzucane niewiernemu ludowi. Prorok ten walczył również podczas babilońskiej niewoli z fałszywymi prorokami, którzy łudzili swych współziomków i podtrzymywali płonne nadzieje zamiast zachęcać do pokuty.

Jeremjasz u Godoljasza. Treny nad zburzoną Jerozolimą.

W pierwszej chwili po zdobyciu Jerozolimy, Jeremjasz wraz z innymi jeńcami został wyprawiony do Babilonu. Już był w Rama (40—1) gdy wodzowie babilońscy z własnego natchnienia, popartego następnie rozkazem Nabuchodonozora zwrócili go do Jerozolimy. Wódz Nabuzardan namawiał Jeremjasza, aby się dobrowolnie osiedlił w Babilonie, ale prorok wolał pozostać na gruzach ukochanej Jerozolimy i opłakiwać tu jej smutne losy.

Jeremjasz zamieszkał w domu Godoljasza, tu zabezpieczono wszystkie jego potrzeby, Godoljasz po zburzeniu Jerozolimy został ustanowiony przez Nabuchodonozora rządcą ziemi żydowskiej i okazał się dla pozostałych żydów bardzo przychylnym, starając się złagodzić o ile mógł tylko ich smutne położenie. Mieszkał w Masfa, blisko Jerozolimy, Jeremjasz wszedł z nim w przyjazne stosunki, co zachęciło wielu żydów, zwłaszcza tych. którzy schronili się do ziemi moabickiej i ammonickiej. Godoljasz doradził im wziąść się do uprawy ziemi i winnic.

gniewu Nabuchodonozora, groził, że w Egipcie czeka ich śmierć niechybna lecz nie chciano go słuchać i przemocą zabrano proroka swego do Taphnis. (42.9 — 43.8). Tam jeszcze zapowiada im zgubę z rąk Nabuchodonozora.

Śmierć Jeremjasza. Cześć mu oddawana.

Żydzi zamieszkawszy wśród Egipcjan zamiast zrozumieć wreszcie, że przyszedł czas żalu i pokuty i błagać Boga o przebaczenie za winy odstąpili od czci Jehowy oddając się bałwochwalstwu, kła-

Jeremiasz prorok, płaczący nad zburzoną Jerozolimą.

Położenie żydów którzy go usłuchali polepszyło się tak dalece, że myślano już o wznowieniu publicznej czci Bożej (Jerem. 41—5). Niezadługo jednak nadzieje lepszej przyszłości zawiodły. Niejaki Izmael z rodu królewskiego, zamyślając o panowaniu nad Izraelitami przybył do Masfy, aby w zdradziecki sposób zamordować Godoljasza. Przyjęty gościnnie, pod koniec uczty znienacka porwał się na Godoljasza i zamordował go.

Żydzi niepewni życia postanowili uciekać do Egiptu i zmusili nawet Jeremjasza do ucieczki, jakkolwiek ten był jej przeciwny i odradzał ją ziomkom swoim. Mówił, że nie powinni się obawiać niając się przed egipską boginią Izys i brnąc coraz gorzej w grzechu.

Według starożytnego podania Jeremjasz, wielki prorok Izraela, został ukamienowany w Egipci przez swych rodaków, których do ostatniej chwili życia mądrze napominał. Stało się to pod Taphnis (w dolnym Egipcie). Grób jego pokazywano niegdyś w Kairze, jak opowiada Lucas w swej podróżye z r. 1684 - 1714.

Wiadomem jest także, że Jeremjasz po zdobyciu Jerozolimy przez Chaldejczyków ukrył Arkę przymierza na górze Nebo, tak że już później nie mogła być odnalezioną. Im więcej prześladowanym

był ten mąż Boży za życia tem większą po śmierci cieszył się sławą.

Ezechjel naśladował proroka Jeremiasza na wygnaniu, a Baruch, który też był zmuszony wraz z Jeremiaszem uchodzić do Egiptu po zamordowaniu Godoljasza, wierny przyjaciel i doradzca proroka, odczytywał następnie jego proroctwa natchnione wygnańcom w Babilonji. Czytywał je również Daniel i niemi się pocieszał, że 70-cio letnia niewola wkrótce ma się skończyć. Juda Machabeusz miał widzenie, jak Jeremjasz modlił się za lud wybrany i podawał miecz na jego obronę.

W czasach Chrystusa Jeremjasz był oczekiwany przez Żydów, jako towarzyszący Mesjaszowi, a nawet, jak to widzimy w ewang. spisanej przez św. Mateusza, nie którzy Jezusa zwali Jeremjaszem, bo gdy zapytał uczniów:

— Kim mienią być ludzie syna człowieczego? rzekli:

— Jedni Janem Chrzcicielem, drudzy Eljaszem, albo jednym z proroków. (Mat. 16—14).

Do grobu umęczonego w Taphnis proroka wierni odbywali pielgrzymki i ziemią ztamtąd braną leczyli ukąszenie węża.

Wizerunki.

Przedstawiają Jeremjasza na obrazach trzymającego w prawej ręce rózgę, w lewej żelazny pas z pierścieniem. Niekiedy obok proroka umieszczają kobietę ukoronowaną, składającą kadzidło wołowi, co ma przypominać tak surowo gromione przez Jeremjasza bałwochwalstwo. Niekiedy przedstawiają go leżącego w okowach w więzieniu, jeden anioł objawia mu przyszłość, drugi spisuje objawienia.

Pisma proroka Jeremjasza.

Z pism proroka znane są ogólnie: *Księga proroctw i Treny* będące pomiędzy księgami kanonicznemi, jako też *List* przechowany także w kanonicznej księdze Barucha. List ten pisany do żydów przeznaczonych na przesiedlenie się do Babilonji. Jeremiasz przepowiada im, że pozostaną tam przez siedm pokoleń, zachęca, żeby nie dali się uwieść do pogaństwa i gruntownie dowodzi, że bóstwa popogańskie są niczem, że ich bać się nie potrzeba i że cześć im oddawana jest niegodziwością i obrazą okropną Boga jedynego.

We wstępie księgi Baruch opowiada, że gdy proroctwa Jeremjasza czytał podczas niewoli w obec Jechonjasza, kapłanów i ludu, zgromadzonych nad rzeką Sodi w Babilonji, w piątym roku po spaleniu Jerozolimy przez Chaldejczyków, żydzi wzruszeni tem czytaniem zebrali składkę, posłali ją z listem arcykapłanowi Joakimowi do Jerozolimy, aby nakupił rzeczy potrzebnych do ofiar i modlił się za nich. Do listu dołączyli księgę, prosząc o odczytanie ludowi w świątyni.

Księga proroctw Jeremjaszowych składa się z 52 rozdziałów. W pierwszych 45 są opowiadania historyczne i prorocze odnoszące się do żydów, mianowicie często powtarza się zapowiedź o zburzeniu świątyni jerozolimskiej, upadku królestwa judzkiego i stolicy, o niewoli babilońskiej, oraz prorok wspomina wciąż o występkach będących tych klęsk powodem. W rozdziałach od 46 do 51 są przepowiednie dotyczące innych ludów. Rozdz. 52 jest zakończeniem, służącym dowodem, że wszystkie przepowiednie o upadku królestwa i świątyni literalnie się spełniły, a zarazem jest wstępem do następującej po niem *księgi trenów* czyli żalów. Wszystko to pisane jest w języku hebrajskim. Jeremjasz należał do klasy kapłańskiej i widać w nim wielkie oczytanie w innych pismach Starego Testamentu.

Jest on słusznie nazywany mężem skargi i boleści, charakter jego słodki, melancholijny. Brak mu być może owej szczytności, jaka cechuje proroctwa Izajasza, lecz zawsze jest wymownym i przekonywającym, a prostotą swą i rzewnością zachwyca. Opisując klęski nie sili się na przedstawienie strasznych obrazów, ale łzy jego i serdeczne słowa wzruszają do głębi.

Kiedy upomina braci, maluje boleść w najżywszych barwach.

Wsponaliśmy już wyżej, że pierwsza księga spisanych przez Barucha objawień Jeremjasza została spalona, druga również po zburzeniu Jerozolimy zaginęła, po raz trzeci więc spisaną została przez Jeremjasza już podczas pobytu jego w Egipcie, zapewne prawie przed zgonem. Dat szczegółowych tam niema. Występuje cstro Jeremjasz przeciwko występnym pasterzom, przewodnikom ludu.

Kiedy głosi *wybawienie Izraela* widzi przyszłość jaśniejszą lecz po ciężkich próbach, które się z niewolą nie skończą. Wybawienie to będzie obfitem w błogosławieństwa dla wiernych Bogu, zgubnem dla fałszywych i wiarołomnych.

Nawet nowsi krytycy jakkolwiek lubią wszystkiemu, co się do ksiąg odnosi zaprzeczać, księdze Jeremjaszowej nie odmawiają wielkiego znaczenia, tylko dowodzą że niektóre części są pisane przez Barucha, ponieważ jednak ten był również od Boga natchnionym prorokiem, więc jego słowa mają tę samą doniosłość i powagę.

Treny czyli lamentacje są naśladowaniem dawnych żałobnych pieśni na śmierć znakomitych ludzi i składają się z pięciu części, opiewających upadek królestwa Judzkiego. Leży mu wielce na sercu hańba, jaką Chaldejczycy zadali Jerozolimie, a leży tem ciężej, że musi uznać w tem sprawiedliwy gniew Boży za grzechy ludu. Zarazem jednak głę

boka wiara w sprawiedliwość i miłosierdzie Boże daje mu ufność, że nie odrzuci na wieki tych, którzy w nim ufność pokładają, przebaczy tym, którzy uznają swe winy, a nieprzyjaciołom odda, na co zasłużyli.

Tren pierwszy: Ubolewanie nad uprowadzeniem żydów do babilońskiej niewoli. *Drugi:* Boleść nad zburzeniem świętego miasta i spaleniem świątyni. *Trzeci:* oddaje własne cierpienia Jeremjasza ku nauce pobożnych, zachęca do pokuty, ufności w Bogu, jako jedynej ucieczki naszej. *Czwarty* rozpoczyna się skargą nad straszliwą nędzą, powstałą w skutek oblężenia Jerozolimy. W trenie *piątym* cały naród w formie modlitwy przedstawia Panu swe nieszczęścia i prosi o przywrócenie do łaski.

Opłakując gorzko utratę ukochanej ojczyzny, Jeremjasz przypomina wszystkie nieszczęścia, wszystko co godnem było uwagi i co podyktowało mu serce przepełnione żalem, a gorąco miłujące Boga, kraj swój i naród.

Dzieła te były tłumaczone na wszystkie języki, a wielu pisarzy i Ojcowie Kościoła pisali do ksiąg Jeremjaszowych komentarze. Św. Hieronim w 6 księgach wyłożył obszernie 32 rozdziały. Z polskich pisarzy ks. Walenty Kuczborski, kanonik krakowski † 1575 pozostawił *Wykład na lament Jeremjasza proroka.*

Historja Obrazu Najśw. Maryi Panny w Żurawinie.

(Z „Historji cudownych obrazów Najśw. Marji Panny w Polsce“ Ks. Alojzego Fridricha T. J.)

W sierpckim dekanacie 14 wiorst na południowy zachód od Sierpca, leży wioska Żurawin, należąca do mochowskiej parafii. Już za króla Zygmunta Augusta 1563 roku zbudowano tu kościół, o 200 zaś kroków od tegoż kościoła kaplicę nad

Obraz Matki Boskiej w Żurawinie.

studzienką z obrazem Najśw. Panny, od niepamiętnych czasów łaskami wsławionym, malowanym na płótnie na wzór skępskiego wizerunku Marji. Tu według miejscowego podania objawiła się Matka Najśw. pustelnikowi nad źródłem, tu aż do naszych czasów pielgrzymują tysiące ludu pobożnego, szukając w potrzebach duszy i ciała ratunku.

Pustelnikiem owym — jak niesie podanie — był stary szlachcic, który kiedyś z sąsiadem w ustawicznej żyjąc niezgodzie, gdy przy sprzeczce przyszło do bitki, położył go, lubo niechcący — trupem. Przed sprawiedliwością ludzką uciekł za granicę, w dalekich stronach służył w wojsku nieznany nikomu; wrócił wreszcie w ojczyste strony: wśród niedostępnych wówczach lasów mieszkanie sobie zbudowawszy. Tu na pokucie i modlitwie ostatek życia strawił. Jemu to objawić się miała na lipie Matka Najśw., pocieszając go i upewniając, że Bóg przyjął pokutę jego. Krótko przed śmiercią, dziwnym zbiegiem okoliczności Opatrzność Boża dała mu poznać jedynaczkę córkę, która wyszła za mąż, za syna owego zabitego sąsiada...

Na miejscu drewnianego kościołka, stanęła w roku 1902 nowa w stylu romańskim murowana kaplica, staraniem ks. Stanisława Suchcickiego, proboszcza mochowskiego, na którą to budowę poprzednik jego: ks. Zglinicki 1000 rubli zapisał. Podobnież odnowił ks. Suchcicki kaplicę nad studzienką, w której się mieści cudami wsławiony obraz Najśw. Dziewicy.

Akta parafialne nie przechowały nam historji, ani opisu łask doznanych na tem miejscu; jest jednak ogólne przekonanie, że tu i dawniej liczne się działy cuda i po dziś wielu doznaje łask nadzwyczajnych. Tak, w szesnastym wieku mieszczanin z Raciąża Wiśniewski, okryty na całem ciele liszajami, nie mogąc u lekarzy żadnej znaleść pomocy, udał się za natchnieniem Bożem do Żurawina i tu obmywszy się wodą ze studzienki, odzyskał zupełne zdrowie.

Młynarka Zgielnicka, zagrożona utratą wzroku, przemywszy oczy tą wodą, doznała znacznego polepszenia. Podobnych przykładów wiele tu słyszeć można z ust pobożnego ludu, który utrzymuje, że podczas każdego odpustu, nowe się tu dzieją cuda.

Wodę ze studzienki zabierają pątnicy ze sobą do domu na lekarstwo.

Dnia 4 Maja.

ŚWIĘTA MONIKA

332 — 387.

Za rządów papieża św. Sylwestra, cesarzy Konstantyna II i Teodozjusza Wielkiego.

Inaczej się oddaje pobożności książe, a inaczej rzemieślnik, wdowa, panna lub mężatka; zastosowanie jej jest zależne od sił, od zajęć i obowiązków każdej jednostki. Pomnij wszelako, że gdziekolwiek się znajdujesz, powinieneś zawsze dążyć do doskonałości.

Św. Franciszek Salezy.

Pierwsze lata.

W ośmnastym roku rządów papieża Sylwestra, który świętością swą zasłynął w całym świecie, a we dwadzieścia po słynnym edykcie cesarza Konstantyna, który w 313 r. wierze chrześciańskiej dał wolność i poparcie, przyszła na świat święta Monika, matka św. Augustyna a obie te postacie zarysowały się wspaniale w dziejach świętych Pańskich, świecąc przez wieki całe przykładem dla wiernych albowiem walki duchowe równają się największemu męczeństwu.

Była to epoka, w której wiele światłych umysłów i dusz niezwykle doskonałych wyłoniło się z chrześciańskiego społeczeństwa że wspomnimy tylko śś. Hieronima, Grzegorza z Naziansu i Bazylego.

Św. Monika ur. w r. 322 w Afryce w Tagaście w prawowiernym domu. Pomimo że w tamtym właśnie zakątku Afryki ogromnie rozwiniętą była herezja Donatystów, rodzina Moniki pozostała wierną Kościołowi św.

Nie znanem jest imie ojca św. Moniki, matka zaś nazywała się Fakonda. Była to niegdyś można bardzo i ustosunkowana rodzina, następnie podupadła nieco, jednakże widocznie żyjąca jeszcze w dobrobycie, gdyż spotykamy wzmianki o licznych domownikach, głównie jednak cnotliwe swe wychowanie zawdzięczała Monika bacznemu dozorowi zacnej staruszki będącej długie lata w ich domu. Była to bowiem piastunka jej ojca, a następnie hodowała już drugie pokolenie, zwłaszcza Monika wiele jej miała do zawdzięczenia. Starowina lubiła zrzędzić trochę, ale wielka prawość charakteru i czyste obyczaje wiernej sługi zjednały dla niej głęboki szacunek w domu chrześciańskich jej panów, którzy opiekę nad młodziutkiemi córkami z zupełnem zaufaniem jej powierzali, wiedząc, że godnie i gorliwie obowiązki swe spełniać zwykła.

Używała nieraz w potrzebie chwalebnej ostrości dla sprostowania błędów swych wychowanek. Aby zapobiedz szkodliwym następstwom nie wstrzemięźliwości nie dawała nawet dzieciom pić wody za wiele, chociaż im pragnienie dokuczało. Nieznośny skwar afrykański zmuszał mieszkańców do używania wina w wielkiej ilości, to też przewidująca piastunka mawiała dzieciom:

— Teraz wodę pijecie, bo wina w mocy waszej nie macie, ale gdy staniecie się kiedyś paniami domu i będziecie miały w swym ręku klucze od piwnic i spiżarni, wtedy wzgardziwszy wodą zechcecie gasić pragnienie zgubnym napojem.

I rzeczywiście starowina miała słuszność, gdyż mała Monika była ogromnie na wino łakoma i nawet kto wie czy nie wpadła by w okropny nałóg, okazało się bowiem że gdy rodzice posyłali ją po wino do kufy, natoczywszy je do flaszki potroszę zawsze skosztowała.

Z początku czyniła to przez zwykłą młodocianemu wiekowi lekkomyślność, czuła nawet wstręt, który ją od nadużycia powstrzymywał. Lecz później oswoiła się do tego stopnia, że pełne kielichy wina z przyjemnością wypijała do dna. Jedna ze służebnic, która z nią zwykle chodziła do piwnicy po wino, przemówiwszy się o coś ze swą młodą panią, zarzuciła jej z dotkliwem szyderstwem, że jest pijaczką.

Monika uczuła wielce tę zniewagę i przerażona wyrzutem, naganny swój obyczaj zaniechała, dając sobie słowo, że odtąd nigdy innego napoju prócz czystej wody do ust nie weźmie.

Monika miała już od młodu wiele wytrwałości i hartu woli, przytem gruntowna pobożność chroniła ją od złego. Nieraz podczas ożywionej zabawy znikała niepostrzeżenie, ażeby w ustronnym zakątku modlić się gorąco. Była przytem bardzo miłosierną dla ubogich, zwłaszcza pielgrzymi i chorzy budzili jej współczucie. Sama umywała nogi znużonym wędrowcom przybywającym z daleka pod gościnny dach jej rodziców, z największą radością nawiedzała ciężko chorych i dzieliła się z ubogiemi dziećmi żywnością i oszczędnościami.

Słodycz charakteru małej Moniki działała kojąco na towarzyszki jej lat dziecinnych, dość było jednego słowa z jej strony, aby pogodzić zwaśnione. Starsi nawet liczyli się ze zdaniem rozsądnej i nad wiek rozwiniętej dzieweczki.

Jednomyślne nawrócenie mieszkańców Tagasty.

Około 348 r. Monika była naocznym świadkiem ważnego faktu, który wywarł silne na młodocianym umyśle wrażenie. Oto miasto jej rodzinne Tagasta, jakeśmy już nadmienili było zarażone odszczepieństwem Donatystów powodującem nieustanne niepokoje. Cesarz Konstans I wydał prawo przeciw zbuntowanym, potępiając wszystkich odstępców, co sprawiło że wiele miast afrykańskich wyrzekło się błędów. Pomiędzy niemi znalazła się i Tagasta, a wszyscy jej mieszkańcy ze szczerem uniesieniem jednogłośnie wyznali swą niechęć dla schyzmy, albowiem tylko pod strachem gwałtów i przemocy znosili dotąd rozwijanie się herezji w milczeniu. Odtąd miasto to zasłynęło ze swej wysokiej pobożności i posłuszeństwa rzymskiemu Kościołowi.

Św. Monika cieszyła się niewymownie z tryumfu wiary św. gdyż zawsze gorący przyjmowała udział w sprawach religji katolickiej, a umysł jej bystry i przenikliwy, rzecz można genialny, jak się o niej następnie syn jej św. Augustyn wyrażał, obejmował wszystko dokładnie, uczęstniczyła ona zwykle w rozmowach starszych, przysłuchując się chciwie zdaniom poważnych myślicieli. Najmilsze godziny spędzała u stóp babki swej, sędziwej matrony, która opowiadała o męczennikach i prześladowaniach chrześcian budząc żywem słowem niezmierny zapał w bogobojnem sercu Moniki.

Powierzchowność tej czystej chrześciańskiej dziewicy odpowiadała w zupełności jej wewnętrznym zaletom. Była smukła, o rysach szlachetnych, a wyraz głębokich oczu odbijał piękność jej duszy. Jeden z dawnych pisarzy Kościoła powiada, że Monika miała w sobie tyle niezrównanego wdzięku, że pióro ludzkie opisać go nie jest w stanie. Była to piękność dusz sprawiedliwych, czyniąca je podobnymi boskiej świątyni.

Zdobiła ją przytem wielka skromność, a gdy rodzice dumni z urody swej córki chcieli podnieść jej wrodzone dary kosztownością stroju, Monika odmawiała przyjęcia drogich szat i klejnotów. Stosując się do wskazówek świętych mężów, jak św. Cyprjan i Tertuljan zalecających skromność w ubiorze przenosiła nad wszystko strój skromny, białe powłóczyste szaty, bez ozdób i haftów bogatych i wyglądała jak owe czyste, anielskie postacie pierwszych chrześcianek, które obrazy katakumb nam przekazały.

Zdawało by się, że ta wyjątkowa istota nie przeznaczoną jest do życia wśród zgiełku świata, a raczej powinna by iść drogą takich dziewic, jak śś. Agnieszka, Agata i im podobnych, ale Bóg chciał inaczej, gdyż Monika miała stać się wzorem cnót małżeńskich a przedewszystkiem jako matka chrześcianka być przykładem dla wszystkich dobrych i poświęconych matek.

Św. Monika wstępuje w związki małżeńskie.

Monika była naówczas w całej krasie lat młodych zachwycając wszystkich swą pięknością, zaletami umysłu i serca, gdy o jej rękę począł się starać poganin, imieniem Patrycjusz, człowiek pochodzący ze znakomitego rodu, chociaż nie zbyt zamożny, należący do radnych miasta, mającego jak się o nim św. Augustyn wyraża większe serce niż mienie, ale syn mógł to o nim powiedzieć dopiero wówczas, gdy Patrycjusz pod wpływem świętej małżonki zmienił się do niepoznania, z początku bowiem nie widzimy wcale śladów tej dobroci w jego postępowaniu: Trudno jest nawet zrozumieć dziś, jakie powody skłoniły rodziców Moniki do przyzwolenia na tak niedobrany związek, i namawiania córki do zaślubienia owego poganina. Był on najzupełniej dla spraw religji obojętny i zaledwie po ośmnastu latach wspólnego pożycia potrafiła Monika zmienić go wreszcie. Przytem miał charakter gwałtowny, a chociaż wpółdzikie jeszcze ówczesne obyczaje dozwalały na złe obchodzenie się z żoną, mimo to w całem mieście tak znaną była nieokiełznana porywczość Patrycjusza, że wszyscy ze współczuciem dowiedzieli się o związku słodkiej i łagodnej Moniki ze starszym od niej więcej niż dwa razy, znanym z rozpusty i awantur swych Patrycjuszem.

Zapewne wierzyli rodzice i krewni Moniki, że rozkochany w niej poganin zmieni się pod jej dobroczynnym wpływem. Niektórzy pisarze utrzymują, że Monika opierała się temu związkowi, że zmuszono ją do małżeństwa pomimo łez i próśb z jej strony.

Młoda oblubienica stanęła przed ołtarzem z wyrazem tak nieziemskiej piękności, że wszyscy patrzyli na nią jak na cudowne zjawisko, tak zapewnia nas jeden z dawnych pisarzy. Wchodziła ona w nowy okres życia nieświadoma gorzkich prób i zawodów czekających ją w przyszłości.

Domowe pożycie. Słodycz i cierpliwość św. Moniki. Macierzyństwo.

Nic nie może być boleśniejszego, jak codzienne smutki i zawody pochodzące z niedobranego stadła.

Przekonała się o tem wkrótce po zamęźciu swem słodka Monika. Ciężki miała ona krzyż do zniesienia. Żyjąc dotąd w otoczeniu chrześciańskiem nie przypuszczała nawet jak okropne czekają ją przykrości wśród ludzi pogańskich obyczajów. Matka mężowska odrazu jakoś wrogo była dla synowej usposobioną i chętnie dawała ucho podszep-

Za pozwoleniem Władzy Duchownej

tom służebnic, które aby się starej przypodobać, wciąż na młodę panią utyskiwały.

Monika niestety w mężu swym nie znalazła podtrzymania. Pomiędzy małżonkami istniała prawdziwa przepaść. Jemu wydawało się dziwnem i niepojętem jej zamiłowanie do odwiedzania ubogich, był przeciwnym rozdawaniu jałmużny. Chciał rozbudzić w niej ambicję, rozmiłowanie się w strojach, ucztach, wszystko co potępiała chrześcianka, to właśnie wydawało się dobrem poganinowi.

Intrygi matki przyczyniały się do rozdzielenia małżeństwa i osłabienia dobroczynnego wpływu Moniki. Starała się usilnie pozyskać Patrycjusza dla Boga, mówiła mu o wzniosłych prawdach wiary, próbowała skłonić go do czystości obyczajów, z największą cierpliwością i wyrozumiałością znosiła jego wiarołomstwa, rozgniewanemu mężowi nie sprzeciwiała się nigdy w niczem, umiejąc wyczekać sposobnej chwili do wypowiedzenia swego zdania. Ale ileż nocy przepłakała młoda kobieta, ofiarując Bogu swe troski i zmartwienia!

Przed obcymi zawsze stawała w obronie męża. Kiedy inne niewiasty, mające daleko łagodniejszych małżonków, uskarżały się przed Moniką na ich okrucieństwo, zawsze zachęcała do uległości i wszyscy znający gwałtowny charakter Patrycjusza nadziwić się nie mogli, że nietylko żona jego nie wyrzeka, ale broni go i winy jego ukrywać się stara.

Ostatecznie ów wielki takt w postępowaniu żony stał się powodem pewnej na lepsze zmiany, w charakterze Patrycjusza. Zaczął hamować swe uniesienia i powoli uznawał wyższość Moniki a przywiązanie jego z dniem każdym rosło.

Dnia 13 listopada 354 r. narodził się im pierwszy syn Augustynem nazwany. Odtąd troskliwa matka otoczyła go najczulszą opieką pono miała już przedtem objawienia, że dziecię to dojdzie do wielkiej sławy, ale wiele miało przecierpieć macierzyńskie serce zanim Bóg pocieszył je nawróceniem zupełnem Augustyna.

Drugi z rzędu syn św. Moniki miał na imie Nawigiusz. Było to dobre i miłe dziecię, nie mające nic w sobie z burzliwego ojcowskiego usposobienia. Miała jeszcze Monika córkę, której dała imie Perpetua, w pamięć wielkiej, kartagińskiej męczenniczki. O niej najmniej historja podaje szczegółów. Wiadomo tylko, że wychowana pobożnie wcześnie wyszła za mąż, była bezdzietną a owdowiawszy mieszkała czas jakiś przy św. Augustynie, następnie zaś usunęła się do klasztoru i tam świątobliwego dokonała żywota.

Wychowanie św. Augustyna.

Można sobie łatwo wystawić z jakiemi przeszkodami musiała walczyć Monika chcąc dzieciom swym chrześciańskie dać wychowanie.

Jeszcze nosząc w swym łonie Augustyna bogobojna matka poświęciła go Bogu, czytała nieustannie święte księgi, rozmyślała tylko o rzeczach boskich. Kiedy mały Augustyn był jeszcze na ręku matki pośpieszyła prosić o zapisanie go do liczby katechumenów, to jest takich, którzy pożądają chrztu św. nie było bowiem naówczas we zwyczaju chrzcić niemowlęta i czekano zwykle do wieku, w którym dziecię ma już pojęcie o doniosłości sakramentu.

Monika własną piersią wykarmiła pierworodnego syna, a następnie karmiła jego młodocianą

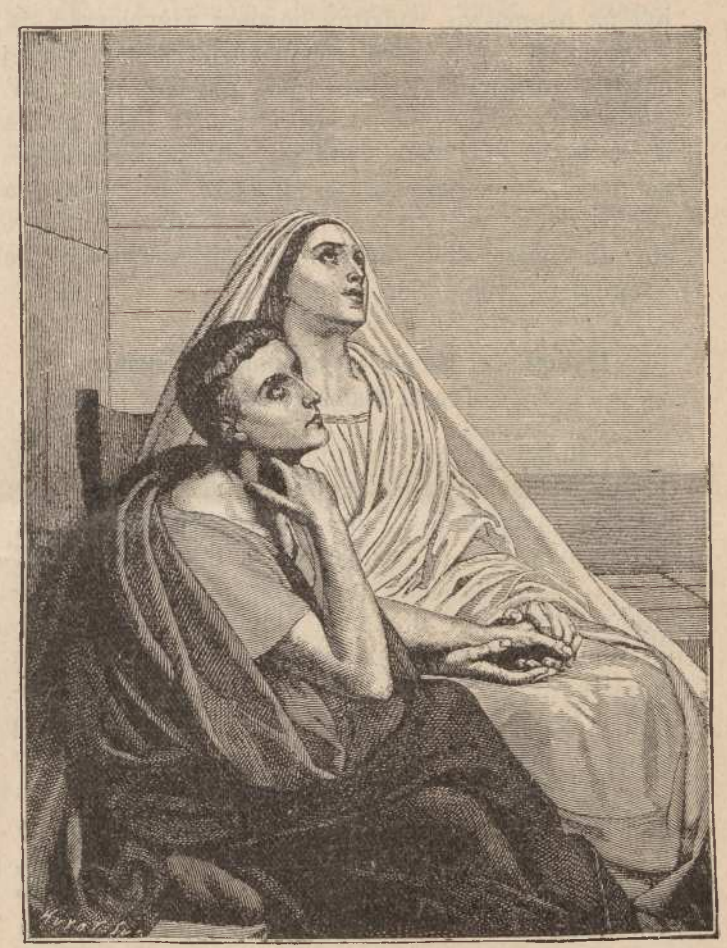

Św. Monika i św. Augustyn.
Z obrazu Ary Scheffera.

duszę najwznioślejszemi naukami, chcąc zaszczepić w niej wszystkie chrześciańskie cnoty. Jeżeli następnie w latach burzliwej młodości syn tak świętej matki poszedł raczej za przykładem ojca, było to chwilowe zbłąkanie, po którem tem chwalebniejszą stała się jego pokuta i zupełne nawrócenie.

Wielki ten Doktór Kościoła po przebytych walkach i burzach dochodzi do przekonania, które tak umiejętnie wypowiada:

— „Stworzyłeś nas dla siebie Boże, to też serca nasze nie zaznają spokoju, aż gdy już znajdą od-

poczynek w Tobie". Albo też: „Drżę, gdy widzę szczęśliwego grzesznika".

Ale w dalszem tem opowiadaniu zobaczymy jak wiele przejść poprzedziło tę zmianę w charakterze Augustyna i jak wielką rolę w jego życiu odegrała święta jego matka.

Raz w dzieciństwie Augustyn nagle zachorował, mógł mieć naówczas lat ośm najwyżej. Zostając wciąż pod wpływem nauk matki sam nalegał gorąco, aby go natychmiast ochrzczono, św. Monika ogromnie tego pragnęła, ale widocznie potem Patrycjusz nie pozwolił, a tylko chwilowo pod wrażeniem niebezpieczeństwa grożącego synowi gotów był na ustępstwo, widzimy bowiem z życiorysu św. Augustyna, że dopiero we dwadzieścia lat później chrzest otrzymał. Zresztą, jak powiada sam św. Augustyn, nie kwapiono się zbytnio z chrztem dla tego, że według św. Pawła grzechy po chrzcie popełnione są jeszcze karygodniejsze, a bogobojna matka znając wady syna obawiała się być może, aby nie będąc dość ugruntowanym w wierze nie ściągnął na siebie Bożego gniewu.

Tryumf św. Moniki w stosunku do świekry. Troski macierzyńskie.

Nadzwyczajnym tryumfem św. Moniki było zjednanie sobie wreszcie nie życzliwej dla siebie świekry. Łagodność i cierpliwość Moniki zwyciężyły dumny opór i niechęć matki Patrycjusza. Sama też ona wyjawiła synowi, że języki jadem zatrute mąciły pokój domowy, obmawiając nie słusznie Monikę, niezwłocznie więc Patrycjusz winnych ukarał surowo, zapowiedziawszy, że tak samo postąpi z każdą służebną, która się waży panią swą oskarżać. Odtąd Monika ze swą świekrą żyły w przykładnej zgodzie. Stała się ona prawdziwym aniołem pokoju, zawsze godziła zwaśnionych, nigdy nie znosiła oczerniania kogo bądź w swej obecności, udawano się do niej o radę, opowiadano chętnie swe troski, a roztropna powiernica nigdy nie zdradziła powierzonych sobie tajemnic i znajdowała zawsze sposób załagodzenia niesnasek i swarów.

Sw. Augustyn opisując swe lata dziecinne mówi, że wszyscy w domu naszym idąc za przykładem matki mej wierzyli w Chrystusa, oprócz tylko ojca, który w nic nie wierzył. Pomimo to przyznaje, że wpływ matki był zawsze silniejszy i jej nauki pozostawiły nie zatarte piętno w młodocianym umyśle.

Jakiż to piękny przykład dla wszystkich chrześciańskich matek. Ile z nich stara się wytłumaczyć swe zaniedbania tem, że zapatrywania męża przeszkadzają jej w religijnem wychowaniu dziatek. Nigdy jednak podobne względy nie powinny wpływać na matkę chrześciankę, albowiem prędzej czy później dobry siew dobre wyda owoce.

Ale ileż trwogi budziły w macierzyńskiem sercu Moniki złe przykłady dzieciom przez ojca dawane. Jak bała się też wpływu szkoły dla ukochanego syna, gdy już przyszedł do wieku, w którym trzeba było myśleć o kształceniu i rozwijaniu jego wrodzonych zdolności.

Oddano go początkowo pod kierunek nauczycieli w Tagaście. Ale niestety Augustyn okazywał wstręt nieprzezwyciężony do systematycznej nauki. Napróżno używano kar surowych, ażeby go skłonić do pracy. Matka zwróciła się wtedy do duchowieństwa, sądząc że wpływ łagodny i umiejętny lepsze wyda owoce.

Augustyn miewał dobre porywy, czasem gorąco modlił się do Boga, aby mu dopomógł wytrwać w dobrych postanowieniach, albo też aby uchronił go od zasłużonej w szkole kary, ale łatwo znowu wpadał w złe narowy. Był przytem ambitny, lubił aby go chwalono, nęciły go zabawy, uciekał się nieraz do kłamstwa, ażeby zadowolić swój nieposkromiony popęd do uciech, a gwałtowny charakter ojca miał niestety wierne odbicie w pierworodnym synu. Pomimo tych wad, o których święty ten sam w swych „Wyznaniach" opowiada i być może z umysłu je powiększa nieco, widzimy w młodym Augustynie cały szereg wielkich zalet zarysowujących się wyraźnie.

Umiał być nieskończenie wdzięcznym za każde uczynione mu dobrodziejstwo. Serce miał dobre i wrażliwe, oburzał go każdy czyn nieszlachetny. Jednem słowem w młodzieńczej duszy walczyły z sobą wady po ojcu odziedziczone z zaletami, które matce udało się zaszczepić w synie.

Po naradzie rodzinnej, postanowiono oddać Augustyna do miasta Madaury na naukę. Tam wśród obcego otoczenia liczono, że zmieni się na lepsze, ale Monika z wielką boleścią w sercu rozstawała się z ukochanym synem, obawiając się, że w oddaleniu zapomni lekkomyślny młodzian o napomnieniach matki. Jakoż przeczucia jej spełniły się niezadługo.

Wyjazd Augustyna do Madaury (w Numidji) nastąpił w roku 367.

Pobyt św. Augustyna w pogańskich szkołach. Troski matczyne.

Augustyn znalazłszy się wśród pogańskiego otoczenia zachęcany przez nauczycieli do czytania filozofów greckich ogromnie rozmiłował się w literaturze. Upodobał styl pisarzy klasycznych a zwłaszcza opisywane przez nich przykłady patrjotyzmu.

W tym czasie zauważono, że Augustyn ma wybitne krasomówcze zdolności, pochlebiały mu oddawane przez mistrzów pochwały, a że kazano uczniom powtarzać z pamięci całe ustępy z tragedji

greckich, począł ambitny młodzieniaszek uczęszczać do teatrów na różne widowiska, aby nabrać teatralnej swady. Ale pogańskie zepsute obyczaje i gorszące przedstawienia najzgubniej wpłynęły na budzące się namiętności szesnastoletniego zaledwie młodziana.

Ojciec nie miał mu wcale za złe różnych wybryków będących według niego rzeczą zupełnie naturalną, ale matka okropnie cierpiała nad tem, że cała jej praca może pójść na marne.

Na rok cały zabrano Augustyna do domu, aby następnie wysłać do wyższej uczelni w Kartaginie, na razie Patrycjusz potrzebnych środków nie posiadał.

Był to czas, w którym znów wpływ matki mógł powstrzymać syna od złego, ale Augustyn nie zwierzał się przed nią, sam tylko nieraz przechodził ciężkie chwile. Modlił się czasem gorąco, aby Bóg dał mu wytrwanie w czystości i powstrzymywał od poddawania się pokusom, ale zarazem dodawał co prędzej: „Nie teraz jeszcze!.. Nie teraz!“ Czuł że brnie w grzechu, a nie miał dość siły woli, aby się opierać złemu.

Nawrócenie i śmierć Patrycjusza.

Patrycjusz na starość lat, po siedmnastoletniem szczęśliwem z bogobojną żoną pożyciu, przejął się tak dalece głoszonemi przez św. Monikę zasadami, że zapragnął dać jej dowód swej wdzięczności i przywiązania przyjmując chrzest św.

Miało się więc spełnić wreszcie gorące pragnienie świętej niewiasty, jej długoletnie starania i najtkliwsze modlitwy do Boga o tę łaskę. Radowała się tem więcej, że jako troskliwa matka była pewną, iż nawrócenie Patrycjusza uczyni wielkie na synu wrażenie. Była to istotnie bardzo wzruszająca chwila, gdy sędziwy Patrycjusz wyrzekał się pogaństwa w kościele, a biskup do liczby katechumenów go zaliczył. Ale w owych czasach było dużo ludzi, którzy wyrzekłszy się bałwochwalstwa nie mogli się zdecydować na stanowcze przyłączenie się do Kościoła św. odkładali oni chwilę przyjęcia chrztu jakby w obawie, że nie czują się jeszcze dostatecznie przygotowani. Napróżno gromili Ojcowie Kościoła podobną chwiejność i niepewność zachęcając zwykle przed Wielkanocą, aby katechumeni gotowali się do ceremonji chrztu św. Wpół nawróceni poganie okazywali się oporni i głusi na wszelkie namowy.

Do takich niestety należał Patrycjusz i dopiero przed zgonem uległ gorącym prośbom żony, ochrzcił się i zmarł jak dobry chrześcianin żałując szczerze za grzechy.

Zanim jednak to nastąpiło, (Patrycjusz zmarł w r. 371) młody Augustyn został wysłany do Kartaginy, miasta pełnego niebezpieczeństw dla młodzieńca umysłu żywego, wyobraźni ognistej, serca gorącego. Uległ on tam wpływowi bezwstydnych uroczystości pogańskich, lubieżnych widowisk i towarzystw rozwiązłych rówieśników. Za ich przykładem wziął sobie ulubienicę z którą miał syna, nazwał go Adeotatusem, czyli od Boga danym. O fakcie tym dowiedziała się strapiona matka dopiero po śmierci męża i ogromnie bolało ją to, że syn w którym największe pokładała nadzieje wiedzie życie tak niezgodne z wpajanemi przez nią zasadami czystości i nie okazuje chęci opamiętania.

Z jednej strony więc doświadczywszy wielkiej pociechy z powodu nawrócenia męża, z drugiej znów miała ciężki smutek, gdyż Augustyn pomimo danego przez ojca przykładu nie myślał o przyjęciu chrztu św., żył na sposób pogański z nieślubną niewiastą, a jeżeli gorliwie poświęcał się nauce, czynił to raczej przez pychę i próżność niż przez prawdziwą chęć kształcenia umysłu i serca. Tak o sobie ze skruchą w swych „Wyznaniach“ opowiada.

Św. Monika wdową.

Św. Monika przywdziawszy wdowie szaty uczyniła ślub poświęcenia się Bogu i dobrym uczynkom, stanowiącym jedyną jej rozkosz w życiu. Pędziła dnie z początku w zupełnem odosobnieniu, umartwiając się, poszcząc ustawicznie, chodziła potem do szpitalów, które wówczas właśnie poczęto już w większych miastach zakładać i głównie wdowom powierzano opiekę nad chorymi. Było to zajęcie odpowiadające zupełnie dobroczynnym zamiłowaniom św. Moniki, dające szerokie pole do praktykowania prawdziwie chrześciańskiego miłosiedzia. Biskupi zalecali jeszcze wielce wiernym grzebanie umarłych i wdowy zwłaszcza miały sobie za obowiązek namaszczanie ciał i staranne przygotowywanie na wieczny spoczynek, czyniąc tę ofiarę w imię Jezusa i na pamiątkę, że niewiasty ewangeliczne troszczyły się o ziemską powłokę Syna Bożego po zdjęciu Jego z krzyża.

Św. Monika z nadzwyczajnem oddaniem się pielęgnowała sieroty otaczając je macierzyńską opieką. Ucząc obce dzieci zasad wiary św. przywodząc je niejako do stóp Jezusa Eucharystycznego błagała zarazem, aby Bóg w sercu Augustyna obudził skruchę, chęć poprawy i ukochanie religji, która była treścią główną jej życia. Przedewszystkiem zaś była pocieszycielką niezrównaną wdów i zamężnych będących w strapieniu z powodu obojętności lub złego obchodzenia się mężów. Św. Monika przeżywszy tyle chwil gorzkich doskonale zrozumiała cudze cierpienia i miała dar wlewania balsamu do dusz złamanych bólem kojąc dotkliwe rany. Czerpała siły w miłości Bożej, codziennie dwa razy przynajmniej wstępowała w progi kościoła

modląc się w łzach i pokorze, jak pokutnica, zawsze z myślą o synu pierworodnym, którego nawrócenie było teraz jedynem marzeniem jej życia.

Odwiedzała też św. Monika groby śś. męczenników, składając tam według ówczesnego obyczaju ofiary z żywności, które rozdawano ubogim. Często wpadała w zachwycenie, a rozmyślając o męce Zbawiciela i cierpieniach Najśw. Jego Matki tonęła we łzach.

Romanian ofiarowuje pomoc materjalną rodzinie Patrycjusza.

W tym czasie kiedy św. Monika promieniowała wszystkiemi cnotami świętej i wzniosłej duszy w rodzinnem swem mieście Tagaście, dziewiętnastoletni naówczas Augustyn budził podziw rozwijającymi się coraz wspanialej zdolnościami zapowiadającymi mu świetną przyszłość. Chociaż żył wciąż w pogańskiem otoczeniu, sumienie nie dawało mu spokoju, a uczucia religijne przez matkę wpojone często się w nim budziły.

Na poważniejsze myśli naprowadziło go zaginione już dzisiaj dzieło Cycerona *Hortensius;* za radą matki wziął się do czytania Pisma św. lecz zrazu nie podobał mu się język, a nie miał też odwagi i siły, ażeby pójść drogą jego przepisów. Żywo jednak czuł potrzebę wewnętrznego uspokojenia i pogodzenia się z wiarą przez matkę umiłowaną, bo jak sam wyznaje, tak dalece wpływała ona na niego, że nigdy całkowicie się nie oddawał niczemu, co nie było w imię Zbawiciela, lecz pomimo to nie czuł się jeszcze zdolnym do ofiar, jakich prawdziwa wiara od niego wymagała.

Po śmierci Patrycjusza sprawy majątkowe zostały w bardzo opłakanym stanie, bogobojna i skromna Monika nic nie potrzebując dla siebie martwiła się wielce tem, że nie będzie w stanie łożyć na dalsze kształcenie syna. Jakże opuścić go w chwili właśnie, gdy wszyscy oddawali pochwały jego wyjątkowym zdolnościom torującym mu drogę do zajęcia wysokiego stanowiska w świecie. Któż lepiej, jak matka proroczym instynktem wiedziona mogła zrozumieć, że jeśli Bóg zechce go oświecić swoją łaską, to wówczas Augustyn stać się może jednym z filarów Kościoła św. mężem jaśniejącym blaskiem nauki, mogącym następnie stawić czoło pogańskim filozofom zbijając ich fałszywe dowodzenia.

Na to jednak trzeba było przedewszystkiem długich lat usilnej pracy, a na utrzymanie syna w wielkiem i drogim mieście Kartaginie nie było funduszu.

I oto w tak zawikłanem położeniu Bóg zesłał Monice nadspodziewaną pociechę. Dobry przyjaciel Patrycjusza również obywatel Tagasty, imieniem Romanian ofiarował się najuprzejmiej przyjść tej najlepszej matce z pomocą i dopomódz w ukończeniu nauki Augustyna. Łożył odtąd sam na jego potrzeby, dał mu bezpłatne mieszkanie we własnym domu w Kartaginie, jednem słowem widocznie Opatrzność sama postawiła go na drodze życia przyszłego Doktora Kościoła, bo jemu to głównie zawdzięczał Augustyn możność chlubnego ukończenia najwyższych nauk, a wdzięczna Monika otoczyła za to małego synka Romaniana najtkliwszą macierzyńską opieką.

Jakiż to piękny przykład dał nam ten hojny obywatel Tagasty, który w porę udzieloną młodzieńcowi pomocą przyczynił się do przysporzenia chrześciańskiemu społeczeństwu jednej z najświetniejszych gwiazd, przyświecających blaskiem swym przez całe wieki!

Ale zanim ukształtował się zupełnie ten umysł wyjątkowy, musiał przejść jeszcze najdziwniejsze koleje i nieraz tkliwe serce macierzyńskie św. Moniki gorzkiemi z powodu obłędów syna zapłakać miało łzami.

Nowe strapienia św. Moniki z powodu przystąpienia syna do Manichejczyków.

Umysł Augustyna szukający chciwie prawdy i rozwiązania najtrudniejszych zagadnień bytu nie chciał odrazu przyjąć czystej, Boskiej nauki lecz chwytał się mrzonek wymyślonych przez ludzi dumnych, niespokojnych i występnych.

Grasowała w one czasy w Afryce herezja Manichejczyków, która wiele rozsiewała bredni niby opierając się na podstawach naukowych. Ponieważ Manichejczycy zawsze występowali z wyrażeniami chrześciańskiemi, Augustyn upodobał sobie tę sektę i mniemał, że przystępując doń wraca do wiary chrześciańskiej, ale przeobrażonej na sposób naukowy, godny umysłu wyższego i wykształconego. Z początku w dobrej wierze, następnie, już jedynie przez miłość własną trwał w błędzie. Niedoświadczony młodzieniec dał się obałamucić i zszedłszy raz z drogi prawej błąkał się po manowcach, mordując bystry umysł czczemi zagadnieniami, kiedy tak łatwo mu było pójść drogą prostą, wyraźnie przez Ewangelję wskazaną, a przez dobrą matkę tylokrotnie zalecaną.

Błądzący ciągnie zwykle innych do błędu, zwłaszcza Augustyn obdarzony darem wymowy mógł łatwo skłonić innych do pójścia w jego ślady. Augustyn zjednał wkrótce sekcie manechejskiej kilku swoich najlepszych przyjaciół: Honorata, Romaniana i Alipjusza, a wszyscy razem wyszydzali obrzędy katolickie, rozczytując się z zamiłowaniem w filozofach pogańskich. Tak więc w r. 374 widzimę Augustyna wstępującego do katechumenów sekty manichejskiej.

Pobyt św. Augustyna w Tagaście.

Skończywszy nauki powrócił do rodzinnego miasta i w Tagaście uczył wymowy w założonej przez siebie szkole. Ze szczególną gorliwością oddawszy się literaturze zupełnie zaniechał czasowo kwestji religijnych.

Zdolność, bystrość objęcia każdego przedmiotu, łatwość wysłowienia się, zjednały mu wielkie powodzenie, nawet jego zasady manichejskie zniewalały dlań niektóre umysły, gdyż manicheizm był wówczas w modzie.

Augustyn nie taił się teraz przed matką ze swemi poglądami, sądził, że sławą swej wymowy i poklaskami słuchaczy rozbudzi macierzyńską dumę. Monika jednak bynajmniej nie radowała się temi pochwałami, chodziło jej bowiem głównie o zbawienie duszy syna. Trwożyło ją bardzo postępowanie Augustyna, a kiedy przekonała o jego upadku religijnym i moralnym, przywiózł bowiem z sobą ulubienicę swą do rodzinnego miasta, bolała niewymownie widząc go niepoprawnym i na zgubnej drodze.

W modlitwie szukała ukojenia, łzy jej płynąć nie przestawały, pomimo to Augustyn głuchym był na wszystkie napomnienia a straszną boleść targająca sercem matczynem przypisywał zbyt czułemu niewieściemu sercu. Jakże później gorzko ubolewa nad sobą i nad temi łzami matki, których jak się sam wyraża, wylewała całe potoki z jego przyczyny.

Doszło do tego, że zrozpaczona matka wymówiła dom synowi i Augustyn przeniósł się naówczas do Romaniana.

Można sobie łatwo wystawić ile kosztował św. Monikę ten krok stanowczy, jak błagała Boga o nawrócenie pierworodnego.

Niebo dawało jej wskazówki lepszej przyszłości. Wkrótce po przykrej scenie rozstania, Monika miała sen proroczy, ujrzała jakąś postać nadziemską, która rzekła:

— Obejrzyj się, a ujrzysz syna na tem miejscu, gdzie się sama znajdujesz.

Monika złamana boleścią obejrzawszy się ujrzała obok siebie Augustyna. Znajdowali się oboje na jednej linji.

Wzruszona tem widzeniem matka pośpieszyła do domu Romaniana, by opowiedzieć synowi sen niezwykły. Oczy jej błyszczały radośnem wzruszeniem, ufała bowiem w rychłe nawrócenie Augustyna. Ten jednak wysłuchawszy matki wyraził nadzieję, że i ona wkrótce będzie podzielała jego przekonanie.

Św. Monika odpowiedziała na to:

— Nie powiedziano mi: gdzie on jest tam ty będziesz, ale gdzie ty jesteś on także będzie!

„Syn tylu łez nie zginie."

Św. Monika udawała się do wszystkich wpływowych ludzi z prośbą o przekonanie zbłąkanego młodzieńca. W tym celu zwróciła się do wielce czcigodnego biskupa, który przybył czasowo do Tagasty i ogólnie ze swej mądrości i świątobliwości był znany. Zwierzywszy mu swe macierzyńskie troski prosiła o pomoc i radę. Doświadczony pasterz wysłuchawszy uważnie pocieszył ją słowami:

— Nie trwóż się, nie należy przyspieszać wypadków, taki człowiek, jak Augustyn, sam wkrótce przekona się o bezpodstawności manicheizmu. I tu opowiedział, jak sam niegdyś poddał się był wpływowi tej błędnej sekty, a następnie dobrowolnie ją porzucił uznając całą wyższość prawdziwej wiary. Widząc zaś rzewne łzy kochającej matki, rzekł jej na pożegnanie:

— Nie, syn tylu łez, nie zginie!

Chciał tem wyrazić, że syn takiej matki prędzej czy później musi ją ocenić, musi powrócić na drogę cnoty, gdyż Jezus i Jego Matka litościwa użalą się wreszcie nad cierpieniem świątobliwej niewiasty, która tak gorąco pragnie przywieść zbłąkaną duszę syna do Boskiego tronu.

Św. Augustyn szuka prawdy. Św. Monika przybywa do Kartaginy. Jej boleść z powodu tajemniczego odjazdu syna.

Dogadzając swej próżności, szukając obszerniejszego pola dla popisu przed liczniejszymi słuchaczami, a może dla uniknięcia wyrzutów matki, Augustyn przeniósł się z Tagasty do Kartaginy. Po części przyczyniła się też do zmiany miejsca boleść doznana z powodu śmierci ukochanego towarzysza i przyjaciela, o którym w najtkliwszych słowach w swych „Wyznaniach" wspomina.

Uczuł tę stratę tak głęboko, że nawet zdrowie jego na tem ucierpiało i usposobienie zmieniło się do niepoznania.

W chwilach swobodnych począł rozmyślać nad zagadnieniami przyszłości i znajdował czczość w sercu, jakby pustkę dokoła, a rozum jego nic mu rozwiązać nie potrafił. Zrozumiał, że bez wiary człowiekowi żyć nie sposób, że zaś zaufał Manichejczykom, więc w ich zasadach szukał rozwiązania przyczyn doczesnego życia i zgłębiał zagadki pozagrobowego bytu. Dotąd licząc się wciąż katechumenem sekty nie znał jej do gruntu, bliższe wniknięcie w nią doprowadziło go do przekonania, że w ich rozumowaniach niema żadnej racjonalnej podstawy. Radził się różnych zwolenników sekty, a wszyscy zbywali go ogólnikami nie zadawalniającymi jego umysłu, szukającego wciąż prawd niezłomnych.

Zawiadomiono Augustyna, że przybywa wielki mistrz sekty znakomity Faust. Udał się wnet do

niego sądząc, że ten przynajmniej rozjaśni mu wszystkie wątpliwości. Faust mówił pięknie i gładko, ale w gruncie rzeczy był sprytnym szarlatanem i rozmowy z nim nie dały duszy Augustyna pożądanego ukojenia. Przekonał się teraz, że od lat dziewięciu haniebnie był oszukiwany. Zasmucony i przygnębiony zwątpił o wszystkiem i nadeszły dlań dnie zupełnej niewiary.

Myśl jego zwróciła się nagle ku Rzymowi, spodziewając się, że tam zapomni o niepokojach ducha i przykrościach życia. Miał wówczas lat 29. Napisał do matki o swym zamiarze przesiedlenia się do Rzymu, gdzie mu przyjaciele obiecują świetną przyszłość.

Św. Monika przeraziła się tem niezmiernie obawiała się, że syn w usposobieniu, w jakiem się obecnie znajdował, może zginąć w mieście wielkiem zupełnie od wpływów jej oddalony. Nie namyślając się długo, udała się wnet do Kartaginy i tam padłszy w objęcia syna, błagała go, aby się z Afryki nie oddalał. Augustyn zniewolony prośbami, przyrzekł, mimo to, w największej tajemnicy czynił przygotowania do podróży. Gdy nadszedł dzień oznaczony, powiedział matce, że odprowadza swego przyjaciela na okręt, a tymczasem zamysł swój miał do skutku doprowadzić. Monika pośpieszyła do portu by czuwać nad synem. Augustyn przechadzał się ze swym przyjacielem, niby w oczekiwaniu zmiany wiatru, gdyż odjazd żaglowcem od tego zależał, wreszcie powiedziawszy matce, że dziś przyjaciel odpłynąć nie może, że natychmiast z nim razem do domu powróci, namówił św. Monikę, aby udała się na spoczynek. Ona jednak wolała pójść do pobliskiej kapliczki św. Cyprjana, i tam całą noc na modlitwie spędziła.

Jakież było jej przerażenie, gdy rano przyszedłszy na brzeg, dowiedziała się, że o świcie okręt odpłynął, a na nim Augustyn znalazł się w liczbie podróżnych, pomimo zapewnień solennych i przyrzeczeń nie opuszczania Afryki. Ileż przecierpiało serce matczyne nad tym dotkliwym zawodem! Zwiódł ją syn ukochany, zwiódł w chwili właśnie, gdy za niego zanosiła do Boga gorące modły.

Powróciła Monika do Tagasty smutniejsza stokroć, posągowi boleści podobna.

Pobyt św. Augustyna w Rzymie.

Augustyn zatrzymał się w Rzymie w domu pewnego manichejczyka, a żyjąc z rodziną tą pod jednym dachem, przekonał się dowodnie, jak niezgodne były ich czyny z głoszonemi zasadami. Panowało tam ohydne zepsucie, oburzająca wolność obyczajów, która w szlachetnym młodzieńcu obudziła wstręt głęboki. Z drugiej strony, Rzym chrześciański pełen pamiątek, wielki sobór, który miał właśnie miejsce w tym czasie, za rządów papieża, św. Damazego I, w którym to zjeździe uczestniczyli święci mężowie, jak Ambroży z Medjolanu, Epifanjusz z Cypru, Walerjan i wielu innych wielkiej mądrości i sławy: wszystko to silne na Augustynie wywarło wrażenie.

Wewnętrznemi walkami wciąż dręczony, rozchorował się ciężko i podczas tej choroby jeszcze bardziej zrozumiał całą znikomość życia, a myśl jego szukała jakiegoś pewniejszego oparcia.

„Jeśli bym wtedy zeszedł ze świata, pisał potem w Wyznaniach, niechybnie wpadłbym w płomienie wiekuiste i męki, na jakie przez występki swe zasłużyłem.“

Przyszedłszy do siebie, założył szkołę, ale nie zadawalniały go te wykłady, doświadczył różnych przykrości od niezbyt pilnych uczniów i dowiedziawszy się, że w Medjolanie wakuje posada profesora wymowy chętnie tam pospieszył, gdyż było to wielce zaszczytne stanowisko na owe czasy i sam cesarz Walentynian w mieście tem przebywał. Tam nastąpił przełom stanowczy w jego życiu.

Wpływ św. Ambrożego. Radośne wzruszenie świętej Moniki z powodu dostrzeżonej w synie zmiany.

W Medjolanie jaśniał swoją nauką i cnotami św. Ambroży, a jako gorliwy biskup, często miewał kazania.

Augustyn, rozmiłowany w krasomówstwie, uczęszczał do kościoła nie tak ze względów religijnych, jak dla ocenienia wymowy biskupa. Podziwiał, że św. Ambroży nie ubiega się za pięknością wysłowienia, lecz wyraża się z prostotą, za to obrany przedmiot objaśnia gruntownie i wyczerpująco. Ta jasność wykładu zajęła Augustyna i nie opuścił odtąd żadnego kazania. Zwolna wciskało się do jego serca to, czego właśnie szukać tu nie miał zamiaru. Po każdem kazaniu św. Ambrożego jakaś prawda religijna dokładnie wyjaśniona, zostawała mu w pamięci, widział, że zgodną jest z rozumem i zaspakaja potrzebę serca.

Namiętności wrzały w nim jeszcze po dawnemu, więzy grzechu trzymały go silnie w zmysłowej niewoli, ale zarazem wzrastała chęć zerwania z błędami przeszłości i rozpoczęcia innego życia.

W r. 385 św. Monika pośpieszyła za synem do Medjolanu. Uciążliwą musiała przebyć podróż, straszna burza omal nie zatopiła okrętu, wszystko jednak przebyła mężnie, byleby co prędzej być obok ukochanego syna. Udała się naprzód do Rzymu, sądząc, że tam go odszuka, wreszcie po długiem rozłączeniu odzyskała najmilsze dziecię, a tym razem miała go istotnie odzyskać w zupełności. Obecność matki wzmocniła jeszcze wpływ dobroczynny, jakie zawarta ze św. Ambrożym znajomość wywarła na Augusty-

nie. Biskup przyjmował go z czułością ojcowską i miłością pasterza, a rozumne słowa jego padały na serce spragnione prawdy, jak na wyschniętą rolę ożywcza rosa.

Dawniej Augustyn widział w Biblji tylko oderwane zdania, teraz znalazł piękny związek i cudowną całość, gdyż Nowy Testament był uzupełnieniem i rozwinięciem Starego. Listy św. Pawła dostarczyły mu wiele objaśnień i doprowadziły do zrozumienia

Nawrócenie św. Augustyna.

Często teraz Augustyn rozmawiał z przyjaciółmi swymi o prawdach zasadniczych religji katolickiej. Już wówczas budziło się w niem pragnienie porzucenia świata i prowadzenia samotnego życia ze swymi przyjaciółmi, których stan moralny był również podniosły. Wyrażał nieraz zadowolenie, że odczuwa odradzające się w nim promienie nowego światła,

Nawrócenie św. Augustyna, którego pamiątkę obchodzi Kościół św. d. 5 Maja.

nauki Bożej. Odrazu stanął na tak silnej podstawie wiary i cnoty, że już nic go odtąd zachwiać nie zdołało.

Zerwał stosunki z ludźmi podejrzanej moralności, a własnym namiętnościom wypowiedział walkę i pokonać je potrafił. Teraz pilnie uczęszczał do kościoła, już nietylko dla podziwiania pięknej wymowy, lecz rozwinięcia w swej duszy zasad wiary i podnoszenia myśli rozmyślaniem i modlitwą.

Pomiędzy św. Moniką i św. Ambrożym zawiązała się najprzyjaźniejsza zamiana myśli, gdyż oboje pragnęli równie gorąco uzdrowienia duszy Augustyna.

Macierzyńskie serce radowało się i dziękowało niebu za zwrot szczęśliwy w usposobieniu syna. Opatrzność chciała, aby ta podróż Augustyna do Europy, tak opłakiwana przez matkę zbolałą, przyniosła właśnie najlepsze owoce i przyspieszyła jego nawrócenie.

że wyjaśniają mu się wielkie pytania i tak ciekawe dlań dociekania o początku dobrego i złego.

Szanowny senjor duchowieństwa medjolańskiego, przyjaciel św. Ambrożego, Symplicjan, któremu Augustyn wynurzył się ze szczerością i ufnością duszy, szukającej tylko prawdy i zbawienia, wskazywał mu, gdzie należało szukać pokoju, ale jeszcze dawniejsze złe narowy opierały się przyjęciu nowych prawd życia, ilekroć szło o poskromienie pychy i zmysłowości.

Pod dobroczynnym wpływem nieodstępującej go teraz matki, Augustyn uczynił wielki krok ku zerwaniu z przeszłością. Pożegnał się na zawsze z ulubienicą, która przez długie lata przykuwała go do siebie, ona też postanowiła bogobojnie dokonać żywota i usunęła się do klasztoru, prosząc niebo o przebaczenie, że tak wielkie serce przez czas długi trzymała w oddaleniu od Boga, nie dopuszczając do

do najwyższego tryumfu: poskromić samego siebie.

— Ona więcej była warta odemnie, woła św. Augustyn w swych „Wyznaniach“ (ks. VI rozd. XV), gdyż poświęcenie swe uczyniła z całą odwagą i wspaniałomyślnością, do jakiej ja się nie czułem zdolny.

W tym czasie przybył z Afryki jeden z dawnych przyjaciół Augustyna, Potycjan, który wiele podróżował po świecie i z wielkiem przejęciem począł opowiadać, jak to św. Antoni, oraz inni pustelnicy głosem Bożym wiedzeni, natychmiast porzucali świat i wszystkie jego rozkosze, jak wielu ludzi znakomitych rodów, zachęconych ich przykładem, wyrzekało się godności i bogactw, zamieniając kosztowne stroje na grubą odzież zakonną i włosiennice.

Opowiadanie to wzruszyło do głębi Augustyna, czuł, że wszystko się w duszy jego przeobraża i popycha go do stanowczego kroku. Po przebytej wewnętrznej walce rzekł nagle do Alipjusza, serdecznego i wiernego towarzysza, który za nim z Afryki pospieszył i wszędzie szedł za przyjacielem:

— Co się dzieje? Co to jest? Coś słyszał? Prostaczkowie powstają i gwałtem porywają niebo, a my, z naszą zimną nauką żyjemy podług krwi i ciała? Czyż nie powinniśmy iść raczej za nimi?

Dla ukojenia wzburzonyśh uczuć, poszedł do poblizkiego ogrodu i tam usiadłszy w cieniu drzew, gorzkie łzy wylewał.

— O Panie, zawołał, wznosząc się myślą do Boga, czyż zawsze na mnie będziesz zagniewanym? Zapomnij o dawnych moich występkach! Dopókiż powtarzać będę: jutro, jutro! Dlaczegoż nie mówię: dzisiaj? Czemuż w tej chwili nie położę kresu mym cierpieniom?

I wnet usłyszał głos słodki z wysoka:

— Bierz, czytaj! Bierz, czytaj!

Co prędzej powrócił Augustyn do Alipjusza, w którego ręku Biblję swą pozostawił, otworzył ją i natrafił na słowa św. Pawła do Rzymian:

— Uczciwie chodźmy, nie w biesiadach i pijaństwach, nie w łożach i niewstydliwościach, nie w zwadzie i zazdrości, ale się obleczcie w Pana Jezusa Chrystusa. (Roz. XIII, 13).

W tych słowach poznał Augustyn głos Boży. Dodało mu to odwagi do spełnienia swego postanowienia, z jakiem od dłuższego czasu walczył, a które miało go na zawsze poświęcić na służbę Bożą.

Zwrócił się do Alipjusza i w gorących słowach wypoiwedział mu swe zamiary. Alipjusz ze swej strony wyraził zupełną gotowość naśladowania przyjaciela. On mniej walk miał do przebycia, gdyż serce jego było czyste, namiętności mniej miały doń przystępu.

I oto po siedemnastu latach oporu, Augustyn poddawał się w zupełności działaniu łaski, poddawał się w zupełności działaniu łaski, poddawał się łzom błagalnym świętej swej matki.

Miały się więc spełnić prorocze słowa czcigodnego biskupa: „Syn tylu łez nie zginie...“ Modlitwy jej zostały wysłuchane, ufność wynagrodzona, gorąca jej wiara odrodziła tego, któremu dała życie.

To nawrócenie się św. Augustyna stanowi jedną z najwięcej wzruszających kart w dziejach Kościoła, jak również w dziejach serca ludzkiego. Był to jakby olśniewający blask niebiańskiego objawienia, które nagle przeniknęło do głębi duszy pogrążonej długi czas w mroku, następnie przyszło świtanie, aż wreszcie błysło w niej prawdy słońce! Nawrócenie to było uważane przez Kościół za cud tak wspaniały i doniosły, że tylko porównać je można z nawróceniem św. Pawła i te dwie ważne uroczystości Kościół oddzielnie oprócz dnia pamięci każdego z tych świętych poświęconego obchodzi.

Tak więc d. 5 maja zaraz po święcie Moniki oznaczono tak radośną dla jej serca datę odrodzenia duchowego jej syna Augustyna. Nawigjusz, drugi syn św. Moniki towarzyszył jej również w podróży do Medjolanu, a cnotliwy ten młodzieniec podzielał radość matczyną, tulił się z miłością do piersi brata, który stał się im teraz podwójnie bliskim i drogim.

Któż zdoła opisać tę błogą chwilę, gdy nawrócony w zupełności Augustyn, z błyskiem nadziemskiego uniesienia w oku, rzucił się do kolan matki i rzekł jej z całem przeświadczeniem o niezłomności swego postanowienia:

— Stało się, czegoś tak gorąco pragnęła!

Przez długą chwilę trwali tak w niemem zachwyceniu ale serce macierzyńskie odczuwało to wszystko, co przeżywał syn ukochany i błogosławiła niebo, że wreszcie danem jej było doczekać tak niezrównanego szczęścia na ziemi.

„Jestem Twym synem, o Boże, pisał św. Augustyn, boś mi dał taką matkę!... Jej modlitwom, jej zasługom zawdzięczam jedynie, żem się stał innym człowiekiem. Jeżeli ukochałem prawdę, jeślim gotów za nią położyć życie wszystko to matce mej jestem winien. Jeślim nie zginął na wieki grzęznąc w błędach i grzechu, to dlatego jedynie, że łzy matki, jej długie i wierne łzy, wymodliły mi łaskę Twą o Boże!...“

Oto myśli obficie rozzucone w pismach tego wielkiego Doktora Kościoła, w których składa hołd matce chrześciance, któremi powoływać się zdaje wszystkie matki do czuwania ustawicznego nad synami swymi, niedość jest bowiem troskliwie chować małą dziecinę, ale przez całe życie być opiekuńczym aniołem, całą siłą woli dążyć do rozjaśnienia ciemnych zakątków zbłąkanej duszy, wszystkie myśli i czyny wytężać w kierunku duchowego

Za pozwoleniem Władzy Duchownej

podniesienia ukochanej istoty, oto jest zakres wysokiego a cichego bohaterstwa kobiety chrześcianki, jakiej wzór przedstawia nam św. Monika.

Dotąd jeszcze pokazują wędrowcom w Medjolanie ten mały pokoik, w którym mieszkała niegdyś i modliła się o nawrócenie syna św. Monika i ogród w pobliżu będący świadkiem scen wzruszających, ostatnich walk i tryumfu ostatecznego wielkiego serca Augustyna.

Jakiż podziw budzi ten umysł, porywający siłą geniuszu, tkliwością i męztwem zarazem! Jego walki, upadki, rozpacze, zmaganie się z samym sobą, te wzloty zranionego orła wzbijającego się pod obłoki, tarzającego się w ziemskim pyle, aby znów wznieść się na niedościgłe wyżyny, co za wspaniały obraz dziejów ludzkiego ducha, jaki tryumf wiary świętej a po zatem wszystkiem, jakby w cieniu kryjąca się po za w niebo sięgającym filarem Kościoła, jakim stał się w następstwie św. Augustyn, występuje postać czysta, anielska, w żałobnych, wdowich szatach, z sercem łzami miłości skąpanem, zapatrzona w niebiosa, i jakby zmuszająca Boga samego do wejrzenia w serce umiłowanego jej syna. Przed taką matką każdy winien uchylić czoło i po tylu wiekach, po tylu innych przykładach poświęcenia i samoofiary zawsze święta Monika będzie czczona przez katolickie społeczeństwo, bo była ona synowi swojemu matką nietylko z krwi i ciała lecz z ducha.

Pobyt w Cassiacum. Św. Monika przygotowuje Katechumenów do chrztu i komunji św.

Augustyn z matką, bratem i przyjaciółmi mówił teraz wciąż o rzeczach świętych, Monika dopomagała mu przygotowywać się do obrządku chrztu św. Ale niestety miał nadmiar pracy, z powodu wykładów publicznych wymowy, wymagających dużo starannego opracowania. Obecnie stało się to dla niego istną męką. Chciał natychmiast podać się do dymisji, ponieważ jednak wakacje miały się rozpocząć niezadługo, postanowił wytrwać, następnie zaś usunąć się na zawsze od zaszczytnej profesury w Medjolanie. Byłoby to ogromnie trudnem do wykonania, z powodu braku środków do życia, ale na szczęście zacny i szlachetny przyjaciel Romanian ofiarował wspaniałomyślnie swą pomoc, chcąc ułatwić w ten sposób do spełnienia gorących pragnień Augustyna i Moniki.

W tkliwych słowach wyraża mu swą wdzięczność św. Augustyn w swych „Wyznaniach".

Wakacje spędziła św. Monika wraz z synem we wsi Cassiacum pod Medjolanem, w domu wielce sprzyjającego im towarzysza pracy nauczycielskiej Augustyna, Werekundusa.

Było to bardzo piękne ustronie, rodzaj letniego pałacyku z tarasami, biblioteką, otoczonego wspaniałym ogrodem.

Piętnastoletni naówczas Adeodatus gotował się również do przyjęcia chrztu św. pod troskliwem okiem babki i ojca.

Był to młodzian obdarzony wielkiemi zdolnościami, mający najlepsze skłonności i pragnący jak najprędzej stać się chrześcianinem.

Nie długo danem mu było przebywać na ziemi, gdyż wkrótce potem zmarł, przez najbliższych rzewnie opłakiwany.

Nawigiusz, brat młodszy Augustyna, przebywał też w Cassiacum. Był on chorowity, nie posiadał nawet w części wybitnych zdolności Augustyna, ale oddawna już ochrzczony, odznaczał się wielką bogobojnością i słodyczą charakteru, życie jego całe było nieustanną modlitwą.

Alipiusz, o którym już wspominaliśmy kilkakrotnie, wierny przyjaciel Augustyna, nie odstępnie z nim przebywał, dzieląc walki, niepokoje, a następnie tak samo łaską Bożą oświecony, miał razem chrzest otrzymać, Prócz tego dwóch ulubionych uczniów Augustyna Licenciusz i Trygeciusz przybyło spędzić wakacje w tem dobranem gronie. Dodać należy jeszcze gościnnego gospodarza Werekundusa, ożenionego z pobożną wielce niewiastą, a będziemy mieć chociaż słabe wyobrażenie o pełnych podniosłego nastroju biesiadach i długich rozmowach toczących się w cudne letnie wieczory na tarasach wilii Cassiacum, gdzie św. Monika przewodniczyła zawsze, otaczając wszystkich najtkliwszą opieką.

„Matka moja, pisze św. Augustyn, wszystkich nas pielęgnowała, jak rodzone dzieci, a każdemu tak zawsze śpieszyła z posługą, jakby własnemu ojcu".

Jednocześnie umiała kierować nimi, słodkim, pełnym powagi głosem pouczała ich i wznosiła myśl ku Bogu. Jej apostolska praca wśród tej młodzieży miała doniosłe znaczenie. Przed opuszczeniem Medjolanu prosiła św. Ambrożego o udzielenie wskazówek do godnego przygotowania katechumenów do chrztu, a ten, oprócz medytacyi i modlitwy, zalecał czytanie ksiąg Izajasza proroka, znając bowiem gorącą i bujną wyobraźnię Augustyna, pewien był, że wspaniałe obrazy, stawione przed oczy ludu przez proroka, sprawią na nim silne wrażenie. Augustyn razem z Alipjuszem czytywał też wybrane przez matkę psalmy Dawida; św. Monika tłumaczyła i objaśniała to, co się im niejasnem wydawało, bo jak powiada święty: „Matka moja w słabem ciele niewiasty mieściła silną wiarę, pogodne światło dojrzałości, tkliwość macierzyńską i żarliwość prawdziwie chrześciańską".

Uwagi jej zawsze trafne, nawet w kwestjach czysto filozoficznych przyjmowane były przez słuchaczów z uszanowaniem, a często rzucała tak głębokie myśli, że Augustyn wnet zapisywał je lub prosił innych, aby notowali te zdania, gdyż znajdował, że są prawdziwie natchnione i mądrością swą dorównywują najgenialniejszym uczonym.

W czem szczęście? Pierwsze dzieła teologiczne św. Augustyna.

Podczas jednej z takich pogadanek w uroczym Cassiacum rozmawiano o życiu i szczęściu na ziemi. Był to właśnie dzień urodzin św. Augustyna, d. 13 listopada 386 r. Skończył on wtedy lat trzydzieści i dwa. Św. Monika zgromadziła u swego stołu wszystkich najserdeczniejszych przyjaciół syna. Kiedy po skromnej uczcie rozpoczęły się poważne dyskusje, św. Augustyn zagadnął pierwszy:

— Powiedzcie mi kto na ziemi może nazwać się zupełnie szczęśliwym? Zaliż nie ten, który posiadł wszystko czego pragnął?

— O nie, odrzekła żywo św. Monika, dodać by należało: ten, który pragnął tylko rzeczy dobrych, jeżeli jednak żąda czegoś złego, gdyby nawet spełniło się jego pragnienie, nie może nazwać się szczęśliwym.

Św. Augustyn uśmiechnął się i rzekł, patrząc na matkę ze wzruszeniem:

— Wzniosłaś się tym razem, matko droga, na najwyższy szczyt filozofji.

I przyniósł księgę Cycerona, p. t. *Hortensius*, w której słynny mówca i myśliciel podobnież wypowiada przekonania: „Pragnienie złego, to najwyższy stopień ludzkiej nędzy i poniżenia".

Św. Monika poczęła rozwijać myśl tę tak wymownie i szeroko, że wszyscy obecni słuchali ją ze zdumieniem.

W dalszym ciągu mówiono o szczęściu. Wyliczano wszystko, co zwykle uważanem jest za główną jego podstawę na ziemi, a więc: zdrowie, bogactwo, piękność, sława i t. p.

— Wszystko, co jest przemijające, dać prawdziwego szczęścia nie może, rzekł Augustyn.

Trygecjusz utrzymywał, że pomimo krótkotrwałości swej, posiadanie tych wszystkich warunków może dać wielką sumę radości, mogącą śmiało nazwać się szczęściem.

— A jeśli kto się boi utracić to, co posiada, czy może być szczęśliwym? zapytał Augustyn przyjaciela.

— Nie, odrzekł Trygecjusz. Ponieważ więc nikt na ziemi nie może być pewnym, że nie utraci tego, co posiadł, nikt nie może się nazwać szczęśliwym.

— Mojem zdaniem, dodała św. Monika, gdyby nawet był pewnym, że nie utraci, nazwałabym go jeszcze nieszczęśliwym, gdyż wszystko co jest przemijającem, nie może mieć nic wspólnego z nieśmiertelną duszą człowieka, im więcej on ugania się za doczesnemi zdobyczami, tem więcej nędznym będzie i ubogim, nigdy bowiem to, co świat dać może, nie uszczęśliwi duszy w zupełności.

— O jakże to pięknie powiedziane! zawołał Augustyn. Z tego wynika, że kto chce osiągnąć rzetelne szczęście, powinien wznieść się po nad wszystkie przemijające marności świata, szukać tego, co jest wieczne i czego nikt i nic mu odebrać nie może, Bóg jedynie jest tem źródłem najwyższej szczęśliwości. A więc doszliśmy do przekonania, że ten tylko nazwać się może szczęśliwym na ziemi, kto Boga w sercu swem nosi. Ale powiedzcież mi teraz kto Boga w sercu swem nosi?

— Ten, który dobrze postępuje, rzekł Licencjusz.

— Który pełni wolę Bożą, poprawił go Trygecjusz.

— Ten, odezwał się z kolei młodziutki Adeodat, kto nie ma w sobie ducha nieczystego.

Św. Monika przyklasnęła.

— A któż nie ma w sobie ducha nieczystego? zapytał Augustyn, chcąc, aby syn wyraźniej myśl swą sformułował.

— Ten, który w czystości żyje, odrzekł Adeodat.

— Czy rozumiesz przez to unikanie wszelkich występków?

— Nie, dusze czyste kochają tylko Boga i do Niego wyłącznie są przywiązane.

Tak więc przez niewinne usta wypowiedzianą została ta najwyższa prawda, będąca podstawą religji. Ażeby posiąść Boga, potrzeba Go ukochać z całej duszy. I dlatego, pomimo mąk i katuszy, święci czuli się szczęśliwymi, potrafili bowiem obudzić w duszach swych jedyną prawdziwą i wiekuistą miłość ku Stwórcy wszech rzeczy.

— O tak, zawołał Augustyn z zapałem, Bóg jest źródłem, pokarmem i ojczyzną dusz. On jest słońcem, które w nas promienieje. Wszystko, co mówimy prawdziwego, od Niego pochodzi.

Oto jedna z tych rozmów, które prowadzone były w ścisłem i dobranem kółku, pod okiem św. Moniki w uroczem Cassiacum.

Posłużyły one za pobudkę św. Augustynowi do napisania dzieł następujących: *O nieśmiertelności duszy*. *Solilognia*, rozmowy z samym sobą. *De beata vita*. *De ordine* oraz traktat *Przeciw akademikom*. Temi pismami rozpoczął swoją działalność literacką. Czytał je przedewszystkiem matce i przyjaciołom, roztrząsając wspólnie wszystkie kwestje.

Na pisaniu tych rozpraw i traktatów przeszła jesień i zima, zbliżała się chwila przyjęcia chrztu św. przed Wielkanocą w r. 387.

Św. Monika, której udało się rozżarzyć w sercu syna wielki płomień miłości Bożej, podwoiła jeszcze żarliwości, chcąc go przygotować godnie do tak dawno oczekiwanej i upragnionej chwili.

Po powrocie do Medjolanu Augustyn jako katechumen uczęszczał jaknajsumienniej na lekcje katechizmu i z największą skromnością i pokorą zasiadał pomiędzy innymi uczniami, pomimo że całe

miasto znało go, jako wielkiego mówcę, mądrością swą zadziwiającego słuchaczy.

Wreszcie 25 kwietnia w kościołku św. Jana Chrzciciela miała się odbyć uroczystość chrztu Augustyna.

Chrzest św. Augustyna.

Dotąd jeszcze ze wzruszeniem odwiedzają pobożni tę skromną świątynię Pańską, dziś pod wezwaniem św. Augustyna istniejącą w Medjolanie, gdzie niegdyś miał miejsce fakt tak doniosły w dziejach Kościoła św., gdzie tyle świętych dusz zanosiło jednocześnie korne swe modły do nieba.

Uszczęśliwiona matka stanęła obok syna, Adeodat, Alip.usz i Trygeciusz znajdowali się również w pobliżu.

Szczupły kościołek nie mógł pomieścić wszystkich wiernych, pragnących przyjmować udział w tej radosnej chwili. Matki wskazywały dzieciom swym św. Ambrożego, który w dniu tym zdawał się jeszcze wspanialszym pod okazałemi godłami dostojności biskupiej, a przytem jego twarz promieniała wielkiem rozradowaniem, gdyż nawrócenie tak znakomitego męża, jaśniejącego już blaskiem genjuszu w całym kraju, napełniało serce jego niezmiernem szczęściem. Obiecywano sobie już zawczasu, że Augustyn odda olbrzymie usługi religji katolickiej że potrafi bronić ją przed heretykami i będzie pod każdym względem godnym synem swej świętej matki.

Po obrządku chrztu św., według przyjętego naówczas obyczaju, św. Ambroży pochylił się do stóp Augustyna i umył mu nogi, następnie obleczono go w białe szaty godowe, symbol odzyskanej niewinności. Tkaninę tę kochająca matka sama utkała i własnemi nieraz zrosiła ją łzami.

Św. Augustyn z niewymownem wzruszeniem, trzymając w ręku zapaloną świecę, będącą wyobrażeniem ognia miłości, mającego płonąć odtąd nieustannie w jego sercu, zbliżył się do ołtarza dla otrzymania po raz pierwszy Komunji św., połączenia się ze Zbawicielem, którego ukochał teraz na wieki.

Jakież pióro zdolne jest opisać wrażenia, jakie wzniosła dusza św. Moniki przeżywała w onej chwili. Wpadła ona w rodzaj zachwycenia i złożyła wszystkie uczucia swej bogobojnej duszy na dziękczynienie Stwórcy, witając syna, jakby nanowo na świat narodzonego.

Pod koniec ceremonji wszystkich ogarnął zapał niewypowiedziany.

Nagle powstał św. Ambroży i w natchnieniu improwizować począł: „Ciebie Boże chwalimy“ *Te Deum.* Św. Augustyn dorzucał ze swej strony płomieniste słowa i powstał w ten sposób wspaniały hymn, śpiewany odtąd wszędzie po kościołach, a będący żywą pamiątką uroczystej chwili przejścia tak znakomitego męża, jak św. Augustyn, na łono katolickiego Kościoła.

Dzień to był najpiękniejszy w życiu św. Moniki, nic dorównać nie mogło radości macierzyńskiego serca, przepełnionego szczęściem najwyższego tryumfu na ziemi, gdyż oglądała wreszcie owoce swej długoletniej pracy nad uświęceniem duszy ukochanego tak bezgranicznie syna.

Ostatnie chwile życia św. Moniki. Pragnienie śmierci.

Niewysłowiony spokój spłynął teraz do duszy św. Moniki. Była ona podobną do cichego, letniego wieczoru, kiedy się wszystkie uciszą gwary i noc zapada zwolna. Twarz jej promieniała nadziemską słodyczą, patrzano na nią za życia już jak na istotę błogosławioną, przez Boga umiłowaną. Nieraz po Komunji św. wpadała w stan zachwycenia, zwłaszcza zaś po chrzcie św. Augustyna żyła już prawie nadziemskiem istnieniem. Coraz więcej dojrzewał teraz projekt powzięty przez św. Augustyna zawiązania ściśle dobranego zgromadzenia; usunięcie się od świata było teraz jego najgorętszem pragnieniem. Nawróceni i ochrzczeni z nim razem Alipjusz, Ewodjusz i Adeodat oraz bogobojny brat jego Nawigjusz postanowili wspólnie ze św. Augustynem powrócić do Afryki i w ojczystych stronach rozpocząć nowe życie.

Razem więc ze św. Moniką wyruszyli niezwłocznie do Ostji, aby tam czekać na okręt, mający ich odwieźć do rodzinnej ziemi. Wyjazd ten nastąpił na jesieni w 387 r.

Św. Ambroży z ojcowską troskliwością błogosławił podróżnym, a ująwszy ostatni raz w ramiona drogiego sercu swemu Augustyna, żegnał go ze łzami.

Augustyn miał teraz myśl przepełnioną coraz nowemi pracami teologicznemi, miał pisać o Trójcy św. i Wcieleniu Syna Bożego. a zarazem zastanawiał się głęboko nad ułożeniem przepisów wspólnego zakonnego pożycia, do którego pobyt w Cassiacum był jakby wstępem. W tym celu zboczono nieco z drogi, aby św. Augustyn wraz z matką zwiedzić mogli pustelnie pobożnych zakonników, wiodących tam przykładny żywot. Następnie udano się na kilka dni do Rzymu. Wielkiem pokrzepieniem dla serca św. Moniki musiało być odwiedzenie wszystkich drogich chrześcianom pamiątek, a stamtąd dopiero przybyli do Ostji.

Tu św. Monika siedząc raz w oknie nad brzegiem morza, zapatrzona w nieskończoną dal rozciągającą się przed jej oczyma, wpadła w stan zachwycenia, podziwiając nieskończoną wspaniałość Stwórcy wszechrzeczy. Ostatnie blaski zachodzącego słońca opromieniały jej twarz bladą; Augustyn również

pod wrażeniem nie zmąconej ciszy jesiennego wieczoru wzniósł duszę ku niebu i usiadłszy przy matce, począł mówić z nią o rozkoszach przyszłego życia; wyobraźnia niosła ich w krainy nieznane, niebiańska błogość spływała do duszy.

Była to jakaś czysta, nieziemska ekstaza, którą św. Augustyn w płomiennych opisuje słowach Zda się, że widzimy wyraźnie te dwie wspaniałe postacie matki i syna, pochylone ku sobie, tak bliskie, tak jednakowo patrzące teraz na doczesne i przyszłe życie.

„Sercem dosięgliśmy Cię naówczas, o Boże!..“ woła św. Augustyn w swych, tak żywo i jasno pisanych wspomnieniach.

— O synu mój, rzekła nagle św. Monika, przerywając milczącą kontemplację przyrody, co do mnie, już nic mnie do tego świata nie wiąże. Co tu jeszcze czynić mam i do czego bym tu dłużej była, nie wiem, skoro wszelka świata nadzieja już się względem mnie spełniła: to jedno tylko było, dlaczegom dłużej nieco w tem życiu zabawić chciała, abym cię chrześcianinem widziała, nim dokonam żywota. Bóg dał mi doczekać tego szczęścia, oglądać cię do gruntu zmienionym, wzgardzającym marnością tego świata. Teraz, gdy prawdziwym sługą Jego cię widzę, cóż tu jeszcze mam czynić?...

Innym razem przed przyjaciółmi syna wypowiadała podobneż zdanie, zapytano ją, zaliż nie by-

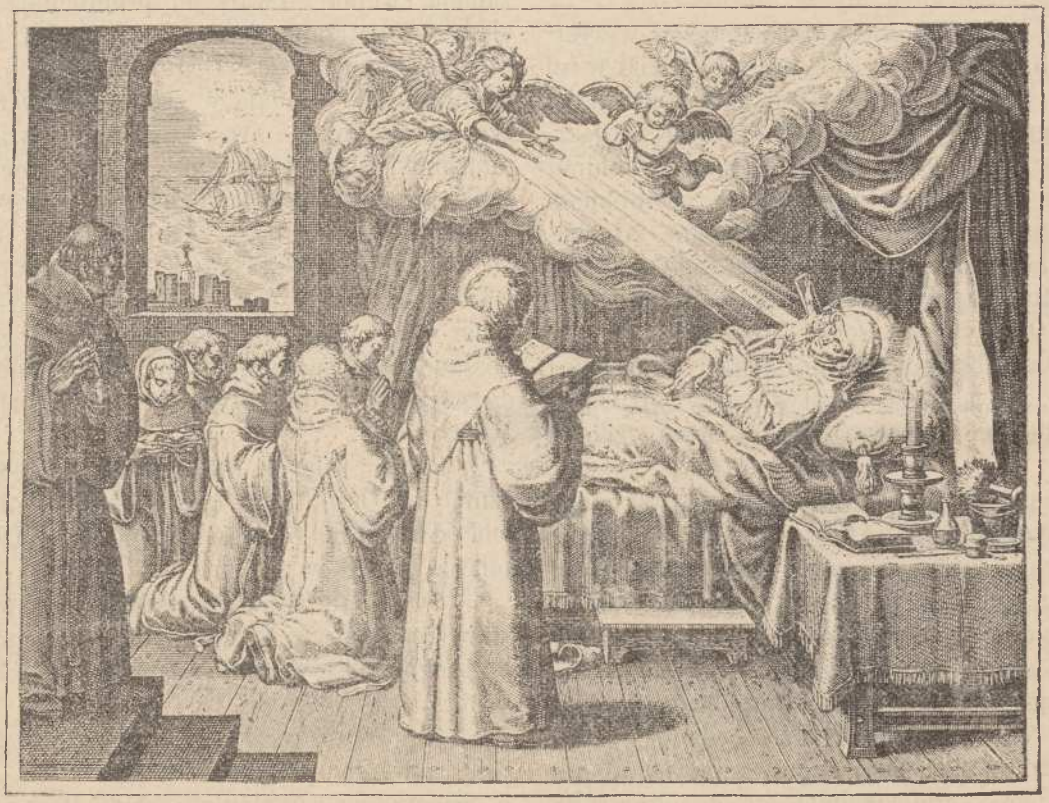

Śmierć świętej Moniki.

Trwali tak długą chwilę, niebo zdawało się otwierać przed nimi, „z żalem schodziliśmy z tych wyżyn do zwykłego życia, pisze dalej, do tego życia, gdzie rozbrzmiewał znów gwar ludzkich głosów, to wszystko, co ma swój początek i koniec“.

W tem niezapomnianem nigdy uniesieniu miłujących gorąco serc, matka i syn uczuli prawdziwą błogość wiecznego obcowania z Bogiem, było to jakby zesłane im z nieba objawienie tego niezakłóconego niczem spokoju i cudownego olśnienia, jakiego doświadczać mają wybrani; tak więc jeszcze ciałem przykuci do tej doliny łez, duszą już byli w niebiosach.

łoby jej przykrem umierać zdala od rodzinnej ziemi?

Ale św. Monika odpowiedziała prawdziwie po chrześciańsku:

— Nigdy się nie jest dalekim od Boga, więc niema obawy, że w dzień sądu ostatecznego odszukane będą prochy moje podczas zmartwychwstania umarłych.

Przed tem św. Monika wyrażała zawsze chęć spoczywania w rodzinnem mieście Tagaście, obok małżonka swego, w grobowcu zawczasu przygotowanym.

Ale pobyt we Włoszech jeszcze bardziej oderwał ją od ziemi, teraz czuła więcej niż kiedykol-

wiek, że się jest tylko przechodniem na ziemi, a jedyną trwałą ojczyzną jest wieczność. Byle więc serca biły zgodnie, byle jednakie pragnienia łączyły je za życia, cóż znaczy chwilowa, grobowa rozłąka, kiedy tam mają się znów połączyć na wieki

W kilka dni po tem św. Monika uczuła się tak słabą, że musiała do łóżka się położyć. Sądzono, że jest to tylko znużenie podróżą, ale ona wiedziała, że zbliża się ostatnia chwila i myślała o godnem przygotowaniu się na śmierć.

Podczas tej choroby wpadła znowu w długie zachwycenie.

Augustyn, Nawigjusz i Adeodat przybiegli na ratunek, sądząc, że omdlała.

Kiedy otworzyła oczy, zapytała zdziwiona:

— Gdzie byłam?

Spojrzawszy na stojących przy niej i głębokim smutkiem zdjętych synów, rzekła:

— Tu pochowacie matkę waszą.

Na te słowa Augustyn wzruszony zaledwie łzy mógł powstrzymać. Nawigjusz zaś rzewnie zapłakał.

— Jakto? Miałabyż matka nasza pozostać tu, na obcej ziemi? mówił z rozpaczą. A słysząc to św. Monika zdawała się strofować go oczami za takie myśli i rzekła do Augustyna:

— Słyszysz co mówi!...

Zwracając się następnie do obu razem, dodała:

— Pochowajcie to ciało gdziekolwiek, nie troszczcie się o nie. O to was tylko proszę, abyście o mnie przed ołtarzem Pańskim, wszędzie, gdzie będziecie pamiętali.

Od tej chwili w skupieniu wielkiem myślała o czekającym ją stanowczym przełomie, o zrzuceniu więzów ciała. Cierpiała bardzo, ale znosiła mężnie ból każdy, dziękując wzrokiem synom za podjęte około niej trudy i ściskając wciąż krzyż, trzymany w ręku.

Dziewięć dni upłynęło, stan chorej pogarszał się wciąż, aż wreszcie ta wzniosła dusza uleciała do nieba. Św. Monika miała naówczas lat 56.

Św. Augustyn własnoręcznie zamknął oczy najlepszej matce i starał się całą siłą woli powstrzymywać od głośnego wyrażania swego żalu, ale serce jego ściskało się boleśnie, choć wierzył teraz niezłomnie, że jest to tylko czasowe rozstanie i spotkają się z sobą znowu w przyszłem życiu.

Czuwał wciąż dniem i nocą przy zwłokach umarłej, modląc się wraz z bratem, synem i przyjaciółmi, aż do chwili pogrzebu, który odbył się w Ostji w połowie listopada 307 r. Zgromadziło się bardzo dużo wiernych dla oddania tej ostatniej posługi matce znanego ogólnie uczonego, o którego nawróceniu mówiono naówczas szeroko. Wszystkim dobrze było wiadomo, że uczynił to pod dobroczynnym wpływem bogobojnej matki, co budziło dla niej cześć i uznanie.

Godny syn świętej matki.

„Cóż tu jeszcze mam czynić?“ pytała św. Monika na kilka dni przed zgonem, czując, że już wypełniła swe zadanie na ziemi.

Umierała szczęśliwa, widząc dopiero początek chrześciańskich czynów syna, jakżeby radowało się macierzyńskie serce, podziwiając dalszy ich rozwój.

Chociaż głównie mieliśmy na celu przedstawienie postaci świętej matki świętego syna, jednak musimy tu chociaż pokrótce wyliczyć zasługi św. Augustyna dla Kościoła św., albowiem wszystko co dobrego zdziałał pozostaje w ścisłej łączności z radami i zachętą św. Moniki.

Po pogrzebie matki, św. Augustyn odłożył czasowo podróż do Afryki, chciał bowiem być bliżej grobu Moniki i rok cały przebył w Rzymie, skąd miał możność Ostję nawiedzać, a zarazem zbierał jeszcze potrzebne mu wiadomości co do różnych klasztornych reguł. Zajął się też opracowaniem dzieł skierowanych przeciw manichejczykom, broniąc zasady wolnej woli, której oni nie uznawali.

Po rocznej odwłoce św. Augustyn z bratem, synem i przyjaciółmi odpłynął do Afryki, a przybywszy do Tagasty, skromny dobytek zostawiony przez rodziców spieniężył, pieniądze zaś rozdał ubogim. Przywdziawszy strój zakonny, rozpoczęli bracia życie pokutnicze i trzy lata spędzili w zupełnem oderwaniu od świata W tym czasie powstała księga św. Augustyna *o Genezie: przeciw manichejczykom; o muzyce; o Mistrzu i o prawdziwej religji.*

Liczba towarzyszy wkrótce powiększyła się znacznie, ułożył więc przepisy życia zakonnego, które zgromadzenie wypełniało bardzo ściśle.

Były to najmilsze chwile dla św. Augustyna, bo nic już nie posiadał na ziemi i wyłącznie Bogu tylko był oddany.

Reguła przez tego świętego ułożona stała się wzorem dla Augustjańskiego zakonu, który przetrwał długie wieki, aż do naszych czasów.

Św. Augustyn rad byłby spędzić całe życie w cichej pustelni, ale Opatrzność do innych przeznaczała go celów.

Odwiedziwszy miasto Hipponę (dzisiaj Bona), mając zamiar nawrócić jedną duszę, którą za godną swych usilnych starań uważał, został tam wyświęcony i obrany, na ogólne żądanie wiernych, pomocnikiem tamtejszego sędziwego biskupa Walerjusza. Miał sobie powierzony urząd kaznodziei, zwykle spełniany wówczas przez samych biskupów. Augustyn z niezmordowaną gorliwością nauczał, budząc zachwyt swą ognistą wymową, a w r. 395, po śmierci biskupa Walerjusza, został jego następcą.

Nieraz wypadało mu publicznie prowadzić dysputy z niedowiarkami, co sprowadzało wiele na-

wróceń Zawiązał piśmienne stosunki ze św. Hieronimem, radząc się go w ważniejszych rzeczach.

Kiedy ciężar zarządu dyecezją spadł na Augustyna, nie mógł już kierować dłużej swem zakonnem zgromadzeniem, ale odtąd wywierał nieporównany wpływ na dzieje Kościoła. Wszędzie i zawsze myślał tylko o powiększaniu chwały Bożej i doskonaleniu powierzonych sobie ludzi. Jego pisma uczone we wszelkich przedmiotach religji, wykład ksiąg świętych, kazania, ciągła korespondencja z cesarzami i wysokimi dygnitarzami państwa, z papieżem biskupami, zwalczanie herezji, wypełniały czas jego po brzegi.

We wszystkich dziełach Augustyna widać umysł bystry i przenikliwy.

Był on potężnym przeciwnikiem arjanów, donatystów, pelagjanów i w ogóle wszelkich sekciarzy. Słowa jego zapalały serca, bo sam gorzał ognistą miłością ku Bogu. Godnym zaiste synem był swej matki błogosławionej.

Pisanie o tajemnicach wiary jest rzeczą najtrudniejszą, to też św. Augustyn, tworząc swe wspaniałe dzieło o Trójcy św. dał dowód niezwykłej mądrości i prawdziwego natchnienia.

Mając lat 72, znużony nieustanną pracą i wiekiem, wybrał sobie pomocnika Eksandjusza, kapłana wielkiej gorliwości, mającego szczere uznanie wśród duchowieństwa. Na niego złożył św. Augustyn część rządów, ale ważniejsze sprawy zawsze sam załatwiał i o wszystkiem pamiętał. Nie zaniedbując pracy pasterskiej, zajął się przejrzeniem i poprawą wszystkich dzieł swoich, których było 93 w 232 księgach, nie licząc w to 400 kazań i mnóstwa listów. Poprawki zawarł w oddzielnych księgach, wymieniając wszystkie omyłki.

Daje to nam pojęcie o nadzwyczajnej sumienności i obfitości prac tego wielkiego Doktora Kościoła.

W r. 426 spadła na Afrykę straszna klęska, napad Wandalów, szerzących spustoszenie; lud ginął pod mieczem lub też uciekał na pustynie i do lasów się chronił. Trwoga ogarnęła wszystkich.

Św. Augustyn pojmował doniosłość nieszczęścia i błagał z niebios pomocy. Poganie, chcąc rozniecić nienawiść do chrześcian, rozgłaszali, że krzewienie się wiary Chrystusowej ściąga na kraj straszne klęski. Wówczas święty napisał dzieło *Gród Boży*, rozumiejąc przez to Kościół katolicki, wykazując zwycięstwo jego nad grodem doczesnym.

W 400 roku ukończył swe słynne *Wyznania*, zawarte w 13 księgach i obejmujące szczerą spowiedź całego życia.

Wielką zasługą św. Augustyna jest, że wprowadzić potrafił życie ascetyczne wśród duchowieństwa świeckiego Hippony i wielu kapłanów ze szkoły Augustyna zostało następnie biskupami, którzy w dalszym ciągu szerzyli jego zasady.

Śmierć św. Augustyna.

Podczas barbarzyńskiego najazdu Wandalów wszystkie niemal miasta afrykańskie państwa rzymskiego zostały zdobyte i zniszczone. Opierała się jeszcze Kartagina, Cyrta i Hippona. Tu zgromadzili się tłumnie biskupi, księża i zakonnicy, czerpiąc otuchę w pełnych męztwa słowach św. Augustyna, tuląc się niejako do tego wielkiego serca, żeby razem umrzeć lub doczekać się zmiłowania Bożego.

Tymczasem znakomity pasterz, złamany trudami i boleścią, zapadł w ciężką chorobę, z której już nie powstał. Gdy Wandalowie oblegali Hipponę, św. Augustyn dogorywał. Przed zgonem odezwał się do zgromadzonych:

— Błagam Boga wśród trapiącej nas nędzy, aby uwolnił to miasto od nieprzyjaciół, lub jeśli zrządzi inaczej, niech da siły służebnikom swoim do znoszenia nieszczęść, lub niech mnie weźmie do siebie.

Zebrawszy ostatek sił, podyktował jeszcze wspaniały list do biskupów afrykańskich, zaklinając, aby nie opuszczali powierzonego sobie ludu i zagrzewali ich przykładem do znoszenia wszelkich nieszczęść z cierpliwością i pokorą.

Był to już ostatni czyn świętego na ziemi. Zmarł d. 28 sierpnia 430 r. przed zburzeniem miasta. Alipiusz, wierny przyjaciel, zamknął mu oczy i zajął się pogrzebem. Nie tylko Hippona, ale całe chrześciaństwo opłakiwało tak boleśną stratę.

Ciało Augustyna spoczywało przez lat 53 w kościele św. Stefana w Hipponie, następnie przeniesiono je do Sardynji, a wreszcie do Pawji. W r. 1842 relikwje te wydobyto i zawieziono do Bona w Afryce, gdzie się dotąd znajdują.

Przeniesienie relikwji św. Moniki do Rzymu.

Św. Monika spoczęła, jak to już mówiliśmy, w Ostji na włoskiej ziemi. Wzniesiony tam był marmurowy nagrobek staraniem prawdopodobnie jej synów. Imię jej czczonem było w Ostji, a po ogłoszeniu Wyznań św. Augustyna w całym chrześciańskim świecie.

W tysiąc lat dopiero po zgonie wyniesioną została na ołtarze, a papież Marcin V kazał zająć się odszukaniem i sprowadzeniem relikwji do Rzymu, poleciwszy tę sprawę świątobliwemu Piotrowi Assalbiri z zakonu św. Augustyna. Kiedy otworzono groby, znajdujące się w ostyjskim kościele, znaleziono tam obok innych świętych sarkofag kamienny, mieszczący relikwje św. Moniki, co było stwierdzone napisem. Z największem wzruszeniem przełożono szczątki te do drewnianej trumny, w której miano je odwieźć do Rzymu. Ponieważ niespodziewano się tam tak rychłego i szczęśliwego powrotu, nic jeszcze nie było przygotowane do uroczystości, miała ona bowiem nastąpić znacznie później. Ale oto pod-

czas Zielonych Świąt w r. 1430 nastąpiło przeniesienie, przyspieszone z powodu ogromnego napływu ludu, pragnącego co najrychlej uczcić świętą matkę świętego syna.

Podczas wjazdu do Rzymu, cud publicznie na oczach tysięcy widzów dokonany, wzmógł jeszcze wielce ogólny zapał, albowiem przez zwarte tłumy przecisnęła się matka z chorem dziecięciem na ręku i położywszy je, pełna gorącej wiary, na trumnie, wnet wydała okrzyk podziwu i wdzięczności: dziecię zostało uzdrowione.

Dużo innych cudów stało się w tym dniu pamiętnym i następnie u grobu św. Moniki, a zwłaszcza ta tkliwa i najlepsza matka miała snać wielką dla wszystkich cierpiących matek litość, gdyż one to najwięcej doznały łask za przyczyną świętej.

Tak samo również okazała się łaskawą dla ślepców, wzywających jej pośrednictwa, a papież Marcin V we wspaniałem kazaniu, podczas przeniesienia jej szczątków, zaznaczył właśnie, że powinien świat cały czcić w niej wzór chrześciańskiej matki i apostołki, która ślepotę duszy potrafiła leczyć niegdyś tak skutecznie, jako teraz od ślepoty fizycznej ratuje w potrzebie.

Papież ów opisał następnie historję przeniesienia zwłok i cudowne łaski, za przyczyną św. Moniki doznane w przeciągu siedmiodniowej uroczystości.

Otóż pomiędzy innymi pewna niewiasta, imieniem Sylwia, uleczoną została na zawsze z bólów głowy; Mariola, mająca narość niebezpieczną została od niej uwolnioną, zaledwie dotknęła trumny św. Moniki. Dziecię, które się przypadkiem otruło za przyczyną modlitwy do św. Moniki, wyszło z niebezpieczeństwa.

Relikwje złożono naprzód w kościołku, obsługiwanym przez Augustjanów, do którego dodano następnie w tym celu osobną kaplicę. Tysiące pielgrzymów przybywało tam nieustannie.

Papież Eugeniusz IV ustanowił bractwo matek chrześciańskich pod wezwaniem św. Moniki.

Obecnie relikwje świętej znajdują się we wspaniałym kościele św. Augustyna w Rzymie, gdzie również przechowuje się jej pierwotny grobowiec.

Kaplica ozdobiona jest freskami, przedstawiającemi główne chwile jej życia, dotyczące zarazem św. Augustyna. I tak: na jednym z nich widzimy św. Monikę, której sędziwy biskup przepowiada nawrócenie syna. Na drugim jej widzenie: anioł wskazujący dwie oddalone postacie, mówiąc: *gdzieś ty jest, tam on będzie.* Dalej zachwyt matki z powodu nawrócenia syna wreszcie ostatnie z nim na łożu śmierci pożegnanie

Wzrastająca wciąż cześć dla św. Moniki.

W XVI wieku, a zwłaszcza w drugiej jego połowie, cześć dla patronki chrześciańskich matek wciąż się zwiększała. Do tego czasu tylko w Rzymie święcono jej pamięć, później wiele kościołów poczęło dopominać się o zaszczyt posiadania chociaż ćząstki relikwji św. Moniki Św. Franciszek Salezy często sławił wytrwałość matki św. Augustyna, zachęcając wszystkie matki, aby ją naśladowały.

Ale nigdy może więcej, jak w ostatnich czasach, nie wzrosła chwała tej wzorowej cnoty, a wszystkie pobożne rodziny szczególną czcią otaczają św. Monikę.

Dawne wieki okazywały zawsze niestety skłonność do poprawiania dzieła Bożego tworzeniem różnych sekt, ale najsmutniejszym objawem nowszych czasów stała się zupełna bezbożność, odrzucanie wszelkich zasad wiary. Jakież okropne rozprzężenie obyczajów prowadzi to za sobą! Kobiety, a zwłaszcza matki, rozumiejące całą doniosłość swego zadania, powinny nieustannie mieć w pamięci przykład św. Moniki, tej niezrównanie poświęcającej się wciąż żony i matki, która osiągnęła po długich latach trudów cel upragniony, skierowując wrodzone zdolności i nabyte wiadomości syna na chwałę Bożą i ludzki pożytek.

Arcybractwo matek chrześciańskich. — Wizerunki św. Moniki.

Stowarzyszenie matek chrześciańskich pod wezwaniem św. Moniki, rozpoczęło wytężoną pracę, w celu uświęcenia życia rodzinnego. Zawiązało się ono w Paryżu d. 1 maja 1850 r. Pierwszym jego kierownikiem duchownym był O. Superior Teodor Ratisbonne. Rozpostarło się ono szeroko po całym świecie, obejmując Anglję, Belgję, Szwajcarję, nawet Konstantynopol, Jeruzalem, Pondiszery, Martynikę, Sidney i t. d., jednem słowem niema zakątka ziemi, gdzieby nie przeniknęła ta myśl szczęśliwa. Bardzo protegował ją Pius IX, błogosławiąc ojcowskiem sercem szlachetnemu przedsięwzięciu.

D. 11 marca 1856 r. zrzeszenie to zostało podniesione do znaczenia arcybractwa matek chrześcijańskich, a biskup paryski Sibourg przemówił wówczas, wymownie zachęcając, aby wszystkie matki, opłakujące błędy niepoprawnych synów, czerpały otuchę we wzniosłym wzorze św. Moniki, wzywały jej pośrednictwa, gdyż ta, której serce zaznało tyle trosk i niepokojów macierzyńskich w swej ziemskiej wędrówce, najlepiej może odczuć ich cierpienia i skutecznie zaradzić złemu.

Obyż każda matka troszcząca się o dobre pokierowanie swych dziatek dokonała tak swego zadania, aby mogła powtórzyć te przedśmiertne słowa św. Moniki:

— Cóż tu jeszcze mam czynić?... Spełniłam swą powinność.

Pierwszy biskup w Konstantynie Mgr. de Las-Cases dwie nowe świątynie Pańskie matkom chrześciańskim otworzył, jedną w Tagaście, drugą zaś w Hipponie. Piękny wielce jest list jest wystosowany do pań należących do wyżej wspomnianego arcybractwa, w którym powiada, że pracę ich za najdonioślejszą w obecnych czasach uważa. W tych miejscach właśnie, gdzie tyle łez św. Monika wylała, w kaplicach pod jej wezwaniem rozkazał biskup odprawiać codziennie msze św. na intencję opieszałych w powrocie na zbawienną drogę młodzieńców. Papież Pius IX wielu odpustami te fundację wzbogacił.

Na obrazach przedstawiają zwykle św. Monikę wraz ze św. Augustynem, albo też trzymającą w ręku przepaskę na pamiątkę, iż zakonnicy reguły św. Augustyna rozdawali paski poświęcane, zwane paskami św. Moniki.

Źródła.

Ks. Bougaud wik. generalny z Orleanu. *Życie św. Moniki.*

Św. Augustyn *Wyznania.*

Ks. Romanelli: *Historja św. Moniki, wzorowej watki chrześcianki.*

Historja Obrazu Najśw. Maryi Panny w Żurominie.

(Z „Historji cudownych obrazów Najśw. Marji Panny w Polsce" Ks. Alojzego Fridricha T. J.)

W historji życia św. Antoniego z Padwy czytamy, że ten wielki Cudotwórca będąc w zachwycie na modlitwie: otrzymał z rąk Najśw. Panny, Boskie Dziecię. Zdarzenie to przedstawia obraz cudami słynący w Żurominie, na południe od Mławy, w parafii lubowickiej położonym.

Cudowny obraz Najśw. Maryi Panny w Żurominie.

Przedstawia Najśw. Dziewicę w obłokach stojącą z wyciągniętymi rękoma ku Boskiej Dziecinie piastowanej i tulącej się do świętego sługi swego Antoniego. U góry wznosi się Duch św. w postaci gołębicy w promieniach. Zdobią go srebrne sukienki i korony na głowach Boskiej Dzieciny i Jego Najśw. Matki, a 70 złotych i srebrnych wotów, świadczy o doznanych tu łaskach od Królowej nieba.

Obraz malowany na płótnie wysokości pięć ćwierci łokcia, a na łokieć szeroki, był jak mówi podanie, własnością ubogiego rolnika Blocha, który go otrzymał od przechodniego żołnierza z wdzięczności za udzieloną mu gościnność. Bloch miał ten obraz w wielkiem poszanowaniu; przed nim często swe prośby do Matki Najśw. zanosił — aż oto w czasie modlitwy spostrzegł, że obraz cudownie się pocił i to tak obficie, że pot jakby krople rosy z niego spływał. Cudowne to zjawisko powtarzało się przez cały miesiąc. Niebawem dnia 9 września roku 1906, nadzwyczajna jasność go okrywała, napełniając blaskiem dniem i nocą ubogą strzechę rolnika. Trwało to cudowne zjawisko pięć tygodni. Bloch czując się niegodnym przebywania pod jednym dachem z cudownym obrazem, przeniósł się na inne mieszkanie, dom zamienił się na kaplicę, w której mnóstwo ludu z okolicy zbierało się na modlitwę i pieśni pobożne, podziwiając cud oczywisty i doznając rozlicznych łask od Najśw. Panny. Ówczesny biskup płocki ks. Ludwik Załuski powiadomiony o tem, wysłał do Żurowina duchowną komisję, która przesłuchawszy zeznań licznych zaprzysiężonych świadków i przekonawszy się o rozmaitych uzdrowieniach, zdziałanych nawet wobec samych komisarzy, oświadczyła przekonanie swe o cudownem zjawisku biskupowi, a ten powagą kościelną obraz żuromiński ogłosił za cudowny, polecił osobną kaplicę w Żyrominie wystawić i w niej cudowny obraz umieścić.

W roku 1714 wystawiono tam większy drewniany kościół i klasztor, do którego sprowadzono z Pułtuska księży z Towarzystwa Jezusowego. Odtąd mała ta wioska stała się ogniskiem życia reli-

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

gijnego dla całej okolicy. Z bliska i z daleka zbierali się czciciele Marji w Żurominie, szukając i doznając szczególniejszych łask od Najśw. Panny. Między rokiem 1708 a 1715 spisano i ogłoszono drukiem 58 nadzwyczajnych łask przed tym obrazem od Matki Najśw. doznanych. Z tego też powodu mała ta osada rozszerzyła się i wzrosła, a w roku 1767 dekretem króla Stanisława Augusta do rzędu miast zaliczoną została, na prośby Andrzeja Zamoyskiego, dziedzica Żuromina.

Ponieważ drewniany kościołek nie był w stanie pomieścić garnącego się coraz liczniej do cudownego obrazu ludu, ani odpowiadał godności tego miejsca, zabrali się OO. Jezuici do budowy murowanej świątyni na tem miejscu, atoli kasata zakonu nie pozwoliła im dokończyć tego dzieła. Dokończyli je OO. Reformaci, których na miejsce OO. Jezuitów do Żuromina sprowadzono. W roku 1786 dnia 2 lipca wniesiono do nowej świątyni z wielką uroczystością cudowny obraz. Przybył na tę uroczystość biskup sufragan płocki: ks. Wojciech Gadomski, który w otoczeniu licznego duchowieństwa, sam niósł cudowny obraz i umieścił go we wielkim ołtarzu wśród huku armat, odgłosu dzwonów i pieśni pobożnych nieprzeliczonych tłumów okolicznego ludu, szlachty i panów. W roku 1865 OO. Reformaci zmuszeni byli opuścić Żuromin i odtąd kościołem żuromińskim opiekują się księża świeccy.

Po nasze czasy pobożny lud zbiera się licznie zwłaszcza w uroczystości Najśw. Panny w Żurominie, i doznaje szczególniejszych łask od Matki Najświętszej.

Dnia 18 Maja.

BŁOGOSŁAWIONY WILHELM Z TULUZY

reguły świętego Augustyna.

1297 † 1369.

Szczęśliwi słudzy Twoi, którzy stoją przed Tobą zawsze, a słuchają mądrości Twojej.
3 Król. 10. 8.

Pierwsze lata. — Powołanie. — Nowicjat. — Święcenie kapłańskie. — Umartwienia.

Błog. Wilhelm pochodził ze szlachetnej katolickiej rodziny, Natolosa. Urodził się w 1297 roku w Tuluzie.

Od młodych lat mając najlepsze skłonności, bogobojnem wychowaniem spotęgowane, nauczył się zawczasu gardzić marnościami świata i zapragnął poświęcić się Bogu.

W 19-ym roku życia wstąpił do nowicjatu OO. Augustjanów w rodzinnem mieście, gdzie uczuł się, jakgdyby odrodzonym na nowo, a wielkiemi zaletami swemi pozyskał serca mistrzów i współtowarzyszy.

Po otrzymaniu święceń kapłańskich został wysłany na uniwersytet do Paryża. Tam budził podziw głęboką wiedzą w połączeniu ze skromnością nadzwyczajną i słodyczą charakteru jednającą mu wielu przyjaciół.

Otrzymawszy stopień doktora teologji Wilhelm powrócił do Tuluzy i tu unikając zawsze ludzi światowych poświęcał się sprawom Bożym, z upodobaniem czytywał Żywoty Świętych i starał się ich naśladować.

Kiedy odprawiał mszę św. widziano kilkakrotnie jakby promienną aureolę, otaczającą jego głowę podczas gorącej modlitwy

Siedem lat żywił się tylko chlebem i wodą i postanowił sobie wytrwać tak przez całe życie, lecz O. Superior zakonu zabronił mu tego, musiał więc poprzestać na trzydniowych postach, o to bowiem usilnie prosił, przestrzegając zarazem ściśle wszystkich postów przez regułę nakazanych.

Ukochawszy z całego serca Najświętszą Pannę zawsze w sobotę modlił się ze zdwojoną gorliwością, opłakując swe grzechy i błagając Matkę Najświętszą o zgon rychły, ażeby adorować Ją w niebie.

Zamiłowanie ubóstwa posuwał do tego stopnia, że nie chciał nigdy nowego nic na siebie włożyć. Wszystkie dary otrzymywane od bogatych krewnych rozdawał ubogim. Nieraz widziano jak starannie sam łatał i poprawiał zniszczony habit, zawsze bowiem lubił czystość i porządek. Sypiał na twardem posłaniu, wszelkim zbytkiem się brzydził. Nawet nieco wykwintniejszych potraw unikał, oddając je wnet Braciom słabszym i chorowitym, zachęcając innych do wstrzemięźliwości.

W anielskiej czystości trwał przez całe życie

a mimo to biczował zawzięcie swe ciało, jak największy grzesznik. Praktykę tę powtarzał cztery razy dziennie i tak: raz pierwszy na własną intencję, drugi jako wynagradzająca pokuta za grzeszników, trzeci za dusze w czyścu cierpiące, czwarty zaś za Braci, krewnych i przyjaciół.

Niekiedy tak głęboko był zatopiony w modlitwie, że zapominał najzupełniej o śnie i posiłku.

Walka z szatanem.

Miewał też błog. Wilhelm dręczące go straszne wizje, przeczuwał w tem zasadzki szatana; czasem widzenia te przybierały kuszącą postać; raz najwyraźniej ujrzał postać Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus, ale gdy uczynił znak krzyża, zjawisko znikło.

Zwłaszcza w czasie pobytu swego w Pamicos, obrany w mieście tem przeorem klasztoru, doświadczał wielu nadprzyrodzonych objawów. Pewnego razu znaleźli go zakonnicy omdlałego z bólu, gdy szli rano do kościoła na jutrznię, zaniesiono go wnet do celi, ciało jego było ciężko poranione, zapytany o przyczynę, mówił, że walkę stoczył z szatanem.

Jakby w nagrodę za odniesione nad sobą i djabłem zwycięztwo Bóg dał błog Wilhelmowi dar uzdrawiania opętanych, rozkazywania żywiołom i nawracania dusz.

Była naówczas w Tuluzie młoda dziewczyna opętana, którą egzorcyzmowano, ale mimo to niepodobna ją było wyrwać z piekielnej mocy. Zwrócono się więc o pomoc do błog. Wilhelma, a ten modlitwami swemi prawdziwie cudownie ją uzdrowił.

Błog. Wilhelm ratuje tonącego i uśmierza rozhukane żywioły.

Pewnego razu błog. Brat Wilhelm znajdował się w towarzystwie niejakiego Sabaterego, na drodze do Wildaries. Sabatery chciał wpław przepłynąć konno bystrą rzekę Lers, a porwany prądem byłby z pewnością śmierć poniósł, gdyby nie energiczna pomoc błog. Wilhelma, który rzucił się na ratunek i z narażeniem własnego życia wyciągnął go z wody.

Kiedy zaś rzeka Garonna wylała tak szeroko, że zniosła most i całemu miastu groziło niebezpieczeństwo, błog. Wilhelm mieszkańców od klęski ocalił, rozkazawszy rzece płynąć tylko swojem łożyskiem. W ten sposób Bóg za przyczyną modlitwy wiernego sługi swego miłosierdzie swe wielkie nad strapionymi okazał, a wszyscy błogosławili Brata Wilhelma, który jednak nie przestał być cichym i pokornym jak dawniej.

Tak samo dana mu była moc uśmierzania ognia.

Raz w nocy, kiedy wybuchnął pożar w pobliżu klasztoru i kościół już się zapalił, zakonnicy zamiast ratować, udali się do Brata Wilhelma, prosząc go o modlitwy, a te okazały się skuteczniejszymi niż pomoc rąk ludzkich, gdyż pożar został nagle ugaszony.

Kiedy jeden z Braci, imieniem Augustyn, był konającym prawie, pospieszył don Br. Wilhelm. W skromnej celi zakonnej znalazł tylko dzban wody, błogosławiony uczynił nad nim znak krzyża i podał choremu do picia, a zaledwie to uczynił, pot kroplisty wystąpił na całem ciele chorego, co trwało przez pół dnia, poczem wstał rzeźki i zdrowy, jak gdyby nie chorował wcale.

Innym razem idąc podczas letniego skwaru na misje do poblizkiej wioski z jednym z młodych zakonników użalił się nad nim, widząc go bardzo znużonym, a ponieważ nigdzie w pobliżu źródła ani studni nie było, ukląkł na kamieniu, prosząc Boga o przyjście z pomocą. Poczem przywoławszy stojącego na uboczu towarzysza kazał mu podnieść jeden z przydrożnych kamieni, pod którym znalazł z radością i podziwem zdrój wody, a orzeźwieni nią podróżni udali się w dalszą drogę.

Prace apostolskie.

Błog. Wilhelm, jak widzimy, miał wielkie u Boga przywileje, jesli mu danem było wyganiać djabły i panować nad żywiołami, lecz najdonioślejszą jego zasługą na ziemi stały się liczne za jego przyczyną nawrócenia.

Był on tak wymownym kaznodzieją, że w krótkim czasie Tuluza i jej okolice ulegać poczęły jego zbawiennym wpływom. Coraz więcej skruszonych grzeszników wstępowało do klasztorów, coraz liczniej uczęszczano do komunji św., godzili się zwaśnieni, kobiety mniej były rozmiłowane w strojach i błyskotkach, a chętnie oddawały się miłosiernym uczynkom i same odwiedzały najuboższe lepianki, dozorując chorych.

Błogosł. Wilhelm był bogato uposażony we wszystkie chrześcijańskie cnoty i miał dar zachęcania innych swym przykładem. Mówiono nieraz, że sama obecność tak świątobliwego sługi Bożego uświęcająco działa na całe otoczenie i gdzie on przebywa nie mogło być o zdrożnych czynach mowy.

Prowadził zawsze budujące rozmowy, gdy łagodny jego wzrok spoczął na grzeszniku, ten uczuwał wnet nieposkromione pragnienie wyznania swych błędów i wstąpienia na dobrą drogę. W każdym jego słowie odczuwało się synowskie ku Bogu przywiązanie; wielka czystość, pogoda, jasność biła z natchnionego oblicza kiedy przemawiał do tłumów słuchających go zawsze z największym zachwytem.

Był on opiekunem ubogich, wdów i sierot pocieszycielem, niezrównanym więźniów i chorych,

nieprzyjacielem zbytku i próżniactwa. Mówiono o nim, że wszystkie zasługi Marty i Marji łączy w sobie, albowiem troszczył się zarówno o cielesne i duchowe dobro bliźnich, chciałby wszystkim dobrze czynić i był istotnie, jakby słonecznym dla ludzi promieniem. Panowanie nad sobą doprowadzić potrafił do najwyższego stopnia, niczego nie

Błogosławiony Wilhelm z Tuluzy.

pragnął, dla siebie na tej ziemi; zasługiwał. bardziej na zaszczytne miano „ojca ludu“, jak ambitni zwycięzcy przywłaszczający sobie samowolnie tę nazwę, takie pochwały oddaje mu opisujący jego życie, O. Symplicjan, Augustjanin, prowincjał z Akwitany.

Jasnowidzenia.

Błog. Brat Wilhelm anielskie wiodąc życie miał jeszcze dar przenikania najtajniejszych myśli ludzkich, a zarazem prorokowania przyszłości; zdawałoby się zasłona oddzielająca nas od następnych lat dlań nieistniała. I tak naprzykład z licznych przykładów, jasnowidzenia podaje jego biograf fakt, że skromny zakonnik przewidział mającą nastąpić bitwę pod Miramont i wymienił nawet dowodzącego oddziałem, kapitana, który odniesie zwycięztwo, chociaż nigdy w życiu o nim nie słyszał. Nigdy też nie będąc na placu boju najdokładniej widział cały obraz walki, jakgdyby był tam obecny. W podziw wprowadzał nieraz swych licznych penitentów przypominając im, popełnione przez nich śmiertelne grzechy, o których mieli pewność, że nikomu oprócz nich samych nie są znane. Pozwolił mu też Bóg wiedzieć zawczasu kiedy go do siebie powoła.

Gdy błog. Wilhelm zachorował, w całem mieście zainteresowano się mocno tą wieścią i spieszono go odwiedzać, ofiarowując się z pomocą. Ale Brat Wilhelm najuprzejmiej przyjmując wszelkie oznaki współczucia oznajmił zarazem, że na nic się nie zdadzą wszelkie starania, albowiem kres jego się zbliża i za dni cztery umrze niezawodnie.

Śmierć błog. Wilhelma.

Stało się istotnie, jak powiedział. Godnie przygotowany na wieczną drogę, przyjąwszy Ostatnie Sakramenta, z anielską cierpliwością znosząc fizyczne cierpienia, oddał Bogu ducha w piątek dnia 18 maja 1369 r. mając lat 72. Zapewne uprosił sobie tę łaskę, aby zakończyć ziemską wędrówkę w tym samym dniu w którym Zbawiciel skonał na krzyżu.

Otaczający jego łoże zakonnicy podziwiali niezamącony spokój malujący się na obliczu konającego. Polecał duszę swą Najśw. Pannie św. Augustynowi i oddał ją w ręce najsłodszego Zbawiciela, często czyniąc znak krzyża św. Kiedy stracił mowę dał do poznania gasnącym już wzrokiem, aby polecano duszę jego Bogu. Leżał tak cichy, że nie podobna było nawet zauważyć kiedy wydał ostatnie tchnienie, a ciało jego nie nosiło żadnych oznak martwoty. W trumnie jeszcze zdawało się wszystkim, że widzą go w śnie błogim.

Brat Wilhelm z Tuluzy była to jedna z tych postaci, która daje ludziom poznać dowodnie do jakich wyżyn świętości duch ludzki dosięgnąć może na ziemi, a wiadomość o zgonie błogosławionego bolesnem echem odbiła się w sercach wszystkich znających go bliżej współrodaków. Błagano usilnie o jakiekolwiek po nim pamiątki; habit jego porwano w kawałki chowając każdy strzęp odzieży, jak najdroższe relikwje. Przykładano różańce do ciała zmarłego, aby nadać im moc cudotwórczą. Podczas pogrzebu zebrały się tak wielkie rzesze ludu, że zaledwie duchowieństwo przecisnąć się mogło przez zwarte tłumy. Gdy złożono ciało do ziemi, obywatele Tuluzy zaprotestowali przeciw temu, żeby szczątki spoczęły na klasztornym cmentarzu i przeniesiono je następnie do kaplicy św. Magdaleny, gdzie błogosławiony Wilhelm najczęściej Mszę św. odprawiał.

Przeniesie szczątek. Cześć dla błog. Wilhelma.

Nastąpiło to w pięćdziesiąt trzy dni po pogrzebie, przygotowano więc wonne maści sądząc, że ciało zmarłego uległo zepsuciu ale znaleziono je zupełnie nienaruszone, a nawet wydające zapach tak miły, że cały kościół po wniesieniu doń trumny, napełnił się jakąś wonnością nieznaną a wielce miłą dla powonienia. Złożono drogie szczątki w pięknie rzeźbioną kamienną trumnę.

Liczne cuda u grobu błog. Wilhelma dokonane swiadczyły dowodnie o tem, że Bóg umiłował wiernego sługę, a pobożni nawiedzali często tę kaplicę wzywając pośrednictwa błogosławionego w różnych sprawach.

Podczas rewolucyi francuzkiej w 1793 r. OO. Augustjanie z Tuluzy zostali rozproszeni, wielu nawet z nich śmierć poniosło, a ich klasztor zamieniono na inny użytek. W ostatnich czasach cześć dla błog. Wilhelma została znów wznowiona za staraniem kardynała, arcybiskupa Tuluzy, w kościele Niepokalanego Poczęcia. Tam umieszczono piękną figurę przedstawiającą błogosławionego Wilhelma w kontemplacji z różańcem w ręku.

Wierni wielkie mają nabożeństwo do tego błosławionego swego patrona, za przyczyną którego wiele łask otrzymują.

Źródła.

O. Symplicjan Saint Martin prowincjał z Akwitany, prof. teologii w Tuluzie. *Życie świętych Augustjańskiego zakonu.*

Dnia 31 Maja.

BŁOGOSŁAWIONY FELIKS Z NIKOZYI.

1715 — 1787.

Za rządów papieży: Klemensa XI, XII i XIII, Benedykta XIII i XIV, Piusa XI.

Myślcie często o życiu wiecznem i pamiętajcie, iż najpokorniejsi, najwięcej wzgardzani na ziemi otrzymają największą chwałę w niebie. Św. Jan od Krzyża.

W czasach największej bezbożności, kiedy autorzy francuzcy Wolter i Russo szerzyli niewiarę, społeczeństwo chrześcijańskie wydało jednocześnie ze swego łona wielu ludzi, zadziwiających swą bogobojnością i prawdziwie ewangelicznemi cnotami.

Jednym z nich był Brat Feliks z Nikozji, przez papieża Leona XIII beatyfikowany dnia 12 lutego 1888 r.

Tak więc obok wielkich ciosów Kościół św. znajdował również pociechę, widząc rozwijające się wśród moralnego upadku i zepsucia najczystsze serca i Bogu oddane niepodzielnie dusze.

Pierwsze lata życia spędzone w bogobojnej rodzinie.

Na początku ośmnastego wieku żyła w Nikozji (Sycylja) rodzina rzemieślnicza, znana z wielkiej uczciwości i wielce bogobojna

Ojciec szewstwem zarabiał na chleb powszedni, zwał się Filip Amuruso. Codziennie mimo obowiązkowej pracy znajdował czas, aby uczęszczać do kościoła i pobożnie wysłuchać mszy św. Następnie pokrzepiony modlitwą zabierał się rzeźko do roboty i nikt nie mógł mu nigdy opieszałości i niesłowności w wykonaniu obstalunków zarzucić.

Pracował z zamiłowaniem w swym zawodzie, nigdy nie uskarżając się na niedostatek i nie zazdroszcząc innym powodzenia. W niedziele za to i święta żadna siła nie była zdolna zmusić go do roboty, gdyż przestrzegał bardzo, aby dzień święty święcić.

— Nie wolno nam sprzeciwiać się Woli Bożej — mawiał nieraz, Bóg może doświadczać tych, którzy Mu są posłuszni, ale nigdy ich nie opuszcza.

Filip był członkiem bractwa przy kościele Najśw. Panny OO. Kapucynów i nigdy nie opuszczał pobożnych zebrań. Co niedzieli przystępował do Pańskiego Stołu, a codziennie wieczorem wspólnie z rodziną odmawiał różaniec.

Kiedy dzieci podrosły prowadził je sam do kościoła dla adorowania Najśw. Sakramentu, a gdy już przystąpiły do pierwszej komunij św., co tygodnia skłaniał je do Sakramentu pokuty i Eucharystji. Żona jego, Karmela, była również bogobojną chrześcijanką; duszę jej przenikała gorąca miłość dla Jezusa ukrzyżowanego, w Jego cześć suszyła zawsze w piątki i modliła się gorąco. Umiała też znosić z niezamąconą pogodą wszelkie przeciwności losu, powtarzając dzieciom swym w smutnych chwilach, gdy nawet już tak źle było z nimi, że nie mieli co do ust włożyć:

— Niech się dzieje Wola Boża. Widocznie tak dla naszego dobra potrzeba.

Pomimo że rodzina Amurusów liczyła się do zupełnie niezamożnych, znajdowało się jednak w Nikozji dużo nędzy wyjątkowej, której ci zacni ludzie spieszyli chętnie z pomocą. Karmela gotowa była zawsze podzielić się ostatnim kęsem chleba z biedakami.

— Czynię to w imię Dzieciątka Jezus, mówiła oddając swój kawałek chleba żebrakowi, stojącemu w ich progu.

Miała zwłaszcza wielką litość dla ubogich dzieci i zawsze je wspomagała. Można sobie łatwo wyobrazić, że dzieci tak zacnych rodziców zachęcone ich przykładem starały się wstępować w ich ślady. Szczególniej zaś mały Jakóbek urodzony d. 5 listopada 1715 r. znany następnie pod imieniem Brata Feliksa w zakonie Kapucynów posiadał od lat najmłodszych wszystkie cnoty rokujące najpiękniejsze na przyszłość nadzieje.

— Obyś tylko był dobry i bogobojny mój synu — mówiła matka gładząc jego główkę

Jakóbek nie miał też innego nad to pragnienia. Kiedy mali rówieśnicy bawili się hałaśliwie, Jakób przed wizerunkiem Dzieciątka Jezus śpiewał przez siebie ułożone tkliwe, pobożne pieśni, lub też te, których go matka nauczyła:

— Przyjdź o przyjdź mały Jezusie, czekam Ciebie! Przyjdź i zamieszkaj w sercu mojem. Daj mi Twą miłość, o Jezu! Daj, abym nigdy nie grzeszył, wówczas będę się czuł prewdziwie szczęśliwym.

— Nie baw się z innemi dziećmi bez mego pozwolenia—przestrzegała troskliwa matka—w przeciwnym razie nieposłuszeństwo twe będzie obrazą Boską.

Obrazić Boga, był to już postrach największy dla małego Jakóbka i w obec takiej groźby matczynej gotów był wyrzec się wszystkiego.

W terminie u szewca. Przykładne zachowanie się Jakóba.

Filip Amuruso życzył sobie, aby Jakób trudnił się również tym samym co on rzemiosłem i w tym celu oddał go z domu na naukę do szewca, Jana Claviretta, doskonałego majstra.

Jakób przykładał starań i wkrótce pozyskał sobie jego życzliwość i za przykład innym był stawiany. Zawsze wchodząc pobożnie skłaniał głowę przed obrazem wyobrażającym Najśw. Sakrament, umieszczonym w pracowni, a gdy na nieszpory dzwoniono zachęcał towarzyszów pracy do odmawiania razem z nim koronki. Nie przerywając zajęcia wznosili w ten sposób wspólnie myśl do Boga.

Jakób nie szukał żadnych rozrywek i bywał tylko w domu rodzicielskim i w kościele. Pobożność jego nie zanikała z latami ale z dniem każdym wzrastała. Tak samo jak ojciec codziennie bywał na mszy św. i co niedziela spowiadał się i komunikował.

Jeżeli niekiedy w czasie nieobecności majstra, który z kolegów pozwolił sobie na jaki żart niewczesny lub opowiadał jakąś nieprzystojną anegdotę, Jakób okazywał taki wstręt głęboki i tak widać było, że mu to prawdziwą przykrość sprawia, że nie pozwalano sobie odtąd w jego obecności na podobne zabawy, okazywano mu szacunek i wyróżniano pomimo młodego wieku.

Tak szczere było to obrzydzenie Jakóba do wszelkich zdrożności, że przewidując jakąś rozmowę, którąby mogła obrażać jego uczucia, zakładał ukradkiem watę w uszy w ten sposób broniąc czystości swej duszy, od zetknięcia z wszelkim brudem ją chroniąc.

Troski i przeciwności. Wstąpienie do klasztoru. Umartwienia.

Jakób był już wielce biegłym w swem rzemiośle, gdy mając lat dziewiętnaście stracił równocześnie prawie rodziców. Był to cios bolesny, który tkliwe jego serce na długo okrył żałobą. Od lat najmłodszych wzdychał Jakób do usunięcia się od świata, nęciła go klasztorna cisza, gdzie mógłby łacniej pracować dla dalszego zbawienia. Po śmierci rodziców uważał, że nadszedł czas spełnienia tego pragnienia, udał się więc do klasztoru O.O. Kapucynów prosząc, aby go przyjęto w poczet Braci Konwersów.

Dziwnym zbiegiem okoliczności łaska, na którą tak niewątpliwie zasłużył, miała mu być dopiero w lat ośm potem udzieloną.

Nie zrażony odmową Jakób, przypisywał pierwsze niepowodzenie w zamiarach temu, że nie jest jeszcze godzien tak wielkiego szczęścia i myślał tylko o jak najstaranniejszem przygotowaniu się do nowego życia, starając się wśród świata wieść zupełnie klasztorny żywot. Wreszcie w maju 1743 r. kiedy przybył O. Prowincjał do Nikozji, Jakób Amuruso rzucił mu się do nóg mówiąc ze łzami:

— Pragnę zbawić mą duszę i wyłącznie kochać Boga.

Szczerość przebijająca w tych słowach zniewoliła O. Prowincjała do przechylenia się ku jego prośbom i przyjęcia go do klasztoru. Uszczęśliwiony Jakób pożegnał majstra i towarzyszy, pokornie prosząc ich o przebaczenie, jeśli ich czemkolwiek obraził. Żegnano go ze szczerym żalem polecając się jego modlitwom i zawsze wspominając serdecznie w latach późniejszych o zacnym i szlachetnym swym przyjacielu.

Przełożony wysłał Jakóba do klasztoru w Mistretta, gdzie przywdziawszy habit franciszkański 10 października 1743 r., przybrał imię Brata Feliksa

Od tego czasu wziął sobie za zadanie nieodstępować przez całe życie od następującym trzech przepisów postępowania:

1-o) Przedewszystkiem oderwanie myśli swej całkowicie od spraw ziemskich, szukając tylko chwały Bożej i poddając się Jego Woli w zupełności.

2-o) Doprowadzenie pokory do najwyższej doskonałości, najgorsze o sobie mniemanie; zamiłowanie w najcięższych pokutach i umartwieniach.

3-o) Dążenie do najświętszego wzoru samoofiary Jezusa Ukrzyżowanego.

Ażeby wyrobić w sobie cnotę powściągliwości w mowie i zmusić niejako do ciągłego milczenia Brat Feliks przez długie lata nosił w ustach mały kamyczek. Niepodobna wyliczyć tu przeróżnych umartwień, jakie wynajdywał ustawicznie dążąc do udoskonalenia się i przemagania się we wszystkiem.

Heroiczne cnoty. — Poświęcenia błog. Feliksa podczas epidemji.

Wezwany z Mistretty do Nikozji błog. Brat Feliks spełniał tam kolejno różne obowiązki, pielęgnował chorych, kwestował dla klasztoru, pracował w ogrodzie, zawsze pogodny i ślepo woli starszych posłuszny.

Nigdy żadna skarga z ust jego nie wyszła; gdyby mu kazano skoczyć w ogień spełniłby to niezwłocznie bez szemrania. Oddawał się całem sercem rozmyślaniom o męce Zbawiciela i boleści Najśw. Panny. Biczował się nieraz do krwi na intencję nawrócenia grzeszników. Sypiał zaledwie dwie godziny, tak mu pilno było zrywać się jaknajwcześniej i czuwać jaknajdłużej, ażeby odmówić wszystkie modlitwy lub w nocnej ciszy adorować Jezusa Utajonego.

W przeciągu trzydziestu lat przełożonym i kierownikiem jego duchownym był O. Makary z Niko-

zji bardzo pobożny i uczony. Odgadł on pierwszej chwili, że Br. Feliks jest wyjątkowym zakonnikiem, mogącym osiągnąć najwyższy stopień doskonałości na ziemi i dlatego właśnie był względem niego surowy, czynił mu nieraz niezasłużone wyrzuty, ażeby wystawić na próbę jego pokorę, nazywał go opieszałym, niezadowolonym ze wszystkiego, Brat Feliks nigdy się nie bronił, owszem czuł się uszczęśliwionym, gdy ostre wymówki mu czyniono, uważał bowiem siebie za najnędzniejsze stworzenie.

W r. 1777 straszna epidemja dotknęła miasteczko Cerami w pobliżu Nikozji położone. Przerażeni mieszkańcy udali się do OO. Kapucynów z prośbą o rozciągnięcie opieki nad chorymi. O. Makary zwrócił się do Br. Feliksa mówiąc, aby szedł w imię Boże do dotkniętych klęską i uczynił wszystko, co mu serce dyktuje. Przeor pobłogosławił go na drogę, spoglądano na Br. Feliksa, jakby na skazanego na śmierć niechybną, nikt bowiem do zarażonych epidemią zbliżyć się nie odważał. Ponieważ wszelka pomoc lekarska okazała się bezsilną, trzeba było liczyć jedynie na opiekę Boską i podtrzymać wiarę w nieszczęśliwych.

Cichy i spokojny braciszek dokonał istotnego cudu. Gdy przybył do Cerami otoczono go wnet, garnąc się do niego z zaufaniem.

— Grzechy i nieprawości wasze są przyczyną tej klęski, mówił płacząc wraz z płaczącymi, żałujcie z całej duszy i przyrzeknijcie sobie poprawę, oraz wierzcie w bezgraniczne miłosierdzie Boże. Módlcie się gorąco do Najśw. Marji Panny, aby przyczyniła się za wami, a zobaczycie, że prośby wasze będą wysłuchane.

Rozdał im przytem wielką ilość kartek z napisami: „Święta Marjo Matko Boża, módl się za nami“, aby nosili je ustawicznie przy sobie.

Brat Feliks obchodził kolejno wszystkie domy, niosąc pociechę, wlewając do serc strapionych otuchę i nadzieję. Dysponując na śmierć umierających, przemawiał w prostych a serdecznych słowach do otaczających, działając na nich kojąco.

Siedm dni i siedm nocy, nie przyjmując prawie posiłku ani snu nie zażywszy, przebył w tym istnym szpitalu i cmentarzysku, wśród jęku i płaczu nieszczęśliwych, oddany zupełnie posługom przy chorych i grzebaniu zmarłych.

Po upływie tygodnia epidemja ustała, a zarazem w cudowny sposób uleczone zostały dusze dotkniętych gorszą jeszcze zarazą niewiary, nie słychać już było wśród ludności ohydnych przekleństw i bluźnierstwa, dobroczynny wpływ świątobliwego zakonnika pozostawił niezatarty ślad we wszystkich chrześciańskich rodzinach; jego poświęcenie i męztwo, żywy przykład cnót heroicznych obudziły nowe życie.

Wprost niedopojęcia, ażeby jeden człowiek mógł tyle dobrego w tak krótkim sprawić czasie, a jednak widocznem było, że działał on pod natchnieniem Ducha św., że Opatrzność obrała go za narzędzie dla ocalenia wielu ludzi od zguby.

Po powrocie do klasztoru dowiedział się ze smutkiem, że jeden z młodych zakonników, Brat Franciszek, jest umierającym prawie. Wezwany lekarz oznajmił, że chory jest już w ostatnim stopniu suchot i żadnego dlań niema ratunku.

— Pozwólcie mi czuwać nad nim, zawołał błog. Feliks, umiem obchodzić się z chorymi, może go jeszcze uda się zachować przy życiu.

Jakoż starania i modlitwy błog. Feliksa dokonały cudu, gdyż lekarz w parę dni później przybyły, nie mógł wyjść z podziwienia, co się stało, gdyż Br. Franciszek najzupełniej był uzdrowiony. Lekarz nie mógł powstrzymać się od głośnych okrzyków zachwytu.

— Ależ to cud prawdziwy, cud przez Br. Feliksa dokonany!... wołał wciąż, a sława skromnego zakonnika rozeszła się szeroko.

Cuda błog. Feliksa.

Odtąd udawano się do Br. Feliksa w różnych sprawach, zasięgając jego rady i prosząc pomocy. Włosi mają w ogólności wielkie zamiłowanie do hazardu i wszelkie loterje mają tam ogromne powodzenie. Otóż w r. 1756 dwóch młodzieńców z Mesyny przybyło do klasztoru, prosząc błog. Feliksa, w którego dar proroczy wierzono święcie, ażeby im przepowiedział, jakie mają wziąć numera na loterji, straciwszy bowiem cały majątek, chcieli w nagły sposób się wzbogacić.

— Najpewniejszą wygraną jest uczciwa praca i ufność w Bogu, odrzekł błogosławiony, innej odpowiedzi dać wam nie jestem w stanie.

Ale natarczywi młodzieńcy nie dawali mu spokoju, błagając, aby im koniecznie powiedział cyfrę biletu.

— Przyjdźcie tu jutro, rzekł w końcu Br. Feliks, na pożegnanie.

Wczesnym rankiem stawili się owi goście niecierpliwie oczekujący odpowiedzi.

Br. Feliks zaprowadził ich do podziemnych lochow; gdzie spoczywały szczątki zakonników. Zatrzymali się przed kościotrupem O. Jana Marji, zmarłego przed sześćdziesięciu laty. Stał on w niszy, z rękoma na piersiach skrzyżowanemi.

Btat Feliks przemówił doń, jak do żywego człowieka:

— Ojcze Janie, rzekł, zali zgodnem to będzie z Wolą Bożą, abym młodzieńcom tym dał żądane przez nich wskazówki?

Młodzi ludzie ze drżeniem oczekiwali co nastąpi?

Nagle kościotrup w habicie rozpostarł szeroko ramiona i poruszając przecząco głową, powtórzył trzykrotnie:

— Nie — nie — nie!

Poczem znowu skrzyżował ręce na piersiach w głuchem milczeniu. Młodzieńcy omal trupem nie padli z przerażenia i poczęli umykać co tchu, nie oglądając się za siebie, aż zdyszani dopadli do gospody, gdzie się zatrzymali. Tam musiano wezwać natychmiast lekarza, który krew im puścił, gdyż groziła apoplekcja ze zbyt silnego wzruszenia.

Kiedy się wieść o tem po Nikozji rozeszła przygoda Mesyńczyków ochłodziła znacznie zapał do gier hazardowych w całem mieście, a na Br. Feliksa patrzano z coraz większym podziwem i uszanowaniem.

Jednocześnie więc, kiedy uczeni francuzcy dążyli usilnie do obalenia wiary w cuda, skromny kapucyn z Nikozji, obdarzony darem nadprzyrodzonym wprowadzał w zdumienie nie tylko prostaczków, ale i najmędrszych, czyniąc rzeczy przechodzące zakres pojęć ludzkich. A cudów tych było bez liku. Setki chorych zawdzięczało mu uzdrowienie, wodę w wino zamieniał, a kamienie w chleb, wskrzeszał umarłych i najzatwardzialszych grzeszników nawrócić potrafił.

Błogosławiony Feliks wskrzesza umarłego młodzieńca.

Wice król sycylijski będąc przejazdem w Nikozji zapragnął poznać go osobiście i zachwycony był prostotą jego obejścia i zupełną obojętnością na wszelkie marności tego świata.

O. Makary przerwał nagle rozmowę dostojnych gości ze skromnym Braciszkiem, a zwracając się do błog. Feliksa, rzekł tonem rozkazu:

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

— Widzisz, że są spragnieni, przynieś natychmiast wody świeżej z cysterny.

Zdarzyło się właśnie, że nie było ani wiadra, ani sznura przy cysternie, o czem przeor dobrze wiedział, ale nie mniej dobrze wiadomem mu było, że posłuszny zakonnik uczyni bez wahania wszystko, co tylko mu rozkaże.

— Masz oto koszyczek i kawałek sznurka, dodał O. Makary, a spełnij prędko, co ci powiedziałem,

— Niech i tak będzie dla miłości Bożej, szepnął pokornie Br. Feliks i w chwilę potem powrócił. niosąc pleciony koszyk napełniony wodą.

Wice król i jego dworzanie zaczerpnęli wody z koszyka w największem zdumieniu. Dopóki błogosławiony trzymał koszyk w ręku, ani jedna zeń kropla nie spadła na ziemię, ale kiedy jeden z dworzan wziął go do rąk, w jednej chwili ze wszystkich stron polała się woda i pusty koszyczek pozostał mu w dłoni.

— Tego jeszcze brakowało! zawołał O. Makary, groźnie brwi marszcząc, zawsze jesteś niezgrabnym niedołęgą, zwrócił się do Br. Feliksa, powracaj co prędzej do swych zajęć, aby nam oszczędzić przykrości patrzenia na ciągłe twoje niezręczności!

Odszedł pokorny Braciszek w milczeniu, ale odtąd w całem wyższem sycylijskiem towarzystwie mówiono szeroko o niezwykłych jego cnotach i cudownych darach przy nadzwyczajnej skromności i prawdziwie świętem życiu.

O. Makary nie przestawał wystawiać posłuszeństwo błogosławionego Braciszka na ciężkie próby

Pewnego razu prosił jakiegoś zamożnego fermiera o przysłanie trochę mięsa do klasztoru.

— Całego wołu mogę ofiarować, odpowiedział, ale z warunkiem, że Brat Feliks sam go zabierze, on może jeden potrafi mu dać radę, bo nikomu przystąpić do siebie nie daje i chyba zastrzelić mi go wypadnie.

Wysłany przez przeora Br. Feliks udał się w góry, gdzie była obora i pomimo ostrzeżeń przerażonych jego odwagą pasterzy, wszedł śmiało do oddziału, gdzie był ów byk dziki przywiązany. Gdy zwierz rzucił się z rykiem na zakonnika, ten łagodnie doń przemówił:

— Rozkazuję ci w imię Boże iść za mną!

Na te słowa byk skłonił głowę, zbliżył się sam do Br. Feliksa, pozwolił sznur sobie uwiązać do szyi i jak cichy baranek szedł za nim aż do klasztoru.

Pomimo tylu jawnych dowodów łaski Bożej, błog. Feliks tak złego był o sobie mniemania, że kilkakrotnie rzucał się do nóg przełożonego, błagając, aby go nie wypędzał z klasztoru, pomimo, iż czuje się być najstraszniejszym grzesznikiem.

Taka pokora oddziaływała w sposób zbawienny na innych zakonników i w całej Nikozji zachwycano się świątobliwością Br. Feliksa, będącego zarazem ojcem ubogich, pocieszycielem strapionych, apostołem i dobroczyńcą dla całej okolicy.

Nie mógł nigdy patrzeć obojętnie na ludzką niedolę. Pewnego razu idąc z O. Tomaszem, usłyszał rozpaczliwe jęki. W chwili tej właśnie skonało dziecię, a rodzice gorzko je opłakiwali. Na rozkaz O. Tomasza Br. Feliks wstąpił w te progi i modlitwą swoją je wskrzesił.

Śmierć błog. Feliksa.

Miał też przy klasztorze mały ogródek, w którym wyłącznie lecznicze rośliny zasadzał i sam go troskliwie uprawiał; tam do ostatnich chwil swego życia pracował, gdyż na trzy dni jeszcze przed zgonem kopał ziemię, chociaż miał już lat 72 z górą. Ale zmogła go silna gorączka; w ogródku tym właśnie znaleziono go leżącym bezwładnie i musiano go odnieść do celi.

D. 31 maja 1787 r. po otrzymaniu Ostatnich Sakramentów, pytał przełożonego, czy mu umrzeć pozwoli?... O. Makary nie dał mu pozwolenia.

W kilka godzin potem lekarz zauważył objaw niesłychany, Br. Feliks bowiem zachował całą przytomność, pomimo że ciało było zimne i serce nie biło wcale. Lekarz pospieszył zawiadomić przeora, nie mogąc zdać sobie sprawy z tak dziwnego stanu. Wówczas O. Makary pobłogosławił swego duchowego syna na drogę wieczności, a ten dopiero w tej chwili ducha wyzionął.

Po jego śmierci całe miasto okryło się żałobą. Opłakiwano go szczerze i pocieszano się tylko myślą, że odtąd Br. Feliks będzie dla swych współrodaków nowym patronem w niebie. Istotnie, niezliczona ilość cudów, dokonanych przy grobie błogosławionego, coraz więcej rozsławiała jego imię i budziła cześć głęboką.

I stało się, jako rzekł Pan: *Kto się uniża, podwyższon będzie*, albowiem, oceniając ewangeliczne cnoty Br. Feliksa z Nikozji, papież Leon XIII wyniósł go na ołtarze, a cały świat katolicki dowiedział się o wielkich zasługach skromnego i pokornego sługi Bożego, który je tak starannie ukrywał za życia, powtarzając często słowa psalmisty: „Jam jest robak, a nie człowiek, pośmiewisko ludzkie i wzgarda pospólstwa. Wejrzyj Panie na uniżenie moje i na pracę moją, a odpuść wszystkie grzechy moje“.

Źródła.

O. Henryk de Grezes. *Żywot błogosławionego Feliksa z Nikozji.*

Dnia 3 Czerwca.

ŚWIĘTA KLOTYLDA KRÓLOWA

545.

Za rządów papieża Wigiljusza, króla francuskiego Childeberta I.

Bóg mocen jest uczynić, aby obfitowała w was wszelka łaska, abyście we wszystkiem, mając wszystek dostatek, obfitowali ku wszelkiemu uczynkowi dobremu. (2 Kor. 9. 8).

Sieroctwo i niewola.

Św. Klotylda była córką króla burgundzkiego Chilperyka i od lat wczesnych zaznała zmiennych losu kolei. Oto okrutni bracia jej ojca, chciwi rządów, kazali zamordować Chilperyka, żonę jego utopiono, a starszą córkę oddano do klasztoru. Jedynie małą, naówczas Klotyldę zabrał stryj jej, a przywłaszczyciel tronu Gundobal do siebie. Zdawało się, że drobna dziecina nie może niczem przeszkodzić zaborczym zamiarom i wpłynąć na wypadki dziejowe, a jednak Opatrzność chciała, aby to niewinne dziecię odegrało w historji Francji bardzo doniosłą rolę.

Gundobal był arjaninem, Chilperyk zaś gorliwym katolikiem. Na szczęście, stryj pozwolił Klotyldzie wyznawać zasady wiary, w jakiej ją chowali rodzice, a piękna królewna rosła w cnoty, budząc podziw ogólny, zarówno przymiotami ciała i duszy. Najmilszem jej zajęciem było oddawanie się uczynkom miłosiernym, sama rozdawała jałmużnę ubogim, a jej dobroć anielska jednała jej wszystkie serca.

Bolesne wspomnienia otaczały Klotyldę, musiała przebywać wśród ludzi, na których ciężyła zbrodnia bratobójstwa; niektórzy historycy utrzymują, że stryj trzymał ją na zamku Montmorot, mając zawsze obawy, żeby stronnicy zamordowanego Chilperyka nie zbyt interesowali się losem pozostałej po nim sieroty i wszystkim przystępu do zamku bronił.

Pierścień Klodoweusza.

Pochwały, oddawane nadobnej i cnotliwej Klotyldzie doszły do uszu króla francuzkiego Klodoweusza. Król ten był poganinem, mimo to, zapragnął poznać i poślubić tak przez wszystkich wielbioną synowicę Gundobala. Nie było to jednak łatwem do uskutecznienia. Posyłał kilkakrotnie gońców do Burgundji, ale nie mieli oni sposobności przyjrzyć się Klotyldzie, ani też powierzonego sobie poselstwa wypełnić. Klotylda była pilnie strzeżona i tylko można ją było podziwiać zatopioną w modlitwie w kościele, lub wówczas, gdy rozdawała jałmużny.

Klodoweusz umyślił użyć fortelu dla oświadczenia księżniczce, że ją pragnie pojąć za żonę.

Pewnej niedzieli, po mszy św., Klotylda jak zwykle zatrzymała się na krużganku, otoczona całą rzeszą żebraków, wyciągających ręce w oczekiwaniu datku. Byli pomiędzy nimi wyzuci z mienia Rzymianie i ci, którym Frankowie zabrali ziemię i dobytek, byli starcy, kobiety i dzieci, wszyscy oni z zaufaniem garnęli się do młodziuchnej swej opiekunki, błogosławiąc ją i wychwalając jej hojność i dobre serce.

Pomiędzy tłumem nędzarzy uderzyła Klotyldę jakaś postać nieznana; pomimo, że okrywały ją strzępy i łachmany, wydawał się zupełnie odmiennym od wszystkich znanych jej żebraków. Zauważyła, że miał ręce białe, pachnące włosy, a jeszcze bardziej zadziwiło ją jego dziwnie badawcze spojrzenie, kiedy klęcząc przed nią w żebrzącej postawie i biorąc z jej rąk podawaną sobie monetę, uchylił zuchwale okrywającą jej twarz zasłonę i szepnął pośpiesznie:

— Przynoszę bardzo ważne wieści.

Klotylda kazała przywołać go do siebie i zapytała o powód przebrania.

— Jestem Aureljan, syn senatora, odrzekł przybyły. Król Franków, Klodoweusz rodzinę naszą i mnie również względami swemi zaszczycać raczy. Jestem jego wiernym sługą i powiernikiem zarazem. W obecnej chwili spełniam misję, która najwymowniej świadczy o jego wielkiem ku mnie zaufaniu „Aureljanie, synu senatora Aureljana, rzekł mi król, postanowiłem poślubić księżniczkę, wyznającą tę samą co i ty wiarę. Powiadają, że jest ona najpiękniejszą ze wszystkich dziewic całej Galji. Znajdź sposób ujrzenia jej z bliska, ale strzeż się, aby Gundobal nie dowiedział się o zamiarach mych przed czasem. Jeżeli prawdą jest co o niej mówią, jeśli istotnie piękność Klotyldy dorównywa jej cnocie, daj jej ten pierścień odemnie na znak, że moim życzeniem jest widzieć ją obok siebie na tronie.“

I to mówiąc, Aureljusz wręczył Klotyldzie pierścień złoty.

Klotylda z wielką godnością odpowiedziała na zaszczytne oświadczyny królewskiego posła.

— Nie wolno jest chrześciance wstępować w związki małżeńskie z poganinem, rzekła, jeżeli

jednak Bóg pragnie mnie obrać za narzędzie dla przywiedzenia króla Franków do poznania prawdziwej wiary, będę szczęśliwą, stosując się do Jego woli. Oto więc mój pierścień daję w zamian za przysłany mi przez Klodoweusza. Powiedzcie mu proszę, aby niezwłocznie przysłał prosić o mą rękę stryja mego Gundobalda, korzystając z nieobecności ulubionego doradcy jego Arecjusza, który jest mi wielce nieżyczliwy i mógłby zaszkodzić w tej sprawie.

Aureljan odjechał pośpiesznie, aby obwieścić królowi tak ważne nowiny. Opowiadał o piękności, szlachetności i dobroci nadobnej dziewicy i natychmiast miał sobie poruczone jechać z powrotem do Burgundji, tym razem już nie w żebraczem przebraniu, ale jako poseł królewski, żądający od Gundobalda więzionej przez niego narzeczonej.

Istotnie, zamiana pierścionków nadawała Klodoweuszowi prawo do upominania się oficjalnie o pokrzywdzoną.

Gundobald przyjął bardzo niechętnie wysłańców króla Franków, a nie rozumiejąc jeszcze o jakiej narzeczonej Klodoweusza jest mowa, sądził, że szuka on tylko zaczepki dla wypowiedzenia wojny i odebrania mu władzy. Ale kiedy okazało się, że prawdziwą jest opowieść Aureljusza o zaręczynach synowicy, musiał przystać na to małżeństwo w obawie zemsty możnego władcy.

Postanowionem zostało, że Klotylda odjedzie otoczona orszakiem przybyłych po nią Franków na wspaniałym wozie, zaprzężonym wołami, jak to było naówczas we zwyczaju.

Ale za nim przygotowania do drogi zostały ukończone, dowiedziała się Klotylda, że nieprzyjazny jej Arecjusz powraca z Konstantynopola.

— Nie mamy ani chwili czasu do stracenia, zawołała Klotylda, Arecjusz postara się zmienić postanowienie stryja i nigdy nie dopuści, abym wyjechała z wami. Jeżeli więc zależy wam na mojem i waszem bezpieczeństwie, dajcie mi co rychlej dzielnego rumaka, abyśmy już byli za granicami Burgundji, zanim on powróci.

Ucieczka i pogoń.

Zaledwie orszak opuścił królewski zamek, minister Arecjusz pędząc co tchu dniem i nocą, wpadł na dwór Gundobalda, aby się przekonać czy prawdziwe doszły go wieści.

— Cóż chcesz? Zrobiłem układ korzystny z królem Franków, oddając mu synowicę mą za żonę, rzekł Gundobald.

— Popełniłeś czyn nieopatrzny, najjaśniejszy panie, zawołał doradca zaufany, zaliż nie widoczne w tem są knowania twych wrogów? Klodoweusz będzie teraz rościł pretensje, uważając się w prawie pomścić zabójstwo ojca swej małżonki i tron twój zagarnie. Trzeba nie tracąc czasu, zapobiedz temu, dopędzić Klotyldę i zawrócić ją z drogi.

Gundobald przywykł ślepo poddawać się radom swego ministra, wierząc w jego wielką mądrość, zaraz więc wysłał pogoń, która na szczęście okazała się spóźnioną. Klotylda zdołała już przejechać granicę, a w Wilarakium około Troyes oczekiwał już ją niecierpliwie Klodoweusz, który dowiedziawszy się o ucisku sieroty i zarządzonej pogoni, kazał spalić i zrównać z ziemią burgundzkie wioski na parę mil po za granicą, aby nie dopuścić wysłanych po królewnę rycerzy.

Klotylda powitała przyszłego małżonka, kornie chyląc przed nim głowę i rzekła.

— Dzięki składam Bogu Wszechmocnemu, żem znalazła mściciela rodziców mych i braci.

Weselne gody.

Nie mogło już być mowy o weselnych godach na dworze burgundzkiego króla, jak to pierwotnie było ułożonem. Odbyły się natomiast w Soissons z wielkim przepychem.

W pogańskim pałacu Klodoweusza urządzona została kaplica, gdzie codziennie Klotylda słuchała pobożnie mszy św. Działo się to w 493 r. Kiedy Frankowie ucztowali wesoło, radując się z wstąpienia w związki małżeńskie swego króla, Klotylda modliła się gorąco, błagając Boga o nawrócenie męża, podobnie jak św. Monika, poślubiona poganinowi, cieszyła się w głębi duszy nadzieją, że łaska Boża go oświeci.

Na tę intencję pościła gorliwie, wyznaczała sobie przeróżne inne umartwienia, a przytem starała się przy każdej sposobności budzić w mężu pragnienie przyjęcia tak gorąco umiłowanej przez nią wiary. Klodoweusz bardzo kochał żonę, oceniał jej wielkie cnoty, ale według jego barbarzyńskiego mniemania, Syn Boży nie powinien był dozwolić na umęczenie go sromotne na krzyżu; umysł poganina nie był zdolny pojąć wzniosłości Boskiej Ofiary i dlatego wahał się i odsuwał tak przez żonę swą upragnioną chwilę.

Nawrócenie jego miało nastąpić dopiero, kiedy Bóg wyraźnie objawił mu swą łaskę.

Chrzest i śmierć pierworodnego syna. Uzdrowienie Klodomira.

Pomimo, że Klodoweusz nie mógł jeszcze zdecydować się na przyjęcie chrztu św., pozwolił ochrzcić pierworodnego syna. Niestety, żył on zaledwie dni kilka, a śmierć ta źle bardzo wpłynęła na usposobienie króla. Dręczyły go obawy, że bogowie mszczą się w ten sposób za to, że nie dochowuje im wiary.

— Gdyby nie te chrześciańskie wasze obrzędy, Ingomer, syn mój pierworodny żyłby bezwątpienia, wołał gniewnie barbarzyńca, czując jakby żal do żony.

Słodka Klotylda umiała jednak zawsze gniew barbarzyńcy uśmierzyć. Poczęła mu tłómaczyć, że słusznem jest i zaszczytnem dla nich wielce, że Stwórca chciał powołać do swojej chwały pierwszy owoc ich związku, i że zawsze i we wszelkich warunkach imię Pańskie powinno być błogosławione.

Kiedy drugi syn przyszedł na świat, dano mu na chrzcie św. imię Klodomir. Radość króla z posiadania potomka zamieniła się wkrótce w rozpacz i smutek, gdy następca ciężko zachorował i zdawało się, że jest bliskim zgonu. Klodoweusz począł bluźnić, raniąc tem boleśnie serce pobożnej królowej.

Modlitwy matki zdołały wyjednać u Boga wyzdrowienie syna, starała się ona teraz pracować usilnie nad nawróceniem męża, a tem samem całego narodu. Ale praca ta szła opornie, Klodoweusz nie lubił nawet, gdy mu zbyt często o tem przypominała, albowiem wielu z jego otoczenia było jeszcze bardzo przywiązanych do dawnych obrządków, co powstrzymywało króla od stanowczego kroku. Wielce sprzyjającym zamiarom Klotyldy był Aureljan, który przyczynił się w tak znacznej części do ich związku. On również powtarzał nieraz:

— O wielki królu! Gdybyś chciał wierzyć w Boga, którego my czcimy, byłbyś niezwyciężony!

Ale parę lat już trwały te próżne namowy,

Św. Klotylda rozdaje jałmużny, a wysłaniec króla Klodoweusza wręcza jej pierścień złoty.

Klodoweusz odwracał zawsze rozmowę i trwał w ciemności.

Bitwa na polach Tolbiaku. Zwycięztwo i nawrócenie Klodoweusza.

W r. 496, data dla Francji wielce pamiętna, wybuchła wojna pomiędzy germańskim szczepem i Frankami. Napastniczych Niemców zwano Alemanami, czyli różnemi ludźmi. Klodoweusz zebrał olbrzymie wojsko i dwie armje spotkały się z sobą

na polach Tolbiaku. Wojsko francuzkie zostało rozproszone, zapanowało tak straszne zamieszanie, że swoi swoich zabijali w popłochu.

Łzy popłynęły z oczu króla na widok tej klęski. Aureljan, nieodstępnie towarzyszący Klodoweuszowi, powtórzył mu znowu:

— Gdybyś wyznawał, o królu nasz, Boga jedynego, odniósł byś zwycięztwo.

Klodoweusz uroczyście przysiągł, że jeśli Jezus Chrystus, którego Klotylda Synem Bożym nazywa, dopomoże Frankom zwyciężyć nieprzyjaciół, wówczas w Niego uwierzy i chrześcianinem zostanie.

Kiedy przedtem swych bogów przyzywał na pomoc, spotkała go ciężka porażka, obecnie, gdy król Franków zawołał z mocną wiarą i przekonaniem:

— Boże Klotyldy! Daj mi zwycięztwo, a oddam się tobie! nagle jakby nowe siły wstąpiły w całe żołnierstwo, walczyli jak lwy, a sformowawszy się pośpiesznie w regularne szeregi, rzucili się na Alemanów i pobili ich na głowę. Po krótkim tryumfie napastnicy musieli umykać, stracili swych wodzów, krew lała się potokiem, wreszcie zupełnie upokorzeni, poddali się sami Klodoweuszowi.

Wspaniały był powrót króla z tego pamiętnego boju. Opowiedział Klotyldzie zaraz na wstępie o uczynionym przez siebie postanowieniu.

— Bóg twój jest wielki, rzekł król do uszczęśliwionej małżonki, od tej pory będzie on moim Bogiem.

Tryumf wiary.

Św. Klotylda wysłała wnet gońca do św. Remigjusza, biskupa z Reims prosząc, aby przybył sam dla przygotowania króla do przyjęcia wiary świętej. Biskupa tego Klodoweusz cenił wysoko i jeszcze przed ślubem z Klotyldą, gdy Frankowie złupili niegdyś kościoły chrześciańskie, zwrócił na prośby św. Remigjusza bogate naczynia srebrne i złote zabrane z kościoła w Reims, o czem Grzegorz Tureński wspomina.

Zdumiewały go też cuda, jakie się działy przy grobie św. Marcina w Tours.

Obecnie, kiedy naród cały upojony zwycięztwem dowiedział się o zamiarze króla przyjęcia wiary chrześciańskiej, obudził się ogólny zapał do tej religji, którą wyznawała cnotliwa i ukochana przez wszystkich królowa.

Trzy tysiące najprzedniejszego rycerstwa prosiło, aby ich jednocześnie z monarchą do wyznawców Chrystusa zaliczono. Tak więc święte posłannictwo Klotyldy miało się wkrótce spełnić.

Ceremonja chrztu św: miała się odbyć podczas uroczystości Bożego Narodzenia w Reims.

Chrzest Klodoweusza.

W dzień oznaczony tłumy ludu zebrały się dla uczestniczenia we wspaniałej uroczystości. Niezliczone szeregi biało ubranych dziewic, w długich welonach, spiewały hymny radosne, dzieci sypały kwiaty, zakonnicy głosili ludowi na ulicach miasta słowo Boże, wszyscy oczekiwali z upragnieniem ukazania się królewskiego orszaku.

Przybył wreszcie Klodoweusz, obok niego postępowała swięta królowa, promieniejąea radością. Tuż za królewską parą szły dwie siostry Klodoweusza, które również po zwycięztwie pod Tolbiakiem zostały nawrócone, a za niemi długie zastępy rycerzy i ludu, mające być w dniu tym ochrzczone.

Duchowieństwo spotkało króla u progu świątyni. Przybyło w dniu tym wielu zagranicznych biskupów, pomiędzy nimi był też św. Awit, który znajdował się naówczas wśród Wizygotów.

Kiedy Klodoweusz stanął pierwszy w przygotowanej ku temu chrzczelnicy, Jordanem zwanej, św. Remigjusz rzekł:

— Schyl głowę swą dumną, spal coś czcił, a uczcij coś palił!

Tak wielu ciekawych cisnęło się dokoła, że według legendy, kleryk niosący chryzma, nie mógł w żaden sposób przez tłum się przecisnąć, a wówczas biała gołębica spuściła się nagle, trzymając w dziobie ampułkę ze świętym olejem, wydającym przedziwny zapach.

Nawrócenie Klodoweusza miało bardzo ważne dla dalszych dziejów następstwa, wpłynęło bowiem stanowczo nie tylko na nawrócenie Franków, ale na rozszerzenie wiary pomiędzy sąsiedniemi narodami i wyplenienie arjanizmu wielce tam rozprzestrzenionego. Było to prawdziwe zwycięztwo katolicyzmu na całym Zachodzie. Papież Atanazy II w liście do Klodoweusza pisze:

— Stolica Piotrowa nie może nie radować się z tak ważnego wydarzenia, patrząc, jak szybkim krokiem dążą ludy do wiary chrześciańskiej; wielbimy też Boga, że Kościołowi dał takiego księcia, który osłaniać go może.

Podobnie pisał Awitus do nowo ochrzczonego króla, zapowiadając, że nawrócenie jego złamie wszystkie sekty, że przez nie Bóg uczyni Franków wielkim narodem, że jak wiara jego jest zwycięztwem katolików, tak dalsze jego tryumfy będą tryumfami Kościoła.

Św. Remigjusz w natchnionych, jakby proroczych słowach przepowiadał Klodoweuszowi wielką chwałę narodu, a chwała ta trwać będzie, mówił, dopóki Francja wierną Kościołowi pozostanie. Upadek zaś jej zacznie się od chwili, gdy zapanuje w niej bezbożność i za tem idące złe obyczaje, co i w obecnym czasie sprawdzić się daje.

Dobre uczynki króla i królowej. Śmierć Klodoweusza.

Po chrzcie Klodoweusza, zacna jego małżonka pomagała mu gorliwie w szerzeniu i umacnianiu

Kościoła. Za jej radą król Franków burzył świątynie pogańskie, wznosząc natomiast kościoły i klasztory, wspierał ubogich, wdowy i sieroty.

Chciał Klodoweusz pomścić śmierć Chilperyka i odebrać Gundobaldowi burgundzkie królestwo, ale świątobliwa królowa błagała aby unikał krwi przelewu. Pomimo to rozpoczął on zaczepne kroki, które nie wyszły na dobre, gdyż dopuszczał się barbarzyńskich czynów.

Podczas ciężkiej choroby męża, Klotylda znowu

skach, zamieszkawszy na stałe w Tours, aby tam u grobu św. Marcina modlić się w spokoju. Ale nie danem jej było zaznać błogiego spoczynku, a Bóg ciężkie zsyłał na nią próby.

Syn jej Klodomir został przez burgundzkiego króla zabity w 524 r., a dwóch wnuków ukochanych (synów Klodomira) zamordował Klotar, wyrodny syn Klodoweusza i Klotyldy. Był on ambitny i okrutny, chcąc zagarnąć władzę, nie cofnął się przed okropną zbrodnią.

Chrzest Klodoweusza.

swój wpływ zbawienny wywarła. Wzywając na pomoc św. Seweryna, który dotknięciem swego płaszcza, króla uzdrowił o tyle, że mógł się godnie do śmierci przygotować. Klodoweusz zmarł w 511 r.

Ciężkie próby.

Po śmierci męża św. Klotylda prawie zakonny wiodła żywot, nosiła grubą odzież, sypiała na de-

Św. Klotyldę, dręczyła jeszcze myśl, że nie oględną odpowiedzią przyczyniła się nie jako do tego strasznego nieszczęścia. Kiedy bowiem Childebert i Klotar dostawszy podstępnie w swoje ręce owych wnuków Klotyldy, wyprawili do niej posłańca z zapytaniem, co by dla nich wybrała, nożyce, to jest postrzyżyny na zakonników, czy też miecz, to jest śmierć, królowa odrzekła uniesiona oburzeniem, iż

wolałaby widzieć wnuków na marach, niż pozbawionych należnego im dziedzictwa. I właśnie po otrzymaniu tej odpowiedzi popłynęła krew młodzieńców.

Trzeci wnuk Klotyldy imieniem Klodoald (zazwyczaj nazywany St. Clond) trzyletni chłopczyna szczęśliwie z tej rzezi ocalony, został później kapłanem i w poczet świętych go zaliczono. Córka Klotyldy, nosząca też imię matki, wiele wycierpieć musiała z powodu okrucieństwa swego męża Amalryka, króla Wizygotów, a zawziętego arjanina.

Wreszcie doczekała się św. Klotylda, że dwaj jej synowie, Chilperyk i Klotar wystąpili z sobą do walki, której jednak na modlitwy jej przy grobie św. Marcina, przeszkodziła burza.

Tak więc życie św. Klotyldy, nie zasłane było różami, miała ciężkie krzyże do zniesienia, ale pomimo to nic nigdy nie było w stanie zachwiać jej głębokiej wiary.

Przeczucia i śmierć św. Klotyldy.

Pewnego wieczoru, kiedy św. Klotylda modliła się u grobu św. Marcina, miała sobie objawionem, że za nim trzydzieści razy wejdzie słońce, skończy doczesną wędrówkę. Miała więc miesiąc czasu do przygotowania się na drogę wieczności, chociaż można śmiało powiedzieć, że całe jej życie było takiem właśnie gorliwem przygotowaniem się dla otrzymania zbawienia.

Będąc już na śmiertelnem posłaniu wezwała synów i przemawiała do nich w tkliwych wyrazach błagając ich o opamiętanie się i prowadzenie chrześcijańskiego żywota.

Trzydziestego dnia swej choroby uczuła znaczne pogorszenie, przyjąwszy Ostatnie Sakramenta i po głośnem wyznaniu wiary, oddała Bogu ducha w r. 545.

Ciało jej przywieziono do Paryża i uczczono wspaniałym pogrzebem.

Stosownie do jej życzenia szczątki św. Klotyldy spoczęły obok męża w kościele św. Piotra i Pawła, zbudowanym przez Klodoweusza I, a dziś noszącym nazwę św. Genowefy.

Wiele kościołów francuzkich posiadają jej relikwie.

Cała Francja czci pamięć świętej swej królowej, która wprowadziła tam wiarę św.

Wzniesiono w Paryżu piękny kościół w gotyckim stylu pod wezwaniem św. Klotyldy przy ulicy Burgundzkiej, jakby dla przypomnienia jej rodzinnej strony. Podczas rewolucji francuzkiej relikwie sprofanowano.

Wizerunki św. Klotyldy.

Przedstawiają zwykle św. Klotyldę w królewskim płaszczu, w całej postaci, niekiedy obok niej malują kościół jako symbol francuzkiego Kościoła.

Czasem też widzimy na wizerunkach świętej fontannę przypominającą cud przez nią dokonany w Grand-Andelis, gdzie widząc spragnionych podczas skwaru robotników, uprosiła u Boga, aby woda z sąsiednej fontanny miała smak wina i pokrzepiała ich siły.

Przedstawiają także św. Klotyldę na tle bitwy oddalonej, dla przypomnienia zwycięztwa Franków pod Tolbiakiem, będącego przyczyną tryumfu wiary katolickiej we Francji.

Wiele pięknych legend o św. Klotyldzie istnieje: od tych odległych czasów datuje przyjęcie jako herbu Francji trzech lilji na niebieskim tle, gdyż jakoby pewien świątobliwy pustelnik, wręczył królowej tarczę Trójcy św. mającą być w walkach Franków obroną.

Źródła.

Ks. Darros: *Historja Kościoła*, Alfred des Essarte: *Legendy niebiańskie.*

Fr. Gay. *Św. Klotylda i początki chrześcijaństwa we Francji.*

Ronquette. *Św. Klotylda i jej czasy.*

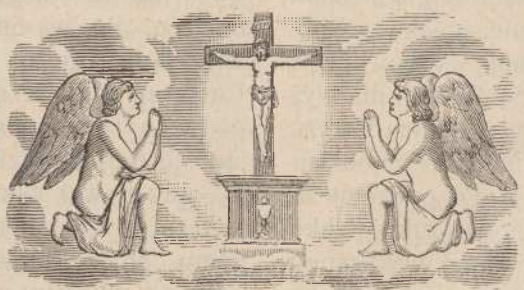

Dnia 10 Czerwca.

BŁOGOSŁAWIONY BOGUMIŁ

Arcybiskup gnieźnieński.

Za rządów papieża Aleksandra III.

Zapal serca oziębłe, zgódź ludzkie niesnaski,
A dusze prowadź drogą miłości i łaski,
Użycz daru modlitwy, którym opatrzony
Mógłby Cię każdy wielbić sługa ulubiony,
Zjednaj nam wszystko dobre przez Twoje zasługi,
I grzechowe u Boga wyproś nasze długi,
Bogumile. rodaku, garniem się do Ciebie,
Pomagaj nam tu w życiu, staw ze sobą w niebie.
Ratuj w przygodach ziemskich nim zawrzem powieki,
Później do chwały Bożej wprowadź nas na wieki.
Godz. o błog. Bogumile.

Młodość. Powołanie, gorliwość i cuda błog. Bogumiła

Ponad brzegami rzeki Warty, kędy Ner wpadając do niej, tworzy jakoby wyspę, na puszczy wśród lasów dębowych, w połowie XIII wieku zamieszkał mąż świętobliwy imieniem Bogumił. Porzucił on znaczenie i dostatki, ustąpił ze stolicy biskupiej, aby w ustroniu tem oddać się całkiem modlitwie.

Ród Sławników, z którego pochodził Bogumił, potężny niegdyś w Czeskiej krainie, gdy ustąpić musiał z ojczyzny, unikając prześladowania nieprzyjaznego sobie rodu Werszowców, łaskawie przyjęty pod opiekę króla polskiego Bolesława Chrobrego, wzmógł się z czasem w majątki i znaczenie. Od imienia pierwszego wychodźcy Poraja, rodzonego brata św. Wojciecha, ród ten przezwał się Poraitami lub Różycami, od wizerunku białej róży, jaką rycerze ci nosili dla odróżnienia na tarczy. Prawnukiem owego Poraja, był świętobliwy Bogumił, ur. około r. 1116 we wsi dziedzicznej Koźminie — położonej obecnie w powiecie kolskim. Ojcem jego był Boguchwał, kasztelan Gnieźnieński, a matką Katarzyna z Gryfitów, rodzona siostra Janisława, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Pod okiem wuja tego, młodociany Bogumił wraz z bratem Boguchwałem, odebrał pierwsze nauki w Gnieźnie; opieka ta wpłynęła następnie i na dalszy kierunek wychowańców. Gdy bowiem z czasem, wysłani do Francji dla wyższego wykształcenia, znaleźli się w zepsutym Paryżu, obyczaje ich skromne i bogobojne życie młodzieńców zwracało powszechną uwagę. Po powrocie do kraju, Boguchwał niezwłocznie przyjął suknie zakonu św. Bernarda, którego poznać mógł we Francji, Bogumił zaś jako jedyny przedstawiciel rodziny, objąć musiał ogólny kierunek nad licznemi włościami, czynami sprawiedliwości i przykładnem życiem, powszechne zyskując uwielbienie. Śmierć rodziców oddała w rozporządzenie jego znaczną fortunę, część jej obracając na Chwałę Bożą, zbudował w Dobrowie, jednej z wiosek swoich, kościół modrzewiowy, a przy nim uposarzył nowo założoną parafję. Poświęcił takowy pod wezwaniem św. Trójcy arcybiskup Janisław, który spostrzegłszy zapewne przy tej sposobności w synowcu swoim niepospolite cnoty, wskazał mu właściwą jego drogę. Udaje się przeto Bogumił na dwór arcybiskupi do Uniejowa, gdzie sprawując czasowo obowiązki kanclerza, wśród postów, umartwień i gorącej modlitwy, sposobił się na przyjęcie święceń kapłańskich. Otrzymawszy takowe na prośby własne, mianowany przez arcybiskupa administratorem fundowanej przez siebie parafji w Dobrowie. Na tem skromnem lecz tak ważnem stanowisku, młody kapłan rozwinął niezwykłą działalność, stawszy się w krótkim czasie wzorem prawdziwego dusz pasterza, sługą Chrystusowym wszelkiemi jaśniejącym cnotami. Sława chwalebnych jego czynów dochodzić musiała często uszów arcybiskupa, skoro bez wiedzy jego, mianował Bogumiła najstarszym kanonikiem, czyli dziekanem katedry gnieźnieńskiej — chcąc go mieć bliżej siebie, jako wzór i przykład do naśladowania dla innych kapłanów. Nie chcąc jednak pozbawiać parafian dobrowskich ukochanego pasterza, mimo błagań Bogumiła, że tym podwójnym obowiązkom nie podoła, pozostawił go nadal proboszczem, dawszy mu tylko do pomocy drugiego kapłana. Gorące pragnienie jego zadosyćuczynić tym obowiązkom Bóg miłosierny cudownie poprzeć raczył, podanie bowiem ludowe głosi, że gdy po odprawionych w dni niedzielne i święta godzinach kapłańskich w katedrze gnieźnieńskiej zdążał piechotą na nabożeństwo do Dobrowy o mil 15 odległej, nie tylko na czas stawał na miejscu, ale po odprawionej mszy św. i nauce powracał do Gniezna na wspólny z kanonikami obiad. Cud ten powtarzał się przez cały czas pełnienia podwójnych obowiązków kapłańskich, a lud dziwując się temu, sądził, że na rękach aniołów unoszony, przebywał tak dalekie przestrzenie. W inny jeszcze sposób chciał Bóg okazać łaskę swoją wiernemu słudze. Podczas wielkich wylewów rzeki Warty i gdy dostęp do kościołka dobrowskiego był bardzo utrudniony, Bogumił nie tylko przebywał wodę suchą nogą, ale i owieczki swoje w tenże spo-

Za pozwoleniem Władzy Duchownej

sób tam i napowrót przeprowadzał. Innym razem zgłodniałą rzeszę nakarmił rybą, która na głos jego zbliżając się z nurtów Warty do brzegu, pozwalała się łowić rękami.

Błog. Bogumił zostaje obrany arcybiskupem gnieźnieńskim.

Objawy te niezwykłej łaski Boskiej nad świętobliwym Bogumiłem sprawiły, iż po śmierci Janisława, kapituła jednogłośnie obrała go Arcybiskupem Gnieźnieńskim. Wzbraniał się mąż święty przyjąć tę godność, sądząc się być niezdolnym do piastowania tak wysokiego dostojeństwa, prosił nawet, aby go z niego zwolniono, lecz gdy nie przestawano usilnie nalegać—widząc w tem wolę Bożą, przyjął wybór, który papież Aleksander III, uprzedzony o jego nadzwyczajnych cnotach, jak najchętniej potwierdził.

Czując ogrom obowiązków, które wziął na siebie, nowy arcypasterz podwoił gorliwość kapłańską, rozszerzając Wiarę św., szczepiąc moralność w duchowieństwie, pilnie zwracając oko na wykształcenie młodego pokolenia. Zwolennik wielki, jak i brat jego Boguchwał, zakonu Cysterskiego, część znaczną ojczystego majątku, składającą się z 5 wsi: Dobrowa, Rzuchowa, Leszna, Szadowa i Kwiatkowa oraz dziesięcin stołu arcybiskupiego w 14 wioskach oddał na ręce brata swego, zakonnika w Łeknie, na ufundowanie klasztoru w miejscu, które jeneralna kapituła tegoż zakonu za najstosowniejsze uzna. Z tego zapisu powstał w r. 1288 klasztor Cystersów w miasteczku Koronowie, w Poznańskiem.

Tak gorliwie rządząc przez lat kilka, gdy liczne obowiązki nieodłączne od tego zaszczytnego stanowiska, odrywając od wyłącznego służenia Stwórcy, narażały go na ciągłą styczność ze światem, Bogumił postanowił zwolnić się z tych ciężarów, by resztę życia poświęcić Bogu. Oddawna pragnął on na wzór uczniów św. Romualda, którzy podówczas świętobliwością, ostrością życia i zaparciem samych siebie, świat chrześciański w zdumienie wprawiali, usunąć się na pustynię, gdzie w bezustannej modlitwie, rozmyślaniu i surowem umartwianiu ciała Bogu jedynie by służył. Z myślą tą zwrócił się do bawiącego naówczas w Wenecji Papieża Aleksandra III, a z synowskiem zaufaniem przedłożywszy powody swoje na klęczkach błagał, aby zwolniono go od obowiązków arcypasterskich, przedstawiając na miejsce swoje Zdzisława, któremu kapituła gnieźnieńska wybór jednomyślny zapewniła. Otrzymawszy czego żądał, powracając w r. 1172 z Wenecji, wstąpił do Węgier, aby się przypatrzeć życiu pustelników reguły św. Romualda i według ich wzoru resztę życia przepędzić.

Pustelnia w Dobrowie. Śmierć błogosławionego.

Piękne i zaciszne lasy Dobrowa, gdzie młodość swoją—a później przy kościele tamtejszym pierwsze obowiązki kapłana pełnił — ciągnęły ku sobie myśl Bogumiła. Była tam naówczas wyspa gęsto dębami zarosła, którą rzeka Warta i wpadający do niej Ner naokół oblewały, tu w głębokiej ciszy, pośród uroczej miejscowości osiadł mąż świętobliwy, przywdziawszy suknię pustelniczą kamedulskiego zakonu. Mnisi tej bardzo surowej reguły zamieszkali w samotniach, każden oddzielnie, karczując lasy i uprawiając ziemię, co na ówczesnych mało zaludnionych obszarach bywało w wielu miejscach zarodem przyszłej cywilizacyi. W pustelni tej przebył bł. Bogumił lat jedenaście, wychodząc niekiedy do licznie gromadzącego się ludu, aby, na wzór św. Jana Chrzciciela do pokuty i poprawy życia zachęcać. Bywało także, mówi X. Damalewicz w życiorysie świętobliwego męża, że dawał się uprosić plebanowi dobrowskiemu, aby dawniejszym owieczkom i poddanym swoim, głosił w kościele słowo Boże i udzielał Sakramentów św., co z wielkiem czynił namaszczeniem i zbudowaniem wiernych. Nastąpiła wreszcie chwila, gdy za życie cnót pełne, miał mąż ten czcigodny odebrać zapłatę przyobiecaną sprawiedliwym. W godzinę śmierci objawiła mu się Najśw. Marja Panna z Dzieciątkiem Jezus na ręku, otoczona zastępem aniołów, w towarzystwie św. Wojciecha. Tem widzeniem niewymownie ucieszony, oddał duszę w ręce Stwórcy swego dnia 10-go czerwca 1182 r. Ciało jego przybrane w pontyfikalny strój biskupi z pierścieniem na palcu i ze złotą tabliczką, do trumny włożoną, na której imię jego, rok i dzień śmierci miały być wyryte, pochowane zostało wśród ogromnego napływu wiernych w kościele dobrowskim, gdzie odtąd liczne przy grobie jego zachodziły cuda, wskutek czego lud wierny, uznając go powszechnie za świętego, tłumnie z najdalszych nawet stron garnął się do Dobrowa. To spowodowało, iż arcybiskup Pełka za upoważnieniem Stolicy Apostolskiej, ciało pustelnika uroczyście z grobu wydobyć kazał, a przekonawszy się o jego tożsamości nie tylko po ubiorze i pierścieniu biskupim, ale głównie z napisu na tabliczce wspomnianej umieszczonego, we wspanialszym grobowcu ku większej czci publicznej złożył szczątki jego w r. 1257.

Cześć dla błog. Bogumiła.

Od tej chwili nabożeństwo ku niemu wzmogło się do tego stopnia, że arcybiskup Wincenty Kot z Dembna na kapitule jeneralnej w Gnieźnie d, 29-go kwietnia 1443 r. widział się zniewolonym wydać rozporządzenie co do ofiar obficie przy grobie błog. Bogumiła składanych. Wskutek polecenia tego, pl o

ban dobrowski pobierać miał tylko ofiary na ołtarzu składane, z tych zaś, które pobożni pielgrzymi dawali przy grobie, połowa przeznaczoną została na wymurowanie nowego kościoła, druga zaś na utrzymanie służby kościelnej. Wosku zaś przez wiernych ofiarowanego część obróconą była na świece do kościoła, reszta zaś powinna była być spieniężoną, a dochód na budowę kościoła zachowany. Dozór nad wpływającymi pieniędzmi i ich przechowywaniem powierzony został przez arcybiskupa wspomnianego i kapitułę plebanowi w Turku. Jednocześnie polecono plebanowi w Dobrowie spisywanie cudów, które się działy przy grobie błog. Bogumiła. Rozpoczęte wówczas starania o kanonizację, dla przedwczesnego zgonu arcybiskupa Wincentego, spełzły na niczem. Z ofiar pieniężnych przy grobie Bogumiła składanych, znalazło się w r. 1462 przechowywanych w zamku uniejowskim 100 grzywien złota, z których kapituła gnieźnieńska w porozumieniu ze swym arcybiskupem przeznaczyła: 50 grzywien na fabrykę kość. katedralnego w Gnieźnie, 30 na odbudowanie zniszczonego ogniem kościoła kollegiaty uniejowskiej, a pozostałe 20 na budowlę kościoła w Dobrowie. Pod koniec XVI wieku zepsucie obyczajów i wzrost protestantyzmu sprawiły, iż pielgrzymki i liczba pobożnych u grobu błog. Bogumiła zmniejszyły się bardzo. Kościół dobrowski nie miał nawet wówczas własnego proboszcza, a relikwje błog. Bogumiła przechowywane były w zakrystji w drewnianej skrzyneczce; w takim stanie znalazł je archidjakon gnieźnieński Wincenty de Sevé, wizytując kościół tutejszy w r. 1608. Upadłą cześć dla błog. arcypasterza podniósł napowrót i ożywił następca jego na stolicy gnieźnieńskiej Maciej Łubieński, który nie szczędząc kosztów, w nową i cynową trumnę przełożywszy relikwje, przy wielkiem zbiegowisku ludu ponownie ku czci publicznej je wystawił. Popierając gorąco sprawę kanonizacji— zarządzić kazał poszukiwania owej księgi, w której spisywano cuda doświadczane u grobowca błogosławionego męża. Dowiedziano się wówczas, że księga ta, istniejąca już od lat 200, przypadkiem dostała się do rąk Sebastjana Głębockiego, skarbnika brzeskiego, który ją starannie przechowywał we wsi swej dziedzicznej Głębokie pod Kruświcą, dopóki pożar, wynikły we dworze, nie strawił jej w pierwszej połowie XVII wieku. Na rozkaz arcybiskupa Łubieńskiego słuchany tenże Głębocki w Kruświcy, w dzień Oczyszczenia Najśw. Marji Panny, pod przysięgą zeznał, że wie o wielu cudach, za przyczyną błog. Bogumiła zaszłych, gdyż miał u siebie księgę tychże cudów i w niej czytał o uzdrowieniu przeszło dwustu chorych, którzy w kościele dobrowskim, na pamiątkę uleczenia swego, pozostawili szczudła, krukwie, i t. p. o przywróceniu wielu niewidomym wzroku, wskrzeszeniu umarłych i t. d. Oświadczył przytem, że tęż księgę dostał od przodków swoich i takową wielu innym dawał do czytania i że mu się ona przy pożarze dworu spaliła. Z zeznaniem tem oraz innemi dokonanemi na miejscu w Dobrowie wyprawił arcyb. Łubieński jako komisarza sprawy beatyfikacyjnej uczonego i powszechnie poważanego ks. Mateusza Judyckiego, archidjakona pomorskiego, kanonika gnieźnieńskiego, w r. 1647, z poleceniem dokładania wszelkich starań, aby tęż sprawę do pomyślnego doprowadzić skutku. Ks. Judycki pilnie chodził za powierzoną sobie sprawą, jeździł za nią po kilkakroć do Rzymu, po lat kilka niekiedy tam bawiąc. Trwały te zabiegi lat 17 aż do r, 1664, podczas których dwóch prymasów zeszło z tego świata: M. Łubieński i Andrzej Leszczyński. Ostatni zwróciwszy uwagę, że w skutek pożaru kościoła w Dobrowie (w r. 1658) oraz częstych wylewów r. Warty, a przez to utrudnionego dostępu dla pielgrzymów, cześć dla błog. Bogumiła doznawała znacznego uszczerbku, postanowił przenieść zwłoki święte do murowanej kollegjaty Uniejowskiej, i w tym celu, opieczętowawszy własnoręcznie w r. 1663 relikwje, wzniósł kosztem swoim w kościele tamtejszym wspaniały sarkofag, czyli grobowiec marmurowy, z mosiężną statuą błog. Bogumiła, wykonaną w Gdańsku. Śmierć jego zaszła w r. 1666, nie pozwoliła dokonać wzniosłego zamiaru. Dopiero następca jego Mikołaj Prażmowski podjął myśl swego poprzednika Postarawszy się u Stolicy Apostolskiej o pozwolenie — udał się do kapituły Gnieźnieńskiej z prośbą, aby mu wydała przechowywane od wieków w skarbcu (zapewne od czasu pierwszego podniesienia szczątków przez arcyb. Pełkę) — relikwje św. arcypasterza, celem złożenia ich z resztą szczątków świętych w nowo przez siebie sprawionej pięknej trumnie, która na ołtarzu wyżej wspomnianym wystawianą być miała. Kapituła przychylając się do tej prośby, w uroczystej procesji udała się do skarbca, gdzie ks. Stan. Dzianott, biskup tesseński, sufragan kujawski i kanonik gnieźnieński, wydobywszy skrzynkę starannie opieczętowaną, w imieniu kapituły metropolitarnej doręczył wyjętą z niej kość z ramienia błog. Bogumiła delegowanemu od arcybiskupa i kapituły uniejowskiej ks. Jackowi Juszyńskiemu, kustoszowi uniejowskiemu, który ją wśród procesji wyniósł z kościoła i wywiózł na miejsce przeznaczenia. Trudniejsze pozostawało zadanie— podjęcia relikwji z kościoła dobrowskiego. W przewidywaniu, że parafianie tamtejsi nie zezwolą na wydanie tak drogiej dla nich pamiątki, zdecydowanem było tajemne jej uwiezienie. Sprawę tę oddano w ręce wspomnianego ks. Juszyńskiego, dodawszy mu do pomocy ks. Mateusza Orłowskiego, kanonika uniejowskiego. Ci, używszy wybiegu, zaledwie zabrane relikwje wywieźli, gdy kasztelan lędzki Łaszscz z Brudzewa na czele pocztu konnych i pieszych po-

spieszył w pogoń za niemi, aby odebrać zwłoki świętego. Pościg się nie udał i kanonicy przybyli szczęśliwie do Uniejowa, gdzie w kościołku św. Wojciecha złożyli tymczasowo relikwje, które następnie w dniu 29 stycznia 1668 r. wśród wielkiej uroczystości i wobec niezliczonych tłumów wiernych na ołtarzu w kollegiacie uniejowskiej wystawione zostały. Godny następca poprzedników swoich Stanisław Szembek, arcybiskup, popierał dalej sprawę kanonizacji, a umierając w r. 1721 testamentem na tenże cel 1000 dukatów przeznaczył.

Nie zaniedbywali sprawy tej, tak ważnej dla całego kościoła: Teodor Potocki i Krzysztof Szembek - prymasi. Wyznaczone przez nich komisje do Uniejowa i Dobrowa dla zbadania wiarogodności cudów, sprawdziły takowe na miejscu i przekonali się o niezachwianej wierze ludu w skuteczność wstawiennictwa do Boga błogosławionego ziomka swego. Z protokułów tych komisji ks. Bartłomiej Sokołowski, proboszcz Uniejowski, ułożył w r. 1748 dziełko podające wiadomość o cudach doświadczonych u grobu błog. Bogumiła. Wspomniany arcyb. K. Szembek — nie zrażony długą przewłoką sprawy beatyfikacyjnej, ostatnią swoją wolą przeznaczył na ten chwalebny cel 600 dukatów — i choć od tego czasu nikt nie kołacze do Stolicy Apostolskiej o wydanie ostatecznego wyroku o świętobliwości Bogumiła, lud wierny przekonany o tem, gromadnie nawiedza pustelnię jego w Dobrowie d. 24 czerwca, grób zaś w kollegiacie Uniejowskiej na Zielone Świątki.

Opis Dobrowy i miejscowego kościoła.

Dobrowo, pierwotnie zapewne Dąbrowa, leży zaledwie o wiorst parę od miasta powiatowego Koła, w gub. kaliskiej. Chcąc wybrać się tam pieszo, wycieczkę ową należy urządzać w miesiącach letnich, na wiosnę bowiem i w późnej jesieni okoliczne łęgi, pokryte jednem zwierciadłem rozlewającej tu Warty, czynią dostęp prawie niepodobnym. Droga z Koła prowadzi przez wydmy piasczyste, stanowiące niegdyś brzek Warty, gdzie nierzadko napotykane skorupy popielnic, wskazują na obecność tu niegdyś cmentarzysk pogańskich. Mijamy wieś Ruszków, gniazdo rodziny szlacheckiej Ruszkowskich.

Wał ziemny towarzyszy nam ciągle; broni on grunta tutejsze od zalewów r. Warty i kołem otacza Dobrowo. Wieś sama osiadła lekkie wzgórze, a nad rzeszą nizkich strzech wieśniaczych, panująca wieża murowanego kościoła, krzyżem ze szczytu swego, witać się zdaje przychodnia. Założony w pierwszej połowie XIII wieku przez błog. Bogumiła gdy w r. 1658 spłonął, odbudowany z drzewa dzięki ofiarom pobożnym, przetrwał do zeszłego wieku. W r. 1768, staraniem miejscowego proboszcza ks. Pawła Rossowskiego, kanonika łaskiego, dźwignięty z muru — w tym stanie przetrwał do obecnej chwili. Ołtarzy w kościele cztery; z tych wielki przedstawia św. Trójcę, pod której wezwaniem zbudowano ten kościół. W pośrodku świątyni pomnik grobowy, stanowiący zarazem piąty ołtarz, przedstawia błog. Bogumiła, arcybiskupa gnieźnieńskiego, rzeźbionego w drzewie. W bocznym ołtarzu starożytny obraz tego świętego - powszechnie uważany za cudowny, na którym zawieszone ofiary dowodzą łask otrzymanych za jego wstawieniem. Otacza go w kształcie ramy szereg obrazów, przedstawiających sceny z życia błogosławionego Bogumiła; ciekawy ten zabytek pochodzi z r. 1660 — odnawiany był dwukrotnie w r. 1737 i 1845. Prócz powyższego obrazu cząstka relikwji, przysłana tu z Uniejowa na skutek rozporządzenia J. E. ks. Popiela, ówczesnego biskupa kujawsko-kaliskiego — stanowi drogą pamiątkę po pierwszym proboszczu dobrowskim. Przypomina go również żywo pustelnia odległa nieco od kościoła parafialnego i leżąca już za Wartą. Drewniany ten kościołek ocieniały niegdyś dęby, nie pozostało z nich śladu, jedynie źródło krynicznej wody, ciekące dotąd — miało koić pragnienie pustelnika. Uboga powierzchowność kościołka tego nie zdradza cennych dzieł sztuki kryjących się wewnątrz. W pośrodku świątyni tej stoi kamienny sarkofag, a na nim wykuta postać arcybiskupa Bogumiła w pontyfikalnym stroju. Wspaniała ta rzeźba wyszła z pod dłuta znanego artysty Kurzawy, kosztem małżonków Siekaczów w r. 1890. W ołtarzu obraz pędzla Jabłońskiego przedstawia błog. Bogumiła, na którego głos z nurtów rzeki Warty wypływają ryby. Zasłonę stanowi wizerunek św. Wojciecha, dzieło tegoż artysty malarza z r. 1887. Czystość wzorowa zaleca kościołek ten, odnowiony, jak wnosić należy z wyrytego napisu na belce, r. 1788.

Modlitwa na dzień uroczystości Bł. Bogumiła.

(10 czerwca).

Po apostolskich trudach, ciężarach dostojności pasterskiej, po zasianiu niwy serc ludzkich bogatem ziarnem; po wielu wreszcie latach spędzonych na pustelni dobrowskiej, dostąpiłeś błogosławiony nasz ziomku, wiekuiście trwałej chwały królestwa niebieskiego. Panna Przenajświętsza, której za życia swego gorliwym byłeś czcicielem, grono Świętych współrodaków i chóry anielskie, czystą duszę Twoją, jako skarb drogi uniosły do krainy Błogosławionych, przed tron Najwyższego. Za pożytki jakieś Swem życiem przymnożył, za gorącą miłość Twoją dla Stwórcy i za powiększenie w niebiosach zastępu Sług Bożych, niechaj Ci będzie, Błogosławiony Cudotwórco Bogamile, cześć i chwała. Ty zaś pomny na święte węzły, jakie Cię niegdyś w doczesności z nami łączyły, bądź nam przed Majestatem Pańskim Orędownikiem a tu na ziemi Opiekunem ratującym nas we wszelkich życia tego przygodach. Amen.

BEATYFIKACJA TRZYDZIESTU CZTERECH BŁOGOSŁAWIONYCH MISJONARZY

umęczonych w Tonkinie i Kochinchinie.

D. 2 maja roku bież. 1909 miała miejsce solenna uroczystość beatyfikacji męczenników, których imiona okrywają nową chwałą niestrudzoną pracę tak zwanych Misji Zagranicznych.

Jednocześnie z trzydziestu trzema apostołami chrześcijaństwa, którzy wśród pogan żółtej rasy chwalebną śmierć ponieśli w ubiegłym stuleciu, wyniesionym także został na ołtarze bł. Franciszek Capillas, Dominikanin, pierwszy z Europejczyków, który krew swą za wiarę św. w Chinach przelał.

Ścięto mu głowę w mieście chińskiem Fe-Gan w 1648 r.

Nie opowiadając tu szczegółowo dziejów każdego z tych wielkich serc, z taką miłością i poświęceniem oddających się na ofiarę dla obudzenia wiary wśród pogan, chcemy pokrótce dać przynajmniej wzmiankę o każdym z tych nowo beatyfikowanych.

Z trzydziestu trzech 4 z nich było Francuzów: *błog. Stefan Teodor Cuenot* wikarjusz apostolski wschodniej Kochinchiny, zmarły w więzieniu 14 list. 1861 r., *błog. ks. Piotr Fran. Neron* z Misji Zagr., ścięty d. 3 list. 1860 r., *błog. ks. Jan Teofan Senerd*, ścięty 2 lut. 1861 r. i *błog. ks. Jan Piotr Néel*, ścięty 19 lut. 1862 r.

Obok nich cały legion miejscowych kapłanów i katechistów, dzielących z nimi chwałę i cierpienia.

W bazylice św. Piotra w Rzymie nad głównym portykiem umieszczono obraz przedstawiający mękę apostołów w Chinach. Z prawej strony błog. ks. Néela z trzema krajowcami wraz z nim umęczonymi, z lewej strony błog. ks. Capillas, pierwszy męczennik na chińskiej ziemi. Obraz ten wymalował Tom. Seneteri.

Ceremonja beatyfikacji.

Ceremonja rozpoczęła się o godz. 10-tej z rana. Wśród licznie zebranych kardynałów, należących przeważnie do kongregacji Rytów czyli Obrządków, zajmującej się badaniem i zatwierdzaniem procesów beatyfikacyjnych, znajdował się w pierwszym rzędzie kard. Martinelli, Vives, O. Cormier, gen. Dominikanów i Lesserteur, Superior Misji Zagr., obok nich O. Kaiser, postulator sprawy błog. Capillasa i O. Boulanger, postulator 33 męczenników Misji Zagr. Ci dwaj ostatni zwrócili się do kard. Martinellego, prefekta kongregacji Rytów z prośbą o odczytanie dekretu beatyfikacyjnego, a do kard. Rampolli, arcykapłana bazyliki św. Piotra o danie na to swego przyzwolenia.

Po odczytaniu dekretu rozbrzmiał hymn wspaniały: *Te Deum.*

W tejże chwili odsłonięty został sztandar przedstawiający chwałę nowo beatyfikowanych męczenników. Na środku przedstawiony jest bisk. Cuenot w pontyfikalnych szatach z oczami zwróconemi na palmę męczeńską, którą mu podają trzej aniołowie. Obok niego błog. Capillas patrzy radośnie na narzędzia męki, miecz i kajdany. Dalej błog. Neron, Néel, Venard, w stułach w otoczeniu chińskich męczenników. (Sztandar ten wykonany jest artystycznie przez malarzy: Bottiniego i Francisi). Siostry i siostrzenice Ojca św., były obecne podczas ceremonj ału.

Krewni błogosławionych. — Brat błog. Teofana Venarda.

Żywe wzruszenie malowało się na twarzach krewnych niektórych z nowo beatyfikowanych, mających szczęście uczestniczyć w tak radośnej dla ich serc uroczystości. Były tam: dwie siostry bł. Néel, jego siostrzeńce i siostrzenice, siostra i siostrzenica błog. Nerona, krewni bliscy błog. Cuenota, jak również czcig. ksiądz z Assay, Euzebjusz Venard, brat rodzony błog. Teofana Venarda, (którego żywot podaliśmy w № 6 bież. roku). Jest to obecnie starzec 80 letni. Ojciec św. życzył sobie przyjąć go na audjencji, dając mu pierwszeństwo przed wszystkimi innymi dostępującymi w dniu tym zaszczytu otrzymanie błogosławieństwa papieskiego. Naoczny świadek beatyfikacyjnych uroczystości opisuje rozmowę swą z czcig. księdzem Venardem, którą miał właśnie przed audjencją jego u papieża.

W prostych a serdecznych słowach wyrażał on swe wrażenia z powodu beatyfikacji brata. Od chwili otrzymania wiadomości o męczeństwie błog. Teofana, zajął się gorliwie zebraniem materjałów do szczegółowego opisania jego życia, a będąc w posiadaniu listów brata, pisanych do rodziny, miał możność odtworzyć wierny obraz tej wielkiej i czystej duszy. Ks. Euzebjusz opowiadał ze wzruszeniem o boleści, jaką doświadczył, dowiedziawszy się z gazet o żałobnej wieści.

Było to w piękny, majowy wieczór w 1861 r., kiedy po odbytej w kościele nauce powracał na probostwo. O. Przełożony Misji Zagranicznych miał już w swym ręku list z dalekich krajów do ks

Euzebjusza wysłany ale wiedząc, że smutne przynosi nowiny, nie oddał go natychmiast, chcąc sędziwego kapłana przedtem ostrożnie przygotować do bolesnego ciosu. Ks. Euzebjusz udawszy się dnia tego na spoczynek, nie mógł usnąć zaraz, dręczyły go przeczucia, nagle wzrok jego padł na numer pisma „*Univers*“ („Świat“) i tam w korespondencji z Hong-Kongu wyczytał, że brat ukochany Teofan został ścięty. Nazajutrz w liście otrzymanym znalazł już tylko potwierdzenie tej wiadomości.

Ks. Euzebjusz Venard jeden tylko z licznego rodzeństwa pozostał przy życiu. Przed trzema miesiącami zmarł jego brat młodszy, siostra Melanja, pobożna zakonnica, do której błog. Teofan tak rzewnie i tkliwie a zawsze pełne gorącej wiary pisał listy, oddawna już spoczywa w grobie.

Nowe wydanie książki p. t.: „*Życie i korespondencja błog. Teofana Venarda*“ napisanej przez ks. Euzebjusza, wkrótce się ukaże; z tych to materjałów czerpaliśmy chcąc zapoznać czytelników naszych z postacią nowo beatyfikowanego męczennika. Książka ta jest wyrazem czci, hołdu i braterskiego przywiązania i wzrusza tem więcej, że skreślona jest ręką sędziwego kapłana, któremu Opatrzność dozwoliła być naocznym świadkiem tryumfu umiłowanego brata i widzieć go dziś wyniesionym na ołtarze. Wieczorem tegoż dnia (2 maja b. r.) liczne tłumy pomimo ulewnego deszczu zapełniły bazylikę. Pius X w orszaku dwudziestu pięciu kardynałów przybył dla uczczenia relikwji wystawionych na ołtarzu.

Misje zagraniczne.

W ciągu dziewiętnastego wieku Towarzystwo Misji Zagranicznych oraz Misje Chin, Tonkinu i Kochinchiny wielu mężów olbrzymiej zasługi i cnoty wydały, z pomiędzy nich spora ilość śmierć chwalebną poniosła. Z tych niestrudzonych apostołów czterdziestu dziewięciu męczenników beatyfikowano podczas rządów papieża Leona XIII-go w 1900 r. a oto w tym roku Pius X-ty chwałę nowych wyznawców Chrystusowych chrześciańskiemu światu obwieszcza.

Zajmowali oni rozliczne stanowiska w wojującym zawsze w imie prawdy Katolickim Kościele: Jeden biskup; trzech misjonarzy francuzkich; siedmiu księży anamitów; dwóch seminarzystów; dziesięciu katechistów; sześciu chrześcian i cztery chrześcianki anamickiego i chińskiego pochodzenia.

Oto według wikarjatów apostolskich rozmieszczone ich nazwiska z krótką wzmianką i datą urodzenia i śmierci:

We wschodniej Kochinchinie.

1) *Biskup Stefan Teodor Cuénot*, wikarjusz apostolski, biskup w Metellopis, ur. 8 lutego 1802 r. w Bélieu we Francji, zmarły w więzieniu Bin-Din 14 list. 1861 r.

2) *Andrzej Nam-Tuong*, katechista, ur. w 1790 roku w Godi, zm. w więzieniu Mi-tho 15 lipca 1855 r.

W zachodniej Kochinchinie.

3) *Józef Lun*, katechista, ur. 1790 um. w więzieniu w Winh-Long 2 maja 1854 r.

4) *Ksiądz Paweł Loc*, ur. 1831 r. w Au-non, ścięty w Saigonie 28 maja 1859 r.

5) *Paweł Hank*, ur. w Kokanie 1826 r. ścięty w Saigonie 28 maja 1859 r.

6) *Ksiądz Piotr Kui*, ur. 1826 r. w Bungu, ścięty 31 lipca 1859 r.

7) *Emanuel Phung*, katechista, ur. 1796 r. uduszony koło Szodoku 31 lipca 1859 r.

8) *Piotr Luu*, katechista, z Gowapu ur. 1812, ścięty w Mi-To w kwietniu 1861 r.

W północnej Kochinchinie.

9) *Michał Hy*, chrześcianin, intendent jedwabnych tkanin w Kochinchinie ur. 1808 w Nulamie, ścięty w Anhoi 22 maja 1857 r.

10) *Franciszek Trung*, kapral, ur. 1825, w Kochinchinie, ścięty w Anhoi 6 października 1858 r.

11) *Józef Thi*, ur. 1825 r. w Kewan, uduszony w Anhoi 24 października 1860 r.

12) *Ksiądz Jan Hoan*, ur. w 1798 w Kimtong, ścięty w Danghoi 26 maja 1861 r.

13) *Mateusz Phuong*, katechista ur. 1801 r. w Kelei, ścięty w Donghoi 26 maja 1861 r.

W Tonkinie zachodnim.

14) *Piotr Franciszek Neron*, misjonarz apostolski, ur. 1818 r. w Bornay (departament Jura), ścięty w Sentaju 3 listopada 1860 r.

15) *Jan Teofan Venard*, misjonarz apostolski, ur. 21 listopada 1829 r. w Saint-Loup we Francji, ścięty w Hanoi 2 lutego 1861 r.

16) *Agnieszka De*, chrześcianka z Bajdenu, zmarła w więzieniu w Namdinie 12 lipca 1841 r.

17) *Piotr Kanh*, ksiądz, ur około 1780 w Haode ścięty w Kongo 12 lipca 1842 r.

18) *Wincenty Huong*, ksiądz, ur. 1802 r. w Kesai ścięty w Kandie 27 kwietnia 1856 r.

19) *Paweł Tinh*, ksiądz, ur. 1793 r. w Trin-ha ścięty w Nin-Bin 6 kwietnia 1857 r.

20) *Piotr Van*, katechista ur. 1780 r. ścięty w Sontaju 25 maja 1857 r.

W Kuy-Czeu (Chiny).

21) *Jan Piotr Niel*, misjonarz apostolski, ur. 1832 r. w St. Catherina sur Riverie we Francji w Kaiczeu 18 lutego 1862 r., ścięty w Kaiczeno 1862 r.

22) *Józef Tchang Ta-pong*, katechista, ur. 1754, uduszony w Ku-Jang 12 marca, 1815 r.

Trzech następnych ścięto w Mao-Keu 28 stycznia 1858 r.

23) *Hieronim Lu*, katechista, ur. 1810 w Mao-Keu.

24) *Wincenty Uang*, katechista, ur. 1811 roku w Pujang.

25) *Agata Lin*, panna, nauczycielka ur. 1817 r. w Maczang.

Czterech ściętych w Czyngaju 29 lipca 1861 r.

26) *Józef Tchang*, seminarzysta w 1832 r.

27) *Paweł Tchen*, seminarzysta w Sinczenu ur. 1838 r.

28) *J. B. Lo*, chrześcianin z Hiny ur. 1825 r.

29) *Marta Uang*, z Hiny ur. 1812 r.

Czterech ściętych w Kaiczen 18 lutego 1862 r. wraz z wyżej wspomnianym *ks. J. P. Neelem.*

30) *Marcin Ou*, katechista, ur. 1815 z Tangelu.

31) *Jan Tchang*, ur. 1805 r.

32) *Jan Tchen*, katechista, z Sucznenu.

33) *Lucja Y*, panna, nauczycielka ur 1813 r. w Huanlong.

Długi ten szereg imion brzmi nam na pozór obco, bo jakże mało interesujemy się niestety tą pełną zaparcia się siebie działalnością misjonarzy, niosących chętnie życie swe w ofierze, aby słowo Boże przeniknęło w najdalsze zakątki, aby rozproszyły się ciemności i kiedyś w przyszłości cały świat stanowił tak upragnione królestwo Boże na ziemi.

Widzimy z nazwisk krajowców nawróconych, że praca apostolska nie idzie na marne, że zdołali oni obudzić ducha pobożności i gorącą miłość dla Jezusa Ukrzyżowanego w tych ludziach, którzy następnie szli odważnie pod miecz katowski, znosili mężnie tortury, ażeby zapewnić innym i sobie duszne zbawienie.

Biskupi i misjonarze. Błog. Stefan Cuénot.

W pierwszym rzędzie ofiar męczeństwa na dalekim wschodzie postawić należy błog. biskupa Stefana Cuénot, wikarjusza apostolskiego w Kochinchinie. Stał on na czele misji przez lat 26 od 1835 do 1861 r. niestrudzony w pracy nawracania i umacniania w wierze, pomimo ustawicznych prześladowań i w najcięższych warunkach postawiony.

Biskup ten wyświęcił 56 księży anamitów, ochrzcił przeszło jedenaście tysięcy tuziemców, ewangelizował całe pogańskie pokolenia, przetłumaczył wiele dzieł chrześciańskich na miejscowe narzecza. Ciągłe przeciwności, oraz ciężkie choroby, jakie przebywał nie zachwiały jego energji ani na chwilę.

— Nie zamieniłbym mego stanowiska choćby mi w zamian wszystkie królestwa całego świata, ofiarowano, mówił ten błogosławiony apostoł, a cenię je dlatego, że nie straciłem jeszcze nadziei, iż mi prześladowcy nasi jakiego pięknego, poranku zetną głowę!

W 1856 r. czuł się tak dalece wyczerpanym i znużonym, że z trudem mu przychodziło list napisać, wydawać rozkazy, nawet odprawianie Mszy św. było mu nad wyraz trudnem. Pomimo tak opłakanego stanu zdrowia dzielny pasterz za nic w świecie nie chciał wypocząć i usunąć się choćby czasowo ze swego stanowiska.

W 1861 r. dwóch jego pomocników misjonarzy i dwóch anamickich księży będących w podeszłym wieku błagali biskupa, aby wraz z nimi wyjechał z kraju, w którym co chwila groziło mu niebezpieczeństwo z powodu walki toczącej się pomiędzy Francją i miejscowym rządem. Obiecywano sobie, że wkrótce będzie zawarty traktat mocą którego wszelkie prześladowania religijne ustaną.

Biskup Cuénot pozwolił im oddalić się, ale sam postanowił wytrwać i nie chciał opuścić swej owczarni, mówiąc:

Dobry pasterz oddaje życie dla swych owieczek.

To postanowienie pozostawia w kraju, gdzie panował niepokój i wrogie usposobienie dla przybyszy równało się podpisaniu wyroku śmierci; wrzenie było tak silne, że wszyscy przewidywali rychłe aresztowanio biskupa.

Nastąpiło ono istotnie w bardzo prędkim czasie. Dnia 29 października wtrącono go do więzienia w Bindingu, gdzie zmarł po pietnastu dniach katuszy. Zaledwie błogosławiony pasterz zamknął oczy, przybył goniec królewski z rozkazem natychmiastowego ścięcia biskupa Cuéneta. Miejscowy gubernator namyślał się, czy ma na nieboszczyku wykonać wyrok, ale zauważył, że jest to trud zbyteczny. Szczątki biskupa pogrzebiono. We trzy miesiące potem okrutny władzca Tu Duk kazał odkopać trupa i wrzucić go do rzeki. Żołnierze i świadkowie tej sceny byli niezmiernie zdumieni ujrzawszy ciało Bożego sługi najzupełniej świeże, jak gdyby wczoraj dopiero do grobu złożone. Żadnych śladów zepsucia doszukać się nie można było, pomimo że zwłoki znajdowały się w gruncie wilgotnym, otoczone zgniłemi korzeniami drzew bambusowych.

Tak więc ziemia uszanowała błogosławione szczątki, a ludzie jeszcze po śmierci pastwili się nad umarłym.

Błogosławiony Piotr Neron.

O błog. Teofanie Venardzie nie będziemy już pisali na tem miejscu, ponieważ niedawno podaliśmy szczegółowy jego żywot.

Przejdziemy więc do następnego misjonarza

czcigodnego Piotra Nerona, którego życie da się streścić w kilku słowach.

Dzieciństwo wiejskiego chłopczyny, następnie znacznie później już budzące się w nim powołanie do stanu duchownego; wiele nędzy fizycznej i cierpień moralnych, ucieczka do lasów dla samotnych rozmyślań, kilkakrotne aresztowania i oswobodzenia; dobrowolne morzenie się głodem przez trzy tygodnie, apostolska praca, wreszcie ścięcie głowy, śmierć chwalebna za wiarę.

Najdziwniejszem było to, że przed śmiercią swą błog. Piotr Neron tak samo 21 dni przebył bez żadnego posiłku. Znajdował się w więzieniu w Sontaju, czekały go krwawe biczowania; dnia 4 września 1860 r. wieczorem rzekł:

Nie przynoście mi jedzenia, nic bowiem jeść nie będę.

Nazajutrz już nic nie wziął do ust, kilka dni następnych pił tylko nieco wody, poczem i tego się wyrzekł. Dopiero po trzech tygodniach posilił się nieco. Fakt ten potwierdzili chrześcianie i chińczycy poganie, żołnierze i mandaryni, ponieważ w wyroku śmierci jest także wzmianka o morzenie się głodem błog. Piotra Nerona.

Błog. Jan Piotr Néel.

Błogosławiony Jan Piotr Néel był usposobienia poważnego, w naukach pilny i wytrwały, początkowo jednak, niczem nie wyróżniał się w szczególności.

Odpłynął do Chin w 1858 roku, umęczony we cztery lata potem w 1862 roku. Jego aresztowanie oraz skazanie na śmierć i wykonanie wyroku były tak pośpieszne, jak jego krótkie apostolstwo, które jednak musiało być owocne wielce i miłe Bogu, ponieważ zasłużył na palmę męczeńską.

Pochwycili go chińscy żołnierze w wiosce Kia-sza-long rano 18 lutego; przywiązany za włosy do końskiego ogona zaprowadzony został do sędziego.

Badania trwały krótko, chińscy urzędnicy dobrze byli poinformowani przez wyższą władzę, że im więcej okażą okrucieństwa, tem większe otrzymają pochwały i odznaczenia.

— Jak się nazywasz? — zapytał urzędnik misjonarza.

Po chińsku nazywają mnie *Uen*, po francusku zaś zowią mię Neel.

— Padnij natychmiast na kolana.

— Nie jestem chińczykiem. Przybyłem z Francji dla nauczania religji katolickiej, zgodnie z zawartym pomiędzy Francją i Chinami traktatem. Nie mam potrzeby padać przed tobą na kolana, jestem bowiem gościem w waszym kraju, nie zaś jakimś zbrodniarzem.

W tej chwili żołnierz stojący obok niego uderzył go z całych sił po plecach żelaznym łańcuchem, co go zmusiło paść plackiem na ziemię. Misjonarz powstał z trudem, czując ból dotkliwy i chciał pokazać swój pasport, ale mandaryn okrutny uprzedził go mówiąc szyderczo:

— Ten pasport wydał twój rząd a nie nasz, więc on nic nas nie obchodzi. Wyrzeknij się twej wiary, w przeciwnym razie zamordować cię każę.

— Zupełnie zbyteczne zapewnienie, wiesz dobrze, że nie będę wyrzekać się swojej wiary, możesz więc zaraz mię zabić, odpowiedział błog. Neel.

W kilka minut potem w chmurny ponury wieczór zimowy spadła głowa bezbronnego misjonarza, a działo się to w samem centrum chińskiego państwa, w czasie, gdy Europejczykom zdawało się, że anglo-francuzka armja zdobyła wolność religijną w tym pogańskim kraju.

Księża i seminarzyści.

Obok misjonarzy przybyłych z Europy, siedmiu księży anamickich padło ofiarą tyranji i ciemnoty.

W całym świecie chrześciańskim księża są przedstawicielami Chrystusa na ziemi, to też księża z dalekiego Wschodu również jak i przybyli w celach misyjnych z Zachodu doskonale pojęli swe wzniosłe zadanie i nie cofnęli się przed ofiarą życia w obronie wiary św.

Byli pomiędzy nimi bardzo młodzi, którzy śmierć ponieśli wnet prawie po wyświęceniu. Tak np. Piotr Kui, lat trzydziestu, ścięty w 1859 roku radośnie pod miecz katowski oddał głowę, a przed tem pisał do jednego z Ojców:

— Zaliż nie doznam tego szczęścia, abym mógł walczyć i umrzeć dla chwały Bożej?

Obyż mi łańcuchy były drogocennym naszyjnikiem, a żelazne okowy na ręku najwspanialszą obrączką. O daj że mi Boże miłosierny łaskę męczeńskiej śmierci!...

Inni, jak Jan Hoan w r. 1798 † 1861 cierpieli przez długie lata najstraszniejsze prześladowania okrutnych władców, Min-manga i Tu-Duka. Trzeba było ustawicznie ukrywać się, z jednej do drugiej prowincji uchodzić przed czujną policją, śledzącą sług Bożych, jak zbrodniarzy, za to, że głosili wiarę Chrystusową i nawracali pogan.

* * *

Błog. Piotr Kang sam wykształcił ośmiu księży, z których sześciu poszło na męki. Czyż nie świadczy to wymownie o niestrudzonej gorliwości tego ojca duchownego sześciu męczenników, który potrafił obudzić w nich tyle wytrwałości i męztwa. Miejscowi księża, znający doskonale język i obyczaje swych współrodaków, mają możność oddawać niezrównane usługi kościołowi św., tem bardziej, że

praktyka wykazała, jak dalece oddani są przyjętym obowiązkom i jak gorąco przywiązani są do religji katolickiej. Ani tortury, ani miecz katowski nie mogą ich zastraszyć, dążą śmiało wytkniętą drogą, a cicha ich, pełna poświęcenia praca wydaje jak najlepsze owoce.

* * *

Jakże wzruszającym jest błog. ks. katecheta, Piotr Luu, który z narażeniem życia odwiedzał Ojców podczas ich uwięzienia, a w końcu sam pod miecz katowski oddał głowę.

Pełen ofiarności był również ksiądz Paweł Loc, ścięty właśnie w chwili, gdy okręty francuzkie zdobywały fort Jaigon w 1859 r.

Historja ks. Pawła Tinha ogromnie ciekawie się przedstawia; był on seminarzystą, pustelnikiem, doktorem wielkiego mandaryna, przebywał na wygnaniu, następnie ułaskawiony, zostaje księdzem, profesorem i superiorem seminarjum; przez pewien czas protegował go gubernator prowincji, następnie padł ofiarą zdrady, aresztowany i skazany na śmierć odmówił wręcz, kiedy mu przedstawiano możność ratowania życia, jeżeli pewne ustępstwa ze swych zasad uczyni.

Błog. ks. Wincenty Huong żegnając się przed egzekucją z pozostałymi w więzieniu braćmi, rzekł do nich:

— Żegnajcie bracia mili, z którymi tak zgodnie i serdecznie żyłem do ostatniej chwili; oto z rozkazu króla idę na śmierć, za to tylko, żem jest wyznawcą Chrystusa i że wykładałem zasady religji katolickiej.

* * *

Klerycy, jak Józef Tchaag i Paweł Theu okrywają chwałą seminarjum Misji w Kuy-Schen, a w licznych listach pisanych do swego biskupa, podczas uwięzienia, wyrażają gorące pragnienie męczeństwa za wiarę. Jakże pełne chrześcijańskiej prawdziwie czystości i prostoty były te młodzieńcze dwudziestoletnie zaledwie serca!

Katecheci.

Katecheci są nieodzownymi pomocnikami Ojców misjonarzy, oni to bowiem uczą pogan a nieraz i chrześcijanom tłumaczyć muszą dogmata religji katolickiej, przygotowują dzieci i starszych do spowiedzi, a zarazem dają praktyczne wskazówki nowo przybyłym misjonarzom, znają bowiem doskonale ludność miejscową, wiedzą gdzie najwięcej potrzeba użyć pracy i w ten sposób dopomagają w apostolskich trudach, które bez ich pomocy byłyby prawie niemożliwe do uskutecznienia.

Pomiędzy nowo beatyfikowanymi znajdujemy dziesięciu katechetów, pięciu w annamskiem a pięciu w chińskiem państwie. Andrzej Nam-Tuong, mający lat 64 gnany był pieszo z *kangą* [1]) na ramionach, rękoma w okowach długą przestrzeń, z Bindinu do Mito, a w tej drodze na śmierć miał tę pociechę, że syn jego, młody kapłan, udzielił mu rozgrzeszenia.

Józef Luu dręczony i katowany, odpowiedział niezłomnie:

— Nigdy nie podepczę krzyża; raczej śmierć niż odstępstwo!

Emanuel Fung posiadał liczną rodzinę i był dość majętny. Chociaż niepiśmienny mógł doskonale swym zdrowym rozsądkiem wykształconym ludziom sprostać. Charakteru stanowczego, wymowny i nieustraszony, miał minę dowódzcy, dał też dowód odwagi w stanowczej chwili i żadnej groźby się nie uląkł. Mateusz Fuong znosił męki razem z ks. Janem Haornem. Piotr Van, skromny, cichy, bardzo pobożny i pracowity. Józef Tchang Ta-Pong umęczony w 1815 r., a więc blizko przed wiekiem był jednym z tych dzielnych żołnierzy Chrystusowych, których przykład innych zagrzewa do walki i działa zbawiennie na otoczenie. To też widzimy w ślad za nim idących raźno, z uśmiechem radości na ustach męczenników, uczniów jego i współbraci. Do tych przykładnych bojowników z pierwszej połowy zeszłego stulecia zaliczyć również należy Hieronima Lu i Wincentego Uanga.

Chrześcijanie i chrześcijanki.

Oto przesunął się przed naszymi oczami długi szereg duchownych, seminarzystów, kleryków, katechetów, a w procesie beatyfikacyjnym świecą jeszcze imiona skromnych postaci wiernych, pomiędzy którymi widzimy starców, ludzi dojrzałych, młodzieńców, wdowy, panny i kobiety zamężne; wszyscy zrodzeni w dalekiej swej ojczyźnie na annamskiej ziemi.

Michał Hy zajmujący dość znaczne stanowisko przy jedwabnictwie Tu-Duka, po chwilowem zachwianiu się, tem silniej jeszcze trwał przy wierze, za którą w końcu śmierć poniósł.

Józef Thi, kapitan i Franciszek Trung żołnierz równie dzielni ciałem i duchem, dali dowody wytrwałości i męztwa.

Jan Lo uczciwy rolnik i Jan Thang zaledwie ochrzczony neofita, oddający radośnie głowę pod miecz, aby dowieść jak szczerymi są wyznawcami religji Chrystusowej.

Historja nawrócenia Pawła Hana, przypomina do pewnego stopnia dzieje Dyzmy dobrego łotra, który szczerą skruchą raj zdobywa.

---

[1]) Kanga jest to deska drewniana z otworem na głowę, jedno z licznych narzędzi tortur w Chinach używanych.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Agnieszka De, zacna chrześcijanka cierpiała okrutne prześladowania za to, że okazywała misjonarzom wiele szlachetnego miłosierdzia. Zbitą do krwi wtrącono do klatki, ale Agnieszka znosiła ból cierpliwie, a gdy córka przyszła ją odwiedzić, rzekła wskazując swe rany:

— Dlaczego płaczesz? Te krwawe piętna to czerwone róże, któremi na śmierć przystrojono me ciało.

Marta Uang, wdowa, dawała też dowody wielkiego męztwa i poświęcenia.

Agata Lin i Łucja Y., obie bardzo wykształcone nauczycielki, gorliwie apostołujące wśród dzieci i starszych.

Kiedy mandaryni chcieli zmusić Agatę do odszczepieństwa, rzekła:

— Nie mogę wyrzec się religji, którą przodkowie moi wyznawali: Wielbimy Boga jedynego, który jest początkiem wszystkiego, nic nas nie może skłonić do wyrzeczenia się Ojca niebieskiego.

Srogi mandaryn kazał zedrzeć szaty z Łucji, ona zaś krzyknęła oburzona:

— Gdybym powołała się na pamięć matki twej wielki mandarynie, żaliż nie oszczędziłbyś mi tego sromu?...

A w kilka chwil później, gdy już przed ścięciem zapytywano ją jeszcze, czy nie wyrzeka się Jezusa, zawołała z mocą:

— Nie, stokroć razy nie! — i została wraz z innymi straconą, a dziś z licznymi zastępami błogosławionych cieszy się wiekuistą chwałą.

Tak więc Pius X oprócz niedawno kanonizowanych świętych, (z których podaliśmy życiorys najbliżej nas obchodzącego św. Klemensa Hoffbauera, apostoła Warszawy, a o innych kolejno mówić będziemy), przyczynił się obecną beatyfikacją do rozsławienia cnót i zasług wielkiej liczby świątobliwych wyznawców Chrystusowych, godnych zaiste stanąć w rzędzie błogosławionych, albowiem Bóg napełnił ich duchem pokory i miłości czyniąc ich narzędziem Swej łaski i dozwalając śmiercią męczeńską wieczną zdobyć nagrodę w niebie.

To też Ojciec św. oddając cześć relikwiom męczenników, powtórzył te przed dwudziestu wiekami wypowiedziane przez Zbawiciela słowa:

„Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie.“

Dnia 24 Czerwca.

ŚWIĘTY JAN CHRZCICIEL

Za rządów cesarza rzymskiego Augusta i Tyberjusza, tetrarchy galilejskiego Heroda Antypasa.

> Żaden święty nie może być uważany za większego od Jana Chrzciciela; przewyższa on wszystkich innych i wszystkim przyświeca. Wobec niego prorocy i patryarchowie usuwają się w cień, a żaden człowiek z niewiasty urodzony nie mocen mu dorównać.
>
> Św. Tomasz z Akwinu (Part. III art. I).

Dnia 24 czerwca, t. j. na sześć miesięcy przed Bożem Narodzeniem obchodzi Kościół Narodzenie św. Jana Chrzciciela. Jest to święto jedno z najdawniejszych, gdyż już św. Augustyn miewał o niem mowy pochwalne, nazywając je świętem z podania apostolskiego.

W języku liturgicznym narodzenie właściwem jest każdemu świętu, czy to męczennika, przypadającego zwykle w dzień jego męczeństwa, czy innemu świętemu w dzień jego śmierci, bo śmierć w rozumieniu chrześciańskiem jest *narodzeniem się do nieśmiertelnego żywota.*

Kościół św. jednakże trzy tylko święta narodzenia obchodzi: Boże Narodzenie, Narodzenie Najśw. Marji Panny i Narodzenie św. Jana Chrzciciela, albowiem jak jeden z pisarzy kościelnych pięknie się wyraził: „Św. Jan był jutrzenką, dzień zwiastującą. Najśw. Marja — zorzą poranną, Chrystus — słońcem wschodzącem.

Prócz narodzenia św. Jana obchodzi się i drugie święto 29 sierpnia ścięcie tegoż św. Jana. Niegdyś święcono jeszcze dnia 24 września Poczęcie św. Jana (do drugiej połowy XV wieku), Grecy zaś dotąd je obchodzą. Nawet Muzułmanie czczą po swojemu św. Jana.

„Był człowiek posłany od Boga, któremu było imię Jan.“

Zbliżał się czas, kiedy według słów Izajasza proroka miały niebiosa zesłać na ziemię rosę, stąpić miał sprawiedliwy. Lata i tygodnie wyliczone dokładnie przez Daniela miały się ku końcowi. Już berło władzy wypadło z rąk Judy, jako przepowiedział patryarcha Jakób, a Żydzi znajdowali się u obcych w niewoli.

Potężny Rzym, jakgdyby zatrzymał się w swych niezliczonych podbojach, cezar August dyktował prawa całemu światu. We wszystkich krajach za-

panowała cisza i spokój głęboki, jak gdyby w oczekiwaniu nadzwyczajnych wydarzeń.

Miało oto nie długo już błysnąć słońce prawdy. Bóg zesłać miał Syna Swego jednorodzonego na ziemię, ale przedtem trzeba było przygotować ludzi; przed wschodem musiała pojawić się jutrzenka. Zadaniem św. Jana było głosić chrzest pokuty, zapowiadać blizkie ukazanie się Mesjasza i wskazać go w osobie Jezusa.

„Powstanie różczka z Jessego, panować będzie nad narodami i w niej wszyscy nadzieję położą“ — mówił Izajasz.

Wielkie i święte miał posłannictwo św. Jan, a sam Jezus wydał o nim najwspanialsze świadectwo, gdy mówił do rzeszy:

Cóżeście wyszli widzieć na puszczy? Czy trzcinę, chwiejącą się od wiatru? Czy człowieka w miękkie szaty obleczonego? Ci, którzy miękkie szaty noszą w domach królewskich mieszkają. Cóżeście więc widzieć wyszli? Proroka. — Zaiste, powiadam wam i więcej niż proroka. Boć Jan jest ten, o którym napisano: Oto posyłam anioła mego przed oblicem twojem, który zgotuje drogę przed tobą.

Św. Jan Chrzciciel zajmuje w dziejach ludzkości miejsce jedyne, streszcza bowiem w sobie jakby cały Stary Testament i gotuje Nowy. Głosząc ludowi swemu blizkie pojawienie się Mesjasza, zamyka tem samem księgi proroctw, a rozpoczyna misję apostołów.

Prorok natchniony, apostoł prawdy, św. pustelnik, męczennik, łączy on w jednej osobie wszystkie do świętości prawa, tworząc zarazem jeszcze wyższe i doskonalsze stanowisko w zastępach świętych Pańskich, albowiem miał on dać świadectwo o światłości, być aniołem, gotującym drogi Pańskie. On jeden pomiędzy wszystkimi prorokami był już zapowiedziany na siedm wieków przedtem, on miał być zwiastunem dobrej nowiny, Przesłańcem Jezusa, *Praecursor Domini.*

Rodzice św. Jana Chrzciciela.

Jan, po hebrajsku *Jochanan*, co oznacza: Bóg jest łaskaw, Boża łaska, był synem Zacharjasza, kapłana z rodu Abdjasza, przeznaczonego do służby Bożej w świątyni, i Elżbiety, z córek Aaronowych. (Elżbieta była córką jednej z sióstr św. Anny, matki Najśw. Marji, a więc jej cioteczną siostrą, chociaż znacznie od Niej starszą).

Zacharjasz i Elżbieta wiedli nader świątobliwe życie, byli bogobojni i sprawiedliwi, służąc wzorem najzgodniejszego małżeńskiego stadła, smuciło ich tylko osamotnienie na stare lata, nie mieli bowiem dzieci, co zwłaszcza u Hebrajczyków uważanem było za wielkie nieszczęście i niebłogosławieństwo Boże. Ale św. Jan Chrzciciel tak samo jak Izaak, Samson, Samuel, a wreszcie Najświętsza ze wszystkich świętych, Niepokalana Marja Panna, miał być owocem łaski i usilnych modłów. Zacharjasz i Elżbieta przyjmowali wolę Bożą w pokorze, chociaż zawsze gorącem ich pragnieniem było pozostawienie dziedzica dla imienia swego i marzyli o wychowaniu go w surowej cnocie, wreszcie straciwszy zupełnie nadzieję tej pociechy, oddali się całkowicie obowiązkom i dziękowali Stwórcy za wszystko co im zsyła, nigdy nie uskarżając się i nie sarkając na Jego wyroki.

Zacharjasz, jako kapłan, pełnił służbę przy jerozolimskiej świątyni. Nie była ona tak urządzona jak obecnie nasze katedry lub żydowskie bóżnice, zbudowane w ten sposób, aby mogły mieścić jednocześnie dużo ludzi. Był to plac obszerny, objęty murem, ozdobiony różnemi wieżycami i budowlami. W obrębie pierwszego placu mogli się znajdować wszyscy, pragnący wejść do świątyni, nawet poganom wstęp nie był wzbroniony. Dwa rzędy wspaniałych kolumn oddzielało ten pierwszy dziedziniec od następnego, który był już wyłącznie dla Żydów przeznaczony. Po nim następował trzeci, dostępny tylko lewitom, gdzie składano ofiary i tam mieściła się właściwa świątynia, do której wiodły schody, krużganki, a w środku, jedna część nazwana była świętą, druga zaś świętą świętych. Raz tylko do roku arcykapłan miał prawo tam wchodzić; inni kapłani kolejno sprawowali swoje obowiązki i palili wonne kadzidła w cześć Jehowy. Codziennie o godzinie 9-tej z rana i o godz. 3-ciej po południu kapłan, na którego padł los, wchodził do świątyni świętych dla złożenia ofiary.

Anioł Gabrjel zwiastuje Zacharjaszowi, że Elżbieta pocznie syna.

Podczas, gdy tłumy ludzi oczekiwały u wejścia do świątyni na błogosławieństwo kapłana, Zacharjasz modlił się gorąco, błagając Boga, aby jaknajprędzej zesłał upragnionego Mesjasza.

Nagle ujrzał przed sobą anioła, który mu się z prawej strony ołtarza ukazał.

Anioł Boży oznajmił Zacharjaszowi narodzenie syna, proroka i zwiastuna mającego przyjść Mesjasza. A mówił w te słowa: „Nie bój się Zacharjaszu, bo jest wysłuchana prośba twoja i żona twa Elżbieta urodzi ci syna, któremu dasz imię Jan. Będziesz miał zeń wesele i radość, a i wiele ludzi będzie się radowało z narodzenia jego, albowiem będzie on wielkim przed Panem. Wina i sycery (napojów upajających) pić nie będzie, Duchem św. będzie napełniony jeszcze w żywocie matki swej. Wielu synów izraelskich nawróci ku Panu, który jest ich Bogiem. On Go uprzedzi w duchu i mocy

Eljaszowej, aby obrócił serca ojców ku synom, aby niedowiarków nakłonił ku roztropności sprawiedliwych, a tak iżby zgotował Panu lud doskonały.

Na to rzekł Zacharjasz:

— Zkąd to poznam? Wszak jestem stary, a i żona moja podeszła już we dniach swoich.

Anioł przeniknął myśli kapłana i widział w nim niedowierzanie, więc dodał jeszcze:

— Jam jest anioł Gabrjel, który stoję przed Bogiem. Jestem posłany, abym zwiastował ci tę dobrą nowinę. A i żeś nie uwierzył mimo słowom, które się wypełnią w swoim czasie, przeto będziesz milczącym, aż do dnia, którego to się stanie.

Zacharjasz znany był ogólnie, jako mąż wielkiej cnoty. Nagłe jego kalectwo nie przyczyniło się do usunięcia go od pełnienia obowiązków przy świątyni, owszem w dalszym ciągu przez dni następne pełnił służbę Bożą, aż do końca tygodnia, poczem powrócił do domu, zasmucony wielce, że swym niedowierzaniem Boga obraził.

Miejsce urodzenia św. Jana.

Mieszkanie Zacharjasza było w Hebronie (w Ain-Karim, jak inni utrzymują), o dwie mile od Jerozolimy, u stóp wysokiej góry. Przed oknami

Pan Jezus i św. Jan w dzieciństwie.

Z obrazu Gwido-Reni. Galerja londyńska.

domku rozścielała się prześliczna dolina. Tam bogobojni staruszkowie wiedli przykładny żywot. Wkrótce po ukazaniu się anioła w świątyni, święta Elżbieta (dnia 23 września) miała już pewność, iż prośby ich gorące mają być z Woli Boga wysłuchane, że ma zostać matką. Wówczas usunęła się do ustronnego domku wiejskiego w górach i pięć miesięcy tam przebyła.

Zacharjasz aczkolwiek bogobojny wielce, brał jednak wszystko zanadto po ludzku.

Ponieważ sędziwemu kapłanowi zapowiedziane urodzenie syna wydało się niemożliwem ze względu na naturalny bieg rzeczy, przeto na żądanie dowodu stwierdzającego prawdę obietnicy, otrzymał znak za niewiarę, gdyż utracił mowę natychmiast po anielskiem objawieniu i pozostał niemym aż do chwili, w której obietnica została spełniona i chodziło o danie imienia nowonarodzonemu.

Wielkie było zdziwienie ludu, kiedy Zacharjasz wyszedł ze swiątyni z wyrazem dziwnego pomieszania, zachwytu, olśnienia, strachu i nadziei zarazem. Przerazili się obecni, przekonawszy się, że kapłan ogłuchł nagle i oniemiał: znakami tylko starał się porozumiewać. Zrozumiano wówczas, że stało się coś wielce doniosłego i Zacharjasz miał w świątyni tajemnicze objawienie.

Wieść o tem rozeszła się szeroko nietylko w Jerozolimie, ale w całej Judei. Oczekiwano z niepokojem, coby to zjawisko znaczyć miało.

Nawiedzenie św. Elżbiety przez Najśw. Marję Pannę.

W sześć miesięcy potem anioł Gabrjel zwiastował Najśw. Pannie.

— Łaskiś pełna, Pan z tobą, błogosławionaś między niewiastami. Poczniesz syna, a nazwiesz imię jego Jezus. Ten będzie wielki, a będzie zwany synem Najwyższego.

A kiedy Najśw. Marja pytała jakoż się to stanie, kiedy męża nie znam?, odpowiedział jej anioł:

— Duch święty zstąpi na cię, a moc Najwyższego zaćmi tobie. Przetoż i co się z ciebie naro-

dzi święte, będzie nazwane Synem Bożym. A oto Elżbieta, krewna twoja poczęła syna w starości swej, a ten miesiąc szósty jest onej, którą zowią niepłodną, bo u Boga nie będzie żadne słowo niepodobne.

Niepokalana Dziewica odrzekła w pokorze:

— Otom ja służebnica Pańska, niechaj mi się stanie według słowa twego.

I dopełniła się cudowna tajemnica Wcielenia.

Najśw. Marja po zwiastowaniu anielskiem udała się do żony Zacharjasza i zastawszy ją w cichym domku wśród gór Judzkich ukrytą, powitała ją serdecznem pozdrowieniem i usłyszała wnet od niej słowa te same, które jej rzekł anioł Boży:

— Błogosławionaś ty między niewiastami, błogosławiony owoc żywota twego"...

Tak więc dowiedziała się Marja, że nie tajnem było Elżbiecie to, co stać się miało, ta zaś uradowana wielce z przybycia Najśw. Panny, zawołała:

— A skądże mnie to, że przyszła do mnie matka Pana mego... Albowiem skoro tylko głos pozdrowienia twego dobiegł uszu moich, dzieciątko skoczyło od radości w łonie mojem. O! błogosławiona, któraś uwierzyła, albowiem spełni się to, co jest powiedzianem od Pana!

Ale słodka i pokorna Marja nie chce hołdu i pochwał dla siebie, a natomiast dusza Jej przed mnjestatem Bożym się korzy i płyną z ust Jej natchnione słowa *Magnificat*: Wielbij duszo moja Pana. I rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim i wejrzał na nizkość służebnicy swojej, albowiem odtąd błogosławioną mię zwać będą wszystkie narody!

Przez wieki całe płyną z ust kapłanów i wiernych te słowa, przez Bogarodzicę wypowiedziane w gorącym dziękczynieniu.

W górach Judzkich Najśw. Marja Panna przebyła około trzech miesięcy u św. Elżbiety w gościnie.

Święta Helena, matka Konstantyna Wielkiego, która w kilka wieków później starannie zajęła się zbadaniem i odszukaniem wszystkich drogich sercom chrześciańskim pamiątek w Ziemi świętej, kazała wznieść kościół w tem miejscu, gdzie się św. Jan Chrzciciel narodził. O dwie mile na południe od Jerozolimy leży owa mała wioseczka, zwana dziś św. Jana z puszczy. O dwiescie kroków ztamtąd był domek, gdzie Zacharjasz przebywał w lecie i gdzie Elżbieta kilka miesięcy przed narodzeniem św. Jana spędziła na modlitwie, dziękując Bogu za doznaną łaskę i gdzie ją nawiedziła Matka Zbawiciela. Dziś ruiny zwane *Mer Sakaria* przypominają pobożnym pielgrzymom to święte ustronie. Pomiędzy niem i wioską znajduje się fontana Matki Boskiej, z której czerpała wodę, znużona podróżą.

Prześliczny jest kościół św. Jana tuż obok klasztoru, jeden z najpiękniejszych w Palestynie. Znajdują się tam cenne obrazy i rzeźby, wyobrażające sceny z życia św. Jana.

Narodzenie św. Jana. Cuda towarzyszące pierwszym chwilom życia św. Jana.

Ewangelja św. nie mówi nam wyraźnie, czy Najśw. Marja Panna była jeszcze u Elżbiety podczas narodzenia się św. Jana. Św. Ambroży i wielu innych Ojców Kościoła zapewniają, że tak było w istocie i że to dziecię łaski spoczęło najpierw na rękach Matki Zbawiciela.

Wszyscy krewni Elżbiety, dowiedziawszy się o szczęśliwem jej rozwiązaniu, pośpieszyli złożyć powinszowania swe i objawić radość wielką. Blizcy i obcy interesowali się wielce tą nowiną i pytali się wzajemnie:

Jak sądzicie? Co z dziecka tego wyrośnie? Dziecię to widocznie jest zesłane od Boga.

Opatrzność chciała, aby od pierwszych chwil życia święty zwiastun Jezusa zwrócił na siebie uwagę, aby nowonarodzony nosił już jakieś mistyczne oznaki swego posłannictwa na ziemi. Kiedy więc zebrali się krewni i znajomi Zacharjasza dnia ósmego, aby dopełnić obrządku obrzezania i chciano dać dziecięciu imię ojca, Elżbieta sprzeciwiła się temu i rzekła, że synowi ich na imię będzie Jan, co oznacza jakeśmy wyżej wspomnieli, łaskę Bożą.

Ponieważ nikt z rodziny Zacharjasza ani Elżbiety nie nosił tego imienia, zdziwiło wszystkich to życzenie matki niemowlęcia, albowiem zwyczajem było dawać tylko nazwy, powtarzajace się stale w rodzinie.

Zwrócono się więc z zapytaniem do kapłana Zacharjasza, który podczas tych radosnych uroczystości pozostawał wciąż głuchy i niemy, śledząc tylko bystrym wzrokiem wyraz twarzy mówiących i porozumiewając się z nimi na piśmie. Tem więcej zdziwili się obecni, gdy na zapytanie, dotyczące imienia syna, odpisał na podanej mu tabliczce:

— Będzie mu na imię Jan.

W tejże chwili, kieoy dopełnił Boskiego wyroku, posłannictwo jego zostało nagrodzone, albowiem odzyskał mowę i słuch.

Usta jego wielbić poczęły wnet Pana nad Pany, a duch proroczy wstąpił w niego. „Błogosławiony Pan Bóg Izraela, iż nawiedził i uczynił odkupienie ludu swego — mówił Zacharjasz. A ty dzieciątko będziesz nazwane prorokiem Najwyższego, bo będziesz szedł przed obliczem Pańskiem, abyś Mu przygotował drogę, abyś dał naukę zbawienia ludowi Jego na odpuszczenie ich grzechów, przez nieskończone miłosierdzie Boże, dzięki czemu On nas nawiedzi, On, wschodzący z wysokości. aby zaświecił tym, którzy w ciemności i w cieniu śmierci siedzą, ku wyprostowaniu nóg naszych na drogę pokoju.

Po wszystkich okolicznych wioskach i miastach żydowskiej ziemi powtarzano sobie natchnione słowa i przepowiednie kapłana; odczuwano wyraźnie, że

po niezwykłych wydarzeniach tych nastąpią nowe, jeszcze donioślejsze, pełne tajemnic, a niosące światu nadzieję, radość i błogosławieństwo Boże.

Zacharjasz ofiarowuje syna Bogu.

I oto cuda jedne za drugiemi oznajmiały już zawczasu, że narodził się prorok wielki, mąż Boży, dziecię łaski.

Należało według zwyczaju w dzień oznaczony zanieść dziecię do świątyni wraz z ofiarą. Kiedy Elżbieta niosła syna na ręku i baranka, oraz gołąbka by je w dzień oczyszczenia złożyć w ofierze, liczny orszak krewnych i przyjaciół towarzyszył jej do jerozolimskiej świątyni.

Podczas, kiedy Elżbieta pozostała w części świątyni dla niewiast przeznaczonej, Zacharjasz wziąwszy syna na ręce, zaniósł go do miejsca poświęconego, gdzie składali ofiary kapłani i gdzie mu się anioł objawił. Tam ponowił przedtem już w sercu swem zrobiony ślub poświęcenia syna służbie Bożej i zapisał go do liczby, mających równie jak on sam przez całe życie kapłański sprawować urząd. Jednocześnie został św. Jan zaliczony do Nazarejczyków, którzy byli pomiędzy Izraelitami tem, co u nas zakonnicy.

Elżbieta i Zacharjasz z wielkim żalem pożegnali krewną swą, umiłowaną Najśw. Marję, cichą i słodką, nad którą czuwał po ojcowsku Zacharjasz, zanim poślubioną została Józefowi w Nazarecie, a następnie czcił w niej tę, której owoc żywota miał dać światu zbawienie.

Marja była obecną na uroczystości obrzezania Przesłańca, jak się apostoł wyraża, poczem powróciła do Nazaretu.

Prześladowania Herodowe. Rzeź niewiniątek.

W sześć miesięcy po narodzeniu św. Jana wyszedł był właśnie rozkaz cesarza Augusta, aby spisano wszystkich mieszkańców; każdy miał być zapisanym w swem rodzinnem mieście.

Wówczas to musiał udać się św. Józef z Najśw. Marją z miasta Nazaret do judzkiej ziemi, do miasta dawidowego Betleem, ponieważ pochodził z pokolenia Dawida. Tam porodziła Najśw. Marja Syna Jezusa, owinęła go w pieluszki i złożyła w żłobie, bo miejsca dla nich nie było w gospodzie, kiedy zastępy anielskie śpiewały radośnie:

Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli. Kiedy pastuszkowie betlemscy mówili jeden do drugiego: Pójdźmy do Betleem i oglądajmy to słowo, które się ciałem stało i które nam Bóg oznajmił, kiedy Trzej Królowie spieszyli z dalekich krajów, aby hołd złożyć Boskiemu Dzieciątku, niewątpliwie Zacharjasz i Elżbieta byli również w Betleem dla radowania się z narodzenia Boskiego Syna Marji. Ewangelja wspomina ogólnikowo o krewnych i przyjaciołach obecnych w dzień obrzezania Jezusa w świątyni, czyż możemy wątpić choćby na chwilę, aby tak bliscy sercu Marji nie znaleźli się również w ich liczbie?

Zacharjasz, po przybyciu Mędrców ze Wschodu, jako jeden ze znaczniejszych kapłanów był zawezwany przez zatrwożonego Heroda, podczas ogólnego zwołania sanhedrynu, czyli kapłańskiej rady, od której Herod chciał się dowiedzieć, co stoi w księgach napisano o przyjściu Mesjasza?

Któż lepiej od Zacharjasza wiedział o tem, że już Mesjasz, przez proroków zapowiedziany i obiecywany, zeszedł na ziemię, zeszedł zaś nie w ziemskiej chwale i majestacie, jak go sobie wyobrażali Izraelici, ale w nędznej stajence urodzony. Ten, który był światłością samą, a światłości tej zwiastunem i poprzednikiem syn Zacharjaszowy, Jan.

Herod nie mógł się uspokoić, bo wciąż go dochodziły wieści o nadzwyczajnem dziecięciu, zwiastowanem przez anioła, i że „da mu Pan stolicę Dawida.“

Dziki tyran nie zawahał się uczynić rzeź niewiniątek, ażeby zabezpieczyć swą władzę nieograniczoną galilejskiego tetrarchy, czyli naczelnika kraju. Drżał on ustawicznie w obawie, aby zagarnięty przez niego tron Dawidowy nie został mu odjęty. Ucieczka do Egiptu św. Józefa z Najśw. Panną ocaliła Boskie Dzieciątko, ale okrutny Herod zwrócił teraz wzrok mściwy na syna Zacharjasza i Elżbiety; wiedział o tem, że nie padł on ofiarą podczas rzezi, w której czternaście tysięcy niemowląt zamordowano, kazał więc swym służalcom wyszukać bądź co bądź małego Jana, gdyż wielu Izraelitów, świadomych cudownych oznak przy urodzeniu tego dziecięcia sądziło, że przeznaczonym jest do odzyskania w przyszłości żydowskiego królestwa.

Śmierć Zacharjasza i Elżbiety.

Według starożytnych podań, św. Elżbieta ukryła się z synem swym w niedostępnych górach, a gdy wysłańcy Heroda znaleźli się w pobliżu i straszne morderstwo zdawało się już być nieuniknionem, rozstąpiła się skała i skryła w swem wnętrzu św. Elżbietę wraz z dziecięciem. Żołdacy Heroda odeszli z niczem. W kościele św. Jana, na miejscu jego narodzenia, przechowuje się odłam skały z odciśniętym wyraźnie odbiciem dziecięcej postaci). Herod, szalejący w bezsilnym gniewie, zwrócił się wprost do Zacharjasza, pełniącego służbę w jerozolimskiej świątyni, pytając go, gdzie ukrył syna. A kiedy kapłan zapewnił uroczyście, że sam nie wie, gdzie się syn jego znajduje, Herod kazał go zamordować. Krew Zacharjasza obryzgała podłogę i ołtarz, około którego ów wierny sługa Boży, mąż sprawiedliwy

śmierć znalazł. W niespełna czterdzieści dni potem św. Elżbieta zmarła na pustyni, do ostatniej chwili życia czuwając nad ukochanym synem.

Kiedy Izraelici dowiedzieli się o zamordowaniu Zacharjasza w świątyni, przywdziano żałobę i opłakiwano żałośnie dostojnego kapłana męczennika przez trzy dni i trzy noce, poczem zebrała się wielka rada i nastepcą Zacharjasza w świątyni mianowano Symeona.

Św. Jan na puszczy. Chrzest pokuty.

Jakże objaśnić można cudowne ocalenie bezbronnego dziecka, pozostawionego na pustyni, osieroconego w tak młodym wieku, narażonego na pożarcie przez dzikie zwierzęta z jednej, a okrucieństwo tyrana z drugiej strony? Jedynie tylko opieka Ojca Niebieskiego mogła sprawić, że św. Jan mógł uniknąć szczęśliwie tylu niebezpieczeństw i rosnąć, „umacniając się Duchem," żyjąc przez długie lata w zupełnem osamotnieniu.

Antoni Aranda, Franciszkanin, który zbierał bardzo skrzętnie i sumiennie wszelkie dane dla oznaczenia miejscowości, gdzie św. Jan w młodzieńczych latach przebywał, doszedł do przekonania, że puszcza ta znajdowała się o sześć mil od Jerozolimy; tam w grocie skalnej było świętego pustelnika schronienie. Nieopodal tej groty w dolinie Terebindy jest wyniosła skała, nosząca imię Jana Chrzciciela i z tej to skały miał on niegdyś przemawiać do ludu.

Będąc już w starszym wieku, obrał sobie samotne ustronie w okolicy Hebronu. Tam przebywał, kiedy głos Boży kazał mu wystąpić na szerszą widownię i skłaniać do chrztu pokuty.

Działo się to w 15-tym roku panowania cesarza rzymskiego Tyberjusza, gdy św. Jan miał już rok trzydziesty.

Głoszenie chrztu pokuty było moralnem przygotowaniem ludu do przyjęcia nauki Chrystusowej i do uczestniczenia w Jego królestwie. Wzywał on do poprawy i zupełnej odmiany życia. Chrzest pokuty, udzielony przez św. Jana wymagał, jako koniecznego warunku żalu za grzechy i mocnego przedsięwzięcia poprawy, czynienia dobrze, oraz wytrwania w nowem życiu.

Z takiem posłannictwem wystąpił św. Jan nad brzegami Jordanu, nieopodal Jerycha i to była trzecia z rzędu puszcza, na której przebywał.

Lud z miast i wiosek przybyły, gromadził się około tego, który gotował drogę Zbawicielowi świata.

Pokutniczy ubiór z włosów wielbłądzich sporządzony, na wzór tych, jakie nosili prorocy, surowy sposób życia pustelnika, podnosiły jeszcze w wysokim stopniu znaczenie jego napomnień; wielu też poruszonych do głębi opowiadaniem pokuty, ze skruchą chrzcić się dawało.

Nie którzy słuchając jego słów o blizkiem pojawieniu się Mesjasza przypuszczali, że sam święty Jan może być oczekiwanym Mesjaszem.

Utrzymuje kilku Ojców Kościoła, według św. Bonawentury, że Najświętsza Rodzina w powrocie z Egiptu nawiedziła św. Jana na puszczy i jakiś czas z nim przebywała; nie znajdujemy jednak w Ewangelji o tem żadnego świadectwa.

Tak samo przypuszczalnem tylko jest, że św. Jan bywał chociażby raz do roku, jak chciał obyczaj, w jerozolimskiej świątyni. Jako Nazarejczyk, kapłan, prorok, zwiastun Mesjasza miał on obowiązek stosować się do przepisów religijnych i składać w świątyni ofiary, ale musimy przedewszystkiem opierać się na tem, co z dziejów życia męża Bożego przekazali nam apostołowie.

Widzimy więc posłannika natchnionego duchem Bożym, który nie pragnąc dla siebie chwały stara się wykazać ludowi swe podrzędne względem Jezusa stanowisko.

Św. Jan przebył na puszczy lat trzydzieści, żywiąc się, szarańczą i miodem leśnym; ściśle wypełniał on cnoty, do których innych nakłaniał. To też żaden z dawniejszych proroków nie miał dokoła siebie tak licznych słuchaczów św. Jan nie czyniąc cudów budził jednak podziw i uwielbienie.

Od czterystu lat nie słyszał lud izraelski słów proroków; teraz w całej żydowskiej ziemi mówiono głośno o wielkim i świętym pustelniku, Zacharjaszowym synie.

Wreszcie zwabieni wciąż rosnącą sławą proroka Faryzeusze i Sadyceusze przybyli do Jana udając chęć pokuty.

(Faryzeusze znaczyło to odosobnieni, Sadyceusze sprawiedliwi, uważający się za jedynych prawdziwych tłumaczy Zakonu. Jedni i drudzy prowadzili zaciętą walkę z sobą o wpływ na Żydów).

Św. Jan przemawiał do nich tonem ostrego napomnienia:

— Rodzaju jaszczurczy, mówił, kto wam pokazał abyście uciekali od przyszłego gniewu?

Czyńcie owoc godny pokuty, a nie mówcie sobie: „Ojca mamy Abrahama, albowiem powiadam wam, iż mocen jest Bóg z kamieni tych wzbudzić syny Abrahamowi. Bo już siekiera do korzeni drzew jest przyłożona, przeto wszelkie drzewo, które nie daje owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone.

Zachęcał tem św Jan gorąco do poskramiania pychy a zarazem pragnął obudzić miłosierdzie dla bliźnich, które następnie Chrystus tak gorąco głosił w przykazaniu miłości.

Kiedy św. Jana pytały skruszone rzesze, co czynić mamy? odpowiadał:

— Kto ma dwie suknie, niech da niemającemu, a kto ma pokarmy, (żywność) niech tak samo uczyni.

Przybywali też nad Jordan i celnicy, zbierający podatki na rzecz zdobywców Rzymian i dlatego przez Żydów znienawidzeni. Tym na pytanie co czynić?—rzekł:

— Nic więcej nie czyńcie nad to, co wam postanowiono.

Urzędnicy ci bowiem zdzierali z ludności nie tylko obowiązkowe podatki ale i na swoją korzyść brali grosz ostatni od biedaków.

Chrzest Janowy nie miał mocy sakramentalnej, był on tylko, jakby wstępem do życia pokutnego. Udzielając zaś chrztu tego mówił Jan wszystkim:

Święty Jan głoszący chrzest pokuty.
Obraz Albaniego. Muzeum św. Piotra w Lionie.

— Ja was chrzczę wodą, ale przyjdzie mocniejszy nademnie, któremu nie godzień jestem rozwiązać rzemyka u obuwia Jego; ten was chrzcić będzie Duchem świętym i ogniem.

Mówił to proroczo o ogniu Ducha świętego, który zstąpił na Apostołów w dzień Zesłania Ducha świętego i nauce Chrystusa oczyszczającej serca wiernych.

Przychodzili też do św. Jana żołnierze prosząc, aby im powiedział co czynić mają?

A on im rzekł:

— Żadnego się nie bójcie i nie potwarzajcie, ale na żołdzie waszym poprzestawajcie.

Byli to bowiem powiększej części Żydzi przez służbę w wojsku rzymskiem zdemoralizowani. Bardzo często zdarzało się, że ci żołnierze przeznaczeni niby do strzeżenia bezpieczeństwa ludności, stawali się prawdziwą klęską, nie wahali się bowiem rzucać oszczerstwa na spokojnych ludzi i pod zarzutem zdrady i porozumiewania się z nieprzyjaciołmi wyłudzać od nich okup lub brać pieniądze za fałszywe oskarżenia niewinnych.

Dlatego właśnie św. Jan zalecał im aby nie spotwarzali współbraci dla ciągnienia z tego ohydnych zysków.

Uczniowie św. Jana Chrzciciela.

Św. Jan miał wielu uczni, a ponieważ przygotowani byli godnie do przyjęcia prawd Ewangelji im to następne, jak tradycja niesie, przypadł w udziale zaszczyt wzniesienia pierwszej świątyni ku czci Najśw. Marji Panny poświęconej na górze Karmelu w Galilei.

Pozostała jeszcze w Arabii sekta zwana *chrześcianami św. Jana Chrzciciela*, będąca jakoby szczątkiem uczniów pierwszych św. Jana. Zachowali oni chrzest pokuty w rzece, szczególniejszą cześć oddają św. Janowi obchodząc cztery razy do roku jego święta. Zowią ich mandaitami (co znaczy słowo żywota).

Pierwotnie osiedleni w Palestynie przesiedlili się potem do Chaldei a następnie rozproszyli się po Babilonji i pustyniach perskich, gdzie dotąd mieszkają.

W roku 1623 karmelita bosy Bazyli od św. Franciszka nawrócił do 70,000 tysięcy mandaitów w Bassorze, (Babilonja), na katolicyzm.

Chrzest Pana Jezusa w Jordanie.

Wiemy z Ewangelji św. Jana apostoła (IV—2), że Pan Jezus nie chrzcił sam, ale uczniowie jego

otrzymali chrzest Janowy, chrzest pokuty (Dzieje Ap. I—21), wreszcie zaś i Jezus przyszedł do Galilei, do Jordanu, aby otrzymać chrzest.

Jakiż to obraz wzniosły boskiej pokory, wspaniała chwila, kiedy św. Jan, pustelnik, prorok, Duchem Bożym natchniony w odzieniu z szerści wielbłądziej, pasem skórzanym przepasany stanął nagle w niemym podziwie widząc zbliżającego się doń Syna Bożego, żądającego jak inni chrztu.

Dla bezgrzesznego Jezusa chrzest ten nie mógł mieć znaczenia chrztu pokuty, jak dla zwykłych śmiertelników, jednak zapragnął mu się poddać.

Św. Jan wzbraniał się, mówiąc:

— Ja mam być ochrzczony od Ciebie, a Ty idziesz do mnie?...

A Jezus odpowiedział:

— Tak się nam godzi wypełniać wszelką sprawiedliwość.

Według Jana apostoła — rzekł Jan Chrzciciel ujrzawszy Jezusa:

— Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata. Ten ci jest o którym powiadałem:

Idzie za mną mąż, który stał się przedemną, iż pierwej był, niż ja.

A gdy Jezus został ochrzczony i wystąpił z wody, otworzyły się niebiosa i Duch Boży zstąpił nań w postaci gołębicy, a głos z nieba rzekł:

— Ten jest Syn mój miły, w którymem upodobał sobie.

Św. Jan Chrzciciel mówił, iż miał sobie objawionem przez Tego, który go posłał chrzcić wodą:

— Na którego ujrzysz ducha zstępującego i na nim zostawającego, ten jest, który chrzci Duchem św. A jam widział i dałem świadectwo, że ten jest Syn Boży. (Ew. Jan I—32 i 33).

Nazajutrz po chrzcie Jezusa, kiedy widząc go idącego powtórzył znowu św. Jan: „Oto Baranek Boży!“ dwóch jego uczni poszło za Zbawicielem, radością wielką zdjęci, że znaleźli Messjasza czyli Chrystusa. Jeden z nich był Andrzej brat Szymona Piotra i wnet odszukawszy go przywiódł doJezusa.

Zapewne nieraz już przedtem pod wrażeniem proroctw św. Jana o rychłem przyjściu Messjasza obaj bracia rozmawiali i z radośnem upragnieniem wyczekiwali tej chwili.

Owego Szymona syna Jona, Jezus nazwał opoką, niewzruszoną skałą, na której rzekł, zbuduję Kościół mój.

I tak oto widzimy, że uczniowie przez Jana, „prostującego drogę Pańską“ przygotowani do zrozumienia boskich nauk Jezusa, szli odtąd za Nim wiernie, odrodzeni z ducha, jako chciał Zbawiciel.

Świadectwo Jana Chrzciciela.

Żydzi jerozolimscy ogromnie zaciekawieni tem co się działo w Betanji nad Jordanem posłali do św. Jana kapłanów swych i lewitów, aby wyjaśnił kim jest?

Było napisano w Zakonie, że Eljasz poprzedzi przyjście Chrystusa pytali więc czy jest Eljaszem, czy też Mesjaszem? (Chrystusem).

Ale św. Jan rzekł:

Jam jest głos wołającego na puszczy. Ja chrzczę wodą, ale w pośrodku was stanął, którego wy nie znacie. Ten jest, który za mną przyjdzie, który przedemną stał się, któregom ja niegodzien, żebym rozwiązał rzemyk u trzewika Jego.

Widzimy nieustannie, że św. Jan odsuwa od siebie wszelką chęć wyniesienia go na plan pierwszy, powtarza kilkakrotnie, zaznaczając to wyraźnie, że jest tylko głosicielem chwały boskiego Mistrza, a jego chrzest pokuty jest tylko przygotowaniem do odrodzenia z ducha, które miał dać światu Odkupiciel.

Ale pomimo że św. Jan tak wyraźnie to zaznaczał, rozpoczęło się jakby współzawodnictwo pomiędzy uczniami Jana i Chrystusa, gdyż coraz większe rzesze ludu uznawać zaczęły naukę Jezusa i garnąć się do Niego, a uczniowie Jana nie mogli darować Zbawicielowi, że sławą swą przyćmił sławę ich mistrza.

Wynajdywali więc różne zarzuty i nawet wprost do Jezusa zwrócili się raz z pytaniem:

— Czemu uczniowie Janowi i Faryzeuszowie poszczą a twoi uczniowie nie poszczą?

Na co rzekł im:

— Jako długo z sobą Oblubieńca mają, nie mogą pościć, ale przyjdą dni, gdy od nich odjęty będzie Oblubieniec, a tedy będą pościć w one dni.

A kiedy Zbawiciel chociaż nie sam, ale przez uczniów swoich chrzcił żydów, a ci więcej przywiązywali wartości do tego chrztu, niż do chrztu pokuty otrzymanego od Jana, uczniowie Janowi rzekli mu:

— Ten oto, który był z tobą za Jordanem, któremuś ty dał świadectwo, ten oto chrzci, a wszyscy idą do Niego.

Zapewne nie tylko te słowa, które przytacza ewangelista, były nieraz rzucane dla obudzenia zawiści w Janie Chrzcicielu, ale nie był on z tych, którzy dają się uwieść ambicjom właściwym zwykłym ludziom.

Przesłaniec Boży umiał zawsze znaleźć odpowiedź godną swego wysokiego posłannictwa.

Oto znowu Faryzeusze swemi podstępnie podsuwanemi słowami, chcąc wzbudzić niechęć Jana do Zbawiciela zamiast gniewu w nim, wywołali nowe uroczyste zapewnienie, że uważa siebie niższym stokroć, że *„On ma rość, a ja się umniejszać“*.

Jest to ostatnie świadectwo Janowe o Synu Bożym, które Ewangeliści przytaczają, a świadectwo

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

to jest zarazem najdonioślejszem potwierdzeniem czci, jaką miał św. Jan Chrzciciel dla Pana Jezusa. Kiedy bowiem natarczywie domagali się uczniowie i żydzi, aby im wytłumaczył dlaczego wszyscy idą za Zbawicielem i dlaczego chrzcząc lud, jakby w Janowe wchodzi prawa—rzekł im:

— Nie może nic wziąść człowiek, jeśliby mu nie było danem z nieba. Wy sami jesteście mi świadkami, żem powiedział: Nie jestem ja Chrystus, ale iżem posłany przed Nim.

Kto ma oblubienicę oblubieńcem jest; lecz przyjaciel oblubieńców, który stoi, a słucha go, weselem się weseli dla głosu oblubieńcowego. To to tedy wesele moje wypełnione jest. On ma rość, a ja się umniejszać.

Który z wysoka przychodzi, nad wszystkiem jest, który z ziemi jest i z ziemi mówi. Który z nieba przyszedł jest nad wszystkiemi.

Którego bowiem Bóg posłał, słowo Boże powiada. Bo nie pod miarę Bóg daje Ducha. Ojciec miłuje Syna i wszystko oddał w ręce Jego. Kto wierzy w Syna, ma żywot wieczny, a kto nie wierzy Synowi, nie ogląda żywota, ale gniew Boży nad nim zostawa.

Tym razem św. Jan tak wyraźnie nazywając Jezusa Synem Bożym zamyka raz na zawsze usta wszystkim, którzy wątpić jeszcze mogli, że jest On oczekiwanym od tak dawna Mesjaszem. O sobie zaś mówi teraz inaczej, nie jako o słudze, niewolniku, „niegodnym rozwiązać rzemyka u obuwia Jego“, jak to rzekł dawniej, ale w pięknej przenośni nazywa siebie przyjacielem Oblubieńca, radującym się jego weselem, oblubienicą zaś nazywa Kościół św.

Za pierwszym razem okazuje swą pokorę, ponieważ starano się wzbudzić w nim pychę, teraz zaś kiedy zawistni o wpływ Chrystusowy na rzesze chcą i w Janie również tę zawiść rozniecić, przedstawia się, jako miłujący sercem całem tego Boskiego Mistrza, do którego żal czują, iż blaskiem swej, chwały przyćmił jasność, Janową. Zapominali niebaczni, że Jan był posłany, od Boga, aby dał świadectwo o światłości, aby przezeń wszyscy w Jezusa uwierzyli.

Jakże wyraźnie tę różnicę pomiędzy przesłańcem Bożym a Synem Bożym umiłowany uczeń Jezusa, Jan apostoł w Ewangelji swej zaznacza. Dwukrotnie bowiem powtarza:

— Nie był on, (Jan Chrzciciel) światłością ale iżby, świadectwo dał o światłości. A o Synu Bożym z jaką gorącą, miłością mówi:

— Była światłość, prawdziwa, która oświeca wszelkiego, człowieka na ten świat przychodzącego. I z boleścią dodaje:

— Na świecie był, a świat jest przezeń uczyniony, a świat Go nie poznał. Przyszedł do własności a swoi Go nie przyjęli!...

Jaka to gorzka wymówka dla tych wszystkich, którzy i dziś tak samo, jak przed dwudziestu wiekami odtrącają dobrowolnie tę światłość aby się pogrążać w mrokach grzechu niewiary i bezeceństwa!

Święty Jan na puszczy.
Według obrazu Murilla z galerji w Sevilli.

Słowom św. Jana Chrzciciela, „On ma rość a ja się umniejszać“, św. Ambroży takie nadaje znaczenie:

„Przesłaniec Boży był jakby wyrazicielem praw i proroctw Starego Zakonu, ostatnim prorokiem głoszącym przyjście rychłe Mesjasza Chrystusa. I oto rzekł: „Wesele moje wypełnione jest“. A więc Stary Zakon zamyka się, a nowy rozpoczyna w Ewangelji Chrystusowej.

Odtąd władza i wielkość Jezusa ma wzrastać, po wiek wieków.“

Wtrącenie św. Jana do ciemnicy.

Lecz oto św. Jan Chrzciciel, tak wysoko wielbiony przez jednych, miał być prześladowany przez innych swych współrodaków i podzielić chwałę męczeńską poprzedników swych, proroków Izraela. Większość pisarzy kościelnych przypisuje intrygom i poduszczeniom Faryzeuszów uwięzienie św. Jana; podsunęli oni Herodowi, synowi owego Heroda, kata niewiniątek, który po ojcu rządzy Galilei sprawował, myśl, że Jan buntuje lud przeciw zwierzchnikom i zbyt silny wpływ wywiera.

Herod był to człowiek zły, gwałtowny i podejrzliwy, godny syn okrutnego ojca. Odebrał on bratu swemu Filipowi żonę jego Herodjadę, wiele innych niecnych i gorszących czynów popełnił a wreszcie obrażony śmiałością Jana, który mu jego kazirodczy stosunek z bratową wyrzucał, pojmać go kazał i w twierdzy Macherontu nieopodal morza Martwego osadził.

Herodjada chciwą będąc władzy, dotknięta do żywego w swej dumie, że wielki, judejski prorok ośmielił się słowa prawdy wszechwładnemu tetrachsze rzucić, nie poprzestała na pozbawieniu swobody św. Jana Chrzciciela, pragnęła ona zemsty krwawej i czekała tylko sposobności, aby swój zamiar uskutecznić.

Tymczasem prawa małżonka Heroda, arabska królewna, uciekła do ojca swego, uskarzając się przed nim na wyrządzone sobie krzywdy. Z tego powodu wywiązała się wojna króla Arabów z Herodem Antypasem.

Sarkał lud słusznie, że za przewinienia osobiste tetrarchy zmuszony jest krew przelewać.

Wszystkie te niepowodzenia Herod zamiast sobie, przypisywał św. Janowi.

W wieży Czarną zwanej nieopodal góry Nebo święty więzień przebywał. Herod zbudować kazał tę warownię w dzikiej skalistej stronie, aby broniła go od najścia Arabów i po Jerozolimię było to najlepiej ufortyfikowane miejsce obronne. Naturalne fosy i wały, otaczały twierdzę wzniesioną na wysokiej skale nad brzegiem niedostępnej przepaści. Po rogach były wysokie na 60 łokci wieżyce i w jednej z nich osadzono św. Jana Chrzciciela.

Okropne były te chwile zupełnego osamotnienia w ciasnej, więziennej celi dla wielkiego proroka, który życie dotychczas wiódł w puszczach, od lat najmłodszych z naturą zżył się i w murach twierdzy czuć się musiał, jako ptak wolny do klatki zamknięty:

Wszelki stosunek jego z ludzmi został zerwany. Św. Jan miał naówczas lat trzydzieści i dwa.

W pełni sił młodych skazany na zupełną bezczynność, on, który miał tak wzniosłe zadanie wzywania ludu swego do pokuty i poprawy życia, był teraz jakby żywcem pogrzebiony.

Odesłano go do tak oddalonego od miejsc rodzinnych punktu, ażeby uniemożliwić wszelkie starania wykradzenia lub ułatwienia, ucieczki dostojnemu więźniowi. Tetrarcha liczył na to, że powoli uspokoją się umysły Żydów, oburzonych uwięzieniem swego proroka, tembardziej, że przez ten czas starano się wszelkiemi sposobami zniesławić jego imie i oszczerstwami osłabić wpływ na współbraci wywierany.

Nie śpieszył się też niecny Herod z wytoczeniem procesu, który dał by możność wykazania niewinności jego ofiary, wszystkie bowiem czynione Janowi zarzuty mogły się obrócić tylko na jego chwałę.

Unikając więc stawienia obwinionego przed trybunał sprawiedliwości i jawnego wyświetlenia sprawy, rzucano na więźnia zręcznie obmyślane potwarze. Wmawiano w Żydów, lękających się wszelkich zatargów z Rzymianami, że Jan poduszczał śmielszych do buntu, że zamierzał uwolnić lud swój i najwyraźniej gotował powstanie, które by, niechybnie na Jerozolimę ściągnęło skutki, wielce opłakane.

Uważano go za hardego buntownika, ponieważ ośmielił się obrazić najwyższy majestat rzymskiego cezara w osobie jego tetrarchy Heroda.

Faryzeusze nie mogli też zapomnieć Janowi słów prawdy rzucanych im w oczy. Owe śmiałe jego powiedzenie:

„Rodzaju jaszczurczy!...“ głęboko utkwiło im w pamięci i radzi byli wielce, że ten który się przesłańcem Bożym mienił, cierpi dziś w niewoli. Byli tacy, którzy uważali go za szaleńca.

Nawet ze słów Boskiego Mistrza dowiadujemy się, że starano się przedstawić Jana jako opętanego przez złe moce i mówiono o nim: „czarta ma“.

Poselstwo Jana Chrzciciela do Jezusa.

Uczniowie Św. Jana zachowali zawsze wielką cześć dla niego, wiernemi mu byli podczas tych prześladowań, a nie mogąc przyjść z pomocą tem więcej jeszcze cierpieli nad jego uwięzieniem.

I znowu w sercach rozżalonych uczni Janowych zrodziła się zawiść widząc, że Chrystus coraz więcej budzi podziwu i czyni cuda. Zwłaszcza po wskrzeszeniu syna wdowy w Naimie, kiedy na słowa Jezusa:

„Młodzieńcze, tobie mówię wstań!...“ — umarły podniósł się i począł wołać w zachwyceniu:

— Prorok wielki powstał między nami; Bóg nawiedził lud swój! — a uczniowie Jana Chrzciciela słyszeli wciąż nowe o cudach Zbawiciela opowieści i sami może nieraz byli naocznymi ich świadkami, postarali się w jakiś sposób przedostać do mistrza swego Jana, aby mu opowiedzieć o tem i dowiedzieć się z ust jego kim jest Jezus?

Tym razem widząc Jan, że wszystko co dotąd o Synie Bożym mówił nie pozostało im w pamięci, posłał dwóch z uczniów, zapewne najwięcej potrzebujących utwierdzenia w wierze, do Jezusa, aby Go zapytali:

— Tyś jest, który miał przyjść, czyli innego czekamy?

O ile bowiem Św. Jan radował się z chwalebnych zwycięztw Pana Jezusa, o tyle zwolennicy jego i uczniowie z goryczą patrzyli, że nowy Prorok wzrasta w sławę, a Jan Chrzciciel zakuty w okowy, jakby w zupełnem pozostaje zapomnieniu.

W tym posłaniu uczniów swych do Zbawiciela Św. Jan nie chciał wyrazić własnych wątpliwości ale najwyraźniej powiedzieć Mu:

— Wiem o tem, żeś jest Messjaszem, Chrystusem; głosiłem to wciąż ludowi. Świadczyłem o tem. Ale oto są tacy, którzy nie mogą jeszcze tego pojąć, więc powiedz im sam kim jesteś. Dlaczego nie chcesz wyjawić tego przed światem? Oto oni mnie wynoszą nad Ciebie, Syna Bożego, wytłumacz im, daj poznać swą wielkość.

Poszli więc uczniowie Jana z pozdrowieniem od swego mistrza do Jezusa i rzekli:

— Jan Chrzciciel przysłał nas do Ciebie, mówiąc: Tyś jest, który masz przyjść; czyli innego czekamy?

A Pan nasz Jezus Chrystus, który tejże godziny uzdrowił wielu od chorób, od duchów złych, a ślepym wzrok powrócił, powiedział im swym słodkim, pełnym miłości dla ludzi głosem:

— Odnieście Janowi coście słyszeli i widzieli: ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci są oczyszczeni, głusi słyszą, umarli powstają a ubodzy ewangelję przyjmują.

Ubogimi nazywano lud ciemny, dla którego dotąd nauka wszelka niedostępną była, gdyż ubóstwem gardzili Faryzeusze i sądzili, że tylko bogaci mają prawo do nauki. Zbawiciel, powiada św. Cyryl, roztrząsając te Jego słowa, nie chciał powiedzieć wyraźnie: Oto ja, Syn Boży, Messjasz przez proroków obiecywany, ale dowodzi tego czynami swemi, ponieważ podobało Mu się w dniu tym właśnie, w obecności uczniów Janowych więcej niż dotąd cudów dokonać. W ten sposób spełniał przepowiednie proroków: „Wiele cudów zdziała, mówił Izajasz, Bóg sam przyjdzie i zbawi was. Otworzą się oczy ślepych i uszy głuchych będą otworzone. I wyskoczy chromy, jako jeleń i otworzony będzie język niemych.“

Zaliż widząc najdokładniej wypełnione te przepowiednie proroka, mogli jeszcze wątpić niedowierzający uczniowie Jana, że spełniły się Boskie wyroki, że przyszedł na ziemię od wieków oczekiwany?...

To też widzimy z dalszego przebiegu wypadków, że po kaźni Św. Jana jego uczniowie przyłączyli się wnet do towarzyszących nieodstępnie Jezusowi i uwierzyli weń.

Świadectwo Pana Jezusa o Janie Chrzcicielu.

Pomiędzy świadkami rozmowy Jezusa z uczniami Jana, byli tacy, którzy nie rozumieli dobrze o co wysłańcom chodziło, a być może ze swej strony uczniowie Boskiego Mistrza uważali za zuchwalstwo zadawanie Mu pytań owych, dość, że Zbawiciel uznał za stosowne wypowiedzieć publicznie swoje o Janie Chrzcicielu zdanie. I mówił do rzeszy, iż na puszczy widzieli oni proroka, i więcej niż proroka, gdyż jest on tym właśnie, o którym napisano:

— Posyłam anioła mego przed obliczem twojem, który zgotuje drogę twoją przed tobą.

Tym razem Jezus wyraźnie nazywa siebie Messjaszem obiecanym, ponieważ przytacza słowa Malachjasza proroka (III. — I.), który mówił: „Będzie miał *poprzednika*: Oto ja posyłam anioła mego, a nagotuje drogę przed obliczem mojem. A zarazem przyjdzie do kościoła swego Panujący, którego wy szukacie i Anioł przymierza, którego wy chcecie. Oto łdzie, mówi Pan zastępów.“ Następnie Pan nasz Jezus, wzór niezrównany poniżenia się i pokory, daje o Janie takie świadectwo:

— Powiadam wam: *większy między narodzonymi z niewiast prorok nad Jana Chrzciciela żaden nie jest.* Potem zaś porównując się z Janem stawia siebie niżej od niego w ziemskiej chwale, przez swe cudowne poniżenie.

— Lecz, który jest mniejszym, w królestwie Bożem większym jest niż on. A jeśli chcecie przyjąć świadectwo moje ten ci jest Eljasz, który ma przyjść.

Wyrzucał Jezus Faryzeuszom, że chociaż niby biegli w zakonie wzgardzili tem, co w piśmie napisano zarówno o poprzedniku, jak o Tym, który miał przyjść po nim, który był już między nimi, c nie uznali Go.

— Przyszedł, — mówił Jezus, — Jan Chrzciciel, ani jedząc chleba, ani pijąc wina, a mówicie: czarta ma. Przyszedł Syn człowieczy, jedząc i pijąc, a mówicie: oto człowiek obżerca i winopilca, przyjaciel celników i grzeszników.

Jan bowiem wiódł żywot na puszczy tak samo jak biblijni prorocy, Zbawicielowi zaś zarzucali dumni i pyszni Faryzeusze, że dopuszcza lud ubogi do siebie, że wszystkim na równi miłosierdzie swe okazuje, a nawet znienawidzonych celników nie odtrąca, ufając, że pod wpływem łaski mogą się nawrócić i poprawić. Ale zbyt silnie byli ci ludzie, sądzący się być mędrcami, przywiązani do ziemskich zaszczytów, zarówno Sadyceusze i Faryzeusze rozczytujący się niby ustawicznie w księgach świę-

tych i toczący z sobą błahe spory nie potrafili wznieść się umysłem tak wysoko, żeby odczuć, jak Jezus pojmuje Królestwo Boże na ziemi. A cóż powiedzieć o tych, zaślepieńcach, którzy dziś jeszcze po tylu wiekach, kiedy tryumf nauki Chrystusowej stał się oczywisty, odwracają się od zbudowanego przezeń Kościoła Św., opierającego się na trwałej opoce, szukają jakichś dróg nowych, bluźnią lub też dla religji zobojętniali, zapominają o tem, że Jezus utajony wciąż wśród nas przebywa!

Ścięcie głowy Św. Jana Chrzciciela.

W tym czasie, kiedy Jezus przemienił się na górze Tabor, Św. Jan poniósł śmierć męczeńską. Tak więc ten, który gotował drogi Pańskie i chrztu pokuty udzielał, sam chrztem krwawym został uświęcony.

Herodjada szukała wciąż sposobności dla dopięcia swych niecnych zamiarów zemsty, Herod jednak bał się skazać na śmierć Św. Jana, gdyż obawiał się wywołać zaburzenia wśród jego uczni i całej rzeszy czczącej w nim proroka. Sam Herod zwracał się do Jana Chrzciciela o poradę i nieraz go słuchał.

Herod przy twierdzy w Macheroncie miał wspaniałą rezydencję urządzoną z królewskim przepychem. Tam właśnie obchodzić miał dzień swych urodzin i zaprosił wszystkich dostojników na ucztę.

Salome, córka Herodjady, miała wykonać tańce przed Herodem, aby uświetnić uroczystość.

Za czasów cesarza rzymskiego Augusta wprowadzony został zwyczaj, aby na sposób grecki tańcem solowym lub mimicznymi scenami kończyć biesiady ku rozweseleniu ucztujących.

Salome słynęła z urody i wyuczona była wykonywać taniec w sposób tak zręczny, że wszyscy zebrani byli zachwyceni, zwłaszcza sam Herod, dla którego ukazanie się zalotnej Salome w stroju tancerki było umyślnie na dzień jego urodzin zachowaną niespodzianką.

Przywołał więc do siebie młodziutką Salome i oddając jej pochwały, rzekł:

— Proś o co chcesz, przysięgam, że dam ci, chociażby połowę królestwa mego!

Tak szczodra obietnica była przesadną ze strony Heroda, nieposiadającego właściwie żadnego królestwa, gdyż był on tylko tetrarchą, czyli wielkorządcą zawojowanych przez Rzymian prowincji. W starożytności jednak często używano tego wyrażenia, chcąc okazać swą gotowość podzielenia wszystkiem, co się posiada. Salome nie była snać przygotowana na tak gorące przyjęcie, bo nie wiedziała sama czego by miała żądać od potężnego tetrarchy. Poszła więc poradzić się matki. Herodjada skorzystała z tak lekkomyślnie rzuconej przysięgi Heroda, aby swój piekielny plan wykonać. Kazała więc córce zażądać głowy Jana Chrzciciela.

Kiedy Salome stanęła przed Herodem i wobec-ności całego dworu prosiła:

— Daj mi tu na misie głowę Jana Chrzciciela: chcę jej natychmiast, dajcie mi ją proszę!...—wszyscy byli niezmiernie zdumieni i przerażeni takiem żądaniem, sam Herod zmieszał się i zasmucił; ponieważ jednak w obec licznych świadków przysiągł, że wszystko czego zażąda dziś piękna tancerka, wnet otrzyma, posłał kata i rozkazał przynieść natychmiast głowę więźnia na misie.

Salome odniosła wnet matce dar tak dla niej pożądany, a potworna ta kobieta według św. Hieronima i Nicefora, pastwiła się jeszcze nad niewinną ofiarą i wywarła swą wściekłość na języku Jana Chrzciciela przebijając go licznemi uderzeniami szpilki.

Św. Jan został umęczony w wieku lat 32 i 6-ciu miesięcy. Uczniowie dowiedziawszy się o tem okropnem morderstwie pośpieszyli zabrać ciało umęczonego i złożyć je w grobie, poczem poszli i opowiedzieli Zbawicielowi o śmierci Jana. Herod dowiedziawszy się o cudach czynionych przez Jezusa i wielkiej jego sławie, przeraził się, bo sobie wyobraził, że to Jan Chrzciciel zmartwychwstał. Niektórzy mówili mu, że to Eljasz.

Tetrarcha drżał, bo sumienie musiało mu wciąż wyrzucać straszny mord popełniony nad niewinnym.

— Jana jam ściął, — powiadał służebnikom swoim, — któż jest ten, o którym wciąż nie zwykłe rzeczy słyszę?

Domagał się zobaczyć na własne oczy Pana Jezusa, być może, aby się upewnić, że to nie jest Jan zmartwychwstały.

Uprzedzono o tem Zbawiciela, któremu zresztą i tak nic, co się stało i stać miało nie było tajnem, więc na wieść o męczeństwie Jana, jakby dla ukojenia smutku po boleśnej stracie wsiadł wraz z Apostołami do łodzi i odpłynął w miejsce odludne.

Kara Boża.

Bóg wkrótce ukarał srodze niegodziwych prześladowców św. Jana. Herod prowadzący naówczas wojnę z Aretasem, arabskim królem, został zwyciężony, a wojsko jego rozbito. Ogólne było mniemanie, że spotkała go ta klęska dla tego właśnie, że wielkiemu prorokowi śmierć zadał. Odtąd istotnie skończyły się świetne czasy dla galilejskiego tetrarchy; w kilka lat później pozbawiony władzy, zesłany został wraz z Herodjadą na wygnanie. Według starożytnego dziejopisarza, Józefa Flawiusza, miejscem ich wygnania miał być Lion. Przeprawiając się przez Ren, Salome widząc wodę ściętą od mrozu chciała rzekę przebyć pieszo po lodzie. Lód się pod nią załamał i wpadła po samą szyję;

głowa zaś odcięta od tułowia została na lodzie. Rzucała się jeszcze konając, jak gdyby w konwulsyjnych drganiach powtarzając ten sam taniec bezecny i zbrodniczy, którym kupiła sobie głowę świętego.

Relikwje św. Jana. Powtórne męczeństwo (pośmiertne).

Uczniowie św. Jana obawiając się pozostawić ciało jego w tej krainie, gdzie Herod był jakby samowładnym panem, zanieśli je do Sebasty, dawniejszej Samarji, nie będącej pod władzą tetrarchy. Wkrótce grób świętego syna Zacharjaszowego zasłynął cudami i bardzo licznie był odwiedzany. Ale poganom nie podobała się cześć chrześcijan dla św. szczątek proroka i cesarz Adrjan rozkazał wystawić w tem miejscu świątynię pogańską. Za panowania Juljana Apostaty wynaleziony został grób św. Jana, i jego kości sprofanowano, rozrzucając je na wszystkie strony. Świętokradzcy jednak przekonali się wkrótce, że cuda pomimo to wciąż trwały, gdzie tylko najmniejsza cząstka relikwji się znalazła. Kazano więc je zgromadzić i nowem świętokradztwem położyć raz na zawsze koniec czci oddawanej przez wiernych tym drogocennym pamiątkom. Większą część kości odnalezionych w Sebaście w ogień rzucono. Ale pobożni zakonnicy użyli fortelu, aby skarb tak nieoceniony ocalić. Przebrali się więc w strój świecki dla niepoznaki i udało się im niby należąc do owych niszczycieli, wyratować nie tylko kości z ognia, ale nawet zebrać cały popiół ze stosu, gdzie relikwje rzucono.

W ten sposób św. Jan Chrzciciel podwójne przebył męczeństwo, jak to wielu pisarzy kościelnych zaznacza. Wkrótce po tym świętokradzkim czynie Juljan Apostata zginął śmiercią marną, ściągnąwszy na siebie zasłużoną karę nieba.

Powiadają, że głowę św. Jana uwiozła z sobą niecna Herodjada aż do Jerozolimy i ukryła w pałacu Heroda Autypasa. Tam odnaleziono ją wśród ruin pałacu, zamieszkiwanego niegdyś przez tetrarchę.

Co z relikwji św. Jana ocalić się udało wierni oddali pewnemu opatowi jerozolimskiemu, od którego wziąwszy je św. Atanazy, tymczasowo złożył w murowanym grobowcu, gdzie spoczywały aż do 395 r., w którym to czasie cesarz Teodozjusz z wielką uroczystością przeniósł je do zbudowanego przez siebie kościoła pod wezwaniem św. Jana, na tem samem miejscu, gdzie stało przedtem bożyszcze Serapisa przez Adrjana wystawione.

Głowę św. Jana przechowywano czas długi w Cylicji, a Teodozjusz Wielki spowadził ją do Konstantynopola. Sam wyszedł za miasto na spotkanie i owinąwszy św. relikwje w cesarską purpurę niósł aż do kościoła. Przeniesienie te odbyło się d. 29 sierpnia i w dniu tym Kościół św. obchodzi jednocześnie pamiątkę ścięcia i przeniesienia głowy św. Jana Chrzciciela.

Cześć dla tego świętego, tak wszędzie żywa i gorąca, spowodowała, że bardzo wiele kościołów ubiegało się o zaszczyt posiadania jego relikwji, a więc część głowy dostała się kościołowi św. Sylwestra w Rzymie; katedra w Amiens również taką relikwją się szczyci. W mieście tem niezliczoną ilość cudów wyliczają, za przyczyną relikwji św. Jana dokonanych.

Trochę krwi św. Jana ma się znajdować w Bazas, w zachodniej Francji, w Neapolu i w Monza, prawa ręka w Cisteaux, popioły w Genueńskiej katedrze; podczas burzy i nawałnicy wynoszą je na brzeg morza, które uspokaja się w sposób cudowny.

Salome z głową św. Jana.

Tradycyjne obchody wigilji św. Jana.

Jakeśmy to zaznaczyli na początku, Kościół św. czyni wyjątek dla św. Jana Chrzciciela obchodząc dzień jego narodzin, a czyni to dla tego, że narodziny te były źródłem świętej radości z powodu szczególnej łaski ukazania się na ziemi Przesłańca Bożego. Jednozgodnie Kościół Zachodni i Wschodni uroczystość tę w d. 24 czerwca obchodzą.

Wszędzie dawniej było we zwyczaju palić ognie w wigilję św. Jana; we Francji do początku XIX-go wieku utrzymał się ten obchód; w Paryżu była to

zwykle wielka uroczystość. Sami królowie podpalali stos z masztem wysokim. Ludwik XIV ostatni taki stos z królów podpalał. Nasze spławianie wianków na Wiśle, Sobótki, święto Kupały czyli *Kupalnccki*, powszechnie znane i dotąd w wielu miejscach praktykowane, są również bardzo starym zabytkiem.

Niektórzy badacze sądzą, że zwyczaj ten datuje z pogańskich czasów, kiedy obchodzono przez palenie ognia, wejście słońca w znak lwa, a po przyjęciu wiary chrześcijańskiej ten obchód ludowy pozostawiono, nadając mu tylko inne zupełnie znaczenie, gdyż stanowi zarazem pamiątkę drugiego męczeństwa św. Jana, kiedy kości jego w Sebaście spalono. Zwyczaj ogólny palenia ogni przypisują dawni uczeni potrzebie odpędzania od studni i źródeł szkodliwych w tej porze gadów, gdyż zarażone przez nich wody miały sprowadzać choroby i śmierć. Ztąd w psalmie powiedziane: *Laudate Dominum de terra dracones.*

Obchodzono też dawniej pola z zapalonemi pochodniami, na pamiątkę iż św. Jan przyszedł na świat aby dać świadectwo o światłości. W Niemczech stosy zapalane w wigilją św. Jana nazywają ogniami przesilenia dnia z nocą, można tedy przypuszać, że pierwotne odnosiły się do słońca, które w tym dniu stoi najwyżej i odtąd poczynają się dnie zmniejszać, co znowu stosuje się do pokornych słów św. Jana, wyrzeczonych do swoich uczniów, którzy niechętnym okiem patrzyli na rosnący z dniem każdym rozgłos czynów Zbawiciela: „On ma rość, a ja się umniejszać".

Nicgdyś przed Narodzeniem św. Jana jak i przed Bożem Narodzeniem obchodzono post czterdziesto-dniowy; potem już tylko trzy-tygodniowy, nareszcie została sama wigilja, a i ta dziś u nas i prawie powszechnie bez postu.

W tę to wigilję w Rzymie u św. Jana laterańskiego przed nieszporami, kardynał arcypresbyter bazyliki, w zakrystji przybranej w bogate obicia, poświęca kwiaty gwoździków, które się następnie rozdają kanonikom tego kościoła.

(Chorzy ubiegają się o te poświęcone na wigilję kwiaty, jako pomocne w dolegliwościach. Inni obrywają płatki z tych kwiatów i trzymają je przez całą noc w wodzie; nazajutrz tą wodą się myją zwąc ją *wodą świętojańską* mającą dawać rzeźwość i zdrowie).

Prócz *Narodzenia św. Jana* obchodzi się święto *Scięcia św Jana* 29 sierpnia a niegdyś trzecie, *Poczęcia* 24 września, następnie zniesione.

Paweł diakon, historjograf kościoła rzymskiego mając pewnego dnia śpiewać przy poświęceniu paschału, choć obdarzony głosem czystym i pięknym, nagle zupełnie ochrypł. Ażeby być uzdrowionym, ułożył na cześć św. Jana hymn i wnet mu, jak Zacharjaszowi, ojcu św. Jana głos został przywrócony.

Wizerunki św. Jana Chrzciciela.

Zazwyczaj przedstawiają na obrazach św. Jana odzianego w skórę, przepasanego rzemykiem, często z barankiem na ramieniu, na pamiątkę, że Zbawiciela Barankiem Bożym nazywał. Wielu artystów umieszcza św. Jana w dziecinnym wieku na wizerunkach Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Znane też są ogólne wyobrażenia Chrztu Zbawiciela w Jordanie, kiedy Duch św. w postaci gołębicy unoszący się nad głową Jezusa daje poznać Janowi: „że ten jest Syn Boży".

Ścięta głowa świętego męczennika położona na misie trzymana przez zbrodniczą Salomę lub Herodjadę, dała też temat wielu znakomitym malarzom do artystycznych utworów. Przedstawiają też św. Jana z trzciną w ręku albo też z lilją, jako symbolem niewinności. Andrzej del Sarte, znakomity malarz włoski przedstawił sceny z życia św. Jana Chrzciciela w jedenastu obrazach. Rafael malował go, jako pięknego młodzieńca, w jaskini skalistej, nad źródłem z lekko zawieszoną na ramionach skórą tygrysią. Kopję z obrazu Murilla podajemy.

Niekiedy malują św. Jana w cieniu drzew, otoczonego Faryzeuszami i Sadyceuszami albo w towarzystwie dwóch uczniów, którym wskazuje Chrystusa idącego w pewnej odległości. W kościołach greckich niema on baranka na ramionach ale trzyma kartkę z napisem: „Jestem głosem wołającego na puszczy." Często dodają mu miecz, jako symbol męczeństwa.

Św. Jan Chrzciciel jest patronem bardzo wielu miast, niezliczonej ilości kościołów, a także zakonu Kartuzów i cechów rzemieślniczych. Tak np.: krawcy, nożownicy, białoskórnicy, wyrabiający pasy skórzane, mularze, ptasznicy, (ci ostatni dla tego zapewne, że św. Jan żył wolny jak ptak w puszczy aż do swego uwięzienia) obrali go za patrona.

Wzywają orędownictwa tego świętego w konwulsjach, epilepsji; podczas gradu i gwałtownej nawałnicy.

Źródła.

Ewangelje św Apostołów.

Daras. *Życie św. Jana Chrzciciela.*

Łuk. M. Sapiewicz (audytor teologji w akad. krak.) *Narodzenie i życie św. Jana Chrzciciela.*

Teofil L. *Żywot św. Jana Chrzciciela ze zbioru starych pisarzy włoskich wyjęty a ku zbudowaniu braci swojej na język polski tłumaczony.* 1862 r.

U Bollandystów. (Jun: IV. 750).

Dnia 27 Czerwca.

ŚWIĘTY WŁADYSŁAW

król węgierski.

1031 † 1095.

Za rządów papieży: od Jana XIX do Urbana II, cesarzy niemieckich Konrada II, Henryka IV, królów polskich: Kazimierza I, Bolesława Śmiałego, Władysława Hermana.

Dobry król powinien być dla swych poddanych, jako dobry ojciec w rodzinie.
Erasmus, „O moralności.“

Wzór chrześciańskiege monarchy. Dziecinne i młodzieńcze lata św. Władysława. Zatargi rodzinne i państwowe.

Św. Władysław zasługuje ze wszechmiar na cześć wielką, żył on bowiem w czasach, kiedy świętość na tronie była rzeczą niesłychaną, tymbardziej jeszcze w kraju, gdzie krewkość wrodzona Węgrów i zaledwie powierzchowne przyjęcie zasad chrześciańskich czyniła ich na wpół barbarzyńcami.

Po śmierci św. Stefana, pierwszego króla chrześciańskiego i apostoła swego narodu, prawa do następstwa tronu nie były wyraźnie określone; więc długa i okropna walka domowa i dopiero po wielu przejściach i zamieszkach Andrzej I (1047 † 1061) rozpoczął nową dynastję, panującą przez trzy wieki (do r. 1302).

Król Andrzej miał brata imieniem Bela, którego polityczne powody skłoniły do szukania przytułku w Polsce. Tam poślubił on córkę Mieczysława II, króla polskiego i miał z nią dwóch synów, Gejzę i Władysława. Tego ostatniego po węgiersku zwano Lalo.

Chociaż Andrzej I panował, Bela z pomocą Bolesława Śmiałego wtargnął do Węgier i tam się koronował.

Podczas pobytu swego w Polsce Bela starał się dać synom jaknajlepsze wychowanie, zwłaszcza Władysław odznaczał się charakterem łagodnym i wielką pobożnością. Matka Polka wpoiła w nich zasady chrześciańskie, a młodzi książęta chowali się pod okiem duchowieństwa, które zajmowało się troskliwie nauczaniem młodzieży.

Po śmierci Andrzeja I, pomimo, że pozostawił on syna Salomona, Bela władzę zagarnął. Nieobeszło się bez krwawych przejść, albowiem Bela chciał pomścić zbrodnicze zamachy brata na swe życie.

Z bólem serca patrzył na te zatargi rodzinne szlachetny Władysław, nie przywiązujący wcale znaczenia do dóbr ziemskich, a zapatrzony tylko w niebo i pragnący królestwa Bożego na ziemi. Wolałby on stokroć żyć w ciszy i spokoju w jakiemś ustroniu niż na książęcym dworze. To też po śmierci ojca, nie opierał się zabiegom Salomona o węgierską koronę, a kiedy okrutne rządy tego króla wywołały ogólne oburzenie i naród chciał mieć jednego z synów Beli na tronie, Władysław odstąpił zaszczyt panowania bratu swemu Gejzie, pomimo, że sam cieszył się większą od niego miłością swych poddanych. Gejza II obdarzył Władysława książęcym tytułem i nadał mu obszerne posiadłości w lennictwo, ale bardzo krótkiem było jego panowanie i po trzyletnich rządach zmarł w 1079 r.

Obiór Władysława.

Teraz wszystkich oczy zwróciły się na księcia Władysława. Duchowni i świeccy wskazywali nań, jako na jedynego pożądanego dla kraju władcę. Wierzono, że jego mądrość i cnoty zdołają wreszcie zaprowadzić ład upragniony i skołatany długiemi nie snaskami naród zazna wreszcie spokoju. Wysławiano go, nie mogąc znaleźć dość słów na wyrażenie swego zachwytu dla szlachetnego sposobu myślenia i wielkim zalet serca i umysłu młodego księcia. Był on dobry, miłosierny, sprawiedliwy, każdy z poddanych miał prawo zbliżyć się do niego z całem zaufaniem. Nie pozwalał, aby się komukolwiek krzywda działa, a nawet w tej uroczystej chwili, kiedy go cały naród jednomyślnie na tron powołał, nie chcąc budzić zawiści strąconego i wygnanego Salomona, swego stryjecznego brata, wysłał do niego posłów z zapytaniem, czy zgadza się na wybór narodu i życzy sobie widzieć Władysława na tronie? Wiedział o tem, że Gejza przed śmiercią czynił kroki dla pojednania się z Salomonem i zdawało mu się, że nie powinien przywłaszczać sobie władzy, dopóki dawniejszy król węgierski, aczkolwiek odtrącony i zienawidzony żyje jeszcze na wygnaniu. Wszyscy jednak panowie węgierscy. zebrani na polu elekcyjnem stanowczo objawili, że nikomu innemu, prócz księciu Władysławowi, korony nie oddadzą. W imię więc uczuć religijnych i patryotycznych zaklinano go, aby się nie ociągał dłużej. Tylko te szlachetne pobudki skłoniły wreszcie Władysława do objęcia najwyższej władzy, nie chciał jednak w żaden sposób zgodzić się na włożenie królewskiej korony, ani nawet żadnych oznak piastowanego przez siebie dostojeństwa nie nosił.

Św. Władysław na węgierskim tronie. Wspaniałomyślność względem zaciętego wroga.

Kiedy Władysław rozpoczął swe rządy, pierwszą jego myślą było uspokojenie umysłów zwaśnionych i zapobieżenie swarom domowym.

Przeznaczył szczodrą pensję eks-królowi Salomonowi, ażeby nie czuł się pokrzywdzonym i mógł prowadzić życie wspaniałe na królewskim prawdziwie dworze. Wspaniałomyślny Władysław przyrzekał nawet zrzeczenie się na jego rzecz korony, o ile tylko ten burzliwy książę potrafi hamować się i przestanie wichrzyć w kraju. Ale Salomon okazał się wielce niewdzięcznym za otrzymane łaski, nadużył wnet swobody i począł spiskować przeciw prawemu i umiłowanemu przez naród monarsze.

Uprzedzony w porę król Władysław, zdołał uniknąć szczęśliwie przygotowanej przez Salomona zasadzki, w celu zamordowania go i wydarcia tak gwałtownie pożądanej władzy.

Wobec wrogiego usposobienia nieprzejednanego krewnego, Władysław musiał w końcu zgodzić się na uwięzienie go w twierdzy Wyszegrodu, inaczej bowiem nie można było zaprowadzić ładu w kraju, szarpanym ustawicznie wojną domową. Salomon zresztą nie wahał się porozumiewać z ościennymi panującymi, ażeby broniąc własnych interesów, narażać kraj na ciężkie straty.

Z boleścią w sercu musiał się zgodzić Władysław na pozbawienie wolności Salomona, chociaż warcholstwo jego już wszystkim dotkliwie dało się we znaki.

Zupełnie nieprzewidziane okoliczności przyczyniły się wkrótce do oswobodzenia Salomona. Oto pobożny król Władysław, pragnąc przenieść zwłoki św. Stefana, by cześć im oddać należną, wydał rozkaz otworzenia trumny. Napróżno jednak silili się robotnicy nad odwaleniem grobowego kamienia; widziano w tem dziwnem wydarzeniu wpływ sił nadprzyrodzonych. Sam król i wszyscy obecni nie mogli wyjść z podziwienia, co by to oznaczać miało? Nagle przybyła pewna zakonnica, oznajmiając, że może wyjawić królowi powód tego cudownego oporu grobowego kamienia, albowiem Bóg jej to objawił.

Zaciekawiony wielce król Władysław dowiedział się z ust zakonnicy, że prawdopodobnie zbyt surowe obejście się z więźniem niepodobało się Stwórcy miłosiernemu i że nikt nie będzie w stanie odwalić kamienia z grobu św. Stefana, dopóki Salomon nie zostanie uwolniony.

Pobożny król zastosował się skwapliwie do tej rady, ponłoważ Bóg objawił swej służebnicy, że Salomon jednocześnie głęboką zdjęty skruchą, ma zamiar odpokutować swe winy i nowe rozpocząć życie.

W ten niezwykły sposób Salomon oozyskał swobodę, a wspaniałomyślny Władysław nietylko krzywdy osobiste mu darował, ale wszystkie jego majętności znów powrócił.

Okazało się następnie, że istotnie łaska Boża znalazła przystęp do zatwardziałego serca grzesznika i ostatnie lata swego życia spędził Salomon bardzo przykładnie, wiodąc w puszczy żywot pusteiniczy, umartwiając się i pokutując... Zmarł w miasteczku Pola w Istrji i tam długi czas wskazywano jego grób, jako pamiątkę historyczną i przykład nawróconego grzesznika.

Cnoty św. Władysława.

Dwór króla Władysława w Preszburgu, mając wzorowy przykład w swym władcy, zmienił się do niepoznania. Święty król, pomimo licznych spraw państwowych, oddawał się uczynkom miłosiernym, zachowywał przytem czystość obyczajów, był niezmiernie wstrzemięźliwy w jadle i napoju. Sypiał na twaroem, żołnierskiem posłaniu, a jego sposób życia przypominał raczej regulamin klasztorny niż majestat monarszy. Każdy z jego poddanych mógł udać się zawsze do króla, w potrzebie; pełno było około pałacu różnych biedaków, których święty Władysław troskliwie wspomagał. Wszystkie kościoły zniszczone lub opuszczone podczas panowania Salomona, kazał król wyrestaurować i hojnemi obdarzył je donacjami. Dbał wielce o szerzenie wiary św., zwłaszcza w tych zakątkach kraju, gdzie jeszcze barbarzyńskie zachowywano zwyczaje.

Zowią też słusznie św. Władysława drugim po św. Stefanie apostołem Węgier i żałować tylko można, że zbyt krótko ten święty monarcha rządy sprawował i godnego po sobie następcy nie pozostawił.

Każdemu wogóle trudno jest wznieść się na wyżyny doskonałości i pozyskać chwałę świętości na ziemi, ale o ileż trudniej jest opierać się wszelkim pokusom, będąc postawionym w wyjątkowych warunkach, kiedy się ma możność używania w pełni wszystkich słodkich rozkoszy tego świata, kiedy tak łatwo jest poddać się podszeptom pychy, uledz pochlebcom, rzucać pieniędzmi dla dogodzenia swym zachciankom. Tem większą jest zasługa dusz, które potrafiły pozostać nieskazitelnemi wśród tylu pokus w wirze świata., nie schodząc z drogi cnoty i zachęcając innych wzniosłym przykładem wytrwałości i chrześciańskiego męztwa.

Św. Władysław, jako prawodawca. Pomyślne boje.

Od kiedy Salomon przestał bruździć i buntować, zapanował spokój domowy. Władysław mógł teraz swobodnie zająć się uregulowaniem najpilniejszych potrzeb kraju i wydaniem praw nowych. Zebrał więc wielką radę, złożoną z najpoważniejszych dostojników i obywateli, ażeby wspólnie z nimi obmyśleć zbiór praw zgodnych z boską nauką

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Ewangelji św. i dążących do pomyślności całego narodu.

Trzy księgi tych praw znajdują się przy końcu dzieła Bonfiniusa p. t. „Dzieje Węgier". Król Władysław tak wiernie przestrzegał przykazań Boskich i kościelnych, że można go było uważać za żywego przedstawiciela tego prawa i przykład godny ze wszechmiar naśladowania.

Św. Władysław był gorącym czcicielem Najśw. Panny i wiele kościołów pod Jej wezwaniem ufundował; szczególniej slynną jest bazylika Matki Boskiej w Waradynie.

ścisłymi postami, modlitwą i przyjęciem Komunji świętej Dwukrotnie udało mu się odeprzeć szczęśliwie napady książąt czeskich, a walcząc z Polakami dotarł aż do Krakowa i zdobył stolicę.

Przygotowania do wojny krzyżowej. Król Władysław powołany zostaje do prowadzenia wyprawy.

Najgorętszem pragnieniem węgierskiego króla było przyjęcie udziału w krucjacie czyli wojnie krzyżowej, mającej na celu odebranie Ziemi Świętej z rąk Muzułmanów. Św. Władysław żywił nadzieje,

Św. Władysław przyjmuje władzę, nie chcąc jednak nosić oznak królewskich.

Nie obeszło się w ciągu rządów świętego króla bez uciążliwych wojen z Polakami, Czechami oraz innymi sąsiedniemi narodami, chociaż Władysław nigdy nie szukał zaczepki. Przed wyjściem wojska na bój nakazywał zawsze król publiczne modły za pomyślność wyprawy, sam zaś gotował się do wojny

że Bóg pozwoli mu w tej wyprawie przelać krew dla Jego chwały, a może nawet ponieść śmierć męczeńską za wiarę.

Właśnie nadarzała się ku temu sposobność, gdyż słynny Piotr pustelnik nawoływał cały świat chrześciański do walki z niewiernymi. Papież Ur-

ban II również gorąco zachęcał europejskich mocarzy do zbrojnego wystąpienia przeciw niewiernym.

W r. 1095 rozpoczęły się ogólne przygotowania do wojny krzyżowej z Saracenami. Wojskami chrześciańskiemi, składającemi się z różnych narodów, dowodzili: książe Godfryd de Bouillon, Robert hr. Flandrji, Rajmund hr. de St. Gilles i wielu innych.

Francuzcy, hiszpańscy i angielscy książęta wysłali poselstwo do króla Władysława, prosząc go, aby stanął na czele trzykroć stotysięcznej armji ochotnie idącej w obronie wiary św. Król węgierski z największą radością przyjął ten zaszczyt i wraz z księciem czeskim, swym siostrzeńcem, czynił przygotowania do tej olbrzymiej wyprawy.

Śmierć św. Władysława.

Z Woli Opatrzności nie danem było doczekać św. Władysławowi urzeczywistnienia swych najgorętszych życzeń uczestniczenia w tej bohaterskiej wojnie. W pierwszych dniach lipca tegoż 1095 r. ciężko zachorował i czuł, że już z tej niemocy nie powstanie. Pomimo wielkich cierpień mężnie i przytomnie załatwiał jeszcze najdonioślejsze sprawy krajowe, poczem z głębokiem namaszczeniem gotował się na śmierć. Wszyscy otaczający jego łoże boleści podziwiali niezrównany hart, cierpliwość i zgadzanie się z Wolą Bożą pobożnego monarchy.

Św. Władysław oddał ducha Bogu d. 30 lipca 1095 r. mając lat 56 a po 18-letniem panowaniu.

Kościół św. obchodzi jego pamięć d. 27 czerwca, w którym to dniu nastąpiło przeniesienie zwłok tego świętego ze stolicy do Waradynu.

Trudno jest opisać jak głęboko odczuł cały naród węgierski stratę tak świątobliwego i wspaniałomyślnego króla, stracił w nim bowiem nietylko monarchę, ale jakby ojca ukochanego, opiekuna wdów i sierot, obrońcę uciśnionych, podporę Kościoła i wzór cnót wszelakich. Trzyletnia dobrowolna żałoba była najwymowniejszym dowodem tego szczerego żalu. Przez cały ten czas zaprzestano wszelkich publicznych i prywatnych zabaw, widowiska zawieszono; w żałobie tej naród węgierski wyraził swą cześć dla zmarłego, nie ograniczając się tylko na powierzchownych jej objawach. Jest to jedyny może fakt w historji, że naród cały, jak gdyby syn przywiązany złożył tak jednomyślny hołd umiłowanemu monarsze.

Pogrzeb. Pośmiertne cuda.

Ciało św. Władysława z należnemi honorami zostało przeniesione z Presburga do kościoła Najśw. Panny w Waradynie, stosownie do życzenia zmarłego. Cuda podczas tego procesjonalnego pochodu, podniosły jeszcze wiarę ludu w świętość króla.

Ludzie wiozący trumnę usnęli mocno, znużeni długą podróżą. Obudziwszy się dopiero o godzinie 3-ciej w dzień ogromnie się zlękli widząc, że karawan z trumną znikł bez śladu. Był to ostalni już postój przed Waradynem, pośpieszyli więc do tego miasta zatrwożeni szczególnym wypadkiem i gotowi ponieść zasłużoną za swe niedbalstwo karę, ale jakież było ich zdziwienie, gdy im oznajmiono, że wóz sam bez koni i żadnej postronnej pomocy potoczył się drogą ku miastu i zatrzymał się dopiero przed kościołem, w miejscu, gdzie św. Władysław pragnął być pogrzebionym.

Wielu chorych doświadczyło łask nadzwyczajnych u grobu św. Władysława, a Bóg dawał wciąż nowe dowody, jak miłą Mu jest cześć temu świętemu królowi oddawana.

Pewna matka po urodzeniu syna kaleki udała się z całą ufnością do grobu św. Władysława, błagając aby uprosił u Boga odwrócenie tego strasznego nieszczęścia: Gorąca modlitwa macierzyńska została wysłuchana i uradowana kobieta powróciła z kościoła niosąc swe niemowlę zupełnie uzdrowione.

Kanonizacya św. Władysława nastąpiła w 1199 roku po dokładnem sprawdzeniu niezliczonej ilości cudów pośmiertnych u grobu jego dokonanych.

Wizerunki św. Władysława.

Przedstawiają najczęściej św. Władysława pomiędzy dwoma aniołami, ponieważ według tradycji Salomon prowadząc wojnę z Władysławem miał widzenie i ujrzał właśnie świętego króla strzeżonego przez dwa anioły. Ludowe podanie głosi, że to również aniołowie z nieba zanieśli trumnę królewską do kościoła w Waradynie.

Niekiedy malują św. Władysława z różańcem i mieczem w dłoni, gdyż każdy swój czyn ważniejszy zwykł był rozpoczynać modlitwą.

Węgierscy malarze przedstawiają go często z rozwiniętym sztandarem w ręku, dla zaznaczenia, że ten świątobliwy, miłosierny i wspaniałomyślny monarcha, był zarazem dzielnym i nieustraszonym wodzem.

Spotykamy też wizerunki św. Władysława odtwarzające cud z jego życia przez dziejopisarzy pominięty, niemniej jednak przechowany w ludowem podaniu, że podczas wojennej wyprawy za uderzeniem jego lancy źródło ze skały wytrysło.

Cześć dla św. Władysława jest bardzo na Węgrzech rozprzestrzenioną, uważają go na równi prawie ze św. Stefanem za swego patrona; dziwnem jest atoli, że imie Władysław daleko częściej na chrzcie św. u nas w Polsce, jak na Węgrzech jest dawane.

Źródła.

God. Bonfinius. *Dzieje Węgier.* E. Leger. *Historja państwa węgierskiego.* Acta sanctorum.

Daras. *Żywot św. Władysława.*

ŚWIĄTOBLIWY KS. JAN CZAPLA

umęczony w Płocku w wieku XIII za rządów papieża Grzegorza IX, księcia Konrada mazowieckiego.

Nawróćcie się do Pana Boga, bo dobrotliwy i miłosierny jest i łatwy do ubłagania nad złością. Joel. 2 — 13.

Na płockim zamku.

O młodzieńczych latach tego świątobliwego kapłana nie posiadamy żadnych wiadomości, dopiero dowiadujemy się o nim, z powodu, iż dłuższy czas na dworze Konrada, księcia mazowieckiego przebywał, a ten „dla pobożnego życia i wybornych obyczajów“ czcigodnego ks. Jana kanclerzem go swoim mianował.

Ponieważ ks. Czapla pochodził z zacnego wielce rodu i w naukach, zwłaszcza zaś w teologji i prawie bardzo był biegły, książę mazowiecki powierzył mu dozór nad synem swym Kazimierzem.

Podejrzliwy Konrad, wszędzie widząc podejścia i zdrady, chętnie różnym pogłoskom dawał wiarę a będąc wielce zapalczywym, nie starał się nawet sprawdzić o ile słuszneml były oskarżenia i gniew swój często na niewinnych wywierał.

Skorzystali z tego niegodni zausznicy, aby rzucić potwarz na ks. Jana. Doniesiono księciu, że syn jego Kazimierz chce mu zdradziecko władzę odebrać i że jakoby ks. Czapla jest z nim w zmowie.

Książę Konrad natychmiast kazał kanclerza swego uwięzić i męki okrutne mu zadać, poczem na szubienicy przed zamkiem płockim powiesić.

Pogrzeb. Znęcanie się nad trupem.

Barbarzyńskie to jeszcze były czasy i nawpół dzikie w kraju naszym panowały obyczaje. Otóż zobaczymy, jaką jeszcze trup nieszczęsny miał znosić poniewierkę.

Kiedy OO. Dominikanie w Płocku zamieszkali, dowiedzieli się o strasznem morderstwie, zajęli się chrześciańskim pogrzebaniem zwłok umęczonego kapłana. Ów ksiądz prałat, Jan Czapla żył z Ojcami w przyjaźni i przed kilku laty kościół im swym staraniem zbudował. Wdzięczni za to zakonnicy mieli zamiar uczcić go przynajmniej godnym zasług pogrzebem. Ale żona Konrada, księżna Agata, niewiasta ambitna i w złości niepohamowana, przemocą kazała wydrzeć ciało ks. Jana z rąk zakonników i parą wołów, na większą wzgardę wieźć przez miasto, następnie zaś przed kościołem Dominikańskim na nowo wzniesiono szubienicę i powtórnie trup księdza Jana na niej zawisnął.

OO. Dominikanie nie ulękli się gróźb i gniewu, ale znowu ciało ze stryczka zdjęli i do grobu złożyli.

Kara kościelna i Interdykt na dyecezję płocką. Skrucha ks. Konrada.

Okropny ten mord, na duchownym dokonany, wywołał słuszne oburzenie, jednakże wobec dzikości księcia Konrada i jego małżonki, ówczesny biskup płocki, Jędrzej, nie miał odwagi głośno przeciw gwałtowi zaprotestować, ale za to, Piotr, arcybiskup gnieźnieński wielce się tą sprawą przejął i na całą dyecezję płocką interdykt włożył. Odtąd nie mógł być tam żaden sakrament administrowany, ani odprawiane nabożeństwo.

Ponury Konrad zapałał strasznym gniewem, ale z arcybiskupem musiał się liczyć. strach przekleństwa opamiętał go nieco i zrozumiał, jak haniebnym czynem skalał sumienie.

Skruszony i do pokuty skłonny, uznając najzupełniej swą ciężką winę, pojechał książę Konrad do Gniezna, a tam stawiwszy się przed arcybiskupem, zastał wysłanych przez papieża Grzegorza IX dwóch prałatów.

Ukorzył się przed nimi dumny książę i błagał o zdjęcie klątwy i rozgrzeszenie ze swej w zapalczywości wielkiej popełnionej zbrodni.

Widząc, że Konrad istotnie szczery żal okazuje, udzielili mu wysłańcy Stolicy Apostolskiej rozgrzeszenia.

Na zadość uczynienie, oprócz duchownej pokuty, ofiarował książę mazowiecki miasto Łowicz z przyległą puszczą arcybiskupowi gnieźnieńskiemu na wieczne czasy Przytem kościołom włocławskiemu i płockiemu szczodre dał upominki. Wielu też innymi pobożnymi uczynkami starał się wybłagać u Boga za swój ciężki grzech przebaczenie.

Ks. Flor. Jaroszewicz w swych wspomnieniach o błogosławionych i świątobliwych Polakach podaje dzień 1 lipca, jako datę umęczenia ks. Jana Czapli

Dnia 2 lipca.

ŚWIĘTY OTTON

biskup bamberski, apostoł Pomorza.

1062 † 1139.

Za rządów papieży: Grzegorza VII, Urbana II, Paschalisa II, Honorjusza II, Inocentego II, królów polskich: Bolesława Śmiałego, Władysława Hermana, Bolesława Krzywoustego, cesarzy niemieckich Henryka IV i V.

> Samego siebie we wszystkiem podawaj przykładem dobrych uczynków, w nauce, w szczerości, w powadze. Słowo zdrowe, nienaganne, aby się ten, który jest przeciwny zawstydził, nie mając nic, coby o nas miał mówić złego.
>
> Tyt. 2, 7, 8.

Młode lata. Względy monarsze.

Św. Otton urodził się w Szwabji około 1062 r., z zacnej lecz podupadłej szlacheckiej rodziny. Od dzieciństwa miał do nauk wielkie zamiłowanie, wcześnie jednak odumarli go rodzice, a nie chcąc być ciężarem starszemu bratu, udał się do Polski, aby tam założyć szkołę.

W kraju naszym w owe czasy bardzo pożądanemi były wszelkie zakłady naukowe, naród rycerski, wciąż zmuszony pilnować swych granic, nie mógł jeszcze spokojnie oddawać się pracy umysłowej, więc mało uzdolnionych mistrzów posiadał.

Młody Otton bogobojny, wykształcony, bardzo ujmujący w obejściu pozyskał sobie wkrótce wielką życzliwość i zaufanie polskich panów, nietylko starano się o jego względy, ale bardzo często powoływano go na sędziego i rozjemcę w różnych sporach.

Sława jego wielkiego taktu i rozumu dosięgła aż na zamek królewski i Władysław I wezwał go do siebie, kapelanem swoim mianując. Po śmierci swej pierwszej żony król polski wysłał św. Ottona w poselstwie do cesarza niemieckiego Henryka IV, prosząc o rękę siostry jego Judyty. Poselstwo to powiodło się w zupełności ale cesarz niemiecki oceniwszy wielkie zalety umysłu Ottona, zapragnął go pozostawić przy swoim dworze.

Św. Otton widząc, że może tu być bardzo użytecznym przystał na to i był czas jakiś nieodstępnym towarzyszem monarchy.

Pobożny kapłan nierozstawał się nigdy z psałterzem i w razie jakiegokolwiek niestosownego kroku Henryka, starał się wnet umiejętnie przytoczoną cytatą z Pisma św. lub psalmów, na dobrą drogę go wprowadzić. Trudne to było zadanie, bo monarcha ten był strasznie ambitny i nieokiełznany.

Wkrótce cesarz powierzył św. Ottonowi zaszczytny urząd swego kanclerza, odtąd kapelan zawansowawszy na tak wysokie stanowisko mógł wiele czynić dobrego; wywiązywał się też jak najsumienniej ze swych obowiązków.

Kilkakroinie ofiarowywał mu cesarz tron biskupi, ale św. Otton stale odmawiał, według niego bowiem rozdawanie urzędów duchownych przez świecką władzę nie zgadzało się z prawami Bożemi i z przykrością widział nieraz frymarczenie urzędami i dostojeństwami Kościoła św. oraz pochlebstwa, zabiegi i zdobywanie godności dla próżnej chwały przez ludzi niepowołanych.

Cesarska inwestytura. Św. Otton wyraża swą wierność Stolicy Apostolskiej.

Kiedy tron biskupi w Bambergu zawakował, Henryk IV znów się zwrócił z zapytaniem do sweko kanclerza, czy nie życzyłby objąć tego stanowiska? Tym razem święty Otton zgodził się bez wahania, wiedział bowiem, że w przeciwnym razie biskupstwo dostanie się w niegodne ręce. Musiał więc wbrew przekonania przyjąc pastorał i pierścień pasterski z rąk cesarza, czyniąc jednak w duszy ślub, że konsekracja będzie dokonana dopiero wówczas, gdy Stolica Apostolska wybór potwierdzi.

W asystencji dwóch biskupów i licznego orszaku wyruszył św. Otton do Bambergu. Cesarz Henryk życzył sobie, aby wjazd nowego biskupa odbył się wspaniale, ale św. Otton miłował ewangeliczną prostotę i chcąc dać przykład chrześciańskiej pokory, gdy zaledwie zarysowały się przed nim wyniosłe wieżyce katedry Bambergu, wysiadł z karocy, zdjął obuwie i pomimo przejmującego zimna, działo się to bowiem w pierwszych dniach lutego, szedł boso aż do miasta, otoczony dostojnym orszakiem i licznym pocztem duchownych i świeckich, przybyłych dla powitania swego pasterza.

Św. Otton wysłał natychmiast list do papieża, oznajmiajac o cesarskiem mianowaniu go biskupem i prosząc o wyrażenie w tym względzie swej najwyższej woli, objawiając też zarazem gotowość pospieszenia do Rzymu dla otrzymania od Głowy Kościoła wskazówek dalszego postępowania.

„Przebyłem lat kilka na służbie przy cesarskim dworze, pisał ten święty sługa Boży, pozyskałem sobie jego łaskę, ale nie mogąc uznawać władzy cesarskiej w sprawach kościelnych, opierałem się przyjęciu biskupstwa. Ponieważ nalegał cesarz już po raz trzeci, abym objął rządy bamber-

skiej dyecezji, upraszam najpokorniej o wyrażenie swej woli, do której zastosuje się w zupełności".

List ten rozradował serce papieża Paschalisa II, ponieważ on sam również w swoim czasie nie chciał przyjąć godności papiezkiej i nawet się schował, lecz odnaleziony, musiał uledz woli duchowieństwa i wiernych. Kościół św. był naówczas w stanie wielkiego zamętu, zmuszony z jednej strony ulegać wpływowi monarchy świeckiego Henryka IV, który mu wiele szkód wyrządził, z drugiej zaś strony ustawiczne rozruchy w Rzymie mąciły wciąż spokój.

Paschalis II cierpiał nieraz z powodu nieposłuszeństwa biskupów, zwłaszcza w Niemczech, gdzie cesarz Henryk IV władzę świecką i duchowną zagarnął. Kiedy wiec nowo mianowany biskup bamberski z synowskiem posłuszeństwem ku niemu się zwrócił, odpisał mu natychmiast w bardzo serdecznych słowach, potwierdzając tym razem ochotnie wybór cesarski i zachęcając do odwiedzenia Rzymu.

Św. Otton wyruszył zaraz wraz z deputacją wiernych z Bambergu. Papież przyjął go bardzo uprzejmie, podziwiając w nim pokorę, tak rzadką w owe czasy cnotę, św. Otton bowiem otrzymawszy audjencję ukląkł przed Namiestnikiem Chrystusowym i u nóg jego złożył oznaki godności biskupiej, prosząc o przebaczenie za wszystkie popełnione w życiu winy, oświadczając zarazem, że nie czuje się godnym piastowania tak wysokiego urzędu. Na co rzekł papież:

— Oto wkrótce święto Zesłania Ducha św. obchodzić będziemy, Bogu więc tę sprawę powierzymy a Duch św. natchnie nas dobrem postanowieniem.

Św. Otton waha się z przyjęciem godności biskupiej. Papież Paschalis II sakry mu udziela. Protektor zakonów.

Św. Otton powróciwszy do swego mieszkania jął rozmyślać głęboko nad wielką odpowiedzialnością, przed Bogiem i ludźmi, jaką dostojeństwo biskupie wkłada. Widział doskonale ogólny stan rozprężenia, brak karności wśród duchowieństwa, przytem samowola świeckich panów utrudniała wprowadzenie dobrych obyczając w narodzie.

Były to bardzo smutne i burzliwe czasy; pojawiali się kilkakrotnie różni antypapieże, którzy sąmozwańczo zagarniali władzę i mieli swoich stronników. W takim stanie rzeczy położenie biskupów było bardzo trudne; św. Otton pragnący tylko Boskiej chwały i posłuszeństwa kościelnym prawom postanowił usunąć się zupełnie od publicznej działalności i w jakimś cichym zakątku życia dokonać. Powziąwszy takie postanowienie wyruszył niezwłocznie w powrotną podróż do Niemiec.

Zaledwie jednak dzień jeden był w drodze, papież wysłał za nim gońca rozkazując powrócić, św. Otton musiał się zastosować do woli Ojca św. a ten w dzień Zielonych Świątek sakry biskupiej sam mu udzielił (d. 13 maja 1106 r.) przyczem rozszerzył jeszcze znacznie przywileje, biskupom bamberskim udzielone.

Zaraz po powrocie do swej dyecezji, troskliwy o dobro swych owieczek pasterz, postarał się o zdobycie sobie dzielnych pomocników dla ugruntowania zasad wiary wśród dyecezjan. Bardzo pożądanymi w tym razie okazali się zakonnicy, to też św. Otton fundował i protegował klasztory i w przeciągu kilku lat powstało około dwudziestu opactw i klasztorów. Kiedy ktoś mu zrobił uwagę, że zbyt dużo już namnożyło się zgromadzeń zakonnych w okolicy, czcig. biskup odpowiedział:

— Nigdy nie może być nadmiaru w tym względzie, zaliż nie słusznem jest wznosić jak najgęściej gospody dla tych, którzy uważają się za chwilowych wędrowców na tej ziemi.

Cnoty św. Ottona.

Święty Otton bardzo był wspaniałomyślny i szczodry dla innych, dla siebie zaś wszystkiego żałował czyniąc oszczędności nawet w rzeczach niezbędnych. Mieszkańcy Bambergu nie mogli wyjść z podziwienia, jak ich dostojny pasterz obywa się nietylko bez zbytków ale i bez wygód wszelakich, pomimo, że rozporządza dużemi funduszami.

— Nasze dobra — powiada on — są własnością ubogich; nie mamy prawa ani grosza z nich trwonić.

Ubiór jego był więcej niż skromny, nieraz bowiem łatany i wyszarzany jak u zupełnego biedaka. Wstrzemięźliwość w jadle doprowadzał do najwyższych granic, obywając się najprostszemi potrawami, czasem nawet umyślnie mówił, że zupełnie nie jest głodny, aby innym odstąpić swoją porcję.

Raz w postny dzień podano mu jakąś rybę wyszukaną. Biskup spojrzał na szafarza swego z wyrzutem.

— To musi drogo kosztować — zauważył.

Szafarz wymienił sumę.

— A niechże Bóg broni, abym ja miał spożyć sam takie zbytkowne danie — zawołał św. Otton — weźcie to zaraz i w imieniu mojem Panu Jezusowi je ofiarujcie w osobie jakich nieszczęśliwych chorych i sparaliżowanych, niech mają chociaż tę pociechę w strapieniu, ja zaś jestem zdrów i silny, trochę chleba i wody najzupełniej dla zaspokojenia głodu wystarczy.

Nic więcej rozradować nie mogło zacnego biskupa, jak widok, że dobry siew przez niego rzucany zbawienne wydaje owoce; ponieważ zaś przykładne postępowanie i gorliwość duchowieństwa jest

prawdziwem błogosławieństwem dla kraju, nie dziw, że troskliwy pasterz był czczony i kochany, jak na to zasłużył. Jego wpływ potrafił zmienić obyczaje i podnieść pobożność wśród wiernych.

Jednakże nieraz wśród ciągłej pracy i nawału zajęć uśmiechała się biskupowi bamberskiemu myśl spokojnego życia w klasztornej ciszy, gdzie mógłby chwalić Boga w skupieniu ducha i zupełnem od spraw ziemskich oderwaniu.

Św. Otton wykonywa ślub posłuszeństwa.

Razu pewnego św. Otton ciężko się rozchorował. Powstawszy z długiej niemocy przywołał opata Wolframa, z którym w wielkiej żył przyjaźni, i prosił o zaliczenie siebie do liczby zakonników, zapewniając, jakoby już od dłuższego czasu ułożył sobie, że wstąpi do klasztoru, aby żyć w ubóstwie, umartwieniach i ścisłem posłuszeństwie. Światły opat nie odradzał na razie, a nawet zgodnie z wolą biskupa ślub posłuszeństwa od niego przyjął.

Po niejakim czasie udał się św. Otton do opactwa i zwracając się do przełożonego O. Wolframa prosił go o pozwolenie przywdziania habitu.

Ale opat pojmował doskonale, że usunięcie się biskupa od spraw kościelnych byłoby nieodżałowaną dla dyecezji stratą, zapytał więc świętego:

— Czy gotów jesteś wiernie uczynionego ślubu posłuszeństwa dopełnić?

— W imię Syna Bożego, który się dla naszego dobra, przez wcielenie Swe i śmierć na krzyżu uniżył, przysięgam, że posłusznym będę do końca—odpowiedział biskup.

— W takim razie upraszam cię, Ojcze najczcigodniejszy, abyś w dalszym ciągu prowadził swe święte i chwalebne prace na tem stanowisku, które dobrowolnie opuścić zamierzałeś.

Św. Otton zastosował się posłusznie do rozkazu tego, którego za przełożonego swego uznawał, powrócił znów do Bambergu, ale w pałacu biskupim, wiódł odtąd zupełnie prawie klasztorne życie, a przytem był tam prawdziwy przytułek dla wszelkiej niedoli i biedacy znajdowali w nim zawsze opiekę i schronienie.

Król Bolesław Krzywousty zdobywa Pomorze. Pierwsze prace apostolskie wśród pogan.

W owym czasie panował w Polsce Bolesław III Krzywoustym zwany, który jeszcze w pacholęcym wieku walczył w bitwach przy boku Sieciecha, męztwem swem dorównywał Chrobremu, był przytem bardzo pobożny, więc wśród zamętu spraw politycznych przyświecała mu jedna myśl przewodnia: podbić, tudzież nawrócić Pomorze i uczynić zeń niejako pomost do zawojowania dalszej, zachodniej Słowiańszczyzny.

Pomorze dzieliło się na wiele drobnych, udzielnych księstw, bo każde miasto miało swe odrębne prawa. Od Polski odgraniczone było dziewiczemi lasami i moczarami, stanowiącemi naturalną obronę, to też Pomorzanie uporczywie wyłamywali się od związku z pobratymczem państwem Polskiem. Wojny z nimi nie mogły być prowadzone regularnie, były raczej wzajemnem napadaniem i odwetem nieustannym. Te zatargi przewlekłe trwały przez cały czas panowania Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego.

Już w 1107 roku wojewoda Skarbimir zdobył twie twierdze pomorskie. Odpłacili mu się wprawdzie Pomorzanie i za sprawą brata królewskiego Zbigniewa napadli Bolesława tak niespodzianie, że ledwie uszedł niewoli. Mimo to, w tymże jeszcze 1108 r. zdobył wiele pomorskich grodów, pomiędzy nimi Kołobrzeg, Wolin i Białogród.

Wreszcie długą wojnę rozstrzygnęło wielkie zwycięztwo Bolesława pod Nakłem 1109, wskutek którego dokonał podbicia Pomorza t. j. kraju pomiędzy Wisłą i Odrą. Pozostawił jednak Bolesław pomorskie ziemie pod zarządem tamecznych książąt, z których najpotężniejszym był Świętopełk Nakielski.

Południowa połowa Pomorza przyjęła wtedy wiarę chrześciańską i wcieloną została do dyecezji wielkopolskich.

Zaledwie pokonał Bolesław jednych wrogów, musiał walczyć z potężnym przeciwnikiem Henrykiem V, synem i następcą Henryka IV cesarza niemieckiego. Znana nam jest z historji naszego kraju dzielna obrona Głogowa i wspomnienie zażartej bitwy pod Wrocławiem, gdzie było tyle trupów, że od wielkiej zgrai psów, co je pożerały, nazwano to miejsce *Psiem polem.* (Dziś jeszcze nazwę tę nosi miasteczko o milę na północ od Wrocławia położone, zwane po niemiecku Hundfeld, czyli psie pole).

Tak tedy wyprawa Henryka V do Polski skończyła się sromotnie, a niepodległość Polski na długie lata ubezpieczoną została. Aliści znowu najpotężniejszy z książąt pomorskich, Świętopełk Nakielski usiłował jeszcze raz wybić się z pod panowania polskiego w porozumieniu z Prusakami i książęty ruskimi podniósł bunt w 1118 r.

W dwóch wyprawach pokonał go Bolesław zupełnie, a ziemie nadnotecką, nad którą książe ten panował, wcielił do Wielkopolski. Następnie uderzył dzielny Bolesław na Warcisława, księcia szczecińskiego, zdobył Szczecin i ziemię przez Lutyków zamieszkałe, zmuszając księcia Warcisława do hołdu (1120 r.). Opanował też część dzisiejszej Meklenburgii i Brandeburgji a nawet i wyspę Rugję. Odtąd i te ziemie za Odrą leżące poczęto zwać niewłaściwie Pomorzem. Bolesław, jakeśmy to zazna-

czyli, starał się już oddawna w krajach podbitych zaszczepić wiarę chrześciańską. Niestety jednak misję niektórych mnichów w tych krajach podejmowane, były dotąd bezowocne. Dopiero misja uproszonego w tym celu św. Ottona przyniosła świetne owoce.

Biskup bamberski zwrócił się do papieża z zapytaniem, nic bowiem nigdy na własną rękę nie chciał przedsiębrać. Otrzymawszy błogosławieństwo papieskie jął pośpiesznie czynić przygotowania do dalekiej i niebezpiecznej wyprawy.

pychem księcia Kościoła zjawił się na Pomorzu, tak olśniewając naród i ujmując go sobie szczodremi darami i łagodnością postępowania, że w krótkim czasie wszystkich serca ku sobie zniewolił.

Blask i majestat wysokiego dostojnika uczynił na poganach silne wrażenie, tembardziej kiedy przekonali się, że świątobliwy pasterz nietylko niema zamiaru grabić ich mienia, jak to czynili dotąd świeccy przybysze, ale chętnie wnika w ich potrzeby, rozdaje podarunki i tylko chodzi mu o zdobycie dusz dla Boga.

Święty Otton składa u stóp papieża Paschalisa II oznaki władzy biskupiej.

Wiedział już od różnych zakonników, którzy zapuszczali się w pogańskie kraje, że Pomorzanie bardzo są wrażliwi na wspaniałość otoczenia; duchownych, którzy przybywali w skromnych, zakonnych ubiorach lekceważyli sobie barbarzyńcy, nie mając najmniejszego pojęcia o ewangelicznej prostocie.

Św. Otton jął się innego środka nawracania. Nie jako skromny sługa Boży, ale z całym prze-

Biskup wybrał kilkunastu światłych i gorliwych kapłanów, ażeby ich na straży nowonawróconych pozostawić.

Pierwsza misja św. Ottona na Pomorzu.

O pierwszej wyprawie biskupa bamberskiego na Pomorze kronikarz współczesny takie podaje szczegóły:

Dnia 24 kwietnia 1125 r., wyruszył św. Otton

przez Czechy d Gniezna, gdzie król Bolesław podejmował gościnn dostojnego gościa przez cały tydzień, przydawszy u jeszcze kilku ludzi obeznanych dobrze z Pomorzem; pomiędzy innymi był niejaki Paulicjusz, bardzo wymowny i znający pobratymcze narzecza.

Sześć dni posuwał się z trudem orszak biskupi przez puszcze olbrzymie wreszcie zatrzymano się nad Notecią. Jeden z książąt pomorskich obozował na przeciwległym brzegu w otoczeniu pięciuset zbrojnych ludzi, Uprzedzony już był o przybyciu biskupa, więc pośpieszył na łodzi z kilkoma towarzyszami dla powitania przybyłych. Wyznał on, porozumiewając się ze św. Ottonem przez Paulicjusza, że jest już chrześcianinem, ale musi kryć się z tem przed poganami. Podczas rozmowy ze św. Ottonem prowadzonej na uboczu, jego towarzysze widząc niejakie zalęknienie w oczach Bawarczyków z orszaku biskupa, tym więcej jeszcze zaniepokoili ich, połyskując wyostrzonymi nożami i giestami dając wyraźnie do zrozumienia, że ich zamordują. Co widząc książe objaśnił z uśmiechem, że jest to tylko żart dla wypróbowania odwagi przybyłych, bo jego dworzanie również wiarę chrześciańską wyznają w tajemnicy. Św. Otton ofiarował księciu, pomiędzy innymi darami, laskę z kości słoniowej, na której wsparł się wnet książe pomorski z widocznem zadowoleniem mówiąc do towarzyszy:

— Widzicie bracia, jakiego dobrego ojca Bóg nam zsyła! Nigdy jeszcze żaden dar nie uradował mię, tak dalece, jak dzisiejszy!

Następnie wydał rozkaz, ażeby na całym obrębie podwładnej mu ziemi przyjęto dostojnych gości z należnemi honorami i dał im swych ludzi zaufanych na przewodników.

Misje w Piritz (Pierzyce) i Kaminie.

Powaga zwycięzkiego oręża polskiego utorowała drogę biskupowi bamberskiemu w jego apostolskiem zadaniu. Nie mniej jednak najdonioślejsze znaczenie miał wpływ jego osobisty na ludność miejscową; jeśli początkowo szczepienie wiary chrześciańskiej na zawojowanem Pomorzu pomimo usiłowań Bolesława szło dość opornie, teraz wszystko się na lepsze zmieniło a święty biskup budził cześć wielką i zdobywał zaufanie.

Kiedy orszak św. Ottona przybył do Piritz, jednego z miast znaczniejszych, oznajmiono, że tam odbywają się właśnie jakieś uroczystości pogańskie. Ludność cała była podniecona i hałaśliwie uczciła. Musiano zatrzymać się w jednej z wiosek okolicznych i dopiero nazajutrz udał się Paulicjusz z niektórymi ze świty księcia pomorskiego do starszyzny miasta, aby zawiadomić ich o przybyciu biskupa i zgotowaniu stosownego przyjęcia.

Z początku wahali się nieco, okazując obawę i niechęć, po naradzie jednak zmienili zdanie i nietylko gościnnie otworzyli bramy miasta, ale tłum cały spotykał przybyłych radośnemi okrzykami.

Św. Otton wzruszony tak ujmującem przyjęciem przez bałwochwalców, w których przywiązanie do kamiennych bóstw słowiańskich zdawało się być jeszcze bardzo silnie zakorzenione, przywdział strój pontyfikalny i wstąpiwszy na wzniesienie przemówił serdecznie do zebranych. Nieodstępny tłumacz powtarzał za nim każde słowo w miejscowem narzeczu.

— Błogosławieństwo Boże wam przynoszę — zawołał biskup — dzięki składam za gościnne przyjęcie, jakiego na wstępie w waszym kraju doznałem. Jedynem naszem pragnieniem jast wasze szczęście i wasze zbawienie, które osiągnąć możecie, jeżeli zechcecie uznać waszego Stwórcę i wiernie Mu odtąd służyć będziecie.

Wnet dały się słyszeć liczne głosy wśród tłumu, że pragną poznać bliżej zasady wiary chrześciańskiej i proszą o tę naukę. Siedm dni biskup bramberski, katechizował lud z pomocą przybyłych z nim kapłanów. Następnie wyznaczył post tygodniowy, zalecił udać się do kąpieli, aby ciało było też przygotowane do uroczystej chwili chrztu św. który miał dusze ich obmyć z grzechu. Wszyscy mający chrzest otrzymać przywdzieli białe szaty, dla odróżnienia neofitów; wielki zapał ogarnął ludność pociągniętą nieznaną im dotąd pięknością i wzniosłością Ewangelji św.

Trzy tygodnie spędził św. Otton w Piritz nauczając tajemnic wiary. Chrzest pierwszych neofitów pociągnął wielu innych, poczem udał się biskup wraz z orszakiem do Kaminu, gdzie bardzo liczne nawracał rzesze.

Opór bałwochwalców.

Nie wszędzie jednak apostoł Pomorza tak życzliwego doznał przyjęcia.

Miasto Wolin, leżące przy ujściu Odry do morza, było w owe czasy punktem handlowym bardzo ożywionym. Ale mieszkańcy tamtejsi mieli wiele hardości i dzikości w swym charakterze, pomimo więc, że biskup zamieszkał w zamku książęcym, niektórzy zuchwali poganie przybyli tam, aby wręcz oświadczyć z największem urąganiem, że niepotrzebują żadnych nowych bogów. ponieważ mają swoich i boją się ściągnąć gniew ich na siebie.

Św. Otton przyjął poselstwo wolińskie bardzo łaskawie i przemawiał w sposób tak łagodny i przekonywujący, że zmiękli naraz i sami prosili o objaśnienie im zasad wiary chrześciańskiej. Poczem oświadczyli gotowość przyjęcia chrztu o ile mieszkańcy Szczecina to samo wpierw uczynią.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Nie tracąc czasu udał się gorliwy apostoł do Szczecina a Paulicjusz pośpieszył przodem, aby oznajmić mieszkańcom przybycie biskupa.

Tym razem trafili misjonarze na opór trudny do przełamania. Bałwochwalcy powtarzali niezmiennie, że są zupełnie z wiary swych przodków zadowoleni i niechcą nawet zapoznać się z inną religją. Pogańscy kapłani przedstawiali im w złym świetle zasady chrześciaństwa, aby tem usilniej bronili się od przyjęcia prawd Bożych.

Dwa miesiące już minęło, a mieszkańcy Szczecina, wciąż jedną misjonarzom dawali odpowiedź.

Wreszcie pewnego poranku dwóch młodzieńców bardzo ujmującej powierzchowności i jak można było wnosić z zacnego rodu, przybyło do św. Ottona z prośbą o wtajemniczenie ich w naukę Ukrzyżowanego.

Święty biskup przyjął ich po ojcowsku sam katechizm im wykładał, Sakramentu chrztu udzielił i zatrzymał ich czas jakiś przy sobie. Przez cały tydzień, nosili oni białe, jak śnieg szaty neofitów, sprawiające na poganach wielkie wrażenie, poczem otrzymali piękne tuniki złotem haftowane, takież przepaski i obuwie kolorowe. Powróciwszy do swoich opowiadali z zachwytem o wszystkiem co widzieli, o wielkiej dobroci, szlachetności, miłosierdziu katolickiego biskupa i zachęcali gorąco swych współtowarzyszy do pójścia w ich ślady.

Dobry przykład podziałał zbawiennie, dwaj młodzieńcy nawróceni, niby dwie białe gołębice w poselstwie do ludu wysłane powrócili wiodąc z sobą innych, namowami ich zniewolonych. Od tego czasu zmienił się Szczecin do niepoznania, zapał udzielał się jak dobroczynne światło z rąk do rąk sobie podawane. Całe miasto prawie przyjęło chrzest św. dobrowolnie bez żadnego ze strony zwierzchności przymusu.

Ojciec dwóch pierwszych nawróconych młodzianów był natenczas nieobecny, przybywszy zaś z dalekiej podróży i dowiedziawszy się, że synowie i większa część rodziny nawróciła się na wiarę chrześciańską, wpadł w gniew i rozpacz i zaprzysiągł zemstę biskupowi, którego ludowi nieoświeconemu za czarownika przedstawić się starał.

Ale łaska Boża przeniknęła również jego serce. Łzy i prośby żony sprawiły, że nietylko myśli o zemście zaniechał, ale pośpieszył sam na zamek, biskupowi do nóg się rzucił a nawet okazało się, że już niegdyś w Saksonji chrzest św. otrzymał, ale chciwość zysków i obawa obrażenia bałwochwalców, z którymi ciągle przystawał, zatarła w jego pamięci otrzymane niegdyś nauki. Biskup wysłuchał tego szczerego wyznania, i tak ujął sobie niedawnego jeszcze wroga, że ten gotów był dać się za niego rozsiekać w kawały, stał się też gorliwym wyznawcą, wiary św. którą przedtem głośno potępiał i prześladował.

Wolin wstępuje w ślady Szczecina.

Kiedy św. Otton powtórnie udał się do Wolina zastał już ludność miejscową dobrze usposobioną do przyjęcia Ewangelji, gdyż w czasie bytności jego w Szczecinie wysyłano tajemnie gońców dla sprawdzenia na miejscu, co się tam dzieje. Przekonawszy się zaś, że chrześcianie nie usiłują gwałtem narzucać swej wiary, ale działają tylko za pomecą łagodnych napomnień i objaśnień, że wreszcie wymagają jedynie moralnego i szlachetnego postępowania, chętnie poszli za przykładem swych sąsiadów, jak to zresztą biskupowi bamberskiemu przyrzekli. Tak więc wrażenie okazywanej mu początkowo niechęci, rozwiało się bez śladu, a podczas dwumiesięcznego pobytu zaledwie misjonarze wydołać mogli w nieustannej pracy przy udzielaniu Sakramentów i nauczaniu nowonawróconych.

Po dokonaniu tak wielkiego dzieła powrócił sędziwy apostoł Pomorza do Bambergu 4 kwietnia 1126 r., po rocznej tam niebytności. Witano radośnie czcigodnego pasterza tryumfalnie powracającego do swych owieczek po nawróceniu kilkutysięcznej rzeszy ludu.

Powtórny pobyt św. Ottona na Pomorzu. Cuda św. Ottona.

W r. 1127 otrzymawszy błogosławieństwo papieża Honorjusza II, św. Otton wyruszył poraz drugi na Pomorze, ażeby umocnić swe dzieło, albowiem znowu pogańscy kapłani starali się nawróconych przeciągnąć na swą stronę grożąc im pomstą odtrąconych bałwanów.

Przybywszy wprost do Szczecina zastał tam biskup okropne swary; lud podzielił się na dwa obozy, jedni wyznawali Chrystusa, inni znów gorąco bronili dawnych swych bożków. Odstępcy rzucili się z wściekłością na zamek, gdzie biskup przebywał i grozili mu śmiercią. Św. Otton nie lękał się męczeństwa, przeciwnie zagrzany wielką miłością ku Bogu pragnął otrzymać palmę męczeńską jak św. Wojciech i tylu innych zamordowanych przez pogan. Przywdziawszy pontyfikalny ubiór krzyż wznieść rozkazał a śpiewając hymny i psalmy wraz z otaczającymi go wiernymi polecał ich opiece Boskiej, gotując się na śmierć niechybną.

Napastnicy zdumieni byli odwagą tej bezbronnej garstki, która w obec grożącego niebezpieczeństwa zachowywała spokój zupełny, a w twarzach ich zamiast trwogi i przerażenia malowała się niebiańska radość.

Barbarzyńcy gotowi już byli wyrzec się swych zbrodniczych zamiarów, ale buntowali ich kapłani pogańscy.

Kiedy ukazał się św. Otton, odstępcy podnieśli włócznie chcąc zamordować biskupa, ale nagle ręce ich jakby skamieniały, stali tak w niemem przerażeniu aż dopóki święty apostoł litością zdjęty nie udzielił im swego błogosławieństwa, które im odrazu swobodę ruchów wróciło.

Cud ten sprawił na obecnych nadzwyczajnie silne wrażenie, wszyscy padli na kolana błagając o przebaczenie i wnet świątynię *Tryglawa* zburzono.

Kiedy św. Otton zaprowadził ład w Szczecinie, zwrócił się do Wolina, gdzie nie spotkał się już z tak wrogiem usposobieniem ludu i dobry siew znacznie lepiej się przyjął.

W Wolinie biskup bamberski, dokonał kilku cudów, które powtarzano sobie z ust do ust, błogosławiąc świętego. Pomiędzy innymi wymieniają cudowne uzdrowienie niewidomej oraz kilka faktów ukarania winnych w sposób nadprzyrodzony. I tak np. w dzień Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny wieśniak pewien nawrócony żął w polu. Ksiądz Bocetis, jeden z towarzyszących św. Ottonowi zwrócił uwagę rolnika, że dzień święty święcić należy, na co Pomorzanin odpowiedział mu w sposób grubjański. W tejże chwili padł, jakby piorunem rażony, trzymając sierp i garść żyta w zaciśniętych dłoniach tak mocno, że w żaden sposób rozgiąć zesztywniałych palców nie można było.

Śmierć św. Ottona. Relikwje.

Św. Otton dbał troskliwie, aby Pomorzanie mieli godnych sług Bożych prowadzących w dalszym ciągu misyjne, tak wspaniale rozpoczęte przez niego prace.

W kilka lat później 30 czerwca (1139 r.) zmarł św. Otton w Bambergu pozostawiając po sobie żal głęboki i niewygasłą wdzięczność.

Prawdziwy ten ojciec ubogich po śmierci jeszcze czuwał nad nimi czyniąc ich swymi spadkobiercami. Pochowano go w kościele św. Michała.

Papież Klemens III w poczet świętych go zaliczył w r. 1189.

Relikwje św. Ottona złożone były w kosztownym relikwiarzu, który od czasów Reformy przechowuje się w skarbcu elektora hanowerskiego.

Wizerunki św Ottona.

Przedstawiają św. Ottona na obrazach przemawiającego do bałwochwalców, rozkazującego przekuwać strzały na gwoździe, ponieważ w ten sposób dach pewnego kościoła umocnić kazał.

Dnia 9 Lipca.

DZIEWIĘTNASTU MĘCZENNIKÓW Z GORKUM

† 1572.

Za rządów papieża św. Piusa V.

„Oczy Pańskie patrzą na wszystką ziemię i dodają mocy tym, którzy weń sercem doskonałem wierzą.“ (2. Par 16—9).

Zdobycie Gorkum przez protestantów.

Druga połowa XVI wieku przedstawia się jako krwawa dziejów karta.

Nowe wyznanie przez Lutra i Kalwina wymyślone poczęło smutne wydawać owoce. Całe Niemcy były krwawemi walkami wstrząsane, w Niderlandach Kalwini występowali z orężem w ręku, nikt tam nie mógł być pewnym życia. D. 25 czerwca 1572 r., opanowali oni podstępnie miasto Gorkum, o sześć mil od Dordrechtu położone. Twierdza broniona przez Kaspra Turcka trzymała się jeszcze, chociaż łatwo można było przewidzieć, że niedługo przeważnej liczbie napastujących opierać się będzie w stanie.

Marjan Brant stał na czele Kalwinów. Deszczem ognistym prażył oblężonych, a gdy noc zapadła walka nie została przerwana. O północy komendant twierdzy musiał poddać się, stawiając za warunek, że wszystkim świeckim i duchownym, znajdującym się w obrębie fortecy, życie będzie darowane, natomiast zgromadzone tam skarby i zapasy zostaną oddane zwycięzcom.

Niedotrzymanie warunków.

W tym czasie księża i zakonnicy, którzy na wszystko najgorsze byli przygotowani, spowiadali jedni drugich oraz wiernym udzielali Komunji św Proboszcz Mikołaj Poppel zabrał z sobą Hostje św., aby je od heretyckiej zapalczywości i świętokradztwa uchronić. Wszyscy katolicy cisnęli się, do naprędce urządzonych konfesjonałów i śpieszyli z rąk czcigodnych kapłanów otrzymać Chleb anielski. Był to istotnie wzruszający widok, przypominający pierwsze czasy chrześcijaństwa, kiedy musiano kryć się w podziemiach i tam Komunją św., umacniano się na długie cierpienia i męki. I oto w średnich wiekach powtarzało się znów barbarzyńskie prześladowanie. Kiedy hardy wódz Kalwinów rozpoczął swe rządy w fortecy, natychmiast kazał wszystkim zgromadzić się na dziedzińcu, żołnierzom zaś swoim dał

znak, że rabować mogą bezkarnie. Nie oszczędzono też upokarzającej rewizji osobistej każdego z obecnych; żołnierze z chciwością rzucali się na swe ofiary, odbierając im wszystko, co tylko jakąbądź wartość dla nich miało.

Komendant twierdzy napróżno przypominał Brantowi, że niedotrzymuje warunków, na jakich nastąpiło poddanie; pochwycono go i wtrącono do ciemnicy. Bracia Mniejsi zebrali się około swego przełożonego, pełni powagi i spokoju. O. Mikołaj Pieck czuwał nad nimi, jak ojciec nad synami swymi.

Dziewiętnastu męczenników z Gorkum.

Wbrew oczekiwaniu laicy zostali na wolność wypuszczeni, zakonników zaś i księży świeckich zamknięto w dusznem i wilgotnem więzieniu.

O. Mikołaj Pieck miał pierwszy iść na tortury.

Znęcanie się Kalwinów nad duchowieństwem katolickiem.

Oprawcy pochwycili czcig. O. Mikołaja i poczęli go bić i szarpać z całej siły. Zdjęto mu sznur opasujący habit i na tym sznurze zawieszono go u pułapu, poczem rozkołysano ciało, aby ciężarem swym coraz mocniej zaciskało pętlę u szyi. Ten ruch wahadłowy trwał tak długo, że w końcu sznur się przetarł i bezwładne ciało spadło z łoskotem na ziemię. Podnieśli je wnet żołdacy i oparłszy o mur w sposób barbarzyński znęcali się nad swą ofiarą. Nie będąc pewni czy O. Gwardjan już nie żyje, czy też omdlał z bólu, poczęli czynić okrutne próby, prześcigając się wzajemnie w pomysłach coraz nowej tortury.

Przykładano więc płonące pochodnie do czoła, do ust i uszów, okrucieństwo swe posuwając do tego stopnia, że wkładano ogień aż do gardła, piekąc język i podniebienie. Ponieważ O. Mikołaj nie wydał ani jednego jęku ani westchnienia upewniło to katów, że nastąpiła śmierć niewątpliwie i pozostawiono nakoniec udręczone ciało w spokoju. Jeden z oprawców potrącił jeszcze nogą trupa odrzucając go w kąt ze wstrętem i rzucając jakąś ohydną obelgę na pożegnanie.

Kiedy zbiry wyszli z więziennej celi, towarzysze niedoli otoczyli O. Mikołaja, a pochyleni nad umęczonym, usłyszeli naraz z największem zdumieniem, że z piersi jego wydobyło się ciche westchnienie. Po chwili odzyskał przytomność i jasno zdawał sobie sprawę z męczarni niedawno przebytej:

— Jakto? — wyszeptał słabym głosem, — więc żyję jeszcze? Podobało się Bogu pozostawić mię na ziemi, a sądziłem, że danem mi będzie dzisiaj oglądać oblicze Pana naszego w niebie, ufałem, że Zbawiciel raczy mię przyjąć na Swe łono! Ale niech się dzieje Wola Boża, zapewne zbyt mało jeszcze cierpiałem dla zasłużenia sobie wiecznej szczęśliwości!

Można sobie wyobrazić z jakiem niezmiernem wzruszeniem słuchali obecni tych pełnych pokory i zgadzania się z Wolą Bożą słów męczennika.

Tajemne uprowadzenie więźniów do Brielle.

Nazajutrz rano żołnierze przyszli uzbrojeni w siekiery z zamiarem rozsiekania w kawały ciała O. Mikołaja. Zastawszy go przy życiu znowu pastwili się nad nim w ten sposób, aby dręczyć ale nie dobijać. Naczelnik tej bandy łotrów kazał wszystkim więźniom wydymać policzki a następnie policzkował ich z całej siły. Krew im szła z nosa, nawet płynęła uszami, kat zaś rad nieludzkiej katuszy zabawiał się zadawaniem swym ofiarom coraz dotkliwszych męczarni.

Pomimo że wszystko, co się działo w twierdzy starali się Kalwini zachować w jak największej tajemnicy, wieść o torturowaniu księży i zakonników przeniknęła do miasta.

O. Mikołajowi udało się rozmówić z jakimś katolikiem, który się do zakratowanego okienka zbliżył. Za jego pośrednictwem prosił o przysłanie chirurga. Brant udał wielkie zdziwienie, jakby nie rozumiejąc wcale co chirurg może mieć teraz do czynienia w zdobytej fortecy, ale żądaniu uczynił zadość, chodziło mu bowiem o zachowanie przed światem pozorów dobrego obchodzenia się z więźniami.

To co opowiadał potem chirurg widz naoczny, oraz kilku więźniów, którzy w tym czasie zostali wypuszczeni, przejęło zgrozą mieszkańców Gorkum. Rozpacz rodziny O. Mikołaja Piecka i ks. Mikołaja Poppela przyczyniły się do nadania wielkiego rozgłosu okropnym barbarzyństwom Kalwinów. Podniesiono tę sprawę w radzie miasta. Kalwini poczęli odczuwać strach zemsty za swe okrucieństwa, a zarazem obawiali się, że ofiary mogą im być odebrane Postanowili więc co rychlej przyśpieszyć ich koniec, przedtem jednak zwrócili się z zapytaniem do srogiego i dzikiego hr. van Lummen z Brielle, jednego z przewódzców kalwińskich, a ten kazał natychmiast więźniów do siebie przyprowadzić.

Nie chcąc, aby ludność miejscowa dowiedziała się o uprowadzeniu z twierdzy wszystkich duchownych katolickich, dokonano tego porwania podczas ciemnej nocy (z 5-go na 6-ty czerwca).

Obudzono więźniów, odarto z ubrania i rzucono do łodzi. Chociaż działo się to w noc letnią, powiew dość chłodny na wodzie przejmował ich dreszczem. Czcig. ks Willebade prosił, aby mu pozostawiono płaszcz albo sutannę, żołnierze wiozący więźniów odpowiedzieli wnet po swojemu, policzkując proszącego; ulitował się jednak nad nim przewoźnik i płaszcz mu zarzucił na ramiona.

Ośm godzin mniej więcej trwała ta podróż do Dordrechtu. Przetransportowano tam więźniów na ładowny statek i wtrącono na same dno obchodząc się z nimi, jak z bydlętami. Cały dzień aż do wieczora nie pomyślano nawet o daniu im pożywienia, dopiero wieczorem zlitował się sternik i po kawałku chleba im ofiarował. 7-go lipca dostawiono ich wreszcie do celu podróży i zatrzymano się w Brielle, gdzie hr. Lummen przebywał.

Wszyscy mieszkańcy wybiegli oglądać niebywałe widowisko. Hr. Lummen spoglądał tryumfująco jak gnano przez miasto odartych z odzieży Franciszkanów, popychając ich pięściami, a konni jeźdźcy rózgami popędzali ich do szybszego biegu. Przeprowadzeni przez rózgi zakonnicy, mieli wyraz ogromnego znużenia w wymęczonych głodem i biciem twarzach. Salwy armatnie ogłaszały tryumf Kalwinów nad bezbronnemi ofiarami. Podczas, gdy heretycy objawiali dziką swą radość z pojmania

i dręczenia sług Chrystusowych i czcicieli Najśw. Marji, oni dobywali sił ostatka, aby śpiewać hymn „Ciebie Boże chwalimy.“ Przyprowadzono ich na rynek, gdzie stała szubienica.

Trzykrotnie obeszli ją wokoło nieszczęśliwi skazańcy i na urągliwe żądanie swych prześladowców odśpiewali litanję do Wszystkich Świętych, a następnie na klęczkach *Stabat Mater*. Heretycy patrzyli na modlących się zakonników, jakgdyby na teatralne widowisko.

— Chcemy jeszcze *Oremus*, wołała tłuszcza, nie prędko będziemy mieć sposobność usłyszenia tego w naszym kraju.

Ks. Gotfryd Duynem, jako najstarszy wiekiem rozpoczął głośno i dobitnie odmawiać modlitwę, inni powtórzyli chórem Amen.

Tłum zamilkł; przez chwilę zdawało się, że wszystko zamarło dokoła, a podniosłe słowa modlitwy uczyniły na obecnych silne wrażenie. Ale wkrótce znowu rozpoczęły się krzyki i złorzeczenia.

Więźniów odprowadzono do ciemnicy.

Badania. Dysputy religijne.

Przez cały wieczór trwały badania więźniów w obecności hrabiego Lummen i dwóch duchownych protestanckich. Zapytywani o zasady wiary katockiej, odpowiadali stanowczo i jasno, tym razem oszczędzono im mąk, tylko jednego z nich, ks. Leonarda Vechela żołnierz mocnem uderzeniem poczęstował.

— Możesz mię bić, odrzekł świątobliwy kapłan, ciało moje jest w waszej mocy, ale dusza ma do Boga wyłącznie należy.

Na te słowa inny żołdak cisnął młot w same czoło kapłana i dotkliwie go zranił. Nazajutrz, 8 lipca znowu stawiono duchownych katolickich przed sądem, zawezwano jednak tylko kilku najpoważniejszych wiekiem i biegłych w Piśmie, starając się ich sobie pozyskać. Z tamtymi łatwiejsza będzie sprawa, myśleli odszczepieńcy, byleby tylko udało się nam tych kilku wpływowych nakłonić do wyrzeczenia się religji katolickiej. Rozpoczęli więc dysputy na temat nieomylności papieża i zaproponowali spór teologiczny w kwestjach różnicy zasadniczej pomiędzy dwoma wyznaniami. Zawezwano kalwińskich teologów, którzy nie potrafili dowieść wyższości głoszonych herezji i skończyło się na tem, że duchownych katolickich wyrzucono z sali za to jedynie iż prawda była po ich stronie.

Starania w sprawie uwolnienia księży katolickich.

W tym czasie do hr. Lummen przybyło dwóch gońców, przez jednego z nich radni miasta Gorkum prosili o ułaskawienie swych kapłanów, drugi zaś przywiózł list od Wilhelma, księcia Oranji z żądaniem lepszego traktowania więźniów. Rodziny tak okrutnie dręczonych kapłanów upominały się też o nich, ofiarowując w zamian znaczny okup.

Ale hr. Lummen był nieubłagany. Wszystkie starania o uwolnienie duchownych katolickich jeszcze gorzej podniecały jego zawziętość. Jednakże przy wielkiej protekcji udało się dwóm braciom Ojca Gwardjana otrzymać pozwolenie zabrania go z sobą, chociaż nie uległ namowom heretyków i tak samo jak jego współtowarzysze, niezłomnie trwał w wierze. Ale czcigodny O. Gwardjan nie chciał korzystać z ułaskawienia i pozostawić innych smutnemu ich losowi. Krewni błagali go usilnie, aby jechał z nimi, on jednak odmówił stanowczo. Ostatecznie heretycy postawili za warunek, aby wszyscy uwięzieni wyrzekli się wszelkiej łączności z Głową Kościoła, a w takim razie wolność otrzymają. O. Mikołaj Pieck uśmiechał się z politowaniem, słysząc ich rady, albowiem nigdyby się na żadne odstępstwo od dogmatów Kościoła katolickiego nie zgodził.

Hr. Lummen pozwolił braciom O. Gwardjana zaprosić go na kolację w domu prywatnym, uwalniając więźnia na kilka godzin z pod straży. Chytry heretyk był pewien, że jeśli O. Pieck ulegnie prośbom blizkich sercu osób, to łatwo będzie następnie innych Franciszkanów do ustępstw skłonić.

Ale wszystkie namowy i błagania na nic się nie zdały. O. Mikołaj, jako wierny sługa Boży, wolał męki i śmierć nawet nad odstępstwo.

Przyśpieszenie i wykonanie wyroku. Ostatnie chwile męczenników.

Późno w noc ucztowano na zamku hr. Lummen. Lubił on huczne zabawy, a gdy wino zamroczyło mu umysł, stawał się jeszcze dzikszym i okrucieństwo jego nie miało granic. Kiedy miał już udać się na spoczynek, wzrok jego padł nagle na owe listy, przysłane w sprawie uwolnienia księży i zakonników, a będąc już w najgorszym humorze, kazał niezwłocznie przywołać swego przybocznego oficera, któremu powierzał zwykle wypełnianie swych najwyuzdańszych pomysłów i wydał rozporządzenie powieszenia natychmiast więźniów dla okazania, że nic sobie z niczych próśb i żądań nie robi.

Nigdy jeszcze nie wykonywano egzekucji w sposób tak nagły, ale dumny odszczepieniec nie liczył się z żadnemi boskiemi ani ludzkiemi prawami. Pochwycono wnet O. Gwardjana z objęć zrozpaczonych tą wieścią braci i zaprowadzono na miejsce, gdzie już inni męczennicy, po dwóch razem mocno skrępowani, oczekiwali wysłuchania wyroku. Ponieważ lada chwila spodziewać się można było jakichś nowych udręczeń lub ostatecznej męki, umacniali się wzajemnie i jako mężni żołnierze Chrystusowi gotowali się na śmierć.

Pomimo późnej godziny, mieszkańcy obudzeni niezwykłym ruchem, tententem jeźdźców i przygotowaniami do kaźni, wylegli tłumnie na ulice.

Było to w nocy z 9 go na 10-ty lipca 1572 r., o godz. pierwszej po północy. Wyprowadzono skazańców za miasto. Nieopodal Brielle w Rugge znajdowało się opactwo św. Elżbiety, właśnie niedawno opustoszałe, gdyż zgromadzenie Kanoników regularnych zostało przez heretyków wygnane, a całe opactwo spustoszone. Tam do zrujnowanego spichrza przywiedli męczenników z Gorkum.

Wśród ruin, w noc ciemną odarto wszystkich więźniów z resztek nędznego odzienia. O. Mikołaj Pieck wstąpił pierwszy na szczeble drabiny, aby zawisnąć za chwilę na sznurze, uwieszonym u długiej belki. Ucałował tkliwie pozostałych współtowarzyszy, którzy mieli wnet po nim palmę męczeńską otrzymać.

— Rozstajemy się na krótko, rzekł czcigodny przełożony, będę czekał was tam, u stóp boskiego tronu. Niech żaden z was nie okaże trwogi, cieszmy się bracia mili, że Bóg dozwala nam umrzeć śmiercią męczeńską, aby wieczną potem cieszyć się nagrodą.

Twarz jego promieniała, kiedy mówił te słowa; odważnie, pewnym krokiem wstępował na drabinę. W ostatniej chwili przemawiał jeszcze do pozostałych, głosem dźwięcznym i donośnym, podniosłe dając im nauki.

Zarzucono mu stryczek na szyję; błog. O. Mikołaj skończył swą doczesną wędrówkę w trzydziestym ósmym roku życia. Wytrwały to był bojownik i gorliwy obrońca niezłomnych prawd religji katolickiej.

Drugim z kolei był O. Hieronim Weert. Ten również budującą przemową żegnał Braci, ale heretycy nie pozwolili mu jej dokończyć i włóczniami kłując ciało zmuszali do milczenia. Nie wydawszy ani jednego jęku, ni skargi O. Hieronim jął szeptać litanję i polecać się Bogu i Najśw. Pannie.

Nikodem Heeze i Mikołaj Poppel tak samo szli spokojnie na śmierć, wierni Kościołowi św. i władzy papieskiej.

Godfryd Merwel w chwili zgonu wyrzekł jeszcze te słowa, które Zbawiciel wymówił na krzyżu:

— Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią!

Ks. Leonard Vechel nie mógł ukryć wzruszenia, gdyż stanęła mu w myśli stara matka boleścią złamana i ciężką złożona chorobą. Godfryd Duynem spojrzał nań przenikliwym wzrokiem, wydało mu się bowiem że wahanie się jakieś odbiło się na jego twarzy.

— Odwagi!.. Odwagi!.. zawołał stanowczym głosem, dziś jeszcze spotkamy się w niebie.

Na te słowa Leonard Vechel przyśpieszył kroku, jakby mu pilno było co rychlej stanąć już u kresu; głośno uczynił jeszcze wyznanie wiary i pochylił głowę, na którą kaci zarzucili wnet stryczek.

Czcig. Godfryd Duynem pozostał ostatni przy życiu.

Oprawcy znużeni egzekucją, spojrzeli na sędziwego kapłana i zawahali się w ostatniej chwili, mówiąc pomiędzy sobą:

— Możeby już temu darować życie!

— O nie, nie, zawołał z mocą O. Duynem, dajcież mi możność co najrychlej z Braćmi moimi się połączyć. Już widzę otwierające się przedemną niebiosa! A potem dodał z pokorą:

— Jeżelim obraził kogo lub zgorszył niechże mi będzie przebaczono.

Okrucieństwo Kalwinów. Znęcanie się nad trupami.

Czytając opisy okrucieństwa do jakiego ludzie niekiedy są zdolni, uczuwa się okropne przerażenie i wstręt do tych istot obdarzonych rozumem, a gorszych w swych ohydnych zbrodniach od najdzikszych zwierząt.

Oto właśnie przykład takiego barbarzyństwa dali odszczepieńcy w Brielle, pastwiący się nie tylko nad żyjącymi ale jeszcze nad trupami. Naprzód wykonawcy wyroku wieszali swe ofiary w taki sposób, żeby przydłużyć ich męczarnię.

Jednemu z zakonników zaczepili sznur pod brodę, aby konał zwolna, drugiemu w usta wtłoczono stryczek, jak munsztuk, i w ten sposób nie którzy męczyli się aż do rana. Kiedy zaś przekonano się, że już śmierć nastąpiła, tak strasznie znęcano się nad ciałami zmarłych, że żadnego z męczenników poznać nie można było.

Przez cały dzień następny przybywały tłumy ciekawych dla oglądania oszpeconych ciał, w czem heretycy znajdowali dziką rozkosz; wreszcie rzucono zwłoki męczenników do dołu.

Tegoż dnia nad wieczorem pewien pobożny katolik z Gorkum, posiadający znaczną fortunę i rozległe stosunki, przybył do Brielle i dowiedziawszy się o strasznej egzekucji, zwrócił się do magistratu z żądaniem wydania mu ciał męczenników, albo przynajmniej udzielenie pozwolenia pogrzebania ich jak należy.

Kosztowało go to sporo pieniędzy i trudów ale kiedy przybył na miejsce okazało się, że już z rozkazu władzy zwłoki zakopano. Piętnastu powieszonych na długiej belce w śpichrzu złożono w jednym dole, czterech zaś pochowano osobno.

Cześć oddawana śś. męczennikom z Gorkum. Kanonizacja.

We czterdzieści trzy lata po tym zbrodniczym czynie, w r. 1615 katolicy belgijscy postanowili od-

należć drogocenne relikwje męczenników, których pamięć czcią wielką otaczała potomność, a liczne cuda za przyczyną tych wyznawców Chrystusowych dokonane na miejscu, gdzie spoczywały ich szczątki przyczyniały się do głoszenia ich chwały. Chociaż jeszcze nie wyniesieni byli wówczas na ołtarze, jednakże liczni pątnicy odwiedzali ich groby.

Zebrano więc starannie wszystkie kości męczenników i przewieziono je do Brukselli, arcybiskup wyszedł procesjonalnie na spotkanie relikwji, które następnie złożone zostały w kościele Franciszkańskim w Malines. Męczennicy z Gorkum zostali w poczet świętych zaliczeni przez Piusa IX w 1867 roku.

Załączona tu rycina, tak wiernie odtwarzająca ostatnie chwile mężnych sług Bożych, jest kopją z obrazu znakomitego malarza włoskiego Fracassiniego. Wspaniałe to dzieło sztuki znajduje się w Watykanie.

Dnia 10 Lipca.

ŚWIĘTA FELICYTA Z SIEDMIU SYNAMI

161.

Za rządów papieża św. Piusa I, św. Aniceta, cesarza rzymskiego Antonina pobożnego i Marka Aureljusza.

Podziwiajmy błog. Felicytę, której obchodzimy dziś narodziny w niebie: służebnica Chrystusa Pana przez wiarę, matka chrześcianka, która wysyła synów swych przed sobą do raju.
Św. Grzegorz. Kom. IV.

Matka chrześcianka.

Działo się to w r. 161 czy 162 po Chrystusie, kiedy państwem rzymskiem rządził jeszcze Antonin, ale prawdziwym władcą był jego syn przybrany i następca Marek Aureljusz. Łagodne dla chrześcian rządy Antonina Pobożnego pozwalały na rozwój pomyślny Kościoła św. ale Marek Aureljusz zatopiony w dziełach filozoficznych właściwie żadnej wiary nie uznawał.

Pomimo że w tym czasie właśnie św. Justyn napisał dzieło w obronie chrześcian, zapowiadały się nowe prześladowania wyznawców Chrystusowych.

Św. Felicyta jedna z pierwszych padła ofiarą wściekłości pogan chcących gwałtem utrzymać dawne wierzenia, gdyż bałwochwalstwo coraz więcej ustępowało miejsca wzniosłym prawdom Ewangelji św.

Bohaterstwo i męztwo św. Felicyty wysławiali nieraz Ojcowie Kościoła, stała się ona bowiem prawdziwą ozdobą i chwałą oraz przykładem dla wiernych. Pochodziła ze znakomitego rodu wsławionego rycerskimi czynami, ale wielkie zalety serca i wzniosłe cnoty nierównie więcej od zasług przodków opromieniły jej imie. Poślubiona młodo, wcześnie też pozostała wdową obarczoną liczną rodziną. Bóg dał jej wychować przykładnie siedmiu synów; najstarszy z nich był January, po nim szedł Feliks, Filip, Sylwan, Aleksander, Witalis i Marcial. Dobra matka chowała ich w bojaźni Bożej i surowej cnocie.

Od czasu swego wdowieństwa Felicyta zajmowała się przedewszystkiem chwałą Bożą, a modląc się żarliwie, nie zaniedbywała swych macierzyńskich obowiązków i oddawała się uczynkom miłosiernym z wielkiem zamiłowaniem. Dom jej stawiano za wzór matkom chrześciankom, wierni uczęszczali tam chętnie, a wielu pogan nawróciło się pod jej dobroczynnym wpływem.

Ale bardzo nie po myśli było to wszystko pogańskim kapłanom i rozpoczęto intrygi u dworu w celu zaszkodzenia tej szlachetnej kobiecie. Przedstawiano Markowi Aureljuszowi, że Felicyta obraża bóstwa pogańskie, że wyszydza obrzęda, że należy ją koniecznie siłą zmusić do oddania czci bałwanom, inaczej bowiem bogowie Olimpu mogą w zapalczywości swej na cały Rzym ściągnąć klęski.

Prefekt Publjusz otrzymał rozkaz cesarski zajęcia się zbadaniem sprawy. I oto nadszedł dla Felicyty czas strasznej próby.

Badanie świętej Felicyty.

Publjusz posłuszny rozkazowi wezwał Felicytę i przedstawił jej w sposób dość łagodny ale stanowczy zarazem, że powinna niezwłocznie wraz z synami poddać się woli najjaśniejszego monarchy, który żąda aby ona i jej rodzina bogom rzymskim złożyła ofiary. W przeciwnym razie, zapewniał prefekt, nieobliczalne nieszczęścia ściągniesz na swoją głowę i synom twym również zgubę gotujesz.

Ale Felicyta nie była z rzędu tych słabych istot, które pogróżkami zastraszyć można. Odpowiedziała więc z godnością, że groźb żadnych się nie ulęknie.

— Duch św. który mieszka we mnie, dodała,

niedozwoli, ażeby szatan nademną tryumfował. Do żadnych ustępstw nie jestem zdolną. Dopóki żyć będę nie potraficie mię zwyciężyć, a jeśli śmierć poniosę z waszej ręki, tem więcej jeszcze zwycięztwo będzie po mojej stronie!

Publjusz uniósł się gniewem.

— Zastanów się nad tem co mówisz, zawołał oburzony. Jeżeli sama pogardzasz życiem, zaliż masz prawo synów swych skazywać na śmierć niechybną?

— Dzieci moje żyć będą życiem wiecznem, o ile nie wyrzekną się Boga jedynego, tylko zbrodnia odstępstwa może być nieszczęściem dla nich, gdyż wówczas zgubionymi byliby na zawsze.

Usłyszawszy te słowa dumny Rzymianin stracił wszelką nadzieję, że wymową swą uda mu się skłonić Felicytę do zmiany przekonań. Postanowił więc stawić obwinioną przed trybunałem i nazajutrz wystąpił już jako urzędnik państwowy w otoczeniu innych dygnitarzy.

Felicytę i jej siedmiu synów niezwłocznie aresztowano.

Siedmiu synów św. Felicyty przed sądem.

Szlachetni młodzieńcy stali obok matki swej promieniejącej nieziemską pogodą i spokojem w obec groźnych twarzy sędziów. Publjusz wskazując na nich rzekł do Felicyty:

— Powtarzam ci raz jeszcze miej litość nad synami twoimi. Żal mi patrzeć jak okrutne gotujesz im losy!

— Udane współczucie twe Publjuszu jest okrucieństwem z twej strony, odrzekła Felicyta. A zwracając się do synów dodała:

— Patrzcie w niebo, dzieci moje, tam Pan nasz, Jezus Chrystus oczekuje was. Walczcie odważnie dla pozyskania zbawienia i bądźcie niezłomni w miłości waszej dla Boga prawdziwego.

— Jakto? krzyknął Publjusz w najwyższem oburzeniu, ośmielasz się tu, w mojej obecności zachęcać ich do stawienia oporu władzy? Przywołał wnet żołnierza, któremu wydał rozkaz spoliczkowania Felicyty, a następnie uprowadzenie jej, ażeby mieć możność rozmówić się w jej nieobecności z młodzieńcami.

Naprzód wystąpił January, któremu prefekt począł przekładać konieczność wyrzeczenia się chrześciańskiej wiary. Przyrzekał mu zaszczyty jeśli ulegnie, groził biczowaniem jeżeli, będzie dalej trwać w oporze. Ale najstarszy syn okazał się godnym swej świętej matki.

— Żądania wasze są niemożebne do spełnienia, odpowiedział, rządzę się przedewszystkiem mądrością Bożą, Stwórca da mi moc odnieść zwycięztwo, i żadnemi pokusami nie potraficie skłonić mnie do odstępstwa.

Na skinienie Publjusza przyskoczyli oprawcy i zbito Januarego do krwi poczem wtrącono do ciemnicy.

Z kolei przystąpiono do badania Feliksa i nakłaniania go do złożenia bożkom ofiary.

— Wierzę i uwielbiam jednego tylko Boga, odrzekł Feliks, Jemu składamy z serc naszych ofiary. Nie usiłujcie napróżno wyrwać nam miłość Bożą z duszy! Nie osiągniecie tego ani umęczeniem ciał naszych, ani podstępnemi waszemi radami.

Kiedy rozkazano Filipowi cześć oddać bałwanom wzruszył pogardliwie ramionami.

— To nie są bogowie, mówił, posągi, to dzieło rąk ludzkich, bałwochwalcy składający im ofiary będą na wieki potępieni.

Odesławszy trzech starszych braci do więzienia, przystąpił Publjusz do dręczenia następnych.

— Widzę jasno, zawołał zwracając się do Sylwana, że wszyscy znajdujecie się pod niecnym wpływem matki, zachęcającej was do wyłamywania się z pod praw, które każdy Rzymianin uznawać powinien. Za krnąbrność waszą i zuchwalstwo śmierć was czeka!

— Chwilowa męczarnia jest niczem w obec wiecznego potępienia, odpowiedział mężnie Sylwan. Sprawiedliwi otrzymają nagrodę w niebie, grzesznicy zaś cierpieć będą piekielne męki, nie dziw się więc że milej nam jest służyć Bogu jedynemu, niźli ludziom być posłusznym. Wszystko ziemskie jest znikomem. Dla bóstw pogańskich żywimy pogardę, uwielbiamy zaś tylko Stwórcę wszechmocnego.

Publjusz nie mógł wyjść z podziwienia widząc tyle stanowczości i taką niezachwianą wiarę w przyszłe życie, o którem jako poganin nie miał żadnego pojęcia.

— Może ty przynajmniej młodzieńcze pożałujesz życia? zapytał Aleksandra. Możesz zasłużyć sobie życzliwość cezara, łaskami cię swoimi obdarzy, bądź że rozsądniejszym od swych braci i zastanów się, że masz do wyboru rozkosze albo męki.

— Jam jest sługą Chrystusowym, odrzekł Aleksander; usta moje chwalić Go nie przestaną, serce moje do Niego należy. Można chociażby bardzo będąc młodym mieć więcej mądrości niż najstarsi wiekiem, jeżeli się ma szczęście być wyznawcą Boga prawdziwego. Wasze fałszywe bóstwa muszą zginąć, tak samo jak ci, którzy im się kłaniają.

Z Witalisem nie poszło Publjuszowi lepiej, jak z pięciu poprzednimi.

— I ty także chcesz śmierć ponieść trwając jak oni w błędzie? zawołał prefekt do patrzącego mu prosto w oczy chłopięcia.

— Żyć będzie ten, kto Bogu jest wiernym, a nie szuka ziemskiej chwały i nie poddaje się szatanowi rzekł Witalis.

— A co to jest szatan? zapytał Publjusz.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Szatańskie są wasze bałwany i szatanami są ci, którzy nas chcą odwieść od prawdziwej wiary!

Wnet i ten wyznawca Chrystusowy został zaprowadzony pod ścisłą strażą do więzienia.

Kiedy Zbawiciel przepowiadał uczniom swoim że czekają ich srogie prześladowania, kiedy mówił:

— „Na świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie, jam zwyciężył świat!“ zalecał im również, aby się nie trwożyli, jeśli wypadnie im odpowiadać przed sądem ludzi, albowiem Duch św. natchnie ich i nauczy, co mówić mają.

Ta obietnica Chrystusowa spełniła się i tym razem w zupełności, kiedy stawieni przed rzymskim trybunałem synowie św. Felicyty w młodocianych umysłach swych znajdowali na raz odpowiedzi tak jasne, stanowcze i proste, jakgdyby istotnie Duch św. dyktował im te wyrazy.

— I tobie dzieciaku zawrócono głowę jakimiś naukami, które każą wam opór stawić woli wszechwładnego cezara! zawołał Publjusz chcąc groźnym tonem przerazić małego Marciala.

— Ach, gdybyście wiedzieli, jak straszne katusze czekają tych, którzy bożkom składają ofiary, odpowiedział Marcial z głębokiem przekonaniem. Bóg miłosierny nie ciska jeszcze na was i bogów waszych piorunów gniewu swego, ale przyjdzie czas, kiedy wszyscy nie uznający Pana naszego Jezusa gorzeć będą w ogniu wiekuistym.

Publjusz patrzył drwiąco ale czuł się bezsilnym w obec tak mężnych wyznawców wiary chrześciańskiej.

Spisane odpowiedzi Felicyty i jej siedmiu synów odnieść kazał natychmiast do pałacu cezara.

Męczeństwo wyznawców Chrystusowych.

Po jawnem wyznaniu wiary sprawa synów Felicyty przyjęła obrót niepomyślny, jak się tego odrazu spodziewać można było. Jednakże chodziło snać Antoninowi o zachowanie pozorów, a właściwie o zdjęcie odpowiedzialności z Publjusza i dla tego odesłano obwinionych do innych sędziów, którym dozwolono rozprawić się z nimi według własnych zapatrywań. Był to wykręt jedynie, bo ostatecznie wiadomem było, że żaden z sędziów pobłażliwym się dla chrześcian nie okaże.

Jeden z nich kazał siec rózgami Januarego aż dopóki ostatniego nie wydał tchnienia.

Feliksa i Filipa zabito pałkami.

Sylwana strącono w przepaść.

Aleksandrowi, Witalisowi i Marcialowi ścięto głowy dnia 10 lipca.

Jedna tylko Felicyta została jeszcze przy życiu, siedmiokrotnie znosząc tortury przy śmierci każdego z dzieci. Umyślnie zwlekano z zamordowaniem ostatniej ofiary, przypuszczając, że złamana boleścią, pocznie złorzeczyć Bogu, ale Felicyta radowała się widząc, że żaden z jej synów nie zachwiał się ani na chwilę, serce macierzyńskie zniosło mężnie najcięższą próbę, oczekiwała z upragnieniem śmierci męczeńskiej, która ją na wieki z ukochanymi połączyć miała.

Siedmiu braci męczenników, synów św. Felicyty.
Według starożytnego obrazu, przechowanego w Rzymie.
Ryby i chleby oznaczają Jezusa Eucharystycznego.

Dnia 23 listopada wyprowadzono ją na plac kaźni i ścięto głowę. Umierała spokojna, pełna świętej rezygnacji, zgadzająca się zawsze i we wszystkiem z Wolą Bożą.

Zdania Ojców Kościoła o św. Felicycie.

Kościół św. ze czcią wielką o bohaterskiej tej rodzinie wspomina. Dnia 10 lipca obchodzi pamięć siedmiu synów św. Felicyty, a d. 23 listopada dzień jej narodzin w niebie. W kanonie mszy św. imię Felicyty wraz z godnemi jej świętemi niewiastami, jak Agnieszka, Cecylja, Anastazja i Perpetua, jest zawsze wspominane. Doktorowie Kościoła niejednokrotnie podnosili jej zasługi.

„Z jaką żarliwością oddała ona niebu w jednym dniu siedmiu swych synów, którzy byli jedyną jej pociechą i chlubą na ziemi, woła św. Piotr Chryzolog. Oto kobieta, oto matka, która więcej obawiała się dla swych dzieci życia, jak śmierci. Jakże błogosławioną jest za to, że wysłała ich przed sobą do nieba, że nic z drogocennego skarbu swego nie utraciła na ziemi. Szczęśliwszą się czuła otoczona trupami swych synów umęczonych, niźli spokojnie czuwając u ich kolebki. Ile oczy jej widzą ran na ciałach męczenników, tyleż oczami duszy widzi koron męczennikom w niebie należnych, ile udręczeń, tyleż nagród, ile ofiar tylu zwycięzców. Nie jest prawdziwą matką chrześcianką, która tak synów swych kochać nie umie!“

— Mam że ją nazwać męczenniczką? mówi św. Grzegorz Wielki. Felicyta była więcej niż męczenniczką, bo cierpiała siedmiokrotne męczarnie

jakich doznali jej synowie. Była z kolei ósmą ofiarą, ale męka jej trwała od chwili zamordowania pierwszego syna aż do własnego zgonu. Widząc jak wiedli synów niezachwiała się przecież w stałości swych zasad. Jako matka doświadczała wszystkiego co tylko kochające serce wycierpieć w takich okolicznościach jest w stanie, ale nadzieja pewnej

Męczeństwo świętej Felicyty i jej synów.

nagrody w niebiesiech podtrzymywała i radowała jej serce. Obawiała się, aby którykolwiek z synów nie przeżył ją na ziemi, gdyż przejmowała ją trwogą myśl, że mogła by go utracić na wieki... Opłakujemy nieustannie dzieci nasze, jeśli podoba się Bogu powołać je przedwcześnie do siebie, Felicyta zaś uważała by je za zgubione, gdyby nie widziała na

własne oczy jak umierali dla Chrystusa i krwią własną stwierdzili niezłomność swej wiary.

„O wstydźmy się, my, słabego serca, dodaje ten święty, widząc jak bardzo oddaliliśmy się od cnót tej męczenniczki, ponieważ dozwalamy złym instynktom brać górę i tłumić wiarę w sercach naszych. Częstokroć jedno słowo nas gniewa i od-

wagę nam odbiera, najlżejszej przeciwności znieść nie możemy, a tymczasem nawet męczarnie i śmierć nie zachwiały wytrwałości i męztwa Felicyty, pogardziła wszystkiem co ją od Boga oddzielić mogło.“

Nie często się zdarza, ażeby Bóg wymagał od matek ofiary z dzieci przez męczeństwo, ale nieraz żąda aby Mu je oddały w służbę przez sakrament

kapłaństwa albo kiedy je powołuje do życia zakonnego. O św. Felicyto, matko prawdziwie i szlachetnie miłująca swe dzieci, ubłagaj u Boga dla matek tych łaskę zgadzania się z Wolą Bożą, spełnienia ofiary tak samo ochotnem sercem, ażeby mogły również otrzymać nagrodę w niebie.

Pogrzebanie męczenników. Odkrycie J. Rossiego.

Umęczenie synów św. Felicyty miało miejsce w różnych punktach salaryjskiej drogi. Chrześcianie zabrali ich zwłoki i pogrzebali je w najbliższych katakumbach.

Feliks i Aleksander spoczęli na cmentarzu Pryscylji. Aleksandra, Witalisa i Marciala złożono w jednym grobie, w katakumbie Gordiana. Sylwan, który oddzielnie był umęczony, pochowany został na cmentarzu Maksymiańskim, obok niego wierni zakopali szczątki świętej jego matki. Liczni pielgrzymi aż do VIII wieku odwiedzali wciąż te groby męczenników, a cześć dla wyznawców wiary była tak ogólną, że dzień, w którym śmierć ponieśli zwać poczęto dniem siedmiu braci męczenników.

Na saliryjskiej drodze był niegdyś wzniesiony kościół pod wezwaniem św. Felicyty. Tam właśnie św. Grzegorz Wielki wychwalał jej cnoty w kazaniu swem na dzień jej święta.

W IV wieku papież św. Damazy skomponował wiersze na cześć śś. męczenników i kazał je umieścić na grobowcu św. Felicyty.

Zawierają one myśl następującą:

„Dowiedzcie się jak wzniosłem jest oddać życie dla Boga. Oto niewiasta nie ulękła się miecza, z synami swymi śmierć poniosła, aby świadczyć o boskości Pana naszego Jezusa Chrystusa i zasłużyła sobie wieczną chwałę w niebie“.

Na początku VII wieku papież Bonifacy IV z powodu najść barbarzyńców kazał przenieść do Rzymu wiele relikwji znajdujących się w katakumbach. W VIII i IX w. napady Saracenów wiele szkody w drogocennych tych pamiątkach uczyniły i niektóre katakumby zostały zniszczone.

W ostatnich czasach rozpoczęto bardzo staranne poszukiwania, zwłaszcza wielkie pod tym względem zasługi położył uczony badacz starożytności Jan Rossi. On to odszukał w r. 1856 miejsce, gdzie św. January został pochowany, następnie zaś udało się mu groby wszystkich synów św. Felicyty odnaleść.

Wreszcie bardzo niedawno stosunkowo, bo dopiero w 1886 r. kopiąc fundamenta domu odnaleziono podziemną kaplicę, gdzie złożonem było ciało św. Felicyty.

Schodzi się tam po wązkich schodach, na których są widoczne ślady stóp ludzkich, ponieważ liczne pielgrzymki odbywały się tam w dawnych czasach. Są też malowidła bardzo starożytne. Pomiędzy nimi najgłówniejsze: postać Chrystusa błogosławiącego siedmiu klęczących synów św. Felicyty, wpośrodku zaś ona w kornej postawie, z nimbem nad głową.

Na załączonym obrazku widzimy te święte postacie według obrazu z pierwszych czasów chrześciaństwa odtworzone. Ryby i chleby oznaczają Jezusa Eucharystycznego.

Na obrazach z późniejszej doby przedstawiają zwykle tych siedmiu męczenników z palmami w ręku. Św. Felicytę zaś z mieczem dla przypomnienia jej bohaterskiej śmierci.

BŁOGOSŁAWIONY JAN EUDES

Założyciel zgromadzenia Serca Jezusa i Maryi (Eudystów)

1601—1680.

(beatyfikowany dnia 25 kwietnia 1909 r.)

Za rządów papieży: Pawła V, Innocentego XI, króla francuskiego Ludwika XIV.

Kiedy mówimy o Janie Eudesie mamy przed sobą męża znakomitego, który nie tylko dał nam wzniosły przykład przez świętość życia ale jeszcze przez czynną żarliwość ku zbawieniu dusz skierowaną; stał się on w ten sposób pożytecznym ludzkości po wieczne czasy. Papież Leon XIII

Bł. Jan Eudes, o którym wszystkie pisma podały obecnie wzmianki z powodu jego beatyfikacji, godzien jest pod każdym względem szczególnej czci wiernych, spieszymy więc opowiedzieć czytelnikom naszym jego żywot.

Spotykamy się niekiedy z zarzutem, że w piśmie naszem dużo miejsca poświęcamy obcym narodowościom, mniej dając życiorysów naszych polskich świętych. Zarzut ten jest zupełnie niesprawiedliwy, gdyż przedewszystkiem w sprawach dotyczących chwały Bożej stanowimy jedną, wielką chrześciańską rodzinę, pożądanem więc jest poznać bliżej wszystkich, którzy położyli zasługi dla Kościoła św. naszej wspólnej Matki, a życiorysy tych bohaterskich postaci, jakie kolejno przed oczy czytelników stawimy, pochodzą z różnych epok rozwoju chrześciaństwa, opracowane są źródłowo według najnowszych dzieł katolickich pisarzy i będą stanowiły z czasem prawdziwy skarbiec duchowy najwznioślejszych cnót i przykładów dla rodzin katolickich właśnie dla tego, że obejmują nie ciasne koło ale dają szeroki obraz chrześciańskiego świata z najodleglejszych i późniejszych czasów.

Gdybyśmy wszystkich polskich patronów w jednym roku podali, mogło by to ujemnie wpłynąć na całość przedsiewziętego dzieła.

Komuż z dobrych katolików obcym może być tak wzniosły żywot błog. Jana Eudesa, apostoła Najsłod. Serca Jezusa i Najśw. Marji, którego obecnie Ojciec św. wyniósł na ołtarze za jego wielkie a zbyt mało ogółowi znane zasługi.

Francja, która w ostatnich czasach tak boleśnie swą obojętnością dla wiary zakrwawia serce Piusa X i wszystkich komu sprawy religijne są blizkie i drogie, została obecnie wzbogaconą jednym więcej patronem w niebie, który być może przyczyni się do zesłania światła Ducha św. na zamroczone bezbożnością umysły swych rodaków.

Dziecinne lata. Wychowanie. Powołanie.

Jan Eudes urodził się we francuskiem miasteczku Ri, w pobliżu Argentany (w dyecezji Seez w Normandji), d. 14 listopada 1601 r. Było to dziecię uproszone u Boga przez pobożnych rodziców i od najmłodszych lat ofiarowane przez nich Jezusowi i Marji. Stał się on dla kochającej go nad życie matki źródłem prawdziwego błogosławieństwa Bożego; umysł miał żywy i bystry, serce gorące, wolę silną a zawsze ku dobrym i szlachetnym sprawom skierowaną. Od maleńkości rozmiłowany był Jan w modlitwie, zastawano go nieraz w kąciku kościoła zatopionym tak głęboko w pobożnych rozmyślaniach, że zapominał zupełnie o czasie, gdyż błogo mu było przebywać w kościelnej ciszy, sam na sam z Bogiem. Chrześciańską pokorą tak przeniknięte było dziecinne jego serduszko, że mając lat dziewięć uderzony w twarz przez towarzysza zabawy, ukląkł nagle i rzekł:

— Uderz i w drugi policzek! Uważał siebie za grzesznika, dla którego takie poniżenie się jest zbawiennem. Jego postępowanie bez zarzutu i słodycz obejścia zjednywały mu życzliwość wśród otoczenia, a im mniej sam o sobie trzymał, tym więcej oceniali go inni, jak to zwykle w podobnych razach bywa. Zarozumiałość, ten objaw pychy zawsze doprowadza do tego, że ludzie starają się upokorzyć zbytnie o sobie mniemanie, ten zaś który ma siebie za nic przedstawia istotnie wartość prawdziwą.

Trudno jest wyrazić jak szczęśliwym czuł się Jan Eudes, gdy w dwunastym roku życia po raz pierwszy przystępował do Komunji św. Pierwsze to zjednoczenie się z Jezusem sprawiło na nim tak silne wrażenie, że przez całe życie wspominał niezapomnianą tę chwilę. Prosił usilnie, aby pozwolono mu przynajmniej co miesiąc przystępować do Stołu Pańskiego, co w owych czasach nie było we zwyczaju. Za każdym razem po Komunji św. czuł błogie zachwycenie. Mając lat czternaście uczynił ślub czystości, zanim jeszcze wstąpił do kolegium.

Pierwszych nauk udzielali błog. Janowi OO. Jezuici z Seen, a ponieważ w kolegium okazał się celującym we wszystkich przedmiotach, a za sprawowanie miał zawsze najlepsze zdania, pokochali go Ojcowie, z podziwem patrzyli nań towarzysze

i wielu z nich poddawało się chętnie dobremu wpływowi bogobojnego młodzieńca.

W tym czasie Jan Eudes zapisał się do zgromadzenia czcicieli Najśw. Marji i wielbił Ją z całym zapałem gorącego i czystego serca. Ślubując wierność Najśw. Pannie na wieki włożył obrączkę na palec jednej z ukochanych figur Matki Boskiej, jakby zaznaczając tem swój ścisły związek z Jej sercem umiłowanem.

Przełamane przeszkody. Święcenia. Przykładny primicjant.

Widzimy nieraz, że najpobożniejsi rodzice niechętnem okiem patrzą, gdy ich synowie chcą poświęcić się służbie Bożej. Tak samo właśnie było i z Janem Eudesem.

Przełożeni widząc gruntowną bogobojność młodzieńca zachęcali go do stanu duchownego, ale rodzice umyślili ożenić go bogato i nie chcieli wyrzec się myśli posiadania syna blizko siebie. Musiał więc Jan zwalczyć ich niechęć, poczem przygotowywał się z wielkim zapałem do otrzymania tonsury. Bardzo gruntownie studjował teologję i zapragnął przyłączyć się do zgromadzenia Tow. Jezusowego. W tym celu wyjechał do Paryża gdzie czcig. O. Berulle przyjął go z radością do liczby uczniów swoich. Pod wpływem tego świątobliwego kapłana, Jan Eudes czynił wielkie postępy w duchowem doskonaleniu się i gruntownem zbadaniu tajemnic wiary. Nieocenionym mistrzem był też O. Condren, o którym św. Wincenty à Paulo powiadał, że niemiał równego sobie. Ten rok spędzony z nimi przygotował błog. Eudesa do kapłaństwa i rozwinął w nim doskonałe zrozumienie obowiązków tego stanu.

Po wyświęceniu d. 20 grudnia 1625 r. miał ks. Jan pierwszą mszę św. w noc Bożego Narodzenia przy ołtarzu Najśw. Panny. Zdawało się, że to anioł boży stanął u stopni ołtarza. Twarz jego promieniała, w oczach błyszczały łzy rozczulenia.

— Wieczności całej trzeba by, dla godnego przygotowania się do ofiary mszy św. mówił wzruszony primicjant, drugiej wieczności dla odprawiania ustawicznie cudownej ofiary, trzeciej wreszcie dla dziękczynienia za niezrównaną łaskę!

Cały rok następny spędził młody kapłan na cichej pracy, nauce i modlitwie. Ale oto niespodzianie miało się odkryć dla niego pole obszerne do wykazania swego poświęcenia i męztwa, miłości bliźniego stosowanej w czynie.

Poświęcenia O. Eudesa podczas zarazy w Normandji.

W tym czasie, gdy ks. Jan gotował się do misyjnych kazań, przyszedł list od ojca, zachęcając go do udania się w strony rodzinne w pobliżu Argentanu, gdzie grasowała zaraza. Było to w r. 1627.

Za pozwoleniem przełożonego i po otrzymaniu jego błogosławieństwa udał się ks. Jan na tę niebezpieczną wyprawę. Z jakiem niezrównanem zaparciem się siebie spełniał tam gorliwy kapłan swe duchowne obowiązki! Od rana do późnej nocy przechodził z domu do domu, od wioski do wioski, udzielając Sakramentów, administrując na śmierć, pocieszając, wspomagając, kojąc cierpienia. Słowa jego były prawdziwym balsamem dla nieszczęśliwych. Zapominając zupełnie o sobie, niedbając o posiłek i wywczasy, nie rozbierając się prawie pracował bezustanku z energją niesłychaną. Jedynem jego pokrzepieniem była ofiara mszy św. Dwa miesiące spełniał te dobrowolnie przyjęte na siebie obowiązki z zadziwiającem bohaterstwem, bo w każdej chwili był narażony na niebezpieczeństwo zabójczej choroby.

W kilka lat później znowu wybuchła zaraza podczas jego pobytu w Caen i tak samo ks. Jan był aniołem opiekuńczym chorych i pocieszycielem żyjących w strasznej trwodze o życie najbliższych. Nie chcąc narażać OO. Jezuitów i w obawie przyniesienia zarazy do klasztoru nocował w polu, mając tylko dużą beczkę jako jedyne schronienie. Sam wreszcie w r. 1631 ciężko się rozchorował i omal życiem swego poświęcenia dla bliźnich nie przypłacił.

Misyjne prace O. Jana Eudesa. Znakomity kaznodzieja.

O. Berulle, który był już wówczas kardynałem rozkazał O. Eudesowi gotować się do misji i w r. 1632 pierwsze jego apostolskie prace wydały tak błogosławione owoce, że odrazu pozyskał sobie sławę znakomitego kaznodziei. Mówił zawsze gorąco, przedewszystkiem podnosząc cześć Najśw. Sakramentu i zachęcając do pokuty. Niezliczone nawrócenia były mu nagrodą za podjęte trudy.

Po dwuletnich jeszcze rekolekcjach i studjach ks. Jan stanął na czele misji w Normandji. Spieszono zewsząd tłumnie dla słuchania nauk O. Eudesa; nie będziemy tu wyliczać wszystkich miejscowości, gdzie nauczał, ale powiemy tylko wraz ze współczesnymi mu dziejopisami, że misje te były szeregiem tryumfów żarliwego kaznodziei. Zdarzało się że tłum słuchaczy wybuchał głośnym płaczem i jękiem tak żałośnym, że trzeba było na chwilę przerwać kazanie.

Przeszło sto misji O. Eudesa utrwaliły jego sławę w rodzinnym kraju i nieobliczone wprost przyniosły korzyści. Każda z tych misji trwała około dwóch miesięcy, a lud o kilka mil przybywał dla słuchania ukochanego i znakomitego kaznodziei.

Kazania te odbywały się zwykle na jakimś obszernym placu dla pomieszczenia wielkiej rzeszy wiernych, dochodzącej do trzydziestu i czterdziestu tysięcy. Miewał też misje w stolicy Francji, w Paryżu, a nawet na królewskim dworze. Setki całe księży słuchało go również w największem skupieniu. Pewnego razu dwunastu biskupów przybyło na kazanie O. Eudesa, a znakomity autor ks. Bossuet mówił:

— Powinniśmy wszyscy tak przemawiać, jak O. Eudes! Inni zaś nazywali go „cudem stulecia".

Miał błog. O. Jan dar budzenia gorącej miłości dla Najśw. Sakramentu, ponieważ sam ją w wysokim stopniu posiadał. Niekiedy mówiąc kazanie trzymał w ręku monstrancję, co czyniło silne wrażenie w połączeniu z wymownemi, płonącemi wewnętrznym ogniem jego słowami. Po każdem misyjnem kazaniu wszystkie konfesjonały były formalnie oblężone, procesje i modlitwy wynagradzające miały wpływ zbawienny. Gorący duch wiary owionął lud cały, czyniono pokuty, odczuwano głęboko chęć poprawy i rozpoczęcia nowego życia. Kiedy kończyły się raz misje w St.-Lô O. Eudes zauważył, że wszyscy stoją, pomimo że kapłan niesie w ręku Nejśw. Sakrament. Było to po ulewnym deszczu, co powstrzymywało wiernych do przyklękania w błocie.

— Na kolana! zawołał gromkim głosem O. Eudes, zaliż nie jesteście sami nędznymi zlepkami gliny?.. Na kolana przed Zbawcą świata!..

Na te słowa wymówione z głębokiem przekonaniem i siłą wiary, wszyscy jak jeden mąż upadli na kolana oddając cześć Jezusowi Utajonemu.

Zgromadzenie pod wezwaniem Serca Jezusa i Marji, zwane Eudystami.

Powoli wszystko składało się w ten sposób, ażeby gorące pragnienia O. Eudesa podniesienia czci dla Najsł. Serca Jezusowego i Najśw. Marji mogły się uskutecznić.

W r. 1640 na prośby swych współtowarzyszy i z woli przełożonych został błog. O. Jan superiorem w Caen ku wielkiej radości całego miasta. Światły wielce i o dobro Kościoła dbały, O. Eudes zauważył ze smutkiem, że dobry wpływ dawanych w kraju misji osłabi się z czasem dla braku gorliwych kapłanów. Za mało było seminarjów, gotujących sług Bożych. Ubolewali nad tem wielce OO. Berulle i Condren, ale po ich śmierci nie było już komu troszczyć się o rozwój dalszy szerokich planów, podjął tę sprawę O. Eudes i ofiarował swe usługi w kształceniu młodzieży gotującej się do stanu duchownego. Ponieważ nie udało mu się skłonić władzy do założenia seminarjum w Caen, poszedł za radą kilku gorliwych duchownych i sam stanął na czele nowego zgromadzenia, mającego głównie na celu bardzo staranne przygotowanie kleryków do kapłaństwa. Przy tem corocznie odbywać się miały rekolekcje dla kapłanów.

Tak więc O. Eudes opuścił zakon Tow. Jezusowego, z którym zresztą nie był jeszcze ślubami związany i oddał się z całym zapałem doniosłemu dziełu urabiania młodzieży i wpajania w nich gruntownej wiedzy, tak potrzebnej dla ludzi powołanych do stanu duchownego.

Liczba uczniów O. Eudesa tak się wciąż wzmagała, że wkrótce powstały seminarja w różnych miastach Normandji i Bretanji, a wszystkie były pod kierunkiem błog. O. Jana Eudesa. Zgromadzenie pod wezwaniem Serca Jezusowego i Najśw. Marji poczęto zwać od nazwiska założyciela Eudystami.

Zgromadzenie powstało w Caen w d. 25 marca 1643 r. Dzień Zwiastowania obrał błogosławiony oddając się z ufnością opiece Najśw. Marji. Nieopodal Caen nad morzem znajdowała się starożytna kaplica Matki Boskiej, będąca celem licznych pielgrzymek. Tam O. Eudes lubił bardzo modlić się i w tem to ustronnem miejscu zebrało się pięciu jego pierwszych towarzyszy, aby wspólnie ofiarować się Jezusowi i Marji.

Pierwsze to było zgromadzenie oddające się w zupełności Sercu Jezusowemu i Sercu Bogarodzicy, pierwsze opiewające szeroko i sławiące Ich doskonałość, a zarazem mające na celu przysporzyć Im chwały przez umacnianie wiary za pomocą misji i ćwiczenie młodych kapłanów w gorliwości i cnocie.

Za życia O. Eudesa było we Francji sześć takich seminarjów, później przybyło jeszcze kilka; obecnie Eudyści nie mając prawa nauczania we Francji, (z powodu od niedawna wprowadzonego prawa zabraniającego księżom wszelkich wykładów), pracują jednak w dalszym ciągu na tem polu w Kolumbji, w San Domingo, w Kanadzie i tam założyli kilka większych i mniejszych seminarjów, w których tak samo jak za czasów swego założyciela, błog. Eudesa, starają się rozwijać w młodzieńcach powołanych do stanu duchownego wielką pobożność, gorliwość i poszanowanie dla doniosłych obowiązków sług ołtarza.

O. Eudes przestrzega surowo, aby zachowywano się przykładnie podczas nabożeństwa. Cześć dla Najśw. Sakramentu.

Po założeniu tego zgromadzenia błog. O. Eudes w dalszym ciągu dawał misje budząc wszędzie ogromny zapał i porywając słuchaczy swą wymową.

Ogromnie przestrzegał, ażeby wszyscy uważnie słuchali mszy św. Pewnego razu, kiedy sprawował Najśw. ofiarę w królewskim pałacu, zwanym Wersal,

a król Ludwik XIV na klęczkach wysłuchał całego nabożeństwa modląc się bardzo przykładnie, O. Eudes spostrzegł, że niektórzy z orszaku rozglądali się po kaplicy z roztargnieniem, rozmawiali zamiast się modlić, a nawet byli tacy, którzy nie raczyli ani razu przyklęknąć, sądząc zapewne, że nikt tego nie zauważy. Po mszy św. O. Eudes rzekł do króla:

— Dziwi mię najjaśniejszy Panie, że podczas, gdy nasz król najmiłościwszy tak dobry daje przykład swym poddanym zachowując się w domu Bożym jak należy, inni tymczasem zupełnie służbę Bożą zdają się lekceważyć.

To śmiałe odezwanie się O. Eudesa sprawiło silne wrażenie na obecnych, tem bardziej że król w tej chwili odwrócił głowę i sam naocznie przekonał się, że jego dworzanie stoją, jakgdyby zapominając gdzie się znajdują, uśmiechając się lub szepcząc coś na ucho. Ale nauczka O. Jana nie poszła w las, wszyscy natychmiast schylili kornie głowy i padli na kolana wielce zawstydzeni.

Błogosławiony ten kapłan znajdował niewysłowioną rozkosz w częstem nawiedzaniu Najśw. Sakramentu i nieraz pozostawał godziny całe przed Przybytkiem w radośnem zachwyceniu. Kiedy miał jakąś ważną sprawę do obmyślenia przedewszystkiem śpieszył powierzyć ją opiece Jezusa Utajonego i nigdy nie powziął żadnego postanowienia nie poprzedziwszy go gorącą modlitwą do Boskiego Serca.

— Udawajmy się zawsze i we wszystkiem do naszego najlepszego Doradzcy i Pocieszyciela, pisał O. Eudes do jednego z przełożonych, tylko Pan nasz Jezus może pokierować najlepiej i oświecić nas, błądzących w ciemności.

Jeżeli w jakim kościele było nabożeństwo z wystawieniem Najśw. Sakramentu, O. Eudes nieomieszkał zawsze wysłać kogoś ze swego zgromadzenia dla adorowania Jezusa Eucharystycznego w imieniu wszystkich Braci. Kiedy zaś w kaplicy Eudystów było wystawienie Najśw. Sakramentu odbywało się bardzo solennie.

— Król królów gości pomiędzy nami, mówił błogosławiony, powinniśmy Mu jak najświetniejsze zgotować przyjęcie. A wiecież bracia mili, jaka uczta najmilszą Mu będzie? Adorowanie Go i akty dziękczynne, które powinniśmy Mu składać, jak również zachęcanie gorące, aby jak najwięcej ludzi wraz z nami hołd Mu składało. Gdyby kto naprzykład zaprosił do siebie króla w gościnę, czyż nie starał by się zawezwać jak najliczniejsze grono przyjaciół, aby godnie podejmować dostojnego gościa i jak najświetniejsze zgotować mu przyjęcie. Jeżeli by zaś ów człowiek zaszczycony bytnością króla niczem nie okazał mu swej radości, nie starał się okazałością przyjęcia zjednać sobie serce swego monarchy, zaliż miałby prawo liczyć nadal na jego dobre dla siebie usposobienie?

Błog. Eudes zachęcał bardzo żarliwie wiernych do częstej Komunji. Całe jego życie było nieustanną misją w tym kierunku.

Zwalczanie fałszywych nauk Jansenistów.

W tym czasie właśnie dużo szkody Kościołowi św. wyrządzali Janseniści, sekta przewrotnych obłudników, która rozwinęła się początkowo w Utrechcie pod wpływem Janseniusza, człowieka ambitnego i próżnego mającego niegdyś zamiar wstąpić do zakonu Jezuitów, następnie zaś ich zaciętego wroga. Głównie występowali ci sekciarze przeciwko częstej Komunji, wymagali natomiast surowej publicznej pokuty za grzechy, co wielu ludzi odstręczało od uczęszczania do Kościołów.

Owo odszczepieństwo utrechtskie tem było groźne, że podkopywało życie Kościoła w najgłębszych jego posadach, nigdy zaś nie chcieli obłudni sekciarze odłączyć się zupełnie, ani swoich zasad otwarcie nie wyznawali. Rozprzestrzeniali zaś dzieła religijne, w których zachęcając do pokuty, odstręczali wiernych, wymagając dla przystąpienia do Komunji wprost nadludzkiej doskonałości.

Zdaniem Du Vergiera, jednego z wybitnych przedstawicieli tego kierunku, należało wstrzymywać się długo od Komunji i czuć tylko głód za nią; pożądanie Komunji wyżej należało cenić, aniżeli rzeczywistą Komunję. Stosownie do tych jego nauk zakonnice z Port Royalu, które postępowały według tych wskazówek, całemi latami skazane były na ów głód Najśw. Sakramentu i większa ich część umierała bez wiatyku z owym tylko głodem w duszy. Prawie takiej samej czystości wymagano do słuchania mszy św. co i do Komunji.

Błog. O. Eudes z całą energją walczył przeciw tym sekciarzom, którzy zamiast podnosić ducha sprawiali wśród wiernych najfatalniejszy zamęt i odstręczali bardzo wielu ludzi od religijnego życia. To też Janseniści nienawidzili całą duszą gorliwego O. Eudesa i wszystkich uczniów jego, zwłaszcza że błogosławiony kazał zwykle po zakończeniu misji palić wszystkie książki sekciarskie, które mu wpadły w ręce. Szczególnie zaś książkę Arnolda „O częstej Komunji“ mającą na celu odciągnięcie wiernych od Stołu Pańskiego pod pozorem wysokiej czci dla Eucharystji.

Ileż miał pracy O. Eudes za nim przekonał dusze zbłąkane i niepotrzebnie wystraszone, że Jezus Utajony właśnie pragnie przyciągnąć wszystkich ku sobie i że Komunja św. częsta zbawienny wpływ wywiera. Ta walka z fałszywemi zasadami krzewionemi szeroko przez zapamiętałych sekciarzy wiele zaszczytu błogosławionemu Eudesowi przynosi, bo wymową swoją i ustawicznemi misjami, oraz doskonałem oznajomianiem kleryków w jaki

sposób mają potem działalność swą kapłańską rozwijać, przyniósł bardzo wiele pożytku Kościołowi.

Założenie zakonu Matki Boskiej Miłosiernej.

W licznych swych misjach O. Eudes miał tę wielką pociechę, że wiele zatwardziałych grzeszników do pokuty i skruchy nakłonił. Pomiędzy nimi było dużo kobiet znanych z lekkomyślnego życia, które jednak za przykładem Magdaleny zapragnęły zupełnie zmienić postępowanie i z jawnogrzesznic stać się wzorowemi pokutnicami. Dla takich właśnie założył niestrudzony O. Eudes dom poprawy, mieszczący się początkowo w szczupłem mieszkaniu pewnej zacnej damy, która ofiarowała się przyjść z materjalną pomocą, następnie zaś zawiązało się stowarzyszenie mające na celu opiekowanie się nawróconemi grzesznicami.

O. Eudes zwrócił się do Wizytek z Caen z prośbą o wyznaczenie kilku zakonnic, które by zajęły się w szczególności wpajaniem zasad moralności w dusze zbłąkane, a łaknące powrócić na dobrą drogę. Pomiędzy temi zakonnicami wyróżniała się Matka Patin, która ogromnie użyteczną się okazała i wielkie w tej sprawie położyła zasługi. Z jej pomocą czcig. O. Eudes zawiązał zgromadzenie zakonne pod wezwaniem Najśw. Panny według reguły św. Augustyna. Do ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa dołączonym był jeszcze ślub poświęcenia się wyłącznie nawracaniu upadłych kobiet chcących odpokutować swe winy.

Cztery klasztory żeńskie powstały za życia błogosławionego, trzy jeszcze założono we Francji po jego śmierci. Od czasów rewolucji francuzkiej zakon ten przeniósł się w najdalsze zakątki świata, w Irlandji, w Anglji, we Włoszech, Austrji, Hiszpanji, w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie zakonnice z największem poświęceniem oddawały się dziełu chrześciańskiego miłosierdzia. W r. 1835 czcig. Matka Marja Pelletier z tegoż zakonu zawiązała zgromadzenie Matki Boskiej Miłosiernej Dobrego Pasterza i zakłady poprawcze dla kobiet znajdują się obecnie prawie we wszystkich większych miastach, przynosząc chlubę imieniowi pierwszego założyciela, który potrafił obudzić w sercach współczucie dla istot odtrąconych, pogardzonych, które jednak pod dobroczynnym wpływem, oderwane od świata w odosobnieniu pełnem religijnej pociechy znalazły przystań szczęśliwą.

Pierwsze obchody święta Serca Jezusowego i Najśw. Marji.

Wielkie nabożeństwo błog. O. Eudesa do Serca Jezusowego i Najśw. Panny, datowało od lat najwcześniejszych. Założył on, jakeśmy to wyżej wspominali Kongregację pod wezwaniem tych Serc najmiłosierniejszych i od tego czasu począł już organizować solenne obchody czci Serca Marji Panny, oraz Boskiego Serca poświęcone. Nietylko Eudyści i zakonnice Matki Boskiej Miłosiernej obchodzili te święta, ale powoli zaczęły one być za pozwoleniem biskupa ogólnie znane w Autun.

W 1648 r. poraz pierwszy obchodzono publicznie święto Serca Najśw. Marji, w innych dyecezjach, oraz w zgromadzeniach zakonnych naśladować poczęto ten pobożny obyczaj, a już w r. 1672 w całej Francji cześć dla Serca Matki Boskiej była ogólną, a oficium i msza przez O. Eudesa ułożona, została przez papieża Klemensa IX zatwierdzoną, jak również bractwa Boskiego Serca Jezusa i Marji zawiązane po seminarjach dzięki staraniom O. Eudesa

Tak więc, w tym czasie, kiedy błog. Małgorzata Marja miała swe pierwsze objawienia, dotyczące jej apostolstwa w rozszerzaniu czci Boskiego Serca. S. S. Benedyktynki w Montmartre opiewały chwałę Serca Jezusowego, dzięki modlitwom, ułożonym przez O. Eudesa. Dlatego też papież Leon XIII w dekrecie z dnia 6 stycznia 1903 r. ogłaszającym heroiczne cnoty czcigodnego O. Jana Eudesa, nazywa go *twórcą kultu liturgicznego Najśw. Serca Jezusa i Marji.*

Oprócz bractw Serca Jezusa i Marji, istniejących za sprawą błogosławionego w sześciu założonych przez niego seminarjach, takież bractwa zawiązywał zwykle w miejscowościach, w których misje swe dawał.

Żarliwy adorator Serca Najśw. Panny i Serca Jezusa.

Ponieważ w tych bractwach przyjmowano wszystkich, kto tylko zapragnął do nich się wpisać, byleby tylko nie ciężyła na nim wina jakichś gorszących czynów, gorliwy sługa Boży ustanowił jeszcze pobożny związek dla osób świeckich pod wezwaniem Serca Marji, w którym śiub czystości jest obowiązkowym. Do dziś dnia w Bretanji i Normandji znany jest jako zgromadzenie Braci lub sióstr Trzeciego Zakonu od Serca Jezusowego, Trzeciego Zakonu O. Eudesa, Matki Boskiej Miłosiernej, lub Eudystów. Synowie i córki zakonu Ojca Eudesa, w których cześć i miłość dla Serca Jezusowego i Serca Najśw. Panny zawsze trwa nieprzerwanie, w dalszym ciągu rozprzestrzeniają jego apostolstwo na ziemi i wiele imion najgorliwszych adoratorów Boskiego Serca wyszło z łona tego zgromadzenia, że wspomnimy tu jedno z najwybitniejszych: skromnej zakonnicy reguły Eudystów, Matkę Marję od Serca Jezusowego, Droste In Wischering, która miała sobie powierzone przez Boskie Serce doniosłe posłannictwo do Ojca św. Leona XIII o poświęcenie całego świata Sercu Jezusowemu.

Przedewszystkiem więc wszyscy adoratorzy Ser-

ca Jezusowego i Serca Najśw. Marji Panny, powinni czuć wdzięczność dla błog. O. Eudesa, który pierwszy chwałę Boskiego Serca rozprzestrzenił wprzód jeszcze, zanim objawienia błog. Małgorzaty Marji cześć Serca Jezusowego obudziły w całym chrześciańskim świecie.

ukochać miłością czystą, wolną od wszelkiego samolubstwa, ukochać je dla nich samych jedynie. Miłość ta powinna być wierna, stała, nie cofająca się przed żadnem poświęceniem. Przypodobać się im, powinno być naszym głównym celem, służmy więc im, duszą całą, starajmy się przysporzyć im jak naj-

Najświętsza Panna odsłania błog. Janowi Eudesowi tajemnice Serca Jezusowego i własnego Serca.

„Źródłem życia jest serce, objaśniał bł. O. Eudes, dlatego też w Boskiem Sercu Zbawiciela powinniśmy szukać źródła tej łaski, która przezeń na nas spłynęła. Ponieważ zaś Słowo Wcielone zeszło na ziemię za pośrednictwem Najśw. Marji Panny, Serce Jej również czcić należy, gdyż przez nie właśnie możemy się z Sercem Boskiego Syna Jej zjednoczyć. Najpotężniejszym środkiem uświęcenia duszy jest oddanie się w zupełności tym Najsłodszym Sercom, ukochanie ich z całem synowskiem przywiązaniem. Trzeba je ukochać nie przez strach mąk piekielnych, nie w nadziei otrzymania nagrody, ale

więcej czcicieli, aby wreszcie wszystkie ludzkie serca rozgorzały jedną wielką miłością, mającą swe źródło w Boskiem Sercu Jezusa i Jego Matki Najświętszej.

Na każdym kroku, w każdej myśli i słowie rozwijał błog. O. Eudes te swoje wzniosłe plany zjednoczenia wszystkich w gorącem uczuciu dla Serca Jezusa i Marji.

Pisząc ustawę dla zakonnic Matki Boskiej Miłosiernej, rozpoczyna ją w ten sposób:

— Niech wszystkie serca wasze będą jako księgi święte, ewangelje żywe, w których życie Jezusa i Jego Matki Najśw. będą wyryte na wieki.

Cnoty O. Eudesa. Śmierć błogosławionego Eudesa.

O. Eudes odznaczał się nadzwyczajną pogodą umysłu, żadne przeciwności nie były w stanie wytrącić go z równowagi, zsyłane mu przez Opatrzność krzyże znosił zawsze cierpliwie, a zgadzanie się z Wolą Bożą było mu źródłem niczem nie zamąconego spokoju. Brzydził się grzechem, był surowym dla siebie, posłusznym i wymagającym posłuszeństwa od Braci, ukochał ubóstwo, umartwiał się nieustannie, a dzieje jego życia jakby wyraźnie wytkniętą drogą, wiodąca do doskonałości chrześciańskiej.

To też kiedy znużony i wyczerpany życiem, tak niezmiernie pracowitem, zasnął w Bogu 19 sierpnia 1680 r., wszystkie serca, oceniające jego olbrzymie zasługi, okryły się smutku żałobą. W ostatniej chwili jeszcze błog. O. Eudes dał dowód swego gorącego dla Jezusa Utajonego przywiązania. Kiedy przybył kapłan z Wiatykiem, umierający podniósł się, pomimo próśb otaczających. ukląkł podtrzymywany przez dwóch czuwających przy nim Braci i począł głośno chwalić Boga, błagając o odpuszczenie grzechów, poczem wszystkich obecnych prosił o przebaczenie, błogosławił ich, polecając opiece Jezusa i Marji i zaklinał, ażeby wiernie zachowywali ustanowione przepisy. Wszyscy płakali rzewnemi łzami, patrząc z jakim wyrazem nieziemskiego zachwycenia przyjmował Ostatnią Komunję.

— Każde uderzenie mego serca Tobie Jezu ofiaruję, szeptał jeszcze konając i z modlitwą na ustach przeszedł do lepszego życia. Po śmierci błogosławionego wiele cudownych uzdrowień u jego grobu budziło podziw, obecnie zaś podczas procesu beatyfikacyjnego, trzy doniosłe cuda zostały stwierdzone.

O. Eudes jako pisarz religijny.

Oprócz apostolstwa swego, szerzonego za pomocą żywego słowa, O. Eudes pozostawił jeszcze wiele cennych prac napisanych, w celu podniesienia ducha religijnego. Papież Leon XIII wyraził się o nich, że są to rzeczy znakomicie opracowane. Tytuły ich są następujące:

„Łączność człowieka z Bogiem przez chrzest św.“ *„Życie i królestwo Jezusowe w duszach chrześciańskich.“* *„Rozmyślania o pokorze.“* *„Rozmowy duszy z Bogiem.“* *„Memorjał życia kapłańskiego.“* *„Kazania misyjne.“* *„Dobry spowiednik.“* *„Uwielbione Serce Matki Boskiej.“* Oto szereg dzieł wydanych, ale niestety dużo innych zaginęło bez śladu, pomiędzy nimi bardzo cenna praca *O Jezusie.*

Ten wielki apostoł Serca Jezusowego został w bieżącym roku zaliczony w poczet błogosławionych przez Ojca św. Piusa X (d. 25 kwietnia 1909 r.).

Na załączonej rycinie przedstawiony jest błog. O. Eudes w zachwyceniu zapatrzony duszą całą w Najśw. Serce Zbawiciela i Jego Matki Najśw.

Dnia 12 Lipca.

BŁOGOSŁAWIENI: IGNACY DELGRADO I DOMINIK HENARES

biskupi z zakonu Braci kaznodziei oraz ich współtowarzysze, umęczeni w 1838 r., beatyfikowani przez Leona XIII 27 maja 1900 r.

Za rządów papieży Piusa VI i VII, Leona XII, Grzegorza XVI.

Którzy uczeni będą, świecić będą jako światłość utwierdzenia, a którzy ku sprawiedliwości wprawiają wielu, jako gwiazdy na wieki wieczne.
Dan. 12—13.

Męczennicy dominikańscy z 1838 r.

Rok 1838 a czternasty panowania okrutnego Min-Manga w Chinach, był krwawym w dziejach misji chrześciańskich na dalekim Wschodzie.

W szeregu męczenników przodują hiszpańscy Dominikanie, którzy z całem poświęceniem i zaparciem się siebie pracowali nad nawróceniem niewiernych. Odznaczyli się apostołowaniem Chińczyków biskupi katoliccy Delgado i Henares, wikarjusz prowincji Józef Fernandez, Wincenty Yeu, ksiądz chińczyk z urodzenia, który 40 lat gorliwie wśród swych ziomków krzewił słowo Boże; Bernard Due, 86 letni kapłan, któremu ścięto głowę, pomimo że prawa anamickie nie pozwalają stosować kary śmierci do starców powyżej lat 80-ciu. Oprócz tego umęczono kilku katechetów.

Biskupi Delgado i Henares urodzeni obaj w Hiszpanji mniej więcej zbliżeni wiekiem, pierwszy bowiem przyszedł na świat w 1761 r. drugi zaś w 1765 r. Obaj całą duszą oddani byli zakonowi swemu i gotowi poświęcić życie swe dla Chrystusa. Opuścili jednocześnie ojczyznę dla udania się w dalekie kraje, przedewszystkiem na wyspy Filipińskie powierzone duchownej opiece OO. Dominikanów. Przebywszy kilka miesięcy w Manilli, udali się do Tonkinu wschodniego. W czasie gdy tam przybyli panował względny spokój. Zapoznawszy się z miejscowym językiem i obyczajami anamitów mogli zabrać się wnet do misyjnej pracy.

Błog. O. Henares posiadający głębokie wykształcenie, został mianowany kierownikiem seminarjum w Tien-Chu, mając zaledwie 26 lat. Na tem stanowisku tak wielkie położył zasługi, że go w r. 1798 mianowano pro-wikarjuszem prowincji a już w 1800 r. papież Pius VII nadał mu tytuł biskupa Feseity. Odtąd stał się koadjutorem błog biskupa Delgado, który już od 1794 r, piastował urząd biskupa Melipotamji. Obaj dostojnicy Kościoła oddali się z wielką żarliwością misyjnej pracy. Usiłowania ich wydały obfite owoce. Corocznie biskup Henares odwiedzał najdalsze zakątki swej rozległej dyecezji, bierzmując wiernych, wygłaszając wspaniałe kazania, OO. Dominikanie, zwani również zakonem Braci Kaznodziei odznaczają się wymową i żywem słowem pobudzają wiernych do życia religijnego.

Błog. O. Delgado przez czas półwiekowego swego apostolstwa podwoił liczbę chrześcian w swoim wikarjacie, założył wiele szkół, klasztorów i kościołów, starając się przytem o jak największą ilość księży tubylców, którzy są nieoszacowaną pomocą w sprawie ewangelizowania i tylko z ich współudziałem można liczyć na nawrócenie krajów dotąd jeszcze będących w ciemnocie i pogrążonych w bałwochwalstwie.

Prześladowania. Podstępne pojmanie błog. biskupa Henaresa i Franciszka Chieu.

Bardzo nie po myśli była praca misjonarzy anamickim kapłanom i szukali sposobu dla wzniecenia prześladowań. Dnia 17 kwietnia 1838 r. pochwycono listy, w których była mowa o nawracaniu krajowców i to dało początek srogim sądom i skrępowaniu działalności katolickiego duchowieństwa.

Błog. Delgado został uwięzionym 29 maja tegoż roku, biskup Henares, który wraz z nim przebywał, zdołał zbiedz i ukrył się w gęstem sitowiu, gdzie przebył bezpiecznie aż do nocy, dzięki pewnej pobożnej chrześciance, która mu tę kryjówkę doradziła. Nie chcąc jednak narażać tej kobiety na prześladowania, ponieważ na jej gruntach pojmany ściągnął by na nią zemstę władzy, udał się cichaczem w inne strony. Towarzyszył mu wiernie katecheta błog. Franciszek Chieu, pełen poświęcenia i bardzo biskupowi oddany.

Nie łatwem było zadaniem uchronić się od policji śledzącej każdy krok chrześcian tonkińskich, musieli więc przekradać się nocami, kryć się po różnych bezludnych zakątkach i zrozumieli wreszcie, że jedynym ratunkiem jest dostać się za granicę. Wynajęwszy łódź płynęli dość prędko i już zbliżali się do celu podróży, gdy nagle zerwał

się wiatr przeciwny, który gnał łódź z taką siłą, że niemożna było kierować nią według życzenia.

Jeden z pogańskich naczelników wioski zauważył łódź miotaną wichrem na wzburzonej fali, a zwracając się do miejscowych chrześcian, rzekł z udanem współczuciem:

— Jestem przekonany, że to któryś z waszych duchownych płynie na tej łodzi, trudno mu będzie przetrwać groźną burzę, dajcie znak, aby zawinął do brzegu, a my tu otoczymy go opieką i nic mu się złego nie stanie.

Chytry poganin wnet umieścił przybyłych w oddzielnym domku, niby dbając o ich wygodę, sam zaś co rychlej pośpieszył zawiadomić policję i natychmiast sprowadzono oddział wojska, składający się z pięciuset żołnierzy, którzy otoczyli schronienie biskupa i wywlókszy go przemocą wtłoczyli w ciasną, bambusową klatkę. Franciszkowi nałożyli *kangę*, czyli deskę otaczającą szyję i krępującą jego ruchy i tak obezwładnionych odstawiono nieszczęsnych zbiegów do stolicy.

W klatkach bambusowych. Wykonanie wyroku.

Kiedy więźniowie przybyli do bram Nan-Dinu błog. Franciszek spostrzegł krucyfiks rzucony na ziemię, aby przechodnie deptali go ku uciesze pogan. Chwycił go Franciszek schyliwszy się tak zręcznie, że pilnujący żołnierze nie zdołali temu zapobiedz, a przyciskając krzyż do piersi bronił od napastników, znosząc ich bicie i naigrawania.

Zawzięci mandaryni kazali zamknąć oddzielnie obu więźniów, aby nie mogli mieć nawet pociechy porozumiewania się z sobą. Błog. Delgado był już dawniej przywieziony do tegoż miasta.

Jakże boleśnem było spotkanie dwóch dostojnych biskupów stawionych jednocześnie przed sądem! Obaj byli zamnięci w ciasnych klatkach podobnych do tych, w których u nas drób na targ przywożą.

Prosili o pozwolenie mówienia z sobą w rodzinnym języku, zaledwie jednak zamienili słów kilka, już podejrzliwi Chińczycy kazali im zamilknąć i wnet rozdzielono ich. Odtąd nie mieli już więcej zobaczyć się na tej ziemi.

Błog. O. Henares i Franciszek Chieu zostali natychmiast na śmierć skazani. Nie próbowano nawet zmuszać biskupa do wyrzeczenia się wiary, znając dobrze jego niezłomne zasady, dręczono tylko przez czas pewien Franciszka, sądząc, że uda się im doprowadzić go do odstępstwa.

Wszystkie jednak usiłowania okazały się bezskutecznemi. Bito go kijami z takiem okrucieństwem, że całe ciało ofiary przedstawiało jedną ranę.

Położono go następnie na stole nabitym ostremi gwoździami, męczennik tak był osłabiony wielkim upływem krwi z ran mu zadanych, że słaniającego się i nieprzytomnego prawie z bólu odprowadzono do więzienia. Wierny wyznawca Chrystusowy ucieszył się niezmiernie dowiedziawszy się, że jednocześnie z ukochanym swym biskupem śmierć poniesie. Szli obaj mężnie na plac kaźni, wśród szeregu żołnierzy broniących do nich przystępu.

Tłumy ludu zbiegły się patrzyć na egzekucję. Wielu nawróconych, oraz ubodzy, przez miłosiernego biskupa wspomagani, płakali rzewnie widząc, że go na śmierć prowadzą. Błog. Henares trzymał w ręku książkę do nabożeństwa modląc się nieustannie, niekiedy zaś odrywając oczy od książki spozierał na lud ze wzruszeniem i rzucał płaczącym słowa pociechy.

Mężny Franciszek Chieu z krwią ociekającemi ranami, z kangą na szyi patrzył pogodnie na współbraci mówiąc im:

— Po co te łzy? Cieszcie się raczej widząc, że idziemy do nieba!

Poganie nie mogli pojąć, jak można zachować taki spokój w obec tortury i śmierci. Jeszcze większym był ich podziw, gdy przyprowadzono trzech żołnierzy chrześcian, którzy wraz z biskupem Delgado byli w więzieniu; sądzono że uda się ich zmusić do wyrzeczenia się wiary chrześciańskiej i dla tego nawróconym kazano patrzeć na wykonanie wyroku ale zachowywali się oni mężnie zachęcając się wzajemnie do wytrwania.

Błog. Henares mówił im:

— Jeszcze kilka dni udręczeń na ziemi, poczem otrzymacie wieczną nagrodę. Ufam, że nie zdradzicie dobrej sprawy i do końca pozostaniecie wierni Zbawicielowi.

— Proś za nami, ojcze drogi, kiedy wejdziesz już do królestwa niebieskiego, błagali owi trzej żołnierze.

Błog. Franciszek ukląkł z kangą na szyi, nie zdjęli mu jej nawet w ostatniej chwili, błysnął topór katowski i po trzech uderzeniach dopiero odłączył głowę ofiary od tułowia.

Wyciągnięto teraz z kolei biskupa Henaresa z klatki; z pogodną twarzą z uśmiechem błogiego rozrzewnienia żegnał obecnych ostatniem spojrzeniem. Po chwili spadła głowa czcigodnego pasterza, wiernego sługi Bożego, a dusza jego odleciała do nieba.

Okrucieństwo mandarynów nie tylko nie obudziło lęku ale wśród tubylców mających poczucie sprawiedliwości wywołało słuszne oburzenie. Nie jeden dawniej obojętny, a nawet wrogo dla chrześcian usposobiony uczuł w duszy pragnienie poznania tej wiary, która daje tyle mocy i zapewnia życie po śmierci.

Uwięzienie, męczarnie i śmierć błog. Delgado.

Błog. biskup Delgado, chociaż najpierwej uwięziony najdłużej jednak został przy życiu.

Sędziwy pasterz był ujęty przez zdradę jakiegoś niegodziwca, który dał się skusić obietnicą sutej nagrody. Niesiono biskupa w lektyce, gdyż z powodu podeszłego wieku nie mógł iść o własnych siłach, wtem otoczyli go żołnierze chińscy i z krzykiem i hałasem odprowadzili do poblizkiej wioski Kien-Lao, z której właśnie niedawno wyruszył.

Podczas badań sądowych troskliwy pasterz usiłował obronić swe owieczki od wszelkiej odpowiedzialności i zapewniał, że przypadkowo znalazł się w Kien-Lao prosząc, aby niewinnych mieszkańców nie prześladowano.

Mandaryn, przed którym błog. Delgado stawiono, okazał mu współczucie na swój sposób, albowiem myśląc zapewne, że mu wielką wyrządza łaskę ofiarował nóż doskonale wyostrzony, radząc, aby sobie sam odebrał życie, nie czekając hańbiącej śmierci.

Błogosławiony uśmiechnął się z politowaniem zapewniając, że religja nasza zabrania samobójstwa, jeżeli jednak macie zamiar mię zamordować, dodał, przyczynicie się tem do mojej chwały i rad będę wielce mogąc ponieść śmierć dla Jezusa.

Męczeństwo OO. Dominikanów i ich towarzyszy w r. 1838.

Wówczas zamknięto czcigodnego starca do klatki zabudowanej z dołu i u góry a mającej gęste szczeble dokoła. W klatce tej poruszać się niepodobna. W tej strasznej niewoli przebył błog. Delgado dni czterdzieści i trzy. Na dobitek okrucieństwa klatkę postawiono w miejscu wystawionem na najsilniejszą operację słońca, pilnie strzegąc, aby nikt więźniowi kropli wody nie podał. Pomimo surowego zakazu przywiązani do swego pasterza chrześcianie z narażeniem życia starali się przedostać do klatki i przynosili ukradkiem wodę i pożywienie.

Podczas badania starano się koniecznie wyrozumieć ilu jest nowonawróconych, ażeby zmusić ich potem siłą do wyrzeczenia się religji katolickiej. Ale błog. Delgado okazał się tak powściągliwym w mowie, że nie podobna było żadnych wiadomości od niego zasięgnąć.

Patrząc z pobłażaniem na swych prześladowców rzekł im:

— Dręczycie nas i wrogami naszymi jesteście, dla tego, że nie znacie zasad prawdziwej wiary. Gdybyście ją poznali, wówczas stali byście się również chrześcianami i bronili jej do ostatniej krwi kropli. Grozicie mi śmiercią, nie pojmując że śmierć taka jest dla mnie szczęściem upragnionem. Nie zwlekajcie więc długo z wykonaniem wyroku, pocóż napróżno trzymać na uwięzi tych biedaków, którym polecono mnie pilnować dniem i nocą.

Mężny starzec miał słuch osłabiony, trudno było sędziom rozmówić się z więźniem, posłano więc odrazu wyrok śmierci do władcy dla podpisania, za nim jednak nadeszła ostateczna decyzja ze stolicy, błog. Delgado zmarł w okrutnych męczarniach, bo zamknięty w klatce rozchorował się ciężko i można sobie wyobrazić ile wycierpiał pozbawiony wszelkiej pomocy, a nawet lekarza sprowadzić nie pozwolono.

Bóg uwolnił tę duszę błogosławioną z więzów udręczonego ciała d. 12 lipca 1838 r. Ale władza miejscowa okazała wielkie niezadowolenie, że śmierć świątobliwego nastąpiła wcześniej, niż się tego spodziewano nie dając okrutnym mandarynom przyjemności oglądania ściętej głowy skazanego.

Dowiedziawszy się, że biskup skonał rozkazano przypiekać mu pięty gorącem żelazem, dla sprawdzenia czy istotnie już nie żyje. Następnie klatkę z trupem wyniesiono na plac, gdzie przedtem kaźniono błog. Henaresa i Franciszka Chieu tam ścięto głowę męczennika, aby wyrokowi stało się zadość.

Trzeba istotnie być pozbawionym wszelkich uczuć ludzkich, żeby tak się pastwić nad 77 letnim starcem i jeszcze zwłoki jego dręczyć bezlitośnie!

Zachowanie się krajowców po wykonaniu wyroku.

Mieszkańcy Tonkinu bardzo są przesądni i pomiędzy innemi wierzeniami zabobonnemi mają obawę, że duch ściętego rzuci się na kogoś z obecnych i zadusić go może. Z tego powodu podczas egzekucji panuje strach paniczny w całem mieście. Tymczasem w obec męki katolickich biskupów nietylko nie zauważono zwykłego zaniepokojenia wśród ludności, ale przeciwnie zamiast uciekać i chronić się po domach starano się przedostać przez zwarty szereg żołnierzy, ażeby dostać bądź co bądź część relikwji męczenników. Byli to naturalnie miejscowi chrześcijanie, dawniej lub nowo nawróceni, a więc odrzucający przesądy swych ziomków a należący już do wielkiej, katolickiej rodziny. Umaczano więc chusty w świeżej krwi męczenników, zbierano skwapliwie ziemię, na którą ta krew błogosławionych spłynęła, wyrywano sobie strzępy z ich odzieży i brano ucięte włosy, jako drogą pamiątkę.

Mandaryni z oburzeniem patrzyli na tak jawne wyrażanie czci dla męczenników i co prędzej kazali zakopać ciała na miejscu kaźni, głowy zaś na wysokich żerdziach osadzone wystawiono przez dni trzy na widok publiczny, gdyż tego miejscowe prawo wymaga, dopiero po upływie tego czasu wrzucono je do rzeki.

Relikwje męczenników.

Pomimo, że wykonawcy prawa przywiązali ciężkie kamienie do głów męczenników, dlatego aby poszły odrazu na dno i nie można je było odszukać, w kilka dni potem pewien chrześcijanin zarzuciwszy sieci zdołał wyłowić głowę błog. biskupa Henarego. Chodziło jeszcze o odnalezienie relikwji błog. Delgado, ale po daremnych poszukiwaniach stracono już wszelką nadzieję, dopiero w kilka miesięcy, 1 listopada prawie cudem ją znaleziono dobrze zachowaną i wraz z ciałem pogrzebiono. Na załączonej rycinie widzimy obok dwóch biskupów męczenników, kilku księży z żółtej rasy, tercjarzy i trzech żołnierzy anamickich nawróconych przez błog. Delgado.

Praca misyjna niestrudzonych sług Bożych trwa nieustannie w tych dalekich krajach, wśród ludności mało na pozór skłonnej do przyjęcia prawd chrześcijańskich, ponieważ chińczycy są w ogóle bardzo niedowierzający, do Europejczyków nie mają zaufania, mimo to widzimy pomiędzy nawróconymi wzruszające przykłady wytrwałości, przywiązania do religji katolickiej i odwagi nawet w obec śmierci męczeńskiej. To też mają oni już i dziś cały szereg świętych i błogosławionych patronów, którzy, da Bóg przyczynią się, że cała ta rasa uzna prawdy Ewangelji św. i nie będzie z czasem zakątka na ziemi, gdzieby nie był wielbionym Krzyż Chrystusowy.

Źródła.

O. Kaizer. Dominikanin. *Męczennicy anamiccy i chińscy.* Rzym. 1900.

Dnia 13 lipca.

ŚWIĘTY STEFAN CUDOTWÓRCA

725 † 794.

Za rządów papieży: Grzegorza III, Zacharjasza, św. Pawła I, Stefana IV, Adrjana I.

Jako pragnie jeleń do źródeł wodnych, tak pragnie dusza moja do Ciebie Boże. Pragnęła dusza moja do Boga mocnego, żywego, kiedyż przyjdę, a okażę się przed obliczem Bożem? Ps. 41. 2. 3.

Chwała klasztoru św. Saby.

Św. Stefan był jednym z tych znakomitych sług Bożych, którzy stanowili chlubę Kościoła w ósmym wieku ery chrześciańskiej. Szczegóły życia tego świętego spisał wiernie Leoncjusz, uczeń jego i świadek naoczny cudownych wydarzeń. Niestety pierwsza część tego cennego dzieła zaginęła i tylko z końcowego rozdziału, w którym powtórzoną jest w krótkości zawartość całego życiorysu można przynajmniej mieć pojęcie o główniejszych faktach życia tego świętego z lat jego młodości, dalsze dzieje są szczegółowo opisane.

Św. Stefan ur. 31 marca 725 r. w Azji Mniejszej i był synowcem św. Jana Damasceńskiego, jednego z najsłynniejszych Ojców Kościoła z tej epoki. Niewątpliwie wpłynęło to na rozwinięcie od dzieciństwa w św. Stefanie ducha pobożności, tembardziej że po śmierci ojca stryj zajął się jego wychowaniem.

Słynnym był w owe czasy klasztor św. Saby w Palestynie nieopodal Jerozolimy położony. Przyjmowano tam wyłącznie ludzi dojrzałych, mających dobrze ugruntowane zasady, młodszych zaś, pragnących należeć do tego zgromadzenia oddawał zwykle św. Saba opiece św. Teodora dla przygotowania ich do surowego sposobu życia zakonników.

Widocznie jednak głośne imie Jana Damasceńskiego dozwoliło na zrobienie wyjątku dla synowca jego Stefana, gdyż ten w dziewiątym roku życia umieszczony został w klasztorze św. Saby i tam przez lat piętnaście pozostawał pod kierunkiem stryja, który sam uczył go religji i literatury, rozwijając jego umysł i serce.

Św. Jan był bardzo uczonym, pisał wiele dzieł teologicznych, bronił gorąco nauk Kościoła św. narażając się nawet na prześladowania cesarzów bizantyjskich, którzy występowali przeciwko czci obrazów świętych, gdyż powstała wówczas herezja obrazoburców pociągnęła wielu swą bałamutną nauką. Nie dziw, że pod wpływem takiego mistrza umysł Stefana dojrzał wcześnie, że myśli jego były zwrócone wyłącznie ku sprawom Bożym, a ustawiczne ćwiczenia religijne wiodły młodzieńca do wysokiej duchowej doskonałości.

Kiedy Stefan skończył lat 25, zaliczono go do liczby mnichów w klasztorze św. Saby, tam sprawował jak najsumienniej wszystkie powierzane mu kolejno obowiązki, był czystości anielskiej, cichy, pokorny, w zupełnem odosobnieniu od świata wychowany zdawał się być jakiemś nie ziemskiem wśród ludzi zjawiskiem.

Pragnienie pustelniczego życia.

Najgorętszem pragnieniem palestyńskich mnichów z tej epoki było naśladowanie pustelniczego życia, jakie wiódł św. Antoni a po nim inni samotnicy, uważano to bowiem za szczyt doskonałości chrześciańskiej; nauczał nieraz św. Saba, że życie mnichów jest tylko jakby przygotowaniem się do zupełnego osamotnienia, poprzedzającem je, według słów jego: „jako kwiat owoc dojrzały“. W klasztorze jego były ustronne groty, w których zakonnicy spędzali po lat kilka w milczeniu i skupieniu probując swej wytrwałości za nim udali się na pustynię, gdzie już mieli pozostać do końca życia, nie słysząc nigdy ludzkiego głosu, zupełnie oderwani sercem od świata, czując jego marność i znikomość. Każdą chwilę przebytą na ziemi spożytkowywali jedynie na zaskarbienie sobie łaski Bożej i wiecznej szczęśliwości w niebie.

Klasztor uważany był niejako za przytułek dla dusz słabych i nieufających jeszcze sobie w zupełności, a więc potrzebujących być poddanemi klauzurze; pustynia przedstawiała się wyobraźni mnichów jako miejsce, w którym wybrani mają rozkosz przebywania sam na sam z Bogiem, były to jakby wrota do raju.

Jakże głęboką i wzniosłą wiarą przepełnione były serca w one czasy, kiedy pobożni chrześcianie prześcigali się w obmyśleniu najokrutniejszych umartwień dla ciała, aby tylko osiągnąć jak najwyższe duchowe udoskonalenie.

Św. Stefan od 32-go do 37-go roku życia oddał się życiu kontemplacyjnemu w swej samotnej celi. Wychodził z niej tylko w soboty i niedziele, aby słuchać mszy św. i otrzymać na cały tydzień roboty wyznaczone.

Na drzwiach swej celi napisał:

„Wybaczcie mi bracia moi, ale upraszam was, aby nikt nie zakłócał mego spokoju i nie mówił do mnie w inne dnie, prócz soboty i niedzieli".

W ten sposób gotując się do pustelniczego życia św. Stefan uczuwszy się już na siłach do wytrwania, jął prosić przełożonych, aby mu pozwolili oddalić się na pustynię. Ale jego spowiednik ks. Martyriusz starał się go powstrzymać od tego zamiaru doradzając jeszcze czas jakiś przebyć w klasztorze. Posłuszny zakonnik zastosował się do tej rady, ale coraz więcej ascetyczne wiódł życie a wkrótce różne cudowne wydarzenia dały poznać, jako Bóg go widocznie umiłował.

Światłość niebiańska w pustelniczej celi. Św. Stefan odnajduje relikwje św. Teoktysta.

Pewnego dnia jeden z mnichów powracając do klasztoru, gdzie właśnie świątobliwy Martyriusz zakończył życie, począł w myśli przeprowadzać porównanie pomiędzy tym znanym ogólnie ze swych wysokich cnót kapłanem a samotnikiem Stefanem i w duszy czynił uwagę, że ten ostani nie dorównywa zmarłemu i o wiele mniejsze zapewne są jego zasługi w niebie. Kiedy tak sobie rozumując przechodził właśnie około pustelniczej celi św. Stefana, znajdującej się na samym szczycie góry, ujrzał nagle nadzwyczajne światło bijące z otwartego okna. Światło to zdawało się napełniać celę samotnika i rzucało dokoła całe snopy promieni.

Zaciekawiony tem zjawiskiem mnich udał się do Stefana, aby zbadać co było tej dziwnej jasności przyczyną?

Zdziwił się niepomału, kiedy wszedłszy niespodzianie nie znalazł żadnego światła w celi świętego, a nawet nie dostrzegł śladów łuczywa lub pochodni nic jednem słowem, czem by można objaśnić zjawisko. Zawstydzony mnich zrozumiał, że Bóg chciał go ukarać za sąd niesprawiedliwy o Stefanie i dać do poznania, jak dalece go wśród innych wyróżnia, aureolą świętości otaczając go za życia.

Innym razem św. Stefan udał się z towarzyszem swym Eustratem do klasztoru św. Teoktysta, dla pomodlenia się u grobu tego świętego i uczczenia znajdujących się tam relikwji.

Św. Teoktyst zmarł 3 września 467 r. a ciało jego złożono w ustronnej jaskini. Ponieważ działo się to pod rządem arabskim, Arabowie zaś ogromnie są przesądni, poczęli więc straszyć pielgrzymów, że nie można w żaden sposób przystąpić do grobu Teoktysta, gdyż ogień tam płonie dokoła, a zapach przedziwnego kadzidła czuś się daje w całej okolicy. Nie zważając na te słowa św. Stefan z Eustratem spędzili całą noc na modlitwie przy grobie śś. mnichów. Rano św. Stefan wskazał swemu towarzyszowi relikwje i nazwał każdego ze spoczywających tam mnichów, a także odnalazł ciało jednego z anachoretów, który czując się blizkim zgonu kazał się zanieść do tej jaskini, aby obok św. założyciela klasztoru życia dokonać i tam być pochowanym.

Tak więc św. Stefan odszukał bez żadnych wskazówek relikwje świętych i okazało się, że się nie omylił, ponieważ zawsze niebiańskie natchnienie kierowało jego krokami.

Kapłaństwo. Przyjaźń św. Stefana z Krzysztoforem pustelnikiem.

Św. Stefan zaprzyjaźnił się z pewnym bardzo bogobojnym pustelnikiem imieniem Krzysztofor, który słynął ze swych praktyk pokutniczych i tak n. p. postanowił sobie codziennie tysiąc razy paść na kolana i tak samo podczas nocy na chwałę Bożą czynił podobną ofiarę. Wydaje się to nam dziś rzeczą trudną do uwierzenia i trzeba było istotnie żelaznej woli, aby wytrwać lata całe w podobnem postanowieniu.

Krzysztofor mieszkał w jaskini, która niegdyś w 911 r. służyła św. Teoktystowi i św. Eutymowi za schronienie. Prawie najzupełniej obchodził się bez żadnego pożywienia modląc się i umartwiając jako prawdziwy pokutnik. Jego to obrał sobie św. Stefan za kierownika gotując się do kapłaństwa.

W one czasy zapatrywano się inaczej na Sakrament kapłaństwa, odczuwając jak świętem jest zadanie Bożego sługi. Dziś spotyka się rodziny, które mówią: Dobrze byłoby oddać naszego chłopaka do seminarjum, miałby potem pewny kawałek chleba. Smutna to rzecz, jeśli na pierwszym planie stawi się ów kawałek chleba a nie prawdziwe powołanie.

Św. Stefan po tylu latach wytrwałych prób i anielskiego żywota jeszcze się wahał, czy godzien jest dostąpić łaski sprawowania Najśw. Ofiary ołtarza. To też pierwsza jego msza była tryumfem prawdziwym.

Wielka światłość rozjaśniła nagle całą świątynię, wszyscy obecni widzieli w tem dowód oczywisty, jak miłą była Bogu ta primicja świętego. Następnie zaś nie było rzeczy, której by św. kapłan nie mógł wyprosić w żarliwej modlitwie u stóp ołtarza. Jeśli chodziło o uzdrowienie niebezpiecznie chorego, o dowiedzenie się przyszłych losów kogoś z blizkich, o przeniknięcie ważnej tajemnicy, wszystko to było dostępnem św. Stefanowi cudotwórcy.

W każdą sobotę przybywał do pustelni swego przyjaciela Krzysztofora dla odprawienia tam mszy św.

Dochodziła uszu Krzysztofora wielka sława cudów św. Stefana ale sędziwy pustelnik postanowił

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

sam przekonać się naocznie, czy opowieści owe nie są przesadne i kiedy Stefan zabawił u niego parę dni mówiąc, że trzeciego dnia musi koniecznie odejść, Krzysztofor zamknął szczelnie jedyne wejście do swej jaskini, zabarykadował je w ten sposób, że niepodobna było bez długiego trudu usunąć zapory, ukrył starannie sznurową drabinę, za pomocą której spuszczano się z pustelni, i wówczas rozkazał uczniowi swemu oddalić się niezwłocznie.

Św. Stefan niezawahał się ani chwili w spełnieniu woli mistrza swego, uczynił jednak uwagę, że zupełnie niepotrzebnie zmusza niejako Opatrzność do mieszania się w tak błahe sprawy, jak ułatwienie mu wyjścia z pustelni, zrozumiał bowiem, że Krzysztoforowi chodziło o wypróbowanie świętości Bożego sługi. Przekonał się o niej dowodnie Krzysztofor widząc ze zdumieniem, że drzwi zatarasowane otwarły się same i ukryta przez niego sznurowa drabina znalazła się na zwykłem miejscu.

Innym razem Krzysztofor ze swej pustelni dostrzegł idącego Stefana, a obok niego dwóch znanych w okolicy rzezimieszków, snać czyhających na zdobycz. Widocznem było, że chcą rzucić się na świętego kapłana, by go ograbić. Nagle znikł im św. Stefan z oczu, jakgdyby zapadł się pod ziemię, a złoczyńcy patrzyli po sobie nie wierząc własnym oczom, pustelnik zaś miał nowy dowód, że Bóg strzeże wiernego sługę Swego.

Tenże Krzysztofor dowiedziawszy się, że patryarcha jerozolimski Eljasz znajduje się w perskiej niewoli postanowił udać się do Persji i tam starać się wszelkiemi siłami o oswobodzenie dostojnego jeńca. Pragnął koniecznie skłonić św. Stefana, by mu towarzyszył w tej niebezpiecznej wyprawie, ale święty stanowczo oparł się temu, oznajmiając pustelnikowi, iż miał objawienie, że patryarcha Eljasz w krótkim czasie na swe stanowisko będzie powrócony, jeśli zaś Krzysztofor przestąpi raz perską granicę, nigdy już więcej nie ujrzy Palestyny.

Jeleń przez Arabów gnany u stóp św. Stefana szuka schronienia.

Krzysztofor jednak nie chciał w żaden sposób wyrzec się swego zamiaru, jakoż okazało się, że bardzo źle uczynił, nie dając słowom świętego wiary, albowiem śmierć zaskoczyła go istotnie na obcej ziemi.

Pobyt św. Stefana na pustyni. Jasnowidzenia.

Teraz już nikt nie śmiał powstrzymywać św. Stefana od jego dawno powziętego postanowienia udania się na pustynię. Wybrał sobie miejscowość nad brzegiem Martwego morza. Tam przebył lat

piętnaście w zupełnem osamotnieniu od 762 do 777 r. oddając się najsurowszym praktykom pokutniczym, przyodziawszy włosiennicę, żywiąc się jagodami i daktylami, obchodząc się bez chleba a nawet żadnych nie spożywając jarzyn.

Raz podczas Wielkiego postu kilku mnichów z klasztoru św. Saby przybyło odwiedzić świętego pustelnika. Dawał im wzniosłe nauki zalecając czujność i ustawiczne modlitwy, gdyż wielkie czekają ich klęski.

— Oto widzę Braci naszych konających w męce, mówił w jasnowidzeniu, wymieniając kolejno imiona zakonników, inni zaś tarzają się z bólu, chorobą ciężką dręczeni. Pomiędzy nimi jest jeden ksiądz syryjski.

Kiedy zakonnicy powrócili do klasztoru na Zielone Świątki dowiedzieli się, że okropna zaraza sprawiła w szeregach Braci straszne spustoszenie i że właśnie ci sami, o których mówił św. Stefan pierwsi padli ofiarą klęski, poczem codziennie po kilku grzebać wypadło.

Ale wkrótce przyszły na klasztor ten gorsze jeszcze klęski. Dawniej słynął on z surowej cnoty, następnie wkradły się tam różne nieporządki, zapanowały gorszące swary pomiędzy sędziwymi i młodymi mnichami.

Według słów Leoncjusza ów upadek klasztoru datuje od silnego trzęsienia ziemi, które powtarzało się jeszcze kilkakrotnie, co zmusiło zakonników do szukania czasowo innego schronienia.

W obec tych zmian surowy regulamin ucierpieć musiał, a troszczenie się o byt spowodowało wśród zakonników pewne rozprzężenie. W dziesięć lat po pierwszem wielkiem trzęsieniu ziemi, klasztor św. Saby zmienił się pod względem moralnym do niepoznania. Nie było już tam owych surowych ascetów, świętych mnichów o natchnionych twarzach, dawna żarliwość ostygła znacznie i już tylko starsi pozostali wierni surowym praktykom pokutniczym; nowo przybywający zakonnicy chcieli rządzić się według swej woli i dawniejsza karność zanikała z każdym rokiem.

Św. Stefan odczuwał to boleśnie, gdyż w swych jasnowidzeniach widział nieraz obraz tych wewnętrznych niesnasek w klasztorze św. Saby, a raz przedstawił mu się wyraźnie smutny widok nowicjuszów, którzy po mszy św. wystąpili z głośnemi skargami na sędziwych mnichów a nawet opatowi wyrażali swe niezadowolenie. I widział jednocześnie święty Stefan zastępy szatanów unoszące się nad głowami zbuntowanych, podszeptami swemi pobudzających do hardych słów, tak nie licujących ze ślubowanem przez mnichów posłuszeństwem i pokorą.

Cuda św. Stefana. Miłość dla zwierząt i wszelkiego Bożego stworzenia.

Wielkie zaiste były cuda świętego sługi Bożego Stefana. Dana mu była moc od Boga przechodzenia suchą nogą po falach Jordanu i Morza Martwego, ale najchętniej błagał pomocy nieba, gdy chodziło o miłosierne czyny, był bowiem niezmiernie litościwy i zawsze gotów śpieszyć bliźnim z pomocą.

Opowiada Leoncjusz, że razu pewnego, kiedy spragnieni Bracia upadali ze znużenia w piaskach pustyni, św. Stefan, jak Mojżesz drugi spragnionych napoił, gdyż źródło świeżej wody nagle z pod ziemi wytrysło. Tak samo zgłodniałym stanął w przygodzie, wskazując im miejsce, gdzie znaleźli niespodzianie pożywne rośliny.

Pewna pobożna niewiasta przybyła raz do św. Stefana dla zasięgnięcia jego porady. Wracała właśnie pokrzepiona na duchu wraz z dwoma córkami, gdy ich napadł jakiś Arab zuchwały chcąc porwać dziewczęta. Bezbronne kobiety szukały ratunku w modlitwie. Ale i św. Stefan jednocześnie czuwał w swej celi i błagał Boga o odwrócenie nieszczęścia od matki strapionej. Prośby te zostały wysłuchane. Nagle napastnik krzyknął przerażony i obie ręce, któremi trzymał mocno swe ofiary, podniósł do oczu. Ogarnęła go wielka ciemność, mająca mu towarzyszyć do końca nędznego żywota, oślepł bowiem na zawsze.

Radzono następnie ślepcowi, ażeby się udał do św. Stefana przyrzekając poprawę, ale widocznie nie miał prawdziwej skruchy w swem sercu, święty bowiem, przenikający myśli ludzkie, rzekł, że modlić się za niego nie będzie, gdyż Bóg go pokarał już na całe życie.

Św. Stefan miłował też wielce wszelakie stworzenia, i nie znosił by je krzywdzono; nawet najlichszemu robaczkowi gotów był usunąć się z drogi, aby go nie rozdeptać przypadkiem; lubił przypatrywać się pracowitym mrówkom i wielbił Stwórcę w każdem Jego stworzeniu.

Zwierzęta zdawały się odczuwać instynktownie tę życzliwość, jaką dla nich ten święty pustelnik żywił; jagniątka tuliły się do jego kolan, ptactwo krążyło śmiało nad jego głową i nieraz strudzony gołąb spoczął bezpiecznie na jego ramieniu. Pewnego dnia jeleń gnany przez Arabów pędząc w szalonym biegu skierował się wprost ku świętemu i przypadłszy do stóp jego przykląkł, jak gdyby prosząc zmiłowania, wzruszony tem św. Stefan wziął go w swą opiekę i nie pozwolił, aby mu się krzywda stała

Wzorowy nauczyciel i kierownik sumienia. Śmierć św. Stefana.

Ostatnich siedmnaście lat swego życia od 777 do 794 r., św. Stefan spędził znowu w klasztorze św. Saby, poświęciwszy się nauczaniu licznych uczniów, którzy przybywali nieustannie dla słuchania mądrych nauk świętego i uwielbianego kierownika. Miał on wpływ zbawienny na młode umysły, umacniał chwiejnych, powstrzymywał zapalczywych, życie jego wzorowe budziło cześć dla każdego słowa świętego starca, tembardziej, że przenikał zamiary i odpowiadał nieraz na zadanie mu dopiero w myśli pytania.

Jednemu z młodych mnichów, który ulegając nagłemu zniechęceniu chciał tajemnie opuścić klasztor, rzekł św. Stefan:

— Jak ryba wyciągnięta z wody, tak mnich po za obrębem klasztoru rychło zginie; pierwsza śmiercią naturalną, drugi śmiercią duchową.

Innemu zaś pełnemu gorliwości przepowiedział śmierć męczeńską i chwałę w niebie. Pomiędzy uczniami św. Stefana był także wspomniany już przez nas kilkakrotnie Leoncjusz, który opisując życie swego mistrza i o sobie też nieco wspomina.

Opowiada więc, jak po przybyciu swym z Damaszku do Jerozolimy i wstąpieniu do klasztoru św. Saby czuł się z początku ogromnie strapionym, jak ulegając licznym pokusom wyobraźni chciał cofnąć się, opanowany nudą i zniechęceniem, a następnie ogarnęła go rozpacz szalona i nie mógł znaleść w swym smutku ukojenia. Dopiero kiedy mu przyszło na myśl odsłonić stan swej duszy przed św. Stefanem, a ten z niewysłowioną słodyczą potrafił uspokoić wszystkie jego wątpliwości, obudzić w nim zamiłowanie do zakonnego życia, nauczył zwalczać pokusy, wówczas uczuł się Leoncjusz jak gdyby odrodzonym, to też z największą wdzięcznością wysławia mądre rady i wylicza wszystkie dobrodziejstwa świętego.

Św. Stefan był doskonałym spowiednikiem. Dar przenikania myśli ludzkich i odczytywania, jakby w otwartej księdze całej przeszłości penitenta wstrząsających nieraz scen stał się powodem.

Pewnego dnia przybył do klasztoru św. Saby mnich, który nie bardzo dowierzał opowiadaniom o przenikliwości św. Stefana i wręcz mu to powiedziawszy prosił, żeby mu jakikolwiek grzech z jego przeszłości wskazać raczył.

— Nie kuś mnie, synu mój, abym ja grzeszny miał siebie za wszechwiedzącego.

Ale mnich ów coraz natarczywiej, nalegał, więc święty rzekł:

— Jeżeli ci tak bardzo zależy na upewnieniu się, w tem, co mówią o mnie ludzie, uczynię za dość twym chęciom, ale zapewniam cię, że nie moja lecz boska, w tem zasługa, że czytać w sercach mogę. Chcesz li, abym od najpierwszych lat życia opowiedział twe dzieje, czy też mam zacząć od późniejszej chwili?

Mnich pochodzący ze stron odległych był pewien, że nikt w klasztorze św. Saby nic o nim nie wie, odrzekł więc ze spokojem:

— Jak zechcesz ojcze, bylebym miał jakiś dowód oczywisty.

Tu jął św. Stefan opowiadać z zadziwiającą ścisłością najdrobniejsze przewinienia w dzieciństwie przez owego mnicha popełnione, następnie zaś roztoczył przed jego oczyma cały szereg błędów młodości, wyliczając wszystkie grzechy tak dokładnie, że kiedy doszedł zaledwie do połowy przerażony gość zawołał:

— Przestań ojcze, na Boga!... Jakże cudownie przenikasz całą ohydę mej nędznej duszy!

Każdy kto się do świętego zwrócił i za kierownika duchownego go obrał, czuł się po pewnym czasie, tak jak Leoncjusz mówi o sobie zupełnie odrodzonym.

Św. Stefan przepowiedział dzień swego zgonu, ostatni raz sprawował w dniu tym służbę ołtarza, a zebrawszy uczniów swoich, jednych błogosławił, drugim zaś rzekł:

— Pomimo wszelkie pozory, życie wasze w gruncie rzeczy nie jest jeszcze prawdziwie cnotliwe.

Modlił się długą chwilę, poczem szepnąwszy *Amen* oddał duszę Bogu.

Zmarł 2 kwietnia 794 r. Pamięć jego obchodzi Kościół 13 lipca. Relikwje św. Stefana spoczęły obok św. Jana Damasceńskiego w klasztorze św. Saby.

Dnia 25 lipca.

ŚWIĘTA KUNEGUNDA.

Królowa Polska.

1224—1292.

Za rządów Innocentego IV, Aleksandra IV, Urbana IV, Klemensa IV, króla węgierskiego Beli IV, króla polskiego Bolesława Wstydliwego.

Nie masz takiej niewiasty na świecie w pojrzeniu, w piękności i mądrości słów; przeto teraz módl się za nami, boś jest niewiasta święta i bogobojna. Z ksiąg Judyt. roz. 8 i 11.

Młode lata królewny Kingi.

Naród polski może szczycić się słusznie imionami świętych swoich patronów i patronek w niebie, którzy miłując gorąco Boga, bliźnich i ojczyznę

Święta Kunegunda
królowa polska.

pracowali zawsze i wszędzie dla ich dobra i dla tego też zostali przez Kościół uznani za świętych lub błogosławionych.

Św. Kunegunda przyszła na świat w r. 1224. Ojciec jej był królem węgierskim imieniem Bela IV ożeniony z Marją córką Aleksego cesarza greckiego. Bela był król dobry, bogobojny, sprawiedliwy, to też naród węgierski wielce kochał go i poważał. Oprócz Kunegundy miał też jeszcze kilkoro dzieci, synów i córek, a wszystkie były starannie chowane, lubili też szczerze dworzanie i słudzy królewiczów swych i królewne, najbardziej jednak byli rozmiłowani w Kunegundzie, czyli jak ją Węgrzy zwali, Kindze, która odznaczała się od lat najmłodszych wyjątkowo dobrem sercem pełnem litości i współczucia dla nieszczęśliwych.

Rozdawanie jałmużny sprawiało jej niewypowiedzianą radość, nieraz prosiła, aby pozwolono oddać przeznaczone dla niej potrawy i przysmaki ubogim. Przytem miała wielką chęć i zdatność do nauk, uprosiła też ojca, że ją uczono po łacinie.

Dawniej kobiety uczyły się nie wiele, chociażby nawet na królewskich i książęcych dworach chowane, nikt nie wymagał od nich głębokiej wiedzy, to też takiem niezwykłem garnięciem się do książki św. Kunegunda odznaczała się zawczasu wśród swych rówieśniczek.

Młodość królewny upłynęła w głównem mieście węgierskiem Budzie pod okiem ojcowskiem Beli a ciotka Kunegundy, św. Salomea czuwała nad każdym krokiem młodej dziewicy i starała się chronić od pokus, prowadząc z nią często budujące rozmowy i rozbudzając w niej religijną żarliwość.

Poselstwo polskie wyrusza do Węgier prosić o rękę Kunegundy dla Bolesława V.

Bóg poszczęścił królowi Beli, bo córki powydawał za różnych potężnych książąt. Kunegunda zostawała jeszcze przy rodzicach marząc o klasztorze ale niechcieli o tem słyszeć, gdyż radzi by ją widzieć królową nad wielkim i potężnym narodem. Najukochańszą im była ze wszystkich dzieci, cnotami swemi zasługująca ze wszech miar na miłość i uznanie.

W owym czasie panował w Polsce Bolesław V syn Leszka Białego i Grzymisławy księżniczki ruskiej.

Skoro doszła do Polski wieść o wielkich zaletach węgierskiej królewny, matka Bolesława zwołała wojewodów i innych dostojników rzeczypospolitej na naradę i postanowiono prosić króla Bełę o rękę Kunegundy dla Bolesława.

Zaraz po tej radzie wybrało się dwóch panów polskich do Węgier, aby królowi Beli wyrazić życzenie narodu i króla polskiego. Jednym z tych posłów był Klemens z Klimontowa, drugim Janusz,

wojewoda krakowski. Wjechali na dzielnych koniach i w bogatych strojach do miasta Budy, serdecznie i gościnnie przez Węgrów witani.

Skoro trochę wypoczęli kazali się wnet prowadzić na zamek, aby conajrychlej powiedzieć królowi z czem przybywają.

Na wspaniałym tronie siedział król Bela, a koło niego wielkie mnóstwo bogato przystrojonych panów i książąt węgierskich.

Posłowie polscy nisko mu się pokłonili, a jeden z nich rzekł:

— Miłościwy Panie i Królu! Wiadomości przynosimy ważne, oto sława pobożności i dobroci twej córki Kunegundy doszła i do naszego kraju, dla tego też król nasz Bolesław wysłał nas, abyśmy cię prosili o rękę królewny, którą chce pojąć za żonę i uczynić królową nad wielkim i potężnym polskim narodem.

Król Bela ogromnie się ucieszył, bo prośba ta odpowiadała w zupełności skrytym jego chęciom. Zaraz też odpowiedział, że przystaje na życzenie polskiego króla i z całem zaufaniem odda mu córkę swą za żonę.

Radzi z pomyślnej odpowiedzi odeszli posłowie, a król Bela kazał przywołać Kunegundę i oznajmił jej, że jest jego życzeniem, aby poślubiła Bolesława.

Od najpierwszej młodości przyzwyczajona słuchać we wszystkiem rozkazów ojca i teraz pokornie wysłuchała słów jego. Ale serce jej ogarnął smutek wielki, postanowiła bowiem w duszy poświęcić się Bogu i zostać zakonnicą. Ale Kunegunda zawsze i we wszystkiem uznawała wolę nieba, nie starała się więc zmienić ojcowskiego postanowienia, poddała się Boskiemu zrządzeniu i odtąd gorąco się modliła codziennie o szczęście i pomyślność narodu polskiego, którego miała zostać królową.

Odjazd Kingi do Polski i ślub z Bolesławem.

Kiedy nadszedł dzień odjazdu pobłogosławił król Bela młodziutką Kunegundę, a posłom polskim wyliczył ze swego skarbca czterdzieści tysięcy czystego złota, jako wiano królewny.

Całą drogę z Węgier do Polski przebyła Kunegunda na koniu, bo drogi w górach były popsute i niedostępne dla pojazdów. Koło Kunegundy jechało kilka panien węgierskich i wielka liczba dworzan zbrojnych; orszak przedstawiał się okazale.

Na całej drodze wychodzili z miast i wiosek mieszkańcy głośnemi okrzykami witając Kingę a na polskiej ziemi w Wojniczu spotkała się z Bolesławem oraz matką jego Grzymisławą i odtąd już razem jechali do Krakowa.

Przed bramą stolicy oczekiwał Bolesława i jego narzeczoną biskup krakowski Prandota, wiele księży i panów polskich oraz niezliczone mnóstwo wieśniaków i mieszczan. Kiedy zdaleka dostrzeżono Bolesława i Kunegundę wnet uderzono we wszystkie dzwony, zgromadzony lud wzniósł okrzyk na cześć króla i królowej i pośród ogólnej radości odprowadził ich aż na zamek.

Zanim młodzi narzeczeni wzięli ślub, mieszkała Kunegunda w zamku krakowskim pod opieką matki królewskiej Grzymisławy i przez ten czas uczyła się pilnie po polsku. Przyszło to jej z łatwością ponieważ bardzo zdolną była z natury i po niedługim czasie mówiła już biegle, czytała i pisała po polsku.

Biskup krakowski sakramentem małżeństwa połączył dostojną parę w r. 1239. Przez dwanaście dni trwały gody weselne; cały naród polski cieszył się i radował.

Miłosierna i świątobliwa królowa. Ślub czystości królewskiej pary.

Od czasu gdy Bolesław pojął błogosławioną Kunegundę za żonę stała się ona prawdziwym aniołem opiekuńczym polskiego narodu. Gdzie tylko przyjeżdżała, odwiedzała chorych i kaleki, roznosiła lekarstwa i jałmużny, pocieszała strapionych dając budujący przykład miłosierdzia.

Zdarzyło się, że kiedy razu pewnego była w podróży z Korczyna do Pacanowa, obaczyła człowieka trędowatego, bardzo osłabionego i wycieńczonego okropną chorobą. Siedział przy drodze, jęcząc bezradnie, przez wszystkich opuszczony. Królowa nie mogła znieść obojętnie widoku tej nędzy, kazała zatrzymać konie i posadzić nieszczęśliwego obok siebie, odwiozła go na zamek i tak długo pielęgnowała, dopóki chory nie wyzdrowiał i z ran się niewyleczył.

Nie dziw więc, że lud polski pokochał serdecznie miłościwą królowę, która zamiast wyniosłości i dumy posiadała prawdziwie chrześciańską pokorę, umiała być wspaniałomyślną, miłosierną i sprawiedliwą, a wszystkie te cnoty wypływały z jednego źródła: nadzwyczajnej bogobojności i miłosierdzia bliźniego.

W szczęściu i pomyślności upłynęło Kunegundzie lat trzy. Bolesław był bardzo dobrego charakteru, (zanadto niestety słabego w obec potrzeby energicznej obrony granic kraju i wzmagającej się wciąż niemieckiej potęgi). Ale w stosunku z ludźmi był zawsze wzorowym, a będąc także bardzo pobożnym zgodził się na żądanie małżonki wymagającej od niego ślubu czystości. Corocznie ze strony św. Kunegundy był ponawiany ten ślub aż do zgonu, Bolesławowi zaś stosującemu się również do życzenia świątobliwej królowej nadał on przydomek *wstydliwego*, pod którym w dziejach naszych jest znany.

Najście Tatarów w 1241 r. Przykładna hojność św. Kunegundy. Klęska wojsk polskich pod Chmielnikiem i Lignicą.

W tym czasie właśnie Tatarzy i Mongołowie, weszli do ruskich dzierżaw i oparli się aż nad Dnieprem. Odtąd książęta ruscy zadnieprscy zostali dannikami tatarskimi, to jest musieli im suto się opłacać. Rozzuchwaleni temi zwycięztwami barbarzyńcy w r. 1241 rzucili się na Węgry i Polskę. Straszną plagą byli owi Tatarzy, naród brzydki, niepokaźny, ale ogromnie bitny i w walkach wytrzymały.

Tatarzy powierzchownością już swoją budzili lęk i obrzydzenie. Ciemna cera, nosy spłaszczone, oczy małe i ukośne, a przytem srogość wielka w twarzy i okrucieństwo w obchodzeniu się z jeńcami nieciły przestrach. Długi czas siedzieli cicho i mało kto o nich wiedział, aż tu naraz wyruszyli z kraju swego w niezliczonej ilości i ciągnęli na zachód ogłaszając, że idą świat cały zawojować. Konie ich tak samo jak i oni małe były ale zwinne i wytrzymałe. Tatarzy o każdej porze roku ubrani byli zwykle w kożuchy baranie futrem na wierzch włożone, przy boku mieli krzywą i ostrą szablę a na plecach wielki łuk i sajdak, to jest torbę na strzały.

Dowódzcą ich w tej wyprawie był Batu-Chan.

Wszędzie gdzie przyszli zabijali starców a kobiety i dzieci zabierali do niewoli a związawszy ręce pędzili jak bydło przed sobą. Miasta, wsie i kościoły palili, rabując wszystkie kosztowności. Kiedy spadli oni jak szarańcza na Polskę w 1241 r. a król Bolesław i całe rycerstwo nasze gotowało się do obrony, św. Kunegunda posprzedawała wszystkie swoje klejnoty, perły i drogie kamienie i za te pieniądze kazała nakupić broni, chcąc tem dać przykład całemu narodowi, że kiedy ojczyzna w niebezpieczeństwie nie powinno się szczędzić ani majątku ani życia byle odwrócić straszną klęskę.

Na rozkaz Bolesława ściągało ze wszystkich stron wojsko do Krakowa i król wyruszył z niem naprzeciw Tatarom. Za Sandomierzem dostrzeżono już w nocy okropne łuny pożarów, paliły się wioski i miasta, był to znak, że napastnicy są już niedaleko.

Na drugi dzień koło Opola przyszło do walnej bitwy. Polacy walczyli mężnie, ale otoczeni przez dziesięć razy większą ilość nieprzyjaciół zginęli prawie wszyscy, tylko mała garstka wraz z Bolesławem zdołała umknąć prawie cudem i schronić się do Krakowa. Ale Batu-Chan nie dał za wygranę i z całym wojskiem ruszył na Kraków. Bolesław wysłał oddział pod dowództwem Włodzimierza wojewody krakowskiego przeciw Tatarom. Pod Chmielnikiem walka była zacięta, Polacy stali jak mur niedawali się rozpędzić. Ale Tatarzy używali w bitwach najprzeróżniejszych wybiegów. Zawrócili więc nagle udając spłoszonych, Polacy rzucili się w pogoń i w ten sposób rozproszyli się, o co właśnie chytrym napastnikom chodziło. Rzucali się więc po kilkudziesięciu na pojedyńczych żołnierzy polskich i prawie cały oddział wymordowali.

Włodzimierz, wojewoda krakowski i Pakosław, wojewoda sandomierski, oraz wielu dzielnych rycerzy wówczas zginęło.

Kiedy wiadomość ta doszła do Krakowa niepozostawało już innego ratunku dla Bolesława i Kunegundy, jak schronić się co prędzej za granicę, aby pewnej uniknąć śmierci.

W tem wielkiem nieszczęściu była dla męża św. Kunegunda pocieszycielką niezrównaną. Z chrześciańskiem poddaniem się znosząc dopust Boży dodawała strapionemu małżonkowi wytrwałości i męztwa.

Mordując i paląc ciągnęli Tatarzy ku Krakowowi i w pierwszych dniach Wielkiego tygodnia wpadli do miasta sprawiając najokropniejsze spustoszenie. Niektórzy krakowianie z żonami i dziećmi zamknęli się w obronnym klasztorze św. Andrzeja i przysięgli, że zginą a nie poddadzą się niewiernym.

„Lepsza śmierć jak niewola!“ powtarzali sobie dodając wzajemnie odwagi i udało się im obronić od napastników. Z Krakowa przeszli Tatarzy na Szląsk, gdzie panował książe Henryk pobożnym zwany, krewny króla Bolesława. Wyruszył on przeciw Tatarom pod miasto Lignicę. Tu przyłączyły się do niego niedobitki wojska polskiego z pod Chmielnika, oraz wielu rycerzy z obcych krajów przybywających dla obrony wiary i Kościoła Bożego.

Zażarty i rozpaczliwy bój stoczono pod Lignicą; poległ tam Henryk pobożny, Pompo, mistrz krzyżacki i bardzo wielu mężnych naszych rycerzy. Tatarzy odnieśli wprawdzie zwycięztwo ale znaczne również ponieśli straty i dla tego nie poszli już naprzód lecz zwrócili się nazad i przez Węgry pociągnęli do swego kraju.

Bolesław i Kunegunda powracają do Polski. Królowa troszczy się o dobro swego ludu. Kopalnie soli. Pierścień św. Kunegundy.

Zaraz po odejściu Tatarów powrócił Bolesław z Kunegundą do Polski i oboje zaczęli odbudowywać i naprawiać to, co nieprzyjaciele zepsuli i zniszczyli. A było co naprawiać i budować, bo wszystkie wsie i miasteczka, przez które przechodzili Tatarzy były popalone i zniszczone a mieszkańcy błąkali się po lasach i mieszkali w jaskiniach. To też ani na chwilę nie spoczęła miłościwa królowa, po całych dniach odwiedzała nieszczęśliwych chorych i pogorzelców, opatrywała rannych, a wszyst-

kie pieniądze i klejnoty od ojca w podarunku otrzymane rozdała na odbudowanie kościołów i wspomożenie nędzarzy.

Bolesław ze swej strony czynił co mógł, by lud swój pocieszyć, na kilka lat darował podatki, dopóki zniszczony kraj nie podniósł się nieco po doznanej klęsce. Wszędzie zabrano się teraz bardzo raźno do pracy. Św. Kunegunda objeżdżała sama wsie i miasta zniszczone pożogą zachęcając do gorliwej pracy. Hojne zapomogi płynęły z królewskiej szkatuły. W miłosiernych uczynkach dopomagał żarliwie świętej królowej biskup krakowski Prandota i św. Jacek Odrowąż, im też przypisać należy, że Polska w przeciągu lat kilku odzyskała dawną zamożność i świetność.

Ojciec Kunegundy zapragnął raz jeszcze ujrzeć przed zgonem ukochaną swą córkę, wysłał tedy posłów do Krakowa z prośbą, by Bolesław z żoną przybyli do niego w gościnę.

Minęło już lat kilka od czasu napadu Tatarów, a choć trapiły kraj ciągłe zatargi i niesnaski pomiędzy książętami polskimi, ale przynajmniej większych wojen nie trzeba było wieść w owych latach względnego spokoju.

To też z chęcią przystał Bolesław na żądanie króla Beli i wraz z Kunegundą udał się na Węgry. Wielka była radość rodziców i krewnych świętej królowej polskiej, gdy ją ujrzeli znów wpośród siebie w tym zamku gdzie tyle lat razem przeżyli. Zabawili też dostojni goście w Budzie dłużej, jak zamierzali.

Król Bela obwoził ich po całym Królestwie dla odwiedzenia znaczniejszych miast i osobliwości kraju. Pomiędzy innemi odwiedzili miejscowość zwaną Marmarosz, gdzie są wielkie kopalnie soli. Polska nie posiadała swoich kopalni i sól musiano sprowadzać zdaleka a więc była to kosztowna przyprawa dla biedaków. To też św. Kunegunda nie była tak olśniona ani pięknemi widokami, ani wspaniałymi zamkami oglądanymi w tej podróży, ale zaraz pomyślała że prawdziwym skarbem dla polskiego ludu byłyby kopalnie soli. Prosiła więc ojca, aby jej jedną taką kopalnię darował. Bela chętnie to uczynił. Wtedy zdjęła Kunegunda złoty pierścień z palca i rzuciła do otworu, zkąd sól wydostawano, jakby na znak, że te kopalnie bierze w posiadanie dla siebie i dla narodu polskiego.

Nie jednemu patrzącemu na to, wydał się dziwacznym postępek królowej i myśleli w duchu co Polakom z tych kopalni, kiedy sól bądź co bądź trzeba będzie o sto mil wozić do Polski. Nikt jednak głośno nie wypowiedział swej uwagi, bo wszyscy poważali wielce dobrą królowę.

W kilka dni po tem zdarzeniu pożegnała się Kunegunda z rodziną i wraz z mężem odjechała do Polski.

Kiedy przybyli do polskiego miasteczka Bochni, około królowej zebrało się jak zwykle wiele ludu na powitanie wówczas rozkazała Kunegunda kopać ziemię na rynku Bochni. Dziwili się ludzie temu rozkazowi, ale będąc we wszystkiem posłuszni ukochanej swej pani porozchodzili się do domów, poprzynosili motyki i łopaty i raźno wzięli się do pracy. Obecnością swą Kunegunda zachęcała do wytrwałości. Kopali tak kilka godzin, aż tu jeden z robotników uderzył o jakiś twardy kamień, odsunął czemprędzej ziemię i zawołał z wielką radością:

— Sól!.. Sól!.. Świątobliwa nasza królowa obdarowała nas solą!

Zaraz odrąbano wielką bryłę i wyciągnięto na powierzchnię, a kiedy rozkruszono ją i dzielono pomiędzy ludzi, uczynił Bóg cud, iż w soli tej znalazł się taki sam pierścień złoty, jaki św. Kunegunda rzuciła do kopalń soli na Węgrzech.

Wiadomość o odkryciu soli i o cudzie, jaki Bóg zdziałał dla okazania zasług błogosławionej królowej polskiej, rozeszła się szeroko. I dziś, tak samo jak przed laty, każdy wieśniak z okolic Bochni i Wieliczki, każde nawet małe dziecię potrafi opowiedzieć historję o okryciu soli i o pierścionku królowej Kunegundy. Stało się to w r. 1251.

Śmierć Bolesława Wstydliwego. Św. Kunegunda nie chce ofiarowanego sobie berła przyjąć i wstępuje do klasztoru w Starym Sączu.

Z dniem każdym wzrastało poważanie i miłość dla bogobojnej i miłosiernej królowej.

Bolesław V panował długo, bo lat 52, zmarł w 1279 r.

W ostatniej chorobie pielęgnowała go nieodstępnie przywiązana małżonka. Panowanie jego odznaczyło się urządzeniem kopalni w Bochni, uformowaniem województwa podlaskiego, zaludnieniem i wzmocnieniem miasta stołecznego Krakowa, tudzież zagładą na Podlasiu dzikiego narodu Jadźwingów i poskromieniem Rusi. Na nim, jako bezpotomnym zakończyła się linja książąt krakowskich od dziada Kazimierza II sto lat będąca na tronie.

Zaraz po śmierci króla zebrała się rada z biskupów i panów możnych złożona i jeden z nich wystąpił z przemową w imieniu osieroconego narodu.

— Świątobliwa królowo i pani nasza, mówił, kiedy już Wolą Bożą było, że zabrał z tego świata króla Bolesława, oto przychodzimy do ciebie od całego narodu prosząc, byś nam zechciała panować i pozostać nadal naszą matką i opiekunką.

Św. Kunegunda podziękowała w serdecznych słowach za tak wielki zaszczyt, ale prosiła o pozostawienie jej trochę czasu do namysłu.

Wiedziała dobra królowa, iż rządzić wielkim,

rycerskim narodem byłoby zbyt uciążliwe na jej siły, pragnieniem zresztą gorącem całego jej życia było dokonanie ziemskiej pielgrzymki w klasztornej ciszy. Bolesław zresztą wyznaczył już za życia następcą swym Leszka Czarnym zwanego, księcia sieradzkiego. Lud jednak przywiązany wielce do królowej Kunegundy pragnął, aby ona nadal pozostała na polskim tronie.

Nadszedł dzień pogrzebu Bolesława. W całym Krakowie uderzono we dzwony, lud wyszedł na ulice miasta w żałobnych strojach, rycerstwo i senatorowie postępowali w głębokiem milczeniu, przy blasku jarzących pochodni, przy ponurym odgłosie dzwonów, rozległy się donośnie śpiewy licznego świeckiego i zakonnego duchowieństwa. Słychać było niekiedy głośne łkania, westchnienia i modlitwy błagalne tłumnie zebranego ludu, odprowadzającego zwłoki króla swego na miejsce wiecznego spoczynku.

Tuż za bogatą trumną szło dwie zakonnice przybrane w grube habity córek św. Klary.

Była to królowa Kunegunda i siostra jej Jolanta, dwie święte niewiasty, które zapragnęły życie swe poświęcić Bogu.

Zrazu niepoznano Kunegundy w tem przebraniu, ale następnie zrozumiano, że przywdziawszy habit daje tem do poznania, że na zawsze wyrzeka się ziemskiej korony. Rozległy się gorzkie wyrzekania wśród tłumu.

— Jakto? wołano zewsząd, zaliż w dniu jednym tracimy ojca naszego i matkę? Opuszcza nas królowa, niechce nam dalej panować!..

Po pogrzebie Bolesława rozpoczęły się znów prośby i nalegania, aby Kunegunda objęła rządy kraju. Senat, rycerstwo, lud cały domagał się usilnie, aby wyrzekła się zamiaru wstąpienia do klasztoru, na co Kunegunda odpowiedziała z godnością, a twarz jej jaśniała niebiańskim spokojem, gdy mówiła:

— Polacy! Byłam królową waszą, dziś zostałam służebnicą Chrystusową; byłam panią waszą, odtąd będę poddanką Króla waszego; byłam opiekunką i matką waszą, ach, i tą nigdy być nie przestanę. W murach klasztornych we dnie i w nocy będę się modlić za wami i prosić Boga, aby błogosławić raczył radom waszym i pługom waszym, aby imie Polaka było błogosławieństwem, cnotą i chwałą napiętnowane i po całym rozbrzmiało świecie; aby cześć dla Boga i Bogarodzicy zakwitła wśród was i w głębi serc waszych; aby jedność, zgoda, miłość i porządek panowały wszędzie i zawsze i w sercach waszych i w domach waszych, po drogach i wioskach, zamkach i lepiankach waszych! Polacy! Żegnam wasz ale na czas krótki. Nie odstępujcie od Boga a zbierzemy się wszyscy w tej drugiej, wiecznej ojczyźnie naszej, w domu Ojca naszego.

Płakali rzewnie wysłańcy narodu słysząc te słowa, wzruszenie głębokie ogarnęło wszystkich, jakgdyby istotnie ukochana królowa zstępowała żywcem do grobu.

— Oboje wraz umarli, król śmiercią a królowa zakonem, mówili sobie ludzie, zrozumiawszy, że postanowienie Kunegundy jest niezłomnem.

Zasiadł więc na tronie polskim Leszek, książe młody i waleczny, a Kunegunda odjechała do Sącza, gdzie jeszcze za życia męża założyła klasztor św. Klary i hojnie go uposażyła.

Przed wstąpieniem do klasztoru wszystkie swe królewskie szaty, klejnoty, złoto i srebro rozdała na kościoły, szpitale i potrzeby kraju i ludu, nie pozostawiając nic dla siebie tylko umiłowany krzyż Chrystusowy.

Raz jeszcze spojrzała na ten świat, którego wyrzekała się dobrowolnie, raz jeszcze podniosła rękę, aby znakiem krzyża pobłogosławić drogą ziemię. Radośnie i boleśnie zabiło serce świętej niewiasty w tej stanowczej chwili. Westchęła głęboko, wzniosła ku niebu załzawione oczy i ucichły w duszy jej wszystkie niepokoje, błogi uśmiech przeleciał, jak promień słoneczny. Zamknęła się furta klasztorna za błogosławioną królową i odtąd stała się ona Siostrą Kunegundą, skromną, pokorną zakonnicą dla której ziemskie zaszczyty nie przedstawiały najmniejszego powabu.

Ostatnie lata św. Kunegundy przebyte w klasztorze PP. Klarysek w Starym Sączu.

Od tej chwili rozpoczął się dla Kunegundy nowy okres jej życia. Przywykła od lat najmłodszych do przepychu dworskiego otoczenia, królewna i królowa zapragnęła w pokorze, posłuszeństwie i umartwieniach prześcignąć wszystkie zakonnice, stosując się z nadzwyczajną ścisłością do surowej reguły.

Pierwsze kroki jej na tej drodze już odrazu świadczyły, że całe dotychczasowe życie polskiej królowej było już jakby gotowaniem się nieustannem do życia zakonnego. Nie przyszła Kunegunda uczyć się tu cnót chrześciańskich, ale przyszła nauczać jak drogą doskonałości dążyć należy. Nie miała do zwalczania żadnej namiętności, żadnego błędu do odpokutowania. Doskonałą była dusza Kunegundy, pomimo że na wysokiem znajdując się stanowisku miała stokroć więcej niż inni pokus i przeróżnych powodów do wzrastania w pychę, ale ta ułomność, do której natura ludzka jest tak pochopną, nie miała nigdy przystępu do wzniosłego serca królowej.

Przez całe życie tylko ubogie strzechy wieśniacze, szpitale, przybytki nędzy i boleści były wciąż świadkami cudów miłości i miłosierdzia dziewiczego

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Święta Kinga, królowa polska.

J. Matejko

serca św. Kunegundy. Nie chciała nigdy zostać matką według praw przyrody, aby niezłamać uczynionego ślubu i znosiła z tego powodu wiele gorzkich chwil walcząc z sercem własnem, sercem męża, z całym dworem i narodem, pragnącym mieć następcę tronu, a nawet ta święta i czysta królowa narażoną była na oszczerstwa i potwarze, tak dziwnem się wydawało wszystkim świątobliwe postanowienie i ślub czystości wytrwale dochowany.

Ale ona umiała znosić cierpienia z wdzięcznem dziękczynieniem i ta która wyrzekła się macierzyństwa i naturalnych pragnień słodkiego serca stała się matką wedle prawd miłości ewangelicznej. Ile było biednych i cierpiących w kraju tyle dzieci liczyła Kunegunda. Pamiętała zawsze na te słowa Zbawiciela: *Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili.*

Wpośród wszystkich bogactw serce jej w ubóstwie i pokorze było rozmiłowane, karmiąc zgłoddniałych sama morzyła się ustawicznymi postami; prześladowana niesłusznie, stawała zawsze pierwsza po stronie prześladowanych, gardząc chwałą własną. pracowała gorliwie nad szerzeniem boskiej chwały. Gdy wszyscy dworzanie spoczywali snem błogim tylko w komnacie królowej paliło się mdłe światło, czuwała nocami modląc się przed wizerunkiem Ukrzyżowanego i czerpiąc w długich pobożnych rozmyślaniach największe pokrzepienie. Nosiła zawsze włosiennicę, wina i mięsa nigdy nie używała i tak lat czterdzieści żyła wśród świata, jakgdyby po za jego obrębem, zakonnica w duszy, chociaż jednocześnie potężnego państwa królowa.

Zamknąwszy się w Staro-Sądeckim klasztorze była najdoskonalszym wzorem boskiej Oblubienicy. Trapiła swe ciało, aby w ten sposób wytrwałością i cierpieniem duszę swą doskonalić. Ta, której rozkazów słuchał kraj cały stała się najposłuszniejszą wszystkim rozkazom przełożonej, ta której liczne grono dworzan usługiwało zniżała się do najcięższych posług klasztornych. Sprawiedliwie mogła by zawołać ze św. Pawłem: *Żyję już nie ja, ale żyje Chrystus we mnie.*

Ale nawet najczystsze istoty narażone są na pociski potwarzy. Zda się wprost nie do uwierzenia, jak mogli się znaleść tak nikczemni ludzie, którzy tej błogosławionej nawet w klasztornem zamknięciu nie oszczędzili goryczy.

Jakiego rodzaju były te podejrzenia trudno dziś wiedzieć, dość że dziejopisarze z oburzeniem o nich wspominają. Ale Bóg chciał okazać w obec wszystkich świętość wiernej swej służebnicy, gdyż w kaplicy zgromadzeni ujrzeli wielką światłość nad głową Kunegundy a potwarcy jakby piorunem rażeni ze wstydem zamilknąć musieli.

Drugi napad Tatarów w 1288 r. Cudowne uzdrowienie.

Dla ubogich, chorych i kalek w Sączu i okolicy była Siostra Kunegunda prawdziwym aniołem opiekuńczym, każdego umiała pocieszyć i zaradzić na jego cierpienie.

Przez wszystkich wielbiona i kochana żyła św. Kunegunda lat kilka w Sączu aż do czasu, kiedy znowu Tatarzy napadli ziemię naszą w 1288 r. Jak pierwszym razem tak i teraz palili i niszczyli miasta, starców mordowali, a młodych brali do niewoli; samych panien i dziewcząt naszych uprowadzili 21,000.

Król Leszek Czarny musiał szukać przytułku na Węgrzech, a przed udaniem się w tę podróż modlitwom św. Kunegundy siebie i kraj cały polecał.

Podstąpili Tatarzy pod Sącz, nie było innej rady tylko opuścić klasztor w największej tajemnicy i szukać w innem miejscu schronienia. Wszystkie zakonnice wraz ze św. Kunegundą ukryły się w małym zameczku zwanym Pieniny, gdzie było trochę wojska polskiego.

Bronili się czas jakiś Polacy w zamku pienińskim, ale z każdym dniem większa między nimi powstawała trwoga, bo w zamku mało było zapasów żywności i wszyscy zrozumieli, że jeżeli Bóg nie zmiłuje się nad nimi i Tatarzy nie odstąpią od murów zamku, to wszyscy zginą, lub będą zmuszeni do poddania się.

W wielkiem tem niebezpieczeństwie gorąco modliła się św. Kunegunda prosząc Boga o wybawienie od śmierci swych sióstr zakonnych i zgromadzonego w zamku ludu. Wysłuchał Bóg modłów swej służebnicy i ulitował się nad polskim ludem. Od południa przez góry karpackie nadciągnęło wojsko węgierskie na odsiecz Polakom.

Niedaleko zamku Pienin przyszło do bitwy między Węgrami i Tatarami. Niespodziana pomoc spłoszyła Tatarów i udało się wygnać ich z całej ziemi sandeckiej. Za łaską Bożą cudownie uniknąwszy śmierci, wróciła Kunegunda z zakonnicami do Sącza i odtąd nigdzie z klasztoru na czas dłuższy się nie wydalała.

Jeszcze podczas swego przebywania na polskim tronie św. Kunegunda za radą św. Jacka Odrowąża przyczyniła się gorliwemi staraniami do kanonizacji św. Stanisława biskupa krakowskiego, którego papież Innocenty IV w poczet świętych policzył w 1254 r. Kości jego wydobyte z ziemi za pozwoleniem papieskiem, sama swemi rękami obmywała z czcią należną. Nieraz kiedy która z sióstr zakonnych zaniemogła, św. Kunegunda pochylała się nad jej łożem z macierzyńską troskliwością, a złożywszy

pocałunek na jej czole uzdrawiała ją w cudowny sposób z choroby.

Za życia już zwracano się do niej, jak do świętej i wiele cudów modlitwom jej przypisują. Pomiędzy innymi niejakiego Siestrzemiła cierpiącego na jakąś straszną chorobę, którą opętaniem djabelskiem nazywano w owe czasy, modlitwą swoją uzdrawiała.

Ostatnie chwile i śmierć św. Kunegundy.

Rok ostatni życia, św. Kunegunda spędziła złożona ciężką niemocą. W widzeniach swych oglądała Świętych Pańskich, a mianowicie objawił się jej św. Jan Ewangelista i św. Salomea pocieszając, że wkrótce będzie podzielała ich radość w niebie. Na twardem łożu, w ubogiej celi oczekiwała błogosławiona córka św. Klary tej upragnionej chwili.

Dokoła łoża umierającej Kunegundy zebrały się wszystkie zakonnice, łkając żałośnie na myśl, że ją wkrótce utracą. Ona błogosławiąc, ostatnie dawała im rady i napomnienia, zachęcając do ścisłego ustaw zakonnych zachowania, do miłości i bojaźni Bożej, do pokory, cichości, cierpliwości w znoszeniu krzyży.

Zamilkła Kunegunda, niebieska jasność rozlała się na jej bladej twarzy, oczy łzami zalane wzniosła ku niebu, a usta szeptały jeszcze modlitwę dziękczynną. Kiedy wszedł kapłan z Przenajśw. Sakramentem, podniosła się nieco, rozrzewniona miłośnym zapałem dla Boskiego Oblubieńca, który miał zstąpić do jej serca po raz ostatni na tej ziemi.

Zasilona chlebem anielskim Kunegunda, myślą i duszą przebywająca już w niebie, prosiła, aby Siostry odstąpiły od jej łoża.

— Dlaczego? Dlaczego? pytały Siostry z niepokojem sądząc może, że ją czemś obraziły.

— Zaliż nie widzicie św. Franciszka, Ojca Serafickiego? Oto do mnie idzie cieszyć mnie!.. wyrzekła głosem wyraźnym, pełnym radości niewysłowionej.

Poczem dodała:

— Ojcze, w ręce Twoje oddaje ducha mojego! Były to jej ostatnie słowa, poczem usnęła snem sprawiedliwych na wieki.

Jutrzenka poranna, wschodząca w tej chwili po nad Tatr śnieżne szczyty, różanym blaskiem przez kraty okienka oblała święte ciało.

Czas nie zatarł imienia błogosławionej królowej polskiej, cały kraj nasz czci ją, żyje ona w pamięci wszystkich a zwłaszcza uwielbianą jest przez mieszkańców Sącza i rozkosznych brzegów Dunajca i Popradu wśród Karpackiego ludu i tych okolic, które były widownią cnót jej, przedmiotem jej troskliwej, prawdziwie macierzyńskiej opieki. Duch jej opiekuńczy unosi się nad temi górami, nad zwaliskami zamku na Pieninach, gdzie Kunegunda kryła się z Siostrami swemi przed napaścią Tatarów, unosi się nad tym klasztorem, gdzie spoczywają święte zwłoki, błogosławi lud przybywający tłumnie w dzień odpustu w kościele PP. Klarysek w Starym Sączu d. 24 lipca, by czcić pamięć świętej królowej, patronki i orędowniczki naszej i oddawać się w jej opiekę.

Rok rocznie klasztor staro-sądecki duchownych córek błog. Kunegundy święci rocznicę jej niebiańskich narodzin w tym dniu, gdy ziemski swój zakończyła żywot. W poczet błogosławionych policzoną została Kunegunda przez papieża Aleksandra VIII, a sprawa tej kanonizacji w 1893 r. rozstrzygniętą została.

Obchód 600 letniej rocznicy zgonu św. Kunegundy.

W r. 1892 upłynęło sześćset lat od czasu zgonu św. Kunegundy. Z tego powodu PP. Klaryski uroczyście ten dzień pamiątkowy obchodzić postanowiły. Ojciec św. Leon XIII pragnąc zachęcić wiernych do licznego przyjęcia odziału w tej uroczystości użyczył łaskawie odpustu zupełnego wszystkim pobożnym, którzy zwykłych dopełniając warunków wezmą udział w tym miłym sercom Polaków obchodzie. Reskrypt papieski brzmi jak następuje.

„Ponieważ doniesiono nam, że w kościele PP. Klarysek w Starym Sączu dyecezji Tarnowskiej ma się odbyć dziewięcio dniowe nabożeństwo ku uczczeniu 600 letniej rocznicy śmierci bł. Kunegundy, przeto my, pragnąc łaskami niebieskimi ożywić pobożność wiernych i przyczynić się do ich zbawienia, wszystkim którzy z prawdziwie skruszonem sercem odbędą spowiedź i przyjmą Kumunję św. w dniu 24 lipca lub w jednym z następujących ośmiu dni, oraz odwiedzą w duchu nabożnym rzeczony kościół i o zgodę między panującymi chrześciańskimi, o wytępienie kacerstw, o nawrócenie grzeszników i wywyższenie św. Matki Kościoła pobożne zaniosą modły, udzielamy odpustu zupełnego, który i duszom chrzesciańskim w łasce Bożej zeszłym ze świata może być ofiarowany“.

Ku uczczeniu 600 letniej rocznicy zgonu Kunegundy odprawione było dziesięcio dniowe uroczyste nabożeństwo w Starym Sączu a misje przez OO. Tow. Jezusowego dane zgromadziły liczne rzesze ludu z bliższych i dalszych okolic.

Nad grobem Kunegundy wystawił niegdyś wspaniały ołtarz Jerzy Radziwił, kardynał, i zachowane tam były jej kości złożone przez Bernarda Maciejowskigo, kardynała, głowa zaś w osobnem była schowaniu. Zakonnice Sandeckie przechowują też ze czcią wielką habit i łyżkę, której św. Kunegunda używała oraz pierścień wręczony jej przez Bolesława. Jest tam również w wielkiem poszano-

waniu statua drewniana św. Kunegundy przedstawiająca ją w stroju zakonnym i mająca być doskonale wzorowaną według rysów jej, postaci i wzrostu.

Podczas owych pamiętnych uroczystości z 1892 r. święte szczątki Kunegundy przełożono do nowej srebrnej trumienki (dar hr. Stadnickiego z Nawojowy) i obnoszono je procesjonalnie po mieście a w kościele wystawiono ku czci publicznej.

Statua św. Kunegundy ozdobioną została nową koroną będącą darem pań polskich za staraniem ks. Wincentego Podlewskiego, Dominikanina.

Wielu Dostojników Kościoła z Galicji i Węgier przyjęło udział w tym uroczystym obchodzie, ku czci świętej królowej polskiej, fundatorki i zakonnicy klasztoru PP. Klarysek w Starym Sączu. Ks. Jan Badeni Tow. Jez. ułożył piękną nowennę do tej naszej patronki.

Mamy w św. Kunegundzie wzniosły wzór do naśladowania, powinniśmy nie tylko słowami ale i czynami dowieść, że umiemy cnoty cenić, starając się wedle sił i możności dążyć do duchowej doskonałości.

Źródła.

Frankowicz, kustosz Sądecki. *Życie świętej Kunegundy.*

Petrykowski przełożony klasztoru sądeckiego. *Żywot błog. Kunegundy.*

Ks. Karol Antoniewicz. *Wspomnienie o błog. Kunegundzie.*

Dnia 27 Lipca.

ŚWIĘTY GRZEGORZ diakon, Ś. Ś. AURELI, NATALJA, FELIKS I LILIOSA

Umęczeni w Kordui.

> Są dwa rodzaje męczeństwa jedno jest okrutniejsze, lecz krótsze — to męczeństwo krwi, gdy ją się przelewa za Jezusa Chrystusa; drugie jest to męczeństwo pokuty, wydaje się ono łagodniejszem lecz jest daleko dłuższem, gdyż pokuta winna trwać aż do śmierci.
>
> Św. Bernard. Kazania XXX.

Młodość św. Grzegorza.

Św. Grzegorz urodził się w połowie IX wieku w mieście uświęconem narodzeniem Zbawiciela w tem samem Betleem pełnem drogich sercu chrześciańskiemu pamiątek.

Pobożny Grzegorz miał zawczasu powołanie do stanu duchownego, chcąc zaś iść tą drogą rozpoczął życie zakonne w klasztorze św. Saby koło Jerozolimy, gdzie oddawał się ćwiczeniom religijnym z wielką gorliwością i zapałem.

Wstrzemięźliwy w jedzeniu, pokorny, wytrwały, miłosierny, stał się wkrótce jednym z najprzykładniejszych mnichów w tem świątobliwem zgromadzeniu. Nosił najnędzniejsze ubranie, tak zniszczone, jakby był żebrakiem, nigdy nie pił wina i mięsa nie jadał. Umartwiając wciąż ciało mówił braciom:

— Im więcej udręczam moją nędzną, ziemską powłokę, tem większą mam nadzieję odnalezienia jej w chwale podczas sądu ostatecznego.

Grzegorz był zawsze pogodny, ujmujący w obejściu, chętnie spełniający posługi, nigdy nie omieszkał zkorzystać ze sposobności budującego nauczania innych i budzenia w nich bojaźni Bożej.

Noce całe nieraz spędzał na modlitwie, a w dzień śpiewał psalmy, błogosławiąc nieustannie imie Pańskie.

Podróż św. Grzegorza do Afryki i Hiszpanji.

Dwadzieścia siedm lat św. Grzegorz spędził w klasztorze św. Saby, był wyświęcony na diakona, a życie jego stało się jednem pasmem dni oddanych Bogu i pracy nad duchowem udoskonaleniem. Ponieważ jednak klasztor nie miał dostatecznych środków utrzymania coraz więcej napływających zakonników, przełożeni wysłali Grzegorza do Afryki dla zbierania składek pomiędzy wiernymi.

W Afryce jednak źle się działo, Saraceni prześladowali chrześcian, lud był nazbyt ubogi i tak wiele kościół Katargiński miał potrzeb miejscowych, że nie podobna było myśleć o zasileniu odleglejszych klasztorów.

Grzegorz po naradzie z biskupem Kartaginy zwrócił się do Hiszpanji.

Wylądowawszy w Kordui znalazł tam kilku chrześcian, którzy następnie mieli podzielić jego męczeństwo. Oto jak sam opisuje tę podróż w liście do jendego z zakonników z klasztoru św. Saby:

„Wydalenie się moje z klasztoru miało na celu, jak wam wiadomo, zbieranie jałmużny dla naszego zgromadzenia. W tym zamiarze udałem się do Afryki, a następnie do Hiszpanji, ale widząc kraj ten również przez niewiernych wyniszczony i spustoszony umyśliłem skierować swe kroki ku Galji. Radziłem się kilku pobożnych i gorliwych chrześcian, ci jednak różnili się w zdaniach, jedni zachęcali mię do tej wyprawy, inni zaś odradzali, mówiąc, że najlepiej uczynię powracając do naszego klasztoru. Ponieważ bardzo poważni ludzie byli tego zdania postanowiłem zastosować się do ich rady.

„Poszedłem do opata w Korduańskim klasztorze prosząc go o błogosławieństwo na drogę, jak również o polecenie mnie modłom wszystkim Braci. Czcigodny opat rzekł mi na to:

— Bardzo chętnie, mój bracie, przyjmij też błogosławieństwo wiernej służebnicy Bożej Natalji.

Natalja była to pobożna chrześcianka, która nawiedzała klasztory, wspomagając je hojnemi jałmużnami.

Poszedłem do klasztoru, gdzie się właśnie Natalja znajdowała. Ujrzawszy mię rzekła:

— Oto jest nasz towarzysz męczeństwa, który był nam przyrzeczony!

Rzuciłem się do nóg świątobliwej niewiasty, prosząc o wyjaśnienie, co znaczyły jej słowa?

— Bóg miłosierny raczył mi oznajmić, że czeka mię palma męczeńska wraz z trzema chrześcianami, z nich jeden mnich. Objawienie to było zupełnie wyraźne i poznałam odrazu, że owym mnichem jesteś ty właśnie, mój bracie w Chrystusie.

„Prosiłem Natalję, aby modliła się o umocnienie mnie i o uczynienie godnym tej łaski.

„Powróciwszy do męzkiego klasztoru, gdzie miałem noc spędzić, ujrzałem we śnie tę czcigodną niewiastę podającą mi drogocenne wonności mówiąc:

— Mam skarby jeszcze cenniejsze, niż te, które ci daję, oto zapoznać cię z towarzyszami męki.

Nazajutrz zaprowadziła mnie Natalja do domu małżonka swego Aurelego. Pochyliłem się do jego kolan, prosząc również, aby wstawił się za mną do Boga o śmierć chwalebną. W tej chwili postanowiłem nagle nie powracać już do klasztoru św. Saby, był to wyraźnie głos Boży nakazujący mi tu pozostać, i wraz z tymi świątobliwymi oczekiwać na spełnienie wyroków Opatrzności.

„W domu Aurelego i Natalji zapoznałem się z pobożnym Feliksem i małżonką jego Liliozą, którzy rozdawszy całe swe mienie ubogim, gotują się znosić wszelkie męczarnie przez miłość dla Chrystusa. Musiałem oddalić się na czas pewien dla uregulowania spraw moich, poczem powróciłem znów do Aurelego. Bogobojni ci ludzie przyjęli mnie z serdeczną radością, zaklinając, abym pozostał z nimi, wiemy bowiem, mówili, że Bóg przysłał cię tutaj, abyś z nami razem śmierć poniósł.

Na tem miejscu kończy się opis św Grzegorza, następnie nie mógł już widocznie dać znać o sobie lub też list jego zaginął w długiej podróży.

ŚŚ. Natalja i Aureli.

Św. Natalja była córką pogańskich rodziców, ojca straciła w bardzo młodym wieku, matka zaś poślubiła chrześcianina, który ją i córkę jej nawrócił. Aureli bogaty obywatel Kordui oceniwszy cnoty Natalji pojął ją w małżeństwo i za jej namową począł wyznawać wiarę chrześciańską. Tak samo też Feliks i Lilioza byli gorliwymi wyznawcami Chrystusa Pana i dwie te pary żyły z sobą w wielkiej przyjaźni, zachęcając się wzajemnie do ćwiczeń religijnych i trwając w cnocie. Zwłaszcza odznaczali się nadzwyczajnem miłosierdziem dla ubogich. Feliks i Aureli stali się wkrótce nie rozłącznymi prawie towarzyszami i przyrzekali sobie wytrwać tak razem do śmierci.

W Aurelim budzi się pragnienie męczeństwa.

Pewnego dnia Aureli był świadkiem męki jednego z wiernych imieniem Jan. Wyprowadzono go na plac publiczny i biczowano do krwi, poczem posadzono na osła, uwiązawszy do nóg ciężkie kamienie. Tak wielkim był ten ciężar, że osioł nie mogąc znieść go padł na ziemię. Podniesiono więc nieszczęsne zwierze i wiedziono męczennika Jana na miejsce kaźni wśród urągań tłumu:

— To zbrodniarz, który śmiał bluźnić przeciw prorokowi. Musimy pomścić naszego wielkiego Mahometa! wołano zewsząd, gdyż Kordua była pod panowaniem muzułmanów, chcemy jak najsroższej kary dla winowajcy.

Na ten widok Aureli uczuł tak wielkie współczucie dla lżonego i dręczonego Jana, a zarazem także uwielbienie dla prześladowanej i uciemiężanej religji katolickiej, że dzieląc się doznanemi wrażeniami ze świątobliwą swą małżonką zawołał wzruszony:

— Jakże winnym się dziś czuję, że kiedyś mię zachęcała do pobożności, do zmiany życia, kiedy starałaś się odciągnąć mnie od marności tego świata, aby mnie ściślej zjednoczyć z Jezusem, gdyś mówiła mi o świętych mnichach, ktorzy wyrzekli się zupełnie świata, aby żyć tylko dla Boga i pragnęłaś wspólnego ze mną doskonalenia się w chrześciańskich cnotach, byłem wówczas nieczułym na twe prośby, chociaż nieraz zastanawiałem się głęboko i rozważałem w duszy twe słowa. Ale odtąd nie będziesz mi mogła nigdy obojętności zarzucić.

Chcę zmienić dotychczasowy tryb życia, chcę być nowym, odrodzonym człowiekiem. Ślubuję czystość, zupełne wyrzeczenie się wszelkich cielesnych rozkoszy, a chcę jedynie myśleć o dusznem zbawieniu

Natalja dziękowała niebu za tak szczęśliwą w duszy męża zmianę, cierpiała nad tem nieraz, żą mąż zanadto jeszcze troszczył się o ziemskie sprawy, pragnęła, aby tak samo jak ona ukochał tylko Boga po nad wszelkie stworzenie i aby wiedli życie braterskie, duchowo tylko z sobą połączeni.

Odtąd oboje żyjąc pod jednym dachem niejako zakonny żywot prowadzli.

Miewali nieraz cudowne widzenia, każde z nich w osobnej zamknięte celi oglądało te same obrazy Raz cały zastęp aniołów i dusz błogosławionych napełnił dom ich pośród nocnej ciszy, a olśniewająca światłość biła od tych niebiańskich postaci. To znów młodzian nadzwyczajnej piękności ukazał się obojgu małżonkom we śnie i wyszeptawszy jakieś tajemnicze słowa krzyżem św. ich błogosławił. Natalji objawiła się Matka Boska w otoczeniu świętych mnichów.

Wszystkie te widzenia coraz więcej podnosiły ducha pobożności w Aurelim i Natalji.

Pragnienie doskonałości chrześciańskiej zagrzewało do samoofiary.

Aureli posiadał ogromny majątek, ogarnęła go chęć pozbycia się wszystkiego, ażeby wyłącznie żyć w Bogu i dla Boga. Mówił o swych zamiarach z pewnym bardzo bogobojnym chrześcianinem, a ten mu rzekł:

— Jeżeli zostawisz majętność dzieciom twoim, nie popełnisz nic złego, ale rozdając bogactwa swe ubogim a powierzając córki twe łasce Opatrzności spełnisz czyn istotnie bohaterski, albowiem Zbawiciel powiedział:

Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj, co masz i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie.

Naturalnie, że należy w danym razie oględnie stosować się do tej rady i rozumieć pod temi słowami, że Chrystus pragnął, aby nie przywiązywano się zbytnio do rzeczy ziemskich ale nie wymagał od wszystkich wyzbywania się swojej własności.

Aureli jednak pragnący koniecznie wynagrodzić błędy przeszłości, a mianowicie dawniejszą obojętność dla spraw Bożych, postanowił osiągnąć heroicznymi czynami najwyższą doskonałość, sprzedał więc wszystko co posiadał i odtąd oboje z Natalją żyli w zupełnem ubóstwie, nawiedzając chorych i więźniów, pielgrzymkami do miejsc świętych i odwiedzinami klasztorów umacniając się w wierze i rozmyślając ustawicznie o naukach ewangelicznych.

Właśnie w tym czasie nastąpiło poznanie się świątobliwych małżonków z diakonem jerozolimskim, Grzegorzem.

Zupełnie tak samo jak Aureli i Natalja postępowali Feliks i Lilioza, oddani całą duszą modlitwie i dobrym uczynkom oraz ćwiczeniom pokutnym.

Prześladowania wyznawców Chrystusowych.

Od czasu zapoznania się z diakonem Grzegorzem wszyscy razem pałali żądzą oddania życia za wiarę; nie trwożyły ich pogróżki muzułmanów, przeciwnie nawet gotowi byli szukać sposobności do jawnego wyznawania wiary przez Maurów prześladowanej. Natalja i Lilioza umyśliły nie zakrywać odtąd twarzy, jak to jest we zwyczaju u kobiet na wschodzie; w Kordui panowały muzułmańskie obyczaje więc i chrześcianki bywały zakwefione w świątyniach i na ulicy.

Natychmiast Maurowie zauważyli to odróżnianie się chrześcianek idących ulicami miasta bez białego welonu na twarzy i jakiś z urzędników udał się do Aurelego i Feliksa z zapytaniem, co by to znaczyć miało?

Obaj wyznawcy Chrystusowi przyznali otwarcie, że tak samo jak ich małżonki nie uznają mahometańskich obyczajów, gdyż są całą duszą oddani wierze katolickiej i ją jedną za prawdziwie doskonałą uznają.

Tegoż dnia zawezwano ich dla badań przed sądem; Aureli zaledwie miał czas wstąpić do klasztoru, aby tam pożegnać zacnych Ojców i otrzymać ich błogosławieństwo, poczem wnet pod ścisłą strażą wyprowadzono pięcioro mężnych chrześcian z ich domostwa a żołnierze naigrawali się wiodąc przyszłych męczenników i mówiąc im:

— Chce się wam koniecznie cierpieć dla waszego Ukrzyżowanego, sędzia chętnie wam uczyni tę przysługę, a nawet wyrok śmierci jednem pociągnięciem pióra podpisze!

A tymczasem zarówno mężczyźni jak kobiety z tego szlachetnego grona gorliwych wyznawców Chrystusowych objawiali tak wielką radość, jak gdyby czekały ich największe rozkosze, co gniewało wielce mahometan, sądzili bowiem że udają tylko, nie wierząc w gruncie rzeczy, aby mogli być wkrótce straceni.

Grzegorz tylko oburzył się nagle i począł żołdakom wypominać że zaprzedali się w służbę diabelską, na co w odpowiedź otrzymał dotkliwe razy, rzucono go o ziemię i zbito niemiłosiernie.

Św. Natalja pochyliła się ku niemu i rzekła łagodnie:

— Odwagi, ojcze mój, odwagi. Podnieś się i dążmy razem.

— O tak, siostro, wszystko co tu nas spotyka przyczyni się do otrzymania nagrody w niebie. I to mówiąc powstał skrwawiony i poraniony, aby iść wraz z przyjaciółmi swymi stawać w obronie wiary przed pogańskim trybunałem.

Przed sądem. Namowy. Wyroki.

Sędzia przyjął uprzejmie obwinionych; znał Aurelego jako jednego z możnych obywateli miasta, więc począł przekładać mu niewłaściwość wyrzekania się majętności, słyszał już bowiem, że oddał wszystko ubogim. Następnie starał się skłonić chrześcian do uznania Mahometa, przyrzekając przebaczenie chwilowego obłędu i wynagrodzenia sowicie w razie odszczepieństwa.

Każdy z kolei odpowiadał sędziemu z głębokiem przekonaniem i żywą wiarą, że niczem są doczesne sprawy w obec przyszłego życia, przyszłej szczęśliwości; że utracenie jej dla marnych zysków byłoby zatraceniem własnej duszy, a śmierć dla Chrystusa uważają za największy zaszczyt na ziemi.

Sędzia maurytański wpadł w gniew widząc tak stały opór i kazał wtrącić wszystkich do ciemnicy. Włożono więźniom okowy, a oni śpiewali pieśni dziękczynne radując się, że Bóg uznał ich godnymi męczeństwa, dającego im nadzieję przyszłej chwały.

Święty Grzegorz, diakon, św. Aureli, św. Natalja, św Feliks i św. Lilioza umęczeni w Kordui.

W cudownych objawieniach widzieli drabinę prowadzącą do nieba, a głos z nieba mówił im:

— Oto droga, po której dojdziecie do mnie.

W więzieniu cały czas spędzali na modlitwie gotując się na śmierć.

Nazajutrz stawiono oskarżonych przed radnymi

miasta, ci grozili, starali się przekonywać, że niemasz wyższej mądrości nad zawarte w Koranie nauki Mahometa. Kiedy jednak przekonali się, że ani namową ani groźbą nic nie wskórają, wydali wyrok śmierci na czworo chrześcian oskarżonych o odstępstwo od mahometańskiej religji. Jednemu tylko Grzegorzowi chciano darować życie, ponieważ był przybyszem i nie uważano za konieczne znęcać się nad cudzoziemcem, który od młodu wyznawał wiarę Chrystusową.

Grzegorz jednak przeląkł się, zamiast radować się z tej łaski swych sędziów. Począł więc wymownie dowodzić, że Mahomet był wstrętnym oszustem, opętanym przez djabła, który chciał za jego pomocą wiele dusz do piekła wtrącić.

Tego było dosyć, aby rozgniewani sędziowie wnet piąty podpisali wyrok, skazując tak samo diakona Grzegorza z Jerozolimy, jak Aurelego i Feliksa z ich żonami na ścięcie.

Grzegorz wydał okrzyk radości dowiedziawszy się, że wraz ze swymi przyjaciółmi śmierć poniesie.

Katowanie św. Natalji. Śmierć śś. męczenników.

Nie długo kazano im czekać na męki. Podczas, gdy wiedziono gromadkę skazańców, mężna Natalja krzepiła ich serca, zwłaszcza starała się umocnić Aurelego, mówiąc mu:

— Bądź spokojny, jeszcze trochę cierpliwości i będziemy się wszyscy cieszyli wspólną chwałą w niebie. Zaliż może być śmierć chwalebniejsza, zaliż może być większe szczęście, jak umierać dla Jezusa, który sam oddał siebie dla nas na ofiarę!

Żołnierze otaczajacy więźniów usłyszawszy te słowa poczęli wołać zapalczywie:

— To ona, ta niewiasta przewrotna i szalona wpłynęła na męża, aby wyrzekł się wiary przodków; był mahometaninem, ona namówiła go na przyjęcie chrztu, a teraz ośmiela się jeszcze w obec wyznawców Proroka zachęcać Aurelego do położenia życia z radością dla Ukrzyżowanego!

Rzucano się z nienawiścią na św. Natalję szarpiąc na niej odzież, a potem schwyciwszy oburącz za włosy wlókł ją jeden ze zbirów aż na plac, gdzie miano im ściąć głowy i przez całą drogę bito ją, plwano i pastwiono się okrutnie nad niewinną ofiarą.

Dnia 27 lipca kaźniono wszystkich pięcioro po kolei.

Chrześcianie nie mogąc odrazu zabrać ciał męczenników przyszli nocą i poprzenosili ich do rozmaitych kościołów z czcią należną.

Ciało diakona Grzegorza i Aurelego pogrzebiono w klasztorze *Pergamelensis*, co znaczy Miodna skała.

Św. Aureli przepowiedział, że zwłoki jego spoczną w tym ustronnym klasztorze. Na trzy dni przed aresztowaniem modlił się tam właśnie w kościołku pod wezwaniem Zbawiciela.

Jedna z zakonnic miała objawienie, że Aureli wkrótce palmę męczeńską otrzyma.

— Bracie mój, rzekła w niedługim czasie będziesz umęczony za jawne wyznawanie naszej wiary. Zechciej nam pamiątkę jaką zostawić tu po sobie.

— Nic nie posiadam do ofiarowania wam, siostry moje w Chrystusie, odrzekł Aureli, ale blizki ten dzień, kiedy tu spocznie ciało moje, bo taką jest Wola Ojca niebieskiego.

Tak więc Kordua otrzymała patronów nowych w niebie, mężnych wyznawców Chrystusowych, którzy zasłużyli, aby ich wyniesiono na ołtarze. Imiona ich przeszły do potomności budząc zawsze cześć i uznanie dla heroicznej cnoty, a święte relikwje licznych cudów stały się przyczyną.

Dnia 25 lipca.

BŁOGOSŁ. KS. JAN MARJA VIANNEY

PROBOSZCZ Z ARS.

1786 † 1859.

Za rządów papieży: Piusa VI, VII, VIII, Leona XII, Grzegorza XVI.

O! jak wielką krzywdę wyrządzamy sobie zatracając duszę, która tyle boleści kosztowała Zbawiciela świata! Jak niewdzięczni jesteśmy, Jezus woła nas do siebie, a my od Niego uciekamy! Chce nas szczęśliwymi uczynić, a my szczęściem tem gardzimy! Domaga się serca naszego, a my Mu odmawiamy. Używamy na zagubę czasu użyczonego nam na zbawienie. Gdybyśmy przed popełnieniem grzechu spojrzeli na krzyż, usłyszelibyśmy nie zawodnie w głębi duszy te słowa Zbawiciela: „Czy i ty chcesz stanąć po stronie moich nieprzyjaciół?..“

Z kazań ks. J. M. Vianney'a.

Błog. ks. Vianney cieszył się za życia jeszcze wysokiem uznaniem; przedstawia on godny ze wszechmiar naśladowania przykład wzorowego kapłana, przynoszącego zaszczyt Kościołowi i całemu katolickiemu społeczeństwu.

Francja, która w ostatnich czasach tyle smutków przyczyniła Stolicy Apostolskiej wydawała niegdyś i wydaje dotąd ze swego łona czcigodnych i świątobliwych kapłanów, którzy w najtrudniejszych nawet warunkach, w obec prześladowań rządu i bezbożnych usiłowań nieprzyjaciół Kościoła umieli zachować pogodę ducha, z największą pokorą znosząc prześladowania, gorliwie strzegąc powierzonej sobie owczarni i nawracając zbłąkanych. Do takich właśnie należał błog. ks. Jan Marja Vianney, którego imie ze czcią każdy dziś powtarza.

Warto jest przyjrzyć się bliżej życiu tego wiernego sługi Bożego, kapłana, znającego swe podniosłe obowiązki i wypełniającego je do końca życia w sposób budzący podziw i uwielbienie.

Pierwsze lata. Bogobojna rodzina.

Jan Marja Vianney przyszedł na świat w dyecezji lionskiej w małej francuzkiej mieścinie Dardilly. Był on drugim z rzędu synem pobożnych rodziców Macieja i Marji Vianney'ów, a matka ofiarowała go w skrytości serca Bogu i Najśw. Pannie zanim jeszcze świat ujrzał, żywiąc nadzieję że kiedyś będzie gorliwym sługą ołtarza. Dano na chrzcie św. imie Jan Baptysta (Chrzciciel) Marja.

Istotnie imie poprzednika Chrystusowego wzywającego lud do pokuty odpowiedniem okazało się wielce dla ks. Vianney, gdyż i on także miał misję wielką do spełnienia, wzywał do pokuty i był *głosem wołającego* i przyzywającego całe zastępy do stóp Chrystusowych.

Ze czcią i miłością wspominał nieraz w późniejszych latach czcigodny proboszcz z Ars o matce swej, która dzieci nauczyła pierwszą myśl i serca ofiarować Bogu.

Do małego Jana mawiała bywało:

— Gdybym widziała, że obrażasz czemkolwiek Pana Boga więcej bym nad tobą bolała, niż nad każdem innem z moich dzieci.

O jakże matki powinny dbać o to, aby od najwcześniejszych lat zachęcać dzieci do pobożności, budzić w nich wstręt do grzechu, czuwać nieustannie, aby żadne złe ziarno nie padło na duszę nieukształtowaną.

— Pobożność, mawiał ks. Vianney z serca matek przechodzi do serca dzieci, gdyż drobne te istotki przedewszystkiem naśladują to, co widzą.

Pierwszy podarunek, który Jan Marja otrzymał od matki była to drewniana figura Najśw. Panny. Odtąd nierozstawał się już nigdy z tą drogą sercu pamiątką.

Ileż modlitw gorących płynęło z dziecinnego serduszka Jana, gdy zapatrzony w postać Bogarodzicy składał pobożnie drobne rączyny. Nigdy nie omieszkał odmówić *Zdrowaś Marja* usłyszawszy dzwon kościelny wzywający do modlitwy.

W długie zimowe wieczory siadał obok matki prosząc, by mu opowiadała o Bogu, o niebie, o narodzeniu Zbawiciela w stajence. Matkę Boską umiłował tak gorąco, że nabożeństwo do Niej stało się potrzebą jego duszy, udawał się do Niej w każdej potrzebie i z dniem każdym więcej był Jej oddany.

— Czy dawno już tak gorąco kochasz Najśw. Marję? zapytał go raz ksiądz katecheta.

— Kochałem już za nim znałem, odpowiedział chłopczyna.

Często zastawano go klęczącego przed obrazem Matki Boskiej, wówczas gdy inne dzieci bawiły się wesoło, a gdy miał lat cztery zniknął pewnego razu i szukano go po wszystkich kątach domu napróżno;

okazało się, że ukryty w stajence modli się tak żarliwie, że nawet nawoływań żadnych nie słyszy.

Największem szczęściem było dla niego przebywanie z matką w kościele i słuchania mszy św.

Ale Jan Marja nie miał jeszcze ośmiu lat skończonych, gdy nadeszły straszne czasy rewolucji; zamykano kościoły, mordowano księży, prześladowano religję katolicką z taką zawziętością, jakby za czasów pogańskich. Tym bardziej jednak w sercu młodocianem Jana budziła się miłość dla uciśnionego Kościoła i widząc okropne znieważanie świętości postanowił życie swe poświęcić dla wynagrodzenia krzywd Jezusowi i Najśw. Marji wyrządzanych.

Pastuszek. Nauki małego Jana.

W owych latach dziecinnych mały Janek zmuszony przyjmować udział w pracach rodzinnych pasł ojcowskie cztery krowy i trzy owieczki, oraz doglądał osiołka, rodzice bowiem nie byli na tyle zamożni, aby trzymać służbę i dziećmi posługiwać się musiano w potrzebie.

Nie pierwszy to, zaszczytnie znany następnie w dziejach Kościoła, mąż świątobliwy w młodocianych latach pasał trzody. Życie św. Paschalisa i tylu innych świadczy wymownie, jak owe wczesne obcowanie z naturą w duszach bogobojnych i cnotliwych rozwija podniosłe uczucia i zbliża niejako do Boga.

Jan Marja był dzieckiem osobliwem, to też towarzysze otaczali go wielkiem poważaniem, witali okrzykami radości, zasięgali jego rady, on zaś pomimo to nie był wcale zarozumiałym ale korzystał z okazywanej mu życzliwości wywierając wpływ zbawienny na otoczenie. Zbierał innych pastuszków przy pagórku, na którym stawiał ulubioną figurę Najśw. Panny i tam wspólnie odmawiano modlitwy, poczem wypowiadał rodzaj kazania zachęcając malców do ukochania całem sercem Jezusa i Najśw. Marji.

Dla wszystkich nieszczęśliwych miał ogromne współczucie, porywało go wszystko co jest piękne i szlachetne, nie dziw więc że młodzi i starsi kochali to dziecię ujmujące wszystkich swem uprzejmem obejściem, dobrocią i sercem pełnem zacnych i tkliwych uczuć.

Trzeba przyznać, że cała rodzina Vianney'ów z miłosierdzia była znaną; wiedzieli o tem nędzarze, dla których zawsze znalazł się w ubogim tym domku kęs chleba, nieraz żebraka zapraszano do wieczerzy, a mały Jan sprowadzał często wynędzniałe dzieciny wypraszając dla nich u matki starą odzież, oddawał im chętnie własny posiłek, a nigdy też nie omieszkał zapytać, czy umieją paciorek i tłumaczył tak pięknie, jak należy kochać Boga, nigdy na los swój nie wyrzekać, znosić cierpliwie co Bóg przeznaczy, że starsi z rozrzewnieniem przysłuchiwali się tym naukom Janka, wychwalając tak pięknie rozwijające się w nim uczucia religijne. Można sobie wyobrazić, jak rosło serce matczyne, słysząc oddawane synkowi pochwały i widząc jak rzucone przez nią ziarno dobre wydaje plony.

Prześladowania religijne podczas rewolucji francuzkiej. Pierwsza Komunja błog. Jana Vianney'a.

Z powodu przewrotów rewolucyjnych w całej Francji kościoły były pozamykane, nie liczni kapłani, cudem prawie ocaleni musieli kryć się i tajemnie tylko w domach prywatnych odważniejszych obywateli, lub w ustronnych miejscowościach sprawowali Świętą Ofiarę i udzielali Sakramentów.

Kiedy nakoniec uciszyło się nieco w kraju i wolno było wznowić katechizowanie młodzieży, garnęli się ochotnie wszyscy spragnieni słowa Bożego do świątyń Pańskich, a rodzina Vianney'ów ze szczególną radością witała te szczęśliwsze czasy.

Raz pewien kapłan uderzony miłym wyrazem twarzy małego Janka zapytał go ile lat liczy?

— Mam już lat jedenaście, odpowiedział.

— A kiedy przystępowałeś do spowiedzi? badał ksiądz dalej.

— Nigdy jeszcze! odrzekł chłopczyna ze smutkiem.

Ksiądz zajął się wnet umieszczeniem Janka w mieście, gdzie odbywały się przygotowania do pierwszej Komunji i powierzył chłopca troskliwej opiece zakonnic.

Siostry były zachwycone pobożnością i pojętnością małego Vianney'a gdyż ten skromny pastuszek okazał się lepiej od innych dzieci przygotowanym do przyjęcia Jezusa Eucharystycznego.

Od czasu pierwszej Komunji Janek podwoił jeszcze swą gorliwość; w głębi duszy, jak w Przybytku żywym składał Bogu nieustanny hołd i dziękczynienia.

Z wielkim zapałem wykładał innym dzieciom katechizm i uczył ich odmawiać różaniec.

W wolnych od zajęć chwilach ulubioną jego rozrywką było lepienie z gliny figur świętych, lub też księży, zakonników, świeczników, ołtarzy. Przy każdem zajęciu myśl zwracał do Boga, a kiedy czasem wraz z bratem starszym Franciszkiem uprawiał rolę czynił też zarazem bardzo trafne spostrzeżenia.

„Trzeba tak samo jak rolę uprawiać również duszę własną, rozumował, trzeba oczyszczać ją z chwastów i kąkolu i czynić sposobną do przyjęcia dobrego siewu".

Bł. Jan Marja pod przewodnictwem ks. Balley'a. Pielgrzymka do grobu św. Franciszka. Służba wojskowa. Ucieczka.

Parafja Vianney'ów była w mieście Ecully, gdzie zamianowano proboszczem ks. Balley'a zac-

nego wielce kapłana, który pomimo grożących mu niebezpieczeństw przetrwał we Francji lata rewolucyjnych przewrotów, a teraz pod opieką nowego rządu (za czasów konsula Napoleona) zostawszy proboszczem zaraz zakrzątnął się dla zaprowadzenia porządku w parafji. Założył szkołę duchowną, rodzaj seminarjum, umacniał wiernych, wyszukiwał troskliwie młodzieńców okazujących powołanie do stanu duchownego, ponieważ brak księży dotkliwie uczuć się dawał. Ów ksiądz Balley ogromnie polubił Jana Vianney'a, przeczuwając w nim przyszłą chlubę kraju i społeczeństwa.

Częste obcowanie ze światłym proboszczem bardzo dobrze wpłynęło na młodociany umysł Jana i utwierdziło go w zamiarze, który już wcześniej powziął, oddania się na usługi ołtarza.

Jan Marja był bardzo wymagającym od siebie, martwiło go więc, że mając sposobność korzystanie z nauk, czytania pożytecznych książek, nauczenia się łaciny, nie dość jednak szybkie czynił postępy. Brak pamięci był mu przeszkodą trudną do zwalczenia. Ale wytrwały młodzian postanowił zwyciężyć wszystko i z pomocą Bożą dojść do upragnionego celu.

Umyślił więc odbyć pielgrzymkę do grobu św. Franciszka Regiusza, apostoła tej prowincji. Poszedł sam o żebranym chlebie, czyniąc tę ofiarę w nadziei ubłagania sobie wstawiennictwa świętego u Boga, aby mu dał zdolności i pomoc w naukach.

Podróż ta była dla Jana ogromnie uciążliwą, musiał znieść wiele obelg, podejrzywano go, że jest włóczęgą i złodziejem, drzwi mu zamykając przed nosem, jednem słowem zaznał wiele biedy, ale koniec końców ślubu dotrzymał, u grobu świętego gorliwie się modlił i po powrocie z nowym zapałem wziąwszy się do pracy począł nagle zadziwiające postępy czynić w naukach.

Kilka lat przebył bł. Jan Marja w Ecully, gdzie umieszczono go u krewnej Vianney'ów Małgorzaty Tayolle. Jan prosił ciotkę, by przyrządzała mu najskromniejsze potrawy bez mleka i masła, bo postanowił sobie zachowywać przez całe życie nadzyczajną wstrzemięźliwość w jadle i unikać tych właśnie przypraw, które najwięcej lubił. Miłosiernym był zawsze po dawnemu, oddawał co mógł ubogim, a nieraz nawet więcej niż mógł. I tak np. widząc bosego żebraka darował mu nowe swe buty, za co od ojca dostał porządną burę, bo chociaż pobożnym był stary Maciej Vianney i litościwe miał serce, nazwał czyn syna marnotrawstwem.

Ksiądz Balley czuwał nieustannie nad swym ulubieńcem i zawsze Jana Vianney'a wyróżniał, bo istotnie młodzieniec ten był wyjątkowo zacny i chlubą był szkoły.

Proboszcz zawczasu też czynił starania dla uwolnienia Jana od powinności wojskowej i zapisał go do liczby przyszłych kapłanów, aby w ten sposób nie wzywano Jana i nieprzerywano jego nauki. Dziwnym trafem przeoczono jednak to podanie i gdy przyszedł czas oznaczony kazano mu stawić się do wojska. Stary Vianney bardzo przyjął to do serca i gotów był opłacić drogo zastępcę, byle synowi nie trzeba było służyć w armji.

Wszystko jednak na nic się nie zdało, pomimo że Jan ciężko się rozchorował ze zmartwienia zabrano go szpitala wojennego do Lionu.

Był to dzień pamiętny w życiu Jana dnia 28 października 1809 r.

Zaledwie troche przyszedł do siebie wyprawiono go do innego miasta, gdzie znów znużony trudami podróży, a nie zupełnie jeszcze wyleczony ciężko zaniemógł. Pielęgnowały go w szpitalu Siostry Augustjanki, podziwiając wielką pobożność Vianney'a i jego pokorne zgadzanie się z Wolą Opatrzności.

W dzień wymarszu wojska do Bayonny, kiedy uznano że nowo zaciężny żołnierz jest już w możności odbyć tę podróż, błog. Jan Marja udał się do kościoła i tam zatopiony w modlitwie zapomniał zupełnie o całym świecie.

Przeraził się widząc, że już oddział wyruszył a kapitan Blanchard podejrzywając żołnierza o opieszałość ofuknął go grożąc wysłaniem go w okowach pod strażą jak zbiega, Musiał więc Jan Marja osłabiony i wycieńczony wlec się samotnie za innymi drogą wiodącą do Bayonny.

Smutne myśli dręczyły go w tej drodze. Wstręt czuł do żołnierskiego zawodu, sława zwycięztw wielkiego Napoleona nie olśniewała go wcale, przeciwnie rozpacz go ogarniała na myśl, iż tyle krwi niewinnej przelewa ten władca ambitny, żądzą sławy ziemskiej oślepiony.

Ponieważ Napoleon nie liczył się wcale z ludzkiem życiem, i tysiące rodzin opłakiwało z jego przyczyny stratę najbliższych, bardzo wielu młodzieńców uchylało się od wojskowej powinności i ratowało się ucieczką, za co znów najcięższe spadały na nich kary.

Idąc gościńcem spotkał Jan jakiegoś wędrowca, który dążąc z nim razem dowiedział się o strapieniach młodego żołnierza i groźbach srogiego kapitana. Uprzejmie ujął worek Vianney'a, aby ulżyć choremu i zawiódł go nad wieczorem do ustronnego domostwa a powierzywszy opiece jakichś poczciwych ludzi sam znikł bez śladu.

Gościnni gospodarze serdecznie się zajęli losem Jana i z ich pomocą dostał się do wioski Noes, gdzie mógł bezpiecznie przebywać, bo wójt gminy wziął go pod swoją opiekę.

Tam wśród zacnych ludzi przebył błog. Jan Marja czas dość długi, wywdzięczając się dobroczyńcom uczeniem ich dzieci. W domu zacnej

matki Fayot, dla której późniejszy proboszcz z Ars dozgonną wdzięczność zachował, zbierały się wiejskie dzieci na naukę, a starsi również chętnie z wykładów Vianney'a korzystali. Pokochano go tak w tej cichej wioszczynie, że jakby skarbu najdroższego strzeżono, ukrywając przed okiem żandarmów szukających pilnie dezerterów czyli zbiegłych żołnierzy. Bolało tylko wielce Jana, że rodzice jego musieli znosić ustawiczne prześladowania władzy, domagającej się od nich wskazania miejsca pobytu ich syna.

Matka Fayot podjęła się uprzejmie zawiadomienia osobiście starych Vianney'ów, gdzie się Jan znajduje, bo za pomocą listów uczynić tego nie można było. Odtąd udało się znaleść bezpieczną drogę dla wzajemnego porozumienia. Następnie młodszy brat Jana wstąpił do wojska i w ten sposób starszy został zupełnie uwolniony i nie miał już potrzeby ukrywać się dłużej.

Mieszkańcy Noes przyjęli tę wieść z radością, a chcąc okazać Janowi swą życzliwość sprawili mu odzież i nawet sutannę, jako przyszłemu kapłanowi.

Serdecznie, ze łzami żalu żegnany opuszczał Jan swych przyjaciół, aby znów powrócić do rodziny, a następnie kształcić się dalej pod kierunkiem księdza Balley'a.

Po tych radośnych wzruszeniach spadł na młodego Jana cios ciężki, gdyż w tym czasie zmarła matka jego ukochana. Z poddaniem się Woli Bożej przyjął pobożny młodzieniec dotkliwą stratę i coraz więcej oddany pracy nad duchowem udoskonaleniem myślał już tylko o tej upragnionej chwili, kiedy mu Bóg dopomoże otrzymać święcenia kapłańskie.

Pobyt w seminarjum. Kapłańskie święcenia. Wikary z Ecully.

Ks. Balley umieścił teraz Jana w niższem seminarjum w Verriére, bo uważał że życie wspólne zbawiennie oddziaływa na młodzież gotującą się do stanu duchownego. W seminarjum tem panował duch pobożności, wielka była karność i dobór nauczycieli wzorowy.

Z początku obcym się czuł skromny młodzieniec w tem nowem otoczeniu. Towarzysze na razie nie ocenili go należycie i musiał znosić wiele drobnych, codziennych przykrości za nim przełożeni i koledzy powzięli o nim zupełnie inne mniemanie. Wkrótce zauważono jednak jak wysokie Jan Vianney posiada zalety i stawiono go za przykład nowo wstępującym do seminarjum.

Z tego powodu niektórzy współtowarzysze poczęli zazdrościć Janowi zasłużonego ze wszech miar uznania, jeden zwłaszcza okazywał mu jawną niechęć i pewnego razu posunął do tego stopnia swe zuchwalstwo, że uderzył Vianney'a. W obec tej czynnej obrazy zachował Jan zwykły swój spokój i pogodę, a zamiast oburzenia dał dowód zadziwiającej pokory, ukląkł bowiem przed prześladowcą prosząc o przebaczenie, jeżeli w czem zawinił.

Postępek ten zjednał mu we wrogu najlepszego przyjaciela, bo ów młodzieniec żałując swej zapalczywości starał się wynagrodzić wszelkimi sposobami krzywdy Janowi wyrządzone.

Tegoż samego roku 1813 w lipcu ukończył Jan Marja Vianney filozofję w Verriére i powróciwszy znów do ks. Balley'a przechodził kurs teologji. Nauka ta dążąca do poznania Boga i prawd najwyższych ogromnie przemawiała do duszy czcigodnego Jana Marji. To też przy pomocy światłego kierownika przygotował się w ciągu dwóch lat do złożenia egzaminu w wyższem seminarjum w Lionie. Egzamin wypadł pomyślnie; jako alumn wzrastał Jan coraz bardziej w pokorę, słodycz, pobożność i coraz usilniej pracował, by życie swe uczynić zgodnem z powołaniem.

Gdy się zbliżył czas święceń kapłańskich przełożeni pilnie badali i rozważali których alumnów przypuścić do tej godności.

Co do Vianney'a dzieliły się zdania, ale ks. Balley przybył i poparł swego ulubieńca, bo nikt lepiej od niego nie znał głębi tej czystej, gołębiej duszy.

Dnia 2 lipca 1814 r. wyświęcono Jana Marję Vianney'a na subdiakona, następnego roku na diakona, a w sześć miesięcy później uznano godnym święceń kapłańskich.

Łzy wzruszenia spływały po jego twarzy, gdy po raz pierwszy stanął na stopniach ołtarza dla sprawowania Świętej Ofiary. Oblicze jego jaśniało radością nadziemską, dusza oddawała się Bogu niepodzielnie.

Ks. Vianney, otrzymał święcenia d. 9 sierpnia 1815 r. w dwudziestym dziewiątym roku życia. Ks. Balley wnet począł czynić starania u władzy duchownej o naznaczenie go wikarym w Ecully, co też wkrótce nastąpiło. W ten sposób błog. Jan miał być w dalszym ciągu pod ojcowską opieką swego zacnego dobroczyńcy, a wspierany jego radami dopomagał w rządzeniu parafją.

Nowy wikary odrazu zjednał sobie życzliwość i uznanie, znano go bowiem tu od lat wielu, a pobożność jego wzbudzała cześć i zaufanie. Tłumnie ciśnięto się do konfesjonału, w którym ksiądz Jan z łagodnością i wyrozumiałością udzielał penitentom zbawienne nauki i dawał rozgrzeszenie. Zwłaszcza ubodzy uwielbiali księdza wikarego, dla nich jego ręka i serce nigdy niebyły zamknięte.

Na pierwsze wezwanie biegł do łoża chorego, słuchał cierpliwie i pocieszał; dla siebie był tak oszczędnym w wydatkach, że nieraz robiono mu

uwagę aby sobie nową sporządził sutanę, on zaś uśmiechał się dobrotliwie i mówił:

— Później, później i ta jeszcze posłuży!

Każdy bowiem grosz ofiarował potrzebującym. Życie dwóch przykładnych kapłanów na probostwie w Ecully było nadzwyczaj regularne. Co miesiąc poświęcali dzień jeden na rekolekcje a raz na rok odbywali ćwiczenia duchowne, wzajemnie zagrzewając się ustawicznie w miłości Bożej i prześcigając w zadawaniu sobie nowych umartwień.

Dwa lata takiego życia w spokoju i ciszy a jednak pełnego podniosłych wrażeń pozostawiło w sercu czcig. Jana Marji niezatarte nigdy wspomnienie. Będąc następnie proboszczem w Ars często myślą zwracał się ku tym czasom i z rozrzewnieniem opowiadał o cnotach ks. Balley'a przemilczając skromnie o swoich własnych, które nieustępowały w niczem a częstokroć z pewnością przewyższały zasługi mistrza. Ks. Balley począł zapadać na zdrowiu czuł, że już godzina jego się zbliża i gotował się do uroczystej chwili. Nieraz długie z ks. Vianneyem wiedli rozmowy, myśl wciąż zwracając ku niebiańskiej ojczyźnie. Po śmierci proboszcza wszyscy parafianie pragnęli, aby ks. Jan go zastąpił, ale on tak był małego o sobie mniemania, że nie chciał się na to zgodzić.

W parę miesięcy potem ksiądz Courbon, administrator dyecezji, wręczył ks. Janowi nominację na proboszcza w Ars, mówiąc:

— W parafji tej zagasł prawie ogień miłości Bożej, idź i roznieć go!

Na takie wezwanie świątobliwy kapłan pośpieszył niezwłocznie, czuł bowiem, że będzie miał wiele rudu i przykrości do zniesienia, a to właśnie pociągało go i zachęcało. Odtąd rozpoczyna się jego apostolska działalność, praca cicha, wytrwała, pełna poświęcenia.

Ks. Vianney obejmuje parafję w Ars. Założenie Bractwa i zaprowadzenie Nieustającej Adoracji.

Ars jest to mała wioseczka, (dziś należąca do dyecezji selejskiej, w owym czasie zaś do arcydyecezji lionskiej).

Ks. Vianney przybył tam na początku Wielkiego Postu 9 lutego 1818 r. Wędrówkę odbył prawdziwie po apostolsku, pieszo, nie mając żadnych ruchomości ani nawet grosza jednego w kieszeni, bo spuściznę pozostawioną sobie przez ks. Balleya rozdał pomiędzy ubogich.

Pozostawił po sobie żal szczery i dawni parafjanie przybywali do niego stanowiąc żywe świadectwo najlepszego wspomnienia, jakie po sobie zostawił.

Mieszkańcy wioski z początku nie ufnie odnosili się do nowego proboszcza, nie posiadał on błyskotliwych zalet umysłu niektórych francuzkich kapłanów, odznaczających się wymownością i wywornem obejściem. Ks. Vianney był cichy, sposób bycia miał niezmiernie prosty, wrodzona nieśmiałość czyniła go niekiedy niezręcznym i niepewnym siebie. Ale widząc jaką czcią otaczają go dawniejsi parafjanie, a zwłaszcza zauważywszy przykładne zachowanie się jego przy ołtarzu lud tamtejszy począł się garnąć do swego proboszcza, mówiono pomiędzy sobą:

— Jaki on pobożny, jak się gorąco modli. To niezwykły człowiek; jakiegoś świętego kapłana nam przysłali!..

Jeżeli kto szukał proboszcza napewno zawsze znajdował go w kościele, przychodził o świcie a odchodził nieraz dopiero, gdy na *„Anioł Pański“* wieczorem dzwoniono. Długie godziny klęczał zwykle przed Przybytkiem, wcale się nie troszcząc o urządzenie mieszkania na probostwie, to też skromne izdebki ogołocone były ze wszystkiego, co do wygody służy, ubóstwo tam było zupełne ale ks. Vianney głęboko czuł tę prawdę, że człowiek jest przechodniem na ziemi, że nasza prawdziwa ojczyzna jest w niebie i wszystkie siły swe należy spożytkować, aby jej nie utracić.

Parafja w Ars znajdowała się istotnie w bardzo opłakanym stanie i słusznie uprzedzał ks. Courbon, że ogień miłości Bożej trzeba tam rozniecać na nowo. Oziębłość i obojętność dla spraw religijnych bolała wielce czcigodnego ks. Vianneya, nikt tam nie myślał o dusznem zbawieniu, zajmowano się za to zabawami, uciechami, w święta przed karczmą, lub na placu przed kościołem tańczono do upadłego przy oddźwiękach wiejskiej kapeli zamiast iść do Domu Bożego. Nowy proboszcz nie poprzestał na głoszeniu słów ewangelicznych z ambony ale korzystał z każdej sposobności, ażeby dobry wpływ na zobojętniałych wywierać. Odwiedzał często swych parafjan, starał się wyrozumieć ich sposób myślenia, dzielił ich smutki i radości. Mówił im o powinnościach względem Boga i bliźnich, a w naukach jego, z głębi czystej duszy płynących tkwiła moc jakaś, której się trudno oprzeć było. Miłosierdzie jego nie miało granic. Wielce pomocną okazała się w danym razie bogobojna i zacna właścicielka starego zamczyska, hrabianka d'Ars. Była już w podeszłym wieku, słynęła z dobroczynności a rozporządzając znacznym majątkiem wszystkie prawie dochody używała na miłosierne uczynki. Odrazu oceniła ona zasługi skromnego kapłana i wyraziła się o nim w kilka dni po jego przybyciu do Ars:

— Proboszcz nasz przy ołtarzu wygląda, jak anioł z nieba; jako kaznodzieja nie odznacza się świetną wymową, ale pełen jest ducha Bożego. Obyż Bóg nam go jak najdłużej zachował, bo zastąpić go byłoby niezmiernie trudno.

Ks. Vianney starał się usilnie zaprowadzić Nieustającą Adorację w swoim kościołku; z początku zdawało się to rzeczą trudną do uskutecznienia, z powodu braku ludzi dostatecznie duchowo do tego usposobionych.

Ale następnie oprócz hrabianki d'Ars znalazło się jeszcze kilka osób, które wniknąwszy w myśl proboszcza pomogły mu do jej uskutecznienia i kościół stojący dawniej pustkami miał teraz grono pobożnych nieustannie adorujących Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie. Adoracja zaczynała się mszą św., a kończyła wspólnym wieczornym pacierzem z różańcem, pod przewodnictwem proboszcza. Straż honorowa z początku nieliczna coraz się pomnażała dzięki gorącym zachętom czcig. ks. Vianneya. Drugi cel jego usiłowań było nakłanianie parafjan do częstego przystępowania do Sakramentów św. Podzielał on zdanie ŚŚ. Pańskich, że ten chleb powszedni, o który prosimy w *Ojcze nasz*, jest to właśnie Eucharystja św. Powtarzał za św. Janem Chryzostomem: „Częste przystępowanie do Stołu Pańskiego nie jest zuchwalstwem ale zuchwalstwem jest chociażby raz w życiu przystępować niegodnie.“ Komunja św. jest podstawą i fundamentem życia chrześcijańskiego, to też czcigodny proboszcz z Ars zapaliwszy w sercach ludu miłość i pragnienie anielskiego chleba dokonał wielkiego dzieła zupełnego odrodzenia parafji. Dla większego jeszcze podniesienia ducha pobożności założył Bractwo różańcowe i Bractwo Najśw. Sakramentu.

Przeobrażenie parafji nie nastąpiło nagle łaska bowiem działa powoli ale za to zbawienie. Młode dziewczęta, które z początku nie przychodziły wcale na wieczorne nabożeństwo, zasmucając tem serce troskliwego plebana, zapisały się potem wszystkie do Bractwa różańcowego.

Bardzo ochotnie zbierały się też w ogródku proboszcza dla śpiewania pieśni nabożnych i czytania życia świętych. Tak samo pomyślnie rozwijało się Bractwo Najśw. Sakramentu. Najzamożniejsi ojcowie rodzin dali przykład, za nimi poszli inni.

Brat hrabianki d'Ars przybywszy do niej w gościnę i poznawszy ks. Vianney'a był zdumiony i zachwycony tem wszystkiem, co w parafji dokonał i postanowił zrobić co tylko się da, aby proboszcza w jego zacnych usiłowaniach podtrzymać.

Ks. Vianey wyplenia zbytnie rozmiłowanie w zabawach. Odnowienie Kościoła. Pielgrzymka pod przewodnictwem proboszcza z Ars.

Łagodność i wyrozumiałość ks. Vianney jednała mu niezmiernie wszystkie serca. Nigdy nie działał surowością, a broń, którą sobie obrał bez porównania była skuteczniejszą niż gniew i ostre wymówki. Niewinną zda się uciechą dla młodzieży jest taniec ale parafjanie czcig. ks. Jana wpadali w zupełny szał przy lada okazji do zabawy. I tak np. w dzień uroczystości parafjalnej, przeznaczonej dla uczczenia św. patrona ludność miejscowa urządzała zwykle hałaśliwe uczty z tańcami trwające nieraz dni kilka. Ksiądz proboszcz przemawiał do swych owieczek w te słowa:

— Pamiętacie co powiedział Zbawiciel? Nie mówił On: błogosławieni, którzy bawią się i śmieją, ale którzy płaczą i cierpią.—I wyrzucał parafjanom swym lekkomyślność tłumacząc jak bezmyślnie czas trwonią.

Kiedy nadszedł dzień odpustu w Ars i znowu zapowiedziano doroczny bal na placu pod gołem niebem, proboszcz ze smutkiem patrzył na te przygotowania. Ale wkrótce czekała go miła niespodzianka. Wszystkie dziewczęta należące do Bractwa różańcowego postanowiły nie brać udziału w zabawie a wieczorem za ich przykładem większa część zebranych ze wsi i z okolicy udała się przykładnie do kościoła.

Od tego czasu w dzień parafjalnego święta nie urządzano hucznych tanów, a dzień ten obchodzono prawdziwie po chrześcijańsku. Mężczyźni przestali uczęszczać do szynków, ustało pijaństwo i bójki, zapanował ład i porządek w całej wiosce. Zwaśnieni zdawali się na sąd proboszcza, który zawsze stawał po stronie uciśnionych.

Święcenie niedzieli nie było też przedtem ściśle przestrzegane; ks. Vianney potrafił skłonić parafjan, aby nigdy nie pracowali w polu w tym dniu, który Bóg sam na wypoczynek przeznaczył.

Opuszczony kościołek zupełnie inny miał teraz wygląd. Czcig. proboszcz, który nigdy nic dla siebie nie żądał, bo miłował święte ubóstwo, dla Jezusa Utajonego pragnął blasku i okazałości.

— Jak można, — mówił, — nie oddać Panu Jezusowi rzeczy chociażby najcenniejszej, okazywać się skąpym dla Tego, który tak hojnym jest dla nas, że Krew Swoją Przenajświętszą przelał do ostatniej kropli na Krzyżu i Samego Siebie oddaje nam w Eucharystji św.

Kościół więc za staraniem proboszcza został gruntownie odnowiony, rozszerzony i przyozdobiony.

Hrabia d'Ars ze swej strony pośpieszył przysłać z Paryża wiele cennych przyborów kościelnych a wdzięczny za te dary ks. Vianney odprawił wraz z parafjanami pielgrzymkę dziękczynną do cudownego obrazu Najśw. Panny w Fonrriere. Pielgrzymka ta pod przewodnictwem czcig. ks. Vianney odbyta bardzo zbawienny wpływ na parafjan wywarła. Wielu doświadczyło łask niezwykłych i duch pobożności wzrósł znacznie; proboszcz z Ars w duchu proroczym widział już podówczas przyszłą chwałę

swej wioski. Kiedyś na schyłku życia wspominając te chwile, powiedział ze wzruszeniem:

— Raz w życiu byłem prorokiem.

Nie chciał jednak rozwodzić się o tem, gdyż skromnością wiedziony, bał się, aby go o chełpliwość nie posądzono.

Podczas budowy kaplicy św. Jana zabrakło raz proboszczowi pieniędzy na zapłacenie robotników. Poszedł w pole strapiony, z nieodstępnym swym różańcem w ręku. Nagle jakiś jeździec nieznany zapytał go o powód smutku.

Zdziwiony tem pytaniem ks. Vianney opowiedział szczerze o swych kłopotach, bo mu żal było zatrzymywać płacę robotnikom, a nie miał sposobu zaradzenia temu na razie.

Błog. ks. Jan Marja Vianney z Ars.

Wzniesienie kaplic. Pomoc Opatrznościowa. Misja w Trevoux.

Rozszerzając kościół ks. Vianney czynił to w sposób umiejętny i pięć ołtarzy wzniesionych w kościele w Ars przedstawiają niejako w sposób symboliczny drogę pobożnym pielgrzymom, po której postępując mają dojść do życia świątobliwego i do ukojenia cierpień duszy i ciała.

Pierwszy z nich poświęcił czcig. ks. Jan patronowi swemu, Janowi Chrzcicielowi. Powiadają, że pewnego razu ukazał mu się ten święty przyrzekając gorliwemu słudze Bożemu wyjednanie u Boga nawrócenia wielu grzeszników.

Jeździec, jak gdyby wiedząc jakiej sumy proboszcz potrzebuje wręczył mu ją dodając tylko:

— Polecam się waszym modlitwom, poczem zniknął tak szybko, że zdumiony hojnym darem proboszcz nie mógł nawet podziękować nieznanemu dobroczyńcy.

Nieraz jeszcze w życiu błog. Vianney'a zdarzały się takie wypadki Opatrznościowej prawdziwie pomocy.

Poświęcenie kaplicy św. Jana odbyło się przy niesłychanym napływie ludności okolicznej.

Kaplica ta stała się najulubieńszem miejscem modlitwy świątobliwego kapłana, w niej spełniło się najwięcej cudów miłosierdzia Bożego.

Następnie ks. Vianney wzniół ołtarz św. Filomenie, której cześć od niedawna dopiero we Francji szerzyć się zaczęła, gdyż w 1802 r. natrafiono na grób jej na cmentarzu św. Pryscylli w Rzymie. Cuda przy relikwiach tej świętej dokonane przyczyniły się do rozgłoszenia jej chwały. Zawsze też błog. Vianney wszystkie łaski za swem pośrednictwem u Boga uproszone przypisywał św. Filomenie, do której miał wielkie nabożeństwo.

Następne ołtarze poświęcone były św. Michałowi archaniołowi i aniołom, Najświętszej Pannie i *Ecce Homo*, w której Chrystus naturalnej wielkości, ubiczowany, okryty ranami i cierniem ukoronowany przejmował serca najżywszą boleścią.

Żarliwość proboszcza z Ars nie ograniczała się na własnej parafji, przyjmował on skwapliwie wezwania okolicznych plebanów, gdy go prosili o zastępstwo w razie choroby lub nieobecności.

Pamiętną się stała z powodu zbawiennych skutków misja OO. Kartuzów w Trevoux, w 1823 r. w której to misji ks. Vianney czynny przyjmował udział. Konfesjonał jego był przez cały czas trwania misji w prawdziwem oblężeniu i gorliwy kapłan omdlewał prawie ze znużenia, trwając wciąż jednak na stanowisku.

Zwierzchność duchowna widząc niestrudzoną, a tak owocną pracę ks. Vianney'a ofiarowała mu posadę odpowiedniejszą jego żarliwości, gdyż Ars przedstawiało istotnie zbyt małe pole działania licząc tylko dwustu parafjan.

Na wieść o możebności odjazdu umiłowanego proboszcza, parafjanie podnieśli wielki lament i błagali, aby wśród nich pozostał.

Napróżno tłumaczył im, że woli własnej mieć nie chce, że gdziekolwiek Bóg go umieści zadowolonym będzie, posłuszny Jego zrządzeniu, dokładano wszakże starań, aby proboszcza zatrzymać.

Widocznie Opatrzność także chciała go widzieć w dalszym ciągu na tem stanowisku, bo kiedy nadszedł czas odjazdu rzeka Saona tak wezbrała, że trzeba było podróż odłożyć.

Tymczasem kilku wpływowych parafjan wybrało się do arcybiskupa i uprosiło, że im proboszcza pozostawił. Zapanowała z tego powodu ogólna radość, wszyscy uważali to za cud prawdziwy i przyrzekali sobie zupełną zmianę życia na lepsze, dziękując Bogu że im zesłał tak zacnego kierownika i pozwala nadal pozostawać pod jego dobroczynnym wpływem.

Zakład wychowawczy pod wezwaniem Opatrzności założony przez proboszcza z Ars.

Ks. Vianney był jednym z tych wyjątkowych ludzi, o których można by powiedzieć według Pisma św. Przeszedł dobrze czyniąc. Ponieważ prawdziwe umiłowanie Boga idzie zawsze w parze z miłością bliźniego, im więcej czcig. proboszcz z Ars wpatrywał się we wzór Boskiego Mistrza, tem więcej kochał cierpiącą ludzkość, ubogich, chorych i dzieci; w czystych duszyczkach dziecięcych siał zdrowe ziarno i z upodobaniem patrzył, jak wschodziło i rozwijało się Bogu i ludziom na pożytek.

Oddawna już nosił się ks. Vianney z myślą założenia schronienia dla ubogich dziewcząt. Licząc przedewszystkiem na miłosierdzie Boże przystąpił do tego dzieła; jako fundament posłużył mu spadek otrzymany po śmierci ojca.

Ten zakład wychowawczy pod wezwaniem Opatrzności stał się następnie wzorem dla wielu jemu podobnych, założonych w całej Francji. Pozostawał pod opieką dzielnej Katarzyny Lassagne i Benedykty Lardet, które oddane przez proboszcza z Ars na praktykę do zakonnic, nauczyły się tam kierować wychowaniem dziewcząt, uczyły ich czytać, pisać, wszelkich robót kobiecych oraz wzbogacać młodociane umysły myślami pobożnemi i uczuciami szlachetnemi.

Ubogo było w tym domu Opatrzności, sypiano na słomie, jadano chleb czarny, ale za to wychowanki kształciły duszę i serce a pobyt w tych warunkach zapewniał ich szczęście w przyszłości a także pomyślność rodzin, na których czele miały stanąć kiedyś. Panowała tam swoboda umysłu, zdanie się zupełnie na Opatrzność, ufność w Bogu nieograniczona.

Niedziele i czwartki poświęcone były adoracji Najśw. Sakramentu. Proboszcz sam wykładał katechizm. Wykłady te przez lat trzydzieści zachwycały nie tylko miejscowych słuchaczy ale i licznych przybyszów z dalszych stron Francji, Belgji, Anglji i Niemiec. Ks. Vianney zwracając się niby do dzieci dawał zarazem starszym wyborny pokarm duchowy; każdy wychodził z tych konferencji przenikniony żalem i z sercem pełnem dobrych postanowień.

Ponieważ wydatki na utrzymanie były dość znaczne, dochody zaś wielce ograniczone, bywały chwile kiedy panował tam zupełny niedostatek. Nikomu jednak nie przychodziło do głowy uskarżać się lub sarkać na zbyt skromne pożywienie. Liczba pensjonarek nie była ściśle określoną, byleby biedna i bez opieki łatwy tam przystęp znalazła. Bywały przyjmowane nawet dziewczęta, które dzieciństwo spędziły na włóczędze lub w służbie u ludzi nie troszczących się o ich dusze.

Stosunkowo bardzo mało z pomiędzy nich okazało się niewdzięcznymi, gdyż dobry wpływ czcig. proboszcza z Ars prawdziwych dokonywał cudów. Wychowanki i po wyjściu z zakładu pozostawały pod opieką swych zacnych opiekunów,

umieszczano je zwykle w pobożnych rodzinach i w dalszym ciągu zajmowano się ich losem.

Opowiadają naoczni świadkowie kilkakrotne cudowne rozmnożenie się chlebów oraz innych zapasów żywności w domu Opatrzności, za przyczyną gorącej modlitwy błogosławionego ks. Vianney'a, to też coraz więcej rosła jego sława umiłowanego Bożego sługi.

Umartwienia błog. ks. Vianney'a. Chleb ubogich.

Świętość jest owocem ofiary, poświęcenia i nigdy nie zdarzyło się aby coś wielkiego powstało bez cierpienia. Ks. Vianney dążył ustawicznie drogą dusznego udoskonalenia, a nie tylko poskramianiem ale udręczaniem ciała dochodził do coraz wyższych szczebli uświęcenia własnej duszy.

Staruszka, wdowa Renard, znana z pobożności kobieta widząc jak proboszcz mało dba o siebie zaglądała niekiedy na plebanję, aby oczyszcić mieszkanie z kurzu, ponaprawiać zniszczoną odzież i temi drobnemi usługami wywdzięczyć się choć w części zacnemu kapłanowi za jego opiekę nad biednymi. Z boleścią serca patrzała nieraz, jak starannie przez nią pocerowana bielizna przechodziła w ręce ubogich, przemocą niekiedy starała się skłonić księdza proboszcza do spożycia jakiejś smacznej potrawy, bronił się zawsze energicznie dowodząc, że to są zbytki niedarowane.

Raz zastawszy porządnie zasłane łóżko i siennik świeżo słomą wypchany, zrzucił go na ziemię, sam zaś spał na gołych deskach. Ponieważ poczciwa Renardowa nie dawała za wygranę i kilkakrotnie ponawiała starania o wygodniejsze posłanie, czcigodny proboszcz darował swój siennik i materac jakiemuś biedakowi, sam zaś przeniósł się na strych, gdzie sypiał z głową opartą na kamieniu.

A oto jeszcze jeden szczegół z jego życia świadczący o umartwianiu się codziennem i zamiłowaniu do coraz nowej samoofiary.

Wyczytał czcig. ks. Vianney w życiu św. Franciszki rzymianki, że zwykłem jej pożywieniem był chleb czarny, suchy i spleśniały, który dostawała z torby żebraczej, kładąc natomiast nędzarzom białe i świeże chleby. Ogromnie podobała się błog. ks. Janowi taka praktyka i postanowił ją naśladować. Odtąd miał zawsze wór pełen wstrętnych sucharów, które spożywał z upodobaniem i nieraz innych żartobliwie zachęcał, aby przysmaków jego sprobowali.

— Weźcie udział w tej królewskiej uczcie, powiadał, sprobujcie tego chleba ubogich, których Pan Jezus przyjaciółmi swymi nazywa. Co do mnie wyobrażam sobie, że zasiadam u Jego stołu!

Kilka kartofli gotowanych uzupełniało tę ucztę proboszcza, popijał ją wodą, nigdy nie używając wina, chociaż we Francji jest ono ogólnie przez wszystkich uważane za nieodzowny dodatek przy stole.

Taka nadzwyczajna wstrzemięźliwość w jadle odbijała się niekorzystnie na zdrowiu wytrwałego dręczyciela własnego ciała. Niekiedy bywał tak osłabiony, że zaledwie mógł przejść przez kościół o własnej sile i głos mu w piersiach zamierał. Podczas kazania jednak mówił donośnie, twarz jego zwykle bardzo blada ożywiała się i jak gdyby innym zupełnie stawał się człowiekiem.

Kiedy go zapytano raz dlaczego modlitwy odmawia głosem przyciszonym a kazania wygłasza tak, jakby mówił do głuchych, uśmiechnął się łagodnie i rzekł:

— Bo z ambony przemawiam do ludzi często zaspanych i głuchych na głoszone nauki, a gdy się modlę mówię do Boga, który zawsze dobrze mię słyszy.

Kiedy chciał uprosić jaką szczególną łaskę np. nawrócenie grzesznika lub przeprowadzenia jakiegoś miłosiernego dzieła w parafji kilka dni z rzędu zupełnie się bez posiłku obywał, ten rodzaj umartwienia uważając za najskuteczniejszy środek przebłagania sprawiedliwości Bożej i zwalczenia szatana.

Niektórzy ludzie pomimo coraz więcej wzrastającej dokoła czci dla świątobliwego kapłana, uważali go za dziwaka posuwającego zamiłowanie ubóstwa i wstrzemięźliwość w jedzeniu do przesady.

Pewien duchowny słysząc nadzwyczajne pochwały oddawane proboszczowi z Ars wybrał się umyślnie dla przypatrzenia mu się z bliska. Spotkał go właśnie idącego z domu Opatrzności, gdzie ks. Vianney po wykładzie katechizmu pozwalał sobie niekiedy na wielki według niego zbytek, spożycia kubka gorącego mleka z odrobiną czekolady. Ponieważ starał się nie marnować ani chwili drogiego czasu często zabierał z sobą to śniadanie i spożywał je idąc ulicą nic sobie nie robiąc z tego, co ludzie powiedzą.

Właśnie w takiej chwili ów gość przybyły zdaleka spotkał zacnego plebana i zapytał go z niedowierzaniem, czy jest miejscowym proboszczem?

— Tak, jestem ubożuchnym proboszczem z Ars, odpowiedział.

— Niepodobna, pomyślał gość, to musi być jakiś żart niewczesny, czy podobna aby ten słynny ks. Vianney, o którym tyle cudownych krąży opowieści, jadał z garnka i to na ulicy, jak pierwszy lepszy żebrak! Wyobrażałem go sobie zupełnie inaczej! mówił potem znajomym.

Kiedy ks. Vianney dowiedział się o wrażeniu jakie sprawił, uśmiał się szczerze i często później zdarzenie to przypominał. Dodać jednak należy, że przy powtórnem spotkaniu ów ksiądz najzupełniej zmienił zdanie, a po odprawionych pod prze-

wodnictwem proboszcza z Ars rekolekcjach odjechał oczarowany, przejęty czcią i uwielbieniem dla skromnego a tak zasłużonego i świątobliwego kapłana.

Kiedy koledzy żartowali czasem, że ks. Vianney nosi zniszczoną sutanę odpowiadał im stale:

— Nic lepszego nie potrzeba dla mizernego proboszcza z Ars; nikt się tem nie gorszy, a ja utracjuszem być nie chcę i nie mogę.

Kiedy jednak przybywali do niego kapłani w gościnę przyjmował ich bardzo uprzejmie, dbał aby im niczego nie brakło, nie częstował ich nawet *chlebem ubogich*, gdyż nikomu nie narzucał swych przekonań, a to co czynił nie pochodziło nigdy z chęci wyróżnienia się i pozyskania chlubnego rozgłosu a tylko dla przypodobania się Bogu.

Jak ks. Vianney umiał przebaczać urazy. Intrygi i prześladowania. Anielska pokora.

Nie tylko cielesne umartwienia znosił proboszcz z Ars z anielską pogodą, umiał też stawić czoło wszystkim przeciwnościom i moralne przykrości nie mogły nigdy zakłócić jego spokoju, choć nieraz boleśnie raniono jego serce.

Przedewszystkiem główną przyczyną utrapień ks. Vianney'a była zawiść innych kapłanów, którzy nie dorównywali mu w cnotach a gniewali się, że ten skromny wiejski pleban cieszy się tak wielkiem uznaniem, że przybywają do Ars z daleka, aby zasięgnąć jego rady lub otrzymać rozgrzeszenie błogosławionego.

Z początku złośliwemi docinkami starano się mu dokuczyć przy każdej sposobności, następnie znaleźli się tak zuchwali nieprzyjaciele, że odważyli się doradzać mu, aby dobrowolnie usunął się z zajmowanego stanowiska, którego nie jest godzien.

Razu pewnego przysłano mu list następującej treści:

— Kto tak mało, jak ty posiada wiadomości teologicznych nie powinien nigdy zasiadać w konfesjonale.

Złośliwe te słowa pisał niestety ksiądz, który miał zamiar albo w ten sposób wypróbować pokorę czcig. ks. Vianney'a, ponieważ bardzo szeroko o tej pokorze mówiono i uwielbiano ją dokoła, albo też poprostu chciał dokuczyć koledze do żywego.

Myślicie może, że otrzymawszy list tak ubliżającej treści ks. Vianney uniósł się gniewem? Przeciwnie, najszczersza radość zabłysła na jego twarzy i natychmiast zasiadł do napisania odpowiedzi, która brzmiała jak następuje:

— „Drogi i czcigodny bracie. Jakże cię miłuję nieskończenie i jak bardzo obowiązany jestem za tak trafny sąd o mnie! Miłosiernym jesteś, ponieważ cię moja dusza obchodzi, proszę cię więc, wyjednaj mi tę łaskę, o którą błagam oddawna, bym mógł opuścić stanowisko, tak nieodpowiednie mojemu uzdolnieniu i gdzieś w dalekim zakątku ziemi pokutą i łzami zmył grzechy mego żywota".

W tym czynie prawdziwej pokory, pochodzącej z poczucia nicości swojej maluje się wyraźnie cała anielska słodycz tego błogosławionego kapłana tak dalekiego od wszelkiej zarozumiałości i pychy.

To też list ów uczynił na nieprzyjaznym mu i zawistnym koledze piorunujące wrażenie. Wkrótce potem błagał proboszcza z Ars na klęczkach o przebaczenie, bo zrozumiał dopiero całą jego wyższość i duchową doskonałość.

Jak ks. Vianney zapatrywał się na przeciwności życia. „Wszystko obraca się na dobre, tym ktorzy Boga miłują".

„Przeciwności, mawiał ks. Vianney stawią nas u stóp krzyża, a krzyż u drzwi nieba, ale by tam wejść trzeba pragnąć być wzgardzonym i poniżonym przez ludzi, trzeba być startym na miazgę. Wszystkie utrapienia słodkiemi nam się zdają, gdy je znosimy w zjednoczeniu z Panem Jezusem. Cierpieć, cóż to znaczy, wszak to tylko chwila. Gdybyśmy chociaż kilka dni spędzili w niebie, zrozumielibyśmy wartość cierpienia. Wtedy żaden krzyż nie wydał by się nam za ciężki, żadna próba zbyt gorzką, bo krzyż to dar, który Bóg dla przyjaciół swych zachowuje. Trzeba prosić Boga o zamiłowanie krzyża, wtedy lekkim nam się staje. Doświadczyłem tego na sobie, gdyż przez lat pięć prawie byłem spotwarzany, prześladowany, upadający prawie pod jego ciężarem, wtedy prosiłem gorąco o zamiłowanie krzyża i poznałem że prawdziwe szczęście w nim, przyjmując go i znosząc cierpliwie składamy Bogu dowód naszej miłości. Jakże kiedyś weselić się będziemy z naszych boleści i upokorzeń, jak bogaci będziemy w zasługi!.."

Trudno doprawdy zrozumieć, jak dusza tak czysta, tak pełna zaparcia się siebie mogła znaleść przeciwników. A jednak było tak w istocie. Wielka liczba nawróceń, odgłos cudów, którym niedowiarki nie dawali wiary pielgrzymki do Ars, wszystko to przyczyniało z jednej strony zasłużonej sławy, z drugiej zaś drażniło niechętnych pokornemu ks. Vianney'owi. Byli i tacy którzy ośmielali się głośno nazywać go obłudnikiem, nieukiem, dziwakiem a nawet warjatem.

Do tego nawet doszło, że nie którzy księża oskarżając ks. Vianney'a o niewczesną gorliwość i brak roztropności i umiarkowania w wyznaczaniu kar penitentom zabraniali swym parafjanom spowiadania się u proboszcza z Ars, a w niedziele publicznie z ambony wykazywali całe niebezpieczeństwo pielgrzymek do Ars, jako sprawiające zamęt w sumieniach.

Ks. Vianney sam o tem opowiadał w późniejszych latach dodając żartobliwie:

— W owych czasach Ewangelję odkładano na stronę, a brano za tekst do kazań biednego proboszcza z Ars!

Słusznie jednak mówił św. Paweł: „Wszystko obraca się na dobre tym, którzy Boga miłują".

Sprawdziło się to w życiu błog. Vianney'a. Po najcięższych przeciwnościach oddano mu wreszcie sprawiedliwość i to, co miało mu zaszkodzić obróciło się na jego korzyść. Otóż kilku duchownych zebrali się na naradę i postanowili oskarżyć ks. Vianney'a przed biskupem, chcąc ściągnąć nań naganę pasterską.

— Już, już omal mnie kijem nie wypędzono z parafji!.. mówił potem sędziwy kapłan z ładodnym uśmiechem.

Po wysłaniu skargi do biskupa, wystosowano jeszcze list do proboszcza z Ars oznajmiając mu że jest nieudolnym kierownikiem i powinien usunąć się co prędzej.

Na szczęście biskup Camus, do którego się zwrócono, był zupełnie innego zdania. Obdarzony rzadkim darem przenikliwości i zrozumiał, że zdanie wygłoszone przez oskarżycieli ks. Vianney'a jest stronne. Wezwał tego ostatniego do siebie i od pierwszego niemal wejrzenia ocenił należycie, a po dłuższej rozmowie zachwycony był prostotą, słodyczą i nadzwyczaj trafnym sądem proboszcza z Ars.

Odtąd przy każdej sposobności brał jego stronę i wyrażał się o nim jak najlepiej. Raz nawet w obec licznie zgromadzonego duchowieństwa, gdy ktoś wyrwał się z niewczesnym żartem, obrażającym ks. Vianney'a biskup rzekł surowo:

— Życzyłbym wam wszystkim być takimi szaleńcami, jak Vianney, nie zawadziło by to wcale waszej mądrości!

Pomiędzy świeckimi również miał czcigodny proboszcz z Ars zaciętych wrogów, którzy zasypywali go bezimiennymi listami pełnymi obelg lub też na murach plebanji przyklejali jakieś szkaradne dowcipy uwłaczające powadze zacnego kapłana.

Wszystko to przyjmował ks. Vianney z anielskim spokojem.

— Smuciłbym się gdybym Boga obraził, odpowiadał tym, którzy podziwiali jego wyrozumiałość, ale cieszę się, że źle o mnie mówią, bo potępienie ze strony świata, to błogosławieństwo Boże.

Wreszcie po kilku latach ustały wszystkie prześladowania; duchowieństwo odstąpiło od swych uprzedzeń przeciw ks. Vianney'owi i zachowaniem się swem starało się wynagrodzić wyrządzone mu krzywdy. Zdarzało się że ktoś najgorzej uprzedzony, ośmieszający na niewidziane zacnego proboszcza, przybywszy do Ars, stawał się na raz gorącym wielbicielem ks. Vianney'a i nie mógł darować sobie, że niegdyś z niego żartował.

Pewnego razu ks. Vianney najwyraźniej słyszał jakiś szatański szept:

— „Gdyby było trzech tobie podobnych ustałoby panowanie moje... Wydarłeś mi przeszło 80,000 dusz!"

Jeśli to był istotnie głos djabelski to proboszcz z Ars miałby wielką rację chlubić się takim tryumfem i uznaniem swych zasług nawet przez odwiecznego wroga ludzkości. Ale nie było takiej siły, która by mogła skłonić tego cichego i poświęcenia pełnego apostoła do zarozumiałości i pychy.

Choroba i cudowne uzdrowienie błog. Vianney'a. Ucieczka i powrót do Ars.

O ile dusza błog. proboszcza z Ars była silna, o tyle ciało jego było wątłem i słabem, zwłaszcza, że je wyniszczał ustawicznemi postami a przytem nie służył mu klimat w Ars, gdzie panowały wciąż febry z powodu nizkiego i wilgotnego położenia. Ks. Vianney cierpiał bardzo często nieznośne bóle głowy i wewnętrzne dręczyły go cierpienia. Nigdy jednak nie skarżył się, humor miał jednostajny i nie zważając na dolegliwości spełniał swe obowiązki z zupełnem zapomnieniem o sobie.

W pierwszych dniach maja 1843 r. wielki był napływ pielgrzymów do Ars i proboszcz nie mający żadnej pomocy pomimo całej siły woli wydołać pracy nie mógł. Czując się już bardzo osłabionym mimo to miał kazanie i omal nie omdlał, tak że musiano go sprowadzić z ambony. Wywiązało się zapalenie płuc, wezwany lekarz znalazł że stan jest groźny i nie przedstawia wielkich nadziei wyleczenia. Rozpacz ogarnęła parafjan, wszyscy modlili się gorąco błagając Boga o powrót do zdrowia ukochanego swego proboszcza. Ks. Vianney opatrzony Ostatniemi Sakramentami gotował się na śmierć. Nazajutrz po tej ceremonji postanowiono odprawić mszę św. w kaplicy św. Filomeny, do której jak to już powiedzieliśmy wyżej błog. ks. Vianney miał wielkie nabożeństwo.

Podczas, gdy ksiądz przybyły mszę odprawiał w kaplicy, na twarzy chorego malowało się nadzwyczajne wzruszenie, a gdy skończyła się Przenajśw. Ofiara ks. Vianney zawołał:

— Wielka zmiana zaszła we mnie, czuję się zupełnie uzdrowionym! Przytem kilkakrotnie powtórzył imie św Filomeny, której orędownictwu odzyskanie zdrowia zawdzięczał.

Wkrótce powróciły mu siły i wnet ze zwykłym zapałem zabrał się do pełnienia swych kapłańskich obowiązków.

Podczas tej choroby słyszano go raz wołającego:

— Nie jestem jeszcze gotów, o Panie, stanąć przed straszliwym trybunałem Twoim!..

Nie była to obawa śmierci, ale pragnienie jeszcze doskonalszego przygotowania się na drogę wieczności, odtąd postanowił usunąć się z parafji, aby w ciszy i samotności żyć tylko wyłącznie dla Boga.

Kiedy dowiedzieli się o tem ludzie, wnet ich radość z cudownego uzdrowienia i odzyskania ukochanego proboszcza zamieniła się w nowy smutek, bali się, że go utracą na zawsze.

— Od jedenastego roku mego życia, mówił błog. Vianney, błagałem Boga o łaskę oddania Mu się niepodzielnie, teraz na schyłku mego życia pragnę spełnić to gorące życzenie.

Tym więcej teraz garnęli się wszyscy do błogosławionego kapłana, w obawie że już usunie się wkrótce od apostolskiej pracy, więc spieszono tłumnie do jego konfesjonału, pielgrzymów przybywało tak dużo, że zawsze kościołek w Ars bywał przepełniony. Przysłano ks. Vianneyowi do pomocy ks. Raymonda, kapłana gorliwego i bardzo proboszczowi przyjaznego.

Pragnienie pokutniczego życia tak dalece opanowało myśl błog. ks. Vianney'a, że postanowił nic nie mówiąc nikomu opuścić Ars w nocy.

Zamiar ten uskutecznił z dnia 11-go na 12-go września tegoż roku. Spostrzeżono go jednak uchodzącego z probostwa i śledzono, aby wyrozumieć gdzie się ukryć zamierza? Po siedmiu godzinach uciążliwej drogi dostał się proboszcz z Ars do rodzinnej wioski, gdzie mieszkał brat jego Franciszek. Ale świątobliwy kapłan i tam nie mógł zaznać pożądanego spokoju, bo mając sławę doskonałego spowiednika był wnet otoczony całą rzeszą ludu natarczywie cisnącą się, aby słuchać jego nauk, prosić o radę i błogosławieństwo.

Przybył też i ks. Raymond opowiadając jak bardzo ubolewają parafjanie nad ucieczką swego pasterza i domagają się jego powrotu. Obaj kapłani odbyli razem pielgrzymkę do cudownego obrazu Matki Boskiej w Beaumont, a tam po odprawieniu mszy św. ks. Vianney, jakby już zupełnie pogodzony ze swym losem, rzekł do towarzysza:

— Wracamy do Ars!

Można sobie wyobrazić z jaką radością witano sędziwego plebana, wszystkich ogarnął taki zapał że z okrzykami radości rzucano się do nóg proboszcza i wołano zewsząd:

— Nasz święty idzie!.. Święty do nas wraca!..

W tym że czasie zakład dobroczynny założony przez ks. Vianney i noszący nazwę „Opatrzności“ za zgodą władzy dyecezjalnej został oddany pod opiekę Siostrom św. Józefa.

Jak św. Filip Neriusz mawiał, że nie chce mieć ani jednej godziny dla siebie, jak św. Szymon Stylita przykuty dobrowolnie do skały oddalał się od niej jedynie na długość łańcucha, tak błogosł. Vianney był jakby przykuty do konfesjonału. Dość powiedzieć że przeciętnie dwadzieścia tysięcy osób rocznie odwiedzało Ars, nie licząc stałych parafjan nad któremi wzorowy kapłan roztaczał swą ojcowską prawdziwie opiekę. Ile ztąd dobra spłynęło, dopiero, jak sam kiedyś mówił sędziwy kapłan, na sądzie ostatecznym wiadomem będzie!..

Pielgrzymki do Ars.

— Nim przybyłem do Ars, opowiadał jeden z pielgrzymów i nim ujrzałem *dobrego Ojca*, jak ogólnie ks. Vianney nazywano, nie mogłem wierzyć w zupełności temu, co słyszałem, wiele rzeczy wydawało mi się nieprawdopodobne, ale teraz wierzę, bo widziałem to wszystko na własne oczy, a to co widziałem przeszło moje oczekiwania.

Przybywali do Ars ludzie wszelkich stanów, sława ks. Vianney'a dosięgła do najdalszych zakątków kraju. Spieszyli do błogosławionego grzesznicy, których miłosierny kapłan przyjmował ze łzami; ubodzy szukający wsparcia, stroskani po słowa pociechy, wątpiący po światło, które im prawdę rozjaśniało.

Uzdrowienia, otrzymane za pomocą modłów błog. proboszcza z Ars, zwłaszcza w kaplicy św. Filomenty, sprowadzały z dniem każdym liczniejsze zastępy chorych, kalek i nieszczęśliwych.

Pielgrzymki te trwające lat trzydzieści z górą liczba cudów dokonanych w Ars, stanowią ważną kartę w dziejach chrześciańskich ostatniego stulecia. Jeżeli czytamy opisy cnót heroicznych, lub cudów z dawnych lat i początków chrześciaństwa nie jeden sądzi może w skrytości serce swego: było tak niegdyś na świecie, ale dziś niema świętych na ziemi; a wielu niedowiarków z szyderskim uśmiechem odzywa się o cudach chcąc je koniecznie wytłumaczyć w sposób naukowy, rozumowi ludzkiemu dostępny.

Tymczasem życie błog. Vianney'a zmarłego przed pół wiekiem dopiero, jest wyraźnym dowodem, że i w naszych czasach dzieją się rzeczy osobliwe, które tylko łasce nadzwyczajnej dla umiłowanych przez Boga przypisać należy.

Miejsca święte na ziemi są tem, czem gwiazdy na firmamencie, ogniskami światła i ciepła. I Bóg w niedocieczonych wyrokach swoich zrządził, że Ars stało się jednem z tych miejsc błogosławionych. W świętym kapłanie obraz Boży tak jasno się odbijał, jako niebo w wodnym przezroczu; był on prawdziwie pochodnią zapaloną w kościele Bożym

ku oświeceniu narodów i przywróceniu ich do pierwotnej czystości wiary i ewangelicznej prostoty.

— Żyję wspomnieniami z Ars, pisał jeden z pielgrzymów, zapytuję się wciąż, jak mógłbym wywdzięczyć się Bogu za to, że mnie tam zaprowadzić raczył!

— Widziałem na własne oczy, mówił inny, jak tam grzesznicy nawracają się, chorzy zostają uzdrowieni, ślepi widzą, głusi słyszą, chromi chodzą, rozmnaża się chleb, wino, zboże. Odzyskałem tu wiarę i spokój duszy, czuję się tak szczęśliwym, że chciałbym dać to do poznania wszystkim niedowiarkom!

W 1848 r. 80,000 osób nawiedziło Ars. Liczba ta już sama przez się daje wymowne świadectwo rozgłosu, jakiem się cieszył już za życia niestrudzony a skromny pleban, łaską Bożą natchniony i do apostolstwa powołany. Jedni drugim mówili o jego świętości i cnotach, zachęcając do sprawdzenia naocznie cudownych faktów. Pisma milczały o tych wypadkach, więc tylko z ust do ust roznoszono wieści i powtarzano sobie coraz nowe cudowne opowieści.

Zdarzało się, że przybywały do Ars osoby wiedzione jedynie ciekawością lub naśladując innych, ks. Vianney mając dar spostrzegawczy bardzo rozwinięty doskonale umiał poznać się na tem i nieraz żartobliwie odzywał się do takich gości:

— Doprawdy, że nie warto było się trudzić!..

Nigdy też nikogo nie wyróżniał, zarówno bogaty czy ubogi musiał czekać swojej kolei przy konfesjonale.

Pewna wyniosła dama przybyła zdaleka, poczęła raz w sposób opryskliwy dopominać się o pierwszeństwo nad innymi i uskarżała się, że od kwadransa napróżno stara się dostać do konfesjonału ks. Vianney'a.

— Nigdy nie czekałam nawet w przedpokoju króla bawarskiego lub na audjęcję u papieża, zawołała z pewną dumą.

— Jednak w Ars musi pani czekać swej kolei jak inni, odrzekł ksiądz, utrzymujący porządek u wejścia do kaplicy, gdzie proboszcz spowiadał.

Dama podeszła do ks. Vianney'a mówiąc mu, że przybyła do spowiedzi, jakby tem jemu zaszczyt czyniła.

— To dobrze, odpowiedział ze spokojem ks. Vianney, nie pani pierwsza przybywasz tu w tym celu. A gdybyś nawet cesarzową była musisz czekać kolei.

Chcąc nie chcąc trzeba było usunąć się i wyczekiwać cierpliwie a nie jeden w ten sposób dostał nauczkę w Ars, że wszyscy równi są przed Bogiem.

Pomimo ogromnego ruchu, spowodowanego przyjazdem i odjazdem tylu pielgrzymów, spokój i cisza panujące w świątyni nastrajały do poważnych myśli i wewnętrznego skupienia. Dziwny jakiś urok tak silnie przykuwał do tego miejsca, że nigdyby się z niego odejść nie chciało. Wiele też osób różnego stanu opuszczały nieraz wspaniałe siedziby, zrywały stosunki w świecie, aby osiąść w tem cichem ustroniu i pod kierunkiem błogosławionego ks. Vianney'a gotować się do lepszego życia.

Jeden dzień życia wzorowego proboszcza.

P. Ludwik Laeroix profesor liturgiki odwiedziwszy Ars w 1857 r. tak opisuje swe wrażenia:

„Jeden z moich przyjaciół zachęcał mnie bym pojechał do Ars i przyjrzał się zjawisku, najrzadszemu w świecie i świętości objawiającej się w czynie.

— Jeśli chcesz wiedzieć, mówił mi, jakim sposobem nawróciły się pogańskie ludy i chrześciańska cywilizacja ugruntowała się na świecie, udaj się do Ars; ujrzysz tam człowieka, którego czczą jak św. Bernarda i w którym odradzają się cnoty i cuda dotąd tylko w książkach spotykane.

Usłuchałem rady przyjaciela i skierowałem się ku Ars. Przybywszy na miejsce, pośpieszyłem do kościoła, gdzie spodziewałem się zastać proboszcza. Sądziłem, że z powodu słoty niewiele będzie pielgrzymów i będę mógł z łatwością do niego się zbliżyć. Wszedłem spiesznie, pobudzany ciekawością. Wspaniały widok przedstawił się mym oczom. Tłum ludu w kornej postawie zatopiony był w modlitwie, wyczekując chwili widzenia ks. Vianney'a. Nigdy poczekalnia najpotężniejszego monarchy nie przedstawiła się tak majestatycznie, jak świątynia, do której wszedłem.

Wskazano mi drzwi prowadzące do zakrystji, gdzie ks. Vianney spowiadał mężczyzn. Była to piąta godz. po południu na to właśnie przeznaczona. Byłem ostatni w długim bardzo szeregu, straciłem już zupełnie nadzieję dostania się dnia tego do świątobliwego kapłana, ale za to napawałem się widokiem pobożnie skupionych twarzy i rad byłem możności przyjrzenia się bliżej porządkowi dnia ks. Vianney'a. Kilka godzin zbiegło mi szybko, jak jedna chwila. O ósmej kościół począł się zapełniać mieszkańcami Ars, którzy o tej porze na wieczorny pacierz się zbierali. Drzwi od zakrystji otworzyły się, ks. Vianney ukazał się w komży, której nigdy nie zrzucał. Utopiłem wzrok w tej wątłej postaci, z której promieniała niezwykła świętość świadcząca o strasznych umartwieniach i pokutniczem życiu. Chociaż już wiekiem pochylony, wydał mi się ks. Vianney wspaniałym i majestatycznym. Szedł z głową spuszczoną, bujne włosy spadały mu na ramiona, tworząc niby jasną aureolę w około jego oblicza. Gdy przechodził koło mnie dotknąłem ze

czcią kraju jego szaty. Wszedłszy na ambonę odmówił pacierz, ale tak słabym i cichym głosem, że ledwie go słyszeć można było. Widocznie był bardzo wyczerpany i tylko cudowną mocą był w stanie wydołać ogromnej pracy, całe bowiem dnie i wieczory przesiadywał w konfesjonale. Wyszedłszy z kościoła szedł z odkrytą głową, w komży błogosławiąc po drodze wiernych z obu stron klęczących szeregiem. Nazajutrz rano przed świtem udałem się powtórnie do kościoła w nadziei, że uprzedzę wszystkich, ale i tym razem zawiodłem się w oczekiwaniu, bo wielu już przedemną miejsce zajęli. Z rozrzewnieniem patrzałem, na tych ludzi, bo nie przypuszczałem, aby w czasach takiego zobojętnienia religijnego znalazło się tylu pobożnych z wytrwałością szukających dóbr duchowych. Jednakże miałem trochę żalu do zakrystjana, że nie uprzedził mnie o konieczności spędzenia nocy pod kościołem, jeśli się pragnie mieć lepsze miejsce i prędszy dostęp do proboszcza z Ars. Uderzony jednak byłem pełnem godności zachowaniem tego zakrystjana i dowiedziałem się, że należy do ludzi wyższego towarzystwa i że uzdrowiony i nawrócony przez ks. Vianney'a przez wdzięczność poświęcił mu swe usługi.

Opowiadanie to nasunęło mi na myśl, że święci, pociągając innych swym przykładem do cnót, do ofiary, do poświęcenia, są już przez to samo największymi dobroczyńcami ludzkości.

Około siódmej ks. Vianney wyszedł z konfesjonału i udał się do zakrystji dla przygotowania się do mszy św. Skorzystałem ze sposobności i wśliznąłem się za nim z prośbą, by mi parę minut ofiarować raczył. Wpierw jednak poszedłem za nim do kaplicy św. Filomeny, by tu mszy św. wysłuchać. Przy tym ołtarzu, mówiono mi, dnia pewnego uzdrowił paralityka, tak że natychmiast wstał i chodził, co wywołało w obecnych podziw i zachwyty; ks. Vianney zaś modlił się głośno: O św. Filomeno! gdy mnie obsypujesz podobnemi łaskami, czyń to w skrytości, uzdrawiaj ich w domu, a tu oszczędzaj mi tych objawów wdzięczności, których nie czuję się godnym.

Po ukończonej mszy św. nastąpiło święcenie medalików, krzyżyków i obrazkow oraz błogosławienie przyniesionych tu dzieci. Następnie w zakrystji musiał przyjąć kilka osób przybyłych do niego o poradę. Trochę zawiedziony w nadziei byłem bliski zniecierpliwienia ale zastanowiwszy się chwilę nad poświęceniem świątobliwego kapłana, jego gotowością służenia wszystkim z tak anielską słodyczą, zawstydziłem się mej słabości i już odtąd czekałem cierpliwie i ze wzrastającym podziwem. Zauważyłem, że ks. Vianney czyni niekiedy wyjątki i przywołuje nie według porządku stojących osób, ale tylko jak się okazało mieli pierwszeństwo ciężko chorzy lub kalecy. Od czasu do czasu wychodził dla rozdania Komunji św. Już od dziesięciu godzin byłym świadkiem niezmordowanej jego pracy, gdy nareszcie udało mi się dostać do zakrystji. Niechcąc zabierać księdzu czasu, szybko i treściwie zadałem mu parę pytań, na które odpowiedział mi stanowczo, bez wahania; odpowiedzi te były nacechowane prawdziwą mądrością. Zdumiony byłem jego spokojem, przytomnością umysłu i zachowaniem pełnem pociągającej prostoty. Prosiłem go o błogosławieństwo na drogę, ponieważ jechałem do Rzymu.

Na wspomnienie o Rzymie rozpromieniła się wyrazista twarz ks. proboszcza:

— Jedziesz do Rzymu, zawołał, zobaczysz Ojca św.! a po krótkiej chwili dodał: Proszę cię pomódl się za mnie u grobu ŚŚ. Apostołów.

Ucałowałem błogosławiącą mnie rękę i odszedłem przejęty czcią i radością. W pół godziny potem byłem jeszcze świadkiem lekcji katechizmu. Wymowa ks. Vianney nie polegała na słowach, głos słaby, wycieńczony, brak zębów, ogromnie utrudniały mowę, mimo to jednak porywał i zachwycał wyrazem twarzy i oczów a szczególniej mogłem teraz uważać jak silne słowa jego wywierały wrażenie.

Tłum ludu różnego stanu, płci i wieku cisnął się i skupiał u nóg jego z natężoną uwagą wsłuchując się w cichy dźwięk jego głosu. Unosił się świętem oburzeniem mówiąc o grzechu, płakał nad zniewagami, jakich Jezus Utajony doznaje od niewdzięcznych ludzi, z zachwytem wysławiał miłość Bożą. Wyrazy płynęły z łatwością wprost z serca.

— Dziwna rzecz, mówił, spotykałem wielu ludzi żałujących, że Boga nie miłowali, ale nie znam ani jednego, który by żałował, że Go kochał!

O dwunastej odszedł kapłan do swego mieszkania, aby w modlitwie i umartwieniu czerpać nowe siły do prowadzenia dalej życia ofiary i poświęcenia.

Odjechałem z Ars unosząc jako skarb błogosławieństwo świątobliwego i niezatartą pamięć cudów jego miłosierdzia. Ten jeden dzień z życia niezmordowanego kapłana odsłonił mi cały ogrom mozolnej a tak owocnej pracy."

Cuda błog. ks. Vianney za przyczyną św. Filomeny. Dar pocieszania strapionych.

Oprócz tych obowiązków kapłańskich które ks. Vianney sprawował jeden conajmniej za dziesięciu, zasypywany był jeszcze listami nadchodzącemi z różnych stron świata. Były to po większej części prośby o modlitwy, o uzdrowienie chorych, lub też w różnych sprawach rodzinnych, troskach o polepszenie bytu, najczęściej o nawrócenie kogoś

z blizkich. Nawet dostojnicy Kościoła, biskupi z różnych dyecezji Francji zgłaszali się do ks. Vianney'a prosząc go o udział w modlitwach i zasługach, a niektórzy zasięgali jego rady w kwestjach zawiłych. Tak więc zmieniły się czasy, dawniej ten sam skromny proboszcz z Ars miał wiele krzyżów do zniesienia i prześladowali go zawistni, teraz wszyscy jednozgodnie przyznawali w nim umysł bystry, prawdziwie nadziemskiem natchnieniem oświecony.

O wszystkich cudach dokonanych w Ars trudno by pisać szczegółowo, ponieważ liczono ich tak wiele, że trzebaby całe księgi o tem spisać, pomimo że jak pisała w swym pamiętniku Katarzyna Lassagne, jedna z dyrektorek zakładu „Opatrzności": „Proboszcz nasz ukrywa, o ile może, liczne i cudowne uzdrowienia przez niego dokonane".

Pomiędzy innemi faktami stwierdzonemi przez naocznych świadków przytaczamy następujące:

W 1858 r. jedna z osób zawiadujących zakładem Opatrzności ciężko zachorowała. Leżała nieprzytomna w silnej gorączce. Zapalono gromnicę, ks. Vianney odmówił ostatnie modlitwy przy konających, gdy w tem chora otworzyła oczy a spostrzegłszy gromnicę zapytała:

— Co to jest? Czuję się zupełnie zdrową!

Natychmiast podniosła się z posłania, a przywołany lekarz, który ją przedtem widział, ze zdumieniem przyznał, że to uzdrowienie jest cudem prawdziwym.

Pewna uboga kobieta dostała w darze starą i zniszczoną czapkę ks. Vianney'a. Dziecko tej kobiety miało wrzód na głowie i bardzo cierpiało. Troskliwa matka włożyła mu na głowę ową czapkę i pomyślała:

Nasz ks. Vianney jest święty, gdybym miała wiarę prawdziwą, dziecko moje wyzdrowiało by niewątpliwie!

Wieczorem tegoż dnia chcąc opatrzyć ranę zdjęła czapkę i o cudo! ujrzała ją całkiem zabliźnioną.

Pani Raymond, która zupełnie głos utraciła z powodu zadawnionej choroby gardła udała się do proboszcza z Ars. Ten zaś rzekł jej:

— Wszelka ziemska pomoc na nic się nie przyda, lecz Bóg cię uleczy, zanieś gorącą prośbę u stopni ołtarza św. Filomeny.

— Usłuchałam rady naszego świętego kapłana, opowiadała następnie pani Raymondowa, a po skończonej modlitwie uczułam się uzdrowioną, głos mi powrócił i nie tylko mówić ale całemi godzinami śpiewać mogłam.

Odprawieniem nowenny do św. Filomeny ks. Vianney uzdrowił obłąkaną kuzynkę tej samej pani Raymondowej.

Ks. Prevot, profesor akademji w Nancy, dostał od ks. Vianney'a medalik św. Filomeny z błogosławieństwem dla chorej swej siostry cierpiącej na epilepsję. Cały czas, gdy ten medalik nosiła wolną była od napadów, ale zgubiwszy go znowu chorować zaczęła. Ksiądz profesor ponownie udał się z prośbą do proboszcza z Ars jak to list jego z d. 17 sierpnia 1858 r. świadczy.

Wielu też było obecnych w kościele podczas gdy błog. ks. Vianney sześcioletniego chłopczynę, kalekę na nogę uzdrowił. Inne zaś ośmioletnie dziecko niechodzące od urodzenia przyniesiono również do Ars, polecając je modłom świątobliwego kapłana. Po kilku dniach codziennych błagań w kościele dziecko rzekło nagle do matki:

— Kup mi mamo trzewiki, bo ks. proboszcz powiedział, że jutro chodzić zacznę!

Matka chociaż żadnej jeszcze w tym względzie pewności nie miała, zachęcona przez właścicieli gospody, w której się zatrzymała kupiła dziecku obuwie. Nazajutrz ujrzano ze zdumieniem chłopczynę stojącego o własnej sile w kościele i wołającego radośnie:

— Jestem zdrów! Jestem zdrów!

Uszczęśliwiona matka dziękować poczęła błog. ks. Vianney'owi, ale on zawsze niechętnie słuchał dziękczynienia i wnet zwracał wszystkich ku ołtarzom św. Jana lub św. Filomeny.

Raz wiejska kobieta przyprowadziła do Ars siedmioletnią córeczkę niemą od urodzenia. Modliła się gorąco przed przystąpieniem do spowiedzi a uklęknąwszy już u konfesjonału ks. Vianney'a i rozpocząwszy spowiedź zatrzymała się nagle widocznie bardzo wzruszona.

— Cóż dalej? zapytał ks. proboszcz.

— O mój Ojcze, zawołała, nie mogę mówić, bo radość wielka głos mi w piersiach tamuje. Oto w tej chwili usłyszałam po raz pierwszy w życiu głos mojego dziecka. O Boże, co za łaska!..

Rzeczywiście dziewczynka bardzo wyraźnie mówić zaczęła, matka zaś powtarzała tylko wciąż ze łzami wdzięczności:

— Cóż to za łaska!.. Mój Boże, co za łaska...

Młody kapłan w ostatnim stopniu suchot przybył do Ars. Ks. Vianney oznajmił mu, że ma się na śmierć gotować, bo z tej choroby nie wyjdzie. W tym czasie właśnie i sam proboszcz ciężko zaniemógł, a ów suchotnik dawał mu wiele dowodów troskliwości i pomimo słabnących sił wcale siebie nie oszczędzał. Kiedy ks. Vianney powrócił do zdrowia rzekł do młodego kapłana:

— Okazałeś mi tyle miłosierdzia, gdy byłem chory, że Bóg dobry odmienił swe wyroki względem ciebie i zdrowie ci powróci.

Stało się tak właśnie, jak przepowiedział.

Te jawne dowody cudownej mocy leczenia sprowadzały do proboszcza z Ars tysiące chorych, a ci nawet którzy ze swych dolegliwości nie byli uleczeni oddalali się pocieszeni i na duchu pokrzepieni.

Smutki domowe, niepowodzenia, klęski niespodziane, spokój małżeński zakłócony, nadzieje zawiedzione, przyjaźnie zdradzone, niewinność uciśniona, słowem utrapienia wszelkiego rodzaju zwierzano z całem zaufaniem błog. kapłanowi.

Był on nie jako żywym zdrojem, z którego czerpano ochłodę dla duszy. Posiadał on w wysokim stopniu dar pocieszania, umiał zabliźniać rany serca, uśmierzać cierpienie, koić gniew i waśnie, a czynił to wszystko z pokorą i prostotą, nic sobie nie przypisując a wszystko odnosząc do Boga.

Przybył raz do Ars pewien pobożny obywatel opłakujący stratę brata. Dręczyły go obawy, czy zmarły w ostatniej chwili życia przebaczył nieprzyjaciołom swoim i czy ta zawziętość nie stanie mu na przeszkodzie do zbawienia.

Ks. Vianney obiecał strapionemu bratu dać odpowiedź nazajutrz po mszy św. Następnego dnia rzekł głosem pełnym ufności i nadziei:

— Módlmy się gorąco, gdyż brat twój bardzo modlitwy potrzebuje. Cierpi straszne męki męki, z których będzie uwolniony.

Z tego faktu widzimy, że jasnowidzenia błog. kapłana dotyczyły nie tylko spraw ziemskich ale sięgały nawet po za granice grobu.

Nawrócenia w Ars.

Są cuda na ziemi przewyższające wszystkie inne, a dzieją się one w głębi duszy człowieka. Jakież to szczęście niezrównane, gdy utraciwszy wiarę odzyska ją na nowo, gdy będąc ślepym duchowo, przejrzy, będąc głuchym, usłyszy, niemym, przemówi, wskrzeszonym łaską — ożyje.

Ks. Vianney za cel życia sobie postawił nawracanie grzeszników, wszystkie swe myśli ku temu kierował, czas i siły na to zużywał.

Sam mawiał, że nigdy na ziemi nie będzie wiadomem ilu grzeszników znalazło zbawienie w Ars.

— Ja, dodawał, jestem tylko słabem i nędznem narzędziem, które Pan Bóg użył do tego wielkiego dzieła.

Wyraz jego oczu był tak słodki, tak przejmujący, że samem spojrzeniem nawracał, a jednem słowem do skruchy pobudzał.

Nieraz gorzkiemi zalewał się łzami widząc przed sobą człowieka w którego sercu nie widział głębokiego żalu za grzechy. Razu pewnego klęczący u stóp jego młodzian, zimny dotąd i nieporuszony spojrzał na swego spowiednika i zapytał go ze zdziwieniem:

— Dlaczego płaczesz ojcze?

— Płaczę, mój synu, odrzekł błogosławiony, dlatego, że ty nie płaczesz.

Było coś takiego w tych prostych słowach, co odrazu przemówiło do zobojętniałej duszy penitenta i jemu łzy stanęły w oczach, ukorzył się, a spowiedź ta pamiętną mu była na całe życie, bo zmieniła go i w innego przeistoczyła człowieka.

Wszyscy znający ks. Vianney'a przyznają, że nie kwiecistą wymową, ale życiem swojem bez skazy, ogiem tryskającym z oczu i z serca poruszał i przemieniał dusze. Jedno jego słowo z prostotą wyrzeczone sprowadzało zbawienniejsze skutki, niż najpiękniejsze książki i najmądrzejsze rozprawy.

Jedną z pierwszych zdobyczy z pomiędzy zbłąkanych sekciarzy była pewna zapalona jansenistka, mieszkająca w pobliskiem mieście, która jakoś wypadkowo znalazłszy się w Ars ciekawością wiedziona wstąpiła do kościoła i przypatrywała się celebrującemu kapłanowi. Snać silne pobożność jego wywarła na niej wrażenie, gdyż nie namyślając się długo przystąpiła do konfesjonału. Spowiedź była długa a nawrócenie szczere, tak dalece że w obawie dalszej styczności z odstępcami, kobieta owa osiadła na stałe w Ars, gdzie budowała wszystkich swem przykładnem życiem.

W r. 1858 młody oficer marynarki towarzyszył znajomym do Ars. Był to zawzięty wróg duchowieństwa, spowiedź wyszydzał, w kościele nigdy nie bywał. W Ars jednak ciekawością jedynie wiedziony, a może i ukrytą chęcią wyszydzenia następnie tak czczonego ogólnie kapłana, jednem słowem wstąpił w kościelne progi. Rozglądał się dość obojętnie, ks. Vianney spowiadał właśnie mężczyzn; nagle ów oficer marynarki spotkawszy wzrok błog. kapłana uczuł tak silny zawrót głowy, że nie mogąc sobie zdać sprawy, co się z nim dzieje pośpiesznie wyszedł z kościoła. W duszy jego toczyła się w tej chwili walka: wrócić? nie wrócić?.. Dobre natchnienie przeważyło. Nieprzepartą jakąś siłą pociągnięty powrócił i drżący zbliżył się do konfesjonału, ukląkł i niezwłocznie rozpoczął spowiedź z całego życia.

Po otrzymaniu rozgrzeszenia i przyjęciu Komunji św. odjechał zupełnie na duchu przemieniony.

W jakiś czas potem powrócił znowu do Ars, trwając zawsze w tych samych dobrych postanowieniach.

Ogromnie też ciekawe są zeznania p. Maissiata, uczonego geologa z Lionu.

W ośmnastym roku życia pozostawszy sierotą udał się do Egiptu, jako przybrany syn oficera, tam został muzułmaninem, później protestantem, próbował nawet judaizmu, aż wreszcie nawróciwszy się na prawdziwą wiarę stał się najgorliwszym katolikiem.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

I tym razem był to najpierw cudowny skutek potęgi wejrzenia błog. ks. Vianney'a.

Oto jak sławny geolog opisuje swe nawrócenie w Ars:

„Opuściłem Lion na miesiąc w celu wycieczki geologicznej w góry; w drodze spotkałem jednego z mych przyjaciół, który dążył właśnie do Ars. Począł usilnie nalegać, abym także z nim pojechał.

— Pojedź do Ars, mówił, ujrzysz tam kapłana czyniącego cuda.

— Cuda? odpowiedziałem, ależ ja w żadne cuda nie wierzę!

— Pojedź, mówię ci, a gdy obaczysz, uwierzysz.

Zaśmiałem się z niedowierzaniem.

— O! zawołałem, jeśli ci się uda przerobić mnie na wierzącego, to dokonasz prawdziwego cudu.

Po namyśle uległem namowom i zboczyłem do Ars. Przyjaciel zbudził mnie nazajutrz rano, zachęcając, abym poszedł z nim do kościoła i popatrzył na ks. Vianney'a podczas mszy św.

— Niebyłem na mszy od czasu mej pierwszej Komunji, odpowiedziałem z pewną niechęcią, bo mi się wcale wstawać nie chciało. Ostatecznie dla zrobienia ci przyjemności pójdę, co zaś do widzenia ks. Vianney'a mało dbam o to.

W kościele przyjaciel umieścił mnie naprzeciw drzwi zakrystji, które się wkrótce otwarły i ukazał się w nich ks. Vianney w szatach kapłańskich. Oczy nasze spotkały się z sobą, było to tylko jedno spojrzenie, ale które wniknęło tak głęboko do duszy, że uczułem się niejako przygnieciony tem wejrzeniem i schyliłem nizko głowę kryjąc twarz w dłonie. Pozostałem nieruchomy przez całą mszę św. gdy się skończyła podniosłem się z trudem i usiłowałem wyjść, ale przechodząc mimo zakrystji, do której tłum się cisnął usłyszałem dwukrotnie powtórzone w niej słowa:

— Wyjdźcie ztąd wszyscy.

Ujrzałem w tej chwili kościstą rękę, spoczywającą na mojem ramieniu, uczułem się pociągnięty nieprzepartą siłą w stronę zakrystji, drzwi się zamknęły, zostałem sam w obec tego spojrzenia, które mnie przed chwilą, jakby piorunem raziło. Zaledwie mogłem wyjąkać te słowa:

— Księże proboszczu, wielki ciężar dźwigam na barkach.

Na to głos anielskiej słodyczy, który zdawał się nie z ludzkiej pochodzić piersi odpowiedział mi:

— Trzeba się go pozbyć jak najprędzej. Uklęknij, a gdy opowiesz mi swoje życie, Pan Jezus pomoże ci ten ciężar unieść, gdyż powiedział: *Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę.*

W tej chwili zmieszanie moje ustąpiło, nie namyślając się dłużej zacząłem spowiedź: opowiedziałem cały bieg życia mego od czasu pierwszej Komunji św. W ciągu tego opowiadania ksiądz Vianney płakał i od czasu do czasu powtarzał:

— O, jak dobrym jest Bóg, jak bardzo cię ukochał!

Nie płakałem, ale czułem, że ciężar mój coraz lżejszym się stawał.

— Powrócisz tu jutro, synu mój, rzekł ks. Vianney, a teraz idź do ołtarza św. Filomeny i proś ją, by ci nawrócenie wyjednała.

Tu dopiero obfite łzy trysnęły mi z oczu, ale łzy te sprawiały mi rozkosz prawdziwą. Pozostałem jeszcze w Ars, po otrzymaniu rozgrzeszenia i zaniechawszy uczonych wycieczek powróciłem do domu by w samotności napawać się radością obcowania z Bogiem.

Odtąd był najlepszym katolikiem i chętnie o nawróceniu swem opowiadał.

Wielu tak samo jak ów uczony zeznawało, że gdy po raz pierwszy spotkali się z wejrzeniem bł. ks. Vianney'a, czuli się jakby oderwani od ziemi i uniesieni w górne krainy i że nagle wszystkie troski ziemi malały w ich oczach, a natomiast ogarnął ich nieznany przedtem zapał i religijne skupienie.

Pewne małżeństwo składające się z żony gorliwej chrześcianki i męża zupełnie dla spraw Bożych obojętnego przybyło raz do Ars.

Udało się żonie skłonić męża do widzenia się z ks. Vianney'em. Wprowadzony do zakrystji powitał proboszcza w sposób wielce światowy, winszował sławy i powodzenia, ale skromny sługa Boży miał wyraz zalęknienia i rumienił się słuchając tych pochwał, szybko starając się zwrócić rozmowę na inny temat. Kiedy ów światowiec miał wychodzić, ks. Vianney zatrzymał go rzuciwszy głębokie i przenikliwe spojrzenie:

— Jakto? zapytał, odchodzisz pan, miałeś mi przecież coś do powiedzenia. I to mówiąc wskazał mu konfesjonał. Pójdź, uklęknij synu mój, dodał.

Przybyły miał wielce zakłopotany wyraz twarzy i począł się tłumaczyć, że nie czuje się dziś przygotowanym do spowiedzi. Mimo to pod wpływem wzroku ks. Vianney'a ukląkł mimowoli i zaczął spowiedź, a kiedy otrzymał rozgrzeszenie stał się zupełnie odrodzonym człowiekiem.

W domu swym na pamiątkę tej wielkiej łaski wzniósł ołtarz i tam przed wizerunkiem Najśw. Panny z rodziną i domownikami, odprawiał ranne i wieczorne modlitwy. Znajomych swych i przyjaciół prosił zawsze wprowadzając do tej kapliczki, aby zmówili na jego intencję *Zdrowaś Marja*, z myślą, by wytrwał do końca.

Wzruszającem było nawrócenie pewnego starca, który mając lat ośmdziesiąt był zakamieniałym bezbożnikiem i bluźniercą, a ks. Vianney'a, chociaż go

nigdy w życiu nie widział, nazywał starym czarownikiem i drwił ze wszystkich, którzy wyrażali się o świętym kapłanie z zachwytem.

Ponieważ nie było sposobu sprowadzić tego starca do kościoła, ks. Vianney udał się do jego mieszkania i upadłszy mu do nóg gorzko płacząc wołał:

— Nie zatracaj biednej duszy twojej, nie zatracaj jej!..

Starzec poruszony tym widokiem sam zaczął płakać rzewnie, potem w dzień i w nocy powtarzał ustawicznie: *Zdrowaś Marja.*

Szczera spowiedź i żarliwa Komunja były owocem tej wyprawy ks. Vianney'a na uratowanie duszy od zatracenia.

Tych kilka przykładów zaledwie słabe mogą dać wyobrażenie o tem wszystkiem, co zdziałał w ciągu życia ten błogosławiony, który tak umiał poruszać serca do głębi, odrywać od złego, wywierać wpływ stanowczy na życie tysiąca ludzi i wieść ich za sobą drogą cnoty i obowiązku.

To też osobiście i listownie polecano się nieustannie modlitwom ks. Vianney'a i w bardzo wielu razach nawet na oddalonych umiał działać zbawiennie. Wielu proboszczów zeznawało, że poleciwszy parafje swoje modlitwom ks. Vianney'a w krótkim przeciągu czasu wielkie zmiany na korzyść ich spostrzegali. Sypały się więc zewsząd listy i słowa wdzięczności za otrzymane za jego wstawiennictwem łaski, pociechy i nawrócenia.

Podniosłe zapatrywania błog. ks. Vianney'a na stan kapłański. Ponowna próba ucieczki.

Pomimo tylu nadzwyczajnych zalet umysłu i serca ks. Vianney zawsze był jeszcze z siebie niezadowolonym. Najgorszą jego troską było, czy godnie odpowiada przyjętym na siebie obowiązkom, czy zadawalnia serce Boże?

— Gdy się zastanawiam nad sobą, nic prócz grzechu nie znajduję, mawiał ten kapłan błogosławiony, podziw swego wieku, przedmiot ogólnej czci i uwielbienia.

O stanie kapłańskim miał tak wysokie wyobrażenie, że zawsze się lękał, iż zamało posiada świętości do sprawowania Najśw. Ofiary.

— Zdumienie ogarnia na myśl, że Pan Bóg powierzył tę wzniosłą czynność tak nędznym, jak ludzie istotom! powtarzał nieraz ks. Vianney. Czyż nie widzimy, że różne sprawy osobiste, albo też gazety, polityka, jakieś nowinki zaprzątają myśl kapłana i z głową tem wszystkiem przepełnioną staje u stóp ołtarza lub brewiarz odmawia... Co do mnie, najgorętszem mem pragnieniem byłoby usunąć się od wszelkiej odpowiedzialności i w cichem ustroniu dzielić czas pomiędzy modlitwą a obsługiwaniem chorych, wówczas czułbym się zupełnie szczęśliwym. Kiedy przeglądam Żywoty Świętych Pańskich widzę tam zakonników, misjonarzy, biskupów ale proboszczów bardzo mało!

Najgłówniejszą przeszkodą do świętości nam, kapłanom, jest brak zastanawiania się nad sobą, brak modlitwy, rozmyślania, jednoczenia się z Bogiem, słowem brak życia wewnętrznego!

Chcąc zaś je nabyć trzeba ciszy, spokoju, odosobnienia, bo tylko w samotności Bóg przemawia do duszy. O, jakże odpowiedzialne jest nasze powołanie! Gdyby wiadomem było, co to jest być kapłanem, nie jeden skrył by się na pustynię, jak niektórzy święci czynili, byleby złym księdzem nie zostać; najbardziej grożącem niebezpieczeństwem jest, gdy dusza stygnąć zaczyna, bo powoli całkiem obojętnieje na to, że ludzie Boga nie miłują. Gdybym był wiedział co to jest być świeckim kapłanem, byłbym uciekł do Trapistów!

Z powodu licznego napływu ludu do Ars władza duchowna oprócz ks. Raymonda, który przez dziesięć lat był dzielnym i niezmordowanym pomocnikiem w pracach apostolskich proboszcza z Ars, przysłała mu jeszcze kilku księży Misjonarzy z Lionu.

Widząc że teraz parafja pod dobrą znajduje się opieką, sędziwy ks. Vianney, postanowił usunąć się stanowczo wiedząc jednak, że będą energiczny temu stawiali opór znowu powrócił do zamiaru ucieczki.

Ale i tym razem jego plany zostały zawczasu odkryte. Zawiadomieni OO. Misjonarze czatowali na proboszcza, który nocą wysunął się cichaczem z mieszkania i starali się go usilnemi prośbami odwieść od powziętego postanowienia. Kiedy niepomagały ich namowy uderzono w dzwon na trwogę, cała ludność ze snu przebudzona wyległa na plac przed kościołem. Z początku ogarnęła wszystkich panika, nie wiedziano o co chodzi, sądzono że może jakiś napad na ukochanego proboszcza, więc śpieszono z bronią, lub chwytając co kto miał pod ręką, widły, kije lub wiadra z wodą. Popłoch się stał niedoopisania. Kiedy objaśniono wreszcie o co chodzi uderzono w płacz, kobiety modliły się głośno, wszyscy wołali:

— Zostań, zostań z nami!..

Wreszcie ks. Toccanier, Misjonarz, przemówił do serca ks. Vianney'a:

— Jakto księże proboszczu, ty co tak dobrze znasz życia świętych, czy zapomniałeś o wytrwałości św. Marcina, który sięgając już po koronę niebieską zawołał:

„Nie odmawiam się od dalszej pracy!..“ a ty miałbyś opuścić przed końcem dnia niedoorane pole?.. Czy nie pamiętasz ojcze, słów Filipa Neriusza: „Gdybym już był u drzwi raju, a usłyszał że grzesznik

mnie potrzebuje, porzuciłbym niebo, a wrócił wysłuchać go". A ty miałbyś zaniechać spowiedzi tylu pielgrzymów przybywających zdaleka? Czy nie odpowiesz za to przed Bogiem? Parafjanie na kolanach, wołali żałośnie:

Ojcze, nie opuszczaj nas!

I jak tu było oprzeć się tak serdecznym prośbom i naleganiom? Prawie na ręku zaniesiono go do kościoła, gdzie upadłszy na twarz przed Przybytkiem rzewnie zapłakał. Jeszcze raz jeden próbował ucieczki, ale rozchorowawszy się w drodze zmuszony był powrócić; ta okoliczność przekonała go ostatecznie, że Bóg życzy sobie, aby na stanowisku swem wytrwał do końca, a pragnienie samotności począł uważać za pokusę za chęć odpoczynku, kiedy tymczasem nie było chwili czasu do stracenia, tyle pracy dokoła, tyle chwastów do wyplenienia, tyle łez do otarcia. Więc znowu zapominając zupełnie o sobie oddawał się zacny kapłan swym mozolnym i ciężkim obowiązkom.

Pewien poeta zachwycony nadziemskim wyrazem twarzy ks. Vianney'a nie mógł dość słów znaleść, aby go wychwalać.

— Oto prawdziwa postać świętego, mówił, o wiele większy on jest nad swoją sławę! Nigdy nie zapomnę tego oblicza okolonego już aureolą błogosławionych, tego ognistego wejrzenia i tej dziecięcej prostoty!..

Wizyta O. Lacordaira w Ars. Uznanie cnót. Ubieganie się o szczątki błog. ks. Vianney'a.

Wiele znakomitości współczesnych odwiedziło skromną siedzibę ks. Vianney'a, pomiedzy innymi był tam słynny kaznodzieja i pisarz znakomity, O. Lacordaire. Po wysłuchaniu nauki proboszcza z Ars, Ojciec Lacordaire rzekł:

Z chlubą wyznać muszę, że chociaż różnimy się pod względem sposobu wyrażania myśli, jednoczymy się w treści. Zbudowany świętością księdza Vianney'a i dziecięcą jego prostotą mówił wzruszony:

— Nauka wyczerpuje życie, ale go nie zapełnia, pobożność przeciwnie, opromienia je, podnosi i zapełnia.

Ks. Vianney ze swej strony podziwiał niezmiernie dar wymowy O. Lacordaira, nie zazdrościł mu, bo w tym sercu gołębiej łagodności nie było miejsca na tego rodzaju uczucie, ale mówił ze skromnością:

— Nie będę już miał odwagi ukazać się na ambonie, po tak znakomitym kaznodziei!..

Odwiedziny te pozostały pamiętnymi dla obu tych wielkich filarów chrześciaństwa XIX wieku. Ale dla ks. Vianney'a rozgłos i sława były prawdziwą torturą; to o co inni ubiegają się i czem się szczycą, było dlań tylko jakby nowym krzyżem.

Dopominano się natarczywie o jego podpisy na książkach do nabożeństwa lub obrazkach, wykradano mu kartki z brewiarza chowając je jak relikwje, dla tego, że dotykała je ręka błogosławiona; czasem ukradkiem udało się gorliwym pielgrzymom obciąć pasmo jego siwych, rozwianych włosów. Wizerunki ks. Vianney'a były bardzo rozpowszechnione i nie było domu prawie, gdzie by nie zawieszono jego portretu na honorowem miejscu. Te widome oznaki czci sprawiały proboszczowi z Ars niezmierną przykrość. Widząc u kogoś na ścianie swoją podobiznę zawołał niemal rozpaczliwie:

Ach, jeszcze ten szkaradny obraz!..

Artyści musieli używać podstępu, aby go odmalować z natury, jeden znakomity malarz przez pewien czas ukrywał się codziennie w kościele, dla zrobienia wiernego szkicu do portretu.

W Rzymie imie skromnego proboszcza z Ars było też chlubnie znane. Odwiedził go pewnego dnia kardynał Bonald i był ogromnie zachwycony, a przysyłając mu następnie różaniec poświęcony przez Piusa IX pisał:

— Ars, ziemio błogosławiona, ziemio cudów! Zaledwo nogą naszą dotknięta, a już żywą i nie zatartą pamięć zostawiłaś nam po sobie!

Czasami zdarzało się, że nie zgadzał się w zdaniu z osobami najbieglejszemi w znajomości ksiąg świętych, a jednakże skutki zawsze prawie wykazywały, że słuszność była po jego stronie.

Oceniając wielkie zasługi dla religji we Francji położone ofiarował rząd francuzki legję honorową ks. Vianney'owi; jest to zaszczyt, który tylko najdostojniejszych obywateli kraju spotyka. Ale pokorny Boży sługa nie przyjął daru i w chwili wręczenia go sobie, oddał O. Toccanier, misjonarzowi dodając, że cesarz pomylił się i z pewnością dla godniejszego przeznaczył.

Już zawczasu ubiegano się o prawo posiadania zwłok czcig. ks. Vianney'a i toczono spory gdzie spoczną jego szczątki?

Mieszkańcy rodzinnej wioski wysłali deputację do proboszcza z Ars z prośbą o wyrażenie pod tym względem swej woli w testamencie. Ks. Vianney zgodził się na to i przyrzekł zastrzedz, żeby ciało jego odwieziono do Dardully. Ale mieszkańcy Ars uczuli się tem dotknięci i błagali, aby ich nie opuszczał nawet po śmierci. Ponieważ i sam biskup wmieszał się w tę sprawę, ks. Vianney przerażony nieco, że już tak wcześnie myślą o uczczeniu go po śmierci, mówił skromnie:

— Byleby dusza moja spoczęła w Bogu, o resztę nie dbam!

Skłoniono go do sporządzenia nowego testamentu, w którym ostatecznie zapisał swe zwłoki parafji Ars. Rzadki ten fakt upominania się o śmiertelne szczątki za życia świadczy dowodnie,

jakiem uznaniem i miłością rodaków cieszył się ten mąż błogosławiony.

Bystrość sądu i jasnowidzenia ks. Vianney'a.

Błog. ks. Vianney miał nadzwyczajnie bystry umysł i obejmował łatwo najzawilsze kwestje.

Pewien proboszcz z Autun miał do załatwienia dość trudną sprawę, z którą niemógł dać sobie rady i wielu ludzi zapytywał napróżno. Udał się wreszcie do Ars i tam jedno proste słowo ks. Vianney'a odsłoniło mu prawdę z taką jasnością, że był zdumiony i uszczęśliwiony. Wydawało mu się nieprawdopodobnem, aby ten skromny pleban mógł sam własnym rozumem wszystkiego dociekać, chyba musi mieć jakiegoś bardzo mądrego doradzcę, pomyślał sobie, i nie mógł się powstrzymać od zapytania ks. proboszcza, gdzie się uczył teologji?

Ks. Vianney w milczeniu wskazał klęcznik swój, bo też tylko tam czerpał on mądrość w modlitwie, wprost z nieba biorąc natchnienie.

Przenikliwość błogosławionego przechodziła często w dar jasnowidzenia. Nieraz zdarzało się, że podczas spowiedzi potrafił najzupełniej dokładnie określić, jak dawno penitent niebył u spowiedzi. Jednemu z nich, który w żaden sposób nie mógł przypomnieć sam owej daty, powiedział że mija właśnie dwadzieścia ośm lat, gdy był u konfesjonału. Innemu zaś, że już czterdzieści cztery lata się nie spowiadał.

Przypominał różne szczegóły z życia obcych sobie zupełnie ludzi wprowadzając ich tem w niezmierne zdumienie.

Kiedyś wielki zbrodniarz będąc chorym udał się do Ars, ponieważ wiedział, że tam ludzie odzyskują zdrowie. Spowiadał się więc ale zataiwszy wszystkie swe haniebne czyny. Gdy skończył, ks. Vianney jął opowiadać całe jego życie nie opuszczając najdrobniejszych szczegółów, jakgdyby sam był obecnym przy każdym opowiedzianym czynie. Zbrodniarz to bladł to się czerwienił, widział się bowiem jak w zwierciadle i naraz powziął takie obrzydzenie do grzechu, że z całej duszy uczynił postanowienie poprawy; kiedy dostał rozgrzeszenie został uzdrowiony, a wróciwszy w swe strony stał się przykładem pokuty i pobożności.

Pewien lekarz z Lionu przybyły chciał być świadkiem, jak ks. Vianney wykłada katechizm, ponieważ opowiadano mu przedtem, że wykłady te mają w sobie coś nadziemskiego. Stanąwszy na uboczu począł słuchać uważnie. W pierwszej chwili sposób mówienia sędziwego plebana wydał się lekarzowi tak zabawnym, że omal nie roześmiał się na głos, jak to sam opowiadał, ale następnie ogarnęło go niepojęte wzruszenie, łzy ciśnęły się do oczu, wszystko co słyszał było proste, jasne, a zarazem tak wzniosłe, tak dobitnie wyłożone, że lekarz ów mówił następnie swym znajomym: „Myślałem, że jestem przeniesiony do lepszego życia, poprostu wierzyć nie mogłem, że jeszcze coś na świecie może sprawić na mnie tak wstrząsające wrażenie!“

Św. Izydor powiada, że głównym przymiotem człowieka przeznaczonego do nauczania drugich jest jego świętość i nieskazitelność życia; dalekim niech będzie od grzechu ten, który innych ma odwodzić od grzechu; niech świeci doskonałością, gdy ma drugich do doskonałości prowadzić.

To też, gdy ks. Vianney uczył miłości Bożej, pokory, słodyczy, cierpliwości, umartwienia, poświęcenia się, czystości, pragnienia cierpień, popierał naukę swą przykładem i dla tego przekonywał i zwyciężał.

O, jakiż to przykład dla wszystkich kapłanów, jak przewodnicy duchowni powinni myśleć o tem, że słowa bez czynów są niczem. Jak ojciec, jako głowa rodziny powinien dawać dobry przykład swym dzieciom, tak samo pleban musi być dla całej parafji najpiękniejszym wzorem.

Błędnem jest mniemanie, że pobożność powstrzymuje w ludziach rózwój umysłu niedozwalając zbytnio zagłębiać się w dociekania, takie fałszywe zasady głoszą bezbożnicy, ażeby lud oderwać od wiary i Kościoła św. Już sam wyraz: „pobożny“ niemile brzmi w uchu światowców lub tak zwanych postępowców, którym się wydaje, że odrzucanie rzeczy świętych jest dowodem rozumu, jakgdyby najpiękniejsze i najszlachetniejsze władze ludzkiego ducha traciły na poddaniu się karności chrześciańskiej. Nie chcą oni zrozumieć, że przeciwnie jednoczenie się z Bogiem przez miłość i łaskę, ciągła walka dobrego ze złem, pokuta i umartwienie, sprowadzają jak najlepsze skutki, wracają bowiem duszy zdrowie, moc, wielkość i godność.

— Łaska tak nam jest potrzebna, jak kule chromemu!.. powiadał nie zapomniany proboszcz z Ars. Im więcej się modlimy, tem więcej modlić się pragniemy, tak jak ryba pływając z początku po powierzchni wody, coraz głębiej się zanurza, tak dusza coraz bardziej pogrążając się w modlitwie, jakby w falach, rozkoszuje w słodyczach rozmowy z Bogiem!

Pogoda umysłu i dobry humor błog. proboszcza z Ars.

Dużo bardzo jest zupełnie mylnych przekonań o świętości i pobożności w ogóle. Tak samo jak fałszywie zapatrują się ludzie na wpływ pobożności w rozwoju umysłu, tak też sądzą, że człowiek święty musi być surowy, wyglądający jak jakiś posąg z kamienia, nie uśmiechający się nigdy do ludzi. A jednak widzimy dowodnie, że tacy święci mężo-

wie, jak np. Wincenty à Paulo, jak ks. Vianney mieli nadzwyczaj dużo miłego humoru i nieraz ogromnie dowcipnem powiedzeniem budzili serdeczną wesołość.

Oto parę przykładów z życia błogosławionego ks. Vianney'a.

Ktoś z życzliwych chcąc wyrazić uprzejmą pochwałę proboszczowi d'Ars, zauważył, że był on, jedynym kanonikiem nominowanym przez J. Eksc. Chalandona. Ks. Vianney nie lubiący pochlebnych słówek odrzekł na to:

— Bardzo naturalnie, Jego Ekscelencja tak nieszczęśliwy zrobił wybór za pierwszym razem, że na drugi niema odwagi!

— Ks. proboszczu, rzekł mu raz pewien mężczyzna, którego barczyste ramiona i twarz rumiana stanowiły uderzającą sprzeczność z wybladłem obliczem i szczupłą postacią ks. Vianney'a Rachuję na naszego kochanego proboszcza, że będę tam wysoko dobrze przyjęty, bo spodziewam się, że nie zapomni ksiądz kanonik o przyjaciołach i przypuści ich łaskawie do uczestnictwa w swych umartwieniach i zasługach. Gdy ksiądz kanonik będzie iść do nieba postaram się uchwycić za kraj sutanny!

— O nie rób tego, mój kochany, zawołał ks. Vianney ze swym miłym i pogodnym uśmiechem; wejście do nieba bardzo ciasne, tu spojrzał nieco złośliwie na barczystego parafjanina, moglibyśmy obaj pozostać za drzwiami!..

Powiedziawszy to, zaraz przeprosił swego gościa nie chcąc go żartem swym urazić.

Kiedyś znów Brat Atanazy, przełożony szkoły w Ars powróciwszy z wycieczki powozem opowiadał proboszczowi, że koń się spłoszył i w rów go wywrócił.

Ks. Vianney wyraziwszy mu swoje współubolewanie dodał:

Św. Antoni nigdy z powozu nie wypadał!..

— Jakże sobie radził? zapytał brat Atanazy.

— Chodził zawszę piechotą, odpowiedział proboszcz z uśmiechem.

Serce miał złote ten zacny kapłan; nieraz gdy ofiarowano mu jakiś obraz, różaniec, cenny relikwiarz mówił w pierwszej chwili:

— To już zachowam dla siebie!

Ale jak tylko zauważył, że ta sama rzecz kogoś zachwyca, wnet oddawał ją bez żalu, bo zrobienie komuś przyjemności było mu daleko milszem niż własna radość.

Nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, do Najśw. Panny. Troszczenie się o dusze czyścowe.

Ks. Vianney zalecał szczególniej trzy nabożeństwa: do Męki Pańskiej i Najśw. Sakramentu, do Najśw. Panny a trzecie za dusze w czyścu cierpiące i często przytaczał słowa św. Bernarda, że w ludziach brak nabożeństwa do Eucharystji jest znakiem odrzucenia; Męka Pańska, mówił, jest niejako szerokim potokiem z góry płynącym i nigdy nie wyczerpanym. Wychwalając Najśw. Sakrament używał najsłodszych i najczulszych wyrazów, serce jego rozpływało się w uczuciach wdzięczności i miłości, twarz promieniała, oczy sypały iskry, łzy głos tłumiły.

— Bez Boskiej Eucharystji, mówił, nie byłoby szczęścia na ziemi, życie stało by się nie do zniesienia! Jedna Komunja św. dobrze odbyta dostateczną bywa, aby obrzydzić sobie świat i uczuć przedsmak nieba!

Ogólnem było mniemanie, że ks. Vianney widywał oczami ciało Pana Jezusa przy Najśw. Ofierze, albowiem oblicze jego wyrażało taki zachwyt, że niepodobna było wątpić o działaniu Ducha św. Zakonników miłował ze szczególniejszem upodobaniem, jako chwałę i ozdobę Kościoła. Należał sam do trzeciego zakonu św. Franciszka i do kilku bractw, do czego też innych zachęcał.

Wszystkie uroczystości Najśw. Panny obchodzone były w Ars z wielką okazałością i nadzwyczajnym napływem ludności okolicznej.

— Serce Marji, tak nas miłuje, nauczał ks. Vianney, że serca wszystkich matek razem wzięte są tylko kawałkiem lodu w porównaniu z niem.

Najwięcej martwiło błogosławionego, że za mało ludzie wdzięczni są Bogu za Jego hojne dary. Rad był wszystkich natchnąć swoją wiarą i miłością głęboką.

— Księże proboszczu, zapytał go raz kapłan, którego wielce szanował, gdyby ci Pan Bóg dał do wyboru czy zostać na ziemi aż do skończenia świata dla nawrócenia grzeszników, czy też zaraz pójść do nieba, cobyś wybrał?

— Został bym na ziemi, odpowiedział, trud mnie nie przestrasza i gdyby nie obawa sądu Bożego, gdy mi przyjdzie zdać rachunek z pasterskiego życia mego, byłbym najszczęśliwszym z ludzi.

Kiedy czyniono uwagę, że ksiądz proboszcz jest zanadto miłosierny i że ubodzy często na złe obracają otrzymaną jałmużnę, odpowiadał:

— To do nas nie należy, czyniąc z niej zły użytek, odpowiedzą przed Bogiem, a my również, jeśli odmawiamy pomocy.

Hojne z różnych stron nypływały dary na ręce ks. Vianney'a; jemu to okolica zawdzięcza wiele fundacji, szkółek ludowych, zakładów dobroczynnych, które do dwustu tysięcy franków rocznie pochłaniały. Pieniędzy nadsyłanych nigdy w najdrobniejszej chociażby cząstce dla siebie nie używał, obracając je wyłącznie na chwałę Bożą i bliźnich

pożytek. Cieszył się w duchu, że na przekorę szatanowi, obraca na zbawienie dusz złoto, którem się on posługuje na ich zgubę.

Nie znosił podarunków dla siebie, a kiedy mu jego prosty, gliniany kubek ktoś na ładną porcelanową filiżankę zamienił, pozbył się jej natychmiast, mówiąc:

— Czy też nigdy nie dadzą mi zaprowadzić ubóstwa u siebie!..

Ostatnie lata. Choroba i śmierć błog. ks. Vianney'a.

Oddawna już widocznem było, że życie ks. Vianney'a dobiega do końca, głos jego słabł coraz bardziej, słaniał się idąc, cała energja życia i ducha skupiła się w oczach. Niezwykłe upały w lecie 1859 r. ostatecznie go osłabiły, zdarzało się że omdlewał w konfesjonale. Męczył go też kaszel ustawiczny, a kiedy doradzano różne lekarstwa, ks. Vianney machał ręką mówiąc:

— Niechby tam dokuczał, mniejsza o to, tylko to jest nieznośne, że mi tyle czasu zabiera!

W piątek 29 lipca 1859 r. po całodziennej, zwykłej pracy wrócił do siebie i rzekł do OO. Misjonarzy:

— Już więcej nie wytrzymam!

Nazajutrz usiłował wstać i udać się do kościoła, ale nie mógł się na nogach utrzymać.

— Zdaje mi się, że już koniec, rzekł z właściwą sobie prostotą.

Trzy dni następne trwały modły wiernych o powrót zdrowia ukochanego pasterza.

Ze łzami w oczach przyjmował Ostatnie Sakramenta, twarz jego przybrała wyraz anielskiego rozradowania. Miał jeszcze ostatnie zadowolenie na ziemi z powodu przybycia biskupa, który dowiedziawszy się o ciężkim stanie zdrowia ks. Vianney'a natychmiast do niego pośpieszył. Tej że nocy d. 4 sierpnia błog. Jan Marja zasnął w Bogu spokojnie, bez męki, podczas gdy odmawiano przy jego łożu modlitwy za konających.

Lud pobożny śpieszył zewsząd do Ars dla oddania ostatniej posługi błogosławionemu.

Święte zwłoki przyodziane w skromną rokietę, w której go zwykle widywano i której nigdy prawie nie zrzucał, przeniesiono do jednej z dolnych izb, na prędce białem obiciem, kwiatami i wieńcami przyozdobionej. Tam przez dwie doby cisnęła się niezliczona ilość ludzi dla uczczenia zwłok zmarłego. Co dwie godziny żałobny dzwon rozbrzmiewał, a dwóch braci zakonnych stojąc przy katafalku przykładało do rąk błogosławionego podawane przedmioty, obrazki, medaliki, książki do nabożeństwa. Pomimo niezwykłego upału ciało nieuległo zepsuciu, a rysy zachowały zwykły swój wyraz słodyczy, dobroci i spokoju.

W obecności biskupa Langalerie nastąpiło przeniesienie zwłok do kościoła. Przeszło trzystu kapłanów przybyło na pogrzeb, a wszystkie drogi wiodące do Ars były zapełnione napływającym ludem.

Okoliczne zakony przysłały swych przedstawicieli; tłum ludu tak się cisnął do trumny, że trzeba było użyć siły zbrojnej dla utrzymania porządku.

Biskup miał mowę pogrzebową, podczas której ze wszystkich stron rzewne łkanie słychać było.

Po skończonem nabożeństwie zaniesiono zwłoki do kaplicy św. Jana i złożono w grobie obok konfesjonału, w którym zwykle spowiadał.

Przy grobie tym wciąż wielu pobożnych modli się i doświadcza łask nadzwyczajnych. Uznany został ks. Vianney przez Stolicę Apostolską czcigodnym, obecnie zaś błogosławionym.

Dnia 8 sierpnia

ŚWIĘTY CYRJAK, DJAKON I JEGO TOWARZYSZE

umęczeni w Rzymie.

303.

Za rządów papieża: św. Marcelego. Cesarzy rzymskich Dyoklecjana i Maksymiana.

Wysławiajmy męże chwalebne i ojce nasze, oni są ludzie miłosierne, których pobożności nie ustały; ciała ich są w pokoju pogrzebane a sława ich żyje z pokolenia w pokolenie. Mądrość ich niech sławią narody, a chwałę ich niech opowiada Kościół.

Estyk. 44. 1. 10. 15.

Chrześcianie użyci do robót publicznych w Rzymie.

Cesarz rzymski Dyoklecjan powołał do pomocy w rządzeniu państwem Maksymiana, który z żołnierza stał się wodzem i doszedł do najwyższych zaszczytów.

Maksymian ów dla przypodobania się dobroczyńcy swemu przedsięwziął budowę wspaniałych łaźni mających być dumą Rzymian przez długie lata.

Do tego olbrzymiego dzieła postanowił tyran użyć rąk chrześciańskich, ażeby powiększyć w ten sposób ilość pracujących niewolników. Jak niegdyś w Egipcie używano Izraelitów do wznoszenia budowli państwowych, tak Maksymian pod grozą śmierci spędzał całe zastępy wyznawców Chrystusowych. Pomiędzy wyznaczonymi do budowania owych łaźni Dyoklecjana byli młodzieńcy, dorośli i starcy zgrzybiali, wielu duchownych w tej liczbie; musieli oni nosić kamienie i piasek, ciągnąć ogromne ciężary przechodzące częstokroć ich siły. Odżywiano ich bardzo marnie jakby umyślnie morząc głodem, aby następnie urągać, że są nie zdatni do żadnej roboty. Spragnionym odmawiano wody do picia, pędząc ich jak zwierzęta biczem i nie dając chwili wytchnienia.

Postępowanie tak nieludzkie budziło w szlachetnych umysłach wielkie oburzenie. Znalazł się pomiędzy bogatymi obywatelami Rzymu pewien zacny chrześcianin imieniem Trazon, który nie mogąc znieść widoku cierpieć zapędzanych do ciężkich robót braci w Chrystusie starał się im ulżyć posyłając zapasy żywności.

Niebezpiecznie było w owe czasy przyznawać się głośno do życzliwości i współczucia dla prześladowanych, Trazon więc porozumiewał się z nimi przez diakonów Cyriaka Synizjusza, Larga i Smaragdusa.

Św. Cyrjak należał dawniej do bogatego toskańskiego rodu, ale przyjąwszy chrzest rozdał całą majętność ubogim i poświęcił się Bogu. Św. Marcelin papież konsekrował go na diakona wraz z Sinizjuszem. Obaj oni posługiwali gorliwie więźniom i męczennikom, jak również ich towarzysz Largus.

Ale czujne straże pogańskie pojmały tych dzielnych sług bożych w chwili, gdy rozdawali żywność przysłaną przez Trazona robotnikom chrześciańskim, a było to już dostatecznym dowodem do ściągnięcia na siebie ciężkiej kary.

Zapędzono więc ich tak samo jak innych do uciążliwej pracy budowlanej, obchodząc się z nimi z barbarzyńską surowością.

Wyrok ten przyjęli mężnie śpiewając hymn radośny, że Bóg pozwala im cierpieć wraz z innymi, a nie mogąc już wspomagać braci swych niewolników jałmużną i pożywieniem dawali im natomiast słowa pociechy, dodając sił do zniesienia ciężkich katuszy.

Doniesiono Maksymianowi, że ci nowi robotnicy ośmielają się zachęcać swych współtowarzyszy do wytrwania w wierze, nieraz zaś widząc słabych starców uginających się pod brzemieniem biorą ich w obronę, lub wykonywują cichaczem wyznaczoną im robotę. Maksymian nie znający uczuć litości uważał to za gorszącą samowolę i nieposłuszeństwo; rozkazał wnet uwięzić diakonów i wytoczyć im proces.

Męczeństwo św. Synizjusza i św. Saturnina.

Synizjusz był oskarżony właśnie oto, że uwolniwszy starca Saturnina z włożonego nań ciężaru, sam poniósł to brzemię. Stawiony przed trybunałem i zapytywany, czy chce oddać cześć bałwanom pogańskim odpowiadał prosto i śmiało wyjaśniając zdumionym sędziom, że poniesienie śmierci za wiarę nie jest strasznem dla dobrego chrześcianina, odstępstwo zaś jest zatraceniem duszy.

Kiedy drugi raz wezwano go z ciemnicy dla odpowiadania przed sądem, otoczyła go jasność niebiańska i dał się słyszeć głos: „Przyjdźcie do mnie błogosławieni Ojca mojego, otrzymać królestwo zgotowane wam od początku świata“.

Ten głos z nieba słyszeli stojący obok Synizjusza i wnet nawrócił się z tego powodu Apronia-

nus, który następnie przez Synizjusza został ochrzczony, a w kilka dni potem ścięto mu głowę.

Synizjusza i Saturnina trzymano w jednem więzieniu, gdzie nawracali pogan współtowarzyszy niedoli. Zaraz zawiadomiono o tem władze i stawiono przed sędzią Laodycjuszem.

Męczeństwo Świętego Cyrjaka.

Zaczęto ich w zwykły poganom sposób zachęcać do oddania czci bałwanom. Stanowcze odpowiedzi więźniów wprawiały w gniew okrutny zawziętego sędziego. Wniesiono trójnóg i wonne kadzidła dla zapalenia ich przed kamiennem bożyszczem.

Święty Saturnin zawołał wówczas gromkim głosem:

— Oby się wszystkie bóstwa pogańskie w proch rozsypały.

W tej chwili trójnóg spiżowy rozpadł się na drobne części i pozostała zeń tylko garść popiołu. Na widok tego cudu dwaj żołnierze Papias i Maurus krzyknęli:

— Ten ci jes tprawdziwym Bogiem, którego czczą Sininjusz i Saturnin, chcemy również wielbić Jezusa Ukrzyżowanego!

Natychmiast na rozkaz sędziego rozciągnięto obu oskarzonych chrześcian i biczowano ich bez litości. Oni zaś podczas tej męki powtarzali wciąż:

— Chwała Ci Jezu za tę łaskę, że dozwalasz nam cierpieć dla cierpień dla Twego imienia. Niech będzie imie Pańskie błogosławionem teraz i na wieki.

Następnie zwracając się do swych oprawców mówili ze smutkiem:

— Dlaczegóż szatan skłania was do udręczania sług Bożych.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Zapałał gniewem Laodycjusz słysząc te słowa i dla zadośćuczynienia swej złości kazał nieszczęsnym ofiarom szczęki połamać, potem zaś rozpalonemi pochodniami przypiekać ciało.

Nadziemską mocą woli wytrzymywali słudzy Boży te próby; twarze ich promieniały wyrazem świętego zapału, usta zaś wielbiły Boga jedynego.

Skazano ich na ścięcie i wyrok ten został wnet spełniony.

Papiasa i Maurusa sieczono do krwi rózgami, ale nie zdołano na nich wymódz wyrzeczenia się Chrystusa. Zmarli obaj poddani strasznej torturze, a Kościół obchodzi ich święto 30 listopada.

Św. Cyrjak dobroczyńcą cesarskiej rodziny.

Św. Cyrjak pozostał jeszcze w więzieniu po męczeńskiej śmierci swych towarzyszy. Czynił on wiele cudów w owym czasie, uzdrawiał ślepych oraz innych z kalectw i chorób. Podobało się Bogu wsławić imię wiernego sługi Swego dając mu moc nadzwyczajną leczenia opętanych.

Właśnie córka Dyoklecjana, Artemizja, wpadła w szał straszny i wołała wielkim głosem, że nikt ją uzdrowić nie potrafi, jeno tylko Cyrjak djakon. Najbieglejsi lekarze wzywani przez zrozpaczonego cezara nie mogli w żaden sposób uspokoić młodej dziewczyny.

Dyoklecjan kazał przyprowadzić uwięzionych Cyrjaka Larga i Smaragdusa. Cyrjak zbliżył się do chorej i modlitwą wygnał szatana.

— Jeśli mnie wygnasz — odpowiedział głos piekielny przez usta opętanej — to ja cię natomiast zagnam do Persji.

Mimo te pogróżki moc sługi Bożego sprawiła, że Artemizja powróciła do normalnego stanu, a Dyoklecjan w porywie wdzięczności za uzdrowienie córki darował Cyrjakowi piękny pałac, powrócił mu swobodę i zapewnił, iż odtąd będzie mógł żyć spokojnie przez nikogo nie prześladowany.

Matka Artemizji, Serena, przyjęła chrzest św. w tajemnicy, a córka również poszła za jej przykładem.

Podróż do Persji. Nowe cuda.

Wkrótce potem córka króla perskiego cierpiąca także na obłęd opętańczy przywoływać poczęła pomocy św. Cyrjaka, wierząc święcie, że on jeden mocen jest ją uleczyć.

Król perski wysłał gońca do cezara Dyoklecjana prosząc o przysłanie tego cudotwórcy, który córkę jego uzdrowił.

Nie mógł Cyrjak oprzeć się usilnym prośbom pobożnej Sereny i wraz z Largem i Smaragdusem puścił się w podróż do Persji. Część drogi odbyli morzem, następnie zaś szli pieszo śpiewając hymny pobożne. Była to z ich strony dobrowolna ofiara, gdyż chętnie możni władcy byliby ułatwili im podróż. Przebywszy wreszcie do celu udali się na dwór królewski, a król rzucił się do nóg św. Cyrjaka błagając go o poratowanie w tak ciężkiem strapieniu.

Św. Cyrjak uzdrowił opętaną a ten nowy tryumf wyznawcy Chrystusowego sprawił, że król, królewna i liczny dwór perski a z nimi przeszło czterystu pogan przyjęło wiarę św. i z ręki Cyrjaka djakona chrzest otrzymało.

Uszczęśliwiony władca perski ofiarował dobroczyńcy swemu i jego towarzyszom bogate dary, oni jednak nic przyjąć nie chcieli, mówiąc:

— Słudzy Chrystusowi rozdają darmo to, co z łaski Bożej otrzymali.

Po czterdziestopięcio-dniowym pobycie w Persji powracali znów we trzech do Rzymu wioząc z sobą listy dziękczynne króla perskiego dla Dyoklecjana. Cezar przyjął ich bardzo uprzejmie i zapewnił raz jeszcze, że im się żadna krzywda nie stanie.

Torturowanie wyznawców Chrystusowych. Śmierć męczeńska.

Święci wyznawcy spożytkowali dobre usposobienie władcy powracając znów do swych prac apostolskich i miłosiernych uczynków. Uczęszczali na zebrania tajne chrześcian, przyjmując czynny udział w ich życiu.

Gdyby Dyoklecjan pozostał w Rzymie prawdopodobnie strach przed gniewem cezara byłby powstrzymał prześladowców wiary chrześciańskiej od dręczenia tych przynajmniej, których sam władca opieką swą otoczył. Ale względy polityczne zniewoliły Dyoklecjana do przeniesienia się do Nikomedji w Azji Mniejszej, a na jego miejscu pozostał Maksymjan, który dał teraz folgę swej nienawiści względem chrześcian, a uważając Cyrjaka i jego towarzyszy za niebezpiecznych podżegaczy wnet wydał rozkaz uwięzienia ich i poddania ponownie badaniom sądu.

Tym razem stawiono obwinionych przed Karpasem, który namową i groźbą starał się skłonić ich do wyrzeczenia się Chrystusa. Oni jednak wytrwale odpowiadali, że raczej śmierć przeniosą nad zdradę i odstępstwo.

Wówczas oddano ich w ręce oprawców, i wrzącą smołę lano na głowę Cyrjaka. On zaś z pogodnem obliczem nie zdradzając ani jednem drgnieniem strasznego cierpienia śpiewał hymn dziękczynny sławiąc Boga Wszechmogącego. Karpas nie poprzestał na owej nieludzkiej katuszy, kazał biczować sługę Bożego i łamać mu kości. Ani jeden jęk nie wydobył się z piersi męczennika, a tylko wołał wciąż:

Chwała Ci Jezu Chryste, chwała! Dzięki, że mogę cierpieć dla Ciebie!

Przedstawiono Maksymjanowi, że wszelkie środki przekonania chrześcian i zmuszenia do oddania czci bogom pogańskim na nic się nie zdały. Maksymjan pośpieszył podpisać wyrok śmierci i nazajutrz wyprowadzono skatowanego Cyrjaka, Larga i Smaragdusa oraz dwudziestu uwięzionych z nimi chrześcian na drogę salaryjską, gdzie ścięto im głowy.

Pobożny kapłan imieniem Jan zwłoki męczenników starannie zachował i w pobliżu miejsca kaźni tymczasowo pogrzebał. Ciało św. Cyrjaka za staraniem Lucyny, świątobliwej Rzymianki, spoczęło w katakumbach przy drodze do Ostji d. 8 sierpnia i dlatego w dniu tym obchodzimy pamięć tego świętego.

Następnie relikwje męczenników umieszczono w Rzymie w kościele Najśw. Panny *in via lata* wzniesionym w miejscu gdzie mieszkał niegdyś św. Paweł. Obok tego kościoła znajdował się też klasztor pod wezwaniem św. Cyrjaka. Relikwje świętego męczennika były tam zawsze z wielką czcią przechowywane i wielu cudownych uzdrowień stały się przyczyną.

Jedno ramię św. Cyrjaka zostało w X wieku przewiezione do kościoła w Bambergu, a w 1049 r. papież Leon IX część relikwji św. Cyrjaka udzielił opactwu w Aldorf (Alzacja).

Łaźnie Dyoklecjana.

Olbrzymie łaźnie Dyoklecjana, przy budowie których pracowało czterdzieści tysięcy chrześcian rozpoczęte w 302 roku a skończone za rządów Galerjusza, mogły pomieścić jednocześnie trzy tysiące dwieście osób. Istniały jeszcze te łaźnie do końca IV wieku, następnie były już w ruinie, na kamieniach sterczących z gruzów odnajdywano krzyże ręką chrześcian wykute.

W późniejszych znacznie czasach na ruinach tych powstała wspaniała willa kardynała Bellay'a, która przeszła potem na własność świętego Karola Boromeusza za rządów Piusa IV. (Jemu to odstąpił ten budynek krewny papieża św. Karol dla zakonu Kartuzow).

Tak więc za zrządzeniem Opatrzności budowla przy której tyle łez i potu niegdyś wylano, wzniesiona rękoma chrześcian przez pogaństwo gnębionych, stała się z czasem schronieniem pobożnych zakonników. Obok klasztoru znajduje się obecnie wspaniały kościół Matki Boskiej Anielskiej. Wzniósł go ks. Antoni del Duca mający szczególne do świętych Aniołów nabożeństwo. Pomimo, że nie posiadał dostatecznych środków materjalnych, postanowił sobie wybudować świątynię Pańską i w tym celu przybył z rodzinnej Sycylji do Rzymu za rządów papieża Klemensa VII. Kiedy jego starania i zabiegi nie odniosły pożądanego skutku i del Duca ze smutkiem rozmyślał nad tem, że musi wyrzec się swego zamiaru, nagle miał widzenie, w którem głos z nieba rzekł mu:

— Przeczytaj niezwłocznie żywot św. Saturnina, on bowiem jest jednym z męczenników który padł ofiarą przy wznoszeniu łaźni Dyoklecjana i tam właśnie jest miejsce, gdzie powinien stanąć kościół tak przez ciebie upragniony.

Ks. Antoni del Duca wyszukał niezwłocznie ów żywot św. męczennika i znalazł miejsce, gdzie były dawne łaźnie. Tam odrazu obmyślił plan przyszłego kościoła i rozpoczął na nowo starania około wykonania zamiaru. Po wielu przeciwnościach, przeszkodach i zwłokach otrzymał wreszcie od Juljusza III pozwolenie na rozpoczęcie dzieła.

Dnia 15 sierpnia 1550 r. konsekrowano to miejsce pełne bolesnych a drogich wspomnień i ustawiono tam tymczasowo dwa ołtarze. Odrazu lud rzymski począł się tu zbierać bardzo chętnie na modlitwę, a pobożni duchowni ofiarowali się odprawiać kolejno nabożeństwo. Ale okropna burza zawrzała z tego powodu wpośród ludności rzymskiej, byli bowiem tacy, którzy upodobali sobie to miejsce do gry i zabawy i uważali, że ks. del Duca krzywdę im wyrządził, grożono mu nawet śmiercią.

Nieustraszony kapłan zwrócił się do papieża, ale otrzymał następującą odpowiedź.

— Nic obecnie uczynić w tej sprawie nie możemy, poleć się opiece świętych Aniołów, niech Ci oni dopomogą.

Istotnie ks. del Duca nie widział teraz innego ratunku, jak tylko w gorącej modlitwie, to też przez lat kilka Bogu tylko się użalał nad niemożnością wykonania pobożnych zamiarów, jakoż ukarani zostali owi źli ludzie, którzy na życie pobożnego kapłana nastawali, jednego z nich zamordowano, inni polegli na wojnie, kilku zginęło nagłą śmiercią.

Ksiądz del Duca miał znowu objawienie, że przyszedł czas stosowny do ponowienia swych starań w sprawie budowy kościoła. Św. Karol zachęcał gorąco wuja swego papieża Piusa IV, który właśnie zasiadł na Piotrowej Stolicy, aby się do wzniesienia bazyliki na ruinach łaźni Dyoklecjana przyczynił. Polecono wykonanie jej słynnemu Michałowi Aniołowi Buanorotiemu, genialnemu artyście z tej epoki. Del Duca zmarł w 1554 roku i pochowany został w tymże kościele. Michał Anioł potrafił zużytkować pozostałe z łaźni ruiny i wspaniałe kolumny z czerwonego egipskiego granitu.

Z czasem powstał jeden z najpiękniejszych kościołów rzymskich; obecnie znajduje się przy tym kościele obszerny przytułek pod wezwaniem Matki

Boskiej Anielskiej zbudowany za rządów Piusa VII. Mieści się tam w jednym oddziale przeszło 450 chłopców, w drugim 500 z górą dziewczątek ubogich i sierot, które otrzymują staranną naukę początkową, oraz uczą się różnych rzemiosł. W trzecim oddziale tego przytułku starcy i kaleki znajdują schronienie.

Źródła.

Martyrologia rzymska. Rzym i jego pamiątki, Przewodnik chrześciański.

BŁOGOSŁAWIONA JOANNA D'ARC

DZIEWECZKA Z DOM-REMY

beatyfikowana dnia 19 kwietnia 1909 roku.

1412 † 1431.

Za rządów papieża Marcina V, króla francuskiego Karola VII.

Zagrzało się serce moje we mnie, a w rozmyślaniu mojem rozpalił się ogień.
Psalm 38—4.

Uroczystości beatyfikacyjne w Rzymie.

Oddawna już pisze jeden z naocznych świadków uroczystości beatyfikacyjnych Joanny d'Arc, nie pamiętają takiego napływu pielgrzymów francuskich w Rzymie, jak w tym roku, podczas solennego obchodu. Przeszło trzydzieści tysięcy rodaków Dziewicy Orleańskiej, jak zwano zwykle błog. Joannę, przybyło z różnych stron Francji, zwłaszcza bardzo dużo duchowieństwa zgromadziło się w tym dniu pamiętnym, dość powiedzieć, że naliczono siedmdziesięciu kardynałów, arcybiskupów i biskupów; było też wiele rodzin spokrewnionych z tą wybawicielką Francji i szczycących się związkami krwi z rodem d'Arc lub Romée, (z których pochodziła matka Joanny). Niezliczone pielgrzymki, różne stowarzyszenia katolickie i patrjotyczne przyjmowały udział w ogólnej radości. Bazylika św. Piotra była wspaniale przybrana draperjami z czerwonego adamaszku weselącymi oko. Prześliczny sztandar z wyobrażeniem błog. Joanny przedstawiał jej bohaterskie czyny. Jest to dzieło znakomitego malarza Bartoliniego. Jego również pędzla są obrazy odtwarzające trzy cuda błog. Joanny, na mocy których wyniesioną została na ołtarze.

Zapał podczas całego trwania uroczystości był nie do opisania. Nie tylko olbrzymia bazylika św. Piotra ale i plac cały był przepełniony tłumem ludu śpieszącego uczcić nowo beatyfikowaną, a tak sławną w dziejach bohaterską dziewicę. Kiedy Ojciec św. Pius X ukląkł, aby modlić się przed wizerunkiem błogosławionej, każdy czuł w duszy oddźwięk tej gorącej prośby zanoszonej przez Namiestnika Chrystusowego przed tron Boży o zesłanie łaski na Francję, która swym rozdziałem Kościoła z państwem zadała bolesny cios katolickim sercom, a bezbożnością ludzi wpływowych, stojących dziś u steru rządu, najokropniejszą krzywdę wyrządza własnemu społeczeństwu.

Niezmiernie też wzruszająca była chwila audjencji, gdy biskup Orleanu w podniosłych słowach składał Ojcu św. podziękowanie za obdarzenie Francji nową patronką, za zaliczenie natchnionej pasterki z Dom-Remy w poczet błogosławionych. Papież odpowiedział we francuskim języku podnosząc cnoty i zasługi Joanny, poczem udzielił błogosławieństwa. Kardynał Coullie z Lionu, który podczas ceremonjału musiał pozostawać w pół leżącej postawie z powodu ciężkiego stanu zdrowia, zbliżywszy się z trudem do stóp papieskiego tronu padł na kolana a Pius X pochylił się ku niemu i głowę jego do ojcowskiego serca przycisnął. Kardynał ten pierwszy czynić począł starania o przeprowadzenie procesu beatyfikacyjnego Joanny d'Arc i obecnie miał szczęście widzieć usiłowania swe uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Nie rozwodząc się już nad całą wspaniałością uroczystości beatyfikacyjnych, które pozostawiły w sercach widzów nigdy niezatarte wspomnienia, przystąpimy do opowiedzenia dziejów Joanny d'Arc tak, jak się nam przedstawiają one w szczegółowo przeprowadzonych badaniach procesu beatyfikacyjnego.

Stan polityczny Francji na początku XV wieku.

Ażeby zrozumieć doniosłość czynów błog. Joanny musimy przedewszystkiem dać krótkie objaśnienie, ówczesnego stanu politycznego Francji za-

nim Dziewica Orleańska wystąpiła na widownię publiczną i wstrząsnęła kraj cały swym patrjotycznym, z bożego natchnienia płynącym zapałem.

Francja w pierwszych latach XV wieku była uwikłaną w nieszczęśliwą wojnę z Anglją, a przytem szarpana wewnątrz krwawemi niezgodami dwóch potężnych stronnictw: Burgundzkiego i Orleańskiego. Pierwsze z nich pod wodzą księcia Filipa połączyło się z Anglikami. Francją rządził obłąkany na umyśle król Karol VI głównie zaś żona jego Izabella, niewiasta zła i przewrotna, która przyczyniła się do wyzucia własnego syna, prawego następcy tronu Karola VI z praw mu przynależnych do korony, a przeniesienie tychże praw na Henryka V króla angielskiego.

Tymczasowo nosił on tytuł regenta Francji, w oczekiwaniu na śmierć obłąkanego króla francuskiego, a zarazem teścia swego, ponieważ Henryk córkę Karola VI królewnę Katarzynę poślubił.

Ale w niespełna dwa lata potem w 1422 r. obaj królowie: Karol VI i Henryk V zmarli; ten ostatni zostawił syna w kolebce, który na mocy traktatu zawartego pomiędzy dwoma mocarstwami królem francuskim został obwołany pod imieniem Henryka VI. Jednocześnie prawy następca tronu Karol VII ogłosił się królem w Poitiers, nie mogąc się dostać do Reims, gdzie według uświęconego zwyczaju, odbywało się zwykle namaszczenia królów francuskich.

W oczach wszystkich miłujących ojczyznę swą Francuzów jedynie Karol VII był prawowitym monarchą i wsparty ich gorliwą pomocą bronił praw swoich i kraju przeciw złączonym angielskim i burgundzkim siłom, będącym w posiadaniu Paryża i większej części królestwa. Przez siedm lat toczyła się walka z różnem szczęściem i ze wszystkiemi okropnemi skutkami długotrwałej wojny domowej.

Około r. 1429 sprawa Karola przedstawiała się bardzo nieszczęśliwie, gdyż w pośród jego stronników znaleźli się zdrajcy, którzy jawnie lub skrycie przychylali się na stronę nieprzyjaciół. Wojsko angielskie pod wodzą hr. Salysbury zdobyło wszystkie twierdze i miasta na północnym brzegu rzeki Loary położone i obległy Orlean, od zdobycia którego zawisło teraz ostateczne zwycięztwo.

Najdzielniejsi rycerze i wodzowie zgromadzeni w Orleanie wytężali wszystkie siły dla ocalenia miasta. Sąsiednie prowincje oddawały ostatnie zasoby, aby dostarczyć zapasów żywności oblężonym, panował tak wielki zapał, że nawet kobiety i dzieci dopomagały walczącym, podając kamienie, topiąc ołów lub smołę, którą z góry na szturmujących Anglików wylewano. Zginął podczas tego oblężenia hr. Salisbury, mimo to Anglicy niedawali za wygranę i postanowili wziąść Orlean głodem. Istotnie oblężeni znosili straszne męki i już do ostatniej doprowadzeni rozpaczy myśleli o poddaniu się. Każda chwila przynosiła nowe ofiary, ale mimo to jeszcze wierni królowi swemu rycerze dobywali sił ostatka chociaż w obec znacznie przeważającej liczby nieprzyjaciół dalszy opór wydawał się wprost szaleństwem.

Odwróćmy teraz na chwilę oczy od tego okropnego obrazu, aby zajrzeć do cichej wioseczki zwanej Dom-Remy zkąd miał przyjść tak niespodziewany Opatrznościowy prawdziwie ratunek dzielnym obrońcom Orleanu.

Dziecinne lata błog. Joanny d'Arc. Pasterka trzody. Cudowne widzenia.

Dom-Remy leży na granicy prowincji francuzkich: Szampanji, Burgundji i Lotaryngji. Tam to w r. 1412 ujrzała świat błog. Joanna, córka Jakóba i Izabelli d'Arc. Byli to dość zamożni wieśniacy pracujący na własnym zagonie, oboje bogobojni i pracowici umieli też głęboką miłość Boga i ojczyzny przelać w swe dzieci. Mieli trzech synów i dwie córki; z tych Joanna od najmłodszych lat wyróżniała się pomiędzy rówieśnicami wielką pobożnością i chrześciańskiemi cnotami. Nie było wówczas we zwyczaju, zwłaszcza wpośród wiejskiej ludności uczyć dzieci czytania i pisania, to też Joanna z ust matki jedynie nauczyła się modlitw, które powtarzała czystem sercem i w największem ducha skupieniu. W kościele zachowywała się zawsze tak przykładnie, spowiadała się i komunikowała tak żarliwie, że proboszcz miejscowy ks. Fronte mówił o niej.

— W całej mojej parafji nie ma drugiej tak dobrej chrześcianki, jak Joanna d'Arc!

Miłując Boga z całej duszy była też niezmiernie litościwą i miłosierną dla ubogich. Pielęgnowanie chorych było dla niej największą rozkoszą. Unikała natomiast głośnych zabaw, wolała przebywać w towarzystwie osób starszych, słuchać rozmów poważnych, lub też otaczała się dziećmi, którym opowiadała o Bogu i Najśw. Pannie.

Od dzieciństwa słyszała błog. Joanna o strasznych okrucieństwach wojny, widziała gorzkie łzy matek opłakujących swych synów, setki kalek bezdomnych, ofiar mordu i klęski. I tkliwe serce dziewczęcia wzdrygało się na myśl o tych okropnościach, nieraz łzami rzewnemi zalana modliła się gorąco o ratunek dla nieszczęśliwej ojczyzny.

Rodzice powierzyli Joannie swoją trzodę i to zajęcie pozwoliło jej przebywać w samotności wśród pięknej natury i rozmyślać nad niedolą swego kraju zwracając się wciąż z całem zaufaniem do Boga Wszechmocnego o dobre natchnienie.

Bóg wejrzał na łzy głębokiej wiary i miłości bliźnich i oto zobaczymy zaraz, jak ową ubogą pasterkę do otarcia łez ziomkom swoim i przelania za nich krwi niewinnej powołał.

Oto są własne jej słowa, któremi później przed sądem swych wrogów opowiadała z całą prostotą pierwsze swe cudowne widzenie:

„Dnia jednego latem, w samo południe, a mogłam mieć wtedy lat około trzynastu, będąc sama w naszym ogrodzie, usłyszałam z prawej strony, gdzie się kościół znajduje, głos wołający mnie po imieniu. I stanęła przedemną postać otoczona jasnością wielką, miała rysy bardzo dobrego i cnotliwego człowieka, u ramion widniały skrzydła, biło od niej światło a orszak aniołów otaczał ją dokoła. Aniołowie bowiem często nawiedzają chrześcian, a ci ich nie dostrzegają, jak to sama nieraz potem zauważyłam. Postać ta to był Archanioł Michał. Głos zdawał się bardzo poważnym, zatrwożyłam się i wątpiłam, ażeby to był Anioł. Za trzecim dopiero odezwaniem się poznałam kim był. Nauczył mnie i ukazał tyle mądrych rzeczy, żem mocno uwierzyła, iż to był on. Nauczał mnie, abym była dobrą, uczciwą, chodziła często do kościoła. Mówił mi jeszcze, o zmiłowaniu Boga nad Francją i że powinnam iść w pomoc królowi mojemu. Przyrzekł, że św. Katarzyna i św. Małgorzata nawiedzą mnie, a co mi rozkażą to czynić mam, albowiem posłane są od Boga, aby mnie wiodły i radą swą wspierały w tem, co mam do zrobienia. Święte Katarzyna i Małgorzata ukazały mi się, jak to Anioł powiedział, w wielkiej jasności, w promiennych wieńcach na głowie i rozkazały mi udać się do kapitana królewskiego Baudricourta (czytaj Bodrikura) zkąd będę odesłana do króla i Orlean od oblężenia wybawię Odpowiedziałam, że nie ośmielę się tego uczynić, bo nie potrafię dosiąść konia ani władać orężem. Święte powiedziały, żebym się nie obawiała niczego, albowiem Bóg mi dopomoże, a król otrzyma przezemnie całe państwo i królewskie namaszczenie w Reims.

Widzenia te ponawiały się kilkakrotnie, Joanna za każdym razem doznawała niewymownej radości, ale zarazem przejmowała ją trwoga, gdyż to czego od niej żądano, wydawało się jej nad siły. Jakże młoda, prosta wieśniaczka ma iść do królewskiego obozu, przemawiać do monarchy, brać miecz do ręki?..

W duszy Joanny toczyła się walka, głos z nieba rozkazywał jej opuścić dom rodzicielski i wyzwolić ojczyznę, ojciec, któremu zwierzyła swe troski, ani słyszeć nie chciał o czemś podobnem, przysięgał, że raczej ją utopi niżeli pozwoli, ażeby poszła z żołnierzami na bój krwawy. Chciano ją gwałtem zmusić do małżeństwa, ale Joanna ślubowała czystość dozgonną i pomimo namów i próśb rodziców, w obec pogróżek nawet rozmiłowanego w niej młodzieńca i rodziny potrafiła oprzeć się natarczywym naleganiom. Ale odtąd pobyt w domu rodzicielskim stał się dla niej bardzo ciężkim, zwróciła się do wuja,

Błog. Joanna d'Arc otrzymuje rozkaz Boży.
Obraz Bartoliniego.

który uwierzył jej słowom natchnionym i zabrał ją do siebie pod pozorem że doglądać ma chorą jego żonę. Sam zaś udał się do kapitana Baudricourta, aby go uprzedzić o przybyciu Joanny i prosić o ułatwienie jej dostępu do króla.

Błog. Joanną przepowiada zwycięztwo Karola VII-go i zwalczywszy przeszkody dąży na dwór królewski.

Kapitan Baudricourt był komendantem w Vancouleurs (czytaj Wokuler). Był to człowiek dzielny ale rubaszny i porywczy; to też wuj Joanny naraził się na grubiańskie z jego strony przyjęcie. Gdy mu powiedział o posłannictwie pasterki z Domremy wzruszył ramionami i radził odprowadzić szaloną dziewczynę do ojca, który powinien dać jej dobrą nauczkę za mieszanie się w nie swoje rzeczy.

Pomimo tak niefortunnego wstępu Joanna nie zawahała się pójść do komendanta oznajmiając mu śmiałym i stanowczym głosem, że przybywa tu z Boskiego rozkazu, aby dał znać królowi, że ma się on powstrzymać od bitwy z nieprzyjacielem, lecz w połowie postu Bóg zeszle mu pomoc, i że mimo tylu niepowodzeń i licznych wrogów Karol będzie namaszczony w Reims i koronę otrzyma.

Komendant był niezmiernie zdziwiony widząc, że młode, siedmnastoletnie dziewcze przemawia z takiem głębokiem przekonaniem, i radził się księdza co ma uczynić? W owych czasach obawiano się strasznie czarodziejskich sztuczek i komendant nie był wolny od tych obaw. Ksiądz badał Joannę, zali nie jest przez złego ducha opętaną, rycerze i lud z podziwem słuchali opowiadania o mężnej wieśniaczce, która dopomina się o widzenie się z królem i zwycięztwo mu przepowiada. Joanna wiedziona natchnieniem powtarzała wciąż z mocą:

— Zanim pół postu minie trzeba, żebym stanęła przed królem i uczynię to choćbym musiała zawlec się na kolanach. Wolałabym stokroć zostać w domu przy kądzieli, ale wolą Bożą jest, abym poszła i działała.

Komendant posłał do króla gońca z zapytaniem, czy dozwoli Joannie stanąć przed swem obliczem? Nadeszła pomyślna odpowiedź, wówczas dano Joannie uzbrojenie i konia, sam komendant miecz jej podał, a lud z podziwem patrzył na mężną dziewicę w rycerskiem przebraniu.

Rodzice Joanny dowiedziawszy się co uczynić zamierza, jeszcze usiłowali ją odwieść od śmiałego przedsiewzięcia. Joanna podyktowała list do nich błagając o przebaczenie, sama zaś w otoczeniu dodanych jej dla bezpieczeństwa sześciu jeźdźców puściła się w podróż. Wyprawa to była niebezpieczna ze względu na włóczące się po kraju żołnierstwo dwóch stron wojujących. Drogi były zepsute, mosty zniesione, rzeki wylały.

Działo się to w lutym 1429 r.

Rodzice Joanny snać w końcu dali się przebłagać, gdyż posłali młodszego brata Joanny, Piotra, aby jej towarzyszył, prócz niego jechało dwóch rycerzy, dwóch luzaków, goniec królewski i jeden giermek. Orszak ten wyjechał z Vaucouleurs w niedzielę 13 lutego wśród błogosławieństw ludu mając przed sobą ośmdziesiąt mil drogi do przebycia.

Intrygi na królewskim dworze i niedopuszczenie Joanny do monarchy.

Błog. Joanna miała taki wyraz świętego zapału w swej twarzy, że mimowoli wszyscy skłaniali głowy przed tą niezwykłą postacią. Przywdziawszy strój męzki wyglądała na młodziutkiego lecz zręcznego rycerza i na koniu przedstawiała się wspaniale. Towarzysze podróży otaczali ją czcią wielką.

Kiedy podczas trudów i niewygód podróży wojownicy niecierpliwili się i poczęli wyrzekać, błog. Joanna dodawała im otuchy mówiąc:

— Nie lękajcie się, Bóg idzie przede mną, a niebiańskie głosy wskazują mi co mam czynić.

Po jedenastu dniach stanęli w Fierbois, o trzy mile od Chinou, gdzie Karol VII z dworem swoim przebywał. Tu zatrzymała się Joanna d'Arc donosząc znać królowi o swem rychłem przybyciu. Tymczasem oddała się nabożeństwu, którego przez tyle dni gorąco pragnęła, gdyż Fierbois było miejscem cudownem św. Katarzyny, która się Joannie w widzeniach ukazywała.

Na królewskim dworze poczęto czynić intrygi, aby niedopuścić widzenia się Karola VII z rycerską dziewicą. Nawet w pobliżu Chinou urządzili zasadzkę, której prawie cudem uszła! Gdy się to nie udało przewlekali przyjęcie Joanny pod różnemi pozorami i dwa dni toczył się spór w Radzie Państwa, czy dopuścić do spotkania króla z Joanną. Tak dalece wszyscy upadli już na duchu, tak opłakanym był stan kraju, że obietnice i nadzieje wieśniaczki z Dom-Remy wydawały się poważnym dostojnikom, jakiemś rojeniem obłąkanej.

Jakto? mówili niektórzy, mielibyśmy powierzyć los potężnego państwa chrześciańskiego w słabe i niedoświadczone ręce prostej dziewczyny?

Przeznaczono jej mieszkanie w odrębnym zamku, pod dozorem mistrza dworu królewskiego; wypytywano ciekawie towarzyszów podróży Joanny o bliższe o niej szczegóły. Udało się do przybyłej kilku duchownych dla sprawdzenia, czy jest dobrą katoliczką i jakiego rodzaju były te proroctwa, o których już szeroko mówiono.

Joanna obstawała przy żądaniu widzenia się z królem, opowiedziała tylko w ogólnych wyrazach posłannictwo swoje, odebrane z nieba i nie wdawała się w żadne objaśnienia.

Ponieważ nie wynaleziono żadnej winy, a w obec wielkiej pobożności Joanny nie podobna ją było posądzić o czary, zgodzono się wreszcie, aby ją król wysłuchał.

Posłuchanie w Chinou. Badania błog. Joanny w Poitiers. Odjazd do Orleanu.

Posłuchanie odbyło się dnia 9 marca 1429 r., wśród największej okazałości dworu, sądzono, że blask majestatu olśni i onieśmieli po raz pierwszy wprowadzoną na dwór pasterkę. Pięćdziesiąt pochodni oświecało salę, wielu możnych panów i około trzystu rycerzy otaczało króla.

Każdy był ciekawy widzieć dziewczynę, którą jedni za czarownicę, drudzy za natchnioną mieli.

Joanna była piękną, kibić miała wyniosłą, głos słodki i ujmujący.

Użyto podstępu, aby wypróbować, czy owa pasterka, która nigdy króla ani jego portretów nie

widziała, potrafi odróżnić go wśród innych rycerzy. Karol VII ukrył się w ich liczbie, a wszystkie oznaki władzy królewskiej dał w ręce jednemu z książąt, ale Joanna nie wahając się ani przez chwilę, przeszła wprost do króla chociaż ten zapierał się swej godności, i pochyliła się do jego kolan. Ponieważ nie był jeszcze namaszczonym nazywała go królewiczem.

— Bóg Wszechmocny zwiastuje ci przeze mnie — rzekła — że masz być namaszczony i koronowany w Reims; masz zostać namiestnikiem Jego, bo On sam jest królem Francyi. Jesteś prawym dziedzicem i prawym synem królewskim — powiedziała mu jeszcze na stronie powtórzywszy mu niemal dosłownie modlitwę jego do Boga, kiedy prosił gorąco o rozproszenie wątpliwości, co do praw królewskich, ponieważ najbliższa rodzina starała się w nim budzić płonne obawy, że wolałaby go widzieć tułającego się na obczyźnie niż władcą tronu.

Karol VII był zdumiony przenikliwością natchnionej dziewicy i uwierzył w jej posłannictwo.

Niedowiarki uśmiechali się złośliwie i wciąż podejrzywali, że przybyła jest czarownicą. Postanowiono poddać Joannę badaniom najuczeńszych teologów i biskupów w Poitiers. Jeden Dominikanin zadał jej tam dość trudne pytanie..

— Zapewniasz wciąż Joanno — rzekł — że Bóg chce uwolnić z niewoli lud francuzki. Lecz jeżeli taką jest Jego święta wola, to pocóż w takim razie żądasz zbrojnej siły?

— Żołnierze będą walczyli, a Bóg da zwycięztwo — odpowiedziała Joanna bez wahania.

— Powinnaś uczynić jakiś cud, abyśmy uwierzyli, że istotnie działasz z Boskiego natchnienia — powiedział któryś z egzaminatorów Joanny.

— Nie przyszłam tu, aby czynić cuda, ale dozwólcie mi iść na ratunek Orleanu, a dam wam znak widomy Bożej łaski.

W całem Poitiers tak samo jak Vaucouleurs, lud odrazu uwierzył w świętość Joanny. Odwiedzano ją nieustannie. Byli i tacy którzy szli z ciekawości, inni z wiarą w jej posłannictwo wybawicielki Francyi, a wszyscy doznawali głębokiego wzruszenia i po rozmowie z błogosławioną przyznawali, że pasterka z Dom-Remy jest najwyraźniej posłanką nieba.

Badania trwały dość długo. Doktorowie i profesorowie teologji wciąż utrzymywali, iż słowom Joanny nie można dawać wiary, popierając dowodzenia mądremi cytatami z ksiąg uczonych.

Na to Joanna rzekła:

— Więcej jest u Boga, niż w księgach waszych. Ja się na księgach nie znam, ale to wiem, że przychodzę z polecenia Bożego, uwolnić Orlean od oblężenia i namaścić królewicza w Reims. Wprzód jednak trzeba mi napisać do Anglików, żeby sobie poszli. Tak Bóg chce. Macie papier i atrament, piszcie, ja wam podyktuję.

I zwracając się do wodzów angielskich rozpoczęła list w te słowa:

— Wzywam was w imię Pana, który jest w niebiesiech, abyście się ztąd wynieśli do Anglji.

Wielki spokój i wiara Joanny w swe posłannictwo wprawiały w podziw najpoważniejszych dostojników i ogromnie dodały otuchy tym wszystkim, którzy już o możliwości zwycięztwa zupełnie zwątpili.

Nie było czasu do stracenia, Orlean rozpaczliwie domagał się pomocy. Zaopatrzono więc Joannę w dopasowane do jej postawy uzbrojenie, miała na sobie pancerz, w jakim szli w bój rycerze. Jan Danlau, jeden z najzacniejszych dworzan był jej przydany za masztalerza. Prócz tego miała pazia, dwóch giermków, marszałka i dwóch pachołków. Piotr d'Arc towarzyszył siostrze nieodstępnie. Za spowiednika wyznaczono O. Jana z zakonu św. Augustyna. Wogóle zakonnicy ogromnie sprzyjali błogosławionej dzieweczce z Dom-Remy, otaczając ją czcią i uwielbieniem.

Wjazd błog. Joanny do Orleanu.

Cudny to był widok gdy Joanna ukazała się po raz pierwszy w białej zbroi, na dzielnym, karym koniu; przy boku miała topor i miecz odnaleziony według jej wskazówek za ołtarzem św. Katarzyny w Fierbois. W ręku trzymała sztandar, na którym wyszyte były z jednej strony białe linje, herb Francji, a z drugiej Bóg Ojciec trzymający świat w prawicy w otoczeniu aniołów z liljami w ręku.

— Nie chcę używać miecza mego na przelanie krwi — mówiła błog. Joanna — milsza mi stokroć chorągiew moja.

Cudowną zaiste była wielka moc Bożego natchnienia wiodąca słabą niewiastę do potężnych czynów. Poświęcenie jej było bez granic, nie znające trwogi ani niebezpieczeństwa. Misja Joanny według jej słów polegało na uwolnieniu Orleanu od oblężenia i koronację króla w Reims.

Karol VI poddając się teraz ogólnemu przekonaniu o możliwości wygranej począł czynić przygotowanie do odsieczy i zebrał kilka tysięcy wojska, które miała Joanna do Orleann prowadzić. Tymczasem wysłano ją do Bloi (Blua) gdzie poświęcała czas na religijne usposobienie armji, powtarzając często:

— Bóg tylko sprawiedliwym daje zwycięztwo.

Wojsko królewskie zebrane przez ks. Alençon (Alanson) było niekarne i rozpasane a jednak w gruncie rzeczy w sercach tych zdziczałych nieco żołnierzy tkwiły dobre uczucia z pod domowej wyniesione strzechy, kiedy to matki wiodły ich niegdyś na modlitwę przed cudowne obrazy i uczyły kochać

Boga i Najśw. Pannę. Te wrażenia z lat dziecinnych zatarły się z czasem wśród trudów wojennych, wśród pokus świata, ale obudziła je na nowo błog. Joanna, gdy jako posłanka nieba, wyższą potęgą ducha uzbrojona stanęła pomiędzy nimi.

Rycerska a świątobliwa dziewica żądała, aby wojsko, na którego czele ma stanąć, wiodło inne zgoła niż dotąd życie. Zaprowadziła nabożeństwo w obozie, kazała wszystkim przystąpić do spowiedzi

Tryumfalny wjazd Joanny d'Arc do Orleanu.
Obraz Bartoliniego.

i komunji. Urok świętości Joanny podziałał zbawiennie na całą armję Karola VI. Nie słychać już było w obozie klątw ani bluźnierstw, w duszach wszystkich obudził się ten podniosły zapał religijny i patrjotyczny, który dodaje siły do wytrwania i zwalczenia wszelkich przeszkód.

Z Blois Joanna wysłała list do ks. Bedforta, angielskiego wodza, upominając go raz jeszcze, imieniem Boga, aby ustąpił z Francji, którą król jego niesprawiedliwie sobie przywłaszczył, następnie 27 kwietnia ruszyła z wojskiem do Orleanu. Była to raczej procesja niż pochód wojenny. Naprzód szli księża śpiewając *Veni Creator* i różne inne pobożne pieśni. Chorągiew z wizerunkiem Pana Jezusa Ukrzyżowanego powiewała na czele. Dalej jechała Joanna, a obok niej marszałkowie i przedniejsze rycerstwo. Za nim cztery tysiące wojska prowadząc za sobą znaczny transport bydła i wozów z żywnością.

Czas był pogodny, wiosenna zieleń i kwiaty mile nęciły oko. Powiało nowem życiem w skrzepłej pod wrażeniem klęsk Francji. Brzegi Loary, któremi dążyło wojsko królewskie na odsiecz oblężonym zowią „ogrodem Francji“ tak bujną tu jest roślinność i piękną okolica.

Cały hufiec wiedziony przez natchnioną dziewicę miał zapał w oku, czuł się ożywionym nadzieją zwycięztwa, wierzył że Bóg ich zamiarom sprzyja.

Błog. Joanna nie mając kobiecego otoczenia sypiała w zbroi i tak do twardego życia obozowego prędko nawykła, że znosiła wytrwale wszystkie trudy, dodawała otuchy żołnierzom zapewniając, że wejdą niewątpliwie do oblężonego miasta.

Gdy zbliżono się do Orleanu Joanna zrozumiała, że nie postąpiono według jej rozkazu, chciała bowiem podejść od strony północy, gdzie zgromadzone były główne siły nieprzyjacielskie, wodzowie jednak według własnego planu działając woleli zajść z innej strony, gdzie im się dostęp łatwiejszym wydawał.

Joanna jednak światłem nadprzyrodzonem oświecona lepiej rozumiała, co czynić należy, aniżeli ci zanadto zaufani w swej praktyce wojskowej rycerze. Wkrótce przekonali się, że źle wyszli na tem, bo trzeba było całą armję z zapasami żywności przeprawiać na drugą stronę rzeki Loary, co przedstawiało trudność niesłychaną. Musiano cofnąć się o całą milę i tam dopiero udało się przeprawić żywność dla oblężonych, wojsko zaś miało powrócić aż do Blois i ztamtąd dopiero iść drogą do Orleanu, jak to wskazała błog. Joanna.

Na spotkanie bohaterskiej dziewicy przybyło kilku obywateli z Orleanu, błagając, aby z nimi udała się do miasta na statku, co też uczyniła. Prowadził ten statek łodzie z zapasami żywności, tak upragnionymi przez oblężonych i udało się przemknąć szczęśliwie tuż pod działami Anglików.

Wieczorem o godz. 8-ej 29 kwietnia odbył się wjazd Joanny do Orleanu wśród niezliczonych tłumów ludu. Przed nią niesiono jej sztandar, otaczał ją orszak rycerzy. Witano wybawicielkę radośnie i ze czcią niezmierną, a ona zsiadłszy z konia przed katedrą modliła się gorąco.

Następnie zaprowadzono ją do domu skarbnika ks. Orleanu, gdzie ją żona i córki gospodarza ogromnie serdecznie przyjęły.

Już samo dostarczenie tak niespodziewane żywności oblężonym, bez walki i krwi przelewu było bardzo doniosłym czynem.

Podczas mszy św. w katedralnym kościele panował nastrój wielce podniosły, a Joanna modliła

się z takim żarem, że sam jej widok dodawał wiary i ufności w rychłe zwycięztwo.

Joanna chciała, aby niezwłocznie uderzono na nieprzyjaciół, ale że wojsko jeszcze nie przybyło, znowu listami poczęła wzywać wodzów angielskich do ostąpienia.

Odpowiedziano jej na to urągliwemi obelgami. Mimo to w wojsku angielskim szerzył się popłoch, trzeba było jak najprędzej skorzystać z tego panicznego strachu, ogarniającego żołnierzy na wieść o niezwykłem w dziejach zjawisku, o dziewicy rycerzu wiedzionej ręką Bożą na ratunek uciśnionym.

Ale na nieszczęście armja, która cofnęła się do Blois, nie przybywała. Okazało się że ją zatrzymano umyślnie oczekując jeszcze nowych posiłków. Joanna namówiła namiestnika Dunois, że z częścią załogi wyszedł na drogę do Blois a dotarłszy do tego miasta skłonił do wysłania oddziału. W tej wyprawie Joanna z hufcem zbrojnym zasłaniała namiestnika i Anglicy nie mogli przeciąć mu drogi.

Po odjezdzie namiestnika błog. Joanna stała na czele oblężonego Orleanu. Objeżdżała konno mury, a za nią szły tłumy ludu wznosząc na jej cześć okrzyki. Wreszcie przybyły hufce królewskie, a z niemi arcybiskup reimski, będący zarazem królewskim kanclerzem. Joanna na czele duchowieństwa w uroczystej procesji wyszła na przeciw niemu i wojsko tuż pod okopami nieprzyjacielskiemi weszło do Orleanu.

Wodzowie zazdroszczą tryumfów błog. Joannie. Zdobyte reduty.

Rada wojenna w Orleanie postanowiła zrobić wycieczkę na nieprzyjaciół, ale zazdroszcząc Joannie jej wpływu, wodzowie uczynili to na własne ryzyko, tając swe zamiary przed bohaterską dziewicą i sprzyjającym jej wielce namiestnikiem Dunois. Ale Joannie powiedziały głosy nadziemskie podczas jej spoczynku, że w tej chwili krew się leje, że zrobiono wycieczkę bez jej wiedzy.

— Dajcie mi co rychlej konia i zbroję! zawołała, i za chwilę pędziła już cwałem przez miasto. Przybyła jeszcze w porę, aby podniecić gasnący zapał żołnierzy, którzy prażeni rzęsistemi pociskami nieprzyjaciół już poczynali się cofać.

Chodziło o odebranie od Anglików bardzo ważnego punktu; przypuszczono na nowo szturm, Dunois nadbiegł ze swym hufcem, rozwinięty przez Joannę sztandar powiewał wysoko. Reduta została zdobyta, Anglicy ponieśli porażkę i straty niepowetowane.

Pierwszy to raz błog. Joanna znalazła się na placu boju, płakała nad poległymi bez spowiedzi, a cały dzień następny spędziła na modlitwie.

Nazajutrz zachęceni powodzeniem oblężeni uderzyli na drugą redutę św. Jana, która dowóz żywności przecinała, gdyż znajdowała się na jednej z wysp na Loarze. Anglicy widząc niebezpieczeństwo redutę sami spalili, a znaczne siły swe zgromadzili w reducie św. Augustyna, gdzie daleko lepiej bronić się można było.

Dnia 6 maja pod wodzą błog. Joanny uderzono na nieprzyjaciół. Zdumiewała wszystkich swemi zdolnościami bystrego orjentowania się w najtrudniejszem położeniu. Kiedy hufce królewskie idące do szturmu, już poczynały się wahać i słabnąć kierując się ku łyżwowemu mostowi, aby się cofnąć, w stanowczej chwili Joanna kazała most ów zerwać, sama zaś z częścią wojska wsiadła na statek i zachodząc Anglików z boku przyśpieszyła zwycięztwo.

Tryumfalnym był jej powrót do Orleanu po wzięciu tej ważnej reduty, lecz rada wojenna zamiast podziwiać Joannę znowu w wielkim sekrecie projektowała nowy atak chcąc bądź co bądź zaćmić chwałę bohaterskiej pasterki.

Błog. Joanna wiedziała o wszystkiem pomimo, że narada odbyła się w najściślejszej tajemnicy i mówiła potem do wodzów:

— Wyście byli na waszej radzie, a ja na mojej, gdyż anielskie głosy zawsze jej towarzyszyły, a zwracając się do swego kapelana dodała:

— Jutro od świtu nie odstępuj mnie, Ojcze, będzie to dzień gorący dla mnie. Otrzymam ciężką ranę, ale dokonam ważnych rzeczy.

Oswobodzenie Orleanu. Błog. Joanna otrzymuje ranę ale zarazem odnosi ostateczne zwycięztwo.

Siódmego maja o świcie Joanna po wysłuchaniu mszy św., pokrzepiona komunją, przywdziała zbroję i podążyła na czele wojska, aby wysadzić Anglików z ostatniej pozycji i w ten sposób uwolnić ostatecznie Orlean z długiej niewoli. Reduta, zwana Wieżyczki, była silnie obwarowana a czoło rycerstwa angielskiego stanowiło jej załogę. Zdawało się, że warownia ta jest nie zdobytą.

Joanna kazała wyprowadzić wszystkie działa i zwrócić je w stronę Wieżyczek. O dziesiątej godzinie zabrzmiały trąby do ataku, z obu stron rozpoczął się ogień armatni. Wojsko francuzkie kilkakroć odparte zasłało trupami szańce i poczęło ustawać w zapale. Wówczas nieustraszona Joanna sama wskoczyła w głęboką fosę i przystawiła drabinę do muru. Anglicy biorąc ją za cel pocisków osypali gradem strzał rycerską dziewicę. Strzała utkwiła w jej ramieniu, krew popłynęła strumieniem, Joanna upadła, Anglikom już omal nie udało się ją schwytać lecz zdążono unieść ranną i złożyć na trawie w miejscu bezpiecznem. Spowiednik, namiestnik i wodzowie zgromadzili się około rannej. Na widok krwi, Joanna miała łzy w oczach, ale szybko ochłonęła, własnoręcznie wyjęła strzałę, tkwiącą głęboko, a gdy doradzano jakieś zabobonne leki

oburzyła się uważając to za obrazę Boską. Pozwoliła tylko opatrzeć ranę, przyłożyć oliwy i obandażować, poczem odbyła spowiedź i pokrzepiona została następnie przez niebiańskie wizje: anielskie głosy przyrzekały zwycięztwo i w tejże chwili powróciły Joannie utracone siły.

W obec popłochu sprawionego zranieniem błogosławionej i strasznego znużenia szturmujących, kazano trąbić do odwrotu. Na twarzy Joanny odbiło się wielkie przerażenie.

— Jakto? Odstępować w tej chwili, gdy zwycięztwo jest tak blizkie? Zatrzymajcie się, zwyciężymy w imię Boże!

Dosiadła konia i ze sztandarem w ręku wiodła hufce do boju. Anglicy nie mieli już siły bronić się dłużej. Lud widząc, że zwycięztwo przechyla się na stronę Francuzów wpadł w szał radości, poczęto wdzierać się z innej strony na okopy reduty nieprzyjacielskiej.

Strach zdjął Anglików, — poddali się. I oto ostatnia placówka z rąk ich została wydarta. Niedobitki angielskiego wojska pod wodzą Talbota i Suffolka zostawiwszy artylerję, jeńców i chorych, rozpoczęły odwrót.

Joanna nie dozwoliła ich ścigać, kazała tylko natychmiast w odzyskanej reducie wznieść ołtarz i odbyło się dziękczynne nabożeństwo. Po dziś dzień Orlean święci tę radośną rocznicę prawdziwego cudu i błogosławi pamięć Joanny d'Arc, którą Bóg powołał do wielkiego i chwalebnego dzieła ocalenia ojczyzny. Siedm miesięcy trwało oblężenie Orleanu, a w dziesięć dni uwolniła go błog. Joanna, którą odtąd Dziewicą orleańską zwano.

Wiadomość o tak doniosłem zwycięztwie lotem błyskawicy rozeszła się po całym kraju. Poczęto wierzyć w opiekę Boską nad Francją i nad królem, któremu przyznawano prawa do korony.

Joanna radziła niezwłocznie koronować Karola VII w Reims ale rada królewska i wodzowie uważali ten projekt za nazbyt pośpieszny i odradzali Karolowi iść za wskazaniem błogosławionej.

Po uwolnieniu Orleanu Joanna z namiestnikiem Dunois udała się do króla, a ten dziękował jej gorąco i dozwolił w dalszym ciągu brać udział w wyprawach dla ratowania ojczyzny. Zdecydował się nawet pojechać do Reims, dając wiarę proroczym zapewnieniom Joanny, że mu się nic złego nie stanie, ale żądał, aby wojsko zgromadzone około chorągwi królewskich pod wodzą ks. Alençon posłuszne było Orleańskiej Dziewicy i postarało się zdobyć twierdze angielskie, znajdujące się po drodze do Reims.

Wódz angielski Suffolk wyparty z Orleanu zamknął się w Jargeau a warownia ta po kilkodniowym oporze Anglików i dzielnym szturmie Francuzów, zagrzewanych przez błog. Joannę d'Arc, została zdobyta. Bardzo wielu jeńców angielskich dostało się do niewoli, pomiędzy nimi Suffolk wiedziony był w tryumfie wśród hufców zwycięzkich do tegoż Orleanu, który tyle wycierpiał z jego powodu.

Następnie na czele 7,000 wojska podążyła Joanna dalej; przyłączył się jeszcze znaczny oddział bretoński do królewskich chorągwji, kiedy Francuzi natarli na Anglików nie dając im czasu opalisadować się, wódz angielski Fastolf umknął z placu boju, Talbot zaś dostał się do niewoli. Wystraszone wojska angielskie pierzchły, a w pościgu do 2,000 położono trupem.

Zwycięzka chorągiew Joanny budziła postrach wśród nieprzyjaciół. Gdzie tylko ukazała się Joanna lud francuzki cisnął się do niej i padał przed nią na kolana. Ta cześć, jaką ją wciąż otaczano, zawstydzała rycerską dziewicę lecz niepodobna było powstrzymać zapału i uniesień wdzięcznych rodaków. Wyprawa przybrała charakter krucjaty. Jak niegdyś Piotr z Amiens powoływał naród do wojny krzyżowej, tak błog. Joanna niosła hasło zwycięztwa w imie Boże w świętej sprawie miłości zgnębionej przemocą wrogów ojczyzny.

Teraz zgodnie z wolą Joanny lud i wojsko wołało: Do Reims! Do Reims! Ale pomimo wielkiego zapału i powodzenia hufców nieulęknionych myśl wiedzenia Karola do Reims była śmiała i niebezpieczna, trzeba było bowiem z Sully, gdzie się wówczas król znajdował, przebyć 80 mil drogi w kraju, wszystkie zaś gościńce, wsie i miasta warowne zajęte były przez nieprzyjaciół. Zdawało się to dla doradzców królewskich rzeczą niepodobną do uskutecznienia. Jedna Joanna ufna w Bogu nie widziała trudności; z rzadką wytrwałością pokonywała opór i niewiarę jednych, lękliwość innych. Wreszcie do Gien nad Loarą ściągnęły wszystkie chorągwie i król z całym dworem. Zebrało się tu 14,000 wojska.

Koronacja Karola VII w Reims.

Wyruszono z Gien 28 czerwca. Joanna szła przodem, przyrzekając w trzy dni zdobyć Troyes.

— Sześć nawet dni ci damy, bylebyś obietnicę spełniła — rzekł arcybiskup z Reims.

A tymczasem wojska wciąż przybywało. Kto nie miał konia i zbroi brał łuk lub topór i w zwyczajnym ubiorze szedł na pomoc.

Twierdza Troyes okopana była głęboką fosą, trzeba było ją zasypać, aby się wedrzeć na mury.

— Jutro wnijdziemy do miasta — zawołała Joanna, gdyż głosy anielskie powiedziały jej o tem.

Całe wojsko ruszyło na wezwanie bohaterskiej dziewicy z belkami, stołami, drzwiami i co kto mógł zebrać dla zarzucenia fosy.

Noc całą pracowano, aż szeroki i głęboki parów, główna osłona miasta został wyrównany. An-

glików zdumiała i przeraziła gwałtowność szturmujących.

Miasto poddało się, załoga angielska opuszczając mury Troyes wiodła z sobą mnóstwo jeńców francuzkich skrępowanych więzami, lecz Joanna nie pozwoliła uprowadzić ich, a na jej żądanie król przyrzekł okup i jeńcy zostali uwolnieni. Całe miasto dawniej nieprzyjazne Karolowi VII złożyło mu przysięgę wierności.

Nazajutrz wojsko królewskie było już na drodze do Reims. W Chalons biskup i obywatele zaraz wyszli na spotkanie króla i ofiarowali mu klucze miasta. Było to już w Szampanji, na pograniczu której leży Domremy. Mnóstwo ludzi z tamtych stron zeszło się, aby oglądać w chwale tę skromną pasterkę, którą znali dzieckiem wzrastającem w lata i w łaskę przed ludźmi i Bogiem. Z jakąż radością witała ich Joanna i wypytywała o rodzinę i przyjaciół.

W Reims na wieść o zbliżającej się armji stał się popłoch wielki. Anglicy i Burgundowie woleli opuścić miasto bez krwi przelewu, gdyż wierzyli że sztandar Joanny zwycięztwo pewne z sobą niesie. Po wyjściu Anglików mieszkańcy Reims wysłali deputację do króla i do swego arcybiskupa ofiarując wierność i posłuszeństwo, a błagając o przebaczenie.

Dnia 15 lipca odbył się uroczysty wjazd Karola do miasta koronacyjnego. Świetny był orszak króla, ale oczy wszystkich szukały tylko natchnionej Joanny, która tak wielkiego dzieła dokonała.

Dnia 17 lipca odbyła się koronacja według tradycyjnego obyczaju. Korona świętego Ludwika spoczęła na głowie nowego władcy, uznanego teraz przez cały naród. Po przysiędze ks. Alençon pasował króla na rycerza.

I oto największe dzieło błog. Joanny zostało dokonane. Ze swą zwycięzką chorągwią w ręku stała w katedrze podczas uroczystości, a wszystkich oczy utkwione w nią były z dziękczynieniem za pokój odzyskany.

Posłannictwo spełnione.

Gdy po koronacji Karol stał już w koronie na głowie z berłem ręku, rzuciła mu się do nóg Joanna d'Arc i ze łzami mówiła:

— Szlachetny królu! Spełniła się wola Boga, który chciał, abym uwolniła Orlean i abym ciebie panie zaprowadziła do Reims, abyś tu koronowany pokazał światu, żeś prawdziwym władcą i że do ciebie królestwo całe należy.

Joanna spełniwszy misję swą byłaby rada teraz w katedrze reimskiej zawiesić swą zbroję i wrócić do swoich. Błagała więc króla, aby ją ze służby uwolnił.

Bł. Joanna d'Arc w katedrze w Reims podczas koronacyi króla Karola VII.

Król jednak żądał od niej by pozostała; niestety jednak, zazdrośni o jej wpływ ministrowie nie dozwalali stosować się do rad natchnionej wieśniaczki i pomimo jej nalegań niedopuścili, ażeby Karol niezwłocznie wyruszył do Paryża, który pod wrażeniem dokonanych zwycięztw byłby się poddał niewątpliwie tak samo, jak to inne miasta uczyniły.

Anglicy zajmowali naówczas Paryż po obu brzegach Sekwany, tak, że dowóz żywności mieli ułatwiony, a rozległość olbrzymiej stolicy nie pozwalała myśleć o zdobyciu jej szturmem przez wojska królewskie. Trudności istotnie były wielkie, ale gdyby armja szła pod wodzą Joanny byłoby i nadal towarzyszyło jej zwycięztwo.

Oblężenie Paryża.

Rada wojenna postanowiła, że tylko część wojska wysłaną będzie dla zdobywania Paryża, a był to błąd wielki, gdyż właśnie wszystkie siły zgromadzić tam należało. Przypuszczono szturm od strony zachodniej i podłożono ogień pod redutę. Joanna znajdowała się przy tym oddziale i walczyła wraz z innymi. Jednemu z rycerzy angielskich wy-

trąciła z ręki miecz bogato wysadzany, który potem wraz z całym rynsztunkiem kościołowi św. Dyonizego w St. Denis ofiarowała.

Dwie fosy oddzielały szturmujących od reduty. Joanna zsiadłszy z konia zachęciła cały oddział do spuszczenia się i przebrnięcia fosy. Ale stanęła przed drugą, pełną wody. Położenie było okropne, grad strzał sypał się z góry na oblegających. Jedna strzała ugodziła w nogę Joannę, wytrzymywała jednak ból mężnie, aby nie zrażać zapału żołnierzy. Ponieważ jednak krew płynęła, obficie musiano ją odprowadzić po za pierwszą fosę, wojsko też cofnęło się poniósłszy znaczne straty.

Szturm ten niefortunny odbył się 8 września w dzień Matki Boskiej i Paryżanie poczęli głośno wyrażać swoje oburzenie na pogwałcenie święta. Przypisywano Joannie winę na królewskim dworze z powodu nieudanej wyprawy, chociaż ona teraz wykonywała tylko to, co rada wojenna postanowiła. Przy oblężeniu Paryża powodem porażki wojsk królewskich była haniebna zdrada. W chwili bowiem, gdy należało całą siłą dopomódz Joannie i skierować nowy oddział w atakowaną stronę minister Tremoille i oddani mu wodzowie powołali żołnierzy do odwrotu.

Tak zaślepiała tych ludzi niegodziwa zawiść, że woleli klęskę, niż zwycięztwo, w któremby imię Joanny nową okryło się chwałą. Błog. Joanna pozostała prawie samotna na okopach z dotkliwą raną w nodze, błagając, aby nie odwoływali żołnierzy. Książe Alençon i kilku rycerzy pośpieszyli ku niej, a Joanna wciąż powtarzała:

— Gdybyście jeszcze prowadzili atak, zamiast trąbić do odwrotu, dziś jeszcze bylibyśmy weszli do Paryża!

Dowiedziano się następnie, że istotnie była to chwila jedyna do przeprowadzenia bohaterskiego zamysłu Joanny, w całem mieście bowiem panował strach, nikt nie spodziewał się w dniu tym ataku i bez wielkiego wysiłku można było zwyciężyć.

Po sromotnym odwrocie wojsk z pod murów Paryża Joanna doradzała jeszcze wyprzeć Anglików z innych stanowisk, ale jej nie usłuchano i przemogło zdanie kanclerza, który postanowił przeprowadzić układy. Temi układami zmarnowano czas i dano nieprzyjacielom możność zebrania nowych posiłków. Nadeszła zima, utrudniająca dalszą walkę.

Król zabrał z sobą Joannę do Sully, uniemożliwiając jej w ten sposób branie udziału w wojennych wyprawach. Działał słaby ten monarcha pod wpływem złych doradzców, nieprzyjaznych bohaterskiej dziewicy.

Taka bezczynność w obec zagrożonej jeszcze wielce ojczyzny bolała Joannę, to też w marcu 1430 r. opuściła dwór królewski i na czele rycerstwa zwróciła się na północ Francji.

W Lagny nad Marną wzruszyło ją wielce strapienie pewnej kobiety, której zmarła dziecina nie będąc jeszcze ochrzczoną. Złożono martwe ciało przed obrazem Najśw. Panny, a wszystkie młode dziewczęta wraz z matką, gorzko płaczącą, zanosiły głośno modlitwy o wskrzeszenie dzieciątka.

Kiedy Joanna ukazała się w tem mieście uważano to za prawdziwą łaskę Bożą i pośpieszono ku niej prosząc o przyłączenie swych próśb dla ubłagania cudu. Jakoż zaraz potem w obecności błog. Joanny, modlącej się gorąco, dziecię otworzyło oczęta, a dopiero po otrzymaniu chrztu św. po raz wtóry skonało.

Pod tem samem miastem Lagny Joanna pokonała zastęp nieprzyjacielski i głośny z okrucieństw swych najemnik Anglików Arras dostał się do niewoli. Sędzia z Lagny, jako zbrodniarza stracić go kazał. Ta okoliczność stanowiła później jeden z ważnych punktów oskarżenia w wytoczonym Joannie przez Anglików procesie.

Objawienie prorocze. Błog. Joanna dostaje się do niewoli.

Głosy niebiańskie nie opuszczały błog. Joanny, one to przepowiadały zwycięztwa, one nagliły do bohaterskich czynów, a jeśli cokolwiek w planach wojskowych podczas pobytu błogosławionej w armji królewskiej zostało źle wykonane to niezawodnie wówczas, gdy nie usłuchano rad natchnionej pasterki z Domremy. Przekonano się o tem zawsze niestety zbyt późno i w ogólności, dziś w świetle dziejów dopiero ukazuje się nam postać Joanny w cudownym blasku bohaterstwa i męczeństwa, a w owym wieku zawiści i ciemnoty jej olbrzymie zasługi były niedostatecznie ocenione.

Kiedy błog. Joanna znajdowała się w mieście Melunie śś. Katarzyna i Małgorzata ukazały się jej lecz tym razem objawienie, które usłyszała krew ścięło jej w żyłach.

— Dostaniesz się do niewoli, jeszcze przed św. Janem, mówiły prorocze głosy.

Błog. Joanna przyjmowała w pokorze wszystko co Bóg jej zsyłał; całe jej życie było tak wyjątkowem, że mogła się wszystkiego spodziewać jeszcze w przyszłości.

Teraz wyruszyła Joanna na odsiecz miastu, które Anglicy oblegli ale ks. Filip burgundzki zdobył je przekupstwem i zdradą i rozłożył się obozem wraz z Anglikami pod Compiegne (Kompień).

Joanna zgromadziwszy znaczny oddział zdołała nocą wprowadzić go do oblężonego miasta, co wznieciło radość w mieszkańcach i zapał w wojsku. Polecono Joannie na czele 600 ludzi wyjść z miasta dla przecięcia drogi nieprzyjaciołom.

Wilhelm Flavy, gubernator miasta, chciał w ten sposób zdradziecki pozbyć się Joanny i wprost oddać ją w ręce wrogów. Było to 23 maja 1430 r. Oddział Joanny natarł na Burgundów z taką siłą, że odpędził ich daleko, ale natychmiast nadbiegli im na pomoc Anglicy i tak przeważającą siłą nacisnęli hufiec Joanny, że ten cofać się musiał.

Waleczna dziewica w purpurowym płaszczu zarzuconym na zbroję i ze sztandarem w ręku na czele garstki wiernych rycerzy broniła się mężnie. Gdyby mogła dostać się za okopy miasta byłaby ocaloną, ale Flavy niby w obawie, że za cofającym się oddziałem mogą wtargnąć nieprzyjaciele, kazał zdjąć most i zatarasować wejście do bramy.

Już zaledwie kilkunastu bohaterskich towarzyszy Joanny pozostało przy niej, reszta poległa lub poddała się. Położenie było bez wyjścia.

Słyszała Joanna dzwony bijące na gwałt w mieście ale nikt na pomoc jej nie przybywał. Rzuciła się w bok i ufając rączości konia chciała się ratować ucieczką. Wtem zastąpił jej drogę łucznik Lionel, schwycił za płaszcz ściągnął z konia i rozbroił.

Brankę odprowadzili Anglicy do Marigny i oddali ją ks. Janowi luksemburskiemu. Mnóstwo żołnierzy zebrało się z ciekawości, aby zobaczyć kobietę, która przez tak długi czas była postrachem Anglików. Wyobrażano sobie, że to potwór jakiś, posępna i straszna czarownica i najrozmaitsze o niej opowiadano sobie dziwy, zdziwiono się niezmiernie widząc piękną, ośmnastoletnią dziewczynę.

Kronikarz ówczesny pisze, że z pojmania Joanny była taka radość, jak gdyby cała armja króla Karola dostała się w niewolę. W Paryżu śpiewano hymny dziękczynne, palono ognie sztuczne i wołano radośnie, że „czarownica Joanna“ pochwyconą została.

Książe Jan wtrącić kazał brankę do więzienia, następnie wydał, a właściwie sprzedał ją Anglikom za dziesięć tysięcy sztuk złota.

Więzienie. Próba ucieczki. Błog. Joanna d'Arc oskarżona o czarnoksięztwo.

Nie tylko chęć nasycenia zemsty ale i polityka Anglików czyniła im posiadanie Joanny w swej mocy tak bardzo upragnionem.

Cudowność przywiązana do jej osoby stawiała Boga po stronie Francji, co szkodziło wielce planom stronników rządu angielskiego. Chodziło im, aby akt uroczysty koronacji Karola VII w oczach całego narodu nieważnym uczynić, jedynym środkiem ku temu było ogłoszenie Joanny za opętaną lub działającą z szatanem w zgodzie.

Aby przeprowadzić te istotnie piekielne zamysły postanowiono wytoczyć Joannie proces publiczny i rozgłośny i dowiódłszy jej wspólnictwa ze złym duchem ukarać śmiercią, jak to czyniono z ludźmi podejrzanymi o czarnoksięztwo.

Jakąż czarną niewdzięcznością odpłacił w tym razie Karol VII swej wybawicielce. Zaliż nie było obowiązkiem jego najświętszym użyć wszelkich środków, aby niewinną ofiarę wybawić?

Ale Karol zajęty tylko osobistem bezpieczeństwem nie pomyślał o spłaceniu długu wdzięczności pełnej poświęcenia orleańskiej dziewicy.

Tymczasem Anglicy czynili przygotowania do sprowadzenia małoletniego Henryka, siostrzeńca Karola VII, którego, jak wspominaliśmy na początku, miano panującym ogłosić. Kardynał Winchester z ręki rządu angielskiego rozporządzał się we Francji i zażądał wydania mu Joanny, jako podejrzanej o czarodziejstwa. Dobrał sobie w tej sprawie biskupa Cauchona, którego obrał zarazem na kierownika młodego Henryka, przyszłego króla. W ohydnej tej sprawie, wytoczonej niewinnej ofierze, walczą o lepsze chciwość, złość i ciemnota.

Kilka miesięcy dręczono nieszczęsną Joannę badaniami i pytaniami trzymając ją w różnych więzieniach, wreszcie osadzono ją w Rouen. W tych ciężkich próbach błogosławiona modliła się gorąco, ani na chwilę nie ogarnęło ją zwątpienie w miłosierdzie Boże. Nie pozwalano jej wszelako przystępować do Pańskiego Stołu chcąc koniecznie dowieść, że za diabelską działała namową. Raz kiedy ją wiedli do sądu przechodząc koło kapliczki upadła na kolana przed zamkniętemi drzwiami, ze łzami błagając Boga o zmiłowanie.

I oto przeciw tej czystej, prawdziwie kryształowej duszy wytoczono najcięższe działa: oskarżono ją, że cześć Boga została przez nią obrażoną, wiara spotwarzoną, a Kościół znieważony, ponieważ przez nią rozmnożyły się w całem państwie zabobony, fałszywe nauki. Zarzucano też, że nosiła strój męski. Cauchon przekupiony przez Anglików za ich pieniądze pozyskiwał sobie sprzymierzeńców dla ostatecznego pognębienia orleańskiej dziewicy.

Doradzcy króla Karola VII mówili mu, że niepowinien mieszać się do owego sądu, bo ubliżało by to jego godności, należy bowiem pokazać światu, że i bez pomocy Joanny byłby zwyciężył, a powodzenie swe tylko sobie i męztwu wodzów i hufców swych zawdzięcza.

Tak więc błogosławiona dzieweczka z Domremy pozostawała zupełnie na łasce swych wrogów, którzy obchodzili się z nią niezmiernie surowo.

Jedyną jej pociechą w więziennych murach były powtarzające się nieustannie widzenia. Teraz święte mówiły jej, iż ma znosić cierpliwie, co Bóg zsyła, ale Joanna cierpiała nie nad sobą, a raczej nad skołataną niesnaskami ojczyzną.

Raz spróbowała ratować się ucieczką, spuściła się z okna wieży, ale wysokość była za wielka, spadła i podnieść się już nie mogła o własnej sile, zabrano ją więc do lepiej jeszcze strzeżonego więzienia.

Boleśnie schodziły dnie młodziutkiej branki w ponurej celi. Okuto ją w kajdany, jak zbrodniarkę. Podczas jej niewoli odbyła się koronacja Henryka w Paryżu, co jeszcze gorszy zamęt sprawiło w całym kraju. Nikt nie wiedział kogo słuchać, obydwa stronnictwa patrzyły na siebie wrogo i nie uznawały się nawzajem.

Cały sąd nad Joanną d'Arc był właściwie tylko dobrze odegraną komedją, bo na wypadek wyroku nie po myśli angielskiego rządu, obwiniona miała się w każdym razie dostać w ich ręce i paść ofiarą niecnej polityki i zemsty.

Sąd nad błog. Joanną.

Dnia 9 stycznia 1431 r. rozpoczął sąd swe posiedzenia w Rouen. Niepodobna było pomimo największych usiłowań zgromadzić dowodów winy i oskarżyć Joannę o czary, a wszystkie w rodzinnej wiosce zebrane wiadomości mówiły tylko na korzyść obwinionej.

Na tych przygotowaniach upłynął cały miesiąc.

W sądzie zasiadali duchowni będący zupełnie Anglikom oddani, starano się więc wszelkiemi sposobami nakłonić Joannę do takich odpowiedzi, któreby obrócić można na jej potępienie.

Gdy 21 lutego stanęła przed sądem, oblicze miała pogodne, bladą była, ale spokojną.

Żądano przysięgi, że całą prawdę wyjawi. Właściwie nic nie miała do zatajenia. Skarżyła się, że ją okuto w kajdany. Odpowiedziano, że sama jest temu winna, ponieważ miała zamiar uciec z więzienia.

— Czyś miała objawienie, że ucieczesz z więzienia, zapytał Cauchon (Koszą). Czy ci głosy twoje pozwoliły opuścić więzienie i iść gdzie ci się podobało?..

— Prosiłam o pozwolenie, alem go nie otrzymała, odrzekła Joanna i dla tego tylko zamiar mój się nieudał.

— A teraz opuściłabyś więzienie, gdyby się ku temu sposobność znalazła?

— Gdyby drzwi stały otworem uważałabym to za zrządzenie Boże, odpowiedziała.

Zapewniała, że wszystkie jej czyny pochodziły z woli Bożej i że nigdy nie uczyniła nic, coby z zasadami wiary św. zgodnem nie było.

— Jestem posłanką Boga, mówiła Joanna, sądem waszym nademną narażacie dusze wasze na niebezpieczeństwo.

Dotknięci sędziowie zdobyli się na pytanie w podobnym rodzaju, jak faryzeusze pytający Zbawiciela, czy należy płacić podatek cesarzowi?

— Joanno, mówili, czy sądzisz, że jesteś w łasce u Boga?

Tu każda odpowiedź zdawała się ją potępiać. Jeżeli powie, że „nie jest w łasce“ jakże mogło być prawdą, co utrzymywała, iż jest posłanką Bożą?

Jeżeli zaś powie że „jest w łasce“ zbluźni, bo żaden ze śmiertelnych tej pewności mieć nie może, a chełpiąc się popełnia grzech.

Lecz Joanna w prostocie religijnego ducha, odpowiedziała:

— Jeżeli nie jestem w łasce u Boga, oby mi ją zesłał, jeżeli jestem w łasce, oby mnie w niej utrzymał.

Sędziowie oniemieli z podziwu i zawstydzenia.

Tymczasem pytanie to utkwiło w jej sercu, jak cierń boleśny, budząc nie znane jej dotąd wątpliwości.

— Gdybym wiedziała, że nie jestem w łasce u Boga, nie byłoby na ziemi nieszczęśliwszego odemnie stworzenia, mówiła Joanna. Lecz gdybym była w grzechu głosy objawienia nie przemawiały by do mnie. O! Gdyby je każdy mógł słyszeć tak, jak ja je słyszę!

Sędziowie korzystali ze sposobności wydobycia zeznań, z których by się okazało, że zwodziły ją głosy czarta i zarzucali błog. Joannę takiem mnóstwem pytań i tak wszyscy naraz mówili, że błagała ich, aby pojedyńczo zadawali pytania.

— Codzień słyszę głosy święte, a nawet kilka razy na dzień, opowiadała oskarżona, słyszę je częściej niżbym wypowiedzieć mogła.

Tu dopiero zarzucono ją gradem najdziwaczniejszych zapytań:

Jak wyglądają święte? Czy mają włosy? Czy umieją mówić po angielsku? Dlaczego mówią po francuzku? Czy mają suknie? Jakiego kroju?

Błog. Joanna odpowiadała zawsze zwięźle, mądrze i z nieporównaną prostotą, np. na zapytanie czy św. Michał ukazał się jej w ubiorze i jakim? rzekła:

Czy sądzicie, że Bóg niema czem przyoblec świętych swoich?

— A gdyby zły duch przybrał na siebie postać anioła, skądbyś to poznała?

— Wiara nauczyła by mnie odróżnić złego od dobrego ducha.

Dręczono ją badaniami, czy śś. Katarzyna i Małgorzata nienawidzą Anglików?

— Nienawidzą, co Bóg nienawidzi, a kochają co Bóg kocha.

— A czy Bóg nienawidzi Anglików?

— Nie wiem, czy nienawidzi, ani mi wiadomo jaki los zgotował ich duszom, ale to wiem nieza-

wodnie, że będą wyrzuceni z Francji i prócz poległych żaden tu z nich nie zostanie, bo Bóg da Francuzom zwycięztwo.

Gdy ją męczono co do bliższych szczegółów przyszłości, odrzekła proroczo:

— Siedm lat nie upłynie, a już Anglicy poniosą większe straty, niż pod Orleanem. Stracą wszystko, co we Francji posiedli. Nie wiem dnia ani godziny, ale wiem tak pewno, że to się stanie, jak to, że tu przed wami stoję.

O księciu Orleanu, który znajdował się w niewoli i dopiero w lat dziesięć z niej się wydostał, powiedziała:

— Miłym on jest Bogu i miałam dlatego o nim częste objawienia, a było mojem pragnieniem uwolnić go z niewoli.

Zapytana w jaki sposób zamyślała to uczynić, rzekła:

— Byłabym z tej strony morza tylu Anglików wzięła do niewoli, by za nich jednego wymienić.

Kiedy wypytywano o sztandar i zarzucano, że wedle swego pojęcia kazała na nim wymalować wizerunek święty, odrzekła z wyrazem natchnionym:

— Czyniłam wszystko z bożego rozkazu. Sama w utarczkach z nieprzyjacielskiem wojskiem trzymałam sztandar w ręku, alem nigdy nikogo nie zabiła.

Odpowiedzi Joanny proste, jasne, szczere dowodziły wyraźnie, że w tem dziewczęciu niepodobna dopatrzyć się ani cienia tych zbrodni, które jej przypisywano. Sędziowie, nastający z początku na jawność i rozgłos procesu Joanny, poczęli zmieniać zdanie, czując że zamiast budzić wstręt i nienawiść do oskarżonej, raczej życzliwych jej coraz więcej jednają.

Odtąd sąd nad Joanną odbywał się w ścisłym kole, w wieży więzienia. Chciano koniecznie zmusić ją do wyznania, że bluźniła Bogu i świętym. Ale niepodobna było niczem tego dowieść i Joanna chociaż wymęczona okrutnie długiem więzieniem i ciągłem natężeniem uwagi, aby nie dać się pochwycić na jakiem nierozważnem słowie, któreby obrócono na jej zgubę, zachowywała wciąż przytomność umysłu zadziwiającą, a zważywszy, że było to dziewcze wiejskie bez żadnego wykształcenia, tylko natchnieniom bożym można przypisać tę nadzwyczajną biegłość w obcych sobie, a nieraz wielce zawiłych kwestjach.

Głosy tajemnicze powiedziały błog. Joannie, że za trzy miesiące otrzyma pomoc, będzie uwolnioną w czasie wielkiego zwycięztwa, zalecając, aby wszystko cierpliwie zniosła, nie trwożyła się męczeństwem, gdyż przez nie wejdzie do królestwa niebieskiego.

Zdawało się jej, że pod słowem męczeństwo należy rozumieć to wszystko, co od czasu swego uwięzienia znosiła, a tymczasem gotowano jej nowe katusze, które istotnie po długich latach, kiedy całą sprawę i tak stronny sąd nad niewinną wyjaśniono należycie, zyskały jej miano czcigodnej, a dziś wyniosły ją na ołtarze.

Sąd uznaje błog. Joannę, jako zbuntowaną przeciw Kościołowi.

Niemogąc dowieść, że Joanna d'Arc jest czarownicą, gdyż duszę miała zbyt niewinną i czystą i świętość biła z jej oblicza a imie Boże było wciąż na ustach, uradzono przedstawić ją jako zbuntowaną przeciw Kościołowi św. dowieść, że wierzy inaczej, jak Kościół naucza, aby w ten sposób, znaleść powód do skazania jej na stos.

Opierano się w tym razie na słowach wyrzeczonych przez oskarżoną podczas badań:

— Kocham i poważam Kościół, mówiła, chciałabym go wspierać wedle sił moich, lecz co do czynów, spełnionych, mogę się tylko odwołać do Boga, który mnie posłał.

Znaleziono więc punkt upragniony, na którym miano zbudować formalne oskarżenie.

Nie poddaje się Kościołowi św. wołano i d. 24 marca przeczytano akt oskarżenia składający się z 66 paragrafów. Żaden z nich nie był stwierdzony przysięgłymi świadkami. Ograniczano się na ogólnikach w tych słowach: „Było powszechnie wiadomo“, „Wiarogodne osoby mówiły“. Kto to były te wiarogodne osoby, o tem przemilczano.

Dwaj zakonnicy przyjmujący udział w badaniach uważali sobie za święty obowiązek uprzedzić błog. Joannę, że przecież ma jeszcze prawo odwołać się do soboru i apelować do papieża. Tego samego zdania był wyznaczony przez Cauchona egzaminator i wszyscy trzej udali się do więzienia Joanny, choć im to było wzbronione.

Joanna poszła za ich radą i nazajutrz apelowała jednocześnie do papieża i do soboru. Cauchon był oburzony, że mu tak jego plany skrzyżowano, zgromił straż więzienną za wpuszczenie doradzców, a owi trzej sprawiedliwość nad własne bezpieczeństwo przenoszący zakonnicy nie mogli się już odtąd pokazać na posiedzeniach.

Kiedy odczytano Joannie wszystkie punkta oskarżenia w obecności licznego zgromadzenia, gdyż było tam 88 osób różnych stopni i godności, zaproponowano, aby wybrała sobie z tego grona jednego lub kilku do porady.

Ale Joanna spojrzawszy przenikliwem okiem po zgromadzeniu odmówiła, utrzymując, że Bóg lepiej niż ludzie doradzić potrafi. Widziała bowiem, że otaczają ją wrogie twarze, że jej najczystsze intencje fałszywie tłumaczą.

Błog. Joanna skazana na spalenie żywcem.

Dnia 24 maja wzniesiono trybunał na placu publicznym w Rouen. Kiedy zasiadł tam kar. Winchester i bisk. Cauchon, przywiedziono Joannę i badano ją znowu, zawołała głosem donośnym:

— Odwołuję się do władzy papieskiej!..

Ale nie zważano wcale na tak słuszne żądanie, popełniając w ten sposób oburzające bezprawie. Natomiast ofiarowano jej łaskawie przeniesienie z pod angielskich straży do więzienia, gdzie będzie się znajdowała pod opieką kobiecą, z warunkiem, aby zrzuciła strój męzki, z którym nie rozstawała się do tej chwili.

Joanna zgodziła się chętnie, gdyż surowość angielskich strażników więziennych okropnie się jej dała we znaki.

Kazano się jej podpisać, że wyrzeka się nadal męzkiego przebrania, ale korzystając z tego, że uboga dzieweczka z Domremy nie umiała czytać ani pisać, dano jej inny zupełnie papier do podpisania, a mianowicie, że zaprzecza swym widzeniom, że kłamała mówiąc o niebiańskich głosach, towarzyszących jej nieustannie.

Joanna nie podejrzewając podstępu podpisała.

Zaraz potem zamiast przeprowadzić ją do lepszego więzienia wtrącono ją do tej samej ciemnicy. Przyobleczono ją w kobiece suknie, ale znęcano się jeszcze gorzej nad nieszczęśliwą, więc wolała znów ubrać się po męzku.

Cauchon przybył, aby sprawdzić, czy tak jest w istocie. Zapytał przytem, czy miała znowu widzenia i słyszała głosy?

Joanna przyznała się, w obec tego obwinioną o krzywoprzysięztwo oddano w ręce angielskich katów. We środę 30 maja o świcie wszedł zakonnik Dominikanin do celi Joanny, oznajmiając jej, że skazaną została na spalenie żywcem na stosie.

Joanna zadrżała na myśl o czekających ją męczarniach.

— Wolałabym siedm razy być ściętą, jak zostać żywcem spaloną, zawołała przerażona.

Błog. Joanna d'Arc na stosie w Rouen.

Obraz Bartoliniego, wystawiony w Rzymie podczas beatyfikacji.

Ale po chwili odzyskała znów spokój i rzekła głosem pełnym rezygnacji i zgadzania się z Wolą Bożą:

— Odwołuję się do Boga!..

Poprosiła o Wiatyk i komunikowała z wzruszającą wiarą i miłością, a łzy rzęsiste płynęły z jej oczu.

Posadzono Joannę na wóz mający ją odwieść na miejsce kaźni.

Ostatnie chwile błog. Joanny d'Arc.

Przybywszy na rynek ujrzała wielki stos dla siebie przygotowany.

Uklękła przy nim i głośno modliła się do Trójcy św., Najśw. Panny i Świętych Pańskich, błagając o przebaczenie grzechów i wyznając, że jest wierną katoliczką. Po tem jeszcze prosiła o przebaczenie wszystkich obecnych, a nawet zawziętych swych wrogów. Do duchowieństwa zwróciła się prosząc o msze św. za spokój swej duszy.

W obec czekających ją męczarni myślała tylko o tem, aby wytrwać do końca i oglądała się w koło, czy kto nie poda jej krzyża, chciała patrząc na narzędzie męki Zbawiciela wygnać z duszy opanowującą ją trwogę. Jakiś żołnież ulitował się nad nią i związawszy na prędce dwa kawałki drzewa podał skazanej. Joanna przycisnęła do ust ten symbol tak sercu chrześciańskiemu drogi. Ale prosiła jeszcze, jako o naiwiększą łaskę, aby przyniesiono krzyż z wizerunkiem Ukrzyżowanego. Ktoś z obecnych, wiedziony współczuciem, przyniósł z kościoła Zbawiciela krzyż, niesiony zwykle podczas procesji. Joanna z radością wyciągnęła ku niemu ręce, usta jej powtarzały wciąż gorące modlitwy. Jeszcze w ostatnich chwilach broniła Karola VII mówiąc, że jeżeli stało się jakie nieszczęście od czasu gdy brała udział w walkach za Ojczyznę, to całą odpowiedzialność przyjmuje na siebie w zupełności.

Tłum widzów był głęboko wzruszony, niestety nikt nie śmiał protestować przeciw okrutnemu wyrokowi. Tylko zakamieniałe serca angielskich żołdaków nie okazywały żadnej litości, a nawet niecierpliwili się niektórzy, że przygotowania do egzekucji zbyt długo trwają.

— Cóż to? Obiadu dziś będziemy musieli się wyrzeć dla tej czarownicy! wołali gniewnie.

Dwóch sierżantów porwało Joannę i umieściło ją na wierzchołku stosu i mocno sznurami przywiązano ją do słupa ustawionego w środku stosu.

Wyrwano jej krzyż z rąk, a na czoło włożono rodzaj mitry, na której wypisany był ohydny napis: *Heretyczka — odstępczyni — poganka.*

— Nie!.. Nie!.. Nie jestem poganką!.. wołała rozpaczliwie Orleańska dziewica z płonącego już stosu. Jestem dobrą katoliczką!..

A zwracając się do dwóch stojących nieopodal Dominikanów błagała, aby krzyż trzymali przed nią w ten sposób, iżby do końca miała go przed oczyma.

— Raz jeszcze powtarzam wam, zawołała, że głosy które słyszałam pochodziły od Boga, a nie od szatana. Wszystko, co czyniłam pochodziło z boskiego rozkazu. Nie!.. Nie!.. stanowczo zaprzeczam, żeby to było złudą!.. Głosy, które słyszałam napewno pochodziły z nieba!..

Kat tymczasem układał jeszcze wiązki drzewa, aby żywszym zapłonęły ogniem i z zapaloną pochodnią stał przy stosie.

Joanna ujrzawszy, że już ogień podłożono krzyknęła do zakonników stojących przy niej.

— Odsuńcie się, ojcowie, zejdźcie ze stosu, ale trzymajcie proszę was krzyż wciąż przedemną!

Suche drzewo zajęło się wielkim płomieniem, iskry sypały się dokoła, duszący dym unosił się w górę, otaczając całą postać Joanny gęstą mgłą.

— Wody święconej!.. jęknęła Joanna.

Potem konając w okropnej męce wzywała wciąż imienia Bożego:

— O Jezu!.. Jezu!.. Jezu!.. słychać było coraz cichsze, coraz rzewniejsze wołanie męczennicy.

Jeden z angielskich żołnierzy zaprzysiągł, że własnoręcznie dorzuci drzewa do płonącego stosu. Podszedł więc blizko, żeby spełnić swe postanowienie, chociaż dla wielkiego żaru buchającego z olbrzymiego stosu trudno było do niego się dostać.

W tej chwili błog. Joanna głosem silnym i dźwięcznym, który dreszczem przejął obecnych zawołała po raz ostatni:

— Jezu!.. Jezu!.. Jezu!.. Poczem głowa jej opadła na piersi. Męczennica oddała Bogu ducha.

Szczątki i serce męczennicy. Stolica Apostolska potępia wyrok.

Żołnierz angielski ujrzał w tej samej chwili białą gołębicę ulatującą ze stosu i wzbijającą się pod obłoki.

Przerażony tym widokiem upadł zemdlony.

Kiedy stos dopalił się do końca, kat dostrzegł w popiołach serce Joanny nie naruszone. Napróżno podpalał nowy ogień, serce błogosławionej pozostało całe i wraz z popiołami wybawicielki Francji wrzucone zostało do Sekwany.

Tak więc do wszystkiego, czego dokonała ta bohaterska dziewica w ciągu krótkiego swego życia brakło tylko męczeńskiej korony, aby jej zapewnić chwałę w niebie i na ziemi. I oto otrzymała ją z wyroków Opatrzności, ażeby tem głośniejszem stało się jej imie. Jeżeli nawet zawiniła kiedykolwiek przed ludźmi i Bogiem, to odpokutowała stokrotnie okropną torturą, a w ogniu męki oczyszczona dusza otrzymała zasłużoną nagrodę w niebie.

W dwa lata niespełna błog. Joanna oswobodziła Francję od nieprzyjaciół, powiodła króla do miasta koronacyjnego, burząc w ten sposób upokarzający wielce dla ojczyzny swej traktat, zawarty pod naciskiem przemocy Anglików pomiędzy dwoma mocarstwami, a mający na celu zupełne pognębienie Francji i oddanie jej pod angielskie władanie. Wówczas to katolickie państwo musiało by pozostawać pod wpływem refermowanego Kościoła, a więc poddać się odszczepieństwu. Zwycięztwa Joanny d'Arc nie dotyczą więc wyłącznie Francji

gdyż miały doniosłe znaczenie dla całego chrześciaństwa.

Przypomniał te zasługi błogosławionej Pius X w przemowie swej do pielgrzymów francuzkich podczas uroczystości beatyfikacyjnych.

— Ta dziewica błogosławiona, mówił, przez niezbadane wyroki Boże zbawiła ojczyznę od herezji i zachowała jej dostojny tytuł starszej córki Kościoła św.

Joanna odwoływała się do papieża i oto w r. 1456 Kalikst III skasował niesprawiedliwe orzeczenie sądu biskupa Cauchona i Joannę uznał niewinną.

Dnia 27 stycznia 1894 roku papież Leon XIII ogłosił Joannę d'Arc czcigodną, a Pius X po sprawdzeniu cnót heroicznych i cudów zaliczył ją w poczet błogosławionych.

Cuda błog. Joanny.

Dnia 24 listopada 1908 r. Święta Kongregacja w obecności Ojca św. rozpatrywała przytoczone w procesie beatyfikacyjnym cuda błog. Joanny d'Arc, poczem przeprowadzona była dyskusja doktorów i teologów. Z siedmiu przedstawionych faktów wybrano trzy, licznemi świadectwami potwierdzone.

1) Siostra Teresa od św. Augustyna, Benedyktynka z Kalwarji w Orleanie, zachorowała bardzo ciężko w grudniu 1897 r. zaczęła krew wyrzucać, następnie w 1899 r. po silnej influenzy boleści wewnętrzne jeszcze dotkliwiej uczuć się dały.

Lekarze nie pozwolili jej przyjmować żadnych pokarmów stałych, dawano jej tylko trochę mleka i parę łyżek buljonu dziennie, a i tego nawet przełknąć nie mogła chora doświadczając nieustannych torsji.

Raz na trzy tygodnie dozwolono jej schodzić do kościoła dla wysłuchania mszy św. Wreszcie w maju 1900 r. silne wymioty krwawe osłabiły chorą do tego stopnia, że leżała wpółmartwa i pomimo najtroskliwszej lekarskiej opieki nie było nadziei utrzymania jej przy życiu.

Dnia 30 lipca Matka przełożona przybyła do Siostry Teresy, oznajmiając, że jest zmuszoną wysłać infirmierkę, to jest Siostrę pielęgnującą chorych, do Jerozolimy dla ratowania Sióstr dotkniętych czarną ospą.

— Prośmy Boga, aby za przyczyną czcigodnej Joanny d'Arc powrócił ci zdrowie, rzekła Matka przełożona. Całe zgromadzenie nasze będzie się modliło o tę łaskę.

— Dobrze, odrzekła chora słabym głosem.

Rozpoczęto nowennę na intencję Siostry Teresy. Boleści okropne pozbawiały nieszczęśliwą zakonnicę pociechy Komunji św. a kiedy konającej prawie udzielono Wiatyku, dano tylko cząstkę Hostji w obawie, aby nie zrzuciła w nowym ataku torsji.

6 sierpnia stan chorej pogorszył się, omdlewała co chwilę. 7-go wieczorem pomimo strasznego osłabienia i ciągłych wymiotów pozwalających mniemać, że jest to rak wewnętrzny i żadnej już niema nadziei, Siostra Teresa rzekła nagle, jakby w jasnowidzeniu:

Proszę mi przynieść moje ubranie, jutro mam być uzdrowioną.

Siostry ze zdumieniem patrzyły na chorą, ale nie chcąc się sprzeciwiać jej żądaniu przyniosły habit, mówiąc do siebie:

— Prawdopodobnie przyobleczemy ją jutro do trumny.

Siostra Teresa usnęła spokojnie, aż do 2-giej w nocy. Kiedy zadzwoniono na jutrznię, zapowiedziała, że wstanie. Siostry prosiły, aby poczekała do godz. 5-ej i pół. Zastosowała się do ich żądania, ale w oznaczonej porze wstała o własnej sile, ubrała się, zeszła sama do kaplicy, odmówiła głośno Ojcze nasz i Zdrowaś Marja, modliła się jeszcze długo, poczem przystąpiła do Stołu Pańskiego; następnie wspólnie z Siostrami zasiadła do obiadu składającego się z pieczonych kartofli i jadła z apetytem.

Od tego dnia pamiętnego ani razu nie powtórzyły się okropne cierpienia Siostry Teresy, która zawsze żywi niewygasłą wdzięczność dla czcigodnej wybawicielki Francji, a wszystkie Benedyktynki z Orleanu błogosławią imie Joanny d'Arc.

2) Drugi cud miał miejsce w Faverolles we Francji, Siostra Julja Gautier cierpiała niesłychanie z powodu rakowatej narośli w piersi. Od piętnastu lat męczyła się okropnie, nic nie pomagały wszystkie środki lecznicze i Siostra Julja postanowiła prosić przełożonych, aby ją zwolnili z obowiązków nauczycielskich.

Tegoż dnia wypadło jej właśnie objaśniać uczennicom i wykładać dzieje Dziewicy Orleańskiej. Siostra Julja z wielkiem przejęciem opowiadała o cudownych głosach, które skłoniły pasterkę z Domremy do wystąpienia publicznie i dokonania tak wielkich czynów. Jednocześnie, jakby natchnieniem wiedziona zapragnęła oddać się w opiekę tej patronki Francji i prosiła swe młodziutkie uczennice, aby udały się z nią do kościoła. Ponieważ było ich ośm, chora zaś dziewiąta, ułożyły sobie na prędce nowennę osobliwą, która w jednym dniu odmówiona na intencję Siostry Julji w cudowny prawdziwie sposób wróciła jej zdrowie. Po przyjściu z kościoła czuła się Siostra Julja rzeźką, jak nigdy. Rana zagoiła się zupełnie i bezpowrotnie.

3) Cud trzeci miał miejsce w Fruges, w dyecezji Arras. Siostra Marja Saguier, ze Zgromadzenia św. Rodziny, cierpiała od trzech miesięcy na nogi, które całkowicie miała pokryte wrzodami.

Lekarze zawyrokowali, że jest to cierpienie na

tle tuberkulicznem, to jest, że zarazki są we krwi, a więc niema żadnego ratunku.

W tym czasie kanonik Debout, autor pięknego życiorysu Joanny d'Arc, bawił przejazdem w Fruges. Doradził chorej polecenie się czcig. Joannie i odmówienie nowenny.

Marja Saguier straciła już zupełnie nadzieję wyzdrowienia, a więc słysząc radę ks. Debout wstrząsnęła powątpiewająco głową i wskazując na swe opuchnięte i obandażowane nogi zawołała ze smutkiem:

— Czyż ks. kanonik sądzi, że Joanna d'Arc może mnie uratować od tego nieszczęścia?..

Jednakże myśl ta utkwiła w jej sercu i rozpoczęła odmawiać nowennę z wielkiem nabożeństwem i gorącą wiarą.

Już piątego dnia nowenny można było zdjąć bandaże, gdyż rany zasklepiły się, a wrzody znikały jeden po drugim w sposób niewytłumaczony. Po odprawieniu całej nowenny Siostra Marja odzyskała zupełnie władzę w nogach, sama już nie potrzebując oparcia zeszła do kaplicy i nie można było wątpić, że tylko cudownemu wstawiennictwu błog. Joanny d'Arc zawdzięczała swe nagłe uzdrowienie.

Nieraz słyszy się lekkomyślne zdanie, że cuda są rzeczą niedostatecznie zbadaną, że opisujący je nie opierają się na świadectwach lekarzy, a tylko na opowieściach pobożnych ludzi, wierząc na słowo, że tak było, a nie inaczej.

Tymczasem w każdym procesie beatyfikacyjnym widzimy stosy nagromadzonych dowodów, a badanie świadków jest najsumienniej przeprowadzone.

I w wyżej przytoczonych trzech cudach Joanny d'Arc również zapytywani byli lekarze, którzy leczyli chore. Ich odpowiedzi są wymownem świadectwem cudowności owych uzdrowień.

— Czy mogą panowie wytłumaczyć naukowo te nagłe zmiany w stanie zdrowia beznadziejnie chorych? Czy wasze lekarstwa to sprawiły? zapytywano.

— Nie możemy niczem objaśnić tych niezwykłych faktów i przyznajemy, że uzdrowienia nastąpiły po wyczerpaniu wszystkich środków medycznych bezskutecznie.

— Czy zdarzały się panom w ich praktyce lub też w praktyce innych lekarzy podobne uzdrowienia raka lub tuberkuł?

— Nie, jest to rzecz w naszej praktyce nie spotykana, odpowiedzieli lekarze.

Oprócz tego św. Kongregacja wybrała kilku profesorów i pod ich sąd oddała wyżej wymienione trzy uzdrowienia. Pod przysięgą musieli dać odpowiedź piśmienną.

Wszyscy orzekli, że przedstawione fakta przekraczają zakres ich wiedzy i naukowo objaśnić się nie dadzą, co tem samem potwierdza, iż wkraczają w dziedzinę spraw nadprzyrodzonych i zaliczone być mogą tylko do cudów.

Tak więc jako „przez ręce apostolskie działo się wiele znaków i cudów między ludem, a chorzy byli uzdrowieni od niemocy swoich“ (Dzieje Apost. 8) tak i dziś jeszcze ludzie silnej wiary i czystego serca doświadczają łask niezwykłych, a Bóg miłosierny za przyczyną świętych i błogosławionych, zsyła cuda u stóp świętych obrazów, relikwji, przy umiłowanym przez Najśw. Marję zdroju w Lourdes i w naszych drogich polskiemu sercu Częstochowie, Ostrej Bramie, i tylu innych miejscach cudami i łaskami wsławionych.

W opowiedzianych tu dziejach skromnej pasterki z Domremy, którą dziś świat cały wielbi i podziwia, a Stolica Apostolska mianem błogosławionej przyozdobiła, widzimy raz jeszcze powtarzającą się tę wielką prawdę:

„Wybrał Bóg głupstwo świata (to jest tych, których świat za głupich uważa), aby zawstydzić mądrych, a mdłe świata Bóg wybrał, aby zawstydzić mocne“. (Św. Paweł do Kor. 1—27).

Słowami tymi rozpoczął papież Pius X pochwałę Joanny d'Arc ogłaszając ją błogosławioną.

Źródła.

Ks. Henryk Debout. *Życie i czyny błog. Joanny d'Arc*, praca uwieńczona przez akademję francuzką.

ŚWIĄTOBLIWY ADAM MAŃKOWSKI

† 1607.

Za rządów papieża Pawła V, króla polskiego Zygmunta III.

O Najświętsza Marjo, imie Twe jest radością serca mego, miodem dla ust moich, melodją dla mych uszu.
Św. Antoni Padewski.

Gorliwy katolik. Pielgrzymka do Rzymu.

Adam Mańkowski herbu Jastrzębiec doświadczywszy wielu niepowodzeń w życiu osiadł w Żabnie o dziesięć mil od Krakowa i tam na skromnej dzierżawie żył z małżonką swą bogobojnie i pracowicie. Pomimo że mu ze znacznej dawniej fortuny nic nie zostało chętnie zawsze dzielił się kawałkiem chleba z ubogimi i cisnęli się do niego żebracy, a on nie odmawiał nikomu, co nawet dziwiło wielce sąsiadów, którzy widzieli że sam sobie od ust odejmował, aby nędzę wedle możności wspierać. O ile jednak miłosiernym był i dla innych wyrozumiałym, o tyle wymagającym od siebie.

Pościł nieustannie, ciało miał tak zbite ostrą dyscypliną, że żona mówiła o nim iż „grzbiet i koszula skorupiane były“ od ran i krwi sączącej się z blizn niezagojonych.

Często jeździł pan Adam do Tarnowa i tam u OO. Bernardynów praktykom pokutnym się oddawał. Do Matki Boskiej Częstochowskiej mając wielkie nabożeństwo co roku odbywał pieszo pielgrzymkę do cudownego obrazu.

Pragnieniem jego gorącem było odwiedzanie grobów śś. Apostołów Piotra i Pawła i wybrał się w tę podróż z przyjacielem swym Laskowskim.

Napad w Kłodzku.

W powrocie z Rzymu zatrzymali się w Kłodzku przy Murawie. Stanęli tam 31 paźd. 1607 roku. Przypadała właśnie niedziela i pobożni pątnicy postanowili zaraz udać się do kościoła.

Nie znając miasta wstąpili do pierwszej napotkanej świątyni Pańskiej, a była to jak się okazało dawniejsza fara katolicka, następnie przez heretyków bezprawnie opanowana. Uklęknąwszy przed ołtarzem modlić się poczęli, ale lutrzy patrzyli ze zdziwieniem na ich strój pielgrzymi i poczęto szeptać na okół, że katolicy umyślnie wciskają się podczas ich nabożeństwa, aby im kościół odebrać.

Chwycono za kołnierz niewinnych pielgrzymów i wyrzucono ich na cmentarz a ztamtąd powleczono na ulicę. Tu tłum rzucił się na nich, dzieci i dorośli, całe mieszczaństwo zaślepione w błędach herezji urągało katolikom w sposób uwłaczający ich uczuciom religijnym, wreszcie obrzucano pielgrzymów kamieniami, a jakaś zapalczywa niewiasta drągiem, na którym niosła wodę, uderzyła mocno Adama Mańkowskiego.

— Precz, precz z papieztwem! krzyczano dokoła i wywierano złość na niewinnych ofiarach lżąc ich i potrącając.

Zawziętość heretyków.

Obaj pielgrzymi schronili się do pobliskiego domostwa, chcąc ujść barbarzyńskiej pogoni, ale zawzięci luteranie wygnali ich z domu i znowu prześladowani znaleźli się wśród ulicznej gawiedzi narażeni na dotkliwe ciosy, gdyż widok szat pielgrzymich podniecał złość heretyków. Orzuceni gradem kamieni znaleźli się dwaj rodacy nasi w opłakanem położeniu.

Adam Mańkowski ukląkł i wznosząc ręce do nieba prosił o zmiłowanie.

— Chrześcianie jesteśmy, wołał do prześladowców, nic złego wam nie uczyniliśmy, dla czegóż tak znęcacie się nad nami?

Nic to jednak niepomogło, a jeszcze podwoiło wściekłość tych ciemnych i złych ludzi.

Jeden z lutrów wymierzył cios tak silnie, że Mańkowski padł krwią oblany. Zdawało mu się, że już ostatnia dla niego wybiła godzina, więc Bogu się polecał, wołając:

— Jezu, Synu Dawidów, zmiłuj się nademną!

Gdy się tak modlił jakiś łotr począł go bić postronkiem szydząc z jego pobożności.

— Ach ty papieżniku, krzyczał, teraz wzywasz Jezusa, a przedtem kłaniałeś się tylko Marji; gdzież jest owa Marja i wszyscy święci? Niech że przyjdą na ratunek!..

Mańkowski podniósł się z ziemi i całym wysiłkiem woli zawlókł się do pobliskiej bramy, ale zdołano ją zatarasować za nim wszedł i znowu lżono i bito pielgrzymów, gnając przed sobą aż za bramy miasta.

I tu jeszcze nie dano im spocząć, aż tłum rozszalały zapędził ich do cegielni. W odludnem miejscu dali tymbardziej folgę swemu okrucieństwu, kij pielgrzymi z ręki Mańkowskiego wydarli napastnicy i oko prawe nieszczęśliwemu wyłupili.

Laskowski również dręczony i bity włóczony był po ziemi, postronkami smagany i do krwi poraniony.

Heretycy wyrwali różańce pobożnym pątnikom i rozerwawszy je radowali się. Nakoniec nasyciwszy złość swą i dzikość odeszli pozostawiając wymęczone ofiary w pustej szopie.

Laskowski znacznie młodszy wiekiem, chociaż wiele ucierpiał łatwiej bronić się mógł od natarczywości heretyków, ale Mańkowski był już w latach podeszłych więc poturbowany tak okrutnie ledwie już dyszał. Przytem okropny ból z powodu wyłupionego oka doprowadzał go do rozpaczliwego stanu.

Katolicy przybywają z pomocą. Śmierć świątobliwego Adama Mańkowskiego.

Magistrat w Kłodzku z samych heretyków był złożony, a więc pomimo że obowiązany był bronić napastowanych przybyszy nie zarządził żadnych poszukiwań winowajców.

Zamieszkali w Kłodzku katolicy dowiedziawszy się o tem co zaszło pośpieszyli na ratunek tak ciężko pokrzywdzonych pielgrzymów polskich i odszukawszy w pół umarłego Adama Mańkowskiego opatrzyli mu rany i do chałupy jakiejś przenieśli. Tam udzielono mu wnet Sakramentów św. ale nieszczęśliwej ofiary gwałtu i przemocy nie zdołano już utrzymać przy życiu.

Świątobliwy starzec zmarł na obczyźnie, jak męczennik za wiarę katolicką srodze prześladowany.

Ciało Mańkowskiego kilka tygodni czekać musiało pogrzebu. Nakazano bowiem z Pragi przeprowadzenie śledźwa, poczem obwinieni zostali ukarani.

Dopiero po ukończeniu prawnych dochodzeń zajęto się pogrzebem. Z solenną procesją, w której nie tylko katolicy, ale i luterski magistrat uczestniczył, wniesiono zwłoki Adama Mańkowskiego do kościoła OO. Jezuitów i odbyło się żałobne nabożeństwo z piękną mową pogrzebową, w której wysławiano imię świątobliwego Polaka, ofiarę heretyckiej tyranji.

Po pogrzebie śpiewano *Te Deum laudamus* i szczątki zacnego i czcigodnego obywatela polskiego i gorliwego katolika spoczęły na wieki w tem mieście, gdzie podobało się Bogu, aby w sposób tak niezwykły ku sławie katolickiej wiary śmierć chwalebną znalazł.

Źródła.

Ks. Florjan Jaroszewicz. *Żywoty świętych, błogosławionych, świątobliwych i pobożnych Polaków i Polek.* 1767 r.

ŚWIĄTOBLIWA KATARZYNA KOŁA SAPOROWSKA

pierwsza ksieni Benedyktynek we Lwowie.

† 1608.

Za rządów papieża Klemensa VIII, króla polskiego Zygmunta III.

Panna myśli co Pańskiego jest, aby była święta ciałem i duchem. A która szła za mąż myśli co światu należy, jakoby się podobała mężowi.
1. Kor. 7. 34.

Młode lata. Umartwienia.

Świątobliwa Katarzyna pochodziła ze starożytnej rodziny Kołów od dóbr swych Saporowskich noszącej to nazwisko. Ojciec Katarzyny Adam Koła Saporowski ożenił się z Elżbietą Drohojowską, oboje byli zacni i pobożni i wychowywali córki w bojaźni bożej.

Katarzyna od dzieciństwa wyróżniała się śród rówieśniczek wielką łagodnością i dobrocią, pomimo że Bóg obdarzył ją niezwykłą pięknością nie posiadała ani trochę próżności i pychy. Pragnieniem gorącem młodziutkiej Katarzyny było oddanie się całkowicie Bogu i już w domu rodzicielskim klasztorne wiodła życie. Czytając żywoty świętych rozmiłowała się w umartwieniach i najokrutniejszymi torturami dręczyła dobrowolnie swe ciało. Smagała się dyscypliną do krwi, sporządziła sobie krzyż żelazny i takąż kratę, które rozpalając w ogniu przykładała do ciała. Sypiała zawsze na ziemi, a niekiedy w milczeniu i modlitwie trwała do ośmnastu godzin dzień i noc klęcząc, przytem sznurami lub żelaznemi łańcuszkami przewiązywała ręce i nogi raniąc je boleśnie. Probując w ten sposób wytrwałości coraz nowe wymyślała męki chcąc dorównać najszczytniejszym wzorom męztwa. Niekiedy na nogi lała wrzątek nie jęknąwszy nawet z bólu; ręce wkładała w ul wytrzymując dotkliwe ukąszenia pszczół z pogodnym uśmiechem.

Podziw ogólny budziła panna Saporowska temi praktykami, zachwycano się też jej miłosierdziem i cnotami; czystość i świętość malowały się na obliczu młodej pokutnicy, jednakże pomimo zadawanych sobie udręczeń była zdrową zupełnie a piękność jej zyskiwała na udochownionym wyrazie twarzy i miała licznych wielbicieli.

Rodzice pragnęli bardzo, aby Katarzyna poślubiła jakiego zacnego młodzieńca, ponieważ kilkakrotnie proszono usilnie o jej rękę, ale młode dziewczę nie chciało o tem słyszeć, uczyniwszy w duszy ślub czystości pragnęła tylko jak najprędzej rozpocząć życie klasztorne i nic ją od postanowienia odwieść nie było w stanie.

Powołanie do życia zokonnego. Świątobliwa Katarzyna, fundatorka kościoła i klasztoru Panien Benedyktynek we Lwowie.

Bogobojna Katarzyna nie poprzestając na własnej żarliwości podniecała ją umiejętnie w swem otoczeniu. Wszystkie znajome młode osoby zachęcała do wyrzeczenia się świata; potrafiła też siostry swe Annę i Krystynę namówić do życia zakonnego.

Trudno jest wyliczyć tu wszystkie ciężkie próby, jakie świątobliwa panna Saporowska wynajdowała i znosiła dla okazania Jezusowi swego gorącego przywiązania.

W dojrzalszym wieku przez wiele lat podczas Wielkiego postu po trzy tysiące plag codzień sobie zadawała, a jeżeli którego dnia coś przeszkodziło jej w wykonaniu postanowienia prosiła towarzyszki lub służebne, aby ją ćwiczyły do krwi a potem jeszcze włosiennicą pokrywała zbolałe ciało.

W święta męczenników dobierała zwykle odpowiednie udręczenia rozmyślając o katowaniach, jakie znosili dla miłości Bożej.

W zimie nieraz boso do kościoła chodziła podczas najtęższych mrozów.

W ten sposób zahartowawszy się w najostrzejszych ćwiczeniach myślała teraz Katarzyna o rozpoczęciu życia pod zakonną regułą. Pragnęła osiedlić się we Lwowie, ale w owe czasy nie było tam ani jednego żeńskiego klasztoru. Usłyszawszy więc o nowej reformie zakonnic św. Benedykta w Chełmnie pruskim tam się zwróciła.

Ponieważ siostry Katarzyny Anna i Krystyna oraz kilka innych panien ze szlacheckich, polskich rodzin postanowiły pójść za jej przykładem oddała je w opiekę ksieni Magdalenie Mortęskiej w Chełmnie, gdzie chwalebnie postępując w ostrości i doskonałości zakonnej, profesję uczyniły, Katarzyna zaś powróciła do Lwowa.

Adam Koła Saporowski, wielce poważany i pobożny starzec, chętnie dopomagał córce do jej za-

miarów i pozwolił z własnych funduszów postawić kościół i klasztor drewniany, co aprobował papież Klemens VIII w r. 1596 swym przywilejem a król Zygmunt III donacjami obdarzył.

Kiedy klasztor został ukończony wnet przybyły zakonnice z Chełmna, a Katarzyna z rąk Dymitra Solikowskiego, arcybiskupa lwowskiego, velum zakonne z sześciu innemi pannami wzięła i profesję wykonała.

Świąt. Katarzyna zostaje Matką przełożoną.

W r. 1599 arcybiskup Solikowski świąt. Katarzynę na ksienię pierwszą klasztoru Benedyktynek we Lwowie poświęcił.

Dziewięć lat rządziła ta bogobojna przełożona troszcząc się o dobro duchowne zakonnic i zachęcając przykładem do jak największej gorliwości. W umartwieniach swych nie ustawała a nawet je pomnażała o ile na to duchowni kierownicy pozwalali.

Pod koniec życia trapiły ją ciężkie choroby, które znosiła z największem poddaniem się woli Opatrzności a jedynym prawie jej posiłkiem był Chleb anielski codziennie przyjmowany. Nie dziw że tak świątobliwa przewodniczka wywierała wpływ zbawienny na zakonnice, których coraz więcej przybywało.

Matka Katarzyna zasnęła w Bogu na dwa dni przed uroczystością św. Benedykta, którego sobie za ojca z siostrami swemi obrała a regułę jego najściślej zachowywała.

Zmarła w 1608 r. Na pogrzebie zgromadziło się całe duchowieństwo i bardzo wiele osób świeckich dla oddania hołdu zasłużonej i cnotliwej ksieni, której pamięć otaczano zawsze czcią i uznaniem.

Dzieje klasztoru po śmierci świąt. Matki Katarzyny.

Po śmierci świąt. Katarzyny Jan Zamojski, arcyb. lwowski, poświęcił siostrę jej Annę, która ksienią po zmarłej obrana również wielkie dla klasztoru położyła zasługi. Macierzyńską łagodnością i przykładem swoim zagrzewała Siostry do ćwiczenia się w cnocie i wiele łask Bóg na klasztor zsyłał w tym czasie.

W r. 1619 panowała zaraza we Lwowie i Matka Anna zmuszoną była wywieść zakonnice w miejsce bezpieczne, cztery siostry jednak pozostały dla pilnowania klasztoru. Tym ukazał się pewnego dnia św. Sebastjan zapewniając, że czuwać będzie nad niemi i od morowego powietrza obroni. Istotnie chociaż bardzo wielu ludzi wówczas umarło i trudno było ustrzedz się od zarazy żadna z Sióstr Benedyktynek nie zachorowała.

Opowiadają jeszcze o pewnej pobożnej pani, której ukazała się we śnie Najśw. Panna wyrażając życzenie, aby w kościele Wszystkich Świętych we Lwowie ołtarz wystawić kazała a w ołtarzu umieściła obraz przedstawiający Matkę Boską taką zupełnie jaką we śnie widziała. Pani ta natychmiast przywołała malarza i opowiedziawszy szczegółowo postać i strój, w jakim się Bogarodzica ukazała obraz taki wykonać poleciła.

Artysta uczynił zadość życzeniu ale nie zupełnie dobrze wyraził cudowną słodycz oblicza Najśw. Panny. Po raz drugi owa pani miała widzenie i najwyraźniej słyszała we śnie, że to a to w obrazie poprawić należy.

Pobożna matrona powtórzyła wskazówki te malarzowi, który nieomieszkał wnet poprawki żądane porobić.

Trzeci raz ukazała się Matka Boska i rozporządziła, aby poczynić jeszcze pewne zmiany w rzeczonym obrazie, co gdy malarz wykonał już się więcej nie ukazała; ztąd wnoszono, że wizerunek jest dobrze wykonany.

Obraz umieszczono w ołtarzu staraniem pobożnej owej pani, która następnie całą swą majętność klasztorowi Panien Benedyktynek zapisała i sama też w grobie pod ołtarzem wielkim jest tam pogrzebiona.

Działo się to wszystko za rządów Anny ksieni, która świątobliwie kierując klasztorem w przeciągu lat 29-ciu zmarła w r. 1628. Za cud też niemal poczytać można, że żyła tak długo, pomimo iż przez lat trzydzieści cierpiała na suchoty.

Po niej urząd ksieni sprawowała przez dwa lata najmłodsza z panien Saporowskich, Krystyna, która pomimo podeszłego już wieku godnie odpowiedziała włożonym na siebie obowiązkom i była w cnotach siostrom swoim podobna.

Tak więc trzy te świątobliwe panny Saporowskie przez pół wieku przeszło żarliwością swą zagrzewając do cnoty przyczyniły się wielce do podniesienia ducha pobożności wśród niewiast polskich we Lwowie i całej okolicy, gdyż klasztor Panien Benedyktynek przez nie ufundowany zasłynął szeroko a umartwienia tych zakonnic zdawały się przechodzić ludzkie siły i nieraz spowiednicy musieli używać swej powagi dla poskromienia zbytniej surowości dobrowolnie przez nie stosowanej.

Podczas rządów Matki Anny drewniany kościół i klasztor zastąpione zostały murowanymi, które przetrwały szczęśliwie wiele klęsk dziejowych a zakon św. Benedykta rozwijał się wciąż ku chwale bożej i pożytkowi ojczyzny.

Cudowny obraz Najśw. Maryi Panny w Błennej *).

Na granicy gubernji kaliskiej i warszawskiej, na wstępie do tak zwanych Kujaw borowych, leży starożytna wieś Błenna, ciesząca się od dawna obrazem Matki Najśw., który lud wierny słusznie cudownym nazywa. Tu bowiem, jak świadczą akta wizyt biskupich Matka Najświętsza od niepamiętnych czasów rozliczne swe łaski proszącym roz-

Obraz N. M. Panny w Błennej.

dzielać zwykła. O starożytności tego miejsca świadczy dokument Biskupa Alexandra z roku 1517, nadający odpust 40 dni nawiedzającym ten kościół w pewne uroczystości. Niegdyś gromadziły się w Błennej z dalekich stron liczne procesje, obraz Najśw. Panny zdobiło mnóstwo wotów, niektóre niezwykłej nawet wartości, ale część ich użyto za pozwoleniem władzy na ozdobę świątyni i obrazu, część z nich zabrała ręka świętokradzka, resztę zaś obrócił rząd narodowy w roku 1831 na potrzeby publiczne.

Dlatego około roku 1855 z dawnej świetności i bogactw obrazu Najśw. Panny w Błennej, zaledwie w aktach parafjalnych ślad pozostał, a pamięć o licznych tu od Królowej Nieba odebranych łaskach zamierać poczęła. Nadto dębowy kościołek postawiony niegdyś przez Alberta Ruszkowskiego, podczaszego brzeskiego, dziedzica Błenny, który już w roku 1765 upadkiem groził—nader smutny przedstawiał widok. Ale Opatrzność Boga czuwająca nad Błenną, zesłała tam w roku 1859 gorliwego kapłana ks. Michała Orzechowskiego, który budowę nowego murowanego kościoła rozpoczętą 1861, ukończył 1877 r., częścią z własnych funduszów, częścią z hojności Anny ze Złotnickich Dąbrowskiej i Magdaleny Złotnickiej; przeważnie zaś ze składek parafjan i ludu pobożnego, szukającego tutaj pomocy i opieki Najśw. Panny.

Obraz ten Marji pociągający bardzo do nabożeństwa, umieszczony jest w bocznej kaplicy, oddzielonej żelazną kratą od nawy kościoła. Zdobi go piękna, starożytnej roboty srebrna sukienka, i druga aksamitna wyszywana perłami i drogiemi kamieniami. W ostatnich czasach zawieszono przy nim kilka nowych wotów, korali i innych darów z wdzięczności za otrzymane łaski.

W nowej świątyni ożyła dawna cześć Matki Najświętszej. Pobożny lud garnie się jak dawniej do stóp Pani Nieba i ziemi, na nowo doznając od Niej łask i pociech. Godzi się wspomnieć o uzdrowieniu pewnego gospodarza, któremu głodowa śmierć groziła z powodu zrastania się gardła! Gdy mu już żadne lekarstwa nie pomagały, bo nawet mleka przełykać nie mógł, ten ofiarowawszy się miłosierdziu Matki Najświętszej, doznał znacznej ulgi w swem cierpieniu. Rozalia Jazdowska straciwszy wzrok, już od kilku tygodni nic nie widziała, skoro się oddała w opiekę Maryi w Błennej, w tej samej chwili przejrzała; co zeznała publicznie dnia 12 lipca 1885 r. Podobneż zeznanie uczyniła Dorota K., dnia 14 maja 1887 roku, że ofiarowawszy Matce Najświętszej chore dziecię, które od kilku dni pokarmu nie przyjmowało i wzrok utraciło — ujrzała je natychmiast zdrowe i widzące.

*) Ks. Alojzy Fridrich T. J. „Hisiorye cudownych obrazów Najśw. Maryi Panny w Polsce.“

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Dnia 14 września.

BŁOGOSŁAWIONY GABRJEL TAURIN DUFRESSE

Wikarjusz Apostolski w Chinach.

1750 † 1815.

beatyfikowany przez Leona XIII 1900 roku.

Za rządów papieży: Piusa VI i VII.

Bóg żąda od nas abyśmy walczyli, bo życie jest walką nieustanną, lecz ażeby zwyciężyć trzeba się modlić.
Św. Alfons Liguori.

Dnia 29 września 1816 r. Pius VII podnosząc zasługi męczenników, którzy przeleli krew swą za wiarę św. wyraził się z największemi pochwałami o błog. Gabrjelu Dufresse, biskupie z Tabraku, wikarjuszu apostolskim, który przez lat 39 ewangelizował Chińczyków i z całem poświęceniem oddawał się pracy uciążliwej, aby wśród żółtej rasy głosić słowo Boże.

Dnia 14 września 1815 r. umęczony został ten pasterz błogosławiony, pełen zapału i męztwa; „czytając dzieje jego życia, mówił Pius VII, zdawać by się mogło, że się ma przed sobą jakąś kartę z pierwszych lat chrześciaństwa“. Słowa te wypowiedziane przez papieża, który sam przeszedł bardzo wiele udręczeń, z powodu tyranji Napoleona I tem większe jeszcze mają znaczenie.

Młode lata. Powołanie.

Błog. Gabrjel Taurin-Dufresse urodził się d. 8 grudnia 1750 r. w Leroux, we Francji. Ojciec jego był urzędnikiem zbierającym podatki, syna wychowywał w Paryżu, gdzie po skończeniu liceum Gabrjel wstąpił do seminarjum Misji Zagranicznych, marząc od lat najmłodszych o misjach apostolskich i nawracaniu pogan.

Otrzymawszy święcenia wyjechał niezwłocznie do Chin. Wyruszył w tę podróż 4 grudnia 1775 r. w pełni sił młodych z gorącem pragnieniem zjednania jak najwięcej dusz Chrystusowi.

Postać jego wyróżniała się pomiędzy innymi, było bowiem tyle szlachetnej powagi a zarazem słodyczy w jego twarzy, że mimowoli zwracał na siebie uwagę i budził cześć nawet w ludziach, którzy nie znali go bliżej. Cóż powiedzieć o tych, którzy patrzyli zbliska na jego świątobliwe życie.

W jednym z listów pisanych z obczyzny w r. 1779 powiada:

— „Proście Boga, abym osiągnął jak najwyższy stopień cnoty, pomimo pokus, trudności i przeszkód wszelakich. Jestem zadowolony z obranego powołania i gdybym miał po raz drugi rozpocząć życie, nie wahałbym się ani chwili, poszedłbym tą samą drogą, albowiem Bóg pociesza nas i umacnia dając siły do wytrwania“.

Pobożność istotnie dodawała mu mocy znoszenia cierpliwie wszystkich przykrości, a głównym celem życia O. Gabrjela była praca apostolska w jak najszerszym zakresie.

„Pomyśl, matko droga, pisał do matki, że jestem pod opieką Opatrzności, cóż więc może mi się przytrafić, co by nie było z chwałą Bożą. Jeśli nawet spotkają mnie zniewagi, bicie, więzienie, czyż można porównać to wszystko z udręczeniami, jakie znosili męczennicy. Niema już dziś owych tortur straszliwych, nie leją wrzącego oleju lub roztopionego ołowiu, nie przypiekają ciała rozpalonem żelazem“.

W tych słowach błog. Gabrjela widać, że uspakajając matkę pałał w głębi duszy pragnieniem cierpienia za wiarę. Oblicze sługi bożego miało wyraz błogiego spokoju i mądrości. Nie umartwiał ciała dyscypliną, gdyż jak mówił życie misjonarza samo przez się przedstawia już tyle trudów, że niema potrzeby osłabiać organizmu zbytecznemi ćwiczeniami, należy bowiem mieć zdrowie dobrze zachowane, aby odporne było na choroby i dolegliwości. Misjonarze nie mają obowiązku oddawania się praktykom ascetycznym, jakimi doskonalili się pustelnicy, będąc bowiem robotnikami w winnicy Pańskiej muszą mieć dużo energji i wytężać myśl, ażeby jak najwięcej dusz nawrócić.

Gorliwy misjonarz.

Bystrość umysłu i wielkie zalety serca błog. Gabrjela zyskały mu wielkie zaufanie przełożonych. Zaraz po przybyciu do Su-Czuenu w r. 1777 biskup Pottin wyznaczył mu obszerną dzielnicę obejmującą trzynaście miast i niezwłocznie młody misjonarz udał się w podróż dla odwiedzenia wszystkich zakątków, gdzie zamieszkiwali chrześcianie oddawna religijnej pociechy pozbawieni.

Ciężkie to było zadanie, jak o tem z własnych jego słów wnosić możemy.

„Obowiązki naszego powołania wymagają od nas odwagi i cierpliwości olbrzymiej, pisał do swoich. Niezmierne trudności przedstawia nauczanie

wiernych, nawracanie opornych, utrzymanie w wierze tych, którzy jeszcze nie dostatecznie są umocnieni, a przytem nieobeznanego z tutejszymi drogami, wspinaniem się na góry, oraz z miejscowymi obyczajami, nie oswojonego z klimatem czekają nieraz przykre niespodzianki. Potrzeba przedewszystkiem uzbroić się w wielką cierpliwość".

Błog. Gabrjel Taurin posiadał ową cierpliwość w wysokim stopniu i z całym zapałem oddał się misjonarskiej pracy. Po paru latach zmogła go ciężka choroba i zdawało się już, że gorliwość swą w pełnieniu obowiązków życiem przepłaci.

Błogosławiony Gabryel Taurin Dufresse.

Pomimo że był już na śmierć dysponowany zdołano go utrzymać przy życiu, ale następnie dwa razy znalazł się błogosławiony w bardzo trudnych okolicznościach i z rąk wrogów chrześciaństwa raz okupem, a drugi raz ucieczką udało mu się uratować.

Podczas jednej wycieczki po kraju zatrzymano go na granicy i musiał przedstawić urzędnikom wszystkie swe książki i papiery. Pomiędzy niemi były dokumenta mogące mu bardzo w obec rządu chińskiego zaszkodzić, a nawet o śmierć przyprawić; wielkiej przytomności umysłu zawdzięczał jedynie szczęśliwe wyjście z niebezpieczeństwa. Wsunąwszy kilka sztuk srebra jednemu z celników uniknął badań i mógł ujść bezpiecznie za nim się spostrzegli Chińczycy, że z gorliwym misjonarzem mieli do czynienia.

Pierwsze uwięzienie i oswobodzenie błog. Gabrjela.

W końcu r. 1784 rozpoczęły się surowe prześladowania wyznawców Chrystusowych w Chińskiem państwie. Znalazło się kilku niegodnych zdrajców, którzy wydali biskupa de Saint Martin, wikarjusza apostolskiego, a ten chcąc położyć kres okropnym okrucieństwom z powodu poszukiwań sług bożych pomiedzy nawróconymi Chińczykami, kazał trzem misjonarzom dobrowolnie oddać się w ręce władzy.

W tym czasie błog. Gabrjel był bezpiecznie ukryty, a gdy przekradał się z jednej wioski do drugiej i został dostrzeżony przez żołnierzy, nie

wiele myśląc spuścił się do studni wiedząc, że z powodu wielkiej suszy wody tam nie było. Znalazłszy się w tem dobrowolnem więzieniu uniknął wprawdzie ciągania po chińskich sądach ale natomiast omal nie umarł z głodu, zanim udało mu się z głębokiej studni wydostać.

Znalazłszy się wreszcie na powierzchni ziemi o zmroku zdołał przemknąć się niepostrzeżenie tuż przy obozujących w polu żołnierzach i schronić się w domostwie chrześciańskiem, gdzie był pewnym, że go nie zdradzą.

Wkrótce po tem wręczono mu list przełożonego, z poleceniem oddania się w ręce chińskiej policji.

Nie wahając się ani chwili spełnił błog. Gabrjel rozkaz i udał się do mandaryna, który go odesłał pod strażą do pobliskiego miasta.

Tam rozpoczęto wnet badania starając się zmusić misjonarza do wyjawienia nazwisk kilku Chińczyków, którzy wiarę chrześciańską przyjęli. Napróżno jednak dręczono pytaniami szlachetnego kapłana, nie wydał nikogo i po sześciomiesięcznem uwięzieniu został na wolność wypuszczony.

O uwolnienie błog. Gabrjela Dufresse starali się usilnie OO. Lazaryści z Pekinu, oni bowiem jedni uniknęli szczęśliwie wyroku wygnania z granic chińskiego państwa i mieli w stolicy stosunki dające im możność wywierania dobrych wpływów.

Ks. Gabrjela zaprowadzono do Kantonu zkąd według życzenia władz chińskich miał odpłynąć do Europy. Ale misjonarz wyruszył do Manilli ze stałym zamiarem powrócenia znów do Chin pomimo czekających go tam niebezpieczeństw, nie mógł bowiem pogodzić się z myślą opuszczenia na zawsze tej gromadki wiernych, z któremi zżył się i pragnął wciąż czuwać nad nimi.

Powrót do Chin. Nominacja błog Gabrjela Dufresse biskupem Tabraku.

Tym razem pobyt w Chinach był już połączony z nieustannem niebezpieczeństwem, ale gorliwy apostoł nie należał do rzędu ludzi zrażających się przeszkodami. Już 14 stycznia 1789 r. widzimy go znów w Czen-Tu przy boku biskupa de Saint Martin.

Francja w tym czasie przechodziła najokropniejsze czasy rewolucyjnych okrucieństw; bezbożnicy znęcali się nad duchowieństwem, wyganiając księży z kraju tak samo, jak to czynił pogański władca chiński. W tym że czasie misjonarze francuzcy oddawali chętnie życie za wiarę i widzimy niezliczone przykłady szczytnych poświęceń i zupełnego zaparcia się siebie tych przywiązanych synów Kościoła.

Błog. Gabrjel Dufresse, oddany całą duszą swemu powołaniu, miał szczęście w przeciągu lat czterech ochrzcić przeszło tysiąc dorosłych Chińczyków, przygotować około dwóch tysięcy katechumenów i bardzo wielu dzieciom chrześciańskich rodziców Sakramentów udzielić.

W 1800 r. za staraniem biskupa de Saint Martin, który ocenił odrazu wysokie cnoty błog. ks. Gabrjela otrzymał on ze Stolicy Apostolskiej nominację na koadjutora arcybiskupa.

W Czen-Tu odbyła się uroczystość konsekracji d. 25 lipca i błog. Gabrjel został mianowany biskupem Tabraku.

Działalność pasterska błog. Dufresse. Synod.

Jednym z najdonioślejszych czynów pasterskich rządów błog. Gabrjela Dufresse było zwołanie synodu, podczas którego zgromadziło się całe miejscowe duchowieństwo składające się z Europejczyków i tubylców.

Synod ów miał ogromnie doniosłe znaczenie, ponieważ było bardzo wiele spraw do wspólnego rozważenia, należało działać zgodnie, przedsiębrać środki do jak najowocniejszej pracy.

Postanowienia owego soboru były tak mądre i praktycznie pomyślane, że św. Kongregacja kazała je kilkakrotnie ogłosić drukiem polecając misjonarzom w Chinach stosować się do nich stale.

Prefekt św. Kongregacji wysławiając cnoty i zasługi błog. Gabrjela Dufresse tak się o nim wyraził:

„Św. Kongregacja szczęśliwą się czuje mając sposobność wyrażenia wysokiego poważania, jakie żywi dla biskupa Tabraku. Jego gorliwość w sprawach religijnych, jego zasługi w szerzeniu królestwa Bożego na ziemi, oraz wysokie cnoty stawią go nie tylko w rzędzie najwybitniejszych ludzi naszej epoki, ale czynią godnym współzawodnikiem apostołów".

Zdrada. Wyrok śmierci i męczeństwo biskupa Dufresse.

W przeciągu kilku lat biskup Dufresse rozwijał swą owocną działalność i bardzo wiele uczynił dobrego w swej rozległej dyecezji. Ale wszystkie zasługi gorliwego pasterza były poczytane za zbrodnię przez przedstawicieli rządu chińskiego, dbałego o zachowanie pogańskich wierzeń w narodzie.

Znaleźli się podli donosiciele, którzy oskarżyli dostojnika Kościoła przed władzą chińską. Wskazał miejsce jego zamieszkania pewien katolik wzięty na tortury, a gdy przybył do domu biskupa z chińskimi żołnierzami i starał się usprawiedliwić ze swego niegodnego czynu, błogosławiony rzekł łagodnie:

-- Jeżeli miałeś zamiar wydać mię, mój synu, trzeba było przynajmniej uprzedzić zawczasu, był

bym wyszedł z mieszkania i moi gospodarze nie ucierpieli by z mej przyczyny.

Zaprowadzono biskupa do głównego miasta prowincji Czen-Tu i po miesięcznem uwięzieniu stawiono przed wice królem Hang-Mingen.

Wyrok śmierci już był wcześniej przygotowany i jak tylko przyprowadzono biskupa oznajmił mu wice król, że skazanym jest na ścięcie.

Błog. Gabrjel Dufresse przepowiedział swemu prześladowcy, że i jego wkrótce śmierć czeka i zapozwał go przed sąd Boży, jakoż wkrótce Hang-Ming nagle umarł.

Zdarto szaty z biskupa i zaprowadzono go na plac dość odległy. Tam przywiedziono również trzydziestu trzech chrześcian, wzywając wszystkich do wyrzeczenia się Chrystusa. Żaden jednak nie uczynił tego, a biskup w wymownych słowach zachęcał ich do wytrwania.

Uroczysta to była chwila, gdy biskup na śmierć skazany błogosławił wiernych i sam pierwszy głowę pod miecz katowski położył. Spadła głowa dostojnego pasterza, krew niewinna popłynęła strumieniem.

Umieszczono głowę błog. Gabrjela Dufresse na wysokiej kolumnie, na której wyryto napis:

„Europejczyk, kaznodzieja i biskup chrześciański".

Resztę uwięzionych chrześcian nie ukarano śmiercią ale skazano na wygnanie.

Oceniając wielkie zasługi czcig. biskupa Dufresse papież Leon XIII beatyfikował go dnia 3 czerwca 1900 r. i oto jeszcze jeden z licznego zastępu gorliwych robotników w winnicy Pańskiej wyniesiony został na ołtarze, aby przykład jego przyświecał po wieczne czasy, a imie jego powtarzane z czcią i uznaniem nie zginęło nigdy w pamięci wiernych, dbałych o szerzenie królestwa Bożego na ziemi.

Dnia 4 października.

ŚWIĘTY FRANCISZEK Z ASSYŻU (SERAFICKI)

Założyciel zakonu Braci Mniejszych.

1182 † 1226.

Za rządów papieży: Lucjana III, Honorjusza III. Cesarzy niemieckich: Fryderyka I *Barbarosa,* Fryderyka II.

Kto chce za mną iść, niech się zaprze samego siebie, a weźmie krzyż swój na każdy dzień i niech idzie za mną.
Ew. św. Łuk. 23—4.

Przyjście na świat i chrzest św. Franciszka.

Święty Franciszek z Assyżu jest jedną z najwspanialszych postaci w dziejach Kościoła św. osiągnął on bowiem najwyższą w cnotach chrześciańskich doskonałość, stał się zakonodawcą, czczonym przez tysiące wiernych zakonowi temu synów i przez ludzkość całą.

Urodził się w r. 1182 na ziemi włoskiej w prowincji umbryjskiej, w miasteczku zwanem Assyż od pobliskiej góry Asis. Ojcem jego był Piotr Moriconi, bogaty kupiec, od ojca Bernarda przezwany Bernardoni. Matka, z domu Bourlemont, pochodziła ze szlacheckiej, prowanckiej rodziny.

Opowiadają dziejopisarze, że na pewien czas przed narodzeniem św. Franciszka jakiś tajemniczy człowiek przebiegał ulice Assyżu, zapowiadając pokój i szczęście całego świata. Była to jakby wróżba, że w ubożuchnej mieścinie narodzi się wielki święty, który olbrzymi wpływ wywierać będzie na całe rzesze. Dziwnym zbiegiem okoliczności św. Franciszek ujrzał świat w oborze, gdzie matkę jego, o której życiu już zwątpiono, położyli na sianie. Stało się to za radą tejemniczego pielgrzyma, będącego snać posłannikiem z nieba, bo zaraz po wypełnieniu jego polecenia urodziło się dziecię szczęśliwie w onej oborze.

Tej że nocy słyszano w małej kapliczce Matki Boskiej, nieopodal Assyżu, anielskie pienia. W tej kapliczce wiele cudów doznał św. Frnaciszek; stała się ona słynną i największym odpustem została w następstwie obdarzoną.

Chrzest św. Franciszka także w niezwykłych odbył się okolicznościach i pozostało ogólne mniemanie, że go anioł, z nieba zesłany, do chrztu trzymał.

Zaraz po wniesieniu dziecięcia do kościoła podszedł jakiś podróżny, nikomu nieznany, o niezwykle ujmującym wyrazie twarzy i oświadczył, że chce być chrzestnym ojcem dziecięcia. Było w jego postawie tyle powagi i dziwnego uroku, że nikt nie śmiał oprzeć się jego żądaniu. Po ceremonji chrztu św. pielgrzym przyklęknął przed Najśw. Sakramentem i w oczach wszystkich obecnych znikł nagle i tylko w miejscu, gdzie klęczał zostały ślady jego kolan wyryte w marmurze.

Wszystko to przytrafiło się w nieobecności

ojca nowonarodzonego, gdyż Piotr Bernardoni, jako kupiec często w różnych sprawach handlowych dalekie odbywał podróże.

Św. Franciszek na chrzcie św. otrzymał z woli matki imie Jan, dla najukochańszego ucznia Zbawiciela.

Kiedy po chrzcie odniesiono do domu dziecinę zjawił się znowu ów anioł Boży, w postaci pielgrzyma; wziął dziecię na ręce, pieścił czule i krzyżem św. na ramieniu naznaczył. Potem przemówił do piastunki w te słowa:

— Pamiętaj, że dziecię to wielka przyszłość czeka, dojdzie ono do tego stopnia doskonałości, że policzonem będzie pomiędzy najświętszych mężów świata całego. Moc mieć będzie nad szatanami, strzeż go więc pilnie, aby z powodu niedbałości nie był wystawiony na zasadzki, jakie oni czynić nieomieszkają.

Co wyrzekłszy tajemniczy nieznajomy znikł bez śladu.

Piotr Bernardoni ucieszył się bardzo z przyjścia na świat pierworodnego syna, ale wolał go zwać Franciszkiem, niż Janem i od tej pory wszyscy go tem imieniem nazywali.

Młodzieńcze lata. Litość dla nędzarzy. Ślub miłosierdzia. Hołd cnocie.

Franciszek chował się pod troskliwem, macierzyńskiem okiem, a doszedłszy do wieku, kiedy już nauki rozpocząć należało, powierzono go opiece księży, posiadających przy kościele św. Jerzego w Assyżu początkową szkołę.

Ojciec, jako kupiec wielce w swym zawodzie zamiłowany, pragnął, aby Franciszek poszedł w jego ślady i zajął się handlem. Nie zgadzało się to jednak wcale z upodobaniami młodzieńca i o ile Piotr Bernardoni przywiązywał wartość do zysków, o tyle syn nimi pogardzał.

Niezmiernie szczodry w jałmużnach, nigdy nie żałował grosza dla nędzarzy, ale natomiast nie lubił żadnych rozrywek, na które inni trwonili pieniądze. Nie mógł obojętnie patrzeć na żebraka w łachmanach. Raz zdarzyło się, że będąc zajęty w ojcowskim sklepie nie udzielił na razie wsparcia proszącemu go w imie Boże ubogiemu.

Ale po odejściu żebraka uczuł wyrzut sumienia i wnet za ubogim pogonił, darząc go hojnie, a w duszy czyniąc ślub, że nigdy nikomu w życiu pomocy nie odmówi.

Św. Franciszek od młodu był czystości anielskiej, i pod tym względem tak wysokie zdobył wśród młodzieży poważanie, że nikt nie ośmielał się w jego obecności z niewczesnym odezwać się żartem, ani żadnych wyrazów obrażających skromność nigdy nie wypowiadano.

Starzy i młodzi wysoce cenili niezwykłe cnoty Franciszka i nieraz się zdarzało, że mu publicznie hołd wyrażano, jak to było naówczas we zwyczaju, a mianowicie rozpościerając swój płaszcz i ścieląc go pod nogi przechodzącego, którego uczcić zamierzano.

Św. Franciszek nie miał jeszcze lat dwudziestu, gdy pewnego dnia jeden z powszechnie szanowanych mieszkańców Assyżu płaszcz mu swój rzuciwszy pod nogi, zawołał:

— Godnym jest ten młodzieniec wszelkiej czci i uszanowania, gdyż wkrótce nadzwyczajnych rzeczy dopełni i dla tego od wszystkich wiernych szczególnym sposobem czczonym będzie".

Prorocze to były słowa, które przeczucie lub objawienie temu człowiekowi podyktowało. I sam Franciszek przewidywał, że go coś niezwykłego czeka, sądził jednak, że się to raczej do ziemskich spraw odnosi, nieprzypuszczając w serca prostocie, jak ważną przeznaczono mu rolę odegrać na świecie.

Widocznie jednak miewał jasnowidzenia dotyczące przyszłości, jak tego dowodzi następujące zdarzenie.

Św. Franciszek jako ochotnik w szeregach walczących w obronie papieża. Niewola. Światowe życie. Choroba dobry wpływ wywiera.

W r. 1204 Markonald, wielkorządca cesarski we Włoszech, zbuntowany przeciw Stolicy Apostolskiej zagarnął dobra kościelne i rzeczpospolitą peruzyjską za sobą pociągnął.

Peruzja, leżąca w pobliżu Assyżu oburzyła swem postępowaniem pobożnych mieszkańców rodzinnego miasta św. Franciszka i ogłoszono wojnę z Peruzjanami. Szeregi wojska pośpieszyły pod chorągwie, a do młodych ochotników przyłączył się też Franciszek. W jednej z potyczek dostał się do niewoli i wraz z kilkunastu towarzyszami osadzony został w więzieniu.

Cały rok przebyli jeńcy w Peruzji, a wśród uciążliwej więziennej nudy i zniechęcenia jeden tylko Franciszek zachował spokój i zwykłą mu swobodę myśli.

Zapytali go raz towarzysze, co mu daje tyle mocy i wytrwałości?

Wówczas rzekł proroczo:

— Chociaż mnie teraz okuto w kajdany, później ujrzycie przez cały świat czczonego!

Po zawarciu między wojującemi stronami pokoju wypuszczono jeńców i Franciszek powrócił do stęsknionych za nim rodziców.

Nie tylko najbliżsi, ale i całe miasto witało z radością tak ogólnie lubionego i cenionego Franciszka. Stał się on głównym przewodnikiem mło-

dzieży, wpadł w wir światowego życia, pożądany, upragniony i zapraszany nieustannie.

Pochlebiało ojcu to niezwykłe powodzenie syna i pozwalał czerpać ze swej kasy, ciesząc się, że Franciszek wszędzie ma pierwszeństwo nad innymi.

Nie jeden młodzieniec postawiony w tak wyjątkowo pomyślnych warunkach bardzo prędko zachwiał by się w swych zasadach, uległ by grzechowi pychy i stał się samolubem, ale Franciszek nie był skłonny do złego, on tylko bawił się powierzchownie, cieszyło go życie, kochał ludzi, lubił towarzystwo, szczodry z natury rozdawał dużo, a w gruncie rzeczy zachowywał czystość duszy od dzieciństwa już jakby świętością opromienionej.

W tym czasie Franciszek ciężko zachorował.

Chorobę tę zesłała mu Opatrzność, aby wzmógł się duch jego podczas, gdy ciało osłabło, zrozumiał bowiem, jak marnem i kruchem jest wszystko ziemskie, zaczął daleko poważniej zapatrywać się na życie i żałować napróżno zmarnowanego czasu.

Z początku myśl jego zwróciła się do jak najszerzej pojętej miłości bliźniego; postanowił więcej jeszcze być miłosiernym niż dotąd i rozdawać tyleż ubogim, ile na własne zużytkowywał potrzeby. Ponieważ prowadził życie nader wystawne, więc też i biedakom sporo się dostawało.

Czuł jednak jakiś niepokój, a pragnienie wielkich, doniosłych czynów myśl jego zaprzątało. Lubił teraz samotne przechadzki za miastem w dali od gwaru i w jednej z takich wycieczek spotkał pewnego rycerza znakomitego rodu ale tak ubogiego, że zamiast stosownego dla siebie ubrania miał jakieś liche i podarte łachmany.

Widok ten wzruszył do głębi dobre serce Franciszka i zamyślał wesprzeć hojnie biedaka, gdy do domu powróci, nie miał bowiem przy sobie pieniędzy.

Nagle żywo stanęło mu w myśli ubóstwo Pana Jezusa i nie mogąc oprzeć się pragnieniu przyniesienia niezwłocznie pomocy potrzebującemu, zdjął swe wytworne ubranie, a sam przywdział zamienione z ubogim łachmany w imie miłości Chrystusowej.

Pierwsze widzenia. Franciszka ogarnia myśl oddania się Bogu.

Po powrocie do domu miał Franciszek widzenie. Ujrzał we śnie pałac wspaniały; pełno w nim było rynsztunków, jakich używali krzyżowi rycerze. Zaciekawiony do kogo ta zbrojownia należy, spostrzegł nagle Franciszek przed sobą postać Chrystusa, trzymającego w ręku szaty, w które miłosierny młodzian przyodział ubogiego rycerza. Pan Jezus powiedział Franciszkowi, że wszystko co ma przed sobą do niego należy i do żołnierzy, którzy będą walczyli pod jego sztandarem.

Sen ten silne na Franciszku sprawił wrażenie. Zdawało mu się, że jest to przepowiednia, dotycząca jego rycerskiego zawodu, do którego się właśnie sposobił.

Pragnął zaciągnąć się do szeregów rycerzy krzyżowych, lub walczyć przeciw Markonaldowi, owemu wielkorządcy, który z papieżem Inocentym III walkę toczył.

W tym celu opuścił Assyż, zmierzając ku Apulji, gdzie wódz krzyżowców przebywał.

Zatrzymał się Franciszek w Spoletto, a myśląc wciąż o przedsiewziętej wyprawie i rycerskich czy-

Widzenie św. Franciszka z Assyżu.
Murillo. Muzeum w Sewilli.

nach usnął głęboko, We śnie usłyszał głos Boży, mówiący wyraźnie:

— Franciszku, kto może ci więcej wyświadczyć dobrego: pan czy sługa?.. możny czy ubogi? Dlaczego dla sługi opuszczasz Pana, a dla nędznego człowieka Boga najmożniejszego?..

Zrozumiał Franciszek, że to się odnosiło do zamiarów jego służenia w wojsku i że snać czego innego Bóg od niego żąda.

— Cóż więc jest, Panie, zawołał, co chcesz, abym przedsięwziął?

A głos rzekł:

— Wracaj do ziemi i miasta twego, widzenie bowiem bogatej zbrojowni dla ciebie i żołnierzy przeznaczonej, duchowne ma znaczenie, bo nie w zwykłym, światowym, ale w Boskim i duchownym zawodzie ma się spełnić to, co ono wyrażało.

Franciszek zaraz nazajutrz puścił się w powrotną drogę zajęty wciąż myślami, które mu te widzenie nasunęło. Kiedy dowiedziano się o jego powrocie, wnet poczęli go nawiedzać towarzysze i przyjaciele.

Franciszek zapowiedział, że wyprawi im ucztę wspaniałą. Naturalnie pośpieszono chętnie na wezwanie i gwarem napełnił się dom cały.

W chwili, gdy wszyscy rozbawieni i weseli siedzieli za stołem, Franciszek zamilkł nagle i wpadł w stan niebywałego u niego dotąd zachwycenia.

Ogarnęło go błogie uczucie bezgranicznej miłości Boga, myśl była w tej chwili tak daleka od biesiadników i wszystkiego, co jest na ziemi, że zdumieni goście patrzyli na gospodarza nie rozumiejąc zupełnie stanu jego duszy.

Niektórzy sądzili, że Franciszek ma jakąś serdeczną troskę i poczęli czynić różne domysły.

— Patrzcie, co się z nim dzieje? Nic nie widzi, nikogo nie słucha, mówili ze śmiechem, jasnem jest, że kimeś bardzo zajęty.

— Franciszek myśli o pojęciu małżonki, zawyrokował inny.

Młodzieniec spojrzał na mówiącego z dziwnym, natchnionym wyrazem.

— Tak jest, odgadliście, rzekł po chwili, zamyślam o pojęciu małżonki, ale tak możnej, tak znakomitej, tak uroczej, jakiej nigdy nie widziano na świecie!

Przytaczając te słowa trzej towarzysze Franciszka w dziejach tego świętego przypisują jego odpowiedź Boskiemu natchnieniu, gdyż najwyraźniej odnosiła się, jak się potem okazało, do zakonu, który miał wkrótce założyć, a w którym poślubiając najwyższe ubóstwo stał się w tej cnocie ewangelicznej niezrównanym.

Na razie nikt nie rozumiał słów Franciszka, gubiono się w przeróżnych domysłach.

Smutne rozmyślania w jaskini. Spotkanie z trędowatym.

Od tej pory już Franciszek sercem i duszą nie należał do świata; ogarnęła go tęsknota za czemś lepszem, doskonalszem postanowił odrazu zerwać wszystkie węzły towarzyskie, które mu tak wiele czasu zabierały, nawet prosił ojca, aby go uwolnił od zajęć kupieckich, dotąd bowiem wspólnie pracowali.

Franciszek unikać począł ludzi, całe dnie spędzał w zupełnej samotności na rozmyślaniach.

Najwyraźniej czuł, że szczęściem najwyższem dla niego będzie poświęcenie się Bogu i modlił się wciąż gorąco prosząc Stwórcę o wskazanie mu najwłaściwszej ku temu drogi.

Wynalazł sobie jaskinię wśród gór niedaleko Assyżu i było to ulubione jego miejsce modlitwy i samotnych rozmyślań.

Jednego tylko zaufanego towarzysza dopuszczał do uczestniczenia w tych wycieczkach, a ten zwykle stał na straży przy wejściu do pieczary, aby nikt Franciszkowi nie przerywał błogiej z Bogiem rozmowy.

Głównem tematem rozmyślań pobożnego młodziana była pogarda rzeczy tego świata i przezwyciężanie samego siebie.

Ćwiczył się w tym kierunku wzorując się na najszczytniejszych, ewangelicznych opowieściach.

Zdarzyło się, że przejeżdżając konno przez spoletańską dolinę, u stóp Assyżu, spotkał Franciszek trędowatego. Widok okropnych ran budził w nim zawsze wstręt nieprzezwyciężony. Tym razem jednak, ogarnięty myślą zwalczania siebie zawsze i we wszystkiem, postanowił przemódz odrazę, zeskoczył z konia i zbliżywszy swą młodocianą twarz do oszpeconego zaraźliwemi wrzodami oblicza z serdecznem współczuciem je ucałował.

Dosiadłszy znów konia obrócił się, aby raz jeszcze rzucić dobre słowo i jałmużnę nieszczęśliwemu, lecz nigdzie dokoła nie dostrzegł nikogo.

Było to cudowne zjawienie, przez które Bóg chciał wypróbować Franciszka, aby przez czyn prawdziwie bohaterskiego miłosierdzia umocnić go i rozbudzić w nim litość dla tych najokropniej pokrzywdzonych ludzi, od których z powodu zaraźliwości trądu wszyscy uciekają i odwracają się z obrzydzeniem.

Pielgrzymka św. Franciszka do grobu śś. Apostołów.

Trwał św. Franciszek w pokutnych ćwiczeniach, które sam sobie wyznaczał i wciąż prosił Boga, aby mu dalszą drogę życia wskazać raczył.

Podczas długiej i gorącej modlitwy w ulubionej pieczarze ukazał mu się raz Pan Jezus do krzyża przybity.

Widzenie to zrobiło na nim tak silne wrażenie, że miał je wciąż odtąd przed oczami i na wspomnienie cierpień Jezusowych gorzkiemi zalewał się łzami.

Zdawało mu się natenczas że sam Zbawiciel mówi doń:

— *Kto chce za mną iść, niech się zaprze samego*

siebie, a weźmie krzyż swój na każdy dzień i niech idzie za mną.

Przez długi czas oddawał się z wyjątkowem poświęceniem pielęgnowaniu trędowatych, dlatego właśnie, że jakeśmy to już nadmienili, miał wstręt wrodzony do tej okropnej choroby. W testamencie swym, na łożu śmierci dyktowanym o tem wspomina.

— Sam Pan, powiada, wprowadził mnie pomiędzy nich i spełniałem uczynki miłosierdzia. A gdym porzucił grzechy, to co mi gorzkiem się wydawało, zamieniło się dla mnie na słodycz duszy i ciała.

Bóg mu najwyraźniej objawił Swą wolę, każąc znienawidzić wszystko, co cieleśnie miłował, przyrzekając, że natomiast znajdzie rozkosz w tem, co mnie było wstrętnem.

W obecności ojca musiał Franciszek hamować swą hojność dla ubogich, ale matka radowała się jego postępowaniem i wszyscy żebracy cisnęli się do domu Bernardonich i byli tam zawsze szczodrze opatrzeni, chorym zaś sam Franciszek zanosił pożywienie, pocieszając ich przytem serdecznemi słowy.

Jednocześnie bardzo troskliwie zajmował się nasz święty ubogimi kościołami i obfitemi darami je wspomagał.

Umiłowawszy ubóstwo, zapragnął udać się w jakąś daleką drogę, aby zupełnie nikomu nie znany doświadczyć mógł wszystkich trudów i upokorzeń biedaków.

W ten sposób chciał rozpocząć apostolstwo tej ewangelicznej cnoty, której miał być w przyszłości niezrównanym wzorem.

Poszedł więc oddać cześć Stolicy Apostolskiej i pokłonić się relikwjom śś. męczenników.

Przybywszy do Rzymu, po długiej modlitwie przy grobie św. Piotra, podszedł do jednego z licznych żebraków proszących o jałmużnę na krużganku Watykanu i zamieniwszy z nim swe ubranie, cały dzień spędził żebrząc wraz z innymi. Był to jakby nowicjat jego ubóstwa, w którem coraz więcej przez wzgląd na Zbawcę swego rozmiłowywać się poczynał.

Po powrocie do rodzinnego miasta uczuł znowu powracające pokusy i nęciło go światowe życie, wabiły jego rozkosze.

Franciszek podwoił naówczas swą żarliwość w ćwiczeniach pobożnych, umartwiał ciało, im gwałtowniej chciał go szatan pochwycić w swoje sidła, tem skwapliwiej bronił się modlitwą i wreszcie zdołał odnieść zupełny tryumf.

Widzenie w kościołku św. Damiana: „Napraw dom mój, który się rozpada".

Pewnego dnia wyszedł w pole szukając, jak zwykle miejsc osamotnionych dla rozmyślań i modlitwy; przechodził właśnie około ubogiego kościołka św. Damiana, czuł się pociągnięty jakąś wewnętrzną siłą, rozkazującą mu zatrzymać się tam nieco dłużej.

Opuszczenie i ubóstwo domu Bożego obudziły w tkliwym sercu Franciszka tem większą miłość dla Jezusa, który tyle uczyniwszy dla ludzi, nie był dostatecznie przez nich czczonym i wielbionym.

Padłszy na kolana począł modlić się w te słowa:

— Wielki i pełen chwały Boże i Panie mój, Jezu Chryste! Oświeć, proszę cię ciemności duszy mojej i daj mi wiarę i miłość doskonałą; spraw, abym Cię, Panie poznał i jak najwierniej we wszystkiem wolę Twoją spełniał.

Powtórzył tę gorącą modlitwę trzykrotnie, a oczy łez pełne utkwiwszy w wizerunek Zbawiciela, usłyszał najwyraźniej głos z krzyża:

— Franciszku, idź i napraw dom mój, który jak widzisz cały się rozpada.

I tym razem Franciszkowi się zdało, że Zbawiciel żąda od niego zaopiekowania się zrujnowawanym kościołem; później dopiero zrozumiał iż było to Boskie wezwanie do naprawy Kościoła powszechnego, który wówczas szczególnego ratunku potrzebował.

Wyszedłszy z kościołka św. Damiana, spotkał ks. Piotra, który nad tym domem Bożym miał pieczę. Powiedział mu więc Franciszek, że dostarczy funduszu na odnowienie kościoła.

Myślą tą wielce zajęty, wnet po powrocie do domu spieniężył znaczną część towarów, którą mu ojciec oddał do rozporządzenia, a nawet konia swego sprzedał, a sam pieszo udał się do kościołka św. Damiana, poczem oświadczył ks. Piotrowi, że pragnie pozostać przy nim i przyczynić się nie tylko pieniędzmi ale i własnemi rękoma do odbudowania świątyni.

Ks. Piotr przystał chętnie na przyjęcie świętobliwego młodzieńca, ale ofiary pieniężnej przyjąć nie chciał, obawiając się, że ojciec Franciszka będzie mu miał za złe zbyt pośpieszne sprzedanie towarów i zabranie pieniędzy na miłosierne cele.

Franciszek jednak nie chciał zachować ani grosza i rzucił je w otwór okna kościelnego, mówiąc, że co raz jest przeznaczone na dom Boży, nie może być na inny cel użyty.

Od tej chwili rozstał się raz na zawsze ze wszelką własnością na ziemi, aby już nigdy do niej nie powrócić.

Napaść ojcowska. Ucieczka i powrót do Assyżu. Wtrącenie do ciemnicy. Macierzyńskie błogosławieństwo.

Franciszek zachwycony był nowem całkiem swem życiem. Dnie całe spędzał w kościołku lub obok niego, gdyż zabrał się istotnie z wielkim zapałem do roboty około jego poprawy.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Błogi spokój młodzieńczej duszy został zakłócony z powodu przybycia ojca z dalekiej podróży, ojciec bowiem wpadł w gniew szalony dowiedziawszy się o postępku syna, ten bowiem istotnie za bezcen posprzedawał drogie sukno, którem stary Bernardoni handlował. Mściwy kupiec postanowił ostro rozprawić się z synem, przybrawszy więc kilku krewnych do pomocy, wtargnął do mieszkania ks. Piotra wygrażając, że syna gwałtem ztąd uprowadzi i ukarze należycie. Po gwałtownym i burzliwym charakterze Bernardoniego można się było wszystkiego spodziewać. To też Franciszek przerażony tem wtargnięciem do cichego zakątka schował się do pokoiku ks. Piotra, a kiedy i tam wpadli aby go ująć, przycisnął się mocno do ściany, która w cudowny sposób rozstąpiła się i ukryła go w swem wnętrzu.

Chociaż tym razem poszukiwania zagniewanego ojca nieodniosły pożądanego skutku, jednak niemożliwem było pozostać dłużej w tem miejscu i Franciszek w obawie narażenia ks. Piotra na wielkie nieprzyjemności wolał usunąć się i ukryć w górach około Assyżu.

Cały miesiąc przebył nie wychodząc wcale do miejsc, gdzieby mógł spotkać ludzi.

O schronieniu Franciszka wiedział tylko wierny sługa, który mu ukradkiem przynosił pożywienie.

Przyszło jednak na myśl młodzieńcowi, że niepowinien ukrywać dłużej przed ojcem swych zamiarów i czynów, gdyż byłoby to tchórzostwem z jego strony taić swe szczere przekonania. Wyszedł więc z kryjówki i poszedł śmiało do Assyżu w nędznem zniszczonem, żebraczem niemal ubraniu.

Całe miasto znało go dobrze i nawet ulicznicy poznali odrazu w dziwacznym pielgrzymie świetnego do niedawna młodzieńca rzucającego garściami złoto, bawiącego się i ucztującego z przyjaciołmi. Sądzili więc, że zmysły postradał i naigrawali się głośno, biegnąc tłumnie za nim, orzucając błotem i pokazując palcami, jako szaleńca.

Na wieść o przybyciu syna wypadł stary Bernardoni na ulicę i jął bić go i lżyć publicznie, poczem zakutego, jak zbrodniarza, wtrącić kazał do ciemnej piwnicy.

Matka Franciszka ogromnie bolała nad nim, ale wobec srogości małżonka była zupełnie bezsilną. Dopiero po jego wyjeździe w podróż daleką, udało się matce oswobodzić syna. Próbowała z początku skłonić go do pozostania w rodzinie i odstąpienia od zamiarów, ale wkrótce dała się przekonać i pobłogosławiła go tkliwie, dozwalając iść za głosem Bożego natchnienia.

Św Franciszek przed biskupem. Cudowne uzdrowenie trędowatego. Naprawa domów.

Po tych przykrych przejściach i domowem więzieniu powrócił znów Franciszek do kościołka św. Damiana, gdzie go zacny ks. Piotr z radością powitał. I znowu zjawił się tam po pewnym czasie stary Bernardoni z gwałtownem domaganiem się o wydanie mu syna.

Tym razem Franciszek nie unikając spotkania stanął oko w oko z ojcem i spokojnie, z godnością powiedział mu, że go nic i nikt od powziętego postanowienia służeniu Bogu odwrócić nie zdoła.

Widząc stanowczy opór syna, wymagał Bernardoni, aby się Franciszek zrzekł wszelkich praw do dziedzictwa na rzecz młodszego brata Jana. Kiedy miał już sąd tę sprawę rozstrzygać, sędziowie woleli zrzec się odpowiedzialności i odesłać Bernardonich do biskupa.

Było to na rękę Franciszkowi, gdyż dawało mu sposobność otrzymania błogosławieństwa pasterskiego na nowy zawód, który rozpocząć zamierzył. W obecności pasterza swego oddał ojcu Franciszek wszystko co jeszcze posiadał, a mianowicie ubranie, które miał na sobie i kilka sztuk drobnej monety. Pozostała mu tylko ostra włosiennica, którą na ciele wciąż nosił.

— Ojcze — rzekł składając to wszystko u stóp zagniewanego rodzica — dotąd zwałem cię ojcem swym ziemskim, teraz śmielej będę mógł mówić: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie w Tobie jedynie pokładam me nadzieje!...“

Biskup wzruszony był zachowaniem się młodzieńca, o którego świątobliwości już mu przedtem mówiono. Powstał więc z miejsca i do łez wzruszony przycisnął do serca i błogosławiąc, własnym go okrył paledronem, kazawszy służbie wyszukać natychmiast jakieś ubranie. Sługa przyniósł płaszcz dość zniszczony, wzięty na prędce u jakiegoś wieśniaka.

Uradował się Franciszek, gdy mu ten prosty strój wieśniaczy sam biskup wręczył i odszedł wnet w góry, aby tam w samotności wsłuchiwać się w głos wewnętrzny, powołujący go do wielkich czynów.

Czas jakiś przebywszy w samotności, oddał się następnie do szpitala trędowatych i z całem poświęceniem ich pielęgnował.

Pomiędzy tymi nieszczęśliwymi, którym jak najprostszy pachołek usługiwał, był jeden tak okropnie chorobą oszpecony, że nikt nie mógł patrzeć na niego bez obrzydzenia. Franciszek widząc boleść tego człowieka, zdjęty wielką litością uścisnął go serdecznie i rany twarzy całował.

I stał się cud. Chory nagle wyzdrowiał, a Bóg udzielił odtąd Franciszkowi łaski cudownego uzdra-

wiania trędowatych, przez modlitwy lub też znakiem krzyża św. Ciągle jednak miał na myśli, że mu Bóg powierzył obowiązek odnowienia kościołka św. Damiana, znowu więc tam powrócił, a nie mając żadnych środków zbierał jałmużny, wołając:

— Kto mi da jeden kamień do kościołka, dostanie jedną nagrodę, kto da dwa — otrzyma ich dwie, a kto trzy dostanie potrójną!

Niektórzy szydzili z gorliwości Franciszka, wielu jednak podziwiało jego wytrwałość i odczuwało, że działa on pod wpływem Ducha Bożego. Dawano więc jałmużny, ubożsi zaś ofiarowali własną pracę. W ten sposób posuwały się roboty około odnowy domu Bożego.

Stary Bernardoni nie mógł przebaczyć synowi jego żebraczego życia i spotkawszy na ulicy lżył w sposób ubliżający, że Franciszek dla uniknienia obrazy Boskiej umyślił przybrać sobie za towarzysza swych wycieczek do Assyżu pewnego pobożnego starca żebraka i przy spotkaniu z ojcem, gdy ten go przeklinał, stary żebrak natomiast błogosławił.

— Widzisz ojcze — rzekł raz Franciszek — Bóg dał mi oto tego starca za ojca, od którego za miotane przez ciebie obelgi odbieram błogosławieństwo.

Opamiętało to srogiego kupca i już odtąd nie urągał publicznie synowi i pozostawił go w spokoju.

Budowa kościołka postępowała szybko, a św. Franciszek zachęcał robotników w te słowa:

— Dopomagajcie mi bracia drodzy, kiedyś bowiem stanie tu klasztor ubogich dziewic wielkiej pobożności, których świątobliwość rozsławi Ojca niebieskiego w całym Kościele świętym.

Przepowiednia ta spełniła się w lat kilka, gdyż przy tym kościołku umieścił św. Franciszek świętą Klarę z towarzyszkami i był to pierwszy klasztor Panien Klarysek. Ukończywszy odbudowanie kościołka św. Damiana zabrał się gorliwie do odnowienia starożytnej Świątyni Pańskiej Najśw. Marji Panny w dolinie Spoletańskiej położonej.

Franciszek od lat najmłodszych, zwłaszcza od kiedy rozpoczął życie pokutne szczególne miał do Matki Boskiej nabożeństwo. Tym razem poszło mu bardzo dobrze i naprawa pośpiesznie ukończoną została dzięki ofiarom przez Franciszka zebranym wśród okolicznych mieszkańców a dzięki własnej jego, niestrudzonej pracy.

Św. Franciszek rozpoczyna swój zawód apostolski. Początki założonego przez niego zakonu.

Dwa lata już upłynęło jak Franciszek opuściwszy świat, oddał się wyłącznie Bogu; w najostrzejszej ćwiczył się pokucie, zadziwiał wszystkich poświęceniem się bez granic. Nadchodziła też chwila, w której miał już Pan Bóg objawić mu wyraźnie, że Kościołowi Bożemu przynieść ma niezbędny i gwałtownie wtedy potrzebny ratunek.

Razu pewnego noc całą na modlitwie spędziwszy, z rana sprowadził do kościołka Panny Marji Anielskiej kapłana i prosił, aby na jego intencję odprawił Mszę św. przed ołtarzem Matki Boskiej. Wypadła na dzień ten Msza św. o Apostołach. Słuchał jej Franciszek jeszcze z większem jak zwykle uniesieniem ducha, a szczególniej wytężył uwagę na czytaną Ewangelją, gdyż były to słowa Pana Jezusa, w których wysyłając Apostołów na opowiadanie jego Boskiej nauki, przepisał im jak żyć mieli, mówiąc: „*Nie miejcie złota, ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych: ani tłomoku w drodze, ani dwóch sukien, ani butów, ani laski*“. (Mat. 10, 9). Duch Święty dał najwyraźniej poznać Franciszkowi, iż to jest prawidło według którego on żyć powinien. Niezwłocznie więc po wysłuchaniu tej Mszy św. zawołał:

„Otóż jest czegom szukał; oto czego całem sercem pragnę“.

Franciszek miał wtedy na sobie płaszcz pustelniczy, lecz, że ten wydawał mu się niedość ubogim, przywdział odzienie, jakie zwykle noszą we Włoszech najubożsi pasterze. Była to suknia z grubego, prostego, szaraczkowego sukna do nóg mu sięgająca, z długiemi rękawami i kapturem, służącym za nakrycie głowy w miejsce czapki lub kapelusza.

Duch Święty jednocześnie we Franciszku rozbudził ducha apostolskiego. Chociaż podówczas żadnych jeszcze kościelnych święceń nie miał, upoważniony do tego przez swojego biskupa, chociaż w świeckim zostawał stanie, począł przemawiać do wiernych, miewać nauki i kazania. Apostołowanie Franciszka coraz większego nabierało rozgłosu. Wielu ciężkich grzeszników do najszczerszej pobudził pokuty. Dusze pobożne garnęły się do męża Bożego, zasięgając jego rady, co do swego sumienia; znaleźli się i tacy, którzy nietylko podziwiali i uwielbiali jego sposób życia, ale zapragnęli go naśladować, a zerwawszy stosunki ze światem i wyrzekając się wszelkiego mienia, połączyli z Franciszkiem.

Pierwszym był Bernard z Kwintawalu (de Quintavalle) jeden z najbogatszych mieszkańców Assyżu, ze znakomitej rodziny pochodzący i wielkiej w całej tej krainie używający powagi.

Drugim był Piotr z Katany, kanonik gremjalny katedry Assyzkiej, prałat wysokiej świątobliwości, który tegoż dnia co i Bernard przyjął z rąk Franciszka wspólną im suknią pokutną. Wtedy nasz święty osiadł z nimi w małej, opuszczonej chatce niedaleko Assyżu, nad rzeczką Riwo-torto położonej. Wybrał zaś to mieszkanie dla tego, że chatka była blizko szpitala trędowatych, którym ciągle, już razem z przybranemi braćmi najtroskliwiej usługi-

wał. W tydzień po osiedleniu się, pewien bardzo pobożny mieszkaniec Assyżu nazwiskiem Idzi, przyłączył się do nich.

Oznajmił im mąż Boży, że trzeba aby tak jak on to czynił, poszli apostołować wiernych, przemawiając do nich w wyrazach najprostszych, ucząc zasad wiary św. i pobudzając do życia pokutnego, oraz zalecał, aby gdziekolwiek się znajdą, najprzód prosili o pozwolenie na to miejscowego biskupa. Bernarda i Piotra wysłał ku północnym Włochom, a sam udał się z Idzim do Marchji Ankonitańskiej ku Wschodowi.

Nowi ci misjonarze, na wzór swego mistrza, głosili w różnych miejscach słowo Boże, a przemowy ich poparte przykładem życia umartwionego, pokutnego, ubogiego wiele dusz pozyskiwały Panu Jezusowi.

Poczem znowu wracali do swojej chatki która była dla nich jakoby klasztorkiem, i tam po większem skupieniu ducha, nowej nabywali siły do pracy około zbawienia drugich. W tym czasie Franciszkowi dwóch jeszcze przybyło towarzyszy: Sabatyn i Moryk z zakonu braci, tak zwanych Krzyżowców.

Od początku zawiązania zgromadzenia swojego, Franciszek starał się rozbudzać w braciach swoich zamiłowanie ubóstwa, tej tak rzadko dobrowolnie spełnianej ewangelicznej cnoty. Często też miał w tym przedmiocie nauki, sam z braćmi udawał się codziennie do Assyżu i tam od drzwi do drzwi, od domu do domu, prosił dla miłości Bożej o wsparcie. Było to podówczas czemściś zupełnie nowem, nieznanem, gdyż wszystkie istniejące wtedy zakony posiadały dobra a nawet bardzo znaczne i niesłychaną było to rzeczą, aby wyrzekłszy się wszelkiego mienia, żyć z żebraniny; próżność światowa czuła się upokorzoną, gdy widziano krewnych przebiegających ulice rodzinnego miasta prosząc o jałmużnę.

Doszły takowe szemrania i do biskupa, który jakkolwiek śledząc pasterskiem okiem postępki Franciszka i jego braci wielce się ich wysoką pobożnością i życiem pokutnem cieszył i budował — uznał jednak właściwem zrobić Franciszkowi uwagę co do jego sposobu życia o żebraczym chlebie. Gdy przybył do niego sługa Boży, w celu zdania sprawy z wycieczek po Assyżu, biskup wyraził swe zdanie, że tak bezwzględne wyrzeczenie się wszelkiego mienia, nie jest właściwem i okaże się w końcu niemożliwem do zachowania. Lecz na to odrzekł pokornie przyszły założyciel zakonu żebrzącego:

„Co do mnie, dostojny Pasterzu, znajduję jeszcze cięższem i kłopotliwszem posiadanie czegokolwiek. Nie sposób bowiem utrzymać się przy posiadaniu jakiejkolwiek własności, bez wielu zachodów i frasunku. Zwykle zmusza to do procesów, które trzeba popierać, a nawet i do zajść zbrojnych przy obronie swoich posiadłości. Wszystko zaś to przytłumia i obraża miłość Boga i bliźniego".

Przyznał świątobliwy biskup słuszność, i odtąd jeszcze łaskawszą otaczał opieką Franciszka i jego towarzyszy, i całą powagą swoją bronił, gdy kto ich sposobowi życia śmiał co zarzucać.

Gorliwość o dobro dusz wiernych, pobudziła znowu Franciszka do udania się na apostołowanie, wspólnie ze wszystkimi sześciu towarzyszami. Poszedł więc na dolinę Rietyńską, i tam osiadł z nimi na górze samotnej w opuszczonej pustelni. Przez dzień przebiegał z braćmi miasteczka i wioski okoliczne, gdzie miewali do ludu nauki, i prosił o jałmużnę, co najczęściej miewało miejsce w miasteczku Podżio (Pogio). Tam pewnej nocy, gdy przypomniawszy sobie dawne grzechy, z największą skruchą płakał nad nimi, i miał objawienie, w którem dał mu Pan Bóg poznać, że nietylko otrzymał za nie odpuszczenie co do winy, lecz i co do kary; to jest że dusza jego była już wtedy godną dostąpienia chwały niebieskiej.

„Bądźcie dobrej myśli, mili synowie moi; nie upadajcie na duchu: niech to, żeśmy w tak małej liczbie nie zasmuca nas wcale, gdyż Pan Bóg wyraźnie mi okazał, że za swojem błogosławieństwem rozszerzy po całej ziemi tę rodzinę, której jest Ojcem. Chciałbym zamilczeć o tem com widział, lecz miłość skłania mnie do tego, żebym was o tem zawiadomił. Otóż, widziałem wielkie mnóstwo przybywających do nas, aby przywdziać taką jak nasza suknię, i taki jak my żywot prowadzić. Widziałem wszystkie gościńce zapełnione ludźmi, którzy zdążali ku nam. Przybywały tłumy Francuzów, Hiszpanów, Niemców, Anglików oraz innych narodów.

Przepowiednia Franciszka sprawdziła się wkrótce, w lat bowiem kilka po niej, liczył ten zakonodawca już pięć tysięcy braci z różnych narodowości, a z biegiem czasu bywało ich jednocześnie w całym świecie chrześcijańskim około sto pięćdziesięciu tysięcy.

Podczas pobytu Franciszka na dolinie Rietyńskiej, przyłączył się do nich siódmy z rzędu towarzysz imieniem Filip. Był to zacny tej okolicy mieszkaniec, który rozdawszy tak jak drudzy mienie ubogim, połączył się z braćmi, przy Riwo-Forto.

W tem ustroniu miewał Franciszek nauki o doskonałem zaparciu własnej swej woli, o ślepem posłuszeństwie, o umartwieniu zmysłów, o zamiłowaniu ubóstwa ze wszystkiemi do niego przywiązanemi przykrościami; słowem zaszczepiał w nich zasadnicze cnoty doskonałości zakonnej. Po niedługim zaś czasie oznajmił im, że ma zamiar wysłać ich na cztery części świata dla pozyskiwania dusz Chrystusowi Panu. Chcąc zaś usposobić ich jak najle

piej do tak wielkiego dzieła, miewał długie przemowy, ucząc, jak zachowywać się powinni w spełnianiu swego apostolskiego powołania. Polecił im przytem, aby w pielgrzymkach swoich nie omijali żadnego kościołka bez wejścia do niego. Gdyby zaś znaleźli go zamkniętym, aby pokłonili się Panu Jezusowi w tych słowach: „Cześć Ci oddajemy Przenajświętszy Panie Jezu Chryste na tem miejscu i po wszystkich kościołach, jakie są na całej ziemi, i błogosławimy Tobie, iżeś przez krzyż święty świat odkupić raczył.“

Nakoniec nadeszła chwila, w której miał Franciszek spisać braciom ustawy, według których żyć mieli, i z takowemi udać się do Rzymu, dla otrzymania ich zatwierdzenia. Po długim namyśle i długich modlitwach przed ołtarzem Matki Bożej Anielskiej, mąż Boży dnia pewnego zgromadziwszy braci, których już wtedy miał jedenastu, tak do nich przemówił:

„Widzę, bracia mili, że z dobroci swojej Pan Jezus chce rozmnożyć nasze zgromadzenie; trzeba więc abyśmy sobie skreślili sposób życia, i zdali z tego sprawę Ojcu św., przekonany bowiem jestem, że jak w przedmiocie wiary, tak i w tem co się odnosi do zakonów, nic nie można zrobić dobrego i stałego, bez jego zezwolenia i zatwierdzenia. Zawiadomijmy Papieża, co spodobało się Panu Bogu rozpocząć przez służbę naszą, abyśmy dalej w tejże wytrwali, według jego woli i rozkazów.“ Wszyscy synowie Franciszka przyklasnęli zamiarowi jego i oświadczyli gotowość udania się z nim do Rzymu, a Święty wziął się do pisania Reguły.

Św. Franciszek układa regułę zakonną — Podróż do Rzymu. — Pokonanie trudności.

Dzieło nadania Reguły nowo zakładającemu się przez św. Franciszka zgromadzeniu, miało stanowić epokę odrodzenia się zakonów w kościele Bożym.

Franciszek Regułę swoją zawarł wtedy w dwudziestu dwóch rozdziałach. Podstawą jej było jak najściślejsze zachowanie jak najżywszego ubóstwa. Prócz bowiem trzech zwykłych zakonnych ślubów posłuszeństwa, ubóstwa i czystości, nakazywał braciom zrzeczenie się wszelkiej posiadłości. Wymagał, aby żyli jedynie z jałmużny w przedmiotach do życia potrzebnych, przyjmowania i używania pieniędzy, zupełnie zabraniał, wyjąwszy na potrzeby chorych. Do tego przydał różne przepisy tyczące się jak najuboższego odzienia, jakie mają nosić bracia; zakazał używać obuwia, wskazywał pacierze do odmawiania; posty do zachowania, sposób odbywania misyi i t. d.

Nazwał zgromadzenie swoje zakonem *Braci mniejszych*, a to jak mawiał dla tego, aby bracia uznając się niższymi pod każdym względem od innych zakonów, w pokorze przedewszystkiem ćwiczyli się i tą cnotą obok najwyższego ubóstwa, jaśnieli i odznaczyli się od drugich. Na mocy ustaw tych, tak świeccy, jak i duchowni przyjmowani być mogli do Zgromadzenia, lecz wstąpiwszy do niego, już w sposobie życia, w niczem jedni od drugich różnić się nie mieli. Każdy zaś ze wstępujących, cokolwiekby posiadał, powinien był rozdać ubogim.

Regułę tę odczytał Franciszek braciom, a ci przyjęli ją, nie wątpiąc, że mu sam Duch Święty każde w niej słowo podyktował, puścili się w drogę do Rzymu.

Zastali tam swego biskupa z Assyżu, najprzychylniejszego ich popleczника, który i Franciszka i jego towarzyszy, pasterskiem sercem wielce miłował. Dowiedziawszy się o celu ich przybycia do Rzymu, oświadczył, iż będzie ich ze swej strony najgorliwiej popierał, z pomocą kardynała Jana od św. Pawła biskupa Sabińskiego, z którym w ścisłej zostawał przyjaźni.

Lecz gdy sprawa ta szła w odwłokę, dnia pewnego Franciszek w długiej modlitwie poleciwszy się szczególnej opiece Matki Przenajświętszej, udał się sam do pałacu Laterańskiego, w którym przebywał Ojciea święty. Gdy sługa Boży tam przybył, znajdował się On w ogrodzie. Franciszek zbliżył się do bramy ogrodowej i natrafił na stojącego przy niej oficera ze straży przybocznej papiezkiej, swojego dawnego i dobrego znajomego. który wpuścił go wewnątrz. Święty zbliżył się do Papieża i upadłszy mu do nóg, przedstawił prośbę swoją. Lecz Innocenty, jak o tem sam później mówił, zajęty w tej chwili myślami o bardzo dotkliwych dla Kościoła wypadkach, odprawił go cierpko. Franciszek odszedł z niczem, a jak piszą, wracając wtedy do szpitala św. Antoniego, w którym z braćmi znalazł przytułek, przywrócił wzrok ślepemu.

Tejże nocy Papież miał cudowne widzenie, które sam opowiedział kardynałowi Hugolinowi, swojemu synowcowi. Ujrzał we śnie u nóg swoich wzrastającą palmę, która rosnąc, bardzo prędko zamieniła się w piękne drzewo. Usłyszał przytem głos Boski, mówiący mu, że palma ta przedstawiała ubogiego człowieka, którego chodząc po ogrodzie, nie wysłuchawszy, oddalił. Zaraz więc z rana kazał go szukać. W parę godzin, wysłani dworzanie znaleźli Franciszka i przyprowadzili do Ojca świętego, któremu ucałowawszy nogi, w krótkich i prostych wyrazach przedstawił sposób życia, jaki wiódł z braćmi, i prosił o zatwierdzenie ustaw, które dla nich ułożył

Papież nic jeszcze o tem od kardynałów nie słyszał, Franciszka zupełnie nie znał; lecz wysłuchawszy go najłaskawiej, odrazu przewidując czem

ma być dla Kościoła cały zakon przez niego zakładany, okazał się najprzychylniejszym jego prośbie.

Wszelako trzeba było, aby rzecz ta przedstawioną została i kardynałom i tu napotkała sprawa wielkie trudności; kilku kardynałów okazało się przeciwnymi zatwierdzeniu reguły przez Franciszka ułożonej, znajdując ją zbyt surową, i niemożliwą do zachowania, z powodu iż wzbraniała zakonowi temu wszelkiej posiadłości, a opierała utrzymanie braci jedynie na wyżebrywanej jałmużnie. Przyszło z tego powodu do żywych rozpraw, przy których obecny był i Papież i Franciszek. Popierał go najgorliwiej wyżej już wspomniany kardynał Jan od św. Pawła, który z wielkim zapałem broniąc reguły Braci mniejszych, wyrzekł w te znakomitej siły słowa: „Jeśli odrzucimy prośby tego dobrowolnego żebraka, pod pozorem, że Reguła jego jest jakąś niewłaściwą w Kościele nowością i zbyt trudną da zachowania, miejmy się na baczności, abyśmy przez to i samejże Ewangelii nie odrzucili, na której nauce i przepisach Reguła ta głównie się opiera.

Utrzymywać bowiem, że doskonałość ewangeliczna, albo ślubowanie jej wykonywania zawiera w sobie coś niewłaściwego i niemożliwego, byłoby to bluźnierstwem przeciw samemu Chrystusowi Panu, dawcy Ewangelii świętej".

Słowa te zrobiły wielkie wrażenie na obecnych, a Papież rzekł do Franciszka: „Synu mój, pomódl się do Pana Jezusa, żeby nam raczył wskazać wolę Swoją, co do zadość uczynienia twojej prośbie."

Przypowieść o królu i dziewicy. — Zatwierdzenie reguły.

Święty odszedł na stronę i pomodliwszy się, przez chwilę, miał sobie objawionym przez Boga w jaki sposób przemówić do kardynałów, opierających się jego prośbie, oraz otrzymał upewnienie, że otrzyma to, o co przybył starać się w Rzymie. Gdy więc wrócił przed zgromadzone kardynalskie grono, a papież kazał mu samemu bronić swoich ustaw, następującą opowiedział przypowieść:

„Ojcze święty, rzekł tedy Franciszek, była niegdyś bardzo nadobna dziewica, lecz uboga i na puszczy mieszkająca. Król panujący nad tą krainą, ujrzawszy ją, tak został ujęty jej pięknością, iż pojął ją za małżonkę. Kilka lat mieszkał z nią na pustyni, i miał z niej dzieci bardzo do ojca podobne, a również piękne jak matka, potem wrócił do swojej stolicy. Matka wychowała dzieci najstaranniej, a po pewnym czasie rzekła do nich: „Dziateczki moje, zrodzoneście z wielkiego króla; udajcie się więc do niego, oznajmijcie kim jesteście, a obdarzy on was wszystkiem, co odpowiednie jest waszemu urodzeniu. Co do mnie nie chcę, nawet nie mogę odejść z tej puszczy." Dzieci poszły na dwór króla ich ojca, który poznając w ich obliczach właśne rysy, a także i piękność matki, przyjął je mile i rzekł do nich: „W istocie jesteście prawdziwemi mojemi dziećmi; podejmuję się też waszego utrzymania, jako dzieci królewskich; jeśli bowiem utrzymuję własnym kosztem obcych i dworzan, żywię z własnego stołu, jakżeż nie miałbym tem większego starania o własne dzieci moje, zrodzone z tak pięknej matki! Zatrzymam je na moim dworze i przypuszczę ich do własnego stołu."

Owóż, królem tym, Ojcze Święty, mówił dalej Franciszek, jest Pan nasz Jezus Chrystus: ta zaś piękna dziewica *ubóstwo*, które wzgardzone od wszystkich pozostało, jakby na puszczy. Król królów zstępując z nieba, a schodząc na ziemię, taką został przejęty ku niej miłością, że poślubił ją w kolebce żłobowej. Miał z niej wiele dzieci na pustyni tego świata, jako to: Apostołów, Anachoretów, Cenobitów i wielką liczbę innych, którzy dobrowolnie przyjęli na siebie ubóstwo. Ta dobra matka posłała ich do Króla niebieskiego, Ojca, ze znamionami jego królewskiego ubóstwa, jako też i Jego pokory i posłuszeństwa. Najwyższy Król ten przyjął je łaskawie, przyrzekając, że ich żywić będzie i rzekł: „Ja, który słońcem mojem przyświecam zarówno sprawiedliwym i grzesznikom, który ze stołu mojego i z moich skarbów żywię pogan i kacerzy, i nie odmawiam

Św. Franciszek u stóp Matki Boskiej.
Corregio. Galerja drezdeńska.

im wyżywienia, jakżeż tem chętniej udzielę wam tego, co potrzebować będziecie, a nietylko wam, ale i wszystkim zrodzonym z ubóstwa mojej najmilszej małżonki."

„Do tego więc Króla niebieskiego, Ojcze święty, ubóstwo jego, małżonka, przysyła te dzieci swoje, które oto widzisz przed sobą, a które nie niższej są godności od tych, które je dawno poprzedziły. Jego są oto potomstwem, a podobni z piękności i ojcu i matce, gdyż pragną żyć w najwyższem ubóstwie. Nie trzeba więc obawiać się, aby pomarły z głodu, będąc dziećmi i spadkobiercami Króla nieśmiertelnego, zrodzonego z matki ubogiej, na podobieństwo Jezusa Chrystusa za sprawą Ducha Świętego, i mającemi wychowywać się i wzrastać w duchu ubóstwa, w zakonie bardzo ubogim. Gdy zaś Król niebieski przyrzeka tym, którzy Go miłują królestwo wiekuiste, jakżeż tem pewniejszym być trzeba, że i tym dzieciom swoim da to, co zwykle daje z tak wielką hojnością i złym i dobrym."

Kardynałowie przychylni sprawie Franciszka, z największą pociechą wysłuchali tej prześlicznej przypowieści, kilku, którzy najwięcej się opierali żądaniu jego umilkło; reszta całem sercem przychyliła się za nim; a wtedy Papież opowiedział im następujące widzenie, jakie miał na kilka dni przedtem: Ujrzał kościół Laterański, chwiejący się i jakby upadający; gdy oto pojawił się jakiś człowiek ubogi i wątły, który barkami go swojemi podparł i utrzymał. Innocenty tedy w tem widzeniu upatrywał w świątyni Laterańskiej obraz Kościoła całego tak srodze zewsząd podówczas trapionego, a w onym ubogim, który go jakby od upadku wyratował Franciszka, z nowym zakonem. Opowiedziawszy więc to swoje widzenie i tak je tłómacząc, rzekł w końcu, wskazując na Franciszka: — „O! zaprawdę! ten to człowiek podeprze Kościół Chrystusowy, przez to co dokona i przez naukę, jaką głosić będzie."

Niezwłocznie po odbytej naradzie z kardynałami, papież zatwierdził ustnie regułę Franciszka— i wiele innych łask dla braci jego udzielić raczył. Lecz co niewymowną było dla Franciszka i jego towarzyszy łaską, zaraz sam przyjął od nich profesyą zakonną i zlecił im opowiadanie pokuty i bronienie wiary św. Żeby zaś mogli oddawać się zawodowi kaznodziejskiemu i łatwiej przychodzili w pomoc duchowieństwu świeckiemu chciał, aby wszyscy obecni wtedy bracia, przyjęli mniejsze święcenie i takowe sam udzielić im raczył, a Franciszka wyświęcił na Dyakona i postanowił generalnym Przełożonym wszystkich Braci mniejszych. Bracia zobowiązali się być posłusznymi Franciszkowi, a on Papieżowi.

Ojciec św. życzył sobie, aby Franciszek wyświęcony został na kapłana. Mąż Boży wymawiał się od tego powodowany pokorą najgłębszą, i poprosił Papieża, aby mu pozwolił zbadać w tej mierze wolę Bożą na modlitwie. Innocenty zgodził się na to, a Święty udał się na modlitwę.

Nagle stanął przed nim anioł, trzymający w ręku szklane naczynie, napełnione płynem nadzwyczaj przezroczystym i rzekł do niego:

„Franciszku, kto chce sprawować tajemnicę Przenajświętszego Sakramentu Ołtarza, powinien mieć sumienie tak czyste, jak oto płyn ten, który tu widzisz."

Święty poczytując to za objawienie mu woli Bożej, żeby święceń kapłańskich nie przyjmował, wróciwszy do Papieża, tak go usilnie błagał, aby go do tego nie zmuszał, że Innocenty więcej na to nie nastawał, podziwiając i chwaląc pokorę męża Bożego.

Papież długie raczył miewać z Franciszkiem rozmowy, w których z ojcowską łaskawością i tym znakomitym rozumem, który go odznaczał, udzielił mu wiele rad i poleceń tyczących się dalszego urządzenia jego zakonu, przewidując, iż się ono szybko rozszerzać będzie. Poczem zgromadziwszy wszystkich braci uściskał ich serdecznie, pobłogosławił i odprawił pełnych świętej radości, a wielce na duchu podniesionych.

Św. Franciszek osiada z braćmi przy kościele Najśw. Panny Anielskiej.

Po otrzymaniu zatwierdzenia reguły, Franciszek niedługo już bawił w Rzymie, i wraz z dwunastu swoimi towarzyszami puścił się w drogę.

Gdy się już zbliżali do chatki Rivo-Torto, w której mieli znowu osiąść na czas pewien, doświadczywszy w czasie podróży jak prace apostolskie wiele im pochłaniają czasu, i wiele ludzi ściągając do nich, często stając na przeszkodzie oddawaniu się bogomyślności, powstała w umyśle braci, a nawet i samego Franciszka, ważna wątpliwość. Zawahali się, jaki rodzaj życia mają wieść dalej i czy nie lepiej zrobią mniej poświęcając się życiu apostolskiemu, a raczej, jak pustelnicy. Franciszek polecił braciom na tę intencyę modlitwy i sam udał się na nią. Wtedy, jak pisze św. Bonawentura, przez objawienie raczył Pan Bóg dać mu poznać, iż ma pozyskiwać Chrystusowi dusze, które szatan chciał od Niego oderwać. Pozbywszy się więc wszelkiej pod tym względem wątpliwości, puścili się nasi święci wędrownicy dalej w drogę i przybyli do Rivo-Torto.

Chatka ta już bardzo ciasną była dla nich, tak że udając się na spoczynek, wszyscy leżeć nie mogli, więc niektórzy siedząc sypiali. Jak ubogiem było pomieszkanie, tak również biednem i wyżywienie; zdarzało się, że gdy wszelkiej strawy i chleba im zabrakło, zbierali w okolicy polne korzonki i dzikie jarzyny, i na tem chętnie poprzestawali naj-

więcej czasu poświęcając na modlitwę oraz z prostotą i przystępnie głosili ludowi prawdy ewangeliczne. Sam zaś Franciszek po powrocie z Rzymu, już niemal co niedzielę kazywał w katedrze Assyżskiej.

Kazania i rozgłos świątobliwości jego własnej i mieszkających z nim braci, nietylko najzbawienniej wpływały na mieszkańców lecz znowu rozbudziły w kilku duszach pobożnych pragnienie przyłączenia się do liczby tych świętych pokutników. Lecz, że chatka w której mieszkali, była za ciasna więc przyjęcie zgłaszających się odłożył Franciszek na później, a przez ten czas postanowił starać się o inne pomieszkanie. Rzekł więc do braci:

„Udajmy się do naszego biskupa i kanoników, prośmy ich usilnie, aby dla miłości Boga dali nam który z kościołów, będących koło miasta i tym sposobem udzielili przytułku powstającemu zakonowi. Jeśli zaś nie będą mogli uczynić tego, udamy się z prośbą o tęż łaskę do zakonników góry Subackiej".

I niezwłocznie potem Franciszek wraz z braćmi zaniósł prośbę tę do biskupa i kapituły, lecz pomimo iż biskup i prawie wszyscy kanonicy byli im przychylni zadość uczynić ich żądaniu nie mogli, nie mając w tej chwili żadnego kościoła którymby rozporządzać mogli. Udał się więc z prośbą do opata O.O. Benedyktynów na górze Subackiej, a ten po naradzie z kapitułą zakonną, dał mu i dla braci jego mały kościołek Przenajświętszej Marji Panny Anielskiej, czyli Porciunkuli, ten sam, który Franciszek przed paru laty odbudował i w którym już tyle łask od Boga odebrał.

Tego dnia zaraz poszedł do kościołka Marji Panny Anielskiej, przy którym mieszkał ks. Piotr Mazancoli, gdyż ten kościołek oddali mu pod zarząd Benedyktyni, Franciszek oznajmił księdzu, iż ciż Ojcowie odstąpili kościołek jego Zakonowi i prosił, aby mu pozwolił osiąść przy nim z braćmi. Zacny kapłan, nietylko nie czynił trudności, lecz uradowany uściskał najserdeczniej Franciszka.

Gdy ten nocy następnej, trwał w tym kościołku na modlitwie, polecając Królowej Anielskiej zakładający się swój Zakon, około północy wnętrze kościołka napełnione zostało cudowną światłością, i ujrzał na ołtarzu Pana Jezusa, Matkę Jego Najśw. i wielkie mnóstwo Aniołów. Mąż Boży padł na twarz i rzekł:

„Zbawco świata, słodka miłości, i Ty Królowo Anielska! cóż za niezmierna dobroć sprowadza Was z wysokości Niebios do tej kapliczki tak ubogiej i malutkiej?"

A Pan Jezus mu odpowiedział:

„Przybyłem z Matką moją, aby ciebie i braci twoich osiedlić na miejscu tem wielce nam miłem".

Widzenie znikło, a Franciszek zawołał: *Prawdziwie Pan jest na tem miejscu* (Genez. 38, 16) i zamieszkałem być powinno ono raczej przez Aniołów jak przez ludzi.

Skoro dzień nastał, posłał towarzysza, który był przy nim po resztę braci z poleceniem, aby przyszli zająć domek przy kościołku Marji Panny Anielskiej.

Mieszkanie Franciszka z braćmi przy kościołku było znacznie obszerniejszem od chatki przy Rivo-Torto, więc mógł święty Patryarcha przyjąć zgłaszających się do jego zakonu, przybyło mu też zaraz w tej porze kilkunastu.

Św. Franciszek apostołuje Toskanję i zakłada klasztory Braci Mniejszych.

Znaczna liczba braci i dość obszerny domek, który zajął Franciszek przy kościołku Najśw. Panny Marji dozwoliły mu urządzić tam wszystko po klasztornemu! Zaprowadził więc i klauzurę, to jest wzbronił wpuszczania do wnętrza klasztoru obcych osób, i zwykłe wspólne ćwiczenia zakonne przepisał.

Pod tak świętym mistrzem trwali wiernie w służbie Bożej bracia, w modlitwie nie ustając, a długiemi czuwaniami, postami i rozlicznemi umartwieniami trapiąc ciało. Widząc ich już zdolnymi do ogłaszania i drugim pokuty postanowił Franciszek braci w tym celu rozesłać. Dnia pewnego po długiej do nich przemowie, rozdzielił Franciszek wszystkie krainy włoskie, do każdej z nich po dwóch braci wyznaczając. Dla niego zaś samego przypadła Toskanja, księstwo blizko Assyżu położone, i tam udał się niezwłocznie, mając za towarzysza Sylwestra kapłana. Pierwsze miasto, w którem się zatrzymał była Peruria, gdzie wielu cudami przez niego uczynionemi, raczył Pan Bóg sługę Swego podnieść w oczach ludzi. Następnie udał się do Kortony, zamieszkałej przez najzamożniejszą szlachtę i wielu znakomitych rycerzy tej okolicy. Poprzedziła go tam sława jego świątobliwości, zamiłowania ubóstwa, jakiego dawno przykładu nie widziano i mocy, której udzielał Pan Bóg kazaniom jego. Skoro się więc w tym mieście pojawił, tłumnie spieszono na jego nauki, z których najobfitsze zbierał owoce.

Po kilkomiesięcznym pobycie w Kortonie Franciszek założył tam klasztor i w nim drugi nowicjat. Przez pewien czas sam święty Patryarcha kształcił tych swoich synów. Zdarzyło się dnia pewnego, że wracając z miasta, gdzie miał kazanie, spotkał ubogą kobietę z dwojgiem dzieci nędznie odzianych, a było to w porze zimowej. Sam był wtedy trochę cierpiący i miał na sobie tylko płaszcz zakonny. Ten jednak kobiecie proszącej o jałmużnę oddał. Widząc to jego towarzysz odebrał go od niej mówiąc, iż nie powinna daru przyjmować, gdyż ojciec

jego jest chory, a jeszcze biedniej od niej odziany. Lecz Franciszek kazał ubogiej niewieście płaszcz zatrzymać, a brata surowo upomniał, mówiąc:

„Uklęknij mój bracie, wyznaj winę, i zaraz powróć tej biedaczce to, coś jej odebrał, a co jej z miłosierdzia danem było. Odzienie to było mi tylko pożyczonem, dopóki nie spotka mnie ktoś uboższy odemnie".

Na to nadeszło kilka osób, które czynem takiej miłości bliźniego Franciszka, jeszcze więcej do tej cnoty uczuli się pobudzonymi jak jego naukami, a wiele innych podobnych zdarzeń rozbudzało w mieszkańcach coraz większą cześć ku niemu.

W ciągu dalszej swojej podróży, założył święty Patryarcha kilka klasztorów, poczem wybrał się do Florencyi. Tam zajął mieszkanie przy głównym szpitalu, aby obsługiwać będących tam chorych. Niezwłocznie zaś nazajutrz wyszedł na miasto i zaczął głosić słowo Boże. Słuchali go, jak Świętego; w dni kilka już wielu zgłosiło się z prośbą, aby ich do zakonu przyjął.

Franciszek zatrzymał się we Florencyi do października; a przez ostatnie miesiące tegoż 1211 r. w dalszym ciągu Toskanję apostołował i mnóstwo osób wszelkiego stanu na drogi wyższej pobożności wprowadził.

Na początku roku 1212 zdążając z powrotem ku Assyżowi, gdzie chciał przybyć przed wielkim postem, zatrzymał się po drodze w małem miasteczku Sarcyanum jeszcze w Toskanii będącem. Po kilku kazaniach, jakie tam powiedział, mieszkańcy tak się w nim rozmiłowali, iż przyszli prosić Go jak najusilniej, aby pomiędzy niemi stale zamieszkał. Mile przyjął sługa Boży ich żądanie, lecz odpowiedział, że tego uczynić nie może, gdyż obowiązkiem jego było apostołować po wielu innych krainach. Prosili go więc, aby przynajmniej pozostawił im kilku braci, którzyby ich dalej nauczali i zajęli się wybudowaniem klasztorku. Na to zgodził się chętnie mąż Boży, i wybrał wśród gęstego lasu, na wierzchu skalistej góry, samotne miejsce, do którego z jednej strony przystęp był bardzo trudny, a z drugiej wielka go przepaść oddzielała. Wkrótce stanął tam ubogi klasztorek, który dla osamotnienia, w jakiem zostawał, bardzo lubił św. Franciszek.

W Cetonie też zostawił dwóch Braci i wyznaczył miejsce, na którem niezwłocznie zaczęli budować dla nich klasztor.

Pokora Franciszka z przykrością znosić musiała oznaki czci, jaką wszędzie gdzie się pojawił rozbudzał w duszach wiernych. Poznawano już w nim powszechnie wielkiego Świętego, przeczuwano instynktem katolickim zesłannika niebieskiego, którego Bóg przeznaczył na odnowiciela nietylko ducha żakonnego, lecz całej społeczności chrześcijańskiej.

Gdy zbliżał się do jakiego miasta, uderzano w dzwony; lud mając na czele duchowieństwo wychodził na jego spotkanie; ubodzy i bogaci, mężczyźni i niewiasty, dzieci i starcy witali go niosąc w ręku zielone gałązki i śpiewając hymny pobożne. Niektórzy rzucali się na ziemię i całowali ślady stóp jego; inni starali się otrzyć o jego habit jakowe przedmioty, które później jak szacowne relikwie chowali; niektórzy w tymże celu odrywali kawałki od jego peleryny. Gdzie tylko się pojawił, przyprowadzano dzieci, aby je przeżegnał i nad nimi się pomodlił, kładziono przed nim chleby, które przez niego poświęcone, rozdawano jak cudowne lekarstwo. Świętość jego tak uderzała we wszystkiem co robił lub mówił, i taka w nim moc Boża jaśniała, że nawet kacerze nie śmieli nigdy wystąpić z nim do rozpraw publicznych.

Skoro z tej apostolskiej missyi wrócił Franciszek do klasztoru Panny Maryi Anielskiej, najprzód odosobnił się najzupełniej i przez czas pewien tylko z Bogiem obcował.

Po kilkunastu dniach jakby rekollekcyi, mąż Boży zajął się naprzód Braćmi, których do klasztorku przez ten czas przybyło bardzo wielu. Miewał do nich nauki, zaprawiał ich do życia zakonnego i sposobił na godnych siebie w zawodzie apostolskim pomocników. Gdy zaś wielki post nadszedł, zawezwany przez biskupa Assyzkiego, rozpoczął kazania w katedralnym tego miasta kościele, które miewał tam codziennie.

Obłóczyny św. Klary. – Nowy zakon żeński reguły św. Franciszka.

Miał Pan Bóg przez sługę Swego wskrzesić i nowy zakon żeński, na wzór męzkiego jaki ustalał. Przed laty kilkoma, kiedy Franciszek zajęty był odnawianiem kościoła świętego Damiana, przepowiedział „że przy nim stanie klasztor ubogich dziewic, których świątobliwość rozsławi imię ojca niebieskiego w całym Kościele." Zbliżała się tedy chwila, w której i ta przepowiednia Świętego miała się spełnić, i do tego wybrał Pan Bóg wielkiej świątobliwości dziewicę, najznakomitszej i najbogatszej rodziny Assyzkiej, a tą była św. Klara.

Przez świątobliwą matkę wychowana, od najmłodszych lat jaśniała ona coraz wyższemi cnotami. Uciechy światowe wcale jej serca nie zajmowały i pomimo nalegań rodziców, odrzuciła świetne zamężcie, żywiąc w sercu pragnienie poświęcenia się na zawsze Jezusowi.

Gdy doszła do niej wieść o Franciszku, dusza jej poczuła w nim przewodnika, którego dotąd znaleźć nie mogła, a sposób życia, jaki prowadził i prze-

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

pisał braciom swoim, najzupełniej odpowiadał tej doskonałości, do której i ją Boska łaska pobudzała. Dnia pewnego wraz z matką i siostrą będąc na jednem z kazań, które miewał w katedrze Assyżskiej Franciszek i na którem mówił o szczęściu dusz wyrzekających się dla Boga tego wszystkiego, za czem świat się tak zapamiętale ugania, powzięła zamiar poświęcenia się całkiem Bogu.

Życzyła więc sobie rozmówić się z kaznodzieją i poddać się jego przewodnictwu duchownemu. Św. Franciszek, przez objawienie zawiadomionym został, że Klara, o której świątobliwości wiele słyszał, ma być jego wspólniczką w założeniu nowego zakonu żeńskiego, i że on pierwszy swojemi radami miał ją wprowadzić na właściwe dla niej drogi.

Nastąpiło to wkrótce. Tegoż bowiem roku, przy końcu wielkiego postu, Klara będąc pewną, że od rodziców na to zezwolenia nie otrzyma, w towarzystwie ciotki, osoby świątobliwej, uszła potajemnie z domu rodzicielskiego i przybyła do kościoła P. M. Anielskiej, około północy, kiedy zakonnicy kończyli jutrznię. Franciszek z braćmi mając w ręku świece, uroczyście wprowadził ją do kościoła i tam przed ołtarzem Matki Bożej ostrzygł jej włosy i przywdział w grubą, pokutną suknię.

Po odbytym obrzędzie przyobleczenia w habit zakonny Klary, potrzeba było umieścić ją w jakim klasztorze żeńskim, na czas pewien, aż Franciszek wynajdzie dla niej osobne pomieszczenie, gdzieby mógł założyć klasztor według swej reguły. W towarzystwie więc kilku swoich braci i jej ciotki, odprowadził ją mąż Boży do klasztoru panien Benedyktynek w Assyżu, te zaś przyjęły ją najłaskawiej, wiedząc jak wysokiej świątobliwości była ta dziewica. Wkrótce potem, połączyła się z Klarą i siostra jej Agnieszka, a rodzice widząc ich niezłomne postanowienie oddania się na służbę Bogu, zgodzili się na to. Wtedy święty zakonodawca uznał właściwem umieścić je osobno, i założyć pierwszy klasztor zgromadzenia żeńskiego, z regułą podobną do reguły Braci mniejszych, to jest opartą na jak najwyższem ubóstwie. Urządził więc izby zakonne przy kościele św. Damiana, i tam Klarę, Agnieszkę i kilka pobożnych jej towarzyszek osiedlił.

W bardzo krótkim czasie klasztor św. Damiana napełnił się zakonnicami; sposób życia, jaki tam wiodły był surowy, pokutny, lecz rozgłos tej anielskiej na ziemi osady, coraz więcej rozbudzał do nowego zakonu powołań. W wielu bardzo miastach stanęły klasztory reguły, nadanej córkom Klary przez Franciszka.

„Idźmy w imie Pańskie!...“

Przez czas pewien wahał się św. Franciszek, czy nie ma zaprzestać apostolstwa; ogarniało go pragnienie pustelniczego życia, ale św. Klara i świętobliwy Sylwester, Duchem św. oświeceni, oznajmili, że ma dalej apostolski wieść żywot.

Franciszek poddał się woli Bożej, i rzekł i z przedziwnem uniesieniem ducha:

„Idźmy więc w Imię Pańskie“ i w tejże chwili przybrawszy dwóch towarzyszy, Masseusza i Anioła z Riety, wyruszył na misję. Szedł zaś z takim pośpiechem aby spełnić rozkaz niebieski, że widocznem było, *iż ręka Boża była z nim* (Łuk. 1, 36), o czem przekonali się jeszcze bardziej jego towarzysze, patrząc na cud, który wtedy miał miejsce. Gdy zbliżał się do miasta Bewanio (Bevagno), w lasku przy drodze ujrzeli stado różnego ptactwa siedzącego na drzewach. Sługa Boży, przystąpił do nich i powitał jakby istoty rozumne, a ptaki pozlatywały się do niego, powyciągały szyjki, jakby go najpilniej słuchać chciały. Wtedy święty upominał je, aby z uwagą słuchały słowa Bożego, które im będzie głosił, mówiąc: „Bracia moi, ptaszęta, wychwalać powinniście Stwórcę, gdyż On was przyodział w pióra i obdarzył skrzydłami, otoczył was czystem i zdrowem powietrzem, a bez żadnej z waszej strony troski, żywi was i utrzymuje“. Gdy w ten sposób do nich mówił, ptaki coraz bardziej się około niego skupiały, coraz więcej szyjki wyciągały, dzióbki roztwierały i trzepotały skrzydłami, pilnie się w niego wpatrując. On zaś z przedziwnem uniesieniem ducha, blisko pół godziny prawił im kazanie, a żadne z nich nie ruszyło się z miejsca. Aż gdy pobłogosławił je i dał na to pozwolenie, wszystkie odleciały.

Na to patrzali towarzysze Franciszka stojący przy drodze, do których wróciwszy mąż Boży, począł z wielką skruchą oskarżać się z winy, jaką sobie przypisywał, że dotąd do ptaszków nie miewał kazań. Gdy przybyli do miasta, nowym znowu cudem utwierdzić raczył Pan Bóg Franciszka w zawodzie, do którego wziął się jakby na nowo. Gdy schodził z kazalnicy przyprowadzono mu ślepą dzieweczkę prosząc, aby się nad nią pomodlił. Święty pobłogosławił ją, trzy razy wzywając Trójcy Przenajświętszej, namaścił śliną jej oczy, poczem ślepa od razu wzrok odzyskała. Cud ten nawrócił jeszcze więcej grzeszników i bardzo wielu mieszkańców tego miasta wstąpiło do zakonu Braci-mniejszych.

Franciszek jakiś czas zatrzymał się w Bewanio i jego okolicach, tu w pracach apostolskich wiodło się mu, jak dotąd jeszcze nigdzie. Uderzyło to Franciszka, i podało mu myśl udania się na Wschód pomiędzy niewierne ludy. Widząc bowiem jaką moc nawracania ludzi udzielił Pan Bóg słowom jego, zapragnął użyć jej tam, gdzie najwięcej dusz pogrążonych w błędach pogaństwa, szło na wieczne potępienie. A przy tem wzdychał do szczęścia wylania krwi za opowiadanie wiary nieszczęśliwym

bliźnim, do których jej światło nie dochodziło, aby widzieć spełnione te słowa Zbawiciela: *Większej nad tę miłości nikt nie ma, aby kto duszę swoją położył za nieprzyjacioły swoje* (Jan 15, 13).

Przed spełnieniem atoli zamiaru tak wielkiej wagi, postanowił mąż Boży udać się do Rzymu, dla otrzymania na to błogosławieństwa papiezkiego, Przytem chciał Ojcu św. zdać sprawę z tego, co dotąd zrobił, i zawiadomić go o stanie swojego zakonu, który od dwóch lat otrzymał zatwierdzenie.

Przybywszy do Rzymu, niezwłocznie otrzymał posłuchanie u Innocentego III, który go już znał, wysoko cenił i z ojcowską troskliwością wypytywał o stan jego zakonu. Zdał mu sprawę święty ze wszystkiego; wiele mówił z papieżem o opłakanym stanie całego społeczeństwa chrześcijańskiego, oraz upewniał go, że Pan Bóg, pocieszy swój Kościół. W końcu objawił papieżowi zamiar udania się pomiędzy Mahometanów i Tatarów dla ogłaszania im Ewangelii. Jakkolwiek Innocenty pragnął, aby tak wielki apostoł nie wydalał się z krajów chrześcijańskich, które także jego gorliwej pracy bardzo potrzebowały, tak jednak ufał w tej mierze światłu Franciszka, że zgodził się chętnie na jego misję pomiędzy niewiernymi. Upoważnił go więc do głoszenia pomiędzy nimi słowa Bożego i z całego serca udzielił mu na to błogosławieństwa.

Wróciwszy do klasztoru P. M. Anielskiej, święty nie zatrzymał się w nim prawie, a przybrawszy towarzysza, puścił się w drogę. Gdy przybył do miasta Askoli, lud tak tłumnie wyszedł na jego spotkanie, że na ulicach ludzie ledwie się nie dusili. Po kilku kazaniach, jakie miał wtem mieście, wstąpiło do jego zakonu trzydziestu młodzieńców, między którymi było i kilku duchownych. Niedługo jednak bawił tam święty, gdyż pilno mu było znaleźć się pomiędzy niewiernymi. Udał się więc do jednego z portowych miasteczek, i wsiadł na okręt płynący do Syryi. Lecz zaledwie wypłynęli na pełne morze, zerwała się straszna burza, która ich zapędziła na brzegi słowiańskiej krainy, dziś Dalmacją i Illirją zwanej. Chciał mąż Boży ztamtąd koniecznie na Wschód się dostać, lecz przez czas dość długi napróżno wyczekując okrętu, upatrywał w tem wskazówkę woli Bożej, aby swój zamiar odłożyć. Postanowił więc powrócić do Włoch i w tym celu prosił właściciela statku, który do Ankony odpływał, aby go przyjął na pokład bezpłatnie, gdyż nie miał pieniędzy. Żeglarz odmówił a mąż Boży spuszczając się na Opatrzność, wraz z towarzyszem tajemnie wszedł na statek i na nim się ukrył. Wtem pojawił się jakiś człowiek z koszem żywności, a przybliżywszy się do jednego z podróżnych, oddał, mówiąc: „Powierzam ci te zapasy dla dwóch ubogich zakonników, którzy tu są ukryci; zachowaj to dla nich i udzielaj im w potrzebie.“ Wiatry przeciwne i burze tak utrudniały żeglugę, że się nad wszelkie spodziewanie przedłużyła; i gdy przyszło do tego, że wszelkie zapasy żywności i załogi okrętowej i podróżnych zostały zupełnie wyczerpane, wtedy Franciszek wyszedł z ukrycia, i przeznaczoną dla niego żywność rozdał pomiędzy wszystkich, a Pan Bóg tak ją cudownie rozmnożył, że chociaż jeszcze kilka dni byli na morzu, wystarczyło dopóki nie dostali się do portu. Poznali wszyscy podróżni, że mieli między sobą wielkiego świętego, przez wzgląd na którego Pan Bóg ich od śmierci zachował, za co mu serdeczne złożyli dzięki.

Wysiadłszy na ziemię, Franciszek przebiegał podług swego zwyczaju miasta i wioski jak zawsze z niezmiernym dla dusz wiernych pożytkiem.

Zmuszony zaniechać zamiaru udania się pomiędzy niewiernych, Franciszek każąc wszędzie po drodze, wrócił do klasztoru P. M. Anielskiej, i w nim jakiś czas niby wypoczywał: to jest zajął się jak najpilniej duchownem kształceniem braci, których już wtedy wielką miał liczbę. Niektórzy streszczali na piśmie nauki, jakie im wtedy dawał, a te były pełne ducha Bożego, rozbudzające w braciach zamiłowanie doskonałości ewangelicznej.

Upominał braci, aby najusilniej starali się o łaskę modlitwy, którą poczytywał za źródło wszystkich łask; a najbardziej nakłaniał, aby bezustannie rozmyślali mękę Pańską. W stosunkach zaś między sobą, chciał aby byli wiernymi wykonawcami Ewangelii, w której sam Pan Jezus powiedział: *Potem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu* (Jan. 13, 35).

Św. Franciszek był anielskiej dobroci, nigdy się nie zdarzyło, aby głos podniósł, a tak trafiał do każdego brata, że gdy który otrzymał od niego napomnienie, nietylko wnet się poprawił, lecz jakby nowego nabywał zapału, do wiernego służenia Bogu, a św. Ojca swojego jeszcze więcej miłował, poważał, i tem więcej garnął się do niego.

Zdarzyło się że święty dostał febry, ciężkiej i bardzo wyniszczającej. Wkrótce też, ponieważ i bez tego nadzwyczajnemi umartwieniami ciała był bardzo osłabiony, upadł zupełnie na siłach. Dowiedziawszy się o tem biskup Assyzki, kazał go przenieść do swego pałacu i otoczył go najtroskliwszą opieką.

Wszelako i tam przebywając święty Patryarcha, nie zwalniał się od zarządu swoim zakonem, i przybywali do niego ciągle zgłaszający się o przyjęcie do zakonu. Zgłosił się był wtedy pewien młodzieniec z miasta Luki z prośbą o przyjęcie. Bez badania go prawie odmówił mu tego Franciszek, chociaż go inni bracia bardzo polecali, a sam młodzieniec z płaczem o to prosił. Na co rzekł do niego święty:

„Biedaku, czego płaczesz? po co objawiać łzami czego nie masz w sercu. Lekkomyślnie zrobiłeś postanowienie, którego wkrótce odstąpisz".

Pozwolił mu jednak pozostać, na usilne prośby innych, odkładając na później ostateczną odpowiedź. A tak się stało, jak zapowiedział. W dni kilka przybyli krewni tego młodzieńca, odradzając mu wstąpienie do zakonu, usłuchawszy ich wrócił do domu i już więcej o zakonie nie myślał.

Tymczasem po użyciu lekarskich środków i przy złagodzeniu nieco ostrości życia z rozkazu biskupa, Franciszek uczuł się trochę zdrowszym. Lecz zaczął sobie wyrzucać to, co mu się zdawało zbytniem dogadzaniem ciału i postanowił upokorzyć się w szczególny sposób.

„Nie wypada, powiedział do braci, aby lud wierny miał mnie za pokutnika, kiedy w istocie wygód doznaję". To rzekłszy wstał, i w towarzystwie wielu braci poszedł na główny plac Assyzki, a gdy się około niego duży ludzi zgromadziło, ze wszystkiemi udał się do katedry. Tam kazał Piotrowi z Katany, swojemu wikarjuszowi klasztornemu, zarzucić sobie długi i gruby powróz na szyję i ciągnąć się z kościoła do miejsca, na którem tracono zbrodniarzy, a tak obnażonym, jak to niegdyś uczynił był Izajasz. Na widok tak nadzwyczajny, lud zgromadzony zrazu nie zrozumiał jeszcze dla czego to czyni Franciszek, aż on zatrzymawszy się na onem miejscu, do którego zawlec się kazał, wychudzony jak szkielet, drżący od zimna, donośnym głosem zawołał:

„Nie powinniście mnie poczytywać za człowieka duchownego i pokutnika, i jako takiemu cześć oddawać. Jestem człowiekiem grzesznym, obżartym, którym pogardzać powinniście".

Takiego sposobu upokorzenia siebie samego, jak pisze jeden z dawnych kronikarzy, często używał Franciszek i dla tem doskonalszego umorzania w sobie *dawnego człowieka* (Kolos. 2, 3), według słów św, Pawła, i dla okazania braciom, jak w pokorze ćwiczyć się powinni.

Św. Franciszek zapada na zdrowiu. Jego list okólny do wiernych. Zakłada klasztory w Hiszpanji.

Nie długo cieszył się św. Franciszek zdrowiem. Z powrotem wiosny wróciła febra, jeszcze silniejsza. Nie mogąc tedy z powodu choroby, przebiegać miast i wiosek dla głoszenia słowa Bożego, umyślił listem jakby okólnym, też słowa Boże rozesłać pomiędzy wiernych.

Takiej bowiem już wtedy używał ten święty w całem niemal chrześcijaństwie sławy, wskutek swojej wysokiej apostolskiej gorliwości, że mógł, jak to czynią zwykle dusz Pasterze, odzywać się pismem okólnem i nie do jednej dyecezji, lecz powszechnem do wszystkich chrześcijan wystosowanem.

Wydał podówczas dwie odezwy najprzód jedną bardzo krótką, gdyż ją podyktował w chwili, gdy był mocno cierpiącym; drugą dłuższą nieco, gdy się dowiedział jak skwapliwie roznieśli wierni pierwszą,

Św. Franciszek i Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus. *Z obrazu Rubensa (muzeum w Lille).*

czyniąc z niej niezliczoną liczbę odpisów. Pierwsza w tych była słowach:

„Do wszystkich chrześcijan zakonników, duchownych, świeckich, mężczyzn i niewiast w całym świecie zamieszkałych.

„O! jak błogosławionymi są i szczęsnymi ci którzy Boga miłują, i spełniają co Pan Bóg mówi w Ewangelji: *Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i z całej duszy twojej... a bliźniego twego jak siebie samego* (Mat. 22, 37—39).

„Miłujmy przeto Boga i oddawajmy mu cześć całem sercem i czystym umysłem, gdyż tego nad wszystko pragnąc, powiedział: *Prawdziwi chwalcy chwalić będą Ojca w duchu i prawdzie* (Jan 4, 23). Bywajcie zdrowi w Panu".

Wielu odpowiedziało mu na to szczerą poprawą życia i donosiło o tem listownie, taką bowiem

podobało się Bogu i do słów pisanych tego wybranego sługi Swego moc przywiązać.

Wiele też dusz doznało cudownej skuteczności tej, jakkolwiek nie długiej odezwy. Uczynił to wkrótce a długi okólnik jego przyjęto i czytano, jakby od najwyższej władzy kościelnej pochodzący.

Tak więc przemawiając listownie do wiernych i ciągle miewanemi naukami do braci, w ciągu choroby Franciszek nie przerywał swojego apostolskiego zawodu. Lecz obok tego ciągle miał na myśli zamiar udania się pomiędzy ludy niewierne, i do tego wrócił skoro go febra opuściła i silniejszym się poczuł, chociaż, jak piszą współcześni historycy, już od tej pory zupełnego zdrowia nigdy nie odzyskał. Skoro wstał z łóżka, zwierzywszy zarząd klasztoru P. M. Anielskiej Piotrowi z Katany, wyruszył na misję do Maroko z zamiarem opowiadania Ewangelji Mahometanom i z nadzieją pozyskania tam palmy męczeńskiej.

Zanim atoli miał opuścić rodzinne kraje, postanowił zwiedzić braci po klasztorach pomieszczonych, oraz w północnej części Włoch założyć jeszcze kilka klasztorów, czego wymagała coraz większa liczba braci. Przytem pragnął, zanim opuści ojczyznę, jeszcze w tych jej miejscowościach, w których dotąd nie kazywał, pozyskać dusze Chrystusowi.

W tem więc celu przebiegł całe północne Włochy, a wszędzie niewypowiedziane spływały pożytki.

W tej swojej wycieczce założył Franciszek przeszło dwadzieścia klasztorów. A powołanych do tego nowego zakonu było tak wiele, że w każdym z nich po kilkunastu braci poobsadzał.

Nakoniec zbliżywszy się do Hiszpanji, mąż Boży wkroczył i do tego kraju, a tam na samym wstępie ułatwił mu Pan Bóg misje cudem przez niego dokonanym.

W mieście Longrono, uzdrowił śmiertelnie chorego syna Medraniego, jednego z wodzów wojsk króla kastylskiego Alfonsa IX. Przez to pozyskawszy sobie względy tego pana, znakomitego wodza, znalazł łatwy przystęp i do samego króla, którego chciał prosić, aby mu pozwolił braci osiedlić w Hiszpanji. Jakoż udawszy się do Burgos, gdzie podówczas przebywał król Alfons, święty zaraz otrzymał u niego posłuchanie i prośbę mu swoją przedstawił. Król ten odznaczał się wysoką pobożnością i szczególną dla duchowieństwa i zakonów przychylnością. Kilkakrotnie miał długą rozmowę z Franciszkiem, a przejrzawszy regułę Braci mniejszych, najchętniej zezwolił aby zakładał w państwie jego swoje klasztory i własną w tem pomoc mu przyrzekł.

Sługa Boży skorzystał bez zwłoki z tego pozwolenia, a otrzymawszy z rozkazu królewskiego mały kościołek św. Michała za murami miasta Burgos i plac przy nim będący, odwoławszy się do pobożnej hojności mieszkańców, założył tam klasztor. Umieścił w nim kilku braci przybyłych z nim z Włoch, wraz z nowo przyjętymi Hiszpanami, których już kilkunastu wstąpiło do jego zakonu po kazaniach jakie miewał w tem mieście. Skoro zaś nadeszła wiosna, Franciszek puścił się ku brzegom morskim dla odpłynienia do Maroko. Lecz jeszcze na czas pewien odłożyć to musiał, Medrani bowiem, ojciec cudownie uzdrowionego, chcąc i Bogu podziękować za łaskę i Franciszkowi okazać wdzięczność, postanowił wybudować w tem mieście klasztor dla braci, a domagał się usilnie, aby sam św. Patryarcha przybył dla wybrania miejsca i dokładnego wskazania, jakim ma być kościół i klasztor.

Medrani ujęty łaskawością Franciszka, który na jego prośbę wrócił z drogi umyślnie, na klasztor dla Braci mniejszych oddał cały dom własny wraz z ogrodami będący w Longrino. Święty kazał go przerobić na ubogi klasztor; umieścił w nim kilkunastu braci i wyruszył zaraz ku morzu sądząc, że już tym razem nic nie opóźni jego świętej wyprawy. Lecz inaczej się stało. Zbliżając się już do jednego z miast portowych nagle ciężko zachorował, powstawszy z onej choroby, która wprawdzie gwałtowną była, lecz nie długo trwała, święty odbył pielgrzymkę do grobu świętego Jakóba Apostoła w Kompostelli. Miejsce to słynęło od dawna wielkiemi cudami i odwiedzała je nadzwyczaj wielka liczba pielgrzymów. Św. Patryarcha na grobie błog. Apostoła gorąco a długo się modlił, w tem stanął przed nim Anioł i oznajmił, iż wolą Bożą jest, aby wracał do Włoch a wprzód jeszcze przebiegł niektóre części półwyspu Iberyjskiego. Odstąpił więc Franciszek od zamiaru udania się do Maroko, przysparzając sobie zasługi przez najchętniejsze i najwierniejsze jednoczenie woli swej z Bożą wolą.

Wkrótce więc Franciszek puścił się w drogę z powrotem do Włoch; udając się do klasztorku P. M. Anielskiej pod Assyżem. Pierwszych dni kilka po powrocie Franciszka, zajęło mu załatwianie różnych spraw tyczących się zakonu; po ukończeniu tego, przebiegał znów okoliczne miasteczka i wioski, zagrzewając wiernych do pokuty.

Po pewnym czasie postanowił udać się na górę Alwernię, w północnych Włoszech. Właściciel tej góry oddał na użytek braci Franciszka znaczny kawał ziemi i tu się osiedlili.

Góra ta należąca do pasma Apeninów, a z nich najwyższa i od drugich oderwana, z trzech stron nastroszona jest dzikiemi skałami, które nie zarastając żadnemi krzewami, wydają się jakby olbrzymie mury nie dopuszczające wejścia na nią. Przybywszy tam święty i zwiedziwszy chatki, w których mieszkali bracia, ucieszył się najwięcej tem, że były bardzo ubogie; dla siebie zaś obrał miejsce nieco

od innych pustelni oddalone, z zamiarem urządzenia tam małej kapliczki.

Tylko kilka dni zatrzymał się Franciszek na tej górze, na której później miał się dokonać na nim jeden z największych, jakie kiedy zaszły cudów: otrzymanie Blizn Chrystusowych, co miejsce to w całem chrześcijaństwie na zawsze wsławiło.

Przed odejściem z Alwernii, Franciszek obszedł całą górę, którą bardzo polubił, gdyż było to z miejsc zajmowanych przez braci najsamotniejsze. Widok skał zawieszonych jakby w powietrzu nad bezdennemi przepaściami, a w skałach ogromnych rozpadlin, które nie zdawały się mu naturalnemi, wprawił go w wielkie zdumienie. Ukląkł i począł się modlić, aby mu Pan Bóg objawić raczył, czy przyczyną tego było trzęsienie ziemi, czy inne jakie zjawisko natury. A wtedy okazał mu się Anioł i oznajmił, że skały te popękały się podczas śmierci Chrystusa Pana na krzyżu, i że były to jedne z tych, o których mówi Ewangelja: *i porozpadały się skały.* (Mat. 21—31).

Św. Franciszek otrzymuje od Stolicy Apostolskiej zatwierdzenie swojej Reguły zakonnej. Pierwsza kapituła Braci Mniejszych.

Gdyby Franciszek szedł za własnem upodobaniem, byłby już nigdy z tej góry nie schodził: tak to miejsce ze wszech miar przypadało mu do serca, i tak dogodnem było do życia pokutnego. Lecz wiedział, że go Pan Bóg do innego zawodu przeznaczył: trzeba więc było wrócić pomiędzy ludzi, nakłaniać do pokuty, a zakon swój, na tenże cel założony, szerzyć coraz dalej. Pożegnawszy przeto braci zeszedł z góry i udał się na misję ku Marchii ankonitańskiej, w której jeszcze nie apostołował. Tam miewał kazania, uzdrowił cudownie wielu chorych, założył kilka klasztorków i kilkunastu nowych braci przyjął do zakonu.

Ale zbliżała się najpożądańsza dla błogosławionego ojca chwila, otrzymania uroczystego zatwierdzenia reguły. Przed czterema laty już uzyskał był od Innocentego III takowe zatwierdzenie Franciszek, lecz tylko ustne, niedostateczne dla braci, gdy się w obce jakie strony dostawali, do udowodnienia prawowitości, tak w obec duchownej jak i świeckiej władzy. Wtedy właśnie zbierał się w Rzymie, na wezwanie papieża Innocentego III, jeden z najliczniejszych soborów powszechnych. Zgromadził go Ojciec święty w celu wytępienia panujących i szerzących się podówczas kacerstw, obostrzenia karności, poprawy obyczajów w ogólności, a także dla obmyślenia najskuteczniejszych środków do wydobycia z rąk pogańskich Ziemi Świętej, przez współudział w wyprawie krzyżowej, wszystkich monarchów chrześcijańskich.

Gdy więc już uczestnicy soboru w Rzymie obecni byli w liczbie tysiąca dwustu, udał się tam i święty patryarcha w 1215 r., jedynie w celu uzyskania na piśmie wydanego zatwierdzenia swojej reguły.

Lecz napotkał od razu wielką trudność. Ponieważ powstało już bardzo wiele zgromadzeń zakonnych, a każde na zupełnie odrębnej oparte regule, Ojcom sobornym rozmaitość tak wielka nie zdawała się odpowiednią, uradzono przeto wydać zakaz zakładania zakonów z nowemi ustawami. Wszakże powszechnie znana i wielbiona świętość Patryarchy Assyzkiego, nieobliczone pożytki prac apostolskich braci, obok tego i samego papieża najłaskawsze dla Franciszka i dla zakonu jego usposobienie, sprawiły, że reguła jego zakonu, szczególnym dla niego wyjątkiem, uroczyście na jednej z sesji sobornych zatwierdzoną została.

W podobnymże celu, jak zakonodawca Braci mniejszych, przybył wtedy do Rzymu i św. Dominik, założyciel zakonu kaznodziejskiego, Dominikańskim nazwanego, a który współcześnie z zakonem Braci mniejszych powstawał. Rozszerzał się on w południowej Francji, walcząc głównie z kacerstwem Albigensów. Jednak św. Dominik nie otrzymał tego, co otrzymał Franciszek, lecz tylko pochwałę i podziękowanie za gorliwe apostołowanie jego i braci. Polecono mu obrać sobie jednę z reguł już przez Stolicę Apostolską zatwierdzonych, a do niej przydać ustawy nowemu zgromadzeniu właściwe, co też on uczynił.

Ztąd św. Franciszek jest nietylko założycielem nowego zakonu, lecz jednym z czterech zakonodawców, którymi są: św. Bazyli, zakonodawca wszystkich zakonów na wschodzie, św. Augustyn, którego regułę za podstawę wzięło wiele zakonów męzkich i żeńskich, św. Benedykt, którego reguły zakony pokryły zachód Europy od wieku VI, i nakoniec Patryarcha Assyzki, którego ustawą rządzą się wszystkie odcienie zakonników Braci mniejszych jako to: Franciszkanie, Bernardyni, Reformaci i Kapucyni.

Św. Franciszek pewien czas zatrzymał się jeszcze w Rzymie, aby wysłać z tego świętego miejsca okólne listy do wszystkich swoich klasztorów, dla zawiadomienia braci o zatwierdzeniu reguły, i dla zwołania ich na powszechne zgromadzenie, to jest na generalną kapitułę zakonną do klasztoru P. M. Anielskiej. Widząc bowiem zakon swój bardzo rozszerzony, gdyż już wtedy było około dwóch tysięcy braci, uznał potrzebę podzielenia go na zakonne prowincje, i wyznaczenia na każda Prowincjałów. Wyznaczył na Kapitułę, uroczystość Zesłania Ducha Świętego a sam udał się do Assyżu. Gdy nadeszła uroczystość, bracia stosownie do wezwania zakonodawcy, ze wszech stron ściągali do Porciunkuli.

Zgromadzili się wszyscy, prócz tych, którzy koniecznie po klasztorach dla obsługi kościołów pozostać musieli. Była to tedy pierwsza generalna kapituła zakonu Braci mniejszych. Zatrzymał ich ojciec błogosławiony dość długo, a korzystając ze sposobności, która ich prawie wszystkich około niego skupiła, miewał do nich nauki. Utwierdzał ich w duchu powołania, zagrzewał do coraz większej w pracach apostolskich gorliwości, polecał jak najściślejsze przestrzeganie karności zakonnej, a najbardziej świętego ubóstwa, które im przedstawiał jako zasadniczą cechę zakonu Braci mniejszych.

Następnie podzielił zgromadzenie swoje na Prowincje zakonne, i takich wyznaczył sześć, a wszystkie we Włoszech. Do Niemiec zaś, Holandji, Francji i Hiszpanji, po kilkudziesięciu wysłał misjonarzy.

Poznanie się św. Franciszka ze św. Dominikiem.

Gdy swoich misjonarzy wysłał na trudy apostolskiego zawodu, święty Patryacha puścił się sam w drogę do Paryża wstąpiwszy przedtem do Rzymu,

W tejże porze, przybył tam i św. Dominik, Pan Bóg sprowadził wtedy tych obydwóch wielkich sług Swoich do świętego grodu, aby ich do siebie zbliżyć, gdyż dotąd wcale się nie znali. Spotkanie i zaprzyjaźnienie się tych największych w owym czasie filarów Kościoła, nie bez cudownego pośrednictwa Boskiego nastąpiło. Gdy bowiem nocy pewnej, każdy w oddalonem od siebie miejscu w bazylice watykańskiej trwał na modlitwie, obaj następujące mieli objawienie: ujrzeli Chrystusa Pana przejętego gniewem na skutek ciężkich a powszechnych grzechów. Następnie widzieli, jak Syn Boży powstawszy na prawicy Ojca, trzymał w ręku trzy strzały i już miał je spuścić na ziemię, aby z nich jedną wyniszczyć pysznych, drugą chciwców, trzecią wszeteczników. Aliści Przenajśw. Panna upadła Mu do nóg, wstrzymując wypuszczenie tych strzał strasznych i błagając, aby rodzaj ludzki raczył tak ciężką klęską nie dotykać, gdyż jak mówiła, ma dwóch sług Swoich, przez których grzesznicy przywiedzeni zostaną do szczerej pokuty. A wtedy jako wybawicieli grzesznego świata, Marja okazała Synowi Franciszka i Dominika, i rzekła: „Ci to są, Synu mój, którzy upadłą na świecie pobożność wskrzeszą“. Co wysłuchawszy Syn Boży, na żądanie Przenajświętszej Matki powstrzymał karzącą prawicę Swoją i strzały na bok odłożył.

Ucieszeni nad wszelki wyraz tem cudownem widzeniem, obaj święci, gdy wychodzili z bazyliki spotkali się. A poznając nawzajem jeden w drugim tego, którego przed chwilą w objawieniu widzieli, uściskali się serdecznie, i rzewnemi zalewali się łzami, dziękując Marji za miłosierdzie, jakie okazywała nad światem i błagając Ją, aby ich opieką Swoją wspierać nie przestawała.

Od tej pory ci dwaj wielcy mężowie w świętej trwali przyjaźni. Przejęci zaś niewymowną wdzięcznością ku Królowej niebieskiej, że ich wybrać i powołać raczyła do zawodu apostolskiego, uczuli w sercu jeszcze gorętszą dla niej miłość, którą postanowili szerzyć jak najgorliwiej.

Wkrótce umarł papież Innocenty III, a wstąpił na Stolicę Apostolską Honoryusz III. Przedtem niechętni zakonowi św. Franciszka, przez wzgląd na papieża, występować ze swymi zarzutami i złemi chęciami nie śmieli Lecz po śmierci Innocentego i Franciszek i cały zakon jego, chociaż sobornym wyrokiem uznany, uczuli, że ubyła im szczególnie na nich łaskawego papieża opieka. W wielu miejscach poczęto im czynić trudności różnego rodzaju. Pokorni bracia przyjmowali te zesłane im przez Opatrzność próby z zupełnem Woli Bożej poddaniem, na szczęście, wkrótce potem miały nastąpić pomyślne zmiany.

Nie odstępując zamiaru udania się na misję do Francji, Franciszek opuszczając Siennę i jej okolice, poszedł do Florencji, odwiedziwszy po drodze braci na górze Alwernii. W Toskanii przebywał wtedy wysłany tam jako legat apostolski, kardynał Hugolin, mąż pierwszej podówczas w całym Kościele powagi, potomek jednej z najznakomitszych rodzin włoskich, a którego Franciszek poznał był w Rzymie, jeszcze gdy tam starał się o zatwierdzenie ustne swojej Reguły przez Innocentego. Już wtedy kardynał rozmiłował się w żebraku Assyzkim, odgadł w nim wielkiego świętego, i od tej pory przy każdej sposobności sprawę zakonu Braci mniejszych całem sercem popierał.

Franciszek pospieszył do niego, aby mu złożyć swoje uszanowanie, wyrazić wdzięczność za jego łaskawe względy dla Braci mniejszych, oraz zasięgnąć światłej rady w trudnościach, które zakon jego spotykały. Kardynał, przyjął go najłaskawiej, zatrzymał dni kilka u siebie, jakby nie mogąc się nim nacieszyć, i przez ten czas prawie z nim tylko obcował i rozmawiał. W jednej zaś z takich rozmów kiedy zastanawiali się nad trudnościami, które w wielu miejscach napotykał, kardynałowi zdało się, iż niewłaściwem będzie, aby wśród takich okoliczności, Franciszek miał opuszczać Włochy i na długi czas udawać się w obce kraje. Rzekł więc do niego:

„Młodem jest jeszcze twoje Zgromadzenie Franciszku, wiesz o tem dobrze, że w otoczeniu papieża są niektórzy bardzo ci nie przychylni. Pamiętasz jak wielu miałeś w początkach przeciwników, którzy później przez wzgląd na ś. p. papieża Innocentego stali się skrytymi, lecz teraz próbować będą jawnie wystąpić. Potrzebny ci koniecznie ktoś przy boku papiezkim, któryby sprawę twoją popierał, inaczej łatwo przyjść może do tego, że to, coś dotąd

otrzymał, odwołanem zostanie. Sam najskuteczniej potrafisz przychylność obudzać. Co do mnie zaś, proszę cię, abyś pamiętał, żem wam sercem i duszą oddany."

Franciszek najżywsze złożył dzięki kardynałowi za dowód tak wielkiej jego łaskawości, od zamierzonej jednak do Francji podróży nie chciał odstąpić.

„Nie wypada mi zaniechać tej misji, mówił, wielu z braci wysłałem w dalekie kraje; jeślibym więc sam zażywał spokoju w klasztorze, dałbym braciom pielgrzymującym pomiędzy obcymi powód do szemrania i sambym się wstydem okrył. Jeśli zaś i mnie ujrzą tak samo pracującego, chętniej znosić będą trudności a ja śmielej ich do tejże pracy będę mógł pobudzać." Na co znowu przejęty wielką dla braci życzliwością kardynał, odrzekł: „Bo i pocóż kochany bracie, synów swoich wystawiasz na tyle przykrości, jakie ich spotykają w obcych i dalekich krajach?"

Pan Bóg nie tylko dla naszej ojczyzny wskrzesił to zgromadzenie" zawołał święty: Zaprawdę, powiadam waszej dostojności, że Pan Bóg ustanowił je dla zbawienia świata całego. I od dobrodziejstwa takowego nie wyłączeni są niewierni; byle bracia trzymali się ducha ewangelicznego i przepisów swojej reguły, Bóg i wśród nieprzyjaciół imienia swego obficie ich zaopatrzy we wszelkie potrzeby do życia.

I długo w ten sposób rozmawiali z sobą. Pobożny kardynał jeszcze się więcej w św. Franciszku i w jego zakonie rozmiłował; przyrzekł popierać go swoją opieką, lecz w końcu wymógł na świętym, iż na później odłoży wycieczkę do Francyi, a teraz uda się do Rzymu, gdzie i sam Hugolin miał wkrótce zjechać, aby niektóre trudności tyczące się zakonu Braci mniejszych za jego tam poparciem pozałatwiać.

Wtedy Franciszek na swoje miejsce przeznaczył brata Pacyfika z Picenu i przydawszy mu kilku braci wysłał ich do Francji, a sam mając udać się do Rzymu, wprzód jeszcze zaszedł do Porciunkuli. Rozłączając się zaś z kardynałem, prosił go, aby na przyszłej kapitule Braci mniejszych, raczył być obecnym, co mu ten najchętniej przyrzekł.

Święty Franciszek otrzymuje od Stolicy Apostolskiej poddanie swego zakonu, pod wyłączną opiekę jednego z Kardynałów.

Za powrotem błogosławionego Ojca do klasztorku P. M. Anielskiej, wielu braci z różnych stron przybyło do niego, przedstawiając mu rozmaite przeszkody w swoich pracach apostolskich, głównie ze strony duchowieństwa świeckiego pochodzące.

Do tej pory nie istniały wcale zakony czynnemu, apostolskiemu życiu oddane. Pierwsi Bracia mniejsi we Włoszech, jak współcześnie z nimi synowie świętego Dominika w południowej Francji, ten rodzaj życia rozpoczęli. Wszystkie wznioślejsze i świątobliwsze dusze, odgadywały w ich pojawieniu się dzieło najwyższego miłosierdzia Bożego nad światem, lecz w umysłach niskich, a więc do zawiści skłonnych, rozbudzało się ku Patryarsze Assyzkiemu i jego braciom niedowierzanie, podejrzenie, a w wielu nawet widoczną była zawzięta niechęć. Nic więc dziwnego, że bracia już wtedy po całych Włoszech rozsypani, dotkliwych tego usposobienia doznawali skutków, i przyszli do swego założyciela zdać mu z tego sprawę, nie żeby z tego powodu utyskiwać mieli, albo zniechęcać się, tylko jeśli to uzna możliwem i właściwem, aby temu zaradził. Przekonał się tedy święty, jak słusznie kardynał Hugolin nakłaniał go do zaniechania podróży do Francji a udania się do Rzymu. Widząc konieczną potrzebę obmyślenia skutecznego środka przeciw trudnościom, według swego zwyczaju udał się najprzód na modlitwę, podczas której miał następujące widzenie: Ujrzał kokoszę, otoczoną wielu pisklętami, gromadzącą je pod swoje skrzydła, dla uratowania od nadlatujących jastrzębi. A gdy wszystkie swoje dziatki przy sobie umieścić nie mogła, pojawił się inny ptak daleko od niej większy, który je skrzydłami swemi osłonił. Kiedy zaś to widzenie zniknęło, Pan Bóg dał mu zrozumieć, że kokosz ona wyobrażała jego samego, pisklęta jego synów, to jest Braci mniejszych, jastrzębie tych wszystkich, którzy na nich powstawali, a wielki ptak, oznaczał, że Franciszek powinien uprosić u papieża jednego z kardynałów za szczególnego opiekuna i protektora swojego zakonu. Nie wahał się więc już mąż Boży w tej mierze, tembardziej, że przez uzyskanie protektora w jednym z kardynałów uzyskiwał wyjątkową opiekę samego papieża nad swoim zakonem, i jeszcze szczególniej i wyraźniej poddawał go Stolicy Apostolskiej. Oto zaś mu głównie chodziło w czasach, kiedy wiele kacerstw porywało się także na założenie nowych zgromadzeń.

Zgromadził braci, którzy w wielkiej wtedy liczbie znajdowali się w Porciunkuli i przedstawił im przytoczone powody proszenia papieża o protektora zakonu:

„Pójdę, rzekł, polecić braci moich świętemu rzymskiemu Kościołowi, którego władza poskromi naszych przeciwników, a nam zabezpieczy wszędzie swobodę. Przyjdzie do tego, że cały Kościół pozazdrości chwały naszego ubóstwa, a czystość ewangelicznego ducha, okiem Stolicy Apostolskiej strzeżona, w zakonie naszym nie przygaśnie. Poczem przybrawszy towarzysza wyruszył do Rzymu.

Tam zastał już kardynała Hugolina. Ten chcąc go najkorzystniej przedstawić nowemu Ojcu świętemu i całemu gronu kardynałów, tyle wpływem

swoim zrobił, że papież kazał, aby Franciszek do niego i do całego grona kardynalskiego miał kazanie, do czego używani byli tylko najznakomitsi nauką i świątobliwością wyżsi prałaci, a Franciszek był tylko dyakonem. Wypraszał się od tego sługa Boży ile tylko mógł, zasłaniając się nieudolnością przemawiania do tak świetnych słuchaczów, ponieważ dotąd odzywał się tylko do ludu prostego. Hugolin jednak słuchać tego nie chciał więc Franciszek przygotował kazanie i wyuczył się doskonale na pamięć, czego nigdy nie czynił, gdyż zwykle po krótkiej modlitwie mówił, co mu Duch Św. dyktował.

Wszakże na nic mu się nie przydało owe przygotowanie. Wszedłszy na kazalnicę po kilku ustępach wyuczonej przemowy pamięć go zupełnie odstąpiła tak, że z całego kazania ani jednego słowa dalej nie pamiętał. Wtedy przez króciutką chwilę pomodlił się, a wyznawszy szczerze zawód, jakiego doznał, zaczął kazać według swego zwyczaju, głosząc słowo Boże. jakie mu sam Duch Św. poddawał i tak do głębi duszy przejął słuchaczy, że i sam papież i całe świetne grono książąt Kościoła poznało w nim wysłannika niebieskiego.

Ucieszony kardynał Hugolin tak szczęśliwem przedstawieniem się i papieżowi i kardynałom św Franciszka, zaraz po kazaniu, gdy Honorjusz wyrażał uwielbienie dla nowego apostoła, Hugolin prosił go, aby raczył dać mu posłuchanie i pozwolił zanieść do swojej Apostolskiej Mości prośbę, tyczącą się ważnej zakonu Braci mniejszych potrzeby. Papież kazał niezwłocznie przywołać Franciszka i przyjął go ze szczególną łaskawością.

— Ojcze święty, rzekł św. Patryarcha, rozumiem dobrze, jak wielkiemi i ciężkiemi trudami obarcza cię zarząd całego Kościoła. Dla tego ze drżeniem i bojaźnią przychodzę zaprzątać czas twój sprawą tyczącą się Braci mniejszych, ostatnich z twoich synów. Wiem bowiem. jak nierównie ważniejsze od naszych pochłaniają cię sprawy, i jak wielu najznakomitszym świeckim i duchownym dostojnikom, trudny do Twojej świątobliwości przystęp, z powodu tych licznych, a najwyższej wagi tyczących się zajęć. My więc najnędzniejsi i niegodniejsi ze wszystkich, jakżebyśmy śmieli, ile razy wydarzy się nam tego potrzeba, domagać się przystępu do twojej osoby. Prosimy przeto najpokorniej świątobliwości Twojej, abyś raczył tego oto dostojnego kardynała wyznaczyć na następcę Twojego do spraw tyczących się naszego zakonu. Chciej, Ojcze święty, dozwolić, abyśmy w razie potrzeby do niego się uciekać mogli, abyśmy tym sposobem zawsze tobie byli ulegli i poddani.

Papież przychylił się najzupełniej do tej prośby Franciszka, i oświadczył kardynałowi, że na niego zlewa całą swoją władzę nad zakonem Braci mniejszych. Przytem polecił najłaskawiej, aby opieką swoją tak ich zasłaniał i wspierał, jak on sam chciałby to uczynić i chce, aby on w jego imieniu czynił.

I odtąd już zakon Braci mniejszych miał i ma po dzisiejsze czasy jednego z kardynałów mianowania papiezkiego, za głównego opiekuna, jakby zastępcę dla nich samego papieża.

Kapituła Braci Mniejszych przezwana Rogoziana.

Franciszek powracając z Rzymu, założył dwa klasztorki na dolinie reatyńskiej, i przy każdym z nich pozostawił braci doglądających ich budowania, a potem w nich osiąść mając mających, skoro wrócił do Assyżu, odosobnił się na dni kilka zupełnie, oddał się umartwieniom, a dnie całe i większą część nocy w kościołku P. M. Anielskiej trawił na modlitwie.

Święty Zakonodawca zastanawiając się nad pożytkami dusz wiernych z odprawianych w różnych stronach misji o czem się przekonywał w świeżo odebranych wtedy wiadomościach—zapragnął wyprawić braci do innych krajów. W tym celu umyślił zwołać walne zebranie, czyli kapitułę generalną, rozesłał więc do wszystkich prowincji okólnik wzywający braci w roku następnym około świąt Zesłania Ducha Świętego a od wezwania nie wyłączył nawet i zakonników przed rokiem do Hiszpanji, Holandji, Francji i Niemiec wysłanych. Chciał bowiem mieć przez nich zdaną sobie sprawę ze stanu szerzącego się w tych krajach swego zakonu.

Pomimo tak nadzwyczaj pomyślnego rozwoju szerokich planów, św. Franciszek począł doświadczać zniechęcenia i zwątpienia o sobie, ztąd zapadł w smutek, który nawet i bracia dostrzegli, i który przez dni kilka dał mu zaznać ogrójcowej męki.

Lecz jak we wszystkiem tak i w tem dopuszczeniu Bożem, Franciszek, jako najwierniejszy naśladowca Chrystusa, szukał na to pomocy w modlitwie. Kilka dni i kilka nocy w Porciunkuli spędził przed ołtarzem Matki Bożej, aż nakoniec usłyszał najwyraźniej głos z nieba mówiący do niego:

„Franciszku, gdybyś miał wiary tyle co ziarnko gorczycy i powiedział górze aby ustąpiła, wnetby ustąpiła. Górą tą jest pokusa twoja“.

Co usłyszawszy Franciszek padł twarzą do ziemi i wielkim głosem zawołał:

„Niechże mi się stanie Panie według słowa Twego, i w tejże chwili pokój niewymowny wstąpił do jego duszy i odtąd już tego rodzaju ucisków wewnętrznych nigdy nie doznawał.

Zbliżała się już uroczystość Zesłania Ducha Świętego, na którą święty Patryarcha zwołał wszystkich braci. Ciągnęło więc wszystkiemi gościńcami i drogami to święte wojsko dobrowolnych żebraków,

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

i w przeddzień naznaczonego terminu zebrało się ich pięć tysięcy!

Oto jak zebranie to opisuje święty Bonawentura: „Kiedy wierny sługa Boży Franciszek, zgromadził generalną kapitułę przy kościołku Panny Marji Anielskiej, zeszło się na nią przeszło pięć tysięcy braci. W Peruzii, mieście nie bardzo ztamtąd odległem, przebywał wtedy papież Honoriusz III a przy nim był także kardynał Hugolin który co dzień z Peruzii przyjeżdżał do Porciunkuli, a w dni świąteczne uroczystą Mszę św. odprawiał i miewał kazania. Za największą poczytywał sobie pociechę przebywać wtedy pomiędzy braćmi, a widząc ich rozłożonych jakby obozem w około klasztorku Panny Marji Anielskiej, podzielonych na oddziały po ośmdziesięciu i po stu, patrząc na tylu razem ludzi rozmawiających tylko o Bogu, oddających się modlitwie, wyćwiczonych w ostrej pokucie strudzonych pracami apostolskiemi po różnych krajach; podziwiając milczenie, jakie pomiędzy nimi panowało, przypominając sobie, że to wielkie mnóstwo ludzi wyrzekłszy się dla miłości Boga wszystkiego poddało się najostrzejszej regule zakonnej, z wielkiem uniesieniem ducha zawołał: *„Jak piękne przybytki twoje Jakóbie i namioty twoje Izraelu! jako niziny gaiste, jako sady przy rzekach wilgotne, jako namioty, które postawił Pan, jako cedry przy wodach!* I jakby duchem proroczym ożywiony przydał te słowa z tejże księgi Pisma Bożego: *Popłynęła woda z wiadra jego, a nasienie jego będzie w wody wielkie*“.

„Cała dolina, na której zgromadzeni byli bracia, pokryta była namiotami z rogoż uplecionymi, namioty ustawiono w różne oddziały według prowincji zakonnych, do których należeli bracia. Z tego powodu kapitułę tę nazwano Kapituła rogoziana. Bracia sypiali na gołej ziemi, niektórzy podścielali sobie tylko trochę słomy. Kamień albo kawał drzewa służył im za poduszkę. Rozgłos świątobliwości tych zakonników, prędko rozszedł się po całej okolicy, z Peruzji, przybyło mnóstwo ludu prostego, oraz wielu hrabiów, baronów, rycerzy a widziano tam również kardynałów, biskupów i opatów z wielką liczbą duchownych. Wszyscy chcieli być świadkami naocznymi zgromadzenia tak świętego, tak przedziwnego w przykładach pokory, zaparcia i miłości wzajemnej, słowem zgromadzenia, na jakie nigdy nikt nie patrzał. Spieszyli też, aby oglądać najświętszego wodza tych Bożych hufców, który wyrwał zepsutemu światu tak wielką zdobycz.

„Gdy już cała kapituła zgromadzoną była. św. Franciszek zaczął wykładać braciom słowo Boże i kazać, co mu Duch Święty dyktował.

„Obiecaliśmy Bogu wielkie rzeczy, mówił, lecz Bóg przyrzekł nam jeszcze większe; zachowajmy pierwsze, wzdychajmy do drugich. Radość doczesna krótka, kara na tamtym świecie wieczna: cierpienia są lekkie, chwała nieskończona: wielu wezwanych, mało wybranych: wszystkim zapłata“. Utwierdzał w powołaniu, budził do miłości Jezusa i Jego krzyża, do pogardy wszystkiego co ziemskie, miłości braterskiej, do modlenia się za wszystkich grzeszników, do cierpliwości we wszelkich utrapieniach, do pokory, czystości, do zgody z Bogiem, bliźnim i własnem sumieniem i nareszcie do zamiłowania posłuszeństwa i świętego ubóstwa. Przy końcu zaś tego kazania. dodał: Rozkazuję wszystkim tu obecnym, abyście się wcale nie troszczyli o wasze utrzymanie i o inne potrzeby doczesne. Starajcie się tylko modlić i chwalić Boga, a na niego spuśćcie się co do opatrzenia potrzeb ciała waszego i nie kłopoczcie się o nie, gdyż najlepszy Ojciec ma o was szczególne staranie.

Wielu ze znakomitych panów i dostojników kościelnych których zaprosił tam kardynał, aby się przypatrzyli temu świętemu zgromadzeniu, badając pilnie wszystko, widząc nędzne braci posłanie, grube ich odzienia, liche wyżywienie, a przytem wesele ich duszy, ślepe posłuszeństwo, najdoskonalszą jedność i zgodę z podziwieniem mówili jeden do drugiego: Wyraźnie się przez tych ludzi okazuje, *jak ciasną jest ścieżka wiodąca do żywota* (Mat. 7, 14), i że według ostrzeżenia Boskiego Mistrza *bogaty z trudnością wejdzie do królestwa niebieskiego* (Mat. 19, 23), chyba, że obfitując we wszelkie dostatki, przynajmniej sercem oderwie się od nich. W ślepocie naszej żyjemy dla świata, a pobożnie pragniemy w chwili śmierci spocząć w Bogu, jakby śmierć nie odpowiadała życiu, jakby pielgrzymce naszej po tej ziemi nie miało być końca, jakbyśmy nie pamiętali o tem, że *na którąkolwiek stronę drzewo padnie tam będzie* (Eklez. 2, 3).

Do takich myśli pobudzał widok świętych pokutników, na niektórych zaś tak zbawiennie wpłynął, że wtedy przeszło pięciuset wstąpiło do zakonu Braci mniejszych, a pomiędzy nimi kilku prałatów i duchownych z otoczenia papiezkiego.

Św. Dominik, który z Peruzji przybył z siedmiu braćmi swoimi do Porciunkuli, bardzo się zadziwił poleceniu, jakie Franciszek dał braciom przy końcu kazania, i poczytał je za nieroztropne. Nie mógł przypuścić, aby tak wielkie mnóstwo ludzi potrafiło wyżywić się bez starania żadnego. Ujrzał jednak mieszkańców Peruzji, Spoletto, Folignio, Spello, Assyżu i innych miast okolicznych, niosących na dolinę otaczającą kościołek wszystko, co potrzebnem było do wyżywienia całego tego świętego obozu. Widział ludzi wiodących osły i konie obładowane żywnością; wozy pełne chleba, poznoszono także stoły. stołki, garnki, talerze, czasze, słowem wszelkie sprzęty potrzebne do obiadów; za najszczęśliwszych mieli się ci, którzy służyć im mogli, a pomiędzy tymi było wielu szlachetnych ryce-

rzy, baronów, hrabiów i innych wielkich panów, usługujących braciom z pokorą i uszanowaniem.

Widząc, jak w sposób szczególny Opatrzność czuwała nad tymi świętemi zakonnikami, Dominik uznał, że niewłaściwie osądził rozkaz dany braciom przez Franciszka. Przyszedłszy więc do niego, upadł mu do nóg i pokornie przyznał się do winy mówiąc:

— Zaprawdę Bóg troszczy się w sposób szczególny o swoich ubogich, a jam o tem zapomniał, lecz odtąd chcę również zachować święte ubóstwo ewangeliczne i w imieniu Boga przeklinam braci mojego zakonu, którzyby rościli sobie prawo do jakich posiadłości.

Św. Franciszek zaleca umiarkowanie w umartwieniach i karci brata Eljasza. Otrzymuje od Stolicy Apostolskiej piśmienne zatwierdzenie Reguły.

Św. Patryarcha zauważył w braciach swoich brak roztropnego umiarkowania w zadawaniu sobie różnych umartwień ciała. Znalazł wielu z nich podupadłych z tego powodu na zdrowiu, i lubo silnych na duchu bardzo zwątlonych. A byli nawet i tacy którzy z tegoż jedynie powodu już przepisów reguły zachować nie mogli, i do pracy około dusz wiernych stali się niezdolnymi.

Dostrzegłszy to święty zakonodawca, miał do braci kazanie, w którem mówił o potrzebnem i roztropnem umiarkowaniu w umartwieniach i nakazał z mniejszą surowością obchodzić się z sobą. Najwięcej szkodzili sobie nosząc pod habitem żelazne. jakby pancerze kolczaste, ciężko raniące ciało, podobneż pasy i ostre łańcuszki, kazał więc braciom pod posłuszeństwem wszystkie takie narzędzia pokutne odrzucić. Spełnionem zostało to polecenie niezwłocznie i zniesiono do Franciszka przeszło pięćset sztuk takich pancerzy, pasków, obręczy żelaznych i tym podobnych przedmiotów. Był temu obecnym kardynał Hugolin, a z nim wielu panów i prałatów. Nie mało też zdziwił ich i zbudował ten dowód nadzwyczajnej ostrości życia braci, a Franciszek powtórnie miał do nich naukę. W niej zwracając ich uwagę na to, aby umartwieniom wewnętrznem dawali pierwszeństwo nad zewnętrznemi, ostrzegał, że jak w pierwszych, potrzeba niejako miary, tak w tych jakie się zadają ciału, cnota zawisla na roztropnem ich ograniczaniu i w końcu przydał:

— Kto bez rozwagi i nad właściwą dla niego miarę zadaje sobie umartwienia zewnętrzne ten traci zasługę, jakąby miał, gdyby to czynił właściwie. Przygasza bowiem w sobie gorącość ducha, pozbawia bliźniego dobrego przykładu, a Panu Bogu przez to żadnej chwały nie przynosi.

W liczbie braci zgromadzonych na kapitule był równie brat Eljasz Prowincjał z Toskanji, kapłan wielkich zdolności i nauki, serdeczny wielbiciel świętego Patryarchy, który go przyjął do Zakonu przed kilku laty podczas odbywania misji w Kortonie, lecz obok tego był to zakonnik słabego ducha. Prócz niego znalazł się i drugi mu podobny Jan ze Strachii, Prowincjał bonoński i ci, przybrawszy jeszcze kilku braci również ostygłych na duchu, bez wiedzy Franciszka udali się do kardynała Hugolina z prośbą, aby nie wyjawiając, że od nich to pochodzi, jakby sam od siebie prosił ich zakonodawcę, o złogodzenie wielu przepisów ustaw, które im nadał. Utrzymywali, iż jest zdania, aby Franciszek zamiast nowej swojej reguły wziął jedną z dawniejszych, jak naprzykład świętych Bazylego, Augustyna albo Benedykta. W końcu zaś pozwolił sobie szemrać przeciwko błogosławionemu ojcu swojemu, utrzymując jakoby słabe zdrowie, czyniło go niezdolnym do rządzenia, tak już nadzwyczaj rozszerzonym zakonem.

Oburzyło dostojnego Prałata takowe kilku niewdzięcznych synów św. Franciszka usposobienie. Skarcił też ich, podnosząc w ich oczach świętość zakonodawcy. Lecz po ich odejściu zastanawiając się nad tem, że już i sami bracia sarkać poczynają na ostrość reguły, która i jemu wydawała się w niektórych szczegółach zanadto surową, postanowił pomówić o tem z Franciszkiem przy pierwszej sposobności. Wziął go tedy na stronę, i przedstawił mu różne uwagi, jakby pochodzące tylko od niego samego, nalegając aby złagodził swoją regułę. Święty, z natchnienia Bożego wnet poznał źródło tego wszystkiego i zrozumiał, że na to nie kardynałowi lecz braciom trzeba dać odpowiedź. Upadł mu więc do nóg, prosząc, aby poszedł za nim i poprowadził pomiędzy braci, właśnie wtedy kapitularne narady wspólnie odprawiających i rzekł do nich z wielkiem uniesieniem:

— Bracia moi, bracia moi! Bóg powołał mnie na drogi prostoty i pokory, abym szedł drogą *szaleństwa* (I. Kor. 1, 16) i na chwałę Jego, a na własne zawstydzenie i zabezpieczenie sumień waszych wyjawię wam co mi powiedział: Oto są słowa Pańskie do mnie: „Franciszku, ja chcę mieć cię nowym szaleńcem na świecie, który czynem i słowem masz ogłaszać szaleństwo krzyża. Chcę tedy, abyś ty i ci którzy w twoje ślady pójdą, we Mnie się wpatrywali i w całym swoim sposobie życia Mnie naśladowali.“ Sam więc Pan nasz, raczył mi wskazać tę drogę, jaką obrałem dla siebie i dla tych, którzy mi uwierzą i połączą się ze mną. Nie występujcież z żadną inną regułą czy to Augustyna czy Benedykta, ani szukajcie sposobu życia innego nad ten, jaki mi z dobroci i miłosierdzia Bożego z góry został danym. Co do mnie, nie chcę opierać się woli Pana mojego i przewodzić wam na innej drodze,

jak na tej, którą On wskazał. Dla tych zaś, którzy od niej odstąpią i drugich będą chcieli za sobą pociągnąć, lękam się pomsty Bożej, która ich spotka, aby zawstydzonych skłonić do powrotu na te ścieżki, od których odbiegli“ A potem zwracając się do kardynała, dodał: „Ci napozór mądrzy, których wasza dostojność usłuchałeś i chciałbyś, abym za ich zdaniem poszedł, zamierzają swoją fałszywą roztropnością i Boga i Ciebie najczcigodniejszy książę omamić. Lecz w istocie siebie samych oszukują, porywając się na obalenie i zdeptanie tego, co przezemnie niegodnego sługę Swego poleca Chrystus dla ich własnego zbawienia i wzrostu całego Zakonu. Z tego bowiem wszystkiego co mówię lub czynię, nic sobie samemu nie przypisuję; gdyż tak dalece nie ufam własnym siłom w tem, co się tyczy tego zgromadzenia, że nigdy nic odnoszącego się do niego nie stanowię, póki w długiej modlitwie nie naradzę się o tem z tego Zakonu najwyższym Rządcą, Ojcem niebieskim. Ci zaś, którzy się mnie opierają, niech wiedzą, że z wyraźnem niebezpieczeństwem duszy swojej, roztropność własną i mądrość świata tego przekładają nad wolę Chrystusową.“

Mowa ta wywarła na braciach wielkie i najzbawienniejsze wrażenie. Wierni podnieśli się na duchu, a Eljasz i jego kilku stronników ze wstydem spuścili oczy, i nawet zdaje się, że wtedy, chociaż nie na długo, zmienili swój sposób widzenia rzeczy.

Zakończył błogosławiony ojciec Kapitułę, już i tak długo przeciągającą się, a na niej zapadły trzy główne postanowienia: Pierwsze, aby w każdą sobotę we wszystkich kościołach Braci mniejszych, niezależnie od pacierzy kanonicznych, w tym dniu odmawiać mogli o Niepokalanem Pocz. Przenajśw. Panny i takąż mszę świętą odprawiać. Co odtąd we wszystkich gałęziach zakonu świętego Franciszka wiernie się zachowuje, a czem cieszą się jego synowie, jako dowodem, że już od wieku XIII i od pierwszego zawiązku swojego zgromadzenia, oddawali oni szczególną część tej tajemnicy, najwznioślejszy przywilej Marji stanowiący.

Lecz głównym celem, dla którego Franciszek zgromadził wtedy braci i to w tak niezmiernie wielkiej liczbie, było wybranie z pomiędzy nich misjonarzy, dla rozesłania ich we wszystkie strony świata.

Przy końcu więc kapituły. przystąpił błogosławiony ojciec do tego wielkiego dzieła, przez które apostolstwem swojem miał ogarnąć jakby całą ziemię. Najprzód dla siebie z dwunastu towarzyszami wybrał Syrję i Egipt, do Grecji przeznaczył brata Benedykta z Arecco z innymi; do Afryki dwóch braci, Elekta i Eleutera, jednych z pierwszych swych towarzyszy, przydawszy im kilkunastu księży. Do Hiszpanji, której znaczna część wtedy jęczała pod jarzmem Saracenów, brata Jana Parenta, przydawszy mu stu innych, w których liczbie był i błogosławiony Anioł z Rioty, który później został tam biskupem. Do Francji posłał napowrót tychże misjonarzy, którzy już tam z bratem Pacyfikiem przed laty dwoma wysłani, pozakładali klasztorki. Do Akwitanji posłał osobno kilkunastu z bratem Chrystoforem, który później w kraju tym wielkimi cudami zasłynął, do Anglji przeznaczył Anioła z Pizy, ze znaczną liczbą innych. Do Węgier także kilkunastu, do Niemiec jednak żadnego, gdyż odbyta już tam misja przekonała go, że z narodem tym dziwnie twardego karku, jak się wyrażają ówczesne kroniki, nie mogli bracia poradzić. Przy tem wiedział,

Św. Franciszek z Assyżu w zachwyceniu.
Van Dyck, muzeum del Prado w Madrycie.

że pomimo wszelkiej gotowości udawania się pomiędzy niewiernych, wszyscy bracia taki wstręt mieli do Niemiec, że modląc się nieraz powtarzali: „Od misji wśród Teutonów, zachowaj nas Panie.“

Wszystkich braci, przeznaczonych na misjonarzy, zwoławszy, Franciszek pobłogosławił, wręczając im świadectwa od papieża i kardynałów i ze swojej strony tak zwaną obedjencję, to jest na piśmie polecenie, gdzie i w jakim celu mają się udawać. Jena z nich dana wtedy bratu Aniołowi z Pizy, dochowaną została w archiwach klasztoru Braci mniejszych na górze Alwernji i brzmi tak:

„Ja, brat Franciszek z Assyżu, przełożony generalny, nakazując tobie, bratu Aniołowi z Pizy, pod

posłuszeństwem, abyś udał się do Anglji i tam spełniał obowiązek służby swojej. Bądź zdrów."

Br. Franciszek z Assyżu.

Św. Franciszek zabrania braciom obsługi duchownej klasztorów żeńskich.

Po rozejściu się braci, zamierzał Franciszek i sam niezwłocznie udać się na Wschód. Przed wydaleniem się jednak z Europy na długo, a może i bezpowrotnie, bo mu ta wycieczka apostolska i śmiercią groziła, chciał widzieć się z kardynałem Hugolinem, tak dla polecenia łaskawej opiece jego swego zakonu, jak i dla uproszenia go, aby klasztor świętej Klary, którym się Franciszek najtroskliwiej opiekował, raczył mieć teraz w szczególnej swej pieczy, gdy on sam z Włoch odchodził.

Kardynał na jedno i na drugie chętnie się zgodził, a przy tej sposobności wszczął z nim rozmowę tyczącą się innych klasztorów Sióstr ubogich, których już wtedy było kilkanaście. Franciszek nie dozwalał, aby bracia zajmowali się duchowną obsługą zakonnic jakiejkolwiek reguły. A nawet co do Sióstr ubogich, które sam założył, chciał, aby z takową ograniczyli się tylko na jednym klasztorze świętego Damiana, w którym umieścił Klarę z jej towarzyszkami. Gdy więc Hugolin domagał się by święty dozwolił, żeby bracia jego przynajmniej tym zakonnicom usługiwali, które na wzór Sióstr ubogich klasztoru świętego Damiana w wielu innych klasztorach tenże co i one prowadziły sposób życia, okazał się on temu najprzeciwniejszym. Oświadczył najwyraźniej kardynałowi, że prócz klasztoru świętego Damiana, żadnego innego nie założył, ani na założenie takowego nie wpływał, a więc ten jeden tylko zobowiązał się obsługiwać duchownie i przez siebie samego albo przez braci, zaopatrywać w potrzebną do ubogiego ich życia jałmużnę.

Św. Klara domagała się od Franciszka, aby im regułę nadał. Święty jednak zrazu tego uczynić nie chciał i uprosił do tego kardynała Hugolina. Ten za zniesieniem się z papieżem nadał im regułę św. Benedykta, tylko przydał do niej nadzwyczaj surowe ustawy, zastosowane do ich życia na wzór braci mniejszych. Wszelako klasztorom tym ustawy ułożone dla nich przez Hugolina, dozwalały posiadać dobra i stałe dochody, czemu i święty Franciszek i święta Klara, godna jego córka duchowna, najprzeciwniejsi byli. Później też na usilne żądania Klary i zakonnic klasztoru św. Damiana, pod wyłączną zawsze Franciszka duchowną opieką zostającego, sam on nadał im regułę zupełnie taką, jak Braci mniejszych, i tę przyjęły i wszystkie inne domy Sióstr ubogich, od świętej Klary Klaryskami nazwanych. Zawsze Franciszek chciał, aby bracia nie podejmowali się obsługi duchownej żadnych zakonnic, ani nawet tych, którym sam regułę nadał. Tymczasem w jednej z najodleglejszych prowincji zakonnych Braci mniejszych, pewien brat imieniem Filip Longus, przyjął bez wiedzy Franciszka, za staraniem Kardynała Hugolina, zamianowanie go na Wizytatora wszystkich klasztorów Sióstr ubogich, z władzą wyznaczania do ich obsługi duchownej innych swoich zakonników. Skłonił go do tego jedynie wzgląd na to, że zakonnice te albo były pozbawione wszelkiej obsługi duchownej, albo miały spowiednikami i kapelanami kapłanów świeckich, z duchem ich reguły wcale nieobeznanych. Franciszek jednak nie uznał właściwem uwzględnić te, jakkolwiek chwalebne pobudki brata Filipa. Upominał go nawet mąż Boży bardzo surowo:

„Źleś sobie postąpił bracie Filipie, mówił dotąd wrzód był na ciele i była nadzieja wyleczenia się z niego; lecz teraz wkorzeniony w kości, staje się nieuleczalnym."

Misje wśród pogan. Odjazd św. Franciszka do Egiptu.

Pilno już było Franciszkowi zająć się wysłaniem misjonarzy w różne kraje i niezwłocznie do tego przystąpił.

Rozdzieliwszy pomiędzy braci niemal świat cały dla siebie, jak to widzieliśmy, obrał Syrję i Egipt, zamieszkałe przez Mahometanów, którzy podówczas jeszcze bardziej rozsrożeni byli na chrześcijan, z powodu toczącej się wojny krzyżowej. Mając się tam udać, zwrócił mąż święty uwagę na to, że na zachodzie Europy znajdują się ciż niewierni, postanowił więc tam jeszcze wysłać braci. Była to misja również niebezpieczna jak ta, którą sam przedsiębrał. Ale dla tego właśnie należało wybrać braci, na którychby pod tym względem najwięcej rachować można było. Święty więc udał się na modlitwę i na niej w objawieniu wskazanem mu zostało, których ma posłać, a temi byli trzej kapłani: Witalis, Piotr i Otto i trzech braciszków: Bernard, Adjutor i Akurzy.

Pobłogosławiwszy ich, rzekł z rozrzewnieniem:

„Bracia moi, Pan Bóg mi kazał, abym was posłał na Zachód do ziemi Saracenów, dla opowiadania wiary Jego. Ja zaś pójdę do tychże niewiernych na Wschód; gotujcie się do spełniania woli Pańskiej, gorąco i ciągle módlcie się, pilnie przestrzegajcie pomiędzy sobą zgody i jedności, strzeżcie się zawiści, bądźcie w utrapieniach cierpliwymi, w pomyślności pokornymi, a we wszelkiej walce staniecie się zwycięzcami. Naśladowcami Chrystusa bądźcie w ubóstwie, posłuszeństwie i czystości. Całą zaś waszą ufność pokładajcie w Panu, który wami pokieruje i wspierać was będzie. Miejcie przy sobie regułę i brewiarz, abyście pacierze kościelne jak najdoskonalej odmawiali, i bądźcie wszyscy posłuszni przełożonemu nad wami bratu Witalisowi.

Wzmocnieni świętemi słowy najdroższego im ojca, oświadczyli mu bracia, iż są gotowemi na wszystko, do czego ich przez święte posłuszeństwo sam Pan Bóg powołuje. A gdy przyklęknąwszy i całując z płaczem ręce jego, prosili aby im dał jeszcze raz ostatnie błogosławieństwo, święty i sam rozpłakany, wzniósłszy oczy i ręce do nieba, pobłogosławił ich w te słowa:

„Błogosławieństwo Boga Ojca niech spocznie na was, jak spoczęło na Apostołach i niech was umacnia, niech wami kieruje i w utrapieniach pociesza. Nie lękajcie się niczego, gdyż *Pan z wami jest jako bojownik mocny* (Jer. 21, 11). Idźcie w imię Boga, który was posyła.“

Puścili się więc bracia na Zachód, podczas, gdy św. Patryarcha gotował się do drogi na Wschód. Św. Franciszek mając opuścić Włochy na długo, zdał rządy całego zakonu na brata Eliasza, prowincjała Toskańskiego. Był to tenże sam zakonnik, który jak wyżej o tem nadmieniliśmy, wraz z kilku innymi, domagał się od kardynała Hugolina, złagodzenia niektórych przepisów reguły.

Dziwnem więc zdawać się może, dla czego mąż Boży na zastępcę go wybrał. Był to kapłan bardzo zdolny, sercem i duszą przywiązany do swego zakonu, wielki wielbiciel błogosławionego ojca i snać było w nim coś, co pobudzało świętego patryarchę do pokładania w nim tej ufności, jakiej mu nieraz dawał dowody. Zamianowawszy go swoim wikarym generalnym, pożegnawszy braci i poleciwszy wyprawę swoją szczególnej opiece Przenajśw. Panny Anielskiej, przed której ołtarzem całą noc ostatnią przed odejściem ztamtąd spędził, puścił się w drogę, zdążając do portu Ankony, w którym miał wsiąść na okręt dla odpłynięcia do Syrji.

Po drodze święty według swego zwyczaju miewał kazania, które lud wierny z tem większą czcią słuchał, że wiedziano, iż mąż Boży udaje się na Wschód z prawdopodobieństwem poniesienia tam śmierci męczeńskiej. Wielu zgłaszało się ciągle z żądaniem przyjęcia ich do zakonu, a tych po zbadaniu ich powołania, gdy Franciszek przyjmował, zawsze kładł im za pierwszy warunek, aby wszelkie posiadłości swoje rozdali naprzód ubogim. Pomiędzy takiemi znalazł się pewien człowiek bardzo możny, któremu toż samo polecenie dał święty patryarcha. Lecz on rozdzielił mienie swoje pomiędzy rodzeństwo, które było i bez tego zamożne. Gdy przybył do świętego i zawiadomił go o tem, ten npomniał go surowo i odprawił, mówiąc: „Ruszaj sobie w świat bracie, dotąd bowiem *nie wyszedłeś z domu twojego i rodziny twojej* (Genes. 2, 21.) ukrzywdziłeś ubogich, nie jesteś przeto godzien należeć do grona ubogich Chrystusowych. Poszedłeś za krwią i ciałem i nietrwałe podwaliny założyłeś pod budynek duchowny.“

Mieszkańcy Ankony z wielką czcią przyjęli Franciszka, a po kilku jego w tem mieście kazaniach, rada miejska postanowiła wybudować mu klasztor, do czego niezwłocznie przystąpiono, przeznaczając na to wzgórze na dolinie za miastem.

W kilka dni potem, święty patryarcha korzystając z odejścia statków odpływających do Syrji z posiłkami wojennemi wysyłanemi pod Damietę dla krzyżowców, uprosił u jednego z kapitanów okrętowych miejsc dla siebie i dla braci, którzy mu towarzyszyć mieli w liczbie dwunastu. Tych wyznaczył sobie jeszcze przed odejściem z Porciunkuli. Lecz gdy już mieli odpływać, wszyscy inni bracia wtedy obecni domagali się, aby ich z sobą zabrał, gdyż każdy pragnął podzielać z błogosławionym ojcem niebezpieczeństwa wyprawy pomiędzy okrutnych Saracenów.

„Synowie najmilsi, rzekł św. Franciszek ze wzruszenia, chciałbym wszystkich was mieć z sobą w tej, naszej apostolskiej wyprawie, ale kapitan okrętu, który nas dwunastu zaledwie raczył przyjąć, odmówiłby tego. Ażeby jednak żaden z pozostających nie zazdrościł tym, którzy odpłyną i widział w wyborze nie moją, lecz Boską wolę, tak sobie oto postąpimy. Ujrzawszy przy okręcie dziecko kilkoletnie, kazał je przywołać mówiąc: *Przez usta niemowląt* często Pan Bóg objawiał wolę Swoją i nie wątpię, że w tenże sposób uczyni to i przez tę dziecinę, którą do tego użyjemy, z wiarą, że przez nią Pan Bóg do nas przemówi.“ Spytał więc dziecka, czy jest wolą Bożą, aby wszyscy bracia obecni odpłynęli do Syrji, a dziecię wnet odpowiedziało: nie! Potem kazał mu, aby wskazało, którzy mają mu towarzyszyć? Dziecię przebiegło szereg braci, dotykając ich palcem i mówiąc: „ten“, a właśnie byli to ci sami, których Franciszek dawniej już był do tej misji z sobą wybrał.

Dowód tak cudownie wskazanej braciom woli Bożej, uspokoił wszystkich. I pozostający i mający odpłynąć uklękli, prosząc świętego patryarchę i błogosławieństwo, poczem uściskali się nawzajem o statek wyruszył.

Św. Franciszek pod Damietą.

Pomyślne mając wiatry, okręt prędko dopłynąwszy do wyspy Cypru, zatrzymał się tam na krótko, a potem przybił do portu Akryńskiego. Tam wysiadł Franciszek i pozostawiwszy przy sobie jednego tylko towarzysza, brata Illuminata, innych po dwóch rozesłał w różne strony Syrji, sam zaś przez dni kilka w okolicach Akry miewał kazania z wielkim dla dusz pożytkiem. Następnie udał się do wojsk krzyżowców oblegających Damietę, jedno z największych i najwarowniejszych miast egipskich.

Była to piąta już wojna krzyżowa, podjęta z natchnienia Innocentego III, dla wyzwolenia Ziemi

świętej z pod ucisku niewiernych. Chociaż wkrótce potem papież ten umarł, następca jego Honorjusz III również gorliwie sprawę tę popierał, i tak skutecznie, że w lecie roku 1217, liczne hufce wojsk krzyżowych pod dowództwem Andrzeja, króla węgierskiego i Jana z Brienny, tytularnego króla Jerozolimskiego, ziemią i morzem udały się na Wschód.

Po kilku dość pomyślnych wyprawach, krzyżowcy uznali, że korzystniej będzie przenieść działanie wojenne do Egiptu, gdyż ztamtąd sułtani wysyłali najliczniejsze wojsko do Palestyny przeciw krzyżowcom. W tym celu postanowiono zdobyć Damietę, najsilniejszą warownię Egiptu i jakby bramę do niego. Pierwsze oddziały tej wyprawy wylądowały tak niespodzianie, że wojska egipskie nie przygotowane do tego, bez oporu ustąpiły i zamknęły się w Damiecie, którą oblegli krzyżowcy.

Oblężenie trwało blisko półtora roku, w ciągu których wiele zaszło bohaterskich czynów, aż w lipcu 1219 roku w odsiecz Damiecie nadciągnął egipski Meledyn w wielką siłę i uderzył z tyłu na chrześcijańskie hufce. Zacięta bitwa trwała od rana do nocy i Saraceni zdawali się blizcy zwycięztwa, gdy już pod wieczór chrześcijanie zdobywszy się na ostatni wysiłek, pobili ich na głowę i utrzymali się na swoich stanowiskach. Nastąpiła wtedy chwila przerwy w działaniach wojennych, w ciągu której obie strony przygotowywały się do nowego starcia, a krzyżowcom wiele zależało na tem, aby najpóźniej do tego przyszło. Lecz wskutek zajść pomiędzy oddziałami, Jan z Briennu, który wtenczas dowodził wojskami, zmuszonym był przyspieszyć wydanie nowej bitwy Saracenom. Właśnie w tym czasie przybył do obozu krzyżowców Franciszek ze swoim towarzyszem Illuminatem.

W dniu poprzedzającym bitwę sługa Boży po krótkiej modlitwie rzekł do towarzyszącego brata:

„Objawił mi Pan Bóg, że jeżeli przyjdzie do bitwy teraz, chrześcijanie ciężką klęskę poniosą. Wszakże, jeśli to zapowiem, wezmą mnie za warjata; jeśli zaś zamilknę, sumienie mi to będzie wyrzucało. Cóż o tem myślisz?“ A na to odpowiedział mu towarzysz:

„Ojcze nie przywiązuj żadnej wagi do sądów ludzkich, nie obciążaj więc sumienia swego i więcej się Boga jak ludzi obawiaj. Święty nie wahał się już ani chwili poszedł do wodzów i ostrzegł ich o niepomyślnym skutku bitwy, jeśli ją teraz wydadzą; lecz było to napróżno. Uderzyli na Saracenów i ciężką ponieśli porażkę, po której uzuchwalony Meledyn rozsrożył się jeszcze więcej na nich, i ogłosił w wojsku swojem wielką nagrodę za każdą głowę chrześcijanina.

Dotknęła srodze Franciszka poniesiona przez chrześcijan porażka, powstało w jego sercu tem żywsze pragnienie nawracania pogan lub poniesienia pomiędzy nimi śmierci za wiarę. Po całonocnej modlitwie, powtarzając słowa psalmu Pańskiego: *Bo choćbym też chodził wśród cienia śmierci nie ulęknę się złego, bowiem Tyś jest ze mną* (Psalm 22, 4) przyszedł do brata Illuminata i zapowiedział mu, iż czas już, aby poszli między Saracenów, poczem obaj puścili się ku obozom nieprzyjacielskim.

Gdy mijali przednie straże krzyżowców, a jeszcze do saraceńskich nie dotarli, zabiegły im drogę dwie owieczki z pasących się na polu, mile im patrząc w oczy. Uradowało to bardzo Franciszka i rzekł do towarzysza:

Ufaj Bogu bracie, gdyż ziszczą się na nas te słowa Ewangelji: „*Oto ja posyłam was, jako owce pomiędzy wilki*“ (Mat. 10, 16). Zaledwie trochę uszli, a oto i wilcy, to jest Saraceni się pojawili. Zdziwieni, iż w tem miejscu i w tej chwili spotykają chrześcijan, jakby dobrowolnie oddających się im w ręce, a przytem w postawie ich widząc coś niezwykłego, postanowili nie zabijać ich zaraz, lecz żywych przed sułtanem stawić. Srodze ich przedtem skatowali i dopiero potem związanych do Meledyna zaprowadzili.

Meledyn był to wojownik z natury bardzo szlachetny. Spokojna i poważna postawa świętych misjonarzy, wielkie na nim zrobiła wrażenie. Jednak groźnie spytał ich zkąd, w jakim celu i od kogo są przysłani? A na to Franciszek odpowiedział:

„Nie od człowieka żadnego, lecz od najwyższego Boga przysłany jestem, abym tobie książe i ludowi twemu wskazał drogę zbawienia i ogłosił Ewangelją prawdy“. A gdy sułtan nic mu na to nie odpowiedział, i jakby czekał, aby dalej mówił, począł głosić sułtanowi Boga w Trójcy jedynego i Pana naszego Jezusa Chrystusa, Zbawcę rodu ludzkiego.

Meledyn zdumiony był wymową męża Bożego; słowa prawdy, przenikały go do głębi, słuchał Franciszka z wielką uwagą a gdy ten skończył mówić, wyraził życzenie, aby przy nim pozostał. Lecz na to odrzekł mu św. Patryarcha:

„Jeżeli ty i lud twój nawrócicie się do Chrystusa, dla miłości Jego chętnie z wami pozostanę na zawsze. Jeźli zaś wahasz się wyrzec się błędów Mahometa dla uznania wiary Chrystusowej, każ rozpalić jak największe ognisko, a ja z waszemi kapłanami weń wnijdę, abyś przez próbę ognia przekonał się, jaka wiara jest świętą i prawdziwą i tę przyjął“. Gdy to mówił, jeden z kapłanów muzułmańskich, wielce przez swoich współwyznawców poważany, umknął niepostrzeżenie, Meledyn też rzekł do świętego: „Wątpię, aby który z moich kapłanów odważył się dla bronienia wiary swojej wystawić się na jakiekolwiek niebezpieczeństwo“.

„Jeźli przeto, powiedział mu na to Franciszek, przyrzeczesz mi, że i ty i lud twój nawrócicie się do Chrystusa, gdy ja sam wszedłszy w ogień wyjdę

z niego bez szkody, tedy sam weń wskoczę. Jeżeli spalonym zostanę, przypisz to moim grzechom. Lecz jeżeli moc Boża uchowa mnie od tego, wówczas Chrystusa, który jest prawdziwym Bogiem, Panem najwyższym i Zbawcą wszystkich ludzi, uznajcie".

Słowa te jeszcze większe dla Franciszka obudziły w sułtanie uwielbienie. Widział jednak, że długa rozprawa dworzan jego oburza, z obawy więc rokoszu w wojsku nie zgodził się na żądanie świętego. Wszakże chcąc okazać swoją przychylność, kazał mu dać wiele złota i kosztownych darów, których Franciszek nie przyjął, co mu jeszcze większą łaskę sułtana zjednało. Prosił więc go uprzejmie, aby pozostał w jego kraju, pozwalając mu i więcej braci sprowadzić, żeby go zaś od prześladowania niewiernych zasłonić dał mu na to piśmienne upoważnienie.

Pobyt Św. Franciszka z Braćmi w Egipcie. Nawrócenie sułtana Meledyna.

Przez pewien czas Franciszek ze swoim towarzyszem, i dziesięciu braci, których rozesłał był z portu Akryńskiego, przebiegali swobodnie Syrją i Egipt, głosząc Słowo Boże, a Opatrzność jak wszędzie tak i pomiędzy niewiernymi wzbudziła dla nich litościwe serca. W jednem z miast większych, pewien mieszkaniec bardzo zamożny, słuchając kazań jednego z braci, chociaż się nie nawrócił, bardzo ich jednak polubił i przyniósł im znaczne pieniądze. Misjonarze nie przyjęli daru, mówiąc, iż pieniędzy nie biorą wcale. „A z czegóż żyjecie? zapytał poganin". „Pan Bóg, odrzekli mu bracia, dla którego miłości wyrzekliśmy się wszystkiego, przez litościwych ludzi zsyła nam potrzebną pomoc". Zbudowało to wielce tego człowieka i odtąd miał większe starania o braciach. Gdziekolwiek się przenosili, albo sam się udawał za nimi, albo wysyłał sług swoich; aby ich we wszystko zaopatrywali.

Na ogół jednak nie była to chwila sposobna do nawracania pogan. Chociaż Franciszek, zaopatrzony w upoważnienie od sułtana, swobodnie odbywał swoje misje w Syrji i Egipcie, wraz z jedenastu towarzyszami nie szczędził pracy około pozyskiwania dusz Panu Bogu, jednak małym owocem trudów i swoich i braci mógł się cieszyć. Ludność zakłopotana wojną z krzyżowcami, z uprzedzeniem patrzała na misjonarzy, poczytując ich za ukrytych wysłanników swoich nieprzyjaciół, którym udało się tylko podejść sułtana. A nawet to, że od chwili jego spotkania się z Franciszkiem widzieli go nadzwyczaj ludzkim dla chrześcijan, sprawiało, że i na świętego i na jego towarzyszy wszyscy patrzali bardzo krzywem okiem. Mało od początku ludzi zbierało się na ich kazania, a w końcu prawie nikt nie przychodził.

Widząc to Franciszek udał się na modlitwę dla zbadania w tej mierze woli Bożej, i objawionem mu zostało, iż ma wracać do Włoch. Wtedy oznajmił to braciom mówiąc:

„Kiedy ci wrogowie Chrystusowi ani nam śmierci za Pana naszego zadać nie chcą, ani się do Niego nawrócić, nie mamy tu co robić, wracajmy do swoich".

Wszakże, zanim opuścił Egipt, udał się jeszcze do sułtana, z zamiarem ponowienia swoich nalegań, aby został chrześcijaninem. Meledyn przyjął go z większą jeszcze jak wprzódy łaskawością; zdawał się przejęty zupełnie prawdami chrześcijańskiemi, lecz obawa jawnego nawrócenia się, które przypłacić mógł życiem, wstrzymywała go od przyjęcia Chrztu św. Rzekł do Franciszka: „Chętniebym przyjął wiarę twoją, lecz teraz uczynić tego nie mogę. Dowiedzieliby się o tem moi poddani, a wtedy zamordowaliby i mnie i ciebie z twoimi towarzyszami; a przecież i ty możesz jeszcze wielkie usługi oddać chrześcijaństwu, i ja mam ważne dla państwa mojego pozałatwiać sprawy. Nie chcę przeto ani ciebie, ani siebie wystawiać na śmierć niechybną. Lecz naucz mnie co mam czynić dla zapewnienia sobie zbawienia: przyrzekam ci, że wszystko spełnię jak najwierniej". Potem sułtan prosił Franciszka aby przyjął od niego bogate dary, mówiąc, że wie, iż on ich na swój użytek nie zechce obrócić, iecz niech je weźmie ze sobą i użyje na budowanie swoich klasztorów. Święty darów nie przyjął, a widząc, że Meledyn uznając prawdziwość wiary chrześcijańskiej, przyjąć jej nie odważa się z obawy grożącej mu za to śmierci, wielką litością nad duszą jego zdjęty, udał się na modlitwę i długo polecał go Matce Przenajśw. I otrzymał od Boga o co prosił, wrócił do sułtana i rzekł:

Odchodzę z twoich krajów; lecz gdy za łaską Pańską dostanę się do nieba, przyszlę ci dwóch moich braci, którzy cię ochrzczą i zbawisz się. Takie są zamiary Boga względem ciebie; lecz przez ten czas staraj się żyć, jakbyś już był chrześcijaninem, aby w chwili gdy Pan Bóg zeszle ci Swoją łaskę ostateczną, zastał cię usposobionym do jej przyjęcia". Meledyn uściskał Franciszka serdecznie, przyrzekł, że się zastosuje do jego poleceń i dotrzymał słowa.

Od tej chwili, jak o tem wspominają wszyscy historycy, najkorzystniejsza dla chrześcijan zaszła zmiana w usposobieniu tego potężnego władcy Wschodu. Pomiędzy innemi wielkiej wagi jest to, co pisze kardynał Witry, który podówczas znajdował się przy obozie krzyżowcow. „Sułtan Meledyn, są słowa jednego z listów jego z Damiety pisanych, po odbytej przez Franciszka w Egipcie misji, tak łaskawym okazywał się dla chrześcijan, że po zawarciu pokoju z krzyżowcami, puścił na wolność wszystkich

jeńców chrześcijańskich, a było ich około trzydziestu tysięcy i dał im do wyboru albo wracać do ojczyzny, albo za dobrą zapłatę służyć w jego wojskach. Tych, którzy pozostali, takiem zaufaniem zaszczycał, że z nich samych miał złożoną straż przyboczną. Przed tem było prawo, nakazujące Egipcjanom wszystkie przedmioty, nawet do życia niezbędne, drożej nad zwykłą cenę przedawać chrześcijanom. Prawo to zniósł wtedy Meledyn i oprócz tego nakazał, aby pomiędzy ubogimi chrześcijanami, a Egipcjanami nierobiono różnicy w rozdawaniu jałmużny, i sam biednych chrześcijan nadzwyczaj hojnie wspierał. Nakoniec, gdy zachorował i widział się bliskim śmierci, zapisał znaczne fundusze na szpitale dla chorych chrześcijan. Przy tem odznaczał się wielką prawością, skromnością obyczajów, a nawet o ile mógł to czynić, jako panujący nad krajem pogańskim, prowadził życie bardzo ostre."

Misja więc Franciszka w Egipcie, chociażby nie inne przyniosła była owoce, już przez samą tylko zmianę położenia wiernych w kraju tym pod jarzmem muzułmańskiem jęczących i przez wyzwolenie przeszło trzydziestu tysięcy jeńców, większe dla chrześcijaństwa przyniosła korzyści, jak cała wyprawa krzyżowa, chociażby najświetniej była się powiodła. A prócz tego nie masz wątpliwości, że pobyt jego w Egipcie z towarzyszami, lubo nie wielu pogan przywiódł do uznania prawdziwej wiary, usposobił jednak do tego tę ludność, o czem przekonali się i sami bracia jego, trochę później wysłani tam, jako misjonarze przez Grzegorza IX i Innocentego IV, a którzy obficie żniwo na polu przez Franciszka przygotowanem zebrali.

Jak sułtan Meledyn dotrzymał danego słowa Franciszkowi, tak i on swojej obietnicy wiernie mu dochował, jak mu to zapowiedział, po przejściu swojem do nieba. Gdy bowiem około roku Pańskiego 1238, sułtan ten umierał, a święty używał już od lat kilku chwały niebieskiej, okazał się dwóm braciom swoim, będącym podówczas w Syrji i rozkazał, aby niezwłocznie udali się do sułtana i udzielili mu chrztu św. Bracia zaraz popłynęli do Egiptu, a tymczasem Meledyn czując się coraz bliższym śmierci i nie wątpiąc, że mu Franciszek dotrzyma słowa, posłał rozkaz do straży, będącej na granicach jego państwa, aby skoro się tam pojawią jacy Bracia mniejsi, do pałacu ich coprędzej przyprowadzono. Gdy więc nadeszli ci, których święty wysłał do niego, zaraz ich zawiodła straż do sułtana, a ten ujrzawszy ich, zawołał: „Poznaję teraz dobrze, iż Sam to Pan Bóg chrześcijański przysyła mi tych sług Swoich, aby duszę moją zbawić przez chrzest, którego pragnę. Franciszek z natchnienia Bożego mi to przyrzekł. Bracia tedy wyuczyli go coprędzej artykułów wiary św. i ochrzcili, a tak odrodzony w Chrystusie, umarł w łasce Bożej i dostąpił zbawienia wiecznego przez modlitwy i zasługi patryarchy assyzkiego.

W obozie krzyżowców wiele dobrego św. Franciszek zdołał uczynić i wiele dusz pobożniejszych, a szczególnie z duchowieństwa pociągnął do swego zakonu. Oto, jak o tem pisze w jednym z listów swoich z obozu, kardynał Witry, naoczny świadek:

„Przybył tu do nas założyciel zakonu Braci mniejszych, w którym duch Boży rozniecił tak cudowną gorliwość apostolską, że podczas trwającej wojny poszedł do obozu nieprzyjacielskiego z zamiarem nawracania Mahometanów. Po powrocie ztamtąd, pociągnął tu wielu duchownych do swego zgromadzenia, które bardzo się rozszerza po całym świecie i najdoskonalej naśladuje życie Apostołów i pierwotnych chrześcijan. Przyjął ich habit Rajner, przełożony klasztoru św. Michała, a także Kolniusz, kleryk przy mnie się znajdujący, a z nim dwóch księży: Michał i Mateusz, którym powierzyłem zarząd kościoła. Prócz tego kilku innych kapłanów moich zaledwie jeszcze przy sobie utrzymać mogę, gdyż i oni podobno pójdą za Franciszkiem." (Cardin. de Vitri u Wadynga pod r. 1219).

Z obozu krzyżowców, św. Patryarcha udał się do Palestyny dla zwiedzenia miejsc świętych. O tej pielgrzymce Franciszka prócz kilku najdawniejszych kronik zakonnych, najwyraźniej wspomina Tomasz z Celanu w swoim żywocie błogosławionego ojca napisanym, zaraz po jego śmierci. Nie pozostało wprawdzie żadnych szczegółów o jego tam pobycie, lecz łatwo się domyśleć, jakich wrażeń doznało na miejscach, gdzie Syn Boży został umęczony, serce tego, którego niezadługo Pan Jezus przez cudowne wyciśnienie na ciele jego blizn Swoich, miał uczynić żywym wizerunkiem krzyżowej męki Swojej. Można więc przypuszczać, że w czasie tego pobytu swojego na Ziemi Świętej; gdzie żywiej i rzewniej jeszcze wielki mąż Boży zatapiał się w rozważaniu tajemnicy męki Chrystusowej, przygotował i usposobił go Pan Bóg do tej nadzwyczajnej łaski jaką później na górze Alwernji przez odebranie Blizn cudownych otrzymał.

Wychodząc z Palestyny Franciszek postanowił udać się do Antyochji, stolicy Syrji. Na drodze, którą szedł, był na górze zwanej górą ciemną, wielki, sławny i bardzo liczny klasztor zakonu świętego Benedykta. Przed niedawnym czasem opat tameczny, mąż wysokiej świątobliwości umierając, przepowiedział swoim zakonnikom, że wkrótce przybędzie do nich wielki święty, że będzie to człowiek szczególnie od Boga umiłowany, patryarcha wielkiego zakonu, przybrany bardzo ubogo, nędznie wyglądający, a którego powinni przyjąć ze czcią wielką, gdyż go Pan Bóg przysyła do nich z zamiarami szczególnego nad nimi miłosierdzia Swojego. Gdy więc doszła do tych ojców wieść o pobycie

Franciszka w Antyochji, o jego kazaniach i licznych po nich nawróceniach i kiedy dowiedzieli się, że się on do ich klasztoru zbliża, domyślili się iż był to ów mąż Boży przepowiedziany im przez świątobliwego Opata.

Wyszli więc profesjonalnie na jego spotkanie i z największem uszanowaniem do klasztoru swego przywiedli. Święty zabawił tam dni tylko kilka, lecz jakże wiele przez ten czas dał mu Pan Bóg zrobić! Uderzeni jego świętością zakonnicy przyjęli regułę Braci mniejszych, dobra klasztorne oddali do rozporządzenia Patryarsze antyocheńskiemu a sami z rąk Franciszka przyjęli jego habit ubogi. W Syryi było kilka innych klasztorów Benedyktyńskich, wszystkie poszły za przykładem klasztoru z góry ciemnej. Św. Patryarcha ustanowił tam nową zakonną prowincję, bardzo kwitnącą, aż do czasów, gdy Saraceni całą Syrję plądrując, wiele klasztorów i kościołów poburzyli.

Św. Franciszek przywraca karność wśród Braci.

Gdy mąż Boży na Wschodzie pozyskiwał dusze Panu Bogu, i wielkie oddawał całemu chrześcijaństwu usługi, brat Eljasz, którego święty postanowił wikarym generalnym, niecnie nadużywając położonego w nim zaufania, zaczął podkopywać jego dzieło.

W naukach jakie miewał do braci, utrzymywał, że nie każdemu dano naśladować życie zakonodawcy, że reguła przez niego ułożona zawiera wiele przepisów nader trudnych do zachowania. Głównie chodziło mu o posiadanie własności wspólnej i stale zapewnionych dochodów. Natomiast przydawał braciom nowy obowiązek wstrzymania się od mięsnych potraw przez rok cały.

Zręczny ten człowiek pociągnął za sobą wielu braci słabszego ducha, a między nimi nawet kilku Prowincjałów. Lecz zakonnicy wierni swojemu powołaniu, a takich nierównie większa była liczba, zasmucili się bardzo widząc, jak Eljasz niszczy dzieło ich Patryarchy. Odbywszy więc wspólną naradę, tajemnie wysłali brata Stefana do Syryi, dla zawiadomienia Franciszka o tem, co się z jego synami dzieje.

Otrzymawszy tę wiadomość św. Franciszek niezwłocznie z towarzyszącymi mu braćmi, wsiadł na okręt odpływający do Włoch.

Najpierwszą jego czynnością było rozpisanie listów okólnych, zwołując braci na kapitułę generalną do Porciunkuli na dzień św. Michała Archanioła, w celu zaradzenia jak najspieszniejsze szkodom, jakie przyniosły całemu zakonowi rządy brata Eliasza. Wysławszy z Wenecyi te listy swoje, Franciszek puścił się w dalszą drogę i miewał kazania z nadzwyczajnym dla dusz wiernych pożytkiem; w każdym z większych miast pozakładał klasztory swojej reguły.

Chociaż wszędzie przyjmowano go z oznakami czci największej, gdy przybył do Bolonii, trudno wyobrazić sobie z jakim zapałem przyjęło go duchowieństwo i mieszkańcy, oraz liczni uczniowie słynnej podówczas akademii. Całe miasto spragnione oglądania w murach swoich tego wielkiego sługi Bożego, wyszło na jego spotkanie.

Naoczny świadek, który widział i słyszał św. Franciszka w Bolonii w 1220 r. tak o nim pisał: Odziany był bardzo biednie, wyglądał nadzwyczaj mizernie i nic uderzającego nie było w jego powierzchowności. Lecz Pan Bóg tak wielką mocą go obdarzył, że jedno jego kazanie przywiodło do zgody bardzo wielu możniejszych panów, od dawna z sobą w zaciekłej wojnie będących. Trudno opisać, oznak tego uwielbienia, jakie we wszystkich dla siebie obudził. Mężczyźni, kobiety, wielcy panowie i ludzie z prostego gminu, starcy i dzieci, wszyscy cisnęli się do niego i za szczęśliwego się poczytywał, kto chociaż lichej szaty jego mógł się dotknąć. Wszyscy słuchacze pobudzeni zostali do najżywszej skruchy, wielu prosiło go zaraz o habit, a między nimi kilku najpierwszych uczniów akademii.

Kiedy poszedł Franciszek do klasztoru swoich braci, którego jeszcze nigdy nie zwiedzał, spostrzegłszy, iż jest bardzo wspaniały, zatrzymał się, i odwróciwszy od niego, z wielkiem oburzeniem rzekł do braci, którzy mu towarzyszyli: „Czyż to jest mieszkanie ubogich ewangelicznych? Czyż takie przepyszne pałace mają być przeznaczone dla Braci mniejszych? Klasztor ten nie poczytuję za nasz, ani tych którzy w nim mieszkają za braci moich. Dla tego rozkazuję wszystkim, którzy chcą mianować się Braćmi mniejszymi, aby niezwłocznie opuścili to mieszkanie. I to rzekłszy, wrócił do miasta. Zakonnicy dowiedziawszy się co zaszło, pokornie spełnili rozkaz świętego i co do jednego wyszli z klasztoru, wynosząc nawet na barkach chorych.

Przez pewien czas siedzieli pod gołem niebem aż doszło to do wiadomości kardynała, który przedstawił Franciszkowi potrzebę, aby bracia mieli obszerniejsze klasztory, chorzy lepsze wygody, a zdrowi wypoczynek po trudach apostolskiego życia. „Co do własności tego domu, jeżeli masz jakie skrupuły, oświadczam ci, że ja w imieniu Stolicy Apostolskiej obejmuję własność tych budynków.“

Mąż Boży nie mógł się oprzeć żądaniu protektora jego zakonu, i zezwolił, aby bracia pozostali w klasztorze. Wszakże sam nie poszedł z nimi i udał się do OO. Dominikanów, gdzie zastał św. Dominika, z którym wtedy kilka dni spędził.

Braciom nadzwyczaj bolesną była kara, jaką ich dotknął błogosławiony ojciec, nie chcąc wejść do ich klasztoru. Udali się więc do jednego z ojców

Dominikanów, aby się wstawił za nimi do Franciszka. Ten prosił go, aby nie karał ich tak surowo, lecz na to odrzekł mu święty: Nie chcę obecnością moją w tym klasztorze, upoważniać tego co w nim uczyniono przeciwko świętemu ubóstwu. Dopiero po długich naleganiach poszedł do braci, a znalazłszy ich gotowych na wszelką pokutę, po kilku słowach ojcowskiego upomnienia przebaczył im i pozostał w klasztorze.

Lecz dla Prowincjała Jana ze Strachii, który w tymże klasztorze mieszkał, zmuszony był okazać się surowszym. Franciszek starał się, aby bracia, którzy byli kapłanami i pracom apostolskim się oddawali, kształceni byli w naukach, a szczególnie w teologji, Prowincjał zaś samowolnie postąpiwszy, pozwolił sobie zmienić ustanowiony przez Franciszka porządek, a zaprowadził inny, więcej próżnym naukom, jak wewnętrznemu życiu dogodny. Święty upomniał go za to i kazał wrócić do dawnego sposobu prowadzenia nauk. Jan ze Strachii był z liczby tych niewielu, z którymi brat Eliasz targnął się na różne przepisy reguły. Na razie więc zastosował się do woli świętego, poczem wprowadził znowu porządek zniesiony i wzbroniony przez Franciszka. Zabolał ciężko sługa Boży nad nieposłuszeństwem brata i dla przykładu innych, złożył go z urzędu prowincjalstwa i przeklął w obec zgromadzonych braci. Przerażeni zakonnicy, prosili, aby odwołał to przekleństwo, lecz Franciszek nadzwyczaj wzruszony, rzekł: „Bracia moi, dusza tego nieszczęśliwego, jeśli wam jest drogą, to mnie jeszcze droższą, lecz jakże mogę błogosławić tego, którego Pan Bóg przeklął na wieki.“ Bracia przekonali się o słów tych prawdziwości. Odebrali bowiem wiadomość, że nieszczęsny zakonnik umarł, wołając: „Przeklęty i potępiony jestem na wieki.“ Po śmierci zaś jego zaszły różne nadzwyczajne zjawiska około ciała zmarłego, dowodzące o prawdziwości słów, które wyrzekł umierając.

Św. Franciszek odprawia rekolekcje z kardynałem Hugolinem. — Znosi postanowienia brata Eliasza.

Kardynał Hugolin uprosił św. Franciszka, aby z nim razem na pewien czas zamknął się w jednym z klasztorów w okolicach Bolonii. Zgodził się na to święty, gdyż pustelnicze życie wielki miało zawsze dla niego powab. Udali się więc na górę, zwaną Kamedulską, gdzie był klasztor założony tam przez św. Romualda, a od którego wszyscy zakonnicy nazwani zostali Kamedułami. W świętem tem ustroniu, spędzili miesiąc cały na ćwiczeniach pokutnych. Dopóki OO. Kamedułom nie zabrano tego klasztoru, widzieć tam można było celkę pustelniczą, którą zajmował kardynał, i zaraz obok niej drugą, w której przebywał Franciszek, zamieszkałą niegdyś przez św. Romualda. Nazwano ją odtąd celką św. Franciszka.

Zbliżał się już dzień wyznaczony na generalną kapitułę przy Porciunkuli. Przed rozstaniem się atoli z kardynałem, święty udał się jeszcze na górę Alwernii tam spędzili razem dni kilka, po upływie których kardynał Hugolin wrócił do Bolonii, a Franciszek puścił się ku Assyżowi.

Skoro wszedł na dolinę spoletańską, wielka liczba braci przyłączyła się do niego. Święty otoczony gronem radujących się synów i sam weselił się w Panu widząc ich przy sobie. Podnosił na duchu nieśmiałych, słabszych w powołaniu pokrzepiał, uwiedzionych przez Eliasza oświecał, tych, o których przekroczeniach jakichkolwiek dowiedział się, upominał. I tym sposobem w tych paru dniach drogi wraz z nimi do Assyżu, odbył pomiędzy nimi jakby misję.

Bracia ze swej strony, zdawali sprawę błogosławionemu ojcu, ze stanu jego zakonu. Prawie wszyscy ubolewali nad wprowadzonemi przez Eliasza zmianami.

Około Porciunkuli, brat Eliasz wyszedł na spotkanie w habicie z sukna wytwornego, z rękawami rozłożystymi, z cienkim, fałdzistym kapturem. Widok ten boleśnie dotknął świętego. Skoro weszli do klasztoru i wszyscy zakonnicy byli zgromadzeni, wziął brata Eliasza na stronę, kazał mu zrzucić wierzchnią suknię i sam ją przywdział, ułożywszy ją fałdzisto, przepasawszy się wykwintnym pasem Eliasza, wyprostowawszy się i przybrawszy postawę wyniosłą, z przesadną powagą zaczął przechadzać się pomiędzy braćmi, i niby witając ich, powtarzał te słowa, któremi osoby we Włoszech z wyższego stanu witają ludzi z gminu: „Jakże się miewacie poczciwi ludziska, jak się miewacie?“ A potem cisnąwszy precz od siebie ów habit, zawołał: „W takich habitach mogą tylko chodzić wyrodki naszego zakonu.“ Długo mówił braciom o zamiłowaniu ubóstwa, o pokorze i zaparciu zakonnem. Pan Bóg zaś tak słowom jego pobłogosławił, że wszyscy bracia, nie wyjmując i Eliasza, żywo uczuli, jak dalece pozwolili sobie przeciw tym właśnie cnotom wykraczać.

Święty zaraz zniósł wszystkie postanowienia Eliasza, wyjąwszy nakazu wstrzymywania się stale od mięsnych potraw, odkładając rozwiązanie tego do późniejszego czasu.

Wkrótce zaszło zdarzenie, które wyprowadziło Franciszka z wątpliwości, czy owe postanowienie brata Eliasza pozostawić w swojej mocy.

Oto dnia pewnego, kiedy modlił się w lasku niedaleko klasztoru, zadzwonił gwałtownie do furty jakiś podróżny. Brat Maseusz, odźwierny, powitał go najuprzejmiej, lecz zarazem upomniał za dzwonienie w tak gwałtowny sposób. „Wybacz mi, rzekł

na to młodzieniec, pilno mi bardzo, chciałbym pomówić z br. Franciszkiem, lecz wiem, że w tej chwili modli się, więc chciej tu poprosić br. Eliasza. Mam ważną wątpliwość do rozwiązania".

Poszedł więc do Eliasza Maseusz, lecz ten ofuknął go i wyjść nie chciał. Zadzwonił młodzieniec powtórnie i rzekł: „Wiem, że Eliasz przyjść nie chce. Chciej więc pójść do Brata Franciszka i proś aby mi przysłał Eliasza." Br. Masseusz opowiedział świętemu, co zaszło, a on nie zmieniając wcale postawy i ciągle mając oczy w niebo utkwione, rzekł: „Każ Eliaszowi, aby się z młodzieńcem rozmówił."

Eliasz odebrawszy ten rozkaz musiał przyjść do furty, lecz bardzo był rozgniewany. Młodzian zaś rzekł spokojnie: „Czy tym, którzy zachowują przepisy Ewangelji św., wolno jest pożywać wszystko, co przed nimi postawią, jak to Chrystus polecił, i czy godzi się zakazywać tego, na co Chrystus zezwala? Na te słowa Eliasz krzyknął z gniewem: „Nie widzę potrzeby odpowiadać ci na to i chciał odejść, lecz młodzian dodał pośpiesznie: „Cobyś mógł na to odpowiedzieć, nie wiem; lecz co odpowiedzieć by wypadało, to mi bardzo jasne." Poczem Eliasz wzburzony, wrócił do celi.

Wszakże uderzony postawą młodzieńca, w którym było coś niezwykłego, wybiegł coprędzej za furtę, aby się z nim dłużej rozmówić. Lecz naprożno wszędzie go szukał, był to bowiem Anioł, przez którego Pan Bóg okazał Eliaszowi niewłaściwość wydanego przez niego rozporządzenia, zakazującego braciom potraw mięsnych na zawsze. Franciszek jednocześnie miał sobie objawionem, że powinien znieść ustawę obostrzającą regułę Braci mniejszych. Spotkawszy potem Eliasza, surowo go upomniał za złe obejście się z przybyłym i w końcu rzekł: „Źleś sobie postąpił, pychą twoją odganiasz Aniołów Bożych, przybywających oświecać nas w rzeczach wątpliwych. Obawiam się, aby wyniosłość twoja nie uczyniła cię niegodnym pozostawania w pokornym zakonie naszym, i żeby się nie skończyło na tem, że po za zakonem umrzesz".

Święty Franciszek składa urząd generalnego Przełożonego. — Zakłada trzeci Zakon tercjarzy.

W dzień św. Michała Archanioła, bracia zgromadzili się na kapitułę. Franciszek z każdym z nich długie miewał rozmowy, i cierpliwie wysłuchiwał skarg na Eljasza oraz jego obrony. Na samym wstępie kapituły, złożył z urzędu wikarego generalnego br. Eliasza, a w miejsce jego zamianował br. Piotra z Katany. Lecz tego uczynił nie swoim wikarym, ale następcą, w którego ręce swój urząd składał i rzekł do braci:

„Odtąd umarłym jestem dla was bracia moi. Oto wasz przełożony brat Piotr z Katany, któremu od tej chwili i wy i ja posłuszni będziemy." Co rzekłszy upadł mu do nóg, ślubując posłuszeństwo i poddaństwo, jako generalnemu przełożonemu.

Dwa powody upatrują historycy w tym postępku św. Franciszka. Po pierwsze uczynił to z powodu złego stanu zdrowia, powtóre dla dania przykładu pokory braciom, ubiegającym się o urzęda przełożonych, czy to klasztorów czy prowincyi. Chciał też dać poznać i uczuć, jak trzeba mężnie walczyć z tem wszystkiem, co z wnętrza samego zakonu groziło jego właściwemu duchowi, na najwyższym szczycie doskonałości ewangelicznej opartemu. Wniosek ten wyprowadzić można ze słów, jakie w kilka lat później, a blizki już śmierci, wyrzekł do jednego z braci: „Gdybym braci widział powolniejszymi mej woli, byłbym przełożeństwa nie zrzekał się do śmierci."

Bracia mniejsi postanowili, aby dopóki żyć będzie ich Patryarcha, generalny przełożony, którego chcą poczytywać tylko za jego zastępcę, miał tytuł nie przełożonego generalnego, lecz jego wikarego. Na to zezwolił po niemałym sporze święty, a przy końcu obrad, gdy bracia uklęknąwszy w koło niego prosili o błogosławieństwo, wzniósłszy oczy do nieba rzekł: „Panie Jezu Chryste, straży Twojej oddaję tę czeladkę. Polecam ją przełożonym, którzy w dzień sądu będą musieli zdać rachunek, jeśli który z braci moich przez ich niedbałość, zły przykład, albo surowe obejście się zginie na wieki." Odtąd Patryarcha poczytywał się za prostego zakonnika, jaśniejąc w oczach braci i świeckich, ciągłym wzorem pokory.

Na kapitule tej ogłoszoną została Bulla Honorjusza III, uzyskana przez Franciszka na kilka dni przed zgromadzeniem się braci. Ustanawiała ona dla nich śluby uroczyste, i nakazywała rok nowicjatu. Odtąd więc zakon Braci mniejszych stał się uczestnikiem wszystkich kanonicznych przywilejów, nadanych zakonom, w których wykonywają się śluby uroczyste. Po odbytej kapitule Franciszek wszędzie głosił Ewangelią i pobudzał lud wierny do pokuty. Zdawało się zaś, że słowom jego, jakby nowej i jeszcze większej, jak dotąd, przydawał Pan Bóg mocy.

Gdy przybył do Florencyi, po kilku jego kazaniach zapał ogarnął lud cały. Wtedy postanowił doprowadzić do skutku zamiar swój ułożenia reguły, według której osoby żyjące na świecie tak mężczyźni jak i kobiety, stanowiąc jedno zgromadzenie, nie odrywając się od obowiązków rodzinnych, podlegaliby jednak pewnym stałym przepisom. Przyrzekł wirnym to co prędzej uczynić, a tymczasem ulegając ich usilnym naleganiom, założył dwa pobożne stowarzyszenia, jedno z mężczyzn, drugie z niewiast złożone, które pod jego przewodnictwem duchow-

nem, każde z osobna odbywało różne ćwiczenia pobożne i spełniało uczynki miłosierdzia chrześcijańskiego.

Jak zaś gorliwie i powszechnie wzięto się do tego, trudno wypowiedzieć! Wnet ze składek założono za miastem dwa nadzwyczaj obszerne szpitale, jeden dla ubogich chorych, drugi dla starców. W nich osoby najmożniejsze nawet, poświęcały się na usługę biednych. Zgromadzano się na wspólne narady tyczące się ustalenia dobrych obyczajów, przewodniczyli poważni starcy, cnotą tylko do tego zaszczytu wynoszeni. Przy nich była kasa, do której wszyscy według możności i własnej woli, jedni codziennie, inni co tydzień albo co miesiąc składali ofiary, a wszystko to użyte zostawało na niesienie ratunku bliźniemu, w jakiejkolwiek zostającemu potrzebie.

Święty, opuściwszy Florencją, przybył do miasteczka Podżi - Bondzi (Poggi - Bonzi), gdzie spotkał się z dawnym znajomym, nazwiskiem Lukeziusz. Był to bogaty kupiec, niegdyś czynny stronnik cesarza Fryderyka, napastującego posiadłości Stolicy Apostolskiej. Lecz od niejakiego czasu stał się innym zupełnie człowiekiem a właśnie kazania Franciszka spowodowały jego nawrócenie. Od niegodziwego stronnictwa odłączył się zupełnie; kupiectwa nawet zaniechał, a ćwiczeniom pobożnym i ostrej oddał się pokucie. Ponieważ znaczny posiadał majątek, wielkie czynił jałmużny, ubogich pielgrzymów z największą miłością gościł, po szpitalach sam chorym usługiwał, żonę też do tego samego rodzaju życia skłonił.

Spotkawszy Franciszka, prosił go, ażeby jemu i żonie podał pewne przepisy, według których żyjąc a nieporzucając świata, mogliby zapewnić sobie zbawienie. Na to rzekł mąż Boży: „Zamyślam o założeniu Trzeciego zakonu, a więc ty i twoja żona, jeśli chcecie, możecie pierwsi wstąpić do niego.“ Lukeziusz i małżonka jego zgodzili się na to jaknajchętniej i święty przepisał im noszenie prostego odzienia koloru popielatego, przepasanego nicianym pasem o kilku węzłach, i wyznaczył ustne niektóre pacierze. Do tego dodał nie długie ćwiczenia pobożne i pokutne, które mieli spełniać zanim regułę, o której wyżej mowa ułoży i spisze.

Dowiedziawszy się o tem wiele pobożnych mężczyzn i niewiast, podobneż odzienie przywdziało, zachowując wiernie podane przez Franciszka przepisy. Wkrótce liczba ich wynosiła przeszło cztery tysiące osób płci obojga. I to skłoniło ostatecznie świętego do napisania dla nich ustawy, którą zamknął w dwudziestu rozdziałach. Najprzód oświadcza, iż należeć do tego zgromadzenia mogą wszyscy bez wyjątku, byle byli prawowiernymi katolikami. Wstępujący obowiązany jest wynagrodzić wszelką krzywdę, akąby miał na sumieniu; pojednać się szczerze z bliźnim, jeżeliby zostawał w nieporozumieniu, i przyrzec wierne zachowywanie przykazań Boskich i kościelnych, jako też i przepisów reguły. Zabrania zbytkowych uczt i biesiad, bywania na publicznych widowiskach; przepisuje pewne posty; wyznacza modlitwy niedługie, lecz często w dniu powtarzane, aby myśl i wśród zajęć o ile możności nie odbiegała od Boga, i poleca spowiedź kilka razy do roku. Nie pozwala noszenia i używania oręża, chyba na obronę Kościoła św. wiary i ojczyzny, co wielkiej wagi było przepisem w wieku, w którym zatargi prywatne stawały się powodem długiego krwi rozlewu. Bracia i siostry zgromadzać się mają raz na miesiąc na wspólne zebranie. Tam przełożony wysłuchuje ich własnych oskarżeń z przekroczeń reguły, i wyznacza im za to pokutę. Całe zgromadzenie podlega generalnemu przełożonemu Braci mniejszych, lecz przełożeni miejscowi przez samychże należących do Bractwa wybierani być mają na lat kilka. Reguła trzeciego Zakonu, przez Leona XIII w niektórych przepisach złagodzoną została w r. 1883.

Święty Franciszek otrzymuje dla wiernych największy odpust.

W tymże roku, w którym nadał Patryarcha Assyzki regułę braciom i siostrom Trzeciego Zakonu, otrzymał dla wiernych w ulubionym swoim kościołku Porciunkuli, najzupełniejszy, największy, odpust powszechny, od miejsca, gdzie uzyskanym został, odpustem Porciunkuli zwany.

W tem ustronnem miejscu przebywając święty, więcej jeszcze jak zwykle poświęcał czasu modlitwie. Im gorętsza miłość Boga rozpalała się w jego sercu, tem lepiej oceniał on nieszczęśliwy stan grzeszników; serdeczną przejęty litością, gorzko nad ich zaślepieniem płakał i najostrzejsze pokuty zadawał sobie w intencji uproszenia dla nich łaski nawrócenia. Jednej nocy, gdy z nadzwyczajnem podniesieniem ducha błagał o nawrócenie grzeszników, objawił się mu Anioł i kazał iść do kościoła, w którym, jak mu to oświadczył, zastanie Pana Jezusa z Jego Najśw. Matką.

Poszedł więc święty do kościoła, i ujrzawszy Syna Bożego, padł twarzą do ziemi, oddając Mu cześć najgłębszą, a Pan Jezus rzekł do niego:

„Franciszku, przez wzgląd na twoją i braci twoich gorliwość o zbawienie dusz ludzkich, pozwalam ci prosić o co chcesz dla ich pożytku a na chwałę imienia Mojego.“ A na to mąż Boży:

„Błagam, chociażem niczem innem, jak nędznym grzesznikiem, ażebyś raczył z miłosierdzia Twojego dozwolić ludziom, żeby wszyscy zwiedzający ten kościół, dostąpili zupełnego odpuszczenia grzechów, po wyspowiadaniu się z nich przed kapłanem i pro-

szę Przenajśw. Matkę Twoją a Obronicielkę rodu ludzkiego, aby raczyła wstawić się za mną, żebym otrzymał tę łaskę.

Wtedy Królowa niebieska przychylając się do prośby sługi Swego Franciszka, wstawiła się za nim do Syna. Poczem rzekł Pan Jezus:

„Franciszku to, o co mnie prosisz jest rzeczą wielkiej wagi; lecz otrzymasz jeszcze większe łaski. Udzielam ci tej, o którą prosisz; chcę jednak, abyś udał się do mojego Zastępcy na ziemi, któremu dałem władzę związywania i rozwiązywania, i prosił go o tenże odpust.“

Gdy to się działo w kościołku, bracia będący po celach, zdziwieni zostali światłością, która wybuchała z okien kościoła. Przyszedłszy zaś pod drzwi jego słyszeli całą rozmowę Franciszka z Panem Jezusem i Matką Najśw., i widzieli obok nich wielką liczbę Aniołów, lecz wewnątrz wejść nie śmieli. Franciszek zwoławszy ich wszystkich, zakazał rozgłaszać owo cudowne widzenie; a sam przybrawszy za towarzysza brata Maseusza, udał się do Peruzji, gdzie podówczas Honorjusz III przebywał. Stanąwszy przed nim rzekł:

„Ojcze święty! przed kilku laty odbudowałem mały kościołek w twoich posiadłościach: błagam Cię, abyś go obdarzył odpustem zupełnym, któregoby wierni mogli dostępować bez żadnej ofiary.“ Prosił zaś o uwolnienie wiernych od daniny, gdyż w owych czasach odpusty nie otrzymywały się inaczej, jak przy złożeniu jałmużny odpowiedniej do możności każdego, na cele dobroczynne. Na te słowa papież, zawahał się i po chwili namysłu powiedział:

„Prosisz o rzecz nadzwyczajną. Stolica Apostolska nie zwykła udzielać takich odpustów.“

Ojcze święty, odrzekł Franciszek z największą pokorą pochylając się do nóg Papieża, nie sam z siebie o to proszę: Jezus Chrystus mnie z tem przysłał, od Niego przychodzę. A na to Papież trzy razy wyrzekł te słowa: „Zgadzam się na to, o co prosisz.“

Otrzymawszy tę wielką łaskę, Franciszek ucałowawszy nogi papieża, odszedł. Lecz kardynałowie obecni temu przedstawili Honorjuszowi, że udzielenie tak wielkiego odpustu małemu kościołkowi, mniej poszukiwanym przez wiernych uczyni odpusty przywiązane do pielgrzymki do Ziemi Świętej i grobów Apostolskich. Na to odezwał się papież: „Zezwolenie już daliśmy, nie wypada odwoływać; trzeba je tylko ograniczyć.“ I przywoławszy Franciszka, rzekł: „Udzielamy ci odpustu, o któren prosiłeś nazawsze, lecz przywiązujemy go do jednego dnia tylko.“ Usłyszawszy to Franciszek schylił pokornie głowę, a gdy odchodził, papież spytał go z łaskawym uśmiechem: „Dla czegoż odchodzisz, mój święty prostaczku, nie uzyskawszy żadnych dowodów, żeś otrzymał to, o co prosisz?“ „Ojcze święty, odpowiedział sługa Boży, dość mi słowa Twojego. Jeżeli ten odpust jest dziełem Bożem, sam go Pan Bóg objawi i ogłosi wiernym. Niech Jezus Chrystus, Jego Matka Najśw. i Aniołowie Pańscy zastąpią tu i Brewe i świadków; nie proszę o żaden akt urzę-

Stygmaty św. Franciszka.

Meister von St. Severin. Muzeum w Kolonji.

dowy.“ Czas przekonał że niepłonną ufność miał święty, oddając w szczególną opiekę Bożą tę nadzwyczajną, uzyskaną przez niego dla świata katolickiego, łaskę. Odpust ten, największy ze wszystkich, jakie dotąd w kościele Bożym istnieją, nie był nigdy ogłoszony żadną Bullą Papiezką, jak to ma miejsce ze wszystkimi innymi odpustami, a jednak jest najpowszechniej znanym.

Św. Klara odwiedza św. Franciszka w Porciunkuli.

Św. Franciszek jako ojciec duchowny Klary, często nawiedzał córkę swoją w klasztorze św. Damiana. Wspierał ją radami, dawał polecenia odnoszące się do całego jej zgromadzenia, słowem kierował i jej duszą i całym zakonem Sióstr ubogich, już wtedy bardzo rozszerzonym.

W owych czasach, nie było jeszcze ogólnego przepisu kościelnego, obowiązującego zakonnice do ścisłej klauzury. Za czasów dopiero Bonifacego VIII przy końcu XIII wieku wyszło ogólne i ścisłe co do tdgo postanowienie.

Św. Klara, która od chwili zamknięcia się w klasztorze, nigdy jeszcze z niego nie wyszła, zapragnęła odwiedzić błogosławionego swojego ojca w klasztorze P. M. Anielskiej. Chciała przytem pomodlić się przed tym ołtarzem, przy którym przed kilku laty poświęciła się Panu Jezusowi, i zabawiwszy tam nieco dłużej, razem z braćmi dzielić skromny posiłek. Jednak na jej prośby, św. Patryarcha kilkakrotnie odmowną dał odpowiedź.

Lecz razu pewnego bracia, którzy w wielkiem poważaniu mieli Klarę, dowiedziawszy się jak wielce pragnęła tej pobożnej pociechy, przyszli do św. Franciszka z prośbą, aby zechciał uwzględnić życzenie siostry Klary, na co on w końcu się zgodził. Święta wielce tem uszczęśliwiona, serdeczne złożyła Bogu dzięki, a gdy dzień oznaczony nadszedł, w towarzystwie jednej z sióstr udała się do klasztoru P. M. Anielskiej, który od klasztoru św. Damiana nie bardzo był odległy.

Franciszek wyszedł na ich spotkanie, i najprzód zaprowadził Klarę przed ołtarz, gdzie niegdyś ostrzygł jej włosy i włożył na nią welon zakonny. Tam dość długo modlił się z swoją córką duchowną. Potem kazał św. Klarę z jej towarzyszką oprowadzić po klasztorze, aby się przypatrzyły jego ubóstwu, i przekonały, że jego klasztorek w niczem pod tym względem nie ustępował ubogiemu klasztorowi sióstr u św. Damiana. Nie chcąc odstępować od swojego zwyczaju, kazał braciom, aby obiad przygotowano na ziemi. Gdy nadeszła godzina posiłku, sam z jednym ze swoich braci, a święta ze swoją towarzyszką, usiedli na ziemi przy potrawach tam postawionych, reszta zaś braci zasiadło wkoło.

Przy rozpoczęciu tej skromnej biesiady, św. patryarcha zaczął mówić o Bogu z taką słodyczą, namaszczeniem i wymową, że wszyscy wpadli w zachwycenie i w niem długo trwali, mając oczy i ręce do nieba wzniesione.

Gdy się to działo w klasztorze, mieszkańcy Assyżu i okolicy ujrzeli nad kościołem P. M. Anielskiej i klasztorem wielką łunę. Przekonani, że wszczął się tam wielki pożar, tłumnie na ratunek przybiegli. Dostawszy się do refektarza, znaleźli tam św. Franciszka, św. Klarę, jej towarzyszkę i wszystkich braci w stanie zachwycenia. Zrozumiano wnet, że płomienie pochodziły od ognia niebieskiego, a nie ziemskiego, i że Bóg uczynił cud ten, dla okazania widomie płomienia miłości Boskiej, który dusze te święte ogarnął. Odeszli więc wszyscy zbudowani, pełni świętej pociechy.

Po długiem zachwyceniu Franciszek, Klara, jej towarzyszka i inni bracia, przyszli do siebie. Lecz tak się czuli pokarmem duchownym zasileni, że ani tknęli posiłku. Rozeszli się więc z tej błogosławionej uczty, i święta z towarzyszką puściły się w drogę napowrót do swego klasztoru.

Św. Franciszek przepowiada smutny koniec Eliasza. – Otrzymuje wielkie przywileje dla odpustu Porciunkuli.

Wielu braci z różnych stron świata przybywało do Porciunkuli dla uczczenia swojego Patryarchy, lub zasięgnięcia rady w rzeczach tyczących się sumienia.

W liczbie tych byli mężowie, już w świecie znani z nauki, wsławieni kaznodziejstwem, a także i wielu prostaczków. Święty wszystkich jednakowo przyjmował, każdego z miłością przygarniał do ojcowskiego serca. Inaczej postępował brat Eljasz, który zawsze znakomitszych gości wyróżniał.

Ściągnęło to wielkie niezadowolenie świętego. Dnia też pewnego, gdy przyszło kilku braci, między którymi byli i bardzo wykształceni i prostaczkowie, i kiedy w refektarzu zasiadano do stołu, brat Eliasz zamierzał przy Franciszku posadzić tych, których chciał więcej nad innych uczcić, on zaś dwóch prostaczków umieścił przy sobie. Eliasza bardzo to oburzyło, i szemrząc w duchu pomyślał sobie: „Ta jego zbytnia prostota zgubi nas. Sadza oto przy sobie prostaków, a mężów, którzy swoją biegłością w naukach uświetniają zakon, lekceważy sobie.“

Lecz święty, któremu Bóg dał odgadnąć myśli Eliasza, odpowiadając wprost na nie, rzekł: „Ty, bracie Eliaszu, więcej szkodzisz zakonowi naszemu pychą twoją. Nieszczęsny! już najwyżej postanowiono jest, że w zakonie nie umrzesz: *Zważonyś na wadze, i znalezionyś mniej mającym*, bo cię nadęła próżna nauka tego świata.“

Słowa te przeraziły wszystkich, a najwięcej Eliasza, który zapytał św. Patryarchy dla czego wypowiedział tak straszne słowa. „Dla tego, odrzekł Franciszek, że Pan Bóg objawił mi, że za karę grzechów twoich, wyrzeczesz się zakonu, umrzesz zanim i zostaniesz potępionym.“

Eliasz pomimo wielkich wad swoich, był jednak człowiekiem pełnym wiary, a nie wątpił, że objawienie, o którem mówił Franciszek, było prawdziwem. Upadł więc mu do nóg i ze łzami zawołał: „Ojcze mój, błagam cię, nie pozbawiaj mnie swojej pomocy. Proś Boga, niech raczy wyrok mojego potępienia odwołać, boć napisane jest, że Pan zmienia takowy, gdy grzesznik chce się poprawić. Ja taką mam ufność w modlitwach twoich, że choćbym był w piekle, to jeszcze one i tamby mi ulgę przyniosły. Zaklinam, uproś mi miłosierdzie u Pana naszego, który zstąpił na ziemię, aby grzeszników zbawić.“ I mówiąc to zanosił się od płaczu. Zdjęty litością Franciszek przyrzekł mu, że się za niego gorąco modlić będzie. Nawet uczynił to zaraz, a Pan Bóg mu objawił, że wyrok potępienia Eliasza został odwołany i dusza jego nie dostanie się do piekła; jednak z pewnością odstąpi on od swego powołania i umrze po za zakonem. Co wszystko sprawdziło się najwierniej. Po śmierci Franciszka, Eliasz wystąpił z zakonu, a wkrótce potem przystawszy do stronnictwa Fryderyka II-go króla Sycylijskiego, który najeżdżał posiadłości papiezkie. wpadł w klątwę kościelną. Przed śmiercią wszakże opamiętał się i umarł pojednany z Bogiem.

Św. Franciszek czując się nieco zdrowszym wyruszył na misję ku południowym Włochom, a jak wszędzie tak i w tej jego apostolskiej wycieczce Pan Bóg uświetniał sługę Swego, czyniąc przez niego liczne cuda.

Dwa lata upłynęło już od chwili, kiedy Franciszek otrzym ałów wielki odpust dla odwiedzających kościół P. M. Anielskiej, lecz dotąd nie był wyznaczonym dzień, w którym wierni mogliby korzystać z tak wielkiego dobrodziejstwa. Oczekiwał bowiem mąż Boży, aby Pan Jezus Sam objawił dzień, w którym miał ją duszom udzielać. Co też nastąpiło na początku r. 1223, w następujący sposób:

Gdy nocy pewnej Franciszek modlił się w swej celi, ujrzał około siebie mnóstwo róż białych i pąsowych. Przytem przystąpiła do niego wielka liczba aniołów mówiąc: „Franciszku, idź coprędzej do kościoła, tam bowiem na cię Chrystus z Najśw. Matką Swoją oczekują.“ Gdy zaś to mówili, Franciszek ujrzał się przyodzianym w szatę białą, jak śnieg i zerwawszy dwanaście róż białych i tyleż pąsowych, poszedł do kościoła.

Droga wydała mu się wysłaną najprzepyszniejszemi kobiercami, a gdy wszedł do kościołka, ujrzał Chrystusa Pana z N. Panną i mnóstwem Aniołów, którzy ich otaczali. Padł więc twarzą do ziemi i zawołał: „Ojcze nasz, Panie nieba i ziemi, racz oznaczyć dzień odpustu, miejscu temu przez Ciebie nadanego.“ A gdy tę prośbę Franciszka swojem wstawieniem się poprzeć raczyła Najśw. Pana, Chrystus odpowiedział: „Chcę, aby to był dzień, w którym Piotr Apostoł mój, wyzwolony był z oków, poczynając od drugich nieszporów dnia tego, aż do nieszporów następnych, licząc w to i noc przypadającą. Ktokolwiek więc w porze tej do kościołka tego wejdzie, zupełnego odpustu dostąpi.

„Panie, rzekł Franciszek, w jakiż sposób ludzie o tem zawiadomieni zostaną, tak żeby temu uwierzyli?“ „To się stanie, odpowiedział Pan Jezus, mocą Moją i z łaski Mojej. Tobie zaś iść trzeba do Rzymu do mojego Zastępcy, któremu gdy rzecz całą przedstawisz, sam on postara się to ogłosić.“ „A jeśli mnie wierzyć nie zechce?“ zapytał święty. „Weź ze sobą na świadków kilku z braci, którzy to wszystko słyszeli, a także zanieś te róże białe i pąsowe, któreś w ogrodzie zerwał“, rzekł Zbawiciel. Poczem chór anielski rozpoczął *Te Deum laudamus*, a gdy Franciszek wziął w ręce po trzy róże z każdego koloru, całe widzenie zniknęło.

Dnia następnego mąż Boży z trzema towarzyszami Bernardem z Kwintawalii, Piotrem z Katany i Aniołem z Reatynu, — udał się do Rzymu. Otrzymawszy posłuchanie u papieża, zdał mu sprawę z tego wszystkiego co zaszło, a czemu trzej bracia z nim będący poświadczyli, i przedstawił cudowne róże.

Papież podziwiając to cudowne objawienie, powiedział: „Co do nas, bracie Franciszku, nie wątpię o tem, coś mi opowiedział, lecz chcę rzecz całą przedstawić na radzie braciom naszym kardynałom. Potem dopiero postanowimy, co uczynić wypadnie.“ Tymczasem kazał swoim dworzanom umieścić Franciszka z braćmi w komnatach Watykanu i o wszelkich potrzebach ich pamiętać. Nazajutrz zwoławszy radę kardynałów posłał po Franciszka i rzekł: „Chociaż już mi oznajmiłeś, jaka jest w tem wola Pańska, powtórz to jednak jeszcze i przed wszystkimi braćmi naszymi kardynałami.“ Wtedy święty toż samo raz jeszcze powtórzył.

Po krótkiej z kardynałami nad tem naradzie, papież nie wątpiąc, że taką jest wola Chrystusa Pana, żądany odpust na dzień wyżej określony zatwierdził. Przytem niezwłocznie wydał *breve* do biskupów, aby wszyscy do kościoła P. M. Anielskiej zjechali i odpust ten uroczyście ogłosili.

Ci w dniu naznaczonym przybyli do Porciunkuli, gdzie niezmierne mnóstwo ludu wiernego z różnych okolic nadciągnęło. Urządzono przed kościołkiem trybunę, na której zasiedli biskupi, i na którą pozwolili wejść Franciszkowi, aby sam ludowi odpust ogłosił. Święty po krótkiem kazaniu, w któ-

rem rzecz całą opowiedział, ogłosił odpust na ów dzień naznaczony i to na zawsze. Biskupom nie zdawało się właściwem, aby odpust ten był wieczystym, rzekli przeto: „Bracie Franciszku, odpust ten nie na zawsze, lecz tylko na lat dziesięć powinien być ogłoszony.“ Poczem kolejno występowali na trybunę, a Bóg zrządził, że każdy z biskupów, zamiast ogłosić, jak zamierzał, odpust z ograniczeniem czasu, zapowiedział tę łaskę na zawsze. Uznając więc w tem wyraźną wolę Bożą, w końcu zgodzili się bezwarunkowo na żądanie Franciszka i tym sposobem jeszcze uroczyściej odpust ten został oznajmiony.

Odpust Porciunkuli, Stolica Apostolska rozciągnęła do wszystkich kościołów Braci mniejszych, a Pius IX, chcąc jeszsze więcej ułatwić wiernym dostępowanie owego odpustu udzielił go wszystkim wpisanym do Szkaplerza Niepok. Pocz. Matki Boskiej. Tacy dostępują całego odpustu Porciunkuli za każdym razem, gdziekolwiek się znajdują (bez spowiadania się i komunikowania, byle byli w stanie łaski) po odmówieniu szesciu *Ojcze nasz* tyleż *Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu*, na cześć Trójcy Przenajśw. i Maryi Niepok. Pocz. (*Pius IX, 14 kwietnia 1856*).

I otóż wierni św. Franciszkowi zawdzięczają tę nadzwyczajną łaskę a Duch św. natchnął zasiadających na stolicy Piotrowej papieży myślą ułatwienia wiernym całego świata dostępowania odpustu, wyjednanego przez Patryarchę Serafickiego.

Św. Franciszek spisuje na nowo Regułę Braci mniejszych.

Wkrótce po ogłoszeniu powyższego odpustu miał św. Franciszek widzenie: Zdało mu się, że zbiera nadzwyczaj drobne okruszynki chleba z ziemi, aby je rozdzielić pomiędzy braci swoich zgłodniałych. Gdy tedy kłopotał się, jak takie drobne odłamki potrafi rozdawać, usłyszał głos z nieba mówiący: „Franciszku! ze wszystkich tych okruszyn zrób jedną hostję i podaj ją zgłodniałym. Kto zaś nie przyjmie jej pobożnie, albo przyjąwszy wzgardzi nią, wnet go ciężki trąd okryje.“

Z rana opowiedział mąż Boży braciom swoje widzenie, uskarżając się, że znaczenia jego zrozumieć nie może. Następnego zaś dnia, gdy trwał na modlitwie, taki znowu głos z nieba usłyszał: „Franciszku! okruszyny chleba, które ci w poprzedzającem widzeniu okazane były, są to słowa Ewangelii; hostja jest regułą przez ciebie dla zakonu twego ułożoną, trąd nieprawością.“ Z czego zrozumiał święty, że regułę chcąc mieć na nowo potwierdzoną, wypada krótszą uczynić. Chcąc tego dopełnić, udał się na samotne miejsce, wziąwszy z sobą braci Leona i Bonifacego i na górze św. Rejnera zamknął się w jaskini. W niej przepędził czterdzieści dni poszcząc o chlebie i wodzie, i przez ten czas, braciom dyktował regułę, którą jemu znowu sam Duch Św. do ust podawał.

Wróciwszy do Assyżu wręczył ją Eliaszowi dla odczytania i przechowania. Lecz ten znalazłszy ją zbyt surową nie zwrócił jej świętemu, tłumacząc się, że ją przez nieuwagę zagubił. Wtedy święty powrócił do jaskini i powtórnie regułę podyktował.

Wtedy wielkiej wagi uczynił Franciszek zmianę. Nietylko bowiem streścił ją znacznie skracając, tę, jaką przed trzynastu laty dał już był braciom, lecz jeszcze ściślejsze obwarował w niej ubóstwo.

To właśnie rozbudziło na nowo w Eliaszu i kilku jemu podobnych zakonnikach wielkie niezadowolenie, mówili że św. Franciszek chce uzyskać zatwierdzenie na regułę przechodzącą siły ludzkie i że nie przyjmą takowej, jeśli zbyt będzie surową.

Usłyszawszy to święty, podniósłszy oczy do nieba, zawołał:

„Panie! czyż nie mówiłem, że mi oni wierzyć nie będą? Co do mnie świętą regułę naszą do śmierci zachowam; lecz zuchwale ją odrzucających nie jestem w możności zmusić do tego.“

A gdy to wyrzekł, w tejże chwili wśród niebieskiej światłości okazał się nad nim Pan Jezus i w te słowa przemówił: „Czemu się frasujesz, jakby to o co idzie, było dziełem twojem? Czyż ty jesteś Braci mniejszych zakonodawcą? Czyż nie wszystkie przykazania przezemnie są przepisane? Ty jesteś tylko słabem mojego dzieła narzędziem. Wiem, com ci podyktował, wiem, com przez to chciał przykakazać. Siły ludzkie są mi dobrze znane, wiem do czego są zdolne i w jakim stopniu postanowiłem wspierać tych, którzy tę regułę przyjmą. Chcę więc, aby ona zachowaną była co do słowa. Ci którzy nie chcą jej zachować, niech wystąpią z zakonu; powołam innych na ich miejsce, a jeśli tego potrzeba będzie, z kamieni tych wzbudzę.“

Bracia przerażeni widzeniem i głosem, jaki usłyszeli, padłszy twarzami na ziemię, milczeli.

Wtedy błogosławiony ojciec zeszedł ze skały i podnosząc każdego z osobna, rzekł do nich łagodnie: „Powstańcie bracia mili i przestańcie się lękać, a jako żołnierze Chrystusowi, *przyobleczcie się w zupełną zbroję Bożą, abyście mogli stać przeciw zasadzkom djabelskim* (Efez. 6, 2). Bracia zauważyli, że miał oblicze cudawnie rozpromienione, jak Mojżesz gdy z tablicami przykazań Bożych schodził z góry Synai. Udał się do klasztoru na tejże dolinie będącego, i tam zgromadziwszy wielu braci odczytał im regułę, którą miał rozesłać do wszystkich prowincji swojego zakonu.

Kiedy znowu jęli mu przekładać, trudności wyżywienia bez stałych dochodów, święty prosił Boga, aby go oświecić raczył, czy w tej okoliczności ma

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

iść za zdaniem braci. Wtedy usłyszał od Pana Jezusa te słowa: *Ja będę cząstką i dziedzictwem ich*, (Psalm 15, 5) i nie chcę, aby się zaprzątali ziemskiemi sprawami. Wszystkich, którzy ten rodzaj życia wieść będą, Ja stanowię się wyżywicielem, i niedozwolę, aby im czegokolwiek z niezbędnych do życia potrzeb brakowało. Im większą będzie takich liczba, tem większą okaże się nad nimi moja opatrzność.

Gdy braciom zdał Franciszek sprawę z tego, odstąpili wszyscy od swego zdania, widząc coraz wyraźniej, że wszystkie te przepisy nie ludzkiem lecz Boskiem były dziełem.

W trzech ślubach zakonnych, to jest w zobowiązaniu się do troistego zaparcia siebie, zawiera się istota zakonnego życia.

Wszakże pomiędzy takiemi zgromadzeniami zachodzi różnica, czasem bardzo wielka, ztąd wynikająca, że nie wszystkie zgromadzenia zakonne w równym stopniu spełniania tychże cnót wymagają, a szczególnie co do posłuszeństwa i ubóstwa, bo co do czystości, w tem niema żadnej różnicy.

W zachowywaniu ubóstwa zakonnego, chociaż wszędzie wzbronione jest wszystko, co zbytkiem trąci, wszelako w jednych są nakazane mniejsze obostrzenia, w innych ściślej, surowiej jest to obwarowane. Reguła przez Franciszka nadana do takiego szczytu doskonałości ewangielicznej zmierza, że jest jakby ostatniem słowem prawa ewangelicznego, po za którem już nic więcej nie jest dano człowiekowi czynić pod względem udoskonalenia się według rad Chrystusowych.

Zaraz bowiem po zobowiązaniu braci do trzech ślubów zakonnych, podaje, święty: „że bracia obowiązują się: iść za nauką i w ślady Pana naszego Jezusa Chrystusa, który powiada: Jeśli chcesz być doskonałym, pójdź i przedaj co masz i rozdaj ubogim, a będziesz mieć skarb w niebie, a przyjdź i pójdź za Mną. A także: *I wszelki, który opuścił dom, braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo syny, domy, albo rolę dla imienia Mego, tyle stokroć weźmie i żywot wieczny odzierży.* (Mat. 9, 19).

Obwarowawszy najwyższe, jakie być może w zakonie swoim ubóstwo, jakiż obmyślił środek zakonodawca utrzymania braci? Podwójny: praca i w razie, gdyby ona dostatecznego utrzymania zakonnikom nie dostarczała, proszenie jałmużny. Lecz i w pierwszym i drugim razie przyjmowania pieniędzy zabrania. „Ci bracia, mówi rozdział V, którzy posiadają jakowe rzemiosło lub do innej jakiej pracy są uzdolnieni, niech pracują wiernie i nabożnie, tak żeby oddaliwszy próżnowanie, duszy nieprzyjaciela, świętej modlitwy i pobożności ducha w sobie nie przygaszali. Za roboty zaś swoje niech biorą rzeczy potrzebne do utrzymania życia, a nie pieniądze, i to pokornie (to jest nie spierając się o cenę nagrody), jako przystoi sługom Bożym i ubóstwa najwyższego wyznawcom.

Co do drugiego, to jest proszenia jałmużny, mówi rozdział VI: „Bracia jako przechodnie i pielgrzymi na tym świecie, w ubóstwie i pokorze Panu służąc, niech idą żebrać jałmużnę z ufnością. Nie mają się wstydzić tego, gdyż Pan dla nas stał się ubogim na tym świecie. To bowiem, co ubogimi w rzeczy doczesne uczyni, za to cnotami zbogaci“.

Przypisawszy różne prócz kościelnych posty, reguła w rozdziale III powołuje się do słów Pana Jezusa i powiada przy końcu: „Co się tyczy rodzaju pokarmów, według słów świętej Ewangelji, braciom wolno jest *pożywać cokolwiek przed nimi kładą* (Łuk. 10, 8).

Założyciel Braci-mniejszych stanowiąc, aby klasztory jego nie miały nigdy prawa posiadania jakiejkolwiek własności, zmusił swoich zakonników do zostawania zawsze w stanie bezwarunkowego ubóstwa. Ochronił ich tym sposobem od szkód, jakieby im przyniosło w ich wewnętrznem życiu dojście z czasem do coraz łatwiejszych środków utrzymania a następnie do zbytnich dostatków.

I otóż sześć wieków, które od tego czasu upłynęły, przekonały, że ten nowy zakonodawca, dla wielkiej miłości Boga i bliźniego Serafinem ziemskim przezwany, nie zawiódł się, w świętej cnocie miłości, ufność pokładając. Zakony żebrzące, z pracy i jałmużny tylko żyjące, tak męzkie jak i żeńskie, cały świat katolicki pokryły i przetrwały zakony w najhojniejsze, stałe fundusze zaopatrzone.

Reguła św. Franciszka zawisła, powiada św. Bonawentura na zachowaniu sw. Ewangelji, bo cała treść jej wyjęta ztamtąd. Tak więc ją uważając nie jest to reguła nowa, lesz odnowiona, bo taż sama, jaką przepisał Syn Boży swoim Apostołom, gdy ich wysyłał, aby ludom Boską naukę Jego ogłaszali. I tenże święty poczytuje cudowne blizny, otrzymane wkrótce potem przez Franciszka, jakby bullę przez samego Chrystusa wydaną na jej potwierdzenie.

Papież Mikołaj III pisze, „że ma ona w sobie najwyższą *sankcję;* najwyższe zatwierdzenie Trójcy przenajświętszej, a Duch św. natchnął ją Franciszkowi“. Grzegorz IX oświadcza wyraźnie, „że jest oparta na słowie Ewangelji; ma za sobą powagę podobnegoż sposobu życia Syna Bożego na ziemi i popartą jest nauką i sposobem życia Apostołów.

Z pomiędzy różnych objawień, jakie miewali ŚŚ. Pańscy, najwyższej w tym rodzaju powagi używają objawienia św. Brygidy. Owóż w jednej z cudownych rozmów z Panem Jezusem, te słowa usłyszała od Niego: „Reguła Franciszka nie była ułożoną rozumem ludzkim. Ja ją podałem; niema w niej ani jednego słowa, któreby mój Duch nie natchnął i taką on ją podał braciom“.

Gdy przekonał się Franciszek, że bracia jak najchętniej przyjmują nową jego regułę, a raczej skrócenie dawnej, udał się do Rzymu dla uzyskania bulli potwierdzającej. Zastał tam kardynała Hugolina, który już czekał na niego, aby swoją wysoką powagą popierać ważną tę sprawę, a papież zatwierdził regułę bez żadnej zgoła zmiany.

Św. Franciszek zaprowadza urządzenie Żłobka Pańskiego.—Układa regułę dla zakonnic św. Klary.

Miał zawsze św. Franciszek wielkie nabożeństwo do tajemnicy Narodzenia Pana Jezusa, a pragnął i w ludzie wiernym rozbudzić jak największą cześć Dzieciątka Bożego, w ubogim żłobku, z miłości ku nam na świat przychodzącego. A że właśnie zbliżało się święto Bożego Narodzenia. powziął zamiar obchodzenia tej uroczystości w sposób, któryby tę tajemnicę jak najżywiej wiernym przedstawił, Że zaś miało to być czemś zupełnie nowem wiec przy pożegnalnem posłuchaniu u papieża przedstawił mu myśl swoją. Zamierzał urządzić żłobek z Dzieciątkiem Jezus na sianku leżącem pomiędzy bydlętami umieszczając tamże kilka osób przedstawiających: Matkę Boską, świętego Józefa i pasterzy betleemskich. Papieżowi bardzo się ta pobożna myśl podobała, i nietylko ją pochwalił, ale dla zachęcenia ludu wiernego zgromadzających się na to święte widowisko, odpustem obdarzył.

Jednem z ulubionych miejsc Franciszka we Włoszech była dolina Reatyńska, na której, założył aż cztery swoje klasztory. Lud tam był bardzo pobożny, Franciszek więc postanowił u nich naprzód ten swój zamiar uskutecznić i wybrał na to wioskę Greczja.

Odbył się ten obrzęd z nadzwyczajną uroczystością przy licznym napływie pobożnego ludu. Urządzono żłobek wysłany siankiem, przy nim odprawiona została uroczysta msza św., do której Franciszek służył jako djakon, a potem miał do ludu kazanie. Przez nie pobudził wszystkich do wielkiego nabożeństwa ku Dzieciątku Bożemu, nazywając je: Dzieciątkiem Betleemskiem. Jak dalece ten cały obrzęd mile przyjął Pan Bóg, dowiódł tego cud przy nim zaszły:

Gdy przy żłobku modlił się Franciszek, ujrzano żywe Dzieciątko Jezus na sianku śpiące, które Franciszek wziąwszy z największą czcią na ręce zdawało się, że je rozbudził. Lud pobożny na pamiątkę tego cudu rozebrał na relikwie sianko z tego żłobka, które cudownie uzdrawiało bydło, dotknięte morową zarazą. Później na miejscu, gdzie był żłobek wystawiono ołtarz, a pobożny zwyczaj urządzania podobnych żłobków podczas Bożego Narodzenia, z czasem upowszechnił się w całem chrześcijaństwie.

Gdy Franciszek otrzymał od papieża Honorjusza III, bullę zatwierdzającą ostatecznie zakon Braci mniejszych, św. Klara zapragnęła, aby podobnąż regułę ułożył dla nich wspólny ich patryarcha, gdyż reguła nadana przez kardynała, nie odpowiadała w zupełności temu kierunkowi, jaki zamierzał dać im Franciszek. Mąż Boży napisał tedy ustawę i wszystkie klasztory Sióstr ubogich przyjęły ją z największą radością. Jest ona bardzo podobną do reguły Braci mniejszych. Przepisane w niej siostrom najwyższe ubóstwo tak co do odzienia, posłania, jak mieszkania i wyżywienia, i wzbroniona własność wspólna oraz wszelkie stałe dochody. Użycie jednak pieniędzy nie jest zakazanem, gdyż byłoby to niemożliwem do zachowania dla zakonnic, którym trudniej jest wyżebrywać w naturze przedmioty do życia potrzebne.

Reguła ta w lat kilka po jej nadaniu przez Franciszka i już po jego śmierci, zatwierdzoną została przez Inocentego IV. Zakon Siostr ubogich Klaryskami zwanych, wielką liczbę wydał świętych i błogosławionych, a w wiekach żywej wiary ściągnął nawet z tronów królewskich wiele dusz wybranych. rozmiłowanych właśnie w jego najwyższem ubóstwie. Przy końcu XVIII wieku, przed wielką rewolucją francuską, zanim bezbożność przez nią rozpowszechniona zaczęła niszczyć te ciche, a święte przybytki modlitwy i pokuty, Klaryski liczyły w świecie całym około dziewięciuset klasztorów, a w nich blizko pięćdziesiąt tysięcy świętych dziewic, bezustanną składających Bogu ofiarę gorących modlitw i najostrzejszej pokuty, dobrowolnie podjętej za grzechy świata całego.

W założeniu tego zakonu żeńskiego i nadaniu mu reguiy, dopełnił Franciszek onego troistego założenia zakonu, którego według św. Bonawentury zapowiedzią było odbudowanie przez niego w początkach jego nawrócenia trzech kościołów pod Asyżem. Pierwszym tedy przez niego założonym zakonem liczą się *Bracia mniejsi*, drugim *Siostry ubogie* czyli *Klaryski* trzecim *Tercjarze*, lubo na świecie żyjący lecz do wielkiej rodziny Franciszkańskiej należący.

Pobyt św. Franciszka na górze Alwernji.

Dokonawszy tak doniosłego dzieła, udał się św. Franciszek na puszczę góry Alwernji.

Tam osiadłszy w małej, odosobnionej chatce, bezustanie zatapiając się w modlitwie, unosił się duchem coraz więcej do nieba, w miarę jak nim odrywał od ziemi i z ciałem nawet niekiedy unosił się w powietrze. Brat Leon, nieodstępny jego towarzysz i najbliższy powiernik pisze, że niekiedy widział go uniesionego w powietrze wyżej od najwyższych drzew, które ich tam otaczały, a kilka razy tak wysoko, że go tracił z oczu. Kiedy dosięgnąć mógł stóp jego, obejmował je i całował ze

łzami wołając: „Boże bądź miłościw mnie grzesznemu i przez zasługi tego najświętszego męża, chociaż najmniejszy promyk łaski Twojej spuść na mnie“.

Dnia pewnego, gdy po wzniesieniu tak nadzwyczaj wysokiem, że go długo brat Leon nie widział, Franciszek zeszedł na ziemię, objawił mu się widzialnie Pan Jezus siedzący na stole kamiennym, na którym sługa Boży zwykł był spożywać posiłek. Franciszek długo rozmawiał ze Zbawicielem o stanie swojego zakonu w przyszłości, powiedział mu Pan Jezus: „Franciszku, wiedz o tem, że zakon twój istnieć będzie, aż do końca świata, że żaden z jego prześladowców długo nie pożyje; ci którzy go popierać będą, jeśli w grzechach się znajdują, łaskę szczerej skruchy i odpuszczenie win swoich otrzymają. Z braci zaś, ci którzy niegodziwie żyć będą, albo się nawrócą, albo zakon opuszczą“.

Na tymże kamieniu kilka razy jeszcze objawił się Pan Jezus św. Patryarsze i w jednem z objawień, zapowiedział mu jedną jeszcze łaskę. Lecz tej mąż Boży nikomu wyjawić nie chciał.

Nad kamieniem tak wielkiemi cudami wsławionym, jeden z możniejszych panów z okolic góry Alwernji, Robert z Petramala, wybudował kapliczkę. Gdy zaś z czasem pobożność wiernych odłamywała kawałki z niego na relikwie, przeniesiono go do kościoła braci mniejszych na górę Alwernji i tam umieszczono w osobnej kaplicy za żelazną kratą z napisem: „Stół św. Franciszka na którym miał cudowne objawienia i który sam poświęcił, polewając go oliwą i mówiąc: *to jest ołtarz Boży.* (Genez. 28, 19).

Przy nadchodzącej uroczystości Wniebowzięcia Matki Bożej, przeniósł się błogosławiony ojciec na sam szczyt góry, gdzie mu bracia urządzili ubogą chatkę a niedaleko od niej drugą podobnąż dla brata Leona. Jego tylko przy sobie zostawił, a innym kazał odejść, i nie wracać ani nikomu nie dozwalać tam przychodzić, aż do uroczystości św. Michała Archanioła, na cześć którego chciał odbyć post czterdziestodniowy.

Ile razy Franciszek udawał się na większe odosobnienie robił to z dwóch powodów. Głównie w tym celu, aby otrząsnąć z duszy swojej chociażby najdrobniejszy pyłek, jaki paść mógł na nią z bliższego zetknięcia się ze światem; a także aby w większej ciszy, w większem skupieniu ducha i w ściślejszem jednoczeniu się z Bogiem, dokładniej, pewniej i wyraźniej mógł poznać, czego po nim w danej chwili Pan Bóg wymaga.

Św. Franciszek otrzymuje cudowne znamiona (stygmaty).

Nadchodziła chwila, w której miał św. Franciszek otrzymać od Boga dar cudowniejszy od wszystkich, jakie już otrzymał, Duch św. dawał mu tego przeczucie Franciszek czuł, że go jeszcze coś czeka; że jeszcze Pan Bóg przeznacza go do czegoś, modlitwą pobudzał w sobie gotowość spełnienia woli Bożej. Nocy pewnej, gdy z bratem Leonem odśpiewał jutrznią. Duch Boży podał mu natchnienie, że przez roztworzenie księgi Ewangelji św., dowie się od Pana Jezusa przez co jeszcze może się Mu przypodobać. Zatrzymał przeto przy sobie brata Leona, który zwykle zaraz po odśpiewanych pacierzach odchodził do swojej chatki, i po chwili gorącej modlitwy kazał mu wziąć księgę Ewangelji, leżącą na ołtarzu i po trzykroć na cześć Trójcy św. ją roztworzyć. Uczynił to Leon, i każdym razem wypadł opis Męki Pańskiej, z czego Franciszek zrozumiał, że jak dotąd naśladował Pana Jezusa w sprawach dokonanych w ciągu Jego życia, tak teraz potrzeba, aby zanim jeszcze ten świat opuści, stał się Mu jak najpodobniejszym w szczegółach Jego bolesnej męki. I chociaż w skutek ostrych pokut, bezustannie dźwigał krzyż Pański, nie przeraziło go jednak zapowiedzenie nowych cierpień, owszem radowała go nadzieja poniesienia męczeństwa. I w istocie czekało go szczególne uczestniczenie w cierpieniach Pana Jezusa poniesionych na krzyżu. Czekały go cudowne Blizny, które miał już wkrótce otrzymać, lecz jeszcze więcej, jeszcze lepiej chciał go Pan Bóg do tak nadzwyczajnej łaski usposobić.

W kilka dni po onem roztwarciu Ewangelji, brat Leon przyszedł o północy pod chatkę świętego i według jego polecenia odezwał się, mówiąc: „Domine labia mea aperies“. (Panie usta moje otwórz). Lecz nie usłyszawszy odpowiedzi męża Bożego, przybliżył się do drzwi i patrzył przez szparę,co się wewnątrz dzieje. Ujrzał całą chatkę napełnioną wielką światłością i płomień nadzwyczajnej jasności, unoszący się nad głową Franciszka. A przytem zauważył, że święty klęczący i z głową pochyloną do ziemi często powtarzał te słowa:

„Kto Ty jesteś o Boże mój! i najsłodszy Panie mój? a kim ja jestem? robak nędzny i Twój sługa niegodny.

Wkrótce światłość zniknęła i Leon chciał po cichu odejść. Lecz święty przywoławszy go upomniał, że ulegając ciekawości, pozwolił sobie śledzić rzeczy, które w tajemnicy pozostać powinny. Leon pokornie za to przeprosił, a gdy uzyskał przebaczenie, poprosił, aby wytłumaczył mu to, na co on przed chwilą patrzał, a Franciszek w tych słowach to uczynił:

— Pan Bóg objawił mi się w płomieniu, któryś widział. Z nieprzebranej dobroci Swojej wyjaśnił mi wiele tajemnic i udzielił tak wzniosłego poznania Siebie, że przejęty najwyższem uwielbieniem zawołałem: ktoś Ty jest Panie, a czem ja jestem! Nic bowiem nie posłużyło mi lepiej do po-

znania czem jestem i jak dalece w istocie niczegom nie wart, jak wpatrzenie się w nieskończoną i rozumem ludzkim nie objętą doskonałość; chociaż patrzałem na to zdaleka i przez grubą osłonę. Pan raczył mi objawić, jak jest wielkim i czułem, że każde stworzenie wobec Boga jest jakby nicością. Gdym się w tem zapatrywaniu zatapiał, raczył On rozkazać, abym Mu za wszystkie dobrodziejstwa cośkolwiek zaofiarował. Odpowiedziałem, że ubóstwo moje jest tak wielkie, iż wyjąwszy habitu, nic na świecie nie posiadam, jak tylko ciało i duszę, które już dawno złożyłem Mu w ofierze. Lecz Pan nakazał mi powtórnie, abym Mu zaofiarował to, co jest w mojem zanadrzu, i oto z wielkiem podziwieniem znalazłem tam piękną sztukę złota, takich monet wydobyłem trzy i te zaofiarowałem.

Wtedy Pan dał mi do zrozumienia, że te trzy sztuki złota, przedstawiały trzy rodzaje życia, wprowadzone przezemnie w trzy zakony, które kazał mi założyć. A także, że one wyobrażały trzy śluby: ubóstwa, posłuszeństwa i czystości. W ten więc sposób wytłumaczywszy bratu Leonowi to cudowne widzenie, kazał mu mąż święty odejść do jego chatki i polecił, aby odtąd nie śledził tak ciekawie co się z nim dzieje, gdy z Panem Bogiem rozmawia.

W wigilią święta podwyższenia Krzyża św. stanął przed nim anioł, jak to sam później Franciszek opowiadał niektórym braciom i oznajmił mu w imieniu Boga, aby był gotów na wszystko, co Panu Bogu spodoba się w nim uczynić. „Gotów jestem na wszystko, powiedział święty, i spełnię wszelkie rozkazy Jego świętej woli, byle raczył wspierać mnie łaską Swoją.

„Gdy tedy Franciszek uczuciem seraficznej miłości przejęty, wnosił się duszą do Boga, w święto podwyższenia Krzyża Pańskiego, nad rankiem trwając na modlitwie, ujrzał Serafina o sześciu skrzydłach z wysokości nieba zstępującego. Skoro zaś nadleciał na miejsce, gdzie był mąż Boży, okazała się pomiędzy skrzydłami jego postać człowieka ukrzyżowanego, ręce i nogi mającego wyciągnięte i do krzyża przybite. Dwa skrzydła nad głową jego rozwinięte były do lotu, a dwa całe ciało pokrywały. Widząc to zdumiał się mąż święty niezmiernie, a uczucie smutku zmięszanego z wielką pociechą, serce jego zalało. Cieszył się wprawdzie obecnością Jezusa Chrystusa najłaskawiej na niego spoglądającego, ale bolesny obraz Ukrzyżowania przejmował go niezmierną litością, która dusze jego, jakby mieczem przeszywała. Zrozumiał sługa Boży, że taki rodzaj widzenia był mu zesłany, aby poznał, że nie przez męczeństwo ciała, lecz przez rozpalenie miłością duszy, miał być całkowicie przekształcony na doskonałe podobieństwo Chrystusa ukrzyżowanego. „Widzenie znikło, przedziwne pozostawiając w sercu jego uczucie, lecz i na ciele niemniej cudowne wyciskając ślady. Ręce i nogi jego okazały się w samym środku gwoździami przeszyte, z których to gwoździ główki w środku dłoni i u wierzchu stóp widzieć można było, ostre zaś ich końce po stronach przeciwnych. Wierzchy gwoździ były okrągłe i ciemnego koloru, a kończyny ich długie, zakrzywione. Prawy zaś bok był jakby włócznią przebity, w którym znajdowała się zaczerwieniona rana, a z niej spływała krew, pozostawiając ślady na habicie.

Tak opowiada ten wielki cud św. Bonawentura, a św. Salezy pisząc o nim, w następujący sposób tłumaczy niejako, co się wtedy w duszy i na ciele Franciszka odbyło:

„Ten wielki sługa Boży, powiada on, ten Serafin ziemski, patrząc na żywy obraz Zbawcy swojego ukrzyżowanego, przedstawiający się mu w świetnym serafinie, przejęty został uczuciem litości wszelkie wyobrażenie przechodzącej. Uczuł w duszy ten miecz bolesny, który przeszył Przenajśw. pierś Matki Bożej w dniu Męki Pańskiej, a uczuł go tak silnie, jak gdyby razem z najdroższym Zbawcą swoim był ukrzyżowanym. I ztąd dusza jego prawie zupełnie roztopiona w tej miłosnej boleści, stała się niezmiernie zdolną do przyjęcia wrażeń i znamion miłości i cierpień tego niebieskiego Oblubieńca. Albowiem wyobraźnia z największem wytężeniem starała się przedstawić sobie rany i blizny, na które tak doskonale wyrażone w obrazie mu obecnym patrzały oczy; umysł odbierał wrażenia niezmiernie silne, które mu wyobraźnia dostarczała i nakoniec miłość wysilała całą potęgę woli; aby sobie upodobać w Męce Oblubieńca i z nią się zjednoczyć, tak że dusza jego prawie przekształciła się wtedy w drugiego ukrzyżowanego.

Serafin przybywając na pomoc, wypuścił promienie jasności tak przenikającej, że ona w rzeczywistości zadała mu zewnętrznie rany Ukrzyżowanego na ciele, które miłość wycisnęła wewnątrz na duszy jego.“

Wszakże pomimo tego wyrażenia, jakiego tu używa św. Salezy, nie trzeba wcale wnosić, aby święty rany otrzymał od anioła. W tem bowiem widzeniu sam Pan Jezus ukrzyżowany objawił się mu w postaci serafina i Sam w rękach i nogach jego, jakoteż i w boku prawym zadał cudowne blizny. Wadyng, idąc za zdaniem wszystkich życiopisarzy św. Franciszka, powiada: „Sprawcą tak wielkiej łaski nie był kto inny, jeno sam Chrystus.“

Zresztą i sam Franciszek, objawiwszy się już po śmierci jednemu z bardzo świątobliwych braci, oświadczył: „Jak Chrystus na krzyżu otrzymał rany, tak błogosławionemi rękoma swojemi na ciele mojem je wycisnął: najprzód na rękach, potem na nogach i nareszcie na boku, a wszystko z najgwałtowniejszą męką ciała.“

Co do rodzaju tych znamion cudownych, piszą najpoważniejsi współcześni kronikarze, a naoczni tego cudu świadkowie, że nie były to tylko blizny

zagojone, lecz otwarte i głębokie rany. Dla tamowania krwi, codziennie potrzeba było obwiązywać je, zmieniając bandaże krwią przesiąkłe, jak o tem wyraźnie mówi brat Leon, któremu dano było najczęściej je opatrywać, albowiem pomiędzy owe cudowne gwoździe, a zranione około nich ciało, zakładano nowe szarpie, dla powstrzymania krwi odpływu i łagodzenia bólu. We czwartki wieczór tylko i przez wszystkie piątki nie pozwalał na to błogosławiony ojciec, aby w tym dniu, w świętych bliznach swoich czuł cięższe bóle ukrzyżowanego. Z rany w boku będącej także krew się sączyła, a szczególnie w piątki. Braciom niekiedy udawało się zebrać cokolwiek tej krwi świętej, którą z wielką czcią we flaszeczkach przechowywano.

To także w ranach tych było zadziwiającem i właśnie główną różnicę stanowiło cudownych stygmatów św. Franciszka ze znamionami niektórych innych świętych, że w środku dłoni i stóp, wewnątrz ran sterczały gwoździe, do żelaznych zupełnie podobne, ciemnego koloru, twarde, mocne, z główkami na wierzchu, a zaostrzone od spodu, „których wątek czyli materia (jak się wyraża papież Aleksander w bulli swojej) z własnego jego ciała wyrosła, albo umyślnie przez Boga stworzoną została.“ Gwoździ tych ostrza były zgięta, można było je w tę lub ową stronę łatwo poruszać, lecz wydobyć się niedawały, jak tego doświadczyła św. Klara która po śmierci męża Bożego, napróżno usiłowała jeden z tych gwoździ cudownych na relikwię wyjąć. Nie przeszkadzały atoli świętemu chodzić, chociaż w podeszwach tkwiące ostrza, przy stąpaniu zadawały mu niemałe cierpienie. Nakoniec i to szczególnem było, że przez całe dwa lata, które żył jeszcze Franciszek, rany te nie leczone, nietylko zepsutej woni nie wydawały, lecz owszem wychodził z nich przecudny zapach. I nakoniec, czyż nie było cudownem, że przy pięciu tych ranach, ciągle otwartych i ciągle krwawiących, mąż Boży żył jeszcze tak długo.

Zdaje się, że wówczas ułożył święty tę przecudną modlitwę, godną ust serafinów, którą lubił często powtarzać, a która wypłynęła z serca jego, przepełnionego tą seraficką miłością, którą pałała dusza jego. Oto jest ten prześliczny, a najgorętszy, jaki być może akt miłości Boga, w szczególny sposób polecany przez św. Alfonsa Liguorego: *Niech siła miłości Twojej o! Jezu mój, ogarnie duszę moją: abym umarł dla miłości Twojej miłości, któryś raczył umrzeć dla miłości mojej miłości.*

Św. Franciszek i dusze czyścowe. — Św. Franciszek apostołując niezmordowanie ciężko zapada na zdrowiu i wzrok utraca.

Św. Franciszek po otrzymaniu cudownych blizn, wahał się czy ukryć to przed ludźmi, czy oznajmić o łasce doznanej. Rany były tak widoczne, iż przed Braćmi nie sposób byłoby prawdy zataić. Zawołał więc kilku z nich i nie wyjawiając o co rzecz idzie, tylko w ogólności przedstawiwszy wątpliwość, czy lepiej jest szczególne łaski Boże ukrywać, czy lepiej je wyjawić, spytał ich o zdanie. Obecny temu brat Illuminat, rzekł: „Ojcze mój, pamiętaj, że nietylko dla siebie samego lecz i dla drugich objawia ci Pan Bóg niekiedy swoje tajemnice.“ Opowiedział więc święty o cudownem objawieniu się mu Pana Jezusa w postaci serafina, i że otrzymał cudowne blizny. Lecz co się tyczy tego, co mu wtedy powiedział Pan Jezus, oznajmił, że o tem nie prędzej, aż po jego śmierci się dowiedzą.

Jakoż po zejściu św. Patryarchy jeden z bardzo świątobliwych braci, pomnąc na to, gorąco się modlił, aby mu on objawił co usłyszał od Pana Jezusa na górze Alwernii. Nie prędko, bo aż po ośmiu latach wytrwałej modlitwy, ukazał się bratu temu Franciszek i tak do niego przemówił: „Kiedy na górze Alwernii Zbawiciel wyrył na ciele mojem cudowne blizny, w te słowa raczył odezwać się do mnie: „Abyś się stał noszącym chorągiew Zbawiciela, obdarzyłem cię znamionami męki mojej. A jak w dniu mojej śmierci zstąpiłem do otchłani i mocą ran Moich wybawiłem wszystkie dusze tam zatrzymane, tak i tobie udzielam tego przywileju, że w każdą rocznicę twojej śmierci zstąpisz do czyśca, wybawisz z niego dusze wszystkich, należących do trzech zakonów przez ciebie założonych, a nawet i tych, którzy na świecie żyjąc, do ciebie mieć będą szczególne nabożeństwo, i sam wprowadzisz je do raju.“

Chociaż Franciszek idąc za radą brata Illuminata, zwierzył się niektórym braciom z cudownej łaski, której ślady na sobie ciągle nosił, starał się jednak ile możności ukrywać święte znamiona, miał ręce owinięte tak, że blizn i gwoździ widzieć nie można było i nosił obuwie pokrywające mu stopy. W klasztorze Sióstr-ubogich w Assyżu przechowywano do niedawnych czasów ten rodzaj obuwia, który św. Klara własnemi rękami przyrządziła dla swojego ojca duchownego. Było zaś ono w ten sposób uszyte, że z wierzchu przykrywało zupełnie blizny i gwoździe.

Pomimo pilności, z jaką pokora Franciszka ukrywała przed drugimi ten ciągły cud w jego ciele objawiający się, nie mógł się on utaić. Święty zmuszony był nieraz ukazać swoje blizny i pozwolić dotknąć się ich wielu osobom świątobliwym i wysoko w godnościach kościelnych postawionym. Po błogosławionem zaś przejściu duszy jego do nieba cały Assyż i wielka liczba zgromadzonego ludu, oglądała te święte znamiona, dotykała ich i ze czcią całowała. Kilku papieży powydawało bulle, ogłaszające cudowny przywilej Franciszka, dla poskromienia tych, którzy powątpiewali. Aleksander IV

w kazaniu, jako też i w bulli w tym celu wydanej, oświadczył uroczyście, iż własnemi oczyma je widział i własnemi rękami dotykał. Św. Bonawentura, wtedy żyjący, utrzymywał, iż dowody jakiemi poparta była rzeczywistość tego cudownego daru, były tego rodzaju, iż najmniejszego cienia wątpliwości nie pozostawiały. Nakoniec papieże Benedykt XI, Sykstus IV i Sykstus V jakby ukanonizowali blizny św. Franciszka, ustanawiając osobne święto na pamiątkę tego cudu, o którym odmawia pacierze i odprawia msze św. w całym Kościele tak zakonne jak świeckie duchowieństwo.

Tymczasem Pan Bóg chcąc, aby ten wielki sługa Jego, wzbogacił się i w te najwyższe zasługi które nabyć się mogą tylko przez cierpliwość, zesłał na niego kilka razem chorób tak ciężkich, że cierpiał nieustannie, skóra pokrywała tylko kości, gdyż ciała już prawie zupełnie na nim nie było. Kiedy zaś najcięższych doznawał cierpień, radując się z nich na duchu, nie cierpieniami lecz *najmilszemi siostrami* je nazywał.

Pomiędzy dolegliwościami, jakiemi upodobało się Bogu uświęcać tego wybrańca Swego, niemałą było i cierpienie oczów, grożące zupełną utratą wzroku. Pomimo tego święty miewał kazania, w których już prawie o niczem innem nie mówił jak o miłości, jaką nam objawił Syn Boży, i często wołał:

„Miłość moja ukrzyżowaną została!“ A te słowa jego w najwyższem uniesieniu ducha kilka razy powtórzone, tłumy słuchaczów do skruchy przywodziły i największych grzeszników nawracały.

Odbywał zaś misje z takiem nieoszczędzaniem sił własnych, że zdarzało się, iż w jednym dniu pięć i sześć miasteczek lub wiosek przebiegał; miewając kazania. Lud wszędzie tłumnie się gromadził dla uczczenia i podziwiania w nim ciągłego cudu, tak w obrazie żywego Ukrzyżowanego, którego na sobie przedstawiał, jak i w tej sile nadprzyrodzonej, która mu dozwalała takie dla pożytku dusz ponosić trudy, na jakieby i najzdrowsi niełatwo zdobyć się mogli.

Lecz nareszcie, chociaż w nim duch według wyrażenia Pisma Bożego *odnawiał się jak młodość orłowa* (Psalm 102, 5), zewnętrzna jednak powłoka jego coraz więcej słabła. Zwiększał się ból oczu, obok tego inne choroby się wzmogły i pomimo najżywszej chęci nieustawania w zawodzie apostolskim, stało się mu już niemożliwem miewać kazania. Jednak, chociaż bracia na to nalegali, nie chciał się uciec do środków lekarskich.

Brat Eliasz otaczał go w chorobie wielką troskliwością. Prosił go tedy najusilniej. aby się poddał leczeniu i żeby go do tego skłonić, przytaczał mu te słowa Pisma Bożego: *Najwyższy stworzył lekarstwa z ziemi, a człowiek mądry nie będzie się niemi brzydził* (Ekl. 39, 4). Kardynał Hugolin nalegał na to usilnie, i ostrzegał go, że zaniedbanie ratowania zdrowia, może wcale nie być właściwe doskonałości chrześcijańskiej, a przeciwnie lekceważenie sobie życia, bardzo bliskie jest grzechu.

Święty tedy poddał się ich woli. Z rozporządzenia kardynała urządzono mu ubogą chatkę blisko klasztoru św. Damiana i tam go zaniesiono. Wybrano zaś to miejsce, aby chory mógł mieć przepisany przez lekarza posiłek, przyrządzany w klasztorze Sióstr-ubogich, gdzie św. Klara i inne zakonnice najtroskliwiej i najlepiej zająć się tem mogły.

W chatce tej przebywał święty półtora miesiąca, mając ciągle przy sobie braci: Maseusza, Rufina, Leona i Anioła z Riety. Silne zapalenie oczów sprawiały mu wielkie cierpienia, tak, że przez cały ten czas prawie oka nie zmrużył.

Nocy jednej w te słowa zaczął modlić się, prosząc Boga o łaskę cierpliwości:

— Panie Boże mój wejrzyj na mnie litościwie. Daj mi łaskę cierpliwego znoszenia wszystkich moich chorób.

Poczem usłyszał następujący głos z nieba:

— Franciszku, jaką cenę naznaczyć można temu, za co się otrzymuje królestwo nie mające ceny? Wiedz o tem, że cierpienia, których doznajesz, droższe są nad wszystkie skarby ziemskie, i że nie godziłoby się oddać je za świat cały, chociażby wszystkie góry jego zmieniły się w złoto najczystsze, wszystkie w nim kamienie w djamenty, a wszystkie wody i morza w balsam najkosztowniejszy.

— Tak jest Panie — odpowiedział na to święty – tak i ja sam oceniam cierpienia, które na mnie zsyłasz; wiem że chcesz, aby one będąc tu na ziemi karą za moje grzechy, wyjednały mi na wieki Twoje przebaczenie.

— Raduj się przeto — odezwał się znowu ów głos niebieski—po tej bowiem drodze, na której ty jesteś, idzie się do nieba.

Cudowną tą rozmową przedziwnie na duszy pokrzepiony mąż Boży, przypomniał sobie, że i jego ukochana córka duchowna Klara, już wtedy i sama często na zdrowiu zapadająca, potrzebowałaby podobnego rodzaju zachęty do zamiłowania wszelkich cierpień. Posłał więc po nią, a gdy przyszła, Franciszek jeszcze pod wpływem rozmowy, jaką dopiero co miał z Panem Bogiem, o rzeczach duchownych długo z nią rozmawiał. W najżywszych wyrazach przedstawiał nieskończoną dobroć Boga dla ludzi, gdy z rozporządzenia Opatrzności, ciężkie przypadają na nas chwile, i zachęcał ją do zamiłowania wszelkiego rodzaju krzyżów.

Po odejściu Klary, przyniesiono Franciszkowi obiad, do którego zasiadł z braćmi. Po pierwszej

łyżce posiłku, święty wzniósł oczy do nieba i wielkim głosem zawołał:

— Błogosławionym, wychwalonym i wywyższonym niech będzie Pan—i wpadłszy w zachwycenie, nieporuszony przez całą godzinę w tym stanie przetrwał. Była zaś to chwila, w której Franciszek otrzymał jedną z największych łask, jakiej mało kto nawet ze Świętych Pańskich dostąpił, gdyż objawił mu Pan Bóg, że Królestwo niebieskie niechybnie go czeka.

Najtroskliwsze starania, jakiemi otaczali Franciszka bracia i św. Klara, żadnej nie przynosiły zdrowiu jego ulgi. Przeto br. Eliasz, z polecenia lekarzy, kazał go zanieść do Folignio, gdzie powietrze było łagodniejsze i chorym zwykle zalecane. I w istocie doznał tam chory niejakiego polepszenia, a czując się nieco zdrowszym, postanowił wrócić do klasztoru P. M. Anielskiej, gdyż bracia tam mieszkający bardzo sobie tego życzyli. Przytem i sam Franciszek chciał być w klasztorze, aby wspólne ćwiczenia zakonne odbywać, a słowem swojem i przykładem, braci w służbie Bożej utwierdzać. Przy końcu jesieni, zajął swoją ubogą celkę przy Porciunkuli, a już tak pozbawiony wzroku, że bez prowadzącego go brata nie mógł chodzić.

Ostatnie chwile św. Franciszka i śmierć błogosławiona.

Coraz gorszy stan zdrowia Franciszka, skłonił kardynała Hugolina przenieść go do miasta Rieti, gdzie się znajdowało podówczas kilku biegłych lekarzy i sławny okulista. Święty zgodził się na to, starania lekarza przyniosły mu ulgę, a bolesna operacja przepalenia ciała nad oczyma, znacznie wzrok poprawiła. Święty wnet skorzystał z tego i udał się na misję, krążąc po różnych miejscowościach. Trudno wypowiedzieć, jak zbawienne skutki sprowadzały jego przemowy, chociaż niekiedy z powodu wielkiego osłabienia i znużenia, zaledwie na słów kilka zdobyć się był w stanie. Przytem jak zwykle, licznemi cudami uświetniał Pan Bóg posłannictwo wielkiego Swego Apostoła. Podczas tej to wycieczki, Franciszek uzdrawiając cudownie śmiertelnie chore dziecię, przygotował w niem jeden z najświetniejszych filarów Kościoła i ozdobę swego zakonu. Był nim św. Bonawentura, później brat mniejszy, biskup, kardynał i Doktór Kościoła.

Franciszek, który, nie oglądając się na stan swojego zdrowia, wziął się był do zwykłej pracy, zapadł znowu gorzej. Pojawiła się na nogach jego puchlina, szybko się szerzyć dalej zaczęła, a święty coraz bardziej upadał na siłach. Zaniechał przeto dalszej swojej apostolskiej wycieczki i wracać musiał do Porciunkuli.

Wszyscy mieszkańcy wyszli na jego spotkanie. Zasmucili się bardzo widząc go ciężko chorym; lecz uszczęśliwieni, iż go odzyskują wśród siebie, witali go z oznakami najgłębszej czci i miłości. Biskup przysłał do niego z żądaniem, aby się nie udawał zaraz do klasztoru Porciunkuli, ale jakiś czas zamieszkał w jego pałacu, chciał bowiem jak największą otoczyć go tam troskliwością. Musiał więc Franciszek uledz woli swego pasterza.

W mieszkaniu tem zabawił około trzech miesięcy. Jednak ani największa troskliwość, ani pomoc biegłych lekarzy, nie przyniosły ulgi w jego cierpieniach. Znajdując się blisko klasztoru P. M. Anielskiej wszystkiem, jak zwykle, zarządzał, nie oszczędzając się wcale, a budując braci naukami oraz niezachwianą cierpliwością.

Nakoniec otrzymał objawienie, że już się zbliża chwila jego śmierci i o tem wyraźnie oznajmił braciom, mówiąc słowami św. Piotra Apostoła: *Pewnym jestem, iż prędkie jest złożenie przybytku ciała mojego* (2 Piotr 1, 14). Czując się bardzo osłabionym przywołał braci do siebie, pobłogosławił i uczyniwszy znak krzyża nad niewielkim bochenkiem chleba, rozdzielił go po kawałku, aby go spożyli wspólnie z nim na znak jedności, zgody i miłości braterskiej. Każdy też z nich uczynił to z wielką pobożnością.

Dnia następnego, gdy Franciszek poznał, że już nadchodzi chwila jego zgonu, kazał aby go położono na ziemi i zdjęto z niego habit, a lewą ręką przykrywszy bliznę, w boku będącą, rzekł: „Uczyniłem co do mnie należy, a proszę Pana Jezusa, aby wam wskazał, co wam uczynić wypada.“

Gwardyan, domyślając się o co idzie świętemu, wziął habit i pas, a podając mu powiedział:

— Ponieważ tak ubogim jesteś, że nic zgoła nie masz, więc oto jest habit, który ci pożyczamy, a ty przywdziej go ze świętego posłuszeństwa.

Ucieszyło to bardzo męża Bożego, gdyż jak powiada św. Bonawentura, dochowywał tym sposobem zaprzysiężone Panu Jezusowi ubóstwo aż do końca, i z miłości ku niemu wyrzekłszy się wszystkiego, umierał ubogim jak Chrystus, gdy na krzyżu skonał.

Mąż Boży powiedział do brata Leona, swego spowiednika, że już czas, aby udzielił mu ostatnich Sakramentów św. i te przyjął ze zwykłym w takich razach, uroczyście odbywającym się obrzędem w zakonach. Potem prosił braci, aby gdy skona zostawili go leżącego na ziemi mniej więcej tak długo, jak Chrystus pozostawał na krzyżu, a także przykazał, aby ciało jego pogrzebiono za miastem, w miejscu, gdzie tracono zbrodniarzy, zwanem „wzgórzem piekielnem.“ W ostatnich chwilach długo jeszcze przemawiał, zachęcając do wiernego wytrwania w świętem powołaniu. Następnie polecał im, aby nie mieli innej troski, jak dążenie do coraz wyższej doskonałości; przypominał, że wierne

zachowanie Ewangelji jest podstawą ich zakonu, a więc, że do tego wszystkiego czynami swojemi zdążać zawsze powinni.

Chciał jeszcze w tak uroczystej chwili nietylko do braci obecnych przemówić, lecz i do wszystkich, odezwać się, którzy po nich do końca świata w tym zakonie znajdować się będą. Kazał tedy usiąść przy sobie bratu Aniołowi i podyktował mu swój testament duchowy, w którym streścił niejako i wyłożył całą regułę, nadaną przez niego Braciom-mniejszym i w najsilniejszych, a najtkliwszych wyrazach, polecił wierne zachowanie.

Pozostawiwszy na piśmie swoją ostatnią wolę, święty poprosił braci Leona i Anioła, aby mu raz jeszcze odśpiewali hymn jego do słońca. Gdy pilnie go słuchał zdawało się, że chwilami wpadał w zachwycenie.

Po ukończeuiu tej pieśni, słysząc niektórych braci głośno płaczących, podniósł ręce i wyciągając je złożone na krzyż, udzielił raz jeszcze wszystkim obecnym i nieobecnym ostatnie już błogosławieństwo, kończąc je temi słowy:

— Żegnam was dziatki moje, żegnam was wszystkich, pozostańcie w świętej bojaźni Bożej i trwajcie w niej na zawsze. Czas próby i utrapienia zbliża się: błogosławieni, którzy do końca wytrwają w dobrem. Co do mnie idę do Boga z wielkiem upragnieniem, a wszystkich was polecam łasce Jego.

Zażądał, aby mu odczytano z Ewangelji, św. Jana szczegóły Męki Pańskiej, zaczynające się od słów: „*Przed dniem świętym Paschy.*“ Poczem sam zaczął głosem już bardzo osłabionym i przerywanym, ale wyraźnym Psalm 141 zaczynający się od słów „*Głosem moim do Pana wołałem.*“ A gdy wymówił bardzo już zcicha ostatni wiersz jego: „*Mnie oczekują sprawiedliwi, aż mnie zapłacisz*“, rozłożył ręce świętemi bliznami naznaczone, wzniósł oczy w górę; wydobył z piersi silne i głębokie tchnienie, w tejże chwili dusza jego już w niebie odśpiewała słowa po każdym psalmie odmawiane: „*Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Swiętemu, teraz i zawsze i na wieki wieków.* Był to dzień sobotni i miało się ku wieczorowi, 4 października r. 1226. Umarł św. Patryarcha mając lat 45, kiedy zakon jego już 18 lat liczył istnienia.

Objawienia.—Pogrzeb św. Franciszka.

Św. Bonawentura przytacza kilka objawień, zaszłych zaraz po śmierci Franciszka, dowodzących, że dusza jego niezwłocznie dostąpiła chwały niebieskiej. Jeden z Braci mniejszych Jakób z Lodi, zakonnik wysokiej świątobliwości, a po śmierci cudami słynący, ujrzał błogosławioną duszę Patryarchy w kształcie jasnej gwiazdy, unoszącą się prosto do nieba.

Św. Franciszek z Assyżu umierający przeniesiony do kościoła Najśw. Panny Anielskiej.

Benouville. Muzeum Luvru w Paryżu

Augustyn z Assyżu, prowincjał neapolitański, kapłan świątobliwy, był wtedy śmiertelnie chorym. Stracił już był mowę, kiedy niespodzianie, a było to właśnie kiedy Franciszek Bogu ducha oddawał, zawołał: „Poczekaj na mnie, ojcze, poczekaj, pójdę razem z tobą.“ Zadziwieni tem bracia, spytali coby to znaczyło, a on odpowiedział: „Czyż nie widzicie ojca naszego Franciszka, idącego do Nieba?“ I w tejże chwili dusza jego wyszła z ciała i poszła, jak wnosić można, za duszą błogosławionego ojca.

Biskup Assyżki w tym czasie odbywał pielgrzymkę do kościoła św. Michała Archanioła na górze Gorgońskiej. Tam objawił się mu Franciszek i rzekł: „Opuszczam świat i idę do Nieba.“ Biskup wróciwszy do Assyżu przekonał się, że mu się objawił właśnie w chwili gdy konał.

Po przejściu błogosławionej duszy do nieba, bracia stosując się do jego polecenia, pozostawili na czas pewien ciało jego na ziemi, poczem owinęli w całun, przywieziony z Rzymu.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Oblicze świętego, za życia bardzo blade, było po śmierci lekko zarumienione. Rysy twarzy jeszcze dobitniej wyrażały słodycz, dobroć, łagodność i tę miłość, która przepełniała jego serce.

Na nadzwyczajnej białości skórze silnie odbijały w rękach i nogach gwoździe, mocą Boską cudownie wyrobione, wyglądające, jakby twarde nerwy tak w ranach tkwiące, że gdy się ich naciskało z jednej strony, wychodziły one w drugą. Blizna w boku podobna do rany Chrystusa Pana, z której wytrysnęło nasze zbawienie; miała kolor mocno czerwony, słowem ciało wyglądało, jakby tylko co z krzyża zdjęte, przedstawiając w najżywszym obrazie ukrzyżowanie Baranka Bożego, który zgładził grzechy świata.

Skoro rozeszła się wieść o zgonie świętego, i dowiedziano się, że blizny już teraz wszyscy oglądać mogą, lud zbiegł się tłumnie do Porciunkuli. Wielu mieszkańcom Assyżu dozwolono zbliżyć się do ciała świętego i ucałować rany. Jeden z nich nazwiskiem Hieronim, ze stanu rycerskiego, człowiek bardzo uczony, a który dotąd gdy o tym cudzie wspomniano nie dawał mu wiary,—w obec braci i wielu świeckich osób przypatrywał się świętym bliznom Franciszka z wielką ciekawością, a nawet dotykał ich, poruszał w nich te cudowne nerwy, które gwoździe wyobrażały. W końcu też tak przekonał się o ich prawdziwości, że później przed biskupami którzy zbierali o tem świadectwa, stwierdził przysięgą ich rzeczywistość. Podobny w tem do Tomasza Apostoła, który z niedowierzającego stał się wierzącym dotykając ran Zbawiciela.

Przez całą noc następną przy ciele błogosławionego ojca, bracia śpiewali psalmy i hymny.

Nazajutrz rano mieszkańcy Assyżu zgromadzili się z całem duchowieństwem do Porciunkuli, gdzie ciało Franciszka leżało, i przy uroczystych śpiewach i trąbach wojennych z największą czcią ponieśli je do Assyżu. Wszyscy mieli w rękach gałązki świeże i łącząc się ze śpiewem duchowieństwa, postępowali procesjonalnie. Przybywszy zaś do miasta złożyli i pogrzebali ciało w kościele ś-go Jerzego. Przy tym kościele pobierał Franciszek nauki w młodości i w nim miał pierwsze kazanie.

Kanonizacja św. Franciszka.

Honorjusz III, za którego papiestwa umarł święty Franciszek niedługo żył po nim. Zeszedł z tego świata 1227 r., po nim wyniesiony został na stolicę Apostolską kardynał Hugolin, któremu Franciszek na lat kilka przedtem przepowiedział, że papieżem zostanie. Zasiadłszy na Stolicy Apostolskiej, w swoje miejsce zamianował na protektora zakonu Braci-mniejszych kardynała Rajnalda, swojego siostrzeńca, sam też najtroskliwiej opiekował się zakonem i przewodniczył osobiście kapitule Braci-mniejszych, zgromadzonej tegoż roku w Rzymie, dla obrania nowego jenerała, którym został wtedy brat Eljasz.

Po zatwierdzeniu przez papieża tego wyboru, kapituła niezwłocznie zaniosła do niego prośbę o przystąpienie do kanonizacji ich patryarchy, którego świętość stwierdziła już bardzo wielka liczba cudów.

Papież przyrzekł zająć się tem gorliwie, jakoż zaraz w roku następnym 1228, sam zjechał do Assyżu w celu rozpoczęcia kanonizacji patryarchy Braci-mniejszych. Niezwłocznie udał się do kościoła św. Jerzego i tam przy grobie Franciszka długo się modlił.

Przystąpiono zaraz do rozpatrzenia cudów pośmiertnych; co wkrótce załatwionem zostało, gdyż bardzo znaczną liczbę świadków dostarczyło same miasto i jego okolice.

Po wysłuchaniu ich i spisaniu zeznań, papież polecił rozpatrzenie takowych kardynałom nieprzychylnym tak prędkiemu kanonizowaniu sługi Bożego, a sam przez ten czas udał się do Peruzji. Tam odebrał sprawozdanie tychże kardynałów, które poddał pod rozstrzygnięcie wszystkich innych na konklawe zgromadzonych, gdy zaś jednogłośnie zgodzono się na kanonizowanie Franciszka, wrócił z dworem do Assyżu, gdzie wieść o tem zgromadziła wielką liczbę duchownych i ludu wiernego z bardzo odległych okolic.

Obrzęd kanonizacyi odbył się z nadzwyczajną uroczystością w pierwszą niedzielę lipca, w kościele św. Jerzego. Zagaił ją sam papież, mając z tronu przemowę, którą zaczął od tych słów Pisma Bożego, stosując je do Franciszka: *Jako gwiazda jutrzenna między mgłami, jako księżyc w pełni; jako słońce w dniu jasnym, tak on świecił w Kościele Bożym* (Ekl. 50, 67). Następnie kardynał Oktawian odczytał z ambony opis wielkiej liczby cudów po śmierci Franciszka za jego pośrednictwem zaszłych. Często wyrywały się z pomiędzy wiernych głosy tych, na których cud się spełnił, albo którzy takowego byli świadkami, a co oni publicznie stwierdzali. Nakoniec papież powstał na tronie i po krótkiej modlitwie wzniósłszy ręce i oczy do nieba, donośnym głosem oznajmił, że błog. O. Franciszek w poczet Świętych jest zaliczony i że święto jego obchodzić się ma 4-go października, jako w dniu jego śmierci.

Poczem kardynałowie wraz z braćmi zaczęli „Te Deum,“ który lud cały w uniesieniu radości odśpiewał.

Gdy ta wielka uroczystość ukończyła się, papież, otoczony kardynałami i wielu znakomitemi panami, przybyłymi wtedy do Assyżu, udał się do podziemnych katakumb, gdzie były zwłoki świętego. Tam uklęknąwszy, ucałował trumnę i kazał odsło-

nić wieko, aby sam i ci, co go otaczali, mieli pociechę przypatrzenia się cudownym bliznom na ciele Franciszka, które znaleziono tak świeże jakby tylko co pochowane, i przedziwny zapach wydające.

Przeniesienie ciała św. Franciszka do Bazyliki, wzniesionej przez papieża Grzegorza IX. Odsłonięcie ich w roku 1820.

Tenże Ojciec św. nakazał bratu Eljaszowi, jako generalnemu przełożonemu Braci mniejszych, obrać w Assyżu miejsce najpiękniejsze na wspaniały kościół, aby w nim umieścić zwłoki św. Franciszka. Rada miejska, zadość czyniąc woli wszystkich mieszkańców, oświadczyła, iż ofiaruje na ten cel plac, jaki będzie wybrany.

Pokazało się, że najpiękniejszem w całem mieście miejscem było wzgórze, na którem tracono zbrodniarzy, a gdy dowiedziano się, że święty przed samą śmiercią objawił wolę swoją, aby tam był pochowanym, odniesiono się z tem do papieża, który jeszcze znajdował się w Assyżu. Ten stosując się do woli Franciszka, nakazał, aby tam budowano kościół. Miejsce to kazał nazywać odtąd *wzgórzem rajskiem.*

Niezwłocznie przystąpiono do zakładania fundamentów, w których pierwszy kamień położył sam Grzegorz IX.

Kościół ten, ukończony został w roku 1230 i zaraz przeniesienie zwłok nastąpiło uroczyście w wigilję Zesłania Ducha św., która w tym roku przypadała 25 maja, a przy niej zaszło zdarzenie, które na kilka wieków potem, jakby zatarło ślady, gdzie w istocie złożone są zwłoki św. Franciszka.

Rozeszła się była wieść, że mieszkańcy innych okolic, mieli zamiar napaść na orszak i siłą zdobyć święte zwłoki. Z tego powodu władza assyzka wystąpiła z siłą zbrojną i nią otoczyła trumnę, gdy ją niesiono. W ciągu procesji, wszczął się jakiś hałas i nieład; przypuszczając, że to był już napad, o którym mowa, kilku assyżanów z bratem Eljaszem i zakonnikami porwali trumnę i tak prędko zanieśli ją do nowo wybudowanego kościoła i wnet zamurowali, że mało kto wiedział, w jakiem w istocie miejscu święte ciało złożone zostało. Niektórzy zaś najdawniejsi pisarze przypuszczają, że wszystko to ułożył był w ten sposób umyślnie brat Eljasz, aby ukrywszy miejsce, gdzie spoczywały relikwie, zabezpieczyć się na zawsze od tych, którzyby chcieli je wykraść.

W roku 1235 przybył Grzegorz IX do Assyżu i 25 kwietnia sam poświęcił kościół nad grobem Franciszka wzniesiony. A nakoniec, gdy w lat potem ośm, stanął i drugi kościół na wierzchu poprzedniego wybudowany, poświęcił go zasiadający podówczas na stolicy Apostolskiej Innocenty IV i nadał mu przywileje bazylik rzymskich, a klasztor przy nim będący, jako posiadający błogosławione zwłoki Franciszka, nazwany został: Klasztor Najświętszy.

Ponieważ różne były, a szczególnie w ostatnich już wiekach, mniemania co do miejsca, gdzie błogosławione zwłoki Franciszka w istocie spoczywają, chcąc tę wątpliwość rozwiązać, św. Pius V papież, nakazał w tej mierze różne poszukiwania, lecz były próżnemi. Aż nareszcie ponowione zostały w r. 1819 na prośby ojca de Boais, generała zakonu O.O. Franciszkanów, a z polecenia Piusa VII. Ponieważ papież zastrzegł, aby to czyniono w największej tajemnicy, więc po długiej i ciężkiej pracy, która zabrała pięćdziesiąt nocy, pod wielkim ołtarzem dolnego kościoła odkryto trumnę kamienną. Znaleziono ją silnemi klamrami żelaznemi wzdłuż i wszerz okutą, umieszczoną w ogromnego rozmiaru katakumbie wykutej w skale, do której otwór gęstą i silną kratą żelazną był obwarowany. Gdy to odsłoniono, nie ruszając nic dalej, wstrzymano roboty i posłano sprawozdanie papieżowi. Pius VII niezwłocznie polecił, aby biskup assyżki rzecz całą na miejscu zbadał, najdokładniejszy przeprowadził proces, dla przekonania się czy rzeczywiście w trumnie tej znajdują się zwłoki św. Franciszka i protokuły urzędowe sprawy tej przesłał mu do Rzymu.

Gdy to wszystko dopełniono i przekonano się, że znalezione zwłoki były ciałem św. Franciszka (a które przy otwarciu trumny złożonej przed 600 laty, przedziwny zapach wydały), kazał papież sprawozdanie najprzód podać do rozpatrzenia Kongregacji umyślnie aa to wyznaczonej. Następnie przysłane z Assyżu protokuły procesu i zdanie Kongregacji przejrzawszy, pod datą 5 września wydał dekret następujący:

„Błogosławiąc Boga Wszechmogącego, dawcę dobra wszelkiego, ożywieni nadzieją, że niespodziewane wynalezienie ciała św. Franciszka jest dla nas pełnym pociechy dowodem i nową rękojmią opieki i zbawiennego pośrednictwa, których ten wielki święty nie odmówi nam w ciężkich przejściach, w jakich się znajdujemy: z władzy Apostolskiej oświadczamy pismem niniejszem, że ciało świeżo wynalezione pod głównym ołtarzem dolnego kościoła w Assyżu, jest prawdziwie ciałem św. Franciszka, założyciela zakonu Braci mniejszych".

Postanowiono uczcić pamiątkę tak pożądanego dla wszystkich wiernych odkrycia i w tym celu, wielkim kosztem i z pracą niemałą, wykuto trzeci kościół podziemny, przedziwnej piękności, bogato przyozdobiony, mający kilka ołtarzy, z których główny umieszczony jest przy samej kracie, za którą widać trumnę św. Franciszka.

Franciszkanie w Polsce.

Franciszkanie do Polski sprowadzeni zostali około 1232 r., zatem w kilka lat po śmierci zakonodawcy. Przybyli do nas z Czech, gdzie mieli wielkie poważanie i już w r. 1232 — w Pradze powstał klasztor PP. Klarysek.

W Krakowie założył klasztor franciszkański król Bolesław Wstydliwy, a następnie ufundował drugi w Zawichoście.

Błog. Kunegunda, od chwili pojawienia się Franciszkanów w Polsce, szczególnemi względami i protekcją otoczyła ten zakon, który przytem blaskiem cnót swoich wysoce ozdobiła.

Prawdziwie apostolskie cnoty tych mężów pełnych poświęcenia przysporzyły zasług i chwały św. patryarchy assyzkiego. W odległych puszczach zakładali Franciszkanie skromne osady, na granicach ludów barbarzyńskich, aby łatwiej na nich oddziaływać.

Po 220 latach istnienia tego zakonu w naszym kraju, sprowadzono Bernardynów, n potem Kapucynów i Reformatów. Początkowo, za rządów papieża Grzegorza IX nastąpił podział zakonu na prowincje i Polska złączoną została z krajem Czeskim, dopiero piąty z rzędu prowincjał Bogusław, zmienił napis pieczęci i poczęto zwać odtąd nie czesko-polską, ale polsko-czeską prowincją. Papież Innocenty IV wysłał do Persji na opowiadanie Ewangelji Franciszkanów: Benedykta z Wielkopolski i Jana de Plano. Za niemi wielu innych zakonników naszych poszło do niewiernych. Dużo bardzo śmiercią męczeńską wśród dzikiej jeszcze Litwy poległo.

W r. 1513 na kapitule w Rzymie obecny Walenty z Krośna, został 33 z rzędu prowincjałem; urząd swój sprawował do 1517 r., a z nim ustało połączenie Czech z Polską w jednej prowincji. Rok więc rozdziału w Kościele, jaki Luter sprawił, jest zarazem datą odosobnienia się obojga narodów w stosunkach prowincji franciszkańskiej. Od tego czasu utworzoną została oddzielna prowincja polska, obejmująca Ruś i Litwę.

Kapituła kaliska w 1741 r. wydała rozporządzenie, aby w prowincji jedno obrane było miejsce na archiwum, aby wyznaczono archiwistę, a po klasztorach sekretarzy dla spisywania dziejów w czterech księgach. Z powodu niebezpieczeństw grożących wciąż Polsce, podczas najazdów nieprzyjaciół, pozwożono wszystkie bogatsze sprzęty kościelne do klasztorów kustodjalnych w Poznaniu, Krakowie, Chełmnie i Lublinie. Pomyślano i o bibljotekach, zalecając gwardjanom, aby co roku przynajmniej jedno cenne dzieło zakupili dla klasztoru.

Prowincjał Jan Kapistran Dutkiewicz radził z doświadczonymi Ojcami o podźwignięciu zakonu i zapobieżeniu ruinie wielu klasztorów; on też popierał gorąco w Rzymie sprawę beatyfikacji Rafała Chylińskiego. Na kapitule w Radomsku 1773 roku przypomniano sekretarzom klasztornym, aby pilniej czuwali nad aktami zakonu i spisywali ważniejsze wypadki. Mimo jednak często wznawianych podobnych ustaw, bardzo mało ważniejszych historycznych dokumentów zakon ten u nas przechować zdołał. Przyczyną tego były nieprzyjazne okoliczności, napady Tatarów, Krzyżaków, Szwedów, częste pożary, które nieraz niepowetowane przyczyniały straty.

Z imion pierwszych historyków zakonu Franciszkańskiego w Polsce, wymienić należy: Marcina Baronjusza, kleryka z Jarosławia. Stefan z Tarczyna, prowincjał (1645 r.), zajmował się historją zakonu; Konstanty Małęgowski (1680 r.) opisał klasztory i kościoły franciszkańskie. Marcin Kałowski pozostawił „Dzieje Franciszkańskie w Polsce“. Ostatnim wreszcie dziejopisem był ks. Bonawentura Makowski, który około r. 1764 z dawnych ksiąg i aktów pozbierał wiadomości i ułożył je w pewną całość, mającą wielką wartość historyczną. Oprócz wyżej wymienionych wiele jeszcze prac imiennych lub bezimiennych pozostawili Franciszkanie.

Jak dalece zakon franciszkański był u nas poważany świadczy to, że nawet głowy ukoronowane i dostojne osoby płci obojga miały sobie za szczęśaie przyjąć habit lub pasek św. Franciszka. I tak: Koloman król halicki, mąż błog. Salomei oraz matka jej Grzymisława należeli do Trzeciego Zakonu, Salomea zaś była Klaryską w Chełmnie (um. 1268 roku). Bolesław Wstydliwy również był tercjarzem, św. Kunegunda polska królowa i błog. Jolanta, jej siostra, należały do zakonu św. Klary, a Konstancja, trzecia ich siostra, a żona Leona, księcia ruskiego była tercjarką. Jadwiga, córka błog. Jolanty, żona Wład. Łokietka, została Klaryską w Sączu. Wiele by też jeszcze dostojnych osób w Polsce wymienić można było. które wyrzekłszy się świata, habit św. Franciszka przyjęły.

Zakon ten, apostołowaniu poświęcony. doznawał nieraz nienawiści i zemsty niewiernych lub heretyków. Wielu Franciszkanów naszych po różnych klasztorach poległo od Tatarów i tak np. Przemyśl, Krzemieniec, Zawichost, Kraków, Wilno, Kowno, oraz inne konwenty doznały mściwej ręki nieprzyjaciela. Najokropniej pastwili się nad zakonnikami Szwedzi. Akta zakonu i dzieje poszczególnych klasztorów opisują okrucieństwa, jakich od nich doświadczyły.

Zasługi dla Kościoła położone wyniosły wielu Franciszkanów do godności biskupiej. Historycy mówią, iż Franciszkanin, Krystyn Gozdawa około

r. 1361 został pierwszym biskupem halickim; bł. Jakób Strepa na tejże zasiadł stolicy; Jędrzej Jastrzębiec pierwszy biskup wileński (r. 1387), po nim Jan Plichta z tegoż zakonu, Anzelm, pierwszy biskup warmiński i wielu innych. Franciszkanie też naprzemian z Dominikanami bywali powoływani na biskupią stolicę w Multanach i na Wołoszczyźnie.

W Królestwie r. 1864 wszystkie klasztory franciszkańskie skasowano, a pozostał tylko jeden w Kaliszu.

Wizerunki i dzieła św. Franciszka.

Bardzo wielu artystów starało się odtworzyć postać św. Franciszka w rzeźbach i obrazach. Wspaniały obraz Giotta znajduje się w Luwrze (w Paryżu), przedstawiający: *Stygmatyzaeję św. Franciszka.* Często wyobrażają go przemawiającego do ptasząt; otrzymującego Dzieciątko Jezus z rąk Najśw. Panny;—w zachwyceniu, z rękoma splecionemi na trupiej czaszce; — z krucyfiksem w ręku; — klęczącego z Dzieciątkiem Jezus w ramionach; — rozdającego sznury franciszkańskie; z rękoma i nogami przebitemi gwoździami, obok niego zaś baranek, wyobrażający P. Jezusa lub też jako symbol słodyczy. Niekiedy widzimy św. patryarchę na obrazach w cudownem zachwyceniu, unoszonego w powietrze przez anioły; każącego wśród tłumu, lub w chwili zgonu w otoczeniu Braci.

Wiele dzieł św. Franciszka zachowało się, a w tych znajdują się traktaty, kazania, myśli oderwane i poezje, z których najwspanialszym jest *Hymn do słońca.*

Łukasz Wadding, historyk franciszkańskiego zakonu, wydał Dzieła św. Franciszka w 1628 r., a po nim nowe wydanie sporządził Jan de la Haye Mieszczą się w niem Epistoły; Nauki dla braci: Testament, Reguły zakonu, jedna w 23-ch, druga w 12-tu rozdziałach, przepowiednie, parabole, poezje i kazania.

Fioretti di San Francesco, to jest kwiatuszki św. Franciszka, zebrane zapewne przez jakiegoś Franciszkanina XIV w., stanowią wybór podań ludowych o świętym i zaliczone są do klasycznych wzorów piśmiennictwa włoskiego. Na francuski język przełożył je Ozanam. W polskim przekładzie *Legenda o zbójcach* w „Bibl. Warsz." 1887 i rozdz. III — XXV przekł. Wł. Kulczyckiego, oraz całość *Kwiatuszków* niedawno wyszła z druku.

Żywoty św. Franciszka pisali: Anioł Tankred, Leon z Assyżu i Rufin Sciffius, należący do pierwszych dwunastu towarzyszów Franciszka; opisał też jego żywot Tomasz de Celano, również jego towarzysz, pod tyt. *Życie i cuda św. Franciszka.* Najobszerniejszy żywot ułożył św. Bonawentura.

Dnia 15 Listopada.

ŚWIĘTA GERTRUDA

z zakonu świętego Benedykta.

1264 † 1334.

Za rządów papieża Benedykta XII, cesarza Niemieckiego: Ludwika V.

Ci, którzy szukają Pana przez swe dobre uczynki i żarliwość swych pragnień, otrzymują najwyższe łaski.
Św. Grzegorz Wielki.

Młodociana zakonnica.

Św. Gertruda, którą jej wiedza, miłość Boża i objawienia miały w następstwie uczynić sławną na świat cały i przynieść zaszczyt wielki zakonowi św. Benedykta, przyszła na świat około 1264 roku w Eisleben, w hrabstwie Mansfeld (Saksonja).

Zbawiciel obrawszy ją sobie dla uczynienia z niej jednej z najwierniejszych swych służebnic, od lat najmłodszych obdarzał ją niezwykłemi łaskami. Rodzice Gertrudy, hr. Hackelborn, zadość czyniąc świątobliwym jej pragnieniom, oddali ją pod opiekę Sióstr Benedyktynek w Rodersdorfie, dyecezji Hildescheim. Gertruda miała podówczas lat pięć. Była to niezwykłej pobożności dziecina, skromna, cicha, pokorna, Bogu całą duszą oddana. Pobierając nauki wśród zakonnic, zarówno w umiejętnościach ludzkich, jak i w znajomości rzeczy Bożych szybkie postępy czyniła.

Wkrótce spostrzeżono, że Gertruda obdarzoną jest nadzwyczajnemi zdolnościami i nie sprzeciwiano się jej zamiłowaniu w naukach; wyuczyła się więc bardzo biegle władać łaciną, oraz zagłębiać się w studjowanie natrudniejszych przedmiotów, chociaż te nie wchodziły w zakres wymaganej od zakonnic nauki. Doszedłszy do lat, z wielką ciekawością pochłaniała filozoficzne dzieła i w tym czasie żarliwość jej nieco się zmniejszyła. Wtedy to poraz pierwszy Zbawiciel ukazał się Gertrudzie we własnej postaci i wyma ał jej zobojętnienie; uczuła wyrzuty su-

mienia, że mogła chwilowo oddalić się od jedynego i najlepszego Mistrza i znienawidziła sama siebie, uważając się za istotę występną.

Odtąd przestała zagłębiać się w filozofję, a natomiast z wielkiem rozmiłowaniem czytała dzieła teologiczne, a zwłaszcza Pismo św., znajdując w niem skarby nieprzebrane.

Pomnażając się w leciech i w mądrości, światłością Bożą oświecona, tem mniejszą stawała się we własnych oczach i tem więcej wzgardy czuła dla siebie, im większe na nią z nieba spływały łaski

Objawienia i zachwycenia św. Gertrudy.

Gertruda, mając lat dwadzieścia, dostąpiła szczęścia, którego tylko najwięksi święci są godni, gdyż ukazał się jej Zbawiciel i objawił prawdy, których napróżnoby kto w księgach ludzkich szukał.

W wigilję Oczyszczenia Najśw. Panny, Gertruda została oświeconą przez Ducha św. otrzymując przedewszystkiem dar najwyższy pokory, zarazem czuła się tak zjednoczoną z Bogiem, że tej chwili zachwycenia nigdy w życiu zapomnieć nie była w stanie. W tym samym klasztorze znajdowała się jednocześnie św. Mechtylda, współzawodnicząca z Gertrudą w pobożnych ćwiczeniach i dążąca również drogą duchowego udoskonalenia.

Pewnego dnia ujrzała ona Syna Bożego na wzniesionym tronie, a Gertrudę, stojącą nieopodal, wpatrzoną w twarz Zbawiciela z największym zachwytem.

Mechtylda była niezmiernie zadziwiona tem widzeniem, a w tej chwili usłyszała głos Boży mówiący:

— Oto obraz życia służebnicy mej Gertrudy, stosującej się w każdym czynie do mojej woli. W ten sposób znajduje się w ustawicznem zachwyceniu i wszystko co czyni jest dla mojej chwały.

Istotnie Gertruda żyła tylko wyłącznie myślą o Bogu, zapominając najzupełniej o sobie, świątobliwość jej budziła podziw i działała bardzo budująco na całe otoczenie. Uważała siebie za przedmiot raczej, niż za osobę, doprowadzając w ten sposób pokorę do coraz wyższych granic, a za to dusza jej w ciągłem, serdecznem zostawała obcowaniu z Bogiem i częstych doświadczała zachwyceń.

Św. Gertruda i Eucharystja św.

Eucharystja św. była celem ciągłej adoracji czystej duszy świętej zakonnicy, pobudzając nieustannie jej żarliwość. Wszystkie swe uczynki ofiarowywała Bogu, myśląc wciąż o tem, aby dość godną być przystępowania codziennie do Pańskiego Stołu, a następnie składać dziękczynienia za otrzymaną łaskę Komunji św. Pewnego dnia, mając przystąpić do Komunji św., wydało się jej, że jest nie dość dobrze przygotowaną i czyniła sobie z tego powodu gorzkie wyrzuty.

— Jakże możesz iść na spotkanie Oblubieńca swego nie przystrojona w te zasługi, jakich On od ciebie żąda? mówiła sobie w duchu. Lepiej być może wstrzymać się dziś od Komunji?

Ale wnet potem wyrzucała sobie podobne myśli, a pełna zaufania w nieskończone miłosierdzie Boże odpowiedziała na swe wahania:

— Zaliż choćbym tysiąc lat się przygotowywała, mogę być istotnie godną łaski, jaką Zbawiciel obdarza mię, dopuszczając do pożywania Ciała Swego i Krwi Przenajświętszej? Po cóż więc ociągać się dłużej? Pójdę ku Niemu pełna wiary i ufności w dobroć niewyczerpaną, a On spojrzawszy w głąb mej duszy, tak spragnionej przypodobania Mu się za wszelką cenę, sprawi ten cud, abym była godną przyjąć Go do serca swego!

Poszła więc do kościoła, przeniknięta do głębi temi uczuciami wzniosłej miłości, czci i ufności dla Zbawiciela i oto ukazał się On, pełen miłosierdzia dla swej wiernej służebnicy.

W cudownem zachwyceniu ujrzała się przyodzianą w fioletowe szaty, będące symbolem pokory, ozdobione zielenią, symbolizującą nadzieję; płaszcz złoty na ramiona jej zarzucony oznaczać miał szczodrość miłosierdzia; korona z drogich kamieni radość Jezusa z panowania nad sercem tak zupełnie Mu oddanem; tak przystrojona przyjmowała Gertruda Boskiego Mistrza do serca swego.

Innym znów razem idąc do Komunji św., święta rzekła z miłością, zwracając się do Zbawiciela:

— I cóż mi dasz, o Panie?

A Jezus odpowiedział:

— Siebie samego.

Św. Gertruda miała niewysłowione szczęście obcowania niejednokrotnie z Jezusem: raz po Komunji św. zatopiona w akcie dziękczynienia ujrzała Zbawiciela w postaci pelikana, rozkrwawiającego pierś swoją, aby nakarmić swe pisklęta.

— Co chcesz mi tem powiedzieć, o Panie mój Najukochańszy? zapytała święta.

— Chcę ci dać do poznania, że czyniąc ludziom dar tak wspaniały, wolałbym pozostać w grobie, niż widzieć ludzi powstrzymujących się od korzystania z owoców mojej dla nich ofiary. Chcę, abyś zrozumiała, jak dalece życiodajnym jest ten pokarm Boski dla duszy, gdyż jako pelikan żywiący własnem ciałem i krwią swe pisklęta, tak ja Ciałem i Krwią własną karmię ludzi!

Miłość św. Gertrudy dla Zbawiciela wzrastała z każdą chwilą, dusza jej nadziemskiem żyła życiem.

Rozmyślała ustawicznie nad sposobami coraz większego udoskonalenia się, dla przypodobania się Bogu.

Pewnego dnia pogrążona była w zastanawianiu

się nad tem, jak bardzo czuwać powinniśmy nad szym językiem, który ma zaszczyt przyjmowania drogocennej tajemnicy Eucharystji św. i światło Ducha św. podyktowało jej w tej chwili owe trafne wielce porównanie:

— „Jeżeli kto nie strzeże swej duszy od skazy, jeśli nie unika słów płonnych, fałszywych, skierowanych ku poniżeniu bliźniego, jeśli zbliża się bez skruchy w Sercu do Pańskiego Stołu, postępuje tak zupełnie, jak niegościnny i niegodziwy gospodarz domu, któryby przychodzącego doń gościa przyjął gradem kamieni, w chwili, gdy ten w próg jego domu wstępuje.

— Niech ten, kto słowa te przeczyta, zastanowi się nad naszem okrucieństwem, w porównaniu z niezrównaną słodyczą i dobrocią Jezusa; niech powie sobie: zali ten, który ku nam z taką miłością przychodzi zasługuje na ciężkie prześladowania od ludzi, których zbawić pragnie. A to, co o grzechach mowy powiedziałam, stosuje się również do wszelkich innych grzechów".

Świątobliwa zakonnica codziennie z największem nabożeństwem słuchała mszy św. Raz łącząc się z kapłanem podczas Podniesienia, ofiarowywała Bogu Ojcu Jego Syna Najmilszego, który dla naszego zbawienia śmierć poniósł i w zachwyceniu ujrzała Jezusa podającego Stwórcy duszę swej pokornej służebnicy, dając jej tem do poznania, że ilekroć wierni z całem zrozumieniem doniosłości Najśw. tajemnicy ołtarza mszy św. słuchają, tylekroć Bóg spoziera na nich okiem ojcowskiego miłosierdzia i darzy swą łaską.

Serce Jezusowe.

Boski M.strz odsłaniał św. Gertrudzie swe pragnienia, które później tak wyraźnie błog. Małgorzacie Marji objawił, dotyczące czci Jego Najsłodszego Serca.

Pewnego razu przedstawił jej Swe Boskie Serce w postaci złotej kadzielnicy, z której wznosiły się jakgdyby prosto w niebo sięgające kolumny dymu, wyobrażające ludzkość, dla zbawienia której Jezus oddał swe życie.

Kiedy św. Gertruda modliła się pewnego dnia nie dość gorąco, według swego mniemania, poczęła ubolewać sama nad sobą i czynić sobie wyrzuty, że jest roztargnioną i nie umie skupić się, mimowoli myśl zwracając na różne sprawy doczesne, zamiast całą duszą wznieść się do nieba.

— I jakichże owoców mogę spodziewać się z tak źle wykonywanych ćwiczeń duchownych? wyrzekała, bijąc się w piersi ze skruchą.

Wtedy Jezus, chcąc ją pocieszyć, ukazał jej swoje Serce, w postaci lampy płonącej i rzekł:

— Oto moje Serce, chwała Trójcy Przenajświętszej; ukazuję je tobie, abyś prosiła z ufnością o spełnienie w twojej duszy zmian, których sama osiągnąć nie jesteś w stanie. Ofiaruj mu wszystkie swe czynności, polecaj mu się nieustannie, abyś stała się doskonałą; Serce moje wspierać cię będzie i dopomagać w wynagrodzeniu twego zaniedbania.

— O Panie mój, Jezu Chryste, wołała niekiedy św. Gertruda, błagam Cię w imię Twego Serca przebitego włócznią, przeszyj strzałami miłości Twojej moje serce!

Raz po owym akcie strzelistym do nieba, uczuła, jak to sama zeznaje, że prośba jej została wysłuchaną, ujrzała bowiem, jak z prawej ręki Ukrzyżowanego spłynął ku niej promień ognisty, strzale ostrej podobny, który wprost w jej serce ugodził i odtąd nigdy już ani na jedno mgnienie oka Gertruda nie odrywała myśli swej od Boskiego swego Oblubieńca.

„Ile razy wnikałam w siebie, byłam pewną, że odnajdę na dnie mej duszy obraz Twój, o Jezu, gdyż ogarnęła serce me miłość tak wielka, że choć się czuję niegodną Twej łaski, wiem, że nie opuszczasz mnie nigdy."

We wszystkich pismach św. Gertrudy znajdujemy wzniosłe i prześliczne wybuchy żarliwej miłości ku Bogu i najtkliwsze wezwania do Serca Jezusowego. Jakże wymowne i prawdziwie natchnione są jej dziękczynienia, za łaski okazywane nędznej służebnicy. Raz w cudownem zachwyceniu ujrzała się święta objęta Boskiem Sercem Jezusa i w najwyższem szczęściu spędziła godzinę niebiańskiego uniesienia.

Wreszcie Zbawiciel w swem miłosierdziu bezgranicznem objawił św. Mechtyldzie, starającej się wszelkiemi siłami wstępować w ślady słodkiej i świątobliwej Gertrudy:

— Znaleźć mię możesz przedewszystkiem w Sakramencie Ołtarza i w sercu umiłowanej służebnicy mej, Gertrudy.

Pokora św. Gertrudy i jej cierpienia.

Św. Gertruda obrana Matką przełożoną w Rotersdorfie, a następnie w Heldafensie, pilnie czuwała nad zachowaniem karności zakonnej, poczytując siebie zarazem za służebnicę wszystkich Sióstr, gdyż cała oddana była na posługi każdej ze swoich podwładnych. Przytem z niewyczerpaną dobrocią śpieszyła chętnie z pomocą nieszczęśliwym, ubogim i ratunku potrzebującym.

Szczególne zawsze miała nabożeństwo do Męki Pańskiej, do Najśw. Tajemnicy ołtarza i do Matki Boskiej.

„Wiele też, dodaje lekcja Brewjarza, napisała ksiąg zagrzewających do pobożności; łaską nadzwyczajnych objawień Bożych i darem proroctwa jaśniała."

Pomimo to, nigdy nie wynosiła się nad inne, a przeciwnie, starała się siebie w jak najgorszem przedstawić świetle i własne słabości umyślnie wykazywała, uważając się za niewdzięczną wobec tak wielkich łask i dobrodziejstw Bożych.

— O Panie, zawołała dnia pewnego z uwielbieniem dla Najwyższego, pomiędzy wszystkiemi Twemi niezliczonemi cudami. najwięcej uderza mnie to, że ziemia nosić może nędzną grzesznicę, jaką jestem!

Jak wszystkie dusze wybrane, pragnęła Gertruda okazać czemkolwiek swą miłość i ofiarność dla Chrystusa i przejęta była chęcią umartwiania się, to też z wdzięcznością przyjmowała zsyłane jej przez Opatrzność dolegliwości wszelakie.

W jeden Wielki Piątek błagała Boga gorąco o wskazanie jej sposobu jak najlepszego odczucia boleśnej Męki Pańskiej.

A Jezus jej odpowiedział:

— Ktokolwiek wyrzeka się siebie i poddaje się woli innych, sprawia mi radość i wynagradza wyrządzane mi krzywdy. Pokornie uznać się winnym, gdy cię obwiniają, jest to godnie odczuć tę miłość moją, która skłoniła mnie poddać się niesprawiedliwości wydanego na mnie wyroku; zadawaniem sobie umartwień, zwłaszcza zaś wyrzeczeniem się wszelkich przyjemności i uciech, dogadzających ciału, wynagrodzić można moje bolesne biczowanie. Poddawać się rozkazom chociażby najwięcej wymagających przełożonych, to jest ulżyć mi w dźwiganiu cierniowej korony. Kto oddaje się na usługi bliźnich swoich, tem samem cześć mym męczarniom ukrzyżowania przynosi i ten, który nie cofa się przed cierpieniem i upokorzeniem, aby duszę czyjąś od grzechu uratować, wynagradza mi męki konania.“ („*Rok św. Gertrudy*“ przez O. Cros).

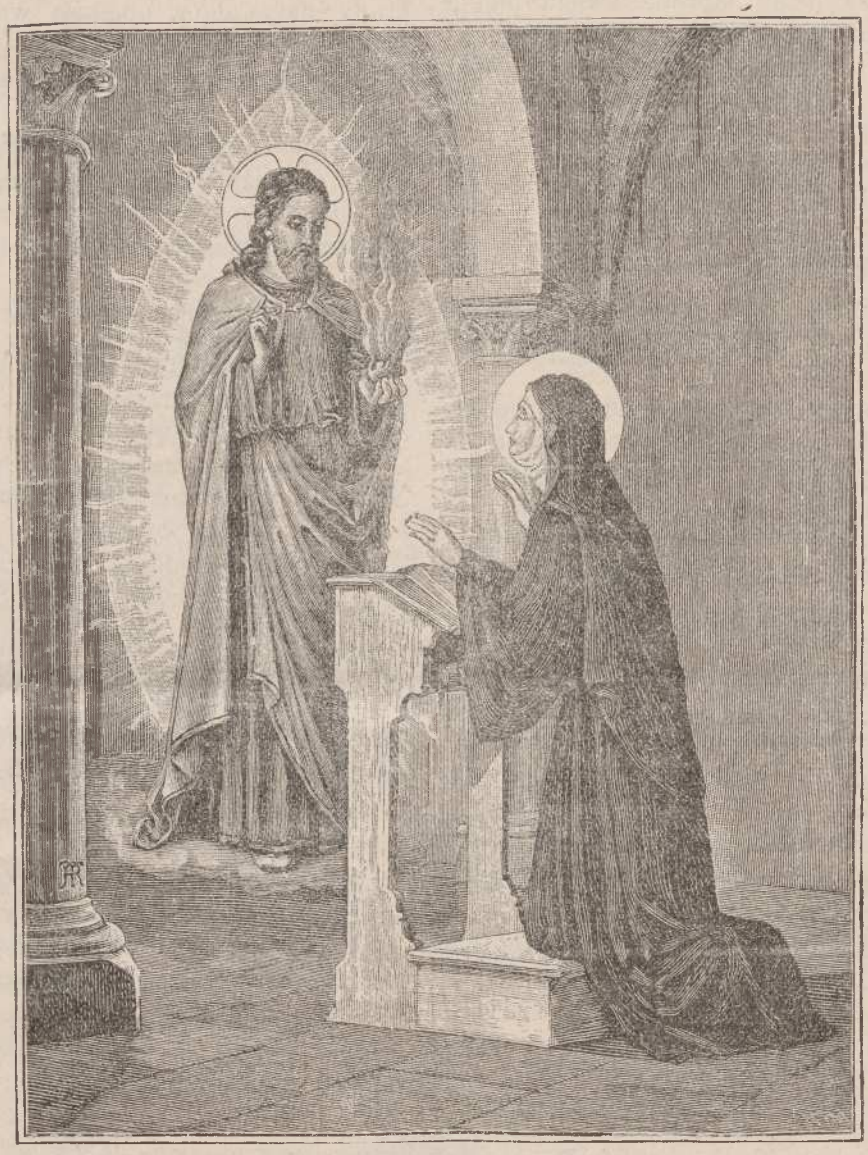

Zbawiciel ukazuje św. Gertrudzie swe Boskie Serce, w postaci kadzielnicy, z której dym wznosi się do Ojca Niebieskiego.

Gorliwość w ratowaniu dusz. Śmierć św. Gertrudy.

Żarliwość w ratowaniu dusz przez Zbawiciela odkupionych, pochłaniała myśli św. Gertrudy i przenikała jej duszę do głębi. Łzami zalana modliła się gorąco o nawrócenie grzeszników. Wszystkie jej pisma miały zawsze na celu podniesienie chwały Bożej i rozniecenie w sercach miłości dla Ukrzyżowanego. Na rozkaz Jego napisała święta piękne swe dzieło o miłości Bożej, oraz swe Objawienia.

Posiadała św. Gertruda dar wyrażania myśli w sposób mądry i jasny, słowa jej pełne siły i słodkiej pociechy, trafiały do głębi serc, gdyż prawdziwie z serca płynęły. Zachęcała wiernych do wyrzeczenia się uciech tego świata, próżności i małostek, a zwracania się myślą ku Bogu i dążenia do doskonalenia się, dla osiągnięcia zbawienia. Z niewypowiedzianą tkliwością koiła smutki strapionych i dodawała otuchy, oraz budziła żarliwość ostygłych nieco serc.

Przykładem swym i wymową zdołała bardzo wiele dusz nawrócić, a liczne zastępy zakonnic do doskonałości w wypełnianiu przepisów reguły doprowadzić. Ostatnie pięć miesięcy jej życia było zesłaną przez niebo próbą wytrwałości, gdyż ciężka choroba wyczerpywała jej siły i zadawała jej okrutne cierpienia, które znosiła z cierpliwością i pokorą niezamąconą, a nawet widać było wyraźnie, że w miarę wzmagania się cierpień cielesnych, dusza jej doświadczała niebiańskiej radości, gdyż ból doznawany łączył ją tem więcej z Jezusem Ukrzyżowanym.

Siostry ogromnie były strapione widokiem Matki przełożonej, której dnie były już policzone i poczęły odmawiać nowennę do św. Lewina na intencję jej uzdrowienia. Ale święty ten ukazał się jednej z zakonnic i rzekł do niej:

— Kiedy Król chce ukoronować królowę, nie przystoi żołnierzowi przeciwdziałać Jego woli.

Nakoniec około r. 1334 ów Boski Oblubieniec zstąpił z niebios wraz z Matką swą Najświętszą i św. Janem, uczniem swym umiłowanym, do którego Gertruda miała zawsze wielkie nabożeństwo. Wspaniały orszak błogosławionych otaczał Zbawiciela. Ujrzała też Gertruda czartów, wijących się w okowach, jako nieprzyjaciele zwyciężeni.

Św. Mechtylda widziała, jak dusza czysta Gertrudy ulatywała w niebiosa wprost ku Sercu Najsłodszemu Jezusa.

Kilka pobożnych osób miały jednocześnie widzenia, że w tejże chwili kilkanaście dusz czyścowych zostało wyzwolonych przez zasługi św. Gertrudy i wraz z nią weszły do królestwa niebieskiego.

Relikwie św. Gertrudy mają się znajdować w skarbcu książęcym brunswicko-luksenburskim.

Wizerunki i pisma św. Gertrudy.

Przedstawiają zwykle św. Gertrudę z Eislebenu z sercem otwartem, służącem za tron Dzieciątka Jezus, albo też z ręką na sercu, jako symbol słów Chrystusowych: „Znajdziecie mię w sercu Gertrudy.“ Najlepszy wizerunek swej jasnej duszy nakreśliła święta w swych *Objawieniach*. Jest to dzieło budujące i cudownie odtwarzające zachwycenia błogosławionej ksieni klasztoru Benedyktynek w Rodersdorfie i Heldefensie. Dzieło to napisane w niemieckim języku przełożone zostało na łacinę przez Jana Justyna Lansperga, Kartuza w 1538 r. Przekładu polskiego dokonał ks. Jan Gawatha pod tytułem: *Poseł Boskiej łaskawości*. (Lwów 1648 r.).

Źródła.

Campacci: *Żywot św. Gertrudy.*
O. Cros: *Rok św. Gertrudy.*
D. Guéranger: *Cwiczenia duchowne św. Gertrudy.*
O. Cahier: *Charakterystyka Swiętych.*

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Proces Rzymski

W SPRAWIE BEATYFIKACJI I KANONIZACJI

SŁUGI BOŻEGO

Papieża Piusa IX.

Memorjał M-gra Cani.

Monsignor Antoni Cani, prałat domowy Jego Świątobliwości Piusa X, szczęśliwie nam panującego, kanonik arcykapłan insygniów kolegjalnych. Najśw. Panny od Męczenników, postulator kanonicznie wyznaczony w sprawie beatyfikacji i kanonizacji sługi Bożego, Papieża Piusa IX przedstawia i układa pozycje, i paragrafy niżej wymienione, w celu zebrania wszelkich wiadomości dotyczących świątobliwego życia, cnót i cudów tego Sługi bożego. Uprasza więc, aby te pozycje i artykuły były poddane ścisłemu zbadaniu, oraz aby przejrzano świadectwa przez niego już przedstawione i te, które będą jeszcze w dalszym ciągu dostarczone. Pozostawia sobie prawo przedstawienia innnych jeszcze pozycji, i punktów, jeśli uważać to będzie za pożyteczne, a w razie potrzeby odwołać się ma do świadków, którzy w każdej chwili mogą potwierdzić każdy z przytoczonych punktów.

Nie życzy sobie nadal obciążać się dowodami, zbytecznymi, a to dlatego, jak to sam uroczyście oznajmił, że nagromadzone dowody uważa za dostateczne. Uczyniwszy to zastrzeżenie, stwierdza i podejmuje się dowieść co następuje:

---

1) Faktem jest pewnym, że sługa Boży, papież Pius IX urodził się w Sinigaglji *) dnia 13 maja 1792 r. Ojciec jego hrabia Hieronim Mastaï Ferretti i Matka Katarzyna z hrabiów Solazzi, oboje małżonkowie pochodzili ze starodawnych rodów, odznaczających się wielkiemi cnotami. — Tegoż dnia, 13 maja, nowonarodzony został ochrzczony w parafjalnym kościele św. Piotra apostoła, przez stryja swego kanonika Jana Mastaï i otrzymał na chrzcie św. imiona Jan-Marja, Jan Chrzciciel, Piotr, Izydor, Pelegrino.

Fakta te potwierdzone już przez głos ogółu, będą dowiedzione przez wiarogodnych świadków, którzy byli ich naocznymi widzami, albo znają je ze słyszenia, lub też czytali ich dokładny opis.

---

2) Nie będąc w możności karmić własną piersią syna i pomimo, iż pragnęła bardzo mieć go przy sobie hrabina oddała go na wykarmienie Marjannie Chiarini, uczciwej i cnotliwej żonie jednego z dzierżawców rodziny Mastaï zamieszkałej w Governatori.

---

3) Matka nie zaniedbała niczego, aby dziecko z mlekiem już wyssało pierwsze prawdy wiary św. i główną jej troską było wpojenie w duszę niewinną dzieciny uczuć gruntownej pobożności i religijności, oraz szczególnej czci dla Najśw. Panny, której syna ofiarowała z zachwycającą skwapliwością prawdziwej matki chrześcianki.

---

4) Pod troskliwą opieką matki Sługa Boży rozpoczął też swe świeckie wychowanie i pierwsze nauki. Powierzono go pieczy księdza, który czuwał nad nim nieustannie i przygotował go do sakramentu Bierzmowania Jan-Marja otrzymał je z rąk kardynała Honorati, biskupa sinigalijskiego dnia 6 czerwca 1799 r.

---

*) Księztwo Urbino, nad Adrjatykiem.

5) Jan miał usposobienie żywe i nadmiernie był w zabawach dziecięcych rozmiłowany. Pewnego dnia Jan-Marja przebywając z rodzicami w ich posiadłości Roncitelli, nieopodal Sinigaglji, idąc za dzierżawcą zatrzymał się nad rowem, aby się z rybkami pobawić. Wtem pośliznęła mu się noga i wpadł w wodę. Na szczęście dzierżawca miał dość przytomności umysłu, aby natychmiast pośpieszyć z pomocą i uratować mu życie.

---

6) Dziecinne lata spędził przy rodzinnem ognisku, okazując postęp widoczny w pobożności i cnocie. To mu dało możność bardzo wcześnie, bo zaledwie siedm lat mając, zajmować się już z wielkiem przejęciem troskami Kościoła św. i przykremi zajściami oraz uciskiem, jakiego papież Pius VI doświadczał.

---

7) Gotował się z wielką żarliwością do pierwszej komunji i w dniu święta Oczyszczenia Najśw. Panny, roku Pańskiego 1803 w katedralnym kościele przy ołtarzu Matki Boskiej od Nadziei wśród łez wzruszonej rodziny i całego otoczenia, z sercem przepełnionem niebiańską radością przyjął po raz pierwszy Ciało i Krew Pana naszego Jezusa Chrystusa w Eucharystji św. O tym dniu szczęśliwym wspominał zawsze z zachwytem, a nawet już za dni swego pontyfikatu.

---

8) Zaledwie skończywszy lat jedenaście 20 października 1803 r. wstąpił do kolegium szlacheckiego w Volterra, pozostającem pod umiejętnem kierownictwem Ojców Pijarów i tam przechodził nauki literackie i filozoficzne z równą gorliwością, jak powodzeniem. Profesorowie chwalili go, współtowarzysze cenili, obcy zaś wyrażali się o nim z zachwytem.

---

9) W r. 1808 będąc jeszcze w kolegium został po raz pierwszy dotknięty wielką chorobą, w małym saloniku, poprzedzającym gabinet Ojca przełożonego. Z uszczerbkiem zdrowia i ze szkodą w nauce cierpiał na tę chorobę przez lat kilka.

---

10) Pod koniec swych studjów filozoficznych powrócił do rodziny, w towarzystwie uczonego O. Archanioła Bacci, Pijara, otrzymawszy z rąk M-gra Incontri, biskupa Volterry, dzięki zezwoleniu kardynała Juljusza Gabrjellego, swego ordynarjusza, pierwszą tonsurę d. 25 grudnia 1809 r.

---

11) W grudniu 1807 udał się do Rzymu, aby tam w dalszym ciągu prowadzić studja naukowe. Zamieszkał przy stryju swym Paulinie Mastaï, który był Kanonikiem Watykańskim i zastępcą audytora Kamery. Ten ostatni będąc substytutem Memorjałów zajmował apartament w pałacu apostolskim w Kwirynale (Isola XIII). Jan-Marja wstąpił do kolegium rzymskiego pod dyrekcją ks. Conti i tam, przykładając się wielce do nauk, doskonalił się w filozofji.

---

12) Kiedy Ojciec św. Pius VII został, jak i jego poprzednik porwany i uwięziony w Sawonie, z rozkazu Napoleona I, wszyscy prawie kanonicy od św. Piotra zostali wygnani za karę, iż papieżowi wiernymi pozostali. W tej liczbie był również Mgr. Paulin Mastaï. Jan-Marja powrócił do rodziny i z bólem serca musiał, stosując się do praw przez rząd francuzki narzuconych, zdjąć sutannę. Pozostał wśród swoich aż do r. 1814, to jest do czasu, gdy Pius VII powrócił do Rzymu.

---

13) Przykładał się do nauk w miarę możności i o ile mu na to zdrowie pozwalało. Ale często powtarzające się ataki epileptyczne osłabiały go niezmiernie i z tego powodu lekarze zabronili mu zbytnio wyczerpywać siły nad książką. W tych warunkach począł czynić małe wycieczki w celach naukowych.

---

14) Napoleon I rozkazał uformować oddział gwardji honorowej, powołano więc Bożego Sługę do wojskowej powinności i zaliczono w Sinigalji do nowozaciężnych, ze wzmianką jednak: epileptyk. Został więc wyłączony z armji czynnej z powodu choroby stwierdzonej oficjalnie, gdyż wice-prefekt napoleonowski, który kilkakrotnie był świadkiem w pałacu Mastaï ataków epileptycznych Jana-Marji, uznał go do wojska niezdolnym.

Jednakże młody Mastaï skazany został przez prefekta Ankony listem z d. 20 listopada 1812 r. na zapłacenie 1,151 skudów jako koszta uwolnienia od wojskowej powinności.

Suma ta miała być wypłaconą przed 5 grudnia tegoż roku.

---

15) Jan-Marja począł czynić starania celem odroczenia wypłaty, podając jako powód sprawy familijne, ale wice-prefekt Sinigaglji zawiadomił listem z d. 27 stycznia 1813 r. władze miejscowe, że z wyższego zarządzenia odroczenie nie może być uwzględnione, a hr. Mastaï obowiązany jest zapłacić żądaną sumę w przeciągu dni dziesięciu.

Jan-Marja udał się niezwłocznie do Saint Cloud, aby prosić Napoleona I o odroczenie i żądaniu jego stało się zadość.

---

16) W tym czasie stryj Jana Marji, Mgr. Andrzej Mastaï, biskup Pesary, który z powodu dochowania wierności Piusowi VII był więziony w mantuańskiej twierdzy, powrócił z wygnania i znowu zajął swe dawniejsze stanowisko.

17) Pozostawał w rodzinie do maja 1814 r. (data powrotu Piusa VII do Państwa Kościelnego).

W tym okresie okazuje się gorliwym i wytrwałym w szczerej pobożności; bardzo przykładny w postępowaniu niekiedy wesoły i pełen humoru

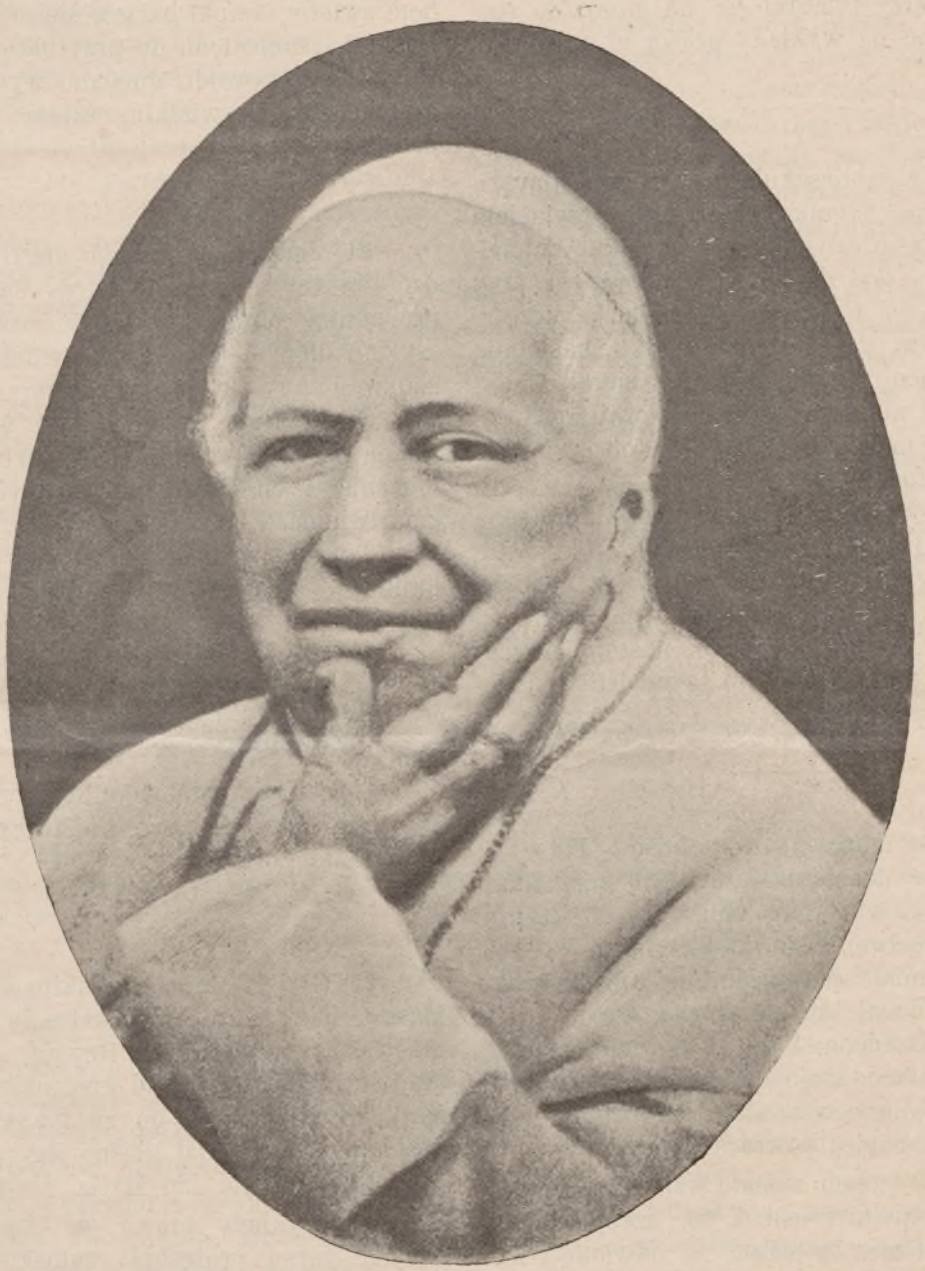

PAPIEŻ PIUS IX.

Jan Marja pojechał odwiedzić wuja i bawił u niego czas. jakiś. Biskup Mastaï przedstawił go wielu znakomitym ludziom i Jan Marja przyjmował udział w literackiem zebraniu, któremu przewodniczył słynny Perticari.

Przymiotami umysłu i czystością obyczajów pozyskał Jan Marja ogólne uznanie i jednogłośnie poczęto go zwać „dobrym Jankiem".

---

ale zawsze powściągliwy w mowie, przyjaźnił się z najcnotliwszymi, niezmiernie uprzejmy dla wszystkich, pozyskał sobie miłość i poważanie zarówno wśród wyższych jak i niższych od siebie i wszędzie był mile widziany.

---

18) Dnia 13 maja 1814 r. Pius VII w powrocie z wygnania zatrzymał się w Sinigalji i był w do-

mu hr. Mastaï, gdzie mu Jana Marję przedstawiono, a ten korzystając ze sposobności przyłączył się natychmiast do kompanji wybierającej się do Rzymu; tam był naocznym świadkiem na placu Ludu tryumfalnego wjazdu Ojca św.

Chcąc umieścić się nie zbyt daleko od stryja, mieszkającego na placu Monte-Citorio. ulokował się u ojców Misjonarzy i zabrał się na nowo do studjów, uczęszczając na wykłady prawa w uniwersytecie.

---

19) W 1815 r. zamieszkuje przy ulicy Chiavari, Za protekcją ks. kanonika Horacego, przyjaciela stryja Paulina Mastaï, dyrektora przytułku Wniebowzięcia (znanego pod nazwą *Tata Giovanni*) przy ulicy św. Anny dei Falegnani, Jan Marja uczęszczać począł często do owego przytułku, następnie bywał tam co wieczora dla nauczania sierot.

Z miłością i zupełnie bezinteresownie poświęcał się tej pracy nad młodzieżą i częstokroć z własnych zasilał ją funduszów.

Nie zaprzestał jednocześnie pracy nad sobą kształcąc wciąż umysł i w marcu tegoż roku zapisał się do kongregacji *Prima Primaria* w rzymskiem kolegium.

Don Piotr Capiano, dyrektor, następnie arcybiskup Ikonium przyjął go i on to udzielił mu później święceń kapłańskich.

---

20) W końcu marca 1815 r. papież Pius VII dowiedział się, że Joachim Murat, król neapolitański wraz ze swem wojskiem zbliża się do Rzymu. Wówczas papież schronił się do Piemontu.

Ponieważ śmiałe plany Murata zamyślającego włożyć na głowę włoską koronę, utraconą przez szwagra swego Napoleona I, spełzły na niczem, (już w pierwszych dniach maja przekonał się o tem, że Tolentino zupełnie jego zamiary paraliżuje) z tego powodu 7 czerwca papież powraca do Rzymu.

Wnet postanowionem zostało wznowienie gwardji papieskiej, a Mastaï prosił d. 26, ażeby do niej był zaliczonym. Rzecz ta poszła w odwłokę i Jan Marja pisał 6 listopada:

„Ta gwardja papieska nie jest jeszcze z organizowana, a ponieważ wszystko się tu robi niezmiernie opieszale, niewiem kiedy się projekt uskuteczni. Doznaję pewnych wyrzutów sumienia, żem pożądał tego stanowiska nie będąc pewnym, czy potrafię nagiąć się do wymaganej dyscypliny i mieć wygląd marsowy, jak przystoi. Ale być może wszystko się jak najlepiej ułoży".

Istotnie zorganizowano ów oddział przybocznej papieskiej straży i Mastaï pomimo swych ataków epileptycznych został przyjęty na wyraźne życzenie Jego Świątobliwości.

Zdarzyło się jednak, że wilją wstąpienia do gwardji papieskiej miał Jan Marja gwałtowny atak konwulsji na ulicy, nieopodal przytułku *Tata Giovanini*.

Znaleziono go leżącym bezprzytomnie przy słabem świetle lampki palącej się przed obrazem Matki Boskiej i zaniesiono do przytułku.

Z tego powodu musiano wykreślić go z liczby gwardzistów, z wielkim żalem papieża i całej rodziny.

---

21) Jan Marja stanął przed Piusem VII bardzo smutny i przygnębiony. Papież pocieszał go proponując obranie stanu duchownego, a położywszy mu dłoń na głowie zapewniał, że za przyczyną Najśw. Panny będzie uzdrowiony.

Sługa Boży wyszedłszy z audjencji z twarzą zalaną łzami spotkał księdza Wincentego Pallotta, (obecnie Czcigodny) który zapytał go o powód zmartwienia.

Jan Marja opowiedział mu strapienia, a don Pallota dodał mu otuchy, wyrzekłszy te prorocze słowa:

„Nie obawiaj się, nie będziesz sprawował straży, ale sam mieć ją będziesz".

Była to przepowiednia przyszłego jego pontyfikatu.

Sługa Boży udał się niezwłocznie do Sinigalji, aby tam przyjść nieco do zdrowia, a po drodze wstąpił do Loretto.

---

22) Dzięki macierzyńskim staraniom hrabiny Mastaï, Jan Marja odzyskał siły i nie tracąc drogiego czasu powrócił do Rzymu, aby zabrać się do studjowania teologji pod kierunkiem ks. Józefa Graziosi, który stawiał go za przykład innym swym uczniom i wychwalał głośno jego cnoty.

Jednocześnie Jan Marja nie zaprzestał uczęszczać na wykłady prawa; w Akademji duchownej słuchał kursu profesora rzymskiego uniwersytetu, Józefa Capogrossiego i był jednym z najpilniejszych i najlepszych jego uczni.

---

23) Jan Marja nie przestaje modlić się i zasięgać rady najznakomitszych dostojników Kościoła, aby go oświecono w sprawie powołania.

Pewnego dnia znalazłszy się w kościele Najśw. Panny od Modlitwy i Śmierci gdzie kilka mszy św. wysłuchał, uczuł się nagle w postanowieniu swem

umocniony i przestał się wahać, co do wyboru stanu, mocno zdecydowany wstąpić na drogę duchowną.

Wyszedłszy z kościoła idzie wprost do przyjaciela swego Chriarissimo Falconieri, późniejszego kardynała, rozmawia z nim długo i w marcu 1816 r. powtórnie przywdziewa sutannę.

W tym czasie więcej jeszcze niż kiedykolwiek poświęca się uczeniu sierot w umiłowanym przez siebie przytułku *Tata Giovanni.*

24) Kardynał Hannibal hr. Genga (zasiadający następnie na Stolicy Apostolskiej pod imienien Leona XII) ówczesny jego biskup przysłał listy uwalniające go z dyecezji; i Jan Marja posiadając wszystkie potrzebne dokumenty otrzymał dnia 5 stycznia 1817 r. w kaplicy Mgr. Capiano, arcybiskupa Iconium, z przyzwolenia kardynała, Wikarjusza cztery mniejsze święcenia.

Mieszkał w tym czasie Jan Marja u O.O. Kamiljanów od św. Magdaleny.

Pewnego wieczoru zapomniał zagasić lampkę nocną i z powodu tej nieostrożności zapaliło się łóżko. Obudził się i widząc się w ogniu zerwał się, a zdając sobie wnet sprawę z niebezpieczeństwa, począł wzywać pomocy Najśw. Panny, poczem udało mu się wyjść cało i zdrowo z tej przygody.

Wykładał katechizm w swej parafji Zbawiciela *delle Capelle* nie przestając uczęszczać bardzo pilnie na zgromadzenia kleryków u O.O. Misjonarzy na Monte Citorio.

W każdą sobotę był obecny na zebraniach kleryków w St. Maria del Pianto, a kazania przez niego wygłaszane świadczą wymownie o jego pobożności i znajomości przedmiotu.

---

25) W 1818 r. ks. Filip Guidi, dyrektor Tata Giovanni, zostaje delegowany na dwór neapolitański, a kanonik Storace pozostaje sam z kanonikiem Vespiniani i ks. Bighi w przytułku.

Wówczas nowy dyrektor, dbały wielce o dobro instytucji, prosi papieża o przydanie im do pomocy Jana Marji Mastaï. Pius VII chętnie się zgadza. Odtąd Jan Marja, pogardzając wszelkiemi przeszkodami, jakiemi starano się go zrazić, pozostaje stale przy kanoniku Storacy, starając się jak najsumienniej spełniać nowe swoje obowiązki. Bez uszczerbku dla nich rozpościera jednocześnie swą apostolską działalność po za granicami instytucji.

W kwietniu tegoż roku (1818) przyłącza się do stowarzyszenia kapłanów św. Galli i tam spotyka O. Gaspera del Bufalo (obecnie błogosławionego) czcig. Wincentego Pallota, Mgr. Odeschalchi kanonika Storacego, Mgr. Tasconieri, Mgr. Polideri, Mgr. Capuano i jego krewnego Ferretti'ego.

Godnem jest zaznaczenia, że podczas misji w Singalji, w której brał udział Mgr. Odeschalchi i czcig. Strambi, biskup Maceraty, Sługa Boży był im jako katecheta przydany.

---

26) W listopadzie 1818 r. Mastaï błaga Piusa VII o danie mu dyspensy ab irregularitate, wypływającej z jego atakow epileptycznych), ażeby módz się przygotować do święceń kapłańskich.

Ataki konwulsji przestały go niepokoić i od kilku miesięcy już się nie powtarzały.

Dnia 13 listopada papież uwzględnia prośbę Jana Marji, ordynarjuszowi zaś, zdając się na jego roztropność, daje władzę postąpienia, jak będzie uważał za właściwe, z warunkiem jednak, że w razie otrzymania święceń kapłańskich, Jan Marja powinien mieć zawsze przy sobie księdza lub djakona podczas odprawiania mszy św.

Sługa Boży przedstawił Wikarjuszowi Rzymu wszystkie potrzebne dokumenta i został dopuszczony do święceń, obawiając się jednak, że zdrowie nie pozwoli mu wytrzymać długiej ceremonji u św. Jana Laterańskiego, a przebywając naówczas u O.O. Misjonarzy, prosił o łaskę otrzymania święceń *extra Tempus.*

W niedzielę 20 grudnia 1818 r. w kaplicy Mgr. Capuano otrzymał subdjakonat.

---

27) Dnia 6 marca 1819 r. zaopatrzony w listy dymisorjalne swego ordynarjusza, kardynała Sceberas Testaferrata i dyspensę od zachowania przepisanych w święceniach przerw, jak również pozwolenie Wikarjatu, został wyświęcony na djakona w tejże kaplicy.

Dnia 28 tegoż miesiąca został mianowany przez Jego Świątobliwość kanonikiem przy kościele Najśw. Panny Marji in via Lata i koadjuktorem Mgr. Schmida, a po śmierci tego ostatniego zajmuje jego stanowisko w listopadzie 1823 roku.

Nawet urzędowanie przy Wikarjuszu apostolskim w Chili, co jednak nie przeszkadza mu otrzymywać należne za sprawowane urzędy wynagrodzenie.

---

28) Choroba zupełnie minęła, czas więc jest pomyśleć o kapłaństwie. Błaga Ojca św., aby go zwolnił ze zobowiązań celebrowania mszy św. przy pomocy asystenta,

Odpowiedź Jego Świątobliwości datowaną jest 24 marca 1819 r. Zdaje się papież na zdanie Mgr. Vice-regensa Wikarjatu Rzymu, który dnia 3 kwietnia udziela dyspensy na trzy miesiące, z warunkiem wszakże: jeśli nie będzie objawów choroby.

Dnia 10 kwietnia, w wilję Wielkiejnocy, otrzymuje ostatnie kapłańskie święcenie i ma prymarję nazajutrz, 11-go kwietnia w kaplicy Tata Giovanini.

Asystuje mu stryj jego, Mgr. Paulin i spowiednik, kanonik Storace.

Przedstawia się Ojcu św. Piusowi VII, aby mu podziękować i prosi usilnie o zwolnienie w zupełności od obowiązkowej asysty przy odprawianej przez niego mszy św.

Pius VII spojrzał nań życzliwie i rzekł.

— Owszem, życzymy sobie udzielić ci i tej jeszcze łaski, gdyż przekonani jesteśmy, że już nigdy odtąd choroba twa nie powróci.

---

29) Prowadzi życie zupełnie służbie Bożej poświęcone i zajęty jest przyczynianiem się do uświęcania dusz innych, oraz swej własnej. Jest wierny rekolekcjom i corocznie usuwa się na czas pewien do klasztoru św. Jana i Pawła in Coelio, lub do św. Bonawentury na Palatynie. Dnia 11 lipca 1819 r. przywdziewa ubiór Braci od Serca Jezusowego, zwanych także Sacconistami i otrzymuje imię Franciszka Jana Marji od św. Paulina.

Później nieco w 1821 r. zapisuje się do Trzeciego zakonu św. Franciszka, aby przyjmować udział w życiu i przywilejach Tercjarzy.

---

30) W kwietniu 1820 r. stryj jego Mgr. Paulin Mastaï ciężko zachorował; Sługa Boży pielęgnuje go troskliwie i opłakuje zgon jego przedwczesny, który miał miejsce 11 tegoż miesiąca.

Jeszcze nie oschły łzy po bolesnej stracie i nie ukoił się żal głęboki, gdy już 28 czerwca, drugi stryj jego Mgr. Andrzej Mastaï, biskup Pesary został tknięty apopleksją, odmawiając nieszporne modlitwy wraz ze swym sekretarzem; odjęło mu mowę i zmarł w temże mieście, gdzie był biskupem, ogólnie czczonym i kochanym. Jan Marja nie miał nawet dość czasu, aby go jeszcze zastać przy życiu.

---

31) Czuje powołanie do doskonalszego życia i zamierza wstąpić do Tow. Jezusowego; ale spowiednik jego i krewni odwodzą go od tego zamiaru. Udaje się na rekolekcje do św. Andrzeja na Kwirynale i odsłania swe plany O. Pavani'emu, przełożonemu.

Ten mu również odradza, mówiąc:

— Niema mowy dla ciebie o życiu zakonnem, ale o infule, pastorale i wielu innych rzeczach.

Nie jest mimo to przekonanym i czyni starania odpowiednie u O.O. Pasjonistów, w szczególności u O. Ludwika de la Vierge.

Ten również mówi to samo. Z drugiej strony przeraża Jana Marję myśl, że mógłby nie wytrwać i w takim razie na całe życie pozostałoby mu piętno eks mnicha.

---

32) Zgadza się na zapisanie się do arkadyjskiej Akademji, ażeby pogłębić w sobie szeroki zakres wiedzy, tak dla duchownych niezbędnej, oraz przystaje na przyjęcie urzędu deputowanego przytułku sierot, wykładów katechizmu u św. Wawrzyńca in Lucina, w *Sussidio Ecclesiastico* i u św. Hieronima od Miłosierdzia.

Jak najlepiej wywiązując się ze swych, tak licznych zobowiązań, nie przestaje jednocześnie wieść życie odosobnione i poświęcone na usługi ubogich i sierot.

Miłosierdzie skłania go do hojnych darów na korzyść Instytucji i wydaje na ten cel wszystkie dochody, pochodzące z zajęć lub też dostarczone przez rodzinę.

---

33) W sierpniu 1822 r. rząd chilijski, oswobodziwszy się od władzy Hiszpanji i zdobywszy sobie niepodległość, wysłał do Rzymu ministra, upoważnionego do traktowania ze Stolicą Apostolską o potwierdzenie praw, które były już przez dwór hiszpański przyznane i o wysłanie do Chili nuncjusza papieskiego.

Pomimo protestu Jego Królewskiej Mości Katolickiej w sekretarjacie stanu, w celu przeszkodzenia przyznania praw i przyjęciu ministra plenipotenta, rozpoczęły się obustronne rokowania. Kiedy je ukończono, Stolica Apostolska uważała za niemożliwe, dla pewnych szczególnych względów, uznać niepodległość dawnych kolonji hiszpańsko-amerykańskich.

Komisja kardynalska, zwołana z tego powodu, dozwoliła, zgodnie z ministrem upoważnionym, na nominację wikarjusza apostolskiego, z nadaniem mu pełnej władzy.

Wskazano Mgr. Jana Muzzi na ten urząd, a ponieważ kardynał della Genga dowiedział się, że Mastaï chętnieby mu w tej misji towarzyszył, zaproponował to w sekretarjacie Stanu. Pius VII przystał chętnie, przyłączając Jana Marję do misji Mgr. Muzzi.

---

34) Gdy przeszkody stawiane przez rodzinę zostały za pośrednictwem Jego Świątobliwości przezwyciężone, ponieważ papież raczył polecić sekretarzowi stanu napisanie w tej sprawie listu do hrabiny, matki Bożego Sługi, ten niezwłocznie pożegnał się z przytułkiem, żałowany i opłakiwany przez

wszystkie sieroty, zalecał im pracowitość, posłuszeństwo, miłość ku Bogu i Najśw. Pannie.

Dnia 3 lipca z rana misja opuściła Rzym i przybyła 17-go do Genui, aby odpłynąć 20 go, jak to było z ministrem chilijskim umówione.

Rozmaite przykre wydarzenia opóźniły odpłynięcie do 5 października. Dowiedziano się jednocześnie o śmierci Piusa VII i o zatwierdzeniu misji przez nowego papieża Leona XII della Genga. Listy zaś przeznaczone do rządu chilijskiego otrzymano dopiero w drodze do Buenos-Ayres.

---

35) Podążono z Genui do Gibraltaru d. 5 października na statku sardyńskim *Eliza* i w pięć dni potem szybowano już po wodach Katalonji. Burza zmusiła podróżnych do zatrzymania się w Palmie na Majorce (wyspy Balearskie). Tu położono areszt na okręcie, podróżnym zaś kazano wylądować, aby się ze swej misji wytłómaczyli.

Jan Marja dał żądane objaśnienia, poczem znowu wsiadł na okręt. Ale nowe wezwanie zmusiło Wikarjusza apostolskiego do zejścia na ląd. Z początku opierał się, ale zmuszono go do tego i musiał ustąpić, protestując przeciw nadużyciu prawa i obrazie Głowie Kościoła wyrządzonej.

Dzięki staraniom przedstawicieli różnych narodowości, oraz biskupa Majorki, otrzymano wreszcie 20-go pozwolenie puszczenia się w dalszą drogę.

---

36) Wyruszono więc dalej i z pomocą Bożą udało się podróżnym uniknąć niebezpieczeństw morza, oraz napaści korsarzy.

Po dziewięćdziesięciu i jednym dniach podróży zawinęli do portu w Rio de la Plata.

Przyjęcie ze strony ludności miejscowej było tak entuzjastyczne, że wywołało zawiść rządu, religji niesprzyjającego; nie oszczędzono więc podróżnym udręczeń, zabraniając pełnienia obrządków biskupich Wikarjuszowi apostolskiemu i zmuszając go do natychmiastowego wyjazdu.

Dnia 6 marca, z rana, po dwu miesięcznej prawie lądowej podróży, z narażeniem się na tysiączne przykrości i doniosłe niebezpieczeństwa, przybyli nakoniec podróżni do Santjago.

---

37) W Santjago misja doznała zarówno od ludności i rządu jak najlepszego przyjęcia. Ten ostatni jednak nie omieszkał stawić oporu, dowiedziawszy się, że Stolica apostolska nie uznała jego mniemanych praw i pretensji politycznych względem Kościoła.

Wikarjusz apostolski spostrzegł rychło, że lekceważono sobie jego postanowienia. Na czynione przez niego z tego powodu uwagi, odpowiadano w sposób zgoła nieprzyjazny, wreszcie oznajmiono otwarcie, czyniąc to w przeróżny sposób, że rząd nie widzi możebności ukrócenia partji, wrogo dla religji katolickiej usposobionych.

Było to najwyraźniejsze danie do poznania Wikarjuszowi apostolskiemu i jego towarzyszom, że nie pozostaje im nic innego, jak usunąć się.

W ciągu całego tego czasu, Jan Marja zajęty był wizytowaniem sąsiednich misji katolickich.

W powrocie, pomiędzy Walparezo i Limą, mały statek wiozący misję został rozbity podczas burzy, a Mastaï uszedł z życiem jedynie dzięki pewnemu rybakowi, imieniem Baco.

Chcąc zbawcy swemu wdzięczność swą wyrazić, ofiarował mu nazajutrz znaczną sumę.

Zostawszy papieżem, Jan Marja nie zapomniał o tym rybaku i pomimo, że ten się już w tym czasie wzbogacił, posłał mu dar pieniężny wraz ze swym portretem.

Rybak ze swej strony użył przysłanych mu przez papieża pieniędzy na wzniesienie kaplicy, w której portret ów umieścił.

---

38. Nowe trudności piętrzyły się, gdy Wikarjusz apostolski zażądał od rządu pasportu dla powrotu do Rzymu. Kilku ministrów było zdania, że należy takowy wydać niezwłocznie, lecz dyrektor naczelny, któremu interesa Chilijczyków na sercu leżały, odmówił wydania i poruszył wszystkie sprężyny, aby znaleść sposób pogodzenia spraw religijnych i państwowych.

Ponieważ to się nie powiodło, wręczono pasporty d. 7 października.

Otrząsnąwszy więc proch ze stóp swoich na chilijskiej ziemi, wysłańcy Stolicy Apostolskiej opuścili pośpiesznie Valparezo z rana d. 19 października, wobec ogólnego przygnębienia.

Zatrzymali się na krótko w okolicy i odpłynęli następnie d. 30 października, a 4 grudnia wylądowali już w Montewideo. Tam pozostali przez dwa miesiące, aby uporządkować misyjne sprawy.

---

39. Wreszcie d. 18 lutego misja odpłynęła do Genui.

Przepływając przez równik Jan Marja ciężko się rozchorował ku ogólnemu przerażeniu. Obawiano się najgroźniejszych skutków, lecz po kilkodniowych cierpieniach i mimo braku środków leczniczych w podróży, wyszedł szczęśliwie z niebezpieczeństwa.

D. 6 czerwca z rana przybyli podróżni do Gibraltaru, gdzie zatrzymano się dni dziewiętnaście, czas potrzebny do zapewnienia sobie eskorty, mogącej ustrzedz od napaści piratów (rozbójników morskich).

Puszczono się znów w drogę ku Genui d. 25 czerwca i dopiero po czternastodniowej kwarantannie, mogli nakoniec wylądować i zapukać do drzwi Mgra Lambruschiniego, arcybiskupa.

40. Tu nastąpił kilkodniowy odpoczynek dla odwiedzenia świątyni Najśw. Panny w Sawonie, następnie 1-go lipca wyruszono do Rzymu przez Chiavari, Spezzia, Pizę i Siennę.

W okolicach tego ostatniego miasta zdołano uniknąć poważnego niebezpieczeństwa, wieczorem d. 6 lipca 1825 r.

W pobliżu Rzymu misja zmuszoną była zatrzymać się w nędznej, opuszczonej gospodzie. Znalazł się tam oficer angielski, protestant, ciężko chory. Mastaï wiedziony litością na widok opłakanego stanu chorego, ofiarował się go pielęgnować i nie opuścił, aż do chwili zupełnego wyzdrowienia.

41. Po powrocie swym z Ameryki Jan Marja udał się do Sinigalji, aby przywitać rodziców i często wieczorami widziano go z krzyżem na ramionach wychodzącego za miasto, w stronę mostu Miza, a tam zatrzymywał się i miał kazanie do licznych przechodniów, których dużo bywało w tej dnia porze.

Żarliwość jego z dniem każdym się wzmagała, a grono słuchaczy w równym stopniu przybywało. Chwilami chwyta dyscyplinę i w swym zapale ćwiczy nią swe ramiona, starając się w ten sposób skłonić wiernych do pokuty i wiecznego zbawienia: głos ogółu jednomyślnie woła: „Jan Marja jest świętym!“

42. W grudniu 1825 r. papież Leon XII, powodowany wybitnemi cnotami kanonika Mastaï, mianuje go prezesem przytułku św. Michała in Ripa, oraz sekretarzem konserwatorów w Rzymie.

W przeciągu ośmnastu miesięcy, przezorny i energiczny, doprowadza do porządku stan finansowy tej instytucji dość zachwiany i ustanawia administrację na trwałych podstawach.

Dzięki jego staraniom duch sprawiedliwości i miłosierdzia tam powraca, z zapewnieniem zysków dla pracowników z plonu ich pracy.

43. W tym czasie kościół w Spoleto stracił swego pasterza w osobie Mgra Marjusza Ancaiami, który zmarł d. 24 stycznia 1827 roku. Leon XII, troszczący się o dobro swej ojczyzny, wyznaczył natomiast kościołowi Genui pasterza, który miał wynagrodzić sowicie poniesioną stratę i wszystkim pragnieniom odpowiedzieć w zupełności, a dał go w osobie Mgra Jana Marji Mastaï Ferretiego, słynącego już cnotami i wybitnemi zaletami, które mu ogólnie przyznawano.

Wybór ten został uczyniony d. 24 kwietnia 1827 r. Mastaï nie miał jeszcze podówczas trzydziestu pięciu lat skończonych.

44. Gdy wieść ta rozniosła się po mieście i całej spoletańskiej dyecezji, we wszystkich sferach społecznych zapanowała niesłychana radość: oczekiwano z upragnieniem przybycia nowego arcybiskupa, a gonfalonier (czyli noszący chorągiew miasta) Piotr Fontana, napisał do Rzymu, do agenta Ludwika Paceriego, prosząc o powiadomienie i wskazówki dotyczące sposobu wyrażenia hołdu, jaki winien okazać ze względu na zajmowane stanowisko nowemu dostojnikowi Kościoła.

Ze swej strony Mgr Mastaï wystosował do kapituły metropolitalnej i do władzy miejskiej piękny list, zawiadamiający o swem wywyższeniu.

45. Była to wielka uroczystość w Spoleto, z powodu Konsystorza, mającego miejsce w Rzymie, w poniedziałek, 12 maja 1827 r., na którym to Mastaï został publicznie ogłoszony biskupem spoletańskim.

Papież przy tej okazji wypowiedział piękne słowa, które tu przytaczamy:

„Pragnąc dać kościołowi spoletańskiemu gorliwego i mądrego pasterza zwróciliśmy oczy naszego serca na ciebie. Czystość twego życia i obyczajów, umiejętność w sprawach duchownych i przenikliwość względem rzeczy tego świata oraz wiele innych cnót, któremi Wszechmogący cię wzbogacił, zostały nam w pełni dowiedzione. Mamy nadzieję, iż Bóg kierować będzie twemi rządami i że pod twem szczęśliwem kierownictwem Kościół arcybiskupi w Spoleto będzie pożytecznie prowadzony, rozwijając się wciąż i że tak w sprawach duchownych, jak też i doczesnych przyczynisz się do radosnego jego rozkwitu więc będzie miał tylko powód cieszenia się z tego, iż powierzony został pasterzowi roztropnemu i czynnemu administratorowi.

46. D. 23 maja deputowani magistratu, markiz del Bufalo i hrabia Pianciani, wywiązali się z powierzonej im misji. Przedstawili nowemu arcybiskupowi swe uczucia przywiązania i radości magistratu, jak również całej ludności z powodu jego nominacji i zapewnili o swej radości, iż go mieć będą swym pasterzem.

Następnie wręczyli mu list władzy municypalnej, dokument wspaniały synowskiego przywiązania i czci całego miasta.

---

47. D. 21 maja Mgr Mastaï wydelegował prezesa Metropolitalnej Kapituły Mgra Adrjana Lupariniego, z mandatem objęcia w jego imieniu arcybiskupiego tronu, a d. 1 czerwca t. r. w majestatycznej katedrze, po odprawionych nieszporach, w obecności całego zgromadzonego ludu, miał miejsce akt objęcia kanonicznego.

Nowy arcybiskup otrzymał konsekrację biskupią w bazylice św. Piotra w Okowach d. 3 czerwca t. r. w dzień Zesłania Ducha Św., z rąk Jego Eminencji, kardynała biskupa D. Ksawerego Castiglioniego, któremu asystowali Mgr Piatti, wice-regens, arcybiskup Trebizondy i Mgr Simbaldi, arcybiskup Damietty.

Tegoż dnia, wystosował do swego duchowieństwa i ludu pierwszy list pasterski, datowany z Flamińskiej Bramy.

---

48. D. 28 czerwca Mgr Mastaï przybył do Terni, gdzie oczekiwali go deputowani z magistratu. Jan Parenti i Salvator Fratellini pośpieszyli wyrazić mu swe uszanowanie.

Arcybiskup wraz z deputacją spoletańską tegoż dnia około godz. 7-mej wieczorem wszedł nieoficjalnie do arcybiskupiego pałacu.

Dzwony wszystkich kościołów i zgromadzeń oznajmiły szczęśliwe to wydarzenie, a lud tłumnie zebrany na ulicach, któremi miała przejeżdżać kareta, oklaskiwał gorąco.

Wszystkie domy i ratusz oświetlono rzęsiście na znak ogólnej radości.

---

49. Objawy sympatji i radości wzmogły się jeszcze w Spoletto, d. 1 lipca podczas uroczystości solennej objęcia arcybiskupstwa.

Po południu arcybiskup udał się prywatnie do kościoła Najświętszej Panny, z Masaccio, za miasto. Ztamtąd zwrócił się ku bramie Św. Łukasza. Tam oczekiwała go Kapituła, duchowieństwo świeckie i zakonne, bractwa, oraz wyżsi urzędnicy magistratu, wraz z orkiestrą miejską.

Według zwykłego ceremonjału szedł arcypasterz procesjonalnie aż do kościoła św. Łukasza, OO. Serwitutów, a wstąpiwszy na tron, przywdział pontyfikalne szaty.

Stamtąd, szedł na czele rozpromienionego ludu; procesja skierowała się przez ulicę *del Palazzo Apostolico* i przez plac *dell Aringo* do kościoła metropolitalnego, przystrojonego świątecznie. Poczem zostało odprawione uroczyste nabożeństwo.

Z rozkazu rady miejskiej zgodnie z życzeniem rady ogólnej zarządzono wspaniałe festyny i przyjęcia na cześć nowego arcybiskupa.

---

50. D. 11 listopada tegoż roku, sługa Boży rozpoczął wizytę pasterską, mianując wizytatorami wszystkich kanoników swej katedry. Nie szczędził trudów, pracy i poświęcenia, aby osobiście zapoznać się ze swemi owieczkami i aby być im pożytecznym.

Djecezja jego była bardzo rozległa, przecięta w wielu miejscach łańcuchami gór. Odwiedzenie wszystkich 170 parafji było rzeczą wielce uciążliwą, mimo to nie opuścił najmniejszej mieściny, a nawet wioseczki, niosąc wszędzie radę, pokój, pociechę i hojność tak dalece, że po piętnastu latach pasterzowania zachowano o świętym arcypasterzu żywe wspomnienie.

---

51. Najtkliwszemi i najżyczliwszemi staraniami otaczał duchowieństwo świeckie i zakonne, gdyż z niemi to powołany był dzielić troskę o zbawienie ludu. Bezstronny ze wszystkimi, umiał w razie potrzeby odwołać się do pilności i zdolności każdego ze swych kapłanów.

Za pomocą rekolekcji, konferencji duchownych i rozmów poufnych potrafił ukrócić nadużycia, ożywić i rozpłomienić serca; jego częste odwiedziny w seminarjum djecezjalnem, obecność podczas wykładów, nagrody, w których był nader szczodry, przyczyniły się do odnowienia karności i pilności w duchowieństwie.

---

52. W Spoleto, zarówno jak i w całej djecezji podniósł i odnowił powoli zarząd pobożnemi dziełami, które były w zaniedbaniu.

Okazywał przytem wiele przezorności w połączeniu z żarliwością i potrafił przywrócić dzieła do pierwotnego, pomyślnego ich rozwoju.

Tak samo, jak zasłużył sobie na miano ojca sierot w Tata Giovanni, w Rzymie, obecnie rozpościerał tkliwą opiekę nad biednymi i potrzebującymi w swej dyecezji i był im całkiem oddany. Ufundował z własnych funduszów, przy pomocy kilku miłosiernych osób, przytułek dla sierot.

---

53. Gorliwość arcybiskupa i troszczenie się jego o potrzeby miasta i djecezji była w całym rozkwicie, gdy bolesny cios dotknął Kościół powszechny: Leon XII zmarł, 1 lutego 1819 r.

Strata owa była tem cięższą jeszcze dla Spoleto, będącej jego miastem rodzinnem, tracącem w nim jedną z chwał swoich i prawdziwego dobroczyńcę.

W smutku pogrążone miasto zgotowało zmarłemu papieżowi pogrzeb solenny.

Mgr. Mastaï więcej jeszcze od innych odczuł tę stratę. Łączyła go bowiem z papieżem wdzięczność głęboka, to też wypowiedział podczas uroczystości żałobnej bardzo piękną mowę, w której wykazał świetny dar słowa i wspaniale przedstawił zasługi i wysokie zalety zmarłego.

---

54. Ludność miasta Spoleto, zachwycona nadzwyczajną cnotliwością swego arcybiskupa, rada była znaleźć sposobność złożenia mu publicznego dowodu swej czci i poważania. W tym celu dnia 16 czerwca 1830 r. radni miasta zebrali się dla obmyślenia wspólnie wyrazu hołdu i postanowili ofiarować swemu arcybiskupowi zaszczyt honorowego obywatela dla niego i jego rodziny.

Papież Pius VIII, następca tak wielce żałowanego Leona XII, proszony był o radę i dnia 1 sierpnia 1830 r. oznajmił przez kardynała Albaniego wielkie swe zadowolenie z powodu wyżej wspomnianego zamiaru.

---

55. Jedną z pierwszych trosk arcybiskupa Mastaï było polepszenie opłakanego losu proboszczów w najuboższych parafjach djecezji.

Przedstawił był już Leonowi XII stan tych parafji, prosił o pomoc dla nich Stolicę Apostolską.

Po śmierci Leona XII, w dalszym ciągu czynił starania u Piusa VIII i otrzymał od niego pewne prawne zabezpieczenia na rzecz parafji Państwa kościelnego.

Ale i Pius VIII zmarł wkrótce potem, dnia 30 listopada 1830 r. i dopiero za rządów Grzegorza XVI spełniły się pragnienia arcybiskupa Spoleto.

Otrzymał on dla swej djecezji roczny zasiłek dla ubogich parafji w sumie 1339,14 skudów, które były rozdzielane pomiędzy 57 najwięcej potrzebujących pomocy.

Zawdzięczała mu też djecezja powołanie do życia sześciu parafji, które dla braku środków musiały być do innych przyłączone.

Składki djecezjan przyczyniły się do uskutecznienia tego pobożnego dzieła. Ofiarność publiczna również dopomogła arcybiskupowi do uwolnienia czterech innych parafji od zależności patronów i uzyskania dla nich usunięcia ich urzędowej opieki.

---

56. Dnia 9 lutego 1831 r. doszła do Spoleto wieść o buntach w Modenie i Bolonji. Wszczął się z tego powodu zgiełk i zamieszanie. Delegat apostolski był w tym czasie nieobecny, a gonfalonier zebrał radę.

Dla uspokojenia miasta postanowiono powołać pod broń obywateli znanych ze swych zasad prawych i wierności Kościołowi.

Mgr. Mastaï udał się osobiście do nowozaciężnych, przemawiając do nich w sposób wzruszający i przypominając zobowiązanie używania broni jedynie dla utrzymania spokoju wewnętrznego w państwie i obrony praw Papieża.

---

57. Jednocześnie Sługa Boży zawiadomił sekretarjat Stanu o tem, co zaszło i d. 12 lutego utworzenie straży cywilnej zostało telegraficznie potwierdzone, arcybiskupowi zaś daną została władza objęcia rządów pod nieobecność gubernatora.

Tegoż dnia nadesłane zostały pocztą proklamacje generała Sercognaniego, powołujące pod broń całą młodzież.

W następną środę dowiedziano się, że zbuntowała się Peruzja, a Foligno ma zamiar pójść za jej przykładem.

Zwiększył się popłoch w całem mieście, lud otoczył ratusz, wydając groźne okrzyki, zapowiadające zaburzenia.

Wydelegowano do gonfaloniera trzech przedstawicieli ludu, zmuszając go do oznajmienia gubernatorowi, że mieszkańcy Spoleto mają zamiar inne miasta zbuntowane naśladować.

Nie udało się gonfalonierowi uspokoić i przekonać owych delegatów, a zatem po naradzie ze starszyzną i arcybiskupem udał się do gubernatora. Ten nie chcąc ustąpić, zamyślał o odjeździe. Po jego powrocie gonfalonier zastał go otoczonego nie strażą wojskową lecz cywilną, a pewna liczba obywateli miasta przedstawiła mu już listę człon-

ków przyszłego rządu prowizorycznego (czasowego). Tymczasem straż obywatelska groziła bójką na pięście w razie, gdyby nie powierzono im fortecy.

Komendant odniósł się w tym wypadku do arcybiskupa, który doradził mu poddanie się przez wzgląd na mogący ztąd wyniknąć rozlew krwi, o czem wnet Rzym zawiadomił.

Akt kapitulacji został istotnie sformułowany i podpisany na biurku arcybiskupa. W ten sposób uniknięto zatargu pomiędzy obywatelami miasta.

---

58. Pomimo tego mądrego zarządzenia, spokój nie został przywrócony. Osobiste nienawiści i zemsty poczęły wysuwać się na plan pierwszy pod płaszczykiem opinji publicznej; duch rewolucyjny i nienawiść papieża oraz Kościoła św. wzrastały w miarę tego, jak się obywatele Spoleto poczęli porozumiewać z emisarjuszami miast zbuntowanych, a ci dążąc ku Rzymowi, krążyli wszędzie i podburzali, zamieszkując nawet u jednego z obywateli Spoleto.

Położenie arcybiskupa zaczynało być groźne; główni przywódcy buntu z d. 16 lutego nadużywali w sposób oburzający jego imienia.

Rano, d. 26 marca pewna osoba, wtajemniczona w sprawy rewolucjonistów, uprzedziła arcybiskupa, że powinien mieć się na baczności i szukać bezpiecznego schronienia, a w kilka godzin potem pewien duchowny, wielce poważany, przedstawił mu niebezpieczeństwo, na jakie może być narażony i doradził wyjazd z miasta, ofiarując się za towarzysza.

---

59. Nie zwlekając dłużej, Sługa Boży powziął postanowienie i obrał sobie, jako najbezpieczniejsze schronienie, małą mieścinę, Leonessę, położoną w jego djecezji, lecz pod względem praw cywilnych od cesarza Napoleona zawisłą.

W ten sposób, oddalając się od centrum rewolucji, a nie opuszczając mimo to swej djecezji w tak trudnych okolicznościach, zapobiegł zaburzeniom.

Tegoż dnia, na godzinę przed południem, wziąwszy ze sobą dwóch zaufanych ludzi oraz ks. Józefa Stellę, wyszedł z pałacu, przebył bramę *della Rocca* i *Monte Luco*, poczem służbę oddalił, a wszedłszy do poblizkiego klasztoru, prosił jednego z Ojców, aby mu towarzyszył, nie mówiąc wszelako dokąd się udaje. Doszli tak razem do wioski *Schioppo*, nieopodal *Caselli* i tam go arcybiskup pożegnał.

W Schioppo zastał duchownego, mającego być jego przewodnikiem oraz przygotowane wszystko do dalszej drogi. Nad wieczorem stanął w *Monte S. Vito*; sam spożywszy u proboszcza posiłek, puścił się w dalszą podróż i około północy przybył do Leonessy.

---

60 Arcybiskup nie uważał za stosowne wejść do miasta, ale udał się do klasztoru OO. Kapucynów, położonego nieopodal. Z powodu spóźnionej pory musiał czekać zanim mu drzwi otworzono.

Gdy zakonnicy dowiedzieli się, że to arcybiskup, wszystko się ułożyło jak najlepiej.

Podano wnet naprędce przyrządzoną wieczerzę, która ogromnie była pożądaną w obec odbytej długiej i uciążliwej drogi. Ale Sługa Boży spostrzegłszy, że za chwilę północ uderzy, a chcąc koniecznie mieć mszę świętą nazajutrz, spożył bardzo niewiele i udał się na spoczynek.

---

61. Jednakże wieść o przybyciu arcybiskupa rozeszła się po mieście. Duchowieństwo Kolegjaty oraz Wikarjusz przybyli dla złożenia mu uszanowania i zaproszenia do miasta.

Około godz. 4-ej wieczorem (a była to właśnie niedziela palmowa), Mgr Mastaï otoczony licznym i błogosławiącym go orszakiem ludu, oraz całego, miejscowego duchowieństwa, wszedł do Leonessy i udał się wprost do kościoła. Tam po adoracji Najśw. Sakramentu odmówił litanję i zwrócił się do ludu z przemową, która łzy wiernym wycisnęła z oczu; mówił o przebaczaniu uraz; o jedynej zemście względem nieprzyjaciół, a mianowicie o odpłaceniu im za złe modlitwą. Następnie udzielił ludowi pasterskiego błogosławieństwa.

---

62. Wieczorem d. 28 marca przybył goniec ze Spoleto, przywożąc pakiet od kardynała Benvenutiego, legata *a lâtere* Jego Świątobliwości w Ankonie.

Mianowano Mgra Mastaï nadzwyczajnym delegatem prowincji Spoleto i Rieti, pośpieszył więc do Monte-Leone i w otoczeniu piętnastu osób udał się do wioski Ruscio.

Uwiadomieniu o przywróceniu władzy Papieża i o przybyciu arcybiskupa, wieśniacy przybyli w ciemną noc dla eskortowania go z pochodniami. Mgr Mastaï wstąpił do parafialnego kościoła, gdzie czas jakiś modlił się przed Najśw. Sakramentem. Zatrzymał się w domu Józefa Bernabei, poczem udał się w dalszą podróż, drogą do Gavelli.

Jeszcze jeden miał odpoczynek w zamku markiza della Genga, aby tam doczekać się dokładniejszych wiadomości o istotnym stanie rzeczy, poczem powrócił do Spoleto.

---

63. Prawdziwy tryumf czekał tam arcybiskupa delegata. Lud pospieszył na jego spotkanie aż za bramę Pontiana; sprowadzono wiele karet ku uczczeniu przybycia ukochanego pasterza. Gonfalonier i radni miasta przybyli go pozdrowić i zapewnić, że może bezpiecznie wejść do miasta.

Wyprzężono konie z karocy arcybiskupa i ciągniono ją własnoręcznie. Jednomyślne oklaski i wiwaty towarzyszyły mu aż do miasta, gdzie orszak przybył o godzinie, w której na Anioł Pański dzwoniono.

---

64. Tryumfalne przyjęcie, jakie arcybiskupowi zgotowano, oraz nowo mu powierzone obowiązki nie wpłynęły wszelako na zmianę groźnego położenia.

Załoga miasta Bolonji pod wodzą komendanta Guidotti'ego, powróciwszy z Terni, obozowała w Rocca. W klasztorze OO. Serwitów ulokowała się banda Sercognaniego, która rozpraszała się powoli, a na kilka godzin przed przybyciem arcybiskupa przybył zastęp powstańców z Askoli. Biedacy ci, zawiedzeni w swych nadziejach, zgłodniali, uzbrojeni jeszcze, a niepewni położenia, stanowili groźne dla miasta niebezpieczeństwo.

Z innej znów strony, od Rieti, dążyli żołnierze, należący do armji papieskiej, pod dowództwem generała Resta.

Zręczność i wspaniałomyślność Bożego Sługi zdołała ocalić Spoletę od katastrofy; przeprowadził bowiem ustne układy z przywódzcami oddziałów nieprzyjacielskich i potrafił ich zjednać swą słodyczą, przyrzekając zbuntowanym, że w razie rozbrojenia i oddalenia się udzieli im zasiłków pieniężnych i w pasporty zaopatrzy. Dali się przekonać i wzruszeni wymową arcybiskupa skłonili oddanych im ludzi do złożenia broni. W zamian każdy z nich otrzymał kartę bezpieczeństwa w podróży i pieniądze, potrzebne dla dostania się do domu.

Te pełne miłosierdzia postępowanie arcybiskupa i jego pragnienie ułagodzenia buntowników stało się powodem oszczerczych zarzutów, czynionych arcybiskupowi, ale nie wpłynęło to ani trochę na zmianę usposobienia względem niego papieża, darzącego go wielkiem poważaniem.

---

65. W grudniu r. 1832 wieść zarówno smutna, jak nieoczekiwana znowu zakłóciła spokój: arcybiskup bowiem został przeniesiony do Imoli. W ogólnem przygnębieniu i boleści zebrali się kanonicy katedralni Kapituły i jednomyślnie zadecydowali uczynić wszystko, co się da, bez przekroczenia granic posłuszeństwa i powinności, aby zatrzymać arcybiskupa. W tym celu wystosowano podanie do papieża Grzegorza XVI, podpisane przez całą Kapitułę.

---

66. Magistrat ze swej strony za pośrednictwem Mgra Adrjana Fieschi'ego podał prośbę do Ojca św., wyrażając najgorętsze pragnienia spoletańskiego ludu, oraz całej djecezji, z błaganiem, aby nie pozbawiano ich tak znakomitego pasterza.

Ojciec św. odpowiedział na to, że chociaż radby uczynić zadość prośbom duchowieństwa i djecezjan Spoleto, „jednakże dobro Kościoła Powszechnego wymaga przeniesienia Mgra Mastaï do Imoli".

Podczas Konsystorza z d. 17 grudnia r. 1832, Sługa Boży został prekonizowany na biskupa tej nowej i ważniejszej djecezji.

---

67. W początkach lutego r. 1833 Mgr Mastaï, objąwszy już djecezję imolańską, za pośrednictwem Mgra Tadeo della Volpe, opuszczał Rzym dla udania się na nowe biskupstwo, gdzie go oczekiwano z niecierpliwością gorączkową.

W Forli złożyli mu hołd przybyli w imieniu miasta Mgr Ludwik Zappi, kanonik, przełożony katedralny i Marc, kanonik Codronchi.

D. 9 t. m. Mgr Mastaï przybył wraz z nimi do biskupiego pałacu. Lud zbierał się tłumnie po drodze ciekawy ujrzenia po raz pierwszy oblicza swego pasterza i pomimo, że wjazd nie był oficjalny, gdyż działo się to w nocy, powitanie było pełne życzliwości i zapału.

Tem goręcej okazało się to w dniu 13 lutego, podczas uroczystego przybycia arcybiskupa do katedry.

Całe miasto i djecezja wyglądały odświętnie. Dostojny pasterz przywdział strój pontyfikalny w pałacu biskupim i otoczony dygnitarzami Kapituły, duchowieństwem świeckiem i zakonnem, oraz bractwami, urzędnikami magistratu i wyższymi urzędnikami władz cywilnych, postępował pomiędzy dwoma szeregami ludu, przy radośnych odgłosach dzwonów, aż do katedry. Tam przemówił do wiernych, spragnionych usłyszenia go i udzielił im błogosławieństwa.

68. Jak tylko ceremonja objęcia nowego biskupstwa została ukończona, Sługa Boży zajął się wnet swą liczną owczarnią, powierzoną mu przez Opatrzność.

Jak w Spoleto okazał się gorliwym pasterzem i czynnym pracownikiem. nie liczącym się ze znużeniem, nie cofającym się przed ofiarą, i zjednał sobie poważanie i miłość całego ludu, tak samo nie zaniechał niczego dla pozyskania życzliwości i przywiązania swych nowych djecezjan.

Przyczynił się do ich duchownego i materjalnego dobra, a swemi roztropnemi rozporządzeniami i trafnemi radami zaprowadził w całej djecezji ład wzorowy.

69. Ale najwięccj troskliwemu pasterzowi chodziło o zapoznanie się osobiste ze swemi owieczkami, aby im być pożytecznym i wszystkim swe ojcowskie serce otworzyć. Pragnął niezwłocznie rozpocząć wizytację djecezji, ale nie będąc jeszcze dostatecznie z nową miejscowością obeznanym, zmuszony był wyjazd swój odłożyć. Gotował się doń, wypytując Kapitułę, proboszczów, księży, rektorów, członków bractw i t. d.

70. Wizytację swą Sługa Boży rozpoczął d. 21 czerwca tegoż roku, zacząwszy od katedry.

Przy tej okazji mówił zebranym tam licznie wiernym o korzyściach duchownych wizytacji pasterskiej.

Po nawiedzeniu Najśw. Sakramentu i relikwji św. przyjął obedjencję (ceremonja kościelna, wymagająca posłuszeństwo winne biskupowi) od duchowieństwa znajdującego się przy katedrze i odłożył na inny raz odwiedzenie mieszkań i poszczególnych osób.

Djecezja to była obszerna, posiadająca wielką ilość parafji, mimo to jednak Mgr Mastaï zwiedził ją całą, nie omijając najmniejszej wioszczyny lub osady i za przykładem Boskiego Mistrza wnosił z sobą wszędzie spokój i pocieszenie.

71. Narażony będąc na tysiączne niebezpieczeństwa, nie cofał się przed żadną trudnością, gdy chodziło o powierzone mu owieczki; — udzielał Sakramentów i głosił Słowo Boże.

Dotąd jeszcze pamiętają mieszkańcy ów dzień, gdy bierzmował w okolicy tak opornej i trudnej do zjednania, że omal życia nie postradał.

Innym razem w drodze do Tossiniano Najśw. Pannie zawdzięczał jedynie, że nie padł ofiarą wypadku.

72. Od czasu, gdy zapoznał się bliżej ze swą djecezją i przekonał się w jak nieszczęśliwych się warunkach znajdowała, począł przemyśliwać nad zaradzeniem złemu.

Najprzód zaczął od duchowieństwa, będącego głównym celem jego najtkliwszych starań.

Zachowanie się niektórych księży, którzy zamiast dawania budujących przykładów, postępowaniem swem gorszyli wiernych, którzy nie nosili sutanny, nie byli moralni i cnotliwi i nie odpowiadali godnie przyjętym na siebie obowiązkom, ogromnie zasmucało arcybiskupa.

Reskryptem z d. 5 maja 1835 r. nakazał proboszczom i rektorom kościołów, ścisłe przestrzeganie duchownego ubioru, a głównie żądał, aby nie zaniedbywali należytego przygotowania się do mszy świętej, jak również nieomieszkali czynić akt dziękczynienia po odprawieniu mszy św.; rozkazywał również, aby go zawiadamiano o wszelkich wypadkach złamania karności wśród tych, którymby owe przestrogi nie wystarczały.

73. Nie podobało się wielce Mgr Mastaï, że duchowni ukazywali się na mieście w ubiorze niemal cywilnym, w rodzaju surdutów, ściętych nieco po bokach, a zwanych powszechnie *kazakiny*. To też zabronił stanowczo tego ubioru, zapowiadając przykładne ukaranie tych, którzy się nie zastosują do jego woli. Proboszczom zaś baczny dozór pod tym względem nad młodymi klerykami zalecił, dodając przytem, że nieposłuszeństwo ich w tej mierze będzie stanowiło przeszkodę w ich wyświęceniu.

74. Ale jeszcze jedna okoliczność stanowiła troskę arcybiskupa: oto przykrem mu było niezmiernie, że księża, zwłaszcza na wsi, oddawali się częstokroć zajęciom nie licującym z ich stanowiskiem, jak np. zajmowali się handlem.

Przypomniał więc im w wydanych przez siebie instrukcjach, jak dalece niestosownem jest podobne postępowanie kapłanów, potwierdzając zarazem kary, wyznaczone przez Synod djecezjalny i przydając nowe, jeszcze surowsze.

75. Nie poprzestając na tem, Sługa Boży chcąc wszelkiemi sposobami podnieść świątobliwość wśród duchowieństwa i ukształtować je według pragnień Boskiego Serca, ucieka się do przykładów, konferencji, pogadanek poufnych, aby ostatecznie położyć koniec nadużyciom i odnowić ducha kapłańskiego.

Wiedząc z doświadczenia, jak niezmiernie pożytecznemi są pobożne rekolekcyjne ćwiczenia, postarał się wprowadzić je obowiązkowo, a ponieważ Imola nie posiadała odpowiedniego na ten cel pomieszczenia, wybrał klasztor Najśw. Panny w Piratello, aby tam księża w oddaleniu od gwaru świata mogli odbywać rekolekcje dla osobistego uświęcenia dusz i zobowiązał wszystkich kapłanów swej djecezji, aby się tam raz do roku udawali kolejno, we wskazanym porządku.

---

76. Seminarjum djecezjalne, gdzie hodowały się owe młode latorośle, mające z czasem być ozdobą Kościoła św., było też jednem z głównych celów pieczołowitości Mgra Mastaï. Będąc sam modlitwom i dobrym uczynkom oddany, troszczył się o to, aby nauki traktowane były gruntownie i w tym celu ufundował dla duchowieństwa, a zwłaszcza dla kleryków Akademję biblijną i nadał jej ustawę zastosowaną do okoliczności: ustanowił też miesięczne zebrania, na których miały być rozważane najlepsze sposoby zwalczania protestantów, grasujących potajemnie po Włoszech.

---

77. Kilku kleryków z okolicy, pod pretekstem, że im środki materjalne nie pozwlają mieszkać w seminarjum, wynajmowało prywatne mieszkania, co bezwątpienia narażało na niebezpieczeństwo nie tylko ich powołanie, lecz nawet ich wiarę.

Należało koniecznie zaradzić złemu. Sługa Boży rozkazał dobudować do obszernego gmachu seminarjum nowe skrzydło, które oprócz pożytku stanowiło jego ozdobę. Budynek ów został przeznaczony na rodzaj konwiktu taniego pensjonatu, a miał łączność z seminarjum przez wspólne modlitwy, klasy, ćwiczenia literackie, oraz czytelnię. Za nadzwyczaj nizką opłatą synowie rodzin ubogich, mający powołanie do kapłańskiego stanu, znajdowali tam wygodne schronienie.

---

78. Mgr Mastaï odnowił i powołał do życia wiele dobroczynnych i pobożnych instytucji, które poczęły zatracać swą pierwotną żywotność. Ażeby raz na zawsze wszelkie nadużycia ukrócić, wydał rozporządzenie, dotyczące wszystkich funduszów na pobożne cele przeznaczonych, oraz otrzymanych ztąd dochodów, rozkazując składać je w osobnej skrzyni, znajdującej się w kancelarji cywilnej. Skrzynia ta zamknięta była na dwa klucze, z których jeden był powierzony kanclerzowi, drugi zaś miał sam arcybiskup.

Wydał też rozkaz niedozwalający łączenia razem własności kilku pobożnych instytucji oraz dotyczący zachowania kapitałów zakładowych w miasteczkach i wioskach.

---

79. Gorliwość Bożego Sługi nie ograniczyła się na podniesieniu dzieł pobożnych i ulepszeniach ekonomicznych i administracyjnych, jak to uczynił w sprawach przytułku, ale szersze jeszcze przed nim otwierały się widnokręgi.

Zajął się badaniem społecznej niedoli i wzruszony był widokiem młodzieży ze sfer ubogich, znajdującej się w nader opłakanem położeniu. Samym sobie zostawieni; już to z powodu niedbalstwa rodziców, lub też zupełnego sieroctwa, pędzili życie próżniacze, w nieświadomości obowiązków chrześciańskich, częstokroć utrzymując się z ulicznej żebraniny lub też wypraszając jałmużnę po winiarniach i jadłodajniach.

Mgr Mastaï przy pomocy gorliwych kapłanów ufundował salę zebrań pod wezwaniem św. Piotra Chryzologa i tam w każdą niedzielę zbierali się różni biedacy dla słuchania budujących wykładów wiary, pobożności i moralności chrześcijańskiej.

Nie dość na tem: powziął jeszcze myśl wdrożenia owej zaniedbanej młodzieży do pracy. Ponieważ wiedział dobrze, że po większej części byli to młodzieńcy nie zdolni jeszcze zarobić na swe utrzymanie, albowiem nowicjuszami byli w zawodzie, zwrócił się do miłosierdzia ogółu z prośbą o poparcie i zdołał wpłynąć, aby codziennie udzielano im chleba, a w razie potrzeby obdarzano odpowiedniem odzieniem.

---

81. Myślał również o małoletnich sierotach, których wiele znajdowało się w mieście i w całej djecezji, a brak opieki narażał je na wszelakie niebezpieczeństwa. Założył więc dla nich schronienie i opiece Sióstr Miłosierdzia je powierzył.

Urządził dwie szkoły dla dziewcząt, jedną dla zamożniejszych, drugą dla ubogich, ażeby będąc równemi przed Bogiem, były też jednako kształcone i w zasadach ewangelicznych chowane.

---

81. Przyszedł też z pomocą nieszczęsnym obłąkanym; więcej niż ktokolwiek bądź potrzebującym materjalnej pomocy, a narażonym nieustannie na pośmiewisko tłumu.

Udało mu się nie bez trudu otworzyć przytułek dla warjatów, bardzo dobrze zorganizowany, czemu przyklaśnięto gorąco. Opiekę nad obłąkanymi objęły również Siostry Miłosierdzia.

W ten sposób troskliwy pasterz potrafił zabezpieczyć ludność miejscową od wielu nieprzyjemności, gdyż szaleńcy, będąc niepoczytalnymi i nie odpowiadając za swe czyny, dopuszczali się nieraz gorszących wybryków, budzących wśród mieszkańców oburzenie.

---

82. Jeszcze jedno bardzo doniosłe dzieło, o którem marzył od młodu, leżało mu na sercu: chodziło o założenie schronienia dla kobiet upadłych, pragnących powrócić na dobrą drogę.

Udało mu się zwalczyć tysiące przeszkód, niedopuszczających do spełnienia jego szlachetnych zamysłów.

Koniec końców potrafił pokonać uprzedzenia i niechęć publiczności i zdobył pomieszczenie, w którym urządził ten przytułek.

Sprowadziwszy z miasta Angers, we Francji, zakonnice Dobrego Pasterza, powierzył im ster tego miłosiernego dzieła, urządzając je w ten sposób, ażeby pokutnice uczyły się i zaprawiały do różnych rzemiosł.

Ponieważ Siostry Dobrego Pasterza przybyły do Imoli wcześniej niż to było oznaczone, a schronienie nie było jeszcze ukończone, Sługa Boży ofiarował im uprzejmie gościnę w swoim pałacu, przyjmując je z taką czcią i poważaniem, jak gdyby aniołów z nieba, ku zbawieniu jego djecezji zesłanych. Sam im usługiwał do stołu z taką niezmierną pokorą, na jakąby się żaden ze sług z pewnością zdobyć nie potrafił.

---

83. Mądrość i przezorność Sługi Bożego w rządzeniu djecezją, wysoce przez papieża były cenione. To też, gdy okazała się potrzeba wysłania godnego przedstawiciela na dwór francuski, Jego Świątobliwość wyznaczył Mgra Mastaï Nuncjuszem w Paryżu. (Breve wydane w maju 1838 r.).

Niopodobna wyrazić boleści Sługi Bożego, gdy dowiedziawszy się o tem pomyślał, iż wszystkie podjęte przez niego trudy, dobro djecezji mające na celu, pójść mogą na marne.

Głęboko zasmucony, nie tracąc jednak nadziei, wystosował do kardynała Palidori ów list wspaniały, w którym maluje się niezmierna jego pokora:

„Wasza Eminencjo.

„Jego Eminencja, arcybiskup Raweny, oznajmił mi w sposób przyjacielski i poufny, że mogę być mianowany Nuncjuszem w Paryżu. Oceniam wysoce, jak przystoi, doniosłość tej misji i jestem zawsze gotów spełnić posłusznie nietylko rozkaz, ale nawet życzenie Jego Świątobliwości, chociażbym nawet miał udać się z powrotem do Chili. Jednakże uważałbym za wykroczenie względem własnego sumienia, oraz wobec tak zaszczytnego dla mnie zaufania, gdybym nie wyjaśnił tych wszystkich trudności, które sprzeciwiają się spełnieniu przezemnie tak godnego zazdrości urzędu. Zwracam się do Waszej Eminencji, ponieważ wieść owa musi mu już być wiadoma i proszę wierzyć, że nie jest to z mej strony skromność udana: pragnę tylko przedstawić owe trudności, a zanim się zdecydowałem je wyrazić, modliłem się gorąco i prosiłem, aby dusze miłe Bogu za mnie się też modliły.

„Przedewszystkiem nie znam języka, gdyż nie mając go dostatecznie w użyciu, mówię źle, a gorzej jeszcze piszę po francusku. Następnie pamięć mam obecnie tak osłabioną, że zdarza mi się niekiedy zapominać o najdonioślejszych sprawach. Obawiam się też obowiązkowego kontaktu (wchodzenia w stosunki) z duchowieństwem czcigodnem ze względu na swe cnoty i naukę; lękam się słusznie, iż nie potrafię odpowiedzieć godnie tak wysokiemu stanowisku.

„Wasza Eminencja pamięta zapewne jeszcze mój egzamin w r. 1827 przed konsekracją na biskupa, może więc osądzić, jak poważne są te trudności. Wreszcie przypomnieć muszę dawniejsze przypadłości i często powtarzające się niegdyś ataki epileptyczne, które mię do r. 1818 dręczyły i silny wpływ na mą pamięć wywarły. Czy nie należałoby obawiać się, że takowe pod wpływem odmiennego klimatu powtórzyć się mogą? Przedstawiwszy to wszystko wyrażam jedynie życzenie: aby Wola Boża wypełniła się nademną i o to tylko się modlę".

---

84. Trudno opisać radość Sługi Bożego, kiedy dowiedział się, że niebezpieczeństwo wyjazdu do Francji zostało usunięte. Zabrał się więc z nowym zapałem do pracy i myślał już tylko o uskutecznieniu swych rozległych planów.

Jeszcze rok nie upłynął od owego dnia, gdy powzięto zamiar powierzenia mu nuncjatury w Paryżu, gdy już 15 marca otrzymał pismo od kardynała Lambruschiniego, sekretarza Stanu Jego Świątobliwości. W piśmie tym oznajmia mu, że ma się wyrzec obecnego biskupstwa, a natomiast zająć

stanowisko nuncjusza w Neapolu, oraz że będzie następnie wysłany na nuncjaturę znacznie większego znaczenia.

Nowe to mianowanie świadczyło wymownie, jak wielkiem w Rzymie cieszył się poważaniem i jak sekretarjat Stanu oraz sam papież wysoce go cenili. Ale Sługa Boży pomimo to wszystko nieomieszkał uciec się do swych niewinnych wybiegów, aby odwieść papieża od powziętego zamiaru. Udało mu się to za pośrednictwem kilku przyjaznych sobie kardynałów.

---

84. Przyszedł wreszcie dzień, w którym czyny Sługi Bożego otrzymały zasłużoną nagrodę.

Papież Grzegorz XVI na tajnym Konsystorzu z d. 23 grudnia 1839 r. mianował Mgra Maistaï *in petto* kardynałem i zawiadomił go, że ogłosi nominację publicznie d. 14 grudnia r. 1840.

Nie była to zbyt radosna dla Sługi Bożego nowina i wszelkiemi siłami starał się od tego zaszczytu uwolnić, nie uważając się dość godnym, aby tak wysoki urząd piastować.

Pisał pod datą 27 października, do przyjaciela swego, kardynała Falconieri, arcybiskupa raweńskiego:

„Wasza Eminencjo
drogi mój przyjacielu.

„Jego Eminencja, kardynał Lambruschini oznajmił mi w tajemnicy (jaka i Waszej Eminencji była zaleconą), o mojej nominacji. O, jakież to zawstydzenie dla mnie, jakżem niegodzien jest tak wysokiego dostojeństwa! Promują mnie kardynałem! Błagam Waszą Eminencję o polecenie mnie Bogu i przyjścia mi światłą radą z pomocą...“

---

86. Sługa Boży nie pozostał bezczynnym wobec takiego wywyższenia, prosił o radę, modlił się oraz błagał, aby się na jego intencję modlono, zanim wysłał odpowiedź do Rzymu.

Jako dowód posłużyć może list, pisany przez niego d. 2 listopada do tegoż kardynała:

„...Otrzymałem wiadomość w chwili, gdy odbywałem rekolekcje; podałem O. Segui list ów do odczytania, położyłem go następnie pod moim krucyfiksem, gdzie dwadzieścia cztery godziny przeleżał; kazałem wiele mszy świętych odprawić; po tem wszystkiem i po długich modłach z mej strony, O. Segui powiedział mi, że nie powinienem odmawiać, lecz przyjąć to nowe, tak wysokie dostojeństwo“.

---

87. Cała ludność Imoli, oddawna wyczekująca z upragnieniem przyozdobienia dostojnego arcybiskupa w kardynalską purpurę, nie posiadała się z radości, dowiedziawszy się w końcu października, że Sługa Boży otrzymał już z Sekretarjatu Stanu zawiadomienie, aby gotował się w drogę do Rzymu.

Pomyślną nowinę obchodzono uroczyście, przez illuminację miasta i wspaniałe fety.

Kapituła w imieniu duchowieństwa i ludu wystosowała do Ojca św. za pośrednictwem Mgra Anibala Ginnasi'ego list dziękczynny, za zaszczyt uczyniony Kościołowi i djecezji imolańskiej.

---

88. D. 14 grudnia, to jest w dniu, gdy Mgr Mastaï został kreowany kardynałem, całe miasto znów powtórzyło oznaki swego żywego uradowania.

D. 20, tegoż miesiąca w katedrze wspaniale przybranej, Kapituła odśpiewała mszę świętą solenną, oraz *Te Deum* w obecności rady miasta, duchowieństwa i proboszczów miasta; następnie rozdano szczodre jałmużny ubogim z miasta i przedmieść.

Nazajutrz na życzenie magistratu odbyło się znów nabożeństwo i miasto było iluminowane.

---

89. Oznajmienie o powrocie Jego Eminencji, kardynała Mastaï do Imoli obudziło radość i zapał wśród całej ludności.

Kapitula wysłała na jego spotkanie dwóch deputowanych *ad principes* aż do Forli.

Radni miasta postanowili wystąpić w pełnym składzie na spotkanie i wysłali ze swej strony dwóch delegowanych do Rimini dla złożenia powinszowań kardynałowi, a także dla uproszenia, aby dozwolił na urządzenie oficjalnego przyjęcia. Zdecydowano, że deputacja Kapituły i magistratu wystąpi łącznie, dając jednak pierwszeństwo Kapitule i że oprócz tego pięciu delegatów Kapituły i pięciu z magistratu będą oczekiwali kardynała przed miastem.

---

90. Wjazd kardynała Mastaï do Imoli, d. 11 utego 1841 roku odbył się tryumfalnie.

Za obrębem miasta, około willi św. Łazarza oczekiwało nań oprócz deputacji, duchowieństwo świeckie i zakonne, bractwa, członkowie magistratu, urzędnicy cywilni i wojskowi. Wszyscy obecni wydawali okrzyki radości, śpiewali hosanna, sypały

się błogosławieństwa i wśród ogólnego podniosłego nastroju Sługa Boży przybył do katedry. Tam otrzymawszy błogosławieństwo Najświętszego Sakramentu udał się do pałacu, gdzie wszystkim wyraził swe podziękowanie.

---

91. Troskliwość Sługi Bożego przekraczała nawet granice swej djecezji, dosięgając stron dalszych.

Poważanie, jakiego Stolica Apostolska darzyła sprawiło, że powierzono mu w czerwcu 1841 r. kierownictwo bardzo ważnego i rozległego klasztoru Sióstr Dominikanek w djecezji Faenza i mianowano go wizytatorem apostolskim.

Niepodobna wypowiedzieć, jak dużo dobrego w krótkim czasie uczynił dla tych zakonnic kardynał Mastaï; potrafił pobudzić je do nadzwyczajnej pobożności, przestrzegania ścisłego reguły; wprowadził też ulepszenia w administracji, ku wielkiej swej radości i zadowoleniu.

---

92. D. 13 września 1842 r. był dniem trwogi i przerażenia w czterech prowincjach, spadla bowiem ulewa, istny potop, który sprawił okropne spustoszenia. Rzeki wylały, bardzo wiele domów uległo zupełnemu zniszczeniu; kaplice niektóre zostały zwalone, dużo bydła padło ofiarą klęski, a całe zbiory zboża uniosła woda.

W kilku miejscach woda dosięgała sześciu stóp: w niżej położonych częściach miasta dochodziła do pierwszego piętra i ze wszystkich stron dawały się słyszeć narzekania z powodu strat przez straszną ulewę wyrządzonych.

Modły publiczne, *triduum* i czynione pokuty nie zdołały przebłagać Bożego gniewu: Sługa Boży głosił ludowi pokutę i hojnie udzielał pomocy, z której wszyscy korzystali sowicie.

---

93. Przykry wypadek zasmucił całe miasto, we wrześniu 1848 r. Sługa Boży omal nie wpadł w ręce bandy buntowników, którą dowodził pewien Piemontczyk, Ignacy Ribotti. Wiedziony nienawiścią sekciarską, zebrał on dwóstu młodych ludzi z Bolonji, uzbroił ich jako tako, zawładnął drobnymi posterunkami w Emilji i zwrócił się w stronę Imoli, gdzie miał swych stronników i współdziałaczy.

Ribotti ów, polecił Ludwikowi Giugni i kilku innym towarzyszom, aby porwali Bożego Sługę, gdy ten znajdował się z gośćmi swemi, kardynałami Amatem Legato i Falconieri'm, arcybiskupem raweńskim w zamiejskiej willi.

Zamach ten nie udał się, raczej wszelako dzięki Opatrzności, niż przez zapobiegliwość i czujność władzy.

---

94. Całe miasto było zrozpaczone tym wypadkiem i tem więcej jeszcze starano się okazać kardynałowi Mastaï swe przywiązanie oraz radość z powodu nieudanego porwania.

Sługa Boży przedewszystkiem złożył Stwórcy dziękczynienia, następnie zaś z całą gorliwością zajął się utrzymaniem w mieście spokoju i przywiedzeniem do posłuszeństwa zbuntowanych.

W dalszym ciągu pracował dla dobra swej djecezji, a rozpościerając miłosierdzie aż po za jej granice, zachęcał wszystkich udających do niego po poradę, do gorliwej pracy dla chwały Bożej i dusznego zbawienia, oraz ku podniesieniu czci Stolicy Apostolskiej.

---

95. D. 1 czerwca 1846 r. zmarł papież Grzegorz XVI w Watykanie.

Włochy znajdowały się podówczas w bardzo opłakanym stanie. Pomimo pozornej obojętności dla Stolicy Apostolskiej, oczekiwano wszędzie z pewnym niepokojem, chociaż z odmienych zgoła pobudek, wyboru nowego papieża.

Według różnych przepowiedni następcą Grzegorza XVI miał zostać człowiek wybrany przez Opatrzność dla dokonania wielce doniosłych rzeczy.

Z pomiędzy tych przepowiedni szczególniej silne wrażenie wywarły słowa czcigodnej Anny Marji Taïgi, zmarłej na kilka lat przed Grzegorzem XVI; oznajmiła ona i określiła w ten sposób przyszłego papieża:

„Bóg zeszle świętego według serca swego, którego szczególnemi darami przyozdobi, da moc czynienia cudów i będzie błogosławił jego zamysłom. Papież wybrany zostanie w sposób niezwykły; wprowadzi wielkie reformy, bardzo wielu heretyków do jedności z Kościołem św. przywiedzie i nad nieprzyjaciółmi swymi tryumf odniesie. Imię jego w całym świecie będzie błogosławione przez ludy, a wzbudzać będzie obawę wśród władzców; sułtan nawet poważać go będzie i wyszle poselstwo dla złożenia mu powinszowania. Ten Ojciec święty wyjątkowo kazać będzie dla ludu i otrzyma pomoc od świata całego.

---

96. Z sześćdziesięciu dwóch kardynałów, z których złożonem było Święte Kolegjum po śmierci Grzegorza XVI trzydziestu należało do Kurji rzymskiej i przebywało w Rzymie.

D. 2 czerwca zebrali się w pałacu apostolskim Kwirynale dla pierwszych obrad przygotowawczych i tam postanowiono, ażeby Konklawe odbyło się w tymże pałacu.

Kardynał Micara, dziekan Świętego Kolegium; kardynał Opizzoni, arcybiskup boloński i kardynał Tomasz Riario Sforza wyznaczyli solenne otwarcie na dzień 14 t. m.

Wysłano wówczas sztafety do biskupów i legatów, przebywających we Włoszech i zagranicą z doniesieniem o zgonie Papieża oraz o otwarciu Konklawe.

---

97. Kardynał Mastaï znalazł się podczas przybycia sztafety z Rzymu nieopodal Imoli, w ustronnym domu, pod wezwaniem Najśw. Panny *del Piratello*, w którym odbywał rekolekcje ze swym duchowieństwem.

Jego marszałek dworu pośpieszył zanieść mu depeszę i zastał kardynała modlącego się na klęczkach.

Kardynał Mastaï dokończył medytacji, złamał pieczęć i dowiedział się o zgonie Papieża i przyszłem Konklawe.

Wieść żałobna wycisnęła mu łzy gorzkie z oczu. Odjechał wnet do Imoli dla uregulowania kilku spraw ważniejszych, zarządził, aby celebrowano jak najwspanialej (pomimo rozpoczętych przy odnawianiu katedry robót), nabożeństwo żałobne za Papieża, poczem dn. 6 czerwca opuścił Imolę, udając się do Rzymu i na Konklawe.

Przy tej okoliczności wystosował do duchowieństwa i ludności imolańskiej ten wzruszający komunikat:

„Nie możemy powstrzymać się, czcigodni i ukochani bracia nasi w Chrystusie, aby nie szukać osłody w strapieniu, uciskającem nasze serce, przez podzielenie się z wami bolesną wieścią o stracie, jaką poniósł Kościół św. i Państwo Kościelne w osobie Jego Świątobliwości Grzegorza XVII.

„Niezwykłe cnoty, gorliwość apostolska, wiedza, stałość jego kapłańskiego serca nie mogą nie obudzić w nas wszystkich żalu, z powodu poniesionej straty. Ale możliwem jest, że obok doniosłych przymiotów, któremi się najdostojniejszy zmarły wyróżniał, jakieś ludziom właściwe usterki wkradły się do tysiącznych, nieobliczalnych trudów jego ciężkiego panowania i właśnie te drobne przewinienia mogłyby mu stanąć na przeszkodzie do przeprzekroczenia natychmiast progów przybytków wieczności. Pomnażajmy więc gorące modły, które oby przyczyniły się do przyspieszenia dlań godziny największego szczęścia, znalezienia się na łonie Króla chwały.

„W tym celu rozkazujemy, aby w naszej katedrze oraz we wszystkich parafjach odbyły się zwykłe modły za duszę zmarłego Papieża.

„A ponieważ ten bolesny cios zmusza mię do opuszczenia was na czas pewien, miło mi jest, o drodzy moi, zapewnić was, że w dowód szczerej życzliwości, jaką dla was żywię, ani jednego dnia nie opuszczę, abym nie myślał o was u stóp Księcia pasterzy dusz naszych i proszę was, w imię Chrystusa Pana naszego, abyście zechcieli odwzajemnić mi choć w części moje dla was przywiązanie.

„Módlcie się więc przedewszystkiem, aby Kościół św. osierocony, otrzymał Głowę, posiadającą wszystkie zalety, potrzebne do niesienia ciężkiego brzemienia, którym ma być obarczoną, a które smutne czasy obecne jeszcze dotkliwszem czynią".

---

98. W podobnych okolicznościach nie omieszkują zwykle wynajdywać w każdym z kardynałów, jakieś osobliwsze oznaki przyszłego wywyższenia.

Co zaś do kardynała Mastaï, działy się istotnie rzeczy niezwykłe, wskazujące wyraźnie, że jest to człowiek przez Opatrzność wybrany dla rządzenia Kościołem powszechnym.

Kiedy żegnał się z Siostrami Miłosierdzia, które do Imoli sprowadził i kiedy polecał im modlitwy na intencję przyszłego papieża, jedna z nowicjuszek poczęła rzewnie płakać. Gdy ją zapytano o powód zmartwienia, odpowiedziała, że kardynał nie powróci już do Imoli, bo będzie obrany papieżem, dodała przytem, że wówczas wiele dobrego dla Kościoła św. uczyni.

W klasztorze Najśw. Sakramentu w Foniano, kardynał przyjął obedjencję zakonnic tam przebywających.

Jedna z nich, odznaczająca się wielką prostotą, prosiła go usilnie, życząc mu szczęśliwej podróży, aby przysłał jej z Rzymu, jak tylko zostanie papieżem, pasport prosto do raju, albowiem ona ogromnie się czyśca lęka.

W Cautiono gołąb biały usiadł na wierzchu karety kardynała i napróżno usiłowano go pojmać lub spłoszyć. Jednocześnie małe dziecię, nie umiejące jeszcze mówić, na kolanach matki spoczywające, ujrzawszy przejeżdżającą karetę kardynała, zawołało wyraźnie:

— Papież!... Papież!...

---

99. Jeszcze dziwniejszy fakt zaszedł w Fossombrone, gdzie kardynał zatrzymał się, podczas gdy przeprzęgano konie.

W chwili, gdy tłum otoczył kardynała, podziwiając świeżość i czerstwość jego twarzy, para gołębi usiadła na karecie. Nic nie pomogły krzyki i odpędzanie, gołębie nie odlatywały, aż dopóki powóz nie ruszył.

Widziano w tem znak pewny przyszłego wywyższenia Sługi Bożego.

Wreszcie wszystkie te wróżby i przepowiednie zostały usankcjonowane przez wierną służebnicę Bożą, Agnieszkę Steinar:

Pewnego dnia, kiedy kardynał celebrował mszę św. w dzień Bożego Ciała w klasztorze św. Jana Chrzciciela z Nocery i całe zgromadzenie było temu obecne, zostało jej objawionem, że kardynał Mastaï będzie obrany papieżem.

Oznajmiła o tem przeorowi katedralnemu, ks. Franciszkowi Amoni.

---

100. Pius VII przepowiedział również obiór Piusa IX, jak się to z następnego dokumentu okazuje:

O. Barnaba Minoryta pisze w swem dziele pod tytułem: *O ostatniem prześladowaniu Kościoła św. i o końcu świata* (drukowanem w Fossombrone w r. 1861 u Metauro, 221 str., tom IV).

„Fakt niezwykły przytrafił się w tej chwili:

„W Perpiceto mieszkał syn służącego Piusa VII-go, znajdującego się w Fontainebleau wraz z papieżem, podczas jego ostatnich dni tam spędzonych.

„Papież wręczył mu papier zapieczętowany, własnoręcznie napisany, rozkazując oddać synowi służącego, z zaleceniem nie otwierania go, aż do 1846 r.

„Stary sługa spełnił rozkaz, ale syn jego zapomniał o tem piśmie i nie miał pojęcia, co ono zawiera.

„Podczas Konclawe z 1846 r., będąc zmuszony prowadzić jakiś proces, przeglądał dokumenta rodzinne, aby odszukać w nich potrzebne papiery i wówczas owe pismo papieża Piusa VII wpadło mu do ręki. Otworzył je i ze zdumieniem znalazł tam własną ręką papieża skreślone oświadczenie, że biskup, który będzie jego następcą w Imoli, zostanie obrany papieżem w r. 1846 i nosić będzie imię Piusa IX. W dalszym ciągu był tam opis prześladowań, jakie go czekają i tryumfów odniesionych aż do dnia jego „późnego zgonu".

„Człowiek ów udał się wnet do radnych miasta i oznajmił im, że tego a tego dnia papież będzie obrany i że wybór padnie na imolańskiego kardynała.

„Z początku sądzono, że człowiek ów jest obłąkany. Ale jakież było zdumienie radnych i całego miasta, gdy proroctwo istotnie się spełniło. Miałem sposobność odczytania tego listu w oryginale oraz całego procesu, który wyniknął z tego powodu. Nawet wypadki aktualne były tam naprzód oznajmione".

Tak piszę O. Barnaba, który niestety nic o przyszłości nie mówi.

Diego Tasi z Imoli, zaciekawiony tem proroctwem, zapragnął zasięgnąć bliższej wiadomości, zwrócił się więc do pewnego czcigodnego kapłana, będącego z nim w przyjaźni, a znającego owego P., syna starego sługi Piusa VII, szczęśliwego posiadacza, a być może zbyt zazdrośnego strażnika owego cennego dokumentu.

Kapłan ten pisał do Diego Tasi pod datą 5-go marca 1863 r.:

„Nie mam możności w danej chwili zdjęcia kopji lub odczytania drogocennego, a zazdrośnie strzeżonego proroctwa, ale postaram się dać ci przynajmniej o niem wyobrażenie, w miarę tego, jak zachowałem je w pamięci po ośmiu leciech".

W liście tym powtórzone są najprzód okoliczności, w jakich przewidzianem było wyniesienie na Stolicę Apostolską imolańskiego arcybiskupa i jak po śmierci Grzegorza XVI ów P... oznajmił o jego przyszłym obiorze, tak samo zupełnie, jak O. Barnaba podaje.

Następnie jest jeszcze taka wzmianka:

„Przepowiednia zapowiada, o ile mi się zdaje, że pierwsze dnie nowego papieża będą pełne chwały, ale powiedzianem tam jest również, że dwa miecze przebiją to niebiańskie serce [1]). Jednakże owe miecze zostaną stałością męczeństwa pokonane, tryumfować będzie nad nimi, a ostatnie dni Jego życia będą pełne chwały, na podobieństwo pierwszych dni panowania".

„Że owa przepowiednia znajdowała się w ręku P... przed objawionemi w niej wypadkami, dowiedzionem jest przez autentyczne listy, które to potwierdzają.

Pomiędzy nimi wymienić należy list gonfaloniera W. S.

Zwycięzenie pierwszego z tych mieczów jest dziś faktem spełnionym, nie wątpimy też, że z drugim to samo nastąpi".

Patrz: *Il Vaticinatore* nowy zbiór przepowiedni i proroctw. *Il futuri destini degli Stati e delle Na*

---

[1]) W tych dwóch mieczach autor upatruje symbol dwóch powstańczych zaburzeń, które miały miejsce w Państwie Kościelnem w r. 1849 i 1859. Czytelnik zdając sobie sprawę z obecnego stanu rzeczy, może objaśnieniu temu nadać szersze znaczenie.

tione. Przyszłość Państwa i Narodu. Turyn 1862 r., druk F. Martinengo i Spółki, str. 292.

Wobec tych pomyślnych przepowiedni Sługa Boży przybył do Rzymu, po południu 12 t. m. i zamieszkał u Benedykta Filipani'ego, na placu Ara-Coeli pod Nr 11, w pałacu Stefanori.

---

101. Po śmierci Grzegorza XVI czasy były ciężkie i trudne, co pozwalało przypuszczać, że Konclawe trwać będzie długo.

Istotnie nie było rzeczą łatwą wybrać z pomiędzy grona kardynałów, człowieka zdolnego do rozstrzygnięcia ważnych spraw tak religijnych, jak cywilnych.

Bezimienne listy nadchodziły do Świętego Kolegium już to z samego Rzymu, już to z różnych poselstw i groziły otwarcie rewolucją, jeżeli nie będzie obrany papieżem człowiek energiczny, gotów na przeprowadzenie reform pożądanych, o które się dopominano.

Kardynałowie byli strapieni i nie wiedzieli sami, jaki uczynić wybór. Ich niepokój wyrażał się głównie w ostrożnościach przedsięwziętych przez Święte Kolegium dla zabezpieczenia spokoju w Państwie Kościelnem w nieobecności legatów i biskupów. Mgr Podskarbi generalny, podzielając zdanie kardynałów, rozkazał wybić medal doroczny, który miał być rozdawany w dzień św. Piotra z wizerunkiem apostołów Piotra i Pawła. *sede vacante.*

Zdaje się, że jeden tylko kardynał Mastaï był odmiennego zdania.

Mgr. Joachim Pecci, biskup Peruzy, następnie kardynał i papież, panujący pod imieniem Leona XIII-go, znajdował się naówczas w Rzymie, a wiedząc ze słyszenia o wielkich zasługach i cnotach biskupa z Imoli, postarał się osobistą z nim zawrzeć znajomość.

D. 14 z rana odwiedził go, został przyjęty, poczem długą i przyjacielską wiedli z sobą rozmowę. Mgr Pecci wyraził żal z powodu niemożności oczekiwania w Rzymie wyniku Konklawe, które zapewne długo potrwa.

Kardynał Mastaï zapewnił go, że niepowinien się niepokoić, albowiem według jego mniemania Konklawe nie przeciągnie się zbytecznie. I tak istotnie się stało, a Mastaï zostawszy papieżem Mgra Pecci pierwszego u siebie przyjął.

---

102. Na d. 14 czerwca, w niedzielę po południu wyznaczono otwarcie Konklawe.

Kardynałowie zebrali się w małym kościołku św. Sylwestra w Kwirynale i stamtąd udali się według przyjętegó ceremonjału do kaplicy Paulińskiej, w obrębie apostolskiego pałacu.

Po krótkiej przemowie kardynała poddziekana, odczytano Bullę Grzegorza X i przepisy Grzegorza XV-go, dotyczące dyscypliny zachowywanej podczas Konklawe, następnie kardynałowie udali się do cel wyznaczonych.

Kardynał Mastaï miał celę pod N. 11 w pierwszym korytarzu.

Oddano kardynałom zwykłe w tym razie honory wraz z życzeniami; kilku znakomitszym osobom dozwolonem było zbliżyć się do nich, wkrótce jednak zabrzmiał dzwonek i wszyscy obcy musieli się oddalić.

Wyjścia zewnętrzne zostały zamurowane, a książę Augustyn Chigi, marszałek Konklawe, wziął do siebie klucze od głównego wejścia i od wież, kiedy już ceremonji zamknięcia dokonano.

---

103. Z rana dnia 15 czerwca kardynałowie rozpoczęli wotowanie.

Jak zwykle z początku zdania były podzielone nierównomiernie pomiędzy kardynałów: Lambruschini, Mastaï, De Angelis, Patrizzi, Gizzi, Soglia oraz innych. Drugie *scrutinium* mało różniło się od poprzedniego, lecz w trzeciem kardynał Mastaï, mający dotąd tylko dwadzieścia głosów, otrzymał ich dwadzieścia siedm po *accesit.*

Tak więc postać biskupa z Imoli występowała coraz wyraźniej.

Kardynał Falconieri zwrócił uwagę kollegów na cnoty i zasługi kardynała Mastaï, prosząc, aby dane za nim głosy przenieśli na biskupa z Imoli.

Wskazanie to było trafnem: Mastaï był w kwiecie wieku, zdolny znieść piętrzące się zawikłania wypadków, zapowiadających się wcale nie pocieszająco; był rodem z Państwa Kościelnego i znał dobrze potrzeby i życzenia ludności miejscowej; cieszył się miłością powszechną i poważaniem poselstw, z powodu swej dobroci i skłonności do reform oraz stronienia od polityki.

To były główne powody, skłaniające do dania mu pierwszeństwa nad innymi.

Powiadają, że kardynał Micaro, dziekan Świętego Kolegium, zapytany przez Lambruschiniego o możliwy wynik głosowania, odpowiedział:

„Jeżeli Duch św. przyjdzie nam na pomoc, Mastaï zostanie obrany; jeżeli zaś szatan się w to wmięsza, wybór padnie na mnie, albo też na Waszą Eminencję".

104. ... 16 czerwca przez otwarte okno królewskiej sali wleciał gołąb w obręb Konklave, latał czas jakiś, aż wreszcie usiadł na murze koło tronu kardynała Mastaï.

Dwa razy w tym samym dniu ujrzeli zebrani kardynałowie to samo zjawisko, a ponieważ fakt był znamienny, czyniono z tego powodu radosne wnioski i rozumiano, że obiór jest blizki.

Kardynałowie zebrali się po raz czwarty, mając niemal pewność, że to po raz ostatni i obrali trzech skrutatorów [1]), kardynałów: Mastaï, Vanniceli i Fieschi.

Nastąpiło wotowanie; przeważną liczbę głosów w liczbie dwudziestu siedmiu, otrzymał Mastaï, po *accessit* poczęły się one pomnażać nieprzerwanie.

Po trzydziestym Sługa Boży pobladł i uczuł, że opuszczają go siły, prosił więc Święte Kolegium, o chwilowe zawieszenie czynności.

Po krótkim odpoczynku, ponieważ nie wolno jest przerywać głosowania, w dalszym ciągu kardynał Mastaï spełniał swą powinność z pomocą kardynała Fieschi aż do trzydziestego szóstego wota.

Liczba była już aż nadto dostateczna dla obioru papieża.

Wówczas wszyscy kardynałowie z miejsc powstali, ogłaszając go Głową Katolickiego Kościoła.

Ten sam fakt byłby dostateczny do obalenia oszczerstw, rozprzestrzenianych przez złośliwe języki, jakoby obiór kardynała Mastaï był wynikiem długich i zręcznych intryg oraz żydowskiego złota.

---

105. Trochę przed 1-szą godz. w nocy z 16 czerwca zabrzmiał dzwon Paulińskiej kaplicy, wzywający sekretarza Konklawe i mistrzów ceremonji.

Ci ostatni znajdowali się w swych apartamentach i sam kardynał Opizzoni poszedł ich zawezwać.

Zaraz po przybyciu udali się oni wraz z kardynałami, zwanymi *„capi d'ordine“*, do nowo wybranego.

Kardynał Macchi, poddziekan, w nieobecności kardynała Micara dziekana, który był chory, wypowiedział mowę, poczem zapytał: czy przyjmuje wybór?

Papież odpowiedział z nadzwyczajną dobrocią i bardzo wymownie, ale silne wzruszenie i łzy nie dozwoliły mu dokończyć przemowy. Ponieważ nie rzekł jeszcze czy przyjmuje, należało powtórnie zadać mu to pytanie.

Odpowiedział na nie twierdząco:

– Przyjmuję, a ponieważ moim poprzednikiem na tronie biskupim w Imoli był Pius VIII, nazywać się będę Piusem IX.

Akt przyjęcia został spisany przez Mgra de Ligne i nowo wybrany Papież w asystencji kardynałów Sforza i Bernetti udał się do sąsiedniego lokalu dla przywdziania szat papieskich. Ponieważ brakło rokiety, Mgr Brancadaro oddał mu swoją.

Odprowadzono Jego Świątobliwość do kaplicy, gdzie przyjął obedjencję Świętego Kolegjum.

Kardynał Camerlengo włożył mu na palec pierścień Rybaka, który papież z kolei oddał mistrzowi ceremonji, aby na nim wyryto jego imię.

Po dokonanej ceremonji udał się papież do swej celi i złożył następnie wizytę kardynałowi Micara, któremu błogosławieństwa apostolskiego udzielił.

---

106. Przybywszy do swych apartamentów Papież napisał do braci list następujący:

„Rzym, 16 czerwca 1846 r.

„Drodzy bracia, Gabrjelu, Józeüe i Kajetanie.

„Podobało się Wszechmocnemu, który poniża i wywyższa, wynieść mnie niegodnego, do najwyższej godności na tej ziemi. Niech się zawsze dzieje Jego wola święta.

„Niezmierny ciężar tego nowego urzędu znam potroszę, jak również moją niezdolność, że nie powiem zupełną nieudolność umysłową.

„Każcie się modlić i módlcie się sami za mną! Konklawe trwało tylko czterdzieści ośm godzin.

„Gdyby dla wyrażenia swej radości chciało miasto wyprawić jaką publiczną owację, zarządzcie w ten sposób, aby przeznaczona na ten cel suma została użyta na korzyść miasta, według zdania naczelnika i starszych miejskich.

„Do was się, bracia moi, zwracam i ściskam serdecznie w Chrystusie. Zamiast się radować, litujcie się raczej nad bratem waszym, który wam wszystkim przysyła apostolskie błogosławieństwo.

Pius IX“.

Wysłano jednocześnie gońców do Mgra Eneasza Sbaretti wikarjusza generalnego w Imoli, do ciotki Sługi Bożego, hrabiny Mosconi w Jesi; do hrabiego Józefa Pila w Spoleto, oraz do Franciszka Amoni w Nocera Umbra: kurjer Filip Bonanni wyjechał około godziny 2-ej z rana d. 17-go czerwca do Sinigalji,

Tegoż dnia po ogłoszeniu wyboru Jego Świą-

[1]) Jeden miał vota otwierać, drugi takowe zapisywać, trzeci ogłaszać.

tobliwość przy pomocy Mgra Corboli Bussi, zawiadomił o tem europejskie dwory i wysłał listy przez kurjerów nadzwyczajnych poczty papieskiej.

---

107. Już d. 16 czerwca po południu rozeszła się pogłoska, że papież został obrany; a dowiedziano się o tem z powodu, iż marszałek dworu kazał krawcowi przygotować ubiór na wzrost mniejszy.

Wieczorem wieść o dokonanym obiorze stała się prawie pewną, ale dopiero po północy, gdy wysłaną została sztafeta do Sinigalji i Alessandroni, dowiedziano się, że wybór padł na biskupa imolańskiego i że przyjął on imię Piusa IX.

Godnem jest zaznaczenia, że wybór ten nie wydał się Rzymianom dość trafnym, albowiem miano nadzieję że kardynał Gizzi zostanie papieżem.

Jednakże już od 7-ej z rana dnia następnego to jest 17 czerwca, cały plac Kwirynału czernił się się od zapełniającego go tłumu. Około godz. 9-tej rozpadł się pod uderzeniem młotów mur, zamykający okno ganku błogosławieństw, nad wejściem. Ujrzano wówczas krzyż, a następnie kardynała Tomasza Riario, obwieszczającego ludowi imię Piusa IX-go przy odgłosach dzwonów i wystrzałach armatnich z zamku Św. Anioła.

Po chwili ukazał się sam Papież w otoczeniu Świętego Kolegjum, mocno wzruszony.

Wbrew zwyczajowi błogosławił lud kilkakrotnie. Po południu po raz pierwszy ukazał się na ulicach Rzymu udając się do bazyliki św. Piotra na trzecią adorację kardynałów. Ludność przyjęła go tym razem mniej zimno, niż z rana.

W następną niedzielę 31 czerwca po mszy papieskiej odbył się obrzęd koronowania, - czyli intronizacji w wielkiej *loggia* bazyliki watykańskiej. Był to widok wspaniały: przeszło sto tysięcy osób przybyło, pomimo wielkiego upału i zapełniło plac św. Piotra.

Przyjęcie zgotowane przez tłum było pełne szacunku, mimo to jeszcze dość chłodne. Oczekiwano napróżno amnestji, na którą liczono od chwili, gdy Pius IX natychmiast po obiorze, na prośbę brata swego kardynała, ułaskawił przestępcę politycznego, hrabiego Piotra Feretti.

Wieczorem tegoż dnia miasto było wspaniale iluminowane i to samo powtórzyło się przez dwa dni następne.

---

108. Pewna powściągliwość, objawiająca się w pierwszych chwilach wśród publiczności, ustąpiła miejsca gorącym objawom radości, gdy d. 2 lipca ujrzano Papieża idącego pieszo z Kwirynału do klasztoru Nawiedzenia. Odtąd obiór Piusa IX zaczęto uważać jako początek nowej ery, pełnej chwały dla religji i społeczeństwa.

I rzeczywiście Pius IX był właśnie Głową Kościoła, jakiej wymagały owe czasy. Urodzony i wychowany w epoce rewolucyjnej prędko pojął, jak wiele można zdziałać umiarkowaniem i dobrocią i jak w ten sposób opanować się dają namiętności wzburzonego ludu.

W r. 1831 będąc arcybiskupem spoletańskim, potrafił z rzadką przezornością niedopuścić do tego, aby rewolucja przyjęła groźne rozmiary i doszła do ostatecznych granic; wiedział on o co się dopominano, śledził przebieg zamieszek i cele ich były mu wiadome podczas pobytu w Imoli;—miał też głębokie przekonanie, że możnaby uśmierzyć rewolucję bez radykalnych zmian rządu.

Znał ludzi gruntownie,—doskonale wnikał w potrzeby chwili,—rozumiał zasady polityczne, w imie których oskarżano rządy papieskie i samego Papieża, jakoby jest nieprzyjacielem dobrobytu publicznego.

Od początku swych rządów Pius IX skłaniał się do wprowadzenia reform, będąc przekonanym, iż odmowa wywołałaby zaburzenia, zamiast je poskromić, następnie zaś dlatego, że nie chciał, aby mu miano za złe, w razie gdyby Państwo Kościelne zostało na niebezpieczeństwo narażone, iż nie umiał zastosować środków, które wielu za zbawienne uważa.

Środki owe, które już w *Memorandum* z Rimini były przedstawione zostały na nowo sformułowane w prośbie zwróconej do Konklawe. Była tam mowa o reformach w rodzaju tych, do których skłaniano Grzegorza XVI w *Memorandum* ułożonym pod datą 10 maja przez pięć mocarstw europejskich: Austrję, Francję, Anglję, Rosję i Prusy.

---

109. Sługa Boży chciał niezwłocznie okazać się ojcem dla wszystkich i apostołom miłosierdzia.

Zaledwie wzniósł rękę dla błogosławienia narodom, już zaznaczył swe wyniesienie na tron Piotrowy aktem łaskawej wspaniałomyślności, który jeśli wywołał niezadowolenie śród licznych jeszcze naówczas stronników dawnych systemów rządzenia rozpostarł natomiast niebiańskie światło na całe masy dusz zbłąkanych i rodzin zrozpaczonych, a jednocześnie zapewnił spokój w Państwie Kościelnem i rozprzestrzenił wpływ zbawienny władzy papieskiej.

Nie upłynął jeszcze miesiąc od dnia obioru nowego papieża, gdy już ogłosił on amnestję dla

wszystkich przestępców politycznych, z warunkiem, że dadzą zapewnienie na piśmie i zaręczą honorem, iż łaski tej nie nadużyją i spełniać będą wiernie obowiązki prawych poddanych:

„W chwili właśnie (tak brzmią słowa dekretu o amnestji) gdyśmy oglądali, wzruszeni do głębi, radość wywołaną wyniesieniem nas na Stolicę Apostolską, nie mogliśmy się obronić uczuciu smutku na myśl o tem, że wiele rodzin wśród naszych poddanych nie przyjmuje udziału w ogólnem zadowoleniu, będąc pozbawione domowego spokoju i podlegając powiększej części karze zasłużonej przez jednego z członkow rodziny, za naruszenie porządku społecznego i praw świętych swego prawowitego księcia. Patrzyliśmy też ze współczuciem na tą młodzież niebaczną, która chociaż dała się wciągnąć przez nadzieje zawodne do zamieszek politycznych wydawała się nam raczej uwiedzioną niż uwodzącą.

Odtąd zamyślaliśmy wyciągnąć rękę i obdarzyć pokojem serca tych zbłąkanych synów, którzy zapragną szczerą okazać skruchę".

---

110. Tak uroczysty dowód wielkiego serca Piusa IX został przyjęty z niezmierną radością przez naród, nie tak nawet ze względu na sam fakt ułaskawienia, mogący nawet dać powód do sądów krytycznych, ale głównie dlatego, że był on niejako zapowiedzią nowego porządku.

Jednakże obce dwory nie mogące jeszcze wyjść z podziwienia w obec tak rychłego i szczególnego obioru nowego Papieża; zajęte mocno okolicznościami i następstwami tego wydarzenia, wysyłały pośpiesznie poselstwa dla złożenia powinszowań Jego Świątobliwości, i dla wyrozumienia zarazem, jakie są jego zamiary?

Rzym nie oglądał nigdy i prawdopodobnie nie ujrzy nigdy większego, ogólnego rozradowania, jak wówczas, gdy ogarnęło ono, wszystkie serca, nawet tych, którzy przybyli z za Alp i z za morza.

Bóg chciał, zaiste, rozniecić blask swej chwały i okazać światu, jak może uczynić nagle rzecz olbrzymią, a mianowicie, obudzić w sercach ludzkich uśpioną wiarę i przywieść do jednego Pasterza jedną owczarnię.

---

111. Sługa Boży pragnął położyć koniec niezadowoleniu, panującemu w Państwie Kościelnem, wywołanemu przez sekciarzy lub też przez przestarzałe metody sprawowania rządów i surowej administracji. Nie bez zachowania koniecznych ostrożności, jakiej doniosłość wprowadzonych reform wymagała, wyznaczył Papież w lipcu r. 1846 kongregację kardynałów dla spraw stanu, polecając rozpatrzenie ich, w celu wprowadzenia pewnych ulepszeń, bez naruszenia wszelako praw Stolicy Apostolskiej. Życzeniem jego było: „pracować nad dobrem i chwałą Kościoła św." oraz: „bronić energicznie i wytrwale godności Stolicy Apostolskiej", przyczyniając się zarazem „do spokojności i zgody chrześcijańskiego ludu," jak to sam mówił kardynałom dnia 27 lipca r. 1846.

Dopiero w sierpniu tegoż roku wybrał kardynała Gizzi na sekretarza stanu.

---

112. Papież szukając sposobu polepszenia warunków w swem Państwie, nie zaniedbywał jednocześnie obowiązków Pasterza całego chrześcijańskiego świata i dokładał usiłowań dla urzeczywistnienia pomyślnych ulepszeń, ku pożytkowi dusz.

O usiłowaniach tych mniej wogóle mówiono, ale tem łacniej weszły one w życie i wydały jak najlepsze owoce.

Pius IX zwrócił przedewszystkiem gorliwość swą ku Kościołowi powszechnemu i wystosował dnia 9 listopada Encyklikę *Qui pluribus*, upominając w niej biskupów, aby czuwali nad swą owczarnią i przestrzegali wiernych, chroniąc ich od błędów szerzonych przez nieprzyjaciół Boga i Kościoła św. Potępił zarazem błędy nowatorów, w szczególności zaś Towarzystwa biblijnego. Pobudzał następnie żarliwość biskupów, dla ożywienia wśród kapłanów ducha posłuszeństwa i karności, zalecając również to samo wszystkim zakonom.

W Rzymie przyczyniał się osobiście do dobra ludu, starając się w rozmaity sposób z nim zbliżyć i przyjmując go na audjencjach codziennych, dla lepszego oznajmienia się z jego potrzebami. Odwiedzał przytem szkoły ludowe, oraz chorych po szpitalach, więźniów w ciemnicach, uświęcając duchowieństwo świeckie i zakonne przez rekolekcje i ćwiczenia duchowne; sam miewał kazania w kościele św. Andrzeja *della Valle*; hojnym też był dla żydów ubogich, starając się ich wyrwać ze stanu moralnego zepsucia.

---

113. Pius IX nie omieszkał użyć wszelkich środków podniesienia materjalnego i moralnego ludów i starał się wprowadzać stopniowo reformy konieczne. Owocną też była podjęta przez niego praca około wzrostu znaczenia Państwa Kościelnego. Jeżeli zaś zamierzone przez niego reformy polityczne i administracyjne nie zostały urzeczywistnione, lub też uskutecznione były nie odpo-

wiednio, wypłynęło to ztąd jedynie, że nie znajdował w swych doradzcach, za małym wyjątkiem, równej sobie głębokości umysłu, należnego poparcia, i potrzebnej zachęty. Doradzcy ci słuchali z wielką czcią Sługę Bożego, ale zarazem zwracali oczy na Wiedeń!... I z tego powodu urzeczywistnienie zamiarów Piusa IX nie doszło do skutku, lub też w narodzie jego wykonane były tylko częściowo przedwcześnie i nie tak pomyślnie, jak sobie tego życzył.

Ztąd wynikało kiełkujące niezadowolenie, o którem zręczni ludzie starali się Papieżowi donosić i co sprawiało, że stawał się nieraz ofiarą i złych chęci.

---

114. Do rzędu reform politycznych zaliczyć należy utworzenie Rady ministrów i Rady stanu; Gwardji obywatelskiej i Statutu rządów cywilnych w Państwie Kościelnem. W tym rodzaju reform Sługa Boży okazał wiele przezorności, jeżeli weźmiemy np. Gwardję obywatelską, która już dwukrotnie była zaaprobowaną przez jego poprzednika, a jednak nie mógł się zdecydować na jej utworzenie, aż dopiero przykład innych książąt włoskich do tego go go skłonił, zresztą widział, że upragnioną jest ona przez wielu poważanych wielce obywateli w interesie porządku publicznego.

Co się tyczy Statutu, wydanego w marcu 1848 r. zdecydował się na ogłoszenie takowego z powodu reform zapoczątkowanych lekkomyślnie przez Ferdynanda II, króla neapolitańskiego, którego inni książęta, aczkolwiek niechętnie zapewne, naśladowali, w obawie aby coś gorszego jeszcze ztąd nie wynikło.

Pius IX osądził, że jeśli tylu książąt uważa podwładne sobie narody, za dostatecznie dojrzałe dla przedstawicielstwa nie tylko doradczego ale deliberującego i on również tak samo zapatrywać się na lud swój może.

„Nie chcemy, powiadał on, mniej od innych cenić Nasz naród i mniej jego wdzięczności zaufać".

Zawsze jednak miał na uwadze zachowanie praw Kościoła św. i Stolicy Apostolskiej.

Do rzędu reform administracyjnych zaliczyć należy ustanowienie zgromadzeń i prowincji, w szczególności Rady i Senatu w Rzymie, miary łodnośne w sprawie koncentracji trybunałów, zaprowadzenia statystyki kryminalistycznej, podniesienia rolnictwa przez założenie szkół agronomicznych, budowy kolei żelaznych, organizacji finansowych, regulacji rzek, szpitali, wykładów naukowych, rozwoju sztuk pięknych, podniesienia prasy i t. d.

---

115. Lud rzymski w dalszym ciągu urządzał radośne i pełne zapału demonstracje przed papieskim pałacem; owe objawy zachwytu trwały bez końca i granic, niepodobna opisać je szczegółowo; były one jednak dobrowolne i świadczyły o wdzięczności synowskiej dla Ojca św.

Wszelako manifestacje publiczne są obosieczną bronią i Pismo św. nas uczy, że *crucifige* nie jest zbyt od *hosanna* oddalone.

Nieprzyjaciele Kościoła św. czuwali nieustannie, gotowi skorzystać z tych objawów zapału, dla doprowadzenia Piusa IX dalej, niż pójść zamierzał. Książę Metternich dopomógł bezwiednie do ich przewrotnych planów. Wszechmocny kanclerz austrjacki zrozumiał lepiej od wielu obywateli Rzymu możebność szczęśliwego urzeczywistnienia idei Piusa IX, to też od początku wziął sobie za zadanie sianie waśni i nie dopuszczenie, aby się reformy wewnętrzne stopniowo i spokojnie rozwijały w tym czasie, gdy dojrzeją one w umyśle Piusa IX i w sumieniu podwładnego mu ludu. Ostatecznie książę Metternich doprowadził swe zamysły do skutku i stał się głównym winowajcą istotnej zaczepki przez zajęcie Ferrary (17 lipca 1847 r.)

Od tego dnia wojna o niepodległość stając się *porro unum* Włochów, wszystko inne na plan dalszy odsunęła.

I wówczas nawet bystrość umysłu Piusa IX jawnie się uwydatniła, albowiem w wyższych sferach on jeden tylko prawie rozumiał, że należy w interesie religji i polityki Austrji stawić opór i protestował tak energicznie, że zmusił Metternicha do cofnięcia się w miesiącu listopadzie.

---

116. Pius IX, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, wynikającego z demonstracji ulicznych, objawił na Konsystorzu z dnia 4 października 1847 r. w odezwie swej *Quisque vestrum*, że nie może dozwolić na to, aby imię jego znieważano, aby czyniono zeń okrzyk szyderczy, nadużywany przez największych wichrzycieli we Włoszech.

Zawiadomił o tem różnych panujących a mianowicie, Karola Alberta i Ferdynanda II i starał się ukrócić gwałtowne objawy zapału i radości wśród ludu.

Po za obrębem Rzymu zastosowano się po części do jego woli, ale inaczej się działo w samym Rzymie, gdzie górę brali tacy niecierpliwi działacze, jak Piotr Sterbini i popularny wielce Angelo Brunetti, zwany *Ciceruacchio*, nie licząc księcia Canino, który w ten sposób odwdzięczał się za gościnę, udzieloną prześladowanej rodzinie Bonapartych.

Wśród duchowieństwa mówiono dużo o Barnabitach Gavazzi i Bassi, pierwszy z nich byłto prawdziwy zapaleniec, drugi zaś pobożny, ale zbyt

nieopatrzny, oraz o Teatynie, O. Venturze, znakomitym kaznodziei, ale obdarzonym zbyt żywą i gorącą wyobraźnią, gotową przekraczać granice.

117. Wszyscy ci działacze, dążący do niepodległości Włoch, nie poprzestawali na skłanianiu Piusa IX do wojny z Austrją, ale wyzyskiwali niegodnie przy każdej okoliczności jego słowa i myśli, co go skłoniło do ogłoszenia dnia 10 lutego 1848 r. *motu proprio* do narodu, zaczynającego się od słów: „*Romani, ai desiderii vostri.*“ Wykazując faktami, iż słusznym ich żądaniom uczynił zadość, oraz przyrzekając uczynić to jeszcze nadal, troszcząc się jednak o zachowanie powagi i spokoju w Państwie, oznajmiał, że byłoby złudzeniem z ich strony wyobrażać sobie, iż przystanie kiedykolwiek na ich wygórowane wymagania, będące w sprzeczności z jego obowiązkiem, a ich pomyślnością, ponieważ byłoby to wywołaniem wojny, przygotowanej przez spiski wewnętrzne i przez nieprzyjazne wtrącanie się ludzi wpływowych.

Wszystko to było jasno wyłożone, ponieważ jednak papież zakończył odezwę prośbą, aby Bóg błogosławił Włochom i wiarę ich zachował, ci, w których interesie leżało przeinaczenie słów Ojca św. poczęli rozgłaszać, że pobłogosławił Włochy jednolite i niepodzielne.

Poczęto więc w dalszym ciągu urządzać demonstracje pod oknami Kwirynału, gdzie lud zbierał się tłumnie oklaskując i czyniąc wrzawę; niekiedy zaś mieszały się tam okrzyki powstańcze i Pius IX ukazawszy się na balkonie dla błogosławienia ludowi, rzekł dnia pewnego:

— Słyszę okrzyki i żądania, na które nie mogę i nie powinienem dozwolić.

Wypowiedział te słowa z taką siłą i wzruszeniem, że wszyscy byli zdumieni i jakby oniemieli

118. Pius IX pomimo, że był zupełnie zdecydowany do zbrojnej nawet obrony nienaruszalności Państwa Kościelnego, czuł się wszelako ojcem zarówno Włochów, jak i Austryjaków. Nie mógł więc wypowiedzieć wojny Austrji, bez zaczepki z ich strony. Jednakże pojmował również, że Włosi mają prawo do zjednoczenia i dla tego usilnie pragnął federacji, to jest zjednoczenia się poszczególnych Stanów, które by pogodziło dążenia patrjotyczne z prawami różnych sfer. Gdyby owa federacja postanowiła, że wojna o niepodległość jest nieunikniona, nie mógłby ze względu na swe stanowisko jednego z władców Państw, przyjmujących udział w federacji usunąć się od ogólnego postanowienia, pod warunkiem jednak, że wszystkie sposoby uspokojenia waśni drogą dyplomatyczną, zostaną wyczerpane. Wówczas nikt by mu nie miał prawa zarzucić zbrojnego wystąpienia przeciw katolickiej monarchji, albowiem jako jeden z panujących włoskich działał by w tym razie zgodnie z innymi w interesach zasadniczych włoskiego narodu.

Takiem było stałe postanowienie Papieża; ażeby je w czyn wprowadzić brakło wiele. Przedewszystkiem ambicje rozmaitych udzielnych książąt, nie posiadających umiarkowania, jakiem się Pius IX odznaczał, poczęły okazywać nieufność wzajemną. Z jednej strony zwolennicy dawnego porządku rzeczy, z drugiej zaś krańcowi zapaleńcy wprowadzali rozterkę wśród narodu, dyplomaci i ludzie prowadzący politykę wiedli wciąż płonne spory, tracąc czas napróżno, a kiedy przyszło do czynu, nikt prawie, albo bardzo niewielu tylko zrozumiało wielkie zamiary Papieża, a nawet i wówczas, gdy go zrozumiano, względy osobiste górowały, niestety, nad interesami Kościoła św. i całego kraju.

Okazywane Ojcu św. niedowierzanie, oszczerstwa, któremi go gnębiono budziły niekiedy wątpliwości w sercu Piusa IX i w ten to sposób jego najdroższe marzenia rozpraszały się powoli, dzięki złej woli jednych i zbyt małej inteligencji innych, aż dopóki nie rozwiały się one ostatecznie w Gaecie.

119. Pius IX począł myśleć o uskutecznieniu swego planu, rozpoczynając od zjednoczenia komory celnej; bieg wypadków zmienił by ją z pewnością z czasem w polityczne zjednoczenie i ztąd wypłynąćby mogła federacja Włoch.

Wahania Karola Alberta, nienawiści wielkiego księcia Leopolda i opozycja króla Ferdynanda przyczyniły się do wielkiej straty czasu.

Było to już w marcu 1848 r., a do żadnych poważnych wyników jeszcze nie doszło.

Rewolucja sycylijska w tym samym roku tymbardziej utrudniała położenie, wzbudzając nieufność i stawiając nowe przeszkody.

„Pięć dni medjolańskich“ (od 12 do 22 marca) sprawiły zupełne niepodobieństwo wypróbowania w sposób poważny i lojalny Ligi politycznej i wojskowej. Król neapolitański życzył sobie takowej, lecz dla odzyskania Sycylji; Karol Albert dla zwiększenia sił ku zdobyciu Lombardji. A wszystko to działo się w tym czasie, o czem zapominać nie należy, gdy lombardczycy, wenecjanie i sycylijczycy mieli wciąż tylko autonomję własną na myśli.

Wszyscy głosili nieustannie ludowi o zjednoczeniu, braterstwie, o lidze federacyjnej, ale w gruncie rzeczy każdy miał swój własny interes na celu, nie zgadzający się wcale z celami sąsiadów. Wszyscy też zwracali wciąż oczy na Rzym, ale chodziło

głównie o uczynienie Piusa IX rzecznikiem ich własnych zamysłów i pożądań.

Wobec szybko po sobie następujących wypadków i tak wielkiej różnicy zdań, wobec szalonej chciwości i najnędzniejszych pochlebstw, gróźb, intryg, w otoczeniu doradzców nieżyczliwych lub nieudolnych, częstokroć wystraszonych, czasem znów aż nazbyt zuchwałych, niedowierzających już to samemu Papieżowi, lub też jego otoczeniu, Pius IX nie tracił odwagi i czynił, co tylko mógł w danych okolicznościach, dbając zawsze przedewszystkiem o dobro Kościoła św. i Włoch, opierając się wyłącznie na własnem sumieniu, jako Głowa Kościoła Powszechnego.

---

120. Jednakże całe Włochy poczęły występować wrogo wobec państw ościennych.

Król Sardynji, Karol Albert, ogłosił wojnę o niepodległość i wkroczył do Lombardji.

W Rzymie zdzierano austrjackie flagi, O. Gavarri, Barnabita, głosił ludowi w Kolizeum *wojnę krzyżową*, a ministerjum wzywało ochotników dla wysłania ich na granicę pod dowództwo generała Durando.

Pius IX, błogosławiąc nowo zaciężnych żołnierzy, objawił im swoją wolę, aby nie przekraczano granicy, ale mimo to nie miał pod tym względem żadnych złudzeń.

Nawet przed przybyciem generała Jana Durando, kardynał Amat, legat w Bolonji, oznajmił Papieżowi odjazd ochotników z gwardji obywatelskiej do Ferrary i Comacchio, z zamiarem wygnania ztamtąd austrjackich garnizonów, które znajdowały się tam od 1815 r., pomimo protestów kilkakrotnych Stolicy Apostolskiej.

Kardynał Antonelli, sekretarz Stanu i prezydent Rady ministrów, przewidując, że wojsko z ochotników złożone, nie bacząc na polecenie Piusa IX przekroczyć granice jest gotowe, pisał do delegata pod datą 31 marca:

„Jeżeli na nieszczęście głosu władzy nie usłuchają, będziemy przynajmniej mieć to zadowolenie, żeśmy uczynili wszystko, co do nas należało w celu zachowania zupełnej neutralności".

Co prawda nie zdawano sobie dokładnie sprawy z tego, czem jest właściwie „neutralność". D. 4 kwietnia kardynał Antonelli istotnie oznajmił Mgr Massoni, znajdującemu się we Florencji, że zdecydowano połączenie wojsk toskańskich z papieskiem i z armją sardyńską, z tem jednak zastrzeżeniem, dotyczącem wojska papieskiego, że takowe ograniczyć się ma li tylko do obrony, ponieważ, jak pisał kardynał, „Stolica Apostolska nie chce występować w sposób zaczepny".

121. Depesza ta Antonellego wymownie świadczy o zupełnym braku pojęć, o taktyce wojskowej i strategicznej, zrozumiałem jest więc w danych okolicznościach ogromne zamieszanie w wydawaniu rozkazów i przeciw rozkazów, jakie nastąpiło potem i postępowanie generała Durando daje się tem poniekąd wytłumaczyć, jeżeli już nie usprawiedliwić.

Człowiek ten źle się przysłużył krajowej sprasprawie, podpisując z dnia 5 kwietnia 1848 r. rozkaz dzienny, złośliwie przez Maksyma d'Anzeglio nakreślony, w którem przedstawiwszy w sposób przesadny rzeczywiste wypadki i zamiary wystawiano wojnę z Austrją jako prawdziwą krucjatę, walkę religijną i chrześcijańską:

„Papież pobłogosławił wasz oręż; w połączeniu z armją Karola Alberta, musimy wspólnemi siłami wygnać nieprzyjaciół Boga i ojczyzny".

Pius IX zaprzeczył słowom generała i ogłosił w „Gazecie rzymskiej", że jeżeli pragnie wyrazić swe przekonania, czyni to sam bez niczyjej pomocy.

Od tego dnia jednak nic nie było w możności powstrzymać rozentuzjazmowanych żołnierzy i dnia 21 kwietnia 1848 r. generał Durando przeprawił się przez rzekę Po. W maju wraz z Ferrarim przywiódł na Piawę przeszło 16,000 ludzi z Państwa Kościelnego i rozpoczęła się zawierucha.

---

122. Pius IX nie mógł dozwolić, aby świat katolicki sądził, iż on przez miłość dla własnego narodu przedsiębierze walkę religijną z Austrjakami; to też oznajmił d. 27 kwietnia Mrg. Janowi Corbolli Bussi, że w parę dni później na Konsystorzu zada kłam niesprawiedliwie czynionym mu w Niemczech zarzutom rzekomego wywołania ogólnej ruchawki i udzielenia reform i amnestji.

„Papież, były jego słowa, z nikim wojny prowadzić nie chce, ale nie może przeszkodzić temu, by pragnienia włoskiego narodu nie popchnęły wojska, znajdującego się pod dowództwem generała Durando po za granice kraju.

„Co do mnie, objawiam otwarcie, że nie przyjmuję udziału w projektach zaborczych republikanów, którzyby chcieli uczynić Włochy rzeczpospolitą z Papieżem na czele, a to dlatego, że Stolica Apostolska nie myśli wcale o powiększeniu granic swych posiadłości ziemskich, a tylko troszczy się o rozszerzanie Królestwa Pana naszego Jezusa Chrystusa".

Takim był zarys przemowy, jaką Sługa Boży zamierzał wypowiedzieć. Nie była ona w sprzeczności z projektowaną przez niego Konfederacją narodową.

W ostatniej chwili tekst łaciński, który miał odczytać na Konsystorzu d. 29 został przekręcony w ten sposób, bez wiedzy Papieża, że wyglądał na zupełne potępienie ruchu narodowościowego i działań wzajemnych oddziałów papieskich po za rzeką Po.

---

123. Mowa ta wywołała rozruchy pomiędzy tymi, którzy widzieli w niej jawną niechęć dla sprawy włoskiej, oraz wśród rodzin, mających kogoś z bliskich w szeregach armji, znajdującej się po za rzeką Po.

Rozpoczęły się poważne manifestacje i niefortunne wystąpienia i zamachy przeciw rządowi i kardynałom i Sługa Boży zmuszony był kilku z nich dać schronienie w Kwirynale.

Żądano za wszelką cenę wypowiedzenia wojny Austrji. Papież jednak nie dał się skłonić ani chytrością, ani groźbą.

Ażeby poprawić następstwa onej oficjalnej odezwy, jeszcze d. 30 t. m. wieczorem Pius IX postanowił, że armja papieska, która przekroczyła Po, stanie pod chorągwią Karola Alberta, ażeby żołnierze, pomimo odezwy, nie życzący powrócić do Państwa Kościelnego, nie byli traktowani przez Austrjaków jako złoczyńcy.

Polecił też Mgr Franciszkowi Pentini uspokoić notą rodziny tych wszystkich, którzy się pod papieskie zapisali sztandary i mogliby być niepewni losu swych synów.

W całem tem zachowaniu się Pius IX, nie odstępując od zasad braterstwa z całym chrześciańskim światem, wykazał zarazem stałą swą przychylność dla włoskiego narodu.

Papież poprawił własnoręcznie notę Pentiniego, uczyniwszy w niej kilka zmian, więcej dotyczących formy niż treści. Miał nadzieję, że nota ukaże się w prasie d. 1 maja wieczorem, ale napróżno dopominał się o nią trzykrotnie w drukarni sekretnej, nie otrzymał jej wcale, a natomiast rano d. 2 maja rozgłoszono ją w odmiennej zgoła formie, pełnej pogróżek, przeinaczoną do niepoznania i nic a nic nie podobną do tej, którą sam dyktował.

---

124. D. 3 maja dla uspokojenia wzburzonych umysłów Rzymian, Pius IX powołał hrabiego Mamiani do utworzenia ministerjum spraw wewnętrznych.

Hrabia Terencjusz Mamiani della Rovere, cieszył się naówczas wielką popularnością.

D. 5 maja nowe ministerjum zostało zorganizowane, ale pomiędzy ministrami i Papieżem nie mogło dojść nigdy do zupełnego porozumienia, po części z powodu różnicy zapatrywań, głównie zaś przez intrygi kardynała Antonellego, ten bowiem po upadku ministerjum, w którym prezydował, pozostał w Kwirynale, jako prefekt papieskich pałaców i udało mu się koniec końców wykopać przepaść pomiędzy Papieżem a hr. Mamianim.

Losy państwa ważyły się, Sługa Boży widząc chaos wzrastający we wszystkich umysłach katolickich, zwrócił się z tkliwą pobożnością do Serca Niepokalanej Marji Panny, do Tej, o której napisano:

„Tyś sama jeno zwyciężyła herezje świata całego“ i błagał Ją, aby zdeptała wszystkie błędy ówczesnego społeczeństwa, którego on, Papież, jest przewodnikiem i panem, tak samo, jako zdeptała głowę węża.

D. 31 maja Pius IX wyznaczył pierwszych doradzców, którym powierzył przygotowania, dotyczące ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Marji Panny.

---

125. Przeciwności napotykane wśród otoczenia albo też ze strony buntowników, nie przeszkodziły Piusowi IX przyczyniać się do zgody i jak największej pomyślności Włoch; zwrócił się do cesarza austrjackiego Ferdynanda i prosił go o dobrowolne zrzeczenie się terytorjum po za Alpami, dając mu do zrozumienia, że bądź co bądź ta część kraju będzie dla domu Habsburgów straconą i że władzca Rzymu nie może działać zupełnie odrębnie od wszystkich innych książąt włoskich. Zachęcał więc do ogłoszenia sojuszu między Austrją i Włochami.

W ten sposób Pius IX miał zasługę stania się w Wiedniu pierwszym obrońcą unji germańskiej i włoskiej rasy.

Znaną jest treść listu papieskiego z d. 3 maja; po wielu przejściach boleśnych został on wręczony cesarzowi dopiero przez nuncjusza w Innsprucku, Viale-Prela d. 9 czerwca, to jest wówczas, gdy pośpieszny bieg wypadków sprawił podwójne odwołanie: ambasadora austrjackiego z Rzymu i nuncjusza apostolskiego z Wiednia.

Owo opóźnienie było istotnie fatalnem. Viale-Prela otrzymał pasport d. 10 i tegoż dnia przybył do Innsprucku. Mgr Ludwik Morichini, arcybiskup Nisiby wiozący list Piusa IX, w którym Jego Świątobliwość ofiarowywał się być pojednawcą zwaśnionych.

D. 20 czerwca był przyjęty przez cesarza, który cesarzową Marjannę prosił, aby przemówiła w jego imieniu.

Cesarzowa nie ukrywała wcale przykrości, jaką sprawiła im polityka Piusa IX. Morichiniego

skierowano do Wiednia, gdzie arcyksiążę Jan miał traktować o warunkach pokoju.

Tymczasem armja papieska kapitulowała, szczęście w tej wojnie sprzyjało Austrjakom, a minister Wessemberg, opierając się na rzekomem żądaniu ogółu, gdyż demonstracje właściwie sam wywywołał, zmusił wysłańca papieskiego do powrotu do Rzymu, nie osiągnąwszy nic zgoła.

Najlepsze intencje Piusa IX zostały w ten sposób w niwecz obrócone, gdy misja pokojowa spełzła na niczem.

---

126. D. 5 czerwca 1848 r. kardynał Altieri w imieniu Jego Świątobliwości rozpoczął przemową zebranie Rady prawodawczej.

Pius IX postanowił przejrzeć przygotowaną przez ministra Mamiani mowę, a znalazłszy ją uwłaczającą władzy papieskiej, cisnął na ziemię. Mamiani podniósł ów rękopis i następnie przedstawił w Izbie deputowanych, jako mowę poprawioną przez samego Papieża.

D. 10 czerwca przedstawiono Jego Świątobliwości odpowiedź Izby na przemówienie kardynała Altieri.

Dano w niej do poznania, że odtąd Papież ograniczy się sprawami duchownemi, powierzając sprawy świeckie mądrości parlamentu.

Pius IX odrzucił te dowodzenia i nawoływał deputowanych do zachowywania przepisów statutu, który istotnie od początku do końca tłumaczono sobie według własnego widzimisię. Mamiani poddał się do dymisji podczas, gdy na ulicach wzywano do broni przeciw Austrjakom, grożono śmiercią kardynałom i księżom i domagano się rządu prowizorycznego (tymczasowego).

Było to właśnie w tym czasie, gdy dowiedziano się o nowych gwałtach popełnionych w Ferrarze przez generała austrjackiego księcia Liechtensteina.

Chwila była ciężka, Mamiani posiadł teraz władzę, ale nie trwało to zbyt długo. W ostatnich dniach lipca Karol Albert został pobity pod Custozzą, a marszałek austrjacki, Welden, gotował się do odwołania poselstwa, wówczas to minister chciał zmusić Papieża nietylko do wypowiedzenia wojny Austrji, ale do rzucenia klątwy na cesarza.

D. 2 sierpnia izba deputowanych, popierając żądanie ministra, głosowała za nową pożyczką na prowadzenie wojny.

Pius IX nie wahał się dłużej i zapowiedział utworzenie nowego gabinetu na miejsce ministra Mamiani i jego współtowarzyszy.

---

127. Przy nowem ministerjum, gdy hr. Fabri objął tekę spraw wewnętrznych, porozumienie między Papieżem i ministrami stało się znacznie łatwiejszem, ale znów powstała głęboka przepaść pomiędzy władzą prawną a wykonawczą.

D. 7 sierpnia Izba deputowanych uczyniła wyraźny akt samowoli, zwracając się wprost do Francji o pomoc zbrojną dla wygnania Austrjaków, zostających pod wodzą Waldena. Ale Pius IX chociaż zdecydowany do obrony nienaruszalności Państwa Kościelnego przeciw wszelkim napaściom, wszelako nie poprzestając na zawiadomieniu rządu francuskiego, że nie dozwala przyjęcia zbrojnego udziału w walce obronnej, toczącej się z Austrją, prosił jeszcze generała Cavaignac, stojącego na czele władzy wykonawczej we Francji, aby wystawił oddział składający się z dwóch do trzech tysięcy ludzi dla dopomożenia rządowi do utrzymania porządku.

Tymczasem bohaterstwo Bolończyków oraz energja Piusa IX sprawiły, że Walden musiał się cofnąć.

Papież spostrzegł wówczas że smutkiem, że próba trzymiesięczna Izby deputowanych była nader niefortunną i wydał rozkaz rozwiązania takowej d. 26-go. Miał nadzieję, że się namiętności polityczne uspokoją, że niepowodzenie wojenne Włoch północnych pobudzą do większej ostrożności i umiarkowania i że książęta włoscy smutnem doświadczeniem nauczeni, potrafią wreszcie okiełznać swe ambicje wygórowane i zrzeszyć się pomiędzy sobą.

Byłaby to właśnie stosowna chwila do utworzenia gabinetu, stojącego na mocnych podstawach, który przywiódłby podwładne Państwu Kościelnemu ludy do należnego poważania prawa, wzbudzając zarazem ufność do rządu.

---

128. Począwszy od czerwca Pius IX uznał za człowieka najwięcej odpowiadającego potrzebom chwili oraz najlepiej pojmującego zamiary Papieża, hr. Peregryna Rossi, byłego ambasadora francuskiego przy Stolicy Apostolskiej.

Opozycja Francji republikańskiej przeszkodziła na razie Jego Świątobliwości do powołania hr. Rossi na stanowisko następcy ministra Mamiani; ale wobec coraz większych zawikłań w Państwie Sługa Boży powierzył mu ten ciężki obowiązek w pierwszych dniach września.

Rossi objął tekę ministra finansów oraz spraw wewnętrznych. Gioberti pisze, że wówczas, gdy Rossi tak wielce potrzebował pozyskać popularność i zaufanie, ministrowie Sardynji odmówili mu wszelkiej pomocy i przez ich bezsensowną politykę uczynili go celem napaści, fanatycznych nienawiści i złorzeczeń pospólstwa.

Prawy i szlachetny umysł nowego ministra zajął się gorliwie obroną Papieża (wobec oszczerstw Piemontu), pokonaniem anarchji w wojsku, usiłując zarazem położyć tamę wymaganiom rewolucjonistów. Wobec energicznej działalności nowego ministra poczęto knuć spiski i nastawać na jego życie. Padł on wreszcie ofiarą spiskowców, zamordowany przez Ludwika Brunetti (syna Cicernacchio) d. 17 listopada 1848 r. w chwili, gdy szedł do pałacu Kancelarji, aby tam zagaić posiedzenie Izb wspaniałą mową, zawierającą program przyszłej działalności ministerjalnej.

Pius IX chciał go powstrzymać tego dnia od udania się do pałacu Kancelarji, ale Rossi lekceważył sobie wrogie pogróżki nieprzyjaciół i nie usłuchał rady Papieża, aby się miał na baczności; wówczas Pius IX widząc, że go nie powstrzyma, pobłogosławił odchodzącego, Opłakiwał też zgon jego i kazał mu piękny postawić grobowiec.

Izba przyjęła dość obojętnie wiadomość o zamordowaniu ministra i tylko deputowani z Bolonji, jego koledzy, opuścili salę obrad, zwąc zabójcami pozostałych.

Takim był początek rewolucji w Rzymie.

---

129. Śmierć ministra Rossi pogrążyła państwo w stan okropnego rozprzężenia.

Rano d. 16 listopada „Klub ludowy“ zdawał się rej wodzić w całem mieście. Urządzono hałaśliwą manifestację oznajmiając przez Izbę deputowanych tak zwane „Podstawowe zasady“: 1) ogłoszenie zjednoczenia Włoch; 2) ogłoszenie konstytuanty i urzeczywistnienie Ligi federacyjnej; 3) wprowadzenie w czyn ogadywanych w Izbie deputowanych przygotowań do walki o niepodległość; 4) przyjęcie w całości programu Mamianiego z d. 5-go czerwca.

---

130. Papież powierzył natychmiast Markowi Mighetti i Józefowi Pasolini utworzenie ministerjum, ci zaś nie czując się na siłach stawić czoła w obec grożnego położenia, zasięgnąwszy przytem rady ludzi największym cieszących się uznaniem, doradzili Papieżowi powierzyć ster spraw ministrowi policji Gallettiemu.

Pius IX zastosował się do ich rady, pozostawiając sobie atoli prawo dowiedzenia się tegoż jeszcze wieczora kogo sobie Galletti dobierze do pomocy i komu teki ministerjalne powierzy.

Galletti wyszedł z audjencji w towarzystwie senatora, księcia Corsini i jechał do hotelu Minerwy, kiedy na ulicy, która prowadzi od *Tre Canelle* do kościoła ŚŚ. Apostołów, powóz jego zatrzymał tłum wrzaskliwy manifestantów, dążących z pałacu Kancelarji do Kwirynału.

Galletti zmuszony był wysiąść z powozu i złączyć się z tłumem. Wszedł więc do papieskiego pałacu, jednocześnie wtargnęła tam komisja, mająca żądać od Papieża zatwierdzenia owych „żądań ludu“.

Galletti wraz z kardynałem Soglia osądzili, że najlepiej będzie dla uśmierzenia gotującej się burzy oznajmić ludowi z balkonu o powierzeniu teki ministerjalnej Galletiemu, co też on sam wnet uczynił, dodając, że wszelkie żądania „Klubu ludowego“ będą rozważone dopiero po utworzeniu nowego ministerjum. Ale z tłumu podniosły się natarczywe okrzyki:

— Żądamy natychmiastowej odpowiedzi od Papieża! Na wszystkie punkta żądamy odpowiedzi!

Galletti udał się do Papieża. Pius IX był bardzo wzruszony, ale trwał w niezłomnem postanowieniu nie uczynienia żadnych ustępstw w obec gwałtu i przemocy.

Polecił też Gallettiemu porozumieć się z sekretarzem Stanu, kardynałem Soglia, celem utworzenia gabinetu, biorąc na uwagę nazwiska ludzi przez lud wymienionych.

Papież sam wyznaczył mu tekę ministra spraw wewnętrznych, nie chcąc żadną miarą, aby ministrem był Salicetti i z warunkiem, że któregoś z duchownych do prezydjum powoła.

---

131. Można się już było chwilowo spodziewać spokoju, lecz zaledwie Galletti, wyszedł powtórnie na balkon, oznajmił zebranemu tłumnie ludowi, że wola Papieża nie zgodną jest z przedstawionemi mu żądaniami, poczęto wołać od strony placu:

— Niech Papież natychmiast żądaniom naszym zadość uczyni, w przeciwnym razie niech żyje rzeczpospolita!

I w tejże chwili posypały się pogróżki. Gwardja szwajcarska z bronią w ręku wystąpiła dla oswobodzenia wejścia.

Około godziny 4-tej tłum staje się jeszcze natarczywszy; gwardja szwajcarska daje ognia i powraca znów dla obrony papieskiego pałacu.

Tłum cofa się na chwilę, ale wnet karabinierzy oraz inni żołnierze rzucają się w stronę *Pilotta* dla pochwycenia broni, poczem powracają, aby rozpocząć oblężenie Kwirynału.

Podkładają ogień pod boczną furtę, znajdującą się naprzeciwko Consulta; padają strzały, wymierzone w okna od strony ulicy, zwanej obecnie ulicą „Dwudziestego Września“; jedna z kul trafia w Mgr

Palma; na placu wznoszą barykady, a pod wieczór o godzinie 6-ej wymierzono działo.

W kilka chwil potem Galletti widząc, że nikt na pomoc Papieżowi nie przybywa, buntownicy zaś wpadają w szał coraz gwałtowniejszy, dał Ojcu św. pół godziny do namysłu przyjęcia lub odrzucenia żądań ludu, poczem oznajmił, że się oddala i żadna siła ludzka nie będzie w stanie rozwichrzonych umysłów uśmierzyć, wobec czego rzeź nastąpić może.

Sługa Boży posiadał stałość, jaką się wyróżniali męczennicy, nic nie mogło go zmusić do postąpienia wbrew własnego sumienia.

Na szczeście Mgr Pentini obmyślił środek nie uwłaczający władzy papieskiej i kwestję żądań ludu, tak zwanych *Principi fondamentali* miał rozstrzygnąć parlament.

Kiedy tłumowi oznajmiono owe postanowienie, wnet rozproszył się po całem mieście w radosnem upojeniu, wszelako przywódzcy nie mogli się pochwalić, że zdołali przemódz niezłomną odwagę Piusa IX-go.

---

132. D. 17 listopada 1848 r. ministerjum było już zupełnie uformowane. Mgr Emanuel Muzzarelli, ambitny i lekkomyślny, zastąpił w niem miejsce pobożnego Rosminiego, który pośpieszył o północy do Kwirynału, aby dymisję swą Papieżowi wręczyć, ponieważ znajdował, że nowy gabinet ministrów, nie mający papieskiej aprobaty, był bezprawiem.

Istotnie trudno było wyobrazić sobie gorszych początków, jak podczas owych rządów ministra Galletiego, albowiem w pierwszej swej odezwie do ludu, starał się z przebiegłością biegłego prawnika przedstawić, że pomiędzy Papieżem i ministrami panuje zupełne porozumienie, co mu wszelako nie przeszkodziło wygnać szwajcarów z gwardji Kwirynału i zastąpić ich gwardją obywatelską.

Zkądinąd Izba deputowanych, pod wpływem poduszczeń gwałtownego księcia Canino, nie zgodziła się na zamierzone przez Potenzianiego złożenie hołdu obrażonemu Papieżowi i zabójcom Rossiego dozwalała w dalszym ciągu broić bezkarnie.

---

133. Pius IX począł spostrzegać naówczas, że miast panującym, był raczej więźniem w Rzymie Już od maja radził mu kardynał Antonelli wyjazd z granic państwa, aby zabezpieczyć swoją swobodę i nie pozwolić wiernym sądzić, iż podziela zapatrywania i działalność ministrów, postępujących wbrew ego woli.

Jednakże Papież wahał się, aż dopiero list Mgra Piotra Chatrouse, biskupa Walencji, jego niepewnościom koniec położył.

List ów przysłany był wraz z darem biskupa Walencji i maleńką puszką do przechowywania Przenajświętszego Sakramentu, którą to puszkę Pius VI miał z sobą na wygnaniu i na piersiach zawieszoną nosił. Biskup Chatrouse pisał w te słowa:

„Jako dziedzic stolicy, cnót, męztwa, oraz utrapień Wielkiego Piusa VI, Wasza Świątobliwość może będzie przywiązywać jaką wartość do tej skromnej, ale nie bez znaczenia relikwji. Mam nadzieję, że nie będzie już ona na ten cel służyła, ale któż może zbadać tajne zamiary Boże w próbach, jakie Opatrzność obecnie na Waszą Świątobliwość zsyła?“

Tego dnia, to jest 22 listopada 1848 r. wyjazd Papieża został postanowiony. Francja niezwłocznie ofiarowała Ojcu św. gościnę i wysłała okręta i ludzi do Civita Vecchia; ambasador hiszpański zaproponował Papieżowi udanie się na wyspy Balearskie na co Pius IX przystał i począł gotować się do ucieczki.

---

134. Dopomagał Papieżowi i pocieszał go w tych bolesnych chwilach ambasador francuski księżę d'Harcourt, który porozumiał się z ministrami: hiszpańskim, hrabią Martinez della Rossa oraz bawarskim, hrabią Spaur i d. 24 listopada 1848 r. około godz. 5-ej wieczorem udał się do Kwirynału, jak gdyby na zwykłą audjencję.

Jego Świątobliwość przywdział ubranie zwykłego księdza, zawiesił na piersiach puszkę Piusa VI-go, w której znajdował się Przenajświętszy Sakrament, modlił się czas jakiś, oblewając się rzewnemi łzami i wyszedł ukrytemi drzwiami, mając za jedynego towarzysza marszałka dworu Filipaniego, poczem wsiadłszy do jego powozu dojechał bocznymi ulicami do kościoła Ś.Ś. Piotra i Marcelina, gdzie oczekiwał nań hrabia Spaur i tam Papież przesiadł się do jego karety. Skierowano się przez bramę Celimontana i po apieńskiej drodze wyruszono do Albano.

Hrabina Spaur oraz jej syn ze swym nauczycielem już się tam znajdowali, dalszą więc drogę odbywano razem aż do miasta Gaety.

Po odjeździe Papieża z Rzymu, książę d'Harcourt pozostał jeszcze czas jakiś w papieskich komnatach, czytał na głos, ażeby usunąć w ten sposób wszelkie podejrzenia i wyszedł ztamtąd dopiero wówczas, gdy był pewnym, że Ojciec św. musi się już znajdować daleko.

Przed odjazdem swym Sługa Boży pozostawił list własnoręczny do markiza Sachetti, dostawcy

papieskich pałaców. W liście tym powiadał, że ufając jego znanej przezorności i prawości charakteru, upoważnia zawiadomić ministra Gallettiego o wyjeździe Papieża oraz polecić ministrom w jego imieniu, aby czuwali nad porządkiem publicznym i spokojem w całem mieście, a także prosił o opiekę nad wszystkimi blizko dworu papieskiego stojącemi osobami, które nie powinno się czynić odpowiedzialnemi za wyjazd tajemny Papieża, ponieważ nikt nie był o tem powiadomiony.

135. Nieopodal Mola di Gaeto kardynał Antonelli dopędził karetę uwożącą Papieża; sam będąc zmuszony również opuścić Rzym w przebraniu. Przybył z nim Gonzales d'Arnao, sekretarz ambasady hiszpańskiej.

D. 26 listopada okręt francuski *Tenaro* przypłynął do Gaety; znajdowali się tam książę d'Harcourt, Mgr. Stella oraz kilku jeszcze dostojników, należących do papieskiego dworu.

Wkrótce opuścili też Rzym za ich przykładem ambasadorowie innych mocarstw, oraz wielu przedstawicieli możnych i znakomitych rodzin włoskich, a także innych narodowości: do nich przyłączył się w lutym 1849 r. wielki książę Toskanji, posiadający też własne państwo.

136. Ojciec św. zatrzymał się w Molo di Gaeta w skromnym hotelu, zwanym *Villa Cicero*, tam odpocząwszy i posiliwszy się nieco napisał list do króla Neapolitańskiego Ferdynandu II, zawiadamiając go o swej ucieczce z Rzymu i chwilowym pobycie w Gaecie. Hrabia Spaur miał sobie poleconem wręczyć list ów królowi, niezwłocznie też wyruszył w tym celu do Neapolu, zamieniwszy się wprzód pasportami z Gonzalesem d'Arnao, sekretarzem ambasady hiszpańskiej.

137. Po krótkim odpoczynku w Mola, Jego Świątobliwość wraz z towarzyszami podróży, do których przyłączył się Gonzales d'Arnao i kardynał Antonelli, dojechali w wynajętych powozach do Gaety. Tam Ojciec św., którego w żaden sposób w przebraniu poznać nie było można, zapukał do drzwi biskupa Parisio; odpowiedziano, że nie ma go w mieście, gdyż wezwany został do chorego śmiertelnie brata, byłego ministra króla neapolitańskiego. Owe zapewnienie służącego Daniela o nieobecności biskupa nie zdawało się dostatecznie przekonywającem dla przybyłych, którzy pomimo to nalegali, aby ich do biskupiego pałacu wpuszczono. Służący zniecierpliwiony tem żądaniem, wydającem się jemu natarczywością niesłychaną, zamknął im drzwi przed nosem, mówiąc, że siedziba biskupa nie jest żadną gospodą, niech więc idą sobie szukać innego schronienia.

Kościół Św. Piotra w Rzymie.

138. Ojciec św. nie chcąc zdradzić kim jest w istocie, zanim król Ferdynand o jego przybyciu nie będzie powiadomiony, udał się do gospody, zwanej *Giardinetto*, w której obecność tak dostojnych gości uczyniła wielkie wrażenie.

Doszła o tem wiadomość do generała Grossa, komendanta fortecy w Gaecie, dało mu to do myślenia tymbardziej, że kardynał Antonelli i d'Arnao, przedstawiający się, jako należący do ambasady bawarskiej, nie mówili po niemiecku.

Generał polecił natychmiast kapitanowi Rodriguez wraz z sędzią powiatowym, wywiedzieć się kim byli owi przybysze i w jaką udają się stronę. Nie udały się jednak wywiady, albowiem podróżni doskonale się od wszelkich pytań wywinąć potrafili.

---

139. Tymczasem hrabia Spaur przybywszy do Neapolu uprosił i otrzymał, za pośrednictwem Mgra Garibaldiego natychmiastowe posłuchanie u króla, pomimo, że już była późna godzina.

Jak tylko dowiedział się król Ferdynand II-gi z listu papieskiego oraz z ustnych objaśnień hrabiego Spaur o powodach, które skłoniły Ojca św. do zatrzymania się w Gaecie, rozkazał niezwłocznie dwa parowce *Tankreda* i *Roberta Guiscard* gotować do drogi i już o świcie król z królową, następcą tronu oraz licznym orszakiem odbili od brzegu, zabierając jeszcze z sobą dwa bataljony wojska, przeznaczone na straż honorową dla Papieża,

Przygotowano też skrzynie pełne bielizny na osobisty użytek Ojca św.

---

140. Rano d. 25 listopada 1848 r. oznajmiono komendantowi Gross (w tej chwili właśnie, kiedy starał się wywiedzieć cokolwiekbądź od hrabiny Spaur oraz innych osób), że się flota królewska zbliża. Pośpieszył co tchu do portu i oniemiał ze zdumienia, kiedy usłyszał z ust króla pytanie:

— Gdzie się zatrzymał Papież?

Kardynał Antonelli wyprowadził go z kłopotu, udzielając wskazówek królowi.

Dla uniknięcia zbiegowiska Ferdynand II z rodziną udał się do królewskiego pałacu, podczas gdy Pius IX przybył tam jednocześnie z innej strony, w towarzystwie d'Arnao i kardynała Antonellego.

Kiedy Papież wszedł na królewskie komnaty, królowa wraz z otaczającym ją dworem padła przed Ojcem św. na kolana.

W górnych apartamentach król Ferdynand z braćmi swymi, hrabiami d'Aquila i Trapani oraz kuzynem, infantem Don Sebastjanem, przyjął dostojnego gościa z oznakami czci najgłębszej i nie uspokoił się, aż dopóki nie udało mu się ubłagać Papieża i skłonić go synowskiem przywiązaniem, gorliwością religijną i królewską powagą do wyrzeczenia się zamiaru odpłynięcia na wyspy Balearskie, lub też opuszczenia wogóle granic jego państwa.

---

141. Król Ferdynand i kardynał Antonelli zdołali również przemódz liczne przeszkody, stawiane przez ambasadora francuskiego, księcia d'Harcourt i wielu innych bardzo przezornych i Papieżowi szczerze oddanych. Wówczas to Pius IX wysłał z Gaety *moto proprio* do swych poddanych, w którem protestuje przeciw gwałtom doznanym i ogłasza to samo, co już przedtem w proteście swym ciału dyplomatycznemu wyraził, a zatem unieważniał nadane przywileje oraz wynikłe ztąd czyny, jako wymuszone, przedewszystkiem zaś utworzenie nowego ministerjum, oraz oznajmił zarazem o odroczeniu Izby; mianował do sprawowania rządów państwa Komisję pod przewodnictwem kardynała Castracane, składającą się z Mgra Roberti i pięciu jeszcze osób ze znakomitych rodów; wreszcie polecał ludowi zachowywanie spokoju i poszanowanie porządku publicznego.

---

142. *Motu proprio* otrzymał jednocześnie wieczorem d. 2 grudnia, kardynał Castracane, (któremu polecił Papież utworzyć Komisję) i minister Mamiani. Kardynałowi nie udało się zorganizować Komisji trwałej, już to dla tego, że parę z wyznaczonych do niej osób znajdowało się po za obrębem Rzymu, już to z powodu wahania i braku dostatecznej energji innych.

Ci ostatni ociągali się ze względu na to, iż jak tylko minister Galletti dowiedział się, gdzie Papież przebywa, wnet jeszcze dnia tegoż, to jest 2 grudnia wysłał do Gaety markiza Sacchetti, polecając mu zasięgnąć bliższych wiadomości i prosić Ojca św. o wskazówki dalszego postępowania, oraz skłonić go do powrotu.

Protest, który *motu proprio* zawierał, był bezwątpienia niekonstytucyjnym i wikłał sprawę: minister odczytał go i oznajmił kardynałowi Castracane, że w razie ogłoszenia takowego musiałby usunąć się niezwłocznie.

Castracane pozostając sam, bez poparcia ministra nie mógł wziąć na siebie odpowiedzialności za objawy szalonej anarchji, ogarniającej całe państwo, prosił więc, aby Galletti wraz z innymi ministrami pozostali na swem stanowisku w tak burzliwej chwili.

Ale d. 3 grudnia ministrowie wysłali wprost

do Papieża swe dymisje i zawiadomili o tem Izbę deputowanych, ta zaś uchwaliła wysłać niezwłocznie deputację do Piusa IX, aby go skłonić do powrotu. Ministrowie mieli pozostać na swych stanowiskach do czasu, gdy ich kto inny zastąpi.

Rada Państwa i rada miasta brały udział w tych obradach.

Deputowanych wybrano z pomiędzy ludzi najlepiej Papieżowi znanych i najwięcej mu oddanych. Ogólnem ich życzeniem było, ażeby Papież, tak zawsze ukochany, powrócił do Rzymu.

---

143. Pius IX odmówił jednak przyjęcia tej deputacji, a policja burbońska zabroniła im wstępu w granice Królestwa Neapolitańskiego.

Odmowa ta rozdraźniła mocno kardynała Castracane i Mgra Roberti, obaj bowiem skłonni byli do szukania sposobów pojednania, podnieciła też niezmierne zuchwalstwo rewolucjonistów.

D. 10 grudnia Izba deputowanych wyznaczyła Juntę czasową posiadającą najwyższą władzę rządu a składającą się już 12 grudnia z senatorów rzymskich i bolońskich oraz gonfaloniera, czyli naczelnika Ankony; miała ona stać u steru władzy aż do czasu, gdy Pius IX przyjmie odpowiednie uchwały, lub też wyznaczy regencję konstytucyjną.

Tymczasem pewien odłam ministerjum, a w szczególności Mamiani, działając w tym razie zgodnie z kardynałem Castracane, rozpoczął nowe usiłowania pojednawcze w Gaecie przez wysłanego tam deputowanego Fusconi, wielce miłego sercu Piusa IX.

Papież przyjął go bardzo życzliwie ale, niestety za sprawą Antonellego wszystko poszło w niwecz.

D. 30 grudnia Junta rządowa, której przedstawicielami byli: Corsini, Cameraza i Galletti (ten ostatni zastąpił miejsce senatora bolońskiego Zucchiniego), sprzeciwiła się wszelkim wyborom i rozpoczęła swą działalność.

Jednocześnie rewolucjoniści pod wodzą Sterbiniego i Cicernacchio urządzili demonstrację narodową i d. 19 wydali odezwę z żądaniem Konstytuanty.

---

144. Kiedy Pius IX dowiedział się, że w Rzymie wobec nienawiści do władzy świeckiej Kościoła, chcą zmienić prawa państwowe, jak gdyby Papież nie był już wcale legalnym ich władcą, wydał odezwę pod datą 17 grudnia 1848 r. do państw europejskich. Powiada w niej, że pierwszym jego po wstąpieniu na tron staraniem, było dążenie do jedności pomiędzy podwładnymi, zabezpieczenie spokoju w rodzinach, oraz pomyślność całego państwa. Uskarża się na niewdzięczność, jaką mu za to odpłacono; wylicza wyrządzone mu obelgi i zniewagi, jak również zbrodnie, któremi rewolucjoniści zmusili go do opuszczenia Rzymu, ponieważ nie miał dość siły, aby ich śmiałość ukrócić.

Przypomina także swój protest wystosowany do ciała dyplomatycznego i ustanowienie Komisji, mającej rządy państwa w obec odroczenia Izb sprawować. Tymczasem nie liczono się wcale z jego uchwałami i rozporządzeniami; wichrzyciele, mącący wciąż spokój publiczny, przywłaszczyli sobie nawet władzę rządzenia, ustanowili Juntę, dyktującą prawa, wobec czego Papież oznajmia, iż wszystkich owych samowolnych uchwał nie przyznaje, Juntę rzymską, przywłaszczającą sobie najwyższą władzę potępia, przyznaje zaś za jedynie prawomocną, aż do nowego swego zarządzenia, Komisję do sprawowania rządów państwowych, przez siebie ustanowioną i ona wyłącznie stanowi władzę podczas nieobecności Papieża w Rzymie.

---

145. D. 23 grudnia 1848 r. Lunati, Sereni i Galletti opuścili swe stanowiska.

Galletti przeszedł do Junty rządowej i już nowe ministerjum wybrano, te zaś wydało dnia 29 grudnia w imieniu Junty rozporządzenie, wyznaczające na d. 5 lutego 1849 r. wybory deputowanych, celem zwołania Konstytuanty.

Na wieść o tem Pius IX w *motu proprio* z d. 1 stycznia 1849 r. wysłanem z Gaety oznajmił, że oczekując napróżno opamiętania się zbłąkanych, nie otrzymał od nich nic więcej, prócz marnego zaproszenia do powrotu, bez okazania najmniejszej oznaki żalu z powodu gwałtów popełnionych, ani też żadnego zapewnienia, że takowe znów się nie powtórzą. Daremnie miał wciąż nadzieję, iż usłuchają jego rozkazów, stało się wręcz przeciwnie, a uchwała z d. 22 grudnia sprawiła mu najwyższą boleść, zamierzano w niej bowiem zwołanie Konstytuanty, zmianę formy politycznej rządu i zniesienie władzy świeckiej Papieża, którego prawa uświęcone od wieków, szanowane i bronione były zawsze przez wszystkie narody. Poczytuje więc sobie za najpierwszy obowiązek zaprotestowanie przeciw podobnym postępkom; więcej nawet, sumienie nakazuje mu potępić i zabronić swym poddanym ze wszelkich sfer społecznych przyjmować udział w zebraniach wyborczych, które mają być zwołane dla obrania członków owego Zgromadzenia.

Nie można powiedzieć, aby słowa Piusa IX przeszły bez wrażenia: kilku z członków rady miejskiej i naczelników prowincji odmówiło posłuszeństwa samowolnie narzuconemu rządowi i woleli podać się do dymisji niż należeć do wyborów.

W Rzymie i Bolonji magistraty okazały się

niechętnemi Konstytuancie i nie chciały należeć do wyborów; większość wyborców usunęła się pomimo silnego nacisku republikańskiej władzy rządzącej i kół ludowych.

---

146. D. 5 lutego 1849 r. 140 deputowanych rzymskiej Konstytuanty wysłuchało mszy św. w kościele Ara Coeli, poczem zgromadziło się w pałacu Kancelarji.

Minister Armellini fanatyczną mową zagaił pierwsze posiedzenie. Książę Canino, a po nim Garibaldi wykrzyknęli: „Niech żyje rzeczpospollta!“ Należało jednak zachować formy; obrano więc prezydującego i sekretarza: pierwszym z nich był Galletti, drugim Filopani.

D. 8 lutego Mamiani występował energicznie przeciw ogłoszeniu rzeczpospolitej, większość jednak deputowanych oświadczyła się za bezzwłocznem ogłoszeniem, poczem odczytano dekret, pozbawiający papiestwo rządów świeckich w państwie rzymskiem i zmianę dotychczasowego rządu monarchicznego na republikański.

Głosowanie na ów dekret odbyło się około pierwszej godz. po północy; poczęto wnet dzwonić we wszystkie dzwony, a we dwa dni później nakazano solenne nabożeństwo i *Te Deum* w bazylice Świętego Piotra.

---

147. Jak tylko Papież został zawiadomiony o ogłoszeniu rzeczypospolitej rzymskiej, podyktował wnet uroczysty protest, datowany z Gaety d. 14 lutego.

„Szereg nieprzerwanych zamachów, powiadał, wymierzonych dla pozbawienia papieży władzy świeckiej, zakończył się wreszcie ogłoszeniem dekretu Konstytuanty z d. 9 lutego, a był to ostatni akt zdrady“.

Papież protestował przeciw niesprawiedliwości, niewdzięczności, szaleństwu i bezbożności tego dekretu i zaprzeczał jego prawomocności.

Zwracając się następnie do mocarstw, których przedstawicielami był otoczony podczas pobytu swego w Gaecie, prosił ich o utrzymanie i obronę władzy świeckiej Stolicy Apostolskiej, owej władzy, która nie mówiąc już o uświęceniu jej przez długie wieki, okazywała się w obecnych okolicznościach nieodzowną dla swobodnego pełnienia obowiązków apostolskich.

W cztery dni potem Sekretarjat Stanu wystosował notę do narodów katolickich, w której przedstawiony był pokrótce stan rzeczy i w której proszono o zbrojną interwencję, czyli pomoc armji austrjackiej, francuskiej, hiszpańskiej i sycylijskiej dla oswobodzenia Państwa Papieskiego od uciskającego je stronnictwa rewolucyjnego.

---

148. D. 10 lutego 1849 r. Zgromadzenie Konstytuanty drogą głosowania nadało Józefowi Mazziniemu prawo obywatelstwa i wyznaczyło Komitet wykonawczy, składający się z trzech osób; wszedł więc do niej: Armelini, Montécchi i Salicetti dla rządzenia Państwem Rzymskiem w imieniu Konstytuanty.

Ministerjum powstało na nowo, tym razem pod przewodnictwem Muzzarelego. Zabroniono wszelkiej sprzedaży dóbr, ruchomości i nieruchomości domów zakonnych, oraz innych własności duchowieństwa, instytucji pobożnych lub stowarzyszeń religijnych; sporządzono bardzo szczegółowy spis wszystkich znajdujących się tam kosztownych sprzętów, ozdób kościelnych, ubiorów, bydła i wszelakiego inwentarza; wszystko to miało być pod ścisłą kontrolą i przełożony musiał zaprzysiądz, że nic nie zostanie ukryte ani też nie będzie sprzedane.

D. 10 marca nastąpiła nowa zmiana ministerjum, bez zmiany wszelako metody rządzenia: położenie duchowieństwa coraz gorszem się stawało, twarda dłoń władzy republikańskiej poczynała ciężyć coraz bardziej wszystkim biskupom, księżom, zakonnikom oraz ich stronnikom i przyjaciołom.

---

149. Jak tylko Papież dowiedział się, że rząd republikański zamyśla dobra kościelne zagarnąć, oznajmił, że stanowczo sprzeciwia się podobnej grabieży, uprzedzając, zwłaszcza cudzoziemców, iż wszelkie kupno, dzierżawy, zawieranie kontraktów i jakiekolwiek bądź wchodzenie w porozumienie z przedstawicielami Konstytuanty w sprawach dotyczących własności duchownych będą uważane za nieprawomocne i sądzone jako otwarta kradzież.

---

150. Wszystkie te zarządzenia Piusa IX nie powstrzymały republikanów do uskutecznienia swych planów.

D. 10 lutego 1849 r. Saffi złożył z urzędów urzędników rzymskich, opierających się przeprowadzeniu badań i spisywaniu dóbr kościelnych, chociał nie był do tego upoważniony.

D. 21 lutego Galletti ogłosił, że wszystkie dobra kościelne w Państwie Rzymskiem są własnością narodową.

D. 24 nakazał zabór wszystkich dzwonów, rzekomo bezużytecznych w kościołach rzymskich dla przelania ich na działa, za wyjątkiem dzwonów bazylik, kościołów parafialnych i narodowych lub też przedstawiających wartość historyczną, odznaczających się artystycznem ozdobieniem, dającym im prawo być zaliczonymi do dzieł sztuki. Niektórzy cieszyli się ogromnie na wieść o tem świętokradzkim zamachu, ale gdy przyszło do wykonania dekretu, ze wszystkich stron posypały się obficie protestacje i objawy niezadowolenia.

---

151. W Piemoncie minister Gioberti, wrogi rządowi republikańskiemu, starał się podkopać u podstaw Konstytuantę rzymską przez pojednanie Gaety z Rzymem, co jednak nie przeszkodziło mu podpisać sekretnie ugodę z rządem czasowym w Rzymie na wypadek, gdyby wojna z Austrją miała się rozpocząć na nowo.

Prowadził więc z Muzzarelim układy w celu sprowadzenia Papieża do Rzymu pod opieką armji piemontckiej, poczem te same oddziały wojska miały pozostać na brzegu Tybru dla zabezpieczenia porządku.

Ale Mgr Muzzarelli, który zupełnie już przystał do republikanów, oświadczył, że Rzym nie życzy sobie mieć władcą swym Papieża i że za wszelką cenę dopomina się o rozdział władzy świeckiej i duchownej.

Jednocześnie Gioberti wysłał hrabiego Martini dla przeprowadzenia układów z Papieżem. Ale Pius IX zrozumiał, że gorliwość piemontckiego ministra nie wypływała z życzliwości dla niego, a tylko pochodziła ztąd, że chciało mu się zastąpić stojących u steru demokratycznych republikanów przez ludzi więcej umiarkowanych, co dozwoliłoby uniknąć wmieszania się mocarstw, które położyłoby kres wszelkim nadziejom osiągnięcia niepodległości Włoch.

Pius IX nie przyjął był już ofiarowanej mu w Piemoncie gościny i również nie zgodził się na pozostawanie pod opieką wojsk sardyńskich.

Powinni byli pamiętać w Turynie, że tylko Piemontowi należało przypisać nie dojście do skutku układów, celem utworzenia Ligi federacyjnej dla obrony granic włoskiego państwa.

Ażeby przywrócić znów w Rzymie władzę świecką Papieża, potrzeba było mieć do czynienia z narodem nie podejrzywanym o sekciarstwo.

---

152. Wieść, że szeregi Karola Alberta zostały rozproszone pod Nowarą przez Austrjaków, przeraziła wielce rzymską Konstytuantę; postanowiła ona powierzyć władzę wykonawczą tryumwiratowi, do którego weszli: Mazzini, Armelini i Saffi, mając sobie nadaną władzę nieograniczona w sprawie walki o niepodległość i ratowania ojczyzny.

Tryumwirat ów objął władzę dnia 30 marca 1849 r., rozpoczynając swą działalność nędzną komedją, albowiem rozkazał otworzyć więzienia Św. Inkwizycji i wydobyć ztamtąd różne dawne narzędzia tortur dla pokazanla ich ludowi.

Chodziło im o podniecenie tym sposobem nienawiści do duchowieństwa, a wzbudzenie zaufania do rządu republikańskiego, oswobodzającego mieszkańców Rzymu od dawniejszego systemu.

D. 2 kwietnia nastąpiła znowu zmiana gabinetu. W dzień Wielkiej Nocy odbyło się wielkie nabożeństwo w kościele św. Piotra; 15-go przyrzeczenie rozdania ludowi dóbr kościelnych, oraz zniesienie ślubów zakonnych z punktu widzenia praw świeckich.

Przez ten czas kółka polityczne pod wpływem Cicernaccio tworzą Komitet nadzorczy, szerząc ohydne szpiegostwo.

Wszyscy obywatele podejrzani o współczucie dla Papieża, przebywającego wciąż w Gaecie są narażeni na wszelkiego rodzaju uciemiężenia i oddani w ręce najgorszych łotrów.

---

153. Jednakże w innych częściach półwyspu dawny porządek rzeczy powracał zwolna.

Demokratyczna rzeczpospolita rzymska była w strachu, tembardziej, że we Francji poczęto szukać sposobności i środków dla przyjścia Papieżowi z pomocą. Rząd republikański wystosował więc notę do mocarstw, oraz do parlamentu angielskiego i francuskiego, ażeby dowieść, że przywrócenie władzy papieskiej, byłoby niezgodnem z dobrem ludów i zakłóciłoby spokój Europy, wyrażając pomiędzy innemi nadzieję, że Francja i Anglja postarają się zacieśnić coraz bardziej węzły braterstwa łączące wolne narody.

Przekonawszy się wszelako, że pośrednictwo Francji jest nieuniknione, gotowała się do rozpaczliwej obrony,

---

154. Pomiędzy narodami katolickiemi, do których się Pius IX zwrócił, znajdowała się również Francja.

Rząd francuski obawiał się wkroczenia wojsk austrjackich do Włoch dla poskromienia republikanów i starał się temu przeszkodzić, tak ze względów politycznych, jako też dlatego, że Rzeczpospolita francuska sprzyjała swej włoskiej siostrzycy.

Za przykładem Piemontu szukała zbliżenia ze stronnictwem liberalnem, umiarkowanem, którego przedstawicielem był Mamiani, dla zdobycia sposobności wmieszania się do spraw Państwa Rzymskiego i wzięcie na siebie roli pojednawcy pomiędzy wrogiemi stronnictwami.

Przyrzekała zachowanie swobód, zatwierdzenie ustaw konstytucyjnych, nie dozwolenie na przewagę żywiołów duchownych w sferach rządzących, oraz puszczenie przeszłości w niepamięć.

Mamiani zdawał się tym układom sprzyjać. Ale w parlamencie francuskim znalazła się spora liczba katolików, gorliwszych nieco od Ludwika Napoleona Bonapartego i ci zmusili rząd do przygotowania wyprawy wojennej, której dowództwo powierzono generałowi Oudinot, księciu Regio.

Otrzymał on rozkaz wejścia spokojnie do Civita-Vecchia i nie używania siły zbrojnej, chyba tylko w razie oporu.

Ludności miało być dozwolonem wypowiadanie swobodne woli narodu, z czego widocznem jest, że Francja, wysyłając korpus wojska do Włoch, nie miała głównie na celu przywrócenie władzy świeckiej Papieża, a tylko chodziło jej o niedopuszczenie, aby to kto inny na jej miejscu uczynił.

Jeżeli okoliczności inaczej się złożyły, jest to zasługą księcia prezydenta, który zachęcony przez katolików z ministerjum i parlamentu zdołał przemódz powoli opozycję Izby, patrzącej niechętnem okiem na wszelkie demonstracje, dowodzące sprzyjaniu sprawie Papieża.

---

155. Nie jedna tylko Francja odpowiedziała na wezwanie Piusa IX, uczyniły to również Hiszpanja, Austrja i królestwo Dwóch Sycylji; a każde z tych mocarstw kierowało się w tym względzie własnym poniekąd interesem, a więc całkiem przeciwnym polityce Paryża. Dlatego też rząd francuski nie przyjął ich współudziału w chwalebnej misji odzyskania Rzymu dla Papieża.

Austrja zajęła Umbrję i wybrzeże Adrjatyku, gdyż chodziło jej głównie o przyspieszenie upadku Wenecji.

Hiszpanja wysłała korpus armji do Fiumicino i zajęła Sabinę, dając w ten sposób, co prawda, dowód swej wierności Stolicy Apostolskiej, ale stając się w następstwie raczej przeszkodą, niż pomocą.

Król Sycylijski Ferdynand uczestniczył osobiście w wyprawie i odzyskał władzę papieską w prowincjach Campana i Martina, ale kiedy się jego wojska spotkały w Velletri i Palestrinie z oddziałami republikańskimi, został zmuszony przez Garibaldiego do cofnięcia się aż po za granice, dając tem dowód, po raz pierwszy, niedołęztwa armji neapolitańskiej, mającej sławę wyjątkowej bitności i siły.

---

156. D. 24 kwietnia 1849 r. adjutant d'Espivent wylądował w Civita-Vecchia. Przynosił on wieść od Oudinot'a, że 6,000 Francuzów miało przybyć tu nazajutrz, prosił więc gubernatora Manucci o braterskie dla nich przyjęcie. Gubernator odmówił w pierwszej chwili, tłumacząc się tem, że zmuszony jest być posłusznym rządowi, ale wkrótce uległ i 25 kwietnia Francuzi zajęli Civita-Vechia, za wyjątkiem twierdzy i wewnętrznej części portu, pozostałych jeszcze przez pewien czas w rękach republikanów.

Z Civita-Vecchia generał Oudinot wystosował odezwę do mieszkańców Państwa Kościelnego, noszącą przyjacielski charakter.

Następnie wysłał parlamentarzy do Rzymu, prosząc tryumwirat oraz Izbę o życzliwe przyjęcie. Zachowanie się parlamentarzy w Rzymie obudziło niejakie podejrzenia republikanów, a nie były one bezpodstawne.

D. 28 Oudinot ogłosił stan oblężenia w Civita-Vecchia, zawiesił wszystkie polityczne zebrania, zajął port i twierdzę i zabronił radnym miasta zajmować się polityką, a wobec odmówienia posłuszeństwa, kazał im zawiesić czynności i uwięził gubernatora Mannuci.

Napróżno minister Rusconi starał się przeprowadzić układy, Oudinot wyruszył do Rzymu na czele 6,500 ludzi i przybył tam 30 kwietnia.

Francuzi rozpoczęli szturm niezwłocznie i to z dwóch stron odrazu.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom oblężeni walczyli z takim zapałem i odwagą, że Francuzi musieli się cofnąć i zajęli kwaterę w Castel di Guido. Ponieśli oni w tej potyczce dotkliwe straty; pięciuset ludzi nie stawiło się tegoż wieczora do apelu, większa część dostała się do niewoli i uprowadzoną została w tryumfie do miasta.

---

157. Republikanie zachęceni szczęśliwie udaną obroną i cofnięciem się nieprzyjacielskich szeregów, nawet ci, którzy chętnie dawali ucho zaproponowanym, przez wysłanego od Francuzów Lessepsa, układom, mieli czas zebrać się i przyszykować do poważnej obrony.

Tymczasem Oudinot, otrzymawszy posiłki z Francji, wezwał 29 maja miasto do poddania się,

Zgromadzenie rzymskie uchwaliło bezwzględny

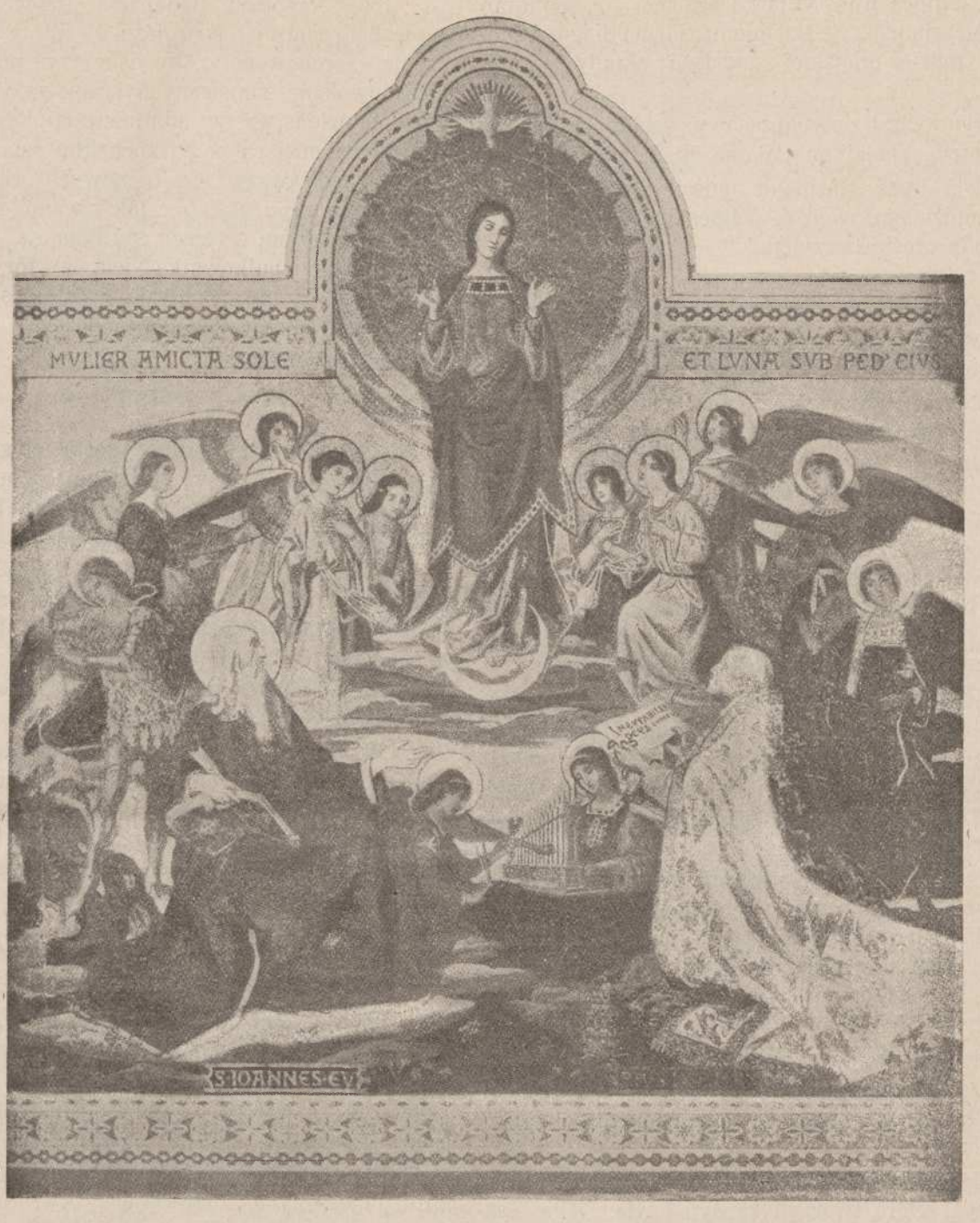

Kaplica Piusa IX przy kościele św. Wawrzyńca.—Określenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia. *Mozajka Seitza.*

opór do ostatka sił i d. 3 czerwca rozpoczęło się długotrwałe oblężenie.

Pius IX zalecał gorąco, aby ostrzeliwając mury, oszczędzano ludzi i budowle.

Oblężeni bronili się dzielnie, a wzięcie Janikullum kosztowało wiele krwi zarówno jedną jak i drugą stronę.

D. 21 czerwca pierwszy wyłom uczyniono i rozpoczęło się bombardowanie, które wszelako nie przyczyniło zbyt wiele szkody.

Jednakże republikanów podnieciło to jeszcze więcej do zażartej walki i z pomocą kilku konsulów, osobliwie zaś sardyńskiego, wyrażono protest, oskarżając generała Oudinota, że bombardowaniem miasta zniweczył najwspanialsze budowle i bardzo wielu spokojnym mieszkańcom śmierć zadał.

Oudinot puścił mimo uszu ową protestację Rzymian i nic sobie z niej nie robiąc, d. 30 czerwca rano szturm rozpoczął. Po zażartej walce Francuzi zdobyli Transtevère.

D. 1 lipca Konstytuanta zgodziła się, pomimo oporu Mazziniego, ze zdaniem Garibaldiego i dozwoliła radzie miejskiej zawiązać układy o kapitulację.

Tryumwirat dotychczasowy został zastąpiony przez nowy, składali go: Calandrelli, Saliceti i Mariani.

D. 2 lipca Garibaldi opuścił Rzym wraz ze swym oddziałem, a od d. 3 lipca nowa uchwała została jednogłośnie przyjęta.

D. 4 lipca wojsko francuskie weszło do Rzymu, a wreszcie 15 lipca chorągwie papieskie powiewały znowu w całym Rzymie i odśpiewano w kościele św. Piotra uroczyste *Te Deum*.

Oudinot znajdował się też w kościele, a publiczność nieomieszkała wyrazić mu swą wdzięczność.

---

158. Pius IX otrzymał w Gaete d. 5 lipca klucze Rzymu, przysłane mu przez Oudinota za pośrednictwem pułkownika Niela, a ten ostatni zawiózł generałowi odpowiedź Papieża.

Ojciec Św. radował się, naturalnie nie z przelewu krwi, który wielką boleść mu sprawił, ale zwycięztwo nad republikanami odniesione, przynosiło zarazem tryumf ładu nad anarchją i powrócić miało swobodę ludności zteroryzowanej przez rewolucjonistów.

D. 17 lipca Papież zwrócił się do swych podwładnych ze słowami przebaczenia. Przypisywał Boskiej Opatrzności zwycięstwo nad bezbożnością; wyrażał swą serdeczną dla nich przychylność, pragnienie być im użytecznym, i poświęcić wszystkie swe siły dla ich dobra.

Nie odmawiał też uczynić to wszystko, czego istotna potrzeba wymaga, byleby tylko zabezpieczoną była zupełna swoboda i niepodległość Stolicy Apostolskiej.

Mianował następnie Papież Komisję administracyjną, którą tworzyli kardynałowie: Della Gengo, Vanicelli i Altieri; Komisja ta mieściła się w Kwirynale i rozpoczęła swą działalność wydaniem manifestu w imieniu Piusa IX do mieszkańców Państwa Kościelnego.

Komisarze przybrali sobie do pomocy ministrów duchownych i świeckich, znieśli wszystkie przez republikanów wydane prawa i rozporządzenia od d. 16 listopada 1848 r., odwołali Radę miejską, nie przyznając też rang oficerom, mianowanym po d. 16 listopada i przedsięwzięli rozmaite sposoby utrzymania porządku w całem państwie.

---

159. Napoleon Bonaparte przywrócił władzę papieską, pomimo energicznego protestu Zgromadzenia Narodowego. Aby uśmierzyć powstałe ztąd niezadowolenie, zmuszony był zapewnić, że przewaga duchowieństwa w administracji Rzymu nie będzie miała miejsca pod francuskim sztandarem. To też dowiedziawszy się o nowych zarządzeniach *Czerwonego tryumwiratu*, jak zwano powszechnie Komisję, złożoną z trzech kardynałów, wystosował słynny list do pułkownika Niela, w którym wyznaje publicznie, że nie pochwala wcale zasadniczej różnicy zdań pomiędzy polityką Paryża i Gaety.

---

160. Generał Oudinot został odwołany, jako zbyt oddany polityce prowadzonej stronniczo przez duchowieństwo, i od 28 sierpnia Pius IX zawiadomił, że postępowanie rządu francuskiego zmusza go do opóźnienia swego powrotu do Rzymu, aż do czasu, gdy się ona zmieni, nie może bowiem francuskiemu żołnierzowi w zupełności zaufać.

D. 4 września Papież odpłynął na fregacie *Tankred* do Portici, gdzie aż do 4 kwietnia 1850 r. przebywał.

W tym czasie odwiedził Neapol, Rezynę, Pompeję, Nocerę, Benewent oraz inne miasta Królestwa Neapolitańskiego, wszędzie z żalem żegnany, darzący dobrodziejstwami, i wyrażający duchowieństwu, książętom i obywatelom swą wdzięczność za gościnność okazaną.

---

161. Powróciwszy do Portici, Papież chcąc położyć kres złudzeniom Ludwika Napoleona, ówczesnego prezydenta rzeczypospolitej francuskiej, ogłosił d. 12 września 1849 r. *motu proprio*, w którym przedstawił zasady przyszłych swych rządów, a więc: ustanowienie Rady Stanu od wyborów Rad prowincjonalnych, rozważającą kwestję podatków i znacznego ich obniżenia; zniesienia urzędów wadliwych; miała powstać w Rzymie Rada Stanu, wybrana przez Papieża z pomiędzy ludzi zasłużonych i doświadczonych; Radzie tej przysługiwało prawo rozważania projektów, uchwał przez ministrów przedstawionych oraz najdonioślejszych spraw administracyjnych i prawodawczych; każda prowincja powinna mieć oddzielną Radę, która wraz z wyznaczoną przez siebie Komisją, zajmie się sprawami miejscowemi; członkowie owej Rady wybierani będą przez magistrat, a zatwierdzani przez Papieża.

Nad urządzeniami municypalnemi obradować mają ludzie wyznaczeni przez ścisłe ciało wyborcze na podstawie cenzusu i tytułów akademickich.

Głowy miasta mianować ma sam tylko Papież z pomiędzy dawniejszych członków Rady miejskiej.

162. D. 4 kwietnia 1850 r. Sługa Boży dopuścił do ucałowania stopy wszystkich znajdujących się na jego usługach i błogosławieństwa apostolskiego udzielił, poczem opuścił ostatecznie Portici, przy wielkiem napływie ludu.

Towarzyszył mu kardynał Sisto Riardo Sforza, arcybiskup neapolitański, kardynałowie Antonelli i Dupont nuncjusz i prałaci, należący do papieskiego dworu

Kareta Ojca św. wyruszyła w stronę dworca kolejowego, gdzie oddział Szwajcarów, pozostający na służbie neapolitańskiego króla, oddał mu honory wojskowe, a komendant Neapolu złożył mu hołd w imieniu całego garnizonu.

Rewolucja rzymska i pobyt na wygnaniu Piusa IX w Gaecie i Portici, zwróciły wzrok całego katolickiego świata na Wikarjusza Jezusa Chrystusa, ale zarazem wykopały one przepaść prawdziwą pomiędzy sprawą utrzymania władzy świeckiej Kościoła i niepodległości Włoch.

173. W Caserta powitał Papieża król Ferdynand, z licznym orszakiem książąt, ucałowaniem ręki i stopy, poczem zawieziono Ojca św. do królewskiego pałacu.

Królowa spotkała Jego Świątobliwość u progu wraz z księżniczkami, księżną Saską i całym dworskim orszakiem. Wszyscy ze czcią pochylili się do stóp Piusa IX i przywitanie odbyło się według dworskiego ceremonjału.

Sługa Boży udał się przedewszystkiem do kaplicy, następnie zaś do swych apartamentów, gdzie siadł do stołu wraz z królewską rodziną i otaczającymi go kardynałami. Poczem przeszli wszyscy na królewskie pokoje, gdzie Papież z królem i książętami zabawiał się rozmową, a po kolacji dopuścił do siebie wszystkich, którzy tego pragnęli.

164. Następnego dnia, 5 kwietnia, Papież odprawił mszę, około godziny 7-ej pożegnał królewską rodzinę i z balkonu udzielił błogosławieństwa apostolskiego zgromadzonemu ludowi.

Królowa towarzyszyła Papieżowi przez całą długość schodów i raz jeszcze pragnęła otrzymać jego błogosławieństwo. Król z książętami wsiedli wraz z Ojcem św. do karety. Sześć innych ekwipaży wiozło ich królewskie Wysokości: hrabiego Trapani, brata króla, jego kuzyna, księcia Sebastjana, infanta hiszpańskiego, hrabiego Ludolfa, ambasadora jego Królewskiej Mości przy Stolicy Apostolskiej, etc., etc.

Szeregi wojska z garnizonu Caserty i Kapui tworzyły szpaler.

165. W Kapui artylerja fortecy strzelała z armat na cześć Papieża i króla, w chwili ich wjazdu do miasta, a lud, zebrany tłumnie, radośnymi ich witał okrzykami.

Kareta papieska, a za nią cały orszak zatrzymał się przed katedrą, tam Papież błogosławił, poczem udał się do arcybiskupiego pałacu. Ojciec św. udzielił błogosławieństwa z wysokości umyślnie na ten cel urządzonego wzniesienia, następnie odwiedził klasztor OO. Salezjanów. Przez cały ten czas król nieodstępnie mu towarzyszył.

Po powrocie do pałacu Papież udzielił audjencji duchownym i oficerom garnizonu, a posiliwszy się nieco, udał się w dalszą drogę i wyruszył o godzinie 3-ej do Sessy.

Przybył tam o godz. 6-ej. Tłumnie napływał lud z okolicznych wiosek. I tu znowu, jak w Kapui, zatrzymał się Papież czas jakiś w katedrze, błogosławieństwa Najświęt. Sakramentu wiernym udzielił i z balkonu arcybiskupiego pałacu lud błogosławił.

Ojciec św. ze swym orszakiem zatrzymał się w arcybiskupim pałacu, a król z następcą tronu u margrabiego Tranzi.

166. D. 6 kwietnia bardzo rano wyruszył orszak z Sessy do Gaety.

Pius IX, który w tem mieście w poprzednim roku dziewięć miesięcy przebył, oczekiwany był przez ludność miejscową i witany z radością nieopisaną. Kapituła, duchowieństwo, oraz kilka osób z miasta, które Ojciec św. rozpoznał wśród oczekujących i w przejeździe nazywał po imieniu, otrzymało posłuchanie.

Po południu Pius IX opuścił Gaetę i przez Iri i Fondi skierował się ku Teracynie.

Przejeżdżano Campanię, którą pospolicie zwą Ciociaria, jedyną prowincję, która od początku do końca wierną Papieżowi pozostała; w szczególności zaś Alatri nie chciało mieć nic wspólnego ze zbuntowanymi.

Po drodze wypadała jeszcze Mariltima; Pius IX zatrzymał się w Velletri i Albano, wreszcie w otocze-

niu wojska francuskiego przybył do Rzymu po południu d. 12 kwietnia 1850 r.

Wjazd Sługi Bożego do swej stolicy był prawdziwie tryumfalny. Niezliczone tłumy ludu pośpieszyły na spotkanie Papieża-króla, witając go radośnemi okrzykami.

W ciągu trzech dni trwały iluminacje, płonęły pochodnie, puszczano fajerwerki, chcąc tym sposobem wyrazić żywe zadowolenie z powodu szczęśliwego wydarzenia.

Pius IX do łez wzruszony wysiadł najprzód przed wschodami bazyliki lateraneńsktej, następnie zatrzymał się w kościele św. Piotra, zamieszkał zaś w Watykanie.

Cała jego podróż z Gaety do Rzymu była jednym szeregiem nieustających owacji; wszędzie po drodze wzniesiono łuki tryumfalne i wmurowano w miastach, przez które przejeżdżał pamiątkowe tablice.

---

167. Komisja rządowa w Rzymie postarała się w ciągu tego czasu, począwszy od września 1849 r. ściśle spełniać wolę Piusa IX, ułaskawiła więc wszystkich przestępców politycznych, za wyjątkiem członków rządu prowizorycznego i Konstytuanty, przyjmujących udział w obradach rewolucyjnych; członków tryumwiratu republikańskiego; dowódzców wojsk, wreszcie recydywistów, pozostawiając sobie prawo zbadania przeszłego zachowania się wszystkich urzędników świeckich, wojskowych i magistratu.

Pius IX, który nie był zupełnie z tej rady cenzuralnej zadowolony, postanowił w kwietniu 1850 r. czas zawieszenia urzędników, tytułem kary, w ich urzędach zmniejszyć o połowę; dla rozpatrzenia zaś spraw swych podwładnych, pomawianych o poważniejsze wykroczenia i srożej z tego powodu ukaranych, Pius IX ustanowił specjalną komisję, która miała orzec, kto z tej kategorji przestępców politycznych zasługuje na ułaskawienie, a przynajmniej na zmniejszenie kary.

---

168. Pius IX po powrocie do Rzymu zatrzymał przy sobie kardynała Jakóba Antonelli, mianując go sekretarzem Stanu w marcu 1882 r.; znał go bowiem jeszcze wówczas, gdy Antonelli, jako zwykły prałat, był sekretarzem kardynała Mattei w ministerjum Spraw Wewnętrznych, a następnie gdy został ministrem Finansów.

Niezwykła bystrość umysłu kard. Antonellego w sprawach administracyjnych i finansowych pozyskały mu nieograniczone zaufanie Grzegorza XVI. Został on mianowany kardynałem d. 11 czerwca 1847 r. i otrzymał tytuł djakona przy kościele św. Agaty *alla Suburra.*

Kardynał Antonelli nie uważał się powołanym do stanu kapłańskiego, obarczony wielce sprawami państwowymi prowadził życie światowe, którego nie wyrzekł się również po zaszczyceniu go kardynalską purpurą.

Mianowany prezydentem Rady państwa, został następnie prezesem Rady ministrów, a po jej upadku otrzymał Prefekturę Pałaców Apostolskich, co go zmusiło do zamieszkania w Kwirynale i dozwoliło następnie, wspólnie z kilkoma ambasadorami, wyrwać Papieża z rąk demagogów. Zamiast skłonić go do obrania sobie Bolonji lub też innego jakiego miasta, znajdującego się w granicach Państwa Rzymskiego, a będącego wiernem Papieżowi, pociągnął go do Gaety, gdzie sam udał się pierwszy i Piusa IX spotykał.

Papież mianował go pro-sekretarzem, a kardynał ten w porozumieniu z ambasadorami, którzy także z Papieżem do Gaety przybyli, przemyśliwał nad sposobami poprawienia stanu rzeczy i wyprowadzenia Ojca św. z trudnego położenia.

W tym celu wystosował notę dyplomatyczną do mocarstw, prosząc o interwencję dla obrony praw Stolicy Apostolskiej.

Dzięki zręczności, z jaką potrafił skorzystać ze współzawodnictwa różnych państw europejskich, powiodło mu się to przedsięwzięcie i Pius IX po powrocie do Rzymu w znak wdzięczności pierścieniem brylantowym go obdarzył.

Było to jakgdyby łączące ich ogniwo, co Antonelli umiał doskonale wyzyskać, utrzymując się na swem stanowisku, wtedy nawet, gdy Papież widział dobrze jego osobiste wady.

Antonelli miał umysł dość bystry i dojrzały, ale będąc wiernym dawnym, konserwatywnym systemom rządzenia, nie rozumiał wcale prawości i szczerości Piusa IX i z jego reformami się nie zgadzał.

W tajemnicy czynił nawet, co tylko mógł, żeby Papieżowi wyperswadować wszelkie zmiany i nie wahał się przyłączyć do tych, którzy przypisywali szlachetnym tym ideom wszystkie nieszczęścia Włoch, a nawet całej Europy.

---

169. Sługa Boży sprzyjając zawsze idei narodowościowej we Włoszech stale jednak przeciwny „narodowemu zjednoczeniu“ począł sądzić, wielką delikatnością uczuć wiedziony, że być może wyrządził istotnie jaką bądź krzywdę innym panującym włoskim przez politykę, w pierwszych dwóch latach swych rządów prowadzoną, co skłoniło go do

usunięcia się od spraw politycznych, a zwróciwszy się natomiast całkowicie ku sprawom, dotyczącym rozwoju Kościoła Powszechnego, wszystko zaś inne zdał na sekretarza Stanu. Ten jednak nie umiał dostatecznie wniknąć w ducha czasu i zamiast uczynić zadość słusznym żądaniom ludności, trzymał się niezłomnie form rządu i przestarzałych, nie zawsze licującymi z potrzebami chwili.

Wziął on sobie za wzór Metternicha, który również padł i wyobrażał sobie, że potrafi władzę świecką Stolicy Apostolskiej utrzymać.

Antonelli, tak samo, jak książę Metternich został zmieciony nawałnicą nowych idei.

Wierny swemu władcy czynił co mógł dla podniesienia znaczenia politycznego i finansowego Państwa Kościelnego, umiał, mając w tym razie wiele odpowiedniego doświadczenia, utrzymać powagę stolicy Apostolskiej i dość zręcznie z trudności przeróżnych się wywikłać, ale nigdy nie zdawał sobie dość jasno sprawy z nastroju umysłów w danej chwili. Ściągnął na siebie nienawiść sekciarzy, którzy nawet uczynili zamach na jego życie.

Zniechęcony wtargnięciem wojska włoskiego do stolicy Państwa Kościelnego, co do ostatniej chwili wydawało mu się zupełnie niemożliwem, lub też w razie spełnienia zamysłów bardzo krótkotrwałem, umarł w Watykanie d. 6 listopada 1876 r.

„Opłakiwany był przez wszystkich zacnych ludzi, pisał o nim ś. p. kardynał Bilio, co do mnie zaś ceniłem go bardzo wysoko".

Był on zawsze gorąco obowiązkom swym i pracy oddany i nigdy, nawet podczas ostatniej swej choroby nie pozwolił, aby go ktokolwiek wyręczył.

---

170. Kiedy Pius IX odzyskał w swem Państwie władzę, pierwszą jego czynnością było ogłoszenie odpustu zupełnego w formie jubileuszu.

Chciał w ten sposób ożywić ducha chrześciańskiego i podziękować Bogu za dobrodziejstwa zesłane Kościołowi św. i Stolicy Apostolskiej.

W miesiąc prawie po ogłoszeniu odpustu, Piemont wytoczył znów drażliwą sprawę stosunku Kościoła do Państwa i przez prawo Siccardi żądał zniesienia trybunału duchownego, zrzeczenia się władzy świeckiej Papieża, inkameracji dóbr kościelnych, zmniejszenia dni świątecznych i wprowadzenia ślubów cywilnych.

Pius IX zaprotestował już z Gaety notą kardynała pro-sekretarza Stann z d. 4 marca 1850 r., a uczynił to publicznie na Konsystorzu z d. 20 maja tegoż roku.

Piemont chciał zerwać z Kościołem, podając jako powód stałą odmowę kardynała Antonellego uczynienia zadość żądaniom króla Karola Alberta, będącą obrazą jego majestatu.

Od tego czasu Piemont przyczyniał Papieżowi ustawicznych trosk i ciężkich niepokojów, a mianowicie: Kongres paryski, odwołanie poselstwa, okupacja Marchji i Umbrji, wreszcie we wrześniu 1870 roku ostateczny zabór Państwa Kościelnego.

---

171. Ojciec św. starał się wszelkiemi sposobami wynagrodzić szkody materjalne i moralne, wyrządzone przez rewolucję z 1849 r.

Deficyt z pół miljona wzniósł się do siedmiu miljonów skudów, a jednakże rewolucjoniści zagrabili dobra i kapitały wszystkich pobożnych instytucji i zasypali kraj papierową monetą, którą w następstwie przyznano w połowie wartościową, w połowie zaś pokryto przez zaciągnięcie pożyczki.

Wobec tak wysokiej sumy długów państwowych musiano uciec się do nałożenia nowych podatków; nie były one wszelako nazbyt wygórowane, mimo to jednak przyczyniły się do wywołania niezadowolenia i zaburzeń, nie przestających tlić pod popiołem jeszcze i po zniesieniu rządu republikańskiego.

---

172. Te finansowe kłopoty nie przeszkodziły Piusowi IX poświęcaniu się pracy ku pożytkowi państwa i rozlicznych prowincji.

Możnaby przytoczyć bardzo liczne przykłady, że wspomnimy tylko na tem miejscu o wspaniałym moście w Ariccia i olbrzymich pracach, przedsięwziętych w portach Ankony i Raweny, w Cesanatico, Teracynie, Civita-Vecchia, Anzio, Sinigaglji, Pesarze, Fiumicino, prace, które przyczyniły się tak szczęśliwie do wzrostu i pomyślnego rozwoju marynarki handlowej.

Rolnictwo skorzystało też wielce z rozporządzenia, wydanego pod datą 19 grudnia 1849 r., rozszerzającego pastwiska (przez osuszenie części wilgotnych wybrzeży morza Śródziemnego) i przez nagrody, wyznaczane za sadzanie drzewek, jak również utworzenie katedry rolnictwa w arcygimnazjum rzymskiem; wreszcie przez zachęcanie i popieranie wszelkich usiłowań prowadzących do podniesienia przemysłu i kultury.

Idąc za głosem serca Pius IX tak samo przyczyniał się wielce do rozwoju literatury, nauk i sztuk pięknych i pod tym względem współzawodniczył z najznakomitszymi papieżami.

Niezliczoną ilość cennych zabytków w Rzymie, Bolonji i we wszystkich miastach Państwa Kościelnego Pius odnowić kazał, a więc szkoły, kościoły

muzea, wodociągi, mosty, ulice, nic nie uszło przed jego bacznem okiem i szlachetnem sercem, co mogło być z pożytkiem dla jego podwładnych, co podnosiło przemysł i handel; polecił też badania nad polepszeniem kampanji rzymskiej i przekopaniem kanału, który, począwszy od Ankony, połączyłby Adrjatyk z morzem Tyrreniańskiem.

---

173. Do troskliwych starań o dobro swych podwładnych dołączał Pius IX zapobiegliwość wielką we wszystkiem, co dotyczyło Kościoła Powszechnego, starając się zawsze zaradzić złemu.

Po powrocie do Rzymu dopełnił wielkiego dzieła, o jakiem od czasu swego wygnania marzył, a mianowicie chodziło mu o odnowienie hierarchji katolickiej w krajach protestanckich.

Już d. 3 lipca 1848 r. przeistoczył i zmienił granice łacińskich djecezyj w Rosji; d. 24 września 1850 r. utworzył przez Bullę *Universalis Ecclesiae* metropolję Westminsterską na lewym brzegu Tamizy w Londynie, poddając pod jej zarząd dwanaście biskupstw w Anglji.

Doniosłe to dzieło, będące tak owocne w przyszłości, dało początkowo powód do gwałtownego wśród anglikanów oburzenia, które przywiodło lud do niecnych czynów, jak np. palenie wizerunków Papieża na ulicach Londynu i wywołało w samym parlamencie projekt prawa, zabraniającego biskupom noszenia tytułów swoich kościołów i zmuszające każdego obywatela, pod groźbą surowej kary do donoszenia władzy, w razie nie stosowania tego rozporządzenia.

Pius IX odnowił również hierarchję katolicką w Holandji i tu powiodło mu się szczęśliwie, Holendrzy bowiem nie stawili oporu, a nawet znieśli prawa nieprzychylne katolicyzmowi.

---

174. Nie poprzestając na odnowieniu hierarchji duchowej w krajach, w których walki religijne wpłynęły na jej obalenie, Papież przyłożył starań do rozwinięcia i wyznaczenia takowej wszędzie, gdzie tylko gorliwość duchowieństwa i poświęcenie się misjonarzy silniej utwierdziły religję katolicką.

W czerwcu 1846 oraz w kwietniu i w maju 1847 r. Pius IX ustanowił nowe djecezje w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. W lipcu 1850 roku zwiększył ich liczbę, a kilka z nich podniósł do godności metropolji.

Mianował też Pius IX nowych biskupów w kolonjach francuskich, w Gwadelupie, Martynice, w Armenji, w Brazylji oraz innych krajach Ameryki południowej, a także w kolonjach angielskich w Australji. Ufundował kilka wikarjatów apostolskich dla szerzenia wiary świętej wśród pogańskich ludów. Uregulował też granice djecezjalne łacińskie w Rosji, co przyszło z wielkim trudem z powodu napotykanych przeszkód ze strony mie-Wschodniego Kościoła. Papież okazał się względem nich pełnym ojcowskiej dobroci, czego dowodem jest jego Encyklika: *In supremo Petri*, ogłoszona w 1848 r.

---

175. Ustawiczne troszczenie się Piusa IX o rozwój i zachowanie religji katolickiej w całym świecie, nie wpłynęły wcale na zaniedbywanie spraw rodzinnego kraju.

W grudniu 1849 r. wydał w Portici Encyklikę: *Nostis et Nobiscum* stosującą się do włoskich biskupów. Przypomniawszy im powody, które go skłoniły do opuszczenia Rzymu, dodaje, że z powrotem jego do Państwa Kościelnego nie ustała wojna przeciw religji prowadzona, albowiem jej nieprzyjaciele w dalszym ciągu nie przestają knuć spisków; sekty protestanckie i zasady komunistyczne i socjalistyczne wywierają wpływ szkodliwy.

Należy więc mu się opierać całą siłą, biskupi powinni czuwać, aby złemu o ile można zaradzić, gorliwie wiernych pouczać, sakramentów udzielać, książki szkodliwe usuwać, zachęcać swe owieczki do poważania Stolicy Apostolskiej, posłuszeństwa władzy i zgadzania się z wolą Bożą. Nakazuje, aby biskupi okazywali wiele rozwagi w doborze księży i w przestrzeganiu karności i obudzili w sobie świętą żarliwość w wykładach religji. W końcu Papież wyraża nadzieję, że wszyscy panujący włoscy zechcą przyczynić się do uskutecznienia jego zamiarów podniesienia ducha religijnego w narodzie i dopomagać będą ze swej strony pasterzom w spełnieniu tego doniosłego zadania.

---

176. Pius IX pojmował doskonale, że najlepszym sposobem obudzenia bogobojności wśród ludu, jest obdarzenie go mądrem i pobożnem duchowieństwem. Do tego też zmierzały wszystkie jego usiłowania, gdy pracował w seminarjach Spoletto i Imoli, wiedział jednak jak trudnem to było zadaniem, pomimo, że przedsiębrał w tym celu wszelkie środki, jakie mu bystry umysł i szlachetne serce dyktowały.

Kiedy Pius IX został wybrany Papieżem, wnet w swych listach do biskupów (pierwszy datowany z Rzymu 9 listopada 1848 r., drugi z Portici d. 8 grudnia 1849 r.) przypominał im doniosłe obowiązki kapłaństwa i wpływ, jaki duchowieństwo

wywierać winno na obyczaje, nauki, sztuki piękne i literaturę. Jednocześnie daje biskupom swe rady i wskazówki, które ściśle wykonane powinnyby zapewnić duchowieństwu męztwo i siły potrzebne do zwalczania piekielnych mocy.

177. Ażeby zaś dowieść czynem, to wszystko, co nieustannie wyrażał ustnie, piśmiennie, a przedewszystkiem czego przykładem swym nauczał, Pius IX nie poprzestał na podtrzymaniu i hojnem udzielaniu pomocy materjalnej istniejącym już Seminarjom, ale zakładał nowe, zadość czyniąc wciąż wzmagającej się potrzebie.

Oprócz kolegjum Beda, powołanym do życia, aby mogli w niem kształcić się Anglicy nawróceni, zbudował własnym kosztem w 1853 r. Seminarjum, które w pamięć założyciela, nazwanem zostało Seminarjum Piusa.

Od początku pobytu swego na wygnaniu myślał ustawicznie o założeniu tego nowego Seminarjum, gdyż doniosła sprawa starannego kształcenia młodzieży, gotującej się do stanu duchownego, zawsze ogromnie mu na sercu leżała.

Zamiarem Papieża było zgromadzenie w Rzymie, jako w centrum świata katolickiego, pod okiem Głowy Kościoła, młodzieży z różnych djecezji Państwa Kościelnego, dla kształcenia ich bezpłatnie, o ile przedstawieni będą przez biskupów, jako wyróżniający się pilnością i zdolnościami w naukach.

Od młodych kleryków wymagano tylko przyrzeczenia, że po ukończeniu studjów powrócą do swych djecezji, aby posiadłszy potrzebny zasób wiadomości, a przytem duchem apostolskim ożywieni, byli w następstwie gorliwymi pomocnikami dla swych pasterzy, już to w kształceniu uczącej się młodzieży, już w pracach apostolskich wśród ludu.

178. Ciągła troska o rozwój religji nie dawała Piusowi IX ani chwili wypoczynku. Jedność Kościoła św. była naówczas poważnie zagrożoną.

Wiele umysłów, porwanych prądami nowatorskich idei, pełnych zarozumiałości i nie liczących się z niczem, chciało gwałtownie, nawet w świętą dziedzinę wiary wnieść ducha liberalizmu i niepodległości narodowej.

Ludzie owi byli podtrzymywani tajemnie lub też zupełnie otwarcie przez bezbożne mocarstwa lub potężne sekty Europy i Ameryki, które widziały w tem korzyść dla siebie.

Ale Pius IX czuwał niezmordowanie nad utrzymaniem wiary wśród narodów; czuł doskonale, jak nadzwyczaj szkodliwemi są, niby to na naukowych podstawach oparte dowodzenia półmędrków, niewiele też obchodziła go rozgłośna sława niektórych uczonych nowatorów: z iście apostolską odwagą i męztwem, Papież potępił wszystkie błędy, oraz książki, w których były one przedstawione, jak również ich autorów, zwolenników, uczni i tych wszystkich, którzy im się poddawali.

Dużo znalazło się owych śmiałków godnych potępienia, których pisma zostały przez cenzurę kościelną zabronione. Niektórzy poddali się karze, inni zaś uparcie w błędach swych trwali.

Pomiędzy pisarzami, których dzieła uznane zostały za bezbożne byli: Ronge, Nuytz, Gioberti, Rosmini, Ventura; oprócz nich wielu jeszcze we Włoszech oraz w innych krajach.

179. Pius IX nie zaniechał użycia wszelkich sposobów dla utrzymania religji i w tym celu pozawierał konkordaty z rozmaitemi narodami.

W marcu 1848 r. zawarł konkordat z Wielkiem Księztwem Toskańskiem, w którem były oznaczone przypisy, dotyczące spraw religijnych w tem księztwie.

W 1851 r. konkordat Państwa Kościelnego z Portugalją położył kres odszczepieństwu Goa, które powstało skutkiem pretensji rządu do mianowania biskupów.

Tegoż roku zawarł też Papież konkordat z Hiszpanją, w którym ułożono kwestję dóbr kościelnych, a więc: wszystkie nie sprzedane majętności powinny były być Kościołowi powrócone; zapewnioną też była prawowierność wykładów seminaryjnych, przez uwolnienie biskupów od wszelkiego wtrącania się władzy świeckiej do spraw duchownych.

Nie mniej doniosłego znaczenia były konkordaty zawarte z rzeczpospolitą Guatymala i Costa-Rica w Ameryce, następnie zaś d. 11 sierpnia 1855 roku z Austrją, w którym zniesiono *placet* [1]) królewskie, wymagane dotychczas przy ogłaszaniu aktów papieskich i we wszelkich porozumiewaniach się ze Stolicą Apostolską, co przyczyniło się w znacznej mierze do otrzymania nieco większej swobody Kościoła w Państwie Austrjackiem.

180. Dogmat Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny, aczkolwiek nie ogłoszony,

[1]) Upoważnienie udzielone przez władzę świecką do ogłoszenia bull i brewjów papieskich.

był ogólnie uznany, począwszy od IX wieku; uznała go Sorbona, a Sobór Trydencki, wykładając naukę o grzechu pierworodnym, orzekł, iż nie stosuje się w żadnym razie do Najśw. Marji Panny.

Papież Grzegorz XVI-ty ze wszystkich stron świata katolickiego otrzymywał prośby o ogłoszenie nieomylnym wyrokiem Kościoła św. tego dogmatu.

Na początku już pobytu swego w Gaecie, Pius IX wydał encyklikę *Urbi primum nullis* w celu zasięgnięcia rady duchowieństwa w tym względzie. Otrzymał nań sześćset trzy odpowiedzi; z nich pięćset czterdzieści sześć z wyrażeniem życzenia jak najrychlejszego ogłoszenia dogmatu, a pięćdziesiąt siedm tylko, nie kwestjonując bynajmniej samej zasady dogmatu, przedstawiało pewne wahania co do tego jedynie, czy właściwą jest chwila ogłoszenia takowego, w obawie wywołania religijnego rozłamu w katolickiem społeczeństwie.

Powróciwszy do Rzymu Sługa Boży zwołał biskupów, którzy stawili się w wielkiej liczbie na to wezwanie.

Od sześciu lat nie widziano tak olbrzymiego zjazdu duchowieństwa.

D. 20 listopada znajdowało się w Rzymie stu dziewięćdziesięciu dostojników Kościoła, a pomiędzy nimi liczono pięćdziesięciu czterech kardynałów, patryarchę aleksandryjskiego, czterdziestu trzech arcybiskupów i dziewięćdziesięciu siedmiu biskupów.

Wszyscy oni jednogłośnie 1 grudnia wotowali za ogłoszeniem nieomylnym wyrokiem Kościoła św. dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Marji Panny.

D. 8 grudnia Ojciec św., którego zwano później Papieżem od Niepokalanego Poczęcia, udał się do bazyliki św. Piotra, świetnym otoczony orszakiem, zagrzmiały działa a wszystkie dzwony rzymskich kościołów rozbrzmiewały radośnie, podczas gdy Papież ogłosił dogmat Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marji Panny, pod grozą wyłączenia z Kościoła tym, którzyby takowego uznać nie chcieli.

---

181. Dwa wydarzenia podczas tej uroczystości zwróciły ogólną uwagę: 1) promień słońca, przebiwszy się przez chmury, padł przez okno kopuły, wprost na twarz Piusa IX, opromieniając go, jak gdyby nimbem świetlanym; 2) głos Papieża brzmiał tak donośnie w chwili ogłoszenia dogmatu, że był w całej, olbrzymiej bazylice słyszany.

Sto pięćdziesiąt kościołów rzymskich obchodziło następnie solennie uroczystość ogłoszenia dogmatu, a ku wiecznej dnia tego pamięci odsłonięto w obecności Papieża w 1857 r. kolumnę wzniesioną na placu hiszpańskim, której szczyt zdobi posąg Najśw. Marji. Najznakomitsi artyści z owych czasów przyłożyli ręki do tego wspaniałego pomnika.

---

182. D. 12 kwietnia 1855 r. Sługa Boży został w cudowny sposób ocalony. Znajdował się on w sali, przylegającej do klasztoru św. Agnieszki; otaczał Papieża liczny orszak, składający się z kardynałów i prałatów, przedstawicieli armji oraz różnych dostojników, wychowańców Propagandy, etc., etc., gdy nagle podłoga sali ugięła się pod ciężarem i zapadła się, nie przyczyniając wszelako szkody ani Papieżowi, ani też nikomu z obecnych, a stać się to mogło wyłącznie za przyczyną Najśw. Marji Panny, którą Pius IX ogłosił Niepokalaną i wzywał Jej orędownictwa w chwili właśnie, gdy zaszedł ów przykry wypadek, mogący pociągnąć za sobą najsmutniejsze następstwa.

Pius IX uznając w tem szczęśliwem ocaleniu prawdziwie cudowny objaw łaski Bożej, składał Najwyższemu gorące dziękczynienia oraz publiczne modlitwy dziękczynne nakazał.

Uciekał się Papież częstokroć do tego najpewniejszego środka dla ubłagania Boskiej pomocy w sprawach dotyczących Kościoła św. i wszelkich szczególnych potrzebach, nieraz też osobisty w tych nabożeństwach przyjmując udział, jak np. w listopadzie 1853 r., podczas uroczystości przeniesienia Krzyża św. z Campo Vaccino. Przemawiał wówczas do ludu z wysokości schodów Mamertyńskiego więzienia; jak również podczas rozpoczęcia przygotowawczych rozpraw nad określeniem dogmatu Niepokalanego Poczęcia oraz w roku 1855, w chwili zakończenia wojny krymskiej.

Pius IX kazał odnowić starożytną bazylikę św. Agnieszki i mury ściennemi malowidłami przyozdobić.

Fresk ów w bazylice św. Agnieszki przedstawia opisany wyżej wypadek zapadnięcia się podłogi; doskonale jest tam uchwycone podobieństwo rysów Ojca św. i całego papieskiego orszaku.

Lud rzymski ze swej strony obchodził uroczyście szczęśliwe ocalenie Ojca św., odtąd też corocznie powtarzały się radosne uroczystości w dn. 12 kwietnia, na pamiątkę powrotu w dniu tym Ojca św. z Gaety do Rzymu, oraz cudownego ocalenia Piusa IX-go.

---

183. Pius IX zajął się też gorliwie polepszeniem bytu swej niewielkiej armji.

Sumienni i roztropni oficerowie są nieodzownie potrzebni do prowadzenia szeregów, Papież więc

nieomieszkał ufundować szkołę wojskową, znaną pod imieniem Kolegjum Kadetów papieskich.

Kolegjum otwarte d. 5 maja 1855 r. i wyszło zeń wielu dzielnych i wiernych obrońców praw Stolicy Apostolskiej i władzy świeckiej Papieża.

Mgr Wincenty Tizzani, arcybiskup Nisiby i kapelan naczelny armji papieskiej, został wyznaczony na duchownego kierownika owego Kolegjum.

---

184. Sługa Boży uczynił ślub udania się do Loreto. Jeszcze dzieckiem będąc, odbywał pielgrzymki do miejsc świętych, tym razem zaś chciał jednocześnie odwiedzić część państwa, aby zdać sobie sprawę ze stanu umysłów oraz zbadać potrzeby ludności miejscowej. Chciał się przekonać o bezpodstawności oskarżeń, jakiemi Stolicę Apostolską po za granicami jego państwa zarzucano.

Cała ta podróż była prawdziwym tryumfem i niepodobna jest wyliczyć wszystkich owacji, jakiemi starano się uczcić drogiego sercom Papieża.

Miasta, miasteczka i wioski, przez które Ojciec św. przejeżdżał, współzawodniczyły z sobą w wyrażeniu czci, przywiązania i gorącego zapału, a nie tylko duchowieństwo świeckie i zakonne dawało dowody swej synowskiej dla Głowy Kościoła miłości (jak to starały się rozgłaszać rewolucyjne dzienniki), ale lud właśnie, z własnego popędu hołd władcy swojemu składał.

Wszędzie gdzie Papież przebywał udzielał posłuchania, wizytował kościoły, ochrony, szpitale, zakłady naukowe i przemysłowe. Rozdawał hojne jałmużny, wiele rodzin zacnych a podupadłych wspomógł, wyznaczył niektórym stałą pensję, magistratom udzielił szczodrej pomocy w celu przeprowadzenia robót dla ogółu pożytecznych, a także robotnikom grosza nie żałował, kościoły bogato obdarzył; dużo ubogich dzieci na koszt swój do zakładów naukowych przyjąć kazał, jednem słowem, wszędzie postawił najlepszą pamięć o sobie i towarzyszyły mu nieustannie błogosławieństwa wdzięcznego ludu.

---

185. Dzienniki rzymskie oznajmiły, że Papież wyruszy w podróż do Loretto d. 27 kwietnia 1857 roku, ale wyjazd nastąpił dopiero 4 maja, a nieobecność Papieża w stolicy trwała niespełna cztery miesiące.

Rano 4 maja Sługa Boży odprawił mszę św. w bazylice św. Piotra; odmówił modlitwy liturgiczne dla podróżnych i przez bramę ŚŚ. Aniołów wyjechał z Rzymu. Odwiedził kolejno Nepi, Civita-Castellana, Narni, Terni, Spoleto, Folinio, Assyż i Peruzję.

Przejechawszy Umbrję przez Maceratę i Tolentino przybył do Loretto d. 14 maja i pozostawał tam do 17 maja, czyniąc tylko wycieczkę do Askoli, poczem odprawił uroczyste nabożeństwo dnia 21 w Loretto w dzień Wniebowstąpienia. Odwiedził również Ankonę i Sinigalję, miasto rodzinne, i tu zatrzymał się od 26 do 30, pod rodzicielskim dachem.

Z kolei też i inne miasta, jak Pesara, Rimini, Cesena, Forli, Faenza, Imola i Bolonja miały szczęście gościć w swych murach Piusa IX.

Do Bolonji wjeżdżał tryumfalnie d. 9 czerwca i tu hołd mu składali dyplomaci i książęta włoscy. W mieście tym Papież przebywał aż do połowy sierpnia i ztąd odwiedził Rawennę i Ferrarę.

---

186. Franciszek V, książę Modeny, prosił Papieża, aby raczył zaszczycić swą obecnością stolicę jego księstwa i Pius IX udał się do Modeny d. 2 lipca.

Zgotowano mu tam bardzo gorące przyjęcie, a ludność cała współzawodniczyła ze swym księciem w okazywaniu Ojcu św. natkliwszego przywiązania.

Papież gościł w Modenie do 4 lipca, poczem powrócił znów do Bolonji.

D. 18 sierpnia Ojciec św. udał się do Florencji, gdzie oczekiwany był z niecierpliwością przez wielkiego księcia Leopolda i całą książęcą rodzinę; lud witał też Ojca św. z nadzwyczajnym zapałem i cisnęli się wszyscy tłumnie, aby przyjrzeć się mu zbliska.

Przyjęcie było nader uroczyste i pełne radości, a Pius IX chcąc okazać swe zadowolenie, zabawił we Florencji do 24 sierpnia i tam położył pierwszy kamień pod fasadę kościoła Św. Krzyża, mającego być Panteonem znakomitości włoskiego narodu.

---

187. Za nim Pius IX powrócił do Rzymu, ulegając usilnym prośbom deputowanych z Volterry (pragnących gorąco, aby Papież zaszczycił swą obecnością to miasto, które go dziecięciem jeszcze widziało), udał się tam d. 27 sierpnia i opuścił je 29, po dwudniowym pobycie.

W Volterre przyjęcie Papieża odbyło się równie uroczyście i wspaniale, jak w innych miastach: Sługa Boży odwiedził wszystkie znajdujące się tam klasztory i przytułki, oraz własnoręcznie ukoronował obraz Najśw. Marji Panny w kościele św. Sebastjana.

Pius IX powracał do Rzymu na Siennę, Orwieto i Viterbę i przybył do Stolicy Państwa Kościelnego d. 5 września.

Powrót Ojca św. obchodzono w Rzymie trzydniowemi festynami dla okazania radości i głębokiego do Piusa IX przywiązania.

188. W tym czasie właśnie, kiedy Pius IX z właściwą sobie stałością charakteru przeprowadzał reformy zbawienne wszelkiego rodzaju, nad Kościołem św. zawisły ciężkie chmury, albowiem wszystkie prawie rządy Europy znajdowały się w ręku nieprzyjaciół Stolicy Apostolskiej.

Rosja toczyła układy z Papieżem, które się wciąż zrywały, nienawiść bowiem do Polaków rząd połączył z nienawiścią do katolickiego Kościoła.

W Belgji masoni walczyli otwarcie przeciw władzy świeckiej i duchownej Papieża: Anglja przygotowywała rewolucję włoską; Bawarja, Prusy, jak również mniejsze państewka niemieckie znajdowały się pod wpływem sekciarzy; Hiszpanja, która stała się pastwą liberałów, drwiła sobie z zawartego ze Stolicą Apostolską Konkordatu i gnębiła duchowieństwo.

W Szwajcarji katolicy wyłączeni z Ligi kantonów protestanckich, znosić musieli dotkliwe i srogie prześladowania.

Cesarz Napoleon III, stanowiący na owe czasy o wojnach lub pokoju Europy, nie miał żadnej po trzeby zasmucania Ojca św., od którego spodziewał się łask rozmaitych, ale niejednokrotnie życie jego narażone było na niebezpieczeństwo z powodu sekciarzy i zmuszony był przypominać w Watykanie, na jakich warunkach w 1849 r. przywrócił władzę świecką Papieża.

Cesarz austrjacki więcej niby sprzyjał Kościołowi św., dowiódł tego zawarciem korzystnego dla spraw religijnych Konkordatu, ale ten pozostawał częstokroć martwą literą z powodu wpływów żydowsko-protestanckich, przeważających w samym Wiedniu i najzupełniej trzymających w ręku dziennikarstwo. Przytem dodać należy, że Austrji naówczas zagrażała rewolucja węgierska, musiała też walczyć ze wzrastającą potęgą Prus, chciwie dążących do zagarnięcia naczelnego miejsca wśród niemieckich państw.

Nie mniej groźne były dla Austrji pretensje Piemontu, przygotowującego się do aneksji, czyli przyłączenia do swych dzierżaw Lombardzko-Weneckiego Królestwa.

Owe zwycięztwo byłoby już pierwszym krokiem do zjednoczenia Włoch, tem łatwiejszego w chwili, gdy wszystkie inne rządy na półwyspie włoskim były niedołężne i nie posiadały dostatecznej siły, aby oprzeć się polityce Piemontu, popieranej przez Anglję i Francję.

189. I oto w Piemoncie wybuchła burza: po dynastji panującej tam, a pochodzącej w prostej linji od Sabaudzkiego domu, oddanego wielce Kościołowi św., objęła władzę linja Sabaudzka Karińska (od 27 kwietnia 1831 r.), poczynająca się od Karola Alberta.

Sekciarze starali się skusić tego monarchę, ukazując mu w dali koronę całych Włoch zjednoczonych, on zaś wahał się i z jednej strony nęciły go ambitne nadzieje, z drugiej zaś przemawiał głos obowiązku.

Porażka pod Nowarą poniesiona ochłodziła go wielce i skłoniła do pogrążenia się w cieniu i pozostania w Oporto aż do końca życia, pełnego burzliwych wrażeń.

D. 29 sierpnia Karol Albert wysłał do Piusa IX-go hrabiego Salaro della Margherita, dla zapewnienia Ojca św. o swem bezgranicznem przywiązaniu; ale powoli ministrowie Piemontu, a zwłaszcza Wincenty Gioberti zaczęli działać wbrew przeciwnym niż król kierunku.

D. 14 marca 1849 r. Pius IX zaprotestował przeciw prześladowaniu zakonników, mającem miejsce w Piemoncie.

W tym czasie Wiktor Emanuel II wstąpił na tron w Sardynji. Pius IX wniósł wówczas protest w marcu 1850 r. przeciw prawom Siccardi, ewentualnie przeciw punktom przeciwnym trybunałowi duchownemu, przywilejom lokalnym, święceniu świąt, powołując się na istniejące Konkordaty.

Na Konsystorzu z d. 20 maja 1850 r. Papież zaprotestował przeciw uwięzieniu Mgra Fransoni, arcybiskupa Turynu, który nie licząc się z następstwami, odważył się pretensjom rządu stawić opór,

Na Konsystorzu tajnym z d. 1 listopada 1850 roku Papież uskarżał się na krzywdy przywilejom kościelnym wyrządzone, nie poszanowanie Konkordatu, zawartego przez Grzegorza XVI; na bezowocność czynionych przez siebie wymówek i napomnień, na ucisk arcybiskupa Turynu, Sassari i Cagliavi; na nowe zmiany w wykładach publicznych oraz na błędne zapatrywania w różnych sprawach duchownych.

190. Kamil Benso de Cavour, minister Sardynji, był po Mazzinim głównym działaczem w sprawie zjednoczenia Włoch, a zarazem najzawziętszym przeciwnikiem polityki Stolicy Apostolskiej.

Piemont sam przez się byłby zbyt mały i słaby do przeprowadzenia swych zamysłów, ale Cavour znalazł podtrzymanie i potężnego sprzymierzeńca w cesarzu Napoleonie III, albowiem dla pozyskania jego względów przyszło mu do głowy złączyć się z nim podczas wojny krymskiej, co utorowało drogę do wzięcia udziału Piemontu na Kongresie Paryskim, na którym mocarstwa prowadziły obrady nad zachowaniem europejskiej równowagi.

Pius IX zrozumiał wnet do czego minister piemontcki zmierza.

Na Kongresie owym padły bardzo ciężkie dla Stolicy Apostolskiej słowa, pomimo, że w sprawozdaniach z posiedzeń Kongresu o nich zamilczano.

D. 30 marca 1858 r., wkrótce po podpisaniu pokojowego traktatu, cesarz Napoleon rozkazał ministrowi Walewskiemu kwestję włoską poruszyć.

Wynikł ztąd atak silny ze strony przedstawicieli Piemontu, Francji i Anglji przeciw rządom Państwa Kościelnego i króla neapolitańskiego.

D. 27 marca Cavour przedstawił ministrowi Walewskiemu memorjał, będący właściwie programem walki przeciw władzy świeckiej Papieża. Francja i Anglja na walkę tę przystały, Napoleon więc czując ze strony Anglji podtrzymanie, począł dopominać się o wprowadzenie reform zasadniczych w rządzie Państwa Kościelnego. Anglja jednakże zawiodła jego oczekiwania, wobec czego Napoleon począł zachęcać do cierpliwości oraz zalecać wielką ostrożność w postępowaniu, przyznając zarazem, że wszelka zwłoka trudności w Rzymie przysporzy.

Przyszłość dowiodła, że nie mylił się w tym względzie.

---

191. Józef Mazzini uchodząc z Rzymu w 1849 roku, w Londynie szukał schronienia i tam wszelako, nie przestawał konspirować w sprawie utworzenia włoskiej rzeczypospolitej. Powoli jednak stronnicy jego poczęli upadać na duchu i tracić nadzieję uskutecznienia szerokich swych planów. Ażeby na nowo pobudzić ich do działalności rewolucyjnej, Mazzini utworzył w Rzymie 1 września 1851 r. zarząd centralny wewnętrzny, dla przygotowywania w różnych punktach półwyspu buntów w wojsku. Na czele tego zarządu rewolucyjnego stanął adwokat, Józef Petroni, stary konspirator boloński, kilkakrotnie ułaskawiony, któremu udało się wywinąć zręcznie z wielu niebezpieczeństw i zamieszkać w Stolicy Państwa Kościelnego.

Petroni rozprzestrzeniał wszędzie odezwy buntownicze, tworzył komitety, utrzymując wciąż stosunki z demokratyczną partją w Toskanji, porozumiewając się listownie z Mazzinim i otaczając się zręcznymi i przebiegłymi ludźmi, dopomagając mu w jego knowaniach.

Ponieważ jednak czujność policji papieskiej i niechęć rzymian, stanowiły poważną w przeprowadzeniu zamysłów wichrzycielskich przeszkodę, stronnictwo Mazziniego postanowiło połączyć się z piemontckimi liberałami, aby wspólnie wytężyć siły ku obaleniu władzy papieskiej, poczem dopiero mieli zamiar dawniejsze swe plany, utworzenia rzeczypospolitej włoskiej, przeprowadzić.

Piemont okazał się godnym zaufania, jakiem go partja rewolucyjna darzyła, albowiem mając przedstawiciela swego rządu przy Stolicy Apostolskiej, dla odwrócenia podejrzeń, jednocześnie gotował rewolucję skrycie.

Towarzystwo nacjonalistyczne sabaudzkie było potężne, dzięki poparciu sardyńskiego ministra i uczynionej mu obietnicy dostarczenia broni i pieniędzy.

Tymczasem korzystano z działań parlamentu oraz prasy, nie mówiąc już o skuteczniejszej jeszcze pomocy margrabiego Migliorati, tego przedstawiciela Piemontu, który nadużywał swego mandatu do tego stopnia, że sam objeżdżał miasta Państwa Kościelnego, zwłaszcza w Marchji i Umbrji przebywał, zapewniając sobie współdziałaczy, tworząc Komitet w Ankonie podobny tym, jakie w Rzymie i Bolonji powstały. Komitety owe porozumiewały się nieustannie z najwięcej wpływowymi przewódzcami partji w Piemoncie.

---

192. Cavour i Napoleon, którego zamach Orsiniego zdecydował do przyspieszenia wybuchu rewolucji we Włoszech, nie porozumieli się jeszcze co do dalszego postępowania. Postanowili więc spotkać się z sobą w Plombières, a wszystko to było utrzymane w tak ścisłej tajemnicy, że nawet minister francuski w Turynie nic o tem nie wiedział. Widzenie się owo tajemne Napoleona z Cavourem miało dwa razy miejsce i poufne ich narady trwały po cztery godziny.

Była wtedy mowa o zbrojnej interwencji Francji w wojnie z Austrją; o ustąpieniu Nicei i Sabaudji; o nowych granicach Włoch na korzyść Piemontu; o przeinaczeniu Państwa Kościelnego; we wszystkich tych kwestjach każdy z nich wypowiadał swe osobiste poglądy.

Wyniki tego poufnego spotkania w Plombière okazały się natychmiast w oszczerczych artykułach prasy francusko-włoskiej, wymierzonych przeciw rządom świeckim Papieża.

Wielki huczek podniosły dzienniki rewolucyjne z powodu sprawy Edgarda Mortara, młodego żydka, który się ochrzcił i pomimo prześladowań

rodziny, trwał w katolickiej wierze. Papież otoczył go swoją opieką.

Pisma nieprzyjaznego obozu czyniły z tego zarzut Ojcu św., nazywając postępowanie jego uciskiem wolności sumienia i skorzystały z tej sposobności, aby miotać jak najokropniejsze oszczerstwa i zniewagi przeciw rządom Piusa IX.

Wszystko to tem więcej podniecało zaborcze instynkta Cavoura.

---

193. Zerwanie pomiędzy Francją i Austrją musiało nastąpić niechybnie. Pius IX pojmując, jakie ztąd niebezpieczeństwo Państwu Kościelnemu zagrażało, zawiadomił za pośrednictwem kardynała Antonelli, d. 22 lutego 1859 r. ambasadorów dwóch tych mocarstw, że życzeniem jego jest, aby wojska francuskie i austrjackie opuściły niezwłocznie granice Państwa Kościelnego; następnie jednak upoważnił je sam do pozostania.

Oprócz dzienników francuskich i włoskich, zupełnie rewolucjonistom oddanych, uciekano się jeszcze do wypuszczania w świat najprzeróżniejszych paszkwilów politycznych, mających na celu osłabienie w oczach ogółu powagi rządów świeckich Papieża.

Jeden z takich świstków ukazał się na paryskim bruku w 1859 r. pod tytułem: „Napoleon i Włochy". Autorem jego był, jak powiadają, vicehrabia de la Guerronnière, zaufany cesarza. Są poważne dane, dające przekonanie, że to się stało pod wpływem cesarza. Była tam mowa o Stolicy Apostolskiej, pozostającej na opiece Francji; pod przesłanką słów i myśli zarzucano, że zapomniała o dawanych jej przestrogach i grożono w razie, gdyby się do nich nie zastosowała.

W ośm lat potem nie wątpiono już kto był autorem tego paszkwilu, gdy wystąpił jawnie przeciw władzy świeckiej Papieża.

---

194. Na przygotowanym już przez podstępne machinacje dyplomatyczne gruncie, rozwijać się poczęły wypadki, które przyczyniły się koniec końców do wydarcia znacznej części państwa z rąk Piusa IX.

Od chwili przybycia cesarza do Medjolanu w czerwcu 1859 r., Napoleon wkroczył na czele potężnej armji przez Toskanję i zagroził przecięciem drogi Austrjakom, znajdującym się w Bolonji, Ferrarze i Ankonie, oraz głównemu oddziałowi, przebywającemu nieopodal rzeki Po, pod dowództwem Gynlai.

Cesarz Franciszek Józef wysłał depeszę do Werony rozkazując, aby trzy austrjackie garnizony opuściły niezwłocznie Państwo Kościelne.

Wystąpienie Austrjaków z Bolonji nastąpiło podczas buntu przeciw władzy papieskiej, ale wysłane ztamtąd rozkazy do Rimini i do Marchji nie zostały wręczone w porę, co opóźniło działanie komitetów rewolucyjnych.

Oprócz miast, znajdujących na drodze, pomiędzy Bolonją i Ankoną, w których wybuchło powstanie natychmiast po oddaleniu się wojsk cudzoziemskich, było jeszcze wiele innych w Marchji, które poszły w ich ślady.

W Umbrji powstała Peruzja oraz kilka wiosek okolicznych.

Wszędzie, gdzie nie zorganizowano komitetów rewolucyjnych i wpływ ich nie dosięgał, ludność zachowywała się zupełnie spokojnie, podczas gdy miasta zbuntowane uznały dyktaturę Wiktora Emanuela i wywiesiły sztandar sabaudzki.

Wojskom papieskim udało się bez wielkiego trudu przywrócić porządek, tylko w Perugii opór trwał nieco dłużej i pułkownik Schmid dopiero po trzydniowej walce zdobył miasto.

Przywódzcy, stojący na czele zbuntowanych pouciekali. Moznaby ubolewać nad tem, że policja papieska zamało okazywała się energiczną w Perugji, ale nie słusznie zupełnie czyniono zarzut Papieżowi, że pułkownika Schmida awansował na generała, co nastąpiło wcześniej, zanim do Watykanu doszły wieści o nadużyciach, popełnionych przez jego żołnierzy.

W niespełna sześć dni Umbrja i Marchja zostały znów władzy papieskiej poddane. Przez ten czas Cavour wysyłał komisarzy królewskich do legacji (prowincji należących do Państwa Kościelnego), a Wiktor Emanuel pozyskiwał tam sprzymierzeńców, niby dla prowadzenia wojny z Austrją.

Generał piemoncki Mezzacapo, będący na usługach rządu prowizorycznego w Toskanji, porozumiał się z rządem prowizorycznym w Bolonji, co mu dało możność nie dopuszczenia milicji papieskiej w Marchji do odzyskania legacji.

Przedwstępne kroki do zawarcia pokoju w Willafranca nie wpłynęły na zmianę rzeczy, chociaż była o tem mowa, że książętom detronizowanym mają być ich posiadłości powrócone i że różne państewka półwyspu mają być zjednoczone, a na czele Federacji miał stanąć Pius IX.

---

195. Napoleon nie poprzestając na rozrzuceniu broszur agitacyjnych, dla oddziaływania na opinję publiczną, starał się przytem wpłynąć na Papieża swemi radami.

Już d. 14 lipca 1859 r. zawiadamiając Piusa IX-go o zawarciu traktatu z cesarzem austrjackim w Villafranca, prosił Papieża o nadanie legacjom rządów świeckich i zupełnie odrębnych, z zachowaniem tylko dla siebie władzy zwierzchniej.

Sługa Boży nie przystał na tę propozycję Napoleona, uważał bowiem, że nietylko nie wpłynęłoby to na uspokojenie umysłów, ale mogło jeszcze nowe wywołać klęski; a przytem jego stanowisko władcy, Papieża i ojca narodu nie pozwalało mu na

Król odmówił, ofiarując się jednak popierać ich żądania wobec mocarstw europejskich.

Na Konsystorzu z d. 26 września Pius IX uskarżał się, że odmowa króla nie była stanowczą, wobec czego wydał ekskomunikę.

Na kilka dni przedtem Wiktor Emanuel wysłał do Papieża ks. Stellardi, swego jałmużnika, dla skłonienia Papieża do mianowania króla sardyńskiego swym namiestnikiem w legacjach. Starał się zarazem wytłumaczyć przed Papieżem ze swego po-

Ogłoszenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia.

czynienie jakichkolwiek bądź ustępstw w tym względzie.

Pius IX ze swej strony nie omieszkał bronić nteresów Kościoła św. i w imię sprawiedliwości zwracał się do tego, czyje imię odgrywało główną rolę w napaściach na Głowę Kościoła św.

D. 24 września 1859 r. delegacja rządu prowizorycznego przybyła do Monza, prosząc Wiktora Emanuela o przyłączenie legacji do swego królestwa.

stępowania, objaśniając, że zmuszony był uledz woli Napoleona III.

Pius IX d. 29 tegoż miesiąca odpisał własnoręcznie królowi Piemontu, a przemawiając doń w sposób prawdziwie ojcowski wykazywał jasno zło wyrządzone, zbyt słabe pobudki, któremi się usprawiedliwiał, oraz nazywał bezbożnym czynem branie w obronę zbuntowanych. Pomimo tych ciężkich wykroczeń Pius IX zapewnił króla o swej dla niego życzliwości, której nie zdołały zagasić ani

przyczynione strapienia, ani mogące wyniknąć ztąd klęski.

Słowa Papieża sprawiły na królu wrażenie, kiedy bowiem w listopadzie wybuchło znów w Marchji powstanie, Wiktor Emanuel nie dozwolił Garibaldiemu dalej wyruszyć.

---

196. D. 2 grudnia 1859 r. Pius IX zwrócił się znowu do Napoleona, przedstawiając, że jego godność osobista nie pozwala na to, aby na Kongresie omawianą była kwestja praw Papieża do władzy świeckiej.

Napoleon odpowiedział dopiero 31-go grudnia, że przyszły Kongres nie może nie uznać praw Stolicy Apostolskiej do legacji, ale ponieważ te ostatnie podniosły rokosz, nie podobna jest uśmierzyć je przemocą, albowiem, według jego mniemania, wprowadzenie wojsk obcych dla przywiedzenia zbuntowanych do posłuszeństwa mogłoby tylko rozniecić tem większą nienawiść wśród ludu, a zarazem obudzić zawiść innych mocarstw, byłoby więc najlepiej, aby Papież zrzekł się dobrowolnie legacji, które przyczyniają mu tyle udręczeń, natomiast zaś mocarstwa europejskie zapewnią mu nietykalność władzy nad resztą Państwa Kościelnego.

Tymczasem w Wigilję Bożego Narodzenia nowy paszkwil ukazał się w Paryżu. Nosił on tytuł: *Papież i Kongres*. W broszurze tej uznawano konieczność władzy Papieża z punktu widzenia polityki i religji, ale zarazem przedstawiano, że połączenie władzy świeckiej i duchownej w jednej osobie jest rzeczą nader trudną i jako jedyny sposób rozwiązania zawiłej kwestji podawano zacieśnienie granic Państwa Kościelnego tak dalece, ażeby miało ono raczej pozór rodziny, a nie oddzielnego państwa, im mniejszym zaś będzie obręb tego państwa, tym większym stanie się jego władca.

La Faryna, którego Cavour darzył wielkiem zaufaniem, tak się o tej książce d. 24 grudnia 1850 roku wyraził:

„Autorem jej jest Napoleon i wyznać należy, że zadał nią cios ostateczny władzy świeckiej Papieża!“

I Pius IX nie wątpił kto jest autorem owego piśmidła, czego dowodem jest jego przemówienie d. 1 stycznia 1860 r. do francuskich oficerów, składających mu noworoczne życzenia.

„Paszkwil ten, mówił Ojciec św., jest jawnym dokumentem przewrotności i haniebnych sprzeczności“.

Pius IX nie poprzestając na tem, dnia 19-go stycznia 1860 r. wyraził myśl swą w ostatecznej i stanowczej formie, wydając Encyklikę, która pozostanie na zawsze jednym z najwspanialszych pomników odwagi Ojca św. Ogłosił więc Pius IX, że nie może uczynić żadnych ustępstw, ponieważ nie licowałoby to z jego godnością i uwłaczało powadze Stolicy Apostolskiej, albowiem prowincje, należące do Państwa Kościelnego nie są własnością jakiejbądź królewskiej dynastji, ale całego katolickiego świata.

---

197. Nie zawahał się więc Sługa Boży wystosować d. 3 grudnia 1859 r. list do króla Wiktora Emanuela, zachęcając go do wzięcia w obronę praw Stolicy Apostolskiej na mającym się odbyć Kongresie

Król aż do d. 7 lutego 1860 r. zachował milczenie, poczem starał się usprawiedliwić z zaszłych w legacjach rozruchów i prosił, aby go Papież swym legatem w owych zbuntowanych prowincjach, oraz w Umbrji i Marchji wyznaczył.

Pius IX w odpowiedzi swej z d. 14 lutego dał poznać królowi, że podobna prośba wcale katolickiemu monarsze i to pochodzącemu z Sabaudzkiego domu nie przystoi; co zaś do własnego przekonania w sprawie rzeczonych prowincji wypowiedział je już poprzednio w wydanej przez siebie Encyklice do biskupów, którą król niech sobie odczytać raczy.

Pomimo tak stanowczej odpowiedzi, Wiktor Emanuel zwrócił się raz jeszcze do Papieża, prosząc oficjalnie d. 20 marca o udzielenie mu tytułu namiestnika. Przedstawił przy tej sposobności, że ludność tych prowincji, w których przez lat dziesięć obcy rządzili, najzupełniej teraz zrozumiała swoje położenie i przyłączyła się z własnego popędu i za wspólną zgodą do monarchji konstytucyjnej.

Pius IX odpowiedział, jak zwykle prosto i jasno, wyrażając co do owego przyłączenia się „z własnego popędu“ pewne wątpliwości, oraz przedstawił raz jeszcze, że obowiązek sumienia nie dozwala mu przyjmować żadnych propozycji i układów, mających na celu zmniejszenie granic Państwa Kościelnego.

Zaprotestował jednocześnie przeciw wszystkim dotychczas dokonanym gwałtom, czyniąc za nie odpowiedzialnymi kogo należało wobec mogących ztąd wyniknąć następstw.

---

198. W styczniu 1860 roku, sekta górująca w „Towarzystwie narodowem“ Turynu z całą zapalczywością rozpoczęła najrozmaitsze knowania.

Komitet Rimini, zawiadamiając spiskowców

o postanowieniach Komitetetu Centralnego Bolonji, pisał be ogródek:

„Od prezesa Towarzystwa narodowego w Bolonji, otrzymaliśmy ważne i pilne zawiadomienie, pod datą 2 b. m., nakazujące należącym do komitetów prowincjonalnych, aby w całym kraju postarano się zacieśnić oczka sieci organizacji, aż do chwili, gdy wypadki nowej polityki będą mogły przemienić rokowania polityczne na operacje czynne i zbrojne. Prawdopodobnie Austrja, Rzym i Neapol usuną się od przyjęcia udziału w Kongresie; obecne usposobienie pochodzi z ministerjum, a mamy nadzieję, że wszyskie komitety odpowiedzą na to zdwojoną gorliwością".

Komitety starały się proklamacjami tajemnemi, złamać wierność armji papieskiej. Najsłynniejsza z nich: „Do Włochów na usługach Papieża", z d. 15 stycznia 1869 r., podpisana przez Komitet emigracyjny w Rimini, upomina obywateli, by nie brali udziału w uroczystościach karnawałowych, nie uczęszczali do teatrów i unikali wszelkich rozrywek, grożąc karą tym, którzy nie zastosują się do rozkazów. Zachęca też do zbierania składek na rzecz wychodźców, i uwięzionych za sprawę zjednoczenia Włoch i namawia studentów do manifestacji. Buntownicy potrafili nawet wprowadzić między urzędników Stanu nieprzyjaciół Stolicy Apostolskiej, pobudzili wreszcie właścicieli ziemskich do odmówienia podatków.

---

199. D. 11 i 12 marca 1860 r. ludność legacji była wezwana do Komitetu generalnego, by się tam wypowiedziała, czy chce przyłączenia kraju do monarchji konstytucyjnej Wiktora Emanuela, czy też żąda konstytucyjnego, samoistnego państwa.

O Papieżu nie wspomniano ani słowa (zresztą ich głosowanie za nim nie miałoby żadnej prawnej podstawy). W ten sposób otrzymano uchwałę sprzyjającą przyłączeniu.

Rozklejano wszędzie, nawet na drzwiach i oknach proklamacje, przywiezione w wielkiej ilości z Turynu, pełne gróźb i obietnic.

Komisja przedstawiła Wiktorowi Emanuelowi w Monza rezultat głosowania. Król zgodził się na ową uchwałę, i dekretem królewskim ogłosił legację częścią składową Królestwa Sardyńskiego.

Pius IX nie mógł już liczyć na Napoleona, że ten mu dopomoże odzyskać prowincje utracone, ponieważ cesarz oświadczył przez Gramont'a, iż nie ma ani prawa, ani obowiązku mieszania się do spraw wewnętrznych legacji, gdyby jednak rewolucja przeniosła się aż za Apeniny i zagrażała Rzymowi, gdzie stoją wojska francuskie, te ostatnie stawiać będą opór i cesarz zmuszony będzie do smutnej konieczności walczenia z ludźmi, którym w gruncie rzeczy, szczerze współczuje i sprzyja.

Papież nie miał innego sposobu obrony swych praw pogwałconych, jak tylko protestując przeciw aneksji, czyli przywłaszczeniu, jakiego dopuścił się Piemont z krzywdą Stolicy Apostolskiej.

Zaprotestował też Pius IX w Encyklice z dn. 26 marca 1860 r., rzucając klątwę na wszystkich, którzy przyczynili się do wywołania rewolucji, oraz na ich popleczników, doradzców i stronników. Klątwa ogłoszoną została w zwykłej formie, a jeśli wielu starało się udawać, że ich to mało obeszło, byli wszelako i tacy, w których poruszyło się sumienie.

D. 2 kwietnia deputowani z Piemontu, Lombardji i z prowincji świeżo od Państwa Kościelnego oderwanych, zebrali się w Turynie.

Wiktor Emanuel przemawiał o zjednoczeniu tak szczęśliwie zapoczątkowanem, przypisując zasługę swemu wspaniałomyślnemu sojusznikowi, poświęceniu się ochotników, wytrwałej jedności ludów.

„Niezłomnie trwając, powiadał, jako przodkowie moi w katolickiej wierze i w czci Głowie Kościoła należnej, pomimo że władza kościelna swą broń duchowną do świeckich stosuje celów, odnajdę w spokojności sumienia i tradycji przodków dość siły do zachowania swobody cywilnej i władzy, z których jedynie winienem zdać rachunek przed Bogiem i swoim narodem".

---

200. Jednakże zkądinąd gorące słowa współczucia i przywiązania dochodziły do uszu Piusa IX i poddawano mu myśl, z powodu oderwania się legacji, przedsięwzięcia pewnego rodzaju krucjaty katolickiej ku obronie władzy świeckiej Kościoła.

W tym celu rozpoczęty werbunek zgromadził kilka tysięcy Francuzów, Belgów, Holendrów, Irlandczyków i Niemców. Kilkuset z tych ochotników należało do najznakomitszych rodów Europy.

Rewolucjoniści byli zdumieni tą manifestacją katolicką, a ponieważ wiedzieli dobrze, że na tych ludzi, przenikniętych najszlachetniejszemi zasadami, nie potrafią oddziaływać i przyciągnąć ich na swoją stronę, poczęli uciekać się do oszczerstwa i pogardy.

Pius IX idąc za radą Mgra de Merode, ministra wojny, powierzył dowództwo swej małej i niedoświadczonej jeszcze armji, zasłużonemu weteranowi afrykańskiemu, Leonowi de la Moricière, który od czasu swego nawrócenia stał się gorliwym katolikiem.

Wierny monarchicznej władzy, a jednak przez sfery rządzące nieco podejrzewany o nieszczerość,

usunął się od spraw publicznych i za panowania Napoleona pędził we Francji cichy żywot na ustroniu.

Nie bardzo ufając w powodzenie, La Moricière przyjął jednak dowództwo nad armją papieską i wraz z Mgr de Merode, który wysłany był, aby go powołać, udał się do Włoch.

Czas jakiś zatrzymał się jeszcze w Ankonie, a 2 kwietnia 1860 r. miał u Papieża posłuchanie.

D. 8 t. m. otrzymawszy zezwolenie Napoleona, objął dowództwo, wydał odezwę do wojska i nie tracąc czasu zabrał się do ćwiczeń wojskowych w celu uformowania armji papieskiej.

Od kwietnia do września udało mu się wiele w tym kierunku uczynić, chociaż zbyt krótki przeciąg czasu nie dozwolił mu doprowadzić swe szeregi do takiej sprawności, jak tego pragnął.

„Nie wahałbym się, powiadał La Moricière, bić się z każdym, kto się nadarzy, ale w razie gdybym zamiast z bandą garibaldczyków, miał mieć z piemontczykami do czynienia, warunki walki będą całkiem odmienne.

---

201. Po przyłączeniu legacji, komitet Boloński, Florencki, oraz komitet z Rimini, starały się w dalszym ciągu podburzać ludność Państwa Kościelnego. Wydawano tysiące odezw i proklamacji, na których widniały te słowa: „Zjednoczenie się z monarchją konstytucyjną Wiktora Emanuela“.

Rozprzestrzeniano chorągwie trójkolorowe, na wyniosłych górach rozpalano ognie, dla podniecania zapału wśród ludu, wystosowano do króla sardyńskiego odezwę, w której była mowa o Marchji, „jęczącej pod batem dzikiej hordy, będącej na usługach Rzymu“.

Przywódcy nieprzyjaznego Papieżowi ruchu wzywali pomocy Wiktora Emanuela, zwąc go Oswobodzicielem i wołano głośno, że lud Umbrji i Marchji chce stanowić część włoskiego królestwa i stanąć pod sztandarem Sabaudzkiego domu.

W tym czasie wybuchło w Sycylji powstanie. Komitet boloński przeprowadził szczegółowe badanie środków obrony miasta Ankony, dowiadując się ile ma wojska, amunicji, koszar, twierdz i ulic.

Rozrzucono następnie proklamacje podburzające, w których wysławiano rewolucję sycylijską i oznajmiano o rychłem oswobodzeniu się z pod jarzma papieskiego i tyranji duchowieństwa.

D. 4 września 1860 r. wysłano z Florencji cały transport amunicji i kokard trójkolorowych z napisem: „aneksja“, nie licząc stosów rewolucyjnych odezw, dla rozszerzenia ich w Marchji i Umbrji; stojący na czele komitetów otrzymali instrukcje na d. 8 września. Był to dzień wyznaczony na wybuch powstania.

Wojsko piemontckie w liczbie 40,000 ludzi ściągnięto do Cattolica, a również otoczono niem granicę Toskanji, artylerja polowa znajdowała się w pogotowiu na pierwsze wezwanie.

Nieprzyjaciele Stolicy Apostolskiej byli jak najdokładniej poinformowani o wszelkich ruchach dyplomatycznych, przedsięwziętych ku obronie Państwa Kościelnego, znaleźli się bowiem zdrajcy, którzy donosili im o każdym kroku, a pomiędzy zdrajcami znajdował się Filip Berardi, brat wysokiego urzędnika sekretarjatu Stanu.

---

202. Na czele królewskiej armji stał oddział pod dowództwem pułkownika Masi, składający się z ochotników i ci mieli stoczyć pierwsze utarczki.

W dzień oznaczony ochotnicy przekroczyli granicę w Citta della Pieve, jednocześnie zaś inne bandy, wyruszywszy z Toskanji, zajęły Urbino i Fossombrona, zrywając wszędzie herby papieskie i zastępując je oznakami władzy Wiktora Emanuela. Za pomocą fałszywych depesz rozprzestrzeniano kłamliwe wieści o rzekomem spełnieniu rojeń Komitetów, donoszono np., że oddział, złożony z 400 ludzi wygnał z Pesary wojsko papieskie; że Marchje i Umbrja już powstały, a rząd prowizoryczny wysłał delegatów do Turynu.

Nie było w tem ani słowa prawdy, ponieważ miasta nie występowały zbrojnie, a mieszkańcy wobec najścia band Masiego zachowywali się zupełnie biernie. W Pergoli były tylko zaburzenia ale je prędko uspokojono. Owe zaś delegacje, o których rewolucjoniści donosili, ograniczyły się na kilku wygnańcach z Florencji i Bolonji, którzy przeszedłszy granicę powrócili wnet, udając, że byli do misji dyplomatycznych użyci.

Jakiem że było wobec tych wypadków zachowanie się Napoleona?

Będąc upewnionym, że wszystko do zamachu piemonckiego na Państwo Kościelne jest przygotowane, wyruszył do Algieru, nie pozostawiając żadnego rozporządzenia, dotyczącego zamierzonej ruchawki. Wzmocniono tylko garnizon rzymski i wysłano depeszę, której treść przez Gramonta powtórzona, wprowadziła w błąd ministerjum Państwa Kościelnego, skłaniając do wydania rozkazu stawienia oporu siłom nieprzyjacielskim, znajdującym się w znacznie przeważającej liczbie. Było to istotnem szaleństwem. Wina za krew przelaną w Castelfidardo i Ankonie, we wrześniu 1860 r., spada przedewszystkiem na Napoleona III, który na miesiąc przedtem dał się zwieść przez Cialdiniego.

---

203. Wszystko już było w pogotowiu do zagarnięcia Państwa Kościelnego, brakło tylko dyplomatycznego pretekstu do rozpoczęcia kroków zaczepnych. I oto rzekomy powód nastręczyło zaciągnięcie ochotników z obcych krajów do armji papieskiej.

Fakt ten uznano za uwłaczający uczuciom narodowym, widząc w tem pobudkę do krwawych prześladowań i starć z buntownikami.

Starano się przedstawić, że cudzoziemscy ochotnicy będą stanowili poważną przeszkodę do swobodnego wyrażenia żądań ludu i rząd sardyński nie powininien na to patrzeć obojętnie.

Hrabia della Minerwa wysłał z Civita-Veccia do Papieża ultimatum, z żądaniem rozpuszczenia wojska najemnego, w przeciwnym bowiem razie armja sardyńska wkroczy niezwłocznie do Marchji i Umbrji.

Ultimatum otrzymano w Rzymie w nocy z 10 na 11-ty września 1860 r., a tymczasem już 10-go z rana adjutant generała Fanti, piemontckiego ministra wojny i naczelnego dowódzcy armji, przybył do Spoleto z poleceniem do generała La Moricière. Generał Fanti oznajmiał, że ma rozkaz królewski przekroczenia granicy, w razie, gdyby wojsko papieskie usiłowało tłumić manifestacje narodowe, występować zbrojnie przeciw miastom, dopominającym się o swobody konstytucyjne, jeżeli zaś sama obecność wojska będzie tamowała ruch narodowy, należy wycofać je, aby cały naród objawił śmiało swe uczucia i żądania.

Dziwnem wydało się generałowi Moricière podobne rozporządzenie i prosił o pozostawienie mu nieco czasu dla porozumienia się z Rzymem, ale Fanti nie chciał słyszeć o żadnej zwłoce, o czem telegraficznie zawiadomił wysłanego do Moricière adjutanta.

Wiktor Emanuel ze swej strony w odezwie gorącej do wojska z d. 11 września rozkazał armji swej wkroczyć do Umbrji i Marchji, dla zaprowadzenia tam porządku, oswobodzenia tych prowincji od cudzoziemskich awanturników i nie dopuszczenia, aby nienawiść ludu zwrócić się miała do sprawców ucisku, niech więc zapanuje tam spokój w imię chrześciańskiej miłości i przebaczenia. Co do siebie zaś powiada, że życzeniem jego jest usunąć raz na zawsze przyczynę nieustannych sporów i niezadowolenia; pragnie, aby Stolicę Apostolską głębokiem otoczono poważaniem, aby niepodległość jej była zapewniona, a jedynym jego zadaniem jest przywrócenie porządku w całych Włoszech i ustrzeżenie Europy od niebezpieczeństwa wojny i zamieszek rewolucyjnych.

Z tego wszystkiego widzimy bardzo wyraźnie, że owe ultimatum posłane Piusowi IX-mu było tylko prostą formą, ponieważ nie pozostawiono mu nawet czasu na danie odpowiedzi.

---

204. Wojna nie była jeszcze oficjalnie wydaną, w Rzymie niewiadomym był jeszcze ostatni czyn hrabiego Cavoura, gdy 8 września szeregi pod wodzą Morozzo della Rocca i Cialdiniego przekroczyły za przykładem ochotników granicę.

D. 11 września Cialdini na czele 12,000 ludzi stanął pod Pesaro.

W mieście tym pułkownik Zappi, mający tylko 1,200 ludzi do rozporządzenia, nie chciał poddać się i rozpoczęła się walka, trwająca dwadzieścia dwie godziny.

W tym czasie konsul francuski w Ankonie, na rozkaz ambasadora, księcia de Gramont, wysłał kurjera do piemontckiego obozu z depeszą, otrzymaną z Paryża na imię generała Cialdini, w której było powiedziane, że jeżeli tylko Piemont wtargnie do Państwa Kościelnego, będzie tam mieć do czynienia z samym Napoleonem.

Generał, przeczytawszy depeszę, odpowiedział wysłańcowi konsula:

„Otrzymane odemnie pokwitowanie z odbioru owej depeszy, proszę przyłączyć do dokumentów dyplomatycznych".

A na uczynioną sobie uwagę, że rozkaz rzeczony w imieniu całej Francji jest wydany, dodał jeszcze:

„Nie nalegajcie, proszę, wiemy dobrze, co nam czynić należy, wszakże widzieliśmy się z cesarzem Napoleonem przed piętnastu dniami w Chambery".

Huk dział, rozlegający się pod Pesarą, ściągnął innych dowódzców wojsk papieskich, którzy jednak wobec przeważających sił nieprzyjacielskich, nie posunęli się za Ankonę.

Pesarę zajęli piemontczycy, a Cialdini skierował się wybrzeżem ku Sinigalji, ztamtąd zaś przez Jesi zamierzał odciąć generałowi La Moricière drogę do Ankony.

---

205. Podczas gdy Cialdini działał w Marchji, Morozzo della Rocca znajdował się w Umbrji, zdobywając Peruzję, a Fanti, generał naczelny całej armji, trzymał tam w niewoli garnizon generała Schmida.

Fanti nie umiał zapobiedz zniewagom, na jakie jeńcy jego byli narażeni z powodu rozdrażnienia ludu i z zimną krwią wydał rozkaz rozstrzelania księdza, oskarżonego fałszywie o danie ognia do piemontczyków, już po kapitulacji miasta.

Generał Brignone zajął Spoletę d. 16 września, pomimo walecznej obrony dzielnego irlandzkiego dowódzcy O'Reilly i jego oddziału, składającego się z sześciuset ludzi.

W cztery dni potem La Moricière opuścił to miasto i forsownym marszem starał się dotrzeć do Ankony, gdzie miał nadzieję znaleść potrzebną mu do dalszej obrony broń oraz pieniądze. Ale piemontczycy przecięli mu drogę około Osimo.

Wówczas generał armji papieskiej zwrócił się na prawo i z Maceraty usiłował dostać się do Porto-Recanati, obierając drogę wiodącą po wierzchołkach wzgórz, dzielących doliny Musony i Potenzy. Udało mu się to w zupełności i tej samej jeszcze nocy przybył do Loretto. Tam złączyły się z nim 17-go szeregi, pozostające pod wodzą generała Pimodana, który zdołał szczęśliwie wydostać się z pomiędzy otaczających go szerokim pasem nieprzyjaciół.

Żołnierze i wodzowie armji papieskiej, pokrzepieni Chlebem anielskim, gotowali się do stoczenia walnej bitwy. Jakoż nastąpiła ona d. 18 t. m. na wzgórzach Castelfidardo i niestety, pomimo swej waleczności oddziały armji papieskiej zostały zwyciężone, poległ też na placu boju bohaterski de Pimodan.

Położenie stawało się rozpaczliwe. La Moricière przedostał się do Ankony po stromej pochyłości Conoro; zamiarem jego było bronić się tam do upadłego, żywił bowiem nadzieję, że Austrjacy przybędą mu z pomocą.

Ale nadzieje generała okazały się płonnemi; oblegany od strony lądu i morza, znalazł się pod gradem kul nieprzyjacielskich, nie ustających nawet po kilkogodzinnem już wywieszeniu białej chorągwi na znak poddania się, d. 29 września 1860 r.

Żołnierze wzięci do niewoli byli jak najgorzej traktowani i narażeni na tysiące zniewag i upokorzeń.

Władza świecka Papieża ograniczyła się teraz do Rzymu, Comarca, prowincji nadmorskich, Kampanji, Viterby i Civita-Vecchia.

Rewolucjoniści skłonili ludność Marchji i Umbrji do głosowania za przyłączeniem się do nowego królestwa włoskiego i naturalnie wynik owego głosowania sprzyjał w zupełności zamiarom przewódzców buntu, z pokrzywdzeniem praw papieskich.

---

206. Wobec coraz dalszych zaborów Piemontu Pius IX zdawał sobie bardzo dokładnie sprawę z ciężkiego położenia swej nielicznej armji i dla dodania jej otuchy dozwolił wszystkim swym wojskowym kapelanom udzielać przystępującym do spowiedzi żołnierzom zupełnego odpustu *in articulo mortis*.

Udzielił również takiego odpustu wszystkim umierającym, którzyby w chwili zgonu wzywali Najsłodszego imienia Jezusa i Najświętszej Marji.

D. 28 września, po porażce w Castelfidardo i wigilję poddania się Ankony, w uroczystej odezwie wyraził Pius IX swą wdzięczność: „dla tych, którzy dali światu przykład wspaniały gorącej wiary i swego do Stolicy Apostolskiej przywiązania, zdobywając w ten sposób wiekopomną chwałę".

Papież wyrażał zarazem ufność, że „wszyscy, którzy doznawali ucisku i cierpieli w obronie Kościoła św., otrzymają pokój i szczęście wiekuiste, o jakie zanosi modły do Boga i nadal wciąż za nich modlić się będzie".

Nakazał też Papież modlitwy za dusze poległych i własnym kosztem ustanowił odprawianie stu mszy św. corocznie na tę samą intencję w kościele Scala Santa przed ołtarzem św. Wawrzyńca.

---

207. Rewolucja nie zadowoliła się dotychczasowemi zwycięztwami, chodziło bowiem wichrzycielom o zdobycie Rzymu.

Cavour już od października 1860 r. prowadził knowania, celem zmuszenia Papieża do włączenia Rzymu do dzielnic zjednoczonych pod berłem Wiktora Emanuela.

„W obecnym stanie rzeczy, powiadał, odebranie władzy świeckiej z rąk papieży, jest tylko kwestją czasu. Leży to w interesie własnym Stolicy Apostolskiej, całych Włoch, oraz katolickiego społeczeństwa, aby przeprowadzić pokojowe układy, zapewniające swobodę i niezależność duchowną Namiestnika Chrystusowego, gdy przestanie już być zarazem świeckim monarchą.

Pius IX miał tysiące powodów nie poddawania się owym dowodzeniom Cavoura, przedewszystkiem rzetelność ministra sardyńskiego wydawała mu się bardzo podejrzaną. Był więc mocno oburzony, że stanowczą obronę praw jego do władzy świeckiej uważają za niegodną Głowy Kościoła i od Boga nadanego mu Namiestnictwa, a przytem zapatrują się na tę stałość w bronieniu swej władzy świeckiej, jako niezgodną z postępem i duchem czasu.

Zarzut stawiania przeszkód rozwojowi cywilizacji, którym obarczano Papieża, piętnował w krótkich, dobitnych słowach.

Silny przekonaniem o słuszności swych praw, wyrzekł d. 18 marca 1861 r., że świat cały bierze na świadka, jako Stolica Apostolska postępuje zgodnie z własnem sumieniem i że zawsze podtrzymywała i popierała rozwój cywilizacji.

Pomniki dziejów ludzkości dowodzą wymowie, że papieże różnych epok zawsze usiłowali szerzyć oświatę pomiędzy barbarzyńcami i nieść ją w najodleglejsze świata zakątki. Można li jednak zwać prawdziwą, cywilizację napastującą Kościół, nakładającą nań okowy, lekceważącą wszelkie traktaty i nie uznającą potrzeby obrony pokrzywdzonych.

O nie, przenigdy papieże nie mogą się pogodzić z podobną cywilizacją! Nie możemy wyciągnąć ręki dla pojednania się z przywłaszczycielami naszego dziedzictwa, aż do chwili, w której uznają swoją winę.

Czynić nam podobne, uwłaczające naszej godności propozycje, jest to żądać od Stolicy Apostolskiej, będącej zawsze rzecznikiem sprawiedliwości, uznania jawnej grabieży za rzecz legalną, jakby dozwolenie złodziejowi zatrzymania rzeczy skradzionej. A zarazem wyglądałoby to tak, jak gdybyśmy przyznawali, że niesprawiedliwość, którą udało się szczęśliwie przeprowadzić, staje się już tem samem sprawiedliwą. Oznajmiamy więc głośno przed Bogiem i ludźmi, że nie widzimy możności pojednania się z naszymi prześladowcami. Poczuwamy się tylko do obowiązku przebaczenia nieprzyjaciołom naszym i błagania Boga o ich nawrócenie. To właśnie czynimy z całego serca, ale o ile domagają się od nas niesprawiedliwości, nie możemy do tego ręki przyłożyć.

„*Praestare non possumus*“.

---

208. Cavour zrozumiał, że złą obrał drogę i d. 27 marca 1861 r., pragnąc umocnić rozpoczęte dzieło, zdołał przeprowadzić w turyńskim parlamencie jednogłośną niemal (za wyjątkiem kilku senatorów) uchwałę, że Rzym, będący jeszcze we władaniu Papieża i pod strażą wojsk francuskich, zostanie ogłoszony stolicą nowego królestwa.

Jednocześnie Wiktor Emanuel zmienił tytuł króla sardyńskiego, po przodkach odziedziczony, na króla Włoch „z Bożej łaski i woli narodu“.

Według słów Cavoura, Rzym trzeba było zdobyć nie orężem, ale „środkami moralnemi“. Nie należało obrażać Francji, pod której strażą Rzym się znajdował, ani też krępować swobody i niepodległości Stolicy Apostolskiej w sprawach duchownych; Cavour wyrażał się w tej mierze wielce oględnie:

„Jeżeli posiadanie Rzymu, mówił, ma w czem kolwiek szkodzić Głowie Kościoła, wyrzekniemy się tego uwieńczenia naszego dzieła, albowiem krępowanie swobody Papieża, pod jakim bądź względem byłoby dotkliwem, nietylko dla katolicyzmu, ale i dla Włoch w szczególności.

---

209. Chodziło teraz o uznanie nowego państwa przez inne mocarstwa.

Anglja i Stany Zjednoczone, narody protestanckie, nie czuły żadnych pod tym względem skrupułów.

W końcu marca wysłały one swych przedstawicieli do „króla włoskiego“. Maroko, jako kraj muzułmański i Grecja grecko-wschodniego wyznania, poszły wkrótce za ich przykładem.

Napoleon III, który niby gwałtownie protestował przeciw przyłączeniu Marchji i Umbrji, który odwołał ministra francuskiego z Turynu, uważał za stosowne d. 16 czerwca uznać oficjalnie istnienie nowego królestwa. Uczynił jednakże najobszerniejsze zastrzeżenia w kwestjach prawnych.

Portugalja, Brazylja i Belgja, kraje katolickie oraz protestancka Holandja naśladowały Francję w tej mierze i w tymże jeszcze roku uznały nowe królestwo.

Królowa hiszpańska Izabella II opierała się temu aż do chwili, w której zagrożono jej detronizacją, w razie dalszego oporu. W r. 1865 zmuszoną była zawiązać stosunki dyplomatyczne z Królestwem włoskiem.

Bawarja uczyniła to samo, dopiero zaś nieszczęśliwa bitwa pod Sadową, skłoniła Austrję w 1866 r. do uznania faktu spełnionego.

---

210. Jeżeli jednak rewolucja wpłynęła na odsunięcie się monarchów i książąt od papieskiego tronu, duchowieństwo natomiast z dniem każdym więcej garnęło się do uciśnionego Namiestnika Chrystusowego i Pius IX otrzymywał nieustanne dowody synowskiego przywiązania, jakiemi się żaden monarcha nie mógł poszczycić.

Zaprosił on biskupów dla przyjęcia udziału w uroczystościach kanonizacyjnych 27 błogosławionych męczenników japońskich oraz błogosławionego Michała de Sanctis, Trynitarza od wykupu niewolników.

Pomimo nieobecności przymusowej biskupów włoskich, których tylko przemoc zdołała powstrzymać od stawienia się na wezwanie Papieża, zebrało się jednak 223 kardynałów, patryarchów, arcybiskupów i biskupów, przeszło 4,000 księży i 10,000 wiernych, przybyłych z zagranicy na dzień oznaczony do Rzymu.

D. 8 czerwca 1862 r. w dzień Zesłania Ducha Świętego uroczyste nabożeństwo odprawione zostało w bazylice św. Piotra, a był to dzień radości, pełnej pobożnego zachwytu, wylania i zbratania się w serdecznem uniesieniu. Na Konsystorzu, mającym miejsce nazajutrz w Watykanie, Pius IX w obecności wszystkich zebranych dostojników

Kościoła potępił niektóre błędy, nie nowe wprawdzie, ale osobliwie na owe czasy niebezpieczne, a mianowicie materjalizm, panteizm, naturalizm; zaklinał biskupów, aby w dalszym ciągu prowadzili walkę ze złem, skłaniali wiernych do unikania książek szkodliwych i pism bezbożnych, oraz aby nie ustawali w pracy niezmordowanej nad kształceniem młodzieży, zwłaszcza obierającej drogę duchowną.

---

211. Na podniosłe nauki Namiestnika Chrystusowego biskupi odpowiedzieli przez usta kardynała Mattei, dziekana Świętego Kolegium. Kardynał Mattei główny nacisk kładł na trzy punkta najwyższą władzę doktrynalną i nieomylność Ojca św., władzę świecką Stolicy Apostolskiej; ścisłe zjednoczenie świata katolickiego z Papieżem.

„Ten protest nasz, mówił, który pragnęlibyśmy widzieć wyrytym w sercach wszystkich wiernych Kościołowi św., wyrażamy dziś z głębi dusz naszych, w imieniu nieobecnych braci i w imieniu tych, których przemoc zatrzymała, niedopuszczajac dziś połączyć się z nami, a którzy płakać tylko mogą w milczeniu; w imieniu tych, którym różne doniosłe sprawy lub choroby przybyć nie dozwoliły, w imieniu nakoniec całego duchowieństwa i wiernego ludu, dającego nam dowody miłości i poważania przez modlitwy ustawiczne i składanie Świętopietrza.

„Obyż podobało się Bogu obudzić w sercach wszystkich panujących i mocarzy tego świata dokładne zrozumienie, że sprawa Papieża jest sprawą wszystkich stanów; oby Bóg dozwolił, aby złączyli się z sobą ku obronie tej świętej sprawy, w interesie całego chrześciaństwa, oraz porządku społecznego".

---

212. D. 14 września 1864 r. gabinety turyński i paryski podpisały konwencję.

Wiktor Emanuel zobowiązał się nie wkraczać na terytorjum Stolicy Apostolskiej, a nawet przyrzekł obronę w razie jakiej bądź napaści, oraz zapłacenie części długu, obarczającego Państwo Kościelne.

Francja ze swej strony przyrzekła wycofanie wojsk swoich w przeciągu dwóch miesięcy. Ten ostatni punkt konwencji był nieco dziwny, dlaczego bowiem wewnętrzny ustrój Państwa Kościelnego omawiano podczas zawierania międzynarodowego traktatu?

Zadziwienie z tego powodu wzmogło się jeszcze, gdy dowiedziano się, że stało się to bez wiedzy rządu papieskiego, a Pius IX został zawiadomiony o wszystkiem dopiero po zawarciu i podpisaniu konwencji.

Okazało się następnie, że rząd francuski rozumiał te rzeczy zupełnie inaczej aniżeli gabinet piemontcki.

---

213. D. 8 grudnia 1864 r. w dziesiątą rocznicę ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia, Papież wydał Encyklikę i Sylabus, dotyczący najgroźniejszych błędów nowoczesnych. Sługa Boży nie wypowiadał nic nowego, ale potwierdzał potępienia przez poprzedników swych już wyrażone i to co w allokucji do biskupów, podczas kanonizacji męczenników japońskich wypowiedział, piętnując jednocześnie zamachy rewolucjonistów. Stronnicy liberalizmu wszelkich odcieni oburzyli się z tego powodu, zarzucając Piusowi IX, że wprowadza rozłam pomiędzy katolicyzmem i liberalizmem współczesnym zakłócając tem ogólny spókój.

Z owych użalań się i obelg Kościół wyszedł zwycięzko, okazało się bowiem wyraźnie, że Oblubienica Chrystusowa oddziela zupełnie własne sprawy od spraw tych rządów, które pragnęły jedynie posługiwać się nią, jako narzędziem władzy, a nie uważać ją za kierowniczkę i mistrzynię prawdy.

---

214. Konwencja zawarta d. 15 września 1864 roku, bardzo ściśle przez Napoleona III dochowana, była dla rządu włoskiego potężnym środkiem przeprowadzenia zamierzonego zjednoczenia całego państwa pod jedno berło, dozwalając na umocnienie się wewnętrzne i przygotowanie do podboju Wenecji.

Co zaś do zawładnięcia Rzymem, rząd który obrał sobie na siedlisko Florencję, liczył na podburzenie stolicy wnet po wyjściu z niej wojska francuskiego.

W dniu tym armja Wiktora Emanuela miała wkroczyć do Rzymu, niby dla przywrócenia porządku, a właściwie, aby tam pozostać na stałe.

Sfery dyplomatyczne nie mogłyby nic, w razie wykonania tego planu, mieć do zarzucenia. Szczęściem jednak Bóg czuwał nad Rzymem i nie dopuścił do urzeczywistnienia tych zamysłów.

---

215. Napoleon III, odwołując swych żołnierzy z Rzymu, zgadzał się stosownie do zawartej umowy na utworzonie legjonu, składającego się z 1200 ochotników, którzy się już zaciągnęli do francuskich

szeregu i miał wyznaczyć dowódzcę. Legjon ten miał czuwać nad bezpieczeństwem Papieża, a od miasta Antyby, gdzie został uformowany, nazwany był legjonem antybijskim. Na czele jego stanął pułkownik d'Argy. Oddział ten, wraz z kilkutysięcznym zastępem ochotników, przybyłych z różnych stron świata, aby zaciągnąć się do żuawów lub też do milicji miejscowej, był zupełnie dostatecznym do utrzymania porządku w małym obecnie obrębie Państwa Kościelnego, o ileby atoli nie znalazło się w potrzebie bronienia granic od napaści nieprzyjaciół.

---

216. Przypadała właśnie rocznica męczeństwa św. apostołów Piotra i Pawła. Sługa Boży postanowił obchodzić tę uroczystość bardzo solennie i z jak największą okazałością.

Istotnie nastręczała się sposobność opatrznościowa; należało spodziewać się wielkiego napływu wiernych z całego świata dla wyrażenia swej czci dla Piusa IX, który tak się o dobro Kościoła świętego troszczył i budził we wszystkich uwielbienie.

Pochwały i oszczerstwa, zachwyty i zdrady, oznaki czci i doznane zniewagi, wszystko to skłaniało Papieża do odnowienia w pamięci wiernych gorącego zapału pierwszych lat chrześciaństwa, kiedy z taką radością spieszono złożyć u stóp śś. apostołów klejnoty, bogactwa i złoto.

Przybyły też liczne pielgrzymki z różnych stron, przynoszące wraz z hołdem, hojne ofiary Świętopietrza, a także adresa z niezliczoną ilością podpisów.

Włosi, jako dowód swego niezłomnego do Stolicy Apostolskiej przywiązania, ofiarowali Piusowi IX-mu album wspaniałe i sto sakiewek złota, dar stu miast włoskich.

Z 512 biskupów, przybyłych naówczas do Rzymu, nie było ani jednego, któryby nie przywiózł w imieniu swej owczarni jakiegoś dowodu synowskiego do Ojca św. przywiązania. Tak samo, jak w 1854 i 1862 r. biskupi wyrazili Piusowi IX we wspólnym adresie powolność jego woli i najzupełniejsze uznanie wszystkich jego czynów.

Nigdy jeszcze, nawet w najlepszych czasach rozkwitu wiary, nie okazało duchowieństwo katolickie tyle jedności myśli i uczuć w stosunku do Głowy Kościoła oraz w ścisłem zlaniu się pomiędzy sobą.

---

217. Tymczasem Garibaldi, chcąc powetować swe niepowodzenie w Aspromonte, gotował się do zagarnięcia Państwa Kościelnego.

Komitety rewolucyjne, korzystając z wielkiego napływu pielgrzymów do Rzymu, zdołały podstępnie wprowadzić w czerwcu zastępy ludzi gotowych do walki; udało się im do tego stopnia uśpić czujność milicji, że nawet zapasy amunicji sprowadzono cichaczem.

Jednakże pierwsze usiłowania garibaldczyków przekroczenia granicy spełzły na niczem.

Działo się to w noc z 18 na 19 czerwca, około Montecatino; banda składała się ze stu ludzi, ale zamiar ich nie powiódł się, dzięki czujności podprefekta z Terni.

Biskupi opuścili Rzym po zakończeniu uroczystości. W lipcu zaszedł wypadek, który wpłynął na ochłodzenie przyjaznych stosunków dwóch gabinetów, a zarazem podniecił nienawiść wśród rewolucjonistów.

Generał Dumont miał sobie polecone przez ministra wojny uczynienie przeglądu legjonu z Antyby, tak jakgdyby to był oddział armji francuzkiej. Minister francuzki tłumaczył się z tego czynu, zaprzeczając urzędowego charakteru misji, powierzonej Dumontowi, ale fakt ten stał się już dostatecznym powodem dla stronnictwa rewolucyjnego do zrobienia wielkiego hałasu o pogwałcenie traktatu wrześniowego i uważano, że przyszła stosowna chwila wtargnięcia do Rzymu.

Minister Ratazzi miał nadzieję uspokojenia umysłów przez zawezwanie Nigra z Paryża. Ale środek ten okazał się równie skutecznym, jak plaster na drewnianą nogę!

Garibaldi otwarcie gromadził siły zbrojne i gotował się do wyprawy, mając stanąć na granicy, Ale pomiędzy Paryżem i Rzymem wymieniano ustawicznie depesze; rząd francuzki wystąpił energicznie, wobec czego minister Ratazzi aresztował Garibaldiego d. 24 w Simlunga i odwieść kazał do Aleksandrji, wypuścił go jednak już 27 i kondotier udał się do Caprery.

Rząd włoski rozproszył też kilka band, z ochotników złożonych, i u dworu Napoleona starał się upewnić, że ma wielkie dla zawartej z Francją konwencji poszanowanie.

---

218. Ale już się ruch rewolucyjny rozpoczął; aresztowanie Garibaldiego wpłynęło na nieporozumienie pomiędzy stronnictwem umiarkowanem i najczynniejszymi działaczami; umysły wichrzycielskie budziły wrzenie i nie przebierały w środkach.

Większość tych ludzi dała się zwieść zapewnieniom i kłamstwom, rozsiewanym przez emigrantów, zdawało się im, że za ukazaniem się „czerwonych“ cała ludność powstanie, jak jeden mąż, przeciw rządom Papieża.

Owe zastępy awanturników dopuszczały się najokropniejszych gwałtów, grabiły kasy, rabowały kościoły; ludność Państwa nietylko nie przyjęła ich z otwartemi rękoma, jak to sobie wyobrażano, ale przeciwnie, patrzyła na nich z największem oburzeniem, co jednak nie przeszkadzało prasie liberalnej podnosić i wychwalać waleczność powstańców, która właściwie ograniczyła się na grabieży.

Owym kłamliwym opowieściom dzienników rewolucyjnych zaprzeczył *Osservatore Romano*, (pismo katolickie, wychodzące w Rzymie), ujawniając nazwiska i przybrane imiona głównych wichrzycieli, pomiędzy którymi było zaledwie kilku wychodźców z Rzymu.

Przewódzcami owych band bywali częstokroć oficerowie z armji Wiktora Emanuela, którzy tylko dla formy podali się do dymisji.

Spotkanie wojska papieskiego z rewolucjonistami nastąpiło w Canino, San Lorenzo, Ischji, Farneze, Valentano, Moricone, Bagnorea, Montelibretti, Subiaco, Falvaterra, Valecorsa, Orte, Bortetto, a wynikiem tych utarczek było odsunięcie napastników aż do granicy lub po za jej obręb.

---

219. Przewódzcy rewolucji rozumieli doskonale, że ochotnikom nie uda się pokonać obrońców papieskiego dziedzictwa, ale rozliczali na ogólną ruchawkę wobec pojawienia się ochotniczych oddziałów i sądzili, że jednocześnie cały półwysep połączy się z nimi.

Nie zupełnie bezpodstawnemi były te ich wyrachowania, albowiem nawet sam król był zdumiony, jak dalece ruch rewolucyjny ogarnął urzędnicze sfery, które chętniej dawały posłuch tajemnym rozkazom komitetów, aniżeli wykonywały rozporządzenia władzy.

W tym czasie Nigra oznajmił Napoleonowi, że armja królewska, przewidując rychły wybuch rewolucji w Rzymie, wyruszyć ma na pomoc zagrożonemu Ojcu św. i przywrócić porządek zakłócony.

Ale tym razem Napoleon nie dał się zwieść owym zapewnieniom; odpowiedział więc, że nie wydaje mu się prawdopodobnem, aby rewolucja wybuchła w samym Rzymie, a gdyby tak było w istocie, sam potrafi zapobiedz złemu i stłumić powstanie bez niczyjej pomocy.

Natomiast próbowano wszelkiemi sposobami zmienić postanowienie Napoleona w tej mierze, a zarazem życzono sobie, aby wpłynął na Papieża i skłonił go do dobrowolnego poddania się woli stronnictwa zjednoczenia włoskiego narodu.

Wszystkie jednak usiłowania nie doprowadziły do upragnionych przez rewolucjonistów wyników. Napoleon okazał się stały w swem postanowieniu, a nawet w sposób bardzo rozkazujący przypomniał gabinetowi Florenckiemu zawartą konwencję,

Minister Ratazzi znalazłszy się pomiędzy młotem napoleonowskim i kowadłem rewolucji, sądził, że jedynem dla niego wyjściem będzie przyśpieszenie powstania w Rzymie, to bowiem tylko mogło usprawiedliwić wejście tam wojsk królewskich, zanim Francuzi odpłyną do Tulonu.

Powrót Garibaldiego do Florencji, pomimo okrętów wojennych, strzegących Caprery, przyśpieszył bieg wypadków.

D. 22 grudnia powstanie wybuchło w Rzymie, ale wnet zostało stłumione, pomimo eksplozji w koszarach Serristori. W Florencji niedołężne ministerjum podało się do dymisji, a natomiast weszli doń przewódzcy komitetów, starając się odpowiedzieć zadaniu.

Garibaldi ukazał się w Monte Rotondo 26 października i postawił Rzym w bardzo ciężkiem położeniu: nieprzyjacielskie szeregi stały już prawie u bram miasta, a tymczasem, pomimo depesz kardynała Antonelli i przedstawiciela Francji, Armanda, pomoc przyrzeczona przez Napoleona nie nadchodziła.

---

220. Wojska cesarskie odpłynęły z Tulonu pod dowództwem De Failly, a d. 28 znajdowały się już w Civita-Vecchia.

D. 30 pierwszy oddział przybył do Rzymu koleją. Francja nie mogła pozwolić, aby konwencja przez nią podpisana, została naruszoną.

Jak tylko dowiedziano się we Florencji, że armja francuzka wyruszyła z Tulonu, Wiktor Emanuel wydał proklamację, w której potępiał postępowanie Garibaldiego, uważając go za buntownika, ale jednocześnie kazał obsadzić swemi wojskami kilka miast pogranicznych.

Fakt ten zbił z tropu generała de Failly, nie wiedział bowiem, czy ma natychmiast wystąpić przeciw Garibaldiemu.

Generał wojsk papieskich, Kanzler, musiał użyć całej swej energji dla przekonania de Failly, udało mu się to wreszcie i postanowiono wyruszyć do walki z nieprzyjacielem d. 3 listopada.

W Montana szeregi armji papieskiej pierwsze stanęły do boju i walczyły z zapałem. Nieprzyjaciel bronił się zaciekle, ale kiedy ukazali się żuawi z legjonu antybskiego i cudzoziemscy karabinierzy, garibaldczycy w liczbie 5,000 ludzi, zmuszeni byli się cofnąć.

Nadciągnęła brygada francuzka, wówczas banda nieprzyjacielska rzuciła się pośpiesznie do odwrotu ku Monte-Rotondo. Zmykał Garibaldi, a z nim wszyscy „czerwoni“, którym nie udało się ukryć,

pomimo nadludzkich wysiłków, w zamku Mentara. Ci, którzy tam się dostali, poddali się d. 4 z rana.

Rzym i małe Państewko Kościelne zostało ocalone.

---

221. D. 11 kwietnia 1869 r. w pięćdziesięcioletnią rocznicę prymicji Piusa IX nadsyłano mu zewsząd dowody czci i przywiązania.

Wszyscy niemal panujący własnoręcznymi listami winszowali mu tej uroczystości, wierni również okazywali nieopisaną radość z tego powodu.

Uroczystości jubileuszowe trwały trzy dni w Rzymie, miasto całe było iluminowane.

Prasa katolicka otworzyła listę składek na dar jubileuszowy dla Ojca św., posypały się więc hojne ofiary, które bez uszczerbku wszelako dla Świętopietrza utworzyły znaczną sumę. Przyjaciele i wrogowie Papieża przyznawali, że nigdy jeszcze nie było dotąd tak ścisłego pomiędzy wiernymi i Głową Kościoła zjednoczenia.

Gregorovius (z liberalnego obozu) w dzienniku rzymskim z 1869 r. pisał:

„Ultramontani (zacofani) uwielbiają Piusa IX, jakby jakieś nadziemskie zjawisko, według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie kiedyś kanonizowany".

Wobec tych oznak czci i przywiązania, otrzymywanych od katolików świata całego, Papież nie znajdował jednak posłuchu u dworów europejskich, które zdawały się być zupełnie głuchemi na wszystkie jego przestrogi i utyskiwania.

Hiszpanja, szarpana przez wybuchłą tam rewolucję, dozwalała na profanację kościołów i prześladowanie duchowieństwa.

Austrja postępowała samowolnie, najzupełniej lekceważąc sobie zawarcie Konkordatu; Szwajcarja tak na pozór ceniąca swobodę, odmawiała jej katolikom; pod zaborem rosyjskim mnożyły się męczeństwa Polaków; rząd florencki zmuszał księży do odbywania wojskowej powinności; w Bawarji szerzyły się niebezpieczne teorje Doelingera; we Francji również nie lepiej się działo.

Wikarjusz Chrystusowy trwał wciąż spokojny i ufny, spełniając swe posłannictwo niewzruszenie. Wobec wielkich klęsk społecznych, wobec niebezpieczeństw zagrażających jego owczarni, szukał sposobów zaradzenia złemu, wzywając pomocy duchowieństwa dla toczenia chwalebnej walki.

Błędy i zło, jak świat stare, przybrały w tym czasie nową postać, tem groźniejszą, że przystosowaną poniekąd do rozwoju umysłowego szerszego ogółu. Pius IX nie pominął żadnych środków dla odsłonięcia fałszów i potępienia wszystkiego, co za szkodliwe dla Kościoła Powszechnego uważał.

Biorąc przykład ze swych poprzedników, którzy zazwyczaj w podobnych okolicznościach zwoływali cały Episkopat na wielkie zgromadzenia dla wspólnych obrad, umyślił użyć również tego wyjątkowego środka.

W grudniu 1864 roku oznajmił kardynałom o swem postanowieniu, polecając jednak zachować to w jak nagłębszej tajemnicy.

W sześć miesięcy potem, w kwietniu 1865 r. zawiadomił kilku arcybiskupów i biskupów, w grudniu zaś nuncjuszów apostolskich, zawsze jednak zalecając nie rozgłaszanie zamiaru tego przed czasem. Dopiero w 1867 r., z powodu obchodu rocznicy ŚŚ. Piotra i Pawła, oficjalnie oznajmił, zebranym na tę uroczystość biskupom, o mającym się odbyć soborze, a w rok później d. 29 czerwca 1868 roku listami apostolskiemi zwoływał sobór na dzień 8 grudnia 1869 r., na który również wezwał duchowieństwo prawosławne listem apostolskim z d. 8 grudnia 1868 r., a także z d. 13 września t. r. protestantów oraz inne sekty chrześcijańskie do udziału w zjeździe tym zawezwał.

---

222. Na soborze tym zebranych było 767 prałatów, liczba przewyższająca wszystkie dotychczasowe sobory. Bazylika Watykanu zaledwie była w stanie pomieścić tak liczne zgromadzenie.

Znajdowali się tam również ambasadorowie i ministrowie zaufani Stolicy Apostolskiej, oraz wielu przedstawicieli domów panujących.

Kardynał Patrizzi odprawił mszę św., Mgr Passavali, arcybiskup Jconium, miał przemowę, a Pius IX wypowiedział wspaniałą allokucję.

Po odśpiewaniu *Veni Creator*, odczytano na rozkaz Papieża dekret, otwierający Sobór; wszyscy zebrani dostojnicy Kościoła odpowiedzieli jednogłośnie: *placet*.

Wówczas Sługa Boży dał swoją najwyższą sankcję i następne zgromadzenie wyznaczono na 6 stycznia 1870 r. w dzień Trzech Króli.

---

223. Przygotowawcze prace Kongregacyj nie były jeszcze ukończone, musiano więc ograniczyć się podczas sesji 6 stycznia na uczynieniu wyznania wiary podług rytuału. Pius IX wykonał również przysięgę w stojącej postawie.

D. 24 kwietnia w Niedzielę przewodnią, miała miejsce trzecia sesja, na której ogłoszono dekrety, odnośne do zasad wiary, zbadane i zatwierdzone na poprzednich zgromadzeniach.

Biskup Fabriano odczytał głośno z ambony całą uchwałę, podzieloną na cztery rozdziały, oraz

kanony i klątwy tam włączone, Poczem nastąpiło wezwanie obecnych do wypowiedzenia, czy wszystkie zdania są zgodne w tej mierze, następnie Ojciec św. potwierdził dekrety i kanony według uświęconej formy.

---

224. Jednakże pomiędzy zebranymi naówczas na Soborze watykańskim biskupami nie było zupełnej jednomyślności, co skłoniło Papieża do nakazania modłów publicznych, od poniedziałku Zielonych Świąt do soboty następnej.

Po całym Rzymie przesuwały się procesje przy wielkim napływie ludu. W poniedziałek następujący po drugiej niedzieli od Zesłania Ducha Św., 18 czerwca, uczestnicy soboru zebrali się po raz czwarty, a dzień ten pozostanie na zawsze pamiętnym w dziejach Kościoła św.

Roztrząsano podówczas kwestję Prymatu, czyli pierwszeństwa św. Piotra, jego natury, trwałości, rozciągłości, oraz jego nieomylne nauczycielstwo. Wiele było sporów, zwłaszcza o tym ostatnim punkcie. 533 głosami przeciw dwom Sobór uznał go, a Papież potwierdził, jako dogmat przez Boga samego objawiony. Sobór orzekł, że Papież rzymski, występując jako pasterz i doktór całego chrześcijaństwa, jeżeli ogłasza dogmata dotyczące wiary i obyczajów, mające być przez cały Kościół uznane, posiada w danym razie, za wolą Bożą przywilej nieomylności.

Po owem potwierdzeniu w kształcie formalnego aktu papieskiego, wszyscy biskupi uniesieni radością przyklasnęli gorąco; lud poszedł za ich przykładem i odpowiedział długimi i pełnemi zapału owacjami, na cześć Kościoła św., Papieża i całego katolickiego duchowieństwa.

Ogłoszeniem tej prawdy Sługa Boży wyrwał z korzeniem kiełkujący zawiązek racjonalizmu (to jest owych rozumowań ludzi niepowołanych, pozwalających sobie roztrząsać dogmata wiary).

Kardynał Antonelli pisał do nuncjuszów d. 11 sierpnia, że określenia dogmatów, ogłoszone podczas Soboru, obowiązują odtąd wszystkich katolików na sumieniu.

---

225. W tym czasie, gdy biskupi całego świata obradowali w Rzymie nad sprawami, dotyczącemi Kościoła Powszechnego, zawiść Napoleona ku Prusom popchnęła Francję do nieszczęśliwej dla niej walki.

W przeciągu bardzo krótkiego czasu kraj został zniszczony, a cesarz zmuszony był wyrzec się tronu, co mu niejednokrotnie Pius IX przepowiadał. Rząd czasowy ogłoszono w Paryżu d. 4 września.

Papież z przerażeniem patrzył na przygotowania do wojny pomiędzy dwoma potężnymi mocarstwami, chcąc nie dopuścić do krwi przelewu, już d. 22 lipca ofiarował się być mediatorem, czyli rozjemcą pomiędzy Francją i Prusami. Wilhelm przyjął propozycję Stolicy Apostolskiej, ale tylko dla pozoru, postawił bowiem warunek niemożliwy do wypełnienia. (Żądał od Papieża zapewnienia, że podobny zamach na pokój Europy ze strony przeciwnika więcej się nie powtórzy).

---

226. Napoleon rozumiał dobrze, że spokój Stolicy Apostolskiej jest w ścisłej zależności od zwycięztwa Francuzów nad Prusakami, to też chcąc uniemożliwić Włochom zawarcie sojuszu z Prusami pod pretekstem, że garnizon francuski znajduje się w dalszym ciągu w Civita-Vecchia zdecydował się go odwołać.

Nie chciał też przystąpić do sojuszu z Austrją i Włochami, ponieważ państwa te stawiały za warunek dozwolenie Wiktorowi Emanuelowi zagarnięcia Rzymu. Nawet mając do wyboru połączenie się z Włochami lub też opuszczenie Papieża, dopiero wówczas odwołał swe szeregi z Civita-Vecchia, gdy gabinet florencki zapewnił go, że konwencja wrześniowa (nie dozwalająca na zajęcie Rzymu przez włoskiego króla), będzie ściśle dochowana.

Gabinet florencki nie szczędził obietnic pod tym względem i d. 4 sierpnia, to jest w tym samym dniu, kiedy wojska francuzkie opuszczały granice Państwa Kościelnego, minister spraw zagranicznych Wiktora Emanuela, Visconti-Venosta, mówił do księcia de Gramont:

— Rząd nasz ściśle dochowa swych zobowiązań, stosownie do zawartych w 1864 r. układów. Dodał przytem, że dla zapobieżenia wszelkim usiłowaniom garibaldczyków, uzbroi Włochy i wyszle natychmiast 50,000 armję dla strzeżenia granicy.

Gorący spór rozpoczął się d. 16 sierpnia w Izbie florenckiej dotyczący kwestji rzymskiej. Minister Visconti-Venosta, zobowiązany dochować konwencji, zawołał wówczas:

— Gdyby nawet zawarte układy nie były potwierdzone podpisem obu państw, są nie mniej prawomocnemi, gdyż napad na Państwo Kościelne byłby pogwałceniem prawa narodów.

Napoleon trwał stale przy swem postanowieniu bronienia Papieża, aż do chwili, kiedy stracił już nadzieję wygrania nieszczęsnej wojny z Prusami.

Papież ze swej strony współczuł szczerze zachwianej w swej powadze Francji i każda wiadomość o niepomyślnej bitwie smuciła go wielce. Często też powtarzał: O biedna, biedna Francjo!...

227. I oto Francja została sromotnie zwyciężona, z czego korzystając rząd florencki, popierany przez Prusaków, zdecydował się na zagarnięcie Rzymu.

D. 8 września senator hrabia Ponza di San Martino przybył do Rzymu z listem królewskim, (w którym Wiktor Emanuel żądał od Papieża, w wyrazach, niby pełnych czci dla Piusa IX, zrzeczenia się władzy świeckiej nad Państwem Kościelnem).

Ambasador francuzki, margrabia de Banneville, żegnając Ojca św. d. 4 września, zapytywał go, czy zamierza bronić stolicy? Na co Pius IX odpowiedział głosem stanowczym, że nie dopuści do krwi rozlewu, ale chce, aby cały świat katolicki przekonał się o bezprawiach i gwałtach włoskiego króla.

Wieczorem d. 9 września Pius IX w otoczeniu kilku oficerów swej gwardji wszedł do bazyliki św. Piotra, modlił się długo u stóp Najśw. Sakramentu i przed ołtarzem Najśw. Panny, poczem uklęknąwszy przy grobach śś. Apostołów, odmówił antyfonę *Ante oculos* i głosem drżącym od wzruszenia: *Gregem tuum*, *Pastor aeterne*, *non deseras*, oraz inne modlitwy.

---

228. D. 10 września wysłaniec Wiktora Emanuela wręczył list królewski Papieżowi. Odczytawszy go, Ojciec św. odpowiedział hr. Ponza słowami ewangelicznemi:

„Ród jaszczurczy! groby pobielane!“

Poczem dodał:

„Otóż to, dokąd rewolucja zawiodła monarchę z domu Sabaudzkiego!... Nie może już dać żadnej rękojmi, nie jest już panem swej woli, lecz tylko niewolnikiem parlamentu, ślepo posłusznym stał się rozkazom tajnych stowarzyszeń!“

Nazajutrz Papież wysłał do króla odpowiedź następującą:

„Najjaśniejszy Panie.

„Hrabia Ponza di San Martino wręczył mi list, jaki Wasza Królewska Mość do mnie wystosowałeś; ale nie jest on godny przywiązanego syna, który się szczyci wyznaniem wiary katolickiej i chlubi lojalnością królewską.

„Nie wchodzę w szczegóły samego listu, aby nie odnawiać boleści, jaką mi sprawiło pierwsze jego odczytanie. Błogosławię Boga, iż dopuścił aby Wasza Królewska Mość wypełnił goryczą ostatni okres mojego życia. Zresztą nie mogę przyjąć żądań, ani się zastosować do zasad, w tym liście zawartych. Ponownie wzywam Boga i składam w Jego ręce moją sprawę, która jest całkiem jego sprawą; zarazem błagam Go, aby wiele łask udzielił Waszej Królewskiej Mości, aby cię chronił od niebezpieczeństwa, zlał na cię miłosierdzie, którego potrzebujesz“.

Dan w Watykanie d. 11 września 1870 r.

Za nim jeszcze list ów rąk króla doszedł, już wojsko Wiktora Emanuela wkroczyło w granice Państwa Kościelnego.

---

229. Niewielkie legjony wojska papieskiego, były zbyt nieliczne ku obronie całego państewka, należało więc je corychlej zgromadzić dla ratowania Rzymu.

W nocy z d. 19 na 20 września armja króla włoskiego w liczbie 55,000 ludzi otoczyła stolicę świata katolickiego. Wysłano do Papieża posła z żądaniem poddania się.

„Jeżeli nie jesteśmy w stanie oprzeć się wtargnięciu zaborcy, odpowiedział Pius IX, niech że wie przynajmniej, że uczynić to może tylko drogą przemocy!“

Żołnierze papiescy gotowali się do stawienia czoła najezdnikom.

D. 19 Pius IX wystosował do generała Kanzlera list dziękczynny następującej treści:

„W chwili, gdy się ma spełnić wielkie świętokradztwo i największa niesprawiedliwość, kiedy wojsko katolickiego króla bez żadnego wyzwania, bo nawet bez cienia jakiegokolwiek powodu, otacza stolicę świata katolickiego, trzymając ją w oblężeniu, czuję potrzebę podziękowania całemu naszemu wojsku za jego szlachetne postępowanie, za okazane przywiązanie do Stolicy św. i za postanowienie poświęcenia się całkiem w obronie tego miasta. Co się tyczy trwania obrony, rozporządzam, że ta tylko dla protestacji spełnić się powinna; protestacja ta ma na celu gwałt skonstatować i nic więcej. W chwili, kiedy Europa opłakuje liczne wszędzie ofiary, padające skutkiem wojny między dwoma wielkiemi mocarstwami, ani teraz, ani kiedykolwiek nie można będzie powiedzieć, że Zastępca Chrystusowy, chociaż w niesłuszny sposób napadnięty, dał swoje zezwolenie na wielki rozlew krwi“.

Dopełniwszy swego obowiązku, zdjęty wielką boleścią, udał się Pius IX tegoż wieczoru do bazyliki św. Jana Laterańskiego, modlił się tam gorąco, następnie przeszedł do *Scala sancta*, gdzie w ślad za Mistrzem swoim wstępował na kolanach po schodach krwią Jego zbryzganych, a stanąwszy na szczycie i wznosząc błagalny wzrok ku Ukrzyżowanemu, zawołał głosem wzruszonym do głębi:

„O Boże wielki, Zbawicielu mój, ja sługa sług i niegodny Twój przedstawiciel, błagam Cię przez tę krew drogocenną, jaką Syn Twój na tychże sto-

pniach przelał, a której uczyniłeś mię najwyższym szafarzem; błagam Cię przez mękę Syna Twego który szedł tą samą drogą poniżenia, aby się oddać na ofiarę za ten lud, który Go znieważał i za który miał umrzeć na hańbiącem drzewie krzyża; błagam Cię, miej litość nad Twoim ludem, nad Twoim Kościołem, ukochaną Oblubienicą Twoją, oddal sprawiedliwy gniew Twój! Nie dozwól, aby wrogowie Twoi, przybytek Twój splugawić mieli!

„Przepuść ludowi mojemu, który jest również Twoim ludem, a jeżeli potrzeba ofiary, o mój Boże, przyjmij, jako ofiarę, niegodnego sługę Twego, zaliż nie żyłem już dosyć długo?.,

„Litości, mój Boże! Litości! Błagam Cię o to. Lecz cokolwiek wypadnie, niech się dzieje święta wola Twoja!“

Kiedy po tej gorącej, z serca płynącej modlitwie, Papież schodził ze schodów, a pełen smutku uśmiech na ustach jego zawisnął, pobożne kobiety otoczyły go, wołając:

— Odwagi, Ojcze św., odwagi! Oby Bóg ci pośpieszył z pomocą!

---

230. Dnia 20 września, o 5-ej godzinie z rana, oddziały królewskie przystąpiły do ataku w kilku miejscach naraz, usiłując zrobić wyłom w murach Rzymu.

Na pierwszy odgłos dział wszyscy członkowie ciała dyplomatycznego, przebywający w Rzymie, pospieszyli do Watykanu, dla towarzyszenia Ojcu świętemu.

Pius IX odprawił mszę św. jak zwykle i wysłuchał z największym spokojem mszę dziękczynną. O godzinie 9-ej znajdował się już ze swym sekretarzem Stanu w swych apartamentach i przyjął u siebie ciało dyplomatyczne. Papież rozmawiał bardzo uprzejmie z dostojnikami, gdy zawiadomiono go, że wyłom w murze miejskim już zrobiony, około Porta Pia. Wówczas Papież powiedział kilka słów do kardynała Antonelli, a następnie zwracając się do dyplomatów, dodał:

— Panowie! dałem właśnie rozkaz kapitulacji i pocóż bronić się dłużej? Opuszczony od wszystkich, musiałbym wcześniej lub później uledz; chcąc się teraz bronić, trzebaby przelać wiele krwi niewinnej, a tego nie chcę! Panowie jesteście świadkami, że zaborcy wchodzą tu siłą, to wystarcza. Świat będzie o tem wiedział — historja potomności to przekaże, zdejmując ciężar odpowiedzialności z Rzymian, synów moich!... Nie mówię panom o sobie, nie nad sobą płaczę, ale nad tymi biednymi synami, którzy przybyli bronić swego ojca! Proszę, aby każdy z panów, zajął się teraz swoimi rodakami, są między nimi żołnierze różnych narodowości, polecam ich wszystkich waszej opiece, abyście ich bronili od krzywd i niegodziwości, na jakie inni lat temu dziesięć byli wystawieni. Uwalniam moich żołnierzy od przysięgi wierności; co do mnie, błagam Boga o siłę i odwagę. Nie ci, którzy cierpią niesprawiedliwie, najwięcej godni są pożałowania!

Temi słowy pożegnał Pius IX ciało dyplomatyczne w owym boleśnym dniu kapitulacji.

---

231. Pius IX nie zaniechał swych obowiązków monarszych. Tegoż wieczoru, na jego rozkaz kardynał Antonelli, wysłał cyrkularz do wszystkich mocarstw zagranicznych. Cyrkularz ów zawierał protest energiczny, przeciw zajęciu Rzymu przez rząd włoski, z pogwałceniem wszelkich praw, a jedynie, dzięki znacznie przeważającej sile zbrojnej.

Nazajutrz, o godzinie 7-ej z rana wzięte do niewoli szeregi wojska papieskiego opuściły Rzym: ostatnimi wychodzili żuawi papiescy, którzy spędzili noc pod kolumnadą bazyliki św. Piotra.

Pułkownik Allet wydał rozkaz uformowania się w kwadry i zprezentowania broni, sam zaś wzniósłszy szablę do góry, zawołał:

— Niech żyje Pius IX Papież i Król!

Okrzyk ten powtórzony przez wszystkich dzielnych żuawów, doszedł uszu Papieża, który ukazał się im w oknie, a wzniósłszy oczy i ręce ku niebu, błogosławił ich głosem silnym i wzruszonym. Odpowiedziano mu grzmotem oklasków długotrwałych.

Papież rozpłakał się; musiano go podtrzymać, gdyż był blizkim omdlenia. Przyszedłszy do siebie, szukał pociechy w samotności i w rozmowie z Bogiem: oddalił się, aby odprawić mszę św.

---

232. Sesje soboru, trwające do 1 września i roztrząsające sprawy duchownej dyscypliny, zostały przerwane, najprzód z powodu zaszłych wypadków, ostatecznie zaś, na mocy bulli papieskiej: *Postquam Dei munere*, datowaną z d. 20 września 1870 r. w oczekiwaniu nowego zarządzenia. Nie mniej jednak Papież nie cofnął odpustu zupełnego udzielonego w formie jubileuszowej d. 11 kwietnia 1869 r., jak gdyby sobór trwał w dalszym ciągu.

D. 1 listopada Pius IX wystosował do wszystkich arcybiskupów, biskupów i do całego świata katolickiego Encyklikę, w której ubolewa nad świętokradztwem dokonanem i olbrzymim spiskiem, uknutym przeciw Kościołowi św. i Stolicy Apostolskiej.

Przytacza list Wiktora Emanuela i swą odpowiedź z d. 8 września; przypomina również nieodzo-

wną potrzebą władzy świeckiej Papieży dla swobodnego pełnienia obowiązków Głowy Kościoła; następnie odmawia przyjęcia przedłożonych mu propozycji, jako bezprawnych i niesprawiedliwych, wyrażając zarazem swą boleść z powodu zagarnięcia całego Państwa Kościelnego, aż do ostatniej piędzi ziemi; mówi o swej ojcowskiej miłości, gotowej troskliwością swą otoczyć nawet *stronników Absalona.*

Pius IX pozostał do końca wierny swym zasadom; jego niezłomna stałość nie dozwoliła mu na czynienie jakichbądź ustępstw i wchodzenie w układy z nieprzyjaciółmi Stolicy Apostolskiej; zwyciężony zaś siłą wypadkow, wolał pozostać więźniem w Watykanie, aniżeli narazić święte miasto na ciężką krzywdę, jakąby mu wyjazd Papieża niewątpliwie wyrządził.

---

233. D. 9 listopada 1870 r. pałac, Kwirynałem zwany, został Ojcu św. odebrany.

Nazajutrz potem kardynał Antonelli zaprotestował wobec ciała dyplomatycznego, albowiem Kwirynał, jako jeden z pałaców apostolskich, w przeciągu długich wieków był zawsze letnią siedzibą Papieży, oraz miejscem zbierania się Konklawe.

Od tej chwili rozpoczął się cały szereg, wołających o pomstę do Boga, grabieży; świętokradztwa były wciąż na porządku dziennym; przeciw tym wszystkim nadużyciom kardynał Antonelli zaprotestował notą z d. 14 stycznia 1871 r. Pomimo to jednak 4 marca tegoż roku już kilka klasztorów skonfiskowano, dla pomieszczenia w nich różnych urzędów, a 19 stycznia 1873 r. nastąpiło zniesienie wszystkich zakonów.

Dla uspokojenia katolików rząd włoski ogłosi 13 marca 1871 r. sławne prawo *Gwarancji*, zapewniające niby Papieżowi wszelkie przywileje monarchy, swobodę korespondowania z duchowieństwem całego katolickiego świata, korzystanie z pałaców apostolskich: Watykanu, Lateranu i willi Castel Gandolfo; wyznaczał mu przytem stałą pensję, zapewniał o rzekomej opiece w razie jakichkolwiek gwałtów i napaści, zwłaszcza w tym czasie, gdy odbywają się obrady nad obiorem nowego Papieża lub podczas Soboru powszechnego. Ale Pius IX tak samo jak nie chciał uprawnić zaboru, nie mógł również uznać owego zarządzenia rządu włoskiego i nazwał je faryzeuszowskiem.

---

234. Działo się to jeszcze w owym strasznym dla Kościoła św. roku 1870. Sługa Boży, który wnet po wybuchu wojny francusko-pruskiej ofiarował się przystąpić w roli pojednawcy pomiędzy Francją i Prusami, począł czynić starania, aby zawarty został pokój, nie uwłaczający powadze żadnej ze stron wojujących.

Delegacja rządu prowizorycznego zajmowała naówczas pałac arcybiskupi w Tours, gdzie Mgr Guilbert był arcybiskupem.

Pius IX pisał doń d. 12 listopada 1870 r.:

„Ciężkie położenie, do jakiego doprowadziła mnie niegodziwość ludzka, nie przeszkadza mi wszelako myśleć wciąż o cierpieniach Francji, jakich w obecnej chwili doznaje. Mam wciąż żywo w pamięci dowody synowskiego przywiązania tego szlachetnego narodu i chciałbym bardzo okazać mu nawzajem wdzięczność głęboką.

„Najważniejszą jest rzeczą w danych okolicznościach czynienie zabiegów około zawarcia pokoju. O, gdybyż mi się powiodło dokonać przedsięwziętego dzieła! Jakże gorące Bogu wszechmocnemu złożę dziękczynienia i nie znajdę dość słów dla wyrażenia mej radości, jeżeli Bóg raczy mię uczynić narzędziem tak wielkiego dobrodziejstwa! Ale należy być posłusznym mojemu wezwaniu i zapomnieć o wzajemnych urazach, aby znów obudzić w sobie uczucie wspólnej harmonji i zaufania. Żali Wikarjusz Chrystusowy może mieć nadzieję podobnego zwycięztwa, żali danem mu będzie doprowadzenie do równowagi i spokoju tak znaczną część Europy?

„Do ciebie, czcigodny bracie należy poprzeć mię w tym względzie i przemówić do osób stojących u steru rządu, albowiem sprawa ta ich głównie obchodzić powinna. Przemawiaj do ludu, wzywaj orędownictwa Świętych Pańskich, staraj się zainteresować innych biskupów. a być może, da Bóg, że słowa twoje zdołają zmiękczyć serca i uczynić je moim życzeniom powolnemi. Co prawda, nic nie pomogą moje dobre chęci w tym razie, jeżeli władca zwycięzki, który tyle odniósł tryumfów w tej wojnie, nie okaże się ze swej strony wielkim i wspaniałomyślnym, nie usłucha mego głosu, nie przyjmie życzliwie mojej misji pokojowej.

„Mam zamiar myśl mą królowi pruskiemu sam wyłożyć i dać mu pojęcie o tej misji mojej w naglącej sprawie zawarcia pokoju. Czy zechce ją przyjąć? O tem przesądzać nie mogę, ale krzepi mię nadzieja, ponieważ w innych, całkiem wprawdzie odmiennych okolicznościach, zawsze znajdowałem posłuch u niego i życzliwość. A więc, czcigodny Bracie, zabierz się co rychlej do dzieła, ponieważ we własnym twym pałacu dajesz schronienie rządowi prowizorycznemu. Ale jak ci wiadomo, ten który sadzi i ten, który polewa, są niczem w obliczu Boga; On jeden tylko może to sprawić, że nasze dobre chęci wydadzą zbawienne owoce.

„Padnij więc z głęboką ufnością przed Nim na kolana, błagaj Boskie Serce, będące niewyczer-

panem źródłem litości i miłosierdzia i powtarzaj wraz z ludem w pokorze serca twego: *Parce Domine, parce populo tuo.* Błogosławię cię tkliwie wraz z twoją djecezją i całej Francji ślę moje ojcowskie błogosławieństwo".

Sługa Boży pisał jednocześnie do króla pruskiego d. 16 listopada 1870 r.:

„Najjaśniejszy Panie.

„Liczne są dowody dobroci i łaskawości, któremi Wasza Królewska Mość tylokrotnie mnie zaszczycała. Dziś odwołuję się tem usilniej do tejże dobroci i życzliwości. Wyznaję, w obliczu nawet świata całego, jeżeli to będzie z pożytkiem dla sprawy, iż nie mam innych powodów do błagania Ciebie o tak wielką łaskę, jak tylko prawo Namiestnika Chrystusowego na ziemi, Zastępcy Boga, którego Królem pokoju zowiemy.

„Najjaśniejszy Panie, armja Twoja odniosła świetne zwycięztwo, jeżeli teraz zgodzisz się na zawarcie pokoju, zjednasz sobie tem gorętsze uwielbienie. A przytem, pewny jestem, że serce Twe cofnie się przed myślą zniszczenia jednej z największej stolic Europy.

„Życząc Waszej Królewskiej Mości najzupełniejszego szczęścia i wszystkich darów Ducha św. kończę, wyrażając pragnienie, abyśmy zostali połączeni węzłami jednako odczuwanego miłosierdzia"

Niestety, głos Papieża, przez żadną ze stron wojujących nie został wysłuchany. Walka trwała, aż do dnia, gdy Paryż, otoczony pierścieniem z ognia i żelaza, musiał się poddać. Wypadki pełne grozy, które potem nastąpiły, dowiodły ludziom szlachetnego serca, jaką straszną omyłkę popełnił rząd francuzki, nie zgadzając się na układy grudniowe; uciążliwe były one, lecz w kilka miesięcy potem, Francja warunki stokroć cięższe przyjąć była zmuszoną.

---

235. Dekret papieski z d. 8 grudnia 1870 r., spełnił życzenia świata katolickiego tylokrotnie przed i po soborze wyrażone, ogłaszając św. Józefa Oblubieńca Najśw. Marji, *Patronem Kościoła Powszechnego* i ku czci jego wyznaczając dzień uroczystego święta.

Niewymowna była radość wiernych z tego powodu; odprawiano triduum oraz nowenny nietylko w Rzymie, lecz w całym świecie katolickim ku chwale św. Patryarchy.

Błogosławiono Piusa IX-go, powołanego wyrokiem Opatrzności do podniesienia czci dla przybranego ojca Jezusa Chrystusa.

W kilka lat potem, d. 22 kwietnia 1875 r. Św. Kongregacja Obrzędów oddała Kościół Powszechny w opiekę Sercu Jezusowemu.

---

236. D. 16 czerwca 1871 r. Sługa Boży obchodził rocznicę, jakiej żaden z jego poprzedników nie dożył, a mianowicie: dwudziestopięcioletni jubileusz swego pontyfikatu. Dożył więc dni Piotrowych (bo jak wiadomo św. Piotr był Namiestnikiem Chrystusowym lat 25 miesięcy 2 i dni 7).

Wobec niesprzyjających warunków politycznych uroczystość ta nosiła charakter wyłącznie religijny i miała miejsce w kościele św. Jana Laterańskiego i w bazylice św. Piotra, nie mniej jednak napływ wiernych był olbrzymi.

Wszyscy monarchowie pośpieszyli powinszować i życzenia swe jubilatowi wyrazić, a ze wszystkich stron świata przybywały wciąż do Rzymu pielgrzymki liczne i wspaniałe. Trwały one nieustannie, aż do śmierci Piusa IX-go. Największy jednak napływ ludności przypada na rok 1875.

D. 24 grudnia 1874 r. Pius IX ogłosił odpust jubileuszowy. Równie liczny był zjazd wiernych w 1877 r., podczas obchodu pięćdziesięcioletniej rocznicy mianowania Piusa IX arcybiskupem spoletańskim.

Nawet i po śmierci Sługi Bożego przybywały wciąż jeszcze liczne pielgrzymki do stolicy świata katolickiego i gorętszymi jeszcze niż za lat dawniejszych, stawały się objawy przywiązania wiernych do Stolicy Apostolskiej.

---

237. Ostatnie chwile życia, najchwalebniejszy rzec można okres swej działalności, Sługa Boży spędził jako więzień w Watykanie.

Uginając się coraz bardziej pod ciężarem wieku, Pius IX był wciąż pełnym odwagi, zapału i gorliwości; oddawał się niestrudzenie pracy apostolskiej, w przemówieniach swych i odpowiedziach na adresa przez pątników wystosowane, wygłaszał wzniosłe prawdy ewangeliczne, zaznaczając częstokroć z niezmierną boleścią postępy rewolucji, tej prześladowczyni Kościoła św.

Za przykładem św. Andrzeja, nauczającego lud z wysokości krzyża, Pius IX z więzienia Watykańskiego (albowiem nigdy już z tego pałacu nie wychodził), ogłoszał narodom prawdy wiary św. i odsłaniał zamiary nieprzyjaciół Kościoła św. i Boga samego.

Głos Ojca świętego trafiał do głębi serc i wstrząsał sumienia najbardziej zatwardziałych grzeszników.

Oblicze Piusa IX jaśniało jakimś nieziemskim wyrazem, cała jego czcigodna postać miała powab niezrównany, a głos posiadał urok tajemniczy.

Słuchało się zawsze słów jego w najgłębszem skupieniu, a w dźwięku jego głosu była słodycz i smutek zarazem, odrywające myśl ludzką od trosk tej ziemi i unoszące ją gdzieś w lepsze światy.

Pius IX miał zawsze uśmiech na ustach; był jednako wciąż spokojny, uprzejmy, cierpliwy, równy w stosunku z ludźmi; to też bez względu, czy to byli przyjaciele lub wrogowie, odstępcy czy wierni, posłuszni czy też zbuntowani, wszyscy jednogłośnie uważali go za niezwykłe wprost zjawisko „cud prawdziwy“, jak się o nim wyrażano, ukochanego „Benjamina Opatrzności“, której podobało się za jego pomocą zawstydzić najchytrzejszych mistrzów polityki, szerzących bezbożność wśród świata.

Kilku z tych przebiegłych i zaciętych wrogów wyczekiwało z upragnieniem zgonu Ojca św., lecz ci właśnie poprzedzili go i wcześniej od niego zeszli do grobu.

CZĘŚĆ DRUGA.

Cnoty teologiczne; cnoty kardynalne oraz inne z nich wypływające, praktykowane przez Bożego Sługę.

239. Życie Sługi Bożego było zawsze godnem podziwu, z powodu wytrwałego wykonywania wszystkich cnót chrześciańskich.

Od najwcześniejszych lat postępowanie jego było bez zarzutu, odznaczał się czystością obyczajów i pobożnością wyjątkową, co zjednywało mu ogólne poważanie, zwłaszcza zaś cieszył się uznaniem tych, którzy go bliżej znali.

Nigdy nie dostrzeżono w jego życiu czynów, którymby brakło powagi, nie słyszano słów lekkomyślnie wyrzeczonych, a przez ciąg długiej swej ziemskiej wędrówki, w której tyle zaznał goryczy, nigdy nie zaniedbywał obowiązków kapłana, biskupa, a wreszcie Głowy Kościoła Powszechnego.

Jego wiara heroiczna.

239. Pius IX posiadał wiarę prawdziwą i głęboką. Od najpierwszej młodości, ulegając wpływom bogobojnej matki, pilnie, z nabożeństwem i zapałem odmawiał codzienne pacierze, a ciągłem uczęszczaniem do Kościoła, uwielbieniem dla świętych tajemnic, upodobaniem do rozmów religijnych, gorącą pobożnością zdumiewał i budował zarazem.

240. Pełnym radości był dla niego dzień pierwszej Komunji św., od tej chwili często przystępował do Stołu Pańskiego, a zawsze z budującym zapałem, skupieniem ducha; pobożność jego wzrastała z latami, czego mamy dowody w czynach pełnych blasku, szczególnie z chwilą poświęcenia się stanowi kapłańskiemu.

Zostawszy księdzem nigdy nie zaniedbał odprawienia mszy św., a z tak gorącą wiarą, słodyczą i nabożeństwem, iż niekiedy rozrzewniony do łez, słuchających wzruszał tem do głębi.

241. Pius IX oddawał się rozpamiętywaniu tajemnic wiary, dla których czuł przywiązanie i cześć najżywszą; nauczał z zapałem, najpierw jako kapłan, biskup, a na końcu jako Papież.

Miał nadzwyczajne nabożeństwo i cześć dla Przenajświętszego Sakramentu, Męki Pańskiej i Serca Jezusowego, w którym, powiadał, Kościół i wierni powinni zawsze szukać ratunku i pociechy.

W tej myśli, poświęcił świat katolicki Sercu Jezusowemu i do kresu życia trwał w tak tkliwej i gorącej pobożności.

242. Pius IX posiadał w wysokim stopniu dar modlitwy, znajdując nawiększą rozkosz w spędzaniu długich godzin u stóp Przenajświętszego Sakramentu.

Kapłan, biskup i Papież umiał zawsze znaleść, w pośród nawału pracy czas dla modlitwy. Jeśli zajęcia nie pozwalały mu modlić się podczas dnia, modlił się w nocy, a niejednokrotnie spędzał je całe na modlitwie. Blizcy mu twierdzą, że zastawali łoże jego częstokroć nietknięte. Sługa Boży wolał użyć czas na rozmowę z Bogiem niż na spoczynek.

243. Kiedyś, dając posłuchanie u siebie zakonnicom klasztoru Sercanek, pouczał je, zachęcając do modlitwy, a następnie, przywołując do swej prywatnej kaplicy, gdzie przechowywał Przenajświętszy Sakrament mówił z ujmującą prostotą:

„Biedny Papież, potrzebuje też obcować czasem tylko z Jezusem, tyle mam mu do powiedzenia, o tyle łask, rad, światła go prosić!“

Następnie uklęknąwszy wraz z niemi i pomodliwszy się chwilę, podniósł się, otworzył Przybytek, gdzie na wewnętrznej stronie drzwiczek widniał brylantowy monogram Imienia Jezus, wskazując nań dodał:

„Umieszczam tu wszystko, co mam najpiękniejszego i najdroższego; wszystko dla Niego, dla mego Pana i Mistrza“.

Słowa powyższe wypowiedział z takiem namaszczeniem, nabożeństwem i miłością, że zakonnice zbudowane jego słowami płakały ze wzruszenia.

244. Wiadomo, że Sługa Boży pomimo licznych obowiązków apostolskich, mając zawsze bardzo wiele osób na swe usługi, nie omieszkał jednak nigdy, czy to będąc biskupem, czy następnie za dni swego pontyfikatu własnoręcznie przystrajać ołtarz w swej kaplicy, wywiązując się z tego z nadzwyczajną starannością, wypływającą z jego głębokiej pobożności.

245. Jako dowód niezmiernej miłości Piusa IX-go dla Jezusa Eucharystycznego, przytaczają nieraz ów fakt dobrze znany, gdy Sługa Boży zmuszony będąc z powodu wypadków politycznych Rzym opuścić w 1848 r., znalazł ukojenie, umieszczając na piersiach puszkę z Najświętszym Sakramentem.

Przez cały ciąg podróży krzepił się sam oraz innych pocieszał, przyciskając do serca ową puszkę, mieszczącą skarb najdroższy, mówił przytem:

— Nie obawiajcie się niczego, Bóg jest z nami!

246. Gorliwość Piusa IX w głoszeniu wiary i pragnienie szerzenia Królestwa Bożego na ziemi, nie miały granic.

Dość jest przypomnieć wszystkie jego starania w celu zwalczania błędów sekciarskich i przywiedzenia odstępców do jedności z Kościołem św.; jego poufne w sprawach religijnych rozmowy, odezwy, allokucje, pełne głębokiej mądrości Encykliki, wszystko to są świetne pomniki jego niezłomnej wiary, pobożności, a wszystkie te troskliwe zabiegi o dobro Kościoła Powszechnego, wydały obfite i zbawienne owoce.

247. Pius IX miał cześć niezmierną dla Najśw. Marji Panny, a troskliwa matka umiała go od lat najmłodszych zachęcić do uciekania się pod opiekę Bogarodzicy w każdej potrzebie, budząc w sercu syna najtkliwszą ku Niej miłość.

Owe dobre ziarno padło na wdzięczną glebę i wydało jak najlepsze owoce. Nie dziw więc, że w ciągu całego życia Pius IX odznaczał się prawdziwie synowskiem dla Najśw. Marji przywiązaniem, stanowiącem niejako główny rys jego charakteru. Starał się wszelkiemi siłami o przysporzenie jej czci i chwały, ogłaszając dogmat Niepokalanego Poczęcia i zwiększając liczbę świąt Matce Boskiej poświęconych.

248. Jednym z najchwalebniejszych czynów rządów papieskich Sługi Bożego, było niewątpliwie ogłoszenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia.

Zawsze czcił on od lat najwcześniejszych tę znamienną oznakę świętości Bożej Rodzicielki i gorąco pragnął, aby Stolica Apostolska dogmat ten uroczyście ogłosiła.

Zostawszy obrany Papieżem, natychmiast zamiar ten w czyn wprowadzić postanowił.

D. 12 lutego 1848 r. wydał Encyklikę, zachęcającą cały świat katolicki do modlenia się na tę intencję.

Podczas swego wygnania w Gaecie, znalazłszy się w kaplicy królewskiej w Portici, ślubował ogłoszenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia, z chwilą uśmierzenia rewolucji.

Przywrócony do władzy istotnie poświęcił się temu zadaniu i d. 8 grudnia 1854 r. ogłosił dekret tak wielce upragniony.

249. Osoby znajdujące się w bazylice Watykanu podczas odczytania owego dekretu, utrzymują, że w chwili tak uroczystej Sługa Boży był uniesiony zachwytem; głos jego brzmiał jeszcze dźwięczniej i donośniej niż zwykle, na obliczu, zalanem łzami, malowało się głębokie wzruszenie.

Poczytywano za znak osobliwej łaski ów fakt, że w chwili, gdy Pius IX odczytywał określenie dogmatu, niebo pokryte chmurami wyjaśniło się zupełnie niespodzianie, a promień słońca, padając

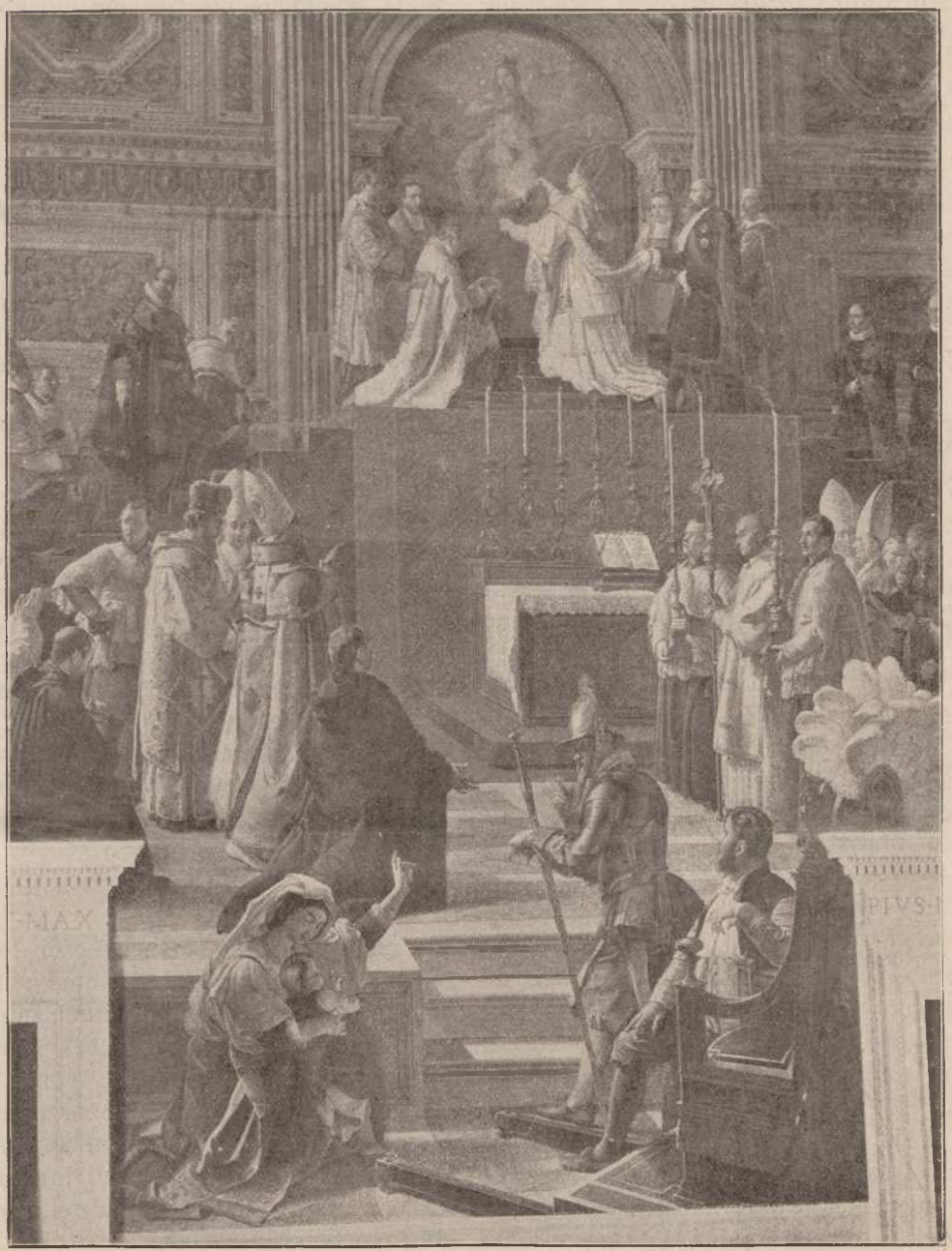

Ogłoszenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia.

przez okno kopuły wprost na twarz Sługi Bożego, otoczył jego czoło świetlaną aureolą.

Kiedy następnie ktoś z osób blizko tronu papieskiego stojących wspomniał mu o tem zadziwiającem zjawisku, Pius IX odpowiedział:

„To com czuł i czegom doznał, ogłaszając ten dogmat wiary, niepodobna jest w ludzkiej wyrazić mowie! Podczas, gdy Bóg przez usta Namiestnika swego tę prawdę wyrażał, rozjaśnił zarazem umysł mój tak jasnem zrozumieniem niezrównanej czystości Najświętszej Marji, że dusza ma, pogrążona w tej świadomości odczuwała nieziemski zachwyt i uwielbienie, była to istotnie rozkosz nie z tego świata, a której jedynie zaznać można w niebie! Nie waham się twierdzić, że tylko dzięki osobliwej łasce, Opatrzność dozwoliła mi cieszyć się jeszcze tą radością i nie umrzeć ze szczęścia pod wrażeniem owej świadomości i bezgranicznego zachwytu dla Niepokalanej Marji“.

250. Miłość głęboka i tkliwa oraz cześć niezmierna Piusa IX dla Najśw. Marji wyrażoną jest w każdym słowie Bulli: *Ineffabilis Deus* ogłaszającej dogmat Niepokalanego Poczęcia.

Zaznacza w owej Bulli wspaniałej, że był zniewolony do ogłoszenia dogmatu, czyniąc zadość pragnieniom całego świata katolickicgo, oraz swego gorącego dla Bogarodzicy uwielbienia, gdyż cześć i miłość dla Niej żywił już od lat dziecięcych.

---

251. Niezwykłą również czcią otaczał Pius IX ŚŚ. Aniołów, zwłaszcza zaś swego Anioła Stróża, oraz Świętych Pańskich.

W szczególności zaś miał nabożeństwo do św. Józefa, będąc kapłanem i biskupem zawsze o cześć Jego był dbały, a zostawszy Papieżem, ogłosił Go patronem Kościoła Powszechnego.

Dla św. Franciszka z Assyżu żywił też cześć wielką, należał do Trzeciego Zakonu i nie szczędził starań, aby Zakon ten rozpowszechniać, wydając mądre w tym kierunku zarządzenia, sam zaś przez całe życie był wiernym przedstawicielem ubóstwa i miłosierdzia św. patryarchy z Assyżu.

Pius IX pedniósł do godności doktorów Kościoła św. Franciszka Salezego i Alfonsa Liguori, wielu też innych Świętych Pańskich i błogosławionych wyniósł na ołtarze.

---

252. Wiara Piusa IX zajaśniała osobliwym blaskiem w miłości i poważaniu Kościoła św. oraz hierarchji duchownej.

Dzieckiem jeszcze będąc z wielkiem uniesieniem poddawał się przykładom i zachętom matki i modlił się gorliwie na intencję Kościoła św. i Piusa VI, srodze naówczas prześladowanego. Owo żywe zainteresowanie się sprawami Kościoła św. w tak młodocianym wieku, było istotnie wyjątkowem i cudownem wprost nazwaćby je można było, płakał bowiem rzewnemi łzami nad uciskiem Kościoła Powszechnego, a niejednokrotnie nawet pobożnej matce obowiązek modlenia się na tę intencję przypominał.

---

253. Jako kapłan i biskup zawsze posłuszeństwo Stolicy Apostolskiej okazywał, nieraz też zapewniał o tem, że nie uląkłby się żadnego niebezpieczeństwa ani cierpienia dla okazania swego synowskiego dla Papieża przywiązania i nawet krew by gotów przelać dla okazania tej miłości dla Kościoła, a gdy już został Papieżem, umiał wznieść wysoko urok i godność swego boskiego posłannictwa, a strzegąc swoich praw, dawał zarazem dowody wielkiego poświęcenia i pokory.

Heroizm nadziei.

254. Od najpierwszych lat życia, Sługa Boży polecał się Opatrzności; daleki od myśli ziemskich, i żądzy wyniesienia, całkowicie się Stwórcy oddaje. Jedynym celem i staraniem jego życia całego, było zasłużyć na zbawienie, gdyż serce Piusa IX znało tylko pragnienie raju. Znajduje spokój duszy i siły w nadziei, że zdoła zasłużyć na nagrodę w wieczności.

---

255. Odezwy i przemowy jego dowiodły, jak gorąco wierzył w swe zbawienie przez zasługi Jezusa Chrystusa i za przyczyną Najświętszej Panny, ufność tę umiał wzbudzić i w tych, którzy z nim obcowali, szczególnie pocieszać nieszczęśliwych i strapionych. Dostatecznie było spojrzeć na jego postać, jaśniejącą spokojem, posłyszeć słowa pełne słodyczy ujmującej i wzbudzające skruchę, aby nabrać nadziei, zapomnieć o goryczach i trudach życia.

---

256. Pomimo przeciwności losu, które gnębiły go już w młodości zaraniu, pomimo epilepsji, dręczącej go w ciągu lat kilku, zmuszając do przerwania studjów i grożąc nawet zupełnem pokrzyżowaniem planów przyszłości; pomimo politycznych zaburzeń, zmuszających do opuszczenia seminarjum, a nawet do zrzucenia sukni kapłańskiej, pomimo wymagań służby wojskowej i innych smutnych kolei losu, nigdy nie tracił nadziei, nie upadał na duchu, powtarzając wciąż:

„Polećmy się Bogu, to taka rozkosz czuć się w Jego ręku!“

Wiara niezmierna i ufność były nakoniec uwieńczone nadzwyczajnym powodzeniem.

---

257. Nadzieja chrześciańska trwała w nim doskonała i heroiczna, czy to podczas pełnienia obowiązków biskupa, szczególnie gdy w Spoleto liczne i poważnej natury przykrości uderzają weń, jak grom, czy też silniejsza jeszcze, przez ciąg tak długiego i pracowitego pontyfikatu, gdy rewolucja najbardziej wichrzy, nie dając wypoczynku i zatruwając ostatnie chwile życia.

Zdawało się niekiedy, że już niema pociechy, wszelka nadzieja ratunku stracona; powinien wypić do dna kielich goryczy Gethsemani, a jednak, nie traci wiary, idzie naprzód prowadzony, jakby światłem niebieskiem. Powiada z prorokiem:

„*Ecce in pace amaritudo mea amarissima.*

---

258. Kiedy w 1870 r. Rzym świętokradzką ręką zagrabiono, wierni, upadając pod ciężarem niepokoju i ciągłej obawy, pogrążeni byli w niepomiernym smutku. Papież zaś, odważnie niosąc krzyż swój z rozjaśnioną słodkim uśmiechem twarzą, pociesza i ukazuje niebo.

Kardynał Patrizzi, wikarjusz rzymski, udał się dnia pewnego, w imieniu Papieża, do klasztoru Trynità dei Monti; zakonnice ujrzawszy go, otoczyły wnet, zapytując o Ojca św.

„On to, odparł kardynał, pociesza nas, umacnia, wskazując swój krucyfiks. Patrząc nań, wypogadzamy czoła, nabierając odwagi; słowa jego podnoszą ducha i sieją pokój".

---

259. Rozmawiając kiedyś w kółku poufnem, wskazał ręką na obraz zawieszony nad łożem, przedstawiający Dobrego Pasterza, kołaczącego do drzwi serca:

„Oto Pan nasz, rzekł, jeśli kołatać będzie do mnie, otworzę Mu natychmiast."

Innym razem, strapiony nędzą ludzką, wzniósł oczy ku niebu i wzruszonym głosem rzekł:

„Kiedyż wejdziemy do raju?"

Słowa te świadczą o żywej nadziei i gorącem pragnieniu osiągnięcia nieba.

---

260. Nadzieja ta wznosiła Piusa IX po nad ułomności natury ludzkiej, dając spokój w obliczu śmierci. Ani podczas długich cierpień, ani w ostatnich chwilach życia — spokój duszy nie opuszczał go. Kardynał Bilio, główny penitencjarjusz, odmawiając modlitwy za konających, zatrzymał się wzruszony na słowie: *Proficiscere.*

Sługa Boży żywo zwracając się ku niemu z całą przytomnością zapytał: *Qui Proficiscere?* co świadczy jak spragnionym był już nieba.

Heroizm miłości Bożej.

261. Ogniem niebiańskim płonął nieustannie Sługa Boży i żył tylko dla Boga, którego miłował miłością żywą i czynną. Pobożność w dzieciństwie, gorliwe odmawianie pacierzy, upodobanie do ceremonji religijnych i ćwiczeń pobożnych, szczególnie ciągła praca nad udoskonaleniem własnem, coraz większe postępy w wynajdywaniu środków podniesienia chwały Bożej, wszystko to dostatecznym jest dowodem tej gorącej miłości.

---

262. Drugim dowodem jest nienawiść dla najmniejszego nawet grzechu i staranie, aby nie nie popełnić żadnego niewłaściwego kroku.

Sługa Boży, miał zwyczaj, po odprawieniu Mszy św., odmawiać niektóre modlitwy w otoczeniu blizkich sobie, otóż dnia pewnego, kiedy prałat dyżurujący, czytał formułę, w której zanosi się prośbę do Boga, aby zachował od grzechu śmiertelnego, Pius IX przyzwawszy go, rzekł:

„Czytałeś dzisiejszego ranka, że Pan powinien nas strzedz od grzechu śmiertelnego, a dlaczegóż i nie od grzechu powszedniego? wszak i grzech ten jest także obrazą Boga. Odtąd powiadaj: zachowaj nas od grzechu".

I istotnie, postępowanie Sługi Bożego było zawsze przykładne i bez zarzutu, we wszystkich chwilach życia, we wszystkich zmianach losu, wszelakich warunkach umiał unikać okazji do grzechu, uciekać przed niebezpieczeństwami, przezwyciężać trudności.

Pozostał wiernym w pełnieniu obowiązków chrześcijanina, kapłana, biskupa i Papieża.

---

263. Święta gorliwość wiodła go zawsze tam, gdzie mógł przeszkodzić złemu, nie dopuścić do grzechu; bolał zawsze i cierpiał widząc obrazę Bożą; przedewszystkiem był wrogiem bluźnierstwa.

Jako biskup i Papież często piętnował tajemnie i publicznie ten wstrętny występek. Papieżem będąc nie omieszkał korzystać z każdej zręczności, aby go potępić i od początku swego panowania, w częstych kazaniach, szczególnie w kościele św. Andrzeja della Valle, występował żarliwie przeciw bluźnierstwu.

---

264. Pilnie nauczał lud obowiązków chrześcijańskich, a słowa jego gorące i potężne trafiały do serc, wywierając wpływ zbawienny.

Niejednokrotnie podczas pobytu swego w Sinigalji, gdy uniesiony zapałem powstawał przeciw grzechom, zalewał się łzami i poczynał biczować się, zachęcając do pokuty. Czynił to w tym czasie,

gdy był klerykiem; gorliwszym jeszeze stał się, zostawszy kapłanem, zwłaszcza zaś po powrocie z Chili; wiadomo, że naówczas przebywał czas jakiś w rodzinnych stronach.

---

265. Pius IX mówił o niezrównanej wielkości Bożej, a głównie o swej miłości ku Niemu z takim zapałem i namaszczeniem, że odczuwało się ów płomień gorącej jego duszy i tem porywał słuchaczy.

Czy przemawiając do wiernych z ambony, czy w poufnych rozmowach, czy wreszcie wyrażając swe myśli na piśmie, troszczył się zawsze o rozbudzenie w sercach miłości ku Bogu, nienawiści dla grzechu i umiłowania cnoty.

Słowa jego wywierały ogromne wrażenie, a słuchacze czuli się pokrzepionymi i umocnionymi na duchu.

---

266. Sługa Boży, jako kapłan, biskup, Papież nie cofał się nigdy przed żadnym trudem, gdy chodziło o chwałę Bożą i dusz zbawienie. Nie zaniedbał żadnej sposobności szerzenia czci Bożej i pracy apostolskiej. Zachęcał i popierał skutecznie dzieła Rozszerzania Wiary oraz wykupu niewolników.

Usilnie też szerzył katechizację dzieci i sam się tej pracy gorliwie oddawał. Papieżem będąc, lubił otaczać się dziećmi; ogromnie przyjaźnie rozmawiał z niemi, pieścił, podarkami obdarzał, a przytem nie omieszkał nigdy wypytywać o zasady wiary i kazał im odmawiać modliwy przy sobie.

---

267. Nigdy nie zaniedbywał nawiedzania Przenajświętszego Sakramentu; u stóp Przybytku, przejęty miłością seraficzną, miał wyraz anielski, twarz jego ożywiała się, serce pałało gorącem uniesieniem. Widok to był podniosły i budujący zarazem.

---

268. Zwykle skupiony, nawet w pośród zajęć swego posłannictwa, czynił wrażenie duszy niebiańskiej, ściśle zjednoczonej z Bogiem, gorejącej miłością, której całem szczęściem było oddawać się zupełnie Ukochanemu Mistrzowi i dla której uczucia i myśli ziemskie nie istniały.

Heroizm miłości bliźniego.

289. Miłość niezmierna Piusa IX ku Bogu napełniała też serce jego miłością bliźniego.

Miłość ta, można powiedzieć, zrodziła się w sercu jego, od pierwszych chwil życia. Rodzice, a szczególnie pdbożna matka, służyli mu w tym względzie przykładem i miłość tę zaszczepili mu w duszy.

Opowiadają, że Sługa Boży dzieckiem jeszcze będąc rozdawał jałmużnę biednym bardzo skwapliwie.

---

270. Miłosierdzie i współczucie jego dla ubogich wzrastały z latami.

Stawał się hojniejszym w miarę odczuwania ludzkich potrzeb, i w miarę wzrastającej możności i środków, które mu pozwalały na to zadowolenie porywów wspaniałomyślnego serca.

Wiadomo, jak się wszystkiem i wszystkiemi żywo interesował, nigdy nie odmawiając pomocy, jak ogromną radość odczuwał spełniając uczynki miłosierdzia, a cierpiał gdy czuł się bezsilnym wobec nędzy i niedoli.

Aby wspomódz nieszczęśliwego, poświęcał nieraz wszystko, co posiadał.

Mianowany Arcypasterzem w Spoleto, zmuszony był pożyczyć u Mgra Natale Acquaroni, administratora w Saint-Michel, potrzebną kwotę, aby pokrnć koszta swej instalacji, czyli urządzenia się na nowej siedzibie.

---

271. Jego miłosierdzie miało przedewszystkiem na celu dobro duchowe bliźniego.

Jako kleryk, kapłan, biskup, a nawet Papież, nie zaniedbał żadnej zręczności, aby nauczać prawd wiary, udzielać rad mądrych, umacniać chwiejnych, naprowadzać na proste drogi zbłąkanych.

---

272. Wiadomo, że Pius IX uczynił wiele dobrego dla sierot w zakładzie *Tata Giovanni*. Istotnie prawdziwym był ojcem dla nich: zawsze troskliwy, zawsze gotów do ofiar, gdy chodziło o ich dobro moralne, czy też materjalne, całem sercem im był oddany.

To prawda, że i wychowańcy widzieli w nim dobroczyńcę i ojca, miłością i wdzięcznością go darząc, opłakując gorzko jego wyjazd, gdy był zmuszony opuścić ich, aby zająć wyższe stanowisko.

---

273. Dwie djecezje, któremi kolejno rządził Sługa Boży, były świadkami cudów jego miłosierdzia, trudów, doświadczeń, niebezpieczeństw na jakie się narażał dla dusz zbawienia.

Musiał ponosić olbrzymie wydatki, znosić najrozmaitsze przykrości, aby być użytecznym wszystkim warstwom społeczeństwa, i aby zapewnić pomoc we wszystkich potrzebach duchownych lub materjalnych.

Dowodem tego są liczne szpitale, schroniska dla dzieci, przytułki dla ubogich, które ufundował, wznosił, odnawiał, udobrodziejstwował w Imoli, zarówno jak i w Spoleto.

---

274. Każdy, kto go prosił o jałmużnę—otrzymywał pomoc szczodrej jego dłoni.

W ten sposób zużytkowywał swe dochody, a mając sposobność zrobić dobry uczynek, mówił z radością:

— Dziś miałem piękny dzień!

Niejednokrotnie odmawiał sobie najkonieczniejszych wydatków, aby wspomódz ubogich. Jeżeli już pieniędzy nie posiadał, dawał swe ubranie, bieliznę, ruchomości, a nawet przedmiotów wartościowych pozbywał się chętnie dla nędzarzy.

Był najbardziej szczodry dla ubogich, wstydzących się żebrać, zawsze wspierając w sposób defikatny, aby ich nie upokorzyć.

W wielu razach tego rodzaju biedacy otrzymywali pomoc, nie wiedząc zkąd pochodzi.

---

275. D. 12 stycznia 1830 r. bardzo silne trzęsienie ziemi zniszczyło Umbrję. Pius IX był natenczas arcybiskupem w Spoleto; serce jego zadrżało litością i miał znowu sposobność okazania ewangielicznego iście miłosierdzia.

Udał się wnet na miejsce dotknięte klęską, rozdał wszystko, co posiadał i zarządził składkę na poszkodowanych.

---

276. W Spoleto odwiedzając, jak zwykle więźniów, dowiedział się, że skazany na śmierć przestępca odmawia przyjęcia Ostatnich Sakramentów, i z rozpaczy bluźni najstraszliwiej.

Wzruszony tem Sługa Boży, zbliżył się, ze słodyczą i dobrocią do nieszczęśliwego grzesznika, mówił mu o Bogu i o niebie, uspakajał, w końcu zaś skłonił do spowiedzi, a gdy nadeszła fatalna godzina, towarzyszył mu na miejsce kaźni i nie opuścił, aż do ostatniej chwili, szczęśliwy, iż zdołał obudzić skruchę w sercu zbrodniarza.

---

277. Sługa Boży, będąc biskupem w Imoli, modlił się razu pewnego przed Najświętszym Sakramentem podczas czterdziestogodzinnego nabożeństwa.

Kościół był pusty, pora bowiem była spóźniona. Nagle dał się słyszeć jęk stłumiony.

Sługa Boży powstał śpiesznie i skierował się w stronę, zkąd ów głos żałosny dochodził. W pobliżu drzwi wejściowych ujrzał młodzieńca leżącego na ziemi i mocno poranionego, strugi krwi spływały z ran świeżych.

Okazało się, że napadnięty przez nieprzyjaciół został tak bardzo poturbowany i skaleczony i aby uciec od napastników schronił się do kościoła.

W chwili, gdy Sługa Boży pochylony był nad rannym, wpadło kilku ludzi uzbrojonych; byli to mordercy szukający swej ofiary.

Wówczas biskup własną piersią zasłonił umierającego, wobec czego zbóje zemknęli, a Pius IX powrócił znów do rannego, uniósł zwisłą jego głowę i złożył ją na swych kolanach.

Młodzieniec otworzył oczy, zwracając wzrok pełen wdzięczności na swego wybawcę, który począł przemawiać doń bardzo serdecznie, pocieszając i dodając mu otuchy. Widząc jednak, że ranny za chwilę ostatnie wyda tchnienie, zachęcał do skruchy oraz do przebaczenia winowajcom, poczem udzielił mu rozgrzeszenia

Kiedy młodzian ów skonał na jego ręku, Pius IX był tak zrozpaczony i przejęty do głębi serca, jak matka opłakująca ukochane dziecię.

---

278. Od początku swego pontyfikatu Pius IX okazał się istotnie ojcem i pasterzem ludu, dowodząc tem, jak jasno pojmował doniosłość piastowanego dostojeństwa.

Nie było niedostatku, któremuby nie ulżył, nędzy, którejby nie wspomógł i łez nie otarł, nieszczęścia, nad któremby nie bolał.

Opis uczynków miłosiernych, przez ciąg długich lat jego panowania byłby nieskończony, a celem ich było jedynie dobro duchowe i doczesne, wiernych świata całego, o czem świadczą pomniki na jego cześć wzniesione, jak również pamięć wdzięczna udobrodziejstwowanych, błogosławieństwa i pochwały, których nie przestają mu składać.

---

279. Nie udawano się nigdy napróżno do jego wspaniałomyślności, i nigdy, pomimo tak licznych próśb z Rzymu i okolicy nie odmawiał o co go proszono.

Skarżył się niejednokrotnie przed kardynałem Simeoni, że Antonelli dawał mu tylko 1000 franków dziennie dla jego biednych.

Uprzedzał nawet prośby, wynajdywał potrzebujących, odwiedzał sam mieszkania ubogich, aby się przekonać o ich potrzebach i osobiście zaopatrzyć.

Ileż to razy, jako biskup, a następnie papież, posyłał zaufanych, lub szedł sam przeodziany w skromne suknie kapłana, wieczorem i w nocy nawet, do miejsc, gdzie niedostatek do moralnej wiedzie nędzy!

Ileż to razy hojnie darzył nieszczęsnych! Możnaby porachować tysiące podobnych przykładów miłosierdzia i szczodrobliwości Piusa IX.

---

280. Kiedyś dowiedział się, że księżna de Goliera ma zamiar ofiarować mu miljon franków. Wieść ta napełniła go żywą radością na myśl, że będzie mógł nareszcie dać ujście swemu miłosierdziu!

Istotnie, zamiast użyć tę sumę na pokrycie swych osobistych, tak licznych potrzeb, zrobił natychmiast długi spis wydatków na konieczne, według niego, jałmużny i 700,000 przeznaczył na rozmaite dobre uczynki.

---

281. Miłosierdzie jego było iście apostolskie! O ile możności zachowywał je w tajemnicy; czy to przez ręce innych, czy też osobiście rozdając jałmużny rozkazywał, aby o tem nie mówiono. Dlatego to, po jego śmierci dopiero dowiedziano się od wspieranych lub świadków o tak licznych i wspaniałomyślnych czynach.

---

282. W nieszczęściach, które dotykały ogół cały, jak np. rozlew Tybru, epidemja cholery, trzęsienie ziemi i t. p. wydawał sumy ogromne dla poszkodowanych lub sierot pozostałych.

Nieprzyjaciele Stolicy Apostolskiej, nawet prasa antikatolicka niejednokrotnie odzywała się z uznaniem o szczodrobliwości Piusa IX, przechodzącej rozmiarami hojność innych monarchów.

---

283. Znamiennem jest, że miłosierdzie Papieża nie objawiało się wyłącznie w tym czasie, gdy posiadał udzielne państwo, a przeciwnie szczodrobliwość jego wzrosła, gdy rewolucja zmusiła go do życia ze zbiorowych datków osób wiernych Kościołowi św.

Z sum olbrzymich, nadsyłanych przez cały świat katolicki, zostawiał sobie nędzne okruszyny, poprzestając na bardzo małem, a resztę oddając biednym.

I poza swemi uczynkami miłosiernemi i hojnością ofiar, od których się nie uchylał nigdy, a przeciwnie rozwijał całą działalność w tym kierunku, ze względu na nieszczęścia danej chwili, wspomagał jeszcze biskupów djecezji włoskich, ograbionych doszczętnie i wyznaczył dla każdego z nich miesięczną zapomogę.

W ten sposób robił ofiarę ze swoich skromnych dochodów na rzecz potrzebujących.

---

284. Boski Mistrz, nauczając miłosierdzia, stawiał jako wzór Ojca Niebieskiego, który każe słońcu świecić dla sprawiedliwego i grzesznika.

Sługa Boży, pomny zawsze na nauki Zbawiciela, rad był ogarnąć miłosierdziem swem świat cały, nieograniczając się do katolików wyłącznie.

Dostatecznem było dla niego widzieć kogokolwiek w potrzebie, by przyjąć wnet żywy udział w jego niedoli, albowiem nędza bliźniego wzruszała go do głębi i budziła pragnienie zapobieżenia jej jak najrychlej.

Pewnego dnia, przejeżdżając przez żydowską dzielnicę, ujrzał starca leżącego na ulicy, nie okazującego żadnych oznak życia.

Pius IX, litością zdjęty, wysiadł z karety i zbliżył się do owego człowieka.

— Ależ to żyd!... — wołano dokoła, usuwając się ze wzgardą.

— Zaliż nie jest bliźnim naszym, który cierpi, należy przyjść mu z pomocą.

I to mówiąc natychmiast, wraz z towarzyszącymi mu prałatami, podniósł nieszczęśliwego starca i wnet własną karetą odwiózł aż do jego mieszkania, opuścił go zaś dopiero przekonawszy się, że chory odzyskał przytomność.

Zaledwie Pius IX został obrany Papieżem, postanowił zaraz odnowić nieco dzielnicę żydowską w Rzymie, zwaną *Ghetto*.

Wdzięczni mu za to żydzi przysłali deputację do Papieża, składając dar drogocenny. Pius IX przyjął ten dar życzliwie i natychmiast podpisał czek na tysiąc skudów, dodając przytem:

— Proszę was, panowie delegaci, o rozdanie tej kwoty biednym rodzinom żydowskim, w moim imieniu.

285. Sługa Boży odwiedzał często szpitale, sam zbliżał się do chorych, nawet dotkniętych zarazą, umacniając ich, dodając odwagi do znoszenia cierpliwie wszelkich dolegliwości cielesnych, rozdawał im medaliki, szkaplerze, krzyżyki, obdarzając przytem znacznemi pieniężnemi datkami.

Uwielbiano go za tę tkliwą pamięć, troskliwość i okazywane biednym współczucie. Nakazywał zwykle dozorcom i dozorczyniom chorych jak największą pilność, przypominając im miłosierdzie Chrystusowe.

---

286. Doktor Rajmund Baini z Riety, urodzony w Rzymie, gdzie też kończył nauki, opowiada, że podczas epidemji cholery w 1867 r., Pius IX wyszedłszy dnia pewnego na przechadzkę, minął plac św. Piotra i skierował się w stronę szpitala św. Ducha, gdzie umieszczano cholerycznych.

Na progu szpitala, zwrócił się ku przybocznym swym, okazującym wielkie przerażenie i rzekł z uśmiechem:

— Czy macie zamiar pozostawić mię tu samego?

Poczem wszedł śmiało, a wziąwszy stułę od jednego z Kapucynów, znajdującego się przy konającym, pomógł dysponować go na śmierć i był przy nieszczęśliwym, aż dopóki ten nie wyzionął ducha.

Następnie przechodząc od łóżka do łóżka dla każdego z chorych miał dobre słowo, pocieszał ich, umacniał, pozostawiając wszystkich pod wrażeniem niezmiernego zachwytu dla swego pełnego odwagi poświęcenia.

---

286. Pierwszeństwo dawał zawsze nieszczęśliwym, cierpiącym, prześladowanym od losu; przyjmował ich u siebie, odwiedzał z iście ojcowską dobrocią.

D. 29 października 1869 r. wydał w Watykanie ucztę dla biednych Rzymu. Każda parafia miała swego przedstawiciela; przyjął wszystkich serdecznie, a będąc sam przy biesiadzie i osobiście posługując ubogim, obdarzył ich przytem upominkami. Czynił to wszystko z dziwną łaskawością i radością szczęśliwego ojca, otoczonego gronem najmilszych dzieci.

Trudno zliczyć jego uczynki miłosierne podczas pobytu w Spoleto i Imoli, jak również podczas długiego i pełnego chwały panowania.

---

288. Nieprzyjaciele nawet byli przedmiotem ciągłej wspaniałomyślności i czułej troskliwości Sługi Bożego. Przebaczał tym, którzy sprawiali mu cierpienia, a krzywdy wyrządzone dobrem odpłacał. Modlił się za nieprzyjaciół i nauczał w tymże duchu, zachęcając do przebaczania.

---

289. Miłosierdzie i wspaniałomyślność Piusa IX w wysokim stopniu objawiała się również w hojnych wydatkach na rzecz instytucji pożytecznych Państwa Kościelnego i świata całego; w ogromnej szczodrobliwości dla rozwoju nauk, sztuk pięknych, przemysłu, handlu i t. d., w podtrzymywaniu i odnawianiu pomników, w uposażeniu szpitali, więzień i t. d.

---

290. Ustawiczna praca dla dobra dusz jednała mu grzeszników, heretyków, zwłaszcza protestantów, z których niejeden zawdzięczał Papieżowi powrót na łono Kościoła katolickiego.

Jeden protestant, uporczywie trwający w swych wierzeniach, chcąc pochlubić się tem, że widział Papieża, wyjednał sobie posłuchanie. Ujrzawszy Piusa IX był uderzony jego majestatem, spokojem i tem czemś nadprzyrodzonem, jaśniejącem z jego oblicza; poddając się niewidomej sile, ukląkł. Pius IX położywszy rękę na głowie klęczącego, powiedział, że prosi Boga o światło prawdy dla niego, jak również o łaskę i siłę do jej przyjęcia. Protestant ucałował rękę, której dotknięcie tak go wzruszyło i przyrzekł Ojcu Świętemu, że modlić się będzie i zgłębiać zasady religii katolickiej, Pius IX przycisnął go natenczas do serca swego. Wkrótce potem nawrócony wyrzekł się błędów i przeszedł na łono Kościoła katolickiego.

Podobne wypadki często się powtarzały.

Heroizm jego cnoty roztropności.

291. Całe życie Sługi Bożego było wyrazem mądrości doskonałej i nadzwyczajnej zarazem. Od dzieciństwa dawał dowody dojrzałości sądu, rozsądku i przedziwnej powagi.

Przedewszystkiem miał na względzie dobro swej duszy, ćwiczenie się w pobożności, unikanie okazji do grzechu, czuwanie nad swemi zmysłami, zwycięztwo nad namiętnościami, i uczęszczanie do św. Sakramentów.

Ten sposób życia ustrzegł go od upadków, a dając dobry przykład, dążył sam ku szczęściu wiekuistemu.

292. Gdy nadeszła chwila wyboru stanu, zwyciężył piętrzące się trudności, roztropnie używał wszelkich możebnych środków, zasięgał rady ludzi przezornych, a poznawszy wolę Bożą, zgadzał się z nią, wytrwał ze stałością, właściwą jego charakterowi i nie zrażając się przeszkodami, pozostał wiernym powołaniu.

293. Zostawszy kapłanem, cieszył się zaufaniem przełożonych. Niejednokrotnie powoływany do zleceń w drażliwych sprawach, pomimo młodocianego wieku, wywiązywał się godnie z zadania, przechodząc nawet wszelkie pod tym względem oczekiwania, posiadał bowiem zdolność i rzadką zręczność, zadawalniając wszystkich sumiennem wykonaniem każdego zobowiązania. Mamy tego dowody w *Tata Giovanni*, przytułku św. Michała, misji Chilijskiej w sprawie klasztoru Fognano, powierzonej mu przez Papieża, a przedewszystkiem w zarządzie dwóch najgłówniejszych djecezji Spoleto i Imoli wtedy, gdy Kościół i społeczeństwo przechodziło tak boleśne chwile.

294. Roztropność niezwykła Sługi Bożego ogólnie była znaną i podziwianą. Papieże Leon XII, Pius VIII i Grzegorz XVI, posługiwali się nim w sprawach trudnych i zawiłych, dając ważne zlecenia. Osoby najdostojniejsze duchowne i świeckie zasięgały rad jego, zadowolone zawsze z trafności jego sądu.

295. Jako dowód ogólnego uszanowania i czci dla Sługi Bożego służyć może fakt, że podczas konklawe w 1845, prawie wszyscy kardynałowie dalswój głos za nim przekonani, iż panowanie jego pełne przezorności, przystosowane będzie do tak trudnej chwili, z pożytkiem dla Kościoła św. i całego społeczeństwa.

Przyszłość dowiodła, jak dobry uczynili wybór. Od pierwszej chwili okazało się, że posiadał wszelkie dane, aby rządzić mądrze Państwem Kościelnem, a szacunek, uwielbienie i miłość wiernych otaczały go stale przez całe życie.

296. Długie panowanie Piusa IX było obfite w ważne wydarzenia. Nienawiść sekciarzy dla Kościoła, roszczenia praw kilku panujących, podstępna i obłudna polityka mężów stanu, rewolucja, obejmująca całe społeczeństwo, były powodem trosk nieustannych. Pius IX znalazł się otoczonym trudnościami, przechodzącemi siły zwykłego człowieka, i tylko dzięki nadzwyczajnej mądrości, wywiązywał się godnie z ciężkiego zadania, skarbiąc sobie i swemu wysokiemu posłannictwu tym większy szacunek i uznanie, o czem już mówiliśmy wyżej, opowiadając dzieje jego panowania.

297. Pius IX dawał dowody rzadkiej roztropności, działając tylko po głębokiem zastanowieniu, a w sprawach wielkiej wagi zasięgał rady ludzi rozumnych i cnotliwych. Pisma jego świadczą, że między innymi najczęściej radził się księdza Jana Bosco, dziś błogosławionego, którego umysł światły wysoce cenił. Uciekał się również do modlitwy, spędzając często noce całe na klęczkach.

W chwilach wielkiej doniosłości, jak nam mówią poważne świadectwa, kazał odprawiać tysiące mszy św. na intencję dusz w czyścu cierpiących, aby otrzymać światło z góry i postąpić według natchnienia bożego.

298. W Rzymie prałaci, duchowieństwo, lud, zwłaszcza wysokie rody, zasięgały rad Papieża w sprawach ogólnych a nawet osobistych i rodzinnych najbardziej poufnych. Tak czynili przez posłów lub listy, osoby znakomite, duchowne lub świeckie całego świata katolickiego.

Spieszyli do niego, jak dzieci do ojca, prosząc o rady i wskazówki w postępowaniu.

Heroizm jego cnoty sprawiedliwości.

289. Sprawiedliwość Piusa była bez zarzutu.

Przedewszystkiem wypełniał dokładnie obowiązek względem Boga. Dbały o chwałę Jego oddawał i nakłaniał do oddawania przynależnej Mu czci, a zawsze o sprawy Jego dbały, przywiązywał do nich największą wagę i po nad sprawy tego świata przenosił.

Przestrzegał ściśle praw Boskich, a najmniejsze przekroczenie tych praw przejmowało go zgrozą; nienawiść miał dla grzechu nawet powszedniego.

Troszczył się również aby wierni zachowywali przykazania Boskie, mieli wstręt do grzechu i unikali zła wszelakiego, skierowywał zawsze wszystkich na drogę cnoty.

---

300. Pius IX poważał i czcił Kościół św. i jego prawa, dzięki czemu w innych również posłuszeństwo i poważanie umiał obudzić. Wiernie wypełniał przepisy kanoniczne, lubił też wielce okazałość ceremonji kościelnych i chodziło mu oto, aby świątynie Pańskie wspaniale były przyozdobione.

Przy odprawianiu mszy św. i sprawowaniu wszelkich obrządków religijnych ściśle zawsze przytrzymywał się ustanowionego ceremonjału, nieodstępując nigdy ani na jotę od przepisów, których jako biskup, a następnie jako Papież pilnie przestrzegał. I tak naprzykład: Będąc już w podeszłym wieku, gdy z powodu nadwątlonego zdrowia trudno mu było ustać długo na nogach, najbliżsi z jego otoczenia nalegali usilnie, aby mszę św. odprawiał siedząc, ale Sługa Boży w żaden sposób nie chciał przystać na to i raczej gotów był wyrzec się celebrowania, aniżeli odstąpienia od przepisów i korzystania z przywileju, którego jednak innym, w podobnie wyjątkowych wypadkach, udzielał.

---

301. Sługa Boży odczuwał głęboko i okazywał zawsze miłość synowską, szacunek i posłuszeństwo względem rodziców. Zasiadłszy na Piotrowej Stolicy zalecał wszystkim wiernym cześć i przywiązanie dla rodziców, zwłaszcza zaś dla matek, wychwalając troskliwe nauki i przykłady swej rodzicielki i świątobliwe wychowanie, jakie w domu otrzymał.

Mówił zwykle o swym ojcu i matce z tkliwością, wzruszającą serca słuchaczy. Tak samo miał wielkie poważanie dla starszych i przełożonych, okazując wdzięczność i posłuszeństwo nauczycielom i dobroczyńcom swoim.

---

302. Wspominaliśmy już na swojem miejscu, że podczas wyprawy do Chili Sługa Boży omal nie postradał życia, a z niebezpieczeństwa wyratował go niejaki Bako, za co szczodrze przez Piusa IX został wynagrodzony; następnie zaś Papież nie zapomniał o swym wybawcy i posłał mu portret własny wraz ze znaczną kwotą pieniężną.

Również wdzięczny był zawsze Acquaroniemu, który dopomógł mu w potrzebie i udzielił koniecznej sumy na urządzenie się Sługi Bożego przy objęciu djecezji spoletańskiej. Pius IX zostawszy Papieżem mianował syna Acquaroniego, Józefa, kanonikiem przy kościele św. Piotra, a gdy kapłan ten został misjonarzem wyznaczył mu stałą pensję.

Miasta Neapol i Gaeta, które okazywały Papieżowi wiele współczucia podczas jego wygnania, hojnie też zostały przez Piusa IX obdarzone nadaniem przywilejów i różnemi oznakami wdzięczności, których nigdy przywiązanym do tronu papieskiego nie szczędził.

Rodzina króla neapolitańskiego, okazująca Papieżowi synowskie przywiązanie i podejmująca go z taką czcią u siebie w ciężkich chwilach zaburzeń w Rzymie i wygnania Sługi Bożego, cieszyła się zawsze potem wielką przychylnością Papieża i szczodrze łaskami jego była obdarzoną. Z jakąż radością udzielił jej Sługa Boży gościny w Kwirynale podczas wygnania rodziny królewskiej z Neapolu w dniach rewolucyi 1860 r.

---

303. Wprawdzie nie pochwalał Pius IX rządów swego poprzednika, czego dowiódł ułaskawieniem przestępców politycznych d. 16 lipca 1846 r. oraz innymi czynami, a zwłaszcza słynną Encykliką z d. 9 listopada 1845 r. nie mniej jednak oddawał hołd należny zasługom zmarłego Papieża i wyrażał się o nim zawsze z głęboką czcią i uznaniem.

Nie wahał się też, w poczuciu doskonałej sprawiedliwości, zatwierdzić przywileju i orderu przysługującego tym, którzy za posłuszeństwo i wierność Papieżowi ucierpieli srodze podczas zamieszek w 1845 r.

---

304. Pius IX był serdecznie wdzięczny tym wszystkim, którzy od chwili świętokradzkiego zagarnięcia Rzymu, przyczyniali się daniną Świętopietrza do zasilenia wyczerpanego skarbca Stolicy Apostolskiej, przychodząc w ten sposób pokrzywdzonemu z pomocą.

Gdy pewnego razu kardynał Karol Nocella, jak to sam opowiada, przyniósł Papieżowi dar pieniężny, pochodzący od jednej francuzkiej rodziny, Pius IX przyjął go życzliwie, błogosławił ofiarodawców, mówiąc ze wzruszeniem:

— Mam nadzieję, że Bóg ulituje się nad Francją, albowiem przyrzekł błogosławić synom, którzy czczą ojca swego i wspomagają go w potrzebie i ciężkich utrapieniach. Gdyby nie Francja i Belgja, aczkolwiek mała, lecz okazująca mi wspaniało-

myślną pomoc, nie byłbym obecnie w możności łożyć na wydatki niezbędne, jakich wymaga moje smutne położenie.

---

305. Pius IX odznaczał się zawsze sprawiedliwością, której dawał ustawiczne dowody, wywiązując się jaknajlepiej ze swych obowiązków, jako kapłan, biskup, Papież i Monarcha. Życie jego przykładne było bez zarzutu, a przytem budziło podziw przez wykonywanie w praktyce wszystkich cnót chrześcijańskich.

Nigdy nie pokrzywdził nikogo ani na dobrej sławie, ani na majątku, nie zdarzyło się, aby źle o kimkolwiek mówił, nawet nieprzyjaciół oszczędzał i o prześladowcach swych nie dozwalał wyrażać się niechętnie w swej obecności.

Ogromnie czynnym i gorliwym był w pełnieniu obowiązków swego najwyższego urzędu, zawsze dbały o dobro bliźnich i duszne ich zbawienie, był prawdziwym kapłanem według serca Boskiego Mistrza.

Pełniąc urząd biskupa okazał się pasterzem wzorowym, często wizytował djecezję i dbał o jej potrzeby. Bardzo żarliwie troszczył się o przysporzenie dobrych kapłanów i o utrzymanie w karności podwładnego mu duchowieństwa, pracując nieustannie z pożytkiem dla religji i dla swej owczarni.

---

306. Pius IX umiał oceniać zalety i zasługi swych podwładnych, czego niezliczone mamy przykłady. Starał się zawsze sowicie wynagradzać szlachetne czyny, bacznie śledził rozwój działalności świeckiego i zakonnego duchowieństwa, umiejąc spożytkowywać chociażby najniefortunniejsze warunki i dając tem pochop do coraz większej gorliwości.

Szczodrym był zawsze dla służby i pracowników wszelkiego rodzaju, z któremi wypadło mu mieć do czynienia; przeceniał nawet częstokroć ich trudy, starając się okazać robotnikom i rzemieślnikom, jaką wartość przywiązuje do sumiennie wykonanej pracy.

---

307. Jako Papież troszczył się wielce o dobro Kościoła powszechnego; z zupełnem zaparciem się samego siebie oddawał się pracy, mającej zawsze na celu rozszerzanie i tryumf wiary św., utrzymanie karności oraz postęp moralności wśród katolików.

W życiorysie Piusa IX, napisanym przez Adolfa Trollope p. t. *Dzieje Piusa IX*, Londyn 1877, II, stron. 307. spotykamy następujące słowa z powodu możebnego kanonizowania Sługi Bożego:

„Jeżeli, według wszelkiego prawdopodobieństwa, sprawa kanonizacji Piusa IX będzie kiedyś roztrząsaną, możemy zaświadczyć, że mało który ze świętych oddał tak wiele usług Kościołowi św., jak Papież Pius IX.“

---

308. Pius IX, jako Głowa Kościoła powszechnego, nie zapominał mimo to, iż jest zarazem biskupem rzymskim i przykładał starań do jaknajtroskliwszego rządzenia tym Kościołem. Od pierwszych dni swego panowania dowiódł, jak dalece obchodziły go sprawy rządów pasterstwa djecezji rzymskiej, wydając ustawę z d. 21 grudnia 1847 r. *Beati Petri*, w której zatwierdza Kongregację Wizyt Apostostolskich, ustanowioną przez Klemensa VIII, określił dokładniej zakres jej działania, stawiając na czele jako prefekta, kardynała-wikarego Rzymu, który go zastępował w rządach djecezją Udzielił również temu prefektowi koniecznej i potrzebnej władzy do odbywania wizyty pasterskiej, z której kardynał-wikarjusz powinien był zdawać mu relację szczegółową, obowiązując się też zastosować w praktyce wszystkie odpowiednie środki i mądre rozporządzenia.

---

309. W r. 1848 odmówił przyjęcia proponowanych mu układów z rzeczpospolitą włoską, ponieważ rzeczpospolita powstała na ruinach obalonych tronów wszystkich panujących półwyspu włoskiego. Bez wahania odpowiedział naówczas, że poczytuje sobie za najświętszy obowiązek zachowanie Państwa Kościelnego, nad którym Bóg mu pieczę powierzył i że nie może targnąć się na prawa innych panujących, oraz postąpić wbrew sprawiedliwości, albowiem Papież nie może uprawniać gwałtu i grabieży.

---

310. Pius IX był raczej ojcem niż monarchą dla swych poddanych; rządził mądrze, łagodnie i sprawiedliwie, nie powodując się względami osobistemi ani też stronnym nie okazał się nigdy w wymierzaniu kar lub rozdawaniu nagród, udzielając je stosownie do zasługi.

O ile łatwo wybaczał uczynione mu krzywdy, o tyle niezłomnym okazywał się zawsze, ilekroć chodziło o obronę praw Kościoła św. i porządku społecznego, zmuszony więc był nieraz podpisywać

wyroki, wydane przez sąd przeciw gwałcicielom prawa, zakłócającym spokój Państwa i naruszającym porządek ustanowiony.

311. Kiedy w r. 1870 wojska nieprzyjacielskie otoczyły Rzym, ostatnią posiadłość doczesną Ojca św. rozkazał przez poszanowanie sprawiedliwości stawić opór, dla okazania, że się nie zgadza na żadne dobrowolne ustępstwa. Gdy zaś fakt naruszenia prawa i gwałt uczyniony zostały stwierdzone, Pius IX zabronił strzelać, nie chcąc dopuścić do krwi rozlewu. Jeśli zaś mimo to były ofiary w ludziach, nie można przypisywać winy Papieżowi, albowiem stało się to jedynie dlatego, że nie zastosowano się wiernie do jego rozkazu.

Papież Pius IX na marach.

Heroizm cnoty męztwa Piusa IX.

312. Pius IX wykazał w ciągu całego swego życia tak wiele mocy, że można by nawet powiedzieć, iż owa moc chrześciańska była główną cechą jego świątobliwości.

Obdarzony usposobieniem żywem i gorącem umiał zawsze panować nad sobą i zachowywać pogodę umysłu niezachwianą nawet wśród największych przeciwności i cierpień, których tak wiele w swem życiu, pełnem burz, doświadczyć był zmuszony.

„Papież Pius IX, pisał jeden ze współczesnych mu dziejopisarzy, posiada ogromną równowagę duchową, którą zachowuje podczas najtrudniejszych okoliczności. Jest ona cechą wszystkich wielkich charakterów, a tak rzadko się ją w życiu spotyka.“

(G. Balmes, Pius IX, 1847).

Pewien duchowny dziwił się, że Papież jest tak spokojny, wobec wypadków mogących wytrącić z równowagi najwytrwalsze umysły.

„Nie sądźcie, że jestem nieczułym, rzekł Pius IX, przeciwnie odczuwam wszystko bardzo gorąco i głęboko, ale Bóg uczynił mi tę łaskę, że dozwolił poddawać się z całem synowskiem zaufaniem Jego świętej woli.“

313. Sługa Boży nigdy nie dawał się powodować żadnemi osobistemi względami, nie dał się ująć pochlebstwami, ani też zastraszyć groźbami, chociażby najpotężniejszych mocarzy, zawsze był stałym w wypełnianiu swych obowiązków i obronie praw sprawiedliwości.

Dał dowody tej niezłomnej mocy ducha podczas misji chilijskiej, pasterskich swych rządów

w Spoleto i Imoli, zwłaszcza zaś w rządzeniu Kościołem powszechnym w chwilach niezmiernie ważnych. Wykazał w szeregu długich lat swego panowania stałość postanowień i niezłomność woli, której by mu niejeden z najznakomitszych jego poprzedników mógł pozazdrościć.

---

314. Objąwszy rządy na Stolicy Piotrowej Sługa Boży znalazł się wobec rewolucji, która początkowo podstępnie, za pomocą kłamliwych wykrętów, następnie zaś zupełnie otwarcie i natarczywie starała się zmusić Głowę Kościoła do popełnienia niesprawiedliwości.

Pius IX starał się naprzód uspokoić umysły i nieprzyjaciół swych zjednać czyniąc legalne ustępstwa, ale widząc, że poczynają nadużywać jego łaskawości, uzbroił się w świętą żarliwość wytrwania.

Nawet pod groźbami dział nie uległ namowom ministra Galletti i nie zgodził się na uznanie rządu konstytucyjnego.

Wolał wygnanie, tułaczkę, ciężkie próby, prześladowania, gotów był nawet raczej zgodzić się na męczeństwo, aniżeli na poddanie się wymaganiom buntownlków i oddanie chociażby piędzi ziemi, należącej do Państwa Kościelnego, występując zawsze mężnie przeciw wszelkim nadużyciom i grabieżom, czem w zdumienie wprowadzał swych przeciwników i rozbijał ich śmiałe plany.

---

315. Heroiczne prawdziwie męztwo wykazał Sługa Boży, gdy na początku swego panowania wypowiedział, że nie może wbrew własnego sumienia przedsiębrać wojny z Austrją.

Jeden z dziejopisarzy ówczesnych, Józef Spada, w swej *Historji rewolucji rzymskiej* (str. 291) czyni uwagę, że Pius IX okazał się wspaniałym prawdziwie w swym niezłomnym oporze, pomimo że miał ciężką walkę do przebycia i atakowano go ze wszystkich stron, skłaniając do wojny.

Całe ministerjum, magistrat, gwardja obywatelska, prasa, pragnęły tej wojny; w salonach i na ulicy rozbrzmiewały pogróżki zapaleńców, płynęły łzy szczere lub udane lękliwych lub zdrajców, wszystko jednem słowem dążyło do ogłoszenia wojny.

Sługa Boży nie znajdując w nikim oparcia, nie mając żadnej nadziei być wysłuchanym, trwał jednak stale i nie uległ.

Przewidywał skutki tego oporu i rozumiał doskonale, że naraża się w ten sposób na utratę popularności wśród narodu i niechęć jawną rewolucyjnej partji, którą miał zamiar ułagodzić i rozbroić ułaskawieniem przestępców politycznych, wiedział wreszcie, że wśród własnych stronników spotka się z nieprzychylnym dla swej stałości zdaniem. Mimo to jednak, chociaż bystry jego umysł obejmował całą trudność położenia i zdawał sobie sprawę z tego, iż wzniesiona przez niego budowa runąć może za jednym zamachem, potrafił jednak okazać się niezachwianym, jako opoka opierająca się rozszalałym żywiołom i ani na jotę nie zmienił postępowania.

---

316. Pius IX pojął doskonale ducha czasu i podstępność pewnych ludzi, którzy udając cześć wielką i poddanie się prawom Kościoła św., gotowali jednocześnie walkę z tymże Kościołem: Papież zawsze stanowczo i szczerze piętnował owych wilków w skórze baranków, odsłaniał ich intrygi i potępiał ich postępowanie; był wciąż stały w postanowieniach i nie zgadzał się na żadne układy z wrogami Kościoła, chociażby to byli ludzie potężni, a nawet monarchowie.

---

317. W 1860 r. kiedy rewolucya czyniła spustoszenia i burza rozszalała, stając się z dnia na dzień groźniejszą, Sługa Boży protestował głośno przeciw gwałtowi i wobec świata całego wypowiadał swe zdanie, że wszystkie usiłowania wydarcia rządów świeckich z rąk Papieża, mają na celu osłabienie władzy Kościoła i dążą do otwartej z nim walki, co w istocie nastąpiło bardzo rychło potem.

Pius IX potępiał tajemne stowarzyszenia, spiskujące na rzecz rewolucji, wydające niegodziwe prawa, nakłaniające do haniebnych i świętokradzkich czynów i popełniające cały szereg fatalnych błędów, zatruwających naukę i dobre obyczaje. Potępiał również kilkakrotnie stowarzyszenia klerykalno-liberalne, masonów, karbonaryzm (pochodzący od słowa włoskiego *carbonari*—węglarze). Było to polityczne stowarzyszenie, dążące do ugruntowania konstytucji republikańskiej, cieszące się sympatją wielce potężnych i wpływowych osób.

---

318. W ciągu tegoż 1860 r. kongres wszecheuropejski był zwołany w Paryżu. Kardynał Antonelli miał być przedstawicielem Papieża i miano tam roztrząsać sprawę władzy świeckiej Ojca św.

Napoleon III, który nie uznał jeszcze naówczas aneksji piemontckich, zamierzał wystąpić w roli rozjemcy w zawikłanych sprawach politycznych Europy. W tym właśnie czasie życzył sobie widzieć na biskupim tronie dwóch francuzkich kapłanów i prosił Papieża, aby tych jego protegowanych

mianował. Ale Pius IX otrzymawszy o kandydatach na biskupów niezbyt pochlebne informacje, wolałby raczej śmierć, niż postąpienie wbrew własnemu sumieniu i na prekonizację wskazanych prałatów się nie zgodził. Żadne ludzkie względy nie były w stanie skłonić go do popełnienia rzeczy niegodnej jego najwyższego dostojeństwa i chociaż w ten sposób narażał się na niezadowolenie jednego z najpotężniejszych monarchów, na różne przykrości i olbrzymie straty, napisał do Napoleona:

„Najjaśniejszy Panie!

„Sumienie nakazuje mi, po dokładnem rozważeniu i zbadaniu, odmówić prekonizacji rzeczonego kapłana, nie mogę być nieposłusznym głosowi sumienia i mam nadzieję, że łaska Boża nie dopuści, abym kiedykolwiek miał mu być nieposłusznym.“

Wszystkie usiłowania dyplomacji francuzkiej rozbiły się wobec oporu Papieża, a dekret cesarza w dzienniku urzędowym *(Journal Official)* ogłoszony, musiał być cofnięty.

---

319. Drugim dowodem niezłomnej siły woli i stałości przekonań było postępowanie Piusa IX względem mocarstwa występującego wrogo w sprawach dotyczących religji katolickiej i polskiego narodu.

Kardynał Antonelli, na czele wielu znakomitych osób, upoważnionych do traktowania w tej sprawie, skłaniał Ojca św. do umiarkowania w imię politycznych względów, mimo to Pius IX nie omieszkał przy każdej sposobności okazać swe głębokie oburzenie.

D. 24 kwietnia 1867 r., wypowiedział wobec zgromadzonej w gmachu Propagandy Kongregacji Obrzędów energiczną mowę i w słowach stanowczych zwrócił się do prześladowców religji.

Tej mowy nie możemy przytoczyć tu całkowicie, zaznacza-jąc tylko, że jasno i wyraźnie przedstawia się w niej stałość i prawość duszy Piusa IX.

— Nie chcę—wołał on—aby mi kiedyś uczyniono zarzut: *Vae mihi quia tacui!* Uroczystość obecna (kanonizacja św. Józefata) przypomina mi, że i teraz jeszcze są męczennicy cierpiący i ponoszący śmierć za wiarę św. Jestem zmuszony potępić tego, którego nie wymieniam, w danej chwili, ale w swoim czasie odsłonię jego imię, gdyż pod pozorem uśmierzenia zbuntowanych gnębi i z korzeniem wyrywa katolicyzm, wysyła biskupów na same krańce swego państwa i ośmiela się pozbawiać władzy biskupa przez nas mianowanego. Zaliż nie wie, że biskup katolicki zawsze i wszędzie będzie nim, czy to w katakumbach, czy na tronie i że stanowisko jego jest niewzruszone. Niech nie obwiniają mię, że występując przeciw krzywdzicielom katolicyzmu, podburzam do rewolucji całą Europę, albowiem umiem doskonale odróżnić *rewolucję socjalistyczną* od praw i swobód słusznie należnych, a jeżeli protestuję, to tylko słuchając głosu sumienia. Módlmy się więc do Stwórcy Wszechmogącego, aby oświecił prześladowców religji katolickiej i nie opuszczał ofiar prześladowania, skazanych na zagładę wśród pustyni lodowych, nie mających nawet ostatniej pociechy pojednania się z Bogiem.

---

320. Tyle męztwa ze strony Piusa IX wprowadziło w podziw nawet jego nieprzyjaciół i obudziło ich zachwyt.

Słynną jest pomiędzy innymi pochwała wystosowana d. 7 maja 1867 r. w Izbie turyńskiej przez deputowanego Brofferio, jednego z najzaciętszych wrogów Stolicy Apostolskiej. Mówca, rozważając powyżej przytoczoną przemowę Papieża, było to bowiem w kilka dni potem, zawołał:

— Gdy widzę starca osłabionego wiekiem, chorego, pozbawionego wojska, jedną nogą stojącego już w grobie, a ciskającego słowa potępienia ciemiężcom za krzywdy uciśnionego narodu, czuję się tem do głębi wzruszonym, wydaje mi się, że żyję w czasach Grzegorza VIII, uchylam głowę i przyklaskuję z całego serca!

Wszyscy obecni powstali na te słowa i owacyjnie przyjęto to przemówienie.

---

321. Takież męztwo i moc ducha wykazał Sługa Boży w stosunku do rewolucji, dążącej do zjednoczenia Włoch, a której wynikiem było świętokradzkie zagarnięcie Rzymu. Pius IX stał niewzruszenie, jako posąg spiżowy w obronie praw Stolicy Apostolskiej, występował energicznie przeciw wszelkim nadużyciom i gwałtom popełnianym i nie ustąpił ani wobec kłamnych obietnic, ani też wobec pogróżek.

Mówił zawsze prosto i szczerze, jakby to uczynił każdy z apostołów, nie owijając w bawełnę, nie uciekając się nigdy do żadnych wykrętów.

Wolał widzieć się ograbionym, znosić uwięzienie, męczeństwo nawet, byle by tylko utrzymać po-

wagę papiestwa, niepodległość Kościoła św. i prawa władzy świeckiej, które mu gwałtem wydarto.

322. Było z dawien dawna we zwyczaju zapraszać władców katolickich na Sobory powszechne, w których uczęstniczyli osobiście, lub przysyłali, swych przedstawicieli.

Sługa Boży nie uważał za potrzebne zastosować się do tego zwyczaju i nie uczynił wzmianki żadnej w tej kwestji, wydając 29 czerwca 1868 r. Bullę, zwołującą Sobór Watykański, uważał bowiem, że nawet rządy państw katolickich nie zasługiwały wówczas na miano katolickich, a jeśli nie prześladowały jawnie Kościoła, to wszelako wszędzie dawał się odczuwać duch wielkiej rewolucji francuzkiej w sprawach religijnych.

Powściągliwość Ojca św. była tem więcej usprawiedliwioną, że wiedział do jakiego stopnia dyplomacja była nieprzyjaźnie dla Soboru powszechnego usposobioną, zamierzała nawet utrudniać jego prace i zapadłe uchwały poddawać kontroli.

Rząd francuzki i bawarski nastawały usilnie na to, aby Papież zmienił swe postanowienie, nawet kilku kardynałów zwracało uwagę Piusa IX, że naraża sobie monarchów katolickich, wykluczając ich i nie dopuszczając do uczęstniczenia w Soborze.

Istotnie wynikły z tego walki, niechęci, różne przeszkody i zagmatwania, które przez chwile groziły nawet zawieszeniem Soboru, ale mimo to Pius IX pozostał niewzruszony wobec wszelkich przeciwności, w dalszym ciągu bronił niezawisłości dostojnego zgromadzenia i w ten sposób Sobór mógł prace swe przeprowadzić, aż do chwili ogłoszenia dogmatu nieomylności Papieża.

323. W kwietniu 1872 r. książę Bismark, który rozpoczął już prześladowanie Kościoła w Niemczech, ale ukrywał jeszcze swój zamiar obalenia władzy świeckiej Papieża, udając nawet chęć ściślejszego zjednoczenia Państwa z Kościołem, skłonił cesarza Wilhelma do wyznaczenia kardynała Gustawa, księcia Hohenlohe, ambasadorem przy Stolicy Apostolskiej.

Pius IX wiedział dobrze, że odmowa tej nominacji mocno rozgniewa rząd pruski i będzie powodem nowych prześladowań, jednakże przyjęcie takowej byłoby ubliżającem dla Stolicy Apostolskiej i dałoby broń w ręce jej nieprzyjaciołom; wobec czego Pius IX miał odwagę odmówić i oprzeć się stanowczo wszelkim naleganiom.

324. I oto widzimy, że przez ciąg całego życia, w najtrudniejszych okolicznościach prawdziwie chrześciańskie męztwo ożywiało wszystkie postępki Piusa IX, czyniąc go w oczach współczesnych mu ludzi, jak również w sądach o nim potomnych prawdziwym bohaterem XIX wieku. Męztwo nie opuściło go nawet podczas dotkliwych cierpień fizycznych, jakich doświadczał, moc ducha zachował aż do ostatnich chwil życia, a nawet wobec zbliżającej się ostatniej godziny dawał nieustające jej dowody, wyczekując śmierci z niezachwianym spokojem, aż w końcu zasnął w Bogu spocząwszy na słusznie mu należnych wawrzynach.

Heroizm cnoty umiarkowania.

325. Sługa Boży odznaczał się zawsze wielkiem umiarkowaniem. Jego niewzruszony spokój wobec ustawicznych przeciwności, usposobienie zawsze równe i pogodne, pomimo goryczy, jaką go wciąż pojono, były wynikiem ciągłej i nieustającej walki z sobą samym i umiarkowania, które potrafił wyrobić w sobie, chociaż z natury był bardzo żywym i wrażliwym.

326. Nigdy nie widziano go rozgniewanym lub podrażnionym z powodu czyjegoś niestosownego zachowania się lub zaniedbania; nawet ludzkie zuchwalstwo nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi.

A jednakże jak często miałby słuszne do gniewu i obrazy powody! Musiał znosić wiele przykrości od swych zaufanych i podwładnych, a jeden z nich ośmielił się nawet bardzo boleśnie go dotknąć. Pius IX umiał bronić swego stanowiska i powagi, nigdy jednak nie okazywał niechęci, zachowywał właściwy mu spokój, nie żywił żalu ani zawziętości w sercu. Otaczający podziwiali zawsze owo budujące umiarkowanie Bożego Sługi.

327. Pewnego razu Pius IX rozmawiał z szambelanami swymi, Mgr de Merode i Mgr Negreto, wszyscy trzej siedzieli razem.

Mgr de Merode, zacny kapłan, bardzo Papieżowi oddany, był wielce porywczego charakteru, a zwłaszcza dnia tego był mocno podrażniony z powodu jakiejś przykrości doznanej.

Podczas rozmowy począł wyrażać się w sposób wielce ostry o osobie, która mu krzywdę wyrządziła i uniósł się tak dalece, że powstawszy z miejsca miotał się, ciskając gwałtowne i obelżywe wyrazy.

Co słysząc Sługa Boży rzekł łagodnie:

— Mam nadzieję, że będziesz spowiadać się zanim odprawisz mszę św.

Ale szambelan był do tego stopnia poirytowany, że zapominając się ostatecznie, zawołał:

— Nie potrzebuję się spowiadać, mam przykład Waszej Świątobliwości.

Papież zachował zwykły spokój, ale Mgr, Negretto zerwał się i rzekł bardzo wzruszony:

— Jeżeli Monsignor de Merode ośmieli się jeszcze kiedykolwiek do tego stopnia zapomnieć się wobec Jego Świątobliwości, oświadczam wręcz, że go za drzwi wyrzucę.

Pius IX, chcąc przerwać tak niemiłe zajście, wstał i rzekł ze słodyczą:

— Chodźmy już do naszych zajęć:

Później nieco przywołał do siebie Mgr Negretto i odezwał się do niego w te słowa:

— Dziękuję ci za okazaną gorliwość, ale na przyszłość zabraniam wyrażać się w podobny sposób.

Dla Mgr de Merode Papież był i nadal równie uprzejmy i życzliwy, jak dawniej, jakgdyby nic nie zaszło.

---

328. Hrabia Leiningen, szambelan Piusa IX opowiada, że zdarzyło mu się raz wyrazić bez należytego szacunku o Papieżu, w jego obecności. Sługa Boży nie żywił doń za to żalu, a nawet okazywał mu tyle ojcowskiej prawdziwie tkliwości, przemawiał tak łagodnie i serdecznie, że wzruszony do łez szambelan prosił go o przebaczenie.

Innym razem, kiedy słowa Papieża, do niego zwrócone, wydały mu się przykremi, Pius IX widząc go zachmurzonym, dodał:

— Jeżeli cię uraziłem, uważaj to, com rzekł, za nie byłe.

---

329. Pewnego dnia Papież, znajdujący się w swoich komnatach, usłyszał jakiś gwar przy drzwiach, Odwrócił się więc i ujrzał w progu jakiegoś nieznanego człowieka, który wszedł tam samowolnie przez nikogo nie wprowadzony. Na widok Papieża zmieszał się ogromnie. Ojciec św. nie czynił mu żadnych wymówek, nie zgromił też swej przybocznej straży i tylko rzekł dobrodusznie.

— Biedny Papież, jak on źle jest strzeżony!...

---

230. Innym razem, gdy niesiono Ojca św. na *seddia gestatoria*, ci, którym ten drogi ciężar był powierzony, przez nieostrożność uczynili ruch tak niezręczny, że Jego Świątobliwość uczuł ból mocny w nogach, na które już cierpiał od dłuższego czasu. Sługa Boży jęknął żałośnie, ale ani jednym słowem nie zgromił winowajców.

Pewnej nocy, w ostatnich dniach swego życia, nie będąc w stanie podnieść się z łóżka o własnych siłach, zmuszony był przeleżeć noc całą przy otwartem oknie, gdyż zapomniano zamknąć je z wieczora. Działo się to w zimie; o świcie spostrzeżono dopiero, że Ojciec św. leży zimny i bezwładny prawie na swem łożu.

Pomimo tak karygodnego niedbalstwa służby, Pius IX nie czynił nikomu wyrzutów i zachował swój zwykły, nie zamącony spokój i w tym razie.

---

331. Całe życie Sługi Bożego było szeregiem umartwień i pokuty.

Jadał zwyle i pijał bardzo niewiele, nigdy zaś nie przyjmował żadnego posiłku nie w oznaczonej dnia porze.

Dziwiono się nieraz, jak przy tak niedostatecznem odżywianiu Ojciec św. znajduje dość siły i wytrwałości wobec ustawicznych zatrudnień.

Wkrótce jakoś potem, gdy obrany został Papieżem, Pius IX w skwarny wieczór letni uczuł ogromne pragnienie i wbrew zwyczajowi poprosił o szklankę limoniady. Przyniesiono mu natomiast lody. Ale Sługa Boży nie chciał ich dotknąć.

— Weźcie to sobie i zjedzcie sami—zawołał— mnie zaś podajcie szklankę wody.

Zachowywał ściśle posty nakazane, a prócz tego inne jeszcze sam sobie wyznaczał, a czynił to od lat najwcześniejszych i do końca życia wiernie zobowiązania swe wypełniał,

---

332. Siostra Marja Macchi Sercanka opowiada co następuje:

„Podczas mojego nowicjatu w *Trinità del Monte* w 1861 r. dowiedziałyśmy się, że Ojciec św. Pius IX jest chory i że nie będzie mógł odprawiać Wielkotygodniowego nabożeństwa; później dopiero powiedziano nam, iż przyczyną tego osłabienia było miłosierdzie, drażliwość sumienia i zamiłowanie w umartwieniach świątobliwego Papieża. Zawsze dla innych pobłażliwy, łagodząc posty wiernych, chciał koniecznie wypróbować na sobie, czy można wytrzymać ścisły post czterdziestodniowy z całą surowością pierwotnych czasów chrześciaństwa. Wy-

trwał w tem do Wielkiego tygodnia, ale w końcu tak osłabł, że trzeba było wielkich starań, ażeby mu dawne siły powrócić.

Przekonawszy się, że dzisiejsze pokolenie nie jest w możności wytrzymać takich surowych postów, wprowadził wnet ułatwienia w otrzymywaniu dyspensy.

---

332. Pius IX nigdy nie prożnował i nie zażywał zupełnego odpoczynku. Wolne od zajęć obowiązkowych chwile spędzał na pobożnych rozmowach lub pogadankach, pożytek Kościoła św. mających zawsze na celu.

Przechadzki Ojca św. po Rzymie, z których tylko do r. 1870 mógł korzystać, (następnie bowiem nie opuszczał już Watykanu), były zawsze połączone z jakimś uczynkiem miłosiernym, a nawet spacerując po ogrodzie, w otoczeniu swych zaufanych, zawsze myślał tylko o szerzeniu dobra wokoło siebie. Nigdy ani chwili czasu nie zmarnował i pod tym jedynie względem był ogromnie zawsze oszczędny.

---

334. Sługa Boży na sen żałował zwykle czasu, udawał się na spoczynek o 11 godzinie, wstawał zaś o 4 rano. Nigdy nie sypiał po obiedzie, a nieraz część nocy spędzał na modlitwie lub na pracy umysłowej. Zdarzało się, że nie kładł się wcale, gdyż cisza nocna sprzyjała pobożnym rozmyślaniom i dawała mu możność spędzania długich godzin sam na sam z Bogiem.

---

335. Plus IX w ubóstwie miał zamiłowanie. Jako kleryk, kapłan, biskup i Papież zawsze zbytku wszelakiego unikał, urządzenie mieszkania i ubiór jego były bardzo skromne. Nigdy nie używał podczas swych rządów papieskich wytwornej wielce bielizny, znajdującej się w Watykanie i wolał posługiwać się natomiast bielizną z grubego płótna przyrządzoną, której dostarczała mu jego siostrzenica, hrabina Augusti.

Kiedy pewnego razu siostrzeniec Piusa IX, przebywający w seminarjum, uskarżał się na brak nowego ubrania, Papież otworzył szafę i pokazał mu swoje zniszczone i połatane odzienie, czyniąc przytem uwagę, że pomimo iż jest Głową Kościoła, uboższe jeszcze niż ów młodzieniec posiada szaty.

---

336. Sługa Boży nieustannie czuwał nad poskromieniem swego ciała i umartwieniami je dręczył, nosząc włosienicę i biczując się, jak to widzieliśmy podczas pobytu jego w Sinigalji za lat młodzieńczych; czynił to i w późniejszym wieku, a nawet w starości, która uwalniała go już poniekąd od podobnych praktyk pokutniczych, mimo to jednak wytrwale stosował je zawsze do końca.

Heroizm cnoty pokory.

337. Sługa Boży był prawdziwym wzorem pokuty, pomimo iż pochodził ze znakomitej i bogatej rodziny i od dzieciństwa otoczony był wygodami i zbytkiem liczną służbę i t. d. nigdy nie wynosił się nad innych, nie był dumny i niedostępny, przeciwnie zachwycał wszystkich swem uprzejmem obejściem, słodyczą i skromnością w stosunku do domowników i całego otoczenia. Słusznie też zwano go już w dzieciństwie „dobrym i kochanym Jankiem.“

---

338. Pius IX nie polegał nigdy na własnem zdaniu, ale chętnie poddawał się kierunkowi osób światłych, zasięgał ich rady, jakgdyby sobie nie dowierzał. Wszelako miał umysł bystry i pogląd szeroki, to też niejednokrotnie dał dowody trafności sądów w wielu ważnych okolicznościach.

---

339. Unikał zaszczytów i nie chodziło mu nigdy o zajęcie wybitnego stanowiska, gdyż zdawało mu się zawsze, że nie potrafi dość godnie odpowiedzieć włożonym nań obowiązkom.

Kiedy z Mgr Muzi udał się do Chili, Papież polecił nominować go biskupem, jeśliby obowiązki misji tego wymagały.

Mgr. Muzi długo pracował nad tem, by skłonić pokornego Sługę Bożego do przyjęcia tego wywyższenia, w końcu jednak musiał zaniechać swego zamiaru, ulegając prośbom i łzom przyszłego Ojca św., który naówczas nie chciał w żaden sposób zgodzić się na konsekrację, z powodu zbyt małego o sobie mniemania. Następnie po powrocie do Rzymu jedynie przez posłuszeństwo zgodził się na przyjęcie wysokiego dostojeństwa, gdy go Papież prekonizował biskupem spoletańskim, później zaś imolańskim. Kilkakrotnie podczas pełnienia rządów pasterskich prosił o uwolnienie go od tych obowiązków, uważając się za niegodnego i niezdolnego do rządzenia djecezją, pomimo, że wszystkim było wiadomo, jak wiele pożytecznych dzieł Kościołowi św. przysporzył, a rządy jego w obu djecezjach słusznie uważane były za prawdziwe błogosławieństwo Boże dla miejscowej ludności.

---

340. Sługa Boży odmówił przez skromność przyjęcia nuncjatury w Paryżu, a następnie w Neapolu, utrzymując, że nie potrafi wywiązać się z tak trudnego zadania i tak usilnie od tego zaszczytu się wypraszał, że ostatecznie Papież musiał prośbom jego uczynić zadość.

Pokora Sługi Bożego była prawdziwie budująca i wówczas również, gdy Papież Grzegorz XVI mianował go kardynałem. Uczyniło to na nim tak silne wrażenie, jak gdyby fakt podobny wydawał mu się zupełnie nieprawdopodobnym, dowodził nawet, że obiór ten uwłacza Świętemu Kolegium, płakał i prosił, aby go nie przyozdabiano kardynalską purpura i przyjął ją dopiero wówczas, gdy spowiednik w imię posłuszeństwa tego od niego wymagał. O tych wahaniach Sługi Bożego świadczą wymownie listy jego z d. 27 października i 2 listopada 1840 r. do serdecznego przyjaciela swego, kardynała Falconieri, arcybiskupa Rawenny.

Przedtem jeszcze pod datą 4 marca 1839 r., pisał do tegoż kardynała, że powiedziano mu:„ Jeśli chcesz zostać kardynałem rzecz ta da się łatwo przeprowadzić". „Jeśli chcę być kardynałem, pisze ówczesny biskup imolański, co do mnie jednego chcę tylko: dostać się kiedyś do raju".

---

341. Podczas konklawe, kiedy odbywało się głosowanie dla obioru Papieża, Sługa Boży dał dowody niezmiernej pokory i skromności; wszyscy widzieli jak bardzo był przerażony gdy wypadło mu, jako skrutatorowi odczytywać raz po raz nazwisko swoje na kartkach wyborczych. Również dał dowód pokory w niesłychanem wzruszeniu, kiedy łzami zalany wygłaszał zwykłą formułę rytualną: *accepto* przyjmuję. Nie mniej objawia się jego pokora w liście do braci, w którym oznajmia im o wyniku konklawe i ubolewa zarazem nad swą *nieudolnością* i *niezdolnością* umysłową w obec *niezmiernego ciężaru* najwyższej godności w Kościele, jaka mu została powierzoną. Następnie zaś z uczuciem głębokiej pokory i szlachetnej wspaniałomyślności dodaje: „Gdyby miasto nasze, (mowa tu jest o Sinigalji) chciało dla wyrażenia swej radości, wyprawić jaką publiczną owację, proszę i życzę sobie usilnie, ażeby przeznaczona na ten cel suma została użyta na najniezbędniejsze potrzeby miasta".

---

342. Pokora cechowała zawsze wszystkie czyny Sługi Bożego w ciągu jego rządów papieskich. Jego obejście ujmujące i pełne ojcowskiej tkliwości zjednało mu odrazu życzliwość i zaufanie ludności. Pius IX był powszechnie kochany i nawet osoby obojętne dla religji, Kościoła św. i papiestwa żywiły przyjazne uczucia dla Ojca św. Nie czynił on nigdy różnicy w sposobie traktowania ludzi, zawsze był uprzejmy dla wszystkich, jednakowo chętnie przebywał wśród możnych tego świata, jak i wśród maluczkich i wydziedziczonych.

Zostawszy obrany Papieżem odwiedzał osobiście przytułki i szpitale, jak to zwykł był czynić będąc biskupem, i bez wstrętu wstępował w najciaśniejsze zaułki miasta, jeżeli chodziło o pełnienie uczynków miłosiernych. Osobliwie zaś okazywał gorliwość w niesieniu duchowej pomocy nieszczęśliwym chorym nie wahał się nigdy, sam opatrywał ich sakramentami i dbał o ich duchowe i cielesne potrzeby. Czynił to w domach prywatnych, a zwłaszcza w szpitalach. Niejednokrotnie dawał budujący przykład pokory ewangelicznej, umywając nogi ubogim chorym i pielgrzymom.

---

343. Z osobami należącemi do papieskiego dworu i otoczenia, a także ze służbą postępował zawsze łagodnie i dobrotliwie, nigdy nie okazując się dumnym i rozkazującym a przeciwnie skromnym i pełnym współczucia dla ludzkich ułomności, gotowym zawsze do wybaczania uraz. Nieraz unikał nawet uciekania się do pomocy służebników i obywał się bez posługi, aby swoją osobą nikomu nie przyczynić najmniejszego kłopotu.

Opowiadają, że gdy jego dawny służący, Franciszek Benedetti, ciężko zachorował i był niezdolny do pracy, Pius IX, będący już na ten czas Papieżem, odwiedzał go często w jego izbie, jakby równego sobie, długie i poufne wiodąc z nim rozmowy. Kiedy jeden ze służących Ojca św. wstąpił w związki małżeńskie, przyszedł następnie do Papieża, ofiarowując mu pudło cukierków. Pius IX nietylko raczył je przyjąć, ale tegoż wieczora traktował niemi uprzejmie kardynałów i prałatów domowych, mówiąc z uśmiechem:

— Oto jest prezent mego pokojowca.

Pewnej nocy w ostatnich dniach swego życia, Sługa Boży będąc już niezmiernie osłabionym podniósł się z łoża, ale nie miał siły położyć się powtórnie, a nie chcąc budzić śpiącego w przyległym pokoju służącego; usiadł w krześle, głowę wsparłszy o krawędź łóżka i w ten sposób przetrwał aż do rana. Pokojowiec papieża zastawszy go w tak niewygodnem położeniu ubolewał wielce, że go Ojciec św. nie zbudził, na to ten odpowiedział z dobrotliwym uśmiechem:

— Ależ i ty także potrzebujesz spoczynku!

---

344. Za przykładem Boskiego Mistrza, Sługa Boży stawał się maluczkim z maluczkimi i zawsze ogromnie lubił dzieci; chętnie otaczał się niemi, pieścił je, brał nieraz na kolana i obchodził się z dziatkami z ojcowską iście tkliwością. Zwłaszcza wielką radością napełniało się jego serce, gdy mógł nauczać dzieci prawd wiary, lub kazał powtarzać za sobą „Zdrowaś Marja“ oraz inne krótkie modlitewki, a dla zachęcenia młodocianych swych uczniów do zapamiętania tych modlitw, przyrzekał im różne drobne upominki. Czynił tak zwykle, będąc księdzem, biskupem w obu powierzonych swej pieczy dyecezjach, a następnie nie zaniechał tego również zostawszy Papieżem.

345! Siostra Marja, Sercanka, opowiada, że podczas niespodziewanej wizytacji klasztoru *Trinita del Monti* Pius IX zastał furtę zamkniętą. Wyszedł więc z powozu i sam zadzwonił, ponieważ jednak było to w chwili kazania, siostra odźwierna długo kazała na siebie czekać. Upłynęło dość czasu zanim wreszcie wielebna matka Lehon otworzyła furtę. Ujrzała przed sobą dostojnego gościa w otoczeniu ubogich dzieci, które wypytywał troskliwie, pieścił, pochylał się ku nim przyjaźnie, badając czy umieją katechizm i rozdając im jałmużnę. Zakonnica przypadła do nóg Jego Świątobliwości, przepraszając za zwłokę i starając wyjaśnić jej przyczynę, ale Sługa Boży przerwał wielebnej matce, zapewniając uprzejmie:

— Wcale nie traciłem czasu, powinniśmy starać się czynić dobrze wszędzie, gdzie się nam tylko sposobność ku temu nadarzy i o ile to jest w naszej mocy.

---

346. Pokora Piusa IX skłaniała go do używania przeróżnych sposobów ukrywania darów nadprzyrodzonych, któremi podobało się Bogu Sługę Swego udobrodziejstwować. I tak naprzykład, gdy pewna dama podczas oficjalnego posłuchania dziękowała Ojcu św. za to, że przyłożeniem do gardła jego pończochy wyleczyła się z długotrwałego bólu, Papież odpowiedział z żartobliwym uśmiechem:

— Nie wiedziałem, że moje pończochy zdolne są czynić cuda!

Inna znów dama zapewniała raz Jego Świątobliwość, że cierpiąc silnie na nogę postarała się dostać również pończochę Piusa IX i że zaledwie włożyła ją na chorą nogę, wnet ból ustał i więcej się nie powtórzył.

Na co Sługa Boży odrzekł śmiejąc się:

— Cudownem to jest zaiste, pani włożywszy jedną moją pończochę została odrazu uzdrowioną, ja zaś nosząc ich dwie stale od lat tak wielu, nie jestem w stanie pozbyć się uporczywego bólu w nogach!

Kardynał Monaco la Vallette otrzymał z Francji wiadomość o dwóch cudownych uzdrowieniach za pomocą dotknięcia jakiegoś przedmiotu, należącego przedtem do Ojca św. W rozmowie z Jego Świątobliwością kardynał opowiedział o tych nadzwyczajnych wydarzeniach, nie mówiąc wszelako, że stało się to za przyczyną przyzywania orędownictwa świątobliwego Papieża. Sługa Boży wysłuchawszy opowiadania zapytał z widocznem zainteresowaniem:

Za przyczyną jakiego świętego cuda owe zostały dokonane?

Kardynał zamilkł lecz ze spojrzenia i wyrazu twarzy Pius IX wyczytał, że chodziło o niego właśnie, i że przypisują mu oba te cuda, w obec czego Sługa Boży zarumienił się i oczy spuścił mówiąc z niejakiem zafrasowaniem:

— W tych ciężkich dla Kościoła św. czasach, (działo się to w r. 1870), podoba się Bogu wynosić i nowym blaskiem uświetniać Stolicę Apostolską.

I wnet zwrócił rozmowę na inny temat.

Heroizm cnoty czystości.

347. Sługa Boży był istotnie godnym podziwu w swej niewzruszonej cnocie czystości. Zawsze rozważny w każdym czynie, ruchu, słowie, spojrzeniu, mimo to unikający sztywności i przesady, budującym dla wszystkich był wzorem.

Zauważono, że rozmawiając z kobietami spuszczał oczy nieśmiało lub też patrzył w inną stronę, bez względu na to, jakie podobne zachowanie mogło sprawiać na otaczających wrażenie.

Kiedy zasięgano w Rzymie zdania osób zasłużonych przed prekonizacyą Sługi Bożego, kanonik Storace, z którym razem pracował w przytułku *Tata Giovanni* pod przysięgą dał o nim następujące świadectwo:

„Obyczajność jego jest wzorowa, czystość i skromność bez zarzutu“.

Adwokat Scaramucci również świadczył, że ks. Mastaï-Ferretti jest najlepszych i najczystszych obyczajów.

---

348. Sługa Boży umartwiał zwykle ciało, aby uczynić go podległem duchowi; ścisłemi postami, biczowaniem się, noszeniem włosiennicy i wielu innemi umartwieniami udręczał się nieustannie. Powstrzymywał się nawet od wszelkich godziwych

rozrywek i niewinnych przyjemności, będąc pod tym względem niezmiernie surowym dla siebie, chociaż pełnym pobłażliwości dla innych się okazywał. Z powodu wrodzonej sobie wstydliwości nie dozwalał na masowanie pleców, które zalecali mu lekarze dla pozbycia się dotkliwych bólów:

---

349. Pius IX od lat najmłodszych miał osobliwe nabożeństwo do Najśw. Panny Niepokalanego Poczęcia i św, Aloizego Gonzagi, będącego również wzorem czystości nieskalanej. Umieścił figurę tego świętego w swym pokoju i co roku w dzień jego święta wysyłał cenny dar, dla złożenia na ołtarzu patrona anielskiej cnoty w kościele św. Ignacego, a nawet aż do r. 1870 miał zwyczaj osobiście tam mszę św. odprawiać. Innym też przy każdej sposobności gorąco oddawanie się w opiekę św. Aloizego zalecał.

---

350. Kanonik Zama Zamboni potwierdza, że pewna dama prosiła Ojca św. o własnoręczny podpis na przyniesionym przez nią obrazku, przedstawiającym Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus, pędzla Rafaela. Dziecię Jezus na tym wizerunku jest zupełnie nagie, co widząc Sługa Boży zawołał:

— Ach, ten niedobry Rafael!... — i nakreślił własnoręcznie na obrazku zdanie dotyczące cnoty czystości.

---

351. Pius IX był zawsze jednostajnie pogodny, a jego uśmiech słodki nadawał anielski wyraz rozjaśnionemu obliczu. Wzrok miał mądry i przenikliwy, cała postać była niezmiernie ujmująca, co potwierdzają wszyscy, którzy mieli szczęście obcować z nim, a przynajmniej oglądać go na własne oczy; odczuwało się w nim czystość sumienia niepokalaną i tkliwość duszy, jednające mu serca i słusznie nadające miano *anielskiego*.

O. Ballerini w artykule swym, umieszczonym w *Civilta Cattolica* (2 marca 1878 r.,) z powodu zgonu Piusa IX pisze co następuje:

„Pius IX był zawsze anielskiej czystości. Piszący te słowa miał zaszczyt słyszenia z własnych ust nieodżałowanej pamięci zmarłego Papieża poufnych zwierzeń, z których wnioskować może śmiało, że Bóg dozwolił słudze Swemu zachować niepokalanie kwiat niewinności chrztu św.“

Dary nadzwyczajne.

352. Bóg miłosierny raczył obdarzyć Sługę swego nadprzyrodzonemi darami, które opromieniły blaskiem cnoty i zasługi świątobliwego Papieża. Doświadczał on niejednokrotnie łaski zachwycenia; widziano go często w kaplicy pogrążonego całkowicie w rozmowie z Bogiem, do tego stopnia, że nie słyszał co do niego mówiono. Fakt ten został stwierdzony przez jego wiernego służącego Franciszka Bonedetti, naocznego świadka, który utrzymywał, że oblicze Ojca św. gdy klęczał przed obrazem Najśw. Marji Panny pałało światłem niezwykłem i kilka razy widział ów świadek, jak Pius IX był uniesionym w powietrze w chwilach zachwycenia.

---

353. Sługa Boży posiadał dar jasnowidzenia. Przepowiedział kilkakrotnie kardynałowi Pecci, że zostanie obrany Papieżem. Znajdując się pewnego razu sam na sam z M-gr Karolem Nocella, (sekretarzem od listów łacińskich, a następnie kardynałem) i mówiąc z nim o Jego Eminencyi kardynale Pecci, który przed chwilą właśnie opuścił komnatę Papieża, rzekł naówczas:

— Czy widziałeś, monsigniorze, kardynała Pecci? Nie pochwala on mego postępowania, znajdując, że zbyt po ojcowsku traktuję sprawy; radby mię widzieć więcej nieugiętym: Zresztą wiem, iż będzie moim następcą“.

Innym razem wiedząc o tem, że kardynał Pecci jest niezadowolony, że mu nie udzielono tytułu Datarjusza, rzekł do otaczających z dobrotliwym uśmiechem:

— Większe daleko zaszczyty czekają go w przyszłości!.. — dając w ten sposób do zrozumienia. że kardynał Pecci będzie kiedyś Głową Kościoła.

---

354. Sługa Boży czuł zbliżający się kres swego żywota i mówił o tem z zupełną pewnością.

W dzień swych imienin. d. 24 czerwca 1877 r. don Andrzej Mogliazzi składając mu powinszowania, życzył lat długich; na co sługa Boży odrzekł, kładąc mu z pogodnym uśmiechem rękę na ramieniu:

— Ten rok jeszcze — i dosyć już!...

M-gr Zonghi, sekretarz prywatny Papieża, opowiada, że wigilją Bożego Narodzenia w 1877, gdy życzył Ojcu św. żeby w następnym roku mógł sam mszę św. w dniu tym odprawić, ponieważ złożony chorobą nie był w stanie się ruszyć, Pius IX uczynił giest przeczący, dając do poznania, że jest to rzecz zupełnie niemożliwa. Kiedy czytano w jego

obecności Ewangelję św. o proroctwach Anny, w niedzielę oktawy Bożego Narodzenia, Sługa Boży rzekł do obecnych:

— Słyszeliście, że Anna zmarła w 86 roku życia; ja również mam lat 86.

Słowa te świadczyły wymownie, że Ojciec św. ma przeczucie rychłego zgonu.

---

355. W r. 1870 siostra Irena z Imoli, ze szpitala św. Ducha wysłana do Kapui dla pielęgnowania rannych przed odjazdem swym, prosiła Ojca św. o błogosławieństwo, ponieważ na polu bitwy, opatrując rannych mogła łatwo śmierć znaleść. Sługa Boży uśmiechnął się do niej życzliwie mówiąc:

— Nie, nic ci się złego nie przytrafi, kule będą przelatywały nad twą głową, nie przynosząc ci żadnej szkody. W szpitalu św. Ducha śmierć jest tobie przeznaczona.

Przepowiednia ta spełniła się w zupełności.

---

356. Kiedy szpital św, Ducha został zamknięty dla wojskowych, matka Rozalja Boyer, z dwoma innemi siostrami prosiły Ojca św. o błogosławieństwo przed opuszczeniem Rzymu. Matka Boyer zapytała wówczas Papieża, czy mogą mieć kiedykolwiek nadzieję powrotu?

Ojciec św. położył rękę na jej głowie i rzekł:

— Ty matko powrócisz, tamte zaś nie wrócą więcej.

Jakoż istotnie tylko matka Boyer znalazła się jeszcze po wielu latach w Rzymie.

---

357. W 1856 r. Sługa Boży raczył udzielić audjencji siostrom z Konserwatorjum papieskiego śś. Klemensa i Krescentynusa oraz wychowankom tegoż Konserwatorjum. Gdy dziewczątka dopuszczone zostały do ucałowania ręki Jego Świątobliwości, Pius IX zwrócił się do trzyletniej Ludwiki Arlot i gładząc jej główkę rzekł:

— Ty, maleńka, będziesz kiedyś zakonnicą.

Dziecina rozpłakała się powtarzając uparcie:

— Nie, nie, nie będę zakonnicą!

Papież jednak raz jeszcze zapewnił:

— Będziesz zakonnicą, pamiętaj o tem.

Ludwika Arlot mając lat dwadzieścia wystąpiła z Konserwatorjum, ale wkrótce potem wstąpiła do Castelgondolfo i została zakonnicą.

---

358. M-gr Serafin Davidian, wikarjusz apostolski w Kairze, opowiada, że od r. 1849, kiedy udał się do Rzymu dla ukończenia nauk w Kolegium Propagandy, przebył na morzu najstraszliwszą burzę, w której okręt cudem tylko został ocalony. Monsignior ze strachu dostał strasznych ataków konwulsji, i choroba wzmogła się tak silnie, że doktorowie w Rzymie zdecydowali, iż jest nieuleczalną. Po kilkomiesięcznym więc pobycie w Kolegium, zostało zdecydowanem, że musi wracać do ojczyzny, nie mogąc dalej prowadzić swych nauk z powodu choroby. Pełen smutku i żalu, postanowił jechać, ale wprzód chciał się rzucić do nóg Ojcu św. i błagać go o błogosławieństwo, w którem pokładał wielkie zaufanie — Sługa Boży przyjął go łaskawie, wypytywał o wszystkie dotyczące choroby okoliczności i zapytał w końcu:

— Czego się spodziewasz, monsigniorze od mego błogosławieństwa?

M-gr Serafin ukląkł i odpowiedział:

— Ono mię uzdrowi.

Wtedy Papież, odmówiwszy krótką modlitwę, pobłogosławił go, a podając mu medal srebrny dodał:

— Odwagi mój synu, trzeba się poddać woli Bożej. Ja także podlegałem tej chorobie, i dzięki błogosławieństwu Papieża Piusa VII zostałem zupełnie uzdrowiony, życzę ci podobnegoż wyzdrowienia.

Od tej chwili M-gr Dawidian został wyleczony i nigdy już atakom konwulsyi nie podlegał.

---

359. Również młody Armeńczyk, katolik, uczeń Propagandy, Stefan Melchisedechian, dostał choroby nieuleczalnej i został wysłany do Konstantynopola nie ukończywszy swych studjów.

Przed odjazdem prosił Ojca św. o błogosławieństwo. Sługa Boży uprzedzony o chorobie młodzieńca, położył mu rękę na głowie, pobłogosławił go i pożegnał zapewniając, iż będzie uzdrowiony, co się spełniło i Melchisedechian umarł w późnym wieku będąc przez 25 lat biskupem i niedoświadczywszy już nigdy symptomatów swej przeszłej choroby.

---

360. Małżonkowie Kamil i Aniela Galli towarzyszyli Annie Eustachi podczas audjencji u Papieża. Pani Eustachi cierpiała na suchoty i prosiła o błogosławieństwo apostolskie oraz modlitwę, na co Sługa Boży odpowiedział:

— Poleć się świętemu Walentemu, swemu protektorowi. Później Galli prosił o błogosławieństwo Papieża dla tejże samej osoby, a Sługa Boży odpowiedział, iż ona wkrótce umrze, co się też w miesiąc spełniło.

---

361. Obchodzono uroczystość religijną w prywatnej kaplicy Ojca św. Przed obrazem Matki Boskiej paliła się gruba, woskowa świeca, którą Jej złożono w ofierze. W tem Sługa Boży rozkazał, aby zgaszono tę świecę, co też natychmiast spełniono. Nikt nie mógł sobie wytłómaczyć, przyczyny tego rozkazu; ale później przypatrując się świecy dostrzeżono, że zawierała w sobie mnóstwo wybuchowego materjału. Był to zamach na życie Ojca św. Nie mógł on wiedzieć o tem inaczej, jak z wyższego natchnienia.

362. Pewnego dnia zjawiła się w przedpokoju Ojca św. dama, czarno ubrana, prosząc o audjencję. Sługa Boży odpowiedział natychmiast:

— Nie rozmawiam z umarłymi.

Lokaj zdziwiony myśląc, że Papież chciał po żartować, powtórzył owo życzenie, i otrzymał tę samą odpowiedź. Powrócił więc do przedpokoju, i znalazł tam damę niespodzianie zmarłą. Wtedy przekonano się, że to nie była kobieta ale przebrany mężczyzna, który miał rozkaz zabić Ojca św.

363. Pierwszych dni listopada 1877 r. około północy, Sługa Boży zawezwał do siebie doktora Ceccarelli, który nocował w Watykanie z powodu niedomagania Ojca św.—Papież rzekł:

— Doktorze, księżna Orsini potrzebuje w tej chwili twojej pomocy.

— O! nie — odparł doktor. — Nie otrzymałem żadnego zawiadomienia, wszelako pójdę tam jutro rano.

— Jutro już będzie za późno!

Jakoż istotnie, księżna potrzebowała pomocy doktora około północy, w tym czasie powiła syna, okazało się, że ranne odwiedziny d-ra Ceccarelli były już spóźnione.

364. Pewnego dnia Ojciec św. wyjechał na spacer po za obręb miasta, w tem kazał zatrzymać powóz i rzekł do stangreta:

— Nie pojedziemy już tam, gdzie ci mówiłem, ale zawieź mię do szpitala św. Jana.

Grób Piusa IX w bazylice św. Wawrzyńca w Rzymie.

Kiedy tam przybył, chociaż było dość późno, odwiedził kilku chorych, i nareszcie zbliżył się do łóżka biednej, umierającej kobiety. Biedaczka była bardzo niespokojna, gdyż oznajmiła, że się u nikogo spowiadać nie chce, tylko u samego Papieża, ale zarządzający szpitalem wcale się o to nie zatroszczyli. Ojciec św. wyspowiadał konającą, która oddała Bogu ducha, przed wyjściem jeszcze Jego Świątobliwości ze szpitala. Widocznie Bóg oznajmił Słudze swemu drogą natchnienia stan godny litości tej biednej kobiety.

365. Wskutek długiej i męczącej choroby, księżna Odescalchi była bliską zgonu. Rodzice jej

posłali do Watykanu, prosząc w imieniu chorej o błogosławieństwo Ojca św. z zupełnem rozgrzeszeniem *in articulo mortis*.

Zaledwie sługa Boży dowiedział się o chorobie księżnej, rzekł: — „Powiedzcie, że posyłam jej moje błogosławieństwo, aby Bóg Najwyższy powrócił ją kochającej rodzinie, ale wcale nie *in articulo mortis*. Zapewniają, iż zaledwie posłany powrócił, zastał księżnę uratowaną z niebezpieczeństwa do tego stopnia, że mogła wkrótce osobiście podziękować Ojcu świętemu.

---

366. W roku 1874 margrabina Marja Stella Cuccia della Motta z Palermo zachorowała niebezpiecznie. Następnego lata wskutek jej niezmiernego osłabienia, przewidywano śmierć niechybną. Margrabia Notarbartolo, jej mąż, powodowany głęboką wiarą i pełen nadziei w pośrednictwo Ojca św. błagał telegraficznie o błogosławieństwo, polecając chorą modłom jego. Za przybyciem listu, zawierającego błogosławieństwo papieskie, margrabina, ku wielkiemu zdziwieniu doktorów i obecnych, doznała widocznej ulgi, wyszła z niebezpieczeństwa i wkrótce zupełnie powróciła do zdrowia.

---

367. Siostra Kajetana Bartolini, dostała narości na prawem oku, i doktór postanowił uwolnić ją od tego za pomocą operacji. Zdarzyło się, że Ojciec św. wizytował djecezję, jak to zwykł był czynić co rocznie. Dowiedziawszy się o tem siostra Bartolini udała się do matki Bolognetti i prosiła aby ją zawiodła do Ojca św. pewną będąc, że gdy Ojciec św. raczy ją pobłogosławić, nie będzie już potrzebowała porady doktora. Życzeniu jej stało się zadość, przyprowadzono ją do Sługi Bożego, który dowiedziawszy się o powodach jej przybycia, zapytał:

— Czy oddawałaś się w opiekę św. Łucji?

— Tak—odpowiedziała — ale ufam tylko Waszej Świątobliwości.

Pius IX wzniósł oczy do nieba, pobłogosławił ją, a dotykając chorego oka, dodał:

— Ponieważ wierzysz, iż jestem Zastępcą Jezusa Chrystusa, niech-że się stanie według twej wiary.

Dnia następnego doktór ze zdumieniem uznał operację za zbyteczną. Siostra była uzdrowiona.

---

368. Siostra Julja Neunheuser, Sercanka, miała od dziesięciu miesięcy sparaliżowaną prawą rękę. Ręka była wychudzona, z powodu zanikania muskułów, kolor ciała był trupio blady, temperatura bardzo niska, wskutek powolnego krążenia krwi. Dr. Karol Sabatucci uważał, że wyleczenie chorej jest nadzwyczaj trudne. Po wyczerpaniu napróżno wszelkich środków medycznych, siostra Julja pokładała wyłącznie nadzieję w zbawienną moc błogosławieństwa Sługi Bożego.

Matka Cezarja towarzyszyła siostrze Julji do Ojca św. i pełna ufności rzekła:

— Przedstawiam Waszej Świątobliwości chorą Siostrę naszą, mającą uschniętą rękę. Generalna Matka przełożona pragnie jej wyzdrowienia, przyszłam więc błagać o tę łaskę u stóp Namiestnika Chrystusowego.

Sługa Boży zażądał kilku objaśnień, dotyczących choroby i odpowiedział:

— Nie mogę czynić cudów, ale Bóg może nagrodzić wiarę!

Wzniósł następnie oczy w górę, pobłogosławił zwolna chorą rękę i rzekł do siostry Julji:

— Przeżegnaj się.

Zmieszana siostra podnosi lewą rękę.

— Nie; nie, prawą ręką!—dodał Pius IX.

Usłuchała i z podziwem wszystkich obecnych władza w ręku została przywróconą.

---

369. Podczas audjencji pewne małżeństwo z dzieckiem stanęło kiedyś przed obliczem Ojca św. Dziecko miało lat ośm, a dotąd nie przemówiło ani słowa. Rodzice mieli nadzieję, że błogosławieństwo Papieża wyjedna mu łaskę uzdrowienia niemoty. Zaledwie znękana matka wyraziła swą pobożną prośbę, gdy Sługa Boży, cokolwiek zmieszany, powiedział jej:

— Udajcie się do Don Bosca. Bóg wysłucha was za pośrednictwem Swojego Sługi.

Ale pobożna dama błagała usilnie Ojca św. mówiąc, że tylko w nim jednym ufność pokłada.

Sługa Boży udzielił błogosławieństwa.

Kiedy wyszli z sali dziecko zawołało:

— Mamo! Jakże piękny jest Papież!

I odtąd dziecko odzyskało dar mowy.

---

370. Ks. Józef Piervincenti, proboszcz kościoła św. Jakóba w Augusta, opowiadał co słyszał od komendanta Marjana Frigeri i córki jego Józefiny. Komendant ów znajdując się przejazdem w Rzymie między rokiem 1864 a 1866 z żoną swoją Marją-Anną, urodzoną Trigona, która była wtedy w poważnym stanie, dowiedziawszy się, że Pius IX

udał się 5 maja do kościoła Santa Maria Majore, aby jak zwykle odwiedzić grób Piusa V, znalazł sposób przedstawienia się Ojcu św. dla którego żywił cześć wyjątkową i głębokie w nim pokładał zaufanie.

Kiedy stanął przed obliczem Sługi Bożego, z zapałem, podnieconym głębokim duchem wiary, błagał o błogosławieństwo dla swej chorej a nieobecnej żony, która dotąd najnieszczęśliwiej odbywała swoje słabości. Komendant Frigeri, był pewny, że Bóg wszechmocny dla wywyższenia Swojego Sługi, Piusa IX zeszle za jego wstawiennictwem łaskę pożądaną.

Ojciec św. nie odmówił mu swego błogosławieństwa i Frigeri zadowolony powrócił do swoich zwykłych zajęć.

W kilka miesięcy później Marja-Anna, obecnie nieżyjąca, powiła szczęśliwie córkę dotąd żyjącą, Józefinę Frigeri.

Komendant uważał to szczęśliwe wydarzenie, jako wyjątkową łaskę dla siebie, otrzymaną za przyczyną błogosławieństwa Ojca św. W kilka lat później komendant zamieszkał w Rzymie ze swoją rodziną. Pobożna pani Frigeri pragnęła uzyskać audjencję u Ojca św. Dopuszczono ją wraz z wielu innemi osobami, Pius IX nie wiedział, że pani Frigeri była obecną w gronie pań rzymskich, gdyż nigdy jej przedtem nie widział. Gdy się jednak zbliżył do niej, ujrzawszy Józefinę, mającą wtedy 6 lub 7 lat, położył rękę na głowie dziecka i powiedział:

— Tę małą błogosławiliśmy jeszcze w łonie jej matki. Było to w kościele Santa Maria Majore.

---

371. W domu macierzystym zakonnic ś-go Józefa w Annecy, 24 marca 1873 roku, siostra Symplicianna poważnie chora wskutek zaszłych komplikacji, opuszczona przez doktorów, dostała sobie kawałek szaty Sługi Bożego, i przyłożyła do bolącego boku, podczas gdy siostry błagały Pana nad Pany i Matkę Boską Niepokalanie Poczętą o uzdrowienie chorej, przez zasługi wiernego swojego Sługi.

Skutek gorącej wiary przewyższył wszelkie oczekiwania. Chora niezwłocznie uczuła polepszenie i długie lata cieszyła się czerstwem zdrowiem.

Siostry opisały szczegółowo te zdarzenie, które zostało potwierdzone przez M-gr. Klaudjusza, biskupa Annecy, pod datą 30 stycznia 1875 r.

---

372. Kanonik Michał Rivelli, pronotarjusz apostolski, opowiada, że kiedy był w Kolegium Propagandy, (od 1867 do 1875) około rokn 1869 albo 1870 jeden z jego klasowych towarzyszy, Andrzej Johansen, z Kopenhagi, ciężko zachorował, jak się zdaje na suchoty i doktorowie nie widząc możności wyleczenia, radzili mu powrócić do kraju.

Całe Kolegium było wtedy na ferjach letnich w mieście Montalto, około Frascati, a uczeń Johansen pożegnawszy towarzyszy, udał się do Rzymu w towarzystwie jednego ze swych przełożonych, aby być przedstawionym Ojcu św., (co zwykle czynili uczniowie Propagandy, przed opuszczeniem Kolegium i Rzymu), poczem miał odjechać do Kopenhagi. Tymczasem najniespodziewaniej powrócił do Frascati i opowiadał, że będąc przedstawiony na audjencji u Papieża, Pius IX zapytał go dla czego powraca do ojczyzny? Otrzymawszy odpowiedź, że z powodu choroby, Ojciec św. spojrzawszy na niego uważnie powiedział:

— Wracaj do Kolegium i ucz się dalej.

A wziąwszy ze stołu piękny obrazek *Ecce Homo*, dał mu na pamiątkę.

Posłuszny rozkazowi Papieża, zamiast powrócić do Danji, pozostał Johansen w Kolegium, ciesząc się odtąd dość dobrem zdrowiem. Ukończył nauki w Rzymie w roku 1874, poczem wyjechał do Danji w r. 1875, stał się bardzo gorliwym misjonarzem i umarł w Kopenhadze 1905 r. mając lat 54.

---

373. Ks. Franciszek Marja Andriani, proboszcz kościoła w Carovigno, dyecezji Ostuni, opowiada, że w r. 1868, brat jego Jakób w wieku lat 39-ciu zapadł na ciężką chorobę żołądkową grożącą śmiercią.

Rodzina widząc, że stan jego jest beznadziejny, poczyniła już przygotowania do pogrzebu, a kapłan obecny czytał modlitwy za konających. Wówczas ks. Franciszek przyłożył do ust umierającego medalik Najśw. Panny Niepokal. Poczęcia, na którego odwrotnej stronie znajdował się wizerunek Piusa IX, oddając brata w opiekę Ojca św. szepnął mu do ucha by się również świątobliwemu Papieżowi polecił.

W kilka minut potem obecni ujrzeli, ze zdumieniem, że Jakób podniósł się na łożu i zawołał:

— Pius IX otrzymał dla mnie łaskę pożądaną.

Jakoż wyzdrowiał w zupełności i wkrótce mógł już powrócić do swych codziennych zajęć.

Fakt ten stwierdzony jest przez ks. Odoryka Pomes, naocznego świadka cudownego uzdrowienia, oraz przez wiele innych osób wiarogodnych, obecnych przy tem wydarzeniu.

Ostatnia choroba Sługi Bożego i jego śmierć chwalebna.

374. Pomimo ciężaru lat i znużenia Pius IX zawsze był czynny i nie ustawał w pracy. Jednak już w 1878 r. zapadł na zdrowiu a zwłaszcza nie służyły mu nogi, na które już od lat kilku cierpiał ustawicznie gdyż utworzyły mu się rany dolegliwe.

We wrześniu tegoż roku postanowiono wezwać na konsyljum kilku znakomitych lekarzy. Pomiędzy innymi przybył profesor Vanzetti z Padwy i ten oświadczył, że Ojcu św. zaledwie kilka miesięcy życia pozostało.

Wieść ta doszła do uszu króla Wiktora Emanuela a ten gotując się już zawczasu do pogrzebu Papieża, aby wyrazić swoje głębokie poważanie, kazał sobie przyrządzić strój żałobny lecz zasłabłszy w pierwszych dniach 1878 r., poprzedził Piusa IX i pierwszy poszedł przed Sąd Boży.

---

375. Pius IX dowiedziawszy się o chorobie króla, pomimo iż sam był cierpiący i osłabiony postanowił ratować jego duszę i wysłał w tym celu przełożonego zakrystji watykańskiej, ks. biskupa Marivelli, dając mu odnośną władzę; ale wysłannik papieski nie był dopuszczony do królewskiej komnaty, polecono mu tylko podziękować uprzejmie Ojcu św. za żywe zainteresowanie okazane z powodu choroby monarchy.

Wiktor Emanuel zmarł 9 stycznia a 28 t. m. sekretarz stanu, kardynał Simeoni, rozesłał nuncjuszom zawiadomienie o zgonie króla wraz ze szczegółami dotyczącymi jego śmierci i zaszłych następnie wypadków.

---

376. W tymże miesiącu styczniu zdrowie Piusa IX poczęło budzić poważne obawy lecz 2 lutego znów zdawało się, że Ojciec św. ma się znacznie lepiej, a nawet chwilowo stan był o tyle pomyślnym, że Papież życzył sobie przyjąć deputację duchowieństwa ze zwykłą ofiarą świec; zwrócił się wówczas do owej deputacji w te słowa, będące niejako wyrażeniem ostatniej jego woli:

„Z wielką radością widzę was tu zebranych, otaczacie mnie najcenniejszym wieńcem, przywiązanych synów. Dzięki wam za gorliwość okazywaną w obronie wiary i zbawienia dusz, powierzonych waszej pieczy. Dziękuję również pasterzom, którzy starają się obudzić zamiłowanie modlitwy i częstego przystępowania do Komunji św. Wiem, że jeszcze w wielu parafiach, jest dużo nieświadomych, niemających nawet nieodzownego pojęcia o prawdach religji, wiem, że są wyrodni rodzice, którzy pozwalają wzrastać dzieciom w nieświadomości zasad wiary św., lecz wiem również, że do nas należy iść za grzesznikami, by ich nawracać, za ciemnymi, by ich oświecać. Szukając więc takich, nauczajcie z gorliwością, aby nie powiedziano, że w samem środowisku świata katolickiego, są dusze nie znające głównych tajemnic naszej świętej wiary. Pracujcie ze wszystkich sił waszych, by oszczędzić Rzymowi tej hańby. Pracujcie, aby dzięki staraniom waszym i modlitwom, dusze wam powierzone, nawróciły się, a prawda zajaśniała w całym świętym grodzie. Taki testament zostawił Pius IX synom swoim".

---

377. D. 6 lutego przed wieczorem, Ojciec św. dostał lekkiej gorączki, ale zachował spokój tak niewzruszony, że lekarze nie widzieli powodów do szczególnych obaw, Lecz o północy temperatura podniosła się, a przybyli natychmiast doktorzy uznali, że stan jest nader groźny. Działo się to o 5-ej godzinie z rana. Ojcem św. owładnęło ogólne osłabienie; uczuł dreszcze, wielki niepokój, oddech był bardzo przyśpieszony. Mimo to Sługa Boży zachował zupełną przytomność i jeszcze o 8-mej z rana, wydawał rozkazy i polecenia Mgr Cenni w sprawach, dotyczących zgromadzeń. Upadek sił zwiększał się coraz bardziej, oddech stawał się cięższy z każdą chwilą, Sługa Boży czując się gorzej, wezwał swego spowiednika Mgr Marinelli, a nawet w obliczu śmierci, nie tracąc spokoju ducha szepnął: „Już koniec!"

Po spowiedzi poprosił o Wiatyk, ze spokojnym umysłem, twarzą jaśniejącą radością i pogodą, sam według ceremonjału, wziął do rąk Ciało Pańskie, poczem dłuższą chwilę modlił się w skupieniu, cały Bogu oddany. Około 9-tej, zażądał Ostatniego Namaszczenia, którego mu tenże biskup Manelli udzielił.

---

378. Kiedy boleśna wieść o zgonie Ojca św. rozeszła się po Rzymie, do Watykanu pośpieszyli wnet wszyscy kardynałowie, OO. generałowie Zakonów, dyplomaci, książęta i prałaci; w mgnieniu oka olbrzymie sale napełniły się niezliczonym tłumem.

Kardynał Bilio, wielki penitencjarz, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie zagrażającem choremu, udał się natychmiast do Watykanu i nie odstąpił od łoża Ojca św. do ostatniej chwili.

Sługa Boży słuchając modlitwy za konających, wzywającej do poddania się woli Bożej, do zjednoczenia swych cierpień z cierpieniami Chrystusa w Ogrójcu i na krzyżu. odpowiadał niekiedy ruchem

głowy, chwilami zaś wymawiał odnośne słowa świadczące, iż przyjmuje wszystko z zupełnem poddaniem się Woli Bożej.

Zapytany czy pragnie absolucji generalnej uczynił znak potwierdzający. Wówczas kardynał Bilio odmówił zań akty miłości i skruchy, które Sługa Boży dopełnił temi słowy:

„Postanawiam sobie za Twoją pomocą nie grzeszyć więcej". Gdy odmawiano przy konającym: *Maria Mater gratiae*, powtarzał sam: *Mater misericordiae, tu nos ab hoste protege et mortis hora suscipe.*

---

379. Około północy Ojciec św. zachowawszy całą przytomność umysłu znakami dawał do zrozumienia, jak wielce boleje nad tem, że nie może, już wypowiedzieć swych myśli. Proszono go o udzielenie błogosławieństwa dla Św. Kolegium. Podniósł więc rękę i uczynił znak Krzyża, błogosławiąc wszystkich kardynałów.

O godzinie 3-ej minut 40, oczy mgłą mu zaszły, w piersiach wzmogło się śmiertelne rzężenie.

Kardynał Bilio zapytał, czy chce by odmawiano akty konających? na co Sługa Boży szepnął: *Profiscere* (wychodź duszo). Z początku odpowiadał jeszcze, lecz następnie utracił mowę i tylko ustami poruszał, poczem można było poznać, że się modli.

O w pół do 6-ej kardynał Bilio zaczął odmawiać tajemnice boleśne Różańca, na które odpowiadali łkając zebrani, lecz zaledwie doszedł do czwartej tajemnicy zauważył, że rzężenie cichnąć poczyna, ostatnia łza zabłysła w oczach umierającego.

Uroczystym słowom absolucji towarzyszył głos dzwonów na „Zdrowaś Marja" i jak gdyby na wezwanie Tej, którą Sługa Boży ogłosił Niepokalaną, z ust jego uleciało ostatnie tchnienie, a z niem razem dusza wielkiego Papieża opuściła swą ziemską powłokę.

---

380. Święte szczątki Piusa IX zabalsamowano, po smutnej ceremonji sprawdzenia śmierci przez kamerlinga Św. Kościoła rzymskiego, kardynała Joachima Pecci, (która to ceremonja polega na trzykrotnem dotknięciu srebrnym młotkiem czoła zmarłego Papieża). Zwłoki wystawiono ku czci wiernych w jednej z sal Watykanu, obok sali tronowej, ponieważ jednak nie podobna było pomieścić w niej wszystkich Rzymian i przybyłych zdaleka, błagających o możność oglądania po raz jeszcze ostatni oblicza najczcigodniejszego i umiłowanego Ojca św. kardynałowie postanowili przenieść drogie szczątki do bazyliki św. Piotra dla wystawienia ich na widok publiczny i d. 9 lutego odbyła się ta żałośna ceremonja z wielką okazałością. Umieszczono zwłoki w kaplicy Najśw. Sakramentu, oddzielonej kratą zamkniętą, w ten sposób jednak, aby dać możność wszystkim wiernym ucałowania stóp Papieża.

Niepodobna wyrazić słowami tego ogólnego wzruszenia, boleśnego łkania i gorącego uczucia żalu, z jakim wierni zbliżali się do stóp Ojca św. Wszyscy jednogłośnie przyznawali:

— To był święty!

---

381. Trzeciego dnia po południu oddano hołd ostatni zwłokom wiekopomnej pamięci Papieża. W obecności Św. Kolegium, prałatów, dworu papieskiego, dyplomatów i innych znakomitych osób, po odprawieniu przepisanych modłów, ciało Sługi Bożego zostało złożone w trumnie z drzewa cyprysowego, którą zamknięto w drugiej, ołowianej, a następnie w trzeciej, drewnianej. Dwie ostatnie opatrzono sześciu przepisanemi prawem pieczęciami: kamerlinga marszałka dworu, oraz kapituły św. Piotra.

Na wieku trzeciej trumny, znajdował się krzyż, tiara, a także herb szlachecki Sługi Bożego, na tablicy zaś wyryty napis:

Corpus Pii IX P. M. qui vixit an LXXXV m VIII d XXV. Ecclesiae universali praefuit an XXXI m VII d XXII Obiit die VII Febraarii a MDCCCLXXVIII, (Ciało Piusa IX Papieża, który żył lat 85, miesięcy 8, dni 25. Rządził Kościołem powszechnym lat 31, m. 7, dni 22. Umarł d. 7 Lutego 1876 roku).

U dołu trumny widniała trupia głowa, oparta na dwóch skrzyżowanych kościach.

---

382. Jak tylko przygotowano grób przeznaczony na złożenie zwłok Ojca św. w kościele św. Wawrzyńca za Murami, oznaczono na przeniesienie zwłok, noc z 12 na 13 lipca 1881 r. Cały Rzym katolicki gotował się tej nocy, złożyć nowy hołd czci i przywiązania ukochanemu Papieżowi, gdy nagle podczas żałobnego pochodu na zbiegu Borgo Pio i placu Rusticucci, tłum ludzi nienawiścią pijanych, począł dziko wykrzykiwać i śpiewać pieśni plugawe, a gdy kondukt zbliżył się do mostu św. Anioła, rozwścieczona hałastra chciała zwłoki Papieża wrzucić do Tybru.

Nie udało się im tego dokonać ale do samej bazyliki św. Wawrzyńca, wierni doznawali zniewag i gwałtownych napaści ze strony awanturników, mimo to odmawiając różaniec i modlitwy za umarłych, towarzyszyli aż do grobu, szczątkom śmiertelnym Sługi Bożego, broniąc je przed wściekłością bezbożników.

Największem zuchwalstwem odznaczał się deputowony Feliks Cavalloti, (który w 1898 r. zginął w pojedynku, w okolicach Rzymu).

---

383. Sługa Boży za życia obrał sobie na miejsce wiecznego spoczynku w kościele św, Wawrzyńca za Murami, małą framugę naprzeciw *graticola*, to jest kraty otaczającej kamień, noszący jeszcze ślady krwi świętego męczennika, do którego Ojciec św. miał szczere nabożeństwo.

Pius IX miłując ubóstwo i będąc pokornego serca, pragnął, by grób jego był skromny i ubogi.

Życzył sobie w swoim testamencie, aby grobowiec jego nie kosztował więcej nad 400 skudów i aby zamiast herbu szlacheckiego, umieszczono na nim trupią głowę:

Sam też ułożył skromny napis:

Ossa et cineres Pii Pp. IX sum Pont—vixit an LXXXVI in Pontificatu an XXXII.—Orate pro eo.

To znaczy:

Tu zostały złożone zwłoki Papieża Piusa IX i po dziś dzień tu spoczywaja. Módlcie się za niego.

Lecz wierni całego świata katolickiego, w sercach których śmierć wielkiego Papieża pozostawiła głęboką ranę, współzawodniczyli w okazaniu miłości i czci przy jego grobie.

Te dowody przywiązania były jawnym protestem przeciw świętokradzkim obelgom rewolucji. Dzięki komisji, zawiązanej pod przewodnictwem dr. Jana Acquaderni, grobowiec stał się prawdziwie artystycznem dziełem sztuki, do czego przyczyniły się ofiarami wszystkie narody świata całego.

Herby wyryte na ścianach grobowca, świadczą o nieustannym hołdzie składanym prochom Wielkiego Papieża od Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny.

Sława świątobliwości Sługi Bożego przed śmiercią jego i po śmierci.

384. Głos opinji publicznej, jeszcze za życia Sługi Bożego, ogłosił go za świętego.

Olśniewający blask wzniosłych cnót Piusa IX, dary nadzwyczajne, któremi Bóg uposarzyć go raczył, łaski i cuda nieustannie otrzymywane za jego przyczyną, jednały mu cześć głęboką i ufność bezgraniczną w jego orędownictwo w niebie:

Za życia jeszcze polecano się Słudze Bożemu jako świętemu, rozchwytywano jego wizerunki, oraz przedmioty należące do niego, nawet to wszystko, czego używał lub dotykał przelotnie, przechowywano jak relikwie, posiłkując się niemi w czasie choroby i przywiązując do nich wielką cenę.

Liczne też były dowody łask, liczne cuda, przez które podobało się Bogu wynagrodzić ufność wiernych, pokładaną w zasługach świątobliwego Papieża

---

385. „W obecności Piusa IX, pisze Wielebna Matka Marja Mucchi z zakonu Sercanek, zdawało mi się, że jestem wobec Jezusa Chrystusa; nikt z ludzi mających nawet sławę najświątobliwszych nie wywarł na mnie tak silnego, głębokiego i słodkiego zarazem wrażenia, a podobnego uczucia, doznawali również inni, jak to sami przyznawali. Moi pobożni rodzice, wpoili we mnie tę cześć i miłość dla Ojca św. Ojciec mój ujawniał zawsze gorące dla niego uwielbienie".

---

386. Kardynał Patrizi razu pewnego powiedział zakonnicom z Trinité del Monti:

„Jeżeli przeżyję Ojca św. posiadam więcej dowodów aniżeli potrzeba, aby go w poczet świętych zaliczyć". (Zmarł jednak wcześniej od Sługi Bożego).

Kardynał Bilio mówił, że pragnie być postulatorem w procesie Piusa IX, posiada bowiem dostateczną ilość dokumentów, aby sprawie kanonizacji zapewnić zupełne powodzenie.

Kardynał Monaco la Vallette, objawiał kilkakrotnie chęć rozpoczęcia procesu.

Należy pamiętać, że wyżej wskazane dostojne osoby, stanowiły najbliższe otoczenie Sługi Bożego, i miały niejednokrotnie sposobność podziwiania jego cnót heroicznych.

---

387. Piusowi IX składali dowody czci książęta i monarchowie Europy oraz świata całego, poczytując go za wyrocznię i zdając się na sąd jego, w najpoważniejszych zagadnieniach. Królewska rodzina w Neapolu dała mu dowody wysokiego poważania i przywiązania, goszcząc go u siebie podczas jego tułaczki.

Król Ferdynand II stał u boku Sługi Bożego. jako poddany przy panującym, jak sługa przed panem; przy każdem spotkaniu oddawał mu pokłon głęboki, prosząc o błogosławieństwo. Cała rodzina królewska, postępowała również w podobny sposób Wszystkie warstwy społeczeństwa tak w Neapolu podczas pobytu Sługi Bożego, jak też w innych miejscowościach przez które przejeżdżał, śpieszyły tłumnie, aby mu zgotować owacyjne przyjęcie, wyrażając swe pełne zapału przywiązanie.

Napróżno utrzymują niechętni, że jedynie stanowisko Głowy Kościoła i nimb, otaczający Zastępcę Chrystusowego, pociągały ku niemu.

Prawdą jest natomiast, że nawet nieprzyjaciele i obojętni dla religji, Kościoła, i duchowieństwa oddawali hołd Słudze Bożemu, albowiem jego przymioty osobiste jednały mu cześć i poszanowanie, a sława świątobliwości i cnoty budziły uwielbienie narodów.

Dla tego więc śpieszono do Piusa IX, jak do świętego, aby przez jego zasługi u Boga, otrzymać łaski szczególniejsze i cuda.

---

388. Należy przyznać na chwałę Sługi Bożego, że to uznanie świątobliwości nietylko nie minęło z kresem jego życia, lecz przeciwnie z nastaniem tej smutnej chwili, wszyscy zgodnym chórem opłakując bolesną stratę oddawali cześć i chwałę świątobliwości Piusa IX, wyrażając przytem gorące pragnienie i głębokie przekonanie, iż zasłużył na wyniesienie na ołtarze.

I dziś jeszcze po tylu latach, ta sława świątobliwości Sługi Bożego żyje w sercach i objawia się w żarliwem pragnieniu ujrzenia go za dni naszych zaliczonym w poczet świętych Pańskich; co potwierdza, że cześć jakiej był przedmiotem Sługa Boży przez ciąg życia całego, była oddawana bardziej jego zasługom i jego świątobliwości, aniżeli godności, którą piastował.

---

389. Należy zaznaczyć, że przekonanie o świętości Piusa IX, i pragnienie jego kanonizacji nie było tylko wyrazem uczuć pospólstwa, ale prawie całego duchowieństwa katolickiego będącego wyrazicielem pragnień i uczuć wiernych całego świata.

Biskupi jednogłośnie sławili cnoty heroiczne, życie przykładne, świątobliwość Sługi Bożego za życia, a także łaski za jego przyczyną otrzymane po zgonie tego wielkiego Papieża.

W listach pasterskich, zawiadomieniach, mowach pogrzebowych, jednem słowem w najrozmaitszych pismach i doniesieniach o zgonie Piusa IX rozbrzmiewały pochwały jego cnót. Nazywano go: *anielskim, niepokalanym, męczennikiem, błogosławionym, świętym.*

---

390. Pomnik wieczystej sławy, czci i chwały widzimy w mowie *pro Pontifice defuncto*, wypowiedzianej przed świętem Kolegium, przez Mgra Karola Nocella, osobistego sekretarza Sługi Bożego dla pism łacińskich i prywatnych, następnie zaś kardynała św. Kościoła, który przed długi szereg lat mając szczęście przebywania obok Ojca św. Piusa IX miał sposobność podziwiać jego cnoty heroiczne i godnie je oceniał.

Mowa jego była hymnem uwielbienia i miłości dla Sługi Bożego. Zakończył ją następującemi słowy:

Daturus fortasse etiam olim ut tua memoria coelitum honoribus consecretur.

---

391. Między wielu innemi godną uwagi jest mowa pogrzebowa z d. 28 marca 1878 r. nieżyjącego już Mgra Eugeniusza Cano, biskupa z Bosa. Po całym szeregu pochwał oddanych heroicznym cnotom Wielkiego Papieża, zakończył dostojny kapłan, temi wymownemi słowy:

„Oby nadszedł wkrótce dzień, gdy śpiewać będziemy mogli: *Gloria in excelsis*, dzień, w którym imię jego otoczy nimb świętego, na tym oto ołtarzu, przy którym dziś my wszyscy, przywiązani synowie, zanosiliśmy modły o spokój jego duszy.

„Oby nadszedł wkrótce ów dzień upragniony, gdy oprócz uwielbienia dla mądrości i sprawiedliwości Sługi Bożego, niebo i ziemia czcić go będą jako uczęstnika chwały wiecznej!“

---

392. Tak samo, jak w ciągu życia Sługi Bożego, więcej jeszcze po jego śmierci i aż do tej chwili, wzywają jego opieki, wierni świata całego, z ufnością uciekając się do niego, aby otrzymać łaski Boże.

Jego portrety, i relikwje są poszukiwane, czczone i przechowywane w rodzinach katolickich, jako ucieczka w ciężkich chorobach i rozmaitych potrzebach.

Jakże często podoba się Bogu, dawać widome znaki, miłości dla sługi swego, użyczając łaski lub cudów za jego przyczyną.

---

393. Już od czasu śmierci Sługi Bożego, świat katolicki pragnął jego wyniesienia i u tronu papieskiego składano liczne prośby, domagając się procesu beatyfikacyjnego. Zwłaszcza Włochy, bardziej jeszcze aniżeli inne narody doznając łask od tego, który za przykładem Zbawiciela, przechodził *benefaciendo et sanando omnes* — podniosły jeden okrzyk: „Niech umieszczą na ołtarzach Wielkiego Papieża Piusa IX. Przeszło 740 stowarzyszeń katolickich przedstawiło ś. p. Papieżowi Leonowi XIII prośbę, (z tysiącznemi podpisami) o rozpoczęcie sprawy, dla zaliczenia w poczet świętych wiekopomnego Papieża.

---

394. Episkopat lombardzko-wenecki, pod przewodnictwem Patryarchy Wenecji, w szlachetnym

porywie miłości, zanosi również błaganie do Leona XIII-go:

„Za Boską wolą i Twoją Świątobliwy Ojcze, obyśmy mogli, upoważnieni twemi nieomylnemi słowy, oddać publicznie pokłon przed wizerunkiem Ojca najukochańszego, którego podziwiamy jako męczennika, pełnego cierpliwości, wyznawcę w swej nieugiętej mocy, apostoła w miłosierdziu, anioła — w życiu. Obyż podobało się Bogu i Waszej Świątobliwości, abyśmy mogli nazwać go świętym uroczyście, otrzymać ten dowód niezbity, dla okazania potomności, że nie myliliśmy się, gdy wpośród zawichrzeń, utrapień, ciężkich czasów rewolucji, jako synowie oddani i wierni Kościoła św. poznaliśmy w Piusie IX, błogosławieństwo ludzkości, skarb zesłany od Boga Kościołowi, Włochom, i światu całemu".

---

395. Chociaż Kościół św. a w jego imieniu Namiestnik Chrystusowy, zawsze pokorny i baczny, szczególniej w kwestjach tak drażliwych, dla wyższych przyczyn uznał, że niewłaściwa jest pora, do rozpoczęcia procesu kanonizacyjnego i zabronił nawet zadawalniać tysiączne prośby, nadsyłane do Watykanu, ze wszystkich stron świata, z żądaniem przedmiotów należących do Sługi Bożego, pomimo to, sława świętości Piusa IX nie zmniejszyła się wcale, a przeciwnie wzrastała wciąż, a czas zamiast osłabić wśród wiernych wysokie o Piusie IX mniemanie, coraz więcej w niem utwierdzał i jeszcze bardziej je uwydatniał.

---

396. Chwała położenia kamienia węgielnego w pomniku ku wiecznej czci Sługi Bożego, przypadła w udziale szczęśliwie panującemu nam Ojcu św. Piusowi X, spadkobiercy imienia i cnót Wielkiego Piusa IX.

We dwadzieścia sześć lat po jego zgonie, ku wielkiej radości duchowieństwa katolickiego, zgromadzeń religijnych, świata całego, w pięćdziesiątą rocznicę dogmatu Niepokalanego Poczęcia, tej największej chluby Sługi Bożego, była podana prośba Ojcu św. z zapytaniem czy nie uznałby w swej wysokiej mądrości i roztropności, za dobre, rozpoczęcie tak upragnionego procesu?

Życzenie całego świata katolickiego zostało wysłuchane.

Ojciec św. Pius X, chętnie zezwolił na rozpoczęcie dochodzeń kanonicznych nad świątobliwością, cnotami i cudami swego świętego poprzednika.

Łaski i cuda otrzymane za przyczyną Sługi Bożego po jego śmierci.

397. Liczne są cuda, już po śmierci Piusa IX, zdziałane mocą Bożą za przyczyną sługi Jego.

Siostra Marja Marcelina Vercesi, profeska klasztoru Najświętszej Panny del l'Orto, opowiada, że gdy w miesiąc po śmierci Sługi Bożego do macierzystego domu w Rzymie przybył wysłannik duchowny tegoż klasztoru Mgr Augustyn Negrotto, wraz z innym kapłanem, Mgr Negrotto opowiadał siostrom, że w Belgji, pewna zakonnica w chwili śmierci Sługi Bożego ujrzała duszę jego wstępującą do nieba, gdzie Najświętsza Panna włożyła mu na głowę swą własną koronę.

Taż sama siostra słyszała o podobnem również zdarzeniu w Belgji: dziecko bogobojnej rodziny, nadzwyczaj oddanej Słudze Bożemu, wieczorem 7 lutego 1878, w chwili konania wykrzyknęło, że widzi Piusa IX u wrót nieba i Najświętszą Pannę wkładającą mu koronę na głowę; dodało następnie: „Mamo jestem uzdrowiony!" Istotnie umierający chłopak, nagle siły odzyskał wbrew wszelkim oczekiwaniom. Rodzice posłali natychmiast do biura telegraficznego zapytując o wieści z Rzymu; w tej chwili właśnie przyszło zawiadomienie o śmierci Piusa IX.

---

398. Przegląd *l'Unita cattolica* w zeszytach 1878 r. i pierwszego półrocza 1879 podaje ogromną liczbę cudownych uzdrowień, otrzymanych za przyczyną Sługi Bożego.

W rachunkach ofiar Świętopietrza znajdujemy częste wzmianki: *ofiaruję... za łaskę otrzymaną za przyczyną Piusa IX.*

---

399. Siostra Marja Agnieszka, dziś siostra Serafina od Jezusa, założycielka klasztoru Siostr Franciszkanek Przenajświętszego Sakramentu, przebywając w opactwie Bertinoro w Forli, w wieku lat 25 we wrześniu 1779 r. dostała silnego tyfusu. Była umierającą. Siostry widząc, że już żadne środki ludzkie nie pomagają, rozpoczęły nowennę do Najświętszej Panny Niepokalanego Poczęcia, prosząc o uzdrowienie chorej za przyczyną Piusa IX. Wieczorem w dniu ostatnim nowenny, chora poczuła, jak gdyby mrowie przechodzące po całem ciele; natychmiast usnęła, a rano obudziła się zupełnie zdrową. Doktor który ją leczył, profesor Monti, zapewnił, że wydarzenie to było nadzwyczajne i uzdrowienie nastąpiło w nadprzyrodzony sposób.

---

400. Salvatore da Angelis, 14 letni Rzymianin, został dotknięty, ciężką niemocą. Lekarze Topai i Scalzi po zbadaniu znaleźli narość na wątrobie, co wymagało operacji trudnej i niebezpiecznej. Matka chorego nie odważała się w nieobecności męża poddawać syna ciężkiej operacji. Przyjaciel rodziny Karol Insegna, dowiedziawszy się o groźnym stanie dziecka przyszedł do niego, mówiąc:

„Czy chcesz być zdrowym Salwatorze? Oddaj się w opiekę Piusa IX, który czyni tyle cudów od chwili zgonu. Mam relikwie Ojca św., przyłóż je do bolącego miejsca; miej ufność, a zobaczysz, że będziesz uleczonym".

Pełen wiary chory, oddał się w opiekę Sługi Boś-go. Dotknął relikwją miejsce cierpiące z prośbą o łaskę uzdrowienia. Niebawem usnął, pierwszy raz po dwóch miesiącach bezsenności, a obudziwszy się, uczuł się zupełnie zdrowym, ku wielkiej radości matki. Narość znikła, gorączka opadła, a zadziwieni lekarze nie wahali się przypisać wypadek ten orędownictwu Piusa IX.

---

401. W styczniu 1878 r. w Saint-Chamond poddano operacji Stefanję Thiollière, chorą od lat dwóch na narość na kości. Po kilku dniach, pomimo największej pieczołowitości, ataki nerwowe powtarzające się nieustannie, wyczerpały ostatecznie jej organizm. Żadne lekarstwa nie pomagały, chora mie mogła przyjmować pożywienia, ani nawet kropli wody; — była więc przygotowaną na śmierć. Wtedy właśnie umarł w Rzymie Sługa Boży, posiadający tak wielką sławę świetego. Stefanja udała się do niego, z żywą wiarą rozpoczęła nowennę na cześć jego, a otrzymawszy relikwie przyłożyła do cierpiącego miejsca. We dwa dni po tem Stefanja była zupełnie uzdrowioną.

---

402. Ludwika Parisot przez długi ciąg lat dotknięta ogólnym paraliżem z powodu porażenia szpiku pacierzowego, nie opuszczała łóżka w szpitalu Świętej Alicji, nie mając nadziei wyzdrowienia. Lekarze używali rozmaitych sposobów, a gdy te nie pomagały zupełnie ją odstąpili. W maju 1878 po dziesięciu miesiącach strasznych cierpień, Ludwika w dodatku do wszystkich nieszczęść zupełnie ociemniała; — leżała wychudzona, nieporuszona, jak bryła. Przełożona Sióstr miłosierdzia poradziła, aby zacząć nowennę w cześć Piusa IX, na intencję uzdrowienia, po ludzku biorąc tak niemożebnego. I nie napróżną była wiara zakonnic! Ludwika wyzdrowiała natychmiast i mogła powrócić do zajęć, jakie opuściła od lat dziesięciu.

---

403. D. 6 sierpnia 1878 r. Achiles Beccalori de Coduro, 64 letni starzec, zdejmując skórę z jałówki, która zginęła na karbunkuł, skaleczył się w przedramię, wszczepiając tym sposobem zarodek nieuleczalnej choroby. Umieszczonemu w szpitalu de Borgo San Donino doktor Cenci i profesor Ingami z Parmy nie rokowali długiego życia.

Siostra Anna Kamilla Valentini z klasztoru świętej Anny, czuwała u jego wezgłowia. Wzruszona smutnym stanem chorego, skłoniła go do oddania się w opiekę Sługi Bożego, dotykając zranionego ramienia relikwią. Chory usnął i nazajutrz doktorzy zastali go zupełnie zdrowym, co wprowadziło ich w wielkie zdumienie.

---

404. Teresa Rotellini z Rzymu, parafji świętej Łucji del Gonfalone, praczka, dostała owrzodzenia nóg, Stowarzyszenie św. Wincentego a Paulo, do którego jej nieboszczyk mąż kiedyś należał, dopomagało jej czas jakiś. Choroba pomimo wszelkich starań tak się rozwinęła, iż lekarze uznali za konieczne ucięcie nóg; nikt z członków zgromadzenia nie miał odwagi objawić tej okropnej wieści, tembardziej, że nieszczęśliwa była jedyną opiekunką sześciorga drobnych dziatek.

Wtedy to hr. Henryk Sodernini, oficer gwardji papieskiej, mając częstą styczność ze Sługą Bożym za jego jeszcze życia oświadczył, że Papież kilkakrotnie dopomagał Teresie i namówił biedną kobietę by i w tej potrzebie udała się do swego opiekuna. Chora zastosowała się do rad, z wielką trudnością zawlokła się do grobu Sługi Bożego, natenczas jeszcze u św. Piotra, modląc się z całem przejęciem. W kilka dni potem, wyzdrowiawszy zupełnie, mogła powrócić do swej pracy.

405: Baronowa Ksawera Scoppa, urodzona Greco de S. Andrea dell'Jonis, 86 letnia staruszka dostała zapalenia skóry na palcu prawej ręki, W pierwszej chwili po zasięgnięciu lekarskiej porady — poczuła ulgę, lecz już po dniach kilku, ropienie ponowiło się z większą gwałtownością, rozraniony palec sprawiał ból niesłychany: gorączka, podniesiona temperatura, gwałtowny ból głowy, pomimo starań doktorów, zdradzały wszelkie objawy zakażenia krwi, co zmusiło do wezwania telegraficznie biegłego operatora z Neapolu. Ale baronowa nie ufając lekarzom oddała się w opiekę Sługi Bożego Piusa IX, natenczas już nieżyjącego, i z wielkiem nabożeństwem przyłożyła do bolącego palca jego relikwie, błagając o uzdrowienie.

Cud stał się niebawem. W kilka już godzin potem, doktor, który ją pielęgnował oznajmił, że

niebezpieczeństwo minęło, i że operacja i przybycie chirurga są zbyteczne, oświadczył również, że to uzdrowienie zawdzięczyć można li tylko nadprzyrodzonym wpływom.

406. Hrabstwo de Frangier bardzo pobożni i gorąco Piusowi IX oddani, jeszcze za jego życia i po śmierci Sługi Bożego, doznawali jego świętej opieki. Pewnego wieczora, jedna z ich, córek dzisiejsza margrabina de Dampierre, mając sobie powierzoną opiekę nad braciszkiem swym Józefem Piusem, chcąc się przekonać czy dziecko usnęło, zbliżyła się ze świecą do jego łóżeczka. Nagle zapaliła się firanka i w jednej chwili śpiące dziecię znalazło się wśród płomieni. Na rozpaczliwy krzyk córki, wbiegła hrabina, lecz pomimo przerażenia, przypomniała sobie, że pod poduszkę syna położyła relikwie Piusa IX i w strapieniu swem polecając się Słudze Bożemu zajęła się wnet stłumieniem ognia. Snać prośba jej gorąca została wysłuchaną, Pius IX zaopiekował się dzieciną a hrabina z największą radością przycisnęła do serca ukochanego synka, który wyszedł bez szwanku z niebezpieczeństwa i nawet najlżejszego nie doznał oparzenia.

407. W r. 1878 mały Józef Paniconi, dziś brygadjer gwardji konnej w Rzymie, dostał meningitu mózgowego. Cierpienie niewysłowione doprowadzało go do rozpaczy, zdawało się, że chwile jego już są policzone, a gdy nauka wyczerpała wszelkie środki ratunku, rodzice jego wielce pobożni, polecili się opiece Sługi Bożego, prosząc za jego pośrednictwem o łaskę upragnioną. Bóg nagrodził ich wiarę, dając tym sposobem nowe świadectwo cnotom i zasługom Sługi swego.

408. Zofja Rebold, z Instytutu Najśw. Marji dell'Orto w Rzymie, w kwietniu 1098 r. niebezpiecznie zachorowała na ból w kolanie, Po pierwszej operacji, doktorzy orzekli, że potrzebną jest druga jeszcze boleśniejsza.

Przerażona tem Zofja Rebold· poleciła się Słudze Bożemu Piusowi IX i przyłożyła z wielką wiarą do bolącego kolana relikwię, otrzymaną od O. Leopolda Stix, Redemptorysty.

Gdy doktór przyszedł z zamiarem dokonania operacji, ogromnie był zdziwiony: niebezpieczeństwo bowiem minęło i operacja okazała się niepotrzebną.

409. W marcu 1879 r. Józef Flori de Borgo S. Donni dostał wrzodu na wątrobie. Lekarz nie zaniedbał żadnych środków by zwalczyć niebezpieczną chorobę, usiłowania jego jednak były nadaremne, widział ze smutkiem, że będzie zmuszony oznajmić rodzinie, iż wyleczenie jest niemożliwem·

Pani Helena Papini, przypadkowo znajdująca się natenczas, widząc boleść całej rodziny poczęła zachęcać do oddania chorego w opiekę Piusowi IX, przyczem wręczyła wizerunek Sługi Bożego, który miała przy sobie.

Jak tylko chory przyłożył go do boku bolącego, uspokoił się i usnął natychmiast, po raz pierwszy po dniach wielu, a po obudzeniu się, nie czuł już żadnego bólu.

Lekarz po zbadaniu pacjenta oświadczył, że zupełnie jest uzdrowiony.

410. Dwumiesięczna dziecina, Małgorzata Lenglet de Cambrai, dostała gwałtownych, często powtarzających się ataków konwulsji, co ją doprowadziło do bardzo opłakanego stanu. Po kilku tygodniach, lekarz orzekł, że dziecko żyć nie będzie. Pani Carbier, siostra generalnego wikarjusza Cambrai, dowiedziawszy się o tem przysłała zrozpaczonej matce medaljon z wizerunkiem Piusa IX zalecając, by go zawiesiła na szyjce chorej dzieciny, polecając się opiece Sługi Bożego. Pani Lenglet zastosowała się do tej rady i mała Małgorzata natychmiast wyzdrowiała.

411. Na wiosnę 1879 r. trzyletnia Alicja, córka Alfonsa Gadbois, byłego kaprala 4 bataljonu zuawów papieskich, skaleczyła się w nogę tak boleśnie, że wcale chodzić nie mogła.

Gadbois posiadał medal z wizerunkiem Piusa IX, medal ten kazał Alicji przyłożyć do bolącego miejsca, z wiarą polecając się opiece Sługi Bożego. Zaledwie dziecina wymówiła te słowa: „Ojcze święty, jestem córką jednego z twoich zuawów!“ w tejże chwili ból ustał zupełnie i dziewczynka mogła wnet biegać po ogrodzie.

412. Jakoś wkrótce po śmierci Piusa IX-go, Marja Paesani d'Osimo zachorowała na oczy i pomimo najrozmaitszych lekarstw ociemniała. Oddała się w opiekę Sługi Bożego, przykładając kawałek płótna, które dotykało ciała Ojca św. W kilka już chwil potem — wzrok odzyskała, ku wielkiemu zdzi-

wieniu otaczających. Od tego czasu wcale już ją oczy nie bolały.

---

413. W listopadzie 1882 r. w Seminarjum Spoletańskiem, zachorował na bronchit młody francuz, Franciszek Marroni. Matka bardzo zaniepokojona, zabrała go do domu, lecz niestety, choroba coraz więcej się rozwijała i przybrała ostry charakter.

W nocy po konsylium, pani Marroni, zrozpaczona groźnym stanem chorego, natchniona uczuciem żywej wiary, wzięła nitkę z materaca, na którym umarł Sługa Boży, (dostała bowiem kawałek płótna za pośrednictwem brata swego Izydora Verga, później kardynała) włożyła ją do szklanki z wodą, a następnie kazała synowi wypić mówiąc: „Teraz przekonam się dopiero czy Pius IX jest istotnie świętym". Chłopak już w godzin kilka czuł się lepiej, zażądał pokarmu, a wkrótce zupełnie wyzdrowiał.

---

414. Tegoż samego 1882 r., pani Giraud z Nicei, żona aptekarza, ciężko zachorowała. Doktorowie wezwani na konsylium znaleźli w ostatnim stopniu suchoty.

Jednak tak beznadziejnie chora została uzdrowioną wskutek nowenny do Najśw. Panny Niepokalanej, którą błagała o tę łaskę, za przyczyną Jej wiernego sługi Piusa IX. Nowennę tę odprawiały Siostry od świętej Marty, których przełożona, bratowa chorej, opowiadając o tem zdarzeniu zaznacza, że codziennie przy modlitwie do Najśw. Panny przyzywały na pomoc Ojca św. mówiąc: „Piusie IX, módl się za nami". Przytem dostarczono chorej relikwji Sługi Bożego.

Cud stał się ku zdumieniu i radości otaczających.

---

415. W klasztorze Santuccio 70 letnia zakonnica od lat kilku miała tumor w kolanie wzbudzający obawę, a że cierpienie wzmagało się ciągle, trzeba było wezwać lekarza. Po zbadaniu doktorzy Francini i Conti znaleźli, że jest to rak nieuleczalny. Opierając swą diagnozę na charakterystycznych symptomatach: wstrętnej woni, i silnej gorączce, zapowiadającej śmierć rychłą.

Pomimo wszelkich środków zaradczych, lekarze oświadczyli, że nie widzą możebności uratowania chorej, skóra bowiem dokoła rany odpadała kawałami i występował pot krwawy. Śmierć więc była nieunikniona. Chora miała wielkie nabożeństwo do Sługi Bożego Piusa IX, zwróciła się więc ku niemu w prostocie serca, z całym zapałem wiary, a po odprawieniu triduum przyłożyła do chorej nogi wizerunek Ojca św. Gorąca prośba chorej została wysłuchaną, rak był w cudowny sposób uleczony, ku niezmiernemu zadziwieniu lekarzy. Siostra po kilku dniach podniosła się z łóżka i wkrótce mogła już powrócić do swych zwykłych zajęć.

---

416. Paweł Crivelli z Vill'Albese, mając polipa w nosie, dochodzącego aż do gardła, co mu utrudniało oddychanie, udał się do Pawii, dla zasięgnięcia rady specjalistów, profesorów sławnego w tem mieście uniwersytetu.

Wynik porady nakazywał zrobienie operacji natychmiastowej. Zrozpaczony i przejęty obawą, Paweł nie chciał się na nią zgodzić, wolał raczej powrócić do domu, by tam godnie przygotować się do śmierci. Przedtem jednak, postanowił odwiedzić miejscowego biskupa, niegdyś swego proboszcza. Biskup mając wiarę w orędownictwo Piusa IX dał choremu jego relikwie i namówił do odprawienia nowenny, na co Paweł chętnie się zgodził. Przy końcu nowenny wyzdrowiał, i dotkliwe cierpienie nigdy się już nie powtarzało.

---

417. O. Grzegorz Risate, z zakonu Augustjanów bosych, złamał nogę, zeskakując z powozu gdy go konie uniosły. Zaniesiony do pobliskiego domu, pierwszą lekarską pomoc otrzymał od dr. Antoniego Baëna.

Wkrótce potem, lekarz dozorujący wraz z innymi wezwanymi z Kadyksu doktorami uznali konieczność amputacji nogi, w obec grożącej gangreny, W wigilję operacji, doktór przyszedł by poczynić potrzebne przygotowania, i aby ulżyć cierpieniom chorego, opatrzył rany balsamem i watą.

O. Grzegorz zasmucony wielce, widząc, że niema sposobu uniknięcia operacji, polecił się Piusowi IX z całą wiarą, i z pomocą O. Gonzoleza, rozpoczął nowennę do Sługi Bożego.

W dzień operacji a ostatni nowenny, doktór w obec chirurga z Kadyku zdjął bandaż z nogi i zdumiony znalazł, że amputacja jest zbyteczną, chory bowiem za przyczyną cudownego pośrednictwa Sługi Bożego — został uzdrowiony.

---

418. 80-cio letnia Karolina Bruno, mieszkanka la Vallette de Malte, dostała silnych dreszczów i duszności, ataków sercowych i bólu w lewym

boku, doprowadzających do utraty przytomności. Wezwany doktór domowy Manchè, znalazł chorą w bardzo groźnym stanie: upadek sił, twarz zmieniona, oddech ciężki, utrata mowy, puls częsty i słaby,– słowem—wszelkie symptomata zapowiadające ostre zapalenie płuc, z lewej strony, wraz z zaatakowaniem oskrzeli.

Przepisane stosowne lekarstwa w pierwszej chwili przyniosły ulgę, lecz wkrótce nastąpiło pogorszenie, chora leżała bez czucia prawie, miała oddech przyśpieszony, przerywany od czasu do czasu silnym kaszlem, wywołującym krwotoki. Stan chorej był beznadziejny. Doktór radził wezwać kapłana, a dla uspokojenia rodziny, zalecił pijawki, kompresy, przewidując jednak, że chora jutra nie dożyje. Zrozpaczone córki, poleciły chorą opiece Sługi Bożego, a najmłodsza Karolina, która chowała jako skarb najdroższy jego relikwie, przyniosła je i dała matce do ucałowania.

Uzdrowieniem nastąpiło momentalnie i doktór przyznał, że stać się to mogło jedynie za przyczyną nadprzyrodzoną.

---

419. W czerwcu 1890 r. w Hal (w Belgji) 14 letni Józef Berta został dotknięty chorobą piersiową—silną i nieubłaganą. Gorączka wiodła go szybkiemi krokami do śmierci. Mgr. de Pauw, przejęty litością na widok groźnego stanu chłopaka, jak również rozpaczy biednej matki której mąż i sześciu synów zmarło na suchoty, a teraz w jednym pozostałym przy życiu traciła ostatnią swą podporę, skłonił chorego, by z ufnością oddał się w opiekę Sługi Bożego, i rozpoczał nowennę; dał mu również kawałek szaty Ojca św. Pełen wiary Józef polecił się Piusowi IX. I stał się cud oczywisty.

Ostatniego dnia nowenny beznadziejnie chory wstał z łóżka i do dziś dnia jeszcze cieszy się zupełnem zdrowiem.

---

420. Siostra Rozalja Perayallo, zakonnica klasztoru Ukrzyżowanych w Genui, zasłabła na opuchnięcie boku wraz z objawami róży. Lekarstwa, doktorów i innych osób okazały się bezskutecznemi. Chora coraz więcej słabła a wyczerpana ostatecznie, prosiła o udzielenie jej ostatnich Sakramentów. Za pośrednictwem Sióstr uprosiła przełożoną Matkę Teresę Ballarani o relikwie Sługi Bożego. Dostarczono jej kawałek płótna należącego do Piusa IX.

Zostawszy samą w pokoju wyciągneła nić z tkaniny zanurzyła w w wodzie a oddawszy się się w opiekę Ojcu św. wypiła ją i natychmiast usnęła. W nocy, obudziła się nagle i ujrzała zdumiona św. Papieża w aureoli światła, przybliżającego się, dotykającego jej boku, a następnie znikającego zwolna.

W tej chwili została zupełnie uzdrowioną.

---

421. W czerwcu 1883 r., siostra Marquis, szarytka św. Wincentego à Paulo, lat 23, urodzona w Normandji, ciężko zachorowała, a wkrótce uznano stan jej za beznadziejny.

Doktorzy szpitalu Panfili dla nieuleczalno chorych w którym znajdowała się siostra Marta, wyczerpali wszelkie środki medyczne, lecz cierpienie i choroba żołądkowa rozwijały się coraz bardziej. Paroksyzmy stawały się coraz to gwałtowniejsze w połączeniu z wymiotami i nieustanną obstrukcją. W sierpniu, doktor Aldega w obawie o życie chorej. a nie chcąc brać całkowitej na siebie odpowiedzialności, wezwał na naradę profesora Cremonesi; ale jego diagnoza, jak i sposób leczenia nie różniły się w niczem od poprzednich Siostra Marta czuła się coraz gorzej. Żołądek jej już nie przyjmował żadnych pokarmów; użycie lekarstw stało się również niemożliwem. Dr. Ceccarelli zmuszony był poprzestać na zalecaniu tylko zewnętrznych środków.

W pierwszych dniach listopada, doktorzy stracili wszelką nadzieję utrzymania siostry Marty przy życiu.

Siostry i dzieci z domu pracy S. Maria in Cappella, w tej chwili boleśnej oddały chorę w opiekę Ojcu św.; a wszystkie razem w ostatni dzień nowenny udały się do grobu Ojca św.

D. 11 listopada dr. Aldega odwiedzając siostrę Martę znalazł ją konającą, a 12-go wstała, ubrała się sama, poszła do refektarza, jadła bez najmniejszej trudności. Tegoż samego dnia doktorzy, oznajmili, że jest zupełnie zdrowę w nadprzyrodzony sposób, wyłączając wszelkie inne przypuszczenia, jakie ludzie nauki w podobnych razach czynić zwykli.

---

422. Pani de Santis, zapadłszy na bronchit płucny, była przez doktora który ją leczył, zdekretowaną na śmierć. Kanonik de Santis, syn jej, przygotowawszy matkę do ostatniej spowiedzi, udał się do orędownictwa Sługi Bożego. W kilka dni chora zupełnie wyzdrowiała.

---

423. Dominik Menghi był już na progu śmierci z powodu tuberkułów. Rodzice kazali go dysponować na śmierć. O. Sebastjan Menghi z Braci Mniejszych, zasmucony cierpieniem i oczekiwaną

Apoteoza Piusa IX.

śmiercią młodego człowieka pełnego nadziei, przyszedł go odwiedzić przynosząc relikwie sługi Bożego i radząc, aby się jemu polecił.

Dominik z całą wiarą wypił łyżeczkę wody z Lourdes, w którą pogrążył kilka nitek z szaty Papieża, mówiąc: „Za pośrednictwem Najświętszej Panny i na chwałę Piusa IX!“ We dwa lub trzy dni potem zupełnie został uzdrowiony, i nigdy już od tej chwili śladów choroby nie odczuwał.

---

424. Pani Julja Andolfi, Biondi, ze wsi Résina, archidjecezji Neapolitańskiej, 30 kwietnia 1907 roku dostała zapalenia płuc, połączonego z zaatakowaniem serca.

Choroba zaostrzyła się do tego stopnia, że już 8 maja nie było żadnej nadziei zachowania chorej przy życiu. Lekarz Jan Gizos, oświadczył, że medycyna w tym razie jest bezsilną i Ostatnie Sakramenta zostały chorej udzielone. Kapłan wziąwszy stułę, zaczął odmawiać u jej wezgłowia modlitwy za konających. Gdy wtem pani Annuncjata Nocerino Vittozzi, przyjaciółka rodziny, przynosi konającej maleńką relikwię Ojca św., a przykładając do ust chorej każe ucałować; zebranej zaś rodzinie zaleca modlitwę gorącą i polecenie chorej opiece Sługi Bożego.

Było to 8 maja przed południem, za uderzeniem dwunastej godziny, chora unosi się, robi znak Krzyża św. Wszyscy okazują zdumienie, gdyż chora dotąd leżała bezwładna i nie dawała znaku życia. Zdawało się, że budzi się ze snu! W kilka godzin wezwany doktor, sądząc, że już chora umiera, zdziwiony był bardzo zbadawszy, że płuca są zupełnie zdrowe, serce prawidłowo bije.

Wkrótce chora zaczęła przyjmować pożywienie i uczuła się zupełnie uzdrowioną.

---

425. Ignacja Basusto w Meksyku, zachorowała w maju 1908 r. na ślepą kiszkę. Wezwany doktor uznał za niezbędną trudną operację, której nie chcąc się poddać wolała raczej umrzeć. Opatrzona świętemi Sakramentami, chora oddała się w opiekę Piusa IX-go obiecując pieszą pielgrzymkę do Rzymu, jeśli wyzdrowieje. Cud stał się, ku podziwowi lekarzy, a Ignacja natychmiast spełniła swój ślub, udając się do Rzymu na grób Ojca św.

---

426. Siostra Marja del Pilar, zwana w świecie Luz, zakonnica klasztoru San-José de la Gracia w Meksyku, została dotkniętą poważną chorobą oczu. Cierpienie jej do tego stopnia doszło, iż chwilami literalnie nic nie widziała. Brat jej, ksiądz, boleśnie zasmucony tak wielkiem nieszczęściem, pełen żywej wiary w orędownictwo Piusa IX, skłonił siostrę aby się udała pod jego przemożną opiekę, dał jej przytem relikwie przechowywane starannie.

Marja dotknąwszy relikwią oczu wzrok zupełnie odzyskała.

Postulator sprawy kanonizacji Piusa IX podając powyższe szczegóły zastrzega sobie prawo przedstawienia jeszcze innych w chwili stosownej, jeśli zajdzie tego potrzeba.

Nie czuje się wszelako obowiązanym dostarczać więcej dowodów zbytecznych, co oznajmia wyraźnie i stanowczo.

Rzym, 31 marca 1909 r.

Monsignior Antonio Cani.

Kanonik, arcykapłan bazyliki Najśw. Marji, od Męczenników, prałat domowy Jego Swiątobliwości.

Przebieg procesu kanonizacji Piusa IX.

Ponieważ cały świat katolicki żywo jest zainteresowany sprawą kanonizacji ś. p. Piusa IX, podajemy tu wiadomości ostatnie, dotyczące przebiegu procesu i przedwstępnych przygotowań.

Trybunał kanoniczny djecezji rzymskiej.

Postulator sprawy kanonizacji Piusa IX Mgr Cani i jego pomocnicy zajęci byli dotąd zebraniem odpowiednich dokumentów i wyborem świadków, mogących przyczynić się do dostarczenia ważnych szczegółów o życiu, cnotach, darach nadprzyrodzonych, świątobliwości i cudach Sługi Bożego.

Ta drobiazgowa i sumienna praca przygotowawcza jest w znacznej mierze ukończona i stanowi pięć części oddzielnych z czasów przebywania Piusa IX w Sinigaglji, Spoleto, Imoli, Neapolu i Rzymie. Postulator Mgr Cani przyrzeka dopełnić w razie potrzeby zebrane przez siebie dowody, (które obecnie podaliśmy w całości w piśmie „Życie Świętych") Od czasu ukazania się tej pracy dokumentalnej Monsignora Antoniego Cani, kanonika i arcykapłana bazyliki Najśw. Marji Panny od Męczenników i prałata domowego Jego Świątobliwości Piusa X uczyniony został jeszcze jeden krok ku przyśpieszeniu sprawy kanonizacji Piusa IX, albowiem do władzy djecezjalnej należy przesłuchanie świadków, przedstawionych przez postulatora i w tym celu kardynał-wikarjusz wyznacza trybunał kanoniczny djecezjalny, składający się z sędziego i kilku dodanych mu pomocników, sędziów delegatów, jednego lub dwóch promotorów fiskalisów i paru notarjuszów. Trybunał ten wyznaczono w Rzymie. Sędziami delegowanymi przez kardynała-wikarjusza są: Mgr Ludwik Lazzareschi i Mgr Boccanera, obaj arcybiskupi; promotorem-fiskalisem mianowany Mgr Angelo Sinibaldi, pod sekretarz wikarjatu; notarjuszem Mgr Franciszek Orzi.

Promotor fiskalis, Mgr Sinibaldi bada przedstawionych przez postulatora świadków, którzy odpowiadają sumiennie na zadawane im pytania; odpowiedzi te są spisywane przez notarjusza, a następnie odczytywane owym świadkom dla sprawdzenia i dozwolone im jest czynić dopełnienia lub poprawki w razie nieścisłości lub przeoczenia jakiego szczegółu.

Po złożeniu świadectw są one opatrzone pieczęcią. Zeznania piśmienne świadków nie mają wartości kanonicznej i są tylko przyjęte jako dodatkowe, *ad abundatiam*. Członkowie trybunału winni zachować w tajemnicy cały przebieg przesłuchiwania świadków i nie rozgłaszać go przed czasem.

Sesje trybunału.

Kiedy trybunał rzymski został sformowany wywiązałosię pytanie, czy kardynałowie należący do Kongregacji Obrzędów i przedstawieni jako świadkowie przez postulatora mogą świadczyć przed trybunałem, zważywszy, że następnie oni to właśnie będą powołani do wydania ostatecznego wyroku. Przedstawiono owo pytanie Ojcu św., który w specjalnym breve udzielił żądanego pozwolenia.

Naprzód więc przesłuchiwano świadectwa kardynała Nocella, który zajmował wysokie stanowisko podczas rządów Piusa IX i jego zeznania były nader cenne. Kardynał ten, złożony ciężką chorobą, z której umarł w roku zeszłym, musiał świadczyć leżąc w łóżku, było to bowiem na parę miesięcy przed jego zgonem.

Drugiego świadka badano w sierpniu, zeszłego roku. Jest to siostra kardynała Macchi, zakonnica, Sercanka, przełożona klasztoru we Florencji.

Ją to wezwano jedną z pierwszych, ze względu na jej wiek podeszły, a następnie dla tego jeszcze, że nie mogł zbyt przedłużać swej nieobecności w klasztorze.

Zeznania jej były bardzo doniosłe, gdyż mówiła w swojem i zmarłego brata imieniu, oraz od kilku sióstr klasztoru *Trinite del Monti*. Badania trwały dwadzieścia godzin, i za jęły dziesięć sesji kolejnych.

Kardynał Oreglia, dziekan św. Kolegium, był trzecim z rzędu świadkiem. Papież Pius IX przyozdobił go kardynalską purpurą w 36-ym roku jego życia on to jeden tylko pozostał na zajmowanem stanowisku od czasów rządów świątobliwego Sługi Bożego, nie dziw więc, że jego świadectwa mają doniosłe wielce w procesie kanonizacyjnym znaczenie.

Kardynał della Volpe, niegdyś kamerling sekretny Papieża Piusa IX, składał już kilkakrotnie świadectwa i jeszcze ma być nieraz wzywany.

Kardynał Vivès y Tuto będzie nieco później przesłuchiwany, a być może również inni członkowie św. Kolegium.

Zebrania w celu badań odbywały się dotąd w dość dalekich odstępach, obecnie postanowiono je przyśpieszyć, wyznaczając sesję co tydzień.

Jak długo proces potrwać może?

Na to pytanie dość trudno jeszcze dziś dać ścisłą odpowiedź, albowiem przedewszystkiem muszą być ukończone procesa djecezjalne w liczbie pięciu, jak to zaznaczyliśmy na początku, następnie zostaną one do-

ręczone Kongregacji Obrzędów, gdzie będą rozpatrywane, w końcu nastąpi odczytanie prac Sługi Bożego.

Wszystko to wymaga dość długiego czasu. Wszelako jest nadzieja, że przy pilnem staraniu i otrzymaniu dyspensy z obowiązkowych dziesięciu lat, wymaganych pomiędzy ukończeniem procesów djecezjalnych a otworzeniem procesu w Kongregacji Obrzędów, za lat pięć do sześciu sprawa zostanie ukończoną.

Chodzi tylko o energiczne prowadzenie prac przygotowawczych, tembardziej, że wielu świadków jest już w bardzo podeszłym wieku, trybunał też ogromnie żywo zajmuje się tą sprawą.

Całe duchowieństwo, zgromadzenia religijne i wszyscy wierni całego świata oczekują z upragnieniem wyniesienia Piusa IX na ołtarze.

Ojciec św. Pius X, odczytawszy cały memorjał Mgr Cani, rzekł:

— Wszystko to jest dowodem świętości!

Tak samo wyraził się, gdy chodziło o postawienie pomnika Piusa IX w Sinigalji na placu publicznym, powiedział wówczas:

— Miejsce świętych jest w kościele!

Pius IX w Ferrarze i przypomnienie cudu Eucharystycznego.

Dnia 13 lipca 1857 r. Papież Pius IX w przejeździe przez Ferrarę, przebywał wieczorem ulice starego miasta, udając się do bazyliki Najśw. Marji *del Vado*. Otaczał go orszak wspaniały, składający się z kardynałów, arcybiskupów i prałatów.

Witano go radośnie i zaledwie można było przedostać się przez tłum wiernych do wnętrza kościoła oświetlonego rzęsiście, jak w dniach największych uroczystości.

Pius IX ukląkł przed wielkim ołtarzem, adorując w Najśw. Sakramencie Jezusa Utajonego, następnie zwrócił się do jednej z kaplic, gdzie znajdują się w bogatej oprawie z marmuru i ze złota, starożytne kamienie, noszące na sobie ślady plam krwawych. Od siedmiuset lat lud Boży przybywa do tej świątyni Pańskiej, aby składać hołd cudownej krwi Zbawiciela.

Papież zbliżył się z głęboką czcią do Najśw. relikwji i wskazując krwawe plamy, rzekł do towarzyszącego mu kardynała:

— Te krople krwi podobne są do tych, jakie znajdują się w Orwieto.

To mówiąc ukląkł, modląc się w skupieniu.

Jakże te ślady krwi Boskiej, widomy znak wiekuistej ofiary Jezusa na ołtarzu, musiały przemawiać wymownie do serca Piusa IX, ciężko zranionego i napojonego goryczą!

Oddawszy cześć należną miejscu uświęconemu, Papież wyszedł wzruszony.

Następnie Pius IX życzył sobie przyjąć udział we wspaniałych uroczystościach podczas obchodu siódmej z rzędu stuletniej rocznicy cudu w Ferrarze i w 1871 r. wyznaczył duchowieństwu miejscowemu specjalne oficjum dla odprawiania corocznie solennego nabożeństwa w piątą niedzielę po Wielkiejnocy na pamiątkę owego cudu.

Z tego oficjum i z pisarzy najgodniejszych zaufania czerpiemy szczegóły następujące:

W pierwszy dzień Wielkiejnocy 28 marca 1117 r. w kościele Najśw. Panny *del Vado* obchodzono bardzo uroczyście święto Zmartwychwstania.

Przełożony kanoników obsługujących ten kościół, Piotr z Werony, wielce przykładnego życia i wzorowych obyczajów, miał mszę śpiewaną przed wielkim ołtarzem, znajdującym się naówczas w tem miejscu, gdzie obecnie zawieszony jest cudowny obraz Matki Boskiej malowany, jak mówią przez św. Łukasza.

Trzech innych księży i kilku kleryków znajdowało się tam również, a kościół był przepełniony wiernymi. Być może, że w tym tłumie znajdowali się też jacyś odszczepieńcy, których nie brakło w Ferrarze, do tychże należeli: Katarowie, zwani też Patarynami, byli to sekciarze nie przyznający rzeczywistej obecności Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie. Dużo ich znajdowało się w owym czasie w północnych Włoszech. Było też dużo Żydów nawróconych którzy następnie znowu powracali do dawnej swej wiary. A może jakieś nowe klęski groziły owczarni Chrystusowej, jednem słowem, że Pan Jezus chciał okazać wyraźnie swoją rzeczywistą obecność na ołtarzu i przypomnieć, że chociaż pod postacią eucharystyczną ukryty, jak niegdyś w Jerozolimskim grobie, może w każdej chwili wyłonić się z tajemniczej osłony i ukazać się w całym blasku swego ziemskiego ciała i boskiego majestatu.

Po błogosławieństwie, kiedy kapłan wzniósł Przenajśw. Hostję, wszyscy obecni dostrzegli natomiast cudnej piękności Dziecię wielkości Hostji św., ale jak pisze historyk Scalabrini, była ona znacznie większą naówczas jak obecnie, tak, że dokładnie widziano postać Boskiego Dzieciątka.

Zapanowało wielkie wzruszenie wśród świadków tak nadzwyczajnego cudu, ale nagle w chwili, gdy celebrant łamał Przenajśw. Hostję, wielkie krzyki przerażenia zamąciły ogólne zachwycenie, albowiem z rąk kapłana spłynęły obfite strugi krwi, napełnił się nią kielich, przytem korporał, ołtarz, komża i ornat kapłana, zbryzgane były krwią purpurową, wreszcie jeszcze obfitsza struga bryznęła naraz w górę z taką siłą, że dosięgła kościelnego sklepienia.

Trudno jest opisać lęk i przerażenie obecnych, na widok tak zadziwiających objawów. Któż mógł wątpić jeszcze wobec takich oczywistych dowodów, o obecności rzeczywistej Jezusa na ołtarzu?...

Żydzi nawróceni, a następnie odstępujący od katolicyzmu, dla powrócenia znów do dawnych błędów otrzymali w tym dniu pamiętnym, najwyraźniejszą odpowiedź na swe ohydne bluźnierstwa.

Dnia 3 Stycznia.

ŚWIĘTA GENOWEFA

PATRONKA PARYŻA.

422—512.

Za rządów papieża: Celestyna I, królów francuskich Childeryka, Klodoweusza I.

Dusza tembardziej łaknie rozkoszy duchownych im bardziej niemi się karmi.
Św. Grzegorz Wielki.

Pierwsze lata. Przepowiednie św. Germana.

Św Genowefa urodziła się w 422 r. w Nanterre pod Paryżem podczas rządów cesarzy Honoriusa i Teodozjusza młodszego, wkrótce po założeniu monarchji francuzkiej.

Ojciec Genowefy Sewer i matka Gerancja zaliczali się do najzamożniejszych i najznakomitszych mieszkańców miasteczka Nanterre, cieszyli się ogólnem poważaniem i żyli w bojaźni Bożej.

Imie Genowefa oznacza w języku celtyjskim „niebiańskie usta“, a miała też Genowefa łagodność prawdziwie anielską; pierwsze lata jej życia upłynęły w domu rodzicielskim, pod troskliwą opieką. Chowano ją bogobojnie, rozbudzając w młodocianem sercu miłość Bożą, a pobożność dziewczęcia była istotnie zdumiewającą w tak młodym wieku. Można było spodziewać się już zawczasu, że dzieweczka ta osiągnie wysoki stopień doskonałości, dążyła bowiem usilnie do zdobycia wszystkich cnót chrześcijańskich, a myśl o zbawieniu duszy zajmowała ją przedewszystkiem.

W tym czasie św. German biskup udając się do Anglii ze św. Lupusem dla zwalczania herezji Pelagjanów, zatrzymał się przejazdem w Nanterre. Ludność miejscowa zgotowała mu serdeczne przyjęcie i wszyscy śpieszyli otrzymać błogosławieństwo świętobliwego biskupa.

Św. German miał w kościele piękne kazanie, następnie zaś zauważywszy małą Genowefę, która słuchała słów jego z nadzwyczajną uwagą, kazał jej przybliżyć się, pocałował ją w czoło i rozmawiał z dzieweczką z prawdziwie ojcowską troskliwością a wezwawszy rodziców Genowefy zwrócił się do nich w te słowa:

— Powinniście błogosławić ten dzień, w którym Bóg obdarzył was tem dziecięciem. Aniołowie w niebie radowali się z tego powodu, cnoty jej uczynią ją miłą Bogu i do końca życia wytrwa ona w niewinności i świątobliwości, jak to sobie postanowiła. Najcnotliwsi ludzie będą ją kiedyś za wzór brali.

Św. biskup obdarzył Genowefę miedzianym wizerunkiem Ukrzyżowanego, który przez całe życie na szyi nosiła. Zapytał ją następnie, czy chce być Oblubienicą Chrystusową?

— Jest to mojem najgorętszem pragnieniem, odpowiedziała Genowefa, a twarz jej promieniejąca radością świadczyła wymownie, że słowa te płynęły istotnie z głębi niewinnej i Bogu zupełnie oddanej duszy.

Genowefa prosiła świętego, aby mogła złożyć w jego ręce ślub czystości i otrzymać jego błogogosławieństwo.

Św. German uczynił zadość jej żądaniu, zachęcając przytem młodziutką Genowefę do wytrwania w postanowieniu; wyrzeczenia się wszelkich ozdób i klejnotów, pragnąc tylko tego, co duszę upiększa i wzbogaca.

Dziejopisarze utrzymują, że Genowefa miała natenczas lat dziesięć najwyżej, kiedy otrzymała błogosławieństwo św. Germana, a proroctwo jego sprawdziło się w zupełności, wzrastała bowiem dzieweczka w cnocie, a jedyną jej rozkoszą było nabożeństwo w kościele.

Uzdrowienie Gerancji.

Po odjeździe świętobliwych biskupów Genowefa jeszcze więcej oddawać się poczęła rozmyślaniom o niebiańskich rzeczach.

Pewnego dnia matka Genowefy wybierała się do kościoła, a dzieweczka chciała jej koniecznie towarzyszyć. Niewiadomo z jakiego powodu matka sprzeciwiała się temu i w żaden sposób nie chciała pozwolić Genowefie wyjść z domu.

Genowefa poczęła płakać i nalegać, aby matka wzięła ją z sobą.

— Przyrzekłam biskupowi, że będę święte wiodła życie, mówiła, powinnam więc często bywać w kościele.

Nie pomogły jednak prośby córki, wreszcie matka zniecierpliwiona podniosła na nią rękę i spoliczkowała. W tej że chwili rażona ślepotą gorzko swego uniesienia żałowała.

Przez dwadzieścia i jeden miesięcy Gerancja pozbawioną była wzroku i często przypominała sobie

naówczas słowa św. Germana i jego przepowiednie dotyczące przyszłości Genowefy.

Wiedziona dobrem natchnieniem, kazała pewnego dnia córce zaczerpnąć wody dzbankiem z pobliskiego źródła, następnie przeżegnać tę wodę i zwilżyć nią matce oczy, co gdy uczyniła, gorąco przy tem prosząc Boga o uzdrowienie swej rodzicielki, Bóg miłosierny wzrok Geroncji powrócił.

Cudowny ten wypadek sprawił na wszystkich silne wrażenie i oboje rodzice Genowefy, którzy aczkolwiek pobożni nie życzyli sobie, aby córka ich poświęciła się Bogu, pogodzili się zupełnie z tą myślą i w niczem już nie krępowali jej woli.

Św. Genowefa w Paryżu.

Nie było jeszcze na ten czas żeńskich zgromadzeń zakonnych w Galji, a dziewice ślubujące czystość dozgonną pozostawały w rodzinie, lub oddawały się uczynkom miłosiernym, spełniając posługę przy chorych.

Św. Genowefa miała prawdopodobnie lat piętnaście, gdy ślubowała uroczyście dziewictwo i wraz z dwoma innemi pannami przyjęła welon zakonny z rąk biskupa paryskiego św. Feliksa.

Po śmierci rodziców Genowefa opuściła rodzinne miasto i przeniosła się do Paryża, gdzie zamieszkała u swej matki chrzestnej. Zaledwie jednak tam się znalazła, Bóg zesłał na nią dotkliwą próbę, tknięta bowiem paraliżem musiała pozostawać bez ruchu a nawet raz w przeciągu trzech dni leżała wpół martwa nie dając znaku życia i tylko słabe bicie serca świadczyło, że nie nadeszła jeszcze ostatnia jej godzina.

Ale im więcej cierpiało ciało, tem więcej dusza św. Genowefy wznosiła się na wyżyny a podczas gdy sądzono ją blizką śmierci cielesnej, miała tak cudowne widzenia, że zdawało się jej, iż znajduje się pomiędzy aniołami, niebiańskich doznając rozkoszy.

Kiedy Genowefa odzyskała zdrowie poczęła odtąd jaśnieć cnotą i przykładem swoim zagrzewać do miłości Bożej.

Genowefa miała dar przenikania myśli ludzkich, co jej dopomagało wielce do budzenia dusz oziębłych, a gorące jej, pełne zapału słowa, działały zbawiennie i pobudzały do skruchy. Bogobojna Genowefa umartwiała nieustanie ciało postami, a modląc się wylewała łzy obfite. Św. German był jej kierownikiem i on to uświęcał wciąż tę wzniosłą duszę.

Surowość św. Genowefy pod względem postów przechodziła wszelką miarę, jadała bowiem tylko dwa razy tygodniowo, we czwartki i w niedziele, a posilała się wyłącznie chlebem jęczmiennym i jarzynami. Wytrwała w tem do 50 roku życia i dopiero naówczas z rozkazu biskupa poczęła jadać trochę ryby i mleka. Wina nigdy w życiu w ustach nie miała i bez mięsnych potraw obywała się w zupełności.

Nierozdzielnemi jej towarzyszkami, jak się wyraża jeden z dziejopisarzy, były: wiara, wstrzemięźliwość, cierpliwość, prostota, niewinność, spokój, miłość, umartwienie, czystość, prawda i mądrość. Cóż dziwnego, że w tak dobrem towarzystwie przebywając nie tęskniła do świata i jego uciech a czuła się najszczęśliwszą w swojej izdebce, modląc się i rozmyślając o swym niebiańskim Oblubieńcu.

Ilekroć zaś opuszczała swą celę, zdawała się być aniołem zstępującym z nieba dla niesienia pomocy ludziom.

Zawiść i prześladowania. Św. German broni publicznie św. Genowefę.

Tak wielka świętobliwość obudziła wkrótce ludzką zawiść. Znaleźli się niegodni oszczercy, którzy twierdzili, że Genowefa jest obłudną i udaje tylko świętoszkę przed światem. starano się szerzyć owe niecne potwarze, a ponieważ ludzie zawsze skłonni są do uwierzenia złemu, poczęto spoglądać na świętobliwą Genowefę z pewnem niedowierzaniem.

W tym czasie św. German wezwany powtórnie do Anglii dla zwalczenia herezji, przybył do Paryża. Było to na pięć albo sześć lat po jego pierwszym pobycie w Galji, to jest obecnej Francji.

Starano się i przed biskupem również przedstawić Genowefę jako obłudną i rzucano na nią potwarze, ale św. German, znając doskonale czystość tej wybranej duszy, potrafił osłonić ją swoją powagą, a nawet w gorącej przemowie do ludu publicznie bronił Genowefy i podnosił jej zasługi, co było zupełnie wystarczającem, aby stłumić bezpodstawne plotki i napaści.

Pomimo młodego wieku Genowefa miała w sobie tyle powagi, że nie wahano się powierzyć jej pieczy kilkanaście młodych panien, które również ślubowały czystość, a młodziutka przełożona tego zgromadzenia potrafiła tak dobrze wywiązać się z zadania, że kilka z jej towarzyszek stały się prawdziwym wzorem cnoty i świętobliwości wyjątkowej.

Ciekawość ukarana. Cudowne uzdrowienie.

Św. Genowefa miała zwyczaj usuwać się na czas pewien od ludzi i zwykle od święta Trzech Króli aż do Wielkiego Czwartku nie opuszczała swej celi, aby w samotnych rozmyślaniach przebywać wyłącznie z Bogiem.

Ale ciekawość i złość ludzka chciała i w tem zamiłowaniu świętej do samotności dopatrzeć się jakiejś obłudy. Pewna kobieta postanowiła sobie

śledzić świętobliwą dziewicę i w tym zamiarze przyłożywszy twarz do szpary we drzwiach, starała się dojrzeć Genowefę, aliści nagle oślepła i aż do końca postu tę zasłużoną karę boską znosić musiała. Dopiero gdy św. Genowefa wyszła ze swej celi znakiem krzyża św. zdjęła ślepotę z oczu owej niewiasty. Wiele podobnych cudownych uzdrowień czyniła święta za pomocą przeżegnania lub namaszczenia olejem poświęconym.

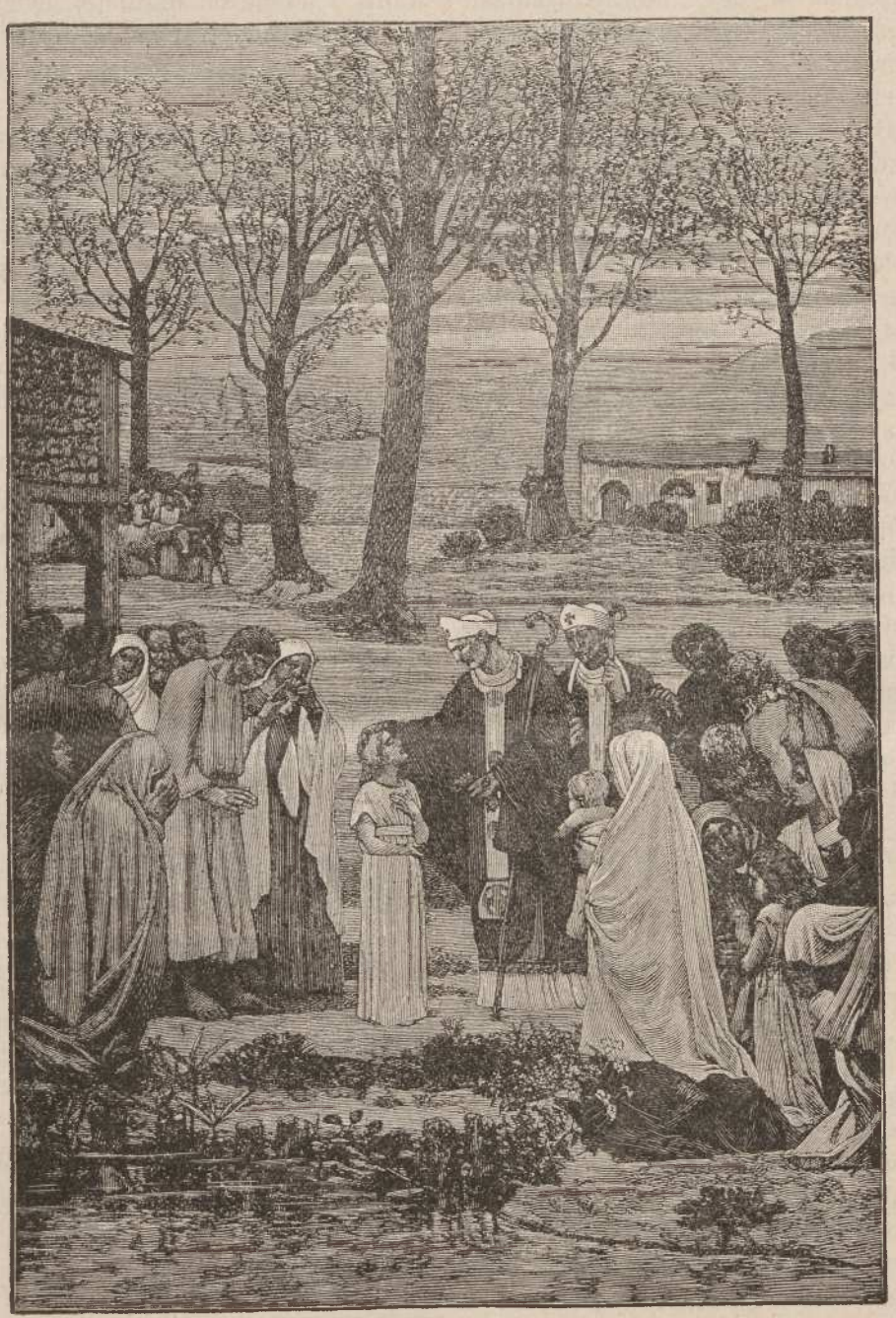

Św. Genowefa ślubuje Bogu, św. German ją błogosławi.

Najazd Hunnów. Spełnienie proroctwa św. Genowefy.

Attyla, wódz Hunnów, przezwany *biczem Bożym*, wtargnął do Galji w 451 r. na czele całej barbarzyńskiej hordy, pustosząc wsie i miasta, mordując bezbronnych mieszkańców, grabiąc kościoły, sprawiając jednem słowem najokropniejsze klęski. Kiedy dowiedziano się, że Attyla zbliża się do Paryża, zapanowało ogólne przerażenie, uciekano w popłochu, unosząc z sobą co kto miał z kosztowności, aby nie stały się łupem barbarzyńców.

Św. Genowefa nie podzielała ogólnej trwogi, a przeciwnie zachęcała wszystkich do pozostania na miejscu, zapewniając, że jeśli będą czynili pokutę i modlili się szczerze o oddalenie niebezpieczeństwa, Bóg ich prośby wysłucha.

Niektóre niewiasty poszły za radą świętej i ra-

zem z nią dniem i nocą błagały Wszechmocnego o litość i ratunek zagrożonej ojczyzny. Mężczyzni również poczęli naśladować dobry przykład i polecali się Bogu, ufając, że św. Genowefa zdoła uprosić pomoc niebiańską w tak rozpaczliwem położeniu. Znaleźli się jednak i tacy, którzy oskarżali głośno Genowefę, że do zguby pewnej wiedzie swych współbraci i na śmierć niechybną ich naraża. Zawzięci nieprzyjaciele zamyślali nawet zgładzić świętą ze świata, ale Bóg miłosierny niedopuścił i tym razem, aby złe nad dobrem tryumf odniosło, a tak samo jak za pierwszym razem św. German wziął Genowefę w obronę, tak teraz znów arcydiakon, przybyły do Paryża, ocalił niewinną ofiarę.

Przemówił on do zgromadzonego tłumnie ludu, przypominając jak wielce św. German świętobliwą Genowefę poważał i jak wysoko cenił jej cnoty, uważając ją przytem od lat najmłodszych za wybraną przez Boga. W obec przepowiedni św. Genowefy, że Paryż wolnym będzie od napadu barbarzyńców, mieszkańcy nabrali otuchy i pozostali na miejscu, nie myśląc już o ucieczce.

Przepowiednia spełniła się, Attyla bowiem inną zupełnie obrał drogę, pomijając dzisiejszą stolicę, następnie zaś Gallowie z pomocą Rzymian, Wizygotów i Franków odnieśli walne zwycięstwo pod Chalons nad Marną w 451 r. Od tej pory sława św. Genowefy ogromnie wzrosła, przypisywano jej modłom ocalenie ojczyzny i podziwiano jej mądrość i cnoty.

Paryż zawładnięty przez Franków. Miłosierdzie św. Genowefy.

W pięć albo sześć lat potem Merowing, trzeci król Franków po długo trwającem oblężeniu zawładnął Paryżem, św. Genowefa nie uprosiła u Boga uniknięcia tego ciosu, albowiem znać duchem proroczym natchniona wiedziała, że jest to zgodne z wolą Opatrzności i że przez nawrócenie Franków, Paryż stanie się z czasem stolicą jednego z najpotężniejszych mocarstw tego świata.

Natomiast miłosierdzie tej świętej okazało się w całej pełni z powodu głodowej klęski, dotykającej całą okolicę Paryża po długotrwającem oblężeniu.

Dużo ludzi marło wprost z głodu i nędzy, wówczas błogosławiona ręka Genowefy niosła pomoc nieszczęśliwym, udała się bowiem ta święta dla zbierania jałmużny po miastach i w krótkim czasie potrafiła wyprosić u kupców zbożowych tak hojne ofiary, że jedenaście statków napełnionych zapasami żywności sprowadziła do Paryża.

Podczas tej podróży czyniła święta Genowefa liczne cuda. Pomiędzy innymi uzdrowiła dotkniętą paraliżem żonę oficera Passiwusa; w Troyes powróciła wzrok ślepym, leczyła chorych i opętanych.

Powróciwszy do Paryża zajęła się sama sprawiedliwym podziałem przywiezionych zapasów żywności pomiędzy najwięcej potrzebujących a także kazała przyrządzać dla nich gorącą strawę i w ten sposób przyczyniła się w znacznej mierze do uratowania Paryżan od okropnej nędzy.

Sława cudów i miłosierdzia św. Genowefy rozeszła się daleko aż po za granice jej rodzinnego kraju.

Św. Szymon Słupnik, znajdujący się podówczas w Azji dostrzegłszy u stóp słupa kupców przybyłych z Paryża, których ciekawość do niego przywiodła, prosił ich, aby pozdrowili w jego imieniu świętą swą współrodaczkę i polecili go jej modłom. Zapewne Bóg objawił mu o jej niezwykłej świętobliwości, albowiem jak wiadomo święty ten mąż w zupełnem oderwaniu od doczesnego życia wiódł pustelniczy, na dobrowolną mękę skazany żywot.

Król Merowing okazywał też zawsze wielkie poważanie św. Genowefie oceniając jej poświęcenie dla współbraci, a ponieważ był poganinem, uważał tę mężna chrześcijankę za zeszłą na ziemię boginię i ułaskawił jeńców, za którymi prosiła.

Syn jego Childeryk również miał wielką cześć dla świętej, a czując, że trudno by mu było oprzeć się jej wymownym prośbom o uwolnienie na śmierć skazanych, rozkazał zamknąć bramy miasta podczas wykonania wyroku, aby św. Genowefa nie mogła się dostać za mury. Pomimo to jednak opiekunka nieszczęśliwych zdołała znaleźć sposób, aby na czas pośpieszyć i gorącymi słowami potrafiła przekonać pogańskiego króla, który na jej żądanie skazańcom darował życie.

Wielki Klodoweusz I, pierwszy chrześcijański król Franków, hołd składał cnotom i świętobliwości Genowefy i za jej wpływem ułaskawiał więźniów, dawał hojne jałmużny, budował kościoły, obdarzył też świętą obszernemi posiadłościami w okolicy Reims, gdzie został ochrzczony.

Św. Klotylda, żona Klodoweusza, czuła się niezmiernie szczęśliwą, gdy odwiedzała ją św. Genowefa i na pobożnych rozmowach długie spędzała z nią godziny.

Wszyscy dziejopisarze przyznają, że św. Genowefa przyczyniła się w wielkiej mierze do nawrócenia pogańskich Franków i dla tego Francja czci ją jako patronkę całego kraju, zwłaszcza zaś stołecznego miasta Paryża.

Początek opactwa św. Dyonizego.

Św. Genowefa dała pobudkę do wzniesienia kaplicy na cześć św. Dyonizego, Eleuterego i Rustyka, która była zawiązkiem słynnego następnie opactwa św. Denis. Wiele pięknych podań o budowaniu tej kaplicy krąży dotąd pomiędzy ludem;

w cudowny sposób znaleziono materyał do budowy na miejscu przez św. Genowefę oznaczonym, cudownie również miały być napełnione naczynia z winem przeznaczone do pokrzepienia pracujących przy tej budowie rzemieślników i wino owe pomnażało się ustawicznie, aż do ukończenia kaplicy.

Kiedy św. Genowefa ze swemi towarzyszkami szła podczas burzliwej i ciemnej nocy do kościoła a pochodnia zgasła w jej ręku, mocą modlitwy zapaliła ją na nowo. W Sw. Denis również uzdrowiła Genowefa dwunastu opętanych, przyprowadzonych do niej z Paryża, a skromność świętej, nie pragnącej rozgłosu, skłoniła ją do przypisywania tego cudu wyłącznie wstawiennictwu św. męczenników: Dyonizego, Eleuterego i Rustyka.

Wpływ św. Genowefy i jej cuda.

Całe życie św. Genowefy przedstawia się jako szereg cudownych wydarzeń.

Miała wpływ ogromny na otoczenie i niezliczonych nawróceń stała się powodem.

Razu pewnego będąc w mieście Meaux mówiła o niezrównanej szczęśliwości Oblubienic Chrystusowych z takim zapałem, że młoda narzeczona, imieniem Celina, mając poślubić jednego z najpiękniejszych i najbogatszych rycerzy, wyrzekła się niezwłocznie ziemskiego szczęścia, aby pójść w ślady świętej i złożyć śluby czystości. Narzeczony Celiny dowiedziawszy się o tem postanowieniu, zapałał strasznym gniewem i wpadł jak szalony chcąc zamordować Celinę wraz ze św. Genowefą. Nim jednak zdołał to uczynić, obie schroniły się do kościoła, a chociaż drzwi były na klucz zamknięte, otworzyły się same i wnet zamknęły za ukrywającemi się w świątyni Pańskiej niewiastami.

Widząc to rycerz przekonał się dowodnie, że była w tem wola Boża i nie stawił już oporu chwalebnym zamiarom narzeczonej, która stała się pokorną Oblubienicą Chrystusa i za przykładem św. Genowefy zasłużyła sobie zaszczytne miejsce w dziejach Świętych Pańskich. Kościół św. obchodzi jej pamięć dnia 21 października, w tym samym dniu co i drugiej św. Celiny, matki Remigjusza, arcybiskupa.

Św. Genowefa uzdrowiła także w Meaux dwie osoby nieuleczalnie chore. Stał się też cud wielki za jej przyczyną, kiedy bowiem znajdowała się na polu podczas żniwa, deszcz ulewny lał dokoła, niszcząc plony, a cały łan należący do św. Genowefy pozostał nietknięty i ani kropla wody nie spadła na żniwiarzy.

Pewien adwokat z tegoż miasta Meaux cierpiał bardzo z powodu głuchoty, udał się więc do świętej z ufnością w jej modlitwy, a św. Genowefa uzdrowiła go, uczyniwszy nad nim znak krzyża św,

Podczas pielgrzymki do grobu św. Marcina, uzdrowiła święta w Orleanie młodą dziewczynkę imieniem Klaudja, którą zastała konającą prawie.

Pewien służący obraził raz swego pana, a ten mocno zagniewany nie chciał w żaden sposób darować mu winy. Sługa ów zwrócił się do św. Genowefy z pokorną prośbą o wstawienie się za nim, ale pan nie chciał przebaczyć nawet na usilne błagania św. Genowefy.

Bóg jednak sprawił, że zawziętość jego została ukarana. Dostał nagle silnej gorączki, choroba przyszła bez żadnego powodu, a była tak groźną, że zdawało się chory lada chwila ducha wyzionie.

Wówczas wystraszony posłał do św. Genowefy przyrzekając spełnić wszystko, czego tylko od niego zażąda, byle mu wyprosiła zdrowie u Boga.

Św. Genowefa skorzystała z tego, aby uzyskać przebaczenie dla służącego, poczem chory natychmiast wyzdrowiał, błogosławiąc odtąd świętobliwą opiekunkę chorych i pokrzywdzonych.

Św. Genowefa dokonała wiele cudownych uzdrowień w Tours, gdzie się znajdują relikwie św. Marcina. Bardzo liczne były w owych czasach wypadki opętania przez złego ducha; pod błogosławionym wpływem świętej nieszczęśliwi zostawali uwolnieni od szatańskiej mocy i na głos wołali, że św. Marcinowi i świętobliwej Genowefie zawdzięczają swe uzdrowienie.

Za pomocą pomazania oliwą poświęcaną św. Genowefa przywróciła słuch, wzrok i mowę dziecięciu będącemu kaleką od urodzenia. Inne znów dziecię, które przypadkiem wpadło do studni i wyciągnięto je ztamtąd bez życia, płaszczem swoim okryła i płacząc nad niem rzewnie, modlitwą swą wskrzesiła.

Relikwje św. Genowefy i pośmiertne cuda.

Św. Genowefa zeszła z tego świata 5 stycznia 513 r. wkrótce po śmierci króla Klodoweusza i obok niego została pochowaną w kościele św. Apostołów w Paryżu. Kościół ten dokończony później nieco przez królowę Klotyldę, otrzymał następnie tytuł św. Genowefy i był obsługiwany przez zakonników aż do czasu spalenia go przez Normandów. Po odbudowaniu oddany został kanonikom świeckim, a w r. 1148 kanonikom regularnym św. Augustyna.

Za panowania krola Dagoberta I ciało św. Genowefy wydobyto z ziemi i pomieszczono w kosztownym relikwiarzu, zrobionym przez św. Eligjusza z Noyon a w 1242 r. przeniesiono do drogocenniejszego relikwiarza, ozdobionego klejnotami, będącemi darem królów francuzkich.

Wiele osób doświadczyło łask niezwykłych za przyczyną św. Genowefy. Chromi, ślepi, głuchoniemi odzyskiwali zdrowie przy jej grobie. Pewna ko-

bieta nie szanując dnia świątecznego zabrała się do czesania wełny w dzień Narodzenia Najświęt. Maryi, a gdy zwrócono jej uwagę, że tak czynić nie należy, odpowiedziała: „Ponieważ Matka Boska była jak ja ubogą i pracowała również, więc nie może mieć mi tego za złe“. Zaledwie wyrzekła te słowa ręka jej trzymająca szczotkę zacisnęła się kurczowo tak, że niepodobna było ją rozgiąć i dopiero zwolnioną została od tej kary Bożej modląc się usilnie na grobie św. Genowefy.

Podczas wylewu Sekwany, która zalała wszystkie okoliczne domy i klasztory na znaczną wysokość, zauważono, że łóżko na którym święta Genowefa oddała ducha Bogu, zostało nietknięte, chociaż woda sięgała wysoko dokoła.

Za panowania króla Ludwika VI gdy wybuchła straszna zaraza. zwana, niewiadomo dla czego „świętym ogniem“, a będąca właściwie silną gorączką zabijającą wszystkich nią dotkniętych, lekarze daremnie wysilali się, aby zaradzić złemu. Wówczas biskup Stefan uroczystą urządził procesję z relikwiami św. Genowefy i wszyscy chorzy wyzdrowieli za wyjątkiem trzech tylko. Z powodu tego nadzwyczajnego cudu wystawiono piękny kościół pod wezwaniem świętej patronki, a kiedy w następnym roku papież Innocenty II przybyl do Paryża, przekonawszy się o prawdziwości tego cudu, polecił corocznie obchodzić jego pamiątkę w dniu 26 listopada, co też dotąd się praktykuje.

W czasie rewolucji 1793 roku szacowne te relikwie św. Genowefy były przez bezbożników na placu Greve publicznie spalone, dzikość bowiem rewolucjonistów nie miała końca i miary i dopuszczano się podówczas strasznych okrucieństw, od których włosy na głowie powstają z przerażenia. Kościół św. Genowefy zamieniono na panteon. Za króla Ludwika XVIII r. 1822 gmach ten wrócił do pierwotnego swego przeznaczenia, ale rewolucja 1830 r. znowu obróciła go na świecki użytek, a panteon ów dopiero cesarz Napoleon III oddał znowu na cześć Bożą,

Kamienna trumna św. patronki pozostała dziś jedyną pamiątką dla wiernych i znajduje się w kościele św. Stefana, gdzie zawsze jest celem licznych pielgrzymek. Corocznie 3 stycznia rozpoczyna się tam nowenna na cześć św. Genowefy i pomimo obecnego zobojętnienia religijnego we Francji bardzo liczne zastępy wiernych zbierają się w tym kościele dla uproszenia łask za przyczyną świętej patronki.

Jeszcze w 1871 r. podczas tak zwanej komuny niegodni świętokradcy sprofanowali kościół św. Genowefy, jej trumnę wywrócono, a część pozostałych relikwji wyrzucono.

Wobec tego Francja została ostatecznie pozbawioną relikwji swej patronki, ale okazało się. że jedna kość i włosy świętej przechowywano w klasztorze św. Genowefy, w Verneuil część tych relikwji przeniesiono do Paryża.

W miejscowości tej znajduje się od niepamiętnych czasów źródło, zwane źródłem św. Genowefy, mające lecznicze własności.

W Nanterre, mieście rodzinnem tej świętej, dotąd oglądają pielgrzymi studnię z której, jak niesie podanie, Genowefa czerpała wodę w dziecinnych latach a wodą tą ze łzami jej zmieszaną przywróciła wzrok matce.

Wizerunki św. Genowefy.

Na obrazach przedstawiają św. Genowefę, jako pasterkę przędzącą jednocześnie kądziel, jest to właściwie przenośnią, albowiem jak wiemy z jej życiorysu była córką bogatych rodziców i nikt ją nie zmuszał do pilnowania owieczek. Na innych wizerunkach widzimy ją ze świecą gorejącą w ręku, którą szatan chce zagasić, a którą anioł strzeże. Niekiedy szatan spętany u nóg jej spoczywa. Na innych obrazach przedstawiają chwilę, kiedy małą dziewczynką jeszcze będąc, ślubuje poświęcić się Bogu, a św. German ją błogosławi.

Życie św. Genowefy opisał szczegółowo autor nieznany w lat ośmnaście po jej zgonie. W późniejszych latach wielu poetów francuzkich opiewało w rymach wzniosłe cnoty i cuda ogólnie czczonej patronki Paryża

Genofewjanki, czyli córki św. Genowefy.

W rzędzie licznych instytucji miłości chrześcijańskiej w XVII w. niepoślednie miejsce zajmuje zakon żeński św. Genowefy. Początki jego są następujące:

W roku 1636 panna Franciszka Blosset założyła w parafii św. Mikołaja du Chardonneret w Paryżu, towarzystwo pielęgnowania chorych i wychowywania dziewcząt. Przedsięwzięcie to zyskało ogólne uznanie. W r. 1642 umarła pobożna założycielka, ale jej dzieło pozostało i jej córki od roku 1650 obowiązywały się ślubami zakonnemi. W 1658 r. uznane zostały przez biskupa djecezjalnego za za zgromadzenie zakonne, a w 1661 r. wydano im na to patent. Zajmowały się one bezpłatnem nauczaniem dziewcząt w swoim domu, utrzymywały seminarjum dla kształcenia nauczycielek rozsyłanych po kraju, wspomagały ubogich i udzielały pomocy chorym.

Na wzór tego pobożnego zgromadzenia Marja Bonneau, z domu Miramion, bogobojna, szesnastoletnia wdowa, założyła w r. 1661 podobne zgromadzenie w parafii św. Pawła pod nazwą *Rodziny świętej*. W tym jej zakładzie miało zawsze dwadzieścia cztery dziewcząt otrzymywać chrześcijańskie wychowanie.

Oprócz tego pani Bonneau zajmowała się w szpitalu Hotel Dieu pielęgnowaniem chorych i z własnych środków rozdawać kazała codziennie w parafii św. Mikołaja, dwa tysiące porcji zupy ubogim.

Taka hojność wspaniałomyślnej pani pochłaniała jej dochody, a gdy te nie wystarczały poświęcała chętnie na ten cel swoje klejnoty. W końcu urządziła dom przy ulicy św. Antoniego dla pielęgnowania chorych i wspomagania ubogich, utrzymywała w różnych stronach kraju bezpłatne szkoły dla dzieci i zajmowała się nawracaniem nierządnic na drogę cnoty. Aby podnieść jeszcze swój zakład przyłączyła *Rodzinę świętą* do Genowefjanek, zakupiła nowy dom i wywierała tak dobroczynny i zbawienny wpływ, że siostry połączonych dwóch zakładów poczęto ogólnie zwać *Miramionkami*.

Założono przeszło sto szkół i zgromadzenie połączone zostało zatwierdzone przez kościół w 1665 roku.

Bonneau zmarła w roku 1696. Miramionki nie składały żadnych ślubów, a tylko zobowiązywały się do ścisłego przestrzegania reguły i ustaw zgromadzenia, dopóki w niem pozostawać będą.

Przyjmowano je dopiero po ukończonych 20-tu latach wieku i nieinaczej, jak za zgodą wszystkich członków zgromadzenia. Poważane i powszechnie szanowane niewiasty mogły być przyjmowane, jako siostry przybrane, bez zobowiązania do przepisów zgromadzenia.

W czasie rewolucji Genowefjanki były bardzo prześladowane, ale prześladowanie to przeniosły cierpliwie, poczem oddały się z nową gorliwością swojemu powołaniu.

Źródła.

M. B. Saintyves. *Życie św. Genowefy, patronki Paryża i całej Francji.*

Z Bedouet *Historja kultu św. Genowefy.*.

Lefeuve. *Żywot świętej Genowefy i dzieje jej relikwji.*

23 stycznia

ŚWIĘTY ILDEFONS

ARCYBISKUB TOLEDAŃSKI

606 — 669

Za rządów papieży: Sabinjana i św. Witaljana.

Prośmy świętych o przyczynę za nami do Boga a mianowicie Niepokalaną Matkę Boską, która sama taką łaskę wzięła, jakiej żadna inna nie dostąpiła, bo była Dawcą łaski napełniona.

Św. Ambroży.

Pochodzenie.—Św. Ildefons zakonnik i arcybiskup.

Św. Ildefons urodził się d. 8 grudnia 606 r. w Toledo, mieście hiszpańskiem, będącem podówczas stolicą państwa Wizygotów.

Święty ten zalicza się do najgorętszych czcicieli Najśw. Marji Panny; ze znakomitego pochodził rodu, a pobożni rodzice za orędownictwem Matki Boskiej uprosili sobie u Boga upragnione dziecię, ktore w następstwie chwałą swej świętobliwości zasłynęło szeroko.

Pierwsze nauki pobierał Ildefons od stryja swego Eugeniusza a następnie przez dwanaście lat był uczniem św. Izydora w Sewilli. Powróciwszy do rodzinnego miasta wstąpił do klasztoru Agli, położonego na przedmieściu Toledo, w pobliżu rzeki Tag. Klasztor ów mógł szczycić się słusznie wielką liczbą zakonników i Doktorów, będących prawdziwą chlubą Kościoła św:

Rodzice św. Ildefonsa mieli rozległe stosunki, spokrewnieni byli nawet z królewskim dworem i cieszyli się ogólnem poważaniem. Po ich śmierci został Ildefons dziedzicem ogromnych posiadłości, które wnet spieniężył, przeznaczając je na wybudowanie klasztoru.

Św. Ildefons był opatem w Agli kiedy zmarł arcybiskup toledański Eugeniusz II, stryj świętego, (w r. 657) natenczas zarówno lud, jak i duchowieństwo zwróciło przedewszystkiem oczy na cnotliwego opata i wyniesiono go na tron arcybiskupi.

Od tej chwili blask jego cnót i mądrości zajaśniał w całej Hiszpanji, gdyż św. Ildefons odznaczał się niepospolitemi zaletami serca i umysłu, głównie zaś znakomita wymowa i gorąca cześć dla Najśw. Marji Panny dała mu pole do wykazania niezwykłej umiejętności w zwalczaniu błędów odszczepieńców, pomiędzy którymi był Helwidiusz, mający licznych zwolenników, występujących jawnie przeciw Niepokalanemu Poczęciu Najśw. Marji,

Objawienie się św. Leokadji.

Od dawna zatracono ślad, gdzie zostały złożone zwłoki św. Leokadji, wyrzucone niegdyś za mury Toledo. Była to gorliwa chrześcijanka, wtrącona do

więzienia za rządów Dacjana, w czasie prześladowań Dyoklecjana. Wytrzymawszy tortury, odprowadzona do więzienia dowiedziała się tam o chwalebnej śmierci św. Eulalji w Merida i gorąco podobnej jak ona pożądała łaski. Bóg wysłuchał jej modlitwy i skończyła życie w kajdanach w swojem więzieniu, wyrywszy jeszcze wprzód znak krzyża św. wystąpił z pod ziemi, następnie rozpękło się ciężkie jego nakrycie, jakiego 30 młodych i silnych ludzi podnieść nie mogło i okazało się ciało świętej, która przemówiła w te słowa:

— Ildefonsie, ty to podtrzymujesz na ziemi cześć mojej Niebiańskiej Królowej!

Był to jawny dowód, jak miłą była Bogu obro-

Objawienie się Matki Boskiej św. Ildefonsowi.

na twardej skale (r. 304). Toledo czci ja jako swoją patronkę.

Zwłoki św. wyrzucone psom na pożarcie, ukryli pobożni chrześcijanie. Przez trzy wieki spoczywały one w ziemi i nikt nie był pewnym gdzie się prawdziwy grób tej świętej znajduje.

Św. Ildefons w dniu tej patronki, 9 grudnia, począł modlić się bardzo gorąco, prosząc Boga o udzielenie natchnienia i objawienia, gdzie szczątki męczennicy spoczywają.

Wielu wiernych znajdowało się podówczas w miejscu, w którem według podania ciało pochowano. Nagle stał się cud. Grobowiec św. Leokadji, na czci Matki Boskiej w obec niegodziwych heretyków.

Na usilne prośby ludu św. Ildefons mieczem podanym mu przez króla Receswintha, odciął kawał zielonej zasłony, w którą św. Leokadja była spowita. Poczem zamknął się znów grobowiec, owa zaś część zasłony stała się cenioną wielce relikwią, przechowywaną w toledańskim kościele.

Najśw. Marja Panna ukazuje się św. Ildefonsowi.

Św. Ildefons gorliwym był szerzycielem czci Naj. Marji i jej święta bardzo solennie obchodzić kazał.

W dzień Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej o bardzo wczesnej godzinie poszedł do kościoła, aby opiewać Jej chwałę. Szaro jeszcze było na dworze, gdy już duchowieństwo i lud zgromadzili się dla uczęstniczenia w procesji i przy zapalonych pochodniach zbliżali się do kościoła.

Nagle światłość niezwykła uderzyła ich oczy i tak przeraziło wszystkich to nadprzyrodzone zjawisko, że rozbiegli się w popłochu. Święty Ildefons z dwoma diakonami wszedł do świątyni Pańskiej i ujrzał na tronie arcybiskupim Najśw. Marję Pannę otoczoną zastępem aniołów, śpiewających cudowną pieśń harmonijnym chórem.

Matka Boska uczyniła znak przyzywając ku sobie pokornego swego sługę i rzekła doń:

– „Ildefonsie, jesteś moim kapelanem i wiernym obrońcą; przyjm z rąk moich ten ornat, który Syn mój ci przysyła. Będziesz wkładał te szaty mszalne w dnie świąt moich".—Poczem sama ornat nań włożyła.

Na pamiątkę tego cudownego objawienia ustanowiono podczas Soboru toledańskiego doroczny obchód solenny d. 21 stycznia, zwany Objawieniem się Najśw. Panny św. Ildefonsowi. (Święto takowe obchodzonem jest nawet w Egipcie przez Koptów).

Tron arcybiskupi, na którym Matka Boska ukazała się świętemu, był przechowywany odtąd jako drogocenna pamiątka i żaden z arcybiskupów nie śmiał na nim zasiąść. Jeden tylko, jak niesie podanie, odważył się to uczynić i został następnie złożony z urzędu i zesłany na wygnanie, co uważane było za karę Opatrzności za nieposzanowanie przez Królowę Niebios uświęconego tronu.

Śmierć św. Ildefonsa.

Św. Ildefons zakończył swe pełne zasług życie d. 23 stycznia r. 669. Żył lat 63 a przez lat dziesięć był arcypasterzem w rodzinnem mieście Toledo. Pochowano go w kościele św. Leokadji, a w czasie napadów Maurów przeniesiono relikwie jego do Zamory. Przez długi czas grób jego był prawie w zupełnem zapomnieniu, z powodu różnych przewrotów politycznych w kraju; kiedy Hiszpanja przeszła w ręce pobożnych monarchów odebraii oni Zamorę z rąk Maurów.

Pewnego dnia pobożny pasterz z Toledo przybył do kościoła św. Piotra i powiedział proboszczowi, że ukazał się mu św. Ildefons rozkazując udać się do Zamory i przypomnieć miejscowemu duchowieństwu, że grób św. patrona jest w zupełnem zaniedbaniu.

— Jest to wolą Bożą — rzekł pasterzowi św. Ildefons – czyń więc, co ci powiedziałem.

Udano się za pasterzem do miejsca wskazanego mu za natchnieniem Bożem i odszukano kamień grobowy, na którym wypisane było imię chwalebne czciciela Marji.

Wiele cudownych uzdrowień dokonanych przy tym grobie potwierdziło prawdziwość słów pobożnego pasterza z Toledo, przeniesiono więc relikwie do kościoła św. Piotra, gdzie do dziś są czczone.

Dom w Toledo, w którym święty patron świat ujrzał, został oddany O.O. Jezuitom, którzy wybudowali na tem miejscu kościół wspaniały pod wezwaniem św. Ildefonsa.

Dzieła przez św. Ildefonsa napisane. — Jego wizerunki i życiorysy.

Św. Ildefons był nietylko bardzo czynnym i gorliwym arcypasterzem, ale zarazem autorem wielu cennych prac teologicznych. Dzieła jego odznaczają się wielkim zapałem i pięknym stylem; główne z nich są:

O dziewictwie Najśw. Panny Marji, (przeciwko niewiernym: Jowinianowi, Helwidiuszowi i Żydom).

O właściwościach Osób: Ojca, Syna i Ducha św.

Uwagi o czynnościach codziennych.

Księga o poznaniu Chrztu św.

Uwagi o rzeczach świętych.

O postępie duchowej samotności.

Przytem wydane zostały jego listy podniosłe do różnych osób, Kazania, hymny i wiele drobniejszych wierszy. W dalszym ciągu prowadząc dzieło rozpoczęte przez św. Izydora napisał św. Ildefons kilkanaście życiorysów zasłużonych mężów Kościoła, począwszy od Grzegorza Wielkiego, Papieża, i skończywszy na Eugeniuszu II, biskupie toledańskim.

Św. Ildefons był zarazem słynnym muzykiem. W hiszpańsko-mozerabskiej liturgji przypisują mu wiele mszy.

Na obrazach przedstawiają go klęczącego przed Najśw. Marją, podającą mu szaty mszalne.

Imię Ildefons pochodzić ma z arabskiego, znaczy Alfons szczęśliwy; inni wywodzą je z greckiego języka *ilf* pomoc i *ans* towarzysz.

Pierwszy życiorys św. Ildefonsa napisał Juljan, następca jego na arcybiskupim tronie.

Montalembert, znakomity mówca i pisarz katolicki, tak się w jednem ze swych dzieł wyraża;

„Leander, Izydor i Ildefons byli zasłużonymi wielce przedstawicielami życia umysłowego w czasach, gdy zdawało się ono zupełnie zgaszone. Święci owi mężowie, mądrzy, pracowici, wymowni, pełni wzniosłego zapału dla wiary i nauki podnieśli w Hiszpanji piśmiennictwo, oświecili ojczyznę blaskiem światła umysłowego i położyli ogromne zasługi na tem polu.

Dnia 3 Lutego.

ŚWIĘTY BŁAŻEJ

BISKUP I MĘCZENNIK.

316.

Za rządów papieża świętego Sylwestra I, cesarza wschodniego Licyniusza.

Serce czyste i nieskażone prawdziwą jest świątynią Boga. Św. Nil.

Św. Błażej cudotwórca.

Cześć dla św. Błażeja sięgająca bardzo dawnych czasów, rozpowszechniła się na zachodzie w czasie wojen krzyżowych, gdy ze wschodu przywieziono relikwie tego świętego, przy których wiele było naówczas cudownych uzdrowień.

W niektórych kościołach w Polsce, Czechach i Niemczech jest zwyczaj błogosławienia świec woskowych, albo też chleba wina i jabłek w dzień św. Błażeja.

Wzywają pomocy i orędownictwa tego świętego w szczególności w chorobach gardła, nagłych wypadkach udławienia się ością i t. p.

Ufność głęboka w orędownictwo św. Błażeja jest we wszystkich krajach chrześciańskich znana, zaliczają go do rzędu czternastu świętych, którym polecają się wierni we wszystkich ciężkich potrzebach i troskach swoich, a zwykle rozdzielają ich w ten sposób: św. Grzegorz i Eustachy — św. Wit i Krzysztof; — św. Gwalbert i Cyriak;—św. Erazm i Błażej; — św. Pantaleon i Achas: — św. Dyonizy i Małgorzata; — św. Katarzyna i Barbara.

Św. Błażej jako lekarz i biskup.

Św. Błażej uprawiał najpierw medycynę oddając jej się z zamiłowaniem, czem zjednał sobie ogólne uwielbienie. Następnie został biskupem Sebasty w Armenji.

Bóg, któremu podobało się swych apostołów wybrać z pośród rybaków, przemienił lekarza ciał, w lekarza dusz i udzielił mu nadzwyczajną moc uzdrawiania.

Św. Błażej natchniony wolą Bożą, udał się w góry i tam pozostał w pustyni między dzikiemi zwierzętami, które go otaczały nic mu nie czyniąc złego.

Św. Błażej zostaje odnaleziony i uwięziony za wiarę świętą.

Agrikola wielkorządca Kapadocji i Armenji, za panowania cesarza Licyniusza, przybywszy do Sebasty począł prześladować chrześcijan i wysłał oddział żołnierzy, by w lasach pobliskich, pojmali dzikie zwierzęta dla rzucenia im na pożarcie nieszczęśliwych więźniów.

Myśliwi przebiegając góry, trafili niespodzianie na schronienie świętego biskupa.

Ujrzeli grotę otoczoną tygrysami, lwami, niedźwiedziami, wilkami, a w głębi świętego, modlącego się w zachwyceniu.

Zdumieni tym widokiem, pośpieszyli opowiedzieć o tym cudzie Agrikoli.

Wielkorządca, natychmiast rozkazał przyprowadzić świętego męża do siebie. Zastano go pogrążonego w modlitwie, a na słowa: „Błażeju! Agrikola cię wzywa"!—odpowiedział ze spokojem:—Bądźcie pozdrowieni! od tak dawna wyglądam was, idźmy w imię Jezusa Chrystusa!—To rzekłszy poszedł z żołnierzami, a idąc nauczał, mówiąc o Chrystusie i czyniąc cuda.

Tłumy ludu postępowały za nim; prowadzono dzieci, aby je błogosławił; chorzy zastępowali mu drogę, błagając o uzdrowienie. Zdjęty litością, wznosił ręce, błogosławiąc dziatki, uzdrawiał chorych. nawracając w ten sposób wielką ilość pogan.

Oto jeden z licznych cudów dokonanych przez św. Błażeja w tej podróży z góry do więzienia Sebasty.

Pewna kobieta z tej okolicy, miała syna jedynaka; dziecko jedząc rybę zadławiło się ością. Gdy nie było ratunku, zrozpaczona matka, widząc przechodzącego św. Błażeja i słysząc o jego cudach, chwyta na ręce umierającego syna, biegnie naprzeciw świętego i pełna wiary, kładzie u jego stóp całe swe szczęście, błagając o ratunek. Św. Błażej wzruszony wznosi ręce nad chorym, kładzie znak krzyża św., prosząc Pana naszego o zmiłowanie nad dzieckiem i pomoc dla tych, którzy w podobnych że cierpieniach udadzą się do Niego.

Dziecko natychmiast zostało uzdrowione.

Prawdziwie tryumfalny był pochód świętego biskupa, a sława cudów poprzedzała jego kroki.

Badania i namowy do odstępstwa.

Św, Błażej wszedłszy do Sebasty pod strażą żołnierzy, został natychmiast wtrącony do więzienia, a nazajutrz Agrikola wezwał biskupa do siebie.

Najpierw chciał go zjednać dobrocią i pochlebstwami, a nakoniec rzekł:

— Bądź dobrej myśli Błażeju, przyjacielu bogów!

— I ty również, dostojny Panie, jeśli zgadzasz się przyznać, że są to szatani, skazani na ogień wieczny wraz ze swymi czcicielami. Niemogę być ich wyznawcą, albowiem nie chcę gorzeć wraz z nimi w piekle!

na, niegodne czci boskiej, i nigdy przed nimi nie ugnę kolana!

Męczeństwo św. Błażeja.

Agrikola widząc niezłomne postanowienie Błażeja, rozkazał go przywiązać do ławy, poczem ostrymi, żelaznymi grzebieniami szarpano mu ciało. Podczas gdy krew lała się potokami, św. męczennik ze spokojem rzekł do Agrikoli:

Św. Błażej uzdrawia chorą dziecinę.

Rozgniewany Agrikola kazał chłostać świętego biskupa i odprowadzić do więzienia. W kilka dni po tem biskup, po raz drugi stanął przed sądem.

— Błażeju wybieraj! — oddając cześć naszym bogom, staniesz się naszym przyjacielem; jeżeli nie zgodzisz się, będziesz skazany na najsroższe męki i śmierć najokrutniejszą! Św. Błażej odparł:

— Powiedziałem ci już, że te bałwany z kamieni, którym się kłaniasz, są narzędziem szata-

— Pragnąłem od tak dawna, aby mą duszę wydarto ziemi, a teraz i ciało umęczone nie będzie buntować się przeciw duszy. Tak bliski nieba, z pogardą patrzę na marności tego świata; drwię z was i z zadawanych mi cierpień! Męka nie potrwa długo, a nagroda wieczną będzie!

Agrikola widząc że tortury tylko podniecają odwagę biskupa, kazał odwiązać go od ławy, i zaprowadzić do więzienia.

Św. Błażej chodzi po wodzie.

Po upływie dni kilku, św. biskup znowu został zawezwany przed trybunał.

— Dałem ci czas do namysłu, rzekł okrutny sędzia, jeżeli nie złożysz ofiary naszym bogom, koniec twój bliski. Chrystus, którego zwiesz Bogiem, nie uratuje, gdy cię każę wrzucić w głębie pobliskiego jeziora!

— Mylisz się, odparł Błażej, czcisz bałwany więc nieznasz wszechpotęgi Boga jedynego. Azaliż nie widziano Chrystusa chodzącego po falach? Czyż apostołowi Piotrowi nie rozkazał iść za sobą? To co uczynił dla swego apostoła, może uczynić i dla mnie, niegodnego sługi swego.

Agrikola dotknięty do żywego, kazał natychmiast oprawcom zaprowadzić Błażeja na brzeg jeziora. Tłum zebranego ludu postępował za nimi.

Św. biskup uczynił znak krzyża świętego nad wodą i szedł po jej falach, a uszedłszy kilkadziesiąt kroków stanął i zwracając się do Agrikoli i towarzyszących mu służalców rzekł im:

— Jeżeli wierzycie w potęgę i moc waszych bogów, idźcie ku mnie po wodzie, aby dać świadectwo ich mocy i wielkości.

Na te słowa św. męczennika 65 ludzi wzywają pomocy swych bogów odważnie weszło do wody lecz natychmiast utonęli w jej nurtach.

Ostatnia modlitwa św. Błażeja i jego śmierć.

Gdy to się działo, nagle jasność olśniewająca uderzyła oczy obecnych, a w niej spłynął Anioł Boży, mówiąc do Błażeja:

Mężny żołnierzu Chrystusowy, śpiesz na przyjęcie od Boga korony chwały, Św. Błażej powstał, a idąc po falach wstąpił na brzeg.

Tłum cisnąc się, aby oglądać go zbliska, ujrzał świętego jaśniejącego światłem wielkiem.

Jednak wielkorządcę nie przekonała oczywistość tego cudu, przypisywał go raczej magicznym sztukom.

— Widzę Błażeju rzekł, iż postanowiłeś trwać w uporze, i nie chcesz oddać należnej czci bogom naszym, a więc, ponieważ jesteś nieposłusznym rozkazom cesarza, skazuję ciebie na śmierć.

Św. męczennik usłyszawszy wyrok, udał się natychmiast na plac kaźni, gdzie przybywszy padł na kolana, ręce i oczy wzniósł ku niebu i gorąco zaczął się modlić:

„Przybądź Panie i Boże mój na ratunek sługi swego, wysłuchaj ostatniej prośby, którą zanoszę przed śmiercią poniesioną dla Twego Świętego Imienia. Wysłuchaj blagania tych, którzy przez pamięć o mnie przyczynią się do Twej chwały. Uzdrów chorych na ból gardła, zadławionych ością; przyjdź z pomocą zagrożonym niebezpieczeństwem, gdy Cię o to prosić będą, z wiarą i miłością. Jeżeli dotknięty chorobą lub narażony na niebezpieczeństwo będzie Cię błagał w mojem imieniu, uzdrów go Panie, ochroń, i przybądź na pomoc tym, którzy w utrapieniu z ufnością zwrócą się do Ciebie.

Męczennik modlił się jeszcze, gdy jasny obłok wzniósł się nad jego głową i głos dał się słyszeć:

— Jestem Bogiem twoim, którego wielbisz i który przyjmie cię do swej chwały, Spełnię wszystko o co prosisz, stosownie do wiary i potrzeb każdego. Tych, którzy w chorobach, niebezpieczeństwach, utrapieniach będą mnie prosili za twą przyczyną, wspomogę w stosownej chwili, jeżeli to będzie dla ich dobra, lub dam im żywot wieczny; obdarzę pomyślnością doczesną, lub nagrodzę niebem w przyszłości.

Głos ucichł, a obłok się rozwiał. Kat ściął głowę świętego męczennika dnia 3 lutego 316 roku.

Cześć dla św. Błażeja.

Po śmierci św. biskupa wiele osób dotkniętych bólem gardła, zostało uzdrowionych za jego przyczyną. Były to tak częste przykłady, że pewien lekarz grecki, Akteon, w V wieku, dając lekarstwo zalecał przedewszystkiem nabożeństwo do świętego Błażeja.

W wiekach głębokiej wiary, modlitwy były bardziej skuteczne, odmawiano je bowiem z większą żarliwością, udawano się z ufnością do Boga za przyczyną świętych Pańskich i otrzymywano łaski upragnione; mamy tego dowody nawet w historji Japonji. W 1589 r. pewna kobieta, połknąwszy ość z ryby, nie mogła już ani mówić, ani też oddychać. Misjonarz Jezuita zaledwie zdołał ją wyspowiadać odchodząc jednak obiecał przysłać relikwie św. Błażeja, zalecając aby mu się oddała w opiekę. Zaledwie chora ucałowała po trzykroć i dotknęła gardła relikwią, zaczęła swobodnie oddychać, mówić, a nakoniec przyjmować pokarmy, jednem słowem została uzdrowioną.

W 1692 r. w królestwie Neapolitańskiem, epidemja anginy objęła kraj cały, szczególnie rozwinęła się straszliwie w Neapolu. Najpierw dotknęła niemowlęta, następnie starszych i pomimo usiłowań doktorów, ogromna śmiertelność zapanowała w mieście. Zrozpaczona ludność zaczęła zanosić modły do świętego Błażeja. Wkrótce epidemja zmniejszyła się a następnie zupełnie ustała. Natenczas kardynał, arcybiskup Neapolu, Boncompani, na podziękowanie wzniósł wspaniały kościół na cześć św. Błażeja. Za naszych dni jeszcze, w Rzymie, w kościele świętego Błażeja, można widzieć nad ołtarzem obraz, przedstawiający chwilę uzdrowienia dziecka.

Utrwaliło się tam wiara, że na cierpienie gardła zbawiennie działa oliwa święcona w dzień uroczystości tego św. męczennika. W Rzymie również

w kościele św. Karola i św. Błażeja, ołtarz tego ostatniego bogato ozdobiony, i kaplica cała zawieszana ofiarami, świadczą o łaskach otrzymanych za przyczyną, św. biskupa. W dzień jego święta, matki przynoszą swe dzieci i dotykają pierścieniem biskupim gardła niemowląt aby je ustrzedz od chorób. Biorą też oliwę z lampy płonącej przed obrazem świętego do smarowania gardła.

Cuda z lat ostatnich.

Liczne są cuda za sprawą tego świętego. Od 1875 r. gdy wybuchła straszna epidemja zabierając ogromną ilość dzieci, wzrosło jeszcze nabożeństwo do św. Błażeja, szczególnie młode matki polecają mu swą dziatwę, prosząc aby strzegł od zabójczych chorób gardła.

Przytaczamy zdarzenie z lat ostatnich podane redakcji „Pielgrzyma“ przez naocznego świadka.

„Moja młoda kuzynka od czterech, czy od pięciu lat cierpiała na ból gardła, a straciwszy zupełnie głos, nadaremnie kilkakrotnie jeździła do Paryża, dla zasięgnięcia rady najsławniejszych specjalistów.

W czasie przeniesienia relikwii św. Błażeja, dałem jej malutki relkwiarzyk, zalecając, aby się modliła, do św. męczennika.

Przed Wniebowzięciem rozpoczęła nowennę do Matki Boskiej i św. Błażeja, a w dzień Wniebowzięcia, w czasie mszy św. uczuła się nagle zupełnie zdrową, głos odzyskała, z łatwością zaczęła śpiewać, łącząc swój głos dziękczynny z modlitwami wiernych.

Rolnicy udają się do św. Błażeja prosząc o oddalenie chorób od zwierząt domowych. Niektóre cechy rzemieślnicze obrały go za swego patrona; np. tkacze, cieśle, kamieniarze.

Modlitwa do św. Błażeja przyjęta przez Kościół św.

Boże, który dałeś św. Błażejowi, biskupowi męczennikowi wytrwałość doskonałą w pośród mąk i uczyniłeś go wielkim, dając moc uzdrawiania chorych, uczyń nam łaskę w swojem miłosierdziu, abyśmy naśladując jego niezłomną wiarę, zasłużyli na jego świętą opiekę w niebezpieczeństwie.

Prosimy Cię o to przez Pana Naszego Jezusa Chrystusa, który żyje i króluje z Tobą na wieki wieków. Amen.

Wizerunki św. Błażeja.

Na obrazach przedstawiają św. Błażeja jako biskupa w infule, w prawej ręce trzyma pastorał, w lewej dwie zapalone pochodnie. Niekiedy malują go, jako pustelnika otoczonego rozmaitemi dzikiemi zwierzętami, lub w więzieniu, z na wpół umarłym pacholęciem.

W niektórych kościołach widzimy św. Błażeja na obrazach z narzędziem swych tortur w ręku, ponieważ ciało jego szarpano ostrem żelazem.

Malują go też ze świecą, na pamiątkę, że niewiasta uboga przyniosła mu do więzienia pożywienie i świecę, bo więzienie było ciemne, a święty miał jej zalecić, aby rocznicę bliskiej już jego śmierci obchodziła rozdaniem jałmużny przy gorejących świecach, co też uczyniła wraz z towarzyszkami swemi i doznały wszystkie błogosławieństwa Bożego na duszy i na ciele.

Dnia 5 Lutego.

ŚWIĘTA AGATA

PANNA I MĘCZENNICZKA.

251.

Za rządów papieża św. Kornela; cesarza rzymskiego Decjusza.

> We wszystkiem stawmy siebie jako sługi Boże, w cierpliwości wielkiej, w utrapieniach w potrzebach, w uciskach.
>
> Jako umierający, a oto żyjemy; jako karani a nie umorzeni, jako smętni, a zawsze weseli; jako ubodzy, a wiele wzbogacający; jako nic nie mający, a wszystko mający.
>
> Św. Paweł do Koryntjan rozd. VI 4—10.

Siódme prześladowanie chrześcian.

Siódme ogólne prześladowanie, podczas którego została umęczona święta Agata, było zdaniem historyków najkrwawsze i najokrutniejsze ze wszystkich. Święty Cyprjan powiada, że nie miano na celu jedynie śmierć chrześcijan lecz stopniowo powiększano okrucieństwa w taki sposób, by ofiara męczarnie przeżyła. Nie chciano by przewcześnie męczeńskiej dostąpiła korony. Mordowano ją w nadziei złamania jej odwagi, a jeśli dzięki miłosierdziu Bożemu wcześniej umarła, oprawcy czuli się zawiedzionymi. Święty Augustyn podaje nam przyczynę tych okrucieństw:

„Prześladowcy — mówił — poznali, że im wię-

cej chrześcian doprowadzili do śmierci tem ich więcej z ich krwi się zrodziło. Bali się wyludnienia państwa, gdyby trzeba było uśmiercić tyle miljonów ludzi.“

Edykta nie noszą starożytnej formuły: “Ktokolwiek przyznaje się do chrześcijaństwa będzie skazany na śmierć, ale będzie męczony dopóki się wiary nie wyrzeknie.“ Ten sposób udał się prześladowcom. Iluż w rzeczywistości z tych, co byliby od ważnie ponieśli śmierć szybką, dało się pokonać widokiem długich i różnorodnych męczarń!

Podczas tego okrutnego prześladowania błogosławiona Agata, urodzona w Palermo, z rodziców szlacheckiego pochodzenia i bogatych zasłużyła na męczeńską koronę.

Kwincianus, rządzący Sycylją, zauważywszy jej piękność, która zaćmiewała wszystkie współczesne dziewczęta, powziął dla niej niecną namiętność. Szukał on różnych sposobów, by zaspokoić swą zbrodniczą żądzę. Gdy wyszedł edykt cesarza Decjusza, wzywający wszystkich chrześcijan bez różnicy płci i urzędu do złożenia ofiar w świątyniach, skorzystał z tego Kwincianus i wydał rozkaz aresztowania Agaty.

Żołnierze wtargnęli do mieszkania obwinionej z temi słowy:

— Jest ogłoszony przez cesarza i prokonsula edykt niosący śmierć każdemu, ktoby czci bogom nie oddał. Spodziewamy się, że im złożysz ofiarę, abyśmy cię mogli z chwałą do prokonsula zaprowadzić.

Ponieważ mężna dziewica uczynić tego nie chciała, żołnierze mieli rozkaz zawieść ją do Kwincianusa. Agata weszła do swej komnaty, padła na kolana i wznosząc oczy ku niebu, modlić się zaczęła:

— Panie Jezu, Ty znasz serce moje najlepiej Ty wiesz z jaką radością i zapałem oddałam Ci wiarę i miłość. Panie, błagam Cię, nie dozwól, aby występny człowiek mógł mnie pohańbić, przybądź mi na pomoc nie oddawaj mnie szatanowi i jego sprzymierzeńcom, przyjmij me cierpienia jako zakład mej miłości, gdyż Ty jesteś Bogiem jedynym i Tobie przynależną jest chwała na wieki wieków.

Pomodliwszy się udała się Agata za wysłańcami prokonsula.

Podczas drogi; rozmyślając o niebiańskiej piękności cnoty, mówiła:

— Z łaski Chrystusa, ażeby zachować czystość walczyłam przeciw szatanowi, który w serca ludzkie rzucił zasiew wszystkich występnych namiętności i pokonałam je. Poleciłam duszę moją Chrystusowi i spodziewam się iż uczyni mi tę łaskę abym w dziewictwie zeszła ze świata.

Agata oddaną jest nierządnej kobiecie.

Kwincianus posłuszny szatańskim rozkazom cesarza, strzegł się, by dziewicy nie skazać odrazu na męki. Kazał natomiast zaprowadzić Agatę do pewnej kobiety złego życia, imieniem Afrodyta, która miała w swym domu siedm dziewcząt równie jak ona zepsutych, starała się więc ażeby te skłoniły Agatę swoim przykładem i radami do złożenia ofiary bogom i oddania się niegodnym pożądaniom prokonsula.

Przez trzydzieści dni bogobojna dziewica była zmuszona żyć w tem otoczeniu. Za pomocą kuszących obietnic, tkliwych słówek, czasem zaś udając się do pogróżek usiłowały bezustannie, z piekielną wytrwałością zgorszyć tę czystą Oblubienicę Chrystusową.

Ale gdy starały się do odstępstwa skłonić męczennicę, ta im ze łzami w oczach mówiła:

— Wiedzcie, że nic na świecie nie może oderwać mej duszy i mych myśli od Chrystusa. Wasze słowa są podobne do wiatru, wasze obietnice do burzy, wasze pogróżki do rwącego potoku, którymi chcecie dom mój zburzyć, lecz jest on zbudowany na trwałej opoce, jaką jest Chrystus, Syn Boga żywego.

Tak mówiła do nich, gdyż jej dusza podobna do spragnionego jelenia, o którym wspomina psalmista — chciała się napoić żywą wodą cierpienia, tak gorzką dla tych co nie kochają, a tak słodką dla tych, co noszą w sercu prawdziwą miłość dla Jezusa.

Afrodyta widząc Agatę stałą i niewzruszoną w postanowieniu poniesienia raczej śmierci niż oddania czci bałwanom, udała się do prokonsula. Łatwiej byłoby—rzekła doń—skruszyć skały, lub zmiękczyć żelazo, niż wyrwać z jej duszy miłość dla Chrystusa! I skarżyła się Kwincianusowi:

Moje córki i ja starałyśmy się wszelkiemi sposobami zmienić jej przekonania i mimo naszej wytrwałości nie osiągnęłyśmy celu, Agata stała się raczej jeszcze bardziej w postanowieniu niezłomną. Wobec prób i najstraszliwszych pogróżek ani chwili się nie zawahała. Chciałam jej ofiarować drogocenne perły, wspaniałe szaty, licznych niewolników, ale ją to bynajmniej nie wzrusza.

Agata przed trybunałem prokonsula.

Kwincianus, zawiedziony w swoim oczekiwaniu, wydał rozkaz by mu przyprowadzono chrześcijańską dziewicę potajemnie i rzekł do niej:

— Jakie jest twoje pochodzenie?

— Pochodzę ze szlacheckiej i znakomitej rodziny, rodzice moi liczne mają posiadłości.

— — Jeśli jesteś córką znakomitego rodu, dlaczego zniżasz się do roli służebnicy?

— Jestem służebnicą Chrystusową, odrzekła zagadniona.

— Jesteś wolną, Agato, dlaczego chcesz się stać niewolnicą?

— Najwyższą chwałą, jest być posłuszną prawu Chrystusowemu.

— A my, którzy gardzimy służbą twego Chrystusa nie mamy prawa nazywać się szlachetnymi?

— Istotnie, wyście tak upadli, żeście się stali niewolnikami grzechu, czcicielami rzeczy doczesnych, cześć należną Bogu żyjącemu, oddajecie drzewu i kamieniom!

— Zostaniesz ukaraną za każde słowo bluźniercze! Czemu upierasz się nie oddać czci bogom naszym przynależnej?

— Nie nazywaj bogami lecz bałwanami te posągi z bronzu i marmuru, którym pokłon oddajecie.

— Przestań bluźnić Agato, bądź rozsądną, oddaj cześć bogom, lub skażę cię na męki razem ze zwykłymi zbrodniarzami i wieczystą hańbę na dom twój sprowadzę!

— Życzę twej małżonce — odpowiedziała Agata — aby stała się podobną do bogini Wenus, a ty do wielkiego boga Jupitera!

Na te słowa rozgniewany Kwincianus wydał rozkaz spoliczkowania Agaty, poczem rzekł.

— Nie waż się zuchwałemi słowy znieważać twego sędziego!

— Jakto! — zawołała Agata — nie chcesz być zaliczonym w poczet bogów, którym cześć oddajesz? — Podziwiam cię, że nie chcesz być podobnym do bogów. Jeśli to są wasze bóstwa i wy im cześć składacie, życzenia moje były jaknajlepsze. Dlaczegóż słowa moje poczytałeś za zniewagę? Lecz jeśli życzenie, abyś był do nich podobnym tak cię obraża, to musisz je uważać za obmierzłe i przewrotne istoty!

— Każde z twych słów jest bluźnierstwem Agato, oddaj cześć bogom lub przygotuj się do najstraszliwszych męczarni!

— Dzikie zwierzęta, którym mnie rzucisz na pożarcie, zmiękną w imię Chrystusa. Jeśli mnie w ogień wtrącisz, aniołowie przyjdą orzeźwić mnie rosą ożywczą. Jeśli mnie siec będziesz rózgami, duch prawdy, który jest ze mną, z rąk mnie twoich oswobodzi.

Prokonsul wściekły z gniewu, wydał rozkaz wtrącenia Agaty do ciemnicy. Gdy ją wyprowadzono, próbował po raz ostatni zmiękczyć jej upór mówiąc:

— Namyśl się Agato, ukorz się i rozważ o ile jest korzystniejszem dla ciebie uniknąć mąk, które ci gotuję.

— To ty prędzej powinieneś czuć w sercu skruchę, jeśli chcesz uniknąć mąk wiecznych, odrzekła mężna chrześcijanka ze spokojem.

Wówczas rozgniewany Kwincianus rozkazał błogosławioną dziewicę wieść znowu do więzienia. Weszła tam z radością zaproszonych na gody weselne, polecając Bogu w swych modłach zwycięzkie wyjście z tej walki.

Niezłomna wytrwałość Agaty w męczarniach.

Okrutny Kwincianus wydał następnego dnia rozkaz, aby Agata stawiła się znów przed jego trybunałem i rzekł do niej:

Św. Piotr leczy z ran św. Agatę w więzieniu.

— Cóż postanowiłaś dla swego ocalenia?

— Moim zbawieniem jest Chrystus — odrzekła Agata.

— Dokądże, szalona, powtarzać będziesz obciążające cię słowa? Wyrzecz się Chrystusa i zacznij czcić nasze bogi. Nie pragnij śmierci przedwczesnej.

— Wyrzeknij ty się bóstw z kamieni i drzewa i służ prawdziwemu Bogu, Stwórcy twemu, inaczej skazany będziesz na męki bez końca.

Sędzia nie posiadając się z gniewu wydał roz-

kaz ćwiczenia Agaty rózgami — podczas tej barbarzyńskiej egzekucji mówił do świętej męczennicy:

— Zmień swe postanowienie, a każę przerwać męki...

— Te męczarnie są dla mnie źródłem rozkoszy — odpowiedziała — ja się raduję, jak ów któremu przychodzą zwiastować dobrą nowinę lub który skarb odnajduje. Te męczarnie są moją radością, one trwać długo nie mogą. Nie zamykają pszenicy w spichrzach, dopóki jej ze słomy nie oczyszczą. To samo z mą duszą: ona nie może wejść do raju dopóki ciała mego nie umęczą!

Kwincianus, wściekając się, rozkazał po ciężkich torturach wyrwać jej piersi, szarpać kleszczami ciało i piec je rozpaloną blachą.

Ta okropna męczarnia nie pokonała stałości błogosławionej męczennicy. Okrutny poganin kazał wtrącić znowu Agatę do więzienia, zakazując pod najsroższą karą, aby żaden z lekarzy nie miał do niej dostępu — przytem pozbawił ją chleba i wody.

Św. Piotr ukazuje się św. Agacie i uzdrawia ją.

Około północy siwobrody starzec, poprzedzony przez dziecię trzymające pochodnię w ręku, stanął przed Agatą i rzekł:

— Bezbożny tyran skazał ciało twoje na straszne tortury, ale stałość twoja jeszcze mu sroższe sprawiła udręczenia. Bóg skarze go na męki wieczne. Byłem obecny, Agato, gdyś znosiła mężnie najokropniejsze katusze, mam wszelako moc uzdrowić cię i dlatego przychodzę.

— Nigdy — odpowiedziała Agata — nie zażywałam żadnych lekarstw, i byłoby wstydem dla mnie zmienić teraz to od najwcześniejszych lat powzięte postanowienie.

— Jestem także chrześcijaninem — odpowiedział starzec. — Zaufaj mi, mogę cię uzdrowić, to jedyny powód mej bytności. Nie lękaj się odsłonić twe rany.

— Nie lękam się ciebie — odpowiedziała Agata. — Jesteś już w podeszłym wieku, a ja prawie dzieckiem, którego całe ciało dziś jest jedną raną. Wolę jednak z powodu tych ran ducha wyzionąć, niż je pokazać. Dzięki ci jednak, ojcze czcigodny, że chcesz mi dopomódz, ale wiedz, że żadne lekarstwo ręką ludzką przygotowane, ciała mego nie dotknie.

— Zkąd to postanowienie? — zapytał starzec.

— Bo czczę Chrystusa, który jednem słowem uzdrawiał chromych i paralityków. On tylko, jeżeli zechce, może powrócić zdrowie swej niegodnej służebnicy.

Wówczas starzec odparł z łagodnym uśmiechem:

— To On mnie przysłał, jestem Piotrem Apostołem. Spojrzyj na twe ciało, ono już jest uzdrowione.

Mówiąc to, zniknął, św. Agata jęła się modlić:

— Dzięki Ci, o Jezu mój, Panie, żeś sobie raczył mnie przypomnieć i zesłał mi Apostoła, który pokrzepił moją duszę i uleczył ciało moje.

Przez całą noc światłość napełniała więzienie. Straż w przerażeniu uciekła, zostawiając drzwi otwarte. Towarzysze niewoli radzili Agacie, aby się wymknęła ukradkiem, lecz święta odpowiedziała:

— Nie chcę się pozbawiać korony chwały. Nie chcę tych, którzy mnie strzegą, narazić na karę. Mam pomoc naszego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego. Aż do końca wytrwam w wyznaniu wiary w Tego, który, mnie pocieszył i uzdrowił.

Śmierć chwalebna.

W cztery dni potem prokonsul kazał przywieść Agatę przed trybunał i rzekł do niej:

— Będziesz li jeszcze opierać się i gardzić edyktem cesarskim? Oddaj cześć bogom, w przeciwnym razie skażę cię na męki jeszcze od poprzednich okrutniejsze.

— Daremne są twoje słowa — odpowiedziała Agata — niecnymi edykta waszych cesarzy. Powiedz mi, szalony, czego mogę spodziewać się po waszych bogach z kamienia? Czyż Chrystus nie uzdrowił mnie, gdyście mnie poranili?

Kwincianus, nie posiadając się z gniewu, krzyknął:

— Kto ciebie ośmielił się wyleczyć?!

— Jezus Chrystus, Syn Boga żywego.

— Znowu wymawiasz imię Chrystusa, o którym ja słyszeć nie chcę!

— Nie mogę nie mówić o Tym, którego w sercu mem noszę — odrzekła mężna chrześcijanka.

— Zobaczymy, czy ci Chrystus twój przyjdzie z pomocą — zawołał bezbożny Rzymanin i wydał rozkaz by tarzano nieszczęsną ofiarę po żarzących węglach i ostrych, potłuczonych skorupach. Ale zaledwie święta męczennica znalazła się na łożu boleści, gdy trzęsienie ziemi wstrząsnęło murami miasta, a te padając przygniotły Sylwana i Falkoniusza, głównych doradców, Kwincianusa i sprawców umęczenia Agaty.

Cała ludność była wzburzona i przerażona. Prokonsul w obawie, aby nie przyszło do powstania kazał odprowadzić Agatę do więzienia a sam ukrył się w głębi swego pałacu. Agata wróciwszy do więzienia wyciągnęła ręce ku niebu wołając:

— Dzięki Ci o Panie, Boże mój! żeś mnie uznał za godną znieść tę ciężką próbę! To Ty, Jezu mój, Zbawco dałeś mi gorące pragnienie wyrzeczenia się wszelkich uciech ziemskich i ochroniłeś ciało moje od niesławy. Wysłuchaj mnie, błagam Cię

i pozwól mi opuścić tę ziemię aby z Tobą połączyć się na wieki!..

Po skończonej modlitwie oddała ducha Oblubieńcowi niebiańskiemu, dla którego tyle wycierpiała. Chrześcijanie z Katany na wieść o śmierci męczennicy zbiegli się tłumnie aby ze czcią pogrzebać to ciało chwalebnemi ranami okryte. Gdy kładziono szczątki męczennicy do przygotowanej trumny, zjawił się młodzieniec niebiańskiej urody, poprzedzony orszakiem złożonym ze stu dzieci, przybranych w szaty godowe. Nikt przedtem nie widział go w Katanji. Wszedł gdy balsamowano ciało męczennicy i położył jej pod głowę murowaną tablicę z tym napisem: „Duszo święta, poświęcona Bogu, ratunku ojczyzny, cześć tobie".

Zatrzymał się dopóki trumny nie zamknięto i zniknął bez śladu. Od tej pory nikt go nie widział. Przypuszczano, że był to anioł przez Boga zesłany.

Wieść o tym wypadku rozeszła się szybko po Sycylji, chrześcijanie i żydzi nawet grób świętej męczennicy najwyższą czcią otaczali.

Pośmiertne cuda.

Okrutny Kwincianus, który odtrącony przez Agatę, gwałtowną namiętność swą ku chrześcijańskiej dziewicy w barbarzyński sposób pomścił, pragnął jeszcze zagarnąć jej mienie i uwięzić wszystkich krewnych męczennicy. Ale Bóg zesłał nań karę zasłużoną, albowiem podczas tej podróży swej prokonsul rzymski utonął przeprawiając się przez rzekę, pokąsały go przytem własne jego konie, co wszystko razem wzięte podniosło jeszcze cześć dla dla świętej Agaty i poganie nawet nieodważali się już odtąd skrzywdzić nikogo należącego do jej rodziny.

W następnym roku przed samą rocznicą śmierci męczeńskiej św. Agaty wybuch Etny przeraził mieszkańców. Ogień szerzył się w stronę Katany. Wówczas wylęknieni poganie udali się do grobu świętej a uniosłszy kamień grobowy welonem św. Agaty zasłaniali się jak tarczą przed grożącem niebezpieczeństwem. Spełniła się tajemnicza przepowiednia wyryta na płycie marmurowej ręką anioła, albowiem św. Agata uprosiła u Boga uratowanie ojczyzny od strasznej klęski i uśmierzyły się wnet niszczące wszystko płomienie. Od tego czasu kilkakrotnie rodzinne miasto błogosławionej służebnicy Chrystusowej zawdzięczało jej orędownictwu uratowanie się od groźnych wybuchów Etny.

Za każdym razem w późniejszych latach, gdy zagrażała okropna klęska, wychodziło z miasta całe duchowieństwo i lud zatrwożony z ufnością przyzywający na pomoc swoją patronkę, a welon św. Agaty w cudowny sposób ochraniał od potoków ognia, buchającego z wulkanu, miasto i okolicę Katany.

Wizerunki i relikwie św. Agaty.

Męczeństwo św. Agaty dostarczyło tematu do wielu cennych prac najznakomitszym artystom. Przedstawiają tę świętą na obrazach w chwili okropnej tortury; w więzieniu, gdy się jej św. Piotr ukazał i zadane jej rany uleczył; a także malarze usiłowali niejednokrotnie odtworzyć wybuch Etny, kiedy przerażeni poganie otworzywszy grób świętej osłaniają się welonem męczennicy, ratując się od klęski.

Relikwie św. Agaty znajdują się w kościele św. Merry w Paryżu i w kilku innych kościołach we Francji.

Cześć dla świętej męczenniczki wszędzie jest rozpowszechnioną a Kościół św. szczególną czcią otacza jej pamięć.

Podczas mszy św. natychmiast po Podniesieniu kapłan odmawia modlitwę, w której wymieniając chwalebne imiona apostołów i męczenników w ich liczbie i św. Agatę prosi Boga za przyczyną Świętych Pańskich o udzielenie łask pożądanych.

Św. Damazy ułożył piękny hymn pochwalny w cześć św. Agaty. Św. Ambroży podnosił również chwałę tej męczenniczki.

Około 500 roku wzniesiony został kościół pod wezwaniem świętej Agaty na aureljańskiej drodze w okolicach Rzymu, ruiny tej świątyni Pańskiej dotąd istnieją.

W 726 r. papież Grzegorz II kazał wybudować kościół pod wezwaniem tej świętej, św. Grzegorz Wielki udzielił relikwji św. Agaty kościołowi św. Stefana na wyspie Kapri, ale największa część tych drogocennych relikwji znajdowała się w Katanie aż do 1040 r. poczem zostały przewiezione do Konstantynopola a następnie znowu w rodzinnem mieście je złożono.

Św. Agata jest patronką Katany i wyspy Malty, której mieszkańcy zawdzięczają tej świętej cudowne podczas napadu tureckiego ocalenie w roku 1551.

Dnia 10 Lutego.

BŁOGOSŁAWIONA KLARA Z RIMINI.

1250—1346.

Za rządów papieży: Benedykta XII, Klemensa VI.

Przypominajmy sobie często słowa Chrystusa: „Nie ten zbawion będzie kto rozpoczyna dzieło poprawy, ale kto wytrwa do końca.
Św. Filip Nereusz.

Młodość błogosławionej Klary.

Życie błogosławionej Klary z Rimini jest bardzo pouczającem dla kobiet oddanych całą duszą życiu światowemu i szukających w rozrywkach i zabawach zadowolenia dla serca i umysłu. Żadne jednak ziemskie rozkosze nie mogą zapełnić pustki, jaką uczuwaja ludzie pragnący znaleść szczęście prawdziwe i długotrwałe, bo żeby go zakosztować trzeba myśl oderwać od ziemi i szukać ukojenia w gorącej z sercapłynącej modlitwie, w życiu pełnem umartwień i poświęcenia.

Opis życia błog. Klary pozostawił kardynał Garampi, który zebrał wszystkie szczegóły dotyczące jej rodziny, a następnie czerpał wiadomości od towarzyszek Klary, a ponieważ życiorys ten pisany był w kilka lat po śmierci tej świętobliwej niewiasty, ma wartość ciekawego dokumentu historycznego i został przyłączony do innych odnośnych dowodów w procesie beatyfikacyjnym błog. Klary z Rimini, obecnie zaś przechowywany jest w skarbu rimińskiej Kapituły.

Ojciec Klary, nazwiskiem Chiarello, pochodził ze znakomitego, włoskiego rodu Agolantich, wygnanych z Florencji podczas zamieszek politycznych. Matka odumarła ją bardzo wcześnie, a mała Klara pozostawała pod dozorem ludzi obcych, ojciec bowiem nie miał czasu troszczyć się o nią; dziecko rosło bez dobrego kierunku; następnie Chiarello powtórnie wstąpił w związki małżeńskie z wdową mającą syna. Dla połączenia trwalszemi węzłami dwóch rodzin postanowili dzieci swoje pożenić i oto widzimy piętnastoletnią Klarę oddaną w zamężcie.

Ponieważ młodej parze nie zbywało na niczem i od dzieciństwa otoczeni byli zbytkiem i przepychem, oddali się zabawom i uciechom, nie troszcząc się wcale o religijne obowiązki.

Pochlebiały Klarze hołdy składane jej niezwykłej piękności, bawiła się więc, stroiła, zapraszano ją na wspaniałe uczty i ona również urządzała świetne przyjęcia, gościnnie podejmując u siebie najwytworniejsze towarzystwo. Lecz świat zapomniał by wkrótce o istnieniu pięknej Klary, a dzieje nie przechowały by nam jej imienia, gdyby nie podobało się Opatrzności zesłać na nią ciężkich prób i ciosów dotkliwych, które pobudziły ją do zastanowienia się po raz pierwszy może nad znikomością rzeczy doczesnych. Któżby mógł mówić widząc natenczas młodziutką, bogatą, rozbawioną Klarę, że potrafi ona zadziwiać kiedyś mocą charakteru, wyrzec się tego świata, który przedstawiał dla niej tyle powabu, zasłużyć heroicznymi cnotami na zaszczytne miano błogosławionej!

Pierwsze próby.—Łaska Boska przenika serce Klary.

Klara była szczęśliwą w małżeńskiem pożyciu, ale nagle przyszła choroba i w kilka dni młoda kobieta straciła męża, wkrótce zaś potem ojciec jej został skazany na wygnanie z powodu zatargów partyjnych. Pomimo wyraźnego zakazu wracania do Rimini, przybył tam potajemnie, poznano go jednak, musiał ratować się ucieczką, ale pojmano go wraz z synem i obaj śmierć ponieśli.

Klara odczuła bardzo na razie te boleśne straty, ale mimo to w niedługim czasie powtórnie wyszła za mąż i w dalszym ciągu wiodła życie światowe.

W ten sposób doszła do trzydziestego czwartego roku życia, ciesząc się zawsze wielkim powodzeniem; podziwiano jej dowcip, stroje, urodę, jednem słowem Klara była natenczas podobna do tysiąca bogatych i lekkomyślnych kobiet, które tonąc w wirze uciech, jak najmniej czasu poświęcają Bogu.

Pewnego dnia, pod wrażeniem smutku ogarniającego chwilami jej duszę, weszła Klara do kościoła św. Franciszka w rodzinnem mieście Rimini, znalazła się tam zupełnie sama. Nagle jakiś głos nieziemski szepnął wyraźnie:

— Klaro, odmów pobożnie modlitwę Pańską!

Nie zdając sobie jasno sprawy, skąd ten rozkaz pochodzi, poczęła jednak modlić się bardzo gorąco i w miarę tego, jak wymawiała słowo modlitwy, uczuwała w sercu błogość dotąd nieznaną.

Wrażenie to było tak podniosłe, a zarazem tak różne od radości, jakie świat dawał, że w tej chwili przełomowej zrozumiała dokładnie marność dotychczasowego istnienia i próżnię lat bezmyślnie spędzonych.

Łaska Boża przeniknęła serce jej do głębi.

Odtąd Klara zmieniła się do niepoznania. Poczęła unikać ludzi i znajdowała największą przy-

jemność w samotnych rozmyślaniach. Nawet w sposobie jej zachowania się dostrzeżono ogromną różnicę. Przestały ją zajmować stroje, stała się poważniejszą, mówiła mało; mąż, rodzina i znajomi nie wiedzieli co o tem sądzić.

Bardzo często teraz można było widzieć Klarę w kościele św. Franciszka, w którym po raz pierwszy przemówił do niej głos łaski. Coraz dłużej przebywała w świątyni Pańskiej i coraz obojętniejszym stawał się dla niej świat, który ją dawniej tak bardzo pociągał ku sobie.

Pewnego dnia, gdy pogrążoną była w modlitwie, miała cudowne widzenie. Ukazała się jej Matka Boska, otoczona chórem aniołów, a zwracając sie do niej rzekła:

— I na cóż się zdały mężowi twemu, którego tak kochałaś, Klaro, jego bogactwa olbrzymie, świetność imienia, wspaniałe pałace, a wreszcie pomoc lekarzy, kiedy pozornie nic nie znacząca gorączka przyniosła mu śmierć i z tobą go rozłączyła!

Widzenie to sprawiło na Klarze nie dające się opisać wrażenie. Serce jej zapałało ogniem miłości Bożej, miłości tak wielkiej, że wobec niej zbladło i zmalało wszystko, co ją wiązało do ziemi. Czuła, że musi zerwać ze światem, wynagrodzić za wszelką cenę czas zmarnowany w oddaleniu od tego, co przedstawia jedyną wartość dla duszy ludzkiej, pragnącej zbawienia.

Od tej chwili postanowiła wieść życie pokutnicze, stać się wzorem dla skruszonych grzeszników, żałujących szczerze i pragnących poprawy.

Po powrocie z kościoła opowiedziała mężowi swe widzenie i prosiła go usilnie, aby pozwolił jej oddać się Bogu całkowicie. Nie łatwo przyszło Klarze uzyskać to pozwolenie; mąż starał się ją odwieść od tego zamiaru, widząc jednak jak wielką boleść sprawia Klarze jego opór, zgodził się w końcu na to, że żona przywdzieje strój niemal zakonny i przestanie odtąd podzielać jego sposób życia.

Z podziwem patrzono na uwielbianą przez wszystkich światową damę, która wyrzekłszy się dobrowolnie bogatych strojów i drogich klejnotów, chodziła teraz w grubej, wełnianej sukni, boso po ulicach miasta, a twarz jej, zawsze jeszcze piękna, miała wyraz skupienia i niezwykłej powagi.

Na drodze pokuty.

W przeciągu dwóch lat wiodła Klara takie życie, tak różne od poprzedniego, ale mimo to nie zupełnie jeszcze oderwana od świata i ludzi. Dopiero owdowiawszy po raz wtóry i będąc z tego powodu zupełnie panią swej woli oddała się całą duszą umartwieniom i modlitwie.

Poczęto szydzić z Klary, że stała się bigotką, a nawet wprost, że jest nie przy zdrowych zmysłach.

Dawne jej przyjaciółki nie mogły wyjść z podziwienia jak można zamiast drogich ozdób, podnoszących urodę kobiety, nosić ciężkie, żelazne opaski na rękach i na nogach, twardy pancerz, 30-to funtowy na ciele, sypiać na gołych deskach, jadać chleb suchy popijając go wodą jedynie.

Bo tylko dusze wybrane znajdują rozkosz w umartwieniach i pokucie; to samo, co oddala ich od świata, zbliża coraz więcej do Boga.

Bywały chwile, że błogosławiona pokutnica przypominała dawniejszy tryb życia, w zbytkach, zabawach, fałszywych i znikomych radościach spędzony wiek młody; odpędzała jednak od siebie wspomnienia weselsze i kuszące, uważając je za szatańskie nagabania.

Natomiast podwoiła surowość względem siebie, pościła prawie bez przerwy rok cały. Karała siebie za każdą myśl płochą, a kiedy raz chciało się jej bardzo zjeść jakiś smaczny kąsek, zadała sobie wnet ostrą pokutę za łakomstwo. W ten sposób czuwała nieustannie nad sobą i dążyła do doskonałego opanowania zmysłów, składając wszystkie umartwienia w ofierze Bogu za dawniejszą swą lekkomyślność.

Błog. Klara opuszcza swój pałac.

Jeszcze większe zdumienie ogarnęło mieszkańców Rimini, gdy dowiedziano się że Klara opuściła pałac swój na zawsze i obrała sobie mieszkanie w małej wieżyczce znajdującej się w murze okalającym miasto. Był to rodzaj ciasnej celi bez dachu nad głową i w tym pustelniczem schronieniu przebyła błog. Klara lat trzydzieści.

W dzisiejszych czasach wydaje się nam to wprost niedouwierzenia, a jednak najwiarogodniejsze świadectwa potwierdzają ten fakt, a sława świętobliwości Klary z Rimini przetrwała przez długie wieki i nadzwyczaj silne wywierała wrażenie na współczesnych, zachęcając najobojętniejszych do bogobojności i skruchy.

Jedynie miłosierne uczynki skłaniały Klarę do opuszczania czasowo swej pustelni. Kiedy brat jej z powodu wypadków politycznych zmuszony był wyjechać z Rimini i przenieść się do Urbino, rozchorował się tam ciężko. Na wieść o tem błogosławiona Klara pośpieszyła wnet do brata, by go pielęgnować i otaczała go troskliwą opieką, aż do chwili zupełnego wyzdrowienia.

Podczas owego pobytu w Urbino, Klara nie przestawała wieść pokutniczego życia. Obok katedralnego kościoła znajdowała się opuszczona wieża, tam zamieszkała Klara i przez małe okienko w murze słuchała nabożeństwa odprawianego w kościele, okno bowiem przylegało do katedry. Nie widywała nikogo, prócz paru pobożnych osób i świętobli-

wego kanonika, którego za spowiednika swego obrała.

Wychodziła jedynie do brata lub dla odwiedzania więźniów i chorych, których umiała pocieszać i umacniać.

Żyła z jałmużny, poprzestając na kawałku suchego chleba, a pokrzepiała ją przedewszystkiem modlitwa, z głębi przepełnionego miłością serca, zanoszona do nieba.

ją własnoręcznie, pokrzepiając nietylko ciało ale i ducha i budząc w sercach miłość Bożą.

W tym czasie zakonnice z Begno wygnane z klasztoru z powodu zamieszek politycznych, wstrząsających całym krajem, schroniły się do Rimini. Błog. Klara stała się ich opatrznością i gdyby nie ona, zakonnice znalazły by się w ostatecznej nędzy, wszyscy bowiem zajęci własnem bezpieczeństwem i troską o byt własny nie mieli ochoty

Objawienie się Matki Boskiej Błogosławionej Klarze z Rimini.

Miłosierdzie błog. Klary

Błog. Klara wyjechała z Urbino, gdy spokój zapanował w kraju i wraz z bratem powróciła do Rimini.

I znowu widzimy świętobliwą pustelnicę w ciasnej celce, oddaną modliwie i dobrym uczynkom, których pełnienie stanowiło największą dla niej radość. Zawsze cicha i pełna poświęcenia chodziła niekiedy zbierać jałmużnę dla ubogich i rozdawała

zajmować się dobroczynnością. Trzeba było wiele energji i dobrej woli ze strony błogosławionej opiekunki ubogich i pokrzywdzonych, aby znaleść możność wyszukania środków do życia dla wygnanek. Zima tego roku była bardzo sroga i wielką trudność przedstawiała dostawa opału. Klara zauważyła pewnego razu nieopodal od miasta pień wywróconego drzewa i zaraz przyszło jej na myśl, że przydał by się bardzo zakonnicom na opał. Nie zważając, że

ciężar przechodzi jej siły, mężna niewiasta zawlekła go za sobą aż do mieszkania zakonnic. Innym razem widząc jakiegoś biedaka w wielkiem strapieniu, ponieważ chodziło mu o bardzo ważne polecenie do Urbino, a nie mógł znaleść nikogo, kto by się podjął tego zadania, ofiarowała się Klara pójść do odległego miasta i odbyła tą podróż uciążliwą podczas mroźnej zimy.

Dowiedziawszy się, że pewna kobieta w Rimini zbiera składkę na wykup swego męża, skazanego na ucięcie ręki za długi, błog. Klara zdjęta litością dla nieszczęśliwych, stanęła na placu, na którym sprzedawano niewolników i wołała na głos:

— Kto chce kupić mnie, abym miała czem zapłacić rękę skazanego!

Tłum ciekawych otoczył Klarę, przyglądano się jej i czyniono złośliwe uwagi. Jedni drwili głośno z nowego, jak się wyrażali szaleństwa tej niewiasty, inni znający głąb jej czystej duszy płakali ze wzruszenia. Wieść o miłosiernem poświęceniu Klary doszła natychmiast do władzy i wpłynęła na złagodzenie srogiego wyroku.

Nawróceni przez błog. Klarę.

Miłosierdzie błog. Klary było niewyczerpane, a sława jej cnót dawała jej dostęp do najznakomitszych osób w kraju.

Pewnego dnia przyszła do bogatej hrabiny, którą znała dawniej, a słynącej z zamiłowania do zbytku i rozrzutności. Klara poczęła mówić jej o Bogu i obowiązkach względem Stwórcy wszechrzeczy, o jedynem szczęściu przypodobania się Jemu przez uświęcenie swej duszy; a mówiła z tak głębokiem przekonaniem, tyle było prawdy w jej słowach, że piękna hrabina, wzruszona niezmiernie, padła zemdlona, a gdy ją ocucono, przysięgła, że zmieni sposób życia i dotrzymała przyrzeczenia.

Pod wpływem dobroczynnym Klary poczęła oddawać się również miłosiernym uczynkom i resztę dni swoich spędziła bardzo przykładnie zachęcając innych do bogobojności.

Kiedyś znowu pewien uczony udając się do Wenecji zatrzymał się w Rimini umyślnie dla zobaczenia świętobliwej Klary. Po długiej z nią rozmowie, uczuł się pod wpływem łaski Bożej zupełnie przeistoczonym.

Wyrzekł się odtąd mądrości świata i wstąpił do klasztoru.

O wielu jeszcze nadzwyczajnych nawróceniach, dokonanych przez błog. Klarę, opisują jej dziejopisarze.

Cnoty i cuda błog. Klary.

Niepodobna jest mieć wpływu na ludzkie serca, jeśli się nie zagrzewa własnym przykładem cnót i poświęcenia. Klara pod tym względem ogromne dla rodzinnego miasta położyła zasługi i wzruszała wszystkich praktykami pokutniczemi, wynagradzającymi zobojętnienie wiernych dla Kościoła św.

Surowość, z jaką sądziła własne winy, była zadziwiającą. Pewnego razu z powodu niewłaściwie wypowiedzianego słowa, którego mocno następnie żałowała, ukarała sie w sposób okrutny, drutem przywiązując sobie język i tydzień w tej pokucie wytrwała. Długi czas potem mówić niemogła, a zaiste budujący to przykład dla gadułów, a zwłaszcza potwarców, którzy z taką lekkomyślnością rzucają nieraz oszczerstwo i nieodczuwają całej ohydy swego czynu!

Wzamian za niesione w imieniu Bożem ofiary, błogosławiona obdarzoną została z łaski nieba cudowną mocą uzdrawiania chorych.

Pewnego razu udając się na odpust do Assyżu spotkała chorego młodzieńca, który błagał ją o wstawienie się za nią do Boga. Klara dotknąwszy ręki młodzieńca wyleczyła go natychmiast przez gorącą modlitwę. Cud ten wywołał wielkie wrażenie wśród mieszkańców Assyżu i wszyscy śpieszyli oddać hołd uwielbienia błogosławionej. Przerażona tem Klara uszła z miasta potajemnie, aby uniknąć przygotowanych dla niej owacji. W ciągu tej samej pielgrzymki uzdrowiła także ślepą dziewczynkę, położywszy rękę na jej głowie.

U drzwi kościoła w Porcionkuli zatrzymała ją uboga kobieta cierpiąca na rękę.

Zakonnica prosiła za nieszczęśliwą i zaledwie błog. Klara dotknęła okropnej rany, chora uczuła się zupełnie uzdrowioną. Błogosławieństwa i dziękczynienia szły śladem świętobliwej niewiasty i wszyscy przyznawali, że niezwykły blask bije z jej oblicza.

Pewnej nocy, modląc się gorąco, miała błog. Klara widzenie. Ujrzała światłość niezwykłą posuwającą się po ulicach miasta Rimini i zatrzymującą się na domie niejakiego Lasso. Nazajutrz ten że Lasso przybył do Klary proponując dogodne kupno swego domu.

Błog. Klara oddawna pragnęła zebrać grono pobożnych niewiast, równie jak ona poświęconych Bogu, ale nie posiadała żadnych środków, ponieważ własności swej się zrzekła na zawsze.

Pomimo to błog. Klara widząc w tem zrządzenie Opatrzności zawarła z przybyłym umowę co do kupna domu, jakoż wkrótce obfite jałmużny dozwoliły jej wypłacić należność i oddać ów dom Siostrom.

W tym czasie przejeżdżał przez Rimini kardynał legat papieża Klemensa V, który ufundowanie nowego klasztoru zaaprobował.

W powstałej przy domu tym kaplicy modliła się pewnego dnia błog. Klara, nagle światłość wielka uderzyła jej oczy, ujrzała przed sobą Zbawiciela w otoczeniu apostołów i św. Jana Chrzciciela.

Pan Jezus raczył ukazać Klarze, jak niegdyś Tomaszowi, swój bok włócznią przebity i rzekł:

— Proś mię z ufnością o co zechcesz!

Klara błagała o przebaczenie grzechów i opiekę Boską nad swemi córkami duchownemi.

Zbawiciel uczynił znak potwierdzający głową, i wręczył św. Janowi księgę pisaną złotemi literami, rozkazując zapisać w księdze życia imiona osób drogich błogosławionej Klarze. Następnie ukazał jej przyszłość ufundowanego przez nią klasztoru, trudności, przeszkody, a w końcu pomyślny rozwój nowej instytucji. Błogosławiona widziała siebie budującą most, po którym wiele osób miało przejść do nieba.

Prześladowania.—Tryumf cnoty.

Z jednej strony widzimy jasno jak wielkie łaski nieba były błog. Klary udziałem, wiemy też jak zbawienny wpływ wywierała na niektóre osoby, które zawdzięczały jej nawrócenie, mimo to jednak znaleźli się ludzie niechętni, starający się osłabić wiarę w świętobliwość Klary. Pomiędzy nimi był jeden ksiądz, który wiedziony fałszywie pojętą żarliwością, począł gromić publicznie błog. Klarę i podczas kazania nazwał ją heretyczką.

Oskarżenie to sprawiło, że lud po wyjściu z kościoła rzucił się na bogobojną niewiastę, ciskano w nią kamieniami i miotano obelgi. Ale oburzająca niesprawiedliwość współbraci nie zdołała zachwiać w sercu Klary miłości bliźniego: cieszyła się nawet z doznanego upokorzenia, przywodząc na pamięć mękę Pańską. Niezachwiana cierpliwość i pokora błogosławionej odniosła tryumf, albowiem zawstydzeni prześladowcy, przyszli następnie prosić ją o przebaczenie.

Za krzywdy doznane od ludzi wynagradzał Bóg sowicie swą służebnicę i pokrzepiały jej duszę często powtarzające się zachwycenia.

Razu pewnego w dzień św. Dominika poszła błog. Klara do kościoła Braci Kaznodziei i tam rozmyślając o męce Zbawiciela odczuła tak silnie boleść tej chwili, że upadła zemdlona. Otoczono ją wnet zwartem kołem, ale spowiednik błogosławionej, Brat Hieronim Tisici, następnie biskup w Rimini, znając tkliwe przywiązanie Klary do Pana Jezusa, zbliżył się z Hostją św., którą do ust jej niosąc natychmiast zemdloną ocucił. Klara podniosła się z ziemi i z wielkiem przejęciem się przyjęła chleb Anielski, jakby świadectwo dając słowom Zbawiciela: *Ten jest chleb z nieba zstępujący, aby kto go pożywał nie umarł.*

Zdawało się, że błog. Klara po kilka dni była w cudownem zachwyceniu, duszą zupełnie oderwana od ziemi, z utęsknieniem zapatrzona w niebiańskie rozkosze wiekuiste.

Błog. Klara chcąc jak najżywiej odczuwać mękę Zbawiciela, kazała skrępować sobie ręce na plecach i ciągnąć się po ulicach miasta na urągowisko, a następnie biczować publicznie. W dawnych wiekach pokutnicy zadawali sobie nieraz podobne umartwienia, które w naszych czasach zadziwiały by niezmiernie; czytając o nich nie możemy oprzeć się wrażeniu podziwu dla dobrowolnych męczenników będących jawnem świadectwem, jak silną wiarą gorzały serca, jak miłą im była każda dla imienia Bożego uczyniona ofiara.

Błogosławiona wynajdowała coraz nowe sposoby udręczania swego ciała, a więc na pamiątkę postu Zbawiciela umyśliła nigdy w życiu nie wypić ani kropli wody, nie mówiąc już o żadnym innym napoju. Zważywszy na gorący klimat południa można sobie wyobrazić jak straszne nieraz błog. Klara przechodziła męczarnie, nie gasząc pragnienia. Wytrwała jednak mężnie przez czas długi, ale ciało jej mniej od ducha okazało się wytrzymałe i była tak wyczerpaną, że niemal blizką już śmierci.

Czując się bardzo źle, zawołała:

— Dla Ciebie to cierpię tak, o Panie, dopomóż mi!

Zaledwie wymówiła te słowa, otoczyły ją wnet jakieś postacie podające jej dzbany wina i wody; jedna z nich kubek z wodą do ust jej zbliżyła i wnet pragnienie ustało.

Nazajutrz znowu powtórzyło się widzenie, a tym razem sam Zbawiciel podał jej napój tak doskonały, że odtąd przez jedenaście ostatnich lat życia nie chciała żadnym innym orzeźwić znużonego ciała.

Śmierć błog. Klary.

Kiedy zbliżyła się ostatnia godzina ziemskiej wędrówki błog. Klary, zebrała dokoła siebie swe wierne towarzyszki, które widząc ją pogodną i rozpromienioną nie przypuszczały nawet myśli o bliskiej rozłące.

Klara dawała im budujące rady, prosiła, aby żyły zgodnie, poczem zwróciwszy oczy na Chrystusa Ukrzyżowanego, rzekła:

— W twoje ręce, Panie Jezu mój, oddaję duszę moją.

Zasnęła w Bogu d. 10 lutego 1346 r.

Wieść o śmierci błogosławionej Klary zasmuciła wszystkich, znających jej świętobliwość i uważających ją za duszę przez Boga osobliwemi łaskami obdarzoną.

Zrobiono jej pogrzeb wspaniały, a zwłoki pochowano przy założonym przez nią klasztorze, gdzie zawsze były celem pobożnych pielgrzymek, Ufność w pośrednictwo błog. Klary. przez zasługi której proszono o różne łaski u Boga, zwiększyła się jesz-

cze, gdy w r. 1784, papież Pius VI potwierdził aktem beatyfikacyjnym cześć jej oddawaną.

Błog. Klara jest zawsze umiłowaną patronką swego rodzinnego miasta, święto jej obchodzonem jest corocznie bardzo uroczyście w Rimini, a również istnieje odpust błog. Klary.

Relikwie błogosławionej przeniesione zostały do katedralnego kościoła podczas najazdu Napoleona I, który pokasował klasztory w zagarniętych miastach w 1798 r.

Dnia 24 Lutego.

ŚWIĘTY MONTAN, LUCJAN, JULJAN, WIKTOR, FLAWIAN oraz ich towarzysze, uczniowie Świętego Cyprjana, męczennicy.

259.

Za rządów papieża Sykstusa II, cesarza rzymskiego Walerjana.

Nie tak się ma z darami nieba, jak z lichemi i skąpemi darami ludzkiemi. Dary Ducha świętego wylewają szczodrze, jako występująca ze swych brzegów rzeka. Chce On tylko, żeby serca nasze gotowe były ku przyjęciu skarbów, jakiemi nas darzy, a obfitość łask Jego mierzy się według gorącości naszych życzeń.

Św. Cyprjan.

Prześladowanie w Afryce za cesarza Walerjana.

„Posyłamy wam, bracia kochani, wieść o naszej walce. Uczucie braterskie skłania nas do zwrócenia się do was, aby tym co po nas przyjdą zostawić wierne świadectwo dobroci Boga, wspomnienie naszej pracy i naszych cierpień dla Chrystusa".

Tak wyrażali się w 258 r. niektórzy duchowni kartagińscy uwięzieni za wiarę w oczekiwaniu rychło nastąpić mającego męczeństwa.

Imiona ich były: Lucjan, Montan, Flawjan, Juljan, Wiktor i Renus i dwaj katechumeni Primol i Donacjusz.

Listy ich pełne chrześcijańskiej powagi i żarliwości, zwrócone do współbraci dziś jeszcze nie straciły swego znaczenia. O ileż więcej wzruszać musiały ówczesnych chrześcijan, przyjaciół męczenników, współzawodników ich świętej żarliwości!

Wtedy istotnie można było marzyć o palmie męczeńskiej. Od cesarza Walerjana 257 r. zaczyna się nowa era prześladowań, Rzym jako ognisko chrześcijaństwa padł pierwszy ofiarą, wówczas też i papież Sykstus II poniósł śmierć męczeńską.

Jedną z pierwszych i znakomitszych ofiar prześladowania w Afryce, które dotknęło głównie stan duchowny, był bezwątpienia święty Cyprjan biskup kartagiński.

Jego spokój, pogoda, duma szlachetna przykładem były dla wiernych.

— Zali jesteś Tascjuszem Cyprjanem?—spytał prokonsul.

— Ja nim jestem.

— Mianujesz się biskupem chrześcijańskim?

— Tak.

— Cesarze rozkazali, abyś złożył cześć bogom.

— Tego nie uczynię.

— Namyśl się.

— Czyń, to co ci każą. Nie masz się nad czem namyślać.

Widząc opór niezłomny Sługi Bożego, prokonsul skazał Cyprjana na ścięcie.

— Dzięki Bogu! - odparł męczennik.

— I my, i my także wraz z nim umrzeć chcemy! — ozwały się liczne głosy z tłumu.

Życzenie to w części spełnione zostało. W kilka dni po ścięciu św. Cyprjana umęczono bez sądu wielu chrześcijan i uwięziono świętych, których imiona wymieniliśmy na początku.

Więźniowie opowiadają o swej niewoli.

Męczenników trzymano w Regium. Doszła ich wieść, że mieli być spalonymi na rozkaz prokonsula, lecz ten zmienił wyrok: zostali więc w ogólnem więzieniu zamknięci.

Znaleziono tam skutego w łańcuchy księdza Wiktora i pobożną niewiastę Kwartylozę. Znosili oni straszne męczarnie. Przez skąpstwo, czy okrucieństwo dozorca więzienny pozbawił ich przez kilka dni pożywienia, odmówił nawet kropli wody do picia. Odwaga ich pomimo tego nie opuściła. Można się

o tem przekonać z ich własnych słów, gdy nam głąb duszy otwierają w godzinach cierpienia.

„Weszliśmy — opowiadają — bez trwogi do ciemnicy, jakbyśmy szli do nieba. Nie chcemy przez fałszywą skromność zataić prawdy, zamilczeć o tem, co było okrucieństwem. Ale nie sobie przypisujemy to zwycięztwo, raczej Bogu, który nas osłaniał, Po kilku dniach odwiedzili nas bracia i było to wielką dla nas pociechą, nagrodą za wszystkie cierpienia.

Z więzienia zaprowadzono nas do prokuratora, który zastępował zmarłego prokonsula. O dniu szczęśliwy, o chwalebne łańcuchy, o żelazo cenniejsze niż złoto, o! dźwięku ogniw uderzających jedno o drugie! Oczekiwaliśmy oddawna tego święta, tej sposobności, wyznania naszej wiary. Nie wiedząc gdzie prokurator będzie nas badał, wodzono nas po różnych urzędach, kazano kilka razy wracać na forum. Nakoniec przyjęto nas w magistracie, ale godzina męki jeszcze dla nas nie wybiła. Wreszcie zostaliśmy odprowadzeni do więzienia".

Cudowne widzenia.

Czujni na każdy objaw miłosierdzia Bożego, męczennicy przyjęli jako dowód łaski słodkie widzenia, które im Opatrzność zesłała.

Nazajutrz zwierzano się wzajemnie.

Renus widział wiedzionych na śmierć. Przed każdym błyszczała pochodnia. W miarę jak pochód ten postępował, rozróżniał wszystkich towarzyszy niewoli. Nikt nie był wyłączonym. To ich wiarą natchnęło i ucieszyło niezmiernie. Mieli teraz pewność, że otrzymają palmę męczeńską, że pójdą za Chrystusem, który im drogę oświeca.

Św. Wiktor, jedna z pierwszych ofiar, miał to sobie oznajmionem przez dziecię o twarzy promiennej, które biorąc go za rękę i prowadząc kolejno do wszystkich drzwi więziennych, rzekło doń:

— Jeszcze tylko kilka dni cierpienia. Ufajcie — z wami będę! Powiedz swym braciom, że ich korony męczeńskie będą tem jaśniejsze, im dłużej cierpieć będą.

Ksiądz sądząc, że Chrystus doń mówi, zapytał:

— Gdzież jest raj?

— Po za światem — odparło dziecię.

— Pokaż mi go.

— Zaliż nie masz dość wiary?

Ksiądz wahał się, czy zaufać temu niebiańskiemu wysłannikowi.

— Nie mogę wypełnić twego rozkazu — rzekł doń — daj mi znak jaki, jako dowód prawdy.

— Powiedz im, że znakiem moim jest znak Jakóba. To będzie dopełnieniem tego, co wam oznajmiłem.

Dziecię zniknęło. Niebawem św. Wiktor został umęczonym. Oto co prawdę ich słów potwierdza.

Węzły przyjaźni łączące nas z sobą silnemi były, a wszyscy łączyliśmy się przez modlitwę z Bogiem.

Raz jeden tylko zaszło nieporozumienie między Juljanem a Montanem z powodu udzielenia komunji św. pewnej niewieście która, według zdania Montana, na to niezasługiwała.

Montan miał następujące widzenie:

— Spostrzegłem — mówi — żołdaków, którzy kazali nam iść za sobą. Przybyliśmy na rozległą równinę, gdzie Cyprjan i inny jakiś męczennik, wyszli na nasze spotkanie, otaczało ich przedziwne światło. Szaty ich były olśniewającej białości, oblicza promieniały. I my także byliśmy przeistoczeni, ciało nasze stało się do pewnego stopnia przezroczystem, mogliśmy wzajemnie czytać w naszych sercach. Spojrzałem na pierś moją i ujrzałem plamy na niej: W tej chwili widzenie zniknęło. Obudziłem się i opowiedziałem sen Lucjanowi.

— Wiesz zkąd te plamy pochodzą? — zapytał mnie. — Z tego powodu, że nie pogodziłem się odrazu z Juljanem.

Odtąd zgoda i miłość panowały w małem zgromadzeniu.

— Bracia najmilsi — kończy opowiadający — zachowajmy zgodę i ścisły związek duchowy. Bądźmy tem tutaj, czem będziemy w niebie. O zdrowie wasze zasyłać będziemy modły do Boga."

Tak się kończy ten list w więzieniu pisany.

Pierwsze ofiary.

Widzieliśmy już że głowa księdza Wiktora padła pod mieczem.

Przed nim dwaj katechumeni zostali wydani na męki. Chory Donacjusz ochrzczonym był w więzieniu. W nagrodę za swe nieskazitelne życie dusza jego zaraz po Chrzcie św. przeniosła się do nieśmiertelności.

Nie danem było Prymulowi odrodzić się w taki sposób — musiał ofiarą życia dać świadectwo prawdzie.

Siostra ich Kwartyloza, której męża i dzieci na kilka dni przed ich śmiercią zabito, poszła za ich przykładem. Bóg, chcąc ją umocnić, zesłał jej we śnie jednego z synów umęczonych, który rzekł do niej:

— Bóg widzi cierpienia twoje!...

W tym czasie młodzian o wyniosłej i pięknej postawie podał więźniom dwa kubki mleka, mówiąc:

— Miejcie ufność, Bóg wszechmogący pamiętać o was będzie.

Lecz choć pili, nie ubywało napoju. Nagle runął mur więzienny odsłaniając część nieba. Młodzian postawił kubek.

— Oto jesteście napojeni — rzekł — a kubki są napełnione.

Ziścił się sen Kwartylozy. Nazajutrz diakon Herenjusz i katehumen January przysłani przez Lucjana przynieśli więźniom komunję świętą.

Zresztą było to ich jedynem pożywieniem. Ażeby przedłużyć ich cierpienia dozorca pozostawił

dectwo prawdzie i zostali za to skazani na ścięcie. Chrześcijanie i poganie odprowadzali ich na miejsce męki, jedni przez ciekawość, inni przez współczucie — nigdy zebranie nie było tak licznem. Święty Cyprjan zalecał towarzyszyć sługom Bożym prowa-

Święty Montan przed sądem.

im trochę wody mrożonej. Później niektórzy chrześcijanie zostali do nich dopuszczeni i przynosili im pożywienie.

Na drodze do męczeństwa.

Odtąd jedynem ich pragnieniem było męczeństwo.

Nareszcie wyprowadzono ich po 8-iu miesiącach ciężkiego więzienia. Jeden z chrześcijan tak ostatnie chwile opisuje:

— W maju 259 r. zostali powołani przed trybunał nowego prokonsula. Mieli sposobność dać świadczonym na męczeństwo. Nie można było oczu oderwać od tych Chrystusowych żołnierzy, którzy szli pełni radości o mężnej, szlachetnej postawie. Każdy ze skazanych przemawiał do braci. Łagodny i nieśmiały Lucjan szedł naprzód podtrzymywany przez przyjaciół,— więzienie i poważna choroba wyczerpały jego siły. Oddalał się od tłumu, by go przemocą nie uprowadzono i nieprzeszkodzono w osiągnięciu palmy męczeńskiej.

— Pamiętaj o nas! — mówili doń bracia.

— Pamiętajcie o nas — odpowiadał.

Juljan i Wiktor zalecali odprowadzającym ich

chrześcijanom, aby wstępowali w ślady duchownych umiejących tak mężnie znosić głód i niewygody więzienne i śpieszyli z radością na miejsce stracenia.

Montan był najwięcej ze wszystkich otoczony. Jego wzrost wyniosły, szlachetna postawa budziły ogólne zainteresowanie. Miał zwyczaj mówienia prawdy bez ogródek — wobec zbliżających się mąk nietracił odwagi.

Głosem doniosłym wołał:

— Ktokolwiek nie odda czci prawdziwemu Bogu — zginie!

Od heretyków żądał, aby prawdę poznali, dla której tylu męczenników śmierć poniosło, poganom wykazywał fałsz ich nauki, chrześcijan wzywał do wytrwałości.

— Nie naśladujcie odstępców — mówił — wytrwajcie w wierze. Niechaj nasze cierpienia uczą was jak zdobywać palmę męczeńską.

Utkwiwszy w niektórych odstępcach wzrok pełen litości wzywał ich do czynienia pokuty i do prawdziwej skruchy.

Miał dla każdego słowo pociechy umacniał dziewice, zachęcając do ślubowania czystości, radził księżom ścisłą łączność i związek z ludem, a wiernym, aby szanowali i pocieszali swych kapłanów.

Przybyto na miejsce kaźni. I oto spadły głowy wiernych wyznawców: Lucjana, Montana, Juljana i Wiktora.

Ostatnia ofiara.

Pomiędzy świętymi nie było Flawjana. Czy został zapomnianym? Czy przygotowano mu okrutniejsze męki?

Po ostatniem badaniu Flawjan został rozdzielony z towarzyszami i odprowadzony ku wielkiemu jego smutkowi do więzienia, podczas gdy inni poszli zdobyć męczeńską koronę.

Zapytany o zawód, nazwał się diakonem. Ponieważ jednak przed otrzymaniem święceń wykładał literaturę, jego dawni uczniowie, chcąc go od śmierci ochronić, oświadczyli jednogłośnie, że Flawjan nie był diakonem. Ponieważ prześladowano głównie stan duchowny, oddzielono go od towarzyszy. Próżno protestował przeciw temu, nie uwierzono mu i pozostawiono samego.

Nie odebrało mu to odwagi, pocieszał matkę, kobietę nieporównaną, godną naśladowczynię męztwa matki Machabeuszów, gdy bolała nad tem, że syn jej nie został uznanym za godnego przelania krwi męczeńskiej.

— Ty wiesz, najukochańsza matko — mówił Flawjan — że gotów byłem na wszystko, byle osiągnąć szczęście śmierci męczeńskiej. Obetrzyj łzy twoje, radujmy się zamiast rozpaczać, pragnienia nasze spełnionemi zostaną.

Prawdziwemi były przeczucia Flawjana. Trzy dni zaledwie upłynęło od śmierci braci, gdy straż otworzyła drzwi ciemnicy i wręczyła więźniowi rozkaz, by stawił się przed pretorem.

Zebrał się tłum bezbronnych, niewiernych i ciekawych. Święty Montan przed śmiercią padł na kolana i skrzyżowawszy ręce, błagał Boga, głosem podniesionym, aby mógł być słyszanym przez pogan i chrześcijan, by Flawjan wolą ludu z towarzyszami rozdzielony, mógł się w trzy dni z nimi połączyć.

Poczem zerwawszy opaskę, którą miał oczy przewiązane, przedarł ją i podając jednemu ze stojących w pobliżu, rzekł:

— Zachowajcie tę połowę, aby mogła służyć Flawjanowi.

Wszyscy tak poganie jak chrześcijanie chętnie podjęli się spełnić jego życzenie. Uczniowie Flawjana, znajdujący się w tłumie jęli rozpaczać i namawiano go jeszcze następnie:

— Nie upieraj się. Oddaj cześć bogom. Będziesz potem robił, co ci się podoba.

— Co do nas—pisze autor aktów—byliśmy przy nim, ściskaliśmy jego dłonie i cześć mu oddaliśmy, a on dziękował nam pełen spokoju i słodyczy i nic go w postanowieniu zachwiać nie zdołało.

— Lepiej jest zbawić duszę — mówił — niż czcić kamienie. Jest tylko jeden Bóg Stwórca wszechmocny. Jemu się tylko cześć należy!

Nakoniec został wezwanym—stanął przed sądem.

— Dlaczego — spytał prokonsul — podawałeś się za diakona?

— Bo nim jestem — odparł.

Lecz tłum mu zaprzeczył. Zbliżył się centurjon niosąc deklarację podpisaną przez wielu obywateli, a niezgodną z jego słowami. Flawjan zawołał głosem pełnym mocy:

— Czemże dowiedziecie, że napisano prawdę? Dlaczego mnie wierzyć nie chcecie?

Lud biorąc udział w tym sporze i popierając uczniów Flawjana, wołał z gniewem:

— Kłamiesz!

— Jakiż miałbym powód do kłamstwa? — zapytał Flawjan prokonsula.

— Na tortury! Niech go wezmą na tortury! — zakrzyknął tłum pogan.

Nie zwracając na to uwagi magistrat wydał wyrok śmierci.

Żadna wieść nie mogła być dlań radośniejszą.

— Wtedy to mnie poprosił — mówi jeden z obecnych — abym to wciągnął do aktów i pozostawionych przez niego pamiętników i dołączył opis objawienia.

— Niedługo po męczeństwie świętego Cyprjana — mówił — widziałem we śnie świętego biskupa i spytałem go: — Czyś bardzo cierpiał w chwilach ostatnich?

— Ciało nasze nie cierpi, nie czuje, gdy dusza unosi się do nieba.

Innym razem, gdy byłem smutny ukazał mi się i pocieszał mnie, że i ja stanę się męczennikiem.

Śmierć Flawjana była tryumfem, Bóg sprawił, że ulewa rozproszyła ciekawych i pozostali tylko przy nim prawdziwi przyjaciele i oprawcy. Mógł więc braciom swoim ostatnich rad udzielić. Wskazał im Lucjana jako godnego następcę po Cyprjanie.

Poczem klęknąwszy włożył opaskę pozostawioną mu przez Montana i przyjął śmierć z modlitwą na ustach.

Dusza jego podążyła połączyć się w niebie z duszami drogich mu towarzyszy.

Dnia 4 Marca.

CZCIGODNA MATKA ANNA OD JEZUSA.

Koadjutorka św. Teresy w reformie karmelitańskiego zakonu.

1545—1621.

Za rządów papieży: Juljana III, Pawła IV, Piusa IV.

Zamieniamy rzeczy małe na wielkie, jeżeli je wykonywamy z gorącą chęcią podobania się Bogu.

Św. Franciszek Salezy.

Dziecinne lata. Ślub czystości. Powołanie.

Czcigodna Anna od Jezusa przyświeca blaskiem swej cnoty przy wspaniałej postaci św. Teresy, tak samo jak gwiazdka płonąca tuż obok dużej planety. Była ona koadjutorką czyli pomocnicą św. Teresy w przeprowadzeniu reform Karmelitanek, a następnie rozszerzała jej dzieło we Francji i Belgji. Życie jej godne jest ze wszechmiar bliższego poznania. Spowiednik Anny, Jan od Krzyża sławiąc cnoty tej świątobliwej zakonnicy nazywa ją „niewiast królową“ tak bowiem w Placencji ją przezwano.

Opatrzność wyznaczyła jej piękne zadanie zachowania reguł zakonu Karmalitanek bosych ze ścisłością wzorową, a Bóg niezwykłemi łaskami ją darzył. Objawienia, proroctwa, cudowne uzdrowienia przez Annę od Jezusa dokonane, świadczą wymownie, jak dusza jej czysta miłą była Bogu.

Czcigodna Anna przyszła na świat 25 listopada 1545 r. w Medynie del Campo. Rodzice jej z zamożnego i szlacheckiego byli rodu, ojciec Anny don Diego de Lobera zmarł wcześnie, pozostawiając żonę i córeczkę kalekę, Anna bowiem była od urodzenia głuchoniemą i dopiero w siódmym roku życia odzyskała nagle słuch i mowę. Pierwsze jej słowo było:

— Zdrowaś Marja!

Nadzwyczajny ten wypadek pozwalał wnioskować, że mała Anna będzie kiedyś powołaną do niezwykłych czynów i przyszłość okazała, że istotnie wielkie położyła zasługi.

Po uzdrowieniu swem Anna szybko poczęła się rozwijać, umysł miała bystry i łatwość wielką w nauce. Matka jej doczekała jeszcze tylko tej pociechy, aby widzieć dzieweczkę swą przystępującą do pierwszej komunji, a we dwa lata po śmierci męża odeszła również z tego świata.

Od tej chwili Anna znajdowała tylko jedyną pociechę w modlitwie, i oddała się w opiekę Matki Boskiej. Codziennie odmawiała bardzo pobożnie różaniec, nieraz zrywała się w nocy, aby paść na kolana przed obrazem Najśw. Panny.

W dziewiątym roku życia ta dusza wybrana ślubowała czystość dozgonną i zapragnęła poświęcić się Bogu.

Babka Anny, która opiekowała się młodziutką swą wnuczką, słyszeć nie chciała o oddaniu jej do klasztoru i zamyślała o świetnem małżeństwie dla niej. Ale Anna zdołała oprzeć się wszelkim namowom. Ponieważ wdzięczna jej postać i powabna powierzchowność pociągały ku niej wielu wielbicieli, chciała koniecznie twarz swą umyślnie zeszpecić, a ustawicznymi postami wyniszczała ciało. Wreszcie wraz z bratem swym przeniosła się do Placencji, do krewnych ojca, ale i tam nie znalazła upragnionego spokoju.

Pewien młodzian urodziwy, daleki krewniak Loberów, począł okazywać jej swe względy i zapragnął pojąć skromną i pobożną panienkę za żonę. Wszystko przemawiało za nim, Anna miała też dla niego życzliwość prawdziwie siostrzaną, ale śmierć nagła jej wielkiej przyjaciółki wpłynęła stanowczo na postanowienie młodej dziewczyny i odtąd przyrzekła sobie wstąpić do klasztoru.

Działo się to 6 grudnia 1560 r.

Z powodu prymicji jednego młodego kapłana zebrało się liczne grono krewnych jego i znajomych w Placencji i wieczorem zasiedli wszyscy do wspólnej wieczerzy. Oczekiwano z niecierpliwością przybycia Anny Lobera, ogólnie lubionej i dziwiono się, że tak się bardzo opóźnia.

Nagle otwierają się podwoje i wchodzi Anna z włosami uciętemi, twarzą białą chustką podwiązaną, z głową okrytą ciemną zasłoną, na sobie ma grubą, pokutniczą szatę.

Wszyscy obecni spojrzeli po sobie ze zdumieniem i zrozumieli w końcu, że postanowienie Anny jest niezłomnem, i że młode dziewcze iść musi za głosem powołania.

Heroiczne cnoty czcig. Anny. Próba wytrwałości. Wyrzeczenie się świata.

Anna zamierzała oddać się na służbę Bogu, ale nie była jeszcze zdecydowaną do jakiego przyłączy się zakonu. Pragnęła wypełniać jak najsumienniej wzięte na siebie zobowiązania, a gorąca jej wyobraźnia lubowała się myślą o surowości reguły, o nieustannem poskramianiu ciała, o walce ze swemi ułomnościami dla dążenia ustawicznie po drodze do doskonałości.

Brat Anny, Krzysztof Lobera, wstąpił do Tow Jezusowego i stał się z czasem jego chwałą. On to doradził Annie udać się pod światły kierunek O. Rodriguez, który odtąd umacniał jej serce w powziętem postanowieniu.

Anna poczęła ubierać się bardzo skromnie, nosiła włosiennicę, do której przytwierdzała jeszcze ostre gwoździe, dla udręczania ciała; sypiała na gołych deskach z rękoma skrzyżowanemi, w Wielkim tygodniu chodziła boso, podczas trzech ostatnich dni nie przyjmując żadnego pożywienia. Od godz. 3-ej do 7-ej modliła się codziennie, a następnie od 9-ej do 11-ej wieczorem tak samo na klęczkach spędzała godziny nie licząc tych, które zajmowało nabożeństwo w kościele, nieopuszczała bowiem nigdy mszy sw. Resztę czasu spożytkowywała na odwiedzanie chorych: z największą troskliwością opatrywała rany, a także znajdowała wielką przyjemność w sporządzaniu ubrania dla ubogich i wyszywania różnych kościelnych robót, wykonywując je bardzo pracowicie.

Krewni Anny, znając jej złote serce, współczujące każdej niedoli, składali na jej ręce znaczne sumy dla rozporządzania niemi według swej woli. Pobożna panienka oddawała je na cele dobroczynne, wyszukując najuboższych i zasługujących na wsparcie. Co niedzieli Anna przystępowała do komunji św. w każde święto również uważała za największe szczęście zjednoczenie się z Bogiem, a Chleb anielski był jej najwyższą rozkoszą.

W ten sposób czcigodna Anna spędzała swą młodość aż do dwudziestego piątego roku życia. Nikt nie miał jej nic do zarzucenia, albowiem postępowanie Anny było pod każdym względem wzorowe.

O. Rodriguez dla wypróbowania wytrwałości swej penitentki nie szczędził jej drobnych upokorzeń, i umartwiać się kazał. Żądał naprzykład, aby poiła sama konie wówczas, gdy goście znakomici przyjechali do krewnych jej w gościnę; na jego życzenie Anna w ubogim stroju służebnicy musiała iść na targ po zakupy. Ale te wszystkie próby upokorzenia ambicji bogatej dziedziczki nie zadawalały jej pragnień, chciała bowiem być istotnie narażoną na pośmiewisko i wzgardę. Radaby uchodzić wśród ludzi za szaloną, dla wywołania szyderstw gawiedzi. Żaliła się więc, że spowiednik niechce ją na dotkliwsze wystawiać próby.

Wówczas O. Rodriguez namówił ciotkę Anny, Marję Lobera do jak najgorszego obchodzenia się ze swą młodą krewniaczką a ta posunęła posłuszeństwo do tego stopnia, że spoliczkowała Annę publicznie, mówiąc, że za jej nieskromne zachowanie się słusznie się ta kara należy. Anna rzuciła się do nóg Marji i pokornie zniosła wyrządzoną jej niesprawiedliwość.

Bóg chciał snać także wypróbować wytrwałość Anny, zesłał na nią bowiem ciężką chorobę, która dręczyła ją przez trzy miesiące. Lekarze ówcześni znali jedno lekarstwo na wszelkie dolegliwości, a mianowicie puszczenie krwi, tak więc młodą dziewczynę dwadzieścia dwa razy poddano tej operacji, można więc sobie wyobrazić, że wyglądała jak cień i tylko silnemu organizmowi a przedewszystkiem łasce Bożej zawdzięczała wyleczenie.

Poznanie się ze św. Teresą. Wstąpienie do klasztoru.

O. Rodriguez poznawszy się w Toledo ze św. Teresą doradził Annie wstąpienie do Karmelitanek bosych, co też posłuszna penitentka uczyniła w r. 1570.

Reformatorka Karmelitanek mając sobie objawione przez Zbawiciela, że nowa postulantka będzie jej niezmiernie pomocną, napisała do niej własnoręcznie list treści następującej:

„Z największą radością dowiedziałam się, że masz zamiar zaliczyć się do rzędu moich córek. Przyjmę cię niezwłocznie nie jako nowicjuszkę ale jako moją towarzyszkę i pomocnicę".

Wyraziła przytem życzenie, aby Anna przybyła do klasztoru Awilskiego, którego była przełożoną.

Anna wyruszyła wnet w drogę w towarzystwie wuja swego i kilku służebników. Wyjazd ten nastąpił 26 lipca 1570 r.

Kiedy modliła się wieczorem przed podróżą, cała jej komnata zajaśniała światłem niezwykłem a Zbawiciel sam raczył być jej przewodnikiem w tej uciążliwej drodze.

W Awila więc, tej ojczyźnie świętych i skał *santos y cantos* jak mówią Hiszpanie, rozpoczęła czcigodna Anna od Jezusa swoje nowe życie.

D. 22 października, następnego roku czcigodna Anna wykonała śluby poczem wpadła w długo trwające zachwycenie. W pierwszej chwili zdawało się Siostrom, że umarła, ale była to tylko radośna ekstaza, święty zachwyt serca przepełnionego miłością dla Boskiego Oblubieńca.

W postępowaniu z nowicjuszkami Siostra Anna

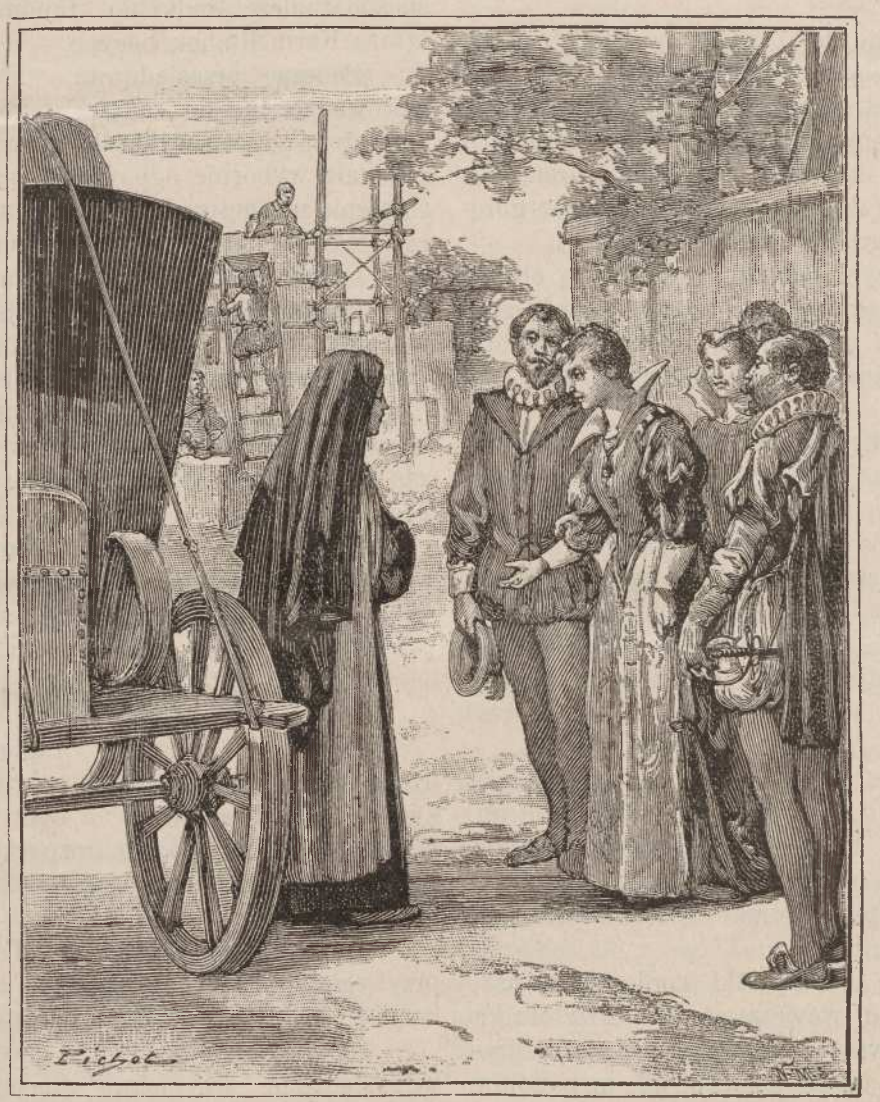

Powitanie czcigodnej Anny od Jezusa przez infantkę Izabellę.

Przywdziała habit karmelitański 7 sierpnia tegoż roku. Od pierwszych dni pobytu w klasztorze pełniła swe obowiązki z nadzwyczajną skrupulatnością, budując wszystkich swą żarliwością.

W październiku św. Teresa wezwała ją do Salamanki i chociaż Anna jeszcze nie złożyła ślubów zakonnych powierzyła jej dozór nad nowicjuszkami.

Św. Teresa odrazu odczuła wartość moralną nowej postulantki i wielką okazywała jej życzliwość. Zamieszkiwały w jednej celi, modliły się razem, a Zbawiciel obdarzał je swą łaską.

wykazała umiejętność nie małą, umiała prowadzić te młode dusze, obudzać w nich miłość cnoty i zupełne oderwanie się od spraw tej ziemi.

W styczniu 1575 r. św. Teresa zabrała z sobą czcig. Annę dla ufundowania nowego klasztoru w Veas. Pokorna zakonnica domyślała się, że spadnie na nią zaszczyt, a zarazem nowe obowiązki, które ją wielce zastraszyły. Zapytała więc świętą do jakiego zajęcia ją przeznaczy?

— Posłuszeństwo wszystkiego cię nauczy—odpowiedziała św. Teresa — pamiętaj, tylko o tem, że

głównem zadaniem naszem jest dążyć do doskonałości.

Klasztor w Veas. Czcig. Anna zostaje przeoryszą. Szczególne łaski nieba (1575—1582).

Założycielką klasztoru w Veas była Katarzyna Sandoval, ona to wyszła pierwsza na spotkanie przybyłych i zaraz na wstępie zawołała patrząc na czcigodną Annę:

— Oto właśnie jest ta, którą Zbawiciel mi wskazał, jako przyszłą przeoryszę naszego klasztoru.

I stało się tak z woli Opatrzności, że Matka Anna była zwierzchniczką wspomnianego klasztoru przed lat sześć, dokładając wszelkich starań, aby zakonnice ściśle przestrzegały reguły i coraz goręcej kochały Boskiego Oblubieńca.

Z nadzwyczajnym taktem i łagodnością obchodziła się Matka przełożona z Siostrami a zwłaszcza zwracała uwagę na postulantki; miała dar odgadywać myśl najskrytszą, budzić skruchę i pobudzać do cnoty.

Św. Jan od Krzyża nie przestawał kierować sumieniem czcigodnej przeoryszy, która postępowaniem swem wzorowem więcej jeszcze niż słowami, wywierała wpływ zbawienny na otoczenie.

Zakonnice podziwiały pokorę z jaką świątobliwa przełożona zadawała sobie surowe pokuty z najdrobniejsze winy. Widywano ją nieraz w refektarzu odzianą w najnędzniejsze łachmany, z głową posypaną popiołem, skruszoną, jak najwięksi grzesznicy odprawiający nakazaną pokutę.

Bywały chwile, w których miewała dręczące wielce widzenia. Oto naprzykład wydawało się jej, że wąż wysuwa się ku niej z ciemności i sykiem złowieszczym mącąc ciszę nocy, szepcze jej:

— Pożałujecie tego, gorzko, żeście tu Karmelitanki swoje umieściły!

Czasem znowu nowicjuszki podlegały strasznym udręczeniom, a wówczas świątobliwa Matka przełożona zażegnywała szatańskie moce i uzdrawiała Siostry w cudowny sposób od niepokojów duszy i cierpień cielesnych.

Matka Anna wywierała również jak najlepszy wpływ i za obrębem swego klasztoru. Wielu ludzi, których brak dostatecznie ugruntowanej wiary i lekkomyślność zawiodły na drogę występku, zawdzięczało czcig. Annie od Jezusa swoją poprawę i nawrócenie.

Byli jednak i tacy niegodziwcy, którzy mszcząc się za dawanie im rad zbawiennych, chcieli otruć świątobliwą przeoryszę i w tym celu przysłano jej jakieś ciasto zawierające truciznę.

Czcigodna Matka Anna, nie przypuszczając podstępu, przyjęła dar sercem życzliwem i spożyła nieco owego ciasta, które przyprawiło ją o silne boleści, a chociaż niecny zamiar trucicieli nie powiódł się w zupełności, wszelako do końca życia nie mogła się wyleczyć z dolegającego ustawicznie tumoru będącego skutkiem uczynionego na nią zamachu.

Ale gorliwa przełożona nie miała czasu troszczyć się o swoje zdrowie, poświęcając się wciąż dla innych, a głównie cześć Bożą mając na względzie.

W r. 1576 zdołała w prawdziwie cudowny sposób znaleść środki do ufundowania nowego klasztoru Karmelitanek bosych.

Podczas prześladowań wznieconych przeciw wprowadzonym do zakonu tego reformom, Matka przełożona z Veab wykazała niezmordowaną energję i umiała wybornie odpowiadać na niewłaściwe wystąpienia niechętnych tej zbawiennej reformie, o której pisaliśmy już obszernie w życiorysie św. Teresy.

Dzięki staraniom czcig. Anny od Jezusa dwóch O.O. Karmelitów zreformowanych udało się do Rzymu dla uzyskania poparcia Stolicy Apostolskiej. Papież Grzegorz XIII przychylił się do ich prośby i od zależności uwolnił, dając im oddzielnego prowincjała, zawisłego od jenerała zakonu, przedtem zaś Karmelici bosi, czyli zreformowani, zostawali pod posłuszeństwem Karmelitów dawnej obserwancji. Św. Teresa napisała z tego powodu list do Matki Anny, winszując jej szczęśliwego skutku usiłowań i nazywając żartobliwie swoim „kapitanem przeorów".

W Grenadzie 1582—1586.

Kiedy skończyło się drugie trzylecie rządów klasztorem czcig. Matki Anny, przez pół roku pędziła życie zwykłej zakonnicy, a była tak pokorną i posłuszną, jakby tylko co rozpoczynająca nowicjat, przytem jednak cieszyła się większem niż przeorysza poważaniem.

Następnie wezwała ją św. Teresa do Grenady; przybyła tam Matka Anna wraz z sześciu zakonnicami d. 20 stycznia 1582 r.

Początkowo miały wiele przykrości na tej nowej siedzibie; arcybiskup niechętnie przystał na przyjęcie nowego zgromadzenia. Według słów własnych czcig. Anny od Jezusa przeszło dwieście panien z zacnych rodów zgłaszało się do Sióstr Karmelitanek, wszelako ani jedna z nich nie odpowiadała surowym wymaganiom reguły i umiejących czytać w sercach kierowniczek.

Św. Teresa zeszła z tego świata 4 października o 9 ej wieczorem. W tym samym czasie Matka Anna czuła się tak bardzo cierpiącą, że prosiła o Wiatyk. Ukazało się jej nagle św. Teresa w blasku chwały i uzdrowiła swą świątobliwą koadjutorką, poczem rzekła:

— Zakon nasz istnieć będzie wciąż i rozwijać się coraz pomyślniej, albowiem będę mogła pomagać ci lepiej przebywając w niebie.

Sześć nowicjuszek przyjęła wnet czcig. Anna. Jakoż wkrótce potem wpadła pewnego razu w zachwycenie, a przyszedłszy do siebie, rzekła do zakonnic:

— Poleciłam Bogu nasze nowo przybyłe nowicjuszki, błagając, aby uczynił je doskonałości wzorem. A na to otrzymałam odpowiedź: - Do ciebie należy urobić ich dusze, a ja ci w tem dopomogę.

Św. Jan od Krzyża z największem uznaniem wyrażał się zawsze o czcig. Annie:

— Jest ona zupełnie do naszej Matki Teresy podobna, — mówił ten święty - zwłaszcza z nadzwyczajnej gorliwości w modlitwie i z umiejętności mądrego rządzenia.

Czcig. Anna od Jezusa przystępowała codziennie do komunji św. i często wpadała w zachwycenie, szczególniej w chwilach odmawiania aktów dziękczynnych. Kiedy naówczas któraś z zakonnic podchodziła do niej i prosiła ją o westchnienie do Boga w imieniu osób przybyłych umyślnie, aby się modłom jej polecić, Matka Anna pozostając wciąż w pobożnem uniesieniu odpowiadała:

— Powiedz im, siostro, niech się nie martwią, wszystko dobrze pójdzie.

A jeśli to powiedziała, osoby oczekujące z upragnieniem radowały się bardzo, albowiem z pewnością wszystko poszło jak najlepiej.

Św. Jan od Krzyża poddał Annę ciężkiej próbie, zabraniając jej przystępować do komunji św. aż dopóki zakazu tego nie cofnie.

Czcig. Anna cierpiała bardzo z tego powodu, ale posłusznie i pokornie zastosowała się do jego woli.

Bóg ją wynagrodził. Pierwszy raz przystąpiwszy do Stołu Pańskiego za zezwoleniem spowiednika doznała takiego radośnego uniesienia, że dusza jej była prawdziwie wniebowziętą.

Pobyt czcig. Anny w Madrycie. Łaski Boże. Prześladowania (1586—1594).

Za nim rozpoczęły się przykre i ciężkie dnie smutku, z powodu nieporozumień w zakonie, podobało się Bogu obdarzać czcig. Annę wielu łaskami. Razu pewnego dwoma chlebami nakarmiła całe zgromadzenie, zebrano zaś jeszcze przeszło sześć funtów okruchów. Umiała też w sposób nadprzyrodzony odgadywać rzeczy, zwykłym śmiertelnikom niedostępne. Naprzód wiadomą jej była śmierć niektórych osób. Bardzo często ukazywała się jej św. Teresa, której dzieła wydać kazała. Święta dawała swej koadjutorce zbawienne rady, według których Anna rządziła zgromadzeniem.

Kiedy O. Mikołaj Doria, obrany prowincjałem Karmelitów, ustanowił w r. 1585 radę złożoną z sześciu członków, mającą na celu rozstrzygać o sprawach dotyczących karmelitańskiego zakonu, zmiana ta zaniepokoiła zakonnice. Czcig. Anna opierając się na zdaniu kilku dostojnych doradzców duchownych z Madrytu i Salamanki, przekonana o tem, że spełnia swój najświętszy obowiązek, odwołała się do Rzymu, dla otrzymania zatwierdzenia ustaw wspólnie ze św. Teresą zreformowanych podczas kapituły w Alcala (1581). Prosiła też Ojca św. o uwolnienie zakonnic od zależności owej rady, O.O. Karmelitów dawnej obserwancji, aby tylko były posłusznemi prowincjałowi i wikarjuszowi generalnemu. Papież Sykstus V potwierdził d. 5 czerwca 1590 r. ustawę z 1581 roku. Anna była naówczas zwykłą zakonnicą, gdyż przestała być przeoryszą we wrześniu 1589 r.

Brewe papieskie wywołało niezadowolenie Ojców Karmelitów dawnej obserwancji i przez cały rok zakonnice, znajdujące się w Madrycie, były z tego powodu pozbawione spowiednika. Wówczas Anna od Jezusa zwróciła się z prośbą do królowej Marji i za pośrednictwem króla Filipa II Grzegorz XIV papież wydał nowe brewe w 1591 r. uwalniające zupełnie Karmelitanki bose od rozkazów głównej rady zwanej *Consulta*. Pomimo to niedawano im spokoju, wyznaczano pokuty, przysyłano nagany, a Matkę Annę, którą pomawiana o intrygowanie przeciw Consultantom w Rzymie skazano na trzyletnie zamknięcie w oddzielnej celi, zakazując przystępowania do Pańskiego Stołu i odbierając jej głos w sprawach dotyczących zgromadzenia za rzekome nieposłuszeństwo władzy duchownej.

Czcig. Anna znosiła mężnie te niesprawiedliwości nigdy nie okazując gniewu, gdyż zupełnie pewną była, że postępuje w zgodzie z sumieniem własnem i wolą Bożą.

Namawiano ją, aby wstąpiła do Franciszkańskiego zakonu, gdzie zostałaby stale przełożoną zgromadzenia, ale czcig. Anna odpowiedziała, że „z radością znosi prześladowania i woli być ostatnią i poniewieraną w swoim zakonie, niż zajmować chociażby najzaszczytniejszy urząd w innym".

W tym czasie doświadczanych przez świątobliwą zakonnicę prześladowań, św. Teresa ukazywała się jej bardzo często i pocieszała ją w strapieniu. Św. Jan od Krzyża, który zmarł 14 grudnia 1591 r. ukazywał się jej również.

W Salamance (1594—1604). Otwarcie trumny świętej Teresy. Dar mądrości, udzielony czcig. Annie od Jezusa.

Czcig. Anna od Jezusa powróciła do Salamanki w 1594 r. a po drodze zatrzymała się w Albie dla odwiedzenia grobu św. Teresy oraz dopomożenia w złożeniu drogocennych szczątek w nową, wspaniałą trumnę. Podczas przenoszenia ciała świętej, która po dwunastu latach wyglądała, jakgdyby dopiero co skonała, a nawet nie miała sztywności

trupiej; czcigodna Anna oparła głowę na ramieniu św. Teresy i przez długi czas pozostawała w zachwyceniu.

Opowiadała następnie, że słyszała wyraźnie najtkliwsze słowa płynące z ust wielkiej reformatorki Karmelitańskiego zakonu, która dziękowała za za wszystko, co jej koadjutorka uczyniła dla zgromadzenia.

Kiedy czcig. Anna od Jezusa została przeoryszą w Salamance w 1596 r. podziwiano ogólnie jej wielką mądrość, dawała bowiem światłe rady najznakomitszym uczonym hiszpańskim.

„Oddałabym chętnie po tysiąc razy życie swoje, byleby uratować jedną duszę od zguby", mówiła św. Teresa, widząc wielki upadek pobożności we Francji, były to bowiem czasy, kiedy błędy Lutra i Kalwina obalały ołtarze.

Być może, że ta święta, tak niezmiernie o cześć Bożą dbała, uprosiła w niebie tę łaskę, aby po jej zgonie czcig. Anna od Jezusa prowadziła dalej rozpoczęte tak chwalebnie dzieło uświęcenia swego zakonu i rozszerzenia go w obcych krajach.

Wyjazd z Hiszpanji. Ufundowanie klasztoru Karmelitanek we Francji.

Czcig. Anna miała sobie objawione w 1581 r., że ma przenieść się do Francji, ale ufundowanie klasztorów Karmelitanek bosych w tym kraju nastąpiło daleko później. Przyczynili się do tego w znacznej mierze O. Bretigny, człowiek bardzo cnotliwy i pani Acarie, która następnie jako Karmelitanka bosa odznaczała się nadzwyczajną bogobojnością, wielkie położyła zasługi dla swego zakonu i została beatyfikowana pod imieniem błog. Marji od Wcielenia.

Dwukrotnie ukazała się jej św. Teresa skłaniając do ufundowania klasztoru Karmelitanek we Francji. Król Henryk IV po dość długich wahaniach dał wreszcie swe przyzwolenie na sprowadzenie zakonnic z Hiszpanji.

Nie mało trudności trzeba było przezwyciężyć, ponieważ generał Karmelitów stawił opór i nie wierzył w możebność utrzymania się klasztorów Karmelitanek bosych po za granicami Hiszpanji, nie zezwalał więc na oddalenie się Sióstr z ojczystego kraju. Wreszcie na wyraźne życzenie nuncjusza dał pozwolenie czcig. Matce Annie od Jezusa oraz siostrze Annie od św. Bartłomieja na wyjazd do Francji oraz upoważnienie na fundowanie nowych klasztorów; z warunkiem wszelako, że te będą pod posłuszeństwem miejscowych O.O. Karmelitów zostawały.

Czcig. Anna od Jezusa z kilku towarzyszkami wyjechała z Salamanki d. 20 sierpnia 1604 r. musiała zaś uczynić to w największej tajemnicy, aby mieszkańcy otaczający ją wielką czcią i poważaniem nie puścili się za nimi w pogoń. Matka Anna miała już lat 59 i zdrowie jej było w bardzo nieszczególnym stanie, pomimo to nie wahała się przedsięwziąć ważne dzieło, do którego powoływało ją gorące pragnienie rozszerzenia swego zakonu i uświęcania dusz.

Wraz z czcig. Anną udały się w podróż wyżej wspomniona Siostra Anna, Siostra Eleonora władająca dobrze językiem francuzkim, Izabella od św. Pawła, oraz dwóch O.O. Karmelitów, Bretigny i Berulle, przytem kilka pań francuskich, pomiędzy któremi znajdowała się pani Acarie.

Podróż trwała siedm tygodni i była nader uciążliwą. Kilka razy różne wypadki, złamanie powozu, złe drogi i tym podobne przeszkody zmuszały wędrowców do odbywania pieszej podróży.

Matka Anna wykazała ogromnie wiele energji, wytrwałości i sama w trudnych przeprawach przez górzystą miejscowość odważnie szła przodem, nie zezwalając na zatrzymywanie się dla odpoczynku.

— Musimy się śpieszyć — powiadała — jeżeli zatrzymamy się choćby dzień jeden, całe przedsięwzięcie się nie uda i będziemy zmuszone powrócić do naszego klasztoru.

Nie omyliło ją przeczucie, zaledwie bowiem przekroczono granicę, doszła ich wieść, że król hiszpański wydał rozkaz nie dopuszczenia zakonnicom wyjazdu z kraju. Ale Karmelitanki znajdowały się już na francuzkiej ziemi i nie obawiały się pogoni. Wkrótce znalazły się w pobliżu stolicy.

Pobyt czcig. Anny we Francji i wyjazd do Belgji.

Działo się to w październiku 1604 r. księżna de Lonqueville, bardzo pobożna niewiasta wyjechała na spotkanie Karmelitanek bosych i zawiodła zakonnice do ufundowanego przez siebie klasztoru Wcielenia. Ale zaraz na wstępie spotkała się czcig. Matka Anna z niechęcią wielka O.O. Karmelitów złagodzonej reguły, którzy przeciwni byli wprowadzonym przez św. Teresę obostrzeniom, a ponieważ przybyłe zakonnice musiały być posłuszne ich rozporządzeniom, miały wiele przykrości z tego powodu.

Do nowego klasztoru przybyło wkrótce sporo postulantek, a wszystkie odznaczały się wielką żarliwością, było to pociechą prawdziwą dla Matki Anny od Jezusa, jednak mając ustawiczne troski i zatargi z nieżyczliwymi jej francuzkimi zakonnikami, żałowała chwilami, że opuściła ojczyznę, do której nie miała już nigdy powrócić.

Po pewnym czasie okazało się, że tak wielki jest napływ postulantek, iż trzeba ufundować nowy klasztor. Jakoż powstał dom w Pontoise, o sześć mil od Paryża. Przełożeni francuzcy mianowali Siostrę Annę od św. Bartłomieja przeoryszą tego klasztoru pomimo oporu z jej strony.

Czcig. Anna od Jezusa ze smutkiem widziała, że tak droga jej sercu reforma zakonu nie jest stosowaną, pomimo to podczas obłóczyn kilku postulantek przemawiała do nich zachęcając do ścisłego stosowania się do woli przełożonych i czuwania ustawicznie nad sobą.

Ogólnie przyznawano czcig. Annie wielką umiejętność utrzymywania Sióstr w rygorze i mówiono o niej, że posiadała zdolności rządzenia nietylko klasztorami ale chociażby całem państwem.

Pobożni przypisywali modłom córek św. Teresy a głównie zasługom świątobliwej Matki Anny pokój, jaki zapanował we Francji od czasu przybycia zakonnic, przedtem bowiem ustawiczne wojny bardzo kraj wyniszczyły.

Ponieważ jednak obawiali się niektórzy duchowni, nie życzliwi czcig. Annie, jej wpływów w Paryżu, postarano się o wyznaczenie jej innego miejsca pobytu i powierzono rządy nowego klasztoru w Dijon.

Ufundowanie klasztorów karmelitańskich w Belgji.

Czcig. Anna zaczęła układać sobie plan powrotu do Hiszpanji, za którą wciąż tęskniła. W tym czasie, a było to w 1605 r. przybyła do niej Siostra Magdalena od św. Hieronima, która zamierzała sprowadzić Karmelitanki bose do Belgji i w tym celu chciała się naradzić z czcig. Anną; ta zaś miała objawienie podczas choroby, z której cudownie została uleczoną, że z woli Opatrzności ma jeszcze zakon karmelitański do Belgji wprowadzić.

Arcyksiąże Albert oraz arcyksiężniczka Izabella bardzo sprzyjali tym zamiarom, O.O. Karmelici francuzcy ze swej strony nie stawili przeszkód. to też wyjazd czcig. Matki Anny oraz kilku innych zakonnic został postanowiony. Przyjęto je w Brukselli z oznakami czci i nadzwyczajną uprzejmością. Arcyksiężniczka Izabella wraz ze swym dworem wyszła sama na spotkanie przybyłych. Tak więc od roku 1607 Karmelitanki bose osiedliły się w Belgji, a wraz z ich przeniesieniem się do tego kraju zapanował tam pokój po długich walkach ze zbuntowanymi prowincjami.

W ciągu trzech pierwszych dni pobytu czcig. Anny w Brukselli udało się jej pozyskać już pięć postulantek, pomiędzy któremi znajdowały się nawet damy dworu.

Dnia 25 stycznia 1607 r. odbyło się bardzo uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę klasztoru Karmelitanek bosych, ukończonego w 1611 roku.

Zaraz po rozpatrzeniu się w nowych warunkach, czcig. Matka Anna zajęła się gorliwie pozyskaniem dusz dla Boga i wydaniem dzieł świętej Teresy w języku flamandzkim, hiszpańskim i po łacinie, oraz opisała życie tej świętej reformatorki zakonu.

Postulantek tak dużo przybywało, że zaszła potrzeba założenia kilku nowych klasztorów Terezjanek. Czcig. Anna od Jezusa była niestrudzona w tej chwalebnej pracy, chociaż wiek podeszły i nadwątlone zdrowie utrudniały jej nieraz zadanie.

W powrocie z Mons, dokąd jeździła w sprawach powstającego klasztoru, mówiła towarzyszkom swym, że czuje doskonale, iż to ostatni raz zajmuje się urządzeniem nowego zgromadzenia Sióstr Karmelitanek, albowiem prędko już pożegna ich na zawsze.

Oprócz trosk i kłopotów kierowania kilku klasztorami, czcig. Anna korzystała z przychylności dla siebie arcyksiążęcego dworu, aby przeprowadzać chwalebne reformy w innym kierunku. I tak naprzykład jej to zawdzięczali więźniowie, że odprawiano odtąd mszę św. we wszystkich więzieniach, a corocznie w dzień św. Józefa uprosiła wypuszczenie na wolność trzech przestępców, którzy okazywali skruchę i zasługiwali na ułaskawienie.

Po długoletnich staraniach zdołała też uzyskać u papieża Pawła V w 1610 r. bullę, mocą której upoważniał Karmelitów bosych włoskiej kongregacji do posiadania osobnego generała. Prosiła również o wysłanie O.O. Karmelitów do Belgji; zakonnicy ci przybyli do Brukseli w tymże 1610 r. pod przewodnictwem O. Tomasza od Jezusa.

Od tego czasu kongregacja wloska, zwana kongregacją św. Eljasza, z głównym domem della Scalla w Rzymie, miała prowincje we Włoszech, Francji, Niemczech, Polsce i Flandrji. Czcig. Anna mogła teraz zasnąć w spokoju widząc pracę i trudy całego życia ukoronowane zupełnem powodzeniem.

Beatyfikacja św. Teresy. Choroba czcig. Anny od Jezusa.

Przed odejściem z tego świata doświadczyła jeszcze czcig. Anna od Jezusa radości niezmiernej, albowiem Bóg jej dozwolił doczekać beatyfikacji św. Teresy, kiedy upłynęło właśnie trzydzieści lat od jej zgonu.

Była to, można śmiało powiedzieć, ostatnia radośna chwila życia tej czcigodnej zakonnicy, następnie bowiem znosić musiała ciężkie dolegliwości cielesne, pomiędzy innymi nerwowe trzęsienie głowy, łamania w kościach, częste bóle gardła, zapalenie płuc i t. p. Pomimo tego kierowała wszystkiem z całą przytomnością i oddaniem się sprawom swego ukochanego zakonu. Sama wnikała w najdrobniejsze szczegóły i umacniała córki swe w wytrwałości.

Oprócz wymienionych już cudów i nawróceń dokonanych przez czcig. Matkę Annę w Hiszpanji

doznała ona podczas swego pobytu we Flandrji wielkich łask Najśw. Sakramentu. Spowiednik jej, O. Hilary zapewnia, że doświadczała, jakby istotnie żywej obecności Jezusa w sercu swojem. Doskonale odczuwała szczerość lub obłudę oddawanych jej pochwał i zawsze wypowiadała prawdę w oczy.

I tak np. przytaczają fakt, że gdy biskup z Osmy, jej krewny, rozpływając się w zachwytach nad jej zasługą i cnotą prosił, aby mu ofiarowała swój habit, który jako relikwię przechowywać będzie, czcig. Anna roześmiała się szczerze

— Ogromnie mnie zabawiło, podobne żądanie, i uwielbienie dla mego starego habitu — odrzekła — ale nie mogę go darować, chcę bowiem wynagrodzić mu za to, że mi przez czterdzieści ośm lat wiernie służył i każę się w nim pochować.

Kiedy proszono czcig. Annę, aby dozwoliła się sportretować, wzruszyła ramionami i rzekła:

— Wielkiej sztuki dokazałby malarz, któryby potrafił odtworzyć moją trzęsącą się ustawicznie głowę!

Ostatnie lata. Śmierć czcig. Anny.

Rok 1618 - 1619 był dla czcig. Anny niezmiernie ciężkim. Choroba nerwowa skurczyła ją niemal we dwoje i musiała w ten sposób pozostawać zupełnie bezwładną. Następnie potworzyły się na ciele jej rany, nie mogła więc leżeć ani siedzieć, całe ciało miała rozpalone gorączką. W tych dniach długich i nieustających męczarni kazała sobie czytać o Męce Pańskiej, a porównywając udręczenia Zbawiciela ze swoimi, nad Nim, nie nad sobą, łzy gorzkie wylewała.

W lutym 1621 r., stan chorej pogorszył się jeszcze znacznie, ran na ciele coraz więcej przybywało. Wodna puchlina obezwładniła nogi i dosięgała coraz wyżej. Pokrzepiona komunją św. oczekiwała śmierci z upragnieniem, gdyż miała sobie objawionym dzień swego zgonu, O. Hilary udzielił jej Ostatniego Namaszczenia, poczem czcig. Matka prosiła, aby ją położono na ziemi i otoczona płaczącemi gorzko zakonnicami oddała duszę Bogu d. 4 marca 1521 r. W tymże dniu kilka osób wiarogodnych widziało jej odejście do nieba.

Pośmiertne cuda.

W tym czasie, gdy zakonnice były zajęte pogrzebem czcigodnej Matki Anny, Siostra Joanna od św. Ducha ciężką złożona chorobą, zapragnęła koniecznie ucałować ręce i nogi zmarłej i prosiła aby Siostry ją zawiodły, ale nikt nie miał czasu nią się zajmować w obec nawału innych spraw pilniejszych, według ich zdania. Siostra Joanna nie mogła oprzeć się chęci ujrzenia raz jeszcze tak drogich dla niej szczątek i zeszła do chóru. Dwie Terezjanki podtrzymywały ją z wielkim trudem tak bardzo była osłabiona, zaledwie jednak ucałowała twarz, ręce i nogi czcig. Matki Anny wstrząsnął nią silny dreszcz, zakonnice, sądząc, że to nowy atak nerwowy, ułożyły ją na posłaniu. Wtem stało się z nią coś dziwnego. Doznała wrażenia jakgdyby wielki ciężar spadł nagle z jej ciała, odzyskała władzę w nogach, której była przez dłuższy czas pozbawiona, zerwała się o własnej mocy i upadła na kolana przy drogich zwłokach, czując się zupełnie uzdrowioną.

Zachwycone tym jawnym cudem zakonnice zaintonowały *Te Deum laudamus* dziękując Bogu, że raczył tak wielką łaskę uczynić przez zasługi swej wiernej służebnicy.

Papież Leon XIII uznał Matkę Annę od Jezusa za czcigodną d. 13 kwietnia 1878 r.

Źródła.

O. Ignacy Berthold. *Żywot czcig. Matki Anny od Jezusa, Karmelitanki bosej.* 1882 r.

Wiadomość historyczna o Karmelitankach w Polsce.

Niewiele Polska posiadała klasztorów karmelitańskiej reguły w stosunku do licznych bardzo klasztorów męzkich. Tak i Karmelitanek trzewiczkowych, to jest dawnej obserwy, dwa zaledwie były konwenty, to jest we Lwowie i w Dubnie na Wołyniu.

Lwów miał ich klasztor na przedmieściu Halickiem, r. 1638 fundowany przez Kacpra Wielżyńskiego Łowczego ziemi lwowskiej. Klasztor ten z drzewa zbudowany, wkrótce się zrujnował, a wtedy Aleksander książe na Ostrogu Zasławski r. 1677 zbudował nowy, murowany klasztor z kościołem św. Agnieszki, w bliskości klasztoru Dominikanek. Roku 1782 zniesiony klasztor obrócono na seminarjum generalne. W następnych czasach (1792) gdy zniesiono także Karmelitanki bose, do klasztoru tych ostatnich przeniesiono seminarjum, gmach po Karmelitankach trzewiczkowych zamieniono na magazyn wojskowy, który, gdy r. 1812 spłonął, w kilka lat potem hr. Józef Ossoliński kupił zniszczone resztki budynku z kościołem i przerobił na bibljotekę narodową imienia swojej rodziny.

Z. Dnbno należało do ordynacji książąt Ostrogskich, potem przeszło do rodziny książąt Lubomirskich, z której Teofila Ludwika Lubomirska, marszałkowa Koronna r. 1702 ufundowała klasztor Karmelitanek dała im odpowiednie uposażenie; kościół tamtejszy tegoż roku został poświęcony.

Karmelitanki bose.

Karmelitanki bose, inaczej Terezjankami zwane, przybyły do Polski za staraniem Beaty Konstancji z Myszkowskich, wdowy po Bużeńskim, staroście brzeżnickim i dobrzyńskim, która je r. 1613 z Niderlandów sprowadziła, klasztor w Krakowie fundowała, a sama do zakonu tego wstąpiwszy, w nim bogobojnie Bogu służyła i tamże r. 1627 umarła Zakonnice te były to córki duchowne czig. Anny od Jezusa i odznaczały się wielkiemi cnotami.

Zakwitł zakon i nabrał poważania, gdy doń wstąpiła Teresa Marchocka, córka Pawła, starosty Ciechanowskiego, której cnoty i nauka w całej Polsce były znane. Napisała ona kilka traktatów ascetycznych, a klasztory Karmelitanek bosych w Krakowie, Lwowie i Warszawie jej staraniem i wpływem powstały. Klasztorów tej surowej reguły, różnemi czasy, ośm w Polsce istniało. W Krakowie u św. Marcina, kościół miał być zbudowany przez Jaksów, herbu Gryf, który następnie r. 1618 staraniem Mikołaja Zebrzydowskiego, wojew. Krakowskiego oddany został Karmelitankom bosym, a fundatorka ich Konstancja Bużeńska własnym nakładem przystawiła klasztor. Musiała nastąpić wkrótce ruina starego kościoła, gdy r. 1638 nowy z ofiar pobożnych wymurowano, który biskup Krakowski, Piotr Gembicki r. 1634 poświęcił. W XVIII wieku zakonnnice ztąd przeniesiono i z drugiemi w klasztorze tejże reguły połączono, a kościół długo stał zamknięty: nareszcie Senat wolnego miasta Krakowa oddał go ewangelikom którzy go dla siebie wyrestaurowali i przerobili. W Krakowie inny kościół pod tytułem św. Teresy i Jana od Krzyża, z klasztorem przy tymże, na przed. Wesoła dotąd posiadają Karmelitanki. Pierwszą przełożoną była Anna Rupniewska, ciotka fundatora. W Wilnie, przy kośc. św. Józefa r. 1638 fundował je Stefan Pac, podkanclerzy wielki litewski, i żona tegoż, Rudominianka, klasztor dzisiaj zniesiony, a zakonnice do Benedyktynek przeniesione, gdzie z nich r. 1875 cztery jeszcze pozostawały. We Lwowie fund. r. 1644 przy kościele Oczyszczenia N. M. P. przez Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana III-go w r. 1782 klasztor ten zniesiono. Kościół długi czas służył za skład mundurów wojskowych lub był zamknięty następnie wyrestaurowany i oddany na seminarjum, które w dawnym klasztorze tychże Karmelitanek się mieści.

Karmelitanki w Warszawie, Lublinie i Poznaniu.

Karmelitanki bose miały w Warszawie kościół św. Ducha albo Trójcy św. zwany, który fundował Jerzy Ossoliński i córka jego Helena Lubomirska. R. 1818 klasztor zniesiony; kościół jest dziś kaplicą Tow. Dobroczynności; posiada piękny nagrobek Michała Szymanowskiego, starosty wyszogrodzkiego zm. 1731 r.

Katalog koscielny djecezji lubelskiej podaje, że kościół w Lublinie, wielkim nakładem zbudowany r. 1640, przez Zofję z Tęczyna, żonę Jana Daniłowicza, podsk. wielk. koronnego.

Karmelitanki mieszkały przy nim do r. 1818 i od tytułu kościoła (Niepok. Poczęcie N. M. P.) zwano je w Lublinie powszechnie *poczętkami*. Od r. 1835 jest tu szpital św. Łazarza, utrzymywany przez Siostry Miłosierdzia. Tamże czytamy, że przy kościele św. Józefa były Karmelitanki bose do r. 1807. Ztąd wnosić wypada, że w Lublinie Karmelitanki dwa klasztory posiadały, przez coby także wypełniła się liczba ośmiu klasztorów Karmelitanek bosych w Polsce jaką podaje Rastawiecki (Mappografja). W Poznaniu klasztor Karmelitanek jest fundacją Marji Ludwiki, żony króla Jana Kaźmierza, która na ten cel dała do ręki ksieni Karmelitanek w Warzawie, pieniądze potrzebne. Kupiono kilka domów z placami i browar na ulicy Szkolnej, wystawiono kościół i klasztor, do którego r. 1667 z Warszawy zakonnice sprowadzono. Pomimo oporu magistratu, sejmy z lat 1667, 1677 fundację zatwierdziły i zwykłymi dla zakonów przywilejami obdarowały. Klasztor i kościół wiele ucierpiały podczas gdy je Szwedzi zajęli i ztąd się bronili.

Dla użytku swego wydały Karmelitanki bose książkę zawierającą oficja i msze na czas wielkiego i paschalnego tygodnia.

Przed 50-ciu z górą laty klasztor ten obrócono na szkołę miejską.

W 1869 r. na nowo wprowadzone Karmelitanki do Poznania mieszkały przy kościele Najśw. M. P. i św. Józefa.

Było ich dziewietnaście; usunięto je w skutek nowych rozporządzeń rządu pruskiego, wypowiadającego walkę Kościołowi, a więc w 1875 r. przeniosły się do Krakowa, gdzie Karmelitanki bose surowem i bardzo umartwionem życiem podniecając ducha, dnic i noce pędzą na modlitwie nie szukając z dzieł swoich rozgłosu.

Dnia 9 marca.

ŚWIĘCI CYRYL I METODY

APOSTOŁOWIE SŁOWIAN.

Wiek IX.

Za rządów papieży: Mikołaja I, Adrjana II, Jana VIII, cesarza bizantyjskiego Michała III.

Niema nic tak miłego Bogu, jak staranie się o zbawienie bliźnich.
Św. Jan Złotousty.

Pochodzenie.—Młode lata dwóch braci Salonickich.

Święci bracia o których mówić będziemy, przyczynili się nie mało do rozkrzewienia wiary św. w krajach słowiańskich; doniosłość podjętej przez nich pracy przedstawia jedno z najwybitniejszych zjawisk w historji ludów.

Święci Metody i Cyryl, (który imie to przyjął dopiero zostawszy zakonnikiem, na chrzcie zaś św. otrzymał imie Konstanty), przezwani ze względu na ich działalność apostołami Słowian, ujrzeli światło dzienne w mieście Tesalonice czyli Solunie w Macedonji. Pierwszy z nich był najstarszym — drugi zaś najmłodszym w rodzinie siedmioro dzieci liczącej. Rok urodzenia Metodego nie jest znany, przyjście zaś na świat Cyryla odnoszą pospolicie do roku 826 lub 827.

Rodzice ich Leon i Marja, zaliczani byli do rzędu ludzi możnych. Ojciec ich Leon był poważanym dygnitarzem państwowym w Salonice, zajmując drugie stanowisko po strategu w zarządzie tej prowincji (rodzaj naczelnika wojennego) i znanym był ze swej nauki.

Bracia św. otrzymać mieli staranne domowe wychowanie, następnie zaś pobierali nauki w zakładach publicznych, odznaczając się zawsze wielkiemi zdolnościami, niezwykłem zamiłowaniem do nauk i szlachetnością charakteru.

Metody sposobił się do zawodu świeckiego, a poświęciwszy się służbie państwowej, zdobył w krótkim czasie wybitne stanowisko rządcy pewnej prowincji słowiańskiej do państwa Byzantyckiego należącej, a położonej w Tessalii, lub w północno-wschodniej Macedonji.

Prowincja ta, zwana pospolicie Sławinią, ze względu na jej czysto słowiańskie zaludnienie, mieściła się prawdopodobnie na przestrzeni ujętej między rzekami Marycą i Strumą.

Nie wiadomo, jak długo Metody zajmował piastowany urząd, wiemy tylko, iż porzucił go, aby się zamknąć w klasztorze Polihrońskim na Olimpie, mniej więcej na kilka lat przed przybyciem do tegoż klasztoru brata jego Konstantego. W owym czasie miał on już być przeorem rzeczonego klasztoru.

Konstanty po śmierci ojca swego w r. 842, mając już lat 14, odwiezionym został do Carogrodu, gdzie miał się kształcić pod kierownictwem dwóch najsławniejszych profesorów — Leona i Focjusza (przyszłego patrjarchy). Tradycja, nosząca na sobie cechy prawdopodobieństwa, głosi, jakoby wskutek nieznanego nam, a pomyślnego dlań zbiegu okoliczności, Konstanty został powołany na współtowarzysza do młodego Michała, późniejszego cesarza Michała III i pobierał z nim razem nauki.

Cichy, łagodny, a niezmiernie prawy charakter, zamiłowanie w naukach i nadzwyczajne zdolności, jakiemi odznaczał się Konstanty, zwróciły nań rychło uwagę przełożonych, dworu i patrjarchy Ignacego, który miał szczególnie wpływać na umysł młodzieńca, nakłaniając go do przyjęcia święceń kapłańskich, lub być może ułatwił mu tylko dopięcia tego upragnionego celu.

Nie bez zwalczenia wielu trudności mógł przyjąć święcenie kapłańskie piękny młodzieniec, przed którym otwierała się najświetniejsza przyszłość i za którym ubiegało się nie mało ludzi możnych. Tak naprzykład Teoktista, sekretarz cesarza, pragnąc ożenić Konstantego ze swą córką chrzestną, sprzeciwiał się mocno lecz nadaremnie niezłomnemu postanowieniu młodzieńca, który umiał jednak zwalczyć wszystkie przeszkody i pokusy i przyjął święcenia kapłańskie.

Młody kapłan, ozdobiony juz tytułem filozofa, zajął wkrótce zaszczytne stanowisko bibliotekarza patrjarchy przy kościele Ś-ej Zofji w Carogrodzie. Niedługo potem sprzykrzywszy sobie świat, opuścił stolicę skrycie, udając się do pewnego klasztoru nad Bosforem, skąd go niebawem wyprowadziła nominacja na katedrę filozofji. W tych czasach nastręczyła się młodemu kapłanowi pierwsza zręczność wystąpienia w charakterze obrońcy Kościoła i jego dogmatów. Pozbawiony godności patrjarchy i skazany na wygnanie Joanik, jeden z najgorliwszych obrazoborców, gdy nieprzestawał trwać dalej w swej zaciętości, cesarz Michał i patrjarcha Ignacy poruczyli Konstantemu przeprowadzić z nim dysputę w tej materji, pragnąc nawrócenia Joanika. Konstanty spełnił tak świetnie swoją misję, że pobity

na wszystkich punktach Joanik został zmuszony do milczenia.

Niedługo potem Konstanty, młodzieniec zaledwo dwudziestoletni, lecz wsławiony już ze swej nauki i mądrości, został wyprawiony przez cesarza Byzantyjskiego (r. 851) do Azji mniejszej, do emira melityńskiego w państwie kalifa, dla przeprowadzenia dysput religijnych o Trójcy Ś-ej z miejscowymi mędrcami.

Nastąpiło to w skutek wezwania pysznych z mniemanej wyższości swej wiary mahometan, pragnących zwycięstwem w zawiłej dyspucie zniweczyć urok wiary chrześcijańskiej i zatamować groźny dla wyznawców proroka wzrost jej pośród plemion małoazjatyckich. Zachowanie się Konstantego u mahometan i pełne chwały dysputy jakie z nimi przeprowadził, chociaż nie zdołały nawrócić ich do wiary chrześcijańskiej, zapewniły mu jednak najwyższe ich uznanie i pewne poparcie dla chrześcijan miejscowych, utwierdzając o nim ostatecznie opinię skończonego mędrca.

Zatargi wynikłe pomiędzy Bardasem, możnowładcą i wujem cesarza Michała III, a patrjarchą Ignacym, w których przyjmował czynny udział Focjusz, były nauczyciel Konstantego, podówczas wielki dygnitarz, wywołały na widownię Konstantego.

Nieszlachetne zachowanie się Focjusza w obec patrjarchy, rozsiewane nań niesłusznie potwarze, intrygi i napaści dworu, wymierzone przeciwko Ignacemu, oddziałały tak silnie na wzniosły umysł Konstantego, iż nie zawahał się wystąpić z publiczną obroną prześladowanego przyjaciela.

Świetna obrona Konstantego, w której zwyciężył zupełnie napastników patrjarchy, przyniosła mu nie mało rozgłosu i chwały, lecz wystawiła go na prześladowanie możnego stronnictwa Focjusza, mającego za sobą poparcie dworu cesarskiego.

Stanowisko Konstantego i tak już zachwiane, pogorszyło się o wiele jeszcze, gdy patrjarcha Ignacy został wygnany na wyspę Terebintu, wrogo zaś dlań usposobiony Focjusz w r. 857, otrzymawszy w ciągu siedmiu dni wszystkie święcenia, wyniesiony został z dowódzcy gwardji cesarskiej na godność patrjarchy.

Nie mogąc nadal znosić dusznej atmosfery, jaka zawisła nad Carogrodem, opuścił Konstanty niebawem stolicę, udając się do klasztoru Polihrońskiego na Olimpie, w którym przebywał od lat kilku brat jego Metody w charakterze zakonnika, a następnie przeora.

Odtąd bracia byli ze sobą nierozłączni, a działalność ich splotła się w jedno, wydając wiekopomne owoce.

Pierwsze prace apostolskie.

Nie długo jednak mogli korzystać z zacisza klasztornego, bo nastała już pora dla ich czynów apostolskich. Oto chan Chazarów, zalawszy ziemie pomiędzy morzami Kaspijskiem a Czarnem, wyprawił poselstwo do cesarza Byzantyjskiego z prośbą o przysłanie ludzi będących w stanie wskazać mu, która z trzech religji, a mianowicie: żydowska, mahometańska lub chrześcijańska ma być lepszą.

Czyniąc zadość życzeniu chana, cesarz Michał III wysłał do Chazaryi braci salonickich, uznawszy ich za najbardziej uzdolnionych i godnych tego zadania.

Jakoż w r. 858 czy też 857 bracia opuścili Carogród, udając się morzem Czarnem do Taurydy, stanowiącej podówczas posiadłość bizyntyjską i wylądowali w mieście Chersonezie, w pobliżu dzisiejszego Sewastopola. Podczas swego pobytu w tem mieście, udało się im odszukać zwłoki Ś-go Klemensa papieża, który będąc skazanym na wygnanie, poniósł tu śmierć męczeńską w r. 102 m.

W tym kraju bracia saloniccy oddawali się z wielkiem powodzeniem nawracaniu pogan — przełożyli kilka książek z języków samarytańskiego i hebrajskiego, oraz poznali dokładnie język chazarski. Na wieść, iż horda Chazarów obległa pewne miasto chrześcijańskie, Konstanty pośpiesza na miejsce, staje w obozie tej dziczy i przemową do zwierzchnika ich zmiękcza jego serce tak dalece, iż tenże odstąpił od zagrożonego miasta.

Z Chersonezu przeprawiwszy się przez cieśninę Kerczeńską, stanęli na ziemi chazarskiej. Podczas podróży przez stepy, napadła ich banda dzikich Madziarów, którzy jednak nic złego im nie wyrządzili, rozbrojeni zachowaniem się Ś. Ś. Apostołów.

Za przybyciem do koczowiska chana, między górami Kaukazkiemi a morzem Kaspijskiem, doznali najlepszego przyjęcia. Chan sam bywał obecny przy dysputach, jakie prowadzili z żydami i mahometanami o dogmatach religji.

Następstwem tej pierwszej apostolskiej działalności braci salonickich, było nawrócenie się do wiary chrześcijańskiej wielu miejscowych pogan, zapewnienie dla jej wyznawców opieki chana i uwolnienie jeńców chrześcijańskich.

Dysputy prowadzone w ziemi chazarskiej przez Konstantego ż zydami i mahometanami zostały spisane przez Metodego w języku greckim, następnie zaś, już podczas pobytu w Morawji, przełożył on je na język słowiański.

Spełniwszy te posłannictwo w ziemi Chazarów bracia wstąpili do Chersonezu, aby zabrać ze sobą

relikwie Ś-go Klemensa, a po powrocie, jak się zdaje w r. 859, usunęli się zaraz do klasztoru na Olimpie, w którym już porzednio przebywali.

Wezwanie do misyjnej pracy wśród ludów słowiańskich.

Nie nadługo wrócili Ś. Ś. apostołowie do ojczyzny, bo oto zbliżyła się chwila, mająca ich powołać do spełnienia wiekopomnej misji, która się stała koroną ich działalności.

W roku 862 przybyło do Carogrodu poselstwo, wyprawione przez potężnego władcę państwa Wielkomorawskiego Rościsława do cesarza Byzantyjskiego Michała III, z żądaniem przysłania mu misjonarzy biegłych w języku słowiańskim. Ci posłowie działający jak się zdaje również w imieniu książąt słowiańskich, oświadczyli cesarzowi, iż lud w ich krajach jest prawowierny i chrześcijański, zbywa mu tylko na pasterzach, którychby mógł rozumieć dokładnie.

Cesarz byzantyjski, pragnąc zadość uczynić prośbie książąt słowiańskich, nie znalazł wśród swych poddanych ludzi więcej uzdolnionych i godnych tak ważnego zadania jak braci salonickich, którzy zdobyli sobie uznanie i rozgłos, nietylko w cesarstwie byzantyjskim lecz i w ziemiach ościennych. Według niektórych podań współczesnych, książęta słowiańscy mieli wyraźnie prosić cesarza o przysłanie słynnych braci salonickich.

Braciom salonickim zawdzięczają ludy słowiańskie wynalezienie ulepszonego alfabetu, cyrylickiego, który zdobył tę nazwę od imienia Cyryl. Alfabet ten powstał z umiejętnego przerobienia alfabetu greckiego, z uwzględnieniem potrzeb, jakie się okazały niezbędnemi, aby mógł on odpowiedzieć w zupełności wszelkim odrębnościom mowy słowiańskiej.

Wynalazek nowego alfabetu był wstępem do rozległych prac literackich, jakim oddali się bracia saloniccy, zamierzywszy wzbogacić ludy słowiańskie przekładami na ich język ksiąg Pisma świętego (w djalekcie staro-bulgarskim), oraz wszelkich modłów do obrzędów religijnych i mszy Ś-ej ustanowionych.

Święci Apostołowie Słowian wezwani przez cesarza do spełnienia tak wielkiej i zaszczytnej misji, nie wzdragali się przyjąć jej na siebie i w tymże 862 r. puścili się w podróż do dalekich i mało podówczas znanych krajów, w których działalność ich zajaśnieć miała największym blaskiem a wielkość czynów i zasług tam położonych uczynić olbrzymie postacie dziejowe, przed któremi, po upływie tysiąca lat korzy się świat chrześcijański, a zwłaszcza ludy słowiańskie, czcząc braci salonickich, nie tylko jako świętych Kościoła, lecz zarówno jako wielkich swych bohaterów i dobroczyńców.

Podział monarchji Karola Wielkiego dokonany między synami jego następcy Ludwika Pobożnego w r. 843 w Werdun, na mocy tak zwanego traktatu Werduńskiego, spowodował rozpadnięcie się tego olbrzymiego państwa na kilka części i wytworzenia oddzielnego państwa niemieckiego.

Usamoistnienie królestwa niemieckiego stało się faktem niezmiernie wpływowym na ogólny przebieg wypadków dziejowych, a zwłaszcza na przyszłe losy ludów słowiańskich, Ześrodkowane bowiem pod jednem berłem wojownicze narody niemieckie, mając zamkniętą dla siebie drogę do łupieztwa i zaborów na zachód i południe skierowały odtąd stanowcze swe zamiary zaborcze na wschód.

Odtąd właściwie rozpoczęła się straszna, wiekowa walka na śmierć między plemionami teutońskiem i słowiańskiem. Walka ta pod różnemi postaciami przetrwała już więcej tysiąca lat.

Zachodni słowianie znaleźli się w smutnem bardzo położeniu od chwili zetknięcia się ze zbrojnemi hufcami Niemców, niosących im mordy, pożogi i niewolę.

Ówczesne duchowieństwo niemieckie nie było wcale tem wybranem gronem ludzi poświęconych li tylko obowiązkom swego najczystszego powołania i służbie kościelnej, lecz przeciwnie, byli to powiększej części awanturnicy nie umiejący odróżnić idei chrześcijańskiej od idei cesarstwa, przejęci na wskroś nienawiścią dla Słowian, nienasyconą żądzą zbogacenia się ich kosztem, oraz pragnieniem przyłożenia ręki do ich ujarzmienia.

Dokładne poznanie swego politycznego położenia i strasznego niebezpieczeństwa, jakie im zagrażało ze strony misjonarzy niemieckich, oraz zdobyte przeświadczenie, iż przyjęcie chrztu św. pociągało za sobą poddanie się obowiązujące władzy duchownej Niemców; niosąc dla nich straszny ucisk i niewolę polityczną, wywołały objawy tej tyle podziwianej oporności Słowian zachodnich w przyjęciu wiary chrześcijańskiej.

Jeśli bowiem nad tak zwanymi poganami zawisł nieubłagany miecz zaborców z wyrytem na nim godłem: „precz z pogaństwem“ to pozostawało im przecie prawo obrony swego istnienia i nadzieja, że walka ta będzie uwieńczoną zwycięstwem po ich stronie; skoro jednak poganin przyjął chrzest św. uznawał on tem samem siebie za członka kościoła państwowego niemieckiego, a tracąc swą odrębność i niezależność religijno-polityczną, stawał się niewolnikiem nienawistnych mu Niemców, któremu niewolno już było podnieść oręża przeciw swym ciemiężcom.

Gdy zaś Słowianie zrozumieli nareszcie, że Niemcy prowadzą przeciw nim dwie wojny: wojnę mieczem, chcąc ich zmusić do przyjęcia wiary chrześcijańskiej i wojnę propagandy religijnej, aby uczy-

nić z nich uległych sobie niewolników, wówczas postanowili wznieść mur obronny przeciw najazdowi niemieckiemu, w celu zupełnego uwolnienia się od wszelkiej z niemi wspólności; tym zaś murem obronnym było utworzenie narodowego kościoła chrześcijańskiego.

Oto są powody, które skłoniły książąt słowiańskich do wyprawienia poselstwa z prośbą o przysłanie im z Carogrodu misjonarzy biegłych w języku słowiańskim, a zatem będących w możności spełnić wielkie zadanie wyzwolenia Słowian zachodnich ze zgubnej dla nich zależności kościelnej od nienawistnych im Niemców.

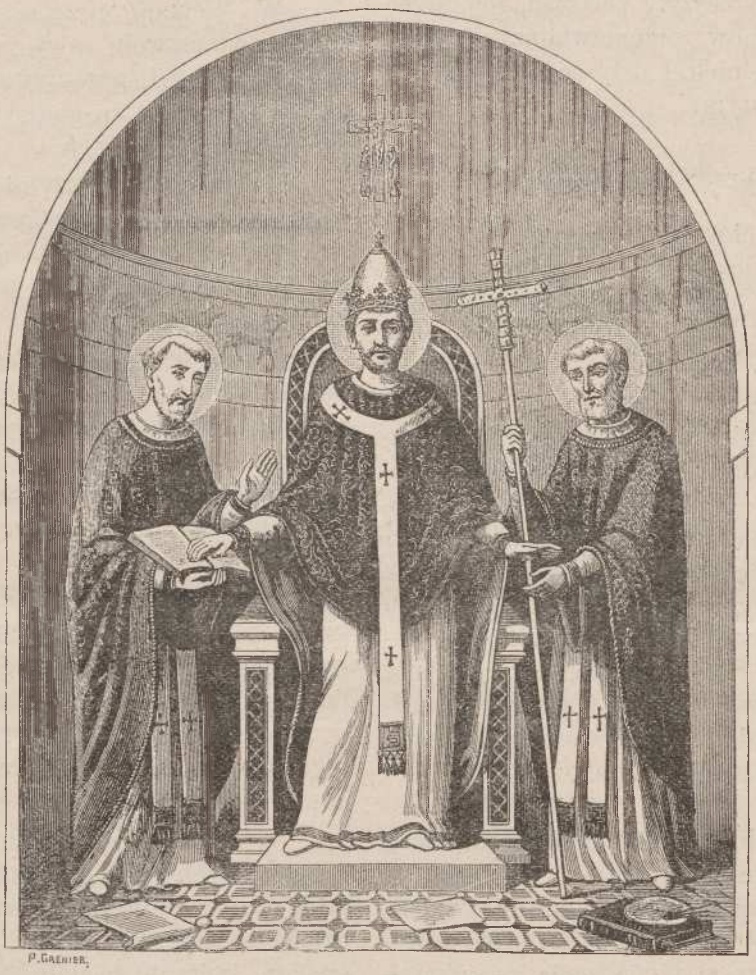

Papież Adrjan II błogosławi prace misyjne św. Cyryla i Metodego.

Pierwsze lata pobytu braci salonickich w Morawji.

W epoce przybycia do państwa Wielko-morawskiego braci salonickich, kraje te liczące już znaczną liczbę chrześcijan podpadały zwierzchnictwu dwóch biskupów niemieckich, passawskiego i salcburskiego.

Poprzednik księcia Rościsława Mojmir, założyciel państwa Wielko-morawskiego, zrzucony z tronu przez Ludwika Niemieckiego w r. 846 przyjął już był chrzest św. w r. 882, wzniósł kościoły w Ołomuńcu, Brnie, Welehradzie, Nitrze i w innych miejscowościach, stawszy się głośnym z gorliwości w szerzeniu wiary chrześcijańskiej pośród swych poddanych.

Tak więc bracia saloniccy wezwani byli do kraju posiadającego znaczną część ludności chrześcijańskiej, wiele kościołów i urządzonego zupełnie pod względem organizacji kościelnej, a więc i rola jaką tam odegrać mieli, musiała posiadać zakres o wiele obszerniejszy niż samo tylko krzewienie wiary chrześcijańskiej.

Bracia saloniccy udając się do Morawji wstąpili po drodze do księcia słowiańskiego Kocicla i zabawili czas jakiś w Panonji. Przybyli do Welehradu w Morawji w 863, gdzie zostali przyjęci z największą czcią przez dwór książęcy i niezliczone tłumy ludu wyległego na spotkanie tak znakomitych i tyle upragnionych gości, którzy prowadzili ze sobą zwłoki Ś. Klemensa, męczennika.

Pierwsze lata pobytu braci salonickich w Morawji upłynęły cicho i spokojnie wśród prac mi-

sjonarskich. Przebiegali oni te kraje w rozmaitych kierunkach, nauczając lud, chrzcząc pogan, pełniąc obowiązki kapłańskie, oraz krzątając się około przysposobienia młodych krajowców do zawodu duchownego.

Do tych lat zarówno odnieść wypada wykończenie przez tych świętych, prac ich w zakresie tłumaczeń na język słowiański Mszy Św., nabożeństwa kościelnego i obrzędów religijnych.

Niezliczone tłumy spieszyły zewsząd, aby ujrzeć na własne oczy kapłanów przemawiających językiem zrozumiałym dla nich, i usłyszeć z ust ich naukę w języku ojczystym.

Podróż do Rzymu.—Święcenia biskupie.

Czyny Ś. Ś. apostołów stały się głośnemi w całym kraju i po za granicami jego i zwróciły na siebie baczność czujnego duchowieństwa niemieckiego i Stolicy apostolskiej, w której i tak już musiano mieć na oku mężów tyle wsławionych czynami swemi w ziemi Chazarów.

Jakoż w 867 r. papież Mikołaj I zawezwał braci salonickich do Rzymu. Jedni utrzymują że papież zapragnął oglądać ich w Rzymie, jako ludzi, których uważano za aniołów Bożych na ziemi; inni mniemają że stało to się skutkiem starań samychże braci salonickich, pragnących przedstawić osobiście papieżowi przełożone przez nich na język słowiański księgi kościelne i Pismo święte, inni jeszcze widzą w tem następstwa intryg i potwarzy rzucanych w Stolicy apostolskiej przeciw braciom salonickim, przez zawistne zawsze duchowieństwo niemieckie.

Posłuszni wezwaniu papieża, bracia saloniccy opuścili Morawję w tymże 867 roku, unosząc ze sobą zwłoki św. Klemensa. Obrali znacznie dalszą drogę przez dzisiejsze Węgry (Panonię), powodowani będąc do tego zamiarem odwiedzenia księcia dolnej Panonji Kociela i jego rezydencji Blatno (Masaburg) nad jeziorem Bałatońskiem, jakoteż prawdopodobnie pragnieniem dobrego poznania Słowian panońskich i rzucenia pośród nich ziarna prawd Bożych.

Przyjęci z największą czcią przez lud i dwór książęcy Ś. Ś. apostołowie zabawili w tym kraju miesięcy kilka, spełniając gorliwie swe posłannictwo. Książe Kociel, pełen uwielbienia dla braci salonickich i ich czynów, uczył się pilnie na księgach, które ze sobą przywieźli, i wspierał gorliwie ich działalność w swoim kraju, oddawszy w ich rozporządzenie piędziesiąt wyborowej młodzieży. Odjeżdżając z Panonji bracia święci, pozostawić tam mieli zastępców w osobie kilku najbardziej uzdolnionych uczniów,

Obrali drogę również oddaloną od prostego gościńca włoskiego, omijając starannie siedziby niemieckie, a wyszukując wyraźnie zręczności zetknięcia się z nieznanemi im dotąd ludami słowiańskiemi. Udali się bowiem ztąd do ziemi Chorwackiej, gdzie również jak w Panonji doznali najżyczliwszego przyjęcia, zabawili czas jakiś na dworze Budimira, którego tradycja królem mianuje, chociaż był tylko banem, albo żupanem, ochrzciwszy lud dotąd jeszcze nieochrzczony, puścili się w dalszą drogę przez ziemie nad-Adrjatyckie ku Wenecji.

W Wenecji, bracia salonniccy mieli zatargi z duchowieństwem miejscowem, które jak kler niemiecki i włoski, poczytywało tylko język hebrajski, grecki i łaciński za godne do używania przy nabożeństwach kościelnych.

Tymczasem w Rzymie zaszły ważne zmiany, papiez Mikołaj I, na wezwanie którego nasi święci przedsięwzięli podróż do Rzymu—zmarł. Po nim zaś na tron pontyfikalny wstąpił Adrjan II, w tymże 867 roku.

Za zbliżeniem się braci salonickich do stolicy świata, zgotowano im świetne przyjęcie, na spotkanie ich bowiem wystąpił sam papież, na czele procesji, w otoczeniu niezliczonych tłumów ludu witających radośnie bohaterskich misjonarzy, którzy nieśli w darze do Rzymu relikwie świętego rzymianina.

Przy odgłosach dzwonów, śpiewie licznego kleru i okrzykach rozradowanego ludu, weszli do wiecznego miasta, odbywając jakby wjazd tryumfalny. Relikwie Św. Klemensa złożone zostały w kościele wystawionym oddawna pod wezwaniem tego św. męczennika, na miejscu gdzie stał niegdyś dom rodziców jego.

Tak tedy św. apostołowie Słowian znaleźli się u celu swych najgorętszych pragnień, a przyjęcie jakie im zgotowała Stolica apostolska stwierdziło aż nadto wyraźnie, iż byli w Rzymie pożądanymi gośćmi, których działalność dotychczas zyskała zupełną aprobatę papieża. Wypadki zaszłe w Byzancjum, skutkiem zachowania się patrjarchy Focjusza, którego na zwołanem w r. 863 koncyljum lateraneńskiem Stolica apostolska pośpieszyła złożyć z urzędu na rzecz więzionego Ignacego, oraz objawy wyraźnych dążności duchowieństwa niemieckiego, do uzyskania pewnej niezależności od Rzymu, którym potrafiła się oprzeć skutecznie niezłomna wola papieża Mikołaja, wszystko to musiało zniewolić Stolicę apostolską do powzięcia odpowiednich planów, aby postawić skuteczne tamy przeciw dalszym roszczeniom samowoli duchowieństwa niemieckiego.

Papież uznał za stosowne wynagrodzić zasługi braci salonickich i podnieść ich wpływ oraz znaczenie w hierarchji kościelnej, wynosząc ich odrazu do godności biskupiej. Jakoż najprzód Konstanty filo-

zof, następnie zaś Metody otrzymali święcenie biskupie; przyprowadzeni przez nich z Morawji i Panonji uczniowie zostali również wyświęceni na kapłanów i djakonów. Przy otrzymaniu nominacji na biskupa, Konstanty z własnej woli, a według innych ulegający życzeniu papieża, miał przyjąć imię Cyrylla, słynnego patryarchy aleksandryjskiego.

Bracia saloniccy przedstawili papieżowi księgi kościelne przełożone na język słowiański, błagając go o poświęcenie takowych i zezwolenie na wprowadzenie liturgji w języku słowiańskim. Papież przyjął łaskawie przedstawienia świętych braci, niemając nic przeciw temu osobiście, inaczej jednak zapatrywało się na to całe duchowieństwo włoskie i niemieckie. Wszyscy, o ile się zdaje byli przeciwni liturgji słowiańskiej, jako nowości, której potrzeby nikt z nich zrozumieć nie mógł, a przeciw której niewątpliwie działać musiała intryga niemiecka.

Sporom nie było końca, gdy naraz papież nakazał wszystkim milczenie i jako głowa Kościoła zatwierdził liturgję słowiańską, złożył rzeczone księgi św. własnoręcznie na ołtarzu św. Piotra i nakazał odprawić liturgję słowiańską w kościołach Ś-go Piotra, Ś-go Pawła, za murami Ś-go Andrzeja i Ś-ej Petroneli.

Tak tedy ziściły się najgorętsze pragnienia braci salonickich, oraz książąt i narodów słowiańskich, liturgja w ich języku była potwierdzoną przez papieża, a ten fakt zapowiadał rychłe utworzenie narodowego kościoła słowiańskiego.

Śmierć św. Cyryla.

Tymczasem śród ogólnej radości jaką rozniecili w sercach wszystkich stronników Ś. Ś. apostołów powyżej opisane wypadki, Konstanty, podupadając stopniowo na zdrowiu, znalazł się na łożu śmierci w 50 dni po swojej prekonizacji, i dnia 14 Lutego 860 roku rozstał się z tym światem w klasztorze Ś-go Aleksego O. O. Benedyktynów w Rzymie, mając lat 42.

Przed śmiercią miał zwrócić się do brata swego Metodego z następującemi słowami:

„Oto, bracie, byliśmy sobie wiernymi towarzyszami, byliśmy jednym zaprzęgiem orzącym jedną i tęż samą skibę. Ja skończyłem dzień swojej pracy, upadam na łanie uprawianym przez nas, tyś pokochał ciszę góry Olimpu, ale dla tej góry nie opuszczaj rozpoczętego nauczania, bo tem najłatwiej zbawić się możesz“.

Zgon św. Cyryla był straszliwym ciosem dla Metodego, albowiem osierocając go zupełnie, zwalał na jego barki ogromny ciężar wielkiego, a pełnego trudów posłannictwa, któremu dotąd szczęśliwie podołać mogli obaj bracia połączonemi siłami.

Papież Adrjan wydał polecenie wyprawić mu pogrzeb świetny, przeznaczając dla złożenia zwłok jego, grobowiec marmurowy w kościele Ś-go Piotra, który kazał był wykuć dla siebie samego. Św. Metody zaniósł wówczas prośbę do Ojca św. o dozwolenie mu, stosownie do życzenia ich matki odwieźć zwłoki ukochanego brata na górę Olimp, lecz deputacja od duchowieństwa i obywateli Rzymu, uprosiła papieża, aby św. Cyryl został w Rzymie pogrzebionym. Stało się też zadość ogólnemu życzeniu i zwłoki spoczęły w kościele Ś-go Klemensa, po prawej stronie głównego ołtarza, przy relikwiach wielkiego męczennika, które św. Cyryl sam odnalazł, tyle lat nad niemi czuwał i nareszcie do Rzymu je przywiózł.

Papież powierza św. Metodowi zarząd Metropolją murawsko-panońską.—Walki Niemców ze Słowianami.

Gdy bracia saloniccy otrzymali godność biskupią projektowanem było utworzenie dwóch nowych biskupstw słowiańskich: morawskiego i panońskiego. Śmierć św. Cyryla zmieniła stan rzeczy, następstwem zaś tego wypadku było uorganizowanie jednej rozległej bardzo metropolji morawsko-panońskiej, oddanej w zarząd arcybiskupowi Metodemu.

Reforma ta była wymiarem sprawiedliwości Stolicy apostolskiej względem ludów słowiańskich, obudziła ona wszakże największe oburzenie w Niemczech.

Duchowieństwo niemieckie nie chciało się nigdy pogodzić z nowym podziałem djecezjalnym odrywającym od bisków salcsburskiego i passawskiego ogromne obszary krajów. Również wielkie niezadowolenie obudziła w Niemczech ta wiadomość z tego jeszcze powodu, iż tracili Niemcy najdogodniejszy środek germanizacji krajów słowiańskich.

W tych czasach kiedy zaszły w Rzymie tak ważne wypadki, zaciekłość niemiecka przeciw Słowianom ujawniła się nowemi morderczemi najazdami na Morawję, którym towarzyszyły, jak zwykle straszne spustoszenia.

Wojna zaś jaka się ztąd wywiązała, nie dozwoliła Metodemu osiedlić się w Morawji, zniewalając go tymczasowo zamieszkać Panonią, a przebieg tej pamiętnej wojny wpłynął stanowczo na pogorszenie się losu św. Metodego, oraz oddziałał bardzo niekorzystnie na dalszy pomyślny rozwój świętej sprawy, tak gorąco przez niego popieranej.

Rościsław od wyniesienia swego (846) na tron Wielko-Morawski, okazał się dzielnym monarchą, niezmiernie dbałym o wzmocnienie w swem państwie środków skutecznego oporu przeciw zaborczości niemieckiej.

Działając niezmordowanie w tym duchu, zdołał umiejętnie utworzyć znakomitą siłę zbrojną w podwładnych mu krajach, oraz zdobyć zaufanie sąsiednich ludów słowiańskich, poczytujących go za swego opiekuna i moralnego przywódcę, zwłaszcza od świetnego zwycięstwa odniesionego przezeń nad Niemcami w r. 885.

Wzrastająca coraz bardziej potęga wielkiego monarchy słowiańskiego, obudziła w Niemcach postanowienie złamania bądź co bądź groźnego nieprzyjaciela. Jakoż widzimy nieprzerwany szereg gwałtownych najazdów niemieckich skierowanych przeciw Wielkiej-Morawji, Czechom i innym, dalej na północ i zachód położonym krajom słowiańskim, poczynających sprzymierzać się z władcą Wielko-Morawskim.

Najazdy te, jakkolwiek dokonywane przez liczne i dobrze wyćwiczone wojska niemieckie, nie pociągały za sobą wszakże groźniejszych następstw, jak tylko wielkie zniszczenie splądrowanych przez nich krajów.

Utworzenie przez papieża oddzielnej metropolji słowiańskiej, z nadaniem jej zupełnej odrębności wskutek wprowadzenia do Kościoła nie tylko języka ale i obrządku słowiańskiego, podnosiło jeszcze bardziej potęgę Rościsława, powiększając o wiele wpływy jego na całą zachodnią Słowiańszczyznę.

Wieść o tych wypadkach, doprowadzając do wściekłości Niemców, stała się prawdopodobnie głównym bodźcem pojednania króla niemieckiego Ludwika z synami swymi i spowodowała nową wyprawę zjednoczonych sił niemieckich przeciw Rościsławowi w r. 868, która miała na celu zdruzgotanie w zarodku jeszcze przyszłej wielkości narodów słowiańskich.

Jakoż, trzy ogromne armie niemieckie pod wodzą samego króla Ludwika i trzech jego synów: Karlomana, Ludwika i Karola, wtargnęły na raz do ziemi słowiańskich, ciągnąc od Panonji do rzeki Łaby (Elby) i lewym brzegiem Dunaju. Wszystkie rzeczone armie, po spustoszeniu krajów sprzymierzonych z Rościsławem (Sorabów czyli Serbów i Czechów) połączyły się nad rzeką Morawą. Najazd ten, zakończył się pokojem zawartym na żądanie cesarza i na warunkach dogodnych dla Rościsława, który w końcu 869 wzrósł jeszcze na siłach i znaczeniu.

Jeżeli jednak nie udało się Niemcom zgnieść Rościsława siłą, to potrafili oni dokonać tego za pomocą zdrady, tem wstrętniejszej jeszcze, iż za narzędzie do ich wykonania użytym został synowiec Rościsława Świętopełk, książe nitrzański, który ściągnął na siebie słuszny gniew stryja jawnem prześladowaniem księży słowiańskich.

Oburzony za to Rościsław postanowił uwięzić synowca. Świętopełk będąc uprzedzonym o zamiarach Rościsława, zdołał w porę zemknąć, gdy zaś Rościsław przyjął sam udział w pogoni, rozesłanej za zbiegiem, wpadł w przygotowaną nań zasadzkę i stał zię niewolnikiem podstępnego synowca. Ten zaś nie zawahał się okuć w kajdany stryja swego, wielkiege bohatera Słowian, aby go wydać w ręce wspólnych wrogów w 870 roku.

Stawiony z polecenia cesarza przed sąd na sejmie w Ratysbonie, nieszczęśliwy Rościsław został skazany na śmierć; następnie zaś złagodzono niby ten wyrok, lecz w sposób godny barbarzyństwa niemieckiego, bowiem po wyłupieniu mu oczu wtrącono go do więzienia, gdzie znikł zupełnie z widowni dziejowej.

Tryumfujący Niemcy rzucili się na jego skarby, obciążyli lud ogromnemi podatkami, poczęli wypędzać księży słowiańskich i obsadziwszy wszystkie zamki obronne garnizonami niemieckiemi, wynieśli, dla pozoru na tron Wielko-Morawski Świętopełka, lecz pod najściślejszym dozorem dwóch margrabiów niemieckich.

Od pierwszej chwili wystąpienia w charakterze monarchy, Świętopełk okazał niezwykłą energję, znakomite talenta i ogromne zasoby przebiegłości, które uczyniły zeń groźnego dla Niemców wroga, umiejącego równie szczęśliwie walczyć z niemi tak orężem jako też przebiegłością i podstępem, w czem się wydoskonalił szczególnie obcując często z Niemcami i przejąwszy od nich tę sztukę. Nie tracąc czasu zawarł on natychmiast ścisłe przymierze z Czechami i Słowianami Połabskimi, skierowawszy wszystkie swe usiłowania do wytworzenia w podwładnych mu i sprzymierzonych krajach, możliwie dobrze uorganizowanej siły odpornej i gotując się do zwalczenia spodziewanego najazdu Niemców.

Do tej doby odnieść wypada zawarcie przez Świętopełka związków małżeńskich z siostrą księcia czeskiego Borzywoja.

Niedługo czekać kazali na siebie Niemcy, bo oto w następnym 872 r., król Ludwik wysłał już trzy armie przeznaczone dla zgniecenia Świętopełka i ujarzmienia niechcących mu ulegać Słowian, lecz szczęście nie sprzyjało wcale orężowi niemieckiemu. Rozgromione niemal na wszystkich punktach wojska niemieckie, poniósłszy bardzo dotkliwe straty, zmuszone były opuścić spustoszone przez nich kraje słowiańskie i ratować się ucieczką.

Odparłszy z takiem powodzeniem najazd niemiecki, Świętopełk pośpieszył zgromadzić odpowiednie siły zbrojne, aby z ich pomocą przerzucić się na drugą stronę Dunaju i najechać kraje podwładne cesarstwu niemieckiemu, właściwie zaś Panonją i Karyntją.

Wyprawa ta tak dalece mu się powiodła, że zniewoliła upokorzonych Niemców do proszenia go o pokój, który też został zawartym, na wiosnę 874 r.,

na warunkach bardzo dla Świętopełka korzystnych, a zapewniających mu zupełną niezależność od Niemców.

Gdy św. Metody miał objąć zarząd powierzonej mu przez papieża archidjecezji, okropne wypadki zaszłe w państwie Wielko-Morawskiem, zmieniły tak dalece stan rzeczy, iż nie mógł on już wrócić do Welehradu a zatrzymał się w Blatnie, stolicy księcia Kociela panońskiego.

Obecność św. Metodego silny wpływ wywarła na umysłach ludności miejscowej. Wszystkie świątynie, posiadające kler niemiecki, zostały zupełnie opuszczone, natomiast lud tłumnie garnął się do kościołów słowiańskich. Te zaś objawy stały się w końcu tak powszechnemi i wymownemi, iż duchowieństwo niemieckie uważało za stosowne opuścić Panonię.

Upadek Rościsława i jego opiekuńczej potęgi a wzrost nagły wrogich wpływów germańskich, w zależnem od królestwa niemieckiego lenniczem państwie Kociela, pozbawiły tego księcia możności otoczenia św. Metodego należytą opieką i skutecznego ochronienia jego osoby od knowań mściwych Niemców, pałających dlań nieprzejednaną nienawiścią. Ustawiczne zatargi z Niemcami i prześladowania jakich od nich doznawał, a od których nie mógł go już ochronić swą powagą książe Kociel, zniewolić musiały nareszcie św. Metodego do szukania opieki u papieża. W tym celu udał on się na krótko do Rzymu z dwudziestu uczniami, jak się zdaje w 870 roku.

Św. Metody przed sądem synodu niemieckiego Dwa lata niewoli i męki.

Nie na wiele się snać przydały św. Metodemu zabiegi poczynione w celu zdobycia dla siebie i swej owczarni opieki Stolicy apostolskiej, przeciwko rozzuchwalonym powodzeniem Niemców, bo oto widzimy niedługo św. Metodego powołanego przez sąd synodu niemieckiego, w Passawie (r. 870—871).

Gdy św. Metody został stawionym przed synod niemiecki, obecni biskupi mieli mu uczynić zarzut, iż naucza w ich dzielnicy, na co św. Metody odrzekł im:

— Gdybym wiedział że to wasz udział, obchodziłbym go zdaleka, ale to udział św. Piotra. Jeżeli wy dumą i łakomstwem powodowani, wbrew prawom Kościoła, odwieczne przekraczacie granice, podobni jesteście do tych, co czaszką chcą przebić żelaznej góry sklepienie. Strzeszcie się, abyście waszego mózgu nie wyleli.

Rozgniewani temi słowy św. apostoła sędziowie, odrzekli mu: „zuchwale mówisz, na złe ci to wyjdzie“. Na to odpowiedział św. Metody:

Prawdy nie waham się mówić i przed cesarzem, a wy zemną robić możecie, co wam się podoba; nie jestem bowiem lepszym od tych, którzy prawdę mówiąc, w mękach zakończyli życie.

Nie mogąc zmusić św. Metodego do zrzeczenia się swych praw arcybiskupich do Panonji i Morawji, duchowieństwo niemieckie opierając się na powadze króla Ludwika i Karlomana, poważyło się przytrzymać przemocą św. Metodego i zamknąć go w pewnym klasztorze (w Szwabji) w końcu 871 roku, gdzie przeszło dwa lata w niewoli przebył, doświadczając na sobie w najniegodziwszy sposób pastwienia się mściwych Niemców.

Wyrzucali go najprzód na śnieg i deszcz, włócząc nielitościwie po śniegu, aby złamać jego opór. Następnie bili go i biczowali.

Gdy Niemcy w tak nieludzki sposób więzili św. Metodego, pastwiąc się nad nim w celu zmuszenia go do zrzeczenia się swych praw arcybiskupich do Panonji i Morawji, a straszne nieszczęścia, jakie zaskoczyły państwo Wielko-Morawskie, pozbawiały go wszelkiej skutecznej opieki, wieść o smutnym losie św. Metodego dosięgła Stolicy apostolskiej. W tym czasie zmarł papież Adrjan II. a następca jego Jan VIII, przedsięwziął natychmiast bardzo energiczne środki zniewalające duchowieństwo i świeckie władze niemieckie do wypuszczenia na wolność zasłużonego arcybiskupa.

W tym celu napisał papież stosowne listy do króla Ludwika i do duchowieństwa salcburskiego, a gdy takowe nie odniosły pożądanego skutku, miał rzucić klątwę na duchowieństwo salcburskie, wysyłając legata swego w osobie Pawła, biskupa z Ankony (rok 873) na dwór niemiecki i do zwierzchności kościelnej, z mocnem poleceniem załatwienia tej tak drażliwej sprawy.

Niezłomna wola obrażonego papieża i świetne powodzenie oręża Świętopełka, zmusiły nareszcie Niemców wypuścić na wolność św. Metodego, po dwuletniem przeszło więzieniu.

Oswobodzenie św Metodego.—Chrzest Borzywoja i św. Ludmiły.

Tak tedy w końcu r. 873, św. Metody wrócił do przynależnych mu praw, obejmując zarząd swej metropolji morawsko-panońskiej.

Zamieszkał, ile się zdaje Blatno, stolicę życzliwego mu zawsze i zacnego księcia Kociela, unikając zaś Świętopełka, którego szanować nie mógł, ani też mógł liczyć na jego wątpliwe poparcie, tem bardziej jeszcze iż miał niejednokrotnie sposobność przekonać się o jego nieprzychylności dla siebie, jak również o obojętności jego na losy Kościoła słowiańskiego.

Śmierć księcia Kociela, zmarłego bezdzietnie, zmieniła zupełnie stan rzeczy w Panonji, zniewalając św. Metodego do opuszczenia tego kraju (na po-

czątku 875 roku) i przesiedlenia się do Morawji. Dalszy bowiem pobyt arcybiskupa, metropolji słowiańskiej, stawał się nadal niemożebnym w kraju, dotąd dla niego tak gościnnym, a obecnie przechodzącym pod władzę zaciętego wroga Słowian, Karlomana, wskutek tej zmiany władztwa, duchowieństwo niemieckie wzięło odrazu górę, nie zważając na silny opór papieża, jaki został zaznaczonym w liście jego pisanym do Karlomana w r. 875.

Od powrotu swego z Panonji, św. Metody oddał się gorliwej pracy około przyprowadzenia do porządku swej archidjecezji, majac ustawiczne zatargi z Niemcami, a co gorsze, nie znajdując należytego poparcia ze strony Świętopełka, który, jak to później zobaczymy, rządząc się dziwną sprzecznością popędów, nietylko że nie umiał ocenić nigdy św. Metodego, lecz nawet stawał niekiedy po stronie jego wrogów.

Do tych czasów odnosi się przyjęcie chrztu świętego przez Borzywoja czeskiego i małżonkę jego św. Ludmiłę, który został im udzielony przez św. Metodego w Welehradzie.

Fałszywe oskarżenie.—Tryumf św. Metodego.

W takim stanie rzeczy upłynęło zaledwie lat kilka, kiedy przyczajone dotąd duchowieństwo niemieckie wystąpiło jawnie do walki ze św. Metodym, zanosząc przeciw niemu zażalenia do Stolicy apostolskiej, iż św. apostoł Słowian używa niezrozumiałego dla nich języka w tym celu umyślnie, by mieć możność rozszerzania różnych błędów dogmatycznych, a w końcu prosiło papieża o usunięcie arcybiskupa heretyka.

Papież, jakkolwiek żywiący dla osoby św. Metodego wiele szacunku i życzliwości, zmuszonym był wobec podobnych zarzutów zawezwać obwinionego do Rzymu (w czerwcu 879 roku), aby stosownie do wymagań ustaw kościelnych usprawiedliwił się przed zebranym synodem.

Za przybyciem swojem do Rzymu, niesłusznie oczerniony przez wrogów swych św. Metody, doznał nader życzliwego przyjęcia u papieża, przed którym potrafił zupełnie usprawiedliwić się z czynionych mu zarzutów. Następnie gdy stanął przed synodem i złożył wymagane zeznania, oczyszczające go od rzuconych nań potwarzy, zgromadzenie to biskupów wydało wyrok o zupełnej jego niewinności.

W taki sposób wyszedł zwycięzko św. Metody, z zastawionych nań przez niemiecką intrygę sideł. Na tem jednak nie koniec: pozostawało mu jeszcze zwalczyć uprzedzenia papieża do obrządku słowiańskiego, przeciwko któremu najbardziej powstawali Niemcy. Lecz i ta trudniejsza sprawa została również pomyślnie rozstrzygniętą przez synod w tym celu zwołany w r. 880.

Tak tedy nędzne knowania niemieckie, nie tylko że nieodniosły żadnych skutków, lecz przeciwnie jeszcze stały się powodem nowego tryumfu św. Metodego; wracał on bowiem do swej archidjecezji, uzbrojony we wszelkie pełnomocnictwa, jakie mu dotąd przysługiwały, za przyczynieniem się obu poprzedników Jana VIII, które uzyskały nadto zupełną jego sankcję.

Pokonani na wszystkich punktach Niemcy, potrafili jednak osłabić zręcznym podstępem zupełny tryumf św. Metodego i zarazem Kościoła słowiańskiego. Bo oto, pod pozorem dbałości o dobro Kościoła i mając niby na względzie zbyt wielką rozległość archidjecezji Morawsko-Panońskiej, podsunięto papieżowi myśl naznaczenia do pomocy św. Motodemu biskupa Wichinga, rodem szwaba, który skutkiem zabiegów i protekcji zagadkowego Świętopełka, otrzymał święcenie na biskupa nitrzańskiego.

Niechęć wyraźną, jaką okazywał książe Świętopełk względem św. Metodego i najdroższego z dzieł jego, Kościoła słowiańskiego, była następstwem intrygi niemieckiej, kierowanej wprawną ręką owego Wichinga.

Chrzest księcia Wiślicy.—Ostatnie lata i śmierć św. Metodego.

Do ostatnich lat życia św. Metodego odnosi się zapewne nawrócenie przez niego do wiary świętej i chrzest, księcia na Wiślicy. Fakt ten kronikarz tak opowiada: „Był w św. Metodym duch proroczy, jako sie wiele spełniło z przepowiadań jego. Pogański książe bardzo potężny, siedzący w Wiślech (starodawna nazwa Wiślicy) urągał się chrześcijanom, wyrządzając im krzywdy. Do niego posłał Metody mówiąc: Dobrzeby było, synu, dobrowolnie i na twojej ochrzić się ziemi, bo inaczej będziesz w niewolę wzięty i na cudzej ziemi będziesz musiał chrzest przyjąć. Tak się też i stało.

Nie ulega żadnej wątpliwości, iż działalność Św. Apostołów słowiańskich rozszerzyła się daleko na Wschód, ogarniając ziemie lechickie i że wiara chrześcijańska wcisnęła się tam za pośrednictwem św. Metodego i Cyryla, lub ich uczniów. Legenda tak głośna o dwóch tajemniczych gościach, którzy odtrąceni od podwojów króla Popiela, skorzystać mieli z gościnności wieśniaka kruszwickiego Piasta, wyprawiającego ucztę z powodu postrzyżyn syna swego Ziemowita, gdzie rozmnożyli cudem jadło i napoje, wydaje się być osnutą na pojawieniu się pośród Lechitów misjonarzy chrześcijańskich, wysłanych przez św. Metodego i Cyryla, a nawet, być może, powstała wskutek osobistej tam bytności tych świętych.

Na stanowcze polepszenie się losu św. Metodego, w ostatnich latach jego życia, wpłynęło zerwa-

nie mniemanych dobrych stosunków, a w ślad zatem zacięta wojna pomiędzy Świętopełkiem a Niemcami, następstwem której było ustąpienie z granic państwa Wielko Morawskiego duchowieństwa niemieckiego, a w ich liczbie i przywódzcy intrygi Wichinga.

W 885 roku, św. Metody poświęcił kościół w Brnie (Brün) w Morawji pod wezwaniem Św. Piotra i Pawła; było to, jak się zdaje, ostatnie jego dzieło, albowiem stargany tak pracowitym, a pełnym goryczy żywotem, organizm jego podupadając stopniowo na siłach, nie mógł się ostać chorobie, która niedługo potem powaliła go na łoże śmierci.

Autor życiorysu św. Metodego (legendy panońskiej) tak opowiada o ostatnich jego chwilach:

„A gdy to wszystko spełnił, miłym był Bogu i przybliżył się czas, w którym miał przyjąć nagrodę cierpień i mnogich trudów. Rzeczono wtedy do niego:

— Kogo uważasz, ojcze i nauczycielu czcigodny, pomiędzy uczniami swymi, aby mógł być następcą po tobie? Wskazał wtedy jednego z dobrze znanych uczniów swoich, mówiąc:

Ten jest ziomek wasz Gorazd, mąż swobodny, biegły w języku łacińskim i prawowierny, niech z nim będzie wola Boża i miłość wasza, tak jak jest i moja wola i miłość".

„W Niedzielę Kwietnią, wobec licznego ludu wszedł do kościoła już słaby i miał kazanie, błogosławił ludowi całemu i rzekł: „Pilnujcie mnie, dzieci, aż do dnia trzeciego". Gdy zawitał dzień trzeci, zawołał:

— W ręce Twoje, Panie, oddaję ducha mojego. Spoczął w Bogu na rękach kapłanów, 6 Kwietnia roku 885. Złożono zwłoki jego w katedrze. Niezliczone tłumy ludu zebrały się dla odprowadzenia go, opłakując dobrego nauczyciela i pasterza: mężczyźni jak i kobiety, mali, wielcy, bogaci i ubodzy, wolni i niewolnicy, wdowy i sieroty, obcy i rodacy, chorzy i zdrowi, bo był wszystkiem dla wszystkich, aby wszystkich zbawił.

Tak tedy w chwili, gdy państwo Wielko-Morawskie, w następstwie zwycięstw Świętopełka, dosięgło szczytu potęgi i stało się groźnem dla upokorzonych Niemiec, a przyszłość jego zapowiadała się tak świetnie, spadło nań nagle największe nieszczęście, śmierć św. Metodego.

Zgon tego wielkiego męża, okazał dopiero całą doniosłość jego działalności wśród społeczeństw słowiańskich, nie znalazł się człowiek, który byłby w stanie kierować dalej jego dziełem, które wraz z jego śmiercią narażonem zostało na zagładę.

Uczniowie św. Metodego.

Uczniowie św. Metodego, znaleźli się naraz pozbawieni wszelkiej opieki i oparcia się w obec intrygi Niemców, nie przebierających w środkach i gotowych na wszystko, aby się pozbyć tak niebezpiecznych dla ich planów ludzi, mających prowadzić dalej rozpoczęte przez św. Metodego dzieło. To też widzimy niedługo Niemców, pod przewodnictwem Wichinga, rzucających się na tę bezbronną gromadkę, z właściwą sobie zaciętością, pragnąc się jej pozbyć z obawy, aby z pośród niej nie powstał jaki nowy Metody.

Nastały tedy czasy okropnego prześladowania kapłanów słowiańskiego Kościoła, prześladowania nie mającego granic i litości.

Pastwili się Niemcy z właściwym sobie okrucieństwem nad przewodnikami narodowego Kościoła, więzili jego przedstawicieli, a nareszcie wydalili dwustu kapłanów słowiańskich za granicę państwa. W tej liczbie znajdowali się najznakomitsi uczniowie św. Metodego: Gorazd, Klemens, Naum, Angelar, Sawa (Saba) i Wawrzyniec. Pozbywszy się kapłanów słowiańskich, pośpieszono osadzić Niemcami osierocone po nich parafje.

Usunięci przemocą kapłani słowiańscy udali się przeważnie poza Drawę i Sawę do Bulgarji, Kroacji i Dalmacji, mała zaś ich część podążyła na wschód i północ, szukając schronienia w ziemiach słowiańskich, nie ulegających jeszcze wpływom niemieckim. Najlepiej się powiodło tym którzy zamieszkali w Bulgarji. Kilku z ich liczby, za pośrednictwem chana Boryta rządcy Belgradu, dostało się na dwór króla Borysa (po ochrzczeniu Michała), gdzie wywierać mogli znaczny wpływ na swe otoczenie. Gorazd, którego św. Metody naznaczył był swoim następcą, został mianowany arcybiskupem bulgarskim i wiele się przyczynił do rozszerzenia wpływów Kościoła słowiańskiego w tym kraju, jak również do zastąpienia duchowieństwa, greckiego pochodzenia, rodowitymi Słowianami.

Klemens działając w tymże duchu pełnił funkcje biskupa bielickiego (Wielickiego) aż do swej śmierci (w r. 916). Ze wszystkich uczniów św. Metodego, zdobył on największy rozgłos swą działalnością w południowo-zachodniej części Bulgarji. Założył mnóstwo szkół, osobiście w nich nauczając i gorliwie nimi się opiekując, wyświęcił bardzo wielu kapłanów i rozsyłał ich do różnych stron Bulgarji. W ostatnich latach swego życia, miał on ju mieć w swojej opiece 3500 uczniów.

Chorwacja i Dalmacja były krajami, w których chrześcijanizm najwcześniej się utwierdził, bo o kilka wieków jeszcze przed ostatnią emigracją do tych ziem podkarpackich Serbów i Chorwatów. Tutaj też Ś. Ś. Metody i Cyryl rzucili ziarnka swej propagandy podczas osobistej ich bytności w ich krajach, o czem już wspomnieliśmy we właściwem miejscu.

Po wygnaniu uczniów św. Metodego z państwa Wielko-Morawskiego, pewna ich część szukała przytułku w powyżej wymienionych krajach i tam rozkrzewiła szeroko obrządek słowiański. W Dalmacji, podobnie jak w Morawji z Niemcami, w Bulgarji zaś z Grekami, zwolennicy słowiańskiego obrządku mieli zatargi z Włochami, zatargi, które doprowadziły nawet do zupełnej banicji języka słowiańskiego z Kościoła, orzeczonej na soborze kościelnym w Spljecie (Spalato) w r. 925, za rządów papieża Jana X.

Na tym soborze odbytym w obecności świeżo ukoronowanego króla chorwackiego Tomisława i legatów papiezkich, w artykule 10 jego uchwał, postanowionem zostało, aby żaden biskup chorwackiej metropolji nie poważył się używać w kościele języka słowiańskiego, którym posługiwać się mogą tylko duchowni niższych stopni i zakonnicy na chwałę Bożą. Żaden biskup niema prawa dozwolić w swej dyecezyi, aby podobni kapłani odprawiali Mszę świętą, a jeśliby się nawet okazał brak księży, to i w takim razie mogą zezwolić na coś podobnego wówczas tylko, gdy wyjednają na to zezwolenie papiezkie.

Przywódzca opozycji, biskup noński Grzegorz Dobre, oparł się energicznie uchwale soboru spljetskiego, wymierzonej przeciwko obrządkowi słowiańskiemu; zaskarżony zaś o to do Rzymu, potrafił tak dzielnie przeprowadzić tam swą obronę, opierając się na pozwoleniu uzyskanem przez św. Metodego u papieża Jana VIII, iż zdołał uchylić wyrok potępienia, zapadły przeciwko obrządkowi słowiańskiemu.

Od tego czasu tenże biskup noński stał się najgorliwszym obrońcą spuścizny po św. Metodym, nie przestawał wyświęcać kapłanów słowiańskich, nie tylko dla swej djecezji, lecz i dla obcych, a obrządek słowiański po wywalczeniu sobie podstaw bytu rozwijał się pomyślnie w krajach do korony chorwackiej należących.

W takim stanie rzeczy przetrwał obrządek słowiański do roku 1061. Stronnictwo ludzi nieprzychylnych dziełu św. Metodego, korzystając z okoliczności, wpłynąć potrafiło na papieża Aleksandra II rozbudzając w Rzymie niechęć przeciwko temu obrządkowi, a to na zasadzie błędnego tłumaczenia faktów historycznych. Wyobrażono sobie bowiem podówczas, jakoby Słowianie pochodzili od Gotów i byli, jak ci ostatni zwolennikami herezji Aryusza, a na tem fałszywem założeniu osnuto niegodziwą bajkę, iż litery słowiańskie przez jakiegoś heretyka Metodego zostały wynalezione, który w tym języku słowiańskim pisał rzeczy przeciwne katolickiej wierze. Ponieważ zaś Stolica apostolska w tej właśnie dobie zajętą była prześladowaniem arjanizmu i usuwaniem wszelkich odrębności kościelnych, jakie się utrzymały jeszcze w niektórych krajach chrześcijańskich Rzymowi podwładnych, przeto nie trudno było wyjednać u papieża Aleksandra II potępienie Mszy i nabożeństwa w języku słowiańskim z powodu uznania Słowian i ich apostoła Metodego za aryanów, których alfabet i księgi święte poczytywano za utwory herezji. Nic nie pomogły protestacje wysłanych z Chorwacji do Rzymu duchownych Vuka i Cededy, sobór kościelny zebrany w Spljecie (Spalato) wygłosił zabójcze dla obrządku słowiańskiego uchwały. Obrządek słowiański został ostatecznie potępionym, język zaś łaciński stał się obowiązującym w Kościele katolickim w krajach chorwackich.

Ten tak surowy wyrok zapadły przeciwko obrządkowi słowiańskiemu, nie został wszędzie i z równą gorliwością wykonanym. Jeśli w miejscowościach najbardziej ulegających wpływom Włochów, stosowano go z możliwą ścisłością, to znów w wielu okolicach zaledwie wiedziano o jego istnieniu przez długie lata, zwłaszcza w Chorwacji i pewnych częściach Dalmacji. Przetrwał on w tym stanie nieokreślonym do lepszych czasów, to jest do wstąpienia na tron pontyfikalny Inocentego IV (rok 1243).

Papież ten zdołał uwydatnić od swego wstąpienia na widownię dziejową nowe dążności, na soborze zaś Lionskim (1245 r.) czynił usiłowania w celu połączenia Kościoła wschodniego z rzymskim, a postępowanie jego obudziło w zwolennikach słowiańskiego obrządku niepłonną nadzieję, iż znajdą u niego skuteczną obronę przeciwko ciążącemu nad nimi wyrokowi Aleksandra II. Jakoż zabiegi ich w tym celu przedsięwzięte uwieńczyły się najzupełniejszem powodzeniem, bo oto w roku 1248, papież Inocenty IV zatwierdził obrządek słowiański, nadmieniając przytem, że nie rzecz językowi ale język rzeczy poddany być powinien.

Od tej doby obrządek słowiański; przetrwał aż do dni naszych w pewnych miejscowościach Dalmacji i Chorwacji, jako dozwolony przez Kościół katolicki lecz nikogo nie obowiązujący. Papież Benedykt XIV pismem apostolskiem, wydanem dnia 25 sierpnia 1754 roku, usankcjonował też istnienie tego obrządku.

Tak więc dzieło ś. ś. Metodego i Cyryla uległszy przemocy niemieckiej, wytępionem zostało na Zachodzie, a raczej wszędzie gdzie tylko sięgało panowanie niemieckie. Wprowadzony zaś przez tych ś. ś. apostołów do Kościoła język słowiański, utrzymał się do dni naszych w obrzędach religijnych u wszystkich Słowian wschodniego Kościoła i u nieznacznej liczby słowian rzymsko-katolickiego wyznania obrządku głagolickiego, zamieszkujących na chorwackiem przymorzu i w Dalmacyi.

Dzieje Kościoła narodowego słowiańskiego w Morawji. Kapłani słowiańscy nawracają Madziarów.

Po śmierci św. Metodego zabrali się Niemcy do zburzenia Kościoła narodowego słowiańskiego, wyna-

gradzając sobie sowicie tym czynem niepowodzenia swe na polach bitwy.

Lekkomyślny i próżny Swiętopełk, krępowany zawsze wpływami niemieckiemi, którym nie umiał się oprzeć, skoro nie był z nimi w otwartej wojnie, nie stanął w obronie Kościoła Słowiańskiego, być może i dla tego jeszcze, że Arnulf potrzebujący szczególnie pomocy Swiętopełka do zamierzonego przezeń zdobycia korony niemieckiej, czynił możliwe starania w celu pozyskania sobie jego przyjaźni, starania wzmocnione ustępstwami ze swej strony na korzyść Swiętopełka, które dozwoliły temu ostatniemu posunąć granice państwa w stronę Karyntji i Czech. Na podobne zbliżenie ku sobie tych książąt i odwrócenie uwagi Swiętopełka od zamachu Niemców na Kościół słowiański, wpłynąć też musiało poczucie wspólnego niebezpieczeństwa, jakie im zagrażało ze strony nawału dzikich hord madziarskich (węgierskich), które roztoczyły już straszliwe spustoszenia aż do granic Siedmiogrodu i Bulgarji.

Niezwyciężony a chciwy władzy Swiętopełk, rozszerzając orężem, jak również zręczną polityką z Niemcami coraz bardziej granice swego państwa, władał podówczas ogromnemi obszarami, sięgającemi od czeskiego lasu aż po za Kraków i od Magdeburga do wybrzeży rzek Drawy i Sawy. Zdradliwy Arnulf, zostawszy królem niemieckim (887 r.) utrzymywał jeszcze stosunki udawanej przyjaźni ze Swiętopełkiem, wzmocnione zjazdem i umową, zawartą między tymi książętami w Omuntersburgu w r. 890.

Zaledwo jednak upłynął rok jeden od tego zjazdu, gdy Arnulf obmyślał już zdrady, a sprzymierzywszy się z księciem chorwackim Bracisławem, uderzył na Swiętopełka w 892 i 893 r.; gdy wszakże obie te wyprawy nie odniosły pożądanych skutków, Arnulf nie zawachał się wezwać dzikich Madziarów, aby z ich pomocą zgnieść nareszcie państwo Swiętopełka. Lecz i to mu się nawet nie udało, albowiem przebiegły Swiętopełk umiał zwabić dzicz azjatycką w zasadzki, zaledwie dostępne wąwozy międzygórskie, otoczone zasiekami, odcinając jej niespodziewanie odwrót i utrudniając działanie jej tak zręcznie, iż te hordy, 216,000 koni liczące, nie przyprawiły go o przygotowaną dlań klęskę.

Swiętopełk pozostał niezwyciężynym aż do samej śmierci, która go zaskoczyła w 894 r, naprowadzone zaś przez Arnulfa hordy Madziarów, stały się powodem nowych nieszczęść dla Zachodu, równających się najściu Mongołów; im też zawdzięcza Słowiańszczyzna zrujnowanie ostateczne państwa Wielko-Morawskiego i ułatwienie przez to Niemcom ujarzmienia Słowian zachodnich.

O śmierci Swiętopełka nie mamy dokładnych wiadomości; podania przechowane u rozmaitych pisarzy są bardzo różnorodnej treści. Jedne z nich głoszą, iż poległ on na polu chwały, inne znów utrzymują, iż wyjechawszy nocną porą ze swego zamku, udał się w głąb niedostępnych lasów, gdzie zabiwszy swego rumaka, zakopał go wraz z orężem w ziemi i został pustelnikiem. Inne znów podanie wskazuje nawet niejaką górę Sabor, na której Swiętopełk miał dokonać żywota swego jako pustelnik, po przebyciu tam wielu lat w sąsiedztwie trzech innych pustelników. Lud zaś morawski wierzy w te legendy, jak również w to, że po odpokutowaniu za grzechy swe, Świętopełk ma się zbudzić kiedyś dla zwalczenia wrogów swej ziemi.

Ze śmiercią Świętopełka upadła bezpowrotnie potęga państwa Wielko-Morawskiego, nie posiadającego skutkiem błędnej polityki tego księcia żadnych trwałych podwalin, krótkie zaś panowanie starszego syna jego Mojmira II nie było niczem innem jak pasmem nieszczęść spadających jedno po drugiem na to państwo, zanim legło ono w gruzach, ulegając nawale sprzymierzonych ze sobą Niemców i dzikich Madziarów.

Mojmir II uposażony wielu pięknemi przymiotami, które przy innych okolicznościach mogły się przyczynić do podźwignienia z upadku państwa Wielko-Morawskiego i zapewnienia lepszej przyszłości dla Słowian zachodnich, nie był już w możności stanąć do walki z przemagającą siłą wrogów.

Oderwanie od Czech i uznanie przez nich władztwa Niemieckiego (895 r.), nieustające najazdy, od wschodu Madziarów, zaś na południowe i zachodnie okolice kraju sprzymierzonych z nimi Niemców, pociągające za sobę obok strasznego zniszczenia, stopniowe uszczuplenie granic państwa Wielko-Morawskiego, stawiły Mojmira w coraz trudniejsze położenie, położenie bez wyjścia prawie.

Śmierć Arnulfa (r. 899) oraz skierowanie się na dalszy zachód i południe najazdów madziarskich, dozwoliły nareszcie odetchnąć młodemu władcy Morawji i rozwinąć powzięte plany jego polityki.

Książe ten pragnął widocznie przyswoić sobie mądry system Rościsława i zamierzał polegać nietyle co ojciec jego na znikomości powodzeń oręża, lecz uzbroić się natomiast w politykę i oprzeć się na potędze wpływów Kościoła.

Mądrą tę politykę starał się on zastosować i do Madziarów, wiedząc o tem, iż nic innego nie jest w stanie poskromić ich dzikość i złagodzić obyczaje, jak nawrócenie ich do wiary chrześcijańskiej. Korzystając z pierwszych chwil wytchnienia, wziął się on energicznie do wykonania swych zamiarów, w których niepoślednie miejsce zajmowało projektowane odbudowanie Kościoła słowiańskiego i rozszerzenie go na pogańskich Madziarów. Usiłowania jego w tym kierunku uwieńczonemi zostały niemałem powodzeniem, skoro udało mu się, za pośrednictwem kapłanów słowiańskich, nawrócić wielu do wiary świętej i znaczną liczbę tych ochrzczo-

nyc wojowników osadzić w swem państwie, używając ich przeciwko Niemcom. Skuteczność tej działalności Mojmira II stwierdza zażalenie biskupów bawarskich, zaniesione do Rzymu, w którem kapłanów słowiańskich nazywają fałszywymi chrześcijanami i wyrażają największe swe oburzenie z tego powodu, iż ochrzczonych Madziarów Mojmir zaciągnął do swego wojska.

Znany już nam dobrze ze swych nikczemnych czynów Wiching biskup nitrzański, zmuszonym będąc uchodzić z ziem słowiańskich podczas ostatniej wojny Świętopełka z Niemcami, został przygarnięty przez Arnulfa, pragnącego go wynagrodzić za tak pożyteczną dlań działalność i wyniesiony do godności kanclerza, poczem (r. 898) otrzymał on biskupstwo pasawskie. Niedługo jednak cieszył się on z pozyskanego w nagrodę za tyle popełnionych niegodziwości, stanowiska, bo oto zebrany w Salcburgu synod duchowieństwa niemieckiego w 900 r., odebrał mu djecezję pasawską i od tej chwili znika zupełnie ten potwór z widowni dziejowej.

Nie omieszkał Mojmir II skorzystać z przeniesienia Wichinga na biskupstwo pasawskie i pozostawienia skutkiem tego nieobsadzonem biskupstwa nitrzańskiego i udał się z prośbą do papieża Jana IX (rok 899) o urządzenie na nowo Kościoła morawskiego ustanowionego przez Adrjana II.

Papież uznał przedstawienia Mojmira II za dobre i zgodne z interesami Kościoła, skoro pośpieszył zadość uczynić jego żądaniom.

W tym celu wysłał z Rzymu trzech dostojników Kościoła, biskupów z przybocznej swej rady: Jana, Benedykta i Dominika, z poleceniem urządzenia Kościoła morawskiego.

Delegaci papiezcy uznali za odpowiednie potrzebom Kościoła utworzenie czterech biskupstw obsadzonych niewątpliwie uczniami św. Metodego.

Maciejowski w I tomie swych pamiętników o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian, twierdzi iż Morawia otrzymała wówczas arcybiskupa Jana i dwóch biskupów Benedykta i Daniela.

Intrygi niemieckie.

Wskrzeszenie nienawistnego dla Niemców Kościoła słowiańskiego, rozniecilo w nich bezwzględny, niczem nie hamowany gniew i zaciekłość, jakie się uwydatniły w piśmie wystosowanem z tego powodu w roku 900 do papieża przez duchowieństwo niemieckie. Akt ten podpisany przez arcybiskupa salcburgskiego Teotmara i wszystkich podwładnych mu biskupów, jest jednym z najciekawszych dokumentów, pozostałych z owej epoki. Jego zawartość bowiem najdokładniej nam wskazuje prawdziwą rolę, jaką odgrywało duchowieństwo niemieckie w obec ludów słowiańskich, wyświetlając przytem z rzadką wyrazistością jego charakter, dążności, a nareszcie i same stosunki, łączące go z władzą świecką i tak dalece pogardzanymi i nienawistnymi mu Słowianami. Kończy się ten list nawet groźbami, ażeby *papież strzegł się wzmacniać i popierać bunt słowiański, a osłabiać chrześcijańskie Niemcy.*

Hatto, arcybiskup moguncki, wówczas dzierżący w imieniu małoletnego Ludwika, opiekuńcze w Niemczech rządy, pośpieszył też z podobnem pismem do papieża, pragnąc poprzeć domagania się duchowieństwa salcburskiego.

W liście swym do papieża, Hatto, udając z niezrównaną naiwnością jakoby nie wiedział wcale o dziełach i istnieniu św. Metodego, zapewnia papieża, że Morawianie nigdy swoich metropolitów i biskupów nie mieli, że tę nowość dopiero Jan IX wprowadza, że to Słowian pobudziło do zuchwalstwa, że stąd zapewne i do rozlewu krwi przyjść musi, i że papież lepiejby zrobił, gdyby Słowian nauczał, że Niemcy są ich prawdziwymi panami i czy chcą, czy nie chcą, będą musieli uchylić karku przed cesarstwem frankońskiem.

Wystąpienie podobne dwóch arcybiskupów niemieckich w obec Stolicy Apostolskiej, maluje nam w najjaskrawszych barwach, charakter narodowy ówczesnych Niemców. Odnajdujemy też w tych listach wskazówki, wytykające nam podstawy zasadnicze odwiecznych stosunków, jakie istniały aż do dni naszych pomiędzy Niemcami a Słowianami.

Jeżeli powyższe protesty duchowieństwa niemieckiego nie sprawiły w Rzymie korzystnego usposobienia i nie przyniosły dla autorów ich pożądanych owoców, to jednak Niemcy nie omieszkali w ciągu tegoż jeszcze roku uskutecznić najazd na Morawię, który miał na celu dokonać orężem tego, co się nie udało załatwić piórem.

Okropne zniszczenie kraju spowodowane tym nowym najazdem wrogów plemienia słowiańskiego, zmusiło Mojmira II prosić ich o pokój.

Doznane już bolesne klęski, zadane Niemcom przez dzicz madziarską, którą sami naprowadzili na Europę, ściągając za to na siebie klątwę Zachodu i poczucie niebezpieczeństwa, jakie im wciąż zagrażało od byłych swoich sprzymierzeńców przeciwko Słowianom, zniewoliły tychże Niemców do zawarcia ugody z Mojmirem II w Regensburgu roku 901.

Powyżej opisane wypadki są ostatniem echem ze spraw państwa Wielko-Morawskiego, jakie do nas doleciało, były też one zapewne świadkami ostatniego tchnienia Kościoła narodowego słowiańskiego, tego filaru, wspierającego najbardziej potęgę i żywotność owego państwa, które zdołało się oprzeć tylu pociskom zanim runęło w gruzy.

Nastał nareszcie dzień 28 lipca 907 roku, w którym się rozegrał straszny dramat klęski pod Presburgiem; w bitwie tej zginął Mojmir II z resztą

swego wojska, obok mnóstwa sprzymierzonych z nim na ten raz szczerze Niemców, a nawała zwycięzkich Madziarów, jak lawina z gór spadająca, zasypała do szczętu wszelkie ślady po potężnem niegdyś państwie słowiańskiem.

Na tem się kończą dzieje działalności apostołów słowiańskich śś. Metodego i Cyryla, oraz ugruntowanego przez nich Kościoła narodowego słowiańskiego na Zachodzie. Nie pozostaje nam jak opowiedzieć jeszcze o losach, jakie spotkały słabe odbłyski wielkiego dzieła tych świętych mężów, które błąkały się przez pewien czas jak widma przeszłości, tuląc się do cichych a odosobnionych murów klasztornych w Morawji i Czechach, nim nareszcie i ztamtąd nie zostały przez Niemców wyrugowane.

Mamy na myśli głośne dzieje klasztoru sazawskiego w Czechach, po którym pozostało tak wiele wspomnień.

Klasztor sazawski w Czechach.

Za panowania w Czechach Oldrzycha (Udalryka) pomiędzy latami 1012 i 1037, żył w odosobnieniu nad rzeką Sazawą świątobliwy pustelnik Prokop. Oldrzych bawiąc się łowami w okolicach pustelni, spotkał pewnego razu Prokopa i tak go sobie upodobał, iż mianował go swoim spowiednikiem, podnosząc do wielkiego znaczenia w kraju, zaś na brzegu Sazawy wybudował okazały kościół.

Następca Oldrzycha, Brzetysław I, wzniósł przy wyżej wspomnianym kościele klasztor O.O. Benedyktynów, którego opatem został mianowany Prokop. Mąż ten będąc wybornie obznajmionym z pismami i działalnością śś. Metodego i Cyrylla, wprowadził wnet do klasztoru nabożeństwo w języku słowiańskim, a klasztor sazawski stał się przytułkiem żywej tradycji dzieł apostołów słowiańskich. Brzetysław I, mając na celu wyzwolenie się od zależności niemieckiej, popierał gorąco działalność Prokopa. tak zgodną z jego planami. Książe ten czynił bowiem, chociaż bezskuteczne lecz energiczne usiłowania, aby wyzwolić duchowieństwo czeskie z pod władzy arcybiskupów mogunckich, a to przez ustanowienie arcybiskupstwa w Pradze.

Następca Brzetysława, Spitygniew II, powodując się innemi zupełnie dążnościami w swej polityce wewnętrznej i ulegając wpływom niemieckim, prześladował duchowieństwo hołdujące obrządkowi słowiańskiemu, a przeto rozpędzić kazał mnichów klasztoru sazawskiego, którzy szukali schronienia w krajach węgierskich, miejsce zaś ich w Sazawie zajęli Niemcy.

Śmierć Spitygniewa zmieniła zupełnie stan rzeczy, następca jego Wratysław II (od r. 1061 do 1092) powołał z wygnania mnichów słowiańskich z opatem Witem na czele i osadził ich napowrót w klasztorze sazawskim, przywracając tam liturgję słowiańską, którą pragnął utwierdzić w Czechach. Dążność ta księcia Wratysława II uwydatnia się w zabiegach jakie czynił w Rzymie przed papieżami Aleksandrem II i Grzegorzem VII, pragnąc wyjednać u nich stosowne zezwolenie. Starania księcia w obu wypadkach pozostały bezowocnemi, lecz niezważając na to, dawny porządek w Kościele sazawskim utrzymywał się jakiś czas jeszcze. Ostatnim opatem tego klasztoru był Bożeciech słynny artysta malarz, a jednocześnie snycerz i tokarz. Klasztor sazawski z istniejącą w nim liturgią słowiańską, a zwłaszcza wpływ jaki wywierać nie przestawał na społeczeństwo czeskie w duchu przeciwdziałania germanizacji tego kraju, stał się nareszcie tak nienawistnym dla Niemców, iż skutkiem ich zabiegów, książę Wratysław pomimo swych sympatji dla mnichów sazawskich i ich działalności, zmuszonym był ich wypędzić, miejsce zaś których zajęli Niemcy. W taki sposób został zniesionym ten jedyny zabytek przechowujący tradycję apostołów słowiańskich na Zachodzie, a znaczna bardzo ilość uzbieranych przez pracowitych mnichów pamiątek przeszłości, oraz dzieł przez nich napisanych wpadły w ręce Niemców i uległy zniszczeniu.

Na zniesieniu klasztoru sazawskiego nie kończą się jednak dzieje klasztornej egzystencji obrządku słowiańskiego na ziemi czeskiej. Bo oto po upływie niemal półtrzecia wieku został on wskrzeszonym i to jeszcze przez Niemca! Tym niespodziewanym zwolennikiem tradycji słowiańskich był król czeski Karol Luksemburski (od 1346 do 1378) następnie cesarz niemiecki. Monarcha ten, lubujący się szczególnie w pomnikach przeszłości słowiańskiej, zapragnął podźwignąć z zapomnienia tradycje dawnych benedyktynów sazawskich i powołać je do życia.

W tym celu wyjednał on u papieża Klemensa VI pozwolenie na erekcję podobnego zgromadzenia zakonników z osiedleniem w klasztorze Emaus w Pradze. Kościół emauski miał być poświęconym w obecności Karola w roku 1372, zgromadzenie zaś benedyktynów utrzymało się tam do czasu wojen husyckich i zniesionem zostało przez Utrakwistów (Kalisznikow), którzy zajęli ten klasztor, wprowadzając doń nabożeństwo w języku nowoczeskim. Od tej chwili zamilkło ostatecznie na ziemi czeskiej nabożeństwo w języku starosławiańskim z czasów Metodego, ustępując przed narzeczem miejscowem i współczesnem, a zabytek po apostołach słowiańskich przeszedł na Zachodzie w dziedzinę tradycji historycznych.

Jubileusz przybycia braci salonickich do Morawji.

Następstwem przebudzenia się Słowian ze snu wiekowego i odradzania się ich na tle właściwości

swych plemiennych, był coraz wyraźniejszy zwrot do zaniedbanych przez czas tak długi badań przeszłości, jak również bystry rozwój piśmiennictwa, które wzmagając się znakomicie pod zbawiennem tchnieniem patrjotyzmu narodowego i plemiennego, oraz miłości dla wszystkiego co swojskie, jakie ożywiać poczęły apatycznych dotąd Słowian, stało się powodem wskrzeszenia wielu starodawnych pamiątek, a między innemi najdroższej z nich i najświętszej o apostołach słowiańskich św. Metodym i Cyrylu.

Jakkolwiek w miarę rozbudzenia się samowiedzy i piśmiennictwa u ludów słowiańskich, rozszerzała się i wzrastała coraz bardziej cześć dla tych świętych mężów, najznakomitszych dobroczyńców i bohaterów ich plemienia, to wszakże dosięgła ona właściwej popularności dopiero od nastania tysiącoletnich jubileuszów na ich pamiątkę obchodzonych.

Rok 1863 upamiętnił się uroczystem bardzo święceniem jubileuszu przybycia braci salonickich do Morawji, który był obchodzony z niezwykłą solennością i przy licznym napływie pątników z różnych krajów słowiańskich w Welehradzie.

Najwięcej się jednak przyczyniła do podniesienia i rozszerzania na cały świat chrześcijański czci przynależnej św. apostołom Słowian, encyklika Papieża Leona XIII tak zwana: „Grande munus“ wydana w dniu 30 września 1880 roku. W tym pamiętnym akcie, rozesłanym do wszystkich biskupów podwładnych Stolicy Apostolskiej, Leon XIII nakazał, aby w całym Kościele katolickim obchodzony był odtąd z odpowiednią solennością dzień poświęcony pamięci św. apostołów słowiańskich.

Wyżej wspomniana encyklika Papieża wywarła wielkie wrażenie w całym świecie katolickim oddziałując szczególnie na ludy słowiańskie, rozradowane podobnem zachowaniem się Stolicy Apostolskiej w obec pamięci najbardziej czczonych u nich świętych, tembardziej jeszcze, iż według pojęć współczesnych należało im się oddawna podobne zadośćuczynienie sprawiedliwości ze strony Kościoła. Czas już był potemu, wyzwolił nareszcie wielkich twórców Kościoła narodowego słowiańskiego od prześladowania niemieckiego, które dręcząc ich za życia, nie przestało ciężyć nad ich pamięcią w ciągu lat tysiąca, czuwając wciąż nad przytłumieniem blasku ich chwały, z obawy, aby ten blask święty nie obudził kiedyś Słowian z uśpienia, a powołując te masy do nowego życia, nie rozjaśnił im zanadto tradycji przeszłości.

Następstem tych wypadków była tłumna pielgrzymka przedstawicieli katolickiego świata słowiańskiego do Rzymu i wielkie uroczystości, jakiemi się zaznaczył w roku 1881 pobyt pątników słowiańskich w wiecznem mieście.

Głównymi inicjatorami owej pamiętnej pielgrzymki do Rzymu, o ile się zdaje, byli: ksiądz biskup Strossmajer na południu i kanonik welehradzki ks. Stulc w Pradze czeskiej, a myśl podjęta przez tych dostojnych mężów, znalazła najsympatyczniejsze przyjęcie i uznanie w społeczeństwach, oraz w Watykanie, rozbudzając w zachodniej i południowej Słowiańszczyznie wielki zapał, podniecany zwłaszcza pełnym namaszczenia listem pasterskim, ubóstwianego przez południowych Słowian biskupa Syrmji i Bośni księdza Józefa Jerzego Strossmajera, wydanym w dniu 28 marca 1881 roku. Utworzyły się niebawem komitety w Rzymie i w głównych ogniskach życia społecznego Słowian katolików, w celu uczynienia stosownych przygotowań dla mającej się odbyć w Rzymie pierwszej od lat tysiąca wielkiej uroczystości na cześć św. braci salonickich, a projektowana pielgrzymka przyszła do skutku tegoż 1881 roku.

Pątnicy słowiańscy cisnęli się ze wszech stron do Rzymu, ku wielkiemu niezadowoleniu Niemców, aby złożyć hołd wdzięczności Ojcu świętemu, uczcić pamięć śś. Metodego i Cyryla, oraz na grobie tego ostatniego uścisnąć dłoń braci znanych dotąd tylko ze słyszenia i zadzierzgnąć węzły przyszłej łączności, mającej niegdyś zbliżyć ku sobie wszystkich Słowian.

Pielgrzymi z pod panowania niemieckiego (w liczbie 109) i z Galicji (w liczbie 336) w towarzystwie 150 osób ze stanu duchownego, udali się do Wiednia, aby tam połączyć się z Czecho-morawianami i Słowakami; w Lublanie (Lajbach) liczne już ich grono powiększyli Słowieńcy; w Tryeście zleli się w jednę gromadę przedstawiciele południa i północy, a gdy przybyli do Rzymu, ogólna ich liczba wzrosła do 2,000 osób.

W gronie pielgrzymów znajdowało się wiele wybitnych osobistości cywilnych i stanu duchownego. Przyjęcie zgotowane dla pątników słowiańskich odznaczało się niezwykłą świetnością i uprzejmością. Wszystko co tylko posiada Rzym godnego widzenia, stało się dla nich otworem i jakby oczekiwało na ich przybycie, a znaczna liczba wydelegowanych do tego osób ubiegała się o to, aby ułatwić i uprzyjemnić ich pobyt w wiecznem mieście. Punktem kulminacyjnym tych uroczystości przeplatanych nabożeństwami, audjencjami w Watykanie i zwiedzaniem różnych osobliwości było triduum, czyli trzydniowe nabożeństwo solenne odprawione w Bazylice św. Klemensa, gdzie pod wielkim ołtarzem, spoczywają obok siebie relikwie świętych Klemensa i Cyryla. Podczas triduum odprawionemi były nabożeństwa w językach łacińskim i słowiańskim, a pielgrzymi usłyszeli kazania wygłoszone we wszystkich niemal narzeczach słowiańskich. Uroczystość zakończyła się publicznym aktem literackim, odbytym w obecności Papieża w Watykanie.

Tak więc po upływie dopiero lat tysiąca nastała chwila, w której narody słowiańskie i świat chrześcijański, jakby przypomniały sobie o świętych apostołach Cyrylu i Metodym, a Słowianie znaleźli się w możności, wbrew wybitnej niechęci Niemców, godnie uczcić pamięć największych swych dobroczyńców, bohaterów i świętych, obchodem jubileuszowym tysiąco-letniej rocznicy ich działalności.

Uroczystości Welehradzkie z roku 1863 i pielgrzymka do Rzymu, powinny być poczytywane za drogi akt jubileuszowy, a to dla tego, iż przybrały one charakter uroczystego zamanifestowania Słowian przed całym światem cywilizowanym, o swem istnieniu i odrodzeniu się do nowego życia.

Relikwje i wizerunki śś. Cyryla i Metodego.

Relikwje świętych braci przechowywane są w kościele św. Klemensa w Rzymie, część ich przeniesiono do Morawji; w kościele św. Piotra w Brünn znajduje się ramię św. Cyryla.

Na obrazach przedstawiają ich jako biskupów z otaczającymi ich nawróconymi Słowianami. Często też na wizerunkach widzimy dwóch braci salonickich podtrzymujących wspólnie kościół, jako przypomnienie ich zasług w sprawie Kościoła narodowego.

Źródła.

Leonard Rettel. *SS. Cyryl i Metody według najnowszych poszukiwań.*
August Bielowski. *Żywot św. Metodego.*
Leger. *SS, Cyryl i Metody.*
L. Prószyński. *Apostołowie Słowian.*

Dnia 10 marca.

CZTERDZIESTU ŚWIĘTYCH MĘCZENNIKÓW Z SEBASTY.

† 320.

Za rządów papieża: Św. Sylwestra, cesarza Konstantyna I i Licynjusza.

Ziemia nie jest miejscem wypoczynku dla nas; tylko w życiu przyszłem znajdziemy upragniony spoczynek.
Św. Paweł.

Mężne wyznanie wiary.

Licyniusz, cesarz rzymski, ożeniony z Konstancją, siostrą Konstantyna I, był to człowiek nizkiego pochodzenia, skąpy, chciwy, okrutny, z prostego żołnierza wyniesiony na najwyższe stanowisko, nie umiejący nawet się podpisać, a przytem najniegodziwszych skłonności, ceniący tylko podobnych sobie łotrów. I oto ten w pół dziki okrutnik pastwił się w najokropniejszy sposób nad chrześcijanami. On to wydał edykt, rozkazujący pod karą śmierci wyznawcom Chrystusowym wyrzec się swej wiary.

Agrikola, wielkorządca Kapadocji, godnym był jego sprzymierzeńcem i równie jak Licyniusz zawziętym wrogiem chrześcijaństwa, kazał więc natychmiast legionowi w Sebaście ogłosić edykt cesarski.

Czterdziestu mężnych żołnierzy wystąpiło z szeregów mówiąc, że są chrześcijanami. Rozgniewany Agrikola zagroził im wygnaniem z wojska, jeżeli nie uznają swej winy, i dając krótki czas do namysłu kazał ich tymczasem wtrącić do więzienia.

Nazajutrz sędzia przywołał ich powtórnie przed trybunał, grożąc śmiercią w razie oporu, lecz napróżno starał się ich przekonać.

— Jeżeli mężnie walczyliśmy za władcę ziemskiego, bądźcie pewni, że nie odstąpimy Pana naszego niebieskiego i wsparci jego łaską odniesiemy zwycięztwo — mówili chrześcijanie.

Gdy następnie odprowadzono ich do więzienia śpiewali psalm: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“, ukazał się im Pan Jezus i rzekł do nich:

„Dobrzeście rozpoczęli, wytrwajcie aż do końca, takich bowiem tylko oczekuje korona niebieska“.

Żołnierze Chrystusowi wydani na męki.

Dzielni wojownicy Cyrion i Kandyd zachęcali towarzyszów swoich do wytrwałości: „Módlmy się, bracia mówili, sam Bóg przybywa zawsze na pomoc tym, którzy cierpią dla imienia Jego, gdy Bóg nas połączył w jednej wierze i w jednych szeregach, niech już nas nic nie rozłącza ani w śmierci“.

W tydzień potem Lizjasz, dowódca ich oddziału, rozkazał, aby kamieniami powybijali zęby opornym, iecz z dopuszczenia Bożego kaci pobili się między sobą, nietknąwszy świętych Wyznawców. Rozgniewany Lizjasz, schwycił kamień i cisnął nim w jednego ze świętych, lecz kamień chociaż rzucony ręką

pewną, ominął męczennika, a spadając skaleczył Agrykolę.

Święci odprowadzeni do więzienia poczęli modlić się, a Pan Jezus ukazał się im powtórnie i temi pocieszał słowy:

„Kto we mnie wierzy chociażby umarł żyć będzie; nie obawiajcie się mąk przemijających, potykajcie się mężnie, abyście koronę otrzymali".

Nazajutrz odczytano im wyrok śmierci, a następnie Agrikola rozkazał biczować i ostremi hakami szarpać ich ciała.

— Każę was spalić na stosie! — wołał okrutny poganin.

— Obawiamy sie tylko płomieni piekielnych— odparli ze spokojem.

Natenczas wielkorządca Kapadocji obmyślił nowe męczarnie i wrzucono ich w jezioro zamarźnięte nieopodal Sebasty, gdzie przebyć mieli noc całą. Polecił przytem aby przygotowano kąpiel letnią, i gdyby który z nich, chciał się wyrzec Chrystusa, iżby miał sobie tę ulgę dozwoloną i do kąpieli ciepłej przeszedł.

Więźniowie przybywszy na brzeg jeziora nie czekając aż z nich zedrą odzież, sami poczęli się rozbierać, zachęcając się nawzajem temi słowy:

— Żołnierze odarli z odzienia Pana Jezusa, a on to przeniósł za nasze grzechy: ogołoćmy się sami dla miłości Jego, dla zadośćuczynienia za nasze winy.

Wzniosłszy serca swe do Boga, rzucili się w jezioro modląc się, aby jak ich czterdziestu stanęło do tego świętego boju, tak żeby czterdziestu wyszło zwycięzko, a żadnego z nich nie zabrakło w niebie.

Żołnierze trwając na modlitwie mężnie znosili ciężką mękę. Jeden tylko nie okazał się godnym swych towarzyszy i uległ, po północy, okazała się na niebie jasność wielka. Aniołowie zstąpili z obłoków niosąc korony, które włożyli na głowy Wyznawców Chrystusowych. Koron tych było trzydzieści i dziewięć. Strażnik, który czuwał na brzegu, widząc cud takowy, a obliczywszy korony, zdziwił się dlaczego jednej brakło. Spostrzegł, że jeden z żołnierzy wyszedł z jeziora i rzucił się w ciepłą kąpiel lecz wnet umarł, tracąc jednocześnie życie doczesne i wieczne. Strażnik w tej chwili pod wpływem łaski Bożej, nawrócił się, i sam wskoczył w jezioro, pomiędzy świętych Męczenników. wołając, że chce być chrześcijaninem.

Tak więc, modlitwy tych świętych, proszących Boga, aby czterdziestu zwycięztwo otrzymało, wysłuchane zostały.

Nazajutrz Agrikola kazał wyciągnąć z wody skrzepłe ciała męczenników i z barbarzyńskiem okrucieństwem pastwił się nad zwłokami mężnych żołnierzy Chrystusowych, kazał im łamać golenie i dobijać tych, którzy jeszcze słabe ślady życia okazywali.

Meliton i jego matka.

Nazajutrz zbierano ciała świętych z nad jeziora, aby je rzucić w płomienie. Najmłodszy ze wszystkich męczenników, imieniem Meliton żył jeszcze, pomimo okrutnej. kaźni.

Słudzy cesarscy nie chcieli rzucić go na stos wraz z innymi, sądzili bowiem, że uda się im łatwo namówić go do odstępstwa potem wszystkiem co wycierpiał za wiarę. Ale pomiędzy tłumem ludzi cisnących się dla zobaczenia strasznego widowiska znajdowali się również chrześcijanie, którzy starali się znaleść sposób ocalenia przynajmniej zwłok męczenników, aby uczcić je pogrzebem. W ich liczbie była też mężna chrześcijanka, matka Melitona, a widząc, że syn jej żyje, przystąpiła do niego i zachęcała do wytrwania.

— Synu drogi — wołała – mężnym bądź aż do końca, nie trać odwagi, oto Chrystus stoi u bram nieba i wspierać cię będzie. Anioł, który ci przyniósł koronę, zawiedzie cię do chwały wiekuistej, synu mój, pomnij, że pozyskując męczeńską koronę uczynisz mnie najszczęśliwszą z matek! Bóg dał mi cię z łaski swojej i słusznem jest, abym Mu ciebie oddała jako dowód miłości mej bez granic!

Wozy wiozące ciała męczenników oddalały się zwolna; Melitona otoczyli poganie, chcąc namówić go do odstępstwa. Ale matka chrześcijanka nie mogła znieść tej myśli, że syn jej uledz może. Porwała go w ramiona i biegła w ślad za odjeżdżającymi. Ten ciężar sercu drogi dźwigając na barkach swoich, dopędziła wóz ostatni i ciało syna, który skonał na jej ręku, na wozie tym złożyła.

Teraz już pewną była, że dziecię jej nagrodę w niebie otrzyma i szła spokojna, cicha za tym smutnym pochodem, nie pragnąc już innego szczęścia, dla siebie, jak połączenia się jak najrychlej z synem swym ukochanym.

Poganie dziwili się męztwu matki chrześcijanki, radującej się, że ciało jej syna wraz z ciałami innych męczenników płonęło na stosie, Agrykola, nie ludzkim zdjęty szałem, nie poprzestał na umęczeniu i spaleniu ciał niewinnych ofiar, ale wydał rozkaz popioły ich rozwiać na cztery wiatry, a kości rzucić w morze.

Bóg jednak nie dozwolił, aby szczątki świętych wyznawców zostały zupełnie zatracone: kości rzucone do morza na brzeg wyrzuciła fala, a Piotr, biskup ówczesny Sebasty, miał sobie objawionem, gdzie się owe drogocenne relikwje zgromadziły. Chrześcijańscy kapłani zebrali je starannie i pochowali ze czcią największą. Tak więc przetrwała wieki całe pamięć o mężnych czterdziestu męczennikach, poległych w boju Chrystusowym, a którzy, według

słów św. Bazylego, wszystkim żywiołom przez wrogów wiary na pastwę byli oddani: męczeni bowiem na ziemi w wodzie, na ogniu, wreszcie w powietrze, przez rozwianie prochów rzuceni, a wszystkie żywioły świata posłużyły do tem większej chwały ich niezłomnego męztwa.

Czterdziestu wyznawców Chrystusowych umęczonych w Sebaście. Matka Melitona, najmłodszego z nich, woła: „Wytrwaj synu, abyś pozyskawszy męczeńską koronę, uczynił mię najszczęśliwszą z matek.“

Chwalebne imiona śś. męczenników z Sebasty.

Bardzo wielu mężnych żołnierzy Chrystusowych poniosło śmierć męczeńską w owych czasach okrutnych prześladowań, ale część tylko ich imion przekazały nam dzieje. Jednak legjonistów Sebasty, których męczarnie opowiedzieliśmy tutaj, wyliczają wszystkich następujących 40-tu, gdyż sława ich rozniosła się szeroko. Zwano ich: Cyrion, Kandyd, Domnus, Meliton, Domicjan, Eunoikus, Sycyniusz, Herakliusz, Aleksander, Jan, Klaudjusz, Atanazy, Walens, Elian, Akakjusz, Wibianus, Teodol, Cyryl, Flawiusz, Sewerjan, Walerjan, Sacerdos, Ariskus, Entychiusz Ekdyciusz, Eljasz, Chudio, Szmaragdus, Filotiusz, Akcjusz, Mikołaj, Lizymach, Teofil, Ksanteasz, Agiasz, Leonciusz, Hezychiusz, Gajus i Gorgoniusz.

Cześć oddawana czterdziestu męczennikom.

Było to już przy końcu straszliwych prześladowań chrześcijan przez rzymskich tyranów. Licyniusz dwukrotnie zwyciężony przez Konstantyna Wielkiego, pierwszego chrześcijańskiego monarchę,

został pozbawiony tronu. Wówczas chrześcijanie mogąc otwarcie wyznawać swą wiarę, starali się otaczać jak najgłębszą czcią pamięć śś. męczenników. Różne miasta dobijały się o zaszczyt posiadania ich relikwji w kościołach, budując takowe pod ich wezwaniem, jako to: w Cezarei, Kapadocji, Konstantynopolu i Rzymie.

Historyk Sazomen opowiada ciekawe szczegóły odkrycia niektórych z tych relikwji w Konstantynopolu.

Pewna niewiasta imieniem Euzebja, należąca do sekciarzy zaprzeczających boskości Ducha św., miała w swem posiadaniu część kości meczenników Sebasty oddanych jej dla bezpieczeństwa do przechowania. Czując się blizką zgonu, wręczyła ten drogocenny depozyt mnichom, swym współwyznawcom, którzy mieli się zająć jej pogrzebem. Prosiła aby ją wraz z tym skarbem do grobu złożono i wymagała przysięgi, że jej ostatnia wola będzie spełniona.

Mnisi złożyli w krypcie ciało zmarłej wraz z relikwiarzem, zachowując to w najgłębszej tajemnicy. Odprawiano tam tylko niekiedy żałobne modły. Wkrótce obok Euzebji spoczęły zwłoki innej niewiasty, którą węzły przyjaźni łączyły ze zmarłą! Była to żona Cezarjusza, zajmującego wysokie stanowisko urzędnika na Wschodzie, który zamierzył zakupić miejsce, gdzie żonę pochowano, dla wzniesienia wspaniałego kościoła. Zakonnicy odstąpili mu grunta i przenieśli się w inne miejsce.

Po wybudowaniu nowej świątyni Pańskiej ślad grobu Euzebji zupełnie zaginął. Wiele lat upłynęło, nastały rządy Teodozjusza młodszego, którego siostra św. Pulcherja budowała wszystkich swą cnotą. Jej to właśnie ukazał się trzykrotnie św. Tyrsus, pod którego wezwaniem kościół był wzniesiony i objawił jej, że należy niezwłocznie rozpocząć poszukiwania relikwji św. męczenników Sebasty, aby złożone były wraz z jego relikwjami na ołtarzu. Święta Pulcherja widziała też we śnie czterdziestu męczenników i wnet zarządziła poszukiwania, chcąc jak najprędzej uczynić zadość żądaniom świętych.

Okazało się jednak, że żaden z duchownych obsługujących kościół, nie mógł udzielić żadnych w tym względzie wskazówek.

Zapytano mnichów macedońskich, będących niegdyś w posiadaniu tych gruntów, czy nie mają bliższych wiadomości, ale nic nie można się było od nich dowiedzieć. Wszyscy starsi powymierali. Znalazł się wszelako jeden sędziwy starzec, który wiedział o tem lecz nie chciał w żaden sposób zdradzić powierzonej sobie tajemnicy. Dowiedziawszy się jednak o widzeniach św. Pulcherji przeląkł się i opowiedział, że kości męczenników znajdują się w grobie Euzebji, tuż obok żony Cezarjusza. Znalazł się też jeden z mieszkańców Konstantynopala uczęstniczący w pogrzebie tej niewiasty. Pamięć dostarczyła mu wskazówek dość ścisłych i relikwiarz został odnaleziony. Św. Pulcherja, uradowana tem niezmiernie złożyła Bogu dziękczynienia i relikwje spoczęły na ołtarzu św. Tyrsusa.

Cześć dla 40-tu męczenników była bardzo rozprzestrzenioną na Wschodzie, a w wiekach średnich podczas wojen krzyżowych cześć ta rozprzestrzeniła się na Zachodzie. Sebasta od tego czasu znajdowała się pod władzą Turków; w miejscu gdzie było umęczonych 40-tu chrześcijańskich żołnierzy, po dziś dzień znajdują się ruiny zniszczonego kościoła i fontanna, której woda posiada cudowną własność uzdrawiania.

Ztąd też miejsca te są otoczone czcią wiernych i niewiernych.

Dnia 31 marca.

BŁOGOSŁAWIONY MIKOŁAJ DE FLUE.

1417—1487.

Za rządów papieży: Jana XXIII, Inocentego VIII, cesarzy niemieckich: Zygmunta, Fryderyka III.

Niech przeniknie was do głębi ta myśl, iż Bóg jedynie jest źródłem prawdziwego szczęścia że probieżem gorącej ku Bogu miłości—jest poddanie się Jego św. woli Jeśli znosicie cierpliwie wszytko, nawet obelgi, dla miłości Bożej — wówczas miłość, wasza dla Boga prawdziwą jest.

Jedno z ulubionych zdań błogosławionego Mikołaja.

Pierwsze lata.

Mikołaj de Flue, syn pobożnych rodziców urodził się w roku 1417 w kantonie Unterwalden w Szwajcarji, owym pięknym kraju, gdzie olbrzymich gór szczyty sięgają aż do nieba, mówiąc, zda się, ludziom: „Tam ojczyzna nasza, tam podążajcie".

Od lat najmłodszych pałał gorącą miłością ku Bogu, szukał ciszy i osamotnienia. W szesnastym roku życia przechodząc doliną Melchy—spostrzegł na wyniosłości wieżę samotną; podziwiał ją długo i marzył o samotności. Odtąd szukał zawsze miejsc odległych, tchnących ciszą, aby zdala od ludzi i gwaru duszą swą łączyć się z Bogiem w modłach żarliwych. Posłuszny woli rodziców poślubił bogobojną niewiastę, z którą miał pięciu synów i pięć córek. Najstarszy z synów został proboszczem w Sachseln, miejscu rodzinnem.

Mikołaj jako żołnierz.

Kilkakrotnie powołany do broni Mikołaj walczył ciężko z nieprzyjaciółmi. Gdy pewnego razu oddział nieprzyjaciół schronił się do poblizkiego klasztoru, a żołnierze chcieli go podpalić, Mikołaj powstrzymał od tego zamiaru współtowarzyszy, mówiąc im: „Bracia nie plamcie okrucieństwem zwycięztwa, które Bóg wam odnieść pozwolił". Klasztor został ocalony.

Błog. Mikołaj jako człowiek stanu.—Głos z nieba.

Współziomkowie wybrali Mikołaja, pomimo oporu z jego strony, na sędziego i radcę, które to czynności spełniał wiernie i gorliwie przez lat 19-cie. Praca nie przeszkadzała mu dbać o zbawienie duszy, dlatego też wstawał wśród nocy i zanim pierwsze blaski porannej zorzy ozłociły świat, trwał na modlitwie w ciszy i skupieniu.

Codzienna modlitwa jego, która stała się popularną w Szwajcarji. Zaczynała się od słów:

„Boże mój i Panie! Odsuń ode mnie to wszystko, co mnie oddala od Ciebie i daj mi to wszystko, co zbliża ku Tobie".

W wieku lat 50, podczas gorliwej modlitwy, w której zatonął duszą całą, posłyszał głos mówiący doń temi słowy:

Mikołaju, nie trwóż się, ufaj Bogu, nie polegaj na własnych siłach, gdyż mili są Wszechmocnemu ci, którzy służą Mu z zaparciem się i oddaniem!"

Natchnienie zaś podszepnęło mu:

Opuść to wszystko, co kochasz, a Bóg sam pieczę nad tobą roztoczy.

Zrozumiał wówczas, iż Bóg żąda, aby opuścił rodzinę i dom własny i, jak niegdyś apostołowie, służył Chrystusowi. Długą i ciężką walkę wewnętrzną musiał stoczyć z sobą zanim zdołał się wyzbyć wszelkich ziemskich ukochań, lecz łaską Bożą ożywiony, zwyciężył i zdobył niezłomne postanowienie pójścia za głosem Bożym. Więc najpierw otrzymał zezwolenie żony, która po długich wahaniach zgodziła się, i obiecała pozostałą gromadkę młodszych dzieci wychować w wierze i bojaźni Bożej.

Pożegnawszy więc rodzinę oddalił się od miejsc, które ukochał, bosy, w szacie brunatnej, szorstkiej, ze szkaplerzem w ręku, bez pieniędzy i bez zapasów.

Przybywszy do Liestall, w kantonie Bale, spotkał wieśniaka i prosił, by mu wskazał miejsce odległe i samotne, gdzie mógłby nieznany oddać się całkiem Bogu. Ten mu doradził, by poszukał takiego miejsca w granicach rodzinnego swego kantonu. Mikołaj rady tej usłuchał.

Gdy noc nadeszła zasnął pod gołem niebem, podczas snu zbudził się nagle i ujrzał się otoczonym światłem jarzącem i uczucie dotkliwego bólu przeszyło nawskroś, jak błyskawica, ciało jego. Jednocześnie odczuł niepokonane pragnienie nakazujące mu powrót do stron ojczystych. Od tego czasu nie doznał nigdy w życiu ani głodu, ani chłodu, ani zimna. Wróciwszy do domu, udał się do doliny Hlüster, należącej do jego posiadłości i obrał sobie siedlisko pod dużym klonem.

Po upływie ośmiu dni odnaleźli go tam myśliwi i powiadomili o tem brata jego, Piotra de Flue.

Ten udał się doń i namawiał do powrotu w domowe progi, przepowiadając, iż zemrze z głodu i chłodu.

— Kochany bracie odpowiedział Mikołaj, śmierć mi nie grozi, gdyż oto od dni jedenastu pokarmu w ustach nie miałem, a głodu nie czuję. Bóg czuwa nade mną i miejsc tych nie opuszczę".

Wkrótce, gdy odwiedziny stały się częstsze, błogosławiony pustelnik osiedlił się w miejscu bardziej odległem, tam gdzie przed laty spostrzegł samotną wieżę.

wiście nie przyjmował on żadnego innego pokarmu, oprócz św. Eucharystji. Biskup Konstancyi wysłał doń swego wikarjusza dla stwierdzenia cudu. Ten przybywszy do chatki pustelnika, zapytał go, jaką cnotę uważa za największą. Mikołaj odpowiedział: „Posłuszeństwo". Wówczas wikarjusz postawił przed nim chleb i wino i rozkazał, by zjadł i wypił.

Pustelnik usłuchał, lecz natychmiast po spożyciu, dostał tak silnych kurczów żołądka, iż obawiano się o jego życie.

Odtąd nie zamącano mu już spokoju, przeko-

Święty Mikołaj de Flue.

Pobożni pielgrzymi, nawiedzający go, zbudowali mu lepiankę z kory i gałęzi, w której spędzał dnie i noce na modlitwie i rozważaniu św. tajemnic—nie przyjmując żadnego posiłku.

Błogosławiony Mikołaj żyje lat 19, nie przyjmując innego pokarmu jak Eucharystję św.

Po upływie roku, powstało podejrzenie, że pustelnikowi dostarczają potajemnie pożywienia. Przez czas dłuższy dozorowano ściśle i starannie chatkę pustelnika, przekonano się jednak, iż rzeczywiście nawszy się iż Bóg sam podtrzymywał siły błogosławionego pustelnika.

Mikołaj spędził w swej chatce rok czasu.

Współziomkowie wybudowali mu celę z kamieni oraz kapliczkę, która otrzymała później, bogate dary, co dało możność pustelnikowi utrzymywać przy niej księdza.

Z jego rąk przyjmował Mikołaj co miesiąca i w każde święto Przenajświętszy Sakrament, który przez lat 19 był jedynem jego pożywieniem. Przykładem Mikołaja zachęcony, zamieszkał obok jego

samotni inny pustelnik, imieniem Ulrych, z pochodzenia bawarczyk. Odwiedzał on często świętego i prowadził z nim długie rozmowy. O pewnych naznaczonych godzinach przyjmował św. Mikołaj pielgrzymów, przybywających tłumnie.

Dnia jednego przyszła żona z dziećmi i zbudowaną została przykładem i natchnionemi słowami męża.

Pewnego razu odwiedziła go zamężna kobieta wspaniale ubrana. Mikołaj spojrzał surowo i rzekł: Jeśli pycha każe ci nosić szaty tak wspaniałe — wiedz, iż nie wnijdziesz do królestwa niebieskiego, a jeśli i dzieci twe w zbytku podobnym wychowywać zaczniesz—nie będziesz nigdy oglądać oblicza Bożego". Następnie przepowiedział jej, że dzieci jej waśnić się pomiędzy sobą będą, co wiele kłopotów i nieszczęść jej przysporzy.

Kobieta ta była rzeczywiście matką 11-ga dzieci i przepowiednia świętego spełniła się dosłownie Wkrótce potem przyszedł do pustelnika młodzieniec w pięknych szatach i zapytał żartując, jak mu się ten strój podoba.

„Jeśli masz piękną duszę i piękne uczucia wszystko na tobie pięknem się wyda, lecz radziłbym ci zachować więcej prostoty w ubraniu i nie pogardzać strojem narodowym"— odrzekł mu na to pustelnik.

Wzniosłość umysłu św. Mikołaja zjednały mu serca ludzi, którzy często zasięgali rady jego w sprawach ważnych i zawiłych.

Błogosławiony Mikołaj ratuje zagrożoną niepodległość ojczyzny.

W roku 1481 Szwajcarzy odnieśli zwycięztwo pod Granson i pod Nancy, lecz wkrótce potem powstały pomiędzy zwycięzcami niesnaski z powodu podziału zdobytego łupu, oraz sporu o przyłączenie miast Soleure i Friburg do federacji.

Rozterka szerzyła się coraz bardziej, siejąc nienawiść i chęć zemsty w sercach deputowanych, grożąc krajowi wojną wewnętrzną i ruiną kraju. Wobec tych zamieszek cesarz niemiecki mógł z wielką łatwością Szwajcarję pod panowanie swoje zagarnąć. Z trudem zdobyta niepodległość mogła być w jednej chwili straconą.

Wówczas to proboszcz z miejscowości Stanz zaproponował w kwestji rozstrzygnięcia sporu udać się do błogosławionego Mikołaja de Flue, w którego mądrość i sprawiedliwość wierzyła cała Szwajcarja, poczytując go za świętego. Nikt więc nie sprzeciwił się temu, i zacny proboszcz późną nocą przybył do pustelni brata Mikołaja, prosząc go w imieniu wszystkich, by spór rozwikłał i tem samem ojczyznę od zguby ocalił.

Udali się obaj w drogę do Stanz. Gdy św. starzec przybył na zgromadzenie, uczczono go ogólnem powstaniem z miejsc.

Gdy zaczął mówić ożywiony duchem Bożym, słowami pełnemi prostoty, wiary, bezinteresowności, a nacechowanemi wielką miłością ojczyzny, umiłowaniem prawdy i pokoju—uciszył zwaśnionych, przekonał, pogodził, usunął trudności—słowem, ład i porządek wprowadził. Miasto Soleure i Friburg włączono do federacji, traktaty zjednoczenia odnowiono i wzmocniono, łup na równe części podzielono, przedsiewzięto środki do uspokojenia wzburzonej ludności i zaprowadzenia spokoju publicznego.

Radość zapanowała ogólna. W Stanz, pisze historyk Kościoła Rohrbacher, zaczęto bić w dzwony, których głosy rozbrzmiewały po wsiach i dolinach od szczytów ośnieżonych, St. Gothard'u odbijając się echem radosnem, płynąc falą drżeń ku łąkom kwiecistym i jeziorom błękitnym, niosąc wieść dobrą sercom Szwajcarów.

I tak wybawicielem kraju stał się skromny brat Mikołaj, który tegoż samego wieczora usunął się cicho ze Stanz, podążając do swej pustelni, w której przeżył jeszcze lat 6.

Wreszcie, by dodać nowego blasku męczeńskiej koronie, którą miał być uwieńczony w niebie, Bóg zesłał nań ciężką chorobę. Przez osiem dni i osiem nocy straszliwe bóle miotały wynędzniałem ciałem pustelnika, nie osłabiając jednak ani na chwilę cierpliwości jego. Do tych, którzy go odwiedzali mówił, iż należy żyć tak, by nie obawiać się śmierci. W ostatnich chwilach, cierpienia zmniejszyły się; wówczas zażądał ostatniego namaszczenia i przyjęcia Przenajświętszego Sakramentu. Przy umierającym znajdowali się: wierny towarzysz jego Ulrych i przyjaciel—proboszcz ze Stanz. Pobożna małżonka i bogobojne dzieci pośpieszyły również do łoża umierającego, by pożegnać go na drogę wieczności.

Mikołaj de Flüe w ostatniej godzinie życia dziękował Najwyższemu za otrzymane dobrodziejstwa i, wzniósłszy raz jeszcze duszę w modlitwie gorącej ku niebu, skonał śmiercią sprawiedliwych dnia 21 marca 1487 roku.

Zgon jego opłakiwała cała Szwajcarja, nad którą czuwa jednak duch jego zawsze i błogosławi jej z nieba, gdzie z Bogiem ma obcowanie. Oby modły jego natchnęły wszystkich mieszkańców kantonów wiarą gorącą, wiarą ich przodków, walecznych, którzy ugruntowali niepodległość ojczyzny — gdyż wiarą taką nie tylko ziemskie posiadłości rozszerzyć można, lecz zdobyć Królestwo niebieskie, do którego tęsknić i dążyć powinna każda chrześcijańska dusza.

Ciało błogosławionego Mikołaja pogrzebanem zostało w Saxeln, i grób jego licznemi wsławił się cudami.

W r. 1538 śmiertelne szczątki jego były wyjęte z ziemi i złożone do cennego relikwiarza, przez biskupa z Lozanny. 21 marca roku 1887 rzeczpospolita Szwajcarska obchodziła 400 letnią rocznicę śmierci błogosławionego. Sprawa kanonizacji opoźnia się—lecz ufajmy, iż modły wiernych i wielkie zasługi błogosławionego przyśpieszą ją ku ogólnej radości tych, którzy znają świętobliwy żywot jego.

Dnia 23 Kwietnia.

ŚWIĘTY WOJCIECH

ARCYBISKUP GNIEZNIEŃSKI, MĘCZENNIK

ur. około r. 956 † 997.

Za rządów papieży: Jana XV, Grzegorza V, królów polskich: Mieczysława I, Bolesława Chrobrego.

Prawdziwy chrześcijanin nie poprzestaje na wierze lecz działa.
Św. Jan Chryzostom.

Pochodzenie, dziecinne lata św. Wojciecha.

Św. Wojciech, jeden z główniejszych naszego kraju patronów, był czeskiego pochodzenia. Granice ówczesnej Polski dochodziły do ziemi czeskiej, a zarówno Czesi i Polacy mieli wspólnego wroga w Niemcach, czyhających na cudzą własność i nienasyconych w chciwości. To też bratnie narody trzymały się razem i pomimo że i wśród nich bywały niekiedy zatargi i swary, zacieśniał się węzeł bratniej miłości z każdym niemal wiekiem, zwłaszcza od chwili, gdy Mieczysław I pojął za żonę Dąbrówkę, córkę Bolesława, księcia czeskiego, której Polska zawdzięcza swoje nawrócenie.

W drugiej połowie dziewiątego stulecia rozciągało się hrabstwo libickie w zachodnio-północnej stronie Czech aż do samych granic ówczesnej Polski, i dochodziło do Kłodzka, (dzisiejszego miasta ślązkiego Glatz). Lubicz był stolicą hrabstwa libickiego, a leżał tam, gdzie rzeka Cydlina wpada do Łaby. Dziś jeszcze koło Podiebradu znajduje się czeskie miasteczko Libice. W owych czasach była tamtejsza okolica zalana wodą, a na wyspie wśród jeziora mieli Sławnikowie swój zamek hrabiowski, otoczony wałami czyli nasypami ziemnemi. Tego rodzaju zamki ogrodzone lub wałami obsypane nazywano grodami. Po niejakim czasie przeniosła hrabiowska rodzina Sławników mieszkanie swoje z grodu na małej wysepce na większą wyspę, gdzie w miejsce małego zameczka dawniejszego stanął właściwy dwór na tak zwanem przedgrodziu. I w tym to dworze na obszerniejszym przedgrodziu urodził się św. Wojciech.

Z wiekami zmienia się bardzo wiele. Z tego hrabiowskiego zamku Sławników pozostało tylko grodzisko, czyli ślady wałów i gruzów.

Panem na Kłocku około roku 890 był Sławnik herbu Poraj. Za żonę miał ten hrabia libicki siostrę króla rzymskiego i cesarza niemieckiego Henryka I.

Panowie czescy poważali bardzo syna hrabiego na Kłodzku, a lud, ubodzy, kalecy i nędzarze sercem się doń przywiązali. O nim świadek z dziesiątego stulecia pisze: „W owych stronach ziemi czeskiej, gdzie wiara chrześcijańska najpiękniej kwitła, był mąż imieniem Sławnik, znakomity wysoką czcią i wielkiemi bogactwy, odznaczający się rzadką miłością sprawiedliwości i uczynkami miłosiernemi. Pośród wszystkich mieszkańców tej ziemi poważany był jako przedniejszy, a lubo opływał w złoto i srebro, przestrzegał pilnie prawa Bożego wśród rozkoszy tego świata i postępował ściśle ścieżką przez kapłanów wytkniętą. Miły był tem całemu ludowi, lecz milszy jeszcze ubogim, jako wielki jałmużnik. Podobne pochwały znajdujemy w innych kronikach o tym hrabiu libickim, a nasz Długosz dodaje, iż to imię Sławnik w tłomaczeniu pospolitem oznacza Chwalcę.

Królem czeskim był natenczas święty Wacław, syn Władysława I i Drahomiry. Ponieważ Drahomira była zagorzałą poganką, zajęła się babka Wacława, święta Ludmiła, wychowaniem swego wnuka, i kazała go potajemnie ochrzcić. Jako najstarszy syn był Wacław ulubieńcem Wrocisława, i jemu dostała się też korona czeska po śmierci ojca 926 roku, kiedy dopiero ośmnasty rok życia rozpoczął. Najpierwszą czynnością było młodego króla, iż do boku swego powołał hrabiego libickiego Sławnika, by go radą, doświadczeniem i wypróbowanemi cno-

tami swemi wspierał. Na to patrzała Drahomira zazdrosnem okiem, pragnąc sama zagarnąć rządy w ręce swoje. W tym celu kazała siepaczom zgładzić potajemnie ze świata świętą Ludmiłę, co ci też 15 września 927 roku przez zaduszenie modlącej się wykonali.

Hrabia libicki Sławnik pojął za żonę jednę z czterech córek Wratysława.

Według Długosza było tej siostrze świętego Wacława i Bolesława I na imię Strzeżysława, co znaczy „Straż sławy i uczciwości.“ Wszyscy zaś kronikarze wysławiają jednomyślnie wielkie, a liczne cnoty tej księżniczki czeskiej, mianowicie zaś jej miłosierdzie dla wdów, sierot, ubogich i chorych, którym prawdziwą była matką i opiekunką. Z tą cnotą czynnego miłosierdzia szła w parze serdeczna pokora. Przestrzegając sumiennie zwyczajów i przepisów dworskich, ubierała się wprawdzie wedle stanu i godności swej hrabiowskiej, lecz nieprzywiązywała serca swego do tego blasku zewnętrznego.

Pobożne to stadło małżeńskie ubłogosławił Pan Bóg siedmiorgiem synów, z których Poraj zasłynął w Polsce, stawszy się niejako patrjarchą i założycielem domu Poraitów. Z tego przesławnego domu Poraj, wyszedł nieprzejrzany zastęp znakomitych prymasów, biskupów, hetmanów, marszałków, wojewodów, starostów, słowem najwyższych dostojników duchownych i świeckich, jako też najsławniejszych pisarzów i poetów polskich.

O tym Poraju powiadają niektórzy kronikarze, iż około roku 965 przybył do Gniezna na dwór króla polskiego Mieczysław I w orszaku panów czeskich, jaki towarzyszył ciotce jego Dąbrówce do Polski. Imiona dalszych synów Sławnika i Strzeżysławy były: Sobiebór, Spicymir, Dobrosław, Gaudenty, po czesku Ridim po polsku Radzym i Czesław. Siódmy syn urodził się około roku 965.

Zdaje się to być wrodzone wszystkim rodzicom, że najmłodsze dziecko najbardziej kochają. Patrjarcha Jakób szczególniejszą był przejęty miłością dla najmłodszego syna swego Benjamina. Sławnikowie na Libiczu szczególnie też miłowali nowonarodzonego siódmego syna Wojciecha. Był dziwnie piękny silny i czerstwy. Zachwycony ojciec dziarskością i urodą tego ostatniego syna postanowił go wykierować na sławnego wojaka, co też niezawodnie było powodem, że na chrzcie świętym kazał mu dać imię Wojciecha, co znaczy „Wojska pociecha“.

Rzadka piękność Wojciecha z wiekiem zwrastała. Podziwiano i uwielbiano młodego Wojciecha, a Sławnik układał plany, aby go zrobić w świecie wysokim dostojnikiem. Majątek i ród jego też był przecie znakomity. Pobożna Strzeżysława nie wynosiła się wprawdzie z tego, iż rodzony brat jej Henryk I tron królewski zajmował aleć jako matka życzyła dobrze własnemu dziecięciu, i nie sprzeciwiała się mężowi w jego zamiarach.

Światowe zamysły popchnęły rodziców do światowego wychowania najmłodszego syna. Nieodmawiano mu żadnej przyjemności, pozwalano mu na wszelkiego rodzaju zabawy, a w pokarmach i napojach mógł podług upodobania używać wszystkiego, co mu smakowało.

Była to słabość, lecz ją zwyciężyli, polecając nieustannie Wojciecha opiece Boskiej, i prosząc o błogosławieństwo niebios dla niego. Wzywali również przyczyny Matki Bożej, aby Wojciechowi wyjednała u Boskiego Syna potrzebne łaski do spełnienia przeznaczenia swego na ziemi.

Nieroztropne wychowanie Wojciecha nabawiło go niebezpiecznej choroby, tak iż najbieglejsi lekarze zwątpili o jego wyzdrowieniu. Teraz dopiero otworzyły się oczy zrozpaczonym rodzicom. Poznali, co znaczą dumne zamysły i wyniosłe marzenia choćby najpotężniejszych ludzi. Przyszły wojownik i wysoki dostojnik królestwa czeskiego dogorywał na ich ręku.

Już ulatywało życie z tego prześlicznego dziecięcia, ale wiara w dobroć i wszechmocność Boga nie uleciała jeszcze z serca pobożnych rodziców. Strzeżysława niesie Wojciecha do kościoła i składa go na ołtarzu Bogarodzicy, a Sławnik postępuje za konającym synem w szczerej a głebokiej pokorze i skrusze. Tu w przybytku Pańskim wołają rodzice:

„Nie nam Panie, nie nam niech żyje ten chłopiec, lecz jako sługa ołtarza niechaj na cześć Bogarodzicy nosi twoje jarzmo“.

Wysłuchał Pan Bóg błagania stroskanych rodziców. Wojciech odzyskał zupełne zdrowie, ale równocześnie uleczeni zostali Sławnik i Strzeżysława od samolubnych marzeń swoich. Już nie myśleli odtąd o tem, aby najmłodszego syna swego wychować dla świata, lecz starali się, ażeby Wojciech za łaską Bożą sposobił się na żołnierza Chrystusowego, sługę Bożego.

Zaszła teraz zmiana na dworze hrabiego Sławnika. Chociaż tam wprawdzie i przed tem cudownem uzdrowieniem Wojciecha, nie było żadnych zdrożności i zgorszeń, atoli hrabiostwo libiccy poświęcali mniej już czasu na zabawy dworskie, mniej rządzili się względami ludzkiemi i świata i całą duszą wyrzekli się dumnych zamysłów swych co do Wojciecha.

Cudowne uzdrowienie na ołtarzu Bogarodzicy nie pozostało bez zbawiennego wpływu. Łaska Boża rozpoczęła swoje działanie. Pobożni rodzice pouczali syna stosownie do wieku i pojęcia jego, że Pan Bóg najbardziej brzydzi się pychą, wyniosłością, a miłuje skromność i pokorę.

Tłomaczyli mu, że Pan Bóg dopuścił na niego

ową chorobę, ażeby go uchronić przed oschłością serca i wyniosłością umysłu.

W sercu i umyśle Wojciecha nastąpiła przemiana. Już go nie zajmowały dziecinne zabawki. Chętniej, a uważniej słuchał opowiadań o Panu Jezusie, o Najświętszej Marji Pannie i o świętych Męczennikach. Mężowie uczeni, a wiarogodni, co osobiście znali świętego Wojciecha i jego żywot nam opisali, powiadają między innemi, iż jeszcze w domu rodzicielskim nauczył się na pamięć wszystkich Psalmów Dawida.

Do słynącego pobożnością i uprzejmością domu Sławnika przybywali raz po raz sąsiedni panowie polscy w gościnę.

W owych czasach mowa czeska i polska mało co od siebie się różniły, a zwyczaje i obyczaje tych dwóch narodów pobratymczych były również do siebie zbliżone. Przy tej sposobności poznał święty Wojciech już w młodych latach Polaków na dworze rodzicielskim, a poznał ich z najlepszej strony gdyż do domu tak znakomitego i cnotliwego wstępowały zacne tylko osoby.

Szkoła magdeburska.—Św. Wojciech oddany w opiekę św. Adalberta.

Pod okiem rodziców uczył się św. Wojciech w zamku libickim aż do piętnastego roku życia. Nauczycielem jego domowym miał być Radła, zwany także Anastazym i Astrykiem.

Poznali wszyscy pobożność głęboką młodego Wojciecha. Sławnik jednak, jako mąż roztropny, mniemał, że dla sług ołtarza sama pobożność nie wystarcza. Z gruntowną pobożnością łączyć się winna nauka. Z tego wychodząc, rozmyślał Sławnik, dokądby wysłać Wojciecha, ażeby należycie się wykształcił w naukach duchownych.

W dzisiejszej pruskiej Saksonji na lewem brzegu Łaby, lub Elby, leży wartowne miasto Magdeburg. Cesarz niemiecki Otton I postarał się o to, iż na soborze w Rawennie 968 roku Magdeburg stał się stolicą biskupią, a następnego już roku był Adalbert pierwszym arcybiskupem magdeburskim. Tam to nad pięknym brzegiem Łaby wznosi się kościół wspaniały, świętemu Maurycemu poświęcony, a przy nim sławna w owych czasach szkoła wyższa, do których żądna nauk młodzież z różnych krajów przybywała.

Sławnik do tej szkoły magdeburskiej postanowił oddać Wojciecha. Dla Strzeżysławy była to ciężka próba, jak dla każdej matki.

Ależ Strzeżysława była niewiastą roztropną i szczerze pobożną, dla tego nie sprzeciwiała się w tak ważnej sprawie mężowi, szanując w nim głowę rodziny i lepsze rozpoznanie jej potrzeb.

Do Magdeburga odwiózł Sławnik najmłodszego syna w roku 972. Tu polecił go szczególnej opiece arcybiskupa Adalberta, który go jakoby syna do piersi przycisnął i ojcem duchownym być mu przyrzekł. Adalbert był początkowo Benedyktem w Trewirze. Jako arcybiskup magdeburski odznaczał się niezmordowaną gorliwością w służbie Bożej i wielkiem miłosierdziem dla ubogich, chorych i jakiemibądź utrapieniami dotkniętych. Jaśniał on także gorącem nabożeństwem, ujmującą słodyczą i łagodnością dla bliźnich, a nieubłaganą surowością dla siebie.

Przy boku i pod okiem takiego nauczyciela pomnażał się młody Wojciech z latami w mądrości, w łasce u Boga i u ludzi. Patrząc codziennie na ten żywy przykład gorącej pobożności, zupełnego zaparcia i dobrowolnych umartwień, przejmował się za łaską Bożą zwolna podobnemi zasadami i próbował na tej samej postępować drodze. I sprawdziły się na nim słowa Pisma świętego: *„Z świętym święty będziesz, a z mężem niewinnym, niewinny będziesz“*.

Sławna szkoła magdeburska większego jeszcze rozgłosu nabrała w świecie uczonym przez filozofa Oteryka, Kronikarze ówcześni opisali z wielkiem uniesieniem gruntowną naukę tego zakonnika, rozległą jego wiedzę, benedyktyńską iście pilność i wytrwałość. Zachęcał wykładami swoich słuchaczów, którzy ze wszystkich krajów do Magdeburga napływali. Przy tych natężonych pracach znalazł Oteryk dość sił i czasu do napisania wielu dzieł uczonych.

Arcybiskup magdeburski Adalbert posyłał młodego Wojciecha na wykłady Oteryka, a młodzieniec przylgnął całem sercem do mistrza i robił wielkie postępy w naukach. Z pomiędzy długiego szeregu sławnych później mężów, którzy razem z świętym Wojciechem byli uczniami Oteryka, wymieniamy tu tylko Thietmara i Brunona, krórzy jako współcześni i świadkowie żywota świętego Patrona naszego wiele czynów i cnót jego w pismach swoich nam przechowali. Pierwszy wysoko bywa ceniony pomiędzy uczonymi jako znakomity kronikarz. Drugi Bruno, spowinowacony z domem cesarkim, był czas niejaki kapelanem Ottona III, któremu towarzyszył do Rzymu. Poznawszy na jego dworze św. Romualda, założyciela kamedułów, opuścił Bruno dwór cesarski i wstąpił do zakonu benedyktyńskiego, podobno u św. Aleksego w Rzymie, przyjąwszy imię Bonifacego. Gdy razu pewnego znajdował się w kaplicy królewskiej, wzniesionej na cześć św. Bonifacego Męczen., zawołał w uniesieniu świętem: „I ja Bonifacego mam imię, czemuż niemiałbym być męczennikiem i cierpieć dla Chrystusa?“ Odtąd wzdychał za apostolstwem między poganami. Papież Jan XVIII upoważnił go osobnem brewem do tej misji, a Bonifacy stał się apostołem słowiańskim u Prusaków.

Poganie ścięli go 19 czerwca 1908 roku, a Kościół zaliczył go do św. Męczenników.

Św. Bonifacy znał dokładnie życie i męczeństwo św. Wojciecha. Znał go ze szkół magdeburskich, gdzie z nim na jednej zasiadał ławie. Zasłyszał wiele szczegółów z jego życia w klasztorze św. Aleksego, gdzie przed nim św. Wojciech czas niejaki przebywał. Dowiedział sie o jego pracach apostolskich na Węgrzech, w Polsce i u Prusaków; boć sam chodził po ziemiach słowiańskich i ogłaszał Słowo Boże pogańskim Prusakom. Żarliwy ten apostoł słowiański nakreślił nam pięknem piórem swojem „żywot św. Wojciecha“ bardzo szczegółowo.

Święty Wojciech.

Prawdziwie rzec można. *święty* pisał o *świętym.*

Pod opiekuńczemi skrzydłami arcybiskupa magdeburskiego św. Adalberta postępował najmłodszy syn Sławnika ochoczo na drodze cnoty. Porywają-

cy znów wykład sławnego mistrza nauk Oteryka wywierał ogromny wpływ na żądnego wiedzy młodego Wojciecha. W krótkim stosunkowo czasie mówił biegle trzema językami: czeskim, niemieckim i łacińskim, podobnież w innych gałęziach naukowych znakomite robił postępy. Nie tylko spółuczniowie podziwiali jego bystrość w pojęciu, pamięć rzadką i pilność, ale sam Oteryk wychwalał publicznie Wojciecha i stawiał go za przykład kolegom. Przez dziewięcioletni pobyt w Magdeburgu przyswoił sobie św. Wojciech biegłość w gramatyce, retoryce, djalektyce, artymetyce, geometrji, astronomji: zgoła we wszystkich działach ówczesnej mądrości ludzkiej. Takie zdanie o zdolnościach wrodzonych i o pilności w naukach wypowiedzieli o Wojciechu współcześni pisarze Jan Kanaparz i Bruno.

Kiedy jego koledzy więcej światowi śpieszyli na publiczne igrzyska, na zabawy lub uczty wesołe, w tym samym czasie klęczał św. Wojciech w kościele przed Najśw. Sakramentem, lub nawiedzał groby św. Męczenników, błagając ich pokornie, aby mu wyjednali potrzebną łaskę i stałość w pokonywaniu wszelkich pokus, jakieby mu zagrażać mogły.

Nocną porą odwiedzał ubogich i chorych, którym nietylko obfitą dawał jałmużnę, lecz najniższe czynił im usługi. Doszło to do wiadomości św. Adalberta. Arcybiskup magdeburski uwiadomił o tem rodziców, a ci nie żałowali złota i srebra, ażeby synowi nie zbywało na środkach do zaspokojenia gorącej żądzy opiekowania się chorymi i ubogimi. Jest bowiem rzeczą niezaprzeczoną, iż czynne miłosierdzie i gorliwe a chętne opiekowanie się ubogimi, chorymi i nieszczęśliwymi należy do najpierwszych cnót wybrańców Boskich i jest najpewniejszym znakiem rzeczywistej ich świętości. Wypływa ona bowiem z tego morza najczystszej i najdoskonalszej miłości, jaką jest Bóg, a czysta intencja uświęca właśnie to czynne miłosierdzie.

Świętemu młodzieńcowi dał jego opiekun i ojciec duchowny nowy dowód szczególnej swej łaskawości. Udzielając mu Sakramentu Bierzmowania, nadał mu własne imię swoje.

Rok 981 stanowi nowy okres w życiu św. Wojciecha. Tego samego roku powołuje Otton II mistrza szkoły magdeburskiej Oteryka na dwór swój cesarski jako kapelana, tak więc św. Wojciech utracił w jednym roku w Magdeburgu wszystko, co go do tej miejscowości przywiązywało, i dla tego wrócił też tego samego jeszcze roku do Libicza, głowę zbogaciwszy pięknemi wiadomościami, serce uszlachetniwszy cnotami. Tak, że trafnie mówi o nim Skarga: „Dziewięć lat na nauce strawiwszy, stał się z niego uczony człowiek we wszystkich naukach, iż mało sobie równych towarzyszów w szkołach miał“.

Biskupstwo pragskie.

Sto lat minęło od tego czasu, jak św. Metody w roku 871 ochrzcił książęcia czeskiego Bożywoja, żonę jego Ludmiłę wraz z dziećmi i znaczną liczbę ludu czeskiego. Aż do roku 974 nie miały Czechy własnego biskupa. Biskupi niemieccy z Regensburga posyłali do Czech księży, i przez całe stulecie zarządzali biskupi regensburscy kościołem czeskim.

Wielki cesarz niemiecki Otton I naznaczył w r. 973 zjazd książąt i dostojników tak duchownych jak świeckich do Kwedlinburga na dzień 23 marca. Na ten zjazd przywiózł on ze sobą siedemnastoletniego syna swego Ottona II, uwieńczonego sześć lat temu w Rzymie cesarską koroną, jakoby rychłą śmierć przeczuwał. Przybyli do Kwedlinburga także nasz Mieczysław I i książe czeski Bolesław II Pobożny, brat naszej Dąbrówki, a syn mordercy Wacława, Bolesława I Okrutnego.

Wielorakie sprawy toczyły się na tym zjeździe kwedlinburskim, a między innemi poruszono także stosunki Kościoła św. w Czechach i w Polsce. Kroniki nasze wraz z Długoszem wspominają o tem, iż Dąbrówka w ósmym roku pożycia swego z Mieczysławem I skłoniła męża do starania się o utworzenie biskupstwa czeskiego. Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyż Polska choć przeszło dziewięćdziesiąt lat później przyjęła chrzest św., już miała własnego biskupa Jordana w Poznaniu. Dobrówka, czeszka z rodu pragnęła jaknajrychlej ujrzeć także w rodzinnym kraju własnego biskupa.

Na tym to zjeździe kwedliburskim był także obecny biskup regensburski Wolffang, który zarządzał kościołem czeskim. Obydwaj Ottonowie ojciec i syn, prosili Wolffanga, ażeby praw swoich duchownych do Czech ustąpił na rzecz oddzielnego biskupa, na co ten się zgodził. Za przyzwoleniem Stolicy apostolskiej urządzono tedy biskupstwo pragskie, a pierwszym biskupem tej nowej djecezji czeskiej został Dytmar, pobożny zakonnik saski, obeznany nieco z mową słowiańską.

Do nowo urządzonego biskupstwa pragskiego oprócz ziem czeskich przyłączono jeszcze znaczny kawał ówczesnej Polski, mianowicie: Kraków z ziemiami swemi. To przyłączenie części ziem polskich do biskupstwa pragskiego stało się nie bez przyzwolenia naszego Mieczysława, i nie bez wpływu Dąbrówki.

Wróciwszy św. Wojciech 981 r. z Niemiec do kraju rodzinnego, zastał tam martwe już tylko zwłoki ojca swego Sławnika, który przedtem krótko był umarł. Stosunki kościelne również były zmienione. Kościół św. Wita na Hradczynie, zamieniony był teraz na katedralny, a w nim widział wspaniały tron biskupi. Na utrzymanie biskupa, kapituły, ja-

ko też innego duchowieństwa katedralnego poczyniono zapisy różnych dóbr i włości.

Krótko zabawił w Libiczu po powrocie z Niemiec; niebawem udał się do Pragi Tu przedstawił się biskupowi Dytmarowi i prosił o przyjęcie do liczby kleryków Pragskiej djecezji. Doświadczony znawca ludzi nie potrzebował długiego czasu, by zajrzeć do głębi serca Wojciecha, a mąż ten rozległej nauki i zakonnej ostrości poznał od razu, iż młodzieniec ten nie spędził wiosny życia swego na lekkomyślności. Niezwłocznie pomieścił go Dytmar między tymi, którzy pod jego okiem sposobili się do stanu duchownego.

Świeckie nauki w szkołach magdeburskich nabyte posłużyły teraz św. Wojciechowi w Pradze za szczeble, po których z szybkością postępował. W krótkim stosunkowo czasie prześcignął innych kleryków, którzy dawno przed nim tych samych nauk słuchali, i wielorakiemi cnotami wprawiał w zdumienie kolegów i nauczycieli. Nasz Długosz opisał to słowami: „Potem pod najpobożniejszym pragskim biskupem nazwanym Dytmarem, był w podziwieniu u wszystkich swoją świątobliwością, uczciwością obyczajów, powszechnem poważaniem i sławą“.

Biskup Dytmar dziękował często Bogu, że mu takiego szermierza przysłał do nowo założonej djecezji pragskiej. Nie czekał też długo, by go zaciągnąć pod sztandar żołnierki Chrystusowej. Nim rok upłynął, udzielił mu wszystkich święceń dla sług ołtarza potrzebnych, jakoby przeczuwał zbliżający się kres własnego życia. Opatrzność zaś Boska przysposobiła dla biskupstwa pragskiego w Wojciechu godnego następcę Dytmara.

Krótko po wyświęceniu Wojciecha na kapłana zapadł Dytmar na zdrowiu. Choroba wzmagała się szybko i stała się niebezpieczną, tak iż sam zwątpił o powstaniu z łoża boleści, i na śmierć się gotował. Całe życie jego było wprawdzie sposobieniem się na godzinę śmierci i umieraniem dla tego świata. W tym celu zamknął się w celi klasztornej, a opuścił ją na rozkaz przełożonych, by tem więcej ćwiczyć się w zaparciu samego siebie, w uciskach, kłopotach i pracach około dusz pasterstwa na stolicy biskupiej. Gdy jednakże śmierć w oczy zaglądała, niewymowna zdejmowała go trwoga.

Umierającego Dytmara na krok nie odstępował św. Wojciech, czcząc w nim drugiego ojca duchownego po śmierci arcybiskupa magdeburskiego Adalberta. Śmierć Dytmara nastąpiła w r. 983.

Św. Wojciech obrany biskupem pragskim.

Trwoga umierającego biskupa pragskiego poruszyła do głębi św. Wojciecha, i wywarła ogromny wpływ na czułe a bogobojne serce jego. Delikatne sumienie nie wyrzucało mu wprawdzie żadnych zbrodni, ni zboczeń, lecz trwoga konającego Dytmara stawiała przed pobożną wyobraźnią jego ważność obowiązku pasterskiego. Głos umierającego biskupa zdawał mu się być głosem Boga, wołającego doń: *A kto sprawiedliwy jest, niech jeszcze będzie usprawiedliwion; a święty, niech jeszcze będzie poświęcon*“. Wszakże znał świątobliwe życie, nieznużoną gorliwość i wielorakie cnoty tego biskupa: a oto stawając przed Sędzią sprawiedliwym, biadał nad tem, iż w ubiegłem życiu swojem różnił się od tego jakim pragnąłby być teraz.

Zdjęty świętą bojaźnią o zbawienie własnej duszy, wdział młody kapłan Wojciech tejże jeszcze nocy włosiennicę i wór pokutny; posypał swą głowę popiołem, a obchodząc kościoły w Pradze, czynił ostrą pokutę. Na tej nocnej pielgrzymce postanowił zupełnie i na zawsze zerwać z tym światem złudnym, a żyć jedynie dla Boga. W tej myśli rozdawał hojne jałmużny ubogim, siebie zaś i zbawienie swej duszy polecił Bogu.

Jakim zaś biskupem był Dytmar, o tem najwymowniejsze zdał świadectwo lud pragski, który nie mógł się utulić w płaczu i żałości po stracie tak dobrego pasterza. To też w osieroceniu swoim nalegał na pobożnego kięcia Bolesława II, by się czemprędzej postarał o godnego Dytmara następcę.

Zaraz po złożeniu do grobu zwłok biskupa Dytmara zebrało się według ówczesnego zwyczaju duchowieństwo i lud z księciem Bolesławem II Pobożnym w bliskości Pragi na naradę, kogoby obrać na osieroconą stolicę biskupią. Jakoby z natchnienia ducha św. wołali wszyscy jednomyślnie:

„A kogożby innego, jak tylko ziomka naszego Wojciecha, którego czyny, życie i szlachetność urodzenia, dostatki, nauki i świątobliwość, godne są tego zaszczytu. On to najlepiej wie, jaką drogą postępować należy; on też mądrze poprowadzi pasterstwo dusz naszych“.

Nazajutrz po obiorze biskupem św. Wojciecha cała Praga radowała się, że męża tak dostojnego, uczonego i świętobliwego będzie miało swoim najwyższym pasterzem. Tylko św. Wojciech nie dzielił tych uczuć. Przed bujną jego wyobraźnią w groźniejszej jeszcze postaci stawał konający Dytmar, a ostatnie jego słowa brzmiały ustawicznie w drażliwem sumieniu, jakoby głos trąby archanielskiej. Już rozmyślał o ucieczce i ukryciu się w jakiej pustyni niedostępnej, kiedy książe Bolesław II z duchowieństwem i ludem czeskim witają go jako przyszłego biskupa swego i składają mu najserdeczniejsze życzenia swoje. Nie pomogły żadne wymówki, tak iż w końcu uznał w obiorze swoim na biskupa pragskiego głos Boży i wyraźną wolę Najwyższego, której nie godziło się nadal opierać. Byłoby to bowiem fałszywą pokorą.

Cesarz niemiecki potwierdzał w owe czasy nowoobranych biskupów. Biskupi byli podług ówczesnego prawa niemieckiego zarazem posiadaczami dóbr. Uważając tedy cesarze niemieccy biskupów za swoich lenników, przy zatwierdzeniu nowoobranych biskupów dawali im inwestyturę, jak innym panom lennym. Do tej inwestytury używali pastorału i pierścienia, jako symbolicznych znaków ich godności. I nie było w tym obrzędzie żadnego niebezpieczeństwa dla niego i jego sług, dopóki cesarze rzymsko-niemieccy przejęci byli duchem Konstantyna Wielkiego, dopóki ten sam cel mieli przed sobą: większą chwałę Boga, a zbawienny pożytek ludzi.

Cesarzem był natenczas Otton II. Do niego wyprawił książe czeski Bolesław II 19 lutego 983 roku poselstwo, które miało prosić o zatwierdzenie na urzędzie nowego biskupa pragskiego. Św. Wojciecha zniewolono do towarzyszenia temu poselstwu. Wszyscy bowiem nalegali na niego, ażeby nie przedłużał czasu ich sieroctwa, ale by za jedną drogą odebrał z rąk cesarskich godła biskupiej godności.

Otton II był w tym czasie zajęty wojną we Włoszech. Pojąwszy za żonę Teofanię. pasierbicę cesarza greckiego Nicefora Fokasa, dostał za nią jako wiano posiadłości greckie w dolnych Włoszech. Tymczasem nie chcieli Grecy posiadłości ustąpić, a pobici przez cesarza wezwali na pomoc Arabów, czyli Saracenów. Przyszło do zaciętej walki pod Besentello 983 roku, gdzie Otton II na głowę został pobity i życie swoje tem tylko ocalił, że skoczył do morza i płynąc pogoni saraceńskiej szczęśliwie uszedł.

Następnie odpoczywał cesarz w Weronie, gdzie się do krwawego odwetu sposobił. Tu zastało go poselstwo czeskie. Otton II przyjął takowe bardzo łaskawie, a obiór św. Wojciecha na biskupa pragskiego potwierdził tem chętniej, że babka jego była siostrą cesarza Henryka I. Więc obok tylu cnót i przymiotów szlachetnych, zalecało go jeszcze pokrewieństwo z domem cesarskim. W tejże Weronie odbyła się inwestytura św. Wojciecha, co znaczy, że cesarz wręczył mu laskę pasterską i pierścień biskupi.

Bóg tak zrządził, że arcybiskup moguncki przebywał w tym samym czasie w Weronie, kiedy poselstwa czeskie stanęły przed cesarzem, wyświęcił w przytomności cesarza, Wojciecha na biskupa w uroczystość św. Apostołów Piotra i Pawła 29 czerwca 983 roku, uznając go równocześnie swoim sufraganem.

Posłowie czescy Weronę po wyświęceniu Wojciecha na biskupa pragskiego niebawem opuścili. Spieszyli do kraju, by jaknajrychlej ziomkowie na opuźnionej stolicy biskupiej mieli pasterza. Więc przysposobiono konie do podróży; bo konno odprawiano w owych czasach najdalsze wycieczki.

Konie posłów książęcych odznaczały się bogatym rzędem, lśniącym się od złota, srebra i drogich kamieni. Pomiędzy niemi wyróżniał się tylko koń na którym siedział św. Wojciech. Nie widziano tam przyborów kosztownych, miejsce uzdy zastępował zwyczajny powróz konopny, jakiego wieśniacy używają do konnej jazdy. I tym kierował biskup pragski Wojciech swego konia, siedząc na nim w głębokiej pokorze; a rozmyślając ostatnie słowa umierającego Dytmara, lękał się straszliwej odpowiedzialności, jaką wziął na siebie z godnością biskupią.

Przyjechawszy św. Wojciech pod miasto Pragę, zsiadł z konia, zdjął z nóg obuwie, a idąc boso, modlił się nieustannie z największą skruchą. Do takiej pokory pobudzały go śmiertelne szczątki św. Wacława, które spoczywały w katedrze pragskiej. Wszyscy mieszkańcy Pragi z księciem Bolesławem II Pobożnym na czele i duchowieństwem wyszli na miasto na przyjęcie nowego biskupa. Nie było końca objawom radości i wielkiego uniesienia z jakiem witano pomazańca Pańskiego i pasterza osieroconej djecezji. W pochodzie tryumfalnym prowadzono go na Hradczyn do katedry św. Wita. Św. Wojciech szedł jakby na Golgotę, myśląc jedynie o cierpieniach i krzyżu Chrystusowym.

Św. Wojciech jako pasterz wzorowy.

Skończyła się uroczystość wprowadzenia nowego biskupa na osieroconą stolicę. Skończyły się zewnętrzne objawy szczerej radości. Ucichły wesołe okrzyki. Ale w całem usposobieniu św. Wojciecha zaszła również zupełna zmiana. Nowy pasterz stał się także nowym człowiekiem. On, co przy głębokiej pokorze i serdecznej pobożności jaśniał zawsze żywym charakterem i ujmującą wesołością; dziwnie jakoś teraz spoważniał.

Nikt nie dostrzegł odtąd uśmiechu na twarzy; nikt nie usłyszał z ust jego słowa żartobliwego chociaż na ogół był zawsze pogodnego usposobienia. Przy danej sposobności zapytał się go jeden z zaufanych:

„Czcigodny pasterzu, co może być powodem tej dla nas niepojętej odmiany w twojem usposobieniu?“ Na to odpowiedział św. Wojciech:

„Bardzo to rzecz łatwa i przyjemna nosiś infułę na głowie i podpierać się pastorałem: ale straszliwa, pomyśleć o tem, iż będzie trzeba zdawać rachunek Najwyższemu Sędziemu za każdą owieczkę całej djecezji“.

Pierwszą czynnością nowej jego godności było, iż biskupie swoje dochody na cztery części podzielił. Pierwszą część przeznaczył na przyozdobienie swej katedry, jako też na budowę nowych kościołów, lub też na ozdoby i naprawy już wystawionych. Druga

część szła na przyzwoite utrzymanie kanoników i reszty duchowieństwa katedralnego. Trzecią część obracał na wspieranie ubogich i miłosierne uczynki. Czwartą część zatrzymał niby to na własne potrzeby; lecz te wydatki na jego osobę były tak nieznaczne, że i z tej czwartej części nieomal wszystko dostawało się ubogim.

Już w Libiczu zaprawiał się św. Wojciech do cnoty miłosierdzia, mając szczytny przykład w pobożnych rodzicach. Z większą samodzielnością ćwiczył się w tej praktyce chrześcijańskiej podczas pięcioletniego pobytu swego w szkołach magdeburskich pod przewodnictwem św. Adalberta.

Korzystał też św. Wojciech z każdej podanej sobie sposobności, by własną ręką zapracował sobie w pocie czoła na kawałek chleba. Nie poprzestając na tem, iż bez wytchnienia pracował, czy w konfesjonale, czy przy ołtarzu, czy na ambonie, czy na wizytacjach pasterskich i przy szafowaniu Sakramentów św.: podczas siewów sam rzucał ziarno na role dóbr swoich biskupich. Przytem wynurzał serdeczną radość, iż własnemi rękoma na chleb pracuje.

Od czasu ujęcia laski pasterskiej w swe ręce były oczy, serce, umysł św. Wojciecha w jedną zwrócone stronę. Tym jedynym przedmiotem jego rozmyślań, uczuć i pragnień był Bóg. A ponieważ we wszystkich dziełach Boga uwielbiał największy ład i porządek: więc pierwszą też była u niego czynnością na biskupiej stolicy, iż zaprowadził stały porządek w katedrze, w pałacu i w codziennnem życiu swojem.

Przed wyjściem ze mszą św. przyjmował naglące sprawy urzędu biskupiego, miewał nauki do ludu w katedrze, lub odmawiał Psalmy Dawidowe. jeżeli nie było innych jakich posług duchownych. Podczas ofiary niekrwawej wyłącznie był zajęty tą przenajświętszą tajemnicą, i żadne słowo nie wyszło z ust jego do kogobądź z ludzi. Dopóki jaka czynność była w kościele, nie opuszczał domu Bożego, ażeby wszyscy mieli możność zaspokojenia swoich potrzeb duchownych. Nigdy zaś nie opuszczał sposobności opowiadania ludowi Słowa Bożego, w czem niezmordowaną zawsze odznaczał się gorliwością.

Wróciwszy do domu, załatwiał sprawy bieżące, zatrudniał się pracą ręczną, albo oddawał się czytaniu świętemu. Głównie zaś tego przestrzegał, ażeby ani jedna chwila nie przeszła bez pożytecznego zajęcia.

Do pałacu biskupiego miał zawsze wolny przystęp każdy bez różnicy stanu, a św. Wojciech słuchał z ujmującą słodyczą i cierpliwością przekładanych sobie próśb, lub udzielał rady, jakiej od niego żądano. Stałymi atoli gośćmi na jego pokojach byli ubodzy. Każdego dnia podejmował dwunastu ubogich przy swoim stole biskupim, którym osobiście usługiwał. Tym sposobem pragnął uczcić pamiątkę dwunastu Apostołów, którym Pan Jezus w wieczerniku nogi umywał. W uroczyste święta przybywała wielka ilość ubogich do jego domu, których hojną opatrywał jałmużną. Niektórzy powiadają, że bywało ich do pięćdziesięciu.

Chwile wolne od zwykłych zatrudnień obracał zwykle na wyszukiwanie chorych i nędznych, którzy kryli się przed światem z swoją niedolą i wstydzili się wyciągnąć rękę po jałmużnę. Najczęściej odbywał nocną porą te wycieczki swoje do chorych i ubogich, i to zwykle przebrany do niepoznania. Nie chciał bowiem biedaków wprowadzić w kłopot ukazaniem się biskupa, nadto odwiedzając w nocy, chciał się zasłonić przed czczemi pochwałami tego świata, aby nie wiedziała o tem lewica, co czyni prawica.

Szczególniejszą troskliwością pasterską otaczał więźniów. Często odwiedzał ich w podziemnych lochach, gdzie za swoje przestępstwa doczesną karę odsiadywali. Pierwszem staraniem św. Wojciecha było, ażeby ulżyć ich niedoli i znośniejszy los im zgotować. Potem dopiero wpływał na ich serca, i jednał ich z Bogiem. Liczba tych nieszczęśliwych była na ten czas ogromna, albowiem, ziarno ewangeliczne nie tak dawno zasiane zostało na roli serc czeskich i mnóstwo Czechów pogrążonych jeszcze było w ciemnościach pogańskich.

O ile zaś światło ewangeliczne nie rozproszyło wszystkich przesądów pogańskich, o tyle brały najdziksze namiętności i najohydniejsze zbrodnie górę. Nad opłakanym stanem takich ludzi ubolewał dobry pasterz i pracował nad ich nawróceniem do Boga i cnoty. Wielu też z nich oddał społeczeństwu jako zupełnie uleczonych; rozpaczających pocieszał i przyprowadzał do szczerej pokuty, zatwardziałych kruszył i przywodził do wyznania winy, wyjednywając ułaskawienie.

Wielkie było miłosierdzie św. Wojciecha dla cierpiącej ludzkości. Wielka była jego pobłażliwość dla błądzących i wielka wyrozumiałość dla podlegających różnym słabościom. Natomiast nieubłaganym był sędzią względem siebie samego, a surowość jego dochodziła do rzeczywistego bohaterstwa. Ciało swoje trapił postami, i rzadko kiedy jadał w innym czasie, jak tylko wieczór, wyjąwszy jaką uroczystość, gdzie obsługując przy stole liczniejszych ubogich, częściej także sam się posilał.

W sypialni jego stało wprawdzie łoże jednak nigdy na nim nie spał. W dzień widziały oczy ludzkie łoże odpowiadające godności biskupiej; w nocy atoli spoczywał na nim brat jego Gaudencjusz czyli Radzym, lub pewien ślepy od urodzenia, albo też ktokolwiek inny z domowników. Sam św. Wojciech używał bardzo krótkiego snu na gołej ziemi, podesławszy sobie włosiennicę; kładł też pod głowę ka-

mień. Północ nie widziała go nigdy śpiącego. Zrywał się szybko do modlitwy nocnej z twardego posłania zatapiając się w pobożnych rozmyślaniach, które nazywał chlebem swoim powszednim. Modlił się za siebie, za swoje owieczki, a najbardziej za zbłąkane.

Unikał niepotrzebnych pogawędek z ludźmi, aby tem więcej mieć czasu do rozmawiania z Bogiem. Od komplety z ust jego żadne słowo nie wyszło, aż dopiero po skończonej prymie, jeżeli tego okazała się potrzeba.

Objawienie.—Św. Wojciech zamienia pastorał na laskę pielgrzymią.

Pięć lat z górą pracował św. Wojciech w djecezji pragskiej z niezmordowaną gorliwością i z niesłychanem wytężeniem.

Praga w rzeczy samej mogła nazywać się szczęśliwą, że takiego miała biskupa, a po ludzku sądząc, powinnyby owieczki pod laską takiego pasterza odznaczać się pobożnością.

Nie zawsze atoli cieszy się dobry pasterz przeważnie dobremi owieczkami.

Pan Jezus mówił o sobie: „*Jam jest pasterz dobry.*“ A ileż owiec słuchało głosu Jego? Ile poszło za nim? Ile znało głos Jego?

Na początku 989 roku zrobił św. Wojciech niejako szczegółowy obrachunek szafarstwa swojego w djecezji pragskiej. Był to szósty rok jego rządów biskupich. Badał więc własne sumienie swoje, co też przez te pięć lat zdziałał. I jakże wypadł ten obrachunek? Oto bardzo przerażający dla tak gorliwego i świętego pracownika w winnicy Pańskiej. Przeważająca niemal część Czechów nie słuchała swego pasterza i postępowała drogami nieprawości. Wielu z nich miało po kilka żon i pozostawało uporczywie w wielożeństwie Znalazło się również nie mało takich ochrzczonych Czechów, którzy sługi swoje sprzedawali żydom, a ci znowu prowadzili tymi sługami chrześcijańskimi najsromotniejszy handel, jak bywało za czasów pogańskich. Jedni nie okazywali żadnego poszanowania dla obrzędów religijnych, ani dla uroczystości kościelnych; drudzy obchodzili dni świąteczne nabożeństwem, pełnem pogańskich zabobonów; inni znowu lekceważyli sobie posty przez Kościół nakazane.

Smutny ten stan obyczajów wielu djecezjan pragskich przeraził św. Wojciecha, i wywołał w nim nieomal te same uczucia, jakiemi przepełnione było serce umierającego poprzednika jego Dytmara. Sumienie jego dawało mu wprawdzie świadectwo, iż przez te pięć lat zarządu biskupstwem pragskim żadnych nie zaniedbywał środków, ażeby zbłąkane owieczki odszukać i przywieść do powierzonej sobie owczarni.

Wszystkie swoje uczynki miłosierne, nocne czuwania i modlitwy, dobrowolne umartwienia, a głównie wszystkie Msze św. ofiarował za owieczki swoje; czynił wszystko, co mógł, by ratować dusze śpieszące na wieczną zgubę.

Mimo takiego przeświadczenia zalegał z każdym dniem coraz to większy smutek na obliczu świętego, a do serca jego cisnęła się jakaś niewymowna trwoga. Spoglądając z Hradczyna na miasto piękne, jaśniejące w promieniach słońca, przez które płynęła rzeka Mołdawa, płakał nad zaślepieniem i zatwardziałością rodaków i owieczek swoich.

Do tych wielorakich zbrodni i występków, jakie panowały w jego djecezji, przyłączyły się jeszcze zatargi rodowe i kłótnie familijne. Możnowładczy ród Wrszowców zazdrosnem patrzał okiem, iż najmłodszy potomek z domu Sławników wyniesiony został do najwyższej godności kościelnej w Czechach. Zrazu ukrywali Wrszowscy starannie tę zazdrość, lecz knuli spiski przeciwko braciom św. Wojciecha. Skoro zaś tylko poznali, iż namiętności coraz bardziej się podnoszą w narodzie czeskim, a żywioł pogański górę brać zaczyna, wtenczas wystąpili jawnie z rodową nienawiścią swoją przeciwko św. biskupowi. Podburzali lud najohydniejszemi potwarzami i wypowiedzieli otwartą wojnę swojemu pasterzowi.

Ostatni ten wypadek uważał św. Wojciech za wskazówkę z nieba, ażeby poszedł za radą Zbawiciela: „*Ktobykolwiek was nie przyjął, ani słuchał mów waszych; wychodząc precz z domu albo z miasta otrząśnijcie proch z nóg waszych*“. W szczerej pokorze czuł się niegodnym tak wysokiego urzędu w Kościele Chrystusowym i za słabym, ażeby tylu i tak groźnych pokonał nieprzyjaciół. Postanowił ustąpić ze stolicy biskupstwa pragskiego, aby godniejszy zajął to miejsce. Nie ufając atoli własnemu rozumowi, postanowił sprawę tę osobiście przedłożyć Ojcu św. Nie chciał bowiem kroku takiej doniosłości na własną brać odpowiedzialność, zwłaszcza iż na tę godność biskupią nie wdzierał się żadnemi drogami krętemi, ani podstępem, ani pychą. Stolica apostolska miała przeto rozsądzić, czy natchnienie jego pochodzi od Ducha św., czy też jest mamidłem ducha ciemności.

Takiemi zajęty myślami usnął św. Wojciech na swej włosiennicy wśród gorącej modlitwy. Nagle stanęła nad nim postać nadziemskiej świetności i majestatycznej powagi, która budząc go ze snu, rozkazała mu wstać. Przelękniony Wojciech potężnym rozkazem, zrywa się ze snu i woła:

„Któż ty jesteś z taką rozkazującą powagą i dla czego zmuszasz mię sen przerwać?“ Na to odbiera taką odpowiedź:

„Jam jest Jezus Chrystus, który niegdyś byłem sprzedany żydom, a oto teraz znowu jestem im sprzedany, a ty śpisz jeszcze!“

Senne to widzenie wzruszyło do głębi św. biskupa. Resztę nocy przepędził na rozmyślaniu nad tem objawieniem i na modlitwie wśród łez obfitych! Z pierwszym blaskiem udał się do proboszcza kapituły pragskiej. Był nim serdeczny przyjaciel jego Wilikon, kapłan świątobliwy. Opowiedział mu św. Wojciech widzenie i powtórzył słowa, jakie słyszał z ust Pana Jezusa. Cnotliwy prałat kapituły pragskiej wyłożył biskupowi swemu znaczenie tych słów w ten sposób:

„Gdy chrześcijanie sprzedawani bywają żydom, wtedy sam Chrystus cierpi to sprzedanie, jako w członkach duchownych swojego ciała tajemniczego“. Dobry pasterz uznał słuszność tego wytłumaczenia słów Boskiego Mistrza swego, a równocześnie nabrał przekonania iż dłużej nie wypada mu pozostawać przy takiej owczarni, gdzie owce nie słuchają głosu swego pasterza. Po dojrzałej przeto naradzie z Wilikonem stanęło na tem, iż św. Wojciech miał laskę pasterską zamienić na kij pątniczy, i wybrać się z pielgrzymką do Rzymu.

Gdy głuche wieści krążyć zaczęły po Pradze, że św Wojciech zamierza opuścić stolicę biskupią, wszyscy ludzie dobrej woli błagali dobrego pasterza, aby nie opuszczał swej owczarni. Mąż Boży ubolewał nad chwilowem sieroctwem owieczek swoich, które słuchały jego głosu: lecz oświadczył im stanowczo, iż postanowienia swego cofnąć nie może. Pocieszał ich zapewnieniem, że wróci na swe biskupstwo, jeżeli Stolica święta tak rozporządzi.

W tym samym czasie przybywa do Pragi Strachykwas, syn księcia czeskiego Bolesława I Okrutnego, a rodzony brat panującego księcia Bolesława II Pobożnego. Wstąpił on do zakonu benedyktyńskiego świętego Emmerama w Regensburgu. gdzie wielkiemi zasłynął cnotami, a teraz szedł do Rzymu w sprawie opactwa ratyzbońskiego. Jako pokorny zakonnik odwiedził miejscowego biskupa, by mu złożyć swoje uszanowanie i poprosić o błogosławieństwo na dalszą podróż.

Św. Wojciech widział w tem zdarzeniu nową dla siebie wskazówkę, ażeby czemprędzej opuszczał Pragę. Opowiedziawszy gościowi smutny stan swego biskupstwa i nocne widzenie swoje, odzywa się do niego:

„Bóg zesłał tu ciebie do mojej owczarni, abyś mnie niegodnego zastąpił w urzędzie biskupim. Ja sam wybieram się do Rzymu z mocnem postanowieniem, żeby już więcej nie wracać do ludu tak zepsutego. Ty jesteś bratem panującego książęcia; lud ten będzie więcej ciebie słuchał, niźli mnie. Nadto twoja nauka i świątobliwość stanu czynią cię godnym biskupstwa, a ustępuję ci go chętnie.

Wyrzekłszy te słowa św. Wojciech, zdejmował już pierścień biskupi z palca, by go wraz z pastorałem podać Strachykwasowi. Pokorny jednakże zakonnik odmówił stanowczo przyjęcia ofiarowanej sobie godności biskupiej. Z całą prostotą poczciwego serca odpowiedział św. biskupowi:

„Ani godzien jestem, ani też zdolny do tego, ażebym przyjął na słabe barki moje godność biskupią. Jako zakonnik umarłem światu.

Odmowna odpowiedź brata książęcego nie zachwiała św. Wojciecha w silnem postanowieniu. Zarząd djecezji pragskiej zdał tymczasowo na prałata Wilikona, sam zaś wybrał się bez straty czasu w daleką podróż do Rzymu. Za jedynych towarzyszów wziął ze sobą brata Gaudencjusza czyli Radzyma i kilku sług najwierniejszych.

Do Rzymu przybył św. Wojciech szczęśliwie na początku 990 roku. Na stolicy apostolskiej zasiadł Jan XV. Uzyskawszy posłuchanie, przedstawił papieżowi smutny stan swojej djecezji i prosił o radę, jak sobie dalej ma postąpić. Ojciec św. odpowiedział:

„Synu! skoro owieczki twoje nie chcą słuchać twego głosu i postępować za tobą, radzę, żebyś się udał na spokojne ustronie do jakiego klasztoru“.

Rada Ojca św. zdała mu się być jakoby wyrokiem Boskim. Już się w sercu cieszył na ten święty pokój, jakiego zażywać będzie w gronie sług Bożych przy jakim klasztorze. Już naprzód kosztował rozkoszy bogobojnego życia cichych a pokornych zakonników. Już w myśli żegnał się z Pragą i zgiełkiem światowym, a tulił się do stóp krzyża w ciasnej celi klasztornej. Pragnąc atoli przysposobić się należycie do tego życia św., postanowił poprzednio odbyć pielgrzymkę do Ziemi św. i zrosić łzami serdecznej skruchy te miejsca, które P. Jezus uświęcił życiem, cudami i krwawą Męką swoją. W ręce tedy Ojca św. złożył władzę swoją biskupią i prosił o błogosławieństwo apostolskie na podróż do Palestyny.

Z posłuchania papieskiego wyszedł św. Wojciech jakoby drugi Symeon z świątyni jerozolimskiej po wyrzeczeniu owych słów: „*Teraz puszczasz sługę twego Panie w pokoju, według słowa twego*“. Stanął pełen radości przed bratem Radzymem i służbą czeską, którzy niecierpliwie go wyczekiwali i rzekł:

„Prośby moje wysłuchane, nadzieja moja spełniona. Ty bracie drogi, zostaniesz przy mnie, i towarzyszyć mi będziesz do miejsc świętych; wy zaś, słudzy wierni, wracajcie do ziemi i domów swoich, i powiedzcie nieszczęśliwym rodakom, że dawny ich pasterz za radą i zezwoleniem najwyższego dusz Pasterza zamienił pastorał na laskę pielgrzymią, mitrę na kapelusz, a płaszcz biskupi na płaszcz pątniczy, dopóki i tego wszystkiego nie zamieni znowu na kaptur i habit zakonny.

Radzym wysłuchał spokojnie przemówienia braterskiego, uznając w tem wolę Bożą. Służba

atoli biskupa wybuchła głośnym płaczem i nie dała się utulić w bolesnej żałości. Podczas tej długiej pielgrzymki do stolicy chrześcijaństwa pocieszali się zawsze nadzieją, że Ojciec św. rozkaże ich biskupowi wrócić do swej owczarni. Tem większy był teraz ich smutek, kiedy św. Wojciech żegnając ich czule ostatniego udzielił im błogosławieństwa pasterskiego.

Wyprawiwszy ukochanych a wiernych sług swoich z powrotem do ojczyzny, rozdał resztę zasobów pieniężnych pomiędzy ubogich. Sam zaś postanowił z miłości dla ubogiego Jezusa ubogie i umartwione prowadzić życie, które zdawało mu się być nie tylko pracą i utrapieniem, ile raczej niezmierną słodyczą i najmilszą nad wszystko rozkoszą dla ukochanego Zbawiciela. W tejże intencji zamierzał popłynąć na dalekie morze do ludów nieznanych.

Pobyt św. Wojciecha w klasztorze benedyktyńskim na górze Kasyno i w pustelni św. Nila.

W Rzymie bawiła w tym samym czasie cesarzowa Teofania, żona Ottona II. Do stałego pobytu w mieście wiecznem po śmierci męża spowodowały ją uczucia pobożne. Tu na grobach męczenników modliła się godzinami za duszę męża swego i rozdawała hojne jałmużny. Aczkolwiek krótkie było życie Ottona II i krótkie jego panowanie, wiele przecież krwi niewinnej przelał w licznych wojnach, i wiele rodzin pozbawił mienia, doprowadzając je do ostatniej nędzy. Postępowanie jego względem Kościoła również nie zawsze było sprawiedliwe i nacechowane tą czcią i uległością, jaka się należy Matce od syna wiernego.

Dowiedziawszy się cesarzowa Teofania, że biskup pragski z bratem swoim wybiera się na pielgrzymkę do Ziemi świętej; kazała dwóch tych znakomitych pątników poprosić do siebie. Na tem posłuchaniu błagała dostojnych pielgrzymów, ażeby przy zwiedzaniu miejsc świętych, pamiętali o duszy Ottona II. Odprawiając ich od siebie, dała Radzymowi na potrzeby podróży tyle srebra, że młody a silny ten mężczyzna zaledwie mógł je unieść.

Tejże jeszcze nocy rozdał św. Wojciech srebro cesarzowej ubogim, ani jednego szeląga dla siebie nie zachował, gdyż jako ubogi pątnik chciał o żebraczym chlebie tę podróż odbyć. Jedynym zbytkiem, na który z własnych jeszcze zasobów sobie pozwolił, było to, że kupił osła dla dźwigania juków podróżnych i że biskupie szaty zamienił na skromną odzież pątniczą.

Nazajutrz puścili się pielgrzymi ku Neapolowi, a po drodze wstąpili do sławnego klasztoru benedyktyńskiego na górze Kasyno. Opatem był tam od roku 987 do 997 Manso, który przyjął pielgrzymów z właściwą wszystkim zakonom gościnnością W klasztorze kasyneńskim zabawił św. Wojciech z trzema towarzyszami dni kilka. Zwierzył się opatowi kim jest, co go spowodowało do opuszczenia swej djecezji, i w jakim celu wybrał się do Ziemi świętej za zezwoleniem Stolicy św. Na to odebrał od opata taką radę:

„Droga, którą obrałeś dla zdobycia sobie szczęśliwości wiecznej, daleka jest od tej, która wiedzie do błogosławionego żywota. Nie przeczę temu, że potrzeba do tego wielkiej cnoty i wzniosłego umysłu, ażeby pogardzić światem i znikomem a zwodniczem jego szczęściem, ale nie mogę też pochwalać ciągłej zmiany miejsca i chodzenia po świecie. Jak wzburzone morze żeglarzom grozi rozbiciem i zatopieniem, podobnież narażają się pielgrzymi na utratę głębszej bogobojności. Staraj się zbierać owoce cnót w miejscu, w którem cię Bóg postawił. Zresztą nie my ale nauka przodków i wytrwałe ich przykłady najlepiej przekonywają, jak na jednem miejscu niebiańskiej pociechy zaznać można.

Św. Wojciech słuchał słów tych uczonego opata Benedyktynów z głębokiem wzruszeniem. Już począł się chwiać w postanowieniu pielgrzymowania do Palestyny. Już cisnęły mu się do głowy różne myśli: czy pozostać w sławnym klasztorze kasyneńskim, czy też w innym jakiem miejscu skromniejszem i jeszcze bardziej od świata odciętem. Poczas tej walki wewnętrznej przytacza Manso słowa Psalmisty: *na wszystkiem miejscu panowanie Jego, błogosław duszo moja Pana*“. I przypomina mu opat zdanie jednego z najpobożniejszych pustelników i pielgrzymów po Ziemi świętej oraz wielkiego Doktora Kościoła, świętego Hieronima: „*Nie pielgrzymka do Jerozolimy, lecz dobre życie chwalebne i zbawienne jest.*

Kiedy święty tak walczył z sobą na górze Kasyno, co dalej ma uczynić, wyprowadza go Opatrzność Boska z tej wątpliwości.

Pewnego dnia otacza go kołem grono zakonników i prowadzi z świętym biskupem swobodną rozmowę. Zdawało im się bowiem, iż mąż Boży zdecydował się już pozostać na zawsze z nimi i tu złożyć kości swoje. Niektórym z nich snuły się nawet różne myśli po głowie. Opactwo kasyneńskie doszło przez czterowiekowe istnienie swoje do znacznej posiadłości, w których nowe kościoły wznosiło. Miało zawsze dużo nowicjuszów i kleryków. którym trzeba było udzielać święceń kapłańskich, Więc cieszyli się już w duchu, że teraz będą mieli własnego biskupa w zgromadzeniu swojem zakonnem. Jeden nawet Benedyktyn odezwał się do św. Wojciecha z większą serdecznością niż rozwagą: „Dobrze Ojcze, że z nami tu zostaniesz, a jako biskup i kościoły nasze poświęcać, i naszych kleryków będziesz mógł wyświęcać“.

Słowa dobrodusznego zakonnika otworzyły oczy św. biskupowi i dały mu poznać, że nie ten klasztor przeznaczony dla niego. Opuścił swoją djecezję, złożył godność biskupią w ręce papieża jedynie w tym celu, ażeby mógł zagoić głębokie rany swej duszy czy to w pielgrzymce pokornej, czy też w zaciszu klasztornem, a tu każą mu znowu być jakoby biskupem. Podziękowawszy zatem opatowi za uprzejmą gościnność, i pożegnawszy zakonników, puścili się pielgrzymi w dalszą drogę na południe ku Neapolowi.

Niedaleko Baru we włości kapuańskiej był klasztor bazyliański św. Michała. Opatem tego klasztoru od r. 978 do 994 był św. Nil, mąż wielkiej pobożności i głębokiej nauki, który podczas groźnych klęsk i ciężkich opałów jaśniejącą był pochodnią i silną dźwignią dla całych Włoch. Urodzony w Rossano w Kalabryi z familji greckiej, oddał się św. Nil po ukończeniu wyższych nauk życiu pustelniczemu. Pan Bóg czynił przez tego wybrańca swego tak liczne cuda, że mnóstwo mężczyzn różnego wieku i stanu pozostało przy nim na puszczy, ażeby pod jego przewodnictwem ćwiczyć się w doskonałości chrześcijańskiej.

Najznakomitsze osoby udawały się do św. Nila po radę w sprawach ważnych lub zawiłych, a wszyscy odchodzili od niego oświeceni, pocieszeni i pokrzepieni na duchu.

Do pustelni więc tego wielkiego cudotwórcy na ziemi włoskiej skierowali nasi pielgrzymi swe kroki, i tam pragnął św. Wojciech pozostać na zawsze z towarzyszami swoimi.

Ślub zakonny. Święte posłuszeństwo zmusza św. Wojciecha powrócić do opuszczonej djecezji.

Skoro do tego św. Nila przybył św. Wojciech a rzuciwszy się do nóg, prosił usilnie, aby przyjąć go raczył do liczby uczniów swoich; św. opat odpowiedział mu na to:

— Przyjąłbym cię mile synu, lecz przyjęcie twoje zaszkodzi nam tylko, a tobie jak uważam na mało się przyda; albowiem ziemia którą zamieszkujemy, własnością jest tych, od których umyślnie uciekasz, a gdyby się dowiedzieli o twojem przyjęciu, dla ciebie wygnanoby mię ztąd z synami najmilszymi. (Królestwo neapolitańskie i czeskie należały do cesarza). Idź więc do Rzymu, i pytaj się tam o zacnego opata Leona, przyjaciela naszego.

To rzekłszy, napisał list do Leona w którym mu gorąco polecił pobożnych pielgrzymów.

Zbyt wysoko cenił biskup pragski św. Nila, ażeby rady męża sławy rozległej i cnoty wypróbowanej nie miał przyjąć z największą pokorą, jakoby rozkazu Boskiego.

Stanąwszy znowu w Rzymie, pytał się święty Wojciech, w jakim klasztorze jest opatem Leon. Wskazano mu klasztor Benedyktynów św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie. Gdy tam list św. Nila oddał, przyjął go Leon życzliwem sercem, boć znał od dawna Nila który niegdyś częstym był gościem w klasztorze św. Aleksego. Więc też nie wahał się opat ani chwili poleconych sobie przez św. Nila pielgrzymów policzyć pomiędzy nowicjuszów swego klasztoru, ale nie śpieszył się z podaniem tymże sukni zakonnej.

Św. Nil pisał w swym liście, że nie pamiętał, aby kiedy widział człowieka, taką pałającego miłością Chrystusa Pana, jaką znalazł w biskupie pragskim. Tymczasem opat Benedyktynów na górze awentyńskiej, biegły w doświadczaniu zgłaszających się do jego zakonu, z całą bystrością długoletniej wprawy swojej śledził zakonne powołanie nowo przybyłych kandydatów. Nasamprzód okazywał św. Wojciechowi wielkie oburzenie z tego powodu, że opuścił powierzone sobie owieczki a szukał spokoju w murach klasztornych.

Im dłużej Leon doświadczał biskupa pragskiego i na im większe wystawiał go próby, tem dokładniej przekonywał się o sprawiedliwym wyroku św. Nila; o tym rzadkim człowieku. Wszystkie bowiem te próby rozniecały tylko jeszcze bardziej w św. Wojciechu żar miłości Chrystusowej i pragnienie zupełnego poświęcenia się Bogu w zakonie św. Benedykta. Nie chcąc w tak ważnej sprawie działać na własną rękę, udał się Leon do Ojca św., by jego zasięgnąć rady, czy może przyjąć do klasztoru biskupa, który opuścił swoją djecezją. Jan XV uspokoił sumiennego opata, iż biskup pragski już poprzednio uzyskał od niego zezwolenie wstąpienia do jakiegokolwiek bądź zgromadzenia zakonnego.

Usunąwszy tym sposobem czcigodny opat wszelkie wątpliwości, wyznaczył Wielki Czwartek 990 r. na dzień, w którym zamierzał włożyć habity zakonne na przysłanych sobie od św. Nila pielgrzymów czeskich. Dwaj towarzysze świętego Wojciecha znikli nagle bez śladu, gdy się dowiedzieli o stanowczej chwili obłóczyn zakonnych. Widocznie przerazili się ostrością reguły św. Benedykta, a nie czując w sobie powołania do życia zakonnego, woleli wrócić do kraju. Radzym poszedł za przykładem św. Wojciecha, i przyjął sukienkę zakonną razem z młodszym bratem swoim.

Opatrzność Boska zachowała nam aż do dni naszych ślub zakonny św. Wojciecha, własną jego ręką napisany, w tych słowach:

† *„Ja Wojciech przyrzekam stateczność moją, i odmianę moich obyczajów, i posłuszeństwo według reguły św. Benedykta, w obec Boga i wszystkich Jego Świętych, i w przytomności opata Augustyna“.*

Drugą tę pamiątkę po św. naszym Patronie pokazują dotąd w Brzewnowie, koło Pragi, w klasztorze św. Małgorzaty, napisaną na skrawku pergaminu, od starości bardzo już nadwątlonego.

Cztery lata z górą patrzyli synowie św. Benedykta na górze awentyńskiej, z jak wielką św. Wojciech sumiennością dotrzymywał ślubów zakonnych. „Ukazał się jako światło jaśniejące, i wzrósł w pełnię, jako dzień doskonały“, pisze o nim kronikarz.

Świętą cnotę pokory nad wszystkie inne umiłował, i w niej najgorliwiej się ćwiczył, czyniąc najniższe posługi. Codziennie nosił na ramionach swoich wodę na potrzeby kuchni i czyścił wszystkie naczynia. Słowem nie znalazła się w całym klasztorze żadna posługa choćby najuciążliwsza i najpospolitsza, którejby św. Wojciech nie spełniał gotowem sercem i skorym umysłem.

Wielokrotnie byli Benedyktyni na Awentynie świadkami łask nadzwyczajnych, jak wspomina zakonnik Jan Kanaparz z klasztoru św. Aleksego, który opisał życie naszego Patrona. I tak opowiada między innemi, iż często zdarzało się św. Wojciechowi, że niosąc w glinianem naczyniu wodę albo wino, potykał się i wypuszczał naczynie z rąk na ziemię. Pokorny zakonnik podnosił z ziemi nieuszkodzone naczynie, płynem napełnione do samego wierzchu.

Córka naczelnika Rzymu Jana dręczona była przez uporczywą febrę. Gdy środki lekarskie okazały się bezskuteczne, przyprowadzono ją do klasztoru benedyktyńskiego i proszono św. Wojciecha, ażeby się nad nią pomodlił. Zaledwie pokorny zakonnik rękę swą na niej położył, odzyskała zupełne zdrowie. Tak to wywyższył Pan Bóg wiernego sługę swego przed ludźmi, on zaś w szczerej a serdecznej pokorze uważał siebie za pośmiewisko ludzkie i wzgardę pospólstwa!

Jedna jeszcze pamiątka po św. Wojciechu z czasów jego czteroletniego pobytu w klasztorze świętych Bonifacego i Aleksego się przechowała. Jest to homilja czyli wykład ewangelji na uroczystość św. Aleksego, jaką nasz Patron ułożył i w tamtejszym kościele z ambony wygłosił.

W ojczyźnie św. Wojciecha wzrastały nieporządki, dzikość, okrucieństwa, mordy i najsprośniejsze obyczaje z każdym rokiem, od czasu jak stolica biskupia w Pradze była bez pasterza. Hrabiowie czescy wyłamywali się coraz więcej z pod władzy książęcej, aż w końcu zupełnie wypowiedzieli posłuszeństwo Bolesławowi II. Pobożny książę czuł najdotkliwiej to osierocenie tronu biskupiego u św. Wita na Hradczynie, i dla tego rozmyślał często nad tem, jakimby sposobem św. pasterza mógł znowu do osieroconej owczarni sprowadzić.

Mimo wielkiego rozprzężenia porządku społecznego, budziła się nawet pomiędzy spogańszczonymi Czechami tęsknota za św. Wojciechem. Niejednemu z nich otwierały się teraz oczy, poznawał nieobliczone spustoszenia, jakie nieokiełznane namiętności sprowadzają na kraj, w którym wiarę i cnotę depcą. Nie zbywało w tym czasie również na klęskach dotkliwych, jakie Pan Bóg na grzeszny naród czeski przepuszczał, aby zatwardziałych skruszyć a zaślepionych do upamiętania przywieść. To zatargi wojenne z sąsiadami to głód i choroby zaraźliwe, to powodzie, a w piątym roku po wydaleniu św. biskupa z kraju nawiedziły ziemie czeskie takie susze, że wszystko się wypalało. Słońce rzucało jakoby żywy ogień na urodzajną glebę, przepalając trawy, zboża, krzewy a nawet stare drzewa i wysuszając jeziora, stawy, strumyki i źródła w niektórych miejscach wyżej położonych.

Aczkolwiek św. Wojciech umarł już dla świata w zaciszu klasztornem i wyłącznie żył w Bogu i dla Boga, to przecież i do celi jego doszły smutne wieści z jego kraju. Raz poraz przybywał ktoś do miasta wiecznego z jego stron rodzinnych. Klęski rodaków nie mogły mu być obojętne, przenosił się w duchu do grodów i siół czeskich, do swej katedry na Hradczynie i do innych kościołów swego biskupstwa. I kiedy przed żywą wyobraźnią jego przesuwały się wszystkie one klęski i spustoszenia, jakie niedowiarstwo, bezbożność i ohydne występki na nieszczęśliwą jego ojczyznę sprowadziły, natenczas obfity strumień łez wypływał z ócz jego. Czy to przy pacierzach kapłańskich w chórze zakonnym, czy to przy Mszy św., czy też przy najpośledniejszych posługach klasztornych, wszędzie i zawsze modlił się gorąco za obłąkanych rodaków, żebrząc dla nich o miłosierdzie Boże i o łaskę upamiętania. Pamiętał bowiem na rozkaz Zbawienia: *„iż się zawsze modlić potrzeba, a nie ustawać“*.

Żył jeszcze arcybiskup moguncki Willigizy który św. Wojciecha w Weronie na biskupa wyświęcił. Owóż w r. 994 radził Chrystjan Strachykwas książęcemu bratu swemu Bolesławowi II, ażeby sprawę osieroconej djecezji polecił Willigizowi, jako przełożonemu nad biskupem pragskim. Bolesław Pobożny usłuchał rady braterskiej i prosił arcybiskupa, ażeby się zająć raczył przywróceniem osieroconym owieczkom pragskim prawowitego ich pasterza Wojciecha. Willigizy zebrał radę znakomitych osób duchownych i świeckich, na której wybrano posłów do Stolicy św. Na czele tego poselstwa stanęli Chrystjan Strachykwas i dawny nauczyciel św. Wojciecha, Radła.

Do Rzymu przybyło poselstwo czeskie tego samego jeszcze roku 994. Uzyskawszy posłuchanie u papieża Jana XV, złożyło mu błagalne listy od księcia i dostojników czeskich, jak też od arcybiskupa mogunckiego. Następnie przedstawił wymowny zakonnik Strachykwas papieżowi smutny stan djecezji pragskiej i przerażający obraz spusto-

szenia materjalnego i moralnego w całym kraju czeskim. Przemawiał także gorąco w tej samej sprawie uczony Radła i błagał Ojca św., aby byłemu jego uczniowi rozkazał powrócić do owieczek opuszczonych. Obydwaj mówcy zapewniali Papieża, że lud czeski żałuje za występki swoje, przyrzeka złe naprawić i w dobrem się ćwiczyć.

Na wymowne wywody posłów czeskich odpowiedział Papież, iż rzecz ta jest zbyt ważna i wymaga już dla tego samego zbadania dokładnego i rozwagi. Posłuchanie zakończył Jan XV oświadczeniem, iż zwoła oddzielny synod, któremu sprawę przedłoży.

W oznaczonym przez Papieża dniu, zebrało się starsze duchowieństwo rzymskie na synod, na który zapozwany został także opat Benedyktynów Leon i posłowie czescy. Zdania rządzących były długi czas podzielone. Posłowie czescy przemawiali z wielkim zapałem i przekonywająco za powrotem biskupa do swej djecezji. Ale duchowni rzymscy bronili z równym zapałem prawnego pobytu biskupa w zaciszu klasztornem, skoro owce słuchać nie chcą głosu swego pasterza. Do tych prawnych wywodów przyłączyła się jeszcze serdeczna miłość i głęboka cześć, jakiej św. Wojciech zażywał w całym Rzymie.

Gdy walka na tym synodzie prowadzona powagami prawa, nie przechylała się na żadną stronę zwycięzko, wtedy zabrał głos sam Ojciec św. i rozstrzygnął ją w sposób następujący, zwracając mowę swoją do posłów czeskich:

„Przywracamy wam waszego biskupa, jednakże z tym warunkiem, żeby lud słuchał jego nauki i korzystał z jego przykładów. Jeśliby zaś lud ten trwał nadal w swej złości, tedy wolno mu będzie opuścić niepoprawne owieczki dla ocalenia wiecznego życia swego".

Wyrok papiezki napełnił niewymowną radością posłów czeskich, ale zarazem głębokim smutkiem opata i wszystkich Benedyktynów na Awentynie. Gdy Leon oznajmił św. Wojciechowi, iż na rozkaz Ojca św. wracać ma do swej djecezji, sługa Boży zalał się łzami, lecz tejże chwili poddał własną wolę rozporządzeniom papieża i opata. Święte posłuszeństwo nakazywało mu chętnie a prędko spełniać wolę przełożonych, wierząc iż takowe Bogu najmilszą ofiarą.

Św. Wojciech błogosławi ziemię czeską na Zielonej Górze. Wjazd do Pragi. Obrona pokrzywdzonej.

Święte posłuszeństwo wyprowadza pokornego zakonnika Wojciecha z ciasnej celi klasztornej na Awentynie za mury wiecznego miasta. Towarzyszą mu posłowie czescy, Benedyktyni i nieodstępny brat rodzony Radzym. Najróżnorodniejsze uczucia cisną się do jego serca, a głowę jego usiłują zamącić sprzeczne z sobą myśli i rojenia. Z jednej strony pociąga go miłość ojczyzny do rodzinnego kraju; boć piąty rok już dochodził, jak opuścił Pragę. Z drugiej strony żal mu było tego szczęścia i swobody, jakiej zażywał w klasztorze uczonych Benedyktynów przy bogatym księgozbiorze, gdzie miał najpiękniejszą sposobność zatapiać się w ścisłych naukach. Najwięcej atoli niepokoiła go ta niepewność, czy jego djecezjanie rzeczywiście upokorzyli się pod chłostą sprawiedliwości Bożej i czy będą chcieli postępować za głosem swego pasterza.

Długo trwała podróż z Rzymu do Pragi. Już przeszli dzisiejszą Bawarję i znaczny kawał ziemi czeskiej, a dłuższy znowu odpoczynek naznaczyli sobie na ziemi ojczystej, gdzie obecnie leży miasto Nepomuk, sławne z urodzenia męczennika i patrona czeskiego św. Jana Nepomucena.

Niedaleko miasta wznosi się majestatycznie piękna góra. Na tej górze stał naówczas maleńki klasztor, albo raczej pustelnia, jaką dla siebie i swej braci założył niejaki pustelnik Brzymota w r. 997. Św. Wojciech wszedł z towarzyszami podróży na sam szczyt tej góry, zkąd swobodny miał widok na wszystkie strony. Teraz dopiero oglądał na własne oczy straszliwe skutki kary Bożej jaka spadła była na nieszczęśliwy naród czeski, a o której kilka tylko szczegółów zasłyszał w klasztorze rzymskim.

Sędziwy już natenczas staruszek Brzymota wyszedł z pustelnikami swoimi z klasztorku na powitanie tak znakomitego gościa, w którym od razu poznał męża wielkiej doskonałości; święty Wojciech nie spostrzegł go wcale. Zatopiony bowiem w rozważaniu klęsk i nieszczęść, jakie spadły na biedną jego ojczyznę, wyciąga szeroko ręce swoje, jakoby całą rodzinną ziemię z wszystkimi jego mieszkańcami do serca swego chciał przytulić i woła z rozrzewnieniem:

„O moja droga i kochana ojczyzno! znowu cię oczy moje ujrzały! Zostawiłem cię bogatą i kwitnącą, a grzechy twoich dzieci doprowadziły cię do nędzy i zniszczenia. Oczy ich obeschły z łez i żalu, wyschły też i wody twoje, a deszcze i rosa zamknęły się w sklepieniach niebieskich".

Po tym jęku boleści zaczął się mąż Boży modlić, a powstawszy z ziemi, uczynił znak krzyża św. na wszystkie cztery strony świata, wymawiając te słowa:

— Ziemio moja rodzinna, ojczyzno kochana! błogosławię cię w Imię Ojca i Syna, i Ducha św.

Tejże chwili zaczęły na pogodne niebo z różnych stron nadbiegać chmurki i wkrótce puścił się cichy, ciepły i rzęsisty deszcz, który nasyciwszy spragnione role i ogrody, pokrył pola, łąki i lasy dawno niewidzianą zielonością. Na pamiątkę tego cudu miejsce to nazwano Zieloną górą,

a później wystawiono na tej górze kościół pod wezwaniem św. Wojciecha.

Pobożny lud czeski przechowuje kilka innych, jeszcze legend o św. Wojciechu z okazji tego cudu. Tamże znajduje się cudowna studzienka św. Wojciecha, wytryskująca ze skały, której woda zawsze zimna a jak kryształ czysta, mnóstwu chorym zdrowie przywróciła. W niedzielę przewodnią wychodzi duchowieństwo i lud pobożny w uroczystej procesji z chorągwiami i obrazami do tej studzienki. Na szczycie Zielonej góry stoi dziś wspaniały kościół Matki Bożej; przy wielkim ołtarzu po stronie ewangelji przechowuje się kamień, na którym wyciśnięte są stopy św. Wojciecha.

Cudowne zroszenie spiekłej ziemi czeskiej na gorące modły świętego Wojciecha było jakoby ową gwiazdą, oznajmującą, iż dobry pasterz wraca do osieroconych owieczek swoich. Zaraz też wzięto się w Pradze do przygotowań olbrzymich, aby powracającego na swą stolicę biskupa przyjąć okazale.

Ludzie wszelkiego wieku i stanu wyszli naprzeciw niemu. Wszyscy witali go z jednakowem uczuciem i gorącym zapałem. Wszyscy przyrzekali głośno i uroczyście, że poprawią dawne życie według rady i rozkazu św. biskupa.

W zbyt krótkim atoli czasie przekonał się sw Wojciech, iż owe uroczyste zarzekania, wylane łzy mniemanej skruchy i obietnice poprawy były tylko wynikiem chwilowego wzruszenia i żalem z powodu doznanych klęsk i straszliwej kary Bożej. O pokucie szczerej a wytrwałej nie myśleli owi Czesi, którzy św. biskupa swego zniewolili do opuszczenia powierzonej sobie djecezji, nie myśleli nawet o wewnętrznem odrodzeniu się i naprawie obyczajów. Zamożny ród Wrszowców podniósł wysoko głowę i obmyślał środki zupełnej zagłady nienawistnego sobie domu Sławników. Dogodną do tego sposobność podało następujące zdarzenie:

Żona jednego z Wrszowców sprzeniewierzyła się mężowi. Sprawę tę wytoczono przed sąd publiczny a rodzina obrażonego małżonka postanowiła barbarzyńskim obyczajem ówczesnym głowę jej uciąć Nieszczęśliwa niewiasta w trwodze swej śmiertelne skrycie uciekła do biskupa, błagając o pomoc. Ten zamknął ją w klasztorze panieńskim św. Jerzego, opasanym silnemi murami i ukrył w kościele za ołtarzem, a klucz od świątyni powierzył zaufanemu dozorcy.

Św. Wojciech poszedł tu za przykładem Boskiego Mistrza swego, który schwytaną na uczynku i przywiedzioną przez Faryzeuszów do siebie cudzołożnicę ocalił od ukamienowania temi słowy. *„Któż z was bez grzechu jest, niech na nią pierwszy rzuci kamień“*. Jeżeli zaś w kościele schronił żałującą grzesznicę, by jej dać czas i sposobność do zbawiennej pokuty, to i tu pokazał roztropność chrześcijańską, gdyż biskup stawał zwyczajnie jako pośrednik między wymierzającym sprawiedliwość a winowajcą.

Gniew zastarzały zaślepił Wrszowców do tego stopnia, iż gorszymi się stali od samych pogan. Zbierali sprzymierzeńców, podburzali i namawiali przeciw biskupowi i na czele zgrai wyruszyli do pałacu biskupiego Tam na dziedzińcu biskupim wszczęła roznamiętniona tłuszcza szalone krzyki i groźby, wołając:

— Gdzież ten wilk w owczej skórze, co ukrywa cudzołożnicę wbrew przykazaniu Bożemu i prawu małżeństwa!

Była to północ, a św. Wojciech bawił w kościele na modlitwie z ukochanym Wilikonem i kilku jeszcze innymi kapłanami. Usłyszawszy te wrzaski na dziedzińcu, zrozumiał, co one znaczą i kto ich sprawcą. Kiedy rozwścieklone tłumy obległy kościół katedralny i zaczęły się dobywać do bram zamkniętych, wtenczas uściskał św. biskup modlących się z nim kapłanów; a żegnając ich, rzekł:

— Bądźcie zdrowi i zanoście za mnie biednego pobożne modły do Chrystusa.

Dawszy braciom święty pocałunek pokoju wyszedł pewnym a odważnym krokiem ze swej katedry, gotowy na śmierć męczeńską. Powaga i anielski spokój biskupa wprawiły Wrszowców w zdumienie. Wszyscy stali jak wryci, a św. Wojciech doszedł aż do samego środka roznamiętnionego tłumu. Tu zatrzymawszy się, rzekł:

— Jeżeli mnie szukacie, oto jestem.

Słowa biskupa przywróciły przytomność jednemu z tłuszczy, który nibyto w imieniu wszystkich odpowiedział:

— Nie ciesz się nadzieją męczeństwa, bo na nas spadłby grzech, a ty okryłbyś się chwałą; ale wiedz o tem, że jeżeli nie wydasz nam tej nierządnicy, mamy w swych rękach braci twoich, na których pomścimy krzywdę naszą.

Nie uląkł się mąż Boży tej groźby, ale jak filar nieporuszony stawał w obronie żałującej grzesznicy. Dobry pasterz duszę swą daje za owce swoje.

Znalazł się atoli zdrajca, który złotem przekupiony, wprowadził Wrszowców do kościoła św. Jerzego i wskazał tego, któremu klucz od skrytki był oddany. Zbrojni ludzie chwytają dozorcę i grożą mu śmiercią, jeżeli im nie wyda ukrytej w kościele niewiasty. Trwożliwy dozorca wydaje klucz Wrszowcom i wskazuje miejsce ukrycia. Napróżno nieszczęśliwa niewiasta ima się oburącz świętego ołtarza. Rozjuszony tłum porywa ją gwałtem, stawia przed mężem i żąda, żeby własną ręką cios śmiertelny jej zadał. W mężu odezwało się w tej chwili uczucie przyrodzone i wzdrygał się wykonać czyn tak nieludzki na własnej żonie. Tymczasem jakiś

poddany jego przyskakuje do nieszczęśliwej niewiasty i ucina jej mieczem głowę.

Dowiedziawszy się św. Wojciech o tem zbezczeszczeniu domu Bożego i o barbarzyńskiem zamordowaniu nieszczęśliwej niewiasty, zalał się łzami. Przymnażał sobie dobrowolnych umartwień, przedłużał nocne modlitwy za obłąkane owieczki swoje; hojniejsze wydzielał jałmużny, by niemi przyśpieszyć nawrócenie zatwardziałych djecezjan.

Dokonana zbrodnia rozzuchwaliła jeszcze więcej możnowładnych Wrszowców, poczęły też i najniższe warstwy społeczeństwa podnosić głowę przeciwko najwyższemu dostojnikowi duchownemu. Złe brało wszędzie górę nad dobrem, a głos dobrego pasterza niknął w tej hałaśliwej wrzawie rozkiełznanych namiętności.

Św. Wojciech powtórnie opuszcza Pragę i zostaje opatem Benedyktynów w Rzymie.

Św. Wojciech nie mogąc doczekać się spodziewanej poprawy swych djecezjan, opuścił w r. 995 powtórnie stolicę biskupią. Przypuścić nawet można, iż Pan Bóg cudownym sposobem rozkazał wiernemu słudze swemu udać się do Węgier, by księcia tamtejszego Gejzę ochrzcił i lud węgierski do owczarni Chrystusowej wprowadził.

Nowoochrzczony książe Gejza z żoną swoją Adelajdą, rodzoną siostrą Mieczysława I, zabrali się do wznoszenia kaplic i kościołów na ziemi węgierskiej, a lud pogański słuchał ciekawie nauk św. Wojciecha, porzucał bałwany, rozwalał ich ołtarze, korzył się przed Bogiem prawdziwym i żądał chrztu św.

I na ziemi węgierskiej przechowały się liczne legendy o św. Wojciechu, świadczące o wielkiej czci dla tego Apostoła Słowian.

Nad rzeką Dunajem, w pobliżu stolicy węgierskiej Budy, znajdowało się najznakomitsze bożyszcze węgierskie. Razu pewnego wyszedłszy św. Wojciech z pałacu książęcego na zwyczajne swoje wycieczki misyjne, dostał się niespodzianie na miejsce, temu bałwanowi poświęcone. Zdziwiły go nieprzejrzane tłumy ludu tamże zgromadzonego. Więc począł się wypytywać coby to znaczyło i dowiedział się, iż w tym czasie obchodzono jedną z największych uroczystości tego najsławniejszego bożyszcza.

Żarliwy apostół uważał przybycie swoje na to miejsce za zrządzenie Opatrzności Boskiej. Bez namysłu porwał rozpaloną pochodnię; a gotów najstraszliwsze podjąć męczarnię za wiarę świętą, przystąpił z nieustraszonem męztwem do ołtarza, skruszył i roztrącił owego bałwana, a potem pochodnią go zapalił. Kapłani i lud pogański stali jak wryci; bo nie mogli tego pojąć, jak jeden cudzoziemiec najpotężniejszego ich Boga w proch rozsypał i spalił.

Z tego to osłupienia skorzystał mąż Boży i rozpoczął teraz naukę o prawdziwym a wszechmocnym Bogu. Ognistą mową swoją kruszył serca jednych a zapalał drugich, tak iż mnóstwo pogan uwierzyło w Chrystusa.

Założywszy fundamenta Kościoła św. na Węgrzech, wybrał się mąż Boży w podróż ku Rzymowi. Gdy zakołatał do furty klasztornej na Awentynie w roku 995, nie posiadali się z radości synowie św. Benedykta, że tyle ukochany biskup pragski na nowo staje się ich bratem zakonnym. Żył jeszcze opat Leon i wybierał się w daleką podróż do Tracji jako poseł. Na ogólne życzenie braci zakonnej poleca mu opat swoje zastępstwo i czyni go przełożonym nad całem zgromadzeniem.

Łaska Boska występowała coraz to silniej i widoczniej w pokornym słudze Chrystusowym. Im bardziej on sam upokarzał siebie, im głębiej a rzetelniej uznawał siebie niegodnym względów ludzkich i dobroci boskiej, tem więcej uwydatniał Pan Bóg licznemi cudami, jak miłym w obliczu Jego jest biskup pragski Wojciech. U furty klasztornej zalegały znowu liczne tłumy ubogich, strapionych i chorych. Każdy prosił o modlitwy, każdy domagał się, by orędownictwem swojem wyjednał mu u Boga ulgę w cierpieniach, pomoc w potrzebach.

Córka pewnego obywatela rzymskiego cierpiała od dawna na oczy. Św. Wojciech uwolnił ją od tej dolegliwości przez samo położenie rąk i modlitwę.

Pod czas bytności opata Leona w klasztorze św. Bonifacego widział św. Wojciech w zachwyceniu dwa rzędy nieban: jeden w czerwonem a drugi w białem odzieniu. I głos słyszał mówiący: „Pomiędzy obydwoma jest miejsce dla ciebie i największa cześć i współbiesiadnictwo u stołu“.

Opat wyłożył mu znaczenie tego widzenia w sposób następujący: Szereg niebian w purpurowe szaty przybrany przedstawia Męczenników, a drugi w szatach śnieżnych, Wyznawców. Zasługą Męczenników jest krew za wiarę świętą przelana; zasługą Wyznawców ustawiczne umartwienie ciała z jego żądzami i namiętnościami.

Pobyt na dworze cesarskim.

Rok 996 był obfity w nader ważne wypadki w cesarstwie niemieckiem, jako też w dziejach św. Kościoła katolickiego.—W żywocie św. Wojciecha stanowi również tenże rok jakoby główną epokę jego wybrania za szczególniejsze narzędzie łaski Boskiej i na Patrona królestwa polskiego.

Na czele olbrzymiego cesarstwa rzymsko-niemieckiego stał zaledwie szesnastoletni młodzieniaszek Otton III.

Z powodu rozległej nauki, zamiłowania sztuk

pięknych i pobożności nazywano Ottona III „cudem świata". Szczególniejszym też był on wielbicielem i znawcą starożytnych języków, greckiego i łacińskiego.

Z wiosną 996 roku Otton III bardzo liczne wojsko z Niemiec do Włoch przeprowadził pod Rawennę. Kapelanem nadwornym cesarza był ksiądz niemiecki Bruno, spokrewniony z domem cesarskim, obdarzony wielkiemi zdolnościami i wysokiem wykształceniem.

W kwietniu przybyło do obozu cesarskiego pod Rawenną poselstwo od senatu i przedniejszych obywateli rzymskich z listami, w których proszą Ottona III, aby do Rzymu przybył i doradził, kogo wybrać na opróżnioną przez śmierć Jana XV Stolicę apostolską. Naradziwszy się cesarz z dostojnikami duchownymi i świeckimi, zalecił swego kapelana Brunona.

Całe duchowieństwo z ludem rzymskim powitało kapelana cesarskiego z ogromnym zapałem. Był to pierwszy papież z rodu niemieckiego, liczący dopiero dwadzieścia cztery lat, gdy jako Grzegorz V wstąpił na stolicę Piotrową.

Otton III wybrał się z obozu swego do Rzymu krótko po koronacji nowego papieża, 21 maja otrzymał z rąk jego namaszczenie i koronę cesarską.

Podczas swego pobytu w Rzymie odwiedzał Otton III często św. Wojciecha na Awentynie i miewał z nim długie rozmowy. Ile razy odchodził z tego miłego ustronia, wzmagało się w nim pragnienie aby tego męża Bożego mógł dłuższy czas mieć przy boku swoim na dworze cesarskim.

Arcybiskup moguncki Willigizy korzystał również z pobytu swego w Rzymie i starał się usilnie o to, aby jego sufragan Wojciech wrócił powtórnie do swej djecezji pragskiej. Sprawę tę wytoczył na synodzie w kościele św. Piotra.

Wymowne słowa arcybiskupa mogunckiego wywarły głęboki wpływ na papieża i cały synod. Po dłuższej naradzie oświadczył Grzegorz V Willigizowi, że nakaże Wojciechowi wrócić do swej djecezji.

W czerwcu 996 roku wyjechał Otton III z Rzymu. Papież przywoławszy do siebie św. Wojciecha, oznajmił mu nieuchronną konieczność powrotu do osieroconej owczarni. Mąż Boży opowiedział Ojcu św. okropne ale prawdziwe stosunki w djecezji pragskiej i wyznał, iż czuje się za słabym, aby cośkolwiek zdziałać u ludu tak zawziętego serca. W końcu prosił o tę jedną tylko łaskę, aby mu wolno było udać się do pogan, jeżeli Prażanie nie usłuchają głosu jego.

Ojciec św. pragnąc go pocieszyć i na duchu wzmocnić, odezwał się do niego pełen dobroci:

— Synu drogi, uczyń jeszcze raz ofiarę z siebie i udaj się do swych zbłąkanych owieczek, a może ci Pan Bóg pozwoli doczekać pomyślniejszych owoców twej pracy. Jeżeliby gorliwe twe nauki i życie przykładne nie zdołały rozproszyć zaślepienia ludu czeskiego, natenczas upoważniam ciebie, abyś na zawsze porzucił tę niewdzięczną rolę, a obrócił się do pogan, jak to Zbawiciel Apostołom był polecił.

Bolesne było wzajemne rozstanie się w klasztorze awentyńskim męża Bożego z kochającymi go zakonnikami; lecz świętemu posłuszeństwu ustępować musiały wszelkie inne uczucia, chociażby najwznioślejsze i najszlachetniejsze. Z biskupem lionskim Notkierem i bratem Radzymem opuścił Rzym, zdążając na północ ku Alpom. Przeszło ośm tygodni trwała podróż zanim w miesiącu wrześniu 996 roku przybyli do Moguncji, gdzie wracając Otton III z Włoch do stolicy cesarstwa niemieckiego zatrzymał się dłuższy czas z całym dworem. Natychmiast zaprosił męża Bożego do siebie, by jak najdłużej mógł korzystać z głębokiej nauki, wielkiego doświadczenia i wysokiej doskonałości tego szermierza Chrystusowego. Św. Wojciech przyjął zaprosiny, atoli bawiąc na dworze tego najpotężniejszego monarchy, dalekim był od pochlebstwa lub pobłażania choćby najmniejszym słabostkom ludzkim. Bezinteresowną natomiast a świętą pałając ku niemu miłością, był mu najsumienniejszym powiernikiem i najżyczliwszym towarzyszem, wespół z nim mieszkając.

Cesarz umiał ocenić to poświęcenie się sługi Bożego dla jego osoby, i dla tego przyjmował też z należytą czcią i wdzięcznością roztropne jego rady. Bogobojny biskup pobudzał go do pogardy świata, do miłości Chrystusa i do pożądania ojczyzny niebieskiej.

Na rozmowach pobożnych i uczynkach miłosiernych schodził św. Wojciechowi dzień cały; noc spędzał na modlitwie i ćwiczeniach pobożnych.

Odbył jeszcze pielgrzymkę do miejsc cudami uświęconych, ażeby tam zaczerpnąć nowych sił i łaski Bożej do spełnienia trudnego posłannictwa swego. Z bratem Radzymem udał się tedy naprzód do grobu św. Marcina w Turonie, następnie do grobu św. Dyonizego w Paryżu, potem do grobu św. Benedykta w Florjaku, a w końcu do grobu św. Maura pod Moguncją. Wszędzie błagał Świętych Pańskich, aby mu u Boga wyjednali potrzebne męztwo i błogosławieństwo niebios przy sprawowaniu obowiązków pasterskich, poczem wyruszył do Pragi, ale dowiedziawszy się o strasznych morderstwach dokonanych przez Wrszowców na Sławnikach udał się na Szląsk.

Wspomnienia z pobytu św. Wojciecha na Szlązku i w Krakowie.

Wiele legend o św. Wojciechu przechowało się na Szlązku, gdzie rok przed śmiercią swoją męczeńską apostołował. Między innemi opowiadają pobożni włościanie następujące zdarzenie.

Pewnego dnia już pod wieczór przybył św. Wojciech z Radzymem do wioski zwanej Opole. Czując się mocno zmęczonym podróżą, zakołatał do chaty, prosząc o gościnność. Była to zagroda jakiegoś setnika poganina, którego natenczas nie było w domu. W chacie krzątała się sama gospodyni imieniem Zlotka, która staropolskim zwyczajem bardzo mile w dom go przyjęła, lecz zalana łzami otworzyła drzwi do komory i wskazała na łóżko, na którem jedyna jej córka już konająca leżała. Św. Wojciech zbliżył się do chorej, upadł na kolana i w gorącej modlitwie polecał miłosierdziu Boskiemu konającą dziewczynkę. Powstawszy potem z modlitwy i pobłogosławiwszy chorą w imię Jezusa Chrystusa, rzekł do stroskanej matki:

— Uspokój się, córka twoja z tej choroby nie umrze.

— Oby tak sprawili bogowie! zawołała Złotka. Z tych słów poznał św. Wojciech, iż do pogańskiego dostał się domu. Natychmiast począł strapionej matce wystawiać niemoc bałwanów, a wszechmocność Boga prawdziwego. Gospodyni słuchała tych wywodów z wielkiem zajęciem, a zbolałe jej serce uczuwało niepojętą pociechę i dziwną ufność w potęgę tego nowego Boga, o którym dotąd nic jeszcze nie słyszała.

Już pierwsze promienie łaski Boskiej zaczęły oświecać zaciemniony pogaństwem rozum Złotki, rozgrzewać jej serce, aż tu uchylają się drzwi, od izby i wchodzi mąż a z nim niejaki Wizymir, narzeczony umierającej dziewczyny. Gospodyni wita ich słowami pociechy, iż jest nadzieja ocalenia córki od nieuchronnej śmierci, jeżeli dotychczasowych bogów swoich porzucą, a uwierzą w nowego Boga, dotąd im nieznanego. Następnie przedstawia im swoich gości Wojciecha i Radzyma, którzy jej tę pocieszającą nowinę w dom przynieśli.

Św. Wojciech skorzystał z tego i rozpoczął przybyłym mężczyznom wykładać naukę o prawdziwym Bogu. Na to odezwał się Widzimir:

— Nie wierzę temu, ażeby ten nowy i jedyny tylko Bóg twój zdołał nam dopomódz, skoro nasi potężni Bogowie, których tylu mamy, nie mogą nas pocieszyć w tem nieszczęściu!

Poczciwa prostota całego domu pogańskiego w Opolu rozrzewniła św. Wojciecha, tak iż z cichą łzą w oku błagał Pana Jezusa, ażeby tej rodzinie pogańskiej podobnej udzielił łaski, jakiej dom Korneliusza, rotmistrza cezarejskiego doznał.

Po krótkiej ale gorącej modlitwie przemówił do rodziny pogańskiej:

— Wielka moc prawdziwego Boga może uratować chorą dziewczynę, i uratuje z pewnością, bylebyście całem sercem i całą duszą w niego uwierzyli. On jeden jest wszechmocny i czyni cuda.

Wasi bogowie są niczem, i nic wam nie pomogą. Na próżno paliliście im ofiary, daremny był wasz płacz, daremne wasze prośby. Wszakże chora z każdą dobą miała się gorzej i śmierć oto stoi u jej łoża. A teraz patrzcie co może Bóg, którego ja wam ogłaszam.

To rzekłszy, wzniósł mąż Boży oczy i ręce ku niebu, przystąpił do łoża chorej i zawołał:

— W imię Boga przedwiecznego Ojca Syna i Ducha świętego rozkazuje ci córko — wstań.

I stał się cud, dziewczyna zaraz ozdrowiała. Wszyscy domownicy padli na kolana, uwierzyli w Pana Jezusa i poczęli głosić chwałę jedynego prawdziwego Boga, który przez sługę swego objawił się im w miłości i wszechmocności swojej.

Wieść o cudownem uleczeniu rozeszła się lotem błyskawicy po całej zagrodzie. Wszyscy byli ciekawi oglądać cudownego męża, i posłuchać jego nauk o nieznanym sobie Bogu.

Kiedy cała osada opolska zbiegła się do chaty swego setnika, wyprowadził ich św. Wojciech na górę, gdzie była świątynia pogańska. Tam stanął na kamieniu ofiarnym, i z tego kamienia niby z ambony, ogłaszał zgromadzonemu ludowi pogańskiemu wiarę świętą, a lud słuchał, korzył się i nawracał.

Kazanie św. Wojciecha na górze opolskiej sprawiło, iż własnemi rękami pogruchotali wszystkie kamienne posążki bałwanów pogańskich, a na miejscu bóżnicy pogańskiej postawili krzyż, gdzie później stanęła kaplica pod wezwanie św. Wojciecha.

Ze Szlązka pośpieszył biskup do sąsiedniego Krakowa, zwłaszcza iż w owym czasie gród Krakusa nie miał jeszcze własnego biskupa, ale należał do djecezji pragskiej. Więc poczuwał się św. Wojciech niejako do tego obowiązku, ażeby we własnej djecezji głosił słowo Boże i odbył tamże wizytacją pasterską.

W końcu października 996 roku stanął mąż Boży z nieodstępnym towarzyszem swoim Radzymem na ziemi krakowskiej. Im dalej zaś zapuszczał się w ten kraj uroczy, tem więcej radowało się pobożne serce jego. Wszędzie widział lud pracowity, zadowolony, szczęśliwy i swobodny, a przywiązany całem sercem do ojczyzny.

Gdy się w Krakowie dowiedziano, iż biskup pragski Wojciech zbliża się do ich grodu, wyszli mieszczanie z duchowieństwem naprzeciwko niemu. Do sławnego grodu Krakusa wprowadzono go z najczulszemi oznakami radości. Każdy cisnął się do

męża Bożego by ucałować jego ręce, nogi lub szaty: bo i do Krakowa doszła już wiadomość o wysokiej świętobliwości i o licznych cudach jego.

Zaprowadzony w tryumfalnym pochodzie na obszerny rynek, gdzie sterczały jeszcze rumowiska świątyni pogańskiej, która nie tak dawno zburzoną została, na szczyt tych gruzów pośpieszył żarliwy Apostoł i z tej kazalnicy przemówił do nader licznych słuchaczów, a ze wszystkich stron Krakowa spieszył lud pobożny, by usłyszeć słowo Boże z ust takiego kaznodziei.

Krótki pobyt św. Wojciecha w grodzie Krakusa pozostał przez długie wieki w pamięci wdzięcznych Krakowian. Po śmierci męczeńskiej św. Wojciecha stanął na tem samem miejscu, gdzie do ludu kazał, kościół pod jego wezwaniem.

Wedle świadectwa naszego Długosza odzyskało za pośrednictwem św. Wojciecha wielu chorych zupełne zdrowie, wielu strapionych różnemi dolegliwościami i niemocami dotkniętych cudownie ratował.

Jeżeli świetne a radosne było wprowadzenie Apostoła Słowian do Krakowa, daleko świetniejsze było jego pożegnanie i wspaniały ten pochód poza okopy starożytnego grodu nosił na sobie piętno żalu i najserdeczniejszej boleści.

Przybycie św. Wojciecha na dwór Bolesława Chrobrego.

Zanim światło ewangeliczne zabłysło na ziemiach słowiańskich, już nieomal dwieście lat przedtem zapuszczali się misjonarze katoliccy do krajów niemieckich i głosili tam słowo Boże.

Ale Niemcy zatrzymawszy starego człowieka chciwości i łakomstwa, używali religji chrześcijańskiej za sposobność do podbijania i ujarzmienia nieochrzczonych jeszcze narodów słowiańskich. Celem przewrotnych Niemców była zdobycz cudzych krajów, a środkiem do tego ewangelia. W którym kraju Niemiec stanął z ewangelią, ten kraj uważał już za swoją własność.

Przeciwko takiemu nadużyciu świętej wiary katolickiej do zaspokojenia nizkich żądz łakomstwa i pychy, wybrała sobie Opatrzność naród polski za tarczę i puklerz, którym inne ludy słowiańskie przed chciwością germańską zasłonić chciała. Ku temu celowi dał Pan Bóg Polakom takiego przewodnika, jakim był Bolesław I Chrobry, syn bohaterskiego Mieczysława I i żarliwej krzewicielki chrześcijaństwa w Polsce, Dąbrówki.

Miał Bolesław przy śmierci ojca dwadzieścia pięć lat życia, gdyż Mieczysław umarł 25 maja 992 roku. W żyłach jego płynęła czysta krew słowiańska, gdyż ojciec był prawnukiem Piasta, a matka rodzoną siostrą św. Wacława I tego to na wskroś słowiańskiego księcia wzywał cesarz niemiecki Otton III, aby mu pomagał pogańskich Słowian nawracać.

Zrozumiał Bolesław Chrobry o co to chodziło Niemcom, więc wymówił się delikatnie potężnemu cesarzowi potrzebą z Rusinami. W sercu atoli rozmyślał nad tem, jakby to bez oręża bratnim narodom słowo Boże zanieść można. Polska zaledwie trzydzieści lat temu chrześcijaństwo przyjęła, i sama jeszcze miała pogan, a kapłanów mało i to cudzoziemców po większej części; boć w tak krótkim czasie nie podobieństwem było wychować sobie dostateczną ilość duchownych z własnego narodu.

Uczciwej pracy w świętej myśli podjętej Pan Bóg błogosławi. Pod koniec roku 996 przybywa do Gniezna, gdzie to na górze Lecha Bolesław Chrobry książęcą obrał sobie stolicę, biskup pragski Wojciech. Niewymowną radość Piastowicza łatwo sobie wyobrazimy, jeżeli sobie przypomnimy, że matka św. Wojciecha Strzeżysława i matka Bolesława Chrobrego, Dąbrówka rodzonemi były siostrami. Dodajmy do tego duchowe pokrewieństwo tych dwóch mężów chrobrych, których ta sama myśl szlachetna napełniała; ten sam zapał religijny do czynów bohaterskich zagrzewał, ażeby pokrewne ludy słowiańskie poznały Chrystusa bez krwi rozlewu. To też przyjęcie św. Wojciecha w Gnieźnie przez Bolesława I, było daleko jeszcze świetniejsze i serdeczniejsze, aniżeli w grodzie Krakusa. Tak bowiem świadczą o tem najdawniejsze kroniki nasze, dodając zarazem, iż książe polski słuchał nabożnie kazań tego misjonarza słowiańskiego i że sumiennie wykonywał jego polecenia i ustawy w sprawach kościelnych.

Na dworze księcia polskiego przebywał Poraj, rodzony brat św. Wojciecha, jakeśmy to już wyżej poznali. Jakaż więc znowu radość być musiała biskupa pragskiego i Radzyma, kiedy tego jedynego jeszcze potomka z tak licznego i zamożnego rodu Sławników do serca swego przycisnąć mogli, gdyż długi szereg lat upłynął, jak Poraj gniazdo rodzinne opuścił, które okrutni Wrszowcy w kupę gruzów zamienili.

Stolica książęca w Gnieźnie nie miała dotąd własnego biskupa. Na całą ówczesną Polskę był jeden tylko biskup Unger, który swoją stolicę miał w Poznaniu, i uznawać musiał nad sobą władzę arcybiskupa magdeburskiego. Takie bowiem prawo rościli sobie Niemcy do zawojowanych przez siebie Słowian już od Karola Wielkiego, a więc od końca ósmego stulecia.

Unger był biskupem polskim a sufraganem niemieckiego arcybiskupa od 982 do 1012 r.

Nadużywanie najświętszych skarbów niebios do ziemskich spraw oburzało Bolesława Chrobrego. Chociaż nie był wolny od niektórych wad i usterków swego wieku, zwłaszcza iż ciągłe najazdy sąsiadów

zmuszały go do życia obozowego i że sam wojennym tchnął duchem, najzaciętsi przecież nieprzyjaciele Polski nie odmawiali mu szczerej religijności, a naród polski uczcił go nazwą „Szermierza Chrystusowego".

Przybycie św. Wojciecha do Gniezna uważał Bolesław Chrobry za wskazówkę Opatrzności, że nadeszła chwila, w której katolicka Polska wyswobodzoną zostanie z pod jarzma niemieckich uroszczeń. Prosił tedy biskupa pragskiego, ażeby pozostał w Gnieźnie, już wtenczas bowiem nosił się Bolesław I z myślą, ażeby w stolicy swej książęcej mógł założyć arcybiskupstwo, do któregoby jako sufraganie należały biskupstwa, któreby w przyszłości w ziemiach polskich powstały. — Równocześnie napomknął gorliwemu Apostołowi słowiańskiemu o tem, iż z arcybiskupiej stolicy gnieźnieńskiej będzie mógł korzystnie kierować nawracaniem pogańskich dotąd szczepów słowiańskich. O to wszystko chciał się postarać u Stolicy świętej, dokąd niezwłocznie przyrzekł wyprawić poselstwo od siebie.

Podobne przedstawienia mogły się podobać człowiekowi zwyczajnemu. Inaczej atoli zapatrywał się na to wszystko mąż Boży. Na pierwszem miejscu stało u niego święte posłuszeństwo.

Kiedy więc Bolesław Chrobry wspominał o poselstwie do Rzymu, prosił go św. Wojciech, ażeby do Pragi wysłał mężów roztropnych, którzyby tamtejszym owieczkom jego oświadczyli, że na rozkaz papieża Grzegorza V i z polecenia arcybiskupa mogunckiego Willigizego gotów wrócić do swej owczarni.

Z tych słów przekonał się książę polski osobiście, jak prawdziwe były wszystkie wiadomości, które go dochodziły o wysokiej doskonałości biskupa praskiego. Podobne posłuszeństwo, z takiem zaparciem samego siebie, może być jedynie owocem głębokiej pokory. Więc nie opierał się dłużej usilnym prośbom Wojciecha, jeno czemprędzej wyprawił poselstwo do Pragi.

Poselstwo polskie pośpieszyło z wielką serdecznością do bratniego narodu, który mu dał Dąbrówkę, a z nią i wiarę świętą i chrobrego księcia Bolesława. Ale jakież było zdumienie dostojników polskich, gdy stanęli w Pradze. Po oznajmieniu Prażanom, z czem do nich przybyli, spostrzegli zmianę do niepoznania na twarzach czeskich. Zamiast słowiańskiej szczerości, zamiast wrodzonej wszystkim pokrewnym szczepom uprzejmości i gościnności, okazali Prażanie świetnemu poselstwu polskiemu brutalną niechęć. Naradziwszy się na prędce pomiędzy sobą, odpowiedział główny przywódca wzburzonych Czechów tonem gniewnym i w słowach pełnych rozjątrzenia:

— Powiedzcie księciu waszemu i Wojciechowi, iż jesteśmy grzesznikami i narodem twardego karku a nieposkromionego serca, biskup zaś podobno jest mężem świętym i ulubieńcem bożym: niechaj przeto pomiędzy nami nie będzie nic wspólnego. Taki mąż, jakim jest Wojciech, nie zniesie towarzystwa i obcowania z niegodziwymi. Wiemy my dobrze, co ta udawana pobożność w sobie ukrywa i przeczuwamy, że nie gorliwość o nasze zbawienie, ani też głos sumienia prowadzi go do opuszczonych owieczek, lecz chęć pomszczenia się za wyrządzone krzywdy braciom i rodzinie jego. Stąd wypływa, że Wojciecha nie pragniemy.

Wróciwszy do Gniezna, opowiedzieli panowie polscy księciu przyjęcie swoje w Pradze, i w jego przytomności powtórzyli świętemu Wojciechowi odpowiedź, jaką mu nieszczęśliwe jego owieczki przez usta ich przesyłają. Mąż Boży nie zmieszał się wcale taką szorstkością zatwardziałych djecezjan swoich, gdyż sumienie dawało mu świadectwo, iż wszystkich używał środków godziwych, by uratować tę powierzoną jego pieczy owczarnię. Mówił więc:

„Potargałeś Panie więzy moje, Tobie składam ofiarę chwały, ponieważ ich odrzucenie mej osoby uwolniło mię od jarzma i kłopotów pracy pasterskiej. Wyznaję dzisiaj, o słodki i dobry Jezu, żem jest Twoim zupełnie i Tobie poddanym. Nie chciałeś, abym był pożyteczny tym, którzy Tobą pogardzają. Nie chciałeś tych, którzy cię nie chcą, opuściłeś tych, którzy cię opuścili i którzy drogą dobrą nie postępują, lecz idą za grzechami swoimi. Już teraz nie lękam się ani odwołującego mię Papieża, ani zasmucających mię listów arcybiskupa. Wszak ciż sami, którzy niegdyś do ucieczki mię zniewolili, jawnie teraz mówią: Nie chcemy cię!

Wzniosłe słowa św. Wojciecha, wyrzeczone jakoby w zachwyceniu, wywarły ogromne wrażenie na Bolesławie Chrobrym. Tem usilniej ponawiał błagania swoje, aby mąż Boży pozostał w jego kraju i sprawował urząd biskupi w Polsce, skoro właśni rodacy nim pogardzili.

Nie wymawiał się sługa Boży od prac apostolskich na ziemi polskiej, skoro nie chciano go przyjąć we własnym kraju. Stanowczo przecież oświadczył Bolesławowi, iż w księztwie jego tylko krótki czas zabawi, ponieważ trzeba mu iść za głosem Ojca świętego, który przy ostatniem pożegnaniu wyrzekł do niego: „A jeźli cię twoi nie przyjmą, będziesz się mógł udać do pogan i tam Ewangelję ogłaszać". Potem wyznał księciu, iż rozmyśla nad tem, do którego ludu nadbałtyckiego ma się udać: czy do Lutyków, czy też do Prusaków.

Widząc tedy chrobry książe, iż silnej woli męża Bożego przełamać nie zdoła, radził mu, ażeby apostolstwo swoje rozpoczął z Prusakami, którzy z księstwem jego sąsiadują, a Pana Jezusa jeszcze nie znają. Sługa Boży zgodził się na to i śpieszno mu było z rozpoczęciem tego dzieła, za którem od tylu

już lat z takiem upragnieniem wzdychał. Tymczasem zwrócił mu Bolesław uwagę, iż najbezpieczniejsza przeprawa do Prus jest Wisłą na łodziach; więc należy zaczekać do wiosny, aż kry z rzeki odpłyną. Przystał więc św. Wojciech na spędzenie zimy w Polsce.

Jakiego rodzaju była praca jego, ile przez tę jedną zimę zdziałał, i jakie obfite owoce ta praca jego wydała, o tem świadczą po dziś dzień bardzo liczne studzienki, źródełka, kamienie i inne pamiątki w różnych stronach ziemi naszej z pobożną czcią przechowywane. Wskazując lud wielkopolski na tę drogą spuściznę po św. Wojciechu, opowiada zarazem budujące legendy o tym gorliwym Apostole. Przypominają one Polakom od pokolenia do pokolenia, co kronikarze i naoczni świadkowie na kartach zapisali o św. Wojciechu, że on nie umiał i nie chciał próżnować, że życie jego na ziemi było nieprzerwanym łańcuchem, którego ogniwa tworzyła modlitwa i praca. A cóż dopiero powiemy o tych setkach kościołów, kaplic i ołtarzy jakie pod wezwaniem św. Wojciecha dotąd na ziemi polskiej istnieją?

Przez całą tedy zimę z roku 996 na 997 lud polski słuchał ze skruchą w sercu tego porywającego głosiciela słowa Bożego. Słuchał go z tem większym skutkiem, że mowę czeską bez trudności rozumiał; a co z serca, przejętego miłością Boga i bliźniego płynęło, trafiało również do serca.

Dwa głównie miejsca w Wielkiej Polsce uświęcone są pamięcią i czcią św. Wojciecha: Gniezno i Trzemeszno. Przy drogich szczątkach Świętego przechowują się także inne jeszcze pamiątki, świadczące o pobycie i pracach apostolskich tego męża Bożego na ziemi wielkopolskiej. On to w pieśni „Boga Rodzica“ podał główne artykuły wiary świętej. Kościół katolicki doznał niemałego wzrostu w ziemiach polskich przez apostolstwo św. Wojciecha.

Legendy Wielkopolskie.

Z pieśnią Bogarodzica na ustach przechodził św. Wojciech dzielnice Bolesława Chrobrego porą zimową 996 roku.

Zdążając św. Wojciech z Krakowa ku stolicy Bolesława Chrobrego, pytał się w jednej wsi o drogę do Gniezna. A ponieważ miał na sobie habit benedyktyński i mówił po czesku, wybuchli owi wieśniacy szyderczym śmiechem i nie dali mężowi Bożemu i jego towarzyszom żadnej odpowiedzi. Zasmuciła św. biskupa taka lekkomyślność ludu wiejskiego. Idąc tedy za przykładem św. Pawła apostoła, ukarał ich na ciele, „aby duch był zachowan“. Dla pobudzenia ich do skruchy a przestrogi innych rzekł pełen Ducha św.: „ponieważ mówić nie chcecie na cześć i chwałę Bogu, Imieniem Jego rozkazuję, abyście zaniemówili“. Tejże chwili dotknął ich palec Boży, a oni w płaczu i narzekaniu pokutowali za tę swawolę.

W drugiej wsi spotkała sług Bożych podobnaż zniewaga.

Nareszcie za przybyciem do trzeciej wsi zostają bardzo uprzejmie przyjęci i serdecznie ugoszczeni. Kiedy św. Wojciech opowiedział im cel swej podróży i prosił o wskazanie drogi do Gniezna, opowiedzieli mu poczciwi kmiotkowie z nadzwyczajną grzecznością i przychylnością, którędy iść wypada, jaka droga najkrótsza i najbezpieczniejsza. Podziękowawszy mąż Boży włościanom za tę gościnność, puścił się z towarzyszami swymi w dalszą drogę, a po niejakim czasie stanął szczęśliwie na górze Lecha.

Gdy sława św. Wojciecha poczęła się rozchodzić po dzielnicach Bolesława Chrobrego, doszła wieść o żarliwych jego naukach i rozlicznych cudach, także do owych dwóch wsi, gdzie ten sługa Boży takiej doznał zniewagi i gdzie mieszkańcy tych włości mowy byli pozbawieni, lecz słuch zatrzymali. Bez straty czasu wybrali się w podróż, by odszukać tego męża Bożego i za jego pośrednictwem przebłagać obrażony Majestat Najwyższego.

Przecisnęli się przez tłumy zachwyconych słuchaczy, rzucili się do nóg słudze Boskiemu, a westchnieniami, płaczem prosili o przebaczenie winy.

Widząc św. Wojciech skruszonych winowajców, zaprzestał dalszej swej nauki do ludu, a zwracając mowę swoją do tych nieszczęśliwych, rzekł z anielską dobrocią i łagodnością:

— Wiem bracia, wiem kto jesteście. Widzę, że was dotknęła ręka Pana, który dał wam ten rozum, abyście uznali grzech wasz i zbliżyli się do Tego, który uzdrawia skruszonych na sercu. Ogłaszam wam, że z tej także przyczyny sam Bóg miłosierny, którego ja jestem sługą, przebaczył wasz błąd: dla tego i ja sługa Jego, w imię samego Boga i Pana naszego Jezusa Chrystusa, Stwórcy wszystkiego, przywracam wam władzę języka.

Po tych słowach uczynił znak krzyża św. a natychmiast zaczęli mówić w obec wszystkich zdumionych. A kiedy jednogłośnie zażądali chrztu św., zaznajomił ich w krótkości wedle ich pojęcia z najgłówniejszemi zasadami wiary św. i odrodził ich z wody i z Ducha św.

Nowoochrzczeni odezwali się do św. biskupa:

— Sługo wszechmocnego Boga! świętości twojej błagamy jednomyślnie, abyś za nadużycie, za pogardę i za śmiałość naszą, których się dopuściliśmy przeciw tobie umysłem zaślepionym i szalonym, nałożył na nas coś wielkiego za pokutę zbawienną na zadosyćuczynienie i na pamiątkę naszym potomkom.

Rozradowało się serce św. Wojciecha na te słowa odrodzonych kmiotków, tak, iż z rozpromienionem obliczem odezwał się do nich:

— Chwalę was synowie, że upokarzacie się pod ręką Boską, jednakże bądźcież zapewnieni, że ten grzech wasz jak i wszystkie inne zostały wam odpuszczone w sakramencie chrztu św. Odtąd czuwajcie tylko nad tem, abyście do dawnych grzechów nie powrócili, albo też w jeszcze gorsze nie popadli, przez co utracilibyście łaskę otrzymaną.

Gdy poczciwi włościanie nie przestali nalegać na św. Wojciecha, ażeby im zbawienną pokutę naznaczył, polecił im przez jeden rok przedłużyć czas wielkiego postu na dziewięć tygodni, jak to było zwyczajem u niektórych gorliwych chrześcijan. Z głęboką pokorą i wielką radością przyjęli to przykazanie i nie jeden rok, ale przez całe życie swoje strzegli go pilnie i wiernie. Nadto starali się przekazać takowe potomności do zachowania jakoby prawem dziedzicznem.

Około dwieście pięćdziesiąt lat zachowywali Polacy nieprzerwanie ten dziewięcio-tygodniowy post, wstrzymując się od pokarmów mięsnych dla uczczenia św. Wojciecha i na pamiątkę cudownego przywrócenia mowy kmiotkom onych dwóch wsi. W roku 1248 złagodził post ten na synodzie w Wrocławiu legat papiezki Jakób, archidjakon leodyjski, który roku poprzedniego przybył do Polski, a 1261 jako Urban IV zasiadł na Stolicy świętej.

Już za Mieczysława I przyjęło bardzo wielu Polaków Chrzest św., bo książę ten z wielką żarliwością starał się o wytępienie zasad pogańskich w dzielnicach swoich i o rozkrzewienie świętej wiary chrześcijańskiej. W ślady pobożnego ojca wstępował syn chrobry. Mimo to było niemało zaślepionych i zatwardziałych pogan pomiędzy Polakami, którzy ani prośbami, ani groźbami nie dali się odwieść od zastarzałych błędów i nałogów swoich Takich to właśnie zabłąkanych owieczek szukał przedewszystkiem św. Wojciech.

Pewien rycerz polski, imieniem Goraj, był bardzo zamożny. Posiadał warowny zamek z liczną załogą wojskową, a prócz tego miał kilka miast i dużo wsi, z których ogromne ciągnął zyski. Żona jego uwierzyła w Pana Jezusa i zaszczepiała te same zasady w jedynaka swego Radogosta, lecz Goraj trwał uporczywie w pogaństwie.

Krótko po przyjęciu chrztu św. polecił Mieczysław I ochrzczonym rycerzom swoim, ażeby go wspierali w nawracaniu pogańskich jego poddanych. Każdy rycerz chrześcijanin miał być niejako apostołem. W tym młodzieńczym zapale poszedł nowo-ochrzczony książę polski nawet tak daleko, iż wydał rozkaz, ażeby poddani jego w przeciągu jednego roku wyrzekli się błędów pogańskich, jeżeli nie chcą się narazić na jego niełaskę. Goraj zamknął się w swoim zamku warownym, a posłom książęcym kazał powiedzieć, iż o nowej wierze nic wiedzieć nie chce i że wolałby się dać pogrzebać w gruzach swego zamku, niż odstąpić rodzinnych bogów swoich.

Pobożny książe ubolewał nad zaślepieniem jednego z najbitniejszych i najzamożniejszych rycerzy swoich. Wysłał przeto nowych orędowników do niego, którzy mieli na inną naprowadzić go drogę. Goraj przyjął ich jak najgorzej i rzekł:

— Powiedźcie mojemu panu, że gardzę tym, kto zmienia wiarę przodków swoich; ja tego nigdy nie uczynię!

Mieczysław uważał dumną odpowiedź Gorajа za obrazę majestatu książęcego, której nie godziło się puszczać płazem.

Gorliwością o chwałę Bożą uniesiony, wysłał Mieczysław I znaczny oddział swego wojska przeciwko krnąbrnemu poddanemu i zatwardziałemu poganinowi. Goraj bronił się mężnie z wiernem mu rycerstwem: pobił wojsko książęce i rozproszył. Widocznie nie podobało się Bogu, że Mieczysław orężem chciał pogan do przyjęcia św. wiary chrześcijańskiej zmuszać. Dopuszczeniem tem przypomniał Pan Jezus gorącemu krzewicielowi i obrońcy chrześcijaństwa na ziemi polskiej, co niegdyś rzekł do żarliwego Piotra św.: *„Obróć kord swój na miejsce jego: albowiem wszyscy którzy miecz biorą, mieczem poginą.* O tym to Goraju przechowała się następująca legenda:

Za panowania Bolesława Chrobrego nie zmienił Goraj w niczem sposobu myślenia i postępowania swego. Przy zasadach pogańskich szczęściło mu się w jego zabiegach ziemskich: rósł w majątek, ale też w pychę i zapalczywość przeciwko chrześcijaństwu. Srodze uciemiężał poddanych, napadał sąsiednie zamki, pustoszył majątki, burzył świątynie chrześcijańskie.

Na zamku Goraja zbierał się stek podobnych jemu pogan zuchwalców, rozpustując i biesiadując po nocach. W ciemnych piwnicach podziemnych jęczeli chrześcijańscy jeńcy bez nadziei wyswobodzenia się ztamtąd. Z jednej strony szalone biesiadników krzyki, dzikie śpiewy pogańskich guślarzy i modlitewników, z drugiej strony jęk, płacz i wyrzekania ciemiężonych jeńców rozlegały się w zamku.

Groźna chmura gniewu Bożego zawisła nareszcie nad owym przybytkiem rozpusty i okrucieństwa pogańskiego. Nikt nie śmiał się zbliżyć pod mury tego zaklętego grodu.

Jeden tylko mąż święty, wezwawszy Boga na pomoc, przeszedł bez oręża progi zamkowe, i ze słowem Chrystusa na ustach stanął pośród biesiadników. Był to św. Wojciech.

Na widok poważnego męża w szacie duchownej, zdumieli się zebrani na zamku poganie. Sam tylko Goraj nie poddał się ogólnemu wrażeniu, ale zuchwale rozkazał służalcom swoim pojmać świętego i wtrącić go do ciemnicy.

Lecz o cudo! wkrótce biskup ukazuje się znowu w kole pogan i mówi do Goraja:

— Cóż znaczą twe warowne twierdze w obec żywej wiary w Chrystusa? Ochrzcij się sam i cały dom twój, albowiem powiadam ci: wkrótce nie zostanie kamień na kamieniu z tego grodu, w którym sądzisz się bezpiecznym; a syn twój najulubieńszy w dzień swego imienia zginie od pioruna, jeśli dłużej trwać będziesz w pogańskich błędach.

To powiedziawszy św. Wojciech zniknął z oczów bałwochwalcom.

Przerażenie pogan było ogromne. Łaska Boska zaczęła się gwałtem dobywać do serc niektórych. Już postanowili szukać św. apostoła, i wyznać przed nim swe błędy. Jeden tylko Goraj stał niewzruszony w zaślepieniu i zuchwalstwie swojem. Powstrzymawszy towarzyszów i naśmiewając się z ich przestrachu, rzekł szyderczo:—Zobaczymy czy piorun będzie silniejszy od żelaza!

Bez straty czasu rozwinął dumny poganin nadzwyczajną czynność. Otworzył ogromne swoje skarby. Zapozwał kowali i hutników i rozkazał im wybudować piwnicę z żelaza opodal zamku, przykazując wszystkim milczenie o tem, co się dzieje pod ziemią. Każdemu zaprzysiągł śmierć wśród najwyszukańszych mąk, z którego ust wyszłaby wieść o tem, iż Radogost w dzień swego imienia ma zginąć od pioruna.

Młodzieniec ten nie przeczuwał co go czeka. Matka odumarła go w pierwszych latach młodości, nauczywszy go modlić się do jednego Boga. Poddani ojcowscy kochali go wprawdzie serdecznie, ale sami nic nie wiedzieli o grożącem mu niebezpieczeństwie. W oczach Goraja uchodził Radogost za wyrodnego syna, gdyż w niczem nie był mu podobny. Stronił od ofiar bogom rodzinnym składanych. Nie chciał należeć do biesiad rycerstwa zamkowego a natomiast litował się nad jęczącymi w piwnicach chrześcijanami, i jak mógł osładzał im niedolę. Mimo to wszystko kochał go stary Goraj nad życie, najgorętszem też było jego pragnieniem, ocalić go od śmierci zapowiedzianej i dla tego im bliższy był ów dzień sądu Boskiego, tem większą trwogą napełniało się serce ojcowskie.

Nadszedł nareszcie dzień urodzin Radogosta. Stary Goraj przywołał syna do siebie, i objawił mu przepowiednię kapłana chrześcijańskiego, jako też przeznaczenie wystawionej piwnicy żelaznej. Radogost spokojnie wysłuchawszy ojca odrzekł z łagodnością:

— Moje życie jest w ręku Boga, który ogromny ten świat stworzył z niczego i który go w niwecz obrócić może. Niczem zatem piwnica w obec Jego wszechmocnej potęgi.

— Czyń więc co chcesz,—odpowiedział zdumiony słowami syna ojciec. Młodzieniec, zamiast schronić się do piwnicy, wyszedł na otwarte pole, i tam upadłszy na kolana pod jasnem nieba sklepieniem, złożone do modlitwy ręce podniósł do góry i tak wołał do Boga:

— Ojcze niebieski! któryś Syna swego zesłał do odkupienia ludzkiego rodu, wejrzyj na niegodnego sługę swego Radogosta i przyjmij go dziś do raju.

Nagle czarna nad zamek nadciągnęła chmura; z strasznym hukiem i trzaskiem wypadły z niej pioruny i w mgnieniu oka zniszczyły żelazną piwnicę, a w lochach zamkowych pokruszyły pęta z rąk niewolników. Radogost ocalał na polu, w gorącej zatopiony modlitwie. Ojciec zaś jego przelękniony wybiegł z zamku i gdy znalazł go żywego, na polu, ukląkł obok niego, aby z nim razem wielbić Boga chrześcijańskiego, który tak jawnie okazał cudowną moc swoją.

Tejże chwili zjawia się obok ojca i syna, klęczących na modlitwie, kapłan chrześcijański. Podniósłszy rękę nad ich głowami, polał je św. Wojciech wodą, wymawiając te słowa: „Ja was chrzczę w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego“.

Zachodzące słońce złocistym promieniem oświeciło klęczących ojca i syna, a Bóg spoglądał z nieba na ten cud swej wszechmocności, błogosławiąc polskiej ziemi. Był to chrzest ostatniego poganina Polaka.—Takiemi słowy kończy się ta budująca legenda z czasów Bolesława Chrobrego i św. Wojciecha. A podobnych legend zasłyszysz i dziś jeszcze nie mało w różnych stronach Polski, żywe świadectwa gorliwości apostolskiej Patrona naszego na ziemi polskiej, które z jednego pokolenia na drugie przechodząc aż do naszych się czasów przechowały,

Pomiędzy Gnieznem a Wągrówcem leży miasteczko Mieścisko, Jadąc do Gniezna spostrzegasz po lewej stronie Mieściska wieś szlachecką Budziejewo.

Kiedy św. Wojciech 996 roku apostołował po ziemi wielkopolskiej, przybył także i w te strony, gdzie leży dzisiejsza wieś Budziejewo. Na tem samem wzgórzu, na którem stoi dzisiejszy kościołek św. Wojciecha, leżał kamień ogromnych rozmiarów, który mąż Boży obrał sobie za ambonę i z niego przemawiał do licznej rzeszy.

Już zwłoki św. biskupa i Męczennika kilkanaście lat spoczywały w katedrze gnieździeńskiej, kiedy kapituła gnieździeńska zapragnęła drogą tę pamiątkę po św. Wojciechu sprowadzić na górę Lecha.

Nastała tęga zima i ogromne spadły śniegi, zajęto się więc raźnie tą sprawą. Szczęśliwie dostano olbrzymi ten kamień na sanie; założono kilkadziesiąt silnych wołów i ruszono z góry ku Gnieznu. Aliści o jakie sto kroków od góry ugrzęzły sanie z kamieniem tak głęboko, że wydostać ich nie było można i trzeba było zamiaru zaniechać.

Tak opowiada, lud tę legendę według której św. Wojciech nie dopuścił, aby pamiątkę po nim z miejsca tego zabrano.

Kościołek św. Wojciecha w Budziejewie, dotąd w wielkiem jest poszanowaniu u wszystkich wiernych w całej tamtejszej okolicy i w dzień 23 kwietnia każdego roku liczne przybywają tam kompanie z obrazami i chorągwiami.

Zasiawszy zdrowe ziarno ewangeliczne na urodzajnej glebie polskiej, wybrał się mąż Boży do pogańskich Prusaków, gdzie wedle wyroków nieba miał odebrać grosz umówiony za gorliwą a sumienną pracę w winnicy Pańskiej i palmę zwycięstwa. Ażeby zaś przedstawić obraz tej działalności św. Patrona naszego, wypada nadmienić słów kilka o ludach nadbaltyckich.

Misje św. Wojciecha wśród pogan.

Na północ od Polski Bolesławowej, tam gdzie nasza Wisła wody swoje kilku korytami wlewa do Baltyku, nad brzegami tego morza wschodniego istniały za czasów Chrobrego różnorodne ludy, które z wiekami zbliżyły się religją, zwyczajami i obyczajami do plemion słowiańskich. Nie były to ludy napływowe, koczujące, ale od wieków tam już zamieszkałe. Kronikarz słowiański Nestor pisze: „Lechowie, Prusy i Czudowie przytykają do morza waręgskiego“.

Lud nadbaltycki w dziejach Polski znany jest powszechnie pod imieniem Prusaków. Ci zaś Prusacy za czasów Bolesława Chrobrego mieli podobieństwo w mowie, zwyczajach, obyczajach i obrzędach ze Żmudzinami i czyli Litwinami.

Prusacy mieszkali między błotami i jeziorami, jakoby warownemi zamkami osaczeni, tak iż przystęp do ich osad nadzwyczajnie był trudny. To też bronili się dość długo przeciwko najazdom cudzoziemców, zwłaszcza gdy przez ludy germańskie w gościnności swojej boleśnie zawiedzeni zostali. Przy takiem położeniu kraju nie można było zrazu myśleć o zakładaniu miast, wsi lub rozleglejszych zagród ani też o jakim wspólnym rządzie. Nie mieli przeto ani książąt, ani wodzów, ani też jakichkolwiek przełożonych.

Wyobrażenia religijne Prusaków zbliżały się bardzo do pogańskiej wiary ludów słowiańskich, z któremi jako sąsiadami żyli w przyjaźni. Od najdawniejszych czasów oddawali oni cześć ogniowi, pod nazwiskiem Znicza. Był to święty, wieczny ogień, którego nigdy nie gaszono. Znicz dniem i nocą palił się na ołtarzach dla rozlicznych bóstw, pod strażą kapłanów czyli wajdelotów i kapłanek czyli wajdelotek. Dziewice bogom poświęcone podsycały nieustannie ogień święty; a jeżeli z ich winy zgasł, bywały śmiercią karane.

Uważając słońce za źródło ognia, czcili takowe w postaci boga.

Pogańscy Prusacy nie stawiali dla bałwanów swoich żadnych świątyń, jeno poświęcali im całe obszary pola lub łąki, dębami obrosłe. Pod najstarszym dębem ustawiano posągi bożków i składano im także ofiary.

Podług opowiadania Helmolda miała krew chrześcijan miłą być im bogom.

Przed wszystkimi innymi nienawidzili Prusacy najbardziej misjonarzy. Gdy którego w ręce dostali, bili go kijami, potem oprowadzali go po kraju dla pośmiewiska. Żądali od niego, ażeby się wyrzekł Chrystusa, a skoro wierny sługa Chrystusowy tego nie uczynił, ucinali mu ręce, nogi, a w końcu głowę. Kadłub wyrzucali na rozstajne drogi, głowę poświęcali bożkowi na ofiarę. Podobny los spotkał i kilku misjonarzy w ziemiach nadbaltyckich.

Na początku marca 997 roku wrócił św. Wojcioch do Gniezna ze swoich podróży apostolskich w dzielnicach Bolesława Chrobrego i oświadczył księciu, iż się zabiera do wykonania woli Ojca św. Bolesław nie powstrzymywał dłużej męża Bożego w ziemiach swoich; boć jako „Szermierz Chrystusowy“ pracował on także nad tem, ażeby wszędzie i we wszystkiem wola ludzka poddawała się woli Boskiej. Więc nie tracąc czasu, zarządził przygotowania do tej wyprawy apostolskiej na wybrzeże Baltyku do pogańskich Prusaków.

Pożegnanie i rozstanie się dwóch szlachetnych mężów było nader rzewne. Przeczuwając niejako, iż na tym świecie oblicza swego więcej oglądać nie będą, polecili wzajemnie siebie i sprawy swoje Opatrzności Najwyższego, i dali sobie pocałunek chrześcijańskiej miłości.

Zabrawszy z sobą dwóch towarzyszy: nieodstępnego brata rodzonego Radzyma i kapłana Boguszę przybył z nimi św. Wojciech do Starego Wyszogrodu, tam gdzie Brda wpada do Wisły. Stał tam kościół na otwartem polu, owóż do tego kościoła miał wstąpić biskup pragski i poświęcić go.

W Wyszogrodzie zastał św. Wojciech przygotowaną już łódź wygodną i trzydziestu zbrojnych ludzi, dodanych dla osobistego bezpieczeństwa biskupa prag skiego.

Łódź z misjonarzami zatrzymała się pod Gdańskiem, należącym juz wtedy do obszernych ziem Bolesława. Tu wysiedli wszyscy z łodzi dla zaopatrzenia się w żywność na dalszą drogę. Wiara chrześcijańska nie była wprawdzie zupełnie już obca w tem mieście kupieckiem, lecz po krótkiem rozpatrzeniu się poznał św. Wojciech, iż więcej było bałwochwalców jak wiernych. Rozpoczął przeto głosić słowo Boże.

Bolesław Chrobry wysłał św. Wojciecha głównie z tego powodu nasamprzód na polskie Pomo-

rze, ponieważ tameczny książe Światopełk był jego zięciem, i to już ochrzczonym. Gdy bowiem tenże starał się o rękę jego córki. żądał Bolesław od niego, by poprzednio przyjął chrzest święty. A że św. Wojciech w tym samym czasie apostołował w dzielnicach polskich, kiedy Światopełk bawił na dworze Chrobrego, więc też przez tegoż Apostoła Słowian książe pomorski ochrzczony został. Skoro tedy św. Wojciech przybył do stolicy księcia pomorskiego, przyjął go tenże z nadzwyczajną uprzejmością. Nadto nie szczędził Światopełk żadnych trudów ani zabiegów, ażeby poddani jego jak najliczniej gromadzili się około tego sługi Bożego. Gdańszczanie słóchali go też z wielkiem zajęciem, a łaska Boska nie napotykała tu na opór ludzi złej woli. Wielkie tłumy przyjęły wiarę i zażądały chrztu świętego.

Aczkolwiek krótki był pobyt św. Wojciecha w stolicy polskiego Pomorza, to przecież zasiew słowa Bożego padł tu na rolę urodzajną.

Przecież całe wieki krzewiła się święta wiara katolicka z wielkiem powodzeniem w ziemiach pomorskich, a pamięć i cześć św. Wojciecha przechodziła z pokolenia na pokolenie. Dowodem tego liczne kościoły, kaplice publiczne i ołtarze, jakie na polskim Pomorzu pod Jego wezwaniem aż do zeszłego stulecia jeszcze tu i owdzie się wznosiły. Poczciwy lud kaszubski aż do dni naszych serdeczną czcią przyjęty dla tego Apostoła Prusaków, i on też głównie strzegł ten święty ogień katolickiej wiary na dawnem Pomorzu polskiem i na dzisiejszej ziemi pruskiej.

Na pruskiej ziemi pierwszy napad.

Odprawiwszy św. Wojciech mszę świętą w Gdańsku pożegnał gorącem przemówieniem pobożnych mieszkańców stolicy polskiego Pomorza, podziękował za gościnne przyjęcie i udzielił wszystkim z głębi serca błogosławieństwa arcypasterskiego. Następnie wsiadł z towarzyszami do łodzi, a płynąc ku ujściu Wisły, zniknął na zawsze z oczu poczciwych Kaszubów, dostawszy się na otwarte morze.

Niebo sprzyjało żeglarzom po falach Baltyku. Przy pomyślnym wietrze przybyli w krótkim stosunkowo czasie do brzegów Hafu.

Skoro tylko św. Wojciech na ziemi pruskiej stanął, rzucił się na kolana i w gorącej modlitwie błagał Boga, ażeby błogosławić raczył jego misji wśród narodu pogańskiego. Następnie otworzył księgę z Psalmami, która nieodstępnym była jego towarzyszem, i naprzemian z Radzymem i Boguszą zaczął śpiewać: *„Pan oświecenie moje i zbawienie moje, kogoż się będę bał? Pan obrońca żywota mego, kogoż się będę lękał? Gdy się przybliżają na mię szkodnicy, aby żarli ciało moje. Którzy mię trapią nieprzyjaciele moi: zemdleli i upadli. Choćby stanęły przeciwko mnie wojska, nie będzie się bało scrce moje.*

Po prześpiewaniu całego Psalmu podniósł się mąż Boży z ziemi; podziękował żołnierzom polskim za to, iż go bezpiecznie do celu jego podróży przywieźli; pożegnał ich i kazał wracać do zagrody domowej. Nie chciał bowiem ani jednego człowieka zbrojnego mieć w swojem otoczeniu, by tem nie zrazić Prusaków, którzy już i bez tego podejrzliwem patrzyli okiem na każdego cudzoziemca. Dla siebie i dwóch towarzyszów zatrzymał cokolwiek żywności na pierwszy początek misji, i jedną małą łódkę z tych, które przyczepione były do większego statku.

Równocześnie, jak okręt Bolesława Chrobrego z załogą zbrojną wracał na otwarte morze, posuwała się maleńka łódka z trzema żeglarzami rzeką Preglą w głąb błotnistych osad pogańskich Prusaków. Wreszcie zatrzymała się na wysepce naprzeciwko dzisiejszego miasteczka Brandenburga. (Tak przynajmniej wnioskują nasi badacze z opisu żywota św. Wojciecha przez Kanaparza). Tu wysiada mąż Boży po raz drugi z Radzymem i Boguszą z małej łódki na ziemię pruską.

W tym samym czasie rozeszła się wieść po sąsiednich osadach, że jacyś goście nieznanych obyczajów przypłynęli morzem nad ich brzegi, że większy statek wrócił na morze, a na łódzce puściło się kilku ludzi rzeką w głąb kraju. Garstka tedy krajowców wsiada do małej łódki, dostaje się Preglem pod ową wysepkę i skrada się cichaczem między zaroślami aż do tych mężów modlitwą zajętych. Naraz wypadają z ukrycia i badają cudzoziemców, skąd i po co tu przybyli. Podczas gdy towarzysze niezrozumiale się tłumaczą, śpiewa mąż Boży niewzruszony dalej pieśni z psalterza. W tem jeden z krajowców który najbliżej stał biskupa, uderzył go wiosłem tak silnie między łopatki, iż psalterz wysunął się z rąk jego, a święty padł jak nieżywy na ziemię.

Jeżeli czempędzej ztąd nie odejdziecie przypłacicie wołał poganin, zuchwałość waszą życiem, po długich a strasznych mękach.

Nie zważając na dzikie krzyki zaczęli Radzym i Bogusza trzeźwić leżącego na ziemi świętego. Jak tylko mąż Boży z omdlenia przyszedł do siebie, zawołał z anielskim wyrazem na twarzy: „Dzięki ci Panie, że dla ukrzyżowanego Zbawiciela choć to jedno uderzenie odnieść zasłużyłem“. Tak wielka radość przepełniała jego serce, iż czuł gwałtowną potrzebę wynurzenia jej słowami. „Albowiem z obfitości serca usta mówią“.

Pierwsza zbrodnia dokonana na wysepce pomiędzy dzisiejszemi miastami Brandeburgiem a Królewcem odebrała czasu swego zasłużoną karę doczesną. Kiedy niemiecki zakon krzyżaków nie mógł zawojować pogańskich Prusaków przywołał na pomoc książąt i królów niemieckich. Między innymi pomagali krzyżakom tępić lud pruski margrabia

brandeburski Jan i król czeski Ottokar. Bronili wprawdzie pogańscy Prusacy domów swoich, lała się obficie krew pruska, niby w imię wiary świętej, jak gdyby to Pan Jezus naukę swoję świętą mieczem i ogniem rozszerzać nakazał. Ale byłoto dopuszczenie Boskie za zniewagę wyrządzoną przez pogańskich Prusaków prawdziwemu głosicielowi prawdy objawionej.

Naprzeciwko tej samej wysepki na której Prusacy świętego Wojciecha wiosłem ugodzili, wystawili krzyżacy po zgnębieniu Prusaków dwa zamki W stronie północnej zbudowali zamek królewski na uczczenie króla czeskiego Ottokara, który nazwali „Koenigsberg“. Jestto dzisiejszy Królewiec. W południowej stronie tej wysepki stanął zamek na cześć margrabiego brandeburskiego Jana, który otrzymał nazwę: Brandeburg.

Dopełniwszy zbrodni na bezbronnym Apostole, wsiedli owi krajowcy, do swej łódki i wrócili do siedzib swoich. Św. Wojciech ucałował jeszcze raz tę ziemię, na której pierwszą odebrał zapłatę za poświęcenie swoje dla zbawienia dusz ludzkich, a potem pośpieszył z towarzyszami, z tego miejsca niegościnnego przenieść się w inne strony. Po wodach szumiącej Pregli sunęła cicho łódka niosąc ludom pogańskim skarby wiary, nadziei i miłości. Długo niestrudzona przerzynała wód powierzchnię, aż wreszcie zatrzymała się na drugiej stronie rzeki u podnóża góry zielonej, piętrzącej się ponad wybrzeżem.

I wysiadło z łodzi trzech ubogich misjonarzy uklękli wszyscy razem, wznosząc serca do nieba a podziękowawszy Bogu za szczęśliwą przeprawę zapuścili się w głąb kraju wązką jakąś ścieżką Było to w sobotę. Długo szli, nie napotykając nikogo, aż około wieczora spotkał ich pewien możny krajowiec z przyległej osady i zaprowadził do wsi pobliskiej.

Goy mu św. Wojciech opowiedział, kim jest i skąd przybywa, zaprosił go z towarzyszami do siebie.

Przyzwołił też na ich pobyt w tych ziemiach, nad któremi miał zwierzchność i słuchał nauk męża apostolskiego.

Poganin ten dobrej woli miał uwierzyć w Chrystusa, lecz taił się z tą wiarą przed krajowcami, by tem dłużej służył św. Wojciechowi na misji pomiędzy Prusakami.

Krótki przecież był spokój, jakiego mąż Boży zażywał w domu gościnnego gospodarza. Skoro tylko krajowcy dowiedzieli się o przybyciu cudzoziemców do ich osad zgromadzili się ze wszystkich stron do swego naczelnika; otoczyli gromadnie jego dom i z wielkim krzykiem i hałasem domagali się, by im wyjaśniono zkąd przybyli, w jakim celu, i jak długo zabawić tu zamyślają.

Nie chąc narażać gościnnego gospodarza swego, wyszedł św. Wojciech z domu do roznamiętnionej tłuszczy. Tu przemówił do hałasującego tłumu:

Z rodu jestem Słowianinem; imię moje jest Wojcłech, ze stanu jestem zakonnikiem, niegdyś sprawowałem urząd biskupa, teraz zaś jestem waszym apostołem. Przybyłem ze ziemi polskiej. Przychodzę do was dla waszego zbawienia. Jestem sługą Tego, który stworzył niebo i ziemię i morze ze wszystkiem co tylko żyje. Przynoszę wam zbawienie, abyście porzuciwszy błędy, poznali waszego Stwórcę, który sam tylko jest Bogiem; abyście obmyci chrztem św., narodzili sie w Chrystusie i osięgli przezeń odpuszczenie grzechów i królestwo niebieskie.

To przemówienie wprawiło w poruszenie zebrany tłum ludu. Jedni naśmiewali się z mowy, której nie rozumieli. Drudzy lżyli i przeklinali sługę Bożego. Inni miotali najohydniejsze bluźnierstwa na Boga chrześcijan; a byli i tacy, co grozili Wojciechowi i jego towarzyszom śmiercią. Maczugami drewnianemi bili w ziemię, wywijali nimi nad jego głową, krzyczeli namiętnie:

— Poczytaj to sobie za wielkie szczęście, iżeś bezkarnie aż dotąd dotarł; ale jeżeli natychmiast ztąd się nie wyniesiesz, zginiesz rychło śmiercią okrutną. Mamy swoje własne prawa i obyczaje, według których żyjemy; innych nowych nam nie potrzeba; wy zaś, co macie inne, jeżeli tej nocy jeszcze nie ustąpicie, nazajutrz spadną głowy wasze.

W tłumie hałasującej dziczy znajdowali się także pogańscy kapłani, wróżbitowie i czarownicy. Ci to głównie, łatwowierny lud podburzali przeciwko misjonarzom chrześcijańskim; korzystając z zabobonnego usposobienia pogan, zapowiadali różne klęski i nieszczęścia.

Dla obecności tych ludzi wołali, ziemia nasza odmówi urodzaju, drzewa nie rozwiną się, trzody rozpładzać się przestaną, a bydlęta wyzdychają. Wychódźcie przeto czemprędzej z naszych granic.

Św. Wojciech zatem tejże samej nocy, wsadzony na łódkę, wraz z towarzyszami wygnany został z głębi ziem pruskich.

Śmierć męczeńska św. Wojciecha

Dnia 17 kwietnia 997 roku, łódka z trzema misjonarzami po bystrych nurtach Pregli chyżo pędziła ku Baltykowi. Zatrzymali ją misjonarze niedaleko od brzegu zatoki fryzkiej, i wysiedli tamże na ląd sambijski. Podziękowawszy Bogu za szczęśliwe wylądowanie zasnęii; gdyż wszyscy trzej byli nadzwyczajnie znużeni.

Po przebudzeniu się ogarnął św. Wojciecha wielki smutek. Pobożne serce jego trapiło się tem, iż tego ludu nawrócić nie może. Zaczął tedy już nad tem rozmyślać, czyby nie należało zmienić

ubranie duchowne, zapuścić brodę, przybrać strój i obyczaje krajowców, żyć z nimi pospołu, i własną ręką uprawiać rolę, a tak dopiero żyjąc między nimi, powoli pracować nad ich zbawieniem. Może jest wola Zbawiciela, ażeby się udał do innego szczepu letońskiego: do Litwinów lub Żmudzinów, którzyby go lepiej przyjęli i głosu Bożego usłuchali.

W tym samym czasie, kiedy nad Baltykiem trzej misjonarze łamią sobie głowę nad tem, co począć dalej, w Rzymie na awentyńskiej górze objawił Bóg Benedyktynom, co postanowił względem św. Wojciecha. Zakonnik Jan Kanaparz widział dwa płótna białe jako śnieg z nieba spływające, podnoszące z ziemi dwóch mężów, i w najszybszym biegu wzbijające się ponad gwiazdy. Jednym z tych mężów był św. Wojciech; drugiego nie wielu znało, oprócz tego, który go widział.

Wtedy także św. Nil opat z innego klasztoru, temuż Janowi posłał list do Rzymu, zawierający treść taką: „Wiedz najmilszy synu, że nasz przyjaciel Wojciech z tego świata wkrótce do nieba odejdzie".

Piątego dnia pobytu na wybrzeżu nadbałtyckiem, miał Radzym dziwny sen. Opowiadając bratu to nocne widzenie swoje, rzekł: „Widziałem na środku ołtarza kielich złoty, napełniony winem do połowy. Gdy chciałem pić to wino sprzeciwił mi się sługa ołtarza. Z powagą rozkazującą nie dozwolił mi wykonać zamiaru mego i ani mnie ani kogokolwiek z ludzi nie chciał przypuścić do skosztowania z tego wina, ponieważ takowe zachowane było na jutro dla ciebie na posiłek duchowny".

Następnego dnia zaraz po ukazaniu się jutrzenki, powstali trzej mężowie apostolscy ze snu i puścili się w dalszą drogę, śpiewając naprzemian psalmy. Był to piątek. Zrazu szli wzdłuż brzegów morza, które szaloną wrzało burzą. Potem zwrócili się cokolwiek na wschód i szli przez gęste gaje i niebezpieczne wąwozy. Nie mało trudów sprawiło przedzieranie się przez dzikie zarośla i knieje pruskiej puszczy, kędy może noga ludzka jeszcze nie była postała. Chociaż już była pora wiosenna, leżały tu i owdzie grube warstwy śniegu.

Gdy słońce doszło ku południowi przybyli na pole otwarte. Z natchnienia Bożego wiedział św. biskup, że jego godzina wybiła; że po długich znojach i po licznych utarczkach, podjętych za Imię Chrystusowe, już teraz odejść mu przyjdzie z tego świata. Na tem samem przeto miejscu rozkazał Radzymowi odprawić Mszę św.; sam zaś podczas niekrwawej ofiary przyjął najświętszy Sakrament z największą pobożnością, mając wkrótce zostać ofiarą Chrystusową.

Podług innej legendy odprawił na tem miejscu niekrwawą Ofiarę św. Wojciech. Spostrzegłszy to krajowcy, podnieśli straszny zgiełk i zaczęli krzyczeć:

— Ten oto człowiek przyszedł do nas, ażeby czarami i zaklęciami swemi nam złorzeczył i wszelkiego rodzaju klęski na nas sprowadził. Chodźmy przeto i zabijmy go, by ocalić siebie i naszą ojczyznę.

Gdy tedy jak szaleni biegną ku miejscu, gdzie mąż Boży Mszę świętą odprawiał, i już okrążają ołtarz, ogląda się jeden z nich po za siebie i widzi całą osadę, z której przybyli w płomieniach. Z całego więc gardła krzyczy na towarzyszów:

— Wieś nam się pali! Wszyscy odwracają się od ołtarza i śpieszą ku swej osadzie. W drodze przekonują się, iż żadne zgoła niebezpieczeństwo nie zagraża ich mieniu. Więc z tem większem roznamiętnieniem wracają do ołtarza, mówiąc jeden do drugiego:

Było to złudzeniem, cośmy widzieli, a sprawiły to czary tego cudzoziemca.

Już dolatują do ołtarza z kamieni ustawionego, przy którym sługa Boży sprawuje Ofiarę. Już mają wywrzeć na nim swoją wściekłość, kiedy cała wieś ukazuje im się na nowo jak najwyraźniej w jasnych płomieniach. Każdy widzi jak rozszalały ten żywioł pochłania jego dobytek. Wszyscy znowu pędzą co żywo do swej zagrody, by choć cośkolwiek uratować, na miejscu przekonują się powtórnie, że niepojęte jakieś złudzenie opanowało ich zmysły. Kiedy wracają do mniemanego czarodzieja, była Msza św. już skończona.

Po Mszy św. pokrzepili się trzej mężowie apostolscy skromnym pokarmem, a gdy na podziękowanie Panu Bogu odmówili antyfonę z psalmem, wstał św. biskup, odszedł od swych towarzyszów i zasnął natychmiast, gdyż ze zbytniego znużenia sen go zmorzył. Podobnież towarzysze jego w głębokim śnie byli pogrążeni, nie wiedząc, jakie groziło im niebezpieczeństwo.

Święci misjonarze zaszli bezwiednie pod samo Romowe i przekroczyli miejsce bogom poświęcone. Strażnicy pola świętego, widząc, że obcy jacyś ludzie przestąpili miedzę, rzucili się na śpiących i skrępowawszy powrozami, poprowadzili do swoich kapłanów. Gdy ich tak związanych wywiedli na wierzchołek góry, spostrzegł św. Wojciech, że towarzysze jego nie mało się przelękli losem jaki ich spotkał. Począł ich tedy pocieszać, mówiąc:

— Cóż jest piękniejsze, co milsze i co godniejsze, jak życie własne, położyć za Najsłodszego Jezusa Chrystusa?

Słowa te wydały skutek pożądany. Radzym i Bogusza uspokoili się, a zdając się zupełnie na wolę Bożą, czekali cierpliwie, co ich dalej spotka. Nadbiegały coraz liczniejsze tłumy krajowców, otaczając do koła św. Męczenników. Zabobonną nie-

nawiść ku chrześcijańskim misjonarzom podniecali jeszcze bardziej kapłani pogańscy w sercach i umysłach zaślepionej tłuszczy. Kwiożerczą dzikością przewyższał wszystkich innych ofiarnik Syggo. Za-

Ciesz się teraz i raduj, gdyż wedle własnych słów twoich niczego tak gorąco nie pragnąłeś, jak położyć życie za swojego Boga. Zdawało się bowiem szaleńcowi, iż jako kapłan bałwochwalczy

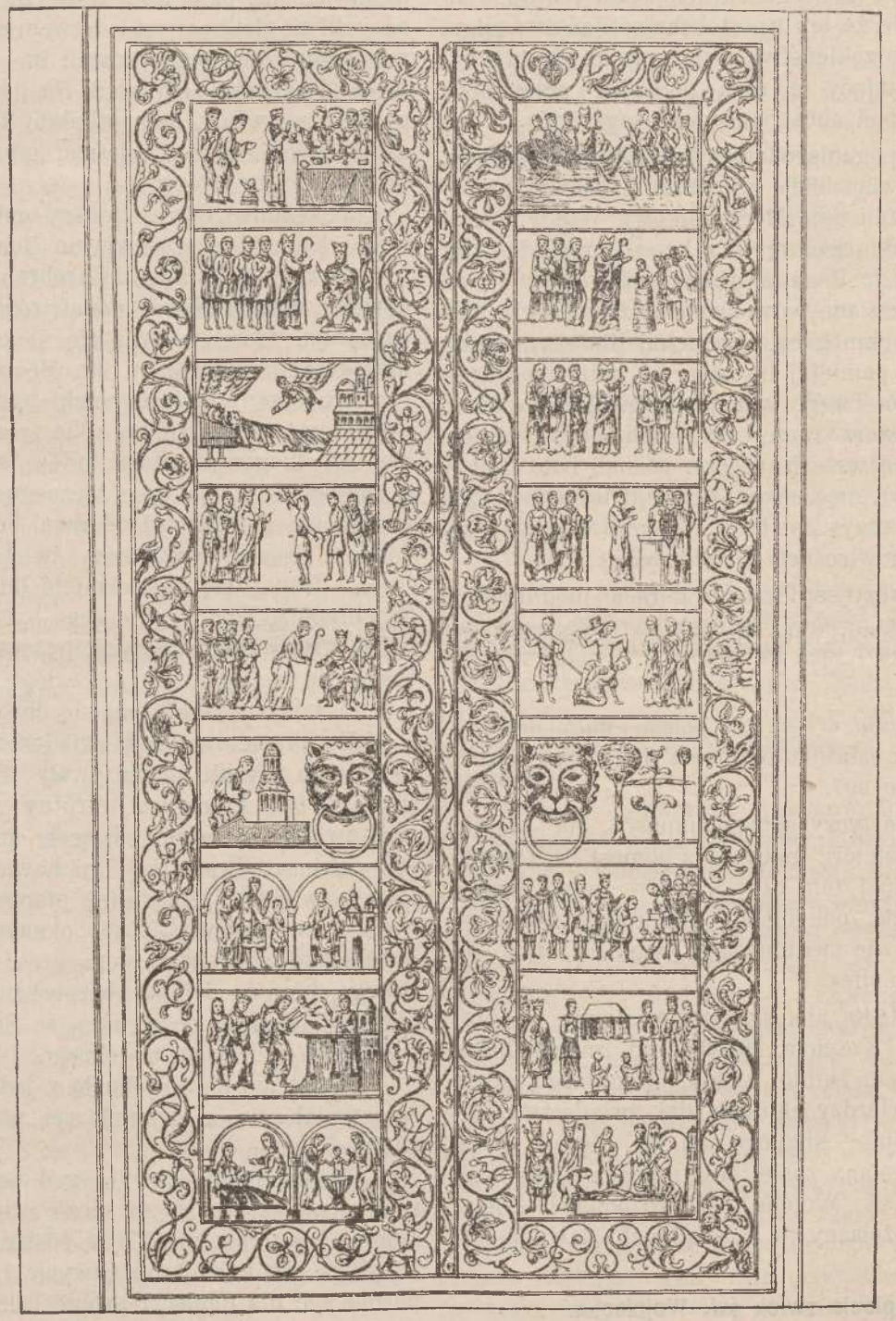

Podwoje katedry gnieznieńskiej.

ledwie św. Wojciech ostatnich słów domówił, wyskoczył Syggo z pośród pogan i utopił ogromną włócznię swoją w okolicy serca męża apostolskiego dodając szyderczo:

i wódz tej pogańskiej tłuszczy obowiązany był pierwszy cios wymierzyć w misjonarza chrześcijańskiego.

Za przykładem ofiarnika Syggona rzuciła się zgraja rozjątrzonych pogan na świętego, pomnaża-

jąc ciosy i przydając rany do ran, by nasycić gniew swój niepohamowany. Z siedmiu ran wielkich jakie mu siedmioma włóczniami zadano, tryskała obficie niewinna krew Męczennika, jakby z siedmiu źródeł, przeznaczonych na obmywanie bałwochwalstwa pruskiego. Do tego okrucieństwa powodowało ich przekonanie, że ten Apostoł chrześcijaństwa miota na nich różne przekleństwa i złorzczenia, i że tu przybył, aby istniejący u nich porządek przewrócić. a ziemię ich pod obce panowanie zagarnąć.

Widząc poganie ofiarę swej dzikości powaloną na ziemię, krwią obficie zbroczoną i jakoby już bez duszy, rozwiązali ręce Męczennikowi. Wtedy to rozciągnął św. Wojciech ręce na kształt krzyża i począł głośno wołać do Boga w najkorniejszych modłach o swoje i prześladowców swoich zbawienie. „Panie Boże wszechmogący, wysłuchaj litościwie woła, nie moje i nie pamiętaj im tego, co mnie niegodnemu dla Imienia Twego wyrządzili; gdyż nie wiedzą, co czynią. Otwórz raczej oczy ich duszy, ażeby Ciebie, Stwórcę wszech rzeczy, poznali i do Ciebie się nawrócili, a męczeństwo moje nie było bezowocne. Użycz wszystkim łaski i pokoju w tem życiu, a w przyszłem wiecznej szczęśliwości.

Skończywszy serdeczną a gorącą modlitwę za swoich prześladowców, wzniósł św. Wojciech po raz ostatni oczy i ręce ku niebu, a zawoławszy silnym głosem;

„*Panie Jezu! w ręce twe polecam ducha mojego*“, wydał z siebie ostatnie tchnienie dnia 23 kwietnia roku Pańskiego 997.

Co się zaś tyczy samego miejsca, na którem św. Wojciech śmierć męczeńską poniósł, to Opatrzność Boska i nad tem czuwała, aby jego pamięć z pokolenia na pokolenie przechodziła. Jeszcze w drugiej połowie siedmnastego stulecia stała na tem miejscu kaplica.

W roku 1840, nieustraszony boojwnik w obronie praw św. Kościoła, arcybiskup gnieźnieńsko-poznański Marcin Dunin, wrócił z Kołobrzega, gdzie z tamtejszej twierdzy chlubne dał świadectwo silnej wiary swojej. Niedługo po tej niewoli kołobrzegskiej powołany został do Królewca, i odwiedził miejsce, gdzie św. Wojciech śmierć poniósł. Został jeszcze Krzyż żelazny na rozwalinach dawnej kaplicy.

Wykupienie zwłok św. Wojciecha.

Niedość było poganom iż ciało Apostoła siedmiu włóczniami przeszyli. Szukając jakoby zaszczytu w niegodziwości i barbarzyństwie swojem, odcięli głowę od kadłuba, wbili takową na pal i pozostawiwszy drogie te szczątki na miejscu, wrócili do swoich domów z okrzykami radości i tryumfu, chełpiąc się jeszcze po drodze z okrutnej zbrodni swojej.

Towarzysze świętego, Radzym i Bogusza, albo Benedykt, jak go w łacińskim języku nazywano, stali na rzut kamienia w oddaleniu od zwłok św. Wojciecha, mocno skrępowani powrozami. Modlili się gorąco i czekali także na śmierć męczeńską. Inna przecież była wola Najwyższego. Gdy poganie nasycili się dzikiem szaleństwem rozwiązali pęta towarzyszom świętego i kazali im czemprędzej wynieść się z granic ich osad. Na pożegnanie dorzucili groźną zapowiedź, że spotkałaby ich niechybnie ta sama śmierć, co ich mistrza, gdyby się odważyli powrócić w te strony.

Misjonarze chrześcijańscy zabrali się do powrotu i stanęli szczęśliwie na ziemi polskiej. Opowiedziawszy Bolesławowi Chrobremu okrutne zamordowanie sługi Bożego, dodali również, z jakiem to barbarzyństwem pastwili się jeszcze Prusacy nad martwemi już zwłokami św. Męczennika.

Szlachetny książę polski był przejęty do żywego tem opowiadaniem. Nie tylko bowiem uwielbiał wielkiego Apostoła ludów słowiańskich, ale kochał go nadto jako serdecznego przyjaciela. Niewzruszony powziął też od razu postanowienie wydobycia drogich szczątków świętego z rąk pogańskich. Gdyby się to nie miało udać na drodze zobopólnych układów, natenczas był gotów przemocą i z bronią w ręku upominać się o ten nieoceniony skarb dla własnego serca i całego narodu polskiego. Z temi zamiarami nie taił się chrobry książę.

Do Prusaków doszła wiadomość o zamysłach Chrobrego. Nadto pokazywały się nadzwyczajne znaki, iż ten którego w okrutny sposób zamordowali musiał być czemś więcej, aniżeli pospolitym człowiekiem. Przez trzy dni bowiem strzegł orzeł głowy świętego, ażeby inne ptactwo jej nie naruszyło. I w podobny sposób okazywały dzikie zwierzęta leśne niewytłomaczoną cześć dla zwłok męża Bożego, dopóki ich w bezpiecznem miejscu nie ukryto. Stanęło więc na tem, że Prusacy wyprawili posłów do Bolesława Chrobrego.

Każde ich słowo tchnęło z jednej strony wielką zarozumiałością, z drugiej zaś strony obrzydliwą chciwością:

— Słyszeliśmy, iż twój bóg Wojciech, któregośmy zabili, jest bardzo drogi sercu twemu i że do tego stopnia pragniesz przyjść w posiadanie zwłok jego, iż byłbyś gotów za broń chwycić i wojnę nam wypowiedzieć dla dopięcia swego celu. Orężem ciała twego boga nie zdobędziesz; bo nieznając naszych bagien, jezior i trzęsawisk, myśleć nie możesz o naszem zawojowaniu. Jeżeli więc koniecznie te zwłoki chcesz nabyć, to chyba srebrem, ale nie żelazem; wydamy ci takowe na wagę srebra.

Potrzeba było chrześcijańskiego iście zaparcia się siebie ze strony rycerskiego i potężnego Bolesława, ażeby takiej bezczelnej wyniosłości przykładnie

nie ukarać. Pobożnemu księciu leżało atoli najbardziej na sercu, ażeby jak najrychlej wydobyć z rąk nikczemnych morderców śmiertelne szczątki sługi Bożego. Przytłumił zatem w sobie oburzenie i przystał na stawiony sobie warunek.

Świetny orszak polski, składający się z dostojników duchownych i świeckich, sposobił się do podróży dla wykupienia relikwi św. Męczennika. Napełniono skrzynie srebrem książęcem. Ale spieszyli także zamożniejsi Polacy ze swojemi ofiarami, naczynia złote i srebrne składano do skrzyni osobnej, ażeby poselstwo polskie miało zapas drogich kruszczów w razie, gdyby ciało świętego przeważyć miało książęce srebro. Gdy wszystko było gotowe, udano się wprost do miasta Romowe.

Jak tylko panowie polscy tam stanęli i drogie relikwie wydobywać zaczęto, dolatywał ich jakiś nadzwyczajnie miły zapach, w miarę jak zwłoki św. Męczennika na wierzch wydobywano. Z największą czcią i pobożnem rozrzewnieniem zabrali się duchowni polscy do obejrzenia śmiertelnych szczątków, ażeby słę dokładnie przekonać czy się pogańska chciwość jakiego podstępu nie dopuściła. Dopiero kiedy wszyscy posłowie polscy jednozgodnie oświadczyli, iż żadna nie zachodzi wątpliwość co do rzeczywistego ciała św. Apostoła. ustawiono wagę ogromnych rozmiarów; na jednej szali złożyli kapłani polscy drogie zwłoki św. Wojciecha, na drugą szalę zaczęli panowie polscy kłaść srebro ze skrzyni. Wówczas uczynił Pan Bóg cud; bo ciało Świętego stało się tak lekkie, że poganom bardzo mało srebra się dostało.

Zacząwszy od współczesnych św. Wojciecha pisarzy, aż do najnowszych historyków, wszyscy w tem się zgadzają, iż Bolesław Chrobry wykupił zwłoki św. Wojciecha od Prusaków.

Jedni piszą iż posłał ogromne skarby, drudzy powiadają krótko, iż za pieniądze wykupił głowę i posiekane członki Męczennika. Inni znowu zamieszczają w swej kronice, iż ciało Świętego nabył od Prusaków na wagę złota.

Jeżeli do tych krótkich wzmianek serdeczna pobożność i głęboka cześć dla Świętego Męczennika z wiekami niektóre przydała legendy, to maluje się w nich jedynie żywa wiara w niedościgłe drogi Pańskie i wszechmocność Boską. Podajemy tu jedno z takich opowiadań dla przypomnienia prostodusznej wiary przodków naszych.

Grosz wdowi oraz inne legendy.

Gdy poganie zwłoki św. Wojciecha z ukrycia na wierzch wydobyli i ustawiono ogromną wagę o dwóch szalach, po jednej stronie stanęli Prusacy z ciałem Świętego, a po drugiej stronie Polacy ze skrzyniami złota, srebra i drogiemi naczyniami. Prusacy położyli ciało na szali, a Polacy sypali złoto i srebro na drugą szalę. Wypróżnili już wszystkie skrzynie, a szala z ciałem leży przy ziemi, jakby łańcuchem przykuta. Dokładają naczynia złote i srebrne, a szala z świętemi zwłokami ani nie drgnie nawet. Zdumienie i trwoga ogarnęły Polaków, a Prusacy wykrzykiwali z radości, że tyle złota i srebra dostaną za boga polskiego. Wtem przeciska się przez tłumy uboga wdowa i rzuca między stosy złota i srebra grosz swój krwawo zapracowany. Ledwo on grosz upadł na szalę, ciało Męczennika poszło w górę, a szala ze srebrem upadła do samej ziemi, tak że trzeba było złota i srebra ujmować wciąż, w końcu został tylko pieniążek wdowy, który sam jeden zrównoważył ciało Świętego. Polacy zaczęli sławić Boga za ten wielki cud, a Prusacy wielce posmutnieli, bo wedle umowy za ów marny pieniążek wdowi musieli wydać Polakom święte zwłoki.

Z żywota i cudów św. Wojciecha, opisanych przez niewiadomego autora w dwunastem stuleciu, przytaczamy tu niektóre, dotąd mniej znane szczegóły o śmierci męczeńskiej i o świętych szczątkach tego Apostoła Słowian.

Wedle tej legendy zatknięto odciętą głowę Męczennika na wierzchołku tego drzewa, pod którem mąż Boży odprawił ostatnią Mszę świętą. Ażeby głowę tę z daleka można było widzieć, odcięli wszystkie gałęzie tego drzewa. Resztę ciała posiekali na drobne części i porozrzucali je w różne strony na pastwę dzikim zwierzętom i ptactwu drapieżnemu.

W nocy objawia się Anioł owemu naczelnikowi sambiańskiemu Luksetusowi, który św. Wojciecha w gościnę do siebie przyjął, mowy Prusaków uczył, a sam potajemnie w Chrystusa wierzył. Temu to katechumenowi rozkazał Anioł Pański starannie pozbierać porozrzucane szczątki św. Męczennika, i z wielką czcia ukryć je w bezpiecznem miejscu.

Luksetus zabrał się niezwłocznie do spełnienia tego rozkazu z nieba odebranego. Gdy już wszystkie członki rozćwiartowanego ciała odszukał, dostrzegł iż brakuje jednego palca u jednej ręki, odciął go bowiem pewien poganin, ujrzawszy na nim złoty pierścień. Tę oznakę biskupiej godności zdjął z palca, a sam palec rzucił do rzeki.

Kilka dni szukał Luksetus tego palca, ale napróżno. Zaciekawiona żona zapytała go się dnia pewnego, czegoby z taką nieznużoną wytrwałością przez tyle dni szukał. Zrazu wzbraniał się Luksetus zdradzić przed żoną powierzoną sobie od Boga tajemnicę, ale ulegając jej prozbom wreszcie opowiedział wszystko.

W tejże chwili spotkała go kara. Usta mu się wykrzywiły, stracił zupełnie mowę, i z największem tylko wysileniem mógł przyjmować pokarm i napój.

Żona nie miała nic pilniejszego, jak rozgłosić po całej osadzie, że mąż jej ukrył w bezpiecznem miejscu pozbierane zwłoki zamordowanego chrześcijanina. Zaraz też poganie opadli nieszczęśliwego Luksetusa i żądali od niego ukrytych zwłok. Gdy go nielitościwie bili, w kajdany okuli i najdokuczliwszemi sposobami męczyli wskazał im w końcu to miejsce.

Pierwotny szał pogan zamienił się teraz w przebiegłe wyrachowanie. Spodziewając się bogatego okupu, poruczyli szczątki straży zaufanych osób.

Po niejakim czasie puścili się rybacy w łódkach na połów niedaleko tego miejsca, gdzie św. Wojciech, śmierć męczeńską poniósł. Naraz spostrzegają na rzece rybę, z której jasny bucha płomień jakby z gorącej pochodni. Za tą uganiali się dopokąd jej nie złowili i znaleźli w jej wnętrznościach ucięty palec. Więc czemprędzej udali się do tych, ktorym dali na schowanie zwłoki głosiciela nauki chrześcijańskiej. Tu ogarnia ich nowe zdumienie, bo nie tylko palec, ale wszystkie inne części tego ciała przez nich posiekanego jaśniały podobną światłością. Na tę wieść zbiegły się tłumy ciekawych pogan do śmiertelnych szczątków św. Wojciecha.

Pominąwszy wszelkiego rodzaju podania pobożne, jest niezaprzeczoną prawdą dziejową, iż Polacy wydobyli od pogańskich Prusaków śmiertelne szczątki św. Wojciecha. Obwinąwszy w drogocenne materje, złożyli je do prześlicznie wyrobionej trumny i wyruszyli z Romowe przez ziemię pruskie i Pomorze do Polski. Witały wspaniałe procesje ze światłem i chorągwiami wracający do Polski orszak z ciałem św. Wojciecha, radując się iż drogi ten skarb dostał się szczęśliwie w ręce Polaków.

Bolesław Chrobry zebrał około siebie liczny zastęp duchowieństwa, panów i rycerstwa polskiego, a gdy mu dano znać, że drogi orszak znajduje się już w granicach jego państwa, pośpieszył na jego spotkanie. Przed relikwiami św. Męczennika padł na ziemię, a sercem i ustami wysławiał potęgę Boga. Za przykładem księcia ściele się na ziemię duchowieństwo i lud cały. Oh! ileż spłynęło łez, na ziemię polską z ócz pobożnego narodu, ile gorących westchnień wzniosło się ku niebu z piersi rycerskiego ludu.

Złożenie zwłok św. Wojciecha w Trzemesznie.

Nieopodal Gniezna w stronie wschodniej istniał już od trzydziestu lat klasztor, przy którym większa była liczba zakonników reguły św. Augustyna. W tym samym bowiem roku 966, w którym Dąbrówka przybyła do Polski i Mieczysław I chrzest św. z narodem przyjął, osiedliło się pierwszych siedmiu księży Augustynów w Trzemesznie. Liczba pobożnych zakonników znacznie się pomnożyła do czasu męczeńskiej śmierci św. Wojciecha.

Do Trzemeszna to przybył ów tryumfalny pochód ze zwłokami świętego, gdzie je też do kościoła klasztornego wprowadzono. Kanonicy regularni lateraneńscy przyjęli takowe bardzo uroczyście szeregiem wspaniałych nabożeństw.

Bolesław Chrobry, uznał kościół księży Augustjanów w Trzemesznie za miejsce odpowiednie, w którymby drogi skarb narodu polskiego zachować można.

Po niejakim czasie wymurowano z palonej cegły pod ziemią grób na dziesięć sążni długi a dwa sążnie szeroki. Nad tym grobem wzniesiono wspaniały ołtarz, przyozdobiony rzeźbami, przedstawiającemi najgłówniejsze chwile z świątobliwego życia i męczeńskiej śmierci Apostoła Prusaków. Radzym, biorący udział przy wprowadzeniu zwłok św. brata do Trzemeszna, dostąpił tego szczęścia, iż drogie szczątki w kościele trzemeszeńskim do grobu złożył.

Pokornych zakonników włoskich wybrał sobie Pan Bóg za pierwszych stróżów tego drogiego skarbu polskiego.

Przy grobie św. Wojciecha który wierny lud we dnie i w nocy z czcią pobożną otaczał, zlewał Pan Bóg całe strumienie łask i miłosierdzia swego na tych, którzy ze skruchą i w prostocie serca uciekali się do Niego za pośrednictwem tego św. Męczennika.

Na początku bieżącego stulecia zniesiony został kiasztor trzemeszeński i w pierwszej już połowie tegoż stulecia wymarli ostatni kanonicy regularni lateraneńscy.

W kronice byłego klasztoru trzemeszeńskiego opisane jest między innemi następujące zdarzenie:

Krótko po złożeniu śmiertelnych szczątków św. Wojciecha w kościele klasztornym, przybył do Trzemeszna naczelnik Sambian, ów Luksetus, który z dopuszczenia Bożego utracił mowę, a usta mu się wykrzywiły. Przy grobie św. Męczennika wylewał łzy rzęsiste, a Bóg przywrócił mu mowę i dał zupełne uzdrowienie. Luksetus pozostał aż do końca życia swego w Trzemesznie, gdzie Bogu wiernie służył i w doskonałości chrześcijańskiej wzrastał. Zdarzenie to zapisane było w najstarszym Brewiarzu polskim.

Spoczywające na ziemi polskiej zwłoki wielkiego sługi Bożego Wojciecha sprowadziły wielkie błogosławieństwo dla narodu polskiego. Wiara św. krzewiła się na wszystkie strony, pieśń Bogarodzica rozbrzmiewała nie tylko po kościołach, dworach szlacheckich i chatach kmiecych, lecz także rycerstwo polskie uderzało na wroga z tą pieśnią na ustach. Zabrany dawniej przez Czechów odwieczny polski Kraków, odzyskał znowu Bolesław Chrobry we dwa

lata po sprowadzeniu ciała św. Wojciecha do Polski. Dnia 9 lutego 999 roku umarł bowiem król czeski Bolesław II, a następca jego Bolesław III. Rudy, oburzył niedołężnością i okrucieństwem swojem cały naród czeski przeciwko sobie. Skorzystał książę polski z tej sposobności, aby odwieczny gród Krakusa przywrócić Polsce.

Świetne powodzenie oręża polskiego nabawiło pobożnego księcia słuszną obawą, iż upokorzony nieprzyjaciel może korzystać z chwili dogodnej, gdzieby niespodzianle napadł na bezbronny klasztor i nieobwarowane miasteczko Trzemeszno i zabrał zwłoki św. Wojciecha. Niedowierzał również chciwym złota i srebra pogańskim Prusakom, ażeby tymże nie zachciało się powtórnego wykupu tego samego skarbu narodu polskiego. Podobne przypuszczenia spowodowały Bolesława Chrobrego, iż poczynił przygotowania do przeprowadzenia zwłok Patrona Polski z Trzemeszna do Gniezna, gdzie w obwarowanej stolicy książęcej i przy silnej załodze rycerstwa polskiego większe upatrywał dla nich bezpieczeństwo. Gniezno bowiem dostarczało już w owym czasie tysiąc pięćset ciężkiego rycerstwa, a cztery tysiące lekkiego.

Przy grobie św. Wojciecha w Trzemesznie stanął chrobry książę, otoczony licznem duchowieństwem, panami i szlachtą polską. Ludu pobożnego zebrała się moc niezliczona. Radzym wydobył ciało świętego brata i Męczennika z grobu i za przyzwoleniem księcia darował kościołowi trzemeszeńskiemu znaczną ilość z tych świętych relikwji. Kronika trzemeszeńska podaje szczegółowy opis tych dziesięciu kostek z ciała św. Wojciecha, jakie tamtejszemu kościołowi pozostawiono.

Księża Augustjanie strzegli z wielką pobożnością i sumiennością powierzonego sobie skarbu Między innymi opat Gabryel Gracjan Miłoszewski odbył dnia 4 stycznia 1654 roku szczegółowy przegląd relikwji świętego Męczennika. Do tej czynności zapozwał wszystkich zakonników. W przytomności kanoników lateraneńskich przekonał się z karteczek do relikwji poprzylepianych, że to rzeczywiście były szczątki św. Wojciecha. Obmywszy takowe w winie, obtarł i wysuszył je; a przylepiwszy do każdej nową karteczkę z imieniem Świętego, złożył wszystkie razem do jedwabnego woreczka fioletowego. Na tym woreczku wycisnął następnie pieczęć opactwa i konwentu trzemeszeńskiego.

Straszliwe spustoszenie Szwedzi za Karola Gustawa poczynili szukając złota i srebra, dobywali się przemocą do cel klasztornych i skrytek, wyłamując drzwi, burząc ściany, przewracając, tłukąc i niszcząc wszystko po sklepach podziemnych, bezczeszcząc ołtarze z szaloną bezbożnością i dzikością. W pogańskiej zaciekłości posunęli się nawet do tego stopnia, iż znieważyli Najświętszy Sakrament i naruszyli grób św. Wojciecha, jednakowoż święte relikwie uszły ich grabieży.

Ciało św. Wojciecha na ołtarzu w Gnieznie.

Podług najnowszych badań stoi dzisiejsza katedra gnieźnieńska na fundamentach pierwszego kościoła Mieczysławowego, na górze Lecha pod wezwaniem Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny; był on więc tak obszerny, jak dzisiejsza katedra gnieźnieńska. Aczkolwiek zewnętrzna postać dzisiejszej katedry jest odmienna, miał przecież wewnętrzny rozkład kościoła Mieczysławowego odpowiadać dzisiejszej bazylice. Mianowicie przypuszczają uczeni ci badacze, iż pierwotny Kościół Mieczysława był o trzech nawach w stylu romańskim z cegły i z kamienia czyli granitu zbudowany. Pod wielkim ołtarzem był sklep z cegły murowany, w którym od roku 977 spoczęły zwłoki Dąbrówki, żony Mieczysława I.

Skoro Bolesław Chrobry powziął myśl przeniesienia zwłok św. Wojciecha z Trzemeszna do Gniezna, zajął się niezwłocznie przysposobieniem odpowiedniego miejsca w kościele Wniebowzięcia i kazał w pobliżu wielkiego ołtarza i zwłok matki swej wystawić grób wspaniały, przysposobiwszy zarazem misterną a drogocenną trumnę dla świętych relikwji, przyozdobił nadto grób jego szczerozłotym krzyżem, trzema blachami złotemi a drogiemi kamieniami wysadzonemi i licznemi innemi jeszcze wotami złotemi.

Gdy wszystko podług myśli Chrobrego było wykończone, odbyła się w dniu 20 października 999 roku wspaniała uroczystość przeniesienia śmiertelnych szczątków św. Męczennika z Trzemeszna do Gniezna. Z pobożną pieśnią na ustach posuwał się świetny pochód ku stolicy książęcej, a stanąwszy na górze Lecha, złożył drogi skarb w bazylice gnieźnieńskiej.

Przez kilka dni trwały uroczystości kościelne, a Bolesław rozdawał hojną jałmużnę ubogim, i przez cały ten czas okazywał się nader łaskawym na wszelkiego rodzaju prośby i bardzo przystępnym dla swoich poddanych, aby uprzejmością i uczynkami miłosiernemi tem głębiej w sercach ludu polskiego utrwalić pamiątkę przeniesienia zwłok św. Męczennika.

Przy grobie św. Wojciecha w Gnieznie doznawali pobożni pielgrzymi wielu łask nadzwyczajnych. Chorzy odchodzili uzdrowieni, chromi z prostemi członkami, zasmuceni zostali tu pocieszeni, roznosząc daleko po świecie sławę św. Męczennika.

Na tronie węgierskim zasiadał już od dwóch lat syn Gejzy św. Szczepan, którego św. Wojciech ochrzcił. Dowiedziawszy się książe węgierski, iż

ciało Apostoła Słowian pochowano w kościele gnieźnieńskim, śledził odtąd pilnie i zbierał starannie wszelkie szczegóły, dotyczące tego sługi Bożego, który ojca i jego na łono świętego Kościoła przyjął.

Tego samego roku 999 wysłał św. Szczepan biskupa Astryka do Rzymu, ażeby mu u papieża Sylwestra II, wyjednał koronę królewską. Biskup ten opowiadał Rzymianom wszystkie koleje, jakie św. Wojciech wraz z bratem swoim Radzymem przechodził na Szląsku, w Polsce i nad brzegami Baltyku.

Opatrzność Boża sprawiła, iż cesarz niemiecki Otton III także w tym czasie bawił w Rzymie, dokąd pośpieszył z wojskiem swojem na uśmierzenie gwałtownych rozruchów.

Pod sam koniec 999 roku przybył do Rzymu Radzym, znany dobrze Ottonowi III, na którego dworze dawniej przebywał z bratem swoim Wojciechem. Z ust jego dowiedział się teraz cesarz o wszystkich szczegółach męczeńskiej śmierci świętego przyjaciela i spowiednika swego, jako też o pochowaniu szczątków jego w kościele gnieźnieńskim. Korzystając z nadarzonej sposobności, przedstawił Otton III papieżowi rodzonego brata św. Apostoła Słowian, a Sylwester II naznaczył Radzyma arcybiskupem gnieźnieńskim.

Odebrał Radzym zaraz w Rzymie namaszczenie biskupie i odnośną bullę erekcyjną Sylwestra II, w której papież upoważnił go, aby się otoczył senatem duchownym czyli kapitułą. Przywróciwszy Otton III spokój i porządek w stolicy świata chrześcijańskiego, i załatwiwszy sprawę utworzenia arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, opuścił Rzym w towarzystwie Radzyma i wrócił do Niemiec.

Inna legenda powiada, iż cesarz Otton III zachorował podczas tego pobytu swego w Rzymie i że lekarze zwątpili już o jego życiu. Zasłyszawszy o rozlicznych cudach, jakie Bóg czynił za pośrednictwem św. Wojciecha, polecił się potężnemu orędownikowi w niebie. Równocześnie zobowiązał się uroczystym ślubem, że odwiedzi grób jego w Gnieznie, jeżeli mu powrót do zdrowia u Boga wyjedna. Cudownym sposobem odzyskał zdrowie i wnet na początku wielkiego postu tysiacznego roku postanowił Otton III odbyć podróż do Polski i odwiedzić grób św. Wojciecha. Gdy się o tem dowiedział Bolesław Chrobry, pośpieszył na przywitanie tak zacnego gościa na sam kraniec swego księstwa, do grodu Ilwy na granicy dzisiejszej Luzacji i Szląska. Ilwa był to właściwie obronny zamek na wyspie rzeki Bobrawy. W otoczeniu swojem miał świetny orszak rycerstwa polskiego.

Cesarz niemiecki Otton III przy grobie św. Wojciecha.

Zgotował Bolesław Chrobry cesarzowi tak wspaniałe przyjęcie, że tej okazałości ani opowiedzieć, ani opisać, nie podobna. Z Ilwy prowadził książę polski wspaniały orszak najkrótszą drogą ku Gnieznu, gdyż śpieszno było cesarzowi, ażeby jak najprędzej stanął u grobu św. Wojciecha.

Jakie piętnaście kilometrów od Gniezna w stronę zachodnią rozciąga się jezioro Lednica. Od tego jeziora otrzymała wieś do niego przytykająca nazwę: „Lednagora“. Na jeziorze znajdują się po dziś dzień dwie wysepki. Większa nazywa się Ostrowem, a mniejsza Ledniczką. Na obydwóch wysepkach pozostały ślady dawnych wałów, czy tam okopów, nasypów ziemnych, i rozwaliny zamków.

Wedle zdania mężów uczonych miały się na wyspie Lednicy przed Mieczysławem I odbywać ofiary religijne pogańskich przodków naszych a po nawróceniu Polski miał tam z czasem obok warownego zamku książęcego stanąć obszerny i murowany kościół chrześcijański pod wezwaniem Najśw. Marji Panny, pierwsza świątynia chrześcijańska w tej części Polski.

Na Ostrowie, odznaczał się za Bolesława Chrobrego zamek książęcy trwałą budową i rozległością, jako też wygodnem urządzeniem. Tam też miał chrobry ten książe najczęściej przepędzać chwile wolne, ile razy wracał do kraju z długich a częstych wypraw wojennych.

Cesarz Otton III, ujrzawszy Gniezno, zsiadł z konia i odbył resztę pielgrzymki do grobu św. Wojciecha pieszo i boso. Bolesław Chrobry kazał cesarzowi drogę wysłać suknem.

Obok drogi. którą cesarz postępował, ustawione było wojsko polskie. Za wojskiem ukazywały się orszaki możniejszych panów, odzianych w najbogatsze szaty. Podobnież dziewice i matrony polskie, które wyszły naprzeciw temu wspaniałemu pochodowi, uginały się pod ciężarem kosztowności.

Niektórzy dziejopisarze posądzają Otona III, iż obok odwiedzenia grobu św. Wojciecha miał inny jeszcze cel. Słyszał on wiele o bohaterskich czynach księcia chrobrego i o niezmiernem bogactwie Polski, więc chciał się teraz osobiście przekonać czy w tych opowiadaniach nie było jakiej przesady. Ujrzawszy tedy na własne oczy i dzielne wojsko, i niezrównaną zamożność i zdumiewającą świetność narodu polskiego, zawołał z uniesieniem:

— Na honor korony mego cesarstwa! Widzę tu nieskończenie większe rzeczy, aniżeli mię posłuchy o nich dochodziły.

Ówczesne rycerstwo polskie mogło też w rzeczy samej cesarza niemieckiego pobudzić do takiego okrzyku zdumienia. Żelazna ich zbroja była tak ciężka, że gdyby dziś najsilniejszego w taką suknię żelazną ustrojono, powaliłby się za pierwszym krokiem na ziemię, a mieczem każdy rycerz polski jak piórem wywijał. Z takim to wojskiem mógł też nasz Chrobry wielkich dokazywać rzeczy.

Do kościoła Panny Marji wprowadził cesarza Unger biskup poznański. Najpotężniejszy z panujących na ziemi monarchów rzucił się na ziemię przed grobem św. Wojciecha, a wylewając łzy obfite, błagał św. Męczennika, ażeby nie ustawał teraz w niebie wspierać go swojem pośrednictwem, jak na ziemi wspierał go swoją radą. Obok cesarza leżał krzyżem nasz Bolesław. Obaj monarchowie wyznawali jawnie przed światem, iż ziemska ich potęga jest marnym prochem i znikomością w obec wielkości i potęgi Boga.

Po ukończeniu uroczystości kościelnych zebrał cesarz około siebie swoich doradzców, a w ich przytomności przemówił do Bolesława:

— Nie godzi się aby mąż takich przymiotów i takiej potęgi, jakoby jeden z książąt, nosił nazwę wodza i towarzysza. Należy mu się raczej, iżby na tronie królewskim chwalebnie osadzony, koroną uwieńczony został. Zdjąwszy następnie własną koronę z głowy, włożył ją Chrobremu na skronie.

Chcąc utrwalić pamiątkę swej pielgrzymki do grobu św. Wojciecha i nowej dodać świetności Kościołowi w Polsce, ustanowił cesarz metropolię czyli arcybiskupstwo gnieźnieńskie. Nader to ważne urządzenie metropolji gnieźnieńskiej nazywają niektórzy z naszych dziejopisarzy pierwszym synodem polskim.

Wielka też radość ogarnęła serca wszystkich z powodu takiego blasku nadanego i rzeczypospolitej polskiej i Kościołowi polskiemu. Wszyscy kronikarze niemieccy i polscy rozpisują się szeroko o tych uroczystościach, jakie przez trzy dni trwały w Gnieznie na uczczenie dostojnych gości. Codzień zastawiano stoły wykwintnemi potrawami w złotych i srebrnych naczyniach, a Bolesław po każdym obiedzie wszystkie misy szczerozłote i srebrne, potężne rogi od piwa, miodu i wina w złoto i srebro pooprawiane, świeczniki także złote i srebrne, obrusy, kosztowne opony i makaty do skarbca cesarskiego odnosić rozkazał. Nie mniej i pojedyńczych dworzan wspaniale Bolesław poobdarzał, tak, że z licznego orszaku cesarskiego ani jeden pachołek bez daru z polski nie wyszedł.

Codziennie wyprawiano igrzyska, gonitwy z kopjami, cała stolica brzmiała dzień i noc muzyką i ochoczą rozrywką.

Po ukoronowaniu Bolesława wręczył mu cesarz włócznię św. Maurycego w miejsce berła. Drobne to na pozór było zdarzenie, ale oko wiary widzi w niem daleko sięgające proroctwo z natchnienia Ducha św.

Pierwsze to berło pierwszego króla polskiego, owa włócznia św. Maurycego przechowywana jest dotąd w skarbcu katedry krakowskiej na Wawelu jako drogi klejnot narodu polskiego. Tyle pamiątek z świetnej przeszłości naszej zaginęło na zawsze, nawet bez śladu, żelazną dzidę św. Maurycego z drewnianą rękojeścią zachowała nam Opatrzność Boska bez naruszenia do naszych czasów przez tyle wieków burzliwych, by nam ustawicznie przypominała nasze przeznaczenie i obowiązki nasze.

Część gwoździa z krzyża Chrystusowego wręczył także cesarz niemiecki przy tej samej sposobności naszemu Chrobremu.

Cesarz niemiecki przy wręczaniu gwoździa i włóczni Bolesławowi, wyrzekł następujące słowa:

— Nie wywzajemniam się złotem i srebrem za wspaniałe upominki twoje, któremi mnie i towarzyszów moich obdarzyłeś, bo widzę, że w nie jesteś bogaty, ale darem przewyższającym wszystkie bogactwa ziemskie, gwoździem Chrystusowym. Przydaję ci nadto włócznię św. Maurycego, naczelnika legji Tebajskiej, abyś jej używał jedynie w wojnach toczonych z narodami barbarzyńskiemi, królestwu twemu przyległemi, których potęgę za pomocą Bożą i przyczyną św. Maurycego zetrzesz.

Gdy cesarz wybierał się z powrotem do Niemiec, wystąpił nasz Chrobry w całym majestacie, jako król potężnego a chrześcijańskiego narodu. Nie mającemu dość słów na wysławienie dzielnego i pięknego rycerstwa polskiego Ottonowi III ofiarował Bolesław I, trzystu zbrojnych, oraz dał mu całe prawe ramię św. Wojciecha.

Cesarz niemiecki za pierwszem przybyciem swojem do Rzymu 1001 roku kazał świątynię pogańską bożka Eskulapa na wyspie Tybru przerobić na kościół pod wezwaniem św. Wojciecha i złożył w nim prawie całe ramię tego patrona Polski. Dopiero w drugiej połowie dwunastego stulecia, kiedy do Rzymu sprowadzono relikwje św. Bartłomieja apostoła i w kościele św. Wojciecha na wyspie umieszczono, zmieniono pierwotny tytuł tego kościoła. Od tego czasu nosi aż dotąd kościół ten nazwę św. Bartłomieja. W bocznej lewej nawie obok wielkiego ołtarza wybudowano piękną kaplicę na cześć św. Wojciecha w tymże kościele na wyspie.

Prawe to ramię z ręką św. Wojciecha kazał Otton III bogato oprawić i w takim drogocennym relikwiarzu złożył je w kościele na cześć tego Męczennika w Rzymie wystawionym. Obecnie znajduje się ta relikwja w ołowianej trumience, którą rok rocznie dnia 23 kwietnia wystawiają na widok publiczny. Na trumience jest napis: *Corpus Adalberti Mart.* (Ciało św. Wojciecha Męczennika). Pod przewodnictwem uczonego biskupa Tizzani'ego otworzyła dnia 22 stycznia 1852 r. ustanowiona ku temu komisja tę skrzyneczkę ołowianą. Przytomnych było tej czynności także kilku naszych rodaków. Oprócz relikwji znaleziono tam pół arkusza papieru, na którym wypisany był rok 1713 z tym dodatkiem, iż to są relikwje św. Wojciecha, przywiezione z Polski przez Ottona, cesarza niemieckiego.

Teraźniejszy kościół sw. Bartłomieja jest ob sługiwany przez synów św. Franciszka, tak zwanych Braci Mniejszych ścisłej obserwancji. Jeden z przełożonych tego zgromadzenia zawiesił przy ołtarzu św. Wojciecha tablicę z pieśnią „Boga Rodzica“ w języku polskim.

Kanonizacja św. Wojciecha. Zamieszanie w Polsce po śmierci Bolesława Chrobrego.

Pielgrzymka cesarza niemieckiego do grobu św. Wojciecha rozbudziła w całym świecie chrześcijańskim nadzwyczajną cześć dla tego Męczennika. Z różnych stron śpieszyli pobożni na górę Lecha, a liczne łaski, jakich tu wierni za wstawieniem się Apostoła Prusaków doznawali, przyśpieszyły jego kanonizacją. Już bowiem 1008 roku policzony został w poczet Świętych.

Święty Emeryk, syn króla węgierskiego św. Szczepana, nawiedził także grób naszego patrona.

Śmierć Bolesława Chrobrego sprowadziła nieobliczone straty nietylko dla królestwa, ale zarazem i dla Kościoła polskiego.

Powszechna a całoroczna żałoba narodu polskiego po śmierci chrobrego króla miała niemniej usprawiedliwiony powód w ostatnich słowach, jakie Bolesław na łożu śmiertelnem w zamku poznańskim wyrzekł do otaczających go panów świeckich i duchownych. Głęboko wzruszony i zalany łzami odezwał się jakoby z wyższego natchnienia przyszłość przewidujac: „Widzę z daleka wieszczym duchem, że niestety! ta Polska, którą zostawiam tak świetną i kwitnącą,—przez rozterki i niezgody domowe wkrótce wydaną będzie na rozszarpanie i niedolę“.

Zbyt rychło zaczęła się spełniać złowroga przepowiednia umierającego Bolesława I. Spadkobierca jego szczerbca i korony—Mieczysław II liczył przy śmierci ojca trzydzieści pięć lat. Matka jego Emnilda, niewiasta pobożna i wysokiej doskonałości, czuwała razem z mężem nad starannem wychowaniem syna. Kiedy ojciec sposobił go do czynów rycerskich i do zarządzania potężnem królestwem polskiem, w tym samym czasie pracowała Emnilda gorliwie nad ukształceniem jego serca i ćwiczyła go w cnotach.

Pojął Mieczysław za żonę Ryksę, cioteczną siostrę Ottona III, którą mu już był zaręczył w czasie pobytu swego w Gnieźnie.

Wszystko zdawało się układać ku temu, że Mieczysław II godnym będzie następcą Chrobrego. Tego też samego jeszcze roku 1013, w którym zaślubił Ryksę, wysłał go ojciec do Magdeburga, by tam pokój zawarł z cesarzem Henrykiem II, z czego się dobrze wywiązał. We dwa lata potem, kiedy cesarz niemiecki żądał posiłków od Chrobrego przeciwko Włochom, odbywa Mieczysław drugie poselstwo do księcia czeskiego Udalryka, by go nakłonić do sojuszu z ojcem przeciwko nienasyconej dumie niemieckiej. Sprzyjający Niemcom Udalryk wymordował towarzyszów Mieczysława, jego zaś samego wydał Henrykowi. Na zjeździe merzeburskim wydobył Bolesław syna z rąk niemieckich.

W roku 1016 zamierzali Niemcy złamać na zawsze wzrastającą potęgę królestwa polskiego. Z czterech stron naszli też dzielnicę Chrobrego z taką siłą, jakiej dotąd nigdy jeszcze przeciwko Polsce nie wystawili. Pierwszy stawił im czoło Mieczysław pod Krosnem. Po przejściu Odry ponieśli Niemcy straszliwą klęskę.

Nastepnego roku uganiał się jeszcze Bolesław I za Niemcami i Rusinami, którzy także na Polskę od wschodniej strony uderzyli. Widząc Mieczysław, że ojciec sam da sobie radę z tymi wrogami, wpada do Czech i przyprowadza z tamtąd mnóstwo jeńców do Polski.

Już z tych kilku przytoczeń wnosić możemy, iż Mieczysław II nie był ani takim potworem moralnym, ani takim niedołęgą, jakim go kronikarze i dziejopisarze niemieccy przedstawiają.

Przyznać musimy, iż rządy Mieczysława II nie były ani tak świetne, ani tak szczęśliwe, jak chrobrego ojca jego. Ale uwzględnić nam też wypada straszliwe zamieszanie w Polsce, jakie zaszło z śmiercią Bolesława I.

Po nieszczęśliwym królu Mieczysławie II pozostał syn jego Kazimierz.

Matka jego Ryksa ujęła w ręce swoje rządy królestwa polskiego, aż do pełnoletności syna. Rządy niewieście nie podobały się niektórym panom polskim i skończyło się na tem że Ryksa, razem z synem kraj opuściła. Tego samego jeszcze r. 1037, zahuczała burza złowroga buntu i nieporządku we wszystkich dzielnicach polskich.

Zbuntowany motłoch, wyzuty z czci i wiary, rzucił się do podpalania, rabowania i mordowania tych, którzy go podburzali, do wypędzenia z kraju panów i opiekunów swoich. Ale po spełnionych pożogach, rabunkach i mordach zaczął się odzywać głos sumienia. Ażeby się pozbyć tego robaka gryzącego, przytłumiali w sobie uczucia chrześcijańskie, wracali gromadnie do zasad pogańskich, spodziewając się w bałwochwalstwie odzyskać utracony spokój i szczęście. Zabrali się przeto do mordowania duchowieństwa, rabowania i pustoszenia kościołów katolickich.

Złupienie katedry gnieźnieńskiej przez Czechów.

Widząc książę czeski Brzetysław Polskę bez króla, szarpaną i rozrywaną wojną domową, postanowił na nią uderzyć jak na zdobycz gotową. Zresztę był on przekonany, że bijący się między

sobą Polacy żadnego mu oporu nie będą stawiali. Więc zabrał mnóstwo szlachty i pospólstwa, wtargnął do Polski, złupił w niej i zniszczył główniejsze i bogatsze miasta Wrocław i Poznań, tudzież miasteczka i sioła, które w domowym rozruchu ocalały. Postąpiwszy na koniec pod Gniezno, stolicę Polski, ani położeniem, ani sztuką warowne, a do tego pozbawione obrony z łatwością je zdobywa. Spodziewał się w mieście tem obłowić się ogromnemi skarbami, ale domy szlacheckie stały próżne i puste, bo prócz ubogiego pospólstwa nikt nie pozostał. Zapalony tedy chciwością postanowił złupić i obedrzeć kościoły. Ale Bóg wszechmocny raczył tu pokazać moc swoją, a zdumiewającym cudem zapobiegł, aby miejsce święte nie zostało złupione z najdroższego skarbu swojego, albowiem gdy z chciwą łupieży zgrają rzuca się na kościół metropolitalny Najświętszej Marji Panny, na samym zaraz progu przy wnijściu do niego tak książę jak i jego lud zbrojny, dotknięci zostają ślepotą i odrętwieniem ciała, które ich dłużej niż przez trzy dni owładnęło i po tylekroć ich dotykało, ile razy kusili się wtargnąć do kościoła i porwać święte szczątki. A tymczasem w ciagu owych trzech dni skarb ów najdroższy w bezpiecznem ukryty został miejscu. Kilku bowiem kapłanów kościoła gnieźnieńskiego przy nim pozostałych, przewidywało, iż Czesi prawdopodobnie będą chcieli wziąść ciało św. Wojciecha, więc wydobyli je z tego miejsca, na którem już przez wiele lat z powszechną czcią spoczywało i przenieśli w największej tajemnicy do kryjówki, a w ciągu tych trzech dni kazał Brzetysław niszczyć okoliczne wioski i włościan do niewoli zagarnąć.

Ślepota i odrętwienie członków przez trzy dni trwające odstręczały Czechów i księcia Brzetysława od zamierzonego łupieztwa świątyni. Uznawszy słusznie cud i karę Boską nad sobą, i pojąwszy w całej wielkości zbrodnię świętokradztwa, której się dopuścić chcieli, odstąpili od swego przedsięwzięcia. Atoli był tam naówczas obecny w Gnieźnie biskup pragski Sewery, który się do tej wojny niesprawiedliwej także wmieszał. Niegodny ten następca św. Wojciecha na biskupstwie pragskim poduszczał i zapalał Czechów, dość już skłonnych do łotrostw i grabieży, aby zamiar swój zbrodniczy wykonali, dowodził im bowiem, że odrętwienie i ślepota nie były karą, wymierzoną za chęć złupienia kościoła gnieźnieńskiego, ale za dawne ich przestępstwa i zbrodnie przeciw wierze katolickiej: zabójstwa, cudzołóztwa, pijaństwo, gwałcenie dni świątecznych, uciskanie ubogich i wydawanie wyroków niesprawiedliwych. Aby się z tego oczyścili, zalecił biskup Sewery księciu Brzetysławowi i Czechom post trzydniowy. Skoro tego dopełnili, wykonali następnie przysięgę, że się więcej nie będą kalać tak haniebnemi zbrodniami. Ale kiedy potem weszli do kościoła i owej ślepoty już niedoznali, mniemali, że im niebo sprzyja, i złupili świątynię ze wszystkich drogich sprzętów, kielichów i sreber Bogu poświęconych. Przytrzymali również kapłanów przy kościele pozostałych i zmuszali ich nie tylko groźbami i katuszami, aby im wskazali miejsce, gdzie ciało św. Wojcieche spoczywa, lecz nakłaniali ich do tego najhojniejszemi obietnicami. Ale ci użyli roztropnej przebiegłości, bo ukazali im grób Radzyma, zmyślając że w nim jest ciało św. Męczennika-Czesi uwierzyli temu, wzięli je w mniemaniu, że to są św. Wojciecha zwłoki i z głośnemi śpiewy w uroczystym obrzędzie z kościoła do obozu wynieśli.

„Dalej kazał Brzetysław inne świętości zabierać, a mianowicie zwłoki pięciu braci męczenników: Jana, Benedykta, Izaaka, Mateusza i Krystyna, które Bolesław Chrobry, pierwszy król polski, z kazimierskiej puszczy do gnieźnieńskiego przeniósł był kościoła. Niemniej wizerunek Ukrzyżowanego, który Bolesław I kazał był zrobić ze szczerego złota, mający trzysta funtów wagi, to jest trzy razy tyle, ile zaważyło jego ciało. Potem trzy płyty, któremi wielki ołtarz był ozdobiony, lśniące złotem, kamieniami drogiemi i rozmaitemi klejnotami, darowanemi przez tegoż króla polskiego Bolesława.

Na tem jeszcze nie przestawszy, zdjęto dzwony ogromne, słynne osobliwszą wartością i dźwiękiem, zagarnięto obojej płci wielkie mnóstwo ludu wiejskiego i kapłanów do niewoli.

Błądzą Czesi sądząc, że mają św. szczątki św. Wojciecha w Pradze. Snadź licha wiara Czechów była, że zabrali zwłoki prawdziwe, skoro z czasem nawet nie wiedzieli, gdzie zabrane szczątki się znajdują i dopiero dn. 15 marca 1880 niby je odkryli.

Czesi utrzymują, że ciało św. Wojciecha spoczywa w Pragskiej katedrze św. Wita na Hradczynie. Twierdzenie to opierają na swoim kronikarzu Kosmasie, który urodził się w sześć lat dopiero po złupieniu katedry gnieźnieńskiej przez jego ziomków, nie mógł przeto tego zajścia opisać, jako naoczny świadek. Z własnego zaś jego wyznania wiemy, iż pisanie swej kroniki rozpoczął w późnej dopiero starości, mając lat ośmdziesiąt. Głównie to tylko zapisał, co biskup Sewer za powrotem do kraju skwapliwie rozgłaszał. Tym okolicznościom przypisać należy po części owe tak liczne pomyłki w przytaczaniu lat, nazwisk, w opisywaniu bitew, a mianowicie o zabraniu zwłok św. Wojciecha.

Pięć razy pisze Kosmas w swej kronice o grobowcu św. Wojciecha, a za każdym razem inaczej. Biskupa Sewera przedstawia jako świętobliwego pasterza, troszczącego się o zbawienie swoich owieczek i powstrzymującego je od świętokradztwa, gdy tymczasem on to właśnie był głównym sprawcą zbrodni. W tym celu opowiada rzekome objawie-

nie się biskupowi św. Wojciecha, który mu przyrzeka spełnienia życzeń narodu czeskiego, jeżeli ten zaprzestanie swoich grzechów.

Miał niby św. Wojciech przemówić do swego następcy Sewera: „Oświadcz księciu i jego orszakowi, że Ojciec niebieski da wam o co prosicie, byleście tylko nie dopuszczali się grzechów, których wyrzekliście się przy chrzcie świętym! Miałbyż błagać Boga o tę łaskę, by śmiertelne szczątki jego wzięto przemocą, wśród mordów, pożogi, rabunków i świętokradztw, a wzięto od narodu szlachetnego, gościnnego, pobożnego, który nie szczędził złota, srebra, najdroższych sprzętów własnych, by tylko z rąk morderców wykupić ciało Apostoła Słowian?

Podobnież w zakończeniu swego opowiadania wypadków gnieźnieńskich dostarcza nam Kosmas mimowolnie nowy dowód na to, że ciało św. Wojciecha pozostało w katedrze gnieźnieńskiej nie naruszone. Opisawszy tryumfalny pochód ziomków swoich w wigilją Bartłomieja do Pragi z zabranemi w Gnieźnie relikwiami, jako też z owemi złupionemi po kościołach skarbami, wiezionemi aż na stu wozach; dodaje w końcu: „To błogie powodzenie z łaski Bożej zdarzone zakłócił niecny oskarżyciel, który o wszystko co zaszło, zaniósł do Stolicy świętej na księcia i biskupa skargę, iż zdeptali wszelkie Boskie prawa. Złożono sobór, który biskupa i księcia uznał za przestępców i na surowe kary skazał. Przejednany potem papież i sobór znacznymi upominkami czeskimi, wydali tylko dekret, aby za gwałty popełnione w Polsce i rabunek, jakiego się dopuścili w Gnieźnie, wznieśli w mieście Bolesławiu nad Łabą, gdzie święty Wacław otrzymał męczeńską koronę, kościół pod wezwaniem tego świętego.

Istotnie następnego zaraz roku 1039 zaniósł arcybiskup gnieźnieński Stefan skargę do Rzymu przeciw Czechom. W tej skardze użala się na barbarzyńskie postępowanie Czechów z ludnością polsbą, na palenie i rabowanie wsi i miast, na łupienie kościołów i zabieranie ludzi w niewolę. Przytem podaje szczegółowy wykaz wszelkich skarbów zabranych z jego metropolji, nie wspominając ani słowem o zabraniu relikwji św. Wojciecha. Czyż podobna przypuścić, ażeby arcybiskup Stefan, ów „niecny oskarżyciel“ wedle Kosmasa, upominał się u Ojca św. o powrócenie skradzionych dzwonów, krzyżów, złotych blach, śmiertelnych szczątków błogosławionego Radzyma i pięciu Męczenników kaźmirskich, a obojętnym miałby być na skarb najdroższy, na relikwie św. Wojciecha?

Choćby Kosmas był naocznym świadkiem grabieży czeskiej,—mógłby tylko opisać zdarzenie zabrania zwłok; czy zaś prawdziwe relikwie zabrano, o tem wiedzieli najlepiej kapłani gnieźnieńscy.

Gnieźnieńskie więc dowody piśmienne mają jedynie wartość prawdziwą.

Pielgrzymka Bolesława Krzywoustego do grobu św. Wojciecha.

Katedra gnieźnieńska przedstawiała smutny widok po odejściu Czechów, Następca Stefana na stolicy arcybiskupiej—Piotr I zajął się gorliwie naprawianiem spustoszeń wyrządzonych przez łupieżców, a w roku 1064 konsekrował na nowo zbezczeszczoną przez nich świątynię. W r. 1092 sprawił pożar nowe spustoszenie w metropolji gnieźnieńskiej. Władysław Herman, dopomógł do odnowienia i przyozdobienia katedry, którą arcybiskup Marcin w obecności króla, wielu biskupów, księży i przedniejszych panów konsekrował na cześć Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny, a chór większy pod tytułem św. Wojciecha poświęcił w 1097 r.

Bolesław Krzywousty wiedział o tajemnem przechowaniu relikwji św. Wojciecha. Dowodzi tego jego pokutna pielgrzymka do Gniezna, którą bardzo szczegółowo opisał żyjący wówczas kronikarz Gal. Powodem do tej pielgrzymki było zabicie Zbigniewa za rozkazem Krzywoustego. Działo się to około r. 1111, a więc nie tak długo po grabieży Czechów.

Powinien był jechać do Pragi do grobu św. Wojciecha gdyby tam rzeczywiście były zabrane św. te szczątki. Aliści dobrze wiedział, że są w Gnieźnie. Więc ku Gnieznu zwrócił swą laskę pątniczą.

Tu go przyjął arcybiskup Marcin dnia 13 kwietnia 1113 r. „Król, pisze Gall zdjął z nóg obuwie, i postępował boso ku temu miejscu gdzie pod ziemią ukryte spoczywały relikwie św. Wojciecha. Tu padłszy na oblicze swoje nie podniósł się prędzej z ziemi, pokąd w udręczeniu swojem nie doznał ochłody“.

Jeszcze nie wydobyto drogiego tego skarbu z owego miejsca, gdzie takowy w największej tajemnicy przed obcymi ukrywano; wiedziała przecież o nim kapituła metropolitalna.

Arcybiskupami zaś w tym czasie byli Stefan, Piotr i Marcin; wszyscy trzej wybrani na tę godność z kanoników gnieźnieńskich i wszyscy trzej mężowie głębokiej nauki a wypróbowanej cnoty chrześcijańskiej i nieposzlakowanej prawości. Niepodobieństwem więc przypuścić, ażeby mężowie tak światli i świętobliwi, mieli rozmyślnie siebie i drugich w błąd wprowadzać; ażeby nawet pokutującego króla swego, szukającego pociechy dla strapionej duszy swej przy grobie św. Wojciecha, chcieli oszukać.

Z całego zaś postępowania Bolesława Krzywoustego przy grobie św. Męczennika, jako też z tego wszystkiego, co później czynił, wynika jak najo-

czywiściej, że miał zupełną świadomość i niewzruszoną pewność, iż w katedrze gnieźnieńskiej przechowują się rzeczywiście śmiertelne szczątki św. Wojciecha. I dla tego przysposabiał się cały rok z górą przez posty, jałmużny, modlitwy i pielgrzymki do innych miejsc cudownych, jako też rozlicznemi umartwieniami dobrowolnemi, ażeby szczerą, a ostrą pokutą skruszony i rzetelnie nawrócony, za pośrednictwem św. Męczennika odzyskał darowanie ciężkiej winy.

Nieomieszkał też z Bogiem pojednany Bolesław III okazywać zewnętrznie, jakich nadzwyczajnych łask doznał przy grobie św. Wojciecha: ofiarował katedrze gnieźnieńskiej złotą trumienkę, ważącą ośmdziesiąt grzywień czystego złota, przyozdobioną drogiemi kamieniami i perłami. Składając ten dar, w ręce arcybiskupa i kapituły metropolitalnej, wyraził przytem życzenie, aby w tej trumience pomieszczono relikwie św. Wojciecha. Przepełniony nadmiarem szczęścia i radości z odzyskanego spokoju wewnętrznego rozdzielał hojne podarki pomiędzy duchowieństwo katedralne aż do najniższych sług i stróżów tegoż kościoła, pomiędzy rycerstwo i mieszkańców Gniezna, nie pomijając kalek i ubogich książęcej swej stolicy.

Opatrzność posługuje się częstokroć drobnemi napozór przedmiotami w sprawach nader ważnych. Owóż w naszem właśnie stuleciu, gdzie pomiędzy ludźmi nauki zaostrzył się spór o relikwie św. Wojciecha, czy takowe spoczywają w katedrze gnieźnieńskiej czy też w pragskiej, odkryto różne monety z wizerunkiem i napisem św. Wojciecha. Władysław I Herman kazał bić monety, na których widać postać św. biskupa i napis: „Voceikus“. A zatem w pięćdziesiąt lat po złupieniu katedry gnieźnieńskiej wiedział król, iż ciało św. Wojciecha pozostało nietknięte na ziemi polskiej.

Z czasów panowania syna jego Bolesława III Krzywoustego odnaleziono aż sześć rozmaitych pieniążków z napisem św. Wojciecha i godłami biskupiemi; a każda moneta z odmiennemi wyciskami, co znaczy, iż w innym czasie była bita. Większego jeszcze dla nas jest znaczenia blaszka, czyli tak nazwany brakteat, na którym przedstawiony jest biskup rozgrzeszający pokutnika. Z napisu umieszczonego na brzegu w koło tej blaszki, pokazuje się, iż ten brakteat miał przypominać narodowi polskiemu chwilę, w której Bolesław Krzywousty otrzymuje odpuszczenie grzechów od Boga za pośrednictwem św. Wojciecha.

Dar królewski: Spiżowe podwoje w katedrze gnieźnieńskiej.

Nie miłość własna pobudziła króla, że te brakteaty po kraju rozrzucać polecił, by cały naród wraz z nim uwielbiał Boga, a dziękował św. Wojciechowi za jego pośrednictwo. Ten sam duch Boży pobudził Bolesława III do wystawienia przy grobie św. Wojciecha nieskończenie trwalszego jeszcze pomnika pokutniczej pielgrzymki swojej i odzyskania pokoju, albowiem silne podwoje śpiżowe ustawił w kruchcie na straży drogiego skarbu. Jakiego zaś skarbu warowne te podwoje strzedz miały, pokazywały wyryte na śpiżu obrazy, przedstawiające życie i śmierć męczęńską św. Wojciecha.

Podwoje te dotąd podziwiamy, jako zabytek historyczny i drogą pamiątkę.

Skrzydło lewej strony jest przeszło pięć łokci czyli dziesięć stóp i cztery cale wysokie, a przeszło jeden łokieć czyli cztery stopy i półdziewiąta cala szerokie, Drugie skrzydło tych drzwi po prawej stronie jest cokolwiek krótsze i węższe; wysokość bowiem wynosi dziesięć stóp i dwa cale, a szerokość dwie stopy i półtora cala. Obydwa skrzydła są jednym odlewem ze spiżu, to jest mieszaniny miedzi i cynku. Ale i pod tym względem zachodzą różnice. I tak w skrzydle lewem przeważa miedź, w prawem mosiądź: do lewego użyto mniej, do prawego więcej cynku, przez co nie jednakowy jest kolor obu tych skrzydeł.

Gdy drzwi te ze śpiżu były odlane, wykończono każde skrzydło dłutem, tak iż je odlewem i rzeźbą razem nazwać można.

Na każdem skrzydle tych podwoi znajduje się po dziewięć obrazów. Przegląd ich należy rozpoczynać na lewem skrzydle od dołu idąc w górę. Tu przedstawiony jest żywot świętego od jego urodzenia aż do pobytu w klasztorze benedyktyńskim na Awentynie w Rzymie. Na prawem skrzydle trzeba przegląd ten zacząć od góry; a idąc na dół, widzi się w dziewięciu obrazach przedstawioną misję świętego nad Baltykiem i złożenie zwłok jego na ziemi polskiej. Siedmset z górą lat strzegą już te śpiżowe wrota relikwji św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej. W tym czasie wystawiona była ta matka wszystkich kościołów polskich niejednokrotnie to na spustoszenie przez pożary, to na złupienie przez wrogów; ale we wszystkich tych przygodach ocalały szczęśliwie śpiżowe podwoje. Zacząwszy od dołu nasze rozpatrywanie się, widzimy na

I Obrazie chrzest św. Wojciecha, w pałacu Sławnika. Dwa łuki przedzielają pierwszy ten obraz nn dwie części. Pod lewym łukiem siedzi matka świętego, a służąca podaje słabej jeszcze po chorobie matronie pokrzepienie. Pod prawym łukiem w chrzcielnicy postać dziecięcia, otoczona dwiema osobami, z których każda jedną ręką trzyma dziecko, drugą zaś ma wyciągniętą nad jego główką.

II Obraz przedstawia chwilę gdy stroskani rodzice przynoszą dziecię konające do kościoła i skła-

dają na ołtarzu Matki Bożej. Stojącemu za ołtarzem kapłanowi podaje Sławnik swego synka, a Strzeżysława, przynosi w ofierze bogate dary. Za matką widać zapłakaną piastunkę Wojciecha.

III Obraz przypomina nam w dwóch znowu przedziałach nauki świętego w szkole magdeburskiej. Pod lewym łukiem prowadzą rodzice syna na akademię, a wszyscy troje w bogatych, wzorzystych strojach; pod prawym zaś łukiem profesor Oteryk, odziany w togę, wyciąga rękę do młodzieniaszka.

IV. Obraz przedstawia św. ucznia magdeburskiego, co to w nocy przed kościołem klęczał i modlił się w lichem odzieniu, boso i z odkrytą głową.

V. Obraz przenosi nas do włoskiego miasta Werony, gdzie Otton II, siedzący na tronie z berłem w ręku i koroną na głowie, podaje św. Wojciechowi pastorał. Za tronem cesarskim stoi na straży miecznik z dobytym mieczem; za nowoobranym biskupem pragskim z lewej strony stoją dworzanie i duchowni.

VI. Obraz wprawadza nas do katedry pragskiej św. Wita, gdzie nasz święty znakiem krzyża św. wypędza czarta z opętanego. Dwaj duchowni stojący za św. Wojciechem, wyobrażają kapitułę pragską; trzy osoby świeckie stojące przy opętanym, mieszczan pragskich.

VII. Obraz odświeża w naszej pamięci oną walkę wewnętrzną, jaką św. Wojciech długi czas toczył z sobą, szukając oświecenia z góry w tej wątpliwości, czy dłużej jeszcze ma pracować nad nawrócenien, zaślepionych i zatwardziałych djecezjan pragskich. Św. biskup leży przed swoją katedrą snem znużony, a Pan Jezus budzi go poważnym głosem swoim: „Jam jest Jezus Chrystus, który zostałem sprzedany, a oto powtórnie sprzedają mnie żydom, a ty jeszcze leżysz“.

VIII. Obraz odzwierciadla nam czułe serce świętego i jego uczynki miłosierne. Kiedy już wszystkie zasoby wyczerpał i nie miał za co wykupić z rąk żydowskich niewolników chrześcijańskich: zaprowadza ich przed księcia czeskiego Bolesława II i prosi, by żądany okup za nich złożył. Dobry pasterz stoi w ubraniu biskupiem przed tronem księcia, mając poza sobą czterech niewolników. Za tronem książęcym stoi na straży żołnierz z dobytym mieczem.

IX. Obraz przenosi nas myślą naszą do refektarza w klasztorze św. Aleksego na Awentynie, gdzie nasz święty w habicie benedyktyńskim usługuje braci zakonnej do stołu; niosąc banię z winem, potyka się o jakąś przeszkodę na posadce, upada na ziemię, a naczynie z winem uderza z wielkim trzaskiem o posadzkę marmurową. Przy stole potrawami zastawionym siedzi czterech zakouników. Za św. Wojciechem stoją dwaj bracia zakonni, którzy nachylają się ku posadzce, by oglądać przedmiot, o który święty się potknął.

Na lewem skrzydle spiżowych podwoi wyrzeźbił artysta niejako drabinę Jakóbową, po której św. Wojciech od najniższego szczebla wstępował ku coraz wyższej doskonałości chrześcijańskiej, aż stanął na szczeblu zupełnego zaparcia się samego siebie i świata w zgromadzeniu zakonnem. Na skrzydle prawem prowadzi artysta w odwrotnym kierunku z góry na dół. Zamierzał on tu niejako w pracach apostolskich i śmierci męczeńskiej wskazać na przykład Dobrego Pasterza, Jezusa Chrystusa, który z krzyża zstąpił do grobu, a z grobu wzniósł się do odwiecznej chwały Ojca niebieskiego. Opuszczając tedy trzykrotny jego powrót do swej djecezji, jako też prace misyjne na Węgrzech, Szlązku i w dzielnicach około Krakowa i Gniezna, zaprowadza nas od razu na

X. Obrazie do brzegów Baltyku. Na łodzi, zapełnionej przewoźnikami, stoi św. Wojciech w otoczeniu towarzyszów. Na wybrzeżu morskiem stoją Prusacy, trzymając w ręku tarcze i włócznie, a św. Apostoł błogosławi z łodzi wpatrujących się w niego pogan.

XI. Obraz zdaje się przedstawiać liczne nawrócenia mieszkańców Gdańska i okolicy. W chrzcielnicy odbiera dorosły mężczyzna przez zanurzenie sakrament chrztu św., za nim stoi grono katehumenów, czekających na udzielenie im tej samej łaski. W samym środku tego obrazu widać wspaniałą postać świętego, otoczonego trzema towarzyszami, a przybranego w szaty biskupie. Opierając się lewą ręką na pastorale, żegna prawą ręką katehumena, do połowy zanurzonego w chrzcielnicy.

XII. Obraz stawia nas już w głębi ziemi pruskiej, gdzie przed Apostołem stoi czterech pogan, którzy niechętnie słuchają jego nauki i odwracają od niego swe twarze. Za biskupem stoją trzej jego towarzysze.

XIII. Obraz przypomina otwarte pole w pobliżu Romowa, gdzie na ołtarzu z polnych kamieni ustawionych Radzym odprawia Mszę św. Przed ołtarzem a za Radzymem widać św. Wojciecha z pastorałem w ręku, który z dwoma towarzyszami słucha Mszy św. Z drugiej strony ołtarza przed Radzymem pokazują się zbrojni Prusacy, chociaż, jak wiemy z żywota świętego, nie byli oni przytomni przenajświętszej Ofierze, ale spostrzegli oni tych misjonarzy chrześcijańskich już w tak zwanym „bógaju“ śpiących. Umieścił ich na tym już obrazie artysta dla tego, by lepiej uwydatnić, gdzie się ta Msza św. odprawiała.

XIV. Ofiarnik przebija św. Męczennika, a drugi kapłan pogański ucina mu głowę toporem. Trzej towarzysze przypatrują się męczeńskiej śmierci św. biskupa w pewnem oddaleniu.

XV. Obraz pokazuje nam śmiertelne szczątki św Męczennika. Ciało leży na desce, obwinięte prześcieradłem, a głowę zatknięto na palu. Deska z ciałem świętego oparta jest jednym końcem o drzewo a drugim o pal z głową. Pomiędzy drzewem a palem stoi drzewko w samym środku, na niem orzeł strzegący zwłok św. Wojciecha.

XVI. Obraz przedstawia wykupienie ciała św. Wojciecha z rąk pogańskich Prusaków. W tym obrazie pozwolił sobie artysta znowu niektórych zboczeń od ścisłej prawdy dziejowej, ale wybacza mu się to chętnie, gdyż uczynił to niezawodnie w tej myśli, ażeby lepiej uwydatnić i zrozumialszem uczynić to przedstawienie swoje. W środku obrazu stoi na ziemi ogromne naczynie. Ponad tem naczyniem trzyma Prusak prawą ręką wagę z dwiema szalami, przy której stoją Prusacy w tarcze ubrojeni. Z lewej strony wagi Chrobry z promienistą koroną królewką na głowie.

Przy królu stoi miecznik z dobytym mieczem. Zamiast berła trzyma Bolesław w prawem ręku sporą bryłę złota, którą gotów dorzucić do wagi. Otaczający króla swego Polacy rozmawiają poważnie między sobą o zaszłym cudzie, a młody Polak zdejmuje z uszanowaniem głowę świętego z wagi. Głowa ma tu przedstawiać całkowite ciało Męczennika, któreby za dużo miejsca zabrało na szczupłym obrazku. W twarzach Prusaków, stojących po prawej stronie wagi, przebija się wielkie niezadowolenie z tego, iż tak mało złota pozostało na wadze, zwłaszcza iż ogromne naczynie pod wagą aż do samego wierzchu napełnione jest drogim kruszczem.

XVII. Obraz stawia nas już na ziemi polskiej w onej chwili, kiedy drogie szczątki św. Wojciecha wprowadzają uroczyście do klasztoru trzemeszeńskiego.

Dwóch kapłanów niesie trumnę w kształcie arki oponą okryte ze swiętemi relikwiami. Przed trumną postępuje biskup Unger w asystencji kapłana, trzymając w ręku księgi i kropidło. Za trumną zajmuje pierwsze miejsce Bolesław Chrobry, z płaczącą małżonką swoją Judytą. W małych dziatkach, klęczących w pośrodku przed prowadzonemi zwłokami, artysta przedstawił cześć nowo ochrzczonych, którzy na klęczkach witają ze łzą w oku śmiertelne szczątki duchownego ojca swego.

XVIII. Obraz przypomina uroczyste przeniesienie zwłok z Trzemeszna do Gniezna. Po lewej stronie obrazu składa dwóch kapłanów święte szczątki męczennika do trumny; z dwóch innych kapłanów, stojących za trumną, trzyma jeden kadzielnicę, a drugi naczynie z wodą święconą. Przed nimi widać zakonnika, bardziej ku prawej stronie obrazu posuniętego. Będzie to albo Radzym albo Bogusz. W głowach trumny stoi biskup Unger z pastorałem w lewej ręce, prawą zaś rękę ma podniesioną do błogosławienia. Za biskupem ukazuje się w całym majestacie królewskim Chrobry z berłem w prawej ręce, a z podniesioną w górę lewą ręką.

Jaką wielką wartość mają te podwoje spiżowe i jakie znaczenie nadają im najznakomitsi badacze dziejów i sztuk pięknych, o tem świadczą owe rozliczne sądy i zdania, jakie nam mężowie uczeni w pismach swoich pozostawili.

Wielu z nich starało się dowieść, że podwoje są niemieckiego pochodzenia.

Niezmordowany badacz minionej przeszłości naszej, ksiądz kanonik Polkowski zrobił bardzo szczęśliwe odkrycie na tych drzwiach spiżowych, które go naprowadziło na domysł, iż te podwoje ulał Polak i to duchowny polski. Oto co pisze ksiądz Polkowski: „Na obu połowach podwoi, na czwartym obrazie od dołu, są lwie głowy z pierścieniami; według wszelkiego prawdopodobieństwa, głowy te dorobione znacznie później; otóż na skrzydle strony lewej głowa lwia przykrywa jakiś napis, z którego wyglądają cząstki głosek M. E. F. C. T. R. A, z tych cząstek głosek śmiem wnioskować, że tu był napis: Me fecit frater... co znaczy: Mnie zrobił brat zakonnik. Niema przeto żadnych słusznych powodów do takiego twierdzenia, iżby Bolesław Krzywousty gdzieś tam za granicą drzwi te spiżowe kazał robić albo też cudzoziemców do tej roboty sprowadzał.

Bolesławowskie podwoje spiżowe znane są od dawnych wieków pod różną nazwą. Kapituła gnieźnieńska mianowała je w urzędowych pismach swoich Bramą złotą, gdy w roku 1611 kruchtę południową kazano naprawiać.

Zwą ją także bramą spiżową lub bramą królewską.

Odzyskawszy Bolesław III z otrzymanem rozgrzeszeniem przy grobie świętego Wojciecha pokój wewnętrzny, począł odpędzać zuchwałych nieprzyciół od granic rzeczypospolitej. Wnet też rozniosła się sława dzielnego książęcia polskiego po szerokim świecie. Niespokojni sąsiedzi przycichli na chwilę. Pomiędzy książętami czeskimi odnowiła się dawna niezgoda. Sobiesław uciekł do Polski i prosił Krzywoustego, by jemu i przez Władysława uwięzionemu bratu Borzywojowi pośpieszył z pomocą. Szlachetny książę polski pojednał trzech braci czeskich w roku 1115.

Na stolicy arcybiskupiej zasiadał od r. 1119 Jakób I ze Żnina, mąż wielce gorliwy o chwałę Bożą i o rozszerzenie czci św. Wojciecha. Rozmyślał on nie raz nad tem, czy nie nadeszła chwila, zwłoki apostoła Słowian z ukrycia wydobyć i na ołtarzu postawić, błagał więc Ducha św. o światło nadprzyrodzone, a prócz tego przekładał sprawę tak ważną całej kapitule swej do głębszego zastanowienia.

Wszyscy zgodzili się na to iż czas już, ażeby drogi ten skarb po wiekowem blizko ukryciu pu-

blicznej czci został znowu przywrócony. Wewnątrz kraju panował ład i spokój. Zewnętrzni nieprzyjaciele zostali upokorzeni i złamani.

W kronice trzemeszeńskiej zapisano, iż arcybiskup Jakób w roku 1122 relikwje sługi Bożego Wojciecha z pod ziemi wydobył i na jaw ku czci publicznej wystawił. Najważniejszem atoli dla nas świadectwem jest wyznanie kanonika czeskiego na Wyszehradzie, który żył za panowania księcią Sobiesława (1135—1140), i który kronikę Kosmasa dalej prowadził. W tej to kronice pisze on, iż dnia 23 lutego roku 1127 znaleziono w mieście Gnieznie ciało św. Wojciecha. Więc w niespełna dziewięćdziesiąt lat po złupieniu katedry gnieźnieńskiej zeznaje kronikarz czeski, iż ciało św. Wojciecha znajduje się w Gnieznie a nie w Pradze.

Dokładny mamy opis tego, iż arcybiskup Jakób ze Żnina wystawił w środku katedry gnieźnieńskiej ołtarz z grobowcem, otoczony dwoma rzędami stopni z ciosanego kamienia. W opisie tego ołtarza z grobowcem św. Wojciecha czytamy dalej iż lud pobożny mógł wygodnie relikwje Męczennika oglądać i głowę jego świętą przez zakratowane okienko całować.

Biblioteka kapitulna gnieźnieńska posiada bardzo ciekawy i wielkiej wartości rękopis pergaminowy, mający dwieście kart. Uczeni mężowie utrzymują, iż rzadki ten kodeks był pisany, przed dziewięciuset latami. Przypadałoby to zatem mniej więcej na te czasy w których żył św. Wojciech. Z tego powodu wpadli niektórzy uczeni na pobożny domysł, iż św. Wojciech przyniósł ze sobą do Gniezna ten rękopis pergaminowy i tam go zostawił, wybierając się na misję do Prusaków. Starożytny ten rękopis nazwano „kodeksem św. Wojciecha“. Jest on nieocenionej wartości, znajduje się bowiem w nim antyfona w języku łacińskim na cześć patrona naszego napisana, która w polskim języku brzmi jak następuje: „O wielki głosie! przystoi ci byś zabrzmiał chwałą wszędy, gdzie niebios stropy sięgają; raduje się ziemia takiem ciałem ubogacona, weseli się i pląsa, godna będąc takiego pasterza. O św. Wojciechu męczenniku racz przyjąć prośby nasze. Alleluja“. Być może, iż tę antyfonę ułożono na uroczystość wydobycia relikwji św. Wojciecha z wiekowego ukrycia, i śpiewano ją przy nowo wystawionym ołtarzu z grobowcem.

Wielkie niebezpieczeństwo zagrażało grobowcowi i zwłokom św. Wojciecha w roku 1331 za panowania Władysława Łokietka. Upokorzył on w niejednej bitwie spanoszonych polską krwią i mieniem dumnych Krzyżaków. Wyrodny syn ojczyzny, zdrajca Wincenty ze Szamotuł Nałęcz, naprowadził ich 22 lipca 1331 na Polskę.

W drugiej połowie września wpadli Krzyżacy do Gniezna, złupili i obrócili w perzynę pałac arcybiskupi i mieszkania wszystkich kanoników wraz z miastem i przedmieściami, parafjalnym kościołem i wielu innemi gmachami. Katedrę i grób św. Wojciecha ocalił przed podobnym losem altarzysta tegoż kościoła, ksiądz Albert, roztropnością swoją i niezwykłą przytomnością umysłu. Niebezpieczeństwo zaś było tem większe, ponieważ zakapturzeni ci mnisi dopytywali się natarczywie o zwłoki świętego apostoła Prusaków, które chcieli ze sobą do Prus zabrać, ażeby mieć jeden pozór więcej do podstępnych knowań swoich. Wiedzieli przeto i Krzyżacy o tem dokładnie, iż w Gnieznie a nie w Pradze znajduje się ciało św. Wojciecha.

Od roku 1038 spoczywały relikwje św. Wojciecha ukryte przed światem w najgłębszej tajemnicy. Sam tylko arcybiskup z kilku prałatami znał to miejsce tajemnicze. Mimo to nie ustawały i po napadzie czeskim pielgrzymki do grobu św. Męczennika. Odkąd zaś złota trumna bolesławowa z relikwjami św. Wojciecha na środku głównej nawy katedralnej w wspaniałym grobowcu spoczęła, pielgrzymki stały się częstsze, liczniejsze i uroczystsze. Nie tylko kmiecie i mieszczanie, nie tylko szlachta drobniejsza ale magnaci i hetmani, nadto głowy ukoronowane śpieszyły w pobożnej pielgrzymce do Gniezna.

Władysław Jagiełło w bitwie pod Grunwaldem ślubował pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha w razie zwycięztwa. I zwyciężył świetnie Krzyżaków.

Ważne potrzeby krajowe nie pozwoliły natychmiast pobożnemu królowi dopełnić ślubu. Dopiero 20 maja 1414 r. był Jagiełło w Gnieźnie odbywszy dziękczynną tę pielgrzymkę z Trzemeszna do Gniezna pieszo. Między licznemi drogocennemi łupami na tej wojnie zdobytemi, które katedrze gnieźnieńskiej na cześć św. Wojciecha ofiarował, znajdował się pozłacany relikwiarz srebrny. (Relikwiarz ten znajduje się obecnie w zamku malborskim, gdzie go złożył król pruski Fryderyk Wilhelm IV. Gdy bowiem jako królewicz był w Gnieznie 1822 roku, darowała mu go kapituła metropolitalna).

Grobowiec św. Wojciecha.

Gdy Jakób III z Sienna herbu Dębno 1474 r. objął rządy archidjecezji gnieźnieńskiej, postanowił gorące nabożeństwo swoje do św. Wojciecha uwydatnić wystawieniem wspaniałego grobowca dla tego patrona Polski. Przeznaczył w testamencie swoim odpowiedni fundusz na dokończenie tego dzieła, a wykonawcą ostatniej woli swojej mianował synowca kardynała i biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, który zajął się gorliwie dokończeniem grobowca św. Wojciecha. Według wszelkiego prawdopodobieństwa sławny nasz snycerz i rzeźbiarz Wit Stwosz, urodzony w Krakowie 1447 roku, wy-

konał to arcydzieło sztuki rzeźbiarskiej. Jak się pokazuje z tablicy kamiennej, umieszczonej obecnie nad drzwiami, prowadzącemi do wieży północnej, wykończony został ten grobowiec fundacji Jakóba z Sienna w r. 1486.

Pożar i rabunek Szwedów zniszczyły to wspaniałe dzieło. Dwie tylko płyty kamienne z rzeźbą i napisami ocalały.

Jedna z nich znajduje się obecnie wmurowana w zachodniej ścianie katedry nad drzwiami wchodowemi na chór. Prześliczna rzeźba na tej płycie przedstawia chrzest św. Szczepana, królewicza węgierskiego. Św. Wojciech, ubrany w szaty biskupie, osłania królewicza białą szatą.

Na drugiej płycie wmurowanej nad drzwiami, prowadzącemi do wieży północnej, wyryty jest napis łaciński gotyckiemi głoskami świadczący, że trzydziesty trzeci następca św. Wojciecha Jakób z Sienna wystawił ten grobowiec. Podług wiarogodnych świadectw odprawił pielgrzymkę do Gniezna na uroczystość św. Wojciecha trzeci z kolei syn Kazimierza Jagiellończyka—Jan Olbracht—siódmego roku po ukończeniu grobowca sienieńskiego.

Tysiączne zastępy wyszły naprzeciwko swemu królowi i wprowadziły go w uroczystym pochodzie do kościoła katedralnego. Tu przed grobem św. Wojciecha długo się modlił Jan Olbracht i z wielką czcią całował św. relikwje.

Złota trumienka ofiarowana przez Bolesława Krzywoustego z tem zastrzeżeniem, ażeby w niej złożono relikwje św. Wojciecha, przewożoną była kilkakrotnie z Gniezna do Uniejowa, warownego zamku. Od czasu podniesienia śmiertelnych szczątków św. Wojciecha z ukrycia i wystawienia ich na ołtarzu ku czci publicznej, umieszczono w złotym relikwiarzu bolesławowskim głowę św. Męczennika, a resztę św. relikwji złożono w czarnej trumnie hebanowej.

Jan Łaski arcybiskup gnieźnieński wyjechał do Rzymu na sobór lateraneński dnia 13 marca 1513 roku i tam wyjednał rozliczne łaski i przywileje dla Kościoła w Polsce i dla swej metropolji. Nie zapomniał również o relikwjach św. Wojciecha, a dla pobożnych wielbicieli św. Męczennika wyjednał odpust cząstkowy 40 lat i tyleż kwadragen na wieczne czasy w dniach 23 kwietnia i 20 października. W odnośnej bulli z r. 1515 pisze papież Leon X wyraźnie między innemi: „za którego to (św. Wojciecha) pośrednictwem Najwyższy bardzo wiele tamże (w Gnieznie) cudów dotąd czynił, i w niewyczerpanej swej łaskawości czynić nie przestaje.“

Zygmunt III Waza po kądzieli Jagiellończyk, odniósł jedno z najświetniejszych zwycięztw nad licznymi nieprzyjaciołmi Polski w rocznicę uroczystości przeniesienia zwłok św. Wojciecha z Trzemeszna do Gniezna. Było to z dnia 19 na 20 października 1600, jak hetman wielki koronny Jan Zamojski nad Telużynem złamał potęgę wojewody wołoskiego Michała. Sprzymierzeńcy Michała przewyższali przynajmniej cztery razy liczbą wojsko polskie, lecz odparci przez Zamojskiego od Chocima, rozbili się i stracili 95 chorągwi. Zaledwie cztery tysiące ludzi uszło z pola bitwy w haniebnej ucieczce.

Obecny grobowiec św. Wojciecha.

Relikwie św. Wojciecha zwrócone zostały kościołowi gnieźnieńskiemu w roku 1650 z Łowicza. Bolesne atoli uczucia cisnęły się do serca gorących wielbicieli św. Patrona Polski na widok obdartego przez Szwedów grobowca domagającego się, by go nowym zastąpiono; ale cały kraj zrabowany i wyniszczony był przez barbarzyńskich inowierców.

Arcybiskup Jan Lipski umierając 1611 r. zapisał testamentem dziesięć tysięcy złotych na cel powyższy. Za przykładem prymasa poszedł brat jego Samuel, starosta rawski, ofiarując kapitule gnieźnieńskiej takąż sumę na ten sam cel.

Spustoszenie starego grobowca i zabranie przez Szwedów marmurów, przysposobionych do nowego mauzoleum św. Wojciecha, stały się bodźcem do wzniesienia tego wspaniałego pomnika żywej wiary i gorącej miłości Boga i świętych Jego, jaką przepełnieni byli pobożni przodkowie nasi. I dziś jeszcze jest ten grobowiec św. Wojciecha ozdobą nie tylko katedry gnieźnieńskiej, lecz całej dawnej ziemi polskiej.

Do wykonania tego wiekopomnego dzieła wybrała i przysposobiła sobie Opatrzność Boska odpowiednie narzędzie. Był niem ksiądz Antoni Ferdynant Lupini, doktor obojga prawa, protonotarjusz apostolski, kanonik gnieźnieński. Jemu powierzyła kapituła gnieźnieńska wystawienie nowego grobowca wraz z ołtarzem dla relikwji św. Wojciecha.

Niezaprzeczone błogosławieństwo Boże towarzyszyło gorliwym zabiegom prałata Lupiniego. Ksiądz kanonik Chudzyński ofiarował na ten cel tysiąc złotych. Po śmierci arcybiskupa Czartoryjskiego złożyli egzekutorowie jego testamentu dwieście dukatów, a po śmierci arcybiskupa Prażmowskiego cztery tysiące złotych.

Jak tylko ksiądz Lupini w tak znaczne fundusze kapitułę widział zaopatrzoną, zaczął na nowo sprowadzać marmury z Krakowa na ołtarz i ogrodzenie grobowca. Marmury te i robota około nich kosztowały 5856 złotych. A ponieważ św. Wojciech jest dla matki wszystkich kościołów polskich i dla narodu polskiego niejako tem, czem św. Piotr dla Rzymu i dla całego światu chrześcijańskiego, więc ksiądz Lupini postanowił nad grobem Patrona Polski wznieść podobny baldachim, jak się wznosi nad zwłokami św. Piotra w Watykanie. Ołtarz taki

z baldachimem na filarach spoczywającym nazywa się w języku kościelnym konfesją.

W Warszawie najznakomitsi artyści wyrzeźbili baldachim, wznoszący się na czterech kręconych kolumnach, przyozdobiwszy go figurami i rozmaitemi innemi upiększeniami. Koszta tego baldachimu bez pozłocenia wyniosły okrągłych dwanaście tysięcy złotych.

Ksiądz Stanisław Bużeński, pałając szczególniejszym nabożeństwem do św. Wojciecha, ofiarował się sprawić do grobowca drzwi spiżowe i bogatą aksamitną oponę. Drzwi spiżowe zdobią dotąd grobowiec św. Wojciecha, lecz aksamitna opona uległa z czasem zniszczeniu, tak iż ją trzeba było usunąć.

Trumna Pilchowiczowska.

Najdroższy skarb Polski spoczywał po skradzeniu srebrnej trumny zygmuntowskiej w ubożuchnej trumience drewnianej. W roku 1659 kanonik gnieźnieński ks. biskup Wojciech Pilchowicz polecił słynnemu podówczas złotnikowi gdańskiemu, Piotrowi de Rennen, ażeby wspaniałą trumnę srebrną dla relikwji św. Wojciecha zrobił.

Trumna ta jest arcydziełem sztuki złotniczej. Ma dziesięć obrazów w płaskorzeźbie z napisami łacińskimi. Trumnę unosi sześć srebrnych orłów.

Każdy z tych obrazów przedstawia najważniejsze chwile z życia św. Wojciecha.

Na samym wierzchu trumny spoczywa postać św. apostoła Prusaków prawie naturalnej wielkości w ubraniu biskupiem. Na głowie w górę podniesionej wspaniała infuła, prawym łokciem wsparty na poduszce, trzyma w tejże prawej ręce krzyż arcybiskupi, lewa ręka spoczywa na książce opartej na kolanach. Wszystko zaś wyrobione jest ze szczerego srebra.

Piękne niemniej wrażenie sprawiają aniołkowie, otaczający górną i dolną część trumny.

Szczątki św. Wojciecha w materją czerwonego koloru starannie obwinięte, pieczęciami opatrzone znalazł nietknięte arcybiskup Ignacy Raczyński podczas wizyty kościoła w r. 1810.

W najnowszych czasach otwierał relikwie św. Wojciecha ks. arcybiskup Przyłuski 24 kwietnia 1855 i za zgodą kapituły gnieźnieńskiej i w jej obecności wyjął cząstkę z relikwji przechowywanych w srebrnej trumnie w Gnieźnie, aby zawieść osobiście w darze na uroczystość poświęcenia kościoła w Granie na Węgrzech w r. 1856.

Głowa św. Wojciecha.

Powiedzieliśmy już, iż arcybiskup Jakób ze Żnina wydobył d. 7 marca 1127 roku wśród wielkiej uroczystości z ukrycia najprzód głowę—a potem resztę ciała św. Wojciecha, i że takowe ku czci publicznej na ołtarzu z grobowcem w środku kościoła katedralnego wystawił.

Te święte relikwie tak były umieszczone, że lud pobożny mógł wygodnie je oglądać, a głowę świętą przez zakratowane okienko całować. Wydobycie głowy świętej z miejsca, na którem ją dotąd z obawy przed jakim napadem nieprzyjacielskim ukrywano, dało niezawodnie powód niektórym kronikarzom naszym, iż pod rokiem 1127 zapisali „wynalezienie głowy św. Wojciecha“.

W jakim relikwiarzu przechowywano głowę św. Wojciecha, z początku niewiadomo, prawdopodobnie po wystawieniu nowego grobowca z ołtarzem na środku katedry, obrócono złotą trumienkę przez Krzywoustego darowaną na relikwiarz głowy świętej.

W aktach kapitulnych zapisano pod rokiem 1455, że gdy niektóre klejnoty kościoła gnieźnieńskiego dano na dalsze prowadzenie wojny z Krzyżakami, szczerozłoty relikwiarz z głową św. Wojciecha uwieziono do skarbu Uniejowskiego.

Obecnie relikwiarz z głową świętą spoczywa na czterech lwach, siedzących na złotych kulkach wielkości laskowego orzecha, wyobrażających również kulę ziemską.

Dno czyli podstawa tego relikwiarza składa się ze złotej blachy ośmiobocznej. Na tej ośmiobocznej podstawie unosi się ośm ścian czteroobocznych z blachy złotej. Każda ściana jest ośmdziesiąt milimetrów szeroka. Jak na bokach trumny srebrnej artysta gdański w roku 1662 wyrzeźbił dziesięć przedstawień z życia i męczeństwa św. Wojciecha, tak jubiler poznański już dwieście lat przed nim wyrył na bocznych ścianach relikwiarza świętej głowy następujące obrazy:

I. Ofiarowanie św. Wojciecha w kościele przez jego rodziców.
II. Oddanie św. Wojciecha na nauki magdeburskiemu biskupowi.
III. Wypędzenie czarta z opętanego.
IV. Nauczanie pogańskich Prusaków.
V. Męczeństwo św. Wojciecha.
VI. Złożenie ciała na desce a zatknięcie głowy św. Wojciecha na gałęzi.
VII. Św. Wojciech niesie przed sobą własną głowę uciętą.
VIII. Wykupienie zwłok św. Wojciecha.

Ośmioboczny ten relikwiarz zakończa odpowiednia kopułka, na której szczycie w samym środku znajduje się wypukła tarcza kryształowa, wielkości dwutalarówki. Przez ten otwór szkłem zakryty widać czaszkę, wierzch głowy św. Wojciecha, który wiernym daje się do całowania.

Od tego kryształu aż do boków relikwiarza idzie ośm szczerozłotych blach trójkątnych, kopu-

pułowato ułożonych, z których każda ozdobiona trzema wielkiemi szafirami i jedną perłą.

Prześlicznej kopule, zakończającej to arcydzieło sztuki jubilerskiej, odpowiada również piękny a drogocenny gzyms u spodu relikwiarza. W obwodzie tego gzymsu znajduje się ośm szafirów znacznej wielkości. Prawdziwe te szafiry sięgają odległej starożytności, a niektóre z nich mają przez środek podłużną dziurkę, z czego wnosić można, że kiedyś na wschodzie używane były jako amulety.

Pierwsza myśl zwycięzców zwróciła się ku św. Wojciechowi, z którego pieśnią „Bogarodzica“ na ustach, zczęśliwą tę walkę rozpoczęto. Więc też 54 chorągwie, zdobyte na wojewodzie wołoskim wysłał następnego zaraz roku Zygmunt III do Gniezna, by je tam na grobie św. Wojciecha zawieszono. Drugą połowę na nieprzyjacielu zdobytych chorągwi zawieszono w katedrze krakowskiej przy grobie św. Stanisława.

Królewicz Władysław, syn Zygmunta III, wyprawiony przez ojca i senat przeciwko Moskwie 6 kwietnia 1617 roku, odebrawszy z rąk prymasa Gębickiego miecz poświęcony w katedrze warszawskiej świętego Jana, po szczęśliwie ukończonej wojnie przesłał dzwon ogromny z Moskwy do Gniezna. Dzwonowi temu nadano nazwę: W o j c i e c h, przytem przesłał pobożny królewicz Władysław inną ofiarę drogocenną do grobu św. Wojciecha mały krzyż szczero-złoty, wysadzany szmaragdami.

Zygmunt III w krwawej i nierównej walce pod Chocimem położył całą ufność swoją w Bogu za pośrednictwem patronów Królestwa Polskiego. Do arcybiskupa Gembickiego i kapituły gnieźnieńskiej wysyła gońca z prośbą, ażeby dla niego i królewicza Władysława udzielono po cząsteczce z relikwji św. Wojciecha. W prośbie tej wyraźnie stało, iż niewzruszoną pokłada nadzieję w opiece i orędownictwie św. Wojciecha podczas tej wyprawy przeciwko Turkom.

Świetne zwycięztwo oręża polskiego w dniu 29 września 1621 r. które jednomyślnie uznane zostało za cudowne; nadspodziewany i nadludzki ten tryumf oręża polskiego pobudził rodzinę królewską do szczerej a rzewnej wdzięczności ku Bogu i św. Patronom polskim, więc do Gniezna odbył Zygmunt III z żoną swoją Konstancją i synem Władysławem dziękczynną pielgrzymkę w roku 1623, by tam u stóp grobu św. Wojciecha złożyć królewską koronę i berło swoje.

Trumna srebrna, dar króla Zygmunta III.

Gdy po odprawionych modłach i aktach dziękczynnych przypatrywał się Zygmunt III uważnie wspaniałemu grobowcowi św. Wojciecha wraz z jego ołtarzem, został boleśnie dotknięty ubogą trumną z czarnego hebanu i zobowiązał się uroczystym ślubem sprawić srebrną trumnę dla relikwji tego patrona Polski.

Wróciwszy z pielgrzymki gnieźnieńskiej do Warszawy, poświęcał chwile wolne złotnictwu, by jak najprędzej dopełnić uczynionego ślubu.

Trzy blizko lata pracował król-złotnik nad tą srebrną trumną do relikwji św. Wojciecha. Ale było też to rzeczywiste arcydzieło sztuki jubilerskiej. Na barkach dwóch aniołów prawie naturalnej wielkości spoczywała wspaniała trumna srebrna znacznych rozmiarów i misternej roboty. Pod dniem 18 kwietnia 1626 r. wystosował Zygmunt III bardzo uprzejmy list do kapituły gnieźnieńskiej, w którym z całą prostotą serca i chrześcijańską pokorą wynurza swoją cześć i wdzięczność względem patrona Królestwa polskiego, a nadmieniając o tej trumnie do relikwji świętego, dodaje wyraźnie, iż jest dziełem pobożnego pomysłu jego.

Zaledwie dwadzieścia dziewięć lat cieszyła się katedra gnieźnieńska królewskim darem Zygmunta III. Kiedy syn Jan II Kazimierz objął rządy nad rzeczpospolitą, sypały się jakby z rogu obfitości jedna klęska po drugiej. W roku 1655 zaleli Szwedzi pod Karolem Gustawem całą Polskę.

Kapituła gnieźnieńska przewidywała, co czeka kościół katedralny od tych zagorzałych heretyków. Wydobyto więc relikwje św. Wojciecha z srebrnej trumny Zygmuntowskiej, i ukryto je wraz z innemi kosztownościami osobno w kościele. Gdy się atoli przekonano, iż Szwedzi rabują kościoły i tajemne kryjówki przebiegle wynajdują, wysłała kapituła relikwje św. Wojciecha do Łowicza.

Srebrną trumnę zygmuntowską, jako też inne kosztowności znaczniejszych rozmiarów w kościele zamurowano w takiem miejscu, żeby ich nieprzyjaciel nie wynalazł.

Wpadłszy Szwedzi do Gniezna, a widząc wszelkie kosztowności w katedrze tak mądrze ukryte, że mimo całej przebiegliwości swojej wynaleźć ich nie mogli, poczęli domagać się wydania skarbów.

Czego nie wymogły groźby, tortury i więzienia na prałatach i kanonikach gnieźnieńskich, tego dokonały pieniądze szwedzkie na wiarołomnym mularzu, którego użyto do zamurowania skarbów metropolitalnych. Nieszczęśliwy ten człowiek zdradził Szwedom owo miejsce tajemne, w którem srebrną trumnę Zygmuntowską z innemi kosztownościami zamurował. Nie ocalało więc nic zgoła z tych drogich aparatów i sprzętów kościelnych a srebrna trumna przepadła na zawsze.

Cuda u grobu św. Wojciecha.

Grób. św. Wojciecha był zawsze jakby w oblężeniu a niejeden doznawał tu nadzwyczajnej łaski za pośrednictwem tego patrona. Świadczyły o tem

zawieszone na ołtarzu, grobowcu lub też na stopniach i balustradzie wota. Opowiadali ludzie o cudach, jakie przy grobie św. Wojciecha się ponawiały, a tym sposobem wzrastała cześć św. Męczennika.

Arcybiskup Maciej Łubieński, mąż bardzo uczony i wysokiej świętobliwości, znając z książek i własnego doświadczenia, iż po wielu kościołach zaginęły z czasem wota przy grobach Świętych Pańskich składane, rozporządził w roku 1643, ażeby kilku duchownych katedry gnieźnieńskiej zapisywało na miejscu te łaski nadzwyczajne, jakich pobożni pielgrzymi przy grobie św. Wojciecha doznali. Zważając jednakże na łatwowierność jednych a miłość własną drugich, polecił kapitule gnieźnieńskiej, ażeby wyznaczyła do tej tak ważnej czynności dwóch mężów uczonych w teologji a biegłych w świętych kanonach; do pomocy zaś przydała im dwóch penitencjarzy. Stała ta komisja miała sumiennie zbadać każdy cud, jakiby jej przedstawiono, wyrozumieć świadków, czy są wiarogodni, czy nie zachodzą jakie złudzenia, czy podane zdarzenia są w rzeczy samej natury nadprzyrodzonej, czy też dadzą się wytłómaczyć. Coby ta komisja śledcza za rzeczywisty cud uznała, miała rzetelnie i sumiennie zapisać w oddzielnej księdze, ku temu celowi założonej. Że rozporządzenie arcybiskupie ściśle wykonywano, o tem świadczą dotąd zapiski w aktach kapitulnych.

Złote i srebrne wota zabrali Szwedzi razem z trumną srebrną przez Zygmunta III ofiarowaną. Przy tej grabieży zaginęło na zawsze wiele innych jeszcze drogocennych pamiątek starannie przed Szwedami ukrytych a zdradzonych przez nieuczciwego mularza.

Lubo z dopuszczenia Bożego zaginęły wota złote i srebrne przy grobie św. Wojciecha składane, lubo spłonęły w straszliwym pożarze 1760 r. księgi z zapisem cudów za przyczyną tego świętego zdziałanych; mimo to zachowała Opatrzność niektóre dowody na to, iż cześć św. Wojciecha i w późniejszych czasach nie ustawała przy świętych jego relikwjach w katedrze gnieźnieńskiej strzeżonych.

Niewyczerpane źródło stanowią pod tym względem akta kapitulne.

Przed rokiem 1750 zapisano w aktach kapitulnych, iż niewidomy, uczyniwszy ślub odprawienia pielgrzymki do grobu św. Wojciecha, cudownym sposobem przy tymże grobie przejrzał.

Nie małym dowodem bezustannej czci ku św. Wojciechowi i niezachwianego przekonania o rzeczywistem istnieniu zwłok jego w ołtarzu katedry gnieźnieńskiej, są rozliczne nadzwyczajne i ważne akty kościelne, które się przed tymże ołtarzem odbywały i odbywają. Jak tylko ślad tychże aktów sięga, a od początku wieku XV, w którym się rozpoczynają akta dekretów kapituły metropolitalnej, niezliczone razy autentycznie konstatowane, odbywały się przed tymże ołtarzem czynności i nabożeństwa; każdy arcybiskup przy swoim uroczystym na stolicę metropolitalną wjeździe wprowadzony procesjonalnie do kościoła katedralnego, najprzód udawał się do grobu św. Wojciecha, aby uczcić jego zwłoki tam spoczywające i przez jego przyczynę uprosić sobie błogosławieństwo Boże do sprawowania wzniosłego swego pasterskiego zawodu. Przed tym ołtarzem czytano ważne rozporządzenia, ogłoszenia i wyroki, obok wezwania pomocy św. Patrona; tu poświęcano chorągwie udających się na wyprawy wojenne wojsk: odprawiano dziękczynne za pomyślne wypadki w kraju nabożeństwo; składano dary i ofiary na pomnożenie czci św. Patrona.

Około połowy ośmnastego stulecia znaleziono w dawnym mszale hymny na cześć św. Wojciecha. Kapituła gnieźnieńska poleciła uczonemu kanonikowi swojemu Robertsonowi, ażeby stare te hymny przerobił, co tenże z wielkim talentem wykonał. Gdy Stolica apostolska hymny te przez księdza kanonika Robertsona przerobione zatwierdziła w roku 1756 umieszczono je w brewiarzu czyli w pacierzach kapłańskich na uroczystości św. Wojciecha w dniach 23 kwietnia i 20 października.

Mszał św. Wojciecha.

Drogocenną pamiątką po św. Patronie jest tak nazwany *Mszał świętego Wojciecha*. Jest to księga Ewangelji, na wszystkie niedziele i święta uroczyste całego roku rozłożonych, a pisanych złotemi głoskami na pergaminie. Podług ustnego podania miał św. Wojciech tę księgę z sobą do Gniezna przynieść i kościołowi tamecznemu podarować. Podanie to przechodziło z jednego pokolenia na drugie.

Przez te ośmset lat utrzymało się niezmiennie aż do naszych czasów głównie tym sposobem, że na uroczystość św. Wojciecha i na inne znaczniejsze święta, kiedy biskup w katedrze gnieźnieńskiej celebrował, używano tej księgi do śpiewania Ewangelji i podawano ją potem tak celebransowi jako też innym na Mszy św. obecnym prałatom i kanonikom do pocałowania. Od kilkudziesięciu lat nie wydają już mszału św. Wojciecha z kapitularza, gdzie jedynie może być oglądany. Zaprzestano pięknego tego obrzędu kościelnego, ażeby drogą tę pamiątkę uchronić od zniszczenia.

Przecudne to dzieło starożytnej sztuki piśmienniczej pochodzi wedle zdania uczonych znawców z dziesiątego stulecia a więc z czasów życia i działania św. Wojciecha. Sześć pierwszych kart nie należą do tej księgi i pochodzą niezaprzeczenie z innego jakiegoś dzieła, jak już poznać można z odmiennego a drobniejszego pisma, jako też z brze-

gowych ozdób. Właściwa „Ewangelja złotem pisana“ zaczyna się dopiero od strony dwunastej, a składa się ze stu jedenastu kart pergaminowych, czyli z dwustu dwudziestu i dwóch stronnic. Oprócz prześlicznych inicjałów czyli głosek początkowych, i mniejszych obrazków jest na piętnastu stronach między ewangeljami dwadzieścia pięć obrazów większych, przedstawiających różne tajemnice życia i męki Chrystusa Pana. Pismo jest gotyckie, a tekst łaciński.

Na baczną uwagę zasługuje oprawa tego mszału św. Wojciecha, która dziś jeszcze jest ta sama, jaką była przed setkami lat. Czerwony tylko aksamit, który przez czas został zniszczony, zastąpiono czerwonym safjanem. Na przedniej stronie oprawy jest krzyż ze srebra ulany i pozłacany, blizko trzydzieści centymetrów wysoki. Ponad krzyżem w obłokach unosi się Bóg Ojciec, a tuż pod nim Duch św. w postaci gołębicy; po lewej stronie słońce a po prawej półksiężyc; anioły podają obiema rękami kielich Odkupicielowi. Pod tymi aniołkami stoją obok krzyża figury Matki Bożej i św. Jana Ewangelisty. U stóp krzyża trupia głowa z leżącą na niej jedną kością. W każdym narożniku tej wierzchniej oprawy wyobrażony jest jeden z czterech Ewangelistów z odpowiedniem godłem i łacińskim napisem.

Odwrotna strona tej bogatej i misternej oprawy przyozdobiona jest w samym środku okrągłą tarczą herbową. Środek tarczy zapełniają trzy lilje, stanowiące herb kapituły gnieźnieńskiej. W każdym narożniku spodniej oprawy znajduje się po jednem wyobrażeniu Świętego z odpowiedniem godłem i napisem łacińskim. Cztery te obrazy, świętych przedstawiają św. Wacława, Wojciecha, Stanisława i Pawła.

Podajemy tu w całości jako drogą pamiątkę i ciekawy zabytek historyczny pieśń „Boga Rodzica“ ułożoną według tradycji przez św. Wojciecha:

„Boga Rodzica Dziewica, Bogiem wsławiona Marja, u Twego Syna Hospodyna, Matko zwolona, Marja ziści nam, spuści nam, Kyrie elejson. Twego Syna chrzciciela zbożny czas, usłysz głosy napełnij myśli człowiecze, słysz modlitwę, jenże cię prosimy To dać raczy, jenże cię prosimy, daj na świecie zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt, Kyrie elejson.

Narodził się dla nas Syn Boży, w to wierzaj człowiecze zbożny, iż przez trud Bóg swój lud odjął djabłu z straży. Przydał nam zdrowia wiecznego, Starostę skował piekielnego, śmierć podjął, wspomnionął człowieka pierwszego. Jenże trudy cierpiał bezmierne, jeszcze był nie przyśpiał za wierne, aże sam Bóg zmartwychwstał.

Adamie, ty Boży kmieciu, ty siedzisz u Boga w wiecu, domieść nas swe dzieci, gdzie królują już święci. Tam radość, tam miłość, tam widzenie Twórce Anielskie bez końca, tu się nam zjawiło djable potępienie.

Ni srebrem ni złotem nas djabłu odkupił, mocą swą zastąpił. Dla ciebie człowiecze dał Bóg przekłuć sobie bok, ręce, nodze obie, krew święta szła z boku na zbawienie tobie.

Wierzże w to człowiecze, iż Jezus Bóg prawy, cierpiał za nas rany, swą świętą krew przelał za nas chrześcijany.

O duszy, o grzesznej sam Bóg pieczę ima, djabłu ją odejma, gdzie to sam króluje tam ją k'sobie przyjmuje.

Już nam czas, godzina grzechów się kajaci, Bogu chwałę daci, ze wszemi siłami Boga miłowaci.

Marja, Dziewica, prosi Syna swego, Króla niebieskiego, aby nas uchował ode wszego złego.

Wszyscy święci proście, nas grzesznych wspomożcie, byśmy z wami przebyli, Jezu Chrysta chwalili.

Tegoż nas domieści, Jezu Chryste miły, byśmy z Tobą byli, gdzie się nam radują już niebieskie siły.

Amen, amen, amen, amen, amen, amen, amen, tako Bóg daj, byśmy wszyscy poszli w Raj, gdzie królują Anieli“.

* * *

Św. Wojciech biskup i męczennik, jest jednym z głównych patronów kraju naszego, jako ten, który w początkach przyjęcia wiary chrześcijańskiej przez Polaków, apostolską pracą swoją i gorliwością wielce się przyczynił do jej utwierdzenia i rozszerzenia pomiędzy ojcami naszymi. Dziś więc gdy ta wiara tak bardzo między nami ostygła, powinniśmy szczególne w sercach naszych rozbudzać do niego nabożeństwo, i gorąco go prosić, aby pośrednictwem swojem, potomków tych pokoleń, którym niegdyś Ewangelją przyniósł, dziś chronił od nieszczęścia, zamykania oczów na jej światło.

Dnia 22 Maja.

ŚWIĘTA RYTA Z CASCIA.

ZAKONNICA REGUŁY ŚW. AUGUSTYNA.

1381 † 1456.

Za rządów papieża: Kaliksta III, cesarza niemieckiego Ferdynanda III, austryackiego.

Gdy tedy Chrystus ucierpiał w ciele i wy tąż myślą się uzbrójcie bo kto ucierpiał w ciele, przestał grzeszyć.
Z I-go listu. św. Piotra VI, 1.

Dziecię uproszone u Boga.

W Rocca Porrena w księztwie Spoletańskiem, mieszkał Antoni Mancini, człek zacny i pobożny. Poślubił on młodą, skromnie wychowaną, bogobojną dziewicę Amatę Ferri z Fogliano. Żyli oni z sobą w jak najlepszej zgodzie a przejęci bojaźnią Pańską z cnót chrześcijańskich słynęli. Jednej tylko na świecie pociechy pragnęli a mianowicie aby im Bóg dał dziecię. Słali więc gorące modły, śluby Mu składali, prosząc by raczył spełnić gorące życzenie. Lecz Pan Bóg nie zaraz spełnił ich prośbę, te dwie piękne dusze przez długi czas na próbę wystawiał, by je potem tem szczodrzej nagrodzić. Małżonkowie Mancini biednym okazywali wiele serca. Godzili zwaśnionych, zwano ich „niosącymi pokój Chrystusowy“. Wielki mieli wpływ na sąsiadów i nie jednego na drogę obowiązku i miłości Bożej przywiedli. Siłę czerpała ta świątobliwa para małżeńska w miłości ku Chrystusowi, w tem świętem uczucia, które rosło i rozwijało się w ich sercach pod ożywczym wpływem myśli o cierpieniach Jego.

Antoni i Amata, będąc już podeszli w latach, przestali marzyć, by Pan Bóg ich wysłuchał i dziecieciem upragnionem obdarzył. Lecz u Boga niemasz rzeczy niemożebnych. Niespodzianie spełniło się długo żywione w sercach tych pobożnych ludzi pragnienie, Amata, która już wszelką straciła nadzieję, uczuła, że matką została. Mając siebie za niegodną tej nadzwyczajnej łaski, nie dowierzała samej sobie, niepokoić się poczęła i modliła się gorącej jeszcze niż dotąd, szczęściu swemu nie dając wiary.

I oto raz podczas, gdy pokornie się modliła, ukazał się jej anioł, który rozproszył jej wątpliwości, uspokoił duszę, szczęście jej zwiastował: upewnił, że zrodzi dziecię, i w głównych rysach namalował matce przepiękny obraz cnót jej dziecka. Amata, przejęta radością, wdzięczna za niezwykłą łaskę, czyste i gorące uczucie złożyła u stóp Stwórcy. To cudowne poczęcie, było nagrodą za świętość dwojga dusz, a zarazem radośną zapowiedzą wyróżniającej się doskonałości, która miała przyozdobić ich dziecię.

Przyjście na świat św. Ryty. — Rój pszczół.

W 1381 roku 27 maja przyszła na świat święta Ryta (skrócenie imienia Margerita czyli Małgorzata). Któżby w tej chwili mógł przypuszczać, że ta nowonarodzona dziecina w dalekiej przyszłości zwróci na siebie oczy całego świata katolickiego? Że tylu pielgrzymów z sercem przepełnionem czcią pobożnie nawiedzać będzie tę skromną siedzibę, że wierni wszelkich narodowości z wielką ufnością uciekać się będą do tej świętej, że na jej cześć powstaną świątynie Pańskie. Szczęśliwa matka trzymała na rękach niemowlę i przejęta niewypowiedzianą radością, tuliła je do łona, całowała i łzy radości wylewała. Również i Antoni nieposiadał się z radości, oboje wybierają imię dla swej dzieweczki, i oto w ciszy nocnej powtórnie zjawia się anioł i nakazuje nadać jej imię „Ryta“. W kilka dni potem pobożni rodzice wzięli dzieweczkę i udali się do parafjalnego kościoła w mieście Cascia, gdzie dziecko otrzymało na chrzcie św. imię Ryta. W życiu tej świętej, „obleczonej mocą z wysokości“, od samego zarania spotykamy co krok zdarzenia nadnaturalne; całe życie jej począwszy od lat niemowlęcych, to jeden łańcuch cnót i cudów.

Piątego dnia po jej narodzeniu pokazał się przepiękny rój pszczół, podniósł się w górę, w koło krążyć począł, nagle wleciały pszczoły w usta dzieweczki i zaraz wyleciały, jak gdyby zaczerpnąć pragnęły z tych ust niewinnej lilijki, niby z kwiatu, słodyczy. Przecudną też lilją od chwili narodzenia była św. Ryta, napełniona temi łaskami, których nieszczędzi Bóg powołanym do szczególnej Jego służby. Ten cud, do którego pszczół Pan Bóg użył, powtarzał się przez długie lata, tylko w odmiennej formie. W klasztorze m. Cascia do dziś dnia znajdują się w starym murze przy wejściu siedliska pszczół, które z chwilą wstąpienia Ryty do klasztoru przez posłuszeństwo dla niej tam osiadły i kryły się w oddzielnych szczelinach. To bezustanne przebywanie ich w świętych murach, ich pojawienie się tylko w dnie męki Odkupiciela, ich zupełne potem ukrycie się z chwilą śmierci Ryty, ich ciągłe prze-

bywanie przez pięć wieków aż do dni dzisiejszych głoszą nam wielkość Tego, który tak wsławił wybraną służebnicę Swoją. Tu zaznaczamy jeszcze jeden cudowny wypadek. Oto maleńka Ryta, łaską Bożą oświecona, już zawczasu zapowiadała jak surowe prowadzić będzie życie w przyszłości, przyjmując pokarm z łona matki tylko trzy razy dziennie, a w piątek nic do ust nie biorąc. Podobno widywano, jak nad kołyską unosili się aniołowie, pielęgnując ten cudny kwiatek i czuwając nad nim w dzień i w nocy.

współczucie dla nędzy ludzkiej, skromność, wstręt do igraszek dziecinnych, posłuszeństwo i niezwykłą miłość ku Ukrzyżowanemu Panu, oraz Najśw. Marji. Podziwiano nadzwyczajne zdolności Ryty i jej bogobojność. W domu, w kościele całemi godzinami trwała na modlitwie z taką pobożnością, że była przykładem dla starszych.

Ryta od najmłodszych lat różnymi sposobami umartwiała swe ciało i łączyła cnotę umartwienia z cnotą miłości Boga i bliźniego. Kto ją poznał, miłować ją musiał. Miła, słodka dzieweczka, podzi-

Święta Ryta zraniona w czoło cierniem z korony Chrystusowej.

Pierwsze lata. Odosobnienie i pokuty św. Ryty w dziecinnym wieku.

Dobra matka bezustannie czuwała przy kołysce Ryty, a gdy dziecina już mowę rozumieć zaczęła, pobożna Amata uczyła ją pierwszych zasad religji świętej. Młodziutka duszyczka promieniała radością, słuchając prawd wiery. Ziarna zbawiennej nauki, ręką świętej matki wrzucane do duszyczki dziecięcej, pięknie wschodzić poczęły; zrodziły w niej

wiana za święte czyny, przykuwała wzrok wszystkich ku sobie, jednając przyjaciół rodzinie.

Przejęta miłością Bożą szukała spokoju i samotności. Ogarniała ją jakaś nieokreślona tęsknota za Bogiem, było jej jakoś nie swojsko i nudno po za modlitwą. Niepojęta siła unosiła jej myśli i uczucia w nieskończoność. Dusza zdawała się być zasłuchana w te Chrystusa słowa: „Kto mnie znajdzie, znajdzie żywot“.

Ryta zapragnęła wypróbować siebie i wieść pod dachem rodzicielskim życie zupełnie odosobnione.

Po otrzymaniu pozwolenia rodziców, zamieniła maleńki pokoik na samotną modlitewnię, przyozdobiła go obrazami męki Pańskiej i zamknęła się w nim. Tam czekała na swego Boskiego Oblubieńca, by mówił do jej serca, tam kryła swe oczy przed światem i w ciągłem milczeniu wśród umartwień swoich czerpała niewypowiedziane uciechy z łask nieba. Do świata z Izajaszem woła: „Myśli moje nie myśli wasze, ani drogi wasze drogi moje". Myśli jej i najżarliwsze uczucia serca wciąż krążyły naokoło ran Ukrzyżowanego i wśród łez, wśród żywego współczucia znajdowała prawdziwy spokój, będący udziałem dusz czystych, przez Boga wybranych. Dzieweczka pozostawała w tem odosobnieniu przez cały rok, z nikim się nie widząc, chyba w wyjątkowych wypadkach.

Po roku, by bliżej z rodzicami przebywać, dobrowolnie opuszcza tę swoją ukochaną celkę, lecz nie zaniedbuje pobożnych kontemplacji. To rozważanie cierpień Chrystusowych zapaliło w jej sercu niczem niezwyciężone pragnienie pokuty.

Już w dziecięcym wieku Ryta bezustannie ćwiczyła się w aktach pobożności, nieukojoną tęsknotą wyrywała się ku niebu modląc się gorąco, często poszcząc i różne zadają cierpienia swemu ciału. Pościła o chlebie i wodzie nietylko w dnie, przez Kościoł św. nakazane, lecz i w inne, naprzykład w wigilje każdego święta Matki Boskiej i śś. Patronów. Dla większego umartwiania ciała swego używała włosiennicy z cierni, ze szczeciny, z włosa końskiego. W Bogu pogrążona tonęła w tajemnicze dumania i drogą cnoty dążyła nieustannie. Nie malała jej cnota, lecz wciąż aż do śmierci rosła i potężniała.

Tak piękna malowała się skromność w jej spojrzeniu, w każdem słowie i w każdym ruchu, że za przykład ją stawiano innym dzieweczkom. W kościele, widać było w niej tyle wewnętrznego skupienia, że zdawała się być jakimś serafinem, porwanym nadmierną miłością, zwłaszcza gdy słuchała Najświętszej Ofiary. Na podziw zasługują jej postępy w miłości i w gorącej gorliwości o dobro dusz, kiedy nie tylko jałmużnę niesie w darze biedakom, lecz zarazem zbawiennych rad udziela. Uczyła dzieci zasad wiary św. i zachęcała je do pobożnych ćwiczeń w kościele. Już w najmłodszych latach była przykładem dla wszystkich swoją cnotą i pobożnością, częstem przystępowaniem do Sakramentów św., żarliwą modlitwą, posłuszeństwem i miłością ku rodzicom, skromnością w ruchach i w ubiorze, w czuwaniu nad mową i wielką czcią ku Kościołowi św. Szczególniejsze miała nabożeństwo do Anioła Stróża i do świętych patronów.

Na kilka dni przed uroczystościami tych świętych i przed świętami Najświętszej Marji Panny czyniła przygotowania, odprawiając pobożne nowenny. Z laty rosła w jej sercu miłość ku biednym. Widząc raz żebraka drżącego od zimna nawpół nagiego, zdjęła z siebie własne okrycie i dała biedakowi. Każdemu pomagała wedle sił i możności i nie było zdarzenia, żeby kto odszedł od niej bez wsparcia.

Św. Ryta wstępuje w związki małżeńskie. Przykładne życie.

Wielkie cnoty czarują serca, to też wielu młodzieńców ubiegało się o rękę Ryty, lecz ona Jezusa tylko umiłowała, tylko Jego zawsze kochać chciała. Przeto do nikogo nie żywiła ziemskich uczuć, marzyła o pustelniczem życiu, gdzie mogłaby skryć się przed oczyma świata i żyć tylko w Bogu i dla Boga. Takie były jej dziewicze marzenia, i gorąco modliła się do swego Boskiego Oblubieńca, by raczył je urzeczywistnić. Ale zdarza się bardzo często, że nasze pragnienia, choćby i najświętsze, nie zgadzaja się z wyrokami Stwórcy.

Pan Bóg chciał, ażeby Ryta cudownym blaskiem przyświecała dziewicom, żonom, matkom, wdowom i zakonnicom. Kiedy Ryta wyjawiła swój zamiar wstąpienia do klasztoru, bolesny cios uderzył w serce rodziców. Kochali oni swą jedynaczkę miłością gorącą, i ani myśleć nie chcieli o rozłączeniu się z tym skarbem swoim. Ta miłość stawiała wielką przeszkodę planom Ryty, przytem Antoni i Amata byli już w podeszłych leciech i potrzebowali opieki córki.

— Starzy już jesteśmy, mówili nieraz, śmierć ku nam się zbliża. Kto czuwać będzie nad Rytą naszą? Mąż którego sobie wybierze, niech po naszej śmierci na siebie przyjmie obowiązki nasze. Postanowienie rodziców dla świętej dzieweczki stało się jakoby szalejącą burzą, co wtargnęło do jej pięknej duszy. Na klęczkach błagała, by rodzice cofnęli swój wyrok, ale napróżno. Wtedy z korną prośbą udaje się do Chrystusa Pana i w świetle łaski wyraźnie poznaje Najwyższą wolę: że rodzicom posłuszną ma zostać.

Z chwilą, gdy poznała wolę Bożą, zgodziła się na zawarcie związku małżeńskiego. Antoni i Amata dla swego dziecka prędko znaleźli narzeczonego. Został nim niejaki Paweł Ferdynand, mieszkaniec z pobliskich stron. Ryta w kwiecie młodości stanęła u stopni ołtarza w ślubnym welonie. W chwili, kiedy dziewice zwykle w sercu swem płoną tylko ziemską radością, Ryta widziała w narzeczonym człowieka od Boga jej przeznaczonego i Bogu posłuszna serce mu swe oddała. Mąż z początku umiał ocenić przymioty i cnoty swej świętej małżonki,

lecz bardzo prędko wyszedł na jaw jego zły charakter, który wystawił niezwyciężoną cierpliwość świętej niewiasty na trudne i ciężkie próby. Ryta zawsze cierpliwie wszystko znosiła, a nawet z taką była dla męża czcią i uległością, że nigdy nie wyszła z domu do kościoła, nie otrzymawszy poprzednio jego pozwolenia.

Przez długie lata zaprawiona w szkole posłuszeństwa i umartwienia, łatwiej mogła walczyć z kaprysami swego męża i z poddaniem się woli Bożej znosić wszelkie te krzyże, które wtłacza na barki niewiasty małżeńskie pożycie.

Choć przykuta małżeństwem do człowieka, Boga miłowała nad wszystko. Wzrastająca w niej miłość Boża nie osłabiała miłości ku biednym.

Pełna uczuć miłosierdzia nie puściła żadnego nędzarza bez datku, nawiedzała chorych nie tylko w Rocca Porrena, lecz i w sąsiednich wioskach, pocieszała ich, zachęcała do cierpienia, do poddania się woli Bożej, wyświadczała im nie raz najrozmaitsze przysługi, przygotowywała i przynosiła im posiłek. Szczególnie zaś czuwała nad ich duszami, pilnując, by przyjmowali z jaknajlepszem usposobieniem Najświętszy Sakrament.

Żyła pokutą nie tylko wtedy, gdy była dziewicą, lecz i w stanie małżeńskim. By wstrętu nabrać do pokarmów, skrapiała je wodą, posypywała popiołem i łączyła z piołunem. Często pościła o chlebie i wodzie, stale to czyniła we wszystkie wigilie świąt, oraz wszystkie piątki. Nosiła włosiennice z cierni i szpilek, oraz bardzo często siebie smagała dyscypliną.

Mężatką będąc w świata zabiegach udział pewien brać była zmuszona, lecz w świecie żyła nie podług świata, zawsze skromna w ubraniu, w mowie i ruchach. Przytem dusze do Chrystusa wiodła, uczyła je żyć lepszem życiem, do Serca Jezusowego zbliżała. Bliźnich miłując, umiała z dziwną słodyczą grzeszników napominać i do świętej pokuty prowadzić. Słowa jej płynęły z serca, pałającego wielkim płomieniem miłości i skruszonego głęboką pokorą, przez co w sercach ludzkich wzniecała podobnie święte uczucia.

Nie mało czasu poświęcając na modlitwę, pokutę i czyny miłości chrześcijańskiej, św. Ryta jak najskrupulatniej spełniała wszystkie obowiązki swego stanu, wzorowy porządek w domu prowadziła, rodziców, póki żyli, jak najtroskliwiej pielęgnowała Pobłogosławił Pan Bóg związek Ryty z Pawłem zsyłając im dwóch synów.

Pierwszemu synowi imię dano Jan-Jakób, drugiemu Paweł-Marja. Ryta bardzo starannie czuwała nad ich wychowaniem, ćwiczyła w cnotach chrześcijańskich, dobrym przykładem i słowem budującem. Dając jałmużnę często używała pośrednictwa swych chłopaków, by wdrożyć ich do czynów miłości.

Ileż to światła rzucała święta matkom i żonom! Jakże musiało być skuteczne każde słowo tej doskonałej chrześcijanki, w której podziwiano anioła rodziny i anioła miłości.

Kiedy ta wielka dusza, tak chlubnie „własne brzemie niosąca“, przeszła juz twardą szkołę cierpień i zahartowana w chrześcijańskiem męstwie, z zupełnem zaparciem się umiała znosić wszelkie krzyże, Pan Bóg niespodziewanie zesłał na nią straszny cios. W pobliżu Rocca Porrena jej małżonek stał się ofiarą tragicznej śmierci. Jakaś ręka zbrodnicza zadała mu śmiertelną ranę i Paweł Ferdynand runął na ziemię oblany krwią. Pomimo wielkiej niewdzięczności męża, Ryta kochała go i na wieść o jego zgonie padła zemdlona.

Oprzytomniawszy, pośpieszyła na miejsce zbrodni i z rozdzierającą boleścią żegnała na zawsze towarzysza życia.

Święta niewiasta całą siłą swej duszy odczuła stratę kochanego małżonka. Nie tyle ją bolały kłopoty materjalne, nie tyle myśl, że samą została, że teraz własną zapobiegliwością musi troszczyć się o utrzymanie rodziny, o szkolne wykształcenie swych dzieci; inne daleko poważniejsze myśli zaprzątały jej umysł, smutniejsze uczucia rozrywały jej serce. Cierpiała Ryta, patrząc okiem żywej wiary na straszną złość zabójcy i niepewny, pozagrobowy los swego męża, który zeszedł z tego świata bez pokuty, bez Sakramentów Świętych.

Szlachetna chrześcijanka, przebaczyła zabójcy męża.

Idąc za przykładem Chrystusa Pana, Który wstawiał się do Ojca Swego za tymi, którzy Go przybijali do krzyża, gorące modły słała do Boga, by przebaczył złoczyńcy.

Wdowieństwo św. Ryty.—Śmierć synów.—Pobyt w pustelni.

Ryta została wdową w młodych latach. Na jej barki spadło wychowanie dzieci i utrzymanie domu. Myśli chmurą osiadły na jej czole. Ryta już dawno rodziców straciła, nikt z pomocą nie dążył, przez ubóstwo powiększało się jej osierocenie. Nie opuściła jednak rąk i skoro tylko po pierwszych wrażeniach przyszła do siebie, z nowym zapałem powróciła do zajęć domowych, do pracy nad dziećmi. Wśród trosk życia, Ryta nie zapominała gorąco polecać Bogu nieszczęsną duszę nieboszczyka męża. Straszną jego śmierć miała przed oczyma i smutek niewymownym ciężarem ją przygniatał. Mimo to w sercach swych synów budziła uczucia miłosierdzia dla winowajcy i modliła się nieraz gorąco do Stwórcy w te słowa:

— Gdyby synowie moi, ogniem zemsty trawieni, mieli ręce swe splamić krwią zabójcy ich ojca, to, Boże drogi, Boże jedyny, weź ich do Siebie! Raczej śmierć, niż grzech!

Wkrótce mężna chrześcijanka musiała doznać najstraszniejszej dla macierzyńskiego serca boleści, albowiem obaj jej synowie zmarli i Ryta nie miała już odtąd żadnego ukochania na tej ziemi.

Odtąd silniej zakołatały do jej serca niewypowiedziane pragnienia, by wszystko opuściła i zupełnie poświęciła się Stwórcy. Zamknęła się święta niewiasta w swojem mieszkaniu wiodąc życie pustelnicze. W dachu okienko sobie zrobiła, przez które zawsze spoglądała na niebo, na ten szczęścia przybytek, i słała tam gorące westchnienia. O ile gorętszy był duch jej modlitwy, o tyle większy postęp w cnocie.

Św. Ryta coraz więcej poczęła umartwiać ciało, cała miłości Boga i bliźniego oddana, o własne wygody nic się nie troszcząc. Nosiła skromne szaty, zimą przykrywała się grubą skórą, a nigdy się nie rozstawała z ciężką włosiennicą, ściśle do ciała przylegającą, starannie przed okiem ludzkiem ukrywaną. Zamknięta w domu swoim Ryta nie czuła się zupełnie szczęśliwą: marzyła o życiu więcej jeszcze osamotnionem.

Silne na niej wrażenie wywierał przykład O.O. Augustjanów, którzy w lasach i pieczarach w pobliżu miasta Cascia wiedli żywot pustelniczy Do nich należał Jan, błogosławionym zwany, który włości swe porzucił i zamknął się w dolinie Attino nie daleko Cascia, ażeby tam oddać się najsurowszej pokucie i najgłębszej kontemplacji. Wśród nich przebywał błog. Szymon Fidati i Ugolino, również w poczet błogosławionych zaliczony.

Pustelnie ich miały dla Ryty dziwny urok i oto szukać poczęła odpowiedniego dla siebie miejsca na szczycie góry, która wznosi się w pobliżu Rocca Porrena. Znalazła ciemną, wilgotną maleńką pieczarę i w niej rozpoczęła życie, jeszcze większy podziw wzbudzające, pełne najsurowszej pokuty i umartwień.

Z dniem każdym rozwijał się w niej duch kontemplacji, który ją coraz wyżej wznosił nad świat i więcej do stóp Boga zbliżał. Nie wiadomo dokładnie, jak długo trwało to jej pustelnicze życie i czy miewała natenczas objawienia, któremi tak hojnie darzył ją Bóg w klasztorze Augustjanek w Cascia. To tylko wiemy z pewnością, że Ryta z tej góry poszła zapukać do Kasziańskiego klasztoru, prosząc, by ją do zakonu przyjęto. Lecz zakonnice nie uwzględniły jej błagań, za niestosowne uważając przyjęcie wdowy do swego panieńskiego zacisza. Gorąco nalegała Ryta by nie odrzucano jej prośby; powołując się na to, że Pan Bóg wezwał ją do życia zakonnego, że ona z najczystszą intencją pragnie służyć Mu w tych murach. Wszystko napróżno. Na zadane przez mieszkańców z Rocca Porrena pytanie, skąd wraca, odpowiedziała:

— Wracam z domu Bożego, którego znalazłam bramę zamkniętą przedemną!

Cudowne widzenie i pomoc świętych Pańskich w przeniesieniu Ryty do klasztoru.

Widząc Ryta, że bezskuteczne są jej pokorne błagania, że zakonnice z Cascia przyjąć jej nie chcą do klasztoru, poczęła zanosić gorące prośby do Boga o wysłuchanie.

Gdy pewnej nocy święta klęczała trzymając ręce ku niebu wzniesione, usłyszała pukanie do drzwi i wołanie po imieniu.

Z początku zatrwożyła się wdowa—pustelnica, lecz później, wzywając na pomoc imię Boskie, podeszła do okna. Patrzy i nic nie widzi. Wróciła do modlitwy, lecz wkrótce znów słyszy wołający na nią głos. Biegnie do okna, lecz wszędzie ciemno i głucho. Wtedy w jej duszy zrodziło się przypuszczenie, że może to szatan płata jej figle; więc z tem większym zapałem i żywszą wiarą do nóg Chrystusowych się tuli, by ją oświecił, jak się ma bronić od siły nieczystej.

Krótka, z serca płynąca modlitwa pokrzepiła ją, pierzchły trwogi i nagle w niebiańskiem uniesieniu widzi Patronów i słyszy słowa, z któremi Najświętszy Oblubieniec do oblubienicy swojej zwraca się w Pieśni nad Pieśniami:

„Wstań, spiesz się, przyjaciółko moja, gołębico moja, piękna moja, Boć już zima minęła, deszcz przeszedł, czas winnic obrzynania“.

Po tem cudnem widzeniu Święta trzeci raz podchodzi do okna i przy blasku niebiańskiego światła widzi postać majestatyczną, która ją wzywa, by szła za nią. Poznała po szacie pokutnej, że to Jan Chrzciciel, a przy nim stoją dwaj inni: św. Augustyn i św. Mikołaj. Drogą zupełnie nie znaną prowadzili Rytę święci przewodnicy. drogą po samych szczytach niebotycznych, może dla tego, by wskazać szczytność doskonałości, do której miała się wznieść i zarazem na straszną przepaść, grożącą duchowym upadkom.

Strachem przejął Rytę ten widok, lecz po chwili uzbroiła się w odwagę i bez strachu wśród nocnych ciemności dążąc po kamieniach i krzakach stanęła na szczycie skały, od cudownego tego zdarzenia nazwanej *Skałą Błogosławionej.*

Jeżeli droga pod góry nie była tak stroma, to zejście z nich w kierunku miasta Cascia zupełnie było niemożliwe.

Ryta wszelako mocą cudu znalazła się w upragnionym klasztorze. Błogie wzruszenie przepełniło wdzięczne serce Ryty. To, o czem dusza jej od lat najmłodszych zaledwie marzyła. teraz urzeczywistnio-

ne: ona w klasztorze i to sposobem nadzwyczajnym, cudownym. Z głębi wezbranego bezgraniczną wdzięcznością serca gorące składała dzięki najukochańszemu Panu swemu. Wstają zakonnice, by wielbić imię Pańskie i jakież ich zdziwienie na widok pokornej Ryty, która opowiedziała im ze świętą prostotą cudowne swoje przybycie.

Zakonnice, natychmiast jednozgodnie z wielką radością przyjęły ją do swego grona. Takim to sposobem Ryta wdziała na siebie habit Augustjański Pod tą szatą pokutną i świętą biło serce miłością Bożą żyjące, żyła dusza przez Aniołów podziwiana, nie służąc pysze ziemskiej, nie szukając chwały.

Nowicjat. — Przyjęcie profesji. — Widzenia św. Ryty.

Życie w świętem zaciszu klasztornem dla wielkiej służebnicy Bożej było niewypowiedzianą radością podczas, gdy życie na świecie było dla niej czyścem. Duch zakonny daje duszy świętą swobodę, rozszerza jej wielki horyzont szczęścia.

Ryta, wstępując do klasztoru, nie wniosła do niego żadnych uczuć ziemskich: cała oddana Chrystusowi zadziwiała wszystkich duchowem urobieniem swojem. To bardzo wpłynęło na podniesienie ducha zakonnej obserwancji w duszach jej towarzyszek, które gorliwiej zaczęły służyć Panu, a każda z zakonnic za przykładem Ryty starała się prześcignąć jedna drugą w okazywaniu miłości Najświętszemu Oblubienicowi. Słowem, widać było w klasztorze wzrost duchowego życia i piękny postęp zakonnej doskonałości. Wpływ, jaki Ryta wywierała wtedy pięknością heroicznych cnót, nie skończył się, nie zamarł z chwilą jej śmierci: urok jej świętości nie znikł wraz z jej życiem doczesnem, ponieważ jej przykład na zawsze żyje i dusze dobre z kwiecia cnót Ryty zbierają dla siebie słodki miód, zapowiedziany cudownie przez pszczoły.

Podziwiały zakonnice świętość nowicjuszki, czerpały z jej towarzystwa rajskie pociechy, dziękowały bezustannie Bogu, że raczył dać im taki piękny wzór do naśladowania.

Wkrótce po całej okolicy rozlegać się począł głos o jej świętości.

Po tylu latach, na świecie przebytych w blasku przecudnych cnót, Ryta gardzi pychą na myśl o swoich heroicznych czynach, o duszy swej anielskiej, o niezwalczonej cierpliwości swojej i ta właśnie święta niepamięć na własną wielkość nadawała więcej wartości i cudniejszej piękności każdej jej cnocie.

Pilnie bardzo starała się poznać zaraz od pierwszych chwil wstąpienia do klasztoru wszystkie obowiązki zakonnego stanu, a to w tym celu, żeby je jak najskrupulatniej wypełniać, co z wielką jej łatwością przychodziło, ponieważ nosiła w sercu nigdy nie gasnący ogień świętego zapału, usuwającego wszelkie na drodze będące przeszkody. Cnoty praktykowane przez Rytę w nowicjacie były te same, któremi i w świecie jaśniała, dodać tylko trzeba więcej aktów pokuty, zakonem przepisanych i może częstszą modlitwę. Ryta wśród tych świętych ćwiczeń wytrwale szła wciąż naprzód, przygotowując się do nawiązania silnego węzła z Bogiem w dniu przyjęcia profesji.

Święta nowicjuszka, po uprzytomnieniu sobie w obrachunku z upłynionego życia wszystkich przewinień, po zniszczeniu ich w świętym ogniu żalu i w Najświętszej Krwi Chrystusowej przez Sakrament pokuty, stanęła przed ołtarzem, by zaprzysiądz dozgonne spełnianie rad ewangelicznych. Ceremonia składania profesji jest bardzo wzruszająca, ponieważ obok zgonu powstaje narodzenie, z jednej strony smutne pienia, kir żałobny i gromnice, tęskne dzwonu dźwięki; z drugiej jasne oblicza i radości pienia.

Ryta w chwili tej uroczystej była bardzo przejęta tym wielkim aktem, cała jej postać anielska promieniała słodką radością, połączoną z majestatyczną powagą.

Głosem pewnym i poważnym, nieco drżącym od wzruszenia złożyła śluby: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Czuła się teraz prawdziwą oblubienicą Jezusa Chrystusa. Gdy skończył się obrządek, Ryta pobiegła do swej celki, by w ciszy rozważać wielki dar Boży. Czekał tam na nią Chrystus, by tę nową oblubienicę swoją uszczęśliwić niewypowiedzianą radością. Klęcząc u nóg Chrystusa, uczuła że ziemia znika jej z przed oczu i święta ekstaza ją unosi: widzi ona nadzwyczajnej wielkości drabinę, o ziemię opartą i nieba sięgającą; po jej stopniach wchodzą i schodzą aniołowie, na samym szczycie stoi Pan Wszechrzeczy i zachęca, by po stopniach szła coraz wyżej.

Gdy widzenie znikło, Ryta zaczęła rozważać tajemnice tej cudownej drabiny i biorąc pod uwagę, że to aniołowie szli po drabinie, zrozumiała, że obowiązana starać się o cnotę aniołów, by módz jak oni, wstępować po szczeblach, aż do szczytu. Zrozumiała, że trzy śluby zakonne, posłuszeństwa, ubóstwa i czystości, które zachowywać uroczyście przyrzekła, były najpierwszymi szczeblami tej drabiny. Widziała czystość aniołów w ich niewinności, posłuszeństwo w doskonałem pełnieniu ich obowiązków, ubóstwo, ponieważ aniołowie nię mają żadnych ziemskich pragnień.

Lecz drabina ta mnóstwo miała szczebli. Z tego więc wniosek wyprowadza, że należy praktykować nie tylko te trzy cnoty i nte tylko w jednakowym stopniu, by po następnych, wyższych módz wspinać się szczeblach i dojść do raju, gdzie widzenie Boga twarzą w twarz stanowi najwyższy

szczyt szczęścia. Gorąco pragnęła Ryta iść po tych świętych szczeblach i z każdym dniem cnota w niej rosła. To widzenie stanowi epokę w życiu Ryty i odtąd rozpoczyna się na ziemi jej żywot anielski.

Pokuty i umartwienia św. Ryty.

Ryta wszelkich dokładała starań, ażeby coraz bardziej upiększać swoją wzniosłą duszę. Dobrze pojmując wielkość i ważność wewnętrznej ofiary, sięga po coraz wyższe stopnie zakonnej doskonałości. Serce pełne zapału i siły nie trwoży się na widok tych szczytnych cnót, których Pan Bóg od niej żąda.

Oczom współtowarzyszek przedstawia się cudowny wzór posłuszeństwa ślepego, dalekiego od badania przyczyn rozporządzeń starszych. Ryta jak najsumienniej spełnia to, co jej rozkazano. Obce jej były te niepokoje, które częstokroć w duszach osób poddanych powstają na myśl, że przełożeni za mało mają doświadczenia, lub za mało zdolności. Ten najdoskonalszy rodzaj posłuszeństwa dawał możność św. Rycie wspinania się po drabinie Nieba. Uległą była i młodszym siostrom, starając się zgadywać ich myśli i chęci.

Oto jeden czyn heroiczny jej posłuszeństwa: Pewnego razu Pan Bóg natchnął przełożoną, by kazała Rycie codziennie podlewać suchy pień, zasadzony w ogrodzie klasztornym. Święta bez najmniejszego wahania wzięła się do pracy i podlewała pień przez cały rok codziennie, nie bacząc, czy padał deszcz, czy nie. Ileż starania i pieczołowitości okazała ona wtedy, spełniając ten rozkaz, zdawało się bezcelowy. Pracowała, jak gdyby powierzono jej pieczy najcenniejszą roślinę, która ma przynosić jakieś nadzwyczajne owoce. Bóg mile przyjął tę pokorną służbę świętej; po upływie roku, sucha drzewina zakwitła i przyniosła kwiat i owoce. Nazwano ją później „drzewem błogosławionej Ryty".

Celka święta nosiła na sobie cechy budującego ubóstwa: całą ozdobę stanowiła tylko ławka, kilka obrazów świętych i lampka.

Podczas całego pobytu swego w klasztorze przez 40 przeszło lat nosiła tylko jeden i tenże habit. — Ile razy potrzeba zaszła, naprawiała go własnemi rękoma. W tym habicie umarła i ten sam znaleziono po 240 latach od czasu jej śmierci. Z grobu go zabrano i przechowywano jako cenny zabytek.

Choć umocniona w cnocie czystości, święta nie przestawała trapić swego ciała: unikać okazji do złego, jak najskromniej zachowywać się, gdy do ludzi wychodziła i czuwać coraz bardziej nad sobą.

By zagasić w sobie ogień zmysłowości, często rzucała się w śnieg, to znów stawała nagą stopą na rozpalonych przedmiotach.

Nigdy wina nie piła, pokarmów tyle tylko przyjmowała, ile koniecznie potrzeba było do podtrzymania jej życia.

Tak mało jadła, że dziwić się trzeba, jak mogła takim posiłkiem utrzymać się przy życiu. Jadła raz tylko na dzień czyniąc jedzenie niesmacznem przez dolewanie do niego zimnej wody, pościła o chlebie i wodzie w Wielkim Poście, we wszystkie wigilje przed uroczystościami, Matki Boskiej i św. Patronów. W piątki zaś do swych pokarmów dokładała gorzką roślinę. Choć nadzwyczajne były te umartwienia Ryty, jednak nie zaspakajały jej gorących chęci cierpień, przeto trzy razy dziennie aż do krwi siebie dyscyplinowała, na ofiarę za dobroczyńców zakonu, nawrócenie grzeszników i za dusze czyśćowe,

Łożem dla niej była maleńka rogoża, lecz nie zawsze na niej Ryta spała, na gołej ziemi nie raz się kładąc. Ostrą włosiennicę nosiła, a nawet w habicie swym miała ciernie, ktróre kłuły ją za każdem jej poruszeniem. Posunąwszy do heroizmu swe umartwienia, Ryta podbiła ciało pod panowanie ducha i przez to z wielką łatwością służyła Bogu i duszom potrzebującym zachęty na drodze cnoty.

Miłosierdzie i dar modlitwy.—Władza nad szatanami.

Ryta należała do tych wyjątkowych dusz, które od dzieciństwa przy Panu ciągle stoją i kiedy zdaje się nam, że dosięgły szczytu swej doskonałości, rozpoczynają nowe życie jeszcze doskonalsze, zbierają coraz „nowe kłosy".

Jeżeli we wszystkich cnotach Ryty widzimy ciągły wzrost, to już olbrzymim krokiem dążyła po szczytach doskonałości jej miłość bliźniego: wszędzie Ryta niesie balsam pociechy i dusze targane zwątpień niepokojem radą swoją wspiera, słabe i beznadziejne umacnia, zbłąkanym wskazuje drogę do Chrystusowej Owczarni. Gdy zachorował kto w klasztorze, Ryta czuwała nad nim dnie i noce, osładzając cierpienia.

Wszyscy umierający w klasztorze w czasie jej tam pobytu mieli to szczęście, że święta przy nich czuwała, pielęgnowała ich i własną ręką zamykała im martwe powieki.

Wielka była miłość Ryty ku bliźuim, lecz o ileż większa względem Boga, który w nagrodę dał swej służebnicy nadzwyczajny dar modlitwy. Na skrzydłach miłości Ryta wzniosła się ponad wszystkie stopnie modlitwy aż do silniejszego wewnętrznego połączenia się z Bogiem. Myślą całą i nieukojoną tęsknotą wyrywała się za Nim do nieba.

Skarb ten, otrzymany już w dzieciństwie, znacznie z każdym rokiem powiększała, zwłaszcza w klasztornem ustroniu. Czy to w swej celi, czy w klasztornej kaplicy modły bezustanne zanosi; dusza jej

wciąż wobec Boga staje. Na myśl o nieskończonym majestacie Jego, prawie że ciało swe opuszcza i zachwycona w Nim tonie; wszystko jej z oczu znika prócz Boga samego.

Najlepiej modliła się i rozważała w porze nocnej: wtedy łatwiej jej było wznieść się do rozważania szczytnych tajemnic Boskich. W słodkiej ekstazie pogrążona niekiedy siostrom umarłą się zdawała

Szatan silił się służebnicę Pańską oderwać od modlitwy krzykiem strasznym, lub też różnymi okropnymi obrazami, lecz Ryta zawsze go zwyciężała siłą modlitwy, czerpiąc w niej nie tylko zasługę, lecz i władzę nad szatanami.

Pewną niewiastę przez szatana opętaną św Ryta uzdrowiła mocą swej modlitwy. Podobnież przywróciła zdrowie chorej dzieweczce, której matka błagała świętą o modlitwę. O co tylko Pana swego prosiła, zawsze otrzymała. Sława jej świętości tak wielką była, że z niezachwianą wiarą i ufnością biegli do niej pobożni i zawsze pocieszeni odchodzili.

Niebiańskia słodycze Komunji św.

Św. Ryta z takiem upragnieniem posilała swą duszę Anielskim Chlebem, że nienasycony był jej głód i nieugaszone jej pragnienie łączenia się sakramentalnie z Bogiem. Im częściej przyjmowała Chrystusa, tem goręcej pałało jej serce miłością Bożą. Kiedy ostatnia choroba przykuła ją do łoża, codziennie prosiła, by ją noszono tam, gdzie Komunję św. otrzymywały zakonnice. Ile światła, ile radości przyniósł Chrystus tej seraficzkiej duszy!

Słodycze niebiańskie, które święta znajdowała w najświętszej Komunji, były tak przejmujące, że niejako znieczulały ją i w ekstazę wprowadzały.

Oto jak święci przyjmują Boga żywego!

Cierń Chrystusowy.

Wielki jest Pan w Świętych swoich. W życiu św. Ryty spotykamy na każdym kroku wciąż nowe cuda; a jednak to, co do naszej wiadomości doszło, stanowi zaledwie drobną ich cząstkę.

Chrystus Pan na tę uprzywilejowaną duszę słał podobieństwa Swego łaski. Blisko 24 lata przebywała święta Ryta w klasztorze, gdy Chrystus zesłał cud, dając jej możność wzięcia udziału w Najświętszej Męce.

W kolegiacie Najśw. Marji Panny, w mieście Cascia miewał kazania błogosławiony Jakób z Monte Brandone, Franciszkanin, którego ciało spoczywa w Neapolu. Święty zakonnik z takim zapałem głosił słowo Boże, że każdy obecny od łez wstrzymać się nie mógł. Przybyła i św. Ryta z zakonnicami, by usłyszeć kazanie sławnego mówcy. Kaznodzieja mówił o bolesnej męce i śmierci Zbawiciela. Żywo przedstawiła sobie Ryta straszną chwilę ukoronowania Chrystusa cierniową koroną. Słowa mówcy głęboko przeniknęły do jej serca i jakby ogniem dusza jej zapłonęła, a łzy strumieniem płynęły.

Po skończonem kazaniu Ryta nie wróciła do swej celi, lecz zaszła do swej kaplicy zakonnej, padła na kolana przed krucyfiksem i rozważać zaczęła tajemnice ukoronowania cierniem Chrystusa. Pod wpływem wezbranego uczucia z całą ufnością błagała Ukrzyżowanego by dozwolił jej wziąść udział w Najświętszej Męce i dał jej jeden z tych cierni, które w ciało Jego Najświętsze były wbite. Nagle zajaśniał cudownie wieniec Chrystusowy i jeden cierń tego wieńca utkwił w czole Ryty, z taką siłą w nie uderzając, że przebił kość.

Ryta omdlała. Skoro przyszła do siebie, poczuła, że tkwi cierń w jej czole. Rana nie zgoiła się, lecz powiększała się stopniowo.

Najsroższy ból odczuwała Ryta, a jednak czuła się szczęśliwą, ponieważ te cierpienia coraz więcej ją zbliżały do Boskiego Oblubieńca.

Ostatnie 15 lat swego życia spędziła zdala od sióstr zakonnych, by w nich obrzydzenia nie wzbudzać jączącą się wciąż raną. Dało to jej sposobność do ćwiczenia się w pokorze i cierpliwości, do większego osamotnienia w ciszy i modlitwie.

Cudowne zagojenie rany.—Pielgrzymka do Rzymu.

Po 8 latach cudownie zagoiła się owa rana z powodu następującej okoliczności.

Papież Mikołaj V w 1450 roku ogłosił uroczystość jubileuszową. Ze wszystkich stron Europy dążyli wierni do Rzymu dla dostąpienia odpustu. Dowiedziała się Ryta, że i jej siostry w tym celu udadzą się do Rzymu. Takie ją ogarnęło pragnienie przyjęcia udziału w tej pobożnej pielgrzymce, że stanęła przed przełożoną i pozwolenia prosiła. Lecz ta, uważając za niestosowne, ażeby Ryta z jątrzącą się raną pielgrzymkę odbywała, rzekła: Idź siostro, do swej celi, pozwolenie otrzymasz skoro ranę zagoisz".

Bardzo prędko warunek ten Ryta spełniła: pobiegła do Pana swego i w kornej modlitwie błagała o uzdrowienie. Wysłuchał Pan prośbę swej służebnicy. Zbyt widoczne było tu dzieło Boga; przełożona, już nie ociągając się, dała jej na drogę pozwolenie i błogosławieństwo.

Podczas pielgrzymki Ryta wraz z siostrami zakonnemi pewnego razu szła brzegiem rzeki i małą kwotę pieniędzy, przeznaczoną na wydatki podróżne, w wodę rzuciła. Zakonnice wymówki jej czyniły, lecz ona je zapewniła, że czuwać nad niemi będzie Opatrzność Boża. W Rzymie doznawała Ryta silnych wrażeń, ponieważ każdy kamień przemawiał

do jej duszy i serca: co krok spotykała pamiątki cudów Pańskich i cudownych zdarzeń.

Duszą Ryty bardzo silnie wstrząsała myśl, że ziemia zlana jest krwią męczenników. Uboga służebnica Chrystusa siebie i siostry zakonne żywiła uzbieraną codziennie jałmużną. Po dostąpieniu odpustu, wróciła z towarzyszkami swemi do klasztoru.

Odnowiła się jej zaraz rana na czole i już do końca życia pozostała, jako cenny zadatek miłości Chrystusowej.

Ryta do Rzymu przyniosła serce świętej, przeto z miasta wyniosła dużo zbawiennych wrażeń. Szczególniej oddziałał na nią widok relikwji, w które Rzym obfituje.

Ostatnia choroba.

Po powrocie do klasztoru, pielęgnowała w sercu swem te wielkie skarby duchowe i często rozważała cierpienia i chwałę tych męczenników, których groby zwiedziła. Teraz jeszcze więcej chciała cierpieć i Bóg zesłał jej pierwszą i ostatnią chorobę. trwającą cztery lata aż do zgonu. Wtedy świętość Ryty zajaśniała jaknajpiękniejszym blaskiem i miłość ku Chrystusowi najgoręcej w jej sercu zapłonęła. Schorowana, bezsilna szła zwykle podtrzymywana przez dwie zakonnice, by przyjąć Komunię św. stanowiącą największe jej szczęście. Czyniła ten wysiłek dlatego, że nie chciała, ażeby Pan wszechrzeczy wchodził do jej maleńkiej i nędznej celki.

— Wszelkich trudów nam dołożyć wypada, mawiała, ażeby przyjść do świątyni po Najświętszy pokarm.

Skoro chora nie miała już sił, by z łoża się dźwignąć i dojść do kościoła, przynoszono jej Komunię św. do celi. Obecność utajonego w Najśw. Sakramencie Boga tak ją ożywiała, że mogła na klęczkach się trzymać i z takiem wzruszeniem przyjmowała Boga, że obecnych do łez rozrzewniała.

Zakonnice zauważyły, że Ryta żyje cudem, ponieważ po przyjęciu Najświętszego Sakramentu całemi dniami nie przyjmowała żadnego pokarmu, albo spożywała go w tak małej ilości, że niepodobieństwem było, ażeby ten posiłek mógł podtrzymać jej życie. Mijały tak dnie, tygodnie i miesiące całe w ciągu tej 4-letniej choroby, a ona rzadko kiedy posilała się ziemskim pokarmem. Wszyscy byli pewni, że życie jej podtrzymuje cudownie Najświętszy Sakrament Ołtarza.

Umacniały się w tej pewności zakonnice, ponieważ święta, zachęcana przez nie do jedzenia mówiła:

— Dusza moja przyłożona do Najświętszych ran Chrysrusa Pana, karmi się innym posiłkiem.

Jak Anioł do Tobiasza, tak ona do sióstr wołała:

— Ja pokarmu niewidzialnego i napoju, który od ludzi oglądan być nie może, używam.

Św. Ryta w sercu pielęgnowała gorące uczucia względem Matki Boskiej. Kto miał szczęście słyszeć ją mówiącą o Królowej Niebios i był zachęcony przez nią do szukania pomocy u Najświętszej Marji, nigdy nie zatracił miłości Bogarodzicy. Im bardziej opuszczały siły fizyczne św. Rytę, tem duch jej potężniejszy się stawał.

Kto zdoła opisać przekonywającą siłę jej słowa, bogactwo serca, potęgę wiary i nadziei, żar świętej miłości! Szczęśliwe te dusze, na które padł jej wzrok, szczęśliwe które nauk Oblubienicy Chrystusowej słuchały i starały się naśladować jej cnoty.

Cudowne kwiaty i owoce.

Pewnego razu na kilka miesięcy przed jej śmiercią odwiedziła Rytę jedna z krewnych z Rocca Porrena.

Żegnając się ze świętą, poczciwa niewiasta zapytała się, czy ona czego nie potrzebuje.

Jeżeli przyjdziesz jeszcze raz do mnie, odrzekła Ryta to, proszę cię, przynieś mi z Rocca Porrena dwie róże, które urwiesz w ogródku przy moim, domu.

A był to styczeń. Zima w całej swej sile panuje w górach, gdzie dawniej święta mieszkała. Śniegi i lody pokryły ziemię, rośliny w tym czasie nie mogły kwitnąć. Dziwną się więc wydała krewniaczce prośba Ryty.

Jednak zaraz po powrocie poszła do ogródka świętej i widzi krzak róży cały śniegiem pokryty: gałązki wszystkie zmarźnięte, tylko jedna zieleni się i na niej dwie cudne róże. Ładniejszych nie widziała nigdy nawet w najpiękniejszej porze. Zapach przecudny rozchodzi się dokoła. Podziwem zdjęta i bardzo ucieszona zerwała róże pobiegła do klasztoru i Rycie wręczyła.

Ta rozkoszowała się zapachem tylu kwiatów. Wezbrało w niej serce podziwem i uwielbieniem, dzięki Panu składała i pokazywała zdumionym zakonnicom ten nowy dowód miłości Bożej. Pan Bóg, czyniący „miłosierdzie i prawdę“ tym cudem objawił, ze Ryta jest serafinem miłości, której symbolem jest róża.

Wkrótce po tym cudzie, nastąpił drugi. Na podobneż zapytanie tej samej krewnej, czem może jej służyć, Ryta odpowiedziała:

— Przynieś mi przy sposobności dwie świeże figi z ogrodu.

Dobra niewiasta już bez żadnych wątpliwości, pełna wiary, poszła do wskazanego ogrodu i wśród roślin zmarźniętych znalazła cudowną gałęź z dwiema pięknemi świeżemi i dojrzałemi figami. Jedną z nich Ryta zjadła, a drugą ofiarowała przełożonej.

Śmierć św. Ryty.

W miarę jak przybliżała się chwila śmierci serce Ryty napełniało się coraz większym spokojem,

dusza jej gorąco pragnęła się połączyć z Bogiem. Ciągle wzywała Imienia Jezus i Najświętszej Marji. Wysłuchał ją Chrystus wraz z Matką swoją, zsyłając jej cudowny sen, w którym widzi niebiańskie postacie i słyszy, że za trzy dni skończą się jej trudy, ziemię opuści i w chwale spocznie na wieki.

Po tym śnie wzrok Ryty nabrał nadziemskiego wyrazu, który pozostał jej aż do końca. Chwila śmierci zwykłych ludzi ma coś w sobie przerażającego, śmierć zaś świętych nosi na sobie cechę nadzwyczajnej piękności.

Oto Ryta po raz ostatni bada swe sumienie, rozbiera myślą całe życie, wzbudza najdoskonalszy żal za wszystkie przewinienia, spowiada się w największem skupieniu i jak najpobożniej przyjmuje Ostatnie Sakramenta. Na około jej łoża czuwały i płakały siostry zakonne. Ryta zwróciła swój zwrok ku nim pełen niebieskiej słodyczy prosząc o przebaczenie wszelkich przykrości, jakich mogła być powodem, zwłaszcza podczas choroby.

Rozrzewnione podniosłością chwili siostry poprosiły o udzielenie im błogosławieństwa, by tę miłość, którą w swych sercach dla niej żywią, zachowały i po jej śmierci. Ryta spełniła ich prośbę i pocieszała stroskane serca.

Poczem całą myślą pogrążyła się w wieczności. W ostatniej chwili wymówiła Imiona Chrystusa Pana, Matki Bożej i swoich świętych Patronów, wzrok utkwiła w niebo, na krzyż ręce złożyła i Bogu ducha oddała w nocy z soboty na niedzielę 22 maja 1457 r. w 74 roku swojego żywota, a w 47 r. życia zakonnego.

Pośmiertne cuda.

Zaraz po śmierci Ryty rozpoczął się cały szereg cudów. Jedna z najpobożniejszych zakonnic ujrzała jej duszę, przez aniołów niesioną i w najwyższej radości zawołała:

Patrzcie, oto Ryta nasza! do raju niosą ją aniołowie wśród radosnego pienia. Jakże ona piękna! Patrzcie na nią, patrzcie!

Uboga celka Ryty, ten świadek nadzwyczajnej pokuty i modlitwy, zajaśniała wtedy niebiańskim blaskiem, Ciało świętej blade i wynędzniałe, po śmierci pięknem się bardzo stało i rozchodził się z niego rajski zapach.

W chwili, gdy skonała święta, rozległ się głos miejscowego dzwonu, zapewne niewidzialną ręką Anioła poruszonego.

Kiedy w niedzielę rano przeniesiono z łóżka do kościoła ciało zmarłej, zakonnice zauważyły na sienniku Ryty kolce i oset. Na takiem to łożu ostatnie chwile przepędziła święta, składając akty wiary, pokory i obojętności na rzeczy ziemskie.

Złożone w kościele święte szczątki nawiedzali okoliczni pobożni mieszkańcy, wśród których znalazła się i owa krewna Ryty, od wielu lat mająca sparaliżowaną rękę. Na widok drogiego ciała, przypadła doń ze łzami całując zwłoki. Gdy się podniosła, uczuła cudownie przywróconą władzę w chorej ręce.

Tego dnia odśpiewano uroczyste egzekwie i wystawiono ciało Ryty na publiczny widok. Po kilku dniach złożono go w trumnie, zrobionej z topoli i pomieszczono w drugiej z orzechowego drzewa.

Tak pozostawało ciało aż do roku 1745, poczem święte relikwie przełożono do bardzo bogatej i pięknej trumny, w której do dziś dnia spoczywają.

Ciało św. Ryty narodzone z matki niepłodnej, nawiedzone przez pszczoły cudowne, cudem do klasztoru wprowadzone, na czole cierniem Ukrzyżowanego naznaczone, a przy śmierci różnymi cudami uwieńczone i blaskiem z niebios opromienione, z woli Najświętszej i po śmierci szczególniejszym sposobem zostało wsławione. Chociaż nie było zabalsamowane, jednak przez tyle wieków nie uległo zepsuciu i do dnia dzisiejszego dobrze jest zachowane.

Św. Ryta otwiera oczy.

W roku 1628 cudownie otworzyły się oczy św. Ryty. Stało się to wtedy, gdy z rozporządzenia Kongregacji w kościele, w którym spoczywały zwłoki świętej, odbywało się wspanialsze, niż zwykle nabożeństwo. Kilku bezbożnych weszło do świątyni profanując świętość miejsca złem zachowaniem się swojem, jak gdyby chcieli z wiekowego spoczynku obudzić święte szczątki. Wtedy powstała z trumny św. Ryta, powieki które od 170 przeszło lat były zamknięte, podniosła i rozszedł się z jej ciała cudowny, rajski zapach.

Przerażeni zostali bezbożni, a wierni byli podziwem i radością przejęci.

Często odczuwano w pobliżu ciała świętej, zapach jakiś niebiański co do pobożności pobudzał, ducha pocieszał, umacniał i święte upojenie dawał.

Ten cudny zapach daleko się rozchodził: odczuwano go nie tylko w kościele, gdzie spoczywało święte ciało, nie tylko w pobliskim klasztorze, lecz i w sąsiednich domach, a nawet po drogach okolicznych.

Za prawdziwością tego cudu przemawiają niezliczone dowody i świadectwa, a najpoważniej proces kanonizacyjny, który sprawdził nadnaturalność tego faktu.

Przypominamy że ciało Ryty nie było nabalsamowane; dokładnie zbadano, że nie było ani w trumnie, ani blizko niej żadnych pachnących przedmiotów. Najstarsze podania w mieście Cascia, wszystkie biografie świętej, wszelkie dokumenty, w procesie kanonizacyjnym zebrane i słynne trydua, odprawiane przed ołtarzem świętej przez tych chorych, którzy

się do niej uciekali, jednogłośnie zeznają, że nie trudno było poznać w tem miejscu świętem, kto z chorych zdrowie odzyska, a kto umrzeć musi. Łaskę zwiastował przyjemniejszy zapach; do zdrowia już nie wracał ten, kto albo odczuwał zapach do kadzidła zbliżony, albo zupełnie nic nie czuł.

Pewien doktór medycyny Andrea przywiózł wraz z małżonką swoją Violante, z Sinigalii do miasta Cascia synka, który był śmiertelnie chory i został cudownie uzdrowiony zapachem, rozchodzącym się z ciała świętej. Przez wdzięczność ów doktór ofiarował srebrne votum.

Takiego rodzaju cuda często się powtarzały. Świadkami ich byli spoletańscy biskupi i O.O. Augustjanów prowincjałowie, którzy w urzędowym charakterze do miasta Cascia przybywali.

Podnoszenie się zwłok św. Ryty.

Trzeci znamienny cud—to podnoszenie się świętego ciała, św. Ryty.

Przed spoletańskimi biskupami i prowincjałami O. O. Augustjanów, gdy nawiedzali relikwie świętej podnosiło się błogosławione jej ciało zwykle do pewnej wysokości, jak gdyby Ryta chciała złożyć należny im hołd. Ruch ten był nie zawsze jednakowy: raz szybszy to znów wolniejszy, a czasami w jednej chwili podniosło się ciało; potem samo przez się opadało. I w innych okolicznościach cud się ten powtarzał.

Wśród różnych dokumentów, stwierdzających prawdziwość tego cudu, mamy wielkiej wagi zeznanie, przez dziesięciu najpoważniejszych przedstawicieli miasta Cascia podpisane 16 maja 1682 r.

Te i inne niezliczone cuda, które Pan Bóg za przyczyną Ryty działał od czasu jej śmierci, w sercach wiernych wzniecały gorącą miłość ku niej i żywą wiarę w jej pomoc. Mieszkańcy miasta Cascia i okolicznych wiosk oraz pątnicy z dalekich stron bardzo licznie nawiedzali relikwie Ryty, składając tej nowej patronce cześć religijną. W pobliżu trumny Ryty palono lampkę i najrozmaitsze zawieszano vota.

W rocznicę śmierci i z okazji nadzwyczajnych cudów odbywały się w kościele św. Ryty uroczyste, wspaniałe procesje.

Patronka rzeczy nadzwyczajnych.

Proces kanonizacyjny i wszystkie biografje św. Ryty świadczą, że w rocznice jej śmierci z każdym rokiem wspanialsze urządzano nabożeństwa, z muzyką, z kazaniami, z całym kościelnym przepychem wśród licznie zebranego ludu tak, jak w święto obowiązkowe.

Kościół w Cascia, będący pod wezwaniem św. Marji Magdaleny, otrzymał z czasem tytuł św. Ryty. Cześć jej wciąż rosła, ponieważ powiększała się i liczba cudów. Szczególniej zaś rozpowszechniać się zaczął jej kult z chwilą, gdy otrzymał najwyższą sankcję Papieży.

Urban VIII w Breve z d. 8 października 1627 r. za radą Kongregacji Obrzędów pozwolił, ażeby w całym zakonie Augustjańskim oraz w djecezji spoletańskiej odprawiano Mszę o błogosławionej Rycie. W następnem Breve 1628 r. pozwolił i świeckim kapłanom celebrować Msze o błogosławionej, lecz w kościołach Augustjańskich.

W 1673 r. wspomniana św. Kongregacja zaaprobowała dla zakonu Augustjańskiego osobne lekcje w Brewiarzu, zawierające żywot Ryty.

Benedykt XIII w 1724 roku pozwolił w wielkim mieście brazylijskim San Sebastiano pokonsekrować kościół pod wezwaniem błog. Ryty oraz nakazał, ażeby w tem mieście każdego roku odprawiano Msze o świętej *de communi* dnia 22 maja.

Za Pontyfikatu Klemensa XII wyszedł d. 7 sierpnia 1737 roku dekret, który nadał sankcję najwyższą powszechnej czci składanej Rycie.

Ten kult bardzo się rozprzestrzenił w różnych państwach szczególniej w Hiszpanji, Portugalji i południowej Ameryce, w której kilkanaście większych osad nosi nazwę św. Ryty.

Pierwszy Kadyks nadał Rycie tytuł „*Patronki rzeczy nadzwyczajnych*“ ze względu na niezliczoną ilość nadzwyczajnych, przez nią otrzymanych cudownych łask.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że religijną cześć składano Rycie od chwili jej zgonu, że kult ten coraz się powiększał i szczególnym sposobem się rozszerzał, aż objął cały świat.

Im bliżej było do kanonizacji świętej, tem częściej Pan Bóg uwzględniał prośby tych, którzy wzywali jej pomocy.

Do niej uciekali się z wielką ufnością ludzie z najrozmaitszych sfer. Na jej cześć odprawiano trydua, nowenny, szukano jej obrazków, ubiegano się o jej relikwie, wzywano jej pomocy podczas strasznej nawałnicy morskiej.

Trudno byłoby wyliczyć tu wszystkie cuda, o których wiemy. Zebrał je wielki czciciel św. Ryty i propagator jej kultu arcybiskup Kazimierz Gennari, asesor św. Kongregacji.

Cudowne uzdrowienie niewidomej za przyczyną św. Ryty.

Elżbieta Bergamini z Terni od siedmiu blizko lat była nawiedzona złośliwą ospą, która zeszpeciła całą jej twarz i oczy tak zasłoniła, że zaledwie mogła odróżnić światło od ciemności. Rodzice szukali ratunku u najpierwszych okolicznych doktorów, którzy wszelkich używali środków, by dzieweczkę wyleczyć Lecz wszystko było napróżno. Nieszczę-

śliwi rodzice, widząc, że ich córeczce żaden ludzki środek nie pomoże, postanowili powierzyć ją pieczy Siostr Augustjanek z klasztoru Cascia, gdzie była zakonnicą krewna Elżbiety, imieniem siostra Marja Magdalena. Błagali św. Rytę, która przed kilku laty cudownie przywróciła zdrowie macosze ojca chorej dzieciny, by wyjednała u Boga dla biednego dziecka zdrowie.

Działo się to w maju 1833 r. Dobre zakonnice zajęły się dzieciną i jak najczulszą otoczyły pieczą. Klasztorny lekarz stwierdził tylko to, co zaopinjowali lekarze z okolic Terni, t. j., że choroba jest nieuleczalna.

Elżbieta bardzo cierpiała, światło dokuczliwie ją raziło. Chroniła się od niego, nosząc zawsze jedwabne, zielonego koloru opaski na oczach, ale wciąż płynęły łzy i zaognienie nie ustawało.

Omywano jej oczy wywarem z ziół, małą przynosiło to ulgę, gdyż przy wielkich wysiłkach zale dwie można było jej powieki cokolwiek podnieść Upłynęło tak z pół roku.

Razu pewnego pobożne zakonnice włożyły na dziecinę habit ślubowany św. Ryty, poświęcony przez spowiednika i potarty o trumnę, w której spoczywało jej ciało. Gdy dotknięto się oczu chorej dzieciny srebrną pałeczką uświęconą, jak niesie podanie, przez potarcie o czoło św. Ryty, z radością zauważono polepszenie w stanie chorej. Przełożona zachęcała Elżbietę, by z większą jeszcze ufnością wzywała pomocy św. Ryty i zaprowadziła ją do zakonnic, tego samego ranka zajętych na dziedzińcu klasztornym przebieraniem ziarnek zboża.

Niewidoma, zamiast oddzielać lepsze ziarnka, zaczęła mieszać już wybrane z gorszemi. Podano dzieweczce naczynie z niewielką ilością ziarnek, ażeby te sobie przebrała. Elżbietka zaczęła dotykać się ziarnek i naraz rzekła, że ona je widzi. Zerwała opaski i zdziwione zakonnice ujrzały oczy dzieweczki zupełnie czyste, piękne i zdrowe. Żeby się lepiej przekonać o cudownem przywróceniu wzroku, kazały jej przebrać wszystkie ziarnka, który były w naczyniu; co ona jak najlepiej spełniła.

Zaraz wszystkie pobiegły wraz z dzieweczką do trumny św. Ryty, składając dzięki za cudowną łaskę.

Wkrótce przybył klasztorny lekarz, obejrzał Elżbietkę i przyznał, że stał się wielki cud, gdyż żadnym ludzkim środkiem nie można było przywrócić wzroku tej chorej dziecinie.

Blizko trzy lata jeszcze przebywała dzieweczka w klasztorze, oczy jej były zupełnie zdrowe, w chórze wraz z zakonnicami z ksiąg odmawiała pacierze, pisała i wyszywała bardzo piękne roboty.

Jeden z głośniejszych rzymskich lekarzy, którego wezwano do zbadania tego cudownego uzdrowienia i wypowiedzenia o niem swego zdania, tak zakończył swoją naukową rozprawę:

— Zgodnie z własnem sumieniem muszę wyznać, że takiego rodzaju uzdrowienie nie mogło być spowodowane żadną sztuką, ani też siłą natury. Tylko cud to zdziałał. Sumienie i nauka powinny zaliczyć je do wielkich, niepojętych, nadnaturalnych dzieł, które Wszechmogący Bóg czyni przez Swoje wybrane sługi, a w danym wypadku przez św. Rytę z Cascia. To moje świadectwo przysięgą stwierdzam.

Uzdrowienie Kosmy Pellegrini'ego złożonego bardzo ciężką chorobą.

Kosma Pellegrini, mający lat 50, krawiec, mieszkaniec Conversano w prowincji Bari, wskutek pracy nad siły oraz moralnych cierpień zaczął z sił spadać i tak dalece wzrok stracił, że choć używał najniższego numeru okularów, zaledwie z blizka rozróżniał przedmioty. Taki był przytępiony jego słuch, że trzeba było głośno krzyczeć, ażeby głos usłyszał; raz nawet nie słyszał uderzeń młotka w ławkę, na której siedział. Do tego ogólnego braku sił i przytępienia organów słuchu i wzroku dołączyły się wielkie cierpienia żołądkowe. Pellegrini również dość często cierpiał zawroty głowy, które bywały tak nagłe, że nie mógł dojść do łóżka, padał na ziemię i pozostawał całemi godzinami, jakby bez życia. Pogorszył sobie stan zdrowia nieroztropnem leczeniem. Był jak trup blady, wycieńczony i zupełnie zniechęcony do życia.

W takim stanie przebył on nie mało lat, gdy 22 maja 1877 r. w uroczystość św. Ryty, do której miał szczególniejsze nabożeństwo, po wysłuchaniu Mszy św., odprawionej przed ołtarzem św. Ryty w zakonnym kościele klasztoru św. Kosmy, wracał do domu i poczuł taki straszny ból, że padł na ziemię bez zmysłów. Zaniesiono go do domu, wezwano lekarza który orzekł, że stan chorego jest bardzo niebezpieczny, przepisał różne środki zaradcze i kazał wezwać księdza. Tak upłynęło dwa dni; trzeciego dnia lekarz zaopinjował, że chory do wieczora nie dożyje.

W konwersańskim klasztorze była siostra żony chorego; ta dowiedziawszy się o beznadziejnym stanie szwagra, zapaliła lampkę wiszącą przed ołtarzem św. Ryty w klasztornym kościele, i razem z nieszczęśliwą siostrą gorąco prosiła o ratunek dla konającego. Wszystkie zakonnice wzięły szczery i serdeczny udział w tej prośbie do nieba. Blizko godzinę Pellegrini leżał bezwładny, gdy w tem oczy otworzył, rękoma poruszył i na żonę zawołał. Biedna kobieta ze drżeniem podbiegła, myśląc, że z ust konającego męża ostatnie słowa pożegnania usłyszy, a tu chory zawołał:

— Zdrów jestem, św. Ryta uzdrowiła mnie!

Opowiedział, że stanęła przy nim, dotknęła się jego czoła, ramienia i piersi, zapewniła go, że zdrów będzie, tylko przez kilka dni czuć się będzie osłabionym. Wszystkim opowiadał, że cudem od śmierci wybawiła go św. Ryta.

Tego samego dnia, ku wielkiemu zadowoleniu i powszechnemu zdziwieniu wstał z łóżka zupełnie czerstwy i zdrowy mając wygląd. Opuściły go wszelkie chroniczne cierpienia, wzrok i słuch odzyskał. Nawet na dalekiej przestrzeni rozróżniał małe przedmioty, najmniejszy słyszał szelest i, chociaż miał lat 70, wyglądał na człowieka, będącego w pełni sił i życia.

Wiele bardzo osób przychodziło do Pellegrini'ego, podziwiając jego zupełny powrót do zdrowia.

Przez 10 lat następnych przychodzili lekarze i badali Pellegrini'ego, zawsze znajdując go przy zupełnem zdrowiu.

Cuda tu wymienione zostały sprawdzone i uroczyście za prawdziwe uznane wyrokiem apostolskim.

Najnowsze cuda św. Ryty.

Wymienimy niektóre jeszcze najnowsze cuda tej wielkiej świętej.

Siostra Marja Consiglia Giona, zakonnica z klasztoru św. Kosmy w Conversano, w 1863 r. zachorowała bardzo poważnie na oczy, wskutek czego zmuszona była pojechać na kurację do Bari. Tam pozostawała przez 6 miesięcy korzystając z porady okulisty. Lecz choroba przybrała takie rozmiary, że zakonnica zupełnie zaniewidziała. Powróciła do klasztoru, szukając teraz ratunku jedynie w modlitwie. Odprawiła z wielką pobożnością nowennę do św. Ryty i cudownie bez żadnych lekarstw wzrok odzyskała. Wdzięcznością powodowana siostra Marja bardzo gorliwie zajęła się rozszerzaniem czci ku św. Rycie.

Odtąd powstało specjalne nabożeństwo do św. Ryty w Conversano i w wielu innych sąsiednich miejscowościach.

* * *

W 1885 r. ogłuchła siostra Anna Róża Biscozzi, zakonnica z tego samego klasztoru. Najrozmaitszych używała środków, idąc za radą lekarzy, lecz to nic nie skutkowało. Pewien lekarz zaordynował jej obmywanie uszu migdałowym olejkiem. Chora, zamiast przepisanego przez doktora lekarstwa, użyła tego, który jej podsunęła pobożność: przez 7 dni namaszczała swe uszy oliwą z lampki, wiszącej przed ołtarzem św. Ryty, odmawiając trzykrotnie „Chwała Ojcu“, jedno „Zdrowaś“ i wołając: „św. Ryto, módl się za mną“. Po siedmiu dniach słuch zupełnie odzyskała.

* * *

Nicoletta de Bellis z Rutigliano bardzo cierpiała na ból głowy, po pobożnie odprawionej nowennie do św, Ryty zdrowie zupełnie odzyskała.

* * *

W r. 1887 Jan Biscozzi z Massafra, podług opinji doktorów, mając nieuleczalną wadę serca, codziennie spożywał kawałek poświęconego na cześć Ryty chleba i popijał wodą na pamiątkę jej postów, przyczem odmawiał trzykrotnie „Chwała Ojcu“, jedno „Zdrowaś“ i powtarzał: „św. Ryto, módl się za mną“. Wkrótce nie zostało ani śladu choroby.

* * *

Nie tylko ciało lecz i duszę św. Ryta uzdrawia.

W Bari ks. kanonikowi Franciszkowi Perrini'emu dano znać, że umiera pewna młoda osoba, która ani słuchać nie chce o księdzu i Sakramentach św. Gorliwy kapłan poszedł do chorej, która go bardzo źle przyjęła. Nie zrażony tem ks. Perrini powiada:

— Przyszedłem do pani z lekarstwem na jej chorobę.

— Co za lekarstwo? — łagodniej zapytała chora. — Jeżeli ono będzie skuteczne, to wdzięczną bym księdzu była.

Na szczęście ks. kanonik miał przy sobie obrazek świętej i pokazując go chorej, rzekł:

— Oto lekarstwo, jeżeli pani zwrócisz się do tej świętej, która zwie się „Patronką rzeczy nadzwyczajnych“, to zdrową będziesz.

Chora obrazek pod poduszkę schowała. Ks. Perrini opuścił jej dom; niedaleko jednak odszedł, gdy dano mu znać, że chora go wzywa. Bardzo pobożnie wyspowiadała się, przyjęła Ostatnie Sakramenta, mówiąc, że widziała św. Rytę, która zachęciła ją do dobrej śmierci. Nawrócona dziewica zaraz Bogu ducha oddała.

* * *

W 1890 r. zachorowała na oczy Zuzanna Palieri z Conversano. Leczył ją przez 3 miesiące najsłynniejszy okulista z Bari, doktor Vitali. Nakoniec nie chciał się już chorą zajmować, mówiąc, że daremna jego praca, ratunku tu już nie widzi. Chora zaczęła się gorąco do św. Ryty modlić i wkrótce uzdrowioną została. Zdziwił się bardzo dr. Vitali, widząc ją zdrową i to uzdrowienie cudownem nazwał.

* * *

W lutym 1893 r. pięcioletni Filipek d'Addabbo z Turi zachorował ciężko na szkarlatynę. Opuścili go już lekarze, w tem dziecina rączką wskazując na obraz św. Ryty woła:

— Zapalcie świecę!

Natychmiast prośbę spełniono, i gorąco do św. Ryty wszyscy domownicy zaczęli się modlić. Następnego dnia dziecko było zupełnie zdrowe, powtarzając:

— Św. Ryta mnie uzdrowiła.

* * *

W maju 1895 r. Antonina Bernardi z Cisternino była tak chora, że przyjęła Ostatnie Sakramenta. Stroskani rodzice gorąco, modlą się do św. Ryty. Pewnej nocy święta pokazała się chorej we śnie i pocieszyła ją, że zaraz zdrową będzie, co rzeczywiście się spełniło.

* * *

Z pomiędzy bardzo wielu miejsc, które św. Ryta wsławiła swymi cudami, trudno pominąć wielką osadę konwersańskiej djecezji, Noci. W parafjalnym tamtejszym kościele erygowany został ołtarz świętej, gdzie licznie zbierają się wierni, modły do niej zasyłają i wota składają. Z pomiędzy wszystkich cudów, jakie tu się stały, największego nabrał rozgłosu następujący:

Dnia 28 czerwca 1895 r. bardzo ciężko zachorował miejscowy doktór Paschalis Tateo i leżał bez przytomności w konwulsjach epileptycznych. Koledzy pośpieszyli na ratunek, lecz nie widzieli żadnego sposobu utrzymania go przy życiu. Kapłani odmawiali już nad nim ostatnie modlitwy. Ktoś z pobożnych przyniósł oliwy z lampki, wiszącej przed ołtarzem św. Ryty, i namaścił nią chorego. W tej chwili doktór Tateo wstał zupełnie zdrów i z wdzięczności za cud ten szerzy kult świętej.

* * *

W Rzymie Anna Gregori 20 stycznia 1896 r. ciężko bardzo zachorowała. Pomimo starań sławnego profesora Masciarelliego, choroba przybrała tak groźne rozmiary, że chora ze świętą rezygnacją czekała na ostatnią swą chwilę. Mąż jej Augustyn Gregori wraz z dwiema córeczkami klękli przed obrazem „Patronki rzeczy nadzwyczajnych“ i gorąco modlili się na intencję chorej. W kilka godzin gorączka ustała a po dwóch dniach lekarz uznał, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło.

* * *

W Polignano św. Ryta cudownie uzdrowiła synka i córeczkę doktora Vita Antoniego Argenti'ego. Stało się to w 1896 r. w styczniu podczas grasującej tam epidemji.

* * *

Pewna niewiasta z Casamassima, w Bari zaślubiona, miała jedynego syna lat siedmnastu, który bardzo złe prowadził życie i nieraz po kilka dni wałęsał się po za domem. Biedna matka pomimo najusilniejszych starań poprawić go nie mogła. Szuka tedy pomocy u św. Ryty, rozpoczyna nowennę, odmawiając „Ojcze nasz“, „Zdrowaś“ i wzywając imienia świętej. Po drugiej nowennie przychodzi syn do matki, pada jej do nóg i wśród łez przyrzeka, że już nigdy jej nie zasmuci. I rzeczywiście odtąd zupełnie odmienił swoje postępowanie.

* * *

Franciszka Gabrielli, pobożna i cnotliwa, w 1896 roku ciężko zasłabła w Rutigliano. Stan jej zdrowia był beznadziejny: przyjęła św. Wiatyk i otrzymała na godzinę śmierci specjalne błogosławieństwo od Ojca św. Wszyscy już stracili nadzieję. Jedna tylko chora nie traci jej, trzyma w ręku obrazek św. Ryty i wciąż całuje go z ufnością bez granic. Nastała noc. Lekarze sądzili, że chora umiera, kapłani odmawiają nad nią modły za konających W tem obecni słyszą z ust chorej hymn do św. Ryty, i zaraz choroba opuściła Franciszkę przyczynając tem świętej nowego blasku.

* * *

Dnia 29 maja 1697 r. w konwersańskim kościele św. Kosmy świadkami wzruszającej sceny byli pobożni pątnicy. Oto jeden z nich Ludwik Naccarato z prowincji Cosenza w gorących bardzo słowach na klęczkach składał św. Rycie serdeczne dzięki przed jej ołtarzem za cudowne przywrócenie mu zdrowia. Dzięki „Patronce rzeczy nadzwyczajnych“ został uzdrowiony, przez kilka lat złożony był ciężką chorobą, z którą napróżno walczył brat jego lekarz.

* * *

Księżna Teresa Antonacci z Neapolu zapadła na ciężką chorobę mózgu, w obec czego bezsilni byli najpierwsi lekarze. Księżna ufna w pomoc św. Ryty, kazała prosić zakonnice w Conwersano, by odprawiły na jej intencję nowennę do świętej. Zakonnice spełniły prośbę i zarazem przysłały chorej poświęconej oliwy z lampki, wiszącej przed obrazem św. Ryty. Zaraz chora poczuła się znacznie lepiej, a po kilku dniach zupełnie wyzdrowiała.

* * *

Zachorowała kupcowi w Bari Sebastjanowi Giannuli'emu córeczka. Najsłynniejszy doktór Józef Zuccaro orzekł, że chorej pruchnieje kość w nodze i trzeba dziecinę poddać trudnej, bardzo niebezpiecznej i bolesnej operacji. Działo się to w końcu czerwca 1897 r. Rodzice, mając bardzo słabą nadzieję, żeby operacja się udała, rozpoczęli w kółku rodzinnem pod przewodnictwem zakonnicy nowennę do św. Ryty. Pewnego dnia, gdy wszyscy przy dzie-

weczce się modlą, ona podnosi wzrok na obraz św. Ryty i mówi:

— Św. Ryto, udziel mi łaski, gdyż ja bardzo cierpię. Co prawda, nie zasłużyłam na Twoją pomoc, bo byłam niewdzięczna względem Ciebie, gdy wszyscy modlą się do Ciebie, ja byłam roztargniona i mało się troszczyłam o modlitwę. Lecz teraz widzę swoją winę i proszę Cię o przebaczenie. Uczyń mi łaskę, uwolnij od cierpienia.

Wszyscy podbiegli do łóżka dzieciny, a ona zawołała:

— Patrzcie, idzie.

— Kto? — pytają.

— Zakonnica — odpowie dzieweczka.

— Zkąd?

— Oto ztąd, ode drzwi, patrzcie, siada przy mnie.

Po tych słowach dziecina ani się poruszyła i zdawało się, że słucha jakiejś mowy, poczem zawołała:

— Święci uratują mi nogę! Zdrowa będę, tylko na mnie połóżcie swe cudne ręce!

Obecni płakać zaczęli, sądząc, że dziecina postradała zmysły.

— Nie płaczcie — wołała — cieszcie się, czyż nie widzicie, że ja wielką łaskę otrzymałam. Święta Ryta powiedziała mi, że po trzech dniach skończą się moje cierpienia i że noga moja zupełnie będzie zdrowa!

I tak się stało. Wdzięczna rodzina serdeczne dzięki składała i zawiesiła wota przed obrazem „Patronki rzeczy nadzwyczajnych".

* * *

W kwietniu 1900 r. Ludwika, córka Magdaleny, Marucchi Gigli w Rzymie została cudownie uzdrowioną na skutek gorących próśb do „Patronki rzeczy nadzwyczajnych".

Kanonizacja św. Ryty.

Idąc za głosem i prośbą bardzo wielu pobożnych czcicieli Ryty, papież Klemens XII zaliczył ją w poczet błogosławionych.

Leon XIII, ulegając prośbom całego zakonu Augustjańskiego, po sprawdzeniu, że cześć błogosławionej Ryty wciąż się powiększa, nakazał przeprowadzić jak najściślejsze badanie trzech cudów zdziałanych za przyczyną św. Ryty.

Dnia 27 marca 1900 r. zebrała się jeneralna kongregacja w Watykanie.

Dnia 8 kwietnia tegoż roku uroczyście światu ogłoszono, że sprawdzone przez kongregację trzy cuda św. Ryty są prawdziwe i oto patronka rzeczy nadzwyczajnych wyniesiona na ołtarze ku czci całego świata katolickiego, coraz większą liczbą cudów budzi wdzięczność i podziw wśród tych, którzy jej całem sercem zaufali.

Dnia 23 Maja.

ŚWIĘTY JAN ROSSI.

1698—1764.

Za rządów papieża: Benedykta XIV, Klemensa XII.

Miłość cnoty i poszukiwanie onej zaczynają się od tego, że nas czynią cnotliwemi.
Św. Franciszek Salezy.

Lata dziecinne i młodociane św. Jana.

Św. Jana Baptystę Rossiego zwano Wincentym a Paulo Rzymu, albowiem zasłynął on również niezwykłem miłosierdziem.

Wprawdzie św. Jan Rossi, jako kapłan, głównie służyć może za przykład życia dla osób w stanie duchownym zostających. Lecz, że cnotą, która w nim najbardziej jaśniała, była nadzwyczajna miłość bliźniego, szczególnie litość nad ubogimi,—więc z tego powodu, żywot jego wielce nauczającym jest dla każdego wiernego. W każdym bowiem stanie jest się obowiązanym do miłości bliźniego, a stąd do niesienia mu pomocy wedle możności.

Lecz co najbardziej jest w żywocie tego wielkiego sługi Bożego nauczającym dla osób wszelkiego stanu i powołania, to że odznaczył się on cnotą najuczynniejszego miłosierdzia, niezmordowanego poświęcenia się dla ubogich, pomimo, że od lat najmłodszych, ciężką i ciągłą chorobą był dotknięty. Przez to bowiem, jest on żywym dowodem, jak prawdziwie chrześcijańska miłość, umie przezwyciężać wszelkie przeszkody utrudniające jej spełnienie, i jak nie łatwo od obowiązków jakie na nas wkłada, godzi się nam uwalniać. Że przytem cnota miłosierdzia chrześcijańskiego, jest z wielu powodów cnotą, którą bardziej niżeli kiedykolwiek w czasach obecnych odznaczać się powinien każdy chrześcijanin,—jest cnotą, której zdaje się po wiernych dziś szczególnie wymagać Pan Bóg—więc i z tego powodu szczegóły życia tego niezrównanego miłośnika ubogich, a w bli-

skich nam czasach żyjącego, znane i rozważane być powinny.

Święty Jan de Rossi, urodził się we Włoszech, w djecezji Genueńskiej, w miasteczku Voltażio (Voltaggio) roku pańskiego 1898. Pochodził z rodziców niezamożnych, chociaż do szlachty tamecznej należących.

Wychowany przez nich z chrześcijańską troskliwością, od dzieciństwa odznaczał się wszystkiemi zaletami właściwemi jego wiekowi, a szczególnie gorącą pobożnością, anielską skromnością, posłuszeństwem i uległością rodzicom.

Gdy podrósłszy, zaczął uczęszczać do szkoły, pod zarządem dwóch światłych i świętobliwych kapłanów zostającej, zwrócił na siebie ich uwagę wzorowem postępowaniem i wielką pilnością w naukach To też już wtedy ci nauczyciele jego, przewidywali w nim duszę wybraną przez Boga do dróg wyższej świątobliwości.

W owych czasach był we Włoszech zwyczaj, podobny jak i w kraju naszym. że dzieci mniej zamożnej szlachty, dla dalszego ich kształcenia i zapewnienia im losu na przyszłość, umieszczano na dworach magnatów. Rodzice jednakże Jana, pragnęli jak najdłużej mieć go pod swojem okiem rodzicielskiem, ażeby przez umocnienie w zasadach wiary i ustalenie w dobrych obyczajach, tem silniej obwarować przeciw ułudom i niebezpieczeństwom świata. Lecz wypadło, że prędzej jak to zamierzali, wyprawili synka z domu.

Zdarzyło się, że jeden z najmożniejszych panów genueńskich i żona jego, słuchając Mszy św. do której służył dziesięcioletni wtedy Jan Rossi, tak zostali uderzeni jego pobożną powierzchownością i sposobem zachowania się przy św. ofierze, że zapragnęli mieć go przy swoim dworze. Byli to ludzie bardzo bogaci, dwór wiedli książęcy; lecz że obok tego słynęli z chrześcijańskiego sposobu życia i przestrzegania najsurowszych obyczajów w licznych domownikach swoich, więc rodzice Jana powierzyli go ich opiece.

Tam w krótkim czasie, takiemi zajaśniał zaletami, że państwo ci bezdzietni będąc, przywiązali się do niego, jakby do własnego dziecka. Nietylko najstaranniejsze i gruntownie religijne dawali mu wychowanie, lecz sami będąc pobożnymi, pobożność jaką w nim znaleźli i którą właśnie ujął ich sobie, starali się coraz bardziej rozwijać.

Kilka już lat spędził był Jan u tych zacnych dobrodziejów swoich, a którzy nacieszyć się nim nie mogli, kiedy razu pewnego, przybyło do ich zamku dwóch podróżujących Kapucynów z prowincji rzymskiej, prosząc o chwilowy przytułek. Przyjęto ich najłaskawiej, a gdy dowiedziano się, że prowincjałem ich był wtedy ojciec Anioł, rodzony stryj Jana, zatrzymano dni parę, ażeby zapoznawszy się z synowcem swego przełożonego, tem dokładniejsze o nim zanieść mu mogli wiadomości.

Jan korzystając z tej sposobności, zwierzył się im z postanowienia jakie powziął wstąpienia do stanu duchownego, i prosił, żeby stryj dopomógł mu do tego. Ten, skoro od swych zakonników, gdy przybyli do Rzymu, dowiedział się o zamiarach Jana, a wysłuchał pochwał, jakie mu oni dawali, niezwłocznie najgorliwiej zajął się tą sprawą.

Z rodziny świętego, oprócz wyżej pomienionego prowincjała Kapucynów, mieszkał w Rzymie stryjeczny brat jego ojca, kanonik Wawrzyniec de Rossi. Byłto prałat powszechnie poważany, a oprócz wielkich dochodów z kanonji przy Bazylice Matki Bożej Kosmedyńskiej (in Cosmedin) posiadał obszerny pałac i piękny dom w Rzymie, a także i znaczne kapitały. Ojciec Anioł zawiadomił go o zamiarach ich wspólnego krewnego, a on słysząc już skąd inąd o niepospolitych zaletach Jana, wielce się ucieszył nadzieją że będzie księdzem. Niezwłocznie więc zniósł się z matką jego, gdyż ojciec już wtedy nie żył i ta wkrótce przywiozła mu syna.

Kanonik przyjął go najserdeczniej, wziął pod swoją opiekę, umieścił w pałacu, który sam zajmował, i najtroskliwiej zajął się dalszem kształceniem odpowiedniem zawodowi, do którego się zabierał W tym przeto celu zapisał go w poczet uczniów najsławniejszej i pod każdym względem najznakomitszej akademji, zwanej Kolegjum Rzymskie. (*Collegium Romanum*).

Zakład ten powstały w połowie wieku XVI, gdy do niego uczęszczać zaczął Jan Rossi, świetnie się już był rozwinął. Liczył wtedy przeszło dwa tysiące uczniów ze wszystkich krajów chrześcijańskich, pobierających tam nauki od mistrzów najznakomitszych których imiona po większej części pierwszorzędne w dziedzinie naukowej pozajmowały miejsca. Z liczby zaś uczniów z tego zakładu wyszłych, wielu jest Świętych kanonizowanych i długi szereg Papieży, z których jedenastym z rzędu, liczy się Ojciec święty Leon XIII.

Pobyt św. Jana w kolegium Rzymskiem i zbawienny wpływ jego na współuczniów.

Wśród tak wielkiej liczby uczniów tego zakładu Jan odznaczył się zaraz pilnością w naukach, i wysoką pobożnością. W krótkim czasie pierwsze pomiędzy niemi zajął miejsce, zwrócił na siebie szczególną uwagę, nauczycieli i pomiędzy towarzyszami pozyskał szczególną miłość, szacunek i poważanie.

Było zwyczajem w tej Akademji, że przy końcu roku, w każdym wydziale uczniowie przechodzący do następującego, wybierali z pomiędzy siebie jednego, który zdaniem ich ma trzymać nad wszystkimi innymi pierwszeństwo i taki nosił tytuł *Dyktatora*. W każdym roku na Jana padał wybór.

Przeszedłszy na wydział filozofji, odznaczył się podobnież i profesorowie jednogłośnie uznawali go za najzdolniejszego i najpilniejszego z uczniów. On też wybrany został, przy końcu tego kursu, na bronienie zadanej rozprawy przy publicznych egzaminach, z czego wywiązał się świetnie.

Święty Jan Rossi.

Lecz w zakładzie tym, ze wszech miar wzorowym,świętobliwym jego przewodnikom chodziło i chodzi zawsze, nietylko o jak najdoskonalsze naukowe, kształcenie młodzieży, lecz o ich udoskonalenie moralne; nie tylko o wzbogacenie ich wiedzy wyższemi wiadomościami w każdej gałęzi nauk, lecz i o wdrożenie ich, od pierwszej młodości w cnoty chrześcijańskie. I w tym celu założone tam jest stowarzyszenie, rodzaj bractwa, do którego przypuszczeni są tylko uczniowie odznaczający się wzorowem postępowaniem i pilnością w naukach. — Należący do tego wybranego grona, w chwilach wolnych od nauk oddawali się różnym uczynkom miłosierdzia chrześcijańskiego; opiekowali się ubogimi, i wedle możności ich wspierali, miewali do nich nauki w miejscach, gdzie ich do tego zgromadzano; usługiwali chorym po szpitalach, uczyli dzieci biednych rodziców katechizmu i t. p.

Jan, nie tylko do tego zgromadzenia został zaliczony, lecz wkrótce stał się duszą jego. Przez czas bowiem pobytu swego w kolegjum rzymskiem, nie tylko przygotowywał się przez nabywanie potrzebnych wiadomości, do zawodu apostolskiego, który go czekał lecz już wtedy zaczął spełniać to swoje posłannictwo. Wpływ najzbawienniejszy wywierał na wszystkich swoich spółuczniów, lecz najbardziej na należących do tego wyborowego grona. Przedziwny miał dar rozbudzania w nich i utrwalenia zamiłowania nieposzlakowanej skromności obyczajów, skłaniał ich do uczęszczania do Sakramentów świętych, zachęcał i zaprawiał do uczynków miłosierdzia, będąc żywym wzorem doskonałości chrześcijańskiej.

Przyszło też do tego, że stał się on prawą ręką ojca Kontuczio (Contucio) Jezuity, któremu podówczas kierunek duchowny młodzieży uczęszczającej do kolegjum rzymskiego był powierzony, a zwłaszcza zawiązanych w to pobożne stowarzyszenie, o którem mówimy. Przy procesie beatyfikacji tego świętego, takie złożył on o nim świadectwo:

Jako Ojciec duchowny młodzieży uczęszczającej do kolegjum rzymskiego, zeznać mogę zgodnie z najściślejszą prawdą, że Jan Rossi był wzorem doskonałości dla wszystkich swoich współuczniów. W kierowaniu nimi przezemnie, tak co do pilności w naukach, jak i do skromności obyczajów i pobożności, był on moim pomocnikiem. Przez czas jego pobytu w naszym zakładzie, jemu zawdzięczam pociechę. jakiej doznawałem z przykładnego ze wszech miar postępowania wszystkich uczniów. Już wtedy nazywałem go nowym Aloizym Gonzagą, a od tej pory, czas dowiódł, żem się na nim nie zawiódł".

Św. Jan utraca zdrowie.—Pomimo tego nie przerywa nauk i przyjmuje święcenia kapłańskie.

W taki więc sposób święty ten młodzieniec godnie sposobił się do stanu duchownego, od lat dziecinnych czując się do niego powołanym, kiedy podobało się Panu Bogu dopuścić na niego chorobę, która zdawało się, że mu do tego zawodu na zawsze zamknie drogę; chociaż już wtedy miał mniejsze święcenia.—W skutek przebrania miary w umartwieniach ciała, zapadł na zdrowiu: ciągłych doznawał bezsenności; wszelkie pokarmy przyjmował ze wstrętem, siły tracił coraz bardziej, i nakoniec dnia pewnego, gdy pobożnie słuchał Mszy świętej w kościele ojców Jezuitów, rzucił się o ziemię tknięty napadem tak zwanej wielkiej choroby, to jest konwulsji.

Owóż, prawo kanoniczne nie dozwala ulegających napadom tej choroby wyświęcać na kapłanów, i z wielką boleścią serca, lecz najzupełniej poddając się takowemu dopuszczeniu Bożemu, Jan wy-

rzekał się zawodu, do którego pewnym był, że go Pan Bóg powołuje. Lecz takie w sobie objawiał nadzwyczajne do stanu kapłańskiego przymioty, tak wyjątkową jaśniał świątobliwością; taką wielką niezmordowaną i najskuteczniejszą o dobro dusz pałał gorliwością,—że władza duchowna wyjątek z pod tego ogólnego prawa uczyniła dla niego. Za szczególną, od samego Papieża otrzymaną *dyspensą*, Jan miał być przypuszczony do święceń na kapłana, skoro ostatni kurs teologji ukończy i do lat właściwych dojdzie.

Lecz tu nowe spotkały go trudności. Choroba której popadł, lubo wtedy bardzo rzadko wracała, w całej budowie jego ciała wielką spowodowała zmianę. Do tej pory wyglądał bardzo czerstwo, odtąd wychudł nadzwyczajnie i chorobliwa bladość pokryła jego młode lica. Głos dźwięczny i doniosły, zamienił się na piskliwy i przytłumiony. Żołądek osłabiony znosił tylko niektóre lżejsze pokarmy, i to w jak najmniejszej ilości. Nakoniec, a co dla kończącego nauki teologiczne było najdotkliwszem, cierpienia głowy sprawiały, że ani czytywać ani pisać nie mógł, gdyż najmniejszy w tem wysiłek, przyprawiał go o napady epilepsji. Tymczasem niezbędnem było, aby wszystkie kursa teologji odbył i do egzaminu, przed wyświęceniem na kapłana się uzdolnił.

Nie mogąc więc dalszych wykładów słuchanych w akademji spisywać, jak to czynili inni uczniowie, ani odpowiedniem czytaniem w domu dopełniać tych wiadomości, starał się w inny sposób to wynagradzać. W godzinach niezajętych prelekcjami w kolegjum rzymskiem, chodził na wykłady teologji biegłych mistrzów tej nauki w klasztorze ojców Dominikanów, rozbierających najznakomitsze dzieło teologiczne pod tytułem: *Summa św. Tomasza z Akwinu.* I po upływie trzech lat, pomimo wielkich z powodu stanu zdrowia trudności w ćwiczeniach naukowych, — taki w nich uczyni postęp, że egzamina z teologji zdał, jak być może najświetniej.

Wtedy już wielu uczonych kapłanów obecnych temu, zapowiedziało w nim wielkiego teologa, do którego wszyscy o poradę w zawilszych wypadkach zgłaszać się będą—co się też i sprawdziło później.

Nakoniec dnia 8 marca 1721 roku, mając lat dwadzieścia dwa, wyświęcony został na kapłana.

Przy końcu obrzędu tego, według kanonicznego przepisu, biskup święcenia kapłańskie udzielający, tak przemówił do świeżo wyniesionego na tę godność:

„Niech nauka twoja będzie duchownem lekarstwem dla ludu Bożego. Niech cnoty twe napełniają pociechą Kościół Chrystusowy, ażebyś głoszeniem Ewangelji i przykładem życia budował dom Pański, to jest, uświęcał wiernych".

Do słów tych zastosował się Jan tak ściśle, że jak się to z dalszych szczegółów okaże, stały się one jakby najdokładniejszem streszczeniem całego jego życia. Nie będąc jeszcze kapłanem, już odznaczył się gorliwością o dobro dusz, przedstawiał żywy wzór cnót, do których drugich pobudzał—tem bardziej gdy święcenia odebrał, całą duszą oddał się apostolskim pracom, a o własne uświątobliwienie jeszcze pilniej się starał.

Święty Jan poświęca się na usługi duchowne najuboższych wyrobników, więźniów i żebraków.

Nie mogąc wiele rachować na swoje siły fizyczne, a zwłaszcza głęboką pokorą przejęty, nie sądząc się powołanym do świetniejszych zajęć kapłańskich, mąż Boży całą swoją gorliwość zwrócił najprzód do najbiedniejszych warstw ludu.

Zaczął od ubogich wieśniaków, którzy w wielkiej liczbie przybywając do Rzymu z najodleglejszych okolic, na rozległych polach otaczających to miasto, szukając zarobku, jużto najmując się do strzeżenia trzód, już do sprzętu siana i uprawy roli. Koczujące niejako prowadząc życie i do żadnej parafij nie przywiązani stale, biedni ci ludzie pozbawieni byli wszelkiego religijnego kształcenia. Żyli też ledwie że niejako poganie i najzgubniejszym podlegali nałogom.

Na dwóch placach w Rzymie zbierali się oni zwykle, raz o świcie, drugi raz wieczorem. W dnie powszechne szukali roboty lub przynosili różne swoje wyroby do zbycia; w święta zaś włóczyli się po szynkach i podobnych miejscach. Znani też byli powszechnie z najgorszego prowadzenia się, a stronienie z tego powodu od nich mieszkańców Rzymu, przyczyniało się jeszcze do pogrążania ich i w materjalną i w moralną nędzę.

Oni to stali się pierwszem polem apostolstwa świętego Jana, zanim następnie ogarnął on Rzym cały i odleglejsze jego okolice. Udawał się na place, gdzie bywali zgromadzeni; zabierał z nimi znajomość, i przełamawszy prędko trudności, jakie w ich ledwie że nie zdziczeniu napotykał, zaczął miewać do nich nauki.

Wkrótce też najzbawienniejsze okazały się tego skutki. Miłość jaką im okazywał, gorliwość i trafność z jaką do nich przemawiał, a przytem i wsparcie materjalne, którem ich obdarzał, zjednały mu serca tych ludzi, którzy prędko odgadli w nim anioła pocieszyciela i apostoła zesłanego im przez Boga samego. Nawet powierzchowność jego, dowodząca, że trudy jakie dla nich ponosi, wiele go kosztowały; równie jak słaby głos, który jak mógł wytężał, by miewając do nich nauki, mógł być od wszystkich słyszany,—wszystko to przedziwnie ujmowało tych biedaków, nienawykłych żeby się kto

nimi zajmował, a cóż dopiero z taką serdecznością i poświęceniem, jak to czynił ksiądz Rossi.

Zaledwie też nauczył ich zasad wiary świętej i zaczął wykładać warunki spowiedzi, wszyscy zapragnęli przystąpić do Sakramentu pokuty i pojednać się z Bogiem.

Lecz wtedy święty Jan jeszcze sam nie spowiadał. Nie prędko bowiem można było skłonić go do spełnienia tego obowiązku kapłańskiego, który uważał za najważniejszy i za najtrudniejszy. Długo pokora jego utrzymywała go w przekonaniu, że niezdolnym jest stania się sędzią sumienia wiernych, aż wyraźny nakaz władzy duchownej zmusił go do zostania spowiednikiem. A że jak w każdej godności kościelnej, im kto mniej czuje się jej godnym, im więcej się jej obawia z powodu obowiązków jakiemi obdarza — tem, podjąwszy się takowych, sumienniej, gorliwiej i lepiej je spełnia—i św. Jan zostawszy spowiednikiem, na tem głównie polu apostolskiej pracy najzbawienniejszy wpływ wywierał, niezmordowanie do samej śmierci się temu oddawał i największe przez to położył w Kościele i przed Bogiem zasługi.

Zanim jednak przyszło do tego, ukochane te owieczki swoje, biednych wieśniaków, wśród których odbywał jakby ciągłą misję, prowadził do innych księży, wybierając spowiedników na których gorliwość i właściwą pilność w słuchaniu spowiedzi, najwięcej mógł rachować. Ci zaś nadziwić się nie mogli, jak doskonale przysposobionych znajdywali w nich penitentów.

Wkrótce atoli doczekali się oni pociechy, której usilnie się domagali, i święty Jan sam zaczął słuchać ich spowiedzi. Skłoniła go ostatecznie do podjęcia się obowiązku spowiednika, litość jego nad więźniami. I tym nieszczęśliwym chcąc nieść pomoce duchowne, sam udzielał im Sakrament pokuty, gdyż ani ich do innych księży nie mógł prowadzić, ani do więzień, dla duchownych nawet, przystęp nie był łatwy. Skoro zaś zarząd tych zakładów spostrzegł, jak zbawienny wpływ wywiera ks. Jan na największych zbrodniarzy, otrzymał on upoważnienie w każdej porze wchodzić do wszystkich więźniów.

I tu więc znowu, odprawiał misję, a z tak zbawiennym wpływem, że według uznania nadzorców więziennych, najniespodziewańsza, a najpożądańsza co do obyczajów, zaszła pomiędzy więźniami zmiana.

Następnie zwrócił się ten szczególny miłośnik biednych wszelkiego rodzaju, do żebraków i włóczęgów, którzy w owych zwłaszcza czasach, w wielkiej liczbie zapełniali ulice Rzymu. A była to także warstwa ludu pod względem religijnym bardzo zaniedbana. Stałego pobytu nie mając, próżniactwu oddani, żadnemu nadzorowi duchownemu niepodlegli, jeszcze bardziej jak owi ubodzy wyrobnicy, którymi najprzód zajął się był Jan święty, potrzebowali oni duchowej obsługi.

Z nimi więc podobnież jak z tamtymi postąpił mąż Boży. Torując sobie do nich przystęp pełnem miłości zachowaniem się z nimi, a przytem i hojną jałmużną, zgromadzał ich w umówione miejsca, miewał do nich nauki, i po pewnym czasie uprosiwszy innych kapłanów do pomocy, słuchał ich spowiedzi i do uczęszczania do Sakramentów świętych wdrażał, Wielką pomiędzy nimi liczbę nieprawych związków, Sakramentem małżeństwa uświęcił, wszelkie koszta i załatwienie wymaganych do tego formalności na siebie biorąc.

Wkrótce też w całym Rzymie znanym był jako niezmordowany apostoł ubogich i coraz jawniejszem się stawało, jak zbawienny wpływ wywierało na nich to jego zajęcie się nimi. Byle ukazał się na ulicy, otaczali go oni z oznakami największego uszanowania: jedni prosząc o spowiedź, drudzy o zawiadomienie gdzie i w jakiej godzinie będzie miał dla nich naukę, inni o odprawienie dla nich nabożeństwa, lub domagając się posługi duchownej. Z tego powodu, nazywano go *Proboszczem wszystkich ubogich w Rzymie.* A chociaż była ich liczba pewnie przenosząca liczbę najludniejszych parafji — z taką gorliwością ksiądz Jan służył tym swoim przybranym parafjanom, że utrzymywano, iż pracowity proboszcz z kilku wikarymi, staranniej owczarni swojej nie mógłby uprawiać.

Razu pewnego, idąc niedaleko rzeki Tybru, z dwoma prałatami, spostrzegł jednego ze znajomych mu młodych włóczęgów, jakby w obłąkaniu szybkim krokiem ich mijającego, a wyraźnie zmięszanego, gdy poznał św. Jana. Sługa Boży tknięty wewnętrznem natchnieniem, odłączył się od swoich towarzyszy i prędko podążył za młodzieńcem. Dognawszy go, z wielką łagodnością zatrzymał, domagając się, żeby szczerze powiedział, dokąd i po co idzie. Biedak ten rozpłakał się, upadł mu do nóg i wyznał, że miał zamiar rzucenia się w Tybr. Święty zaprowadził go do siebie, odprawił z nim rekolekcje, wyspowiadał, hojnie zaopatrzył i wyrobił mu miejsce sługi u księży, którzy właśnie wtedy wybierali się na misję w dalsze okolice Rzymu. Później odznaczywszy się najwzorowszem postępowaniem, został księdzem i zasłynął jako gorliwy i świętobliwy misjonarz, wszystko to przypisując świętemu Janowi.

Św. Jan osiadłszy przy zakładzie św. Galli, nowe życie weń wlewa.—Prześladowanie jakiego tam doznaje.—Zbawienny wpływ na towarzyszy swoich wywiera.—Odbywa misje za Rzymem.

W miarę jak św. Jan Rossi coraz większą liczbę dusz pozyskiwał Bogu, wyrywał z grzechów, zaprawiał do cnoty i na drodze zbawienia ustalał, czuł

potrzebę pomocy innych kapłanów. Nie oszczędzając się w niczem, pomimo ciągle słabego zdrowia od rana do wieczora zajęty będąc kazaniami, spowiadaniem, albo przysposabianiem na śmierć umierających po szpitalach - sam nie mógł już w żaden sposób wydołać wszystkiemu. Powziął przeto zamiar ześrodkowania niejako swojej działalności przy jakim zakładzie, gdzieby znalazł innych księży podobnemu zawodowi poświęconych. Najwłaściwszym na to okazał się zakład świeżo wtedy powstały z hojności książąt Odeskalki (Odescalschi) przy kaplicy św. Galli.

Byłto przytułek dla wielkiej liczby żebraków, gdzie, głównie chodziło właśnie o opiekę nad nimi duchowną, której przy ciągłej swojej włóczędze byli zupełnie pozbawieni. Należący więc do zakładu tego duchowni, wiedząc już z jakiem poświęceniem i z jak niewymownemi pożytkami oddawał się duchownej obsłudze biednych Jan święty, najchętniej przyjęli go do swego grona.

Tam zaraz wszystko ożywił i zakład ten dopiero jemu zawdzięczał świetny rozwój do jakiego wkrótce doszedł, tak, iż św. Jana jakby założycielem jego nazwać można.

Wszakże nie był tam wolnym sługa Boży od tych prób, któremi zwykle Pan Bóg doświadcza swoich wybranych i przysparza im pola do tem większych zasług. Zarządzający z ręki książąt Odeskalki zakładem św. Galli, nienawistnem okiem patrzał na wpływ, jaki tam zaczął wywierać św. Jan, około którego wszystko się zaraz skupiło. W najrozmaitszy więc sposób go prześladował, upokarzał i wszystkie jego najzbawienniejsze zabiegi ciągle krzyżował.

Jan znosił to, jak święci znoszą podobne przeciwności i gdy wszyscy prawie trzymając jego stronę oburzali się na postępowanie z nim jego prześladowcy, on nigdy słowa skargi nie wyrzekł w każdem zajściu uniewinniał się przed nim najpokorniej i w czem tylko sumienie mu na to pozwalało, ulegał jego najdziwaczniejszym i najnietrafniejszym wymaganiom. W końcu też dał mu Pan Bóg, według wyrażenia Pisma świętego, *dobrem przezwyciężyć złe*. Przeciwnik poznał się nareszcie na świętym Janie i już nie tylko nie nastręczał przeszkód jego gorliwości, lecz ją popierał i jak inni podziwiał i uwielbiał.

Lecz pobyt Jana przy tym zakładzie, nie tylko osobistemi jego pracami nad ubogimi stał się tam pamiętnym. Zachęconych jego przykładem, a kierowanych jego duchownem przewodnictwem, kilku młodych kapłanów, którzy się do niego przyłączyli, zajaśniało wysoką świątobliwością i niezmordowaną około dusz. opieki pozbawionych, gorliwością. Z tej liczby trzech taką po sobie zostawili w Rzymie pamięć, iż prawdopodobnie do liczby świętych policzeni zostaną.

Ścisłą tedy, a świętą w Bogu związani niemi przyjaźnią, za wzór i za przewodnika im służąc, św. Jan mógł na większą już skalę rozwinąć swoją działalność. Odbywał z towarzyszami swoimi misje w różnych parafjach po za Rzymem, wybierając te głównie, gdzie dla jakichkolwiek powodów były one najpotrzebniejsze. Pierwszeństwo dawał mieszkańcom rozsiedlonym po wysokich górach, gdzie w lecie nawet zima panuje, lub na niezdrowych moczarach, gdzie z tego powodu w większej nędzy żyli i trudniejszy mieli stosunek z miejscowymi kapłanami. Tam z największem narażeniem się na choroby, w takich okolicach dotykające szczególnie nowoprzybywających, zawsze na zdrowiu cierpiący, wątły, aczkolwiek niepospolitej pracowitości, towarzyszy swoich przewyższał. Każda z misji odbytych pod jego przewodnictwem i z jego współudziałem, nieobliczone sprowadzała na okolice pożytki. Znikały najzgubniejsze nałogi, uświęcały się obyczaje, upowszechniało się uczęszczanie do Sakramentów świętych. Miejscowości, których mieszkańcy słynęli z najgorszych postępków, które były siedzibą i przytułkiem zbrodniarzy, nabierały po misji św. Jana sławy okolicy służącej za wzór obyczajów chrześcijańskich.

Koszta zaś tych świętych wypraw, brał zupełnie na siebie, mając na to środki w hojnem zaopatrywaniu go w pieniądze przez jego krewnego i opiekuna, kanonika Wawrzyńca de Rossi. Wszystko bowiem co od niego dostawał, na miłosierne uczynki obracał, co zacnego tego prałata pobudzało do tem większej względem synowca swego szczodrobliwości.

Zakład dla ubogich kobiet.—Trudności, jakie św. Jan napotyka i przezwycięża.—Skromność Bożego sługi.

Zakład św. Galli rozwijał się najświetniej pod zarządem św. Jana i głównie z hojnych datków możnych rodzin, które umiał święty do tego pobudzić. Lecz w zakładzie tym tylko kilkudziesięciu ubogich mężczyzn miewało przytułek, a kobiet wcale tam nie przyjmowano. Tymczasem i tych wielka liczba pomiędzy żebraczkami i włóczęgami potrzebowała podobnież pomocy i opieki. Św. Jan przeto litość swoją ku nim znowu skierował, tembardziej, gdy się przekonał jak wiele z nich z powogu niedostatku narażonych bywało na ostateczne zepsucie. Postanowił tedy założyć i dla kobiet podobny zakład jakim był zakład św. Galli dla mężczyzn.

Wprawdzie kosztów wymagało to nie małych, zabiegów nie lada, lecz zdało mu się to tak koniecznem, że się niczem nie zrażał, ufny że Bóg miłosierny, czyn nad duszami zagrożonemi wieczną zgubą, dozwoli doprowadzić do skutku. I nie zawiódł się wcale, lubo mu to z wielką trudnością, zwłasz-

cza z początku przychodziło. Niektórzy bowiem z tych nawet, na których pomoc i współudział w miłosiernych zamiarach szczególnie liczył, z razu okazali się temu przeciwni. Utrzymywano, że przy wątłem zdrowiu swojem już on i bez tego nad siły obarcza się zajęciami. Że z trudem podołać może pracy, jakiej się podjął i która całkiem go pochłania, coś nowego w tymże rodzaju wszczynać, jemu, który lada chwila dla braku sił i zdrowia i to co teraz robi zaniechać będzie musiał, byłoby zarozumiałością i zbytniem rachowaniem na Opatrzność. Słowem, znikąd mąż Boży ludzkiego poparcia ani nawet zachęty do dzieła, które mu na sercu leżało, nie znalazł, prócz w spowiedniku ojcu Galluci, Jezuicie, który go w jego zamiarach utwierdzał i do niezwłocznego ich w imię Boże wykonania zachęcał.

Wziął się tedy do dzieła niezmordowany ten opiekun ubogich i zaopatrzony w potrzebne do jego rozpoczęcia środki przez rodzinę książąt Odescalchi i przez stryja swego kanonika de Rossi—otworzył przytułek dla najbiedniejszych kobiet nie mających schronienia, pod tytułem Niepokalanego Poczęcia, a pod nazwą zakładu św. Aloizego Gonzagi.

Na samym jednakże wstępie, napotkał najniespodziewańszy zawód. Żadna z ubogich kobiet nie zgłaszała się do zakładu, a zachęcane żeby w nim przytułku szukały, okazały się najprzeciwniejsze temu. Ludzie bowiem złej woli najdziwaczniejsze i najniekorzystniejsze rozpuszczali o nim wieści. W pierwszych więc dniach otwarcia tego zakładu przygotowanego na sześćdziesiąt kobiet, miał on tylko jedną biedną dziewczynkę prawie umierającą, a następnie jedną kobietę sparaliżowaną.

Lecz sługę Bożego taka niewdzięczność w samych początkach tego wielkiego dobrodziejstwa, bynajmniej nie zraziła. Gdzie tylko mógł znaleść gromadzące się kobiety włóczędze i żebraninie oddane, zachęcał je do udania się do przytułku świeżo założonego, zbijając z wielką łagodnością oszczercze wieści, jakie o nim krążyły.

Nie długo do takiego środka dla zapełnienia zakładu potrzeba było się uciekać. Wkrótce już on pomieścić nie mógł zgłaszających się kobiet i dzięki nieustającym staraniom i pracy osobistej św. Jana, stanął na stopie najodpowiedniejszej i był w możności coraz to większej liczbie najuboższych kobiet dawać schronienie.

Zarząd powierzony był wybranej do tego pobożnej i roztropnej kobiecie, mającej potrzebną liczbę służących także kobiet. Kapelan, którego obowiązki przyjął na siebie ks. Jan, odprawiał tam codziennie Mszę świętą i codziennie miewał dwie nauki: jedną rano, drugą w wieczór, odmawiając wspólne ranne i wieczorne pacierze. W dnie świąteczne różne inne odbywał z będącemi w zakładzie ćwiczenia pobożne, przysposabiał ich do świętych Sakramentów i z pomocą uproszonych do tego kapłanów, takowe im udzielał.

Któż wyliczy ile tam dusz nawróconych zostało z dróg najzgubniejszych; ile uświęciło się uchronionych od zepsucia, do którego łatwo mogła zepchnąć je nędza w jakiej zostawały na świecie. Kobiety podeszłego wieku lub kalectwem dotknięte, znajdowały spokojny przytułek na swoje dni ostatnie, a młode dziewczęta wychodziły na doskonałe i sumienne sługi, na uczciwe pracownice. Wkrótce też po ustaleniu się tego zakładu, najpierwsze damy rzymskie starały się mieć z tamtąd sługi, a prowadzący różne rzemiosła, robotnice do swoich rękodzielni.

Przy procesie beatyfikacji św. Jana, kilku księży z owych czasów jeszcze żyjących zeznawało, że gdy chodziło o zabezpieczenie jakiej ubogiej dziewczyny o grożących jej cnocie niebezpieczeństw, najpewniejszym na to środkiem było umieszczenie jej w jego zakładzie, albo przynajmniej skłonienie, by na nauki przez niego tam miewane, uczęszczała.

Nakoniec doszło to wszystko do uszu Ojca św. Klemensa XII, który ustawy zakładu tego ułożone przez św. Jana zatwierdził i dom ten znacznym funduszem obdarzył.

Gdy jednakże do spisania Brewe zatwierdzającego zakład św. Aloizego przyszło, a które miało zawierać wielkie pochwały jego założyciela, św. Jan wszelkich dołożył starań, by tam żadnej zgoła nie było o nim wzmianki, wszystko przypisując swojemu spowiednikowi ojcu Galluci, o którem wyżej wspomnieliśmy, a który już wtedy nie żył. Powiadają też, że gdy przedstawiano papieżowi reskrypt ten do podpisania, rzekł żartobliwie:

— Gdyby nie to, że według wszelkiego podobieństwa ojciec Galluci już jest w niebie, gniewałby się na księdza Rossi, że własną zasługę na niego składa.

Dom poprawy dla upadłych kobiet.—Wielkie zasługi św. Jana w dziele umoralnienia mieszkańców Rzymu.

Przez założenie zakładu św. Aloizego, ks. Jan ochraniał od ostatniego zepsucia kobiety, których nędza mogła do tego przywieść. Lecz w miarę jak niósł im ratunek i powstrzymywał od zguby wiecznej, coraz częstsze miewał sposobności przekonania się, jak wiele z nich, zanim się do jego zakładu dostało, oddawało się już rozpuście. Takie zaś z nienależącemi do tej liczby, bez szkody tych ostatnich, razem trzymane być nie mogły. A tymczasem, czyż one właśnie, najgwałtowniejszego potrzebując ratunku, mogły nie obudzić szczególnej litości w takiem sercu, jak św. Jana? Przyszła też i na nich kolej i niezmordowany apostoł te z biednych najbiedniejsze istoty gorliwością swoją ogarnął.

Zetknąwszy się bliżej ze stanem ich sumień, przekonał się po licznych próbach, że skłonić je do dobrowolnego upamiętania się było rzeczą nader trudną, a gdy to następowało, niezbędnem było, przynajmniej przez czas pewien, postawić je w niemożności wrócenia do życia jakie wiodły. Powziął przeto zamiar wzniesienia zakładu, w którym zamykano te nieszczęsne kobiety, z niczem nie zrażającą się miłością pracowano nad ich nawróceniem i dopiero w razach zupełnej skruchy i poprawy, wypuszczano je stamtąd, obmyśliwszy dla nich odpowiednie pomieszczenie.

Lecz na to, nie dość już było osobistej pracy. Aby utrzymywać taki dom poprawy, niezbędną była rządowa pomoc, gdyż chodziło mu oto głównie, żeby zarazę moralną, siłą nawet uprzątać, chcące i nie chcące tego kobiety złego życia, w zakładzie dla nich przeznaczonym dla nich zamykając. Zaniósł więc oto prośbę do Papieża.

Przedstawiwszy w niej, w gorących słowach nieobliczone szkody na duszy wynikające w ogólności dla mieszkańców miasta, ze swobodnego oddawania się w niem jawnie złemu życiu kobiet, a niechybną wieczną ich zgubę, jeśli się im nie zagrodzi drogi, na którą się puściły —przyłączył do tego ustawy, jakie dla zakładu, mającego kłaść temu tamę, ułożył—i w końcu prosił najpokorniej o ich najwyższe zatwierdzenie i pozwolenie wprowadzenia takowych w wykonanie.

Gdy św. Jan do nowego tego dzieła miłosierdzia zabierał się, czuł się chorym, na siły swoje fizyczne rachować nie mógł, mimo to jednak *memorjał* jaki w powyższym przedmiocie miał przedstawić Papieżowi, potrzebował koniecznie sam ułożyć. A tymczasem lada wysiłek przy pracy, przyprawiał go o napady wielkiej choroby, coraz bardziej go wycieńczającej. Nie spuszczając się z tem na nikogo, sam przedstawienie wypracował, ciężko to zdrowiem przepłacając i Ojcu św. podał.

W takim też duchu było ono ułożone, tak wielką i świętą o dobro dusz gorliwość w jej autorza objawiało, tak silnie dowodziło potrzeby podobnego zakładu, a przytem tak mądre, właściwe i praktyczne zawierało dla niego ustawy, że Klemens XII bez wahania się je zatwierdził i najwyższą powagą swoją i błogosławieństwem, św. Jana do zamierzonego dzieła nie tylko upoważnił, lecz i najłaskawiej zachęcił.

Stanął tedy w krótkim czasie ten zbawienny przytułek dla największej jaka być może nędzy. To też św. Jan oddał mu się na posługi i pomimo opłakanego stanu zdrowia, pracował jakby cudownemi siłami obdarzony, cuda miłosierdzia Boskiego wywołując nad nieszczęśliwemi temi istotami do krańców ostatecznego zepsucia zeszłemi.

Były to czasy, kiedy wskutek słabnącej wiary, przy rozkrzewianiu się protestantyzmu wszędzie obyczaje wielkie skażenie przedstawiały. I wtedy to powstały po ludniejszych miastach owe siedliska hańby, uprawiające i ułatwiajace najohydniejszą rozpustę. Założony i prowadzony przez świętego dom Poprawy, powstrzymał rozpustę i na długie czasy z miasta ją wyrugował. Z pomiędzy wszystkich stolic świata całego, Rzym jeden, dopóki pozostawał pod władzą Papieży, domów publicznych nie miał, a dom poprawy dla kobiet złego życia założony przez św. Jana na Ryppa Grande, chroni Rzymian od tej moralnej plagi.

Św. Jan zostaje kanonikiem przy bazylice Najświętszej Panny Kosmedyńskiej (in Cosmedin) — Zaprowadza tam różne nabożeństwa na cześć Matki Boskiej.

Czternaście lat upłynęło odkąd św. Jan przyjął święcenia kapłańskie, a już tyle duszom największego potrzebującym ratunku, wyrządził dobra i najpotrzebniejsze dla nich powznosił zakłady.

Cały Rzym podziwiał i uwielbiał takie poświęcenie się jego dla najbiedniejszej klasy, a władza duchowna kilkakrotnie powoływała go na posady, które nie przeszkadzając mu zajmować się uczynkami miłosierdzia, pochłaniającemi wszystek czas jego, zapewnić też mogły znaczne dochody. Lecz żadnej z godności kościelnych przyjąć nie chciał. Wymawiał się tem, że utrzymanie ma sobie zapewnione u swego krewnego, a wszelki obowiązek, chociażby najmniej go obarczający, przynosiłby uszczerbek ubogim, dla obsługiwania których, uważał się głównie powołany przez Boga.

Jednakże zacny opiekun jego kanonik Wawrzyniec de Rossi, innego był zdania. Zapadłszy w ciężką chorobę, widząc się bliskim śmierci, bez wiedzy św. Jana, wyrobił mu następstwo na bogatą swoją kanonię przy bazylice przenajświętszej Panny Kosmadyńskiej i wkrótce umarł, czyniąc go prócz tego spadkobiercą swego pałacu jako też i całego mienia swego składającego się ze znacznych kapitałów.

Z przyjęciem zapisu majątku, sługa Boży trudności nie robił, bo dostając go, poczytywał się za szafarza ubogich i jak to niżej zobaczymy, na nich cały go obrócił. Lecz o wysokiej pralaturze, którą go mimo jego wiedzy zaszczycono, ani chciał słyszeć. Tłumaczył się złym stanem zdrowia i przedstawiał wiek swój za młody, gdyż miał wtedy lat trzydzieści kilka; robił co tylko mógł, żeby się od tego uwolnić, przechorował to nawet ciężko; lecz w końcu wysokim żądaniom i wyraźnemu nakazowi spowiednika ulegając, przyjął tę godność.

Bazylika przenajświętszej Panny Kosmedyńskiej, położona jest w jednej z najmniej ludnych

dzielnic miasta Rzymu, a stąd mało bywała uczęszczaną. Żadne też tam, prócz godzin kanonicznych w chórze przez kanoników śpiewanych i przez nich miewanych Mszy św. nie odprawiało się nabożeństwo. Prałaci więc kapitułę tameczną składający, wielce się ucieszyli przyłączeniem do ich grona św. Jana, nie wątpiąc, że on nie omieszka kościół ten ożywić swoją gorliwością i zapełniać go pobożnym ludem. Z tych też powodów, zaraz obrali go kustoszem bazyliki swojej, do niego miał należeć wyłącznie zarząd wewnętrzny kościoła, a więc i wprowadzenie w nim według jego uznania nabożeństw, jako też i sposób ich odbywania.

Św. Jan wziął się do tego z całą gorliwością, jaką rozbudziła w nim nadzieja, że i tu znowu swoich ukochanych biednych będzie mógł gromadzić, apostołować, do Sakramentów świętych przysposabiać, zachęcać i doprowadzać. Szczególnie drogim był mu w tej świątyni Matce Bożej poświęconej starożytny Jej wizerunek, nadzwyczaj piękny, a wielkiemi cudami oddawna słynący. Poważne podanie niesie, iż obraz ten sięga czasów, kiedy jeszcze przenajświętsza Panna żyła na ziemi; a przyniesiony został do Rzymu na początku wieku VIII z Grecji, przez zakonników uchodzących stamtąd za prześladowania wszczęte przez cesarzów obrazoburców Św. Jan odtąd przybył do Rzymu, często w tym kościele bywając ze stryjem, lubił się modlić przed tym obrazem, miał do niego wielkie nabożeństwo i zwykle tam się udawał, gdy mu chodziło o wyproszenie jakich szczególnych pomocy Matki przenajświętszej. Postarał się nawet o kopię tego obrazu i tę miał w mieszkaniu, a mały takiż wizerunek, oprawny w medaljonik; nosił ciągle na piersiach.

Gdy więc został kanonikiem bazyliki w której czczonym jest ten obraz i gdy prócz tego kapituła tameczna jemu zwierzyła cały zarząd, poczytał to jakby za znak, iż powinien wszelkiego dołożyć starania, aby cześć Matki Bożej przy tym Jej cudownym wizerunku, ożywić i rozpowszechnić. W tym więc celu postanowił zaprowadzić tam różne nabożeństwa publiczne i skorzystał z pierwszej do tego sposobności, gdy nadchodziła uroczystość Narodzenia przenajświętszej Panny, będąca świętem głównem jej bazyliki. Zapowiedział publiczną Nowennę, przez tydzień poprzedzający uroczyście odprawiać się mającą, a do miewania podczas niej kazań, prócz swojego w tem udziału, uprosił kaznodziei gorliwych i znanych z najwłaściwszego przemawiania do ludu.

Kościół ten, przedtem jeden z najmniej uczęszczanych, w krótkim czasie stał się jak mało który z innych, zawsze pełen ludu pobożnego, byle dzwony jego na jakie nabożeństwo zawezwały. Sama wieść że św. Jan zarządza tem wszystkiem i miewa nauki, ściągała ze wszech stron miasta ubogich, którzy już oddawna mieli go za swojego szczególnego apostoła i opiekuna. A prócz tego, wysoka jego świętobliwość powszechnie znana, święte skupienie i namaszczenie, z jakiem odbywał wszelkie obrzędy trafne i właściwe takowych urządzania — wszystko to z odleglejszych nawet części miasta ściągało tam dusze najpobożniejsze.

Św. Jan zajmuje mieszkanie przy swojej Bazylice. — Jego ubogi sposób życia. — Cały majątek rozdaje biednym.

Wkrótce też kościół nie tylko przepełniony bywał, gdy w niem nabożeństwo się odbywało, lecz ciągle trzeba go było trzymać otwartym. Przedtem św. Jan dnie całe spędzając po swoich zakładach dobroczynnych i po szpitalach ubogich tylko tam przebywających spowiadał. Cały czas im chcąc poświęcać, osobom zamożnym pomimo usilnych i częstych nalegań, usługi tej odmawiał. Ale zająwszy konfesjonał w bazylice, przy której był kanonikiem, już tej różnicy robić nie mógł, więc od rana do wieczora gromadzili się do niego penitenci, gdyż dbali o postęp na drogach Bożych, pragnęli być pod przewodnictwem tak świętobliwego kapłana, albo przynajmniej w ważniejszych wątpliwościach, zasięgać jego rady.

Słowem, kościół Najśw. Panny kosmedyńskiej, stał się miejscem ześrodkującem w sobie największy ruch najpobożniejszej warstwy z pomiędzy całej ludności, jak zwykle skupiającej się około kapłana wyższemi darami stanu swego obdarzonego, a z gorliwością niczem nie zrażającą się i z wielką miłością, zajmującego się duszami jego pomocy szukającemi.

Pomimo jednakże ciągłej pracy w kościele swoim, gdzie miewał codzienne nauki i prawie nie wychodził z konfesjonału, ile mógł udzielał się i zakładom ubogich przy św. Galli, w przytułku św. Aloizego i w domu poprawy, na które po odziedziczeniu majątku, większą część znacznych dochodów swoich rozdawał, resztę z nich na wspieranie biednych, a zwłaszcza wstydzących się żebrać obracając.

Z pałacu odziedziczonego po stryju, wyniósł się zaraz i wynajął go cały, żeby więcej mieć do użycia na miłosierne uczynki; sam zaś zajął dwa małe, niskie i wilgotne pokoiki przy bazylice kosmedyńskiej, w których przedtem był skład podrzędnych niektórych sprzętów kościelnych. Piękny zaś dom na Forum zaraz sprzedał i otrzymaną za to znaczną sumę, pomiędzy wyżej pomienione swoje zakłady dobroczynne porozdzielał.

Dopóki mieszkał przy swoim opiekunie, mieszkanie miał wygodne i dostatnio zaopatrzone, lecz odkąd od siebie samego zależał, zaczął prowadzić życie jak najuboższe pod każdym względem. Sługi

nie trzymał, poprzestając na lichym posiłku, jaki mu przyrządzano u jednego z posługaczy kościelnych, a najczęściej, jeśli w porze obiadowej znajdował się w którym ze swoich zakładów, ograniczał się na tem, co tam dawano utrzymywanym przez niego ubogim. Sutannę nosił z grubego sukna, a tylko żeby nie razić odróżnieniem się od drugich, gdy szedł do chóru na wspólne kanoniczne pacierze, przywdziewał wykwintniejszą, jaką inni kanonicy nosili.—W spadku po swoim dobroczyńcy, dostał pomiędzy innemi rzeczami domowego użytku, bogatą i w wielkiej ilości bieliznę. Tę całą rozdał pomiędzy szpitale i na ubogich, a sam używał jak najgrubszej. Nakoniec nie upłynął rok od śmierci jego krewnego, a już wielkie kapitały, jakie po nim odziedziczył, całkiem wyczerpał, rozdzielając je pomiędzy swoje zakłady miłosierne i wielką liczbę niezwłocznego wsparcia potrzebujących ubogich, z pomiędzy których wielu rodzinom los na całe życie zapewnił.

Św. Jan znosi cierpliwie prześladowania i dobrem za złe odpłaca.

Tak samo, jak podczas pobytu swego przy zakładzie św. Galli, znalazł św. Jan w zarządzającym z ręki pierwotnych tego przytułku założycieli przeciwnika, który przez długi czas nie przestawał nastręczać mu wielkie w jego pracach trudności i w najdotkliwszy go sposób prześladował—tak i przy bazylice kosmedyńskiej podobało się Panu Bogu tegoż rodzaju próbę zesłać na sługę Swego i dać mu sposobność i z tej strony nabywać zasług.

Przez pierwsze lat kilka po osiedleniu się przy bazylice kosmedyńskiej, Jan starał się nie opuszczać ile możności wspólnego odmawiania pacierzy kanonicznych w chórze i skoro na nie czas przychodził, przerywał pracę w konfesjonale i zajmował swoją stallę. Lecz coraz większa liczba penitentów zgłaszających się do niego, nie małej stąd doznawała szkody. Większa z nich część, potrzebowała odbywać spowiedzie z całego życia, a tymczasem częste wychodzenie świętego z konfesjonału do chóru utrudniało to bardzo. Niektórzy po dni kilka wyczekując na spowiedź, odchodzili z niczem. Niekiedy nawet całe, a liczne kompanje wieśniaków z odleglejszych okolic Rzymu przybyłych jedynie w celu wyspowiadania się przed nim, koczowały po pni kilka na placu przed bazyliką, wyczekując kolei. Wzgląd więc na tak wyjątkową potrzebę skłonił biskupa pod którego jurysdykcją bazylika kosmedyńska zostawała, do wyrobienia św. Janowi u Papieża *dyspensy*, czyli zwolnienia od bywania w chórze.

Osobiście nie było to żadną dla niego ulgą; owszem, praca jego w konfesjonale tembardziej stawała się trudzącą. Pacierze zaś, których nie odmawiał w chórze, swoją drogą w innych chwilach odmawiać był obowiązany. Z tej więc dyspensy nie on, lecz jedynie dusze najbardziej jego pomocy potrzebujące korzyść odnosiły.

Wszelako przywilej takowy, jednemu z kanoników bazyliki kosmedyńskiej, nie podobał się wcale i stał się pobudką prześladowania przez niego męża Bożego w rozmaity a wielce dotkliwy i upokarzający go sposób. Przy każdej sposobności pozwalał sobie najdotkliwszych dla Jana przymówek. Na sesjach wspólnych, które kanonicy co tydzień odbywali, występował przeciw niemu najostrzej. I wreszcie do tego stopnia posunął swoją ku niemu niechęć, że starał się szkodzić mu na sławie. Rozpuszczał po mieście fałszywe a czerniące go wieści; dowodził że jest on człowiekiem próżnym, rozgłosu szukającym, że zaniedbuje swoje obowiązki a we wszystkiem co robi, nie gorliwością o chwałą Bożą i pożytek dusz jest powodowany lecz o własne wyróżnienie się i wywyższenie ubiega się jedynie.

Kilku z kanoników Kosmedyńskiej bazyliki, którzy na to patrzali, a przy procesie beatyfikacji Jana jeszcze żyli, złożyło zeznania, że ich wszystkich oburzało niegodziwe postępowanie z nim tego ich towarzysza, lecz że mąż Boży znosił to z największą cierpliwością. Z zarzutów czynionych mu przez tego dziwaka w sposób najwłaściwszy, albo tłomaczył się najłagodniej i pokornie, jakby przed jakim zwierzchnikiem, albo nic zgoła nie odpowiadał. Nawet gdy go inni żywo bronili, brał stronę swego prześladowcy. Nigdy nie dozwalał źle o nim mówić przed sobą i nigdy najmniejszej na niego skargi nie wyrzekł.

Kosztowało go to jednak nie mało. Ciż sami świadkowie oświadczyli, że zdarzało się, iż po sesji na której ten jego przeciwnik, cięższych jeszcze jak zwykle dopuszczał się zniewag, święty, chociaż nie dawał najmniejszego znaku oburzenia, przepłacał to jednakże ciężko zdrowiem, doznając z tego powodu napadu wielkiej choroby. I święci bowiem nie są na obelgi nieczułymi, tylko za łaską Boską przejęci głęboką pokorą, przekonani będąc, że się im one za ich grzechy należą, znoszą je w duchu pokuty, i wszelki żal do krzywdzącego ich starają się z serca wyrzucić. Za złe zaś im wyrządzane dobrem odpłacają. Tak też i święty Jan uczynił.

Zawzięty jego nieprzyjaciel, dotknięty został długą i ciężką chorobą, co zwykłe, gniewliwe usposobienie rozdrażniając, uczyniło go jak dla domowników tak i dla mających z nim jakikolwiek stosunki nieznośnym. Prawie więc wszyscy go odstąpili, a co najsmutniejsze i o stan jego duszy niepłonne były obawy. Wtedy św. Jan postarał się zbliżyć do niego i niezadługo tak go sobie ujął, że

biedny ten chory, powierzył mu staranie około swej duszy. W krótkim też czasie najkorzystniej się zmienił: odtąd z budującą cierpliwością znosił długą jeszcze swoją chorobę i w końcu z oznakami żywej i szczerej pobożności, z rąk Jana przyjąwszy ostatnie Sakramenta święte, na jego też rękach, błogosławiąc mu i rzewne dzięki mu składając, spokojnie umarł.

Św. Jan przenosi się do Zakładu pielgrzymów przy świętej Trójcy. — Zrzeka się kanonji. — Zaprowadza publiczne Rekolekcje i takież ćwiczenie odprawia z wojskowymi.

Dziewięć już lat upłynęło odkąd św. Jan osiadł przy bazylice Najświętszej Panny kosmedyńskiej niezmordowanie oddając się pracom apostolskim, a zawsze najbiedniejszą klasę mając na względzie Cały majątek rozdał już był pomiędzy swoje zakłady miłosierne i na ubogich, z dochodów z bogatej kanonji swojej podobnyż czynił użytek, na własnej utrzymanie zaledwie jakąś małą cząstkę z nich obracając.

Tymczasem, wilgotne, ciasne i zimne mieszkanie, pożywienie jak najlichsze, bezustanna praca to w konfesjonale, to na ambonie, to po szpitalach przy umierających—zdrowie jego zawsze tak nędzne, widocznie coraz bardziej podkopywało. To skłoniło osoby szczególnie mu sprzyjające, do obmyślenia środka skłonienia męża Bożego do zajęcia mniej niezdrowego mieszkania, gdzieby też i o wyżywieniu jego nieco staranniejszem myślano.

W liczbie wielbicieli i serdecznych przyjaciół jego, był kardynał Antoni Marja Erba, pod którego zarządem zostawał zakład zwany przenajświętszej Trójcy pielgrzymów (Trinita dei peligrini). Założony około roku Pańskiego 1550 przez świętego Filipa Nereusza, przeznaczony był na dawanie przytułku ubogim pielgrzymom przybywającym do Rzymu. W porze o której mówimy, miewał ich niekiedy po pięciuset i dla ich obsługi duchownej, mieszkało tam kilku księży.

Otóż, kardynał wyżej wymieniony, przedstawiwszy św. Janowi jak obszerne pole swojej kapłańskiej gorliwości około ubogich znajdzie przy jego zakładzie—usilnie domagał się od niego, by się tam przeniósł. Długo się z tem wahał mąż Boży, ulegając jednak woli spowiednika zgodził się na to. Wszakże nie chcąc się obarczać tam żadnemi obowiązkowemi zajęciami, żeby tem swobodniej posłannictwo swoje pomiędzy ubogimi spełniać, nie przyjął pensji, którą w zakładzie tym pobierali miejscowi kapłani. Wkrótce nawet potem zrzekł się i swojej kanonji i z niej znacznych dochodów, zastrzegając sobie tylko niewielką roczną opłatę, służącą na zaspakajanie kosztów jego utrzymania przy zakładzie pielgrzymów.

Wybrał zaś i tu pokoik najmniejszy i najuboższy, a który po jego śmierci, równie jak i zajmowany przez niego przy bazylice kosmedyńskiej zamieniony został na kaplicę. Wązki tapczan, dwa stołki, stolik, klęcznik i prosta szafa stanowiły wszystkie sprzęty tego biednego mieszkania, które zajmował aż do śmierci.

Urządzono mu w kaplicy zakładowej konfesjonał, i jak przedtem w bazylice Najśw. Panny Kosmedyńskiej, tak teraz w kaplicy tego przytułku, niezliczona liczba penitentów garnęła się do niego do spowiedzi. Co wieczór miewał nauki dla pielgrzymów, a co tem było obfitsze w pożytki, że ciągle się oni zmieniali, więc coraz nowi słuchacze korzystać mogli z jego pracy apostolskiej.

Umieszczenie go w tym zakładzie, gdzie zmuszono go przyjmować posiłki staranniej przyrządzone, aniżeli te, jakich używał będąc na własnym stole — przyczyniło się do niejakiego polepszenia stanu jego zdrowia. A to rozbudziło w nim jakby nową gorliwość, i podało myśl ogarnienia swojem apostolstwem całą ludność Rzymu, zawsze jednak mając na względzie mniej zamożną klasę. W tym celu powziął zamiar, przybrawszy do pomocy innych kapłanów, odprawiania z kolei po wszystkich kościołach rzymskich, publicznych tygodniowych rekolekcji dla prostego ludu. Udał się więc do Ojca św. z przedstawieniem potrzeby i pożytków tych zbawiennych ćwiczeń, oraz z prośbą o pozwolenie zaprowadzenia takowych. Zasiadający podówczas na Stolicy Apostolskiej Benedykt XIV, nietylko mu na to zezwolenia i błogosławieństwa udzielić raczył, lecz polecił kardynałowi Wikarjuszowi swojemu, odezwą do Rzymian zachęcić ich do tego nabożeństwa, i powyznaczać kościoły, w których ta jakby misja przez św. Jana prowadzona, z kolei ma się odbywać.

Już podówczas Rzym cały znał Jana, i uwielbiał, jak świętego. Gdzie więc tylko rozpoczynał on rekolekcje publiczne, sam im przewodnicząc i najwięcej nauk miewając — kościół gromadzących się pomieścić nie mógł, a w całej sąsiedniej dzielnicy miasta, sklepy zamykano jak w dni świąteczne. Polecił on kapłanom wspólnie z nim pracującym, i pilnie tego przestrzegał, żeby nauki głoszone, miały głównie na względzie lud prosty, i sam w takowych celował. Jednakże zgromadzała się na nie wielka liczba i najwykształceńszych osób, pomiędzy któremi widzieć można było najwyższych dostojników kościelnych.

Nieoszacowane też z tych nabożeństw okazały się pożytki, a że od tego czasu zwyczaj takowych, jakby ciągłych publicznych rekolekcji, stale się zachowuje w Rzymie, więc mieszkańcy tego miasta, po dziś dzień, to wielkie dobrodziejstwo zawdzięczają św. Janowi.

Doszło jednakże do wiadomości Ojca św., że gdy wszystek lud rzymski odradza się na duchu i uświęca, pod wpływem świętego Apostoła, wojskowi, a zwłaszcza prości żołnierze zajęci służbą, mało w tem udziału biorą. Pragnąc więc, aby i oni nie byli pozbawieni tak wielkich korzyści duchowych, raczył zawezwać do siebie św. Jana, i polecił mu zająć się nimi, pozostawiając wszelką swobodę co do wyboru czasu i miejsca, gdzieby ich gromadził i miewał do nich nauki.

Jan wiedział dobrze jak dalece wojskowi potrzebują troskliwego zajęcia się ich duszami. Całem więc sercem oddał się temu. Wybrał najbliższy głównych koszar kościół Pięciu Ran Jezusowych, i tam prawie już sam wyłącznie, od czasu do czasu dawał rekolekcje wojskowym. Wnet też tak ich sobie ujął i przywiązał do siebie, a korzystając z tego, tak zwrócił do Boga, że uczęszczanie do Sakramentów stało się pomiędzy nimi powszechnem. Ztąd i dowódzcy i miasto całe nadziwić się nie mogli ich wzorowemu w ogólności postępowaniu, a w niektórych nawet prawdziwie pobożnemu sposobowi życia. Wielu z nich, od tej pory, stałymi zostało penitentami Jana, a który tylko z nich umierał, chciał koniecznie, by on go na śmierć sposobił.

Papież Benedykt XIV, porucza św. Janowi reformę duchowieństwa. — Zbawienne skutki tej jego pracy.

Tak nieobliczone zbawienne owoce apostolskich prac Jana, napełniając niewymowną pociechą ojcowskie serce Papieża, podały mu myśl, by wielki sługa Boży, tyle już zrobiwszy dla ludu rzymskiego, utrwalił swoje dzieło przez wywarcie zbawiennego wpływu i na tych, od których uświęcenia i zbawienie i uświęcenie wiernych zawisło, więc postanowił zlecić mu zajęcie się wyłączne duchowieństwem rzymskiem. W tym celu, naprzód kazał mu podać sobie na piśmie szczegółowy obraz jego stanu, pod względem ducha, jaki go ożywia, wierności w spełnianiu właściwych mu obowiązków, jakoteż i niedostatków co do tego, z przedstawieniem w końcu myśli swoich, o sposobach, jakichby użyć wypadało, do wprowadzenia zmian potrzebnych.

Było to zadanie nadzwyczaj uciążliwe skutkiem wielkiej-choroby, której święty podlegał, nie mógł on, jak to już wyżej nadmieniliśmy, najlżejszą pracą piśmienną się zajmować, a cóż dopiero wygotowaniem zleconego mu przez Ojca św. sprawozdania tak wielkiego znaczenia. Użyć zaś do tego obcej pomocy nie chciał i nie wypadało, gdyż szło tu o szczegóły bardzo delikatnej natury, a które i same z siebie i z wyraźnej woli Papieża, miały być tylko jemu samemu udzielone. Trudno też wyobrazić sobie, ile go ta praca kosztowała. Przepłacił ją znowu jak niegdyś, gdy szło podobnież o podanie memorjału papieżowi, niejednym napadem swojej nieszczęsnej choroby; jednakże jakby cudowną wsparty w tem pomocą, sam bez niczyjego udziału dopełnił takowej i przedstawił papieżowi.

Lecz wtedy na nową a najcięższą próbę wystawioną została jego wrodzona nieśmiałość. Ojciec św. nietylko najzupełniej zadowolonym się okazał z przedstawionego mu przez Jana zarysu środków użyć się mających do reformy duchowieństwa rzymskiego, lecz zażądał do tego jego wyłącznego udziału. Było to więc zlecenie niezmiernej wagi, a dowodzące czem był Jan Rossi, kiedy taki znawca ludzi i potrzeb swojego czasu jak Benedykt XIV, jego, prostego kapłana, żadną wyższą godnością w hierarchji kościelnej nieodznaczonego do wprowadzenia potrzebnych reform powołał.

Jak zaś święcie, z jakim skutkiem dał mu Pan Bóg z tak ważnego a trudnego zadania wywiązać się, niżej przytoczone świadectwa najlepiej tego dowodzą.

Przy sprawie jego beatyfikacji, rozpoczętej wkrótce po jego śmierci, ówczesny dziekan duchowieństwa rzymskiego, wysokiej świątobliwości prałat Romuald Onorante, następujace złożył oświadczenie:

„Mogę z wszelką pewnością utrzymywać, że świeckie duchowieństwo miasta naszego, zawdzięcza świętej pamięci księdzu Janowi de Rossi, obudzenie szczególnej gorliwości tych właśnie, którym na takowej zbywało. Duchowieństwo nasze, od tej pory, cuda dokonywa dla dobra dusz wiernych".

„Gdyby kapłan wysoką godność piastujący, powiada znowu inny wielkiej powagi świadek, O. Faviani generał Bonifratrów, potrafił rozbudzić w duchowieństwie mu podległem ducha pobożności i popoświęcenia, nic zadziwiającego. Odpowiednie w tej mierze rozporządzenia, nakazy, groźby, kary kościelne, wszystkoby to miał na swoje zawołanie. Ale żeby ksiądz ubogi, bez żadnej hierarchicznej władzy, ciągle chory, żyjący w małej izdebce przy dobroczynnym zakładzie, gdzie go umieszczono z litości, — wlał jakoby nowego ducha we wszystkich swoich współbraci, zaiste jest w tem coś nadzwyczajnego".

Nakoniec podobneż świadectwo dało mu i całe duchowieństwo rzymskie, w napisie umieszczonym na pomniku, wzniesionym na cześć jego, tytułując go swoim mistrzem i przewodnikiem.

Na pozór nie było nic nadzwyczajnego w sposobach jakich ks. Rossi do tego używał w tej najważniejszej a najtrudniejszej swojej misji pomiędzy duchownymi; nie uciekał się on do żadnych wyjątkowych środków i takowych nie miał na zawołanie. Można powiedzieć, że zbawienny wpływ swój na współczesne mu duchowieństwo rzymskie, wywarł on najprzód przykładem, jaki sam przedstawiał; następnie rozmowami prywatnemi jakie miewał

z współbraćmi zewsząd garnącymi się do niego, wreszcie przez rekolekcje, które od chwili odebranego w tej mierze polecenia papiezkiego, bez przerwy już dawał duchownym najrozmaitszych stopni i godności zbierającym się w tym celu przy zakładzie św.Galii, a którzy, z małym wyjątkiem, wszyscy przed nim spowiedź przy końcu tych ćwiczeń odbywali.

Oddał się temu z tą świętą i niezmordowaną gorliwością, z jaką oddawał się każdemu posłannictwu. I wkrótce, począwszy od mających przyjmować kapłańskie święcenia kleryków, prostych księży, do najwyższych dostojników kościelnych, słowem całe duchowieństwo rzymskie, jakby przeszło przez jego ręce, pod jego przewodnictwem rekolekcje odbywając z kolei, słuchając miewanych wtedy przez niego nauk i spowiadając się przed nim.

Dzielił ich na osobne grona, łącząc w takowe duchownych odrębnymi a właściwymi im obowiązkami obarczonych, aby do nich i nauki miewane wyłącznie stosować i przedmioty do rozmyślania odpowiednie przepisywać, a przytem, aby tem swobodniej mógł im wykazywać niedostatki, jakie by im zarzucać można. A czynił to z największą miłością, pokorą i uszanowaniem, jednającem mu wszystkie serca, oraz z największą otwartością: nie szczędził prawdy, wytykał wady, pobudzał do poświęcenia bez granic swoim obowiązkom, wymagał wyższej doskonałości i dla jej dostąpienia najwłaściwsze a niezbędne wskazywał środki.

Kościół jakkolwiek obszerny, przy św. Galli, często rekolizantów pomieścić nie mógł, a wtedy przenosił się z niemi do innego obszerniejszego, wzbraniając przez ten czas wstępu obcym osobom. Była to ciągła wyłączna misja dla samych duchownych, pomiędzy którymi okryłby się wstydem, ktoby z niej nie korzystał.

Wiadomość, że życzył sobie tego sam Papież i że rekolekcje takowe daje Jan Rossi, dostateczną była do tak budującego a powszechnego korzystania z nich przez duchowieństwo rzymskie i do odniesienia onych wielkich i zbawiennych pożytków, stwierdzonych wyżej przytoczonemi wielkiej powagi świadectwami.

Jest też to jednym z dowodów, że wysoka świątobliwość w kapłanie, daje mu możność dokonania na chwałę Bożą dzieł największych i najtrudniejszych, chociażby skąd inąd ani stanowisko jakie zajmuje, ani stan jego zdrowia, ani jakieś nadzwyczajne zdolności i wysokie wykształcenie, słowem, chociażby żadne środki nie ułatwiały mu tego.

Ogólny rzut oka na prace apostolskie św. Jana.—Jego litość nad ubogimi i dysponowanie na śmierć konających.

Przebiegając myślą szczegóły życia św. Jana, podziwiać należy, jak mógł on w ciągu nie tak dalece długiego życia swojego, tyle zrobić dobrego. Apostolskiemi pracami swojemi objął całą najuboższą a więc najliczniejszą warstwę ludu rzymskiego z najzbawienniejszymi z tego skutkami. Misjami po za Rzymem odbywanemi, całe okolice uświęcił, wyniszczając tam zdrożności, rozbudzając pobożność w mieszkańcach ludnych parafji, słynących przedtem z najgorszych obyczajów.—Wzniósł w Rzymie kilka wielkich zakładów dobroczynnych, przynoszących pomoce materjalne i duchowne najbardziej tego potrzebującym. I nareszcie, w całem duchowieństwie, za jego szczególnie czasów bardzo licznem w stolicy świata katolickiego, rozbudził przygaszonego nieco wtedy ducha gorliwości kapłańskiej i przez to utrwalił to, co tam dobrego dla wiernych poczynił.

Któż obliczy ile dusz wprowadził i utwierdził na drogach wyższej doskonałości! Prócz bowiem zajęć, jakiemi go obdarzał zarząd kilku zakładów przez niego wzniesionych, wielkiej liczby osób wszelkiego stanu i powołania był on przewodnikiem duchownym i stałym spowiednikiem kilku zakonów żeńskich.

A przytem, któż wie, czy nie największe położył on przed Bogiem zasługi i czy nie najwięcej dusz posłał prosto do nieba, przez obsługi duchowne oddawane chorym po szpitalach i przez dysponowanie na śmierć umierających. I temu bowiem oddawał się całą duszą, wiedząc i rozumiejąc to dobrze, jak wielkiej wagi dla każdej duszy, a cóż dopiero cięższemi i liczniejszemi grzechami obarczonej a zbliżającej się do stanowczej chwili stawienia się na sąd Boski—jest troskliwe i umiejętne zajęcie się nią przez kapłana. Słynął też ze szczególnego daru uspasabiania na dobrą śmierć osoby najmniej do tego przygotowanej. A stąd, gdy już więcej zaczął być znanym w Rzymie, nie było prawie dnia, żeby go do umierającego nie zawezwano.

Obsłudze takowej, dawał nad wszelkie inne swoje kapłańskie prace pierwszeństwo. Skoro zawezwano go do umierającego, przerywał najpilniejsze zajęcia, ani najkrótszej chwili zwłoki wtedy nie dopuszczając. Nie mógł pojąć jak w takich razach śmiałby kapłan opóźniać się i z przerażeniem przytaczał dla przestrogi duchownych, wypadki, gdzie kilka minut opóźnienia się księdza zawezwanego do chorego, duszę niezbędnie potrzebującą łask sakramentalnych, postawiło przed trybunałem najwyższego sędziego nieoczyszczoną z grzechów.

Był ten niezrównany miłośnik ubogich największym swoich czasów jałmużnikiem, w udzielaniu biednym i materjalnego wsparcia.

Były rodziny całe przez niego stale utrzymywane; wiele ubogich dziewic, żeby je wyrwać z grożącego cnocie ich położenia, powyposażał i za uczciwych mężów powydawał. Szczególną także litość

wzbudzały w nim osoby wyższego urodzenia do nędzy przywiedzione, a wstydzące się żebrać. Mawiał, że one przypominają mu Pana Jezusa, który z najwyższego stanu Boskiego, stał się ubogim. Dość było żeby tylko posłyszał o kim w wielkim niedostatku będącym, a można było być pewnym, że przyjdzie mu w pomoc z sowitem wsparciem i z opieki swojej już nie wypuści.

Źródłami zaś na takie ciągłe i wielkie jałmużny, gdy już cały własny majątek na to obrócił, były najprzód znaczne dochody z jego kanonji, dopókąd się jej nie zrzekł, a następnie powszechne w całym Rzymie przekonanie, że nikt lepiej od niego nie zna w tem mieście ubogich, nikt się nimi serdeczniej nie opiekuje, i nikt właściwiej i roztropniej od niego nie potrafi ich wspierać. Z tego bowiem powodu, najzamożniejsze osoby, w całym Rzymie, które pragnęły, aby ich jałmużny jak najwłaściwiej użyte zostały, jemu je powierzały. Przy tem tak poważanym był od wszystkich, taką jaśniał świątobliwością, tak znanym był powszechnie z odmawiania sobie samemu niezbędnych nawet potrzeb do życia, byle ubogich wspierać, jako też i z tego, że wszystko na nich rozdał, iż prawie nikt nie śmiał i nie miał serca odmówić mu, gdy o wsparcie dla jakiego ubogiego prosił. Po śmierci jego, znaleziono w papierach po nim pozostałych, listy osób najzamożniejszych, wymawiających mu, że niedość ufa ich dobrej chęci dopomagania w jego miłosiernych uczynkach, i proszących, by się do nich zawsze śmiało po jałmużnę dla ubogich udawał.

Sam zaś, ostatkiem dzielił się z potrzebującemi. Gdy zrzekł się już był kanonji i osiadł przy zakładz,e pielgrzymów, to co zastrzegł sobie z dochodów tej prelatury, wystarczało tylko na opłacenie jego biednego utrzymania i również ubogiego mieszkania. O odzieniu więc jego pamiętali już inni księża, i z miłosierdzia obdarzali go takowem, w miarę jak widzieli. że czego potrzebuje. Ale prędko przyszło do tego, że mu już dawali po jednej sztuce z ubrania, bo skoro miał czegoś po dwoje, zaraz się tem dzielił z ubogimi. Kilka razy zadłużył się był nawet dla nich, lecz Opatrzność go nie zawiodła nigdy, i gdy umierał, nie miał żadnego długu, ale całego majątku zaledwie kilka złotych.

Niektóre szczegóły tyczące się sposobu życia św. Jana. Opłakany stan zdrowia.

W pierwszych latach młodości św. Jan wiódł życie nadzwyczaj umartwione: ścisłe i częste posty, krwawe dyscypliny, paski kolczaste, ostre włosienice, sypianie na gołych deskach, długie czuwania—wszystkiego tego nie szczędził swojemu ciału, jak to zwykle czynią święci. Lecz odkąd, a zdaje się, że wskutek przebrania w tem miary, zapadł na zdrowiu i zaczął ulegać napadom wielkiej-choroby, nic już takiego pozwalać sobie nie mógł i miał to surowo przez swego przewodnika duchownego wzbronionem. Nieustanna więc, a ciężka praca apostolska, ścisła obok tego regularność w pełnieniu wszelkich innych obowiązków kapłańskich, jako też ćwiczeń niezbędnych do osobistego uświęcenia się, połączona z wewnętrznem umartwieniem polegającem nietylko na zwalczaniu nagannych skłonności natury, lecz i na unikaniu wszelkich, najniewinniejszych upodobań ludzkich,—zastępowały w nim nie możność ostrzejszej pokuty. Co do użycia pokarmów, zawsze nadzwyczaj był wstrzemięźliwym.

Na śniadanie najczęściej nic nie pijał, albo tylko małą filiżankę rzadkiej czekolady, nic do tego nie przydając. Na obiad ograniczał się na jednej potrawie, zawsze na pierwszej jaką mu podano i od tego nie odstępował, chociaż zdarzało mu się bywać na obiadach u wysokich dostojników świeckich lub kościelnych. Na wieczór, najczęściej nic nie jadał. ale używanie tak niewielkiego nawet posiłku wybierając najlżejszy i najzdrowszy, przepłacał za każdym razem cierpieniami. Po najskromniejszym nawet obiedzie, wskutek osłabienia żołądka doznawał boleści, nudności i uderzeń do głowy, co mu codziennie niemałe męki zadawało. Jednakże i wtedy nie pozwalał sobie spoczynku, lecz zaraz wstawszy od stołu oddawał się swoim pracom apostolskim. W największe upały nie ochładzał się żadnym napojem, a często bardzo osłabiony i wśród dnia potrzebujący posilenia się, czekał zawsze, aż nadejdzie pora obiadowa, Wina, które we Włoszech jest tak pospolitym trunkiem jak u nas piwo zwyczajne, nie pijał wcale.

Z przyczyny ciągłego nadzwyczajnego rozdrażnienia nerwów, nie mógł zbytnio snu sobie ujmywać, Ale za to nie pozwalał sobie nigdy ani udawać się na spoczynek, ani wstawać o innej godzinie, jak o wyraźnie oznaczonej na to z rozporządzenia spowiednika. Odstępował od tego tylko w razach, gdy do chorych w nocy wzywany bywał.

Tenże chorobliwy stan nerwów, czynił go niezmiernie czułym na wszelkie zewnętrzne nie miłe wrażenia: hałasu, niespodziewanego stuknięcia, lub przykrych wyziewów. Znosił jednakże to wszystko bez najmniejszego znaku zniecierpliwienia; bezustannie najmężniej z tem walczył, a nigdy nie chronił się od tego rodzaju przykrości. Zdarzało się, że wskutek woni w szpitalach lub mieszkaniach ubogich chorych, dopóki tam przebywał, doznawał najnieznośniejszych mdłości; twarz jego to śmiertelną bladością, to uderzającą czerwonością się pokrywała; domyśleć się można było, że niezmiernie cierpiał. Ale pomimo tego, nie przerywał ani na chwilę swojego zajęcia i okazywał się tak swobodnym, słodkim, łagodnym i gotowym na usługi drugich, jak zazwy-

czaj. Wstawał o piątej, i niezwłocznie odprawiał rozmyślanie czyli modlitwę myślną przez całą godzinę; i tego nigdy, chociażby przy największym natłoku naglących zajęć, nie opuszczał. Na jednej z misji towarzyszący mu kapłani, widząc go dnia pewnego więcej jeszcze niż zwykle strudzonym i osłabionym, chcąc, żeby dłuższego zażył spoczynku, budzik który miał przy łóżku, o całą godzinę cofnęli. Zwiedziony tem sługa Boży, rannej myślnej modlitwy już nie odbył, gdyż misyjnego porządku naruszyć nie mógł. Ale ciż jego towarzysze mówili, iż go nigdy tak smutnym jak w dniu tym nie widzieli; że zdawało się, iż odbiegła go zwykła mu swoboda i wesołość, i w końcu wyznał, że zdaje mu się, iż nigdy podobnie ciężkiego dnia nie spędził. Tak wielką do tego św. ćwiczenia przywiązywał wagę, a ztąd w naukach swoich miewanych do kapłanów, codzienne odprawianie rozmyslania przedstawiał im jako środek, bez którego żaden duchowny, chociażby cuda robił dla dobra dusz innych, o własną bezpiecznym być nie może.

Mszę św. starał się o ile mógł najwcześniej odprawiać, żeby później cały czas obracać na prace apostolskie. Kwadrans poświęcał na przygotowanie się do niej, a pół godziny na modlitwy dziękczynne.

Przez resztę dnia, juz bez przerwy, i to codziennie, albo spowiadał, albo kazywał, albo dawał rekolekcje, albo chorych na śmierć przysposabiał. Przerywał niekiedy te zajęcia, żeby odmawiać Brewjarz. Utrzymywał, że w ciągu dnia potrzebuje kapłan odżywiać się na duchu rozmową z Bogiem i budować wiernych, własnym przykładem ucząc ich potrzeby częstej modlitwy. Nieraz gdy odmawiał Brewjarz, widziano go w zachwyceniu, wzniesionego nawet w powietrze, ale nigdy dłużej nad czas potrzebny do odmówienia tych pojedyńczo krótkich pacierzy.

Przed nocnym spoczynkiem, na który udawał się około dziesiątej, odmawiał Jutrznię i jeszcze odprawiał półgodzinne rozmyślanie. Miał zawsze przy sobie koronkę, i korzystając z wolnych chwil kiedy szedł ulicą, odmawiał Różaniec, a tak bywał skupiony, oczy trzymając zawsze spuszczone, że i sam widok jego budował przechodniów.

W obcowaniu z drugimi był uprzejmości, słodyczy, łagodności i pokory niezrównanej, co mu serca wszystkich jednało. Pomimo ciągle tak słabego zdrowia i prac, które mu odpocząć nie dawały, odznaczał się niezachwianą wesołością, niepospolitym a zawsze niewinnym dowcipem, z tą świętą swobodą synów Bożych, która obcowanie z nimi osób w bliższych stosunkach zostających, wielce uprzyjemnia.

Ostatnia msza św. przed cudownym obrazem. Błogosławiona śmierć św. Jana w zakładzie pielgrzymów.

Wyżej opisany sposób życia, prowadził Jan św. przeszło lat czterdzieści, gdy nakoniec nadmiar tak ciężkiej pracy i napady coraz częstsze wielkiej-choroby, przyprawiły go o zupełny upadek sił. Osoby przyjazne, chcąc go oderwać od zajęć, które go dobijały, a którym, pomimo nadzwyczajnego osłabienia, oddawał się jak zwykle, poparte wyraźnym rozkazem jego przewodnika duchownego, skłoniły go do przeniesienia się na lato do jednej z najzdrowszych miejscowości w okolicach Rzymu.

Lecz nie przyniosło mu to żadnej ulgi w cierpieniach; owszem, wzmagały się one z dnia na dzień. Czując więc zbliżający się swój koniec doczesny, uprosił by go odwieziono do Rzymu. Pragnął co prędzej znaleźć się w Zakładzie pielgrzymów, gdzie przez lat tyle miał przytułek umrzeć na ręku mieszkających tam kapłanów, których kochał jak braci i synów.

Wróciwszy do ubogiego swego mieszkania, jeszcze spowiadał śpieszących do jego konfesjonału, który mu w pokoiku przez niego zajmowanym, za pozwoleniem władzy duchownej urządzono. Gdy zaś cokolwiek czuł się silniejszym, odwiedzał ubogich chorych, niedaleko ztamtąd mieszkających, niosąc im wsparcie materjalne i pociechę duchowną.

W jedną z uroczystości Matki Bożej, pomimo wielkiego osłabienia, spowodowanego jeszcze cięższym jak zwykle napadem jego choroby, kazał się zawieźć do bazyliki Najśw. Panny Kosmedyńskiej, i tam, przed Jej obrazem, do którego całe życie miał szczególne nabożeństwo, odprawił mszę świętą, oświadczając że jest ostatnią.

Jakoż, od dnia tego już prawie z łóżka nie wstawał. Nie będąc w stanie odmawiać pacierzy kąpłańskich, z rąk nie wypuszczał Koronki, modląc się na niej z najrzewniejszem nabożeństwem. Księża ciągle go odwiedzali i na żądanie jego albo mu żywoty św. czytali, albo niektóre rozdziały Pisma świętego.

Po przyjęciu, z oznakami najżywszej wiary i najserdeczniejszej pobożności, ostatnich Sakramentów świętych, już tylko się modlił, rozpływając się w aktach miłości i nadziei i od czasu do czasu powtarzając słowa wyrażające jego nieograniczoną ufność w miłosierdziu Boskiem i w opiece Matki przenajświętszej.

Na chwilę przed zapadnięciem w konanie, dosłyszał wypadkiem obecnych mówiących o jakiejś ubogiej chorej, w ostatniej nędzy będącej. Kazał posłać jej zaraz wszystko co miał pieniędzy, polecając by po jego śmierci łóżko, na którem leżał i inne sprzęty w pokoju tym będące, a całe jego mienie stanowiące, tejże oddano.

Wkrótce potem zapadł w lekkie konanie, i w ciągu modlitw przy umierających, odmawianych przez księży, błogo zasnął w Panu dnia 23 maja, roku Pańskiego 1764. Miał lat 66, a kapłaństwa 43.

Za życia wiele cudów uczynił, a po śmierci jeszcze liczniejszymi zasłynął, wskutek czego w roku

1781 rozpoczętą została sprawa jego beatyfikacji, ukończona dopiero za papieztwa Piusa IX. Leon XIII-ty, w roku 1881, w poczet go świętych wpisał i do czci powszechnej w całym Kościele podał, przedstawiając w nim wzór cnót kapłańskich w wysokim stopniu spełnianych.

Obraz Najświętszej Maryi Panny w Wąsewie. *)

Wieś w ostrowskim powiecie 18 wiorst od Ostrowa na północny zachód oddalona, posiada obraz Najśw. Bogarodzicy uważany powszechnie za cudowny; wysoki na trzy łokcie, a dwa i pół łokcia

Obraz Najśw. Maryi Panny w Wąsewie.

szeroki. Cudownym go też nazywają akta wizyty pasterskiej roku 1754 i szematyzm djecezji. Atoli skądby ten obraz pochodził, jak dawno się w kościele wąsewskim znajduje, lub jakich w szczególności łask doznawali tu czciciele Marji, nie wspominają miejscowe akta. Opowiadają tylko starzy ludzie, że obraz ten w dawnych czasach w lesie się objawił a kiedy przy końcu ośmnastego wieku dawny kościół do szczętu spłonął, ten obraz ocalał cudownie. Dawniej przybywały tu w dnie odpustowe liczne kompanie pątników, pod przewodnictwem duszpasterzy; najwięcej na Zielone Świątki i na Narodzenie Matki Najśw., po roku 1863 zmniejszyły się te pielgrzymki z powodu przeszkód ze strony władz rządowych; od r. 1905, zwiększyła się znowu liczba pątników tak, że obecnie na większe uroczystości zbiera się w Wąsewie po kilkanaście tysięcy wiernych. Już w wigilię tych uroczystości taki bywa napływ pobożnych, że ich nie tylko mały kościołek objąć nie może, ale i we wsi przecisnąć się trudno. A gdy wieczór nadchodzi, cały pagórek na którym się kościół wznosi, błyszczy tysiącami świateł, przy których skupione gromadki pobożne pieśni śpiewają, aż do białego rana.

Sprowadza ich tu głęboka wiara, że Matka Najśw. na tem miejscu łatwiej wysłuchuje proszących i hojniejsze rozdziela łaski. Świadczy o nich kilkadziesiąt wotów około obrazu Marji, świadczą i żyjące osoby, które tu łask doznały.

Opowiada naprzykład obecny proboszcz Wąsewa ks. Jan Piotrowski: „Niedawno pewna niewiasta ofiarowała mi ornat jedwabny za łaskę, jakiej za przyczyną Najśw. Panny doznała. — W r. 1903 przybyła do Wąsewa niewiasta, prosząc o odprawienie Mszy św. przed obrazem Matki Najśw. Opowiadała, że kilkoletnie jej dziecię upadło tak nieszczęśliwie, że wskutek tego utworzył mu się garb na plecach i na piersiach. Gdy ludzkie środki nic nie pomagały, udała się po upływie kilku miesięcy o pomoc do Matki Najśw. w wąsowskim kościele; złożyła ofiarę na Mszę św. i pomodliwszy się na intencję dziecka, wróciła do domu. Nazajutrz usłyszała dziecko mówiące: „Mamo ja wstanę“. Nie zważała na te słowa, wiedząc że dziecko od kilku miesięcy nie tylko nie chodzi, ale ani nawet wstać z łóżka o własnej sile nie może. Aż oto widzi, że garb znikł zupełnie, klatka piersiowa wyrównała się i tylko na plecach mały znaczek pozostał.

Teraźniejszy kościół w Wąsewie wybudował z drzewa Ignacy Zieliński, podkomorzy ziemi nurskiej w roku 1790; następnego roku konsekrował go ksiądz Franciszek Zambrzycki, biskup sufragan kijowski.

*) Ks. Alojzy Fridrich T. J. „Historje cudownych obrazów Najśw. Maryi Panny w Polsce. Kraków 1908.

Dnia 27 Maja.

BŁOGOSŁAWIONA MAŁGORZATA POLE.

1473—1541.

Za rządów papieży: Klemensa VII, Pawła III.

„Błogosławieni którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości".

Młodość i sieroctwo. Małgorzata i jej brat mają prawo do angielskiego tronu.

Przeniesiemy się myślą do Anglji, aby opowiedzieć dzieje błogosławionej Małgorzaty Pole hr. Salisbury, która mężnie znosiła prześladowania i poniosła śmierć męczeńską.

W r. 1471 po bitwie pod Tewkesbury i śmierci króla Henryka VI, władza przeszła w ręce Edwarda IV. Brat tego nowego króla, Jerzy, książe Clarence przystąpił do zgody z monarchą, po kilkoletniej kłótni i nieporozumieniach.

Książe ów w roku 1463 poślubił córkę księcia Warwick, Izabellę. W 1473 roku 14 sierpnia w zamku Farley przyszła na świat córka jego, późniejsza męczennica za wiarę katolicką, Małgorzata. Miała ona jeszcze brata Edwarda, który smutnie zakończył życie, jak to w dalszym ciągu opowiemy.

Nieszczęścia jedne za drugiemi nawiedziły wkrótce tę znakomitą rodzinę.

Małgorzata miała zaledwie lat trzy gdy matka jej umarła. Następnego roku ojciec został oskarżony o zdradę, stanu; więziony w Londynie, został w roku 1478 na śmierć skazany bez dowiedzenia mu jakiejbądź winy.

Wówczas Edward IV. dla zagłuszenia wyrzutów sumienia wziął sieroty pod swoją opiekę i w roku 1480 Małgorzata z bratem przybyli do zamku Shene, gdzie nauki i zabawy dzielili odtąd z synami królewskimi, blizkimi swymi krewymi.

Niedługo jednak to trwało. W r. 1483 umarł Edward IV a najstarszy syn jego Edward książę Galji, mający objąć po nim berło, dostał się wraz z braćmi w ręce stryja, który nieprawnie zasiadł na tronie pod imieniem Ryszarda III. Królowa schroniła się z córkami i Małgorzatą do Westminsteru, tu doniesiono jej, że z rozkazu króla synowie jej zamordowani zostali w więzieniu londyńskiem.

Wskutek tego Małgorzata i brat jej po śmierci syna Ryszarda III stawali się prawymi dziedzicami tronu. Młody książe Warwick otrzymawszy tytuł następcy tronu mógł zasiadać u stołu królewskiego — młodziutka Małgorzata również na dworze przebywała. Niedługo jednak to trwało, bo w rok później po śmierci swojej żony Ryszard III ogłosił następcą swoim hrabiego Lincoln a nieszczęśliwy Ryszard został wygnany i uwięziony w zamku Yorkshire, gdzie siostra mu towarzyszyła.

W tym samy roku zginął na polu walki Ryszard III w bitwie pod Bosworth a po nim wstąpił Henryk VII. Nic to jednak nie wpłynęło na smutny los księcia Warwick, przenieśli go tylko do więzienia w Londynie. Ponieważ Małgorzata miała dopiero lat dwanaście, pozostawiono jej swobodę, ale nie pozwalano odwiedzać brata. We dwanaście lat potem pozwolono jej widzieć się z nim po raz ostatni przed straceniem go w Tower Hill w listopadzie roku 1499 z powodu ciążącego na nim oskarżenia o zdradę stanu.

Nigdy jednak nie dowiedziono tej zdrady, a kardynał Pole stwierdza, iż wuj jego był niewinnym.

Katarzyna Aragońska winę tego morderstwa przypisywała sobie, gdyż ojciec odmówił jej ręki księciu Arturowi dlatego, iż spadkobierca linji Jorkskiej był wówczas jeszcze żyjącym. Zacna królowa była więc zdania, że nieszczęsnego księcia Warwick obwiniono o zdradę i stracono, by drogę do tronu księciu Arturowi utorować.

Małgorzata wstępuje w związki małżeńskie.

W roku 1491, Małgorzata zaślubiła Ryszarda Pole, człowieka wielce oddanego rodzinie Tudor, złączonego z nią węzłami pokrewieństwa, oraz pełniącego od roku 1486 obowiązki wychowawcy księcia Artura.

Z czworga dzieci urodzonych z tego małżeństwa ostatni syn Reginald miał odegrać ważną rolę w przyszłości.

Ryszard umarł w roku 1503. Pogrzeb jego odbył się kosztem króla, a wdowa jego, należąca do orszaku królowej Katarzyny, pozostała przy niej.

Król Henryk VIII aktem parlamentarnym 4-go marca 1513 roku zwrócił jej skonfiskowane dobra jej brata, poczem przyjęła ona tytuł hrabiny Salisbury i stanowisko jej przy dworze królewskim zostało ustalone. Gdy 1516 roku przyszła na świat księżniczka Marja, hrabina Salisbury trzymała ją do chrztu. Dekret królewski mianował ją wychowawczynią dzieci domu panującego, które to obowiązki pełniła przez czas dłuższy.

Ulubiony syn jej Reginald w 15-tym roku życia ukończył szkoły w Oxfordzie, wstąpił na uniwer-

sytet w Padwie i w wieku lat 27 po odbytych studjach rokował najpiękniejsze nadzieje.

Intrygi dworskie. Rozwód i nieprawne małżeństwo króla. Niełaska.

W roku 1527-ym jedna z dam dworu królowej, Anna Boleyn, usidliła swemi wdziękami króla Henryka VIII. Wielką namiętnością oślepiony powziął zamiar zerwania małżeństwa z wdową po bracie swym Katarzyną Aragońską, jakkolwiek papież udzielił mu niezbędnej dla tego dyspensy. Zresztą nie był on szczerym, szukał jeno pozorów zerwania i zażądał rozwodu od Rzymu po latach dwudziestu małżeństwa, na co otrzymał odmowną odpowiedź.

Trwając jednak dalej w swym zamiarze, unieważnił za pomocą oddanych sobie księży swój związek z Katarzyną. Unieważnienie to nie posiadało żadnej wartości nie będąc potwierdzone przez Stolicę Apostolską. Reginald Pole czuł się w obowiązku wypowiedzieć prawdę królowi brcniąc królowej, której stronę wzięła również hrabina Salisbury. Napróżno Henryk starał się pozyskać go dla swej sprawy. Po gwałtownej scenie z królem Pole otrzymał rozkaz opuszczenia kraju.

Sprawy posuwały się szybko naprzód i w czerwcu 1533 r. Henryk VIII był małżonkiem Anny Boleyn, a Cranmer arcybiskup Canterbury, zmuszony przez króla, nie zawahał się ogłosić pierwsze małżeństwo jego za nieważne.

Śmierć męczeńska Błog. Małgorzaty Pole.

Od lat dwóch, Katarzyna nie widziała córki swej Marji, pozostającej zawsze pod kierunkiem hrabiny Salisbury. Król wydał rozkaz zabraniający księżniczce Marji używania należnego jej tytułu. Księżniczka woli królewskiej sprzeciwiła się stanowczo, czem oczywiście ściągnęła na się wielki gniew króla i niełaskę na całą swą rodzinę i otoczenie. Król uznał, iż wpływ hrabiny Salisbury był nader szko-

dliwy i postanowił z pod wpływu tego usunąć ją, co oczywiście było dla obydwóch kobiet bardzo boleśnym ciosem.

Obrona jedności Kościoła i jej następstwa.

Młodziutka Marja znajdowała się wówczas w New Hall, w prowincji Essex. W październiku 1533 roku, zjawiło się tam poselstwo posiadające od króla rozkaz rozpędzenia całego dotychczasowego otoczenia księżniczki. Hrabina Salisbury oświadczyła, iż pragnie na koszt własny pozostawać przy boku Marji lecz pomimo wstawienia się za nią ambasadora hiszpańskiego, król rozkazu swego nie złagodził i hrabina musiała opuścić swą wychowankę. W lutym 1535 roku, Rada posłuszna królowi podpisała akt rozwodu i odtąd każdy poddany angielski, nie uznający Henryka za głowę Kościoła anglikańskiego, obwinionym był o zdradę stanu.

Jeden z ministrów tej rady, Tomasz Cromwell zażądał od Reginalda Pole jasnego wypowiedzenia swego zdania, co do owego aktu i potwierdzenia prawności rozwodu pod groźbą gniewu królewskiego. Sądzono, iż groźba ta go przestraszy.

W roku 1536 na wiosnę, otrzymano odpowiedź Reginalda w formie traktatu teologicznego pod tytułem *Obrona jedności Kościoła.*

W dziele tem autor bronił energicznie praw Papieża i piętnował bezprawie oraz niesprawiedliwość króla. Reginald był już naówczas kapłanem.

Henryk VIII zaprzysiągł po przeczytaniu księgi straszną zemstę i rozkazał Reginaldowi natychmiast wracać do kraju. Pole odpowiedział na to, iż znając dobrze wejście do jaskini lwa — nie zna wcale wyjścia i na tej zasadzie odmawia posłuszeństwa królowi. Po otrzymaniu tej odpowiedzi, gniew Henryka wzmógł się jeszcze bardziej.

Pole miał po zatem inne powody pozostawania zdala od kraju: oto papież Paweł III powoływał go do Rzymu na członka komisji duchownej, mającej opracować plan reformy Kościoła. Przybywszy do Werony zastał już tam wysłańca Cromwella przynoszącego rozkaz powrotu oraz listy matki, błagające go w obawie prześladowania o rychłe przybycie. Wbrew wszystkiemu jednak posłuszny woli Papieża, podążył Pole w dalszą drogę ku Rzymowi. W nagrodę za wierność i posłuszeństwo Papież mianował go kardynałem.

Cromwel nie dał wszakże za wygranę i postanowił poza obrębem kraju nastawać na jego życie.

Niesprawiedliwe oskarżenie,

Kilka spisków przeciw kardynałowi spełzły na niczem, przynosząc jedynie wstyd tym, którzy niecne żywili zamiary.

Okrucieństwo Henryka nie miało granic. Cała jego nienawiść zwróciła się przeciw rodzinie kardynała pozostającej w kraju. Szukał on tylko jakiegobądź najbłahszego powodu, by dać ujście swej nienasyconej chęci zemsty. Prosty przypadek mu go dostarczył.

Na początku 1537 roku, papież Paweł III wysłał kardynała w charakterze legata, polecając mu zawarcie pokoju pomiędzy Francją i Włochami i przygotowanie do zwołania rady. Henryk VIII i jego otoczenie dopatrzyli się w tem działania przeciw Anglji i ztąd powstało obwinienie o zdradę stanu, które kardynał mógł bardzo łatwo obalić, gdyby to wszystko nie było obmyślane z góry przeciw niemu. Został więc ogłoszony zdrajcą ojczyzny i wyznaczoną była cena 50,000 koron za jego głowę.

Uwięzienie hrabiny i pierwsze tortury.

Roku następnego papież rzucił klątwę na Henryka. Rozszalały król zaprzysiągł, iż Reginald Pole drogo zapłaci za swą wierność Kościołowi. W 1538 bracia kardynała zostali wtrąceni do więzienia jako zdrajcy. Król postanowił wytępić całą rodzinę.

Dnia 3 stycznia 1539 roku odbył się sąd nad więźniami, który uznał ich wszystkich za winnych i skazał na śmierć. Strasznego tego losu zdołał uniknąć jeden tylko Grzegorz Pole. Henryk w swej zapamiętałości nie oszczędził nawet niewinnych dzieci skazanych, które zostały wszystkie wymordowane.

Przyszła wreszcie kolej na hrabinę Salisbury, mieszkająca wówczas w swej wiejskiej posiadłości. Zaaresztowano ją dnia 18 listopada 1538 roku z rozkazu króla w dziesięć dni po uwięzieniu jej synów. Stanowczość, spokój i siła woli błog. Małgorzaty wprawiły w podziw prześladowców, o czem donieśli nawet Cromwellowi. Napróżno starali się sędziowie uwikłać ją w jej własnych zeznaniach — nie mogli znaleźć żadnej winy — a jedyny zarzut, jaki mogli jej uczynić było to wielkie umiłowanie wiary swych przodków. Widząc, iż niepozostaje im nic innego do zrobienia, zasekwestrowali wszystkie dobra hrabiny, a całą zawartość jej pałacu, nader cenną, zabrali do Londynu.

Następnie wysłano nieszczęsną hrabinę do ustronnej miejscowości Cowdray Park, gdzie trzymano ją uwięzioną w ciągu kilku miesięcy, a dozorca wprost znęcał się nad nią i najgorsze wyrządzał zniewagi. Ograbiono ją z odzienia, jakie zabrała z sobą. Między rzeczami jej znaleziono białą tunikę, która odegrała ważną rolę w dalszych losach Małgorzaty Pole wyprawionej z Cowdray Park do Londynu.

Okrutny wyrok i długotrwałe więzienie.

Z rozkazu Cromwella parlament angielski pośpieszył z wydaniem bilu, mocą którego podejrzane o niechęć dla króla osoby mogły być z jego rozrozkazu skazane na śmierć bez żadnego sądu. Mo-

żność jakiegobądź usprawiedliwiania się nie przysługiwała im wcale. Ofiarami okrutnych tych rozkazów padli prócz Małgorzaty Pole, jej syn najstarszy, hrabina d'Exeter, kilku zakonników i księży oraz parę osób świeckich.

Cromwell dla przyśpieszenia sprawy i dla ostatecznego pozyskania kilku członków parlamentu, wahających się jeszcze, ukazał się na trybunie i rozwinął przed oczami zgromadzonych białą jedwabną tunikę, na której było krwawe odbicie naśladujące pięć ran Zbawiciela. Była to zrabowana szata hrabiny Salisbury, mająca służyć dowodem jej rzekomego wspólnictwa z buntownikami. Cromwell nie zawahał się w dalszym ciągu podrabiać bulle papiezkie i fałszować listy kardynała Pole do matki. Rezultat wszystkich tych szalbierstw łatwym był do przewidzenia. 28 czerwca 1539 r. nowe prawo było ostatecznie zatwierdzone i hrabina została wtrącona do wieży londyńskiej.

Kardynał Pole dowiedziawszy się o tem napisał do kardynała Coutarini:

— „Wiesz prawdopodobnie o skazaniu matki mojej na śmierć — co mówię — na życie wieczne. Oprawcom nie wystarczyło to jednak. Postanowili oni zgładzić jeszcze dziecko ostatnie brata mojego, jedyną latorośl naszego rodu. Porównywując te okrucieństwa z rządami tureckiemi, dochodzę do przekonania, iż chrześcijanie powinni się daleko więcej obawiać strasznego ciemięzcy na Zachodzie".

Gdy się to działo, nieszczęsna hrabina w ponurej i wilgotnej wieży ciężkie znosiła katusze. Nie szczędzono jej mąk, pozostawiając drżącą i omdlałą z chłodu i głodu przez długie dnie w ciągu dwuletniego uwięzienia.

W kwietniu 1541 wybuchło powstanie, przywódcą którego był Jan Neville. Lud domagał się przywrócenia dawnej prawdziwej wiary. Henryk VIII przeląkł się i postanowił pozbyć się Małgorzaty.

Męczeństwo błog. Małgorzaty.

Rano 27 maja zawiadomiono hrabinę, iż wyrok śmierci został podpisany. Napróżno starała się raz jeszcze udowodnić swą niewinność — wszystko było napróżno. Wówczas zrozumiała iż znikąd niema ratunku i z prawdziwie chrześcijańskim męztwem, podążyła krokiem pewnym na miejsce kaźni w obrębie więzienia. Do ścięcia przygotowanym był prosty pień drzewa i kilka zaledwie osób miało być świadkami jej męczeńskiej śmierci. Po ostatnich modłach i błogosławieństwie przesłanem swej wychowance, hrabina oczekiwała ze spokojem ostatniej chwili. Brakło jednak kata, zawodowego wykonawcy tej strasznej czynności. W zastępstwie powołano jednego z pachołków, który drżąc z obawy i wzruszenia nie mógł jednem uderzeniem topora pozbawić życia hrabinę. Kilkoma więc nawrotami zadawał nieszczęsnej męczennicy nieludzkie tortury, a ona znosiła je w milczeniu. Z ust jej zbielałych wymknęły się jeno te słowa:

„Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości..."

Duch jej wreszcie z pęt cielesnych uwolniony opuścił tę ziemię łez krwi i niedoli i uleciał w krainę wiekuistej szczęśliwości.

Straszliwe udręczenia błog. Małgorzaty i okrutny sposób, w jaki ją stracono, wzbudziły powszechne oburzenie.

Kardynał Pole, znajdujący się wówczas w Witerbe, dowiedziawszy się o kaźni matki i towarzyszących jej okolicznościach zawołał:

— Dziękowałem dotąd Opatrzności za to, że byłem synem najszlachetniejszej w Anglji kobiety. Odtąd dziękować muszę za to, żem jest synem wielkiej męczennicy... Dopełniła się wola Najwyższego. Niech będzie pochwalonem święte Jego imię."

Zwłoki błogosławionej znajdują się w więziennej kaplicy św. Piotra w Okowach. Katolicy wyczekują niecierpliwie chwili przeniesienia ich do jednej z większych świątyń Pańskich, ażeby cześć dla niej rozszerzyć.

Małgorzata Pole została beatyfikowaną 9 grudnia 1886 roku przez Papieża Leona XIII.

Źródła.

Dom Bede. *Męczennicy angielscy.*

Obraz Najśw. Bogarodzicy w Charłupii Małej.*)

Wieś ta położona w powiecie sieradzkim nad rzeką Wartą. Akta konsystorza gnieźnieńskiego wspominają już w r. 1457 o parafjalnym kościele w Charłupi Małej, jako dawno istniejącym. W połowie szesnastego wieku, stanął na miejscu pierwotnego nowy drewniany kościołek, (konsekrowany przez ks. biskupa Jakóba Dziaduskiego); a gdy ten starością zniszczony podupadł, wzniósł na jego miejsce nowy, obecnie stojący kościół: Wojciech Colonna Walewski, sędzia ziemski sieradzki.

Obraz Najśw. Bogarodzicy w Charłupii Małej.

Miłośnicy starożytności podziwiają w tym kościele chrzcielnicę, wykutą z jednego kloca kamiennego w r. 1588, przez jakiegoś Gomulińskiego z napisem w około dziś już nieczytelnym; atoli daleko większym skarbem tego kościoła jest starożytny obraz Bogarodzicy, umieszczony w wielkim ołtarzu, a uważany od niepamiętnych czasów za cudowny.

W aktach parafjalnych nie znajdujemy historji tego obrazu, ani opisu licznych łask przed nim doznawanych; zniszczył je prawdopodobnie pożar razem z plebanią 6 marca 1698 r.; lecz do niedawna jeszcze pamiętali ludzie porozwieszane po ścianach kościoła kule i laski, które tam pozostawiły kaleki, uleczone na tem miejscu za modlitwą do Najśw. Panny. Między innemi pewna niewiasta ze Ślązka, pozbawiona władzy w nogach, kazała się tu zawieść. Przybywszy na pagórek, z którego ten kościołek można było widzieć, kazała się znieść z wozu, poleciła się opiece Matki Najświętszej — w tej samej chwili zdrową się uczuła, i z kulam w ręku pieszo przybyła do kościoła, dziękując Marji za otrzymaną łaskę. — Głośny był cud, którego doznał proboszcz z miasta Warty. Gdy przejeżdża tędy, spłoszyły się konie, woźnica spadł na ziemię, dostał się pod bryczkę i wleczony z rąk lejce wypuścił. W chwili, gdy konie w szalonym pędzie zbliżyły się ku kościołowi charłupskiemu, ksiądz trzymając się potłuczonej bryczki począł wzywać opieki Matki Najświętszej i w tym samym czasie zatrzymały się konie właśnie na wprost wielkiego ołtarza, w którym ten obraz był umieszczony. Na podziękowanie za tę oczywistą łaskę, sprawił ks. proboszcz na obraz bogate korony, a parafjanie miasta Warty przybywają odtąd każdego roku z pielgrzymką do Charłupii Małej.

Z początkiem ośmnastego wieku wysłała władza duchowna do Charłupii komisję celem zbadania łask doznanych tam przed obrazem Matki Najświętszej i przesłuchanie świadków. Zeznania te były jednak niedostateczne, bo w roku 1810 biskup Ignacy Raczyński wydał dekret zabraniający rozgłaszania cudów doznanych w Charłupii, dopóki ich Kościół nie zatwierdzi. Podczas wizyty kanonicznej 1830 r. w tejże parafji polecił biskup księdzu Gawełczykowi, dziekanowi, odbyć ścisłą rewizję doznanych w Charłupii cudów i przesłuchać naocznych świadków; a wreszcie w r. 1838 wysłał do Charłupii komisję w tym samym celu. W obec tej komisji zeznał między innymi i wieśniak z Dzierlina nazwiskiem Zimny, że gdy zupełnie wzrok utracił, kazał się zaprowadzić do charłupskiego kościoła, gdzie poleciwszy się opiece Najświętszej Panny, wzrok odzyskał. — Podobnej łaski doznał kucharz z Charłupii, który straciwszy władzę w nogach, przyniesiony do kościoła, skoro się tu oddał miłosiernej opiece Marji, powrócił do domu zdrowym, o własnych siłach. Protokół tej komisji znajduje się w aktach parafjalnych, niewiadomo jednak z jakiej przyczyny nie jest dokończony, nie ma więc urzędowej powagi. Mimo to lud okoliczny uważa obraz charłupski za cudowny i gromadzi się tu licznie na 14 dorocznych odpustów. Najwięcej, bo do 6000 pobożnych, przybywa tu na uroczystość Zielonych Świąt i w dzień Narodzenia Najśw. Panny

---

Wiadomość ta zebraną została z aktów parafjalnych i z ustnego podania; szematyzm djecezjalny wspomina o tym obrazie w roku 1877 na stronie 41.

*) K. Alojzy Fridrich T. J. „Historje cudownych obrazów Najśw. Maryi Panny w Polsce. Kraków 1908

Dnia 13 Czerwca.

ŚWIĘTY ANTONI PADEWSKI

z zakonu Braci Mniejszych św. Franciszka Serafickiego.

1195 † 1231.

Za rządów papieży: Celestyna III, Innocentego III, Honorjusza III, św. Grzegorza IX, króla Portugalskiego Sancho I.

Chrystus jest moim prawem
a śmierć moim zyskiem.
Św. Paweł.

Cześć dla św. Antoniego Padewskiego wszędzie jest rozprzestrzenioną, w Polsce zaś więcej może jeszcze niż w innych krajach. Ołtarze tego świętego na całym świecie okryte są wotami, świadczącymi o łaskach nadzwyczajnych za jego orędownictwem doznanych. Zwłaszcza doświadczoną jest pomoc tego patrona, gdy idzie o znalezienie zguby lub wynagrodzenie szkody doczesnej.

Pan Jezus jakby na potwierdzenie swych słów: *Szukajcie najprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego a wszystko inne będzie wam przydane*, przeznaczył św. Antoniego na patrona rzeczy doczesnych, albowiem święty ten przez całe życie szukał powiększenia królestwa Bożego na ziemi, pracując bez wytchnienia nad zbawieniem bliźnich.

Zakłady dobroczynne pod wezwaniem św. Antoniego utrzymują się z puszek, w które wierni składają datki na „Chleb dla ubogich“ ku czci tegoż świętego. Władza archidjecezjalna warszawska poczyniła starania u Stolicy Apostolskiej celem podniesienia uroczystości św. Antoniego, jakoż owocem tych zabiegów było wyniesienie tej uroczystości do wysokości świąt drugiej klasy.

Św. Antoniego zowią Padewskim od miasta Padwy, gdzie umarł i tam relikwje jego spoczywają.

Pochodzenie. — Pierwsze lata.

Św. Antoni ur. w 1195 r. w Lizbonie, dzisiejszej stolicy królestwa portugalskiego. Na chrzcie św. otrzymał imie Fernando. Rodzice jego pochodzili z szlacheckiego rodu i odznaczali się wielką pobożnością. Niektórzy dziejopisarze twierdzą, że ojciec św. Antoniego należał do rodziny lotaryngskiej Bouillon, tej samej, z której pochodził słynny Godfryd, wódz pierwszej wyprawy krzyżowej. Są to jednak domysły, nie poparte żadnemi dowodami.

Matka św. Antoniego, Marja, była jakoby spokrewnioną z królewskim rodem panującym w Asturji. Wspominają też, że święty miał brata Pedro i dwie siostry: Marję, kanoniczkę w klasztorze austrjańskim w Lizbonie i Felicjannę zamężną, której syna imieniem Apparitio wskrzesił, jak o tem legenda głosi.

Dane, dotyczące rodziny świętego mają drugorzędne znaczenie. Nie potrzebował szlachetnego pochodzenia ten, który cnotami i czynami miał sobie zdobyć najwyższą chwałę.

Wiemy, że chodził do szkoły przy kościele katedralnym, bo tam mieszkali jego rodzice i uczyli go duchowni. Prawie od kolebki odznaczał się sprawowaniem bez zarzutu. Nie naśladował dzieci, które od najwcześniejszego wieku mają zamiłowanie do przyjemności i próżności tego świata. Idąc za przykładem swoich cnotliwych rodziców, często odwiedzał kościoły i klasztory, był miłosierny dla biednych, wspomagał ich w niedoli.

Wiele krąży legend, świadczących do jakiego stopnia mieszkańcy Lizbony starali się przyozdobić żywot swego znakomitego współziomka. Jedna z nich głosi, że pewnego dnia Fernando doznał w katedrze strasznej pokusy podczas modlitwy; wówczas nakreślił krzyż na marmurze schodów, prowadzących do chóru i krzyż wrył się w stopień, jak gdyby ten był z wosku nie z kamienia. Do dziś dnia pokazują ten krzyż starannie pozłocony i otoczony ogrodzeniem. Jednak pomimo tradycji, biografowie św. Antoniego podają ten fakt w wątpliwość, ponieważ w stwierdzonych cudach niema o tem wzmianki.

Dwa lata spędzone u kanoników regularnych św. Augustyna.

Mając lat piętnaście, Fernando postanowił schronić się do klasztoru, chcąc uniknąć pokus tego świata i zapewnić sobie zbawienie. W owym czasie sąsiedztwo Maurów w Hiszpanji i na brzegach berberyjskich miało wpływ niekorzystny na moralność chrześcijan, zwłaszcza Lizbona była zawsze niebezpiecznem miejscem pobytu, jak wszystkie wielkie porty handlowe; nie dziw więc, że pobożny młodzieniec zdecydowany poświęcić się na służbę bożą, chciał to uczynić w sposób bardziej doskonały, wstępując do kanoników regularnych św. Augustyna. Miał sposobność poznać zakon ten oddawna, gdyż posiadał on na przedmieściu Lizbony klasztor

św. Wincentego de Fora, zwany klasztorem św. Wincentego — po za murami.

Dom ten założył król Alfons I, w czasie oblężenia Lizbony, w tym celu, aby tam modlono się za poległych w czasie oblężenia krzyżowców. Była to filja klasztoru św. Krzyża w Koimbrze. W domu św. Wincentego praktykowano z wielką gorliwością cnoty, wyróżniające kanoników regularnych.

W klasztorze tym Fernando spędził dwa lata Pragnął on służyć jedynie Bogu i duszom, tymczasem przyjaciele z Lizbony niepokoili go zbyt częstemi odwiedzinami. Postanowił więc opuścić rodzinne miasto.

Pobyt św. Antoniego w klasztorze św. Krzyża w Koimbrze.

Po wielu prośbach otrzymał Fernando od przeora św. Wincentego pozwolenia schronienia się w Koimbrze, gdzie kanonicy regularni umieścili go w klasztorze św. Krzyża. Tam pozostał aż do chwili wstąpienia do zakonu Franciszkanów, to jest spędził 10 lat swej młodości, od 15 do 25 roku życia. Zadanie ogólne „Kanoników“ polegało na dostarczaniu duchownych, obsługujących kościoły i na życiu według pewnych reguł.

Reguła augustjańska na ogół była dość łagodna. Wolno też było różnym zgromadzeniom zakonnym tej reguły dopełniać ją, w razie potrzeby ściślej określać i wyjaśniać.

Obowiązkiem kanoników regularnych była nietylko służba w chórze, ale i praca nad duszami w kościele, przy którym się znajdowali, lub w parafjach, zależnych od klasztoru. Nie byli to w ścisłem słowa znaczeniu mnisi, ale uważali się za duchownych, prowadzących życie doskonalsze od zakonnego.

Papież Adrjan IV zabronił kanonikom regularnym klasztoru św. Krzyża po profesji, opuszczać go bez specjalnego pozwolenia przeora i całego zgromadzenia.

Formuła, według której zobowiązywano się, była wszędzie ta sama prawie: oddawano się na służbę Bożą i świętych, którym kościół był poświęcony i zobowiązywano się słuchać przeora i jego następców.

Kanonicy regularni oddawali się studjom naukowym, aby przygotować podwładnych do godnego spełniania służby Bożej i pracy nad duszami i gdyby okazywali dostateczne uzdolnienie, do spełnienia obowiązków pasterskich. Klasztor utrzymywał prócz tego szkoły elementarne dla dzieci.

Gdy Fernando wstąpił do klasztoru św. Krzyża, znalazł tam wszystko, czego żądał, mógł bowiem całkowicie oddać się modlitwie i nauce. Wkrótce takiemi zajaśniał cnotami, że wszystkim widocznem się stało, iż miejsce to wybrał dla dojścia do najwyższej doskonałości. Ze szczególną gorliwością pracował nieustannie nad wzbogaceniem umysłu i ćwiczył swą duszę w rozmyślaniu. Czytając historję prawd Bożych, umacniał swą wiarę, chronił umysł swój od zasadzek błędu, pilnie rozważał słowa świętych. Wszystko, co przeczytał, pamiętał doskonale i w ten sposób zdobył wkrótce taką znajomość Pisma św., że we wszystkich podziw obudzał.

Fernando znalazł w klasztorze św. Krzyża ułatwienie w studjach, jakiego nie mógłby mieć u św. Wincentego. Stolicą Portugalji nie była natenczas Lizbona lecz Koimbra. Książęta krwi często odwiedzali św. Krzyż i zostawiali nieraz szczodre jałmużny. Klasztor więc ten rozporządzał dużymi środkami, mogącymi ułatwiać studja kanonikom regularnym. Król Sancho I, przeznaczył dla klasztoru po wieczne czasy dość znaczną sumę corocznie udzielaną na utrzymanie tych członków, którzyby się kształcić chcieli we Francji. Kanonicy posiadali piękny księgozbiór; klasztor św. Krzyża według świadectwa historyków. stał się głównem ogniskiem nauk i literatury w Portugalji i w ten sposób przygotowywał fundament do przyszłego znakomitego uniwersytetu, założonego najpierw w Lizbonie w 1290 r. a potem przeniesionego (1308) i umieszczonego przy klasztorze w Koimbrze.

Pobożny Fernando ćwiczył się w cnotach zakonnych, pogłębiał swą wiedzę a Pan Bóg obdarzał go coraz bardziej łaskami swemi.

Fernando przyłącza się do rodziny serafickiej pod imieniem Antoniego.

Bracia Mniejsi przybyli w r. 1217 do Portugalji. Siostra króla Alfonsa II, dała im w Alenquer małą kaplicę św. Katarzyny i kazała im zbudować mieszkania według ich życzenia. Wkrótce potem królowa Urraka ofiarowała im o milę od Koimbry mały klasztor św. Antoniego z Olivarès, (nazwanego tak od miejscowości, zarośniętej drzewami oliwnemi, w blizkości której klasztor się znajdował).

Synowie św. Franciszka z Asyżu, zarówno biedni jak ich ojciec, często żebrali w klasztorze św. Krzyża, gdzie Fernando spełniał urząd gospodarza, przez co miał częstsze stosunki z Braćmi Mniejszymi. Dzięki temu urzędowi przyjął u siebie bardzo gościnnie pięciu z tych Braci, którzy mieli być chwałą powstającego zakonu i wywrzeć szczególniejszy wpływ na los młodego kanonika regularnego.

Zakonnicy ci: Berardo di Corbio, Pietro da San Geminiano, Ottone, Adjuto i Accursio, mieli zamiar nauczać niewiernych wiary Chrystusowej, i postanowili udać się do władcy Marocco, kierując swą drogę

z Aragonii do Kastylji i Portugalji. Odwiedzili też w Koimbrze królowę Urrakę i Fernando mógł ich u siebie podejmować i podziwiać. Potem udali się do Sewilli, kraju muzułmanów. Nauczanie ich rozgniewało emira, który kazał ich wygnać. Po przybyciu do Marocco, starali się usilnie o przyjęcie u dworu Miramolina. Brat Berardo nauczał tłum w chwili, gdy Miramolin przechodził, aby odwiedzić groby swoich przodków. Widok monarchy nie zamknął mu ust bynajmniej. Wygnano natychmiast Braci Mniejszych ale odważnie wrócili do stolicy Marocco. Wówczas uwięziono ich skazując na głód i pragnienie. Po uwolnieniu byli pełni życia i gotowi do głoszenia dalej z równym zapałem nauki Chrystusowej. Koniec końców poddano ich strasznym męczarniom, zmuszano do zaparcia się wiary obiecując za to zaszczyty i bogactwa. Wobec stanowczej odmowy, ponieśli śmierć męczeńską.

Lud pochwycił ich zwłoki i uniósł za miasto. Królewicz portugalski przy pomocy zaufanych swoich, zapłaciwszy znaczny okup, zdołał odzyskać ciała męczenników i umieścić w bezpiecznem miejscu. Następnie sam się zajął odwiezieniem ich do kraju chrześcijańskiego.

Dwór i cała Portugalia dowiedziała się z uwielbieniem o męczeństwie pięciu Braci Mniejszych i o licznych cudach, które w skutek tego nastąpiły. Królowa Urraka ze wszystkimi mieszkańcami Koimbry udała się na spotkanie relikwij, które zostały umieszczone w klasztorze św. Krzyża.

Rozgłos o cudach, jakie się działy za sprawą męczenników franciszkańskich, uczynił na Fernando głębokie wrażenie; przelać swą krew dla miłości Chrystusa i zdobyć Niebo, to był cel, ku któremu odtąd skierowały się wszystkie jego myśli i dążenia Udał się do Braci Mniejszych mówiąc:

— Wziąłbym z radością wasz habit, jeżelibyście mi obiecali, że zaraz po wstąpieniu wyślecie mnie do ziemi Saracenów, zdobyłbym w ten sposób te same zasługi, co wasi święci męczennicy i dzieliłbym ich chwałę.

Zakonnicy, widząc tak wielką gorliwość, postanowili zaraz nazajutrz przyjąć Fernanda do zgromadzenia.

Było jednak sporo trudności do przezwyciężenia, aby przejść z reguły zatwierdzonej do zgromadzenia, nie uważanego za kongregację zakonną, której reguła nie była jeszcze ostatecznie oznaczona. Aby opuścić klasztor należało uzyskać przyzwolenie przeora i całego zgromadzenia. Fernando prosił o pozwolenie przeora i z trudnością je otrzymał. W chwili, gdy święty oddalał się już w habicie franciszkańskim, jeden z nich zabiegł mu drogę i rzekł z pewną goryczą:

— Idź, idź! zostaniesz świętym!

Odwrócił się Fernando i odrzekł pokornie:

— Gdy się dowiesz, że jestem świętym, będziesz chwalił Boga.

Widzimy więc z tego, że już w klasztorze św. Krzyża Fernando przywdział suknię św. Franciszka z rąk braci Mniejszych, następnie udał się w towarzystwie nowych braci zakonnych do ich domu w Olivarès. Wówczas przyjął imię Antoniego.

Niedługo tam pozostawał. Kronikarz franciszkański Wadding mówi, że św. Antoni udał się do Marocco z bratem Filipem, który towarzyszył świętemu aż do czasu kapituły generalnej w Asyżu na na Zielone Świątki r. 1221.

Pobyt św. Antoniego w Marocco i Sycylji. Kapituła generalna w Asyżu.

Przybywszy do stolicy Marocco, Antoni nie mógł tu zdobyć palmy męczeńskiej. Panujący tam Abu-Jacub miał wstręt do przelewu krwi, gdyż jak niesie podanie pomordowawszy swoje ofiary, uległ sparaliżowaniu połowy ciała, co go zmusiło do pozostawania w zupełnym spokoju i spoczynku. Zresztą w kraju panowała uporczywa susza, szkodząca zarówno zdrowiu ludności, jak i płodom ziemi. Święty Antoni zachorował i przez całą zimę nie opuszczał łoża boleści. Gdy się już czuł lepiej, postanowił nie pozostawać dłużej wśród niewiernych i odpłynął do Portugalji.

Opatrzność jednak nie chciała, aby mieszkał w rodzinnej ziemi i rozkazała mu udać się do obcych krajów, aby tam głosił pokój i pokutę, a może i dlatego, żeby umiarkował wrodzoną energję przez zetknięcie się z łagodnym i słodkim patryarchą z Asyżu. Od tej chwili poczuł w sobie męztwo do postępowania drogą doskonałości i gorliwość o zbawienie dusz: mogąc podziwiać św. Franciszka cnotę miłości bliźniego w całej jej królewskiej doskonałości i wytwornej subtelności.

Okręt, na którym odpłynął św. Antoni, spotkała straszna burza i oddaliła go od celu, a posunęła ku brzegom Sycylji. Dowiedział się od braci w Messynie o zwołaniu do Asyżu ogólnej kapituły, która miała się odbyć na Zielone Świątki (30 maja 1221) i na którą zwołani byli wszyscy synowie wielkiej rodziny franciszkańskiej. Postanowił udać się tam i przybył na czas właściwy.

Kapituła ta jest dobrze znaną w rocznikach rodziny serafickiej jako ostatnia, na którą wszyscy bracia się zgromadzili. Antoni mógł widzieć tam trzy tysiące professów i nowicjuszów, zebranych w sąsiednim lesie Matki Boskiej Porcjunkuli. Mógł też przekonać się z jaką gotowością tłumy dostarczały Braciom Mniejszym wszystkiego, czego potrzebowali do życia. Siódmego dnia dano znać ludowi, że ofiary więcej przyjmowane nie będą, pomimo to Bracia Mniejsi, musieli jeszcze pozostać dwa dni,

aby zużyć zapasy żywności, których im dostarczono. Szczególniejsze wrażenie na Antonim zrobił widok serafickiego patryarchy, który ustąpił przewodnictwa rodziny zakonnej i po śmierci Piotra z Katanji, uczynił jeneralnym wikarym zakonu brata Eljasza Brat Eljasz prezydował: Franciszek, siedząc u nóg jego, poddawał pewne uwagi, które uważał za konieczne.

Gdy kapituła była skończona ministrowie prowincjonalni wysyłali braci, powierzonych sobie, do poszczególnych domów, ale nikt nie zwrócił się do Antoniego, który tym sposobem pozostał na rozkazy wikarego jeneralnego. W całej swej powierzchowności święty nie miał nic, coby zwracało uwagę. Nie mówił nigdy o swych dawnych studjach, ani o urzędach duchownych, jakie spełniał; lecz poddając swe zdolności i naukę pod posłuszeństwo Chrystusowe, pragnął tylko znać, pożądać i posiadać Jezusa Ukrzyżowanego. Wreszcie wziął na stronę brata Gracjana, przełożonego prowincji Romanii i błagał, aby go zabrał z sobą za pozwoleniem jeneralnego wikarego i wyuczył zasad życia duchownego. Brat Gracjan, zgodził się zabrać go z sobą. Gdy przybyli do Romanii, Antoni prosił przełożonego o pozwolenie na oddalenie się do pustelni Monte-Paolo w blizkości Forli.

Pustelnia w Monte-Paolo.—Natchniony kaznodzieja.

Usuwając się do pustelni przed rozpoczęciem publicznego nauczania, Antoni wiernie naśladował w tem św. Franciszka. Pustelnia ta była na najwyższym szczycie góry, której nosiła nazwę. Jeden z braci urządził tam grotę, mogącą służyć za celę, aby w niej można było spokojnie oddawać się modlitwie. Na usilne prośby ustąpił Antoniemu tego mieszkania. Od tej pory, po wspólnych, rannych modlitwach, miał zwyczaj chronić się tam, mając za całe pożywienie trochę chleba i dzbanek wody. Tak przepędzał cały dzień, zmuszając ciało do uległości duchowi. Lecz wierny przepisom reguły, powracał zawsze na kolację. Bardzo często, gdy na odgłos dzwonu chciał powrócić do swoich braci, biedne jego ciało, upadające pod ciężarem czuwania i wyniszczone umartwieniem, chwiało się i odmawiało mu posłuszeństwa. Nie byłby nieraz w możności przyjść do wspólnego stołu, gdyby go nie podtrzymywało kilku litościwych zakonników.

Św. Antoni mało się tam poświęcał nauce a więcej modlitwie i rozmyślaniom; bracia będący z nim, mogli podziwiać nie człowieka uczonego, lecz oderwanego od świata i umartwionego zakonnika.

Zdarzyło się, że Bracia Mniejsi z Monte-Paolo byli posłani do Forli, w celu otrzymania święceń. Ten sam powód sprowadził z różnych stron i innych synów św. Franciszka a jednocześnie i Braci Kaznodziejów. Antoni znalazł się wśród zgromadzonych. Podczas kolacji miejscowy przełożony prosił obecnych Braci Kaznodziejów, aby zadośćuczynili pobożnej niecierpliwości zgromadzonych i przemówili do nich. Nikt nie chciał tego uczynić; przełożony wówczas zwrócił się do Antoniego i rozkazał, aby mówił do zgromadzonych z natchnienia Ducha św., gdyż nie przypuszczał, żeby znał on Pismo święte z wyjątkiem tego co się odnosiło do modlitw kapłańskich. Opierał się tylko na jednym fakcie, że gdy okoliczności tego wymagały, słyszał świętego, mówiącego po łacinie.

Święty początkowo opierał się, wreszcie, ulegając prośbom obecnych, zaczął mówić z wielką prostotą. Ale jakież było ogólne zdumienie i jaki zachwyt ogarnął wszystkich, gdy z ust świętego popłynęły potokiem myśli jasne, zwięzłe, pełne mądrości i namaszczenia. Ze wzrokiem w mówcy utkwionym, słuchacze nagle ocenili wielki rozum w połączeniu z niesłychaną pokorą i rzadki dar wymowy, ożywiony ogniem miłości bliźniego.

Nie wiadomo dokładnie, ile czasu św. Antoni przebywał w Monte-Paolo. Ale niewątpliwem jest, że wkrótce po fakcie zaszłym w Forli, był wezwany przez przełożonego prowincjonalnego do głoszenia kazań w Romanii. Widocznie przełożony słyszał o zdolnościach młodego Brata Mniejszego, a pracownicy ewangieliczni byli bardzo nieliczni, więc nic dziwnego, że chciał zaraz wyzyskać talent św. Antoniego. Napełniony ogniem miłości Bożej w samotności i rozmyślaniu, poszedł on szerzyć ją w różnych krajach katolickich dla zbawienia dusz i chwały Kościoła.

Św. Antoni nawraca odszczepieńców.—Jego cuda w Rimini.

Najpoważniejsi autorowie twierdzą ogólnie, że św. Antoni miewał kazania najpierw w Romanii, i że tam przebywał między 1222—1224.

W kraju tym grasowała sekta Katarów i Patarynów. Wielu katolików przyłączyło się do tych sekt, z powodu surowości obyczajów jaką głosiły i zalecały. Miasto Rimini było dla nich prawdziwą twierdzą i centrum najniebezpieczniejszego działania. Wszelkie wysiłki kaznodziejów nigdy prawie nie odnosiły skutku. Św. Antoniemu udawało się to o wiele lepiej zdołał swych przeciwników skłonić do milczenia. Co więcej, jego cnota i przekonania zrobiły wrażenie na pewnej liczbie heretyków i nawróciły wiele dusz zbłąkanych. Do nich zaliczyć należy Bononillo, który przez 30 lat trwał w błędzie, od tej chwili czynił pokutę i stał się wiernym synem Kościoła.

Uważamy za odpowiednie wspomnieć tutaj o dwóch cudach, mających związek z walką świętego przeciwko herezji, zdziałanych w Rimini.

Pewien heretyk opierał się napomnieniom św. Antoniego i zaprzeczał rzeczywistej obecności Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie, bo nie widział, żeby zachodziła jakakolwiek widoczna zmiana w postaciach eucharystycznych. Pobożny Brat Mniejszy, litując się nad jego niedowiarstwem i pragnąc pozyskać jego duszę, powiedział do niego pewnego razu:

— Jeżeli koń na którym często jeździsz, będzie adorował prawdziwe Ciało Chrystusa pod postacią chleba, czy uwierzysz wówczas w prawdziwość Boskiego Sakramentu?

Heretyk obiecał, że uczyni to z głębi serca na warunkach, które święty naznaczył. Ostatni zgodził się, jednakże dodał, że jeżeli te warunki nie spełnią się, to jest, jeżeli cud się nie stanie, będzie to winą jego własnych grzechów. Przez dwa dni heretyk nie dawał koniowi nic do jedzenia a na trzeci dzień wyprowadził zwierzę na widok publiczny. Z jednej strony przyniesiono koniowi owsa, a z drugiej stał św. Antoni, trzymając z wielkiem nabożeństwem w kielichu Hostję Przenajświętszą. Liczny tłum otaczał miejsce, na którem miał się cud dopełnić. Koń puszczony swobodnie, jak gdyby rozumem obdarzony, zbliżył się z powagą naprzód i zgiął ze czcią kolana przed świętym, trzymającym Hostję i pozostał w tej postawie aż do chwili w której św. Antoni pozwolił mu odejść. Cud ten skłonił ostatecznie heretyka do porzucenia błędów.

W Rimini, w r. 1417 zbudowano na miejscu cudu ośmiokątną kapliczkę tam, gdzie poprzednio stała kolumna, aby miejscowa ludność cud w pamięci zachowała.

Drugi cud, niemniej sławny, stał się według Jana Rigaud w okolicach Padwy, według zaś innych autorów w Rimini. Heretycy nie chcieli słuchać nauk św. Antoniego, a nawet ze słów jego szydzili Wówczas święty zbliżył się do rzeki, płynącej opodal i wobec tłumów rzekł do heretyków:

— Ponieważ okazujecie się niegodnymi słuchania słowa Bożego, zwrócę się do ryb — aby jeszcze bardziej wasze niedowiarstwo zawstydzić.

I ożywiony zapałem gorliwości, rozpoczął kazanie, przypominając rybom wszystkie dobrodziejstwa, jakiemi je Bóg obdarzył: stworzył je, dał im przezroczystą wodę i pozwolił żywić się bez pracy. Na mowę tę, ryby zgromadziwszy się, zbliżyły się i podniósłszy głowy po nad wodę, spoglądały na świętego uważnie, otwierając pyszczki. Jak gdyby były obdarzone rozumem, słuchały ze czcią i nie odeszły dopóki ich nie pobłogosławił.

Oto wszystko, co wiemy o pierwszem nauczaniu św. Antoniego przed udaniem się jego do Francji.

Że św. Franciszek z Asyżu cenił wysoko zasługi Antoniego świadczy treść kartki przypisywanej św. Patryarsze, w której tenże nadaje mu władzę nauczania:

„Mojemu najdroższemu bratu Antoniemu brat Franciszek przesyła pozdrowienie w Chrystusie. Rad jestem, że wykładasz braciom św. teologję, oby tylko nauka tego rodzaju nie przytłumiła w nich ducha świętej modlitwy i pobożności według przepisów reguły. Zostaj z Bogiem".

List ten wyraża dokładnie i ściśle zdanie św. Franciszka o prowadzeniu nauk u Braci Mniejszych.

Nie możemy na pewno twierdzić, że św. Antoni był najpierw profesorem w Bolonji pomimo, że tak utrzymują niektórzy biografowie świętego. W każdym razie mamy świadectwo o naukach udzielanych Braciom Mniejszym, a mianowanie brata Antoniego lektorem w rodzinie franciszkańskiej jest niewątpliwe i stanowi decydującą datę w historji Braci Mniejszych, święty bowiem głęboko był przekonanym o potrzebie nauk teologicznych i umiał wpoić swe przekonania w tych, których nauczał. Wsłuchiwano się pilnie w wykłady św. Antoniego, poparte własnym jego przykładem i kazaniami.

Święty Antoni Padewski.
Murillo. Muzeum w Sevilli.

Działalność apostolska św. Antoniego we Francji.

Przystępujemy do okresu życia, który św. Antoni spędził we Francji i o tem, co tam dla zbawienia dusz zdziałał. Początkowo wykładał teologję w Montpellier, a następnie w Tuluzie. Nie może tu być mowy o nauczaniu wyższem, gdyż uniwersytet w Montpellier miał wydział teologiczny dopiero w r. 1421. Prawdopodobnie więc wykłady św. Antoniego były jedynie dla braci i ograniczały się udzielaniem wiadomości początkowych i bez przygotowania.

Południowa Francja była wtedy bardzo wzburzona i podniecona z powodu groźnych walk religijnych. Jest więc bardzo możebne, że św. Antoni użył całej gorliwości i siły ku obronie wiary katolickiej i w Tuluzie znalazł obszerne pole do swych prac apostolskich. Pomimo synodu w Montpellier, na którym Rajmund VII z Tuluzy przyrzekł nie udzielać opieki heretykom, ci ostatni nie obawiali się zaczepiać publicznie katolików.

Nazywano św. Antoniego „niezmordowanym młotem heretyków", gdyż z zapałem do walki przeciwko nim występował.

Wszelako w południowej Francji pozostały z pobytu świętego niewyraźne ślady. Jeszcze mniej pewne są wiadomosci co do jego pobytu w Velay. Istnieje przypuszczenie, że jakiś czas był gwardjanem w Puy. Pobyt jego w tem mieście miał się zaznaczyć następującym cudem:

Pewna dama poleciła mu dziecię, mające przyjść na świat. Święty pogrążył się w modlitwie, a potem rzekł do niej:

— Ufaj i ciesz się. Bóg da ci syna, który będzie wielkim w Kościele Bożym. Zostanie Bratem Mniejszym, zdobędzie palmę męczeństwa i wymową swoją doprowadzi wielu wiernych do tej samej chwały.

Wszystko to spełniło się później w zupełności. Pani ta miała syna, który wstąpił do Braci Mniejszych i następnie udał się w dalekie kraje. Miasto Azot, w którem się znajdował, wydane zostało zdradziecko w ręce Saracenów, a chrześcijan skazano na śmierć. Filip, takie było bowiem imię owego Brata Mniejszego, prosił, aby mógł być stracony na końcu, bo pragnął słowem Bożem umacniać do ostatniej chwili wszystkich swoich towarzyszy, zaklinając ich, aby wytrwali w wierze. W chwili kaźni, ponieważ w swoich naukach nie ustawał, kazano mu połamać stawy w kościach, obedrzeć ze skóry, wreszcie uciąć mu język. Męczennik mimo to mówił nieustannie, ażeby więc zmusić go do milczenia, postanowiono go ściąć. W ten sposób sprawdziła się w zupełności przepowiednia św. Antoniego.

Oto jeszcze inny fakt, nieraz przedstawiany na obrazach i z upodobaniem przez nowożytnych autorów opowiadany. W czasie, gdy św. Antoni spełniał w Puy urząd gwardjana, mieszkał w mieście tem notarjusz bezbożny i lekkich obyczajów. Ile razy święty go spotykał, zdejmował nakrycie głowy i klękał. Notarjusz, biorąc to za szyderstwo, bardzo się oburzał i starannie unikał świętego. Jednakże pewnego dnia przypadkowo się spotkali i św. Antoni swoim zwyczajem uczcił notarjusza. Ten rozgniewany, do tego stopnia się zapomniał, że zawołał:

— Gdybym się nie obawiał gniewu Bożego, uderzyłbym cię mieczem, aby cię za twoje szyderstwa ukarać! Co ma znaczyć to klękanie przedemną?

— Chętnie zniósłbym męczeństwo dla miłości Bożej — odrzekł Antoni — ale inna była jego wola. Wiem bowiem z Objawienia, że staniesz się kiedyś wielkim męczennikiem. Gdy to nastąpi nie zapomnij o mnie.

Notarjusz roześmiał się na te słowa. Ale w jakiś czas potem, biskup z Puy, w otoczeniu licznych wiernych udał się do Jerozolimy, aby nawracać pogan. Tknięty łaską notarjusz sprzedał całą majętność i poszedł za nim. Gdy przybyli do posiadłości muzułmańskich, biskup zaczął nawracać, ale zdaniem notarjusza, zbyt powoli. Z początku panował nad sobą, ale w końcu nie wytrzymał i zaczął robić wymówki biskupowi. Następnie zwrócił się sam do Saracenów i z wielkim zapałem i siłą zaczął głosić, że Chrystus jest prawdziwym Bogiem i Synem Bożym, a Mahomet pochodzi od szatana i jest synem ciemności. Wkrótce aresztowano go i skazano na tortury i śmierć. Idąc na miejsce kaźni, wyznał, że św. Antoni przepowiedział mu, iż zostanie umęczony, co powiększyło nabożeństwo wiernych do tego świętego.

Św. Antoni miał kazanie w Bourges podczas synodu i czynił wymówki arcybiskupowi miejscowemu w obecności licznie zgromadzonych prałatów i duchowieństwa, wytykając niektóre błędy, obciążające jego sumienie, a uczynił to z takim zapałem i dodając na poparcie ustępy z Pisma świętego tak jasne i dobitne, że arcybiskup, tknięty skruchą słuchał słów tych ze łzami. Od tej chwili stał się o wiele gorliwszy w służbie Bożej i całkowicie Braciom Mniejszym oddany.

Chodziło świętemu o niekorzystne usposobienie arcybiskupa względem synów św. Franciszka. Duchowieństwo z pewną nieufnością patrzyło na tę nową rodzinę zakonną, która zdawała się iść drogą zupełnie odmienną i stanowiła przeciwieństwo z zakonami już istniejącymi. To też widzimy, że Honorjusz III kilkakrotnie przybywał im z pomocą i bronił ich przywilejów a mianowicie tego, żeby mogli mieć u siebie Mszę św. Zabrania (17 września 1225 r.) biskupowi Paryża rzucenia na nich

klątwy, którą im tenże groził, w razie, gdyby z tego przywileju korzystali.

Św. Antoni, ożywiony szczerym zapałem dla zakonu, gdy tylko słyszał, że przeciwnicy szydzą z prostoty braci, albo ją wyzyskują, zaraz przychodził z pomocą, odpierał napaści i zapewniał swym braciom spokój, zawstydzając i upokarzając rozumem swoim kłamstwa i złośliwości pyszałków. Niektórzy kronikarze utrzymują, że przytoczony wyżej cud adoracji Najśw. Sakramentu przez zwierzę i nawrócenie niedowiarka miały miejsce w Bourges.

Mamy dowody działalności apostolskiej św. Antoniego w Limousin, prowincji francuskiej, kiedy był kustoszem w Limoges, stołecznem mieście tej prowincji. Urząd kustosza był niższy od przełożonego prowincjonalnego, a wyższy od gwardjana i polegał na zarządzaniu pewną ilością klasztorów, co dawało sposobność św. Antoniemu do zwiedzania kraju. Spotykamy go więc w różnych miejscach, nauczającego tłumy. Zdaje się, że Bracia Mniejsi zamieszkali w Limoges od roku 1223, święty był tam już w roku 1226, gdyż wtedy właśnie osadził Braci Mniejszych w domu, znajdującym się w zależności od opactwa św. Marcina. Schronienie to było bardzo ubogie i Franciszkanie przebywali tam nie dłużej lat siedmnastu.

Kronika św. Marcina w rękopisie, mówi, że św. Antoni miał pierwsze kazanie na cmentarzu św. Pawła, wziąwszy za tekst wiersz 6-ty z Psalmu XXIX: „Do wieczora będzie trwał płacz, a do poranku wesele"; drugie u św. Marcina, oparte na słowach Psalmu LIV: „Kto mi da skrzydła jako gołębice, a będę latał i odpoczywał?"

Cuda św. Antoniego we Francji.

Najsławniejszym z cudów, który się zdarzył w Limoges, był następujący:

Było to koło północy w Wielki Czwartek w kościele św. Piotra w Queyroix. Skończywszy jutrznię św. Antoni głosił słowo Boże tłumom zgromadzonym koło niego. W tymże czasie Bracia Mniejsi śpiewali jutrznię w klasztorze, a święty z obowiązku kustosza, miał tamże wśród braci śpiewać lekcję. Kościół sw. Piotra z Queyroix jest dość znacznie oddalony od klasztoru franciszkańskiego i zdawało się niemożliwem, żeby św. Antoni mógł się znaleźć wśród braci w tejże samej chwili. Jednakże tak się stało. Gdy chwila śpiewania lekcji nadeszła, św. Antoni przerwał kazanie i zamilkł. W tejże chwili zjawił się nagle w chórze klasztoru, odśpiewał lekcję i znikł. Wówczas przerwał swoje milczenie i rozpoczął dalej kazanie wobec tłumu. Podobny cud miał się powtórzyć w Montpellier. Święty w kościele przerwał kazanie, aby się udać do klasztoru Braci Mniejszych i zaśpiewać na uroczystej Mszy św. Alleluja.

Pewnego znów dnia św. Antoni zwołał lud z Limoges na uroczyste kazanie. Słuchacze byli tak liczni, że niepodobna było ich pomieścić w którymkolwiek z kościołów w mieście. Antoni poszedł wraz z nimi do starożytnego rzymskiego amfiteatru. Było to wtedy miejsce bardzo uczęszczane, gdzie odbywały się targi i jarmarki. Według ówczesnego przekonania nie ubliżało bynajmniej, aby to samo miejsce służyło do ceremonji kościelnych, a szczególniej do kazań. W chwili, gdy tłum był wsłuchany w słowa kaznodziei, zerwała się burza: grzmoty się rozlegały, pioruny biły i deszcz padać zaczął. Tłum się poruszył i chcąc opuszczać miejsce zebrania. Święty widząc to, uspokajał tłum i z właściwą sobie słodyczą rzekł:

— Nie bójcie się niczego, nie odchodźcie i słuchajcie dalej słowa Bożego. Ufam, że ten, któremu się oddajemy w opiekę, sprawi, iż deszcz nas nie dosięgnie.

Obecni usłuchali tego wezwania i pozostali tak długo, dopóki trwało kazanie, a deszcz wcale ich nie zmoczył. Gdy powracali do domu, przekonali się ze zdumieniem, że ziemia była wszędzie naokoło przemoczona, tylko amfiteatr pozostał suchy.

Przytoczymy inny jeszcze fakt, który się zdarzył w St. Junien, w pobliżu Limoges. Ponieważ zgromadzony tłum był również zbyt liczny, żeby mógł się pomieścić w jednym kościele, św. Antoniemu przygotowano naprędce wzniesienie z drzewa, na które wchodząc, rzekł do słuchaczy:

— Wiem, że podczas tego kazania uderzy na nas nieprzyjaciel. Ale nie bójcie się niczego, jego napaści nie zaszkodzą nikomu.

Wkrótce potem wzniesienie drewniane runęło, nie wyrządziwszy wszakże, ku ogólnemu zdziwieniu wszystkich obecnych, żadnej krzywdy ani świętemu ani słuchaczom. Naprawiono je i słuchano dalej kazania z tem większem skupieniem, że tłum poznał w kaznodziei ducha proroczego.

Również w Limousin, stało się zdarzenie niezwykłe: Młody zakonnik Piotr, pochodzący z Limoges, był przez św. Antoniego przyjęty do zakonu franciszkańskiego. Ale kusiciel skłonił go do opuszczenia klasztoru. Św. Antoni poznał pokusę, kazał do siebie przyprowadzić nowicjusza, otworzył mu usta i rzekł:

— Weź Ducha świętego.

Pokusa ustała i jak zakonnik ów opowiadał nigdy odtąd więcej nie wracała.

Pewnego wieczoru, po komplecie, św. Antoni według zwyczaju, przebywał jeszcze na modlitwie. Bracia wychodząc z oratorjum, ujrzeli przy świetle, księżyca—na obszernem polu, pokrytem dojrzałem zbożem, a należącem do przyjaciela zakonu, zgromadzony tłum ludzi, którzy pustoszyli i grabili wszystko. Bracia, przerażeni stratą, jaką ponosił ich

dobrodziej, pobiegli do świętego, który jeszcze się modlił i opowiedzieli mu ze łzami co zaszło.

— Nie przeszkadzajcie im, moi bracia — odpowiedział św. Antoni — i wróćcie na modlitwę. To wróg wasz, usiłuje was niepokoić wśród nocy i przerywać wam modlitwę. Wiedzcie, że tym razem nie stanie się żadna szkoda na polu naszego dobrodzieja.

Zakonnicy usłuchali i czekali do dnia następnego. Gdy nastał dzień, przekonali się, że pole było nietknięte.

O cudzie tym wspominamy dlatego, że jest powszechnie przytaczany w żywocie św. Antoniego chociaż prawdziwość zdarzenia nie jest stwierdzona.

Św. Antoni założył w Brive pierwszy klasztor Braci Mniejszych. Dom był naturalnie ubogi, jak przystało dla braci św. Franciszka. Pewnego dnia kucharz nie miał z czego zrobić dla zakonników obiadu. Św. Antoni zwierzył się z tem pewnej pani, która się opiekowała zakonem i prosił ją o przysłanie z ogrodu grochu i innych jarzyn na obiad dla braci. Dnia tego padał deszcz ulewny. Pani ta wezwała swoją służącą i pomimo deszczu zmusiła ją pójść do ogrodu, narwać żądanych jarzyn i zanieść do klasztoru Braci Mniejszych. Ogród był położony dość daleko od klasztoru, deszcz nie ustawał, ale ani kropla nie dosięgła służącej. Piotr de Brive, syn owej pani, słyszał to opowiadanie od swojej matki. Gdy został kanonikiem w Noblac, lubił je powtarzać dla powiększenia chwały świętego.

Według tradycji, św. Antoni miał uczuć w Brive potrzebę przebywania czas jakiś na większej osobności, by oddać się tam surowszej pokucie i większej kontemplacji. W tym celu wybrał jakoby grotę w okolicy miasta i w blizkości niej wykopał studnię, w celu zbierania wody, spadającej kroplami ze skały. Pielgrzymi grotę tę odwiedzają i piją ze źródła, choć obydwa te miejsca uświęcone są tylko powagą ustnej tradycji.

Św. Antoni i Boskie Dzieciątko.

Przytoczymy tu jeden cud, również niedostatecznie stwierdzony, ale zajmujący osobne miejsce w historji świętego: według niektórych autorów miał się on zdarzyć w Limousin.

Podczas gdy św. Antoni głosił słowo Boże w mieście, którego nazwy nie znamy, pewien mieszczanin ofiarował mu gościnność i dał oddzielny pokój, aby święty mógł spokojniej oddawać się nauce i rozmyślaniu. Mieszczanin ów kilka razy przez ciekawość zaglądał do pokoju, w którym przebywał św. Antoni. Raz zajrzawszy, ujrzał piękne i miłe dzieciątko, które święty trzymał na ręku i całował ciągle, wpatrując się w jego twarzyczkę. Zdumiony gospodarz zapytywał się w duchu, skąd się wzięło takie piękne dziecko. Był to Pan Jezus we własnej osobie, który objawiał słudze swemu o ciekawości mieszczanina. Gdy Boskie Dzieciątko znikło, św. Antoni zabronił mieszczaninowi mówić o tem, dopóki on żyć będzie. Gdy umarł, szczęśliwy świadek tego cudu opowiadał o nim ze łzami rozrzewnienia.

Wszyscy biografowie św. Antoniego na chwilę nie wątpią o tym cudzie upiększając podania przez dodawanie różnych szczegółów. Weszło w zwyczaj przedstawiać św. Antoniego zawsze z Dzieciątkiem Jezus, dodawano jeszcze dwie cechy eharakterystyczne: księgę i kwitnącą lilję. Aby połączyć zręczniej te dodatki, umieszczano często Dzieciątko Jezus na zamkniętej lub otwartej księdze, z czego wyprowadzono później wniosek, że Dzieciątko Jezus ukazało się św. Antoniemu siedzącem na księdze.

Biografowie starali się oznaczyć miejsce, gdzie się ten cud wydarzył, Jedni z nich utrzymują, że w Limousin, inni wskazują zamek, około Limoges, inni dowodzą, że to było w Camposampiero, w posiadłościach hrabiego Tiso.

Św. Franciszek ukazuje się podczas kazania św. Antoniego.

Opowiemy teraz o cudzie, który nie ulega żadnej wątpliwości, choć nie możemy podać daty, kiedy się wydarzył:

Św. Antoni udał się do miasta Arles w Prowancji, aby być obecnym na kapitule Braci Mniejszych; miał tam kazanie o Krzyżu i Męce Pańskiej. Nagle jeden z Braci Mniejszych, podniósł oczy w górę i ujrzał niezwykłe zjawisko. Oto św. Franciszek raczył się ukazać, aby uczcić kazanie ukochanego ucznia. Unosił się w powietrzu z rozkrzyżowanemi rękami a pobłogosławiwszy zgromadzonych znakiem Krzyża św., znikł.

Zdarzenie to jednocześnie stwierdzone jest przez żywoty św. Franciszka z Asyżu i św. Antoniego. Miało się to stać przed 4 października 1226 r.

Świadczy o tem Bartłomiej z Trydentu, który znał osobiście św. Antoniego. W oficjum franciszkańskiem św. Antoniego, w hymnie nieszpornym, mamy nowy dowód, zawierający jednocześnie drogocenny szczegół.

Według tego świadectwa św. Franciszek miał już stygmaty, gdy się zjawił podczas kapituły w Arles, a stygmaty otrzymał we wrześniu 1224 r. Hymn ten powstał nie później niż w 1233 r. Od roku 1259 jest już zamieszczony w pacierzach franciszkańskich.

Oto jeszcze opowieść z czasów bytności św. Antoniego we Francji. Pewnego razu w towarzystwie jednego Brata Mniejszego, przechodził przez małe miasteczko, gdy godzina obiadu już dawno minęła. Jakaś biedna kobieta, dowiedziawszy się, że święty i jego towarzysz są głodni, zaprosiła ich

Murillo. Św. Antoni. *Galerja Drezdeńska.*

do siebie. Krzątała się na podobieństwo Marty postawiła na stole chleb i wino i pobiegła do sąsiadki pożyczyć kieliszka. Tymczasem w pośpiechu zapomniała zatkać beczki z winem, skutkiem czego prawie wszystko wyciekło. Po chwili znów towarzysz św. Antoniego tak niezręcznie wziął do ręki kieliszek, że odtłukł podstawkę. Po skończonym obiedzie kobieta, zbliżywszy się do beczki, ujrzała swoją stratę i zasmucona opowiedziała o tem świętemu gościowi. Ten zakrył twarz rękami i zaczął się modlić. Po chwili kieliszek był znowu cały. Ośmielona tym cudem, wróciła do beczki i ze zdumieniem przekonała się, że choć poprzednio było tylko wina do połowy, obecnie beczka była pełna. Św. Antoni tymczasem śpiesznie dom opuścił, aby nie narażać swej pokory.

Św. Antoni powraca do Włoch. — Jego prace misyjne.

Św. Antoni opuścił Francję wkrótce po śmierci św. Franciszka, to jest przy końcu 1226 lub w 1227 roku. Utrzymują, że św. Antoni był obecny na kapitule w Asyżu około Zielonych Świątek podczas obioru generalnego przełożonego, którym był wtedy Jao Perenti (1227 r.). Przypuszczają, że jako kustosz z Limoges, powinien był brać udział w tej kapitule i że w tymże roku był obrany przełożonym prowincjonalnym Emilji, zwanej również Romanią. Pierwotny żywot mówi nam, że w chwili przeniesienia relikwji św. Franciszka, t. j. w r 1230, uwolniono św. Antoniego od obowiązku przełożonego. W r. 1227 św. Antoni, będąc w Rimini i pracując nad nawracaniem heretyków, uciekał się niekiedy do swej władzy czynienia cudów. Z Rimini udał się do Aquilei, Gorycji, Udino, Gemony, Conegliano, wszędzie opowiadał słowo Boże, czynił cuda i zakładał klasztory Braci Mniejszych. W roku 1228, przeszedłszy Trewizo i Wenecję, przybył do Padwy w środę popielcową w celu wygłoszenia kazań wielkopostnych.

Następnie udał się do Ferrary, potem do Bolonji, gdzie napisał kazania na tle psalmów. Później miał we Florencji adwentowe i wielkopostne nauki, na żądanie generalnego przełożonego Jana Perenti, który był rodem z Florencji. Kazania wielkopostne we Florencji głosił w r. 1229. Wkrótce znalazł się w Medjolanie, gdzie siłą swej wymowy podbił wielu opornych. Z Medjolanu wyruszył do Verceil, do Brescii i Breno. Dalej, udał się do Werony, potem zwiedził klasztory nad brzegami jeziora Gardy, a na zakończenie znalazł się w Mantui. Po kapitule w r. 1230, podczas której przeniesiono relikwje św. Franciszka z Asyżu, generalny przełożony posłał świętego do Rzymu, aby otrzymać od Papieża Grzegorza IX wytłumaczenie oficjalne testamentu serafickiego patryarchy. Potem udał się Antoni do Alwernji, następnie we wrześniu do Padwy, zakończył rok wykładem teologji, kazaniami i zwalczaniem herezji.

Cuda św. Antoniego we Włoszech dokonane i jego kazania.

Ponieważ najwięcej przypisywanych św. Antoniemu cudów przypada na Włochy, przytaczamy więc te, o których opowiada nam *Liber Miraculorum*.

Zaproszony przez heretyków, sw. Antoni zasiadł z nimi do stołu. Objawienie wewnętrzne ostrzegło go, że podane potrawy były zatrute, skutkiem czego, zrobił wymówkę gospodarzowi, który tłumaczył się, że chciał w ten sposób doświadczyć na nim słów Pisma św. „...I pić będą truciznę, a nie zaszkodzi im“. Wtedy uczynił nad potrawami znak Krzyża św., mówiąc, że będzie je spożywał nie dlatego, aby kusić Boga, lecz żeby okazać swoją gorliwość o zbawienie dusz i wiarę w Ewangelję. I rzeczywiście, potrawy te nie zaszkodziły mu zupełnie, czem uderzeni heretycy powrócili na łono Kościoła.

Innym razem jakiś penitent zbliżywszy się do świętego w celu odbycia spowiedzi, uczuł taką skruchę, że nie był w stanie wyrzec ani słowa, święty rzekł do niego: „Idź do domu, spisz twoje grzechy i przynieś do mnie“. Grzesznik usłuchał tego rozkazu, przyniósł kartkę świętemu, która okazała się czystą, a grzechy jakby starte.

Pewnego razu jakaś kobieta chciała usłyszeć kazanie świętego. Miała jednak chorego męża, który jej nie pozwolił wyjść z domu. Święty miał mieć kazanie w odległości dwóch mil od jej mieszkania. Kobieta otworzyła okno, aby choć spojrzeć w tę stronę, ale ku wielkiemu zdziwieniu swemu, usłyszała dokładnie całą naukę. Mąż jej, który na razie nie chciał w ten cud uwierzyć, zmuszony był go uznać i od tej chwili został czcicielem cudotwórcy.

Podług podania, ojciec św. Antoniego jeszcze żył wtedy, gdy ten przybył do Padwy. W tym zaś czasie w Lizbonie mieszkało dwóch ludzi szlachetnie urodzonych, nienawidzących się wzajemnie. Jeden z nich zapomniał się do tego stopnia, że zabił syna wroga swego. Dokonawszy zbrodni, a chcąc uniknąć kary, zakopał trupa nocą w ogrodzie rodziców św. Antoniego. Po długich poszukiwaniach znaleziono trupa i wtrącono ojca św. Antoniego wraz z całą rodziną do więzienia. Mąż święty dowiedział się o wszystkiem z Objawienia Bożego. Tegoż wieczoru prosił, aby mu pozwolono się oddalić i nazajutrz o świcie był już w Lizbonie. Udał się do sędziego i nie mogąc od niego uzyskać uwolnienia swych rodziców, prosił, aby mu przynajmniej przyniesiono ciało zabitego. Gdy to uczyniono, wskrzesił je i rozkazał mu powiedzieć, że ci których obwi-

niają o zbrodnię, są niewinni. Gdy dziecko wyjawiło prawdę, rodziców świętego uwolniono. Św. Antoni zabawił u nich przez cały dzień, a nazajutrz został przez anioła odprowadzony do Padwy.

Pewnego dnia, z rozkazu Papieża, św. Antoni miał kazanie wobec licznie zgromadzonych pielgrzymów różnych narodowości, którzy wtedy przybyli do Rzymu dla pozyskania odpustów i uczestniczenia w soborze. Wtedy to święty nasz został od Ducha św. obdarzony taką łaską i darem, że wszyscy słuchacze go rozumieli, a każdy słyszał kazanie w języku własnym. Kazanie wyjątkowo piękne i co do formy i co do treści, napełniło słuchaczy zachwytem i zdumieniem a Papież nazwał go „Arką Testamentu".

Przeglądając kazania, przypisywane św. Antoniemu, których prawdziwość jest stwierdzoną, widzimy różnicę z kazaniami św. Franciszka. Ten ostatni mówił zwykle bez przygotowania. Nadzwyczajny wpływ, jaki wywierały jego przemówienia, pochodził jedynie z świętości, jaką tchnęła cała jego osoba. W kazaniach św. Antoniego, spotykamy prawie w każdym wierszu cytaty z Pisma św., porównania z historji naturalnej, dowód wiedzy, zadziwiający w Bracie Mniejszym.

Św. Franciszek pragnął nawracać tłumy miłością. Nie występował przeciwko grzesznikom, nauczał o słodyczy i dobroci Boga, głosił pokój, obiecany ludziom dobrej woli. Wyraził też stały zamiar nigdy nie zaczepiać duchowieństwa i okazywać należny szacunek prałatom. Św. Antoni zaś bynajmniej nie unikał sporów. Śmiało podnosił występki i ilekroć razy miał sposobność, wytykał niektórym duchownym ich przywiązanie do rzeczy ziemskich. W kazaniach swoich przypomina raczej św. Bernarda niż św. Franciszka.

Działalność apostolska św. Antoniego w Padwie.

Świadectwa o pobycie św. Antoniego w Padwie, zasługują na zupełną wiarę i obfitują w szczegóły.

Ażeby dokładnie zdać sobie sprawę z działalności jego w tem mieście, niezbędnem jest naszkicować polityczny i moralny stan, w jakim się ono znajdowało w chwili przybycia tam świętego. Położona w marchii Trewizańskiej, Padwa ztąd niemałe korzyści. Dzięki urodzajnej ziemi i znacznemu rozwojowi przemysłu wskutek licznych cechów rzemieślniczych, była miastem bardzo zamożnem. Cieszyła się ogólnie pochlebną opinją i nic dziwnego, że do Padwy ściągały liczne rzesze uczniów i studentów do uniwersytetu założonego w r. 1222. Pod względem politycznym Padwa również była potężna. Podczas nieustannych wówczas walk Gwelfów z Gibelinami, całe północne Włochy dążyły do wzajemnego zbliżenia, aby w razie napadu módz stawić silniejszy opór. Mniejsze miasta uciekały się pod opiekę silniejszych. Bogatsi również budowali tam chętnie swoje pałace i tym sposobem zwiększała się szybko liczba mieszkańców. Rząd był tu silny: na czele jego stał podesta w towarzystwie szesnastu starszych z Wielkiej i Małej Rady. Naród brał udział w rządzie, ale nigdy nie było mu wolno narzucać swej woli kapryśnej i często ślepej. Dodać należy, że mieszkańcy Padwy z przekonań byli w owym czasie Gwelfami.

Naprzeciwko Padwy leżała jej rywalka Werona. Przed rokiem 1227-ym w Weronie były obiedwie partje: Gwelfów i Gibelinów. W tymże roku Ezzelin III da Romano, zdobył Weronę podstępem i wypędził z niej panów, należących do Gwelfów. Postać tego Ezzelina jest niezwykła, a historja daje mu przydomek „Okrutnego", był on otwartym Gibelinem i po zdobyciu Werony narzucił jej swoją politykę.

Padwa i Werona wkrótce wypowiedziały sobie wojnę, a każde z miast broniło swej partji. Wogóle czasy te robią wrażenie epoki nieustannych walk, przy ciężkich bardzo prawach wojny i powszechnie panującem prawie silniejszego.

Padwa, prócz zadanych przez wojnę, miała jeszcze inne niemniej bolesne rany. Dobrobyt i bogactwa sprowadziły zamiłowanie zbytku. Kto nie miał dosyć pieniędzy do zaspokojenia namiętności i szału, udawał się do lichwiarzy, którym płacił procenty niesłychane. Wkrótce całe miasto stało się pastwą lichwy i wyzysku. Jednakże, pomimo życia, tak wiele pozostawiającego do życzenia, mieszkańcy Padwy zachowali gorącą wiarę, którą miały jeszcze ożywić kazania św. Antoniego.

Według kronikarzy święty przybył do Padwy w r. 1229, wywarł on wpływ cudowny, czego ślady znajdujemy w dokumentach z XIII w.

Spokój zapanował w marchii Trewizańskiej w końcu 1229 r. i na początku następnego. Była obfitość wszystkiego. Cały kraj jaśniał radością i zadowoleniem, i wielu ludzi wierzyło, że wszelkie rozterki i wojny na zawsze ustały. Co więcej, ludzie bogobojni uszczęśliwiali tłumy, niosąc im słowo Boże i prawie lud cały zajęty był rozważanie zbawiennych myśli.

Wśród tych bogobojnych i sprawiedliwych ludzi, zjawił się św. Antoni, który w różnych miejscach marchii, „mową jak miód słodką", według kronikarzy, głosił słowo Boże. Ciałem przebywał z braćmi w Padwie; ale dusza jego mieszkała w niebie. Gdy, nauczając przebiegał miasta w okolicy Padwy i w całej marchii, nieustannie wznosił oczy, a bardziej jeszcze duszę do nieba.

Mieszkańcy Padwy byli mu bardzo drodzy, z powodu ich żywej wiary i ducha poświęcenia. Następnej zimy (1230 - 1231) na żądanie kardynała

Ostyi, Rinaldo dei Conti, opiekuna zakonu franciszkańskiego (potem Papieża Aleksandra IV), święty rozpoczął redagowanie swoich *„Sermones in festivitatibus Sanctorum“*. Aie z nastaniem postu przerwał tę pracę, aby się całkowicie oddać nauczaniu ludu. W czasie postu czterdziestodniowego codziennie miewał nauki. Czuł się chory ale nie zwacał na to uwagi i nauczając lub spowiadając, zapominał się do tego stopnia, że bardzo często był naczczo do zachodu słońca.

Gorliwość jego była sowicie nagrodzona, gdyż słuchacze śpieszyli nietylko z Padwy ale i z okolicznych miast, miasteczek i zamków. Początkowo miał zamiar nauczać kolejno w każdym z kościołów miejskich. Ale wkrótce żaden z nich nie mógł pomieścić tłumów i święty zmuszony był przenieść się na obszerne łąki, aby nikt ze słuchających nie był wyłączony. Miewał często, do trzydziestu tysięcy słuchaczy. Nawet kupcy zamykali sklepy, aby go słuchać i otwierali je dopiero po skończonem kazaniu. Wstawano w nocy aby zająć lepsze miejsca. Rycerze i wielkie damy, przywykłe do późnego wstawania i spędzania znacznej części dnia w łóżku, przybywały na miejsce, gdzie miał kazać święty przed wschodem słońca. Słuchacze ci wszelkich stanów, płci i urzędów porzucali zbytkowne stroje, a przywdziewali szaty proste, prawie zakonne. Biskup Padwy, Jakób Corrado również wraz z duchowieństwem pobożnie słuchał kazań świętego.

Kiedy św. Antoni rozpoczynał naukę wnet ustawały wszelkie szepty i rozmowy, obecni zapominali o wszystkiem, oddani całkowicie słuchaniu mówcy. Po skończeniu kazania wymykał się niepostrzeżenie lub oczekiwał rozejścia się tłumu. Często aby uniknąć tych, co się ku niemu tłoczyli, musiał się uciekać do opieki straży swojej, niektórzy bowiem ucinali kawałki z szat świętego, aby je jako relikwie zachować.

Banda opryszków nawróconych pod wpływem świętego.

Kazania św. Antoniego przynosiiy nadzwyczajne korzyści. Słowa jego godziły nieprzyjaciół, przywracały wolność niewolnikom, nagradzały krzywdy, wyrządzone przez gwałt lub lichwę. Zastawiano nawet domy i ziemię, aby zdobyć pieniądze i złożyć je u nóg świętego dla wynagrodzenia krzywd wyrządzonych. Na jego głos rozpustnicy porzucali grzeszny żywot, a znani złodzieje od tej chwili nabierali poszanowania cudzej własności.

Około r. 1292 pewien starzec, spotkawszy Brata Mniejszego, opowiedział mu, że znał św. Antoniego:

— Należałem — rzekł — do bandy dwunastu złoczyńców, mieszkających w lasach w celu napadania i obdzierania podróżnych. Słysząc pochwały o kazaniach świętego, umówiliśmy się, że się udamy na nie poprzebierani. Nie mogliśmy uwierzyć, aby słowa jego były tak potężne i skuteczne, żeby były nakształt żarzącej się pochodni nowego Eljasza. Przybyliśmy więc na kazanie i nie potrzebowaliśmy słuchać długo tej porywającej wymowy, by odczuć wkrótce ciężkie wyrzuty sumienia za nasze zbrodnie. Po kazaniu poszliśmy do spowiedzi. Ojciec wysłuchał nas kolejno, naznaczył każdemu zbawienną pokutę i zabronił kiedykolwiek powracać do dawnych występków. Obiecał tym, którzy wytrwają w dobrem, szczęście w wieczności a przepowiedział niezwykłe kary złym, którzyby do dawnego życia powrócili. Niektórzy jednak znów stali się występnymi i zakończyli żywot tak, jak im święty przepowiedział; powściągliwi zaś umarli, pogodzeni z Bogiem. Co do mnie, to za pokutę nakazał mi święty nawiedzić dwanaście razy grób Apostołów i teraz właśnie kończę moją dwunastą pielgrzymkę.

Oto, co opowiedział starzec ze łzami w oczach, idąc z Bratem Mniejszym; pragnął on, aby spełniła się obietnica świętego, i aby, po nędznem życiu, mógł się cieszyć wiekuistem szczęściem.

Okazała się tak wielka liczba penitentów, pragnących wyznawać swe grzechy, że niepodobna było ich zadowolić, nawet przy pomocy licznych braci i kapłanów świeckich z otoczenia św. Antoniego. Między grzesznikami byli tacy, którzy twierdzili, że mieli objawienie z nieba i przysłani zostali do świętego z rozkazem, aby mu byli we wszystkiem posłuszni. Inni opowiadali Braciom Mniejszym już po śmierci świętego, że ukazał im się we śnie, wskazując do którego z braci mieli się udać.

W jaki sposób św. Antoni nauczał.

Do niezwykłego powodzenia jakie miały kazania św. Antoniego przyczyniła się bez wątpienia opinja świętości, którą się cieszył ten wielki mówca. Siłą przyciągającą masy ludzi — było zjawienie się osobistości niezwykłej. Ale prócz tego nadzwyczajną wartość miały te kazania ze względu na znaczny, prawie cudowny wpływ, jaki wywierały. Wyborna pamięć i zadziwiająca łatwość tworzenia, pozwalały świętemu miewać kazania bez uciekania się do notatek lub rozwijania myśli ułożonych poprzednio.

Podstawą jego wykładów jest Biblja, wprowadza alegorję, którą następnie usiłuje wytłumaczyć i stąd dopiero wyciąga wnioski moralne. Cytaty z Pisma świętego są tak liczne i tak zręcznie przytaczane, że znamionują zadziwiającą znajomość Ksiąg świętych tak Starego jak i Nowego Testamentu.

Czasami przytacza ustępy z Ojców Kościoła, lecz bardzo oględnie. Najulubieńsi jego, są: św. Augustyn, św. Hieronim, a zwłaszcza św. Grzegorz i św. Bernard.

Dodaje własne wyjaśnienia: mnoży je z łatwością niesłychaną i bez najmniejszego wysiłku, używa często porównań, zaczerpniętych z historji naturalnej, takiej, jaka była w ówczesnych opisach zwierząt i roślin.

Wogóle porównania, używane przez świętego, oparte są na słusznych spostrzeżeniach, jak np. z powodu ustępu z Izajasza (LX; 31), gdzie jest powiedziane, że jodła, bukszpan i sosna ozdobią miejsca, poświęcone Bogu, to jest jego świątynię, tłumaczy, jacy wierni czczą Marję.

„Jodła tak nazwana, bo wyższa nad inne drzewa jest wyobrażeniem tych, co rozważają rzeczy niebieskie. Bukszpan, który nie wyrasta wysoko i nie daje owoców, ale który jest zawsze zielony, oznacza chrześcijan, przechowujących wiarę wiecznie świeżą, jak zieloność. Sosna, gatunek drzewa, zwanego tak z powodu liści w formie igieł, jest figurą grzeszników, którzy poznawszy winy swoje, ranią serca swoje igłami pokuty, aby zapłakać krwawemi łzami żalu. Wszyscy oni, zarówno wierni rozmyślający, jak i pokutnicy zbierają się podczas uroczystości Matki Boskiej, aby uczcić modlitwą i wychwalaniem Najśw. Marję Pannę, która jest świątynią Jezusa Chrystusa, bo w niej uświęcił swoje człowieczeństwo...“

Jest to ustęp z kazania św. Antoniego wygłoszonego w dzień Wniebowzięcia.

Przytoczymy tu jeszcze ustępy z kazania św. Antoniego na uroczystość Bożego Narodzenia. Wykazują one pełną pogody wyobraźnię świętego, gdy mówił o Jezusie i Marji.

„Wiosna — mówi — otrzymała swoją nazwę od tego, że jest zielona *). Wówczas, w istocie, ziemia jest odziana różnorodnemi roślinami i ozdobiona kwiatami; powietrze staje się łagodnem, ptaszki śpiewają i cała natura zdaje się nam uśmiechać. Dzięki Ci, o najlepszy Ojcze, że po zimie i mrozach, uczyniłeś dla nas wiosnę! Rzeczywiście przy narodzeniu Twego jedynego Syna Jezusa, które obchodzimy wśród zimy i szronu, dałeś nam jak gdyby wiosenną miłą porę odrodzenia. Dziś, Najśw. Panna, ta ziemia błogosławiona i pełna łask Bożych, wydała na świat zieleniejącą trawę, pożywienie pokutujących t. j. Syna Bożego. Dziś ziemia ta jest ozdobiona różami i liliami z dolin. Dziś aniołowie wyśpiewują: „Chwała na wysokości Panu!“ Dziś zjawiła się na ziemi cisza, którą daje spokój. Cóż więcej? Wszystko się uśmiecha, wszystko raduje. Dlatego to Anioł powiedział w tym dniu do pasterzy: „Oto zwiastuję wam wesele wielkie...“

W temże kazaniu święty stosuje do Najśw. Marji Panny tekst z Eklezjastyka (L. 8): „Jako lilje które są nad bieżącą wodą“. Najśw. Dziewica jest jako lilja nad potokiem i wykazuje to w całym szeregu najpiękniejszych porównań.

„Lilja — mówi — wyrasta na ziemi nieuprawnej; znajduje się w dolinach; jest biała l pachnąca; ale gdy się zamknie, ukrywa swój zapach, roztacza go tylko gdy jest rozwinięta. Ma sześć płatków, złote pylniki a wewnątrz słupek. Służy jako lekarstwo przeciwko oparzeniu. Nazwana lilją, bo jest jakby z mleka uczyniona *). Jest ona wyobrażeniem Najśw. Dziewicy, czystej, dzięki piękności jej dziewictwa i pochodzącej z rodziców skromnych i cnotliwych: Joachima co znaczy: „który się wznosi“ i Anny, której imię odpowiada wyrazowi „łaska“. Dziś podobnie jak lilja, wydająca zapach, Najśw. Panna wydała na świat Syna Bożego. Złote pylniki wyobrażają ubóstwo i pokorę, które zdobiły dziewictwo Marji. Słupek przedstawia najwyższą miłość Bożą, napełniającą serce Najśw. Dziewicy. Jest ona lekarstwem dla grzeszników, palonych ogniem występków...“

W dalszym ciągu święty wykazuje, jak w dusze grzeszników uderzają pokusy djabelskie, jak one się stają czarne: bo przyzwolenie na grzech, jest jakby dymem, który je otacza ciemnością. Ta czarność znika za sprawą świętej i przeczystej Marji. Jak lilje nad brzegiem potoku zachowują swoją zieloność, piękność i zapach, tak samo Najśw. Marja Panna, gdy wydała na świat swego Syna, zachowała zieloność i piękność dziewictwa“.

Kazanie kończy modlitwą: „Zanosimy więc do Ciebie prośbę o Pani nasza, potężna Matko Boża, w dniu narodzin Twego Syna którego porodziłaś, zostając dziewicą, którego owinęłaś w pieluszki i położyłaś w żłobie. Wyjednaj nam przebaczenie i niech Twoje miłosierdzie uleczy rany, spowodowane przez ogień grzechów w naszej duszy, abysmy zasłużyli cieszyć się z Tobą wiecznem szczęściem. Wszak możemy się spodziewać tej łaski od Tego, który raczył się narodzić z Najśw. Dziewicy. Niech Mu będzie cześć i chwała na wieki wieków. Amen.“

W kazaniu o Matce Boskiej wylicza ze szczególnem upodobaniem wszystkie przywileje, wywyższające Najśw. Marję Pannę ponad inne stworzenia, Jej potęgę orędownictwa, Jej dobroć dla wszystkich chrześcijan i wreszcie Jej doniosłą rolę w sprawie Odkupienia.

Św. Antoni walczy z lichwą i wpływa na wprowadzenie nowego statutu. — Jego opieka nad więźniami. — Bractwo pokutujących.

Chcąc mieć pojęcie, jak święty rozumiał moralność, musimy zwrócić uwagę na to, że dzieli wiernych na dwa rodzaje, pokutujących i rozmyślających. Do pierwszych zalicza tych, co żyją na świecie, a mają chęć służyć Bogu. Do drugich należą zupełnie oderwani od dóbr ziemskich: rozumie tu zakonników wszelkich reguł i chrześcijan, rzeczywiście nie mających przywiązania do dóbr tego

*) Ver dictum, quod viret.

*) lilium dictum, quasi lacteum.

świata. Co chwila powraca do tego podziału i chętnie wychwala rozmyślających.

Nakazuje pozbyć się zupełnie trzech wad: pychy, zamiłowania rozkoszy i pragnienia złota. Jeżeli nie dopuszcza ich u osób świeckich, to tembardziej potępia u duchownych.

Trudno sobie wyobrazić, jakie spustoszenie czyniła lichwa w średnich wiekach. Ten zakazany wyzysk uprawiany był nietylko przez Żydów, lecz wszędzie, a szczególniej we Włoszech, nawet chrześcijanie się tem trudnili, jako środkiem zbogacenia się prędkiego.

Co się tyczy Padwy, dowiadujemy się, że w r. 1228, pożyczający brali 20 i 30 procent. Dłużników niewypłacalnych nietylko obdzierano z mienia, ale nieraz skazywano na wygnanie, lub zamykano w więzieniu aż do chwili zupełnego wypłacenia długu.

Święty Antoni czynił zabiegi w celu złagodzenia losu nieszczęśliwych dłużników. Bartłomiej z Trydentu, współczesny świętego, mówi, że przy jego pomocy wielu mieszkańców Padwy zdołało się wypłacić z długów. Mamy jeszcze tekst dawnego statutu, wprowadzonego w 1231 r., na żądanie świętego. Ustawa opiewa, że na przyszłość nikt nie będzie zatrzymywany w więzieniu, choćby za największy dług, jeśli się zrzeknie całego majątku na korzyść swoich wierzycieli albo poręczycieli. Był to pierwszy krok do środków łagodniejszych, które następnie weszły w życie.

Św. Antoni starał się także o uwolnienie więźniów i osłodzenie ich niedoli.

Św. Antoni założył także w Padwie bractwo pokutujących, zwane *Colombini*

Nawróciwszy wielu heretyków i grzeszników, kazał im kupić dom, w którym wybudowano kaplicę pod wezwaniem Najśw. Marji Panny de la Colombe, skąd pochodzi nazwa bractwa. Bracia nosili długą tunikę koloru popielatego, opasaną sznurem takim, jakiego sam używał.

Pustelnia w Camposario.—Śmierć św. Antoniego.

Św. Antoni przeczuwał, że koniec jego się zbliża. Na początku postu 1231 r. gdy spoczywał we śnie, szatan schwytał go za gardło i chciał udusić. Wówczas św. Antoni wezwał pomocy Najśw. Marji Panny, uczynił znak Krzyża św., poczem szatan znikł, a cela napełniła się światłem niebieskiem. Św. Antoni opowiedział to zdarzenie jednemu z braci. Znużony już był pracą naówczas i znękany cierpieniami.

Na dwa tygodnie przedtem, będąc na wzgórku, z którego mógł podziwiać całą równinę z leżącem na niej miastem Padwą, zaczął chwalić to niezrównane miejsce. Potem, zwracajac się do brata, który mu towarzyszył, przepowiedział, że miejsce to będzie wkrótce sławne, ale nie wymieniał dlaczego, być może widział już wtedy chwałę, jaka z niego miała spłynąć na Padwę.

Nadeszło lato 1231 r. Widząc, że czas żniw nastaje i że potrzeba rąk do pracy, — nie chciał święty zatrzymywać tłumów, które zbiegały się na jego kazania i odłożył nauczanie do odpowiedniejszej pory. Szukał samotności i zdawał się ją znaleźć w spokojnej ciszy Camposampiero. Właściciel tej posiadłości, Tiso, był przyjacielem Braci Mniejszych i w jego domu właśnie mieścił się klasztor franciszkański. Dowiedziawszy się o postanowieniu św. Antoniego, wielce się ucieszył i starał się usilnie, aby nic zbywało na niczem w jego domu świętemu mężowi.

Tiso posiadał w blizkości klasztoru dobra, pokryte lasami. Tam wśród olbrzymich drzew wyróżniał się orzech, wznoszący się ponad inne drzewa i z każdego pnia wyrastało sześć gałęzi, tworzących rozłożystą koronę. Uderzyła świętego piękność tego drzewa i prosił, aby mu tam zbudowano pustelnię. Miejsce było samotne, pełne spokoju, jakby stworzone do rozmyślania. Tiso, jak mógłby najprędzej starał się spełnić to życzenie i sam przygotował mieszkanie z mat, z pali i gałęzi wierzby. Zbudowano również dwie podobne celki dla towarzyszów św. Antoniego. Wówczas św. oddał się w zupełności rozmyślaniu. W tem nadpowietrznem schronieniu czuł się bliżej nieba i zdawał się przygotowywać do odlotu ku ojczyźnie niebieskiej.

Trzynasty czerwca tego roku wypadał w piątek. W porze obiadowej święty opuścił swoją celę, aby, według zwyczaju, zasiąść do stołu z braćmi. Nagle poczuł, że siły go opuszczają, a że osłabienie wzmagało się, wstał, podtrzymywany przez towarzyszów i rzucił się na łóżko. Widząc, że śmierć się zbliża, powiedział do jednego z nich, Ruggero:

— Jeśli pozwolicie, udam się do Padwy, do klasztoru Matki Boskiej, aby nie robić kłopotu tutejszym braciom.

Rugerro zgodził się na to, ale trzeba było przezwyciężyć opór innych braci, którzy całą siłą sprzeciwiali się temu odjazdowi. Zaprzężono do powozu i św. Antoni powrócił do Padwy. Jeden z braci, który wyszedł na jego spotkanie zobaczywszy go tak słabym, zaklinał, aby nie udawał się do klasztoru Najśw. Marji Panny, lecz żeby pozwolił się zawieźć do Arcelli, na przedmieściu Campo di Ponte, gdzie bracia mieli inny dom przy klasztorze Ubogich niewiast. Dał się św. Antoni w końcu przekonać, gdy brat zaczął mu przedstawiać, że częste odwiedziny mieszkańców Padwy zakłócałyby mu nieustannie spokój w razie, gdyby udał się do klasztoru Najświętszej Marji Panny.

Gdy przybyli do Arcelli, choroba znacznie się wzmogła; św. Antoni zaczął okazywać niepokój. Gdy

wrócił do równowagi, wyspowiadał się, otrzymał absolucję i zaczął śpiewać hymn do Matki Boskiej *Gloriosa Domina*... Gdy skończył wzniósł oczy do nieba i patrzył długo przed siebie z wyrazem zdumienia. Obecni bracia zapytali, co tam widzi, odpowiedział:

— Widzę Pana mego!

Bracia uważali, że koniec się zbliża i postanowili udzielić mu Ostatniego namaszczenia. Gdy jeden z nich przyniósł Olej święty, Antoni spojrzał na niego i rzekł:

– Bracie, niepotrzebnie chcesz mi oddać tę przysługę: mam to namaszczenie wewnątrz duszy. Jednakże to jest dobre i sprawi mi przyjemność.

Wyciągnął ręce, potem je złożył i śpiewał aż do końca Psalmy pokutne z braćmi. W pół godziny, potem dusza jego uwolniła się z więzów ciała. Święty miał pozór śpiącego. Ręce miał białe i piękniejsze niż za życia. Inne członki były giętkie w dotknięciu. Liczne cuda, jakie zaszły zaraz po śmierci, stwierdziły jego świętość.

Pogrzeb św. Antoniego.

Bracia Mniejsi w Arcelli przeczuwali, że powstaną trudności co do miejsca, gdzie ma być święty pochowany. Nie mieli własnej kaplicy, bo byli tam tylko do obsługi Ubogich niewiast. Te jednak miały własną kaplicę i byłyby szczęśliwe, gdyby mogły przechowywać zwłoki świętego. Z drugiej strony, tenże mieszkał nie w Arcelli, lecz u Najśw. Marji Panny, to jest w klasztorze Braci Mniejszych, znajdującym się w Padwie. Prosił przytem na łożu śmierci brata, który go pielęgnował, aby postarał się o pochowanie go w tym domu, który przekładał nad inne. Oczekując na postanowienie właściwej zwierzchności, zdecydowano, żeby zamilczeć o śmierci św. Antoniego. Ostrożność zbyteczna! Wieść ta rozeszła się lotem strzały, dzieci biegały po mieście, wołając:

— Umarł święty Ojciec! Już umarł święty Antoni!

Wówczas zaczęli się zbiegać mieszkańcy Padwy, a w szczególności mieszkańcy przedmieścia Campo di Ponte, gdzie była Arcella: utworzyli z pomiędzy siebie straż, która miała strzedz zwłok od niespodziewanego napadu.

Gdy Bracia Mniejsi od Najśw. Panny przybyli, aby zabrać drogocenne zwłoki, zmuszeni byli cofnąć się wobec niewzruszonej postawy uzbrojonych ludzi, którzy otaczali szczątki świętego. Wyzuci ze swej własności, udali się do biskupa, który osądził sprawę na ich korzyść i żądał dla nich opieki władzy świeckiej. Ale mieszkańcy przedmieścia nie chcieli ustąpić i—przysięgli, że wszystko poświęcą, nawet życie i majątek, a nie pozwolą na zabranie zwłok świętego.

Postanowiono więc zaczekać aż do przybycia przełożonego prowincjonalnego. Aby uniknąć natręctwa ludu, skromny domek Braci Mniejszych zamknięto na klucz i zaryglowano. Lecz i to nie pomogło. Tłum złamał zapory, pozorując to chęcią zobaczenia zwłok św. Antoniego. Jednocześnie,

Matka Boska z Dzieciątkiem i św. Antoni Padewski
pędzla Van Dyck'a.
Muzeum w Medyolanie.

z Padwy, z okolicznych miasteczek i zamków przybywali wierni. Ci, co nie mogli się zbliżyć dość blizko, rzucali przez okna i drzwi lub zawieszali na drągach przedmioty, które chcieli poświęcić dotknięciem do zwłok. Pora była gorąca, Bracia więc chcieli tymczasowo pochować zwłoki. Wówczas wśród tłumu zaczęła krążyć wieść: „Ciało zostało zabrane!“ Jednocześnie powstały rozruchy w Campo di Ponte i tłum, uzbrojony w kije i broń, napadł na klasztor. Trzeba było wydobyć trumnę z ziemi.

Nareszcie przybył przełożony prowincjonalny, zaczekał jeszcze z wydaniem ostatecznego postanowienia, aż się uspokoją umysły i oświadczył się za klasztorem Najśw. Marji Panny, przypomniał, że taka była ostatnia wola świętego i zwyciężył wszelki opór. Biskup, był tego samego zdania i zwrócił się do rządcy o poparcie. Był to już czwarty dzień od śmierci św. Antoniego; postanowiono więc, że pogrzeb odbędzie się nazajutrz.

Ażeby uniknąć rozruchów w Campo di Ponte, pochód żałobny miał ominąć most, od którego przedmieście to bierze nazwę i przejść po umyślnie w tym celu ustawionym z łódek między Arcellą i miastem

Ale mieszkańcy przedmieścia zniszczyli go toporami i uzbrojeni oczekiwali ataku ze strony miasta. Podesta zrozumiał, że należy tu działać stanowczo. Zwołał do wielkiej sali, w której zbierał się cały lud, wszystkich obywateli Padwy i rozkazał mieszkańcom przedmieścia pozostać w mieście i nie powracać do domu tego dnia, pod grozą konfiskaty całego majątku.

Po wydaniu tego rozkazu, biskup udał się do Arcelli, aby zabrać ciało św. Antoniego. Nie potrzebujemy dodawać, że pogrzeb był wspaniały. Najpierw postępował podesta i znakomitsi obywatele miasta, którzy mieli szczęście nieść trumnę na swoich barkach. Ulice nie mogły pomieścić tłumów, towarzyszących pochodowi. Wszyscy, według ówczesnego zwyczaju, nieśli zapalone świece woskowe, tak, że całe miasto wyglądało jak illuminowane. Biskup celebrował Mszę św. u Najśw. Marji Panny, poczem złożono w tym kościele zwłoki świętego, tak jak sobie tego życzył.

Lud otaczał świętego, któremu sprawił tak wspaniały pogrzeb – wielką czcią i ufnością. Od tego dnia począwszy, przyprowadzano na grób jego chorych i ci za dotknięciem się go, powracali do zdrowia. Inni, którym ścisk ludu nie dozwolił się zbliżyć, kazali przynosić się na próg kościoła i w oczach tłumu otrzymywali zdrowie. Cuda nabrały wkrótce powszechnego rozgłosu, rozpoczęły się stałe pielgrzymki do Najśw. Marji Panny. Pielgrzymi szli z chorągwiami na czele i boso: najwięksi panowie, damy i rycerze łączyli się z pielgrzymkami. Pobożny biskup Jakób Corrado uważał za potrzebne zdejmować obuwie, gdy się zbliżał do miejsca uświęconego przebywaniem drogich zwłok. To samo uczynił podesta, gdy przybył w otoczeniu świty i niezliczonego tłumu mieszkańców Padwy. Studenci uniwersytetu śpieszyli tam także z wielką pobożnością. W tłumie pielgrzymów widziano też wielu przybyszów nietylko z Włoch ale i z ziem słowiańskich, z Niemiec i z Węgier.

Pielgrzymi nie zaniedbywali praktyki pobożności, najodpowiedniejszej ku uczczeniu świętego patrona. Tak chętnie śpieszyli do Sakramentu Pokuty, że zgromadzenie u Najśw. Marji Panny nie wystarczało do słuchania spowiedzi.

Kanonizacja św. Antoniego.

Na widok tylu cudów, wkrótce jeden tylko rozlegał się okrzyk, jedno tylko życzenie: żądać w Rzymie kanonizacji św. Antoniego. Nie cały miesiąc upłynął od jego śmierci, a już biskup, duchowieństwo, podesta i mieszkańcy Padwy robili w tym celu starania. Papieżem był wówczas Grzegorz IX, dawny kardynał Ugolino, protektor zakonu Franciszkanów. Znał on blizko św. Antoniego i mógł ocenić wysoką jego świętość. Przyjął więc łaskawie posłów z Padwy i za jednomyślną zgodą św. kolegjum, polecił zbadanie tej sprawy biskupowi Corrado opatowi Benedyktynów, Giordano Sforzatè i przeorowi Dominikanów. Cuda ciągle się powtarzały i większość ich stwierdzona została przez wiarogodnych świadków. Po przeprowadzeniu drobiazgowego śledztwa, biskup, podesta, również jak i uniwersytet, wysłali do Ojca św. nowe poselstwo, na czele którego stały znakomite osobistości, własnem świadectwem stwierdzając opowiadanie o cudach, przedstawione rzymskiemu dworowi. Wielu kardynałów było zatem, aby według zwyczajów Kościoła wstrzymać się jeszcze czas jakiś z kanonizacją, by nie narazić się na zarzut zbytniego pośpiechu. Inni naglili.

Kardynał Jan biskup Sabiny, delegowany do badania cudów wymienia ich czterdzieści siedm. Ojciec św. uznał, że liczba ta wystarcza do rozpoczęcia bezzwłocznej kanonizacji. Odbyła się ona w Spoleto w dzień Zielonych Świątek, 30 maja 1232 r. Nie upłynął więc rok jeszcze od śmierci św. Antoniego. Gdy przeczytano Grzegorzowi IX w streszczeniu historję cudów, które się stały za za sprawą cudotwórcy, Papież włączył go do spisu świętych i postanowił, że uroczystość jego będzie obchodzona w rocznicę śmierci.

Nabożeństwo do św. Antoniego rozwinęło się szczególniej w Padwie i to w takich rozmiarach, że jest ściśle złączone z historją tego miasta. Mieszkańcy Padwy zawsze wzywali jego pomocy w chwilach utrapienia. a gdy doznali pociechy i pomocy, przypisywali je pobożnemu wstawiennictwu świętego. Padwa zdobyta przez Ezzelina III w r. 1237, uwolniła się z pod tego jarzma dnia 19 czerwca 1256 r. Było to w oktawę uroczystości św. Antoniego i mieszkańcy Padwy przypisywali to tak upragnione uwolnienie się od jarzma tyrana wstawiennictwu świętego. Według podania św. Antoni ukazał się gwardjanowi klasztoru w Padwie, bratu Bartłomiejowi Corradiniemu, w chwili, gdy ten modlił się na jego grobie i błagał o uwolnienie miasta i że przepowiedział mu to wybawienie w oktawę jego święta.

Wśród licznych dowodów czci jednym z najwymowniejszym jest—bazylika zbudowana pod wezwaniem świętego, później zwana *Il Santo*. W r. 1213, gdy jeszcze daleko było do końca, postanowiono przenieść tam relikwje świętego. Wówczas zauważono, że ciało jego uległo zepsuciu z wyjątkiem języka, który był jeszcze nienaruszony. Święty Bonawentura, obecny przy przeniesieniu zwłok, w charakterze przełożonego generalnego zakonu, rozkazał złożyć go osobno w relikwiarzu. Dziś jeszcze pielgrzymi mogą sprawdzić trwanie cudu przy zwiedzaniu skarbca bazyliki.

Nabożeństwo do św. Antoniego nie ograniczyło się na Padwie, ale już od XIV w. kwitło we Włoszech, szczególniej w Rzymie, w Siennie i Neapolu. Papież Sykstus IV i św. Bernardyn z Sienny wiele przypisywali wstawiennictwu świętego. Od XVI w. rozszerzyło się ono na cały świat katolicki, a dziś jesteśmy świadkami cudownego prawdziwie rozwoju czci świętego, Sicco Polentone.

Jak się przedstawia postać św. Antoniego, w świetle najnowszych badań.

Posiadamy tylko opis jego osoby, który podaje kronikarz z Padwy.

Św. Antoni, powiada on, pozostał całe życie dziewiczym. Miał płeć śniadą, wzrostu był mniej niż średniego, ale otyły i chory na wodną puchlinę. Rysy miał delikatne i wyraz twarzy skupiony, tak, że od pierwszego wejrzenia nie znając go bliżej, można się było domyśleć, że miał charakter łagodny i że był człowiekiem świętym. Kolor ciała jego, wskutek pochodzenia hiszpańskiego ciemny, z powodu życia surowego i niezdrowia przybladł. Po śmierci ciało zbielało zupełnie. To jednak nietylko nie zmieniło jego rysów, ale dodało mu jeszcze jasnego i pogodnego wyrazu twarzy, tak, że wyglądał nie na umarłego — ale na śpiącego.

Uważamy za pożyteczne skreślić tu w krótkości duchowy obraz świętego, jak się przedstawia nam w rysach najbardziej pewnych. Dominowała w nim przedewszystkiem niezwykła energaj. Nie lękał się ani trudów, ani zmęczenia, ani walki; energję swą wytężał w kierunku doskonalenia się duchowego i zbawienia dusz. Młodo opuścił świat, bo widział w nim mnóstwo niebezpieczeństw, a chciał za jakąbądź cenę stanąć czystym przed Panem. A gdy spostrzegł, że pierwszy klasztor, do którego się udał, nie dość go chronił przed światem, nie wahał się opuścić Lizbony i udać się do Koimbry. W klasztorze rozumiał, że nietylko obowiązany był dbać o swoje zbawienie. ale że winien też pracować nad zbawieniem innych. Chcąc stać się pożyteczniejszym pracownikiem w winnicy Pańskiej, oddał się nauce, w szczególności zaś studjom Pisma św., tak, że zasłużył sobie na nazwę *Arki Testamentu.*

Wypadek nieoczekiwany zmienił kierunek jego gorliwości. Modląc się nad relikwjami męczenników w Marokko, pozazdrościł im tej śmierci i tego tryumfu, i aby ich szczęście podzielić, nie wahał się opuścić kanoników regularnych i został Bratem Mniejszym. Wkrótce też udał się do Marokko, gdzie zresztą nadzieje jego zostały zawiedzione. Miał jednak silną wolę być mężem apostolskim i wśród bohaterskiej rodziny św. Franciszka z Asyżu odznaczał się uduchowieniem, surowością i gorliwością. Przez jakiś czas był tylko ubogim bratem, oddanym w zupełności rozmyślaniom. Opatrzność wtedy ukazała go ludziom i uczyniła lektorem i kaznodzieją. Wiedzę nabytą u kanoników regularnych zachował całkowicie w swej cudownej pamięci i używał jej ku zbawieniu dusz, w gorącem uniesieniu zdawał się nie oszczędzać nikogo, podobny w tem do św. Bernarda. Równie jak ten ostatni wywierał potężny wpływ na tłumy, które podnosił i pociągał ku sobie. Podobnie jak on wypoczywał w kontemplacji po trudach apostolskich: na krótko przed śmiercią przebywał po raz ostatni w samotności i skupieniu.

Zaledwie umarł, cuda mnożyły się na jego grobie i wsławiały go ku czci wszystkich ludów. Aureola cudotwórcy olśniewa wiernych; nie należy również zapominać o czci należnej jego czystości, jego surowości zakonnej, jego gorliwości i wymowie apostolskiej.

Dzieła św. Antoniego.

Pomiędzy dziełami przypisywanemi św. Antoniemu Padewskiemu część nie do niego należy, a te które ogólnie uważane są za jego własne prace dają nam zaledwie słabe pojęcie o kaznodziejstwie tego apostoła, którego wpływ na tłumy był tak olbrzymi.

Począwszy od w. XVI-go zjawiają się częściowe wydania prac świętego. Badius Ascensius wydał w r. 1520 *Sermones Dominicales sive de Tempore.*

Najlepsze wydanie dzieł sw. Antoniego jest przez O. J. de la Haye, Paryż 1641 i Lyon 1655 r. Są tam następujące dzieła:

Concoraantiae morales Sacrorum Bibliorum. Jest to rejestr ciekawy i prawdziwie pożyteczny. Odpowiednio do tematu, mającego się rozwijać, autor wskazuje ustępy z Pisma św., z których można korzystać. Niema jednak pewnych dowodów, że jest to rzeczywiście przez św. Antoniego napisane.

Interpretatio mystyca in Sacram Scipturam. Sermones Dominicales et Sermones de Sanctis. (W tych zbiorach kazania są albo źle powtórzone albo nieautentyczne).

W Padwie przechowuje się razem ze szkatułką, w której znajdują się relikwje świętego, rękopis na pergaminie, który od końca w XIII-go był uważany za relikwje i jako taki, noszony na procesji. Brak mu tytułu, a widocznem jest, że został oddarty, równie jak i wiele komentarzy na marginesie. Notatka na pierwszej stronicy pochodząca, zdaje się z r. 1439, dziś zagubiona, wskazywała, że święty napisał to dzieło i że go używał: „Dawna tradycja mówi, są słowa notatki, że uwagi dodane do tej pracy, były napisane własną ręką św. Antoniego i że wiele kart było wyciętych przez czcicieli świętego".

Ten to dokument ze szkatułki, posłużył do ocenienia wszystkich rękopisów i książek, wydanych pod nazwą dzieł św. Antoniego.

Konwentualni Bracia Mniejsi w Padwie mają w Bibljotece św. Antoniego dwa inne rękopisy, których treść jest ta sama, co i poprzedzającego.

O. Josa wydał w r. 1885 w Padwie Kazania św. Antoniego ku chwale Najśw. Marji Panny oraz kazania na dzień Wniebowzięcia.

Obydwa te wydania były dokonane według rękopisu, znalezionego w szkatułce.

Sermones in Psalmos, które również przypisują św. Antoniemu, jest raczej nauką o psałterzu a nie zbiorem kazań.

Źródła.

Leopold Palatini. *Sant' Antonio di Padova dolla legenda allo storia.*

Jan Rigaud. *Żywot św. Antoniego.*

Bolandino. *Kronika z 1260 r.*

Henryk Salvagnini. *Św. Antoni i jego epoka.*

Ks. dr. Albert Lepitre. *Św. Antoni Padewski.* (tłum. polskie ks. Ant. Tauera, prof. Sem. warsz.).

Obraz Najświętszej Maryi Panny w Gidlach. *)

W powiecie Nowo-Radomskim o 12 wiorst na południe od Radomska, położona wieś, wsławiła się w szesnastym wieku cudownem zjawieniem się Najśw. Bogarodzicy w następujący sposób. Z początkiem maja 1516 r., wyjechał na orkę z parą wołów Jan Czeczek. Nagle wśród pracy woły zatrzymały się, uklękły i mimo bicia ruszyć z miejsca nie chciały. Zdumiony tem kmiotek, spostrzegł na ziemi dziwnym okrytej blaskiem, małą, czterocalową figurkę Najśw. Bogarodzicy, grubo z kamienia rzeźbioną. Podniósł ją z uszanowaniem i przybywszy do domu schował na spodzie skrzyni, pod bieliznę i suknie, nie mówiąc o tem nikomu, prócz żonie swojej. Zdziwiło go, gdy później zauważył, że figurka zawsze na wierzchu w skrzyni się znajduje, lubo ją za każdym razem na spodzie umieszczał.

Nie długo potem dopuścił Bóg na Jana, na żonę jego i na cały dom ślepotę; sąsiedzi litując się nad niemi, najęli im do posługi niewiastę, która zaglądając razu jednego z potrzeby do skrzyni Janowej, spostrzegła w niej jaśniejący wizerunek Matki Najśw., a dowiedziawszy się od gospodarza o cudownem jej wyoraniu, doniosła o wszystkiem proboszczowi, ks. Piotrowi Wołpkajowi. Ten udał się do domu Czeczka w towarzystwie kilkunastu osób, zabrał ze skrzyni św. figurkę, zaniósł ją do kościoła i włożywszy do tabernakulum, zamknął, a klucz zabrał ze sobą. W tym czasie Czeczek i cały dom jego od ślepoty zostali uwolnieni. Inną

Zjawienie się cudownej figury Matki Boskiej w Gidlach.

*) K. Alojzy Fridrich T. J. „Historje cudownych obrazów Najśw. Maryi Panny w Polsce. Kraków 1908.

jednak była wola Boża gdyż wkrótce potem wiele osób spostrzegło św. figurkę na roli Czeczka otoczoną nadziemską jasnością. Dano o tem znać ks. proboszczowi, który przekonawszy się, że figurki w tabernakulum nie było, zrozumiał, iż wolą jest Boga, aby ta figurka na miejscu zjawienia się publiczną cześć odbierała. Postawiono więc na roli Czeczka drewniany krzyż z wydrążeniem, w którem uroczyście ją umieszczono, w obecności mnóstwa ludu i samego dziedzica Gidel: Adama Gidzielskiego. Ten wybudował przy krzyżu domek dla straży św. figurki.

W tym stanie pozostawała statuetka Najśw. Panny lat kilkanaście, ściągając mnóstwo pobożnych, którzy tu rozmaitych łask od Matki Najśw. doznawali. Zdarzyło się, że Marcin Gidelski, syn Adama, bawiąc na Szlązku podejrzany o zabójstwo, wtrąconym został do więzienia. Nie spodziewając się z nikąd pomocy, udał się z gorącą prośbą do Matki Najśw. ślubując, że jeżeli odzyska wolność, zbuduje kaplicę na miejscu zjawienia się św. figurki w Gidlach. Co też wkrótce z wdzięcznością wykonał, gdyż za łaską Marji niewinność jego została wyświeconą.

Minęło znowu lat kilkadziesiąt, pobożny lud garnął się do kaplicy, doznając tamże licznych łask od nieba Królowej wreszcie kapliczka chyliła się do upadku. Widząc to Anna z Rusocic Dąmbrowska, ówczesna dziedziczka Gidel, wybudowała na miejscu drewnianej, murowaną kaplicę, a to przy pomocy Stanisława Stobieckiego, Podstolego sieradzkiego i ufundowała przy niej klasztor dla O.O. Dominikanów roku 1615. Teraz dopiero rozkrzewiła się szeroko i daleko cześć Najśw. Panny Gidelskiej. Na miejscu kaplicy O.O. Dominikanie wybudowali ze składek pobożnych wspaniałą świątynię; liczne cuda i łaski tu doznawane spisywał osobny protonotaryusz apostolski. Po przeprowadzeniu duchownej komisji, zatwierdziła je władza duchowna w roku 1616, a po sprawdzeniu ponownem, zatwierdził je biskup Maciej Łubieński, dekretem 30 października r. 1651. Z licznych łask doznanych w Gidlach. godzi się wspomnieć o kilkunastu umarłych, wskrzeszonych cudownie do życia, kilkunastu ślepych, którzy tu wzrok odzyskali — wielu w niebezpiecznych i nieuleczalnych będących chorobach, którzy tu sobie zdrowie wyprosili.

Cudowną figurkę Najśw. Bogarodzicy zdobią srebrne, brylantami sadzone korony, otaczają liczne wota, a między niemi: złoty, misternej roboty relikwiarzyk, dar króla Michała Korybuta, który nawiedzając to miejsce, zdął go z siebie i na ołtarzu złożył. Nad figurką zawieszona jest duża srebrna złocona korona, bogato ozdobiona drogiemi kamieniami, ofiarowana w roku 1651 przez Jana Leszczyńskiego, biskupa kijowskiego. Dawniej było tu daleko więcej wotów i różnych bogactw, ale w roku 1656 zabrano stąd 105 grzywien srebra na potrzeby ojczyzny, podobnież 1706 r. za czasów Augusta II; nadto w XVII wieku z wotów tu ofiarowanych dano ulać 6 srebrnych lichtarzy, które dotąd zdobią ołtarz Marji.

I w naszych czasach kwitnie cześć Najśw. Panny w Gidlach. Na większe uroczystości przybywają tu liczni pątnicy, z których około 3000 przystępuje do ś.ś. Sakramentów.

O Gidlach i cudownej tamże figurze Matki Najśw. wyszło kilka dzieł i broszur w rozmaitych czasach. Najważniejsze z tych:

a) *Historja o cudownym obrazie Przen. Panny Marji, który jest w Gidlach*, wydał Jerzy Trebnic, Kraków 1636.

b) *Historja i pożytki Skarbu znalezionego obrazu cudownego P. Marji Gidelskiej*, Kraków 1645. To samo w języku łacińskim.

c) *Skarb wielki województwa Sierackiego*, Zagajewski Ambroży, Kraków 1723.

d) *Wiadomość historyczna o obrazie N. Marji P. w kościele O.O. Dominikanów w Gidlach.* Warszawa 1845. Toż samo wydane w latach 1851 i 1857.

e) *Marja Gidelska w słynącym łaskami obrazie* przez ks. M. Dominikanina, Warszawa 1871.

Dnia 16 Czerwca.

BŁOGOSŁAWIONA JOLANTA czyli HELENA

KLARYSKA, KSIĘŻNA KALISKA.

1235 † 1298.

Za rządów papieży: Św. Grzegorza IX, Mikołaja IV, króla polskiego Bolesława Wstydliwego.

O, prawdziwa miłości mego Boga, jakże jesteś wszechmocną, kiedy nic ci się nie zdaje być niemożliwem! Jakże szczęśliwą jest dusza obdarzona od Boga takim spokojem, że pogardza trudem i niebezpieczeństwy i niczego się nie lęka, prócz tego, żeby wytrwać w służeniu swemu Panu tak, jak tego pragnie i jak też on na to zasługuje.

Św. Teresa.

Dziecinne lata i wychowanie błog. Jolanty.

Błogosławiona Jolanta, co oznacza po węgiersku Helena, urodziła się w r. 1235, była córką króla węgierskiego Beli IV i Marji cesarzówny greckiej a siostrą św. Kunegundy, królowej polskiej, której żywot podaliśmy w roku zeszłym.

Rodzice cieszyli się wielce z przyjścia na świat tej dzieciny, ponieważ w owym czasie już innych dzieci w domu nie mieli; córki bowiem powydawali za mąż, dwaj synowie Stefan i Bela rycerskim bawili się rzemiosłem. Pobożni małżonkowie otoczyli córeczkę najmłodszą niezmierną pieczołowitością.

W komnacie królewny odprawiała się codziennie msza św., ażeby Zbawiciel błogosławił tej dziecinie od zarania jej życia.

Piastunkę i ochmistrzynię wybrano starannie pomiędzy osobami doświadczonej roztropności i cnoty, ażeby żadne gorszące słowo nie obiło się o uszy żaden zły przykład nie przedstawił się oczom dziecięcia. Wiedzieli bowiem dobrze jego rodzice, że wrażenia odebrane w wieku dziecinnym odbijają się silnie w pamięci i wyobraźni i niezmierny wpływ na późniejszy charakter wywierają. Cicha, skromna, posłuszna, błog. Jolanta już w dziecinnych latach zapowiadając wielkie cnoty, któremi miała później zajaśnieć, wielką pociechę przynosiła rodzicom swoim; troskliwość ich o dobre wychowanie ukochanego dziecięcia powiększała się w miarę jak ono wzrastało. A gdy namyślali się komuby ją powierzyć, do uszów ich coraz to częściej dochodziły wieści o cnotach starszej ich córki św. Kunegundy, jak to umiała na tronie książęcym zakonne prowadzić życie, władzy swojej i bogactw jedynie dla uszczęśliwienia swoich poddanych używając. Zapytali się jej więc, czyby nie chciała zająć się wychowaniem młodszej swojej siostrzyczki.

Jak najchętniej zgodziła się na to. Przez ślub dziewictwa wyrzekła się pociech macierzyństwa, tem więcej przeto uśmiechała się jej myśl, że będzie mogła zajmować się wykształceniem swojej siostrzyczki, niewinne jej młodociane i tyle już dobrego obiecujące serce, na wzór Najsłodszego Serca Jezusowego, kształcić. Jeżeli artysta doświadcza wielkiej radości, nadając zewnętrzne kształty ideałowi, jaki w duszy swojej wypiastował, o ileż czystszą jest radość ochmistrza, który nie na martwem płótnie lub kamieniu, ale na żywej duszy i na obraz Boga stworzonej, tenże obraz niewyraźny i przez nieszczęsne następstwa grzechu pierworodnego zatarty, wydobywa i ukształca. Powiększała radość św. Kunegundy pewność, że dziecię tak dobre i tak troskliwie od narodzenia swego chowane, zupełnie jej będzie powolnem i nigdy żadnej nie sprawi jej przykrości. Gdy więc przyszła wiadomość, że młodziutka królewna pod opieką licznego orszaku wiernych i roztropnych dworzan zbliża się do Krakowa, wyjechała wraz z małżonkiem swoim i najserdeczniej powitawszy, na zamek krakowski przywiozła.

W czasach, gdy żywa i gorąca wiara panowała w rodzinach książęcych, oddawały one dzieci swoje do klasztorów na wychowanie z tem mocnem przekonaniem, że nikomu bezpieczniej nie mogą ich powierzyć jak osobom Bogu poświęconym, oraz że zacisze klasztorne najlepiej sprzyja do wykształcenia w wierze i moralności chrześcijańskiej młodocianych umysłów i serc.

W sposób wyjątkowy błog. Jolanta nic na tem nie straciła, że zamiast do klasztoru oddaną została na dwór krakowski, ale bo też w niczem tam życie nie różniło się od klasztornego. A księżna krakowska umiała na tronie, przez zachowanie rad ewangelicznych, dążyć do doskonałości chrześcijańskiej i jaśnieć cnotami, które w klasztorach tylko znajdować się zwykły. Najskromniej zawsze się ubierała. Tak ścisłemi postami się umartwiała, że często ją mąż i spowiednicy usilnie prosić musieli, ażeby miała wzgląd na zdrowie swoje. Całe noce na modlitwie, a dnie na miłosiernych uczynkach trawiła, często odwiedzała ubogich chorych po szpitalach lub nędznych chatach i sama ich opatry-

wała. Taki sposób życia, którego codzień była świadkiem młodziutka królewna niezmiernie się jej podobał; swojem niewinnem i gorąco Pana Jezusa miłującem sercem łatwo zasmakować mogła w tem tak pięknem, szlachetnem i pełnem chrześcijańskiego zaparcia się i poświęcenia życiu.

Nic dziwnego, że pod okiem świętej mistrzyni dziecię tak bogobojne szybki postęp we wszystkich cnotach czyniło. Wtedy to już błog. Jolanta polubiła nabożeństwo do Męki Pańskiej, które ją potem do tak wzniosłej doprowadziło bogomyślności. Wtedy także, pełniąc uczynki miłosierdzia wraz z siostrą swoją, którą ubodzy Krakowa matką swoją nazywali, usposobiła się do tego, ażeby później sama została matką ubogich w księstwie, które jej Pan Bóg przeznaczył.

Książe Bolesław Pobożny prosi o rękę królewny Jolanty.

Gdy w ten sposób doszła już Jolanta do lat 17, Opatrzność Boska zrządziła, że z Bolesławem Wstydliwym, świętą jego małżonką i jej siostrą zapoznał się bliżej, książe kaliski i gnieźnieński, Bolesław Pobożny, prawnuk Mieczysława Starego a syn Władysława Ottonicza, który wiele dobrego duchowieństwu świadczył.

Nie sprzyjało mu jednak szczęście. Henryk Brodaty sądząc, że to będzie pożytecznem dla narodu Polskiego, ażeby drobne księstwa, na które został podzielony, znowu się pod jednem berłem złączyły, z jednej strony objął opiekę nad dziedzictwem małoletniego Bolesława Wstydliwego, z drugiej dążył do zawładnięcia Wielkiej Polski. Za jego namową panowie wielkopolscy opuścili Ottonicza, a gdy tenże nawet po śmierci Henryka Brodatego nie mógł powrócić do władzy, pełen żalu udał się do Świętopełka na Pomorze i wkrótce ze zgryzoty życie zakończył. Dwóm synom jego Przemysławowi i Bolesławowi pozostały tylko dwa zamki Nakło i Uście z przyległościami, a wszystkie inne przeszły pod panowanie Henryka książęcia szląskiego.

Po zabiciu przez Tatarów Henryka Pobożnego, najstarszy syn jego Bolesław Łysy objął rządy Wielkiej Polski, lecz nie długo zdołał je zatrzymać gdyż rycerstwo widząc jak sobie ich lekceważy, a urzędy wszelkie rozdaje Niemcom, odmówili mu posłuszeństwa, i wszystkie miasta i zamki Wielkiej Polski oddali synom Ottonicza w r. 1242. Nie sprzeciwiali się temu Bolesław Łysy z braćmi swojemi, bo im św. Jadwiga przedstawiła, że nieprawnie przywłaszczył sobie Wielką Polskę ich ojciec. A nawet na znak przyjaźni zezwolili na małżeństwo ich siostry Elżbiety z Przemysławem.

Nieszczęśliwy w owym czasie podział Polski na kilkanaście księstw, nieoznaczone ich granice, przechodzenie częste z jednych rąk do drugich, były powodem częstych zatargów. Smutnym tego przykładem było nieporozumienie, które zaszło pomiędzy dwoma tak cnotliwemi braćmi, jakiemi byli książęta Wielkopolscy, wskutek którego Przemysław uwięził młodszego brata swojego Bolesława. Ale gdy go upomniał arcybiskup gnieźnieński Fulko, uwolnił brata w święto Wielkiej Nocy 1253 roku. Natenczas na Zjeździe w zamku Gieczu za pośrednictwem arcybiskupa i przedniejszych panów, przyszło do zupełnej zgody pomiędzy obu braćmi, która już nigdy potem niczem zakłóconą nie została.

W parę lat potem gdy Świętopełk najechał Nakło, należące do Przemysława, chcąc mu iść w pomoc, zjechali się dla umówienia się o to, Ziemowit książe mazowiecki, Kazimierz książe sieradzki, Bolesław Pobożny. Ci dwaj ostatni przy tej sposobności, bliżej się poznali i szczerze zaprzyjaźnili. Umiał Bolesław Wstydliwy ocenić wielkie przymioty książęcia gnieźnieńskiego, wielką jego miłość do Kościoła i narodu, dzielność i męztwo połączone z łagodnością. Gdy więc w tymże roku 1256 po zwycięstwie nad Świętopełkiem, wróciwszy do domu, Bolesław Pobożny wysłał posłów do Krakowa z prośbą o rękę młodej królewny węgierskiej Jolanty, a do prośby jego dołączył swoją Przemysław, usilnie za bratem się wstawiając, bardzo mile przyjętem zostało to poselstwo przez Bolesława Wstydliwego i małżonkę jego; ale nie ośmielając się sami stanowczo odpowiedzieć, odesłali je na dwór węgierski, do rodziców Jolanty i zarazem ze swojej strony posłali do nich jak najpochlebniejsze o książęciu gnieźnieńskim zdanie.

Błog. Jolanta z żalem opuszcza dwór krakowski. Małżeńskie gody.

Polegając w zupełności na zdaniu zięcia swojego i uważając nowy związek małżeński z Piastem za korzystny dla narodu swojego, król Bela i żona jego przyjęli oświadczenie się Bolesława Pobożnego. Dopiero po odebraniu przychylnej od nich odpowiedzi św. Kunegunda powiedziała siostrze, że się o nią oświadczył książe gnieźnieński i rodzice radzi w nim widzieć zięcia swojego. Bardzo się tem zaniepokoiła młodziutka królewna; dobrze jej było w domu siostry, kochała ją, radaby nigdy nie zmieniać tego sposobu życia: cichego, spokojnego, wolnego od ciężkiej odpowiedzialności i wielkich obowiązków, któreby przyjąć na siebie musiała, idąc za książęcia obszernem księstwem władającego. Tutaj tak swobodnie cały swój czas poświęcała modlitwie i uczynkom miłosierdzia, pod okiem i w towarzystwie świętej siostry swojej. Jakże opuszczać tak dobrą przyjaciółkę i w tak młodym wieku, bo

w siedemnastej wiośnie życia zaprzęgać się w twarde jarzmo małżeńskie!

Błog. Kunegunda uspokajała siostrę, mówiąc do niej:

— Jest to wyraźną wolą rodziców naszych, ażebyś poszła zamąż za książęcia gnieźnieńskiego, widzą oni w tem związku twoje szczęście, a znasz dobrze ich przywiązanie ku sobie. Nie masz powodu im się sprzeciwiać, bo nie uczyniłaś Bogu ślubu dziewictwa. Książe gnieźnieński dla swoich wielkich cnót, a zwłaszcza dobroci znanym jest i bardzo kochanym od sąsiednich książąt i od ludu swojego, niezawodnie więc będzie najlepszym mężem. A będąc jego małżonką mieć będziesz sposobność bardzo wiele dobrego czynić dla Wielkiej Polski. W ten sposób przekonana błog. Jolanta przystała na żądanie rodziców i starszej siostry; a gdy wkrótce potem przybył Bolesław Pobożny do Krakowa, poznawszy, że sposób jego myślenia zgadza się z tem co o nim mówią, powzięła dla niego głęboki szacunek i szczere przywiązanie. Po zaręczynach uszczęśliwiony Bolesław powrócił do Kalisza i pilnie zajął się przygotowaniem dworu swojego, na przyjęcie przyszłej małżonki swojej, a przytem idąc już za jej radą posłał bogate ofiary do kościołów i rozdał wielkie jałmużny pomiędzy ubogich, prosząc Boga o błogosławieństwo dla siebie i przyszłej małżonki swojej.

W tym samym celu w Krakowie przed grobem dopiero co kanonizowanego św. Stanisława biskupa gorące zanosiła modły błog. młodziutka narzeczona.

Po przygotowaniu w ten sposób wszyskiego po bożemu, Bolesław Pobożny przyjechał do Krakowa i w obecności wielkiej liczby znakomitych panów, którzy się z całej Polski na tę uroczystość zjechali wziął ślub z błog. Heleną czyli Jolantą, jak ją powszechnie nazywano. Małżeńskiemu związkowi dostojnej pary błogosławił Prandota, świątobliwy biskup krakowski, przed ołtarzem poprzednika swojego świętego Stanisława.

Przez dni kilkanaście trwały zabawy weselne. I jakże nie miał cieszyć się naród polski widząc, że przez ten związek małżeński, w tak pomyślnych warunkach zawarty, dostaje nową i świątobliwą matkę i opiekunkę. Samej tylko Jolanty radość nie była zupełną, cieszyły ją wprawdzie hołdy i życzenia, które odbierała, widziała, bowiem, że pochodzą ze szczerego serca, ale nie mogła oswoić się z tą myślą, że musi się rozstać ze swoim aniołem opiekuńczym, ze swoją najukochańszą siostrą, z którą dwanaście najszczęśliwszych lat przebyła. Pocieszała ją św. Kunegunda, chociaż i sama czuła się bardzo zasmuconą, mówiąc, że potrzeba poddać się woli Boga, i że lubo co do miejsca oddalone, nie przestaną być bliskiemi sobie sercem, i wzajemnie się modlitwą wspierać.

Cnoty Bolesława Pobożnego i Jolanty. — Wychowanie dzieci Przemysława.

Książę gnieźnieński powrócił uszczęśliwiony ze związku małżeńskiego z tak świątobliwą królewną i myślał tylko o tem jakby się jej mógł przypodobać. Wiedząc, że najmilszą dla niej jest modlitwa i jałmużna, nie pominął żadnego kościoła, aby do niego nie wstąpił dla złożenia hołdu Panu Jezusowi. Nie pomijał też miasta ani wioski bez szczodrobliwego rozdawania ubogim jałmużny. Skoro przybył do Kalisza powitany radośnie przez szlachtę i lud, najprzód wstąpił do głównego kościoła. Wszyscy mieli nadzieję, że nowa ich pani będzie matką i aniołem opiekuńczym w Wielkopolsce, jak siostra jej w Małopolsce. I nie zawiedli się. Od pierwszej bowiem chwili dowiodła, że nie przybyła rozkazywać, bawić się, stroić i wygodne życie prowadzić, ale pocieszać, łzy ocierać, bronić niewinnych i prześladowanych.

Zaraz po swojem przybyciu, poczęła z mężem objeżdżać wsie i miasta, zwiedzać kościoły, klasztory i szpitale, wywiadywała się pilnie o stanie poddanych, o chorych, kalekach i opuszczonych, o sierotach i wdowach, wszystkim hojnie w pomoc przychodziła, a to miłosierdzie modlitwą i umartwieniem poświęcała. Obraz i przykład św. Kunegundy zawsze miała przed oczyma. Pan Bóg też błogosławił cnotliwym małżonkom: we wszystkiem doznawali powodzenia. Księstwa gnieźnieńskiego i kaliskiego dobry byt wzrastał. Bolesław zwycięski w boju, sprawiedliwy i łaskawy dla poddanych, od nich jako też od sąsiadów kochany i szanowany, powszechnie był najdobrotliwszym ojcem.

Wkrótce potem, w 1257 r. w zamku poznańskim zakończył życie Przemysław, brat Bolesława, bardzo przez wszystkich żałowany. Założył on w Owińskach nad rzeką Wartą klasztor Cystersów. Zostawił cztery córki: Konstancję, Weronikę, Ofkę i Eufrozynę. Żona jego Elżbieta, którą odumarł brzemienną, wydała potem na świat syna pogrobowca. Na pamiątkę ojca i z miłości ku niemu. Bogufał biskup poznański nadał mu na chrzcie imię ojcowskie i nazwał go Przemysławem.

Jolanta z Bolesławem wzięli w opiekę wdowę z dziećmi, nie naruszając wcale majątku zmarłego brata. W domu i pod okiem Jolanty cnotliwie wychowane dwie córki Przemysła wstąpiły do klasztoru w Trzebnicy, a Ofka później w Gnieźnie klaryską została.

Trzy córki błog. Jolanty. — Dobry wpływ księżnej na małżonka.

Troskliwość o wychowanie sierot po Przemysławie Pan Bóg wynagrodził Bolesławowi i Jolancie, obdarzając ich trzema córkami, z których wielkiej doznali pociechy. Pierwszej nadała błog. Jolanta imię babki swojej św. Jadwigi, drugiej imię ciotki swojej św. Elżbiety, a trzeciej imię Anna. Czego się od siostry swojej nauczyła, co w domu jej widziała i słyszała, to usiłowała zaszczepić w sercach córek swoich i strzegła ich, jak najdroższych skarbów przez Boga sobie powierzonych.

Bez ustanku modliła się za męża, dzieci i kraj cały, a świetne zwycięstwa Bolesława przeważnie modlitwom jej przypisać należy. Pokorna i cicha, zawsze pamiętając na naukę św. Pawła Apostoła, że nie żona męża, ale mąż jest głową żony, strzegła się choćby najmniejszego słówka, któreby zdawało się świadczyć, że chce nim rządzić, lecz przez wielką swoją cnotę, taki sobie u niego szacunek, a przez swoje przywiązanie i uległość taką miłość pozyskała, że skłaniała go łatwo do wszystkiego, co było dobrem i szlachetnem.

Gdy chodziło o wolność Kościoła, Jolanta tak długo prosiła męża, dopóki jej nie przyrzekł, że odrzuci i potępi złośliwe podszepty nieprzyjaciół Chrystusa Pana. Nigdy Bolesław z chciwości lub żądzy panowania nie rozpoczynał wojny, same tylko szlachetne pobudki skłaniały go do wypraw wojennych; bo jakze Jolanta zniosłaby choćby najmniejszy czyn chciwości, zaboru, niesprawiedliwości, jakżeż śmiałaby zasiąść z nim do stołu, gdyby potrzebowała się obawiać, żeby nie pożywała potraw zabranych innym, jak to mawiała ciotka jej Elżbieta.

Kiedy Bolesław wyjeżdżał na wojnę, Jolanta przy pożegnaniu prosiła go, żeby strzegł się wszelkiej niesprawiedliwości i okrucieństwa, unikał niepotrzebnego rozlewu krwi, nie uciemiężał zwyciężonych, jeńców bez okupu na wolność wypuszczał, a skrzywdzonych bronił całą powagą swojej władzy książęcej. Bolesław zanadto kochał małżonkę swoją, by mógł nie pójść za jej radą i prośbami. Przeto wszystkich serca do niego lgnęły. Każden w nieszczęściu i niebezpieczeństwie o pomoc go prosił i pod opiekę jego się udawał.

Zatargi o ziemię Santocką. — Wyprawy wojenne Bolesława Pobożnego.

W r. 1261 Litwini okropnie spustoszyli Mazowsze, księcia Konrada w niewolę wzięli, a Ziemowita zabili. Gertruda, wdowa po Ziemowicie, w tem nieszczęściu udaje się z prośbą o pomoc do księcia wielkopolskiego, ulitował się nad nią, wyruszył z wojskiem na Litwinów, pokonał ich, a oswobodzonych mieszkańców Mazowsza w żywność zaopatrzył, zamek płocki spalony na nowo odbudował i obwarował i wszystko należycie urządziwszy, oddał twierdzę i wolne Mazowsze wdowie i synom jej Bolesławowi i Konradowi nie biorąc żadnego dla siebie wynagrodzenia.

W r. 1265 Sasi zajęli opuszczony przez Polaków zamek Santok i oddali go Konradowi margrabiemu brandeburskiemu. Bolesław obrażony tym niesprawiedliwym najazdem pośpieszył z wojskiem, ale zabieżeli mu drogę panowie i Konrad; prosząc ażeby zamek swój Santok spalił i obiecując, że Konrad spali wystawiony naprzeciw Santoka Drdzeń, służyły one bowiem tylko za kryjówki dla zbójców. Przystał na to Bolesław, lecz w następnym roku, słusznie niedowierzając margrabiemu i obawiając się, aby jego ziemi wraz z Niemcami nie najechał, w miejscu dawnego zamku, zbudował mniejszy zamek książęcy i załogą zbrojną go osadził, a opatrzywszy żywnością i stosowną obroną, sam z wojskiem odstąpił. Lecz zaraz po jego odejściu przybył Konrad, zamek Santocki obległ i tak dalece zrujnował, że gdyby nie śpieszna odsiecz zamek lada dzień byłby zdobyty. Bolesław Pobożny nie chcąc z sąsiadem i zięciem brata swojego staczać walki, wysłał do Konrada poselstwo z przyrzeczeniem, że zamek sam spali, byleby od oblężenia go odstąpiono. Zgodził się na to margrabia, odstąpił od oblężenia zamku, wyprowadzono z niego załogę i spalono go z rozkazu Bolesława, który nie żałował wielkiej straty swojej i daremnych nakładów, byleby tylku oszczędzić daremnego przelewu krwi.

Nowy dowód swej bezinteresowności i zamiłowania pokoju złożył Bolesław w roku 1269. Ziemomysł, syn Kazimierza, książę kujawski i łęczycki, gdy objął rządy po ojcu, naśladował gorliwie obyczaje i urządzenia Krzyżaków, w pośród których młodość swoją przepędził we wszystkiem, cokolwiek miał czynić, ich się radził, na ich sąd i zdanie każdą sprawę zdawał. Szlachta kujawska i łęczycka, utyskując wielce, że ich książe lekceważył i pogardzał niemi, to łagodnością, to ostremi wymówkami usiłowali go dla siebie pozyskać, ale daremnie. Wypowiedzieli więc mu wszyscy posłuszeństwo i Bolesława Pobożnego wybrali sobie za księcia. Ziemomysł udał się do Bolesława, odstąpił mu zamek kruszwicki i usilnie go błagał, żeby nie przyjmował rządów nad Kujawami. Bolesław tak się okazał wspaniałomyślnym, że nietylko nie przyjął rządów, ale sam skutecznie wpłynął na pojednanie szlachty kujawskiej z jej księciem, odebrawszy pierwej od niego przyrzeczenie, że odrzuci rady Niemców, a będzie szedł za lepszemi i pewniejszemi radami poddanych swoich.

Otto margrabia brandeburski, mając zamiar kasztelanję santocką na własność swoją zagarnąć, zbudował pomiędzy Międzyrzeczem a Lubuszem za-

mek Suliniec. Bolesław Pobożny ze swej strony począł opasywać Międzyrzecz wałami i przekopami, a dla umocnienia go sporządzać do koła strzelnice drewniane, Otto mniemając, że Bolesław sposobi się do wojny przeciw niemu, wpadł gwałtownie z wojskiem do Międzyrzecza, a zastawszy warownię wykończoną w połowie, miasto zrabował i budowę rozpoczętą ogniem zniszczył. Za odchodzącym poszedł w pogoń Bolesław, poczem podstąpił z wojskiem pod zamek Suliniec. Żołnierze polscy nakryli się sklepieniem z tarcz, i pomimo, że z góry nieprzyjaciel miotał na nich głazami nanosili smolnego drzewa, zamek podpalili i zdobyli. Wszyscy prawie Sasi, których Otto postawił tam załogą, zginęli w pożarze. Sabel dowódzca z mała liczbą żołnierzy dostał się żywcem w ręce Polaków gaszących już pożar. Zdobycz całą w koniach, rynsztunku i żywności, znalezioną w zamku, między rycerstwo rozdzielono, poczem Polacy wrócili do domu.

Jeszcze nie zostały ukończone zatargi o ziemię santocką, gdy chciwość Brandeburczyka i zajęcie przez niego Gdańska do nowej wyprawy wojennej zmusiły Bolesława Pobożnego.

Między Mszczujem a Warcisławem, książętami pomorskiemi, synami Świętopełka wszczęła się walka o podział księstwa. Warcisław zaciągnął pożyczkę u Konrada margrabi brandeburskiego dając mu w zastaw Gdańsk. Wkrótce potem w zamku Wyszogrodzie nagle zachorował i w kilka dni umarł Mszczujowi zaś, Sasi dzierżący w imieniu Konrada Gdańsk, nie chcieli go wydać. Naradzał się Mszczuj ze swemi, co miał czynić. Niektórzy byli zdania, że należało zamek gdański w ciągłem trzymać oblężeniu i szturmować do niego, by go wydrzeć Sasom ale gdy przyroda i ręka ludzka uczyniły go bardzo obronnym, oblężenie na długoby się zaniosło.

Postanowili więc wszyscy wezwać Bolesława Pobożnego, żeby krewnemu swemu Mszczujowi udzielił pomocy, a nie dopuszczał Sasom odrywać chytrze i zdradziecko tak znakomitej części Pomorza, którą on sam po śmierci Mszczuja, jeżeliby ten zszedł bezpotomnie, miał odziedziczyć.

Bolesław, niepomny na dawne przeciw książęciu pomorskiemu urazy, chętnie pomoc przyobiecał, na początku r. 1272 ściągnął z Wielkiej Polski i Kujaw sam wybór rycerstwa i wkroczył do Pomorza, gdzie się z nim Mszczuj z całem wojskiem swojem połączył; a sporządziwszy hufce do boju, ruszył ztamtąd do Gdańska i zamek jego ze strony lądowej i wodnej obległ.

Sasi bronili dzielnie zamku przed niebezpieczeństwem, rzucając z góry grad kamieni, lejąc na Polaków i Pomorzan wrzącą smołę i ukrop. Trwał szturm dość długo. Bolesław Pobożny zwracając baczność na wszystko, na miejsce rannych i poległych żołnierzy posyła świeżych, aż nareszcie Sasom zabrakło pocisków i kamieni, musieli więc zaprzestać walki. Korzystając z tego Polacy w kilku miejscach zamku poczynili wyłomy i stali się jego panami. Po zdobyciu zamku poddało się wnet księciu Mszczujowi i miasto. W ten sposób Gdańsk wrócił pod władzę Mszczuja, który odprowadzając Bolesława do jego księstw, przyrzekł mu, że pod jego opieką wiernie i w posłuszeństwie pozostawać będzie z całą ziemią pomorską.

Bolesław Pobożny wyznacza swym dziedzicem bratanka swego Przemysława.

Bolesław dał wojsku cztery miesiące do wypoczynku i przysposobienia się na wojnę, po upływie których, ogłosił pospolite ruszenie we wszystkich swoich ziemiach przeciw margrabiom brandeburskim, dla odzyskania Santoka. Gdy 26 maja 1272 r. wojska były gotowe, na miejsce swoje posłał swojego bratanka Przemysława, który już liczył wtedy lat szesnaście. Dowództwo zaś wojska powierzył Przedpełkowi wojewodzie poznańskiemu i Janowi kasztelanowi kaliskiemu. Wojsko polskie wtargnąwszy do ziemi przez Sasów opanowanej, zamek Strzelce obległo i po usilnem a natarczywem szturmowaniu, zdobyło. Wszyscy prawie Sasi stojący w nim załogą legli pod mieczem mała z nich tylko liczba ocalała. Potem wojsko rzuciło się na włości i całą okolicę saską nad Odrą spustoszyło. Gdy już Przemysław z wielką zdobyczą do Polski miał powracać, Sasi poddali dobrowolnie Drdzeń Przemysławowi, sami zaś prosili tylko o darowanie im życia i wolności. Widząc cnoty i dzielność Przemysława bardzo go pokochał Bolesław Pobożny, a że sam nie miał synów tylko same córki, uczynił go swoim dziedzicem, doradzając mu, żeby wszedł w związek małżeński.

Idąc za radą stryja młodziutki Przemysław udał się do Szczecina, do książęcia Slawów Barwina, dla poznania jego wnuczki imieniem Lukierdy, a gdy mu się podobała tak z przymiotów serca jak i urody, pojął ją za żonę. Po odprawieniu godów weselnych w Szczecinie, przywiózł ją do Poznania. Wyszło naprzeciw niej w procesji duchowieństwo, tudzież Bolesław Pobożny z żoną, Mikołaj biskup poznański, panowie znaczniejsi Wielkiej Polski, od których z należną czcią przyjętą została.

Powodzenie Bolesława Pobożnego w licznych bitwach, które zmuszonym był prowadzić, przeważnie przypisać należy gorącym modlitwom błogosławionej Jolanty, małżonki jego. Jak z jednej strony ubolewała ona nad smutną koniecznością rozlewu krwi i wszystkich klęsk towarzyszących wojnie, tak z drugiej widząc z jak sprawiedliwych powodów mąż jej podejmował ją i z jakiem umiarkowaniem i bezinteresownością ją prowadził, tem więcej pragnęła, żeby skończyła się pomyślnie.

Klasztor w Sączu.

Klasztor Panien Franciszkanek założył Bolesław Wstydliwy w Sączu za namową i z posagu św. Kunegundy. Dając nam poznać jaki duch ożywiał wielkich owego wieku fundatorów, którzy na zakładanie kościołów i klasztorów żadnych nie szczędzili ofiar, tak historyk nasz Długosz w życiu św. Kunegundy założenie sądeckiego klasztoru opisuje:

„Gdy błog. Kunegunda zwróciła wszystkie myśli swoje na to, jakby przyczynić się do rozszerzenia chwały Bożej i wiary świętej chrześcijańskiej, aby tem większą zasługę na odpłatę wieczną zjednać mogła, odtąd ustawicznie w sercu swojem rozważała: jakąby sprawę Panu Bogu przyjemną i sobie i bliźniemu do zbawienia pożyteczną przedsięwziąść miała, któraby nie na mały czas, ale na potomne wieki trwając, zacnego i pobożnego dzieła pamiątką i przykładem była. A nie tylko w myśli swej to roztrząsała, ale też ustawicznie Pana Boga za przyczyną Najśw. Panny Marji i św. Stanisława, osobliwego patrona i spraw swych orędownika i innych świętych gorącą modlitwą i serdecznem wzdychaniem prosiła: aby jej dał natchnienie Ducha św.,

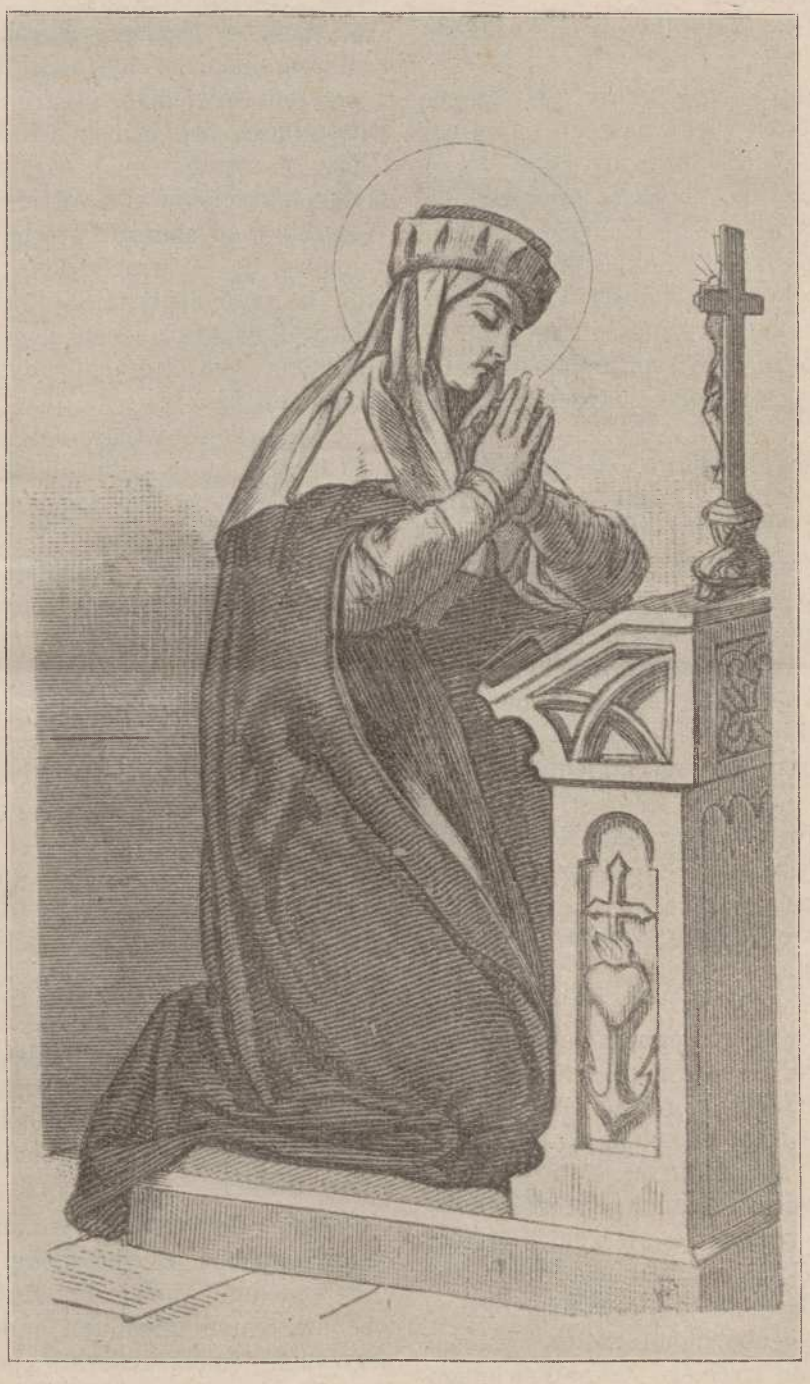

Bł. Jolanta, Księżna Kaliska.

coby mogła uczynić dla swego i bliźnich zbawienia i jakby majętności swojej ziemskiej Pana Jezusa jedynym dziedzicem zostawić miała. I dał jej Pan Bóg natchnienie, aby klasztor Panieński Zakonu św. Franciszka, do którego od młodości bardzo była przywiązaną, założyła; w którymby i sama wieku pod regułą świętą dokończyła.

Przeto do Bolesława Wstydliwego odezwała się temi słowy:

— Widzisz, o zacny książę, żeśmy w latach postąpili; powinniśmy ostatek wieku naszego na święte i pobożne uczynki obrócić. Sprawmy jakie dzieło znaczne, któreby zasługę u Pana Boga nam jednało, a po tem do królestwa wiecznego i pałaców niebieskich nas wprowadziło. Załóż w miasteczku Sączu klasztor Panien, któreby w czystości Panu Bogu służyły i za nas się modliły. Z posagu mojego ojczystego, którym wniosła, uczyń mu hojne nadanie, jeżeli chcesz mieć swego i mego zbawienia pewny i nieomylny zadatek.

Wzruszyła ta mowa Bolesława, klasztor założyć i bogato uposażyć przyobiecał. Jakoż w miasteczku Stary Sącz niedaleko Tatr, dzielących Polskę od Węgier, między dwiema rzekami Popradem a Dunajcem położonemi, pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej, ufundował miasteczko Sądecz z wielką liczbą wsi i folwarków, i z dochodami tak dostatecznemi, żeby się sto panien z tego utrzymać mogło, nadał i wiecznemi czasy darował. Uwolnił te wszystkie dobra klasztorne od wszelakich danin, podatków i poborów.

Kościół też murowany i wszystkie budynki do klasztoru należące wystawił. Św. Kunegunda zaopatrzyła go w potrzebne sprzęty i naczynia jako to: w ołtarze i kielichy ozdobione kosztownymi klejnotami ze srebra i złota.

Św. Kunegunda i pobożny jej małżonek, nie poprzestając na ofiarowaniu Bogu majątku swego od fundacji Sądeckiego klasztoru, postanowili i samych siebie Bogu na służbę ofiarować. W tym celu Bolesław Wstydliwy przed biskupem krakowskim Prandotą, w kościele katedralnym, ślub wiecznej czystości w obecności wielu znakomitych osób uczynił. A św. Kunegunda na służbie wiecznej czystości nie poprzestając, w kościele św. Franciszka w Krakowie, w obec Ojca Bartłomieja prowincjała Franciszkanów w Polsce, po uczynieniu ślubu czystości wiecznej, przyjęła regułę trzeciego Zakonu świętego Franciszka. Odtąd nosiła szary i gruby habit sznurkiem przepasany i bardziej jeszcze niż przedtem umartwione i dobrym uczynkom poświęcone życie prowadzić zaczęła.

Odnowienie przymierza pomiędzy Polską i Węgrami Zgon Bolesława Wstydliwego i Bolesława Pobożnego.

Dnia 3 maja 1270 roku, w uroczystość Znalezienia św. Krzyża, Bela król węgierski, ojciec św. Kunegundy i błog. Jolanty, umarł po trzydziestu dziewięciu latach panowania, i w Ostrychomiu w klasztorze Braci Mniejszych, którego budowę sam z wielkim nakładem rozpoczął, pochowany został. Nastąpił po Beli na królestwo węgierskie syn jego starszy Stefan i ukoronowany został w stołecznem mieście Białogrodzie.

Zaraz w następnym roku nowo ukoronowany król węgierski, ażeby uczcić grób św. Stanisława a przytem odwiedzić siostrę swoją św. Kunegundę i dostojnego jej małżonka, przybył ze świetnym i licznym orszakiem do Krakowa, gdzie naprzeciw niemu z kościołów powychodziły procesje. Bolesław Wstydliwy od samego wstępu w granice Polski podejmował go i wraz z żoną wyjechał blizko dwie mile na jego spotkanie. Przez dni kilkanaście raczył Stefana króla i całe jego rycerstwo świetnemi biesiadami, na których wszystko urządził z wielką wspaniałością.

Odnowiono wtedy dawne Polski z Węgrami przymierze, które radni obu krajów panowie uznali za zbawienne i dla wspólnego pokoju pożądane, a Stefan król węgierski i Bolesław książe krakowski i sandomierski, oraz prałaci i przedniejsi panowie węgierscy i polscy przysięgali na Ewangelją, że wszelkie wypadki pomyślne i przeciwne zarówno podzielać będą, a między obydwoma państwami pozostanie wieczna przyjaźń i zgoda. Obdarzono potem króla węgierskiego i jego dostojników wspaniałymi upominkami, a gdy odjeżdżał do Węgier, Bolesław Wstydliwy i św. Kunegunda odprowadzali go aż do Sącza.

Lecz zaraz w roku następnym św. Kunegunda i błog. Jolanta opłakiwać musiały zgon brata swojego. Stefan po dwóch zaledwo latach panowania umarł w Budzie i w Białogrodzie stołecznym pochowany został.

Smutnym był ów dziesiątek trzynastego wieku dla świętych sióstr Kunegundy i Jolanty bo w kilka lat po stracie ojca i brata opłakiwać musiały zgon mężów swoich, którzy w jednym roku 1279 zeszli z tego świata.

Błog. Jolanta tak gorącą w małżonku swym obudziła pobożność i głęboką pokorę, że dla tych cnót sąsiedni panowie Pobożnym go nazwali, a nawet św. Kunegunda ten mu pobożności przymiot przyznała. Jakoż Bolesław, podczas krwawych bojów, które z nieprzyjacielem wieść był zmuszony, nie zaniedbał swej pobożności, a nawet ciężkich krzywd sobie wyrządzonych nie zatrzymywał w pamięci.

Wraz z matką swą Heligną oraz ze starszym bratem Przemysławem, w roku 1243, szpital książęcy z kościoła św. Jana w Gnieźnie dziesięciu wioskami wyposażył. W Kaliszu wystawił O.O. Franciszkanom klasztor z kościołem; a na wystawienie

drugiego takiego w Czechach, przeznaczył fundusz; oprócz tego założył w Gnieźnie trzeci klasztor z kościołem dla Panien Franciszkanek. Gdy wracał, po odniesionem pod Soldynem zwycięstwie nad Ottonem brandeburskim, w drodze ciężko zachorował i już bardzo osłabiony na siłach przybył do Kalisza. Chorego jak najtroskliwiej doglądała błog. jego małżonka, ale widząc, że lekarze żadnej nie robią nadziei starała się przysposobić go do dobrej śmierci, obudzała w nim uczucia żywej wiary, zupełnej ufności i gorącej miłości ku Bogu. Przy pomocy takiego anioła Bolesław Pobożny z jak najlepszem usposobieniem przyjął Ostatnie Sakramenta święte i duszę swoją Bogu oddał dnia 7 kwietnia 1279 roku.

Przed zgonem przywołał bratanka swego Przemysława, oddał mu księstwo kaliskie i polecił jego opiece małżonkę swoją i trzy córki: Jadwigę, Elżbietę i Annę. Zwłoki jego przeniesiono do Poznania i w katedralnym kościele w grobie ojców pochowano. Przemysław, zaraz objął rządy całej Wielkopolski, a wdowie i córkom Bolesław wyznaczył dostatnie utrzymanie posagi i wyprawy.

Błog. Jolanta nie długo w Kaliszu po śmierci męża pozostawała, pilno jej było do ukochanej siostry, z którą lata młodości tak szczęśliwie spędziła, zabrała więc cały swój majątek i udała się do Krakowa do św. Kunegundy, ażeby z nią razem Bogu służyć.

Przemysław książę wielkopolski, jako opiekun swoich siostrzenic, najstarszą z nich Jadwigę wydał za Władysława, który dla nader małego wzrostu zwany był Łokietkiem, syna Kazimierza książęcia brzesko-kujawskiego; drugą Elżbietę za Henryka książęcia lignickiego; trzecia Anna w panieństwie umarła.

W kilka miesięcy po zgonie Bolesława Pobożnego rozstał się z tym światem Bolesław Wstydliwy, który obdarzył kościół krakowski wielu przywilejami i darami i założył w Krakowie klasztor i kościół Franciszkanów. Wiele też innych pobożnych fundacji uczynił. Umarł w Krakowie i w kościele św. Franciszka Braci Mniejszych, pochowany został. Uczczono go uroczystym pogrzebem; żałoba była powszechna i smutek. Nietylko swoi ale i obcy żałośnie go opłakiwali, wysoko ceniąc jego cnoty i skromność, którą w całem życiu zachował.

Panowie przedniejsi prosili usilnie św. Kunegundę, ażeby pozostała w Krakowie i po mężu swoim objęła rządy. ale żadną miarą nie dała się do tego nakłonić, miała bowiem mocne postanowienie usunąć się zupełnie od świata i poświęcić się życiu zakonnemu. Po tej odmowie jednozgodnie za następcę Bolesława Wstydliwego obrano jego synowca Leszka Czarnego.

Wstąpienie św. Kunegundy i błog. Jolanty do klasztoru.

Dwie święte siostry Kunegunda i Jolanta już na tronie prowadziły życie zakonne, skoro więc przez zgon małżonków swoich uwolnione zostały od wszelkich związków łączących je ze światem, zaraz rozdały całe swoje mienie pomiędzy wdowy i sieroty i udały się do Starego Sącza, aby wstąpić do klasztoru Franciszkanek. Tam jak najwierniej we wszystkiem stosowały się do reguły zakonnej. Do życia już i tak bardzo umartwionego, jakie prowadzą zakonnice św. Klary, nie poprzestajac na niem, przyczyniały sobie postów i umartwień. Od żadnych chociażby najpodlejszych posług nie wymawiały się, nie pozwalając, aby dla rodu królewskiego w czemkolwiek je od innych siostr zakonnych wyróżniano. Pan Bóg także już za życia tych świętych służebnic swoich, przez cuda okazywał jak miłemi Mu były ich modlitwy.

Leszek Czarny, złośliwemi podszeptami panów radnych uwiedziony, zawistnem okiem patrzeć począł na dobra klasztorowi Staro-Sądeckiemu nadane i nakładał na nie różne podatki. Św. Kunegunda więcej ubolewając nad uciskiem włościan zamieszkujących majątek klasztorny, jak nad krzywdą samego klasztoru, nieraz ale nadaremnie czyniła o to zażalenia. Udała się więc z gorącą i pełną ufności modlitwą do Boga, ażeby serca prześladowców odmienił. Modlitwy jej wysłuchane zostały, a łaską Boską wzruszony Leszek, sam ze swoją Radą udał się do św. Kunegundy i przyrzekając, że już więcej nie będzie wyrządzał żadnej krzywdy klasztorowi, prosił o przebaczenie, a zarazem dawne przywileje klasztoru ponowił i potwierdził.

Podczas napadu Tatarów musiały świątobliwe siostry opuścić klasztor w Sączu i schronić się do zamku Pieniny, gdzie w cudowny niemal sposób ocalały.

Po dwunastu latach wspólnego pobytu w klasztornych murach ciężki cios dotknął błog. Jolantę: żałobą okrył się kraj cały, gdy się dowiedziano o śmierci Kunegundy, królowej, matki i opiekunki przez wszystkich ukochanej.

Błog. Jolanta przenosi się do klasztoru gnieźnieńskiego, gdzie zostaje obrana ksienią.

Lubo bardzo wiele osób opłakiwało zgon św. Kunegundy, której niezrównana dobroć zjednywała serca wszystkich, dla nikogo jednak utrata jej nie mogła być tak bolesną jak dla błog. Jolanty. U niej od dziecinnych lat wychowana znalazła w tej ukochanej siostrze swojej najlepszą wszelkich cnót mistrzynię i najczulszą matkę. W jej domu wydana została zamąż za książęcia, co dało jej sposobność uczynić bardzo wiele dobrego dla tego kraju. Z nią wreszcie, skoro utraciły w jednym roku mężów

swoich, wstąpiła do klasztoru w Sączu i tam wzajemnie modlitwą i przykładem wspierały się w postępowaniu na drodze doskonałości.

Wkrótce po przybyciu do klasztoru w Sączu dwóch sióstr św. Kunegundy i błog. Jolanty, przyłączyła się do nich trzecia ich siostra Konstancja, wdowa po Lwie księciu ruskim. Wszystkie trzy siostry jednem żyły życiem, jako prawdziwe siostry nietylko ze krwi, ale i tego samego oblubieńca Jezusa. Wspólnemi modlitwami wielbiły Boga i odwracały od klasztoru i kraju, w których przebywały, ciężkie klęski, tak je często naówczas nawiedzające.

Łatwo więc możemy sobie wystawić jak bolesnym był zgon św. Kunegundy dla jej siostry. Czy to szukając ulgi w tem ciężkiem strapieniu, czy też widząc, że jest potrzebną w klasztorze gnieźnieńskim, w Wielkiej Polsce, w której przedtem księżną była, do tego klasztoru postanowiła się błog. Jolanta przenieść zaraz po zgonie swojej siostry.

Gryfina wdowa po Leszku Czarnym, którą po śmierci św. Kunegundy, na jej miejsce przełożoną swoją obrały zakonnice sądeckie, i wszystkie siostry błagały błog. Jolantę, ażeby ich nieopuszczała, ale ona widząc w tem wolę Boską, modłom się ich polecając, wyjechała do Gniezna. Zanim przybyła do tego miasta pewien czas zamieszkała w Szremie, w klasztorze Panien Klarysek, który dawniej sama wraz z mężem swoim założyła.

W Gnieźnie przyjęły ją Panny Klaryski z największą radością, ciesząc się, że będą w pośród siebie miały swoją fundatorkę. Jolanta nie mniejszej doznała radości widząc jak świątobliwe siostry przestrzegały z wielką ścisłością reguły zakonnej. Jednomyślnie została wybrana na ksienię, chociaż wszelkiemi siłami wzbraniała się przyjęcia na siebie tego ciężaru, a kiedy już żadnemi prośbami nie zdołała przełamać jednomyślnej woli zakonnic, przynajmniej to sobie wyjednała, żeby jej wolno było zamieszkać w najlichszej celi między kuchnią a refektarzem. Tego najpośledniejszego kącika do śmierci nie opuściła. Obrała go sobie dla tego, ażeby z tem większą swobodą mogła spełniać najniższe posługi, zwłaszcza w kuchni i refektarzu i być sługą wszystkich.

Księżna i pani Gniezna staje się tam najniższą i najpokorniejszą sługą. Wśród pracy dziennej dusza jej ciągle wznosiła się do Boga; a po skończeniu obowiązków swoich, albo pozostawała na modlitwie w komórce swojej, albo przed Najświętszym Sakramentem w kaplicy rozmyślaniom nabożnym się oddawała; w nocy, kiedy siostry na spoczynek się udały, ona z Bogiem na rozmowie trwała. Postami i rozmaitemi umartwieniami ciało swoje trapiąc pod moc duszy podbijała. Najmilszym i prawie jedynym przedmiotem rozmyślań i modlitw jej była Męka Pańska, w której nietylko moc i odwagę czerpała, ale doznawała łask od Boga. Ale w pokorze głębokiej, którą się szczególniej odznaczała, ukrywała się z temi łaskami przed siostrami zakonnemi. Lecz Bóg, który pokornych wywyższa, nie zaniedbał wsławić służebnicy swojej już nawet za jej życia. Im bardziej się upokarzała, tem większe dla siebie wzbudzała uwielbienie i stawała się wzorem prawdziwej czcicielki Krzyża Chrystusowego, który pragnęła na sobie wyrazić.

Objawienia i zachwycenia błog. Jolanty. — Jej śmierć chwalebna.

Wiele łask, zachwyceń i objawień doznawała błog. Jolanta od Oblubieńca swojego ukrzyżowanego, ale dzieje tylko jeden tak wielki dowód miłości Pana Jezusa dla służebnicy swojej zachowały, wystarcza on jednak do okazania jak była miłą Bogu.

Było to krótko przed jej zgonem, kiedy razu jednego rozpływa się we łzach współubolewania nad Męką Zbawiciela, objawił się jej w niewypowiedzianej światłości, w postaci ubiczowanego okrutnie przy słupie, cały krwią pokryty, z ciałem najświętszem biczami, powrozami i łańcuchami pooranem. Obraz objawienie to przedstawiający jedyny jest, który został zachowany z dawnego świetnego grobu błog, Jolanty i wisi nad jej ołtarzem w kościele pofranciszkańskim Najśw. Panny Marji w Gnieźnie. To objawienie stało się dla błog. Jolanty źródłem życia nowego, odtąd serce jej żyło tylko w Niebie najściślej z Bogiem połączone.

Gdy przeczuła, że zbliża się dla niej kres ziemskiej wędrówki, wezwała do siebie siostry zakonne i napominała je z miłością macierzyńską do przestrzegania reguł zakonnych, pokory, miłości zobopólnej, a szczególniej do umiłowania Jezusa Ukrzyżowanego.

Świętą duszę swoją Bogu oddała dnia 11-go czerwca 1298 roku, przeżywszy 60 lat życia, w zakonie 18, a w klasztorze gnieźnieńskim lat 6, za panowania zięcia swego Władysława Łokietka króla polskiego.

Wśród łez klasztoru po stracie tak świętej matki, wśród płaczu Gniezna całego, a szczególniej ubogich i sierot, których miłosierną opiekunką była, pochowano błogosławione zwłoki jej w kaplicy zakonnic pod chórem. Nietylko zakonnice, które były świadkami jej cnót, ale nadto mieszkańcy Gniezna z całej Wielkopolski zaraz zaczęli oddawać jej cześć jako świętej i wielkich łask za przyczyną jej doznawali. Dlatego nad grobem jej taki napis w późniejszym czasie umieszczono:

Tu leży perła droga, z domu książęcego,
Jolanta święta pani, z rodu cesarskiego.

Po śmierci męża swego zakon ten obrała,
W tym zakonie do śmierci w cnotach świętych trwała.
Po śmierci wsławił ją Bóg cudami wielkiemi,
Wiele może uprosić modlitwami swemi.
Umarli żywot, chorzy zdrowie odbierają,
W utrapieniach będący pociechy doznają.

Słusznie błog. Jolantę poczytują za fundatorkę klasztoru Panien Klarysek w Gnieźnie, na jej bowiem prośbę synowiec jej, Przemysław, król polski, klasztor ten wystawił i hojnie uposażył, a sama także wiele dla niego uczyniła, o czem świadczą dotąd zachowane dokumenta.

Pośmiertne cuda.

Po chwalebnym zgonie błog. Jolanty różnymi cudami Pan Bóg świętość jej wsławiał, wielu łask ludzie cierpiący u jej grobu doznawali. Zaraz po jej pogrzebie, ówczesna ksieni śmiertelną złożona chorobą, gdy wzywała nabożnem sercem jej przyczyny do Boga, ujrzała ją w towarzystwie św. Stanisława, jaśniejącą wielkim blaskiem. Słodka nadzieja wstąpiła w serce chorej, która wkrótce tak siły odzyskała, że mogła wstać z łóżka i u grobu błogosławionej za odebrane zdrowie Bogu dzięki złożyć.

Podczas pożaru Gniezna 1613 r., gdy cały klasztor stał się pastwą płomieni, refektarz tylko, w którym błog. Jolanta za życia usługiwała siostrom i cela, w której mieszkała, połowa kościoła aż po sam jej grobowiec i kaplica zakonnic cudownym sposobem, nienaruszone zostały: ani murów, ani spróchniałej około grobu kraty ogień nie dotknął, ani nawet zawieszonych ofiar nie stopił i sprzętów, w tych miejscach zostających, nie naruszył. Pewna nawet zakonnica staruszka, którą w powszechnym strachu wśród płomieni zapomniano i zostawiono, gdy wezwała przyczyny błogosławionej, cudownie zdołała wyjść z płomieni.

Podobnie w r. 1626, kiedy drugą na Gniezno plagę morowego powietrza Pan Bóg dopuścił, a ludność po części wymarła, żadna w klasztorze ofiara tej plagi nie padła, za co zakonnice dla wiecznej pamięci srebrną tablicę u grobu błogosławionej zawiesić kazały, Bogu i słudze Jego za ratunek dziękując.

Roku 1500 pewna obywatelka gnieźnieńska, rodem niemka, miała niemą od urodzenia córkę, wtedy już dorastającą, którą często polecała błog. Jolancie. Pewnego razu owa niema poszła do kościoła, ażeby się pomodlić przed grobem błogosławionej i tam cudownie odzyskała mowę. Pierwszemi, na które się w życiu zdobyła, słowy, Bogu cudownemu w świętych swoich dzięki złożyła i potem, po całem mieście wysławiając moc Jego, długo była żywym tej łaski dowodem.

Tegoż roku pewien kupiec ze Lwowa, jadąc na jarmark do Gniezna z towarem, Wartę przebywał. Wśród rzeki mały jego synek spadł i utonął. Wydobyto go z wody. Nie mogąc się go docucić, nieszczęśliwy ojciec zawiózł go do Gniezna i myślał tylko o pogrzebie. Mieszczanie gnieźnieńscy radzić mu poczęli, aby się do grobu błog. Jolanty udał, co też z wielką ufnością uczynił, dał na Mszę świętą i skoro tylko syna jego położono przy grobie świętej, ożył i poszedł zdrowy do ojca, jak to przez długie czasy świadczyła srebrna z opisem tego cudu tablica, ze Lwowa przysłana.

Roku 1600 Małgorzata Domasławska zakonnica tak ciężko zachorowała na oczy, że przez lat 12 nic nie widziała. Utraciwszy nadzieję w lekarzach, udała się do przyczyny błog. Jolanty, gdy dała na mszę św. i do grobu błogosławionej zaprowadzono ją, na samym progu cudownie przejrzała, o czem w roku 1631 na komisji za Jana Wężyka arcybiskupa, na rozeznanie miejsca i grobu błogosławionej zesłanej, Przewielebna Katarzyna Lubowicka pod przysięgą zeznała. W dwadzieścia lat potem, zakonnica Jarkuszewska w dzień Bożego Narodzenia w skutek choroby całkiem zaniewidziała. Przywołani lekarze jednozgodnie wyrzekli, że ślepota ta do śmierci trwać będzie. Wtedy niewidomej siostra Dębicka udać się każe do przyczyny błog. Jolanty. Ledwo się do niej modlić zaczęła niewidoma, zaraz wzrok odzyskała.

Pobożne tej świętej wzywanie skuteczne było i w innych niemocach. W r. 1606 Barbara, niemka rodem, małżonka Klemensa obywatela gnieźnieńskiego, długo trapiona wielką chorobą, w skutek której nakoniec przez całe cztery tygodnie pozbawiona była mowy i bez nadziei życia pozostawała, gdy jednak w duchu westchnęła do Boga a jednocześnie mąż jej także za nią się modlił, nagle za łaską Bożą ukazała się jej błog. Jolanta i zdrowie zupełnie przywróciła.

Roku 1662, Paweł syn Marka aptekarza w Gnieźnie, gdy żadnych nie znosząc lekarstw, wszelką nadzieję wyzdrowienia utracił, pewnego razu jakby ze snu obudzony, matkę płaczącą do siebie zawołał i rzekł do niej:

— Czego nademną płaczesz matko! alboście nie widzieli, iż dopiero odemnie odeszły z tutejszego klasztoru zakonnice? Idźcie, ofiarujcie mnie słudze Bożej Jolancie i oddajcie jej palmę, którą dostałem w kwietnią Niedzielę. Poszli więc razem ojciec i matka, a wraz z palmą świecę woskową wielkości chorego syna do grobu oddali, skoro zaś powrócili, już go zdrowym zastali.

Oto kilka z bardzo wielkiej liczby cudownych łask, których ludzie doznali przy grobie błogosławionej. Opisy wielu z nich podczas pożaru zaginęły.

Klasztor Panien Klarysek we Wrocławiu.

Jeszcze przed gnieźnieńskim klasztorem Panien Klarysek powstał tego Zakonu klasztor wrocławski, w którym potem kilka wnuczek św. Jadwigi i błog. Jolanty poświęciło się służbie Boskiej, a kilku z tegoż rodu książąt szlązkich również pochowanych zostało.

Założyła go Anna, córka Przemysława Ottokara króla czeskiego, małżonka Henryka Pobożnego, i gdy życie świątobliwe, w którem pilnie naśladowała cnoty św. Jadwigi, świekry swojej, 24 czerwca 1265 r. zakończyła, w tymże kościele św. Klary w Wrocławiu pochowana została; znajduje się tam jej pomnik.

Do klasztoru tego sprowadziła zakonnice św. Klary z Pragi od siostry swojej błog. Agnieszki, roku 1257. Na początku tegoż roku papież św. Aleksander IV nadał temu klasztorowi odpusty.

W tymże kościele pochowany został mąż Elżbiety córki błog. Jolanty, Henryk V wnuk Henryka Pobożnego, syn Bolesława Rogatki. Odziedziczył on po ojcu księstwo lignickie a po zmarłym stryjecznym swym bracie Henryku IV na księstwo wrocławskie przez tamecznych mieszkańców został powołany. To rozniecilo pomiędzy nim a stryjem Konradem zawziętą wojnę. Ofiarą jej padł nieszczęśliwy Henryk. Stryj nie mogąc mu siłą podołać, nasadził na niego przekupionych siepaczy, którzy go w łaźni pojmali i do Głogowa przywieźli. Tam wsadził go Konrad w beczkę okutą i w tak ciasnem zamknięciu trzymał przez sześć miesięcy, dopóki na nim wielu zamków i znacznego pieniężnego okupu nie wymęczył. Utraciwszy w ten sposób zdrowie Henryk, we dwa lata niespełna po swem uwolnieniu, umarł w 1296 r. Chwalą w nim mężne serce i łagodność.

Cztery córki Henryka V a wnuczki błog. Jolanty, poświęciły się na służbę Bogu w klasztorze św. Klary w Wrocławiu, mianowicie: Jadwiga po śmierci męża swojego Ottona margrabi brandeburskiego, wstąpiła do tego klasztoru i w nim umarła 1329 r. Anna, zakonnica w tymże klasztorze umarła r. 1343. Elżbieta była później w tym klasztorze ksienią. Helena wstąpiła do klasztoru Panien Klarysek w Gnieźnie.

Beatyfikacja błog. Jolanty.

Rozgłos wielkich cnót błog. księżny wielkopolskiej i liczne łaski, za jej przyczyną cudownie otrzymane, sprawiły, że zaraz po jej śmierci lud oddawał jej wielką cześć i nazywał ją świętą. Wyższe stany, podzielając to przekonanie ludu, nawiedzały grób jej, ażeby przy nim z tem większą ufnością się modlić. I tak: Elżbieta królowa węgierska i polska r. 1372, Zygmunt I, król polski r. 1512, Zygmunt III, r. 1623, grób jej nawiedzili. Nawet panującego we Francji Ludwika XV pobożna małżonka Marja Karolina w liście własnoręcznym o modlitwę do błog. Jolanty prosiła.

W 1631 roku przybyła do Gniezna komisja deputowanych przez arcybiskupa Jana Wężyka wysłana i wręczyła konwentowi Panien Klarysek list arcybiskupa, w którym oświadcza, że wskutek prośby Panien Klarysek, aby zwłoki błog. Jolanty w odpowiedniej trumnie umieszczone zostały, zezwala, aby komisja po wybadaniu świątobliwości życia sługi Bożej, grób jej otworzyła, ale bez wystawienia jej relikwji ku czci publicznej, bo na to potrzeba pozwolenia Papieża. Poczem najstarsze z zakonnic o miejscu grobu zeznawały.

Nazajutrz w obecności trzech ojców Franciszkanów i notarjusza weszli do klasztoru, w którym przy murze cmentarza kościelnego zwłoki znaleziono. Nad cegłami sklepienia, pod którem zwłoki się znajdowały, wystawiony był drewniany i malowany grobowiec. Cały rozmiar grobu wzdłuż i wszerz był obwiedziony cegłą wystającą. Mogiła rzeczona miała nagrobek w polskim języku pisany:

„Błogosławiona Jolanta, którą Polacy Heleną, Węgrzy Johelet zowią, siostra błogosławionej Kunegundy, albo Kingi, córka Beli, króla węgierskiego, z matki Marji, cesarzowej greckiej i carogrodzkiej, której ojciec szedł z narodu Neronowego, a matka z narodu św. Katarzyny Męczenniczki. Ta błogosławiona Jolanta, będąc pozostałą wdową Bolesława Pobożnego, książęcia kaliskiego, w Krakowie u św. Franciszka w r. 1279 profesję zakonu św. Klary uczyniła z Kunegundą, siostrą swą, z którą w Sączu, aż do jej śmierci mieszkała, a potem do Gniezna się przeniosła, na tem miejscu w Chrystusie odpoczywa, u którego modlitwą swoją wiele dobrego ludziom uprasza.“

Gdy komisja przekonała się z tego, że to prawdziwy jej grób kazała cegły wierzchnie odwalić i gruzy sprzątnąć, poczem się grób okazał sklepieniem zamknięty, dotąd nienaruszony i nie uszkodzony. To sklepienie murarze otworzyli i wtedy ujrzano szczątki zwłok i trumny, które jeden z księży ze czcią pozbierał. Lubo te zwłoki w dosyć wilgotnem miejscu leżały, jednak dziwną jakąś i przyjemniejszą od zapachu fijołków woń wydawały. Zwłoki obmyto i w skrzynkę włożono. Zakonnice *Te Deum* zaśpiewały.

Dnia 2 grudnia przełożono zwłoki w skrzynkę starożytnej roboty w żelazo oprawną, której za życia błogosławiona Helena na zachowanie przywilejów klasztornych używać miała. Włożono czaszkę i kostek 31. Skrzyneczkę dwiema kłódkami zawarto, zapieczętowano i położono na małym stołku w grobie, który znów zamurowano.

W tym zapewne czasie t. j. między rokiem 1613 i 1631 grób błog. Heleny Jolanty ozdobionym został różnemi obrazami na około poustawianemi, z których dziś już szczątki tylko pozostały. Były tam wizerunki Bolesława Pobożnego, błog. Jolanty, błog. Salomei i św. Kunegundy.

Po przeniesieniu zwłok do ołtarza kaplicy zakonnic, miejsce dawnego grobu oznaczono napisem polskim na drzewie rżniętym, w posadzkę wpuszczonym.

W 1697 r. O. prowincjał Franciszkanów wielkopolskich Walerjan Karwacki, przełożył relikwje błog. Jolanty w trumienkę cynową misternej roboty.

Ks. Stanisław Szembek, prymas, który osobliwe miał nabożeństwo do błog. Jolanty, postanowił postarać się o jak naprędszą jej uroczystą beatyfikację, lecz w roku 1721 śmierć jego przerwała to święte postanowienie.

Po nim Teodor Potocki, arcybiskup gnieźnieński, wyznaczył komisję w celu zbadania: żywota, cnót, cudów i łask wszystkich błog. Jolanty.

W r. 1775 Panny Klaryski i OO. Franciszkanie gnieźnieńscy ponowili prośby swoje o wyjednanie u Stolicy Apostolskiej beatyfikacji błog. Jolanty. Generał Franciszkanów O. Aloizy Marzoni mianował prokuratorem procesu O. Franciszka Cybulskiego, Franciszkanina, kaznodzieję katedralnego w Gnieźnie, kapłana, jak się pokazuje z procesu, pełnego gorliwości o cześć błogosławionej.

Badano przez znawców wszystkie akta procesu, pisma, kroniki, zapisy i wszelkie najdrobniejsze pamiątki i pomniki, dające jakiekolwiek o niej świadectwo. Komisja ta pracowała przez całe trzy lata t. j. od 1776 do 1779 r. i odbyła 69 posiedzeń.

Owoc pracy jej okazał jasno i dowodnie:

Iż błog. Jolanta prawdziwie świątobliwe prowadziła życie na wykonywaniu wszystkich cnót chrześcijańskich w stopniu heroicznym, panieńskim, małżeńskim, wdowim i zakonnym stanie. Po śmierci Bóg wsławił ją rozmaitemi znakami i cudami: najprzód objawiła się w wielkiej jasności ksieni klasztoru gnieźnieńskiego już konającej, wraz ze św. Stanisławem i błog. Salomeą; potem mieszczance gnieźnieńskiej Barbarze, cały rok ciężką chorobą złożonej, którą cudownie uzdrowiła. To wszystko zeznali świadkowie pod przysięgą i wszystkie akta i pamiątki stwierdzają to samo.

Obrazy jej i relikwje od niepamiętnych czasów aż do dnia dzisiejszego przechowują się z największą troskliwością i czcią w kaplicy zakonnic w Gnieźnie. Wszyscy mieszkańcy Gniezna, a nawet obcy, zawsze jak największą mieli i mają cześć i nabożeństwo do niej, wierząc, że jest świętą i że króluje w chwale z Chrystusem Panem; pomocy jej i opieki w utrapieniach, chorobach i niebezpieczeństwach wzywali zawsze i wzywają z żywą wiarą i ufnością, że przez jej zasługi i przyczynę dostąpią pożądanej łaski i pomocy od Boga. Jakoż rzeczywiście za przyczyną jej wiele cudów wielkich się działo i dzieje aż dotąd nieustannie, jak to: wskrzeszenie umarłych, przywrócenie zmysłów, nagłe uzdrowienie kalectw od urodzenia, ustanie chorób nieuleczonych, tak ludzi jak bydląt; uśmierzenie żywiołów, a szczególniej ognia i morowego powietrza, zachowanie relikwji jej, chociaż w miejscu błotnistem i wilgotnem złożonych, i inne niezliczone cuda i łaski.

Na wspaniałym nagrobku, nad jej grobem wzniesionym, leży na środku posąg przedstawiający postać błog. Jolanty z rękami na piersiach złożonemi, wystawiony ku czci publicznej, ubrany w jedwabną sukienkę zakonną z rozmaitemi ozdobami złotemi, srebrnemi, klejnotami, perłami i t. d. Lud wierny zbiegał się od niepamiętnych czasów dla uczczenia jej i do dziś dnia schodzi się gromadnie na publiczne nabożeństwa, odbywające się na jej cześć.

Od zgonu błog. Jolanty, aż dotąd, na znak wdzięczności za dobrodziejstwa od Boga za przyczyną jej otrzymane, przynoszono w ofierze i zawieszano publicznie w koło grobu wota, figury woskowe, tabliczki, podarunki i inne tym podobne rzeczy, za wiedzą i pozwoleniem duchowieństwa.

Od niepamiętnych czasów obrazy błog. Jolanty były malowane lub rzeźbione z koroną i promieniami, zawieszane po kaplicach i kościołach. Na cześć jej pisane lub drukowane modlitwy, hymny, antyfony, przy jej grobie zakonnice i wierni, nabożnie odmawiają.

W kaplicy zakonnic, gdzie relikwje błog. Jolanty spoczywają, odbywała się dwa razy na rok uroczystość na jej cześć, jedna 11 czerwca, na pamiątkę, że w dniu tym oddała duszę Bogu, druga 4 listopada, na pamiątkę cudownego zjawienia się jej przy grobie tym około 200 lat po zgonie, t. j. około r. 1500.

Wiele osób na chrzcie św. otrzymało imię Jolanty i wiele zakonnic przybierało je sobie przy wstąpieniu do klasztoru.

W klasztorze zakonnic i w drugim OO. Franciszkanów w Gnieźnie znalazła komisja nowsze i starożytne rękopisma, akta klasztorów, opisy cudów, zapisywania mszy na grobie odprawianych, i inne tym podobne świadectwa, w jakikolwiek sposób tyczące się czci błog. Jolanty od niepamiętnych czasów.

W roku 1780 ks. Ostrowski, arcybiskup gnieźnieński, napisał do króla Stanisława z prośbą, aby się wstawił w Rzymie o przyśpieszenie kanonizacji błog. Jolanty. Król odpisał mu z Warszawy 16-go marca 1780: „Gorliwość W. K. Mości o dopełnienie czci sługi Bożej błog. Jolanty, policzenie jej w poczet śś. Patronów Polskich, z powodu urzędu arcybiskupiego, przez list mi oświadczoną, chcąc z mojej strony jak najprędzej widzieć pomyślnym uwień-

czoną skutkiem, uczyniłem już o to przyzwoity krok do Stolicy Apostolskiej.“

Skutek tych prac i gorliwych starań, z powodu nieszczęśliwych, jakie dla całej Europy nastały czasów, dopiero w pięćdziesiąt lat nastąpił. Panny Klaryski i OO. Franciszkanie, chociaż rozproszeni, za pośrednictwem swojego Generała udali się z prośbą do św. Kongregacji Obrzędów o decyzję ostateczną w sprawie błog. Jolanty. Św. Kongregacja, po pilnem zbadaniu wszystkich aktów, wydała wyrok 22 września 1827 roku: „że prawdziwość czci błog. Jolanty od niepamiętnych czasów udowodnioną jest należycie.“ Papież Leon XIII potwierdził tę odpowiedź i w następnym roku 15 stycznia nadał odpust zupełny na uroczystość błog. Jolanty dla wszystkich kościołów Panien Klarysek w Polsce.

Dnia 27 września 1827 roku św. Kongregacja Obrzędów wydała dekret, mocą którego pozwoliła całemu Zakonowi Franciszkanów konwentualnych płci obojej „odmawiać officjum o błog. Jolancie w jej uroczystość, przeniesioną z 11 na 16 czerwca Leon XII potwierdził ten wyrok 1-go października tego samego roku.

Dnia 2 Lipca.

BŁOGOSŁAWIONY BERNARDYN REALINO

Wyznawca Tow. Jezusowego.

1530—1616.

Za rządów papieży: Klemensa VII, Pawła V, cesarza Karola V.

Najlepszą i najpewniejszą drogą ku osiągnięciu świętości jest: pogardzać wszystkiem, co świat ceni i poszukuje, owszem, tego właśnie unikać.

Św. Ignacy Lojola.

Pierwsze lata. — Bogobojne wychowanie.

Z życia błog. Bernardyna Realino przekonać się można dowodnie, że nawet ci, którzy w młodości nie okazywali szczególnych oznak świętości i do świeckiego gotowali się stanu, mogą dojść do nadzwyczajnej doskonałości i zasłużyć na cześć błogosławionych.

Błog. Bernardyn ur. się d. 1 grudnia 1530 r. w miasteczku Carpi (wym. Karpi) we Włoszech. Podanie głosi, że założonem zostało ono przez Słowian, przybyłych z pod Karpat w VIII wieku.

Rodzina Realino należała do najbardziej cenionych w całej okolicy, gdyż odznaczała się cnotami obywatelskiemi, a dziad błogosławionego cieszył się wielkiem zaufaniem księcia Marka Pio, w którego posiadaniu było Carpi, tak dalece, że ów książe powierzył mu zarząd wszystkich dóbr swoich.

Ojciec Bernardyna, imieniem Franciszek, ożeniony był z cnotliwą Elżbietą Bellentani, służył zaś w wojsku pod dowództwem sławnego w owym czasie generała księcia Aloizego Gonzagi i dlatego imię to małemu Bernardynowi na chrzcie św. zostało przydane.

Wychowaniem syna zajmowała się troskliwa matka. Wzniosłemu lecz i trudnemu zadaniu umiała sprostać mężna niewiasta, bo całą swą mądrość i męztwo czerpała w modlitwie i częstem przystępowaniu do Sakramentów św. Widziano ją często we Franciszkańskim kościele św. Mikołaja, a przy jej boku młodego Bernardyna. Tam pierwsze z nim odmawiała pacierze, a gdy już podrósł i umiał rozróżnić dobre od złego, uczyła go rachunku sumienia i jak ma duszę swą umacniać do zwyciężania rozmaitych pokus.

Pragnąc syna wychować na dobrego chrześcijanina, naginała go od młodości do cnoty, obudzała w nim wstręt do wszystkiego co złe, czuwała nad każdem słowem, spojrzeniem, czynem dziecka i starała się zawczasu zapobiegać jakiemukolwiek zgorszeniu.

Bernardyn był posłusznym na każde skinienie, uważnie się modlił, w naukach był pilnym, miłosiernym dla ubogich, nikt z ust jego nie słyszał nieprzyzwoitego słowa, zawsze miał twarzyczkę uśmiechniętą, wesołą, jako odbicie niewinnej duszy.

Pobyt w Modenie i Bolonji.

Prawdziwa cnota zwykle musi być wypróbowaną w ogniu pokus i trudności.

Młody Bernardyn wszedł właśnie w lata najniebezpieczniejsze dla młodzieży, kończył rok 16-ty życia, a że bystry miał umysł i żywą fantazję, z zapałem właściwym wiekowi zabrał się do nauk klasycznych. Gdy go rodzice oddali do szkół publicznych w Modenie w roku 1546, jeżeli nie był pierw-

Błogosławiony Bernardyn Realino, T. J.,
będąc blizkim śmierci obiecuje delegatom miasta Lecce opiekować się niemi w niebie.

szym między uczniami, to pewna, że nie wielu mogło mu sprostać w bystrości umysłu. Pomimo tego nikt nie zauważył w nim próżności. Uważał za swój obowiązek uczyć się dobrze, skoro Bóg udzielił mu zdolności. Żywy temperament i powodzenie w szkole nigdy nie doprowadziły go do nieporozumienia z kolegami. Dla wszystkich był łagodnym, uczynnym, to też go bardzo kochali wszyscy. Nieraz się zdarzało, że z pieniędzy otrzymanych od rodziców na rozrywki, kupował książki szkolne ubogim kolegom.

W Modenie zapoznawał się przedewszystkiem z klasykami łacińskimi i greckimi i robił nawet komentarze do niektórych poezji łacińskich. W drugim roku pobytu w tem mieście, mniej nieco pilny był w naukach i począł tracić czas na rozrywkach z kilku kolegami. Jednak prędko spostrzegł, do czego zbytnia swoboda i próżniactwo może zaprowadzić; zerwał więc z niedobrymi towarzyszami i nieraz całemi nocami przesiadywał nad książką, aby powetować czas stracony.

Błog. Bernardyn sam o sobie pisze: „Gdym wszedł na tak śliską drogę, przyszedł Anioł Pański z upomnieniem, żem zbłądził, i odciągnąwszy mnie od wrót piekielnych, wprowadził na ścieżki nieba.“ Kończył wtedy lat 18, niebawem miał rozpocząć studja filozoficzne, jako przygotowanie do dalszych zawodowych nauk, chcąc obrać sobie zawód lekarski. Sławnym był wówczas uniwersytet w Bolonji; tam zamierzał kształcić się Bernardyn Realino. O swoich trzyletnich naukach filozoficznych w Bolonji tak pisze w swym pamiętniku:

„Z wielką gorliwością oddawałem się filozofji, chociaż od czasu do czasu zajmowałem swój umysł naukami łżejszemi, a przedewszystkiem tem, co się odnosi po medycyny, której całkowicie pragnąłem się poświęcić. Bo też to nauka prawdziwie szlachetna i godna wolnego umysłu, lecz bez filozofji, która ją ożywia, jest jakby ciało bez duszy. I byłoby wszystko stało się tak, jak pragnąłem, gdyby mię od tych planów nie oderwały rozumne napomnienia Klorydy. Pochodziły one od niewiasty zarówno pięknej na ciele, jak na duszy niewinnej, od osoby pełnej godności i rzadkiej roztropności. Ona zwróciła mię na arenę prawniczą. Miłowałem ją przedziwną miłością i czułem się szczęśliwym, gdym mógł zadośćuczynić jej godziwemu pragnieniu.

Kloryda była to młoda panna ze znakomitego rodu, o nadzwyczajnych zdolnościach. Ulubionym przedmiotem była dla niej filozofja, pisała też piękne poezje. Silny wpływ wywierały na Bernardyna, niewinność jej duszy i szczera, głęboka pobożność. Kloryda codziennie uczęszczała na Mszę św., a po Komunji w zakątku kościoła trwała nieraz całemi godzinami zatopiona na rozmowie z Bogiem. Spostrzegł ją raz Bernardyn w kościele i tak był wzruszony jej pobożnością, że wypytywał się wśród znajomych kto ona jest, a następnie postarał się o bliższe zapoznanie. W ten sposób zawiązała się między dwoma niewinnemi duszami szczera miłość, która rzeczywiście poprowadziła obie do coraz piękniejszych cnót i ściślejszego zjednoczenia się z Bogiem.

O zamiarze zmiany planu nauki zawiadomił Bernardyn ojca, nie tając powodów, które go do tego kroku skłoniły. Ojciec nie robił żadnych trudności i owszem zaraz przysłał potrzebne fundusze na zakupienie dzieł prawniczych. Może żywił nadzieję, że znajomość z Klorydą będzie miała poważniejsze dla syna następstwa, zapewni mu dobrą towarzyszkę życia, a on sam w niej znajdzie cnotliwą i rozumną synowę.

Otrzymawszy pozwolenie ojcowskie, młodzieniec z wielką energją zabrał się do nauk prawniczych. Usilną pracą i wytrwałością doszedł wreszcie do tego, że nowy zawód pokochał, jemu poświęcał cały czas, zapominając niejednokrotnie o posiłku. „Jem raz na dzień — pisze błog. Realino w swym dzienniczku; przyzwyczajenie to bardzo mi służy i bardzo z niego jestem zadowolony. Po Panu Bogu, temuż nawyknieniu zawdzięczam me zdrowie.“

Pan Bóg doświadcza tych, których kocha.

W r. 1550 wypadło Bernardynowi wyjechać na dłuższy czas z Bolonji do Karpi, do chorej matki. Przez kilka miesięcy czuwał dniem i nocą przy gasnącej z dniem każdym Elżbiecie Realino.

Rady lekarskie, starania i modlitwy Bernardyna, nieco odwlekły jej ostatnią chwilę, lecz nie mogły zmienić wyroków Bożych. Elżbieta zmarła dnia 24 listopada tegoż roku, zostawiając głęboką ranę w sercu syna. Czekały Bernardyna nowe ciosy:

Oto jedna z możnych rodzin wystąpiła z procesem przeciw Franciszkowi Realino, wysłał więc syna do Ferrary, ażeby na dworze książęcym sprawę załatwił. Przyjęcie, jakiego doznał Bernardyn u dworu, dawało nadzieję, że proces wypadnie na korzyść rodziny Realinów. Tymczasem otrzymuje list od ojca z rozkazem, aby sprawę umorzył, ponieważ spodziewał się załatwić zatarg sądem polubownym. Sędzią był Hieronim Galli, krewny rodziny wytaczającej proces, który bez dokładnego zbadania sprawy, wydał wyrok na korzyść swych krewnych. Niesprawiedliwość była krzyczącą. Nic więc dziwnego, że Bernardyn Realino, gdy raz na przechadzce spotkał owego niesprawiedliwego sędziego polubownego, zapytał go, na czem opierał swój wyrok. Galli zamiast odpowiedzi, rzucił jakieś ostre słowo. Zawrzała krew w żyłach Bernardyna; jako Włoch, zapalczywego charakteru, zaślepiony gniewem, dobył puginału i ciął przeciwnika w czoło. Dzięki Bogu, pu-

ginał ześlizgnął się po czole przeciwnika i rana była niewielką. Pomimo tego skazał Bernardyna książę Ferrary na wygnanie.

Młodzieniec gorzkiemi łzami opłakiwał swój upadek; stał się on dla niego bodźcem do cnoty, z całym zapałem począł pracować nad pokonaniem gniewu, aż nad nim zapanował zupełnie.

Za powrotem do Bolonji na nowo rozpoczął życie nauki i pobożności. Podczas gdy inni jego koledzy szukali rozrywek, on szukał pociechy w częstem przystępowaniu do Sakramentów św., w modlitwie i pobożnych rozmowach z zakonnikami.

Po pięciu latach pracy nad sobą w zupełnem zaciszu żył Bernardyn, jakby na pokucie, przygotowując się do ostatniego egzaminu z obojga praw. Wypadł on świetnie dla naszego młodzieńca, i w d. 3 czerwca 1556 r. otrzymał doktorat, otwierający mu pole do wysokich godności.

Błog. Bernardyn Realino zostaje burmistrzem miasta Felizzano i Kassino.

Gdy Bernardyn Realino r. 1556 ukończył nauki prawnicze, kardynał Madrucci był wówczas gubernatorem Medjolanu. Do niego zwróciła się starszyzna miasta Felizzano z prośbą, aby im dał D-ra Bernardyna Realino na urząd burmistrza (Podesta). Bernardyn znajdował się wówczas w Medjolanie, poznał tam osobiście kardynała Karola Boromeusza, zaliczonego później w poczet Świętych i był przedstawiony kard. Madrucci. Ten ostatni znał już dawniej z imienia i sławy zdolnego młodzieńca i obiecał mu pierwszą opróżnioną posadę. W parę tygodni później nadał mu wysoki przywilej „obywatela medjolańskiego“, a w odpowiednim dokumencie wyszczególnił powód tego zaszczytu, mianowicie: dokładną znajomość prawa i wiele cnót, dla których jego osoba ozdobą będzie Medjolanu.

Gdy Felizzano prosiło kardynała-gubernatora o Realina, Madrucci natychmiast uwzględnił prośbę i już w grudniu tegoż roku 1556, mianował Bernardyna burmistrzem felizzańskim. Burmistrzostwo było podówczas urzędem najwyższym w sprawach cywilnych, wojskowych i sądowniczych; wybierano nań ludzi z innych okolic, aby wyroki mogli wydawać bez krępowania się względami ludzkimi lub węzłami pokrewieństwa. Z jak wielką roztropnością i miłością rządził Bernardyn miastem Felizzano, okazuje nam starszyzna miejska w liście, skreślonym doń, gdy się dobrowolnie usunął z urzędu Podesty. Między innemi znajdują się i te słowa:

„Nieskazitelny Pretor nigdy nie dał się powodować w tem, co jest sprawiedliwe, ani gniewem, ani nienawiścią, ani miłością, ni pieniędzmi: najsumienniejszy wykonawca praw, wykładał je bardzo sprawiedliwie. Nie na mniejszą pochwałę zasługuje jego roztropność w godzeniu sporów i waśni. O ile tylko było w jego mocy, tak się przyczynił do zgody i spokoju wśród nas, że się zdawało, jakoby wróciły szczęśliwe czasy. Również nie jesteśmy nawet w stanie, tak jakby należało wychwalić jego pilność, energię i mądrość w rządzeniu sprawami publicznemi...

Uwolniono go od sprawozdania z czynności administracyjnych, którego zwykle od innych wymagano. Piękniejszego uznania pracy i poświęcenia, chyba trudno, aby kto mógł żądać. To też dziwnem może się zdawać, dlaczego Bernardyn Realino wbrew woli miasta Felizzano opuścił ten urząd. Prawdopodobnie spodziewał się wyższej posady, ta jednak nadzieja zawiodła. Lecz oto dziwne stanęło przed nim zjawisko. Zdawało mu się, że widzi Pana Jezusa doń przemawiającego w te słowa:

— Powstań, ocknij się z letargu i proś ten królewski majestat, który umie pomagać biednym i nic nie wątp.

Bernardyn myślał, że Pan mówi o królu Filipie, więc skreślił doń prośbę o przyjęcie w opiekę. Nowy gubernator Medjolanu zaraz wysłał Bernardyna na dwa lata w charakterze adwokata fiskalnego do Aleksandrji lombardzkiej. Na trudnem stanowisku dobrze wywiązał się z zadania, gdyż ani ludność nie żaliła się, gdy ściągał podatki, ani skarb państwowy nic nie utracił ze spodziewanych dochodów.

Po ukończeniu delikatnego i przykrego urzędowania, zdawała się znowu otwierać jaśniejsza przyszłość. Bernardyn objął urząd burmistrza w Kassynie. Praktykę, jaką Realino już zdobył w Felizzano, mógł na podobnem stanowisku zaraz w życie wprowadzić, i zjednał sobie wszystkich serca

Lecz nowy czekał go cios. Oto podczas pobytu w Kassinie, dochodzi go wieść, że w Bolonii opuściła tę ziemię Kloryda. Było to w r. 1561. Współczesny pisarz żywotu tej pobożnej dziewicy, wspomina o niej, jako o świętej. Łatwo wyobrazić sobie, jak wielką musiała być boleść Bernardyna, jeżeli zechcemy mierzyć ją uczuciem gorącej miłości, jaką był ku niej przejęty, a raczej szacunkiem dla świętości Klorydy, która tę miłość wywołała. W każdym razie była to boleść chrześcijańska wskutek utraty osoby miłowanej, lecz bynajmniej nie rozpacz. Przyjął ją z rąk Bożych, poddając się Jego wyrokom, a ta uległość miała być stokrotnie nagrodzoną jeszcze w tem życiu.

Widzenie błog. Bernardyna. Rządy w Kastellonie.

Dnia 3 lipca 1561 r., po wysłuchaniu Mszy świętej około godziny 8 rano, siedział Bernardyn zamyślony w swoim pokoju, rozważał otrzymane z rąk Bożych dobrodziejstwa, lecz i o świeżej myślał bo-

leści. Wtem słyszy głos bardzo wyraźny: „*Przyjacielu pójdź, pójdź ze mną.*“ Zdziwiony, patrzy w stronę z której głos dochodził i cóż widzi?—oto, mgłę, a wśród niej niewiastę, wyciągającą ku niemu swą dłoń. Zbliża się do Bernardyna, jedną ręką podnosi go z krzesła, drugą wskazuje niebo — i znika.

Kto to był? Zdawałoby się, że dusza Klorydy. Tymczasem on sam mniemał, że to była Matka Boska i ku pamięci tego widzenia napisał sonet ku czci Najśw. Dziewicy, poczynający się od słów: „*Io sospirava pur...*“ Jeżeli zresztą tym razem nie była Kloryda, to później kilkakrotnie okazywała mu się z największą pewnością, otoczona światłem nadziemskim i zawsze go zachęcała do cnoty, do walki życiowej, wskazując niebo, dokąd powinny zdążać jego pragnienia i myśli.

Podobne widzenia na duszę Bernardyna wywierały najzbawienniejszy skutek. Coraz bardziej odrywał swój umysł od rzeczy ziemskich, myślał akby najdokładniej wypełnić wolę Bożą w swem życiu. Obrazem ówczesnego jego usposobienia była praca literacka o „próżności świata.“ Nie był to pierwszy utwór Bernardyna. W młodszych latach wiele napisał oryginalnych wierszy i tłómaczeń, oraz komentarzy do starożytnych pisarzy. Przetłómaczył na włoski język Odysseę Homera, a nieco później napisał dziełko o małżeństwie chrześcijańskiem, poświęcone rodzonemu bratu Janowi; daje w niem bardzo cenne rady, wstępującemu w stan nowy.

Z urywków, jakie pozostały z jego pracy o próżności świata,“ przekonujemy się, że dusza Bernardyna wskutek doznanych krzyżów i zawodów nadzwyczajnie uszlachetniała i lgnęła do Boga. Żył jeszcze na świecie, lecz serce rwało się do rzeczy wyższych; coraz jaśniejszym coraz bardziej ponętnym, wydawał mu się świat nadprzyrodzony.

Gdy Bernardyn w r. 1562, ukończył rządy burmistrza w Kassinie, powołano go w tymże samym charakterze do okręgu Kastellony, położonego w Lombardji.

Stanowisko burmistrza w Kattellonie było bardzo trudne w owych czasach, z powodu bezustannych walk stronniczych, połączonych z rozlewem krwi i rabunkiem i wielu innych zbrodni, powtarzających się codziennie w tej okolicy. Dwa lata urzędowania Bernardyna wystarczyło do zupełnej zmiany usposobień mieszkańców. List pochwalny, wystosowany przez senat miejski do margrabiego Peskary o rządach Realina, podnosi jego nieocenione zasługi dla miasta. Bezwzględna sprawiedliwość w wydawaniu wyroków, stanowczość i łagodność w postępowaniu, mądrość w sądzeniu, roztropność w udzielaniu rady, hojność i miłosierdzie dla wdów i sierot, surowe karcenie występków przeciw moralności, podniesienie ducha raligijnego, sprowadziły zupełne uspokojenie umysłów, zachęciło do cnót obywatelskich, których on sam zawsze był wzorem.

Postanowiono Bernardyna wynieść do wyższych godności i uczynić go generalnym namiestnikiem wice-króla Neapolu. Na nową posadę miał się udać Bernardyn z końcem r. 1563, lecz dla ciężkiej choroby był zmuszony wyjazd swój odłożyć do następnego roku.

Otwierała się dla młodego prawnika świetna karjera, mogąca zapewnić zarazem szczęście przyszłym jego podwładnym. Lecz inne były zamiary Opatrzności Bożej, gdy powołał swego wiernego sługę do Neapolu.

Wyjazd do Neapolu. — Spowiedź z całego życia. — Rekolekcje u O.O. Jezuitów.

Zaledwie 24-ty rok liczyło Towarzystwo Jezusowe swego istnienia, a 10-ty jak powstało kolegium w Neapolu, gdy Bernardyn Realino zawitał do tego miasta w charakterze wysokiego urzędnika królewskiego. Młodzi Jezuici zrobili na nim silne wrażenie swoją skromnością postawy i anielskim wyrazem twarzy. W jedną z niedziel wrześniowych 1564, Bernardyn wszedł do Jezuickiego kościoła, w chwili, gdy O. Jan Carminata T. J. wstępował na ambonę. Wymowne słowa kaznodziei poruszyły do głębi duszę słuchacza. Za powrotem do domu uczynił postanowienie stanowczo zmienić swe życie na lepsze i w tym celu zamknął się na dni kilka w mieszkaniu, aby lepiej przygotować się do jeneralnej spowiedzi, mającej dać początek nowej epoce jego życia. Zrobił dokładny rachunek sumienia i poszedł do O. Carminata, prosząc o spowiedź z całego życia. Spowiednik poradził przygotować się rekolekcjami; Realino najchętniej przystał i zaraz rozpoczął ośmiodniowe ćwiczenia duchowne pod kierunkiem tegoż Ojca.

Praktyka uczy, że nie wszyscy równą z nich korzyść wynoszą, że brak nam nieraz odwagi i silnej woli, aby pójść za głosem sumienia i zrobić wszystko to, czego się Bóg od nas domaga.

Realino jako człowiek rozumny, odrazu pojął doniosłość dla własnej duszy rozmyślanych prawd i już na początku postanowił stanowczo nie kłaść tamy woli Bożej, lecz ja całkowicie wypełnić chociażby miłość własna stawała do walki z łaską Bożą.

Z końcem rekolekcji poznał, iż go Bóg raczył powołać do swojej służby, aby go oderwać od marności ziemskich i obfitsze skarby niebiańskie otworzyć przez pracę dla zbawienia bliźnich.

Zdawało mu się odrazu, że najodpowiedniejszym dlań będzie zakon Towarzystwa Jezusowego, lecz światła szukał w modlitwie i częstszem przystępowaniu do Sakramentów, przytem zasięgał bliższych szczegółów o życiu niedawno zmarłego Ignacego Lojoli i jego pierwszych uczniów. Św. Ignacy Lojola zaledwie przed dziesięciu laty opuścił tę ziemię (r. 1556) pełen cnót, zasług i sławy. Drugi

jego towarzysz, Franciszek Ksawery, jeszcze głośniejszym stał się za oceanami przez apostolską pracę w Indjach i Japonji. Wielu innych znakomitych mężów liczył już wówczas ten zakon.

O każdym z członków Towarzystwa Jezusowego dochodziły bardzo pocieszające wiadomości, iż święcie żyją i dużo dla chwały Bożej i zbawienia bliźnich pracują. Widząc w szeregach tego Zakonu prawdziwych rycerzy, wyćwiczonych w swoim zawodzie jak przystało na żołnierzy Chrystusa, Bernardyn postanowił zaciągnąć się pod ich sztandar. Na razie uczuł wielką radość i spokój duszy, zdawało mu się, iż ciężki kamień spadł z jego serca

Walki wewnętrzne i wahania.—Cudowne objawienie się Najśw. Panny.

Lecz życie zakonne jest tak wielką łaską, tak wielkiem dobrem, że go się zdobywa nie inaczej jak po zaciętej walce. Bywa, iż sam Bóg dopuszcza pokusę, aby doświadczyć jak złoto w ogniu i wypróbować szczerość, intencję i siłę duszy potrzebną do pozbycia się wad i ułomności i do nabycia cnoty. Zakonnik uczy się to cenić i pielęgnować co z trudnością zdobył. Przez ogień pokus miał przejść również Realino.

Przez kilka dni staczał z sobą bezustanną walkę. W końcu zwrócił się z gorącą modlitwą do Pocieszycie lki strapionych".

Odmawiał właśnie podług dawnego zwyczaju koronkę, tym razem modlił się goręcej jak dawniej. W tem nagle olśniło go światłobardzo silne, a wśród niego ukazała się Matka Najświętsza z Dzieciątkiem Jezus. Chwilę zatrzymała nad nim wzrok pełen niewymownej słodyczy, rozkazała czemprędzej wstąpić do Towarzystwa Jej Boskiego Dzieciątka—i znikła.

Powyższe widzenie rozproszyło wszelkie niepokoje i wątpliwości Bernardyna, natomiast przejęło go niewypowiedzianą pociechą. Pośpieszył do O. Carminata i nic nie mówiąc mu o widzeniu, prosił, aby się wstawił za nim u swych przełożonych o przyjęcie do zakonu.

O. Carminata, roztropny zakonnik, chcąc wypróbować powołanie Bernardyna, począł mu robić tysiączne trudności. Przekonawszy się jednak o prawdziwości powołania, przedstawił Bernardyna ówczesnemu prowincjałowi neapolitańskiemu O. Salmeronowi. Ten zanim go przyjął, oświadczył, że wpierw napisze do O. Generała, aby się porozumieć, gdzie ma nowicjat odbywać, w Neapolu, czy w Rzymie. Tymczasem zanim odpowiedź nadejdzie, polecił Realinowi zakończyć prywatne interesa, aby nie miał żadnych kłopotów na głowie, gdy wstąpił do Zakonu. Bernardyn we wszystkiem zastosował się do życzeń O. Salmerona. Zaraz napisał list do margrabiego Peskary, z oświadczeniem' że składa swój urząd, drugi do swego brata Jana, polecając mu starego ojca, trzeci do ojca bardzo długi, z którego tylko mały ustęp przytaczamy:

„Dotychczas, Ojcze, a już ukończyłem 34-ty rok życia, byłem przyjacielem świata i nie mogę się nań żalić, bo dawał mi przyjemności, radości, sławy, tryumfów poddostatkiem. W końcu spostrzegłem się, że wszystko jest marnością, i że świat cały niczem innem nie jest, kto nań dobrze spogląda, jak nieprzyjacielem naszego zbawienia, narzędziem w ręku szatana na zatratę dusz naszych. Mówił mi Boski Mistrz, a mówił głosem nieskończonej litości: „Synu, synu mój najdroższy, jeśli chcesz być przyjacielem świata, potrzeba, abyś był otwartym nieprzyjacielem Boga; a jeżeli chcesz, jak powinieneś być przyjacielem Bożym, potrzeba abyś miał świat za głównego nieprzyjaciela". A gdy Mu czasem odpowiadałem, chociaż zawsze z uszanowaniem: „Mistrzu, przecież sam nauczałeś, że w każdym stanie i na każdem miejscu można służyć i niesłużyć Boga". On mi mówił tyle i tak głębokich rzeczy, że byłem zmuszony przyznać z Nim razem, że kto chce służyć Panu nad pany, musi koniecznie wyrzec się świata, jego próżności, jego chwały, jego przyjemności i zaprzeć się zupełnie siebie samego i swej woli, i wziąść swój krzyż i iść wielkiemi krokami zatem krwawem lecz zwycięskiem znamieniem Wodza i Pana naszego Jezusa Chrystusa Syna Boga żywego i wiecznego. A ma postępować za Nim nietylko samem ciałem, ani też samą duszą, lecz i ciałem i duszą całkowicie, tak jak On jest razem i ciałem i duszą i Bogiem.

Z pomocą miłosierdzia Bożego postanowiłem dobrowolnie pójść za głosem tego Pasterza, co zna swoje owieczki, jako te, które On dobrowolnie wybrał i mam nadzieję za parę dni zostać przyjętym pod Jego opiekę do jednej z najszlachetniejszych Jego owczarni, najbardziej czystej i najbardziej Mu drogiej, jakie ma na ziemi: a tą jest Towarzystwo Jezusowe. Uczciwe życie, święta nauka, ubóstwo w sprzętach a bogactwo ducha, zapał miłości ku Bogu i naszym bliźnim, to są zajęcia i ciągłe ćwiczenia tych dusz błogosławionych, kochanych, szanowanych i czczonych przez wszystkich, jako obraz prawdziwy pierwszych czasów apostolskiego Kościoła..."

Niebawem nadeszła wiadomość od O. Generała, ażeby Bernardyn nowicjat odprawił w Neapolu. Ojciec błogosławił synowi na nową drogę życia, poczem 13 października 1564 r. wstąpił Realino w progi neapolitańskiego nowicjatu.

Nowicjat. — Święcenia kapłańskie.

Błog. Realino rozpoczął życie zakonne od rekolekcji św. Ignacego, jakie każdy wstępujący odprawia przez cały miesiąc, czasami dłużej. Bernar-

dyna zatrzymano w tych duchownych ćwiczeniach przez sześć tygodni. Nie dano mu jeszcze sukni zakonnej, zachowując tę uroczystość na dzień św. Andrzeja Apostoła.

Odbyła się ona w niezwykły sposów, Mistrz nowicjuszów zaprowadził Bernardyna Realino do kuchni i przedstawił go bratu kucharzowi. Ten ucieszony nowym towarzyszem, przyniósł czarną, zakonną suknię i oddał ją swemu pomocnikowi z temi słowy:

— Przyjm tę suknię i wdziej na siebie, będzie ona suknią ślubną, w której kiedyś wejdziesz na gody niebiańskie.

Bernardyn ukląkł, wziął ją do rąk ucałował i odszedł, aby się nią przyoblec — z taką radością, jakby mu dawano płaszcz królewski. Przez sześć następnych miesięcy pracował w kuchni, jakby jeden z najniższych posługaczy. Ćwiczenie się w umartwieniu i pokorze bardzo mu przypadło do smaku, skoro pisał do swego ojca w te słowa:

„Trudno znaleść większy porządek i większą wzajemną miłość, jak tutaj. Wierz mi Ojcze, że tu jest ziemski raj i jestem przekonany, że gdyby go znano, każdyby doń śpieszył i rzeczywiście nie brak chętnych, jednakowoż w przyjmowaniu bardzo są ostrożni; szczęście prawdziwe i łaska Boża, że ja się tu dostałem.

Gdy tę próbę ukończył, pytano go czy pragnie po nowicjacie udać się na dalsze nauki. Realino odpowiedział, że wolałby zostać, gdyż pokorny stan pomocnika w Zakonie bardzo mu się podoba.

Raz prosił Ojca Magistra nowicjuszów, aby mu wskazał jaką odpowiednią książkę duchowną do czytania. O. Pedeiungo podał mu krucyfiks i rzekł:

— Oto mój synu książka, w niej się ucz czytać. Porzucił więc Bernardyn myśl czytania czego innego, jak tej księgi Bożej, z której Mistrz Niebieski nauczał na katedrze krzyża. W krótkim czasie nauczyła go wzgardy wszystkiego co ziemskie, wzgardy siebie samego, poddania się całkowitego woli Bożej. Z księgi tej również się nauczył ożywiać duchem Bożym wszystkie swoje czynności. Lecz, że Bóg nie daje się nigdy w hojności wyprzedzać, za wielką ofiarę Bernardyna, dał mu też nadzwyczajne łaski. Między innemi dar rzadkiej czystości, tak, że nie miał być już odtąd nigdy nagabywany nawet przez najlżejszą pokusę przeciwną tej cnocie. Dar ten otrzymał on przez Najśw. Dziewicę w czasie pierwszego roku nowicjatu, gdy mu się raz ukazała i upewniła o tak wielkiej i pięknej łasce. Od czasu tego widzenia Matki Najświętszej, miał zwyczaj polecać kuszonym przeciw skromności, aby robili znak Krzyża św. około serca i wymawiali z ufnością po trzykroć słowa: *Przez Twoje święte Panieństwo najczystsza Panno, oczyść ciało moje W Imię Ojca i Syna i Ducha św.*

* * *

Nietylko Pan Bóg zlewał obficie swe łaski na nowicjusza. Ci którzy zastępywali mu Boga na ziemi także dawali dowody, jak wielkie pokładają w nim nadzieje i zaufanie.

Zakon Tow. Jezusowego dłużej doświadcza swych kandydatów w nowicjacie, niż inne Zgromadzenia zakonne głębsze chcąc zakładać fundamenta pokory, aby się w pychę i zarozumiałość nie wbili

Jednakowoż w obec Bernardyna przełożeni zrobili wyjątek i już po skończonym pierwszym roku nowicjatu, kazali się uczyć teologji, chociaż go dopiero później przypuścili do zwykłych ślubów zakonnych. A ponieważ jeszcze jako świecki, skończył całą filozofię scholastyczną, również prawo świeckie i kanoniczne, przeto już z końcem drugiego roku nauk teologicznych dopuszczono go do święceń kapłańskich. Dostąpił tej wysokiej godności w wigilję Najśw. Trójcy r. 1567. Wstrzymał się jednak Realino z odprawieniem Mszy św. aż do uroczystości Bożego Ciała.

Jak wielkich wówczas doznawał słodyczy w swej niewinnej duszy, najlepiej nam powie ustęp z listu O. Bernardyna, pisanego do swego ojca d. 31 maja 1567 r.:

„Mój Ojcze! innych nie mam, jak tylko same najlepsze o sobie nowiny. Czem dłużej żyję w błogosławionem Towarzystwie Jezusowem, tem więcej jestem zadowolony, bardziej wesoły i więcej doznaję pociech duchownych. Powód zaś tego nie inny, jak ten, że coraz więcej poznaję Boga, coraz jaśniej i coraz większe widzę Jego dobrodziejstwa i łaski. I czem mniej ufam sobie i swoim siłom, tem silniej wspieram się na krzyżu i zasługach Syna Bożego Odkupiciela i Zbawiciela naszego: a kto się oparł o taką siłę, czegóż ma się obawiać? O cóż ma się troszczyć dusza, co służąc Jezusowi, gasi swe pragnienia słodyczą Jego Przenajświętszej Krwi? gdy spocznie na Jego świętych piersiach i nie chce odstąpić od ran miłosnych, które są jakby pięciu ustami bezustannie proszącemi o odpuszczenie grzechów i obfitość łask Boga Ojca, bylebyśmy prosili w pokorze o Jego pomoc.

W zakonie, gdzie człowiek zupełnie oddaje się Bogu, nie troszcząc się o świat, jakby go nie było— są tak wielkie słodycze, iż nie uwierzy ten, kto nie doświadcza pociech duchownych...

— Patrz Ojcze, co za miłosierdzie Boże stało się nademną! Podczas, gdy nie śmiałbym nawet pragnąć, a tem mniej prosić, On sam wyniósł mię do tak wielkiej godności, iż mocą Jego wszechmocnych słów, mogę ofiarować Trójcy Św. prawdziwe i rzeczywiste Ciało i Krew Syna Bożego na odpuszczenie grzechów: jest to urząd, którego nawet Aniołowie nie mogą sprawować, bo tylko samym kapłanom dozwolił to Zbawiciel na ostatniej wieczerzy. Jest to rzecz największa, jaką może dokonać człowiek na ziemi, a św. Kościół niema in-

nego środka, którymby mógł więcej chwalić i wielbić Boga, jak ofiarując tę prawdziwą Ofiarę niewinnego Baranka. Sam sobie się dziwię, znając moją niegodność; lecz to są cuda Boskie, iż z grzesznika robi sprawiedliwego i ten, który sprawiedliwie zasłużył na karę, z miłosierdzia Jego dostępuje chwały.

„Bardzo cię proszę ojcze, z wdzięczności za tę dobrą nowinę idź do kościoła przed Najśw. Sakrament i tam podziękuj Boskiemu Majestatowi za łaskę, jaką uczynił twemu synowi, z pokorą wyznając w głębi serca, że ani ty, ani ja nie zasłużyliśmy na tak wielki dar...!“

Stary Realino jakby czekał na tę radosną wiadomość, poczem w sam dzień Bożego Narodzenia tegoż roku przeniósł się do lepszej ojczyzny.

Kierownik młodzieży. — Pierwsze kazanie błog. Bernardyna.

Tymczasem O. Bernardyn Realino dalej uczęszczał na teologię w Neapolu, gdyż jeszcze nie wszystkie nauki swoje pokończył. Pomimo tego przełożeni obrali go za spowiednika innych kleryków i księży, jego kolegów. Była to rzecz zupełnie wyjątkowa i wyjątkowe zaufanie przełożonych, lecz oparte na wysokiej cnocie i doświadczeniu Bernardyna, skoro mu zlecono ważny urząd przewodnika w rzeczach duchownych nad zakonną młodzieżą. Jeżeli słowa jego, jako kierownika dusz silne i skuteczne robiły wrażenie na tych, do których były skierowane, to każdy przyznawał, że silniejszym bodźcem do cnoty był dla każdego przykład, jakim Bernardyn przyświecał.

Niebawem do powyższego urzędu dodano mu drugi jeszcze ważniejszy mistrza nowicjuszów. Pozostawał przy tym urzędzie przez dwa lata ku ogólnemu zadowoleniu, tak przełożonych, jak nowicjuszów Ci ostatni śpieszyli do niego nietylko w chwilach pokus, aby zasięgnąć rady, ale także, aby znaleść u niego słowa pociechy i rozweselenia. Co widząc starsi zakonnicy, nawet tacy, co posiwiali w życiu zakonnem, również u młodszego swojego brata poczęli się spowiadać i u niego szukać rady w trudniejszych sprawach. Jednem słowem tak wysoko był przez wszystkich poważany i ceniony, że ówczesny O. Generał Tow. Jezusowego św. Franciszek Borgiasz dopuścił O. Realino do uroczystej profesji zakonnej w dniu 1 maja 1570 r., jeszcze zanim tenże ukończył nauki teologiczne. Zrobił zaś ten wyjątek w zwyczajach zakonnych dlatego, że Realino dla wielkich zdolności dawał rękojmię, iż zdobędzie ten stopień nauki, jakiego zakon domaga się od tych, których dopuszcza do uroczystej profesji, powtóre ze względu na jego rzadkie zdolności w rządzeniu drugimi.

Za otrzymane łaski i dobrodziejstwa od Boga i zakonu, starał się odtąd Bernardyn jeszcze więcej okazać swą wdzięczność w zaparciu siebie dla chwały Bożej i zbawienia bliźnich. Obecnie praca ta szła mu snadniej, ponieważ więcej do niej miał czasu i więcej był do tego przygotowany.

Po raz pierwszy wstąpił na kazalnicę w katedralnym kościele neapolitańskim. Skutek kazania był nadzwyczajny. Zdarzył się przytem niezwykły wypadek. Jakiś kupiec przyprowadził ze sobą towarzysza, który niechętnie słuchał słowa Bożego. O. Bernardyn przedstawiał właśnie obraz grzesznika, w którym człowiek ów poznał najdokładniejszy swój wizerunek wewnętrzny. Rozgniewany wyszedł z kościoła i począł ostro wymawiać kupcowi, że tylko on jeden mógł kaznodziei wyjawić stan jego duszy, gdyż nikomu więcej nie zwierzał się nigdy ze swoich czynności. Kupiec zaklinał się, że nigdy nie mówił z tym kaznodzieją, więc tylko Pan Bóg mógł go natchnąć, aby tak przemawiał dla dobra grzesznego słuchacza. Dał się w końcu przekonać ów towarzysz, a widząc w tem szczególniejsze zrządzenie Boże, wrócił do kościoła, rzucił się do nóg kaznodziei, odbył spowiedź z całego życia i zupełnie się zmienił.

Od tego czasu często zapraszano Bernardyna do rozmaitych kościołów z kazaniami. Istniała wówczas w Neapolu kongregacja, założona przez świątobliwego i uczonego Dominikanina O. Ambrożego Salvia. Otóż gdy ten zakonnik został wyniesiony do godności biskupiej i był zmuszony udać się do swej dyecezji, owa kongregacja uprosiła sobie u przełożonych O. Realino na kierownika duchownego. O. Bernardyn nadał jej nowy kierunek i tak umiał zachęcić do gorliwości w wypełnianiu przyjętych obowiązków, iż kongregacja ta stała się wielkiem zbudowaniem dla całego Neapolu i znacznie wzrosła w liczbę członków. Z równym skutkiem zajmował się także innemi apostolskiemi pracami. Ze szczególniejszem upodobaniem przygarniał do siebie ubogich, zwłaszcza opuszczoną młodzież i wiele poświęcał czasu, aby ją nauczyć katechizmu; zwiedzał nadto szpitale, więzienia — zawsze przynosząc ze sobą pociechę i otuchę. Nikomu jednak nie poświęcał tyle czasu i nie okazywał tyle miłości, co biednym niewolnikom.

Opiekun i dobroczyńca niewolników. — Surowy tryb życia O. Realino.

W średnich wiekach całe południowe Włochy były napadane przez hordy Saracenów, przybyłych z Turcji Europejskiej i Azjatyckiej, a najczęściej z północnej Afryki. Z rozmaitym skutkiem walczyli Włosi przeciw wyznawcom Mahometa. Czasami tym ostatnim udało się zwyciężyć, złupić wsie i miasta, uprowadzić w jasyr żołnierzy, zarówno jak niewiasty i dzieci. Jednakowoż dzięki regularnym i do-

brze wyćwiczonym wojskom, a jeszcze bardziej znakomitej flocie włoskiej, liczne galery Saracenów pełne żołnierza, wpadały coraz częściej w ręce chrześcijańskie, ztąd wielu było niewolników. Niewola podówczas jeszcze nie wszędzie była zniesioną, we Włoszech prawie powszechnie istniała. Po sławnej bitwie na Lepantyńskich wodach, gdy dnia 7 października 1571 r., sprzymierzone wojska chrześcijańskie odniosły świetne zwycięztwo nad Turkami, ośm tysięcy muzułmanów dostało się do niewoli, z tych 3,000 otrzymał Neapol. Niewolnicy żyli w nędzy i wzgardzie. O. Realino szukał tych pogan po domach, po galerach, stawał się sam ich niewolnikiem gdy byli słabymi, a lecząc choroby ciała, przynosił zarazem pokarm dla duszy i wielu z mahometan pozyskał dla Chrystusa.

Poświęcenie bezgraniczne O. Bernardyna dla najnieszczęśliwszych i najbiedniejszych, nie mogło się długo ukrywać. Sława świątobliwości sługi Bożego z dniem każdym rosła, konfesjonał, w którym słuchał spowiedzi, bywał oblężony; kto nie mógł ustnie, przynajmniej listownie prosił go o radę w rzeczach duchownych.

Pomimo tylu i tak rozmaitych zajęć apostolskich, wszystkich zadziwiał błogi spokój ducha, jaki malował się na jego obliczu. Dla łatwiejszego zjednoczenia się z Bogiem, strzegł przedewszystkiem swych zmysłów i czynił surową pokutę. Kawałek chleba zmaczany w winie i odrobina sera, oto był jego codzienny zwyczajny posiłek; podczas wielkiego postu nawet i tego nie używał: czarny chleb i jarzyna gotowana w wodzie bez żadnej okrasy, wystarczały mu zupełnie, z tą różnicą, że przydawał ciału dyscypliny i włosiennicy.

Surowy tryb życia z początku bardzo źle wpłynął na zdrowie Bernardyna, pomimo tego nie sfolgował z umartwień i nie dał się odwieść od raz powziętej drogi. Za to wynagradzał go Pan Bóg wysokim darem modlitwy i innemi wewnętrznemi pociechami, jakie ze sobą przynosi łaska poświęcająca. Uważano go powszechnie za świętego kapłana, ztąd nietylko Neapolitańczycy wnosili prośby do przełożonych Bernardyna, aby go zostawili w Neapolu, ale i rodzinne jego miasteczko Carpi koniecznie pragnęło go zdobyć dla siebie.

Założenie kollegium w Lecce i wielkie błog. O. Realino dla miasta tego zasługi.

We włoskiej prowincji, zwanej Apulią, tam gdzie graniczy morze Adrjatyckie z Jońskiem, zaledwie parę mil od morskich wybrzeży, leży piękne i starożytne miasto Lecce. Kiedyś było ono warowne, czego dowodzą jeszcze dziś mury forteczne. Największą ozdobą miasta są jego liczne kościoły i klasztory męskie i żeńskie, sięgające dawnych bardzo czasów.

Za życia błog. Realino Lecce posiadało 108 kościołów i kaplic. Rozmaite znajdowały się tam klasztory, lecz nie było zakonu, któryby się zajmował wychowaniem młodzieży. Tymczasem wciąż nadchodziły smutne wieści z krajów północnych o odstępstwie księstw i całych narodów. Mieszczanie lecceńscy z troską spoglądali w przyszłość, ale przeciw herezji stanęła do boju silnie zorganizowana armia nowych rycerzy pod przewodnictwem św. Ignacego Lojoli. Wieść o działalności Zakonu Towarzystwa Jezusowego wkrótce doszła do Lecce i starszyzna niejednokrotnie wysyłała z prośbą do kierowników tego Zakonu, aby otrzymać pomoc dla wychowania młodzieży. W końcu ówczesny generał Tow. Jezusowego, wysłał r. 1573 jednego z Ojców, aby zbadał tamtejsze stosunki, czy dostateczny jest powód do założenia nowego domu OO Jezuitów, a gdy pomyślną otrzymał odpowiedź, w roku następnym polecił Ojcu Realino wyjechać do Lecce i zająć się budową domu professów lub zakładu dla wychowania młodzieży.

Wiadomość o wyjeździe O. Bernardyna bardzo zasmuciła mieszkańców Neapolu. Gdy Realino 19 grudnia 1574 r., stanął w okolicach Lecce, spotkała go miła niespodzianka. Najznakomitsi mieszkańcy wyruszyli naprzeciw niego, w mieście zaś tłumy ludności oczekiwały orszaku, który wolno się zbliżał ku bramom. Odprowadzono tryumfalnie Ojca Realino, oraz dwu innych Ojców i Braciszka, który im był dany do pomocy aż do przeznaczonego dla nich mieszkania. Nie dziw, że O. Realino wszędzie znajdował jak najmilsze przyjęcie, gdyż czy to w zgromadzeniach zakonnych lub świeckich, szpitalach lub więzieniach, spieszył ze Słowem Bożem, słuchaniem Spowiedzi i uczynkami miłosierdzia chrześcijańskiego. Już w pierwszych miesiącach swego pobytu w Lecce, umiał rozwinąć tę samą działalność, jaką w Neapolu i z równym skutkiem. Wdzięczność miasta dla O. Realino odpowiadała poświęceniu się jego dla dobra bliźnich.

Prócz mieszkania oddano OO. Jezuitom kapliczkę lecz ta niebawem okazała się za szczupłą dla gromadzących się coraz liczniej do niej mieszkańców. Dzięki jednemu z dobrodziejów, O. Realino otrzymał obszerny grunt, przytykający do oddanego mu przez miasto i na nim w 1575 r., poświęcił kamień węgielny pod przyszły kościół. W dwa lata później wszystkie roboty ukończono i otwarto jeden z najpiękniejszych kościołów w Lecce, pod wezwaniem imienia Jezus. Coraz więcej dawała się odczuć potrzeba kolegium jezuickiego dla kształcenia młodzieży. Szkoła ta miała być bezpłatną. Ludność lecceńska nie mogła zdobyć się na podobny wydatek, ale niestrudzony O. Realino pocieszał wszystkich, że niebawem stanie kollegium najpiękniejsze w całej prowincji. Jakoż początek fundacji dał je-

den z penitentów błog. Bernardyna, majętny obywatel z Lecce, ofiarując tysiąc dukatów rocznie dla przyszłego zakładu. Wieść o tym darze zachęciła innych do ofiarności. Każdy spieszył z pomocą: ofiarowywali surowy materjał, bezpłatną robotę przy budowie, wobec tak pomyślnych warunków położono w jesieni r. 1579 fundamenta pod przyszłe kollegium.

O. Bernardyn był duszą wszystkich robót. O ile mu czasu starczyło, oglądał najdrobniejsze szczegóły i dobrem słowem zachęcał do wytrwałości. Robota szła tak raźno, że przypuszczano, iż Aniołowie dopomagają Ojcu Bernardynowi.

Z początku miano zamiar utworzyć tylko szkołę średnią, później na prośby mieszkańców utworzono także szkoły wyższe.

Już w r. 1583 wielu uczniów posiadali Ojcowie. Dla zachęcenia młodzieży do ćwiczenia się w cnocie, zaprowadzono w kollegium kongregacje Marjańskie.

Wielkiej doniosłości są takie kongregacje wśród uczącej się młodzieży. Każdy, uważając sobie za zaszczyt do tej kongregacji należeć, zawczasu starał się pracować nad swem udoskonaleniem, aby dostąpić szczęścia, jak jego koledzy, nazywać się synem Marji.

O. Bernardyn nie ograniczył się do tej jedynej kongregacji uczniów. Niebawem założył osobne dla rozmaitych klas obywateli lecceńskich i osobne dla każdej z nich miewał nauki na wspólnych zebraniach. Mówił o obowiązkach poszczególnych stanów, dawał rady i przestrogi bardzo przydatne dla dobra ich dusz i pracy obywatelskiej. Co więcej, udało mu się założyć kongregację Marjańską wyłącznie dla kapłanów; do jej szeregów wstąpił biskup miejscowy z całą kapitułą kanoników, za ich przykładem wielu duchownych świeckich i zakonnych.

Opatrzność Boska niedopuszcza, aby O. Realino wyjechał z Lecce.

Wieść o działalności Ojca Realino w Lecce' sprawiła, że go powołano na wysoki urząd przełożonego domu professów w Rzymie. O. Bernardyn natychmiast wyruszył w drogę. Lecz wieczorem, w wigilię wyjazdu, zapadł na tak ciężką febrę, że o wyjeździe nie mogło być mowy. Gdy mu się cokolwiek polepszyło, posłuszny zakonnik siadł na koń i wyjechał za mury lecceńskie, w tem znowu tak ciężko zaniemógł, że go musiano zsadzić z konia i zanieść do pobliskiego klasztoru, a ztamtąd do kollegium. — Dziwnem zrządzeniem Opatrzności powtarzało się to za każdym razem, gdy błog. O. Realino zamierzał odjechać z Lecce.

Doniósł o tem O. Generałowi, aby się wytłómaczyć, dlaczego nie spełnił danego mu polecenia. O. Generał Mercurian odpisał, ażeby po wyleczeniu zaraz przyjeżdżał. Wówczas febra nie odstępowała O. Realina przez kilka miesięcy, tak, iż z Lecce nie mógł w żaden sposób wyjechać.

W kilka lat później, znowu kilkakrotnie otrzymał Realino rozkaz, aby do Rzymu przyjechał dla objęcia ważnego urzędu. Jednakowoż te same przeszkody poczęły się powtarzać co dawniej. Obywatele lecceńscy na wieść o zamierzonym wyjeździe sługi Bożego, wydali rozkaz zamknięcia bram miasta, aby go nie wypuścić; innym razem zakazali wypożyczać koni do pojazdu. Gdy jednakowoż ukradkiem O. Realino opuścił Lecce, pieszo udając się do Rzymu, tak wielka powstała burza z ulewnym deszczem, że musiał powracać do domu i dostał znowu gorączki.

W końcu lekarze oświadczyli, że ile razy przełożeni rozkazywali Ojcu Realino, aby wyruszał w drogę, znaczyło to samo, co kazać mu się rozchorować.

Tem się tłómaczy, dlaczego przełożeni wbrew zwyczajowi przyjętemu w Zakonie, widząc w tych niezwyczajnych znakach wolę Bożą, całe życie zatrzymali O. Realina w jednem i temsamem mieście. Przez długie lata powierzano mu zarząd kollegium, jako wicerektorowi następnie rektorowi z całą pełnią władzy.

Umiejętność błog. O. Realino zachowania miary w sprawiedliwości i miłosierdziu podczas swych rządów rektorskich w kollegium.

O rządach O. Realino czytamy w aktach beatyfikacyjnych, że *wszystkich zadowolnił*, rzecz bardzo rzadka i sama przez się wystarczająca, aby mieć dobre pojęcie o nadzwyczajnych jego zdolnościach cnotach w rządzeniu drugimi. Wskutek ułomności ludzkiej zawsze zachodzi niebezpieczeństwo, że się albo przez zbytnią dobroć puści bezkarnie wykroczenie, albo zbyteczną surowością zraża poddanych.

Ojciec Bernardyn umiał zawsze zachować miarę w sprawiedliwości i miłosierdziu. Pamiętał dobrze, że słowo powiedziane ze słodyczą, skuteczniejszą posiada siłę do zwyciężenia serca niż surowe napomnienie. Starał się więc względem swych poddanych używać łagodności i postępować z nimi tak, jak ojciec z dziećmi.

Zresztą swoje zapatrywania, jakim powinien być przełożony domu zakonnego Tow. Jezusowego, najjaśniej sam przedstawił w przemówieniu do podwładnych, gdy r. 1595 został rektorem kollegium Rządy w naszym Zakonie — mówił błog. Realino — są rządami pełnemi łagodności i słodyczy. Nawet wtedy, kiedy należy upomnieć lub skarcić, miłość powinna panować stosownie do tego, co św. Augustyn mówi: „*Gdy się gniewa, gniewa się jak gołąb, bez żółci.*“ Niema więc w napomnieniu nigdy goryczy i cierpkości, bo celem jego jest chęć poprawy i udoskonalenia.

Innym razem w ten sposób przemawia w kollegium do swoich Ojców i Braci zakonnych:

— Czem więcej mnożą się troski, tem więcej czuję, że miłość się pomnaża. Dla tej miłości ojcowskiej pragnę moi najmilsi nazwać was słowy apostoła: „*Synaczkowie moi...*“ nie mówi apostoł: „*Synowie*,“ bo synowie gdy podrosną, czasem źle czynią, chcieliby wolności, trudno dają się kierować; lecz synaczkowie zawsze pozostają miłymi i nigdy nie odpowiadają, nie szemrzą, nie okazują innego niezadowolenia jak płacz, nie odpłacają się przykrością za doznaną przykrość. Tym samym więc płaczem ojciec daje się przebłagać, woła ich, pieści, przytula do serca swego.

Brat Józef Soria, długoletni współtowarzysz zakonny błog. Bernardyna następujące złożył o nim zeznanie:

— W czasie swych rządów postępował Ojciec Bernardyn zawsze z największą roztropnością, miłością i tak Ojcowie jak Bracia nasi i uczniowie, którzy kiedykolwiek mieli z nim do czynienia, zawsze byli zadowoleni. Często z braćmi rozmawiał o zachowywaniu reguł zakonnych i zasługach, jakie się przez to zdobywa. Gdy był przełożonym, wszystkim okazywał równą miłość, nie robiąc żadnych wyjątków. Chociaż jest zwyczaj, że stare płaszcze znoszone przez Ojców daje się Braciszkom, to jednak gdy raz była ostra zima i zdawało mu się, że te płaszcze będą za chłodne, dał je ubogim, a nowe kazał zrobić dla Braci. Zawsze bardzo się troszczył o to, czy który z Ojców lub Braci czego nie potrzebuje z koniecznych rzeczy i zaraz starał się temu zaradzić.—W czasie swego przełożeństwa najcięższe prace brał zawsze na siebie, aby innych nie obciążać, chociaż już był bardzo stary i słabego zdrowia. Często widziałem, że podczas ostrej zimy zawsze pierwszą Mszę św. miewał w kościele, aby innych Ojców nie narażać na zimno, wszystkie niższe zajęcia sam wykonywał, zwalniając przez to Ojców i Braci. Tak n. p. wczesnym rankiem lampy zapalał, budził ze snu Ojców, nosił drzewo do kuchni, mył talerze, zastępował odźwiernego, pomagał Braciszkom w noszeniu rzeczy po pokojach. Jeżeli kto w domu był słabym, O. Bernardyn nawiedzał go bardzo często we dnie również i w nocy, pytając czy czego nie potrzebuje. Podczas mojej choroby O. Bernardyn w ciągu jednego dnia był u mnie ośmnaście razy, czyniąc wszystkie posługi w nieobecności infirmarza. Słabych otaczał szczególniejszą opieką i nieraz sam im przygotowywał lekarstwa. Chociaż okazywał dla wszystkich wiele miłości, gdy dobrze postępowali, to jednak nigdy nie pozostawił przekroczenia bez stosownej kary.

To samo zeznali pod przysięgą inni naoczni świadkowie, dodając, że rządził z wielką roztropnością, starając się, aby podwładni służyli Panu Bogu wesoło i sumiennie. Czasami O. Bernardyn dawał uwolnienie od jakiej reguły, jeżeli zachodziła obawa, że będzie przekraczaną, a przez dyspensę uchroni podwładnych od uchybienia.

Jak O. Realino umiał skutecznie upominać.

Niejednokrotnie wypadało błog. Bernardynowi, jako przełożonemu upomnieć, lecz tak umiejętnie to czynił, iż winowajca nawet z kary bywał zadowolony.

Razu pewnego jeden z Braciszków w czemś zawinił, za co O. Realino nakazał winowajcy biczowanie publiczne w refektarzu. Braciszek obruszył się i począł wygadywać na przełożonego. Taki wypadek groził wydaleniem z Zakonu. Lecz O. Realino chciał uleczyć winnego, więc go zawiadomił, aby się nie biczował. Gdy się wszyscy zeszli do refektarza na kolację, O. Realino stał przy drzwiach i czekał na owego Braciszka, a gdy tenże nadszedł, uścisnął go serdecznie i przeprosił, że mu dał okazję do gniewu i tak wielkiego przekroczenia subordynacji. Na ten widok wszystkim obecnym łzy stanęły w oczach, a braciszek tak się postępowaniem rektora rozczulił, iż padł mu do nóg i zalewając się łzami prosił o przebaczenie.

Proszącemu podwładnemu Ojcu lub Bratu nigdy nie odmawiał, chyba, że ubóstwo zakonne cierpiałoby na tem, lub w prośbie widoczne było natręctwo. Lecz nawet wtedy tak umiał przedstawić powód odmowy, iż nikt nie odchodził odeń niezadowolony.

Umiał każdego w swoim czasie i miejscu upomnieć, gdy kto zaniedbywał włożony nań obowiązek, a z drugiej strony nie obawiał się chwalić otwarcie tego, co było dobrem i zasługiwało na pochwałę. Ze szczególniejszą miłością postępował z tymi, których z konieczności obarczał jakąś nadzwyczajną pracą. Gdy kto wracał z misji, oczekiwał do późna w nocy jego przybycia, hojnie nakarmił i napoił, wypytywał o przebieg pracy, cieszył się z opowiadania, wiedząc, iż przez to może zrobić przyjemność spracowanemu Ojcu. Nic więc dziwnego, że taki przełożony bardzo był kochany od wszystkich, a pod jego kierunkiem kwitło zachowywanie reguł i miłość braterska.

„Kto chce doznać hojności Bożej, powinien sam być hojnym dla ubogich.“

Współcześni wspominają o O. Realinie, że dla obcych nie mniejszą okazywał miłość i słodycz w obejściu, jak dla domowników, zwłaszcza dobrym był dla ubogich. Żaden biedak nie odszedł z kollegium bez jałmużny, czy to prosił o chleb, czy jakie ubranie. Czasami błog. Bernardyn sam pozbawiał się odzieży i bielizny, byle tylko dać ubogiemu.

Nadto udzielił ogólnego pozwolenia na dawanie chleba, ktokolwiekby oń prosił. Gdy go zaś raz zabrakło, ponieważ wielu zgłaszało się głodnych, O. Realino kilka razy kazał piec chleb jednego i tego samego dnia. Wstydzącym się żebrać posyłał do domu czy to w koszyku jedzenie, czy w kopercie jałmużnę pieniężną.

Błog. Bernardyn miał zwyczaj mawiać: „Kto chce doznać hojności Bożej, powinien sam być hojnym dla ubogich“ i doświadczenie go nauczyło podczas rektorskich rządów, że czem więcej dawał, tem obficiej otrzymywał. Jeden z Ojców opowiada następujące zdarzenie:

„Czas był obiadowy, a nie było w domu ani kawałka chleba. Było nas osób 16. Przed zadzwonieniem na obiad poszedłem do Ojca Bernardyna z prośbą, aby temu zaradził. Na co mi powiedział:

— Naturalnie, bądź tylko Ojcze silnej wiary.

— O siebie się nie troszczę, lecz przykro byłoby mi ze względu na innych Ojców — i znowu go prosiłem, aby chleb kupił.

— Jesteś bogaty — odpowiedział O. Realino — tylko nie wątp, lecz miej wiarę.

Nadeszła pora obiadowa więc spieszę do O. Bernardyna i znowu mu przedstawiam potrzebę kupienia chleba, inaczej nie ma po co dzwonić na obiad.

— Zadzwoń Ojcze do stołu.

— Dobrze, zadzwonię, lecz będę patrzał na śmiechy Ojców, a co Wasza Wielebność zrobi, to już nie wiem.

„Gdy O. Realino nastawał, dałem znak dzwonkiem. Ojcowie zeszli do refektarza. Niektórym opowiedziałem co zaszło, aby nie być zanadto zawstydzonym. Wówczas jeden z Ojców powiedział: „Zobaczysz, że chleb nadejdzie, gdy siądziemy do stołu.“

„Rzeczywiście, podczas modlitwy przedobiedniej zadzwoniono u furty. Poszedłem, aby zobaczyć kto przyszedł. Była tam niewiasta z koszem bułek i ciast świeżo upieczonych; wszystko to przyniosła w ofierze klasztorowi. Gdy się zjawiłem przed O. Bernardynem, on się uśmiechnął i powiedział: „Chwała Bogu.“ Od tego czasu postanowiłem na skinienie O. Bernardyna być mu zawsze posłusznym, chociażby mi się to głupstwem wydało.“

Raz zeszedł O. Bernardyn z innymi Ojcami do piwnicy, aby zobaczyć czy nie zabraknie wina na lato, a trzeba wiedzieć, że we Włoszech wino jest koniecznym artykułem żywności, nawet najuboższych.

Gdy otworzyli beczkę, z której bardzo już wiele wydano ubogim i chorym, ze zdziwieniem spostrzegli, że jest napełniona aż do wierzchu. „Cud! cud!“ wołano. Błog. Realino podniósł oczy ku niebu i krótką modlitwą podziękował Bogu.

Czerpano z tej beczki bezustannie i zdawało się, że się nigdy nie skończy. Co więcej, wino stawało się coraz lepsze.

Niespełnione pragnienia. — Cierpliwość Sługi Bożego w nawracaniu niewiernych.

Od chwili wstąpienia do zakonu O. Realino pragnął udać się na misje do Indji, świeżo otwarte pole pracy przez św. Franciszka Ksawerego. Kilkakrotnie zanosił prośby w tym celu do swoich przełożonych, jednak jak widzieliśmy, wola Boża była, aby Ojciec Realino pozostał w Lecce, i niezawodnie więcej tu zdziałał dobrego, jak mógł się spodziewać, gdyż jego działalność apostolska nie ustawała nigdy aż do późnej starości.

Dopokąd miał siły, miewał bardzo często kazania, uczył z wielkim zapałem dzieci katechizmu; często udawał się do mieszkań prywatnych, aby pouczyć starszych, wstydzących się publicznej nauki, zwiedzał więzienia, szpitale, zakład dla trędowatych, oto zajęcia całego życia. Ktokolwiek był chorym w Lecce, wzywał do siebie Ojca Realina, bo każdy pragnął na jego rękach zamknąć powieki.

W owych czasach często skazywano na śmierć. Jeśli O. Realino nie mógł wyjednać dla skazańców złagodzenia wyroku (co mu się nieraz udawało) sam im towarzyszył aż do chwili ostatniej. Jeden z takich nieszczęśliwych w żaden sposób nie chciał się spowiadać. Już go prowadzono po ulicach miasta, niebawem kat miał spełnić wyrok. Sługa Boży nie odstąpił zbrodniarza; i podwoił gorliwość, aby go z Bogiem pojednać. Wsiadł z nim do wozu i jechał aż na miejsce stracenia. W końcu tak się upokorzył, że mu nawet rany całował, jakie zadały ciężkie kajdany. Wzruszył się grzesznik na te oznaki nadzwyczajnej łaskawości, łzy mu zabłysły w oczach— miłość zwyciężyła, skazaniec wyspowiadał się na rusztowaniu.

W Lecce znajdowało się wielu żydów i muzułmanów, pozostających w niewoli, błogosławiony tak jednych, jak drugich wielu dla Chrystusa pozyskał. Ogłosił leccejskim obywatelom, aby mu przysyłali niewolników na naukę katechizmu; wezwaniu nikt nie odmówił. Schodzili się więc Turcy we wielkiej liczbie. Jednemu niewolnikowi muzułmaninowi poświęcił trzy godziny dziennie przez pięć dni, aby go nauczyć czterech słów: *„Zdrowaś Marya, łaskiś pełna.* Niewolnik dobrze powtarzał powyższe słowa, lecz nie mógł ich zapamiętać. Pomimo tego O. Bernardyn męczył się z nim i mówił:

— No dobrze, teraz sam powiedz.

A ten odpowiada: „Sam powiedz.“

— Nie te słowa — mówił ze słodyczą O. Realino — lecz tamte coś wpierw powiedział.

— Nie te słowa, lecz tamte coś wpierw powiedział — powtarzał niewolnik.

Braciszek zakonny obecny tej nauce odezwał się: „Ojcze! napróżno czas tracisz, on niezdolny do nauczenia się czegobądź.

— Bynajmniej — odparł Realino — tylko potrzeba zwyciężyć cierpliwością.

A gdy mu jeden z kapłanów zrobił uwagę, że jest bardzo zbudowany łamaniem sobie głowy, aby niewolnika czterech słów nauczyć, powiedział mu Sługa Boży:

— Mój Ojcze, raczej ja jestem zbudowany zachowaniem tego niewolnika; już piąty dzień łamię mu głowę, a pomimo tego nie okazał znudzenia.

Nie zawsze łatwa sprawa była z Turkami. Zdarzały się natury twarde, niechcące przyjąć chrztu św. Lecz modlitwa, cierpliwość, a niejednokrotnie nadzwyczajna pomoc Boża, ułatwiały chrzest muzułmanów.

Dar godzenia zwaśnionych. O. Realino, jako spowiednik wzorowy.

Dziwną siłę miały słowa błog. Bernardyna, gdy chciał pojednać zwaśnionych; czasem krótka modlitwa starczyła, aby zmiękczyć najtwardsze serca.

W pierwszych latach kapłaństwa miał wstręt do słuchania spowiedzi. Lecz posłuszeństwo i miłość Chrystusa Pana zwyciężyły to uczucie, i później przy udzieleniu Sakramentu pokuty doznawał wiele pociechy i słodyczy duchowych. W końcu tak zżył się z mozolną pracą siedzenia w konfesjonale, że gdy na starość ogłuchł, prosił Pana Boga o przywrócenie słuchu, aby mógł znowu słuchać spowiedzi. Gorącą modlitwą wyjednał tę łaskę dla siebie, a raczej dla drugich, i miał aż do końca życia nader czuły zmysł słuchu, tak jak go nie opuszczała nigdy świeżość umysłu w rozsądzaniu trudnych i zawiłych spraw.

W pamiętniku własnoręcznie skreślonym znajdujemy cenne zeznania błog. Realino, jak się zapatrywał na penitentów:

— Brzydząc się grzechami, nigdy nie brzydzę się grzesznikami; inaczej zasłużyłbym na to, abym sam sobą się brzydził. Pan Bóg dał mi współczucie dla grzeszników, i czem są cięższe ich winy, tem chętniej słucham spowiedzi. Pan woła ich, pobudza i nagli do pokuty: chociażby syn był osypany wrzodami, czuła matka nigdy go nie wypędza, lecz owszem troszczy się o niego, i szuka środków, aby go uleczyć. Pan Bóg przysyła te dusze jako potrzebujące, abym im udzielił jałmużny z rzeczy samego Boga, jaką jest władza odpuszczania grzechów i dar prowadzenia do doskonałości. Dlatego powinienem być hojnym względem grzeszników potrzebujących rzeczy właściciela, *„który nie wyrzuca doń przychodzącego,“* lecz i owszem zaprasza mówiąc: *„Przyjdźcie do mnie wszyscy, co pracujecie i obciążeni esteście, a ja was ochłodzę.“*

Bardzo często słuchał spowiedzi błog. Realino po 8 do 10 godzin dziennie z rzędu po kilka dni. We większe święta, gdy napływ penitentów był większy, siadywał w konfesjonale do dwunastu godzin. — Czasami tak osłabł wśród tej pracy, że wyszedłszy z konfesjonału, padał jak martwy na ziemię, i musiano go zanosić do celi. Skoro nieco wypoczął, zaraz znowu spieszył do kościoła i dalej słuchał spowiedzi.

Jeden z jego penitentów opowiadał o sobie następujące zdarzenie: W młodości dopuścił się jakiejś niesłychanej zbrodni, która go bezustannie trapiła, zwłaszcza wskutek obawy, iż ktoś z krewnych jego wiedział o wszystkiem i mógł go skompromitować wobec ludzi. Postanowił więc krewnego zamordować, aby z jego śmiercią tajemnica również dostała się do grobu. Przed dokonaniem okropnego czynu pragnął ów młodzieniec otworzyć swe serce błog. Bernardynowi. Gdy ten usłyszał o jego zbrodniczym zamyśle, zawołał:

— Mój synu, tyś nie popełnił tego wielkiego grzechu!

— Popełniłem, ojcze, — odrzekł młodzieniec.

— Nie, ty tego nie zrobiłeś, to tylko twoja zła natura pchnęła cię do tego, — zapewniał błogosławiony.

Następnie tak skutecznie zaczął mu przedstawiać słabość ludzką i miłosierdzie Boże, że penitent zalał się łzami i serdecznie za swój grzech żałował. Poczem stał się zupełnie innym człowiekiem.

Przy słuchaniu spowiedzi błog. Bernardyn nigdy nie kierował się względami ludzkimi, i nie dawał pierwszeństwa osobom chociażby najwyżej położonym. Jeżeli komu okazywał więcej miłości, to ludności najuboższej, niewolnikom, żebrakom.

W postępowaniu ze wszystkimi penitentami starał się używać sądu jak najbardziej dla nich przychylnego. Ułatwiał im spowiedź, okazując jak największą miłość i litość. Mawiał, że spowiednik powinien uważać każdego penitenta, a zwłaszcza takiego co wpada w nałogowe grzechy, za osobę przyprowadzoną przez jego Anioła Stróża i o ile możności nigdy nie powinien odmawiać rozgrzeszenia. W razie potrzeby umiał zrobić ostrą wymówkę swemu penitentowi, jeśli ten nie chciał poprawić się i widocznie okazywał złą wolę.

Cudowny dar jasnowidzenia i przepowiednie błog. O. Realino.

Akta procesu beatyfikacyjnego O. Realino przytaczają przeszło dwieście cudów, jakich dokonał za życia, a jednak nie były to jeszcze wszystkie, raz, że nie zawsze je spisywano, powtóre, iż O. Realino taił się z niemi o ile mógł. Przenikał tajniki duszy, widział rzeczy odległe, jakby się działy przed jego oczyma, przepowiadał rzeczy przyszłe zależne od woli ludzkiej, uzdrawiał bez użycia ża-

dnych leków; równocześnie znajdował się w dwu odległych miejscowościach, niektóre cuda działy się nawet przez dotknięcie rzeczy przezeń używanych.

W roku 1614 Ludwik di Nicueza śmiertelnie zachorował w Neapolu. Wiedząc o wielkiej świętości O. Bernardyna, prosił doktora, aby napisał do krewnego z prośbą o polecenie go modlitwom Ojca Realino. Krewny ów zjawił się w kolegium jezuickiem z listem doktora i opowiedział jego treść Ojcu Bernardynowi.

— Bądź spokojny — odpowiedział błogosławiony — Ludwik wyzdrowiał.

Za parę dni nadeszy listy z Neapolu i z nich się okazało, że chory odzyskał zdrowie tego samego dnia i tej samej chwili, w której polecono go modlitwie Ojca Realino.

Gdy w kolegium leccejskiem umarł O. Kamil Staivano, według zwyczaju dano znak dzwonkiem O. Bernardyn ukląkł, aby odmówić za duszę zmarłego psalm *De profundis*. Wtem wszedł któryś z Ojców do celi,

— Jeszcze ktoś drugi umarł — rzekł O. Realino.

— Bynajmniej, nikt nie umarł więcej — odpowiedział przybyły.

— Mnie się zdawało, że dwu umarło — ze stanowczością mówił błogosławiony. Słowa O. Realino spełniły się. Równocześnie z O. Kamilem umierał w wiosce należącej do kolegium, odległej o dzień drogi, Braciszek Jakób Catrejano. Wiadomość o jego śmierci nadeszła dopiero dnia następnego.

Podobne wypadki często się zdarzały; ztąd śpieszono do O. Bernardyna, aby zasięgnąć wiadomości o osobach, znajdujących się daleko po za domem. Zwłaszcza matki stroskane pytały o swych synów, żony o mężów. Wówczas nie było ani kolei, ani telegrafów; z dalszych stron listy dochodziły po kilku tygodniach, to też wiadomość prędka w całej rodzinie sprawiała wielką radość. O. Realino starał się wszystkich pocieszać. Tak Hipolita Citavella dowiedziała się o swym synie, że w bitwie pod Medjolanem zachorował, leży w tem mieście, lecz niebawem wyzdrowieje i powróci. O.O. Kapucynom oznajmił, że dwu kapłanów z ich zakonu uszło nie woli tureckiej, chociaż okręt, który ich wiózł, dostał się w ręce Muzułmanów.

Krewnemu Marji Medycejskiej, śmiertelnie chorej w Neapolu, powiedział, że wyzdrowiała.

Jeżeli widzenie rzeczy odległych nie da się naturalnym sposobem wytłumaczyć, to bardziej niemożliwą jest rzeczą, aby człowiek mógł przepowiedzieć z największą pewnością to, co zależy od wolnej woli drugiego człowieka. Jednak Pan Bóg może udzielić daru takiego widzenia duszom wybranym.

W jesieni 1597 r. umarł Alfons II, książę Ferrary. Ponieważ nie pozostawił potomka, przeto księstwo Ferrary miała otrzymać Stolica św. Tymczasem znalazł się predendent nieprawy do tego dziedzictwa w osobie Cezara d'Este i przez swoich stronników został ogłoszony księciem Ferrary.

Papież Klemens VIII nie mógł się zgodzić na przyznanie niesłusznych praw Cezarowi i rozkazał mu Ferrarę opuścić. Książę Cezar postanowił walczyć z Papieżem wskutek czego Klemens VIII rzucił na niego klątwę tegoż roku.

Wieść o wypadkach powyższych przeraziła mieszkańców Lecce. Jeden z Ojców przyszedł do O. Realino i powiedziawszy mu, że wojna jest nieuniknioną, prosił, aby całą sprawę w modlitwie Bogu polecił. O. Realino uśmiechnął się i z całą stanowczością oświadczył, że wszystko ułoży się jak najlepiej.

Tymczasem żołnierze zbroili się, wojska ściągano ze wszystkich stron, lada dzień miało przyjść do bitwy. Ekskomunika we wszystkich kościołach była ogłoszoną, więc także i w kościele jezuickim w Lecce. W dniu oznaczonym zebrali się Ojcowie z zapalonemi świecami, między nimi także O. Realino. Oczy obecnych były nań zwrócone, gdyż wiedziano w mieście o jego przepowiedni. Po przeczytaniu ekskomuniki, wszyscy rzucili na ziemię świece i nogami gasili światło. Jeden Ojciec Realino nie mógł zagasić swej świecy, pomimo usiłowań, aż inny Ojciec w tem go zastąpił. Po kilku dniach przyszła wiadomość, że Cezar d'Este zmienił swe usposobienie i poddał się w zupełności prawom Stolicy Apostolskiej.

Gdy O. Pecorari przyszedł powinszować O. Realino spełnienia jego przepowiedni, sługa Boży z całą prostotą wyznał, że mu to Bóg objawił.

Izabela Ventura jednemu z dziesięciu swych dzieci nadała imię Lelio. Będąc zmuszoną wysłać go w domu na karmienie do jednej z kobiet, kazała go zanieść przedtem do Ojca Realino z prośbą, aby go pobłogosławił. Tak samo robiła ze wszystkiemi swojemi dziećmi. O. Bernardyn pobłogosławił i rzekł do osoby, która dziecko przyniosła: „Powiedz swej pani, iż bardzo dobrze robi, że go wysyła, ponieważ ma zostać zakonnikiem naszego Towarzystwa, które udaje się na misje w różne strony, więc niech się przyzwyczaja od maleńkości do opuszczania swego domu".

To samo powtórzył Izabeli, gdy w parę dni później przyszła doń do spowiedzi i zapewnił ją z całą stanowczością, że Lelio zostanie Jezuitą.

Tymczasem synek zachorował śmiertelnie. Stroskana matka przybiegła do O. Realino i mówi:

— Ojcze, Lelio nie będzie już Jezuitą, Lelio umiera!

Lecz Ojciec Bernardyn z całym spokojem rzecze:

— Bądź spokojną kobieto! Lelio wyzdrowieje i zostanie Jezuitą.

W kilka lat później Lelio po śmierci Realino, własnoręcznie stwierdził powyższą przepowiednię sługi Bożego.

Brat infirmarz prosił raz O. Realino, aby napisał „kartkę zdrowia“ dla trzech Ojców słabych w kolegium. Sługa Boży uległ prośbie Brata i następujące słowa napisał dla O. Alois'a:

„Jezus i Marja niech zawsze będą w naszem Towarzystwie“. Po trzykrotnem wypowiedzeniu tych słów, choroba ustąpi. Bernardyn Realino“.

To samo napisał dla O. Mikołaja Zimarra. Obydwaj byli śmiertelnie chorzy i prawie konali. Dla O. Kamila Staivano, tylko trochę słabego, nic nie chciał napisać.

Dwaj pierwsi Ojcowie wyzdrowieli, trzeci umarł. Faktów tego rodzaju możnaby przytoczyć niezmierną ilość, nie dziw więc, że wszyscy wierzyli święcie w dar nadprzyrodzony O. Realino.

Cuda błog. O. Realino.

Z Rzymu przysłano do kolegium w Lecce relikwie św. Ireny. Po raz pierwszy wystawiono je ku czci publicznej w pięknej statui ze srebra i złota w roku 1604. Podczas uroczystości napływ ludzi do kościoła był bardzo wielki, nietylko z miasta, ale i z okolicy. Święta męczenniczka kilka w tym dniu zdziałała cudów, czem wzruszony O. Bernardyn wziął pióro do ręki, i jakby za dawnych studenckich czasów z młodzieńczą werwą ułożył hymn ku czci świętej dziewicy. W chwili pisania wierszy nagle uczuł zniknięcie jakiejś dolegliwości, która go przez cztery lata trapiła, co z wdzięczności nowym wierszem wypowiedział.

Od tego czasu począł mieć wielkie nabożeństwo ku św. Irenie i wiele cudów działał za jej przyczyną. Oto przykład: — Dominik Chetta zachorował na gwałtowną febrę i wrzód około serca. Był bliskim śmierci. Pielęgnował go jego ojciec Jan, lekarz, i nie zaniedbał żadnych możliwych środków. Gdy ludzkie lekarstwa zawiodły, a syn już konał, stroskany ojciec pobiegł do O. Realino, rzucił się mu do nóg i prosił o litość nad synem. O. Bernardyn pocieszył lekarza i rzekł:

— Jutro rano odwiedzę twego syna, tymczasem bądź zupełnie spokojny, chłopiec w nocy nie umrze.

Następnie obydwaj uklękli, aby zmówić za chorego litanię do Matki Boskiej.

Na drugi dzień rano O. Realino odmówiwszy nad chorym niektóre modlitwy, położył nań watę, którą wpierw dotknął relikwji św. Ireny, zawołał matkę, zalewającą się z rozpaczy łzami i powiedział:

— Ciesz się, twój syn wyzdrowiał.

W tejże chwili młodzieniec uczuł, że mu wstępuje nowe życie w cały organizm i ku zdziwieniu wszystkich powstał z łóżka.

Podobnie uczynił z Janem Calo, cierpiącym od siedmiu lat na bardzo silne skrofuły. Chory w Neapolu, radził się najsławniejszych lekarzy lecz ci orzekli, że jego skrofuły są nieuleczalne. Opuszczony od wszystkich rzucił się do nóg Ojcu Realino i opowiedział o swem cierpieniu, O. Bernardyn uczynił nad nim znak Krzyża świętego, watą św. Ireny dotknął miejsca opuchłego i rzekł choremu:

— Ku czci świętej, zmów mój synu Ojcze nasz i Zdrowaś. Idź wesoło do domu, ja cię Bogu polecę, za parę dni wyzdrowiejesz.

Gdy Calo powrócił do domu, opowiedział krewnym i znajomym co zaszło. Wszyscy oczekiwali ciekawie skutku modlitwy O. Realino. W dwadzieścia dni później nabrzmienie znikło i już nigdy więcej nie wracało. Calo ze skrofułów został zupełnie uleczony.

Czasami samo stawienie się chorego przed Ojcem Bernardynem przywracało zdrowie. Akta procesu wspominają, że tak się zdarzyło trzem dziewczętom, które dostały pomieszania zmysłów. Jedna z nich, rodem z miasteczka Palmeriggi w Otranto, czasami w taki szał wpadała, że wybiegała z domu na ulicę bez żadnego ubrania. Wszelkie środki zaradcze były bezskuteczne. Strapieni rodzice przywieźli ją do Ojca Bernardyna. Ten był wówczas w konfesjonale. Usłyszawszy o co chodzi, kazał jej ukleknąć i w tejże chwili ją uzdrowił, następnie wysłuchał spowiedzi i oddał zdrową rodzicom.

Józef Passina zeznał pod przysięgą, że w czasie gwałtownych pokus okazywał się mu O. Realino i zachęcał do walki i zwycięstwa.

O. Piotr, profesor filozofii w kollegium leccejskiem, ciężko zachorował.

— Ojcze, — rzekł do O. Realino, gdy go przyszedł odwiedzić, Pan Jezus powiedział apostołom: że *„na niemocne ręce będą kłaść, a dobrze się mieć będą.“* Uczyń to dla mnie, proszę cię bardzo.

Błogosławiony włożył ręce na jego głowę i wyrzekł te słowa:

— Na chorego rękę wkłada Bernardyn, więc uzdrowieje.

Stało się podług jego wiary, w tej chwili chory wyzdrowiał.

Nawet przedmioty należące do użytku Ojca Bernardyna, jak guziki, birety, jego własnoręczne listy i t. d., służyły nieraz do cudownych uleczeń. Lecz ze wszystkich przedmiotów najczęściej służyła do nich jego laska bambusowa, a raczej jego laski ponieważ bardzo często mu je zmieniano, zastępując nowemi tę, której używał.

Tak częste przez te laski działy się cuda, że rodzice wysyłali swe dzieci z podobnemi laseczkami

aby na ulicy niby żartując z Ojcem Realino, zmieniali mu takowe. Służyły one później do cudownych uleczeń.

O. Marceli z Prato, prowincjał Kapucynów, publicznie wyznał, że ile razy dotknął taką laseczką chorego, nie chcącego spowiadać się przed śmiercią, zawsze spostrzegł, że następowała zmiana dodatnia w usposobieniu grzesznika.

Również o taką laskę uprosił Ojca Realina jego bratanek Franciszek, gdy z Karpi przybył do Lecce w odwiedziny do swego stryja. W Lombardji napadli go rabusie i wszystko zabrali co posiadał. Zadowolony, że przynajmniej zostawili go przy życiu w dalszą puścił się drogę. W tem spostrzega, że ciż rabusie za nim śpieszą, a dogoniwszy, wszystko mu oddali co przedtem zabrali, mówiąc:

— Panie! musi być jakiś wielki Święty ten, co was strzeże.

To rzekłszy, uciekli.

Był to jeden z cudów, zdziałanych przez O. Realino.

Wiele jeszcze innych cudów, jak wskrzeszeń umarłych, nagłych uzdrowień i t. p., przytaczają akta procesu beatyfikacyjnego, świadczących wyraźnie o nadzwyczajnym darze błog. Ojca Realino udzielonym mu od Boga.

Św. Paweł nas uczy: „choćbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką naukę, i miałbym wszystką wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, niczem nie jest.“ Dopiero gdy dar cudów łączy się ze świętością życia — z miłością Bożą i bliźniego, jasnym jest dowodem, a przynajmniej potwierdzeniem szczególniejszego upodobania Bożego w osobie, którą obdarza mocą cudotwórczą. W dekrecie beatyfikacyjnym dwie przedewszystkiem cnoty Kościół św. podnosi jako szczególniejsze w Słudze Bożym błog. Bernardynie Realino, jego miłość i pokorę. Zwłaszcza tę ostatnią cnotę, trudną do zdobycia, musiał posiadać nasz Błogosławiony w bardzo wysokim stopniu, skoro uznanie jego zasług i świętości jeszcze za życia, nie mogło go zachwiać w najniższem o sobie rozumieniu. A wyznać należy, że mało Świętych przechodziło przez takie próby pokory jak O. Realino.

Cześć oddawana błog. Bernardynowi przez współczesnych.

Ile razy ukazywał się O. Realino na ulicy, nigdy inaczej, jak świętym go nazywano. Po Mszy św. przez niego odprawionej pozostałe wino i wodę uważano za relikwie. Często ludzie obcinali mu kawałki sukni i płaszcza, i dzielili się najdrobniejszemi jej częściami. Zmieniano mu często birety, koronkę, laskę, cokolwiek z używanych przezeń rzeczy, byle tylko posiadać po „Świętym“ jakąś pamiątkę. Spostrzegł się raz Ojciec i z niezadowoleniem rzekł do braciszka, który pośredniczył w rozdawaniu ludziom tych pamiątek, że bardzo się dziwi jego robocie. Lecz brat aby usunąć skrupuły O. Bernardyna odpowiedział:

— Nie dziw się Ojcze, lud nie bierze tych rzeczy dla czci osoby Waszej Wielebności, lecz z nabożeństwa ku Najświęt. Imieniowi Jezus, którem się tytułuje nasze Towarzystwo.

Staruszek z prostotą uwierzył słowom braciszka.

Czcigodny O. Bellarmin za czasów swego prowincjalstwa neapolitańskiego bardzo pragnął poznać O. Realino. Gdy po raz pierwszy przybył do Lecce na wizytę zakonną kollegium i wszyscy Ojcowie przyszli do furty, aby go przyjąć, zaraz zapytał, „który między wami jest O. Bernardyn?“ Gdy O. Realino stanął przed O. Bellarminem, ten z uszanowania rzucił się mu do nóg. Staruszek rzucił się na wzajem do nóg swego prowincjała i uściskali się wzajemnie. — Następnie O. Bellarmin uczynił przed O. Realino spowiedź z całego życia i rozpoczął z nim korespondencję duchowną, która się nie przerwała, gdy Stolica św. zamianowała Bellarmina kardynałem św. Kościoła.

Franciszek Pignatelli, margrabia, zarządca prowincji Otranto i Apulii, umyślnie przybył do Lecce, aby otrzymać błogosławieństwo błog. Bernardyna; tak samo jak książę Atri, Akwawiwa tylko po to przyjechał, aby raz posłużyć do Mszy św. Słudze Bożemu i otrzymać wodę, w której umywał swe ręce.

Kto nie mógł osobiście widzieć Błogosławionego, polecał się jego modlitwom, lub pisywał listy, składając przytem ofiary klasztorowi, w nadziei, że O. Bernardyn przynajmniej jednem słowem odpisze, które pozostanie jako pamiątka rodzinna po Błogosławionym. Tak zrobiła między wielu innemi Anna Boromeo, siostra św. Karola Boromeusza.

O. Mikołaj Łęczycki jeszcze za życia Ojca Realina otrzymał jego włosy i książeczkę jego własną ręką spisaną. Z książki zrobił ofiarę Zygmuntowi III; król bardzo się nią ucieszył i złożył jako relikwię w kościele św. Piotra i Pawła, zbudowanym przez siebie dla O.O. Jezuitów w Krakowie.

Nawet Papież Paweł V polecał siebie i sprawy całego Kościoła temuż słudze Bożemu, podobnie uczynili królowie Saksonji Henryk IV, król francuski, książęta Parmy i Modeny.

Praktyki pokutne błog. Bernardyna.

Wyżej powiedzieliśmy o wielkiej wstrzemięźliwości O. Realino w jedzeniu i piciu. W życiu wspólnem, gdzie wszyscy razem przyjmują posiłek, pomimo usiłowań nie był w stanie błog. Bernardyn zataić tę cnotę. Jakoż powszechne było mniemanie, że raczej cudownie utrzymuje się w zdrowiu i si-

łach w obec szczupłego pokarmu, jaki przyjmował a wielkich i ciężkich prac, jakich się podejmował.

Nie mógł również ukryć surowości obchodzenia się ze swem ciałem. Wszyscy wiedzieli, że nosi włosiennicę i słyszeli uderzenia dyscypliny, gdy się biczował w swej celi.

Jeszcze trzy lata przed śmiercią, a więc jako starzec 83 letni, tak zawzięcie odbywał powyższą praktykę pokutną, że na korytarzach rozlegał się głos od uderzeń, pomimo, że drzwi swej celi miewał wówczas zamknięte.

Ubóstwo zakonne pokochał całą duszą i ćwiczył się w niem o wiele doskonalej niż się tego ślub zakonny domaga. Tak jak lubował się w umartwieniu zewnętrznem: w postach, biczowaniu, znoszeniu zimna lub skwaru słońca, tak samo wybierał dla siebie najgorsze ubrania, meble i t. p. rzeczy, służące do codziennego użytku. Szukał bowiem cierpienia, dla samego cierpienia, również wzgardy i poniżenia, nietylko jako środka do ułatwienia duszy panowania nad ciałem, ale jeszcze więcej z miłości ku Bogu, aby doskonalej naśladować Chrystusa Pana w Jego cierpieniu i poniżeniu, dobrowolnie przyjętemu z miłości ku nam.

W miarę jak z latami więcej Boga poznawał, serce coraz silniej ku Niemu się rwało. Jeżeli już w młodzieńczych latach umiał dla Boga poświęcić świetną karjerę i zamknąć się w murach klasztornych, aby mu wierniej służyć, toć w późniejszych latach, kiedy dusza jego stawała się coraz doskonalszą, a jak mówili ci, co go z górą lat 39 znali, nie popełnił w zakonie nawet powszedniego dobrowolnego grzechu, miłość ku Bogu wraz z łaską poświęcającą musiała coraz silniej ogarniać wszyskie uczucia jego serca. Przebijała się ona w całem jego postępowaniu, we wszystkich rozlicznych zajęciach tak w murach klasztornych, jak i po za niemi w obcowaniu z ludźmi świeckimi, twarz jego dziwnie miłym spokojem i słodyczą jaśniała; i nic dziwnego, bo była odbiciem jego wewnętrznego usposobienia.

Wszystko na chwałę Bożą. — Zachwycenia. — Skromność i pokora O. Realino.

Przytoczymy tu słowa z jego nauki mianej do Ojców i braci:

„Św. Chryzostom pragnie, aby słowa Ekklesjastyka: *Wszystko próżność*, Omnia Sanitas były wypisane na wszystkich placach, na wszystkich ulicach, aby każdy zrozumiał, że podobać się światu, to jest *próżność*. W Towarzystwie Jezusowem, dzięki Bogu, niema potrzeby pisać tego zdania, bo już duchem powołania każdy wyrzekł się wszelkiej próżności świata. *Mnie świat ukrzyżowan, a ja światu* jest hasło mężów apostolskich, jakimi są i być powinni Jezuici.

„Lecz pragnę i konieczną jest rzeczą, aby Boskie słowa *na większą chwałę Bożą* były wypisane na ambonie, na konfesjonałach, w szkole, w refektarzu w sali rekreacyjnej, w ogrodzie, w kuchni, w zakrystji... Lepiej powiem... chciałbym, aby były wyryte w sercach naszych...

„Św. Paweł powiedział: *co czynicie, wszystko ku chwale Bożej czyńcie* — mówi *ku chwale Bożej*, a nie *na większą chwałę Bożą* ponieważ mówił do wiernych wprawdzie, lecz świeckich ludzi... my zaś starajmy się czynić *na większą chwałę*".

Oto jak pragnął O. Realino rozniecać miłość ku chwale Bożej w sercach swych słuchaczy i nie mógłby tak mówić, gdyby tego ognia miłości nie posiadał.

Sam zaś go zdobył przez bezustanne skupienie ducha i usilną modlitwę. Cała natura jest otwartą księgą, opowiadającą głębokie tajemnice Boże. O. Realino umiał w niej czytać, i z widoku rzeczy podpadających pod zmysły wznosił swój umysł do Stwórcy wszystkiego. Gwiaździste niebo, ziemia strojna w rośliny i ich kwiaty, czas ze zmianą pół roku, wszystko przemawiało do umysłu i serca Bernardyna, przypominając mu miłość, mądrość, piękność i wszechmoc Bożą. Gdy się modlił niejednokrotnie wpadał w taki zachwyt, iż ciało jakby traciło swoje własności i razem z jego duszą wznosiło się po nad ziemię. Wówczas widziano jasność w jego pokoju, bijącą od modlącego się sługi Bożego, jasność, która nawet przez szpary drzwi wydostawała się na ciemny korytarz. Wiedzieli o tem bracia lecz doszło to do publicznej wiadomości przez Tobiasza da Ponto, szlachcica z Bari. Przybył on do Lecce, aby pomówić o sprawach swej duszy z O. Realino. Gdy się znajdował na korytarzu przed celą błogosławionego i siedząc na krześle rozmyślał, co mu ma powiedzieć, spostrzegł jakieś światełko, wydostające się przez dziurkę od klucza i przez szczeliny drzwi. Światło było jakieś nadzwyczajne. Zaciekawiony coby to być mogło, otwiera lekko drzwi i spostrzega O. Bernardyna wzniesionego kilka stóp nad ziemię w postaci klęczącej ze złożonemi na krzyż rękoma, z oczyma wzniesionemi w niebo. Cała postać wydawała z siebie promienie światła. Jedyne słowa, jakie wówczas wymawiał były: *Jezu, Marjo!*

Powszechne było mniemanie w kolegium leccejskiem, że O. Bernardynowi ukazywała się Matka Boska na jawie, również Święci Pańscy lub Aniołowie. Wprawdzie o tak wielkich łaskach nie chciał mówić błogosławiony, lecz raz musiał się przyznać, wprost zapytany o to przez swego Prowincjała, innym razem braciszkowi Franciszkowi Racina, który go pielęgnował w starości, z całą prostotą na pyta-

nia odpowiadał, jak wyglądała Najśw. Panna, która mu się w celi okazała.

Największe jednak nabożeństwo miał O. Bernardyn do Przenajświętszego Sakramentu i śpieszył oddać Mu pokłon jak mógł najczęściej, a nieraz trwała taka wizyta parę godzin. Corocznie przez trzy dni z rzędu od rana do wieczora klęczał przed Najśw. Sakramentem, gdy był wystawiony w Monstrancji podczas czterdziestogodzinnego nabożeństwa.

Ostatnie trzy lata, t. j. od 83 do 86 roku życia, gdy mu wzrok tak osłabł, iż nie mógł odprawiać mszy św. codziennie przyjmował Komunję św. i pomimo wielkiego osłabienia, klęcząc przez pół godziny trwał na dziękczynieniu. Nawet wtedy gdy był obłożnie chory, i musiano mu przynosić Najśw. Sakrament do celi, zawsze resztek sił dobywał, aby na kolanach przyjąć tak wielkiego Gościa do serca swojego.

Pomimo wielkich darów nadprzyrodzonych szacunku ludzkiego, jaki go bezustannie spotykał, O. Bernardyn był tak niezmiernie pokorny, jak gdyby istotnie żadnych zalet nie posiadał. Nie mógł zataić sam przed sobą zachwytów, wizji, mocy działania cudów, lecz zagłębiony w swojej nicości, uznawał się niegodnym nadnaturalnych darów, więc słusznie całą chwałę Bogu przyznawał. Odtrącał od siebie wszelką chwałę ludzką, wyznając się grzesznym człowiekiem, nie usty tylko, lecz sercem i duszą całą.

Ostatnie lata błog. Realino i jego cierpliwość w chorobie.

Bezustanna praca obok surowego umartwienia podkopały silny zkądinąd organizm błog. Realino i do takiego stanu przywiodły, że niejednokrotnie z wycieńczenia padał na ziemię. W dniu 3 marca 1610 r. śpieszył po schodach do kościoła na pasyjne kazanie; potknął się i spadł z najwyższego stopnia aż na dół. Gdy na łoskot, spowodowany spadnięciem O. Realina, zbiegli się Ojcowie, zastali go leżącego na ziemi i broczącego we krwi płynącej z dwu wielkich ran. O. Bernardyn nie nie dawał żadnego znaku życia. Zaniesiono go do najbliższej celi i zaraz wezwano na ratunek lekarzy.

Wieść o tym wypadku dostała się do kościoła, powstało wielkie zamieszanie między ludem słuchającym kazania i z tego powodu musiano je przerwać. Tłumy pobożnych wtargnęły do kolegium. Gdy zobaczono miejsce krwią zbroczone, rzucono się na kolanach i chusteczkami zbierano krew, jako najdroższą relikwię. Następnie udano się do celi O. Realino. Przemocą wysadzono drzwi i rzucono się na wszystko, co wpadło w ręce. Ten wziął biret, inny pas od sukni, koronkę, laskę, nawet rękopisy nie uszły pobożnemu napadowi, rozdzierano je sobie w kawałki.

Wicekról prowincji uprosił dla siebie igłę z częścią nitki, którą zaszywano ranę O. Realino; drugą jej część, krwią zbroczoną uprosił dla siebie, Robert Antoglietta i przyłożył do gardła, które natychmiast zostało uzdrowione od puchliny trapiącej go od dłuższego czasu. O. Realino o niczem nie wiedział co się z nim dzieje, leżał bez przytomności. Chirurdzy pozeszywali rany, zadali mu nowe konieczne cięcia; krew jaka z nich płynęła, zbierano skrzętnie do ampułek. Gdy po kilku godzinach O. Realino przyszedł nieco do siebie, a jeden z Ojców pocieszał go, że niebawem powróci do zdrowia, błogosławiony odezwał się:

— Zakonnicy nie powinni myśleć o tem, ponieważ mają zawsze z rezygnacją spoczywać w rękach Bożych, aby czynił to, co Mu się podoba. Podobało się Bogu, abym upadł i dlatego leżał w łóżku: niech się spełni Boska wola.

W kilka dni później sam Pan Jezus ukazał się mu i pocieszył w chorobie, objawiając wzniosłe tajemnice wiary św. Niezwyczajna łaska, jaka go spotkała, tak go podniosła na duchu i rozweseliła, iż poprosił jednego z Ojców, aby wziął pióro do ręki i podyktował mu kilka wierszy włoskich i łacińskich ku czci Pana Jezusa i Matki Bożej.

W czasie prawie dwumiesięcznej choroby okazywał nadzwyczajną cierpliwość i posłuszeństwo Bratu infirmarzowi, tak jak dziecko maleńkie na rozkaz matki dlatego, iż on względem chorych ma cząstkę władzy udzielonej mu od przełożonego. Raz przez zapomnienie infirmarz nie przyniósł Ojcu Realino przez cały dzień żadnego pokarmu, ani napoju; gdy przyszedł doń wieczorem najmniejsza nie spotkała go wymówka ze strony chorego.

Zwykle bywa, że ludzie surowi dla siebie, są wyrozumiali dla drugich i przeciwnie, nikt bardziej nie jest surowym dla drugich jak ten, który sobie pobłaża.

W opisie życia sługi Bożego mieliśmy sposobność niejednokrotnie o tem się przekonać. Doszedł do tego bezustanną pracą nad sobą, gdyż jak jego młodość nam pokazała, był usposobienia bardzo prędkiego. W późniejszych latach myślano, że O. Realino jest flegmatykiem, tak umiał zmienić swą naturę.

Dawne wspomnienia, znajomości, bynajmniej nie przeszkadzały mu w zjednoczeniu się z Bogiem. To też pisywał do swych krewnych, interesował się ich losem, wszystkie jego listy tchnęły jakąś nadprzyrodzoną miłością i wiele dobrego dla dusz bliźnich sprawiały. W ten sam sposób utrzymywał przyjacielski stosunek z mieszkańcami Capri i tymi, którzy kiedyś byli jego podwładnymi za czasów jego urzędów na świecie.

Błogosławiony był dobrym i współczującym nietylko dla ludzi ale i dla wszystkich stworzeń.

Miał zwyczaj kłaść na oknie okruszyny chleba dla ptasząt zwłaszcza podczas ostrej zimy, gdy żer był trudny do zdobycia. Zlatywały się one do O. Realino, wchodziły do jego celi, a gdy był chory i przynoszono mu do pokoju jedzenie, dziobały z talerza i bez żadnej bojaźni skakały po rękach, po ramionach, po głowie.

Mimowoli ten stosunek z naturą, będący pięknym obrazem dobroci duszy błogosławionego, przypomina św. Franciszka z Assyżu, rozmawiającego z rybkami nad brzegiem morza lub ptactwem, które błogosławił.

Śmierć błogosławionego O. Bernardyna.

Od pierwszych dni stycznia 1616 r., O. Realino, zapewniał, że już drugiego roku nie doczeka. Wspominał o swej śmierci z zupełnym spokojem. Żegnał znajomych, penitentów, dawał ostatnie ojcowskie przestrogi i rady. Pomimo tego nic jeszcze nie zapowiadało bliskiego końca. Słabym był wprawdzie bezustannie od wypadku wyżej wspomnianego z r. 1610, lecz zdawało się, że organizm jego przetrzyma jeszcze lat parę; on jeden był przeciwnego zdania i stanowczo twierdził, że ostatnia chwila jest bliską.

Rzeczywiście, dnia 11 czerwca tegoż roku zapadł na febrę, zdawało się, że niebawem skona, więc udzielono mu Ostatnich Sakramentów św. Lecz O. Realino podniósł się z choroby. Dopiero ostatniego czerwca został tknięty paraliżem, utracił mowę, zachował jednak zupełną przytomność umysłu. Powtórnie udzielono umierającemu św. Wiatyku i Ostatniego Pomazania. Ojcowie ze łzami w oczach zebrani dokoła łoża, prosili O. Realino o ostatnie błogosławieństwo. Starzec z pokory odmówił ich prośbie, obiecując tylko, iż za nich będzie się modlił.

Jak tylko rozeszła się pogłoska o groźnym stanie ukochanego Ojca, co żyło śpieszyło do kollegium. Dla bezpieczeństwa zaryglowano drzwi żelaznemi sztabami, lecz i to nie wiele pomagało, o mało, że nie pękły przed cisnącym się tłumem. — Ostatecznie postanowiono kolejno wpuszczać do celi O. Realino po kilku mężczyzn. Procesja trwała bez końca, gdyż wielu ludzi również z okolicy przybyło, aby otrzymać ostatnie błogosławieństwo z rąk Świętego.

Niewiasty, nie mogąc dostać się za klauzurę, wysyłały całe kosze koronek, medalików, obrazków, aby niemi dotknąć ciała umierającego. — Jeden z mieszkańców tamtejszych wziął ze sobą kilkoro dzieci, wprowadził je do celi, a wskazując Ojca Realino, mówił:

— Dobrze patrzcie dziateczki, i przypominajcie sobie, żeście widzieli jak umiera Święty.

Starzec leżał na łożu z pogodnym wyrazem, zatopiony w Bogu.

Nadszedł biskup leccejski z kilku innymi kapłanami. Zbliżywszy się do chorego, uściskał serdecznie, polecił się jego modlitwom i klęknąwszy, odciął kawałek prześcieradła i koca, aby zachować jako relikwię. Za biskupem rzucili się wszyscy do brania pamiątek i gdyby nie przeszkodzono, pociętoby w kawałki nawet samo łóżko umierającego Ojca.

Biskup z Segni na kolanach zbliżył się do O. Bernardyna, ucałował mu ręce i polecił siebie i swoją dyecezję jego pamięci przed Bogiem.

Jeszcze w d. 21 grudnia 1615 r., burmistrz leccejski na zebraniu rady magistratu miał przemowę, świadczącą, jak już za życia O. Realino za świętego uważano:

— Panowie!—rzekł on,—miasto nasze szczególniejszą łaską Bożą posiada przez przeciąg przeszło 40 lat O. Bernardyna Realino, kapłana teologa z Tow. Jez., który zawsze nas budował nadzwyczajną świętością życia i znanym jest wszystkim z daru tylu proroctw, tylu cudów, iż nietylko w tem mieście, ale i w dalszych stronach królestwa mało jest osób, któreby nie doznały na sobie jakich łask od Boga, zdziałanych przez Jego błogosławionego sługę.

„Zważywszy, że wiele z tych cudów, proroctw i łask z biegiem czasu trudno będzie udowodnić, z powodu śmierci świadków, zdarzającej się z dniem każdym, a mając nadzieję, iż wyżej wspomniany O. Bernardyn stanie się po śmierci protektorem w niebie naszego miasta, jak go otaczał opieką przez tyle lat przez swoje zasługi i modlitwy żyjąc na ziemi, dobrzeby było wstawić się do naszego ks. biskupa, ażeby pozwolił sprowadzić świadków, zaprzysiężenia ich zbadać, a otrzymawszy zeznania, z uszanowaniem je zachować na wieczną rzeczy pamiątkę, a także dla procesu kanonizacyjnego; jednocześnie te same starania i prośbę wnieść do innych biskupów i prałatów aby zebrać świadectwa i zeznania. W tym celu należałoby zanieść prośbę do Papieża Pawła V.“ Powyższe przemówienie było wciągnięte w akta oryginalne publiczne uniwersytetu leccejskiego.

Panowie radcy miejscy z radością przyjęli propozycję burmistrza i wybrali komisję do przeprowadzenia wniosku.

Gdy wieść rozeszła się po mieście o bliskiej śmierci O. Realino, burmistrz na czele starszyzny przyszedł do celi błog. Ojca Bernardyna i w serdecznem przemówieniu prosił go, ażeby raczył być protektorem miasta w niebie, tak, jak przez długie lata był nim na ziemi. O. Bernardyn skinął głową i z wysiłkiem powiedział:

— Tak, panowie.

Po ucałowaniu rąk umierającego poszli do przełożonego domu i oświadczyli mu, ażeby nie troszczył się o pogrzeb Ojca Realino, gdyż rada miejska postanowiła własnym kosztem z możliwie największą okazałością oddać ostatnią posługę kochanemu Ojcu.

Dnia 2 lipca rano, w dzień Nawiedzenia Matki Boskiej, przypadającym tego roku w sobotę, starzec z wypogodzoną twarzą, z oczyma zwróconemi ku niebu, wyrzekł ostatnie słowa: „O moja Panno Najświętsza“ i począł konać. — Dano mu do rąk zapaloną gromnicę i krucyfiks, umierający zwrócił nań swe oczy i nie oderwał od niego, aż wydał ostatnie tchnienie. Skonał tegoż dnia popołudniu o godzinie 4, w chwili, gdy czytano przy jego łożu Mękę Pańską z Ewangelii św. Jana.

Pogrzeb błog. Bernardyna.

Smętny głos dzwonu kollegialnego kościoła zwiastował całej okolicy śmierć O. Bernardyna i jeden głos z tysięcy piersi dał się słyszeć: „Umarł Święty.“ Lud coraz tłumniej spieszył do kościoła i kollegium. Wzmocniono straże, lecz mimo tego fala pobożnych wyłamała większe drzwi kollegium i doń wkroczyła. Cela O. Realino w jednej chwili była przepełniona ludem. Zabierano na pamiątkę co komu wpadło w ręce, nawet flaszeczki z lekarstwami, wióry ze skrzyni i wodę, w której umyto ciało zmarłego.

Przezorny rektor, zanim dano znak we dzwony o śmierci O. Realino, zamknął ciało w zakrystji kościoła a przed drzwiami ustawił oddział żołnierzy i straż honorową obywateli leccejskich. Tak wielki był natłok, że biskup celebrujący Mszę świętą musiał ją przerwać; również nie można było dokończyć pogrzebowego kazania, tak wielki krzyk i płacz rozlegał się w kościele. Zapał ludu wzrastał wskutek licznych cudów, jakie się działy przy trumnie zmarłego. W ciągu dwóch dni naliczono 10 nagłych uzdrowień z chorób ciężkich lub wprost nieuleczalnych. Wobec tego Ojcowie Jezuici zebrawszy się na wspólną naradę ze starszyzną miejską, postanowili pochować O. Realino przed światem, ażeby uniknąć możliwego nieszczęścia wśród wielkiego tłoku ludzi. Na razie pochowano zwłoki błog. Bernardyna we wspólnym grobie zakonnym.

W d. 4 lipca na zebraniu rady miejskiej, jednogłośnie przyjęto następujące wnioski burmistrza leccejskiego:

Tymczasem zwłoki O. Bernardyna będą spoczywały w kościele kollegialnym. Nad grobem mającym się zbudować kosztem miasta ma być w imieniu tegoż miasta umieszczony napis z tegoż herbem.

Burmistrz i jego następcy mają przechowywać u siebie klucze od sarkofagu.

Napisać do kardynała Bellarmina, który znał zmarłego, ażeby Ojca św. uprosił w imieniu miasta o łaskę zebrania informacji co do cudów i cnót O. Realino, oraz napisać prośbę do Papieża, aby raczył wprowadzić sprawę beatyfikacji i kanonizacji Ojca Bernardyna i przeznaczyć go za Patrona i Protektora miasta Lecce. Po otrzymaniu pozwolenia z Rzymu, uroczyście przenieść zwłoki Ojca do kaplicy, mającej się zbudować w kollegialnym kościele pod wezwaniem tegoż Ojca. Wszystkie koszta, miasto zobowiązuje się ponieść.

Stało się, jak postanowiono.

W trzy miesiące później pomnik był wykończony. W d. 13 paźdz. otworzono trumnę. Zwłoki były zupełnie dobrze zachowane i wydawały bardzo miłą woń. Umieszczono je w nowej trumnie, zamknięto do sarkofagu i przeniesiono w procesji do kaplicy.

Pośmiertne cuda. — Beatyfikacja Sługi Bożego Bernardyna.

Cześć błog. Bernardyna Realino nie ustała z jego śmiercią. Weszły w zwyczaj pielgrzymki do jego grobu i żadne tłomaczenie OO. Jezuitów, że nie wolno oddawać czci zwłokom osób niekanonizowanych nic nie pomogły. Ciągłe też cuda działy się przy grobie. Powszechnie dzień nawiedzenia Matki Boskiej zwano w Lecce „uroczystością O. Bernardyna.“

Święta Kongregacja obrzędów wysłała komisję dla sprawdzenia, a gdy pomyślny okazał się wynik, postanowiono zwłoki przełożyć do urn, spodziewano się bowiem, że będą tylko same popioły. Zdziwiono się bardzo, gdy zobaczono ciało zupełnie świeże i co więcej obfitą ilość krwi. Było to 1711 r., a więc w 95 lat po śmierci O. Realino. Krew zebrano do szklanych naczyń, ciało umieszczono również w naczyniach szklanych.

O. Antoni Grassi T. J. pragnął przy tem sprowadzaniu zwłok czynny brać udział, w nadziei, że może Pan Bóg przez O. Realino zechce go uzdrowić od dolegliwej fistuły, trapiącej go od lat czterech. Pozostawał mu tylko jeden ratunek, gdyż lekarze oświadczyli, że żadne ludzkie środki nie mogą w tym wypadku uleczyć go z choroby. O. Grassi własnemi rękoma przekładał relikwie. Ostatniej nocy przed tą czynnością, gorąco polecił się Ojcu Realino i zasnął. Nazajutrz rano wyzdrowiał zupełnie a fistuła nawet nie pozostawiła po sobie blizny. Cud powyższy jest jednym z tych, jakie zbadano i zatwierdzono w procesie beatyfikacyjnym.

Większe jednak wrażenie zrobiło wówczas przechowanie się krwi czystej w wielkiej ilości razem z ciałem O. Realino, zupełnie wolnem od zepsucia. Wezwano lekarzy do zbadania tak dziwnego zjawiska; orzekli oni, że krew jest prawdziwą, co dziwniejsze wcale nie skrzepłą.

Z 89 cudów pośmiertnych wciągniętych do aktów, zasługuje na wzmiankę zdarzenie z r. 1616.

Mały Józef Rigliano, w szóstym miesiącu życia ciężko zachorował, dostał silnych konwulsji,

gorączki, a w ósmym dniu choroby lekarze orzekli, że niema nadziei zachowania go przy życiu. Żadne lekarstwa nie pomagały, po trzech dniach dziecię na rękach matki skonało. Przybiegł mąż, dzieci, aby żonę i matkę pocieszać, lecz było trudno odebrać ją od zwłok stygnących.

Po kilku godzinach mały Józefek, leżał na katafalku. Gdy noc zapadła, zrozpaczona matka raz jeszcze wzięła dzieciątko na ręce i oblewała je łzami.

Wtem przyszło jej na myśl polecić je O. Bernardynowi. Nagle dziecię otworzyło usteczka i przyjęło pokarm matczyny. Wincenta Rigliano poczęła głośno wołać:

— Chodźcie i patrzcie, oto nowy cud O. Bernardyna! Józefek żyje!

Wszyscy wołali: „cud, cud!“

Zniesienie Zakonu Tow. Jezusowego odwlekło ukończenie procesu beatyfikacyjnego do czasów jego wskrzeszenia.

Gdy O.O. Jezuici znowu w r. 1832 przybyli do Lecce, ich kolegium i kościół znajdował się w obcych rękach. Za zezwoleniem Stolicy św. otrzymali Ojcowie kościół pofranciszkański, tam też przenieśli r. 1834 relikwie błog. Realino.

Po ukończeniu długiego procesu co do heroizmu cnót i prawdziwości cudów, Ojciec święty Leon XIII przez Breve z dnia 27 września 1895 r. zaliczył błog. Bernardyna Realino T. J. w poczet błogosławionych, a w dniu 12 stycznia 1896 r. uroczyście dopełnił aktu beatyfikacyjnego.

Źródła.

O. Hektor Ventury. *Żywot błog. Bernardyna Realino, 1895.*

Dnia 9 Lipca.

ŚWIĘTA WERONIKA GIULIANI (DŻULIANI)

KAPUCYNKA.

1660 † 1727.

Za rządów papieży: Klemensa X, Innocentego XI, XII i XIII.

> Płaczmy nad grzesznikami, czy to umierają, czy też żyją. Radujmy się ze sprawiedliwych, wówczas gdy żyją, czy też umierają. Pierwsi umarli już w Bogu nawet w ciągu życia; sprawiedliwi zaś zawsze żyją przed Bogiem, wtedy nawet, gdy ich zwłoki spoczywają w grobie, albowiem dusza ich raduje się w niebie.
>
> Św. Jan Złotousty.

Dziecinne lata św. Weroniki. — Nadzwyczajne przepowiednie jej przyszłej świętości. — „Bądź sprawiedliwy, bo Bóg na ciebie patrzy!“

Mercatello, zamożna włość w Umbrii (we Włoszech) położona, blisko piętnaście mil odległa od Citta di Castello, jest ziemią rodzinną św. Weroniki córki Franciszka i Benedykty z Mancinich Giuliani. Ci bogobojni i wzorowych cnót małżonkowie, oprócz najmłodszej córki Weroniki urodz. 27 grud. 1660 r., mieli jeszcze cztery starsze, które wzrósłszy w pobożności i cnocie, wszystkie w rozmaitych klasztorach przywdziały suknie zakonne i świątobliwe wiodły życie. Najmłodsza, której nazajutrz po urodzeniu na chrzcie św. dano imię Urszula, zaraz od dzieciństwa dawała oznaki tego, czem kiedyś być miała; dziecinne jej czyny były już przepowiednią przyszłej, wielkiej jej świątobliwości. Zaledwie kilka miesięcy mająca, już wzrokiem szukała po pokoju obrazu Chrystusa i Matki Jego Najświętszej, który zoczywszy, trzepotała rączkami, nachylała główkę, wydzierała się z rąk matki, jakby go pocałować chciała, i póty się nie uspokoiła, póki jej tego nie dozwolono. Miała zawsze twarz wypogodzoną i wesołą, nigdy prawie niesłyszano jej płaczącej i niewidziano, żeby się naprzykrzała, jak powszechnie dzieci; w pewne nawet dni w tygodniu zachowywała wstrzemięźliwość, nieprzyjmując ani kropli pokarmu, jak gdyby chciała już dać próbkę owej wielkiej pokuty, którą w dojrzalszym wieku tak ostro odprawiała. W piątym miesiącu życia, w dzień św. Trójcy, gdy ją matka na ręku trzymała przed obrazem tej wielkiej tajemnicy, dziecina wpatrując się w obraz, wyrwała się z rąk Matki na ziemię, stanęła przed nim o swojej mocy oddając pokłon, i od tej chwili zaczęła chodzić, a wyprzedzając tym sposobem porządek naturalny rzeczy, okazała wówczas, jak później miała go we wszystkiem przechodzić. Miała blisko półtora roku, gdy służąca trzymając ją na rękach, poszła kupić oliwy, kupiec nie dolał miary, widząc to dziecię, zawołało:

— Bądź sprawiedliwym, bo Bóg na ciebie patrzy!“

Kupiec oniemiał z podziwienia, nigdy bowiem nie spodziewał się takiej nagany z ust dzieciny.

W drugim roku tyle już w niej działała miłość ku Jezusowi i Jego Najświętszej Matce, że gdziekolwiek zobaczyła te święte wyobrażenia, padała na kolana, wynurzając uczucia najczystszego serca, pozbywała się wszelkich ozdób, jakie matka na nią kładła, i wszystko to z rozkoszą ofiarowywała Boskiemu Dziecięciu i Jego Matce. Przyszedłszy do wieku, w którym się modlić mogła, zwykła była odmawiać pacierze przed obrazem Matki Boskiej, trzymającej na ręku Dzieciątko Jezus; obraz ten stroiła nakształt ołtarzyka, codziennie zdobiła świeżemi kwiatkami i codziennie tam przynosiła swoje śniadanie i podwieczorek, zapraszając z dziecinną prostotą Boskie Dziecię, aby z nią razem pożywało. Gdy razu jednego, pobiegła do ogrodu zbierać kwiatki na przystrojenie swego ołtarzyka, ujrzała Zbawiciela pod postacią prześlicznej dzieciny, który rzekł do niej

— Ja jestem prawdziwym kwiatem polnym.

Urszulka skoczyła, chcąc śliczne dziecię uściskać, lecz w tej chwili zjawienie znikło; wtedy prawie zmysłów pozbawiona, biegła jakby w gorączce nakoniec spłakana powróciła do swego obrazu z ciężkim żalem, i tu ją dopiero Najświętsza Panna pocieszyła mówiąc:

— Córko moja, Syn mój wielce cię ukochał, przygotuj się, On będzie oblubieńcem twoim.

Słysząc: że św. Róża Limańska, miała zwyczaj biczowania się, chcąc ją naśladować, a niemając odpowiedniego narzędzia, podarła swój fartuszek na drobne kawałki, a zrobiwszy z niego rodzaj dyscypliny, biczowała o ile tylko siły jej pozwoliły, niewinne ciało swoje. — Zadziwiającą było rzeczą widzieć dziecinę zaledwie czteroletnią, uczącą się już cierpieć, używającą wszelkich, jakie tylko były w jej mocy środków do umartwień ciała, na wzór najostrzejszych pokutnic. Tymczasem matka Urszuli mocno zasłabła, i tak była gwałtowna jej choroba, iż w kilka dni opuszczona od doktorów, opatrzoną została św. Sakramentami. Będąc bliska już zgonu, przywołała pięć swoich córek, a trzymając w ręku wizerunek Zbawiciela Ukrzyżowanego, każdej testamentem przeznaczyła jednę z Ran Zbawiciela: Urszuli zaś wówczas w dziecinnym będącej wieku, przeznaczyła Ranę boku. Szczęśliwa wróżba tej miłości Boskiej, którą tak mocno pałała!

Pobyt w mieście nie wpływa na usposobienie pobożnej dzieweczki. — Powołanie.

Franciszek Giuliani po śmierci swej żony, przeniósł się wraz z córkami do miasta Placencji, dla wychowania córek, pozwalając im przytem poznać nieco świat, przy wszelkiej chrześcijańskiej skromności. Urszula wzdychała tylko do Boga, ciągle o Nim myśląc, ze zmianą miejsca, nie zmieniła sposobu myślenia, lecz owszem coraz więcej uciekała się do swego ukochanego Oblubieńca. Miasto było dla niej szkołą, poznała obłudy i marności świata, widziała wszędzie dumę i próżność; przepych i okazałość zamiast ją zaślepić, przeciwnie były powodem, że coraz więcej łączyła się z Bogiem, i Jego jedynie miała za cel wszystkich ich życzeń. Nie miała jeszcze lat dziesięciu, gdy jej dozwolono przystąpić do Stołu Pańskiego, tak gorącą pałała żądzą przyjęcia Najświętszego Sakramentu. Gdy matka jej śmiertelnie zasłabła, i przyjmować miała Najświętszy Wiatyk, dziecko odczuwało najgorętszą chęć porwania go z rąk kapłana; wyrwała się nakoniec, trzymającej ją osobie i rzekła do matki radośnie.

Święta Weronika, Kapucynka.

— O jak piękną rzecz otrzymałaś mamo!

Znak rzeczywisty, iż dusza jej obdarzoną była światłem i łaską nadprzyrodzoną.

Zaprowadzona do kościoła, widziała nieraz Hostją św. jaśniejącą wielkiem światłem, a wpatrując się w nią, widywała przemienioną w Dzieciątko Jezus. Z jakąż pieczołowitością, z jakiemiż łzami, z jaką obfitością miłości przygotowywała się do przyjęcia Anielskiego Chleba, a jakaż była radość, jaka pociecha duszy, kiedy go pierwszy raz spożyła; jak następnie często przystępowała do św. Stołu, aby tym sposobem odnawiać tę niebieską rozkosz, która

przepełniła wówczas jej serce. Zatapiała się w rozpamiętywaniu o Bogu i niczem innem tylko Stwórcą myśl jej była zajęta, ztąd wiele godzin przepędziła na modlitwie, rozmyślając o Męce Pańskiej, która ją zawsze pobudzała do płaczu.

Trzy dni w tygodniu zachowywała najściślejsze milczenie, zachęcając się do umartwień i cierpienia, w celu wnijścia w śluby zakonne, a kiedy potem ofiarowała modlitwy swoje Najświętszej Pannie, Dzieciątko Jezus rzekło do niej:

— Oblubienico moja, krzyż cię czeka.

Z początku Urszula niezrozumiała znaczenia tych wyrazów, jakkolwiek wielkiemi darami niebios była obdarzoną, później jednak pojęła znaczenie tego krzyża, że do cierpień jest przeznaczoną i w tem przekonaniu utwierdziło ją czytanie żywotów świętych męczenników.

Ojciec zaś który kochał ją bardzo, nieoszczędzał starań i wielce się nią zajmował a widząc ją wzrastającą w wszelkie powaby ciała i duszy, rokował sobie, iż ją bardzo dobrze za mąż wyda, lecz ona poświęciwszy Matce Boskiej panieństwo swoje, ze wstrętem słuchała namowy do stanu małżeńskiego i aby się uwolnić od niebezpieczeństwa, uciekała się ciągle do najgorętszych modlitw. Między wieloma obrazami był w domu jeden, który przedstawiał Zbawiciela, tam przed nim klęcząc modliła się Weronika, błagając Go, aby niepozwolił jej służyć komu innemu jak tylko Jemu samemu, i nieraz słyszano ją jak łkając wymawiała te słowa:

— Boże! Boże daj abym innych myśli nad Ciebie nie miała.

Nagrodą ufności w Bogu była łaska, iż ją Jezus Chrystus wysłuchał, niepojęła ziemskiego małżonka i Jego tylko była Oblubienicą, a zachęcana różnemi obietnicami, odpowiadała każdemu, kto jej o małżeństwie wspominał, że świat nie jest dla niej; a kiedy jej przedstawiano za przykład św. Franciszkę Rzymiankę, która poszedłszy zamąż, została świętą, i wpośród wielkości i okazałości światowych była pokutnicą: odpowiadała: iż nieczuje się dość, silną, aby tak wielki przykład naśladować! Rozczulała ojca tak wzniosła odpowiedź, a chociaż życzenie świętej było nader korzystne dla całej rodziny, prosił by go nieopuszczała i ciągle z nim mieszkała; żeby zaś ją odwieść od powziętego zamysłu, starał się otaczać córkę młodzieżą, mając nadzieję, że ulegnie w końcu prośbom tego, któryby najmocniejsze na niej zrobił wrażenie. Lecz te środki do tem prędszego jeszcze odciągnienia ją od świata posłużyły. Weronika obdarzona pięknością i nadzwyczajną słodyczą charakteru, potrafiła wzniecić miłość w wielu szlachetnych i bogatych młodzianach, którzy ją chcieli zaślubić. Jeden z nich zachęcony przez ojca, szczególniej odciągał ją od stanu zakonnego i starał się wszelkiemi sposobami pozyskać jej wzajemność, lecz ani ponęty, ani powaga ojca i podszepty różnych osób, nie zdołały ją zwrócić z drogi powołania; wytrwała w niem stale, a ojciec ujęty niepokonaną słodyczą jej charakteru i nieustannemi prośbami, przyrzekł dla jej pocieszenia, iż dozwoli na przyjęcie sukni zakonnej, ale aż po swej śmierci. Warunek ten atoli prędko odwołał, za natchnieniem bowiem swej córki udawszy się do spowiedzi, przy wstawieniu się kapłana, zmienił zdanie, skłonił głowę pod wolą Boską i dał Urszuli pozwolenie zostania wcześniej zakonnicą.

Obłóczyny św. Weroniki w klasztorze Kapucynek w Citta di Castillo.

Przezwyciężywszy za pomocą Boską pierwsze przeszkody i uzyskawszy pozwolenie ojca, św. dziewica szukała miejsca i środków, jakiemiby najlepiej zabezpieczyć mogła zbawienie swej duszy. Przebiegła myślą najostrzejsze zakony, najściślejsze reguły i najsurowsze klauzury. Zdawało się Urszuli, chwilami, że nie może być zakonnicą w żadnym klasztorze. Tem większa jeszcze obawa w niej wzrastała, gdy pomyślała, że wróciwszy z Placencji do rodzinnych stron, onaby tylko stanowiła wyjątek w klasztorze w Mercatello, gdyby miała przez ciężkie próby przechodzić: kiedy wszystkie inne zakonnice klasztoru tego były z łatwością przyjmowane, ponieważ nie była tak ścisła reguła. Te uwagi i przeszkody wszelkie, tak ją trapiły, iż dnie i noce we łzach trawiła; a że ojciec nie mógł opuścić Placencji, polecił ją opiece wuja, mieszkającego w Mercatello, którego błagała, aby jej dopomógł w spełnieniu jej powołania. Ten jednak nie chciał bardzo jej słuchać, uważając prośby za skutek dzieciństwa, z powodu, iż nie może zrobić odpowiedniego sobie wyboru.

W tymże właśnie czasie, Kapucynki w Citta di Castello, pragnęły do swego klasztoru jaką młodą panienkę pozyskać i Bóg chciał iż pisały w tym względzie do przełożonego w Mercatello. Temu natychmiast przyszła na myśl Urszula, którą bardzo cenił, lecz obawiał się, aby przedstawienie jego odrzuconem nie było z powodu ostrości zakonu. Postanowił jednak pomówić pierwej z jej spowiednikiem, który znając dokładnie pobożny zapał dziewicy, sam jej tę myśl natychmiast przedstawił. Pojmujemy dobrze jak była zadowoloną, skoro jej najpożądańszą rzecz objawiono. Najspokojniejszy umysł zajął miejsce łez ciągłych, strach tylko zdjął ją na wspomnienie, jak to powiedzieć wujowi, który był zły i popędliwy; uzbroiwszy się jednak w odwagę, powiedziała mu otwarcie, iż od chwili, jak uzyskała pozwolenie ojca zostania zakonnicą, pragnęła jedynie odsunąć się zupełnie od świata. Z początku

sprzeciwiał się wuj żądaniu, lecz niebieską łaską i przez spowiednika Urszuli nakłoniony, przedsięwziął nakoniec odprowadzić siostrzenicę swoję do Citta di Castello, pod pozorem odwiedzenia Najświętszej Panny Belwederskiej.

Przed tym to świętym obrazem postanowiła Urszula upragnione śluby swoje wykonać, które zostały przez Królową Anielską wysłuchane i przyjęte; później zaprowadzono ją do furty klasztornej, tam rozmawiała wiele z dobremi siostrami, dając im poznać usilne żądanie swego serca. Przełożona spostrzegłszy to wielkie powołanie zapytała jej: czyliby nie czuła w sobie dość odwagi, aby o łaskę, której tak gorąco pragnie, samego biskupa, prosić na klęczkach. Bez namysłu, natychmiast zgodziła się na to, lecz zbliżając się do pałacu biskupa, jakby złym duchem owiana, czuła jakiś wstręt do spełnienia danego słowa przełożonej. Zdawało jej się, iż paść do nóg nie przystało dla panienki lepszego urodzenia i wychowania. Wówczas był biskupem w Citta di Castello, Monsignor Sebastiani; przyjął on pobożną dziewicę z uczuciem najżywszej chrześcijańskiej miłości. Ona zaś znajdując się przed obliczem biskupa jakkolwiek nieśmiała, przezwyciężając wszelką wstydliwość, mówiła śmiało za sobą, a co godne zaznaczenia, że mało wprawna w czytanie łaciny, czytała z wszelką dokładnością w Brewiarzu, skoro jej go podano do ręki, ku wielkiemu zdumieniu wuja swego, który znając jej nieumiejętność pod tym względem, widział w tem cud prawdziwy. Gdy się już oddalać miała, padła do nóg biskupowi, błagając go, aby, nim się ztamtąd oddali przyobiecał, iż ją przyjmie do klasztoru Kapucynek. Prośba ta wysłuchaną została, a słodka dzieweczka zaledwie uzyskała przyjęcie, wzniosła oczy ku niebu i cała Bogu i Marji oddana, opuściła czemprędzej pałac biskupi i udała się do klasztoru, aby tam podzielać z siostrami swą radość.

Gdy już została przyjętą do zgromadzenia, powróciła jeszcze na jakiś czas do miejsca rodzinnego. Tam modlitwą i postami przygotowywała się do opuszczenia świata, który z radością porzucała jakby pewna, że się do raju dostanie. Przysposobiwszy się do odjazdu, udała się z krewnymi do Citta di Castello dnia 23 października 1677, a już 28-go tegoż miesiąca przywdziała suknię zakonną, zamieniając imię Urszuli na imię Weroniki.

Nie jeden sądził bezwątpienia, iż św. dziewica zanim zamknie się z Siostrami swemi na zawsze, żałując swej młodości i pomnąc na oddalenie się z domu rodzicielskiego, na wieczne rozłączenie się z krewnymi, przyjaciołmi, słowem z całym światem, zrywać będzie te stosunki z ciężkim żalem i oblewać je łzami. Lecz ta, która miała wyrytą w sercu Mękę Chrystusa spełniła obrzęd z taką mocą duszy, iż rozczuleni do głębi obecni wyjść z podziwienia nie mogli, gdyż bez najlżejszego westchnienia zrzuciła światową odzież, a obróciwszy się tylko potem do obecnych, rzekła:

— Żegnam świat cały, opuszczam go na wieki.

Poczem na zawsze zamknęła się w murach klasztornych.

Walki duchowe i pierwsze próby.

Weszła Weronika do św. zakonu, tam ją czekało nowe życie, pełne ducha, i tego wszystkiego, co ją zbliżało do jej ukrzyżowanego Oblubieńca. Przestąpiła kratę z takiem ukontentowaniem, jak gdyby szczytu szczęścia dosięgła. Zaledwie jednak przywdziała na siebie suknie zakonne, zdawało jej się, iż wszystko w niej wzbudza smutek i odrazę; ani nadzwyczajna gorliwość, ani wytrwałość nie uwolniły ją od trosk i przykrości, które jej z początku towarzyszyły w nowo obranym zawodzie. Gdy dusza doznawała takich cierpień, i ciało było im także podległe, albowiem całe życie w cichości serca znosiła przykrości i dolegliwości, dziękując za nie Bogu jak za najdroższą, najwyższą łaskę.

Takie się objawiały sprzeczności w początkach wstąpienia do klasztoru w duszy nowej Oblubienicy Chrystusa, pomimo względów jakiemi ją Odkupiciel obdarzał, i czego widoczne dowody miała tego samego dnia, skoro tylko habit na siebie włożyła. Właśnie tejże nocy, kiedy walczyła mocno z pokusami świata, ukazał jej się Pan pośród odgłosu śpiewów i przywoływał jej ducha do nieba, ukazując jej poczet Świętych, na czele których była Najświętsza Marja Panna, zachęcając Weronikę, aby prosiła o łaski jakich żąda. Weronika nic innego żądać nie mogła, jak ich miłości, i aby nigdy Chrystusowego krzyża nie opuszczała, co jej natychmiast przyobiecanem było. Między innemi rzeczami, prosiła także o dostateczne siły do ścisłego wypełniania reguły zakonnej, której się poddała, aby tym sposobem ciągle była złączoną z Bogiem, choćby ją to życia kosztować miało i to wszystko przyobiecał jej Odkupiciel świata. Skoro znikło objawienie, ujrzała się Weronika z podziwieniem klęczącą na środku celi, przypominając sobie dobrze, iż się była spać położyła; lecz zważywszy, iż bywają udzielane łaski w pierwszych chwilach tym, co przyoblekają suknie zakonne, nic sobie z tego nie wnosiła w tej chwili. Czuwając jednakże już noc całą aż do rana, gdy znowu złączywszy się z drugiemi zakonnicami, chociaż trochę tylko po łacinie umiała, z podziwieniem własnem, doskonale odczytywała pacierze. Cudownym sposobem odtąd Bóg był zawsze przy niej, słyszała nieraz głos Jego mówiący:

– Módl się, jestem z tobą.

Bóg, który temi wyższemi łaskami chciał przyciągnąć do siebie duszę Weroniki, aby z nim w naj-

ściślejszym zostawała związku, przemawiał niekiedy do jej serca w tak niepojęty sposób, że zaledwie zrozumieć to mogła; a gdy wyjawiła stan swej duszy spowiednikowi, była dla niego zupełnie niezrozumiałą Z tego nieładu w duszy wynikło, iż cały rok nowicjatu i później jeszcze nie było dla niej spowiednika, któryby doszedł do poznania dokładnego jej sumienia, zkąd zrodziła się w niej nadzwyczajna zgryzota, którą słusznie nazywała: „Pierwszym swoim krzyżem.“

Św. Weronika uposażona umysłem podniosłym z łatwością zapominała urazy; wszelako bolało ją, że jedna z sióstr będących w nowicjacie, tak ją znienawidziła, iż nie było dnia, żeby jej jakiej nie zrobiła przykrości. Przełożona chcąc wypróbować pokorę Weroniki, ciągle ją martwiła pokutami publicznemi i prywatnemi, które cnotliwa nowicjuszka przyjmowała chętnie i z wypogodzoną twarzą. Zadziwiającą było rzeczą, iż niewinna dziewica obrażona przez swoją towarzyszkę, karana przez przełożoną, trapiona ciągle wewnątrz przez ogólnego nieprzyjaciela uczuciem dumy, nie traciła na chwilę pokoju duszy, ani uczuła w sobie najmniejszej chęci zemsty, lecz była nawet zdolną prosić pokornie o przebaczenie wszystkich, komuby mogła uchybić lub jakąkolwiek zrobić przykrość. Z tymi i tym podobnymi dowodami pobłażania, ukończyła rok pierwszy nowicjatu. W ciągu tego czasu Bóg przybywał nieraz w pomoc dla jej obrony, czyniąc ulgę cierpieniom jej duszy, pocieszając za odebrane wzgardy i wzmacniając jej rozum, swojem najświętszem światłem i łaską.

Profesja św. Weroniki i łaski od Boga jej udzielane w rozmaitych objawieniach. — Roskosz cierpienia.

Do jakiego stopnia była miłą Bogu służebnica Jego, tem łatwiej pojmiemy z tego, co sama spowiednikowi swemu opowiadała, iż w dzień czynionej profesji, to jest: dnia 1 listopada 1678 r., Zbawiciel chcąc jej dać poznać jak ją ukochał, ukazał jej się w towarzystwie Najświętszej Marji Panny, w całej świetności swej chwały, ponowił udzielone łaski w dzień jej obłóczyn, włożył jej sam nowy welon na głowę, dał one przepisy życia, wskazując, jak ma postępować z towarzyszkami swemi; powiedział: iż przyjmie mile przez nią odprawianą pokutę za nawrócenie grzesznych, i jak na przyszłość ćwiczyć się powinna we wszelkich cnotach i rozmaitym rodzaju pokory, pokuty i wzgardy siebie samej, dodając, aby się przygotowywała do noszenia ciężkiego krzyża, gdyż tym sposobem chce uświęcić jej duszę. Nie była Weronika głuchą na te przestrogi i owszem wzmogła się w niej chęć cierpienia, gdyż miała to przekonanie, iż jej było nakazane cierpieć. Odtąd Bóg objawiał jej rozmaitemi sposobami wielkość tego krzyża, który ona przez lat pięćdziesiąt nosić miała; Weronika zaś oddała się zupełnie w ręce opiekunów swej duszy, stosując się do ich rozkazów we wszystkiem.

W trzech pierwszych latach, po uczynionej profesji, Bóg objawił świętej, iż jest Jego wolą, aby się wstawiała za grzesznymi, do miłosierdzia Jego. Po tym rozkazie, rozpoczęła najostrzejsze życie za grzesznych; z cudowną gorliwością pracowała nad ich zbawieniem, przyjmując na siebie największe cierpienia za błędy bliźnich. Dla tego też nie było chwili, żeby płacząc nie oddawała się Bogu jako ofiara dla zbawienia ludzi; czuła się coraz bardziej zdolną do znoszenia cierpień, i szukała ich, nawet prosiła przełożonej, ażeby ją ciągle poprawiała, nie pobłażając najmniejszego uchybienia. Uważała za stracony dzień ten, który minął dla niej bez prób boleśnych, w których ciągle ćwiczyć się pragnęła. Jej miłość, cierpienia do tak wysokiego stopnia posuniętą była, że w listach do spowiednika swego ciągle te wyrazy powtarzała:

— Krzyż i cierpienie, jest to radość i rozkosz.

Podpisywała się zawsze: „Córka krzyża.“

W nocy, kiedy zatapiała się w rozpamiętywaniu, czuła, jakoby jej serce pękało na myśl, jak ludzie ustawicznie Boga obrażają, ubolewała gorzko nad znieważaną Jego dobrocią, ztąd taki ją smutek ogarniał, iż zmysły prawie traciła, a gdy przychodziła do siebie, najgorętszemi prośbami wzywała grzeszników do pokuty, dla siebie zaś o nowe prosiła cierpienie. Pewnej nocy modląc się gorąco w swej ubogiej celi za bliźnich swoich, tak się uniosła żalem i miłością, iż zaczęła głośno gromić ludzi, przywołując ich do poznania Boga, nakłaniając, aby od grzechu stronili. W tej chwili, Bóg uniósł jej ducha, i widziała Najwyższego uzbrojonego w oręż, jakby chciał karać grzeszników; widziała też mnóstwo dusz ochoczo służących złemu duchowi, inne znowu pożerane przez ogólnego ich nieprzyjaciela. Po tem bolesnem objawieniu nastąpiło drugie pełne rozkoszy. Zdawało jej się, iż słyszy, jak Bóg ją wzywał za pośredniczkę między Nim a grzesznymi, przez poddanie się zupełne woli Boga i zapomnienie o sobie. Słyszała przytem głos wołający: „*Weź krzyż mój, i chodź za mną.*“ Po tych wyrazach uczuła odnawiające się w duszy pragnienie cierpienia za zbawienie dusz w czyścu będących, szczęśliwa, iż ztąd ją czekają najokropniejsze męczarnie. Pośród tych uniesień nadzwyczajnej miłości Boga i bliźniego, Wszechmocny obdarzył swoją ukochaną służebnicę innemi, większemi jeszcze łaskami, które ją tem prędzej do doskonałości doprowadzić i zbawić były zdolne. Miała w objawieniu dozwolone spróbować ciężaru krzyża, który wycierpiawszy, przyciśniona nim, długo jeszcze po tem objawieniu do niczego zdolną nie była, i tak pod Jego ciężarem

upadła, iż do żadnych czynności siły nie miała. Dnia 4 Kwietnia 1694 roku, odmówiwszy pacierze wieczorne, ujrzała wyraźnie Zbawiciela mającego cierniową koronę na głowie. Widząc to, pomyślała sobie, że podobna korona nieprzystoi Zbawicielowi świata; w tem usłyszała odpowiedź w tych wyrazach:

— Córko moja ukochana, przybywam cię uwieńczyć.

I w tej chwili uczuła koronę na swej głowie, uczuła boleść tak żywą, tak ciężką, jakiej nigdy nie doświadczała.

Wróciwszy do przytomności, miała głowę nabrzmiałą i wyryte ślady ostremi kolcami; słowem, tak była znużoną cierpieniem, iż brakowało tylko, aby dusza z niej wyszła. Zakonnice zobaczywszy ją w takim stanie, nie pojmując przyczyny, przelęknione, zaczęły ją ratować rozmaitemi lekarstwami, przystawiały bańki i wizykatorje; co zamiast zmniejszać, powiększało jeszcze bardziej jej męki.

Skoro przyszła do siebie po tylu cierpieniach, zamiast na takowe narzekać, cieszyła się z nich, i tak była cierpliwa, iż zdawało się, że jest istotą zupełnie pozbawioną czucia. Nie pomyślała nigdy, aby się na chwilę od cierpień uwolnić, jak gdyby wszelkie męczarnie i krzyże dla niej, a ona dla nich stworzoną była; najczęściej bowiem powtarzała tylko:

— Wszystko to jest mało dla miłości Boga.

Przez lat pięćdziesiąt życia zakonnego nie ustawały najdotkliwsze udręczenia, często jeszcze powtarzało się koronowanie cierniową koroną, noszenie krzyża i biczowanie; nieraz nawet sama prosiła o to Oblubieńca swego, lubo w miejsce tych cierpień, nie brakło jej nigdy innych dolegliwości odpowiednich łaskom nieba.

Ścisłe zachowanie trzech ślubów uczynionych przez św. Weronikę.

Pierwszym i najgłówniejszym warunkiem doskonałości religijnej, jest ścisłe zachowywanie trzech ślubów, to jest, posłuszeństwa, czystości i ubóstwa, a św. Weronika zadziwiająco odznaczała się w wypełnianiu takowych. Do tego stopnia była posłuszną i pokorną, iż dla wykonania tej cnoty, gotowa była narazić się na największe niebezpieczeństwa, mamy tego jasne dowody w całem jej życiu, z których tu niektóre przytoczymy.

Weronika obdarzoną była najgłębszą pokorą, i jakkolwiek trudne było opisanie tego wszystkiego, co Bóg w niej działał, skoro jej to jednakże nakazanem zostało przez przełożonych, jako akt posłuszeństwa, napisała wszystko. Pierwej nim przyjęła jaką z niezliczonych łask, lub rozkazów niebieskiego swego Oblubieńca, żądała zawsze pozwolenia swego spowiednika, odwołując się do niego; jednakże pomimo całej ufności, jaką w nim pokładała, nie żaliła się nigdy na odbierane rozkazy i na ich surowość.

Pewnego razu Bóg jej rozkazał pościć o chlebie i o wodzie przez trzy lata: nie poddała się jednakże temu dopóty, póki nie dostała pozwolenia od spowiednika swego, a wtenczas przeciągnęła post ten nawet do lat pięciu.

Jezus Chrystus chcąc ją zupełnie do siebie uczynić podobną, nawiedzał ją często cierpieniami męki swojej, jako to: oprócz pięciu ran i koronowania cierniem, omdlenie w Ogrójcu, poniżenie, biczowanie, noszenie krzyża i ukrzyżowanie, któremu cierpienia Marji towarzyszyły. Jakkolwiek cierpiąc to, znosiła wielkie zniewagi czynione ciału swemu, jednakże przez posłuszeństwo pamiętnym rozkazom spowiednika, nie wątpiła, że zniesie te śmiertelne męki, i przerywała takowe w połowie, aby je na nowo rozpocząć.

Prawie słuchu i wzroku była pozbawioną na to wszystko, co nie oddychało pokorą i posłuszeństwem, powtarzając ciągle, że żyła, aby być posłuszną, a przez posłuszeństwo gotowa i umrzeć. W chorobie, gdy jej kazano jeść pokarmy pożywniejsze dla wzmocnienia się, czego prawie całe życie unikała, z przykrością jednak ślepo była posłuszną. Jeżeli kiedy przełożona, albo nawet inne zakonnice mówiły jej, aby prosiła Boga, za jakim pokutującym, lub pościła dla ogólnego dobra albo pojedynczej osoby, posłuszną była żądaniu, jak gdyby pochodziło od Boga. Św. Weronika wyuczona w tej mierze przez swego Boskiego Oblubieńca, używała pokory i posłuszeństwa jak broni do pobicia czarta. Czysta i niewinna dziewica, jeżeli popełniła jakie błędy, to pochodzące jedynie z nadzwyczajnej gorliwości i pobożności nie dobrze skierowanej; ubolewała nad tem gorzko, a Bóg wlał w nią światło, mocą którego dostrzegała omyłki serca przepełnionego miłością. Wówczas kiedy ogólny nieprzyjaciel kusił ją, żeby albo powątpiewała o wierze, albo żeby niewierzyła w życie wieczne, lub gdy ją chciał nakłonić, żeby zapomniała o bliźnich i przestała za nich cierpieć, odpowiadała samej sobie:

— Któż ja jestem? jestem córką posłuszeństwa, nie chcę nic innego jak to, czego Bóg żąda.

Żadne podszepty nie zdołały pokonać jej świątobliwego ducha, odnosiła zwycięztwo nad kusicielem i rozmaitemi jego pokusami.

W Citta di Castello, umarła pewna panienka nazwiskiem Maggi. Weronika mając objawienie, że dusza nieboszczki została na niejaki czas w czyscu, opowiedziała sen spowiednikowi swemu; ten natchniony wolą Boską, rozkazał jej, aby w czasie mszy św., podczas Podniesienia, prosiła Boga o przejście tej duszy do raju. Skoro święta odebrała ten rozkaz, ściśle wypełnić go przyrzekła. Nazajutrz

w czasie mszy św., zaledwie kapłan wymówił zwykłe wyrazy w czasie Podniesienia, uczuł jakąś nieznaną i niepojętą roskosz. Po skończonem nabożeństwie, powiada o tem św. Weronice, która mu na to odpowiedziała:

— W czasie Podniesienia, owa dusza przeszła z czyśca do nieba.

— Wiadomo jak ścisłą jest reguła zakonu Kapucynek; w wielkiem żyją ubóstwie, którego przykład dał im św. Franciszek. Nędzna cela, ostra odzież na gołem ciele, życie niezmiernie wstrzemięźliwe, pokarmy proste, nogi bose, głowa źle nakryta: oto jest spadek, jaki św. Franciszek dzieciom swoim zostawił. A pomimo to, św. Weronika jeszcze się od innych w tej mierze odróżniać chciała, i chociaż mogła się od wielu z tych dolegliwości uwolnić z powodu słabego zdrowia, żądała owszem, aby się najgorzej z nią obchodzono i najmniej o nią dbano.

Była wzorem prawdziwego ubóstwa, przestając tylko na niezbędnych do utrzymania życia potrzebach; najmniejszej nie miała własności i chęci żadnej do posiadania czegokolwiek; lubiła pozbawiać się wszystkiego, i smuciła się, jeżeli widziała w towarzyszkach swoich chociaż odcień próżności, która może tylko w oczach ludzi mieć wartość jakową, ale nie przed Bogiem, który żąda dobroci serca i pobożności duszy nieskażonej. Lękając się, aby ich małe błędy nie doprowadziły do większych, mawiała im nie raz:

— Czyliż być może, żeby żadna nie miała pociągu do świętego ubóstwa? Zajmują was zbyt próżne rzeczy, które nam zupełnie obce być powinny, tem bardziej, że życie kapucyńskie już samo wyrzeka się tego wszystkiego.

Skoro więc została Przełożoną, chciała, aby wszystkie Zakonnice ćwiczyły się w ubóstwie i pokorze i przykazała upominków nie przyjmować.

Wieleby mówić można także o nieskażonej skromności św. Weroniki. Bóg chcąc doświadczać tej cnoty, jak to się w jej listach znajduje, zsyłał na nią częste pokusy, lecz ona mocą duszy umiała odsunąć natręctwa kusiciela, który jej się w rozmaitych przedstawiał postaciach. Jak np. w Placencji, kiedy pomimo woli otoczoną była wielbicielami, starającymi się ją ująć rozmaitemi ponętami, Bóg nie pozwolił uledz swej słudze. Najtwardsze pokuty odprawiała w celu otrzymania zwycięztwa; zwykła była biczować się aż do krwi, chodzić przez całe noce na kolanach po celi, nosić ogromne ciężary i tym podobne zadawać sobie umartwienia, przezco uczyła się używać pomocy Boskiej, chcąc się uwolnić od pokus szatańskich.

Dusza św. Weroniki uczucia wzniosłe zamykała w sobie i zachowywała jak najściślej wszelkie prawa Boskie i ludzkie. Szczytne przedstawia nam do naśladowania przykłady w tych walkach i cierpieniach, szczególniej tyczące się wiary i miłości Boga, wspólnego życia, milczenia, skromności, oddalenia od świata i najskrupulatniejszego wypełniania obowiązków swoich i zachowywania przepisów zakonnych.

Poddanie się woli Bożej i miłość św. Weroniki do Boga i Najśw. Panny.

Św. Weronika wiedziała dobrze, że jeśli doznawać można roskoszy na tej ziemi, to jedynie na pełnieniu woli Boskiej polegać może i to jej całe szczęście stanowiło; jednak zły duch pracował ciągle nad zniweczeniem w niej tego uczucia, do czego używając zakonnic, zmieniał myśli, odwracał chęci biskupa, który życzył sobie, aby była mianowana ksienią, zakonnice zaś odmawiały jej tego zaszczytu. Nie trapiła się tem bynajmniej święta i owszem dziękowała Bogu, że taka jest wola Jego, mówiąc:

— Wszystko jest mało dla Ciebie, mój Jezu, niech się dzieje wola Twoja!

Czuła wielką moc pobudzającą do wypełniania wszelkich powinności, zapominając o sobie i oddając się zupełnie w ręce Wszechmocnego, jak gdyby umarłą była dla siebie samej, dla świata i jego próżności.

W nagrodę takiego poddania się woli Boga podobało się Stwórcy udarować ją wieloma cudami, z których przytoczymy tu niektóre:

Pewnego razu, gdy miała pisać do swego spowiednika z polecenia wyższej władzy, nie znalazłszy papieru, rzekła, nie frasując się bynajmniej:

— Bóg nie musi chcieć, ażebym pisała, niechże się dzieje, jak Mu się podoba.

Lecz zaledwo wymówiła te słowa, ujrzała się zaopatrzoną w papier, chociaż go w tej chwili w całym klasztorze nie było Niemniej podziwienia godnem jest następujące zdarzenie:

Zawsze sobie życzyła mieć na szyi obraz Matki Boskiej, któryby mogła wciąż mieć przy sobie; lecz bądź to z powodu oddalenia, bądź że nieśmiała prosić o to krewnych swoich, kończyło się tylko na żądaniu z przekonaniem, iż gdyby Bogu się podobało jej życzenie, byłoby dotąd wysłuchane. Matka Jezusowa wzruszona takiem poddaniem się woli Boskiej, chciała cudem wynagrodzić jej pobożność. Jednego dnia przybyła do Citta di Castello pewna kobieta, niosąc w ręku koszyczek przykryty łachmanami, Boską ręką prowadzona, przybyła do klasztoru św. Klary, postawiła koszyczek w kole i znikła. Zakonnice spostrzegłszy go, zajrzały, coby w nim się znajdowało i z podziwieniem ujrzały pożądany przez św. Weronikę obrazek Matki Boskiej, który z największą radością odebrawszy, nie przestawała składać dzięki za niego Najwyższemu.

Na samo wspomnienie Imienia Jezus, Marja, lub Komunja drogiego Oblubieńca, czuła serce przejęte ogniem, który w jej łonie wzniecał się od lat najmłodszych. — Z najżywszą i najgorętszą pobożnością mawiała o tajemnicach wiary św., rozprawiała o nich ze skruchą i stałością, a wszystkie nowicjuszki słuchając jej, lepszemi się stawały. Mimo to, sądziła, iż jest wielką grzesznicą, widywano ją często gorzko płaczącą; mawiała do osób, które ją pocieszać chciały, iż obawa wiecznego zatracenia te łzy jej wyciska. Zawsze powtarzała:

— Lękam się, lękam i zawsze się lękam!

Ta nieustanna obawa była bodźcem do ćwiczenia się w dziełach świętych, dla zjednania sobie zbawienia wiecznego. Jednocząc obawę z nadzieją, nie miała ani zbyt niewolniczej bojaźni, ani też pewnej nadziei, lecz jak pierwsza tak druga, posłużyły jej do podniecania miłości Boga w ustawicznem niemal zachwyceniu. Pałała żądzą, aby wszyscy ludzie równo z nią znali i kochali Stwórcę, a najmniejsza Jego obraza sprawiała jej śmiertelne cierpienia. Spotwarzoną będąc nigdy się bronić nie chciała, w milczeniu cierpiąc i ufając w niebieską pomoc.

Między innemi świętami, zwykła była Boże Narodzenie nazywać: „Święto miłości," ponieważ w niem uważała niezmierzoną dobroć Boga, który dla nas stał się człowiekiem, a jej się małem Dzieciątkiem objawił. Miłość nieograniczona, którą święta żywiła w sobie dla Dzieciątka Jezus, łączyła z przechowywaną stale dla Najśw. Panny, której Imię Marja, dostatecznem było do wzniecenia w duszy najżywszego uczucia. To też Królowa nieba widząc, że Weronika od dzieciństwa dawała dowody swego do niej nabożeństwa, nazywając ją zawsze słodkiem Imieniem Matki, taką się jej też chciała pokazywać w objawieniu, i pocieszać ją, gdy była strapiona, oświecać, gdy potrzebowała światła i podnosić ją, a zarazem wzmacniać, kiedy pod ciężarem cierpień upadała.

Litość i miłość św. Weroniki względem bliźniego, Jej pokuty za nawrócenie grzesznych.

Węzeł chrześcijańskiej doskonałości, który nas prawdziwie łączy z Bogiem, polega podług przepisów św. Ewangelii na tem, aby kochać Boga i bliźniego, albowiem miłość ta od pierwszej nieodłączna, powinna jej zawsze towarzyszyć, ponieważ Pan nasz powiedział: „Cokolwiek uczynicie dla bliźniego, będzie to, jakby dla mnie samego uczynione." Św. Weronika do szczytnej miłości Boga łączyła miłość bliźniego. Rada każdego pocieszyć, każdemu zadość uczynić.

Litość wielka, jaką żywiła w sobie dla ubogich objawiała się w niej od lat najmłodszych. Ilekroć zjawił się żebrak przed jej domem, biegła nieść mu jałmużnę i często pozbawiała się najpotrzebniejszych i najkosztowniejszych rzeczy. Miała tak wielkie współczucie na cierpienia bliźnich, iż oddawała biednym swoje śniadania i podwieczorki, wprzód im zalecając odmówić kilka pacierzy, lub wypytując się o niektóre tajemnice wiary św. Dnia jednego zdjęła ze siebie sukienkę dla osłonienia nią nagiego dziecka. To uczucie miłości bliźniego i litości dla biednych wzrastało z wiekiem; gdy została zakonnicą, kiedy żadnej własności nie mając, nic swego dać nie mogła, starała się, aby żaden ubogi nie wyszedł niepocieszony z murów klasztornych. Zanosiła najczulsze za ubogiemi prośby do przełożonej, a zostawszy ksienią, poleciła najusilniej furtjance, aby nigdy nie dozwoliła odejść ubogiemu, bez udzielenia mu jałmużny, nawet w czasach, kiedy klasztor cierpiał wielki niedostatek. Tak, jak pocieszała ubogich w potrzebach ciała, tak też starała się pocieszać grzesznych i na dobrą wprowadzać ich drogę. Przez pokorę odpowiadała zawsze tym, którzy jej się polecali, że prosiłaby za nich Boga, lecz niech jej ze swej strony dopomagają, gdyż będąc taką grzesznicą jak oni, nie jest godną, aby prośb jej Bóg wysłuchał.

Tak wzniosła miłość bliźniego nieograniczała się tylko w obrębie miejsca i mieszkania świętej, lecz po całych Włoszech się rozchodziła, a Bóg zsyłał tak duchowne, jako też doczesne łaski dla tych, za któremi się wstawiała do Niego. Obywatele tameczni szczególniejszych łask dostąpili, gdyż Bóg ich od klęski trzęsienia ziemi, głodu i innych ręką opiekuńczą obronił, jedynie przez skuteczne modły św. Weroniki. Skoro która z zakonnic zachorowała, św. Weronika nie odstąpiła jej na chwilę, doglądała i wszelkie czyniła posługi, podejmując się prac najprzykrzejszych i najuciążliwszych, a przytem wystawiając się na niebezpieczeństwo zarazy. Dzień i noc pielęgnując chorą i czuwając nad nią z miłością najczulszej siostry, błagała Boga o pociechę i ratunek, dodawała jej odwagi do cierpienia, pocieszała strapioną, zachęcała, aby wszystkie siostry za chorą prosiły Boga, a nadto pisała jeszcze do zakonnic innych klasztorów, prosząc, aby się za chorą modliły, i Bóg ją przy życiu zachował. Innym razem znowu, gdy Duch św. oświecił ją, że jedna z sióstr miała myśl, przełamać podwójne śluby zakonne; oddała się gorącym modłom, napisała do swego spowiednika, błagając go, aby swemi radami i powagą wyrwał nieszczęśliwą z przepaści, nad którą stała. Jakoż Bóg jej za pośrednictwem św. Weroniki, upaść nie pozwolił.

Święta na różne intencje prócz postów, biczowała się co dwie godziny, dla uzupełnienia liczby rózg odebranych przez Chrystusa przy słupie; nosiła włosiennicę na gołem ciele, ściskając się przez pół

łańcuchami, przepędzała noce na gołej ziemi. Codziennie wynajdywała nowy rodzaj umartwienia, jako ofiara za grzechy ludzkie; to kładła się na krzyżu, i tak po parę godzin w dzień i w nocy leżąc ukrzyżowana, modliła się za grzesznych; to kładła na barki ciężki kamień i tak chodziła dopóki osłabiona i zimnym potem zlana, nie upadła pod nim jakby bez duszy; to wkładała kamyki pod język, dla ukarania się za wszelkie próżne wyrazy. Wszystko to czyniła w celu przebłagania Boga za ludzi. Na dowód tego, dość jest przytoczyć, że gdy nastała moda trochę nieskromna w kroju sukień kobiecych, oburzona nią, sama habit kolcami nabity przywdziała, nazywając go „swoją haftowaną suknią“, i kładła zawsze wtedy na siebie, kiedy chciała jaką szczególniejszą odprawiać pokutę.

Oprócz pragnienia cierpieć za grzesznych, św. Weronika ożywiała jeszcze w sobie cierpienia za dusze w czyścu będące, i dla wybawienia tychże, największe udręczenia znosiła, dołączając do nich prośbę, aby Bóg wszelkie ich przykrości na nią przelewał; a tak silne było wrażenie, jakiego doznawała z najmniejszego cierpienia bliźnich, iż mając w jednem objawieniu przedstawione męki piekielne, przyjęła ochoczo na siebie obowiązek znoszenia ich aż do sądu ostatecznego, byleby tylko tym sposobem ochronić bliźniego od najmniejszej obrazy Boga. Czuła też nieraz w sobie najokropniejsze męczarnie: to ją gwałtowny ból zębów porywał; to konwulsje; to rozmaite cierpienia nerwowe; to dreszcze po wszystkich członkach; to nakoniec palenie jakby w ogniu była. Podobały się Wszechmocnemu te cierpienia bez miary i nie pozostawiał ją nigdy bez wynagrodzenia, skoro z nich odnosiły korzyści dusze wychodzące za jej pośrednictwem prędzej z czyśca, aniżeli czas miały oznaczony.

Pokusy szatana i cierpliwość św. Weroniki w znoszeniu ich i przezwyciężaniu.

Zadrżał ogólny nieprzyjaciel, szatan widząc jak szybkim krokiem dążyła św. Weronika do wiecznego szczęścia, a lękając się tracić codziennie z jej przyczyny dusze, o których zbawienie starała się usilnie, używał wszelkich środków i całej swej broni do zwalczenia św. Weroniki, lecz napróżno, gdyż ona siebie, jako też kusiciela, przezwyciężyła. Podczas, kiedy Weronika nowicjat swój odbywała, zły duch używał wszelkich środków pokusy do zwalczenia jej stałości. Różne przybierając postaci, raz chciał ją pobudzić do swarów i niezgody z przełożoną drugi raz pochlebiając miłości własnej podnieść jej dumę, to znowu drażniąc ją widokiem najdelikatniejszych potraw, zachęcał do złamania postów i wstrzemięźliwości zakonnej, wreszcie nasuwał jej rozmaite wątpliwości dotyczące Najśw. Sakramentu, Żywotów świętych, i zbawienia wiecznego Jeżeli z tego powodu niepewność przyszłości wciskała się czasami w jej duszę, natychmiast oddawała się Bogu i uciekała się pod opiekę Matki wszelkiej nadziei; w jaki sposób święta opierała się pokusom zmysłów, świadczyło jej ciało pokaleczone własną jej ręką, popalone, krzyżowane i męczone tysiącznemi sposobami. I z tej właśnie sposobności umiał także zły duch korzystać: stała się pośmiewiskiem zakonnic i całego klasztoru, gdzie za obłudną uchodziła. Kiedy biskup Sebastiani przedstawiał ją kapitule, aby była wybraną na Przełożoną; próżne były jego usiłowania, gdyż zakonnice zaprzeczały jej tej godności i opierały się wyborowi, tak, iż szanowny ten biskup miał im mówić prawie duchem wieszczym, że wówczas, gdy same będą chciały ją wynieść na tę godność, nie potrafią tego dokazać. I tak się stało; później, kiedy powszechnie znane były jej cnoty, zakonnice pomimo usilnych chęci nie mogły ją obrać Ksienią, mając nakazane od władzy wyższej, aby na jakiś czas oddaloną została od zatrudnień klasztornych. Nie było żadnej katuszy, którejby szatan przeklęty nie używał, nietylko do osłabienia wiary i innych cnót w św. Weronice, lecz nadto dręcząc jej ciało i umysł, przedstawiając się pod różnemi postaciami, i zadając jej okrutne cierpienia. Weronika z bohaterską cierpliwością znosiła najsroższe zniewagi, wymawiają te słowa:

— Coraz więcej cierpień mój Boże, wszystko to jednakże jest mało jeszcze dla miłości Twojej!

Po tych cierpieniach następowały inne, noc ani dzień wolnemi od nich nie były; szatan pracował ciągle nad tem, aby Weronikę przekonać, że pomimo to wszystko, weźmie ją z sobą do piekła; lecz Bóg nieomieszkał przychodzić w pomoc swej słudze, ponieważ w każdem niebezpieczeństwie wzywała Jezusa.

O wielkiej pokorze św. Weroniki i jak ją Bóg za to coraz bardziej wynosił.

Cnoty i otrzymane zwycięztwo św. Weroniki nad pokusami, jaśnieją szczególniej z powodu pokory, która była u niej zasadą życia. Do tego stopnia była pokorną, iż się nazywała nieużyteczną i zły przykład dającą niewiastą. Kiedy wydarzyło się w niej coś szczególniejszego, nadludzkiego, wszystko dobroci swego niebieskiego Oblubieńca przyznawała, wyznając: iż nic niema własnego oprócz grzechów. Zmuszona przez starszych, do opisu tego wszystkiego co w niej Boska łaska działała, zawstydzona, że widziała prawdę objawień nie mówiła o nich inaczej, tylko jakby o wątpliwych rzeczach, aby przez to zmniejszyć w obec ludzi obszerność łask odebranych od Boga. To nawet było cudow-

nem, iż przez pięćdziesiąt lat będąc zakonnicą, umiała tak dobrze ukrywać przed okiem każdego, pokuty swoje i wszystko to, co mogło powiększać jej chwałę, że nawet towarzyszki jej niewidziały w niej z tego powodu, tak wielkiej, jaką była pokutnicy. Zapytana przez swego spowiednika jak się czuła na siłach pod ciężarem pokuty, odpowiadała: iż miała się dobrze, i że pokuty nie były zdolne osłabiać jej i przeszkadzać w dopełnianiu obowiązków. Tą samą pokorę miała w obec towarzyszek swoich, którym więcej była służebnicą jak Przełożoną. Z siostrami zakonnemi tak postępowała, że wszystkie ciężary i trudy brała ciągle na siebie, obowiązki najtrudniejsze sobie nakładając, a im oddając lżejsze. Uprzejma ze wszystkiemi, miła w rozkazywaniu, grzeczna w obejściu dla siebie tylko była surową, niepobłażającą i nieubłaganą; dlatego przez ćwiczenie się w cnocie, chodziła po wodę do studni, sprzątała, słała łóżka chorym, i dźwigała nieraz na plecach drzewo do kuchni.

Znane były św. Weronice rozkazy, jakie przyszły względem niej z Rzymu, w celu udowodnienia jej świętości, szczególniej po otrzymaniu ran Zbawiciela na rękach i nogach wyrażonych, a jednakże nigdy w niej nie powstała myśl próżności i dumy, a gdy Jezus otworzył jej serce, jak o tem później powiemy, przez pokorę prosiła, aby zamknął ranę, iżby nikt jej niedostrzegł, i aby nie były wiadome ludziom odebrane łaski. O to również błagała po odebraniu ran Chrystusa, ponieważ inaczej, traciłyby na wartości te oznaki, przepowiednie przyszłego jej szczęścia. Kiedy było jej objawiono, że niektóre zakonnice nie zachowują zupełnie ustaw zakonnych użalała się na to przed spowiednikiem swoim i biorąc cudze przewinienia za swoje, mawiała:

— Sądzę, iż Bóg z mojej przyczyny zsyła to wszystko, bo jestem najgorszą z nich wszystkich, i zdaje mi się, iż nam jeszcze za to jaką wielką karę ześle.

Uważała pokorę, jako ozdobę i stróża innych cnót i uczyła się wyraźnie wydawać zawsze gorzej w oczach każdego jak była, ciesząc się ze zniewag i przykrości, uważając za nierozsądną jakąkolwiek dumę z zaszczytów światowych. Temi uczuciami powodowana, prosiła swego spowiednika, aby jej otrzymał z Rzymu pozwolenie życia ciągle jako Konwerska, nieczując się godną stopnia Przełożonej. Lecz pomimo, że tego usilnie żądała, dodając dla większego poniżenia się, iż nie będzie miała na to dostatecznych głosów, nie mogła być w żaden sposób wysłuchaną; gdyż on miał to przekonanie, że jako Przełożona, będzie przykładem i przewodniczką drugim na drodze wiodącej do doskonałości, dlatego też zupełną jednomyślnością głosów, została obrana Ksienią w roku 1716.

Trudno, zaiste, znaleść podobnej Przełożonej jaką była św. Weronika; szanowana dla cnót wszelkich, wywierała ogromny wpływ na towarzyszki swoje, umiała je pojmować, łagodnie im przebaczać i znosić ich wady, przytem zjednać sobie ich nieograniczone zaufanie. Wpajała nadewszystko miłość Boga, pokorę i miłość bliźniego, więcej przykładami aniżeli słowy wskazując i wzbudzając chrześcijańskie cnoty. Przewidywała potrzeby swych Sióstr, dzieliła z niemi ich trudy, pocieszała, szła im zawsze w pomoc i niosła skuteczne rady, najprzykrzejsze sprawy łagodząc. Postępowaniem tak światłem, nie rozkazując prawie, pobudzała do ochoczego wykonywania najtrudniejszych i najniepodobniejszych na pozór rzeczy; dbała, ażeby ustawy zakonu najściślej i najregularniej z wszelką gorliwością zachowywane były i zanosiła najgorętsze prośby do Boga za młode swe towarzyszki, aby ich serca i dzieła jedynie ku dobru wiary św. skierowane były. A Pan, którego nosiła w sercu, i który jej się prawie po każdej prawie komunji świętej objawiał, ciągle ją też napominał, aby nieustawała w zamiarach swoich, bacząc na przyrzeczenie, że mu się całkowicie poświęca. Skoro więc żądanie Weroniki służenia Bogu ciągle jako Konwerska, próżnem się okazało, nie chcąc się sprzeciwiać woli Boskiej, szukała nowej drogi do poniżenia się; nieraz wyznając grzechy u nóg spowiednika, prosiła go, aby ją o ile może upokarzał. Pomimo, że nie podzielał jej zdania spowiednik, Weronika tyle pokornemi wyrazami zrobiła, iż spowiednik wbrew sobie, dla zadość uczynienia jej życzeniu nieraz zakazał jej czegoś takiego, co każdemu pozwolone było; prosiła oprócz tego, aby mogła zrobić czwarty ślub wielkiej doskonałości, a odebrawszy odmowną odpowiedź, nieśmiała się nawet w duszy na to użalać, tak, jak tem nie była bynajmniej obrażoną, gdy jej pierwszym razem nie przyjęto na Przełożoną, gdyż to wszystko za dar Boski uważała i przyjmowała.

Kiedy biskup Eustachy dla doświadczenia jej cierpliwości, ciskał na nią obelgi, słuchała ich z poddaniem się zupełnem woli Boga, odpowiadając: iż jej się to należało jako wielkiej grzesznicy: słowem, nie żądała, nie pragnęła, jak tylko upokorzenia, poniżenia i zniewagi, i tyle ztąd doznawała rozkoszy, jak gdyby z najprzyjemniejszych rzeczy.

Oblubienica Chrystusowa.

Zasłużyła też sobie wielkością pokory, aby Bóg zlał na nią łaski nie małe, i dał oznaki szczególniejszego swego zadowolenia, wywyższeniem jej do godności Oblubienicy Chrystusowej. Ten wielki zaszczyt otrzymała św. Weronika dnia 11 kwietnia 1694 roku w dzień Wielkiejnocy, przygotowawszy się do tego ciężkiemi pokutami i ćwiczeniem się

w najheroiczniejszych cnotach. I podług tego co w pismach swoich zostawiła, gdy komunikowała w czasie wielkiej uroczystości, usłyszała śpiew Aniołów:

„Przybywaj Oblubienico Chrystusa".

Duch jej uniósł się i ujrzała dwa bogate trony. Na jednym z nich siedziała Marja Panna, a w jej orszaku były: ś.ś. Katarzyna Seneńska i Róża z Limy: na drugim siedział Zbawiciel, który Weronikę kazał przywdziać w najbielszą szatę, potem wyjął Zbawiciel z rany boku niezmiernie kosztowny pierścień i podał go swej Matce, która wzięła za rękę św. Weronikę, przyprowadziła do swego Syna i łącznie z Nim włożyła jej pierścień na palec. Poczem Boski Oblubieniec wskazywał jej zasady nowego życia, do których ona chętnie stosować się przyobiecała. Po skończeniu objawienia, czuła jeszcze św. Weronika, iż ma na palcu pierścień, który był także widzialny innym zakonnicom. To samo widzenie powtórzyło się jeszcze w dzień Wielkiejnocy 1697 r. Były to niezrównane łaski, jakie Bóg udzielał św. Weronice w zamian za pokorę, która najniższych przed Bogiem wywyższa i czyni ich godnemi świetnych darów nieba.

Gorące modlitwy św. Weroniki, tajemnicze objawienia i inne łaski nadnaturalne.

Od najpierwszej chwili, w której św. Weronika, poznała i nauczyła się wielbić Stwórcę wszechrzeczy aż do dnia, w którym poszła cieszyć się szczęśliwością w niebie, była z Bogiem ściśle węzłem modlitwy złączona. Od trzeciego i czwartego roku życia, zaczęła ćwiczyć się w pobożności, najczęściej znaleźć ją było można przed świętym obrazem lub ołtarzykiem przez nią ustrojonym. Z wiekiem, wzmagało się w niej to uczucie; zdawało się, iż samą żyje modlitwą, gdyż zaledwie dwie lub trzy godziny odkładała na spoczynek, a resztę na pacierzach spędzała, i tak były ustawiczne te modlitwy, iż się zmieniły w zwyczaj; mogła wznieść się do Boga myślą, nawet wśród rozmaitych zatrudnień, do których w różnym czasie przeznaczoną była.

Kilka razy w czasie modlitwy miała św. Weronika objawienie kielicha, który szczególniej ukazał jej się w wigilją Wniebowzięcia Matki Boskiej, i ta ją sama prosiła, aby go od Niej przyjęła.

W dzień św. Augustyna objawił jej się Chrystus na wspaniałym tronie, przy którym stał ten święty, a biorąc z rąk Jezusa kielich, podawał jej go, mówiąc:

— Oto masz najkosztowniejszy dar, ponieważ ci jest przez samego Boga ofiarowany.

Poczem płyn w kielichu zaczął się gotować i wylewać, a Aniołowie zbierali go w złote czary i ofiarowywali Zbawicielowi. Zapytany św. Augustyn o wytłumaczenie tego, odpowiedział, wskazując na płyn cudowny, że to są cierpienia podjęte przez nią dla miłości Boga, a czary złote znaczą wielką wartość jej cierpienia.

Innym razem modląc się w kościele, powtórzyło jej się objawienie w następujący sposób. Ukazał jej się Chrystus okryty ranami, z których się krew sączyła, i trzymając w ręku tajemniczy kielich, rzekł do niej:

„Te rany zapraszają cię do wypicia gorzkiego kielicha, daję ci go, skosztuj".

I powiedziawszy to, zniknął.

Święta miała potem ciągle przytomny w umyśle ten kielich; doznawała najokropniejszych boleści, jakby krople, które spadały, paliły jej usta, podniebienie i wnętrzności tak, że nic temu cierpieniu dorównać nie mogło.

Innym razem znowu, w nocy, w dzień Bożego Narodzenia kiedy wszystkie zakonnice wyszły z chóru, św. Weronika zaczęła rozpamiętywać wielką tajemnicę Wcielenia, w tem ukazuje jej się Boska Dziecina, mówiąc: iż chce jej przeszyć serce promieniem miłości. Miała przy sobie złotą strzałę, której koniec ogień wzniecał, i ugodziła nią w serce świętej tak, iż ta przyszedłszy do siebie, spostrzegła, że się krew z rany sączyła i czuła wewnątrz pożerający ją płomień. Innego dnia, gdy się przygotowywała do przyjęcia Najświętszego Sakramentu, ukazał jej się św. Franciszek ze świętymi i świętemi swego zakonu, i wszyscy zapraszali ją, aby skosztowała chleba życia, udzielając jej potem każdy jednę ze szczególniejszych cnót swoich, stosownie do jej żądania.

Dodamy tu jeszcze jednę szczególniejszą łaskę pewnego dnia, modląc się w chórze, odebrała Przenajświętszy Sakrament z rąk swego Oblubieńca, i w niektóre dnie, kiedy inne zakonnice nie przystępowały do Stołu Pańskiego ona cudownym sposobem przez Boskie ręce przyjmowała komunję świętą.

Lecz najgłówniejszą ze wszystkich łask Chrystusa, jakie udzielił słudze swej św. Weronice, były bezwątpienia rany Zbawiciela na rękach i nogach wyrażone, któremi ją Chrystus naznaczył. Działo się to w Wielki Piątek. Gdy się modliła św. Weronika i rozpamiętywała Mękę Pańską, uniesiona zachwyceniem, ujrzała ukrzyżowanego Zbawiciela, u stóp którego, stała płacząc Matka Bolesna. Pan ukrzyżowany rzekł do Weroniki, iż chce ją naznaczyć piętnem Ran Swoich, i z tego powodu, niech wzbudzi żal za wszelkie swoje przewinienia. Weronika obróciwszy się do Najświętszej Panny, prosiła o wstawienie się za sobą, aby jej były przebaczone wszelkie uchybienia, i stała się godną otrzymać tę niezmierzoną łaskę, jaka jej ofiarowaną była. Najśw. Matka prosiła Boskiego swego Syna, który dał do

zrozumienia św. Weronice, iż jej przebaczył, lecz żąda od niej, aby mu ciągle wierną była; poczem wytrysło z ran Chrystusa pięć promieni największem światłem jaśniejących i ogarnęły Weronikę, a jeden z nich przebił bok jej; inne, przebiły jej ręce i nogi. Na tem zakończyło się cudowne objawienie, w którem tak wielkie było cierpienie Weroniki, iż cudem tylko nie została na miejscu nieżywa.

Przyszedłszy później do siebie, ujrzała w boku, w rękach i nogach rany krwią zaszłe, czego nie mogąc ukryć, musiała pomimo swej woli okazać przełożonym, którzy rozmaitych używali środków do przekonania się o ich rzeczywistości. Weronika prosiła Boga, aby jej zagoił te rany, i po długich modlitwach zagoiły się, lubo znaki z nich zostały na zawsze widzialne, a rana w boku odnawiała się od czasu do czasu, szczególniej na żądanie wyższej władzy, i blizko przez lat trzydzieści ciągle dolegała. W tymże samym czasie objawienia, na sercu św. Weroniki zostały cudowne postacie i tajemnicze znaki, nietylko, że sama opisała je w swoim dzienniku, i opowiedziała o nich kierownikowi swego sumienia, ale nawet na żądanie spowiednika, jak najdokładniej odrysowała wizerunek własnego serca. Po środku był krzyż, obok niego wszystkie godła Męki Pańskiej, prócz tego rozmaite litery oznaczające imiona: Jezus, Marja i najcelniejsze cnoty św. Weroniki, jako: jej wiara gorąca w Boga, miłość bliźniego, posłuszeństwo, pokora, cierpliwość przytem wyryte dwa miecze i dwa płomienie; pierwsze, oznaka siedmiu boleści Najświętszej Panny; drugie, wyrażające miłość Boga i bliźniego. Św. Weronika nietylko, że wszelkie te znaki i litery jakie się na nich znajdować miały, oznaczyła, lecz położenie onychże i wytłumaczenie ich znaczenia dołączyła, co się zupełnie sprawdziło.

Dar przepowiadania przyszłości.

Do tych szczególniejszych łask, Wszechmocny jednę jeszcze niemniej większą dołączył, a tą była łaska przepowiadania przyszłości. Św. Weronika nietylko czytała z pamięci myśli cudze, lecz przewidywała nastąpić mające wypadki; np.: niektórym pannom przepowiedziała, że będą w zakonie Kapucynek zakonnicami, i tak się stało, chociaż wówczas ani myślały o tem, i rozmaite sprzeciwiały się temu okoliczności,—innym przepowiedziała, że opuszczą zakon Kapucynek i do innych poprzechodzą, i to się sprawdziło. O. Ramiro Guelfi przepowiedziała, że zostanie Filipinem; potem znowu uwiadomiła go, aby natychmiast udał się do ojca, gdyż jest przy schyłku życia; i rzeczywiście, pojechawszy do niego, znalazł go umierającym. Kiedy po śmierci biskupa Eustachego, było Weronice poleconem przez spowiednika, prosić Boga o dobry wybór nowego pasterza, w chwili kiedy się modliła ujrzała mitrę, na której były wyryte litery: A. C. M. V. D. P. E. O. i powiedziała zaraz spowiednikowi, iż one wskazywały imię i cnoty nowego biskupa i wszystko to zupełnie się sprawdziło, gdy został obrany biskupem, Mgr. Aleksander Codebo; litery bowiem w ten sposób doskonale tłumaczyć się dają: *Aleksander Codebo, Mariae, Virginis, Devotus Pastor, Ecclesiae, Optinus*, co znaczy: Aleksander Codebo, Marji Panny, czciciel, Pasterz kościoła najlepszy. Niepodobną byłoby rzeczą, wyliczyć wszelkie jej przepowiednie. Będąc jeszcze dzieckiem, przepowiedziała przeszkody, jakie jej w obraniu stanu zakonnego stawiane będą; zostawszy zakonnicą, przepowiedziała nastąpić mające wojny, zarazę w Marsylji; urodzenia następcy tronu Karolowi II i wiele bardzo innych nadzwyczajnych wypadków.

Ostatnie chwile i śmierć św. Weroniki.

W nieustannem ćwiczeniu się w cnotach, w pośród próżnych kuszeń złego ducha przy pomocy i łaskach nadzwyczajnych Boga, Weronika doszła do 67-go roku życia 50-go roku w stanie zakonnym, a 11-go sprawowania urzędu Ksieni; kiedy znużona ciągłemi walkami, wyniszczona ciężkiemi chorobami, do kresu swego zbliżać się zaczęła, czego chwilę sama przepowiedziała, powtarzając kilkakrotnie siostrom zakonnym, że jej śmierć poprzedzi ciężka, 33-dniowa choroba.

Dnia 6 czerwca 1727 r., w chórze po przyjęciu Najświętszego Sakramentu, została tknięta paraliżem, co jej odebrało wszelką władzę w całej lewej części ciała. Przeniesiono ją natychmiast do pobliskiej celi, gdzie jej dano wszelki ze sztuki lekarskiej wypływający ratunek. Był on nader przykry i dotkliwy; jednak z największą znosiła go cierpliwością, i z taką pozorną obojętnością, że zdawało się obecnym, iż łącznie z władzą w ciele, wszelkie utraciła czucie. Wszakże osoby bliżej ją znające, łatwo się przekonać mogły, że pozorny ten brak czucia, był skutkiem rzadkiej cierpliwości św. Weroniki. Cierpienia pomnażały się ciągle, wpadła w tak gwałtowną gorączkę, iż zdawało się, że w ognistym żarze leży. Czując swój zgon bliski, i jak sama mawiała, nie mogąc umrzeć, wołała często:

— O! jakaż to męka znajdować się w rękach Jezusa, a nie módz go ucałować!

I w tem bowiem Bóg chciał doświadczyć jej cierpliwości i ozdobić ją większą jeszcze chwałą. W ciągu choroby za pozwoleniem biskupa codziennie przyjmowała Chleb Anielski i po dwakroć opatrzoną była Olejem św. Radowała się tem w pośród cierpień i używała rozkoszy w największych dolegliwościach. W niektórych chwilach, kazała sobie śpiewać hymny o Wcieleniu Pańskiem, rozczulając

się najmocniej, że Bóg w dobroci swej niewysłowionej, taki dał dowód miłości swojej dla człowieka. Tymczasem wzmagała się choroba coraz bardziej, tak, iż już zupełnie utracono nadzieję zachowania jej przy życiu. Będąc już blizką zgonu nagle, jakby odmłodzoną się uczuła na nowo, jednak czuła, że ostatnia chwila się zbliża Już dzień 33-ci choroby mijał, gdy całując ukrzyżowanego Pana i odmawiając Akty: wiary, nadziei i miłości, konać zaczęła; konanie jej trwało trzy godziny, podobnie jak i jej ukochanego Zbawiciela. O trzy kwadranse na siódmą, spowiednik jej widząc ją konającą, rzecze do niej:

— Siostro Weroniko! wkrótce już dojdziesz do celu życzeń twoich.

Radość zajaśniała na obliczu świętej, wpatrywała się chciwie w duchownego, który zaczął odmawiać modlitwy do owej chwili stosowne; czego, zdawało się, że właśnie wzrokiem swoim żądała św. Weronika; wówczas jakby Duchem św. natchniony spowiednik, przypomniawszy sobie, iż Weronika mawiała zawsze, że nawet tego świata opuszczaćby inaczej nie chciała, jak przez święte posłuszeństwo, zbliżywszy się do niej, dał jej kilkoma wyrazami pozwolenie przejścia do innego świata. Co zaledwie wymówił, św. Weronika żegnając i błogosławiąc wzrokiem w około obecnych, zamknęła pokornie powieki, skłoniła głowę i oddała ducha Zbawicielowi około godziny siódmej z rana, dnia 9 lutego 1727 r. w dzień piątkowy, w którymto dniu zwykle szczególniejszych łask od Boga doznawała.

Zewnętrzny obraz św. Weroniki.—Znaki Męki Pańskiej znalezione w sercu świętej.

Św. Weronika była średniego wzrostu, miernej tuszy, nadzwyczajnej białości, twarz miała ściągłą i pełną, miłego wyrazu, oczy żywe lecz skromne, w całym układzie była pełną godności i szlachetności, tak, iż można śmiało powiedzieć, że nawet po śmierci była jeszcze piękną.

Nazajutrz po śmierci, święte jej ciało wystawione było blisko 22 godzin i w obec wielkiej liczby świadków oglądane, na którem wystąpiły na nowo doskonale; znaki powierzchowne wyrażonych ran Zbawiciela. Skoro potem otworzono serce dla zobaczenia czyli istotnie w niem się znajdowały znaki Męki Chrystusa, te oto spostrzegać się dawały rzeczywiście w następujący sposób: środek serca św. Weroniki naznaczony był krzyżem łacińskim, na nim znajdowały się litery C. U. F. O. znaczące miłość, pokorę, wiarę i wierność, oraz posłuszeństwo. Przez środek serca od prawej ku lewej stronie przechodziła włócznia z chorągiewką, podzieloną na dwie połowy, na pierwszej stało J. znaczące Jezus, na drugiej M. znaczące Marja. U samego spodu krzyża równoległe od jego końca stały litery P. P. znaczące: cierpienie i cierpliwość,—pod krzyżem zaś siedm mieczów i litera V, to jest: Wola Boża. Inne znaki po prawej stronie były: płomień, oznaczający miłość Boga, młotek, kleszcze, włócznia ostra z gąbką, tudzież blizna rany; po lewej zaś stronie: suknia, kielich, dwa cyrkuły, słup, rózga, trzy gwoździe i płomień, oznaczający miłość bliźniego. Tłumaczenie tych znaków, św. Weronika sama spowiednikowi odkryła, wyrysowała je na papierze różowym, znaki te biało wyraziwszy, co wszystko znaleziono tak jak opowiedziała i wyrysowała. Świadkami tego byli duchowni i świeccy dostojnicy, tudzież wiele zakonnic z klasztoru. Sekcji ciała dokonali profesorzy Gentali chirurg i Bordiga lekarz.

Ciało świętej wystawione było powtórnie na uwielbienie powszechne, poczem zostało zamknięte w skrzynię wraz z sercem, które w puszkę włożono a druga puszka zamykała w sobie pamięć wypadku szczegółowo spisanego. Nakoniec w przytomności notarjusza, ktory z tego wszystkiego akt solenny sporządził, pochowano zwłoki zmarłej w miejscu zupełnie osobnem.

Zaliczenie Weroniki w poczet błogosławionych a następnie Świętych Pańskich.

Kilka lat upłynęło od śmierci św. Weroniki, nim przystąpiono do zebrania cnót ją odznaczających, w celu wystawienia Bogu pod jej wezwaniem ołtarza. Po pierwszych poszukiwaniach takie nastąpiły trudności, iż trzeba było na długo zawiesić dalszy ciąg rzeczy; lecz za pomocą nowych i niczem niezaprzeczonych dowodów, zbite zwycięzko zostały wszelkie wątpliwości. Nakoniec dekretem otrzymanym od Papieża Piusa VI, z dnia 24 Kwietnia 1796 roku zostały przyznane cnoty, prawda i prawość łask szczególniejszych i nadnaturalnych któremi podobało się Najwyższemu zaszczycić świętą. Przedstawiono potem jej cuda; dwa z nich zostały szczególniej wybrane, i po trzech ścisłych egzaminach jednozgodnie przyznane; a Papież Pius VII, dnia 12 Września 1802 roku wydał solenny dekret policzenia jej w poczet Błogosławonych.

Następnie szło o kanonizację, skoro wszystko co tylko do niej było potrzebnem, uzupełnionem zostało; Leon XII dekretem swoim z 1828 r., rozkazał ścisłe zbadanie cudów, za pomocą których można było do kanonizowania błog. Weroniki przystąpić. Przedstawione znowu dwa cuda zostały powtórnie rozpatrzone. Grzegorz XVI, po przyznaniu prawdziwości onych przez wszystkich rozstrzygających, wydał solenny dekret w 1831 roku, którym ogłoszone zostało, iż bez żadnej wątpliwości, błogosławiona Weronika, zaliczoną być może do liczby Świętych Pańskich. Gdy więc wszystko zostało przyrządzone

do kanonizacji, wśród zjazdu najdostojniejszych kardynałów, biskupów, monarchów katolickich, licznych książąt i wielkiego napływu ludu katolickiego do Rzymu, Ojciec św. Grzegorz XVI, dnia 26 maja 1839 roku, w dzień Trójcy św., uroczyście wpisał w poczet świętych sługę Bożą Weronikę.

Cuda Boskie, otrzymane za wstawieniem się świętej Weroniki.

Wiele bardzo było cudów, które podobało się Wszechmocnemu za pośrednictwem św. Weroniki uczynić, tak za jej życia, jako i po śmierci; lecz byłoby zbyt długo opowiadać tu wszystkie, poprzestaniemy więc na przytoczeniu dwóch tylko, które były powodem umieszczenia jej w poczet błogosławionych, i dwa drugie, które posłużyły do jej kanonizacji.

Cud pierwszy przyznany przez Beatyfikację.

Siostra Marja Magdalena Boscaini zakonnica w klasztorze kapucynek w Citta di Castello, lat 25 mająca, dostała w marcu 1729 roku silnego kaszlu, który ją 40 dni męczył; gdy minął trochę, czuła wciąż jeszcze pewną duszność w piersiach tak, że oddychać trudno jej było; do tego przyłączyła się gorączka, poty, mdłości i boleści. Z tem cierpieniem, które się codziennie wzmagało dociągnęła do końca lutego 1730 r. Doktorzy dawali jej rozmaite lekarstwa, lecz wszystko było bezskutecznem do tego stopnia, iż ją za suchotnicę uznali.

W takim stanie rzeczy, dnia 23 tegoż miesiąca i roku przyszedł spowiednik odwiedzić chorą, a zastawszy ją więcej jak zwykle osłabioną, nakłaniał aby się udała do św. Weroniki, prosząc o wstawienie się za nią do Boga. Siostra przyjęła chętnie radę i pełna ufności, wypiła trochę wody, w której się znajdował kawałeczek sukni dawnej jej Przełożonej. Wnet uczuła się wzmocnioną i z wszelkich cierpień oswobodzoną; poczem za poradą spowiednika wstała z łóżka, wyszła z celi i przechadzała się po klasztorze z podziwieniem wszystkich, a nawet samego lekarza, który z początku nie chciał wierzyć swym oczom, lecz przekonawszy się później o zupełnem wyzdrowieniu chorej, sam wyznał, iż to tylko cudem stać się mogło. W 20 lat potem; Bóg zrządził, iż ta sama Siostra zapadła znowu, dostała upartej febry, traciła siły, słowem, tak się jej stan zdrowia pogorszył, iż opatrzona świętemi Sakramentami, widząc już śmierć blizką, udała się znowu do św. Weroniki, i natychmiast doznała jej łaski. Wstała zdrowa z łóżka, i żyła jeszcze potem lat 22, do roku 1765.

Cud drugi.

Marja Katarzyna Gabani Pacciarini (Pacziarini) mająca lat 27, dostała na początku lipca 1727 r., cierpień reumatycznych, które ją dręczyły niemiłosiernie i doszły do tego stopnia, iż chora musiała leżeć w łóżku, nie mogąc się poruszyć i do tego jeszcze przyłączyło się nabrzmienie całego ciała, tak, że jak kawał drzewa leżała. Widząc nieszczęśliwa, iż pomimo wszelkich środków najmniejszej nie uczuła ulgi, zwątpiwszy zupełnie, aby ją wyleczyli doktorzy, postanowiła udać się do św. Weroniki, i prosiła przez proboszcza o udzielenie jej relikwji świętej; ksiądz przyniósł jej kawałeczek płótna we krwi służebnicy Bożej umaczany, radząc chorej, aby całą ufność w niej miała, i zaledwie Marja Katarzyna wzięła w rękę relikwie, aby nią ciało pocierać, uczuła nagle przywróconą władzę, ustępowało cierpienie, wnet wstała z łóżka i zajęła się jakąś pracą. Przybyły lekarz widząc to, pobiegł do księdza, aby był świadkiem wypadku, i obadwa wykrzyknęli: „Cud Boski!“ tem bardziej w tem utwierdzeni, gdy usłyszeli od chorej, jakim się to stało sposobem.

Cud pierwszy przyznany przez Kanonizację.

Siostra Marja Gertruda Camilletti (Kamilétti) w marcu 1815 roku przywdziała habit kupucynek w Citta di Castello, nie mając wielkiego zdrowia, gdyż jej dokuczał przy mocnem osłabieniu i ciągłym niesmaku, ból w lewym boku. Długo była pod opieką lekarzy, i zdawało się, iż polepszył się stan jej zdrowia, z tego nawet powodu dokończywszy nowicjat, została przyjętą na zakonnicę. Jednakże cierpienia uśmierzone tylko na czas niejaki, wzmogły się raptownie tak dalece, iż Siostra Marja Gertruda po pięciu czy sześciu miesiącach, nie mogła wypełniać obowiązków zakonnych, i albo w łóżku lub w szpitalu dnie całe trawiła. Gdy przy nadchodzących Zielonych Świątkach 1817 roku, cierpienia jej znacznie się powiększyły, przyłączył się krótki oddech, omdlewanie, kaszel, i boleści wewnątrz do tego stopnia, iż musiała ciągle leżeć w łóżku, a przez zimę tak się pogorszyło, iż jej wszystkie ostatnie Sakramenta udzielone zostały. Lekarze uznali, że to są suchoty. W Wielki Tydzień r. 1818, widząc, że usiłowania ludzkie żadnego nieotrzymują skutku, udała się chora do ukochanej sługi Bożej Weroniki, o wstawienie się za nią do Boga. Lecz gdy jeszcze czas na cud nie nadszedł, a stan zdrowia zamiast się polepszać, pogorszał się tak dalece, że doktór kazał ją od innych zakonnic odłączyć, aby się nie zaraziły tą chorobą; dociągnąwszy tak do 10 kwietnia. i widząc się już bliską śmierci, udała się znowu do św. Weroniki, która ukazawszy się jej, zapytała co woli, czy żyć? czy umierać? Siostra odpowiedziała, że niech się stanie to, co ona za lepsze dla jej duszy osądzi. Wtenczas św. Weronika dotknęła chorej i kazała jej się na stronę bolącą położyć. Umierająca usłuchała i natychmiast smaczno zasnęła. Obudziwszy się

z tego snu rano czuła się zupełnie zdrową i mającą dostateczne siły, wstała więc czemprędzej z łóżka i poszła do kościoła słuchać Mszy świętej, z ogólnem podziwieniem wszystkich, którzy ją tam ujrzeli, i którzy zarazem w jej wyzdrowieniu zadziwiający cud widzieli.

Cud drugi przyznany przez Kanonizację.

Scholastyka żona Andrzeja Gigli (Gili) z Citta di Castello, 51 lat mająca, w roku 1818 odzyskała zdrowie za pośrednictwem św. Weroniki, której szczerze o pomoc wzywała. Dla okazania jej swej wdzięczności, zwykła była codziennie po obiedzie udawać się do kościoła kapucynek, dla odwiedzenia Protektorki. Wydarzyło się, że Scholastyka w marcu 1819 r., idąc zwyczajem swoim do tegoż kościoła, spadła ze schodów i złamała sobie prawe żebro, z bólu zemdlała, a przyszedłszy do siebie, krzykiem tylko okazywała nadzwyczajne cierpienie. Na ten krzyk przybiegła siostra jej Lukrecja, kazała natychmiast zanieść ją na ręku do pokoju, i przywołała chirurga; który opatrzył chorą, polecając jej, aby spokojnie na wznak leżała. Chora nie mogąc wytrzymać bólu, następnej nocy po upadnięciu, wzywała z żywą wiarą św. Weroniki i położyła jej obraz na części cierpiącej, poczem zasnęła. Nazajutrz budzi się i czuje się wolną od wszelkiego cierpienia. Uszczęśliwiona, odwiązuje bandarze, gdyż rzeczywiście wszelki ból ustąpił. Ucieszona, zeskakuje żywo z łóżka i zaczyna swobodnie chodzić; mąż jej, lekarz, siostra i wszyscy co byli świadkami nieszczęśliwego upadnięcia, zdumieli się, a kobieta owa udała się natychmiast sama o swej mocy do kościoła kapucynek, dziękować swej Protektorce za otrzymaną łaskę.

Dodać tu jeszcze należy, iż kiedy św. Weronika została Mistrzynią nowicjatu, gdy z powodu surowej reguły zakonnej, żadna kapucynka wstąpiwszy do zakonu, nie mogła być już widzialną dla nikogo z za kraty, (która umyślnie szczelnie była zrobioną i blachą obita), siostry św. Weroniki będące zakonnicami w Mercatello, prosiły jej o przysłanie im figurki ubranej w strój zakonny, aby mieć wyobrażenie Sióstr kapucynek. Dogadzając ich żądaniu, św. Weronika poleciła młodym nowicjuszkom, aby figurkę w podobnym stroju zrobiły i siostrom przesłały. Jedna z nowicjuszek Marja Urszula Amanti rzekła do swoich towarzyszek:

— Zróbmy tak, aby figurka miała niejakie podobieństwo z Mistrzynią naszą.

Przystąpiły więc do dzieła i nadały podobieństwo, nie zapominając nawet o znakach ran na ręku i nogach wyrażonych; lecz obawiając się gniewu swej Przełożonej, schowały starannie pomienioną figurkę. Kiedy już św. Weronika opuściła życie doczesne, siostra Urszula Amanti odesłała rzeczoną figurkę siostrom do Mercatello; dodając, iż im nieposyła figurki prostej w strój kapucynek przybranej, lecz wizerunek świętej, której cnoty naśladować powinny. Ucieszone siostry, jakby największy skarb w świecie otrzymały, chcąc go lepiej zachować, wstawiły figurkę w szafeczkę i postawiły w pokoju na osobnem miejscu; gdzie wszedłszy raz siostra Anna Marja Mancini, usłyszała mocne stukanie w szafeczce. Innym razem znowu siostra Dorota Mancini wszedłszy raz do tegoż miejsca, w celu napisania potrzebnych listów, usłyszała sama podobne stukanie w szafeczce, jakby nadzwyczajną myślą uderzona, wyrzekła:

— Rozumiem, to siostra Weronika nie chce być zamkniętą.

Wyjęła więc figurkę z szafeczki, przywołała zakonnice, które natychmiast poprosiły arcydjakona, aby ją sam przeniósł do kościoła. W tejże chwili, mnóstwo zbiegło się ludzi przed kościół, jakby ceremonja jaka ogłoszoną była. Nietylko mieszczanie ale wieśniacy i górale, rzucali roboty i śpieszyli oglądać coś nadzwyczajnego, a tak się lud cisnął, iż niepodobnem było zamknąć kościoła dnia tego. Odtąd ten wizerunek św. Weroniki zaczął czynić rozmaite cuda.

W roku 1745 kilka dni powtarzało się trzęsienie ziemi w całym powiecie Mercatello. Siostra Dorota Mancini będąc wówczas ksienią, kazała wystawić w kościele figurę Najśw. Panny, i obok zaś umieściła wizerunek wspomniany św. Weroniki, aby się wstawiała za ludem do Królowej niebios. Podczas nieszporów, zawołała z żywą wiarą:

— Siostro Weroniko! jeżeli już tyle od Najświętszej Panny uprosiłaś darów, wstaw się za nami, aby się ziemia zamknęła.

Wtedy ujrzały wszystkie zakonnice, jak oblicze św. Weroniki obróciło się do Najświętszej Panny, jakby zanosząc prośby, i od tej chwili trzęsienie ziemi ustało. Cud ten i inne poprzednie, wszystkie zakonnice przysięgą stwierdziły, równie jak i obecni w kościele kapłani, dodając przytem, że twarz św. Weroniki często się mieniła, już to rumieniąc się, to blednąc, wreszcie wyrażając uczucie radości.

W roku 1740 ksiądz biskup dyecezjalny znajdując się w klasztorze Panien Kapucynek w Citta di Castello, w celu sprawdzenia cudów św. Weroniki, rzekł do ksieni Florydy Caeli, iż chciałby w swej dyecezji mieć jeszcze jeden klasztor pomienionego zgromadzenia, widząc jak wielkie ten duszom przynosi zbawienie. Pobożna ksieni doradziła wybrać na ten cel Mercatello, miejsce urodzenia św. Weroniki, udał się więc tam szanowny prałat, opatrzył dom, w którym się św. Weronika urodziła, i polecił budowniczemu skreślić plan przyszłego ko-

ścioła i klasztoru, lecz pozbawiony funduszów musiał zaprzestać myśleć o dokonaniu tego zamiaru. W tem odbiera list z Rzymu od Remira Guelfi archipresbytera kościoła św. Eustachego, w którym mu pisze: „że postanowił 7,000 skudów złożyć na wybudowanie kościoła, a później doda i więcej, jeżeliby tego była potrzeba.“ — Biskup powrócił więc do Mercatello, a mając początkową sumę w ręku, opowiedział zamiar swój mieszkańcom tamecznym, którzy najgorliwiej przystąpili do pracy i zwozili potrzebne do tej budowy materjały. Sąsiedni wieśniacy, chcąc też mieć udział w stawianiu świętego przybytku, gromadzili się tłumnie, ofiarując swą pracę. Posypały się ofiary na kościół i utrzymanie trzech zakonnic przy tymże kościele; słowem, pobożne osoby tak hojnie klasztor uposażyły, iż po ukończeniu budowy, pozostał wieczny fundusz dość znaczny na jego utrzymanie.

W r. 1772 został poświęcony ten kościół, a klasztor osiedlony zakonnicami. W tymże samym dniu umarł archipresbyter Guelfi zapisując cały swój majątek nowemu klasztorowi.

Klasztor przybudowany jest do domu, w którym św. Weronika mieszkała. Prowadzą doń drzwi jedne z korytarza, a drugie z zewnątrz, aby każdy pobożny mógł go dowolnie oglądać i zwiedzać; nawet pozostawiono ową kapliczkę, w której dzieckiem będąc, modliła się św. Weronika i cudów doznawała.

Opis obchodu uroczystości przeniesienia obrazu św. Weroniki z kościoła PP. Wizytek do kościoła O.O. Kapucynów w Warszawie d. 31 lipca 1841 r.

W dniu 31 lipca 1841 r. o godz. 4-ej po południu, przy zebraniu się licznego duchowieństwa i do 40-tu tysięcy ludności wszelkiego wieku i stanu, ks. biskup Chmielewski administrator archidjecezji warszawskiej rozpoczął solenne nabożeństwo przed wielkim ołtarzem w kościele PP. Wizytek, gdzie obraz św. Weroniki był złożony. Następnie ks. prałat Białobrzeski odczytał z ambony bullę Grzegorza XVI Papieża, kanonizację świętej, oznajmiającą. Po odczytaniu bulli, nabożeństwo rozpoczęło się hymnem: *Veni Sponsa* „Przyjdź oblubienico“, poczem wyruszył orszak procesjonalny, wśród odgłosu dzwonów kościelnych. Orszak ten rozpoczynały liczne bractwa i cechy z chorągwiami tak kościelnemi jako i rzemieślniczemi, których było kilkadziesiąt; - za -emi postępowała orkiestra,—dalej szli porządkiem i parami zakony O.O. Kapucynów, Bernardynów Reformatów, Franciszkanów, Karmelitów, Augustjanów, Trynitarzy, Dominikanów — X.X. Misjonarzy, duchowieństwo świeckie, kanonicy i prałaci, a zatemi obraz św. Weroniki niesiony przez czterech zakonników w dalmatyki przybranych, w asystencji starszych księży Zgromadzenia O.O. Kapucynów, mających na czele Prowincjała swego O. Benjamina, którego szczególnem staraniem, ta wspaniała uroczystość i tak świetne onej odbycie nastąpiło.

Ks. biskup celebrujący w ubiorze pontyfikalnym zamykał orszak, za którym postępowała niezmierna moc osób pobożnych. W takim porządku przechodziła procesja ulicami: Krakowskiem Przedmieściem, Senatorską i Miodową, a cała ta droga była usłana kwiatami i zielonością. Za przybyciem procesji i do kościoła O.O. Kapucynów, obraz tymczasowo umieszczony został pod baldachimem przed wielkim ołtarzem i rozpoczęły się nieszpory zakończone kazaniem i pasterskiem błogosławieństwem przez ks. biskupa udzielonem. Nabożeństwo ciągle trwało przez dni ośm. Codziennie w czasie wielkich mszy i nieszporów, amatorowie i artyści wykonywali rozmaite kompozycje muzyczne. Napływ pobożnych przez te dni, tak był wielki, iż kościół od świtu do nocy nie mógł ich nigdy w sobie pomieścić. W oktawę tej uroczystości, ks. biskup płocki Pawłowski miał stosowną do tej uroczystości mowę, w nader tkliwych i religijnych wyrazach, poczem udzielił pasterskie błogosławieństwo, a na ostatku duchowieństwo świeckie zakończyło tę uroczystość hymnem powtórzonym: *Veni Sponsa*, „Przyjdź oblubienico“.

Na przyozdobienie swej świątyni O.O. Kapucyni użyli wszystkiego, na co tylko zdobyć się mogli: rzadkie drzewa, kwiaty, bukiety, girlandy, draperje, niezmierna ilość światła, wszystko to użyte było do przybrania kościoła i uczczenia nowej świętej. W sześciu odstępach kolumn kościelnych umieszczono 6 obrazów w kształcie medaljonów wyobrażających różne cuda św. Weroniki—malowane przez Józefa Głowackiego, znanego artystę. W dwóch bocznych ołtarzach przed wielkim ołtarzem zawieszono dwa piękne obrazy, przedstawiające: jeden, poślubienie św. Weroniki Chrystusowi, malowany przez prof. Blanka—drugi cudowne przyjęcie przez św. Weronikę Sakramentu ołtarza, z rąk Zbawiciela, przez Henr. hr. Zabiełłę.

Dnia 2 Sierpnia.

NAJSWIĘTSZA PANNA ANIELSKA

KOŚCIÓŁ I ODPUST PORCIUNKULI

Nieopodal Assyżu, zwanego „perłą Umbrji“ znajduje się mały kościołek Najświętszej Marji Panny Anielskiej, który św. Franciszek odbudowaniem go, odpustami i cudami wsławił. Każdy z pielgrzymów doznaje tu słodkiego wzruszenia.

Historja tego kościołka sięga bardzo odległych czasów. W r. 351 pobożni pielgrzymi, przybyli z Palestyny do Rzymu dla odwiedzenia grobów Apostołów, prosili Papieża Liberego o pozwolenie osiedlenia się w dolinie Assyżu i tam powstała skromna pustelnia, przy której wzniesiono kościołek. Owi wędrowcy przynieśli z sobą relikwie z grobu Najśw. Dziewicy; kościołek więc był pod wezwaniem Najśw. Marji Panny Józefackiej, na pamiątkę owej doliny, gdzie przed Wniebowzięciem spoczęły święte szczątki Matki Chrystusowej.

W półtora roku potem, około 516 r. św. Benedykt, podczas pobytu swego w Assyżu, otrzymał ów ubożuchny dom Boży, wraz z niewielką cząstką przyległego gruntu. Prawdopodobnie ztąd pochodzi nazwa: *Porciuncula* czyli cząsteczka. Odkąd OO. Benedyktyni obsługiwać poczęli ten kościołek, tłumy ludu przybywały, słyszano nieraz anielskie pienia i zaczęto zwać go kościołem *Marji Panny Anielskiej*.

Z rąk O.O. Benedyktów z góry Kasynu mały klasztorek przeszedł do zgromadzenia Ojców z Cluny, następnie do Cystersów, potem do Benedyktynów z góry Subaskiej, wreszcie znajdując się w zupełnem opuszczeniu, blizkim był ostatecznej ruiny.

W tym czasie kiedy patryarcha seraficzny ujrzał świat w Assyżu, owe ruiny, służyły okolicznym pastuszkom za schronienie podczas niepogody i zaledwie niekiedy jaka dusza pobożna i wierna czci Matki Boski Anielskiej przybywała tu od czasu do czasu dla zanoszenia gorących modłów do Niebios Królowej.

Od najmłodszych lat św. Franciszek miał szczególne nabożeństwo do Najśw. Marji Panny i nieraz z żalem myślał o zrujnowanym Domu Bożym i oto ten niezrównany wskrzesiciel ducha pokuty, pobożności i najżywszej wiary w całem chrześcijaństwie, modląc się raz w kościele św. Damiana pod Assyżem, usłyszał głos Boży przemawiający doń w te słowa:

— Franciszku, napraw dom mój, który się rozpada.

Święty Franciszek zrozumiał ten rozkaz z nieba dany w dosłownem jego znaczeniu, chociaż możnaby raczej sądzić że Bóg przeznaczał go do podparcia domu Jego mistycznego, to jest Kościoła św. przez założenie w nim trzech zakonów i przez szerzenie słowem i przykładem swoim przygasłego w owym czasie ducha pokuty, pobożności i doskonałości ewangelicznej. Lecz święty w swej głębokiej pokorze słów tych w takiem znaczeniu nie brał i zajął się natomiast gorliwie odnawianiem świątyń Pańskich, a myśl jego wnet się zwróciła ku Porciunkuli.

Już w pierwszych latach życia apostolskiego potrzeba było św. Franciszkowi obszerniejszego mieszkania i kościoła dla odprawiania nabożeństwa oraz cmentarza dla zmarłych.

— Pójdźmy więc — mówił do swych dwunastu Braci-nowicjuszów — pójdźmy do biskupa Assyżu i prośmy, aby udzielił przytułku rozwijającemu się zakonowi.

Następnie zwrócił się do Benedyktynów z góry Subaskiej, którzy najchętniej ustąpili mu kościołka pod Assyżem wraz ze zrujnowanym domem i kawałkiem ziemi.

Św. Franciszek zwał go z największą miłością i swoją drogą „cząsteczką“ (Porcjunkulą) i już przed końcem 1208 r. odbudowany starannie wrócił mu pierwotną cześć i świetność minioną, a Królowę Aniołów obrawszy za swą patronkę długie godziny spędzał przed Jej obrazem. Razu pewnego podczas nocy klęcząc w swojej celi, usłyszał jakgdyby głos anioła:

— Franciszku, do kaplicy, do kaplicy!

Natychmiast pośpieszył do kościołka Porcjunkuli, gdzie na ołtarzu ujrzał Pana Jezusa a obok z prawej strony Najśw. Marję Pannę, w otoczeniu Duchów niebieskich.

W uniesieniu radości święty rzucił się twarzą na ziemię i oddał pokłon razem z aniołami.

— Franciszku — rzekł mu Syn Boży — znam gorliwość, z jaką ty i twoi bracia staracie się o zbawienie dusz. W nagrodę proś mię dla nich i dla czci mojego imienia o łaskę, jaką zechcesz, dam ci ją, gdyż dałem cię światu, abyś był światłością narodów i podporą mojego Kościoła

Ośmielony taką niewysłowioną dobrocią święty Patryarcha zwrócił się z tą pełną ufności prośbą:

— Trzykroć Święty Boże, ponieważ znalazłem łaskę w Twoich oczach, ja który jestem tylko proch i popiół i najnędzniejszy z grzeszników, błagam Cię z uszanowaniem na jakie tylko zdobyć się mogę, abyś raczył dać Twoim wiernym tę wielką łaskę,

iżby wszyscy ci, którzy wyspowiadawszy się i skruchą przejęci, odwiedzą ten kościół, otrzymali odpust zupełny i przebaczenie wszystkich swych grzechów.

Poczem, zwracając się do Przenajświętszej Matki, mówił dalej:

— Proszę błogosławionej Dziewicy, Matki Twojej, Orędowniczki rodzaju ludzkiego, aby poparła sprawę moją przed Tobą.

Jakże rozczulającą była ta chwila!

Po tych słowach widzenie znikło.

Nazajutrz równo ze świtem św. Franciszek udał się do Perudżji, gdzie znajdował się podówczas Papież Honorjusz III.

— Ojcze święty — rzekł znalazłszy się w obecności Papieża — wyrestaurowałem przed kilku laty mały kościołek w twoich posiadłościach, poświęcony Matce Boskiej; błagam Waszej Świątobliwości, aby raczył wzbogacić go wielkim odpustem, nie obowiązującym wszelako do dawania jałmużny?

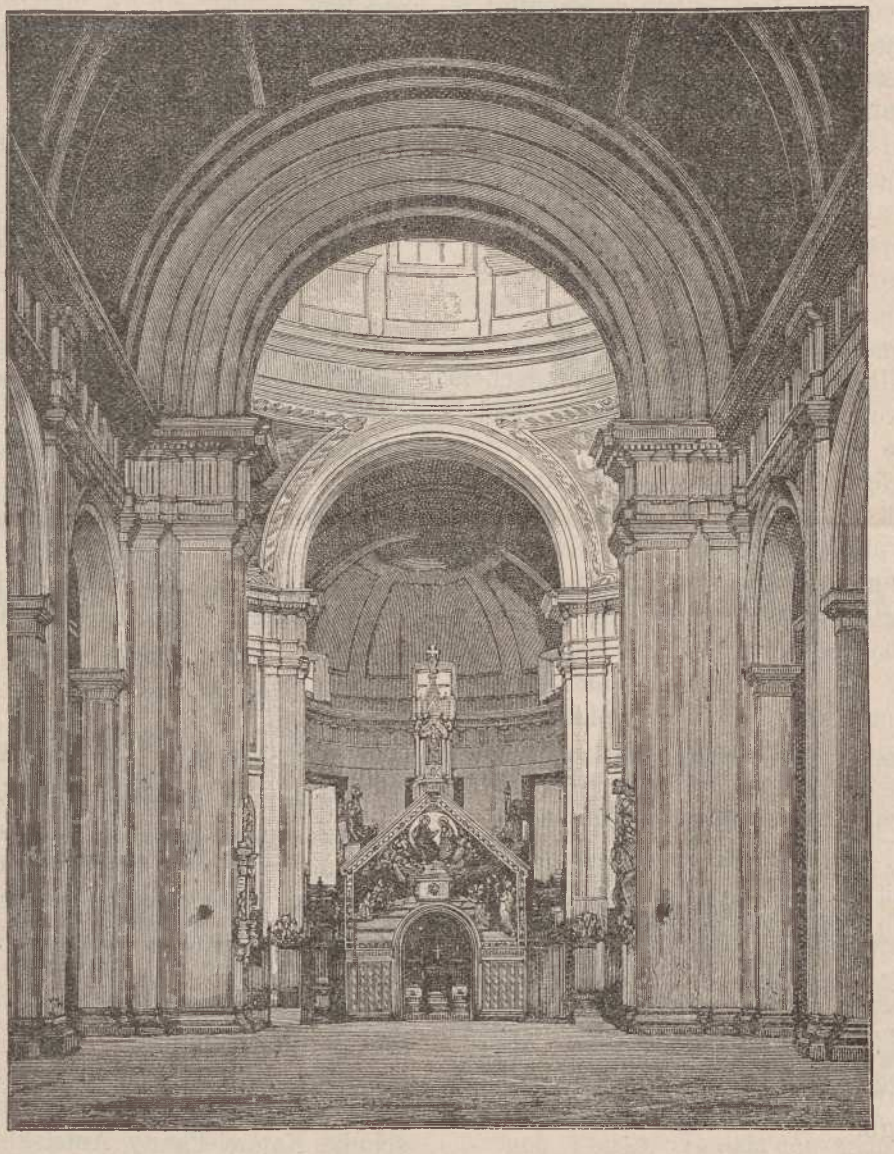

WNĘTRZE BAZYLIKI NAJŚW. MARYI PANNY ANIELSKIEJ W ASSYŻU.

Kaplica wewnętrzna jest ta sama, w której Św. Franciszek otrzymał objawienie co do odpustu Porciunkuli.

Marja wstawia się do Syna swego a Pan Jezus, spoglądając na swego sługę, odpowiada:

— Franciszku, to o co prosisz jest wielkie, ale otrzymasz jeszcze większe łaski. Daję ci odpust, o który usilnie błagasz, pod warunkiem jednakże, że będzie on potwierdzony przez mego Namiestnika, któremu dałem moc związywania i rozwiązywania tu na ziemi.

— Zgadzam się na to — odpowiedział Papież — ale powiedz na ile lat go żądasz?

— Ojcze święty, racz udzielić tego przywileju nie na lata ale na dusze.

Zdziwił się bardzo Papież i począł się wypytywać jak to Franciszek rozumie.

— Pragnę — odrzekł święty — aby ci wszyscy, którzy rozgrzeszeni i przejęci skruchą serdeczną

wejdą do kościoła Najśw. Panny Anielskiej otrzymali zupełne odpuszczenie grzechów i na tym i na tamtym świecie.

— To o co prosisz, Franciszku, jest dotychczas niepraktykowane na dworze rzymskim — powiedział Papież.

— To też nie proszę w mojem imieniu ale w imieniu Jezusa Chrystusa, który mię posłał:

Wówczas Papież powtórzył trzykrotnie:

— W imie Pana nadajemy ci ten odpust.

Gdy obecni kardynałowie zrobili uwagę, że taka łaska szkodzić będzie pielgrzymkom do Rzymu i Jerozolimy, Honorjusz III odpowiedział:

— Nie możemy odwołać tego, na cośmy dobrowolnie przystali; możemy tylko ograniczyć czas trwania.

Potem zwróciwszy się do Franciszka, dodał:

— Chcemy, aby ten odpust był ważny po wszystkie czasy, lecz przywiązujemy go tylko do dnia jednego, licząc takowy od pierwszych nieszporów aż do nieszporów dnia następnego.

Franciszek podziękował Papieżowi i odszedł z pokorą. Honorjusz III przywołał go i rzekł z uśmiechem:

— Człowieku skromny, dokąd idziesz, jaki masz dowód tego odpustu?

— Ojcze święty, twoje słowo jest dla mnie dostatecznem; niech Jezus Chrystus będzie rejentem, Matka Boska dyplomem, aniołowie zaś świadkami. Dowodu nie żądam Pan Bóg sam, gdy tego będzie potrzeba, dowiedzie, że przywilej ten jest Jego dziełem i od niego pochodzi.

Co rzekłszy św. Patryarcha z błogosławieństwem papieskiem powrócił do Porcjunkuli.

Jednakże dzień wielkiego odpustu nie był wyznaczony. Sługa Boży modlił się i czekał z ufnością. Nadzieja jego nie została zawiedziona.

W sześć czy siedm miesięcy po pierwszem widzeniu, w zimną noc styczniową, św. Franciszek modlił się w swej celi, przylegającej do Porcjunkuli i ostro biczował swe ciało. Aż tu szatan pod postacią anioła stanął przed nim i począł mu nasuwać myśli: poco zużywać młodość na czuwaniu, postach i modlitwie? Czy nie wiesz, że sen pokrzepia ciało? Zachowaj raczej dni swoje, abyś mógł dłużej służyć Bogu.

Św. Franciszek zrozumiał odrazu, że to szatan, a nie anioł Boży takie mu szepce słowa i tem większą gorliwością wiedziony zrzuca habit a wyszedłszy z klasztoru tarza się po cierniach, mówiąc:

— Lepiej jest cierpieć z Chrystusem, aniżeli dać się uwieść podstępom szatana!

Wtem święty ujrzał się otoczony olśniewającem światłem. Zbroczone jego krwią ciernie pokryły się naraz białemi i czerwonemi różami — godło to miłości i czystości nieskalanej. Aniołowie niebiescy zarzucili mu białą jak śnieg szatę na ramiona i rzekli:

— Franciszku, spiesz do kościoła, Bóg Zbawiciel oczekuje na ciebie ze swoją Przenajświętszą Matką.

Franciszek pochylił się, aby zerwać dwadzieścia cztery cudowne róże: dwanaście białych i dwanaście czerwonych, poczem udał się do kaplicy. Jezus znajdował się tam, tak samo jak podczas pierwszego widzenia, na tronie światłości; Królowa po prawej Jego stronie a naokoło nich mnóstwo aniołów.

Franciszek, oddawszy najniższy pokłon złożył róże na ołtarzu i ofiarował je Zbawicielowi przez ręce Niepokalanej Dziewicy.

— Franciszku — powiedział Syn Boży — dlaczego nie złożyłeś mej Matce daniny hołdu, którą Jej przyrzekłeś?

Franciszek rozumiejąc, że chodzi o dusze, które miał uświątobliwić odpust Porcjunkuli odpowiedział:

— Trzykroć Święty Boże, Stwórco nieba i ziemi i Zbawco rodzaju ludzkiego, racz sam z nieskończonego miłosierdzia twojego, przez miłość Twej Matki Przenajświętszej oznaczyć dzień zupełnego odpustu, którym wzbogaciłeś to święte miejsce.

— Chcę, aby odpust rozpoczynał się od dnia, w którym uwolniłem z więzów Piotra, księcia Apostołów i żeby się kończył o zmierzchu dnia następnego — odrzekł głos Boży.

— Jakże ludzie zechcą uwierzyć moim słowom? — zapytał święty.

— Nie obawiaj się niczego, idź znowu do mego namiestnika, aby ogłosił ten odpust; moja łaska reszty dokona.

Nazajutrz św. Franciszek z trzema braćmi udał się do Rzymu wziąwszy z sobą sześć róż cudownych i stanąwszy przed Papieżem opowiedział mu swe widzenie, w obec czego Ojciec św. przychylił się łaskawie do jego prośby, naznaczając odpust na drugiego sierpnia, rozkazując siedmiu biskupom z okolic Assyżu, aby go uroczyście ogłosili w dzień św. Piotra w Okowach.

W oznaczonym dniu zabrali się oni i wraz ze św. Franciszkiem weszli na trybunę u drzwi kościołka Najśw. Panny Anielskiej. Święty przedstawił zebranym tłumom wielkość łaski, jaką otrzymał, ogłaszając odpust zupełny na wieczne czasy.

Biskupi usłyszawszy te słowa: *na wieczne czasy* poruszyli się postanowili pomiędzy sobą, aby zmniejszyć wyżej wymieniony od dziesięć lat. Ale wtem stała się rzecz zgoła nieoczekiwana. Pierwszy biskup Assyżu przemówił i zamiast „dziesięć lat“ wyżej wyrzekł: „na wieczne czasy“. To samo miejsce z sześciu innymi biskupami. Uznając w tem wyraźną wolę Bożą zgodzili się bezwarunkowo na żą-

danie św. Franciszka. Nazajutrz siedmiu biskupów poświęciło skromny kościołek Porciunkuli.

Takie są dzieje sławnego odpustu Porciunkuli zwanego *Wielkiem przebaczeniem Assyzkiem*, przez który sława kościołka Najśw. Panny Anielskiej rozeszła się po całym świecie.

Z czasem nad tym kościołkiem zbudowano wspaniałą bazylikę dotąd wewnątrz mieszczącą dawną Porciunkulę. Corocznie zbierają się tam tłumy wiernych w dniu 2 sierpnia dla odbywania w poprzedzającą noc wigilji ze śpiewami, jak to było u pierwszych chrześcijan we zwyczaju a następnie dla dostąpienia odpustu.

Tenże odpust udzielony został przez Grzegorza XV (w 1622 r.) wszystkim kościołom Braci i Sióstr trzech zakonów św. Franciszka. Potwierdzony przez Innocentego XI w 1687 r. Dla dostąpienia odpustu, oprócz nawiedzenia kościoła, trzeba obowiązkowo wyspowiadać się i komunikować.

Kościoły dawniej należące do jednego z zakonów św. Franciszka straciły odpust Porciunkuli od czasu, w którym przestały należeć do zakonu.

Opatrzność Boska czuwa nad starożytnym kościołkiem Najśw. Panny Anielskiej, albowiem gdy w r. 1832 i 1634 bazylika wierzchnia uległa zniszczeniu z powodu silnego trzęsienia ziemi Porciunkula ocalała i żadnego nie znaleziono w niej uszkodzenia. W bazylice tej, z prawej strony znajduje się celka, w której św. Franciszek oddał Bogu ducha. Przechowuje się tam również serce Patryarchy seraficznego.

W klasztorze wielką czcią otoczona jest kaplica, zwana *kaplicą róż*, ponieważ obok niej rosną krzaki cierniste, w których jak niesie podanie, tarzał się św. Franciszek a na których odtąd rozkwitają corocznie róże bez cierni, listki zaś wszystkie mają na sobie jakby krwawe plamy.

Dnia 16 sierpnia.

ŚWIĘTY JACEK ODROWĄŻ

I JEGO TOWARZYSZE

1183 † 1257.

Za rządów papieży: Klemensa III, Celestyna III, Innocentego IV, Aleksandra IV, królów polskich: Kazimierza II Sprawiedliwego, Leszka Białego, Mieczysława III, Władysława Laskonogiego, Bolesława V Wstydliwego.

> Czem bardziej święci postępują w cnocie, tem więcej poznają swą nieudolność i niedoskonałość; albowiem czem więcej nabywają światła Bożej łaski, tem jaśniej spostrzegają tajniki swego serca.
>
> Św. Grzegorz Wielki.

Dziecinne lata. — Wychowanie. — Kapłaństwo.

Święty Jacek i młodszy o rok brat jego Czesław pochodzili ze sławnego w Polsce rodu Odrowążów; byli synami Eustachego; który się zwał hrabią na Końskiem a synowcami biskupa Iwona.

Jako miejsce urodzenia obu braci podają dziejopisarze zamek Łanka, w dawnem księztwie Opolskiem dyecezji wrocławskiej, będący posiadłością rodzinną Odrowążów.

Zabudowania, okalające zamek, utworzyły mieścinę Kamień, którą Niemcy, posiadacze Szlązka, nazywają Gross-Stein. Hr. Strachwitz, obecny właściciel zamku, otwiera dla wiernych pokój, zamieniony na kaplicę, w którym się Jacek urodził. W kościele parafialnym, nad wielkim ołtarzem, jest obraz św. Jacka. Co roku, 16 sierpnia, pielgrzymi schodzą się tłumnie do tej świątyni; dopóki istniał w Opolu klasztor Dominika, tłumnie dnia tego przybywali tamże, celem odprawienia nabożeństwa na cześć św. Przodkowie św. Jacka i błog. Czesława brali udział w szerzeniu wiary i w zwycięstwach Polski. Rodzic ich znany był, jako „ojciec ubogich;“ babka ich Iwonia i matka Beata, wzory niewiast mężnych, a słodkich z czasów apostolskich, wychowywały ich nabożnie. Bracia rzadko rozłączali się. Pierwsze ich spojrzenia nie szukały błyskotek, lecz nieba, rączęta ich składały się do modlitwy. Pobożne dzieciny miały upodobanie w słuchaniu Mszy św.; jedyne opowiadania, które zajmowały je, były żywoty świętych. Ponieważ obadwaj synowie byli kształceni, rozwijani, wychowywani przez zacnych i bogobojnych rodziców, przeto już

z natury mieli popęd do rzeczy nadprzyrodzonych. Wcześnie zaprawiano ich do cnót chrześcijańskich; pogarda dóbr ziemskich doprowadziła ich do zrozumienia ubóstwa dobrowolnego; czystość ciała wywołała czystość duszy: karność — posłuszeństwo, poznanie siebie — pokorę.

Stryj ich, prałat świątobliwy, wykończył dzieło rodzicielskie. Do światła ojcowskiego dołączył on światło wyższe kapłaństwa. Nauką i zastanawianiem doprowadził synowców do poddawania nauk przyrodzonych pod sąd zasad chrześcijańskich, do wzniesienia się aż do myśli Bożej, ukrytej w każdej sprawie. Przeczuwając powołanie synowców, wpoił w nich przekonanie, iż księża bez wykształcenia są niegodni kapłaństwa i że zasługują na wzgardę u świeckich. On to wysłał ich na naukę do szkół w Krakowie i w Pradze, a następnie do wszechnicy Bolońskiej, i Paryskiej, z której wyszło tylu sławnych Doktorów. Na uniwersytetach bracia zachowali skupienie umysłu i serca, panowanie nad sobą i nigdy nie oddali stworzeniu tego, co jest tylko Stwórcy.

Jacek powrócił do kraju otrzymawszy stopień doktora obojga praw. Zarówno Jacek jak i Czesław obrali sobie stan duchowny i w krótkim czasie otrzymali już godność kapłanów i kanoników. Mimo młodości zostali wyniesieni do urzędów wymagających prawdziwej dojrzałości. Jacek był archidjakonem, a prócz tego, kantorem arcybiskupiej kapituły gnieźnieńskiej, Czesław proboszczem kapituły i skarbnikiem kościoła Najświętszej Panny w Sandomierzu. Postać szlachetnych młodzieńców uderzała wszystkich, gdyż na obliczach ich malował się rozum, czystość, poświęcenie, coś odpowiadającego zupełnie ideałowi, jaki każdy chrześcijanin tworzy sobie o kapłanie. Skromność poważna, a słodka łączyła się z widoczną u nich dzielnością; na czole jaśniała światłość, bijąca z duszy dziewiczej, nakazując uszanowanie pełne uwielbienia.

Spotkanie się w Rzymie braci Odrowążów ze św. Dominikiem i wpływ, jaki on na nich wywarł.

W tym czasie biskupem krakowskim był Wincenty Kadłubek, lecz zamierzając wstąpić do Cystersów w Jędrzejewie zrzekł się godności biskupiej i zgodnie z życzeniem Leszka Białego, księcia krakowskiego i całej dyecezji wybrał na swego następcę Iwona Odrowąża. W tym celu ten ostatni został wysłany do Rzymu, aby na to zezwolenie papieskie uzyskać.

Wraz z nim wybrali się w podróż do Wiecznego miasta obaj synowcowie Jacek i Czesław. Można sobie wyobrazić jak silne wrażenie sprawił na nich pobyt w tem mieście, pełnem drogich sercu chrześcijańskiemu pamiątek. Przybyli tam d. 11 lutego 1220 r.

Jednocześnie gościł w Rzymie św. Dominik Guzman, starający się o zatwierdzenie świeżo przez siebie założonego kaznodziejskiego zakonu.

Hiszpanja katolicka była ojczyzną tego świętego; południowa Francja pierwszem polem jego pracy, gdzie wsławił się naukami przeciw Albigensom, które Bóg poparł głośnymi cudami. Sława jego świątobliwości i wielki dar wymowy, zjednały mu uczniów bardzo wielu.

Przed śmiercią, papież Innocenty III, pobłogosławił, pod nazwą Zakonu Kaznodziejskiego, nowych tych apostołów, powołanych do zdobywania dusz przez kaznodziejstwo. W dwa lata później, założyciel ich nie wahał się rozproszyć ich po świecie. Było ich tylko szesnastu, ale Chrystus zapalił w sercu Dominika i owych szesnastu płomień miłości, za której pomocą pierwsi apostołowie zdobyli świat.

Jackowi i Czesławowi powinno było koniecznie nasunąć się porównanie Dominika z nimi samymi. I on był szlacheckiego rodu jak oni; wpływowi stryja, księdza, winien był rozwój duszy, jak oni kształcił umysł pracą długą i mozolną, jak oni; był mianowany kanonikiem jak oni, w pełnoletności przybył, jak oni, do Rzymu, dla otrzymania błogosławieństwa Ojca św.

Dlaczego jednak Dominik torował sobie nową drogę? Jeżeli chciał poświęcić Bogu wszystko, co miał i czem był, poddając pod jarzmo zakonu zmysły, rozum i wolę, miał do wyboru rozmaite zgromadzenia i reguły św. Augustyna, lub św. Benedykta. W jednych byłby poświęcił się Bogu przez miłość bliźnich i służenie im, a w drugich przez czystą miłość Boga, która wiedzie do rozmyślania o Nim Samym. Jeżeli chciał opowiadać Ewangelję ludom, prowadzić chrześcijan, był jednym z pasterzy Kościoła, dla czegoż zrzekł się biskupiej godności? To wszystko musiało zastanawiać wielce naszych świątobliwych braci, a właśnie obudwu młodzieńcom zdarzyła się sposobność zbliżenia się do Dominika. Honorjusz III, przeznaczył w tym czasie pałac św. Sabiny zakonowi kaznodziejskiemu, który miał przenieść się tam z klasztoru św. Sykstusa, ustępując go zakonnicom drugiej reguły św. Dominika. Trzej kardynałowie, opiekunowie zakonnic, mieli przewodniczyć owej uroczystości, a kardynał Ugolin, z którym biskup Iwo Odrowąż był razem niegdyś na uniwersytecie i zamieszkał w jego pałacu goszcząc z synowcami w Rzymie, zaprosił swych gości, ażeby mu towarzyszyli.

Dominik powitał ich po ojcowsku. Był on średniego wzrostu, pracą i umartwieniami wyniszczony. Oblicze jego, o regularnych rysach zachowało krasę młodzeńczą; zarost i włosy, okalające tonsurę za-

konną, pozostały złotej barwy; spojrzenie jego było niezwykle pięknem i mądrem.

Kardynałowie, prałaci, ich towarzysze i znaczna liczba Braci zapełnili sale kapituły, by usłyszeć zrzeczenie się ze strony zakonnic wszystkich dóbr, oraz przyjęcie dobrowolne ubóstwa, które Dominik tak bardzo umiłował.

Naraz przeraziła wszystkich wieść żałobna. Do kardynała Stefana de Fosseneuve przybiegł posłaniec z doniesieniem, iż siostrzeniec jego ukochany, Napoleon Orsini, tylko co spadł z konia na via Appia, gdzie legł bez życia! Nieszczęsny kardynał padł bez przytomności; Dominik poruczając go opiece zakonnic, wybiegł z klasztoru, a za nim grono mężczyzn. Gdy niesiono ciało młodego Orsiniego, krew lała się strumieniami, serce już nie biło. Dominik milczał. Oblicze jego przybierało powoli zwykły wyraz smutku, na widok cierpień bliźnich; poczem kazał przenieść młodzieńca do kościoła św. Sykstusa,

Właśnie biła godzina, o której miała zacząć się msza św. Dominik przywdział szaty kapłańskie, wstąpił na stopnie ołtarza, a przytomni, zebrani na uroczystość, stali się uczęstnikami żałoby W czasie podniesienia Hostji świętej, widziano, jak Dominik uniesiony mocą nadprzyrodzoną, zawisł w powietrzu; dopiero po skończeniu ofiary mszy św. spuścił się na ziemię. Gdy powrócił do zmarłego, łzy płynęły mu obfite i gorące.

— Ojcze - zawołał wśród ogólnego milczenia jeden z braci, Tankred, przeor klasztoru — gdzież twoja wiara? Dlaczego nie wzywasz Pana?

Wiara, cnota główna Zakonu Kaznodziejskiego, w pełni daną była Dominikowi. Sługa Boży pochylił się nad zwłokami. Trzy razy położył ręce na martwe ciało, modlił się długo, nakoniec uczynił nad zmarłym znak krzyża św.

— Napoleonie Orsini, w Imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, rozkazuję ci: wstań!—rzekł głosno.

A na to wezwanie młodzieniec, pełen sił, życia, opuścił łoże na którem leżał martwy od czterech godzin. Podziw i zachwyt wszystkich obecnych był niedoopisania.

W kościele św. Sykstusa po dwakroć już Dominik zmusił śmierć modłami do oddania swej ofiary; ale podobnego cudu nie widzieli dotychczas nasi kapłani, pojęli jednak, iż w chwili, gdy człowiek otrzymuje od Boga moc największą, jaka może być dana na ziemi, trudno mu odrzucić prośbę bliźnich. To też Iwo, chcąc zadośćuczynić pragnieniu, które dusze ich zalewało, rzekł do Dominika:

— Chodź z nami, albo przynajmniej daj nam apostołów dla ojczyzny naszej!

Święty Dominik zwrócił oczy na dwóch braci Odrowążów, czytał snać w ich duszach, gdy odrzekł:

— Poruczcie mi wasze dzieci, a zwrócę je wam apostołami.

Zanim Iwo odpowiedział na te słowa, ujrzał, że Jacek i Czesław klęczą już przed św. Dominikiem i podlegają od tej chwili nowej władzy. Słysząc w głębi duszy słowa Tego, który powołał Piotra i Andrzeja, a który i do nich także mówił: „pójdźcie za mną!“ usłuchali głosu Jego. W kilka chwil później pospieszył na wezwanie Zakonodawcy Kaznodziejów Henryk, zwany Morawczykiem i Herman Teutończyk obaj również jednocześnie z Odrowążami do Rzymu przybyli.

Jacek i Czesław, pełni ducha kapłańskiego, dotąd zachowywali ubóstwo dobrowolne, z ową miłością która skłania bogatych do wspaniałomyślności w oderwaniu się od dóbr doczesnych. Tak ojcowizna Jacka i Czesława, jak ich dochody kościelne były własnością ubogich Krakowa; każdego wspomagali obadwaj święci z własnej kieszeni, a także czynami najróżnorodniejszymi; zdwajali pracę, by stać się obrońcami prawdy, zapaśnikami i obrońcami prawa przeciwko sile w rozruchach domowych, niepokojących Polskę. Od tej chwili ich służba Boża odznaczała się poświęceniem ukrytem i bezgranicznem siebie samych. Dotychczas czystość zachowała od zmazy ich ciała, umysł i serce. Obecnie trzeba będzie, aby ta czystość służyła ich słowu, słowu żywemu i ożywiającemu apostoła, rozsiewającego wiarę w narodach. Ich parafią nie będzie już jedna świątynia, ale świat cały. Posłuszeństwo ich było zewnętrzne. Teraz trzeba będzie poddać wnętrze duszy i wszystkie czyny. Stosunek obu kanoników z Bogiem przybierze postać doskonalszą. W Dominiku widzą urzeczywistniony ideał, jaki mają w głębi duszy, dotychczas nieokreślony jeszcze, ani oceniony. Pragną stać się apostołami, jak ten apostoł, przez którego Chrystus Pan wzywa ich bliżej siebie. Idą za nim, nie badając, dokąd ich prowadzi. Do nóg Dominika rzuciły ich nie długie namysły, lecz natchnienie Ducha św., które opanowuje wolę i nią kieruje.

Czasom pierwotnych zakonów znane były takie powołania, nagłe i szybko dojrzewające w duszach szlachetnych, które fundatorowie przyjmowali w jednej chwili, gdyż słowo Boże od razu zdziałać mogło, co chciało, na gruncie gotowym do przyjęcia Jego.

Obłóczyny w dominikańskim zakonie.

Iwo powrócił sam do pałacu kardynała Ugolina, podczas gdy św. Dominik prowadził swe nowe dzieci do klasztoru św. Sabiny. Szedł z niemi radośnie doliną, oświetleni blaskiem łagodnym zachodzącego słońca, wstępowali na wzgórze miasta. U nóg ich płynął Tyber, wązki, żółtawy, w dali ku południowi, roztaczały się krajobrazy przyciągające ich wzrok pięknością niezrównaną.

Jak klasztor św. Sykstusa, tak klasztor św. Sabiny wspierał się na dawnej bazylice. Pamięć czcigodnej wdowy i męczenniczki, której relikwje tam przechowywano, unosiła się nad nowymi kaznodziejami, aby opiekować się nimi, a budynek starodawny łączył się z nowożytnym w wielkiej harmonji.

Dwunastego lutego dzwon wezwał zakonników do sali kapituły. (Istnieje ona dotychczas, a napis na drzwiach wspomina o tem zdarzeniu). Dominik oblekł w suknie czterech młodzieńców, przysłanych mu przez Pana. Przez Dominika Chrystus wziął ich w posiadanie i połączył węzłem nierozerwalnym. Młodzieńcy otrzymali habit biały ze szkaplerzem zakonnym, na znak niewinności i płaszcz czarny, godło pokory. Ogolono im głowę na znak oderwania się od rzeczy ziemskich.

Zauważono różnicę w zachowaniu się Jacka i Czesława. Starszy szybko powstawał z głębokiego upokorzenia, zwanego w regule *venia;* zdawało się, iż rzuca się naprzód, całkiem porwany do czynu; natomiast brat jego leżał twarzą ku ziemi, jakby poświęcając się szczególnej regule zakonnej. Malowidło ścienne bardzo starożytne, w jednej z kaplic bocznych bazyliki św. Sabiny, przedstawia te obłóczyny.

Reguła Zakonu Kaznodziejskiego nie miała nic nowego, była to reguła św. Augustyna, jednak gdy ją głębiej rozpatrywano, dobitnie okazało się, dlaczego Stolica Apostolska zatwierdziła ją w chwili, gdy zamierzała ograniczyć liczbę zakonów, rozmnożonych w Kościele bez koniecznej potrzeby.

Do tej pory życie zakonne, którego jedyną istotą: poświęcenie się Bogu, wzorem: życie uczniów Chrystusa, celem: doskonałość miłości, objawiało się tylko w dwóch formach, mianowicie: zakonów kontemplacyjnych i zakonów czynnych. Kontemplacyjni zakonnicy ześrodkowali swą działalność w Bogu samym, a czynni poświęcali ją Stwórcy, służąc bliźnim w najrozliczniejszych niedolach.

Jedno i drugie Dominik połączył w jedną całość, przewyższającą oba te sposoby doskonalenia duszy.

Każdy zakon stara się odtworzyć jaki szczegół odrębny z życia Jezusa Chrystusa. Zakon Dominika głównie zajęło Słowo Boże, pełne niebiańskiej wiedzy, nauczające prawd wzdłuż dróg i w świątyniach, a najwymowniej na krzyżu, mocą krwi rozlanej.

Dominik tworzył regułę dla swych zakonników, którzy patrzyli na jego uczynki. Jak dwunastu apostołów przy Boskim Mistrzu, tak nowicjusze św. Sabiny kształcili się pod kierownictwem Dominika. Wszyscy byli młodzi, pełni zapału skłaniającego ich dusze do przyjaźni, pobudzali się więc wzajemnie do naśladowania swego ojca duchowego. U jego boku wzniosła moc umartwienia, znana już w życiu kapłańskiem Jacka i Czesława, wzrastała niepomiernie, by oczyszczać i ujarzmiać siły ciała przez ciągłą powściągliwość, post, śpiewanie psalmów.

Nowicjusze badali najmniejsze poruszenia duszy założyciela swego. Żyjąc z nim wspólnie, zstępowali z nim w te głębie rozmyślań, gdzie wola korzy rozum przed prawdą. Już nie zdobywali nauki, jak na wszechnicy, by dopiąć sławy; pragnęli tylko, posiadłszy prawdę przez rozum, a dobro przez miłość, oświecać i wzruszać bliźnich. Ich światło było pełne miłości, ich miłość prawdy przejęta radością; że są pochwyceni siłą mistrza, którego nauka rozlewała się tak na dusze, jak w dal rozlewa się woda potoku, wezbranego przypływem źródła. Żywy płomień miłości, udzielonej Dominikowi, przenikał i rozgrzewał młodzieńców, on zaś zbliżał ich do Boga, przyzwyczajał ich do tego, żeby nie bali się prawdy, żeby chcieli ją zrozumieć.

Gdy posłannictwo Iwona ukończone było w Rzymie, powołano go do Krakowa. Sam Dominik zamierzał opuścić św. Sabinę, Jego cuda i kazania jednały mu hołdy, których unikają święci, a ponieważ Honorjusz III powoływał go Viterby, gdzie przebywał dwór papieski, Dominik stawił się tamże pierwszych dni maja, 1220. Święty i biskup naznaczyli jednocześnie dzień wyjazdu, gdyż Iwo miał zabrać z sobą czterech Braci kaznodziejów.

Nowicjat Jacka, Czesława, Henryka i Hermana trwał kilka miesięcy zaledwie. Dominikowi nie stało czasu, ażeby kształcił ich zwolna. na wzór rzeźbiarza, urabiającego glinę i doprowadzającego ją powoli do przybrania jakiej chce postaci; postąpił on raczej jak odlewca: rzucił ich w formę, której sam był kształtem rzeczywistym, jak się pięknie jeden z biografów jego wyraził. Podobnie, jak kruszec topiący się w ogniu, młodzieńcy roztopieni miłością, wedle słów Pisma św. otrzymali piętno wieczne słowa, a Zakonodawca przelać potrafił w dusze nosze nowych synów swoich pragnienie oddania życia dla nawrócenia pogan, a zwłaszcza graniczących z Polską. Potem rzekł im: „Idźcie i nauczajcie!“

W tkliwej jego duszy boleść była wielka, gdy czterej uczniowie jego Rzym opuszczali. Nie jechali już konno, jak dostojni prałaci, którzy przybyli, ażeby modlić się u grobu Apostołów; ale, jak Piotr i Paweł, nieśli torbę żebraczą, brzemię, które wydawało im się lekkiem, gdyż mieli teraz szczególne zrozumienie Słowa Przedwiecznego, źródła miłości i wesela. Pilno im było wyjawić to co rozpamiętywali i poświęcić życie swoje dla rozszerzenia w świecie miłości. Tym sposobem stali się, pod sztandarem dominikańskim „hufcem Boga Żywego“.

Wpływ zbawienny synów św. Dominika. — Fundacje dominikańskie w Brezie, Pradze, Ołomuńcu.

Biskup krakowski, Iwo, przeprowadził pielgrzymów do ojczyzny. Nie wiadomo, czy ludy, przez

których kraje przechodzili misjonarze, zrozumiały ich z powodu zdolności, właściwych tym zakonnikom, czy też dzięki oświeceniu Ducha św., który hojnie udzielił im daru języków.

Miasteczko Breze (Friesach), w północnej Karyntji, przyjęło Braci ze szczególną gościnnością. Arcybiskup Salzburski spotkał w Rzymie Dominika, gdy tenże starał się o zatwierdzenie swego Zakonu i już wtenczas prosił go o kaznodziejów. Roztwierano przed nimi kościoły; okazały się jednak za szczupłe dla słuchaczów, których mogły pomieścić tylko place publiczne. Gdy Iwo udał się w dalszą

Święty Jacek.

podróż do Krakowa, ludność nie pozwoliła zakonnikom, żeby mu towarzyszyli.

Pragniecie zdobywać dusze dla Pana, mówili mieszkańcy Breze, weźcie, weźcie nasze; błagamy was o światło duchowe i uspokojenie serc.

Po raz drugi biskup krakowski był zniewolony uczynić ofiarę Panu: Niemcy, a nie Polska, miały odebrać pierwiastki apostolstwa, które on przygotowywał dla ojczyzny swojej.

Tymczasem pod wpływem zakonników w miasteczku niemieckiem zawrzało nowe życie: jedni dobrowolną jałmużną, której Bóg błogosławi, wznoszą mury, budują klasztory, stawiają kościół, przygotowują cele; drudzy szlachetniejszą nagleni miłością, składają do skarbca duchowego Braci nawrócenie, modły, umartwienia i cierpienia; inni nareszcie, a wśród nich wielu kapłanów i kleryków, oddają się duszą i ciałem, aby utworzyć zgromadzenie. Żywy klasztor powstaje przed wybudowaniem domu zakonnego, czyli raczej wszystko rodzi się, wzrasta pod szczególnem błogosławieństwem Bożem. W przeciągu sześciu miesięcy Breze posiadało już klasztor pełen nowicjuszów, noszących wybitne piętno św. Dominika, które przekazali im w pełni mistrzowie, tak jak sami je otrzymali. Dawni pisarze podają różne daty tej fundacji; opierające się na roku, w którym odbyły się obłóczyny Jacka i Czesława. Już w 1251 Bracia wystawili w Brezie nowy klasztor, odnowiony w 1890 r., staraniem Wieleb. O. Andrzeja Frühwirth, obranego wkrótce potem generałem Zakonu. Breze posiada i w teraźniejszych czasach klasztor Dominikanek uczących.

W młodych kapłanach niemieckich Jacek i Czesław mają współzawodników. Helger, hrabia na Hochsteinie, Ulryk, inni jeszcze współubiegają się o świętość z nimi. W pierwszych początkach istnienia klasztoru, w którym znajduje się wielu kapłanów, cud napełnia wszystkich weselem. Jeden z zakonników, odprawiając mszę św., popadł w niepokój: „Czy prawdziwie dokonałem konsekracji?“ odzywa się więcej do Boga, niż do siebie. W tej chwili wino zawarte w świętem naczyniu, wznosi się i wylewa z kielicha; widzą to obecni i zbierają je skwapliwie. Ofiara odpowiedziała ofiarnikowi.

Jacek postawił na czele nowego zgromadzenia Hermana. Pomimo zatopienia się w rozmyślaniu, pomimo szczególnych jego darów, nowego przeora mało ceniono w Brezie, bo nie odznaczał się wymową kaznodziejską. Pewnej soboty wedle swego zwyczaju, zatapiał się w modlitwie; tajemnica dziecięctwa Pana Jezusa, którą najbardziej ukochał, rozweselała jego duszę. Wtedy pierwszy raz zrozumiał, iż rozmyślanie nie może starczyć dla Braci Kaznodziejów, gdyż nadto powinni nauczać o tem, co rozmyślali.

— Matko Słowa Przedwiecznego — zawołał Herman — wyjednaj mi dar wymowy!

Po tej modlitwie, Herman stał się złotoustym kaznodzieją. Mocą wiedzy wlanej przez Ducha św., więcej posiadał nauki od Braci, którzy ją przez pracę nabyli; znaczenie jego utrwaliło się, a pierwszy klasztor, założony na ziemi germańskiej jemu zawdzięczał swoje ustalenie.

Proroczy duch Jacka widział może szereg Braci kaznodziejskich, których ojczyzną będzie ta okolica; może przeczuł ich przedziwny wykład prawdy, ich dzieła owiane tchnieniem poezji mistycznej, ich wymowę, która nada językowi ludów nadreńskich formę klasyczną i naukową.

Bracia nauczeni przez św. Dominika, iż trzeba „siać ziarno, z obawy, ażeby się nie zepsuło“, przysposabiają się do rozejścia. W tem rozproszeniu Bóg żąda od Odrowążów dowodu, że dla Jego miłości zawsze są gotowi do każdej ofiary.

Przyjaźń wzajemna Jacka i Czesława utrwalona pokrewieństwem, uduchowiona i spojona łaską jednakiego powołania, dopomagają ich staraniom w służeniu Bogu i ludziom. Odtąd droga powinności otwiera się przed nimi w rozmaitych kierunkach, bo Czechy i Polska żądają jednocześnie klasztorów. Chęć poświęcenia się wycisnęła piętno Boskie na ich przywiązaniu, które wola chroniła od pozostałości ziemskich.

— Idź opowiadać Ewangelję Zachodowi: Czechom, Ślązakom i Saksonom — rzekł Jacek do brata swego — a ja na wschodzie Polski głosić ją będę: Rusinom, Litwinom i Prusakom.

Powolni żądaniu Iwona Odrowąża, Jacek i Henryk podążyli w jego ślady. Czesław udał się do Pragi.

Jacek nie wysłał samego Czesława, lecz dodał mu *socjusza*, którego ma przy sobie każdy misjonarz, każdy zakonnik zajęty ważnemi sprawami, jako opiekę widomą, jako pomoc w pracach, jako żywego świadka wewnętrznego węzła, łączącego Braci, w celu uchronienia ich od samotności serca. Idąc prawie w prostej linji ku północy, nie napotkawszy innych przeszkód, prócz błękitnych fal Dunaju, Czesław i towarzysz jego Hieronim przybyli do Pragi.

Biskup którego poznali w Rzymie oczekiwał ich; legat papieski wziął ich w opiekę, a Przemysław Ottokar, który tylko co postarał się był o nadanie księstwu swemu tytułu królestwa, umieścił ich u stóp jednego z siedmiu wzgórz, na których wznosiła się stolica czeska nad brzegiem Mołdawy.

Niewypowiedziany zapał pociągał ludzi ówczesnych do życia zakonnego. Kościół św. Klemensa i otaczające go obszerne budynki, otworzyły podwoje dla przeszło stu nowicjuszów; liczni kapłani i klerycy szukali udoskonalenia miłości bliźniego

w doskonałości ofiarnej, a zgromadzenie przeczuwało, że trzeba będzie przysposobić obszerniejsze schronienia dla swoich członków. W pobliżu tego kościoła, drugi zakon św. Dominika, Dominikanki, wkrótce wspomagać zaczął modlitwami i pokutą apostołowanie Braci. W 1260 r., Małgorzata córka Leopolda arcyks. austrjackiego, żona Ottokara II, króla czeskiego, złożyła profesje w tym klasztorze, jako siostra służebna.

Tymczasem Jacek w towarzystwie Henryka zdążał do Krakowa. Gdy przechodzili przez Morawię, mieszkańcy Ołomuńca usiłowali zatrzymać u siebie rodaka swego, ofiarowując mu dusze, jedyne bogactwo, zdolne go przynęcić. Podobnie jak w Brezach, gdy tworzyło się zgromadzenie świętych, równocześnie wznosiły się dla nich mury klasztoru. Jedni „dawali pierwsze dusze, inni pierwwsze kamienie“ i Jacek, po zamianowaniu przeorem Henryka, udał się do Polski. Niektórzy pisarze upewniają, iż w czasie podróży Jacek przygotował fundacje w Znaim, w Opawie (Troppau) w Bernie (Brünn). Nie mając już Braci dla miast pragnących założyć klasztor Dominikanów, odsłonił licznemu gronu młodzieńców, którzy przybyli słuchać kazań jego, ideał, przepełniający jego duszę. Jacek, podobnie jak Dominik, prosił Polskę, aby dała mu dla swych dzieci robotników, powołanych przez Boga.

Przybycie św. Jacka do Krakowa. — Kazania jego wywierają silne na rodakach wrażenie.

Przybycie Jacka do Krakowa zapowiedziano na dzień Wszystkich Świętych. Ojciec jego już nie żył; ale brat jego, Jakób, oraz babka i matka oczekiwały go, a siostra stryjeczna Bronisława w klasztorze Norbertanek modliła się od dawna o szczęśliwy dlań powrót.

Biskup z kapitułą, dwór książęcy, rycerstwo, mieszczanie, rozwinęli sztandary najbogatsze, gdy wyszli naprzeciw Jacka. Wtem ulewa rzęsista rozproszyła orszak. Jedni chronią się do kościołów, drudzy do pałaców i domów. Wchodząc do miasta, Jacek znalazł tylko szczupłe grono rzemieślników.

— Wasz cech będzie mi wiernym, rzekł, błogosławiąc ich—i od sześciu wieków ów cech daje świadectwo o prawdzie słów świętego. Dotąd w czasie procesji Najświętszego Sakramentu, w kościele O.O. Dominikanów w Krakowie, cech szewcki nosi baldachim.

Przyjęcie, jakiego doznał Jacek ze strony Leszka Białego, w Polsce naówczas panującego, wprawiło w podziw lud zebrany. Za zbliżeniem się Jacka, książe padł na kolana.

— Jestem tylko człowiekiem — zawołał apostoł — nie mnie należy się podobna cześć.

— To też nie tobie ją oddaję — odpowiedział Leszek — ale Marji, Królowej Nieba, którą widzę otaczającą cię swoją opieką.

Starożytny obraz w kaplicy św. Jacka, w kościele O.O. Dominikanów w Krakowie, przedstawia tę chwilę.

Iwo zaprowadził synowca swego blisko zamku królewskiego, oraz własnego pałacu i umieścił w domku drewnianym, aż do czasu, w którym wybudowanie nowego kościoła parafjalnego dozwoliło zająć Braciom kaznodziejskim razem z budynkami klasztornymi, kościół Świętej Trójcy.

Następnie biskup kazał wprowadzić Jacka na kazalnicę w katedrze. Już samo ukazanie się zakonnika, który złożył śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, było wymownem kazaniem, jak to dobrze przeczuł św. Dominik, pragnąc, aby w Polsce apostołował Polak.

W Polsce obyczaje wśród duchowieństwa pozostawiały wiele do życzenia. Napróżno papieże starali się przez swoich legatów przywrócić porządek, tchnący czystością, zniewalający do uszanowania i przyciągający dusze. Niestety księża często byli skłonni do zbytku i pychy, zbyt żądni dostojeństw. Natomiast zakonnicy nie wychodzili z klasztorów.

Polacy, gorąco przywiązani do swej narodowości, niechętnie widzieli misjonarzy niemieckich, osiedlających się w Polsce. Czcząc Boga prawdziwego, nieprzyjaźni byli kapłanom Jego. Wojny domowe, rozniecane przez sąsiednie narody, utrzymywały tę niechęć; czasami nawet, w chęci zaznaczenia niepodległości kraju wobec cudzoziemców, burzyli ołtarze Chrystusa i zabijali sługi Jego u podnóża swych bożków. Nawet gdy arcybiskup gnieźnieński, jako metropolita, nie był zależnym już od Magdeburga, książęta mieszali się do spraw duchownych, znajdując poparcie u pewnej części zapalonych patrjotów. Jedynie Polak zatem mógł przekonać ich, że nauka chrześcijańska nietylko nie szkodzi miłości ojczyzny, lecz podnosi ją i potęguje.

Jacek czerpiąc temata do kazań z nauk nadprzyrodzonych, wykładał przytem jak człowiek, znający troski, prace, życzenia bliźnich; jak brat, odczuwający w każdej jednostce najwznioślejszą i najlepszą stronę. Dobrze znał swój naród wojowniczy, pełen zapału, bohaterski z natury; szlachtę, zbrojną i hojną w rozdawaniu bogactw swoich, lud krzepki odważny, dzielny; ale znał i panów, łaknących zaszczytów rozkoszy, łupów; wyniosłych względem niższych, skorych do obietnic, a opieszałych w dotrzymaniu ich, patrzył na niektórych swych współbraci, pijanych, mściwych, zabobonnych, ociężałego umysłu. Przypadło mu w udziale przez wykładanie dogmatu oświecać ludzi, uważających naukę chrześcijańską za naleciałość cudzoziemską; wpajać moralność katolicką ochrzczonym, buntującym się przeciwko prawu

poddać pod władzę Kościoła lud, do karności nieskłonny.

Jacek przemawiał do słuchaczów wymową, apostołom właściwą. Takiej wymowy nie uwieczni żadna księga, gdyż płynie ona z duszy, która, żyjąc miłością, wnika do dusz uważnych słuchaczy. Ludzie usposobienia buntowniczego, posiadający mało bystrości umysłu, nie odczuliby ani piękności, ani potęgi tych kazań, gdyż Jacek, mało dbając o podobanie się wyobraźni, lub o podniecenie tkliwości nie używał nigdy środków ku temu, ale trafiały słowa jego do głębi serc, gdyż prawda wraz z niemi przenikała je i wytwarzała cnotę.

Jacek, doczekał się w krótkim czasie żniwa z posiewu na ojczystej glebie. Średnie wieki często oglądały podobny cud, dzięki zwycięskiemu działaniu świętych. Odtąd sąd w Krakowie, stawszy się chrześcijańskim, prowadził sprawy. Ognisko oczyściło się. Państwo miało obywateli rozsądnych w radzie, bezinteresownych w usiłowaniach, ale nielicznych, gdyż usposobienie ogółu było mało podatne i przygotowane do tego rodzaju łaski. Nakoniec w progu tworzącego się nowicjatu stanął wybór przykładnych słuchaczy.

Pierwszy cud św. Jacka.

Z potęgą słowa łączył św. Jacek ową moc rządzenia siłami przyrodzonemi, która, wywierając wrażenie na zmysły, olśniewała ciemne rzesze, żeby je nawrócić. Tkliwa miłość Boża chciała, by pierwszy cud Jacka przypomniał ów cud, który w klasztorze Świętego Sykstusa upamiętnił jego powołanie.

Dnia 27 grudnia 1221 r., Polska święciła przeniesienie relikwji dostojnego syna swego, biskupa Stanisława, umęczonego w 1079, przez króla Bolesława Śmiałego.

Jacek podążał na Skałkę, gdzie wystawiony był relikwiarz, aby wygłosić mowę na cześć świętego. Duchowni, szlachta, mieszczanie, lud, idący za nim, mieli przeprawić się przez Wisłę, gdy niewiasta pewna, zatrzymując kaznodzieję, wskazała mu zwłoki młodzieńca:

— Na imię mi Falisława, — rzekła, — jestem wdową, a oto Piotr, moje dziecko jedyne, utonął w wezbranych falach rzeki. Nie mam już nikogo na świecie!

Jacek nie mógł powstrzymać łez współczucia, jak niegdyś Dominik nad zwłokami Orsiniego. Ująwszy skostniałą rękę młodego rycerza, rzekł:

— Piotrze, Chrystus, którego jestem kaznodzieją, wraca ci życie, za przyczyną Matki Swojej.

Piotr wstaje, Falisława pada na kolana a z tłumu wiernych wznosi się okrzyk dziękczynienia. Wskrzeszenie Piotra, które podają wszyscy historycy, miało niezliczoną ilość świadków, niektórych bardzo ważnych, jak Prandotę, późniejszego dziekana kapituły krakowskiej i biskupa. Twierdzenie Dr. Ćwiklińskiego („Mon. Pol.“, t. I., str. 838), mające na celu wykazanie błędów w nazwiskach świadków, nie zmniejszają wartości świadectw.

Zakon kaznodziejski w chwili śmierci św. Dominika.

Śmierć św. Dominika nastąpiła d. 5 sierpnia 1221 r. Czy obadwaj święci spotkali się jeszcze kiedy od chwili rozstania? Czy istniało między nimi to wzniosłe wylanie uczuć na piśmie, te związki duszy, które niosą pocieszenie w rozłące. Nie wiadomo. Przed zgonem, założyciel zabezpieczył przyszłość swoich fundacji przez założenie kapituł generalnych. Być może, iż Jacek udał się do Bolonji, gdzie odbyły się dwie pierwsze sesje, 1220 i 1221 roku. Ale jeśli obowiązki zatrzymywały go w Krakowie, nie zapomiał, iż Dominik, umierając, z żalem patrzał w stronę synów swoich wysłanych na północ, gdyż nie mógł brać udziału w ich apostołowaniu. Doniesiono Jackowi, że Ojciec przeznaczył głową swej rodziny zakonnej młodego Niemca Jordana z Saksonji.

Na czele Braci kaznodziejskich stał Jenerał, który rządził całym Zakonem; prowincjałowie zawiadywali prowincjami, t. j. krajami, gdzie głosili Ewangelję; przeorowie zarządzali pojedyńczymi klasztorami, których zakon liczył już przeszło sześćdziesiąt. Przełożonych obierano większością głosów, na pewien przeciąg czasu, z wyjątkiem jenerała, którego stanowisko było dożywotne. W pierwszych czasach istnienia Zakonu Kaznodziejów, regułę tworzył sam sposób życia fundatora i towarzyszy jego; później nastąpił nowy porządek rzeczy, wiek prawodawczy, w którym miał rozwinąć się klasztor krakowski.

D. 25 marca 1222, synowie Dominika, zebrani w Krakowie, objęli w posiadanie kościół i klasztor pod wezwaniem Świętej Trójcy. Pałac Odrowążów graniczył z klasztorem; to też matka i babka nowomianowanego jenerała słyszały z komnat swoich radosne okrzyki ludu w czasie instalacji Jacka. Obiedwie te matrony znalazły w Trzecim Zakonie św. Dominika doskonalszy stan od stanu świeckiego. Zbierając u siebie pobożne niewiasty prowadziły życie zakonne.

Trzeci Zakon świecki św. Dominika, tak nazwany dla sposobu życia mniej doskonałego od dwóch pierwszych, jest najstarszym ze wszystkich Zakonów Tercjarskich i zarazem jedynym, zupełnie biorącym udział w odpustach całej rodziny zakonnej, do której jest przyjętym. Śluby obowiązują Tercjarzy tylko do samego ducha ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Tercjarze nie czynią ślubów, będących treścią życia zakonnego; jednakże profesja ich jest zobowiązaniem zakonnem; wykonują regułę, którą Stolica święta zatwierdziła,

jako regułę „Zakonu prawdziwego“. Małżonkowie, wdowcy, wdowy, dziewice, kapłani, członkowie, stowarzyszeń religijnych mogą należeć do Trzeciego Zakonu. Iwonia otrzymała z rąk św. Jacka suknię pokuty. Dom, w którym zasnęła w Panu Beata, matka Jacka, po śmierci Iwonii przeszedł na własność Tercjarek, które żyły tam w zgromadzeniu. – W XVII wieku stanowiły, można powiedzieć, część klasztoru Braci Kaznodziejskich; w 1620 r. należały do zakonnic klauzurowanych; część ich przeszła do drugiego Zakonu i osiedliła się w Gródku. Klasztor ma Iwonię za swoją fundatorkę.

W towarzystwie kardynała legata, Grzegorza Crescenzio, Iwo na czele duchowieństwa krakowskiego, przyjął Braci Kaznodziejskich w kościele, który im oddawał na własność.

Biskup nie zabrał jednakże wszystkich, których przyprowadził. Synowiec legata, Jakób Crescenzio, sławny profesor prawa kanonicznego w Rzymie, należał do misji swego stryja, w charakterze sekretarza. Po nabożeństwie, Jakób za natchnieniem Ducha św. , przypadł do nóg Jacka, tak jak niegdyś Jacek rzucił się do stóp Dominika. Jakób poświęcił się zakonowi całą siłą duszy czystej i gorącej, Zakon przyjął go natychmiast z zaufaniem właściwem pierwotnym wiekom jego istnienia, gdyż charakter postulantów, jak doświadczenie pokazało, zgadzał się zupełnie z ich powołaniem.

Nowicjat krakowski w nowym klasztorze był podobny do nowicjatu św. Sabiny. Jacek życiem swojem tak wyraźnie mówił o duchu Dominika, że sam przykład jego kształcił Braci. Prawie ciągle pościł o chlebie i wodzie; krwawe pokuty jego powtarzały się często pod razami dyscypliny; większą część dnia zajmował się trudną, nużącą pracą umysłową, a w nocy rozmawiał z Panem, w głębi serca łącząc się z Bogiem. Nie mając innego miejsca wypoczynku, jak kościół klasztorny, tam się udawał dla wzniosłego rozpamiętywania przedwiecznej słodyczy Jego miłości, którą Pan darzy Swoich ukochanych. Wśród głębokiego milczenia, nazwanego przez synów Dominika „ojcem kaznodziejów“, otrzymywał z nieba naukę oświecającą umysły i pobudzającą wolę, zażywał radości zjednoczenia się z Chrystusem; radość ta umieściła na ustach i we wzroku Jacka to, co podnosi i pociesza; nędzni, widząc jak płacze z nimi odchodzili od niego pocieszeni. Chorzy, którzy zapomnieli o Bogu wskutek wielkich cierpień, słuchali chętnie słów jego nad podziw przekonywujących i ujmujących; tak samo umiał trafić do serca tych, którzy stronili od kazalnicy i od konfesjonału. Jeżeli grzesznicy znieważali go, wymawiał słowa miłości, powstrzymujące zuchwalstwo. Jeżeli miał do czynienia z ludźmi zbyt ograniczonymi, albo mającymi serce zbyt zamknięte, żeby mogli zrozumieć dary łaski Bożej, wtedy leczył najpierw choroby ciała. Przez położenie rąk uzdrowił paralityczkę i obłąkaną. Pierwszego cudu doznała, 30 maja 1222, Judyta z Kościelca; miała ona sparaliżowany język. Syn jej Prandota przyprowadził ją do Jacka. Drugi cud uczynił Jacek, uzdrawiając 20 września 1222 r. niewiastę, obłąkaną w skutek bólów głowy.

Apostoł ten, tak doskonały, oraz uczniowie, którzy współubiegali się z nim w żarliwości apostolskiej widzieli coraz wspanialsze plony swej pracy.

Błog. Czesław powołany zostaje do Wrocławia i tam klasztor zakłada.

Tymczasem biskup wrocławski powołał do siebie Czesława, żeby miewał kazania w katedrze św. Marcina. Podziwiając ścisłość naukową tego kaznodziei, widząc, że tak dobrze zakorzenia prawdę w duszach, prosił Dominikanów o założenie klasztoru we Wrocławiu. W tym celu przeznaczył grunta, okalające kościół starożytny św. Wojciecha, oraz świątynię samą na własność zakonników.

Czesław przedstawił biskupowi Wawrzyńcowi trudności tego przedsięwzięcia: wybudowanie choćby najuboższego klasztoru wymagało znacznych kosztów. Ale biskup ufał w pomoc mieszkańców Wrocławia oraz panującego tam Henryka, spokrewnionego z Leszkiem Białym. Chwalebne więc zamiary udało się w czyn wprowadzić.

Czesław umieścił na czele klasztoru w Pradze socjusza swego Hieronima i oddał się całkowicie nowej misji.

Rozmaite dary, których Bóg udzielił Jackowi i Czesławowi, uwydatniały w nich odrębne rysy wspólne każdemu synowi Dominika. Starszy brat oczyma duszy miewał przedziwnie piękne widzenia Boga, które w rozmowach umiał odtwarzać przed wzrokiem duchowym pobożnych słuchaczów. Potęga jego zasadzała się prawie wyłącznie na kaznodziejstwie, na biegłem i szybkiem wtajemniczaniu uczniów w życie duchowe.

Młodszy brat, jeśli zaczął apostolstwo swoje przez słowo, wykonywał je szczególniej przez kierownictwo. Ci, których dała mu wdzięczność i głębokie przywiązanie, powstałe z nauk przy spowiedzi, pozostawali zawsze pod władzą tego ojca duchownego, miłującego ich do końca. Jacek zdobywał, Czesław wprawiał do karności. Na wzór dobrego Pasterza, Jacek przynosił owce do owczarni. Głównym przymiotem Czesława była władza, która zbiera, która każe żyć i działać z siłą. Okazał to sposób przysposobienia nowej fundacji, powierzonej mu przez biskupa.

Klasztor z nowicjatem był zarazem schronieniem, gdzie kształcili się apostołowie; szkołą, gdzie uczeni przyswajali sobie wiedzę; ucieczką pracowni-

ków, wyczerpanych zajęciami; przytułkiem starców przed śmiercią. Młodzieńcy dojrzewali przy mężach, których życie wydało owoce; żarliwość promieniała na zewnątrz, młodzi i starzy pomagali sobie wzajemnie. Przykład mężów, niosących odważnie, w skwarze dziennym i w chłodzie wieczornym, brzemię, które Chrystus włożył im na ramiona, pouczał o trzymaniu w karbach dzielności i o rozrządzaniu siłami. Zupełne ubóstwo przysposabiało do surowości, posuniętej do ostatecznych granic. W czasie sesji kapituły w 1220 r., Dominik, żądając dla swego zakonu ubóstwa zupełnego, kazał zrzec się klasztorom dóbr im nadanych. Później papieże zniewolili Braci Kaznodziejskich do posiadania dóbr. Rozchodziła się przytem daleko sława nauki O.O. Dominikanów. Wstępowanie do klasztorów duchownych zdolnych uczniów, a czasami uczonych profesorów uniwersytetu w Tuluzie, w Bolonji i w Paryżu, wszystko to robiło ze zgromadzeń dominikańskich ogniska wiedzy, która dla nich była potrzebnem narzędziem apostolstwa.

* * *

Przed wybudowaniem klasztoru Braci Kaznodziejskich, biskup wrocławski stworzył dla powstającego ich zgromadzenia kaplicę w pałacu książęcym, gdzie Henryk z małżonką swą Jadwigą przyjęli gościnnie apostołów, pracujących nad założeniem na Śląsku królestwa Bożego.

Księstwa tych obdarzył Bóg najlepszą radością ziemską; mieli trzech synów i trzy córki; poddani szanowali ich; mieli sposobność wypełniania dobrych uczynków i korzystali z niej ochoczo.

Pod wpływem przewodnika swego duchowego błog. Czesława, coraz więcej doskonalili się w cnotach. Gdy Bóg zabrał im czworo niewinnych dziatek, cieszyli się z pomnożenia mieszkańców w niebie. Wpoili synowi swemu niewzruszoną wierność względem Boga, a widząc u córki swej powołanie do klasztoru, pomogli jej do zachowania dla Boskiego Oblubieńca kwiatu młodości i nieskazitelnej miłości.

Zaiste, godni to petenci takiego jak Czesław, przewodnika, zdolni do pomagania mu w założeniu klasztoru wrocławskiego.

Czesław okazywał tu lepiej jeszcze, niż w Pradze, szczególniejsze zdolności w rządzeniu. Oddany zupełnie zakonnikom, którzy składali przed nim śluby, czuł się w prawie żądania od nich tego, czego Bóg wymaga od apostołów uczonych, męczenników. Sam odznaczał się bezstronnością i spokojem w postanowieniach, wytrwałością w dążeniu do dobrego, pomimo napotykanych przeszkód i trudności które pokonywał mężnie. Nie okazywał pobłażliwości, karząc nieposłusznych, lecz zmuszał ich miłością swoją do poddania się, do pokutowania za popełnione winy. Brał na siebie odpowiedzialność za czyny, do których pobudzał zakonników, a posłusznych otaczał swoją opieką. Słowem, Czesław urzeczywistniał — zdaniem Braci — idealny typ przeora, ten ideał władzy, który św. Dominik stawia nader wysoko, a który następcy jego tak doskonale pojęli, że zakon jego nazwano Zakonem Przeorów.

Widzenie św. Jacka.—Przeprawa przez Wisłę.

W przeciągu paru miesięcy Jacek rozszerzył w klasztorze krakowskim sposób nauczania, jaki tylko dać może wiedza i uzdolnienie. Przykład cnotliwego życia Jacka działał tak dodatno na zakonników, że byli to raczej współzawodnicy, a nie uczniowie jego. To też w 1224 r., święto Wniebowzięcia było dniem radości dla Jacka, gdyż jedynie jego zakonnicy złożyli ślub posłuszeństwa Matce Bożej. Jak Pan Jezus, tak i Jacek otrzymał suknię od Najświętszej Panny. Jak Chrystus Pan, tak i Jacek doznawał tych objawów tkliwych miłości macierzyńskiej Dziewicy, które dusze napełniają siłą przedziwnie czystą.

Jutrznia dopiero co skończyła się; przeor przed odprawieniem mszy św., pogrążony był w modlitwie u stóp ołtarza. Nagle olśniewające światło napełniło świątynię, pogrążoną jeszcze w cieniach nocy: przed tabernakulum ukazała się Królowa Apostołów, otoczona wybranymi.

— Wesel się, mój synu — rzekła do Jacka — gdyż twoje modlitwy są miłe Synowi memu. O cokolwiek prosić Go będziesz w imię moje, da tobie.

Poczem Najświętsza Dziewica zniknęła zapewniwszy Jacka, że będzie opiekunką całego Zakonu. Słodka melodja dźwięczała pod sklepieniem świątyni napełnionej wonią, której żadne kadzidło dorównać nie jest w stanie.

Jacek, rozpromieniony doznanem szczęściem, powierzył tajemnice miłosierdzia Boskiego najserdeczniejszym towarzyszom swoim, Godynowi i Florjanowi, których cnoty były radością szczególną dla ojcowskiej miłości jego; lecz za przykładem Marji, rozważał je przedewszystkiem w sercu swojem. Odtąd miał zupełną pewność, że Najświętsza Dziewica wysłucha zawsze jego modlitwy, chociażby nawet do cudu uciec się miała. Dlaczego udzielił mu Bóg tej mocy? Do jakiej pracy wzywają go wyroki Opatrzności?

Jacek widział, że Pan Bóg powołał Polskę do apostolstwa rycerskiego, którego siłą główną: krwawa ofiara życia. To powołanie okazało się zaraz po zaprowadzeniu chrześcijaństwa w Polsce, gdy Polacy z wielkiem poświęceniem krzewili wiarę Chrystusową między sąsiedniemi bałwochwalcami. Powołanie to utwierdziło się, gdy papież wezwał Polskę do wzięcia udziału w krucjatach przeciw poganom z Północy.

Podczas tych wojen świętych, zanikały poniekąd właściwe Polakom błędy; zaczęli oni przywykać do karności, czego Jacek miał naoczny dowód. Sztandar Chrystusa, wywieszony przeciw pogańskim Prusakom połączył trzech braci, rządzących w Polsce: księcia krakowskiego, wrocławskiego i mazowieckiego. Wspólnie godzą oni na Prusaków, gdyż Prusacy są wrogami wiary, a dla nich trzech nie ma cenniejszego dobra nad wiarę. Zwycięstwo wszakże nie odpowiadało wysiłkom. Mazowszu bowiem samemu, graniczącemu z Prusami, pozostawiono odparcie napaści pruskiej. Walczono z wysiłkiem. Czyż zatem nie wybiła dla Jacka godzina porozumienia się z Konradem i połączenia na nowo Polaków w tym celu, aby nadal żyli ze sobą wedle woli Bożej i szli drogą wiodącą każdy naród do nieśmiertelności?

Bitwa pod Kałką Tatarów z Rosjanami d. 24 maja 1224 r., odsłaniała z jednej strony Moskwę osłabioną rozterkami wewnętrznemi, z drugiej azjatyckie hordy pogańskie napadające na Europę chrześcijańską.

Rosja nie obawiała się dotychczas potęgi silnego zaborcy, Dżengis-Chana, którego państwo rozciągało się od równin azjatyckich aż do jej granic. Dopiero gdy patrzyła na katusze swych książąt, na rzeź swych wojowników, zaczęli obawiać się powrotu ludów koczujących, o których wieść zaginęła po bitwie pod Kałką i pragnęła mieć sprzymierzeńców w razie ponownego napadu.

Jacek chciał skorzystać z tego życzenia i użyć go do pomocy w rozszerzaniu słowa Bożego. Pierwszy w Rosji książę chrześcijański, Włodzimierz, otrzymał światło wiary z całym narodem nie z Rzymu, jak Morawianie, Czesi, Polacy i plemiona słowiańskie, zamieszkałe na wybrzeżach Baltyku, lecz z Konstantynopola, zkąd księżna Anna przywiozła misjonarzy dla Rosji Niechęć metropolitów XII w. do Stolicy św. zrywała każdy związek pomiędzy Rosjanami a Wiecznem Miastem. Węzeł ten można było na nowo zawiązać, i oto przed oczyma apostoła zarysowuje się pierwszy okres jego posłannictwa. Książę mazowiecki, Konrad, nie stracił bynajmniej odwagi: w porozumieniu z Krystjanem biskupem pruskim, postanowił sprowadzić Zakon rycerski, przeznaczony do bronienia wiary i do opiekowania się chrześcijanami. Jacek chcąc dopomódz księciu, zabrał, prócz Braci, którym powierzył swe nadzieje skryte, zakonnika, zwanego Benedyktem.

Czterej kaznodzieje spieszą na północ. Tymczasem przed twierdzą, wznoszącą się i górującą nad miastem Wyższogrodem, na pograniczu Mazowsza i Kujaw, znajdują straszną zaporę: wezbrane fale Wisły, wskutek stopienia śniegów, zalewają brzegi; żadna łódź nie oprze się prądowi, żaden sternik nie odważy się nią kierować. Jacek klęka przy brzegu z Braćmi, modli się długo, potem kreśli wielki znak krzyża nad Wisłą i, rozkazując falom, zstępuje na nie, poczem wzywa towarzyszy, by szli za nim; ale oni stoją, jak wryci z przerażenia. Jacek, zdjęty litością, oraz ojcowską pieczołowitością, zdejmuje płaszcz i rzuca go na wodę. W imię posłuszeństwa rozkazuje zakonnikom, żeby stanęli na płaszczu:

— Nie lękajcie się, synowie moi, woła; oto most, po którym Pan nasz, Jezus Chrystus, każe nam przejść rzekę.

Początkowo młodzieńcy wahali się bo rozsądek ich podnosił bunt. Ale cóż ztąd?! Przecież marynarz odbija od brzegu, żołnierz idzie za wodzem na śmierć pewną — czyż oni, uczniowie Chrystusa, zbuntują się i uciekną przed niebezpieczeństwem? Przenigdy! Oto już weszli na płaszcz. Jacek, trzymając koniec tegoż, doprowadza szczęśliwie Braci na brzeg przeciwległy. Cud ten jest podany w Bulli kanonizacyjnej.

Z murów Wyższogrodu widziano zakonników; wszyscy biegną na ich spotkanie. Cud przysposabia do przyjęcia prawa Bożego ludność, której serce napełnia się miłością Najwyższego. Mazowsze przygotowuje się do zakładania klasztorów dominikańskich.

Czy Jacek brał czynny udział w fundacji Konrada, „Braci rycerstwa Chrystusowego w Prusiech?“ Czy przepowiedział chwalebny i krwawy koniec tego wojska, umęczonego przez pogan w samym początku jego istnienia? Czy nasz święty chciał odwieść Leszka Białego od wezwania na pomoc Zakonu Teutońskiego, który utworzył potęgę niezależną od państwa i zgubną dla kraju? Nie wiadomo. Zdaje się jednak, iż żarliwość apostolstwa i obawa próżnej chwały skłoniła Braci kaznodziejskich do opuszczenia Prus. Płynęli z prądem Wisły; zatrzymywali się w drodze, wypowiadali kazania tak wymowne, że pod ich wpływem, zabrano się do budowania klasztorów, najpierw w Płocku, potem w Toruniu.

Zakonnicy wylądowali na Pomorzu przy ujściu Wisły do morza Bałtyckiego. Książę Świętopełk, poczuwając się do wdzięczności w obec Leszka, księcia krakowskiego, krewnego swego, przyjął apostołów w stolicy swej, w Gdańsku. Jacek zaraz spostrzegł, że Świętopełk nie należy do rzędu osób hojnych. Dla nowej fundacji przeznaczył wysepkę, na której Dominikanie wystawili klasztor, do czego przyczynił się głównie Brat Benedykt.

Na dworze książęcym wszyscy szydzili z Jacka: tymczasem widział on duchem proroczym, na miejscu fal spienionych, wspaniały port, miejsce przyszłej sławy i bogactwa Gdańska.

Przybycie św. Jacka do Kijowa i pobyt na Rusi.

Jacek, przyrzekłszy powrót z Braćmi, celem nawrócenia Pomorza i Prus, udał się na wschód, do Kijowa.

Droga nader długa roztacza się przed zakonnikami, w pośród równin kwiecistych. Idą dniem i nocą, cisza słodka i przejmująca na schyłku lata, ogarnia Braci. Przyroda pomaga im do skupienia; wraz z nią słuchają głosu Boga żywego i idą stepem, zatopieni w rozmowie ze Słowem Bożem.

Z brzaskiem jutrzenki, Jacek i Bracia ujrzeli na wzgórzu stolicę Rusi, „kolebkę wiary", Kijów, uwieńczony czterystu kościołami, o złotych lub srebrnych kopułach, otoczony murami, okolony lasami, rosnącymi, na najżyzniejszej czarnej glebie, nad Dnieprem, po którym zwożono mu daniny ze wschodu, oraz skarby bizantyjskie.

Podwoje Złotej Bramy otwierają się przed podróżnymi: rozpoznają na niej miejsce w które niegdyś Bolesław Chrobry *szczerbcem* uderzył. W kościołach, ozdobionych jaskrawą mozajką, w grotach Peczerskich, w których od wieku przeszło mnisi schizmatyccy oddawali się modlitwie, napastnicy zostawiali nieraz okrutne ślady bratobójczego najazdu. I tak np.: Książę Suzdalski, chcąc, żeby stolica państwa jego przewyższyła wspaniałością Kijów, spustoszył go, 1147 r., dopuszczając się przytem gwałtów i okrucieństw.

W skutek tych walk, panujący książęta w Kijowie zmieniali się często. Gdy obrano którego z potomków Włodzimierza Monomacha prawem starszeństwa, pozbawiał go tronu, na pewien czas, albo na zawsze, brat lub krewny, potężniejszy od niego.

Ówczesny Wielki Książę Włodzimierz przyjął O.O. Dominikanów. Byli to w państwie jego pierwsi zakonnicy z Zachodu. Zanadto odróżniali się od mnichów greckich, by mogli nie ściągnąć na siebie uwagi.

W dniu ich przybycia, mówiono w całem mieście tylko o Jacku; opowiadano, że po położeniu rąk jego, córka księcia ślepa od urodzenia, uzyskała wzrok i prosiła, żeby pozwolono jej wstąpić do klasztoru katolickiego i że Włodzimierz, obiecał wybudować klasztor dla Braci Kaznodziejskich.

Położenie Kijowa jest bardzo malownicze; na jednym ze wzgórz jest świątynia św. Zofji jeden z najwspanialszych zabytków. Bracia znaleźli w tem bogatem mieście wielkie ożywienie i ruch, jakiego Dominik bardzo pragnął dla synów swoich, aby apostolstwo ich mogło rozszerzać się jak najwięcej. W przystani na Dnieprze, w dzielnicy, zwanej Padół, zatrzymywały się statki kupieckie, przewożące towary do Konstantynopola, albo Dnieprem do kraju. Tam to miano wybudować klasztor Dominikański, poświęcony Matce Bożej. Według kroniki Długosza, wybudowanie klasztoru odbyło się 1228 roku.

Bracia Kaznodziejscy chcieli najpierw nawrócić pogan, licznych jeszcze w Kijowie, których punkt zborny znajdował się naprzeciw Padołu, na wyspie Tronchanowo, otoczonej Dnieprem i dopływem tegoż, Czertorją. Czy bałwochwalcy wydobyli z Dniepru bożyszcze, wrzucone do rzeki na rozkaz Włodzimierza Wielkiego? Czy drzewo jakie, piękniejsze niż inne, upodobali oddając mu cześć zabobonną? Nie wiemy. To tylko pewne, że w ukryciu odprawiali obrzędy pogańskie i mieli tam swoją świątynię, szatanowi składając ofiary.

Pewnego dnia, gdy św. Jacek chciał rozpocząć nawracanie pogan na wyspie, ludzie uzbrojeni zabronili mu przystępu do promu na Dnieprze. Wówczas Jacek nakreśliwszy znak Krzyża św., przechodzi w cudowny sposób przez rzekę, której fale rozbijają się o wybrzeże Padołu, i szczęśliwie dostaje się na wyspę. Torując sobie drogę wśród zarośli, zbliża się do olbrzymiego drzewa, służącego poganom za schronienie.

— Co za niedorzeczność! — rzecze do nich Jacek. — Korzycie się przed rzeczą bez rozumu, prosicie o prawdę – ducha kłamstwa, o dobro — wroga ludzkości! Jeśli to drzewo jest Bogiem niech oprze się temu kijowi, a uczczę je z wami, ale jeśli złamie się, uczcijcie ze mną Boga, Pana naszego.

Po tych słowach św. Jacek uderza laską w stary dąb, który rozsypuje się w popiół i ukazuje szatana pod ludzką postacią. Święty walczy z nim i ciągnie go do Dniepru. Jacek, ożywiony duchem Bożym, utrzymuje się na wodzie, pochłaniającej ludzką postać, którą zły duch był przybrał. To zdarzenie oparte na tradycji, uwieczniono na obrazie pamiątkowym, umieszczonym około 1400 r. w kościele Braci Kaznodziejskich w Krakowie.

Tłum ludzi zbiegł się ze wszystkich stron do apostoła. U nóg jego korzy się dziewczyna wysokiego rodu, ale złego życia, ufając, że święty zechce uleczyć ją z ciężkiej choroby. Nadzieja nie zawiodła, gdyż Jacek uzdrowił nietylko ciało jej, ale i duszę. Nawrócona grzesznica składa u stóp apostołów swoje mienie, chcąc odtąd żyć z miłosierdzia i być jak Magdalena pokutnicą.

Wielka liczba Rusinów przyjęła prawdziwą wiarę, a wybrane dusze zapragnęły przejść od zachowywania przykazań do wykonywania rad ewangielicznych. Wielu duchownych zamieniało kosztowne szaty na ubogi habit dominikański. Liczba nawracających się tak wzrastała, iż zaniepokoił się dwór wielkiego księcia i skłonił do działania metropolitę całej Rusi, którego stolicą był Kijów. Włodzimierz obawiał się partji nieprzychylnej mu tembardziej, że nieugruntowaną była jego władza. Radził zatem Dominikanom, aby udali się na misję do krajów, leżących za granicami jego państwa. Twierdzono wtedy na Rusi, iż święty Jacek nawracał

mieszkańców Czernichowa, Smoleńska, Włodzimierza i Moskwy, zakładając klasztory, niemamy jednak niestety żadnych pewnych wiadomości co do owej podróży św. Jacka. Starożytny rękopism klasztoru kijowskiego, który przytacza Okolski (część II, str. 119) nie podaje ani drogi, ani daty. Wiadomo nam, że Jacek przebywał czas pewien w klasztorze kijowskim, przed opuszczeniem krajów ruskich i pozowił w nim nietylko Godyna, lecz jeszcze drugiego zakonnika polskiego, Marcina ze Sandomierza. Dozorowali oni budowę gmachu na Padole i kształcili nowicjat ruski.

Jacek powrócił do Gdańska z Florjanem, aby zatwierdzić klasztor św. Mikołaja, który wzniósł i urządził Benedykt. Zakonnicy nie próżnowali tam, w czasie nieobecności Jacka. Opowiadali bowiem Ewangelję szczepom, osiedlonym w pobliżu miasta, tak skutecznie, iż zaraz po powrocie Jacka, papież Grzegorz IX oświadczył, że Dominikanom zawdzięcza nawrócenie Prusaków.

Sława św. Jacka i przypisywane mu fundacje.

Dominikanie zwołali posiedzenie główne kapituły jeneralnej w Paryżu 1228 r.; utworzono wtedy cztery nowe prowincje dominikańskie w Polsce, w Ziemi świętej i w Grecji. Utrzymują, iż Jacek był obecny na tej sesji kapituły lecz nie przyjął wtedy godności prowincjała; wybrano bowiem Gerarda z Wrocławia. Jednakże w Polsce miano powszechnie Jacka za prowincjała, gdyż jego to apostołowaniu zawdzięczała Polska istnienie tej prowincji. Gdy Norwegja i Szwecja prosiły o kolonje dla klasztoru duńskiego w Lund, utrzymywano, że apostołowi temu zawdzięczają powstanie wszystkie domy. Zaznaczając fundacje w Szkocji, Islandji i w Grenlandji, podawano Jacka także, jako ich twórcę. Prawdopodobniejszem jest przypuszczenie, że przewodniczył w początkach fundacji, poświęconej św. Piotrowi i Pawłowi, w Konstantynopolu, której pierwszym przeorem był Jakób Crescenzio, jeden z pierwszych uczniów św. Jacka. Klasztory w Bułgarji, Mołdawji nawet w ówczesnej osadzie, a w późniejszym Lwowie, miały być przez św. Jacka założone. On to nawraca schizmatyków na Rusi Czerwonej, opowiada Ewangelję na Wołyniu, na Podolu i na Litwie. Węgrzy nie są pewni, kogo mają uważać za istotnego założyciela klasztorów w swojej ojczyźnie: czy Jacka, czy też błog. Pawła, który poniósł śmierć męczeńską z rąk niewiernych, wraz z 90-ciu towarzyszami. Na rozkaz Ojca św., Dominikanie węgierscy udają się na misje w odległe krainy i znów powszechnie mniemano, że Jacek stanął na czele tego posłannictwa. Jeden z tych misjonarzy dowiedziawszy się, że pierwotne plemię węgierskie sąsiaduje z Tatarami i żyje w pogaństwie, udał się w r. 1230 z dwoma Dominikanami na odszukanie jego. Niektórzy kronikarze i tę wyprawę przypisywali naszemu świętemu, którego sława rozeszła się w całej północnej Europie.

Jeżeli jednak sam Jacek nie pozyskał tylu dusz dla wiary, natomiast przyczynił się ogromnie do rozszerzenia Kościoła, dając mu synów swoich duchownych na apostołów.

Gdy Jacek oddany całkowicie nauczaniu, uchylił się od przyjęcia godności biskupiej nadano ją wtedy synom jego duchownym: Witowi, Menardowi i Bernardowi. którzy byli pierwszymi biskupami Litwy i Infiant. Wit wydalony z biskupstwa przez nieprzyjaciół wiary, schronił się do klasztoru krakowskiego, gdzie umarł w 1254 r. Tyle cudów działo się przy grobie jego, iż Bracia umieścili zwłoki jego w sarkofagu Jacka.

Powrót św. Jacka do Krakowa.

We wrześniu 1228 r. klasztor krakowski przyjmował swego założyciela. Tym razem jednakże Kraków nie oczekiwał Jacka w świątecznej radości, gdyż ojczyzna w żałobie wołała ratunku. Leszek Biały, który Jacka przyjmował z taką pokorą w stolicy, poległ pod ciosami księcia Świętopełka. Wdowa po Leszku Białym, Grzymisława chcąc uchronić małoletniego syna swego, Bolesława, od napaści stryja jego, Konrada mazowieckiego, szukała schronienia z dzieckiem u Henryka, księcia wrocławskiego. Mazowszanie wkroczywszy na Ślązk, pojmali księcia.

Dominikanie starali się o przywrócenie pokoju, po tem zajściu. Wśród ludu rozeszła się pogłoska, iż Jacek i Czesław Odrowąże schodzili się w Kamieniu, aby naradzać się w tej mierze. Na drodze do Roszberga, przez którą szli ci dwaj Dominikanie, miało wytrysnąć źródło, wskutek ich błogosławieństwa. Wreszcie doprowadzono do skutku pokój, utrwalony związkami małżeńskimi, za pośrednictwem księżnej św. Jadwigi.

Jednakże Dominikanie nie mogli tak bronić praw młodego Bolesława, jak dawniej duchowieństwo świeckie broniło praw Leszka Białego; brakowało im bowiem poparcia biskupa. Biskupstwo krakowskie było wtedy opróżnione przez śmierć Iwona Odrowąża, który zmarł 1229 r., wracając z Rzymu, dokąd powołał go Ojciec św., oraz przez śmierć następcy jego Berangera najpierwszego męczennika z pomiędzy Dominikanów polskich. Oddał on Bogu ducha, przeszyty włóczniami niewiernych Iliryjczyków, zanim Kościół mógł odwołać go z misji, aby wyświęcić go na biskupa.

Nie znalazł się nikt zatem, ktoby sprzeciwił się przywłaszczeniu Krakowa ze strony Henryka wrocławskiego. Przyłączył on do swego państwa część spuścizny po Leszku i ustaliwszy władzę swoją, doprowadził do skutku wojnę przeciw ostatnim poganom pruskim, do której zagrzewał Polaków prowincjał Dominikanów.

Błog. Czesław zostaje obrany prowincjałem w Polsce.

Po Gerardzie w 1232 r., obrano prowincjałem w Polsce Czesława, którego zalety przyrodzone i dary nadprzyrodzone, tak bardzo potrzebne do zarządu, wzrastały i objawiały się w czasie, gdy był przeorem. Czesław dojrzał, a jednak nie ugiął się pod ciężarem wieku. Chociaż miał przeszło 50 lat, chociaż ciało jego wycieńczone było umartwieniami i pracą, promieniał wieczną młodością duszy, majestatem cnoty. Jedni z towarzyszów jego pochylili się ku starości, inni wyniszczeni chorobą musieli usunąć się od szerszej działalności, a Czesław, przywykły do karności, zagrzany miłością, zdawał się więcej ożywiony, niż w dniu obłóczyn. Gdy rozmawiał z Bogiem, widziano go niekiedy wpadającego w zachwycenie i unoszącego się w powietrze. Gdy przestawał z ludźmi, dawał im wszystko, czego nie dostawało im do czynnego służenia Bogu.

Za dotknięciem rąk Czesława ślepi widzieli, głusi słyszeli, paralitycy chodzili, chorzy wracali do zdrowia, słabi do sił; szatan przestawał dręczyć opętanych, śmierć nawet oddawała swe ofiary. Gdy Czesław spotykał przeszkodę, stawającą między nim, a grzesznikami, których pragnął nawrócić, usuwał ją szybko.

Pewnego dnia, dusze znajdujące się w niebezpieczeństwie wezwały przeora. Można się było dostać do nich tylko przez Odrę, płynącą pod murami klasztoru. Przewoźnik już czeka; wtem gwałtowny wicher zrywa się nagle, prąd rzeki staje się tak silny, że wioślarz wzbrania się odbić od brzegu. Czesław bez namysłu wstępuje na płaszcz swój, jak na tratwę. Gdy niewidzialna siła niesie go tam, gdzie oczekują go z upragnieniem, woła, pełen wiary:

— Zbawicielu mój, fale utwierdzały się pod Twemi stopami, gdy szedłeś do tych, którzy ginęli: nie pozwolisz, żeby Odra mnie pochłonęła!

Tymczasem Odra miała być świadkiem jeszcze większego cudu. Na brzegu tej rzeki, przez którą przeszedł suchą nogą, niewiasta rzuciła się do stóp błogosławionego. Od ośmiu dni nieszczęsna szukała syna swego, który utonął w nurtach Odry. Nagle woda wyrzuciła go na ląd; ale to nie ciało, tylko bryła bezkształtna.

— Czy nie oddasz mi syna? — zapytała matka z wielką wiarą.

Czesław modli się, nic nie odpowiadając, potem bierze rękę utopionego dziecka i mówi:

— W imię Tego, który daje dar słowa i wielką moc każdemu głosicielowi Ewangelji, wstań i chodź.

I oto w obec wielu świadków, trup powstaje ze zgnilizny i staje się człowiekiem. Trzy cudowne wskrzeszenia przypisują temu naszemu prowincjałowi.

Czesław, biorąc tym sposobem udział w potędze nieskończonej Boga, mógł rozszerzać swoją działalność, nie zmniejszając jej mocy. Dotychczas rzadko oddalał się z Wrocławia, gdyż wiedział, że jeśli przeor ma pieczę nad wszystkiemi duszami, to szczególniej powinien oddać się swemu klasztorowi a gdy przeor wrocławski rozpoczynał nową jaką fundację np. w Poznaniu i w innych miastach, szybko powracał do swych Braci. Ale teraz oddawano pod jego władzę, oprócz Polski, Ślązk i Mazowsze, Czechy, Litwę i Ruś. Czesław przedsięwziął zatem podróż rozciągającą się od lasów czeskich aż do Elby, i rozesłał Braci na rozmaite misje. Pomoc Jadwigi towarzyszyła wszędzie Dominikanom. Księżna, wzorem świętych niewiast ewangelicznych, była jedną z tych służebnic roztropnych, pokornych i cichych, na których kapłani polegać mogą z ufnością, pewni wierności ich do końca.

Czesław, dzięki ciągłemu badaniu każdego usposobienia i zmian, jakie w niem zachodzą pod natchnieniem łaski, miał wielki wpływ nad penitentami. Jeżeli spotykał dusze które Pan doświadczał, podnosił je do wysokości ich powołania, przywiązując je i prowadząc z przedziwną miłością do Boga. Tak więc obaj Bracia jednocześnie pracowali bez wytchnienia i słowem Bożem wprowadzali dusze na drogę doskonałości.

Św. Jacek skłania Salomeę, aby wstąpiła do klasztoru.

Około 1235 r. powracała do Krakowa córka Leszka Białego, Salomea, poślubiona już w niemowlęctwie Kolomanowi węgierskiemu, mając z nim panować na Rusi halickiej. Tymczasem pozbawiono ją tronu, który przywrócono jej i wkrótce znów odebrano. Salomea, doznawszy tyle zmian, szukała szczęścia stałego, nie z tego świata. Wtedy to nauki Jacka odkryły przed nią i przed Kolomanem najskrytsze tajniki miłości Bożej. Małżonkowie, obojętni na wszystko, co przemija, przełożyli nad korony ziemskie ofiarę, której owoc pozostaje wiecznie. Bóg, widząc ich wspaniałomyślność, dozwolił, żeby śmierć rozłączyła ich na ziemi. Salomea, zostawszy wdową przed 25 rokiem życia, udała się do Jacka, aby jej wskazał, jaką ma obrać drogę. Apostoł Dominikański, uszanowawszy powołanie Boże w tej duszy, kazał jej wstąpić do Klarysek, a nie do Dominikanek. Salomea poddała się bez wahania.

Sesja kapituły generalnej i pobyt św. Jacka w Paryżu.

Na wezwanie Braci Kaznodziejskich Jacek opuścił ojczyznę 1236 r. Po raz drugi od założenia zakonu zwoływał główną sesję kapituły, której po ustanowieniu reguły nie naznaczano już więcej. Przeorowie powinni byli zasiadać na tych zebra-

niach. Marcin z Sandomierza, przeor kijowski i Gerard, przeor krakowski, zabrali Jacka, którego uważano za najsławniejszego z Dominikanów Północy.

Jordan z Saksonji przeznaczył Paryż na miejsce zebrania kapituły. Stolica ta przyciągała Jacka wspomnieniami jego młodości. Tam to był niegdyś studentem uniwersytetu; tam wśród profesorów, odnalazł dawnych kolegów ze szkolnej ławy, zamieszkał zaś w wielkim klasztorze św. Jakóba, założonym 1217 r. i sławnym na świat cały.

Podróż ta, którą przeorowie odbywali pieszo z laską apostolską w ręku, spiesząc się, by stanąć jak najprędzej u celu, nie zaznaczyła się wybitniejszem zdarzeniem, gdyż zakonnicy nie zatrzymywali się nigdzie, by głosić nauki; to też droga jaką odbywał Jacek z towarzyszami swymi, jest nieznana. Gdy doszli do Paryża, obejmował właśnie rządy Ludwik IX, doszedłszy do pełnoletności.

Nasi podróżni weszli na wzgórze św. Genowefy i zadzwonili do klasztoru Braci Kaznodziejskich. Prostota jaśniała w całej pełni w tym domu: ubogie były obszerne sale, ubogi był ogromny refektarz. Kościół, podzielony kolumnami na dwie nawy równej wysokości, odznaczał się nadzwyczajnym rozmiarem.

Jordan posiadał w najwyższym stopniu dar ojcowstwa duchowego, to też przyjął Polaków, jak ojciec. Przy nim Jacek zrozumiał bez trudu cud łaski, który współczesnych wprawił w zdumienie, gdy dowiedzieli się, że sam tylko Ojciec jenerał pozyskał dla Boga przeszło tysiąc zakonników. Będąc obecnym na wykładach teologji, którą z tej samej katedry miał później wykładać św. Tomasz z Akwinu; wnikając do samego jądra życia wewnętrznego klasztoru, gdzie znajdowały się setki zakonników,— św. Jacek mógł Bogu dziękować za to, że ma sposobność podziwiać panujący tam ład i mądrość.

Wyznaczono dla Polski Definitora (zakonnik wybrany przez głosowanie do brania udzialu w sprawach jeneralnych posiedzeń kapituły), podniecając zapał Polaków do oddawania się pracom niebezpiecznym, w odległych krajach. Gorliwość św. Jacka była już dobrze znana, gotów był chętnie przelać krew dla Chrystusa, gdyby tego zaszła potrzeba i pragnieniem jego było jak najobfitsze zebrać żniwo.

Powrót św. Jacka do Kijowa.—Pobyt w Krakowie.— Cuda. — Sesja kapituły w Sandomierzu. — Spotkanie Jacka i Czesława. — Brat Sadok.

Po ukończonych pracach kapituły, każdy zakonnik udał się z weselem duszy tam, dokąd powoływały go misjonarskie obowiązki. Jacek poszedł na Ruś, gdyż Dominikanie kijowscy zamianowali go przeorem.

Na tronie wielko-książęcym nie zastał już Włodzimierza, ponieważ wygnał go i przywłaszczył sobie panowanie Izasław, książę halicki, który nie zabraniał Dominikanom urządzić się w klasztorze podług wymagań reguły zakonnej. Bracia Kaznodzieje wszędzie opowiadali słowo Boże. W Kijowie otworzyli kursa publiczne. Jacek pozostał w Kijowie tylko kilka miesięcy. Gdy prowincja polska zwołała w 1238 r. sesję kapituły do Sandomierza, zawezwała wszystkich przeorów, nawet przeora klasztoru kijowskiego, pomimo tak wielkiej odległości. Jacek pospieszył do Polski, przejęty wielką miłością ojczyzny. Dnia 9 lipca, gdy znajdował się już blisko Krakowa, w Kościelcu, około Proszowic, pewna wdowa, imieniem Klementyna, którą nauczył był Chrystusa Pana miłować, prosiła, żeby przywołano go do niej, gdyż ciężka choroba przykuwała ją do łoża. Jacek udał się zaraz do niemocą złożonej, dostojnej wdowy.

Było to właśnie przed żniwami. Zboże dojrzewało, okolone drzewami, których gałęzie uginały się pod ciężarem owoców. Nagle gromadzą się chmury. Burza szaleje i gdy Jacek z towarzyszem swoim Florjanem doszli do domu Klementyny, usłyszeli płacz i narzekanie.

— Czcigodny ojcze — prosiła wdowa i włościanie — ratuj nas! Zboże nasze zniszczył grad doszczętnie: trzeba nam będzie umierać z głodu.

Jacek podzielając ich smutek: rzekł im:

— Ojciec miłosierny pocieszy was. Przepędźcie tę noc na modlitwie.

Gdy noc minęła, ujrzano łany, zapowiadające obfitsze plony niż przed burzą.

Jacek, tak jak wszyscy apostołowie, zniewolony do przenoszenia się z miejsca na miejsce, zastępował darem czynienia cudów to, czego nie mógł zdziałać przez kierownictwo duchowe, z powodu życia ruchliwego. Gdziekolwiek przechodził, zostawiał światło i pociechę.

Przebywszy czas jakiś w Krakowie, udał się przeor kijowski do Sandomierza na sesję kapituły prowincjonalnej. Zastał on w Sandomierzu aż dwa klasztory: pierwszy św. Jakóba, wystawiony za staraniem Adelaidy, siostry Leszka Białego, której kierownikiem duchownym był biskup Iwon; drugi św. Marji Magdaleny.

Jacek i Czesław znaleźli się pod jednym dachem, po rozłące prawie dwudziestoletniej. Spotkali się w chwili, gdy boleść obu razem ich dotknęła. Brak karności, leżący niestety w usposobieniu Polaków, wniknął aż do klasztoru i stał się przeszkodą w mianowaniu prowincjała na miejsce Czesława. Kapituła, chcąc mieć punkt wyjścia z trudnego położenia, prosiła jenerała Dominikanów o cudzoziemca. Wyznaczono na prowincjała Niemca Henryka de Lipok, którego musiano przyjąć w Polsce.

Jednakże nie brakowało świątobliwych zakonników w tym samym klasztorze, gdzie odbywało się posiedzenie kapituły. Jacek i Czesław widzieli

Sadoka, wykształconego pod ojcowstwem św. Dominika, a wtajemniczonego w prace misjonarskie przez błog. Pawła, którego Połowcy umęczyli przed niedawnym czasem. Widzenie szczególne oświeciło młodego Sadoka, gdy wchodził do kraju, wyznaczonego dla jego posłannictwa. Po pierwszem kazaniu na Węgrzech wypoczywał on z trzema młodzieńcami, których pozyskał dla służby Bożej, spostrzegł nagle, że jest otoczony wraz z nimi hufcem duchów piekielnych: „Niestety, wołali z rozpaczą szatani, zwyciężą nas takie dzieci.

Nie wiadomo, czy Jacek i Czesław przewidywali takie zwycięztwo; ale duchowo byli połączeni z Bratem Sadokiem, gdy zakonnicy zebrani w Sandomierzu, wrócili do swoich klasztorów.

Najazd Tatarów.—Cudowne przejście św. Jacka przez Dniepr i ocalenie figury Najśw. Marji Panny.

Jacek usłyszawszy straszną wieść, którą Dominikanie węgierscy przynieśli do Europy, wrócił czemprędzej do Kijowa. Misjonarze wyruszyli na poszukiwanie Węgrów w Azji, odnaleźli ich, ale po śmierci dwóch towarzyszy swoich. Juljan obawiał się, że umrze, nie zostawiwszy śladu podróży odbytej z takim trudem. Powrócił więc, by znaleźć nowych towarzyszy. W grudniu 1236 r., doniósł królowi swemu, Beli IV, że nad brzegiem Wołgi zebrało się sześćkrocstutysięczne wojsko, na którego czele mają stanąć waleczni wnukowie Dżengis-chana. Zdobywszy Chiny, przygotowywali się do napadu na Europę. Bela przerażony tak straszną wieścią, ostrzegł książąt chrześcijańskich przed grożącym najazdem.

Rusini wystawieni na największe niebezpieczeństwo, znający siłę wroga, zdawali się obojętni na wszystko, tylko nie na kłótnie domowe. Naprożno Ojciec św. posłał im legatów swoich 1227 r., celem pozyskania ich dla Kościoła; naprożno wiedzieli, że Tatarzy napadli i spustoszyli Bułgarję; mimo to wszystko Rusini nie przestawali wydzierać sobie posiadłości.

Gdy Bracia Kaznodziejscy powitali Jacka, wielkim księciem w Kijowie nie był już Izasław, tylko Jarosław, książę nowogrodzki. Gdy Jarosław 1238 r., wyruszył przeciw Tatarom, którzy napadli na Ruś, Michał książę halicki, zajął Kijów. Książęta południowej Rusi wyzuwali jedni drugich z posiadłości wtedy, gdy na południowo-zachodniej i północno-wschodniej stronie kraju, hordy azjatyckie paliły Riazań, Moskwę, Włodzimierz, Suzdal, Czernichów, mordując w straszliwy sposób książąt, bojarów i obywateli. Bito się jeszcze w Kijowie, kiedy już Tatarzy palili wsie i miasta w odległości dwunastu mil od Kijowa.

Czem było przeorstwo Jacka w czasie podobnego doświadczenia, opisać niepodobna. Apostołowie, chcący opowiadać rozhukanej Rusi słowo Boże, nie mieli innej nad tym ludem władzy prócz mocy, jaką daje poświęcenie.

Gdy przeorem w Kijowie obrano Godyna po trzechletniem urzędowaniu Jacka, zamierzał brat Czesława powrócić do ukochanej ojczyzny. Wtedy właśnie, 1240 r., w początkach jesieni, ujrzano jedną z hord tatarskich na lewym brzegu Dniepru. Najsławniejszy z wnuków Dżengis-chana, Batu, słysząc o bogactwach i niezrównanej okazałości Kijowa, wysłał krewnego swego Mangu-chana, na zdobycie tego miasta, z poleceniem, aby stolicę zajął podstępem, a nie gwałtem, chcąc posiąść ją w całej piękności.

Mangu rozłożył się obozem w Pieskowie. Z nad brzegów Dniepru, jedynej zapory, dzielącej Padoł od strony najeźdzców, Dominikanie słyszą krzyki Tatarów, ryki wielbłądów, dźwigających machiny oblężnicze, trzask wozów, ciągnionych wołami, dźwięki monotonne i ostre muzyki mongolskiej.

Tymczasem życie w klasztorze toczy się zwykłym trybem. Jacek wie, że dla niego wybiła godzina powrotu do Krakowa. Gdy rano, przed opuszczeniem Kijowa, kończy odprawianie ostatniej mszy św. w katedrze na Padole, jeden z nowicjuszów, przejęty niezmierną trwogą wbiega do kościoła. Zapewne jakim fortelem wojennym, w czem celują Tatarzy, kilku z nich przebyło Dniepr, który, zdala od szańców obronnych, przed klasztorem dzielił się na dwa ramiona.

— Uciekajmy — woła młodzieniec — jeśli chcemy uniknąć śmierci!

Wkrótce zakonnicy otoczyli Jacka, błagając go o wyratowanie ich z niebezpieczeństwa. Niedawno Tatarzy wbili na pal Adrjana, przeora halickiego i 26 u zakonników, dlatego trwoga przejęła Dominikanów kijowskich.

Jacek gotów był rzucić się mężnie na groźnego i zbrojnego wroga. Odziedziczył rycerskie usposobienie po przodkach swoich i nie znał lęku, mimo to z dziwną jasnością rozumu, zmuszonego do bezzwłocznego postanowienia, pojął, że trzeba ratować się ucieczką, że Bóg nie chce poświęcenia jego w formie pełnej ziemskiego powabu, lecz pragnie z jego strony ofiary cichej i wytrwałej.

Drzwi kościoła stoją otworem; do ołtarza cisną się ci, którzy nie boją się śmierci; lękliwi zbliżają się do drzwi. Co działo się wtedy w duszy Jacka? Czuł pragnienie zostania męczennikiem, ale zdawał to na wolę Bożą, gdyż aby męczeństwo mogło okazać doskonałość miłości, trzeba, by sam Bóg zażądał go dla prawdy objawionej. Samo męczeństwo, bez woli Bożej, niema zasługi; dlatego, w obec niebezpieczeństwa, święci idą za natchnieniem Ducha Świętego, a nie za własną wolą.

Jacek zdaje się wahać chwilowo. Wtem głos najsłodszy, jaki być może, głos Matki go woła. Posąg Najśw. Marji nabiera życia i przemawia:

— Synu mój, Jacku, komu zostawiasz mnie? zabierz mnie ztąd!

— Jakże podźwignąć taki ciężar? — mówi święty, wpatrując się w statuę alabastrową, ozdobioną koroną ze złota.

— Syn mój lekką ci ją uczyni — odpowiada Marja.

Z łatwością posłuszny sługa bierze posąg Matki Boskiej i unosi zarazem Syna Niepokalanej Dziewicy, w Hostji św. utajonego.

Lecz jaką drogą wrócić do Polski? Hordy tatarskie czekają na znak wodza, by rozpocząć oblężenie, ogromny ich zastęp strzeże prawego brzegu Dniepru, oddzielając Padół od wojsk Rusi, zamkniętych w grodzie, a lewy brzeg rzeki zajmuje Mangu-chan.

Jacek szuka ocalenia przez Dniepr. Z towarzyszami przechodzi rzekę suchą nogą. Nadzwyczajna jej szerokość broni ich od strzał tatarskich; daleko za Kijowem, daleko od wroga wyszli na ląd, poczem pospieszyli do Halicza, aby w tamtejszym klasztorze, fundacji Jacka złożyć Chrystusa w Eucharystji, oraz figurę Matki Boskiej. Figura ta jest zrobiona z jednej sztuki alabastru, ważącej około 25-u kilo. Matka Boska trzyma na jednej ręce Syna swego, a w drugiej drzewo żywota, którego gałęzie, w kształcie krzyża, podtrzymują Zbawiciela. Posąg ten znajduje się w klasztorze lwowskim. Gdy Włodzimierz IV założył klasztor Dominikanów w Kudaku, blisko pierwszych porohów Dniepru wspomniał w listach donacyjnych o przejściu św. Jacka przez Dniepr.

Tymczasem nad wybrzeżem Padołu mieszkańcy wyższej dzielnicy Kijowa sypią szańce, nie zważając na to, że wielki książę Michał uszedł na Węgry, że młody Rotysław, syn jego, objąwszy rządy, zdał je wkrótce na księcia halickiego Daniela, który niedługo potem, mimo waleczności schronił się ucieczką. W ludzie przechowuje się ten wzniosły zapał, który nie stygnie nawet wtenczas, gdy nie ma nadziei zwycięstwa. Wojsko Batu-chana, najsławniejszego, z tatarskich dowódzców, obległo Kijów.

Dniepr pokrył się lodem; co ułatwiało Tatarom przewiezienie machin wojennych, oraz przeprawienie strasznej liczby wojowników, którzy 6 grudnia 1240 r., rozpoczęli oblężenie Kijowa. Powoli cofają się wojska Rusinów. Mury kościołów, w których szukają schronienia, zwalają się na nich. Tatarzy stają się panami stolicy; większa część mieszkańców ginie w okropnych męczarniach.

Mordy i spustoszenia.—Wrocław uratowany przez błog. Czesława.

Z Braci Kaznodziejskich, którzy zginęli w czasie oblężenia, wymieniają tylko Alberta i Dominika ale tak w Kijowie jak w innych miastach na Rusi, przeszło dziewięćdziesięciu zakonników zamordowano, albo spalono, a resztę wzięto w niewolę. Kijów tak zburzyli Tatarzy, że w ogromnej stolicy zostało dwieście domów. Nakoniec niezliczone hufce konnicy, ciągnące za sobą niewiasty, dzieci, trzody, całkowite mienie koczujących ludów, udają się w dalszy pochód.

Horda Batu-chana oblega Węgry; Bajdara na czele Tatarów, wkracza do Polski. Gdyby Polacy połączyli wojska swoje mogliby stawić opór najeźdźcom; ale panujący książęta rozdzieleni byli na dwa obozy: Henryka, księcia wrocławskiego i Konrada, księcia mazowieckiego. W pierwszych dniach lutego 1241 r., Tatarzy przechodzą Wisłę, pokrytą lodami, oblegają Sandomierz, palą go i napadają potem na Kraków. Mieszkańcy uciekli; tylko garstka walecznych broni się w kościele św. Andrzeja z takiem męstwem, że znużeni Tatarzy odstępują od oblężenia i udają się w dalszy pochód.

Przeor wrocławski, Czesław, przed wzięciem Kijowa, ujrzał był w proroczem widzeniu napad Tatarów na Ślązk i naglił mieszkańców do przysposobienia środków obrony. Obywatele wrocławscy, widząc nieszczęście innych miast, sami spalili domy swoje i zniszczyli swe mienie. Gdy schronili się do fortecy na wyspie, otoczonej przez Odrę, zaopatrzywszy się w żywność dostateczną, w sam dzień Wielkanocy z rana 1241 roku ujrzeli Tatarów w oddali.

Czesław z Braćmi podtrzymują odwagę współziomków; umieją natchnąć ich ufnością niezłomną w miłość Bożą, która wysiłek łatwym czyni, a śmierć słodką. Modlitwy ich wznoszą się do Pana Zastępów, gdy nieprzyjaciel oblega twierdzę, by zdobyć ją szturmem.

Jakaż różnica pomiędzy hufcami polskimi; a Mongołami niskiego wzrostu, o szerokich barkach, o spłaszczonych nosach, wystających policzkach, o małych, ledwie dostrzegalnych oczach!

Tatarzy, jeźdzcy niezrównani, pędzą z niesłychaną szybkością. Jeśli spotykają niespodzianie wroga, jeszcze więcej chyżości okazują w ucieczce, niż w natarciu, natarciu strasznem, bo żadna zbroja nie oprze się ani strzałom ich zabójczym, ani szablom zakrzywionym. Tatarzy mają dużo zręczności w zmienianiu kierunku rzek, w podkopywaniu się do nieprzyjacielskich warowni; ale teraz pod gołem niebem zbliżają się i chcą dostać się przez Odrę. Niektórzy przebywają wpław rzekę. Tłum mieszczan wśród wojska drży w obec grożącego niebezpieczeństwa.

— Bóg dopomoże! — woła Czesław — wstępując na mur twierdzy.

Nagle Tatarzy zatrzymują się jak skamieniali. Burza zaciemnia niebo, a wśród ciemności, zalega

jących przestrzeń, horda nie widzi ubogiego zakonnika w białym habicie, tylko istotę nieziemską. W oczach Tatarów głowę Dominikanina otacza płomienista aureola, wspiera się on na kolumnach ognistych i ciska kulą rozpaloną na oblegających. Każdy z nich, wołając: „Widzę Boga chrześcijan", pierzcha w przerażeniu. Tylko wojownicy tatarscy z tej strony Odry zostają przy twierdzy; to co trwoży ich towarzyszów, otwiera im cudownie oczy na światło wiary. Okazuje się, że dogmaty i obyczaje chrześcijańskie nie są obce ich wodzowi: prosi on o Chrzest, a wierni mu żołnierze idą w jego ślady, jak szli za nim do boju. W mieście oswobodzonem nie ma innych Tatarów, prócz przyszłych chrześcijan.

Jedni z mieszkańców Wrocławia przypisywali przerażenie wrogów nieprzewidzianej burzy, w której widzieli odpowiedź na modły Czesława, drudzy zapewniali, że płomienie jego miłości uwidoczniły się nazewnątrz i uwierzyli w cud; tym sposobem różność zdań nie rozdzieliła ludności i nadała jedno miano swemu wybawcy. Nawet kronikarze protestanccy głoszą, iż miasto zostało ocalone za wstawieniem się Czesława do Boga, podając cud tak, jak my go opisaliśmy i jak przedstawia go starożytny obraz w kościele św. Marcina.

Można przypuszczać, że Czesław pobudzał zapał Henryka II i wpłynął na młodego księcia, żeby zebrał wojsko dla odparcia napadu. Tatarzy byliby pobici niewątpliwie, ale młody książę zaczął walkę, nie czekając na posiłki szwagra swego, króla czeskiego Wacława i horda potężna zgniotła garstkę bohaterów polskich pod Lignicą. Św. Jadwiga, która przepowiedziała klęskę i śmierć Henryka, syna swego, uważała go za męczennika; krew przelana wybłagała zapewne przed Panem oswobodzenie Europy, stojącej otworem przed napastnikami z powodu opieszałości i dowolności w utworzeniu krucjaty, głoszonej przeciw Tatarom.

Tatarzy zbliżali się do granic Austrji, gdy nagle po nieznacznej porażce, zniknęli. Hufce ich, składające się tylko z konnicy, odwołane z powodu śmierci cesarza Oktaja, wracały do Azji z szybkością, która w podziw wprawiała ludy europejskie.

Bracia Odrowążowie pragną męczeństwa dla miłości Bożej.—Dalsze dzieje kijowskiego klasztoru.—Tatarzy nawróceni.

Wkrótce potem Dominikanie z klasztoru św. Wojciecha składali dziękczynienie Bogu za odwrót nawały tatarskiej. Jan, ulubiony koniuszy Henryka II, prosił ich, żeby przyjęli go do zakonu swego. Nieraz w czasie bitwy pod Lignicą, narażał się na śmierć, zasłaniając sobą ukochanego pana od strzał tatarskich; znużony niebezpieczeństwami wojny, pragnął wstąpić do szeregów dominikańskich, by podjąć walkę zapewniającą zwycięstwo. Obok niego w nowicjacie znajdowali się Tatarzy, ochrzczeni przez Czesława. Nawyknienie do karności, obojętność na niewygody, oswojenie się ze śmiercią przysposabiało ich do zrozumienia ideału życia zakonnego; łaska przeistaczała pychę, właściwą ich plemieniu, odsłaniając przed nimi ideał Boży. Bóg, którego ci Mongołowie czcili dawniej, jako istotę niedostępną w swym przybytku, zniżał się do nich, by im objawić to, co najmniej było im znane przed nawróceniem; prawdę i miłość.

Mężowie ci, tak niedawno jeszcze wrogo dla siebie usposobieni, tworzyli już jednę rodzinę: przeor, w czasie Officjum Komplety, z wszystkimi zakonnikami śpiewał, na cześć Pana Zastępów, z rycerzem Polakiem, który został zakonnikiem, i z nowicjuszami Tatarami, przyszłymi apostołami w swojej ojczyźnie: „Panie, byłeś z nami w niebezpieczeństwie, obroniłeś nas od niego, aby nas zbawić i przyjąć do chwały Twojej!"

W dalszym ciągu podróży apostolskiej, Jacek widział, że ojcowstwo jego rozszerza się coraz więcej. Jednakże obaj bracia nie mogli zaspokoić pragnienia męczeńskiej śmierci, które przejmuje dusze, miłości pełne. Zaiste, posłuszeństwo, jakiego Bóg wymaga od misjonarza i od przeora, wydawało się zupełnie inaczej w oczach ludzi świeckich. Jacek chronił się ucieczką w czasie porażki, Czesław odniósł tryumf w zwycięstwie. Obadwaj uważali mimo to, że Pan Bóg doświadczył ich równie ciężko. Dopóki ofiara ich życia, poświęconego Chrystusowi przez uroczyste śluby, nie kończyła się krwawem całopaleniem, dopóty ofiarę tę uważali za błahą, za niezdolną do złożenia świadectwa, któreby równało się ich miłości Boga. To też zazdrościli swym synom duchownym męczeństwa w czasie napadu Tatarów. Oni także chcieliby ozdobić habity białe purpurą krwi przelanej!

Gdy w 1242 r. Dominikanie odbudowali klasztory w słowiańskich krajach i rozpoczęli na nowo prace apostolskie, Jacek i Czesław, Ojcowie, wychowawcy i wzory Dominikanów z Północy, śpiewali z całym narodem hymn dziękczynny, który wznosił się do nieba. Jednakże w głębi duszy, tak jak św. Dominikowi, żal im było męczeństwa, którego nadzieja znikała wraz z oddalającemi się hordami.

Klasztor kijowski odnowiony został w 1381 r. Klasztor ten, po pożarze, odbudowano pod wezwaniem św. Mikołaja 1640 r. W 1646 kapituła prowincjonalna odbyła w nim posiedzenie; w 1690 r. wszyscy księża katoliccy wydaleni zostali z Kijowa, dokąd wrócili dopiero w 1707. Gdy Aleksander I, cesarz rosyjski, pozwolił katolikom wybudować kaplicę pod wezwaniem św. Aleksandra (1814—1842) nazywano ją zwykle kaplicą Dominikanów.

Bóg powołuje do siebie Czesława, Hermana i Henryka.

Pole działania powierzone Jackowi, było zasiane; wiązka dusz, którą miał ofiarować Bogu na wieczność, zdawało się, że jest uwitą. Będąc prowincjałem, widział w swej prowincji liczne klasztory; będąc przeorem, ochronił jednych Braci od śmierci, drugich od niewoli; zadanie jego kończyło się w chwili, gdy ziemia rodzinna uległa napływowi Niemców, co niezmierną sprawiło boleść nawskroś polskiemu sercu Czesława.

Prowincja polska liczyła 70 klasztorów; niektóre z nich miały po dwustu zakonników. W roku 1301 po raz pierwszy ulega rozdrobnieniu, wskutek utworzenia prowincji czeskiej; po raz drugi w pierwszej połowie XIV wieku, gdy założono kongregacje Braci Pielgrzymów, po raz trzeci z powodu rozłączenia czterech klasztorów, przeznaczonych w r. 1594, do ustalenia kongregacji na Ślązku; a po raz czwarty przy ustanowieniu (1596) prowincji ruskiej, nazwanej (1612) prowincją św. Jacka. Ta prowincja istniała aż do 1720 r. W tym czasie liczyła 40 klasztorów pierwszego zakonu, a trzy drugiego. W 1865 szczątki prowincji polskiej, ruskiej, litewskiej połączono pod nazwą: Prowincje św. Jacka w Galicji i Lodomerji. Prowincjał mieszka we Lwowie.

Po śmierci Henryka II nastąpił podział kraju między synów jego, co osłabiło władzę Henryka I. W kłótniach, wszczętych na nowo w Polsce po odwrocie Tatarów, Niemcy, których wezwano jako sprzymierzeńców, mieli przeważne znaczenie we Wrocławiu. Kraków oburzony wrócił pod berło Bolesława, pozwalając na zniemczenie Ślązka i na odłączenie się jego od Polski, Czesław mógł być tylko bezsilnym świadkiem tego nieszczęścia. Niebawem oszczędził mu Pan Bóg boleści patrzenia na smutne położenie, w jakiem znajdowała się ojczyzna.

W święto Nawiedzenia przeor nie mógł już odmawiać z Braćmi Oficium. Leżąc w swej celi na garstce słomy, przywołał do siebie wszystkich zakonników.

— Pragnę oddać ducha mego Stwórcy — rzekł.

Podług pięknego wyrażenia w nekrologu Dominikańskim, Czesław przygotowywał się do „emigracji niebiańskiej".

Raz jeszcze zalecił Braciom posłuszeństwo, ubóstwo, czystość i pokorę. Ostatnie Namaszczenie przysposobiło członki znużone na życie wieczne, Eucharystja św. posiliła duszę jego na drogę wieczności.

— Panie — modlił się szeptem Czesław — Panie, Ciebie tylko pragnąłem; racz przyjąć mnie do chwały Twojej!

Tak jak w dzień profesji zakonnej błagał „o miłosierdzie Boga"; po dwudziestu latach wytrwałej służby nie obawiał się ujrzeć oblicza Tego, Którego miłość odczuwał. Śmierć nie była dla Czesława ani smutną, ani straszną. O ile obumierały członki jego, przez które życie objawia się na zewnątrz, o tyle życie duszy skupiało się w tej głębi, w której dusza spotyka Boga. Czesław schronił się w objęcia Chrystusa, by walczyć przeciw cierpieniom ciała i wyjść z ciemności ducha. Bóg nie potrzebował wpajać obawy śmierci w dusze Braci kaznodziejskich, zupełnie miłości Jego oddane, nadał On ostatnim chwilom życia ich ojca duchownego ten spokój w miłości, jakim odznaczał się zgon św. Jana, w obecności wiernych uczniów jego. Przeor dał najwyższy przykład: Bracia, świadkowie jego śmierci, pragnęli żyć tak, jak on żył, aby umierać tak jak on umierał.

Czesław we wzniosłem przemówieniu pożegnał Braci. Poczem zapanowała uroczysta cisza. Nagle spostrzeżono, że przestało bić serce przeora, to serce przepełnione miłością. Każdy z zakonników poszedł do obowiązków swoich, ze łzami w oczach, w skupieniu ducha: był to hołd synów duchownych, oddany temu, który w obec nich wykonywał ściśle regułę zakonną: śmierć zrywała węzły przyrodzone, węzły nadprzyrodzone łaski i miłości zacieśniały się i utwierdzały. Na nagrobku błog. Czesława w kościele św. Wojciecha wyryto rok 1241 starego stylu. Brewiarz dominikański podaje datę 1242 r. Wszyscy historycy zgadzają się, że śmierć Czesława nastąpiła w lipcu.

Czesław dostał się najpierwszy z tych zakonników do nieba, z którymi równocześnie składał śluby. Żyli oni w posłuszeństwie jak on i umierali radośnie. Henryk Teutończyk ujrzał w objawieniu, Chrystusa w samej chwili rozstania się z tym światem. Pożegnanie jego z Braćmi było pełne radości. Henryk Morawczyk trzymał krucyfiks, jedyne pocieszenie w czasie konania, i wypowiedziawszy kilka słów z Officium św. Andrzeja, pozdrowił krzyż. Przy nim stał Gerard de Trachet, kronikarz pierwotnych czasów zakonu. Spostrzegłszy w spojrzeniu umierającego wyraz niesłychanego szczęścia, zapytał:

— Co widzisz?

— Widzę Chrystusa Pana i apostołów.

— Czy połączysz się z Nimi?

— Będziesz należał wraz z wszystkiemi Braćmi wypełniającymi regułę, do orszaku apostolskiego.

Dawszy taką odpowiedź, Henryk uniknął chwalenia samego siebie; witał on śmierć z radością, gdyż utorowała mu drogę do zupełnego zjednoczenia się z Bogiem. Odszedł z tego świata w r. 1255.

Ostatnie lata św. Jacka i jego niewyczerpana praca apostolska.

Jacek najstarszy z towarzyszów swoich, umarł najpóźniej z nich wszystkich. Bóg chciał doświadczyć oddanego Mu sługę starością, połączoną z do-

legliwościami ciała, które umartwiał i ujarzmiał, z niemocami z któremi walczy dusza wiecznie młoda, gdy słabną i zanikają środki działania jej nazewnątrz. Jednakże im bardziej zmniejszały się władze przyrodzone Jacka, tem więcej wzrastały dary nadprzyrodzone objawiające się przez cuda, które Bracia widzieli tak często, że przestali się im dziwić, dowiadywali się o nich najczęściej wtedy, gdy obcy i liczni świadkowie głosili chwałę apostoła.

D. 27 września (1244), w dzień poświęcony czci błog. Stanisława, o którego kanonizację Dominikanie ciągle czynili starania, liczni pątnicy przychodzili do Krakowa: Jacek przeciskał się przez tłum, idąc do katedry, gdzie miał kazać. Nagle szlachetna Witosława, która dwóch synów swoich, niewidomych od urodzenia, prowadziła do grobu patrona Polski, postępuje za kaznodzieją. Wiedząc, że w to samo święto, dwadzieścia lat temu, Jacek uczynił pierwszy cud na prośbę matki, pełna ufności pokazuje mu swe dzieci.

Jacek bardzo wzruszony, kreśli nad niemi wielki znak krzyża i mówi nie zatrzymując się wcale:

— Pan nasz Jezus Chrystus, narodzony z Dziewicy Marji, który oświecił ślepego od urodzenia, przywraca wam wzrok.

Rzesza ludu, przytomna temu cudowi, idzie za Jackiem do katedry. Gdy święty wstąpił na kazalnicę, serca słuchaczy przygotowane tak wielkim cudem miłosierdzia, stały otworem dla głoszonej nauki.

Jacek odbył prawdopodobnie w tym czasie ostatnie podróże, bo jedną z głównych czynności lyońskiego soboru 1245 r. było opowiadanie Ewangelji przez Braci Kaznodziejskich i braci Mniejszych krainom, nie mającym granic oznaczonych, które to krainy zwano Tatarją.

Dominikanin Brat Arnold, odczytał na soborze opis świeżo zaszłych w Ziemi Świętej mordów, dokonanych przez hordę, której tatarską. Dominikanie węgierscy, którzy w roku 1230 udali się do Azji, celem odszukania Braci, pierwsi opowiadali słowo Boże ludom koczującym, nawrócili wodzów, a niektórzy z nich przelali nawet krew za wiarę. Inni Dominikanie w 1237 r. przywrócili na łono Kościoła Jakobitów i Nestorjanów ze Wschodu. Łącząc legendę z historją, utrzymywano, że Jacek nawrócił mieszkańców rozległej krainy a króla tejże Prokusa wysłał do Lyonu, gdzie ochrzcili go ojcowie, biorący udział w soborze. Ogół tak był skłonny do przypisywania wszystkich zasług Jackowi, że gdy misjonarze wkroczyli do wielkiego kraju Mandarynów, przysposobiono potomność do uważania Jacka za apostoła Chin.

Trudno ściśle oznaczyć, jak wielki był udział Jacka w pracach apostolskich, celem nawrócenia Tatarów, w pracach wykonywanych w uznojeniu z powodu gorącego klimatu, epidemji, braku pożywienia, pod ciągłą grozą męczarń i śmierci. Jednakże, bez względu na opowieści ludowe i różne legendy, twierdzić możemy stanowczo, że ważny brał w niej udział. Pomiędzy misjonarzami wysłanymi do Tatarów, pewnych, jak sami utrzymywali, podbicia Europy, zawsze byli Dominikanie, których ojcem duchownym był Jacek.

We wszelkich sprawach ówczesnych, Bóg chciał, żeby życie Jacka składało się nietylko z jego własnych czynów, lecz i z dobrego, które wykonywano pod jego wpływem. Książe Bolesław i bohaterska jego małżonka Kunegunda dowiedzieli się od Jacka, że połączenie duchowe podnosi ich do stanu w inny sposób doskonałego, jak zwykłe powołanie do małżeństwa. Chociaż spowiednikiem ich był inny Dominikanin, (Jakób Crescenzio) przypisywano odtąd wszystkie ich cnoty ukochanemu św. Jackowi. Bracia kaznodziejscy pod kierownictwem Henryka arcybiskupa chełmińskiego, podjęli się misji przywrócenia Haliczan do czystości wiary, oraz ustalenia jedności pomiędzy duchowieństwem łacińskiem i greckiem. Przypuszczają, iż Jacek przebywając dłuższy czas na Rusi Czerwonej; doradził związki małżeńskie Leona, syna Daniela, walecznego księcia Kalisza, z Konstancją węgierską, siostrą św. Kunegundy i Małgorzaty. Ta księżna była tercjarką i wniosła na tron, oraz do ogniska domowego ducha świętych ze swego zakonu, co przypisywano dobroczynnemu wpływowi św. Jacka.

W czasie podróży św. Jacka, klasztory klauzurowane innych zakonów, prosiły go o wyjaśnienie im nabożeństwa Różańca św. Lud, widząc kamyczki gładkie na rodzinnej ziemi świętego, w Kamieniu, uważał je za ziarnka z różańca tego apostoła i nazwał je „perłami Jacka“. We wszystkiem upatrywano wpływ jego, co dowodzi, jak bardzo był ukochanym.

Ostatnie prace starca, zapisane w dziejach, polegały mianowicie na zwiedzaniu klasztorów, które założył i na utrzymaniu w nich właściwego ducha zakonu, ducha apostolskiego, W 1220 r. biskupi przywołali na pomoc Braci Kaznodziejskich. Otoczeni licznemi plemionami pogańskiemi, lub schizmatyckiemi nie zdołali wszystkim opowiadać Ewangelji, lub nawracać ich na łono Kościoła katolickiego. Gdy w połowie XIII wieku dzieło prawie było ukończone, duchowieństwo świeckie zazdrościło synom Dominika powołania do kaznodziejstwa i do prowadzenia dusz. To też gdy księża świeccy przynęceni cnotami zakonników, opuszczali parafie, by nawiedzać klasztory, chciano zamknąć Dominikanów w klasztorach i radzono im, aby starali się o pozyskanie dusz dla Boga tylko przez modlitwę i przez ciche poświęcenie.

Prześladowanie Dominikanów było szczególniej gwałtowne we Wrocławiu, zaraz po śmierci Czesława. Proboszczowie tamtejsi chcieli nawet mieszać się do wewnętrznego zarządu klasztoru św. Wojciecha, co spowodowało wdanie się i wystąpienie Ojca św. na korzyść Dominikanów (bulla Innocentego IV z r. 1245).

Około r. 1257 św. Jacek przybył znowu nad brzegi Wisły. Cztery lata przedtem, Papież wysłał bullę do ukochanych synów swoich, Dominikanów, rozproszonych pomiędzy Turkami, Grekami, Bułgarami i rozlicznymi innymi ludami. Legenda wszędzie umieszczała Jacka wracającego do Polski. Archiwiści dominikańscy wyrażali się: „Polska cała, Prusy Królewskie. Prusy Książęce i wyspa Rugja, Danja, Szwecja, Norwegja, Ruś, wybrzeża Czarnego morza i wyspy Archipelagu, wielka Tatarja, Tybet i północne Chiny, oto pole działania tego olbrzyma apostolstwa". Należy zdać sprawę z władzy Jacka, nietylko nad współczesnymi ale i nad potomnymi. Gdy za naszych czasów zakonnicy pragnęli, by O. Jandel wysłał misję do Afryki, podanie ich kończyło się następującem wezwaniem: „Obyś ty, patronie tego dzieła, święty Jacku, mógł być jego odnowicielem! Głoszą powszechnie, iż za twego życia na ziemi, gorliwość o pozyskanie dusz nie dawała ci spokoju: pomnij na synów Chama, zostających od dni Babelu w ciemnościach śmierci. Głoszą prócz tego, iż na widok trupa przejęty współczuciem, rozkazałeś mu w imię Chrystusa i słodkiej Matki Jego wrócić do życia. Ten trup, to Afryka; zejdź do tego umarłego, niech ożyje, a świat pozna cię po tym cudzie i synowie twoi rozmnożą się w Afryce odrodzonej". Nie byliby oni w błędzie, gdyby chcieli przez to powiedzieć, że po Bogu, Jacek natchnął Braci gorliwością do wszystkich tych prac apostolskich.

Wskrzeszenie utopionego.

Jacek wróciwszy z pierwszej podróży do ojczyzny, odpoczywał pod dachem jednej z swych córek duchownych; a po ostatniej podróży gościł u kasztelanowej Przybysławy, która starała się o zaszczyt przyjęcia go u siebie, w Serniku. W tym celu wysłała najlepszego posła jakiego mogła, syna swego Wiesława, polecając mu zaproszenie Jacka. Wiesław, piękny młodzieniec, którego sam widok radował otoczenie, ofiarował Dominikaninowi, na życzenie swej matki, jedyne zajęcie, które mogło nakłonić świętego do przychylenia się do prośby, a mianowicie kaznodziejstwo, oraz jedyny pokarm jego ulubiony: pozyskanie dusz dla Boga.

— Każąc jutro u nas — rzekł Wiesław — w dzień uroczystości św. Jakóba, będziesz mógł, Ojcze, wskrzeszać dusze umarłe.

— Idź naprzód mój synu, ja za tobą pośpieszę — odrzekł natychmiast Jacek.

Uradowany Wiesław dosiada rumaka, cwałem jedzie ze starym koniuszym, by jak najprędzej przywieść matce dobrą wiadomość. Raba, bystra rzeka wypływająca z Karpat, wezbrała wskutek ulewy i zalała brzegi, oraz drogę. Ale Wiesława nie mogła powstrzymać żadna przeszkoda. Koń cofa się. Wiesław spina go ostrogą; wierzchowiec rozszalały staje dęba i zrzuca jeźdźca w najgwałtowniejszy prąd rzeki, unoszący go w dal. Koniuszy powraca do domu i skoro powiedział o wypadku, którego był świadkiem, kasztelanowa, otoczona gronem niewiast, pobiegła nad rzekę. Łódź, w której znajdował się Jacek i towarzysz jego Klemens, dobija do brzegu.

— O, mój Ojcze Jacku — woła Przybysława — wysłałam po ciebie jedyne dziecko, syna mego, a oto umarł! Światło mych oczu zagasło. Coż poczne?! Nie mam już ani męża, ani syna!

Łzy cisną się do oczu świętego, a modlitwa jego rozkazuje prądowi Raby: fale, unoszące ku Wiśle piękne ciało zmarłego, przywracają je strapionej matce.

— Ojcze! oddaj mi syna żywego — woła Przybysława — oddaj mi syna żywego!

Wielki tłum ludzi, zgromadzony na brzegu, błaga apostoła, który nadzieję położył w Bogu.

— Synu mój Wiesławie — rzecze Jacek do zmarłego — Pan Jezus wraca tobie życie.

Wiesław powstaje natychmiast. Tłum ludu pada na kolana, chwali Boga i błogosławi świętego.

Śmierć św. Jacka.—Widzenie św. Bronisławy w chwili jego zgonu.

Gdy klasztor krakowski witał założyciela swego, Bracia zaraz spostrzegli, że Jacek był bliskim śmierci, i że tym razem nie przybywał dla kierowania pracami apostolskiemi, ale dla wypoczynku. Wedle zwyczaju Dominikanów, Jacek udał się najpierw do kościoła, dokąd poszedł za nim przeor Benedykt z dwoma Braćmi. Godynem i Florjanem. Tkliwa przyjaźń łączyła czterech sędziwych misjonarzy, którzy w 1229 roku, udali się jednocześnie w pierwszą podróż apostolską. Jacek zatopiony był w modlitwie; towarzysze ujrzeli go całkiem oddzielonego od ciemności, zalegających ziemię, nadto posiadł on, dzięki niezwalczonej potędze, jaką ma dusza zawsze młoda nad zniszczonem ciałem, jakby odblask tej młodości, którą wieczność miała go wkrótce ozdobić.

Przeszło 70 lat spędził na służbie wiernej u Pana; teraz upadł na progu przybytku Ojca niebieskiego wyczerpawszy siły żywotne i wołał:

— Otwórz mi, Panie!

Ta modlitwa była i w spojrzeniu i na ustach jego; ręce złożone niosły ją do Boga, gdy słuch zamykał się na głosy ziemskie, a stopy znużone odpoczywały na gruncie klasztornym.

Jacek, przechodząc przez klasztor w miejscu, gdzie zakonnicy modlą się za Braci tamże spoczywających, rzekł z wielką słodyczą, chcąc przysposobić zgromadzenie do swej śmierci.

— Jestem ściśniony z dwu stron, pragnąc, żebym był rozwiązany, i był z Chrystusem, coby daleko lepiej.

W wigilję dnia, w którym obchodzono wejście do chwały wiecznej św. Dominika, 4 sierpnia 1257, niemoc ogarniająca wszystkie członki Jacka, niszcząca całą energię zewnętrzną, wzmagała się przez dni dziesięć. Gdy zakonnicy, odśpiewawszy pierwsze nieszpory Wniebowzięcia, wychodzili z kościoła, Jacek prosił przeora Benedykta, aby przyprowadził do niego całe zgromadzenie.

— Bóg, drodzy synowie moi, powoła mię jutro do Siebie — rzekł Jacek. Chcę zostawić wam słowa, które powiedział mi sam św. Dominik: zachowajcie pokorę, żyjcie w miłości wzajemnej, miejcie dobrowolne ubóstwo; oto testament życia wiekuistego.

O północy, mimo niezmiernego osłabienia, zeszedł do chóru, by śpiewać jutrznię. Gdy dzień zaświtał, brał jeszcze udział w ćwiczeniach zakonnych. Wpatrywał się z Królową Apostołów, która w tym kościele przed 30-tu przeszło laty ukazała mu się, aby dodać odwagi w pierwszych jego misjach. Tam to widziała go, od powrotu do Krakowa, trawionego pragnieniem złączenia się z Panem swoim. Jacek, czując zbliżający się koniec, przywołał swego spowiednika. Poczem chciał odprawić mszę świętą; ale siły dozwoliły mu tylko połączyć ofiarę swoją z bezkrwawą Ofiarą Chrystusa, którą odprawił na intencję Jacka Brat Florjan, stały towarzysz jego, kochający go miłością synowską. Jacek otrzymał Ostatnie Namaszczenie, oczyszczające człowieka z wszelkiej zmazy. Czesław umarł na twardem łożu zakonnika, Jacek umierał, stojąc przy ołtarzu. Śmierć była ostatnią czynnością jego apostolstwa. Tuląc do piersi krzyż Odkupiciela i obraz Marji, konający misjonarz przyłączył się do śpiewanego w chórze Officium. Gdy Bracia skończyli Nonę, część godzin kanonicznych, przypominających Ofiarę na Kalwarji, Jacek zaczął śpiewać jeden z psalmów Komplety. Dla niego dzień się skończył.

„W Tobiem Panie nadzieję miał, niech nie będę zawstydzon na wieki: w sprawiedliwości twojej wybaw mię. Nakłoń ku mnie ucha twego, pospiesz się, abyś mię wyrwał. Bądź mi Bogiem obrońcą, abyś mię zbawił. Albowiem moc moja i ucieczka moja jesteś Ty. W ręce twe polecam ducha mego".

Po tych słowach, głos umierającego zamilkł na wieki; na drugim świecie, do którego dostał się pełen radości, powiedział niezawodnie swemu Panu:

— Odkupiłeś mię, Panie Boże prawdy.

W tym samym dniu krewna świętego, Bronisława, popadła w czasie Nony w rodzaj uśpienia. Widziała się otoczoną światłem, wśród którego rozpoznała postać niewieścią unoszącą Dominikanina, jaśniejącego szczególnem światłem. „Kim jesteś?" spytała Norbertanka. — Jestem Matką miłosierdzia, a oto Jacek, którego prowadzę do królestwa niebieskiego — odrzekła Najświętsza Panna. Anielskie chóry, do których przyłączył się Jacek, odpowiedziały Matce Bożej i widzenie znikło. W tej chwili Bronisława pobiegła z Siostrami Falisławą i Małgorzatą do klasztoru Dominikanów, żeby opowiedzieć im o tem objawieniu. Dowiedziała się wtedy o śmierci Jacka, którego opłakiwali zakonnicy. Opowiadanie Bronisławy powtórzyli wiernie Bracia Kaznodziejscy z Krakowa pierwszemu biografowi Jacka, O. Stanisławowi. Powyższe świadectwo nabrało tem większej wagi przy procesie kanonizacyjnym, ponieważ Norbertanka żyła i umarła, jak święta. Stolica Apostolska zezwoliła, aby na Śląsku obchodzono uroczystość jej 7 września.

Kanonizacja Jacka.—Beatyfikacja Czesława.

Około 15-tu lat ubiegło od pogrzebu Czesława w kościele św. Wojciecha, do pogrzebu Jacka w kościele Świętej Trójcy. Obudwom cześć oddał biskup, król, duchowieństwo, szlachta i mieszczanie. Śmierć ich była żałobą narodową dla Wrocławia i Krakowa.

Miano dowód, że związki istniejące pomiędzy nimi, a osobami, które zachowywały ich w pamięci, utrzymywać się mogły na tym świecie: gdy Jacek dostał się do chwały wiecznej, gdyż w tej samej chwili ukazał się nietylko krewnej swojej Bronisławie ale i Prandocie Odrowążowi, biskupowi krakowskiemu. Ten ostatni, po pogrzebie Jacka, płacząc przy jego grobie, ujrzał zastępy chórów niebiańskich, otaczających Dominikanina, którego św. Stanisław wprowadzał do królestwa niebieskiego. Kilka chwil później opowiedział to widzenie w klasztorze Świętej Trójcy.

Błog. Czesław ukazał się jednej z Dominikanek wrocławskiego klasztoru, która sama zeznała, że w chwili powątpiewania w jego zbawienie, ujrzała go w otoczeniu apostołów.

Skoro tylko pochowano Czesława i Jacka, pielgrzymi napływali tłumnie do ich grobów. Chorzy fizycznie i moralnie doznawali polepszenia. Umarli, których tam przynoszono, zmartwychwstawali. Przed bitwą korzyli się tu rycerze i odnosili potem zwycięstwo. Król Jan Sobieski, po mszy św. u grobu św. Jacka, do której służył, pospieszył na od-

siecz Wiednia przeciwko Turkom. Wkrótce we wszystkich krajach błagano Czesława i Jacka o wstawienie się, a oni strzegli majętności ciał i dusz, które miały do nich nabożeństwo.

Cuda św. Jacka, od jego śmierci do 1352, wylicza O. Stanisław. Zauważywszy, że nie podano cudów spełnionych od 1352—1499, podaje spis najgłówniejszych aż do roku 1519. Dalej spisuje wszystkie cuda zanotowane od 1520—1524, w celu kanonizacji, na mocy świadectw złożonych przez 409 wiarogodnych osób. Jackowi przypisują wskrzeszenie 54 umarłych. Cuda Czesława podaje Bzovius. Nabożeństwo do św. Jacka rozpowszechniło się w całem chrześcijaństwie, a szczególnie we Francji i Hiszpanji. Po opisaniu czci, oddawanej św. Jackowi, w dwóch klasztorach Dominikanów, w Tuluzie i dwóch w Paryżu przy ulicy Nowej św. Honorjusza i w nowicjacie na przedmieściu Świętego Germana, dziejopis J. de Réchac dodaje: „Paryż doznawał od kilku lat takiej pomocy ze strony tego świętego, że jednogłośnie jest wzywany i że nie wiadomo, gdzie umieścić liczne wota wdzięcznych mu osób". Królowa Anna Austrjacka otrzymała z Polski jednę z kości świętego, którą obdarzyła klasztor św. Honorjusza. Ulica obok klasztoru św. Jakóba zwana była ulicą św. Jacka (dziś Malebranche).

Wierni zachowali w pobożnej pamięci łaski, otrzymane za pośrednictwem ś.ś. braci Odrowążów. Kościół przygotowywał ołtarze dla tych Braci Kaznodziejskich i zgromadził potrzebne dokumenty, żeby módz przybytki dla nich poświęcić. Jednakże częste najazdy tatarskie, oraz wojny, które rozdwoiły chrześcijaństwo w XV wieku; herezje Lutra i Kalwina, które wymagały skupienia całej działalności Kościoła w XVI stuleciu, opóźniły najpierw wniesienie sprawy kanonizacji a następnie jej rozpatrzenie.

W 1518 r., na prośbę króla Zygmunta Starego, Papież Leon X, polecił biskupowi krakowskiemu przysposobić podanie tej sprawy. Jeden z następców Leona X, Klemens VII, pozwolił czcić w Polsce relikwie św. Jacka. W r. 1530 Dominikanie polscy otrzymali pozwolenie odbywania w swych kościołach procesji 16 sierpnia, na cześć Jacka. W 1539 Paweł III, wyznaczył nową komisję, popierającą sprawę kanonizacji. W 1543, przy naprawie klasztoru, zakonnicy odnaleźli relikwie fundatora, które ukryto przed zaciekłymi heretykami. Przyozdobiwszy miejsce, gdzie znajdowały się relikwie, umieszczono je w sarkofagu na środku kaplicy, poświęconej św. Jackowi. Głowę jego zamknęli w osobnym relikwiarzu, który zrobił własnoręcznie król Zygmunt III. Tymczasem nie ustawano w staraniu się o kanonizację. Na usilne prośby króla, przyspieszono w 1589 r. prace procesu, a 17 kwietnia 1594, Papież Klemens VIII zaliczył Jacka w poczet świętych.

W XVI w. ukryto relikwie Czesława przed profanacją Lutrów; a w czasie wynalezienia tych relikwji w 1607, trzeba było schronić je przed tymi heretykami, którzy w 1608 r. złupili kościół św. Wojciecha. O. Cloche, jenerał Dominikanów, otrzymał pozwolenie obchodzenia święta Czesława: pół-podwójnie w djecezji wrocławskiej, podwójnie w swym Zakonie. Wkrótce potem, odpusty zostały nadane tym osobom, które czcić będą relikwie 16 lipca.

W XVIII wieku Papież Pius VII uświęcił nabożeństwo wiernych do najsławniejszego z towarzyszów Jacka i Czesława, Sadoka, który większej doznał od nich łaski, gdyż otrzymał palmę męczeństwa.

Czterdziestu dziewięciu męczenników sandomierskich.

Było to w 1259 r., dwa lata po śmieci Jacka. Sadok rządził klasztorem Dominikanów w Sandomierzu. Pole otaczające miasto pokryte plonem, najechali Prusacy, Połowcowie, Litwini i Tatarzy. Daniel halicki, którego nawrócenie przypisują Jackowi, z bojaźni napastników zostaje ich sprzymierzeńcem; brat jego i syn Lew walczą wśród zastępów pogańskich. Twierdza sandomierska stawia opór i wytrzymuje oblężenie; ale Rusini proponują układy, zapewniając, że warunki pokoju będą korzystne. Bramy otwierają się przed pośrednikami, którzy wpuszczają za sobą nieprzyjaciół do warowni, nie wiadomo, czy jako zdrajcy, czy jako zdradzeni.

Z rana 2 lipca Dominikanie zgromadzeni w chórze, psalmodjują Officium. Gdy skończyli hymny pochwalne, nowicjusz zbliżył się do pulpitu, by przeczytać w martyrologium imiona tych świętych, których uroczystość ma być obchodzona dnia następnego. Patrząc w księgę, zatrzymuje się zdziwiony; głosem drżącym ze wzruszenia czyta: W Sandomierzu męczeństwo 49-iu męczenników. Przeor chce sam odczytać, zakonnicy otaczają go i gdy każdy z nich „zobaczył tekst proroczy, znikł on natychmiast. Drogocenna jest w obliczu Boga", odzywa się znów „poważny głos zakonnika". Śmierć Jego świętych, odpowiada chór, kończąc zwykłe modły.

— Jest nas 49-iu — mówi Sadok — i otośmy wybrani, żeby wejść jutro do nieba; za szczególną łaską pozwala nam Chrystus przelać krew naszą dla Niego. Gińmy z weselem pod ciosami Tatarów!

Spełnianie codzienne woli Bożej, podług udzielonej łaski, przygotowało Braci do ofiary. Czyż nie byli zawsze posłuszni, gdy Pan żądał od nich poświęcenia? Bracia, przygotowawszy się na śmierć i Komunję św., którą przyjęli jako Wiatyk, powrócili do swych zajęć, do ścisłego wypełniania reguły; pokój Chrystusa zstąpił w ich serca.

Gdy procesja „Salve Regina“, przez którą Dominikanie dziękują Bożej Dziewicy za opiekę, zakończyła Officium i dzień zarazem, Sadok i Bracia obawiali się, żeby kielich goryczy nie oddalił się pragnęli należeć do Królowej Męczenników, którą witali jako Matkę litości, żywot, słodycz i nadzieję swoją“. Prosili o palmę wzamian za krew przelaną.

Tymczasem Mongołowie, przepłynąwszy Wisłę, dostają się aż do stóp twierdzy, której załoga złożyła broń. Klasztor, położony za murami miasta, pierwszy miał stać się pastwą Tatarów. Słysząc śpiewy, wpadają oni do kościoła, rzucają się z mieczami na zakonników; ale modły ich nie ustają, ci, którzy są „na tym padole płaczu“, wzdychają, łzy wylewając:

„Orędowniczko nasza, twoje miłosierne oczy obróć na nas!“

Gdy pod ciosami padają, Najśw. Panna ukazuje im Jezusa, a każdy z męczenników, dogorywając, szeptem mówi po raz ostatni:

— O, łaskawa, o litościwa, o, słodka Panno Marjo!

Czterdzieści osiem cięć wymierzyli Tatarzy i czterdzieści osiem trupów zakrwawionych padło na ziemię. Imiona męczenników są następujące: Sandok, przeor; Paweł, wikarjusz; Malachiasz, kaznodzieja; Andrzej, jałmużnik; Piotr, ogrodnik; Jakób, nauczyciel nowicjuszów; Abel, pełnomocnik; Szymon, penitencjarz; Klemens, Barnaba, Eljasz, Bartłomiej, Łukasz, Mateusz, Jan, Barnaba, Filip, Joachim i Józef, djakoni; Tadeusz, Mojżesz, Abraham i Bazyli, subdjakoni; Dawid, Aaron, Benedykt, Onufry, Dominik, Michał, Maciej, Tymoteusz, klerycy; Maurus, Gordjan, Felicjan, Marek, Jan, Gerwazy, Krzysztof, Donat, Medard, Walentyn, Daniel, Tobiasz, Makary, Rafael, Izajasz, nowicjusze; Cyryl, krawiec; Hieronim, szewc i Tomasz, organista, braciszkowie.

Barbarzyńcy przeszukują cały klasztor i nie znajdują nikogo. Mimo to słyszą, że niewidzialny chór, pełen niebiańskiej harmonji, śpiewa „Salve:“ to męczennicy cudownie głoszą po śmierci chwałę Przeczystej Dziewicy. Jasność nadziemska, jak całunem okrywa martwych Braci.

Jeden tylko zakonnik milczał i sam tylko pozostawał w ciemności. W chwili napadu hordy, mordującej Braci jego, pełen szalonej bojaźni, mogącej przywieźć go odszczepieństwa, ukrył się w dzwonnicy. Jakaż różnica między ponurym jego smutkiem, a radością męczenników! Widzi to nieszczęsny, rozumie, czuje i działa. Nowa ofiara oddaje się dobrowolnie w mordercze ręce Tatarów. Sandok może zatem policzyć wszystkich swych zakonników u stóp umiłowanego Chrystusa. Czas próby minął; dla miłości ukrzyżowanego przelali oni wszystką krew swoją, to też wiecznie z Nim królują.

Rodzinie św. Dominika zostawiają ci męczennicy w spuściźnie ceremoniał śmierci. Pieśń „Salve“, która dotąd poprostu zaznaczała w zakonie Dominikańskim koniec dnia, od czasu ich męczeństwa służyła na zaznaczenie końca życia. Od sześciu wieków Bracia i Siostry słyszą tę pieśń w czasie konania: dla nich drga ona jeszcze tem samem brzmieniem, jaki jej nadało czterdziestu dziewięciu męczenników.

Papież Pius VII udzielił Zakonowi Kaznodziejskiemu pozwolenie odprawienia Officium na cześć błog. Sadoka i towarzyszów jego. Historyk polski Miechowita, wspomina, że gdy książę Bolesław i biskup krakowski Prandota donieśli Papieżowi Aleksandrowi IV o rzezi w Sandomierzu, Ojciec św. udzielił natychmiast odpustów wizytatorom klasztoru. Te odpusty powiększył Bonifacy VIII (1275) w dzień uroczystości, obchodzonej 30 października. W kościele klasztoru poświęcono ołtarz 49-iu męczennikom. Wyobrażono ich z palmą w ręku, osłoniętych płaszczem Najświętszej Dziewicy. Obecnie cześć im oddają w kaplicy, znajdującej się po prawej stronie wielkiego ołtarza; fresk przedstawia ich męczeństwo.

Doniosła działalność O.O. Dominikanów w Polsce.

Chociaż Dominikanie nie sami tylko wtajemniczali Polskę w szczegóły jej powołania, nie sami kształcili ją podług zamiarów Opatrzności, jednakże ważny brali w tem udział: nic tak dobrze nie uwydatnia ich pracy, jak porównanie działaności Jacka, Czesława i Sadoka.

Jacek miał dar jednania sobie posłuszeństwa; jego słowa pobudzały słuchaczów do poświęcenia; wszędzie stawiano wielkie klasztory, a misjonarze gotowi byli do przelania krwi swej za wiarę; ze wszystkich stron wierni cisnęli się przed kazalnicę i do konfesjonału; niestety, narodowi naszemu pełnemu zapału, nie dostawało karności. Z tego powodu, męża z takiemi zdolnościami do zarządu, jakie miał Czesław, mało rozumiano w Polsce. Nawet nie wszyscy Bracia umieli zachować posłuszeństwo; jeszcze za życia jego niektórzy z nich żądali wdania się cudzoziemca w sprawy ich prowincji. Tymczasem Polska, widząc, jak Sadok i towarzysze jego wymownie i jednomyślnie okazali, czem jest radość wylania krwi swej dla Boga, uczciła ich zgodnie. Niejeden z Polaków zazdrościł ich męczeństwa, naśladowców nie brakło nigdy.

Papież Grzegorz XIII odpowiedział posłom króla polskiego, proszącym go o relikwie:

— Weźcie garść ziemi polskiej, jest ona przesiąknięta krwią męczenników.

Jeżeli Europa dziś nie jest mongolską, lub muzułmańską, zawdzięcza to Polsce, która mieczami

niezliczonych swych wodzów broniła chrześcijaństwa. Dziewięćdziesiąt jeden najazdów tatarskich odparły włócznie polskiego ludu.

Można śmiało twiedzić, że szczególnie Dominikanie przysposobili Polskę do tego bohaterstwa.

O. Gretry w swych Rozmyślaniach pięknie powiada:

„Pierwsi męczennicy utwierdzili panowanie Ewangelji nad sumieniami; narody męczeńskie utwierdzą panowanie Boże nad narodami". Obyż proroczymi były jego słowa.

Relikwie. — Wizerunki i pamiątki.

Wskutek rozbiorów Polski upadła większa część fundacji Jacka i Braci jego. We Wrocławiu świeckie duchowieństwo czuwa w kościele św. Wojciecha nad relikwiami błog. Czesława gdyż Dominikanów wydalono z Wrocławia 1810 r. Relikwie św. Jacka przechowuje klasztor krakowski, w którym 1894, zgromadzili się wierni, mający nabożeństwo do świętego, aby uroczyście obchodzić trzechsetną rocznicę jego kanonizacji.

Rzeźba, malarstwo, rytownictwo utrwaliły najważniejsze wypadki z życia Jacka. Najcenniejszem wyobrażeniem św. Jacka jest bez zaprzeczenia fresk w kościele św. Sabiny. Zygmunt III ofiarował Papieżowi portret świętego, którego kopja jest w Krakowie, w skarbcu Dominikanów. W muzeum watykańskiem znajduje się obraz, przedstawiający cztery cuda św. Jacka. W Luwrze jest św. Jacek pędzla Carrache'a i Colombel'a; obraz ten zabrano z klasztoru świętego Jakóba, Bracia Kaznodziejscy w Lugdunie mają okno, a Bracia w Biarritz mozajkę, wyobrażającą świętego.

Gabinet sztychów biblioteki ma sześć rycin, przedstawiających objawienie się Matki Boskiej świętemu. Znane są też wizerunki i różne obrazy poczerpnięte z życia św. Jacka, jako to: wskrzeszenie Piotra z Proszowa, przejście Dniepru z monstrancją i statuą Matki Boskiej. Malarstwo przedstawia apoteozę Jacka i Sadoka; poeci uwiecznili ich w swoich utworach, a w rocznikach i kronikach ojczystych i dominikańskich zajmują oni ważne miejsce. Jednakże dlaczego nie mieli właściwych biografów? Zapewne dlatego, że nawet o Jacku, najsławniejszym z nich wszystkich, w archiwach jest mało dawnych zapisków. Największa część dokumentów pochodzi z XVI wieku, a w tym czasie łańcuch legend jest spojony z wątkiem historji tak silnie, że wszystko mogłoby się zerwać, gdyby chciano zdjąć pojedyńcze ogniwa.

Źródła.

O. Sadok Barącz. *Rys dziejów Zakonu Kaznodziejskiego w Polsce.* 1861.

O. Tauron. *Znakomici O.O. Dominikanie.*

O. Antoni Danzas. *Studja nad początkiem dominikańskiego Zakonu.* Paryż 1873.

O. Chapotin. *Historja Dominikanów.* 1898 r.

Sewer. *O klasztorach Braci Kaznodziejskich.*

Fontana. *Monumenta Dominicana.*

Chodykiewicz. *De peregrinatione S. Hyacinthi.*

Jan Chadzyński. *Historyczny opis miast starożytnych w ziemi Sandomierskiej leżących.* 1855.

O. Lescoeur. *Kościół katolicki w Polsce.* 1876.

Dnia 21 sierpnia.

ŚWIĘTA JOANNA FRANCISZKA FREMIOT DE CHANTAL

1572 † 1641.

Za rządów papieży: Grzegorza XIII, Urbana VIII, króla francuskiego Henryka IV.

Nie patrz nigdy na twoje zmartwienie inaczej tylko przez krzyż Zbawiciela, a wtedy wydadzą ci się małe lub nawet tak przyjemne, iż więcej lubować się w nich będziesz, aniżeli w rozkoszach wszystkich światowych pociech.

Św. Franciszek Salezy.

Pochodzenie św. Joanny.—Lata dziecinne.—Żarliwość względem Przenajświętszego Sakramentu.

Joanna-Franciszka de Chantal była córką Benigna Fremiot, prezydenta w parlamencie Burgundzkim. Był to prawy i bogobojny człowiek, obowiązki swoje jako zwierzchnik spełniał wzorowo. Ożeniony z Małgorzatą de Berbisy, miał z nią troje dzieci: Małgorzatę, Joannę i Andrzeja, który umarł jako arcybiskup w Bourges. Joanna przyszła na świat w mieście Dijon, dnia 23 stycznia 1572 roku. Podczas bierzmowania otrzymała imię Franciszki i połączyła je z imieniem Joanny na chrzcie otrzymanem.

Prezydent Fremiot został wdowcem, kiedy dzieci jego były jeszcze małemi. Zajął się ich wychowaniem, rozbudzał w nich wzniosłe uczucia pobożności i kazał się uczyć tego wszystkiego, co im kiedyś na świecie potrzebnem być miało. Joanna najlepiej odpowiadała jego zamiarom, okazywał też jej szczególne względy.

Była bardzo pobożną, z przejęciem zawsze się modliła i chętnie się przysłuchiwała rozmowom o religji. Mając lat pięć surowo skarciła heretyka kalwinistę, który powstawał na dogmat rzeczywistej obecności Chrystusa Pana w Przenajświętszym Sakramencie.

— Jakto — rzekła — pan nie wierzysz, że Jezus Chrystus istotnie jest utajony w Przenajświetszym Sakramencie? A wszakże On sam nas o tem zapewnił, mówiąc: „*To jest Ciało moje, to jest Krew moja*“.

Zdumiony taką odpowiedzią heretyk, nie chcąc dalej prowadzić sprzeczki, sięgnął do kieszeni i dał jej garść cukierków. Ale, że ogień płonął na kominku, Joanna bez namysłu w ogień rzuciła cukierki, te dodając słowa:

— Tak palić się będą w piekle wszyscy, którzy nie wierzą słowom Chrystusowym!

Kiedy przebywała czas jakiś u swojej siostry starszej, hrabiny Effran, chciano ją wydać za pewnego bardzo bogatego pana, ale ona dowiedziawszy się, że przeznaczony dla niej młodzian był kalwinem nie zgodziła się na to małżeństwo, zkądinąd bardzo dobre i odpowiednie.

Wyjście zamąż Joanny.—Szczęśliwe pożycie.—Śmierć męża.

Kiedy miała lat dwadzieścia, za poradą ojca poślubiła Krzysztofa barona de Chantal, potomka słynnej rodziny Rabutin. Był on wojskowym, lat dwadzieścia siedem mającym, odznaczał się odwagą i szlachetnością: Henryk IV, król francuski, dla tych przymiotów lubił go bardzo. Ślub odbył się w Dijon roku 1592, z odpowiednią okazałością. W kilka dni potem, baron zabrawszy swą małżonkę udał się z nią do zamku Bourbilly, zwykłej swej rezydencji.

Nowa pani nie znalazła tu takiego porządku, do jakiego przyzwyczajoną była w domu ojcowskim; skutkiem częstej nieobecności barona, wkradły się tu były pewne nadużycia. Czynność swą przedewszystkiem zwróciła na domowników, zalecając, aby nie zaniedbywali swych obowiązków religijnych i aby każdego dnia wieczorem zbierali się na pacierze wspólne, którym sama przewodniczyła. W niedziele i święta udawali się wraz z nią na mszę św. w kaplicy zamkowej.

Każdy miał swoje zajęcie i oznaczoną godzinę, w której powinien był je spełniać; wszystko było przewidziane i ułożone tak, aby uniknąć zamieszania i nieporządku.

Kiedy baron wydalał się z domu, czy to na dwór królewski, czy do armji jako wojskowy, pobożna małżonka jego przebywała u siebie w domu i rzadko godzila się na jakie odwiedziny w sąsiedztwie. Unikała tym sposobem rozproszenia, troszcząc się głównie o dzieci i różne sprawy domowe. Czas jej nie wydawał się długim, umiała go pożytecznie spędzić; nie szukała, jak inne niewiasty światowe, czczych zabaw, aby się rozerwać i nudów uniknąć. Chwile wolne od zajęć zwykłych poświęcała rozmyślaniu, modlitwie albo czytaniu duchownemu.

Ale gdy małżonek powracał, aby mu się w domu nie przykrzyło, jak mogła czas mu uprzyjem-

niała; do siebie znajomych zapraszała, i od wizyt się nie wymawiała; aby nie uchybić jakimś słusznym wymaganiom i nie stać się powodem niezadowolenia czy to męża, czy znajomych. Zawsze jednak to na uwadze miała, aby granic nie przekraczać, i na to się tylko godziła, co grzesznem nie było.

opuści, chybaby jakieś wyjątkowe okoliczności do tego zniewalały.

Mąż w niczem nie krępował jej woli, miała sobie zostawioną zupełną swobodę kierowania domem. Był to człowiek duchowo bardzo wyrobiony, i zarówno pod względem religji, jak i pod względem obejścia się z drugimi, nic mu nie można było

ŚWIĘTA JOANNA DE CHANTAL
Założycielka zakonu PP. Wizytek w 65 roku życia.
Podług portretu z r. 1636 zachowanego w klasztorze Wizytek w Paryżu.

Z czasem atoli spostrzegła, że pewną szkodę na duszy ponosi, gdy się w grzecznościach za daleko posuwa: przedewszystkiem, że nieoceniony czas traci, że zmniejszenie żarliwości w sobie czuje i że się rozproszenie do serca zakrada. Dała więc sobie słowo w 1601 roku, że ćwiczeń pobożnych pod żadnym pozorem skracać nie będzie; że nigdy ich nie zarzucić. Kochał swoją żonę bardzo, a ona ze swej strony płaciła mu wzajemnością. Nic nie brakowało do szczęścia obojgu. Ale Bóg, który chciał niepodzielnie panować w sercu służebnicy swojej, zażądał od niej nader wielkiej ofiary.

Baron tylko co podniósł się z choroby, w którą był zapadł niespodzianie. Jeden z jego przyjaciół

przybył do zamku Bourbilly, aby go odwiedzić. Podczas rozmowy, dla rozerwania siebie i jego, zaproponował polowanie. Baron chociaż jeszcze osłabiony, nie sprzeciwiał się przyjacielowi, ale wziąwszy na siebie surdut barwy jeleniej udał się na obrane miejsce. Przyjaciel jego, znacznie się oddaliwszy, nie spostrzegł, że on był za krzakami; pochmurny dzień utrudniał rozróżnienie przedmiotu, wziął go za jelenia i dał ognia ze strzelby.

Strzał był śmiertelny. Baron żył jeszcze kilka dni, przyjął ostatnie Sakramenta święte, z najwyższą pobożnością. Zdał się na wolę Bożą z całą pokorą, pocieszał swego przyjaciela, zapewniał go o przebaczeniu ze swej strony, chciał aby akt tego przebaczenia był wciągnięty do ksiąg parafjalnych, aby nikt jego nieszczęśliwego przyjaciela nie pociągał do odpowiedzialności, gdyż to był przypadek a nie zła wola. Wyzionął ducha na rękach swej żony, od żalu utulić się nie mogącej.

Słowa Joanny wyrzeczone po śmierci męża.—Skromniejsze urządzenie domu.—Wskazówki co do kierownika sumienia.—Pobyt w domu teścia.

Baronowa Joanna de Chantal miała lat dwadzieścia osiem, kiedy została wdową. Z sześciorga jej dzieci żyło czworo: jeden syn i trzy córki. Ciężki bardzo był jej ból, po śmierci męża, ale zniosła go bohatersko, jako krzyż z woli Najwyższego.

Zaofiarowała się Bogu w zupełności całkowitą ofiarę ze swej osoby uczyniła i naprzód z ochotą przyjmowała wszystko co ją kiedykolwiek z woli Bożej spotkać miało. Jednocześnie uczyniła ślub czystości dozgonnej. Bardzo się cieszyła tą myślą, że odtąd już tylko Bogu żyć będzie i często powtarzała te słowa Psalmisty Pańskiego. „*Potargałeś Panie pęta moje, tobie ofiaruję ofiarę chwały*“ (Ps. 115, 17).

Stosując się do woli swego męża, z całego serca przebaczyła temu, co był mimowolną przyczynę jego śmierci i, aby nie miał żadnej pod tym względem wątpliwości, jak mogła upewniała go o tem. Jedno z jego dzieci trzymała do chrztu św.

Zwrócona całkiem ku Bogu, na wskroś przejęta jego wolą, Joanna przedsięwzięła nowy sposób życia; nakreśliła sobie plan według wskazówek jakie dla uświęcenia się wdów podaje św. Paweł, a za nim wszyscy Ojcowie Kościoła. Część nocy spędzała na modlitwie, jałmużny swoje znacznie zwiększyła, na korzyść ubogich wyzbyła się swoich lepszych sukien i zobowiązała się ślubem tylko skromne, lniane nosić. Nagrodziwszy hojnie, odprawiła większą część domowników. Postom oddawała się częstym i surowym. Usunąwszy się od świata, dzieliła swój czas między modlitwę, pracę i naukę dzieci.

Taką była jej żarliwość, takiem pałała pragnieniem przebywania jedynie z Bogiem, że gdyby mogła skryła by się na pustynię, aby uniknąć wszelkiej łączności ze światem. Nosiła się z myślą, że dni swoje zakończy w Ziemi Świętej, tak chrześcijaninowi drogiej; ale od wykonania tej myśli powstrzymała ją obawa, że opuszczając czworo swoich drobnych dziatek, uchybi świętym obowiązkom matki.

Nie miała przewodnika, któryby ją prowadził po drogach Bożych. Bez ustanku prosiła Boga o tę łaskę ze łzami. Raz, podczas żarliwej modlitwy, uniesiona jakby do nieba, ujrzała męża wielce poważnego, w czarnej sutannie, rokiecie i mantolecie. Innym razem modląc się w miejscu odosobnionem, popadła w zachwycenie, podczas którego napróżno czyniła wysiłki, aby wejść do sąsiedniego kościoła. Było jej wtedy danem do zrozumienia, że ogień miłości Bożej winien w niej strawić to wszystko, co jest niedoskonałem. Przyszedłszy do siebie, taką błogością czuła się napełniona, że w cierpieniach doznawanych widziała jeno podnietę do miłości Bożej na ziemi, i zadatek szczęścia niebieskiego.

Kiedy rok jej żałoby upłynął, udała się do swego ojca, prezydenta w Dijon. Sposobu życia nie zmieniła, kilka tylko pań cnotliwych, w podeszłym już wieku będących, przyjmowała u siebie. W roku następnym sprawy rodzinne wymagały, aby z dziećmi przeniosła się do starego barona de Chantal, swego teścia, który mieszkał w Monthelon w djecezji Augustodúńskiej. Zły humor starca nie mało jej sprawiał przykrości, równie jak dąsy ochmistrzyni rządzącej domem, która wszechwładnie tam panowała i której wszyscy chcąc niechcąc ulegać musieli.

Joanna cierpliwie znosiła tę próbę; nikt nie słyszał, żeby się kiedy żaliła—najmniejszego znaku niezadowolenia nie okazywała. Ze szczególną uprzejmością stosowała się do tego wszystkiego, co miłem było teściowi i ochmistrzyni. Poświęcała ćwiczeniom pobożnym znaczną część czasu i co niedziela na mszę św. i kazania udawała się do kościoła.

Wpływ kazania św. Franciszka Salezego na Joannę. Spowiedź z całego życia.

Baronowa de Chantal dowiedziawszy się, że św. Franciszek Salezy będzie miewał pasyjne kazania w Dijon, podczas wielkiego postu, 1604 roku; powzięła zamiar bywać na kazaniach tego gorliwego sługi Bożego. Zobaczywszy na ambonie św. Franciszka, poznała w nim tego męża wielce poważnego, który się jej był ukazał podczas modlitwy i zdawało się jej, że to on właśnie jest tym przewodnikiem, przez nią od tak dawna szukanym.

Biskup miał również widzenie, podczas którego Bóg mu dał poznać swoje zamiary względem baro-

nowej de Chantal. Rozmawiała z nim nieraz u swego ojca, którego on od czasu do czasu odwiedzał. Powzięła ku niemu całkowite zaufanie, ale nie wspominała nigdy o tych żywych uczuciach pobożności jakich doznawała podczas rozmyślań swoich. Pragnęła gorąco zasięgnąć jego rady co do stanu swej duszy, ale powstrzymywało ją to, że pewien zakonnik, który kierował nią dotychczas, zalecił jej, aby się do niego wyłącznie odnosiła w tem wszystkiem co dotyczy sumienia. Z drugiej strony, kazania biskupa genewskiego i rozmowy poruszały ją żywo stosowała się do jego przestróg, nawet w rzeczach najmniejszych, i za swoją powolność w tej mierze zawsze doznawała w duszy pociech niewymownych.

W końcu wyjawiła mu przyczynę swoich wahań, została zapewnioną, że polecenia były nie właściwe i że może być z nich zwolnioną. Wówczas odbyła spowiedź przed biskupem genewskim i miała zaleconą spowiedź z całego życia. Ale wkrótce pokój jej duszy został zakłócony smutkami wewnętrznymi, trwoga ją wielka ogarnęła. Św. Franciszek Salezy nauczył ją, jak ma korzystać z tej próby; poczem światło wzięło górę nad ciemnościami i cisza nastąpiła po burzy. Zachowywanie się jej wywoływało pochwały wszystkich ją otaczających, zazwyczaj mówili o niej domownicy przez obcych pytani:

— Pani nasza modli się ustawicznie, ale przecież to nikomu nie szkodzi.

Wstawała o godzinie piątej rano i zawsze bez światła ubierała się sama, nie przywołując żadnej sługi. Po obiedzie pół godziny poświęcała na czytanie duchowne. Wieczorem wykładała obowiązki religijne swym dzieciom, zajmowała się nauczaniem kilkorga innych dzieci obcych. Ponownie zabierała się do czytania i odmawiała różaniec przed wieczerzą. O godzinie dziewiątej, po zejściu się domowników w kaplicy, odmawiała pacierze wieczorne z nimi; potem modliła się jeszcze długo sama.

W jakichkolwiek znajdowała się okolicznościach, nie traciła nigdy z przed oczu obecności Boga. Unikała tego wszystkiego, co schlebiało zmysłowości, starannie ukrywała to, co dla umartwienia czyniła, jak naprzykład włosiennicę pod suknią, którą zwykle nosiła. Odwiedzała ubogich chorych i spędzała całe noce przy tych, którzy konali, aby im poddawać akty wiary, nadziei i miłości, i przysposobić do dobrej śmierci. Utrzymywała przez długi czas ubogą kobietę, pokrytą ranami opatrywała ją sama, oddawała jej najniższe usługi zawsze jej towarzyszącą słodycz okazywała.

Gruntowną swą pobożnością jednała sobie Boga i ludzi. Rozmowy ze św. Franciszkiem Salezym, przy nadarzonej sposobności prowadzone, potęgowały jej oderwanie od świata. Każdego poranku czyniła silne postanowienia, że Boga będzie miłowała nadewszystko, jemu poświęcała bez podziału swoje pragnienia, myśli i czyny. Uniesiona gorliwością wypisała na swych piersiach gorącem żelazem najsłodsze Imię Jezus, na dowód, że żyje wyłącznie dla jego chwały.

Otrzymanie natchnień i oświeceń z nieba. — Myśl założenia nowego zgromadzenia.—Trudności w tej mierze napotkane. — Pozwolenie ojca, teścia, krewnych. — Spełnienie powziętej myśli 1610 roku, w uroczystość Świętej Trójcy.

Im bardziej się Joanna odsuwała od świata, tem więcej otrzymywała pociech i oświeceń wewnętrznych. Prawdy religji naszej świętej przedstawiły się jej pewnego dnia jaśniejszemi, i takiemi, jakiemi ich nigdy przedtem nie widziała. Co prędzej chciała się uwolnić od tego, co ją jeszcze łączyło z ziemią. Myśl swoją wyjawiła św. Franciszkowi Salezemu. ale ten żądał namysłu, pewnej zwłoki, aby lepiej wyrozumieć wolę Bożą. Radził jej, aby wstąpiła do którego z zakonów istniejących.

Joanna odpowiedziała, że to on powinien zadecydować, że ona pójdzie drogą, jaką jej wskaże, że szuka tylko większej chwały Bożej. Święty biskup oznajmił jej, że nosi się z myślą założenia nowego zgromadzenia pod nazwą Nawiedzenia Najśw. Marji Panny. Pobożna wdowa przyklasnęła tej myśli z radością. ale wykonanie jej okazało się bardzo trudne. Ojciec i teść jej byli już starcami zgrzybiałymi: jak ich opuścić? Dzieci jeszcze małe nie mogły się obejść bez jej opieki. Czyż nie powinna czuwać nad niemi i nad ich własnością? Był to obowiązek sprawiedliwości, nie dający się pogodzić z wyjawioną myślą.

Czyż nie tego Bóg żąda, aby każdy uświęcał się w tym stanie, w jakim Opatrzność go umieściła? Niektórzy nawet utrzymywali, że, nie mogłaby wypełnić swoich obowiązków, gdyby nie pozostała na świecie. Ale św. Franciszek Salezy twierdził, że może czuwać nad wychowaniem swoich dzieci i w klasztorze i że to będzie nawet pożyteczniejszem dla nich. Po usunięciu trudności głównej, która przeszkadzała, ojciec i teść zgodzili się na jej zamknięcie się w klasztorze, wylawszy naprzód wiele łez. Serce miała bardzo czułe, dlatego straszne walki ze sobą staczać musiała: ale pomimo to miłość Boska nad innemi uczuciami wzięła górę. Krewni i przyjaciele przestali także sprzeciwiać się temu, co postanowiła.

Przed opuszczeniem świata, Joanna de Chantal najstarszą swą córkę wydała za barona de Thorens, brata biskupa genewskiego. Dwie inne córki zabrała ze sobą. Jedna wkrótce umarła, druga poślubiła hr. de Toulougeon, który obok wysokiego urodzenia, rozsądkiem i cnotą celował. Co do młodego barona de Chantal, mającego lat piętnaście

zaopiekował się nim dziad jego, prezydent Fremiot; a zarząd dóbr powierzono dwóm opiekunom, z rozsądku i pobożności znanym. Obecność zatem Joanny nie była konieczną.

Powzięte przez nią zamiary zyskały pozwolenie ojca, teścia i wuja; arcybiskupa w Bourges. Ale kiedy przyszło do rozstania się, wszyscy bardzo byli wzruszeni i wszelkich dokładali starań, aby ją powstrzymać—nic atoli nie mogło jej zachwiać. Kiedy się żegnała ze swoim teściem, padła mu do nóg, prosiła, aby jej darował wykroczenia, któremi mogła go obrazić — a następnie o błogosławieństwo i o serce dla swego syna. Stary baron de Chantal, mający już ośmdziesiąt sześć lat był niepocieszony; objął czule synowę i życzył jej szczęścia, na jakie zasługiwała.

Mieszkańcy z Monthelon, a nadewszystko ubodzy, zalewali się łzami i wydawali żałosne jęki; odjazd pobożnej wdowy mówił im, że tracą matkę. Ona ich pocieszała jak mogła, zachęcała, aby byli dobrymi i poleciła się ich modłom. Udała się następnie do Autun z baronem i baronową de Thorens, swoim synem, córką, i z kilkoma innemi osobami. Przybywszy do Dijon, pożegnała znajomych i krewnych. Prosiła ojca, aby jej dał swoje błogosławieństwo i aby pamiętał o synu, którego mu poruczyła.

Prezydent Fremiot, zalany łzami zawołał:

— Mój Boże! nie wolno mi sprzeciwiać się zamiarom twoim, chociażbym to miał życiem przepłacić; ofiaruję ci Panie to ukochane dziecię moje, racz je przyjąć i być moją pociechą.

Dał jej następnie swoje błogosławieńswo i podniósłszy przytulił czule do piersi. Młody baron de Chantal, z płaczem pobiegł do matki, zawisł na jej szyi i używał jak najczulszych wyrażeń, aby ją zatrzymać. Nie zraził się wcale daremnością swych usiłowań, lecz legł na progu, przez który przechodzić miała. Joanna tym widokiem uderzona stanęła na chwilę i załzawione swe oczy w syna utkwiła, ale wkrótce przeszła ponad jego ciałem i tak usunęła powstrzymującą ją zaporę. Można sobie wyobrazić, jakiej potrzeba było siły do spełnienia tego kroku. Ale sądziła, że upewniwszy się o swojem powołaniu, obowiązkiem jej było pójść za niem i że nie wolno jej było zwlekać ze swoją ofiarą.

Udała się do Annezyum i przybyła tam szczęśliwie. Odprowadziła barona i baronowę de Thorens do ich zamku i kilka dni z nimi spędziła. Za powrotem do Annezyum, dała początek swemu zgromadzeniu d. 6 czerwca, 1710 roku w uroczystość Trójcy Przenajświętszej, przypadającej wówczas w dzień św. Klaudyusza. Dom podarował jej święty biskup genewski. Suknię zakonną przyjęła z dwiema innemi towarzyszkami, panną Faure i paną Brechard, które się z nią połączyły, pragnąc jak ona służyć Panu Bogu. Wkrótce przybyło dziesięć innych towarzyszek, aby powiększyć liczbę powstającego zgromadzenia.

Kardynał Marquemont, arcybiskup Lyoński, doradził, aby św. Franciszek Salezy zmienił pierwotny zamiar, i zamiast zgromadzenia czasowymi ślubami związanego, dla nadania tem większej trwałości temu dziełu, utworzył zakon, w którymby baronowa de Chantal i jej towarzyszki wykonały śluby uroczyste, dozgonne.

Poszedł za tą radą Franciszek święty i otrzymawszy upoważnienie od Ojca św., podówczas Pawła V, dotychczasowe zgromadzenie Nawiedzenia Marji Panny zamienił w zakon formalny, dozgonnymi ślubami obwarowany, pod regułą świętego Augustyna i konstytucjami przez siebie napisanemi.

Tenże najwyższy pasterz Kościoła, Paweł V, powagą Stolicy Apostolskiej zatwierdził to zbożne dzieło i obdarzył je przywilejami i łaskami, innym zakonom udzielanemi. Siostry tego zakonu mają i ten osobliwy przywilej, że się szczycą godnością córek najsłodszego Serca Jezusowego.

Niedomagania Joanny.—Klasztory w Grenobli, Bourges, Dijon, Moulins, Nevers, Orleanie i Paryżu. — Zgon św. Franciszka. — Nauki Joanny.

Matka Joanna Franciszka de Chantal podlegała często różnym niedomaganiom. Lekarze, nie znajdując na wytłómaczenie tych niedomagań przyczyny naturalnej, twierdzili nieraz, że one pochodzą z nadmiaru trawiącej ją miłości Bożej. Ona tak mówiła w jednym ze swoich listów do św. Franciszka Salezego:

„Świat cały umarłby z miłości ku Bogu gdyby wiedział jakiej słodyczy doznaje miłująca Go dusza!“

Doświadczała przez czas jakiś ciężkich utrapień wewnętrznych, pochodzących ze zbytniej obawy obrażenia Boga. Ale wyznała sama, że wśród tych utrapień miewała często i pociechy wewnętrzne niewysłowione.

Po śmierci swego ojca pojechała do Dijon i zabawiła kilka miesięcy w tem mieście, aby uporządkować sprawy swego syna Celsa, przed jego udaniem się do akademji. Złączyła go potem węzłem małżeńskim z Marją de Coulanges, która obok pochodzenia i urody miała wielkie cnoty i wielkie bogactwa. Często musiała opuszczać Annezyum, dla zakładania nowych domów swego zakonu w różnych miastach: mianowicie w Grenobli, w Bourges, w Dijon, w Moulin, w Newers, Orleanie i Paryżu.

Wielkie prześladowanie wszczęto przeciw niej w tem ostatniem mieście, ale ona wyszła zeń zwycięzko swą ufnością w Bogu. Zresztą słodycz i cierpliwość Joanny wzbudzały podziw dla niej tych na-

wet, którzy byli jej największymi wrogami. Rządziła domem założonym w Paryżu na przedmieściu św. Antoniego od roku 1619 do roku 1624. W jakiś czas potem Bóg powołał do siebie jej błogosławionego Ojca, biskupa genewskiego, św. Franciszka Salezego. Była to strata dla niej bardzo ciężka ale tak była przyzwyczajona czcić we wszystkiem wolę Bożą, że zniosła ją z przedziwną stałością. Postarała się, aby oddano największe honory ciału świętego biskupa, aby je pochowano w Annezyum, w kościele Nawiedzenia Najświętszej Marji Panny.

Po tej stracie nastąpiła inna. W roku 1727 baron de Chantal, syn jej został zabity podczas walki z Hugonotami na wyspie de Rhé. Ale przygotował się do tej walki przyjęciem Świętych Sakramentów. Liczył trzydzieści lat wieku i zostawił córkę, która nie miała jeszcze roku, późniejszą panią de Sevigné, znaną autorkę. Na tę wiadomość, która wszystkim obecnym łzy wycisnęła, Joanna okazała odwagę tak heroiczną, że ogólny wywołała podziw. Miała zwyczaj w podobnych wypadkach niespodziewanych ofiarować swe serce Bogu, mówiąc:

— Niszcz Panie, siecz, pal to wszystko, co się sprzeciwia twej świętej woli!...

W r. 1631, Bóg powołał do siebie baronowę de Chantal, jej synowę. Zaledwie się dowiedziała o tem, kiedy jej doniesiono o śmierci zięcia, hr. de Toulongeon, którego lubiła bardzo, a który był gubernatorem w Pignerol. Tłumiła jak mogła swoją boleść i myślała tylko o hrabinie, swej córce, wszelkich sił dokładając, aby ją pocieszyć.

Wszystkie te krzyże, równie jak smutki wewnętrzne posłużyły tylko do tego, aby nowym blaskiem zajaśniała świętość matki Joanny Franciszki de Chantal. Nauczyły ją pokonywać doskonale siebie samą i tego, aby strona wyższa naszej duszy górowała nad niższą.

Matka Joanna, wskazawszy swym córkom duchownym potrzebę umierania sobie samym, i ujarzmiania wszystkich skłonności zepsutej natury, nauczyła je najlepszego sposobu modlenia się. Radziła im, aby rozbudzały w sobie pobożne uczucia i czyniły postanowienia należenia całkiem do Boga; ale chciała, aby każda szła za poruszeniami swej własnej pobożności i oddawała się uczuciom, jakie jej Duch święty natchnie w danej chwili. Zachęcała wszystkie do wytrwałości.

— Jeżeli jesteście zaniepokojone roztargnieniami — mówiła — módlcie się cierpliwie i pokornie; proście, aby Bóg był waszą mocą, obdarzył was chęcią miłowania go, proszenia, i innemi tym podobnemi łaskami.

Zalecała często modlitwę ciągłą.

— Nasze serce — mówiła — powinno zawsze prosić, miłować, cokolwiekbyśmy robiły.

Pozostawiła jedną modlitwę pisaną, którą odmawiała sama podczas oschłości wewnętrznej: jest to zbiór aktów miłości, chwały dziękczynienia, skruchy, potrzeb dla niej samej, dla jej przyjaciół, nieprzyjaciół; próśb za grzeszników, zmarłych, o wszystkie rzeczy, które pragnęła otrzymać od Boga. We dnie i w nocy nosiła na szyi kartę, na której ta modlitwa była napisana, przyciskała ją często do swego serca, jakby dla wyrażenia swej intencji — dla powtarzania bez ustanku różnych aktów, które zawierała, z całą żarliwością do jakiej tylko zdolną była ta niewiasta wzorowa.

Kiedy zaraza morowa szerzyła spustoszenia w Annezyum, chciano skłonić matkę Joannę Franciszkę de Chantal do opuszczenia tego miasta, aby ją zabezpieczyć od choroby; ale ona nie zgodziła się na to i nie chciała za nic swojej trzódki zakonnej opuścić. Była bardzo potrzebną w mieście. Wspierała i krzepiła jak mogła wszystkich swojemi słowami, jałmużnami i modlitwami. Zaraza nie przedostała się do zgromadzenia i nie umarła na nią żadna z jej córek duchownych.

Choroba i śmierć św. Joanny Franciszki.

W roku 1628 przybyła do Turynu, dla założenia tam domu swego zakonu. W kilka lat potem Anna Austrjacka, królowa francuzka, wezwała ją do Paryża. Honory jakie jej okazywano w tem mieście, na wielką próbę wystawiały jej pokorę. Wracając do Annezyum, po drodze zwiedzała kilka swoich klasztorów. Przybywszy do Moulins dostała gorączki. Niedługo przekonano się, że to było zapalenie płuc. Ostatnie święte Sakramenta przyjęła z najżywszemi uczuciami pobożności; potem dawszy przedśmiertne nauki swym córkom duchownym zasnęła w Panu, imię Jezus na ustach mając. Było to o wpół do siódmej wieczorem w piątek, dnia 13 grudnia, 1641 r.

Nim ducha wyzionęła, wyraźnie, z przejęciem się te słowa powiedziała:

— Wierzę mocno, że Zbawiciel mój Jezus Chrystus. jest obecny w Przenajświętszym Sakramencie ołtarza; zawszem w to wierzyła i wyznawała; oddaję mu cześć i uznaję Go za mojego Boga, mojego Stwórcę, mojego Zbawcę i mojego Odkupiciela, który mię najdroższą krwią swoją odkupił. Chętniebym dała życie swoje za to wyznanie; alem tego niegodna. Wyznaję, że od samego tylko miłosierdzia Jego oczekuję zbawienia.

Widzenie świętego Wincentego a Paulo. — Cuda za wstawiennictwem św. Joanny Franciszki zdziałane.

Święty Wincenty a Paulo, będący spowiednikiem Joanny Franciszki w Paryżu, miał widzenie, z którego wyrozumiał, że ona cieszy się w nie-

bie chwałą błogosławionych. Uwiadomił o tem arcybiskupa paryzkiego i wiele innych osób, znanych z pobożności i nauki. Odstąpił trochę od postanowienia, jakie był uczynił, że nie wyjawi nigdy łask nadzwyczajnych, jakiemi go Bóg obsypywał; ale uczynił to jedynie dla dania świadectwa wielkiej świętości matki Joanny Franciszki de Chantal. Zresztą, widzenie to podane jest jako pewnik w bulli. kanonizacyjnej tej służebnicy Bożej.

Oto, co ten protokół zawiera:

„Skoro się dowiedziano w Paryżu za pośrednictwem pism perjodycznych o chorobie Matki Joanny Franciszki de Chantal, św. Wincenty a Paulo padł na kolana, aby się pomodlić za nią. Skończywszy modlitwę, ujrzał, jak mała kula ognista z ziemi się podnosiła i w górnej krainie nadpowietrznej z drugą się połączyła, większą i jaśniejszą. Obie te kule, przez swoje połączenie jakby jedną stanowiące, nie przestawały się wznosić coraz wyżej i wyżej, aż w końcu pogrążyły się w trzeciej, która była niezmiernie wielką i od nich wiele jaśniejszą. Jednocześnie jakiś głos wewnętrzny mówił św. Wincentemu, że pierwszą kulą była dusza wielebnej matki Joanny Franciszki de Chantal, drugą dusza św. biskupa genewskiego, Franciszka Salężego, a trzecią bezporównania większą i jaśniejszą—Istota samego Boga“.

W kilka dni potem nadeszła do Paryża wiadomość pewna o śmierci matki Joanny Franciszki Fremiot de Chantal. Św. Wincenty a Paulo, chociaż ją zawsze uważał za wielką służebnicę Bożą, za osobę nader bogobojną i świątobliwą; jednak z uwagi na ułomność ludzką podczas mszy świętej, w *memento* za umarłych, żarliwie się za jej duszę modlił. I kiedy to czynił, miał poraz drugi widzenie takie same, jak kilka dni temu; nie wątpił więc wtedy, że matka Joanna Franciszka Fremiot de Chantal była w chwale z Panem, cieszyła się niewysłowionem szczęściem wybranych.

— Głos wewnętrzny mówił mi – są słowa jego— że ta mała kula ognista jest duszą naszej czcigodnej matki Joanny; druga dusza naszego świętego ojca Franciszka; a trzecia przedstawiała Boga samego. Dusza naszej zacnej matki połączyła się z duszą naszego świętego ojca, a obie z Bogiem — ich Najwyższym Początkiem i Końcem.

Beatyfikacja i kanonizacja św. Joanny de Chantal.

W miarę, jak duchowna rodzina Matki Joanny Franciszki de Chantal, coraz bardziej wzrastała, coraz większą liczbę domów zakonnych liczyła; jej też cześć się rozpowszechniała, zwłaszcza, że Pan Bóg przez cuda, jakie czynił dla wzywających jej przyczyny, okazywał jej świętość. Bardzo głośnemi były cudowne za przyczyną świętej Joanny uzdrowienia w nader wielu miejscach we Francji, a także w Rzymie. Po zbadaniu tych cudów, a oraz po zbadaniu życia i całej działalności Matki Joanny, Benedykt XIV papież roku 1751 zaliczył ją w poczet błogosławionych, a Klemens XIII, roku 1767 w poczet Świętych; na obchód jej uroczystości wyznaczył dzień 21 sierpnia. Ciało jej w pięknej i kosztownej trumnie przechowuje się dotąd w Annezyum w kościele Nawiedzenia Najświętszej Marji Panny, i od chóru, gdzie się zakonnice modlić zwykły, oddzielone jest tylko małą kratą.

W naukach, jakie miewała święta do swych sióstr zakonnych, szczególny kładła nacisk na pokorę, słodycz, miłość.

„Pokora — mówiła — na tem polega. Kiedy inni nas oskarżają, my jeszcze dodajmy do tych oskarżeń; kiedy nas używają do czynności bardzo nizkich, przyznawajmy szczerze, że łaskę nam świadczą i cieszmy się, żeśmy i na takie zasłużyły — gdy nami gardzą, zadowolone bądźmy. Byłoby to oznaką pychy i zarozumiałości niemałej, gdyby zakonnica nie poprzestawała na tem, co jej w udziale do zrobienia przypadnie, i nie uważała się za szczęśliwą, że chociaż do czegoś jest zdatna“.

„Zniewagę Duchowi św. wyrządzamy, gdy się wynosimy, albo też przez próżność z czegoś się chełpimy. Raczej żądaćby należało, aby ogień z nieba spadł i nas pochłonął, niżbyśmy się miały na ten grzech odważyć. Krwią moją chciałabym stwierdzić to, co mówię, aby się silnie wyryło w duszach waszych, siostry; miłe zgodziłabym się, aby usta moje zostały przeniknięte żelazem rozpalonem, pod warunkiem, że nigdy się mnie, ani której ze sióstr moich nie wymknie żadne słowo pokorze przeciwne“.

Chciała, aby siostry ustawicznie pracowały nad nabyciem cichości i łagodności, aby te cnoty zamieniły się niejako w naturę, aby tak były mocno zakorzenione w sercu, iżby ich nic ztamtąd wyrugować nie zdołało. Jeśli z konieczności musiała, którą ganić i poprawiać, czy to w robocie jakiej, czy w zachowaniu się, to czyniła to z taką dobrocią i miłością, że nikogo nie zrażała i nie zniechęcała do siebie. Obelgi, zelżywości wyrządzane jej przez wielu, znosiła z godną podziwu cierpliwością; a zemstę swoją na nieprzyjaciół za to co ją od nich spotykało, wywierała świadczeniem przysług i dobrodziejstw przeróżnych. Zachęcała siostry swoje zakonne usilnie, aby pomne na krewkość własną, chciały ją i w drugich znosić cierpliwie, aby na słabości od natury ludzkiej nieodłączne były wyrozumiałe, aby się nawzajem szczerze, nieobłudnie miłowały“.

„Jedne drugich brzemiona znoście — powtarzała za św. Pawłem — a tak wypełnicie zakon Chrystusowy“.

Słowa św. Joanny Franciszki o wzorze naszym Jezusie Chrystusie—o obmowie—o zaparciu się i umartwieniu własnem.

Aby to co mówiła do swych sióstr, nabrało większej wagi, św. Joanna wskazywała często na źródło, z którego czerpie swe nauki.

„Z kim Pan Jezus rozmawiał? — pytała — Oto ze zdrajcą Judaszem, który go za trzydzieści srebrników sprzedał, a do którego on z całą łagodnością się odezwał, mówiąc: „Przyjacielu, pocałunkiem wydajesz Syna Człowieczego“. — Z łotrem, który go lżył na krzyżu — z grzesznikami i Faryzeuszami pysznymi. A jeżeli on był łagodnym i cierpliwym, z takimi ludźmi do czynienia mając, to czyż nam wolno choćby najmniejszem sprzeciwieniem się pokazać, że nie mamy ani miłości ani cierpliwości?“.

Powtarzała bezustanku, że jest to wielka wina, mówić coś przeciw bliźniemu i szerzyć o nim plotki, zwłaszcza, kiedy się to czyni z pobudek zazdrości lub zemsty. Dodawała nieraz, że kto staje się winnym tego grzechu, zasługuje, żeby mu język ucięto.

„Słuchajcie siostry — mówiła innym razem — Pan nasz Jezus Chrystus przywiązał nagrodę swej miłości i naszego szczęścia wiekuistego do zwycięztw, jakie odnosimy nad sobą samemi. Każdej z nas przy wstąpieniu do zakonu Nawiedzenia Najświętszej Marji Panny, powinno było być zamiarem rozłączenie się ze sobą, a połączenie się jak najściślejsze — z Bogiem. Lichą drobnostką jesteśmy, bezowocnem będzie, cokolwiek uczynimy, jeśli się samych siebie nie zaprzemy. Wtedy dopiero będziemy prawdziwemi służebnicami Bożemi, wtedy na miano oblubienic Chrystusowych zasłużymy, kiedy swój rozum, wolę i skłonności ujarzmimy, aby się stać o ile można, podobnemi Bogu“.

„Miłośnik dusz naszych, Jezus Chrystus pragnie, abyśmy z Nim wstąpiły na Górę Kalwarji. Tam nas wzywa, gdzie się cierniową koroną pozwolił uwieńczyć, ciało swe szat pozbawić, do krzyża przybić, żółcią napoić, zelżyć — słowem, gdzie poniósł za nas mąk tysiące. Tam powinnyśmy chętnie i z radością obrać mieszkanie sobie, tam wiernie go naśladować; a naśladowanie to polega właśnie na zaparciu się samych siebie i dążeniu do doskonałości przez Niego nam wskazanej“.

„Przychodzimy na świat surowe, nieogładzone, złych skłonności pełne, które tłumić należy i wykorzeniać ze siebie. Jeśli tego zaniechamy, to nigdy pod względem świętości i doskonałości do Niego się nie zbliżymy“.

„Winnyśmy się umartwiać i oddać całkowicie w ręce tych, co nam przewodniczą, słuchać ich w prostocie i pokorze ducha, stłumić i nakazać milczenie drażliwości swojej. Opierając się woli przełożonych, narzekając albo szemrząc, nigdy nie zostaniemy oblubienicami Chrystusowemi i nie dojdziemy do doskonałości, jakiej po nas żąda Pan nasz ukochany. Jeżeli dobrowolnie wyrzeczemy się własnej woli, uczujemy słodycz w służbie Bożej i zakosztujemy rozkoszy, polegającej na pokonaniu natury i jej popędów zdrożnych“.

„Ale pamiętajmy, miłe moje siostry, że tylko zwycięzcy skosztują manny, bo nie jest ona przeznaczona dla dusz chwiejnych i tchórzliwych, lecz dla silnych i odważnych, dla dusz, które stanowczo przedsięwzięły zrzec się wszystkiego, co jest przeciwne woli Bożej, co jest grzesznem — dla dusz wreszcie, które tłumią w sobie wszelkie złe zachcianki i wszelkich się wyrzekają. Takie dusze wszystko posiądą. Spokojnie i łagodnie, ale niewzruszenie i wytrwale ten hart, tę siłę duszy w sobie wyrabiać winnyśmy. Miłe córki, gromcie odważnie i mężnie swego wroga, śmierć jego, duszom waszym da życie i spokój. Znam osobę, która na tej drodze niesłychane czyniła postępy i w krótkim czasie o wiele dalej zaszła, niż inne, które z mniejszą energją dążyły do zaparcia się samych siebie“.

Przepisy życia dane przez św. Franciszka św. Joannie, nim została zakonnicą.

Rano po odmówieniu Ojcze nasz, Zdrowaś, Wierzę, Przyjdź Duchu Święty, Witaj gwiazdo morza, Aniele Boży, odprawić przez godzinę rozmyślanie, którego przedmiotem mają być tajemnice życia i śmierci Pana Jezusa, a niekiedy cztery rzeczy ostateczne; rozmyślanie zakończyć aktem ufności w Bogu, uciekać się potem do miłości.

„Po rozmyślaniu słuchanie mszy świętej, podczas której można odmawiać koronkę. W ciągu dnia często, zwłaszcza słysząc bicie zegara, przez krótkie lecz gorące akty strzeliste serce swoje do Boga podnosić. Dobrze jest także śpiewać z uwagą pieśni nabożne“.

„Wieczorem pół godziny poświęcić na czytanie duchowne“.

„Przed wieczerzą uczynić rachunek sumienia i odmówić pięć Ojcze nasz i pięć Zdrowaś Marja. Każdego z pierwszych dni tygodnia rozmyślać o jednej z pięciu ran Chrystusowych, szóstego o koronie cierniowej, a siódmego o otwartym boku Chrystusa. W niedzielę należy tydzień rozpoczynać nowy rozmyślaniem o Sercu Pana Jezusa“.

„Potrzeba wszystko czynić z miłości, nie zaś z przymusu. Więcej kochać posłuszeństwo, aniżeli lękać się nieposłuszeństwa. Jeżeli z przyczyny jakiej słusznej dla miłości bliźniego wypadnie ci przerwać ćwiczenia pobożne, chcę ażebyś to miała za spełnienie posłuszeństwa, i to uchybienie zastępowała uczynkiem miłości. Dusza zbytecznie przywiązana do rozmyślania nabożnego, gdy takowe jej przerwiesz,

dziwi się temu, gniewa i smuci. Dusza posiadająca prawdziwą wolność przerwie rozmyślanie z twarzą wesołą, sercem łaskawem przyjmuje natręta, który jej to ćwiczenie przerwał, gdyż dla niej rzeczą jest obojętną, czy ma służyć Panu Bogu przez rozmyślanie — czy przez znoszenie cierpliwe bliźniego".

Z modlitwą każe św. Franciszek Salezy łączyć post i uczynki miłosierdzia, mianowicie nawiedzanie ubogich, starców i chorych.

Po wskazaniu, w jaki sposób św. Joanna ma wypełniać swoje obowiązki ogólne, tyczące się trzech głównych dobrych uczynków, postu, modlitwy i jałmużny, święty jej przewodnik daje rady, jak ma wypełniać obowiązki względem dzieci swoich. Cels miał już lat dziewięć, Marja Amata osiem, Franciszka i Karolina były młodszemi. Św. Franciszek błogosławi wielkiemu pragnieniu, jakie miała św. Joanna, wychowywania dzieci swoich w miłości Bożej — radzi jej, aby o tym przedmiocie czytała listy św. Hieronima i wyznania św. Augustyna, w których z przykładu św. Moniki czerpać może wiele nauki i pociechy. Radzi dalej, ażeby nie tracąc czasu, od najmłodszych lat zaczynała zwracać powstające myśli i uczucia w młodocianych główkach do Boga, w chłopcu obudzać chęć służenia Bogu i uczyć go gardzenia wszelką chwałą świecką, w dziewczynkach wyniszczać próżność duszy, którą zwykle mają od niemowlęctwa.

„Masz wielki obowiązek kochać swego ojca i wspierać go w drodze do szczęśliwego końca; żaden wzgląd nie powinien odwodzić ciebie od pracowania nad tem z pełną pokory gorliwością. Jest to bowiem najpierwszy bliźni, którego Bóg kochać każe. Głównie masz w nim kochać duszę jego, a w duszy sumienie, a w sumieniu czystość, a w czystości obawę o zbawienie".

Cuda jakiemi Bóg nagradzał heroiczne cnoty służebnic swoich.

Prócz umartwienia woli, duchowne córki św. Joanny Franciszki odznaczały się umartwieniem w znoszeniu niedostatków i niewygód, na jakie ich ubóstwo początkujących fundacji, albo wspaniałomyślność w świadczeniu miłosierdzia ubogim często wystawiała. Matka de Martignat, która przed wstąpieniem do zakonu opływała we wszelkie wygody, w klasztorze przez pięć lat sypiała w celi na poddaszu, do której przez szpary pomiędzy cegłami dochodziły słońce, deszcz i śnieg, a gdy jej siostry mówiły, że musi się w niej smażyć latem a marznąć zimą:

— Nie — odpowiedziała — nie ma królowej pod słońcem, którejby tak dobrze było w jej pałacu, jak mnie w moim kąciku.

Chętnemu znoszeniu choćby największego ubóstwa, towarzyszyła wielka ufność w Opatrzność Boską, często cudami wynagradzana. Pewnego dnia w klasztorze orleańskim zabrakło zboża i pieniędzy; siostra ekonomka uwiadomiła o tem Matkę de la Roche, przełożonę.

— Moja siostro — odrzekła przełożona — pobłogosław tę garstkę zboża, która pozostała i miej ufność w Bogu.

Ekonomka nie uczyniła tego i nazajutrz, doznając wyrzutów sumienia, wyznała w refektarzu swoją winę.

— Moja siostro — powiedziała naówczas Matka de la Roche — wszystkie pójdziemy wykonać to, czegoś ty nie uczyniła.

To rzekłszy wstała i wraz ze wszystkiemi siostrami poszła do śpichrza, gdzie po odmówieniu modlitwy kazała siostrom przeżegnać znajdującą się tam garstkę zboża, która potem przez długi czas nie zmniejszała się, pomimo, że z niej codziennie brano.

Inna przełożona poszła pewnego razu do kasy domowej, potrzebując pieniędzy na jakiś nagły wydatek. Znalazła w niej tylko jeden drobny pieniążek, zdziwiona i zasmucona podniosła oczy ku niebu, wzywając Boskiej pomocy. W tej chwili zadzwoniono do furty — była to osoba przynosząca klasztorowi w ofierze sto dukatów.

Gdy Matka de Blonay budowała kaplicę w Annezyum i zabrakło jej na to pieniędzy, zażądał widzenia się z nią jakiś ubogi wieśniak.

— Nazywam się Franciszek Esseve — rzekł do niej — w głębi naszych lasów, dowiedziałem się, że chcecie wybudować kościół, a w nim zawsze spoczywać będzie św. Franciszek Salezy, który nawiedzając Chablais, zkąd jestem, udzielił mi świętego bierzmowania. Przyszedłem złożyć wam moją ofiarę; uklęknąwszy dał jej dziesięć miarek talarów. Zebrałem tę kwotę ze sprzedaży *benzoesu*, (gatunek żywicy pachnącej) któren z drzewa zbierałem, a oddając ją na kościół nie pozostaje mi, jak żebrać przez resztę życia. Gdy przyjdzie na mnie choroba i nie będę mógł robić, znajdą się ludzie, którzy mię wesprą — zresztą mam jednego dobrego przyjaciela.

— Któż to jest ten przyjaciel? — zapytała Matka de Blonay.

— Wszyscy od niego odbierają dobrodziejstwa — odpowiedział — a mało kto go zna, jak należy. Nazywa się Jezus Chrystus. Ktokolwiek mu zaufa i posiada jego przyjaźń, nigdy mu na niczem zbywać nie będzie.

Podobnych niezwykłych wypadków było wiele w klasztorach Nawiedzenia Najświętszej Marji Panny. Przytoczyliśmy tylko parę, jakie miały miejsce w początkach istnienia zakonu w tych stronach, w których przebywała jego Założycielka.

Uwagi o modlitwie św. Joanny Franciszki Fremiot de Chantal. — Znaki, po których się poznaje, czy spokój nasz na modlitwie od Boga pochodzi.

„Moje najmilsze córki, jedyny sposób, którym przyuczyć możemy dusze nasze do modlitwy, jest pamięć na obecność Boską i wierność w oddalaniu myśli naszych od wszystkich innych rzeczy. Gdy tak czynić będziemy, Bóg nam da poznanie woli swojej i moc do przyjmowania tego, co w oczach jego jest miłem. Przeciwnie, nie wyjawi nam tajemnic swoich i nie udzieli słodyczy duszom naszym, gdy modląc się o stworzeniach myśleć będziemy.

Mówimy nieraz o modlitwie i o życiu wewnętrznem, a to dla pokoju i słodyczy, jakiej podczas modlitwy doznajemy; ale nie mówimy z taką gorącością o prawdziwej cnocie i umartwieniu, które z modlitw pochodzić powinny. Nigdy nie zakosztujemy słodyczy przebywania z Bogiem, dopóki nie postanowimy wyłącznie iść za Nim. Kto szuka przyjemności w modlitwie, ten ani się spostrzeże, jaka go słodycz spotka. Przeciwnie, kto się przywiązuje do smaków i rozkoszy zewnętrznych, ten nie wie, co to iść za Chrystusem Panem. Największa sztuka duszy w tem ćwiczeniu jest prostota według Boga, przez tę bowiem stajemy się niejako podobnemi samemu Bogu, który jest najczystszym i najprostszym.

Szczęśliwe te dusze, które idą za dobrem natchnieniem. Ale to jest nieszczęście, że my częstokroć chcemy zatapiać się w górnem rozmyślaniu, a Bóg tego tylko po nas wymaga, abyśmy Go miłowali, zdając się zupełnie na Jego wolę, na wzór małej dzieciny na łonie matki swojej będącej. Trzeba tedy szukać Boga w prostocie serc naszych, przez czystą intencję, z wielkiem i świętem uszanowaniem połączoną. Wszelka bowiem wyniosłość i wybujałość umysłu ludzkiego jest wielce szkodliwą, każe nam chodzić nie Boskiemi, ale ziemskiemi drogami.

Kiedy się pojawią w nas uczucia święte, nie trzeba wtedy zajmować się wymawianiem słów, ale się trochę zatrzymać, kosztując słodyczy tych uczuć i zwolna utwierdzając je w sercach naszych. Rozpatrujmy wtedy, co Zbawiciel w nas czyni potajemnie; kiedy niekiedy powiedzmy jakieś słowo wyrażające miłość, zdanie się na Jego wolę — ujawniające skruchę, do której jesteśmy pobudzani. Po cichu, ze spokojem te słowa posyłajmy do Serca Jego Boskiego, aby On je sam tylko słyszał.

Kiedy się nam nastręczają roztargnienia, trzeba wtedy o cierpliwość prosić, mówiąc pokornie i z miłością. „Mój Boże! Ty jesteś jedyną podporą i ratunkiem duszy mojej, jedynem ukojeniem, odpocznieniem i pociechą moją: przestanę żyć, a nie przestanę Cię miłować“. Tak potrzeba wzmacniać serca swe, nie czekając aż nam sam Pan Bóg włoży miodu w usta i zachęci do proszenia Siebie o ratunek.

Ale kiedy dusza uczuje się tak ścieśnioną, że sama nie będzie wiedziała co czynić, a to nie tyle dla roztargnień ile dla oschłości i nie możności czynienia, natenczas tak cierpiąc powinna nierównie gorętszą zanosić modlitwę czci, ufności, stawiając się przed Bogiem, jak podwładny przed Panem swoim i używając słów wyrażających miłość, złączoną z poddaniem się zupełnem Jego Boskiemu upodobaniu.

Dusze, które Pan Bóg tą drogą prowadzi, strzedz się mają wszelkiego utyskiwania i rozbierania woli Najwyższego: niech poprzestają na tem, że Zbawiciel udziela im tej wielkiej łaski, iż odpoczywają na miłościwem łonie Jego. Wtedy potrzeba mieć serce bardzo czyste i oderwane od tego wszystkiego, co nie jest Bogiem; a w ten sposób dobrze się odprawi modlitwa.

Nie dlatego ja to mówię, abym rozważania ganić miała, owszem rozważania radzę tym, które nie mają innego sposobu czynienia modlitwy, bo inaczej zgubiłyby się pewnie — ale mam jeno te na myśli z sióstr moich, które do prostoty wezwane będąc, nią się nie zadawalniają, ale czego innego szukają i tem sobie wielką krzywdę wyrządzają. Myślą Bożą jest, aby dusza na tej prostej drodze poznała dobrze i ugruntowała w sobie prawdy nieomylne. Dla tem łatwiejszego osiągnięcia tego celu podawane jej są one słowami prostemi, zrozumiałemi, tak, że ztąd daleko większe ma oświecenie dusza, aniżeliby mieć mogła z wielu badań i rozważań.

Te, co otrzymają wielkie łaski na modlitwie, starać się usilnie powinny, aby z niemi łączyły prawdziwe umartwienie, czystość i pokorę serca. Jeżeli do pomienionych łask nie sposobią się przez wymienione cnoty, to one długo w nich trwać nie będą, a jeżeliby sie im zdawało, że nie ustają, wielce się powinny lękać omamienia i oszukania.

Kiedy Bóg wszystkim rządzi w duszy, w krótkim czasie wiele tam dobrego sprawi. Mało jednak takich jest, o którychby twierdzić można, co niegdyś mówił nasz Błogosławiony Ojciec Franciszek Salezy, że są to jedynaczki matki swojej, to jest Opatrzności Boskiej.

Chcę wam tu opisać niektóre znaki, z których łatwo poznacie, czy wasz spokój na modlitwie pochodzi od Boga.

„Pierwszy znak, jeżeli biorąc według zwyczaju do rozważania punkt jaki, chciałybyście rozważać, a jednak nie możecie, tylko czujecie, że serce, rozum i wszystkie skrytości duszy waszej są łagodnie pociągane do tego świętego pokoju.

„Drugi znak, jeżeli pośród tych słodyczy niebieskich uczycie się być posłusznemi Bogu i przełożonym waszym, bez żadnego wyjątku; nadto, jeżeli wtedy zdajecie się zupełnie na Opatrzność Bożą i tego tylko pragniecie, aby się Jego święta wola pełniła.

„Trzeci znak, jeżeli ten pokój odrywa serce wasze od wszystkich rzeczy stworzonych, aby was zjednoczyć ze Stwórcą, boby się to nie zgadzało z rozumem, gdyby dusza chcąca się zajmować wyłącznie Bogiem, miała jakie upodobanie w zajmowaniu się rzeczami doczesnemi.

„Czwarty znak, jeżeli się ztąd, na wzór małych dzieci, stajecie szczeremi w wyjawianiu skrytości i wątpliwości waszych, przełożonym.

„Piąty znak, jeżeli mając upodobanie w słodyczy, podczas pokoju doznawanej, jesteście gotowe znosić oschłości, jakie Pan Bóg ześle na was i rozmyślać na modlitwie o własnych siłach, jeżeli taka wola Jego będzie.

„Szósty znak, jeżeli ten rodzaj modlitwy czyni was cierpliwszemi i gotowemi wiele znosić — nie szukającemi innej ulgi i zadowolenia, krom tego, jakie wam ześle Zbawiciel.

„Siódmy znak, jeżeli ten spokój i jakoby sen miły czyni was pokorniejszemi, jeżeli pobudza do nizkiego trzymania o sobie i pogardy sobą, tak że macie upodobanie tylko w poniżeniu, pracach i krzyżach!

„Oto są znaki, po których poznać możecie, czy spokój wasz na modlitwie pochodzi od Boga“.

Siedm maksym, napisanych ręką św. Joanny Franciszki Fremiot de Chantal, dla matki Ludwiki Doroty de Marigny, założycielki klasztoru Nawiedzenia Najśw. Marji Panny w Montpelier, 1631 r.

Pierwsza zasada której się jaknajściślej trzymać należy, jest ta: „Nic przeciw Bogu“. Ani małej, ani wielkiej rzeczy nie powinniśmy czynić, jeśli wiemy, że się może nie podobać Bogu. Trzeba się strzedz nawet cienia złego, jak zaleca Apostoł święty. To główna podstawa wszystkiego.

Druga zasada polega na tem, abyśmy we wszystkich sprawach zależały od Boga i zawsze czyniły, co uważamy za lepsze i to jedynie z miłości ku Bogu.

Trzecia, abyśmy głównie miłowały wolę Bożą we wszystkiem, co się nam samym lub innym przydarzy — abyśmy w każdej sprawie na tę wolę Bożą jedynie się oglądały, w niej pokój i pociechę swą zakładały.

Czwarta, niech to będzie zasadniczą regułą naszą, abyśmy bez uwagi na własne dobro lub wygodę, starały się innym we wszystkiem dogodzić, i to jedynie w tej myśli, aby się Bogu podobać. Regułę tę mamy osobliwie stosować do sióstr naszych zakonnych, nie bacząc na to, czy nam to miłem będzie, czy nie; czy nam się one odwzajemniają, czy nie. Słowem, trzeba miłować Boga we wszystkich, serdecznie, szczerze i skutecznie.

Piąta, starajcie się pilnie o zachowanie w porządku wszystkich rzeczy należących do klasztoru— naprzód tych, które do waszego własnego użytku służą; a następnie tych, które ogólnie przez siostry się używają.

Szósta, starajcie się spełniać z jak największą sumiennością wszystkie czynności wasze, do których jesteście obowiązane, i wyłącznie z miłości ku Panu Bogu, z myślą podobania się Jemu. Z pomiędzy ćwiczeń waszych duchownych miłujcie szczególniej modlitwę i skupienie, idźcie chętnie za natchnieniem, jakie wam dane będzie.

Siódma nareszcie, że wszystko streszczę w kilku słowach, trzymajcie się zdala od wszego złego, czyńcie wciąż dobrze, miejcie bez ustanku na pamięci Boga, udawajcie się do Niego w każdej sprawie waszej, wszystko do Niego odnoście z całą prostotą, gorąco o światło z nieba proście, pokornie na Boską Opatrzność się zdawajcie, ze świętą ufnością zupełnego szczęścia waszego od niej oczekujcie. Łaska Boska niech będzie z wami i ze mną, wam całkowicie oddaną. Niech Bóg będzie pochwalony“.

List św. Joanny Franciszki Fremiot de Chantal do córki, Franciszki, aby strzegła się próżności i wychowywała dzieci w bojaźni Bożej.

„Sądzę, moja droga córko, że czujesz wdzięczność za tyle powodzeń i pojmujesz, że nie na to ci Pan Bóg ich udziela, ażebyś się oddawała próżności. Powiedz mi moja droga, ale powiedz mi z całą otwartością i szczerością, jak pod tym względem jesteś usposobioną? Co do mnie, zawsze się cokolwiek obawiam, ażeby dostatki i zaszczyty tego świata nie olśniły cię swoim blaskiem zdradliwym. Należy się ciągle mieć na baczności, ciągle pamiętać na ich niestałość i niepewność; lada przyczyna może nas ich pozbawić, a już śmierć — napewno pozbawi.

O moja najdroższa! proszę cię, nie przywiązuj się zanadto do rzeczy ziemskich, nie bierz ich do serca i nie miej w nich upodobania. Te małe istotki, jakie ci Bóg daje, przyjmuj z wielką miłością, uważaj je za cenne dary z ręki Bożej otrzymywane. Troskliwością je swoją otaczaj, czule kochaj i w bojaźni Bożej wychowuj. Od wszelkiej próżności jak najpilniej strzeż, w Opatrzności ufność pokładaj, a zobaczysz, że tak postępując i sama pociechy wielkiej doznasz i im przyszłość szczęśliwą zapewnisz.

Wierzaj mi, moja najdroższa córko, zwróć się całkiem w tę stronę, do której cię jako matka nawołuję, służ Panu Bogu wiernie, z próżności się otrząśnij, żyj zgodnie z tym, którego tobie Bóg dał za towarzysza, troskliwie zajmuj się zarządem domu, pracuj nad tem i nabieraj zwyczajów i nawyknień dobrej matki rodziny".

Dzieła świętej Joanny Franciszki Fremiot de Chantal.

Wszystko, co święta Joanna Franciszka Fremiot de Chantal pisała, zebrał i w dwóch wielkich tomach wydał w Paryżu, w roku 1862 ksiądz Migne.

Pierwszy tom tego dzieła in 4-o 1634 stronach obejmuje:

1. Dzieje św. Joanny Franciszki de Chantal.
2. Tablicę chronologiczną Przełożonych pierwszego klasztoru w Annecy.
3. Zeznania św. Joanny dotyczące św. Franciszka Salezego.
4. O założeniu zgromadzenia P.P. Wizytek.
5. Rekolekcyjne rozmyślania.
6. Nauki i wskazówki dla zakonnic.
7. Nauki dane córce swej wdowie przez św. Joannę.
8. Zdania rozmaite i myśli.

Drugi tom tego dzieła in 4-o o 2124 stronach obejmuje:

1. Wstęp.
2. Odpowiedzi świętej Joanny dotyczące zakonu Wizytek.
3. Listy św. Joanny.

Rękopisy znalezione po śmierci św. Joanny.

Kościół Opieki świętego Józefa w Warszawie.

Kościół opieki św. Józefa Oblubieńca Najśw. Marji Panny pierwiastkowo był mały, drewniany. Taki, jak obecnie jest, murowany w stylu odrodzenia, stanął 1760 roku. Poświęcił go uroczyście biskup Józef Załuski dnia 20 września 1761 r. Ołtarzy ma siedem: w wielkim obraz Nawiedzenia Najśw. Marji Panny, w bocznych obrazy; świętego Franciszka Salezego, świętej Joanny Franciszki, swiętej Anny, Najsłodszego Serca Pana Jezusa, świętego Józefa i św. Alojzego Gonzagi.

Pomniki są następujące: Tadeusza Czackiego 1813 r. — Kazimierza Brodzińskiego 1835 r. — Bolesława Podczaszyńskiego 1876 r. — Juljana Bartoszewicza 1870 r.—Jędrzeja Śniadeckiego 1838 r. — Alfonsa Puchewicza 1881 r: — Henryka Marconi 1863 roku. — Józefy Koszutskiej 1881 roku.

Na froncie kościoła w niszach są kamienne figury: Nawiedzenia Najświętszej Marji Panny, św. Augustyna, św. Franciszka Salezego, św. Józefa, św. Joachima, św. Zacharjasza, św. Anny. Na samym szczycie dwóch Aniołów adoruje krzyż święty! Przy kościele jest klasztor P.P. Wizytek, które za staraniem Marji Ludwiki i Jana Kazimierza początkowo w liczbie 12 przybyły tu z Francji 1654 roku.

Z Sióstr zakonnych, pochowanych w podziemiach kościoła Opieki św. Józefa, ciało Wielebnej Siostry Franciszki Teresy Kotowicz, zmarłej 1714 r., pozostaje dotąd w całości, nienaruszone. Śmierć ją zaskoczyła, kiedy była przełożoną Zgromadzenia. Posłuszeństwo, czystość, ubóstwo, wogóle wszystkie cnoty zakonne miłowała bardzo. Umierając, miała lat 53.

Źródła.

Henryk de Maupas du Tour, biskup Anicieński. *Żywot Joanny Franciszki Fremiot, pierwszej Wizytki*, przez Zakonnice Nawiedzenia Najświętszej Marji Panny tłumaczony. 1693 r.

Ks. Tomasz Chojnacki. *Krótkie zebranie życia błog. Joanny Franciszki Fremiot de Chantal, Zakonu Panien od Nawiedzenia Panny Marji nazwanych, Fundatorki.* Z francuskiego na polski język przetłumaczone. Warszawa, 1752 r.

Kazania na uroczystość błog. Joanny Franciszki Fremiot de Chantal, w r. 1764 przez X.X. Bazyljanów miane i dla pomnożenia czci tejże Błogosławionej Matki do druku podane, w Wilnie.

Ks. Aleksander Popławski. *Żywot św. Joanny Franciszki Fremiot de Chantal, Założycielki Zakonu Nawiedzenia Najświętszej Marji Panny.* Kraków. 1880.

Ks. Bougaud. *Żywot św. Joanny de Chantal oraz początki zakonu Nawiedzenia Najśw. Panny.* Paryż. 1865 r.

Listy duchowne św. Franciszka Salezego, biskupa Genewskiego, Fundatora Zakonnic Nawiedzenia Najśw. Marji Panny na siedm Ksiąg rozdzielone. Przekład P.P. Wizytek w Warszawie.

Dnia 25 września.

BŁOGOSŁAWIONY ŁADYSŁAW Z GIELNIOWA

z zakonu św. Franciszka Braci Mniejszych Obserwantów

PATRON WARSZAWY

ORAZ PATRON OD MOROWEGO POWIETRZA.

1440 † 1505.

Za rządów papieży: Mikołaja V, Kaliksta III, Piusa II, Pawła II, Sykstusa IV, Innocentego VIII, Aleksandra VI, Juljusza II Królów polskich: Władysława II, Jagiełły, Władysława III *Warneńczyka*, Kazimierza IV Jagiellończyka, Jana Olbrachta Aleksandra.

Kto był Ładysław? Samo imie sławne,
Proś o niniejsze, bądź wdzięczną za dawne
Warszawo łaski;
W kazaniach swoich apostoł gorliwy,
W powietrzu patron stał się osobliwy;
Jednał niesnaski.
(z dawnej pieśni o błog. Ładysławie od roku 1522 w Polsce znanej).

Dziecinne lata i młodość błog. Ładysława.

Miejscem urodzenia błogosławionego Ładysława był Gielniów, miasteczko w ziemi sandomierskiej, powiecie opoczyńskim, w dawnej archidjecezji gnieźnieńskiej (obecnie do gubernji radomskiej należy). Zawsze odznaczało się ono wiernością względem Kościoła i nigdy żadnem odszczepieństwem się nie splamiło. W całej Polsce kwitnęła wiara katolicka pod rządami nabożnych królów Władysława Jagiełły, synów jego Władysława i Kazimierza; i tego ostatniego synów po sobie na tron wstępujących: Jana Olbrachta i Aleksandra, za których panowania narodził się i żył błog. Ładysław.

Rodzice błog. Ładysława byli religijnymi, cnotliwymi i cieszyli się najlepszą sławą. Syn ich przy chrzcie św. otrzymał imię Jan. Od dzieciństwa wychowany w bojaźni Boskiej, odznaczał się właściwemi swojemu wiekowi cnotami; gdy go oddano do miejscowej szkoły, pilnie się do nauk przykładał, był posłusznym nauczycielowi, z pilnością do nauk łączył wielką pobożność, często chodził do kościoła, słuchał mszy św. i do niej służył, śpiewał pieśni pobożne, których wiele na pamięć się nauczył. A gdy już w dziecinnych latach okazał, że jest dobrą i urodzajną rolą, zdolną wydać obfite owoce z rzuconego na nią ziarna nauki, posłali go rodzice do Krakowa dla słuchania wyższych nauk.

Od pół wieku założona akademja Jagiellońska już wykształciła dla kraju wielu znakomitych ze swej nauki i cnoty obywateli. W tymże prawie czasie, wychowany w niej został św. Jan Kanty. Błog. Ładysław poświęcił się w akademji Jagiellońskiej słuchaniu nauk teologicznych. Jak najpilniej uczęszczał na wykłady, unikał złych towarzystw i próżnych rozmów, czasu jak najlepiej używał. Często bywał w kościele, odwiedzał zakonników, a korzystając z ich rozmów i przykładów wielki postęp w bogobojności uczynił.

W młodości już okazywały się jego cnoty, które się później rozwinęły, lecz przez pokorę tak umiał je ukrywać, że mało o nich wiadomości do nas doszło. Szczęśliwy ten młodzieniec żył w błogich czasach, w których błędne nauki nie przyćmiewały żywej wiary narodu polskiego. Obywatele współubiegali się o odznaczenie w cnotach. W tym czasie w samym Krakowie piękny wzór cnót wszelkich dawali: św. Jan Kanty, błog. Szymon z Lipnicy, błog. Stanisław Kaźmierczyk, błog. Izajasz Boner, błog. Michał Gedrojć. Ładysław korzystając z tak wielu dobrych przykładów, stał się powolnym natchnieniom łaski Boskiej i żyjąc z świętymi sam świętym się stawał.

Z pomiędzy zakonów, których członkowie prowadzili życie anielskie, umarli dla świata i dla ciała przez trzy śluby: posłuszeństwa, czystości i ubóstwa, odznaczył się zakon św. Franciszka Braci Mniejszych, a mianowicie ta jego odrośl, która przez św. Bernardyna Sieneńskiego i św. Jana Kapistrana do pierwotnej obserwy przywróconą została.

Samych Braci Obserwantów u nas Bernardynami zwanych, przeszło 6,000 wspominają kroniki, takich, którzy cnotami swemi wsławili się. Niektórzy z nich odznaczali się surowością obyczajów, inni głęboką nauką, inni gorliwością o zbawienie bliźnich, Nic dziwnego więc, że królowie, książęta, państwa i miasta usilnie ich do siebie zapraszali, stawiali im kościoły i klasztory, ażeby swoją modlitwą i pracą, wiarę i cnotę w pośród ludu rozkrzewiali.

Wpływ św. Jana Kapistrana i pobyt jego w Polsce.

Najznakomitszym uczniem św. Bernardyna był św. Jan Kapistran, głośny ze swej apostolskiej gorliwości i cudownych jej owoców.

Żaden podobno kraj nie potrzebował wtenczas bardziej duchownego odrodzenia i odświeżenia w wierze, jak Niemcy, Czechy i ziemie okoliczne, gdzie husytyzm tak długo grasujący wykorzenił po wielkiej części dobre zarody, przygłuszył wiarę i obałamucił umysły.

Ogromne zasługi w walce z odszczepieństwem położył tam św. Jan Kapistran. On to poruszył do żywego ognistemi słowy Wiedeń a następnie Ołomuniec i Bern, a czescy husyci musieli z przerażeniem i rosnącą wściekłością, codzienne ztamtąd odbierać wieści, jak wielu ich stronników skruszył ten wojownik katolicki i że zakłada tam stałe dla braci swych siedziby.

Odgłos świetnych powodzeń św. Jana Kapistrana odbił się o naszą ziemię, a kardynał Zbigniew Oleśnicki, który nie spuszczał z oka ważniejszych w Kościele zjawisk, i korzystał gorliwie z każdej sposobności podniesienia religijności w swej djecezji i ojczyźnie, napisał do apostolskiego męża list z prośbą o przybycie do Polski. Długi ten list, który Długosz w całości przytacza, kończy się temi słowy:

„Znajdziesz państwo prawowierne katolickie, które odkąd wiarę przyjęło, nigdy żadnego potworu herezji nie wydało, a przybycia Twego i osobistego zapoznania się najgoręcej wygląda. Jeżeli tylko pragniesz przypodobać się czem Bogu, przybywaj tu coprędzej, a będziesz miał zasługę, która za wiele innych stanie Daj się wzruszyć pobożnością ludu, zbawieniem dusz; nie bądź głuchym i na moje prośby, które Ci przez tego umyślnie wyprawionego zakonnika, posyłam. Zostawisz temu ludowi wielkie pożytki, rozpłomienisz serca oschłe i ostygłe, uchylisz nadużycia, zaszczepisz wzory cnót, a roli tej Pańskiej, chwastem występków i cierniami zarosłej, przywrócisz bujną i rozkoszną urodzajność. Podejmij się tej pracy, do której Cię nietylko już ja sam wzywam, ale własna twa cnota i powołanie, abyś był sprawcą odrodzenia nietylko Czech, ale i Polski, i przekazał potomności imię, obok tylu znakomitych czynów i tą także zasługą wsławione. Niech zresztą nie wstrzymuje bynajmniej W. M. brak może potrzebnych do takiej podróży zasobów, gdyż moją będzie rzeczą dostarczyć ich dla Ciebie i wszystkich towarzyszów i nie omieszkam wysłać je naprzód, dokąd mi tylko sam w odpowiedzi swej wskażesz.

Oby Cię Chrystus Pan w dobrem powodzeniu zachować raczył, a o mnie w modlitwach swych nie zapominaj, Amen.

Dan w Krakowie drugiego dnia miesiąca sierpnia R. P. 1451“.

W parę tygodni później zgłosił się do Jana sam król Kazimierz, w liście z Gródka 1 września t. r. pisanym, gdzie „Ojca swego szczególnie ukochanego“ najusilniej do Polski zaprasza, przedstawiając mu obfite żniwo, kończy, najwyższym dowodem poważania, polecając jego modlitwom sejm, mający się wkrótce zgromadzić, aby wyprosił dla Polski i Litwy, potrzebne Ducha św. oświecenie.

Nie można wątpić, że Zbigniew Oleśnicki miał udział w tym kroku; nie poprzestał jednak na tem, ale zaraz 15 września t. r. wystosował do Papieża list, w którym do żywego obrazu opłakanego stanu religji w Czechach i niespodziewanych a tak zadziwiających owocach prac św. Jana Kapistrana, dołącza prośbę o papiezkie dla niego polecenie i nakaz zwiedzenia Królestwa Polskiego.

Błogosławiony Ładysław z Gielniowa.

Św. Jan tymczasem pracował w pocie czoła przeciw husytom, a wyprawił współcześnie trzech towarzyszów aż do Multan, dla opowiadania tam słowa Bożego; ci wracając ztamtąd w kwietniu 1452 roku przez Polskę, obeznali bliżej kardynała z duchem swego mistrza i użytecznością nowego zakonu.

Wiadomość jaką mu udzielili, że Jan zamiast ku Polsce, w niemieckie kraje kroki swe skierował, zgryzła go nie pomału i skłoniła do napisania nowego listu na ręce Władysława Węgrzyna, przełożonego Braci, z którego widać, że Jan Kapistran odpowiedział był najuprzejmiej na poprzednie listy Zbigniewa i króla, ale różne okoliczności nie dozwalały mu odpowiedzieć nic pewnego o czasie przybycia swego do Polski.

Nie mógł wszakże św. Jan i w tym jeszcze roku uczynić zadość żądaniom kardynała, lubo nie mały czuł do tego pociąg, wyrywano go bowiem w Niemczech, zapraszano na zjazdy książąt,każdy biskup chciał go mieć w swej djecezji, a wpływ jaki wywierał, narzucał nań coraz cięższe obowiązki. Wyprawił tymczasem do Krakowa, jakoby zwiastuna i poprzednika swego Władysława Węgrzyna z trzema towarzyszami, o czem dowiadujemy się z listu, w lipcu 1452 r. od króla do Jana Kapistrana pisanego, w którym Kazimierz donosi: „iż na tych braci jego oddano im w Krakowie kościół św. Krzyża za murami położony, gdzie mogą sobie i klasztor zbudować“, a upewnia go, że nie będzie im zbywać na dowodach królewskiej szczodrobliwości, aby ich modlitwy i zasługi wyjednały całemu państwu błogosławieństwo Boskie i duchowny pożytek. Przy tym zaś zadatku swej łaski, nie zwalnia bynajmniej Jana z obietnicy rychłego przybycia, owszem bierze to za powód „do nowych w tej mierze nalegań“, by nietylko lud polski mógł korzystać z łask, jakie Bóg przez jego ręce zlewa, ale i sama ta nowa zakonna osada za jego przykładem na obfitsze zdobyła się plony“.

Każdy krok św. Jana Kapistrana powszechną zwracał uwagę. Niebawem gruchnęła wieść, że znów skierował się ku Zachodowi, w Lipsku 60 na raz osób wprosiło się do habitu, Torgau i Drezno przeludniły się na jego przybycie. Przybył do Bautzen, do Lignicy, a w wielkim poście wita go tysiącznymi okrzykami radości, starożytna stolica Szlązka. Nie długo bawił w Wrocławiu, a już nowy klasztor ścisłej reguły tam powstał.

Zaledwie dowiedział się nasz kardynał, że sąsiednia prowincja posiada świętego misjonarza, posłał mu trzecie zaproszenie z Krakowa 28 marca 1452 r., które było najgorętszem powtórzeniem próśb i nalegań, oraz wynurzeniem pewnej już nadziei rychłego uściskania, tak długo wyglądanego gościa. Po otrzymaniu niebawem oczekiwanej pomyślnej odpowiedzi, zlecił całą rzecz Długoszowi, a inne współczesne cały kraj nasz blizko obchodzące okoliczności, dodały jeszcze wagi i świetności przybyciu Jana Kapistrana do Polski.

Król Kazimierz, liczący już 26 rok życia, pomyślał o zawarciu małżeństwa z Elżbietą, młodszą córką cesarza Alberta II. Wyprawił był w tym celu już w 1452 r. do czeskiego i węgierskiego króla, tamecznych wielkorządców i opiekuna arcyksiężniczki poselstwo.

Przyłączył się do naszych posłów Jan Długosz, mający osobne polecenie względem Jana Kapistrana, a ten dał się im wszystkim poznać, kiedy po skończonych kilkodniowych układach o królewskie małżeństwo, wystąpił na ratuszu z nieporównaną mową, na tekst: „Oto jest dzień, który uczynił Pan, cieszmy i radujmy się z Nim“. Wzięli go z sobą wracający do Krakowa posłowie i tak otoczony gronem biskupów i senatorów, stanął mąż Boży na tej ziemi, która od tak dawna ręce do niego wyciągała.

Na spotkanie ubogiego zakonnika wystąpił cały Kraków, magistrat, cechy i wszystkie zakony z chorągwiami, a całe duchowieństwo mające na czele kardynała Zbigniewa Oleśnickiego z kapitułą, wreszcie król Kazimierz z matką Zofją, otoczony dworem i rycerstwem, oczekiwali go już na polu przed Kleparzem.

Kazalnicę dla Jana Kapistrana wzniesiono w samym rynku obok kościoła św. Wojciecha, z której zaraz nazajutrz po swojem przybyciu do nieprzeliczonego tłumu, któremu przodował król, senatorowie, akademja i dwór cały, kaznodziejskie swe prace rozpoczął. Bawił w Krakowie aż do 15 maja 1454 roku, to jest prawie przez dziewięć miesięcy w którym to czasie wielkie mnóstwo chorych, ślepych, chromych i innych kalek w oczach całego ludu uzdrowił. Z tego powodu nietylko z całego Królestwa Polskiego, ale i z okolicznych krajów przybywało codziennie dla słuchania go wielkie mnóstwo ludzi.

Nadeszła pora zawarcia umówionego w Wrocławiu małżeństwa królewskiego. Mało kiedy widziano okazałość podobną do tej, z jak przyjęto arcyksiężniczkę Elżbietę 9 lutego 1454 r. w Krakowie. Kardynał odprawił ceremonję, po której prymas królowę namaścił i ukoronował, a Jan Kapistran dał młodej parze błogosławieństwo, przepowiadając szczęśliwe życie i mnogie potomstwo.

Założenie klasztorów Bernardynów w Krakowie i Warszawie.

W miejscach, gdzie św. Jan Kapistran opowiadał słowo Boże, tak nim przejmował serca swoich słuchaczy, że wielu prosiło, by ich przyjął do swego zakonu Braci Mniejszych Obserwantów, ażeby po wyrzeczeniu się świata mogli pod regułą zakonną z większą swobodą pracować nad nabyciem chrześcijańskiej doskonałości. W ten sposób powstało wiele klasztorów, w niejednym z nich dotąd jeszcze synowie duchowni św. Bernardyna i św. Jana Kapistrana, naśladując ich życie ubogie, umartwione, bogobojne i pracy apostolskiej poświęcone, żywo

nam Ojców swoich życie, cnoty i działalność przypominają.

Papież Mikołaj V, upoważnił św. Jana Kapistrana do zakładania klasztorów Braci Mniejszych Obserwantów. Z tego pozwolenia skorzystał najprzód przy założeniu klasztorów św. Bernardyna w Krakowie i św. Anny w Warszawie. Król Kazimierz chciał dla Braci zakonnych Kapistrana przeznaczyć kościół Św. Krzyża, lecz gdy to miejsce okazało się niestosownem do stałego umieszczenia tylu garnących się codziennie nowych zakonnego życia zwolenników, obrano inne, niedaleko zamku, gdzie posiadał dwór i place dość obszerne, brat kardynała, Jan Głowacz Oleśnicki wojewoda sandomierski. W nieobecności tegoż, ale pewny jego przyzwolenia, wziął na siebie Zbigniew ustąpienie tej posiadłości na kościół i klasztor nowej duchownej gromadki, wprowadził tam uroczyście Jana z towarzyszami, poświęcił 8 września 1553 r. miejsce i zaczął stawiać własnym kosztem na prędce drewniany kościołek pod wezwaniem św. Bernardyna, Sieneńskiego i urządzać pomieszkania dla Braci, których tu Kapistran w liczbie osiemdziesięciu pod zarządem Władysława Węgrzyna umieścił. Od tej to pierwszej u nas fundacji Obserwantów dostał Zakon, ten w polskich krajach nazwę „Bernardynów". Kardynał otrzymawszy niebawem wyraźne pozwolenie brata swego wojewody na powyższą fundację, wziął się do budowania kościoła i klasztoru, lubo go współcześnie i choroba i różne zgryzoty trapiły.

Jan Oleśnicki darował na wieczne czasy posiadłości swe blizkie zamku krakowskiego zakonowi Bernardynów. Przykład ten wielu znalazł naśladowców, którzy według możności składali ofiary na tenże cel pobożny, o tem przekonywa między innemi pismo św. Jana z dnia 17 października r. 1453 do rodziny złożonej z wdowy Agnieszki Koniszyn, jej synów Baltazara i Łukasza, jej brata Mikołaja i sióstr Elżbiety i Jadwigi, którem uznając ich dobrodziejstwa dla swego zakonu, przypuszcza ich do zasług jego i uczestnictwa w modłach i innych dobrych uczynkach z zapewnieniem, że w razie śmierci, którego z nich, cały Zakon za ich dusze modlić się będzie. Inne Zakony także największe okazywały współczucie dla nowej kolonji.

Dbały wielce o budowę kościoła kardynał, chór tylko za życia swego ukończyć zdołał, bo 1 kwietnia 1455 przeniósł się do wieczności; ostatniem jednak woli swej rozporządzeniem przekazał na ten cel sto grzywien, za które po dwóch leciech mury wyprowadzone zostały, inne dfiary posłużyły do ukończenia budowy.

W obecnym stanie kościół Bernardynów z klásztorem na Stradomiu w Krakowie jest dziełem wieku XVII, bo downiejsze kilkakrotnie podległy zniszczeniom i odbudowane zostały. W oddzielnej kaplicy jest ołtarz błog. Szymona z Lipnicy z jego relikwiami. Piękne, wielkie obrazy pędzla polskiego malarza w bocznych ołtarzach wystawiają Ukrzyżowaie i Zdjęcie z Krzyża Zbawiciela Pana, a w chórze zakonnym za wielkim ołtarzem obraz Wieczerzy Pańskiej, malował te obrazy ksiądz Franciszek Lekszycki.

Nowa osada rodziny św. Franciszka niesłychanie prędko po przybyciu swojem do Krakowa wzrosła. Obserwanci skoro tylko osiedli w nowym klasztorze pod Wawelem, z przykładną gorliwością poświęcali się służbie Bożej. Gorliwi o zbawienie dusz z wielkiem namaszczeniem ogłaszali Słowo Boże, pilnie słuchali spowiedzi, a nietylko słowem, lecz i przykładem życia w duchu skupionego, cichego, umartwionego, ubogiego i pokornego żywo przypominali wzór, jaki uczniom swoim do naśladowania zostawił Boski nasz Zbawiciel.

Błogosławiony Ładysław wstępuje do zakonu.

Nic dziwnego, że przykład taki i gorliwość o zbawienie dusz w pierwszym na ziemi naszej klasztorze i kościele Bernardynów pociągała do niego wiernych, którzy coraz chętniej słuchali słowa Bożego, brali udział w nabożeństwach, uczęszczali częściej do Sakramentów św., rozpoczynali życie bogobojne i cnotliwe. Wielu też wstąpiło no nowego Zakonu. Sama Akademja krakowska w przeciągu kilku miesięcy sto trzydziestu kilku najzdolniejszej młodzieży temu zakonowi oddała. W ich liczbie, wielu posiadało stopnie naukowe, niektórzy pozyskali pierwsze nagrody. Wszyscy oni wzgardzili ułudami świata i przyłożyli rękę do pługa na roli Pańskiej, ażeby zapewnić sobie zbawienie i pracować nad nabyciem doskonałości chrześcijańskiej. Tą samą chęcią zapłonął błog. Ładysław, który skoro bliżej poznał zakon św. Franciszka, zapragnął do do niego wstąpić, uczęszczał jednak jeszcze na kursa akademickie, czekając na sposobność, by pójść za swojem powołaniem. Księżna Anna mazowiecka będąc w Krakowie skoro spostrzegła jak zakon Bernardynów w krótkim czasie rozszerzył się, poznała w tym palec Boży. Poczem pilnie się wypytywała o regułę tego zakonu, sposób w jaki ją zachowują, a skoro się dowiedziała, że członkowie jego wzgardzili światem, poświęcili się życiu bogobojnemu, spełnianiu rad ewangelicznych i gorliwemu opowiadaniu słowa Bożego zapragnęła by mogli służyć za wzór dla jej poddanych i w tym celu postanowiła sprowadzić ich do Warszawy, gdzie po śmierci męża swojego zamieszkała. Zaprosiła więc do siebie św. Jana Kapistrana i powiedziała mu, że pragnie mieć w swojem księstwie Braci jego zakonnych, spodziewając się z tego wielkich korzyści dla Kościoła i Zakonu; prosiła również ażeby mogła ich zaraz

do Warszawy posłać. Na jej prośbę wybrano wnet sześciu zakonników, którym za przełożonego gwardjana wyznaczono brata Jakóba z Głogowa. Udali się oni wraz z księżną do Warszawy i tam na miejscu od niej ofiarowanym założyli nowy klasztor.

Bardzo wolno z początku postępowała budowa nowego klasztoru, przy kopaniu bowiem ziemi na fundamenta, nie można było się dostać do twardego gruntu. Już miano w tem miejscu zaniechać budowy, lecz objawiła się św. Anna, matka Bogarodzicy, i upomniała, ażeby jeszcze trochę głębiej kopano; w rzeczy samej zaraz ukazał się grunt stały, na którym postawiono kościół pod wezwaniem św. Anny, który do dzisiejszego dnia stoi. Jak w Krakowie tak również w Warszawie w drugim klasztorze tego Zakonu w Polsce po kilku miesiącach wzrosła szybko liczba pracowników w winnicy Chrystusowej. Do tego klasztoru nie wiadomo z jakiej przyczyny, udał się błogosławiony młodzieniec Ładysław, czy to, że był tam posłany przez przełożonych zakonnych z powodu, że klasztor krakowski miał już bardzo wielu zakonników, czy też ze szczególnego zrządzenia Ducha św., który dla Krakowa innych świętych przeznaczał za Patrona, a dla klasztoru warszawskiego i dla księstwa mazowieckiego przeznaczył tego świętego młodzieńca.

Święto uwolnienia z okowów błogosławionego książęcia apostołów Piotra, przypadające 1 sierpnia, w którym to dniu błog. Ładysław przyjęty został do Zakonu dobrze wróżyło o świętości, którą miał w nim osiągnąć. W ten dzień bowiem wszechmocność Boska potargała więzy apostoła, otworzyła drzwi jego więzienia, uczyniła zawód oczekiwaniom jego nieprzyjaciół i okrucieństwu Nerona, rozradowała Kościół obdarzając wolnością jego głowę; albowiem anioł pański stanął przy Piotrze, obudził go ze snu, zerwał jego więzy, otworzył drzwi więzienia i bezpiecznie wyprowadził go z niego. Toż samo przytrafiło się błog. Ładysławowi, anioł dał mu to natchnienie:

— Dokądże zatrzymywać cię będą więzy światowe? zabawiać się będziesz w niebezpiecznem towarzystwie ludzi świeckich? świat jest ciemnym więzieniem, jego dobra i zabawy więzami, a ludzie, którzy o nie dbają, zapominają łatwo o wiecznej szczęśliwości. Powstań i idź!

— Dokąd?

— Do Zakonu Braci Mniejszych Obserwantów, których życie ostre zdaje się być przykrem ale rozmyślanie dóbr niebiańskich i towarzystwo ukochanych Braci czyni go przyjemnem, roznieci od dziecinnych lat tlejącą w twojem sercu iskrę Łaski Boskiej w wielki płomień Jego miłości.

Poszedł za tym głosem Boga i zakołatał do furty klasztornej; gdy go zaprowadzono do przełożonego, upadł mu do nóg i prosił o przyjęcie do Zakonu. Przełożony kazał mu powstać i rzekł do niego:

— Zastanów się dobrze, czy przy wątłych siłach twoich w młodzieńczym wieku, potrafisz się zastosować się do naszego sposobu życia, znieść jego niewygody, niewczas, post, upał i zimno.

— Mam nadzieję — odpowiedział świątobliwy młodzieniec — że mię w tem wszystkiem wesprze łaska Boska i przyczyna książęcia apostołów.

Gdy do zakonu przyjętym został błog. Ładysław, przywdział ubogą i grubą sukienkę zakonną, a wraz z nią przyoblekł się w Chrystusa Pana, stał się nowym niebiańskim człowiekiem. Młody nowicjusz posłuszny na każde skinienie przełożonych, pełen szacunku i miłości dla wszystkich Braci, przed którymi przy każdem spotkaniu pokornie głowę skłaniał, pilny do nabożeństwa, miłośnik upokorzeń i umartwień, we wszystkiem okazywał wielką swoją gorliwość w służbie Boskiej. Gdy upłynął rok próby, na usilne jego prośby, pozwolono mu, ażeby w święto Okowów św. Piotra apostoła zaciągnął się pod sztandar św. Franciszka, złożył śluby zakonne i przez nie zobowiązał się wiernie do śmierci zachowywać ustawy zakonne. Zawsze zachowywał wdzięczną pamięć tej chwili, o której napisał:

„Roku 1462 przyjąłem okowy św. Piotra, okowy klasztorne. Piotr narodził mnie w Gielniowie, Piotr był także moim rodzicem, gdy zamknął mnie w klasztorze, przez co rozwiązał moje więzy; dzięki składam Bogu śpiewając z cytarzystą: „O! Boże oto zerwałeś wszystkie moje więzy, udziel łaski nędznemu, ażebym dotrwał do końca“.

W tych początkach nowego Zakonu wszystkie w nim cnoty kwitnęły. Pomiędzy Braćmi zakonnymi wielu jaśniało świątobliwością życia, jedni słynęli z cudów, drudzy odznaczali się głęboką nauką Błog. Ładysław był od wszystkich dobrych ukochanym; odznaczał się męstwem w gromieniu występków, roztropnością w udzielaniu rad. Po przyjęciu święceń kapłańskich, posiadając wielkie zdolności i wielki dar wymowy, nie roztrwonił tych talentów przez próżnowanie, lecz jak to jest zwyczajem w Zakonie, całem sercem poświęcił się służbie Boskiej, łączył rozmyślanie i rozmowy o rzeczach Boskich z pracą ręczną. Z tego powodu pozyskał zaufanie wszystkich Braci, którzy mu powierzali różne ważne urzęda, a nawet po kilkakroć uczynili go przełożonym całej prowincji.

Błog. Ładysław dodaje do reguły zakonnej kilka nowych konstytucji, które w całym Zakonie zostały przyjęte.

W roku 1487 zwołany został konwent zakonny, któremu przewodniczył Ojciec Marjan Jezierski, wtedy uprosili Bracia błog. Ładysława, ażeby przyjął urząd wikarego czyli przełożonego prowincji.

W następnym roku błog. Ładasław zwołał kapitułę do Krakowa na której przedewszystkiem dołożył starań, ażeby go zwolniono z przełożeństwa i dozwolono spokojnie u stóp ołtarza prowadzić życie ciche w pośród braci zakonnych, lecz zupełnie inaczej się stało, aniżeli się spodziewał gdyż jednogłośnie na urzędzie swoim potwierdzonym został. Powtórnie 1489 r. zgromadził konwent braci w Przeworsku; zebrało się wielu ojców i naradzali się o sprawach zakonnych. Błogosławiony Ładysław znowu prosił, ażeby go zwolniono z ciężaru przełożeństwa i dozwolono, życie ciche w pośród Braci prowadzić. Tłómaczył się tem, że mu zbywa na potrzebnych zdolnościach, że są od niego daleko pilniejsi i roztropniejsi do rządzenia prowincją, że nie wymawia się od pracy, lecz uznaje swoje wady i daleko by mu przyjemniej było słuchać, aniżeli rozkazywać. Daremne to jednak było tłómaczenie, gdyż znowu wikarjuszem prowincji go wybrano. Do tego urzędu dodano mu jeszcze inny, wybrano go bowiem posłem od całej prowincji na zgromadzenie jeneralne w Rzymie. W daleką tę pedróż udał się, ażeby załatwić prośby i sprawy Braci swojej prowincji. Po powrocie z Włoch przez ośm po sobie następujących lat, był ustawicznie zajęty głoszeniem słowa Bożego i pisaniem dzieł religijnych. W pośród tych prac doczekał się roku 1496, w którym kapituła w Opatowie rozpoczęła się w uroczystość św. Jana Chrzciciela. Przewodniczył Ojciec Jan Witreator. Wszystkich Braci oczy znowu zwróciły się na błog. Ładysława i mniemając, że mu żaden z Braci zakonu nie wyrównywa w cnocie pomimo, że się usilnie od tego wymawiał, znowu go wybrano na przełożonego prowincji.

Przez rok cały rządził Ładysław swoją prowincją polską, poczem znowu zatęsknił za życiem bogomyślnem; przeto w konwencie w miasteczku Warcie zebranym znowu prosił braci, aby go zwolnili z ciężaru przewyższającego jego siły. Przykro im jednak było tracić tak dobrego ojca, po naradzeniu się więc wspólnem tak długo poczęli go prosić, ażeby nie opuszczał powierzonej sobie trzódki i nie sprzeciwiał się woli Ducha św., która przez zgodę wszystkich Braci się objawia, że musiał tym prośbom uledz.

Po kilkakrotnem rządzeniu prowincją zakonną błog. Ładysław przekonał się z doświadczenia o potrzebie dodania do reguły zakonnej kilku nowych konstytucji, przeto ich projekt przedłożył na kapitule w Krakowie. Niektórzy poczęli sprzeciwiać się przyjęciu tych konstytucji, jako zbyt uciążliwych, ustąpili jednak zdaniu znacznej większości. Konstytucje te po należytem ich roztrząśnieniu, od wszystkich Braci przyjęte, stały się w Polsce obowiązującemi. Następnie w kapitule generalnej 1498 r. 28 maja mianej w Urbino poczęto się naradzać, czy nie należało tych konstytucji do całego zakonu rozciągnąć. Po trzech dniowych rozprawach uradzono, ażeby te konstytucje pełne miłości Boskiej i do niej wiodące do reguł w Zakonie obowiązujących dodać. Jeden z Ojców wziął do ręki książkę, zawierającą owe konstytucje i ze łzami w oczach tak przemówił do zebranych braci:

— Postanawiam sobie te nabożne prawa i święte ustawy do ostatniej życia chwili zachować tak jak św. Ewangelję, nie pozwolę się od ich zachowania oderwać, dopóki blada śmierć życia mi nie odbierze. Chcę żyć pod ich opieką i niemi uzbrojony umierać. Będą one dla mnie zbawiennem lekarstwem dla chorób duszy, radą w życiu, pociechą przy śmierci.

Słowa te wszystkich wzruszyły i wznieciły w nich gorące pragnienie i silne postanowienie zachowania wiernie tych ustaw. Z czystego źródła, czyste wypływają strumienie, z owoców poznaje się drzewo, z obfitości serca usta przemawiają. Roztropność i gorąca pobożność błog. Ładysława pokazują się z tego, że ustawy przez niego ułożone nietylko w prowincji polskiej, ale i w całym zakonie jako bardzo pożyteczne i zbawienne przyjęto.

Znakomici Bernardyni z końca XV wieku w Polsce.

Ażeby lepiej zrozumieć zapał, z jakim błog. Ładysław poszedł za swojem powołaniem wstępując do zakonu Bernardynów i wielkość cnót, jakiemi się w zakonie tym odznaczył, potrzeba poznać przynajmniej kilku znakomitszych Braci tego zakonu, żyjących w owym czasie. Krótki ich życiorys znajdujemy w kronice bernardyńskiej Jana z Komorowa, który najazd Turków 1498 r. na Polskę opisuje jako świadek naoczny; był on naówczas w klasztorze w Samborze i ztamtąd wraz z innymi braćmi uciekać musiał. Na kapitule prowincjonalnej 1518 r. obrany został prowincjałem na klasztory swego zakonu we wszystkich ziemiach dawnej Polski. Żył on w ścisłej przyjaźni z Ładysławem z Gielniowa i z Łukaszem z Rydzyny.

Około r. 1453 błog. Jan Kapistran przyjął w Krakowie do swego zakonu dwóch rodzonych braci, dziedziców Kobylina, Klimaka i Wojciecha, i znakomitych dworzan króla Kazimierza. Wiadomość o tem zasmuciła bardzo ich ojca, słynnego rycerza. Przyszedł więc się pożalić do błog. Ojca, ten go pocieszał mówiąc mu, że raczej radować się powinien, aniżeli smucić, widząc jednak, że go nie może uspokoić, zaprowadził go do klasztoru, zawezwał jego synów i dał im pozwolenie opuszczenia, jeżeli chcą klasztoru, ażeby dobrami i przyjemnościami tego świata cieszyć się mogli. Młodszy z nich Mikołaj przystał na to, ażeby powrócić do ojca, lecz brat jego Klimak stanowczo, żadną miarą nie chciał

tego uczynić, ażeby dla ojca według ciała, przestał iść za Chrystusem i wzgardził towarzystwem braci zakonnych. To mówiąc, zbliżył się do błog. Ojca i wybrał go sobie za Ojca duchownego. Błog. Ojciec w duchu proroczym wyrzekł wtedy: „Bracie Klimaku, bądź błogosławiony, będziesz dobrym Bratem i wytrwasz w Zakonie. Ty zaś Wojciechu, nigdy szczęśliwym nie będziesz, lecz zawsze w kłopotach i zgryzotach dni życia swego spędzać będziesz. Ty zaś, rzekł do ojca ich, ponieważ ośmieliłeś się przeszkodzić darowi, jaki im Bóg udzielił, tego roku umrzesz". To wszystko jak mąż Boży przepowiedział, spełniło się. Ojciec ich tego roku w bitwie pod Chojnicami w Prusach poległ. I tę przegraną przepowiedział św. Jan Kapistran Kazimierzowi, jako karę Boską za to, że wbrew jego upomnieniom szkodliwe przywileje żydom udzielił. Wojciech różnych doznawał niepowodzeń, a brat jego Klimak przeszło trzydzieści lat żył świątobliwie w Zakonie i pełen cnót: pokory, cierpliwości i miłości, spoczął w Panu, pochowany w Krakowie.

Pierwszym komisarzem dla klasztorów polskich wyznaczonym został Anioł z Ostrowa na kapitule w Brunnie r. 1463. Za jego rządów założono osiemnasty z kolei klasztor w Opatowie.

Ten czcigodny Anioł z Ostrowa, był dobrym, mądrym i przezornym do tego stopnia, że zanim nowicjat ukończył, wybrali go Ojcowie do zarządu nad braćmi, co zwykle wymaga wielkiej powagi i pieczołowitości, pełnił obowiązki komisarza, gwardjana, a raz nawet wikarjusza prowincji, który to urząd przez trzy lata chwalebnie sprawował, słowem i przykładem budując podwładnych.

Na trzeciej kapitule, którą Anioł z Ostrowa zebrał w Poznaniu po św. Michale 1471 r, wybrano na wikarjusza już trzeciego z kolei Michała Bal z Rusi. Był to syn dziedzica Sanoka, opuścił dwór królewski i przyjął suknię zakonną z rąk św. Jana Kapistrana, był uczonym i bardzo poważanym od znakomitych osób. Przed rozdziałem prowincji, jako djakon głosił słowo Boże w Pradze i tam wiele ucierpiał prześladowań od hussytów. Ofiarowanego sobie biskupstwa pragskiego nie przyjął. Przywiózł on z Rzymu do Krakowa bullę Sykstusa V z przywilejami dla Bernardynów polskich. Roku 1475 przyjął fundację w Samborzu od Jana Odrowąża i żony jego Beaty.

Małżonkowie ci długo daremnie wyczekiwali potomstwa, aż za modlitwą Bernardynów, wzywających o to przyczyny Ojca swego świętego Franciszka, otrzymali od Boga dwóch synów i córkę. Jan Odrowąż dał plac na klasztor i takowy wystawił, a następnie hojnie opatrzył książkami i przyborami potrzebnymi, oraz przez wiele lat Braciom żywności z dworu swojego dostarczał. Michał Bal po trzykroć sprawował urząd wikarjusza prowincji.

Leonard, bakałarz sztuk z rodu szlacheckiego, zajaśniał w Krakowie cnotami swojemi. Już jako kapłan świecki dla swojej nauki i cnót tak był poważanym, że często go proszono, ażeby na zamku miewał kazanie. Po wstąpieniu do zakonu więcej jeszcze pracował nad nabyciem cnót i ustawicznie trwał na gorącej modlitwie. Zajmowawał się już to czytaniem Pisma św. już spełnianiem uczynków pokory i miłości. Będąc gwardjanem w Krakowie pewnej siostrze trzeciego zakonu, niewidomej na jedne oko, modlitwami swojemi zdrowie przywrócił. Mniemają, że Ojciec ten przez wierne zachowanie reguły zakonnej, nadzwyczajne cnoty i wielką cierpliwość wypłacił się do ostatniego szelążka w tem życiu i wolny od ciężaru wszelkiego prostą drogą do nieba podążył. Ciało jego jest pochowane w Krakowie.

Błog. Szymon z Lipnicy był najgorliwszym kaznodzieją, największym zwolennikiem świętej reguły i pielgrzymem do grobu Pańskiego. Zanim udał się na tę pielgrzymkę, wyuczył się na pamięć reguły, ażeby w razie dostania się do niewoli Saracenów miał ją przed oczyma duszy. Liczne jego cuda, które po dziś dzień spełniają się dla zasług błog. Ojca, spisali Bracia zakonni. Ciało jego pochowane jest w Krakowie i wielką czcią zawsze otoczone.

W tym czasie Ludwik z Warty bardzo gorliwy kaznodzieja, w Warszawie często miewał kazania na ulicy i wielu przykładem i słowem swojem do Zakonu pociągał. Bóg wszechmogący obdarzył go wielką czystością, pokorą i cierpliwością. Wiele udów dla zasług tego Ojca się stało i wiele pamiątek takowych zawieszono. Z czasem jednak, gdy ustało nabożeństwo ludu, z powodu niewdzięczności niektórych Braci, cuda ustały.

Mikołaj z Koźla, z dawnej obserwancji trzech pierwszych klasztorów, świątobliwe i przykładne życie zakończył w Warszawie i tam pochowany. Wiele lat mieszkając w Krakowie, w różnych przeciwnościach okazał wielką cierpliwość. Ludzie świeccy, z powodu życia przykładnego, jakie prowadził i pokornej, zakonnej uprzejmości, szanowali go i kochali. Po śmierci zajaśniał cudami. W tym czasie gdy umarł, pewien nabożny kapłan Jerzy, leżał w infirmerji chory, zdawało się, jakby był opętanym. W atakach tej choroby musiano go przywiązywać do łóżka, ażeby kogo nie skaleczył. Nagle ukazał mu się brat Mikołaj i rzekł do niego:

— Bracie, czy mnie poznajesz? — na co odpowiedział — nie poznaję. — Jestem brat Mikołaj. Jeżeli chcesz być zdrowym, idź do grobu mojego i odmów przy nim pięć Ojcze nasz, a wyzdrowiejesz. Powstał zaraz, poszedł, pomodlił się i wnet odzyskał zupełne zdrowie. Udał się prosto do stołu Braci i wraz z nimi jadł. Zdumieni zostali z tak niespodziewa-

nego i szybkiego wyzdrowienia. On zaś po złożeniu Bogu dziękczynienia opowiedział to wszystko.

Wiele też innych cudów spełniło się dla zasług tego Ojca i wiele znaków zawieszono przy jego grobie.

Brat Wiktoryn Melsztyński djakon, jeden z pierwszych panów polskich, posiadał wiele miast i wsi, wyrzekł się wszystkiego, aby służyć Bogu w pokornej sukni Zakonu Obserwantów św. Franciszka. Wiele uczynił dla kilku klasztorów ofiar, odznaczał się wielką pokorą, obdarzony był darem zachwyceń w modlitwie.

W Lublinie są groby wielu znakomitych Braci; mianowicie brat Peregryn, bardzo gorliwy kaznodzieja, ścisły przestrzegacz reguły zakonnej, łagodny w obcowaniu, wszystkim umiał się podobać tam jest dochowany.

W Kaliszu spoczywa brat Ambroży z Kłodawy, znakomity pisarz, który wiele książek zwłaszcza do chóru służących z wielkiem poświęceniem się napisał.

Tamże pochowany Jan z Wojnicza, magister djakon, nie chciał bowiem przez pokorę przyjąć święceń kapłańskich. Ćwiczył się w pokorze zajmując się posługą kuchenną tak umiłował ubóstwo że według opowieści kronikarza, nawet idąc na kapitułę jeneralną, czapki wziąść nie chciał.

W Warcie pochowany jest Melchisedech, który wiele lat przeżył w zakonie świętym, miłośnik ubóstwa i czystości, obrońca reguły i jej ścisłego zachowania. Brat, który był przy śmierci jego, sumieniem się świadczył, że widział w chwili jego zgonu, jak jasny promień z ust jego do nieba się wznosił.

W Wilnie spoczywa brat Stanisław Hayma, bardzo nabożny i gorliwy spowiednik, który najchętniej słuchał najuboższych i najbiedniejszych ludzi.

Błog. Jan z Dukli którego żywot podaliśmy odznaczył się prawdziwemi cnotami i z niezliczonych cudów słynie.

Jędrzej Rej pochodził ze znakomitego rodu, a uświetnił go jeszcze więcej cnotami swojemi. Został kanonikiem na zamku krakowskim i proboszczem kościoła św. Idziego, godności tych, jak również i innych, której łatwiej od innych mógł otrzymać, wyrzekł się i wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych, ażeby mógł łatwiej ubóstwo i pokorę Chrystusa Pana naśladować. Przyjął go św. Jan Kapistran na Szlązku, zanim do Polski przybył. Obdarzony od Boga wielkiemi zdolnościami, przez całe życie swoje słynnym był kaznodzieją, przez pokorę nigdy aż do śmierci nie chciał przyjąć żadnego przełożeństwa, twierdząc, że ubóstwo zakonne jest prawdziwą wolnością ducha, gdy przeciwnie pasterska piecza niepokój sprawia. Umarł w Krakowie 1491 r. i tamże pochowanym został.

Tegoż roku w Krakowie zakończył życie Stanisław de Korzep, magister uniwersytetu krakowskiego, bardzo uczony i nabożny mąż, znakomity kaznodzieja. Wielu uczonych i w Piśmie św. biegłych Braci, jakoteż wielu znakomitych kaznodziejów wykształcił; skarbu bowiem wiedzy, który sam posiadał, chętnie i w miły sposób drugim udzielał. Pomimo tak wielkiej uczoności nie wynosił się z niej, lecz owszem pokornie prosił Braci, nawet niekapłanów: Gdy spostrzeżecie, żem na kazaniu błąd jaki popełnił, skoro je skończę, ostrzeżcie mnie i powiedzcie mi w czem zbłądziłem. Podziwienia był godnym w umartwieniu, czuwaniu i modlitwie, szczerej prostocie i gorącej miłości ku Braciom jako też w wszelkich innych cnotach, tak, że wszyscy, co go znali, nazywali go świętym.

Król Kazimierz był wielkim pzyjacielem i obrońcą Zakonu Bernadynów i gdziekolwiek ofiarowano im nową fundację, w jego państwie, chętnie ją potwierdzał.

Apostołowanie Litwy. — Założenie klasztoru w Skępem. — Cnoty błogosławionego Ładysława.

Gdy rządził Wielkiem księstwem Litewskiem Aleksander, brat Jana Alberta, króla polskiego, wstępując w ślady pobożnych królów i książąt, prosił bł. Ładysława, naówczas prowincjała, ażeby posłał do Litwy i Białej Rusi swoich braci zakonnych dla oświecenia ludu w wierze. Gorliwy o zbawienie dusz ludzkich święty, chętnie przyjął to wezwanie i zaraz pośpieszył zadość mu uczynić.

Wielkie księstwo Litewskie naówczas dalekich sięgało granic, lubo w wielu miejscach były jeszcze lasy i puszcze mało zamieszkałe. Na północ graniczyło z Wielkiem księstwem Moskiewskiem, na wschód z Rusią, na zachód z Prusami i z Liwonią, na południe zaś łączyło się z Polską. Ziemia była urodzajna, bujne pastwiska służyły do hodowania licznych trzód, w lasach chowało się wiele różnego rodzaju zwierza i ptactwa. Naród był silnej budowy ciała, cierpliwy do pracy i surowych obyczajów. Przedtem, gdy jeszcze nie zostawał pod prawami chrześcijańskiej wiary i pod rządami Kościoła, przez długi czas pogrążony był w rozmaitych błędach. Gdy Jagiełło objął jego rządy a zarazem i rządy narodu polskiego przez małżeństwo z Jadwigą, królową polską i za zgodą całego narodu polskiego: jednocześnie przyjął Chrzest św. i cały swój naród litewski do przyjęcia go skłonił. W tym jednakże czasie, gdy jako namiestnik króla polskiego zarządzał Litwą Wielki książe Aleksander, wnuk Jagiełły, wiele jeszcze niedowiarstwa, zabobonów i różnowierstwa było pomiędzy jego poddanymi. Świeżo do wiary katolickiej nawróceni, potrzebowali troskliwej opieki. Młody ten szczep potrzebował niebiańskiej

rosy, jaką dawała nauka wiary. Żniwo było wielkie, lecz mało robotników. Ażeby temu zaradzić, na prośby nabożnego książęcia, do uprawy tej roli posłał bł. Ładysław pilnych robotników, dając im upomnienia, jak słowem i przykładem z jaknajwiększą cierpliwością i troskliwością mają koło nieuprawnej winnicy pracować, odrzucać od niej kamienie zgorszenia, wyrywać ciernie nieprawości, wykorzeniać chwasty zabobonów, wyganiać drapieżne zwierzęta, t. j. nauczycieli błędu, a natomiast uczyć znajomości Boga i zamiłowanie cnót wszelkich. Po otrzymaniu takowych upomnień od wodza swojego, udali się rycerze Chrystusowi w podróż do Płocka. Było to miasto położone na granicy Białej Rusi i Księstwa Litewskiego. Na przełożonego nowej osady OO. Bernadynów, wyznaczonym był ojciec Leon z Łańcuta. Mając sobie udzieloną potrzebną władzę do rozciągania duchownej pieczy nad duszami przez przywilej otrzymany od Sykstusa IV, ojcowie zakonni nie żałowali trudów i niewygód w wykorzenianiu niedowiarstwa i zabobonów, w szerzeniu światła prawdziwej wiary. Według dawnej kroniki kilkanaście tysięcy pogan i wielką liczbę różnowierców w krótkim czasie nawrócili na łono Kościoła katolickiego. Pewną jest rzeczą, że wskutek ich pracy, wiara katolicka w tych stronach zakwitła i obyczaje się poprawiły. Nie możemy tu pominąć milczeniem wielkiej pobożności i gorliwości księcia Aleksandra, który pracownikom tym w winnicy Chrystusowej pomocy i opieki udzielał.

Tegoż roku 1497 bł. Ładysław otrzymał miejsce na nowy klasztor w Skępem, miejsce wielu cudami na całe królestwo sławnem. Tam bowiem N. Marja Panna, wzywającym jej pomocy, przyczyną swoją u Syna swego wyjednywała i wyjednaje pociechę dla strapionych i uzdrowienie dla chorych.

W następnym roku na kapitule, zebranej w Warszawie, bł. Ładysław ustąpił z urzędu prowincjała, który przez 6 lat sprawował.

Podstawą świętości zawsze była pokora, nawet w Niebie nie ostoi się pyszna wyniosłość. Od tej podstawy zaczął budowę doskonałości chrześcijańskiej w swojem sercu bł. Ładysław i dlatego szczęśliwie ją do szczytu świętości doprowadził. Nauczył się od Pana Jezusa być cichym i pokornego serca.

Im więcej cnót posiadał, tymbardziej we wszystkiem się upokarzał i dlatego znalazł łaskę u Boga. Nietylko upokarzał się w słowach swoich i w zewnętrznem postępowaniu, lecz sam rzeczywiście w przekonaniu swem mało się cenił. Za przykładem Chrystusa, który przy ostatniej wieczerzy umywał nogi uczniom swoim, a nawet zdrajcy Judaszowi, pokorny jego sługa i naśladowca miał zwyczaj zajmować się upokarzającemi posługami, naczynia kuchenne obmywał i korytarze zamiatał. Czynił to często, zawsze z wesołą twarzą i nietylko w wieku młodocianym, ale nawet i w późnej starości. Przykładem swoim tak do zamiłowania pokory przywiódł braci swoich, że zawsze później Bernardyni odznaczali się tą cnotą.

Nie przestawał jednak na tych ćwiczeniach pokory, lecz spełniał daleko trudniejsze i do nich braci swoich, zwłaszcza młodszych, zachęcał. Takiemi ćwiczeniami były: Na progu domu upadać na twarz, drugim do nóg padać i nogi im całować, cierpliwie od nich przyjmować słowa upokarzające, uważać się za najmniejszego i najniegodniejszego z braci, być uprzejmym i łaskawym dla wszystkich. Nigdy też mąż święty nie był dla nikogo przykrym, ani surowym, za mniejsze przewinienia nie potępiał, lecz tylko ze słodyczą upominał i tyle usiłowań dokładał w unikaniu zaszczytów, ile ich dokładają ludzie pyszni dla ich pozyskania. Nic dziwnego więc, że przy tak głębokiej pokorze, umiał nabyć i zachować cnoty wszelkie, a zwłaszcza anielską czystość, którą przez życie pełne umartwień i uczynków pokutnych od wszelkich uchybień zachował.

Wielki miłośnik zakonnego ubóstwa błog. Ładysław wyrzekł się wszelkiej własności, chodził w ubogiem odzieniu, nie troszczył się nigdy o jutro, głód i niewygody najcierpliwiej znosił. Na urzędzie prowincjała klasztory, których było naówczas w prowincji polskiej 24, obchodził zawsze pieszo i boso. W sprawach Zakonu dwa razy udawał się do Włoch, daleką tę i mozolną podróż odbywał także pieszo, o żebranym chlebie.

W r. 1489, gdy bł. Ładysław powtórnie prowincjałem obranym został, przyjął jednocześnie drugi urząd dyskreta (stróżem stróżów, albo kustoszem; według zwyczaju Zakonu piastującego ten urząd, teraz nazywają), Nawykły bowiem do pracy stanu, dwa te uciążliwe urzędy jednocześnie przyjmował. W r. 1498 na jeneralne zgromadzenie zakonu w Medjolanie udał się pieszo z jednym tylko towarzyszem, a ztamtąd do Rzymu, ażeby stanąć w obronie swojej prowincji zakonnej, przeciw niesłusznie na nią rzuconym potwarzom.

Posłuszeństwa którego w ciągu całego życia swojego, jako najściślej przestrzegał bł. Ładysław, dowód mamy w tem, że gdy 1504 r. znajdował się na kapitule w Krakowie, zebranej w uroczystości Narodzenia N. Marji Panny, której przewodniczył ojciec Łukasz z Rydzyny, słynny ze swoich cnót i z pielgrzymki odbytej do Jerozolimy i gdy tam bł. Ładysławowi chciano dozwolić, ażeby sam sobie wybrał miejsce pobytu, nie przyjął tej ulgi, na którą dla późnego wieku, poniesionych trudów i spełnionych prac, zasługiwał. Wybrano sędziwego ojca Stanisława ze Szlup, który był niegdyś towarzyszem

w podróży bł. Ładysława i ten w imieniu wszystkich rzekł do niego:

„Wszyscy oceniają twoją pobożność i cnoty, prace, które pomyślnie w Zakonie spełniłeś, nie są pogrzebane w zapomnieniu, lecz Zakon je zachowuje żywo w pamięci swojej; wszyscy przeto zgadzają się na to, że należy mieć wzgląd na twój wiek sędziwy, gdy w życiu twojem dla Zakonu nie wymówiłeś się od żadnych choćby najtrudniejszych prac i obowiązków. Powiedz przeto, czego sobie życzysz od Zakonu, a otrzymasz. Wybierz sobie miejsce pobytu, jaki ci jest najmilszym i jakiego pragniesz towarzysza do posług, zaniechaj pracy i ostatnie lata twoje przeżyj spokojnie.

Mocno się zdumiał Ładysław, słysząc te słowa i po kilku chwilach namysłu podniósł oczy ku niebu, a potem zwrócił je na ojca Stanisława i głosem silnym i czystym, jakim był z natury obdarzony, odpowiedział:

Ojcze Stanisławie, cóż to słyszę? Każcie mi, ażebym żył według własnej woli i według mego osobistego zdania? czyż nie wiecie, że postanowiłem wytrwać według sił moich aż do ostatniego kresu życia w dochowaniu posłuszeństwa przełożonym? czyż nie wiecie, żem się przysięgą zobowiązał spełniać aż do śmierci ślub posłuszeństwa? niech daleką będzie od serca mego ta wyniosłość ducha i szukanie dogodzenia własnej woli. Jaka będzie wola przełożonych, taką chętnie spełnię. Jestem nieprzyjacielem własnych zapragnień. Przystanę na zdanie przełożonych i bez zwłoki wypełnię, cokolwiek się dowiem, że o mnie postanowią, czuję bowiem w sobie siły do tego i mogę wszystko w Tym, który mnie umacnia. Zanieś odpowiedź moją radzie braci, że daleką jest odemnie chęć dogadzania własnej woli, lecz owszem resztę życia mego poświęcam na ich rozporządzenie i od żadnej pracy, którą mnie wyznaczą, nie wymówię się. Zamieszkam w tem miejscu, które mi do pobytu wyznaczyć raczę.

Przyjęto tę odpowiedź z uwielbieniem i uczyniono bł. Ładysława gwardjanem i kaznodzieją w Warszawie, tam gdzie rozpoczął życie swoje zakonne.

Kazania, pieśni nabożne ułożone przez błog. Ładysława. — Najazdy Tatarów.

Wiedział dobrze sługa Boży Ładysław, że najmilszą Bogu ofiarą jest gorliwość o zbawienie dusz. Gdziekolwiek się udał, wszędzie ogłaszał naukę zbawienia, odwodził od występków, zachęcał do cnót i to nietylko słowem i przykładem, ale także i piórem. Napisał kazania na niedziele całego roku i na uroczystości Świętych pełne głębokiej nauki i tchnące pobożnością, spodziewając się z tego pożytku dla dusz i wzrostu chwały Bożej. Znając zamiłowanie narodu swojego do pieśni nabożnych, wiele takowych ułożył, z tych niektóre opiewały chwałę Chrystusa Pana i cnoty Najś. Marji Panny w języku łacińskim, inne w mowie ojczystej, wszystkie zaś przejęte były ogniem miłości Boskiej. Pieśni tych nauczał młodzież w szkole i przez nie w młodocianych ich duszach obudzał zamiłowanie pobożności. W kościołach OO. Bernardynów jest zwyczaj po południu znakiem dzwonu wzywać wiernych na słuchanie kazania, po którym bł. Ładysław kazał śpiewać pieśni owe nabożne. Chętnie lud na nabożeństwo się gromadził i przez to wzrastała w nim pobożność. Pewną jest rzeczą, że dlatego łatwiej jest wyuczyć się i w pamięci zatrzymać prawdy wierszem napisane, aniżeli prozą, poszedł więc Ładysław w tym razie za radą św. Wojciecha.

Miłość Świętych zawsze połączona bywa z wielkiem współczuciem. Płakał też nasz Ładysław nad nieszczęśliwą dolą swojego kraju, jak Jeremjasz nad Jerozolimą. Widząc, jak nad nim sroży się gniew Boski, umartwieniami i modlitwą starał się go odwrócić. Roku 1498, w którym, jak już wspomnieliśmy, bł. Ładysław po raz czwarty sprawował urząd wikarjusza prowincji, nowa klęska nawiedziła Polskę. Król Jan Albert, chcąc pomścić śmierć wuja swego Władysława, króla polskiego i węgierskiego, wyprawił 80,000 wojska naprzeciw Turkom. Namówił go do tego książe włoski Stefan, obiecując swoją pomoc.

Nie spodziewając się zdrady, weszli Polacy na Bukowinę pomiędzy góry lasami pokryte i natrafili tam na straszną zasadzkę: przez zdradzieckich bowiem Włochów, drzewa już przedtem podcięte, powalone zostały na idące niżej w wąwozie wojsko polskie i tak wielkie w nim uczyniły spustoszenie, że zaledwie 7,000 wojska wraz z królem ocalało.

Po odniesionej klęsce król najprzód udał się do Lwowa, a potem do Krakowa; tymczasem bardzo liczne hordy Turków i Tatarów wpadły do Polski, doszły do miasta Kończugi Sanoka, wszystko ogniem i mieczem pustosząc. Do 100,000 ludzi wzięli w niewolę. Pola były trupami pokryte, miasta i wioski spalone, wiele niewiast dziewic i dzieci oderwanych od rodziny w straszny jassyr zagnano; w ten sposób przeszli Turcy najpiękniejsze prowincje: Podole, Pokucie, Wołyń, aż do rzeki Wisłoki, nigdzie nie znajdując oporu. Wiele osób rozmaitego wieku i stanu uprowadzono w niewolę.

Zamieszkały naówczas w klasztorze samborskim Jan Komorowski w swojej kronice straszne wypadki tego czasu opisuje. Roku 1498 Turcy wszystkie miasteczka pod górami węgierskiemi położone spalili, a wielu ziemian oraz niezliczony tłum ludu w niewolę uprowadzili, dzieci zaś i starców zabijali.

Do Sambora przyszli w poniedziałek przed św. Bernardynem i spalili miasto. W klasztorze znaleźli tylko dwóch Braci. Jeden z nich Jan był nadzwyczaj pobożny i życia świątobliwego. Raz spostrzeżono, jak przez długi czaś, gdy zostawał przed krucyfiksem, otaczała go wielka światłość. Lubo już doszedł do podeszłego wieku, wszystkie obowiązki, jakie nań wkładało posłuszeństwo, chętnie przyjmował. Nie chciał w żaden sposób puścić klasztoru, lecz w nim za pozwoleniem Ojca gwardjana Jerzego z Nowego Miasta, pozostał szlochając i płacząc. Pozostał z nim także inny Brat, starzec Bogusław. Turcy, skoro ich zastali w klasztorze, Brata Jana ciągnęli przez pół mili, a gdy iść dalej nie mógł, przez głowę i na wpół mieczem rozcięli i w ten sposób zamordowali. Brata zaś Bogusława, który pomiędzy drzewem w klasztorze ukrywał się, tamże zabili.

W tymże klasztorze znajdowały się w depozycie rzeczy drogocenne okolicznych obywateli i wiele bardzo przyborów do nabożeństwa, to wszystko Turcy zabrali. Sam zaś klasztor, książki i inne rzeczy spalili. Nikt bowiem nie stawiał im oporu, taki popłoch naówczas ogarnął lud, że wszyscy uciekali. Pod miasteczkiem Sól prawie przez cztery dni zatrzymali się Turcy i zbierali niewolników, lecz nie ośmielili się nań napadać, gdyż byli w małej liczbie i dowódzców nie mieli.

Powtórnie w lipcu, około św. Anny, Tatarzy, napadli Ruś i Podole podczas samego żniwa, kraj ten niszcząc i wyludniając. Znowu pod koniec listopada siedemdziesiąt tysięcy Turków przez Wołoszczyznę wpadło i cały kraj naddniestrzański, okolice Halicza, Żydaczowa i Drohobycza i Sambora spustoszyło.

Gdy nikt takiej strasznej potędze nie śmiał stawić oporu i wszyscy uciekali do miejsc bardziej oddalonych i bezpiecznych, wtenczas błog. Ładysław na kazaniach upominał lud, ażeby udał się w pokornej i gorącej modlitwie do Boga Wszechmogącego z błaganiem o miłosierdzie i pomoc. Braciom zakonnym nakazał ustawiczne w tym celu modlitwy. Przechodząc miasta i wioski, gorliwie upominał duchowieństwo i lud ażeby przejęci współczuciem nad niedolą swoich Braci, przedsionkiem i ołtarzem, t. j. pomiędzy Bogiem i ludem stojąc z płaczem wołali:

— Przepuść Panie! przepuść ludowi twojemu i nie daj dziedzictwa Twojego na hańbę, by nad nim panowali poganie.

W tym celu ułożył następującą modlitwę:

Jezu Nazareński, królu żydowski, powstań i zetrzyj ludy pogańskie, a udziel zwycięztwa ludowi chrześcijańskiemu, ażeby chwalono Boga Wszechmogącego na wieki wieków.

Z tem zbawiennem wezwaniem, tak, jak ze zwycięzkim sztandarem we wszystkich swoich kazaniach występował przeciwko występkom, a teraz wystąpił przeciwko widzialnym nieprzyjaciołom narodu swojego z pewną nadzieją zwycięztwa. Gdy tak Ładysław wzywał pomocy Boskiej i drugich do tego zachęcał, po raz trzeci Turcy z Tatarami wpadli do Polski i obóz swój założyli pomiędzy Prutem i Dniestrem. Wtedy Pan Bóg wysłuchał modlitw ludu chrześciańskiego i pokonał jego nieprzyjaciół. Dwie te bowiem rzeki nagle wylały z brzegów, a przy silnym mrozie, który w krótkim czasie nastąpił, pokryły się lodem. W ten sposob wielka część obozu tureckiego zatonęła, inni od zimna poginęli tak, że z 70 tysięcy zaledwie 8 tysięcy uszło, a i ci pobici zostali przez wiarołomnego książęcia Wołochów Stefana, tak, że zaledwie 400 wróciło do swego kraju, przynosząc z sobą zarody zaraźliwej choroby, która wielu ich ziomków życia pozbawiła. Sami Turcy, chociaż pozbawieni światła wiary, przyznawali, że Niebo samo walczy za Polaków, że zatem nie należy przeciwko nim wojny prowadzić. Przyznawano to ogólnie, że zjednały to miłosierdzie gorące modlitwy błog. Ładysława. Niegdyś chciał Pan Bóg przebaczyć Jerozolimie jej winy, byleby znalazł się mąż bogobojny, któryby się za nią wstawił.

Szczęśliwy naród, który podczas srożącego się gniewu Pańskiego znalazł orędownika w słudze Bożym Ładysławie.

Koronka do Najśw. Marji Panny, ułożona przez błog. Ładysława. — Cuda w Skępem.

Pomiędzy innemi cnotami błog. Ładysława odznaczała się jego pobożność, była ona pełna głębokiej pokory i żywej w Bogu ufności: pokory wypływającej z uznania własnej słabości, ufności zaś z rozważania dobroci Boskiej przez rozmyślanie dochodził Ładysław do znajomości Boga; ta znajomość wzbudziła w nim skruchę i pobudzała do serdecznej a ustawicznej modlitwy. Pobożność gorącą, którą w sercu swojem żywił i we wszystkich, do których się mógł zbliżyć, rozniecał. Za przykład jego pobożności służyć może koronka do Najśw. Marji Panny, którą ułożył. Różniła się ona od zwyczajnej tem, że po każdem słowie Pozdrowienia Anielskiego dodawał nabożne rozmyślania i gorące modlitwy. Gdy ją Ładysław odmawiał po słowach Zdrowaś Marja stojąc, oddawał głęboki pokłon, po wyrzeczeniu zaś imienia Jezus Chrystus, klękał i głowę schylał do ziemi. W ten sposob codziennie z największą pobożnością odmawiał koronkę złożoną z ośmiu Ojcze nasz i 70 Zdrowaś Marja. Zwyczaj ten przekazał Braciom swoim zakonnym, którzy go potem wiernie zachowywali codziennie we wszystkich klasztorach swoich po odmówieniu Nieszporów, całą godzinę na to poświęcając. W wielu miejscach, a zwłaszcza

na Litwie i Żmudzi, zbierali się też i ludzie świeccy do kościołów O.O. Bernardynów, by wraz z niemi koronkę do Najśw. Marji Panny odmawiać i za ich przykładem przy odmawianiu jej przestrzegali tych samych pokłonów i przyklękań, by niemi wyrażać swoją cześć dla Jezusa i Matki Jego.

Około tego czasu, to jest około roku 1497, gdy wszystkim sposób ten odmawiania koronki do Najśw. Marji Panny, słowem i przykładem zalecał, przez cudowne wypadki, które zaszły w Skępem, w ziemi Dobrzyńskiej, okazała przychylność dla Braci jego zakonnej Najśw. Marja Panna. Niedaleko od drogi, prowadzącej ze Skępego do Lipna, dostrzeżono kamień średniej wielkości, na którym było kilka znaków krzyża. Co tem bardziej poczęło zwracać uwagę ludzi, że ludzie, którzy przechodzili albo przejeżdżali około tego miejsca, jeżeli byli pijanymi, albo co nieuczciwego mówili, doznawali przykrych wypadków i ciężkie ponosili szkody. Niekiedy wywracał się wóz, a ci którzy znajdowali się w nim, padając na ziemię ciężkiego doznawali szwanku; to znów koła i osie się łamały. Gdy poczęto głośno o tem mówić, pewien starzec, człowiek prosty i ubogi, ale dla cnót swoich i szczerości powszechnie szanowany, pod przysięgą zeznał, że przy tym kamieniu okazała mu się Najśw. Marja Panna, otoczona blaskiem i te wyrzekła słowa:

— Miejsce to będzie przyjemne Bogu i mnie; ziemia ta święta jest nam miłą i od nas wybraną, od tego czasu poświęcona czci Boskiej powinna być od wszystkich szanowaną. Chcę, ażeby tutaj zamieszkali zakonnicy Synowi mojemu mili, dla poświęcenia się na tem miejscu bogobojności i swoim obowiązkom.

Gdy się rozeszła wiadomość o tem objawieniu, coraz to częściej nawiedzano to miejsce i po modlitwie tam uczynionej wielu chorych otrzymywało zdrowie, wielu smutnych i nieszczęśliwych pomoc i ratunek.

Tegoż roku postawiono tam krzyż i gdy przy nim dla dopełnienia uczynionego ślubu zebrało się przeszło sto osób, przyprowadzono także dwóch opętanych, którzy skoro tylko spostrzegli to miejsce, wyrwali się z rąk ludzi, co ich prowadzil i poczęli uciekać w stronę pobliskiego lasu, doścignięto ich jednak i napowrót przyprowadzono. Wtedy poczęli wydawać straszliwe krzyki lecz zarazem przepowiadali, że w niedalekim czasie zamieszkają tu zakonnicy Boży i miejsce to będzie na zawsze w posiadaniu zakonników miłych Bogu i Najśw. Marji Pannie. Po wyrzeczeniu tych słów zły duch opuścił opętanych, którzy za odzyskany spokój złożyli dzięki Bogu i Najśw. Marji Pannie.

O tym wypadku przypomniano sobie, gdy się tam zgromadzili O.O. Bernardyni, przedtem bowiem nikt z mieszkańców tych okolic nie znał ich.

O wielu cudownych wydarzeniach wspominają akta klasztoru. I tak np.: pewien obywatel Kobiernicki zaprosił do siebie na obiad proboszcza ze Skępego i drugiego proboszcza z sąsiedniej parafii. Do proboszcza ze Skępego odezwał się jeden z gości.

— Jakże możesz pozwolić, księże proboszczu, zakonnikom żebrzącym, ażeby pod bokiem twoim nową postawili kaplicę? czyż nie wiesz, że lud lubi nowość, że kościół twój stanie się pustym, owczarnią bez owiec, podczas nabożeństwa wszyscy do kaplicy chodzić będą. Czyś może zapomniał, że twojej pieczy dusze tych parafjan są powierzone? A jeżeli tam, gdzie udawać się będą, zamiast do pobożności pobudzać będą ich w błąd wprowadzali? nie podoba mi się twoje milczenie, twoja cierpliwość; powinieneś się postarać, ażeby nie było w twej parafji kaplicy tych zakonników.

Na to odpowiedział proboszcz ze Skępego.

— Miejsce to podobało się Najśw. Marji Pannie, wybrała go sobie, ma go pod swoją opieką, jak również Braci zakonnych, którzy tam mieszkają, nie chcę więc nic czynić przeciw Jej woli.

Gdy na to sąsiad jego znów swego zdania bronić począł, nagle upadł na ziemię ze strasznym krzykiem i wnet stracił przytomność; odniesiono go do domu a gdy przyszedł do siebie, uznał wielki swój błąd, że namawiał do sprzeciwiania się woli Bogarodzicy, przez co dał drugim zgorszenie. Serdecznie żałował swojej winy i uczynił ślub, że z duchowieństwem swojem uda się do kaplicy Najśw. Marji Panny i tam odprawi mszę św., co gdy uczynił, wnet do zdrowia powrócił. Po takich wypadkach zamilkli wszyscy przeciwnicy nowej fundacji, zatwierdził ją biskup chełmiński, Mikołaj na Kościelcu Kościelecki, a błog. Ładysław Braci tam swoich posłał. Możemy z tego widzieć, jak miłem było Najśw. Marji Pannie wielkie ku Niej nabożeństwo gorliwego Jej sługi Ładysława.

Pracowitość błog. Ładysława. — Zawiść. — Potwarze i obrona Zakonu w obliczu Stolicy Apostolskiej.

Jedną z przedniejszych cnót zakonnych jest pracowitość, wiele bowiem złego uczy próżnowanie. Błog. Ładysław miłował tę cnotę, dobrze czasu używał, zawsze był jakąś użyteczną pracą zajętym. Nietylko był wiernym sługą Bożym, poświęconym nabożnym rozmyślaniom i modlitwom lecz także od pierwszego wstąpienia do Zakonu ustawicznie zajmował się ręczną, jakoteż i duchowną pracą. Nikt nie był tak jak on skorym do wszelkich usług, po obiedzie, gdy inni według zwyczaju dla odpoczynku przechadzali się i zajmowali się rozmową wzajemną, on tylko sam pracował w ogrodzie, wyrywał chwasty, znosił kamienie, obcinał niepotrzebne gałęzie, albo też nosił drzewo do kuchni, czerpał wodę, za-

miatał korytarze. Piastując urząd prowincjała, ustawicznie czuwał i nietylko słowem. ale też i przykładem zapobiegał wszelkim nadużyciom, jakieby mogły się wkraść do Zakonu a zaszczepiał w nim wszelkie cnoty.

Pomimo tego, że pod tak dobrym przewodnikiem zakonnicy przestrzegali wiernie wszystkich reguł i praw znaleźli się ludzie zazdrośni, którzy zaczęli na nich rozmaite potwarze rzucać. Podczas burzy, jaka z tego powstała przeciw Bernardynom, błog. Ładysław postępował z jak największem umiarkowaniem i roztropnością i gdy się przekonał o niesłuszności oskarżeń, które nawet do Stolicy apostolskiej doszły, a pochodziły tylko z zawiści, jaką zwykle mają źli ludzie przeciwko zgromadzeniom bogobojnym, sam udał się do Rzymu w obronie swego Zakonu. Skoro stanął przed Aleksandrem VI, który naówczas rządził Kościołem, przedstawił stan swojej prowincji zakonnej i wykazał, jak niesłusznymi są czynione przeciwko niej zarzuty.

Gdy król polski i inni książęta dowiedzieli się, że błog. Ładysław udał się do Rzymu, ażeby stanąć w obronie niesłusznie oskarżonego Zakonu swojego, napisali czemprędzej do Ojca św., prosząc go, ażeby nie pozwolił tak wielkiej krzywdy wyrządzać Zakonowi i na potwarców jego słuszną wymierzył karę, jak najlepiej bowiem znają pobożność i cnotę tego Zakonu. Także i Władysław król węgierski i czeski mocno oburzony na krzywdę wyrządzoną O.O. Bernardynom, w liście do Ojca św. dał najlepsze świadectwo o ich świątobliwości i niewinności i prosił, ażeby potwarcy srogo byli przez Stolicę apostolską ukarani. Najwyższy Pasterz, któremu błog. Ładysław bardzo się podobał, a listy książąt przekonały o niewinności jego Braci zakonnych, zniewolił do milczenia ich potwarców. Po pięciomiesięcznym pobycie w Rzymie błog. Ładysław wrócił do kraju, gdzie jak najżyczliwiej został przyjętym. Wiele podobnych prześladowań musiał znieść, nigdy jednak się nie znużył i zawsze chętnie narażał się na największe niebezpieczeństwa i największe trudy, gdy potrzeba było stawać w obronie Zakonu swego.

Chociaż błog. Ładysław ustawicznie zajęty był wielu pracami i narażony na znoszenie rozmaitych trudności; już to obchodząc klasztory bardzo oddalone w Wielkiej i Małej Polsce, na Mazowszu, Rusi, w Prusach i na Litwie, już to przezwyciężając wiele trudności i załatwiając jako przełożony, wiele spraw, które zazwyczaj duszę niepokoją i od rozważania rzeczy niebieskich odwodzą, pomimo tego umiał zawsze zachować duszę swą w pokoju i nieustannie trwać w zjednoczeniu z Bogiem. Czy to pozostawał w celi zamkniętej, czy też w podróży będąc, przy pracy, czy na modlitwie, nigdy nie zapominał o obecności Boga. Mąż ten święty nikomu nie schlebiał, lecz wszystkim głosił słowa prawdy, z których roztropny wzrastał w mądrość, wojownik nabywał męztwa, książe uczył się jak ma sprawiedliwie rządzić poddanymi swojemi. Często upominał do bojaźni Boskiej, do zachowania wzajemnej miłości, do posłuszeństwa względem przełożonych. Umiał się stosować do pojęcia ludzi prostych i jasno im wykładał prawdy, na które najbardziej pamiętać potrzebowali, chętnie się też zajmował dziećmi, uczył je wielbić Boga, szanować i słuchać rodziców. Najczęściej mówił o męce i śmierci Pana Jezusa i to z takim zapałem, że wpadał wtenczas w zachwycenie i na zewnętrzne wrażenia stawał się nieczułym. Wszystkie kazania swoje zaczynał od słów: „Jezus Nazareński, Król Żydowski“, które mieścił w sobie napis umieszczony na krzyżu i z tych słów, jakby z niewyczerpanego źródła, wyprowadzał najpiękniejsze nauki. Wymowa jego była jasną i silną, porywał słuchaczy, przywodził do upamiętania największych grzeszników i na drogę sprawiedliwości ich nawracał. Z nadprzyrodzoną łaską, która go w tem wspierała, łączył w sobie dary przyrodzone, głos silny i dźwięczny, umysł niestrudzony.

Niebiańskie zachwycenie i śmierć błog. Ładysława.

Nagrodą życia bogobojnie spędzonego zwykle bywa śmierć dobra; zgadzają się na to wszyscy uczeni, a św. Paweł apostoł, mówi: „Kto sieje na duchu, z ducha żąć będzie żywot wieczny“.

Nietylko po śmierci Pan Bóg przyodziewa zasłużonych szatą nieskazitelną, lecz jeszcze nieraz za życia otacza ich blaskiem szczególnej chwały. Na sześć miesięcy przed zgonem św. Mikołaj Toletyński słyszał każdej nocy śpiewy anielskie. które mu dawały przedsmak radości niebieskich i często powtarzał z apostołem: „Pragnę być rozwiązanym i być z Chrystusem“. Napotykamy wiele podobnych przykładów, jak święci Pańscy, zapatrując się z uwielbieniem na Boga, wzięli udział w blasku Jego chwały. Chrystus Pan, gdy przemienił się cudownie na górze Tabor, gdzie oblicze Jego zajaśniało jako słońce, a szaty zdawały się jako śnieg białe, okazał przez to, że Ojciec Niebieski przyoblecze niezmiernym blaskiem chwały tych, którzy mu za życia wiernie służą. Takiego dobrodziejstwa już za życia doznał błog. Ładysław. Już 40 lat i 9 miesięcy przebył w zakonie, przez cały ten przeciąg czasu nie przestał oddawać się ustawicznej pracy, rozmyślaniu, czytaniu, nauczaniu innych i wszelkim zbawiennym uczynkom, nawet gdy doszedł do późnej starości nie zaprzestał pracować. Przeto też sprawiedliwy Sędzia przy końcu życia sługi swego, okazał jego świętość przed ludźmi.

W Wielki Piątek, poświęcony osobliwszym sposobem nabożeństwu Męki Pańskiej, błog. Ładysław miał mieć o tym przedmiocie w kościele św. Anny

w Warszawie kazanie; gotował się do tego jak zwykle przez długie nabożne rozmyślanie. Wszyscy znali gorące sługi Boskiego nabożeństwo do Męki Pańskiej i dlatego gdy rozeszła się wieść, że ma w tym przedmiocie mówić, ze wszystkich części Warszawy i z jej przedmieść zbiegli się ludzie różnego stanu i wieku, gorąco pragnąc usłyszeć słowo Boże z ust męża świętego. Gdy z takiem usposobieniem o północy, (o tej godzinie zwykle w dzień ten odbywało się nabożeństwo, poświęcone rozmyślaniu Męki Pańskiej), oczekiwali kaznodziei, ten mając serce przeszyte mieczem boleści z obliczem smutnem i bladem, wydając głębokie westchnienia, wchodzi na kazalnicę.

Smutek ogarnął wszystkich słuchaczów, oczy ich zalały się łzami, ze wszystkich piersi wydobywały się jęki boleści. Im dłużej sługa Boski mówił o Męce Pańskiej, tym większym ogniem miłości Boga i pochodzącego z niego współczucia nad cierpieniami Chrystusa Pana zapalało się serce jego, i uczucia te przenikały w serca słuchaczy. Gdy przyszedł do tego miejsca, w którem miał mówić o okrutnem ubiczowaniu Chrystusa, zwrócił oczy swoje na obraz Zbawiciela przywiązanego do słupa i głosem silnym i rzewnym wołać począł:

— O! Jezu! o! Jezu!

Nagle zadrżał, zaniemówił i w oczach wszystkich obecnych w górę został uniesiony. Co widząc w największem zadziwieniu jedni wołali: Jezus, Jezus, Jezus! inni padali na twarz. Przez czas niejaki pozostawał tak uniesiony ponad kazalnicą i w zachwyceniu niebiańskiem zatopiony. Często, jak o tem świadczą dawni pisarze, podczas nabożnego rozmyślania, Ładysław wpadał w zachwycenie i widziano, jak unosił się po nad ziemią; teraz Pan Bóg obdarzył tą łaską swojego sługę przed licznem zebraniem ludu w jednym z kościołów stolicy Mazowsza w Wielki Piątek, zapewne chcąc w ten sposób wynagrodzić osobliwszą jego pilność w rozmyślaniu Męki Zbawiciela. Zdziwionym słuchaczom przychodziło na myśl, że Chrystus Pan w czasie, w którym poniósł za nas mękę, chciał wiernego sługę swojego uczynić sobie podobnym i tak go pomiędzy ziemią a niebem siłą współczucia uniesionego trzymał w zawieszeniu, jak sam na krzyżu chciał być zawieszonym. Niektórym znowu przychodziło na myśl, że serce człowieka tam mieszka, gdzie skarb jego się przechowuje, przeto błog. Ładysław w górę ku niebu wzniesionym został, tam bowiem skarb jego i największy Oblubieniec Jezus Chrystus przebywa. Inni mówili: własnością ognia naturalną jest, że wznosi się w górę i dlatego błog. Ładysław zapalony ogniem niebiańskim przezeń ku niebu zaniesionym został. Innym się zdawało, że mąż święty przejęty współczuciem dla Chrystusa chciał się przybliżyć do słupa, do którego był przywiązanym, ażeby uścisnąć Ukochanego swojego i odbierać uderzenia nań wymierzone. Wszyscy zaś panowie, duchowieństwo, szlachta, obywatele i ludzie prości, wszelkiego bowiem stanu wielka liczba była na tem kazaniu, chwalili Boga w błogosławionym mężu i jednomyślnie nazywali go świętym uznając, że godzien jest, ażeby się jego modlitwom polecać i wzywać jego opieki. Rozgłos tego cudu rozszedł się po całem królestwie. Powoli spuścił się Ładysław na kazalnicę i uczuł się bardzo osłabionym, musieli go znieść Bracia zakonni i zanieść do infirmerji. Miesiąc trwała jego choroba, podczas niej ustawicznie się modlił i często przyjmował Sakramenta święte. Dnia 4 maja 1505 roku duszę swoją Bogu oddał.

Uczczenie śmiertelnych szczątek błog. Ładysława.

Skoro tylko błog. Ładysław zasnął w Panu i wiadomość o tem rozeszła się po Warszawie, wszystkich jej mieszkańców ogarnął głęboki smutek. Wielu chwaliło jego ludzkość, inni gorliwość w głoszeniu słowa Bożego, inni roztropność w udzielaniu rad duchownych w Sakramencie Pokuty. Wszelkiego stanu ludzie tłumnie cisnęli się do miejsca, w którem złożone były jego śmiertelne szczątki i usiłowali dotknąć się jego habitu, a jeżeli nie mogli docisnąć się do trumny, to szukali przynajmniej pociechy w patrzeniu na zwłoki jego.

Wtenczas pewna znakomita dziewica z województwa mazowieckiego, która należała do Zakonu św. Franciszka, w dzień zgonu męża świętego po kilkakroć usiłowała za duszę jego zmówić Ojcze nasz, żadną jednak miarą nie mogła tego dokonać: im więcej dokładała usiłowań do przypomnienia sobie i wyrzeczenia słów modlitwy, tem więcej doznawała w tem trudności. Gdy w zadziwieniu, zkądby to pochodziło, wpadała w rozmaite domysły, natrafiła nareszcie na ten, że mąż święty ciesząc się już szczęściem wiekuistem w niebie, nie potrzebuje jej modlitw; wtenczas zawołała:

— Ojcze święty! uznaję, że nie potrzebujesz modlitw grzesznicy, lecz już cieszysz się wiecznem błogosławieństwem, lecz ja potrzebuję twoich modłów, polecam się przeto twojej świętości.

Gdy wyrzekła te słowa, uczuła nadzwyczajną słodycz i ochłodę, przyszły jej także na myśl słowa: „Jezus Nazareński, Król Żydowski“, przez tyle lat powtarzane przez błogosławionego, rozważała je z taką słodyczą, jakiej nigdy jeszcze nie doznawała. Znać rozmyślanie męki Pańskiej posłużyło słudze Boskiemu do pozyskania wielkiej świętości i zasłużenia na wielką chwałę w niebie.

Na krótki czas przed jego zgonem rozeszła się pogłoska, że już żyć przestał i doszła do uszów pewnego szlachcica, który mieszkał o milę od War-

szawy i był ciężko chorym, zasmucił się tem mocno i wyrzekł:

— Ubolewam, że ojczyzna moja utraciła tak wielkiego męża. Polecam się jego modlitwom; wierzę bowiem, że był obdarzony świętością, i że już niebo pozyskał, pokornie więc proszę go, ażeby w mojem strapieniu wspomógł mnie i wyjednał mi zdrowie. Ojcze święty, módl się za mną niegodnym grzesznikiem i wesprzyj już nieomal umierającego.

Skoro tylko wyrzekł te słowa, uczuł, że go opuściła choroba i jakby ciężar jakiś wielki z niego spadł, odzyskał zaraz zdrowie i siły, powstał z łóżka, radując się bardzo z odzyskanego zdrowia. Pospieszył zaraz do Warszawy, ażeby dziękować błog. Ładysławowi przy jego grobie, myślał bowiem, że już umarł. Przyszedł do klasztoru i pytał się o miejsce, gdzie jest pochowanym; odpowiedziano mu, że jeszcze żyje, ale blizkim jest śmierci. Wtenczas chwalił Boga w świętym słudze jego, którego jeszcze za życia tak uwielbiał; poczem opowiedział, co mu się przytrafiło i jak będąc blizkim śmierci, za wezwaniem pomocy Ładysława zdrowie odzyskał.

Księżna mazowiecka Anna gorzko opłakiwała stratę swego ojca duchownego i opowiadała, że ilekroć w trudnych sprawach zasięgała jego rady i prosiła o modlitwę, zawsze pomyślny miały koniec, a teraz straciła w nim przewodnika duchownego, najlepszego mistrza i doradcę. Rodzice i ludzie starsi wiekiem, których życie już dobiegało swego kresu, upominali młodszych od siebie i dzieci swoje, ażeby następnemu pokoleniu opowiadali o życiu i cnotach męża świętego i polecali się jego opiece. Wielu w godzinę śmierci, jak ostatnią wolę swoją, zalecało to swoim dzieciom. Ojciec Wincenty Morawski, który napisał życie błog. Ładysława i wydał je po raz pierwszy 1612 r. w Warszawie, a zatem w sto lat po śmierci błogosławionego, powiada, że go wielu zapewniało o upomnieniach, jakie w tym względzie od dziadków swoich odebrali. Mianowicie Franciszek Seliga, który doszedł już do późnego wieku, powiadał, że go o to upominał ojciec jego, który zawsze szczególne miał nabożeństwo do błog. Ładysława i mocne przekonanie o jego świętości. Toż samo mówiła podeszłego wieku Katarzyna Badowska, że jej rodzice przykazali nabożeństwo do błog. Ładysława, i że je zawsze w sercu swojem przechowała. Wielkich cnót i podeszłego wieku wdowa po Baltazarze Giza powiadała, co słyszała od przodków swoich, że widzieli błog. Ładysława, jak podczas kazania wpadł w zachwycenie i został uniesionym w górę, a w niedługim potem czasie życie zakończył, pozostawiając w umysłach wszystkich wysokie pojęcie o swoich cnotach, ci znowu następcom swoim przekazali pamięć męża świętego.

Chociaż błog. Ładysław zostawił wiele dowodów świętości swojego życia i Pan Bóg go wsławił przez przedziwny koniec jego życia, pomimo to Bracia klasztoru warszawskiego uznali za właściwe, ażeby mistrzowi głębokiej pokory, nie dawać jakiegoś osobliwszego nagrobka. Tylko nad miejscem, w którem był pochowanym położyli wielki kamień. W kościele Bernardynów, pod tytułem św. Anny w Warszawie, w środku chóru na miejscu, w którem stoi lampa zawsze gorejąca przed Najśw. Sakramentem przechowywanym w Wielkim ołtarzu, spoczęły zwłoki sługi Bożego.

Przez długi przeciąg czasu bo przez lat 67, święte te relikwie nie odbierały żadnej czci publicznej, wiele jednak osób prywatnie w rozmaity sposób okazywało wielkie nabożeństwo i ufność, jakie mieli do sługi Bożego. Klękali przy grobie, całowali kamień na nim położony, zapalali przy nim świece, ofiarowali wota woskowe lub srebrne i nieraz cudownych skutków swej pobożności doznawali.

Zbawienny wpływ O.O. Bernardynów.

Archiwum klasztoru warszawskiego Bernardynów podaje nam z czasu, w którym błog. Ładysław życie zakończył, to jest z początku szesnastego wieku, kilka wypadków wykazujących zbawienny naówczas wpływ i znaczenie Bernardynów, do którego niepomału podczas swego prowincjalstwa przyczynił się nasz błogosławiony i dlatego je tutaj przytaczamy.

Roku 1502 około święta św. Ojca Franciszka, w którego wigilję zebrała się w Kobylinie kapituła prowincjonalna pod przewodnictwem Jana z Mantui, komisarza delegowanego, Tatarzy najechali Polskę i zbliżyli się aż pod Wiślicę. Naówczas spalili Opatów, oblegali w nim przez cztery dni klasztor Bernardynów, z wielką natarczywością uderzając nań, czego jasno dowodzą liczne strzały utkwione w murach kościoła i klasztoru. Z czasem one zniszczały lub zrzucone zostały przy oczyszczaniu ścian z pyłu. Przełożony odważnie broniąc Tatarom wejścia do bramy klasztoru, przebity strzałami poległ, pierwej jednak wielu w obronie swoich mieczem pobił, a pomiędzy nimi trzech dziesiętników. Niemało Braci zakonnych i ludzi świeckich poległo od strzał Tatarów, ale też i oni po odniesieniu wielu strat, nie mogąc zdobyć klasztoru od niego odstąpili. Nikt ich nie ścigał, wszystkich bowiem ogarnął przestrach paniczny i każdy raczej myślał o ucieczce, aniżeli o ściganiu nieprzyjaciela.

Podczas tego pożaru Opatowa, na domu Syndyka Braci zakonnych drewniany wizerunek Chrystusa na krzyżu w pośród płomieni nie zgorzał, wydobyto go nieuszkodzonym z pogorzeliska. Obnosił go potem prowincjał Stanisław przy wizytowaniu klasztorów i pokazując go Braciom, upominał

ich, ażeby w burzach trapiących Królestwo, uciekali się o pomoc do Ran Zbawiciela i w nich szukali spoczynku podczas najazdów tatarskich. Potem niektóre więcej na najazd wystawione klasztory, przy hojnej pomocy dobroczyńców otaczano murami, rowami i w inny sposób fortyfikowano. W nich potem bardzo wiele osób ochroniło się od strzał tatarskich i strasznej ich niewoli.

Po powrocie z kapituły generalnej, odbytej w Asyżu, błog. Rafał z Proszowic, prowincjał polski, zwołał Braci do Poznania na kapitułę. Przewodniczył jej O. Bernardyn z Fulginu i z polecenia Ojca św. Juljusza II doniósł o Jubileuszu, podczas którego Bernardyni zbierać mieli ofiary na budowę bazyliki św. Piotra apostoła. Skoro dowiedział się Ojciec św., że Tatarzy żelazem i ogniem spustoszyli Polskę i wiele tysięcy chrześcijan wzięli do niewoli, zezwolił, ażeby dwie części pieniędzy, zebranych podczas jubileuszu, wydano na obronę Królestwa, będącego przedmurzem całego chrześcijaństwa, i to przykazał uczynić pod zagrożeniem klątwą, gdyby rzeczone pieniądze na inny cel użytemi zostały: trzecią zaś część rozkazał przesłać do Rzymu na budowę bazyliki św. Piotra.

Przeto błog. Rafał, który później cudami w Warcie zasłynął, idąc za rozkazami Ojca św. i króla, po raz pierwszy ogłosił Jubileusz 12 marca, 1505 r. w Krakowie. W uroczystej procesji, z tego powodu urządzonej, udział wzięło całe duchowieństwo i wielka liczba ludu. Przed nią Bernardyni nieśli chorągwie, na których wymalowane były herby papiezkie. Dziwiono się temu, że ubogich Braci wybrano do tego dzieła, zwolennicy ich cieszyli się z tego, niektórzy zaś zazdrościli im i posądzali, że użyją składanych na ich ręce ofiar do pozyskania zaszczytnych w Kościele influ. Prawie przez siedem lat nabożeństwu jubileuszowemu przewodniczyli Bernardyni, nietylko bowiem za Juljusza II, który umarł 1513 roku, lecz także za jego następcy Leona X.

Na Synodzie Piotrkowskim 1512 r. jednozgodnie wszyscy prałaci postanowili, ażeby we wszystkich djecezjach Królestwa Polskiego i w Wrocławskiej djecezji uroczyście lud obchodził święto św. Ojca Franciszka. A to z następującej przyczyny. Wojewoda wołoski 1509 r. z czterdziestu tysiącami wojska przyszedł na Podole, należące do Królestwa Polskiego i spustoszył je żelazem i ogniem. Poczem w dzień Narodzenia św. Jana Chrzciciela obległ Lwów, ale ztamtąd z wielkim wstydem, poniósłszy wielkie straty w ludziach najemnych wojsk swoich i w maszynach wojennych, musiał odstąpić. Zygmunt I, król polski, zebrał liczną piechotę i jazdę i ztamtąd go do Wołoszczyzny wygnał; sam zaś we Lwowie z częścią wojska przez pewien czas się zatrzymał.

Wyprawa ta ukończyła się pomyślnie, nietylko bowiem nasi na odwet spustoszyli kraj odszczepieńców, lecz nadto odnieśli znakomite zwycięstwo, wielu nieprzyjaciół poległo, wodzów ich w niewolę wzięto, a to w sam dzień św. Ojca Franciszka. Przeto król i wszyscy senatorowie tak świeccy jak i duchowni żądali, ażeby dzień ten na pamiątkę takiego dobrodziejstwa został uroczystym dla Polaków i ażeby go solennie obchodzono.

We dwa lata po śmierci błog. Ładysława pożar nawiedził kościół Bernardynów warszawskich. Łatwo się spalił mur tak zwany pruski. Gwardjan Antoni z Biecza, wziął się do odbudowania Domu Bożego; z podstaw zaczął murować najprzód klasztor, a w nim refektarz i kuchnię: pieniędzy dostarczył Baltazar, mieszczanin warszawski (1510 r.) Następca jego Jan z Komorowa, dokończył budowy; wystawił kościół, klasztor na dole i na górze, po nad całym gmachem zarzucił wiązania i dachy, ale zaledwie skończył pracę, we dwa lata nowy pożar i tym razem już z umyślnego podpalenia wynikły, w którym zgorzało całe prawie przedmieście, zniszczył klasztor bernardyński z kościołem. Komorowski pojechał na kapitułę do Sambora ubolewać nad nieszczęściem i tutaj Beata z Tenczyńskich Odrowążowa, wojewodzina ruska, która założyła i zbudowała po raz drugi klasztor Bernardynów w Samborze, ofiarowała się dopomódz do odbudowy klasztoru warszawskiego. Z ofiarami na ten cel pospieszyli: Anna Radziwiłłówna, wdowa po Konradzie mazowieckim i Jan Lubrański, biskup poznański.

Komorowski, obrany na nowo w Samborze gwardjanem warszawskim, zajął się gorliwie powtórnem odbudowaniem kościoła. Napływ ze wszech stron ofiar na ten cel, bo i mieszczanie warszawscy zaczęli zbierać składki, był powodem, że w ciągu budowy powstawały nowe pomysły, jak kościół ozdobić i sama budowa przeciągnęła się na dłuższe lata, niż zamierzono. Po Komorowskim inni gwardjani ciągnęli dalej rozpoczętą przez niego robotę

Księżna Anna mazowiecka szczególnie łożyła na sam kościół. Rozszerzony znacznie, podzielił się teraz kościół na trzy nawy, bo do dawnych trzech kolumn na prawo, które jeden bok stanowiły, księżna kazała dostawić trzy na lewo i w taki sposób drugą nawę boczną wzniosła. Wielki przyjaciel Bernardynów biskup Lubrański zbudował chór ze sklepieniem.

Współcześni błog. Ładysława życiopisarze.

W procesie beatyfikacji błog. Ładysława pierwszym 1632—1637 r. i drugim 1747—1748 prokuratorowie jego sprawy przedstawili autentyczne rękopisma wielkiej powagi pisarzy współczesnych, co

życie jego i cudowne wypadki, które zaraz po jego zgonie zjednały mu cześć wiernych, opisali.

Andrzej Krzycki, który był najprzód kanclerzem królowej polskiej, później biskupem przemyskim a w końcu arcybiskupem gnieźnieńskim, miał przy zgonie błog. Ładysława 22 lata, w piśmie pod tytułem: „Krótki rys życia błog. Ładysława“, opowiedział bohaterskie jego czyny, cnoty i znakomite cuda, a zawsze sługę Bożego nazywa błogosławionym. Napisane było na tablicy drewnianej, pokrytej pergaminem starożytnym, pięknym charakterem, miało niektóre litery różnemi kolorami wymalowane i mieściło, co następuje:

O błogosławionym Ojcze Ładysławie, Bracie z Obserwy św. Franciszka w Warszawie.

„Brat Ładysław z Gielniowa Zakonu świętego Franciszka z Obserwy, obdarzony przedziwną świętością życia, sławny z nauki i dobrych obyczajów, z nieskalanej od dzieciństwa czystości i niewinności, z postów, czuwania i kazań, więcej, niż to wypowiedzieć można, niezrównany w zachowaniu obserwy zakonnej, we czci oddawanej Bogu i Najświętszej Dziewicy Boga Rodzicy nadzwyczaj pilny, na Jej pochwałę wiele wierszy i pieśni wydał, w rozmowie łagodny i uprzejmy, w upominaniu surowy, w przełożeństwach zakonnych był pilnym i wszystkim dobry przykład dawał. W święty dzień Wielkopiątkowy (*Parasceve*), mając kazanie do ludu, gdy doszedł do biczowania, wszyscy publicznie widzieli, jak bez wszelkiego działania ludzkiego uniesiony został w górę, nareszcie zemdlał, i jakby w zachwycenie porwany, dalej mówić nie mógł. Poczem zaraz zasłabł, przez miesiąc pozostawał w łóżku i z największą pobożnością i gotowością, po złożeniu wszystkim swoich życzeń w rękach zasmuconych Braci swoich najchwalebniej umarł, w tem miejscu pochowany został roku zbawienia 1505. Zasługi jego i świętość Bóg najlepszy i Najwyższy począł zaraz objawiać i wsławiać przez jawne i przedziwne znaki. Pewien chłopiec ze szlachty, zabity przez uderzenie konia, odżył, gdy z płaczem rodzice jego wezwali pomocy błog. Ładysława i ślub do niego uczynili, a wszyscy modlitwy swe przyłączyli. Inny chłopiec, już prawie umierający, życie odzyskał. Nakoniec dziewczyna, która wpadła do strumienia i dopiero po czterech godzinach nieżywą znaleziona została, po zaniesieniu ofiary do grobu, odzyskała życie. Niezliczone inne dobrodziejstwa odbierają ci, którzy z wiarą wzywają pomocy błogosławionego Ojca“.

Andrzej Krzycki, najzacniejszy pasterz i prymas Królestwa Polskiego, umarł 1537 r. w 54 roku życia, ztąd wynika, że z błog. Ładysławem, który umarł 1505 roku, żył razem dwadzieścia dwa lata, a po jego błogosławionym zgonie jeszcze żył trzydzieści dwa lata. Rzeczone zaś pismo z krótkim życiorysem błogosławionego napisał przynajmniej 1521 roku, jak to się z tego okazuje, że wówczas jeszcze pełnił urząd kanclerza królowej Barbary, tytuł ten bowiem umieścił w podpisie przy tym życiorysie.

Prokurator sprawy beatyfikacji błog. Ładysława przedstawił także na pierwszym procesie beatyfikacji sędziemu apostolskiemu książkę z archiwum prowincji, w bibliotece klasztoru warszawskiego zachowaną, którą gotyckim charakterem, przewielebny Ojciec Jan Komorowski, tegoż zakonu i prowincji polskiej pierwszy kronikarz, napisał pod tytułem: „Zaczyna się krótki pamiętnik i t. d.“ W książce tej kronikarz opisuje początki zakonu Serafickiego, od czasu samego św. Franciszka. O Ładysławie, którego zwykle w różnych miejscach tej książki błogosławionym nazywa, daje najpochlebniejsze świadectwo.

Trzecim współczesnym naszemu świętemu dziejopisarzem jest O. Franciszek ze Lwowa, zwykle Krukiem zwany; napisał on „Katalog Braci Zakonu Mniejszych z Obserwy świętego Franciszka w prowincji polskiej“, za jego życia zmarłych od r. 1531 aż do r. 1573.

Czwarta współczesnego dziejopisa książka podana przy procesie beatyfikacyjnym, na starym pergaminie napisana przez pewnego starca z tegoż zakonu; umieścił w niej katalog wszystkich patronów Królestwa Polskiego, kanonizowanych, jakoteż błogosławionych jeszcze niekanonizowanych oraz katalog błogosławionych męczenników i wyznawców samego zakonu Braci Mniejszych z Obserwy prowincji polskiej od początku jej założenia, gdzie i założenie klasztorów i życia tych błogosławionych opisuje wraz z cudami, któremi zasłynęli.

O świętym ojcu Ładysławie tak pisze:

„Pomiędzy wszystkiemi sławnemi relikwiami, z których posiadania cieszy się kościół warszawski, znakomitych i uwielbienia godnych dla świętości życia, nauki i cudów, ojców zakonu naszego, najwięcej uwielbianego, sławnego i stale cześć odbierającego od wszystkich wszelkiego wieku i stanu ludzi, jako najsławniejszego Ojca błogosławionego Ładysława wymienić potrzeba; jako tego, którego największe pochwały w ustach wszystkich. Uwielbiają jego cześć, świętość i sprawy, jakoteż świetne jego cuda.

„W miasteczku Gielniowie, powiatu opoczyńskiego urodzony, skoro tylko przyjął regułę zakonu Boskiego Franciszka Braci z Obserwy, łatwo na tej drodze Pańskiej przewyższył wszystkich sławą wybornych cnót i przymiotów życia zakonnego. Poczem taką cześć pozyskał, że za najświętszego z najdoskonalszych i za najdoskonalszego z najświętszych uchodził“.

Tu następuje życiorys błogosławionego z wyliczeniem jego zasług i cudów za życia i po śmierci dokonanych.

Przedstawione też zostały w procesie beatyfikacyjnym wypisy z kronik z początku wieku szesnastego. Wszyscy w późniejszym czasie najpoważniejsi historycy na nie się powołują, jako na najdawniejsze i prawie pierwsze autentyczne pamiętniki prowincji polskiej. W tych kronikach pomiędzy innemi zapisane są czyny dostojeństwa w zakonie otrzymane, cnoty i cuda czcigodnego sługi Bożego; w każdym zaś okresie zwą go niezmiennie błogosławionym.

To szczególniej zasługuje na pilną uwagę, że lubo też kroniki wraz z błogosławionym Ładysławem wspominają o bardzo wielu Ojcach zakonu Obserwantów, zaszczyconych urzędami, którzy równe lub nawet wyższe godności piastowali, nigdy im jednak nie dają i nie przypisują tytułu błogosławionych, tylko naszemu słudze Bożemu i błogosławionemu Aniołowi de Clavasio, którego cześć niepamiętną już św. Kongregacja Obrz. potwierdziła. Ztąd można poznać, że sługa Boży przed innymi Ojcami przełożonymi odbiera tytuł błogosławionego dlatego, że umarł w opinji świętości i od wiernych publiczną cześć i uwielbienie odbierał, czego nie znajdujemy u innych; nic przeto dziwnego, że lubo posiadali równe lub nawet wyższe godności, nigdy nie dawano im tytułu błogosławionych, jak naszemu słudze Bożemu.

Podniesienie relikwji błog. Ładysława.

Stanisław Karnkowski, który piórem i słowem stawał mężnie w obronie wiary przeciw różnowiercom, za wpływem Stefana Batorego z biskupa z Kujaw i Pomorza został wyniesionym na metropolitę gnieźnieńskiego, prymasa i legata. Miał zwyczaj stawać nie w bogatych jakich pałacach, lecz w klasztorach O.O. Bernardynów, do których przez całe prawie swoje życie był bardzo przywiązanym. Gdy na sejm w r. 1572 jako senator przybył do Warszawy, według swego zwyczaju stanął w klasztorze O.O. Bernardynów. Wtenczas pewnego dnia przechodząc przez środek chóru wielkiego ołtarza, nagle bez żadnej przyczyny upadł na ziemię; mocno to go zdziwiło i przeczuwając w tem zrządzenie Boskie wypytywał się zakonników, czyj to był kamień grobowy, przy którym go taki przypadek spotkał. Odpowiedzieli mu, że to jest miejsce grobu Ładysława, niegdyś przełożonego klasztoru i gorliwego kaznodziei, ktorego Pan Bóg wielu cudami wsławił; że do tego miejsca z dalekich stron wiele osób przybywa i za przyczyną sługi Bożego różne dobrodziejstwa otrzymuje. Zrozumiał czcigodny biskup, że ta ziemia jest świętą i wielki skarb w sobie chowa, a zarazem, że upadek był dla niego upomnieniem, ażeby postarał się o przeniesienie do godniejszego miejsca relikwji męża świętego. Zwrócił się więc do obecnych zakonników i rzekł do nich:

— Niedbalstwo wasze zasługuje na naganę, że od tak dawnego czasu w tem miejscu bez należnej czci pozostawiacie tak drogi skarb waszego zakonu, ozdobę Kościoła, patrona tak świętego. Nie ścierpię dłużej, ażeby szczątki tak świętego męża pozostawały w ukryciu i postaram się, ażeby jak najprędzej ta świeca gorejąca wydobytą została z pod korca i umieszczoną na świeczniku.

Od tego czasu bogobojny biskup usilnie starał się o wydobycie z prochu kości błogosławionego i jego samego pomocy wzywał, ażeby mógł tego dokonać. Modlitwa jego nie była daremną; pewnego bowiem razu w jasnem widzeniu ukazał mu się błogosławiony Ładysław i upominał, że wolą jest Boską, ażeby kości jego umieszczono w miejscu zacniejszem i dogodniejszem dla pociechy wielu. Dodał nadto, że nie godzi się, ażeby nogami deptano je w ziemi, gdy najłaskawszy Bóg uwielbić go raczył w niebie; przeto starać się powinien, ażeby jak najrychlej umieszczono je w stosowniejszem miejscu; po tych słowach zniknął. Widzenie to zapaliło jeszcze bardziej w sercu nabożnego biskupa gorącą chęć podniesienia relikwji błog. Ładysława. Cały ten wypadek opowiedziała zacna ośmdziesiąt kilkoletnia niewiasta, Katarzyna Gnatowska, zamieszkała w Warszawie, która to słyszała od dawno zmarłego męża swojego; będąc klerykiem mniejszych święceń, był on obecnym przy podniesieniu relikwji błog. Ładysława i był powiernikiem tajemnic rzeczonego prałata.

W tym czasie znajdowali się w Warszawie dwaj kardynałowie, Franciszek Commendoni i Wincenty Porticus, których jako legatów swoich Ojciec święty posłał do Zygmunta Augusta; udał się do nich pobożny biskup i wyłuszczył im całą tę sprawę, opowiadając, w jaki sposób przekonał się, że wolą jest Boską, ażeby kości świętego męża z ziemi podniesione, umieszczono w miejscu wyższem i wystawiono ku większej czci nabożnych; usilnie więc ich prosił, ażeby do tego użyli powagi Stolicy Apostolskiej, której są pełnomocnikami. Odpowiedzieli mu kardynałowie:

— Podoba nam się twoja pobożność i będziemy się starali zadosyć uczynić słusznym twoim żądaniom.

Poczem wypytywali się pilnie Braci klasztoru warszawskiego i przekonali się, że jawne i wiarogodne cuda udowadniają świętość błog. Ładysława, zezwolili więc na podniesienie jego relikwji. A lubo dokonać tego dzieła powinienby miejscowy biskup poznański, w którego djecezji znajdowała się naówczas Warszawa, jednak powierzyli je czcigodnemu Stanisławowi Karnkowskiemu, gdyż go samo niebo przez cudowne widzenie do tego powołało. Temu

wyborowi, na który wszyscy się zgadzali nie sprzeciwiał się miejscowy biskup.

Gdy legaci Stolicy Apostolskiej dobrze się rozpatrzyli w sprawie, którą im biskup kujawski, Stanisław Karnkowski przedstawił i poznali wiele dowodów niezwykłej świętości Ładysława, zgodzili się na to, ażeby biskup ten powierzonej sobie od Boga, a przez błogosławionego objawionej sprawy, dopełnił, grób jego otworzył, odszukał, zebrał święte jego relikwie i przeniósł je na znaczniejsze miejsce. Różne były zdania co do czasu, w jakim należało tego dokonać, odniesiono się więc z tem nawet do króla. Niektórzy sądzili, że lepiej będzie w nocy, aniżeli w dzień i to potajemnie przy zamkniętych drzwiach kościoła, nie zezwalając na tłumne zebranie ludzi, a to z bardzo ważnych, jak im się zdawało przyczyn, naówczas bowiem odbywał się sejm generalny Królestwa. Przeciwnie zaś nalegali inni, ażeby tak święta i znakomita, a w kraju tym tak rzadka sprawa Boga i wiernego sługi Jego, jawnie przy stosownych uroczystych obrzędach dokonaną została. Wybrano na tę uroczystość niedzielę Przewodnią.

Wszystkim podobał się wybór tego dnia, zwłaszcza, że był blizki dnia i miesiąca zgonu sługi Bożego. We wszystkich kościołach ogłoszono czas i miejsce tej uroczystości; gdy dzień ten nadszedł, jeszcze przed wschodem słońca wielkie tłumy ludzi wszelkiego stanu, płci i wieku cisnęły się do kościoła O.O. Bernardynów. O wyznaczonej godzinie przybyli król Zygmunt August ze swoją pobożną siostrą Anną, legaci Commendoni i Wincenty Porticus, biskupi całego Królestwa Polskiego, opaci i inni prałaci należący do rady generalnego sejmu, książęta, wojewodowie, kasztelani, urzędnicy królewscy, posłowie ziemscy, senatorowie, szlachta i wielka liczba ludu, którzy nie mogli pomieścić się w tym obszernym kościele. Gdy się wszyscy zebrali, Stanisław Karnkowski, przyodziany w szaty biskupie i otoczony duchowieństwem, przybył na miejsce i upadł na twarz; poczem odprawił mszę św. o Duchu świętym, której towarzyszyła muzyka i prześliczne śpiewy. Następnie zbliżono się do grobu i wtedy biskup rozkazał zdjąć z niego wielki kamień, który go przykrywał, co gdy uczyniono, nowy cud ukazał się przed oczyma patrzących; dostrzegli oni na samej powierzchni ziemi bezpośrednio pod kamieniem w przedziwnym porządku ułożone i tylko nieco prochem przesypane kości święte, które wraz z ciałem przed sześćdziesięciu siedmiu laty głęboko w ziemi były zasypane. Wszyscy dziwią się temu i składają dzięki Bogu, że jak duszę błogosławionego męża na wysokościach niebios chwałą otoczył, tak i kości jego w wnętrznościach ziemi do jej powierzchni przez aniołów podniósł. Relikwie św. wydobyto z ziemi, obmyto w winie, umieszczono w drewnianej skrzynce i przeniesiono na przygotowane do tego miejsce po prawej stronie wielkiego ołtarza. Wielu chorych przybiegło i biorąc po odrobinie wina, w którem obmyte były św. relikwie, odzyskali zdrowie, za co chwaląc świętego sługę Bożego, do nabożeństwa ku niemu innych zachęcali, Po dokonaniu tego zamknięto grób i położono na nim wielki kamień, na którym był wyryty w całej postaci błog. Ładysław; na wierzchu zaś wymalowany był obraz dość wielki świętego, głowa jego była otoczona naokoło promieniami na znak jego świętości; po prawej stronie grobu znajduje się ołtarz, przy którym codzień kilku księży odprawia mszę św., najczęściej na prośbę tych, którzy dla spełnienia ślubu przybywają do błogosławionego sługi Bożego: można tutaj widzieć — pisze dalej O. Wincenty Morawski — tak na drewnianej tablicy umieszczonej na grobie, jako też nad ołtarzem nieprzeliczone tabliczki złote, srebrne, wielkiej wartości klejnoty i obrazy, jako też obrazy woskowe; wszystkie zaś zawieszone były na podziękowanie za odebrane dobrodziejstwa. Bardzo wielu ludzi tu przybywa dla spełnienia uczynionych ślubów, bardzo wielu modląc się tutaj zostają wysłuchanemi i otrzymują łaski duchowne i doczesne; niemało jest takich, którzy stojąc już nad grobem zostali do życia przywróconymi, jak to zobaczymy z poniżej umieszczonego opisu cudów, lubo z niezmiernie wielkiej liczby podamy tylko te, które zostały stwierdzone przez wiarogodnych świadków, przez notarjusza apostolskiego przyjęte i które w dawnych kronikach prowincji polskiej są zapisane.

Kardynał Gaetano kiedy bawił w Warszawie, bywał z Karnkowskim na nabożeństwie u Bernardynów (1587). Sekretarz jego Mucante pięknym nazywa konwent O.O. Bernardynów za bramą. I pięknym, wspaniałym, uderzającym musiał być gmachem na całem przedmieściu ów kościół, kiedy wówczas nadawał nazwisko całej części miasta po za bramą krakowską znacznie rozszerzonego. Za książąt mazowieckich otaczały kościół zewsząd pola i ogrody, potem dworki i chałupy zaczęły tworzyć ulicę, którą „Czerską“ przezwano; z ulicy tej powstało całe przedmieście Czerskie, a gdy dawna stolica książąt upadła przed Warszawą, już ku końcowi 1499 r. całe to przedmieście nazwano od kościoła bernardyńskiem i nazwisko to utrzymało się nż do czasów Zygmunta III. Coraz piękniej zaczęła się zabudowywać Warszawa i przedmieście jej coraz szerzej zakreślać się po nad Wisłą zaczęło, dlatego powoli i nazwisko stare ginie; wtedy z upływem czasu zostaje się tylko wyłącznie po za bramą ku Krakowu prowadzące, Przedmieście Krakowskie.

Do wspomnień kościoła z końca XVI w. i to należy, że przed nim na placu odbywały się hołdy margrabiów brandeburgskich.

Królowa Anna była wielką dobrodziejką kościoła bernardyńskiego. Za jej bowiem staraniem przybyło wiele życia i ozdoby temu kościołowi przez zaprowadzenie do niego bractwa św. Anny. Podarowała temu bractwu krzyż wielki srebrny, pozłacany, z relikwiami swojej świętej patronki i djamentem na wierzchu, który potem za wojen szwedzkich zaginął. Za staraniem królowej zapisywali się do tego bractwa panowie, mieszczanie i kobiety; arcybiskup Solikowski w jego sprawach pojechał do Rzymu, przywiózł przywileje i odpusty; nareszcie sam król Batory i kardynał Radziwiłł przyczynili się do uroczystego wprowadzenia arcybractwa św. Anny do Bernardynów. Bulla na to papieska wydana dnia 22 października 1586 r. Królowa Anna zostawszy wdową, całkiem się oddała modlitwie i praktykom religijnym, na nabożeństwie arcybrackiem, które co wtorki się odbywało, zawsze bywała, nie dla tytułu tylko, bowiem przyjęła w niem królowa urząd opiekunki i przełożonej. Przez cześć dla majestatu kościół zawsze był pełnym, a pobożna pani zachęcała wszystkich, żeby się zapisywali do bractwa, upominała zaniedbujących się w modlitwie; skoro spostrzegła czyją nieobecność, posyłała

Widzenie Błogosławionego Ładysława.
Obraz Łukaszewicza.

umyślnie pytać się o przyczynę i wskutek tego za jej czasów bractwo świetnie stało.

Niedługo potem zawiązało się znowu w kościele tym drugie bractwo muzykalne (*chordi-gerorum*) św. Franciszka, uprzywilejowane przez generała zakonu, a wprowadzone tutaj roku 1600 i do ołtarza św. Franciszka przywiązane. Odtąd i całą oktawę tego patryarchy obchodzono uroczyście.

Królowa Anna przy kościele świeżo przyozdobionym wzniosła okazałą dzwonnicę ze sławnemi w całej Koronie dzwonami. Wyznaczyła ze swoich folwarków warszawskich stałą jałmużnę zakonnikom.

Senat w Warszawie obiera błog. Ładysława patronem i opiekunem miasta.

Gdy już cześć błog. Ładysława przez lat kilkadziesiąt szeroko się rozpowszechniła, gdy nietylko ludzie z blizka przybywający do grobu jego, ale też ci, którzy z daleka od niego znajdowali się, wiele cudownych łask za jego przyczyną uprosili sobie, natenczas czcigodne kolegjum kanoników, przy kościele kolegjackim św. Jana w Warszawie nie chciało być ostatniem w okazaniu swojego nabożeństwa ku niemu i jednozgodnie takowe potwierdziło urzędowem i pieczęcią kapituły zaopatrzonem świadectwem, pod dniem 18 stycznia 1603 roku. Świadectwo to tem większej jest wagi, że w Warszawie, stolicy Królestwa, w której się sejmy odbywały i najczęściej przebywał król z swoim dworem, do kolegjaty powoływano znakomitych ze swej nauki i cnoty mężów. Senat miasta Warszawy, uznając szczególną opiekę, jaką błog. Ładysław otaczał nietylko pojedyńczych jej mieszkańców, ale i całe miasto, ażeby nie okazać się niewdzięcznym, jednozgodnie postanowił publicznem i pieczęcią stwierdzonem pismem wybrać go sobie za patrona i opiekuna, co też uczynił w warszawie 15 czerwca 1604 roku. Znakomity kaznodzieja Fabjan Orzeszkowski, który żył w niedalekich od Ładysława czasach i o jego świętości wiele słyszał od Braci zakonnych, współczesnych mu, jako też od wielu innych pobożnych ludzi, krótki rys jego życia przekazał potomności wierszem miarowym łacińskim. Wincenty Porticus, legat apostolski, przeczytał to epitafium, stwierdził prawdziwość zawartych w nim szczegółów i zalecił, aby takowe czytano.

Biskup mantuański Franciszek Gonzaga z Zakonu Braci Mniejszych z Obserwy, słynny ze świętości, której nawet cuda dowodziły, i autor wielu znakomitych dzieł pisząc w kronice Zakonu Seraficzkiego o prowincji polskiej robi wzmiankę o błog. Ładysławie z Gielniowa. A chociaż przez złe zrozumienie rzeczy, niedokładnie od innych opowiedzianych, mięsza historję dwóch osób w pewnych okolicznościach, co do reszty, pisze prawdę. Było bowiem dwóch Ładysławów z tegoż zakonu, którzy odznaczyli się świętością życia; lecz jeden z nich rodem z Węgier, w Krakowie został pochowany i tam zasłynął cudami. Wstąpił do zakonu, zanim Bernardyni do Polski sprowadzeni zostali i był pierwszym gwardjanem nowo założonego klasztoru krakowskiego; nasz zaś Ładysław po wprowadzeniu Bernardynów do Polski, przyjął sukienkę zakonną i nie czytamy, by kiedykolwiek rządził klasztorem krakowskim. Tymczasem biskup mantuański w opisie życia błog. Ładysława, przypisuje mu w niektórych wypadkach to co się odnosiło do Ładysława, którego zwłoki spoczywają w kościele krakowskim; zresztą umieszcza pochwały naszego błog. Ładysława z Gielniowa, który spoczywa w kościele warszawskim.

Miasteczko Gielniów, w którem pierwsze światło ujrzał błog. Ładysław i spędził w niem dziecinne lata, ma do niego osobliwsze nabożeństwo; korzysta z tego domowego przykładu, by uczyć się nabożności, kocha i uwielbia Ładysława, jak skarb ze swojej roli, latorośl ze swojej winnicy, kość z kości swoich i brata swojego. Dowodem tego nabożeństwa jest, że jego obywatele zaniechali dawnej pieczęci swego miasta i za godło swoje nowe przyjęli: wizerunek błog. Ładysława, a przez to okazali, że go uważają za ukochanego patrona i wiernego opiekuna swojego miasta.

Pp. Brzezińscy, dziedzice Gielniowa, sprawili do kościoła parafjalnego wielki i prześlicznie wymalowany obraz błog. Ładysława, do którego bardzo wielu ludzi przychodzi i według miary swej pobożności wiele łask odbiera, nakoniec godnem jest uwagi, pisze Ojciec Morawski, że pod obrazem błog. Ładysława można czytać te wyrazy, od wielu lat już napisane: „Błog. Ładysław, mąż najszlachetniejszy przez to, że przyszedł do szczytu doskonałości ewangelicznej, że wszech miar w życiu swoim błogosławiony, pozostawił całemu zakonowi wiele przykładów pokory, wstrzemięźliwości i wielu cnót, przez gorliwość o cześć Boga i katolicką doskonałość, zniósł wiele trudów i pełen zasług ducha Bogu oddał".

Cuda któremi Bóg okazał świętość sługi swojego Ładysława.

Zaraz po chwalebnym zejściu z tego świata błog. Ładysława, tylu i tak jawnymi cudami Pan Bóg objawił jego świętość, że nie możemy o niej wątpić; z bardzo wielkiej ich liczby przytoczymy niektóre.

Pewien szlachcic polski z powiatu Czerskiego, Maciej Piotrowski, wylewając potoki łez, opowiadał, co następuje: synek jego, Stanisław, po ciężkiej chorobie życie zakończył; najmocniej stroskani rodzice poczęli myśleć o jego pogrzebie; w tem przyszło

mu na myśl, ażeby wzywać pomocy Świętych Pańskich; gdy jednak daremnie to czynił, zmartwiona matka rzekła do swojego męża:

— Wielka sława świętości błog. Ładysława niedawno zmarłego wszystkim znana, pobudza mnie do tego, abyśmy w naszem utrapieniu wzywali jego opieki.

Upadli więc na kolana i gorącą do błogosławionego zanieśli modlitwę, do której załączyli ślub, że z synkiem pójdą do grobu jego i ozdobią go stosowną ofiarą. Chłopiec odzyskał życie, oczy otworzył i począł do rodziców mówić; przejęci ztąd niezmierną radością, wykonali ślub roku 1514.

Pewna niewiasta udała się w święto na kazanie do kościoła Bernardynów, w których spoczywają zwłoki błog. Ładysława i zostawiła w domu pięcioletnią córeczkę. Ta z dziecinną lekkomyślnością wybiegła do ogrodu sąsiedniego i przez nieostrożność wpadła do głębokiego i wodą napełnionego rowu, a że nikt tego nie spostrzegł utonęła w nim. Matka powraca do domu, a nie znajdując córeczki, mocno zatrwożona, woła na nią po imieniu, szuka ją wszędzie i wypytuje się o nią sąsiadów; gdy to wszystko nadaremnie przez cztery godziny czyni, przychodzi jej na myśl zajrzeć do tego rowu: wtenczas straszny widok przedstawia się jej oczom, na powierzchni wody wypływa ciało jej dziecka nieżywego. Wydobyto je, cucono ale napróżno. Nieutulona w żalu matka poczyna wołać, włosy z głowy sobie wyrywać, wreszcie upamiętała się i pomodliła się do Boga, dawcy życia, wzywają przyczyny błog. Ładysława, ażeby, gdy tylu próśb wysłuchał, jej także w nieszczęściu nie odmawiał swej pomocy, ślubuje zarazem odwiedzić grób jego. Zaledwie ten ślub uczyniła, a oto dzieweczka, od czterech godzin pod wodą zanurzona, poczyna się poruszać, dawać znaki życia, jakoby budząc się z ciężkiej choroby, o własnych siłach powstaje, do matki przemawia; widząc to, wszyscy mocno się temu dziwią i cieszą się z tego. Ucieszona matka poszła do grobu błog. Ładysława złożyć mu dziękczynienie i przedstawiając swoją córeczką O.O. Bernardynom, opowiedziała o doznanym cudzie.

Tegoż 1514 roku, w którym najwięcej rozszerzyło się nabożeństwo do błog. Ładysława, z powodu bardzo częstych cudów, jakimi wszechmocny Bóg chciał uwielbić sługę swego, zdarzył się inny podobny wypadek. Szlachetnego rodu, Jan Psarski, notarjusz powiatu sochaczewskiego, publicznie zeznał o cudownym wypadku, który się w domu jego zdarzył. Miał on pięcioletniego, synka Stasia, który był bardzo dobrym, miłym, a przez to i od rodziców kochanym. Ten lubił się bawić końmi i często chodził do stajni. W Wielką Sobotę tak silnie od konia podkutego uderzonym został, że na miejscu padł bez życia. Gdy się o tem dowiedział ojciec, przybiega, lecz już nie znajduje znaków życia w swoim synku; widząc, że tu nie pomogą żadne ludzkie środki, ucieka się do modlitwy, a gdy mu na myśl przyszedł błog. Ładysław, tak do niego żałośnym odzywa się głosem:

— O mężu błogosławiony, którego świętość wielu cudami Pan Bóg objawia, zmiłuj się także nademną, przyjdź na ratunek nieszczęśliwemu i syna, którego nieszczęśliwy wypadek z tego świata porwał, przywróć do życia i oddaj strapionemu ojcu; więcej może modlitwa twoja przed Bogiem, aniżeli okrucieństwo śmierci nad ciałem chłopięcia. Jeżeli przy twojej pomocy odzyskam syna, pamiętny na to dobrodziejstwo, pójdę ażeby upaść przed Twoim grobem i dzięki Ci złożyć; przyprowadzę tam także syna mego, za Twoją pomocą do życia przywróconego i dobrodziejstwo Twoje głośno na środku kościoła opowiem.

Wysłuchaną została ta modlitwa, umarły syn powrócił do życia, powstał, a głowa jego wkrótce zagoiła się.

Ciężkim był dla Warszawy rok 1525, powietrze morowe doknęło prawie wszystkie jego domy, wszystkie dzieci, młodzież i większa część niewiast pomarły; w ślad zatem nastąpił głód z obawy bowiem, ażeby epidemja nie udzieliła się sąsiednim wioskom, zabroniono ich mieszkańcom przywozić żywność do Warszawy. Wtedy pewna niewiasta z dwoma synkami, umierając prawie z głodu, udała się do poblizkiego lasu, ażeby się przynajmniej żołędziami posilić. Gdy wracali do domu, nadzwyczajne zjawisko przedstawiło się ich oczom; spostrzegli przy brzegu Wisły przed kościołem Bernardynów łuk na niebie jaśniejący przedziwnym blaskiem, a w środku jego siedział sędzia straszliwego wejrzenia i majestatu, przed którym stało wiele zastępów anielskich, gotowych na spełnienie jego rozkazów. Ujrzeli także na powietrzu, jak klęczał zakonnik od Braci Mniejszych, i ze złożonemi rękami modlił się do sędziego; nie słychać było głosu, tylko widać było poruszenie ust. Obok tego wspaniałego widzenia, inne straszne przedstawiło się ich oczom. Olbrzymiej wielkości smok zjawił się z drugiej strony Wisły nad Pragą, i zdawało się, że chce otoczyć całe miasto, z paszczy swojej ziejąc ogień. Ze drżeniem niewiasta owa z synami swojemi stojąc nieruchomie, wpatrywała się w to zjawisko. Tymczasem nadszedł starzec, szewc, który szedł do lasu także po to, ażeby zaspokoić żołędzią głód, który go trapił. Skoro go spostrzegła owa niewiasta, zatrzymała go mówiąc:

— Stań przyjacielu i podziwiaj z nami, co Pan Bóg nam grzesznikom objawić raczył. Podnieś oczy, wejrzyj na niebo i podziwiaj przedziwne dzieła Boskie. Patrz, co się dzieje ponad Wisłą, naprzeciw

klasztoru Bernardynów; czy nie spostrzegasz tego wielkiego zjawiska?

Na co odrzekł, że nic nie widzi.

— Pomódlmy się — powiedziała niewiasta — żeby i tobie Pan raczył to objawić, co ja widzę i oczy twoje otworzyć na te przedziwne zjawiska.

Uklękli razem wszyscy, i gdy odmawiali „Ojcze nasz“ i inne części pacierza, otworzyły się oczy tego starca i zapewniał, że jasno widzi owo wielkie zjawisko. Gdy tak wszyscy patrzyli, straszny ów smok przy wielkim huku, który się po powietrzu rozległ, rozpękł się i dał się słyszeć w powietrzu głos:

— Ten, który modli się do sędziego, jest wielkim przed Bogiem Wszechmogącym, Warszawo, bądź wdzięczną.

Potem widzenie to znikło i od tego czasu ustała epidemja w Warszawie.

Pomijając cuda które zaszły w XVI w. za przyczyną błog. Ładysława, przejdźmy do niektórych z wieku XVII. Katarzyna, z pierwszego ślubu Luszkowska, a z drugiego Golianowa, dotknięta bardzo ciężką chorobą oczów, daremnie u lekarzów szukała pomocy, i gdy już była blizką utraty wzroku, żaliła się przed swoim spowiednikiem, który ją przyszedł odwiedzić, że jej nic lekarstwa nie pomagają. Ten jej poradził, żeby się udała o pomoc do Boga i wezwała opieki błog. Ładysława, czyniąc ślub, że grób jego nawiedzi. Przystała na to niewiasta, z wielką pobożnością poleciła się świętemu, i oto uczuła, że krew, która zalewała jej oczy, odpłynęła i wkrótce potem wzrok odzyskała. Bardzo tem uradowana, podziękowała Bogu i wykonała ślub, uczyniony błog. Ładysławowi 1608 r.

Taż sama niewiasta wykarmiła w niemowlęctwie syna Zygmunta III, ks. Jana Alberta, który został biskupem warmińskim, a następnie krakowskim; w niemowlęctwie książe mocno zachorował na piersi, gdy mu nic nie pomagało, karmicielka jego poczęła za niego się modlić do błog. Ładysława i uprosiła mu zdrowie, co wielką całej rodzinie królewskiej przyniosło radość, było to 1612 r,

Na dawnem przedmieściu Warszawy, na którem znajduje się kościół Bernardynów, pojawił się ogień w kilku miejscach; gdy z tego powodu rozległ się wielki zgiełk i uderzono w dzwony, powstawali ludzie ze snu, jedni spieszyli z pomocą dla przygaszenia ognia, inni ratowali swoje domy, inni wynosili sprzęty, albo ratowali swoje dzieci. Powiększał się ogień i dym, i rozlegał się wszędzie płacz kobiet i dzieci. Wśród tego zgiełku, pewnego osiwiałego starca, imieniem Jakóba, naówczas ciężką dotkniętego chorobą, wyniesiono poza próg domu; zwrócił oczy swoje na srożące się płomienie ognia i gdy spostrzegł, że zbliżają się do kościoła i klasztoru Bernardynów, bardzo się zatrwożył, aby nie zostały spalone. Począł się więc modlić do Boga i wzywać pomocy świętych patronów. Podczas tej modlitwy spostrzegł ponad klasztorem, jak go od pożaru broni błog. Ładysław, który unosi się nad nim i modli się trzymając ręce rozpostarte. A co dziwniejsza, że gdy wzrastający płomień i dym zasłoniły błog. Ładysława przed oczyma starca, straszny ten pożar z ziemią zrównał przeszło 50 domów w blizkości kościoła i klasztoru, które tylko same pod opieką błog. Ładysława nie doznały uszkodzenia.

Gdy w r. 1625 powietrze morowe w Warszawie grasowało, wielu jej mieszkańców chroniąc się od niebezpieczeństwa, przenosiło się w inne miejsca; w takim razie nie odmawia się pozwolenia nawet zakonnikom, ażeby dla zachowania życia swojego od niebezpieczeństwa gdzieindziej się przenosili. Korzystając z tego Ojciec Franciszek z warszawskiego klasztoru Bernardynów, z obawy przed epidemją, do wsi Kalina, w djecezji płockiej, się przeniósł. Zwyczajem jest O.O. Bernardynów, gdy podczas powietrza morowego są rozproszeni po wsiach, za pozwoleniem przełożonych zajmować się w nich pracą około zbawienia dusz ludzkich. Czynił to i Ojciec Franciszek w Kalinie, a wezwany do chorego wyspowiadał go i dał mu Komunję świętą. W tem w jego obecności dziesięcioletni Paweł, syn gospodarza, dostał konwulsji, które go rzuciły o ziemię i strasznie męczyły. Litując się nad nim, zapytał się kapłan domowników, od jak dawna i jak często chłopiec ten dostaje takich napadów. Odpowiedziano mu, że od trzech lat dwa lub trzy razy miesięcznie. Odrzekł na to:

— Połóżcie mocną ufność w Bogu i zasługach błog. Ładysława, któremu po wykonaniu ślubu, tego nieszczęśliwego chłopca polecicie. Uklęknijmy przeto i prośmy błogosławionego męża o pomoc.

Wszyscy przyjęli dobrą radę i z pomyślnym skutkiem. Po kilku bowiem miesiącach, gdy już powietrze morowe ustało, rodzice chłopca przyszli do Warszawy do grobu błog. Ładysława i opowiadali, że od czasu, jak uczynili ślub, syn ich już ani razu nie dostał konwulsji.

Szlachcic, Mikołaj Czerniakowski, z djecezji płockiej, tak gwałtownego bólu głowy doznawał, że ten mu nieraz sen przerywał. Wskutek tego na jedno oko całkiem zaniewidział. Nic mu środki lekarskie nie pomagały i tak silnych cierpień doznawał, że często wydawał straszliwe krzyki. Zdarzyło się, że pewien kapłan z zakonu Bernardynów gdy się dowiedział o jego nieszczęściu, odwiedził go i zapytał, czy słyszał co kiedy o błog. Ładysławie, który w Warszawie spoczywa? Odpowiedział mu chory, że niegdyś słyszał o świętości błogosławionego męża i pragnie wezwać jego pomocy i uczynić do niego ślub, co też i spełnił. Natychmiast doznał

wielkiej ulgi w swoich cierpieniach i w krótkim czasie zupełnie wyzdrowiał.

Samuel Drohojowski, łowczy ziemi nurskiej, 1626 r. doznał opieki błog. Ładysława. Gdy bowiem powietrze morowe szerzyło się po miastach mazowieckich i dom jego został dotknięty, już trzech służących jego umarło, dwudziestu zaś włódarzy, z którymi ciągle odbierając od nich pieniądze należne, lub używając ich do robót, miał styczność, także dotknięci morem życie stracili. Mocno przestraszony niebezpieczeństwem, które mu groziło, wraz z małżonką swoją uczynił ślub, że, jeżeli zachowany będzie od epidemji, to pójdzie nawiedzić grób błog. Ładysława. Poczem w domu i we wsi jego ustało powietrze morowe.

Anna Miłkowska, której oboje rodzice w czasie morowego powietrza pomarli, gdy nie mogąc ich straty odżałować ustawicznie łzy wylewała, takiego doznała bólu głowy i wzrok jej tak osłabł, że nic przez trzy dni widzieć nie mogła. Trzeciego dnia, miała sen następujący: Bogarodzica, jaśniejąca blaskiem niewymownej światłości, otoczona chórami aniołów, zbliżyła się do niej i rzekła:

— Udaj się do grobu błog. Ładysława, wyspowiadaj się z grzechów twoich i przyjmij Komunię św.; na tej tylko drodze, a nie na innej możesz odzyskać utracone zdrowie.

Po tych słowach usłuchała zbawiennego upomnienia, kazała się zaprowadzić do grobu błogosławionego i tam słuchała mszy św., która się na jej intencję odprawiała. Podczas podniesienia przejrzała na prawe oko i mogła widzieć Najśw. Sakrament, po przyjęciu zaś Komunji św. i na drugie też oko przejrzała. Bardzo tem ucieszona, dzięki składała Bogu, Najśw. Marji Pannie i błog. Ładysławowi. Taż sama panna przez siedem lat ulegała wielkiej chorobie, która ją co miesiąc w pewnych dniach po kilkakroć dziennie dręczyła. Uczyniła ślub udania się do grobu błog. Ładysława; ażeby go dopełnić, gdy nadchodziło święto Oczyszczenia Najśw. Marji Panny, było to w porze zimowej i rzeki stanęły, przeto w towarzystwie innej kobiety, wioząc ze sobą wielką gromnicę, sankami Wisłą przejeżdżała. Koń się rozbiegał, a pędził prosto do miejsca, w którem na brzegu rzeki był wyrąbany lód. Przestraszone niewiasty z płaczem zawołały:

— O błog. Ładysławie, wesprzyj nas, módl się za nami, udajemy się tutaj dla chwały twojej, nabożeństwo ku tobie nas tutaj przywiodło, twoja łaskawość pociągnęła nas, wesprzyj twoje sługi w niebezpieczeństwie i nie pozwól, abyśmy przez nieostrożność zginęły.

Na te słowa koń w szybkim biegu nagle ukląkł, a gdy powstał, już powolnym krokiem dalej postępował. Wszedłszy do kościoła, podczas spowiedzi poczęła owa panna dostawać napadu epileptycznego, prędko więc jej kapłan dał rozgrzeszenie, a gdy ją zaprowadzono do grobu błog. Ładysława, upadła na ziemię i obfite łzy wylewać poczęła. Wtedy uczuła widocznie ulgę w swoich cierpieniach. Po wysłuchaniu mszy św., gdy wróciła do domu, od tego czasu już nigdy więcej nie doznawała konwulsji.

Krystyna Jaroszewska, wdowa, za łaską Boga z bezbożnej sekty arjańskiej nawróciła się na drogę zbawienia, lecz będąc jeszcze neofitką, uległa pokusom szatańskim i poczęła wątpić o cudach, które się za przyczyną świętych spełniały. Razu pewnego udała się do Częstochowy, miała z sobą niewiastę głuchoniemą od lat dziesięciu, wskutek uderzenia w twarz i piersi. Po ukończeniu ślubowanego nabożeństwa opuściła Częstochowę i w powrotnej drodze zatrzymała się w Rawie. Tam przyszedł jej na myśl błog. Ładysław i cuda, które się za jego przyczyną działy. Chcąc doświadczyć ich prawdziwości, znaczną kwotę pieniężną ofiarowała na mszę św. na intencję przywrócenia niemej kobiecie mowy, za przyczyną błog. Ładysława. Gdy ta msza św. została odprawioną, udały się w dalszą drogę, w pośród której niemowa wyrzekła:

— Zbłądziłyśmy z drogi, wróćmy się by innej poszukać.

Widząc, że jej śluby zostały wysłuchane i niema odzyskała mowę, p. Jaroszewska złożyła Bogu dzięki i utwierdzona w wierze katolickiej, odrzuciła od siebie wszelkie wątpliwości.

W Opatowie pewna pani miała do usług dwunastoletnią szlachetnego rodu dziewczynkę, tak niepojętną, leniwą i ospałą, że wady te zdawały się w niej być wrodzonemi. Późno wstawała, często w ciągu dnia przy jakiejkolwiek robocie zasypiała, chociaż długo na nią wołano, nie odpowiadała. Gdy ją gdzie pani posłała, długo na siebie kazała czekać i tak wszystko robiła wolno, że aż przykro było patrzeć. Z tego powodu często się na nią pani gniewała, miotała na nią obelżywe słowa, przekleństwa, pomimo tego nie stawała się ona lepszą. Pewnego dnia 1627 r. uniesiona gniewem pani, okrutnie ją rózgami zbiła, w lekkiem ubraniu wypchnęła za drzwi domu w czasie najsroższego mrozu i w ten sposób biedaczka obudzona ze snu, długo płacząc i drżąc stać musiała na śniegu. Nie poprzestając na tem bezlitośna pani, porwała ją i wrzuciła do wanny z wodą zimną, dopiero z pod lodu zaczerpniętą; to przyprowadziło nieszczęśliwą dziewczynę do tego stanu, że była blizką śmierci. Spostrzegła to pani, zlękła się bardzo swojego występku i głośno płakać i wyrzekać poczęła. Zbiegły się inne niewiasty domowe, wszelkiemi środkami starały się dziewczynę do życia przywrócić, lecz była to daremna praca. Jedna z tych niewiast wspomniała

o błog. Ładysławie i uczyniła ślub, że jeżeli dziewczyna owa życie odzyska, to ona pójdzie nawiedzić grób jego; wtedy dopiero dziewczyna, którą już od czterech godzin za nieżywą poczytywano, powstała i chętnie podane pożywienie przyjęła.

Jan Domski, aptekarz w Warszawie, w gorączce cholerycznej, był blizkim zgonu. Opuszczony od wszystkich posłał po spowiednika z zakona Bernardynów i po szczerej, z żalem, połączonej spowiedzi, uczynił ślub, polecając się opiece błog. Ładysława. Nagle uczuł, że mu siły widocznie wracają, i że dziwna jakaś słodycz ogarnia jego duszę. Nazajutrz rano zupełnie był zdrowym. Chciał więc iść do grobu błog. Ładysława, ażeby ślub spełnić, lecz ponieważ tabliczka srebrna, którą prędko zrobić kazał, nie była zupełnie ukończoną, a on sam czuł się jeszcze osłabionym, przeto musiał to odłożyć na czas późniejszy; w krótkim jednakże czasie w gronie przyjaciół wysłuchał uroczystej mszy św., na podziękowanie Trójcy św. odprawionej i złożył dzięki błog. Ładysławowi, któremu życie zawdzięczał.

Przy kościele parafjalnym św. Jana w Toruniu Mikołaj, śpiewak kościelny, wszedł na wieżę, ażeby dzwonić, nieszczęśliwym trafem uderzony od dzwonu spadł i wskutek tego słuch i mowę utracił. Będąc już niezdolnym do posług kościelnych, został żebrakiem. Gdy przez cztery lata w tem samem miejscu żył z jałmużny, sprzykrzyło mu się to i udał się drogą do Mazowsza. Przechodząc przez las pod Sochaczewem spoczął pod drzewem i począł opłakiwać smutny swój stan, a zarazem gorąco prosić Boga, ażeby mu raczył utracone zdrowie i byt lepszy, jaki miał dawniej, powrócić. Gdy tak wzdychał gorzko i płakał, usłyszał po za sobą te słowa:

— Wiedz człowieku, że odzyskasz zdrowie, tylko wstąp do Warszawy do kościoła Bernardynów, wyspowiadaj się i za odebrane dobrodziejstwa podziękuj Bogu.

Zadziwił się, spojrzał po za siebie, by się dowiedzieć, czyj to tak słodki i miły głos, i ujrzał postać człowieka biało przyodzianego, który wnet zniknął. To wszystko z największą pobożnością opowiedział swojemu spowiednikowi i innym Ojcom wtedy, gdy zdrowie odzyskał, a spowiednik wskazał na grób błog. Ładysława, ażeby przy nim złożyć dzięki Bogu i błog. patronowi, dla zasług którego zdrowie odzyskał.

Wawrzyniec Radwaniec Kamiński, zapadł pewnej nocy w ciężką gorączkę, do której się przyłączyły silne cierpienia wątroby i głowy do tego stopnia, że widział się blizkim śmierci. Najwięcej ubolewał nad tem, że nie mógł przyjąć Sakramentów św., oraz, że nie miał przy sobie kapłana, któryby go wspierał modlitwami swojemi. Przeto jego żona i starsza córka Katarzyna gorąco się modliły, wzywając miłosierdzia Boga i przyczyny błog. Ładysława; uczyniły przytem ślub, że nawiedzą grób jego. Wkrótce opuściły chorego boleści, a następnego dnia wyzdrowiał i poszedł wraz z żoną i córką dopełnić uczynionego ślubu.

Powietrze morowe 1603 r. wielkie w Warszawie robiło spustoszenia. Wielu z Ojców Bernardynów przez słuchanie spowiedzi dotknięci niem zostali. Także i w klasztorze Bernardynek już jedna z nich umarła, a kilka miały widoczne znaki tej choroby. Przełożony klasztoru widząc grożące niebezpieczeństwo, poszedł do grobu błog. Ładysława i w modlitwie obydwa klasztory mu ofiarował. Zaraz wszelkie niebezpieczeństwo ustało, a powietrzem dotknięci do zdrowia wrócili.

Grzegórz Badowski, radca miasta Warszawy, zeznał, że gdy był jeszcze chłopcem, bawiąc się z synem Szymona, ślusarza z sąsiedniego domu, przyjacielem swoim, od niego zarażony został powietrzem morowem, które wtenczas panowało. Przyjaciel jego nazajutrz umarł, a on sam dostał plam, świadczących o niebezpieczeństwie. Przestraszona matka jego pobiegła do grobu błog. Ładysława i gorąco się do świętego patrona modliła. Po powrocie do domu zastała syna już przy zupełnem zdrowiu bawiącego się wesoło.

Tenże Grzegórz Badowski w wieku późniejszym, doznał wiele dobrodziejstw od błog. Ładysława. Pomiędzy innemi, że 1609 r., gdy bardzo ciężką dotknięty chorobą, według zdania lekarzy nie miał żadnej nadziei wyzdrowienia, nie mogąc znieść cierpień, ażeby prędzej życie zakończyć, kazał się położyć na gołej ziemi; lecz wtedy przypomniały mu się dobrodziejstwa, jakich w młodości doznał od błog. Ładysława. Odezwała się w jego sercu nadzieja życia i począł serdecznie wzywać pomocy błogosławionego, a zarazem uczynił ślub, że nawiedzi grób jego. W mgnieniu oka uczuł, że go boleści opuszczają, a zdrowie, siły i swoboda myśli powraca, kazał się więc znowu podnieść z ziemi i na łóżko położyć; nazajutrz był już tak zdrowym, że mógł dopełnić uczynionego ślubu. Obydwa te cuda własną ręką opisał, aby je potomstwu przekazać.

Aleksander Leżyński ciężko chory, był blizkim śmierci; matka jego strapiona, wraz z obecnymi ofiarowała go błog. Ładysławowi, modląc się gorąco, ażeby mógł przy życiu pozostać. Po tym ślubie ciężki oddech chłopca, grożący niebezpieczeństwem, zupełnie ucichł. Matka zanosiła się od płaczu, wołając, że już syn jej nie żyje; podobnież krewni i domownicy wyrzekali i płakali. Tymczasem chłopiec jak gdyby się obudził ze snu ciężkiego, tak się odezwał:

— Cóż to jest pani matko? czego płaczesz? nic mi się złego nie stało.

Na te słowa wszyscy zamilkli, ustał płacz zastąpiła go radość. Chłopiec powstał z łóżka, a że była pora obiadowa, usiadł do stołu i jak gdyby nic poprzednio nie był cierpiał, wesoło przyjął podany posiłek.

Michał Konarski, wojewoda pomorski dla załatwienia bardzo ważnych i pilnych spraw państwa, wybierał się w podróż; wtem nagle mocno zachorował, już domownicy stracili nadzieję, aby mógł żyć. Wiadomość o tem doszła prędko do domu królewskiego, a zarazem do uszów córki wojewody, będącej na dworze królowej. Helena Konstancja, tak jej było na imię, niezmiernie strwożona o ojca, za pozwoleniem królowej udała się prędko do grobu błog. Ładysława i tam gorąco się do niego za ojcem swym modliła; o tej samej godzinie, gdy w Warszawie tę modlitwę zanosiła, ojciec jej począł przychodzić do zdrowia i powoli odzyskał siły. Dziwiąc się tej nagłej zmianie, powstał z łóżka, jadł, chodził i udał się w zamierzoną drogę. Gdy się dowiedział w jaki sposób odzyskał zdrowie, złożył Bogu dzięki i odtąd miał wielkie nabożeństwo do błog. Ładysława.

Kazimierz, synek dziedziców Gielniowa, Jana Dunina Brzezińskiego i Barbary z Wałowic, która po śmierci pierwszego męża poszła za Piotra Załuskiego, chorążego rawskiego, w młodziutkim wieku sparaliżowany, utracił władzę w prawej ręce i nodze, jakoteż w języku. Gdy już był konającym, ksiądz Mateusz Silnicki, proboszcz Gielniowa modlił się przy nim, ażeby go przygotować na drogę do szczęśliwej wieczności. Matka chorego chłopca poprosiła księdza, ażeby wspomożeniu błogosławionego Ładysława jej syna ofiarował; co gdy ten uczynił, zaraz chłopiec podniósł prawą rękę, poruszył chorą nogę i nareszcie zupełnie zdrowie odzyskał.

Zuchwały pułk lisowczyków 1606 r., po spustoszeniu wielu prowincji i wiosek, zbliżył się do Gielniowa i posłał tam swoich kwatermistrzów, którym gdy odmówiono kwater, dlatego, że nie mieli upoważnienia od rządu Rzeczypospolitej, lisowczyki tłumnie napadli miasto, ażeby ogniem i mieczem pomścić się za mniemaną krzywdę. Już okrutnie zamordowali Andrzeja Rudzkiego, który wraz z innemi chciał się do kościoła schronić i wiele innych dokonali, lecz gdy chcieli wejść do kościoła, ażeby go zrabować i spalić, spostrzegli na ścianie wielki obraz błog. Ładysława, wtedy przejął ich strach i uciekli wszyscy. Dając pokój miastu, pospieszyli do sąsiedniej wsi Wywóz zwanej, chcąc napaść na dziedziczkę, Barbarę z Wołowic Brzezińską i dom jej zrabować. Już z wściekłością szybko się do jej domu zbliżają, gdy ona nie mając innej obrony, udaje się na modlitwę i wzywa pomocy błog. Ładysława. Żołnierze dochodzą do krzyża stojącego przy dworze i żadną miarą dalej postąpić nie mogą; daremnie konie swoje dręczą batem i ostrogami, gdyż te w kółko się tylko obracają, ani na krok nie postępując. Dostrzegli w tem palec Boski a dziedziczka Gielniowa przez szczególną przyczynę błog. Ładysława od napaści nieprzyjaciół ocaloną została.

W roku 1626, gdy powietrze morowe dotknęło Gielniów i już 30 jej mieszkańców o śmierć przywiodło, natenczas mieszkańcy jego podczas nabożeństwa ofiarowali się swojemu patronowi, polecając się szczególnej jego opiece. Zaraz potem mór ustał, i już nikt więcej nie zachorował, ani umarł, co widząc mieszkańcy Gielniowa, przez wdzięczną pamięć za odebraną łaskę, znowu go wybrali za szczególnego patrona swojego miasta i w miejsce dawnego h rbu swego, który odrzucili, obrali obraz błog. Ładysława, w habit zakonny przyodzianego i trzymającego w ręce lewej słup, do którego Chrystus jest przywiązany, a w prawej dyscyplinę.

Syn Zygmunta III Władysław, który później został królem polskim w młodziutkim wieku 1612 roku, niebezpiecznie zachorował, wszelkie środki lekarskie, na których młodemu książęciu nie zbywało, nic nie pomagały. Pięciu obecnych lekarzy zgadzało się na to, że trudno, ażeby książe mógł dłużej jak godzinę przeżyć. Tegoż samego zdania była jego ciotka, królewna szwedzka Anna, która się dobrze znała na sztuce lekarskiej. Wówczas ksiądz Jerzy Scerasyn, kapelan królowej, pomny na liczne uzdrowienia, dokonane przez przyczynę błog. Ładysława, udał się do klasztoru Bernardynów i tak im, jakoteż zakonnicom św. Franciszka oznajmił niebezpieczeństwo grożące książęciu, w którym cała nadzieja narodu była położona. Wtedy zakonnice trzeciego zakonu św. Franciszka, trzymając zapalone świece w ręku, udały się do grobu błog. Ładysława i tam ze łzami w oczach wzywały przyczyny jego. Podobnież O.O. Bernardyni modlić się poczęli, jedni na te intencję mszę św. odprawiali, inni przy grobie błogosławionego odmawiali litanje i psalmy, i w ten sposób uprosili zdrowie już prawie umierającemu księciu, co się i drugi raz powtórzyło, gdy powtórnie książe niebezpiecznie zachorował.

Starania o kanonizację błog. Ładysława.

W ostatnich latach przed pierwszą wojną szwedzką rozpoczynają się starania o kanonizację błog. Ładysława. Cudowne otwarcie się jego grobu 1610 r. było powodem przeniesienia relikwji do nowej urny i rozpoczęcie starań o kanonizację. Jerzy Godziszewski prowincjał prosił biskupa Wężyka, ażeby dozwolił na badanie cudów, które się zdarzały nad grobem błogosławionego. Najgorliwiej myśl tę pobożną popierał ks. Wincenty Morawski, jeden z głośnych w ówczesnej Polsce zakonnych pisarzów, lektor teologji i definitor prowincji. Śledztwo

zaczęte w kościele św. Anny (2 marca 1627) w ośm miesięcy ukończonem zostało (30 października). Tymczasem powstała nowa gałęź zakonu świętego Franciszka, Reformatami zwana; w Polsce ksiądz Antoni Strorius, komisarz generalski zreformowanych Braci nakłaniał Bernardynów, do przyjęcia reformy nowej sprzeciwiał się temu, a obstawał za zachowaniem dawnego zwyczaju następca Leonarda Starczewskiego, zacny prowincjał Godziszewski. Nie. porozumienia z tego powodu, zaszłe w klasztorach Bernardynów trwały lat kilka i były jedną z przeszkód tamujących przebieg sprawy kanonizacyjnej. Nie zaniedbywano jej jednak.

Kanclerz Kryski był wielkim dobrodziejem w ogóle całego zakonu, a w szczególe klasztoru św. Anny. Po śmierci więc jego, pozostała po nim wdowa, pobożna pani, przez pamięć zmarłego małżonka, zaczęła budować obok wielkiego ołtarza po stronie ewangelji nową kaplicę, a pod nią grobowiec rodzinny dla Kryskich. Ciała tych pobożnych małżonków tutaj w podziemiach spoczywają. Kaplica ta później poświęcona została błog. Ładysławowi.

Kanclerzyna wielkie jałmużny dawała klasztorowi, a oprócz tego 30,000 magistratowi toruńskiemu zapisała pod warunkiem, żeby cały procent od tej sumy (1,500 złp.) co roku płacił na potrzeby kościoła bernardyńskiego w Warszawie (1649). Bernardyni nie mogąc zbierać kapitałów, zapisu tego się zrzekli później na rzecz wykonawców testamentu, prosząc tylko o jałmużnę (1674). Królowa Konstancja idąc za przykładem swej poprzedniczki Anny Jagiellonki nie opuszczała nigdy nabożeństwa u Bernardynów w dzień św. Anny i św. Franciszka. Zygmunt Waza również hojnemi jałmużnami wspierał ich klasztor. Gdy umarła królowa Konstancja, Bernardyni ciągle przy jej zwłokach śpiewali godzinki, dopóki ich nie odwieziono do Krakowa, kiedy król zaś umarł, oddawali tę usługę przy jego trumnie i towarzyszyli jej do Krakowa, bo tak Władysław nowy pan nakazał.

Biskup Łubieński kazał otworzyć grób błog. Ładysława i kości jego przełożyć do świeżo zrobionej cynowej skrzynki (11 sierpnia 1630 r.). Inny biskup Adam Nowodworski, za upoważnieniem Stolicy Apostolskiej, rozpoczął w Warszawie nowy proces o cudach i cnotach jego (15 listopada 1632 r.). Ksiądz Wincenty Morawski, bernardyn, wyznaczony na prokuratora kanonizacji błog. Ładysława, wydał jego życie oraz wiersze łacińskie o błog. Ładysławie. Na wstępie jest dedykacja do króla Władysława IV, do biskupa poznańskiego Adama Nowodworskiego i do wszystkich stanów Księstwa Mazowieckiego.

Nowe starania w Rzymie, żeby Obserwantów z Reformatami połączyć, sprowadziły zjazd w Warszawie w r. 1646 starszyzny zakonnej, ale rozbiły się w niwecz. Prowincjałem tutaj obrany gwardjan warszawski ksiądz Bonawentura Lutocki, odznaczył się wystawieniem nowych budynków w klasztorze a w kościele, wystawił groby podziemne w chórze i w wielkiej nawie. Na sześćdziesiątnicę roku następnego znowuż u Bernardynów warszawskich zjazd wielki; radzą Bracia św. Franciszka obydwóch reguł: jedni chcą jedności, inni rozłączenia. Upłynęło cztery tygodnie w tajnych naradach; w końcu jedna tylko odbyła się publiczna sesja, na której spisano protokół stanowczy rozłączenia się dwóch zakonów.

Wtedy ustąpili Bernardyni części gruntu swojego na pałac marszałkowi Kazanowskiemu; marszałek nie płacił czynszu klasztorowi, ale obiecał łaskę swoją i jałmużny, a wreszcie miał murem całe zabudowania klasztorne otoczyć, czego wszystkiego jednak nie dotrzymał.

Całą część klasztoru, która się ciągnęła do wielkiej bramy placu, niegdyś przez kustosza warszawskiego Pawła Lancio zabudowanego i przeznaczona dla zakonników, za zgodą Ojców ustąpioną została poprzednio na mieszkanie dla nuncjuszów. Wielkiej ztąd doznawali niewygody Bernardyni; kiedy więc wyjechał nuncjusz Filonardi, zajęli napowrót swoją własność i komnaty nuncjusza przeznaczyli dla nowicjatu. Król w Grodnie będąc zatwierdził najuroczyściej prawa klasztoru i od wszelkich ciężarów postoju uwolnił raz na zawsze Bernardynów (11 listopada 1643).

Otwarcie grobu błog. Ładysława 1635 r.—Opis grobu i ołtarza.

Dnia 12 maja 1635 r., sędziowie i komisarze subdelegowani apostolscy wraz z lekarzami królewskimi i innymi osobami potrzebnymi do otwarcia grobu błog. Ładysława, zeszli się w kościele św. Anny na Krakowskim Przedmieściu. Zanim jednak do tego aktu przystąpili, prokurator Wincenty Morawski przedstawił w krótkim zarysie dzieje błogosławionego, jego zasługi i wyliczenie cudów za jego pośrednictwem dokonanych.

Przytoczymy tu opis grobu według owego sprawozdania.

Budowa grobu, lubo nie bogata, piękną jest dla oka; z drzewa, ale na podobieństwo czarnego marmuru, rzeźbiarską sztuką wyrobiona i prześlicznie ozdobiona kolumnami gładko wyheblowanemi, wysokości na dziesięć i pół łokcia, a szerokości pięć.

Fundament całego grobu, jak od początku po przeniesieniu ciała sługi Bożego, od posadzki kościelnej się wznosił, tak i teraz trwa, postawiony z cegieł, wysokości na łokieć, na nim postawiona jest tablica długa na cztery łokcie, szeroka na dwa, gruba na ćwierć łokcia przeszło; zawiera na swej powierzchni wyrzeźbiony obraz błog. Ładysława

Szatą zakonnic jest ciemno-wiśniowy habit i płaszczyk tego koloru spięty na jeden guzik drewniany. Na białej chuście osłaniającej twarz i czoło noszą czarny welon, a na nim koronę z białego płótna z pięciu małemi, czerwonemi plamami, na pamiątkę cierniowej korony i pięciu ran Zbawiciela.

Habit zakonników jest tegoż koloru co i zakonnic; księża na lewym boku płaszcza noszą czerwony krzyż, z białą pośrodku Hostją, djakoni biały krąg, z czerwonym płomykiem, a laicy biały krzyż z pięciu krwawemi plamami.

Otwarty grób w klasztorze i katafalk w kościele ustawicznie przypominają członkom zakonu rzeczy ostateczne. Co do porządku zakonnego jest on jedyny w swoim rodzaju, gdyż zakonnicy zostają pod przełożeństwem ksieni zakonnic. Pod względem jednak duchowym zostają zakonnice pod kierunkiem zakonników. Rozporządzenie to tem się objaśnia, że zakon ów był ustanowiony głównie dla kobiet, zakonnicy są tylko dla ich pomocy duchownej wyznaczeni. Jak Najśw. Marja Panna po Wniebowstąpieniu Zbawiciela była głową Apostołów i pozostałych uczniów Pana Jezusa, tak ksieni ma tu być przełożoną Sióstr zarówno jak Braci. Klasztory P.P. Brigidek zostają pod nadzorem biskupów djecezjalnych.

Zakon ten liczne miał klasztory w północnych krajach Europy. We Francji i Włoszech liczył także kilka domów. W Anglji był bogato uposażony klasztor Zakonu Zbawiciela w pobliżu Londynu zwany *Sion*, lecz okrutna królowa Elżbieta wypędziła zakonnice nietylko z klasztoru ale i z kraju. Tułały się one po różnych miastach, wreszcie osiadły na stałe w Lizbonie. Po większej części klasztory Brygidek znajdowały się w stronach, które przyjęły protestantyzm i dlatego stawały się jego ofiarą.

W Wadstenie pierwotnej swej siedzibie jakby cudem utrzymać się dość długo zdołały.

Prześladowania znosiły z męztwem i cierpliwością prawdziwie bohaterską. Gdy jednak Karol, książe Sudermanji, ojciec Gustawa Adolfa, przeprowadził uchwałę zniesienia ostatnich śladów katolizmu w Szwecji (1595 r.) został zamknięty i ten ostatni, a najwspanialszy klasztor szwedzki w Wadstenie. Obecnie jest tam protestancki instytut panien.

W Hiszpanji Marja Escobar, wielka czcicielka św. Brygidy, założyła klasztor w Walladolid, Regułę jej skreśloną na wzór reguły św. Brygidy zatwierdził papież Urban VIII; Brygidki hiszpańskie nazywano także *rekoletami*.

W regułach św. Brygidy zaszły z czasem znaczne zmiany, szczególniej co do liczby i składu osób, gdyż w wielu klasztorach nie było wcale zakonników, a zakonnic tylko niewielka liczba.

W Polsce też wszystkie klasztory P.P. Brygidek były wyłącznie żeńskie.

Klasztory P.P. Brygidek w Polsce.

Mieszkańcy Elbląga przez pamięć na proroczą przepowiednię św. Brygidy dotyczącą krzyżackiego zakonu, o którego upadku miała objawione sobie zawczasu, — ufundowali w tem mieście, wśród murów krzyżackiego niegdyś zamku, klasztor wraz z kościołem.

Zgromadzenie to jednak z czasem upadło i dla zbyt małej ilości zakonnic król Zygmunt I w r. 1591 przeniósł fundusze klasztorne do Gdańska.

Były jeszcze w naszym kraju klasztory P.P. Brygidek: we Lwowie, (suprymowany następnie przez cesarza austrjackiego Józefa II i zamieniony na główne więzienie); w Brześciu litewskim przy budowie fortecy przeniesiony do Łucka, gdzie w r. 1867 było jeszcze zakonnic jedenaście; w Grodnie, w r. 1872 było zakonnic 17. W Lublinie został założony klasztor P.P. Brygidek, w r. 1426 przez Władysława Jagiełłę na pamiątkę zwycięztwa pod Grünwaldem. (W r. 1838 oddano gmach klasztorny i kościół Wizytkom).

W Warszawie znajdował się od r. 1622 klasztor obok kościoła św. Trójcy przy ulicy Długiej. Z funduszów im nadanych zakupiły zakonnice grunta w pobliżu klasztoru i nazwały je, na pamiątkę wsi Lipie w ziemi Czerskiej—zkąd były sprowadzone — Nowolipiem i Nowolipką. Dlatego też znajdująca się tam ulica po dziś dzień nosi to miano.

Zakonnic było tam zazwyczaj nie więcej dziesięciu, większą część klasztoru zajmowały znakomitsze damy wiodące żywot pobożny, ale nie wiążące się ustawami zakonnemi. W r. 1807 zakonnice przeniesiono do klasztoru P.P. Wizytek a klasztor zajęty został przez wojsko, następnie przeznaczony na kwatery dla oficerów emerytów, potem na arsenał a w 1819 suprymowany.

Przepowiednie św. Brygidy dotyczące upadku drapieżnego zakonu Krzyżaków niemieckich.

W obec tego, że rok obecny był rokiem jubileuszowym, poświęconym pamięci zwycięztwa odniesionego pod Grünwaldem, na miejscu tu będzie przypomnieć ogromnie doniosłą dla narodu polskiego przepowiednię św. Brygidy, dotyczącą zakonu krzyżackiego. Natchniona święta znała dobrze wszystkie sprawy krzyżackie i chociaż w owych czasach zakon ten wydawał się jeszcze wszystkim potężnym i niezwalczonym, wszelako proroczym duchem obdarzona Brygida pisała natenczas te słowa, odnośnie do Krzyżaków:

„Przyjdzie czas, kiedy będą wyłamane im zęby i będzie ucięta im ręka prawa i prawa noga im ochromieje, aby żyli i uznali występki swoje“.

I przyszedł ów dzień klęski; 15 lipca 1410 r. zapisał się trwałemi głoskami w dziejach zarówno

naszych, jak niemczyzny wdzierającej się w głąb ziem polskich. Wielki mistrz i kilku przedniejszych komturów krzyżackich padło na pobojowisku pod Grünwaldem. Stosy trupów okrywały ścierniska i zarośla na przestrzeniach niezmiernych. Obóz stał się łupem zwycięzców, łup był obfity. Rycerstwo omal nie z całego Zachodu stojąc pod sztandarem krzyżackim, przyniosło z sobą kosztowności znaczne; wszystkie te zbroje, tarcze, łańcuchy złote, rzeźbione relikwiarze dostały się w ręce Polaków i Litwinów.

Do najcenniejszych zdobyczy zaliczono chorągwie w starciu krwawem na nieprzyjacielu zdobyte; liczono ich 51, a ponieważ największe do tej zdobyczy przywiązywano znaczenie, zawieszono owe chorągwie u szczytu sklepień katedry na Wawelu.

Zapał panujący w Polsce przed bitwą pod Grünwaldem, zapał, urastający z wiary religijnej, wywoływał przeczucie zwycięztwa—wywoływał dzień grünwaldzkiego tryumfu.

Już królowa Jadwiga, świątobliwa, z cnót chrześcijańskich i z bezbrzeżnego poświęcenia dla dobra kraju słynąca, miewała przeczucia, iż przewrotny Zakon krzyżacki runie. Przeczucia Jadwigi tem więcej nabierały mocy w jej własnej duszy, że wpatrywała się myślą w świętą postać Brygidy szwedzkiej, wczytywała się w jej objawienia nader wysoce w Polsce cenione. W przepowiedniach tych wyraźnie czytano, że „łupieżczy zakon niemiecki“ upadnie.

Ta zapowiedź radująca serca polskie i ciesząca się ogólnem uznaniem, tem większą wiarę, budziła w umyśle królowej Jadwigi, która swem bogobojnem życiem i miłosiernemi uczynkami starała się iść w ślady św. Brygidy, wiodła bowiem na królewskim dworze prawie klasztorne życie.

Widzieliśmy z opowiedzianego tu życia świętej Brygidy czyli *Birgitty*, jak ją początkowo u nas nazywano, że i ona pochodziła z królewskiego rodu; umartwienia i żywot ostry doprowadziła do najwyższego stopnia doskonałości, do jakiego wznieść się mogą tylko dusze wybrane, zakładała klasztory nowego przez siebie utworzonego Zakonu, a zarazem pilnie dbała o krzewienie światła wśród swego narodu, czego dowodem założona przez nią bursa dla Szwedów w Rzymie.

I naszej Jadwigi myśl zwróconą była nieustannie w kierunku szerzenia światła; ona to powzięła zamiar niepospolity wytworzenia w Krakowie wielkiego ogniska wiedzy, któreby swemi promieniami oświecało i ogrzewało nietylko naród polski, ale zarazem i ludy garnące się pod berło naszych królów.

Głęboką i szczerą była wiara przodków naszych, co sprawiło, iż przepowiednie prorocze św. Brygidy i na nich oparte przeczucia Jadwigi o upadku groźnego Krzyżactwa, stawały się podnietą zapału bojowego pod Grünwaldem i przyczyniły się znacznie do zwycięztwa.

Było to powszechnie ustalonem mniemaniem, tak dalece ugruntowanem, iż się objawiło w czynie, gdyż jakeśmy wspominali w opisie klasztorów P.P. Brygidek w Polsce, Jagiełło pragnąc utworzyć fundację pobożną, jako dar dziękczynny za tryumf grünwaldzki, założył w Lublinie w r. 1426 kościół i klasztor Brygidek; uposażył go szczodrze i znaczne sumy na ozdoby kościoła przeznaczył.

Żyjącą pamiątkę zwycięztwa pod Grunwaldem widziano jeszcze w Lublinie w roku 1858 w postaci dwóch ostatnich Brygidek, tam przebywających, chociaż już wcześniej klasztor ich Wizytkom oddano.

Mieszczanie i kupcy Elbląga, pomni na proroctwa św. Brygidy, gdy w r. 1454 zobaczyli ich ziszczenie—Polska bowiem przyjęła naówczas miasta krzyżackie pod swoją opiekę — założyli jako dziękczynną fundację klasztor Brygidek i kościół przy nim wystawili. W ten sposób dziękowano Bogu za uwolnienie się z ucisków krzyżackich.

Tak więc przepowiednie św. Brygidy ważną odegrały rolę w dziejach naszych i dlatego do tej świętej miano u nas zawsze wielkie nabożeństwo. Wspomnienie zwycięztwa pod Grünwaldem ściśle się z tą czcią dla świętej jednoczy.

Dnia 7 Listopada.

BŁOGOSŁAWIONY ANTONI BALDINUCCI

Tow. Jez. misjonarz kampanji rzymskiej.

1665 † 1717.

Za rządów papieży: Innocentego XI i XII, Klemensa XI.

Bóg nie chce, aby chrześcijanin myślał tylko o swojem zbawieniu, lecz o zbawieniu bliźnich i nietylko nauczał ich, ale i budował swym przykładem, albowiem nic nie jest przekonywującem, jak dobry przykład, ponieważ każdy więcej wzruszony jest czynami, aniżeli słowami.

Św. Jan Złotousty.

Pierwsze lata.

Dnia 19 czerwca 1665 r. we włoskiem mieście Florencji, dawnej stolicy Wielkiego Księstwa Toskańskiego, przyszedł na świat błogosławiony Antoni Baldinucci. Wysokie cnoty jego sprawiły, że go nieraz porównywano ze św. Alojzym Gonzagą, dla którego miał cześć wielką i starał się we wszystkiem naśladować. Mówiono też o nim, że zaledwie w dziecięcym jego umyśle zbudziło się pojęcie o Bogu, już ukochał Go z całej duszy, czego swem bogobojnem i wzorowem życiem dowiódł.

Najlepsze przykłady dawali mu pobożni rodzice. Ojciec Antoniego, Filip, miał liczne stosunki w wielkim świecie ceniono bardzo jego zdanie, gdyż był wielkim znawcą sztuk pięknych, o których wiele uczonych dzieł napisał. Małżonka jego Katarzyna, z domu Scolari, była również zacną i pobożną niewiastą, jak jej małżonek Filip. Mieli oni już czterech synów, gdy Filip Baldinucci ciężko się rozchorował, lekarze zwątpili zupełnie w możność uratowania mu życia. Wówczas chory za poradą spowiednika polecił się opiece Boskiej i św Antoniego Padewskiego, poczem wyzdrowiał a na uczczenie świętego swego Protektora, najmłodszego syna, który wkrótce potem przyszedł na świat, nazwał Antonim.

Pobożni rodzice nie chcąc ani jednego dnia pozbawiać dziecięcia łaski Sakramentu odrodzenia, natychmiast przynieśli go do Chrztu św., a Filip wróciwszy z kościoła, zapisał w swym pamiętniku:

„Wszystko zawdzięczam Opatrzności Bożej i opiece św. Antoniego. Oby on wyprosił dla tego dziecięcia pokorę, zapał o chwałę Bożą i zbawienie bliźnich".

Jakżeż ucieszył się w dwa miesiące później, gdy pewna świątobliwa zakonnica, obdarzona duchem proroctwa, napisała doń, że ten syn kiedyś wstąpi do Towarzystwa Jezusowego i wielkim zostanie świętym.

Były zresztą widoczne objawy, że łaska Boża działa bezustannie w duszy Antoniego. Z wielkiem zamiłowaniem przysłuchiwał się opowiadaniom o rzeczach świętych, chętnie się modlił; chociaż jeszcze nie rozumiał co to jest cnota, widać było, że stara się postępować jak najlepiej.

W miarę, jak się rozwijał umysłowo, cnoty w nim stawały się jawniejsze. Był bardzo pokorny i posłuszny woli rodziców i starszych, w czem tak się odznaczał, że od pierwszej młodości nigdy najmniejszej nie zrobił przykrości nikomu.

Od czasu jak otrzymał Sakrament Bierzmowania, spostrzeżono w nim jeszcze większą miłość dla rodzeństwa i pobożność tak wielką, iż najmniejszych praktyk religijnych nietylko nie zaniedbywał, ale zawsze był pierwszym, gdy znak dano na pacierze ranne lub wieczorne, które wspólnie rodzice z dziećmi odprawiali.

Do dwunastego roku uczył się pod kierownictwem domowego nauczyciela. Następnie oddali go rodzice do szkoły O.O. Jezuitów, znajdującej się przy kościele św. Jana Ewangelisty we Florencji, gdzie się już uczyli trzej jego starsi bracia: Filip, Ignacy i Franciszek.

Jako student szkół publicznnych, obok zwykłych praktyk religijnych i ćwiczeń szkolnych znalazł czas na rozmyślanie i czytanie żywotów świętych. To co mu się najwięcej podobało, lub silniejsze na nim zrobiło wrażenie, spisywał w osobnej książeczce. Tam też notował wszystkie natchnienia, jakie mu podczas kazań lub innych ćwiczeń pobożnych przychodziły, chociaż nikt go do tego nie zachęcał. Tak np. znaleziono między innemi notatkami następujące uwagi z czasów studenckich.

„Nie zajmuj się rzeczami świeckiemi i nie pragnij ich.—Umartwiaj się we wszystkich rzeczach, przedewszystkiem w żartach.—Nigdy się niechwal.—Staraj się aby tobą gardzono.—Nic nie mów, co może obrazić bliźniego.—Nie zważaj na wzgląd ludzki, abyś mógł służyć Bogu.—Na nikogo się nie żal.—Lituj się nad każdym.—Nigdy sobie nie ufaj.—Wiara bez uczynków nic nie znaczy.—Przebacz i czyń dobrze twym nieprzyjaciołom.—Strzeż się posądzania drugich.—Prawo Boże zrazu wydaje się trudnem

lecz dlatego kto idzie za niem, staje się słodkiem i łagodnem.

Powyższe i inne podobne postanowienia nie pozostały u Antoniego na papierze. Przy codziennym rachunku sumienia, gdy spostrzegł się, że w czem uchybił, notował wszystkie niewierności, ażeby wiedział w czem ma się poprawić. W tym czasie spostrzeżono w nim chęć do umartwień. Krewny Ambrożego margrabia Franciszek Baldinucci zeznał po jego śmierci, że od młodości zwykł był używać rozmaitych pokut dobrowolnych, jak postów, włosiennicy i dyscypliny. Codziennie słuchał mszy św., najczęściej w kościele Zwiastowania Matki Boskiej każdej niedzieli i święta przystępował do Komunji św. Do Najśw. Panny nietylko miał szczególniejsze nabożeństwo, ale starał się i innych do tego zachęcać. Gdy ojciec wysyłał go z braćmi i ochmistrzem na willę w niektóre dni podczas wakacji, Antoni zaraz zabierał się do odmawiania godzinek w domowej kapliczce i wszystkich zwoływał, aby wespół z nim zanosili modły do Boga.

To też kto tylko znał Antoniego, przewidywał, że wstąpi do Zakonu, chociaż nikt mu o tem nie wspominał, bo ojciec jego życzył sobie, aby w tym względzie jego dzieci miały zupełną swobodę.

Powołanie do Zakonu. — Wahania. — Przyjęcie do nowicjatu O.O. Jezuitów.

Gdy Antoni miał lat 13 starszy jego brat Jan Filip wstąpił do Zakonu O.O. Dominikanów przy kościele św. Marka we Florencji, zkąd niebawem odesłano go do nowicjatu we Fiesole. Ponieważ to miasteczko znajduje się w bliskości Florencji, więc Antoni często mógł brata odwiedzać, a czynił to tem chętniej, że O.O. Dominikanie bardzo mile witali chłopczynę, ile razy przybył do ich klasztoru.

Tak zawiązała się przyjaźń między nim a tymi Ojcami, następnie i chęć wstąpienia w ślady swego brata. Spowiednik jego temu się nie sprzeciwiał i owszem, widząc w Antonim prawdziwe powołanie do Zakonu, zachęcał go do przyjęcia białej sukienki O.O. Dominikanów.

Gdy się o tem ojciec Antoniego dowiedział, wątpiąc, aby to było prawdziwe powołanie, zabronił synowi widywać z bratem i innymi O.O. Dominikanami. Było to wielkiem umartwieniem dla młodzieniaszka, lecz bynajmniej nie osłabiło w nim chęci oddania się na służbę Bogu w Zakonie dominikańskim. Dopóty przez swą matkę i sam z płaczem prosił ojca, aż w końcu zezwolił na jego postanowienie pod warunkiem, jeżeli odprawi wpierw rekolekcje u O.O. Jezuitów.

Trudności, jakie stawiał synowi, pochodziły nie z braku miłości ku Zakonowi O.O. Dominikanów, bo przecież syna swego pierworodnego im oddał, lecz z braku pewności, czy to jest prawdziwe powołanie, tem więcej, że bardzo dawał wiarę przepowiedniom zakonnicy, która mu powiedziała, że Antoni będzie Jezuitą i świętym w tym Zakonie.

Przy rekolekcjach Antoni trwał w dawnem postanowieniu, pożegnał więc O.O. Jezuitów i poszedł do kościoła, aby tam czekać na ojca, z którym miał powrócić do domu. Tymczasem, gdy się modlił przed Przenajśw. Sakramentem ofiarowując się Bogu na wieczną służbę, uczuł w sobie jakąś dziwną zmianę: ogarnęło go gorące pragnienie wstąpienia do Zakonu O.O. Jezuitów. W pierwszej chwili zdawało mu się, że to pokusa, poczyna więc goręcej się modlić, lecz czem dłużej trwa na modlitwie, tem silniejszy czuje w sobie głos, wołający go do Zakonu O.O. Jezuitów.

W końcu wraca do tego samego Ojca, który mu dawał rekolekcje i pyta o radę. O. Jezuita uspokoił młodzieńca, kazał mu się zatrzymać w klasztorze, a tymczasem zawiadomił jego ojca, że wobec nagłej zmiany w usposobieniu Antoniego, należy go jeszcze parę dni zatrzymać na rekolekcjach, ażeby się przekonać, czy w tem była wola Boża, czy też pokusa.

W ten sposób jeszcze przez dwa dni Antoni pozostawał u O.O. Jezuitów, modląc się o światło Boże. Trwał jednak ciągle w nowem postanowieniu i był bardzo wesoły i zadowolony z tej zmiany, i wnet napisał do Ojca Prowincjała, prosząc o przyjęcie. List Antoniego wysłał Przełożony domu wraz ze swoim listem polecającym młodzieńca wielkich nadziei. Odpowiedzi z Rzymu spodziewano się lada dzień. Było to w grudniu 1680 roku, tymczasem mijały tygodnie, miesiące, a odpowiedź nie nadchodziła. O. Prowincjał zwlekał z odpowiedzią, bo jasno widział, że sprawa jest zbyt delikatną, a rychłe przyjęcie mogłoby obrazić O.O. Dominikanów. Uważał zresztą za rzecz stosowną, ażeby Antoni utwierdził się w swem zdaniu i nauczył się więcej to cenić, na co mu kazano tak długo czekać. Wreszcie po trzech miesiącach nadeszła przychylna odpowiedź i pozwolono mu nawet zaraz jechać do rzymskiego nowicjatu.

Ucieszony młodzieniec pobiegł do swego brata Dominikanina, aby polecić się modlitwom jego i nowicjuszy tamtejszych, przyczem obydwaj spisali na kartkach obietnice dobrych uczynków i modlitw, jakie jeden na intencję drugiego miał przez całe życie odmawiać. W ten sposób zapewniwszy sobie pomoc duchową pobożnego brata, wyjechał z Ojcem do Rzymu.

Generałem Towarzystwa Jezusowego był wówczas O. Paweł Oliwa. Do niego najpierw zgłosił się Antoni, aby mu podziękować za łaskę przyjęcia do Zakonu, następnie udał się do O. Prowincjała Capriniego i wstąpił do nowicjatu, gdzie jeszcze tkwiła

pamięć jego poprzedników takich, jak św. Stanisław Kostka, św. Alojzy Gonzaga.

Właśnie wówczas kończył rok szesnasty. W progu nowego mieszkania rzekł: *To odpocznienie moje na wieki wieków, tu mieszkać będę, bom je obrał* (Ps. 131, w. 14).

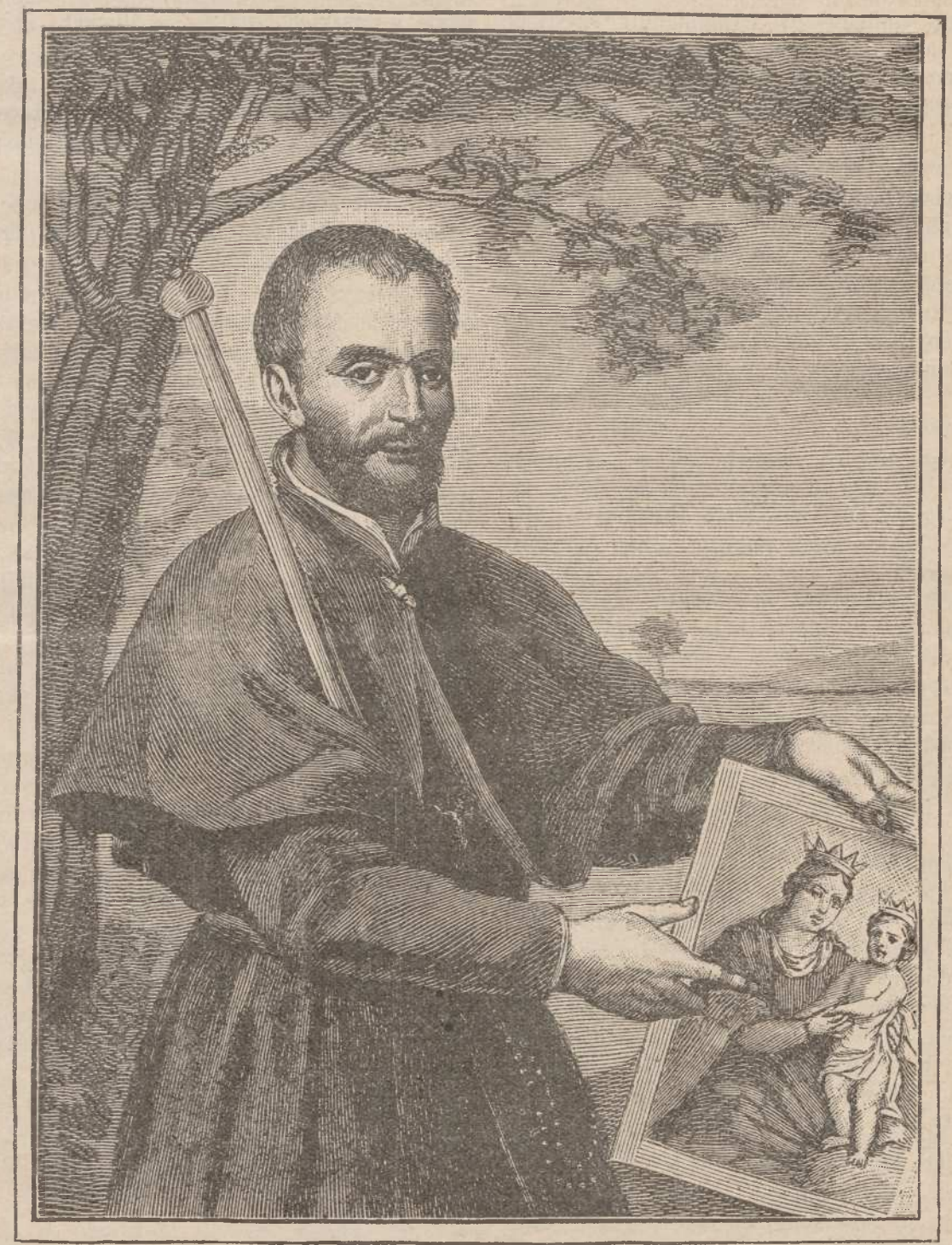

Błogosławiony Antoni Baldinucci.

Pierwsze lata zakonne.

Stan zakonny jest codziennem męczeństwem mówi św. Hieronim, ponieważ żąda, aby człowiek starał się walczyć przeciw wszystkim skłonnościom wrodzonym i umierał codziennie dla siebie samego. Dlatego, kto wstępuje do Zakonu, trudno ażeby nie dozwał w sobie walki ludzkiej natury z łaską. Skoro jednak siła duszy dojdzie do zwycięztwa to duchowne męczeństwo staje się miłem i łatwem. Zdobył tę siłę Antoni o tyle łatwiej, że ognisko rodzinne i szkoła były dla niego polem ćwiczeń w chrześcijańskiej doskonałości. Jeden z jego współnowicjuszów, późniejszy towarzysz w pracach apostolskich,

pisał o nim, że „nie potrzebował zrzucać z siebie starego człowieka, dlatego łatwo mu było przyodziać się w Chrystusa... przez wstępowanie w Jego ślady przez naśladowanie jego życia w takim stopniu, iż stał się Jego pięknym obrazem".

Zawsze sumienny w wypełnianiu wszystkich przepisów zakonnych, zawsze wesół, był prawdziwym wzorem dla innych. Wszyscy go kochali i szanowali zarazem, bo wszystkich budował swoją skromnością.

Jest zwyczaj w nowicjacie jezuickim, że przełożeni wysyłają po dwu lub po trzech nowicjuszów na pielgrzymkę do dalszych miejscowości, ażeby żebrząc na utrzymanie, uczyli się pokory, ubóstwa i umartwienia. Antoni nie był uwolniony od tej próby; wysłano go do Subiako, gdzie kiedyś św. Benedykt przebył w grocie trzy lata, zaprawiając się do życia pustelniczego, zanim się udał do Monte-Kasino, aby tam założyć sławny klasztor O.O. Benedyktynów.

Dziwnego uczucia doznaje się w tej grocie uświęconej tak zupełnem zaparciem się siebie św. Benedykta, gdy zdala od rodziny o chłodzie i głodzie, wśród najsurowszej pokuty, trwał na bogomyślności przez lata całe. Antoni znał życie św. Benedykta, to też widok tego miejsca takim zapałem przejął jego duszę, iż zaraz za powrotem napisał list do generała Towarzystwa Jezusowego, z prośbą, aby go wysłał do Indji dla nawracania pogan, bo pragnie tam nawet krew przelać, jeżeli tak Bogu będzie się podobało.

W takiem usposobieniu ukończył Antoni nowicjat dnia 22 kwietnia 1683 r., a gdy mu pozwolono złączyć się jeszcze ściślej z Bogiem zwykłemi ślubami Zakonników Tow. Jez., łaska Boża musiała w nim silnie działać, nie napotykając przeszkód w jego duszy. To też na studjach w nowicjacie, a następnie w kolegium rzymskiem zawsze zachował tego samego ducha skupienia i miłości Bożej.

Mozolna praca i bezustanne umartwienie, nadwyrężyły nieco zdrowie Antoniego. Wysłano go na wypoczynek do poblizkiego miasteczka Tiwoli, gdzie także był dom Towarzystwa Jezusowego.

Odzyskawszy siły, a czując coraz silniejszy zapał do misji, napisał znów list do Generała z prośbą, aby go wysłał do Indji.

„Usilne pragnienie, pisał doń 1687 r., jakie Bóg oddawna wzniecił w mem sercu, abym życie i krew poświęcił nawróceniu pogan w Indjach, nagli mię po wielu modlitwach i Komunjach świętych na ten cel przyjętych, abym się udał z pokorną prośbą do Waszej Wielebności o tę sama łaskę, o którą już w nowicjacie prosiłem..."

Kończąc zaś list między innemi i ten podaje powód swej prośby:

„Żywo odczuwam bezustanną boleść, że tyle dusz idzie na potępienie i niema ktoby ich uczył prawa Bożego, a gdy myślę, jak wielki rachunek będę musiał zdać Panu Bogu, opanowuje mię trwoga, że się nie usprawiedliwię przed Nim, jeżeli nie użyje wszystkich środków możliwych, aby im dopomódz..."

O. Generał bardzo ucieszył się tak dobrem usposobieniem młodego zakonnika, liczącego wówczas zaledwie 22 lat, uznał jednak za stosowne nie przychylić się do jego prośby.

Zamiast na misje wysłano Antoniego do konwiktu w Terni, później do Rzymu, aby uczyć dzieci gramatyki łacińskiej.

Ćwiczyć umysł dzieci tak suchym przedmiotem, chociaż koniecznym, rzecz to nie zbyt miła, zwłaszcza, kto czuje wstręt do takiego zajęcia. Lecz Antoni umiał i tutaj odpowiedzieć woli przełożonych i tak uczył gramatyki, jakby była najprzyjemniejszym z przedmiotów szkolnych. Widząc, że i dzieciom ten suchy przedmiot nie bardzo przypada do gustu, umiał zachęcać ich w następujący sposób:

Oto na cześć Matki Boskiej urządzał od czasu do czasu popisy z gramatyki, a kto najlepiej się uczył, dostawał Jej obrazek z napisem: „Matka Skromności". Owoc tego postępowania był podwójny, gdyż chłopcy nietylko pilnie uczyli się gramatyki, lecz jeszcze więcej przestrzegali skromności w czynie, słowie i myśli.

Trzy lata wytrwał na tem stanowisku z pożytkiem dla uczniów i zbudowaniem dla wszystkich. W r. 1690 ponowił prośbę wyjazdu do Indji lecz jak poprzednio odmowną otrzymał odpowiedź, natomiast przez dalsze dwa lata kazano mu uczyć gramatyki. Miał jednak przyjemniejsze przy tem zajęcie, bo dano mu obowiązek czuwania nad młodzieżą, a było ich z górą 500, gdy się zgromadzała co niedzielę i święto we wielkiej sali na odmawianie godzinek do Matki Boskiej i na inne pobożne ćwiczenia. Spełniając ten obowiązek umiał pogodzić łagodność ze stanowczością ale praca w konwikcie i surowość życia wyczerpały w końcu i tak dosyć słabe siły młodego zakonnika. Z wiosną r. 1692 począł coraz częściej zapadać na zdrowiu, wreszcie tak ciężko zaniemógł, że lekarze poczęli obawiać się o jego życie.

Zawiadomiony o tem jego ojciec, bardzo się zmartwił, zwłaszcza, że wielkie nadzieje pokładał w tym synu. Pospieszył więc do tej zakonnicy pobożnej, której zawsze się radził w trudnem położeniu i szukał światła przez jej modlitwy; powiedziała; mu że syn wyzdrowieje i nic nie przeszkodzi zamiarom Opatrzności Boskiej względem Antoniego. Pełen radości zawiadomił o tem syna,

jednocześnie prosząc przełożonych, aby mu na jakiś czas Antoniego przysłali. Prowincjał spodziewając się, że świeże powietrze wzmocni organizm młodzieńca, wysłał go do rodzinnej willi Bottinacio, gdzie o tyle przyszedł do siebie, że mógł za powrotem w jesieni rozpocząć nauki teologiczne w rzymskiem kolegjum.

Nadszedł wreszcie czas tak dlań upragniony, święceń kapłańskich. W duszy dobrze usposobionej otwierają one źródło duchownych rozkoszy. Jakżeż obfite musiało być ono w duszy Antoniego! Nie lubiał o tem mówić. Jak zwykle, ludzie prawdziwie świątobliwi, starał się ukryć skarb ten drogi w swem sercu. Przyczynił się on jednak nie mało do uzdrowienia.

Pozostawał Antoniemu jeszcze jeden rok nauk, ostatni, lecz i najmozolniejszy, bo należało złożyć egzamin trudny z całej filozofji i teologji.

Przełożeni widząc jego słabe siły woleli go zwolnić od niego, a natomiast wysłać do Florencji na trzeci rok nowicjatu, jaki odbywają kapłani Tow. Jez. po skończonych naukach. Tymczasem zachorował ciężko Filip Baldinucci i po kilku dniach boleści zasnął na ręku syna.

Pragnąc choć w części zadośćuczynić żądzy pracy około zbawienia bliźnich, Antoni prosił o pozwolenie na misje ludowe w ojczyznie. Zgodzono się na to, lecz polecono mu wpierw nieco wzmocnić organizm w górskiej okolicy koło Loreto, gdzie tylko ubocznie miał się zajmować pracą apostolską i przygotowywaniem kazań.

Misje dla ludu.

W lecie r. 1697 przeniósł się O. Antoni do Witerbo, dokąd go posłali przełożeni jako ludowego misjonarza w pomoc znakomitemu misjonarzowi O. Hieronimowi Centofiorini Tow. Jez. Miał z nim odbyć pierwszą misję na próbę, czy wytrzyma trudy apostolskiego życia i czy będzie mógł kazać do ludu na otwartem polu.

Próba powiodła się dobrze, to też w parę miesięcy później wysłano go do Fraskati, zkąd miał robić wycieczki misyjne w całej Kampanji rzymskiej i w dalszych okolicach, ogółem w 30 djecezjach.

Zaraz po przybyciu do tego miasta, nie przyjął ofiarowanej wygodnej celi, lecz uprosił sobie izdebkę przytykającą z jednej strony do kościoła, z drugiej do dzwonnicy, na której był bezustanny łoskot wskutek ciężkiego chodzenia i bicia wieżowego zegara. Jedyne okienko wychodziło na półciemny korytarz. Ciasnota była tam tak wielka, że musiano zrobić osobne maleńkie i wązkie łóżko z dwu desek, ażeby mógł pomieścić się stolik klęcznik i krzesło. O. Antoni nazywał to mieszkanie swoją „pociechą“. Wybrał je nietylko z miłości umartwienia, lecz także z miłości ku chorym.

Cela ta położona na poddaszu była nad samą furtą, ile więc razy dzwoniono po księdza do chorego, on zaraz zrywał się i krótszemi schodami zbiegał do bramy. Rzecz dziwna, że zawsze był gotów czy to we dnie, czy w nocy, dlatego mówiono że Antoni nigdy się nie rozbierał i nigdy nie sypiał. W każdym razie nie sypiał dłużej nad dwie lub trzy godziny i to najczęściej na krześle.

W drugim roku pobytu we Fraskati, to jest w 1698 r., w dniu Wniebowzięcia Matki Boskiej złożył uroczyste śluby zakonne.

W miesiącach letnich, ledwie świtać poczęło, jeszcze dobrze przed wschodem słońca, dawał znak dzwonem z wieży, aby się zgromadzali robotnicy z miasta i okolicznych siół. Siadał do konfesjonału słuchał spowiedzi, a gdy już się zebrali w znaczniejszej liczbie, miewał dla nich naukę, a po niej mszę św.

Mnóstwo wieśniaków z okolic Ortony. przybywało do Fraskati za zarobkiem. O. Baldinucci założył dla nich osobne bractwo. Ortonianie zbierali się każdej niedzieli i święta raniutko w jezuickim kościele we Fraskati. O. Baldinucci odmawiał z nimi Różaniec, następnie miał stosowną naukę i mszę św., po nabożeństwie słuchał spowiedzi, a gdy spożył swój skromny obiad, znowu wracał do swych Ortonian. Popołudniowe nabożeństwo rozpoczynało się pieśnią pobożną, dalej była nauka katechizmowa, a nietylko sam mówił, lecz i zadawał pytania, a najlepsze odpowiedzi wynagradzał koronką, medalikiem i t. p.

Dla ułatwienia nauk, wydrukował dla swoich słuchaczy najważniejsze prawdy na małych karteczkach. Czasami urządzał procesje pokutnicze.

Pożywienie jego było bardzo skromne. Nigdy nie jadał mięsa, ryby, ani nabiału. Na śniadanie spożywał kawałeczek chleba z odrobiną wina zmięszanego z piołunem. Obiad składał się z postnej zupy, kawałka chleba i szklanki wina z piołunem. Na kolację jadał tylko sałatę.

O. Antoni za pozwoleniem przełożonego z resztek obiadu, które były znaczne, bo wiele osób siadało do stołu, przyrządzał zupę dla biednych. Ubodzy zbierali się tłumnie. Roku 1716 podczas głodu i braku zarobku, schodziło się do 400 osób. Wstydzącym się żebrać, a jednak bardzo biednym rozsyłał pokarm w koszyczkach, lub sam zanosił do domu. Pamiętał też i o pokarmie dla duszy. Przed rozdaniem zupy, uczył swych ubogich katechizmu, odmawiał z nimi modlitwy, a dopiero potem rozdawał na klęczkach porcje. Czynił to w tym celu, aby uczcić Chrystusa Pana, którego obraz uznawał w każdym z najbiedniejszych.

Przy takich zajęciach spędzał dzień cały, resztę czasu poświęcał modlitwie, czytaniu Pisma św., pisaniu kazań i nauk misyjnych i odwiedzanie chorych.

Tak powszechnie znaną była jego miłość dla chorych, że prawie każdy we Fraskati pragnął skonać na jego rękach. Ktoś zrobił mu uwagę, ażeby się nie trudził temi nawiedzeniami, na co O. Antoni odpowiedział:

— Idę tam po naukę cierpliwości.

Chorych nietylko pocieszał, ale bardzo często im usługiwał. Zawezwany do grzeszników, bliskich śmierci, najrozmaitszych używał środków, aby ich skłonić do spowiedzi. Z początku odzywał się słowami pełnemi miłości, a gdy to nie pomagało, napominał i groził, przyczem płakał ze wzruszenia, a wziąwszy dyscyplinę, tak chłostał swe ciało, że krew tryskała.

— Moje grzechy — wołał, bijąc się — stają na przeszkodzie, że nie mogę zmiękczyć twego serca.

Rzadko się zdarzało, aby mu się nie udało pojednać grzesznika z Bogiem.

Gorliwy apostoł.

Stałem miejscem pobytu błog. Antoniego wśród 20-letniej apostolskiej pracy (1697—1717), było Fraskati, z wyjątkiem dwu lat (1707 i 1708), w których przebywał w Witerbo.

Zimno czy gorąco, wiatr deszcz czy śniegi, nie były dlań żadną przeszkodą do odbywania drogi.

Chcąc o ile możności naśladować św. Franciszka Ksawerego, ubierał się jak ubogi pielgrzym, zawsze lekko tak latem, jak zimą. Na sutannę, zniszczoną i połataną przywdziewał pelerynę. W płaszcz stary zawijał swe papiery i dyscyplinę o 12 gwiazdkach żelaznych i dwa grube kolczate łańcuchy, któremi opasywał nagie biodra. Prócz tego brał ze sobą szkatułkę z kopją cudownego obrazu znajdującego się w Rzymie, w kościele Matki Boski Śnieżnej (S. Maria Maggiore) bez którego, mawiał, nie mógłby mówić kazań.

Włożywszy to zawiniątko na plecy, brał stary kapelusz na głowę, w jednę rękę brewiarz w drugą długi kostur i wyruszał w drogę zawsze pieszo, jakakolwiek była pora i odległość. Pomimo, że zawsze podróżował prawie na czczo, przebiegał dziennie 30, 40, czasem 50 mil włoskich Ktoby go nie znał. mógłby sądzić, że to jaki zbrodniarz uciekający przed pogonią władzy. Kto go znał, ale powierzchownie, mniemał, że ten zapał jest u niego zupełnie naturalny, a jednak jak sam raz pisał do jednego z Ojców czuł nieraz przed misją lęk tak wielki, że zimny pot nań występował, z obawy, czy podoła wszystkiemu, a trwało to jeszcze przez lat kilka po rozpoczęciu tego zawodu.

Tak więc każdy krok jego, każda czynność pochodziła jedynie z gorliwości o chwałę Bożą, musiał walczyć z sobą i umiał się przemódz.

Wśród misyjnego życia, tylko cztery razy zmuszono go do wyjazdu bryczką, zresztą zawsze podróżował pieszo, a jednak co roku dawał przeciętnie 35 misji, w latach 1701 i 1704 po 55, a w r. 1706 aż 60.

Nie we wszystkich latach zapisywał dokładnie miejscowości przez siebie odwiedzone, lecz już z samych notatek, które pozostawił, okazuje się, że wszystkich misji odbył przeszło 700 przez lat zaledwie 20.

Naturalnie, że takie podróże nie mogły odbywać się bez rozmaitych przykrych wypadków. I tak np. w styczniu 1709 r. w całej Europie panowały mrozy jakich świat nie pamięta. Dość powiedzieć, że środkowe Włochy były zupełnie pokryte śniegiem i lodem.

O. Antoni znajdował się podówczas w górach Sabińskich, po świeżo odbytej mozolnej misji i przyprzygotowywał się do drugiej w czasie świąt Bożego Narodzenia. Wtem, w pierwszych dniach stycznia otrzymuje wiadomość, aby czemprędzej udał się do Rzymu, a ztamtąd do Liworno, gdzie miał kazać podczas całego postu. Chociaż miał wstręt do tego rodzaju nauk, zabrał tłomoczek i udał się do Rzymu.

Z Wiecznego miasta wstąpił do Fraskati, gdzie jego Bracia zakonni i tamtejsi seminarzyści wszyscy zasłabli wskutek zimna i wilgoci, z wyjątkiem jednego służącego. O. Baldinucci o ile tylko mógł, cały ciężar pracy w kościele i w domu zwiął na siebie i z największą miłością wszystkich obsługiwał.

Gdy nieco przyszli do siebie, powrócił do Rzymu, zkąd 12 stycznia w tem samem lekkiem ubraniu, w którem zwykle chodził, boso i sam jeden wśród zasp śnieżnych i lodowców, po tygodniu drogi przybył do Pizy.

W tej drodze, gdy broda, brwi i rzęsy pokryły się lodem: „zdawało mi się, pisał do O. Andrzeja Budrioli, że od stóp do głowy jestem jedną zamarzłą bryłą. Nietylko nie mogłem się poruszać lecz i wszelkie straciłem czucie. Bóg miłosierny, do którego modliłem się sercem, ustami, nie byłem już w stanie, przyszedł mi w pomoc, bo zaraz uczułem świeżość sił i mogłem puścić się w dalszą drogę“.

Około Witerbo spotkali go dwaj zakonnicy. Nie wiedząc kim jest, powiedzieli: „to albo jakiś szaleniec, albo wielki święty“. Po rozmowie z O. Antonim wielce się ucieszyli, bo sława jego świętości znaną już była powszechnie. Rozkazali mu w imię posłuszeństwa wsiąść do swego powozu i tak razem udali się do Sienny. Był to jeden z czterech wypadków, w których O. Baldinucci jechał powozem.

Z Sienny wyruszył znowu pieszo i boso. Wśród zasp śnieżnych zmylił drogę, ciemna noc zapadła, a tu ani światełka żadnego nie widać, ani człowieka, ani schronienia nie było, gdzieby choć trochę spocząć. Wiatr dął coraz silniejszy, mróz przejmował go do szpiku kości, już myślał, że mu na tem pustkowiu przyjdzie umrzeć, Szczęściem spostrzega kapliczkę Matki Boskiej. Wytęża ostatki sił, aby się do niej dostać, Klęka przed obrazem, prosi o pomoc Najśw. Dziewicy, pełen ufności, że go nie opuści. Wtem podczas modlitwy, słyszy straszne wycie, po chwili spostrzega dwa wilki, jak z rozwartemi paszczami biegną ku niemu. Już go mają rozedrzeć, już myśli, że Matka Boska go opuściła, i gdy się chwieje w ufności ku Niej; oto zwierzęta drapieżne stają przed nim jak wryte i po chwili znikają. Padł obliczem na ziemię, aby podziękować za ocalenie i znowu puścił się w drogę. Niebawem spotyka jakiegoś woźnicę, który go objaśnia, ile mil zboczył z gościńca. O. Baldinucci prosi, aby tobołek podróżny oddał we Florencji O.O. Jezuitom, sam zaś dalej idzie pieszo do Pizy, a przenocowawszy, bez dalszego wypoczynku zmierza do Liworno.

Powyższy sposób podróżowania był jego zwyczajem, którego nie zmieniał. Z tą tylko różnicą, że zamiast śniegów i lodu, w lecie bose nogi spotykały się z ostremi kamieniami i cierniem, a pełno ich po górskich ścieżynach. Prawie powszechnie w tych okolicach, gdzie misje odbywał, wsie i miasteczka znajdują się na szczytach pustych skał. Nieraz przypadkiem kaleczył swe stopy, bo zawsze zatopiony w Bogu, nie uważał gdzie nogę stawia, często zaś z umysłu po cierniach lub kamieniach chodził, a gdy go zapytano dlaczego to robi odpowiedział:

— Pragnę wyjednać u Boga mojem małem cierpieniem serdeczny żal dla tych, do których będę miał nauki.

Gdy go ktoś niedyskretnie pytał, po co się umartwia tak srogo skoro już misję odbył, rzekł:

— Składam Bogu w ofierze moje cierpienie, ażeby mi odpuścił wszystkie ułomności, jakich dopuściłem się w czasie misji, także na podziękowanie za to, co dało się zrobić za łaską Bożą.

Umartwienia i pokuty.

Gdy O. Antoni zbliżał się do miejscowości, w której miał dawać misje, rozpoczynał litanję do Matki Boskiej i inne modlitwy, ażeby miłosierdzie Boskie uprosić w przyszłej pracy. Zwykle wychodziły naprzeciw niemu bractwa i kapłani w procesji, bo go czcili bardzo dla wielkiej świętości i wysokiego urzędu, jaki miał wśród nich sprawować.

Dla uniknienia takich przyjęć przeciwnych jego pokorze, O. Antoni o ile możności starał się przybywać zupełnie niespodzianie. Podczas, gdy lud gromadził się, dzieci zawsze pierwsze znalazły się około O. Antoniego, od nich też rozpoczynał misję nauką katechizmową. Po niej w procesji obchodził całą miejscowość, aby tym sposobem dać znać wszystkim o swojem przybyciu. Po drodze gromadziły się tłumy, z nimi wchodził do kościoła lub na plac obszerny. Tam była już przygotowana kazalnica, a raczej stół na podwyższeniu; stawał na nim O. Antoni, a obok niego człowiek tak okapturzony, że tylko było oczy widać i ten trzymał wielki krucyfiks.

O. Baldinucci rozpoczynał od słów św. Pawła (II, Kor. V. 20): *Miasto Chrystusa tedy poselstwo sprawujemy, jakoby Bóg przez nas napominał. Prosimy miasto Chrystusa pojednajcie się z Bogiem* — i dalej mówił znowu podobnie jak Apostoł w liczbie mnogiej: „Patrząc na nas upokorzonych, o bosych nogach, w ubogiem ubraniu, z wyrazem prośby na twarzy, płaczcie z radości i łzy wasze niech błogosławią Boga. *Wyznawajcie Pana, bo dobry, bo na wieki miełosierdzie Jego* (Ps. 117, w. 1). Wiecie kim jesteśmy? Jesteśmy proszącymi posłami Jego i błagamy o pojednanie. Z kim? Pojednanie z Bogiem. To jedyne, najdroższe nasze pragnienie, jedyny cel naszej podróży, to pojednanie będzie jedyną nagrodą za nasze trudy, za nasze utrapienia, za naszą krew. Bóg, który was bardzo kocha, a jednak tak bardzo był przez was obrażany, wysłał nas po to pojednanie, nierozerwalne, wieczne. Zważcie na to coście zrobili dla waszej duszy i co robi dla niej Bóg“.

Następnie rozwijał te dwa pytania jasno wymownie, przekonywająco i wśród największego zapału w jednej chwili zrzucał z siebie wierzchnią sutannę i ukazywał się w sukni pokutniczej (t.j. rozwartej na plecach). Wówczas wziąwszy w rękę straszną dyscyplinę o żelaznych dwunastu gwiazdkach, klękał przed Ukrzyżowanym, tak silnie i tak długo biczował nagie plecy, iż nieraz gdy krew trysnęła, obecni kapłani przybiegali, aby mu wyrwać narzędzie. Krzyk, płacz, zadowolenia wzruszonego ludu, dowodziły jak silne wywierał wrażenie.

Gdy nieco uspokoił słuchaczy, ogłaszał odpusty, jakie może każdy uzyskać w tych dniach pokuty oraz porządek nabożeństw. Z kolei śpiewano: „Przyjdź Duchu święty“, a na zakończenie raz jeszcze klęcząc przed Ukrzyżowanym, O. Baldinucci miał wzruszającą przemowę, częścią do Pana Jezusa, częścią do ludu, a gdy skończył, dawał błogosławieństwo krucyfiksem, odmawiał „Ojcze nasz“, „Zdrowaś“ za nawrócenie grzeszników, poczem szedł do konfesjonału.

W kwietniu, maju i czerwcu słuchał spowiedzi mężczyzn zwykle do drugiej w nocy, we wrześniu, październiku i listopadzie do trzeciej, czasem do czwartej rano.

Teraz dopiero udawał się do przygotowanego mieszkania, prosił zawsze o najgorszy pokój, umywał nogi, a ustawiwszy obraz Matki Boskiej i krucyfiks przed klęcznikiem, klęcząco odmawiał część brewiarza, albo robił rachunek sumienia i notował każde słowo niepotrzebnie wypowiedziane, lub chwilkę czasu straconą.

Zwykle trzymał się następującego porządku:

Wstawał na dwie lub trzy godziny przed wschodem słońca. Pomodliwszy się przed Przenajśw. Sakramentem, siadał do konfesjonału i słuchał spowiedzi. Gdy lud się zgromadził, miewał mszę św., a po dziękczynieniu kazał do zebranych, najczęściej rolników. Wracał następnie do konfesjonału i tam jednał grzeszników z Bogiem, aż do czasu nauki katechizmowej lub kazania w kościele, albo na otwartem miejscu. Jeżeli nie wiele ludzi się zebrało, szedł z tymi co byli, w procesji za miasto i po drodze zawsze zebrał wielką liczbę chcących słuchać nauki. Po niej znowu słuchał spowiedzi aż do chwili, gdy go na obiad proszono.

Jak skromnego używał pokarmu, wyżej powiedzieliśmy, podczas misji jeszcze surowiej ze sobą postępował, bo trzy razy w tygodniu suszył, to jest w poniedziałek środę i piątek. W innych dniach, spożywał tylko trochę surowizny i to raz na dzień.

Po krótkim poobiednim spoczynku, zaraz wracał do kościoła, aby pomodlić się przed Przenajśw. Sakramentem, a potem katechizować dzieci i przygotowywać takowe do pierwszej spowiedzi lub Komunji św. Poświęcał się im ze szczególniejszem zamiłowaniem i zwykł był mawiać:

— Doświadczenie nauczyło mię, że gdy dzieci źle odbywają pierwsze spowiedzi i Komunję św., rzadko się zdarza, aby później takowe kiedykolwiek dobrze odprawiały.

Wracał następnie do swego mieszkania i odmawiał brewiarz. Gdy lud się zebrał do kościoła, miewał dlań naukę misyjną, procesję pokutniczą, po niej raz jeszcze bywało kazanie a po skończeniu Ojciec Antoni spieszył znowu do konfesjonału. Kazania przeplatały śpiewy i błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem.

Znajdował czas do dawania osobnych nauk w klasztorach żeńskich (a liczba ich w owych czasach we Włoszech była bardzo wielka) i do słuchania spowiedzi zakonnic.

Wróciwszy do mieszkania, biczował się czas długi, na ziemi sypiał, a pod głowę najczęściej kładł kamień. Jego nocny wypoczynek nie trwał dłużej nad 2 do 3 godzin, poczem znowu ta sama praca, te same trudy i umartwienia.

Chociaż to, co go mogło podnieść w oczach ludzi, starał się skrywać, tyle jednak było umartwień heroicznych i tak często się powtarzały, że nie mogły ujść czyjejkolwiek uwagi. Powszechnie więc znano sposób jego życia i twierdzono stanowczo, że bez cudu nie mógłby człowiek tak długo żyć i tyle pracować, jak O. Antoni Baldinucci.

Sposoby nauczania i wpływ błog. Antoniego na grzeszników.

O. Antoni nie zawsze trzymał się jednego sposobu nauczania: raz podawał Słowo Boże w formie katechizmowej i nauki moralnej, to znowu w pięknie wykończonem kazaniu, innym razem w formie rozmyślania lub napomnienia. W każdym razie pełen żywej wiary i gorliwości Ducha Bożego, mówił o prawdach wiary naszej świętej z taką siłą, z taką jasnością i tak przekonywująco, że porywał umysły i opanowywał wolę słuchaczy.

Najbardziej lubował się w naukach katechizmowych i w moralnych, bo go doświadczenie nauczyło, że są najskuteczniejsze i najbardziej potrzebne dla ludu. Tłumaczył zwykle artykuły „Składu Apostolskiego“ (Wierzę), „Przykazania Boskie i kościelne“, „Sakramenta święte“; szczególnie to, co się odnosi do dobrej spowiedzi, a tak mówił jasno, że go rozumieli słuchacze nawet najmniej rozwinięci umysłowo.

Najciemniejsze rzeczy i tajemnice wiary św. przedstawiał obrazami i podobieństwami; rozumowania swoje przeplatał opowiadaniem rozmaitych zdarzeń i przykładów, rozwiązywał nasuwające się trudności i każdego przekonywał i uczył, a przytem po półtora godzinnem nieraz kazaniu nikogo nie znużył, lecz owszem, każdyby go chętnie dłużej słuchał.

Zwykle mówił o konieczności natychmiastowej pokuty, o miłosierdziu Bożem, o celu człowieka, o wartości duszy, ciężkości grzechu i t. p. Mówił powoli, z prostotą, jasno, a jeżeli się spostrzegł, że go nie wszyscy zrozumieli, takich używał sposobów wyrażenia myśli i tak objaśniał, że wkońcu wszystkich zadowolił.

Jak jasnym był w dowodach, wystarczy przytoczyć jeden przykład:

— Dlaczego — pytał raz — nadużywacie Imienia Bożego przy zaklęciach? Zapewne odpowiecie — aby nam wierzyli... Ludu mój! chciałbym ci coś powiedzieć bardzo zajmującego, gdybyście mi wierzyli. Czy wierzycie mi?

— Tak, tak, Ojcze, wierzymy — poczęli wołać stanowczo — mów Ojcze, co chcesz, my tobie wierzymy.

— Obawiam się, że mi nie uwierzycie — rzekł misjonarz.

— Ach, Ojcze, ta obawa i nas i ciebie obraża! Wierzymy, mów tylko! — wołano zewsząd.

— Ludu mój, czyście słyszeli kiedy z ust moich, abym się zaklinał?

— Nigdy! — brzmiała opowiedź.

— Jakżeż mi wierzycie? A więc widzicie, że zaklinanie nie jest tem, dla czego się wierzy, lecz każdy swem postępowaniem staje się godnym, iż mu wierzą, że mówi prawdę.

Innym razem tłumacząc wrodzone dążenie duszy naszej do nieskończonego Dobra, Boga, w następujący sposób działał na wyobraźnię.

— Zawieście w powietrzu kamień na łańcuchu chociażby ze złota. Zatrzymany złotem, czy przestanie ciężyć ku środkowi ziemi?

— Nigdy — odpowiedzieli ludzie.

— Puśćcie rzekę przez najżyzniejsze pola i najbardziej kwieciste łąki. Czy woda przestanie biedz do morza, zachwycona pięknością kwiatów?

— Nigdy.

— Zamknijcie ptaszka w srebrnej klatce, dajcie mu najlepszy pokarm, czy zgodzi się zmienić swą wolność na takie wieczne więzienie? Oto najmilsi, jak ptak rodzi się do lotu, jak rzeka płynie do morza, jak ciężar zdąża do środka ziemi, tak samo, a nawet jeszcze więcej dusza nasza od Boga, wychodzi, aby dążyć ku Bogu.

W kazaniu o śmierci, przedstawiwszy spustoszenie, jakie czyni w ciele i we wszystkiem przelotnem co się odnosi do ciała, brał w rękę czaszkę trupa i mówił: „Ta czaszka wymowniej wam okazuje, co wam powiedziałem i co mam powiedzieć. Wziąłem ją z grobu nie bez wstrętu, trzymam ją w ręku z obrzydzeniem. Czyjąż ty jesteś? O popiele! Nie chcę cię niepokoić i owszem błagam Boga o wieczny spoczynek dla ciebie. Chcę się tylko posłużyć tobą. Przypuśćmy, że ta czaszka należy do grzesznika, do grzesznicy, do mściciela, do bezwstydnika, do skąpca“. Zbliżał ją teraz O. Antoni do rany Pana Jezusa, wiszącego na krzyżu i wołał:

„Przypatrz się grzeszniku! dla tego popiołu ty gardzisz Sercem Jezusa i Jego Krwią; gdzież są te włosy, co się trefiły, aby grzeszyć i drugich ciągnąć do grzechu? Gdzie te oczy co grzeszyły i drugich do grzechu skłaniały? W jednej garści trzymam tego który obraził Boga co swą duszę potępił, aby się przypodobać być może znikomemu światu!...

Takie kazania czyniły silne wrażenie nietylko na ludziach prostych ale i na wykształconych.

Gdy w miasteczku Sermoneta odbywał misję, jeden ze słuchaczy, ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich, wyśmiewał się z O. Antoniego w kościele. Sługa Boży dalej mówił, ale wzrok swój zatopił w winowajcę i tem tylko skruszył grzesznika, bo ten spuścił oczy, a po kazaniu padł do nóg błogosławionemu, prosił o przebaczenie i o spowiedź. Gdy otrzymał małą stosunkowo pokutę, prosił o większą, O. Antoni zobowiązał się biczowaniem siebie zadośćuczynić sprawiedliwości Bożej za jego grzechy.

Innym razem w Sonnino, gdy kilku złoczyńców przypadkowo słuchało w ukryciu kazania Ojca Antoniego, tak ich ono wzruszyło, że wyspowiadali się i odtąd żyli, jak przystało na dobrych chrześcijan.

Na zakończenie wszystkich kazań o występkach, O. Antoni dla łatwiejszego pobudzenia słuchaczy do żalu, biczował się do krwi przez czas dłuższy. Następnie wołał: „Tu przed obrazem Najczystszej Dziewicy rzućcie wszystkie książki nieskromne, obrazki bezwstydne, wszystko co do grzechu prowadzi.

Kto miał przy sobie podobne przedmioty, zaraz oddawał, inni spieszyli do domu i przynosili je czemprędzej, a umyślnie na to przeznaczeni okapturzeni ludzie, zbierali takowe. Następnie kaznodzieja odzywał się:

„Przyjm o Najświętsza Panno pomnik, jaki Ci stawiamy“ i ustawiwszy wielki stos z książek zakazanych, kart do grania, obrazów nieprzyzwoitych, podarków zdradliwych, zapalał wszystko na cześć Marji ku wielkiej radości obecnych nawróconych grzeszników. Zwykle wszystko paliło się przed obrazem Matki Boskiej „Ucieczki grzeszników“, który O. Antoni woził zawsze ze sobą, wyjątek zrobiono tylko dla broni morderczej, zakazanych noży, sztyletów i pistoletów, które rozkazał papież Klemens XI O. Antoniemu, odsyłać do zamku św. Anioła w Rzymie.

Cuda podczas kazań misyjnych błog. Antoniego.

Raz podczas kazania misyjnego w Norma, zaczął się wydobywać dym gęsty z pobliskiego domu. Na widok grożącego nieszczęścia, wszyscy pospieszyli na ratunek swych mieszkań. Wówczas O. Antoni zawołał:

— Stójcie i przeżegnajcie się!

W tej chwili dym ustał, a gdy po kazaniu weszli do tego domu, nie spostrzegli ani śladu ognia.

Podczas misji w górzystej okolicy terentyńskiej djecezji w Patrika, zebrał się lud za miastem dla słuchania kazania, gdy oto całe niebo pokrywa się ołowianemi, ciężkiemi chmurami z grzmotem, błyskawicami, i już poczynają raz po raz padać większe krople deszczu. Burza zdawała się pewną. O. Antoni zawołał:

— Nie uciekajcie i nie obawiajcie się przemoknąć, bo to wszystko jest dziełem szatana!

Rzecz dziwna! zaledwie wyrzekł te słowa, lud zatrzymał się bez żadnej trwogi, padłszy na kolana, słuchał kazania. Chociaż burza zdawała się wzrastać i coraz bardziej srożyć, tak, że dokoła na górach ulewny deszcz padał, pomimo tego, na jego słuchaczy nie padła ani kropla deszczu.

Zresztą O. Antoni swoją żywą wiarą umiał zawsze u Boga wyprosić usunięcie każdej przeszkody w swoich kazaniach. Dwa razy zaszły podobne wywypadki w Palestrina, miasteczku położonem niedaleko Rzymu, raz w Genazzano, gdzie się znajduje cudowny obraz Matki Boskiej „dobrej rady“ i w wielu innych miejscach.

O. Marangoni, Filipin, zeznał pod przysięgą w procesie beatyfikacyjnym O. Baldinucciego:

— Mogę powiedzieć, że ile razy znajdowałem się z tym Ojcem na misjach ludowych, czy to podczas kazania, czy procesji, gdy burza wisiała nad naszemi głowami, sługa Boży z silną wiarą rozkazywał odmówić „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“ za dusze w czyścu będące (za które bardzo często się modlił) i widoczny zaraz był skutek, a było to rzeczą tak zwykłą i łatwą u niego, że zdawało się, iż on rozkazuje chmurom, aby deszcz nie padał.

Podczas ostatniej nauki na misji w Wignanello, gdy nad ludem bardzo licznie zebranym, zebrały się chmury grożące nawałnicą i już rozpoczął deszcz padać. a ludzie zabierali się do ucieczki, O. Antoni zawołał:

— Zatrzymajcie się wszyscy i zmówcie „Zdrowaś Marja“.

Gdy to wymawiał, pewien zakonnik reguły św. Franciszka, słuchając kazania z okna swego klasztoru, odezwał się do obok stojącego towarzysza Ojca Sonita.

— Co on chce przez to zrobić? przecież już deszcz pada.

Na to O. Sonit:

— Nie znasz jeszcze tego Ojca, teraz zobaczysz, co on może!

I rzeczywiście, zaledwie O. Baldinucci pomodlił się z ludem, deszcz ustał i równocześnie chmury ustąpiły otwierając nad zebranymi błękit nieba.

Czasami, jak to się zdarzyło między innemi także w Palestynie, gdy mówił ze zgrozą o grzechu, jakby Niebo samo chciało mu wtórować, gdyż niespodziewanie grzmiało i widać było błyskawice.

W maju r. 1716 równocześnie znajdował się w kościele św. Klemensa w Welletri, słuchając spowiedzi i na ambonie w pobliskiej wiosce.

Inne ciekawe i przedziwne zdarzenie zaszło w Giulianello 1706 r. w połowie kwietnia. Właśnie wracał z misji w Welletri i szedł w tym samym celu do miasteczka Rokka Massima, gdy oto po drodze zatrzymali go mieszkańcy miasteczka Giulianello i prosili, aby u nich miał misję. O. Antoni zgodził się na to, poszedł i wedle zwyczaju swego, procesją z bractwami obszedł miasto, zwołał w ten sposób lud do kościoła i kazanie wstępne zakończył srogiem biczowaniem się na ambonie.

Dnia następnego, było to dnia 12 kwietnia po mszy św. i krótkiej nauce, wyprowadził lud za miasto przed kościołek Matki Pocieszenia, gdzie szerokie było miejsce, otoczone wiązami, tutaj wszedł na zrobioną naprędce ambonę i począł mówić o miłosierdziu Boskiem. Wypadło mu wspomnieć także o piekle.

— Dzieci moje — rzekł — chcecie wiedzieć, jak codziennie padają dusze do domu djabła? Oto tak, jak z tego drzewa padają liście!

W tejże chwili z wielkiego wiązu poczęły padać liście w takiej ilości, że osoby stojące pod jego gałęziami, wzajemnie się nie widziały.

Nadzwyczajne zjawisko wzruszyło obecnych. Wszyscy z płaczem poczęli wołać: „Boże miłosierdzia!“ Spadanie liści trwało tymczasem przez przeciąg czasu potrzebny do odmówienia cztery razy „Wierzę w Boga“, aż O. Antoni chcąc zmniejszyć przerażenie ludu, zawołał:

— Dosyć!

Równocześnie przestały liście spadać. Co prawda, nie wiele ich już pozostało na tem drzewie.

Czas był wówczas piękny, wiosenny, nie było najmniejszego wiatru, liście były zaledwie rozwinięte, z innych wiązów ani jeden liść nie spadł, ztąd wszyscy mówili, że to był cud. Czterech kanoników, naocznych świadków tego zdarzenia, przysięgą stwierdziło jego prawdziwość.

Łatwo sobie wyobrazić, jak wiele było nawróceń przy takich misjach, jak głęboko utkwiły w sercach słuchaczy słowa błogosławionego. Jeszcze po dziś dzień pamięć o misjach O. Antoniego żywo przechowuje się pomiędzy ludnością, gdyż powtarzają sobie owe opowieści z pokolenia w pokolenie.

Cudowny obraz Matki Boskiej „Ucieczki grzeszników“ i jego ukoronowanie.

Nabożeństwo do Matki Boskiej od lat dziecinnych nauczyło O. Antoniego, iż w niem znajduje się najsilniejszy puklerz przeciw wszystkiemu złemu, jakie nas spotyka. W następnych latach miłość i cześć ku Najświętszej Dziewicy bezustannie wzrastała. Na misjach zawsze nosił ze sobą kopję obrazu, znajdującego się w kościele Matki Boskiej Śnieżnej w Rzymie, nawet sprawił sobie chorągiew z Jej wizerunkiem ażeby używać takowej w procesjach, wszystko to jednak było dlań jeszcze za mało, pragnął mieć taki obraz, któryby we wszystkich wzniecał gorące nabożeństwo do najpotężniejszej Pośredniczki u Boga.

Na wiosnę 1709 r. około Witerbo na misji spostrzegł O. Antoni prześliczny obrazek Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Na zapytanie, gdzie się oryginał tego obrazka znajduje, odpowiedziano, że w Poggio Prato. Ciekawa jest historja tego obrazu.

U podnóżka pagórka zwanego Poggio Prato, wznosi się kościołek ku czci Najśw. Panny *Dębowej*. Przy końcu wieku XVII był tam las dębowy. Ka-

żdego, kto przezeń przechodził, napastowały strachy i złe duchy krzykiem przeraźliwym.

W czerwcu 1690 r. wieśniak Antoni Rossi dla skrócenia drogi, chociaż wiedział o niebezpieczeństwie i jakkolwiek była to pierwsza godzina po północy, jednak zdobył się na odwagę i wjechał konno do tego lasu.

Zaledwie zrobił kilka kroków, coś zaczęło przeraźliwie ryczeć i tyle się ukazało piekielnych potworów, że przerażony Rossi zemdlał i spadł z konia.

Gdy nieco przyszedł do siebie, wezwał na pomoc Najświętsze Imiona Jezus i Marja, wstał i uciekł z lasu. Przypomina sobie, że ma w domu obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Była to płaskorzeźba, znaleziona przezeń w ruinach jakiegoś pałacu.

— Oddam — mówił — ten las w opiekę Tej, która swą dziewiczą stopą starła głowę piekielnego węża.

W dwa dni potem dokonał obietnicy, obraz zaniósł na miejsce swojej przygody i umieścił w rozpadlinie starego dębu. Od tego czasu las był wolnym od nagabywań złych duchów.

Wieść o tem rozeszła się po okolicy, poczęły się pielgrzymki do potężnej Oswobodzicielki dębowego lasu. Ztąd powstała nazwa Najśw. Panny Dębowej.

Ucieszony wieśniak z tego nabożeństwa, począł więcej cenić ustawiony przez się obraz, i żal mu się zrobiło, że go niema u siebie. Postanowił zastąpić go podobnym, a tem śmielej na to się zdecydował, ponieważ płaskorzeźba była delikatnej roboty, malowana olejnemi farbami, więc łatwo mogłaby się zepsuć wskutek deszczu i zmiany powietrza.

Gdy wspiął się na dąb i chciał zdjąć obraz, jakaś siła niewidzialna pomimo usiłowań, nie dozwoliła mu tego uczynić. Wiedział dobrze, że nikt obrazu nie przymocowywał, poznał więc w tem zdarzeniu wolę Najśw. Panny, że chce być na tem miejscu czczoną. Dopiero gdy odstąpił od swego zamiaru, obraz bez najmniejszej trudności dawał się wyjmować.

Ten nowy cud pobudził ludność do wybudowania na tem miejscu kapliczki, a następnie kościoła, w którym ta kaplica z częścią dębu znajduje się po dzień dzisiejszy.

O. Antoni polecił zrobić kopię tej płaskorzeźby, nazwał Ją „Ucieczką grzeszników“, sam wykonał dla niej przenośny ołtarzyk i odtąd we wszystkich podróżach misyjnych zawsze nosił ze sobą.

Już w pierwszym roku zdobył dla niej prześliczne ozdoby. Ekswota mnożyły się z dniem każdym. Bo też Najśw. Panna rozdzielała hojną ręką łaski Boże, przedewszystkiem nawrócenia grzeszników.

Gdy tak wzrastała sława cudownego obrazu, O. Baldinucci gdzie tylko z nim się ruszył, całe tłumy w procesji go odprowadzały i każdy miał sobie za wielki zaszczyt nieść ołtarzyk. Często najwybitniejsza szlachta okoliczna niosła na barkach swoich obraz „Ucieczki grzeszników“, rozszerzano lub robiono nowe drogi dla procesjonalnych pochodów, stawiano nowe mosty, ścielono kwieciem i dywanami miejsce, którędy miano obraz przenosić.

W swoim dzienniku misyjnym wspomina O. Antoni, że niezliczone były łaski jakie otrzymywali, ci którzy się modlili z wiarą silną przed tym obrazem; on sam doświadczył szczególniejszej opieki Matki Boskiej, gdyż ile razy ten obraz miał ze sobą, deszcze zatrzymywały się w powietrzu, ustępowały nawałnice i uspokajało się morze wzburzone.

Czasami dziwne zdarzały się rzeczy, o których błog. Antoni nie lubił wspominać, bo się odnosiły bezpośrednio do jego osoby. Przypadek chciał, że się czasami wykrywały.

Tak np., po skończeniu misji w Sermoneta, miał O. Baldinucci udać się na inną misję. Dzień przedtem wieczorem poszedł do kościoła, zdawało mu się, że tam już nikogo niema. Uklęknął przed swoim umiłowanym obrazem i począł gorącą modlitwę. Po chwili parę osób, które znajdowały się przed kościołem, spostrzegły O. Antoniego podniesionego nad ziemią. Między innymi był tam doktór Fabiusz Benci, który zeznał potem pod przysięgą:

— Słyszałem najwyraźniej jak błogosławiony zapytywał Matki Boskiej, gdzie się ma udać na misję. Na co z obrazu Matki Boskiej słyszy słowa:

Synu, udajmy się do Normy, tam jest lud lepszy... W tej chwili wszystkie w kościele świece zajaśniały, jakby je kto zapalił, a O. Antoni w zachwycie dłuższy czas znajdował się po nad ziemią. Wówczas doktór i kilku kanoników, którzy byli świadkami tego zdarzenia, zdumieni i prawie przerażeni, czemprędzej oddalili się z przed drzwi kościoła.

Innym razem w r. 1715 zaledwie przybył na misję do Kantalice, przybiega doń jakaś kobieta zrozpaczona, której skradziono synka i od dwu dni pomimo poszukiwań, nie udało się go znaleść. Z nożem w ręku w strasznym gniewie, staje przed O. Antonim i mówi:

— Ojcze święty, pomóż mi, uproś Matkę Najświętszą i zrób, abym mogła odszukać mego synka, w przeciwnym razie z rozpaczy tem żelazem zabije się i dam duszę djabłu!

Sługa Boży wyrwał z rąk jej nóż, ustawił obraz Matki Boskiej i tak się odezwał:

— Klęknijmy i zmówmy litanię do Najśw. Panny, aby ci Najśw. Dziewica powiedziała gdzie się twój syn znajduje. Twój syn nie umarł!

Po odmówieniu litanji O. Antoni powiedział stroskanej kobiecie:

— Idź do swego domu, a znajdziesz syna wśród słomy, którą zwykle dajesz wołom i opowiadaj, że Najśw. Panna, nasza Matka sprawiła, że go znalazłaś.

Pospieszyła kobieta do domu i tak, jak jej powiedziano, znalazła synka w słomie zupełnie zdrowego; pełna radości wzięła go za ręce i zaniosła pokazać O. Antoniemu. Sługa Boży napomniał ją kilku słowy, aby nigdy nie traciła ufności w Bogu i rozkazał, aby opowiadając zdarzenie, przypisywała je tylko wstawiennictwu Najśw. Panny. Zrazu zastosowała się do tego zlecenia, lecz później nie mogła wytrzymać i wszystkim opowiedziała co zaszło.

„Tyle łask Bóg rozdzielał, mówi O. Baldinucci w swym dzienniku misyjnym, tym, którzy modlili się przed cudownym obrazem, że trudno wszystkie zliczyć. Największe i najczęstsze odnosiły się do dobra duszy, jako to: przezwyciężenie wstydu w wyznaniu szkaradnych grzechów, tajonych przy spowiedzi przez lat wiele. zapanowanie nad sercem pałającem nienawiścią lub zemstą i t. p.“

Gorące nabożeństwo do Matki Boskiej, wdzięczność za tyle łask, jakich sam i inni doświadczyli przed tym obrazem, skłoniły go do podjęcia starań, aby „Ucieczkę grzeszników“ ukoronować. W tym celu postanowił wnieść prośbę do papieża Klemensa XI i do kapituły św. Piotra w Rzymie, która ma przywilej koronowania cudownych obrazów Matki Boskiej.

Zaledwie rozeszła się wieść o zamiarze O. Antoniego, nawet najżyczliwsi odradzali, uważając za rzecz możliwą. Trzy przedewszystkiem były ważne przeszkody: pierwsza, że obraz nie był stary, lecz zaledwie upłynęło lat dziesięć, jak wyszedł z pod pędzla malarza; powtóre, że nigdy nie znajdował się na jakiemś stałem miejscu, lecz bezustannie go przenoszono; wreszcie stały fundusz na koronację, w tym czasie już był przeznaczony dla innego obrazu.

Pomimo tego O. Baldinucci niestracił ufności, „że wszystko da się zrobić“.

Istotnie Ojciec św. bardzo przychylnie zgodził się na jego projekt i dał osobnem pismem zwolnienie co do pierwszych dwu przeszkód, trzecią usunął kardynał Albani, przełożony Kapituły św. Piotra, bo z własnych funduszów sprawił koronę. Pełen nabożeństwa do tego obrazu, sam znaczną sumę ofiarował na urządzenie kosztownej uroczystości, przybył do Fraskati i w dniu 4 lipca 1717 ozdobił złotą koroną „Ucieczkę grzeszników“.

Nawracanie grzeszników i jednanie zwaśnionych.

Każda misja ludowa pozostawia po sobie owoce błogosławione, cóż dopiero powiedzieć o takich, jakie odbywał O. Antoni, obdarzony łaską, gorliwością, zapałem i poświęceniem się dla chwały Bożej i zbawienia bliźnich. Nie ograniczał się do kazań misyjnych, wiedział dobrze, że ci którzy spieszą na nauki, chociażby byli bardzo źli przedtem, już dużo okazują dobrej woli temsamem, że przychodzą. Lecz czy wszyscy grzesznicy przyjdą? czy wszyscy zechcą się nawrócić?

Doświadczenie nauczyło go, że najgorsi boją się iść na nauki misyjne i wolą raczej trwać w grzechu z wyrzutami sumienia, niż pójść słuchać kazań, tak silne pęta złych skłonności na siebie włożyli.

O takich biedakach nie zapominał O. Antoni i spieszył gdzie mógł, aby ich wydostać z sideł złego ducha.

Oto parę przykładów: O. Baldinucci odbywał misję w Kastelnuowo, skończył ostatnią naukę, wszyscy się rozeszli bo noc już zapadła. Ojciec Antoni nikomu nic nie mówiąc, sam boso pospieszył 10 mil włoskich (około półtory mili polskiej) do miejscowości zwanej Posta. Zatrzymał się w jakiejś stajni, skrył się w niej i czekał. Po upływie godziny zbliżają się do niej cztery osoby: dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Byli to dwaj bracia, że znacznej rodziny i dwie bardzo złego życia dziewczyny. Mieli zwyczaj schodzić się tam zwykle w nocy, bo za dnia wstydzili się, aby ich kto nie spostrzedł. Bóg jednak, który „nie chce śmierci grzesznika, lecz aby się nawrócił i żył“, wysłał w to miejsce O. Baldinucciego. Gdy go spostrzegli, chcieli stajnie opuścić, lecz ten zaszedł im drogę i tak skruszył ich serca ojcowską nauką, że padli oni na kolana ze łzami w oczach i postanowili wyspowiadać się na misji.

O. Antoni nie spostrzegł, że wikarjusz generalny z Farfy i wikarjusz apostolski z Posty, ks. Joachim Pichi, który niebawem został biskupem w pewnej odległości postępowali za nim i widzieli co zaszło. Oni ogłosili to zdarzenie, twierdząc, że tylko duchem proroczym obdarzony człowiek mógł w tym wypadku przewidzieć i przeszkodzić zgorszeniu.

Innym razem, gdy się znajdował w Paliano, odezwał się do Brata Bartłomieja Pace, który mu towarzyszył w podróży.

— Chodźmy do Palestryny.

Niebawem pieszo przybyli przed kościół katedralny tego miasta, weszli doń i zaczęli się modlić przed Przenajśw. Sakramentem. Po chwili odezwał się O. Antoni do Brata Bartłomieja:

— Idź do chóru, gdzie się modlą przewielebni księża kanonicy i zawołaj ks. kanonika S.

Braciszek wszedłszy do chóru, dopytał się o księdza S., a ten usłyszawszy swoje nazwisko prędko powstał i zapytał:

— Kto mię woła?

Przyszedł do kościoła O. Baldinucci, Jezuita, i chce mówić z Waszą Wielebnością.

Zakłopotał się kanonik zrazu i zamilkł, po chwili odrzekł:

— Ja nie wiem, co to za Ojciec Jezuita, nie znam go.

Pomimo tego, aby nie okazać się nadto niegrzecznym wyszedł z chóru do O. Baldinucciego i mówi:

— Czego życzy sobie Wasza Wielebność? nie wiem kim jesteście?

O. Antoni po kilku grzecznych słowach powitania, skłonił się z pokorą nawet do pocałowania ręki kanonika, następnie wyprostował się i z największą powagą, jakby w natchnieniu i w poselstwie Bożem i wyrzekł:

— Księże kanoniku! Pan Bóg nie może dłużej cierpieć twego niegodziwego życia!

Słowa te, jak piorun z jasnego nieba, uderzyły w serce kanonika; zadrżał, rozpłakał się jak dziecko zaraz poprosił O. Baldinucciego do konfesjonału. Spowiedź trwała przeszło godzinę.

Brat Bartłomiej później opowiadał:

— Znane mi są wszystkie grzechy i zgorszenia tego kanonika, bo po spowiedzi, gdy O. Antoni poszedł mówić brewiarz, wszystkie mi swoje grzechy opowiedział w wielkim zapale... i kilkakrotnie powtarzał: Niech Bóg błogosławi waszemu Ojcu, że mię wybawił z objęć szatańskich.

Trudniejsza sprawa była jednać zwaśnionych. Czasami zastawał bardzo wzburzone nawzajem umysły. Tak np., w jednej wiosce podczas dwu lat, prócz częstych sprzeczek kończących się rozlewem krwi, było przeszło 300 wypadków morderstwa. Współczesny kronikarz mówi, że wówczas zastrzelić człowieka, nie większego kosztowało zachodu, jak zabić zwierzynę. Można więc sobie wyobrazić, ile trudu musiał podjąć misjonarz, aby uspokoić, pojednać, skłonić do przebaczenia.

Raz, po kilku naukach, prośbach, groźbach, biczowaniu się do krwi, prócz kilku kobiet, nikogo nie mógł skłonić do zgody. Wówczas inną przybrał postać; twarz zajaśniała mu jakimś świętym gniewem, pochwycił krucyfiks, przycisnął do piersi i zawołał z ambony:

— Idź, ludu przeklęty! — i nie czekając odpowiedzi, wyszedł z kościoła.

Lud zadrżał z przerażenia, nikt nie śmiał się ruszyć z miejsca. O. Antoni z okna swego mieszkania, zawołał donośnym głosem, aby się rozeszli, bo nie są godni nawet oglądać twarzy Ukrzyżowanego. Lud począł płakać i prosić o dalsze nauki. Od tej chwili serca słuchaczy nieco zmiękły i misja dobry przyniosła owoc.

Chociaż rzadko, czasami i błog. Antoniemu nie udało się nawrócić jakiejś duszy, wówczas mówiono mu, aby stosował się do słów Pisma św. „Leczyliśmy Babilon a nie jest uzdrowiony, opuśćmy go“, lecz błogosławiony dopóty dokładał starań, aby grzesznika nawrócić, dopókąd w sumieniu nie był przekonany, że wszystkich użył możliwych środków dla zbawienia duszy.

W r. 1702 znajdował się na misji w Montopoli, położonej w górach Sabińskich. Żyły tam dwie panny, sieroty, którym przed trzema laty zamordowano brata, jedyną podporę i nadzieję domu. Pałały zemstą nietylko przeciw mordercy, ale także przeciw całej jego rodzinie. Wszelkie usiłowania tamtejszych kapłanów, aby zagniewane pojednać, były nadaremne, obydwie siostry przestały uczęszczać do Sakramentów świętych. Na wieść o przybyciu Ojca Baldinucciego, jedna z nich uciekła do Rzymu, druga zamknęła się w mieszkaniu z postanowieniem nie słuchania ani jednej nauki.

Przypadek zdarzył, że O. Baldinucci, obchodząc wedle zwyczaju w procesji całe miasteczko, zatrzymał się przed mieszkaniem owej panny i począł kazać do ludu. Ciekawość niewieścia przezwyciężyła gniew. Poczęła słuchać słów misjonarza, znalazły one oddźwięk w jej duszy, łaska Boża zmiękczyła twarde serce. Odważyła się wyjść z domu, brać udział w procesjach pokutniczych, wspólnych modlitwach, a gdy kapłan wołał do obecnych, aby wzajemnie darowywali swe urazy z miłości ku Ukrzyżowanemu, który nam przebaczenie wyjednał, pierwszą z nawróconych pokutnic była owa panna; padła przed krzyżem, uściskała matkę i ucałowała ręce ojca mordercy swego brata. Podobnie pojednała się z dalszymi krewnymi, a że to wszystko odbywało się publicznie, wzruszenie opanowało obecnych do łez, kilka osób z nadmiaru radości zemdlało.

Siostra nawróconej panny na wieść o tem co zaszło, z gniewem wraca do domu i postanawia ukarać winowajczynię. Po drodze gniew wzrastał, a gdy przybyła do rodzinnej wioski, wpadła w taki szał złości, iż z nożem rzuciła się na siostrę. W tejże chwili dostała konwulsji i wśród spazmów upadła na ziemię. Gdy nieco przyszła do siebie, znalazła się na łóżku w silnej gorączce.

O. Baldinucci dowiedziawszy się o tym wypadku, niby przypadkowo w procesji udał się z ludem przed dom chorej niewiasty i wypowiedział kazanie o Boskiem przykazaniu miłości bliźniego i obowiązku pojednania się z nieprzyjaciołmi. Przy końcu kazania u stóp krucyfiksu wielu pojednało się zwaśnionych. Pomimo tego chora nie chciała nawet ze swego pokoju słuchać pięknej nauki i trwała w gniewie. Wówczas O. Antoni tak jak był w sukni pokutniczej, z kilkoma inuymi osobami wszedł do jej mieszkania. Na widok błogosławionego zawrzała nową złością i poczęła krzyczeć:

— Czego tu chcesz mnichu? zabieraj się i idź ztąd precz!

O. Antoni ukląkł z otoczeniem i począł się modlić. Wówczas chora jeszcze głośniej zawołała:

— Precz mnichu obrzydły, ruszaj ztąd, ja ciebie nie potrzebuję!

O. Baldinucci chciał ją kilku łagodnemi słowy uspokoić i począł mówić o miłości bliźniego, o przebaczeniu urazy i t. p., lecz chora coraz gwałtowniej krzyczała i przeklinała.

Wtedy sługa Boży wyjął dyscyplinę, odkrył swe barki, już krwią zbroczone od poprzednich biczowań i wobec wszystkich na nowo począł się chłostać. Krew się lała a on ciągle bił się i wołał: „Boże miłosierdza! Boże przebacz!“

W jednej chwili zaszła zupełna zmiana — chora uspokoiła się — następnie kazała zawołać ojca i matkę mordercy, oraz jego krewnych, pojednała się ze wszystkimi, a wkońcu wyspowiadała się przed O. Antonim z wielkim żalem i nabożeństwem.

Po niejakim czasie, gdy O. Antoni znajdował się na misji w innej okolicy, obydwie siostry pospieszyły, aby słuchać jego nauk spowiadały się przed nim, przyjęły Komunię św. i odnowiły przyrzeczenie darowania winy.

Podczas wycieczek misyjnych O. Antoni zatrzymywał się na prośby biskupów, dłużej w miastach, gdzie było więcej księży, ażeby dawać rekolekcje kapłanom, zwłaszcza księżom proboszczom. Jak skuteczne były jego nauki, dowód był najoczywistszy w gorliwości, a często w zupełnej zmianie życia tych, którzy na rekolekcje przybywali. Niektórych taki zapał ogarniał, że spieszyli za O. Antonim, dzielili jego trudy, dopomagali w słuchaniu spowiedzi i uważnie przysłuchiwali się naukom misyjnym, ażeby nauczyć się jak mają przemawiać ze skutkiem do swoich parafjan.

Dbałość o domy Boże.

Na rekolekcjach O. Baldinucci obok innych rzeczy, bardziej zachęcał księży do utrzymywania czystości w kościołach i sprzętach kościelnych i do starania się o uszanowanie dla miejsca świętego, jednem słowem, aby każdy mógł powiedzieć z Psalmistą; *Panie, umiłowałem ochędóstwo domu Twego i miejsce mieszkania chwały Twojej* (Ps. 25, w 8).

Z tej samej przyczyny postarał się w kilku djecezjach o wybudowanie nowych lub przebudowanie starych kościołów. Tak np. w 1705 r. w drodze do Civita Dukale, spostrzegł wiele kościołów w gruzach, w skutek strasznego trzęsienia ziemi r. 1793, między innemi także w Antrodoku. Po kilku naukach misyjnych, gdy z okolicznych wiosek dużo zebrało się ludu, zachęcał raz z ambony, aby usunęli rumowisko pod budowę nowego kościoła i nie czekając odpowiedzi, zeszedł z kazalnicy i sam począł przenosić ciężkie kamienie. Lud poszedł za jego przykładem. W krótkim przeciągu czasu rumowisko było rozebrane, miejsce pod kościół oczyszczone tak, że można było zaraz rozpocząć budowę.

Gdy w parę lat później znajdował się w tejże samej okolicy, powiedziano mu, że kościół już na wykończeniu. Skorzystał z tego, aby na zakończenie misji w sąsiedniej wiosce odśpiewać w nowym Antrodockim kościele *Te deum laudamus*, i udał się tamże z 5000 ludzi. Po drodze dowiaduje się, że sklepienie i dach kościoła, świeżo zawaliły się wskutek wadliwej budowy.

Wszyscy czemprędzej udali się na miejsce nieszczęścia. O. Antoni wszedł na ambonę i tak goraco zachęcił lud do pracy, że w kilku godzinach rozebrano mury. sprowadzono wielką ilość wapna, a w parę dni później już postępowała nowa budowa. Po roku znowu tenże kościół sklepiony stanął pod dachem.

Było to w r. 1717, O. Baldinucci znajdował się nie opodal Antrodoku. Przybiegają doń ludzie ze smutną wiadomością, że nowy kościół po raz wtóry wybudowany, znowu się zawalił z całem sklepieniem. Ojciec Antoni spieszy do Antrodoku, staje na ambonie i zapowiada misję.

— Grzechy popełnione w tym kościele — mówił — stały się przyczyną jego upadku, oczyśćcie dusze przez gorliwy udział w misji, a wszystko się jeszcze naprawi.

Tak jak przepowiedział sługa Boży, wszystko się spełniło. Misja trwała przez dziesięć dni, a owoce jej były niesłychane. Wszyscy doszli do przekonania, że grzechy ich były przyczyną takiej kary Bożej. Po wynagradzającej Komunji św. przystąpiono znowu do roboty. Ojciec Antoni już nie doczekał się jej wykończenia. Dopiero w trzy lata po jego śmierci 1720 r. stanęła wspaniała kollegiata w Antrodoku.

W każdym razie jego zachętom przypisywano, że pomimo zubożenia ludu w bardzo krótkim stosunkowo czasie, bo zaledwie w sześć lat, podniesiono kościół z gruzów.

Na pamiątkę tego zdarzenia umieszczono w kościele tablicę z napisem świadczącym, że gorliwemu misjonarzowi miasto zawdzięcza podniesienie ducha pobożności wśród ludności.

Ostatnie prace i śmierć błogosławionego.

Podczas lata 1717 r. w Sonnino skazano na śmierć jakiegoś zbrodniarza. Pomimo przedstawień tamtejszych kapłanów, ów zatwardziały grzesznik nie chciał nawet słyszeć o spowiedzi. Zawiadomiony o tem papież, troszcząc się o duszę skazańca, sądził, że najlepiej będzie wysłać doń O. Baldinucciego, aby go skłonił do pojednania się z Bogiem. Dał więc

polecenie O. Antoniemu, aby się udał w tym celu z Fraskati do Sonnino.

Upały były wielkie, noc w Kampanji rzymskiej dla wyziewów zabójcza, pomimo tego sługa Boży z wielką radością wybrał się w drogę, bo mu się zdawało, że ten akt posłuszeństwa Stolicy świętej będzie mógł przepłacić zdrowiem. Przybył jednak szczęśliwie do Sonnino i to bardzo prędko, a jak zwykle boso. Długa modlitwa O. Antoniego przed obrazem Matki Boskiej „Ucieczki grzeszników", wyprosiła zbrodniarzowi upamiętanie się, skruchę serca, więc nie potrzeba było długo namawiać go do spowiedzi. Wykonanie wyroku niebawem nastąpiło. O. Baldinucci towarzyszył przestępcy do ostatniej chwili, a gdy jego głowa odcięta mieczem spadła z rusztowania, własnemi rękoma wziął trupa i zaniósł do grobu.

Dużo było świadków tej sceny, a między innymi i tacy, którzy chcieli przemocą wyrwać z rąk sprawiedliwości swego towarzysza i wspólnika w zbrodniach.

O. Baldinucci dowiedziawszy się o tem, tak gorąco przemówił, że słowa jego skruszyły najzatwardzialszych grzeszników i niejedną, po ludzku mówiąc, zgubioną duszę wprowadził na drogę uczciwą.

Z Sonnino udał się na misję w Rokkasekka, pogodził tam wiele umysłów zwaśnionych, a taki był zapał po jego naukach, że 40 mężczyzn złożyło u stóp Marji broń morderczą, a zarazem i nawrócone swe serca. Jeden tylko nie chciał pojednać się z nieprzyjacielem, i broń, którą nosił w zamiarze zabójstwa, wzbraniał się złożyć, jak to inni czynili przed obrazem Najśw. Dziewicy. Spotkała go kara niebawem, bo oto sam uległ śmierci morderczej i pchnięty został tym samym sztyletem, który nosił ze sobą.

Tymczasem dochodziły prośby do O. Baldinucciego z miast różnych wzywające go na miejsce. Czuł O. Antoni, że się zbliża jego ostatnia chwila, to też wzrastała gorliwość, aby jak najwięcej zdobyć dusz dla Boga, dopóki ostatnie tchnienie nie przerwie mu tej pracy. Spostrzeżono w nim niezwykły pośpiech w wędrówkach, a taki zapał ogarniał go już na ambonie, iż zdawał się być w natchnieniu. Tak był przekonanym o swym blizkim zgonie, że przepowiadał kilkakrotnie swą śmierć, nawet miejsce, gdzie ma nastąpić.

W tym właśnie czasie próbował nawrócić bluźniercę. Wszelkie napomnienia nie pomogły, a gdy grzesznik na nic nie zważał, odezwał się O. Antoni, że doświadczy niebawem kary Bożej: i oto w tejże chwili oślepł zupełnie. Ślepota oczu otworzyła mu wzrok duszy. Skruszony i upokorzony stanął przed misjonarzem i padł mu do nóg, prosząc o ratunek. Każe mu O. Baldinucci namaścić oczy oliwą z lampki zawieszonej przed obrazem „Ucieczki grzeszników". Zaledwie oczy przetarł, wzrok znowu odzyskał. Teraz także padł twarzą do ziemi, aby opłakiwąć swe występki i przez spowiedź pełną skruchy oczyścić swą duszę.

Z końcem października tegoż r. 1717 odbywał O. Antoni misję w Pofi. Ci, którzy brali w niej udział, widząc zapał misjonarza, czy to na ambonie, gdy głosem silnym, donośnym przemawiał, czy gdy po kilka godzin w konfesjonale przesiadywał ani się domyślali, że to jego ostatnie chwile.

Już dzień ósmy odbywała się misja, miał właśnie naukę o śmierci. Na zakończenie odezwał się w te słowa:

— Wielu z was obecnych w tej świątyni prędko umrze, lecz ja pierwszy i to niebawem tu w Pofi.

Łatwo wyobrazić sobie, jakie to wywarło wrażenie. Tegoż dnia jeszcze miał jedną naukę. Gdy go zobaczono na ambonie, nie chciano wierzyć, aby smutna przepowiednia miała się spełnić.

Dnia następnego zrana, a był to dzień 26 października, lud zebrał się jeszcze liczniej w kościele. Naprożno jednak wyczekiwał swego ukochanego Ojca, silna gorączka nie dozwoliła mu powstać z łóżka. Margrabia Szymon de Carolis, w którego pałacu zamieszkał O. Antoni, zawezwał kilku lekarzy do łoża chorego i najtroskliwszą otaczał go opieką. Zdawało się, że silna gorączka, da się przerwać, jeden O. Baldinucci stanowczo twierdził, że czas śmierci się zbliża i poprosił o św. Wiatyk.

Czyniąc zadość prośbie, udzielono mu Komunji św., lecz odłożono na później Ostatnie Sakramenta.

Tymczasem nauki misyjne dalej trwały, dawali je inni Ojcowie przybyli do pomocy O. Baldinucciemu. On sam jednak kierował wszystkiem, podając wskazówki o czem mają mówić, jak urządzić porządek nabożeństw, co więcej, sam na zakończenie misji w dniu Wszystkich Świętych, gdy dawano błogosławieństwo papieskie z odpustami, błogosławił lud u swego łoża krucyfiksem, nieodstępnym swym towarzyszem podczas wszystkich wędrówek. W tymże dniu poprosił znowu o Wiatyk święty. Dla lepszego przyjęcia Pana Jezusa na drogę wieczności, odbył spowiedź z całego życia, długo się modlił, a wezwawszy wszystkich zakonników oraz inne osoby obsługujące go w domu, prosił o przebaczenie jeśli komu w czem uchybił i przyjął Zbawiciela w dniu 5 listopada. Rozpoczęło się długie konanie wśród najboleśniejszych konwulsji. Zdawało się ,że w tym stanie skona. Ocknął się jednak po 18 godzinach, zupełnie oprzytomniał i począł się gorąco modlić. Po chwili, było to na trzy godziny przed skonaniem, zawezwał Brata Bartłomieja, swego długoletniego towarzysza i tak doń mówił:

— Synu, pamiętasz, że w drodze do Pofi dałem ci do zrozumienia, że chcę ci coś powiedzieć?

oto teraz jest czas, wiedz, że cię oczekuję w niebie; staraj się jednak zachować co podyktuję Ojcu Mossi, jako ostatnią moją dla ciebie spuściznę.

O. Mossi wziął za pióro a O. Baldinucci począł dyktować wolno i wyraźnie:

„1. Synu nie opuszczaj rozmyślania.

2. Codziennie przypominaj sobie Mękę Pana Jezusa.

3. Zachowaj przykazania Boże i odrzucaj wszelką herezję.

4. Jak tylko możesz, najczęściej przystępuj do Sakramentów św. znajdziesz w nich wszelką pociechę duchową i doczesną.

5. Bądź wiernym w nabożeństwie do Najśw. Panny i każdego dnia odmawiaj Różanie z litanją, i proś Ją całem sercem, aby cię chroniła od nieskromnych myśli.

6. Przy każdem zajęciu pamiętaj, że cię Bóg widzi, czy dobrze, czy źle czynisz.

7. Przyjmij wszelką krzywdę, jaka cię spotka i nigdy na nikogo nie szemraj; wszystkich ceń wyżej nad siebie".

Po tych słowach dostał znowu silnych konwulsji, cierpiał blizko dwie godziny i znowu wypogodziło się jego oblicze, przycisnął do piersi krucyfiks, zatopił wzrok swój w obraz Matki Boskiej i z uśmiechem na ustach skonał.

Zegar wskazywał godzinę czwartą popołudniu. Dzień był 7 listopada 1717 r.

Rodzina de Carolis niczego nie szczędziła, aby urządzić pogrzeb najświetniejszy i w ten sposób zadośćuczynić pragnieniom kilkudziesięciu tysięcznej ludności, przybyłej zblizka i zdaleka, dla oddania ostatniej posługi uwielbianemu Ojcu.

Taż rodzina pobożna postarała się o zdjęcie maski pośmiertnej z twarzy O. Baldinucciego i zaprosiła czterech malarzy dla wykonania wiernie kilku jego wizerunków. Wreszcie i grób swój rodzinny otwarła na przyjęcie zwłok pokornego zakonnika, widząc w tem zaszczyt dla siebie i zadatek błogosławieństwa Bożego.

Bo też grób zamknął zwłoki męża niezwykłej miary świętości, okazały to liczne fakta za życia i zaraz po śmierci. Zanim je poznamy, przypatrzmyż się raz jeszcze tej pięknej duszy, która rozłączona z ciałem wzniosła się w niebiosa przed tron Boży.

Wielkie cnoty błog. Antoniego.

W O. Baldinuccim cnota nie była czemś przelotnem, chwilowym zapałem, ale stałą i ugruntowaną. Na pół roku przed śmiercią powiedział Ojcu Budrioli, że Bóg prowadził go prawie zawsze po drodze duchowego opuszczenia. Wiadomo, że w ten sposób Bóg prowadzi dusze mężne, przeciwnie zaś, słabe i chwiejne pociesza wewnętrzną słodyczą, aby nie ustały w walce życia. A chociaż o ile to od niego zależało, był zupełnie obojętnym na to, jaką drogą zechce go Bóg prowadzić, to przecież cieszył się i dziękował, że mu wskazał raczej drogę krzyżową. Wiedział bowiem dobrze, że jest pewniejszą, bo bardziej oddaloną od pokus pychy i miłości własnej.

Wśród walki z przeciwnościami, poznajemy nasze słabe strony, przeciwnie wśród powodzenia — nawet duchowego, często się pysznimy i szukamy upodobania w sobie. Zresztą droga ciernista zawsze się łączy z większą zasługą, ztąd raczej O. Antoni wybierał w służbie Bożej to, co trudniejsze, a chociaż czasami był tak zmęczony, że upadał pod ciężarem pracy, zawsze zachował równą swobodę ducha, równe zadowolenie większe jak kto inny wśród największych słodyczy. Co więcej, szukał wzgardy i zniewag, jak inny zaszczytów i rozkoszy. Podczas gdy inni wolą raczej więcej pracować, jak cierpieć dla Boga, on przeciwnie wolał więcej cierpieć jak działać i chętniej zabierał się do pracy, jeśli była połączoną z większem dlań cierpieniem. Zdawało mu się, że tym sposobem będzie służył Bogu jak syn ojcu, jedynie z miłości, a nie jak sługa panu dla zapłaty, przyjemności lub pociechy duchowej. Szukając spokoju i zadowolenia w wypełnieniu woli Bożej, doszedł do tego, że to co kogo innego napawałoby goryczą, dla niego zmieniało się w słodycz. Są ludzie starający się o cnotę, lecz intencja ich nie zawsze zupełnie czysta, bo zaćmiewa ją chęć chwały, towarzyszącej dobrym uczynkom. U O. Antoniego pochodziły uczynki dobre, akty cnoty, jedynie z pragnienia przypodobania się Bogu.

Nie mniejsza u niego czystość intencji, gdy w cudowny sposób uzdrawiał chorych, odkrywał tajniki duszy i t. p.. jak przy wykonywaniu cnót heroicznych: gdy miłował swych oszczerców, zachowywał niczem nieskażoną niewinność do śmierci, odpychał od siebie wszystko, co trąci dobrem znikomem tego świata, lub gdy się umartwiał i narażał trudami apostolskiej działalności życie swe na niebezpieczeństwo śmierci.

Miłość jego ku Bogu była bardzo wielką i bezustannie z Nim go łączyła. Umysł jego, serce i słowa Nim tylko były zajęte. Oburzał się na widok obrazy Bożej i wszelkich sił dokładał, aby wszędzie, zawsze od wszystkich był kochany i wielbiony. Szczególniejsze miał nabożeństwo do Przenajśw. Sakramentu i często rozmyślał o Męce Pańskiej. Jak gorąco kochał Matkę Boską, poznaliśmy wyżej. Ileż razy miewał nauki postne i przy innych sposobnościach zachęcał słuchaczy do modlitw za dusze czyśćowe. Sam w tem był przykładem, bo nietylko codziennie za nie się modlił, ale ofiarowywał rozmaite umartwienia i Mszę św. uroczyście co roku w listo-

padzie odprawiał, aby tylko zmniejszyć dług ich kary.

Pomimo, że bezustannie był Bogiem zajęty i całe godziny nietylko we dnie, ale i w nocy trawił na modlitwie, był wylany dla bliźnich, umiał łączyć życie kontemplacyjne z życiem czynnem. Bał się Boga tak, jak dziecko kochającego ojca, aby jego łaski nie stracić. A był jej bardzo wiernym chociażby najmniejszym natchnieniom i zaraz starał się w czyn wprowadzić, co poznał jako wolę Bożą.

Codzienne rozmyślania i rachunki sumienia, wyrobiły w nim znakomitą znajomość siebie samego, skutkiem czego przy bezustannej pracy nad sobą, doszedł do prawdziwego panowania nad skłonnościami. Zmysły swoje tak umiał ujarzmić, iż zdawało się, że wszystkie w nim zamarły. Z natury usposobienia żywego, wydawał się wszystkim powolnym; nigdy nie powodował się jakąś stronniczością, lub myślą o sobie. Surowość życia tak wycieńczyła jego organizm, że sam czasem żartem mawiał o sobie „ślimakiem jestem bez krwi". A jednak ten człowiek, tak surowy dla siebie, nie do uwierzenia był wyrozumiałym dla innych.

Trudno wyobrazić sobie kogoś bardziej uprzejmego i miłego w obcowaniu z ludźmi. Bo też świętość jego nie była melancholijną, sztywną lub szorstką, lecz wesołą słodką i ujmującą. Zarówno sposób mówienia jak postępowania, był zawsze pełen uszanowania, grzeczności i szlachetności, z zachowaniem przyjętych zwyczajów dobrego wychowania, a już samem pozdrowieniem, uśmiechem, spojrzeniem, przykuwał wszystkich serca do siebie.

Z natury prostoduszny i otwarty, lubował się w szczerości i otwartości. Tam jednak, gdzie potrzeba było zachować tajemnicę, bardzo uważał, aby o danym przedmiocie nie mówić. Jeżeli kto żalił się przed nim, on stawał po stronie nieobecnego oskarżonego, mimo to później, stosownie do okoliczności, na cztery oczy zgromił winowajcę.

Bardzo zwracał uwagę na temperament i skłonności człowieka, ażeby rozpoznać, czy czyjaś chęć pochodzi z naturalnego usposobienia, czy też z cnoty. Ztąd łatwo mógł wyrozumieć, gdy ktoś się wymawiał od jakiego urzędu, czy to pochodziło z chęci uniknienia trudów, lub zaszczytu; czy kto wstrzymywał się od rozmowy dla dogodzenia melancholji, lub dla uniknienia sprzeczki.

Pomagając do wzrostu, cnót, gdzie widział ich zaród w samej naturze, takie podawał środki i lekarstwa tym, których duchowo prowadził, jakieby łatwiej i chętniej przyjęli, a uświęcając naturalne skłonności: popędliwego zmieniał w gorliwego, flegmatyka w cierpliwego, śmiałego w mężnego, bojaźliwego w ostrożnego, małodusznego w pokornego, a w sercach zbyt czułych rozniecał miłość rzeczy niebieskich.

Wielką zwracał uwagę na siły ducha, inaczej postępował z początkującymi w drodze doskonałości, jak z ugruntowanymi w cnocie.

Do każdego usposobienia umiał się zastosować; a jak wstydliwym dopomagał śmiałem zapytaniem i odgadywaniem ich winy, tak obojętnych umiał zawstydzić i do łez pobudzić prawdziwego żalu. Jednem słowem jego roztropność i miłość sprawiały, że każdy odchodził od konfesjonału zadowolony i podniesiony na duchu.

Do tylu darów natury i łaski łączyła się w tym Ojcu głęboka pokora. Znikła z umysłu pamięć na ród szlachecki, na zdolności, natomiast uważał się za najniższego z domowników, za sługę wszystkich— za nic. Myśl o własnych cnotach i wielkich zasługach w nim zamarła, gardził sobą i chciał być wzgardzonym, jako niegodny grzesznik.

Gdy go kto chwalił i cześć mu oddawał, obrażał się jak za widoczną zniewagę. Cieszył się, gdy innych misjonarzy uwielbiano i wychwalano, strzegł się jednak, aby nic nie powiedzieć, ani usłyszeć, coby mogło odnosić się do własnej pochwały. Kto mu chciał zrobić przyjemność, musiał okazywać obojętność względem niego i jego prac.

Nic dziwnego, że Pan Bóg, który sprzeciwia się pysznym a daje łaskę pokornym, słudze swojemu dał dar czynienia cudów w takiej obfitości, jak rzadko innym świętym. Wiedział, że nie użyje tego na własną chwałę lecz na większą chwałę Boga i dla łatwiejszego i obfitszego zdobycia dusz dla nieba.

Cuda błog. O. Antoniego za życia i po śmierci dokonane.

Jak wielką i powszechną była opinia o świętości O Antoniego jeszcze za jego życia, wystarczy tylko parę przytoczyć faktów.

Ks. Dominik Faraoni zeznał w procesie beatyfikacyjnym, że sam był świadkiem, jak ludzie zbierali się przed mieszkaniem O. Baldinucciego i prosili o jakąkolwiek drobnostkę, której używał sługa Boży, czy sukni kawałek, czy choćby okruszyny chleba, jakie po obiedzie zostawił.

Najznakomitsza szlachta włoska, biskupi i kardynałowie, nawet papieże, jak Klemens XI i Benedykt XIII, czcili go jak świętego. Klemens XI często powoływał go z Fraskati na naradę w najważniejszych interesach i polecał siebie i sprawy Kościoła jego modlitwie. Na wieść o jego śmierci odezwał się do ks. biskupa Cremona:

— Straciliśmy naszego O. Baldinucciego, kapłana Bożego! Tak, jak na ziemi polecał nas Bogu, jeszcze skuteczniej sprawi to teraz, gdy cieszy się nagrodą za swoje trudy.

Opinia o jego świętości nie ograniczała się do miejsc, gdzie O. Antoni odbywał misje, lecz szerzyła się w całej Europie i na drugiej półkuli.

W r. 1723 donosił z Kalifornji Ojciec Ignacy Napoli, że nawet Indjanie go znają i dopytują się kiedy przyjedzie, a niektórzy twierdzą, że go widzieli w kościele podczas nowenny do Matki Boskiej.

Nic więc dziwnego, że z rozmaitych stron domagano się relikwji po nim, a przynajmniej jego wizerunku i bardzo czczono obraz „Ucieczki grzeszników“, którą błogosławiony zwykł był nazywać „Misjonarką“.

W Zakonie również go czczono, generał O.O. Jezuitów O. Anioł Tamburini, posłał w podarunku Kosmie III, W. Księciu Toskańskiemu krzyżyk, jaki sługa Boży nosił na piersiach.

Księżna Albani, krewna papieża Klemensa XI, otrzymała kawałek materji jedwabnej, umaczanej w jego krwi.

Niektórzy kapłani porozbierali między siebie części ubrania O. Antoniego, jeden płaszcz jego wziął na misję, drugi biret, inni brewiarz, dyscyplinę, kapelusz i t. p. rzeczy, używane przez niego, tak powszechnie uważano go jako świętego.

W procesach beatyfikacyjnych znajdujemy niezliczoną liczbę zdarzeń nadzwyczajnych i łask otrzymanych za pośrednictwem O. Baldinucciego.

W miasteczku Cekkano, Jan Gizzi od młodości tak miał owrzodzone nogi i całe ciało, że nie mógł wcale chodzić. Proboszcz tamtejszy litując się nad nim, przedstawił go Ojcu Baldinucciemu i prosił, aby go uleczył. Ojciec Antoni przeżegnał go swoim krzyżem misyjnym i dotknął nim nogi chorego. Za powrotem do domu, Jan Gizzi odrazu czuł polepszenie, po kilku dniach rany zagoiły się i począł chodzić bez żadnej podpory.

Kanonik Galli ze Sermonety miał w Rzymie jedenastoletniego synowca, Franciszka, który coraz silniej zapadał na suchoty. Żadne lekarstwa nie pomagały, chłopak miał się coraz gorzej, dostał silnej gorączki, wezwani lekarze oświadczyli, że już niema żadnego dlań ratunku. Szczęściem znajdował się tam wówczas O. Baldinucci. Odwiedził chłopca, pomodlił się nad nim, położył ręce na jego główkę i przeżegnał relikwją św. Franciszka Ksawerego. Gorączka zaraz ustała, chłopak wstał zupełnie zdrowy i brał udział w misji, którą tamże dawał Ojciec Baldinucci i odtąd nigdy już więcej nie chorował.

Raz w nocy podczas podróży, O. Baldinucci musiał się schronić przed deszczem do jakiejś chałupy przy drodze. Zastał w niej biedną kobietę z wielu dziećmi. Płacz był tam wielki, dzieci płakały z głodu, matka z rozpaczy, że niema dla nich kawałka chleba. Zlitował się Ojciec Antoni nad niemi i mówi:

— Wyjm chleb ze skrzyni i daj dzieciom.

Kobieta myśląc, że z niej żartuje, rozżaliła się jeszcze więcej, bo wiedziała, że nic niema. Pomimo tego powtórzył bardziej stanowczo pierwsze swe słowa, a kobieta otworzywszy skrzynię, znalazła chleba poddostatkiem. Zdziwiona i ucieszona, chce dziękować O. Antoniemu, lecz on czemprędzej wyszedł, pomimo nocy i deszczu.

Franciszka Senni z Fraskati, w listopadzie 1718 r., gdy przyszła do łóżeczka swego siedmioletniego dziecięcia, aby go zbudzić, z przerażeniem spostrzegła, że już nie oddycha, a ciało było zupełnie zimne i martwe. Wszystkich środków używa, aby go ocucić, lecz napróżno. Około godziny pierwszej popołudniu przyszło jej natchnienie, aby się pomodlić do O. Antoniego, użyć jego pośrednictwa u Boga. Zawiesiła na szyję dziecięcia różaniec i relikwję ze sukni sługi Bożego i prosi go o pomoc. W tej chwili dziecko otworzyło oczy zupełnie zdrowe i żwawe, jak było przedtem.

Z 90-u łask nadzwyczajnych, jakie się zdarzyły w ciągu dziesięciu lat od śmierci błog. Antoniego i za jego przyczyną, trzy jeszcze przytoczymy, które przedstawiono do zatwierdzenia św. Kongregacji Rytów przy procesie beatyfikacyjnym.

Marja Róża Castelluci, 20-letnia dziewczyna florencka, w dniu 12 kwietnia 1721 r. zachorowała na epilepsję i silną gorączkę. Pomimo kilkurazowego puszczenia krwi i innych środków leczniczych, jakie podówczas były w użyciu, choroba postępowała do tego stopnia, że chora rzucała się i trudno było ją utrzymać przy coraz częstszych konwulsjach. Po każdym ataku siły ją opuszczały i przez parę godzin była jakby w letargu. Tak trwało do 25 kwietnia. Od tego czasu napady epileptyczne powtarzały się codziennie rano i wieczorem, trwały po trzy godziny, a były tak gwałtowne, że kilka osób musiało ją trzymać, aby nie rozbiła głowy o ścianę.

Opuszczona przez lekarzy, przyjęła Ostatnie Sakramenta św. i przygotowała się na śmierć. Wtem przychodzi jej na myśl, aby się polecić O. Antoniemu, którego żywot niedawno czytała. Poprosiła więc o relikwję Jana Filipa Baldinucciego, Dominikanina, starszego brata sługi Bożego, a zarazem swego proboszcza parafii św. Marka. O. Dominikanin sam przyszedł do chorej, i gdy się znajdowała w silnym paroksyzmie, po modlitwie położył na nią relikwję O. Antoniego. W tejże chwili, jak to zeznała pod przysięgą chora i O. Dominikanin, ustały konwulsje, wszelka boleść i osłabienie a natomiast tyle uczuła siły, że zaraz wstała z łóżka, chodziła bez trudności po pokoju i następnego dnia poszła na mszę świętą do kościoła. Lekarz, który ją leczył, zeznał, że tak nagłe uzdrowienie bez cudu stać się nie mogło, zwłaszcza, że nigdy więcej od tego czasu nie miała konwulsji. Poświadczyli to inni lekarze, których pytano o zdanie dla zaciągnięcia ich opinji w akta procesu beatyfikacyjnego.

Cud powyższy silne zrobił wrażenie w całej florenckiej parafii św. Marka, w której mieszkała podówczas Rozalinda Fontani, od czterech lat słaba bardzo ciężko. Gorączka bezustanna, boleści, ciągłe krwotoki wymioty, następnie silny kaszel, zniszczyły jej organizm zupełnie. Jeszcze wiele innych złączyło się chorób, tak, że lekarze, a wielu ich było wezwanych, uznali ją za nieuleczalną.

Gdy Rozalinda usłyszała o cudownem wyzdrowieniu Róży Castellucci, postanowiła i ona udać się do pośrednictwa O. Antoniego. Postarała się o tę samą relikwję, którą tamta była uzdrowiona i wziąwszy ją na siebie, poczęła się modlić. Kaszel zaraz ustał i chora zasnęła. We śnie ukazał się jej zakonnik Tow. Jezusowego i odezwał się: „Jesteś uleczoną“. Ocknąwszy się ze snu, będąc pewna, że tak oczywiście się stało, wstała z łóżka zupełnie zdrowa i silna, jakby nigdy przedtem nie chorowała.

„W miesiąc później, zeznała na piśmie Rozalina pod przysięgą, poszłam do domu malarza Puglieschi. Gdy weszłam z jego córkami do pracowni, zobaczyłam portret jakiegoś zakonnika i poznałam, że to ten sam, który mi się ukazał we śnie. Zapytałam me towarzyszki, czy to obraz O. Baldinucciego? Tak, odpowiedziały, a ja jeszcze więcej utwierdziłam się w przekonaniu, że to on a nie kto inny, cudownie mnie uzdrowił“.

W czerwcu 1729 r. proboszcz z Terraciny, ks. Silwian Tomasz de Rossi zapadł na bardzo silną gorączkę, a po dwu tygodniach zdawało się, że kona. Doktór Trapani i inni lekarze uznali chorobę za nieuleczalną. Był to podobno silny tyfus, więc chory przyjął Ostatnie święte Sakramenta. Przy nim była jego krewna, która znajdowała się także w Pofi, przy śmierci O. Baldinucciego. Prócz innych relikwji przechowywała u siebie biret sługi Bożego. Gdy już zdawało się, że ks. Rossi ostatnie tchnienie z siebie wydaje, z silną wiarą włożyła biret O. Antoniego na głowę konającego. Ks. Rossi natychmiast oczy otworzył, uczuł się zdrowym i wkrótce przyszedł do zupełnej przytomności.

Dnia następnego d-r Trapani bardzo się zdziwił, gdy zamiast katafalku zobaczył chorego w dobrym stanie i bez żadnej gorączki. Zapytał jakie mu dano lekarstwo, a gdy się dowiedział, że samo włożenie biretu O. Baldinucciego go uzdrowiło, wyznał pod przysięgą, że to chyba mogło się stać tylko w cudowny sposób.

Dla przezorności dwa dni jeszcze ks. de Rossi pozostał w domu, poczem zajmował się parafią przy zupełnie dobrem zdrowiu.

Beatyfikacja O. Antoniego.

Prawie zaraz po śmierci O. Baldinucciego ks. biskup z Weroli, w którego djecezji umarł O. Antoni, rozpoczął podwójny proces informacyjny, potrzebny do beatyfikacji sług Bożych.

Gdy w Rzymie r. 1723 otworzono akta tego procesu, chociaż jeszcze nie upłynęło lat dziesięć od czasu, jak były wydane, Benedykt XIII upoważnił do przejrzenia ich i wyznaczył na to osobną komisję. Obok tego rozpoczęto apostolskie procesy beatyfikacyjne w Rzymie, w Sezze i Florencji.

Wobec bardzo wielkiej liczby świadków, których należało przesłuchać, okazała się konieczność przedłużyć czas potrzebny do tych procesów, tak, że dopiero r. 1752 przedstawiono je św. Kongregacji Rytów i przez nią zostały zatwierdzone, chociaż jeszcze nie upłynęło lat 50 od śmierci błogosławionego.

Cała sprawa zdawała się już na ukończeniu, gdy oto po śmierci papieża nastąpiła straszna chwila kasacji Zakonu Tow. Jezusowego, a po niej pamiętna rewolucja, która całą Europą wstrząsnęła. W ten sposób wszystko pozostało w zawieszeniu przez długie lata.

Dopiero Pius IX w dniu 20 grudnia 1873 r. wydał dekret zatwierdzający heroizm cnót O. Baldinucciego i polecił rozpocząć dyskusję nad jego cudami. Wobec nawału prac w Kongregacji Rytów ukończono ją dopiero 1890 r., a 29 listopada 1891 r. na pełnem zgromadzeniu tejże kongregacji zatwierdzono cuda.

Po zwykłych formalnościach, gdy wszystko było przygotowane do beatyfikacji, Leon XIII odłożył ją do czasu, w którym miał obchodzić swój 50-letni jubileusz biskupi. Był to pamiętny dzień 16 kwietnia 1893 r. kiedy właśnie pielgrzymi polscy przybyli do grobów św. Apostołów, aby cześć oddać i złożyć hołd należny ich następcy, Namiestnikowi Chrystusa Pana na ziemi. Ogromna sala nad portykiem Bazyliki św. Piotra ledwie pomieściła tych, którzy mieli szczęście dostać się na tę piękną uroczystość.

Pod przewodnictwem kardynała Dunajewskiego było obecnych samych Polaków przeszło trzystu, nie licząc innych pielgrzymów z Austrji i z dalszych okolic Włoch, przybyłych na uczczenie swego nowego patrona.

Gdy Ojciec św. Leon XIII przyszedł z całym swoim orszakiem i zajął przygotowany dlań tron, rozkazał przeczytać dekreta beatyfikacyjne, a po długiej modlitwie przed relikwiami sługi Bożego, uroczyście ogłosił go błogosławionym, pozwolił na mszę św. o błogosławionym Antonim Baldinuccim i sam pierwszy wezwał jego pośrednictwa u Boga następującą modlitwą:

Boże, któryś błog. Antoniego, chwalebnego dla pokory i życia surowości, wielką miłością dla zbawienia wielu zapalił, spraw dla jego zasług i modlitw, abyśmy od złych żądz uwolnieni, Ciebie we

wszystkiem i nadewszystko umiłowali. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Źródła.

O. Piotr Vanucci. *Życie błog. Antoniego Baldinucci.* Rzym 1893.

O. Andrzej Budrioli. *Życie błog. Antoniego,* 1893 r.

O. Franciszek Marja Galluzzi. *Życie błog. Antoniego Baldinucci.*

Dnia 12 Listopada.

ŚWIĘTY JÓZAFAT KUNCEWICZ

BISKUP I MĘCZENNIK

1580—1623.

Za rządów Papieży: Pawła V, Grzegorza XV, króla polskiego Zygmunta III.

> Bóle, zmartwienia, trudy, prace, których pełne jest nasze życie, są według sprawiedliwych, rozporządzeń bożych karami za grzechy, lecz także, przez Jego niewysłowione miłosierdzie, bywają szczeblami do postępowania w łasce i zasługami ku otrzymaniu wiecznej chwały.
>
> Św. Franciszek Salezy.

Lata dziecinne i młodociane św. Józafata.

Na zachodnim krańcu ziemi wołyńskiej, wśród pięknej, żyznej okolicy, nad rzeką Ługą, leży miasto Włodzimierz. Tam przyszło na świat dziecię wybrane przez Opatrzność dla dokonania wielkich czynów. Dziecięciem tem wybranem był syn Gabrjela i Marjanny Kuncewiczów, pochodzących wprawdzie z rodziny szlacheckiej, ale podupadłej i wskutek tego trudniącej się handlem zbożowym. Gabrjel Kuncewicz był przytem ławnikiem w magistracie włodzimierskim. Oboje byli religji greckiej, jak wówczas mówiono, odznaczali się prostotą serca i szczerą pobożnością.

Roku 1580 Marjanna Kuncewicz powiła syna, któremu na chrzcie św. nadano imię Jan. Dawni pisarze żywota św. Józafata, już w tem nadaniu imienia upatrują zrządzenie Boże, bo Jan po hebrajsku znaczy: *syn łaski.* Rzeczywiście od najmłodszych lat pobożność i miłość Boża okazywać się w nim poczęła. Matka często prowadziła go do domu Bożego i do modlitwy go przyzwyczajała. Razu pewnego, gdy był z matką w świątyni uderzył go widok ukrzyżowanego Pana Jezusa. Matka jęła go pouczać:

— Jest to obraz Boga-człowieka, Pana naszego Jezusa Chrystusa, który z nieba zstąpił, cierpiał i umarł, aby odpokutować za nasze grzechy i zbawić nas.

Święty opowiadał później, że podczas tej nauki matczynej iskra ognista oderwała się od boku Zbawiciela i padła na jego dziecinne serce, które też wnet wielką zapłonęło miłością ku Ukrzyżowanemu. Odtąd stał się on miłośnikiem Serca Jezusowego.

Mały Janek wcale inaczej począł się sprawować, niż jego rówieśnicy. Zamiast prostych zabaw dziecinnych, modlił się dużo, biegł na nabożeństwo, lub w domu ubierał obrazy i budował ołtarzyki, przed którymi odprawiał swoje dziecinne nabożeństwo. Wszyscy kochali pobożnego chłopczynę, stawiając go za przykład innym dzieciom. Nawet i starsi, widząc jak modli się na kolanach ze złożonemi rączętami, zachęceni przykładem, lepszymi się stawali.

Nadszedł dla Jana czas nauki. Rodzice oddali go do szkoły we Włodzimierzu, gdzie uczono języków polskiego i słowiańskiego. Obdarzony wielkiemi zdolnościami, a przytem wspomagany szczególniej przez łaskę Bożą, szybko postępował w naukach. Janek w krótkim czasie nauczył się na pamięć prawie całego psałterza, z którego w cerkwiach odprawiają się jutrznie i nieszpory; ani jednego dnia nie opuścił, aby nie odmówić z niego przypadających na każdy dzień psalmów i modlitw. Z tych ksiąg czerpał Jan swą religijną naukę, sam nauczył się wielu rzeczy; o sprawach boskich i kościelnych bardzo biegle i nad swój wiek rozumować umiał.

Kuncewiczowie nie byli na tyle zamożnymi, aby synowi dać większą naukę, a przytem i o szkoły wyższe trudno było w owe czasy. Dlatego po ukończeniu przez Jana szkółki miejskiej, kiedy liczył już kilkanaście lat, oddali go rodzice na praktykę

do kupca Jacka Popowicza, w Wilnie, chcąc tym sposobem zapewnić synowi swemu kawałek chleba w zawodzie kupieckim. Pan Bóg jednak sposobił Jana do czego innego i czuwał nad jego duszą. W nowem swem położeniu oddał się Jan sumiennemu spełnianiu obowiązków i postępował szybko w nauce kupieckiego fachu, lecz nie zapominał i o swojej duszy i rzeczach Boskich. Ile tylko czasu zbywało mu od zajęć sklepowych, przepędzał go albo na modlitwie, albo na czytaniu książek pobożnych. Kupiec chociaż kochał swego pomocnika za sumienność i pilność jego, jednak niechętnie patrzył na długie modlitwy Jana; często czynił mu za to wymówki, a niekiedy i do bicia się porywał. Przykrości te znosił młodzieniec cierpliwie dla miłości Boga.

W Wilnie groziło bardzo wielkie niebezpieczeństwo wierze i cnocie Jana. Pod względem religijnym panowało tam wielkie zamieszanie. Oprócz katolików łacińskiego obrządku, którzy dużo kościołów posiadali i nabożeństwa wspaniale odprawiali byli tam i najrozmaitsi heretycy, lutrzy, kalwini, arjanie i mahometanie. Wśród Rusinów brakło jedności i zgody. W tym bowiem czasie, roku 1596, Metropolita ruski razem z innymi władykami na Synodzie brzeskim przyjęli jedność—Unię—z Kościołem rzymskim. Natrafili jednak na opór pewnej części swoich poddanych. Utworzyły się dwie partje, jedna unicka, wierna metropolicie, druga schizmatycka. Jan Kuncewicz musiał więc wybierać, do której partji przystać. Przez czas jakiś wahał się na którą stronę się przechylić, lecz nie widząc naokoło siebie żadnego przyjaciela, któryby mógł go wyprowadzić z tej niepewności, błagał pokornie Boga, aby raczył oświecić jego umysł i serce. Wkrótce wszystkie wątpliwości go odbiegły. Stanął odtąd wytrwale po stronie unickiej. Jego pobożność i gorliwość pociągnęła wiele ludzi do Boga i Kościoła. Przyjąwszy Ruś do jedności kościelnej, Ojciec św. pozwolił Rusinom zatrzymać swoje odrębne zwyczaje kościelne, liturgję wschodnią w języku słowiańskim, komunję pod dwoma postaciami, stary kalendarz, duchowieństwo żonate i t. p.

Zesłała Opatrzność młodemu Kuncewiczowi towarzyszów i znajomych, którzy wiele mu pomogli w służbie i znajomości Boga. Między nimi byli: przysłany do Wilna przez Ojca św. Piotr Arkudjusz, dwaj kapłani zakonu jezuickiego: Walenty Fabrycy i Grzegorz Grużewski, młody uczony, który tylko co z Rzymu wrócił, Jan Rutski, i uczeń Arkudjusza, Chmielnicki.

Nie mając przygotowania naukowego z łaciny i innych przedmiotów, nie mógł wprawdzie Kuncewicz uczęszczać na wyższe nauki, pomimo to wymienieni kapłani, pokochawszy cnotliwego młodzieńca, prywatnie uczyli i kierowali piękną jego duszą.

Znajomość z pobożnymi i uczonymi kapłanami stanowczo podziałała na wybór stanu: Jan postanowił poświęcić się służbie Bożej w zakonie. Musiał jednak najpierw zwyciężyć nie małą pokusę. Oto Popowicz, który przywiązał się był bardzo do swego pomocnika nie mając synów, postanowił wydać za Jana swoją córkę i oddać mu cały swój majątek i handel. Miłość ku Bogu zwyciężyła tę pokusę: Jan odmówił, wyznając, że inne żywi zamiary. Było to w roku 1604, a więc Jan, wstępując do klasztoru, miał lat 24. Młody, zdolny, pracowity Kuncewicz rzucał wszystkie światowe widoki, majątek i związki, by się oddać Bogu w posłuszeństwie, czystości, ubóstwie zakonnem.

Życie zakonne św. Józafata.

Opuściwszy dom chlebodawcy swego, udał się Jan do kościoła św. Trójcy, aby tam z rąk metropolity Pocieja otrzymać suknię zakonną. Zamiar ten bardzo zadziwił nawet przyjaciół Kuncewicza; wiedzieli, że Jan szuka chrześcijańskiej doskonałości i świętości, a klasztor ów wcale jej dać nie obiecywał. W owych smutnych czasach zamieszek stał on prawie pustkami; folwarki, jakie do niego należały, zagrabili świeccy ludzie; budynki klasztorne wynajęto na sklepy i mieszkania prywatne; kilka cel tylko pozostawało, w których mieszkał przełożony klasztoru, nie mający zresztą komu rozkazywać i nie dbający wcale o pomyślność zakonu.

Ale opuszczony ten zakątek miał się stać źródłem religijnego odrodzenia całej Rusi. Od dobrego stanu zakonów, pracujących nad ludzkiem zbawieniem, bardzo wiele zależy pomyślność całego Kościoła, ale nigdzie może nie dawała się czuć potrzeba dobrego zakonu tak, jak w ziemiach ruskich. W obrządku bowiem wschodnim obierano biskupów zwyczajnie z pomiędzy zakonników; gdyby więc ich zabrakło, mogłoby to narazić na upadek dopiero co zawartą Unię z Kościołem rzymskim. Dlatego to Opatrzność skierowała kroki Kuncewicza do opuszczonych murów klasztoru św. Trójcy.

Przyjąwszy habit św Bazylego, Kuncewicz tegoż dnia, złożył uroczyste śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, zmienił chrzestne imię Jana na zakonne Józafata i tym sposobem odrazu został zakonnikiem profesem, nie przechodząc, jak to zwykle w zakonach bywa, nowicjackiej próby. Bo i jakąż z niej korzyść byłby odniósł? W klasztorze nie było nikogo, coby umiał kierować jego piękną i wzniosłą duszą: natomiast sam Duch św. gotował serce wybranego sługi, podczas gdy on oddawał się jeszcze zajęciom kupieckim, aby zaraz od przestąpienia

progów klasztornych mógł zajaśnieć pełnią cnót zakonnych.

Oderwawszy się zupełnie od świata, zamknął się on w samotnej celi, na wpół zrujnowanej, i cały czas swój rozdzielił między modlitwę, a pracę naukową. Nie dosyć, że wiernie odprawiał wszystkie pacierze zakonnikom bazyljańskim przepisane, na które i wśród nocy wstawał ze snu, ale jeszcze długie godziny poświęcał myślnemu rozpamiętywaniu rzeczy Bożych. Powtarzał bez ustanku: Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznym. Do tego westchnienia tak przywykły jego usta, że nawet przez sen je powtarzał.

Modlitwy łączył Józafat z umartwieniem własnego ciała. W czasie postów nawet ryb, ani nabiału nie używał, posilając się przeważnie samym chlebem i wodą. Nigdy nie jadał mięsa, a posiłek zwykle przyjmował dopiero wieczorem po całodziennej pracy. Nosił szorstką i drażniącą ciało włosiennicę, której nawet na noc nie zdejmował. Bardzo często sypiał na gołej podłodze, przykryty tylko swoim habitem, lub w samej tylko włosiennicy. Mało mu było jeszcze tych umartwień, więc wymyślał rozmaite sposoby katowania swego ciała, byleby podbić je zupełnie pod panowanie ducha. Używał w tym celu drucianego łańcucha z ostrymi, jak igły kolcami, opasywał nim biodra, okręcał ramiona i piersi, aby za każdym ruchem doznawać bólu. Wreszcie zabrał się gorliwie do praktyki dobrowolnego biczowania. Najczęściej dla zupełnego ukrycia się przed okiem ludzkiem, wybiegał w nocy, boso, z obnażoną głową, na samotny cmentarz poza kościołem św. Trójcy i tam biczował się dyscypliną aż krew tryskała. A za każdem uderzeniem, ze łzami w oczach powtarzał:

— Panie Boże, daj nam jedność kościelną!

Tej praktyki nawet zimową porą nie opuszczał, niekiedy czuł się tak wycieńczonym, że ledwie do celi mógł wrócić. W tych swoich umartwieniach nie znał żadnej miary i łatwo mógłby był zupełnie zniszczyć swoje zdrowie, gdyby jego spowiednicy, O.O. Jezuici, nie byli go miarkowali w jego gorliwości. Tak się sposobił młody zakonnik na przyszłego męczennika.

Wszystek czas wolny od modlitwy poświęcał Józafat na naukę. Przeczytał wszystkie księgi słowiańskie, jakie mógł znaleźć w klasztorze. Ulubionem jego czytaniem były żywoty świętych. W nich nietylko znajdował przykłady dawnych, wielkich świętych zakonników i pustelników, których w swem życiu starał się naśladować, ale w księgach tych znalazł i dowody prawdziwości wiary katolickiej. Aby mieć pod ręką wszystkie dowody, wypisywał je sobie z ksiąg klasztornych w osobne zeszyty, i tym sposobem powstało kilka ułożonych przezeń dziełek: *O chrzcie św. Włodzimierza, O fałszowaniu pism słowiańskich, O mnichach i ich ślubach, O czystości stanu kapłańskiego, O wyższości bezżeństwa* i inne. Ułożył też zbiorek żywotów świętych pańskich.

Sława świętości i prac Józafata poczęła się szerzyć po mieście nawet między schizmatykami. Niekiedy nawet wielcy panowie odwiedzali klasztor św. Trójcy, pragnąc zobaczyć Józafata i zapoznać się z nim, lecz dla niego odwiedziny te były niepożądanym ciężarem, bo rozpraszały mu ducha i odrywały od zajęć naukonych.

Wielce martwiło Józafata, że w życiu zakonnem nie miał godnego towarzysza, wszyscy, dawnego wychowania i dawnych zwyczajów ludzie, wcale nie dawali pewności ani pod względem czystości wiary św., ani pod względem doskonałości chrześcijańskiej.

Jedynym towarzyszem jego był Jan Welamin Rutski, z którym nawiązał dawniej znajomość. Dziwnie Pan Bóg kierował krokami tego młodzieńca, zanim go zbliżył do Józafata. Rutski o siedem lat starszy od Kuncewicza, był synem zamożnych rodziców, ale trzymających się herezji kalwińskiej. Kiedy przyszedł na świat i trzeba było go ochrzcić, zabrakło narazie pastora kalwińskiego, i dziecię otrzymało chrzest św. od schizmatyckiego kapłana. Ojciec, zagorzały heretyk, oddał go do szkół kalwińskich, lecz młody i zdolny, a przytem czystych obyczajów uczeń, nie zadawalniał się otrzymywaną tam nauką, lecz często zachodził na kazania i dysputy do kościoła jezuickiego w Wilnie, gdzie zbijano zarzuty i błędy heretyckie. Tym sposobem otworzyły mu się oczy, że żyje w fałszywej religji, lecz rodzice sprzeciwiali się jego zamiarowi przejścia na katolicyzm. Po śmierci ojca udał się za granicę na dalsze nauki i tam też jawnie przystąpił do katolickiej wiary, za co matka rozżalona, odmówiła mu zasiłku pieniężnego na dalsze nauki. Udał się więc do Rzymu, gdzie został przyjęty do kolegjum greckiego, założonego przez papieża dla wychowania kapłanów unickich. Wszyscy uczniowie tej szkoły musieli składać przysięgę, że całe życie trzymać się będą obrządku wschodniego i pracować dla Unji. Kiedy nauki wszystkie już ukończył i miał powracać do kraju, wezwał go Ojciec św., Klemens VIII, i rozkazał, aby porzucił obrządek łaciński, a przyjął grecki. Rutski musiał poddać się woli Ojca św., który pragnął, aby Jan swoją wielką nauką przyczynił się do podźwignięcia Unji na Rusi i Litwie.

Złożywszy żądaną przysięgę, wrócił do Wilna, przedstawił się metropolicie i zabrał znajomość z Kuncewiczem. Młody subiekt handlowy, a potem zakonnik Józafat, korzystał z nauki Rutskiego, ten

zaś budował się świętością życia Józafata. Rutski jednak, widząc coraz większą niechęć schizmatyków do Unji,, tracił nadzieję, że się da coś wielkiego uczynić. Wewnętrzna jego rozterka doszła do tego stopnia, że porzucił powierzone sobie w Wilnie kolegjum greckie i z pewnym misjonarzem, karmelitą, puścił się na misję do Persji.

W drodze jednak doznał tyle nieprzezwyciężonych przeszkód, że wreszcie zmuszony był uznać w tem wolę Bożą i wrócić do domu. Myśl jednak o porzuceniu obrządku greckiego wciąż go prześladowała. Wybrał się przeto w r. 1606 do Rzymu z prośbą o zwolnienie go od złożonej przysięgi, aby mógł wstąpić do zakonu Jezuitów lub Karmelitów. Po długich staraniach uzyskał pozwolenie na powrót do obrządku łacińskiego.

Ten krok przyjaciela zmartwił Józafata, stracił bowiem jedynego człowieka, na którego mógł liczyć. Zwątpił i sam, aby się dało odrodzić zakon bazyljański i umyślił opuścić klasztor i udać się na pustynię, aby tam żyć w samotności, łaska jednak Boża oświeciła jego umysł i został w klasztorze. Wkrótce też pocieszył go Bóg zsyłając mu na towarzysza pobożnego i umartwionego zakonnika. Ten zamieszkał przy św. Józafacie i zawarł z nim ścisłą przyjaźń. Wprawdzie zakonnik ów nauki wielkiej nie posiadał, ale za to był szczerze przywiązany do Unji i doskonale znał liturgję wschodnią i język słowiański. Od niego więc mógł Józafat nabyć wielu wiadomości, których mu jeszcze brakło.

Zresztą myśl o ucieczce na pustynię, ustąpić zupełnie musiała, skoro przed Józafatem otwarła się możliwość bezpośredniej pracy nad nawracaniem do Boga dusz ludzkich. Wyświęcony na djakona począł opowiadać słowo Boże, zachęcać wszystkich do jeduości kościelnej, do pobożnego życia, do spowiedzi. Kogo nie mógł pozyskać nauką, tego przyciągał prośbami, błaganiem, łzami, byleby tylko jak najwięcej dusz Bogu pozyskać.

Niekiedy, wyszedłszy na miasto wracał w licznem towarzystwie ludzi, których do spowiedzi namówił. Najcennjejszym nabytkiem jego gorliwości byli czterej młodzieńcy, którzy naukami i przykładem życia Józafata zachęcili się do poświęcenia się Bogu w zakonie bazyljańskim. W r. 1607 wszyscy czterej oczekiwali na sposobność przyjęcia sukni zakonnej. Troskał się tylko Józafat o to, kto w opuszczonym klasztorze będzie ich przewodnikiem. Niedostatkowi temu znowu zaradziła Opatrzność Boża, stale opiekująca się swem dziełem.

Podniesienie ducha zakonnego w kościele Trójcy św.

Z Rzymu już był powrócił Jan Rutski, zwolniony od obowiązku pozostawania w obrządku greckim. Jakkolwiek nie zerwał on dawnej przyjaźni z Józafatem, jednak nie było żadnej nadziei pozyskania go dla zakonu bazyljańskiego, namyślał się tylko, który z dwóch najbardziej wtedy zasłużonych zakonów łacińskich obrać dla siebie: Jezuitów, czy też Karmelitów bosych. Naraz gruchnęła wieść po Wilnie, że Rutski wstępuje do klasztoru św. Trójcy. Trudno było uwierzyć temu: wszak dopiero co odbył on podróż aż do Rzymu, by się uwolnić od obrządku greckiego, a teraz miałby tak nagle zmieniać swój zamiar i upodobania? A jednak tak było. Dzień 6 września 1607 r. wyznaczono na uroczyste przyjęcie do zakonu bazyljańskiego czterech kandydatów, pozyskanych i przygotowanych przez Józafata. Na tydzień przedtem O. Fabrycy, jezuita, miał kazanie w kościele swego zakonu. Skończywszy je, ogłosił zebranemu ludowi, iż Welamin Rutski wstąpi od dziś za tydzień do zgromadzenia O.O. Bazyljanów. Obecny na kazaniu Rutski sądził, że Ojciec pozwolił sobie na na żart z niego, idzie więc na skargę do przełożonego domu Jezuitów. Przywołany przez O. rektora kaznodzieja tłómaczy się, że wcale nie pamięta, aby na kazaniu mówił co o Rutskim. Stało się to zupełnie bez jego woli i nieświadomie. Wobec tego Rutski począł radzić się swoich przyjaciół co ma czynić, wszyscy doradzali aby w tem uznał zrządzenie Boże. Rutski usłuchał.

W dniu naznaczonym w klasztorze św. Trójcy, Rutski a z nim czterech innych kandydatów do zakonu, otrzymali suknię zakonną, jako nowicjusze zakonu św. Bazylego. Jakaż radość ogarnęła serce obecnego na tej uroczystości Józafata, gdy widział, że jego gorące pragnienia odnowienia zakonu, zaczynają się spełniać!

Rutski odzyskał odtąd spokój duszy i pokochał obrządek wschodni, od którego tak długo się wypraszał. W cztery miesiące potem złożył śluby zakonne, przyjmując jednocześnie imię Józef. Węzły przyjaźni i wzajemnego szacunku zacieśniły się odtąd jeszcze bardziej między Józafatem Kuncewiczem, a Józefem Rutskim i obaj postanowili wspólnie pracować dla dobra swego zakonu i obrządku. Rutski wniósł do zakonu głęboką naukę, znajomość świata i jego stosunków, mógł zapoznać swój klasztor z zakonnem życiem, kwitnącem w zachodnim łacińskim Kościele. Józafat znowu przyświecał wszystkim dobrym przykładem surowości życia. Obaj przyjaciele podzielili między siebie pracę nad wychowaniem innych nowicjuszów; Rutski uczył ich prawd wiary i języka łacińskiego, Józafat zaś zaznajamiał z nabożeństwem i uczył praktyk pobożnych i pokutnych.

Klasztor św. Trójcy był wielce zrujnowany, Rutski więc ofiarował całą swoją ojcowiznę na jego odnowienie, a gdy i biskup łaciński Wojna i inni możni panowie przyczynili się do tego hojnymi datkami, wkrótce mury klasztorne zostały dźwignięte a w części na nowo zbudowane, tak, że pod ko-

niec 1608 r. można było umieścić czterech nowych kandydatów, którzy przybyli do liczby poprzednio przyjętych. Gromadka młodzieży zakonnej zwiększała się; wstąpienie do zakonu Rutskiego, pochodzącego z szanowanej szlachty, jego ofiarność i praca podniosła sławę zakonu w oczach społeczeństwa i ściągać poczęła w mury klasztorne szlachetnie urodzoną i bardziej wykształconą młodzież.

Ale nietylko w liczbę, lecz i w cnoty rosła gromadka zakonna u św. Trójcy. Blask i ciepło dobrego przykładu promieniowało z tego ogniska na wszystkie strony. Odradzający się klasztor pod kierownictwem Rutskiego i Józafata, począł przedstawiać dotąd nie znany na Rusi widok. Rutski, wkrótce po ślubach zakonnych wyświęcony na kapłana, począł codziennie odprawiać mszę św.; nabożeństwa chórowe, jak jutrznia, nieszpory, szły rówież regularnie. Kuncewicz, jako djakon, prawie codzień przystępował do komunji św., inni nowicjusze przynajmniej raz lub dwa razy na tydzień, czego dawniej nigdy nie bywało.

Za przykładem młodzieży zakonnej ożywiła się pobożność wśród świeckich, i wkrótce poczęto uczęszczać do Sakramentów św. Rutski, ile mu czasu i sił starczyło przesiadywał w konfesjonale, aby zadość uczynić wszystkim żądającym spowiedzi, pomagali mu w tem i Ojcowie Jezuici, którzy wszystkiemi siłami popierali ten ruch ku odrodzeniu religijnemu, jaki wśród murów klasztornych św. Trójcy się rozpoczął.

Zamachy na klasztor św. Trójcy i Unję.

Roku 1607 r. wielka ilość szlachty, pod przewodnictwem Zebrzydowskiego, zbuntowała się przeciwko pobożnemu opiekunowi Unji, królowi polskiemu, Zygmuntowi III. Do buntu tego, który nosi nazwę rokoszu Zebrzydowskiego, przyłączyli się wszyscy heretycy i schizmatycy, żądając od króla i sejmu rozmaitych ustępstw. Król znajdując się w trudnych warunkach, zmuszony był poczynić im pewne ustępstwa, przez sejm uchwalone. To rozzuchwaliło partję i zaczęła się zacięta walka z Unją.

Na naradzie w bractwie schizmatyckiem w Wilnie uchwalono pozbyć się w jakibądź sposób Rutskiego, z monasteru, nowicjuszów rozproszyć, a Józafata, cieszącego się sławą świętości, przeciągnąć na swoją stronę. Sprawę tę wziął na siebie archimandryta Sieńczyło. Ale Józafat nie zachwiał się; ani pochlebstwa, ani obietnice nic nie pomogły; nie chciał zdradzić Unji św. Wówczas Sieńczyło poskoczył ku niemu i uderzył go w twarz, ale pokorny djakon obelgę otrzymaną, zniósł w milczeniu i radości. Nikomu nawet o tem nie wspomniał, dopiero po kilku latach przyzuał się Rutskiemu co wycierpiał.

Wiele bardzo zarówno Jozafat jak i Rutski intryg i prześladowań znieść byli zmuszeni.

W jesieni 1608 Sieńczyło z protejerejem Żaszkowskim podburzyli unickich duchownych przeciwko metropolicie i Rutskiemu. Zamierzano wygnać zakonników i zawładnąć klasztorem św. Trójcy.

Kiedy wszystkie próby przeciągnięcia Józafata nie udały się, schizmatykom pozostawało tylko użycie gwałtu. O grożącym zakonowi napadzie dowiedział się jeden z ławników magistratu i przestrzegł Rutskiego, aby się w klasztorze miano na baczności. Jednocześnie zawiadomiono wileńskiego wojewodę o tem, co się gotuje, a ten wydał rozkaz, aby wojsko w dniu, przeznaczonym na napaść stało pod bronią i strzegło klasztoru, Sieńczyle zaś i Żaszkowskiemu oznajmić kazał, że jeśli Rutskiemu, lub jego towarzyszom stanie się jaka krzywda, oni sami głowami swemi odpowiadać będą. Uwięził też mieszczan, którzy Józafatowi śmiercią grozili.

Cała nienawiść schizmy obróciła się teraz przeciwko Józafatowi. Przedtem, dopóki mieli nadzieję przeciągnięcia go do swego obozu, wynosili go pod niebiosa, chwalili jego świętość, pobożność, pokorę, lecz skoro przekonali się o jego stałości w wierze, zapałali największą ku niemu nienawiścią i zemstą. Odtąd trudno było Józafatowi pokazać się na mieście, gdyż obrzucano go błotem i kamieniami, łżono rozmaitemi przezwiskami.

Sieńczyło i Żaszkowski, po nieudanych usiłowaniach zniszczenia bazyljańskiego klasztoru, wystąpili do otwartej wojny z metropolitą i Unją. Zgromadziwszy duchowieństwo w głównej cerkwi wileńskiej uroczyście przy nabożeństwie wyrzekli się Unji, przeszli do schizmy i w urzędach miejskich złożyli oświadczenie, że odtąd nie uznają nad sobą władzy metropolity i papieża. Po całym kraju do duchowieFstwa unickiego i ludu rozesłano listy, podburzajace przeciwko metropolicie. Lud nie dosyć jeszcze oświecony, co to jest Unja, w wielu miejscach uwierzył wichrzycielom. Przytem zbierano wszędzie składki na podróż Sieńczyły do Warszawy, aby starać się o wypędzenie unickich biskupów z ich stolic.

Metropolita, dowiedziawszy się o szerzącym się przeciwko niemu buncie, wezwał Sieńczyłę, aby się przed nim stawił i wytłómaczył. Kiedy jednak buntownik nietylko się nie upokorzył ale owszem wybrał się na sejm, aby wichrzyć przeciwko Unji, metropolita odłączył go od wspólności kościelnej.

Na sejmie, r. 1609, schizmatycy wytoczyli żale swoje i oskarżenia przeciwko unitom. Posłowie, pragnąc zaspokoić wszystkie żądania, postanowili, że obie strony, to jest unicka i schizmatycka, mają odtąd żyć w zgodzie i zatrzymać sobie te cerkwie, które w tej chwili posiadają. Przeciwko temu powstał metropolita Pociej i udowadniał, że taki sąd

ŚWIĘTY JÓZAFAT KUNCEWICZ.

jest niesprawiedliwy i krzywdzący unitów, wskutek czego król Zygmunt zadekretował, że jeśli w ostatnich dwóch latach jedna strona zagrabiła drugiej jakiekolwiek cerkwie lub majątki kościelne, to wolno pokrzywdzonej stronie udać się ze skargą do sądów, złożonych z duchowieństwa i panów świeckich. Wezwany do Warszawy O. Rutski otrzymał królewską nominację na urząd archimandryty i opatrzony listami królewskimi do ławników wileńskich, aby wszystkie cerkwie oddano unitom, powrócił do Wilna.

Nieudany napad na klasztor i zamach na życie metropolity Pocieja.

Wyklęty Sieńczyło wykonał nowy napad na klasztor św. Trójcy, który jednak cudownym sposobem został odparty. Było to 9 marca 1609 r. w uroczystość czterdziestu męczenników, że kiedy Sieńczyło i jego towarzysze chcieli się rzucić na wychodzących z cerkwi zakonników, pokazał im się św. Bazyli i czterdziestu męczenników w pełnej zbroi. Ten widok przeraził napastników i zmusił do ucieczki. Objawienie się św. Bazylego z 40-tu męczennikami i odpędzenie przez nich napaści było potem wymalowane nad drzwiami cerkiewnymi i pamiątkę tego cudu obchodzono odtąd corocznie we wszystkich klasztorach bazyljańskich.

Sieńczyłę nawet ten cud nie uspokoił. Wkrótce wystąpił on przed świeckim trybunałem ze skargą na Rutskiego o klasztor. Trybunał ten nie miał prawa sądzić takiej sprawy, pomimo to przyjął skargę i osądził sprawę po myśli Sieńczyły, a nawet metropolitę Pocieja, odsądził od zajmowanej przezeń stolicy biskupiej. Metropolita nie uznając tego sądu, sprawę wniósł do sądów duchownych. Król Zygmunt zaś w swojem imieniu wyznaczył do wydania wyroku kanclerza Sapiehę, człowieka bardzo rozumnego i sprawiedliwego. Ten, roztrząsnąwszy całą rzecz, unieważnił wyrok trybunału, Sieńczyłę i Żaszkowskiego, jako głównych podżegaczy przeciw władzy królewskiej, zasądził na wygnanie z miasta; ta sama kara spotkała niektórych ławników, nieprzyjaznych unitom. Schizmatykom pozostawiono cerkiew św. Ducha, którą sobie sami wybudowali.

Upokorzeni przegraną, zaprzysięgli zemstę, wynaleźli jakiegoś sługę, Jana Tupekę, i namówili go, aby zabił metropolitę Pocieja.

Kiedy jednego dnia metropolita w towarzystwie paru księży wracał przez rynek wileński od nuncjusza, napadł na niego złoczyńca z obnażoną szablą. Metropolita zasłonił się laską i to ochroniło go od niechybnej śmierci. Szabla jednak, ześlizgnąwszy się po lasce, odcięła mu trzy palce u lewej ręki, przecięła łańcuch biskupi i odzież aż do ciała. Metropolita upadł i zemdlał. Niektórzy myśleli, że nie żyje. Gdy przyszedł do siebie dziękował Bogu, że mógł swej krwi nieco przelać za sprawę Kościoła. O. Rutski i Józafat, podniósłszy ucięte palce, złożyli je na ołtarzu, i ofiarując Bogu pierwociny krwi, wylanej za sprawę Unji, odśpiewali z ludem: „Ciebie Boga chwalimy“. Do metropolity nadeszły zewsząd, nawet od samego króla, powinszowania i oznaki współczucia.

Złoczyńcę ujęto. Sąd ukarał go śmiercią, i chociaż metropolita wstawiał się za nim, by mu karę zamieniono na inną, prośby tej wszakże nie przyjęto. Za to nad duszą nieszczęśliwego zbrodniarza czuwał Józafat. Wyświęcony przed paru miesiącami na kapłana, wyprosił on dla siebie pozwolenie odwiedzania Tupeki w więzieniu i tam, niby anioł pokoju z nieba zesłany, począł przemawiać do zrozpaczonego grzesznika. Miłość i słodycz świętego sprawiła, że zbrodniarz ten nawrócił się w więzieniu, pojednał się z Bogiem w świętej spowiedzi i z poddaniem się woli Bożej poszedł na rusztowanie. Po tej głośnej sprawie przycichli buntownicy i już nie śmieli przez czas pewien występować otwarcie przeciw Unji.

Gorliwy apostoł jedności kościelnej.

Wśród najzaciętszej walki między schizmą a katolickim Kościołem ruskim, Jozafat przygotowywał się do kapłaństwa. Filozofję i teologję, dwie nauki najpotrzebniejsze dla kapłana, wykładał mu prywatnie w języku słowiańskim O. Fabrycy, Jezuita, a że Jozafat był obdarzony z natury niezwykłemi zdolnościami, więc nauka wydawała najpiękniejsze owoce. Pamięć miał taką, że cokolwiek raz przeczytał lub usłyszał, to pozostawało w niej na zawsze. Przy usilnej pracy i szczególnem błogosławieństwie Bożem osiągnął to, że mógł rozwiązywać najtrudniejsze pytania z zakresu nauki wiary świętej.

Wyświęcony na wiosnę r. 1609 na kapłana przez metropolitę Pocieja wystąpił odrazu, jako znakomity kaznodzieja, niestrudzony spowiednik, gorliwy apostoł jedności kościelnej. Dowody na poparcie nauki katolickiej przytaczał takie, które unitów utwierdzić w wierze mogły. Czerpał je mianowicie z cerkiewnych ksiąg słowiańskich i z nauki greckich Ojców Kościoła i wykazywał z nich obowiązek każdego chrześcijanina trwać w jedności i posłuszeństwie papieżowi. Cerkiew św. Trójcy podczas jego kazań zwykle była przepełnioną, albowiem nietylko unici, ale i schizmatycy przychodzili z ciekawości, gdyż obok gruntowości nauki sam sposób wygłaszania kazań był taki żywy, jasny, że najprostszy człowiek mógł je zrozumieć, głos i wymowa przyjemna, pociągała wszystkich do słuchania.

W pouczaniu prostaczków Józafat znajdował największą rozkosz. Chodził po domach, po

ulicach, po polach i pastwiskach i gdzie kogo spotkał, katechizował i pouczał o rzeczach najpotrzebniejszych do zbawienia. Owoce tej pracy apostolskiej były widoczne, nawróciło się bowiem niemało mieszczan wileńskich. Katecheta pociągał wszystkich do siebie dobrocią, łaskawością i tą prostotą i wesołością, która jest tak właściwa duszom świętym. Niechętni mu namalowali obraz, na którym znajdował się metropolita i O. Rutski w szatach biskupich, a u ich nóg Józafat w postaci szatana z hakiem, którym ciągnął do siebie dusze ludzkie. Pod spodem był napis: „duszochwat“. Kiedy Józafat dowiedział się o tym obrazie, roześmiał się i rzekł do odszczepieńców:

— Oby Bóg dał, abym mógł wszystkie wasze dusze pociągnąć do niego.

Św. Józafat mszę św. odprawiał codziennie, aby zaś, przystępując do ołtarza, nie mieć na swem sumieniu najlżejszej nawet winy wobec Boga, codzień prawie się spowiadał; bezkrwawą ofiarę sprawował z takiem skupieniem, pobożnością, przejęciem się, że sam, jego widok wystarczał za kazanie i zachętę do pobożności. Jak miłą była Panu Bogu składana przez jego ręce ofiara mszalna, dowodził cud. który niejednokrotnie podczas jego mszy się zdarzył. Mianowicie, kiedy po konsekracji obracał się z kielichem do ludu, widziano Dzieciątko Jezus, wychylające się z kielicha i błogosławiące, a z boku stał anioł obleczony w szaty djakońskie. Cud ten wiele osób w swoim czasie stwierdziło przysięgą.

Niezmordowanie pracował Józafat i w konfesjonale. Zeszedłszy z ambony, zasiadał w trybunale pokuty i tam niekiedy po dziesięć godzin z rzędu przebywał. Było to rzeczą nieznaną przedtem między Rusinami spowiadać się często. Wystarczało raz na rok. Józafat jednak potrafił zachęcić do spowiedzi. Kiedy nie widział już nikogo przy konfesjonale, spieszył na pola, pastwiska, siadał na pierwszym lepszym kamieniu i jednał grzeszników z Bogiem.

Korzystał z każdej przechadzki, z każdej podróży, by kogoś Bogu pozyskać. Razu jednego trafiło się, że w podróży przybył nad rzekę Niemen. Trzeba było się promem przeprawiać, a tu kra szła i przeprawa stała się niemożliwą. Bardzo wiele podróżnych czekało na zamarznięcie rzeki. Żeby nie zmarnować tego czasu i sposobności, Józafat urządził nad rzeką misję, wygłosił kilka nauk, a potem wszystkich wyspowiadał. Tymczasem rzeka pokryła się lodem i podróżni z czystem sumieniem przeprawili się na drugą stronę.

Znając cenę każdej duszy, krwią Chrystusową odkupionej, Józafat wyszukiwał te dusze nawet po więzieniach, gdzie się znajduje tylu chrześcijan zbłąkanych z drogi cnoty. Towarzyszył skazanym na śmierć, nie opuszczając ich dotąd, dopóki nie oddali swych dusz w ręce Boże. Po szpitalach usługiwał chorym, własnemi rękami prześcielając ich łóżka, opatrując rany, pociągał ich dusze do Boga. Żadna choroba, choćby najbardziej zaraźliwa, nie odstraszała go od łoża chorego. Udał się raz z towarzyszem do jakiegoś chorego, którego ciało rozkładające się, napełniało cały dom wstrętną wonią. Towarzyszący Józafatowi zakonnik ledwie próg przestąpił, cofnął się, nie mogąc znieść wstrętnego odoru, lecz Józafat, wziąwszy go za rękę, wprowadził z powrotem do izby, mówiąc:

— Lepiej przez chwilkę znosić nieprzyjemny zapach tutaj, niż w piekle przez całą wieczność.

Pomimo tylu prac wypływających z urzędu kapłańskiego, Józafat nie zaniedbywał ćwiczeń duchownych. Żeby zaś mieć czas na nie, zimą wstawał o godzinie trzeciej rano, a latem o drugiej. Po biczowaniu i modlitwach budził ze snu innych zakonników i prowadził ich do chóru, gdzie sam wszystkim przewodniczył, śpiewając pięknym swym głosem jutrznię i inne godziny kanoniczne.

Wiele czasu poświęcać musiał na zajęcia w klasztorze. O. Rutski często wyjeżdżał za interesami i wtedy Józafat zastępował go w rządzeniu, stawał się gospodarzem i mistrzem nowicjuszów. Nikt nie widział nigdy smutku na twarzy Józafata, wesołość panowała ustawicznie na jego obliczu, udzielając się wszystkim, którzy z nim obcowali.

Nie brakło też powodów radości, gdyż oprócz nawróceń wśród ludu i mieszczaństwa, Józafat miał pociechę z nawrócenia kilku wybitnych osobistości, jak np. Ignacego, patryarchy moskiewskiego. Kiedy Dymitr został zrzucony z tronu, wtedy i Ignacy z Moskwy uchodzić musiał. Schronił się on do Polski pod opiekę króla Zygmunta i zamieszkał w klasztorze św. Trójcy w Wilnie. Blizka znajomość i przyjaźń zawarta z Józafatem, przykład cnót jego i rozmowy o wierze skłoniły go do przyjęcia Unji; umarł w klasztorze po sześciu latach świątobliwego żywota. Z Ignacym przybył jednocześnie Emanuel Kantakuzen, pochodzący z greckiego cesarskiego rodu Paleologów. I on wyrzekł się schizmy i tak się przywiązał do Józefata, że towarzysząc mu wszędzie, nie opuścił go aż do śmierci.

W tym czasie zjawił się na Litwie Melecy Smotrycki, który miał się stać największym wrogiem Józafata. Był to młody i zdolny człowiek, ale nienawiścią pałał do Unji. W Mińsku zbuntował lud przeciwko metropolicie, w Wilnie również wystąpił w roli obrońcy schizmy i wydrukował książkę pod tytułem „Lament cerkwi ruskiej“, skierowana przeciwko tym, co do Unji przystali. Książka ta, zjadliwem piórem napisana, sprawiła ogromny ruch między schizmatykami: wydzierano ją sobie wzajemnie, przepisywano, niektórzy zagorzali umierając, kazali ją włożyć sobie do trumny. Ks. Skarga

i Morochowski, na nią pisemnie odpowiedzieli. Sam Smotrycki w kilka lat później, nawróciwszy się do Unji, wyznał, że jego „Lament“ był stekiem błędów i oszczerstw.

Pojawienie się Smotryckiego w Wilnie zmuszało unitów do ustawicznej baczności. Metropolita Pociej, starzec już sędziwy, nie mogąc dać rady wszystkim sprawom zarządu obszernej swej djecezji, wyświęcił O. Rutskiego na swego sufragana. Wtedy przybyło pracy i Józafatowi, gdyż Rutski wszystką prawie troskę o dobro zakonu na niego złożył.

Św. Józafat na przełożeństwach.

Gromadka młodych zakonników pod kierownictwem Rutskiego i św. Józafata, coraz to bardziej się zwiększała. Katolicy łacińskiego obrządku posiadali podówczas w Polsce bardzo wiele szkół, głównie pod kierunkiem O.O. Jezuitów; Unja też musiała zdobyć swoje własne szkoły. To zadanie czekało młodych Bazyljanów, i stąd rozumiemy troskę obydwóch ich opiekunów: Rutskiego i św. Józafata o wykształcenie młodzieży zakonnej. Wskutek starań i zabiegów Rutskiego niektórzy biskupi łacińscy przyjęli po paru młodych zakonników do swoich seminarjów: innych umieszczono w jezuickich szkołach w Kaliszu, Pułtusku, Nieświeżu. Tam, zatrzymując swój obrządek ruski, wychowywali się oni i kształcili w znajomości prawd wiary św. w duchu ściśle katolickim, aby później podtrzymywać tegoż ducha między ruskim unickim ludem.

Chociaż znaczna część młodzieży zakonnej rozjechała się do owych szkół, jednak klasztor św, Trójcy był zawsze przepełniony, gdyż coraz więcej zgłaszało się kandydatów z prośbą o przyjęcie do zakonu.

Dla wzrastającej wciąż liczby zakonników trzeba było myśleć o zakładaniu nowych klasztorów. Zesłał też Bóg pobożnych fundatorów. Najpierw Hieronim Chodkiewicz ofiarował Józafatowi przełożeństwo w klasztorze w Supraślu (teraz grodzieńska gub.), lecz święty z pokory odmówił przyjęcia tego zaszczytu. Niedługo jednak pokora jego musiała ustąpić przed dobrem zakonu. Grzegorz Tryzna, marszałek słonimski, z wdzięczności ku Bogu za uzdrowienie swej żony, wybudował w Bytoniu klasztor i ofiarował go Bazyljanom. Na rozkaz Rutskiego, Józafat przyjął przełożeństwo tego klasztoru, i sprowadził do niego kilku wychowanych przez siebie zakonników.

Wkrótce potem otwarła się inna ważniejsza placówka w Żyrowicach. Miejscowość ta, słynęła na całą Litwę z cudownego obrazu Matki Boskiej, wyrytego na kamieniu. Kiedy Józafat przybył do Bytonia, Żyrowice były własnością kasztelana Jana Meleszki, trzymającego się schizmy. Zapoznawszy się z Józafatem, Meleszko wyprzysiągł się błędów i z wdzięczności za swoje nawrócenie ofiarował Żyrowice wraz z kościołem i obrazem cudownym św. Józafatowi.

Z pomocą kilku możnych panów odbudował Józafat klasztor i cerkiew, sprowadził swoich zakonników, urządził regularne nabożeństwa i obsługę duchowną przychodzących pielgrzymów. Ta zmiana poczęła ściągać do Żyrowic liczne pielgrzymki pobożnego ludu, powtórzyły się cuda, zdziałane za przyczyną Najświętszej Panny; samych wskrzeszeń umarłych historja tego kościoła naliczyła 30 wypadków. Przybywali tu i królowie, aby podziękować Matce Bożej za zwycięstwa lub prosić o opiekę i pomoc w publicznych potrzebach Wskutek licznych cudów, jakie się tam działy, Ojciec św. Benedykt XIII, przysłał złotą koronę, którą uroczyście włożył na skronie Matki Bożej w cudownym obrazie metropolita Atanazy Szeptycki 1730 r. Wprowadzeni do Żyrowic przez św. Józafata O.O. Bazyljanie pracowali tam przez dwa wieki.

Pomiędzy duszami, które Józafat pozyskał dla wiary św. w czasie swego przełożeństwa w Żyrowicach, znakomitą zdobyczą był szlachcic Sołtan, potomek dawnych właścicieli tej wioski. Przybywszy razu jednego do Żyrowic, przechadzał się ze św. Józafatem po lesie. Kiedy rozmowa zeszła na rzeczy wiary, Sołtan począł bluźnić przeciwko wierze i Kościołowi katolickiemu. Św. Józafat tymczasem łagodnie zbijał jego zarzuty, rozwiązywał trudności, a w duchu błagał Boga o zmiękczenie jego serca i oświecenie go światłem wiary. Skończyło się na tem, że Sołtan upadł do nóg świętego i w tejże chwili, w lesie, wyspowiadał się, pojednał z Kościołem i tak odnowiony na duszy, poszedł do cerkwi podziękować Matce Bożej za swe nawrócenie.

Św. Józafat zostaje wileńskim archimandrytą.

Już po kilku miesiącach zarządu klasztorami w Bytoniu i Żyrowicach musiał Józefat rozstać się z tymi świętymi zakątkami, świadkami wielu prac i dokonanych przezeń nawróceń, po śmierci bowiem metropolity Pocieja biskup i archimandryta Rutski objął zarząd całej obszernej metropolji, Józafata zaś powołano do Wilna na archimandrytę. Było to w r. 1614.

Godność ta dostarczyła Józafatowi wielu okazji do rozmaitych cnót. A najprzód podziwiać trzeba jego pokorę i miłość względem własnych poddanych. Ponieważ wszyscy zakonnicy byli jeszcze młodymi i niedoświadczonymi ludźmi, stąd wszystkie prawie obowiązki i posługi klasztorne Jozafat przyjął na siebie. Sam był mistrzem nowicjuszów, sam kaznodzieją, spowiednikiem, gospodarzem i ekonomem klasztoru. Szczególniej lubił wyręczać w pracy

kleryków zakonnych, aby im więcej czasu na naukę zostawić. Pomimo tylu domowych zajęć nie przestawał pracować i poza domem: spowiadał, odwiedzał chorych, miewał nauki do zakonnic, chodził po więzieniach i nawracał złoczyńców. Wszystko to spełniał z pogodnem obliczem i radością serca, jak gdyby te zajęcia nie były pracą, ale raczej odpoczynkiem lub nagrodą za pracę. Prawdziwy cud, że jeden człowiek, przytem słabego zdrowia i przy tylu umartwieniach, mógł tak długo i tak wiele pracować na chwałę Bożą.

Chociaż był przełożonym, jednak w sposobie życia nie odróżniał się od innych Braci i nie chciał znać żadnych wyjątków ani ulg. Suknie jego świadczyły o zamiłowaniu ubóstwa. Nigdy nie chciał używać futra, pomimo najsilniejszych mrozów.

Dla siebie niezmiernie surowy, był Józafat wyrozumiałym na błędy swoich poddanych. Kiedy wypadło kogoś upomnieć o jakie przewinienie przeciw karności zakonnej, czynił to z największą łagodnością i miłością. Razu jednego upomniał zakonnika o jakieś wykroczenie; słysząc to inny zakonnik, począł natrząsać się z owego, który zawinił, Św. Józafat, skoro się dowiedział o tym braku braterkiej miłości, woła do siebie winowajcę i mówi mu tylko te słowa:

— Jeśli stoisz, to patrz, abyś i sam nie upadł.

To upomnienie tak poskutkowało na owego mnicha, że odtąd nikt z Braci nie słyszał z ust jego żadnego przykrego słowa.

Przy całej swej łagodności dla Braci św. Józafat nie pozwalał im nigdy na nic, coby mogło być choćby z najmniejszą obrazą Bożą. W jego obecności musieli wszyscy dobrze czuwać nad swoim językiem, gdyż on na to niezmiernie był uważny.

Troskę o wyżywienie licznej zakonnej braci złożył na Boga i nadzieja go nigdy nie zawiodła. Chociaż dobra klasztorne nie były w stanie wyżywić 60 zakonników, kilkanaście osób służby i liczny chór śpiewaków, utrzymywanych przy św. Trójcy, jednak Opatrzność tak sprawiła, że zawsze potrzeby klasztoru można było opędzić. Świętość Józafata zbliżała ku niemu rozmaite bogate osoby, które hojne składały na klasztor jałmużny.

Od czasu, jak został archimandrytą, stał się Józafat prawdziwym ojcem ubogich wileńskich Oblegali go też oni tłumnie. kiedy się na ulicy pokazał, każdy przedstawiał mu swoje potrzeby kłopoty. Nikt od świętego nie odchodził bez wsparcia i pociechy. Często sam nawet roznosił żywność i zapomogę po najuboższych domach. Uważał za stracony dla siebie ten dzień, w którym nie pocieszył żadnego biedaka.

Bóg okazywał swoje upodobanie w praktykowanej przez świętego cnocie miłości bliźniego. Pewnego dnia przyszła do Józefata jakaś uboga wdowa z płaczem, że nielitościwy wierzyciel żąda od niej natychmiast oddania pieniędzy, które ona w swej biedzie od niego pożyczyła, a teraz nie ma skąd oddać. Józafat nie miał takiej sumy lecz ubogiej wdowie kazał przyjść do siebie za parę godzin. Sam udał się na modlitwę, prosząc Boga o zaradzenie tej potrzebie. Kiedy po modlitwie wychodzi z cerkwi, zastępuje mu drogę nieznajomy młodzieniec i doręcza znaczną kwotę pieniędzy w złocie. jako jałmużnę dla klasztoru. Zapytany o nazwisko nic nie odpowiedział i znikł. O godzinie oznaczonej przyszła znowu owa uboga kobiecina i św. Józafat wręczył jej wszystkie otrzymane od młodzieńca pieniądze, nie licząc ich wcale. Okazało się, że było więcej, niż na spłacenie długu; wraca więc poczciwa kobieta do klasztoru i oddaje resztę świętemu pytając go, czy się nie pomylił, dając jej tak wiele. Józafat jednak nie chciał ani słyszeć o zwrocie owego naddatku.

— Sam Pan Bóg ci to zesłał — powiada — więc zabierz sobie wszystko.

Również cudownie przychodziła Opatrzność w pomoc klasztorowi, kiedy wskutek hojnych jałmużn dla ubogich nie było czem wyżywić zakonników. Razu jednego zbliżała się godzina obiadowa a tymczasem nie było co podać na stół. Św. Józafat, kazał zakonnikom udać się na modlitwę. Kiedy skończyli swoje modły, na podwórze klasztoru wjechało pięć wozów, naładowanych spożywczemi zapasami. Woźnice złożyli wszystko i zaraz się oddalili nie chcąc powiedzieć, kto ich przysłał. Niektórzy bogatsi obywatele i kupcy wileńscy opowiadali, że św. Józafat ukazywał się im w nocy przez sen z prośbą o jałmużnę. Bywało to wtedy, kiedy klasztorowi groził niedostatek.

Ludziom świętym Pan Bóg daje moc rozkazywania i poskramiania złych duchów. Tego daru udzielił i św. Józafatowi. W cerkwi św. Trójcy począł szatan z dopuszczenia Bożego straszyć co nocy zakonników. Około północy dawał się słyszeć huk, łoskot, brzęk łańcuchów, co trwało po parę godzin ku wielkiemu utrapieniu zakonnej braci. Lecz i te napady nieczystego ducha zwyciężył święty swoją modlitwą i odpędził go wreszcie na zawsze znakiem krzyża św. i wodą święconą.

Jako archimandryta, musiał Józafat często wyjeżdżać już to dla odwiedzenia i wzmocnienia ducha w nowych klasztorach w Bytoniu i Żyrowicach, już to w sprawach ważniejszych, wzywany przez metropolitę do Nowogródka i Ruty, gdzie Rutski niekiedy przebywał. Każda podróż Józafata była zarazem jakby misyjną wycieczką. Stanąwszy bowiem gdziekolwiek na popas, rozglądał się, czy nie znajdzie kogo chętnego do słuchania słowa Bożego. Uczył katechizmu, przekonywał o prawdziwości wiary katolickiej, grzeszników upominał do poprawy życia,

a nawróciwszy ich, spowiadał ich zaraz i do komunji wysyłał.

Najważniejszą z podróży, jakie Józafat odbył w owym czasie, była podróż jego do Kijowa wraz z Rutskim, który miał objąć w posiadanie główną cerkiew kijowską św. Zofji. Józafat pragnął odwiedzić sławną peczerską ławrę, czyli klasztor, w którym dawniej wielu pobożnych mnichów życie swe spędziło; gorliwość o szerzenie jedności kościelnej zniewalała go do tej pielgrzymki.

Kiedy od furty powiadomiono zarządzającego ławrą ihumena, że przybył do klasztoru Józafat, zadzwoniono w dzwonek klasztorny i zbiegło się przeszło stu mnichów; wszczął się zgiełk nie do opisania. Józafat zwrócił się do ihumena, aby ich uspokoił. Kiedy ucichli, Józafat począł dzielnie bronić Unji z tych samych ksiąg, których oni codziennie do czytania i do służby Bożej używali. Nikt z nich nie umiał nic odpowiedzieć na wywody Józafata: tylko słychać było, jak jeden do drugiego mówił:

— Nie darmo nazywają go „duszochwatem!..“ Umie on ciągnąć do siebie ludzi słodkiemi słowami.

Św. Józafat, zyskał sobie ich poważanie do tego stopnia, że rozstali się z nim w wielkiej przyjaźni, odprowadzili go do jego mieszkania, gdzie z niecierpliwością oczekiwał na niego metropolita Rutski. Zadziwił się też metropolita niemało, skoro zobaczył Józafata, wracającego w towarzystwie kijowskich mnichów; obawiał się bowiem, aby nie przytrafiły się jakie przykre zajścia.

W Kijowie św. Jozafat nawrócił do Unji jednego ławnika z miejskiej rady i dwóch duchownych, którym też metropolita powierzył pieczę nad cerkwią św. Zofji. Obadwaj oni później śmierć męczeńską ponieśli.

Wiele pociechy w Cerkwi unickiej sprawił Józafat nawróceniem dwóch wielkich panów: Michała Druckiego-Sokolińskiego i Teodora Tyszkiewicza, którzy posiadając ogromne na Litwie majątki i mając wielkie znaczenie w senacie, bardzo dużo poczęli czynić od tej pory dla dobra wiary. Pozostali też szczerymi przyjaciółmi Józafata.

Św. Józafat zostaje biskupem.

Po kilku latach usilnej pracy z pomocą swych Braci zakonnych Józafat wiele zdziałał w Wilnie i jego okolicach. Opatrzność gotowała mu nowe pole do pracy na Białej Rusi. Biskupem djecezji połockiej był Gedeon Brolnicki, 90-letni starzec, unita dobrego ducha i chęci, ale z powodu starości i niedołęstwa pasterza, ciemnota i zaniedbanie rzeczy świętych były ogromne w tamtych stronach. Metropolita Rutski, powróciwszy roku 1617 z Rzymu, gdzie zdawał Ojcu św. sprawę z postępów Unji, postanowił zaradzić opuszczonej djecezji połockiej, przez dodanie Brolnickiemu do pomocy drugiego biskupa, któryby też po jego śmierci objął samodzielnie rządy djecezją. Na to stanowisko nie było zdolniejszego człowieka, jak archimandryta Józafat Kuncewicz. Jego też Rutski zamianował biskupem sufraganem połockim, a król Zygmunt wybór ten chętnie potwierdził.

Józafat, żeby się za jakąbądź cenę uchylić od urzędu biskupiego, myślał o ucieczce na pustynię, ale zamiar ten zganił O. Fabrycy, Jezuita, do którego o radę się zwrócił.

W lipcu tegóż roku 1617 zwołał metropolita do swego majątku Ruty, pod Nowogródkiem wszystkich zakonników, którzy wychowali się w klasztorze św. Trójcy, a teraz posiadali już pięć klasztorów. Przybył tam i Józafat, jako przełożony głównego klasztoru wileńskiego. Na tem zebraniu, które trwało przez 6 dni, przyjęto rozmaite postanowienia i reguły mające na celu zapewnić zgromadzeniu bazyljańskiemu pomyślny rozwój i wzrost, jak również jednostajność zarządu i zwyczajów we wszystkich klasztorach. Pod koniec posiedzeń metropolita po krótkiej przemowie do zgromadzonych, przywołał przed tron swój Józafata i doręczył mu nominację królewską na urząd biskupa sufragana. Józafat próbował jeszcze uchylić się od tej godności, upadł do nóg metropolity i błagał go, aby mu pozostawił wolność. Rutski jednak nie zważał ani na łzy, ani na błagania Józafata.

— To, czego od ciebie żądam — rzekł — jest koniecznem dla chwały Bożej. Moje postanowienie jest nieodwołalne.

Józafat, widząc, że dłużej nie może się opierać woli wyższej, rzewnemi zalał się łzami. Przyjął królewski dyplom, ale zarazem postanowił, że biskupstwo odda zdolniejszemu od siebie.

Dnia 12 listopada 1617 r. metropolita wraz z innymi biskupami poświęcił Józafata w Wilnie na biskupstwo z tytułem biskupa witebskiego i z prawem objęcia arcybiskupiego tronu w Połockn po śmierci Brolnickiego. Wielki tłum ludu wileńskiego brał udział w tej uroczystości, chociaż nie wszyscy z jednakowemi uczuciami wybór ten przyjmowali.

Ciężko było Józafatowi rozstać się z ukochanym klasztorem, z bracią zakonną, z ubogimi wileńskimi, dla których był ojcem i opiekunem. Zanim wyjechał na nowy swój posterunek, odosobnił się w swojej celi na piętnaście dni, w ciągu których, przestając sam na sam tylko z Bogiem, wzmacniał modlitwą swe siły duchowe do przyszłych prac i walki.

Zbliżyła się wreszcie chwila rozłączenia z Wilnem. Całe miasto zbiegło się do św. Trójcy, aby pożegnać swego dobroczyńcę. Szlachta zjechała się z okolicy, aby złożyć swe powinszowania nowemu pasterzowi i życzyć mu powodzenia na nowym

posterunku. Skoro św. Józafat ukazał się w drzwiach klasztoru, otoczyli go zewsząd ubodzy, wdowy, sieroty, rozległ się płacz serdeczny, jakby grzebali swego ojca rodzonego. Tak odprowadzili Józafata aż poza mury miasta. Pobłogosławiwszy po raz ostatni miasto i jego mieszkańców, puścił się święty w dalszą drogę w towarzystwie kilku zakonników, których zabrał ze sobą do Połocka.

Dzień 9 stycznia 1618 roku wyznaczony był na wjazd nowego biskupa do Połocka. Chociaż życie religijne było w wielkiem zaniedbaniu w tem mieście, jednak ponieważ nie było tam zawziętych wrogów zjednoczenia, przeto i wiadomość o zamianowaniu biskupem Józafata, znanego już w całym kraju ze świętości, przyjęto z radością. Tylko garstka była niechętnych, przedewszystkiem wśród otoczenia starego arcybiskupa Brolnickiego, gdyż przeczuwali, że z przyjazdem Józafata skończy się ich gospodarstwo w djecezji i w dobrach biskupich, z których oni nabijali sobie kieszenie, pozwalając kościołom upadać od starości.

Kiedy już się zbliżała godzina wjazdu, wyległy poza bramę na trakcie wileńskim rzesze ludu katolickiego tak ruskiego, jak i łacińskiego obrządku, ze swojem duchowieństwem na czele. Zebrała się szlachta i panowie z całego kraju; na czele ich stał Michał Sokoliński, którego Józafat przed paru laty nawrócił. Król Zygmunt przysłał w swoim zastępstwie Janusza Tyszkiewicza, pisarza księstwa litewskiego, który miał polecenie wprowadzić Józafata na tron biskupi. Przyjęcie było tak uroczyste, jakiego połocczanie nigdy jeszcze nie widzieli.

Huczały dzwony i grzmiały armaty. Nowy biskup przybył procesjonalnie do katedry św. Zofji i tam zasiadł na tronie, aby od duchowieństwa przyjąć hołd na znak posłuszeństwa. Zakończyła się ta uroczystość odprawieniem mszy św. i pobłogosławieniem ludu.

Nowy biskup odrazu pozyskał sobie serca nietylko wszystkich katolików, ale nawet wielu schizmatyków. Św. Józafat swoim przykładem i wyraźną obietnicą wobec zatrwożonych miłośników ruskiego obrządku, udowodnił, że wcale nie zamierza wyrzucać dawnych ceremonji z cerkwi, owszem, że je kocha i szanuje, i że Unja niczego więcej nie wymaga, tylko uznania Ojca św. papieża za głowę Kościoła i wiary we wszystkie prawdy przez tenże Kościół podawane.

Brolnicki okazywał się nie bardzo przychylnym Józafatowi, lecz ten nie zrażał się wcale, ale pracował jak prosty kapłan nad ludem, a arcybiskupowi okazywał uległość i synowską miłość. Powoli też swoją cierpliwością, łagodnością i różnemi przysługami tak zjednał starca, że ten pozwolił Józafatowi rządzić według własnej myśli całą djecezją i pokochał go, jak syna. Życie Gedeona zbliżało się ku schyłkowi. Józafat wyspowiadał go kilka razy, udzielił Ostatnich Sakramentów i nie odstąpił od jego łoża, aż starzec pojednany z Bogiem i w ścisłej jedności z Kościołem katolickim oddał ducha swego Bogu.

Pomyślne Józafata rządy w djecezji połockiej.

Po śmierci Brolnickiego został Józafat samodzielnym arcybiskupem połockim. Cały ciężar zarządu obszernej djecezji, odnowienie w niej katolickiego ducha, wskrzeszenie wygasłej pobożności, spadł teraz wyłącznie na jego barki. Chociaż nie mógł w pałacu biskupim zatrzymać w zupełności takiego ubóstwa, do jakiego nawykł w klasztorze, jednak starał się, aby umeblowanie było najskromniejsze i możliwie ubogie. Do pomocy w zarządzie całym swym domem powołał zakonników z Wilna: przyjaciela swego i spowiednika Ojca Gennadjusza Chmielnickiego i archidjakona Doroteusza Lecikowicza. Emanuełowi Kantakuzenowi, powierzył nadzór nad służbą świecką. Ale i sam czuwał pilnie nad dobrem życiem swojej służby.

Reforma obyczajów tyczyła i księży zostających przy boku arcypasterza. Rozkazał im mianowicie, aby codziennie odprawiali mszę św. często się spowiadali i chodzili do Ojców Jezuitów na naukę potrzebną do godnego sprawowania Sakramentu pokuty. Niektórym duchownym nie podobało się takie zarządzenie i poczęli sarkać na arcybiskupa, że ich, Rusinów, zmusza pobierać naukę u łacińskich księży. Dowiedziawszy się o tem, Józafat woła niezadowolonych i pyta ich:

— Czy to źle pożyczyć u sąsiada ognia, kiedy swój zgaśnie?

NIe wiedząc do czego zmierza zapytanie, odpowiedzieli, że przeciwnie, mądrą jest rzeczą pożyczyć w takim razie ognia u sąsiada. Na to Józafat zauważył:

— A więc niema i w tem nic złego, jeśli szukać będziemy nauki tam, gdzie ona jest, skoro u nas jej brakuje. O Boże drogi! — dodał jeszcze — tylu ludzi przyjaźni się z heretykami, nawet z żydami, a gniewają się, że ja okazuję przyjaźń kapłanom innego obrządku, z którymi łączy mię taż sama wiara, taż sama praca nad zbawieniem dusz.

Arcybiskupi połoccy posiadali obszerne dobra ziemskie, a w nich wielu poddanych i czynszowników. Do zarządu temi dobrami powołał Józafat ludzi doświadczonej wierności i sumienności i polecił im, aby dobrze obchodzili się z poddanym ludem. Chciał być dla wszystkich pasterzem i ojcem, dlatego też dzierżawy i czynsze pozmniejszał; gdzie było mniej dochodów, tam wcale niczego nie żądał. Wpływające do jego kasy dochody rozdawał między ubogich.

Józafatowi nie chodziło wcale o korzyści doczesne, lecz jedynie o zbawienie dusz. Urzędnikom swoim często powtarzał:

— Bierzemy od ludu dobra doczesne; ich pot i prace utrzymują nasze ciała; starajmy się więc w pocie naszego czoła o ich zbawienie.

Stąd też wszyscy uczciwi poddani bardzo kochali swego biskupa, ochotnie wnosili należne z nich czynsze i podatki, które zaraz szły na potrzeby cerkiewne i na ubogich.

Kiedy Józafat obejmował tron biskupi, świątynie połockie znajdowały się w stanie okropnego zaniedbania. Sama nawet katedralna cerkiew św. Zofji była doprowadzoną prawie do ruiny. Trudno było modlić się w tej świątyni z obawy, że każdej chwili sklepienia mogą runąć i zasypać obecnych. Ludzie, szczerze dbający o chwałę Bożą, nie mogą obojętnie patrzeć na zaniedbanie domów modlitwy, dlatego i Józafat, pałając gorliwością o cześć imienia Bożego, niebawem zabrał się do dźwignięcia i upiększenia upadającej świątyni. Chociaż odnowienie katedry pochłonęło olbrzymie sumy, jednak nie żałował pieniędzy i w przeciągu kilku lat katedrę przyprowadził do wzorowego porządku i świetności.

Oprócz katedry odnowił Józafat wiele innych cerkwi w Połocku, Orszy, Witebsku wszędzie zaprowadzając czystość i porządek.

Podczas zamieszek w kraju i wojen, bardzo wiele posiadłości należących do arcybiskupa i klasztorów, zagrabili ludzie świeccy i zwrócić ich dobrowolnie nie chcieli. Musiał więc Józafat sądownie dochodzić kościelnej własności. Łatwo sobie wystawić, ilu z tego powodu miał nieprzyjaciół. Nienawiść tych, co musieli zwrócić nieprawnie zagrabione dobra, oczernienia rozmaite, nastawania na życie — oto nagroda, jaka spotykała gorliwego arcybiskupa.

Szlachecka rodzina Korsaków przywłaszczyła sobie cały monaster św. Romana i Dawida. Kiedy Józafat zażądał zwrotu klasztoru, nasłano złoczyńcę, który miał zabić arcybiskupa. Pomimo grożącego niebezpieczeństwa Józafat klasztor odebrał, odnowił go, cerkiew przy nim uporządkował i do obsługi jego sprowadził z Wilna od św. Trójcy kilku zakonników odnowionego ducha. Podobnież odebrał klasztory w Bracławiu i Mścisławiu osadzając i tam swoich zakonników.

W Połocku znajdował się monaster żeński Bazyljanek, bardzo zaniedbany i opuszczony. Św. Józafat sprowadził niebawem kilka zakonnic z Wilna, których niegdyś sam był przewodnikiem duchownym, osadził je w zaniedbanym klasztorze i polecił im przeprowadzić reformę dawnych tego klasztoru mniszek. Wkrótce pod osobistym dozorem i kierownictwem arcybiskupa zgromadzenie to odrodziło się na duchu i wzrosło w liczbę.

Reforma duchowieństwa na Białej Rusi.

Po swych poprzednikach odziedziczył Józefat w djecezji połockiej okropne zaniedbanie wśród duchowieństwa, tak co do nauki, jak i co do czystości obyczajów. Kraj z imienia chrześcijański w gruncie rzeczy nieznajomością prawd wiary świętej i upadkiem życia pobożnego graniczył z pogaństwem. Trzeba było niejako na nowo ewangelizować i nawracać ten kraj do chrześcijańskiej wiary, a nawracanie to rozpocząć od samego duchowieństwa, które nie wiele było światlejsze, ani pobożniejsze od zaniedbanego ludu. Takie zadanie wypadło na dolę świętego arcybiskupa i jego nielicznych pomocników, mnichów bazyljańskich.

Trafiali się pomiędzy duchownymi i tacy, co nawet podpisać się nie umieli. Żeby zaradzić tej ciemnocie duchowieństwa unickiego chociaż w części, św. Józafat ułożył i wydał krótki katechizm prawd wiary świętej, polecił nauczyć się go na pamięć wszystkim kapłanom swojej djecezji, aby potem umieli pouczać lud i dzieci.

Ważniejszą jednak rzeczą od oświaty była naprawa prywatnego życia duchownych. Gorliwości o chwałę Bożą i o dusz zbawienie oni nie znali: całą ich troską było to, aby wyżywić siebie i swoją rodzinę, a jeśli się da, to i dorobić się czegoś. Stąd jedni trudnili się handlem, inni zagrzebywali się w gospodarstwie, inni pożyczali pieniędzy na wysokie procenty. Przytem pijaństwo było prawie powszechne między nimi. Tacy ludzie przeważnie z ciężkiemi winami na sumieniu, bez spowiedzi, ośmielali się przystępować do ołtarza i odprawiać służbę Bożą. Łatwo pojąć, jakie z tego płynęło zgorszenie dla ludu. Zwykle bowiem, jaki nauczyciel, tacy i uczniowie, jaki pasterz takie i owce bywają.

W celu naprawy obyczajów duchowieństwa św. Józafat ułożył przepisy kapłańskiego życia, podzielone na 48 reguł, i wszystkim podwładnym kapłanom surowo nakazał do przepisów tych stosować się. W regułach swych przypomniał kapłanom najpierw obowiązek częstego spowiadania się, aby mieli sumienie czyste i świecili dobrym przykładem swoim owieczkom.

W Kościele wschodnim wolno przyjmować kapłaństwo żonatym, ale po śmierci pierwszej żony nie wolno wstępować w powtórne związki małżeńskie. Pomimo jednak takiego prawa kościelnego, bardzo wielu znalazło się takich właśnie „dwużeńców“. Józafat wystąpił przeciwko takiemu gwałceniu woli Kościoła i zarządził, że każdy z kapłanów, którzy po śmierci pierwszej żony ośmieli się pojąć

drugą, będzie pozbawiony urzędu kapłańskiego na zawsze i wykluczony z Kościoła. Tym sposobem położył koniec zgorszeniu, jakie dawali wiernym księża powtórnie żonaci.

Najlepsze i najrozumniejsze prawa i przepisy nie wiele skutkują, jeśli nikt nie czuwa nad ich wykonaniem. Przepisy, tyczące życia kapłańskiego, poruczył św. Józafat czujności i opiece dziekanów, którzy mieli często zdawać mu sprawę o każdym kapłanie, jak owe przepisy w życiu zachowuje, a sami winni byli dawać podwładnym księżom dobry przykład sumiennego wypełniania woli arcypasterza.

Święty arcybiskup nie zadowolnił się wydaniem mądrych a surowych przepisów kościelnych, ale pragnął osobiście poznać wszystkich poddanych sobie kapłanów, ojcowską radą, serdecznem napomnieniem, przywiązać do siebie ich serca i zachęcić do świątobliwego kapłańskiego życia i umiłowania jedności kościelnej. W tym celu objeżdżał ustawicznie swoją djecezję, własnym przykładem pouczał, jakie są obowiązki dobrego pasterza; niedbałych i występnych duchownych napominał po ojcowsku, a w razie niepoprawy usuwał z parafji, lub dodawał im gorliwszych duchem pomocników. Zwoływał w różnych porach roku synody, czyli zjazdy wszystkich kapłanów w Połocku, Witebsku, Mścisławiu. Sam na tych synodach przewodniczył, egzaminował kapłanów, ogłaszał nowe rozporządzenia, wywiadywał się o potrzebach różnych parafji, zachęcał kapłanów do wytrwałej pracy na chwałę Bożą i dusz zbawienie.

Największe nieszczęścia, jakie na Kościół spadały, pochodziły stąd, że oprócz prawowitej władzy kościelnej mieszali się do rzeczy religijnych ludzie świeccy, nie mający żadnego na to od Chrystusa Pana posłannictwa. Panowie na Białej Rusi mieszali się do spraw czysto duchownych, naprzykład określali sposób nabożeństwa, dawali nawet rozwody małżonkom. Stąd pochodziło dużo zamieszania w stanie kapłańskim, dużo nieposłuszeństwa władzy kościelnej, ogólne uciemiężenie Kościoła. Gorliwa dusza świętego arcybiskupa nie mogła pogodzić się i przystać na takie poniżenie Kościoła. Z tego powodu wydał rozporządzenie, aby kapłani nie uznawali nad sobą i nie poddawali się żadnej świeckiej władzy, lecz słuchali we wszystkiem swego pasterza, nadto aby nie przyjmowali z rąk świeckich osób żadnych godności ani obowiązków kościelnych bez jego wiedzy i zezwolenia. Wprawdzie sądy, urzędy i szlachta oburzyła się na arcybiskupa, że ukrócił ich władzę, lecz św. Józafat gotów był życie oddać w obronie praw i wolności Kościoła św. i na żadne szemrania wcale nie zważał.

Przez kilka lat czujnej pasterskiej pracy nad powierzonem sobie duchowieństwem, przez obronę jego wobec ludzi świeckich, podniósł kapłanów i pod względem cnoty.

Św. Józafat wzmacnia jedność kościelną.

Wszystkie prace i wysiłki, wszystkie myśli i pragnienia świętego zwracały się ku temu jednemu celowi: aby wzmocnić w djecezji połockiej jedność z Kościołem katolickim. Widzieliśmy, że w pierwszych latach swego pasterskiego urzędu nie natrafiał na żadne poważniejsze przeszkody ze strony ludu. W Połocku, Witebsku i innych większych miastach djecezji przyjmowano go z zapałem. Jedno tylko miasto Mohylew nad Dnieprem, zbuntowane przez intrygi, umyśliło stawić opór swemu biskupowi i nie wpuścić go wcale do miasta. Kiedy arcypasterz przybył w towarzystwie kapłanów i zakonników na wizytę pasterską, schizmatycy zamknęli przed nim bramy, a na wały miejskie wytoczyli armaty, jakby do nich zbliżało się jakieś wojsko nieprzyjacielskie. Nie pomogły oświadczenia biskupa, że przybywa do mieszkańców miasta z miłością, jako ojciec do swych dzieci: nie chciano go słuchać i odgrażano się świętemu biskupowi. Sprawa tego buntu oparła się aż o sąd królewski, który też głównych winowajców przykładnie ukarać rozkazał. Polecono przytem mohylewianom, aby poddali się się władzy duchownej arcybiskupa Józafata. Schizmatycy złożyli trzy tysiące złotych i posłali św. Józafatowi, aby się zrzekł władzy swojej nad miastem.

— Mylicie się, moje dzieci — odpowiedział im łagodnie święty. — Ja nie chcę waszych pieniędzy, ale dusz waszych. Darów Ducha św. nie sprzedaje się!

Chcąc nie chcąc, musieli ustąpić i poddać się prawowitemu unickiemu pasterzowi.

W innych miastach djecezji Unja przyjmowała się bez oporu. Częste synody, pasterskie wizyty, dobroć ojcowska Józafata względem niższego duchowieństwa jednała mu serca i przywiązywała je do jego osoby, a przez to i do Unji.

Pozyskawszy dla Unji duchowieństwo parafjalne, św. Józafat przywiązał do niej i lud cały, który widząc tyle zmian dobrych, jako to częstsze i uroczystsze nabożeństwa, większą gorliwość swych proboszczów, wiedział, że to wszystko zawdzięcza świętemu swemu arcybiskupowi, i wskutek tego coraz więcej przywiązywał się do Kościoła. Lecz czujne oko Józafata zwrócone było ustawicznie ku zbłąkanym owieczkom. Pomny na słowa Zbawiciela: *„I drugie owce mam, które nie są z tej owczarni i one potrzeba abym przywiódł. i słuchać będą głosu mego i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz“*, starał się wszelkiemi siłami sprowadzić błądzących do owczarni Kościoła powszechnego. Jedyną bronią świętego było słowo prawdy i miłości. Ze słowem

tem szedł nieraz do mieszkań błądzących swych synów, pierwszy pozdrawiał ich przy spotkaniu na ulicy, zapraszał nawet do swego stołu, a zawsze rozprawiał z nimi o wierze i Kościele, zbijał ich błędy i uprzedzenia, rozwiązywał trudności. Często wstępował na kazalnicę, aby osobiście uczyć zebrany lud dróg zbawienia. Ludzie tak lubili słuchać jego kazań, że kiedy razu pewnego odezwał się z ambony:

— Nie będę was, dzieci, długo trzymał na mojem kazaniu.

Wszystek lud zawołał głośno:

— Mów Ojcze chociażby przez cały dzień, myśmy gotowi ciebie słuchać!

To też podczas jego kazań kościół był zawsze przepełniony.

Starał się też Józafat o rozszerzanie dobrych książek pomiędzy ludem unickim, polecał drukować religijne dzieła, tłómaczone na język ruski z łaciny i innych obcych języków; sam nawet pomimo tylu zajęć, napisał dziełko pod tytułem: „Obrona Unji“

Szczególną troskę okazywał Józafat względem chorych po szpitalach i często sam chodził jednać ich z Panem Bogiem i Kościołem. Tak samo zaprowadził zwyczaj, aby dorastającą młodzież nie odpędzano od Sakramentów, lecz uczono katechizmu i zachęcano do spowiedzi i komunji świętej.

Taką wszechstronną a gorliwą pracą Józafat w przeciągu swego pasterzowania wpływ zbawienny wywierał. Nawrócony przez niego radny Dziahilewicz tak świadczył po śmierci Józafata:

— Za czasów biskupstwa Gedeona Brolnickiego, nas wszystkich mało obchodziły sprawy Kościoła. Józafat pozyskał nas dla Unji świętej. — A zarazem dodał: — „Nigdym nie słyszał z ust Józafata przykrego słowa. któreby mogło obrazić schizmatyków. On mógł ich zupełnie zniszczyć, bo prawo dawało mu władzę nad nimi, mógł ich przynajmniej karać, tymczasem nigdy nie użył żadnych środków przemocy. On im tylko powtarzał ustawicznie, że jedynem jego pragnieniem było przywieść ich do posłuszeństwa rzymskiemu papieżowi“

Wewnętrzne cnoty świętego arcybiskupa.

W życiu świętych mężów najwyższego podziwu godną rzeczą jest to, że przy nawiększych i najliczniejszych zewnętrznych zajęciach swego urzędu czy stanu, znajdują czas i na to, aby pracować nad doskonałością i uświęceniem swojej własnej duszy. Widzimy to samo i w życiu naszego świętego arcybiskupa. Zostawszy pasterzem tak obszernej i opuszczonej duchowo owczarni, zdawałoby się, że nie zdoła utrzymać się na tym stopniu życia pobożnego i skupionego, do jakiego ślubami zakonnymi był się zobowiązał. Tymczasem on wszystkich sił dołożył, aby i na tronie biskupim pozostać prawdziwym zakonnikiem.

Podwładnym swoim, zważając na ich słabość, święty pasterz pozwalał skracać brewiarz, ale sam z tej ulgi nigdy nie chciał korzystać i w katedralnej cerkwi św. Zofji wszystkie nabożeństwa musiały być w całości odprawiane. O. Gennadjusz Chmielnicki, który był spowiednikiem arcybiskupa i u którego znajdowały się klucze katedry, opowiada, że św. pasterz zwykł był nad ranem wchodzić do jego pokoju, skąd zabierał klucze od kościoła; otwierał następnie świątynię, dzwonił na jutrznię, zapalał świece na ołtarzu, i udawszy się do chóru, oczekiwoł, aż wszyscy zakonnicy i kapłani zejdą się na nabożeństwo. W nabożeństwach tych sam brał udział na równi z prostymi zakonnikami, a śpiewając godziny kanoniczne miłym i melodyjnym swym głosem, wszystkich zachęcał i zapalał do pobożności.

Taką samą gorliwość o chwałę Bożą okazywał we wszystkich swych pasterskich podróżach po djecezji. Dla swoich modlitw prywatnych szukał ustronnych miejsc, gdzieby mógł bez przeszkody obcować z Bogiem. Cmentarz lub jakiś oddalony kącik ogrodu, oto miejsca gdzie spędzał długie nocne godziny na rozmowie z Panem Bogiem.

Szczególniejszą miłością do Najświętszej Bogarodzicy pałał nasz święty, a Pan Bóg cudownemi zdarzeniami okazywał, jak miłą mu była ta cześć Niepokalanej Panny. Dwaj słudzy pałacu arcybiskupiego zauważywszy, że święty wychodzi nocami z pałacu, postanowili podpatrzeć, dokąd też i po co on się udaje. Poszli więc jednej nocy za nim po cichu, obserwując z ciekawością każdy krok jego. Święty arcybiskup bosemi nogami, choć to była zima, przeszedł przez dziedziniec pałacu, przez cmentarz grzebalny i zatrzymał się przed drzwiami cerkwi, gdzie na zewnętrznej ścianie był obraz Matki Bożej. Upadł przed nim na kolana i począł się modlić. W tejże chwili dwa ogniste promienie wyszły od obrazu i okryły światłem modlącego się biskupa, on zaś podniesiony od ziemi, zatopił się w gorącej modlitwie. Słudzy zadziwieni tym widokiem cofnęli się ku pałacowi, z głębokiem przeświadczeniem o świętości swojego pana.

Mówiliśmy już wyżej o wielkich umartwieniach, jakie sobie zadawał święty, gdy był prostym zakonnikiem. Otóż nie pofolgował on smemu ciału i na urzędzie biskupim, owszem pomnażał swoje umartwienia.

Pewne o tem świadectwa zostawił nam towarzyszący mu wszędzie archidjakon Doroteusz. Kiedy zimową porą bawił z arcybiskupem w którymś majątku na wsi, wyszedł jednego razu na przechadzkę do poblizkiego lasu. Niespodziewanie spotkał tam swego arcypasterza, lecz jakiż widok przedstawił się jego oczom! Józafat klęczał na śniegu, ramiona i plecy miał obnażone po pas i niemiłosiernie uderzał się rózgami. Zmęczony uderzeniami padał krzy-

żem na śniegu, głośno się modląc, a skoro odzyskał siły, znowu rozpoczynał katować swe ciało. Doroteusz zawahał się na chwilę nie wiedząc co czynić. Zdjęty litością, zbliża się wreszcie do biskupa.

— Dosyć, Ojcze — odzywa się doń — dosyć tej męczarni, miej litość nad swojem zdrowiem!

— Pozostaw mnie w spokoju, mój bracie, oddal się i nikomu nic nie mów o tem, coś widział — odpowiedział święty.

Doroteusz, choć z bólem serca, musiał jednak usłuchać tego rozkazu.

Tenże sam Doroteusz miał i inną sposobność przekonania się o wielkiem umartwieniu świętego. Józafat, jak mówiliśmy, nosił na ciele pasek kolczaty, którego ostre kolce głęboko wpijały się w ciało. Razu pewnego takiego stąd doznał bólu, że zemdlał przy odprawianiu mszy św. Po nabożeństwie ułożono go na łóżku, lecz święty był tak osłabiony, że sam nie zdołał zdjąć z siebie zaciśniętego kolczastego łańcuszka. Zawezwać tedy musiał Doroteusza, aby mu go odpiął. Włosienicy jednak zdjąć sobie nie pozwolił.

Takiemi umartwieniami nadludzkiemi zdołał zupełnie opanować swe ciało i poddać je pod panowanie rozumu i woli do tego stopnia, że żadna zła chęć nie zamącała spokoju jego duszy i wewnętrznego połączenia się z Bogiem

Przypatrzmy się jeszcze innym cnotom świętego. Wielkim był miłośnikiem ubóstwa ewangelicznego. Dla swojej własnej osoby był bardzo oszczędnym, nieledwie skąpym; odzież nosił najskromniejszą, pożywienie jego było najprostsze; nosił taki sam habit sukienny, jaki przyjął w klasztorze, tak, że niczem się nie różnił od prostego zakonnika, tylko płaszcz miał nieco ozdobniejszy. Przy stole miał zawsze przy sobie przynajmniej jednego ubogiego, z którym jadał; innych kazał ugaszczać w osobnym pokoju, a po obiedzie własnoręcznie jałmużną ich obdarzał. Wszystkie swoje dochody obracał jeśli nie na kościoły, to na ubogich. Jest stare przysłowie, że „kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie dobodzie“, a cóż dopiero jeśli ma krewniaka biskupem! Tacy krewni zwykle lubią się czepiać stołu i kieszeni kapłańskiej; lecz Józafat inaczej na tę rzecz patrzył. On nietylko całe swoje biskupie dobra, ale i dochody z nich uważał za skarb Kościoła i ubogich, nie zaś za swoją własność prywatną. Dlatego też, kiedy po objęciu przezeń biskupstwa zgłosił się do niego brat rodzony w nadziei, że pożywi sie dobrze przy biskupie, święty dawszy mu kilkadziesiąt złotych i dwie szaty, kazał wracać do domu i własną pracą starać się zarobić na kawałek chleba.

Biskupia godność zwalniała Józafata z posłuszeństwa, zaprzysiężonego przełożonym zakonu. Lecz święty zachowywał je względem metropolity Ruckiego, tak jakby był prostym mnichem, a metropolita jego przełożonym klasztornym.

Dla zakonu, w którym się wychował, dozgonną żywił miłość. Interesował się jego sprawami, bronił przed napaścią, zakładał klasztory bywał nawet na zjazdach zakonnych, gdzie dla podtrzymania upadających na duchu Braci, publicznie odnowił swoje zakonne śluby.

Na wysokiem swem stanowisku jaśniał święty najgłębszą pokorą. Dobrotliwie i poufale rozmawiał z ludźmi najniższego stanowiska nawet z pomiędzy służby swojej i lubił opowiadać o swojem nizkiem pochodzeniu, sławiąc zarazem dziwną Opatrzność Bożą, która go z za lady sklepowej wyprowadziła aż na tron biskupi.

Miłość i pokorę okazywał nawet względem nieprzyjaciół swoich. Darowywał chętnie wszystkie urazy i za złe starał się im odpłacać dobrodziejstwami. Jak sam był skłonnym do darowania wszystkich krzywd, tak też szczególną miał przyjemność w jednaniu powaśnionych, pomny na słowa Zbawiciela: *„Błogosławieni pokój czyniący!“* Dziwnie mu Pan Bóg w tem błogosławił. Udawał się do domu zagniewanych, nakłaniał ich do zgody, zapraszał do swojego stołu obie strony, które znalazłszy się niespodziewanie razem, dawały się zwykle nakłonić św. Józafatowi i podawały sobie ręce do zgody.

Wielkimi darami wewnętrznymi ubogacił Pan duszę świętego. Nie wiadomo, co więcej w nim podziwiać, czy ogrom jego prac zewnętrznych, czy wielkość jego wewnętrznej świętości. Jeden ze sług jego, Grzegorz Uszacki, zapytany po śmierci świętego, o cnoty jego, zalał się łzami i tak badającej go komisji odpowiedział:

— Pięćdziesiąt lat służę arcybiskupom połockim, ale nigdym nie widział, aby który z nich choć trochę podobny był do Józafata!

Schizmatycy podnoszą głowę.

Gwałtowna burza nadciągnęła nad Cerkiew ruską w roku 1620. Wtedy powracał z Moskwy do Turcji schizmatycki patryarcha jerozolimski Teofan, którego sułtan turecki wysłał, aby namówił Rosję do wojny z Polską. Kozacy dnieprowscy ze swoim hetmanem Konaszewiczem zaprosili Teofana, aby po drodze wstąpił do Kijowa. Wprowadzony tam uroczyście, otoczony tysiącami kozaków, wnet rozpisał na wszystkie strony listy wzywając na narady. Uchwalono zupełnie wyniszyć duchowieństwo unickie, pierwszy miał paść metropolita Rutski. Na stolice biskupie, zajęte przez unickich władyków, Teofan w sekrecie przed królewskiemi władzami wyświęcił siedmiu schizmatyckich archierejów, w tej liczbie Joba Boreckiego na metropolitę, a Melecjusza Smotryckiego na arcybiskupa do Połocka.

Samowolny ten postępek Teofana obraził do żywego króla Zygmunta, bo według prawa nikt nie miał mocy święcić biskupów bez królewskiego zezwolenia. Stąd też król wydał wyrok, skazujący nowo wyświęconych archierejów na wygnanie. Lecz trudno było wykonać wolę królewską. Wybuchła już wojna z Turkami i król potrzebował pomocy wojska kozackiego. Kozacy zaś obiecywali wystawić 60 tysięcy żołnierza, ale pod warunkiem, że król biskupów unickich wypędzi. Zdawało się, że Unja zginąć musi, bo i heretycy nastawali na króla, a katoliccy panowie z obawy przegrania wojny tureckiej nie śmieli bronić unitów. Pomimo to Pan Bóg uratował Unję od zagłady. Pobożny król Zygmunt na wszystkie nalegania kozaków otwarcie odpowiedział, że sejm, na którym oni występowali, zebrał się radzić o wojnie, a nie o religji. Taką stanowczością swoją odparł król kozackie zapędy. Teofan tymczasem uciekł z Polski do Turcji.

W roku następnym 1621 schizmatycy i heretycy wystąpili znowu na sejmie przeciwko unitom. Ale i tym razem zostali odparci. Na ich zarzuty, że Unja jest odpowiedzialną za wszystkie zawichrzenia w kraju, dzielnie odpowiedział metropolita Rutski, wykazując błogie skutki, jakie Unja wydała dla Kościoła i dla państwa.

Nie wskórawszy nic przeciwko unitom na sejmie, z tem większą zaciekłością wystąpili przeciwko Unji w djecezjach i parafjach. Rozgłaszano, że biskupi uniccy przeszli już na łaciński obrządek, a więc do ruskiego obrządku przywiązani mieszczanie tłumnie porzucali swoich unickich pasterzy.

Najgorzej srożyła się burza na Białej Rusi, gdzie przeciwko św. Józafatowi wystąpił Melecjusz Smotrycki. Sam nie śmiał się pokazać w djecezji połockiej, lecz pozostając w Wilnie, w klasztorze św. Ducha, wysłał na Białą Ruś z listami paru mnichów, którzy objeżdżając miasta, wzywali do nieposłuszeństwa św. Józafatowi. Puszczono między lud fałszywą pogłoskę, że Józafat przyjął w Warszawie obrządek łaciński i mszę łacińską odprawia, tym sposobem zbałamucono wiele łatwowiernych ludzi. To samo się działo w Witebsku, Mohylewie, Orszy. Mścisławiu. Wszędzie spisywano wykazy tych, co odstąpiwszy Józafata za Smotryckim się oświadczyli i odbierano od nich przysięgę, że się Unji wyrzekają.

Skoro tylko wieść o tem doszła do św. Józafata, w tejże chwili opuścił Warszawę, spiesząc na ratunek zagrożonej swojej owczarni. Na drodze już czekały nań rozstawione straże, które miały go schwytać, lecz Opatrzność Boża dozwoliła jeszcze świętemu przybyć do swojej biskupiej stolicy. Zastał ją ogromnie wzburzoną przeciwko sobie; tylko duchowieństwo pozostało mu wiernem. Zakrwawić, się musiało pasterskie i ojcowskie serce świętego skoro spostrzegł, że owoc jego trzyletniej pracy prawie do szczętu został zniszczony. W samym Połocku świątynie unickie, do niedawna jeszcze pełne, teraz na wpół świeciły pustkami, bo kilka tysięcy odstępców zaprzestało do nich chodzić.

Św. Józafat na nowo rozpoczął apostolską pracę ze zwykłą swoją energją i zarazem ojcowską łagodnością. Dodał odwagi upadłej na duchu garstce pozostałych unitów, utrwalił ich w wierze, a następnie zwrócił się do odzyskania dusz utraconych. Ponieważ do świątyni na kazania biskupa przychodzić nie chcieli, udawał się święty swoim zwyczajem do ich mieszkań, wyszukiwał najzaciętszych swych wrogów i zapraszał z wielką hojnością do swego stołu, pouczając i przekonywując przy każdej okazji o prawdziwości wiary katolickiej i obowiązku posłuszeństwa świętej Stolicy Rzymskiej. Tym sposobem odzyskał znaczną liczbę opornych.

Z innych miast dochodziły również coraz to bardziej niepokojące wiadomości. W Witebsku wichrzył wysłany przez Smotryckiego mnich Sylwester z innymi zagorzałymi nieprzyjaciółmi Józafata. Przeciągnąwszy na swą stronę część mieszczan i ludu wiejskiego w okolicach tego miasta, wichrzyciele udali się do Rady miejskiej, aby burmistrzowi i ławnikom odczytać listy Smotryckiego i zażądać dla niego posłuszeństwa. Niektórzy rajcy opierali się temu żądaniu, w końcu jednak magistrat witebski uznał Smotryckiego za swego pasterza, poczem zaraź odebrano unitom wszystkie świątynie, a kapłanów, którzy nie chcieli zdradzić swego prawowitego pasterza wypędzono z miasta.

Na wieść o tych wypadkach pośpieszył św. Józafat do zbuntowanego miasta. Według prawa mógł zażądać pomocy władzy świeckiej i wojska przeciwko mieszkańcom Witebska, gdyż ich odstępstwo było zarazem buntem przeciwko władzy królewskiej, która Józafata tylko za biskupa uważała. Zamiast jednak uciekać się do przemocy, wolał dobry pasterz łagodnością wpłynąć na zbuntowaną przeciw sobie trzodę. Zawziętość jednak odszczepieńców wzrosła była to tego stopnia, że głuchymi się okazywali na wszystkie napomnienia swego biskupa. Józafat nie mógł długo przy nich pozostać, gdyż śpieszył do innych miast zbuntowanych.

Podczas gdy arcybiskup objeżdżał przez parę miesięcy swoją wzburzoną djecezję, w samym Połocku rzeczy zmieniły się na gorsze. Wysłańcy Smotryckiego bałamucili lud, dowodząc mu, że może bezkarnie i powinien odstąpić Józafata, gdyż Smotryckiego nietylko patryarcha wyświęcił na ich biskupa, ale i król uznał go. Żeby otworzyć ludowi oczy, że to twierdzenie było wierutnem kłamstwem, św. Józafat wystarał się o listy królewskie, głoszące, że król żadnego innego biskupa połockiego nie

uznaje, tylko Józafata i wzywając ludność do bezwarunkowego posłuszeństwa.

Trzeba było listy te odczytać ludowi. W tym celu przybyli do Połocka wojewoda Michał Sokoliński, Michał Tyszkiewicz i inni wysocy dostojnicy, przedstawiający króla. Uderzeniem w dzwon zwołano całą ludność połocką do rady miejskiej, gdzie listy królewskie miał odczytać ławnik Dziahilewicz, Rusin, ale gorliwy unita. Przybył i arcybiskup w otoczeniu swego duchowieństwa. Kiedy rozpoczęło się czytanie listu monarchy, tłum schizmatycki, podburzony przez niejakiego Jana Terlikowskiego, podniósł taki piekielny hałas i wrzaski, że musiano zaniechać dalszego czytania. Józafat, widząc jaka przeciwko niemu podnosi się burza, wystąpił nieustraszony przed ludem i oświadczając stanowczo, że jest i pozostanie wiernym świętemu Rzymskiemu Kościołowi, wezwał aby wszyscy, którzy chcą wytrwać przy św. katolickiej wierze, głośno się z tem oświadczyli. Schizmatycy podnieśli krzyk jeszcze większy.

— Nie jesteśmy unitami — wołali — i nie chcemy cię mieć za biskupa. Śmierć zdrajcy! Zabić *duszochwata!*

Chwila stawała się coraz groźniejszą. Pokazało się, że schizmatycki tłum przybył już gotów do spełnienia zbrodni. Jedni uzbrojeni w kije i drągi, inni w noże, kobiety z kamieniami w ręku, wszystko to cisnęło się z zewnątrz do ratusza, aby rzucić się na swego pasterza, którego niedawno jeszcze tak kochano i uwielbiano, jako świętego. Zdawało się, że powtarza się dawna historja, kiedy to motłoch żydowski w kilka dni po uroczystem wprowadzeniu Chrystusa do Jerozolimy, wołał przed trybunałem Piłata: *Ukrzyżuj, ukrzyżuj go!* Nie chcemy, aby ten nad nami królował!

Dla Józafata wszakże jeszcze nie wybiła tym razem ostatnia godzina. Wojewoda Sokoliński, wiedząc, że sprawcą tumultu był wspomniany Terlikowski, rzucił się ku niemu z orężem w ręku. Z drugiej strony Tyszkiewicz już mierzył z pistoletu w piersi buntownika. Jako przedstawiciele królewskiej władzy, mieli prawo na miejscu wymierzyć sprawiedliwość. Lecz o dziwo! Na ratunek swego najzaciętszego wroga pośpieszył Józafat. Stając między dygnitarzami a Terlikowskim, zasłonił tego własną piersią i uratował od niechybnej śmierci.

Ten heroiczny czyn miłości wroga zmieszał nieco zbuntowanych schizmatyków: opadły im zbrodnicze ręce i poczęto się uspokajać. Urzędnicy królewscy i arcybiskup w towarzystwie swych kapłanów przeszli pomiędzy buntownikami, zgrzytającymi jeszcze od gniewu. Jozafat przy całem tem zajściu okazywał taką pogodę ducha, taki spokój na jego twarzy się odbijał, jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło. Udał się do swego pałacu, pozdrawiając po drodze zwykłym sposobem wszystkich napotykanych przechodniów. Złość czerni zwróciła się przeciwko Dziahilewiczowi, którego rozszarpanoby na kawałki, gdyby nie był się wyratował, uchodząc z ratusza wcale nie poznany przez oczekujący go tłum. Jednego z kapłanów unickich, który nie zdążył wyjść z biskupem, uratował od śmierci pewien lepszego charakteru schizmatyk, któremu Pan Bóg dał w późniejszym czasie światło prawdziwej wiary.

Za doznaną zniewagę św. Józafat nie mścił się wcale na swych wrogach i nie chciał dochodzić tej sprawy. Ta łaskawość jego otworzyła oczy wielu schizmatykom, między innymi i samemu dowódcy buntu Terlikowskiemu, że porzucili błędy i przyjęci zostali na łono Kościoła katolickiego. Kiedy ci pokutujący szli do pałacu biskupiego, by upaść do nóg świętemu pasterzowi i prosić o przebaczenie, Józafat wybiegł pierwszy na spotkanie synów marnotrawnych, rzucił się im na szyję, całował jak najlepsze swe dzicci i ze łzami radości prowadził ich do świątyni, aby przyjąć od nich wyznanie prawdziwej wiary. Potem prowadził każdego nowonawróconego przed ołtarz i polecał opiece Bożej. „Oto Boże mój, mawiał, znowu jedna owieczka błędna, którąm odnalazł; oddaje ją w ręce Twoje".

Z pomiędzy nawróceń, których w owym czasie niespokojnym dokonał, warto wspomnieć przynajmniej o paru znakomitszych. W Połocku mieszkała bogata i znana wszystkim pani Zienowiczowa, wdowa po wojewodzie, zacięta schizmatyczka. Św. Jozafat długo pracował nad tem, aby jej duszę pozyskać dla wiary prawdziwej, ale trud zdawało się był daremny. Uparta niewiasta nietylko, że nie dała się przekonać dowodzeniom arcybiskupa, ale kiedy powrócił do niej, psami go wyszczuć kazała. Psy jednak, zamiast rzucić się na świętego, popadały do nóg jego, łasząc się i jakby ciesząc z jego przybycia. Skończyło się na tem, że Zienowiczowa wyrzekła się schizmatyckich błędów i złożyła wyznanie wiary w ręce Józafata.

Podobnież dziwnem było nawrócenie z kalwinizmu szlachcica Soroki i trzech jego córek. Przejeżdżając przez litewskie miasteczko Dudy, święty Józafat chciał się zatrzymać na odpoczynek w domu ruskiego proboszcza, lecz ponieważ plebanja okazała się zbyt ciasną, za radą tegoż proboszcza udał się do pałacu owego Soroki, bardzo wrogo usposobionego przeciw wierze świętej. Heretyk przyjął dostojnego gościa niechętnie i szorstko, ale szanując polską gościnność nie śmiał odmówić biskupowi mieszkania. Skorzystał święty z przyjęcia i skoro tylko nadarzyła się sposobność, skierowania rozmowę na sprawy religijne, i zbijając błędy kalwińskie, jasno udowadniał prawdziwości wiary katolickiej. Nie spodobało się to Soroce: zmarszczył brwi, słuchając wywodów Józafata, ale trzy jego córki, które

rozmowie się przysłuchiwały, przekonały się, że prawda po stronie katolików, i zaledwie ojciec ich wyszedł na chwilę, wyspowiadały się przed arcybiskupem, wyrzekając się kalwińskiej herezji. Soroka, skoro się dowiedział o tem, wpadł w taki niepohamowany gniew, że świętemu biskupowi kazał w tej chwili opuścić pałac i w dodatku psami go wyszczuł. Kiedy zalane łzami córki wyrzucały ojcu ten brutalny jego postępek i groziły zań karą Bożą, łaską z góry tknięty, przejrzał jak źle z biskupem postąpił; dosiadłszy więc konia, puścił się w pogoń za świętym. Dopędził świętego w lesie i pada mu do nóg, przepraszając za swoją gburowatość. Józafat odpowiada, że bynajmniej się nie gniewa na niego, prosi tylko, aby nie przeszkadzał swym córkom wyznawać wiarę katolicką. Na to Soroka nietylko córkom obiecał wolność, ale oświadczył, że i sam chce zostać katolikiem i błagał biskupa, aby powrócił do jego domu. Na to św. Józafat nie miał czasu, więc na miejscu w lesie, siadłszy na pniaku, wysłuchał spowiedzi Soroki i pogodził go z Kościołem. Zdziwił się niezmiernie proboszcz, dowiedziawszy się, że czego on przez kilka lat zabiegów nie mógł dokonać, to uskutecznił święty biskup przez jedną godzinę.

Innym razem, będąc w Rucie u metropolity, dowiedział się święty o pewnym upartym heretyku, blizkim śmierci. Chociaż nieproszony, spieszy do niego i łagodnemi a przekonywującemi słowami wystawia mu niebezpieczeństwo jego duszy i wreszcie pozyskuje go dla wiary świętej. Umierający wyspowiadał się ze skruchą, a kiedy Józafat żegnał się z nim, w te słowa odezwał się, których niegdyś użył św. Piotr, cudownie z więzienia uwolniony:

„Teraz wiem prawdziwie, że Pan posłał do do mnie anioła swego“.

Nawrócenia do wiary świętej były jedyną pociechą Józafata w tylu i tak ciężkich prześladowaniach, jakich doznawał ze strony swoich upartych i obałamuconych owieczek. Nienawiść schizmatyków i stronników Smotryckiego wzmagała się coraz bardziej. Skoro w jednem mieście wracał jaki taki spokój, wybuchały nowe rozruchy naraz w kilku innych miejscach. Słodycz i łagodność charakteru Józafata nietylko nie łagodziła tłumów, ale zdawało się, że jeszcze bardziej ich rozzuchwalała i do szaleństwa doprowadzała. Cały kraj białoruski, buntowany przez wysłańców Smotryckiego, podzielił się na dwa wrogie obozy. W jednej i tejże rodzinie, o ile jedni jej członkowie wiernie i wytrwale stali przy wierze świętej, o tyle inni schizmatycy, tembardziej nienawidzili swych katolickich braci. W rocznikach ówczesnych zapisano, że pewien mieszczanin, nazwiskiem Achremowicz, gorliwy unita, miał matkę schizmatyczkę, która do swego własnego syna, mieszkając z nim pod jednym dachem, przez 17 lat nie wyrzekła ani słowa.

Wichrzenia kozaków podczas wojny z Turcją.

Z nową siłą wybuchła zacięta nienawiść w Witebsku. Józafat udał się znowu do tego miasta, aby ogłosić ludowi wolę królewską, nakazującą nie uznawać za pasterza Smotryckiego. Kiedy czytano na ratuszu orędzie królewskie, podburzony tłum wszczął tumult. Schizmatycy rzucając czapki w górę, krzyczeli co sił starczyło, że ani o Unji ani o Józafacie słyszeć nie chcą. Znieważyli nawet urzędników królewskich. Podczas gdy św. Józafat odprawiał mszę św. w głównej świątyni witebskiej, schizmatycy napadli na nią, kapłanów i służbę kościelną znieważyli, owładnęli zupełnie katedrą i innemi cerkwiami i zaprowadzili w nich schizmatyckie nabożeństwa. Musieli wprawdzie po miesiącu ustąpić ze świątyń, lecz oddali je unitom odarte ze wszystkich ozdób i kosztowności. Chociaż nabożeństwa unickie przywrócono, to jednak kapłanów na każdym kroku, nawet w samej świątyni, czekały obelgi i czynne zniewagi.

Polska prowadziła w owe czasy wojnę z Turcją. Schizmatycy, zamiast pomoc okazać, zdradzali króla i znosili się potajemnie z Turkami, którym na rękę były religijne rozruchy w Polsce. Na Ukrainie wystąpili zuchwale kozacy, domagając się zniesienia Unji. Dopuszczali się gwałtu i rabunku na unitach i łacinnikach; w Szarogrodzie zamordowali nawet kapłana unickiego. W Kijowie wszystkie świątynie były w rękach schizmatyckich oprócz katedralnej cerkwi św. Zofji, którą obsługiwali bazyljanie uniccy: Aleksander Szkołdycki i Ignacy Stoponicz. Na nich poczęto wywierać zemstę i pewnego dnia tłum schizmatyków, napadł na nich w świątyni, a poraniwszy i związawszy bezbronnych zakonników, wrzucił ich do więzienia, i ledwie król życie im uratował. W djecezji przemyskiej schizmatycy również zabili zakonnika, który w imieniu biskupa zwiedzał tę djecezję.

Dla większego wypróbowania stałości w wierze prześladowanego Kościoła unickiego. dopuścił Pan Bóg i to doświadczenie, że możni panowie polscy, zamiast bronić swą powagą Unji, usuwali się od tej sprawy, znudzeni ciągłemi zamieszkami religijnemi. Ciężką próbę dopuściła Opatrzność i na świętego Józafata. W tym samym czasie, kiedy zewsząd gromadziły się przeciwności i prześladowania Unji, trzeba było, że i największy dotychczas przyjaciel św. Józafata i długoletni obrońca Kościoła unickiego, królewski kanclerz litewski Leon Sapieha, tym razem więcej dbając o sprawy polityczne, niż o wiarę św., napisał do Józafata przykry list z żądaniem, aby się umiarkował w swojej gorliwości religijnej

i aby wydał schizmatykom cerkwie w Mohylewie. Św. Józafat grzecznie ale stanowczo odpisał, że nie unici są przyczyną niepokojów w państwie, ale kozacy zaporoscy, podburzani ciągle przez władyków, a zwłaszcza przez Smotryckiego, i że dla politycznych widoków nie należy zdradzać sprawy Kościoła.

List Józafata, pełen apostolskiej niezależności, uraził dumę magnata i spowodował, że Sapieha wysłał drugi list do arcybiskupa, pełen niestosownych upomnień. Zarzuty były zupełnie niesłuszne i oparte na kłamliwych skargach schizmatyków, którzy sami dopuszczali się gwałtów na unitach, a wszędzie krzyczeli, że im od unitów krzywda się dzieje. Dlatego też św. Józafat nie pozostawił i tego listu bez odpowiedzi, która najlepiej świadczy o niewinności, a zarazem apostolskim duchu, jaki ożywiał świętego arcybiskupa.

„Co się tyczy osoby mojej — pisał Józafat do kanclerza Sapiehy — Bogiem moim świadczę, który na serce i sprawy moje patrzy, żem żadnym złym przykładem w życiu, ani żadnym ostrym postępkiem nie zrażał do siebie połocczan i innych parafjan moich. Żaden się znak surowości mojej nie ukaże, którymbym dał przykład do zajątrzenia umysłów wichrzycieli... To się rozumieć ma i o kapłanach mojego posłuszeństwa. Do Unji żebym kogo gwałtem przymuszał, to się nigdy nie pokaże. Praw moich, gdy na nie gwałtownie następują, przymusza mnie bronić moja biskupia przysięga. I to jednak czynię skromnie i uważnie. Nie znajduje się tedy żadna przyczyna do zajątrzenia ich, tylko ta, żeśmy w łódce Chrystusowej, pod sprawowaniem Najwyższego Żeglarza, namiestnika Chrystusowego. Bez szturmu nigdy ta łódka nie była i być nie może przy nas i bez nas. Jeźli się zda komu, że te nawałności dla jakich ekscesów naszych szumią, niechże nas każą pozwać, prawem przekonać, potem z Jonaszem z łódki wyrzucą.“

Sapieha pisał swój list z obawy przed buntami kozaków. Św. Józafat przypomina mu, że kozaków niczem się nigdy nie zaspokoi; czem więcej im się folguje, tem większe pretensje roszczą. Nie można dla ich zachcianek poświęcać sprawy Unji. Dodaje też przepowiednię o ukaraniu Polski przez kozaków za grzechy opieszałości w szerzeniu i podtrzymaniu Unji św., przepowiednię, która się co do joty w swoim czasie spełniła. Święty Józafat w tymże liście do Sapiehy powiada:

„Jestem przekonany, że Bóg i nadal będzie błogosławił Unji św., że usunie i zwycięży wszystkie przeszkody, które jej kłaść będą czy kozacy, czy sam djabeł...“

Wobec tej odpowiedzi, Sapieha nie miał już nic do powiedzenia i musiał w duchu zgodzić się na wszystkie wywody arcybiskupa. Pewną jest rzeczą, że po śmierci męczeńskiej Józafata, tenże Sapieha był jednym z najpierwszych świadków i czcicieli jego świętości.

Listy te pisane były na kilka miesięcy przed śmiercią Józafata. Wtedy święty pasterz, widząc, że nawet na najlepszych przyjaciołach nie wiele popolegać można, tem większą ufność pokładał w Bogu i tem gorliwiej pracował nad tem, aby jak najwięcej dusz zwrócić na łono Kościoła. Ponieważ schizmatycy coraz śmielej występowali przeciwko praprawowitej biskupiej władzy, więc w Połocku władza świecka zburzyła im szopy, które służyły za miejsce buntowniczych schadzek. Kapłanów nieposłusznych Józafat postarał się wydalić zupełnie z Połocka. Ten, jedyny w życiu arcybiskupa surowszy krok przeciwko schizmatykom, usprawiedliwiony aż nadto przez ich wichrzycielstwo, sprawił, że wielu odszczepieńców powróciło do jedności kościelnej. Zato pozostali zacięli się jeszcze bardziej w swoich błędach i uporze. Doszło do tego, że schizmatycy pilnowali jedni drugich, aby przypadkiem kto z nich nie udał się na kazanie unickich kapłanów, lub nie zawezwał ich do umierającego. Takie zaślepienie opanowało odszczepieńców, że jeden z nich, burmistrz Wasilewicz, nie mając żadnych duchownych święceń, począł chrzcić dzieci i słuchać spowiedzi.

W roku 1623 na sejmie w Warszawie schizmatycy domagali się zupełnego zniesienia Unji. Zdołali przeciągnąć na swoją stronę nawet wielu posłów z pomiędzy katolickiej szlachty. Unja rzeczywiście była zagrożona; tylko mądra i stanowcza obrona metropolity Rutskiego, poparcie Ojca św. Grzegorza XV i opieka króla Zygmunta nie dozwoliły schizmatykom odnieść nad Unją ostatecznego tryumfu.

Lecz w tymże roku nowe niebezpieczeństwo poczęło grozić Unji. Wielu szlachty i mieszczan unitów, pragnąc się pozbyć ciągłych sporów z schizmatykami, porzucali obrządek wschodni i przyjmowali łaciński, osłabiając przez to coraz bardziej rodzimą ruską Cerkiew, którą wspierać byli powinni. Nawet pomiędzy zakonnikami reguły św. Bazylego znalazło się wielu małodusznych, którzy na widok piętrzących się zewsząd trudności zwątpili, czy Unja długo da się utrzymać, i dlatego, aby zyskać spokój, naradzać się poczęli, czyby nie lepiej było rozwiązać zakon bazyljański i wstąpić do łacińskich klasztorów.

Metropolita Rutski, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, grożące Unji ze strony najlepszych jej synów, zakonników wychowanych pod jego i Józafata okiem, zwołał czemprędzej do Ruty kapitułę zakonną, na którą i św. Józafata zaprosił i wezwał wszystkich, aby odnowili swoje zakonne śluby i złożyli przyrzeczenie, że nigdy bazyljańskiego zakonu nie opuszczą. Św Józafat również ponowił dla przykładu innych Braci swoje zakonne przyrzeczenia.

Skołatany nadmierną pracą i częściowym pa-

raliżem, metropolita Rutski wyraził swój zamiar usunąć się na rok od rządów metropolji, aby w samotności przygotować się na śmierć, lub nabyć nowych sił do dalszej walki z odszczepieństwem. Tymczasem rządy metropolitalne miał sprawować św. Józafat. Bogu jednak inaczej się spodobało i dla swego wiernego sługi gotował już wieniec męczeński.

Zamachy na życie św. Józafata.

Od pierwszej chwili wystąpienia Smotryckiego do walki z Unją, życie św. Józafata ustawicznie było zagrożonem. Zawziętość jednak schizmatycka przeciwko świętemu Józafatowi najbardziej wzrosła w r. 1623, ostatnim w jego ziemskiem życiu. W Połocku nie mógł pokazać się na ulicy bez narażenia się na niebezpieczeństwo zniewagi. Kiedy przechodził przez miasto, poszukując zbłąkanych owieczek, rzucano nań błotem, kamieniami, krzyczano: „Zabić go! utopić go!

W Mścisławiu pewien szlachcic, nazwiskiem Massalski, pochodzący z wielkiego rodu, ale schizmatyk zakamieniały w nienawiści do unickiego arcybiskupa, wszystko już był przygotował, aby zabić św. Józafata. Tego samego jednak dnia, kiedy miał wykonać swój zamach, sam padł śmiertelnie raniony kulą z ręki jakiegoś nieprzyjaciela swego. Św. Józafat, dowiedziawszy się o tym wypadku, pośpieszył do umierającego swego wroga, uściskał go jaknajczulej i tyle mu okazał miłości, że zmiękło serce zakamieniałe. Massalski pojednany z Bogiem i Kościołem św. skonał w objęciach arcybiskupa.

Ponieważ ze wszystkich miast Witebsk okazywał największy opór Józafatowi, więc gorliwy pasterz często zjeżdżał do tego miasta, by osobiście pracować nad zbłąkanymi i czuwać nad pozostałą jeszcze garstką wiernych.

Schizmatycy zmuszeni zwrócić unitom zagrabione gwałtem świątynie, zbudowali z desek szopy dla odprawiania swego nabożeństwa nad Dźwiną naprzeciwko okien arcybiskupiego pałacu. Na Zielone świątki roku 1622 święty Józafat prowadził procesję do cerkwi Świętego Ducha przez most na Dźwinie. Schizmatyk Wasilewski, z podwładnymi sobie żołnierzami, zatrzymał orszak procesjonalny i znieważywszy biskupa, zawrócił procesję grożąc, że zrzuci Józafata do rzeki. Niedługo potem Wasilewski skonał od ciężkiej choroby.

W święto Przemienienia Pańskiego tegoż roku, tłum odszczepieńców wdarł się do świątyni, gdzie celebrował Józafat, i podczas liturgji, nie bacząc na świętość miejsca, rzucił się z kijami i tak zbił djakona Turczynowicza, że powstać nie mógł. Chcieli targnąć się i na arcybiskupa, lecz znajdujący się w świątyni panowie i mieszczanie unici zasłonili swego pasterza przed napastnikami. Innym razem niejaki Adam Kosów rzucił się na św. Józafata, by go zamordować w chwili, kiedy arcybiskup prawił kazanie o błędach schizmatyckich. Ślepota jednak padła nagle na złoczyńcę i przeszkodziła wykonać zbrodniczy zamiar.

Dla cechu rybackiego w Witebsku zbudował Józafat cerkiew i założył przy niej bractwo, dodając warunek, aby bracia pozostali zawsze wierni biskupom unickim. Schizmatycy i wtedy nie zaniechali rozpuścić pogłoski, że Józafat dlatego dodał taki warunek, gdyż zamierza kiedyś w przyszłości cerkiew tę zamienić na łaciński kościół. Powstało z tego powodu nowe niezadowolenie i wzburzenie. Rada miasta zachęcała do oporu biskupowi, gdyż składała się po większej części z schizmatyków. I tym razem, korzystając z niechęci ku arcybiskupowi, poleciła wyszukać kogoś, ktoby po cichu bez hałasu zadał śmierć Józafatowi. Ofiarował się na to jeden z przewoźników na Dźwinie, obiecując, że utopi arcybiskupa, jeśli ten będzie jego łódką przejeżdżał przez rzekę. Byłby napewno to uczynił, bo św. Józafat, nie wiedząc nic o tym zamiarze, dwa razy z nim przez rzekę przejeżdżał. Ale za pierwszym razem z arcybiskupem było jeszcze dwóch zakonników Bazyljanów, a przewoźnik nie mógł rozpoznać, który z trzech kapłanów był biskupem, gdyż z rysów twarzy Józafata nie znał, a ubrani byli wszyscy trzej jednakowo; za drugim razem, kiedy już rozpoznał biskupa i zamierzał go utopić, wskoczył do łódki jego synek i udaremnił zamiar ojca. W razie bowiem przewrócenia łódki napewno i chłopiec byłby się utopił.

Znieważano też wszystkich tych, którzy pasterza otaczali: kapłanów, zakonników, służbę. Obrzucano ich błotem, skoro pokazali się na ulicy.

Za cóż to taka niepohamowana nienawiść spotykała św. Józafata? Jedynie za to, że był unickim arcybiskupem, że trwał w wierności Kościołowi katolickiemu. Świętość Józafata powinna była otworzyć oczy schizmatykom, że świętą również musi być i sprawa Unji, której on tak gorliwie bronił. Niestety! Napojeni rozmaitymi przesądami względem katolickiej wiary i wciąż podburzani przez samozwańczego biskupa Smotryckiego i jego wysłańców, nieszczęśliwi zapaleńcy, myśląc, że bronią sprawy Bożej, usiłowali pozbyć się swego prawowitego pasterza, którego czcili jako świętego człowieka. Ci z pomiędzy nich, którzy nie mieli na tyle przewrotnego sumienia, aby się targnąć na życie świętego, silili się na rozmaite pomysły, jakimby spokojnym sposobem pozbyć się go mogli. Pewnego razu udali sie do niego z prośbą, aby jechał do Konstantynopola i tam poddał się pod władzę patryarchy greckiego. Obiecywali opłacić wszystkie koszta podró-

ży, a po powrocie jego dochować mu wierności i posłuszeństwa.

— Dobrze — odpowiedział święty z uśmiechem — niechaj tylko patryarcha uzna papieża, wtedy i ja uznam patryarchę. Do Konstantynopola nie pojadę i umrę, tutaj, jeśli będzie potrzeba, w obronie świętej Unji i w posłuszeństwie papieżowi rzymskiemu.

Kiedy Moskwa powołała na tron wielkoksiążęcy polskiego królewicza Władysława i ten wybierał się z wojskiem, aby zawładnąć ofiarowanym sobie tronem połocczanie radzili Józafatowi, aby razem z królewiczem udał się do Moskwy i próbował zachęcić do Unji moskiewskie księstwo. Józafat wiedział dobrze, że tym doradcom nie chodziło o chwałę Bożą i pożytek dusz, lecz jedynie o pozbycie się z Połocka swego pasterza; odpowiedział też im stanowczo:

— Dajcie mi pokój, jestem gotów oddać swoje życie za jedność katolickiego Kościoła.

Z dnia na dzień oczekiwał święty męczeńskiej śmierci; wiedział, że jej nie uniknie, a przytem był głęboko przekonany, że takiej ofiary wymaga samo dzieło Unji. Stąd też gorąco pożądał, aby jaknajprędzej danem mu było złożyć swe życie w ofierze za jedność wiary i Kościoła. Razu jednego wyłożywszy z ambony katolicką naukę o pochodzeniu Ducha św. i o zwierzchności papieskiej, zalał się łzami i usty drżącemi ze wzruszenia w te słowa zakończył kazanie:

— Tak, ta jest prawdziwa wiara; za nią dałbym życie i poczytałbym to sobie za największe szczęście.

Siła przekonania, jaką czuć było w słowach kaznodziei, nawróciła niektórych obecnych na kazaniu schizmatyków.

Kiedyindziej tak się odezwał do swych nieprzyjaciół:

— Wiem ci ja dobrze, że wy mnie nienawidzicie, że chcecie mi życie odebrać; ja tymczasem noszę was w mem sercu i byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł umrzeć dla waszego dobra.

O oczekiwanem przez siebie męczeństwie często rozmawiał święty ze swymi przyjaciółmi, wspominał o swej blizkiej śmierci w listach, wzdychał do niej w modlitwach swoich.

W Kijowie w tym czasie kozacy dopuścili się nowej zbrodni, mordując burmistrza Batilię i dwóch kapłanów, tych samych właśnie, których przed kilku laty św. Józafat nawrócił. Wszystkich trzech ścięto za to, że nie chcieli się wyrzec Unji. Na wiadomość o tych nowych męczennikach św. Józafat i sam zapałał niepohamowaną żądzą męczeństwa. Mawiał nieraz:

— O, gdyby moi przełożeni chcieli mnie uwolnic od arcybiskupiego urzędu i posłali do Kijowa, z jakąż radością podążyłbym na spotkanie śmierci, aby przelać krew i użyźnić nią nieurodzajną glebę, iżby stokrotny owoc wydała!

Nie było jednak potrzeby poszukiwać męczeństwa aż w Kijowie. W październiku 1623 r. dochodziły coraz to bardziej niepokojące wieści z Witebska. Donoszono, że schizmatycy stanowczo już postanowili zbroczyć swoje ręce we krwi unickiego arcybiskupa, aby raz na zawsze zerwać z Unją. Nieustraszony pasterz zamiast ukrywać się przed swymi wrogami, zapowiedział rychły swój wyjazd do Witebska. Zewsząd obiegano świętego prośbami, aby odłożył to na lepsze czasy. Mieszczanie, szlachta, duchowieństwo, wszyscy odradzali ten wyjazd, jednak napróżno, bo święty pasterz był niezłomny w swojem postanowieniu.

— Nie boję się śmierci — odpowiadał wszystkim. — Oby Bóg sprawił, abym stał się godnym korony męczeńskiej.

Dworzanom swoim, przejętym słuszną obawą o życie swego pana, dodawał ducha, mówiąc, że tylko Boga jednego bać się należy.

— Bóg będzie z nami i nie opuści nas.

Widząc, że nic już nie powstrzyma arcybiskupa od niebezpiecznej podróży, niektórzy ze szlachty ofiarowali się towarzyszyć mu do Witebska i tam przy nim pozostać, by w razie potrzeby bronić go od zamachów. Św. Józafat wszakże podziękował za dobre chęci i nie chciał z nich korzystać. Odpowiadał wszystkim, że Boga tylko chce mieć za obrońcę. Jeden z wybitnych panów, Michał Tyszkiewicz, jeszcze w sam dzień wyjazdu arcybiskupa błagał go na klęczkach, aby zaniechał podróży, lub pozwolił towarzyszyć sobie, lecz i to nie pomogło. Józafat wciąż to samo powtarzał, że do towarzystwa wystarczą mu jego kapłani i śpiewacy, że nikogo więcej na niebezpieczeństwo narażać nie chce, że śmierci się nie boi, owszem przygotował się już do niej i trumnę sobie sprawił. W rzeczy samej przed odjazdem do Witebska zamówił dla siebie trumnę, a w cerkwi katedralnej obok ołtarza grób sobie wymurować kazał i spowiednikowi swemu Chmielnickiemu polecił, aby dopilnował rychłego ukończenia grobu, a kiedy będzie gotów, aby zawiadomił go o tem.

Kiedy chwila odjazdu się zbliżała, udał się święty po raz ostatni do swojej cerkwi katedralnej, która była świadkiem tylu prac jego i swoje odnowienie jemu też zawdzięczała. Rzucił się krzyżem przed Najświętszym Sakramentem i długo, długo modlił się sługa Boży, zapewne o męstwo w spotkaniu śmierci, na wzór Mistrza swego, który również modlitwą w Ogrójcu gotował się na mękę krzyżową. Po gorącej modlitwie wstał z rozjaśnionem obliczem i odezwał się do otaczających go kapłanów, służby i ludu:

— Wiem dobrze o zmowie na moją głowę. Cieszę się, że jadę na pewną śmierć za Chrystusa.

Służbie swojej natomiast zaręczył, że nikt z niej nie utraci życia.

Wśród płaczu wiernych swych owieczek, pożegnawszy się z niemi i pobłogosławiwszy im, wsiadł do powozu w towarzystwie wybranych swych przyjaciół: Emanuela Kantakuzena, archidjakona Doroteusza i kilku osób ze służby. Z płaczem i szlochaniem żegnał Połock swego pasterza, niezadługo płaczem i szlochaniem miał powitać martwe zwłoki męczennika.

Męczeńska śmierć św. Józafata.

Jednocześnie z arcybiskupem przybył do Witebska jeden z najzawziętszych jego wrogów, Piotr Wasilewicz, ten sam, który w Połocku świętokradzko sprawował Sakramenta. Przyjechał on teraz, aby zagrzać do nowego buntu przeciwko pasterzowi. Ustawiczne podburzania dochodziły również z Wilna od Smotryckiego. W samej nawet radzie miejskiej witebskiej, prawdziwym przyjacielem św. Józafata był jeden tylko radny miasta, Iwanowicz; reszta rajców nie miała odwagi poskromić zapędów wichrzycieli. Nic tedy dziwnego, że schizmatycka ludność, podburzana ciągle i mająca taki przykład z własnej rady miejskiej, z której wychodziły wszystkie rozkazy oporu arcybiskupowi, czuła się zabezpieczoną przed ramieniem sprawiedliwości i mogła bezkarnie okazywać swoją nienawiść ku Józafatowi.

Dlatego, skoro tylko Józafat zjechał do Witebska, rozpoczęły się zaraz zwykłe znieważania służby arcybiskupiej. Skoro ktoś z niej pokazał się na mieście, wyzywano go, przeklinano, obrzucano błotem i kamieniami, bito kijami. Sądzono, że Józafat straciwszy cierpliwość, zechce ukarać kogoś z zaczepiających, co miało być hasłem ogólnego zamieszania. Ale św. Józafat zaleciwszy swoim domownikom jaknajwiększą cierpliwość w znoszeniu tych wszystkich nieprzyjemności, sam od pierwszego dnia swego pobytu w Witebsku oddał się usilnej apostolskiej pracy w świątyni i poza domem. Miewał ustawiczne kazania o różnicach jakie dzielą schizmatyków od wiary katolickiej, celebrował uroczyste nabożeństwa, przywodził do zgody powaśnione rodziny. Trzeba wiedzieć, że sami nawet schizmatycy, chociaż nienawidzili Józafata za jego przywiązanie do wiary katolickiej, nie mogli się jednak oprzeć urokowi jego świętości i sprawiedliwości i zapraszali go często, aby sądził ich spory graniczne i waśnie rodzinne.

Na takiej pracy zeszły Józafatowi dwa tygodnie, w ciągu których zdołał przyprowadzić do zgody i poprawy kilkanaście rodzin. Najtwardszym okazał się radny miasta Naum Wołk, który za nic w świecie nie chciał się pogodzić ze swym nieprzyjacielem. Arcybiskup zapraszał go do swego pałacu, ugaszczał go sowicie, namawiał do zgody, ale wszystko napróżno. Naum nietylko nie myślał poprawić swego żywota, ale nosił się z postanowieniem przyśpieszenia śmierci arcybiskupa.

— Miej się na baczności — rzekł arcypasterz do zatwardziałego grzesznika przy ostatniem swem widzeniu się z nim — jeśli pokutować nie będziesz, niezadługo zginiesz gwałtowną śmiercią.

Naum żartował w duchu z przepowiedni Józafata, będąc pewnym, że za kilka dni sam prorok zabity będzie. Lecz i proroctwo świętego spełniło się. W kilka bowiem tygodni później Wołk za swój udział w zbrodni morderstwa świętego musiał oddać swoją głowę pod topór katowski.

D. 26 października Kościół unicki obchodził święto Dymitra męczennika. Tego dnia dobry pasterz chciał udzielić uroczyście ostatniej przestrogi swoim zbłąkanym owcom i wezwać je do posłuszeństwa na głos pasterski. Wszedłszy tedy na ambonę, przeczytał z przypadającej na ten dzień ewangelji świętej te słowa Zbawiciela, wyrzeczone do apostołów: *„Idzie godzina, że wszelki, który was zabija, mniemać będzie, że czyni posługę Bogu“* (Jan XVI. 2). Poczem stosując te słowa do siebie, tak się odezwał do swych słuchaczów:

— Wy, mieszkańcy Witebska, szukacie mojej śmierci, czynicie zasadzki na mnie na rzekach i mostach, na drogach i ulicach miasta. Oto jestem! Sam przybywam do was. Wiedzcież, że jestem waszym pasterzem i że za największe swe szczęście poczytam śmierć dla was poniesioną. Oby spodobało się Bogu udzielić mi tej łaski, abym oddał swe życie za świętą Unję, za pierwszeństwo świętego Piotra i jego następcy, papieża. Tak, jestem gotów za prawdę paść pod waszymi ciosami.

Gorąco pożądając męczeńskiego wieńca, używał jednak święty wszelkiej roztropności, aby chwili spełnienia zbrodni nie przyśpieszyć i dlatego na wszystkie zniewagi, odpowiadał stale niewzruszoną cierpliwością i świadczeniem przeróżnych dobrodziejstw.

Schizmatycy pierwsi poczęli się już na dobre niecierpliwić, że ich zaczepki nie odnoszą pożądanego skutku. D. 10 listopada zebrali się ponownie do magistratu na naradę i uchwalili, że dłużej czekać niepodobna i że w jakibądź sposób trzeba jednak zgładzić arcybiskupa. Termin wykonania tego wyroku oznaczono nieodwołalnie na 12 listopada. Tymczasem pewien pop, złego prowadzenia, włóczęga bez parafji, imieniem Eljasz otrzymał polecenie, aby przy każdej sposobności, kiedy się Józafat gdziekolwiek pokaże, znieważał go i lżył najgorszemi słowami. Byli pewni, że domownicy arcybiskupa nie zniosą spokojnie tych zniewag, wyrządzanych swemu panu, i zechcą ukarać Eljasza.

MĘCZEŃSKA ŚMIERĆ ŚWIĘTEGO JÓZAFATA KUNCEWICZA.

Jeśliby zaś do tego doszło, wtedy schizmatycy mieli uderzyć na alarm we wszystkie dzwony w mieście, na odgłos których zgromadzone tłumy nietylko, że odbiją Eljasza, ale jeszcze będą miały sposobność zamordować samego arcybiskupa, jako naruszyciela publicznego spokoju.

Spiskowcy rozbiegli się po mieście, aby pouczyć tłumy, jak się mają zachować na dany znak. Radni miasta, którzy sami ten piekielny projekt uchwalili, pochowali się po kątach; inni jak Wołk i Niesza, wyjechali zupełnie z miasta, niby za interesami, aby w razie, kiedy zabójstwo arcybiskupa dojdzie do skutku, mogli się przed sądem królewskim wytłómaczyć, że cały ten rozruch stał się bez ich wiedzy i że oni, jako nieobecni podówczas w mieście, nie mogli temu przeszkodzić.

Plan powzięty rozpoczęto wykonywać 11 listopada. Arcybiskupa tego dnia nie było w domu, gdyż udał się w okolicę dla załagodzenia granicznego sporu między cerkwią a jakimś szlachcicem. Służba arcybiskupiego pałacu musiała cały dzień słuchać naigrawań kręcącego się ustawicznie pod pałacem Eljasza. Urągał on unitom, ich kapłanom i samemu arcypasterzowi. „Co może mi zrobić wasz władyka!“ odpowiadał służbie, która go wzywała, aby zaprzestał urągać. Służba, pomnąc na rozkaz Józafata, znosiła obelgi w milczeniu. Wieczorem arcybiskup w towarzystwie Emanuela Kantakuzena powracał do domu w chwili, kiedy wielki tłum odszczepieńców wychodził ze swej cerkwi po nieszporach. Dały się słyszeć pogróżki. Do przechodzących śpiewaków arcybiskupich wołali: „Nie długo już będziecie tutaj bawili“.

Skoro Józafat wrócił do pałacu, archidjakon Doroteusz opowiedział mu o wszystkich przykrościach, jakie domownicy znieść musieli i nastawał na to, aby arcypasterz wydał rozkaz zatrzymania Eljasza, skoro się jeszcze raz pokaże przed pałacem. Emanuel Kantakuzen radził jeszcze cierpieć, lecz zdaniem Doroteusza przeważyło i arcybiskup korzystając ze swego prawa karania nieposłusznych duchownych, wydał polecenie Kantakuzenowi, aby uwięził Eljasza nazajutrz, jeśli rozpocznie nowe napaści.

Tegoż wieczora przybył do pałacu życzliwy arcybiskupowi rajca miejski Iwanowicz. Opowiedział szczegółowo o planie zbrodni i błagał świętego, aby, ratując życie, jeszcze tej nocy opuścił miasto. Józafat odrzekł, że konie swoje wyprawił na folwark i wyjeżdżać nie myśli.

— Życie moje w ręku Boga; przyjmę chętnie wszystko, co na mnie niebo ześle.

Iwanowicz począł nalegać, aby arcypasterz kazał domownikom przynajmniej uzbroić się, lecz jak niegdyś Chrystus Pan w Ogrójcu, tak teraz wierny jego uczeń i naśladowca nie chciał miecza używać w swojej obronie. Naleganiom Iwanowicza tylko na tyle ustąpił, że napisał list do dowodzącego oddziałem wojskowym w Witebsku, donosząc mu o gotującym się na dzień następny gwałcie. Z dopuszczenia jednak Boga, który chciał już przyjąć ofiarę życia Józafata, list ten pozostał bez żadnego skutku. Dowodzący wojskowym oddziałem nic nie uczynił, aby zbrodni przeszkodzić. Iwanowicz w tajemnicy przed arcybiskupem zaopatrzył domowników jego w proch i kule, aby mieli czem się bronić i sam pozostał na noc w pałacu arcybiskupim, by im pomagać w razie potrzeby.

Przy ostatniej wieczerzy, jaką wśród swoich Braci zakonnych spożył, święty arcypasterz nie mógł ukryć nadmiernej swej radości, że już zbliża się wreszcie chwila, kiedy będzie mógł życie swe oddać za sprawę Bożą. Cały czas przy wieczerzy rozmawiał o szczęściu, jakie go czeka. Domowników znowu zapewnił, że nikomu z nich nie grozi niebezpieczeństwo utraty życia. Towarzyszom stołu serca się krajały, kiedy słuchali słów świętego swego arcypasterza. Doroteusz nawpół z płaczem odezwał się do Józafata:

— Ojcze, wciąż śmierć masz przed oczami, dozwól nam spokojnie przynajmniej kolacji dokończyć,

— Co złego widzicie w tem — odrzekł dobrotliwie święty — że pragnę umrzeć za świętą naszą wiarę?

Nadszedł czas spoczynku. Domownicy poszli spać, święty udał się do swojego pokoju nie na spoczynek jednak, lecz aby się przygotować na śmierć. Podczas tej ostatniej nocy, Józafat modlił się, we łzach rozpływał, krew swą ofiarował za zbawienie swych niewdzięcznych synów. Oszczędził mu jednak Pan Bóg boleści konania. Dla męczennika śmierć przestaje być straszną, śmierć jego to tryumfalna brama, wiodąca do oglądania Boga. To też i ostatnie chwile czuwania Józafata były dlań źródłem niewypowiedzianej pociechy.

Jak święty przepędził tę ostatnią noc swego życia, o tem wiemy dzięki szczególnej jego miłości ku ubogim. Pomnąc na słowa Zbawiciela: „*Coście uczynili jednemu z tej braci mojej najmniejszej, mnieście uczynili*“, wierny jego uczeń miał we zwyczaju przyjmować do swych pokojów ubogich, nie mających dachu nad głową i często im łóżko nawet swoje odstępował, sam zaś udawał się na modlitwę, lub spoczywał na podłodze. I tej nocy znajdował się na pokojach arcybiskupich taki ubogi, imieniem Tyfon, i jemu to właśnie udało się podpatrzeć, co święty pasterz czynił tej nocy aż do rana. Widział on przez szczelinę, jak święty pasterz, rzuciwszy się krzyżem na posadzkę, modlił się długo i gorąco. Akty ofiarowania się na śmierć, pragnienia, aby jej chwila co rychlej nadeszła, prośby o nawrócenie

zbłąkanych co chwila wyrywały się z jego ust. Potem brał do rąk dyscyplinę i do krwi biczował swe ciało. Jednocześnie według zeznań wielu świadków, widziano nad arcybiskupim pałacem zawisłą ciężką i groźną chmurę, jakby przed burzą, a na jej tle zarysowywał się purpurowej barwy krzyż. Bóg dawał znak, że przyjmuje ofiarę wiernego sługi.

Noc jednak przeszła jeszcze spokojnie. Nad ranem arcybiskup według zwyczaju udał się do świątyni katedralnej na jutrznię. Na drodze oczekiwał już na niego Eljasz i, zoczywszy pasterza, począł ciskać nań obelgi. Nie zaprzestał ich nawet wtedy, kiedy św. Józafat był już w murach świątyni. Obelżywy głos napastnika usłyszano w pałacu i Kantakuzen, wypełniając dany sobie wczorajszego dnia rozkaz arcybiskupa, wysłał służbę, aby zatrzymała napastującego. Zamknięto go w kuchni do chwili powrotu arcybiskupa z kościoła.

O aresztowaniu Eljasza sprzymierzeńcy jego dowiedzieli się w tejże chwili. Uderzono w dzwony na ratuszu i w wielu cerkwiach. Parę tysięcy uzbrojonego ludu, nie wyjmując kobiet i dzieci, wyruszyło ku biskupiemu pałacowi. Służba arcybiskupia musiała się zatarasować w pałacu, lecz tłum zabierał się do wysadzenia bramy. Posypały się nawet strzały. W tej chwili ukazał się Józafat, powracający z jutrzni do swego mieszkania. Do uszu jego dochodziły okrzyki: „Śmierć mu! zabić go!“ Święty szedł pewnym i odważnym krokiem między tłumem, nie okazując żadnego wzruszenia. Ten widok nieustraszoności arcypasterza zmieszał nieprzyjaciół, nie ośmielili rzucić się na swą ofiarę a nawet rozstąpili się, aby zrobić arcybiskupowi przejście do pałacu.

Arcypasterz rozkazał wypuścić natychmiast na wolność Eljasza. Sługom polecił, aby w razie nowej napaści nie używali palnej broni, chyba tylko w tym celu, aby pustymi nabojami wystrzelić parę razy dla postrachu. Tłum po wypuszczeniu Eljasza począł się uspakajać i rozchodzić. Lecz wkrótce znaleźli się buntownicy podburzający lud do walki z arcybiskupem i unitami. Około godziny 8 ej zrana rozjuszona tłuszcza otoczyła powtórnie pałac, usiłując wedrzeć się do jego wnętrza. Zamkniętą bramę siekierami i drągami wysadzono z zawias; służba arcybiskupa cofnęła się w głąb pałacu. Z pośród tłumu posypał się grad kamieni, tłukących okna pałacu. Na ślepe strzały służby arcybiskupiej, tłum odpowiedział kulami. Runęły wreszcie i drzwi prowadzące do wewnętrznych pokoi i tłum zabójców wtargnął do wnętrza. Służba po większej części pochowała się po kątach ratując swoje życie. Wejście do pokoju arcybiskupiego zasłonili swem własnem ciałem trzej najwierniejsi swemu pasterzowi: archidjakon Doroteusz, Emanuel Kantakuzen i służący Grzegorz Uszacki. Rzucono się najpierw zajadle na pierwszych dwóch, jako najwierniejszych pomocników Józafata w szerzeniu Unji. Kautakuzen padł zemdlony pod uderzeniami złoczyńców. Doroteusz okryty 18 ranami w głowie, krwią zbroczony padł obok swego towarzysza. Już tylko Uszacki bronił wejścia do arcybiskupiego pokoju. Jeden z zabójców poznał go jako starego sługę kilku z rzędu biskupów i zawołał:

— Czyś nie wiedział, że prędzej, czy później musi się tak skończyć? — poczem uderzeniem w głowę powalił go na ziemię.

Święty arcypasterz od samego powrotu z jutrzni znajdował się w swym pokoju, zatopiony w modlitwie. Usłyszawszy krzyki tłumu i jęki swoich wiernych sług, wyszedł naprzeciw zabójcom.

— Bóg z wami, moje dzieci! — rzekł. — Za co bijecie moją służbę? Co ona wam winna? Jeśli macie cokolwiek przeciwko mnie: oto jestem, lecz dajcie pokój moim domownikom, nie zabijajcie ich.

I wyciągnął rękę, aby zdrajców pobłogosławić. Wszyscy stanęli jak wryci. Nikt nie miał odwagi podnieść rękę na świętego. Wtem wpada dwóch najzawziętszych złoczyńców z okrzykiem:

— Zabić łacinnika, zabić papistę!

Święty ledwie zdążył złożyć ręce jak do modlitwy i wznieść oczy w górę, gdy jeden z zabójców uderzył go kijem po głowie a drugi siekierą rozrąbał mu czoło.

Jak drapieżne zwierzęta na widok zbroczonego krwią i leżącego u ich nóg biskupa, rzucili się nań zajadle bijąc go, kopiąc nogami, rąbiąc. Całe ciało, głowa nawet została okryta ranami. Sądząc nareszcie, że już nie żyje rzucili się znowu na służbę biskupią, lecz westchnienie, jakie wydobyło się z piersi Józafata, przekonało ich, że zbrodnia jeszcze nie dokonana.

— O mój Boże! — zawołał Józafat, wznosząc prawicę ku niebu.

Złoczyńcy rzucili się znowu na świętego, wywlekli go na dziedziniec i jeden z nich wystrzałem z rusznicy przeszył głowę świętego. Dusza męczennika stanęła przed tronem Bożym, by modlić się o łaskę nawrócenia dla swych zabójców i o opiekę nad Unją świętą.

Nie zadowolnili się zbrodniarze tem, że pozbawili życia swego pasterza. Opanowało ich takie szaleństwo, że pragnęliby zniszczyć do szczętu wszystko, cokolwiek było blizkiem jego osobie. Wróciwszy przeto do komnat pałacowych, poczęli uganiać się za służbą arcybiskupa, bijąc i katując wszystkich, kogo mogli dosięgnąć. Porozbijali okna, potłukli obrazy, zrabowali naczynia stołowe i kuchenne, meble połamali i powyrzucali oknami, poniszczyli książki i wszystkie papiery, pomiędzy którymi znajdowało się niemało ważnych dokumentów. Zabrali się wreszcie do spiżarni i piwnicy. Zapasy żywności

i napoje nagromadzone na zimę, wydobyli na dziedziniec i rozpoczęli iście szatańską ucztę.

Beczułki z piwem otwierano jedną po drugiej, a skoro którą wypróżniono, spuszczano ją wśród ogólnej radości z góry do Dźwiny. Pijany zbrodnią i winem tłum jeszcze na martwem ciele świętego pasterza dopuszczał się najbezwstydniejszych rzeczy. Siadano na nim przy jedzeniu, szarpano za włosy, wyrywano je, obrzucano błotem. To znowu stawiano martwe zwłoki na nogi wśród bezwstydnych krzyków: „Dziś niedziela, mów kazanie, patrz, ile ludzi przyszło cię słuchać!“ Nie było komu stanąć w obronie tych świętych zwłok: słudzy albo tarzali się we własnej krwi, albo gdzieś głęboko ukryci drżeli o swoje własne życie: Tylko wierny pies, którego Józafat pieścił za życia, teraz odpłacał mu wdzięcznością, szczekając i rzucając się na zabójców. Żeby jeszcze bardziej znieważyć szczątki swojej ofiary, złoczyńcy zabili i owego psa i, porąbawszy go na kawałki, pokładli go na ciele świętego, aby krew zwierzęca z krwią męczennika się pomieszała.

Wreszcie poczęto obdzierać martwe zwłoki z ubrania. Kiedy odarto zwierzchnią suknię, ukazała się zdumionym oczom zbrodniarzy włosienica, którą święty nosił na gołem ciele. Zadziwieni tem odkryciem, poczęli, powątpiewać, czy też to ciało biskupa. „On musiał mieć lepszą koszulę“, mówili do siebie; chyba to nie on, tylko któryś z jego sług. I znowu rozbiegli się po pokojach arcybiskupich, szukając Józafata. Zaglądali w najskrytsze kąciki, aby się przekonać, czy nieukrył się głęboko władyka. Wszystko napróżno. Wloką więc nawpół żywych służących i nowem biciem starają się, wymódz na nich zeznanie, że trup nie jest ciałem arcybiskupa. Służba jednak pomimo katowania pod przysięgą zeznaje, że nie kto inny, tylko arcypasterz leży przed nimi. Wreszcie ktoryś z zabójców, kiedy się lepiej przypatrzył twarzy nieboszczyka, zapewnił swych towarzyszów, że się wcale nie pomylili i że w istocie władykę zabili. Powstała znowu ogólna radość.

Podczas owej piekielnej uczty i znieważania ciała, czarna gęsta mgła spuściła się na dwór arcybiskupi i chociaż naokoło słońce świeciło, tam mrok zapanował. Jeden tylko promień słońca przedzierał się przez szczelinę w owej mgle i oświecał zwłoki męczennika. Jedna z kobiet bezwstydnych, która odważyła się wyrwać świętemu garść włosów z brody w tejże chwili oślepła, lecz i ten cud nie opamiętał winowajców. Kobieta jednak owa nawróciła się niebawem i całe życie opłakiwała swą zbrodnię, wskazując na swe ciemne oczy, jako na dowód sprawiedliwości Bożej.

Poczęto radzić, co począć z ciałem zamordowanego władyki. Postanowili wywiedź je na Dźwinę i w najgłębszem miejscu zatopić. Miejsce to lud zwał świętą krynicą, jakby przeczuwał, że kiedyś będzie uświęcone relikwiami męczennika. Zanim wykonano postanowienie, urządzono sobie z ciałem świętego inną jeszcze okrutną igraszkę. Przywiązawszy do nóg ofiary powróz, pociągnięto święte zwłoki wśród bezwstydnych pieśni i wrzasków po ulicach, znacząc krwawymi śladami drogę. Na rogu jednej z ulic głowa świętego uderzywszy o kamień fundamentu domu, pozostawiła na nim krwawy ślad, który w żaden sposób ani zmyć, ani zeskrobać się nie dał. Po dwustu jeszcze latach mieszkańcy Witebska pokazywali pielgrzymom to cudowne znamię.

Przywleczono święte relikwje do rzeki. Spuszczono je z wysokiej góry po ostrych kamieniach, wołając drwiąco:

— Władyko! trzymaj się dobrze!

Dziwnem zrządzeniem Bożem, ostre kamienie wcale nie poraniły świętych zwłok, jakby chciały pokazać, że mniej są twarde od zatwardziałych serc grzeszników, mniej okrutne, niż ręce zabójców. Nakoniec wywieziono ciało łódką na umówione miejsce. Do nóg przywiązano wielki kamień, a do szyi włosienicę napełnioną również kamieniami. Z takim ciężarem wrzucono ciało świętego do rzeki. Znowu stał się cud. Ciało pomimo takiego ciężaru, utrzymywało się na powierzchni wody.

Przerażeni zabójcy poczęli uciekać: ciało płynęło za nimi. Widać, że Pan Bóg chciał im udzielić przestrogi, aby poznali teraz swą zbrodnię, lecz nie nadeszła jeszcze godzina ich nawrócenia. Szatan dodał im snać odwagi, aby powtórnie ciało świętego pogrążyć głęboko.

Motłoch tymczasem wpadł do katedralnej cerkwi, niszcząc i rabując wszystko, co można było z niej unieść.

Dopiero w kilka godzin po straszliwej zbrodni poruszyły się władze na zamku królewskim. Wysłano komisarzy i żołnierzy na miejsce wypadków dla zbadania sprawy. Cały dom biskupi i katedrę znaleziono w jak największem zniszczeniu, jakgdyby nieprzyjacielskie wojsko tam obozowało. Cudem się to tylko stać mogło, że pomimo ogromnego upływu krwi, z powodu kilkudziesięciu ran, tak Kantakuzen, jak i archidjakon Doroteusz, przyszli do siebie i wyzdrowieli. Spełniła się przepowiednia Józafata. że nikt, oprócz niego nie miał ponieść śmierci w tem zamieszaniu.

Urzędnicy i żołnierze po obejrzeniu pałacu udali się do katedry. Tam znaleziono jeszcze nietkniętą wielką skrzynię, której rabujący motłoch nie mógł ani otworzyć, ani unieść ze sobą. Rozkazano żołnierzom zabrać ją na zamek, aby uchronić od rabunku rzeczy kościelne, które się w niej znajdowały. Kiedy ją niesiono przez miejsce, gdzie stała kałuża

skrzepłej krwi męczenika, sama się otworzyła, a sprzęty i ubiory mszalne wysypawszy się ze skrzyni, tak się ułożyły, jak się je układa dla kapłana, mającego się ubierać do mszy św. i zanurzyły się we krwi męczeńskiej. Jednocześnie i kielich mszalny, upadłszy bokiem w skrzepłą krew, zaczerpnął cząstkę takowej, poczem stanął prosto, jakby na ofiarnym ołtarzu. Obecni przy tem zdarzeniu urzędnicy i żołnierze zdumieli się i zrozumieli, że stało się to na znak, iż ofiara krwi świętego biskupa została mile przyjętą przez Boga, jak miłą mu była ofiara mszalna, składana za życia przez tegoż świętego. Zanurzone w świętej krwi ubiory kościelne ze czcią złożono napowrót do skrzyni i jako drogie relikwje umieszczono w zamkowej kaplicy pod strażą załogi wojskowej. To był ostatni cud tego straszliwego i pamiętnego na zawsze dnia.

Po zatopieniu ciała św. Józafata gęste ciemności zapanowały na dni kilka nad Witebskiem i okolicą, a przestępcy, otrzeźwiawszy z szału i pijaństwa, w trwodze oczekiwali dalszych następstw spełnionej przez siebie zbrodni.

Pogrzeb i cuda pośmiertne św. Józafata.

W parę dni po dokonaniu zbrodni magistrat miasta, przerażony trwającemi ciągle ciemnościami, chcąc może pokryć swą winę udaną gorliwością, usilnie począł się krzątać, aby odnaleźć zatopione zwłoki męczennika i uczcić je należytym pogrzebem. Rybakom wyznaczono 100 złotych polskich nagrody, jeśli odnajdą ciało arcybiskupa. Z powodu wielkiej głębokości rzeki w tem miejscu, gdzie ciało Józafata było pogrążone, długo szukano świętych zwłok napróżno. Dopiero szóstego dnia po dokonanej zbrodni, pokazał się wychodzący z wody słup światła, który naprowadził rybaków na domysł, że tam się poszukiwany skarb znajduje, i rzeczywiście wydobyli na powierzchnię wody święte szczątki męczennika i przyciągnęli je wodą do brzegu rzeki o ćwierć mili poza miastem.

Skoro się rozeszła po mieście wiadomość o znalezieniu ciała, lud pośpieszył nad rzekę, by je oglądać. Między ciekawymi znajdował się świeżo przybyły z Połocka Jan Chodyga, zawzięty wróg arcybiskupa. Ten, pomimo swej nieprzyjaźni do świętego pasterza i do Unji, skoro się dowiedział o dokonanem zabójstwie, potępił śmiało złoczyńców. Teraz stojąc nad rzeką wpatrywał się w święte zwłoki, które chociaż blizko tydzień spoczywały pod wodą, nie uległy jednak najmniejszemu nawet zepsuciu. Patrząc na nie, począł wyrzucać sobie dotychczasowe zaślepienie, a skłaniać się ku uznaniu Józafata za prawdziwego męczennika.

Słudzy arcybiskupa przynieśli bieliznę i szaty, poczęto ubierać święte zwłoki. Chodyga dopomagał, trzymając szeroko rozwinięte prześcieradło, by zakryć nagie ciało przed wzrokiem tłoczącego się ludu. Po wydobyciu zwłok na brzeg, poczęły się rozchodzić czarne chmury i słońce po raz pierwszy od chwili popełnionej zbrodni oświeciło Witebsk i jego okolice. Ubrane ciało złożono napowrót do łodzi, na drugą łódkę włożono włosienicę i kamienie, z którymi święty był zatopiony, i powieziono te drogie relikwje w stronę zamku witebskiego. Lud tłumnie szedł brzegiem rzeki.

Pod zamkiem oczekiwał na ciało katolicki kapłan. Złożono zwłoki na noszach i uroczyście przeniesiono je do kościoła św. Michała, znajdującego się wewnątrz zamku. Orszak pogrzebowy przechodził około domu, w którym leczył się z odebranych ran wierny towarzysz świętego, Emanuel Kantakuzen. Dowiedziawszy się o nadciągającym orszaku, dowlókł się on choć z trudem, do okna, aby ujrzeć jeszcze raz swego mistrza i przyjaciela.

Drugi nieodstępny towarzysz arcybiskupa za życia, archidjakon Doroteusz, pomimo, że sam cały był okryty niezabliźnionemi jeszcze ranami, kazał się jednak zaprowadzić do kościoła, aby jak za życia, tak i teraz posłużyć przy ubieraniu Józafata w arcybiskupie szaty. Ujrzawszy oblicze świętego jaśniejące nadzwyczajną pięknością, nie mógł powstrzymać się od okrzyku radości. Żadnego śladu zepsucia ciała nie było widać, oblicze za życia śniade, teraz jaśniało śnieżną białością, usta rumieniły się, lekko rozwarte, jakby gotowe przemówić, oczy przymknięte jak w słodkim śnie. Z rany zadanej siekierą, sączyła się ustawicznie świeża krew.

Lud, patrząc na to nadzwyczajne zjawisko, coraz bardziej przychodził do przekonania o świętości arcybiskupa. Katolicy obydwóch obrządków tryumfowali, jakby po wielkiem zwycięstwie; odszczepieńcy zaś, przyszedłszy z ciekawości do kościoła, odchodzili zawstydzeni i skruszeni z płaczem i biciem się w piersi, błagając Boga o odpuszczenie grzechów. Wspomniany wyżej Chodyga opowiadał później, jakie wrażenie wywarł na nim widok świętych zwłok arcypasterza.

„W chwili, kiedym patrzał na nie, wyrzekłem się w duchu swego odszczepieństwa. Po powrocie do Połocka wyspowiadałem się i przyjąłem św. komunję w katedrze św. Zofji i teraz gotów jestem oddać swe życie za Kościół katolicki. Nawróciła mnie niewinna krew Józafata".

Było to pierwsze znaczniejsze nawrócenie, sprawione za przyczyną królującego już w niebie męczennika. Za niem poszły i inne nawrócenia mieszkańców Witebska, cisnących się przez piętnaście dni około katafalka, na którym spoczywały relikwje świętego.

Wieść o śmierci św. Józafata dobiegła prędko i do jego biskupiej stolicy, Połocka. Już w sam

dzień męczeństwa spostrzeżono tam na niebie ognistą kolumnę, wydłużoną w kierunku Witebska, nikt jednak nie zrozumiał owego zjawiska.

Wszystkie dzwony cerkwi połockich roznosiły smutną wiadomość do uszu mieszkańców biskupiej stolicy. Dzwoniono po kilka razy na dzień, aż do chwili sprowadzenia zwłok świętych z Witebska. Pewnego dnia rejent Dziahilewicz, wpatrując się w kopuły cerkiewne podczas dzwonienia, ujrzał nad katedrą unoszącą się postać św. Józafata, ubranego w szaty arcybiskupie. Jakoby na dowód i na znak tej opieki, jaką z nieba roztaczał nad swoją owczaruią.

W Połocku uchwalono sprowadzić czcigodne szczątki arcypasterza i uczcić je uroczystym pogrzebem w przygotowanym przez samego Józafata grobie. W tym celu udali się do Witebska przedstawiciele duchowieństwa katedralnego, spowiednik i przyjaciel męczennika, O. Genadjusz Chmielnicki, cały magistrat i kilka innych pobożnych osób. Po przybyciu do Witebska delegaci połoccy znaleźli w kościele św. Michała ciało zmarłego w takim stanie, że raczej się zdawało, iż Józafat śpi i za chwilę, przebudziwszy się, mówić pocznie.

Kiedy się zabierano do wyniesienia świętych zwłok z kościoła, cały Witebsk zgromadził się u trumny męczennika. Płacz i szlochania wyrywały się z piersi pokutujących za swą niewdzięczność mieszkańców. Wyprosili u delegatów połockich tę łaskę, że mogli na własnych barkach wynieść święte zwłoki do przygotowanej na rzece łodzi. Do orszaku żałobnego przyłączyli się nawet żydzi, zdumieni cudem zachowania ciała przed zepsuciem, i kalwini ze swoim pastorem na czele.

Kiedy barka z ciałem świętego odbijała od brzegu, rozległ się znowu lament i tłumy ludu długo biegły brzegiem rzeki za łodzią, nie mogąc rozstać się ze swoim świętym, a tak niewdzięcznie przyjętym pasterzem.

Mieszkańcy Połocka wybiegli na brzeg rzeki, aby powitać święte relikwje. Przed kilku tygodniami żegnano arcypasterza, życząc mu szczęśliwego powrotu, teraz odbierano tylko martwe jego szczątki. Na czele katolików obydwóch obrządków oczekiwało duchowieństwo łacińskie i unickie w kościelnych strojach. Nie brakło schizmatyków, heretyków, a nawet żydów. Tym nawet, którzy nie umieli ocenić świętego biskupa za życia, otwierały się teraz oczy po jego śmierci i poznawali, jaki skarb utracili.

Kiedy na żądanie ludu otwarto trumnę i oczom wszystkich ukazało się nadziemską pięknością jaśniejące oblicze świętego, wcale nieskażone, pomimo, że od chwili męczeństwa ubiegło dwa tygodnie, na ten widok lud wszystek upadł na twarz, zanosząc się od płaczu. Zwłoki męczennika zostały uroczyście przeniesione do katedralnej cerkwi św. Zofji, gdzie wystawiono je w otwartej trumnie na bogato przybranym katafalku na widok publiczny.

Niebawem przy trumnie świętego poczęły się dokonywać cudowne uzdrowienia. Pierwszy doznał na sobie cudu Piotr Dankowski, prawnik, wielki przyjaciel i czciciel Józafata. Od niejakiego czasu do tego stopnia stracił wzrok, że nie mógł rozpoznawać najbliższych sobie osób. Podczas pochodu ze zwłokami Józafata do katedry chciał wziąć udział w owej procesji i kazał się prowadzić z nią do świątyni. Naokoło siebie słyszał ustawiczne westchnienia i okrzyki ludu. Wzruszony do głębi duszy, Dankowski przy pomocy swoich przewodników docisnął się w świątyni do filara, do którego przymocowano włosienicę z kamieniami, z którymi ciało Józafata było zatopione w Dźwinie. Począł więc całować te drogie pamiątki, potarł oczy włosiennicą poczem upadłszy na kolana, błagał gorąco Boga, za przyczyną św. Józafata o swe uzdrowienie i w tejże chwili, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, wzrok mu został przywrócony. Do samej śmierci nigdy już na oczy nie chorował, ani nie czuł żadnego osłabienia wzroku.

Za przykładem Dankowskiego pewna ciemna niewiasta potarła swe oczy włosienicą świętego i w tejże chwili przejrzała. Do zwłok męczennika gromadziły się coraz liczniejsze tłumy pobożnych, szukających pociechy lub pomocy w swoich potrzebach. Trumna pozostała otwartą przez całe dziesięć dni i lud nie mógł się napatrzeć na cudownie zachowane w całej świeżości i piękności oblicze świętego.

Z powodu rozlicznych przeszkód, nie prędko mógł przybyć do Połocka serdeczny przyjaciel męczennika, metropolita Rutski. Z tego powodu pogrzeb odbył się dopiero w 14 miesięcy po męczeńskiej śmierci, mianowicie w styczniu 1625 roku. Przez cały zaś ten czas zwłoki męczennika stały na katafalku wśród katedralnego chóru i od czasu do czasu otwierano trumnę dla uczczenia świętego i większej pociechy wiernych, którzy wciąż oglądać mogli cudownie zachowane od zepsucia ciało i krew sączącą się wciąż z otwartej rany na głowie; na około katafalka płonęły wciąż świece i lampy, zapalane rękami pobożnych pielgrzymów, całemi kompaniami przybywających z dalekich nawet stron.

W przeddzień pogrzebu zjechali do Połocka: metropolita Rutski, władyka piński Grzegorz Michałowicz i władyka smoleński Leon Krenza. Przywitały ich przed bramami miasta władze połockie, z nowym arcybiskupem Antonim Sielawą na czele. Przybyli arcypasterze udali się zaraz do zwłok Józafata i przy nich odprawili uroczyste nieszpory.

Na drugi dzień z samego rana głos dzwonów i strzały armatnie z zamku zwiastowały mieszkańcom Połocka rozpoczęcie żałobnej uroczystości. Około

godziny ósmej uformował się pochód przy współudziale olbrzymich tłumów ludu. Obydwa katolickie obrządki nie zaniedbały niczego, co mogło podnieść wspaniałość i uroczystość obrzędu. Kapłani uniccy nieśli włosienicę świętego, kamienie przywiązane przy zatopieniu do jego szyi, szaty napojone krwią męczeńską i inne drogie po świętym pamiątki. Trumna z ciałem świętego spoczywała na wspaniałym karawanie, ciągnionym przez sześć dobranej maści rumaków. Wóz otaczały pochodnie, niesione przez bogato ubranych giermków i stu szlachty doborowej, pełniącej straż honorową. Za karawanem kroczyli metropolita i biskupi otoczeni przez dygnitarzy kraju i niezliczone zastępy szlachty, mieszczaństwa i ludu. Rzadko kto z najwyższych magnatów miał kiedykolwiek w Polsce taki pogrzeb, jaki sprawiono temu biednemu mieszczańskiemu synowi, a potem kupczykowi, którego własna cnota i gorliwość zawiodły wreszcie na tron arcybiskupi, a nieustraszona śmierć męczeńska wyniosła na ołtarze.

Nabożeństwo, celebrowane przez metropolitę Rutskiego, przeplatane było pochwalnemi mowami w języku łacińskim, greckim, polskim i ruskim. Mówili je studeci szkół jezuickich, biskup smoleński, wreszcie sam metropolita. Uroczystości dodawały uroku śpiewy, wykonywane przez młodzież szkolną na przemian z ludem. Po ukończeniu ceremonji złożono trumnę ze świętymi szczątkami do grobu obok ołtarza. Przy tej rzewnej uroczystości niebrakło żadnego z najbliższych przyjaciół i pomocników świętego, którzy tylko cudem ocaleni, wylewali łzy z żalu, że nie dano i im jednocześnie złożyć swe życie w ofierze dla świętej sprawy.

Dzień pogrzebu Józafata był jednocześnie dniem tryumfu świętego zjednoczenia w jednej wierze dwóch obrządków. Przy grobie męczennika Unji zacieśniły się węzły braterstwa Rusinów z łacinnikami; schizmatycy zaś albo się nawracali do świętej jedności, albo zawstydzeni musieli taić swą nienawiść względem Kościoła katolickiego.

Nawrócenie zabójców i nieprzyjaciół świętego.

Skoro rozeszła się po kraju wieść o wypadkach witebskich, zewsząd poczęły odzywać się głosy żądające ukarania winowajców. Wielki kanclerz litewski, Lew Sapieha, który jeszcze przed paru miesiącami ośmielał się dawać nauki Józafatowi i zasypywać go zarzutami, teraz po męczeńskiej śmierci świętego przekonał sie doskonale, jak niebezpieczną nietylko dla wiary ale i dla spokoju publicznego były wichrzenia prowadzone przez zwolenników i wysłańców Smotryckiego. Dlatego on to pierwszy z panów polskich wystosował do króla Zygmunta list, żądając królewskiego sądu i surowej kary na zabójców, aby nietylko ukarać dokonaną zbrodnię, ale i innych od podobnych gwałtów odstraszyć. Metropolita Rutski, donosząc królowi o dokonanem zabójstwie, polecał Kościół unicki opiece monarszej.

Król wysłał w grudniu 1623 r. do Witebska swoich komisarzy do rozpoznania sprawy. Byli nimi: wspomniany wyżej Lew Sapieha, Samuel Sanguszko, Krzysztof Sokoliński, Aleksander Gosiewski i Aleksander Sapieha, którzy zjechawszy do Witebska otwarli swą urzędową czynność 17 stycznia 1624 r.

Jako oskarżeni stanęli przed sądem nietylko ci, którzy własnemi rękami śmierć męczeńską Józafatowi zadali, ale i radni miasta, którzy ją już przedtem uchwalili, lub w inny sposób dopomogli do dokonania zbrodni. Winowajcy prawie wszyscy sami przyznawali się, że brali udział w zbrodni; niektórzy tylko, jak radni Wołk i Niesza, tłómaczyli się, że w chwili śmierci Józafata wcale w mieście nie byli obecni; udowodniono im jednak, że umyślnie w chwili stanowczej z miasta się usunęli, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność.

Przy tych rozprawach sądowych zajaśniała niewinność i świętość Józafata. Nikt z oskarżonych nie mógł mu nic zarzucić, owszem wszyscy odzywali się z najwyższemi pochwałami dla charakteru i postępowania arcybiskupa. Całą zaś winę za rozruchy składano na Smotryckiego i jego popleczników.

D. 23 stycznia, po sześciu dniach rozpraw sądowych, komisarze królewscy ogłosili swój wyrok. Nahum Wołk, Szymon Niesza i kilkunastu innych mieszkańców Witebska, jak również przybyły z Połocka Piotr Wasilewicz, uznani za najwinniejszych, skazani zostali na karę śmierci przez ścięcie. Niektórzy z nich zdołali umknąć z Witebska. Wyrok komisarski odebrał Witebskowi prawa i samorząd miejski, poddając to miasto pod rządy wojewody królewskiego. Ratusz, gdzie knowano bunt przeciwko Józafatowi, został doszczętnie zburzony. Wszystkim cerkwiom, w których dzwoniono na alarm w celu poruszenia ludu przeciw azcybiskupowi, odebrano dzwony i stopiwszy je, ulano jeden wielki dzwon, przeznaczony do katedry, i na nim umieszczono odpowiedni napis, mający świadczyć późniejszym pokoleniom o wymierzonej na winnych sprawiedliwości.

Zasądzeni na śmierć winowajcy musieli dać swe głowy pod topór katowski. Przedtem jednak za przyczyną świętego męczennika, stał się z nimi cud miłosierdzia Bożego. Oto wszyscy skazani, z wyjątkiem tylko jednego, tknięci skruchą serdeczną, zapragnęli przed śmiercią pojednać się z Bogiem i z Kościołem katolickim, przeciwko któremu tak zawzięcie walczyli. Księża Bazyljanie i Jezuici pośpieszyli im z pociechą duchową, wyspowiadali i przyjęli na łono Kościoła katolickiego. Tak więc

Józafat mścił się na swoich zabójcach tym sposobem, który tylko świętym jest właściwy: mianowicie wyjednał im u Boga nawrócenie i skruchę.

Owym jednym z pomiędzy zabójców, który pozostał do śmierci w uporze, był Piotr Wasilewicz, radny miasta Połocka, o którym mówiliśmy już, że przywłaszczył sobie spełnianie czynności kapłańskich, byle nie dopuścić kapłanów unickich. Ciała straconych zabójców rzucono do rzeki Dzwiny. Lud bez szemrania patrzył na takie surowe wykonanie kary, uznając zupełnie jej słuszność i sprawiedliwość.

Wiemy już, że św. Józafat nawrócił bardzo wielu do prawdziwej wiary przez swoje pasterskie prace, przez słowo Boże, przez dobry przykład, ale kto wie, czy nie więcej nawróceń sprawił przez swoją śmierć męczeńską. Dość powiedzieć, że djecezja połocka, a w szczególności Witebsk, były odtąd najwierniejszą cząstką Kościoła unickiego.

Pomiędzy owocami jakie przyniosła śmierć męczeńska Józafata najbardziej zadziwiającem było nawrócenie samego Melecjusza Smortyckiego, który był ostatecznym sprawcą całego buntu przeciw Józafatowi, a zatem i sprawcą poniekąd męczenskiej jego śmierci. Zresztą on sam czuł to doskonale i dlatego, skoro doszła go wieść o popełnionej w Witebsku zbrodni, zadrżał i o swoje życie i choć w rzeczywistości nikt jeszcze nie myślał o pociągnięciu go do odpowiedzialności, opuścił swoją siedzibę w Wilnie i uciekł do Kijowa, gdzie czuł się bezpieczniejszym. Ale i tam nie zaznał spokoju. Napadając w swych pismach na Kościół katolicki nie tyle czynił to z przekonania, ile raczej dlatego, że na niego były zwrócone oczy wszystkich jego braci po wierze i jemu samemu pochlebiało, że przewodniczy w walce z katolikami i Unją. Po męczeńskiej śmierci Józafata, wątpliwości Smotryckiego, ażali jest na dobrej drodze, odezwały się z nową siłą. Nie mogąc znaleźć w Kijowie spokoju dla swojej duszy, opuścił zupełnie kraj i udał się w daleką podróż do ziem greckich i do Palestyny. Tam przejrzał jasno, że prawdziwe życie religijne znajduje się raczej w Kościele katolickim. Z tem też powrócił do kraju. Długo jednak nie miał odwagi otwarcie przyznać się do swoich błędów: myślał, że dostatecznie swą winę naprawi, jeśli na przyszłość zaprzestanie napadać na Kościół.

Do Wilna wracać już nie chciał; arcybiskupiej godności, na którą nieprawnie był wyświęcony, spełniać już nie pragnął. Poprosił tylko księcia Zasławskiego z Ostroga, aby go mianował archimandrytą klasztoru w Dermaniu. Lecz przedtem wyznanie wiary katolickiej uczynił r. 1627 w Dubnie wobec metropolity Rutskiego, przed nim się wprzód wyspowiadawszy i rozgrzeszenie ze wszystkich swych grzechów i kar kościelnych odeń otrzymał. Zaraz też napisał pokorny list do Ojca św. prosząc słowami ewangelicznego syna marnotrawnego o przebaczenie i przyjęcie do jedności kościelnej. Wszystkie swoje dawniejsze pisma, wymierzone przeciwko katolikom i Unji, teraz sam potępił, jako zbiór kłamstw i potwarzy.

Nawrócenie Smotryckiego miało zostać jakiś czas w tajemnicy, aby mu łatwiej było pracować nad pojednaniem z Kościołem dawnych swoich braci po wierze. W tym celu napisał książkę p. t. *Apologja podróży na Wschód*, w której odwoływał swe dawne błędy i wykazywał wyższość Kościoła katolickiego, którego nauka jest zresztą zgodna i ze staremi pismami Ojców Kościoła i liturgją grecką. W tymże duchu napisał jeszcze kilka innych dziełek. Niebawem wyruszył i sam do Kijowa na zwołany przez schizmatyckiego metropolitę synod, z zamiarem bronienia osobiście swojej książki i pociągnięcia schizmatyckich biskupów do jedności kościelnej. Lecz nadzieje go zawiodły. Schizmatycy po przeczytaniu jego Apologji, poznawszy, że on już został unitą, pod groźbą śmierci zażądali, aby się wyrzekł swoich przekonań katolickich. Smotrycki miał wprawdzie odwagę zostać katolikiem, ale brakło mu ducha, aby ponieść śmierć męczeńską, jaką poniósł Józafat. Dlatego, nie widząc sposobu uratowania swego życia, wyrzekł się znowu publicznie w cerkwi wiary katolickiej i spalił swoją Apologję.

Następnie począł płakać gorzko nad swoim upadkiem. Skoro się wydostał na wolność, ogłosił drukiem cały przebieg sprawy, potępił znowu swoją słabość i upadek i przepraszał wszystkich za dane zgorszenie. Odstępstwo kijowskie przekonało go, że nie jemu być apostołem, nawracającym braci, ale, że zadaniem jego jest pokuta za własne winy. Odtąd też, chociaż pisał wiele jeszcze w obronie wiary katolickiej i Unji, przedewszystkiem jednak zasłynął ze swojej surowości życia, ze swych postów i umartwień ciała, któremi chciał wynagrodzić Bogu i Kościołowi za swoją dawną pychę i ostatnią małoduszność. Ojciec św. darował mu jego powtórny upadek i nadał mu tytuł arcybiskupi, choć bez zarządu djecezją. Smotrycki żył w pokucie w klasztorze dermańskim i umarł r. 1633. Przed śmiercią popalił wszystkie swoje książki i pisma, przeciwne wierze katolickiej.

Umierając prosił Braci zakonnych, aby po śmierci dali mu do rąk list Ojca św. Urbana VIII, w którym papież rozwiązywał go od wszelkich kar kościelnych i nadawał mu arcybiskupią godność. Zakonnicy rozkaz ten przypomnieli sobie dopiero wtedy, kiedy członki nieboszczyka zupełnie już stężały. Palce u rąk były również sztywno wyprostowane, skoro jednak do ręki prawej nieboszczyka włożono list papieski, w tejże chwili palce jego jak żywego człowieka zacisnęły podany sobie pergamin i nikt nie mógł wydrzeć listu Ojca św. z ręki nie-

boszczyka. Cud ten jeszcze większej nabrał siły kiedy na pogrzeb Smotryckiego przybył sam metropolita Rutski i w obecności tłumów ludu rozkazał zmarłemu oddać list papieski, wówczas ręka nieboszczyła otworzyła się.. Po chwili metropolita podał zmarłemu z powrotem odebrany list i ręka martwa chwyciwszy go, znowu się zacisnęła mocno. Przez kilka następnych lat otwierano od czasu do czasu trumnę Smotryckiego. Ciało wciąż pozostawało niezepsute. Prawa ręka ciągle jeszcze trzymała papieskie brewe. Pamięć tego cudu uwieczniono w obrazach.

Pośmiertne cuda św. Józafata.

Pierwsze co do ilości miejsce między cudami Józafata zajmują uzdrowienia. Nie było prawie choroby, niemocy, w którejby Józafat nie przyszedł z pomocą, skoro się do niego uciekano. Najwięcej zaś od niego łask doznali ci, co i za życia wielkimi byli mu przyjaciółmi i czcili go jako świętego. O. Gennadjusz Chmielnicki przyjaciel i spowiednik Józafata, wkrótce po błogosławionej jego śmierci uległ ciężkiej niemocy, bo tknięty paraliżem, przez trzy lata nie mógł ruszyć się z łóżka. Pragnąc pracować jeszcze na chwałę Bożą, po trzech latach swej niemocy oddał się w opiekę Józafata. Na skutek swej ufnej modlitwy nie długo czekał, bo już po kilku dniach paraliż ustąpił i chory mógł pieszo udać się ze swego klasztoru do katedry w Połocku, aby go przy grobie świętego odprawić dziękczynną mszę za swoje uzdrowienie. O. Gennadjusz zachęcał potem i innych cierpiących, aby się do Józafata modlili. Za jego usilną radą poszła pewna służąca, Małgorzata, która cierpiała taki ból głowy, że już myślała odebrać sobie życie. Skoro udała się do grobu Józafata, niosąc na swej głowie koronę ze świec, do tegoż grobu ofiarowanych, ból głowy opuścił ją na zawsze.

Mieszczanka połocka, Maryna, przez 14 lat leżała w szpitalu, pozbawiona władzy w nogach. Przyczołgała się razu pewnego do katedry i prosiła, aby ją dopuszczano do grobu Józafata. Skoro się pomodliła gorąco do św. męczennika, wnet odzyskała zdrowie na długie lata. Takich cudownych uzdrowień z zastarzałych chorób było bardzo wiele.

W r. 1636 ciężko zachorował Doroteusz Lecikowicz, archidjakon Józafata. Opuszczony przez lekarzy, którzy stracili nadzieję w jego wyzdrowienie, zwrócił się z gorącą modlitwą do swego przyjaciela i ojca, Józafata, i tegoż dnia odzyskał zupełne zdrowie.

Wielu łask za przyczyną św. Józafata doznał dom Michała Tyszkiewicza.. Mianowicie wyszła z ciężkiej niemocy żona jego Krystyna, skoro opiece Józafata się oddała; podobnież i służąca jego Zofja, która przez całe 24 godziny leżała w konaniu, nagle wyzdrowiała, kiedy ją pan jej Józafatowi ofiarował i na szyi relikwję świętego zawiesił. Sam Michał Tyszkiewicz, zachorowawszy na silny reumatyzm w nogach, tylko na kulach i przy pomocy sług mógł dowlec się do kościoła, lecz skoro pomodlił się przy grobie Józafata, nagle został uzdrowiony i bez niczyjej pomocy wrócił do domu. Podobnych łask doznało wiele znanych rodzin, jak np. Zasławskich, Czartoryskich, Sapiehów. Podobnież otrzymywali zdrowie za przyczyną Józafata zakonnicy i zakonnice, jak np. pewien prowincjał O.O. Dominikanów, uleczony z paraliżu, i siostra bazyljanka, Agata Rusowska, z ciężkiej niemocy w nogach.

Roku 1626, w samą rocznicę męczeństwa Józafata wybuchł w nocy pożar w jezuickiem kolegium w Połocku. Drewniany kościół, a nawet całe miasto było zagrożone. Lud wylękniony wtargnął do kościoła, wołając: „Święty Józafacie, módl się za nami“. Rektor kolegium, O. Kosiński, który był również spowiednikiem i przyjacielem Józafata uczynił publiczną obietnicę, że zawiesi srebrne wotum u grobu męczennika, jeśli pożar przestanie się srożyć. I rzecz dziwna się stała. Płomienie zgasły nagle, jak gdyby je przytłumiła jakaś potężna, nadziemska ręka. O. Kosiński począł odtąd gorliwie szerzyć cześć św. Józafata i wielu nadzwyczajnych łask, za jego wezwaniem zdziałanych, był jeszcze świadkiem.

Podobnej opieki doznało miasto Zamość podczas pożaru roku 1627. Metropolita Rutski, jadąc w sprawach kościelnych do tego miasta, ujrzał zdaleka, że Zamość stoi w płomieniach. Udawszy się czemprędzej do kościoła, kazał pozapalać świece na ołtarzu, rozłożył na nim zamoczoną we krwi św. Józafata chustę i upadłszy na kolana wraz z duchowieństwem i ludem wśród którego znajdował się i pan tego miasta Zamojski, począł błagać Boga za przyczyną Józafata o uśmierzenie groźnego żywiołu. Na modlitwę Pan Bóg odpowiedział natychmiastową pomocą. Pogodne dotąd niebo nagle zaniosło się chmurami i rzęsisty deszcz ugasił płomienie. Metropolita zeznał później pod przysięgą, że ile razy znajdował się w jakiej potrzebie, a wezwał pomocy Józafata, zawsze bywał wysłuchany.

Niekiedy św. Józafat, przychodząc z pomocą wzywającym go, sam się im pokazywał. W Łomży mieszkała Felicja Kossakowska, nawrócona niegdyś przez Józafata. Dłuższy czas podagra przykuwała ją do łóżka. Za radą swego brata, biskupa wileńskiego, pokryła swe nogi materją we krwi męczennika zamoczoną. Wtem zasnęła. We śnie ujrzała biskupa, z głowy jego zranionej spływała krew. Pyta go, ktoby on był.

— Jestem Józafat, któregoś wezwała — odpowiedział biskup.

Chora błaga, aby przez swoje zasługi wyjednał jej zdrowie.

— Moje zasługi - odpowie święty — nie wiele mają wartości, chyba ta krew, którąm przelał za święty Kościół, będzie coś znaczyła.

Następnie umoczywszy palec w swej ranie, dotknął nim zbolałych członków, mówiąc:

— Niechaj cię uzdrowi ta krew, za wiarę świętą wylana.

Kiedy widzenie znikło i starościna się przebudziła, przekonała się, że cierpienia zupełnie ją opuściły.

Nieraz wypraszając zdrowie ciała, św. Józafat sprawiał i uzdrowienie duszy. Łukasz Masalski, starosta persztuński, zapadł był na dokuczliwe bóle głowy, połączone z częściową utratą wzroku. Po czterech tygodniach boleści począł już myśleć o śmierci. Pobożna jego małżonka poleciła swego męża wstawiennictwu świętego przed Bogiem. We śnie, ujrzała biskupa wschodniego obrządku, o którym domyśliła się, że jest Józafatem, gdyż rysy twarzy były podobne do rysów na obrazie męczennika.

— Wstań — powiedział do niej święty — idź do swego małżonka i powiedz mu, aby się poprawił z nałogu, w którym pozostaje, a będzie zdrów.

Pobiegłszy prędko do łoża chorego małżonka, opowiedziała mu żona o widzeniu i powtórzyła rozkaz świętego. Chory, zawstydzony przyrzekł poprawę, począł się modlić do św. Józafata i po kilku dniach przyszedł zupełnie do zdrowia.

Starania o beatyfikację św. Józafata.—Otwarcie trumny i wystawienie ciała na widok publiczny.

Te i tym podobne cuda sprawiły, że sława św. męczennika rozchodziła się coraz szerzej po polskiej i ruskiej ziemi i coraz więcej przybywało czcicieli Józafata. Przy jego grobie zawieszano tablice z napisami o doznanych łaskach, palono przed nim świece i lampy, modlono się do niego. Wkrótce też po śmierci męczeńskiej Józafata były rozpoczęte starania u Stolicy Apostolskiej o uroczyste ogłoszenie go świętym. Sam król Zygmunt III, wraz ze swą małżonką, królową Konstancją i królewiczem Władysławem zaniósł prośbę do Ojca św. o publiczne uczczenie męczennika. Pisał o toż samo i cały polski senat i wszystkie stany Rzeczypospolitej. Biskupi polscy na synodach piotrkowskich kilkakrotnie uchwalali starać się o kanonizację Józafata i wysyłali do Rzymu odpowiednie supliki. Wiele magnackich rodzin nie zadawalniały się ogólną prośbą od Rzeczypospolitej, ale wprost od siebie błagały papieża o przychylną decyzję w tej sprawie. Metropolita Rutski czynił też co mógł, aby przyśpieszyć sprawę najwyższego uczczenia swego świętego współpracownika na niwie kościelnej.

Papież Urban VIII, chociaż sam niedawno wydał prawo, aby żadnej sprawy kanonizacyjnej nie rozpoczynano przed upływem 50 lat od śmierci tego, o czyją kanonizację chodzi, jednak z wielkiej swej przychylności dla Kościoła unickiego i pragnąc, aby ten Kościół zyskał w osobie Józafata potężnego niebieskiego patrona i wzór do naśladowania, zwolnił od zachowania w tym razie wzmiankowanego prawa i zaraz r. 1625, a więc we dwa lata po śmierci Józafata, wyznaczył komisję, która miała zbadać na miejscu życie, cuda i przyczynę śmierci arcybiskupa połockiego.

Komisja ta z powodu rozlicznych przeszkód rozpoczęła swoją działalność dopiero r. 1628 w Połocku. Wzywano każdego, kto tylko mógł dać jakie wiadomości o życiu, śmierci i cudach Józafata. Przesłuchano pod przysięgą 116-tu świadków, a nikt z nich nie mógł znaleźć najmniejszego zarzutu przeciwko Józafatowi, iecz przeciwnie jednogłośnie oddano jego świętości jaknajwiększe pochwały. Między świadkami było mnóstwo takich, którzy sami osobip wiele łask od świętego doznali. Nawet innowiercy, składali same tylko chlubne świadectwa.

Po ukończeniu badań świadków komisja przystąpiła do zbadania ciała św. męczennika. Otworzywszy grób, znaleziono ciało wcale niezepsute i jakby żywe. Tylko szaty w które było przybrane, zupeinie zbutwiały. Wiadomość o cudownem zachowaniu relikwji ściągnęła do katedry tłumy ludu, pragnącego oglądać jeszcze raz swego arcypasterza-męczennika. Dla zadosyćuczynienia temu pobożnemu życzeniu ciało świętego, ubrane w nowe szaty, usadowiono na tronie aby wszyscy mogli je oglądać. Wszystek lud padł na kolana i w całej świątyni powstał ogólny płacz od radosnego wzruszenia, Wtedy biskup Tyszkiewicz, wziąwszy za prawą rękę Józafata, zakreślił nią w powietrzu znak krzyża świętego, błogosławiąc ludowi wiernemu, który się nie posiadał z radości i szczęścia, że znowu z tej ojcowskiej ręki przyjmuje błogosławieństwo Stał się przytem cud niesłychany. Z oczu Józafata, zgasłych przed pięciu laty, popłynęły łzy, a na całem obliczu wystąpił pot rzęsisty. Rzekłbyś, jakoby sam święty pasterz wzruszył się na widok szczęścia swoich dawnych owieczek. Cudowny pot i łzy obtarto czystem płótnem, które następnie wierni rozszarpali na drobne cząsteczki, gdyż każdy pragnął posiadać tak drogocenną relikwję. Wreszcie złożono święte zwłoki do nowej trumny, obitej drogiemi materjami, opieczętowano ją pieczęciami komisarzy papieskich i z powrotem złożono do grobowca.

Z Połocka komisarze papiescy udali się do Witebska. Wielu naocznych świadków męczeństwa Józafata złożyło tam swoje zeznania, przyczem nikt nie podniósł najmniejszego zarzutu przeciwko życiu i cnocie męczennika. Wszyscy natomiast świadczyli,

że śmierć poniósł jedynie dla swego przywiązania do świętej wiary katolickiej. Wielkie wrażenie sprawiła niewiasta, która w chwili, kiedy znieważała ciało męczennika, dotknięta została ślepotą, lecz za to oświeconą została na duszy. Teraz przed komisją ze łzami wyznawała swój grzech i dziękowała Bogu, że karząc ją na ciele, wzbogacił ją na duchu, powołując do prawdziwej wiary. Podczas pobytu komisji papieskiej w Witebsku bardzo wielu schizmatyków przystąpiło do Unji.

Po ukończeniu swych prac komisja przesłała wszystkie dokumenty do Rzymu. Dla przyspieszenia tej sprawy wyjechał do Rzymu biskup piński, Rafał Korsak. Jednak z powodu opuszczenia przez komisję niektórych przepisanych prawem kościelnem formalności, cały proces kanonizacyjny został zawieszony przez najwyższy w Rzymie urząd do tych spraw, t. j. przez św. Kongregację Obrzędów r. 1635. Tym sposobem sprawa poszła w chwilową odwłokę, gdyż rozpoczęto nowe badania o życiu i cudach witebskiego męczennika. Metropolicie Rutskiemu nie dozwolił Bóg doczekać chwili wyniesienia Józafata na ołtarze. Po długim, pracowitym żywocie poszedł on po nagrodę do Pana r. 1637. Umarł w Dermaniu, pochowano go zaś w Wilnie.

Komisja apostolska odbyła powtórną rewizję relikwji Józafata. Z protokółu komisarzy dowiadujemy się o wielkiej czci, jaką grób świętego pobożny lud otaczał. Mnóstwo wotów, tabliczek, napisów świadczyło o wdzięczności tych, którzy tu doznali jakiejkolwiek łaski. Wielka srebrna lampa dzień i noc płonęła przed grobowcem. Po otwarciu grobowca przekonano się znowu, że chociaż szaty od wilgoci zupełnie zbutwiały i rozpadły się w strzępy, to jednak ciało nie uległo zepsuciu. Na głowie widniała śmiertelna rana. W lewej ręce świętego znaleziono wiele kartek papieru z imionami rozmaitych osób, które przy pierwszem odkryciu grobu w ten sposób chciały polecić się modlitwom Józafata. Po dokładnem zbadaniu relikwji spisano odpowiedni akt, zmieniono szaty, przełożono ciało do cyprysowej trumny i znowu zamknięto i opieczętowano grób.

Oczekiwana chwila nadeszła wreszcie 16 maja 1643 r., kiedy Ojciec św. Urban VIII wydał dekret, mocą którego Józafat arcybiskup i męczennik miał być odtąd uważany za błogosławionego i corocznie 12 listopada, to jest w dzień męczeństwa, cały zakon bazyljański i wszystkie kościoły unickie na Rusi miały obchodzić jego pamiątkę, odmawiać pacierze kapłańskie i odprawiać mszę św. o błogosławionym męczenniku.

Równo w 20 lat po męczeńskiej śmierci Józafata, w Rzymie urządzono po raz pierwszy uroczyste nabożeństwo ku uczczeniu błogosławionego. Wybrano na ten cel kościół jezuicki ze względu na wielką przyjaźń i miłość, jaką błogosławiony Józafat żywił dla tego zakonu. Obraz Józafata po raz pierwszy ukazał się na ołtarzu i lud rzymski gorącem sercem uczcił nowego błogosławionego, którego wydały dalekie i nieznane mu kraje. Jednocześnie obchodzono uroczyste święto Józafata na całej Litwie i Rusi. Najwspanialszem było nabożeństwo dnia tego w katedralnej cerkwi św. Zofji przy grobie błog. męczennika, odprawione przy udziale duchowieństwa obydwóch obrządków na znak jedności wiary.

Po beatyfikacji cześć Józafata, nabożeństwo i ufność do niego szerzyły się coraz bardziej po całej Polsce, Litwie i Rusi i wnikały coraz głębiej do serc katolickich. Łaski, doznawane za przyczyną świętego, nie ustawały. Wspomnimy tu o jednem cudownem widzeniu, które dało powód do sprawienia nowej srebrnej trumny dla relikwji świętego.

Wice-kanclerz litewski, Kazimierz Sapieha, syn Lwa, bawił r. 1645 w Gdańsku, gdzie oczekiwał na przybycie nowej królowej, Ludwiki. Pewnego razu, rozmyślał w nocy o cudach Józafata i namyślał się, jakimby sposobem mógł przyczynić się do większej czci świętego. Przyszło mu do głowy, aby sporządzić sarkofag z bronzu. Gdy o tem myśli rozchyla się firanka otaczająca jego łoże, staje przed nim biskup, ubrany według obrządku wschodniego, i mówi doń:

— Czyż nie stać cię na trumnę ze srebra? Na tej ulicy (wymienił nazwę ulicy) znajdziesz odpowiedniego rzeźbiarza.

Powiedział te słowa i znikł. Sapieha wstaje pośpiesznie i pyta sług, co to za biskup przychodził do jego domu? Zdziwieni słudzy odpowiedzieli, że żadnego biskupa nie było w pałacu. Zrozumiał Sapieha, że sam św. Jozafat objawił mu się, domagajac się dla swych relikwji wspanialszego pomieszczenia. Bardziej jeszcze się zdziwił, kiedy odszukał pod wskazanym adresem rzeźbiarza, ten bowiem zaraz mu opowiedział, że u niego również był biskup wschodniego obrządku, zamówił trumnę i dał nawet jej wymiary.

Pięć lat trwała robota trumny. Wykonaną została z czystego srebra, po bokach jej umieszczono 8 płaskorzeźb, wyobrażających różne sceny z męczeństwa świętego Józafata, a na wierzchu wypukłą postać samego męczennika w leżącej postawie, ubranego w pontyfikalne szaty. Sześciu ze srebra ulanych aniołów w klęczącej postawie podtrzymywało trumnę. Samo srebro, nie licząc roboty, kosztowało Sapiehę około 36 tysięcy talarów. W r. 1650 przywieziono ów bogaty dar do Połocka i zajęto się umieszczeniem relikwji w nowej trumnie. Dawną cyprysową trumnę z relikwjami świętego włożono do nowej srebrnej, której nie zamurowywano już więcej w ścianie lecz wystawiono ją na bogatym marmurowym ołtarzu. Po 27 latach, jakie

były upłynęły od jego męczeństwa, przy wkładaniu świętego ciała do nowej trumny zauważono krew, która znowu popłynęła z otwartej na głowie rany.

Arcybiskup Sielawa dla większej czci i uszanowania grobu Józafata zapisał 14 tysięcy złotych polskich na utrzymanie przy katedralnej cerkwi sześciu kapłanów mających obowiązek odprawiać pacierze i msze ku czci św. męczennika.

Dalsze losy Unji i ucieczka z relikwjami św. Józafata.

Niedługo po beatyfikacji Józafata poczęły spadać na Polskę, a przytem i na Kościół unicki wielkie próby i klęski. W roku 1648 zbuntowali się przeciwko Polsce kozacy na Ukrainie, pod dowództwem Bohdana Chmielnickiego, znacząc swe wojenne wyprawy okrucieństwami, popełnianemi na unitach i łacinnikach. Niebezpieczeństwo dla Unji wzrosło jeszcze bardziej, kiedy nieprzyjacielskie wojska wtargnęły na Litwę i Białą Ruś. Wojska szwedzkie zalały cały kraj polski, prześladując wszędzie wiarę katolicką. Walka z tymi wrogami trwała lat kilkanaście i zadała Rzeczypospolitej polskiej nie dające zagoić się rany. między innemi stratami, cała wschodnia część Ukrainy i Kijów przeszły pod panowanie rosyjskie. To samo stało się ze wschodnią częścią Białej Rusi i ze Smoleńskiem.

Podczas tej wojennej zawieruchy arcybiskupem Połocka był Gabrjel Kolęda; chcąc uchronić relikwje św. Józafata od zbeszczeszczenia musiał z niemi ustawicznie zmieniać miejsce pobytu i ukrywać się po lasach i głuchych i niedostępnych miejscowościach. Oprócz św. Józafata miał Kolęda jeszcze inny skarb, relikwje św. Kazimierza, które również trzeba było wywieźć z Wilna. Sześć lat zeszło na takiem ustawicznem tułactwie po kraju, wśród największych niebezpieczeństw. Jakiś czas ukrywał się Kolęda na Żmudzi, to znowu przybył z relikwjami aż do Zamościa, gdzie ukrył się w zamku obronnym, to musiał uchodzić pod Warszawę, gdzie było wojsko polskie. Razu pewnego wpadł w ręce szwedzkiego wojska i tylko wstawieniu Józafata i swemu sprytowi zawdzięczał ocalenie. Wreszcie przybył do klasztoru w Supraślu, gdzie też na lat kilka spoczęły święte relikwje pod czujnem okiem Kolędy, który w tym czasie został już unickim metropolitą.

Po zawarciu pokoju andruszowskiego z Rosją r. 1667, postanowiono przewieźć ciało św. Józafata z powrotem do Połocka. Pochód z relikwiami świętego był jednym ciągłym tryumfem nietylko błog. męczennika ale całego unickiego Kościoła. Kraj po wojnach bardzo był zniszczony, wiele cerkwi unickich popalono, mnóstwo duchowieństwa wierność swą Unji przypłaciło śmiercią, albo wygnaniem. Mimo to na wieść o powracającem ciele swego świętego pasterza tłumy wiernego ludu gromadziły się na drodze, którą pochód przeciągał i wszędzie sprawiały jak najradośniejsze przyjęcie świętym szczątkom.

Najwspanialej przyjęto je w Wilnie. Przed miastem, za bramą trocką, urządzono wspaniały namiot, gdzie na przepysznym katafalku złożono relikwje i przez jedną dobę odprawiono tam nabożeństwa przy ogromnem zebraniu ludu. Znajdujące się tamże pułki polskie oddawały honory wojskowe. Na drugi dzień w niedzielę 25 września, zamierzono wprowadzić uroczyście relikwje do kościoła Trójcy św. gdzie błog. Józafat spędził swoją młodość i gdzie tyle dla chwały Bożej pracował. Trumnę złożono na przystrojonym bogato wozie, do którego wprzężono sześć tęgich rumaków. Konie jednak nie chciały ruszyć z miejsca. Zaprzężono inne konie, ale i te stanęły, jak wryte, Krzyknął wreszcie ktoś z obecnych:

— Po co tu konie? tego powinny dokazać ludzkie ręce!

Wyłożono więc konie i przeszło stu ludzi z pomiędzy szlachty, mieszczaństwa i ludu wprowadziło karawan do miasta. W procesji tej brali udział wszyscy biskupi ruscy, pięciu biskupów łacińskich, duchowni obydwóch obrządków, wojsko, władze i nieprzejrzana masa ludu. Wśród muzyki i śpiewów pobożnych, przy odgłosie dzwonów i armatnich strzałów przeciągała procesja ulicami Wilna aż do cerkwi św. Trójcy. Po przybyciu do niej, czterej biskupi wzięli trumnę ze świętemi zwłokami i na własnych ramionach wnieśli ją do wnętrza świątyni.

Piętnaście dni spoczywały tam święte relikwje i przez cały ten czas coraz to nowe tłumy ludu napływały, aby uczcić świętego i polecić się jego opiece. Nabożeństwa uroczyste, połączone z kazaniami, nie ustawały. Owocem tych uroczystości było nawrócenie wielu inowowierców do wiary św. Trafiło się również kilka cudownych uzdrowień, a nawet zanotowano jedno przywrócenie życia zmarłemu chłopczynie. Nieprzychylni Unji, poczęli rozpowiadać kłamliwie, że w srebrnej trumnie niema ciała Józafata, tylko kamienie; ciało zaś dawno w proch się obróciło. Żeby zawstydzić oszczerców, a wzmocnić pobożność wiernych, metropolita rozkazał otworzyć wobec ludu trumnę. Lud ujrzał ciało Józafata całe i nie zepsute, ubrane w szaty pontyfikalne. Przełożony klasztoru św. Trójcy, korzystając ze sposobności, wypowiedział gorące kazanie i znowu tego samego dnia wiele osób przystąpiło do św. zjednoczenia.

Z Wilna ruszono w dalszą podróż i w samą 44-tą rocznicę męczeństwa Józafata, zwłoki jego wprowadzono znowu z jaknajwiększą uroczystością do katedry św. Zofji w Połocku. Ludność po długiej rozłące witała z zapałem drogie relikwje i do

nich znowu rozpoczęły się z dalekich stron pielgrzymki pobożnych czcicieli Józafata, nagradzanych wielkimi łaskami za przyczyną świętego.

Nastały lepsze czasy i dla całego Kościoła unickiego. Pod koniec XVII i w początku XVIII stulecia nawróciły się do Unji ostatnie w Polsce schizmatyckie djecezje: lwowska, przemyska i łucka wraz ze swoimi biskupami. Unja pod opieką błog. Józafata wzrastała, wzmacniała się i rokowała piękne na przyszłość nadzieje.

Niestety, nowa nadciągała burza z tej samej strony, co i przedtem. Polska w latach 1701—1711 uwikłała się w powtórną wojnę ze Szwedami; Piotr Wielki wprowadził swe wojska na Litwę i Białą Ruś. W takich niespokojnych czasach musiano pomyśleć znów o ukryciu relikwji św. Józafata. Przewieziono je aż do Białej na Podlasiu i umieszczono w kaplicy zamkowej książąt Radziwiłłów. Po ukończeniu wojny rodzina księcia nie chciała się rozstać z tak drogim skarbem i nigdy go do Połocka nie oddała. Bazyljanie, do których z prawa należała straż relikwji, upominali się o nie niejednokrotnie i nawet wytoczyli proces Radziwiłłom przed Stolicą Apostolską. Sprawa jednak skończyła się w ten sposób, że obie strony zawarły między sobą ugodę, według której ciało św. Józafała miało pozostać pod opieką książąt Radziwiłłów i Bazyljanów mieszkających w Białej.

Żeby jednak nie pozbawiać i Białej Rusi szczęścia posiadania relikwji świętego Józafata oddzielono od nich mniejsze cząstki, przeznaczone dla kościołów w Witebsku i Połocku; cząstkę znaczną oddano również do kościoła O.O. Jezuitów w Warszawie, resztę zaś kości pokrytych uiezepsutem ciałem i ubranych w szaty arcybiskupie, opieczętowano, aby zabezpieczyć je przed samowolnem rozbieraniem przez pobożnych czcicieli świętego.

Jak przedtem Połock, tak odtąd Biała stała się ogniskiem religijnego życia nietylko dla zjednoczonych ze Stolicą świętą Rusinów, ale i dla Polaków, zamieszkujących Podlasie. Do kościoła bazyljańskiego corocznie na uroczystość św. Józafata nadciągały tłumy pielgrzymów; do świętego męczennika udawano się we wszystkich potrzebach i nowe cuda były nagrodą pobożności ludu. Pierwszem, o jakiem wiemy, cudownem uzdrowieniem, dokonanem za przyczyną św. Józafata w Białej, było przywrócenie wzroku Konradowi Koszulce ze wsi Bukowice (gub. siedlecka, powiat konstantynowski). Innym cudem było wskrzeszenie zmarłego dziecięcia, skoro strapieni rodzice przybiegli z niem do ołtarza św. Józafata. Swemu również patronowi zawdzięczała Biała ocalenie od zniszczenia podczas pożaru. Najwspanialszym jednak owocem pobytu relikwji św. Józafata w Białej było utwierdzenie gruntowne Unji w sercach wiernych na całem Podlasiu, tak, że wiary tej, nie potrafiły wyrwać ludowi przez dwa wieki żadne namowy ani prześladowania.

Kanonizacja św. Józafata.

Po wpisaniu Józafata w poczet błogosławionych pozostawał jeszcze do uskutecznienia najważniejszy akt dla uczczenia na ziemi męczennika to jest uroczysta kanonizacja, czyli ogłoszenia Józafata świętym dla rozszerzenia jego czci po całym świecie. Wprawdzie święta Kongregacja Obrzędów w Rzymie, orzekła była już dawniej, iż świętość życia Józafata dostatecznie została stwierdzona licznymi, sprawdzonymi dokładnie cudami i dlatego nic nie stało na przeszkodzie do uroczystej kanonizacji; jednak niespokojne w Polsce czasy i spadające na Unję nieszczęścia nie pozwoliły poczynić wszystkiego, co było potrzebnem do przeprowadzenia tak ważnej sprawy, i kanonizacja na długo poszła w odwłokę.

Papieże rzymscy jednak przychylając się do próśb unickiego duchowieństwa, czynili nie mało, aby podtrzymać i podnieść nabożeństwo do św. Józafata. Papież Innocenty XI pozwolił przenieść święto błog. Józafata z 12 listopada na dzień 26 września, gdyż ten czas zdawał się być wygodniejszym do urządzania pobożnych pielgrzymek do grobu męczennika. Benedykt XIV wpisał imię Józafata do księgi, zwanej *Martyrologium*, co było rzeczą nadzwyczaj ważną dla czci świętego, gdyż księga ta jest czytaną w całym katolickim Kościele. Klemens XIV-ty wreszcie udzielił na wieczne czasy odpustu zupełnego wszystkim wiernym, którzy w uroczystość błog. Józafata odwiedzą jaki kościół bazyljański i przyjmą Sakramenta święte.

Zaraz po pierwszym rozbiorze Polski, zniesiono Unję prawie doszczętnie na Ukrainie, Podolu, Wołyniu, a po części i na Białej Rusi. W późniejszych latach zapowiedziano jej zagładę z pomocą odstępcy Józefa Siemaszki, który będąc kapłanem a potem biskupem unickim, sam zaproponował swe usługi w zaprowadzeniu schizmy; dokonano w r. 1839 zupełnej kasaty Kościoła unickiego na Litwie i Białej Rusi. Lud unicki, pozbawiony swych pasterzy, przywykł powoli do nowego porządku i zapomniał o tej wierze, którą mu głosił św. Józafat. Ta zaś część ludu która pozostała Kościołowi wierną, musiała się kryć ze swemi przekonaniami religijnemi, pozbawiona Sakramentów świętych i innych pociech duchownych, gdyż i łacińskim kapłanom surowo zabroniono przychodzić z pomocą opuszczonym unitom.

Ocalała na czas pewien jedna tylko djecezja chełmska, dlatego, że znajdując się w obrębie Królestwa Polskiego, nie podlegała władzy wspomnianego wyżej Siemaszki. Ale i tu unitom nie dawano spokoju. Za biskupa Szumborskiego (1830—1851) zaprowadzono rozmaite zmiany w nabożeństwie, za

następnego zaś biskupa Teraszkiewicza poczęto kształcić unickich kleryków w duchu schizmatyckim. Biskup Kaliński (1863 - 1866), opierający się tym dążnościom, na wygnaniu żywota dokonał.

W tych smutnych dla Unji i dla całego polskiego Kościoła czasach, Ojciec święty Pius IX, pragnąc zjednać cierpiącemu Kościołowi opiekę i błogosławieństwo Boskie, a ludowi wskazać do naśladowania wzór wytrwania, wyraził zamiar uroczystego wpisania błog. Józafata męczennika w poczet świętych. Bawiący w Rzymie prowincjał Bazyljanów polskich, O. Dąbrowski, wespół z greckim Bazyljaninem Contieri i ruskim biskupem Józefem Sembratowiczem, mieli dopilnować przeprowadzenia tej sprawy.

W Polsce wiadomość o zamiarach Ojca św. przyjęto z najwyższą radością. Zaraz też zawiązały się komitety, które poczęły zbierać składki na koszta uroczystości kanonizacyjnej, a jednocześnie przedstawiciele najpierwszych w naszym kraju rodzin: Leon ks. Sapieha, Władysław ks. Czartoryski, jenerał Chłapowski, jenerał Zamoyski i wielu innych podali papieżowi w imieniu narodu polskiego prośbę o przyśpieszenie kanonizacji Józafata.

Uroczystość kanonizacyjną oznaczył Ojciec św. na 29 czerwca 1867 r., w którym to dniu świat katolicki miał obchodzić XVIII-to wiekową pamiątkę męczeńskiej śmierci świętych apostołów Piotra i Pawła. Na tę uroczystość papież wezwał do Rzymu biskupów całego świata: zjechało się przeszło pięciuset pasterzy, należących do rozmaitych obrządków. D. 12 czerwca Ojciec św. przedstawił zgromadzonym biskupom swój zamiar kanonizowania kilkudziesięciu świętych, wszyscy biskupi wyrazili zdanie, że owi wybrani na cześć tę zasłużyli.

Od samego rana w dniu oznaczonym armaty zamku św. Anioła w Rzymie i dzwony wszystkich kościołów wiecznego miasta zapowiedziały rozpoczęcie uroczystości.

Ojciec św., Pius IX, w otoczeniu wszystkich biskupów i duchowieństwa, udał się procesjonalnie ze swego pałacu do bazyliki św. Piotra. W procesji niesiono obrazy błogosławionych, którzy dnia tego mieli być policzeni w poczet świętych. Obraz Józafata przedstawiał świętego w chwili jak się objawił pewnemu jeńcowi u Tatarów i wyzwolił go z niewoli. Kiedy Ojciec św. zasiadł na tronie, zbliżył się do niego kardynał, prokurator kanonizacji, z prośbą o policzenie w poczet świętych 25-u błogosławionych, wymieniając imię Józafata na pierwszem miejscu. Według przyjętego ceremoniału dwa razy zwracał się kardynał z tą samą prośbą i dwa razy otrzymał odpowiedź Ojca św., że przed tak ważną sprawą potrzeba wezwać światła Ducha świętego. Po odśpiewaniu przez chór hymnu *Veni Creator* i litanji do wszystkich świętych, tenże kardynał przystąpił do Ojca św. po raz trzeci z prośbą o łaskę kanonizacji i wtedy dopiero papież odczytał ze swego tronu wyrok kanonizacyjny. „Na chwałę świętej i nierozdzielnej Trójcy, dla podwyższenia św. wiary katolickiej i pomnożenia chrześcijańskiej religji powagą Pana naszego Jezusa Chrystusa, świętych Apostołów Piotra i Pawła i naszą własną, ogłaszamy za świętych i w poczet świętych wpisujemy błogosławionego Józafata Kuncewicza, biskupa i męczennika“, (następnie wymienił imiona innych kanonizowanych).

Skoro papież wymówił te słowa, w tej chwili zagrmiały armaty na zamku św. Anioła i dzwony kościelne ogłosiły Rzymowi, że dawno oczekiwany akt kanonizacyjny już się spełnił. W samej świątyni jeden z kardynałów zaintonował po raz pierwszy wezwanie do nowo ogłoszonych świętych, a Ojciec św. odśpiewał nowo ułożoną modlitwę. Potem nastąpiła uroczysta suma, podczas której, przy *Ofertorium*, kardynałowie złożyli Ojcu św. zwykle w takich razach dary, mianowicie pięć ozdobnych świec woskowych, dwie baryłki z winem i wodą i trzy klatki z gołąbkami, synogarlicami i innem ptactwem, mającem przedstawiać cnoty świeżo kanonizowanych świętych. Wieczorem całe miasto było bogato iluminowane; przyczem grecki kościół św. Atanazego i polski księży Zmartwychwstańców wyróżniały się szczególnie wspaniałością przystrojenia i iluminacji.

Jest zwyczaj, że uroczystość każdego nowo kanonizowanego świętego obchodzi się najpierw w Rzymie. Dla uczczenia świętego Józafata przeznaczono dzień 13 lipca 1867, a na miejsce obchodu wybrano grecki kościół św. Atanazego. Nabożeństwo trwało trzy dni przy udziale biskupów różnych katolickich obrządków.

Dla nas Polaków najważniejszym był dzień drugi, którego ozdobą i najdonioślejszym wypadkiem było kazanie, wygłoszone przez generała księży Zmartwychwstańców, O. Hieronima Kajsiewicza. Prześliczne było to kazanie. Mówca opowiedział w niem i historję Unji i żywot św. Józafata, męczeństwo jego i cnoty i cuda; zaznaczył ducha niezgody, jaki się wkradł w stosunkach między Polakami a Rusinami-Unitami, wreszcie wezwał cały naród polski i ruski do gorliwej pracy nad rozszerzeniem i umacnianiem świętej wiary katolickiej we wzajemnej zgodzie i miłości.

Na zakończenie obchodu urządzono zebranie dostojnych gości w kolegium greckiem, gdzie kształcący się klerycy sławili św. Józafata mowami i śpiewami w rozmaitych językach, używanych w katolickim Kościele.

Podobne trzydniowe uroczystości na cześć św. Józafata obchodzono i we Lwowie, gdzie celebrował nuncjusz papieski w otoczeniu biskupów i kapłanów trzech katolickich obrządków: łacińskiego, ruskiego i ormiańskiego.

Usunięcie z kościoła relikwji św. Józafata. — Ukaz tolerancyjny.

W niedoli swej i prześladowaniach, jakie cierpieli, unicy podlascy szukali pociechy u grobu św. Józafata w Białej. Tam się mogli wypłakać, i w nabożeństwie do świętego, który swe życie za Unję położył, mogli zaczerpnąć nowych sił do wytrwania. Ale wnet po r. 1864 zamknięto w Białej klasztor O.O. Bazyljanów i tym sposobem pozbawiono ludność okoliczną najgorliwszych kapłanów. Kościół oddano duchowieństwu świeckiemu.

W r. 1867 proboszczem unickim w Białej został Mikołaj Liwczak, ksiądz galicyjski, który zewnętrznie tylko przyznawał Unję ale w duszy żywił zamiary zdrady. Od samego początku swego pobytu w Białej, ani razu nie odprawiał nabożeństwa przed ołtarzem, na którym była trumna z relikwjami świętego. Nawet w uroczystości św. Józafata opuszczał mszę św. na jego cześć przepisaną.

Lecz mało mu było tej zniewagi, jaką wyrządzał świętemu przez zaniechanie publicznego na jego cześć nabożeństwa. Począł on nad tem myśleć, w jaki sposób dałoby się zupełnie usunąć święte relikwje z oczu pobożnego ludu unickiego. Wiedząc jednak, jaką czcią lud ten otacza swego niebieskiego opiekuna, długi czas nieśmiał tego uczynić. Liwczak, jak sam pisze, osobiście przekonał się, że w trumnie spoczywało rzeczywiste ciało Józafata nie zepsute wcale, tylko zeschłe. Brakowało tylko paru członków, które były dawniej już odjęte dla innych kościołów. Przyprowadzał później potajemnie do kościoła różnych urzędników, pokazywał im relikwje i dał jednemu z nich pas skóry świętego.

Wszystkie te oględziny, łamanie pieczęci, naruszanie ciała, były wielką zniewagą wyrządzoną świętym zwłokom, a nadto przestąpieniem surowego prawa kościelnego, które zabraniało dotykać się relikwji bez wiedzy wyższej władzy duchownej, lecz Liwczak, nie wiele sobie robił z tego zakazu.

Uradzono wreszcie usunąć zwłoki Józafata niby pod pozorem odnowienia kościoła. Liwczak począł tłómaczyć ludowi, a zwłaszcza bractwu kościelnemu, że na czas robót nie można przecież relikwji zostawiać na ołtarzu, lecz trzeba je uprzątnąć do zakrystji. Lud jednak okazywał nieufność i rozgoryczenie. Ostatecznie w roku 1873 trumnę świętego spuszczono do podziemi kościelnych.

Według kłamliwych zapewnień Liwczaka usunięcie relikwji miało być tylko tymczasowe, do ukończenia restauracji świątyni, lecz wszystkim parafjanom dobrze już było wiadomo, że Liwczakowi wierzyć nie można. I rzeczywiście stało się tak, jak wszyscy oczekiwali. Kościół, odnowiony i przyozdobiony niebawem otwarto i poświęcono, o przywróceniu jednak relikwji na dawne miejsce nie było już ani mowy. Spoczywały one w sklepie, do którego samo nawet wejście zamurowano i zawalono gruzami. Świątynia bialska zupełnie odtąd opustoszała. Lud katolicki, który dawniej tysiącami garnął się do ołtarza św. Józafata, omijał go teraz zdaleka i szedł po Sakramenta św. do łacińskich kościołów. Liwczak wkrótce sam przestał udawać unitę. Z pomocą władzy świeckiej w styczniu następnego roku zebrał on do cerkwi wójtów i innych delegatów z 45-u parafji unickich i odprawiwszy schizmatyckie nabożeństwo, ogłosił, że 50 tysięcy unitów, tego dnia przeszło na schizmę. Pomimo tego oficjalnego zapewnienia wiadomo, że w całej bialskiej okolicy ledwie mała garstka zdradziła sprawę Unji.

Lata 1874 i 1875 krwawo się zapisały w historji Unji na Podlasiu. Pomimo to jednak wiary świętej, zaszczepionej przez św. Józafata, z serc ludu wyrwać nie zdołano.

Wraz ze zniknięciem relikwji pod ziemią, znikł urzędomo i Kościół unicki w djecezji chełmskiej. Wiara święta ukryła się odtąd głęboko tylko w sercach ludzkich.

Ale św. Józafat przepowiedział za życia swego, że Unji Pan Bóg do końca błogosławić będzie, bo to dzieło Jego, nie zaś ludzkie. Przepowiednia ta spełniła się, albowiem tylko moc Boża mogła natchnąć Podlasian do wytrwania przez długie lata pomimo najcięższych warunków. Skoro ogłoszono Ukaz tolerancyjny cesarza Mikołaja II z dnia 30 kwietnia 1805 roku, wnet setki tysięcy prześladowanych unitów pośpieszyły wśród łez radości do kościołów katolickich, aby tam złożyć oświadczenie o swojem stałem przywiązaniu do wiary ojców. Pan Jezus przepowiedział swoim uczniom: *„Na świecie ucisk mieć będziecie, ale nie bójcie się, Jam zwyciężył świat!“*

Z całego wielkiego dzieła Unji brzeskiej dochowały się jęszcze trzy djecezje galicyjskie, liczące około 4 miljonów unitów. Miejmy nadzieję, że relikwje św. Józafata wyjdą z podziemnego ukrycia i znowu na ołtarzu katolickiej świątyni poczną odbierać hołdy pobożnych czcicieli.

Modlitwa na uroczystość św. Józafata.

Wzbudź w Kościele Twoim, prosimy cię Panie, Ducha, którym napełniony błogosławiony męczennik i biskap Twój Józafat życie swoje położył za owce swoje; abyśmy za jego wstawiennictwem tymże Duchem pobudzeni i wzmocnieni, nie obawiali się oddać życia swojego za braci. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, który z Tobą żyje i króluje w jedności tegoż Ducha świętego, Bóg na wieki wieków. Amen.

Źródła.

O. Alfons Guépin. *Św. Józafat arcybiskup połocki.* 1874.—Walerjan Kalinka. *Zywot św. Józafata Kuncewicza, męczennika.*—Jakób Susza biskup chełmski. *Żywot świętego Józafata.*

Dnia 19 Listopada.

ŚWIĘTA ELŻBIETA, KRÓLEWNA WĘGIERSKA

WDOWA.

1207 † 1231.

Za rządów papieży: Innocentego III, Honorjusza III, św. Grzegorza IX.

> Są dwa rodzaje jałmużny: pierwszy z własnego mienia udzielać wsparcia bliźniemu; drugi: służyć ubogim pomocą i staraniem o nich. Ten drugi rodzaj jałmużny często bywa daleko pożyteczniejszy od pierwszego
>
> Św. Ambroży.

Dziecinne lata. — Trzyletnia narzeczona.

Św. Elżbieta była wnuczką Karola Wielkiego a córką Andrzeja II króla węgierskiego i Gertrudy z Meranu księżniczki Korynckiej. Przyszła na świat wśród zbytku i przepychu dworu węgierskiego w Presburgu w r. 1207. Gdy miała lat trzy zaniesiono ją w srebrnej kolebce do zamku wartburskiego, niedaleko Eisenach i zaręczono uroczyście z Ludwikiem, synem Hermana, Landgrafa Turyngji i Hesji, mającym naówczas lat jedenaście. Nie był to wyjątkowy wypadek w owej epoce, gdyż nieraz czytamy o podobnych zrękowinach młodocianych książąt, układano bowiem małżeństwa zawczasu w celach politycznych.

Małą Elżbietę odwieziono na dwór księżnej Zofji, matki przyszłego jej małżonka i tam oderwana od rodziny, wśród obcego otoczenia oddała się całą duszą Bogu.

Od dzieciństwa okazywały się znaki, zapowiadające wysoką świętość Elżbiety, do jakiej dojść miała później przez swe heroiczne cnoty. Jezus i Marja — były to pierwsze słowa, które wymówiła. Z dziwną nad wiek swój uwagą i skupieniem słuchała pierwszych wykładów zasad wiary; z zapałem uczyła się różnych modlitw i odmawiała je nietylko we dnie, ale nieraz długo w nocy. Wszystkie jej myśli, uczucia, pragnienia dziecinne zmierzały do jednego celu — spełnienia woli Bożej i zasłużenia na niebo. Słodki powab łaski pociągał ją często do ołtarzy Pańskich i tam przed otwartą księgą, choć jeszcze czytać nie umiała, padała na kolana, składała drobne swe rączęta, wznosiła oczy ku niebu i długo nieraz z wielkiem skupieniem ducha zatapiała się w modlitwie i rozmyślaniu.

Elżbieta wraz z siostrą młodego arcyksięcia Ludwika, Agnieszką, odbierała wychowanie, zadziwiając wszystkich niezwykłą pobożnością. Myśl o Bogu nie odstępowała jej nawet przy zabawach. Gdy w grze niewinnej co wygrała, oddawała to zaraz ubogim dziewczynkom z warunkiem, aby za to kilka Ojcze nasz, odmówiły. Umiała już wtedy umartwiać się dla miłości Bożej i nieraz w duchu pokuty przerywała najweselszą zabawę. Często towarzyszki swoje ciągnęła w stronę kościoła, a gdy był zamknięty, z religijnem uczuciem całowała mury świątyni. Wraz z pobożnością wzrastała w jej młodem serduszku cnota miłosierdzia: wszystko, co tylko dostać mogła — rozdawała ubogim. Była przytem prawdziwą lilją czystości, a chociaż nie rosła w zaciszu zakonnem, lecz wśród przepychu dworu książęcego, gdzie wszystko tchnęło miękkością i zbytkiem, starała się zachować surowość obyczajów prawdziwie zakonną. O ileż rozmaitych silnych pokus rozbiłaby się w takiem położeniu cnota innej, mniej o anielską czystość dbałej duszy? Ale Elżbieta otoczyła się wszelkiemi środkami, strzegącemi tego najdroższego skarbu. Do ustawicznej prawie modlitwy, dołączyła skromność w ubraniu. Zasłonę na twarzy tak zawsze miała spuszczoną, że nikt piękności jej nie mógł dojrzeć. Była nieprzyjaciółką wszystkiego, co trąciło zbytkiem, a świetne stroje kładła tylko w konieczności.

Prześladowanie na turyngskim dworze. — Małżeństwo Elżbiety.

Dumna arcyksiężna i córka jej, oraz światowo usposobieni dworzanie, pogardzali Elżbietą dla jej pobożności, jako osobą nie umiejącą ocenić swego stanowiska. Korzystano z najmniejszej okazji, aby dokuczyć narzeczonej przyszłego dziedzica korony, a gdy w roku 1218 arcyksiąże Herman umarł, młoda Elżbieta stała się przedmiotem ogólnego prześladowania. Doszło do tego, że chciano ją odwieźć do Węgier, uznając ją za niegodną ręki młodego księcia i nowe dla niego układając plany.

Elżbieta znosiła te próby jako prawdziwa chrześcijanka, umacniając się przez to coraz więcej we wzgadzie dla dóbr i zaszczytów ziemskich. Uczyła się nosić krzyż swój i naśladować Jezusa przez ćwiczenie się w pokorze i cierpliwości, w łagodności i miłości względem swoich krzywdzicieli.

Nareszcie powrócił na dwór młody książę Ludwik, który dla wykształcenia swego był długi czas nieobecnym. Posiadał on wszelkie zalety właściwe stanowisku panującego, łatwo też ocenił je w czternastoletniej Elżbiecie, którą za to serdecznie pokochał. Gniewał się słysząc o wieściach rozszerzonych na jej niekorzyść i oznajmił, że Elżbieta milszą mu jest dla cnót swych, aniżeli gdyby posiadała wszystkie skarby świata. Wkrótce potem w r. 1220 zawarli związek małżeński; okazałe uroczystości i zabawy uświetniły tę ceremonję.

Postępek młodego księcia podobał się wszystkim, oddano słuszność nowej arcyksiężnie i przyznawano jej cnoty, których przedtem nie uznawano.

Elżbieta okazywała się zawsze pełną uszanowania i posłuszeństwa dla swego męża. Miała silną wiarę, iż Opatrzność, umieściwszy ją na tak wysokiem stanowisku, udzieli jej potrzebnych środków do uświętobliwienia, do praktykowania chrześcijańskiego miłosierdzia, umartwienia i pokuty, do czego wciąż czuła skłonność. Głęboka pokora nie pozwalała jej zdobić się w świątyni oznakami królewskiej godności. Nie mogła znieść, aby na jej głowie jaśniała złota korona tam, gdzie Pana Jezusa, ukoronowanego cierniem widziała. Nieraz ukrywała się wśród tłumu w kościele w ubogiej sukni, chociaż skromna i skupiona postawa zawsze ją zdradzała.

ŚWIĘTA ELŻBIETA UMYWAJĄCA WŁASNORĘCZNIE UBOGICH.

Miłosierdzie św. Elżbiety.

Niesienie pomocy potrzebującym było naturalną skłonnością jej serca, dzieliła się z nimi wszystkiem, czego sobie w duchu umartwienia odmawiała i mimo znacznych dochodów, które w tym celu książę jej powierzał, często nic już nie mając, zdejmowała z siebie ubrania lub klejnoty i te rozdawała ubogim. Lecz samo udzielanie hojnej jałmużny nie zaspakajało pałającego miłością serca; czuła ona potrzebę osobistego poświęcania się, okazywania miłosierdzia w czynie, spełniała więc najniższe

posługi przy chorych, opatrując ich ze zwykłą sobie prostotą i swobodą.

Pomiędzy nieszczęśliwymi, obudzającymi najżywsze współczucie Elżbiety, byli trędowaci; nie uważając na niebezpieczeństwo zarazy, nawiedzała ich, siadała na łóżkach i długie prowadziła z nimi rozmowy, zachęcając ich do cierpliwości, ufności i poddania się woli Bożej, przyczem sama opatrywała ich rany. Założyła też szpital niedaleko pałacu, w którym pielęgnowała chorych, karmiła i opatrywała sieroty i przyjmowała pielgrzymów.

Św. Elżbieta zrozumiała, że prawdziwe miłosierdzie zależy na zbliżeniu się serdecznem do ludzkiej nędzy. Wchodziła przeto do chat wieśniaczych, przynosiła z sobą odzież i żywność. a obejściem, pełnem łagodności i słodyczy, pocieszała smutnych i strapionych.

Czuwała pilnie, aby w rządach państwa wypełnianą była wszelka sprawiedliwość, upominała się za najmniejszą krzywdę, wyrządzoną ludowi i o ile mogła starała się takowe wynagradzać.

Cnoty te: miłosierdzia, litości dla ubogich i wspaniałomyślności jakoby piękna dziedziczna własność panującego węgierskiego domu, odżyły we dwa wieki później w równie znakomitej córce króla węgierskiego, Jadwidze, obranej w 13-ym roku życia na królowę polską, zmarłej w 28-ym r., (1399) czczona jak święta i po dziś dzień droga sercom naszym.

Św. Elżbieta, słusznie nazwana matką uciśnionych, tak ukochała ubóstwo, że o ile tylko miłość męża i obowiązki stanu jej pozwalały, starała się naśladować ubogich: jadła prostą ich strawę, odziewała się lichem odzieniem, słowem, z upodobaniem uczyła się być ubogą, będąc otoczona bogactwem i przepychem.

Wpływ św. Franciszka na Elżbietę. — Wdowieństwo i wygnanie.

Sława cnót św. Franciszka z Asyżu i wpływu jego na świat ówczesny, doszła do wiadomości Elżbiety; uczuła ona dziwny pociąg ku św. Patryarsze i przywiązanie najtkliwszej córki. On zaś, słysząc o niepospolitem życiu tej możnej arcyksiężny, poznawał w niej duszę wielką i świętą, którą nawzajem w Bogu umiłował i chociaż tu na ziemi Święci ci nie spotkali się z sobą, związek duchowny trwał pomiędzy nimi, wlewając do serc ich wiele pociechy. Św. Franciszek napisał list do Elżbiety winszując jej, że wśród przepychu swego dworu potrafiła oderwać serce od znikomości ziemskich i poświęciła się Bogu i ubogim. Cieszył się, że znalazł w niej prawdziwą córkę duchowną.

Bóg pobłogosławił małżeństwo Elżbiety trojgiem dzieci, które wychowywała z jak największą troskliwością. Synowi na imię było Herman, córkom: Zofja i Gertruda. Gdy już czekała przyjścia na na świat czwartego, książę Ludwik wyruszył do Palestyny, biorąc udział w wyprawie krzyżowej, dla wyrwania Grobu Chrystusa z rąk niewiernych. Wkrótce wiadomość o przedwczesnym jego zgonie w r. 1227 pogrążyła Elżbietę w niewypowiedzianą rozpacz. Strata o tyle była boleśniejszą, że pociągnęła za sobą ciężkie bardzo próby. Zazdrość i nienawiść, które nie śmiały podnieść się za życia Ludwika, sprzysięgły się teraz przeciw księżnej; bracia jej męża ulegając namowom niegodziwych doradców, zaprzeczyli jej prawa do dóbr mężowskich, jako osobie marnującej i trwoniącej majętność swych dzieci. Następca Ludwika, landgraf Henryk, wygnał wdowę z pałacu i zabronił dawać jej przytułek w całem państwie, Elżbieta w otoczeniu dzieci swoich i dwóch wiernych służebnic, udała się do miasta, spodziewając się znaleźć przytułek wśród ludzi, którym niezliczone dobrodziejstwa świadczyła, lecz niestety i tu doznała najgorszego obejścia i czarnej niewdzięczności. Odepchnięta zewsząd, zaledwie w ubogim chlewku znalazła schronienie. Ciesząc się, że może podzielać ubóstwo Chrystusa Pana nie smuciła się ale kornie poddawała się woli Bożej. Było to w zimie, Elżbieta pozbawiona wszelkich środków do życia musiała żebrać o kawałek chleba. O północy posłyszawszy dzwon klasztorny wzywający na jutrznię poszła do kościoła i prosiła, aby zaśpiewano *Te Deum* dziękując za zesłane jej cierpienia.

Z niezwykłem męztwem znosiła Elżbieta poniżenie i najdotkliwsze próby, jakiemi podobało się Bogu doświadczać jej wielkie serce.

Pomimo tylu dobrodziejstw czynionych dokoła siebie, święta spotykała się z obojętnością, lekceważeniem, pogardą i złością tych nawet, którym wiele dobrego świadczyła. I tak np. pewna niewiasta, którą dawniej opiekowała się Elżbieta, spotkawszy ją na wązkiej kładce nad strumieniem nietylko nie ustąpiła z drogi, ale zepchnęła ją do wody.

Tak niecny postępek nie oburzył Elżbiety, jej łagodność niezrównana była zdolną przebaczyć najcięższe urazy, powstała spokojna i unosząc zmoczoną i błotem obryzganą suknię uśmiechnęła się i rzekła do siebie:

— Oto masz za twoje dawne złotogłowia i klejnoty!

Jakiż .to wspaniały wzór pokory chrześcijańskiej, jaki pokój niebieski gościł w tej duszy wybranej i przez Boga umiłowanej za tak wysokie cnoty.

Niebiańskie łaski.—Św. Elżbieta odmawia wstąpienia ponownie w związki małżeńskie.

W tym czasie kiedy tyle ciężkich chwil miała św. Elżbieta do przebycia, Bóg wynagradzał ją nie-

biańskiem zachwyceniem i widzeniami, przynoszącemi jej wyższą pociechę i radość.

Matka Matylda, ksieni klasztoru w Kitzingen, ciotka Elżbiety, dowiedziawszy się o jej tułaczce, wyszukała ją i umieściła w swym klasztorze. Następnie wuj Egbert, biskup bamberski, przeznaczył jej na mieszkanie zamek Botenstein i radził aby wstąpiła ponownie w związki małżeńskie, ale święta umiłowawszy całą duszą Boskiego Oblubieńca nie chciała przystać na to, chociaż jej piękność i słodycz charakteru niewoliły jej wszystkie serca i mogła łatwo przez świetne małżeństwo odzyskać wysokie stanowisko, bogactwa i zaszczyty. Ale Elżbieta inaczej zapatrywała się na ziemskie sprawy, jak wszyscy jej doradcy. Największem dla niej szczęściem była modlitwa. Całe noce spędzała nieraz na klęczkach doznając niebiańskiej pociechy.

Okazał się jej pewnego razu Pan Jezus i rzekł do niej:

— Czy chcesz być ciągle ze mną zjednoczoną?

— O tak — zawołała Elżbieta w zachwyceniu — uwielbiam we wszystkiem Twą wolę i nigdy od Ciebie nie chcę być odłączoną!

Jeszcze za życia męża św. Elżbieta za namową spowiednika swego Konrada z Magdeburga, świątobliwego i uczonego kapłana, wiodła żywot godny prawdziwej Tercjarki, a chociaż kierownik jej sumienia postępował z nią bardzo surowo, nigdy nie żaliła się, a przeciwnie poddawała się z pokorą wyznaczanym sobie pokutom. Ale od kiedy zmienne koleje losu uczyniły ją prawdziwie ubogą i bezdomną, tem więcej uczuła się blizką sercem tego zakonu św. Patryarchy z Asyżu, który własnym przykładem zachęcał do wyzbycia się wszystkiego, co według ludzkiego pojęcia szczęście ziemskie stanowi.

Pogrzeb arcyksięcia Ludwika.—Pomyślne zmiany.

W tym czasie krzyżowcy turyngscy wracając z wyprawy do Ziemi Świętej przywieźli do Bamberga zwłoki arcyksięcia Ludwika a dowiedziawszy się o nieszczęśliwym losie Elżbiety przyrzekli jej swą pomoc. Jakoż podczas uroczystego pogrzebu Ludwika (w klasztorze Reinhardsbrunn) znakomici dostojnicy upominali się o prawa pokrzywdzonej, a Rudolf Varilla, podczaszy zmarłego, tak energicznie i wymownie przedstawił panującemu arcyksięciu Henrykowi opłakane położenie nieszczęsnej wdowy, że arcyksiąże przeprosił pokrzywdzoną bratowę, z całą okazałością zawiózł ją do Wartburga i zwrócił jej majętność rodzinną.

Elżbieta widząc tym sposobem zapewniony byt swych dzieci, postanowiła pójść za popędem swego serca i żyć odtąd w odosobnieniu od świata. Henryk przeznaczył jej Marburg z okolicznemi wioskami i 500 marek rocznej pensji. Tam zamieszkała młodziutka wdowa z dziećmi i kilku służebnicami, żyjąc po zakonnemu i w tem zaciszu czuła się o wiele szczęśliwszą w skromnym drewnianym domku, aniżeli we wspaniałych pałacach.

Dzień i noc służąc Chrystusowi Panu, otrzymała od Niego niezliczone łaski i dar czynienia cudów. Złożywszy śluby w Trzecim Zakonie św. Franciszka ściśle wypełniała regułę, prowadząc życie ciche i pełne uczynków miłosiernych nie dbając o to, że ludzie światowym rozkoszom oddani uważali ją za szaloną a przynajmniej za śmieszną dziwaczkę.

Otrzymawszy z powrotem należne sobie wiano chciała natychmiast rozdać wszystko ubogim i jednego dnia obdarzyła tak szczodrze nędzarzy, że odrazu większą część swej fortuny na to użyła. Byłaby z pewnością rozdała całą majętność ale powstrzymał ją od tego jej spowiednik ks. Konrad, pod którego kierunkiem stale pozostawała. Natomiast nie szczędził jej ten ojciec duchowny wewnętrznych umartwień. Między innemi kazał jej oddalić dwie wierne sługi, Izyntradę i Gutę towarzyszące świętej nieodłącznie, a przydał jej niewiasty swarliwe, które najgorzej się z nią obchodziły, pomimo niezmiernej słodyczy, cierpliwości i wyrozumiałości Elżbiety.

Św. Elżbieta zakłada klasztor Sióstr Trzeciego Zakonu w Marburgu.—Nawrócenia oraz cuda świętej.

Spowiednik św. Elżbiety doradził jej z polecenia papieża Grzegorza IX, aby klasztor zakonu św. Franciszka założyła. Myśl tę przyjęła Elżbieta z wielką radością i wkrótce stanął ów klasztor, w którym sama też święta zamieszkała. Obok niego zbudować kazała szpital, tam Elżbieta pełniła rolę anioła opiekuńczego wszystkich chorych i ubogich, posługiwała im sama z największem poświęceniem i częstokroć z narażeniem życia, gdyż nie unikała ciężko dotkniętych trądem i tych, których wszyscy odstąpili najczulej pielęgnowała.

Bóg zsyłał swej wiernej służebnicy wielkie pociechy; oto np. udało się jej żarliwemi słowy nawrócić pewnego grzesznika znanego z bezbożności i złego życia. W miarę jak doń mówiła święta, serce jego tajało i łaska Boska doń wstąpiła. Od tego czasu zmienił się do niepoznania i stał się zupełnie innym człowiekiem.

Razu pewnego jeden z chorych w szpitalu św. Elżbiety zapragnął spożyć rybę, a ponieważ o takową trudno było, odmówiono mu wręcz, co słysząc święta kazała zaczerpnąć wody ze studni i z wielkim podziwem wydobyto ztamtąd ogromną rybę, chociaż wiadomo było wszystkim, że nietylko w onej studni, ale nawet w całej okolicy ryb podobnych nikt nie widywał.

Szczęśliwą wielce czuła się św. Elżbieta gdy miała sobie objawione, że matkę swą modłami gorącemi od mąk czyścowych uwolniła.

W zupełnem oddaniu się Panu Bogu nie znała granic. Nigdy nie powiedziała „dosyć“, nigdy w niczem się nie oszczędzała, a dla miłości cierpiącego Jezusa stała się sługą sług, niewolnicą ubogich i chorych.

Ostatnie chwile życia św. Elżbiety.

Św. Elżbieta powierzyła wychowanie swych dzieci blizkim krewnym, o których świątobliwości była przekonaną, sama zaś w ostatnich latach życia utrzymywała slę z pracy rąk własnych, wszystkie zaś inne dochody przeznaczała na jałmużny.

Syn Elżbiety zasiadł potem na tronie turyngskim; jedna z córek została zakonnicą a druga poślubiła księcia Bramanckiego. Dnia pewnego, gdy oddała się Elżbieta pobożnym rozmyślaniom, miała sobie objawione, że ją ma już Pan Jezus powołać do siebie. Oznajmiła wnet o tem spowiednikowi i zaraz też zasłabła ciężko. Doglądająca ją zakonnica usłyszała naraz, że chora śpiewa jakąś przecudną a nieznaną melodję, zapytala więc ze zdziwieniem jaką pieśń nuci?

— Wtóruję pieśni anielskiej, odrzekła św, Elżbieta, a głos jej brzmiał istotnie jak gdyby z nadziemskim połączony pieniem. Czując zbliżającą się godzinę zgonu napisała testament, dziedzicem swoim czyniąc Jezusa Chrystusa w osobie ubogich. Odbyła przykładnie spowiedz z całego życia a po przyjęciu Ostatnich Sakramentów znowu przecudnie śpiewać zaczęła, pytając otaczających, czy słyszą chóry anielskie śpiewające z nią razem? Następnie mówiła długo i podniośle o nieprzebranem miłosierdziu Bożem i zachowawszy przytomność do ostatniego tchnienia, skłoniła głowę i spokojnie anielską swą duszę oddała Bogu d. 19 listopada 1231 r. licząc zaledwie 24 lata ale osiągnąwszy tak wysoki stopień doskonałości chrześcijańskiej, że już w kilka lat po jej zgonie, papież Grzegorz IX uznał ją godną miana świętej.

Przykład jej uczy nas, że nawet wśród największego blasku i tysiącznych pokus można zachować nieskalaną czystość duszy ćwiczyć się w cnotach pokory i zaparcia się siebie i dążyć niezmiennie tą drogą, która wiedzie do królestwa niebieskiego.

To też słusznie otacza ją Kościół czcią szczególną i obchodzi święto jej z weselem, mówiąc na wstępie mszy św.:

„Radujmy się wszyscy w Panu, którzy obchodzimy tę uroczystość na cześć św. wdowy Elżbiety, z której radują się aniołowie i wielbią jednogłośnie Syna Bożego“.

Relikwje św. Elżbiety i pozostałe po niej pamiątki.

Ciało Elżbiety złożono w kaplicy szpitala przez nią założonego. Przez kilka dni następnych odwiedzano tłumnie zwłoki, które wydawały zapach prześliczny, jak gdyby kwiatów świeżych. Pochowano ją dnia czwartego a liczny napływ ludności miejscowej i okolicznej świadczył wymownie, że była ogólnie kochaną i poważaną. Zaledwie zamknięto wieko trumny wiele cudownych uzdrowień, za przyczyną świętej zdziałanych, dały poznać niezwykłe łaski i przywileje, jakiemi cieszyła się w niebie ta wierna służebnica Zbawiciela, albowiem chromi, głusi, ślepi, trędowaci, paralitycy odzyskiwali zdrowie. Wielu pielgrzymów z dalszych stron przybywało do kaplicy, aby modlić się u grobu błogosławionej.

Konrad magdeburski, spowiednik zmarłej, opisał szczegółowo pośmiertne cuda u grobu Elżbiety dokonane i przedstawił papieżowi Grzegorzowi IX, który w roku 1225 w poczet świętych ją zaliczył. W aktach kanonizacyjnych czytamy pomiędzy innymi: „Jałmużną i dobrymi uczynkami zaznaczyła każdą chwilę swego życia“. Zygfryd, arcybiskup moguncki, do którego juryzdykcji duchownej należało miasto Marburg ogłosił bullę kanonizacyjną i 1 maja 1236 r., ciało św. Elżbiety było uroczyście z grobu wydobyte i wystawione ku czci wiernych, w obecności jej dzieci, krewnych, wielu biskupów i arcybiskupów mnóstwa ludu i cesarza Fryderyka II, który złożył na trumnie swiętej koronę złotą i puhar, jakiego zwykle używał przy stole.

Konrad, krat Henryka, który później został Wielkim Mistrzem Krzyżackiego Zakonu, założył w Marburgu fundamenty wspaniałego kościoła św. Elżbiety; tam przechowywano relikwje świętej aż do roku 1539, w którym to czasie Filip, landgraf heski, wyrzucił jej szczątki z kościoła i śród naigrawań się, zabrał na zamek marburski a następnie kazał zakopać w miejscu jemu tylko wiadomem, aby w ten niecny sposób położyć koniec ustawicznym pielgrzymkom i czci oddawanej świętym szczątkom swej dalekiej krewnej.

Ale cześć św. Elżbiety była zbyt szeroko rozpowszechnioną i świętokradztwo Filipa zostało wkrótce ukarane. W r. 1546 wzięty w niewolę przez Karola V, zmuszony został na rozkaz cesarza wydać relikwje komturowi krzyżackiemu, a ten złożył je w marburgskim kościele. Okazało się jednak, że wiele cząstek relikwji brakowało. W r. 1854 przy restauracji kościoła znaleziono w chórze przed ołtarzem św. Jana Chrzciciela w zagłębieniu kamień kwadratowy, za którym ukrytą była skrzynka blaszana, a w niej troskliwie powiązane kości. Miały one świecić wówczas jak djamenty. Uznano, że są to niewątpliwie relikwje św. Elżbiety.

Głowa świętej znajduje się w Besançon, niektóre cząstki kości świętej złożone zostały w kościele Karmelitów w Brukseli i znajdują się też w Bogocie (Ameryka południowa) jedną rękę odesłano do

Biblioteka Publiczna im. J. Słowackiego
SDH-1513
Mag. 178282

Miejska Biblioteka Publiczna
w Tarnowie
Dział Starych Druków
0241-001513-00